The Catholic
Theological Union
LIBRARY
Chicago, Ill.

WITHDRAWN

ŚWIĘTY FRANCISZEK SERAFICKI

i Jego naśladowcy.

PRZEZ

Br. Honorata Kap.

WARSZAWA
Druk Piotra Laskauera.
1913

Tom IV.

The Catholic Theological Union LIBRARY Chicago, Ill.

WITHDRAWN

№ 5962.

IMPRIMATUR:

Varsaviae die 14 Novembris 1912 anno.

Judex Surrogatus Praelatus Metropolitanus

Leopoldus Łyszkowski.

Pro Secretarius *J. Podbielski.*

The Catholic Theological Union LIBRARY Chicago, Ill.

ŚWIĘTY FRANCISZEK SERAFICKI.

JEGO ŻYCIE,

wielkie dzieła, duch, dary, pisma i nauki

I ICH ODBICIE W NAŚLADOWCACH JEGO.

Świat mnie już nie widzi... Lecz ja żyję... w was.

Jan 14. 19.-20.

Przez

Br. Honorata Kapucyna.

Z rycinami Ad. Głębockiego i innych pierwszorzędnych zagranicznych artystów.

TOM IV.

WARSZAWA.
Druk Piotra Laskauera.
1913.

ŚWIĘTY FRANCISZEK SERAFICKI.

PISMO ŻYCIU.

wielkie dzieła, duch, duty, pisma i ustrój.

TOM IV.

Dział III tego dzieła.

Duch seraficzny
ŚWIĘTEGO FRANCISZKA Z ASSYŻA.

Duch jest który ożywia. (Joan. 6, 69).

Wszystko jest podobno wierzącemu, (Mar. 9, 22).

Ogień przyszedłem puścić na ziemię. (Luc. 12, 49).

W prostocie serdecznej chwaląc Boga i mając łaskę u wszego ludu. (Act. 2, 46 et 47)

Wszystko... mam sobie za gnój, abym Chrystusa zyskał. (Philip. 3, 8).

Kto chce za mną iść, niech sam siebie zaprze. (Matth. 16, 24).

Sprzedaj co masz i daj ubogim... a pójdź za mną. (Matth. 19, 21).

Który nie odstępuje wszystkiego co ma, nie może być uczniem moim. (Luc. 14, 33).

Podobam sobie... w potwarzach... dla Chrystusa. (2. Cor. 12, 10).

Acz umartwiony ciałem, ale ożywiony duchem. (1 Petr. 3, 18).

Mocna jest jako śmierć miłość... pochodnie jej pochodnie ognia i płomieni. (Cant. 8, 6).

Wszystkim stałem się wszystko, abym wszystkie zbawił. (1 Cor. 9, 22).

Bądźcie miłosierni, jako i ojciec wasz miłosierny jest. (Luc. 6, 35).

Cóż ja mam w niebie, albo czegom chciał na ziemi oprócz Ciebie. (Ps. 72, 25).

Bardzo rad nałożę i nadzwyż się wydam sam za dusze wasze. (2 Cor. 12, 15).

Wszem we wszystkiem się podobam: nie szukając co mnie pożyteczno jest, ale co wielom. (1. Cor. 10, 32)

WSTĘP.

Osłabła dziś wiara, która ludzkości wielkie wskazywała cele; zmalała nadzieja, co serce pokrzepia, by do tych wielkich zdążać przeznaczeń; przygasła miłość, co ponad ziemię porywa ducha, i wielkich czynów, bohaterskich poświęceń i ofiar jest źródłem. To też małoduszność — to wybitna cecha naszych czasów. Chełpi się ludzkość z tak zwanego postępu, szczyci się z mnogości odkryć i wynalazków coraz to nowych i coraz to bardziej zadziwiających, z całej tej swojej materjalnej cywilizacji. I w rzeczy samej powiedzieć można z jednym pisarzem francuskim: „wszystko, wszystko się rozwija — jedna tylko rzecz maleje, to jest duch ludzkości". Widać to wszędzie: i w życiu prywatnem, i w publicznem, i we wzajemnym stosunku między ludźmi. Zanika duch ofiary, poświęcenia, szlachetnych porywów, a miejsce jego zastępuje zimne samolubstwo, wyrachowanie, interes, miłość własna. Nie zaginął on zupełnie, owszem gdzieniegdzie jeszcze żywym jaśnieje blaskiem; boć jak nie zginie nigdy Kościół Chrystusowy, tak też nie przestaną kwitnąć w nim cnoty ewangeliczne, i zawsze znajdować się będą postacie bohaterów; ale ogółem biorąc, duch ten słabnie, wraz z osłabieniem wpływu religji na życie społeczeństwa.

Wielkie czyny, i wielkie dzieła, i wielkie ofiary z wielkiej tylko pochodzić mogą miłości, a tej Bóg tylko jest początkiem. Tylko miłość Boża, zrodzona w niebie od Ojca światłości, od tego Boga, którego istotą jest miłość, może tak owładnąć człowiekiem, by go przywieść do zupełnego zapomnienia o sobie, do pragnienia wielkich ofiar i wielkich poświęceń.

To też, by podnieść ducha i do wielkich pobudzić go czynów, wpatrujmy się w bohaterską miłość Franciszka z Assyża. W nim nic ziemskiego, poziomego, samolubnego nie znajdziemy. Duszę jego ogarnia żar miłości. Wszystko w nim wielkie, bo wielki duch go ożywia i wielkie bije w nim serce. Potomność, zachwycona jego życiem cudownem i jego bohaterską cnotą, daje mu nazwę Serafickiego, Serafinem z Assyża go nazywa. Skąd ta nazwa? jakie jej znaczenie?

W szeregu mieszkańców wiekuistej naszej ojczyzny, w rzędzie hierarchji anielskich, Serafini najwyższe zajmują miejsce. To duchy miłości; oni to znajdują się najbliżej tronu Bożego, oni najdoskonalej są z Bóstwem zjednoczeni. Wpatrując się w przepaść wiekuistej i nieskończonej piękności Boga, Serafini goreją najwyższą ku Niemu miłością, — Bóg, który jest miłością, napełnia ich, ogarnia, przeistacza. Jeżeli inne chóry anielskie odbijają na sobie różne, a niezliczone przymioty Boskie: Serafini są czystem zwierciadłem Bożej miłości. To też wyniesieni ponad inne chóry, miłością Bożą żyją, miłością oddychają, miłością goreją i jakoby w płomienie miłości przemienieni, śpiewają na wieki nieskończony hymn miłości: „Święty, Święty, Święty!"... Nie dbają na przemiany tego świata: ruch i wrzenie jego nie obchodzą ich wcale; oni Bogiem samym zajęci i w Nim samym wszystko znajdują. Niezmienni w swym zachwycie miłosnym, wpatrują się w Oblicze Boga trzykroć Świętego i na wieki nienasyceni, w Piękności Jego zatapiać się będą.

Czem Serafini pośród aniołów, tem Franciszek pośród innych Świętych. Wszyscy Święci pa-

łali miłością Bożą, podobnie jak wszyscy aniołowie, boć na miłości Boga zależy świętość: jednakże ta miłość jak wspanialszym jaśnieje blaskiem w Serafinach, tak i we Franciszku z Assyża potężniejszym wybucha płomieniem. Ten pożar Boskiej miłości, raz wszczęty w wielkiem i wspaniałem jego sercu, ogarnął, przetrawił, przeistoczył całą jego naturę i znamię swe wypisał na wszystkich uczynkach, na słowach, na całem życiu jego. Duch Franciszka Ś. to duch seraficznej miłości, miłości bezgranicznej i bezbrzeżnej, miłości, która go wobec świata szalonym niemal uczyniła, która go pchała jakąś siłą tajemniczą do wielkich czynów, bohaterskich poświęceń, heroicznych wysiłków: która mu nigdy nie dawała pokoju, lecz wciąż coraz to nowych żądała ofiar i ofiar tych nigdy niesyta, nieustannie go trawiła. Serce jego to ołtarz całopalenia, to wulkan wrzący. Wielkie cnoty Franciszka, tym płomieniem miłości seraficznej rozgrzane, jakiejś niezwykłej dochodzą miary, mają w sobie coś co zachwyca, zdumiewa, przeraża niejako słabość naszą, podobnie jak ze drżeniem patrzymy z dolin na piętrzące się przed nami, a w przestworzach niebios zanurzone, tajemnicze, górskie wyżyny. Czy to weźmiemy pokorę jego i zaparcie siebie, które do najszczytniejszych doprowadził granic; czy jego pogardę świata, który tak doskonale zdeptać potrafił; czy miłość bliźniego, która go do zupełnego o sobie zapomnienia przywiodła; czy miłość Bożą, która uczyniła go ziemskim Serafinem i wyryła na nim święte blizny ukrzyżowania; czy jego żarliwość bez granic i miary, która go pchała do męczeństwa, do cierpień, do pokut, do ofiar nieustannych; czy ducha modlitwy, którym tajniki niebios przenikał, wszystko to heroiczne, nadludzkie, wszystko do najwyższego posunięte bohaterstwa, bo to wszystko z seraficznej pochodzące miłości, która go prawdziwym cudem miłości czyniła.

O jakże nam wszystkim tego ducha potrzeba! Na świecie teraz tak ciemno, zimno i mroźno; lód ścisnął serca; szronem zwarzone kwiaty świętych uczuć i pragnień zwiędły, jeżeli nie zmarzły zupełnie; znikł duch ofiary i poświęcenia, bo zagasła miłość, która jest matką ofiarności. Straciliśmy niebo z przed oczu, bo ziemia całą pochłonęła uwagę, całą zawładnęła istotą. Ciemno wszędy, zimno i straszno, a więc tem bardziej zwrócić się nam trzeba do Franciszka Ś. Rozważanie cnót jego tak wzniosłych, tak heroicznych może nas wreszcie zawstydzi, widok życia jego, strawionego miłością, a będącego ciągłem dążeniem do Boga, do nieba, do celów najwyższych i najwspanialszych, może i w nas rozbudzi jakie piękniejsze uczucia, podnioślejsze myśli, może i nas skłoni do oderwania serca od nędznych błyskotek tego świata i do wyższych celów skieruje.

Najświętsze Imię Jezus rozpowszechniane przez Ś. Bernardyna Seneńskiego.

*

* *

Często zdarza się słyszeć zapytanie: co to jest duch seraficzny? Odpowiedź na to dla wszystkich chrześcijan jest nader ważna; duch bowiem seraficzny jest kwiatem Ewangelji Ś-tej, czyli, jak się wyraża główny tego ducha przedstawiciel, Franciszek Serafícki, — szpikiem Ewangelji, jakby jej treścią. Wiele przeto zależy, abyśmy dobrze zrozumieli, na czem on zawisł, boć nie z imienia tylko mamy być chrześcijanami, albo spełniać niektóre zewnętrzne obowiązki chrześcijańskie, ale powinniśmy się przejąć duchem Ewangelji, inaczej słusznie moglibyśmy oczekiwać zarzutu, jaki Zbawiciel uczniom swoim uczynił, mówiąc: Nie wiecie, czyjego ducha jesteście.

Dzisiaj dokładna odpowiedź na to pytanie jest bardziej pożądana, niż kiedykolwiek, bo rzadko świat tak się oddalał od tego ducha, jak w tym wieku zobojętnienia religijnego. A chociaż dla tej właśnie obojętności mało kto pewno zechce się nad tą potrzebą zastanowić, jednakże należy ją często przypominać, abyśmy do reszty nie zostali pochłonięci duchem pogańskim, duchem materjalizmu, czyli duchem tego świata, który jest najprzeciwniejszy serafickiemu duchowi.

Lecz przedewszystkiem odpowiedź na to pytanie zajmować powinna tych, którzy mają szczęście być synami lub córkami Serafickiego Patryarchy. Zaciągnąwszy się w szeregi tego wodza, już tem samem zobowiązali się przejąć jego duchem i w szczególny sposób na sobie go wyrazić, odróżniając się tem od innych; w przeciwnym bowiem razie nie zasługiwaliby na tę nazwę, ale raczej na powyższą przymówkę, iż nie wiedzą, jakim duchem rządzić się powinni. Wykładając przeto po szczególe wyraźniejsze znamiona tego ducha, dodajemy też przy każdem z nich liczne przykłady świętych naśladowców Franciszka i krótkie wskazówki, jak należy zastosować to w życiu. Trzymamy się w tem planu we Wstępie do tego dzieła wyrażonego, w którym zapowiedzieliśmy, iż zamiarem naszym było nietylko życie, czyny i ducha Ś. Patryarchy przedstawić, ale obok niego podawać przykłady jego synów duchownych we wszystkich następnych wiekach, dla wykazania, że duch ten zawsze żyje w zakonach jego i według uczynionej mu obietnicy do końca świata nie ustanie. Drugim naszym zamiarem było dawać przy każdym rozdziale odpowiednie kwestje z teologji mistycznej, bo uważamy Serafina z Assyża za uosobienie owego życia wewnętrznego, którem ta gałąź teologji się zajmuje, co też i w tym tomie, o ile się da, spełniać będziemy.

Sąd ostateczny przez Fra Angelico z Fiesole (1387—1455) Część górna. Po obu stronach w rzędzie sędziów siedzą S. Dominik i S. O. Franciszek.

ROZDZIAŁ I.

O mocy ducha seraficznego.

Nietylko mężowie uczeni, ale i ludzie pospolici uważają, że jest coś w życiu i czynach Franciszka Ś., co go wyróżnia od innych i co jemu tylko jest właściwe. Jest to ten duch, którym Seraficki Patryarcha tak wyjątkowo był przejęty i którym nacechowane są wszystkie szczegóły jego życia. Z tego to ducha wypłynęły trzy jego zakony i wszystkie tym duchem są napiętnowane, i on stanowi główny ich owoc i zaletę. Dlatego też Leon XIII w swojej Encyklice Auspicato, wysławiając Franciszka i wskazując go, jako jedyny wzór na dzisiejsze czasy, i pokładając w nim całą nadzieję odrodzenia świata, nietyle się opierał na samych jego zakonach, ile na duchu jego, mówiąc: „Duch jego, w swojej istocie zupełnie chrześcijański, dziwnie się nadaje do wszystkich miejsc i wszystkich czasów; niewątpliwie więc instytucje Franciszka wielkieby przyniosły korzyści i naszej epoce“. A gdy oświadczał pragnienie, a nawet zalecał światu, aby te zakony przywrócić, dodał, i nacisk głównie na to położył, aby je duchem właściwym, t. j. seraficznym ożywić. Bo na niewiele przydałoby się zachowanie form zewnętrznych i literalne spełnianie przepisów tych zakonów, gdyby te ostatnie nie były ożywione duchem Ś. Franciszka. Abyśmy zaś nie uwodzili się jakiemis pozornemi złudzeniami, ale zrozumieli dobrze istotę rzeczy, chcemy w następnych uwagach naprzód wyjaśnić, co przez ten duch wogóle się rozumie, a potem przedstawić jak najdokładniej znamiona ducha seraficznego.

O duchu w ogóle.

Duchem komuś właściwym nazywamy zwykle to, co cechuje i ożywia czyjeś czynności, a co wynika z tego, jakich zasad się kto trzyma, jaki cel sobie zakłada i jakich środków do tego używa, w jaki sposób i w jakim stopniu zapatruje się na rzeczy Boże i ziemskie, co bardziej trafia do jego przekonania i do czego sercem najbardziej przylega. Bo nie wszyscy jednakowo pojmują i oceniają rzeczy tego świata, a tembardziej rzeczy Boże.

O tym właśnie duchu mówi Pismo Święte: Duch jest, który ożywia: ciało nic nie pomaga [1]).

Jak dusza ożywia ciało i całą treść jego stanowi: tak duch ożywia nasze czynności i od niego

[1]) Joan. 6,63.

zależy cała ich wartość. Jak ciało bez duszy, choćby najpiękniejsze, jest martwe i jakby nic nie znaczące, owszem wstrętne nawet: tak wszystkie nasze czyny, choćby na pozór dobre, martwe są przed Bogiem, jeżeli ich duch dobry nie ożywia, i nic nie znaczące, owszem wstrętne, jeżeli w złym duchu są wykonywane.

Duch Boży i duch tego świata.

W różnym duchu można żyć i działać, niezliczone bowiem są jego odcienie, jak niezliczone są cnoty i wady ludzkie; ale dwa rodzaje ducha wybitniej nam się przedstawiają i często w Piśmie Bożem są wspominane, mianowicie: duch Boży i duch tego świata. — Stoją tam one zawsze, jako dwie sprzeczności, których nigdy pogodzić ze sobą nie można, albowiem: „nie... ducha tego świata przyjęliśmy, mówi Paweł Ś., lecz ducha, który z Boga jest.“ [1]) Od tego ducha Bożego więcej zależy wartość naszych uczynków, niżeli od zewnętrznego ich wykonania. On to stanowi o moralnej wartości każdego człowieka: ten mianowicie jest dobry, kto rządzi się duchem Bożym, a ten jest zły, kto się rządzi duchem tego świata. I o tyle każdy jest lepszy, o ile w większej mierze ma ducha Bożego; a o tyle jest gorszy, o ile więcej duchem światowym jest przesiąkły. I cała nawet społeczność wtedy jest dobra i chrześcijańska, kiedy ją ogarnia duch Boży, duch Chrystusowy; a przeciwnie, o tyle odstępuje od swoich celów i o tyle staje się mniej dobrą i pogańską, o ile więcej da się owładnąć duchowi tego świata.

Duch tego świata, który cechuje szczególniej pogaństwo, możnaby określić, jako zamiłowanie rzeczy doczesnych z pogardą niebieskich; przeciwnie zaś duch chrześcijański zależy głównie na pogardzie rzeczy ziemskich, a zamiłowaniu duchowych.

Duch właściwy bogobojnym osobom.

Ale i te duchy mają swoje odcienie. Nie wszyscy bowiem ludzie światowi w jednakowym stopniu przejęci są duchem świata, również nie wszyscy bogobojni w jednym stopniu gardzą rzeczami ziemskiemi i z jednakowym zapałem ubiegają się o rzeczy duchowne. Nadto jednym przypada więcej do serca i usposobienia ta cnota, drugim inna, której się zwykle oddają, tak że ona cechuje całe ich życie. Jak w ludziach złych odróżniamy występek jednorazowy od nałogowego, w który się wpada z wielką łatwością, prawie bezmyślnie: tak i w dobrych należy odróżnić czyn cnotliwy od nałogu cnoty. Otóż ten nałóg, który sprawia, że akty danej cnoty, spełniają się z łatwością, z zamiłowaniem i prawie bez żadnego namysłu, stanowi ducha właściwego danemu człowiekowi. I tak: w jednych widzimy jakby panującego ducha słodyczy i łagodności, a w drugich ducha pokuty i surowości. W jednych podziwiamy zapał duchowy, w innych uważamy przemagającą roztropność. W jednych przeważa umartwienie zewnętrzne, w drugich zaparcie siebie i umartwienie wewnętrzne. Wszystko to stanowi ducha właściwego danym osobom, jeżeli się w całem ich życiu przebija.

Duch zgromadzeń zakonnych.

Co się objawia w pojedyńczych osobach, to pokazuje się i w całych zgromadzeniach duchownych, którym zwykle udziela się duch pierwszych fundatorów. „Każdy zakon, mówi jeden ze współczesnych pisarzy, ma swego ducha; inaczej gdyby najpiękniejsze nawet posiadał zalety, nie żyłby, ale byłby posągiem lub trupem. Duch ożywia prawa, podtrzymuje zwyczaje, czyni, że dzieła obfity przynoszą pożytek, a zgromadzenia zyskują nieśmiertelność. W zakonach ten duch jest tak silny, że stowarzyszenia skądinąd wątłe na pozór i których nie utrzymuje żadna siła materjalna, ani przeciw przewrotom wewnętrznym, ani przeciw nieprzyjaciołom zewnętrznym, nie podlegają ogólnemu prawu śmierci; duch ten tak głęboko przenika jednostki, że na całem ich życiu wyciska odrębny swój charakter. Ale duch ten nie jest jeden we wszystkich zakonach, gdyż jakkolwiek wszystkie zakony zdążają do jednego celu, do udoskonalenia dusz w Bogu, nie jedną do niego idą drogą“ [1]).

Stąd wynika, że wszystkie osoby, wstępujące do jakiegoś zakonu, jeżeli chcą być pożytecznymi jego członkami, muszą mieć w pewnej mierze właściwego mu ducha. W jednych panuje duch modlitwy i bogomyślności, i tam nie byłaby odpowiednią osoba, mająca mniej chęci do rozmyślania, niż do czynu. W drugich wydaje się duch pokuty i umartwienia i tam nie znajdzie dla siebie właściwego żywiołu dusza osłabiona na zdrowiu, lub nie mająca skłonności do pokuty. W innych jaśnieje duch miłosierdzia; dla tych nie będzie odpowiednią osoba wzbogacona wysokim darem mo-

[1]) 1 Cor. 2, 12.

[1]) Histoire de S. Chantal par M. l'abbé Bougaud. Ś. Franciszek za życia i po śmierci przez Kapucynów franc. C. I R. 13 str. 153.

dlitwy. Inne wreszcie do wyższych stopni doskonałości ewangelicznej sięgają, do czego też wyższego i mężniejszego trzeba powołania.

O duchu właściwym społecznościom.

Nietylko w zgromadzeniach ściśle uorganizowanych wyrabia się duch im właściwy, ale i w całych społeczeństwach. Wiele rzeczy wpływa na wyrobienie jego: religja, charakter narodowy, stosunki sąsiedzkie, przejścia historyczne, klimat i inne okoliczności. Stąd wyradza się: czy to duch wojowniczy, rolniczy lub handlowy, czy też duch dobrobytu i używania. Bywają też i pewne czasy, w których jakiś duch ogarnia nietylko pojedyńcze społeczeństwa, ale i wszystkie narody, jak było w czasie wojen krzyżowych, lub dzisiaj, gdy we wszystkich krajach nurtuje z jednej strony duch materjalizmu, przemysłu i dobrobytu, a z drugiej duch rewolucji i samowoli.

Duch pierwszych chrześcijan.

Pozostanie to na zawsze dziwowiskiem dla świata, jakiego nie było nigdy, ani potem nie będzie, że chrześcijanie pierwszych wieków tak srodze prześladowani i okrutnie męczeni, nietylko przetrwali te ciężkie próby, ale bez żadnej siły materjalnej potrafili zawładnąć umysłami i sercami wszystkich narodów, i że swoją stałością pokonali wszystkich tyranów, monarchów i mędrców tego świata. Cóż ich napełniło takiem męstwem, co nadało im taką wytrwałość, że stawiali mężnie czoło swoim oprawcom i z radością szli na męki? Nic innego, tylko ten duch Chrystusowy, duch wzgardy świata i rzeczy doczesnych, zaparcia siebie i surowej pokuty, a przedewszystkiem gorącej miłości tego Chrystusa, który ich podobną miłością uprzedził, umierając dla nich na krzyżu.

Czasy Franciszka Świętego.

Święty Franciszek widział gasnącego ducha Chrystusowego i psujące się obyczaje chrześcijańskie, a natomiast rozwielmożniającego się ducha i obyczaje pogańskie. Kościół przechodził wówczas ciężkie próby. Wojny krzyżowe, a przez nie zbliżone stosunki między narodami, sprowadziły do Europy zbytek i zepsucie Wschodu. Symonja[1]) i rozwiązłość wkradły się nawet do świątyni. Fałszywi reformatorowie, oburzając się na zgorszenia duchowieństwa, korzystali z niepokojów i zaburzeń, by wprowadzić do Kościoła odczepieństwo i herezje. Ludy burzyły się, powstawały, bezrząd, anarchja, wojny wrzały dokoła, krew lała się strumieniami, a pośród tych bojów bratnich, sąsiedzkich, domowych, Turcy grozili zawojowaniem całej Europy, aby na ruinach chrystjanizmu postawić półksiężyc. Czem wówczas był dla świata Franciszek i jego zakony? Był on odnowicielem życia Jezusowego i apostolskiego, żywą Ewangelją w praktyce, duchem chrześcijańskim, wszczepionym w masy. Pociąga on najpierw za sobą wielki zastęp naśladowców i pracowników w winnicy Pańskiej, czyli zakłada zakon Braci Mniejszych, potem formuje drugi zakon, którego celem modlić się i pokutować za zdobywców pokoju. Lecz niedość na tem: zapał seraficzny, którym Ś. Franciszek ogarnął wiek XIII, rozbudził mnóstwo powołań wśród osób związanych obowiązkami rodzinnemi. Papież Leon XIII w Encyklice „Auspicato“ opisuje, jak tłumy garnęły się do Świętego. Wszędzie, gdzie się obrócił, szły za nim rzesze, a po jego ognistych kazaniach wiele ludzi różnych stanów prosiło, aby ich przyjął do swego zakonu. A gdy Bóg pozwolił Świętemu dogodzić tej ogólnej potrzebie dusz, kto opisze radosny zapał i gorliwość tłumów, garnących się pod sztandar Żebraka z Assyża. Prędko zastępy jego duchowne wszędzie się rozszerzyły; były one jakby Boskim rozczynem, ożywiającym i reformującym społeczeństwo. Tym sposobem Ś. Franciszek przez swoje dzieła stał się opatrznem narzędziem Bożem, podtrzymującem Kościół w XIII wieku i świat, w duchu zamarły, odradzającem.

Nasze czasy.

W naszych czasach odżyły, można powiedzieć, wszystkie błędy XIII stulecia, nie wyłączając dzikości i okrucieństw ówczesnych. Ogłada obyczajów, będąca owocem i skutkiem dziewiętnastowiekowego wpływu chrystjanizmu, niewiele zmieniła obecne położenie. Nie mamy dzisiaj tej szczerości przyznania się do złego, która dokonywała wówczas wielkich przemian i nawróceń. Daleko nam także do tej żywej wiary, która pole występków zasiewała obficie wyrzutami sumienia i dziełami pokuty.

Dziś wiara gaśnie; zdawałoby się, że blizkie są czasy, przepowiedziane przez Chrystusa Pana: „Gdy przyjdzie Syn człowieczy na świat, czy myślicie, że znajdzie wiarę między ludźmi?“ Młodzież wychowuje się bez Boga, wiek dojrzały tonie w

---

[1]) Świętokupstwo — sprzedawanie urzędów kościelnych.

sprawach doczesnych. Nie myśląc o Bogu przez całe życie, trudno na starość do Niego się zwrócić, to też wiele ludzi zapomina o Nim, nawet na progu wieczności.

Leon XIII, rzucając wzrok na społeczeństwo naszego wieku, zauważył że jest ono pozbawione życia Boskiego. Lecz jakże wskrzesić tego trupa? Trzebaby na to cudu. Otóż cud otrzymuje się przez modlitwę. Najświętsza Marja Panna jest Orędowniczką Wszechpotężną. Dlatego to w wielu Encyklikach Papież ten wzywał cały lud katolicki do stóp Marji Panny. Jednakże chociaż modlitwa jest tak wielką dźwignią, nie wystarcza ona całkiem. Pan Bóg, który nas stworzył bez nas, bez naszego współdziałania zbawić nas nie może; nie zbawi też Pan Bóg społeczeństwa gwałtem, bez jego współpracy i woli. Społeczeństwo składa się z pojedyńczych osób, a jakiemi są te jednostki, takiem też jest i społeczeństwo. Jak wpierw Leon XIII, tak teraz Pius X zaleca przedewszystkiem pracę nad osobistem nawróceniem i uświątobliwieniem. Ze świętych bowiem osób powstaną święte rodziny, święte małżeństwa, katolickie wychowanie młodzieży — ułożą się według praw Bożych stosunki społeczne; bogaci i robotnicy wzajemnie pomagać sobie będą, uświęcą się narody, a wówczas postawią tamę podziemnym robotom masonerji, tej szatańskiej niszczycielki wszelkiego dzieła Bożego. Do tego również celu zmierzają słowa obecnego Papieża: Omnia instaurare in Christo. — Wszystko odnowić w Chrystusie. A jakim sposobem ma się uświęcić każda jednostka? — Przez powrót do Ewangelji, do ducha chrześcijańskiego, do gorliwości pierwszych wieków.

Zalecenie ducha Ś. Franciszka.

W tym to właśnie celu w Encyklice „Auspicato", w konstytucji „Misericors Dei Filius" w Encyklice „Humanum genus", wystosowanej przeciw masonom, jakoteż w ciągłych swych zaleceniach Leon XIII przedstawiał wszystkim katolikom dobrej woli instytucje franciszkańskie, jako najskuteczniejszy środek do zwalczenia ducha świata i doprowadzenia ludzi do pierwotnej gruntownej pobożności. „Czego duch Ś. Franciszka w swoim czasie dokonał, mówił Namiestnik Chrystusowy, tego i w naszej epoce, mającej tyle podobieństwa z wiekiem trzynastym, dokonać może". Uważał to Papież za środek najskuteczniejszy jak do osobistego uświęcenia, tak do zjednoczenia swoich sił, potrzebnego do oparcia się złemu. Ś. Franciszek, a z nim wielki Papież Leon XIII, wzywał nas słowy Apostoła: „Nie naśladujcie tego świata [1]), lecz odnówcie się w duchu pierwszego swego powołania. Powróćcie do ducha chrześcijańskiego. Stańcie przeciw spoganiałemu wiekowi XIX-u, jak pierwsi chrześcijanie stanęli przeciw dzikiemu pogaństwu". Duch chrześcijański, w sprzeczności z duchem świata, jest duchem pokuty, zaparcia, pokornego poddania się prawowitej władzy, co właśnie jest treścią zakonów Ś. Franciszka, a główną ich misją utrzymywać ducha tego w sobie samych, rozwijać go i przelewać w masy ludu.

Rewolucja i masonerja walczą pod chorągwią Lucyfera, my zaś stańmy śmiało pod wodzą i sztandarem tego, który więcej przykładem, niż słowy nawołuje nas, mówiąc: „Bądźcie naśladowcami moimi, jakom ja Chrystusowym w pokorze, cierpliwości, miłości, wiernej służbie Bożej, w oddaniu się Kościołowi i Papieżowi, w umiłowaniu ubóstwa i ubogich". Tym sposobem naprzód siebie poprawimy, a potem skutecznie pracować będziemy nad reformą świata.

Odezwa Piusa X.

Pius X tak samo otacza swoją opieką zakony franciszkańskie i przy każdej sposobności poleca zakładanie braterstw Trzeciego Zakonu we wszystkich krajach, we wszystkich dyecezjach i parafjach, życząc sobie, aby Tercjarstwo coraz bardziej się szerzyło, a to przez wzgląd na zbawienne skutki, jakie ten zakon sprawia w duszach wiernych.

W roku 1909, z okazji sedemsetletniej rocznicy założenia Pierwszego zakonu, Ojciec Święty napisał do Generała Braci Mniejszych list, w którym mówi, że Seraficki Patryarcha trzema swojemi zakonami, a szczególniej Trzecim przyczynił się wielce do wznowienia świętości obyczajów w całem chrześcijaństwie. Instytucja ta, obejmując zarówno mężczyzn, jak i kobiety, nie wyłączając żadnego stanu i żadnego położenia, zaspokoiła doskonale potrzeby wszystkich, którzy nie będąc wezwanymi, aby iść za Franciszkiem do klasztorów, pragnęli jednak przy obowiązkach osobistych dążyć do nieba pod jego sztandarem. Jak tylko więc Trzeci Zakon rozszerzył się we Włoszech i w sąsiednich krajach, widziano tam rozkwitające na nowo cnoty chrześcijańskie prywatne i publiczne i od tego czasu gdziekolwiek tę instytucję poważano, przynosiła ona podobneż skutki. Zaiste można sumiennie powiedzieć, że gdyby Franciszek Ś. nic więcej nie był uczynił, tylko założył Trzeci Zakon, — już to jedno dałoby mu miejsce wśród naj-

[1]) Rom. 12, 2.

większych dobroczyńców chrystjanizmu. Prosimy i błagamy Pana, aby zbliżająca się uroczystość jubileuszowa przyniosła błogosławieństwo wszystkim synom Serafickiego Patryarchy, ale szczególniej życzymy sobie, aby stała się hasłem do rozwoju Trzeciego Zakonu. I czegóż moglibyśmy więcej pragnąć w tych czasach, kiedy przykazania Boże tak są zaniedbane, tak wzgardzone w rodzinach, w stosunkach społecznych, w zarządzie państw, jeśli nie wzrostu tego braterstwa, aby ono wlało w żyły społeczeństw ducha nauki i karności chrześcijańskiej. Słusznie przeto Poprzednik nasz ś. p. Leon XIII starał się z wielką troskliwością o odnowienie Zakonu Pokutujących i ułożył dla niego bardzo mądre przepisy. Korzystamy z tak dobrej okazji, aby podjąć i podtrzymać zamiar naszego Poprzednika; co zaś do was, którym na sercu leży chwała Ś. Franciszka, a szczególniej zbawienie swoje, prosimy was jak najusilniej, abyście nie szczędzili trudów i starań, żeby wierni w wielkiej liczbie przyłączali się do Trzeciego Zakonu i żeby członkowie jego okazywali się gorliwymi uczniami swojego mistrza i fundatora".

Na czem duch Ś. Franciszka głównie zależy.

Według Leona XIII Ś. Franciszek najlepiej zgłębił Ewangelję, której nikt tak nie wyczerpnął i do praktyki życia, jak on, nie zastosował. A stąd i duch jego seraficzny musi być odbiciem ducha Ewangelji Ś., bo to wszystko, co w niej jest wzniosłego, szczytnego, bohaterskiego i porywającego — temu duchowi jest właściwe. Kto tym duchem się rządzi, tego życie nazwać można bohaterskiem, które Benedykt XIV tak określa: „Jest to takie wniknienie życia Boskiego w duszę, że wykonywa ona z łatwością i z uniesieniem rzeczy wymagające wielkiego zaparcia i ofiar, które bardzo wiele kosztują te dusze, co na nizkim jeszcze stopniu łaski stoją". Ś. Bonawentura w dziełku „O stopniowaniu cnót" pokazuje, że każda cnota chrześcijańska może być spełnianą w niższym lub wyższym stopniu, że może być wykonywaną w sposób zwyczajny, w sposób niezwykły, albo nareszcie w sposób heroiczny. Otóż wszystkie cnoty Ś. Franciszka były heroiczne czyli seraficzne, bo w takich to cnotach szczególniej duch seraficzny się objawia. I nic dziwnego, że ten, który cnót Chrystusowych uczył się z krzyża i do tej skali je przymierzał, jaką widział w ukrzyżowanym Panu, że je wszystkie do stopnia heroizmu doprowadził. I nie co innego, tylko te właśnie cnoty, obok gorących przemówień Franciszka Assyzkiego, zdumiały ówczesny świat, w miłości Bożej ostygły i z onej obojętności go wywiodły i do gorącej miłości Boga nakłoniły. Dlatego i dzisiaj rozważanie ich może podobne sprawić skutki w duszach i zlodowaciałe serca miłością Bożą rozpalić.

Ś. Franciszek i Ś. Antoni Padewski wkładają tjarę Sykstusowi IV.

Medal wybity na rozkaz Sykstusa IV, byłego Generała Braci Mniejszych Konwentualnych, z powodu jego koronacji.

ROZDZIAŁ II.

Duch seraficzny jest duchem żywej wiary.

Jak rozum jest podstawą wszystkich czynów człowieka i wtedy one tylko mogą się nazywać ludzkiemi, gdy pochodzą z woli rozumnej i gdy rozumem są kierowane: tak wiara, która oświeca rozum w rzeczach nadprzyrodzonych i Bożych, jest podstawą czynów chrześcijańskich i wtedy tylko są one chrześcijańskiemi, gdy się na wierze opierają. A jak od większej lub mniejszej bystrości rozumu zależy doskonałość naturalna spraw naszych: tak od tego, czy wiara jest mniej lub więcej żywą, zależy doskonałość czynów chrześcijańskich. Sobór Trydencki wyznacza tej cnocie należne jej miejsce, nazywając ją początkiem wszelkiego usprawiedliwienia. Ukryta w głębi duszy, jak korzeń wśród ziemi, uchodzi wzroku śmiertelników, lecz owoce jej na zewnątrz się wyjawiające, w podziw wprawiają każdego. Ale jakże uchwycić tę tajemną sprężynę, poruszającą wszystkie władze duszy i nadającą jej taką moc działania, że w zdumienie wprowadza niedowiarków? Trzeba tylko zebrać słowa, nauki, czyny i zachowanie się Świętych względem Majestatu Boskiego i spraw Jego chwały dotyczących, a będziemy mieli obraz żywej wiary.

Jaką była wiara pierwszych chrześcijan.

Duch wiary przyniesiony był na ten świat przez Chrystusa, wiarę bowiem Pan Jezus za główny warunek zbawienia postanowił, mówiąc: „Kto wierzy, ten zbawion będzie“, a niedowiarstwo za główny powód potępienia, — „kto nie uwierzy, już jest osądzony.“ Wierze wszystkie cuda i łaski odebrane przypisywał, a niedowiarstwu wszystkie niepowodzenia i niewysłuchania modlitw, wreszcie nauczał, że wierzącemu nic niema niepodobnego. Pierwsi chrześcijanie trzymali się tych zasad i trwali w nauce apostolskiej. Co to znaczy? Że słuchali z wielką uwagą wykładów wiary, rozważali te nauki w swym umyśle, napawali rozmyślaniem o nich dusze swoje i do nich stosowali swe czyny. Wiara ich przeto była żywa i czynna. „Pośród narodu złego i zepsutego“, mówi Paweł Ś., „wy jesteście jak gorejące pochodnie na świecie, którego ciemności rozpraszacie życiem swojem z wiary płynącem“. Ci pierwsi chrześcijanie mieli głębokie przekonania religijne, dla których gotowi byli wszystko poświęcić. Stosując się do zalecania Ś. Piotra Apostoła, gotowi byli zawsze zdać sprawę ze swoich wierzeń przed wszystkimi, którzyby z nimi mówić o tem chcieli. Wiemy jak męczennicy wszelkiego wieku, wszelkiego stanu mądrze odpowiadali mocarzom pogańskim, usiłującym zabić w nich wiarę, dla uchronienia ich ciała od śmierci. Usta ich mówiły z obfitości serca i nie byliby chyba zdolni nieść w ofierze życia swego w obronie prawd wiary, gdyby te były w nich tylko przelotnem uczuciem, a nie wkorzenionem głębokiem przekonaniem. O wszystkich niemal męczennikach powiedzieć można w znaczeniu duchownem, co mówi Kościół o Ś. Cecylji: „Ta święta dziewica nosiła Ewangelję na sercu swojem. We dnie i w nocy nie ustawały święte jej z Oblubieńcem Niebieskim rozmowy“. Lecz w czasach

Franciszka Ś. ta wiara, jak mówiliśmy, osłabła i on dopiero miał ją rozżywić.

Żywa wiara Franciszka.

Żywa wiara sprawuje to, iż wszystkie jej tajemnice są jasne dla duszy i jakoby ciągle przytomne myślom; przenika ona umysł i serce i rządzi człowiekiem we wszystkich sprawach. Daleka jest od wszelkich wyrachowań i od ludzkiej roztropności. Niema dla niej nic niemożliwego, jeśli to tylko zgodne jest z wolą Bożą, jak powiedział Zbawiciel: Wszystko jest podobno wierzącemu[1]). Człowiek ożywiony żywą wiarą nie ufa sobie, ale całą ufność w Bogu pokłada; a im mniej sam może, tem śmielej bierze się do rzeczy wielkich, jeśli go Pan Bóg do nich powołuje. Żywa wiara Franciszka Ś. jaśniała w każdej jego czynności, bo na wszystko zapatrywał się on nie okiem zmysłów, ale oczyma wiary. Gdy się modlił, to tak, jakby z kim rozmawiał; gdy był pracą zajęty, to znać było, że przed Bogiem i dla Boga to robi; gdy cierpiał to tak, jakby z rąk Boskich tę boleść odbierał, dzięki Mu tylko za nią składając. Tą żywą wiarą przejęty, porywał się, bez żadnego wahania, na rzeczy po ludzku niepodobne, skoro miłość tego wymagała i nigdyby nie dokazał tylu czynów nadzwyczajnych, gdyby się tą wiarą nie kierował, a raczej gdyby ona go do nich nie porywała. Chcąc przedstawić żywą wiarę Franciszka, trzebaby całe życie jego wypisać, bo całe nią jest nacechowane, poprzestaniemy więc na niektórych tylko szczegółach.

Wyprawa do muzułmanów.

Pałając żarliwością o chwałę Bożą i pragnieniem męczeństwa, Święty Ojciec udał się do Egiptu, gdzie właśnie krzyżowcy oblegali Damiettę. Z obozu chrześcijańskiego wyruszył on dalej do sułtana, którego postanowił nawrócić. Napróżno przedstawiano mu, że życie jego będzie w niebezpieczeństwie, że Meledyn każdemu, kto przyniesie głowę chrześcijanina, obiecał hojną nagrodę — nic go nie mogło wstrzymać w gorliwości. Przekonany wraz z Apostołem, że śmierć jest zwycięstwem i że męczeństwo jest najbardziej pożądaną koroną tego świata, zbliżał się do obozu Saracenów, śpiewając tę pieśń króla proroka: Pan prowadził mię... choćbym też chodził wpośród cienia śmierci, nie będę się bał złego: bowiemeś Ty jest ze mną[2]). W drodze spotkał dwie owieczki mile nań patrzące, co go wielce ucieszyło i rzekł do towarzysza: „Mój bracie, miejmy ufność w Panu, gdyż widzimy wypełnienie tych słów Ewangelji: Oto ja was posyłam jako owce między wilki[1])". W samej rzeczy kilka kroków dalej banda Saracenów rzuciła się na sługi Chrystusowe, jak wilki na owce, obsypała ich obelgami, a związawszy, powlokła przed sułtana Żołnierze obiecywali sobie wielką nagrodę, bo nietylko głowy nienawistnych chrześcijan, ale żywych jeńców wiedli, żeby Meledyn mógł własną ręką ich uśmiercić. Tymczasem okrutny władca przyjął apostołów bardzo łaskawie i zapytał, kto ich przysyłał i po co szli do jego obozu. Szczerze i z apostolską prostotą odpowiedział mu Święty: „Nie człowiek, ale sam Bóg Najwyższy przysyła mię, abym tobie i ludowi twojemu wskazał drogę do nieba przez opowiadanie Ewangelji". I zaczął mówić o Bogu w Trójcy Świętej jedynym, o Chrystusie Odkupicielu i Zbawcy wszystkich, a czynił to z taką mocą, że się na nim jeszcze raz sprawdziła ta obietnica Boskiego Mistrza: Ja wam dam usta i mądrość, której nie będą mogli odeprzeć ani się sprzeciwić wszyscy przeciwnicy wasi[2]). Meledyn słuchał go z uwagą i bardzo był wzruszony. To niezwykłe męstwo, to nadludzkie poświęcenie, którego widok przedstawiał się po raz pierwszy jego oczom, podbijały go i usposabiały do łaskawości. Słuchał przez kilka dni nauk Franciszka i, ku wielkiemu wszystkich zdziwieniu, oświadczył chęć zatrzymania go przy sobie. „Jeśli tylko ty i twój naród, odpowiedział mąż Boży, chcecie się nawrócić do Chrystusa, chętnie pośród was zostanę. A jeśli się wahasz między wiarą w prawdziwego Boga, a prawem Mahometa, rozkaż zapalić wielki ogień, do którego wskoczę wraz z twymi kapłanami; po skutkach poznasz, która wiara jest prawdziwa i której się masz trzymać". Sułtan, znając swoich kapłanów i widząc jak jeden z nich, najstarszy wiekiem i godnością, na te słowa Franciszka wysunął się z namiotu, rzekł: „Nie sądzę, żeby który chciał się narazić na ogień i męczarnię w obronie swojej wiary". — A więc ja sam wejdę, powiedział Seraficki Patryarcha, jeśli mi przyrzekniesz w imieniu swojem i swoich poddanych przyjąć wiarę chrześcijańską. Jeżeli płomienie mnie pochłoną, przypisz to moim grzechom, ale jeśli wyjdę zdrów i cały, uznaj Jezusa Chrystusa za jedynego prawdziwego Boga i Zbawcę ludzi". Słaby, jak wszyscy despoci i drżący przed tymi, którzy przed nim drżeli, Meledyn z obawy buntu nie śmiał zezwolić na próbę ognia. Natomiast ofiarował Świętemu bogate podarunki, które ten odtrącił ze wzgardą, mówiąc, że nie po skarby, ale po dusze

[1]) Marc. 9, 22. [2]) Ps. 22, 3. 4.

[1]) Matth. 10, 16. [2]) Luc. 21, 15.

ludzkie tu przybył. Władca muzułmański ocenił szlachetność takiego doskonałego oderwania się od rzeczy ziemskich i powziął dla Franciszka wielką cześć i uwielbienie, dał mu też list bezpieczeństwa, żeby mógł wrócić do obozu krzyżowców, lub apostołować wśród mahometan. Gdy jednak praca misyjna nie udawała się Świętemu, zawiedziony w swych nadziejach, uciekł się do modlitwy. Powiada Doktor Seraficzny, iż nie napróżno się modlił. Miał widzenie niebieskie, które go oświeciło, uspokoiło i pocieszyło. W tem widzeniu Syn Boży nakazał mu wrócić do Włoch, zapewniając, że nie w Egipcie, ani też pod ostrzem miecza osiągnie upragnioną palmę męczeńską. Wskutek tego Franciszek rzekł do swego towarzysza: „Wyjdźmy stąd, mój bracie, uciekajmy, uciekajmy daleko od tych barbarzyńców, zbyt łaskawych na nas, ponieważ nie możemy ich zniewolić do wielbienia Boga naszego, ani do prześladowania nas, jako sług Jego. O Boże! kiedyż zasłużymy na tryumf męczeństwa, jeżeli nam okazują szacunek nawet narody niewierne? Ponieważ Bóg nie uważa nas za godnych korony męczeńskiej, ani nie przypuszcza do udziału w swej chwalebnej sromocie, pójdźmy bracie mój, kończyć naszą pielgrzymkę doczesną w męczeństwie pokuty, albo też poszukajmy jakiego miejsca na ziemi, gdziebyśmy mogli znosić sromotę krzyża“ [1]).

Jakaż to żywa wiara bije z każdego ruchu i z każdego słowa Ś. Patryarchy! Czy to z tego wielkiego zamiaru nawrócenia Saracenów w takiej chwili, gdy byli podrażnieni wojną, — czy z tego udania się do ich obozu prawie na pewną śmierć, czy to w tem odważnem przemówieniu do sułtana, czy w tej gotowości wejścia na stos zapalony, czy wreszcie w zapatrywaniu się na rzeczy, iż za krzywdę sobie uważał, że mu okazano szacunek i że go minęło prześladowanie i męczeństwo.

Wielka ufność w Opatrzność Boską.

Żywa wiara Franciszka objawiała się szczególniej w niezwykłej ufności w Opatrzność Bożą, okazującej się w onem ubóstwie ewangelicznem, tudzież w rodzaju życia, jakie prowadził i jakie braciom przepisał. Wymagało ono, aby nie starali się o zaopatrywanie potrzeb swoich, ale na Boskiej dobroci polegali, wierząc mocno w Jego obietnicę, że kto szuka królestwa niebieskiego, reszta wszystko dodane mu będzie. W tym też duchu odezwał się do braci na górze Alwernji: „Złóżcie troskę swoją na Boga, a On sam wyżywi was tutaj, jak żywił Eljasza na puszczy, ŚŚ. Antoniego i Pawła w ich jaskiniach. Ptaki niebieskie nie sieją, ani nie zbierają do gumien, a jednak Ojciec wasz Niebieski żywi je [1]), jakże tem bardziej udzieli wyżywienia sługom swoim Ten, który nie dopuści na wieki zachwiania sprawiedliwego [2]), którego oczy nad bojącym się Go i nad tymi, którzy nadzieję mają w miłosierdziu Jego, aby wyrwał od śmierci dusze ich i żywił je w głodzie [3]). Jeśli będziemy prawdziwymi i ewangelicznymi ubogimi, świat ulituje się nad nami i dostatnio żywić nas będzie; jeśli zaś odstąpimy od ubóstwa, świat się od nas odwróci, a my, zaspakajając w sposób niegodny potrzeby nasze, tem większego doznamy niedostatku“. Temi to i podobnemi słowy nauczał Seraficki Patryarcha, jak dalece pragnął, aby synowie jego, spuszczając się na Opatrzność Boską, dobrowolnie nawet ofiarowanych im zapewnień utrzymania nie przyjmowali; w ich zaś osobach do wszystkich swoich dzieci przemawiał, nietylko wówczas żyjących, lecz i do tych, które w ostatnich czasach wstąpią do jego zakonu. Proroctwo to sprawdzało się zawsze i sprawdza dotąd, pomimo najrozmaitszych przejść tak społeczeństwa, jak wyobrażeń w tej rzeczy; i pomimo że siedem wieków dobiega, jak Ś. Franciszek to powiedział, Bóg zawsze opatruje synów jego i o tyle obficiej ich żywi, o ile oni bardziej o sobie zapominają [4]).

Przyjęcie gościnne lekarza.

Ta żywa wiara w Opatrzność Bożą i uciekanie się do niej w każdej, choćby najmniejszej potrzebie była u Serafickiego Patryarchy rzeczą powszednią. Razu pewnego przyjmował w swojej celce doktora, gdy dano znak na obiad. Franciszek, pragnąc okazać swemu gościowi, jak wielką był dlań przejęty wdzięcznością za troskliwe staranie około jego zdrowia, kazał braciom zaprosić go do stołu. Ci zwrócili uwagę Świętego, że obiad ich jest za ubogi, a śpiżarnia klasztorna pusta. „Ludzie słabej wiary, dlaczegoście zwątpili?, odpowiedział Franciszek. Czemu nie zaufaliście więcej świętemu posłuszeństwu? Idźcie z czcigodnym naszym lekarzem do stołu!“ Poszli tedy, zabrawszy ze sobą doktora, który bardzo chętnie zgodził się podzielać ubogi posiłek braci. Jeszcze do niego nie zasiedli, kiedy usłyszano dzwonienie u furty. Była to służąca od pewnej zamożnej pani, mieszkającej niedaleko klasztoru; przyniosła ona dla Świętego kilka bardzo dobrze

[1]) Bossuet. Panegiryk Ś. Franciszka.

[1]) Matth. 6, 26. [2]) Psalm 54, 23. [3]) Ibid. 32, 18 et 19. [4]) Żyw. Ś. Franc. przez O. Prok, kap. T. I. s. 191.

przyrządzonych potraw. Kazał je więc podać lekarzowi i powiedzieć, że jest to nowy dowód, jak Pan Bóg o sługach swoich pamięta. Przyznał to doktór i rzekł do zakonników: „Moi bracia, nie oceniamy dostatecznie świętości Fundatora waszego, a i wy sami nawet, co z nim przebywacie, nie jesteście w stanie pojąć, jak wielkiemi darami Bożemi jest on zbogacony [1]).

Opatrzenie pięciu tysięcy braci.

Kiedy Ś. Franciszek zwołał generalną kapitułę przy kościołku Panny Marji Anielskiej, zeszło się na nią z górą 5,000 braci. Cała dolina była pokryta namiotami uplecionemi z rogóż, a namioty te uszykowane były w różne oddziały według prowincji zakonnych, do których należeli obecni bracia. Rozgłos świątobliwości tych zakonników tak prędko rozszedł się w kraju, że z Perudżji, gdzie wtedy przebywał dwór papieski i z innych miejsc doliny Spoletańskiej przybyło mnóstwo ludu jako też i hrabiów, baronów, rycerzy, Kardynałów, Biskupów, Opatów, oraz prostego duchowieństwa. Wszyscy chcieli widzieć to zgromadzenie, tak święte, tak przedziwne w przykładach pokory, zaparcia i miłości wzajemnej, jakiego dotąd nikt jeszcze nie oglądał, ale przedewszystkiem chcieli ujrzeć świętego wodza tych hufców, tego który wyrwał zepsutemu światu tak wielką zdobycz, zgromadził tak liczną i tak błogosławioną trzodę, aby ją prowadzić śladami Chrystusa.

Gdy już cała kapituła zebrała się, Franciszek zaczął wykładać braciom słowo Boże, według tego jak mu je Duch Święty dyktował. Wyszedł z tych słów: „Obiecaliśmy Bogu wielkie rzeczy, lecz Bóg przyrzekł nam jeszcze większe; zachowajmy pierwsze, wzdychajmy do drugich. Radość doczesna krótka, kara na tamtym świecie wieczna; cierpienia są lekkie, chwała nieskończona; wielu wezwanych, mało wybranych, — wszystkim zapłata". A rozwijając te słowa z wielką gorącością ducha, utwierdził braci w powołaniu, pobudził do miłości Jezusa i Jego krzyża, a do pogardy wszystkiego co ziemskie. Zapalił w ich sercach uczucie miłości braterskiej, uczucia przywiązania i uległości do Kościoła, zachęcił do modlenia się za wszystkich grzeszników, do cierpliwości we wszelkich utrapieniach, do niewynoszenia się z darów Bożych, do pokory, czystości, do zgody z Bogiem, bliźnim i własnem sumieniem, do zamiłowania posłuszeństwa i świętego ubóstwa. Kończąc zaś to kazanie, dodał: „Z zasługą św. posłuszeństwa rozkazuję wam wszystkim tu obecnym, abyście się wcale nie troszczyli o swoje potrzeby doczesne. Starajcie się tylko modlić, aby Bóg na tej kapitule raczył wszystko obracać na większą chwałę swoją, a zresztą nie kłopoczcie się o nic, gdyż najlepszy Ojciec ma o was szczególne staranie. Rozkaz ten przyjęli bracia z weselem i radością, a gdy skończył mówić, wszyscy udali się na modlitwę.

Tymczasem Ś. Dominik, który umyślnie przyszedł z Perudżji, aby być obecnym tej kapitule, usłyszawszy zalecenie Franciszka, zdziwił się mocno, uważając je za nieroztropne. Nie mógł przypuścić, aby takie mnóstwo ludzi potrafiło wyżywić się bez żadnego zachodu. Lecz Chrystus Pan, chcąc okazać, jak cenił żywą wiarę swego sługi i jaką ma pieczę nad trzodą swoją, i jak szczególną miłość dla swoich ubogich, pobudził mieszkańców Perudżji, Spoleto, Fulginu, Spello, Assyża i innych miast, żeby przywieźli na dolinę otaczającą kościołek Panny Marji Anielskiej, wszystko co było potrzeba do wyżywienia tego świętego obozu. Wkrótce ujrzano ludzi, wiodących osły i konie, obładowane żywnością, wozy pełne chleba, wina, bobu, sera. Poznoszono także stoły, stołki, garnki, talerze, czasze, słowem wszystkie sprzęty do obiadu, a za najszczęśliwszych mieli się ci, którzy sami służyć im mogli. I oto widziano szlachetnych rycerzy, baronów, hrabiów i innych wielkich panów, jak na wyścigi usługiwali braciom z pokorą i uszanowaniem.

Patrząc na ten uderzający dowód Opatrzności Boskiej nad ubogimi zakonnikami, Dominik uznał, że niewłaściwie rozsądzał postąpienie Franciszka. Przyszedłszy więc do niego, upadł mu do nóg i prosił o darowanie winy. „Zapomniałem o tem, mówił, że Bóg wyjątkowo troszczy się o swoich ubogich, lecz odtąd i ja chcę zachować święte ubóstwo ewangeliczne i w Imieniu Boga wyklinam braci mego zgromadzenia, którzyby rościli sobie prawo do jakich posiadłości!" Ten duch ubóstwa ewangelicznego, dowody Boskiej opieki, tudzież widok dzieła już rozwiniętego i ustalonego na wielką chwałę Bożą i pożytek Kościoła, silnie wzruszyły Dominika, szczególniej zaś przejęty był żywą wiarą i ufnością zakonodawcy, które to wszystko zdziałały [1]).

Władza nad ogniem.

Gdy Ś. Franciszek chorował na oczy, lekarze uznali za konieczne uciec się do bardzo bo-

[1]) Tamże T. II. s. 209.

[1]) Tamże s. 38.

lesnego środka, który w owej epoce zastępował dzisiejsze wizykatorje. Chodziło tu o przyłożenie nad uszami rozpalonego żelaza. Ufając, że to będzie pomocnem, bracia prosili Franciszka, by się zgodził na ten środek. Błogosławiony ojciec jak najchętniej zezwolił na przypalanie. Pragnął on odzyskać wzrok, aby jeszcze pracować w zawodzie apostolskim, a jeszcze więcej pragnął cierpienia i nie dość mu było rozmaitych boleści, jakich prawie bezustannie doznawał. Gdy przyszło do operacji, Święty, na widok rozpalonego do czerwoności żelaza, uczuł chwilowy wstręt i obawę. Lecz natychmiast przezwyciężył się i poprosił lekarzy, aby wzięli się do dzieła, a zwracając się do rozpalonej szyny, jakby ta mogła go rozumieć, rzekł z żywą wiarą: „Bracie mój ogniu, Najwyższy Stwórca obdarzył cię wielką świetnością i uczynił cię bardzo pożytecznym, bądź więc dla mnie łaskawym przy tej operacji. Proszę Boga, który cię stworzył, aby raczył umiarkować twoje gorąco tak, żebym je mógł wytrzymać". Potem, przeżegnawszy instrument chirurgiczny, poprosił aby mu go przyłożono do skroni.

Bracia, nie mając serca patrzeć na tak ciężkie bóle, odeszli wszyscy do przyległej izby. Lekarz przysunął się do Świętego i ujął go za ręce, aby się podczas operacji nie miotał, a chirurg tymczasem przyłożył mu na skronie rozpalone żelazo, wypiekając całą przestrzeń ciała od uszów aż do brwi. Ciało zaskwierczało, pęcherze ogromne wystąpiły, lecz Franciszek ani się ruszył, ani jęknął, ani syknął; nie czuł on nic zgoła i rzekł spokojnie do zdumionych doktorów: „Jeśli ciało niedość opieczone, proszę powtórnie przyłożyć ogień". Weszli też zafrasowani bracia, przekonani że znajdą ukochanego ojca znękanego bólami, a on im powiedział: „Bracia moi, oddajcie chwałę Najwyższemu; gdyż upewniam was, że ani palenia ognia, ani najmniejszego bólu nie uczułem". A później z wielką łagodnością tak ich strofował: „Dlaczego uciekliście, ludzie słabej wiary? Ten co uchronił od płomieni trzech młodzieńców, wrzuconych w ognisko babilońskie, czyż nie mógł teraz umiarkować siły palącej brata mojego ognia?" [1])

Uśmierzenie wilka.

Przytoczymy wreszcie zdarzenie z wilkiem w Gubbio, najzupełniej wiarogodne, bez żadnych ozdób, przedstawiające nam ówczesne obyczaje i litościwą dobroć S. Patryarchy [1]).

Gubbio, małe miasteczko Umbrji, leżące na północ od Assyża, na urwistej pochyłości Apeninów, przy wejściu do skalistego wąwozu góry Calvo, dotknięte było od niejakiego czasu nadzwyczajną klęską. Pojawił się w jego okolicach ogromny wilk, bardzo drapieżny. Napadał nietylko na zwierzęta, ale i na dzieci i ludzi. Wielki strach ogarnął mieszkańców; najśmielsi nawet nie wychodzili bez broni poza mury miasta, nie chcąc się narażać na niebezpieczeństwo. Franciszek, zdjęty współczuciem, postanowił pójść do wilka. Wszedł mężnie na górę, pełen wiary i ufności w Bogu; zdala za nim postępował niespokojny tłum, kryjąc się za drzewa i urwiska, i poglądając na skutek tej wyprawy. Dziki zwierz któremu przerwano spoczynek, zerwał się z rozdziawioną paszczą ku mężowi Bożemu. Ten bynajmniej niezalękniony zrobił nad nim znak krzyża i przywołał go do siebie, mówiąc: „Pójdź tu, bracie wilku, w Imię Jezusa Chrystusa, nie czyń mnie, ani też nikomu z tych, co tutaj stoją, żadnej szkody". Wilk zatrzymał się, zamknął paszczę i położył się niby łagodny baranek u nóg Świętego. „Bracie wilku, mówił dalej Franciszek, popełniłeś wiele przestępstw: nietylkoś mordował zwierzęta, ale posunąłeś swe okrucieństwo aż do pożerania ludzi, stworzonych na obraz Boga. Zasługujesz na śmierć! Wszyscy oburzeni są na ciebie; jesteś przedmiotem nienawiści okolicznych mieszkańców. Ale chcę, żebyś się z nimi pojednał. Wiem, że głód jest jedyną przyczyną twoich występków, przyrzecz mi więc, że będziesz prowadził życie spokojne, a mieszkańcy ze swojej strony przebaczą ci wszystko i będą cię zaopatrywali w żywność. Czy zgadzasz się?" Wilk pochyleniem głowy dał znać, że przyjmuje ugodę.

Wtedy Franciszek wrócił do miasta z wilkiem, idącym za nim, jak pies za swoim panem. A że cała ludność zgromadziła się na placu publicznym, chcąc oglądać ten niesłychany widok, Święty wszedł na kamień i przemówił do nich: „Bracia moi, Pan spuścił na was tę klęskę, jako karę za grzechy. Ale pamiętajcie, jeśli paszczęka biednego zwierzęcia, które może tylko ciało zabić, rzuciła taki postrach na miasto i jego okolicę, o ileż bardziej lękać się powinniście przepaści pie-

[1]) Tamże s. 207.

[1]) Napis wyryty na kamieniu, obraz w Galeryi miejskiej i mnóstwo innych podobnych wizerunków, podania krajowe, wszystko nas skłania do tego by wierzyć, że to nie jest legenda, ale fakt historyczny.

Ś. FRANCISZEK PRZED SUŁTANEM MELEDYNEM.

kła, które pochłania na wieki swe ofiary! Ach nawróćcie się, pokutujcie, a wtedy Bóg was uwolni nietylko od wściekłości wilka w tem życiu, ale i od płomieni wiecznych po śmierci". Po tej nauce Franciszek uroczyście zapytał władz miasta i wszystkich mieszkańców, czy przyjmują warunki pokoju zawartego z wilkiem, t. j. czy będą go żywić, gdy już żadnemu stworzeniu szkodzić nie będzie. Wszyscy jednogłośnie zgodzili się na to, wilk zaś, aby zaświadczyć i umocnić te zobowiązania, położył swoją łapę na dłoni Franciszka. Na ten widok podziwienie ludu nie miało granic; okrzyki zachwytu, hałaśliwe jak bałwany morza, wyrywały się z piersi wszystkich obecnych. Wreszcie tłum się rozszedł, chwaląc i błogosławiąc Boga, że przez zasługi Franciszka uwolnił go od paszczęki strasznego zwierzęcia. Wilk żył jeszcze dwa lata w Gubbio, chodził od drzwi do drzwi, nie czyniąc źle nikomu i od nikogo żadnej krzywdy nie doznając. Każdy z chęcią dostarczał mu pożywienia, a co najszczególniejsza, że ile razy przechodził przez miasto, psy nie szczekały na niego. Nakoniec w dwa lata po swojem nawróceniu wilk zdechł ze starości; mieszkańcy bardzo go żałowali, gdyż widok jego przypominał im cud i świętość Franciszka [1]).

Taki to podziw obudził w owych ludziach i dziś w nas obudza ten czyn Świętego, a przecież spełnił on tylko obietnicę Zbawiciela, daną każdemu chrześcijaninowi żywą wiarę mającemu; ale że niestety, rzadką bywa między nami żywa wiara, dlatego w takie zdumienie wprawia nas ten wypadek.

Żywa wiara Franciszka w życiu codziennem.

Nietylko w tych heroicznych czynach objawiała się żywa wiara Franciszka. Można powiedzieć, że całe życie jego było jej zewnętrznym objawem i do niego najsłuszniej dają się zastosować słowa Pisma Ś.: Sprawiedliwy z wiary żyje [2]). Tak głęboko bowiem w sercu jego tkwiły wszystkie prawdy wiary i tak miał je ciągle przytomne przed oczyma, iż prawie nigdy nie zstępował z tych wyżyn, aby o czemś sądzić według zmysłów i przekonań światowych, ale wszystko w świetle wiary widział i według tego światła o wszystkiem trzymał. Na wszystkie stworzenia patrzył jako na dzieła rąk Boskich i w każdem upatrywał Jego potęgę, Jego mądrość, a szczególniej Jego miłość, skąd wszystkie miłował, nawet nieżyjące i nazywał je swemi braćmi i siostrami. Obdarzony był przez Ducha Przenajświętszego wysokim darem rozumu, przez co głębiej pojmował wszystkie tajemnice religji, prawie zawsze ze łzami o nich rozmyślał i z wielkim zapałem o nich mówił. Wszystko mu przypominało Boga i Zbawiciela świata. Widząc owcę otoczoną wilkami, płakał, bo przedstawiał mu się Chrystus, wiedziony jako owca na zabicie przez okrutnych oprawców. I w testamencie swoim napisał że nic nie widział na tym świecie cieleśnie, chcąc przez to powiedzieć, że nie sądził o rzeczach według świadectwa zmysłów ciała, ale według tego, co mu wskazywał duch wiary.

Mocna ufność Ś. Franciszka.

Cośmy powiedzieli o żywej wierze jego, to samo mówić możemy i o ufności: że nietylko w takich cudownych wypadkach, ale i w całem życiu jego zawsze się okazywała. Ufność ta jaśnieje przedewszystkiem w nietroszczeniu się o potrzeby doczesne, bo ufał słowom Pańskim: „Szukajcie naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego: a wszystko będzie wam przydano". Tę samą ufność zalecał zawsze braciom i wysyłając ich na misje, zwykł był mawiać: „Zrzuć na Pana staranie twoje, a On o tobie myśleć będzie". Objawiała się ta ufność w wielkim pokoju, jaki zachowywał w utrapieniach i przeciwnościach, gdyż ufał, że bez woli Bożej nic dziać się nie może i że Pan, jako dobry Ojciec, wszystko na większe jego dobro obróci. Nowym dowodem były jego modlitwy, do których się uciekał w każdej potrzebie, z mocną nadzieją i jakby pewnością, że zostanie wysłuchanym. Wreszcie dowiódł tej cnoty w ostatnich dniach swego życia, gdy się okazywał wesołym i tak spokojnym o swoje zbawienie, że chociaż go Eljasz upominał, iż należałoby dla zbudowania drugich okazywać smutek i trwogę z powodu dawnych grzechów, odpowiedział: „Pozwól mi, bracie, cieszyć się w Panu, bo mam mocną nadzieję, że mi wszystko odpuścił, i że wkrótce oglądać Go będę".

Żywa wiara naśladowców Ś. Franciszka. Ś. Ludwik, król francuzki, 3 Zak. (1270 r.)

O heroicznej wierze Ś. Ludwika już wspominaliśmy, przytaczając, jak wzięty do niewoli przez Saracenów, oświadczył stanowczo, że woli śmierć ponieść, aniżeli wyrzec się Chrystusa i Jego nauki. Lecz i w życiu zwyczajnem jaśniał on żywą

---

[1]) Barthélemy de Pise ed. cit. c. 140. [2]) Galat. 3, 11.

wiarą. Oto co pisze Joinville, ulubieniec i powiernik królewski: Zapytał mnie pewnego razu król Ludwik: „Cobyś wolał, czy zostać trędowatym, czy popełnić grzech śmiertelny?“ — Ponieważ nie miałem nigdy zwyczaju kłamać, odrzekłem: „Wolałbym ich popełnić trzydzieści, niż zostać trędowatym“. Nazajutrz król wezwał mnie do siebie, kazał usiąść u nóg swoich i zawołał: „Jak mogłeś coś podobnego wczoraj powiedzieć?“ Odrzekłem, iż dziśbym to samo powtórzył. — „Mówiłeś jak szalony, rzekł król, bo żaden trąd, choćby najobrzydliwszy, równać się nie może ze szkaradą grzechu śmiertelnego. Dusza w grzechu śmiertelnym staje się podobną do szatana. Proszę cię więc, staraj się o ile możesz, z miłości dla Pana Boga i z przywiązania dla mnie, tak serce swoje usposobić, abyś wolał raczej przenieść wszelkie dolegliwości, nawet chorobę trądu, niżeli dać przystęp do swej duszy choćby jednemu grzechowi śmiertelnemu“.

W oczach świętego monarchy godność chrześcijanina przewyższała nieskończenie godność królewską. Pewnego razu rzekł on do swoich zaufanych, że największą łaskę odebrał w Poissy i tam też dostąpił najwyższego na ziemi zaszczytu. Obecni zdziwili się, zdawało się im bowiem, że król powinien był raczej wymienić miasto Reims, w którem się odbyła jego koronacja. Ludwik uśmiechnął się na to i odpowiedział: „W zamku Poissy otrzymałem łaskę Chrztu św., a cenię ją bez porównania wyżej nad wszelkie zaszczyty i godności światowe, gdyż jest najkosztowniejszym darem Bożym“. W listach też swoich do osób zaufanych pobożny monarcha podpisywał się: Ludwik z Poissy.“

Inne oznaki żywej wiary świętego króla.

Jego wiara była żywa i niewzruszona i często mawiał: że wierzyć powinniśmy tak silnie i tak mocno, iżby nawet obawa śmierci nie mogła nas skłonić do wyrzeczenia się wiary, czy to w słowach, czy w czynach.

Innym razem, gdy mu doniesiono, że w jednym kościele Pan Jezus objawił się cudownie w czasie Mszy św., rzekł: „Kto nie wierzy w obecność Zbawiciela w Najświętszym Sakramencie, ten niech idzie oglądać, dla mnie wystarcza wiara“.

Nie poprzestając na wyznawaniu Jezusa Chrystusa i na przejmowaniu się Jego nauką we wszystkich okolicznościach, Święty nie opuszczał żadnego środka, by ją zachować poddanym swoim. Wysyłał nawet misjonarzy do krajów niewiernych, aby ludom, siedzącym w cieniach śmierci, zanieśli dobrodziejstwo cywilizacji chrześcijańskiej. Z wiary też Ludwik zaczerpnął tę miłość i to poświęcenie bez granic dla Kościoła, to pokorne i synowskie posłuszeństwo dla Zastępcy Jezusa Chrystusa, czego dowodził w całem swojem życiu. „Wszyscy, którzy byli z nim w bliższych stosunkach, powiada Wilhelm z Chartres, wiedzą z jaką czcią i z jaką pokorą zachowywał się względem Kościoła katolickiego; z jaką pobożnością i uległością przyjmował listy i rozkazy apostolskie, z jakiem poddaniem się i akuratnością takowe wypełniał, jako prawdziwy syn posłuszeństwa“ [1]).

Ś. Ludwik bardzo wcześnie wpoił dzieciom swoim głębokie poważanie dla osoby Papieża. Kiedy sekretarz króla Nawarry, udający się do Rzymu, zapytał siedemnastoletniego Filipa, starszego syna Świętego, coby chciał powiedzieć Biskupowi Rzymskiemu, ten odrzekł skromniutko: „Gdyby to nie było zbyteczną śmiałością, bardzo pragnąłbym pozdrowić Jego Świątobliwość“. Odpowiedź syna Ludwika została doniesioną w swoim czasie Urbanowi IV, który napisał do młodego księcia list pełen ojcowskiej miłości. W testamencie Święty zalecił synowi: „Miej zawsze cześć dla Kościoła Rzymskiego i okazuj zawsze szacunek i uległość Najwyższemu Pasterzowi, jako swemu Ojcu duchownemu“ [2]).

Ś. Iwon z Bretanji, 3 Zak. (1303 r.)

Żywa wiara tego kapłana okazywała się tak w nabożeństwach, jak i w pracach apostolskich. Poświęcał on długie godziny modlitwie, a raczej całe życie jego było nieustanną modlitwą, ciągle bowiem obecność Boża przenikała myśli, a miłość Jezusa Chrystusa rozpalała serce Iwona. Codzień rano Święty wstępował na stopnie ołtarza i sprawując bezkrwawą Ofiarę łzami się zalewał. Pewnego dnia w czasie Podniesienia światłość w kształcie korony otoczyła Hostję Świętą, a potem kielich. Przez ten cud chciał Pan Jezus objawić wiernym gorącość wiary swego kapłana.

Aby ściągnąć błogosławieństwo niebios na swoją pracę, chodził zwykle pieszo. Podczas jednej z takich wycieczek musiał przejść rzekę, której wody wezbrane zalały most na niej będący. Iwon bez żadnego zdziwienia i strachu uczynił znak krzyża św., a wody w tej chwili rozdzieliły się, dając mu przejście, poczem znowu zbiegły się razem [3]).

[1]) Bollandyści.

[2]) L'aureole séraphique par le R. P. Léon de Clary O. M. T. III.

[3]) Ibidem T. I.

Ś. Elzear Sabran, 3 Zak. (1325 r.)

Hrabia Arianu miał tak silną i żywą wiarę, iż mówił do Bł. Delfiny: „Gdyby wszyscy chrześcijanie odstąpili od Chrystusa i zostali heretykami, jabym nigdy wiary świętej katolickiej nie zmienił. Bóg tak żywem światłem rozjaśnia mi objawioną naukę swoją, iż gotów byłbym raczej ponieść tysiąc śmierci, przetrwać wszystkie prześladowania Antychrysta, niżeli zachwiać się choćby w jednym artykule Składu Apostolskiego".

Jan z Aragonji, Brat Mniejszy. (1340 r.)

Ten gorliwy zakonnik pracował nad nawróceniem manichejczyków bośniackich. Pewnego razu, chcąc ich przekonać o prawdziwości wiary Chrystusa Pana, wskoczył w wielkie ognisko, w którem spędziwszy długą chwilę, nie poniósł żadnej szkody. Podobnejże próbie i w tym samym celu poddał się tam drugi Brat Mniejszy. Tak głęboka wiara musiała złamać opór heretyków.

Ś. Bernardyn Seneński, Obserwant (1444 r.)

W roku 1420 Bł. Paula Malatesta, małżonka Jana Franciszka Gonzagi, markiza Mantuańskiego, wezwała słynnego Obserwanta do Mantui, gdzie wielkopostne jego kazania najświetniejszym uwieńczone zostały skutkiem. Podczas tej misji gorliwy apostoł mieszkał w klasztorze Matki Boskiej Łaskawej, niedaleko od miasta, ale po przeciwnej stronie jeziora. Pewnego dnia udając się tam z kazaniem, poprosił przewoźnika, aby go przewiózł na drugą stronę bez pieniędzy. Lecz przewoźnik stanowczo odmówił: „Mało mnie to obchodzi, że Ojciec nie będzie miał kazania; kto nie płaci, ten się i nie przewiezie".

Święty Bernardyn zachęcił wówczas swego socjusza, by ufał Bogu i naśladował go w tem, co zamierza uczynić. To mówiąc, rozciągnął płaszcz swój na wodzie i ukląkł na nim z rękami wzniesionemi ku niebu; socjusz zrobił to samo, a wtedy tchnienie Boże przeniosło ich na drugi brzeg, gdzie wysiadłszy, oddali chwałę Stwórcy. Będąc w Hiszpanji, Święty z towarzyszem swoim w ten sam sposób przepłynął rzekę Ebro [1]).

Franciszek z Pawji, Obserwant (1456 r.)

Gdy brat ten, podeszły już w latach, mieszkał w klasztorze Porkarja, przybyli doń posłowie z okolicy, prosząc o ratunek od wilka, który czynił im wielkie szkody, bo nietylko owce, ale i ludzi pożerał. Franciszek, wysłuchawszy tej prośby, pocieszył ich i utwierdził w ufności ku Bogu, poczem udał się na modlitwę. Kilka dni później, przechodząc się po lesie, spotkał on winowajcę, a przywoławszy go do siebie, zgromił surowo za rozboje. Wilk słuchał słów staruszka z pokorą i uniżeniem, jakby doskonale rozumiał o co chodzi. Wówczas Franciszek rozkazał mu w Imię Boże, aby się wyniósł z tej okolicy. „Wiem ja, bracie wilku, mówił, że głód cię do tego zmusza, poczekaj więc, a przyniosę ci co na drogę". Posłuszne zwierzę, posiliwszy się, opuściło te strony i więcej już o niem nie słyszano. Zdarzenie to opowiedział sam brat Franciszek swemu przełożonemu, skłoniony posłuszeństwem, gdyż zaciekawiło to gwardjana, po co tak żwawo biegał parę razy do lasu i do klasztoru [1]).

Ś. Piotr Regalat, Obserwant (1456 r.)

W czasie gwardjaństwa tego sługi Bożego w klasztorze Agilera (Aguilera), pewnego razu oznajmiono Świętemu, że wszystkie zapasy zostały wyczerpane, a iść na kwestę nie można, bo drogi pokryte są śniegiem i dostęp do klasztoru prawie niemożliwy. Ś. Piotr Regalat, słysząc to, złożył swą ufność w Bogu i rozkazał, aby w swoim czasie dzwoniono na obiad; bracia zgromadzili się, jak zwykle, do refektarza, a kiedy zaczęto mówić błogosławieństwo stołu, wezwany do furty brat ujrzał przed drzwiami muła obciążonego chlebem. Ktoby go tu przywiódł, niewiadomo, bo nie było ani przewodnika, ani też żadnych śladów na śniegu. Brat furtjan zdjął kosze z chlebem i zaniósł je do refektarza, a skoro wrócił, zwierzę gdzieś znikło, nie zostawiając podobnież śladów za sobą [2]).

Ś. Jan Kapistran, Obserwant (1456 r.)

Podobnie jak wspomniany wyżej Ś. Bernardyn, uczynił i Ś. Jan Kapistran, pełen żywej wiary w Opatrzność Bożą. Święty ten apostoł przyszedł z kilkoma braćmi nad rzekę Po i chciał się przeprawić na drugą stronę. Lecz przewoźnik domagał się koniecznie zapłaty, a zakonnicy nic przy sobie nie mieli. Wówczas Ś. Jan przemówił do towarzyszów, pobudzając ich do ufności w Bogu,

[1]) Ibidem T. II.

[1]) Kroniki trzech zakonów S. Franciszka przez Bernarda Sanniga Cz. III, ks. 3, r. 5.

[2]) Vie de St. Pierre Régalat par M. Berguin.

poczem, uczyniwszy znak krzyża świętego i rozwinąwszy płaszcz swój na wodzie, w Imię Pańskie wszedł na niego z osiołkiem, a za nim reszta braci. Gdy dobili do brzegu, syn przewoźnika, patrząc na tak jawny cud, bo i płaszcz zupełnie się nie zamoczył, opowiedział o tem ojcu, który zawstydzony swoją chciwością, postanowił na przyszłość darmo przewozić Obserwantów, oczekując od Boga samego nagrody za tę usługę [1]).

Ś. Józef z Kopertynu, Konwentualny (1663 r.)

Mało było takich naśladowców Ś. Franciszka w żywej wierze, jak Ś. Józef z Kopertynu. Całe jego życie zdaje się być dowodem tych słów Pańskich, że wierzącemu niema nic niepodobnego. Ciągle spełniał dzieła przechodzące siły ludzkie, a które tylko żywa wiara czynić potrafi. Całował chorych i ci przychodzili do zdrowia; przepowiadał rzeczy przyszłe i przepowiednie się sprawdzały; odkrywał tajniki serc i odkrycia te były tyluż prawdami; wpadał w rzekę, a fale go nie moczyły; rozkazywał burzom, a burze cichły; przyzywał ptaka bujającego w powietrzu, a ptak słuchał głosu jego; mieszkał w Assyżu, w Rzymie, a widziano go w jego rodzinnej wiosce; rozmnażał pokarmy; owce były mu posłuszne, a zabite przez burze stada na jego rozkaz do życia wracały. Czynił on rzeczy tak niezwykłe, że wyróżnia się z najcudowniejszych Świętych wszystkich wieków. Pamięć o nim, podziwiana przez współczesnych, będzie zdumiewać przyszłe pokolenia. Wszystkie cuda swoje Józef czynił mocą wiary. Wierzył on Bogu, wierzył w Boga i wierzył w Bogu. Spełniał ten potrójny akt wiary, który Ś. Tomasz, Doktor Anielski, tak uczenie wykłada. Dlatego to w rzadkich bardzo wypadkach, gdy z posłuszeństwa przełożonym musiał błogosławić, używał słów: „Wszechmocność Ojca, mądrość Syna, miłość Ducha Przenajświętszego niech cię strzeże od wszelkiego złego.“ Przypominał on temi słowy trzy przymioty Boskie, podstawę naszej ufności: wszechmoc, mądrość i dobroć Boga, — który może, umie i chce dać nam wszelkie dobro.

Dwa razy kustoszowi klasztoru assyskiego, niepokojącemu się brakiem jałmużn, Józef wyrzucał małą jego wiarę i zaradzał cudownie potrzebom zgromadzenia. Jego ufność w Bogu wydawała się wszędzie i zawsze. Odmówił przyjęcia pieniędzy od Biskupa polskiego, ofiar od następczyni tronu Sabaudji, bogatych darów od wiernych, od książąt, od kardynałów, tłumacząc się, że posiada skarby i śpichrze daleko bogatsze, śpichrze zawsze otwarte, niewyczerpane składy Boga, pełne zapasów, których żaden robak nigdy nie naruszył. „Ludzie małej wiary, ludzie małej wiary, wołał. Kto ma wiarę, jest panem świata! Bóg poddał wszechmocność swoją człowiekowi wierzącemu, który może wszystko co chce, jeśli chce tego, co chcieć powinien. Pan Bóg nie może kłamać, nie ma powodu do tego. Jego słowa są samą prawdą na wieki!“

Jak żywą była jego wiara.

Temu Świętemu Cudotwórcy wszystko co czynił zdawało się tak naturalnem, że dziwił się, iż drudzy tego nie robią, kiedy każdemu wierzącemu jest to od Boga obiecane. We wszystkich potrzebach doczesnych jak i duchownych mawiał: „Ufajcie tylko Bogu i módlcie się. Kto otrzymuje, ma korzyść stąd, że otrzymał; kto nie otrzymuje, ma korzyść stąd, że prosił; każdy więc obsypany jest bogactwy Pańskiemi“. Do słów dodawał zwykle czyny, to jest natychmiastowe cuda na korzyść duchowną lub materjalną dusz, a były one tyluż dowodami mocnej jego wiary. Nawzajem Pan Bóg spełniał względem niego zobowiązanie, że czynić będzie wolę tych, którzy się Go boją, a wysłuchiwać pragnień tych, którzy Go proszą pod warunkiem modlitwy pokornej, gorącej i wytrwałej, nie zaś pysznej, oziębłej i niedbałej.

Pewnego razu w czasie Mszy św. Józef prosił Pana Boga o jedną łaskę, ale jej nie otrzymał. Wzamian jednak odebrał o wiele większe dobrodziejstwo — usłyszał w sercu swojem słowa Jezusa Chrystusa: „Kto miłuje, ma wiarę; wiara żywa polega na wierzeniu w wolę moją, na stałem przekonaniu, że czynię jak najlepiej dla duszy, czy ją wysłucham, czy też nie“. Zazwyczaj smucił się on brakiem wiary w ludziach, i naodwrót cieszył się, gdy ją gorącą i żywą widział. „Człowiek wiary, mawiał Józef, podobny jest do wielkiego drzewa, które będąc ściętem i wyrwanem, odnawia się przez korzeń lub gałązki, zaś człowiek małej wiary to krzak, który ścięty i wyrwany, już się nie odmładza“. Płakał nad zdumiewającem niedowiarstwem i szaleństwem chrześcijan, zawsze skłonnych do wierzenia różnym oszustom, a tak nieskorych do zaufania obietnicom Boga od nikogo niezależnego, prawdę mówiącego, nieskończenie wszechmocnego i wiernego we wszystkiem, co przyrzekł.

Akta procesu kanonizacji często mówią o wierze Ś. Józefa: „O. Józef, czytamy tam, mocą

[1]) Kron. 3 Zak. Cz. III. ks. 3 r. 11.

swej niewzruszonej ufności w Bogu otrzymywał wszystko, co mu było potrzebne i dlatego też miał zwyczaj mówić: „Nie mam nic, a wszystko posiadam, oczekuję tak wielkiej radości, że wszelki trud jest dla mnie szczęściem.“

Powołanie Ś. Józefa.

W samem powołaniu Ś. Józefa, okazała się ta żywa wiara i nieograniczona ufność, przez którą tyle przeszkód pokonał, jak: opór rodziny i wzgardę zakonników, usuwających go do stajni dla oprzątania muła. Tępego umysłu i bez żadnej nauki, rachuje na Boga, że mu dopomoże zostać kapłanem i zostaje nim. Mimo niewinność swoją, oddany pod śledztwo Świętego Officjum, wychodzi z niego czysty jak anioł. Przewożą go z klasztoru do klasztoru, a on w każdym jak gość z nieba promienieje. Usuwają go od stosunków i towarzystwa braci, a on podnosi się coraz wyżej w ich opinji i staje się chlubą swego zakonu. A to wszystko płynie z uczuć jego serca i ze słów, jakie ciągle powtarzał: „Ufam Panu Bogu, mam w Bogu nadzieję, bądź wola Twoja, Panie!“ Pośród strapień, mogących złamać największe męstwo, zapytują go o przyczynę zewnętrznej obojętności na takie straszne i bolesne przejścia, a Józef odpowiada: „Bóg wie co czyni, a ja Mu się nie opieram“. „Sługa Boży, mówią akta procesu, zwykł był porównywać się do człowieka, którego fale rzuciły na skałę: otoczony bałwanami, wyglądał pomocy jedynie od Opatrzności Boskiej; przez mocną wiarę mógł był w potrzebie przenosić góry z jednego końca świata na drugi“. Doszedł do takiego stopnia ufności i wiary w Boga i dobro każde tak do Boga odnosił, że chciał aby wstrzymywano się od dziękowania dobrodziejom, bądź jego samego, bądź klasztorów, zanimby złożono dzięki Panu Bogu, który posługuje się ludźmi jak laską do rozkazywania. Łatwo więc zrozumiemy, że mając przez całe życie swoje taką żywą wiarę i taką nieufność w sobie samym, Święty w ostatniej chwili mógł wyrzec z gorącością ducha, która aż do głębi przejęła obecnych: „Mój Jezu, pokładam nadzieję w Tobie, we Krwi Twojej, w Twoich zasługach, a od siebie niczego się nie spodziewam“.[1])

Bł. Bonawentura z Barcelony, Bonawenturzysta (1684 r.)

Ojczyzną tego Świętego była mieścina Riodą (Riodoms), leżąca pod Barceloną. Rodzice jego Michał i Katarzyna Chran byli niezamożni, ale głęboko przywiązani do religji, urodzenie więc dziecięcia (24 listopada 1650 r.) sprawiło im radość prawdziwie chrześcijańską. Maleńki Michał Jan Chrzciciel, takie bowiem dano mu imiona, wcześnie objawiał skłonność do modlitwy, jaśniejąc niewinnością, dojrzałym rozumem i niezwykłą na swój wiek mądrością. Bojaźń Boża cechowała jego czyny, miłość rozpalała młodziutkie serduszko, a tkliwa pobożność do Najśw. Sakramentu i do Niepokalanej Dziewicy unosiła go w wyższą krainę. W szkole, do której go posyłano, bardzo szybko nauczył się czytać i pisać, ale ku wielkiemu strapieniu nauczycieli, niedługo tam zostawał: nie mając czem płacić, rodzice odebrali chłopca, aby pracował w polu i pasł bydło. Zajęcia te, szczególniej ostatnie, bardzo mu się podobały, miał bowiem czas na modlitwę i rozmyślanie o rzeczach Boskich. Skończywszy 18 lat, Michał umyślił zamknąć się w klasztorze i żyć jedynie dla Pana Boga. Lecz gdy otworzył się z tem ojcu, prosząc go o błogosławieństwo, ten stanowczo oparł się jego życzeniu, mówiąc, że jako jedynak, powinien się ożenić i że wybrał mu już narzeczoną, bardzo ładną dziewczynę w okolicy. Nie pomogły łzy i błagania, ojciec był niewzruszony. Syn więc, szanując wolę ojca i mocno ufając, że wbrew wielkim przeszkodom, Bóg da mu spełnić swoją wolę, złożył z siebie ofiarę i przystąpił do Sakramentu małżeństwa. W dzień wszakże zaślubin, po ceremonji kościelnej, zamiast iść z żoną i krewnymi na ucztę, wymknął się nagle i musiano go szukać. Znaleźli go zatopionego w Bogu i w zachwyceniu. Podniósł się jednak wesoło z ziemi i poszedł do gości spokojny i, jak zdawało się, szczęśliwy. Według aktów procesu, mieszkanie nowożeńców składało się z dwóch izdebek i kuchni, a jedną z tych izb zajmowali rodzice. Gdy po wyjściu wszystkich ujrzeli się sami i pod okiem Boga, Michał, płonąc ogniem Boskiej miłości, zaczął opowiadać o pięknościach i wdziękach dziewictwa i o wspaniałej nagrodzie, przyobiecanej przez Pana tym, co ją dla Niego zachowają. Słowa te, wypowiedziane z wielkiem namaszczeniem, podziałały na religijną jego małżonkę, wzruszona oświadczyła, że jak najchętniej zgadza się zachować dozgonną czystość. Ten tryumf łaski nad naturą trwał 16 miesięcy, to jest tak długo, jak żyła niewinna małżonka Michała. Podobni do dwóch lilji wonnych, albo raczej do dwóch aniołów ziemskich, żyli oboje jak brat z siostrą, pomimo wszelkich zasadzek piekła. Aż wreszcie podobało się Panu zabrać tę czystą małżonkę na

[1]) Vie de St. Joseph de Cupertino par Dominique Bernino,

gody niebieskie. Przed śmiercią, przyjąwszy Sakramenta ŚŚ., oznajmiła publicznie to, co byłoby nazawsze nieznanem zostało, że umiera jako dziewica. Sługa Boży mógł nakoniec pójść za swoim pociągiem. Wprawdzie ojciec znowu mu się sprzeciwiał, ale tym razem zwyciężony stałością syna, musiał przyznać, że podobne powołanie tylko od Boga może pochodzić i puścił go z domu. Michał wstąpił do Braci Mniejszych Rekolektów w dyecezji Taragońskiej, gdzie po przejściu bardzo surowej próby, odbył nowicjat jako laik [1]).

Bł. Marja Krescencja, 3 Zak. reg. (1744 r.)

Ta błogosławiona córka Serafickiego Patryarchy w Trzecim Zakonie mówiła, że dar wiary jest to jedyna droga pewna, która nie prowadzi na bezdroża i ona jedna pozwala nam cieszyć się Bogiem, o ile to możliwe tu na ziemi. Przejęta tą prawdą, uważała wiarę za dobro nieoszacowane. Jej serce wylewało się w aktach uwielbienia i wdzięczności ku Bogu, że urodziła się z rodziców katolickich, wtedy gdy obok niej tyle innych dzieci nie miało tego szczęścia. Jedna z sióstr zakonnych słyszała ją powtarzającą po kilka razy: „Przyjście na świat nie cieszyłoby mnie tyle, gdyby mnie Pan Bóg nie był uczynił członkiem Kościoła katolickiego; jest to łaska, za którą nie wywdzięczę się Bogu przez całą wieczność. Tak, wiara jest darem nadprzyrodzonym, nieskończenie większym od stworzenia, poganie bowiem, jak my stworzeni, bez wiary zbawieni być nie mogą".

Ta cześć dla religji, połączona z tkliwą miłością ku bliźnim, a szczególniej ku obywatelom rodzinnego jej miasta, wyciskała obfite łzy z oczu Marji Krescencji. Płakała ona do śmierci nad smutnym losem tylu dusz, oderwanych od prawdziwego Kościoła. Modły jej i umartwienia za te owce zbłąkane, jako tyleż strzał ognistych wznosiły się do Ojca miłosierdzia; bezustannie też zachęcała siostry do modlitwy w tym celu. Mówiąc o tem, rumieniła się z przejęcia, grube łzy spływały jej z oczu, albo takie ją wzruszenie ogarniało, że nie mogła wyrzec już ani słowa więcej nad te: „Ach, gdyby ludzie chcieli naprawdę wierzyć w Pana Boga, gdyby chcieli Go poznać!"

Z tego wielkiego pojęcia jej o wierze pochodziła nadzwyczajna cześć dla ŚŚ. Męczenników. Ofiarować życie swoje i krew za naukę Jezusa Chrystusa był to w jej oczach największy zaszczyt dla chrześcijanina, chwała, której nie czuła się godną. Samo słowo Męczennik, Męczenniczka obudzało w niej uczucie radości i wesela i pragnienie tej samej łaski. Uczucia te były tak silne, że męczeństwo za wiarę zastępowała męczeństwem miłości, wylewając krew swoją pod razami okrutnego biczowania. Ani choroby, ani niedomagania wieku nie potrafiły odwrócić jej od tej pokuty, tak że po śmierci znaleziono świeże ślady krwi na jej biednem ciele.

Wiara Krescencji przechodziła wiarę ogółu wiernych. Była ona zupełnem przylgnieniem do Objawienia. Jedynym tego gruntem była powaga Boska. Wszystkie pobudki rozumu nikły dla niej wobec słońca prawdy. Umysł jej wznosił się ponad uczucia i wyobraźnię, ponad myśli i wywody, ponad mądrość i wiedzę ludzką. Szczególniejszą pociechą Błogosławionej było powtarzać różne akty wiary, jak np.: „O Boże mój, Prawdo przedwieczna i wszechwiedząca, Tyś to powiedział, Tyś oznajmił, więc wierzę; lub: O Tajemnice Boskie, jakżeście święte, jak zadziwiające! Chcę wierzyć w Ciebie Boże i wyznawać Cię usty i sercem". Dzięki tej wierze, wolnej od uczuć miłości własnej, Krescencja uniknęła niebezpieczeństw, które często grożą osobom, wychodzącym poza zwykłe granice życia duchownego, a które to osoby podlegają stąd nagłym zmianom w swoich uczuciach. Zalana światłem oślepiającem widzeń lub zatopiona w strasznych ciemnościach duchownych, nie chwiała się nigdy w wierze.

Odpowiednio do rady Ś. Piotra, naukę Kościoła uważała jako wyrocznię i nieraz mówiła: „Więcej sobie cenię jeden artykuł wiary, niż wszystkie objawienia prywatne; w tych ostatnich można się mylić, lecz nie w artykule wiary, który jest nieomylną prawdą. Jest to z pewnością wielka łaska, dodawała, gdy Jezus Chrystus raczy się objawić człowiekowi, jednak nie zazdroszczę osobie tak uprzywilejowanej. Szukajmy naszego Boga przez wiarę, a Ewangelja nazwie nas błogosławionymi". Tem też kierowała się Święta w swoich widzeniach, bez względu na ich jasność. Dusza jej przebywała na wyżynach wiary, łącząc się tam coraz ściślej z Bogiem i posługując się tą nieomylną wskazówką, aby postępować coraz wyżej wśród nocy doświadczeń wewnętrznych, która jest jakby jutrzenką dnia wiekuistego, to jest oglądania Boga twarzą w twarz. „Doprawdy, mówiła raz do sióstr swoich, gdyby Pan Jezus ukazał się sposobem widzialnym w Hostji, nie podniosłabym nawet oczu, żeby Go oglądać; prze-

[1]) Le B. Bonaventure de Barcelone par Fr. Francois—Xavier.

ciwnie zamknęłabym je nawet, bo wiara daje mi nieskończenie większą pewność, niż moje zmysły". Nic więc dziwnego, że takiej wierze towarzyszyły pociechy niebieskie, pokój i światło, którego Św. Paweł życzył Rzymianom, mówiąc: „A Bóg nadziei niech was napełni wszelaką radością i pokojem w wierzeniu: abyście obfitowali w nadziei i w mocy Ducha Świętego." Ilekroć Krescencja usłyszała wymawiane przy sobie słowa: Trójca Przenajświętsza, Wcielenie, Najśw. Sakrament, ogień trawiący ją wewnętrznie ogarniał jej zmysły, tak że albo krew rzucała się jej nosem, albo wpadała w zachwyt. Podobnyż skutek sprawiał wyraz „Betleem". Przy czytaniu Martyrologium w wigilję Bożego Narodzenia pomimo niezmiernego wysiłku zdołała tylko wyjąkać pierwsze trzy wyrazy: Jutro Jezus Chrystus... W chórze szczególniej wiersz Chwała Ojcu obudzał jej pobożność. Mówiąc go, głęboko się pochylała, na znak że ofiaruje swoją głowę pod miecz katowski.

Jej światło w rzeczach wiary pozwalało jej rozwiązywać najzawilsze kwestje teologiczne. Wielu uczonych kapłanów stwierdziło tę wiedzę wlaną i zdumiewało się nad ścisłością wyrażeń pokornej zakonnicy, umiejącej zresztą tylko czytać i pisać. Między innymi O. Pamer, jej spowiednik, zachwycony był jej komentarzem[1]) hymnu: Wielbi dusza moja Pana. Rozbierając słowo po słowie, tłumaczyła zawarte w nim tajemnice z takim wdziękiem i namaszczeniem, że trudno gdzie czytać lub słyszeć coś podobnego. To samo zaświadczył prowincjał Braci Mniejszych, O. Benjamin Ebel, mąż znakomity, którego dzieła o moralności chrześcijańskiej powszechnie są znane i bardzo cenione.

Pismo Święte dla Bł. Krescencji było źródłem światła i pociech. Podobało się Duchowi Bożemu otworzyć je przed czystym wzrokiem swej oblubienicy, by przeniknęła aż do głębi tej księgi natchnionej. Zwłaszcza Ewangelje ją pociągały. Był to przedmiot codziennych jej rozmyślań; umiejąc je prawie całe na pamięć, mogła bez najmniejszego trudu wskazać skąd pochodził wiersz, który przedstawiano jej do objaśnienia. „Gdyby nie było innej książki, mawiała często, Ewangelje wystarczyłyby do wyrobienia i uświęcenia duszy; moc słowa, zstępując w głąb serca aż do szpiku kości naszych, uczy jak należy kochać, cierpieć, czynić i walczyć".

Najczęściej też zalecała swym córkom czytanie i rozważanie tej księgi z nieba, jak nazywała Ewangelje. Gdy chodziło o wytłumaczenie jakiego ustępu, skupiona zwykle zakonnica stawała się naraz wytrawnym mówcą.

Życie z wiary uważała Krescencja za najcenniejszy klejnot, w modlitwach swoich prosiła Boga, by ją prowadził temi nieomylnemi ścieżkami. „Gdyby ludzie, mówiła, wierzyli naprawdę w nieskończoną wielkość Boga, w Jego pragnienie uszczęśliwienia nas jak najprędzej w czasie i w wieczności, nie znalazłby się nikt, ktoby Go całem sercem nie ukochał".

Ten smutny objaw, że wiele dusz oddanych Bogu, pomimo ćwiczeń pobożnych, nie postępuje w doskonałości, wynikał jej zdaniem z braku wiary. „Zagrzebują oni talent wiary, to jest nie umieją korzystać z tej Boskiej cnoty. Szczęśliwa dusza, która nie ufa swojemu własnemu rozumowi i nie chce innego światła, nad światło wiary."

Krescencja Kościół Ś. nazywała swoją matką ukochaną, względem której jak najwierniej zachowywała czwarte przykazanie. Z doskonałem posłuszeństwem przyjmowała z ust tej matki słowo Boże i czciła wszystkie jej zwyczaje, zdania i ceremonje. Wielką była zwłaszcza jej wierność względem Stolicy świętej: Papież dla niej był to nietylko ojciec, ale sam Jezus Chrystus. Być mu uległym i miłować go choćby z narażeniem życia, był to w jej oczach święty obowiązek każdego katolika. Z tej też racji miała głęboką cześć dla kapłanów. Na kilka chwil przed śmiercią zwróciła się do O. Pamera, mówiąc: „Oświadczam w obliczu nieba i ziemi, że chcę umrzeć w Świętym Kościele katolickim, rzymskim". A gdy siostry płakały na widok jej cierpień: „Cóż to znaczy? dodała, Jak małe są te boleści w porównaniu do mąk ŚŚ. Męczenników, którzy wszystko znosili mężnie za wiarę. O gdyby mi Bóg pozwolił znieść je tak samo".[1])

Bł. Benedykt Labre, Chordyger (1783 r.)

Wspominaliśmy o żywej wierze tego Świętego, jaka wydawała się z jego postaci w czasie nieustającej adoracji Najświętszego Sakramentu — tutaj powiemy, jak według tejże wiary wysoko sobie cenił swój nędzny żywot żebraczy. Wielki ten sługa Boży pielgrzymował raz, jak zwykle, w łachmanach. Około południa usiadł sobie nad brzegiem szosy i wyjął kromkę chleba, która wraz z trochą mętnej wody, stanowiła cały jego posiłek. Właśnie przechodziło koło niego wesele. Młodzież i starsi rozochoceni spojrzeli na biedne-

[1]) objaśnieniem.

[1]) Vie de la V. Marie-Crescence de Kaufbeuren par R. P. Jeiler O. S. F. p, 122.

go nędzarza i rzucili mu słowo litości: „Biedny człowiek!“ Błogosławiony podniósł się z godnością chrześcijanina, który może nic nie mieć prócz łachmanów i kawałeczka chleba, ale który w duszy swojej posiada skarby wieczne i rzekł: „Nazywacie mnie nieszczęśliwym, a ja przeciwnie jestem bardzo szczęśliwy; nieszczęśliwi są tylko ci, co idą do piekła!“ Jakież to piękne i wielkie słowa! jaka z nich żywa wiara wieje! Kiedy na wszystko patrzymy z punktu nadprzyrodzonego, poglądy nasze i wola są w zupełnej z sobą harmonji: dusza ludzka staje się hymnem do Boga [1]).

Ś. Marja Franciszka od 5-u Ran 3 Zak. (1791 r.)

Marja Franciszka była jeszcze niemowlęciem, a już ze szczególniejszej łaski Najwyższego, duszyczka jej przejęta była żywą wiarą. Na widok kapłanów, namiestników Jezusa Chrystusa, wyrywała się radośnie z objęć matki. Później bardzo gorliwie uczyła się sama i innym objaśniała pierwsze zasady religji. Wiara żywa wznieciła w niej tego ducha modlitwy, którym natchniona, porzucała zabawy dziecięce i przerywała sobie nocny spoczynek dla słodkiej rozmowy z Bogiem. Wiara nauczyła ją tych wzniosłych rozmyślań o życiu, męce i śmierci Pana Jezusa; wiara wzniecała w niej świętą żądzę uczęszczania do kościoła, przystępowania do Sakramentów ŚŚ. Wiara żywa w czwartym roku zaprowadziła ją do spowiedzi, a w siódmym do Komunji Ś. Z wiary żywej wreszcie, jak z dobrego nasienia, wzrosły w niej heroiczne cnoty, które, według Ś. Jakóba Apostoła, są jej najwybitniejszym dowodem.

Słodka i łagodna z natury, Marja Franciszka wybuchała ogniem żarliwości, gdy ktoś lekkomyślnie rozprawiał o Tajemnicach religji świętej. „Nie wolno jest, mówiła, podłemu robakowi ziemskiemu chcieć dorównać niezgłębionej Mądrości Boskiej i wątpić o objawionych prawdach wiary dlatego, że ciasnym swoim rozumem nie potrafi ich pojąć“. O jakże wiara tej pokornej dziewicy zawstydza pychę tegoczesnych mędrków i filozofów, których wielu wpadło w niedowiarstwo przez szperanie w Świętych Tajemnicach i którzy, chcąc zgłębić nieskończony Boski Majestat, zostali oślepieni na umyśle! [2]).

Bł. Idzi od Ś. Józefa, Obserwant bosy (1812 r.)

Braciszek ten tak mocno wierzył we wszystko, czego Kościół Ś. naucza, że nigdy nie miał pod tym względem żadnej pokusy i żadnej wątpliwości. Gdy zapadł w ciężką chorobę, a spowiednik uprzedzał go przed pokusami przeciwko wierze, jakiemi szatan nie omieszka go napastować w chwili śmierci, Błogosławiony spojrzał na niego z uśmiechem i rzekł: „Jakto, Ojcze, mnie miałyby przyjść do głowy pokusy przeciwko wierze!“ i przez chwilę uśmiech ten nie schodził z ust jego, dowodząc najwyraźniej, jak ta myśl sama wydawała mu się nieprawdopodobną. Nadzieja jego przeszła prawie w stan pewności, nie dopuszczającej cienia obawy. Mówił o niebie, jako o miejscu, gdzie nań oczekiwano. Śmierć nie była dla niego końcem życia, ale pożądanem przejściem do szczęścia wiecznego. Ostatnie chwile braciszka zachwycały obecnych. Cieszył się i radował, że idzie do Jezusa i prosił Marji i Ś. Józefa, żeby go zanieśli do raju. Gdy zbliżało się południe, a żaden z braci nie chciał iść na obiad, rzekł do nich ze zwykłą sobie prostotą: „Idźcie jeść, moi ojcowie i bracia, umrę dopiero za pół godziny, dam wam znać, kiedy będzie już koniec“. Ostatnim jego ruchem było przyciśnięcie do serca obrazków Matki Bożej i Ś. Józefa, poczem dusza jego rozstała się z ciałem [1]).

Bł. Marja Magdalena Postel, 3 Zak. (1846 r.)

Pewnego dnia w klasztorze Szkół miłosierdzia chrześcijańskiego, ekonomka spostrzegła brak zapasów tak dla sióstr, jak i dla uczennic i zasmucona tem udała się do przełożonej, Marji Magdaleny Postel, by jej to powiedzieć. „Ufaj córko moja, odrzekła Matka, Pan nasz wie, czego potrzebujemy i nie opuści nas. Dzisiaj wieczorem odprawimy wszystkie Drogę krzyżową“. Po skończeniu zajęć codziennych, dobra Matka wzięła na ramiona duży krzyż i boso, z pasem na szyi przewodniczyła w pobożnem nabożeństwie. Nazajutrz jakiś obcy pan zapukał do furty, mówiąc że chce się widzieć z samą Matką. „Pani, rzekł do niej, wiem ile dobrego czynisz dla ubogich, pragnę wziąć udział w twojem miłosierdziu i przynoszę jałmużnę dla zgromadzenia i dla sierot“. Marja Magdalena rada była wiedzieć nazwisko dobroczyńcy, ale odmówił jej prośbie i wyszedł. Niewiadomo było tylko co się z nim stało, w którą udał się stronę, bo za furtą klasztoru znikł, tak że dwie siostry, odprowadzające go, spojrzały na siebie ze zdziwieniem [2]).

---

[1]) Etendard de St. François et de St. Antoine.

[2]) Żywot Ś. Marji Franciszki od 5-u Ran.

[1]) Vie du B. Egide de Saint Joseph par l'abbé Olivier.

[2]) Annales franciscaines 1909.

OBIAD Z KLASZTORNYM DOKTOREM.

Cz. Wincenty Pallotti, 3 Zak. (1850 r.)

Wiara była prawdziwie życiem tego czcigodnego kapłana. We wzorowem postępowaniu lat młodzieńczych, w spełnianiu obowiązków swego stanu, w cudach gorliwości apostolskiej okazywał się zawsze przejęty tą cnotą i pragnieniem zaszczepienia jej w innych. Akta procesu beatyfikacyjnego mówią, że przeznaczył on raz na misje członka swojej kongregacji, chorego na płuca i krwią plującego. A gdy ten, nie wymawiając się bynajmniej, zaczął robić przygotowania do drogi, rzekł: „Ufaj Bogu, bracie, kazania wzmocnią ci płuca". I tak się stało.

Ten sam kapłan potrzebował pewnego razu 20-a talarów na dzwon do kościoła i prosił o nie sługi Bożego. Wincenty dał mu trzy talary i kazał mu zebrać resztę wśród wiernych: „To zbyt mało, ojcze, odrzekł tamten, dzisiaj wieczór muszę wszystko zapłacić". — „Ufaj, mówię ci i mocno ufaj," była odpowiedź Pallotti'ego—Don Wakkari (Vaccari) zamilkł i schował otrzymane pieniądze do szufladki, a gdy przyszedł wierzyciel, otworzył ją z klucza i począł żartować, bo to był jego znajomy: „Bierz pan, co ci się należy". Sądził, że mu dawał trzy talary, tymczasem ku jego wielkiemu zdumieniu znalazło się tam jeszcze kilka sztuk złota i srebra, które razem z tamtemi wyniosły 20 talarów. Słysząc później o tym wypadku, Pallotti zawołał z uśmiechem: „A nie mówiłem ci, bracie, że miałeś słabą wiarę; ufności, ufności tylko, Bóg wszystko uczynić może".

Żywa wiara w Opatrzność Boską.

Niemniejszym dowodem żywej wiary i ufności Wincentego było następujące zdarzenie. Sługa Boży obiecał dać pewnemu kapłanowi 25,000 franków na rozpoczęcie budowy kościoła włoskiego w Londynie, ale w chwili wyjazdu tamtego brakowało mu jeszcze stu talarów. Na prośby kapłana, że pragnąłby mieć całą sumę, Pallotti odpowiedział: „Dobrze, dobrze, zaufajmy Bogu, a On z pewnością wybawi nas z kłopotu". Tego samego dnia umarł w Rzymie bogaty jakiś obywatel, zapisawszy znaczny fundusz na instytucje Wincentego. Wykonawcy testamentu przyszli uwiadomić go o tem i ofiarowali się złożyć mu natychmiast owe pieniądze. A tak sługa Boży mógł dać temu kapłanowi o wiele więcej, niż przyrzekł.

Tenże kapłan zaświadczył w procesie beatyfikacyjnym Pallotti'ego, że wróciwszy z Londynu już po jego śmierci, został wezwany do księżnej Fiano. Znakomita pani opowiedziała mu cudowny wypadek, w którym sama brała udział. Było to 13 listopada 1849 r. Ksiądz Pallotti przyszedł ją prosić o jałmużnę dla bardzo biednej rodziny. Nie mając tego dnia żadnych pieniędzy w domu, tłumaczyła się że może pofatyguje się do niej za jaki tydzień. Ale Wincenty nalegał, mówiąc że dzisiaj właśnie ta suma jest potrzebna i zachęcał ją, aby przejrzała szufladki w biurku z ufnością w Opatrzność Boską i w święte posłuszeństwo. Pani spełniła ten rozkaz, ale znalazły się tylko dwa franki, gdy jednak otworzyła rękę, chcąc mu je pokazać, ogarnęło ją zdumienie; w ręku jej było znaczna suma złotych pieniędzy. Sługa Boży polecił jej nie mówić o tem nikomu, co też wiernie spełniła, gdyż dopiero po jego śmierci opowiedziała ten cudowny wypadek [1]).

Cz. Ludwik z Kazorja,[2]) Obserwant bosy (1885 r.)

Dość było spojrzeć na tego sługę Bożego, aby się przekonać, że ma się do czynienia z człowiekiem przejętym najwyższą wiarą. Promieniała ona na jego twarzy, w jego spojrzeniach i mowie, gdyż każde jego słowo pochodziło z serca, żyjącego życiem wewnętrznem i nadprzyrodzonem. Ufał on zawsze Opatrzności Boskiej, spuszczał się na nią we wszystkiem, mówiąc: „Jeżeli Pan Bóg chce, abym to i to zrobił dla Jego chwały, ześle dobrodziejów, da potrzebną sumę, a jeżeli nikt nam nie przybędzie z pomocą, będzie to wskazówka przeciwnej woli Bożej".

Opatrzność cudownie nagradzała żywą wiarę Ludwika. Odbywał on podróże bez funduszów. Jadąc do Afryki, pisał że jedzie z Braćmi Szarymi i murzynami: katechetą, artystą grającym na fortepianie i rzemieślnikiem, znającym krawiectwo i introligatorstwo. „Zawożę ich, aby samemu założyć pierwszy dom w Afryce, w którym urządzę szpital, szkołę sztuk pięknych i rzemiosł, oraz języków arabskiego i włoskiego. Jadę po franciszkańsku, bez grosza w kieszeni. Neapol zawiózł mnie do Rzymu, Jego Świątobliwość do Florencji, miłosierdzie Florentczyków zawiezie mnie do Turynu, Turyn do Werony, Werona do Wiednia, Wiedeń do Tryestu, a Tryest do Afryki."

W r. 1869 O. Ludwik otworzył dom sierot we Florencji. Tego dnia, kiedy miał tam wpro-

[1]) Les Saints de Rome au XIX siècle par J. Belloc.
[2]) Casoria.

wadzić swoich Braci Szarych, znajdował się na obiedzie u Arcybiskupa Limberti. Rozmowa naturalnie toczyła się o przytułku i sierotach, dla których był przeznaczony, i O. Ludwik opowiadał z radością, że jakaś pobożna osoba wzięła na siebie komorne pierwszych miesięcy. „Ale, rzekł prałat, czy dom ma wszystko co potrzeba, aby w nim mieszkać?“ — „Nie, Wasza Ekscelencjo“. — „A więc gdzież będą spały twoje sieroty i co im dasz jeść dzisiaj?“ — „Opatrzność, odpowiedział świątobliwy kapłan z wyrazem zwykłej sobie wesołości na twarzy, Opatrzność która to dzieło zaczęła, ukończy je i da mi znaleźć kawałek chleba i posłanie dla każdego z sierot.“ Wyszedłszy z pałacu arcybiskupiego, Ludwik obchodził wszystkie domy od drzwi do drzwi i żebrał starych sprzętów, naczyń gospodarskich i kuchennych, wreszcie trochę słomy, na której wraz z dziećmi tę noc przespał. List jego, pisany przezeń do jednego z przyjaciół, daje nam wyobrażenie ubóstwa, jakie tam panowało w początkach. „Piszę klęcząc, bo w pokoju, który zajmuję, niema nic prócz łóżka i ono służy mi za stół. Przytułek jest otwarty i codzień zdobywamy sobie rzeczy konieczne. Opatrzność myśli o wszystkiem, tak że nie potrzebuję ani pisać, ani liczyć. Dosyć jest mieć silny charakter i wiarę. Żyd nawet jeden pochwalił zakład i zapisał się na członka. „Ojciec ma wiarę, powiedział mi, więc zrobi wielkie rzeczy“. Widzę zakład w Opatrzności, a Opatrzność w zakładzie. Biada temu, kto się uważa za zdolnego do czegokolwiek! Opatrzność rządzi światem, dziełami i ludźmi“.

Uważa wiarę za podstawę uczynków miłosiernych.

W dwa lata później, urządzając w Assyżu instytut dla głuchoniemych pisał: „Na początek mamy trzech głuchoniemych i dwóch ociemniałych z Perudżji i Cannara. Dotychczas nikt mi nic nie dał. Tem lepiej, jest to dowód, że nasze dzieło jest dziełem Opatrzności i że nic mu nie brakuje i nic nie będzie brakowało. Ma ono za sobą Patryarchę ubogich i czyż może się czego obawiać? Wiara, nie pieniądz jest podporą dobrych dzieł chrześcijańskich. Wiara karmi duszę i rzuca ją w objęcia Boga. Wiara to oświeca ją i wraz z pokojem zapewnia wszelkie dobro“.

Z tych pięciorga sierot, czworo powierzył O. Ludwikowi Arcybiskup Peruzki, późniejszy Leon XIII. Przyjmując sługę Bożego, Kardynał Pekczi[1]) okazał wielkie zdumienie na jego prośbę. „I jakże, Ojcze, zaspokoisz potrzeby tych dzieci?“. — „Opatrzność jest w tem, ona o nich pomyśli!“ Ta wiara mocna i szczera w Bracie Mniejszym XIX wieku wzruszyła i rozradowała bardzo Arcybiskupa: „O pełny wiary człowiecze, zawołał on, dam ci dzieci, których odemnie żądasz i jestem pewien, że Opatrzność Boska będzie twoją pomocą“. Pragnąc bliżej zapoznać się ze świątobliwym Obserwantem, zapytał go, czyby nie chciał mu towarzyszyć w dorocznej pielgrzymce na górę Alwernję. Ludwik z Kazorja wymówił się pokornie brakiem czasu. W kilka dni później Kardynał Pekczi rzekł do O. Daniela z zakonu Obserwantów regularnych, swojego spowiednika: „To złoty brat ten O. Ludwik!“

[1]) Pecci.

Testament Ludwika z Kazorja.

Ze słów testamentu tego sługi Bożego okazuje się, jak wysoko cenił dar wiary, jak żywo był nią przejęty i jak wszystko jej przypisywał.

„Testament mego drogiego ubóstwa. Maluczki brat Ludwik z Kazorja wszystkim Braciom Szarym obecnym i nieobecnym, oraz przyszłym zbawienie i błogosławieństwo.

Pan wezwał mię do siebie z niewypowiedzianą miłością. Jego dobroć nieskończona prowadziła mnie i kierowała na drodze życia i dała mi, pomimo błędów moich, tak wielką wiarę, że z każdym dniem byłem coraz bogatszy na duszy i na ciele. O! ileż cudów ta wiara we mnie sprawiła! Czułem, że prawdziwie kochałem Boga, lecz że Go za mało kochałem, więc usiłowałem kochać Go bez miary; w miarę zaś jak miłość moja wzrastała, On podnosił mnie ku sobie, skąd doznawałem w głębi serca takiego upokorzenia, że nie mogłem ani uciec, ani się ukryć przed swoją nędzą.

Wiara ukazuje nam Boga, rozpala duszę, oświeca umysł i całego człowieka prowadzi do czynów. Wiara jest to znajomość Jezusa Chrystusa, rozmiłowanie się w miłości Chrystusowej, zamiłowanie ubóstwa Chrystusowego, posłuszeństwa Chrystusa, pokory Chrystusa. Wiara — to światło w ciemnościach, łaska w chorobach, szczęście w utrapieniu, raj w boleści, życie w śmierci. Umysł mój, oświecony przez wiarę, doszedł w ten sposób do ukochania Chrystusa i ubogich Jego i skłonił moją wolę do pracy dla Boga i dla bliźnich. Widziałem, że wierzyć i czynić to rzecz rozumu i nie potrzebowałem udawać się do rzeczy nadprzyrodzonych, do cudów i widzeń niebieskich, aby dobrze czynić dla miłości Bożej. Ptaki, zwierzęta i wszystkie istoty zapraszały mnie, bym wyśpiewywał chwałę Bogu, kochał Go i w

Nim miał upodobanie. Byłem tak mocno przekonany o prawdach świętej naszej wiary, że zdawało mi się, iż oglądam własnemi oczyma i dotykam się rękoma wszystkich artykułów, w które Kościół katolicki każe nam wierzyć. Rozum mój był tak silnie ugruntowany w wierze i tajemnice jej zdawały mi się być tak jasne i rozumne, że oddawałem im cześć głęboką, bez żadnego powątpiewania i żadnego wysiłku. Dusza moja rozpływała się w uczuciach miłości dla Jezusa Chrystusa i czułem w głębi siebie ognisko miłości dla ubogich Chrystusowych. Chorzy kapłani byli pierwszym jej przedmiotem, następnie biedni murzyni, dla zbawienia których oddałbym życie; niemi, ślepi, starcy i sieroty byli umiłowaniem mego serca, moich snów, marzeń i mojego ja"...

Wasz maluczki brat,

Ludwik z Kazorja 1877 r.[1])

Marja od Jezusa, 3 Zak. reg. (1899 r.)

Ta służebnica Boża zapytała pewnego razu Pana Jezusa, co to jest wiara, a Zbawiciel odpowiedział jej: „Wiara jest to światło oświecające wasz umysł, przyćmiony grzechem, pochodnia kierująca wasze kroki ku błogosławionej wieczności" i dodał: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają", to jest że dusze czyste tak żywą mają wiarę, iż widzą Pana Boga już tutaj w opatrznych Jego rządach. A potem jeszcze przydał: „Grzech to przyczynia się do utraty wiary". Wystarczało to Marji od Jezusa do ugruntowania się w wierze, zrozumiała bowiem i dopełniła, co Zbawiciel osądził za właściwe jej powiedzieć. Powodem tego był wstręt i niewysłowiona boleść, jaką jej sprawiały częste pokusy przeciw wierze, które na nią Bóg dopuszczał. Szatan mącił jej rozum, już to przedstawiając fałszywość religji w ogóle, już napadając na niektóre artykuły wiary, jak na Najświętszy Sakrament lub Opatrzność. Świątobliwa dziewica doznawała wówczas takiego niepokoju, iż czuła się zupełnie przygnębioną. Modliła się tylko na wzór swego Mistrza w ogrodzie Getsemańskim i dopóty powtarzała ciągle jedne i te same słowa, aż pierzchły ogarniające ją ciemności i robiło się jasno w jej umyśle.

Życie jej, według zdania towarzyszek, opierało się na wierze mocniejszej, niż najwyższe góry. Do niej można zastosować pochwałę, którą Ś. Paweł napisał dla starożytnych patryarchów. Przez wiarę pozrywała jedne za drugiemi wszystkie więzy próżności, chcącej ją zabrać w niewolę; przez wiarę skazywała się na umęczenie, prześladowanie, choroby, aby tylko założyć i utrzymać swoje dzieła miłosierdzia, swoje domy sierot, katechumenaty, przytułki; przez wiarę wstąpiła do rodziny franciszkańskiej, gdzie wiedziała, że panuje ubóstwo; przez wiarę, przybywszy do Rzymu, starała się najpierw widzieć i otrzymać błogosławieństwo od Ojca Świętego, — widziała w nim zastępcę i jakby wcielenie Jezusa Chrystusa i klęcząc u jego stóp, czuła się jakby już w niebie u stóp Baranka — króla miłosierdzia i chwały. Jakaż to głęboka wiara tryska z tych słów, przez nią wyrzeczonych: „Rzym tak mi jest drogi, że wróciłabym do niego na kolanach".

Wiara w zarządzie Zgromadzeniem.

Pisząc do zakonnic, będących poza domem, nigdy nie podawała przyczyn naturalnych jakiegoś rozporządzenia, co mogłoby w pewien sposób zrobić wrażenie na umysły, ale zawsze i stale wykazywała im pobudkę nadprzyrodzoną, z wiary płynącą. W jej notatkach o swojem życiu niema ani jednego słóweczka nietchnącego wiarą, ani słówka, któreby nie wskazywało duszy ogarniętej i kierowanej przez tę cnotę.

Czy to trudności materjalne powodują upadek jakiego przedsięwzięcia np. domu potrzebnego, aby rozszerzyć królestwo Boże; czy ją dotykają bolesne odstępstwa sióstr, czy jakie inne przeszkody, nic nie jest w stanie zachwiać jej ufności: wiara jej jest żywa i w setkach listów swoich pisze, „że zawsze będzie to, co Bóg chce." Żadna zdrada jej nie przygnębiła, żaden zawód nie pozbawił pokoju, gdyż wiara ukazywała jej zawsze Pana Boga, Wszechmoc i Dobroć nieskończoną, obracającą wszystko na większy pożytek wybranych swoich. Ustawicznie uciekała się do modlitwy, pomnażając odpowiednio do okoliczności nowenny do Ś. Józefa, adoracje wynagradzające przed Najśw. Sakramentem, czuwania nocne w swojej celi, a potem była spokojną, bo wiara jej mówiła, że Pan Jezus nie może kłamać: „Jeśli prosić będziecie o co w Imię moje, wysłucham was." Gdy zabrakło funduszów na budowę klasztoru, domu sierot, przytułku, Marja od Jezusa zalecała wszystkim siostrom modlitwę. Postulantki rzadko kiedy się zgłaszały, uczuwano brak wyższych powołań, świątobliwa Franciszkanka znów prosi o nie z całą prostotą, a Bóg ją słyszy i daje.

Wiara Marji od Jezusa była zaprawdę tem

---

[1]) Vie du Ludovic de Casoria par l'abbé Le Monnier.

światłem porannem, które podniosło się na niebie, bez chmur i wciąż mnożyło swą jasność, oświecając jej drogę do królestwa wiecznego. Przez wiarę duch jej utwierdził się w Jezusie Chrystusie. Miała bowiem o niej pewność niewypowiedzianą, wykonywała wszystko z niezłomną siłą, mocą i zwycięstwem [1]).

Ludwika D'Arra (D'Arras), 3 Zak. (1906 r.)

Świątobliwa pani d'Arra urodziła się protestantką, 9 lutego 1829 r. ze starożytnej szlachty angielskiej, ale jawnych nieprzyjaciół Papieża. Czuła ona od dzieciństwa dziwny i nieprzeparty pociąg do religji katolickiej i chciała ją bądź co bądź poznać, aby wiedzieć co to za nauka, o której tak źle wszyscy się wyrażali. Mając zdrowy sąd o rzeczy i niezwykłą zdolność rozumowania, a przytem tęskniąc do ideału, jakkolwiek młodziutka, bardzo prędko zauważyła chwiejność i surowość protestantyzmu. Jego świątynie, otwarte tylko w niedzielę, trąciły wilgocią i stęchlizną, a ołtarze bez krzyża, świec i kwiatów nie podnosiły bynajmniej serca do Pana Boga.... czuła się w nich jak w jakiemś strasznem więzieniu. „Przeciwnie zaś, gdy przybywszy do Francji w r. 1839, weszła raz w czasie sumy do kościoła w Bulońsür Mer (Boulogne — sur Mer), doznała uczucia, które już nigdy nie wyszło z jej pamięci. W kilka lat później śpiewała z zapałem pieśń „Zdrowaś Marja". Instynktownie dusza młodej dzieweczki już była katolicką. Pewien zakonnik Redemptorysta zachęcił ją, by nie opierała się łasce Bożej, dostarczył książek wyświetlających naukę Kościoła i obiecał do niej pisywać. Lecz gdy państwo Lechmer (Lechmère) dowiedzieli się o tej korespondencji, gniew ich nie znał granic: ukochaną dotąd córkę swoją obrzucili gradem obelg i zniewag, a wymówki te ciągle się powtarzały. Wobec tego Ludwika postanowiła zmienić swój zamiar i napisała o tem zakonnikowi, ale zaraz następnego dnia odwołując to, zaprosiła tegoż O. Redemptorystę do zamku rodziców, oświadczając tym ostatnim, że zostanie katoliczką. Ojciec jej, wpadłszy w gniew, obszedł się z nią bardzo surowo i zamknął w pokoju, więżąc ją przez cały miesiąc. Rozpoczęły się dla Ludwiki długie dni cierpień: przez kilka lat, oddzielających ją od pełnoletności, rodzice używali wszelkich sposobów, aby córkę odciągnąć od przyjęcia katolicyzmu, zohydzić prawdziwą religję i jej dogmaty. Nie było doświadczeń, któremiby nie próbowali na nią wpłynąć. Wreszcie nadeszła upragniona dla niej chwila. Zaraz nazajutrz po skończeniu 21 lat, Ludwika zrobiła wyznanie wiary przed księdzem Wiesemanem, przyszłym Arcybiskupem Westminsteru i Kardynałem, a nie posiadając się z radości, napisała o swojem szczęściu do państwa Lechmer. Jako odpowiedź otrzymała od nich pogróżki, bolesne wyrzuty i słowa znieważające, a gdy to nie poskutkowało, zostawili ją bez środków i sposobu do życia. „Wówczas, pisała Ludwika, mówiłam sobie, jak niegdyś S. Franciszek Seraficki: „Jeśli rodzice mnie opuścili, Pan mnie nie opuści." Taki stan trwał cały miesiąc, przez który córka Lechmerów żyła z tego, co jej ofiarowano w jałmużnie. Wróciwszy w rok potem do zamku rodzicielskiego, stała się znowu celem wszelkich prześladowań; chciano ją koniecznie zmusić, aby się wyrzekła wiary katolickiej. Ale najstraszniejszą próbą, według jej słów, była śmierć ojca. Wszyscy: matka, brat i siostra, klęcząc przy jego łożu, a później przy trumnie, ze łzami w oczach błagali ją, by wróciła do protestantyzmu; straszna to była chwila dla niej, ale prawdziwa religja zwyciężyła [1]).

Kapucyni.
Mateusz z Leonissy. (1553 r.)

Brat ten wystawił klasztor swego zakonu pod miastem Leonissą. W czasie jego budowy zdarzył się wypadek dowodzący, jak żywą posiadał on wiarę i ufność w Bogu. Pewnego dnia spadł tak wielki śnieg, że trzej bracia, między którymi był i Mateusz, nie mogli iść do miasteczka po jałmużnę. Było to wkrótce po założeniu reformy kapucyńskiej, kiedy wszystkie przepisy reguły, a szczególniej ubóstwa, ściśle obowiązywały, tak że nie wolno było zostawić cokolwiek z żywności na drugi dzień i dlatego bracia nie mieli żadnych zapasów. Odciętym od mieszkań ludzkich groziła albo śmierć głodowa, albo śmierć w śniegu, gdyby próbowali wyjść i szukać śladów drogi. Mateusz, ufny w Opatrzność Bożą, zalecił swoim towarzyszom modlitwę i sam gorąco błagał o wybawienie z niebezpieczeństwa. Lecz cały ranek minął, a pomoc nie nadchodziła. Dwaj towarzysze zaczęli już wątpić, wtem około południa zadzwoniono do furty; zdumieni pobiegli tam, ale przy drzwiach nie było żadnego śladu ludzkiego, tylko cztery bo-

[1]) Vie de la R. Mère Marie de Jésus, des Franciscaines de L'Immaculée Conception, Apôtre du Scapulaire de St. Joseph, par P. Damase de Loisey O. M. C.

[1]) Le Petit Messager de St. François, Décembre 1909.

chenki chleba i garnek z kaszą. Cudowny ten dar podniósł upadających na duchu braci, a Mateusza utwierdził jeszcze mocniej w wierze [1]).

Kapucyni turyńscy.

W roku 1555 Turyn, stolica Piemontu, dostał się w moc Francuzów, którzy, zarażeni po większej części błędami heretyckiemi, rozmaite wyrządzali zniewagi i przykrości Kapucynom. Jeden z nich, oficer, zaczepił raz niegrzecznie kaznodzieję zakonu, idącego z socjuszem do miasta, i zwyczajem sekciarzy począł bluźnić przeciwko religji katolickiej. Zakonnik rozumnemi dowodami zbijał jego zarzuty, lecz widząc że go przekonać nie może, podał mu myśl, aby obaj związawszy razem swoje ręce, włożyli je w ogień, a czyjaby ręka nie opaliła się, po tej stronie będzie prawda. Nie chciał się zgodzić na to heretyk, i zawstydzony, w poczuciu swej bezsilności, uknuł spisek wymordowania całego klasztoru Kapucynów. Rzecz ta nie utrzymała się w tajemnicy: jeden ze znakomitych obywateli turyńskich uwiadomił braci o gotującym się na nich zamachu. Pomimo to synowie Ś. Franciszka uradzili, że nie będą się bronić i z radością poniosą męczeńską śmierć dla Chrystusa. Nocy, w której miano ich napaść, gwardjan zebrał wszystkich braci do kościoła i polecił im gorącą modlitwę za nieprzyjaciół i za siebie samych, a gdy około drugiej godziny dały się słyszeć kroki nadchodzących, kazał otworzyć drzwi kościoła, aby mogli wejść swobodnie. Lecz stało się coś dziwnego! Na widok roztwierających się podwoi, napastnicy, przestraszeni mocą Boską, sądząc że mają przed sobą wojsko ukryte, zaczęli uciekać w największym popłochu, chociaż ich nikt nie gonił. Ocaleni cudownie bracia wyrzucali sobie potem, że samochcąc pozbawili się korony męczeńskiej.

Braciszek z Kamerino.

Pewien bogaty obywatel miasta Kamerino, umierając, osierocił młodą żonę i maleńkiego synka bardzo chorowitego. Biedna matka błagała Boga o zachowanie przy życiu swego maleństwa, które miało być nietylko jej pociechą, ale i materjalną podporą, bo zapewniało majątek mężowski. Lecz prośby jej nie zostały wysłuchane. Zrozpaczona, nie widząc dla siebie innego ratunku, kazała zanieść ciałko do kościoła Kapucynów i złożywszy je u stóp ołtarza, sama ukryła się w kącie, ze łzami błagając litości Bożej. O całem tem zdarzeniu dowiedział się świątobliwy brat kucharz, który dziwnie dobrze umiał łączyć obowiązki Marty z bogomyślnością Magdaleny i każdą chwilę zbywającego czasu spędzał na modlitwie. Znał on jeszcze przedtem młodą matkę i wiedział o jej położeniu, przybiegł więc do kościoła i padłszy krzyżem przy zwłokach, zaczął wołać o miłosierdzie do Pana. — Już dość długo trwała ta jego modlitwa, a chłopaczek nie dawał znaku życia. Nakoniec pobożny braciszek, niezrażony tem bynajmniej, w te odezwał się słowa: „I pókiż, Panie, wołać będę, a nie wysłuchasz? Czyliż nie stałeś się ucieczką naszą w utrapieniu? Czyliż łzy wdowy odtrącisz od siebie? Nie odejdę z przed Oblicza Twego i nie wezmę żadnego pokarmu do ust, aż wrócisz dziecięciu życie, albo mnie także przyjmiesz w pokoju". O dziwna potęgo ufnej modlitwy! Zaledwie skończył mówić, a dziecię najzdrowsze powstało i pobiegło do matki. Widząc to, brat kucharz usunął się jak najszybciej do kuchni, żeby cudu zdziałanego mocą Bożą nie przypisano jego zasługom [2]).

Urban z Manfredony (1578 r.)

Głośny kaznodzieja, brat Urban z Manfredony, miał przed śmiercią straszne pokusy. Nieprzyjaciel dusz ludzkich zarzucał mu, że jego kazania były niezgodne z prawdami wiary świętej. Nie mogąc odzyskać spokoju, umierający prosił, aby mu przyniesiono wszystkie jego kazania, a złożywszy je razem, począł się głośno modlić: „Boże, Stwórco wszystkiego i Badaczu serc! Ty wiesz, że prócz chwały Twego Imienia i pożytku dusz, innego celu w tych pracach swoich nie miałem; jeśli jednak znajduje się w nich coś przeciwnego Kościołowi lub wierze świętej, proszę niech obrócą się w perzynę, a popiół niech wiatry rozniosą. To powiedziawszy, przyłożył płonącą pochodnię do papieru, chcąc wszystko spalić, ale napróżno trzymał ją i przykładał, ogień nie chwytał papieru. Było to jasnem przez samego Boga potwierdzeniem nieskażonej nauki jego kazań. Szczęśliwy ze zwycięstwa odniesionego nad złym duchem, zakonnik z radością pospieszył na wieczyste gody. Ciało jego w cztery lata po śmierci było jeszcze całe [3]).

[1]) Kroniki Kapucynów przez Zacharyasza Boëro. T. I. r. 1553.

[1]) Tamże r. 1555.
[2]) Tamże r. 1563 n. 3.
[3]) Tamże r. 1578.

Antoni z Cinciano (1580 r.)

Tego sługę swego przeprowadził Pan Bóg przez ciężkie doświadczenie. Posądzono go o wielki występek. Antoni w pokorze swej nie tłumaczył się, dopiero gdy spostrzegł, że bracia gorszyli się jego mniemanym upadkiem, postanowił dla dobra ich dusz okazać swoją niewinność i szukał do tego sposobnej chwili. Pewnego dnia usłyszał on, że bracia o nim rozmawiają, podszedł więc do nich i wziąwszy w gołe ręce kilka rozpalonych węgli z kominka, rzekł: „Kochani bracia, jeżeli występek ten rzeczywiście popełniłem, słusznie aby za karę takiej zbrodni ręce te obróciły się w popiół, jeżeli zaś wszystko to jest fałszem, niechaj nic ognia nie poczuję". I trzymał tak ręce z węglami przez cały kwadrans aż pogasły, a nienaruszone ciało dowiodło niewinności Antoniego. W podeszłym już wieku będąc, tenże zakonnik odebrał od Boga nadzwyczajną łaskę: wiadomość o zbawieniu swojem. Umarł w 1580 r., przepowiedziawszy dzień swojej śmierci[1]).

Cz. Jan z Morien (Maurienne) (1614 r.)

Czcigodny Jan żył w jednej z tych chwil krytycznych, kiedy Bóg, według Pisma Świętego, przeprowadza narody przez utrapienia, żeby oddzielić ziarno od plew. Luter, wzywając książąt, aby zabierali majątki klasztorom, a zakonników, aby się żenili, prawie całą północną Europę oderwał od Kościoła. Za jego przykładem Kalwin szerzył herezje we Francji, ale jego protestantyzm był zupełnie inny, zgadzał się z tamtym tylko we wspólnej nienawiści wszystkiego, co katolickie. W owym czasie obaj reformatorzy nie żyli już, ale ich dzieło nie umarło z nimi. Owszem z powodu żądzy bogactw i tytułów, rozbudzonej wśród wielkich tego świata, spólnictwa złych kapłanów, oraz ciemnoty mas, zbuntowanych przeciw Kościołowi i społeczeństwu nadzieją rabunków i rozpusty, herezja coraz dalsze zataczała kręgi w Europie, obdzierając klasztory, przewracając ołtarze, burząc wzajemnie przeciw sobie książąt, a ludy przeciw panującym. Miała wstąpić nawet z Henrykiem IV na tron francuski po zabójstwie Henryka III, (1589 r.); lecz katolicy wzięli się do broni, aby utrzymać fundamentalne prawo królestwa, wyłączające od tronu inowierców. Papież Sykstus V rzucił klątwę imienną na Henryka IV i cała Francja była widownią wojny domowej, która niewiadomo jakby była się skończyła, gdyby Bóg nie zlitował się nad nią i nie nawrócił króla w r. 1593.

W tych czasach tak pełnych zgorszeń i upadków, najsilniejszą podporą Kościoła, najgorliwszą i najmędrszą obroną wiary były zgromadzenia zakonne; wydały one wielką liczbę mężów, potężnych słowem i czynem, których prace i cnoty pocieszały Kościół, wynagradzając mu odstępstwo kilku fałszywych braci. Między innemi zakon Kapucynów może wskazać Jana z Maurienne, szczerze przywiązanego do wiary katolickiej. Nic nie przewyższało miłości i poświęcenia tego brata dla Stolicy Świętej i jego wierności dla świętych kanonów. Nie umiał on wcale wchodzić w układy z błędem i w epoce, kiedy jak to i dziś widzimy, niektórzy katolicy krótko widzący uciekali się do środków przez Kościół potępionych, żaden wzgląd ludzki nie był w stanie nakłonić go do jakiegoś czynu, zdradzającego obawę, ukrywanie się, lub słabość woli. Obcy intrygom i sztuce politycznej, znał tylko zasadę Apostołów: „Lepiej jest słuchać Boga, niż ludzi", a jeśli takiem postępowaniem ściągnął na siebie prześladowanie możnych, to wzamian chlubił się z pierwszymi chrześcijanami, że stał się godnym cierpieć coś dla Chrystusa.

Henryk IV, jeszcze kalwinista, prowadził wojnę z księciem de Majen (Mayenne) dowódzcą Ligi katolickiej. Chcąc się przekonać o wierności drugiego miasta w królestwie, poszedł do Lugdunu i polecił swemu kanclerzowi, aby zgromadziwszy duchowieństwo miejskie i przełożonych różnych klasztorów, nakazał im odprawić publiczne modły w celu uproszenia dlań zwycięstwa. Kilku kapłanów, lękając się gniewu króla, spełniło, czego od nich żądano. O. Jan tymczasem odpowiedział, że wszelka modlitwa publiczna za heretyka, lub wyklętego jest naruszeniem przepisów kościelnych i dodał, że tak jego podwładni, jak i on sam gotowi są raczej wszystko wycierpieć, aniżeli złamać prawo. O stałość tę rozbiły się wszelkie usiłowania urzędników królewskich. Wieczorem tego dnia sam kanclerz przybył do klasztoru i próbował dobrocią i złością wpłynąć na sługę Bożego. Wreszcie widząc, że to zostaje bez skutku, rozkazał, aby jak najprędzej wraz z braćmi opuścił klasztor. „Wola monarsza będzie spełnioną, odrzekł Jan z Maurienne. Cały świat jest dla nas miejscem wygnania. By nie naruszyć praw Kościoła, zgadzamy się jak najchętniej nietylko wyjść z tego miasta i królestwa, ale umrzeć nawet. Zbierzemy się na głos dzwonu i natychmiast wychodzimy." W rzeczy samej nazajutrz raniutko O. Jan zwołał zakonników, stanął na ich czele

[1]) Tamże r. 1530.

i poprzedzony krzyżem, poprowadził wszystkich z klasztoru, śpiewając psalm 113. Król, którego śpiew przechodzących pod oknami obudził, dowiedziawszy się, że to Kapucyni z jego rozkazu opuszczają swoją siedzibę ze śpiewem „In exitu Israel de Aegypto. — Gdy wychodził lud izraelski z Egiptu", kazał im wrócić do siebie i nie mieszać mu nocnego spoczynku. Od tej chwili nie niepokoił ich więcej swojemi wymaganiami, a powiadają, że po nawróceniu często wspominał o O. Janie, dając go za przykład stałości i ewangelicznego posłuszeństwa [1]).

Antoni z Rossinjano (Rossignano) (1646 r.)

W roku 1607 braciszek kapucyński, Antoni z Rossignano, towarzyszył dwóm misjonarzom ze swego zgromadzenia na misjach w Pragelato. Widząc wielkie owoce pracy sług Bożych, szatan pobudził dwóch luterskich predykantów, by wyzwali ich na rozprawę publiczną. W obawie zawstydzenia, sprowadzili oni z Genewy jeszcze jednego towarzysza i wraz z nim gardłując, miotając różne kłamstwa, nie dali ani ust otworzyć zakonnikom. Według nich takie załatwienie sprawy było zwycięskie i bardzo się tem chwalili. Wśród katolików panowała boleść i smutek. Wtedy to brat Antoni przyszedł do gubernatora z prośbą, aby jemu, chociaż nieuczonemu, pozwolił zaświadczyć o prawdziwości religji katolickiej, w tym zaś celu by kazał zwołać znakomitszych w okolicy katolików i protestantów i wobec nich zapalić duży stos na placu; w ogień wskoczy on z predykantem, a który z nich wyjdzie cało z tej próby, tego religja jest święta i jedyna prawdziwa. Gubernator, gorliwy katolik, przyjął z radością tę propozycję, ale predykant, usłyszawszy o co chodzi, wyniósł się jak najprędzej z okolicy, ku wielkiemu zawstydzeniu swoich stronników. Braciszek syt chwały i zasług umarł niezadługo, mając lat 81, a zakonnych 53. Pamięć o nim trwała długie lata.[2])

Bonawentura z Kilkenny (1649 r.)

Ojciec ten zostawił nam wzór heroicznej wiary, bo z narażeniem życia bronił jej i opowiadał ją wiernym. Za jego czasów protestanci angielscy uciskali wiernych Irlandczyków, odmawiali im wszelkich praw, więzili i gnębili w najstraszniejszy sposób, spodziewając się, że wymogą tem na nich odstąpienie od religji katolickiej i od Papieża. W tych prześladowaniach ducha, dzielną pomocą uciśnionym był O. Bonawentura, który, nie lękając się gniewu nieprzyjaciół, umacniał wiernych, uczył jak mają się bronić, walczył z szerzącemi się błędami, starając się ze wszystkich sił o czystość wiary Chrystusowej. Gdy tak pracował, schwytali go heretycy i osadzili w więzieniu, a potem skazali na wygnanie. Bonawentura wrócił jednak niezadługo do ojczyzny, za nic sobie mając niebezpieczeństwo. Znowu odkryty i uwięziony po strasznych katuszach dostał się do okropnego więzienia: było ono tak ciasne, nizkie i ciemne, że nie mógł się w niem ani wyciągnąć na podłodze, ani stanąć na nogach, tak że musiał zawsze być zgarbionym i skurczonym, a w dodatku zostawać ciągle w okropnych ciemnościach. Nieludzka ta męka trwała półtora roku; przez ten czas pilnujący żołnierze nie usłyszeli od więźnia żadnej skargi, przeciwnie z ust jego wychodziła tylko modlitwa i pieśni pobożne. Po wyjściu z tego lochu świątobliwy Kapucyn, jakkolwiek złamany na siłach, wziął się na nowo do pracy apostolskiej: nauczał, umacniał w wierze prześladowanych i tak do końca pędził życie swoje dla chwały Bożej i tryumfu Kościoła katolickiego.[1])

Tiakro Tobin z Kilkenny (1654 r.)

Był to jeden ze znakomitszych obrońców wiary św. w Irlandji. Urodzony w domu zacnym i pobożnym, patrząc na ucisk swoich, powziął zamiar wstąpienia do zakonu, aby otwarcie walczyć z prześladowcami religji katolickiej. W tym celu udał się do Francji, gdzie zapukał do Kapucynów, a przeszedłszy studja teologiczne i wyćwiczywszy się w cnotach, wrócił, za pozwoleniem władzy zakonnej, w charakterze misjonarza apostolskiego do kraju. Zaraz na wstępie musiał złożyć ofiarę z ubrania swego i przebrać się w świeckie suknie, a nie zważając na karę i męki, jakie go czekały w razie schwytania, przybył do miasta irlandzkiego Kilkenny. Obecność jego była prawdziwie opatrznościową, bo panowało tam morowe powietrze i wielu katolików schodziło ze świata bez pomocy religijnej. Sługa Boży chodził więc od wsi do wsi, od miasta do miasta i wyszukiwał nieszczęśliwych, służąc im we dnie i w nocy. A nie tylko szedł do łoża katolików, ale i heretykom oddawał usługi. Gdy zaraza ucichła, O. Tiakrio, spragniony zbawienia dusz, puścił się dalej w

[1]) Vie du P. Jean de Maurienne par l'abbé Truchet. [2]) Annali Cappuccini dal Pelegrino da Forli V. II an 1646.

[1]) Ibidem an 1649.

głąb kraju, ratować i podtrzymywać prześladowanych za wiarę ziomków. Nie zważał na trudy i niebezpieczeństwo, jakie mu wszędzie groziło, przekradał się do siedzib katolików, słuchał spowiedzi, udzielał Sakramentów ŚŚ. i odprawiał Najświętszą Ofiarę, a umocniwszy wiernych w jednem miejscu, szedł dalej, zmuszony ciągle wykręcać się z sideł, jakie nań władze protestanckie zastawiały. Pomimo jednak wielkiej ostrożności, kilka razy chwytano go, wtrącano do więzienia, wreszcie kazano mu się wynosić z Irlandji. Gorliwy misjonarz wracał po niejakim czasie i znowu swoje robił, w końcu jednak uległ sile mocniejszego. Schwytany przez szpiegów po strasznem skatowaniu dostał się do więzienia. Gdy sędziowie zapytali go, kim jest, odpowiedział śmiało, że jako kapłan i Kapucyn wyznaję wiarę katolicką i spełnia swój urząd między współwyznawcami. Odważna ta odpowiedź ściągnęła nań wyrok śmierci od miecza. Kiedy jednak z radością wyglądał owej szczęśliwej chwili, zaprowadzono go do portu, skąd musiał jechać na pewną wysepkę i tam zostawiono go samego, by w opuszczeniu od ludzi, bez żywności i dachu nad głową umarł powolną śmiercią. Zgon jego nastąpił w r. 1654.[1])

Hieronim z Korleonu (1717 r.)

Wiara brata Hieronima kierowała jego życiem. Nauki Pana Jezusa o Opatrzności, o potędze modlitwy, o władzy jakiej udzielił uczniom swoim nad żywiołami, brał dosłownie i zastosowując się do nich, sam rozkazywał naturze i innym toż czynić zalecał, „Chcecie wiedzieć, mówił, dlaczego nie robicie cudów? Oto dlatego, że brak wam wiary". Pewnego dnia O. Leon z Palermo, wikary klasztoru infirmerskiego w tem mieście, polecił Hieronimowi użebrać oliwy na potrzeby domu. Braciszek, wyszedłszy, jak zwykle, na kwestę, spotkał kupca, który kazał mu co prędzej iść do swego sklepu i wziąć żądaną oliwę. Lecz Hieronim miał tylko sakwę z płótna na plecach, prosił więc o zaczekanie, aby mógł przynieść z klasztoru blaszany dzbanek. „Nie zwlekaj braciszku", odpowiedział dobrodziej; „w sklepie pełno jest kupujących, a oliwy niewiele, jeżeli przyjdziesz zapóźno, możesz już nic nie zastać". Hieronim udał się szybkim krokiem do sklepu, a widząc, że oliwa prędko się rozchodzi, zażądał aby póki jest jeszcze, dano mu taką a taką ilość. „Dobrze, powiedział subjekt, ale w co mam ją wlać?" — W moją sakwę po obu jej stronach, odparł braciszek. Wszyscy obecni wybuchnęli głośnym śmiechem. „Śmiejcie się, śmiejcie, zawołał, gdybyście mieli wiarę, nic wasby to nie dziwiło. Niech pan leje bez obawy, a przekona się, że miałem słuszność". Nalano tedy oliwy do sakwy, napełniono nią obie jej części, a kropla nawet nie przeciekła. Hieronim zarzucił ją sobie na ramiona i poniósł do domu. Brat Jan Andrzej, jego socjusz w tym dniu, całe to zdarzenie zeznał pod przysięgą, dodając, że sakwa nie zachowała najmniejszego śladu od tłustości, przeciwnie była tak czysta, jakby ją tylko co wyprano.

Uzdrawia chorą.

Innym razem sługa Boży uczynił cud na rozkaz przełożonych. Jadący do Sycylji namiestnik królewski, książę de Véraguas, o mało że nie utonął wśród burzy wraz z całym okrętem. Dzięki tylko opiece Najświętszej Panny, której wicekról ślubował wystawić kaplicę, okręt, chociaż z połamanemi masztami, wpłynął do portu, ale księżna de Véraguas zachorowała bardzo niebezpiecznie. Najzdolniejsi lekarze nie wiedzieli już co robić. Wtedy jeden z mieszkańców Palermo opowiedział stroskanemu mężowi o Hieronimie, jak żywą, a skuteczną posiada on wiarę w Boga. Wezwano więc natychmiast braciszka kapucyńskiego. Przybiegł z pośpiechem i pełen nadziei, że Stwórca może nietylko uzdrowić, ale i wskrzesić z martwych. Stanąwszy u łoża chorej, wezwał Najświętszych Imion: Jezusa i Marji, poczem uczynił nad nią znak krzyża świętego końcem swego paska i rozkazał chorobie ustąpić. I oto jeszcze nie wyszedł był z pałacu, kiedy księżna odzyskała zmysły i mówiąc, że czuje się zdrową, poprosiła, aby jej dano co do zjedzenia. Wiadomość o tym cudzie szybko rozniosła się po całem Palermo, lecz mieszkańcy tak byli do tych rzeczy przyzwyczajeni, że nic się już nie dziwili, co zaś do wice-króla, powziął on szczególniejszą cześć i miłość dla pokornego braciszka.

Otrzymuje cudowny owoc.

Jan Chrzciciel Spadafora, palermitanin szlachetnego rodu, wyszedłszy z ciężkiej choroby, udał się do Monreale, aby tam prędzej przyjść do zdrowia. Na nieszczęście zapadł po raz drugi w tę samą chorobę, a skoro doktorzy oświadczyli, że medycyna nie posiada żadnego już środka, posłał jednego ze swoich paziów do O. Prowincjała z prośbą, aby mógł się widzieć z bratem Hieronimem z Korleonu. Kiedy braciszek wchodził do

[1]) Ibidem.

pokoju, dostojny palermitanin powitał go słowami: „Ach jesteś nareszcie, mój dobry braciszku, cieszę się mocno, że cię widzę; ufam że mi przyniosłeś z ogrodu waszego jaki owoc, któryby mnie trochę orzeźwił?“ — „Niestety, że nie! Jakże pan chce teraz owoców; mamy dopiero luty i drzewa są gołe bez liści“. Chory jednak obstawał przy swojem, a brat Hieronim, przypomniawszy sobie, że będąc raz przeniesionym w duchu do raju ziemskiego, widział w nim jakieś cudne owoce, zamierzył z gorącą wiarą poprosić Pana Boga o jeden z nich dla swego chorego. Wyszedł więc na chwilę z pokoju, westchnął serdecznie i zaraz w pierwszej sieni zobaczył gałąź z liśćmi, a wśród nich owoc o bardzo miłej woni, podobny do śliwki, ale znacznie większy. Uszczęśliwiony przyniósł ów owoc choremu: „Oto, zawołał, Pan Bóg przysyła ci ten owoc rajski przez swego anioła, przyjrzyj mu się i jedz z weselem, gdyż on cię zupełnie uzdrowi“. Rzeczywiście jak tylko Spadafora spróbował tego owocu, został całkiem uleczony. Odtąd przechowywał on starannie pestkę z owocu rajskiego i przywrócił nią zdrowie kilku ze swoich przyjaciół. Później, sądząc, że to będzie jakby drzewo żywota i że wszyscy chorzy znajdą w niem lekarstwo, wsadził pestkę do doniczki; ale pomimo największego starania nic nie wypuściła. Po kilku miesiącach, chcąc się o jej losach dowiedzieć, wyjął z doniczki i przesiał bardzo ostrożnie wszystką ziemię, ale nic nie znalazł. Całą tę historję opowiedział on wobec świadków i pod przysięgą.

Naprawia chwilową nieufność.

Jednego roku w mieście Dżirdżenti (Girgenti) był wielki brak wina. Hieronim, jako kwestarz, musiał choć trochę użebrać dla zakonników, ale przychodziło mu to z niemałą trudnością. Raz np. zbliżało się już południe, a w jego cynowej bańce nic jeszcze nie było, wszedłszy tedy do pewnej pani, nazwiskiem Aniela Monastra, opowiedział jej swoje strapienie. Pani ta współczuła z nim, lecz mając sama niewiele, kazała mu dać jedną tylko szklankę wina. „Cóż to znaczy dla całego klasztoru,“ mówił sobie Hieronim i nie przyjął tak szczupłej jałmużny, ale podziękowawszy jak najuprzejmiej dobrej chrześcijance, poszedł dalej ze spuszczoną głową. Lecz zaledwie uczynił kilka kroków, poznał swój błąd nieufności w opiekę Bożą, oraz niegrzeczności względem zacnej dobrodziejki, odrzucając jałmużnę dlatego jedynie, że była za szczupłą. Wrócił się więc natychmiast i bardzo pokornie poprosił o wino, które mu dawano, a którego nie chciał przyjąć. Służąca udała się skwapliwie do piwnicy, ale jakżeż się zdziwiła, zobaczywszy baryłkę przedtem prawie pustą, napełnioną do wierzchu drogocennym płynem. Nalała przeto całą bańkę bratu Hieronimowi i jeszcze dużo zostało się dla gospodyni. Pan Bóg pospieszył mu w czasie właściwym z pomocą, której wyglądał od Jego Opatrzności [1]).

Ś. Weronika Dżuljani (Giuliani) (1727 r.)

O żywej wierze Ś. Weroniki sam Bóg zaświadczył, wyrażając na jej sercu literę F. oznaczającą wiarę (fides), jak ona sama za życia to wyjaśniła, a o czem po jej śmierci naocznie się przekonano. Mając Boga zawsze przed sobą, święta dziewica urządzała wszystkie zajęcia swoje pod wrażeniem obecności Bożej, w której odczuwaniu przechodziły jej dni całe. „Często Zbawiciel mój, pisała w dzienniku swoim, stawał przy mnie w taki sposób, jak gdyby istotnie jaka osoba, czułam Go i tą obecnością Jego wzmocniona, w krótkim czasie robiłam rzeczy, które całych dni wymagały.“ Z tego rozumieć można, jak życie najczynniejsze mogło się w niej łączyć z nieustannem prawie zatapianiem się w Bógu. Co zaś do tajemnic wiary, z wielką radością i często o nich mówiła naprzód z nowicjuszkami, a potem gdy była opatką, ze wszystkiemi zakonnicami, ale słuchać nie mogła, gdy się o nie spierano. Pytającym, dlaczego? odpowiadała, że są to rzeczy, w które wierzyć trzeba, nie zaś zgłębiać. Jakkolwiek była prostą niewiastą, mówiła o tajemnicach wiary i o doskonałościach Bożych jak najuczeńszy teolog. Dlatego powszechne było mniemanie między siostrami, że przez usta opatki sama Najświętsza Panna do nich przemawia.

Niezmiernie gorące było jej pragnienie, aby się wiara święta po całym świecie rozszerzyła; gdyby to od niej zależało, chciałaby była chodzić po wszystkich krajach pogańskich, aby ją opowiadać i własną krwią stwierdzić jej prawdę. Dnia pewnego, gdy nadzwyczajnym spowiednikiem klasztoru był sławny O. Crivelli, misjonarz jezuicki, prosiła go Weronika, ażeby kiedy w obecności zakonnic miał kazanie, w któremby wzywał wszystkich pogan, turków, heretyków, aby się nawracali do wiary świętej. — Na co się to przyda, rzekł kapłan, gdy wzywani słyszeć nie mogą?“ Pomimo to jednak spełnił jej życzenie i powiedział taką naukę, że mógł ją był powtórzyć

[1]) Vie du serviteur de Dieu Fr. Jerôme de Corlèone par Arsène de Chatel, Cap.

wobec najdzikszych ludów Indji. Weronika słuchała go z nadzwyczajną radością. Zdawało się jej, że to ona sama tak rozprawia do tych pogan i że istotnie wielu nawróciła. Aby zaś choć w części zaspokoić wielką żądzę męczeństwa, nieraz ale szczególniej w nocy poprzedzającej dzień Ś. Wawrzyńca djakona, szarpała sobie ciało i dręczyła je różnemi umartwieniami, błagając Świętego Męczennika o nawrócenie wszystkich ludzi.

Jej ufność.

Cnota nadziei nie wyłącza wcale obawy co do wiecznego zbawienia. Owszem, słabość i zepsucie naszej natury powinny nas napełniać tą bojaźnią, a przytem rodzić nadzieję, całą opartą na Bogu. Taką właśnie nadzieję miała Święta Weronika. W jednym jej liście do biskupa Kodebo czytamy: „Oby Najświętsza Panna wyjednała zbawienie dla duszy mojej.. Zawsze drżę i lękam się". Ale to właśnie, że się sama o siebie lękała, podnosiło ją do najwyższej ufności w miłosierdzie Boże, dlatego często śpiewała sobie psalm 135: „Wyznawajcie Panu, bo dobry jest: bo na wieki miłosierdzie Jego". Z tej ufności nietylko rodziło się w niej spokojne oczekiwanie, ale nawet żywe pragnienie śmierci. Jeśli się wstrzymywała od proszenia Boga, aby ją zabrał z tego świata, to jedynie dlatego, aby więcej cierpieć, a pragnienie to powiększało w niej coraz bardziej nadzieję nagrody, jaką Bóg obiecuje za cierpienia. Bohaterska ufność Weroniki jaśniała szczególniej w pokusach, któremi ją szatan dręczył. Razu pewnego rzekł do niej: „Jesteś naszą! jesteś naszą!" Ale ona żartując z niego, odpowiedziała: „Jeślim wasza, poco mię kusicie?" Pisma Świętej wskazują nam, jak walczyła z duchami ciemności. Bronią jej była pokora, uniżanie się wobec Majestatu Boskiego i zatopienie się w Jego doskonałościach. „Im więcej, są jej słowa, zagłębiam się w wielkości Bożej, tem więcej przybywa mi odwagi do walczenia przeciwko całemu piekłu." Stoję mocno wiarą w Bogu, bo On jest potężny. Ufam, bo On walczy za mnie; Jego istność nieskończona to chwała moja." Mając tyle wprawy do odpierania pokus, niedziw, że umiała dopomagać i innym, gdy się znajdowali w tego rodzaju walkach. Siostra Floryda Ceoli, która żyła z Weroniką przez 24 lata i była jej następczynią, zeznała w procesie beatyfikacyjnym, że gdy jeszcze jako nowicjuszka odprawiała w r. 1703 w Wielki tydzień dyscyplinę razem ze swoją mistrzynią, szatan, chcąc ją odwieść od tego umartwienia, mówił jej, że to wszystko niepotrzebne, bo już jest potępioną i piekło otwarte przed nią stoi. Rozpłakała się, a Weronika poczęła ją uspakajać: Nie bój się, mówiła, ufaj; szatan jest kłamcą, wszystko co ci pokazuje złudzeniem jest". Kilka tych słów tak podziałały, że natychmiast się uspokoiła.

Taż sama zakonnica w swoich zeznaniach przypisuje heroicznej ufności Weroniki obfite wsparcia i jałmużny, jakie otrzymywał klasztor przez cały czas jej przełożeństwa. W chwili gdy obejmowała ten urząd, interesa klasztoru były w jak najopłakańszym stanie, obciążony był długami, brakło mu wszystkiego; święta opatka naprawiła to, popłaciła długi, powiększyła zabudowania i zaopatrzyła zgromadzenie we wszystkie rzeczy potrzebne [1]).

Bł. Marja Magdalena Martinengo (1737 r.)

Fundamentem cnót tej Błogosławionej była żywa wiara. Wiarę uważała ona za największe dobrodziejstwo Boże. „Wierzcie mi, drogie siostry, mówiła często do swoich towarzyszek, że nigdy nie potrafimy dość ocenić jak wielkim jest dar wiary i dlatego powinnybyśmy dzień i noc bez ustanku dziękować dobroci Bożej za tę łaskę". W świetle wiary powołanie do życia zakonnego jest najprzedniejszym darem. Marja Magdalena miała to ciągle w pamięci i sama z wielką wdzięcznością dziękowała Bogu i pobudzała nowicjuszki, aby gorąco dziękowały za swoje powołanie do Kapucynek. „O! moje siostry, wołała w takich razach. Iluż pogan, siedzących w ciemnościach bałwochwalstwa, byłoby wierniejszych, aniżeli my, gdyby łaskę wiary św. odebrali!" Myśl o tych nieszczęśliwych, pozbawionych światła prawdziwej religji, przejmowała ją współczuciem i rozbudzała w jej sercu wielką żarliwość o dusze. Byłaby pragnęła, na wzór apostołów, jechać za morza by zanieść im dobrą nowinę, a nie mogąc tego uczynić, mówiła gorącem sercem do Pana: „Czemuż, o Boże mój, nie wolno mi wszystkich dusz pociągnąć do Ciebie? Czemuż nie mogę przywieść ich do prawdziwej wiary, do Kościoła katolickiego!" A twarz jej i cała postawa wyrażała wtenczas ten ogień wewnętrzny, jaki ją trawił. Siostry, słuchające ją widziały, jak nieraz wpadała w zachwycenie. Jedna z nich zaświadczyła w procesie beatyfikacyjnym, że święta dziewica używała zawsze dziwnie silnych wyrazów do określenia wielkości Boga, np. Bóg — Istota niewypowiedzianie wielka, Ocean niezmierzony, nieskończona Mądrość, Ogrom niepojęty, zadziwiają-

[1]) Żywot Ś. Weroniki Giuliani.

ca Wszechmoc, itp. zaś przy wymawianiu ich była tak głęboko skupioną, że trudno było nie widzieć jej przejęcia się Bogiem.

Pragnie męczeństwa.

To silne uczucie wielkości Boga i ocenianie daru wiary zapalały w duszy Błogosławionej pragnienie wylania krwi dla Chrystusa. Jeszcze będąc pensjonarką w klasztorze Najśw. Panny Anielskiej marzyła o tem, jakby udać się na pustynię i tam umartwieniami i ostrą pokutą zdobywać dusze niewiernych. Pewnego wieczora podczas rekreacji odezwała się do nowicjuszek: „Gdyby kiedy poganie napadli na nasz klasztor, wyszłabym pierwsza naprzeciwko nich, zatrzymując się tylko chwilę, jeśliby to było można, żeby sobie twarz pociąć nożyczkami dla zabezpieczenia cnoty“. I aby umocnić w swoich nowicjuszkach takie przekonania, dawała im przykłady Świętych dziewic, które, widząc się w niebezpieczeństwie, bez namysłu ten czyn bohaterski spełniły. Słysząc to, jedna z nowicjuszek odrzekła, że nie czuje się gotową do tego czynu, lecz Marja Magdalena rozwinęła wtedy taką żarliwość rozumowania, przemówiła z tak żywą wiarą, aż nowicjuszkę przekonała.

Naśladuje świętych Męczenników.

Z gorącej żądzy przelania krwi za wiarę budziła się w niej pewna zazdrość względem świętych Męczenników. Za każdym razem, gdy na Primie czytano Martyrologjum, ową złotą księgę Kościoła katolickiego, doświadczała pragnienia, aby podobnie jak oni cierpieć. Serce jej było wtedy rozpalone, a zakonnice które obok niej stały i którym wiadome było jej usposobienie, widziały, że twarz jej to bladła, to płonęła. Pewnego dnia, gdy akolitka, ogłaszając uroczystość ŚŚ. Kryspina i Kryspinjana, przeczytała w paru słowach ich męczeństwo, Marja Magdalena uczuła wewnętrzną chęć uczestniczenia choćby w jakimkolwiek stopniu w tej katuszy. Usunęła się przeto na samotne miejsce, a wsadziwszy sobie szpilki za paznogcie u rąk i nóg, trzymała je tak przez trzy godziny i tylko obawa, aby siostry tego nie spostrzegły, skłoniła ją do ich wyjęcia. Z ust jej wyrywały się często słowa: „O poszłabym chętnie pomiędzy dzikich, aby ponieść śmierć za wiarę“. Infirmarka, pielęgnująca ją w ostatniej chorobie, słyszała, jak słabym już głosem powtarzała wśród silnych krwotoków gardlanych: „O Boże, z jakąż radością oddałabym tę krew moją na świadectwo wiary“.

Wielka ufność Błogosławionej.

Nadzieja jest siostrą wiary. Ta przywiązuje nas i jednoczy z Bogiem, źródłem wszelkiej prawdy; tamta odkrywa przed nami skarby ukryte w głębokościach bóstwa, wyrywa niebu balsam, kojący wszelką boleść, miarkuje wszelkie cierpienie, a sprowadza pokój i radość do serc wybranych. Słowa i uczynki Marji Magdaleny są odblaskiem jej ufności. W pokorze swojej uważała się za pozbawioną wszelkich osobistych zasług, ale jednocześnie ufała bez granic zasługom Męki Chrystusa Pana. Jeszcze przed wstąpieniem do zakonu zaręczała swemu ojcu, że zostanie świętą. „Mój ojcze, mówiła później do spowiednika, ja tak ufam miłosierdziu Bożemu, że zdaje mi się jakbym jedną nogą była już w niebie“. Nic i nigdy nie zdołało zachwiać tego jej usposobienia, a chociaż czasami odzywała się trwożliwie, było to wrażenie chwilowe, mimo jej woli w duszy powstające. Pewnego razu jedna z zakonnic, Matka Marja Weronika, do której Błogosławiona miała wielkie zaufanie, zapytała ją o jej stan wewnętrzny: „W nocy, odrzekła Święta, napastują mnie potwory piekielne, strasząc, że w piekle mię oczekują“. A kiedy ta przerażona dodała: „I nie boisz się, siostro, być samą i bez światła?“ — „Nie, droga Matko, ukrywam się w Ranach Zbawiciela, a tam jestem bezpieczna“. W tych to Ranach Bł. Kapucynka czerpała nadzieję dla wszystkich swoich zamiarów i postanowień. Spowiednik wątpił nieraz, czy będzie mogła spełnić nadzwyczajne umartwienia, ostrości, o które prosiła, lecz wtedy z wielką ufnością przypominała mu te słowa Św. Pawła: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia“. Mawiała do sióstr, że nieraz padłszy krzyżem na ziemię, leży tak nic nie mówiąc, boć Pan Bóg wie wszystko, sama jej postawa błaga Go o łaskę potrzebną i czuje wtedy w sobie tak silną ufność, że ani na chwilę nie wątpi, iż otrzyma przedmiot swoich pragnień, opierając się na słowach Boskich, które ciągle rozlegają się w jej duszy: „Ufaj, córko, niech ci się stanie, jakoś uwierzyła“. Piękna ta cnota ożywiała całe jej życie i podtrzymywała w uciskach. Słyszano ją często mówiącą: „O nadziejo niebiańska, tyle dajesz, ile kto ufa; zawsze na tobie wspierać się będę“. Nie lękała się też nigdy śmierci, owszem ile razy rozmowa schodziła na ten przedmiot, Marja Magdalena promieniała, uśmiech okrywał jej twarz, a z piersi wyrywało się gorące westchnienie. Słyszano ją często, jak mając oczy w niebo utkwione mówiła ze wzruszeniem: „O Boże mój, weź mię, zabierz mię z tego świata“.

Pobudza innych do ufności.

Święta dziewica zachęcała też innych do najgłębszej nadziei w miłosierdziu Boskiem i jeżeli ktokolwiek przy niej odzywał się z powątpiewaniem, odpowiadała: Pan Bóg nic nie odmawia nikomu, kto Go prosi z ufnością. Ufając silnie, stajemy się uczestnikami wszechmocy Bożej. „Gdybym miała umrzeć w tej chwili, rzekła raz jednej siostrze, która się bardzo bała śmierci, rzuciłabym się w objęcia Boże, jak dziecko w ramiona ojca, nie obawiałabym się niczego". Do innych, lękających się o swoje zbawienie z powodu swych wad i namiętności, mawiała: „Więc żałujcie, upokarzajcie się, oddajcie się Bogu najlepszemu takie, jakiemi jesteście; ufajcie mocno, a zbawi was. Powtarzajcie często: „W Tobie, Panie, nadzieję położyłam, niech nie będę zawstydzona na wieki!"

Pan Bóg dawał Błogosławionej jakby cząstkę swej władzy w uspakajaniu pokus przeciwko nadziei. Jedna z Kapucynek zwierzyła się jej z pokusy zwątpienia, a zaledwie Święta powiedziała kilka słów pełnych gorącej ufności, pokusa całkiem ją opuściła. Gdy zaś po śmierci Magdaleny opadły ją znowu te same myśli, zmarła, ratując swą córkę duchowną, z takiem zaufaniem szukającą niegdyś u niej rady, ukazała się jej we śnie i rzekła: „Bądź spokojną i ufaj, będziesz i ty oglądała Boga, na którego patrzę bez zasłony". Od owej chwili dusza ta uspokoiła się na zawsze.

Jedna z nowicjuszek, zmartwiona, że w rodzinie jej panowała niezgoda, poleciła tę sprawę Błogosławionej, która odrzekła jej na to: „Chcę żebyś sama wstawiała się do Boga w tej rzeczy. Mów z ufnością i prostotą: „Panie mój, proszę Cię i żądam koniecznie tej łaski, a jeśli chcesz zadosyćuczynienia, to ześlij na mnie karę". Po chwili przerwy dodała: „Mów te słowa, siostro i powiedz Panu Jezusowi, że ja kazałam ci je powtarzać i nie lękaj się niczego". Nowicjuszka spełniła radę swojej świętej Mistrzyni i oto w tym samym czasie, kiedy się tak modliła, krewni jej niespodzianie pojednali się ze sobą. Był to, jak wszyscy osądzili, skutek heroicznej ufności Błogosławionej[1]).

Cz. Jezuald z Reddżo (Reggio) (1803 r.)

Czcigodny Jezuald był wzorem zakonnika franciszkańskiego: ufał i wierzył Opatrzności. Pewnego dnia, w czasie jego gwardjaństwa, wyczerpały się ostatnie zapasy i brat szafarz nie miał co podać do stołu. Jezualda nie zmartwiła bynajmniej ta wiadomość, z całym spokojem udał się do refektarza, gdzie się już wszyscy zakonnicy zebrali i usiadł na swojem miejscu. Nakrycie było przygotowane, chociaż w kuchni nic się tego dnia nie gotowało. Nagle głos dzwonka u furty klasztornej dał się słyszeć. I o dziwo! Cztery muły objuczone zapasami żywności, a nawet wykwintnemi przysmakami, ujrzano przed bramą, a pachołek wiodący je oznajmił, że jest to dar pewnej pobożnej pani dla OO. Kapucynów, zakazano mu jednak wymieniać jej nazwisko.

Innym razem w skwarne lato, kiedy wszystko wyschło doszczętnie w ogrodzie, tak samo zdarzyła się chwila zupełnego wyczerpania śpiżarni klasztornej i nie było z czego przyrządzić obiadu. Wtem Jezuald rzekł do brata, dozorującego nad kuchnią: „Idź bracie do ogrodu i przynieś jarzyn, z których wnet doskonałą zupę mieć będziemy". Zdziwiony zakonnik usłuchał w milczeniu, wzruszając tylko ramionami, bo rozporządzenie to wydało mu się dziwnem, wobec zupełnego braku warzywa. Był on pewny, że nawet najnędzniejszego korzonka nie znajdzie, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy spostrzegł grządki zielone i mógł istotnie nazbierać spory zapas warzywa.

Przeprawia się cudownie przez fale.

Pewnego dnia Czcigodny Jezuald miał mieć kazanie w Messynie na wyspie Sycylji. Tymczasem w dniu oznaczonym zerwała się szalona burza i podróż morska okazała się niemożliwą. W Messynie przestano już oczekiwać kaznodziei i musiano pogodzić się z myślą, że uroczystość odbędzie się bez kazania. Z radością jednak i zdumieniem ujrzano O. Jezualda na ambonie, a potem dowiedziano się, że przybył w sposób cudowny, gdyż rzuciwszy płaszcz swój na fale, przepłynął szczęśliwie podczas takiej nawałnicy, że żaden z rybaków nie odważyłby się puścić w drogę na łodzi.

To samo powtórzyło się raz jeszcze. Przewoźnicy między miastami Galliko i Kataną wymagali od Jezualda tak wygórowanej sumy, że czcigodny gwardjan złożył całą swą ufność w Bogu i nie namyślając się, użył jako tratwy swego płaszcza. Zadziwieni przewoźnicy, widząc ten cud błagali, aby świątobliwy mąż zechciał zadarmo korzystać z ich łodzi, na co odpowiedział: „Spieszno mi, więc wolę już płynąć na mojej

[1]) Vie de la Bienheureuse Marie Madelaine Martinengo par le R. P. Ladislas de Vannes, Capucin.

Ś. FRANCISZEK WPROWADZA WILKA DO MIASTA GUBBIO.

wątłej tratwie, gdyż wy znacznie później przybędziecie". W istocie dotarł prędko do brzegu, a przewoźnicy płynęli wślad za nim, nie mogąc go dogonić. Jako naoczni świadkowie opowiedzieli ten fakt wszystkim [1]).

Izajasz Volpi (1830 r.)

Złożywszy profesję, Izajasz Volpi rozpoczął zwykłe studja naukowe, w których świetne postępy czynił. Jednakże silne cierpienie oczu, zagrażające nawet utratą wzroku, rodziło poważne niebezpieczeństwo porzucenia nauki z wielką krzywdą dla Izajasza i dla całego zakonu. W tej przykrej niepewności zwrócił się młody kleryk do Franciszka z Pontedecimo, który był jego nauczycielem i odebrał od niego odpowiedź, aby, nie porzucając nauk, wszystką ufność w Bogu położył, a wówczas doświadczenie to obróci mu się na dobre. Usłuchał go Izajasz, stracił na zawsze chorobę i studja swoje jak najchlubniej ukończył.[2])

Marja—Antoni z Lawor (Lavaur) (1907 r.)

Wiara Ojca Marji-Antoniego niedość, że poruszała tłumy, lecz wyrywała Bogu cuda. Jak przedtem Ludwik Diupą (Dupont), tak samo i on był zdania, że należy rozkazywać Panu Bogu. Zwłaszcza gdy się znalazł w Lourdes, umiał tak wpływać swoją wymową na obecnych, że wszyscy ożywiali się temi samemi uczuciami. Oto jeden z wielu przykładów: W r. 1866, podczas pielgrzymki narodowej na to cudowne miejsce, słynny Kapucyn skończył naukę do pątników z Quercy i miano udzielić ludowi błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. Lecz w chwili gdy djakon chciał włożyć Pana Jezusa do puszki: „Proszę zaczekać, rzekł Marja-Antoni, otrzymaliśmy już jedenaście uzdrowień, padnijmy na kolana, rozkrzyżujmy ręce i prośmy Boga przez wstawiennictwo Niepokalanej Panienki o dwunaste uzdrowienie na cześć dwunastu Apostołów". Odstawiono puszkę i modlono się z niezwykłą gorącością. Naraz zrobił się szmer w stronie sadzawki: „Cud, nowy cud, chora wyzdrowiała", rozległy się głosy. Zapał był nieopisany. Ojciec Marja-Antoni nakazał milczenie i poprosił o Tantum ergo.[3])

[1]) Żywoty Świętych. [2]) Cenni biografici e Ritratti di Padri illustri Capuccini [3]) Le Saint de Toulouse par l'abbé Périlié.

Polscy naśladowcy Franciszka:

Feliks Rydzyński, Reformat (1658 r.)

Wiara O. Feliksa Rydzyńskiego w Opatrzność Boską była nadzwyczajna, a jak miła Panu pokazuje się stąd, że raczył ją wielokrotnemi cudami nagrodzić. Podczas jego gwardjaństwa w Kaliszu, gdy w klasztorze cierpiano wielki niedostatek, O. Feliks modlił się i ufał mocno Boskiej Opatrzności, że przyjdzie mu z pomocą. I tak się też stało. Ksieni Ołobocka wysłała dwa wozy napełnione jarzynami i mąką do Franciszkanów Kaliskich, lecz gdy podwody zbliżyły się już do rogatek, zaszedł im drogę jakiś mąż o świątobliwej postawie i rozkazał woźnicom, aby za nim jechali, a przyprowadziwszy ich do klasztoru reformackiego, znikł im z oczu. Napróżno pytali o niego, nikt go nie widział i nie mógł nic o nim powiedzieć. Dopiero wszedłszy do kościoła, ludzie ci zauważyli, że przewodnik ich miał taką samą twarz, ubiór i zachowanie się, jak Ś. Józef, Patron Reformatów, wymalowany w wielkim ołtarzu. Uznali przeto w tem rękę Bożą i wręczyli jałmużnę tutejszym zakonnikom. Zdarzenie to po ścisłem roztrząśnieniu zapisano w księgach klasztoru [1]).

Adjut Sobalkiewicz, Ref. (1668 r.)

Jeden z heretyków, przekonany dowodzeniami Adjuta o błędach swojej sekty, nie chcąc się mimo to upokorzyć i przyjąć nauki Kościoła, dał świątobliwemu mężowi truciznę w napoju. Wiedział o tem z Boskiego objawienia Adjut, ale bynajmniej się nie zmieszał i aby okazać prawdę słów Chrystusa Pana, że katolicy, choćby truciznę pić mieli za głoszenie prawdziwej religji, szkodzić ona im nie będzie, podany sobie kielich wychylił w jego oczach i żadnej szkody nie poniósł [2]).

Sebastjan Wolicki, Ref. (1733 r.)

Ojciec Sebastjan, będąc przełożonym, nigdy się zbytnio nie martwił o potrzeby swoich braci, a Bóg sam szczodrze je opatrywał. Gdy mu mówiono, że niema co podać na stół, szedł do chóru i z ufnością wołał do Pana Boga: „Ojcze nasz! oto tu synowie Twoi chwalą Cię we dnie i w nocy, opatrz ich, bo ja nic nie mam". A gdy tak się modlił, dzwoniono do furty i przynoszono co było potrzeba [3]).

[1]) Matka ŚŚ. Polska przez Florjana Jaroszewicza, Reformata. Tom IV. [2]) Tamże T. III. [3]) Tamże T. II.

Alojzy Wydżga, Ref.

Alojzy Wydżga słynął z wielkich pokut w zakonie. Kiedy sterany pracą i umartwieniem wpadł w chorobę i gotował się do śmierci, natarł na niego szatan pokusą rozpaczy. Nie mógł zły duch zwyciężyć tego, od którego ciągle był zwyciężany, jednak wszelkich używał sposobów, aby umysł chorego w Bogu zatopiony, innemi myślami zająć. Lecz i to mu się nie udało, bo Alojzy pełen ufności w Bogu, niczego się nie bał, nie lękał i za przykładem opata Hilarjona, zawoławszy wesoło: „Wychodź, duszo moja, czemu się trwożysz?“ oddał ją w ręce Najwyższego. Pochowany w klasztorze zamojskim.[1])

Franciszek Kawer, Ref.

Ten mąż niepospolitej nauki i pokory zostawił wszystkim przykład wielkiej stałości w wierze. Kiedy pewnego razu udawał się za pozwoleniem przełożonych z Pułtuska do Warszawy, do krewnych swoich, a dla skrócenia drogi, szedł przez Prusy brandeburskie, zatrzymali go heretycy. Mając sposobność dogodzenia swej zawziętości, użyli oni wszelkich sposobów, aby odwieść go od prawdziwej wiary: gróźb, obietnic, występnych kobiet, w końcu gdy żaden z tych środków niezdolny był zachwiać Franciszka, dręczyli go jeszcze głodem i biciem, aż wreszcie na pół żywego puścili na wolność. Świątobliwy zakonnik żył przez długie lata, a umarł w Kiszporku.[2])

Benignus Perowicz, Ref.

Reformat ten umierał z uczuciem głębokiej skruchy i silnej ufności, że Pan Bóg weźmie go do nieba. Już zaczął konać, gdy porwał się jakby z zachwycenia i usiadłszy na posłaniu rzekł: „Ach, ojcowie i bracia, nie ufajcie swoim zasługom na sądzie Bożym; ja dlatego tylko dostąpiłem łaski, że nie swoim, ale Chrystusa Pana i Marji Najświętszej ufałem zasługom, one mnie poratowały“. To rzekłszy, oddał ducha swego Bogu.[3])

Co mówią do nas te przykłady?

Przytoczone zdarzenia dostatecznie malują żywą wiarę i ufność Franciszka Ś. i jego naśladowców. W tych też cnotach powinni się ćwiczyć przedewszystkiem ci, którzy chcą się nazywać jego synami. Wstępującym do jego zakonów koniecznie potrzebna jest ta żywa wiara, zwłaszcza w Opatrzność Bożą i takie męstwo z niej płynące, jakie mieli Apostołowie, gdy im Zbawiciel mówił: „Jeśli chcecie iść za mną, to przygotujcie się, że ja nie mam kędy głowy skłonić.“[1]) Osoby małej wiary, polegające na ludzkiej rachubie, niech się nie kwapią napróżno pod chorągiew Franciszka. Lecz i dla wszystkich wiernych służyć one powinny ku zawstydzeniu małej wiary dzisiejszej i ku jej ożywieniu.

Jak bardzo potrzebna jest żywa wiara dla dusz dążących do doskonałości.

Podając przykłady żywej wiary i mocnej ufności Ś. Franciszka i jego synów, wypada nam według naszego zadania wspomnieć o znaczeniu tych cnót, o ile one są konieczne do postępu w doskonałości chrześcijańskiej. Wiara jest cnotą teologiczną, od Boga wlaną, przez którą mocno wierzymy we wszystko, co Bóg objawił i przez Kościół Ś. do wierzenia podał, czy to na piśmie, czy w tradycji; a opieramy się na tem, że Bóg jest nieomylny tak w poznawaniu tych rzeczy, jak i w ich objawianiu. Otóż jeżeli chcemy postąpić w doskonałości, jak najusilniej ćwiczyć się mamy w wierze, bo Pismo Święte jej przypisuje to wszystko, co Święci zdziałali wielkiego.[2]) Nikt nie może pogardzić doczesnością, poucza Doktor Anielski, chyba dla nadziei przyszłych dóbr, które mu obiecuje wiara. A Ś. Tomasz z Wilnew (Villeneuve) tak o niej mówi: „Ona to prawdziwych chrześcijan pobudza do tego, żeby odrzucali miękkość życia, słodyczami gardzili, aby znosili przykre rzeczy, ciężkie prace podejmowali. Wiara powściąga niedobre pragnienia, ukraca rozpasane namiętności i dzikie poruszenia serca, występki usuwa, cnoty zakorzenia, depcze rozkosze, znosi ostrości, w pomyślnościach nie wynosi się, w przeciwnościach nie upada. Wreszcie niema nic tak trudnego i ciężkiego, na coby się nie porwał dla Boga ten, kto żywą wiarą w Niego wierzy.[3]) Mówimy żywą wiarą, słaba bowiem, jak mówi Sobór Trydencki,[4]) a tem bardziej umarła: bez uczynków, bez nadziei i miłości, do tych rzeczy nie doprowadza. Według świadectwa tegoż Soboru,[5]) wszystkie inne cnoty

[1]) Kalendarz seraficzny Stanisława Kleczewskiego, 8 lipca. [2]) Tamże 11 października. [3]) Tamże 5 marca.

[1]) Luc. 9, 58. [2]) Hebr. 11, 33. [3]) Serm. in oct. Pasch. [4]) Sess. 6, c. 7. [5]) Cap. 10.

z uczynkami nie są zdolne ani usprawiedliwić człowieka, ani pomnożyć go w świątobliwości, jeżeli nie będzie miał wiary uczynkowej, dlatego i Apostoł woła: Sprawiedliwy z wiary żyje.[1]) Przyczynę tego objaśnia Ś. Tomasz z Akwinu[2]) już to tem, że szczególnym skutkiem wiary jest oczyszczenie serca, już to że wiara wzmacnia się przez dar rozumu, przez który Duch Święty przywodzi do lepszego przeniknienia Boga i Jego tajemnic, już to znowu że temu darowi i oczyszczeniu serca odpowiada owoc Ducha Przenajświętszego, nazwany wiarą, który nie oznacza zwykłej wiary, tylko jest owocem przebywania Ducha Świętego w sercu człowieka i sprawia w nim szczególne uweselenie, pochodzące z pewności wiary rozjaśnionej. Wreszcie i tem, że według mistyków,[3]) wiara w stopniu doskonałym pobudza do wszystkich cnót i czynów heroicznych, jakie ludzie spełniają, szczególniej zaś do pogardy świata i jego bogactw i doskonałego oderwania serca od wszystkich rzeczy ziemskich.

Znaki wiary heroicznej.

Wiarę w stopniu doskonałym i heroicznym można rozpoznać z zewnętrznych oznak, jako to: z doskonałego zachowania przykazań Boskich, z gorącej modlitwy, z poddania się zupełnego Bogu, Kościołowi katolickiemu i widomej jego Głowie, we wszystkiem, co należy do wierzenia i czynienia; z rozszerzania wiary, a przynajmniej z pragnienia, by to czynić; ze szczerej bojaźni Bożej, z głębokiej czci oddawanej Bogu i Świętym, z wielkiego wstrętu do grzechu i z surowej pokuty po jego popełnieniu, z niezwykłej cierpliwości w przeciwnościach, z radości z dobrych uczynków, z głębokiej pokory, z pogardy i zaprzania siebie, z męczeństwa i ponoszenia dla wiary wszelkich przeciwności i prześladowań.

Lecz wówczas dopiero z tych rzeczy jaśnieje żywa i heroiczna wiara, jeżeli są często powtarzane, jeżeli spełniane są z łatwością, pośpiechem i jakby bez namysłu i przymusu, a nawet z pewnem upodobaniem i jeżeli w takich okolicznościach się okazują, w których zachodzi coś niezwykle trudnego, ciężkiego i zdumiewającego, a przeto osobę, która tak działa, wznosi nad zwykły sposób postępowania ludzi uczciwych. Do tego zazwyczaj przybywa dar Ducha Świętego — rozum, o którym mówi Psalmista: „Dam tobie rozum i nauczę cię na drodze tej, którą pójdziesz: umocnię nad tobą oczy moje.[1])“ Te wszystkie objawy żywej wiary są zwykle uznawane przez mistyków, a Papież Benedykt XIV licznemi wyjaśnia je przykładami.[2]) Wypada tu dodać, że żywa wiara zazwyczaj tak przejmuje człowieka, iż z każdej jego czynności, nawet z każdego poruszenia się wydaje. Człowiek żywo wierzący inaczej się modli, inaczej się żegna, inaczej klęka, oddając cześć Bogu, jest on jakby w ciągłem skupieniu, inaczej zapatruje się na wszystkie rzeczy tego świata, inaczej o nich sądzi, bo wszystko widzi w świetle wiary, a nie według powierzchownych zmysłów, lub opinji ludzkiej.

Tylko miłujący ma żywą wiarę.

Można powiedzieć, że przedmiotem naszej wiary i całą jej treścią jest miłość Boża względem rodzaju ludzkiego, wszystkie bowiem najważniejsze tajemnice wiary tyczą się miłości. One nam opowiadają, że Bóg tak nas ukochał, że dla nas stworzył świat, że z miłości ku nam stał się człowiekiem, z miłości umarł na krzyżu i że ta sama miłość, posunięta do końca[3]) czyli do ostatecznego kresu, skłoniła go do pozostania z nami w Najświętszym Sakramencie. Cała więc trudność w uznaniu tych tajemnic zasadza się głównie na tem, żeby uwierzyć w tak wielką miłość Boga, i główną winą niedowiarków jest to, że przedstawiają Boga dalekiego od nas, Stwórcę wszechmocnego z piorunami w ręku, jak poganie wyobrażali sobie Jowisza, — a nie mogą uwierzyć, żeby ten Bóg miał do tego stopnia posunąć miłość swoją dla tak ułomnego i grzesznego stworzenia, jak to jest w rzeczy samej. Odwrotnie zaś główna zasługa wierzących na tem polega, że pomimo wyższego jeszcze uznania nędzy ludzkiej i swoich grzechów, wierzą w te tajemnice miłości, według tego jak mówi Jan Święty: „A myśmy poznali i uwierzyli miłości, którą Bóg ma ku nam.[4])“ Żeby zaś uwierzyć w miłość, trzeba samemu miłować; z czego wynika, że ten tylko prawdziwie żywą wiarą wierzy w miłość Boga, kto sam Go szczerze miłuje, co zresztą jest bardzo naturalne i z prostych przykładów da się poznać. Niech pani powie służącej: „O jak ja cię kocham! oddałabym życie za ciebie!“ to sługa uśmiechnie się na to i odpowie: „Nie wiem skąd się wzięła w pani taka miłość“, bo nie czując dla niej sama

---

[1]) Hebr. 10, 38. [2]) 2. 2. q. 7, art. 82 et q. 8. n. 1, 7 et 8. [3]) Rossignolius l. 3. Christ. perf. c. 4.

[1]) Psalm 31, 8. [2]) Laur. t. 2. in 3 Sent. d. 32. a. 9. [3]) De serv. Dei beatif. t. 3. c. 23. [4]) I. Joan. 4, 16.

takiej miłości, nie uwierzy też i w jej miłość dla siebie. Ale niech ta sama osoba powie do swojej córki: „Ach, kocham cię, moje dziecko, nad życie swoje kocham", córka nie tylko się temu nie zdziwi, ale nawet nie uważa tego za coś wielkiego i zdaje się jej to zupełnie naturalnem i dziwiłaby się, gdyby tak nie było. Dlaczego? bo i sama podobnież kocha swą matkę i wyrzucałaby sobie, gdyby nie umiała narazić dla niej swego życia, czy to służąc jej w niebezpiecznej chorobie, czy też dla ocalenia jej umierając.

Otóż to samo dzieje się z wiarą w tajemnice miłości Bożej. Gdy Kościół Ś. naucza nas, że Bóg z miłości ku nam stał się człowiekiem i za nas umarł, ci którzy w sobie podobnej miłości nie czują, nie mogą temu łatwo uwierzyć; ale dusze szczerze kochające Boga, nietylko dalekie są od niedowierzania, lecz wszystko to zdaje im się rzeczą bardzo naturalną i jakby konieczną. Bo jeżeli, jak mówi Pismo Święte, Bóg jest miłością[1]) i stosunek nasz z Bogiem opiera się na miłości, toć ta miłość musiała koniecznie objawić się u Boga w sposób doskonalszy, niżeli między ludźmi, i winna była z natury rzeczy do najwyższego stopnia się posunąć. Zdawałoby się, że Bóg skorzystał z upadku człowieka i jakby rad był z tej sposobności, że może okazać mu swą miłość, przechodzącą wszelką miłość ziemską. Jeśli bowiem ludzie umierają z miłości za ukochane i drogie sobie osoby, to naturalnem jest, że Bóg, przewyższając wszystkie te objawy szalonej miłości, umarł za nieprzyjaciół swoich, czyli za grzeszników. I codzień tę ofiarę na nowo sprawuje, chociaż codzień Go coraz więcej obrażamy. I nie opuszcza nas, ale znosi wytrwale wszelkie zniewagi w Najśw. Sakramencie, aby nas tylko przed Ojcem swoim osłonić i aby mieć pociechę pozostawania i jednoczenia się z ukochanemi sobie istotami, bo każda miłość dąży do zjednoczenia.

Jak człowiek żywej wiary patrzy na rzeczy stworzone?

Uważmy dalej, że wiara nasza może być albo słabą albo silną i żywą, zależnie od rodzaju miłości. Żywa wiara jest tylko przy żywej i gorącej miłości. Kto szczerze i serdecznie kocha Pana Boga, dla tego wszystkie rzeczy tego świata mają głębokie znaczenie. Nie może on patrzyć obojętnie na stworzenia, ani na wypadki życia, bo w każdem stworzeniu i w każdym wypadku widzi wielkość, mądrość i miłość Bożą. Wystawmy sobie dziecko, któremu kochający ojciec przygotował na dzień imienin różne podarunki i patrzmy co ono uczyni na ich widok. Jeżeli jest niedobrem dzieckiem, mało kochającem, to będzie się cieszyło z tych rzeczy, nie zastanawiając się bynajmniej, skąd one pochodzą. Ale jeżeli kocha ojca, to pierwszą myślą jego będzie: „Ach, jaki ten ojciec jest dobry" i zanim obejrzy swoje bogactwo, rzuci się w objęcia ojcowskie, okazując mu miłość za miłość. Tak i człowiek słabej wiary, który słabo miłuje Boga, patrząc na stworzenia, widzi ich piękność, dogodność, pożytek i ma w nich upodobanie lub pożąda ich, nie myśląc nawet o Tym, kto je uczynił; ale człowiek żywej wiary i gorącej miłości wszędzie upatruje miłość Bożą, Jego potęgę i mądrość; wszystko pobudza go do chwalenia Boga. Rozmawia on z nieżyjącemi nawet stworzeniami i pyta ich: „Skąd się w was wzięły te przymioty, któremi jaśniejecie? czy to wy same nadałyście sobie tę krasę, i ten wzrost, i tę rodzajność i te różne własności?" — a one mu odpowiadają słowami Pisma Świętego: „On nas uczynił, a nie my same siebie[1])" i z każdej takiej rozmowy czuje się pociągnionym do miłowania i dziękczynienia Bogu.

Jak pojmuje tajemnice wiary?

Wielka jest różnica między zwyczajnym wiernym, który wyznaje wszystkie tajemnice świętej religji, a człowiekiem przejętym żywą wiarą. Dla ostatniego każda z tych tajemnic ma urok niewypowiedziany. Zagłębia się on w najskrytsze tajniki danej prawdy i wyprowadza z niej wnioski, podnoszące go na duchu i upajające rozkoszą duchowną. Najmniejszy szczegół, na pozór bardzo obojętny, jest dla niego rzeczą wielkiego znaczenia. Ma on je wszystkie w swoim umyśle i w swojem sercu i na każde ich wspomnienie umysł mu się rozjaśnia i serce zagrzewa. Nie może słuchać o nich bez łez serdecznych, czy to radości, czy współczucia, czy skruchy, a to według rodzaju tajemnic i natchnień Ducha Świętego. Tajemnice te są nieprzebranym oceanem, w którym zagłębia się z lubością. Czytając dzieła Ojców ŚŚ., a nawet niektórych dzisiejszych pobożnych pisarzy, podziwiać musimy, jak Duch Święty potrafił ich umysł rozszerzyć i jak nieraz jedna tajemnica czy to Najświętszego Sakramentu, czy Krwi Przenajdroższej, nastręczała głębokie i świetne po-

[1]) Ibidem.

[1]) Psalm 99, 3.

mysły, których rozważaniem całe księgi przepełnili.

Człowiek żywej wiary żyje więcej w niebie, niż na ziemi, według słów Pawła Ś-go: „Nasze obcowanie jest w niebiesiech, skąd też Zbawiciela oczekujemy Pana naszego Jezusa Chrystusa.[1])“ Cały ciąg roku jest dla niego jakby nieustającą uroczystością. Łączy się on z Kościołem w kolejnem obchodzeniu różnych tajemnic świętych, a raczej łączy się z życiem Jezusa Chrystusa, odnajdując w niem coraz nowe pobudki do uwielbienia Boga i coraz nowe pociechy, któremi czuje się zawsze nasyconym. Nie zna on co to jest znudzenie w nabożeństwie, bo Duch Święty odkrywa mu raz po raz nowe tajniki świętych tajemnic, a choć nie zawsze doznaje podniesienia ducha, to sama pamięć o głębi tajemnic, które miał sobie rozjaśnione, czyni go zawsze przejętym i skupionym. Słowem już tu na ziemi zaczyna on kosztować rozkoszy, jakie czekają w niebie tych, którzy na wieki zasłużą oglądać te tajemnice.

Słaba wiara nie wystarcza do zbawienia.

Ruiną życia chrześcijańskiego jest słaba wiara i brak oświecenia w rzeczach religji. Nie mówię o tych, którzy się wyrzekli wiary, ale o lekkomyślnych, a niestety bardzo licznych chrześcijanach, których Apostoł wytyka, mówiąc: iż nad Boga przekładają marną przyjemność. „Rozkosze więcej miłujący niż Boga.[2])“ A jednak spowiadają się oni i komunikują, biorą udział w wielu dobrych uczynkach. Dobre to wszystko, ale tego nie dosyć. Czy zachowują oni ściśle posty i wstrzemięźliwości przez Kościół nakazane, a natchnione duchem pokuty chrześcijańskiej? Czy się z nich nie dyspensują dla błahych powodów? Boleją oni nad cierpieniami Kościoła, a nie mają odwagi poświęcić lada rozrywki, uczty, zabawy, może nawet w czasie Wielkiego Postu. Prenumerują, czytają, wspierają, i dają miejsce w swym domu dziennikom i pismom antychrześcijańskim różnych barw i odcieni, w których najdroższe ich wierzenia i przekonania są lekceważone, wszystko co oni z zasady czczą i szanują sponiewierane i rzucone w błoto.

Wiara ich to chwiejna uczuciowość, zbyt słaba, aby mogła ujarzmić namiętności i napełnić męstwem, cóż więc dziwnego, że przygasa ona w stosunkach towarzyskich i społecznych, i to tam, i wtedy właśnie, gdy najjaśniejszym świecić powinna płomieniem, zatwierdzać się bez słabości i wyniosłości, i dawać o sobie świadectwo w czynach i ofiarach. I czemuż w takiem niebezpieczeństwie utraty zbawienia żyją ci, którzy się mają za chrześcijan? Dlatego że nie stoją na gruncie prawdziwie chrześcijańskim. Życie ich jest mieszaniną stosowania się do praw i zwyczajów świata i do praktyk religijnych. To też wiara ich, jak ziarno ewangeliczne, pada podle drogi, na skałę lub między ciernie, bo nie stawiają fundamentu jej na silnych przekonaniach.

Sposoby wkorzenienia żywej wiary.

Środki, przez które zazwyczaj wiara się wzmacnia i ożywia, są:

1. Codzień dziękować Bogu za powołanie do wiary katolickiej i błagać Go, aby nas w tej świętej wierze aż do śmierci zachował; wiara bowiem jest darem Bożym, początkiem naszego usprawiedliwienia i zbawienia; bez niej trudno podobać się Bogu.

2. Codzień z uwagą odmawiać Skład Apostolski i jak najmocniej wierzyć w tajemnice w nich zawarte i w to, co Kościół katolicki do wierzenia podaje.

3. Często obudzać w sobie ten akt, że przy łasce Bożej wolelibyśmy umrzeć i wszystko wycierpieć i wszystko stracić, niżeli odstąpić od wiary rzymsko-katolickiej lub jej się zaprzeć. Bo „ktoby się mnie zaparł przed ludźmi, zaprę się go i ja przed Ojcem moim.[1])“

4. Często rozważać swoją słabość, niewiadomość, błędy swego rozumu i sądu o rzeczach, szczególniej jeżeli ktoś, opierając się kiedy na swojem zdaniu, został zwiedziony. Przeciwnie zaś, rozum swój i swoje zdanie poddawać zasadom wiary Chrystusowej i przylegać na ślepo do tego, co Bóg wszystkowiedzący, nie mogący ani zbłądzić, ani nas w błąd wprowadzić, objawił, a to z pobożnem usposobieniem serca, to jest z miłości Boga i z synowskiej czci i ufności względem Niego i z wysokiego poważania Jego wszechwiedzy, mądrości i dobroci.

5. Rozmyślać, że Bóg jest Istotą nieskończenie doskonałą, my zaś bardzo ograniczeni w dobrem i krótkiego rozumu; że Boskie tajemnice, sądy i czyny są dla nas niepojęte i niezbadane, przeto winniśmy poddawać im nasz umysł, wołając z Apostołem: „O głębokości bogactw, mądrości i wiadomości Bożej: jako są nieogarnione sądy Jego i niedościgłe drogi Jego.[2])“ Porywać się

[1]) Phil. 3, 20. [2]) II Tim. 3, 4.

[1]) Matth. 10, 33. [2]) Rom. 11, 33.

bowiem na roztrząsanie prawd wiary objawionej niemądrem jest zuchwalstwem. Możemy to zrozumieć z prostego porównania. Człowiek uczony, zadawszy kilka pytań małemu chłopcu, może łatwo ogarnąć jego umiejętność i osądzić w jakim jej stopniu zostaje; ale niechże ten uczeń zechce zbadać uczonego, to choćby najbardziej się silił i jak najdłużej badał, nie zdoła ogarnąć jego rozumu i musi poprzestać na tem, co mu sam uczony o sobie powie. Jakże daleko bardziej niepodobna człowiekowi, choćby najrozumniejszemu, zbadać tajemnice Boga, jeżeli On sam siebie nie objawi i o sobie powiedzieć nie raczy.

6. Wreszcie nie rozprawiać z szatanem, podsuwającym wątpliwości w artykułach wiary, ale po prostu wierzyć w to, w co wierzy Święty Kościół Katolicki, z tąż wiarą przy łasce Boskiej pragnąć żyć i za nią umrzeć. Rozumem zaś posługiwać się można i trzeba przy badaniu pobudek do wiary, jakie sama tylko religja katolicka posiada, ale zgłębiać jej tajemnic nie jest on w stanie.

Czytanie ksiąg duchownych ożywia wiarę.

Chcąc pomnożyć i ożywić w sobie wiarę, zwróćmy się do czystych jej źródeł, czytajmy książki duchowne. To czytanie przyciągnie nas do stóp Pana Jezusa. Zniknie przed wyobraźnią naszą przeciąg dziewiętnastu wieków; tajemnice życia i śmierci Zbawiciela ożyją przed oczyma naszemi; umysł nasz i wyobraźnia znajdzie dla siebie przedmiot powabny i pokarm prawdziwie posilający. Niema środka skuteczniejszego do poznania i ukochania Pana Jezusa. Ewangelja i Przenajświętszy Sakrament są całym skarbem duszy chrześcijańskiej, która powinna czuć się wygnanką na ziemi. Pięknie tłumaczy to nam 11-ty rozdział czwartej księgi Naśladowania Jezusa Chrystusa, pod tytułem: „Ciało Chrystusa i Pismo Święte są wiernej duszy najbardziej potrzebne". Ponieważ jednak Pismo Święte, tłumaczone na pospolite języki, czytać można tylko z różnemi wymaganemi przez Kościół zastrzeżeniami, należy radzić się spowiednika jakie tłumaczenie zaleci.

Ewangelja dla wielu osób nie jest powabnem czytaniem, gdyż nie przyzwyczaiły się od dzieciństwa czerpać z tego źródła. Czytajmy ją z uwagą, z wytrwałością;[1]) w modlitwie szukajmy klucza do rozwiązania trudności; radźmy się i pytajmy przewodnika sumienia, a wtedy Ewangelja stanie się pociechą naszego życia, głównym przedmiotem naszych rozmyślań, najulubieńszą naszą księgą.

Czytajmy od czasu do czasu jaką książkę duchowną, któraby utwierdzała w nas wiarę i przekonania religijne, te bowiem z powodu niedokładnego oświecenia bywają często słabe i chwiejne. Jeżeli mamy dostateczne wykształcenie, wczytujmy się w pewnych godzinach, mianowicie w niedzielę, w wyższy Katechizm. Dowody i rozumowania w nim zawarte pogłębią zakres naszej wiedzy, rozwiną przed nami całą piękność nieporównaną zasad świętej wiary, wytłumaczą związek jej nierozerwalny ze wszystkiemi pragnieniami serca i potrzebami dusz naszych. Mianowicie zapoznajmy się z katechizmem Soboru Trydenckiego, zawierającym jasny, całkowity, zasadniczy wykład nauki katolickiej. Prośmy jakiego kapłana oświeconego, swego proboszcza lub spowiednika o wybór książek do czytania dla utwierdzenia się w wierze.

Błagajmy Ducha Przenajświętszego, aby otworzył nasz umysł, aby serce nasze zapalił miłością piękna i prawdy, płynącej z ksiąg świętych, jak z najczystszego źródła. Oby nam zapał święty towarzyszył w tem czytaniu i przerywał je okrzykami: O jak to piękne! Widok gwiazdki, kwiatka, dźwięk tonów muzyki często nas unosi i zachwyca; czemużby piękność cudowna Boskiej prawdy i miłości, ukryta w tych księgach, nie miała duszy naszej porywać i upajać? Książki pobożne są to listy z nieba, od Boskiego Oblubieńca do duszy ziemskiej oblubienicy, mówi jeden ze Świętych Ojców; z nich uczy się ona poznawać Boga i Pana swego. „Albowiem cokolwiek napisano, ku naszej nauce napisano: abyśmy, przez cierpliwość i pociechę pisma nadzieję mieli.[1])"

Słuchanie słowa Bożego umacnia wiarę.

Pierwsi chrześcijanie trwali w słuchaniu nauki apostolskiej. I my również z uwagą i gorliwością słuchajmy słowa Bożego, głoszonego nam przez kapłanów. „Wiara pochodzi ze słuchania, mówi Paweł Ś. Słowo Boże, głoszone z kazalnicy, bez względu na wartość swą ludzką co do wymowy, więc choćby w najprostszej formie wypowiedziane, jest silną dźwignią, podnoszącą naszą wiarę, narzędziem odnowienia w pamięci i ugruntowania w sercu świętych zasad chrześcijańskich i przekonań religij-

[1]) Za czytanie Ewangelji przez kwadrans Ojciec Święty Leon XIII, d. 13 grudnia 1895 r. naznaczył 300 dni odpustu.

[1]) Rom. 15, 4.

nych. Jest to sposób dla wszystkich przystępny, tak dla uczonych, jak i dla prostaczków, tak dla ubogich, jak dla bogaczy. Wiemy z jaką pobożnością Seraficki Patryarcha powtarzał te słowa apostolskie: „Wiara tedy ze słuchania“[1]). Ś. Klara, jak o niej piszą, potrafiła zbierać róże z krzaków cierniowych, to jest światło z prostych nauk. Naśladujmy jej przykład. „Jakimkolwiek kanałem przypływa do nas czysta i ożywcza woda — złotym, czy glinianym, zawsze jej wartość i użyteczność jest jednaka“, mówi Bł. Proboszcz z Ars. To znaczy, że słowo Boże zawsze powinniśmy ze czcią i uległością przyjmować, czy będzie nam podane przez wymownego kaznodzieję, czy też w formie prostej i po ludzku mówiąc, nieudatnej. I owszem, to nas do większej czci i pobożności zniewalać powinno, że prawda Boża raczy się ukazywać w pieluszkach ludzkiej niemocy i słabości. Wszakże nie odmawiasz czci Panu Jezusowi utajonemu pod lichemi postaciami chleba i wina, który dlatego tak się ukrywa, aby się z nami łączyć w sposób niewymowny pod osłoną tajemnic wiary. Owszem, ponieważ Pan Jezus w Najświętszej Eucharystji tak się uniżył, iż śmiem powiedzieć stał się niczem, powinien wszystkiem być dla nas i pozyskać całą miłość naszą. Tak samo słowo Boże, choćby w najnieudolniejszym wygłoszone stylu, cenione i szanowane być powinno.

Uległość Kościołowi i Stolicy Apostolskiej jest najlepszym objawem żywej wiary.

Pamiętajmy wreszcie, że żyć w duchu Ś. Franciszka jest to żyć w duchu wiary oświeconej i ugruntowanej, która wymaga niezłomnego przywiązania do Głowy Kościoła Świętego. Tu jest właśnie próba chrześcijańskiego męstwa; ci którzy powierzchownie tylko wiarę znają, słabo i leniwie do praw Kościoła się stosują; lecz którzy stoją mocno w wierze, ci mężnie sobie poczynają.

Wiara jest sercem religji.

Nie zapominajmy i o tem, co piszą Ś. Augustyn, Ś. Bonawentura i wielu innych Ojców i Doktorów, że wiara jest sercem religji, korzeniem naszego usprawiedliwienia. Wiara podbija nasz rozum, schyla głowy nasze ku uczczeniu i uwielbieniu Boskiego Majestatu, mówi Ś. Bernardyn Seneński. A jako rozum jest pierwszą i najszlachetniejszą władzą duszy: tak jego hołd, oddany Bogu przez wiarę i religję, powinien piewsze zajmować miejsce pomiędzy cnotami. Niech przeto miłość skłania nas do oddawania Bogu najżywszych uczuć i najgłębszych przekonań wiary, na jakie za łaską Bożą będziemy mogli się zdobyć; niech zawsze wiara ta ożywiona będzie miłością, a kiedyś zamieni się ona w jasne oglądanie Boga twarzą w twarz przez nieskończone wieki.

Zachęta do ćwiczenia się w żywej wierze.

Ćwiczmy się przeto w wierze, ale nie ladajako, lecz w stopniu doskonałym i heroicznym, „abyśmy byli mocni w niej“[1]) i w tym celu prośmy Chrystusa Pana słowami Apostołów: „Panie, przymnóż nam wiary“[2]). Wiara bowiem, podobnie jak miłość, może być mniej lub więcej doskonałą, jak uważa Doktor Anielski[3]). Starajmy się przeto wierzyć „z całego serca“[4]), nietylko nie dopuszczając jakiego wahania lub obawy w wierzeniu, ale coraz bardziej, coraz doskonalej przylegając do rzeczy objawionych, już to przez większe natężenie wiary, już przez lepsze ogarnięcie wszystkich jej szczegółów. Z doświadczenia widzimy, że nic bardziej pospolitego nad różnicę, jaka się okazuje wśród wiernych między doskonałymi i niedoskonałymi chrześcijanami, chociaż i ci i tamci chlubią się, że posiadają wiarę i gotowi są ze Ś. Piotrem wołać: „Choćby się wszyscy zgorszyli z Ciebie, ja się nigdy nie zgorszę“[5]). A jednak słusznie obawiać się należy o niedoskonałych, czy wystawieni na próbę nie upadną, bo w czynach przecież wielu tak żyje, jak gdyby wcale wiary nie mieli. Na doskonałych zawsze się to pokazuje, że wiara ich jest prawdziwą, gdy do świętych i świetnych czynów ich przywodzi; dlatego przedewszystkiem starają się umacniać w wierze, aby i w innych rzeczach doskonałymi się stali. Ich wiara, mówi pewien mistyk[6]), wzmocniona darem rozumu i mądrości, nieskończenie przewyższa zwyczajny sposób pojmowania rzeczy Boskich, a nawet ludzkich. Rzeczy bowiem ziemskie oceniają nie według zmysłów, to jest nie według tego, czy są piękne, lub pozbawione wdzięku, lecz według wewnętrznej ich wartości, a znając ich lichość i niestałość, z całego serca niemi gardzą. Boskie zaś uważają nie jako przyszłe i dalekie, ale jakby blizkie i prędko mające nastąpić i dlatego gorąco ich pragną. Tajemnice wreszcie niebieskie nietylko poznają przez wiarę, ale, jeżeli można

[1]) Rom. 10, 17.

[1]) I Petr. 5, 9. [2]) Luc. 17, 5. [3]) 2, 2, q. 5. a. 4. [4]) Act. Ap. 8, 37. [5]) Matth. 26, 33. [6]) Alvarez de Paz. T. I. Vit. spir. t. 4. c. 25.

tak powiedzieć, jasno je przenikają, ponieważ istota ich wiary, zachowując właściwe sobie zaćmienie i niewidoczność, takiem światłem Ducha Świętego jest wzmocniona, iż rzeczy Boskie zdają się im być prawie jasnemi.

W jaki sposób naśladować mamy wiarę Franciszka Świętego?

Nie wszyscy, nawet z dzieci Ś. Franciszka, powołani są do naśladowania go w cudownych objawach żywej wiary, np. do uśmierzania drapieżnych zwierząt lub do wchodzenia w ogień na dowód prawdziwej nauki Chrystusowej, ale wszyscy mają obowiązek naśladować go w spełnianiu z żywą wiarą codziennych czynności. Doprowadzi ich do tego żywa pamięć na obecność Boską, która powinna utrzymywać ich w skupieniu na modlitwie, czy to ustnej, czy myślnej, tak jakby oczyma ciała Majestat Boży oglądali. Tem bardziej należy im utrzymywać się w czci głębokiej i w świętej bojaźni, gdy słuchają lub sami sprawują Najświętszą Ofiarę, lub gdy przystępują do spowiedzi i Komunji Świętej. Oddając adorację Najświętszemu Sakramentowi, nie powinni tego czynić jakby mimochodem i przelotnie, ale z głębokiem przejęciem, jakby widzieli Chrystusa w chwale niebieskiej. Ta pamięć winna nie opuszczać ich nawet wtedy, gdy biorą posiłek, aby każdy kęs chleba i każda łyżka strawy w obliczu Bożem z wdzięcznością za Jego Opatrzność była spożywaną. Pamięć ta uczyni ich wreszcie na każdem miejscu umartwionymi w zmysłach i ruchach, iż czy to wobec ludzi, czy na ustroniu zachowają zawsze skromność w układzie ciała i ostrożność w obejściu i mowie. Następnie żywa wiara winna się okazywać w wielkiej ufności w Opatrzność Boską, nie dopuszczając nigdy kłopotania się o potrzeby doczesne, ale też i nie usuwając umiarkowanego o nie starania. Nakoniec objawiać się ma w przyjmowaniu wszystkiego co nas spotyka, czy to od ludzi, czy z pozornego przypadku, tak jakby nam to ręka Boska podawała, bez zachwiania się ani na chwilę w tej wierze. I choćbyśmy przechodzili Jobowe koleje, w każdem najprzeciwniejszem zdarzeniu winni jesteśmy mówić: Bóg dał, Bóg wziął, niech Imię Jego będzie za wszystko błogosławione. Z żywą wiarą nie zgadza się wszelkie troszczenie się, kłopotanie, zabiegliwe starania, albo co gorsza narzekanie, pretensje i żale do innych osób, tem bardziej zawziętość. Wszystko to jest dowodem, że się nie wierzy, iż cokolwiekbądź nas spotyka, jest zawsze od Boga, który ma w tem miłosne zamiary swoje względem nas, choćby złości ludzkiej użył ku temu; tak jak ojciec z miłości używa rózgi na dziecko, albo chirurg dla ocalenia życia, zadaje bolesne cięcia naszym członkom.

Nadzieja bardzo jest potrzebna do postępu w doskonałości.

Wiadomo, że nadzieja jest to cnota teologiczna czyli wlana, przez którą oczekujemy od Boga wiecznej szczęśliwości i środków do jej osiągnienia, to jest; łaski pobożnego życia i dobrej śmierci, zwyciężania pokus, wykonywania cnót, odpuszczenia grzechów — a spodziewamy się z tej pobudki, że Bóg, który jest nieskończenie dobry, nieskończenie potężny i nieskończenie wierny, to wszystko dać nam obiecał; i że Chrystus dlatego właśnie był umęczony i umarł na krzyżu, aby nam to wszystko wyjednać. Ale nadzieja nie wyłącza bojaźni Bożej, nie możemy przeto zaniedbywać i nieufności w siebie samych. Zobaczmy co mówią o nadziei niektórzy Święci. Ś. Paweł, zachęcając wiernych do postępu w doskonałości, dodaje: „A żądamy, aby każdy z was toż staranie okazał ku wypełnieniu nadziei aż do końca... którą mamy jako kotwicę duszy bezpieczną i mocną“[1]). I Ś. Jan Chryzostom mówi, że jako bez wiary nadzieja nie ma mocy, tak wiara bez nadziei nie ma zapłaty.[2]) A Ś. Bernard: że wielką jest zasługa człowieka, gdy całą swoją nadzieję pokłada w Tym, który go całego zbawił. Choćby najwyżej się wzniosła, wszystko otrzyma, jeżeli tylko na samym opiera się Bogu i jeżeli jest mocną bez wahania.[3]) I mistycy twierdzą, że jak żywa wiara sprawuje czyny heroiczne, przez które człowiek dla chwały Bożej mężnie pogardza samym sobą i wszystkiemi rzeczami doczesnemi: tak nadzieja dodaje sił do wytrwania w tem usposobieniu aż do końca.[4]) Dlatego i Apostoł, mówiąc o wierze, od wiary przechodzi zaraz do nadziei, nazywając ją zbiorem rzeczy, których się spodziewamy, aby chrześcijanin rozumiał, że nie o ziemskich, doczesnych i marnych, ale o niebieskich, przyszłych i wiekuistych myśleć, mówić, spodziewać się i do nich wzdychać powinien. Najbardziej zaś potrzebną jest nadzieja w dążeniu do doskonałości, gdyż przez nadzieję w Bogu, połączoną z nieufnością ku sobie każdy najcięższe rzeczy pokonać może.

---

[1]) Hebr. 6, 11 et 19. Hom. de fide, spe et charitate. [3]) Serm. 15 in psalm. Qui habitat. [4]) Rossign. L. 3 de Christ. perf. c. 5.

O nadziei heroicznej.

Święty Tomasz [1]) naucza, jakim sposobem dusza przychodzi do nadziei. Naprzód ze światła wiary pobudza się do zamiłowania szczęścia wiecznego i rzeczy do niego wiodących, a stąd wznosi się do pragnienia tych rzeczy. Jeżeli zaś pragnienie to jest szczere i dusza poznaje, że rzecz upragniona przez środki, jakie Bóg w tym celu przygotował, może być dla niej dostępną, rozbudza się w niej pożądanie, aby wszystkie trudności i przeszkody do osiągnienia tego przy pomocy Bożej przemogła, co właśnie nadzieję stanowi. Wtedy zaś nadzieja staje się heroiczną, jeżeli okazuje się w każdej przygodzie i nakłania do znoszenia wszelkich przeciwności dla życia wiecznego, z wielką ufnością i bezpieczeństwem i to nieustannie, ochoczo i mężnie, pospiesznie i z weselem [2]).

O nadziei heroicznej wnosić się może: 1) z doskonałego sposobu ufania, to jest: a) gdy ktoś Boga miłuje i w Nim nadzieję pokłada, jako w ostatecznym swym celu, a rzeczy stworzone uważa tylko jako środki do Niego wiodące; b) gdy w każdej potrzebie i w każdem niebezpieczeństwie bez żadnego wahania się i ociągania do Niego się ucieka, w Nim i dla Niego ufa, że dostąpi rzeczy najtrudniejszych, jak np. Ś. Teresa w reformie zakonu Karmelitanek.

2) Wnosi się także o heroicznej ufności z surowej pokuty, doskonałego wyzucia się z rzeczy doczesnych, z wielkiej nieufności w siebie, z dzieł bardzo trudnych, które dla chwały Bożej i dusz zbawienia się podejmują, z radości w przeciwieństwach, jakie dla Chrystusa i sprawiedliwości się znoszą, jak to uważaliśmy w wielu naśladowcach Franciszka.

3) Wstąpienie do zakonu jest również objawem heroicznej nadziei, szczególniej gdy ze strony świata ma się w tem wiele przeszkód, jak te np., które Ś. Franciszek przezwyciężył.

4) Wreszcie poznać można heroiczną ufność z radości, jaką kto czuje, wnosząc o blizkiej swojej śmierci lub z rozmyślania o niej, jak to również widzieliśmy w tymże Świętym [3]).

Akty nadziei.

Akty pomnażające w nas tę cnotę są:

1. We wszystkich czynnościach i zdarzeniach mieć prawdziwie synowską ufność w Boskiej dobroci, wszechmocności i wierności; samego Boga prosić i od Niego oczekiwać pomocy, rady, sił i łaski; wszystkie nasze sprawy Bogu przypisywać i dzięki za nie Mu składać.

2. Nie ufać w człowieku, ani w stworzeniach, lecz przedewszystkiem w Bogu samym.

3. Często rozmyślać ilu to już ludzi Bóg ze wszelkiego rodzaju utrapień wybawił, przez tyle cudów do wiary, do pokuty i świętości doprowadził, od największych nieszczęść, a szczególniej od grzechów i piekła najmiłosierniej zachował, a stąd w każdem utrapieniu lub niebezpieczeństwie przez modlitwę do Boga i Świętych się uciekać, a potem dopiero brać się za środki ludzkie.

4. Mocno wierzyć, że ani my, ani żadne stworzenie nic z siebie nie możemy, ale że wszelka nasza doskonałość z Boga jest, dlatego w każdej czynności z mocną nadzieją do Niego się zwracać.

Należy wzdychać do wiecznej szczęśliwości.

Ponieważ głównym aktem nadziei jest oczekiwanie wiecznej szczęśliwości, przeto należy rozbudzać w sobie pragnienie, aby tę szczęśliwość za wolą Boską osiągnąć z umysłem gotowym do opuszczenia wszystkiego, nie wyłączając i życia, aby tylko pragnienie to spełnione być mogło. Tak bowiem nawet Święci Starego Zakonu, chociaż jeszcze niebo było wtedy zamknięte, wołali: „Pragnęła dusza moja do Boga mocnego, żywego, kiedyż przyjdę, a okażę się przed obliczem Bożem? [1])“ Daleko słuszniej wołał Paweł Święty: „Pragnienie mając rozwiązanym być i być z Chrystusem [2])“. Podobnież i Ś. Augustyn: „Niech umrę, Panie, abym widział Ciebie, niech ujrzę Ciebie, abym umarł. Pragnę umrzeć, abym widział Chrystusa [3])“. A Ś. Jan Klimak pisze: „Godzien wprawdzie pochwały jest ten, który oczekuje śmierci, jakby dzisiaj przyjść miała, lecz ten jest święty, który jej pragnie [4])“. Takie pragnienie bardzo pobudza do dążenia do doskonałości, albowiem kto ustaje w pragnieniu ostatniego swego celu, którym jest posiadanie Boga, oglądanie Go i kochanie, ten przez to samo zdaje się ustawać w wierze, nadziei i miłości, czyli w istocie życia chrześcijańskiego. I jakimże sposobem może ktoś uwierzyć, że wieczna szczęśliwość zależy na oglądaniu Boga, jeżeli nie pragnie gorąco Go oglądać? Jakim sposobem może ktoś mieć nadzieję tej szczęśliwości, jeżeli nie

[1]) 2, 2, q. 17. a. 7. [2]) Lauraea 3. Sent. d. 32. a. 10. [3]) Benedykt XIV de serv. Dei beatif. l. 3 c. 23.

[1]) Ps. 41, 3. [2]) Philip. 1, 23. [3]) Soliloq. c. 1 [4]) Scal. c. 6.

śmie rzucić się w ręce Boskie, aby do Niego uleciał? Jak może kochać Boga nadewszystko, jeżeli nie pragnie gorąco tego stanu, w którym doskonale z Nim zjednoczyć się może? Należy więc takie pragnienie często obudzać. Kto zaś pragnie końca, ten i środków do tego koniecznych pragnąć powinien: przeto i śmierci jako środka do połączenia się z Bogiem nie ma unikać, ale jej pożądać.

Czy jest obowiązkiem tęsknić za oglądaniem Boga?

Jest rzeczą godziwą i świętą pragnąć śmierci z czystej miłości Boga i żądzy połączenia się z Nim, jak uczą wszyscy, a szczególniej Rodryguez.[1]) Mamy nawet przykłady, że jest to nietylko rzeczą doskonalszą, lecz nawet obowiązkową, tak dalece, że kary jest godzien, kto takich pragnień w sobie nie wzbudza. Matka Boska objawiła Ś. Brygidzie o pewnym zmarłym pustelniku, że dusza jego byłaby zaraz po wyjściu z ciała weszła do nieba, ponieważ jednak w chwili śmierci nie miał doskonałego pragnienia oglądania Boga, skazany został na czyściec, w którym nie cierpi żadnej męki, oprócz nieopisanej tęsknoty za Bogiem.[2]) To samo, jak świadczy Blozjusz[3]) znajdujemy w pismach Ś. Gertrudy i Ś. Mechtyldy i u Djonizego Kartuza,[4]) podobnież utrzymuje Kardynał Bellarmin.[5]) A chociaż Suarez porusza różne trudności co do miejsca i sposobu tego czyśca, jednak wyznaje, że rzeczywiście dusza, oziębłe pragnąca widzenia Boga, bywa karaną po śmierci tem samem pragnieniem i to tak dalece, że względnie do tej kary inne wydają się jakby niczem i w rzeczy samej są od niej lżejsze.

Nadzieja z bojaźnią się łączy.

Chociaż nadzieja wiecznego zbawienia jest pewną ze strony Boga, ale ze względu na nas jest niepewną, bo nikt za wytrwanie własne ręczyć nie może. Dlatego wbrew kwietystom niema w tem życiu takiego stanu doskonałości, w którymby nie było potrzeba bojaźni kar ani pragnienia wiecznej nagrody. Nie każda jednak bojaźń godzi się z nadzieją nadprzyrodzoną, a tem bardziej z nadzieją heroiczną. Jest bowiem bojaźń *światowa*, kiedy ktoś tak się boi utraty dóbr doczesnych, iż dla ich zachowania gotów jest przestąpić prawo Boże. Druga jest *niewolnicza*, to jest gdy ktoś więcej lęka się kary, niż obrazy Boskiej. Trzecia bojaźń jest *służebna*, a znajduje się u tych, którzy lubo brzydzą się grzechem i obrazą Boską, ale wstrzymują się od nich głównie z bojaźni kary. Obok tej bojaźni znajdować się może i chrześcijańska nadzieja. Czwarta nakoniec bojaźń jest *synowska*, gdy się ktoś obawia grzechu głównie dla obrazy Boskiej i wzgardzenia Jego miłością i ta jest darem Ducha Świętego. Taka bojaźń potrzebna jest do nadziei heroicznej.

Dążący do doskonałości powinni się ćwiczyć w bojaźni.

Pismo Boże uczy, że „początkiem mądrości jest bojaźń Pańska“[1]) i że „błogosławiony jest człowiek, który się zawsze boi.“[2]) I Ś. Paweł ostrzega: „Z bojaźnią i ze drżeniem zbawienie wasze sprawujcie“[3]), bo jak mówi Ekklezjastyk: „Kto się Pana boi, nic się nie lęka, ani się bać będzie, bo On jest nadzieją jego“[4]). Stąd wnosi Ś. Augustyn: „Trzeba więc, aby najpierw weszła bojaźń, za którą wejdzie miłość.“ A Ś. Bernard dodaje: „Nic nie jest tak skutecznem do zasłużenia na łaskę i do jej pomnożenia, jak to, żebyś wobec Boga niewiele myślał o sobie, ale zawsze był bojaźliwym. Bój się, gdy łaska się zbliża; bój się, gdy się oddala; bój się, gdy powraca.“ Przyczyna tego jest, że nic skuteczniej nad bojaźń nie pomaga do utrzymania łaski Bożej, gdy przeciwnie Święci nawet upadali ciężko, skoro zbyt sobie ufali i mało mieli bojaźni i ostrożności[5]). A przytem z bojaźni rodzi się męstwo i siła, gdyż bojący się Boga wszelką nadzieję pokłada w Bogu, który jest podporą bojącym się Go[6]), jak to widzimy w Męczennikach. Wreszcie bojaźń Pańska ucieszy serce i da radość i wesele[7]), ponieważ słodko nakłania do miłości, a według Ś. Hieronima jest ona stróżem cnót wszystkich[8]).

Zachęta do ufności.

Każdy zatem chrześcijanin, a szczególniej dążący do doskonałości i pragnący wielkie rzeczy działać dla Boga, przedewszystkiem powinien obudzić w sobie nadzieję i często ufać nawet przeciw nadziei. I wiedzieć powinien, że nadzieja nigdy nie jest zanadto wielką, bo nie można tak wielkich rzeczy spodziewać się od Boga, żeby On nie pra-

[1]) Exerc. perf. P. 1. tr. 8, c. 19, 20, 21. [2]) L. 4. Revel. c. 127. [3]) Monit. spir. c. 13. [4]) Dial. de jud. part. c. 13. [5]) L. 2. de purgat. c. 7.

[1]) Prov. 1. 7. Ps. 110, 10, Eccl. 1, 16. [2]) Prov. 28, 14. [3]) Philip. 2, 12. [4]) Eccl. 34, 16. [5]) S. Bern. De ord. vitae. [6]) Ps. 24, 14. [7]) Eccl. 1, 12. [8]) Ep. ad Fabiol.

gnął, aby jeszcze większych od Niego wyglądano. Tym bowiem sposobem rzeczy zadziwiające, wyższe nad naturę, z pomocą Bożą uczyni.

Starajmy się przeto utrzymywać w sercach największą nadzieję dostąpienia życia wiecznego i wszystkich łask koniecznych, abyśmy mogli z Bogiem się zjednoczyć. A chociaż, poznając słabość naszą, powinniśmy się zawsze obawiać, z ufności jednak w Bogu, który chętnie nas wspiera i wszystko może, jesteśmy do wszystkiego sposobni, bo On jak wszystko z niczego stworzył, tak i w sercu naszem wszystko uczyni, jeżeli tylko będziemy dobrze o tem pamiętali, że nic nie jest z nas samych, a wszystko z Boga.

Pamiętajmy wreszcie, że doskonała wiara i nadzieja wtedy szczególniej się objawia, kiedy na nas spadną ciężkie krzyże, niespodziewane utrapienia, w których znikąd pomocy ludzkiej wyglądać nie możemy i które nawet naturalne siły człowieka przechodzą. Uważajmy pilnie, że chociaż Ś. Piotr miał tak wielką wiarę, że sam się oświadczył, iż na rozkaz Jezusa po morzu pójdzie do Niego, a jednak gdy idąc zadrżał na widok gwałtownego wichru, Zbawiciel mu wyrzucał, że był małej wiary i nie powinien był się trwożyć. Podobną wymówkę uczynił apostołom, gdy Go w czasie gwałtownej burzy zbudzili ze snu, wołając o ratunek, bo chociaż ich fale morskie okrywały, nie powinni byli wątpić, że przy Nim nic im się złego nie stanie.

Uśmierzenie wilka w Gubbio.

Płaskorzeźba marmurowa w wielkim ołtarzu kościoła Ś. Wawrzyńca w Neapolu. Rzeźba sławnego Merliano z Noli (1478—1559).

ROZDZIAŁ III.

Duch seraficzny jest duchem świętego zapału.

Za duchem żywej wiary idzie duch świętego zapału, należący do istoty seraficzkiego ducha. Jest on tak właściwy Ś. Franciszkowi, że może się uważać za jego uosobienie. Dość wspomnieć o Franciszku Serafickim, aby zaraz wyobrazić sobie człowieka ożywionego św. zapałem.

Źródło świętego zapału.

„Przyszedłem ogień puścić na ziemię, mówił Zbawiciel, a czegoż chcę, jedno aby był zapalon.“ Przez ogień rozumiał Pan Jezus ów zapał święty, przez któryby ludzie nietylko do czynienia dobrze, ale i do porywania się na wielkie rzeczy mogli być pobudzani. Dlatego to Duch Święty zstąpił na Apostołów w postaci ognia, którym napełnieni, poświęcili się ochoczo na prace, utrapienia i niebezpieczeństwa, nietylko niczem się nie trwożąc, ale zawsze weseląc się w Panu.

Zapał pierwszych chrześcijan.

Duch pierwszych chrześcijan był także duchem zapału. Bossuet swym niezrównanie pięknym stylem mówi: „Kiedyż to Kościół widział chrześcijan prawdziwie godnych tego imienia? Wtenczas, kiedy był prześladowany, kiedy na wszystkich słupach czytano straszne wyroki na jego dzieci, kiedy na szubienicach i placach publicznych męczono je i zabijano za wiarę. Wtenczas to żyli na ziemi prawdziwi chrześcijanie, wtedy to spotykało się dusze mocne, karmione ciągłem prześladowaniem i grozą śmierci męczeńskiej, poczytujące sobie za chlubę cierpieć i umierać dla Boga. Zdawało im się, że nie przystoi uczniom Ukrzyżowanego szukać pociechy i rozkoszy na tym, lecz na tamtym świecie. Uważając ziemię za padół wygnania, mieli sobie za szczęście opuścić ją jak najprędzej. Pobożność ich była szczera, nie umiała jeszcze stosować się do świata, frymarczyć pozorami na cześć królestwa ciemności. Prosta, niewinna, nieskrępowana więzami sideł i względów ludzkich, dawała dowody męstwa i stałości pośród największych utrapień.“

Odnowienie tego ducha.

Takie same rzeczy powtórzyły się za czasów Franciszka Świętego. Jego serce zajęło się tym samym ogniem, który Zbawiciel przyszedł miotać na ziemię i rozpaliło się tak, iż zdawał się ciągle gorzeć. Zapał ten wszędzie mu towarzyszył i jaśniał w nim całe życie od początku do końca. Nic go nie mogło osłabić: ani czas, ani wiek, ani choroby, ani wewnętrzne smutki i uciski, ani prześladowanie, ani inne trudności, owszem, zdawał się on wzrastać z dnia na dzień. I udzielał się

nietylko uczniom jego, ale i wszystkim słuchaczom, a w końcu cały Kościół ogarnął: „Przykład, kazania i cuda Franciszka, — mówi O. Leopold z Chérancé, Kapucyn, — poruszyły całą Europę i w owych czasach ogólnego zepsucia i rozpusty dały pochop do życia zakonnego.“ Ze wszystkich warstw społeczeństwa dusze heroiczne zaczęły się garnąć pod sztandar Ś. Franciszka, lub nieodrodnej jego córki, Ś. Klary. Ci zaś, których zatrzymywały obowiązki stanu, pragnąc również dążyć za tem powszechnem tchnieniem, prosili Ś. Patryarchy, aby im wskazał, jak mają żyć prawdziwie po chrześcijańsku wśród świata i domagali się reguły, własną jego ręką skreślonej. Ś. Franciszek przyrzekł dać im takową i dotrzymał obietnicy; tym sposobem, według słów ks. Lakordera (Lacordair'a) życie zakonne wcisnęło się do ogniska rodzinnego, do gniazd małżeńskich, świat zaludnił się dziewicami, wdowami, małżonkami, noszącymi publicznie pasek i habit. Zrozumiano, iż chcąc być świętym, nie potrzeba opuszczać świata, kryć się za murami klasztorów, że każda izba może być celką, każdy dom pustynią. Historja powstania Trzeciego Zakonu stanowi jedną z najpiękniejszych kart dziejów ludzkości. Wydał on Świętych na wszystkich szczeblach społeczeństwa, a tak wielką liczbę, że słusznie pozazdrościćby jej mogły pustynie i klasztory. I nie dość na tem, bo duch świętego zapału w szeregu dalszych wieków napełniał całe zastępy ludzi wiarą i męstwem, czyniąc z nich bohaterów do walki przeciw Turkom.

Ale przypatrzmy się zapałowi Franciszka Świętego, może ten widok i naszą oziębłość rozgrzeje.

Zapał w modlitwie.

Gdy się modlił ten Boży kochanek, to się wydawał, według wyrażenia Ś. Bonawentury, jak „węgiel żarzący“, czynił to bowiem zawsze serdecznie płacząc i głośno wzdychając i znać było po nim, że z Bogiem rozmawiał. Cała postawa jego i wszystkie ruchy okazywały zatopienie się w Bogu, gdyż pomimo częstych oschłości, nie znał modlitwy oziębłej. Za streszczenie wszystkich jego modlitw można uważać tę, którą ułożył w dniu otrzymania świętych blizn Chrystusowych i którą lubił często powtarzać. Jest ona także jakby wylewem jego zapału, godnym ust Serafinów, bo wypłynęła z jego serca już przepełnionego tą seraficką miłością. Oto jest ten prześliczny, a najgorętszy, jako być może akt miłości Boga, w szczególny sposób zalecany przez Ś. Alfonsa Liguori duszom pobożnym, rozpamiętywającym Mękę Pańską: „Niech siła miłości Twojej, o mój Jezu, ogarnię duszę moją, abym umarł dla miłości Twojej miłości, któryś raczył umrzeć dla miłości mojej miłości.“ [1])

Zapał w słuchaniu natchnień Ducha Świętego.

Żeby dać poznać zapał Franciszka w badaniu i spełnianiu woli Bożej, dość wspomnieć, jak długo, jak wytrwale i z jakiemi łzami prosił Boga o poznanie woli Jego w początkach nawrócenia, jak pospiesznie brał się do wszystkiego, co mu się tylko wydało wolą Bożą. Z jaką gotowością wyprawiał się na wojnę, sądząc, że do takiej walki Bóg go wzywa. Jak gorliwie wziął się do naprawy kościołów, chociaż zajęcie to było tak nieodpowiednie do jego stanu, przynosiło mniemaną hańbę ojcu i gniew jego nań ściągało. Z jakim pośpiechem zrzucił zaraz w kościele suknię i obuwie, skoro tylko usłyszał słowa Ewangelji i wyrozumiał z nich, że ma naśladować życie Apostołów. Zgoła nie było w nim nigdy ani chwili wahania ani oglądania się bądź na świat, bądź na swoje siły; nie było dlań nic trudnego i nic niepodobnego, skoro spostrzegł, że Bóg tego po nim wymaga.

Przytoczymy tu zdarzenie, już wyżej obszernie wspomniane [2]), bo ono nam z jednej strony wyjaśni wielką pilność Franciszka w badaniu woli Bożej, z drugiej zaś — wielką gotowość do opuszczenia wszystkiego dla jej spełnienia i wielki pośpiech gdy ją zrozumiał. Było to w cztery lata po jego nawróceniu, kiedy zakon jego był już bardzo rozszerzony i niezmierne przynosił pożytki w Kościele. Święty nasz Ojciec zaczął wątpić, czy dobrze robi, zajmując się nauczaniem i czy nie właściwiejby było, aby się oddał tylko modlitwie i pokucie. Trapiony tą wątpliwością, radził się towarzyszów, potem posłał do Ś. Klary i do brata Sylwestra, który wówczas żył na ustroniu, a gdy otrzymał odpowiedź, utwierdzającą go w życiu apostolskiem, zaraz z tego miejsca na którem przebywał, nie ociągając się ani chwili, wyruszył na misję.

Zapał w opuszczeniu wszystkiego.

Nie poprzestawał on na opuszczeniu wszystkiego duchem, ale posunął swoje wyzucie się do

[1]) Żyw. Ś. Fr. przez O. Prokopa, kap. T. II. str. 194.
[2]) Tom II str. 484.

najwyższego stopnia, bo gdy ojciec zażądał od niego zrzeczenia się majątku, Święty oddał mu nawet i suknie, w jednej tylko włosienicy zostając. I weselił się z tego bardzo, że jak Chrystus, będąc bogatym, stał się dla nas ubogim i nie miał kędy głowy skłonić, tak i on również z bogatego stał się dobrowolnie ubogim i nie miał dachu nad głową. Przez całe życie czuwał nad swojem sercem, aby nie zakradło się tam żadne przywiązanie do rzeczy ziemskich, żeby nie używał nawet nic takiego, coby można było uważać za jego własność, i jak kto nazwał jaką rzecz jego imieniem, natychmiast jej się pozbawiał. Usłyszawszy jednego z zakonników, mówiącego: „Wracam z celi Franciszka“, zawołał go i rzekł: „Dlaczego nazywasz ją moją celą? Ona nie należy do mnie i odtąd inny brat będzie w niej mieszkać,“ a potem dodał: „Najsłodszy nasz Zbawiciel, będąc na puszczy, gdzie spędził 40 dni i czterdzieści nocy w poście i modlitwie, nie zbudował sobie ani domu, ani celi, ale odpoczywał w wydrążeniu skał, na wierzchołku góry.“ Mógł więc Franciszek przed śmiercią takie sobie oddać świadectwo: „Nie pamiętam, iżbym kiedy miał być niewiernym mojej pani ubóstwu.“

Zapał względem świętego ubóstwa.

Jakim zapałem przejęty był dla św. ubóstwa, okazywały to jego ubiór i pokarm i każda rzecz przez niego używana, wszystko bowiem było odpowiednie do tej cnoty, którą tak umiłował, iż nic mu się nie podobało, coby nie było nią ozdobione. O niej marzył, jako o swojej oblubienicy i pani, o niej zawsze mówił z zapałem i jak przez obnażenie się z szat ojcowskich rozpoczął apostolstwo najwyższego ubóstwa i z niem się zaślubił, tak też dotrwał w tym bohaterskim związku aż do śmierci. Zapał ten objawił się zaraz w samym początku jego nawrócenia. Pracując przy naprawie kościołka Ś. Damjana, sługa Boży otrzymywał posiłek od miejscowego proboszcza, lecz nie mógł tego znieść jako rzeczy, niezgadzającej się z jego powołaniem. Taką więc pewnego razu zrobił sobie uwagę: „Franciszku, czy wszędzie doznasz tyle miłości, co tutaj? A przytem czy taki sposób życia obrałeś? Odtąd będziesz chodził ode drzwi do drzwi, jak ubogi żebrak, prosząc jałmużny i weźmiesz ze sobą miseczkę, w którą masz składać, co ci dadzą. Tak bowiem żyć powinieneś z miłości Tego, który się narodził ubogim, żył ubogim, którego nagim przybito do krzyża i który po śmierci złożony został w cudzym grobie.“ Jak pomyślał, tak też i uczynił: nazajutrz, chodząc od domu do domu, użebrał sobie trochę nędznej strawy i siadłszy pod murem, zabrał się do jej spożywania. Ale dziwna rzecz! Ten, co już od niejakiego czasu ostrej oddawał się pokucie, a przebywając w górach, żył samym chlebem i wodą, gdy przyszło mu spożyć tę mieszaninę różnych potraw, może i nieświeżych, doznał wielkiego wstrętu. Wszakże wyrzucając to sobie, jako wybredność, nielicującą z życiem pokutnem, zadał taki gwałt swojej naturze, iż, jak to później sam opowiadał, posiłek ten wydał mu się najsmaczniejszym. Pokrzepiony tem zwycięstwem nad sobą, przyszedł do proboszcza u Ś. Damjana, prosząc, aby się już o jego wyżywienie wcale nie troszczył. A kiedy ten spytał, dlaczego, odpowiedział, mu: „Znalazłem doskonałego szafarza i bardzo biegłego kuchmistrza, który umie wybornie przyrządzać potrawy.“

Zapał w miłości bliźniego.

Miłość jego dla bliźnich była tak gorąca, iż dość mu było usłyszeć o czyjem cierpieniu, aby się serce jego wzruszyło. Pobudzony do współczucia, zaraz czuł się gotowym na wszystkie ofiary. Nie zakładał też żadnych granic poświęceniu. Jeżeli służył trędowatym, to całował ich rany, to jadał z nimi z jednej miski, w której zanurzali swoje ręce, kapiące ropą. Jeżeli okrywał nagich, to ściągał z siebie ubranie, lub obdzierał je z naszytych płatów. Jeżeli karmił głodnych, to ujmował sobie posiłku i często sam go potrzebującym zanosił. I ten zapał towarzyszył mu od samej młodości. Ś. Bonawentura pisze, że Franciszek radby był poświęcić ubogim nietylko wszystko co posiadał, ale i samego siebie.

Zapał w nauczaniu.

O zapale w nauczaniu świadczy tenże Doktor Seraficki, mówiąc, że „mowa jego jak pochodnia gorzała.“ Świadczą o tem również tłumy ludu, które cisnęły się doń, gdziekolwiek się pojawił. Świadczą te krocie nawróconych i drugie krocie dusz, które przywiódł do życia świątobliwego. Lubo mówił rzeczy proste, ale z takiem przejęciem, z takiemi ruchami, pełnemi ognia i głosem tak przenikającym, że słuchacze czuli się porwani jego wymową i, zapominając o wszystkiem, wpadali jakby w zachwycenie. Święty nie kładł granic swym naukom, nie oglądał się na posty i niewyspanie, ani na liczne choroby, a gdy nie mógł już chodzić, kazał się obnosić, aby do końca spełniać zleconą sobie misję.

Z jakim zapałem pisał regułę Braci Mniejszych?

Takiejże gorącości ducha Seraficki Franciszek żąda w regule od swoich naśladowców. Wskazując im drogę do Boga, idzie w tem za popędem serafickiego serca swojego. Dlatego też nie miarkował przepisów reguły, jak to czynili inni zakonodawcy, którzy się nachylali do słabości i ułomności ludzkiej, a naśladowców swoich wiedli po drodze cnoty krokiem umiarkowanym. W świętym zapale porywał on wszystko, cokolwiek może duszę od świata zupełnie oderwać i z Bogiem doskonale zjednoczyć. Czyny takie, które za najwyższe i heroiczne się uważają, nakazuje jako zwyczajne obowiązki. Zaczyna ustawy swoje od tych słów: Reguła Braci Mniejszych ta jest: zachować Ewangelję Pana naszego Jezusa Chrystusa, żyjąc bez własności, w posłuszeństwie i czystości i t. d. I rzeczywiście dalej kreśli szczegółowo przepisy ewangeliczne. Oprócz trzech istotnych ślubów zakonnych, Święty Ojciec dodaje przeszło 20 przykazań pod grzechem ciężkim obowiązujących. Nie pozwala mieć dwóch sukien, ani obuwia, ani używać pieniędzy, ani jeździć bez koniecznej potrzeby, i w każdem niemal zdaniu reguły przynagla do najwyższej doskonałości. I nie chce, aby bracia zwykłym krokiem do niej zdążali, ale aby biegli pośpiesznie, jakby ludzie złożeni nie z ciała, ale z ognia, pisze jeden z tłumaczów tej reguły.

Z jakim zapałem bronił drogi ewangelicznej doskonałości?

Trzebaby przytaczać wszystkie niemal nauki Ś. Franciszka, jakie miewał do swoich synów, bo we wszystkich przebija się ten zapał i to gorące pragnienie, aby ich utwierdzić na drodze, którą miał sobie objawioną, ale ten jeden wspomniany już wypadek z Kapituły Rogozianej wystarczy.

Bracia słabszego ducha udali się do Kardynała Hugolina, prosząc go o użycie swego wpływu, żeby Franciszek nadał im inną jaką regułę. Usłyszawszy to, święty Ojciec poprowadził Kardynała do zebranych i z wielkim zapałem rzekł do nich: „Bracia moi, Pan mnie powołał na drogę prostoty i pokory, i powiedział mi, że chce mnie mieć za szaleńca u świata i rozkazuje, abym ja i ci wszyscy, którzy za mną pójść pragną, naśladowali Go i żyli według Ewangelji Św. Nie mówcie mi więc o regule Ś. Augustyna, Bazylego lub Benedykta, gdyż ja tylko na tej drodze przewodniczyć wam będę, którą mi sam Pan objawił.“

Mowa ta wywarła na braciach bardzo wielkie i zbawienne wrażenie. Wierni swojej regule, a takimi byli wszyscy z nader małym wyjątkiem, podnieśli się na duchu, Eljasz zaś i kilku jego stronników spuścili oczy i zdaje się, że wtedy chociaż nie na długo, zmienili swój sposób widzenia. Książę Kościoła, jak zwykle w każdem zajściu z Franciszkiem, przyznał mu słuszność. Miał on tu nowy dowód, jak Pan Bóg sługę swego oświecać raczy i jaką gorliwością, jakiem męstwem go obdarza. To też gdy odszedł Seraficki Patryarcha, Hugolin w te słowa przemówił do jego synów: „Najmilsi bracia moi, samiście widzieli i słyszeli, co przez usta tego męża apostolskiego Duch Przenajświętszy wam wypowiedział. Strzeżcie się więc pilnie, żebyście tegoż Ducha Świętego nie zasmucali przez niewdzięczność względem Boga, gdyż w istocie sam Bóg mówi w tym ubożuchnym słudze swoim i przez usta jego wypowiada wielmożności swoje[1]). Kto jego słucha, nie człowieka, ale Boga samego słucha, a kto nim gardzi, Chrystusem gardzi. Ukorzcie dusze wasze Panu[2]) i jeśli pragniecie Mu się podobać, zjednoczcie się ściśle z tym Świętym i bądźcie mu posłuszni, byście, przeciwnie postępując, owoców powołania swego nie postradali. Z ust jego wychodzi słowo Boże, które jest przenikliwsze, niżeli miecz obosieczny i dosięgające aż do szpików[3]). Z doświadczenia bowiem osobistego przekonałem się, że mu od Boga objawionem zostało, cokolwiek ludzie lub szatani na szkodę zakonu jego zamierzają. Stąd też niczem uwieść się nie daje i żadne namowy, czy moje czy inne, chociażby z najlepszych chęci wypływające, nie są zdolne odwrócić go od drogi, jaką mu sam Bóg ukazał.“ Po tem przemówieniu Kardynała skruszyli się nawet i ci, którzy go prosili o pośrednictwo i żal swój z tego powodu pokornie przed nim wyznali.

Zapał w cierpieniach.

Dziwny zapał Ś. Franciszka rozciągał się i do cierpień, bo nietylko nigdy nie czuł w nich uprzykrzenia, ale, gdy inni litowali się nad nim, on, jakby zadośćczyniąc za to, starał się ich sobie przymnożyć. Zdawało się, że cierpienie było dla niego rozkoszą, a przykrością — być wolnym od cierpień. Pan Bóg też chcąc, aby ten wielki Święty wzbogacił się i w te najwyższe zasługi,

[1]) Psalm. 144, 11. [2]) Jud. 8, 16. [3]) Hebr. 4, 12.

jakie tylko przez cierpliwość nabyć można, zsyłał nań rozliczne choroby, tak, że nigdy nie był bez cierpienia. Kiedy zaś najcięższych doznawał bólów, radując się z nich w duchu, nie cierpieniami, lecz najmilszymi braćmi i siostrami je nazywał, i, dziękując za nie Bogu, prosił, aby mu ich zsyłał coraz więcej. W miłosnym zapale do cierpień, porwany był przez Chrystusa do współukrzyżowania z Nim razem na górze Alwernji. Podobny zapał rozwijał w walce z pokusami, gdyż za ich powstaniem rzucał się w ogień, tarzał się w śniegu i w cierniach, chociaż łagodniejszemi środkami mógł je zwyciężyć.

Wytrwanie do końca w świętym zapale

Co najdziwniejsza, że ten zapał święty nie opuścił Franciszka aż do ostatniego tchnienia. Na krótki czas przed śmiercią mawiał on do braci: „Czas, byśmy już zaczęli służyć Panu i Bogu naszemu, gdyż dotąd mało na tej drodze postąpiliśmy.“ I pragnął obsługiwać trędowatych, jak to czynił, będąc zdrowym, oraz wrócić do wszystkich ćwiczeń pokornych i do tych umartwień, przez które w początkach swego nawrócenia podbijał ciało pod panowanie ducha. Zwątlony na ciele długą pokutą, lecz w duchu zawsze silny, zamierzał przy pomocy i pod wodzą Pana Jezusa jeszcze nowych a wielkich na chwałę Bożą spraw dokonać. Gdy bowiem miłość Boża jest jedyną pobudką wszelkich czynów, człowiek nią przejęty nie ogląda się na nic i nic nie widzi niepodobnego; zmusza go ona niejako do przedsiębrania wszystkich rzeczy, które uważa, że miłe są Bogu. A przytem Franciszek tak duchem panował nad ciałem, że ono, jakkolwiek już ledwie żyjące, musiało służyć duchowi, jakby cudownych sił nabierając [1]).

Jak zapał Franciszka udzielał się jego uczniom.

Najlepszym objawem szczerego zapału Franciszka jest ten wpływ nieograniczony, jaki na synów swoich wywierał. Do rządzenia ludźmi potrzeba stałości w działaniu, oraz zdrowego sądu, umiejącego liczyć się z rzeczywistością, a jedno i drugie nie godzi się z marzycielstwem. Franciszek zaś nietylko był przewodnikiem, cieszącym się czcią i miłością podwładnych, ale nadto jeszcze umiał wlewać w uczniów własny swój zapał, i, co już jest pochwałą najwyższą, umiał tak podnosić w górę ich serca, że wśród najcięższych wszelkiego rodzaju ofiar, jakich żądał od nich, czuli się zawsze zadowoleni.

Na zakończenie tego przedmiotu podajemy obraz dobrej woli synów Franciszka. Skreślili go dwaj życiopisarze Świętego z taką żywością wrażeń i wspomnień, że wszelki dodatek nasz zepsułby tylko jego świeżość i harmonję. „Szczęśliwi ze wspólnego pożycia, mówi dziełko Trzech Towarzyszów [1]), w słodkości złączenia swego, nie pomnieli na gorzkość poniewierki, doznawanej od ludzi przewrotnych. Żyli na każdy dzień, oddani modlitwie i pracy ręcznej, a główną ich troską było strzedz się próżniactwa, tego głównego nieprzyjaciela duszy. Wstawali o północy i modlili się z wielką pobożnością, a nieraz ze łzami i ze wzdychaniem. Tak byli ugruntowani w pokorze, że każdy czcił brata swego, jakby własnego ojca i pana, a którzy wyżsi byli dostojeństwem, albo mieli jaką zwierzchność, tem większy brali stąd powód do uniżania się przed drugimi. Wszystka chwała ich opierała się na posłuszeństwie: tak dalece był każdy w ręku przełożonego, iż nie rozbierali, czy ma prawo lub nie to albo tamto im nakazać, ale każdy jego rozkaz przyjmowano jako rozkaz Boga samego i z radością go spełniano. Brzydzili się wszelką żądzą cielesną, surowo sądzili samych siebie i jeden przez drugiego starali się spełniać najcięższe prace, aby nie być ciężarem dla drugich. Nic nie posiadali na własność, książki i wszelkie wogóle sprzęty klasztorne, służyły do wspólnego użytku, jak za czasów apostolskich. Chociaż trwali w ostatecznem ubóstwie, umieli jednak okazywać hojność każdemu, a w szczególności biednym, oddając im to, co sami dostawali. W razie zupełnego ogołocenia, spotkawszy na drodze ubogich, proszących o wsparcie, dawali im część nędznego ubrania swego: czy to kaptur od habitu, czy rękaw, czy jakibądź szmat od sukni odcięty, aby się bądźcobądź spełniły słowa Ewangelji: A który cię prosi, daj mu.[2]) I do bogatych także rozciągali miłosierdzie swoje. Ktokolwiek do nich przyszedł, z dobrocią wielką przyjmowali go i żadnych nie szczędzili starań, by go odwrócić od złego i do pokuty nakłonić. Co do siebie samych, najgoręcej tego pragnęli, by ich nie posyłano w te strony, z których byli rodem, usiłując przez takie oderwanie się od rodziny wypełnić słowa proroka: „Stałem się obcym braci mojej i cudzoziemcem synom matki mojej.“[3]) Za chlubę poczytywali sobie ubóstwo, żadnego nie okazując szacunku nie tylko dla bogactw, ale i dla żadnej rzeczy znikomej. Najgłębszą wszakże

[1]) Żyw. S. Fr. p. O. Pr. T. II.

[1]) Speculum perfectionis. [2]) Matth. 5, 42. [3]) Ps. 68, 9.

Ś. FRANCISZEK OBŁÓCZY Ś. KLARĘ W HABIT ZAKONNY.

RYSUNEK PRZYPISYWANY GIOTTINO (1324—1357), Z GALERJI DREZDEŃSKIEJ.

pogardę objawiali dla pieniędzy, kładąc je na równi z gnojem, według nauki Franciszka. Wesele duszy mieli ustawiczne, bo ani w nich, ani dokoła nich nie było nic takiego, coby ich w czemkolwiek mogło zasmucić. Im bardziej odłączeni byli od świata, tem bliżej czuli się zjednoczeni z Bogiem. Tak szli naprzód drogą krzyża i ścieżkami sprawiedliwości, usuwając z pod nóg swoich wszystko, cokolwiek może być przeszkodą do zbawienia i tym, którzy po nich przyjść mieli, prostą i pewną drogę otwierając."

Drugi życiopisarz, Tomasz z Celano, powtórzywszy te same pochwały, kończy je słowy, któremi i my ten wstęp zamkniemy: „Wszystka ta radość duchowna i ten zapał i te cnoty, całe to nowe a piękne stworzenie, wszystko to było dziełem Franciszka. Jako ojciec, otoczony gronem posłusznych synów, utworzył on tę rodzinę swojem słowem i nauką swoją, a także we wszelakiej szczerości i prawdzie, czynami i przykładem swoim." [1])

Naśladowcy Seraficznego Patryarchy w zapale. S. Klara z Assyża (1253 r.)

Święta Klara była najpierwszą naśladowczynią tego świętego zapału. Mając dar gorącej wewnętrznej modlitwy, odchodziła od niej, rozpromieniona niebiańskiem szczęściem, jakiego Bóg pozwolił jej tu już na ziemi zakosztować, a słowa, które wyrywały się wtedy z jej serca, tchnęły żarem wielkiej miłości Bożej i zapalały do postępu obecne wówczas towarzyszki. Z tegoż zapału, choć przełożona, wzięła na siebie obowiązek budzenia Sióstr na Jutrznię, a obchodząc cele, wzywała je, aby prędko biegły śpiewać chwałę Bożą; nadto sama pamiętała o lampach, dzwoniła na pacierze, jednem słowem troskliwie czuwała, żeby do klasztoru jej nie zakradło się ani ospalstwo, ani gnuśność.[2])

Ś. Ludwik Andegaweński, Brat Mniejszy (1297 r.)

Zapał tego świętego królewicza, późniejszego Biskupa Tuluzy, objawił się jeszcze na świecie. Największą dla niego radością było nawiedzać trędowatych i oddawać im najniższe posługi. „Swemi pięknemi i jak kość słoniowa białemi rękami, pisze jego życiopisarz, młody książę obmywał ich rany, oczyszczał wrzody, a potem całował je z uczuciem pobożności." Pewnego roku w Wielki Czwartek, gdy Ludwik szedł do kościoła Templarjuszów, spotkał na drodze trędowatego. Idąc za pierwszem poruszeniem, byłby go serdecznie uściskał, ale ze względu na młodszego brata Roberta, który okazał wielki wstręt, powstrzymał się. Nazajutrz znowu zobaczyli tegoż biedaka; tym razem wszakże królewicz nie zważał już na nic i ucałował go. Książę Robert przyglądał się temu z przerażeniem, lecz za chwilę, porwany heroicznym przykładem, otworzył też ramiona i przycisnął do serca tego, który go z początku tak wielką napełnił odrazą.

Wstąpiwszy po wielu trudnościach do zakonu Braci Mniejszych, aby nie drażnić ojca swego, nosił czas jakiś z pozwolenia Papieża sutannę kapłańską na habicie, lecz w dzień Ś. Agaty, poddając się silnemu działaniu Bożemu, zrzucił tę suknię i odtąd chodził zawsze jako prawowity syn Ś. Franciszka, w habicie ubogim, wytartym i połatanym.

Jednego dnia Karol II, jego ojciec, spotkał go żebrzącego na ulicach Rzymu, i posłał doń oficera z zapytaniem, czy bardzo zaszczycił królestwo Francji i Neapolu, zmieniając purpurę na ubiór nędzarza? Ludwik uśmiechnął się, a otworzywszy torbę z użebraną żywnością, odpowiedział: „Zarzut twój jest niesłuszny; przypatrz się sam." Zamiast kawałków chleba, sakwy napełnione były bryłami złota, które się cudnie świeciły. Zdziwiony tem wszystkiem, oficer padł na kolana, a przepraszając za swoją śmiałość, przyrzekł wstąpić do Braci Mniejszych, jeżeli otrzyma zezwolenie swej małżonki. Karol zaś II wobec takiego cudu, uspokoił się i nie wzbraniał już więcej synowi ćwiczeń, przez regułę seraficzną przepisanych.[1])

Bł. Jakopon z Todi, Brat Mniejszy. (1304 r.)

Słynny poeta franciszkański, Bł. Jakopon z Todi, gdy go zapytano, w jaki sposób chce służyć Chrystusowi i cierpieć dla Niego, odpowiedział: „Pragnąłbym dla Jego miłości znosić ze spokojem wszelkie uciski i cierpienia, jakie tylko można sobie wyobrazić, a także podejmować najcięższe trudy i prace. Ale i tego nie byłoby mi dosyć. Chciałbym, aby po śmierci dusza moja zstąpiła do czyśca, żebym tam mógł wycierpieć najsroższe męki za wszystkie dusze, które są i będą w czyścu, a nawet, gdyby to było możebne, znieść wszystkie cierpienia za dusze potępione. Nadto, dla miłości mego Zbawiciela, radbym cier-

[1]) Młodość Ś. Franc. s. 229. [2]) Kroniki 3-ch Zak. Ś. Franc. Cz. I. s. 437.

[1]) L'aur. séraph. T. III. p. 227.

pieć i za szatanów, aż do dnia sądnego i dłużej jeszcze, gdyby się tak Bogu podobało, a to dla naśladowania Jezusa Chrystusa, który wspaniałomyślnie cierpiał za nas, chcąc nas nauczyć, żebyśmy za Jego przykładem dobrze innym czynili.“ Te słowa, wypowiedziane z wielkim zapałem i w uniesieniu ducha, są z jednej strony dowodem miłości Bożej, a z drugiej — nienawiści samego siebie. Należy jednak dodać, że chociaż brat ten gotów był na męki piekielne, jednakże łaski Bożej i Jego miłości nie byłby się nigdy wyrzekł. Nagradzając tę gotowość świętego sługi swego do cierpień, Stwórca obdarzał go tak wielkiemi łaskami, że prawie od siebie odchodził. Zdarzało się, że nieraz śpiewał, płakał, wzdychał lub w zapomnieniu całował i ściskał drzewa, wołając: „O Jezu mój najsłodszy, o Jezu najmilszy, o Jezu najwdzięczniejszy.“ [1])

Ś. Elzear de Sabran, 3 Zak. (1325 r.)

Innego rodzaju zapał objawił się w Ś. Elzearze. Skoro nadszedł dla niego czas kształcenia się, rodzice powierzyli go troskliwej pieczy stryja, Wilhelma de Sabran, proboszcza u Ś. Wiktora w Marsylji, przy którym uczeń szybkie czynił postępy, nietylko w naukach świeckich, ale i w życiu duchownem. Pewnego razu, słysząc czytane dzieje ŚŚ. Męczenników, uczuł w sobie tak żywe pragnienie cierpień na ich wzór dla Chrystusa, że prosił, aby go objaśniono w jakim to kraju tak męczą chrześcijan, gdyż pragnie się tam udać, by razem z nimi dostąpić korony męczeńskiej. Nie tego jednak Pan Bóg od niego żądał; miał on być męczennikiem na świecie i w małżeństwie. Ożeniony bardzo młodo z hrabianką de Glandèves, na jej prośby zachowywał czystość, ale bez żadnego zobowiązania się do tej cnoty. Upłynęło tak lat 12, gdy Robert, król neapolitański, wydał dla swych dworzan turnieje. Dwudziestosiedmioletni hrabia de Sabran, okazał wtedy tak wielką zręczność, że zyskał sobie powszechne pochwały i palmę pierwszeństwa, przeto według ówczesnego zwyczaju, został pasowany na rycerza. Piękna ta ceremonja odbyła się w jednym z kościołów neapolitańskich. Całą noc poprzedzającą Elzear spędził na rozmowie z Bogiem i aniołami wśród niewymownych pociech i rozkoszy ducha, w ciągłem prawie zachwyceniu. Wtedy to powziął on gorącą chęć uczynienia wraz z Błogosławioną swoją małżonką ślubu czystości, do czego już przedtem niejednokrotnie Duch Święty go pobudzał. Chcąc dokonać tego świętego zamiaru, napisał do Delfiny, aby przyjechała z panią Garsende d'Alphant, dawną swą nauczycielką i wychowawczynią. Delfina przybyła, ale sama, bez pani Garsende, podówczas chorej, a wtedy Elzear oświadczył małżonce, że wezwał ją w tym celu, aby razem złożyli ślub czystości i że chciał to uczynić wobec pani Garsende, która tak gorąco pragnęła widzieć Delfinę dziewicą, Bogu poświęconą. „Kiedy ona do nas przybyć nie może, zawołał Elzear, uniesiony uczuciem wdzięczności, to my pojedziemy do niej.“ I w istocie, za zgodą króla pojechali do swojego zamku d'Ansonis. Po uroczystej Mszy świętej i Komunji w dzień Ś. Marji Magdaleny, poszli oboje do domu pani Garsende, która ciągle była chora, w towarzystwie siostry Delfiny, zakonnicy i rycerza Izuarda, syna pani d'Alphant. Hrabia, klęcząc, położył rękę na mszale i odmówił następującą, przygotowaną już modlitewkę: „Panie Jezu Chryste, od którego wszelkie dobro pochodzi, wiem, iż bez łaski Twojej nie potrafię być ani wstrzemięźliwym, ani czystym, lecz pokładając ufność mą w pomocy Twojej, ślubuję Tobie, Panie Jezu, Przebłogosławionej Marji Pannie i wszystkim Świętym, żyć w czystości i zachować przez całe życie dziewictwo nienaruszone, jak je dotąd z miłosierdzia Twego zachowałem. Gotów jestem raczej ponieść wszelkie utrapienia i męki, aniżeli złamać tę moją obietnicę“.

Gdy Elzear skończył, Delfina, która już dawno była złożyła Bogu ofiarę z siebie, ponowiła ją teraz jak najserdeczniej, a za ich przykładem uczynił to samo rycerz Izuard. Wtedy chora jego matka, jak niegdyś starzec Symeon, gdy Dziecię Jezus piastował na rękach, zawołała w uniesieniu radości: „Dzięki, cześć i chwała Bogu Wszechmogącemu, że dał mi doczekać spełnienia najgorętszych pragnień moich. Teraz umrę szczęśliwa, nic już więcej nie pragnę na tej ziemi. Panie racz przyjąć i wezwać do siebie służebnicę swoją“. Wkrótce też potem umarła, a święci małżonkowie mieli objawienie, że dostąpiła wiecznej chwały. W tym samym dniu, kiedy Elzear i Delfina złożyli ślub dziewictwa, oboje wpisali się do Trzeciego Zakonu Ś. Franciszka Serafickiego.

Bł. Tomasz z Florencji, Obserwant. (1447 r.)

Błogosławiony Tomasz Bellaci, będąc wrzucony wraz z trzema braćmi do suchej studni przez Saracenów, cierpiał straszne katusze. W końcu heroizm tych mężów Bożych wzruszył niewiernych: pozwolili Tomaszowi wychodzić codzień na miasto i żebrać jałmużny, z warunkiem, żeby

[1]) Kroniki 3 Zak. Cz. II s. 774.

wracał każdego wieczora do więzienia. Sługa Chrystusów narażał się na niesłychane trudy i przykrości, żeby ulżyć swoim braciom. Niewierni wyśmiewali się z niego, znieważali, bili nawet, ale serce, trawione miłością Bożą pragnie i pożąda tego wszystkiego, jak człowiek zgłodniały pokarmu.

Pewnego razu schwytanego brata włóczono po błocie, bito rózgami i ciężko zraniono w głowę. Powróciwszy do swoich, Tomasz zawołał wesoło: „Bracia najmilsi, jestem dzisiaj bogaczem; patrzcie na skarby moje, jakie mi się udało zebrać!“ i to mówiąc pokazał im swoje rany. Potem prosił ich, aby wspólnie z nim podziękowali za nie Bogu i błagali o uleczenie, jeżeli to będzie z jego dobrem. Pan Bóg wysłuchał tej prośby, pełnej ufności i poddania się woli Jego i rany Tomasza zaraz cudownie się zabliźniły. To dodało męstwa Błogosławionemu, poszedł natychmiast pod drzwi meczetu i zaczął ogłaszać prawdziwą wiarę, ofiarowując się dla niej na śmierć męczeńską. Turcy patrzyli na niego, jak na warjata, a chociaż życia mu nie odbierali, ale jak pierwej, dręczyli go w okrutny sposób.

Jego pragnienie męczeństwa.

W rok potem Bł. Tomasz, dzięki kupcom chrześcijańskim wrócił do Włoch, razem z towarzyszami niedoli i zamieszkał w klasztorku Monte-Piano, prowadząc życie pustelnicze i bardzo surowe. Dnia pewnego nawiedził świątobliwego starca jeden z nowicjuszów i zaczął go wypytywać o jego przygody na Wschodzie. Przy opowiadaniu ich, Tomasz rozpalił się taką żądzą męczeństwa, że zdawał się cały być w ogniu i w tym zapale wybiegł ze swojej pustelni. Zakonnicy, zobaczywszy go pędem biegnącego, zaszli mu drogę, pytając o przyczynę pośpiechu. „Idę, rzekł, do portu, aby wsiąść na okręt, jadący do Azji Mniejszej i tam życie oddać za Chrystusa!“ „Dobrze, najmilszy bracie, odpowiedziano mu, ale na to trzeba mieć wyraźne zezwolenie Ojca Świętego.“ — „Poproszę Gwardjana, i z jego błogosławieństwem udam się do Rzymu.“ Gwardjan, patrząc na zapał Błogosławionego, nie sprzeciwiał się, lecz dał mu socjusza i pozwolił robić starania u Stolicy Apostolskiej.[1])

[1]) La vie de St. Elzéar de Sabran par M. Berguin et P. Euthyme Chapuis. ch. 8. [2]) Kronika 3 Zak. Cz. III, Ks. 2, r. 12.

Jerzy Erbal, Obserwant. (1499 r.)

Inny rodzaj zapału, cichego i ukrytego, objawił wychowaniec tegoż Tomasza z Florencji, Jerzy Erbal. Podobnie jak i mistrz jego, był on braciszkiem klasztornym. Gorącość jego ducha miała dużo czasu, by się objawiać na zewnątrz, gdyż umarł, licząc sto lat, w ścisłej obserwancji przepisów i gorliwem ćwiczeniu się w doskonałości. Ustawicznie poszcząc, biczując się, trapił jeszcze ciało czuwaniem, większą bowiem część nocy przeklęczał zwykle na modlitwie. Pokorny i ubogi, uważał się za ostatniego u wszystkich zakonników, a pomimo lat podeszłych i napracowania się, nigdy w niczem ulgi nie szukał. Nad Męką Pańską wylewał łzy obfite, a modlił się najczęściej z rozkrzyżowanemi rękami. Bracia miłowali go bardzo, gdyż nieraz dla ich pożytku, opowiadał im o pierwszych Obserwantach, jak żyli na wzór pustelników egipskich, poprzestając na samych jarzynach, chlebie i wodzie, jak w nocy śpiewali chwałę Bogu, jak byli skorzy na głos przełożonego i pokorni w stosunkach wzajemnych. Opowiadaniem tych cnót brat Jerzy przyczyniał się do wyrobienia ducha zakonnego w młodych braciach i zapalał ich gorącą chęcią naśladowania takowych.[1])

Bł. Mikołaj Faktor, Obserwant (1583 r.)

Ten sługa Boży, będąc jeszcze młodym chłopcem, biegał często z radością do klasztoru Najśw. Marji Panny od Jezusa, położonego w okolicach Walencji. Wreszcie 30 listopada r. 1537, idąc za natchnieniem Bożem, opuścił potajemnie dom ojcowski i poszedł do mieszkających tam Obserwantów, aby przywdziać suknię zakonną. Na wieść o postępku syna, ojciec jego wpadł w wielki smutek, a udawszy się do klasztoru, błagał i prosił Mikołaja, żeby miał litość nad nim samym, nad matką i rodzeństwem. Nowicjusz odpowiedział bardzo skromnie i roztropnie, ale stanowczo. — Pocieszył ojca, a odwołując się do jego uczuć religijnych, wytłumaczył, że nie smucić się i płakać, ale raczej błogosławić i dziękować powinien Bogu za łaskę powołania jednego z dzieci na służbę swoją. Wzruszony temi słowy, ojciec udzielił mu swego błogosławieństwa i ze szczęściem w sercu opuścił klasztor.

Bł. Mikołaj od pierwszej chwili nowego życia z zadziwiającym zapałem naśladował Ś. Franciszka Serafickiego i wkrótce stał się wzorem Ob-

[1]) Tamże Ks. 6. r. 27.

serwanta. Ogień miłości Bożej palił go nieraz tak gwałtownie, że nie mogąc wytrzymać tego żaru, zanurzał się nawet w mrozy w zimnej wodzie. I o cudo! woda zamarzła rozgrzewała się i wrzała! Wyznali to naoczni świadkowie pod przysięgą w procesie beatyfikacji. Pełen zapału w służbie Bożej, udawał się często do klasztorów rekolekcyjnych, które Obserwanci prowincji Walenckiej pootwierali w kilku miejscach, stosownie do swoich przepisów, i mieszkał tam, rozkoszując się samotnością, umartwieniami i rozmową z Bogiem, a nawet sam z rozporządzenia władzy nowe pozakładał.[1])

Ś. Paschalis Baylon, Obserwant bosy. (1592 r.)

Zapał Świętego braciszka objawił się szczególniej w podjęciu nadzwyczajnej misji, która mu nastręczyła sposobność cierpienia dla miłości Najświętszego Sakramentu. Kustosz Obserwantów Bosych w Hiszpanji miał przesłać ważne pismo do Ministra generalnego, Krzysztofa z Szeffąten (Cheffontaines), przebywającego podówczas w Paryżu i wybrał Paschalisa na to trudne poselstwo. Trzeba było przejść całą Francję, spustoszoną przez wojny religijne. Hugonoci z sekciarską wściekłością niszczyli wszystko, co się odnosiło do Kościoła Rzymskiego, do jego Głowy, jego dogmatów, a zwłaszcza do Najśw. Eucharystji; kapłanów zaś zakonników i wiernych, którzy nie chcieli wyrzec się swoich wierzeń, mordowali. Paschalis, zmuszony wędrować przez prowincje, będące już w rękach tych zażartych heretyków, narażał się na wielkie niebezpieczeństwo. W rzeczy samej w wielu miejscach znieważano go, bito, popychano, oblewano nieczystościami, obrzucano kamieniami. W Orleanie zaś o mało nie umarł, jako męczennik Eucharystji. Stanąwszy pod murami tego miasta, ujrzał się otoczonym, a potem obalonym przez bandę hugonotów. Poczęstowawszy braciszka razami, zbóje podnieśli go, by mu zadać pytania, na które jakąkolwiek dałby odpowiedź, czekało go niemiłosierne znęcanie się. „Papisto, rzekli doń, czy wierzysz, że Pan Bóg jest w tym Sakramencie, który poświęcacie i który zowiecie Mszą Świętą?“ — „Tak, zawołał Paschalis głosem dawnych męczenników, wierzę i mocno wyznaję, że Bóg nasz jest w przybytkach wiekuistych“. I odpowiadając jest w przybytkach wiekuistych.“ I odpowiadając po kolei na zarzuty i rozumowania kalwinistów co do dogmatu eucharystycznego, zbijał je słowo po słowie. Przywiedzeni do ostateczności, sekciarze chwycili za kamienie i niezawodnie braciszek byłby zginął, gdyby go Pan Bóg cudem nie obronił. Pociski, które miały go dosięgnąć, przelatywały mu nad głową, lub szły w prawo, albo w lewo. Jeden tylko go trafił. Rzucony z całej siły, złamał mu lewą łopatkę, tak że do końca życia miał z tego powodu dotkliwe cierpienie.

Idąc dalej, zatopiony w modlitwie, zobaczył, że jakiś jeździec zbliża się ku niemu co koń wyskoczy. Dopadłszy go, zagroził mu włócznią i zapytał: „Mnichu, czy Pan Bóg jest w niebie?“ — „Jest, odpowiedział Święty bez wahania. Z pewnością Pan Bóg jest w niebie.“ Jeździec, heretyk widać, pocwałował dalej. Zastanawiając się potem nad owem dziwnem zdarzeniem i nad swoją odpowiedzią, Paschalis zrozumiał, że należało rzec: „Pan Bóg jest w niebie i w Eucharystji.“ A odbywając dalszą drogę, nie mógł się pocieszyć, że stracił tak dobrą sposobność do poniesienia śmierci w obronie umiłowanej Tajemnicy wiary świętej. Wreszcie po wielu trudach i niebezpieczeństwach znalazł się w Paryżu i załatwiwszy polecenie, tą samą drogą, nielepszą niż poprzednia, wrócił do Hiszpanji. „Ach! mawiał często, wzdychając, gdybym był prawdziwym sługą Bożym, hugonoci nie puściliby mnie żywego z rąk swoich.“ Zapewne, że nie poniósł wtedy śmierci męczeńskiej, ale cierpienia i złe obejście, jakich doznał w czasie tej niebezpiecznej podróży, musiały być bardzo wielkie, skoro Błogosławiony wyszedł z klasztoru, mając włosy czarne, a wrócił biały, jak gołąb. W kilka miesięcy o dziesięć lat się postarzał.[1])

Bł. Hieronim od Jezusa, Obserwant. (1609 r.)

Bracia Mniejsi po wszystkie czasy odznaczali się gorącym zapałem w nawracaniu pogan. Opisywaliśmy już wyżej ich misje w różnych częściach świata, tutaj zaś chcemy podać bardziej szczegółowe dzieje synów Ś. Franciszka, pracujących w Japonji, gdzie nietylko między samymi misjonarzami, ale i między pozyskanymi przez nich wyznawcami, taki obudził się zapał, że tylko z pierwszymi wiekami chrześcijaństwa porównać go można. Wszelkiego wieku, stanu i płci osoby, weseląc się, szły na śmierć za wiarę. W r. 1597, po męczeństwie Ś. Piotra Chrzciciela i jego towarzyszów, zostało jeszcze na ziemi japońskiej pięciu braci: Ruiz, Rodriguez, Ribadeneira, Jan Zamora i Hieronim od Jezusa, ale i oni musieli wkrótce

[1]) L'aur. séraph. T. IV p. 420.

[1]) S. Pascal Baylon, Patron des Oeuvres eucharistiques par le P. Mansuy.

wsiąść na okręt i wyjechać. Ostatni, t. j. Hieronim, tęskniąc za palmą męczeńską, wyprosił sobie u przełożonych, że mu pozwolili wrócić do Japonji z Ludwikiem Gomezem. Tymczasem na tron wszedł nowy cesarz, Kubosama, i okazał się przychylnym dla chrześcijan, wskutek czego przez 20 lat Kościół zażywał spokoju i nowem rozkwitł życiem. Wówczas Hieronim zaczął jawnie opowiadać naukę Chrystusową, a nawet z rozkazu cesarza odprawił od niego poselstwo do wice-króla wysp Filipińskich, z oświadczeniem przyjaźni. Gdy wrócił, Kubosama obsypał go łaskami, pozwolił apostołować wśród Japończyków i ofiarował mu mieszkanie w swoim pałacu. „Nie obawiaj się, mówił, przywdziej habit, ja cię strzegę.“ Święty zakonnik, korzystając z poważania, jakie miał na dworze cesarskim, przebiegał Japonję w różnych kierunkach, wznosił kościoły, nawracał pogan, wypędzał szatanów z opętanych i prowadził z bonzami rozprawy publiczne, w których zawsze był zwycięzcą. On to pierwszy poniósł światło wiary do prowincji Quanto, i do miasta Jeddo; za jego staraniem klasztor w Meako został na nowo otwarty. Cesarz, pełen podziwu dla cnót Hieronima, przeznaczył mu stałą pensję, ale na prośby Świętego, chcącego żyć tylko z jałmużny, musiał cofnąć swoją ofiarę. W r. 1609 sługa Boży poszedł po nagrodę do nieba, ku wielkiemu żalowi chrześcijan japońskich. Sam Kubosama podzielał ich smutek i zapewniał towarzyszów zmarłego, że jak dotąd, tak i nadal otaczać ich będzie swoją opieką. Wkrótce przybyło ośmiu jeszcze braci pod dowództwem Rodrygueza, a gdy ten dla podeszłego wieku odwołany był z misji, zastąpił go Dydak Bermeo. Japonja, w której niedawno wszystkie kościoły i klasztory zburzono, w trzynaście lat potem, t. j. w r. 1611 liczyła 10 klasztorów, 9 szpitali i 34-ch misjonarzy. Jezuici udali się na zachód wyspy, a Franciszkanie zostali na Wschodzie, gdzie byli pierwszymi apostołami.

Nowi męczennicy japońscy. (1614 r.)

Widząc gorliwość Japończyków do przyjęcia światła wiary, Stolica święta chciała, by wszystkie zakony wzięły udział w ich nawracaniu. Naprzód więc Klemens VIII w bulli swej Onorosa, wydanej w r. 1600, odwołał brewe Grzegorza XIII, zlecające misję w Japonji jedynie Jezuitom, zaś w r. 1608 Paweł V ogłosił na korzyść zakonów żebrzących nową bullę: Sedis apostolicae, w której potwierdził rozkazy Klemensa VIII i zniósł niektóre jego zastrzeżenia, a tym sposobem otworzył dla wszystkich reguł obszerne pole do pracy w państwie japońskiem. Na głos Zastępcy Chrystusa udali się tam najgorliwsi synowie Seraficzkiego Patryarchy, tudzież ŚŚ. Dominika i Augustyna. Misja odbywała się z takiem powodzeniem, że w r. 1614, kiedy wybuchło ogólne prześladowanie, na 32 miljony mieszkańców liczono prawie dwa miljony chrześcijan. W królestwach Bungo, Arrima i Omura zupełnie pogan nie było.

Pomimo kwitnącego stanu Kościoła, zdarzały się miejscami prześladowania, które przyczyniały niebu ŚŚ. Męczenników, a w r. 1614 sam cesarz Kubosama zmienił dotychczasowe przychylne usposobienie dla chrześcijan i zaczął krwawo ich prześladować. Była to sprawka bonzów, a po części i kupców holenderskich. Pierwsi pienili się ze złości, widząc wzrost chrześcijan i dobroczynny wpływ misjonarzy na monarchę. Zapowiedzieli więc upadek państwa i przekleństwo bogów, jeżeli wiara chrześcijańska dalej będzie się szerzyć. Dla przyspieszenia zaś niecnych swoich zamiarów, użyli wpływowego otoczenia Kubosamy, przypominając mu polityczne powody, dla których Tajkozama pozbył się chrześcijan. Drudzy, jako protestanci, nienawidząc katolickich Hiszpanów i Portugalczyków, chcieli nadto zatrzymać przy sobie przewagę handlową. Aby osiągnąć ten cel, przedstawili cesarzowi, że misjonarze, będący po większej części pochodzenia hiszpańskiego, przygotowują swemu monarsze zdobycie Japonji, a na potwierdzenie tych potwarzy dodawali, że Anglja, Holandja i inne państwa europejskie powypędzały kapłanów katolickich, albowiem uczą nieuległości dla władzy. Na pół przekonany Kubosama opierał się jeszcze jakiś czas, głównie dla względów materjalnych, bo handel z Hiszpanją przynosił znaczne pożytki, co widząc, Holendrzy obiecali mu dostarczać europejskich towarów obficiej i taniej, niż je miał dotychczas.

Układ ten wywołał straszne prześladowanie. W r. 1614 cesarz dał rozkaz misjonarzom opuszczenia Japonji i zburzenia kościołów, chrześcijańskim zaś poddanym zostawił wybór między odstępstwem, a śmiercią. Mimo to wielu Dominikanów, Augustjanów, Jezuitów i Braci Mniejszych ukrywało się, nie chcąc w tak stanowczej chwili odstąpić wiernych. Przybyło też potajemnie kilku nowych, chciwych męczeństwa misjonarzy. I oto powtórzyły się prześladowania i heroiczny zapał pierwszych wieków. Szły na śmierć tysiące chrześcijan: książęta ze krwi królewskiej, poważne matrony, dziewice, starcy, młodzież, a nawet trzy i

czteroletnie dzieci. Jednych przywiązywano do słupów i palono na wolnym ogniu, innych ścinano, albo szarpano na kawałki; innych znowu męczono głodem i więzieniem; niektórych krzyżowano głową na dół, albo wrzucano wśród zimy do stawów zamarzłych, w których powolnie umierali, innych wreszcie zawieszano nad ziejącym siarką i różnemi gazami otworem wulkanu, aż od uduszenia kończyli życie. Wszyscy okazali się godni Ukrzyżowanego Mistrza swego. Z niezmiernej liczby tych bohaterów chrześcijańskich udało się zebrać opisy 205-u męczeństw, dokonanych między rokiem 1617, a 1632, a iluż to imiona zapisane są tylko w niebiesiech! Sprawę ich podjęto w Rzymie i, po dopełnieniu zwykłych formalności, Pius IX w r. 1867 ogłosił ich beatyfikację. Setki Błogosławionych przybyły zakonom Ś. Augustyna, Ś. Dominika, Ś. Franciszka, Ś. Ignacego, a ilu Tercjarzy! ilu świeckich! Sami Franciszkanie liczą z tych czasów 45 Świętych, z których 18-u należy do Pierwszego Zakonu, a 27-u do Trzeciego.

Bł. Piotr od Wniebowzięcia, Obserwant bosy. (1617 r.)

Ten sługa Boży urodził się w królestwie hiszpańskiem, w dyecezji Toledo, miasteczku Cuerba. Doszedłszy do lat młodzieńczych, wstąpił do Alkantarystów i szybkie czynił postępy w doskonałości zakonnej, tak że powierzono mu kierunek nowicjatu. Zamiłowany w postach i umartwieniach, część nocy spędzał na modlitwie i w niej czerpał pociechę i siłę. W r. 1600 przybył tam brat Jan z Zamora, celem zebrania misjonarzy ochotników na wyspy Filipińskie i do Japonji. Bł. Piotr, będący wtedy gwardjanem w Nunoz, otrzymał pozwolenie na wyjazd wraz z 50-u towarzyszami, z których Ludwik Sotelo i Apolinary Franko mieli otrzymać koronę męczeńską. Z początku głosił Ewangelję na Filipinach, w roku zaś 1607 przeniósł się do Japonji, gdzie z cudowną łatwością nauczył się języka krajowców i przez kilka lat sprawował urząd przełożonego klasztoru w Nangazaki. Opowiadając słowo Boże w krajach Figen i Omura, dzień i noc chrzcił, nauczał i umacniał nowonawróconych w wierze świętej

Na początku prześladowania w r. 1614, Piotr musiał opuścić klasztor; ale pomimo to w świeckiem ubraniu dalej apostołował, wyszukiwał wiernych po lasach i jaskiniach, odprawiał dla nich pokryjomu nabożeństwa, przynosił im ulgę i pomoc duchowną, a nawet materjalną. O parę mil od Nangazaki, w pobliżu Nangoja, dowiedział się Święty, że naczelnik powiatu, odstępca od wiary chrześcijańskiej, nałożył cenę na jego głowę; a że niektórzy wierni, szemrali na kapłanów, iż drugich na męczeństwo namawiając, sami ratowali się ucieczką, albo chronili się w bezpiecznych miejscach, Bł. Piotr, nie unikał spotkania z władzą, owszem, sam się na nie narażał. Błagali go chrześcijanie, aby się gdzie schronił, ale odpowiadał im: „Nie troszczcie się o mnie, raczej o waszem myślcie zbawieniu; zdarza się, wprawdzie, że i my kapłani unikamy niebezpieczeństw nam grożących, aby wam dłużej módz służyć i zachęcać do wytrwania, lecz jeśli Pan Bóg wybrał mnie do korony męczeńskiej, to również się wam dobrze przysłużę, dając wam przykład męstwa i ochotnej śmierci.“ Słuchał więc Piotr, jak dawniej, spowiedzi i sprawował obowiązki swego stanu, kiedy w tem wysłaniec naczelnika powiatu wezwał go do Nangoja, niby to dla pojednania odstępcy z Bogiem. Błogosławiony, jakkolwiek przeczuwał zdradę, nie zawahał się ani chwili, i poszedł, lecz zaledwie stanął w mieście, schwytano go i osadzono w więzieniu. „Dziękuję Ci, o Boże, zawołał wtedy, całując krucyfiks, że przypuszczasz mnie do męczeństwa, o które tak błagał święty nasz Patryarcha“. A dowiedziawszy się, że żona odźwiernego była chrześcijanką, przez nią dał znać o swojem uwięzieniu Apolinaremu Franco, Komisarzowi Obserwantów Bosych w Japonji, prosząc o przybory potrzebne do odprawiania Mszy świętej. Ze łzami szczęścia składał Piotr Najśw. Ofiarę, resztę zaś czasu poświęcał modlitwie i rozmyślaniu. Pierwszego maja do tego samego lochu wtrącony został Jan Chrzciciel Tavora, Jezuita, który również miał uledz karze śmierci. Przyszli męczennicy uściskali się z najwyższą radością. W dzień Trójcy Ś., 21 maja, Bł. Piotr otrzymał objawienie w czasie Mszy św., że chwila ich zgonu już nadeszła. 22-go odprawili po raz ostatni niekrwawą Ofiarę za nawrócenie naczelnika i za Kościół japoński, a w południe oznajmiono im, że dziś będą straceni. Wyspowiadali się więc przed sobą, odprawili krwawą dyscyplinę i odśpiewawszy Te Deum, czekali, modląc się, aż po nich przyjdą. Z więzienia wyszli razem, trzymając w ręku krzyż, regułę i dyscyplinę; w drodze śpiewali Litanję do Matki Boskiej i zachęcali otaczających chrześcijan do wytrwania w wierze. Światłość niebieska w kształcie ognistej chorągwi poprzedzała ten pochód. Stanąwszy na placu, gdzie kat już wyczekiwał, Bł. Piotr przemówił do tłumu, że jednak zwłoka ta niecierpliwiła siepaczy, przeto na znak Tavory,

syn Ś. Franciszka zamilkł natychmiast. Potem, uścisnąwszy się, klękli z oczami w niebo wzniesionemi i oddali głowy swoje pod miecz katowski. Przytomni męczeństwu chrześcijanie złożyli święte ciała w dwóch trumnach i pochowali je w tem samem miejscu. Światło, unoszące się nad mogiłą i otrzymane przy niej cuda ściągały licznych pielgrzymów i były powodem wielu nawróceń.

Bł. Jan od Ś. Marty, Obserwant. (1618 r.)

Brat ten pochodził z okolic miasta katalońskiego, Tarragony. Nauki, począwszy od ósmego roku, pobierał w Saragosie, odznaczając się szczególniej talentem do muzyki i śpiewu, tak że później należał do chóru śpiewaków przy katedrze w Zamora. Poznawszy niebezpieczeństwa, jakie mu groziły, wzgardził marnościami świata i zapukał do furty klasztoru Obserwantów w prowincji Ś. Jakóba, gdzie stał się wkrótce wzorem prawdziwego zakonnika pierwszej reguły. Po otrzymaniu święceń kapłańskich, Bł. Jan zapragnął apostolstwa między poganami, a uzyskawszy pozwolenie od przełożonych, popłynął z 30 Braćmi pod wodzą Czcigodnego Sebastjana od Ś. Józefa na wyspy Filipińskie. W r. 1610, Cz. Sebastjan zginął w Tagolande, jako pierwszy męczennik wysp Moluckich. Sprawa jego beatyfikacji już jest przedstawiona w Rzymie. Co do Bł. Jana od Ś. Marty, pragnął on natychmiast udać się do Japonji, ale z powodu jego znajomości muzyki przełożeni zatrzymali go na cały rok i powierzyli mu obowiązki organisty i kapelmistrza. Otworzył więc szkołę muzyczną, w której 400-u chłopców uczył śpiewu, gry na organach i na innych instrumentach, dopiero gdy niektórzy uczniowie tak się wykształcili, że mogli go zastąpić, udał się do upragnionej przez siebie Japonji, gdzie po kolei odprawiał misje w prowincjach: Fuscimi, Arrima i Omura. Pracując 10 lat w tym kraju z nadzwyczajnym zapałem, zyskał sobie ogólny szacunek i chrześcijan i pogan. Pomimo dekretu Kubosamy, skazującego wszystkich misjonarzy na wygnanie, Bł. Jan wrócił w przebraniu do Japonji, przebiegał najsrożej prześladowane miejscowości: Arrima i Omura, podnosząc na duchu słabych, nawracając odstępców, spowiadając, chrzcąc i wyszukując wiernych. Codziennie miał Mszę św., to w jednem, to w drugiem miejscu, a na noc szukał schronienia w górach i skałach. Męstwo jego wzbudzało podziw w samych nawet poganach, którzy licznie do niego przybywali, z tych zaś wielu nawróciło się, a między innemi niejaka Katarzyna Siguimi. Uczona ta niewiasta, na wzór Patronki swojej, Ś. Katarzyny Aleksandryjskiej, w rozprawach religijnych wiedzą i rozumem zawstydzała bonzów. Przyjąwszy Trzecią Regułę, złożyła też i ślub dziewictwa, a w r. 1627 została ścięta za wiarę, dostępując tym sposobem podwójnej korony.

Koniec jego misji.

Gubernator prowincji Omura, przez uszanowanie dla Jana od Ś. Marty, nie przeszkadzał mu w spełnianiu apostolskiego urzędu, na wyraźny jednak rozkaz cesarza, pozwolił go aresztować i uwieść do Meako, gdzie rządził okrutny prześladowca chrześcijan, minister Safioje. Gdy zapytano świętego misjonarza, jak śmiał, pomimo woli cesarskiej, wrócić do Japonji, odpowiedział: „Jestem tu dla nauczania was drogi żywota wiecznego, dla wyprowadzenia was z błędu i skłonienia, abyście zaprzestali męczyć chrześcijan. Zdaje wam się, że zwycięstwo w waszych jest rękach, ale tak nie jest. Bóg stanie po stronie swoich, a ciemiężców na wieczne skaże męki. Ty, Safioje, okrutniejszy od innych, pomnij, że jako starzec, już stoisz nad grobem, i że krew chrześcijan, wylana przez ciebie, woła o pomstę do nieba. Czy myślisz, że Bóg, którego czcimy, jest głuchy i ciemny? O nie! Bóg widzi i słyszy wszystko, bo jest Stwórcą wszystkiego. Nie sądź, aby ze śmiercią kończyło się istnienie człowieka. Jest Bóg, chociaż pozwala chrześcijan prześladować; jest Bóg, chociaż grzesznicy żyją w rozkoszy, mają bogactwa i powodzi im się dobrze, jak tobie. Bóg ten jest cierpliwy; ale przyjdzie godzina, w której każdy odbierze zapłatę, jeden za dobre, drugi za złe, jakie czynił. Po życiu pełnem uciech, po dogadzaniu namiętnościom, nazbierawszy do syta skarbów i dostojeństw, weźmiesz na tamtym świecie hańbę i wieczne męki; chrześcijanin zaś, po kilku dniach bólów i cierpień, pójdzie do przybytków niebieskich na chwałę, na życie bez końca.“ Przerażony temi słowy, Safioje odesłał więźnia do przychylnego chrześcijanom gubernatora, a ten obiecał wolność Świętemu, pod warunkiem, że opuści Japonję. „Ależ ja nie przyszedłem tutaj, żeby wyjechać z pustemi rękoma, odpowiedział zakonnik. Jeżeli więc chcesz mi wyświadczyć łaskę, dozwól mi raczej postawić w tym kraju kościół na cześć prawdziwego Boga; taki bowiem mam zamiar i dobrowolnie od niego nie odstąpię.“ Słysząc to, a nie chcąc ostatecznych użyć środków względem człowieka, którego cnotę i męstwo podziwiał, naczel-

nik dał Bł. Janowi do wyboru, albo wygnanie, albo więzienie. Sługa Chrystusów wybrał to ostatnie, gdyż oprócz nadziei męczeństwa, spodziewał się tam znaleźć obszerne pole pracy; zamknięto go więc ze złoczyńcami, którzy zadawali mu niewypowiedziane męczarnie: wyrywali mu włosy, kopali nogami, chodzili po zbitych jego członkach. Święty wyznawca pisał do O. Ludwika Gomez: „Pan Bóg przysłał mnie tu, abym nauczył się cierpieć; pogańscy moi towarzysze męczą mnie na różne sposoby; kilka razy dlatego tylko przestali pastwić się nademną, iż sądzili, że już umarłem.“ Po trzech latach okropnego więzienia, ścięto mu wreszcie głowę, d. 16 czerwca r. 1618; liczył on wówczas lat 40. Przy szczątkach jego, zebranych ukradkiem przez chrześcijan, działy się cuda. Życie i męczeństwo Bł. Jana od Ś. Marty opisał wspomniany Ludwik Gomez, który również poległ za wiarę w Osaca d. 6 czerwca r. 1634. Bł. Jan ułożył sprawozdanie o prześladowaniu w Japonji, kazania, wykład katechizmu i książkę o błędach i zabobonach krajowców. W czasie niewoli napisał muzykę do Mszy św. i na krótko przed śmiercią przesłał ją do klasztoru w Manilli.

Bł. Ryszard od S Anny, Obserwant. (1622 r.)

Błogosławiony ten zakonnik przyszedł na świat we wsi Ham, dyecezji Leodjum, w Belgji r. 1585. Ubodzy ale zacni jego rodzice od dziecięctwa wdrożyli mu zasady pobożności. W czwartym roku życia doznał on cudownej nad sobą opieki Bożej, bo gdy został porwany przez wilka, a matka, widząc to, wezwała pomocy Ś. Anny, dziki zwierz puścił dziecko zdrowem i całem. Dlatego to później, wstąpiwszy do klasztoru Obserwantów w Nivelle, jako braciszek zakonny, przybrał sobie imię babki Pana Jezusa. Już w nowicjacie podziwiano w nim wielkie ubóstwo, pokorę i dar umartwienia, a gdy został furtjanem, przychodzący bardzo się z niego budowali. By się utrzymać w ciągłej pamięci na obecność Boską, bardzo pilnie unikał próżnej rozmowy, czy to z obcymi czy z braćmi. Nie zważając na umęczenie, wstawał każdej nocy na Boski Obrządek. O. Anglebert, spowiednik Bł. Ryszarda, zapewniał, że przez długi czas budził go Anioł Stróż, pukając lekko o północy do jego celki i mówiąc półgłosem: „Jutrznia, bracie Ryszardzie, Jutrznia“. Na to słodkie wezwanie dobry braciszek wstawał natychmiast i szedł do chóru, odprowadzany przez ducha niebieskiego, który znikał dopiero u drzwi.

W r. 1606 Ryszard udał się za pozwoleniem przełożonych do Rzymu, gdzie spotkawszy Jana z Zamora, przybyłego po misjonarzy do Indji, zapragnął nieść światło nauki Chrystusowej poganom i uprosił sobie tę łaskę, że go przyjęto do grona ochotników. Droga odbyła się bardzo pomyślnie i w maju r. 1611 misjonarze wylądowali na Filipinach. Tutaj przełożeni, uznając wysokie cnoty brata Ryszarda, umyślili dopuścić go do święceń kapłańskich, ale trzeba było zmusić go do tego posłuszeństwem. Nauki przeszedł prędko, a tak gruntownie, że jasnem było, iż go sam Duch Święty oświecał. Wysłany do Japonji, musiał ją po dwóch latach opuścić, na skutek dekretu wydanego przez Kubosamę, ale niebawem wrócił z późniejszym męczennikiem, Bł. Franciszkiem Galwez i kilka lat jeszcze umacniał chwiejnych i nawracał pogan. Gorliwość jego nie miała granic: wchodził do więzień, aby przynieść ulgę i pomoc duchowną skazanym za wiarę, i niejednokrotnie odprowadzał ich na miejsce śmierci.

Jego towarzysze.

Razem z Ryszardem podzielali trudy apostolstwa w tych okolicach: O. Piotr z Avilla i braciszek Wincenty od Ś. Józefa, którzy wraz z nim odnieśli koronę męczeńską.

Bł. Piotr z Avila w Starej Kastylji, przywdziawszy habit Obserwantów bosych, zajaśniał wielką świątobliwością; na Filipiny popłynął z 30-u misjonarzami franciszkańskimi, zgromadzonymi przez Jana z Zamora; do Japonji udał się w towarzystwie kilku braci, z których jednym był właśnie Wincenty od Ś. Józefa.

Bł. Wincenty, urodzony w Ayamonte, w Hiszpanji, około r. 1597, przyjął habit w prowincji meksykańskiej Ś. Dydaka u Obserwantów bosych. Towarzyszył on Bł. Ludwikowi Sotelo na wyspy Filipińskie, skąd później, razem z Bł. Piotrem z Avila, przeszedł do Japonji.

Dwaj ci zakonnicy wydani zostali władzy przez jednego odstępcę. Wiedząc, w którem miejscu ukrywał się sługa Boży, zdrajca przyszedł go prosić niby o spowiedź, a podczas gdy Święty myślał, że się do niej gotuje, sprowadził policję, która, schwytawszy obu braci, osadziła ich w więzieniu w Nangasaki, a potem w Omura, gdzie już znajdowało się kilku członków tego zakonu.

Usłyszawszy o postępku dawnego chrześcijanina, Ryszard próbował go nawrócić, ale zatwardziały grzesznik tak z tego skorzystał, że i jego oddał w ręce katów. Wzięto go chorego z domu zacnej matrony japońskiej, Łucji de Flejtes i wtrącono do więzienia.

Bł. Leon Satzuma, 3 Zak. (1622 r.).

Bł. Leon Japończyk był katechetą przy bracie Ryszardzie od Ś. Anny. Na wieść o losach mistrza, pospieszył do Nagasaki z prośbą, żeby mu wolno było je dzielić. Zdumiony tem gubernator nakłaniał go do odstępstwa, a widząc, że słowa jego są bezskuteczne, pogroził mu strasznemi karami i śmiercią: „Kiedy nie chcesz ani wolności, ani bogactwa, ani czci ludzkiej, ani życia, będziesz miał więzienie i śmierć, tak samo jak ten, którego nazywasz twoim ojcem i z którym chcesz wspólnie umierać. Obydwaj, wypowiadając walkę naszym bożkom, zasłużyliście na tę karę.“ — „Dzięki ci, odpowiedział święty wyznawca, wielką obiecujesz mi chwałę, niema bowiem dla nas nic pożądańszego, jak cierpieć i umrzeć za zbawienie innych. Zobaczysz, z jaką radością wytrzymam męki i przekonasz się, co silniejsze, czy twoje barbarzyństwo, czy łaska, którą mnie Bóg napełni.“ Gubernator, wściekły od gniewu, kazał go wrzucić do więzienia, w którem znajdowało się już wielu zamkniętych dawniej chrześcijan i zakonników.

Bł. Łucja de Fleites, 3 Zak. (1622 r.).

Ta szlachetnego rodu Japonka z Nangasaki, wyszła była za mąż za bogatego Portugalczyka, Filipa de Flejtes, a zostawszy wkrótce wdową, oddała się dobrym uczynkom i modlitwie. Nazywano ją pocieszycielką strapionych, matką zakonników i opatrznością ubogich i nieszczęśliwych. Żywa jej wiara i ufność podtrzymywały chrześcijan w czasie prześladowania, a dom tej 80-letniej staruszki stał otworem dla misjonarzy wszelkich reguł. Tak liczne i wielkie zasługi Łucji zjednały jej męczeńską koronę, bo po schwytaniu w jej domu Bł. Ryszarda od Ś. Anny, wtrąconą została do więzienia, a dobra jej zabrane na rzecz skarbu.

Kiedy już przepełniły się oba więzienia w Omura i Nangasaki, cesarz rozkazał tracić świętych wyznawców. W przeddzień ich męczeństwa Bł. Ryszard pisał do przełożonego klasztoru w Nivelle: „Wkrótce rok będzie, jak jestem w tym ciemnym lochu. Za towarzyszów mam dziewięciu naszych braci, ośmiu Dominikanów, sześciu Jezuitów i wielu chrześcijan krajowców, którzy pomagali nam w pracy apostolskiej. Żyjemy tylko ryżem i wodą. Przeszło 300-u Japończyków poprzedziło nas już w męczeństwie: znęcano się nad nimi w najokropniejszy sposób. My też wszyscy oczekujemy prędkiego końca. Nas i tych, co nam dawali gościnność, mają upiec na wolnym ogniu, reszcie zetną głowy... Jeżeli matka moja jeszcze żyje, proszę Cię, Ojcze, powiedz jej, jak wielką Pan Bóg daje mi łaskę, pozwalając cierpieć i umrzeć za siebie. Nie mam już czasu do niej pisać...“

Dekret cesarski nakazywał tracić uwięzionych w prowincji, w której byli schwytani, skutkiem czego towarzysze długich cierpień i bólów musieli się w ostatnim momencie rozłączyć. Bł. Apolinary Franko, Komisarz Braci Mniejszych, Tomasz Zumarraga, Wikary generalny Dominikanów, wraz ze swoimi braćmi zostali w Omura, dwudziestu innych zapędzono do Nangasaki. Między tymi ostatnimi byli: Bł. Ryszard od Ś. Anny, Piotr z Avila, Wincenty od Ś. Józefa i Leon Satzuma, synowie zakonu seraficiego, BB. Franciszek z Moralez, Józef od Ś. Jacka, Anioł Orsucci, Alfons z Mena, Jacek Orphanel, Dominikanie, Karol Spinola, Jezuita i kilkunastu Japończyków. W drodze modlitwa i śpiew nie ustawały, Bł. Piotr z Avila, mówiący biegle po japońsku, zachęcał lud do przyjęcia nauki Chrystusowej. Bł. Wincenty od Ś. Józefa, niósł chorągiew z wypisanem Imieniem Jezus. Zbliżając się do świętej góry w Nangasaki, z której tyle już dusz męczeńskich uleciało do nieba, napotykali tłumy krajowców chrześcijan i pogan. Liczono ich na sto tysięcy: ziemia i morze, wyżyny i niziny pełne były widzów. Chrześcijanie w liczbie 40 tysięcy, cisnęli się pod stopy idących na męczeństwo, aby ich błagać o modlitwę, ale wojsko natychmiast ich odpychało. Męczennicy z radością w sercu śpiewali Te Deum, Litanje i Psalmy. Zatrzymano ich na 150 kroków od miejsca, na którem ukrzyżowany był Ś. Piotr Chrzciciel z towarzyszami w r. 1597 i tu czekali przeszło godzinę na 35-u więźniów z Nangasaki. Wreszcie ukazała się gromadka tych nieustraszonych chrześcijan, idących podzielić los swoich ojców i nauczycieli wiary. Były tam niewiasty z niemowlętami na ręku, dziewice, starcy, dzieci, na czele zaś postępowała z krzyżem w habicie Trzeciego Zakonu 80-letnia Łucja de Flejtes, zachęcając wszystkich do wytrwania. „W Bogu ufajmy, mówiła, On nas umocni i dopomoże znieść chwilową męczarnię. Czyż święte dziewice, jak Cecylja, Agata, Agnieszka, mniej od nas cierpiały? Bóg, dla którego umieramy, nie opuści nas; bądźmy mężne, a przekonamy pogan, że i słabe niewiasty sięgać mogą po chwalebną koronę. Pamiętajmy, że dziś jeszcze będziemy w Raju. Dawniej przerażała mnie śmierć w ogniu, ale teraz Pan umocnił me siły i mam nadzieję, że On sam będzie ochłodą moją.“

Oburzeni na Łucję, poganie zdarli z niej suknię zakonną, wyrwali krzyż z ręki, ale serca jej

nie odmienili, bo natychmiast poczęła śpiewać hymn: Wielbi dusza moja Pana.

Gdy więźniowie z Nangasaki stanęli naprzeciw swoich Ojców duchownych, pozdrowili ich serdecznie, poczem straż oddzieliła tych, którzy byli przeznaczeni na ogień. Było ich 25-u, po większej części więźniów z Omura i kilku Japończyków, a między nimi Łucja de Flejtes. Wszyscy uklękli, każdy przy swoim słupie i dali się do nich przywiązać. Reszta skazanych wchodziła na górę, klękała ze złożonemi rękoma i schylała głowy swoje pod miecz.

O. Spinola, widząc Izabellę Fernandez, wdowę po męczenniku, zapytał o czteroletniego jej synka, którego sam chrzcił. „Jest tu," odrzekła heroiczna matka, unosząc dziecię do góry, „przywiodłam go na męczeństwo, aby, zanim nauczy się mówić, potrafił umrzeć dla Boga, a nim Go grzechem obrazi, służył Mu w wieczności" i wysunęła dziecko z tłumu, aby je apostoł pobłogosławił, a potem wzięła na ręce i podała główkę katom. Inne dzieci z równąż ochotą szły na śmierć i z uśmiechem anielskim konały.

Po krwawej egzekucji siepacze Kubosamy podłożyli ogień pod słupy, a męczennicy, umierając, jeszcze chwalili Boga. Szczególniej głos Łucji przerażał katów. Nie mogąc swojej radości utaić, wołała: „Wy wszyscy, świadkowie tu obecni, opowiadajcie światu dziwy, na które patrzycie. Czyż może być fałszywą wiara, która daje nam siłę umierać z weselem, która w lwy przemienia dzieci i stare niewiasty. Synowie ojczyzny mojej! niech otworzą się oczy wasze na światło niebieskie! niech krew, tak obficie dziś wylana, obmyje dusze wasze i porodzi je w łasce! Nie płaczcie nad nami, ale idźcie za naszym przykładem, a znajdziecie szczęście prawdziwe. Rzućcie kłamliwych swoich bożków; jeden Chrystus bowiem dochowuje obietnic i On przyjmie nas do Królestwa niebieskiego, da nam spokój i pełność szczęścia, któremu końca nie będzie." Zachęcając towarzyszów do wytrwania i otrzymawszy błogosławieństwo zakonników, oczyszczona ogniem dusza Łucji poszła po wieczystą zapłatę.

Jakkolwiek męki dla wszystkich były jedne i te same, nie dla wszystkich jednakowo trwały: jedni bowiem żyli do dnia następnego, inni umarli w nocy, a jeszcze inni tylko kilka godzin się męczyli. Przez trzy dni świętych szczątków strzegli siepacze, tak że nikt z chrześcijan nie mógł zebrać ani cząsteczki na relikwje, pomimo że tłumy wiernych stały ciągle dokoła. Wreszcie czwartego dnia gubernator kazał je spalić wraz z narzędziami męki, a popiół w morzu zatopić.

Przykład heroizmu chrześcijan wśród tak strasznego męczeństwa wzbudził uwielbienie nawet w poganach i wielu ich się nawróciło.

Ośmiu zakonników, pozostałych w więzieniu w Omura, stracono we dwa dni później, to jest 12 września tegoż 1622 r. Imiona ich są: Bł. Tomasz Zumarraga z dwoma swymi braćmi, BB. Apolinary Franko, Obserwant, Komisarz misji i iMnister prowincji Japońskiej, Franciszek od Ś. Bonawentury, Paweł od Ś. Klary, i dwaj Tercjarze Ś. Franciszka, którzy nie są objęci dekretem beatyfikacyjnym.

Bł. Franciszek Galvez, Obserwant bosy (1623 r.)

Znakomity apostoł japoński, Franciszek Galvez pochodził z Hiszpanji, z miasteczka Utiel. Nauki duchowne otrzymał w Walencji i już jako djakon, mając lat 24, zapukał do furty klasztoru Alkantarystów. Pierwszą misję odprawił na ziemi meksykańskiej, następnie udał się na Filipiny, gdzie tak pilnie uczył się języków, zwłaszcza japońskiego, że mówił nim, jakby tam był urodzony. Wtedy, a było to w r. 1612, przełożeni wyprawili go z kilku jeszcze braćmi do Japonji. Sługa Boży, obok apostolstwa, napisał kilka książek pobożnych i przetłumaczył na język japoński Żywoty Świętych. Gdy w dwa lata potem misjonarze musieli opuścić ten kraj, Franciszek Galvez przebył parę miesięcy na Filipinach, ale gorliwość nie pozwoliła mu długo czekać. Za pozwoleniem więc przełożonych popłynął do Malakki, mając nadzieję, że stamtąd łatwiej uda mu się przekraść do ukochanej misji swojej. Stanąwszy tam, dowiedział się, że nikt z marynarzy i kupców nie przyjmie go na okręt, bo pod karą śmierci mają zabronione przewozić do Japonji kapłanów. Aby więc dopiąć swego zamiaru, Galvez przebrał się za murzyna, poczernił ciało i jako wioślarz dostał się na pokład. Tym sposobem, kosztem wielkich trudów i niebezpieczeństw, zdobył sobie możność prowadzenia dalej prac apostolskich w królestwach Woksu i Mongami.

Pod koniec r. 1623, znajdował się on w Jeddo, stołecznem mieście Japonji, wraz z Jezuitą sycylijskim, Hieronimem de Angelis, kiedy jakiś zdrajca doniósł o tem gubernatorowi. Schwytano ich i uwięziono wraz z 48-u chrześcijanami, między którymi był i bohaterski Tercjarz Faramondo, siostrzeniec cesarza. Tych 50-u wyznawców wiary św. skazanych zostało na spalenie w ogniu. Dnia 4 grudnia kaci, związawszy ich, poprowadzili przez główniejsze ulice, na wzgórze, będące poza miastem, gdzie miało się odbyć męczeństwo. Już za-

częła się egzekucja, gdy jeden ze znakomitszych panów japońskich, przejeżdżając z licznym orszakiem sług, zapytał, co zawinili ci ludzie, których w tak barbarzyński sposób katują, a zsiadłszy z konia, wszedł między świętych Męczenników. „Są chrześcijanami“, odpowiedział sędzia. „I ja nim jestem, zawołał wtedy magnat, „i pragnę gorąco dzielić los moich braci.“ Posłano więc do regenta państwa z zapytaniem, co czynić, i nieustraszony wyznawca otrzymał szczęście, o które prosił. Na ten widok 300 chrześcijan rzuciło się do nóg sędziów i wyznając wiarę świętą, domagało się chwalebnej śmierci. Odepchnięto ich przemocą, a bojąc się rozruchu, coprędzej ogień pod słupy podłożono. Wśród płomieni męczennicy ze wzniesionemi w górę oczyma jeszcze chwalili Boga i zachęcali obecnych do uwierzenia w Jezusa Chrystusa.

Po tym wyroku prześladowanie w Jeddo zdawało się wzrastać z każdą chwilą: uwięziono zaraz 300 Japończyków, z których 24-ch odebrało palmę męczeństwa. W liczbie tej było szesnaścioro dzieci; widziano je, biegnące z uśmiechem i radością na śmierć, jak gdyby chodziło o ucztę lub zabawę. W r. 1623 w samem tylko mieście Jeddo stracono pięciuset chrześcijan. Bł. Franciszek Galvez ukazał się ze swoimi towarzyszami Bł-u Gabryelowi od Ś. Magdaleny i oznajmił mu, że i on życie odda za Chrystusa; kazał mu też powiedzieć wiernym, że czeka ich nowe prześladowanie, daleko sroższe od poprzednich, które dopóty będzie trwało, póki wystarczy chrześcijan w Japonji, mają się więc szykować do korony męczeńskiej. Późniejsze wypadki stwierdziły prawdziwość tego objawienia.

Bł. Ludwik Sotelo, Obserwant (1624 r.)

Apostoł królestwa Woksu, a poseł do Stolicy Świętej i do króla Hiszpanji, był jednym z najwybitniejszych misjonarzy japońskich, tak, iż słusznie nazywano go światłem zakonu serafickiego i Chrystusowego Kościoła. Urodzony w Sewilli, 8 września 1574 r. z pobożnych i znakomitych rodziców, którzy mieli królów między przodkami, po skończeniu uniwersytetu w Salamance wstąpił w rodzinnem mieście swojem do Obserwantów. Odznaczył się tam pokorą, duchem pokuty i wielką miłością Boga i bliźniego. Gdy z tej miłości zapałał pragnieniem zbawienia dusz niewiernych, przełożeni jak najchętniej pozwolili mu udać się na wyspy Filipińskie, skąd w trzy lata później popłynął do Japonji, jako sekretarz w ambasadzie wicekróla Filipinów. Poselstwo świetnie się powiodło. Cesarz tak był zachwycony rozumem O. Sotelo i jego znajomością języka japońskiego, że go upoważnił do opowiadania nauki Chrystusa i budowania kościołów w swojem państwie. Skorzystał z tego Święty, nawracając pogan i wznosząc świątynie prawdziwemu Bogu, a na potwierdzenie słów swoich czynił cuda. Dzięki jego wpływom na dworze Kubosamy cofnięty został wyrok wygnania dla Jezuitów. Bł. Ludwik Sotelo zaniósł światło wiary do krainy Woksu, założył tam kwitnące kolonje chrześcijan, a króla miejscowego, Idata Mazamunę, przygotował do przyjęcia Chrztu. Po Ś. Franciszku i Ś. Piotrze Chrzcicielu, Japonja nie miała gorliwszego nadeń apostoła. Nawrócony król Mazamuna tak zawierzył O. Ludwikowi, że dodawszy mu księcia Fachekura, pierwszego ministra państwa i orszak ze 150 panów, wysłał ich do Europy w poselstwie do Papieża i do króla hiszpańskiego, dla złożenia hołdu pierwszemu, a zawarcia politycznych i handlowych stosunków z drugim.

Mianowany Biskupem, O. Ludwik chciał wrócić do powierzonej sobie przez Ojca Św. nowej deycezji w Japonji wschodniej, gdzie przeważnie apostołowali synowie Ś. Franciszka Serafickiego. A śpieszył się tem bardziej, że przez czas pobytu jego w Europie, stosunki się zmieniły i rozpoczęło się gwałtowne prześladowanie. Św. zakonnik popłynął ku Meksykowi i Filipinom, niezliczone jednak przeszkody, jakie nieprzyjaciel dusz tam nagromadził, dopiero w cztery lata później pozwoliły mu dotrzeć do celu. Towarzyszyli mu Ludwik Sassandra i Ludwik Baba, późniejsi męczennicy.

Gdy O. Sotelo stanął na ziemi japońskiej, prześladowanie szalało tam już na dobre. Chińczyk, który się zgodził odwieźć misjonarzy do Nangasaki, bojąc się o swoją głowę, wydał ich władzy. Sotelo zażądał widzenia się z gubernatorem i oznajmił mu, że był wysłany przez Idata Mazamunę do Hiszpanji, a teraz wraca ze sprawozdaniem z poselstwa. Gubernator, chociaż obiecał przedstawić tę rzecz cesarzowi, kazał jednak trzech mężów wtrącić do więzienia, gdzie już znajdowali się O. Piotr Vasquez, Dominikanin i Michał Carvalho, Jezuita. Odtąd rozpoczęło się powolne, bo dwa lata trwające męczeństwo: każdy dzień przynosił im nowe katusze ze strony Japończyków. Zostało kilka listów z tego czasu przez Bł. Sotelo pisanych; maluje się w nich głęboka pokora i niezmierna radość, że cierpi dla Jezusa Chrystusa i że ma oddać życie swoje za Niego. Jeszcze na 7 miesięcy przed śmiercią doniósł Papieżowi o stanie Kościoła w Japonji, jak to miał sobie zalecone. Szacowne te pisma, choć prawdziwości ich kilku ludzi złej wo-

li chciało zaprzeczyć, znajdują się w archiwach Obserwantów w Manilli. Oprócz tego ułożył katechizm w języku japońskim i różne nauki dla neofitów. 25-y sierpnia r. 1624, dzień Ś. Patrona, trzech Ludwików, był dla nich dniem otrzymania korony męczeńskiej. Spaleni zostali w ogniu wraz ze swoimi towarzyszami: Velasquez'em i Carvalho o milę od miasta Omura.

Towarzysze Bł. Ludwika.

Bł. Ludwik Sassandra był synem szlachetnego Japończyka z Jeddo, umęczonego w r. 1613. Po śmierci ojca młodzieniec wyjechał do Meksyku, gdzie w prowincji ŚŚ. Piotra i Pawła przywdział suknię zakonną. Była to dusza tak anielska i czysta, iż według świadectwa braci i przełożonych, zdawało się, że Adam w nim nie zawinił. Przytem i umysł miał nadzwyczajnie bystry i pojętny, tak iż nie mając jeszcze lat przepisanych, wyświęcony został na kapłana. Pragnął on gorąco opowiadać w Japonji Ewangelję Św., i wkrótce stało się zadość jego życzeniom, kiedy bowiem Bł. Sotelo przejeżdżał przez Meksyk, dano mu go na sekretarza.

Syn rodziców japońskich, ale chrześcijan, Ludwik Baba, tercjarz, od 10-go roku swego życia był w klasztorze, potem z O. Sotelo pojechał do Europy, i z nim też razem powrócił. Młody chłopiec nie rozstawał się nigdy ze swoim mistrzem, podzielał jego trudy i cierpienia, a wreszcie poniósł z nim razem i męczeństwo. W więzieniu w Omura przyjęty został do Trzeciego Zakonu i złożył profesję.

Gdy wszystkich pięciu przymocowano do słupów i podpalono, zdarzyło się, że płomień przepalił powrozy Ludwika Sassandry i Ludwika Baby, którzy spadli na ziemię, z czego korzystając, przeszli wśród ognia, a klęknąwszy u stóp Bł. Sotelo, prosili o błogosławieństwo i modlitwę. „Dzieci moje, odezwał się święty Męczennik, błogosławię was, choć jestem grzesznym człowiekiem, a wy czyste gołąbki, coście nigdy Boga nie obraziły. Nawzajem ufam w wasze wstawienie się za mną. Niech was Bóg wspiera i niech wam da otrzymać wieniec chwały, który dla was zgotował.“ Pocieszeni i wzmocnieni na duchu, bracia wrócili do palących się słupów, a niebawem dusze ich, oczyszczone w ogniu, uleciały do miejsca wiecznej radości.

Bł. Franciszek od Najśw. Marji Panny, Obserwant bosy (1627)

Misjonarz ten, rodem z Hiszpanji, z okolic Toledo, wstąpił do Obserwantów bosych w prowincji Ś. Józefa, gdzie zasłynął nauką i cnotami. Miłość Boża, którą serce jego pałało, natchnęła mu myśl, aby się poświęcił nawracaniu niewiernych. Otrzymawszy pozwolenie od władzy zakonnej, popłynął na Filipiny, stamtąd zaś w r 1623 do Japonji, wraz z bratem Bartłomiejem Laurel, Obserwantem. Przybrał on sobie do pomocy, jako katechetę, pewnego gorliwego Japończyka, Antoniego od Ś. Franciszka, takie bowiem dał mu imię przy obłóczynach, które odbyły się już w więzieniu. Katecheta ów stał się prawdziwą opatrznością, nietylko dla zakonników, ale i dla chrześcijan, rozproszonych po kraju. Nie znał, co to jest spoczynek: we dnie odwiedzał chorych, a w nocy pomagał nauczać niewiernych. Mając tak wielką pomoc z tych dwóch braci i z kilku jeszcze odważniejszych Tercjarzy, Bł. Franciszek od Najśw. Marji nawrócił znaczną liczbę pogan i utwierdził w wierze chrześcijan japońskich. Lecz dnia pewnego, gdy znajdował się w domu Kacpra Vas w Nangasaki, żołnierze otoczyli budynek i uprowadzili go do więzienia z bratem Laurel'em, Kacprem i jego małżonką Marją, oraz z sześciu innymi Tercjarzami, naówczas tam obecnymi.

W drodze zatrzymał ich młody Japończyk, a zwracając się do gubernatora, który towarzyszył więźniom, w te doń przemówił słowa: „Wysłuchaj mnie, panie, bo chcę nasycić pragnienie, które cię trawi. Macie tysiące szpiegów i katów, co wydają i zabijają chrześcijan. Wyroki wasze na wyznawców Jezusa Chrystusa są okrutne, a nagrody dla zdrajców wielkie; przychodzę więc, abym wam wydał chrześcijanina. Ja to jestem tym uczniem Boga Ukrzyżowanego: od wielu lat pracuję bez wytchnienia nad nawracaniem niewiernych, nad pokutą odstępców. Znam wszystkich waszych szpiegów, a oni mnie nie znają, tak umiałem zawsze w błąd ich wprowadzić; ale dzisiaj chcę towarzyszyć ojcu mojemu, Franciszkowi i moim braciom Tercjarzom. Za to wyznanie winieneś mi nagrodę, a dasz mi ją, pozwalając dzielić więzienie i śmierć tych świętych wyznawców. Zobaczycie, iż męki dla chrześcijan są rozkoszą. Ale wy, sędziowie i kaci, drżyjcie, bo zawisła już nad wami sprawiedliwość Boża; wtedy tylko możecie jej uniknąć, jeżeli zaniechacie prześladowania, a sami zwrócicie się ku prawdom wiekuistym.“ Odważnym tym młodzieńcem był Tercjarz Antoni. Nie będąc razem z Franciszkiem, gdy schwytano obydwu zakonników i ośmiu Tercjarzy, skoro się o tem dowiedział, przybiegł sam oddać się w ręce katów, aby otrzymać palmę męczeńską. W czasie uwięzienia przyjął on habit pierwszego zakonu i złożył profesję na braciszka klasztornego.

Z tej gromadki trzej zakonnicy, Kacper Vaz i jeszcze jeden Tercjarz zostali spaleni. Marji Vaz i pięciu Tercjarzom ucięto głowy, nadto kilkoro dzieci tychże od trzech do pięciu lat rozlało wtedy niewinną krew swoją na świadectwo wiary w Chrystusa. Stałość męczenników wprowadziła w zdumienie samych nawet pogan.

W kilka dni później, 7-go września, na tejże świętej górze za miastem Nangasaki, poniosło śmierć chwalebną trzech Tercjarzy japońskich.

Bł. Antoni od Ś. Bonawentury, Obserwant bosy (1628 r.)

Bł. Antoni, rodem Hiszpan, skończywszy nauki w sławnej akademji salamanckiej, wzgardził marnościami świata i schronił się do klasztoru Obserwantów bosych. Zapalony miłością Bożą, pragnął zostać misjonarzem pogan, wskutek czego wysłano go w r. 1609 na wyspy Filipińskie wraz z 55-u innymi zakonnikami, a dziewięć lat później, z wielkiem jego zadowoleniem, pozwolono mu udać się do Japonji. W tym czasie prześladowanie już się tam bardzo rozszerzyło, zaraz też świątobliwy misjonarz uczynił ofiarę ze swego życia i z niezrównaną gorliwością jął się pracy. Jakób od Ś. Franciszka, komisarz generalny Obserwantów w Japonji, tak się o nim wyraził: O. Antoni od Ś. Bonawentury nie miał sobie równego w gorliwości i poświęceniu; pozyskał on dla Boga niezliczone mnóstwo dusz. Dzień i noc chrzcił, spowiadał, nauczał katechizmu.

Podniósł z upadku przeszło 2,000 chrześcijan, którzy z obawy prześladowania odstąpili od wiary, a 1,000 pogan ochrzcił, i to wtenczas, gdy wiara chrześcijańska była wszędzie tępiona i wyszydzana. Przez 10 lat apostolstwa nie ustawał w pracy ani na chwilę, nic nie mogło powstrzymać jego zapału".

26 stycznia r. 1628 ten sługa Boży dostał się do więzienia w Omura, gdzie 20 miesięcy przebył wśród rozmaitych mąk i udręczeń. Towarzysz jego, katecheta japoński, imieniem Dominik z Nangasaki, dowiedziawszy się o schwytaniu swego mistrza, oddał się sam w ręce sędziów, by razem z nim cierpieć i umrzeć. W więzieniu Dominik poprosił o habit Pierwszej Reguły i złożył na nią profesję, jako braciszek.

Bł. Antoni od Ś. Bonawentury napisał kilka listów, które najlepiej świadczą o jego bohaterstwie, głębokiej pokorze i gorącej miłości ku Bogu. W jednym z nich, wysłanym do swego przyjaciela na dwa miesiące przed męczeństwem, mówi: „Zastałem tu O. Dominika Castellet, z zakonu kaznodziejskiego; kochaliśmy się za życia— Bóg nie chce nas i w śmierci rozłączyć. Za liche mam o sobie mniemanie, aby marzyć nawet o tej wielkiej łasce, jakiej mi Pan wkrótce udzieli, dziwię się jej i nie przestaję Go chwalić za Jego miłosierdzie, bo ufam, że i mnie do męczeństwa powołają. Oddaję się Bogu; niech wola Jego prowadzi mnie i strzeże. Pragnę próby ognia, żeby ten stary, spróchniały pień stał się godnym oglądać i wielbić Boga wespół z Aniołami i Świętymi w przybytkach niebieskich."

W wigilję śmierci pisał do swojego prowincjała: „Jeżeli najmiłościwszy Ojciec wie już, jaki czeka mnie wyrok, to proszę bardzo, aby raczył dziękować Stwórcy, że mnie do tylu łask przypuścił. Nie śmiem wierzyć, że jeden z tych pali, co od dni szesnastu czekają na chrześcijan, dla mnie nędznego jest przeznaczony. Jakże suto Bóg płaci służebnikom swoim!" Wyrok śmierci odbył się 8 września, w uroczystość Narodzenia Matki Bożej. Otrzymali wtedy koronę męczeńską: Antoni od Ś. Bonawentury, Dominik z Nangasaki, obaj Bracia Mniejsi z zakonu Alkantarystów, trzynastu Tercjarzy, mężczyzn i kobiet, oraz Dominik Castellet, prowincjał i dwaj jego bracia z zakonu Dominikańskiego.

Bł. Jan Tomaqui, 3 Zak. (1628 r.)

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć parę słów o 13-u męczennikach, uczniach Serafickiego Patryarchy w Trzecim Zakonie. Bł. Jan Tomakwi, nawrócony przez Ś. Marcina od Wniebowstąpienia, jednego z pierwszych męczenników japońskich, był dobrodziejem, przewodnikiem i gorliwym pomocnikiem misjonarzy. Czterej jego synowie: 16-letni Dominik, 13-letni Michał, 10-letni Tomasz i 7-o letni Paweł razem z ojcem skazani byli na śmierć. Sędzia używał wszystkich sposobów, żeby dzieci te namówić do odstępstwa, lecz ani prośby, ani groźby nie pomagały. Najmłodszy Pawełek odpowiedział: „Jeżeli umrę, to ojciec i bracia mówią mi, że pójdę zaraz do raju, gdzie czeka na mnie matka ze śliczną koroną; będzie tam i Pan Jezus, który kocha dzieci i da im królestwo, większe niż cała Japonja, więc pragnę tam iść."

Przywiązany do słupa ojciec widział dziatki swoje klęczące z głowami pod miecz nachylonemi. Jeszcze w tej stanowczej chwili kat dawał mu do wyboru śmierć synów, albo odstępstwo od wiary Chrystusowej, ale heroiczny męczennik nie zachwiał się w wierze, i owszem, zachęcał dzieci do wytrwania, pokazując niebo, które za parę chwil miało się dla wszystkich otworzyć. Synowie też

wołali: „Pan Jezus na nas czeka, jesteśmy chrześcijanie, niech żyje Jezus!“ Główki dziecięce stoczyły się na ziemię, a za niemi i Jan Tomaqui, pełen niewysłowionej radości, z pieśnią dziękczynną na ustach swojej ofiary dopełnił.

Bł. Ludwik Nifaci, 3 Zak. (1628 r.)

Ludwik Nifaci był także ojcem dwóch małych męczenników: 5-letniego Franciszka i 2-uletniego Dominika. Przyjąwszy chrzest z rąk Bł. Hieronima od Jezusa, jako generał wojsk japońskich, wpisał się potem do Trzeciego Zakonu, a porzuciwszy świetne stanowisko, oddał się na usługi misjonarzy. Właśnie sprawował obowiązek katechety przy Bł. Antonim od Ś. Bonawentury w Nangasaki, gdy władza, dowiedziawszy się o nowym sposobie życia Nifaci'ego, zagroziła jemu i jego dzieciom śmiercią, jeżeli nie powróci do wiary swoich ojców. „Jestem chrześcijaninem, odpowiedział i synów moich na męczenników wychowuję. Róbcie z nami, co chcecie, ale wam oznajmiam, że szczęśliwi będziemy umrzeć za Chrystusa.“ Siedząc dziewięć miesięcy w więzieniu, Bł. Ludwik bolał mocno nad cierpieniami dzieci; krzepiła go tylko nadzieja, że niezadługo znajdą się one w gronie Aniołów; jakoż wraz z nimi ścięty został.

Inni błogosławieni Tercjarze (1628 r.)

Bł. Mateusz Alvarez, rzeźbiarz i Bł. Michał Jamada, syn naczelnika miasta Nangoja, kochający się wzajemnie jak bracia, służyli misjonarzom, przewożąc ich łodziami, dokąd sprawy Kościoła tego wymagały. Obaj przyjaciele przeszli próbę ognia i otrzymali wieniec męczeński. Jednocześnie z Michałem spłonął trzyletni synek jego, Wawrzyniec.

Chociaż akta procesu nie wspominają, aby ci męczennicy byli członkami 3-go Zakonu, jednak zeznanie O. Jakóba Pardo, przy którym Bł. Michał był czas jakiś katechetą, oraz świadectwa innych osób, które go znały, jasno dowodzą, że należał do wielkiej rodziny Ś. Franciszka. Dokumenty te przechowują się w archiwach klasztoru Obserwantów bosych w Manilli.

Bł. Ludwika, Tercjarka 80-letnia, spaloną została z mężem, córką i synem Romanem, katechetą, za udzielanie gościnności misjonarzom i gorliwość w rozszerzaniu nauki chrześcijańskiej.

W tych krwawych zapasach, które przechodził Kościół katolicki w Japonji widzimy ciągły stosunek między synami dwóch wielkich Patryarchów: Dominika i Franciszka; dopomagają oni sobie w pracach apostolskich, dzielą więzienia i umierają dla tejże wielkiej sprawy. Widzimy też wielu wiernych, połączonych węzłem Tercjarstwa z obydwoma zakonami, a wszystkie dzieci, które tu wymieniliśmy, od kolebki były wpisane do Trzeciego Zakonu. Pobożni Japończycy błagali o tę łaskę dla nich, aby, gdy przyjdą dni próby, silniejszemi okazały się w wierze; zresztą dzieci takie składały profesję dopiero przy dojściu lat, wymaganych przez Kościół, chyba że groziło im męczeństwo.

Nowi męczennicy (1632 r.)

Przez cztery następne lata, od r. 1628 do 1632, prześladowanie nietylko nie ustawało, ale z większą jeszcze siłą się srożyło; każdy niemal dzień przynosił nowe ofiary Chrystusowi Panu. Tak 3-go września r. 1632, na tej samej świętej górze za miastem Nangasaki, którą słusznie możnaby nazwać Koloseum japońskiem, poniosło śmierć w ogniu trzech Augustjanów, jeden Jezuita i dwóch Obserwantów: Bł. Hieronim od Krzyża i Bł. Gabryel od Ś. Magdaleny, braciszek. Są to ostatni, których Pius IX w poczet błogosławionych zaliczył, a lubo od tego czasu mnóstwo jeszcze chrześcijan i synów Patryarchy Assyskiego wylało krew swoją w tem państwie, procesu jednak beatyfikacji przeprowadzić nie było można, bo wstęp do kraju Europejczykom zupełnie został wzbroniony.

Bł. Hieronim Torrès, Obserwant (1632 r.)

Bł. Hieronim, rodem z Nangasaki, przyjął początkowo Trzecią Regułę, a potem udał się do klasztoru Obserwantów w Manilli, dla odbycia studjów duchownych; ukończywszy zaś takowe i otrzymawszy święcenia kapłańskie, pracował kilka lat nad swoimi rodakami, będącymi tu na wygnaniu, albo dla celów handlowych. W sercu jego ciągle tlało pragnienie, aby biedz na pomoc nieszczęsnemu krajowi, zwłaszcza gdy wskutek prześladowania liczba misjonarzy coraz bardziej malała. W roku więc 1628, gnany miłością dusz, stanął w Nangasaki, gdzie na jego prośby Jakób od Ś. Franciszka oblókł go w habit Obserwantów i dał mu imię Hieronima od Krzyża. Młody zakonnik niedługo już miał głosić Boską naukę: schwytano go bowiem w Omura r. 1631 i uprowadzono do Nangasaki i tu wraz z innymi wyznawcami Chrystusa palmę męczeństwa otrzymał.

Bł. Gabryel od Ś. Magdaleny, Obserwant bosy (1632 r.)

Prosty ten braciszek był jednym z wielkich apostołów państwa japońskiego. Urodzony w Fonseka, w Nowej Kastylji, przeszedł medycynę i w 30 roku życia zapukał do furty klasztoru Alkantarystów. Pan Bóg, nagradzając jego postępy na drodze doskonałości, udzielił mu niebawem łaski objawień i zachwytów, on zaś starał się w sobie wyrazić wzniosłe cnoty Świętych: Dydaka i Paschalisa, aż wreszcie poczuł gorącą chęć udania się do dalekiej Japonji i pozyskiwania tam dusz Panu Jezusowi.

Otrzymawszy pozwolenie od swoich przełożonych, Bł. Gabryel spełnił ten zamiar w r. 1612. Odtąd przez lat 20 Japonja była polem jego pracy i świadkiem niezliczonych cudów. Uzdrawiał nawet pogan i dostojników dworskich, co mu zjednało ogólną cześć i poważanie, to też w czasie najsroższych prześladowań, kiedy wszystkich chrześcijan tropiono, na niego nikt nie śmiał ręki podnieść. Kilka razy był już wprawdzie schwytany i wiedziony na stracenie, ale jak tylko sędziowie poznali, że to brat Gabryel, cudotwórca, wracali mu wolność. Cierpiał on bardzo nad tem, że wola Boża usuwa go od męczeństwa, lecz wielbiąc jej wyroki, dalej prowadził swoje dzieło: chrzcił, utwierdzał w wierze, nauczał, leczył, słowem na oczach prześladowców rozszerzał królestwo Jezusa Chrystusa.

Nareszcie raczył Pan wysłuchać swego sługę: dnia 20 marca r. 1630, Bł. Gabryel dostał się wraz z innymi zakonnikami do więzienia w Omura. Radość Świętego nie miała granic, powiada jeden z jego towarzyszów, godzinami całemi zostawał w zachwyceniu. Tak zaś kochany był przez ludność, że uwięzienie jego uważano za klęskę publiczną i ciągłe prośby szły do cesarza, aby przynajmniej pozwolono mu odwiedzać chorych. Ale okrutny monarcha nie uwzględnił potrzeb biednego ludu; jedynie możni panowie japońscy otrzymali prawo sprowadzać Gabryela, otoczonego silną strażą, do swoich domów.

Tym sposobem uzdrowiona była za jego pośrednictwem siostrzenica gubernatora, a poznawszy wiarę chrześcijańską, przyjęła z jego rąk Sakrament Chrztu św. Rozgniewany tem urzędnik wpadł w wściekłość i kazał dziewczynie odstąpić od nowej religji, lecz próżno i darmo, bo uzdrowiona gotowa była raczej umrzeć, niż zaprzeć się Chrystusa. Wówczas gubernator próbował przekonać Gabryela, obiecując mu dostatki i rozkosze za odstępstwo. „Bóg, któremu służę, większe ma skarby," odpowiedział Święty. „Ale patrz, mówił dalej gubernator, jaką krzywdę mi wyrządzasz: co powie monarcha, gdy usłyszy, że w moim pałacu wyznają Ewangelję, że pod moim dachem wasz Ukrzyżowany ma czcicieli! Jeśli wraz z moją siostrzenicą odstąpicie Chrystusa, będziecie żyli szczęśliwie i spokojnie." Święty wyznawca odepchnął te pokusy z oburzeniem i przepowiedział urzędnikowi, że niezadługo straci łaski u cesarza i umrze tą samą śmiercią, którą tak okrutnie zadaje chrześcijanom. „Jeśli chcesz być naprawdę szczęśliwym i bogatym, dodał, porzuć twe bałwany, zaprzestań prześladowania, a uczcij Jezusa Syna Marji, Boga prawdziwego; to jedno zapewni ci szczęście, któremu końca nie będzie." Na te słowa tyran kazał go okuć w kajdany i zaprowadzić do pałacu swego sekretarza, gdzie przychylni mu urzędnicy, z wdzięczności za uzdrowienie kilku ich krewnych, wszelkich użyli środków, aby go skłonić do odstępstwa i byliby go nawet, pomimo jego stałości, uwolnili, gdyby sługa Boży nie był się temu sprzeciwił.

Uwięzieni zakonnicy zostali przeprowadzeni z Omura do Nangasaki. Dnia 3-go grudnia 1631 r. wywleczono ich na górę Ungen i rozpoczęły się katusze w smrodliwych i gorących wulkanicznych źródłach. Gabryel, przykuty do skały, w przerwach mąk znikał kilka razy z oczu dozorców, unosząc się do Nangasaki, a gdy przerażeni zaczynali go szukać, zjawiał się na górze i uspakajał ich. Po wycierpieniu z sercem niezachwianem strasznych mąk w Ungen, mężni wyznawcy Chrystusa znaleźli się znowu w Nangasaki, gdzie na świętej górze stały gotowe już dla nich słupy. W drodze jeszcze każdy wysławiał Stwórcę swojego i głosił Ewangelję. Bł. Gabryel pobiegł na miejsce kaźni, ukląkł przed słupem i podczas modlitwy w zachwyceniu uniesiony został w górę, gdy jednak przyszła chwila na jego męczeństwo, zstąpił na ziemię i oddał się w ręce katów. Ogień strawił ciała Świętych zakonników, a dusze ich uleciały do Boga po wieniec nieśmiertelności. Światło nadprzyrodzone oświeciło tę krwawą ofiarę i widziano gołąbka, unoszącego się nad popiołami.

Męczennicy franciszkańscy w Japonji po roku 1632.

Już wyżej wspomnieliśmy, że czterdziestu pięciu tych męczenników franciszkańskich[1]) pole-

[1]) W ich liczbie znajduje się 27-u Tercjarzy i 18-u braci I Zakonu. Pomiędzy tymi ostatnimi 6-u Obserwantów, a 12-u Alkantarystów, czyli Obserwantów bosych. 11 kapła-

głych za wiarę w Japonji od r. 1617 do 1632, beatyfikował Ojciec Święty, Pius IX w r. 1867. Święto ich obchodzą tylko Bracia Mniejsi.

Po r. 1632 wielu synów Ś. Franciszka udało się w przebraniu do Japonji, by zastąpić braci swoich umęczonych, lub zmarłych z wycieńczenia i pracy, a ratując pozostałych krajowców chrześcijan, podtrzymać ich w wierze i z nimi razem umrzeć. Między 1632 a 1635 jedenastu zakonników Seraficzkiego Patryarchy oddało tam życie za Chrystusa. Najznaczniejszym z nich był Ludwik Gomez, 80-letni starzec, Obserwant, rodem z Andaluzji. Przyjechał on do Japonji w towarzystwie brata Hieronima od Jezusa i wiele bardzo trudów i cierpień poniósł dla rozszerzenia Królestwa Bożego. Znane są jeszcze imiona pięciu misjonarzy franciszkańskich, którzy nie wrócili z Japonji. Nie można wątpić, że i oni przelali krew dla Chrystusa, ale niema na to dowodów, bo od chwili, kiedy zabroniono Europejczykom wstępu do tego kraju, wszelkie z nim stosunki ustały.

Podniosła to karta historji Kościoła katolickiego, te krwawe i długie prześladowania w Japonji. Liczą, że prawie 2 miljony męczenników oddało tam świadectwo prawdzie. Misjonarze, jako prawi pasterze, szli wszędzie na czele trzody i uczyli przykładem, jak powinni umierać prawdziwi wyznawcy Chrystusa. Przez dwa wieki Japonja była zamknięta dla Europy. Każdy cudzoziemiec, chcący stanąć na jej ziemi, musiał pierwej krzyż podeptać. Jedni tylko protestanccy Holendrzy odważyli się na tę zniewagę, dla utrzymania z Japonją stosunków handlowych.

Nowa misja (1848 r.)

Około połowy zeszłego wieku zmieniło się położenie. Japonja otworzyła swe porty dla Europejczyków i zawarła traktat handlowy z Francją, na mocy którego wolno jest chrześcijanom wyznawać tam swoją wiarę, tudzież na gruncie dla nich przeznaczonym stawiać kaplice i kościoły. Papież Pius IX powierzył misję japońską paryskiej Kongregacji misyjnej. Są tam już dwa wikarjaty i około 40 tysięcy chrześcijan katolików; przybyły również i zakony, a między innymi i synowie Ś. Franciszka, którzy pootwierali zakłady naukowe dla młodzieży. Nowi misjonarze zastali w Japonji społeczeństwa chrześcijańskie, które, choć pozbawione kierowników i kapłanów, w czystości naukę Kościoła przechowały. Imię Ś. O. Franciszka, wspominane przez nich w Confiteor, dowodzi że musieli być potomkami Tercjarzy i że pierwotnie synowie Patryarchy Assyskiego zaszczepili tam światło wiary. Nowa era, nowa nadzieja zabłysła dla Japonji. Ufajmy, że śmierć tylu świętych Męczenników uprosi powrót do wiary ich potomkom.[1])

Bł. Marja Magdalena Postel, 3 Zak. reg. (1846 r.)

Ta służebnica Boża została beatyfikowaną 17 maja 1908 r. Przyszła na świat w mieście francuskiem Barfler (Barfleur), 28 listopada r. 1756 z rodziców szlachetnych i pobożnych, Jana i Teresy Postel. Wątłą i nierokującą życia dziecinę zaniesiono natychmiast do Chrztu Św., gdzie otrzymała trzy imiona: Julja-Franciszka-Katarzyna. Od najmłodszego wieku widać było, że jest to dziecię uprzywilejowane, kochające szczerze Boga. Kiedy była w świątyni, całe jej zachowanie się skupione tchnęło taką niezwykłą skromnością, że można było powiedzieć, iż to jest Anioł, pogrążony w kontemplacji. Do zabaw dzieciom właściwych czuła odrazę; lubiła tylko stawianie i ubieranie małych tronów dla Pana Jezusa, jak się to czyni w czasie wystawienia, rozmowę ze swemi rówieśniczkami o rzeczach Boskich i nauczanie ich katechizmu, którego każdą lekcję miała głęboko w pamięci wyrytą. Takie były największe jej rozkosze. Wielką dobrotliwość okazywała ubogim; dochodziło do tego nawet, że oddawszy im obuwie, wracała do domu boso. Była zaś przytem tak pokorna i cicha, że wszyscy patrzyli na nią, jak na małą Świętą i tak też ją nazywali .Miała ona dziwny zwyczaj cieszenia się i radowania podczas nawałnic, kiedy to niebo drży od grzmotów, błyskawice jedna za drugą oświetlają ciemności, a najodważniejsi ludzie doznają trwogi. Gdy ją pytano o powód tak niezwykłego uczucia, odpowiadała, że cieszy się, iż przynajmniej w czasie burzy Pan Bóg nie jest obrażany, bo strach nakłania grzeszników do żalu i dobrych postanowień. Inny zaś wypadek pokazuje, jak daleko sięgała u niej bojaźń i wstręt przed grzechem. Pewnego dnia w jej oczach żołnierze zabrali się do pojedynku. Spostrzegłszy to, Julja Postel padła na kolana u ich stóp i wznosząc do góry krucyfiks, który nosiła przy sobie, zaczęła im przedstawiać ohydę zamierzonego wy-

nów, 1 kleryk i 6 laików. Dziesięciu z nich było rodem z Hiszpanji, jeden z Belgji, sześciu Japończyków i jeden Meksykańczyk. Dodawszy 23-ch męczenników japońskich, kanonizowanych w roku 1862, mamy poważną liczbę 68-u Świętych z zakonu Ś. O. Franciszka, umęczonych za wiarę w Japonji.

[1]) L'aur. séraph. T. III.

Ś. FRANCISZEK ZRZEKA SIĘ MAJĄTKU.

stępku, a mówiła z taką stanowczością i z takim zapałem, że wkrótce, ku wielkiemu zdumieniu obecnych, żołnierze uściskali się, jak bracia.

Będąc jeszcze małą dziewczynką, umartwiała się surowo w pokarmach i w ubraniu, aż spowiednik uważał się zmuszonym miarkować jej zapał. Widok matki komunikującej, z którą codziennie chodziła do kościoła, wzniecił w jej duszy gorące pragnienie połączenia się z Panem Jezusem. Dostąpiła nakoniec tego szczęścia, mając lat 9 i od tego dnia codziennie przyjmowała Komunję świętą. W tym samym czasie poświęciła się Bogu na dobro bliźnich przez ślub, którego dziś jeszcze widać owoce. Oddana na dokończenie wychowania do Benedyktynek w Waloń (Valogne), wniosła tam taką woń świętości i taki zapał w zachowaniu przepisów, że zyskała sobie u wszystkich nazwę dziecka Bożego.

Początki jej powołania.

W sześć lat później wróciła do domu rodziców, gdzie wkrótce założyła szkołę dla dziewcząt. Ubogie panienki i sieroty miały w jej sercu pierwszeństwo: uczyła je nietylko wiadomości naukowych, ale i robót właściwych kobietom, tak iż wychowała zastęp zdolnych gospodyń i wzorowych matek. Z ust jej płynęły słowa żywota, a uczennice pragnęły nadewszystko słyszeć ją mówiącą. Bardzo też słusznie Julję Postel porównywano z Janem de la Salle, fundatorem Braci szkół chrześcijańskich. To, co ten sługa Boży zrobił dla chłopców, to samo Julja Postel uczyniła dla dziewcząt. A pomimo nawału pracy, ciągle pościła, sypiała na gołych deskach, wstawała po kilka razy w nocy na modlitwę, nie mówiąc już o tem, że kolce żelazne rozrywały jej niewinne, a wątłe ciało. Umartwieniom tym towarzyszyła tak głęboka pokora serca, że widać było, iż Julja Postel dosięgła już szczytu doskonałości.

Zapał wśród prześladowań.

Lecz nigdzie moc ducha i zapał Błogosławionej tak się nie objawił, jak wówczas, gdy rewolucjoniści, obaliwszy porządek rzeczy Boskich i ludzkich, chcieli zmusić kapłanów do złożenia bezbożnej przysięgi. Kiedy wiernych sług ołtarza prześladowano, skazywano na śmierć lub na wygnanie, święta dziewica ukrywała ich i osłaniała z narażeniem własnego życia. Korzystając z łaski jej udzielonej, miała u siebie Najśw. Sakrament i z sercem przepełnionem radością czuwała nad świętemi postaciami. Nadto w czasie tak ciężkich chwil uczyła wszystkich katechizmu, przysposabiała dzieci do pierwszej Komunji świętej, a umierającym dopomagała przyjąć Wijatyk Św. na drogę wieczności. Aby ustrzedz Ciało Pańskie od jakiej zniewagi, całe noce spędzała przed Niem na klęczkach, zatopiona w żarliwej modlitwie, to też bardzo słusznie nazywano ją dziewicą-kapłanem. Przez cały czas dopóki zabronione było publiczne oddawanie czci Panu Bogu, pielęgnowała ona święty ogień wiary. Co więcej, gdy po 10-u latach strasznej burzy nastąpił pokój i religję przywrócono, Julja Postel, widząc jak wielki był brak kapłanów, podjęła się opowiadać słowo Boże. A gdy jej znajomość ksiąg świętych, oraz gorąca żarliwość o dusze, nowy wzbudzała podziw, pokorna dziewica, chcąc ujść chwały ludzkiej, opuściła rodzinne swoje miasto i udała się do Szerburga (Cherbourga).

Zawiązuje zgromadzenie.

Przybywszy do Cherbourga, poszła do kościoła Ś. Trójcy, by się zasilić Chlebem niebieskim, a później do księdza Ludwika Cabart, kapłana wielkich cnót, któremu zwierzyła się z zamiarem założenia kongregacji, mającej za cel wpajanie młodym dziewczętom pobożności i pracowitości, oraz niesienie pomocy nieszczęśliwym i ubogim. A gdy ks. Cabart zapytał ją, czy ma na to jakie fundusze? Błogosławiona odpowiedziała w natchnieniu: „Pracę rąk własnych.“ Rzeczywiście, wsparta potem słowami zachęty Biskupa z Kutans (Coutances), w r. 1807 w uroczystość Narodzenia Matki Boskiej, z trzema swojemi towarzyszkami złożyła śluby zakonne i przyjęła imię Marji Magdaleny. Obierając sobie tę Patronkę, chciała nietylko okazać swoją miłość dla Jezusa, ale jeszcze, pomimo swej niewinności, zaznaczyć pragnienie pokutowania za grzechy. W ten sposób służebnica Pańska zasiała to ziarno gorczyczne, które wśród mnóstwa przeciwności, piętrzących się ze wszystkich stron, wyrosło w wielkie drzewo, o szeroko rozłożonych gałęziach. Trudno doprawdy opisać, ile i jakich nadzwyczajnych przeszkód pokonała przy założeniu ubogich Córek Miłosierdzia. Chleb i woda były jedynem ich pożywieniem, krótkiego snu zażywały na słomie, resztę nocy pracując, a znosiły to radośnie z myślą i w celu pozyskiwania dusz Panu Bogu. W tem wszystkiem Marja Magdalena dawała przykład: będąc bowiem zmuszoną z siostrami swemi szukać przytułku, nie gardziła mieszkaniem w wiejskiej chacie lub w oborze. Nie dość jednak powiedzieć, że nie gardziła; ona radowała się i czuła się nad wyraz

szczęśliwą, że może być w tem podobną do Dzieciątka Jezus. Niewiasta mężna i stanowcza nie zatrzymała się w połowie drogi. Kiedy śmierć pozbawiła ją pięciu sióstr na jedenaście, stanowiących jej Zgromadzenie, a pobożni dobrodzieje osądzili, że Opatrzność ją opuściła i Zgromadzenie powinno się rozejść, Marja Magdalena została niewzruszoną i zdawszy samą siebie i wszystko co miała na wolę Bożą, jeszcze miłośniej uścisnęła krzyż, którym ją Najwyższy obdarzył i błagała Go o więcej jeszcze utrapień [1])

Kapucyni.

Cz. Honorat z Paryża (1624 r.)

Jedną z cech charakterystycznych tego sługi Bożego było nienasycone pragnienie postępu w doskonałości. Przeżywszy długie lata w jarzmie zakonnem, uważał się za nowicjusza, który tylko co wstąpił do klasztoru i postanawia codzień lepiej się sprawować. „Jeżeli ludzie światowi, mówił, z taką gorączką pracują nad zbogaceniem się, lub nabyciem wprawy w obranym fachu, czyż nie więcej gorliwości powinien okazywać zakonnik, by stawać się coraz świętszym i coraz doskonalszym? Świętość bowiem jest to dobro nieśmiertelne, przymiot Boga, najbardziej uwielbiany przez Aniołów. Ta ustawiczna chęć doskonalenia się towarzyszyła mu wszędzie i zawsze; nią też zapalony, pobudzał i inne dusze, które się doń zwracały o kierunek.

Hieronim z Korleonu (1717 r.)

Świątobliwy braciszek, odznaczający się przez całe życie klasztorne wielkim zapałem na służbie Bożej, objawiał tę cnotę już od dzieciństwa. Urodził się on w Korleone na wyspie Sycylji w roku 1639 z pobożnych, ale ubogich rodziców. Dziecięce lata upłynęły mu w sieroctwie, nędzy i cierpieniach. Zaledwie bowiem skończył cztery miesiące życia, odumarła go kochająca matka, a ojciec ożenił się z drugą, która niewiele troszczyła się o przybrane dziecko. Dopóki jednak żył Antoni Trombatore, mały Franuś nie był jeszcze tak nieszczęśliwy, ale w trzecim roku zabrakło mu i ojcowskiej opieki; od tego też czasu życie jego było jednem pasmem udręczeń, krzyków, szturchańców i głodu. Lecz na szczęście otrzymał od Pana Boga dobry charakter: nie oburzał się za doznawane przykrości, nie gniewał, ale znosił cichutko i w czem mógł to służył macosze, co sprawiało, że nie lgnął do świata i coraz więcej zastanawiał się nad rzeczami niebieskiemi. Dobre jednak przymioty chłopca mogły się były zupełnie zatracić, gdyby dłużej został w takich warunkach, ale Opatrzność wyrwała go stamtąd. W r. 1647 przyjechali do Korleonu księstwo de Belmonte, oboje bardzo zacni i miłosierni. Księżna, wyglądając raz oknem na bawiące się na placu dzieci, zauważyła bladego i smutnego chłopaczka, a dowiedziawszy się, że jest sierotą, wzięła go do siebie i zajęła się jego wychowaniem. Odtąd mieszkał on w pałacu swoich dobrodziejów w Palermo i ucząc się, pełnił jednocześnie obowiązek pazia przy księżnej. Grzeczny, posłuszny, wszystkim się podobał. Czytając żywoty Świętych, zapałał pragnieniem naśladowania ich cnót, a że w pałacu nie mógł tego uczynić, bo trzeba było stosować się do ustanowionego porządku i żyć w wygodach, umyślił opuścić dwór książęcy i udać się na górę samotną do jaskini. Jednego więc pięknego dnia, kiedy jeszcze wszyscy w całym pałacu spali, poszedł na górę Pellegrino, na której niegdyś żyła Ś. Rozalja, patronka miasta. Idąc, oglądał się od czasu do czasu, czy go nie gonią i przypominał sobie żywot wielkich pustelników, Antoniego i Pawła. Wkrótce jednak zachciało mu się jeść. Zebrał więc trochę korzeni, rosnących przy drodze, obmył je w zdroju i skosztował. Niestety, były one tak gorzkie i twarde, że pomimo najszczerszej chęci, musiał je z ust wyrzucić. Nie dosyć na tem; dziąsła mu spuchły, podniebienie zaczęło palić, on jednak nie wyrzekł się swego zamiaru i odpocząwszy trochę, puścił się dalej ku pustelni Ś. Rozalji. Kiedy stanął u stóp góry w miejscu, gdzie wznosi się kaplica, bardzo uczęszczana przez pielgrzymów i zatrzymał się nieco, aby otrzeć pot z czoła, ujrzał nagle przed sobą sędziwego staruszka z małym chłopczykiem przecudnej urody. Był to Ś. Józef z Panem Jezusem, jak to później brat Hieronim opowiadał swemu spowiednikowi, ale wtenczas jeszcze o tem nie wiedział. Starzec wypytał chłopca, co tu robi, a usłyszawszy całą jego historję i pragnienie służenia Bogu na wzór dawnych pustelników, pochwalił go, a potem uspokoił, że Pan Bóg przyjął jego dobre chęci, ale więcej już od niego teraz nie wymaga. „Wracaj więc, dodał, do Palermo, na swoją służbę, gdyż tam cię wola Boża chce mieć tymczasem.“ Przykre były te słowa dla Franusia. Wierzył on bardzo w swoje niezwykłe powołanie i chciał mu godnie odpowiedzieć, a przytem lękał się kary za niepokój, jaki sprawił w pałacu, oraz żartów i przymówek swoich kolegów, spuścił tedy głowę, wa-

[1]) Annales franciscaines 1909.

hając się, czy ma usłuchać. Lecz miły staruszek przedstawił mu, że nikt jego wyjścia nie zauważył, bo Anioł Stróż przyjął tymczasem jego postać, i sam odprowadził go do bramy mieszkania księcia. Rad nie rad chłopczyna wrócił się napowrót, jakkolwiek z sercem rozdartem i w drodze często oglądał się na górę, jako na cel swoich pobożnych marzeń.

Odprowadzony do pałacu, rzeczywiście przekonał się, że nikt o niczem nie wiedział: tak księżna, jak inni paziowie byli dlań uprzejmi i dobrzy. Widząc w tem szczególną opiekę Boską, Franuś postanowił spełnić radę starca i uświęcać się przez wierne wykonywanie obowiązków; był więc bardzo posłuszny każdemu, kto miał nad nim władzę; skromny, milczący, gotowy do wszelkich robót, bez względu na to, czy chodziło o usłużenie państwu, czy najniższemu nawet słudze. Postępując w ten sposób, zyskał sobie serca wszystkich, nie wyłączając samej księżnej, która w nagrodę za to pozwoliła mu chodzić do kościoła. Codzień więc bywał na Mszy św., nawiedzał kościoły w czasie 40 godzinnego nabożeństwa, a przynajmniej ołtarze Najśw. Marji Panny, Ś. Józefa, Ś. Michała; co tydzień przystępował do Komunji św. i odmawiał każdego dnia Różaniec. Taką gorliwością swoją zasłużył na większą łaskę u Boga, na wezwanie do zakonu Kapucynów, w którym będąc, coraz wyżej i wyżej wznosił się do szczytów doskonałości.[1])

Bł. Marja Magdalena Martinengo, Kapucynka (1737 r.)

Bł. Marja Magdalena, mając lat 21, wśród oschłości wewnętrznych złożyła ślub czynienia zawsze tego, co będzie najdoskonalsze i najmilsze Panu Bogu. W ślubie tym zamknięte są wszystkie cnoty i to w stopniu heroicznym: pokora, cierpliwość, miłość, nieustająca modlitwa, słodycz, skromność, gorliwość w odmawianiu Officium, umartwianie się w każdej okoliczności, unikanie wszelkiej pociechy, a szukanie największych cierpień, milczenie, pamięć na obecność Bożą i ciągłe zapieranie się swej woli. Przez ten ślub święta dziewica złożyła się Bogu na całopalną ofiarę, na niewolnictwo, na ustawiczne a powolne męczeństwo. Hasłem jej były słowa: „Wszędzie i zawsze heroizm.“ I zapał ten z latami nic się nie zmniejszał, owszem potęgował się coraz bardziej, tak iż towarzyszki patrzyły na Marję Magdalenę ze zdumieniem, nie mogąc pojąć takiej doskonałości i wyzucia się z własnego „ja“.[1])

[1]) Vie du Serv. de Dieu Fr. Jerôme de Corlèone Capucin par le R. P. Arsène de Châtel.

Bł. Anioł z Akry (1739 r.)

Błogosławiony ten wszystko sobie miał za nic, aby tylko nie dopuścić się obrazy Bożej. Dowodzi tego następujący wypadek. Wracając pewnego dnia z misji w mieście Palermo, poznał z objawienia, że wkrótce zły duch przywiedzie go do upadku. Przerażony tem, gdyż sądził że to ma być upadek duchowny, ciągle powtarzał do swoich towarzyszów: „Bracia, upokarzajmy się przed Bogiem, aby nas raczył wesprzeć łaską swoją.“ Niezadługo potem, pośliznąwszy się na drodze śniegiem i lodem okrytej, tak nieszczęśliwie upadł, iż złamał sobie nogę w kilku miejscach. Uradowany nad wyraz, że nie w ten sposób, którego się lękał, spełniło się jego objawienie, pomimo silnego bólu zawołał do towarzyszów: „Cieszcie się, bracia moi, brat osioł złamał sobie nogę!“[2])

Bł. Diego-Józef z Kadyksu (1801 r.)

Wielki Apostoł Hiszpanji w XVIII wieku od dziecka był zapalony do umartwień. Widocznie Duch Święty działał w jego niewinnej duszyczce i pobudzał go do czystości i modlitwy. Młodszy jego braciszek, Joachim, mówił, że gdy byli małymi chłopcami po 4—5 lat mającymi i sypiali razem, Józio wstawał co noc i modlił się gorąco na klęczkach, widział także, iż brat jego ma na sobie pasek z końskiego włosia. Na zapytanie, coby to znaczyło, usłyszał prośbę, aby nikomu tego nie opowiadał, za co otrzyma od niego wszystko co zechce. Największą jego radością było służyć do Mszy św., a w tym celu, aby go nikt nie uprzedził, nie czekał na dzwonienie, lecz biegł jak najwcześniej do kościoła, tak że drzwi były jeszcze zamknięte. Jego skromna postawa i pobożność malująca się na twarzy były zbudowaniem dla patrzących; sądzili, że widzą przed sobą Anioła, oddającego hołd Majestatowi Boskiemu. Od 8-go roku życia spowiadał się, a od 12-go bardzo często łączył się ze swoim Stwórcą w Komunji św. Gorącem jego pragnieniem i to od lat najmłodszych było zostać Kapucynem-misjonarzem. Ta myśl panowała w nim głęboko. Często przychodził do ojca, prosił go o pióro i rysował na papierze różne figury, tłumacząc, że to

[1]) La B. Marie Magdelaine... [2]) Żywot Bł. Anioła z Akry O. Prok.

on sam mówi kazanie do ludu, to znów że nawraca heretyków; niekiedy zaś wchodził na jakie wzniesienie i z całą powagą powtarzał siostrze i bratu urywek ze słyszanego w kościele kazania. Nawet używając przechadzki po górach, wznosił tu i owdzie krzyżyki, aby przypominały wędrowcom o Panu Jezusie. Za wejściem do chat pasterzy lub górali, szukał na ścianie obrazów Świętych, a gdy ich tam nie było, przynosił na drugi raz krucyfiks lub inny jaki wizerunek. Nieśmiały zazwyczaj chłopiec znajdował odwagę, by te dusze proste i opuszczone pobudzać do modlitwy, sam nawet z nimi razem padał na kolana, rozpoczynając w ten sposób w szczupłym zakresie to, co później miał czynić w wielkich rozmiarach, jako apostoł Hiszpanji. Doszedłszy do dziewiątego roku, Józio stracił matkę, a wówczas, podobnie jak Ś. Teresa, oddał się pod opiekę Marji, Matki sierot i opuszczonych.

Jego zapał w obiorze stanu.

Błogosławiony ten, jak już wspominaliśmy, miał bardzo słabe zdolności i trudną wymowę, co go czyniło nieśmiałym i lękliwym. Dopóki uczył się w domu, robił pewne postępy, bo nauczyciel jego, Don Feliks Varo, oceniał dobrą wolę ucznia i dotąd wyjaśniał mu zadaną lekcję, aż w końcu nierozwinięty chłopczyna musiał ją zrozumieć. Ale gdy go oddano do kolegjum dominikańskiego w Ronda, ciężkie nastąpiły dlań czasy. Z niezbadanych wyroków Bożych nowi jego profesorowie nie mieli ani cierpliwości, ani wyrozumienia księdza Varo. Obchodzili się z nim, jak z leniuchem, upartym i głupkowatym, wskutek czego nie szczędzili mu wszelkiego rodzaju kar, które zupełnie pozbawiały go śmiałości. Zamiast więc odpowiadać na zapytanie, chłopiec milczał, bojąc się wyrwać z jakiem głupstwem, gdyż one tylko, jak mu ciągle powtarzano, ustawicznie z ust jego wychodziły. Za przykładem profesorów poszła i cała klasa kolegów. Dla nich mały Józio był niemym osłem, bo takie w końcu dali mu przezwisko. Pięć wieków przedtem milczenie Ś. Tomasza z Akwinu, jego powolne rozumienie rzeczy i ociężałość w ruchach ściągnęły nań nazwę wielkiego niemego wołu, jaką go obdarzyli koledzy szkolni. „Zowiecie Tomasza niemym wołem, rzekł im raz Mistrz Albert Wielki, ale zaprawdę, mówię wam, iż przyjdzie czas, kiedy ryk tego wołu rozlegnie się po całym wszechświecie.“ Wśród profesorów kolegjum w Ronda nie znalazł się ani jeden, któryby zapowiedział coś podobnego o przyszłym misjonarzu Hiszpanji.

Upokarzany i karany bez miłosierdzia, chłopiec nie poddał się mimo to ani rozpaczy, ani zazdrości, ani chęci zemsty czy buntu. Przeciwnie był on zawsze uprzedzająco grzeczny dla nauczycieli, a usłużny dla najgorszych nawet towarzyszów. Jedyną jego pociechą było nawiedzać kościół parafjalny w Ronda, gdzie znajdował się łaskami słynący wizerunek Matki Boskiej od Pokoju. U Jej stóp biedne dziecko wylewało swoje strapienia.

Po roku szkolnym, gdy Józio wrócił do domu rodzicielskiego, OO. Dominikanie oświadczyli, że mały Caamano nie może sięgać po wiedzę i musi obrać sobie inny zawód. Ojciec, który tymczasem ożenił się, przyjął syna chłodno i surowo; jego miłość własna była tem bardzo dotknięta. Wtedy to razu pewnego rodzice wzięli chłopca na nabożeństwo do kościoła Kapucynów. Liczył on wówczas półczternasta roku. Usłyszawszy odmawianie pacierzy, Józio uczuł zalewającą jego serce radość; w uszach jego rozległa się jakby anielska melodja. Od tego czasu chodził tylko do Kapucynów, służył tam do Mszy św., a wreszcie zaprzyjaźnił się ze świątobliwym braciszkiem klasztornym Juljanem z Ubryki. Starzec ów wpłynął pośrednio na jego powołanie, rozmawiał z nim o Panu Bogu i rzeczach świętych, dawał książki pobożne, a zwłaszcza żywoty błogosławionych Kapucynów i zachęcił go do spowiadania się u jednego z najświątobliwszych kapłanów w klasztorze.

Przykład i słowa brata Juljana obudziły w młodzieńcu gorącą chęć doskonałości, zapisywał sobie wszystkie słyszane od niego i od spowiednika nauki o najwyższych cnotach, a rozważając takowe, pobudzał się do obrania życia zakonnego. Wkrótce o niczem innem już nie myślał, tylko aby zostać Kapucynem. Lecz gdy to powiedział rodzicom, ci wyśmieli go, że nie umie dobrze mówić, a myśli o głoszeniu Ewangelji, że zresztą zakon Kapucynów jest ubogi i dlatego każdy jego członek musi być w jakikolwiek sposób pożyteczny, on zaś do niczego im się nie przyda. Jeżeli jednak chce koniecznie wstąpić do zakonu, niech wstąpi do takiego, w którymby, żyjąc z funduszów klasztornych, nie był dla nikogo ciężarem. Józio atoli odpowiadał stanowczo: „Ja muszę być misjonarzem kapucyńskim!“ Odtąd rozpoczęło się ponowne prześladowanie chłopca. Snać przeczuwał szatan, ile dusz przez niego utraci, bo wszczął w nim walkę, by go odwieść od tego zamiaru. Pomocą była mu macocha młodzieniaszka. Używała ona wszelkich ku temu środków: i pieszczot, i łez, i próśb, i obietnic, a gdy to nie skutkowało, zaczęła obchodzić się z nim bardzo surowo, odmawiając mu za lada powodem obiadu, lub kolacji. Wreszcie i

młodsi jego bracia przyłączyli się do dręczenia go. Józio znosił te męki z radością, dziękował Panu Jezusowi i Najśw. Pannie, że go umacniali i prosił swego Anioła Stróża, żeby go nie opuszczał. Tymczasem ojciec Błogosławionego, dobry chrześcijanin, patrząc przez kilka miesięcy na znęcanie się drugiej swej żony i na stałą, a niewzruszoną wolę syna, uznał za konieczne sprzeciwić się dalszemu prześladowaniu i przedstawił go OO. Kapucynom w Ubryce. Lecz gdy przyszło do egzaminu, ten wypadł jak tylko można najgorzej. Chłopiec mało posiadał wiadomości z łaciny i nie mógł czysto wymawiać. Drugi egzamin nie lepiej się powiódł. Rodzina Caamano była tem wielce strapiona, macocha zaś tryumfowała, wracając do dawnych przymówek. „Wstąp, radzę ci, mówiła do Dominikanów. Tam cię przyjmą, tu tylko siebie i nas na wstyd narażasz.“ — „Nie, nie, ja chcę być Kapucynem, misjonarzem i Świętym,“ odpowiadał niezrażony chłopiec, poczem szedł do swojej kapliczki, padał twarzą na ziemię i łkając wołał: „Boże mój, Boże mój, naucz mnie Ty, Panie, a będę umiał!“ Ta jego ciągła modlitwa trafiła do Majestatu Najwyższego. Bóg, który pokornych wysłuchuje, wysłuchał go i dał mu mądrość przewyższającą wszystkich współczesnych uczonych. W jakiś czas potem Józio znowu poprosił ojca, żeby z nim poszedł do przełożonego Kapucynów. Don Caamano, obawiając się nowej porażki, wyjednał u prowincjała pozwolenie odbycia egzaminu w klasztorze Sewilskim. Tym razem wszystko doskonale się powiodło. „Nie wiem doprawdy, jak się to stało, opowiadał później sam Błogosławiony, gdyż pytania były te same, co i dawniej, egzaminujący byli tak samo surowi, a jednak wiedziałem, co mówić. Widocznie sam Bóg kładł mi w usta właściwe odpowiedzi.“ I został przyjęty.

Radość niewolnika, któremu dano swobodę, więźnia, którego wypuszczono na wolność, wygnańca, któremu otwarto wrota ojczyzny, syna odnajdującego ojca, którego nie spodziewał się już widzieć, nie dorównywały szczęściu Józia, gdy mu oznajmiono, że może przyjechać do nowicjatu. Zawiózł coprędzej tę wesołą nowinę rodzicom i podziękowawszy im za wszystkie trudy, uściskawszy młodszych braci, wśród łez i błogosławieństw opuścił dom ojcowski. Liczył on wtedy 14 lat i 4 miesiące.

Takie to były początki onego sławnego apostoła Hiszpanji, który zajaśniał wszechstronną umiejętnością, i najuczeńszych ludzi wiedzą swoją zdumiewał, i tysiące ludu potężną wymową nawracał, i ojczyznę swoją od zalewu ówczesnej bezbożności uchronił. Ów zapał pierwotny rozwijał się w nim ciągle i wzrastał aż do końca życia.[1])

Polacy.

Bł. Jan z Dukli, Bernardyn (1484 r.)

Miłość Bł. Jana ku Bogu zapalała go do miłości bliźnich i do szukania ich zbawienia. Mieszkając we Lwowie, kazywał do Rusinów, chodził do ich domów, zgromadzał koło siebie, uczył, przekonywał, oświecał, jednał ze Stwórcą. Niekiedy stawał na placach publicznych i wszedłszy na jakie podwyższenie, żarliwie do nich przemawiał. W ten sposób tysiące odstępców poznało prawdziwą religję i wróciło na łono Kościoła. Nadto sługa Boży kazywał po niemiecku w kościele Ś. Ducha do cudzoziemców, między którymi znajdowali się napojeni herezją, zalatającą z Niemiec do Polski. W słuchaniu spowiedzi był bardzo pracowity, nietylko w czasach zdrowych, ale i podczas morowego powietrza. Nigdy też pomimo wynędznienia i chorych nóg, nie chciał przyjąć żadnych wygód, i owszem, jak najmłodszy nowicjusz służył braciom, na medytacji klęczał, w chórze stał i wyznawał publicznie swoje winy, chociaż już 60 letni starzec.[2])

Sebastjan Wolicki, Reformat (1733 r.)

Sebastjan Wolicki, urodził się koło Wielunia, r. 1644, z rodziców zamożnych. Po ukończeniu nauk w akademji wrocławskiej, za przykładem przodków swoich, służył w wojsku, a gdy nastały czasy spokojne, umyślił poświęcić się Panu Jezusowi i wstąpił do Zakonu Reformatów. Odtąd do modlitwy i innych ćwiczeń był zawsze pierwszy. Nigdy Jutrzni w nocy nie opuścił. Na rozmyślaniu rannem klęczał nawet w 70-m roku życia, chociaż miał bok przestrzelony z czasów żołnierki. Mszę św. codziennie z wielkim zapałem odprawiał, a gdy będąc już starym, uklęknąwszy po Podniesieniu, nie mógł się dźwignąć, poufale mówił do Pana Jezusa: „Panie, podnieś mnie, bo ja nie wstanę“ i porywał się jak młody.[1])

Jaki wniosek wynika stąd dla naśladowców Serafickiego Patryarchy?

Oto ten, iż w sercach jego synów lód ostać się nie może. Do mety reguł seraficznych nie dojdzie się inaczej, jeno biegnąc z zapałem. Kto idzie powoli tam, gdzie biedz trzeba, ten nigdy nie weźmie nagrody. Z wezwanych do ciężkiej walki ze światem, nie będzie zwycięzcą ten, komu zbywa na mężnej odwadze. A jeżeli lenistwo, niedbalstwo,

[1]) Le B. Diego-Joseph de Cadix par le R. P. Damase de Loisey, Cap. [2]) Matka ŚŚ. Polska T. III, 29 września.

gnuśność każdemu chrześcijaninowi czynią szkodę, to synom Franciszka Ś. nietylko przynoszą hańbę, ale i zgubą wieczną grożą. Nie uznaje też Seraficki Ojciec za swoich ani przestępców reguły, ani tych, którzyby chcieli ozięble służyć Bogu, lub na miernych stopniach cnoty przestawać. Nic im przeto bardziej nie jest konieczne, jak ten duch świętego zapału, przez któryby, zwyciężywszy wszystkie przeszkody, do najwyższego doskonałości stopnia zdążali, aby za zmniejszeniem się jego, jak lampa za brakiem oleju, nie przestali jaśnieć i nie zgaśli zupełnie w domu Bożym.

Jak wszyscy możemy naśladować zapał Ś. Franciszka?

Wprawdzie zapał Franciszka jest pod pewnym względem niedościgły, i heroicznym tylko duszom był udzielany, ale w wielu rzeczach możemy i powinniśmy go naśladować, jeśli za synów i za córki tego Świętego uchodzić chcemy. Nie zawsze możemy mieć zapał świętego Ojca w wyjątkowych jego objawach, jak we łzach, rozpaleniu serca i tp., ale możemy stawać mu się podobnymi w tem, na czem polega sama istota zapału. Polega zaś ona nietyle na czułej gorącości, ile na mężnej wierności. Okażemy przeto zapał w modlitwie, jeśli nie będziemy się zrażali trudnościami, jakich w niej doznajemy; jeśli nie będziemy jej opuszczali dla lenistwa, jeśli mężnie walczyć będziemy z pokusami i roztargnieniami, a starać się o uwagę i skupienie, jeśli będziemy pracowali nad aktami umartwienia; i zapał ten o tyle będzie większy, o ile mniej doznamy z niego pociech. Wykażemy zapał w spełnianiu codziennych naszych ćwiczeń i obowiązków, jeśli nie będziemy się oglądali, czy nam się chce, czy też nie chce ich spełniać, czy mamy do nich wstręt, czy pociąg, ale w swoim czasie i miejscu, punktualnie, bez żadnego zwalniania się, wykonywać je będziemy. Zapał w ćwiczeniu się w cnotach zależy na tem, aby wiernie czynić postanowienie codziennego spełniania pewnych aktów cnót i rachować się z sumieniem, czy te postanowienia rzeczą samą spełniamy. Zapał w miłości okaże się wtedy, gdy nietylko będziemy ją praktykowali względem tych, do których czujemy skłonność naturalną, ale i względem tych, do których wstręt, żal, lub niechęć mamy; jeśli zapanujemy nad temi uczuciami i okażemy im serdeczność, wtedy zaprawdę miłość nasza nie będzie zwyczajna, ale heroiczna, a jeśli wiernie i statecznie w tem wytrwamy, będzie to dowód istotnego świętego zapału. Zapał do pokut i umartwień nietyle okazuje się w krwawych dyscyplinach i surowych postach, ile raczej, aby w niczem sobie nie dogadzać: jeść bez różnicy, co postawią, o jedzeniu nie mówić i używać wszystkiego z umiarkowaniem. Zapał w gorliwości również objawia się nietyle w znojnych trudach, do których często miłość własna się wciska, ile w wytrwałej pracy nad duszami, nie zniechęcającej się słabym jej owocem, ani nawet odstępstwem tych, nad którymi długo się pracowało.

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej. Oziębłość sprzeciwia się duchowi zapału.

Niekiedy ci, którzy żarliwie rozpoczęli dążyć do życia doskonalszego, dają się opanować smutkowi, a potem gnuśności i lenistwu, i ustają na drodze Bożej. Zadawalając się miernością duchowną, wyobrażają sobie, że dość będzie dla nich, gdy się ustrzegą ciężkich grzechów, a o powszednie winy i niedoskonałości wcale nie dbają. Tacy zowią się oziębłymi, dlatego że w nich oziębła ona gorącość ducha i on zapał, jaki ożywiał ich w początkach nawrócenia, jeżeli już zupełnie nie wygasł. Taki stan duszy przewodnicy duchowni uważają za bardzo niebezpieczny, i zaledwie zdolny być wyleczonym, a nawet przekładają nadeń stan jawnego grzechu, z którego łatwiej powstać, nawrócić się i nanowo służyć Bogu z zapałem.

Znaki oziębłości.

Znaki oziębłości dla dusz zakonnych zebrane zostały przez Kasjana,[1]) pisarza ascetycznego w V wieku i przez Ś. Bernarda.[2]) Dla wszystkich zaś chrześcijan, według mistyków[3]), naznaczyć można następujące: 1) Wielka łatwość w opuszczaniu ćwiczeń duchownych, jak modlitwy, czytania pobożnego, Komunji św. dla lada powodu, tak że służba Boża zajmuje ostatnie miejsce i obowiązki do niej należące wtedy się tylko spełniają, kiedy jest chęć do nich, lub kiedy niema nic innego do roboty. 2) Niedbalstwo w odbywaniu tych ćwiczeń, to jest: nieuszanowania, roztargnienia i brak pobożności w modlitwie, rozmyślanie bez żadnego owocu, spowiedzie prawie bez przygotowania, bez żalu i postanowienia poprawy. Również małe bardzo przygotowanie, brak żywej wiary i gorącości ducha w przyjmowaniu Komunji świętej. 3) Ustawiczne rozproszenie i wylewanie się na przedmioty próżne, błahe, niebezpieczne, albo grzeszne, bez żadnego starania się o zaparcie, o skupienie, z dobrowolną nieświadomością tych rzeczy, o których trzeba wiedzieć i z zatwardziałością na wyrzuty sumienia. 4) Zwyczaj działania bez rozwagi, bez dobrej intencji, ale prawie zawsze według upodobania, z namiętności i ze zmysłowości, z miłości

[1]) l. 10. Collat. c. 11, 3, 6. [2]) Serm. 3 de Ascen. [3]) l. p. Med.

własnej, ze względu ludzkiego, albo w innym celu osobistym. 5) Niedbałość w nabywaniu cnót, w umartwianiu złych skłonności i wykonywaniu dobrych uczynków, odpowiednich do stanu każdego. 6) Pogardzanie małemi rzeczami w sprawie zbawienia.

Oziębły znajduje się w niebezpieczeństwie grzechu śmiertelnego.

Wynika to najpierw z obowiązku, jaki ma każdy chrześcijanin, aby dążyć do doskonałości, odpowiedniej swemu stanowi, od którego to obowiązku oziębły zupełnie odstępuje. Powtóre, żeby żyć bezpiecznie i bez winy, trzeba mieć moralną pewność o godziwości swojego postępowania i przekonanie, że się jest w stanie łaski. Lecz oziębły tego przekonania i tej pewności mieć nie może, bo są w nim raczej oznaki ciężkich win i grzesznego błądzenia, albo dobrowolnej niewiadomości, prędzej więc przypuszczać powinien, że znajduje się w stanie grzechu, niż w stanie łaski. Przytem lenistwo, z którego powstaje oziębłość, jest z natury swej grzechem śmiertelnym, tak bowiem naucza Ś. Tomasz[1]) i tak utrzymują powszechnie teologowie. I nie tłumaczy leniwego to, że niby nie chce od Boga się oddalać, bo Pismo Boże mówi: „Chce i nie chce leniwiec.“[2])

Oziębły nie spełnia najważniejszych przykazań Boskich.

Któż może o oziębłym powiedzieć, że on kocha Boga nadewszystko i że dla tej miłości gotów jest wszystko czynić co jest przykazane, a unikać tego wszystkiego, co się woli Boskiej sprzeciwia? Któż powie, że on tak miłuje bliźniego, że gotów jest za lada okazją dobrze czynić nieprzyjacielowi? Któż uwierzy, że oziębły stara się o zaparcie siebie według rozkazu Chrystusa?[3]) Tu też należą upadki z grzesznej, to jest dobrowolnej niewiadomości pochodzące, jakich wiele popełnia oziębły, gdyż według Ś. Tomasza, wszystkie grzechy z takiej niewiadomości czynione, mogą być przypisane lenistwu.[4])

Źródłem oziębłości jest pycha.

Oziębły ma zwykle pewność, że postępuje na drodze życia duchownego; uważa przytem, że to jego zasługa i dopóki oziębłość jego nie ujawni się w ciężkich upadkach, póki spełnia niektóre zewnętrzne dobre uczynki i uczęszcza do Sakramentów ŚŚ., podoba sobie w tej pozornej obserwancji i gardzi innymi, którzy mniej czynią, albo mają wady, od których on jest wolny. Za taką pychę Pan Bóg pozbawia go najprzód smaku w rzeczach duchownych, a potem dopuszcza nań ciężki jawny upadek, który nie jest wcale pierwszym, bo go już wiele skrytych uprzedziło.

Duszom oziębłym grozi niepokuta.

Wykazuje się to z Objawienia Ś. Jana: „Znam sprawy twoje, iżeś ani zimny, ani gorący. Bodajbyś był zimny, albo gorący; ale iżeś letni, a ani zimny, ani gorący, poczne cię wyrzucać z ust moich.“[1]) Słowa te stosują się zazwyczaj do oziębłych i tak tłumaczą: Oziębły nie ma się za tak złego, jak jawnogrzesznicy, ani przez drugich nie jest tak uważany, a jednak w gorszym od nich stanie zostaje, gdyż porównywając się z jawnogrzesznikami, nie myśli ze swego stanu powstać. Dlatego słusznie mówi opat Daniel (u Kasjana)[2]), że częściej można widzieć ludzi światowych i jawnogrzeszników, dążących po nawróceniu do doskonałości, niż dusze Bogu poświęcone nawracające się ze stanu oziębłości. Oziębłość grozi nawet ostateczną niepokutą, bo w duszy oziębłej coraz bardziej wkorzenia się zatwardziałość, nieczułość i zaślepienie i dlatego w ostatniej godzinie, gdy oświecona światłem niebieskiem, pozna swój stan nieszczęśliwy, upada zwykle na duchu i oddaje się rozpaczy. Jakoż i Ś. Tomasz[3]) naucza, że rozpacz pochodzi częściej z lenistwa, niż z nieczystości.

Zachęta do unikania oziębłości.

Z największą przeto usilnością trzeba powstawać z tego nieszczęsnego stanu i z pomocą łaski Bożej, jakby na nowo drogę doskonałości zaczynać, mówiąc z Dawidem: „Rzekłem: teraźem począł, ta jest odmiana prawicy Najwyższego.“[4]) Boć sami z siebie odrodzić się nie możemy, ale ufać powinniśmy Bogu, który nas zachęca przez Apostoła: „Przemieńcie się w nowości umysłu waszego“.[5]) Ś. Augustyn tak tłumaczy tę przemianę: „Prośmy, aby ten obraz (Boży), który jest w duszy naszej, zaczął być odnawianym przez Tego, który go sam ukształcił, albowiem nie może samo naprawić się to, co się zepsuło,“ Choćbyśmy bardzo dawno zabrnęli w oziębłość, nie traćmy nadziei, bo co jest niepodobnem naturze, łatwe jest przy łasce Bożej. Pobudzajmy się słowy Objawienia, wyrzeczonemi do Anioła Efeskiego, którym był Ś. Tymoteusz: „Mam przeciw tobie, żeś miłość twoją pierwszą opuścił. Pamiętajże tedy, skądeś wypadł i czyń pokutę, a uczynki pierwsze czyń.“[6])

---

[1]) 2, 2, q. 35, a. 3. [2]) Prov. 13, 4. [3]) Matth. 16, 24. [4]) l. 2, q. 84, a. 4, ad. 3.

[1]) Apoc. 4, 15 et. 16. [2]) Coll. 4, c. 19. [3]) 2, 2, q. 20, a. 4. [4]) Ps. 76, 11. [5]) Rom. 12, 2. [6]) Apoc. 2, 4—5. [7]) Ephes. 5, 14. [8]) Matth. 25, 5.

Słuchajmy co mówi Apostoł: „Wstań, który śpisz (snem oziębłości), a oświeci cię Chrystus.“[7]) Ten stan nasz maluje się w przypowieści o dziesięciu pannach,[8]) które, gdy Oblubieniec omieszkiwał, zdrzemnęły się i posnęły. Ś. Tomasz i Orygenes rozumieją to o śnie lenistwa i oziębłości. Obyśmy chociaż nie byli z liczby tych pięciu głupich, które nie czuwały, aby im lampa miłości całkiem nie zagasła, bo gdy godzina śmierci nadejdzie, napróżno będziemy szukać ratunku u drugich, napróżno wołać będziemy: „Panie, Panie, otwórz nam!“ Śmierć nas zaskoczy i usłyszymy że drzwi są zamknięte.“ Zróbmy przeto mężne postanowienie oddania się od tej chwili całkowicie Bogu na pilną służbę Jego, abyśmy pomału w drodze doskonałości nie ustali.

Środki przeciw oziębłości.

Chcąc, aby postanowienie nasze było skuteczne, używajmy środków już to dla uniknienia oziębłości, już to dla powstania z niej zaleconych. Pierwszym z nich jest modlitwa dla obudzenia i utrzymania w sobie ducha świętego zapału. Drugim — rozmyślanie, czy to o Majestacie Boskim i o Dobroci, które miłość Bożą wzniecają, czy też o własnej naszej ułomności i słabości, co jeden skutek sprowadza, bo usuwa z duszy miłość samego siebie. Trzecim jest unikanie skwapliwości i zbytniego pośpiechu w czynnościach naszych, odbywając je w tym celu, w tem miejscu, w tym czasie, w taki sposób jak Bóg chce; nie jest to bowiem pilnością, ale niedbalstwem, gdy zajęcie przepisane spełnia się przed naznaczonym czasem, albo krócej, albo w innej porze, a to by uniknąć jakiegoś utrudzenia, lub niewygody. 4) Rozważanie krótkości życia, bo być może, iż jutrzejszy dzień będzie dla nas ostatnim. Trzeba więc zbierać uczynki, zasługujące na wieczność, gdyż bez nich dni nasze próżnemi się okażą. 5) Unikanie wszelkiego nieporządnego przywiązania, ciekawości i zajęcia, nieodpowiedniego naszemu stanowi. 6) Wierność i gorliwość w odbywaniu ćwiczeń duchownych, nawet w czasie oschłości. 7) Strzeżenie się próżniactwa i przestrzeganie przepisanego rozkładu czasu. 8) Rachunek sumienia ogólny i szczegółowy co do głównej wady. 9) Strzeżenie się niepożytecznych rozmów, roztargnień i zażyłości. 10) Ośmiodniowe rekolekcje raz na rok i jednodniowe każdego miesiąca. Wiele wskazówek pod tym względem znaleźć można w książkach ascetycznych.

Stan dzisiejszego świata.

Świat dzisiejszy gorszy jest o wiele i bardziej zlodowaciały od tego, który Seraficki Patryarcha zapałem swoim rozbudził. „Długi pokój zniszczył męstwo dzielnych rycerzy chrześcijańskich. Świat wszedł do Kościoła. Chcianoby pogodzić i złączyć Chrystusa z Beljalem. I cóż wyrosło z tego potwornego połączenia? Rasa mieszana, zepsuta, półchrześcijan, światowych dzieci XX-go wieku. Pobożność ich fałszywa, cała w słowach i zewnętrznej obłudzie. O, modna pobożności, pozwól, że cię wyprobuję! Nastaje burza — utrata majątku, potwarz, prześladowanie, choroba, a choćby tylko naśmiewisko ludzi światowych, a ona już upada, nie może się ostać, bo jest pozbawiona fundamentu. O, znam cię! ty jesteś tylko widmem chrzecijańskiej pobożności, fałszywem złotem, błyszczącem przy słońcu, lecz próby ognia ty nie wytrzymasz! Jeżeli męki i prześladowania są potrzebne do wskrzeszenia ducha chrześcijańskiego, Panie, wróć nam tyranów, niech odżyją Nerony, Domicjany!...“[1])

Tysiące wymysłów materjalnego postępu wlecze za sobą mnóstwo urojonych potrzeb, przyczyniając się do ogólnego osłabienia charakterów i woli. Cały zapał obrócił się do rzeczy ziemskich, doczesnych, przemijających, a nie masz go wcale w duchownych. Cała siła zamknęła się w machinach, w narzędziach wojny i zbrodni, znikła zaś moralna siła charakteru. Traf i chwilowa potrzeba zastąpiła miejsce niewzruszonych zasad, żyjemy i działamy fortelami i można, niestety, powiedzieć o wielu chrześcijanach, że posługują się Bogiem, zamiast — służyć Bogu.

Jaki jest środek na rozgrzanie tego świata.

Duch Ś. Franciszka i dziś nie ogranicza się na wpływie na swoich bliższych naśladowców; sięga on wszędzie. Ktokolwiek jesteś — pragniesz-li męstwa, wśród tylu przeszkód, które cię osłabiają — oddaj się pod przewodnictwo tego Serafina, a zwłaszcza jego duchem się przejmij. Leon XIII widział to wyziębienie ducha chrześcijańskiego, widział brak tego wspaniałego usposobienia dusz, rwących się do rzeczy trudnych pod hasłem krzyża (jak się pięknie odzywa w encyklice „Auspicato“). Widział też obniżony poziom moralności i surowości obyczajów wśród ogółu, przekładanie rozkoszy życia nad obowiązek, zastąpienie złudnym blichtrem i czczym pozorem gruntownej cnoty i pobożności na mocnym fundamencie wiary opartej. W tej wielkiej nędzy i potrzebie świata, stojącego nad przepaścią zguby, przedstawił mądry i pobożny Papież Franciszka z Assyża, chorążego Chrystusowego, gorejącego świętym zapałem miłości, ozdobionego znakami ran Jezusowych, i raz

---

[1]) Bossuet. Panegiryk o Ś. Andrzeju.

po raz w uroczystych odezwach i pismach publicznych naglił katolików, aby się garnęli pod jego sztandar do staczania walk w Imię Boże.

Czem są dla świata naśladowcy Franciszka.

Jest coś w członkach wielkiej rodziny Franciszka Ś., co ich wyróżnia od innych, i co świat zowie nieraz fanatyzmem i przesadą, a co jest tylko jakąś cząstką onego świętego zapału serafickiego, udzielającego się w pewnej mierze każdemu. Prawdziwy więc uczeń Franciszka przez praktykę tego świętego zapału jest dla świata szczególnym wzorem. Miłość Boża coraz doskonalsza powinna goreć w jego sercu pełnem ogniskiem; bo czem są promienie przy słońcu, czem kanały przy źródle, czem podczas ognia wiatr, roznoszący płomienie, tem, wobec chwały Bożej, jest święta gorliwość. Przez nią synowie Franciszka dopomagają Bogu do spełnienia Jego zamiarów, których treścią jest doprowadzenie wszystkich ludzi do poznania prawdy, do zbawienia, i do serdecznej Bożej miłości.

„Znacie zapewne, mówi Ludwik Veuillot, roślinki o skrzydlatych ziarnach; skoro tylko wietrzyk zawieje, ziarna te unoszą się w powietrze, a gdzie upadną, tam wyrasta roślinka, która mnoży nowe skrzydlate nasiona. Lecz żadna roślina nie wydaje obfitszego zasiewu, jak dusza, przejęta Boską miłością. Nie zniechęcaj się więc, naśladowco serafickiego Mistrza, nie martw się swoją bezpłodnością duchowną. Służ wiernie Bogu, a Bóg się tobą posłuży do pozyskania dusz — i wtedy, w ubóstwie osobistych swoich zasług, osłaniać się będziesz zasługami tych, których może jednem słowem lub przykładem zwróciłeś na dobrą drogę.

Nie możesz, odchodząc z modlitwy, lub po Komunji świętej, wyjawić w słowach tej pełności uczuć, tego zapału, który cię porywa; nie możesz opowiedzieć, co czułeś, co widziałeś, co słyszałeś w słodkiej z Panem rozmowie, ale możesz coś więcej uczynić: możesz w życiu swojem wyrazić Pana Jezusa, stać się wiernem Jego odbiciem w pilnem czuwaniu nad poruszeniami swego serca, w dokładnem pełnieniu swych obowiązków, w wydawaniu aktów cnót Chrystusowych.

Jakaż byłaby niestosowność, jaki kłam zadawałbyś sam sobie, gdybyś na modlitwie w kościele wydawał się płonącym Serafinem, a w życiu codziennem był niespokojny, zazdrosny, gniewliwy, dokuczliwy dla swych podwładnych, domowników i dzieci. Nie możnaby tego nazwać świętym zapałem, w ten bowiem sposób raczejbyś oddalał, niżeli zbliżał dusze do Boga. Jeśli chcesz ludzi zachęcić do pobożności, utwierdzić w religji, niech zapał twój będzie praktyczny: dobry przykład jest tu najniezbędniejszym, najskuteczniejszym środkiem. Miej zawsze w pamięci słowa wielkiego Papieża, Leona XIII-go: „Wśród rodzin swoich dzieci Franciszka starać się będą świecić dobrym przykładem, oddając się ćwiczeniom pobożności i dobrym uczynkom.“

Zachęta dla dusz gorliwych.

Pewna gorąca dusza powiedziała raz w zapale: „Być apostołem, być zbawcą dusz — to jedno, coby mnie do życia wiązało!“ Możesz i ty łatwym sposobem stać się zbawcą ludzi, korzystaj tylko ze swej mocy. Patrz, jak gorszyciele, te sługi szatana, nad potępieniem dusz pilnie pracują. Dawaj dobry przykład, bądź tą przyjemną wonią Chrystusową, przez życie gruntownie chrześcijańskie, prawdziwie pobożne, dalekie od lenistwa i od porywów fałszywej pobożności, lecz kierowane natchnieniem łaski, pokoju i wytrwania. Wreszcie naśladuj wzory, które staną ci niewątpliwie przed oczami. Patrz np. na tę córkę Franciszka Świętego pokorną, skromną, słodką, czynną, gorliwą. Opatrzność zerwała podobno wszystkie węzły, łączące ją ze światem — to jej posłużyło do oddania się całkowicie dziełom miłosierdzia i miłości. Stała się prawdziwą córką Serafickiego Patryarchy: okiem ślepemu, nogą kulawemu, matką sierocie, pociechą cierpiącym. Jej ulubionem zajęciem jest strojenie ołtarzy zewnętrznych, na których Bóg i Pan jej pod postaciami przebywa i żywych ołtarzy, przez posługiwanie duchowne tym, którzy sposobią się do piastowania w sercu swojem Pana Jezusa. Idzie ona wszędzie, gdzie trzeba ciemnotę oświecić, gdzie często kapłan dosięgnąć nie może. Ona go zastąpi: wyrwie duszę z niewiadomości, błędu, a niekiedy i z kału zepsucia i na proste skieruje ścieżki. Tak przechodzą jej dni i lata, a w końcu śmierć ją zabierze, i po tej pustce, jaka zostanie po odejściu owej duszy, która się kryła pod cieniem pokory, poznają i zrozumieją ludzie, co to jest święty zapał, co to seraficzna gorliwość. Idź i ty czyń podobnie, a będziesz porywaczem i zbawcą dusz!

ROZDZIAŁ IV.

Duch seraficzny jest duchem świętej, gołębiej prostoty.

Sam Ś. Franciszek mawiał, że go Pan Bóg powołał na drogę świętej prostoty, a mówił to wtedy szczególniej, gdy go zachęcano, aby przyjął rodzaj życia właściwy innym zakonom; sam więc wskazywał prostotę, jako jedną z głównych cech jego ducha.

Co to jest prostota?

Święta prostota pochodzi z niewinności umysłu i serca, dalekiej od wszelkiego udawania i przewrotności. Jest tak nazwaną dla odróżnienia od krętactwa i obłudy, to jest od okazywania czego innego nazewnątrz, niżeli to, co się kryje w sercu. A zatem prawdziwa prostota serca jest cnotą, przez którą, unikając wszelkiej dwuznaczności i przebiegłości, w żadnej sprawie nie szuka się nic swego, ale tylko albo chwały Bożej, albo zbawienia bliźnich, albo też obu tych rzeczy razem.

Jaka była prostota Ś. Franciszka.

Nasz Święty doszedł do takiej niewinności (o ile słabość ludzka jest zdolna), w jakiej byli stworzeni pierwsi nasi rodzice. Patrząc na niego, przypominały się słowa Zbawiciela: Jeżeli nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego. Zapewne mało który ze Świętych doszedł do takiej dziecięcej prostoty. Nie było w nim wcale oglądania się na ludzi, żadnej ukrytej intencji, tem bardziej polityki lub przebiegłości. Unikał on wszelkiej próżności, jako też nadawania sobie powagi. Na tej prostocie ugruntował całe swoje życie i swoje dzieła. Przebija ona we wszystkiem: tak w sposobie modlenia się, jak i nauczania; tak w wymowie, jak i w całem obejściu; tak w pismach jego, jak w mieszkaniu i we wszystkich rzeczach przezeń używanych.

Prostota S. Franciszka w sposobie modlenia się.

Franciszek nie myślał o ułożeniu przepisów dla swoich towarzyszów, nie myślał nawet o zakonie. We wszystkiem wyczekiwał objawu woli Bożej. Zaraz z początku prosili go bracia, by ich nauczył, jak mają się modlić. Franciszek, rządząc się w swem obcowaniu z Bogiem taką samą prostotą, jak i oni, odpowiedział: „Módlcie się tak: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...“ Później, na usilne ich żądanie, wyjął z serca, pałającego rzewną miłością ku Zbawicielowi, drugą, jeszcze krótszą modlitwę: Cześć Ci oddajemy, Panie Jezu Chryste i błogosławimy Ciebie, iżeś przez święty krzyż Twój świat odkupić raczył[1]), i pisze w Testamencie, że go sam Pan Bóg nauczył tego prostego sposobu uczczenia.

[1]) Młod. Ś. Fr. s. 144.

Zalecenie trylogji: Chwała Ojcu.

Szczególne też miał upodobanie w modlitwie: Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu, jako wyrażającej w krótkich słowach cześć należną od nas Bogu i przypuszczającej nas tu na ziemi do uczestnictwa w nieustannej chwale, oddawanej Trójcy Przenajświętszej przez duchy niebieskie. Jeden z braciszków niepiśmiennych przyszedł do Świętego Ojca z prośbą, żeby go kazał uczyć czytać, aby, jak mówił, i pisanemi modlitwami mógł chwalić Pana Boga. „Naucz się, bracie miły, odrzekł Franciszek, tych słów: Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu, a wystarczą ci za wszystkie najpiękniejsze modlitwy pisane.“ Co gdy brat uczynił, z przedziwną odtąd pociechą wewnętrzną i wielkiem podniesieniem ducha wiersz ten powtarzał, a pokusa uczenia się czytać odstąpiła go na zawsze.[1])

Osobliwa Jutrznia Ś. Franciszka.

Święty Ojciec przyszedł raz z bratem Leonem do jednej z pustelni zakonnych, chcąc spędzić dni parę w większem odosobnieniu. O północy, gdy się zabrali do mówienia Jutrzni, okazało się, że nie było tam ani brewjarza, ani żadnej innej księgi pobożnej. Wtedy Franciszek rzekł do towarzysza: „Miły bracie, nie mamy księgi do odprawienia właściwych pacierzy, lecz żeby pora przeznaczona na chwalenie Boga nie przeszła bez oddania czci Jego Imieniu, albo bez wyznania nędzy naszej, więc co ja, jako przewodniczący chórowi, mówić będę, to ty naprzemian, jak mówią się psalmy, wiernie powtarzaj. I tak, gdy powiem: „O bracie Franciszku, tyleś popełnił grzechów, będąc jeszcze na świecie, że bezwątpienia wart jesteś być pogrążonym na samem dnie piekła,“ ty, bracie, odpowiedz: „Zaprawdę, godzien jesteś być na dnie piekła.“ Bratu Leonowi przykro się zrobiło, gdy to usłyszał, lecz ze świętą prostotą przyrzekł najszczerzej zrobić, co mu kazano. Wszakże skoro Franciszek wypowiedział swoje, Leon, pomimo chęci, wymówił następujące słowa: „Pan Bóg tak wiele dobrego uczyni przez ciebie, Franciszku, że prosto do nieba pójdziesz.“ Niezadowolony z tego sługa Boży rzekł: „Nie tak, bracie, masz odpowiadać, lecz jak ci kazałem, i gdy teraz powiem: „Franciszku! tyś tylu niegodziwości dopuścił się przeciw Bogu, że godzien jesteś wszelkiego przekleństwa,“ ty odpowiesz: „Pomiędzy przeklętych powinieneś być policzonym.“ — „Dobrze, Ojcze,“ odrzekł Leon. Gdy jednak z wielkim płaczem i skruchą Franciszek skończył mówić, Leon się odezwał: „O bracie Franciszku, takim cię Pan Bóg uczyni, że pomiędzy błogosławionymi będziesz ubłogosławionym.“ Święty, zdziwiony nieposłuszeństwem brata Leona, zgromił go już nieco surowiej: „Dlaczego, bracie, nie mówisz tak, jakem ci to polecił? Nakazuję ci więc pod świętem posłuszeństwem, abyś słowami, które ci wskażę, potwierdzał to, co ja sam będę mówił. Ja powiem: „Bracie Franciszku, nędzniku! czy sądzisz, że Bóg ulituje się nad tobą, kiedyś tyle grzechów i zbrodni popełnił przeciw miłosiernemu Ojcu i najlepszemu Bogu? Zaprawdę nie godzieneś przebaczenia!“ A ty zaraz przydawaj: „W żaden sposób nie jesteś wart miłosierdzia.“ Ale cóż; choć Leon powtórnie najsumienniej obiecał, że tak, a nie inaczej odpowie,—gdy Święty z wielkim płaczem i jękiem wymówił ułożone przez siebie słowa, on, wbrew swojej woli, znowu odrzekł: „Bóg Ojciec, którego łaskawość jest nieskończenie większa od twoich grzechów, wielkie miłosierdzie okaże nad tobą i obsypie cię najhojniejszemi łaskami.“

Nie mogąc pojąć podobnej krnąbrności w tak świątobliwym zakonniku, zakłopotał się Franciszek o jego duszę, i spytał go łagodnie: „Ale cóż to znaczy, mój bracie Leonie, że ty odważasz się przełamywać posłuszeństwo i tyle razy, pomimo moich zaleceń, nie odpowiadasz, jak ci kazałem?“ Na co mu Leon: „Bóg mi świadkiem, Ojcze najmilszy, żem ja za każdym razem najszczerzej postanawiał tak odpowiadać, lecz Pan kładł mi w usta swoje własne słowa i sprawiał, że mówiłem według woli Jego, a nie to, com zamierzał!“ Zdziwiło to Świętego, lecz od zamiaru nie odstąpił i jeszcze raz wymagał od Leona, a nawet usilnie go prosił, aby powtarzał to, co on o sobie mówić będzie. Ale gdy Franciszek wołał ze łzami: „O bracie Franciszku, nędzny człowieku, czy sądzisz, że po tylu zbrodniach twoich Pan Bóg ulituje się nad tobą?“ Leon odrzekł: „Tak, Ojcze, ulituje się; owszem, wielką łaskę otrzymasz od Boga Zbawiciela swego i wywyższy cię On i chwalebnym uczyni na wieki, gdyż wszelki, który się poniża, wywyższon będzie.“[1]) I przydał: „A wybacz, Ojcze, że nie czynię zadość twojej woli, nie ja bowiem, ale Duch Święty mówi przezemnie.“ Nie nastawał już więcej mąż Boży, a uniesiony w duchu, długo rozprawiał o nieprzebranem miłosierdziu Boga nad grzesznikami, aż gdy świtać zaczęło, kazał Leonowi śpiewać hymn Matki Boskiej „Magnificat“.[2])

Co za rozmowy i co za dusze! Gdzie znaleźć

---

[1]) Żyw. Ś Fr. przez O. Prokopa T. II

[1]) Luc. 14, 11. [2]) Żywot Św. Fr.,.. jak wyżej.

bardziej porywające opowiadanie, głębszą naukę i treść wdzięczniejszą? Czy to nie jest obraz dziecięcej prostoty, a razem głębokiej pokory i bogomyślności? Była to modlitwa godna takiego męża.

Zwykłe akty Ś. Franciszka.

Ale i w innych modlitwach Serafickiego Patryarchy, podczas których nieraz unosił się cudownie nad ziemią, jaśniała zawsze ta sama święta prostota. Najczęściej bowiem nic innego nie powtarzał, jeno te słowa: „Kto Ty jesteś, a kto ja jestem, o Panie, Boże mój i wszystko moje!“ A w tych słowach wyrażał wszystko, co serce jego czuło: z przepaści dobroci Bożej wpadał w przepaść swej nędzy i odwrotnie.

Prostota Franciszka w nauczaniu.

Skoro tylko Franciszek usłyszał słowa Ewangelji, które go pobudziły do wyzucia się z sukni świeckiej i obuwia, a przyodziania siermięgą i przepasania powrozem: natychmiast począł opowiadać słowo Boże, jak gdyby razem z tą barwą apostolską, którą na siebie przywdział, duch apostolski wstąpił do jego duszy. Mowa jego była prosta, ale nic w sobie nie miała poziomego, ani takiego, coby ją mogło wystawić na pośmiewisko. Była to, przeciwnie, wymowa pełna życia i ducha Bożego i aż do głębi przenikająca. Czuć w niej było serce wielkie i wspaniałe. Lud też słuchał jej z uwielbieniem.[1]) Przepowiadał pokutę i doskonałość ewangeliczną, ale nadewszystko pokój. „Pokój Pański niech będzie z wami!“ temi słowy zaczynał i kończył każde kazanie swoje. Było to szczęśliwe, prosto z nieba, jak sam mówił, natchnienie. Pokój wewnętrzny, on pokój, który rodzi się z pokonania namiętności i poddania ich prawu Bożemu, wszak on jest ogólną po wszystkie czasy dusz ludzkich potrzebą. A w onych wiekach gwałtownych i burzliwych, kiedy wojna wszędzie szerzyła smutne spustoszenie swoje, człowiek przepowiadający pokój wewnętrzny, pokój wzajemnej między ludźmi jedności i zgody, tem samem już mógł się spodziewać, że powitany będzie, jako poseł Boży, przez niezliczoną rzeszę cierpiących, pokrzywdzonych i płaczących. To jedno słowo tłumaczy już ową dziwną siłę i wpływ jaki Franciszek wywierał prostem przepowiadaniem swojem. Niekiedy za pierwszem zaraz słowem wielu odmieniało swe serca i nawracało się do Tego, który sam siebie nazwał Książęciem pokoju.[2])

[1]) Tres socii p. 35 [2]) Młod. Ś. Fr. s. 104.

Pierwsze wystąpienia Franciszka wspólnie z braćmi.

Oto co nam mówią naoczni świadkowie o pierwszem kazaniu Franciszka i jego towarzyszów.[1]) „Szli po dwóch na los szczęścia, gdzie mieli drogę przed sobą, czyli dokąd prowadził ich Duch Boży. Często Franciszek, jakby zapałem wewnętrznym unoszony, wyprzedzał towarzysza, śpiewając chwałę niebu. Gdy na odgłos tych śpiewów, albo na widok promiennych radością twarzy, lub rażącego niezwykłą formą ubrania zebrała się koło nich gromadka ciekawych, wtedy Franciszek rozpoczynał swoje mowy. Nie miały one żadnego podobieństwa do kazań, były to raczej krótkie, a gorące upomnienia do bojaźni, do miłości Bożej i do pokuty. Zaledwie skończył Franciszek, Idzi głos zabierał, i z przedziwną prostotą mówił: „Dobrzy ludzie, wierzcie temu, co wam powiedział mój brat Franciszek; rada jego jest bardzo dobra.“ Potem nie czekając dłużej, dwaj misjonarze ruszali w dalszą drogę. Widok ich i prostoduszny sposób przepowiadania głębsze na ludziach czynił wrażenie, niżby się zrazu mogło zdawać. „Co to znaczy, pytano się nawzajem. Czego chcą ci ludzie, którzy się tak nędznie ubierają, prawie nic nie jedzą i tak nawołują do pokuty?“ A chociaż niejeden zbywał to żartem i śmiechem, lecz proste słowa z namaszczeniem wyrzeczone nurtowały w sercach i pobudzały do wejścia w siebie i do zastanowienia się nad celem życia.[2])

Druga wyprawa apostolska.

W drugiej wyprawie tych świętych prostaczków znajdujemy te same objawy. Była to również wstępna jeszcze próba apostolstwa, jej skutki jednak zdają się być znaczniejsze. Nowi kaznodzieje zapuścili się tym razem nieco dalej i, obok nieuniknionych przeciwności, więcej niż poprzednio zyskali zwolenników. Wszędzie oznajmiali pokój i kogokolwiek spotkali, czy w miastach, czy na drogach, czy po domach, każdego upominali, błagając, by miłował prawdziwie Stwórcę nieba i ziemi i chował Jego przykazania. Słowa ich niektórzy chętnie przyjmowali, jak gdyby odpowiadały ukrytym ich przeczuciom, inni, przeciwnie, witali je wzgardliwem zdziwieniem. „Skąd to jesteście?“ pytali, „jeszcześmy nie widzieli nigdy takich kaznodziejów.“ Złośliwe te pytania wciąż się powtarzały, wystawiając tem samem braci na dość nużącą próbę; oni jednak spokojnie to znosili, odpowiadając każdemu. „Jesteśmy pokutnicy, a przy-

[1]) Tres socii, [2]) Młod. Ś. Fr. s. 122.

chodzimy z Assyża.“ Zwłaszcza gawiedź po miastach, ciekawa zawsze rzeczy niezwykłych i skłonna do szyderstw, mocno nimi poniewierała. Sądząc z odzienia, brano ich za ludzi zdziczałych i tłumnie zbiegano się, aby ich oglądać; nieraz też, widząc, że się nie bronią, pozwalano sobie na pośmiewiska. Jedni wciskali im kostki w rękę, zapraszając na partyjkę, drudzy rzucali na nich kamieniami, albo, dla nabawienia ich kłopotu, ukradkiem ściągali z nich odzienie. Dzieciaki wieszały się im u kapturów i kazały się nosić. A oni, wierni zaleceniu wodza swego, walczyli tą jedyną bronią, jaka wobec płochego pospólstwa może położyć koniec poniewierce i rozhukany motłoch uśmierzyć, to jest cierpliwością, albo też czasami jakiem słowem żywem i dosadnem, a prosto z serca idącem, które niekiedy dziwny wpływ na opamiętanie tłumów wywiera. Na ogół jednak drugie to zjawienie się przyjaciół ubóstwa mocno poruszyło umysły ludzkie. To właśnie było celem Franciszka i skoro się przekonał, że go osiągnął, postanowił zaraz wrócić do Porcjunkuli.[1]) Było to apostolstwo, godne prawdziwej prostoty, którą już i ludzie oceniać poczynali, a Pan Bóg skuteczności przydawał.

Oskarża się publicznie z próżności.

Prostota święta sprzeciwia się przewrotności i obłudzie, udawaniu i hipokryzji, na której cały świat i wszystkie jego stosunki są ugruntowane. Franciszek, zerwawszy raz ze światem, zerwał też i z powyższemi jego cechami i odtąd z zadziwiającą żarliwością starał się wykorzeniać nietylko hipokryzję, ale wszelki nawet cień próżności; a jak we wszystkich cnotach, tak i w tej doszedł do heroizmu, spełniając często rzeczy całkiem niezwykłe. Tak np. gdy raz w porze zimowej szedł przez ulicę, a wielka liczba ludzi podążała za nim, by mu tem uwielbienie i cześć okazać, spotkał ubogą kobietę, nędznie przyodzianą. Litując się nad nią, oddał jej swój płaszcz, ale zaraz potem, zwróciwszy się do otaczających, przyznał się głośno, iż spełniając ten uczynek miłosierdzia, poczuł w sobie zadowolenie, że jest widzianym.[2]) Tą zaś prostotą swoją jeszcze więcej zbudował obecnych, którzy podziwiali jego pokorę i czystość serca.

Jak niecierpiał obłudy.

Prostota Ś. Franciszka objawiała się, jak powiedzieliśmy wyżej, w całem obejściu i we wszystkich słowach, które jaśniały szlachetną szczerością i otwartością. Nie mógł znieść, aby kto myślał o nim lepiej, niż on sam trzymał o sobie, albo też aby miał robić w skrytości coś z rzeczy naturze jego dogadzających. Piszą towarzysze jego, iż często mawiał: „Pragnąłbym, gdziekolwiek się znajduję, tak się zachować, jak gdyby drudzy na mnie patrzyli, bo gdybym w skrytości nie był takim, za jakiego mnie mają, byłbym obrzydłym obłudnikiem.“ To też gdy po ciężkiej chorobie, wskutek uwagi lekarza, aby się strzegł zaziębienia, wikary klasztorny radził mu nosić na żołądku kawał futra zajęczego, odpowiedział: „Jeśli chcesz, abym futerko to nosił pod habitem, zróbże mi drugie takie samo na wierzchu, aby wszyscy widzieli, jakich sobie wygód pozwalam“.[1])

Co myślał o mądrości światowej.

Duch świętej prostoty daleki jest także od mądrości światowej, która głupstwem jest u Boga. Patryarcha Seraficki nie chciał nawet, aby bracia jego chciwi byli nauk świeckich, albo żeby się zbytnio zajmowali książkami, a pragnął przedewszystkiem widzieć w nich Ducha Pańskiego i świętą Jego działalność, ufając, że On ich wszystkiego nauczy, jak to sam Pan Jezus przyrzekł Apostołom.[2]) I chciał, żeby nauczali nie w przyłudzających słowach mądrości ludzkiej, ale w prostocie, w okazaniu ducha i mocy, według tego, co mówił o sobie Ś. Paweł.[3]) Trzymając się tych wskazówek, zakon jego wydał znaczną bardzo liczbę mężów sławnych i pełnych mądrości Bożej, których wpływ, nawet na wielkich tego świata, był niezmierny i którzy przynieśli Kościołowi nieocenione pożytki, pomimo że głębokich studjów nie przechodzili.

Jak bracia mają się oddawać nauce.

Gdy go raz bracia pytali, czyby mu się to podobało, aby ci, którzy już są oświeceni w nauce Pisma Świętego, zajmowali się jeszcze dalszem jego zgłębianiem, taką dał im odpowiedź: „I owszem, nie mam nic przeciw temu, ale pragnę, żeby przytem naśladowali Chrystusa Pana i Jego uczniów, którzy więcej się modlili, niż czytali, to jest, aby dla nabycia mądrości nie opuszczali modlitwy świętej. A niech się nietylko uczą, jak mają mówić, ale nadto, jak uczynkiem wypełniać, co przeczytali, a czyniąc dobrze, niech też i innych tego nauczają. Chcę, mówił Franciszek, aby bracia moi byli uczniami Ewangelji świętej i, żeby, postępując w wiadomości prawdy, pomnażali się zarazem w gołębiej prostocie, którą Chrystus Pan w naukach swoich z mądrością wężową połączył.“

[1]) Tamże s. 137. [2]) Żyw. Ś. Fr. O. Pr. T, I. str. 154.

[1]) Tamże. [2]) Joan 14, 26. [3]) I. Cor 2, 4.

Jak się obawiał próżnych nauk.

Mawiał też święty Ojciec, że przez poznanie samego siebie łatwo każdy może nabyć poznania Boga, jeżeli Go będzie szukał z pokorą. W czasie bowiem doświadczeń więcej im pomoże, iż są prostymi i gorącymi w posłuszeństwie i miłości, aniżeli wielkimi i mądrymi w przepowiadaniu dla próżnej chwały. Już wówczas przewidywał, że nastąpią takie czasy, kiedy nauka, nadęta próżnością, przywiedzie zakon do upadku duchownego; sława bowiem i żądza pomienionych nauk doprowadzi wielu do wielkiej pychy, która, wprowadzając do zgromadzenia przywileje i osłabienie ducha, w niwecz obróci posłuszeństwo, pokorę i ubóstwo, ze wszystką prawdziwą zakonnością.

Jednemu zaś z towarzyszów swoich, który bardzo pilnie się uczył, aby módz mówić kazania, ukazał się Ś. Franciszek, zażywający już wtedy chwały niebieskiej i surowo go zgromił, zabraniając owych zbytnio frasobliwych myśli o nauce, a zalecając natomiast prostotę i pokorę.[1])

O prawdziwym teologu zakonnym.

Gdy mu oznajmiono, że pewien teolog w Paryżu został jego bratem, że nauką swoją bardzo buduje lud i duchowieństwo, przynosząc wielką sławę zakonowi, Święty odrzekł: „Boję się, iż ci uczeni za jeden dzień popsują to wszystko, co Pan w tej winnicy swojej przezemnie, niegodnego sługę swego, zaszczepił. Nie chciałbym ja lepszych teologów, nad tych, którzy uczą bliźnich dobrego, t. j. cichości, ubóstwa i pokory, bo o tyle dobrym jest zakonnik, o ile jest posłusznym swojej regule i czyni wszystko, co wie, że jest jego obowiązkiem.“[2])

Śpiewa naprzemian ze słowikiem.

Prostota Ś. Franciszka okazuje się jeszcze w jego poufałem przestawaniu ze stworzeniami, które się do niego garnęły. Pewnego razu, idąc z bratem Leonem, Święty usiadł w lasku przy drodze, aby spożyć skromny posiłek, a tymczasem na drzewie, użyczającem im cienia, słowik rozkosznie nucił swoje trele. Franciszek namawiał towarzysza, aby naprzemian z tym melodyjnym ptaszkiem opiewał chwałę Bożą, lecz on wymówił się, że nie potrafi dorównać takiemu biegłemu śpiewakowi. Wtedy sam Franciszek podjął się tego i do samego wieczora śpiewał na cześć Boga wraz ze słowikiem, aż nakoniec zmęczony, nie bez świętej zazdrości, przyznał ptaszkowi zwycięstwo. Przywołał potem swego pogromcę na rękę, pochwalił go i popieścił, a ten nie odleciał, dopóki go Święty nie pobłogosławił.[1])

[1]) Żyw. Ś. Fr. z kronik O. Prok. str. 562. [2]) Tamże.

Makolągwa pobudza go do chwalenia Boga.

Na drzewie figowem, przed oknem celi Franciszka, często siadywała makolągwa i śpiewem swoim pobudzała go do chwalenia Stwórcy, ciesząc go zarazem chwałą, jaką Tenże od wszystkich stworzeń odbiera. Aby jej za to podziękować, dnia pewnego Święty przywołał ją na rękę, a ptaszyna usiadła na niej, mile w sługę Bożego oczki wlepiając. „Śpiewaj, siostrzyczko moja, makolągwo, rzekł do niej, śpiewaj i chwal wesoło Boga i Stwórcę swego“, a ptaszę wnet zaczęło śpiewać i nie przestało, dopóki Święty nie kazał mu odlecieć do gniazdka. Powtarzało się to przez cały tydzień; makolągwa zlatywała codziennie na ręce Franciszka i śpiewała. Nakoniec ósmego dnia odezwał się on do obecnych braci: „Odprawmy już teraz siostrzyczkę naszą, makolągwę, dość bowiem naśpiewała się nam przez cały tydzień, pobudzając nas tem do chwalenia Stwórcy.“ Na te słowa ptaszyna, jakby obdarzona doskonałym rozumem, zerwała się i, posłuszna słudze Bożemu, już odtąd więcej nie przylatywała.“[2])

Prostota Franciszka czyni mu uległemi stworzenia.

Ponieważ prostota, czyli niewinność umysłu i serca, zbliżyły Franciszka do tego stanu, w jakim żyli pierwsi rodzice nasi przed upadkiem, otrzymał przeto w wielkiej części tę władzę, jaką oni mieli nad zwierzętami i innemi stworzeniami. Rozkazywał im i słuchały go; nie uciekały na jego widok, ani się go lękały, ale owszem, gdy się modlił w lasach, otaczały go nieraz dokoła i tuliły się do niego, siadając mu na ramionach. Świadkami tego byli często bracia, którzy ze zdumieniem patrzyli i przysłuchiwali się, jak święty Ojciec w prostocie ze stworzeniami przestawał i miewał do nich nauki, których one z największą uwagą słuchać się zdawały. Franciszek był zupełnie poddany Bogu, więc i zwierzęta wróciły względem niego do porządku zniesionego przez grzech i były mu tak uległe, jak w złotym wieku raju ziemskiego. Bez wątpienia już i przed nim byli Święci, którzy odzyskiwali berło, wypadłe z rąk Adama: pustelnicy Tebaidy żywieni byli od kruków, lwy pustyni posłuszne były głosowi Ś. Antoniego, Ś. Gall rozkazywał niedźwiedziom w Alpach, Ś. Kolumban, prze-

[1]) Tamże. [2]) Żyw. Ś. Fr. przez O. Pr. T. I. s. 133.

chodząc przez las luksejski, cieszył się śpiewem ptasząt, a wiewiórki schodziły z drzew i siadały na jego rękę — lecz żaden z nich nie dorównał Ś. Franciszkowi. To panowanie człowieka nad zwierzętami, jakie posiadał przed grzechem pierworodnym, było stałym udziałem Patryarchy Serafickiego: jest dowiedzione, że rozkazywał on całej naturze, a ta nawzajem, rozumiała go i była mu posłuszną. Kiedy opuszczał klasztor Najśw. Panny Anielskiej i szedł przez równiny Umbrji, zwierzęta oddawały mu pokłon, jako królowi stworzenia. Widząc cechę boskości na jego wychudłej twarzy, nic ziemskiego w sobie nie mającej, i nie doświadczając tego instynktownego wstrętu, jaki w nich wzbudza nasz upadek i nasza nieczułość ku Bogu, zbliżały się z podziwem do Świętego, aby mu służyć. Zające i króliki chowały się w fałdach jego sukni. Jeżeli szedł przez pastwisko, owce, słysząc jak do nich przemawiał i jak nazywał je słodkiem mianem siostrzyczek, podnosiły głowy i biegły ku niemu, wprawiając w zdumienie swoich pasterzy. On zaś, choć uciekał od towarzystwa ludzkiego, znajdował upodobanie w tej radości, z jaką spotykały go zwierzęta polne.[1])

O, święta prostoto! jakże wielkie przywileje posiadasz u Boga i jak miłą jesteś nawet w tak wielkich mężach, jakim był Ś. Franciszek z Assyża!

Prostota naśladowców Ś. Franciszka.

Ś. Elżbieta Węgierska, 3 Zak. (1231 r.)

Ta święta księżna, córka duchowna Serafina Assyskiego, w wysokim stopniu posiadała ducha prostoty. Z łatwością brała udział w zabawach i zebraniach towarzyskich, jeżeli stan jej tego wymagał, czyniąc to bez najmniejszej szkody dla pobożności, która głęboko zakorzeniona była w jej duszy. Można powiedzieć, że prostota Elżbiety wzmagała się wśród zabaw i zgromadzeń, wśród zbytków i próżności tego świata, wśród których nieraz z obowiązku znajdować się musiała. Czuwała pilnie nad tem, aby jej tajemne umartwienia nie wywierały złego wpływu na zwykłe stosunki z ludźmi, aby jej nie czyniły smutną i ponurą. Brzydziła się wszelką przesadą w uczynkach, umyślnem wyjawianiem pobożności i wszelkiem udawaniem. O tych, którzy przy modlitwie okazywali brak prostoty, którzy w ruchach i ułożeniu przybierali nienaturalny wyraz skupienia lub smutku, zwykle mawiała, że wyglądają, jakby chcieli przestraszyć Pana Boga. „Czemuż, pytała, nie składają Mu swojej ofiary ochoczo, wesołem sercem i obliczem?“ [1])

Bł. Leon z Witerbu (1246 r.)

Z uczniów Ś. Franciszka darem osobliwej prostoty odznaczał się jego sekretarz i zaufany przyjaciel, a zarazem spowiednik, brat Leon, o którym już nieraz wspominaliśmy. Święty Patryarcha kochał go bardzo dla jego rzadkich przymiotów i cnót, a zwłaszcza dla cichości i gołębiej prostoty. Stawiał go też często za wzór innym i mawiał, że ten jest prawdziwym Bratem Mniejszym, kto ma szczerość i prostotę Leona.[2])

Juniper z Assyża (1258 r.)

Brat Juniper pielęgnował raz chorego, który miał wielki apetyt na nogę wieprzową, przyprawioną w occie. Braciszek, chcąc mu dogodzić, bo z wielką miłością i poświęceniem służył cierpiącym, wziął nóż i w prostocie swojej wyszedł w pole, a ujrzawszy stado świń na paszy, tak długo za niemi chodził, aż uchwycił jednego wieprza i urżnął mu nogę. Wróciwszy do klasztoru, ugotował ją i przyniósł choremu bratu, który zjadł ten przysmak z wielkim apetytem i wkrótce ozdrowiał.

Zdarzyło się raz, że z klasztoru, w którym przebywał brat Juniper, wszyscy bracia musieli się wydalić, a jego zostawili na zastępstwo kucharza, aby się mieli czem pokrzepić po powrocie. Idzie więc brat do kuchni i tak sobie rozważa: „Jakaż to mitręga z tem jedzeniem, że codzień trzeba gotować, przez co brat kucharz nie może być obecnym na ćwiczeniach. Już ja tak urządzę, że przynajmniej na dwa tygodnie będzie sobie mógł wypocząć i razem z innymi się pomodlić. Poszedł więc na wieś, pożyczył kilka wielkich garnków kuchennych i ukwestował różnego mięsa, kurcząt, jarzyn, jaj i wszystko to, razem zmieszawszy, postawił na wielkim ogniu. A ponieważ ogień był ogromny, więc nie mogąc się zbliżyć do garnków, aby zebrać pianę, wziął deskę i przywiązawszy ją silnie sznurem do ciała, począł przyskakiwać do komina. Kiedy bracia wrócili do klasztoru, Juniper zadzwonił na wieczerzę i wniósł do refektarza swoją kuchnię, cały czerwony od zmęczenia i od żaru. Niestety, nikt nie ocenił jego zdolności kucharskich, bo potrawa była tak wstrętna, że nie można było jej sprobować. Gwardyan naznaczył mu wprawdzie pokutę, za to, że zmarnował dary Boże, ale wszyscy byli zbudowani jego prostotą i miłością.[3])

---

[1]) Ś. Fr. za życia i po śmierci C. I. R. 15.

[1]) Żywot Ś. Elżbiety Węgierskiej p. hr. Montalembert R. 7. [2]) Kronika 3 Zak. C. I. Ks. 6, r. 10. [3]) Kwiateczki Ś. Franciszka.

Bł. Idzi z Assyża (1262 r.)

Bł. Idzi, trzeci towarzysz Franciszka, pokorą i niewinnością swoją stał się najpodobniejszym z nich wszystkich do pierwowzoru prostoty ewangelicznej. Kiedy Święty Ojciec rozpoczynał życie apostolskie i szedł z bratem Idzim do Marchji Ankonitańskiej, odezwał się raz do niego: „Synu, nasz zakon stanie się podobnym rybakowi, co wielki połów uczyniwszy, zachowuje duże ryby dla siebie, a małe precz odrzuca". Brat Idzi, wiedząc, że było ich tylko trzech, dziwował się wielce tej przepowiedni. A gdy tłumy ludu zbierały się dokoła, podziwiając ich twarde życie, ubóstwo i pokorę, młody zakonnik narzekał ze smutkiem: „Biada nam, Ojcze; pochwały świata odejmą nam zasługę i chwałę wieczną!" Od tych słów rozradowało się serce Franciszka; podziwiał ucznia, który tak szybkie czynił postępy w miłości Bożej.

Jak przemawiał do znakomitych osób.

Grzegorz IX, papież i wszyscy dostojnicy Kościoła czcili Idziego, jak Świętego, a słowa jego były dla nich wyrocznią. Pewnego razu dwaj Kardynałowie prosili go o modlitwę. „Nie potrzebujecie jej wcale, odrzekł pokorny brat, gdyż macie wiarę żywszą odemnie i nadzieję silniejszą". — „Jakto?" zapytali.—„Bo wy, żyjąc wśród bogactw, zaszczytów i pychy żywota, nie wątpicie o swojem zbawieniu, a ja, choć się wszystkiego wyrzekłem, chociaż umartwiam się i płaczę, drżę ustawicznie z obawy, abym nie został odrzuconym". Kardynałowie, poruszeni do głębi duszy, usiłowali odtąd prowadzić życie doskonalsze.

Jak przestawał z braćmi.

Błogosławiony ten cenił tylko prawdziwą mądrość, prowadzącą do poznania Boga. Świecka nauka, której tak się obawiał Franciszek dla swoich synów, przerażała i brata Idziego; mawiał o niej, że wysusza serce i bolał nad tymi, co, oddając się jej na uniwersytecie paryskim, zapominali o pierwotnej gorliwości. Nawiedzając klasztory i przestając z braćmi, zawsze odzywał się słowami, nacechowanemi dziecięcą prawie prostotą, a jednak pełnemi mądrości Bożej. Przypominał im podjęte obowiązki i zachęcał do wiernego ich pełnienia. Gdy go się pytano, jak żyć należy, aby się zbawić, tak zwykle odpowiadał: 1) Znosić ochotnie dla miłości Jezusa Chrystusa wszelkie utrapienia, 2) upokarzać się w każdej okoliczności, i 3) kochać nadewszystko Pana Boga.

Łatwo odgadnąć, jaką czcią otoczony był w zakonie gorliwy uczeń Serafickiego Patryarchy; wszyscy oceniali jego pokorę, miłość, słodką prostotę i, pomimo późnego wieku, zawsze świeży zapał do najsurowszych ćwiczeń pokutnych. Uważany też był po śmierci Ś. Franciszka za żywy jego wizerunek, za podporę i chlubę całego zakonu. W jego radach szukano zwykle światła i umocnienia, a Ś. Bonawentura mawiał, że Pan Bóg wyjątkowych łask użycza tym wszystkim, którzy potrzeby swojej duszy polecają modlitwom brata Idziego. W końcu nadeszła dlań chwila wiecznej nagrody. Już 52 lata walczył Święty pod sztandarem seraficznego ubóstwa. Pokusa oczyściła go jak złoto w ogniu; ogień miłości trawił go tęsknotą za niebieską ojczyzną. 23 kwietnia 1262 r. w 53-ą rocznicę wezwania go do służby Pańskiej wybiła dlań szczęśliwa godzina. Ciało jego, z klasztoru Ś. Franciszka del Monte pod Perudżją przeniesione zostało do kościoła, który bracia posiadali w samem mieście i do dziś dnia odbierą tam cześć od wiernych, a liczne cuda skłoniły Papieża Piusa VI-go do uznania jego świętości.[1])

Jan Hortulan, Obserwant. (1501 r.)

Świątobliwy ten braciszek urodził się w ubogiej wieśniaczej rodzinie, w portugalskiem miasteczku Ledesma. Zostawszy sierotą, żył z pracy rąk swoich i z żebraniny, którą dzielił się ochotnie z potrzebującymi. Następnie udał się na służbę do Salamanki, wielkiego miasta w Hiszpanji. Tutaj czekała go łaska, o jakiej ubogi pastuszek nigdy nawet nie marzył. Przybyli tam właśnie z kazaniami dwaj Bracia Mniejsi. Jan poszedł do kościoła, chcąc dla duszy swojej coś skorzystać, i usłyszał misjonarza, mówiącego, jak wielką jest miłość Boga ku nędznemu i grzesznemu człowiekowi, oraz, jak my nawzajem, bez żadnych zastrzeżeń, z gotowością na wszelkie ofiary kochać Go powinniśmy. Słowa te wywarły na jego duszy niezatarte nigdy wrażenie. Odtąd aż do śmierci ciągle z uniesieniem ducha powtarzał: „Miłość moja, Jezus! Miłość moja, Jezus!" Natychmiast też wprosił się do pomocy bratu ogrodnikowi w klasztorze Ś. Franciszka. Stąd pochodzi jego przezwisko Hortulan, gdyż długie lata sprawował ten obowiązek i całym zawiadywał ogrodem. Cnoty Jana i jego pracowitość zjednały mu serca wszystkich braci, przeto za ogólną zgodą został przyjęty na braciszka zakonnego. Miał on szczególne nabożeństwo do Przenajświętszego Sakramentu i dlatego pierwszy był do usługi w ko-

[1]) L'aur. séraph. T. II. p. 96 - 100.

ODMAWIANIE PACIERZY KANONICZNYCH NA DRODZE DO DOLINY REATYŃSKIEJ.

ściele, skąd jedynie głos posłuszeństwa zdolny go był oderwać. Noce prawie całe przepędzał u stóp utajonego Boga, zaledwie nad ranem trochę zasypiając i to na gołej ziemi, w postawie siedzącej. Z pozwolenia przełożonych starał się o lampy, świece i lichtarze, o wonne kadzidła do Przen. Sakramentu, czyścił starannie wszystkie naczynia do tej czci się odnoszące, a uroczystość Bożego Ciała była dla niego największem świętem. Trzeba było wówczas patrzeć, jak rozpromieniony, sypał kwiaty na procesji, albo jak, padając na kolana, kadził przed Najśw. Sakramentem i powtarzał swoje ulubione słowa: „Miłość moja, Jezus“. Nie dosyć mu było, że w kościołku zakonnym wzorowy utrzymywał porządek, ale chodził jeszcze i do innych kościołów, obcierał ołtarze z pyłu i pajęczyny i ozdabiał je kwiatami. Niekiedy, powróciwszy z takiej wycieczki, grał na piszczałce pasterskiej różne pieśni nabożne u stóp swej Utajonej Miłości. A gdy go zapytywano, dlaczego tak czyni, zwykł był odpowiadać, że w ten sposób łatwiej zwalcza roztargnienia i skupia się do modlitwy“. W takiej świętej prostocie służył Panu Jezusowi do końca życia swego.[1])

Ś. Benedykt z San Fradello, Reformat (1589 r.)

Żywot Ś. Benedykta, murzyna, wyjaśnia nam w całej rozciągłości znaczenie tych tajemniczych słów Zbawicielowych: „Dzięki Ci składam, mój Ojcze, żeś zakrył te rzeczy przed mądrymi i roztropnymi tego świata, a objawiłeś je maluczkim“. Prośmy Pana Jezusa o światło, żeby nas uczynił zdolnymi zrozumieć i rozmiłować się w tych słowach.

Całe życie tego wielkiego Świętego odznaczało się cudowną prostotą, którą Seraficki Patryarcha nazywał córką łaski, siostrą mądrości i matką świątobliwości.

Urodził się w małem miasteczku, noszącem nazwę San Fradello, albo Santa Filadelfja, niedaleko Messyny w r. 1516. Przodkowie jego pochodzili z niewolniczej rodziny afrykańskiej, przewiezionej do Sycylji, a rodzice odznaczali się przykładną pobożnością. Ojciec Benedykta, Krzysztof Manasseri, sam niewolnik majętnego Sycylijczyka, którego przybrał nazwisko, spełniał z zapałem wszystkie ćwiczenia życia chrześcijańskiego i znany był ze współczucia i miłosierdzia dla ubogich. Matka zaś, Djana Larcari, była niewiastą cnotliwą i wierną podjętym obowiązkom. Książę Manasseri, widząc bystrość umysłu i rzadką uczciwość Krzysztofa, zrobił go dozorcą nad niewolnikami, pracującymi w polu i udarował wolnością pierworodnego ich syna, którym był właśnie ten Święty.

Pod kierunkiem swych pobożnych rodziców, Benedykt od lat dziecięcych zaprawiał się w cnotach, od czego już nigdy, przez całe życie swe nie zboczył. Podziwiano w małym chłopcu przedwczesną powagę, połączoną z niebiańską słodyczą, dążenie do samotności, pragnienie pokuty, oraz gorącą a wytrwałą pobożność, wszystko jednak ozdobione świętą prostotą, daleką od przesady i nienaturalności. To też dziecięce lata jego upłynęły spokojnie i niewinnie, liczył bowiem zaledwie lat dziesięć, gdy go już w San-Fradello „świętym murzynkiem“ nazywano.

Wiek jego młodzieńczy.

Młodociany wiek Ś. Benedykta zaznaczył się również łaskami Bożemi. Dano mu zajęcie przy paszeniu owiec, nad któremi ojciec jego miał dozór, a praca ta, która uświęciła tyle dusz pokornych i czystych, doskonale odpowiadała jego skłonnościom do skupienia. Nie zaniedbując bynajmniej obowiązków, godzinami całemi zatapiał się w Bogu, w dnie zaś świąteczne udawał się do opuszczonych kościołów swojej mieściny i tam, w obecności Pana Zastępów, puszczał wodze swoim uczuciom. Nie brał nigdy udziału w zabawach rówieników, którzy się naśmiewali z ciemnego koloru jego skóry i okazywali mu wzgardę z powodu niewoli jego rodziców. To złe obejście przyjmował Benedykt z równą prostotą, jak niegdyś w dziecięctwie oddawane mu pochwały. Było ono dla niego jedną więcej pobudką do zwrócenia się z tym większym zapałem do Jezusa, źródła wszelkiej pociechy i ochłody, który zamienia ciernie na róże, a we łzach częstokroć daje znaleźć ulgę i szczęście. Uwolniony w 18-ym roku życia, z zebranych oszczędności nabył sobie zaprząg wołów do uprawy roli, a z owoców swej pracy nietylko się utrzymywał, ale i ubogich dla miłości Jezusa wspomagał.

Wstępuje do zgromadzenia pustelników.

Po trzech latach tej pracy Pan Bóg powołał go do innego, doskonalszego zawodu. Około r. 1545, młody i bogaty książę sycylijski, Jeremjasz Lanza, przyjąwszy habit Ś. Franciszka, schronił się do pustelni w pobliżu San-Fradello, gdzie wkrótce przyłączyli się do niego inni młodzieńcy. Grono tych pustelników stało się zbudowaniem na całą okolicę. Raz, gdy czcigodny Lanza przechodził w pobliżu, usłyszał, jak towarzysze Benedykta obsypywali go zniewagami, Święty zaś odpowiadał im ze słodyczą i cierpliwością. Uderzony tym widokiem i o-

[1]) Kroniki Ś. Franc. 3 Zak. Cz. IV, ks. 1, r. 25.

święcony przez Boga, że w duszy murzyna ukryte są skarby łaski, Lanza surowo zgromił jego prześladowców, mówiąc: „Wyśmiewacie się dzisiaj z tego biedaka, lecz wiedzcie, że niezadługo usłyszycie rozgłos jego sławy". Przepowiednia męża tak zacnego, jak był Jeremjasz, wywarła na wszystkich wielkie wrażenie, a murzyn, zamiast wbić się stąd w pychę, poczuł w sobie jeszcze większą żądzę doskonalenia się. W parę dni potem, przy drugiem spotkaniu, pustelnik rzekł do Benedykta: „Co tu robisz, młodzieńcze, sprzedaj woły i chodź za mną!" Ten, rządząc się zawsze świętą prostotą, zrozumiał w tych słowach głos Boży: bez namysłu pozbył się wszelkich dóbr ziemskich i pożegnał rodziców, aby zostać uczniem Jeremjasza. Miał wówczas niespełna lat 21.

Zostaje przełożonym.

Zacząwszy wśród powyższych okoliczności życie doskonalsze, Benedykt ćwiczył się odtąd pilnie we wszystkich cnotach, a Bóg starania jego uświetnił łaską cudów. Bogobojni pustelnicy tak dalece zasłynęli swoją świętością, że tłumy, dążące do nich po radę i modlitwę, zanadto przeszkadzały ich odosobnieniu. Cztery razy wskutek tego zmuszeni byli zmieniać miejsce pobytu, ażeby zdala od świata swobodnie oddawać się modlitwie, umartwieniom i rozmyślaniu o Bogu. Oddalając się coraz więcej, osiedli w okolicy Palermo pośród skał Montepellegrino, w miejscowości zupełnie odosobnionej i zamieszkałej dawniej przez Ś. Rozalję. Tam właśnie czcigodny Jeremjasz zakończył swój żywot, a na jego miejsce wybrano Benedykta. Potomek niewolników przyjął w prostocie ten obowiązek, uważając w nim więcej kolców i cierni, niż zaszczytu, a swojem postępowaniem w zarządzie braćmi dowiódł, że święta żarliwość nawet bez nauki ma przewagę nad mniemaną mądrością światową.

Przechodzi do Obserwantów.

Zgromadzenie pustelników Ś. Franciszka, zatwierdzone przez Papieża Juljusza III w roku 1550, rozwiązał Pius IV w r. 1562, nakazując im rozejść się, albo wstąpić do którego z zakonów już istniejących. Benedykt, widząc w tem wolę Bożą, pierwszy dał braciom przykład pokory i posłuszeństwa. Wahając się z początku, jaki zakon należało im obrać, przechylił się wkrótce na stronę Kapucynów, jednak przed ostatecznem postanowieniem udał się do Palermo, by w gorącej modlitwie poradzić się jeszcze Najwyższego. Tutaj, gdy, padłszy na twarz przed obrazem Najświętszej Panny, wylewał swe serce i błagał o łaski z nieba, usłyszał głos Boży, rozkazujący, aby wstąpił do Obserwantów. Przedstawił się więc w klasztorze Najśw. Marji od Jezusa, niedaleko Palermo, gdzie został przyjęty na braciszka. Liczył wtedy lat 38, a 17 życia w pustyni.

Zostaje kucharzem.

Sługa Boży, wysłany z początku do klasztoru Ś. Anny w Giuliano, spędził tam 3 lata; później zaś przełożeni wezwali go napowrót do Palermo, gdzie już do końca żywota swego zostawał. Powierzono mu na razie urząd kucharza. Benedykt nietylko nie miał tego za rzecz uwłaczającą poprzedniej swojej godności, ale przeciwnie, cieszył się bardzo, gdyż nowe zajęcie doskonale odpowiadało jego upodobaniom do życia ukrytego. Kuchnia zamieniła się dlań w świątynię, z której, jak woń kadzidła, nieustanne zanosił modły ku niebu. Dzięki nadprzyrodzonej umiejętności, doskonale łączył prace Marty ze słodkim wypoczynkiem Marji u nóg Jezusowych, tak że jedno drugiemu ani trochę nie przeszkadzało. Zawsze gotów dogodzić swoim towarzyszom, ulegał chętnie ich drobnym słabostkom, starając się, o ile to było w jego mocy, wszystkich zadowolnić i każdemu zrobić przyjemność. Obok takiej wyrozumiałości dla nędzy bliźniego, śmiało nazwać go było można surowym bez miłosierdzia dla samego siebie.

Jego przyjęcie w Dżirdżenti (Girgenti.)

W krótkim czasie Benedykt znowu został gwardjanem, a gdy skończyło mu się trzechlecie przełożeństwa, udał się do Girgenti, na kapitułę prowincjonalną, zebraną dla nowych wyborów. Mieszkańcy tego miasta bardzo się ucieszyli na wieść o spodziewanej wizycie Świętego, wszędzie o nim tylko mówiono, przypominano sobie jego budujące czyny, a w dzień przyjazdu kilku ludzi wyszło na drogę, by zawiadomić, jak będzie się zbliżał. Na spotkanie jego wyszedł liczny kler z katedry, znakomitsi mężowie miejscy i okoliczni, oraz niezliczone tłumy ludu. Jedni całowali kraj jego szaty, drudzy usilnie prosili o modlitwę, a wszyscy podziwiali skromność i wielką pokorę, jaką sługa Boży potrafił zachować wśród oznak tak powszechnego uznania i tryumfu. Był to znowu skutek nadzwyczajnej prostoty Świętego, który jednakowo przyjmował obecne zaszczyty, jak w swoim czasie szyderstwa i łajania. Wszystko bowiem, co go spotykało, zwykł był odnosić do Boga i Jemu to składać na cześć i chwałę. Na kapitule w Girgenti zwolniono Benedykta z urzędu gwardjana, dając mu natomiast obowiązek wikarego i mistrza nowicjuszów w tym samym klasztorze.

Powraca do zajęć kucharskich.

Nowe wybory, uczynione, jak zwykle, po upływie trzechlecia, sprowadziły Benedykta powtórnie do kuchni. Jakże się czuł szczęśliwym, że w pokornem zajęciu będzie mógł wrócić do posłuszeństwa, poniżenia i ukrycia, którego zawsze tak gorąco pożądał! Jednakże sława jego świątobliwości nie dozwoliła mu zażywać upragnionych rozkoszy. Najznakomitsze osoby z Palermo przychodziły często do drzwi kuchennych, by się polecić jego modlitwom: księstwo Montalto i sam wicekról Sycylji uważali sobie za zaszczyt, gdy mogli porozmawiać ze sługą Bożym, którego rady niezmiernie były cenione. Stąd ciągły był napływ przybyszów do klasztoru: uczeni przychodzili szukać światła, strapieni — pociechy, chorzy — uzdrowienia, ubodzy — jałmużny, a odwiedziny te były tak częste, że furtjan nieraz czuł się zmęczonym i znudzonym ciągłem dzwonieniem i przywoływaniem brata kucharza. Benedykt jednak, mając serce przejęte miłością, przyjmował wszystkich natrętnych z niezrównanie uprzejmym uśmiechem. Zdarzało się, że dzwoniono umyślnie, aby go wyprobować, lecz Święty wychodził zawsze z uprzejmym pośpiechem, a skoro ujrzał, że go oszukano, powracał bez najmniejszej oznaki niezadowolenia.[1])

Ś. Paschalis Baylon, Obserwant bosy. (1592 r.)

Braciszek ten odznaczał się wielką świętością i prostotą, która zdobiła w nim wszystkie cnoty zakonne. Pewnego razu, gdy zamiłowany w umartwieniu ciała, pościł o chlebie i wodzie, przełożony kazał podać mu do stołu kawał ryby. Sługa Boży, nie czyniąc najmniejszych trudności, zabrał się zaraz do jedzenia, kiedy zaś po wyjściu z refektarza bracia dziwili się, że pomimo ścisłego postu, z taką swobodą i apetytem zajadał podaną mu potrawę, Święty odpowiedział, że radość ze spełnionego aktu posłuszeństwa nie dała mu odczuć żadnego żalu z zaniedbania dobrowolnych ostrości. We wszystkich swoich braciach widział aniołów i przyjaciół Boga, i w tej myśli z największym szacunkiem im usługiwał. W ubogich czcił i kochał samego Pana Jezusa, wskutek czego, będąc furtjanem, nie mógł się powstrzymać od udzielenia każdemu z nich jałmużny. A gdy zwrócono jego uwagę, żeby miarkował swoją hojność, ze względu na ubóstwo klasztoru, odpowiedział: „Mój Ojcze, przypuśćmy, że 12 ubogich zgłosi się po jałmużnę; jakże rozpoznam, który z nich jest Panem Jezusem? Muszę przeto obdzielić wszystkich, abym, pomiędzy odprawionymi, nie odepchnął samego Zbawiciela".[1])

Bł. Karol z Sezze, Reformat (1670 r.)

Błogosławiony Karol, syn ubogich rolników, wychowany był bogobojnie przez zacną swoją babkę, która od wczesnego dzieciństwa zaprawiała go do cnoty. Już w siódmym roku życia oddano go do szkół publicznych, w nadziei, że, dorósłszy, wstąpi do stanu duchownego. Ale biedny Karolek taką miał tępą głowę, że pomimo najszczerszych chęci zaledwie czytać się nauczył. Musieli więc rodzice zabrać go do domu i używać do pracy koło roli. To zetknięcie się z naturą usposobiło duszę chłopca do modlitwy i dało mu cechę nadzwyczajnej prostoty. Najulubieńszem jego zajęciem było czytanie Żywotów Świętych, lub przyglądanie się ich obrazom w kościołku parafjalnym. Łatwo zrozumieć, że pod względem artystycznym malowidła te pozostawiały wiele do życzenia, jednakże Karol zachwycał się niemi i gotów był całemi godzinami im się przyglądać, wnikając raczej w treść przedstawionych rzeczy, aniżeli w zalety zewnętrzne. Żywoty i obrazy były jego szkołą. Widział w nich wzory doskonałości, które starał się potem z prostotą naśladować, a co wyczytał w jednych, i w drugich, to opowiadał towarzyszom pracy, wywierając na ich umysły potężne wrażenie. Takim wzorem prostoty i pokory pozostał Karol i jako zakonnik aż do końca życia, takim też go przedstawia bulla beatyfikacyjna z dnia 1 października r. 1881, w której Papież Leon XIII porównywa go z apostołami, wybranymi przez Pana Jezusa z pośród nieumiejętnych prostaczków. Maluczki bowiem według świata, pozbawiony nauki i wszelkich ludzkich umiejętności, prostym swoim lecz oświeconym z nieba umysłem nietylko rozwiązywał najzawilsze kwestje teologiczne, ale niejednokrotnie wzywany był przez Kardynałów, a nawet przez Papieża Klemensa IX-go dla udzielenia swych rad w najważniejszych sprawach Kościoła.[2])

Bł. Idzi od ś. Józefa, Obserwant bosy. (1812 r.)

Rysem charakterystycznym tego Świętego była niezmierna prostota, prawie anielska. Zdobiła ona jego dzieciństwo i młodość, ale w zakonie rozwinęła się w sposób niezrównany. Można powiedzieć, że stał się przez nią zupełnie przezroczystym: najtajniejsze uczucia serca malowały się zaraz na jego twarzy, a czoło jego było wiernem

[1]) L' aur. séraph. T II p 5-19.

[1]) Ibidem p. 200. [2]) Ibidem p. 60.

odbiciem duszy. Mistrz nowicjatu nie potrzebował się trudzić, aby poznać do głębi swego nowego ucznia, który w oczach wszystkich okazywał się takim tylko, jakim był w rzeczywistości. Żeby wiedzieć, co myślał, wystarczało go zapytać; żeby poznać jego cnoty, dość było patrzeć na jego postępowanie. Zbytecznem było obserwować go pokryjomu, aby podchwycić jego uczucia wewnętrzne. Prostota nie dozwalała mu na żadne zmiany, zależne od miejsca lub otoczenia. Wiara pouczała go, że wszędzie, gdzieby się znajdował, czuwa nad nim oko Boże, a myśl ta czyniła go wprost niezdolnym do grzechu. Cień nawet złego przerażał go, i nigdy nie potrafił pojąć, jak człowiek może rozmyślnie popełnić jaką niedoskonałość. Nie odróżniał obowiązków ważniejszych od mniej ważnych; wystarczało mu wiedzieć, że coś jest zabronione lub zalecone, aby się do tego stosować. Zmysł krytyczny był mu całkiem obcy; szedł więc prostą drogą, którą mu powołanie wskazywało, nie zbaczając ani na prawo, ani na lewo. Nie mógł nigdy pojąć, żeby człowiek mówił inaczej, niż myśli. Bracia, chcąc się ubawić jego kosztem, wymyślali często smutne historje, a Święty prostaczek słuchał ich ze wzruszeniem i wylewał łzy współczucia nad mniemanymi nieszczęśliwymi, nigdy nie przypuszczając, aby w ten sposób nadużywano jego prostoty.

Jego szczerość względem panujących.

Kiedy Napoleon I posadził swego brata Józefa na tronie sycylijskim, ten, pragnąc poznać słynnego zakonnika, którego imię rozbrzmiewało w całem mieście, kazał go do siebie przywołać. Pokorny braciszek przeszedł skromnie szereg wspaniałych komnat, w końcu, przyprowadzony przed oblicze królewskie, zapytał ze spokojem, czegoby sobie król od niego życzył. Monarcha, nie spodziewając się bynajmniej takiego zapytania, przez chwilę milczał zdziwiony, a potem zagadnął go: „Powiedz mi, jak myślisz, czy ja umrę na tronie?“ Odpowiedź Idziego była również pytająca: „A czy Wasza Królewska Mość na nim się urodził?“ — „Nie“, odrzekł tamten. „Jeżeli tak, dodał Idzi, to czemuż król chce na tronie umierać?“ Podobne rozumowanie wcale się nie podobało monarsze, pożegnał go więc niezbyt przyjemną uwagą: „Jesteś niespełna rozumu, wracaj, skądeś przyszedł!“ Można wyobrazić sobie, jaki popłoch wzbudziło w zakonnikach sprawozdanie świętego braciszka z wizyty w pałacu królewskim. Obawiali się, by prostota Idziego nie ściągnęła gniewu monarchy na cały klasztor. Taka była jego szczerość nawet względem osób najwyżej postawionych. Słowa jego, stosownie do nauki ewangelicznej, znaczyły zawsze: tak, albo nie, nie troszcząc się wcale o wrażenie, jakie wywołają.[1])

Cz. Ludwik z Kazorja, Obserwant bosy (1885 r.)

Czcigodny Ludwik z Kazorja był tak pełen prostoty, że sam jego widok zmuszał do kochania go. Prostota była też najgłówniejszym jego powabem. Naprożno świat gardzi tą cnotą, jest ona zawsze nieodłączna od prawdziwej wielkości. Słynny zakonnik posiadał ją w bardzo wysokim stopniu i dzięki jej dokonał tak wiele dobrego. Prosty w ubiorze, bo jego habit był zawsze ubogi i gruby, prosty w ruchach, w wyrazie twarzy, jeszcze prostszy był w mowie. W żadnej okoliczności nie dał nikomu odczuć swego wykształcenia; rozmawiając z nim, czuło się, że nie jest on ani uczonym, ani filozofem, ani mężem znakomitego rodu; owszem, sądząc po jego sposobie mówienia dosadnym i obrazowym, po jego powierzchowności i ruchach zarazem naturalnych i nieco dziwacznych, możnaby go wziąć za człowieka prostego. Nie to wszakże zyskiwało mu przychylność. Kochano go, gdyż nie przedstawiał w sobie ani cienia przymusu, ani sztucznego udawania, które często widzimy w ludziach. Jego natura szczera i otwarta, połączona z wiarą i gorącą miłością, zyskiwała dlań przychylność i pociągała wszystkich.

Jedna z wybitnych osobistości w Neapolu tak opisuje tego sługę Bożego. O. Ludwik był rzeczywiście Świętym średniowiecznym, przeniesionym do czasów teraźniejszych. Jego prostota więcej pobłażliwa, niżeli surowa, brała świat takim, jakim był, z jego przymiotami i wadami, i starała się wyciągnąć zeń wszelkie możliwe dobro. Nie okazywał żadnego uprzedzenia, żadnego zakłopotania, ani zbytecznej ścisłości, żadnego cienia formalizmu, żadnych złudzeń i bezpożytecznych żalów. Na twarzy jego promieniała żywa pojętność, wraz ze spokojną i pogodną dobrocią, a w całej osobie malowała się szczerość i powaga. Nie widać w nim było nic szczególnego, nic przybranego, obcego, jednem słowem nic, coby go wyróżniało od innych zakonników. Wszędzie i zawsze objawiał jednostajność umysłu, czy to znajdował się między bogatymi, czy między ubogimi, czy wśród uczonych, czy wśród prostaczków. Było w nim tyle prostoty i serdeczności, że rozbrajał nią najbardziej lękliwego i podejrzliwego. Nienaruszona pogoda jego

[1]) Vie du Frère Egide de Saint Joseph. par l' abbé Olivier.

twarzy świadczyła o duszy całkiem bez żółci, bez pogardy dla kogokolwiek, jak również bez bojaźni i bez słabości, czy to odbywał kapitułę zakonną, czy znajdował się przed radą ministrów, czy wobec kolegjum Kardynałów. [1])

Kapucyni.
Franciszek z Esio (1549 r.)

Ten sługa Boży, będąc Wikarym Generalnym, upominał szczególniej braci, aby się strzegli obłudy i pragnienia próżnej chwały, tak przeciwnych świętej prostocie zakonnej, utrzymywał bowiem, iż szatan, nie mogąc pociągnąć zakonnika do jawnego występku, usiłuje niszczyć tę najwłaściwszą mu cnotę przez zgubne pragnienie pokazania się dobrym. Twierdził, że nic niema niebezpieczniejszego nad obłudę, gdyż pozbycie się jej prawie jest niemożliwe. Kogo raz opanuje, ten wszystko czynić będzie i na wszystko się poświęci, byle tylko zjednał sobie sławę świętego, czem dowodzi właśnie braku prawdziwej świątobliwości. Niema większego potworu nad takiego zakonnika, gdyż ten, zamiast całą usilność swoją zwrócić do ścisłego zachowywania reguły, stara się o to jedynie, aby nie uczynić nic takiego, coby go w oczach innych poniżyć mogło. [2])

Nieroztropna prostota.

Pewna zakonnica, słysząc o nadzwyczajnej świętości Kapucynów, postanowiła w prostocie swojej iść za przykładem Ś. Eufrozyny, służącej Bogu z konieczności w zakonie męskim. Opuściła tedy klasztor i przebrana przedstawiła się Wikaremu prowincji Bolońskiej, a ten, nie domyślając się niczego i ceniąc zapał młodego aspiranta, przyjął ją do grona laików i zlecił jej obowiązki kucharza. Przez czas swego pięciomiesięcznego tam pobytu składała dowody wielkiej pobożności, pokory i posłuszeństwa, lecz po jakimś czasie bracia zauważyli w jej mowie dziwne pomyłki, zaczęli ją więc podejrzewać. Nareszcie jeden z nich, już staruszek, chcąc się przekonać o prawdzie, użył podstępu. Gdy pewnej niedzieli świątobliwy nowicjusz poszedł do kościoła, brat ten, wylał jej cichaczem jakąś zupę i ukrył się w kącie. Przyszedłszy z kościoła, ów niby braciszek spostrzegł uczynioną szkodę i na ten widok zawołał z boleścią: „O ja nieszczęśliwa!“ Doniesiono o tem natychmiast gwardjanowi, a następnie prowincjałowi, który, zbadawszy całą rzecz i widząc gorliwość nieroztropnej zakonnicy, bez żadnej kary odesłał ją napowrót do dawniejszego klasztoru. [1])

Franciszek z Maceraty.

Nigdy jedna cnota nie może się sprzeciwiać drugiej. Nie może też prostota wyłączać posłuszeństwa, lub zgadzać się z samowolą, bo wówczas raczej wadą się stanie. Zobaczymy to na przykładzie Franciszka z Maceraty, który z tego powodu wciąż się narażał na wielkie niepokoje. Braciszek ten, nieumiejący nawet czytać, wstąpił początkowo do Obserwantów, a gdy tam często słyszał o surowem życiu pustelników, tak jak w swojej prostocie rozumiał, postanowił ich naśladować. Wychodził więc z klasztoru do lasu i tam żyjąc owocami i ziołami, spędzał dnie i noce na modlitwie, czuwaniu i różnych umartwieniach. Z początku nic mu nie mówiono, chociaż czynił to bez pozwolenia, brano to bowiem za objaw gorącości ducha i nadzwyczajnej prostoty. Lecz pewnego razu, gdy powracał ze swej pustelni, gwardjan upomniał go surowo za taką samowolę. Zmieszany Franciszek padł z żalem do nóg przełożonego, prosząc o przebaczenie, nie domyślał się bowiem, iżby w jego postępku mogło być co złego, i przyrzekł już na potem nic bez wiedzy starszych nie czynić. Atoli skoro dowiedział się, że powstała nowa reforma Kapucynów, odznaczająca się niepospolitą świątobliwością i ścisłem zachowaniem reguły, natychmiast umyślił przyłączyć się do niej, czego też dokonał, uprosiwszy sobie pozwolenie przełożonych. Niedość na tem; po niejakim czasie, słysząc tu i owdzie źle mówiących o Kapucynach, w prostocie swojej wszystkiemu dał wiarę i przerażony, wrócił do Obserwantów. Gdy się to kilkakrotnie powtórzyło, gwardjan Obserwantów skazał go na 40-to dniowe odosobnienie, lecz i ten środek nie odniósł skutku. Franciszek raz jeszcze znalazł się między Kapucynami, gdzie wreszcie, oświecony łaską Bożą, wytrwał już do śmierci. [1])

Anioł z Czita di Kastello (1569 r.)

Był to zakonnik tak pełen prostoty, że wszystkich miał za świętych i nigdy o nikim źle nie sądził; przeciwnie, w złem nawet dobro upatrywał i na wszystko z najlepszej strony spoglądał, przez co doszedł do wielkiej czystości sumienia i serca. Z tym przymiotem łączył najwyższą bogomyślność, gdyż Pan Bóg, mający szczególne upodobanie w duszach prostych, obdarzał go nadzwyczajnemi łaskami, z których najwybitniejszą była miłość Eucha-

[1]) Vie du Père Ludovie de Casoria par l' abbé Le Monnier. [2]) Kroniki kapucyńskie Bowerjusza Tom. 1 r. 1549 n, 8.

[1]) Tamże. [2]) Tamże r. 1568 [3]) Citta di Castello.

rystji. Rozważając o tej tajemnicy, zawsze wpadał w zachwycenie i unosił się w powietrze aż do samego tabernakulum. [1])

Wincenty z Flaviano (1539 r.)

Podobnąż prostotą odznaczał się Wincenty rodem z Flaviano. Nigdy nie mógł uwierzyć, gdy słyszał co złego o bliźnim i przekonywał obmówców, że się napewno pomylili, w ostatecznym zaś razie silił się usprawiedliwić intencje błądzącego. Szatan, widząc tyle cnót, chciał go zwyciężyć pokusami, a w końcu napadał nań w strasznej postaci. Nieraz musiał Wincenty toczyć z nim jawną walkę, atoli uzbrojony pomocą Boską, nie bał się wcale tych napaści i śmiał się nawet z niedołęstwa szatana. Taką jest bowiem moc świętej prostoty, że nawet nad złemi duchami panować daje. [2])

Illuminat z Norcia (1580 r.)

Ten braciszek klasztorny posiadał nadzwyczajną niewinność i prostotę. Często go też widziano rozmawiającego z ptaszkami, które od niego bynajmniej nie stroniły. Idąc po kweście, wszedł pewnego razu na jakiś dziedziniec, gdzie się znajdował dziki kogut, który się rzucał na ludzi. Ostrzegano go przed niebezpieczeństwem, lecz Illuminat bez trwogi postąpił dalej, a ptak, wskoczywszy na ramię zakonnika, począł mu okazywać swoją łaskawość. Pracując w klasztorze, jako ogrodnik, otoczony był nieustannie ptactwem, które się z nim poufale bawiło. Przyczyną tego zjawiska była niepospolita czystość duszy i święta prostota sługi Bożego, którą odczuwały w nim nawet nierozumne stworzenia. [3])

Ś. Feliks z Kantaliczo (1587 r.)

Święty Feliks, kierując się natchnieniem Bożem, umiał zadowolnić tak wielkich, jak małych, okazując w każdej chwili i w każdym wypadku prawdziwie podziwienia godną roztropność i prostotę. Nie posiadał on wprawdzie ogłady światowej; owszem zachował pospolity sposób wyrażania się i narzecze właściwe mieszkańcom jego rodzinnej wioski; również i powierzchowność jego i całe obejście nie zdradzało nic nadzwyczajnego; a jednakowoż ta naturalna i szczera prostota nie raziła nawet wobec najznakomitszych osób. Zawsze i dla wszystkich uprzejmy, serdeczny, pokorny, starał się przez całe życie zachować w sobie ów charakter włoskiego wieśniaka, z którym wstąpił w progi klasztoru, a który dopomagał mu do utrwalenia się w uniżeniu i pokorze. Stanu swego przed nikim się nie wstydził, owszem, często o nim wspominał, co jednak nie umniejszało wcale czci, szacunku i uwielbienia, jakie powszechnie budziły jego cnoty w tych, którzy mieli szczęście znać go bliżej. Łaska zacierała w nim wszelkie braki wychowania; widoczne było, że Duch Święty w nim mieszkał i był jedynym jego Mistrzem, tak w stosunku z Bogiem, jak i z ludźmi. Obcowanie z tym bratem zakonnym o naturze szlachetnej, prawej, pozbawionej przesady, przypadało do smaku osobom wyższym, tak jak to nieraz mieszkańcom miasta smakują niezmiernie proste i niewyszukane potrawy wiejskie, jakkolwiek żaden z kuchmistrzów już nie był w stanie im dogodzić. Jak zdrowy, naturalny pokarm jest dla organizmu ludzkiego bez porównania pożyteczniejszy od wszelkich przysmaków, tak i szczera prostota, na rzetelnej oparta świętości, łatwiej porywa serca i do dusz ludzkich przemawia, niż najwyszukańsze pomysły ludzkiego rozumu. Książęta i szlachta, panie wysokiego rodu. Kardynałowie i prałaci, słowem wszyscy bez wyjątku z zapałem i nadzwyczajnem zajęciem przysłuchiwali się jego prostej a gorącej mowie, chociaż często w prostocie ducha nie stosował się do przyjętych form towarzyskich. Mówił on tak, jak mu serce dyktowało, i nikt nie czuł się obrażonym, jakkolwiek Feliks w zbyt poufały sposób się odzywał, mówiąc: „Powiedz mi, panie, albo zrób mi to lub owo dla miłości Bożej!“ I ten prosty sposób mówienia nietylko nikogo nie obrażał, ani też nie przeszkadzał szerzeniu chwały Bożej, ale przeciwnie, im mniej wyszukaną była jego mowa, tem liczniej gromadzili się dokoła niego zastarzali w grzechach wykwintni grzesznicy, tem większą okazywali mu cześć i szacunek, tem pilniej słuchali jego nauk i upomnień, tem gorliwiej nawracali się do Boga.

Z jaką prostotą upominał dostojników.

Ś. Feliks z całą swobodą ganił postępowanie najwyżej postawionych osób, co możemy widzieć z następującego przykładu. Kardynał Juljusz Antoni Santorio, ówczesny protektor całego zakonu Kapucynów, był mężem wielkiej nauki i gorącego zapału dla spraw Kościoła, pomimo to jednak szczególniej w pierwszych latach swego urzędowania, nie umiał dostatecznie spełniać obowiązków względem zakonu. Nie zdając sobie nawet sprawy, ulegał wpływom braci mniej gorliwych, przez co był powodem, że do zakonu Kapucynów zaczęły się

[1]) Kron. kap... r. 1569. [2]) Tamże r. 1573. [3]) Tamże r. 1589 [4]) Cantalicio.

wkradać rozmaite niezadowolenia, rozterki i spory, zagrażając dalszemu utrzymaniu ścisłej obserwancji. Feliks bolał nad tem bardzo, czekał jednak sposobności, którąby mu ułatwiła wejście do pałacu Kardynała. Sposobność ta nadarzyła się niebawem, gdy ojciec gwardjan posłał go z ważnym listem do Protektora zakonu. „Eminencjo“, rzekł Feliks, wchodząc na posłuchanie ze swobodą, jaką zazwyczaj odznaczają się Święci, „wielki spotkał mnie dzisiaj zaszczyt. Od lat 30-u, odkąd przełożeni posyłają mnie z listami do dostojników Kościoła, miałem zawsze jedną tylko sprawę do załatwienia, dzisiaj aż dwie przynoszę: jedną piśmienną od ojca gwardjana, a drugą ustną odemnie samego, twego najpokorniejszego sługi. Czy Eminencja pozwoli mi mówić?“ Kardynał, człowiek pełen dobroci i rozumu, wskazał mu krzesło, a Feliks w te odezwał się słowa: „Bóg, najwyższy Pan wszechrzeczy, wybrał cię, Eminencjo, na Protektora naszego zakonu, powinieneś przeto więcej nad nim czuwać, a nie dozwalać, aby z twej winy zakon ten narażony był na wielkie niebezpieczeństwo utraty obserwancji. Inaczej w dzień sądu Bóg każe ci zdać z tego ścisły rachunek“. Kardynał zdumiony, nie rozumiejąc jeszcze, o co chodzi, poprosił brata Feliksa, aby wypowiedział wszystko, co ma na sercu. Wtedy ten, ze łzami w oczach i ze świętą prostotą, mówił co następuje: „Przebacz mi, Eminencjo, moją śmiałość, ale zdaje mi się obowiązkiem sumienia odkryć przed tobą wszystkie nieszczęścia, jakie nam grożą, a których bezwiedną przyczyną jesteś ty, panie. Głównem złem jest to, że Eminencja przyjmuje w swym pałacu zakonników oziębłych, bez zasług i gorliwości, i daje posłuch ich słowom, podczas gdy przełożeni zakonu nie są przyjmowani, a kiedy czasem spotka ich to szczęście, to Eminencja nie przywiązuje wagi do ich słów, a nawet niezupełnie im dowierza. Obarczony wielu ważnemi sprawami, wchodzącemi w zakres twej wysokiej godności, niepotrzebnie, Eminencjo, przysparzasz sobie sam jeszcze więcej pracy i odpowiedzialności przed Bogiem, przekraczając przysługujące ci prawa w zarządzie naszym zakonem, w rzeczach, które należą wyłącznie tylko do przełożonych. Kasujesz np. ustawy, na których opiera się cała obserwancja zakonna, przez co bracia słabszego ducha, mając tak silne w tobie poparcie, lekceważą ją sobie i często ją przekraczają. Wiem i głęboko jestem przekonany, że nie zła wola jest tego powodem; czemuż więc osłaniasz powagą swoją przed władzą przełożonych i przed ustawami reguły niegodnych zakonników, którzy umieli wkraść się w twoje łaski? Ty, Eminencjo, nie żyjąc z nimi, żadną miarą tak dobrze znać ich nie możesz, jak ich znają przełożeni, a jednak tym ostatnim nie wierzysz i rozsyłasz tych wolnomyślnych braci po rozmaitych domach, stosownie do ich woli i upodobania, gdzie szerzą zgorszenie i innych za sobą pociągają. Osądź sam, Eminencjo, czy to rzecz słuszna i sprawiedliwa, że z pominięciem naszego Wikarego Generalnego zarządzasz prowincjami, wysyłając komisarzy, którzy znoszą wybory, rozpraszają zebrania kapitularne, jednem słowem, całą władzę w swem ręku trzymają. I oto zamiast zgody i pokoju, które są znamieniem Królestwa Bożego na ziemi, i któremi przedewszystkiem zakony odznaczać się powinny, wkradają się do naszego zgromadzenia coraz częstsze niesnaski i spory, grożące zupełnem rozdwojeniem. Powtarzam raz jeszcze, Eminencjo, że choć wiem, iż masz najlepszą chęć i wolę, jesteś powodem wiela złego. Otóż, jeśli raczysz mej rady wysłuchać, błagam cię, dla miłości Bożej, zostaw nadal zarząd Prowincjałom i Wikaremu Generalnemu. Ich to jest obowiązek czuwać nad zachowaniem całej ścisłości reguły, i oni to przed Bogiem zdawać będą z tego rachunek, ty zaś, Eminencjo, usuwając się od zarządu, usuniesz się zarazem od wszelkiej odpowiedzialności w dniu ostatecznym“. Z dziwną odwagą, prawdziwie od Boga natchnioną, pobożny i pokorny zakonnik wiele innych jeszcze ważnych spraw poruszył. Socjusz jego siedział, jak na szpilkach, tak był przerażony i oszołomiony niepojętą otwartością Świętego. Lecz płonne były jego obawy. Kardynał bowiem, będąc wielkiego ducha i mężnego serca, przyjął to sprawiedliwe upomnienie sługi Bożego, uściskał go serdecznie i od tej pory miał dla niego większy nawet niż przedtem szacunek. Co więcej, uznawszy swój błąd, wezwał bez zwłoki przełożonych w celu porozumienia się z nimi, i w zupełności wszelkie szkody wyrządzone przez nierozwagę zakonowi Kapucynów, naprawił. Tak to wielkie dusze odznaczają się zawsze miłością i szacunkiem dla tych, którzy im wytykają ich błędy, i starają się korzystać z udzielonych sobie rad i upomnień.[1])

Hieronim z Korleonu (1717 r.)

Hasłem tego świątobliwego Kapucyna było zdanie: „Wszystko na większą chwałę Bożą!“ Powtarzał je w radościach i troskach, wśród zniewag i uwielbień, i z temi słowy pokój wstępował do jego serca. Wszystkie czynności jego wynikały z tej jednej pobudki; nie szukał on w nich ani zysku, ani chwały ludzkiej, ani zadowolenia własnej woli

[1]) Żywot Ś. Feliksa z Cantalicio przez W. O. Franciszka Ratte.

i pragnień, jednem słowem nic osobistego. Życie Hieronima, przejęte do głębi tą najważniejszą sprawą, nabrało dziwnie miłej prostoty, dla której nie rozumiał nawet, żeby można kłamać, być nieszczerym, myśleć o sobie lub o swoich wygodach. I to tłumaczy jego poufały stosunek z Bogiem, który, nie znajdując w nim żadnych przeszkód do swego działania, czynił przez niego tyle cudów. Bóg pewien był niejako tego wiernego sługi i wiedział, że ten nie zatrzyma dla siebie żadnej cząstki chwały, należnej swemu Stwórcy i Panu, i że wszystko obróci na większą cześć Jego Imienia. Zacny braciszek tak dobrze przejął się swojem hasłem, że ani jeden raz w życiu od niego nie odstąpił i to nietylko w stosunkach swych do Boga, ale i względem braci swoich zakonnych i wogóle względem wszystkich ludzi.

Nigdy nie widziano go zagniewanego, posępnego: przeciwnie, był zawsze dobry i usłużny, rozmawiał z prostotą i wesołą swobodą dziecka, tak, że patrzący nań czuli się zbudowani. Ale najwięcej dziwiła wszystkich malująca się na jego obliczu prostota i ufność, które cechowały też i jego czynności. Nie zdolny do życzenia źle bliźniemu, nie podejrzewał też o to nikogo. Wierzył, co mu mówiono, sądząc, że byłoby to ubliżeniem dla innych, gdyby wątpił chociaż na chwilę o ich słowach.

Jego naiwna prostota.

Kroniki zakonu podają kilka zdarzeń, stwierdzających jego naiwną prostotę. Przekonał się o niej gwardjan klasztoru w Kastronovo, O. Ludwik z Kamerata, do którego przybył świątobliwy braciszek zaraz po profesji. Zlecając mu kuchnię, zaprowadził go do śpiżarni, a, chcąc mu wrazić w pamięć ubóstwo i oszczędność, wskazał na bańkę z oliwą i beczułkę z solonemi rybami i rzekł: „Pilnuj się bracie, bo jeżeli się przekonam, że marnujesz zapasy, każę tak jak ze Ś. Bartłomieja żywcem zedrzeć z ciebie skórę, a potem osolić i powiesić na słońcu“. Brat Hieronim wziął one słowa jako prawdę, a że nie miał żadnej chęci ponieść mąk tego rodzaju, więc ubrał w śpiżarni mały ołtarzyk, z wizerunkiem Marji Najśw. i ilekroć tam wchodził, padał na kolana, prosząc, aby Matka Boża zachowała go od tak okrutnej śmierci. Podwajał zwłaszcza swoje modlitwy, gdy chodziło o oliwę i ryby wędzone. Pod koniec roku gwardjan, mający udać się na kapitułę, chciał zrobić spis wszystkiego, co było w klasztorze, aby go zostawić swemu następcy. Jakże się zdziwił, gdy w beczkach zastał tyle oliwy i ryb wędzonych, co i przed rokiem, kiedy oddawał śpiżarnię nowemu kucharzowi. Brat Hieronim musiał wtedy wyjawić używane przez siebie sposoby, a gwardjan, śmiejąc się z jego prostoty, przekonał się, jak ona była miłą Bogu. Nieco później świątobliwy zakonnik został znowu przysłany do tego samego klasztoru na kwestarza, gdzie spełniając swój urząd, ciężko zachorował: trapiła go złośliwa febra, zwana czwartaczką. Pewnego dnia bracia nawiedzający go w infirmarji, rzekli doń: „I cóż to jest za choroba, która powraca o jednej i tej samej godzinie? Nie wstyd ci, braciszku, że pozwalasz jej tak się napastować?“ Hieronim wywnioskował stąd, że cierpienie jego jest jakąś złą istotą, która wpada niespodzianie do jego celi, i że gdyby się dobrze schował, mógłby jej uniknąć. Kiedy więc zbliżyła się godzina febry, zamknął się w celce jak najdalej położonej i, ukrywszy się za tapczanem, z twarzą zwróconą ku ścianie, starał się ani poruszyć, żeby szmerem jakim nie ściągnąć uwagi złośliwego stworzenia. W tej samej porze przyszedł lekarz klasztorny. Nie znalazłszy Hieronima w infirmarji, wymawiał gwardjanowi, że pozwala tak ciężko choremu przechadzać się na świeżem powietrzu. Gwardjan wysłał natychmiast dwóch braci na poszukiwanie, ale napróżno go wołano, dopiero gdy zrobiono formalny przegląd wszystkich kątów klasztoru, znaleziono braciszka, siedzącego w swojej kryjówce. Zapytany przez lekarza, dlaczego łóżko opuścił, odpowiedział: „Ta zła febra przeszkadza mi spełniać obowiązki, więc sądziłem, że, ukrywszy się dobrze, mogę jej uniknąć“. Obecni, a zwłaszcza lekarz, w głos się roześmieli, ale, gdy ten ostatni dotknął pulsu chorego, okazało się, że gorączka zupełnie znikła. Prostota braciszka była dlań najlepszem lekarstwem.

Roztropność w prostocie.

Nie sądźmy jednak, aby ta naiwność pochodziła z wrodzonej głupoty; owszem, miał on umysł bardzo otwarty, odpowiedź gotową na wszystko i potrafił dobrze się wykręcić z trudnych okoliczności. Wielki inkwizytor Sycylji, słysząc bardzo często o bracie Hieronimie, chciał się przekonać, jaki duch go ożywia i w tym celu zaprosił go do siebie na obiad. Rozmowa toczyła się o rzeczach duchownych, a czcigodny kapłan podziwiał mądrość i rozum prostego braciszka. W końcu zapytał go o niektóre cuda, jakie uczynił w mieście. „Na miłość Bożą, Ekscellencjo, proszę nie wierzyć, że brat Hieronim jest działaczem cudów. Wszystko, co on czyni, pochodzi jedynie od Boga. Pan użył niegdyś oślicy Balaama, żeby prorokowała, a teraz posługuje się osłem w skórze ludzkiej, aby

ODMAWIANIE PACIERZY KANONICZNYCH NA DRODZE DO DOLINY REATYŃSKIEJ.

ściele, skąd jedynie głos posłuszeństwa zdolny go był oderwać. Noce prawie całe przepędzał u stóp utajonego Boga, zaledwie nad ranem trochę zasypiając i to na gołej ziemi, w postawie siedzącej. Z pozwolenia przełożonych starał się o lampy, świece i lichtarze, o wonne kadzidła do Przen. Sakramentu, czyścił starannie wszystkie naczynia do tej czci się odnoszące, a uroczystość Bożego Ciała była dla niego największem świętem. Trzeba było wówczas patrzeć, jak rozpromieniony, sypał kwiaty na procesji, albo jak, padając na kolana, kadził przed Najśw. Sakramentem i powtarzał swoje ulubione słowa: „Miłość moja, Jezus". Nie dosyć mu było, że w kościołku zakonnym wzorowy utrzymywał porządek, ale chodził jeszcze i do innych kościołów, obcierał ołtarze z pyłu i pajęczyny i ozdabiał je kwiatami. Niekiedy, powróciwszy z takiej wycieczki, grał na piszczałce pasterskiej różne pieśni nabożne u stóp swej Utajonej Miłości. A gdy go zapytywano, dlaczego tak czyni, zwykł był odpowiadać, że w ten sposób łatwiej zwalcza roztargnienia i skupia się do modlitwy". W takiej świętej prostocie służył Panu Jezusowi do końca życia swego.[1])

Ś. Benedykt z San Fradello, Reformat (1589 r.)

Żywot Ś. Benedykta, murzyna, wyjaśnia nam w całej rozciągłości znaczenie tych tajemniczych słów Zbawicielowych: „Dzięki Ci składam, mój Ojcze, żeś zakrył te rzeczy przed mądrymi i roztropnymi tego świata, a objawiłeś je maluczkim". Prośmy Pana Jezusa o światło, żeby nas uczynił zdolnymi zrozumieć i rozmiłować się w tych słowach.

Całe życie tego wielkiego Świętego odznaczało się cudowną prostotą, którą Seraficki Patryarcha nazywał córką łaski, siostrą mądrości i matką świątobliwości.

Urodził się w małem miasteczku, noszącem nazwę San Fradello, albo Santa Filadelfja, niedaleko Messyny w r. 1516. Przodkowie jego pochodzili z niewolniczej rodziny afrykańskiej, przewiezionej do Sycylji, a rodzice odznaczali się przykładną pobożnością. Ojciec Benedykta, Krzysztof Manasseri, sam niewolnik majętnego Sycylijczyka, którego przybrał nazwisko, spełniał z zapałem wszystkie ćwiczenia życia chrześcijańskiego i znany był ze współczucia i miłosierdzia dla ubogich. Matka zaś, Djana Larcari, była niewiastą cnotliwą i wierną podjętym obowiązkom. Książę Manasseri, widząc bystrość umysłu i rzadką uczciwość Krzysztofa, zrobił go dozorcą nad niewolnikami, pracującymi w polu i udarował wolnością pierworodnego ich syna, którym był właśnie ten Święty.

Pod kierunkiem swych pobożnych rodziców, Benedykt od lat dziecięcych zaprawiał się w cnotach, od czego już nigdy, przez całe życie swe nie zboczył. Podziwiano w małym chłopcu przedwczesną powagę, połączoną z niebiańską słodyczą, dążenie do samotności, pragnienie pokuty, oraz gorącą a wytrwałą pobożność, wszystko jednak ozdobione świętą prostotą, daleką od przesady i nienaturalności. Tó też dziecięce lata jego upłynęły spokojnie i niewinnie, liczył bowiem zaledwie lat dziesięć, gdy go już w San-Fradello „świętym murzynkiem" nazywano.

Wiek jego młodzieńczy.

Młodociany wiek Ś. Benedykta zaznaczył się również łaskami Bożemi. Dano mu zajęcie przy paszeniu owiec, nad któremi ojciec jego miał dozór, a praca ta, która uświęciła tyle dusz pokornych i czystych, doskonale odpowiadała jego skłonnościom do skupienia. Nie zaniedbując bynajmniej obowiązków, godzinami całemi zatapiał się w Bogu, w dnie zaś świąteczne udawał się do opuszczonych kościołów swojej mieściny i tam, w obecności Pana Zastępów, puszczał wodze swoim uczuciom. Nie brał nigdy udziału w zabawach rówieśników, którzy się naśmiewali z ciemnego koloru jego skóry i okazywali mu wzgardę z powodu niewoli jego rodziców. To złe obejście przyjmował Benedykt z równą prostotą, jak niegdyś w dziecięctwie oddawane mu pochwały. Było ono dla niego jedną więcej pobudką do zwrócenia się z tym większym zapałem do Jezusa, źródła wszelkiej pociechy i ochłody, który zamienia ciernie na róże, a we łzach częstokroć daje znaleźć ulgę i szczęście. Uwolniony w 18-ym roku życia, z zebranych oszczędności nabył sobie zaprząg wołów do uprawy roli, a z owoców swej pracy nietylko się utrzymywał, ale i ubogich dla miłości Jezusa wspomagał.

Wstępuje do zgromadzenia pustelników.

Po trzech latach tej pracy Pan Bóg powołał go do innego, doskonalszego zawodu. Około r. 1545, młody i bogaty książę sycylijski, Jeremjasz Lanza, przyjąwszy habit Ś. Franciszka, schronił się do pustelni w pobliżu San-Fradello, gdzie wkrótce przyłączyli się do niego inni młodzieńcy. Grono tych pustelników stało się zbudowaniem na całą okolicę. Raz, gdy czcigodny Lanza przechodził w pobliżu, usłyszał, jak towarzysze Benedykta obsypywali go zniewagami, Święty zaś odpowiadał im ze słodyczą i cierpliwością. Uderzony tym widokiem i o-

[1]) Kroniki Ś. Franc. 3 Zak. Cz. IV, ks. 1, r. 25.

święcony przez Boga, że w duszy murzyna ukryte są skarby łaski, Lanza surowo zgromił jego prześladowców, mówiąc: „Wyśmiewacie się dzisiaj z tego biedaka, lecz wiedzcie, że niezadługo usłyszycie rozgłos jego sławy". Przepowiednia męża tak zacnego, jak był Jeremjasz, wywarła na wszystkich wielkie wrażenie, a murzyn, zamiast wbić się stąd w pychę, poczuł w sobie jeszcze większą żądzę doskonalenia się. W parę dni potem, przy drugiem spotkaniu, pustelnik rzekł do Benedykta: „Co tu robisz, młodzieńcze, sprzedaj woły i chodź za mną!" Ten, rządząc się zawsze świętą prostotą, zrozumiał w tych słowach głos Boży: bez namysłu pozbył się wszelkich dóbr ziemskich i pożegnał rodziców, aby zostać uczniem Jeremjasza. Miał wówczas niespełna lat 21.

Zostaje przełożonym.

Zacząwszy wśród powyższych okoliczności życie doskonalsze, Benedykt ćwiczył się odtąd pilnie we wszystkich cnotach, a Bóg starania jego uświetnił łaską cudów. Bogobojni pustelnicy tak dalece zasłynęli swoją świętością, że tłumy, dążące do nich po radę i modlitwę, zanadto przeszkadzały ich odosobnieniu. Cztery razy wskutek tego zmuszeni byli zmieniać miejsce pobytu, ażeby zdala od świata swobodnie oddawać się modlitwie, umartwieniom i rozmyślaniu o Bogu. Oddalając się coraz więcej, osiedli w okolicy Palermo pośród skał Montepellegrino, w miejscowości zupełnie odosobnionej i zamieszkałej dawniej przez Ś. Rozalję. Tam właśnie czcigodny Jeremjasz zakończył swój żywot, a na jego miejsce wybrano Benedykta. Potomek niewolników przyjął w prostocie ten obowiązek, uważając w nim więcej kolców i cierni, niż zaszczytu, a swojem postępowaniem w zarządzie braćmi dowiódł, że święta żarliwość nawet bez nauki ma przewagę nad mniemaną mądrością światową.

Przechodzi do Obserwantów.

Zgromadzenie pustelników Ś. Franciszka, zatwierdzone przez Papieża Juljusza III w roku 1550, rozwiązał Pius IV w r. 1562, nakazując im rozejść się, albo wstąpić do którego z zakonów już istniejących. Benedykt, widząc w tem wolę Bożą, pierwszy dał braciom przykład pokory i posłuszeństwa. Wahając się z początku, jaki zakon należało im obrać, przechylił się wkrótce na stronę Kapucynów, jednak przed ostatecznem postanowieniem udał się do Palermo, by w gorącej modlitwie poradzić się jeszcze Najwyższego. Tutaj, gdy, padłszy na twarz przed obrazem Najświętszej Panny, wylewał swe serce i błagał o łaski z nieba, usłyszał głos Boży, rozkazujący, aby wstąpił do Obserwantów. Przedstawił się więc w klasztorze Najśw. Marji od Jezusa, niedaleko Palermo, gdzie został przyjęty na braciszka. Liczył wtedy lat 38, a 17 życia w pustyni.

Zostaje kucharzem.

Sługa Boży, wysłany z początku do klasztoru Ś. Anny w Giuliano, spędził tam 3 lata; później zaś przełożeni wezwali go napowrót do Palermo, gdzie już do końca żywota swego zostawał. Powierzono mu na razie urząd kucharza. Benedykt nietylko nie miał tego za rzecz uwłaczającą poprzedniej swojej godności, ale przeciwnie, cieszył się bardzo, gdyż nowe zajęcie doskonale odpowiadało jego upodobaniom do życia ukrytego. Kuchnia zamieniła się dlań w świątynię, z której, jak woń kadzidła, nieustanne zanosił modły ku niebu. Dzięki nadprzyrodzonej umiejętności, doskonale łączył prace Marty ze słodkim wypoczynkiem Marji u nóg Jezusowych, tak że jedno drugiemu ani trochę nie przeszkadzało. Zawsze gotów dogodzić swoim towarzyszom, ulegał chętnie ich drobnym słabostkom, starając się, o ile to było w jego mocy, wszystkich zadowolnić i każdemu zrobić przyjemność. Obok takiej wyrozumiałości dla nędzy bliźniego, śmiało nazwać go było można surowym bez miłosierdzia dla samego siebie.

Jego przyjęcie w Dżirdżenti (Girgenti.)

W krótkim czasie Benedykt znowu został gwardjanem, a gdy skończyło mu się trzechlecie przełożeństwa, udał się do Girgenti, na kapitułę prowincjonalną, zebraną dla nowych wyborów. Mieszkańcy tego miasta bardzo się ucieszyli na wieść o spodziewanej wizycie Świętego, wszędzie o nim tylko mówiono, przypominano sobie jego budujące czyny, a w dzień przyjazdu kilku ludzi wyszło na drogę, by zawiadomić, jak będzie się zbliżał. Na spotkanie jego wyszedł liczny kler z katedry, znakomitsi mężowie miejscy i okoliczni, oraz niezliczone tłumy ludu. Jedni całowali kraj jego szaty, drudzy usilnie prosili o modlitwę, a wszyscy podziwiali skromność i wielką pokorę, jaką sługa Boży potrafił zachować wśród oznak tak powszechnego uznania i tryumfu. Był to znowu skutek nadzwyczajnej prostoty Świętego, który jednakowo przyjmował obecne zaszczyty, jak w swoim czasie szyderstwa i łajania. Wszystko bowiem, co go spotykało, zwykł był odnosić do Boga i Jemu to składać na cześć i chwałę. Na kapitule w Girgenti zwolniono Benedykta z urzędu gwardjana, dając mu natomiast obowiązek wikarego i mistrza nowicjuszów w tym samym klasztorze.

Powraca do zajęć kucharskich.

Nowe wybory, uczynione, jak zwykle, po upływie trzechlecia, sprowadziły Benedykta powtórnie do kuchni. Jakże się czuł szczęśliwym, że w pokornem zajęciu będzie mógł wrócić do posłuszeństwa, poniżenia i ukrycia, którego zawsze tak gorąco pożądał! Jednakże sława jego świątobliwości nie dozwoliła mu zażywać upragnionych rozkoszy. Najznakomitsze osoby z Palermo przychodziły często do drzwi kuchennych, by się polecić jego modlitwom: księstwo Montalto i sam wicekról Sycylji uważali sobie za zaszczyt, gdy mogli porozmawiać ze sługą Bożym, którego rady niezmiernie były cenione. Stąd ciągły był napływ przybyszów do klasztoru: uczeni przychodzili szukać światła, strapieni — pociechy, chorzy — uzdrowienia, ubodzy — jałmużny, a odwiedziny te były tak częste, że furtjan nieraz czuł się zmęczonym i znudzonym ciągłem dzwonieniem i przywoływaniem brata kucharza. Benedykt jednak, mając serce przejęte miłością, przyjmował wszystkich natrętnych z niezrównanie uprzejmym uśmiechem. Zdarzało się, że dzwoniono umyślnie, aby go wyprobować, lecz Święty wychodził zawsze z uprzejmym pośpiechem, a skoro ujrzał, że go oszukano, powracał bez najmniejszej oznaki niezadowolenia.[1])

Ś. Paschalis Baylon, Obserwant bosy. (1592 r.)

Braciszek ten odznaczał się wielką świętością i prostotą, która zdobiła w nim wszystkie cnoty zakonne. Pewnego razu, gdy zamiłowany w umartwieniu ciała, pościł o chlebie i wodzie, przełożony kazał podać mu do stołu kawał ryby. Sługa Boży, nie czyniąc najmniejszych trudności, zabrał się zaraz do jedzenia, kiedy zaś po wyjściu z refektarza bracia dziwili się, że pomimo ścisłego postu, z taką swobodą i apetytem zajadał podaną mu potrawę, Święty odpowiedział, że radość ze spełnionego aktu posłuszeństwa nie dała mu odczuć żadnego żalu z zaniedbania dobrowolnych ostrości. We wszystkich swoich braciach widział aniołów i przyjaciół Boga, i w tej myśli z największym szacunkiem im usługiwał. W ubogich czcił i kochał samego Pana Jezusa, wskutek czego, będąc furtjanem, nie mógł się powstrzymać od udzielenia każdemu z nich jałmużny. A gdy zwrócono jego uwagę, żeby miarkował swoją hojność, ze względu na ubóstwo klasztoru, odpowiedział: „Mój Ojcze, przypuśćmy, że 12 ubogich zgłosi się po jałmużnę; jakże rozpoznam, który z nich jest Panem Jezusem? Muszę przeto obdzielić wszystkich, abym, pomiędzy odprawionymi, nie odepchnął samego Zbawiciela".[1])

Bł. Karol z Sezze, Reformat (1670 r.)

Błogosławiony Karol, syn ubogich rolników, wychowany był bogobojnie przez zacną swoją babkę, która od wczesnego dzieciństwa zaprawiała go do cnoty. Już w siódmym roku życia oddano go do szkół publicznych, w nadziei, że, dorósłszy, wstąpi do stanu duchownego. Ale biedny Karolek taką miał tępą głowę, że pomimo najszczerszych chęci zaledwie czytać się nauczył. Musieli więc rodzice zabrać go do domu i używać do pracy koło roli. To zetknięcie się z naturą usposobiło duszę chłopca do modlitwy i dało mu cechę nadzwyczajnej prostoty. Najulubieńszem jego zajęciem było czytanie Żywotów Świętych, lub przyglądanie się ich obrazom w kościołku parafjalnym. Łatwo zrozumieć, że pod względem artystycznym malowidła te pozostawiały wiele do życzenia, jednakże Karol zachwycał się niemi i gotów był całemi godzinami im się przyglądać, wnikając raczej w treść przedstawionych rzeczy, aniżeli w zalety zewnętrzne. Żywoty i obrazy były jego szkołą. Widział w nich wzory doskonałości, które starał się potem z prostotą naśladować, a co wyczytał w jednych, i w drugich, to opowiadał towarzyszom pracy, wywierając na ich umysły potężne wrażenie. Takim wzorem prostoty i pokory pozostał Karol i jako zakonnik aż do końca życia, takim też go przedstawia bulla beatyfikacyjna z dnia 1 października r. 1881, w której Papież Leon XIII porównywa go z apostołami, wybranymi przez Pana Jezusa z pośród nieumiejętnych prostaczków. Maluczki bowiem według świata, pozbawiony nauki i wszelkich ludzkich umiejętności, prostym swoim lecz oświeconym z nieba umysłem nietylko rozwiązywał najzawilsze kwestje teologiczne, ale niejednokrotnie wzywany był przez Kardynałów, a nawet przez Papieża Klemensa IX-go dla udzielenia swych rad w najważniejszych sprawach Kościoła.[2])

Bł. Idzi od ś. Józefa, Obserwant bosy. (1812 r.)

Rysem charakterystycznym tego Świętego była niezmierna prostota, prawie anielska. Zdobiła ona jego dzieciństwo i młodość, ale w zakonie rozwinęła się w sposób niezrównany. Można powiedzieć, że stał się przez nią zupełnie przezroczystym: najtajniejsze uczucia serca malowały się zaraz na jego twarzy, a czoło jego było wiernem

[1]) L' aur. séraph. T II p 5-19.

[1]) Ibidem p. 200. [2]) Ibidem p. 60.

odbiciem duszy. Mistrz nowicjatu nie potrzebował się trudzić, aby poznać do głębi swego nowego ucznia, który w oczach wszystkich okazywał się takim tylko, jakim był w rzeczywistości. Żeby wiedzieć, co myślał, wystarczało go zapytać; żeby poznać jego cnoty, dość było patrzeć na jego postępowanie. Zbytecznem było obserwować go pokryjomu, aby podchwycić jego uczucia wewnętrzne. Prostota nie dozwalała mu na żadne zmiany, zależne od miejsca lub otoczenia. Wiara pouczała go, że wszędzie, gdzieby się znajdował, czuwa nad nim oko Boże, a myśl ta czyniła go wprost niezdolnym do grzechu. Cień nawet złego przerażał go, i nigdy nie potrafił pojąć, jak człowiek może rozmyślnie popełnić jaką niedoskonałość. Nie odróżniał obowiązków ważniejszych od mniej ważnych; wystarczało mu wiedzieć, że coś jest zabronione lub zalecone, aby się do tego stosować. Zmysł krytyczny był mu całkiem obcy; szedł więc prostą drogą, którą mu powołanie wskazywało, nie zbaczając ani na prawo, ani na lewo. Nie mógł nigdy pojąć, żeby człowiek mówił inaczej, niż myśli. Bracia, chcąc się ubawić jego kosztem, wymyślali często smutne historje, a Święty prostaczek słuchał ich ze wzruszeniem i wylewał łzy współczucia nad mniemanymi nieszczęśliwymi, nigdy nie przypuszczając, aby w ten sposób nadużywano jego prostoty.

Jego szczerość względem panujących.

Kiedy Napoleon I posadził swego brata Józefa na tronie sycylijskim, ten, pragnąc poznać słynnego zakonnika, którego imię rozbrzmiewało w całem mieście, kazał go do siebie przywołać. Pokorny braciszek przeszedł skromnie szereg wspaniałych komnat, w końcu, przyprowadzony przed oblicze królewskie, zapytał ze spokojem, czegoby sobie król od niego życzył. Monarcha, nie spodziewając się bynajmniej takiego zapytania, przez chwilę milczał zdziwiony, a potem zagadnął go: „Powiedz mi, jak myślisz, czy ja umrę na tronie?“ Odpowiedź Idziego była również pytająca: „A czy Wasza Królewska Mość na nim się urodził?“ — „Nie“, odrzekł tamten. „Jeżeli tak, dodał Idzi, to czemuż król chce na tronie umierać?“ Podobne rozumowanie wcale się nie podobało monarsze, pożegnał go więc niezbyt przyjemną uwagą: „Jesteś niespełna rozumu, wracaj, skądeś przyszedł!“ Można wyobrazić sobie, jaki popłoch wzbudziło w zakonnikach sprawozdanie świętego braciszka z wizyty w pałacu królewskim. Obawiali się, by prostota Idziego nie ściągnęła gniewu monarchy na cały klasztor. Taka była jego szczerość nawet względem osób najwyżej postawionych. Słowa jego, stosowne do nauki ewangelicznej, znaczyły zawsze: tak, albo nie, nie troszcząc się wcale o wrażenie, jakie wywołają.[1])

Cz. Ludwik z Kazorja, Obserwant bosy (1885 r.)

Czcigodny Ludwik z Kazorja był tak pełen prostoty, że sam jego widok zmuszał do kochania go. Prostota była też najgłówniejszym jego powabem. Napróżno świat gardzi tą cnotą, jest ona zawsze nieodłączna od prawdziwej wielkości. Słynny zakonnik posiadał ją w bardzo wysokim stopniu i dzięki jej dokonał tak wiele dobrego. Prosty w ubiorze, bo jego habit był zawsze ubogi i gruby, prosty w ruchach, w wyrazie twarzy, jeszcze prostszy był w mowie. W żadnej okoliczności nie dał nikomu odczuć swego wykształcenia; rozmawiając z nim, czuło się, że nie jest on ani uczonym, ani filozofem, ani mężem znakomitego rodu; owszem, sądząc po jego sposobie mówienia dosadnym i obrazowym, po jego powierzchowności i ruchach zarazem naturalnych i nieco dziwacznych, możnaby go wziąć za człowieka prostego. Nie to wszakże zyskiwało mu przychylność. Kochano go, gdyż nie przedstawiał w sobie ani cienia przymusu, ani sztucznego udawania, które często widzimy w ludziach. Jego natura szczera i otwarta, połączona z wiarą i gorącą miłością, zyskiwała dlań przychylność i pociągała wszystkich.

Jedna z wybitnych osobistości w Neapolu tak opisuje tego sługę Bożego. O. Ludwik był rzeczywiście Świętym średniowiecznym, przeniesionym do czasów teraźniejszych. Jego prostota więcej pobłażliwa, niżeli surowa, brała świat takim, jakim był, z jego przymiotami i wadami, i starała się wyciągnąć zeń wszelkie możliwe dobro. Nie okazywał żadnego uprzedzenia, żadnego zakłopotania, ani zbytecznej ścisłości, żadnego cienia formalizmu, żadnych złudzeń i bezpożytecznych żalów. Na twarzy jego promieniała żywa pojętność, wraz ze spokojną i pogodną dobrocią, a w całej osobie malowała się szczerość i powaga. Nie widać w nim było nic szczególnego, nic przybranego, obcego, jednem słowem nic, coby go wyróżniało od innych zakonników. Wszędzie i zawsze objawiał jednostajność umysłu, czy to znajdował się między bogatymi, czy między ubogimi, czy wśród uczonych, czy wśród prostaczków. Było w nim tyle prostoty i serdeczności, że rozbrajał nią najbardziej lękliwego i podejrzliwego. Nienaruszona pogoda jego

[1]) Vie du Frère Egide de Saint Joseph. par l' abbé Olivier.

warzy świadczyła o duszy całkiem bez żółci, bez ogardy dla kogokolwiek, jak również bez bojaźni bez słabości, czy to odbywał kapitułę zakonną, czy znajdował się przed radą ministrów, czy wobec kolegjum Kardynałów. [1])

Kapucyni.
Franciszek z Esio (1549 r.)

Ten sługa Boży, będąc Wikarym Generalnym, upominał szczególniej braci, aby się strzegli obłudy i pragnienia próżnej chwały, tak przeciwnych świętej prostocie zakonnej, utrzymywał bowiem, iż szatan, nie mogąc pociągnąć zakonnika do jawnego występku, usiłuje niszczyć tę najwłaściwszą mu cnotę przez zgubne pragnienie pokazania się drugim. Twierdził, że nic niema niebezpieczniejszego nad obłudę, gdyż pozbycie się jej prawie jest niemożliwe. Kogo raz opanuje, ten wszystko czynić będzie i na wszystko się poświęci, byle tylko zjednał sobie sławę świętego, czem dowodzi właśnie braku prawdziwej świątobliwości. Niema większego potworu nad takiego zakonnika, gdyż ten, zamiast całą usilność swoją zwrócić do ścisłego zachowywania reguły, stara się o to jedynie, aby nie uczynić nic takiego, coby go w oczach innych poniżyć mogło. [2])

Nieroztropna prostota.

Pewna zakonnica, słysząc o nadzwyczajnej świętości Kapucynów, postanowiła w prostocie swojej iść za przykładem Ś. Eufrozyny, służącej Bogu z konieczności w zakonie męskim. Opuściła tedy klasztor i przebrana przedstawiła się Wikaremu prowincji Bolońskiej, a ten, nie domyślając się niczego i ceniąc zapał młodego aspiranta, przyjął ją do grona laików i zlecił jej obowiązki kucharza. Przez czas swego pięciomiesięcznego tam pobytu składała dowody wielkiej pobożności, pokory i posłuszeństwa, lecz po jakimś czasie bracia zauważyli w jej mowie dziwne pomyłki, zaczęli ją więc podejrzewać. Nareszcie jeden z nich, już staruszek, chcąc się przekonać o prawdzie, użył podstępu. Gdy pewnej niedzieli świątobliwy nowicjusz poszedł do kościoła, brat ten, wylał jej cichaczem jakąś zupę i ukrył się w kącie. Przyszedłszy z kościoła, ów niby braciszek spostrzegł uczynioną szkodę i na ten widok zawołał z boleścią: „O ja nieszczęśliwa!“ Doniesiono o tem natychmiast gwardjanowi, a następnie prowincjałowi, który, zbadawszy całą rzecz i widząc gorliwość nieroztropnej zakonnicy, bez żadnej kary odesłał ją napowrót do dawniejszego klasztoru. [1])

Franciszek z Maceraty.

Nigdy jedna cnota nie może się sprzeciwiać drugiej. Nie może też prostota wyłączać posłuszeństwa, lub zgadzać się z samowolą, bo wówczas raczej wadą się stanie. Zobaczymy to na przykładzie Franciszka z Maceraty, który z tego powodu wciąż się narażał na wielkie niepokoje. Braciszek ten, nieumiejący nawet czytać, wstąpił początkowo do Obserwantów, a gdy tam często słyszał o surowem życiu pustelników, tak jak w swojej prostocie rozumiał, postanowił ich naśladować. Wychodził więc z klasztoru do lasu i tam żyjąc owocami i ziołami, spędzał dnie i noce na modlitwie, czuwaniu i różnych umartwieniach. Z początku nic mu nie mówiono, chociaż czynił to bez pozwolenia, brano to bowiem za objaw gorącości ducha i nadzwyczajnej prostoty. Lecz pewnego razu, gdy powracał ze swej pustelni, gwardjan upomniał go surowo za taką samowolę. Zmieszany Franciszek padł z żalem do nóg przełożonego, prosząc o przebaczenie, nie domyślał się bowiem, iżby w jego postępku mogło być co złego, i przyrzekł już na potem nic bez wiedzy starszych nie czynić. Atoli skoro dowiedział się, że powstała nowa reforma Kapucynów, odznaczająca się niepospolitą świątobliwością i ścisłem zachowaniem reguły, natychmiast umyślił przyłączyć się do niej, czego też dokonał, uprosiwszy sobie pozwolenie przełożonych. Niedość na tem; po niejakim czasie, słysząc tu i owdzie źle mówiących o Kapucynach, w prostocie swojej wszystkiemu dał wiarę i przerażony, wrócił do Obserwantów. Gdy się to kilkakrotnie powtórzyło, gwardjan Obserwantów skazał go na 40-to dniowe odosobnienie, lecz i ten środek nie odniósł skutku. Franciszek raz jeszcze znalazł się między Kapucynami, gdzie wreszcie, oświecony łaską Bożą, wytrwał już do śmierci. [1])

Anioł z Czita di Kastello (1569 r.)

Był to zakonnik tak pełen prostoty, że wszystkich miał za świętych i nigdy o nikim źle nie sądził; przeciwnie, w złem nawet dobro upatrywał i na wszystko z najlepszej strony spoglądał, przez co doszedł do wielkiej czystości sumienia i serca. Z tym przymiotem łączył najwyższą bogomyślność, gdyż Pan Bóg, mający szczególne upodobanie w duszach prostych, obdarzał go nadzwyczajnemi łaskami, z których najwybitniejszą była miłość Eucha-

[1]) Vie du Père Ludovie de Casoria par l' abbé Le Monnier. [2]) Kroniki kapucyńskie Bowerjusza Tom. I r. 1549 n, 8.

[1]) Tamże. [2]) Tamże r. 1568 [3]) Citta di Castello.

rystji. Rozważając o tej tajemnicy, zawsze wpadał w zachwycenie i unosił się w powietrze aż do samego tabernakulum. [1])

Wincenty z Flaviano (1539 r.)

Podobnąż prostotą odznaczał się Wincenty rodem z Flaviano. Nigdy nie mógł uwierzyć, gdy słyszał co złego o bliźnim i przekonywał obmówców, że się napewno pomylili, w ostatecznym zaś razie silił się usprawiedliwić intencje błądzącego. Szatan, widząc tyle cnót, chciał go zwyciężyć pokusami, a w końcu napadał nań w strasznej postaci. Nieraz musiał Wincenty toczyć z nim jawną walkę, atoli uzbrojony pomocą Boską, nie bał się wcale tych napaści i śmiał się nawet z niedołęstwa szatana. Taką jest bowiem moc świętej prostoty, że nawet nad złemi duchami panować daje. [2])

Illuminat z Norcia (1580 r.)

Ten braciszek klasztorny posiadał nadzwyczajną niewinność i prostotę. Często go też widziano rozmawiającego z ptaszkami, które od niego bynajmniej nie stroniły. Idąc po kwieście, wszedł pewnego razu na jakiś dziedziniec, gdzie się znajdował dziki kogut, który się rzucał na ludzi. Ostrzegano go przed niebezpieczeństwem, lecz Illuminat bez trwogi postąpił dalej, a ptak, wskoczywszy na ramię zakonnika, począł mu okazywać swoją łaskawość. Pracując w klasztorze, jako ogrodnik, otoczony był nieustannie ptactwem, które się z nim poufale bawiło. Przyczyną tego zjawiska była niepospolita czystość duszy i święta prostota sługi Bożego, którą odczuwały w nim nawet nierozumne stworzenia. [3])

Ś. Feliks z Kantaliczo (1587 r.)

Święty Feliks, kierując się natchnieniem Bożem, umiał zadowolnić tak wielkich, jak małych, okazując w każdej chwili i w każdym wypadku prawdziwie podziwienia godną roztropność i prostotę. Nie posiadał on wprawdzie ogłady światowej; owszem zachował pospolity sposób wyrażania się i narzecze właściwe mieszkańcom jego rodzinnej wioski; również i powierzchowność jego i całe obejście nie zdradzało nic nadzwyczajnego; a jednakowoż ta naturalna i szczera prostota nie raziła nawet wobec najznakomitszych osób. Zawsze i dla wszystkich uprzejmy, serdeczny, pokorny, starał się przez całe życie zachować w sobie ów charakter włoskiego wieśniaka, z którym wstąpił w progi klasztoru, a który dopomagał mu do utrwalenia się w uniżeniu i pokorze. Stanu swego przed nikim się nie wstydził, owszem, często o nim wspominał, co jednak nie umniejszało wcale czci, szacunku i uwielbienia, jakie powszechnie budziły jego cnoty w tych, którzy mieli szczęście znać go bliżej. Łaska zacierała w nim wszelkie braki wychowania; widoczne było, że Duch Święty w nim mieszkał i był jedynym jego Mistrzem, tak w stosunku z Bogiem, jak i z ludźmi. Obcowanie z tym bratem zakonnym o naturze szlachetnej, prawej, pozbawionej przesady, przypadało do smaku osobom wyższym, tak jak to nieraz mieszkańcom miasta smakują niezmiernie proste i niewyszukane potrawy wiejskie, jakkolwiek żaden z kuchmistrzów już nie był w stanie im dogodzić. Jak zdrowy, naturalny pokarm jest dla organizmu ludzkiego bez porównania pożyteczniejszy od wszelkich przysmaków, tak i szczera prostota, na rzetelnej oparta świętości, łatwiej porywa serca i do dusz ludzkich przemawia, niż najwyszukańsze pomysły ludzkiego rozumu. Książęta i szlachta, panie wysokiego rodu. Kardynałowie i prałaci, słowem wszyscy bez wyjątku z zapałem i nadzwyczajnem zajęciem przysłuchiwali się jego prostej a gorącej mowie, chociaż często w prostocie ducha nie stosował się do przyjętych form towarzyskich. Mówił on tak, jak mu serce dyktowało, i nikt nie czuł się obrażonym, jakkolwiek Feliks w zbyt poufały sposób się odzywał, mówiąc: „Powiedz mi, panie, albo zrób mi to lub owo dla miłości Bożej!“ I ten prosty sposób mówienia nietylko nikogo nie obrażał, ani też nie przeszkadzał szerzeniu chwały Bożej, ale przeciwnie, im mniej wyszukaną była jego mowa, tem liczniej gromadzili się dokoła niego zastarzali w grzechach wykwintni grzesznicy, tem większą okazywali mu cześć i szacunek, tem pilniej słuchali jego nauk i upomnień, tem gorliwiej nawracali się do Boga.

Z jaką prostotą upominał dostojników.

Ś. Feliks z całą swobodą ganił postępowanie najwyżej postawionych osób, co możemy widzieć z następującego przykładu. Kardynał Juljusz Antoni Santorio, ówczesny protektor całego zakonu Kapucynów, był mężem wielkiej nauki i gorącego zapału dla spraw Kościoła, pomimo to jednak szczególniej w pierwszych latach swego urzędowania, nie umiał dostatecznie spełniać obowiązków względem zakonu. Nie zdając sobie nawet sprawy, ulegał wpływom braci mniej gorliwych, przez co był powodem, że do zakonu Kapucynów zaczęły się

[1]) Kron. kap... r. 1569. [2]) Tamże r. 1573. [3]) Tamże r. 1589 [4]) Cantalicio.

wkradać rozmaite niezadowolenia, rozterki i spory, zagrażając dalszemu utrzymaniu ścisłej obserwancji. Feliks bolał nad tem bardzo, czekał jednak sposobności, któraby mu ułatwiła wejście do pałacu Kardynała. Sposobność ta nadarzyła się niebawem, gdy ojciec gwardjan posłał go z ważnym listem do Protektora zakonu. „Eminencjo“, rzekł Feliks, wchodząc na posłuchanie ze swobodą, jaką zazwyczaj odznaczają się Święci, „wielki spotkał mnie dzisiaj zaszczyt. Od lat 30-u, odkąd przełożeni posyłają mnie z listami do dostojników Kościoła, miałem zawsze jedną tylko sprawę do załatwienia, dzisiaj aż dwie przynoszę: jedną piśmienną od ojca gwardjana, a drugą ustną odemnie samego, twego najpokorniejszego sługi. Czy Eminencja pozwoli mi mówić?“ Kardynał, człowiek pełen dobroci i rozumu, wskazał mu krzesło, a Feliks w te odezwał się słowa: „Bóg, najwyższy Pan wszechrzeczy, wybrał cię, Eminencjo, na Protektora naszego zakonu, powinieneś przeto więcej nad nim czuwać, a nie dozwalać, aby z twej winy zakon ten narażony był na wielkie niebezpieczeństwo utraty obserwancji. Inaczej w dzień sądu Bóg każe ci zdać z tego ścisły rachunek“. Kardynał zdumiony, nie rozumiejąc jeszcze, o co chodzi, poprosił brata Feliksa, aby wypowiedział wszystko, co ma na sercu. Wtedy ten, ze łzami w oczach i ze świętą prostotą, mówił co następuje: „Przebacz mi, Eminencjo, moją śmiałość, ale zdaje mi się obowiązkiem sumienia odkryć przed tobą wszystkie nieszczęścia, jakie nam grożą, a których bezwiedną przyczyną jesteś ty, panie. Głównem złem jest to, że Eminencja przyjmuje w swym pałacu zakonników oziębłych, bez zasług i gorliwości, i daje posłuch ich słowom, podczas gdy przełożeni zakonu nie są przyjmowani, a kiedy czasem spotka ich to szczęście, to Eminencja nie przywiązuje wagi do ich słów, a nawet niezupełnie im dowierza. Obarczony wielu ważnemi sprawami, wchodzącemi w zakres twej wysokiej godności, niepotrzebnie, Eminencjo, przysparzasz sobie sam jeszcze więcej pracy i odpowiedzialności przed Bogiem, przekraczając przysługujące ci prawa w zarządzie naszym zakonem, w rzeczach, które należą wyłącznie tylko do przełożonych. Kasujesz np. ustawy, na których opiera się cała obserwancja zakonna, przez co bracia słabszego ducha, mając tak silne w tobie poparcie, lekceważą ją sobie i często ją przekraczają. Wiem i głęboko jestem przekonany, że nie zła wola jest tego powodem; czemuż więc osłaniasz powagą swoją przed władzą przełożonych i przed ustawami reguły niegodnych zakonników, którzy umieli wkraść się w twoje łaski? Ty, Eminencjo, nie żyjąc z nimi, żadną miarą tak dobrze znać ich nie możesz, jak ich znają przełożeni, a jednak tym ostatnim nie wierzysz i rozsyłasz tych wolnomyślnych braci po rozmaitych domach, stosownie do ich woli i upodobania, gdzie szerzą zgorszenie i innych za sobą pociągają. Osądź sam, Eminencjo, czy to rzecz słuszna i sprawiedliwa, że z pominięciem naszego Wikarego Generalnego zarządzasz prowincjami, wysyłając komisarzy, którzy znoszą wybory, rozpraszają zebrania kapitularne, jednem słowem, całą władzę w swem ręku trzymają. I oto zamiast zgody i pokoju, które są znamieniem Królestwa Bożego na ziemi, i któremi przedewszystkiem zakony odznaczać się powinny, wkradają się do naszego zgromadzenia coraz częstsze niesnaski i spory, grożące zupełnem rozdwojeniem. Powtarzam raz jeszcze, Eminencjo, że choć wiem, iż masz najlepszą chęć i wolę, jesteś powodem wiela złego. Otóż, jeśli raczysz mej rady wysłuchać, błagam cię, dla miłości Bożej, zostaw nadal zarząd Prowincjałom i Wikaremu Generalnemu. Ich to jest obowiązek czuwać nad zachowaniem całej ścisłości reguły, i oni to przed Bogiem zdawać będą z tego rachunek, ty zaś, Eminencjo, usuwając się od zarządu, usuniesz się zarazem od wszelkiej odpowiedzialności w dniu ostatecznym“. Z dziwną odwagą, prawdziwie od Boga natchnioną, pobożny i pokorny zakonnik wiele innych jeszcze ważnych spraw poruszył. Socjusz jego siedział, jak na szpilkach, tak był przerażony i oszołomiony niepojętą otwartością Świętego. Lecz płonne były jego obawy. Kardynał bowiem, będąc wielkiego ducha i mężnego serca, przyjął to sprawiedliwe upomnienie sługi Bożego, uścisnął go serdecznie i od tej pory miał dla niego większy nawet niż przedtem szacunek. Co więcej, uznawszy swój błąd, wezwał bez zwłoki przełożonych w celu porozumienia się z nimi, i w zupełności wszelkie szkody wyrządzone przez nierozwagę zakonowi Kapucynów, naprawił. Tak to wielkie dusze odznaczają się zawsze miłością i szacunkiem dla tych, którzy im wytykają ich błędy, i starają się korzystać z udzielonych sobie rad i upomnień.[1])

Hieronim z Korleonu (1717 r.)

Hasłem tego świątobliwego Kapucyna było zdanie: „Wszystko na większą chwałę Bożą!“ Powtarzał je w radościach i troskach, wśród zniewag i uwielbień, i z temi słowy pokój wstępował do jego serca. Wszystkie czynności jego wynikały z tej jednej pobudki; nie szukał on w nich ani zysku, ani chwały ludzkiej, ani zadowolenia własnej woli

[1]) Żywot Ś. Feliksa z Cantalicio przez W. O. Franciszka Ratte.

i pragnień, jednem słowem nic osobistego. Życie Hieronima, przejęte do głębi tą najważniejszą sprawą, nabrało dziwnie miłej prostoty, dla której nie rozumiał nawet, żeby można kłamać, być nieszczerym, myśleć o sobie lub o swoich wygodach. I to tłumaczy jego poufały stosunek z Bogiem, który, nie znajdując w nim żadnych przeszkód do swego działania, czynił przez niego tyle cudów. Bóg pewien był niejako tego wiernego sługi i wiedział, że ten nie zatrzyma dla siebie żadnej cząstki chwały, należnej swemu Stwórcy i Panu, i że wszystko obróci na większą cześć Jego Imienia. Zacny braciszek tak dobrze przejął się swojem hasłem, że ani jeden raz w życiu od niego nie odstąpił i to nietylko w stosunkach swych do Boga, ale i względem braci swoich zakonnych i wogóle względem wszystkich ludzi.

Nigdy nie widziano go zagniewanego, posępnego: przeciwnie, był zawsze dobry i usłużny, rozmawiał z prostotą i wesołą swobodą dziecka, tak, że patrzący nań czuli się zbudowani. Ale najwięcej dziwiła wszystkich malująca się na jego obliczu prostota i ufność, które cechowały też i jego czynności. Nie zdolny do życzenia źle bliźniemu, nie podejrzewał też o to nikogo. Wierzył, co mu mówiono, sądząc, że byłoby to ubliżeniem dla innych, gdyby wątpił chociaż na chwilę o ich słowach.

Jego naiwna prostota.

Kroniki zakonu podają kilka zdarzeń, stwierdzających jego naiwną prostotę. Przekonał się o niej gwardjan klasztoru w Kastronovo, O. Ludwik z Kamerata, do którego przybył świątobliwy braciszek zaraz po profesji. Zlecając mu kuchnię, zaprowadził go do śpiżarni, a, chcąc mu wrazić w pamięć ubóstwo i oszczędność, wskazał na bańkę z oliwą i beczułkę z solonemi rybami i rzekł: „Pilnuj się bracie, bo jeżeli się przekonam, że marnujesz zapasy, każę tak jak ze Ś. Bartłomieja żywcem zedrzeć z ciebie skórę, a potem osolić i powiesić na słońcu". Brat Hieronim wziął one słowa jako prawdę, a że nie miał żadnej chęci ponieść mąk tego rodzaju, więc ubrał w śpiżarni mały ołtarzyk, z wizerunkiem Marji Najśw. i ilekroć tam wchodził, padał na kolana, prosząc, aby Matka Boża zachowała go od tak okrutnej śmierci. Podwajał zwłaszcza swoje modlitwy, gdy chodziło o oliwę i ryby wędzone. Pod koniec roku gwardjan, mający udać się na kapitułę, chciał zrobić spis wszystkiego, co było w klasztorze, aby go zostawić swemu następcy. Jakże się zdziwił, gdy w beczkach zastał tyle oliwy i ryb wędzonych, co i przed rokiem, kiedy oddawał śpiżarnię nowemu kucharzowi. Brat Hieronim musiał wtedy wyjawić używane przez siebie sposoby, a gwardjan, śmiejąc się z jego prostoty, przekonał się, jak ona była miłą Bogu. Nieco później świątobliwy zakonnik został znowu przysłany do tego samego klasztoru na kwestarza, gdzie spełniając swój urząd, ciężko zachorował: trapiła go złośliwa febra, zwana czwartaczką. Pewnego dnia bracia nawiedzający go w infirmarji, rzekli doń: „I cóż to jest za choroba, która powraca o jednej i tej samej godzinie? Nie wstyd ci, braciszku, że pozwalasz jej tak się napastować?" Hieronim wywnioskował stąd, że cierpienie jego jest jakąś złą istotą, która wpada niespodzianie do jego celi, i że gdyby się dobrze schował, mógłby jej uniknąć. Kiedy więc zbliżyła się godzina febry, zamknął się w celce jak najdalej położonej i, ukrywszy się za tapczanem, z twarzą zwróconą ku ścianie, starał się ani poruszyć, żeby szmerem jakim nie ściągnąć uwagi złośliwego stworzenia. W tej samej porze przyszedł lekarz klasztorny. Nie znalazłszy Hieronima w infirmarji, wymawiał gwardjanowi, że pozwala tak ciężko choremu przechadzać się na świeżem powietrzu. Gwardjan wysłał natychmiast dwóch braci na poszukiwanie, ale napróżno go wołano, dopiero gdy zrobiono formalny przegląd wszystkich kątów klasztoru, znaleziono braciszka, siedzącego w swojej kryjówce. Zapytany przez lekarza, dlaczego łóżko opuścił, odpowiedział: „Ta zła febra przeszkadza mi spełniać obowiązki, więc sądziłem, że, ukrywszy się dobrze, mogę jej uniknąć". Obecni, a zwłaszcza lekarz, w głos się roześmieli, ale, gdy ten ostatni dotknął pulsu chorego, okazało się, że gorączka zupełnie znikła. Prostota braciszka była dlań najlepszem lekarstwem.

Roztropność w prostocie.

Nie sądźmy jednak, aby ta naiwność pochodziła z wrodzonej głupoty; owszem, miał on umysł bardzo otwarty, odpowiedź gotową na wszystko i potrafił dobrze się wykręcić z trudnych okoliczności. Wielki inkwizytor Sycylji, słysząc bardzo często o bracie Hieronimie, chciał się przekonać, jaki duch go ożywia i w tym celu zaprosił go do siebie na obiad. Rozmowa toczyła się o rzeczach duchownych, a czcigodny kapłan podziwiał mądrość i rozum prostego braciszka. W końcu zapytał go o niektóre cuda, jakie uczynił w mieście. „Na miłość Bożą, Ekscellencjo, proszę nie wierzyć, że brat Hieronim jest działaczem cudów. Wszystko, co on czyni, pochodzi jedynie od Boga. Pan użył niegdyś oślicy Balaama, żeby prorokowała, a teraz posługuje się osłem w skórze ludzkiej, aby

dzieła swego dokonać. Co czynisz, Ekscelencjo, kiedy masz zamiar uwolnić którego z więźniów? Wszak nie idziesz sam, aby mu własnemi rękami zdjąć kajdany ale posyłasz sługę, który to robi w twojem imieniu, nie mając stąd żadnej zasługi. Tak też postępuje Pan Bóg, kiedy chce kogo uwolnić od choroby: używa mnie, jako narzędzia, i niema w tem nic mojego". — „To prawda, odpowiedział inkwizytor, a jednakże nie ja wyprowadzam więźniów na wolność, tylko słudzy Świętego Officium. Tak samo nie Pan Bóg, lecz brat Hieronim czyni cuda". — „Tak sądzisz, Ekscelencjo? rzekł braciszek. Co do mnie — wierzę, iż słudzy Ś. Officium nie mogliby zrobić nic bez niego; podobnież doskonale to czuję, że nie mógłbym nawet słomki podnieść, gdyby Bóg na to nie zezwolił i nie dopomógł mi łaską swoją". To rzekłszy, zaczął mówić o swojej nędzy i nikczemności, a wychwalać wielkość i wszechmoc Boga, w słowach tak dosadnych i właściwych, że wielki inkwizytor serdecznie go uściskał. Od tego czasu powziął on dla Hieronima głęboki szacunek i zapraszał go często do swego stołu, gdyż prosta z nim rozmowa miała dlań więcej smaku, niż najuczeńsze rozprawy doktorów.

Innym razem dwaj członkowie pewnego zakonu, słynącego ze swej nauki i wpływu, dowiedziawszy się, że brat Hieronim leczy chorych przez odmówienie nad nimi jakichś słów zabobonnych, a przynajmniej nie potwierdzonych przez Kościół, przybyli do klasztoru w Palermo, aby to sprawdzić. Wziąwszy go więc na stronę, poprosili go, aby im opowiedział, jak on to czyni cuda. „Cuda! cuda!" powtórzył kilka razy Hieronim. „Gdzieście słyszeli, że czynię cuda? Aby zasłużyć na to, trzeba mieć uczynki nadprzyrodzone, a jakże taki prostak może się wznieść do tego stopnia. Proszę was, gdy jeszcze kiedy usłyszycie, że brat Hieronim czyni cuda, nakażcie milczenie tym gadułom, zabraniając im nadal podobnych bluźnierstw. Jeżeli jednak chcecie wiedzieć, jaką modlitwę odmawiam nad chorymi, to powiem wam, że i sam mówię i każę obecnym mówić Zdrowaś Marja, a w końcu dodaję: „Na większą chwałę Bożą i przez moc Pozdrowienia Anielskiego Królowej Nieba, rozkazuję ci, chorobo, żebyś sobie poszła i zostawiła w spokoju to stworzenie Boże". Możecie sami używać tej modlitwy, a otrzymacie bez wątpienia ten sam skutek, dodał, odprowadzając do drzwi zakonników trochę zmieszanych, lecz pewnych, że Bóg upodobał sobie tę duszę pełną pokory i prostoty.

Będąc długie lata kwestarzem, brat Hieronim miał wiele i różnego rodzaju stosunków: chodził np. do ubogich, aby ich pocieszyć w chorobie i zanieść jałmużnę, którą mu na ten cel dawano; do sklepów rzemieślniczych i kupieckich, do mieszkań uczonych; przyjmowano go i w pałacach u możnych i wielkich tego świata, a wszędzie zdawał się być na swojem miejscu. Względem wszystkich był jednakowo prosty i roztropny. Nietylko umiał mówić do osób z ludu, ale podnosił ich umysł i prowadził ku Bogu bez cienia pychy. Odpowiadał na ich pytania, oświecał w wątpliwościach i bardzo mądrze wybawiał z kłopotów, tak, że w całej Sycylji rozeszła się sława świątobliwości, prostoty i roztropności brata Hieronima.[1])

Bł. Kryspin z Witerbu (1750 r.)

Wstępując do zakonu Kapucynów, Kryspin obrał sobie za wzór Ś. Feliksa z Kantaliczo i starał się wszystkiemi siłami go naśladować. Usiłowania te tak mu się powiodły, że już w nowicjacie stanął na wysokim stopniu doskonałości. Szczególniej odznaczał się świętą prostotą, która jest cechą serc niewinnych, dążących we wszystkiem do Boga. A celował w niej nietylko w stosunkach z ludźmi i na skromnym urzędzie kucharza, lecz i w modlitwie, a zwłaszcza do Matki Bożej. Pewnego razu jakiś życzliwy człowiek darował mu dwa piękne kwiatki z jedwabnej materji. Kryspin umieścił je natychmiast na ołtarzyku, który sobie w kuchni urządził, lecz po kilku dniach kwiaty zostały skradzione. Zabolało to bardzo Kryspina ze względu na zniewagę, wyrządzoną Matce Najświętszej, jeden więc z zakonników dał mu wzamian dwie świece, które braciszek natychmiast zapalił na ołtarzyku. W parę godzin wypadło mu wyjść do ogrodu po warzywa, tymczasem ofiarodawca zabrał świece napowrót i ukrył się, chcąc widzieć wrażenie, jakie wywrze ten wypadek na świątobliwym kucharzu. Kryspin zmartwił się bardzo nową stratą, ukląkł przed ołtarzykiem i tak począł się użalać Matce Bożej: „Prawdziwie zadobra jesteś, Matko moja! wczoraj dałaś sobie odebrać kwiaty, dziś znowu świece! jeżeli tak dalej pójdzie, wkrótce zabiorą Ci Twojego Jezusa, a Ty nic nie powiesz!" Ukryty zakonnik, zachwycony tą prostotą, oddał Kryspinowi zgubę i całą rzecz przy sposobności opowiedział Ojcu Świętemu, Klemensowi XI, który też przysłał Świętemu dwie świece do ołtarzyka, polecając siebie i Kościół jego modlitwom.[2])

Polscy Bracia Mniejsi.
Feliks Szpak, Reformat. (1704 r.)

Prostaczek ten według ludzkiego rozumienia, stał się wzorem cnót najdoskonalszych i podziwem

[1]) Vie du Serv. de Dieu Fr. Jerôme [2]) L' aur séraph. T II.

braci swoich i Reformatów. Od pierwszej chwili życia zakonnego tak był gorliwy w modlitwie i posłuszeństwie, tak przytem skromny i roztropny, że Franciszek Rychłowski, ówczesny prowincjał, obrał go sobie za socjusza w czasie swoich wizyt. Z nim zwiedzał boso i pieszo klasztory w czasie swego prowincjalstwa, które cztery razy sprawował; z nim też chodził na kapituły generalne do Rzymu i do Hiszpanji; z nim odprawiał pacierze kapłańskie, medytacje, dyscypliny, a patrząc na jego prostotę i świątobliwość, brał go sobie we wszystkich szczegółach za przykład i wzór do naśladowania. Franciszek, wielki miłośnik ubóstwa, wszystkie te drogi odbywał bez żadnych zapasów, na co brat Feliks wcale nie narzekał. Bóg też miał pieczę o nich i z Jego miłosierdzia zarówno katolicy, jak innowiercy, dawali im pożywienie. Przechodząc Niemcy, brat Feliks zatrzymywał się w miastach i po wsiach, śpiewając pieśni o Najśw. Pannie, a chociaż dzieci naśmiewały się z nich, nie odmówiono im nigdzie przytułku, a przynajmniej opatrzenia.

Jakiemi darami go Pan Bóg obdarował.

Cnoty brata Feliksa, a szczególniej jego anielską niewinność i gołębią prostotę nagradzał Bóg różnemi darami, z których najcelniejszą była łaska pojednywania zwaśnionych. Następujące zdarzenie jest tego wymownym dowodem. W Krakowie jedna pobożna pani tak się posprzeczała z sąsiadką, że oprócz różnych obelżywych wyrazów, zamyślała o srogiej zemście. Pracowali nad pogodzeniem ich różni kapłani, zakonnicy, przyjaciele i sam Franciszek Rychłowski, ale bez skutku. Brat Feliks, litując się nad nieszczęśliwym stanem kobiety, poprosił pokornie przełożonego, żeby mógł pójść do niej i sprobować, czy mu się nie uda jej nawrócić. Chętnie zgodził się na to O. Franciszek, wiedząc lepiej od innych o jego świątobliwości i przypuszczając, że może Pan Bóg tego pobożnego i prostego brata użyje za narzędzie do tak trudnej sprawy. Poszedł tedy brat Feliks do owej pani, a gdy wszelkie namowy, uwagi i prośby nie pomagały, padł na kolana przed wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela, błagając Go, aby przez miłość, z jaką umarł na krzyżu za nieprzyjaciół i modlił się dla nich o przebaczenie, raczył zmiękczyć serce tej nieszczęśliwej. Potem zaczął odmawiać głośno Ojcze nasz, a gdy doszedł do słów: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, tak żarliwie tę prośbę wymawiał, że owa kobieta zmiękła i łzami się zalała, a pokornie padłszy do nóg brata Feliksa, wyrzekła się szczerze wszelkiej urazy. Wówczas obie strony podały sobie ręce i zawarły zgodę, z wielkiem dla wszystkich zbudowaniem i pociechą.[1])

Wincenty Lenartowicz, Reformat.

Wincenty Lenartowicz odznaczał się w zakonie szczególniejszą niewinnością, prostotą i nadzwyczajną dobrocią. We wszystkich upatrywał zawsze dobrą stronę i dlatego nigdy nikogo nie sądził i o nikim źle nie myślał, uważając, że to są dwie najgłówniejsze przyczyny gniewu i niezgody między ludźmi. Bardzo był łatwy do przebaczania, kiedy zaś z obowiązku musiał kogo upomnieć, czynił to z taką słodyczą, że sprawiał przyjemność winowajcy. Wszelkie przykrości chętnie znosił, twierdząc, że mniej cierpi, niżeli zasłużył, a, będąc magistrem nowicjuszów, własnem postępowaniem do cnót i do gorliwości ich zachęcał. Obierany dwa razy definitorem, a często gwardjanem, najniższe braciom tak zdrowym, jak chorym oddawał usługi, upatrując w nich osobę samego Chrystusa.[2])

Pacyfik Kucharski, Reformat.

Ten sługa Boży był tak skromny i cichy, że żadna przeciwność, choćby najmniej spodziewana, nie zdołała naruszyć słodkiego pokoju jego serca; a pokój ten był owocem prostoty, która we wszystkiem szuka samej tylko chwały Bożej, na nic innego się nie oglądając. Nikt go też nigdy nie widział zagniewanym lub smutnym, gdyż, przejmując swe serce obecnością Boga, napełniony był zawsze niebieskiemi pociechami, które go broniły od wszelkich silnych wrażeń. W posłuszeństwie doskonały, w pracy niezmordowany, wszystkie obowiązki spełniał jak najwierniej. Wreszcie zapadłszy w ciężką chorobę i przyjąwszy Sakramenta ŚŚ., słodko zasnął w Panu.[3])

Konstanty Przystałowski, Reformat.

Żarliwy ten kaznodzieja nieczuły był na liczne oznaki szacunku, któremi go tak bracia, jak i ludzie świeccy, dla wielkiej jego świątobliwości otaczali; odnosił je bowiem wszystkie do Boga i do stanu zakonnego, nie zaś do swojej osoby. Starając się o doskonałość na każdym kroku, miał w tem na celu tylko chwałę Bożą. Stąd pochodziło, że największe nawet rzeczy czynił bez zbytniego natężenia, ale z całą rozwagą i spokojem, a skutek

[1]) Matka ŚŚ. Polska T. III. 24 sierpnia. [2]) Kalendarz seraficzny 15 sierpnia., [3]) Tamże 24 Grudnia.

ich polecał z ufnością dobroci Boskiej, której on słabemi tylko siłami starał się dopomagać.[1])

Franciszek Szulc, Reformat.

Franciszek, wychowany w herezji, a przez Reformatów nawrócony do wiary świętej, żył długi czas na świecie, jako wzorowy chrześcijanin. Wreszcie, gdy owdowiał, starszego swego syna umieścił w zakonie Jezuitów, młodszemu zostawił znaczny majątek, a sam, po rozdaniu znacznej sumy ubogim, wstąpił do Reformatów. Pełen prostoty i szczerości, unikał wszelkiej obłudy i zasłużył sobie na słodkie obcowanie z Bogiem, który takim właśnie sługom swoim najobfitszych łask udziela. Pragnąc postępu w doskonałości, starał się zaraz czynić to wszystko, cokolwiek spostrzegł w braciach dobrego, podobnie, jak ów Jan Prostaczek, naśladujący we wszystkiem Ś. Franciszka. W mowie był bardzo uważny i zwięzły, chociaż zawsze szczery, jak niewinne dziecko. Posłuszeństwo nadzwyczaj sobie cenił i nic mu się nie zdawało trudnem, cokolwiek miał nakazane. Spędziwszy 12 lat w zakonie w wielkiej ostrości życia, umarł w Solcu.[2])

W jaki sposób synowie i córki Ś. Franciszka naśladować mają jego prostotę?

Naśladowcy Ś. Franciszka nie są wezwani do takiego stopnia tej cnoty, aby mieli stworzeniom rozkazywać, ale niechże go naśladują w postępowaniu pełnem swobody i naturalności, dalekiem od wszelkiej polityki, przebiegłości i zbytniego przestrzegania form świata, a daleko bardziej od wszelkiej próżności, osobliwości, wystawności, odróżniania się, udawania, od wszelkiej dwoistości, przesady i nienaturalności, tak w ubiorze i w mowie, jak w ułożeniu i całem obejściu. Sam ubiór i stan ubogi Braci i Sióstr Ś. Franciszka zbliża ich do prostoty, a oddala od świata. Nie przystoi bowiem ubranemu w siermięgę, przepasanemu powrozem i boso chodzącemu ubiegać się o te rzeczy, które świat w swoich hołdownikach tak wysoko ceni. Każdy więc naśladowca tego seraficznego męża powinien się przejąć duchem świętej prostoty, a nie naśladować próżności i przewrotności światowców, bo, gdyby tak czynił, wystawiałby się nietylko na przyganę Ś. Patryarchy, ale i na pośmiewisko ludzkie.

Do czego ma pobudzać wszystkich wiernych prostota Ś. Franciszka.

Jeżeli dla synów i córek duchownych Franciszka prostota jego jest nauką bardzo potrzebną, tem bardziej potrzebuje jej świat, który cały stoi na obłudzie, próżności, udawaniu i hipokryzji, tak dalece, że zakrada się ona nawet do pobożności. I słusznie powiedział jeden z Biskupów, że giniemy duchownie nietylko przez niedowiarstwo, ale i przez fałszywą pobożność, która niejedną osobę odstręcza od religji. Wynika to z tego, że ludzie poświęcają dziś wiele czasu dla nabycia próżnej mądrości świata, a bardzo mało albo wcale nie starają się o oświecenie w najprostszych rzeczach wiary, a stąd wiele osób nawet pobożnych i skądinąd oświeconych, bardzo słabe ma o niej pojęcie. Czemże bowiem karmią one swój umysł i serce? Oto mnóstwem książek pobożnych, których nawet nie rozumieją, bo i na proste pytanie z katechizmu nie mogą odpowiedzieć. O tajemnicach życia Pana Jezusa, o przywilejach Najświętszej Marji Panny mają wiadomości niedokładne i pomieszane. Nie mają te dusze głębokich i stałych przekonań, to też wierzenia ich są powierzchowne i chwiejne, a wiele natomiast przesady i uczuciowości. We wszystkich przedmiotach rozum ludzki wielce postąpił, wyrósł, powiedzieć można w męża dojrzałego. W jednej tylko wiedzy najważniejszej, jedynie do zbawienia potrzebnej, pozostaje w stanie dziecięctwa. Obyś, bracie, umiał z nauki religji chociaż tyle, ile umiałeś w dzień pierwszej swojej Komunji świętej, ale może i to już zapomniałeś; może do prawd i wiadomości religijnych nie przykładasz już tyle wiary i wagi. Dlatego to książki i gazety bezbożne tak zgubny wpływ na ciebie wywierają, gdyż cię zastają bezbronnym, obojętnym i niedostatecznie oświeconym, abyś umiał ich przewrotność ocenić. Doucz się religji, którą kochasz, którą szanujesz, ale jej nie znasz należycie. Niech ta Matka twoja w Bogu, znieważana przez tylu niegodziwych oszczerców, będzie znaną i cenioną od własnych swych dzieci. Kto chce iść za Franciszkiem, powinien okazywać się wśród świata zupełnym, doskonałym chrześcijaninem. A takim może być dopiero wtenczas, gdy w miarę swego pojęcia, i miejsca, jakie zajmuje w społeczeństwie, posiada gruntownie i dokładnie znajomość religji. Będzie bowiem wtedy przyświecał przykładem wiernego pełnienia obowiązków stanu i praktycznej pobożności, nietyle uganiając się za licznemi ćwiczeniami, choć one dobre same w sobie, ile raczej starając się o gruntowne i prawdziwe cnoty.

Prostota w czytaniu i nauczaniu katechizmu.

Ponieważ każdą naukę, aby nie wyszła z pamięci, trzeba odświeżać i odnawiać, więc i w tej najważniejszej umiejętności ćwiczyć się należy.

[1]) Tamże 20 października. [2]) Tamże 7 sierpnia.

Trzeba oświecać umysł i utwierdzać wiarę, by zaczerpnąć wiadomości do odparcia tylu bluźnierstw, tylu zarzutów, z któremi spotykamy się w rozmowach światowych, a które często dlatego tylko z iście szatańskiem zuchwalstwem występują, że niema między wiernymi takich, którzyby umieli je zbić i rozsądnie pokonać. Przeglądajmy więc i odczytujmy katechizm, tę złotą księgę, w której, jak pięknie określa Bossuet, Mądrość Przedwieczna stała się mlekiem dla nakarmienia dzieci. Ludzie bezbożni czynią wszystko, by wydrzeć katechizm z rąk dzieci, by go odebrać szkole. My przeto odwrotne czyńmy usiłowania. Powróćmy do katechizmu, wczytujmy się w niego, pouczajmy dzieci i domowników, jeśli mamy choć iskierkę miłości Bożej i gorliwości o zbawienie dusz nam najbliższych. O, jakże słusznie do poświęcających się w ten sposób zastosować można te pocieszające słowa: „Ci, którzy wielu nauczają sprawiedliwości, jaśnieć będą jak gwiazdy na firmamencie niebios“.[1])

Prostota w słuchaniu słowa Bożego.

Ktoby chciał naśladować prostotę Ś. Franciszka, powinien być przedewszystkiem dobrym parafjaninem. Nie powinien szukać modnych kazań. Zwykła nauka parafjalna powinna mieć dla niego powab i wartość słowa Bożego — im w prostszej formie, tem łatwiej ta prawda Boża przeniknie duszę, tem głębiej się w niej wyryje. Niech uczęszcza na wykłady katechizmowe. To mu pomoże do skutecznego apostolstwa we własnej rodzinie, przypomni mu święte prawdy wiary, które tak łatwo się zapomina w zetknięciu ze światem. Słuchając pilnie nauk katechizmowych, potrafi karmić zdrowemi zasadami chrześcijańskiemi dzieci i domowników, których Boska Opatrzność zleciła jego pieczy. Dusze pospolite łatwo się czepiają zewnętrznych form i ozdób, podoba im się blichtr i przesada, lecz dusze wielkie, przeciwnie, lubią prostotę. My więc w ten wyżej wskazany sposób słuchajmy słowa Bożego, nie przywiązujmy się do ozdób, ale miłujmy tylko prawdę i pożytek duszy.

Prostaczkom wystarcza ich prosta wiara.

Trzeba wiedzieć, iż są dusze o niskim poziomie umysłowym, niezdolne przeniknąć światłości Bożej, która je otacza, i te muszą poprzestać na zewnętrznych praktykach i na dobrej woli. Przed kilkoma laty pewien chrześcijanin z Kochinchiny skazany był na śmierć za wiarę. Poganie wyśmiewali się z jego niewiadomości, nieumiejętności odparcia czynionych mu zarzutów i szydzili z jego uporu, że chce poświęcić życie dla Boga, którego nie umie nawet określić. „W licznej rodzinie, rzekł im, nie wszystkie dzieci są wykształcone. Jedne dochodzą do wysokiej wiedzy, drugie dosięgają miernego jej stopnia, innych wreszcie rozum jest jakby spowity, lecz wszystkie kochają ojca swojego, chociaż nie wszystkie jednakowo go znają. Najstarszy syn wiele umie powiedzieć o jego osobie, zaletach charakteru, o powodach swojej dla niego miłości; najmniejsze zaś dziecko nawet nazwać ojca nie umie. To tylko wszystkie dzieci wiedzą, że jest ich ojcem, że ich kocha, i to jest główna pobudka wzajemnej ich miłości, ufności i najtkliwszych dla niego uczuć“. Podobny stosunek łączy dusze z Bogiem. Są w Kościele osoby głębokiej nauki, umiejące zdać dokładną sprawę z wierzenia swego, ale są i dusze proste, które oświecone światłem wewnętrznem, znają tylko rzeczy konieczne do zbawienia, a po większej części polegają na powadze Kościoła, mając to zapewnione od samego Boga, że on zbłądzić nie może. Bywają jednak i między niemi takie, którym, dla ich prostoty i uniżenia, Bóg, według obietnicy swojej, objawia wielkie rzeczy, zakryte przed mądrymi i roztropnymi tego świata.

Zachęta do prostoty.

Zachęceni przeto przykładem Ś. Franciszka, starajmy się o tę gołębią prostotę, nie czyniąc nikomu krzywdy, brzydząc się podstępem i obłudą. Unikajmy najmniejszej przesady i zmyślenia, prawdę sercem i usty wyznając, nie chciejmy umieć więcej nad to, co potrzeba, i drugich w prostocie nauczajmy. Unikajmy roztropności światowej, a uczmy się chwalebnej prostoty, która u świata za głupstwo jest uważana, a u Boga jest wielką mądrością. Bądźmi głupimi dla Chrystusa, abyśmy do zgłębiania najwyższej mądrości Bożej dopuszczeni zostali.

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej.

Prostota jest bardzo potrzebna do postępu w doskonałości.

Prostota bardzo do doskonałości jest potrzebna, przeto i Zbawiciel uczniom swoim ją zalecał, mówiąc: „Bądźcie prości, jak gołębie“.[1]) I Joba chwali Pismo Święte, że był człowiek szczery, prosty i bojący się Boga, a odstępujący od złego.[2]) „Któż nie uwielbia człowieka, okazującego w postępowaniu prostotę, mówi Ś. Jan Chryzostom; kto nie prze-

[1]) Dan. XII, 3.

[1]) Matth. 10, 16. [2]) Job. 1, 8.

staje chętnie z takim, który nie zna, co podstęp lub obłuda". Ale może kto zauważy, że i roztropność jest potrzebną. Tak, bez wątpienia, lecz czemże jest prostota, jeżeli nie roztropnością? Człowiek prosty nikogo o złe nie podejrzewa, ani myśli komu dokuczyć i wszystko znosi bez uprzykrzenia. Wyrządzi mu kto zniewagę — nie boleje nad tem; obmówią go — wcale się o to nie obrazi; nienawidzą go — lecz on się za to nie oburza. Prawdziwa prostota jest drogą do rzeczywistej mądrości.[1]) „Prostota bez roztropności łatwo może być oszukaną, powiada Ś. Remigjusz, ale roztropność niebezpieczna jest, jeżeli prostota nią nie kieruje". Prostota bowiem przekłada chwałę Bożą i zbawienie dusz nad własną wygodę, nie zna zmyślenia, kocha się w prawdzie, unika fałszu, czyni dobrze, a za złe złem nie odpłaca i sumienie obdarza pokojem. I, jak mówi Hugo od Ś. Wiktora: „Dla wszystkich jest słodka, nikomu nie cięży, korzysta z przyjaciela, aby mu uprzejmość okazać; z nieprzyjaciela, aby w cierpliwości się ćwiczyć; ze wszystkich, aby im dobrze życzyć, a w możności i dobrze czynić".[2]) Prawdziwą prostotę znaleźć można tylko w prawdziwym Kościele Jezusa Chrystusa. Ta niezrównana cnota nietylko wywiera nieprzeparty urok na serca ludzkie, ale nadto ściąga na siebie łaski, obiecane nieumiejętnym i maluczkim, według słów Zbawiciela: „Dopuśćcie dziatkom przyjść do mnie, albowiem takowych jest Królestwo niebieskie". Wreszcie prostota jest ozdobą wieku młodzieńczego, jakże, niestety, rzadko teraz spotykaną, gdyż źródłem jej — niewinność, a obroną niewiadomość, napiętnowana w obecnych czasach mianem zacofania i głupoty.

Prostota jest prawdziwą mądrością Bożą.

Mówi Ś. Grzegorz, że prostota sprawiedliwych bywa wyśmianą. Bo mądrość tego świata na tem zależy, aby serce wykrętami pokrywać, znaczenie osłaniać słowami, fałsz podawać za prawdę, a co prawdziwe — jako fałsz przedstawiać. I tej mądrości od dzieciństwa się uczą. Kto ją posiada, ten się pyszni, a innymi gardzi, a kto jej nie umie, ten jest nieśmiały i bojaźliwy wśród świata, któremu hołduje. Przeciwnie zaś mądrością sprawiedliwych jest: nigdy nie udawać i myśli swoje wyraźnemi słowami wypowiadać, prawdę miłować, unikając obłudy i wszelkiej dwuznaczności, ale ta prostota za głupstwo u świata jest miana.

[1]) Hom. 7 in. Act Apost. [2]) L. de anim. c. 9.

Znaki prostoty.

Znaki, po których można poznać prawdziwą prostotę, są: 1) Jeżeli kto każdemu i wobec wszystkich jednakowo się przedstawia; 2) Jeżeli kto z tym samym pośpiechem wszystkim bez różnicy, tak małym, jak wielkim, tak ubogim, jak bogatym świadczy uczynki miłości. 3)Jeżeli ktoś zawsze jednakowo się zachowuje, w jakiemkolwiek jest miejscu, publicznem, czy prywatnem. 4) Jeżeli zawsze okazuje tę samą swobodę i wesołe oblicze, będące świadectwem dobrego sumienia. 5) Jeżeli kto grzechu lub winy przez siebie popełnionej nie tłumaczy, ale szczerze i jasno ją wyznaje. 6) Jeżeli kto prawdę poprostu wyjawia i wzgardę sobie okazaną spokojnie znosi.

Różne akty prostoty.

Prostota w obejściu zależy na szczerości i naturalności. Kto więc chce według niej postępować, powinien unikać nietylko wykrętów światowych, ale wszelkiej przesady w mowie i w ruchach, w postawie i w całem zachowaniu się, nie przydając sobie powagi, ani przedstawiając się innym, niż się jest w istocie.

Taką samą prostotę należy zachować i w ubiorze, aby nie ściągać na siebie oczu ludzkich jakiemiś osobliwościami, ale poprzestać na skromnem i przyzwoitem odzieniu, stosownem do stanu.

Do prostoty należy także nie chcieć więcej umieć nad to, co umieć potrzeba. Święta prostota nie jest ciekawa widzenia i poznawania wielu rzeczy, ale stara się głównie o najpotrzebniejszą umiejętność: znania i kochania Boga. W nauczaniu drugich święta prostota nie przemyśla o tem, aby mówić świetnie i z wrażeniem, ale by nauczyć prawdy najprostszemi wyrazami, któreby najłatwiej zrozumiane być mogły. Nawet w modlitwie najwięcej się Bogu podoba prostota, gdy człowiek nie sili się na jakieś pomysły lub akty niezwykłe, ale staje przed obliczem Boga, jako żebrak, lub jako nieumiejętne dzieciątko.

Kto chce osiągnąć idealną prostotę, niech się jej uczy od dzieci. Dzieci bowiem, jak mówi Ś. Hilary, idą za ojcem, matkę kochają, chociaż je bije, nie wiedzą nawet, co to źle życzyć komu, nie troszczą się o zbiory, nie kłamią, nie zazdroszczą, nie znają nienawiści, wierzą wszystkiemu, co im się powie, a co usłyszą, za prawdę mają. Trzeba nam przeto stać się takiemi dziećmi, jeżeli chcemy wejść do Królestwa niebieskiego.[1])

[1]) Schram.

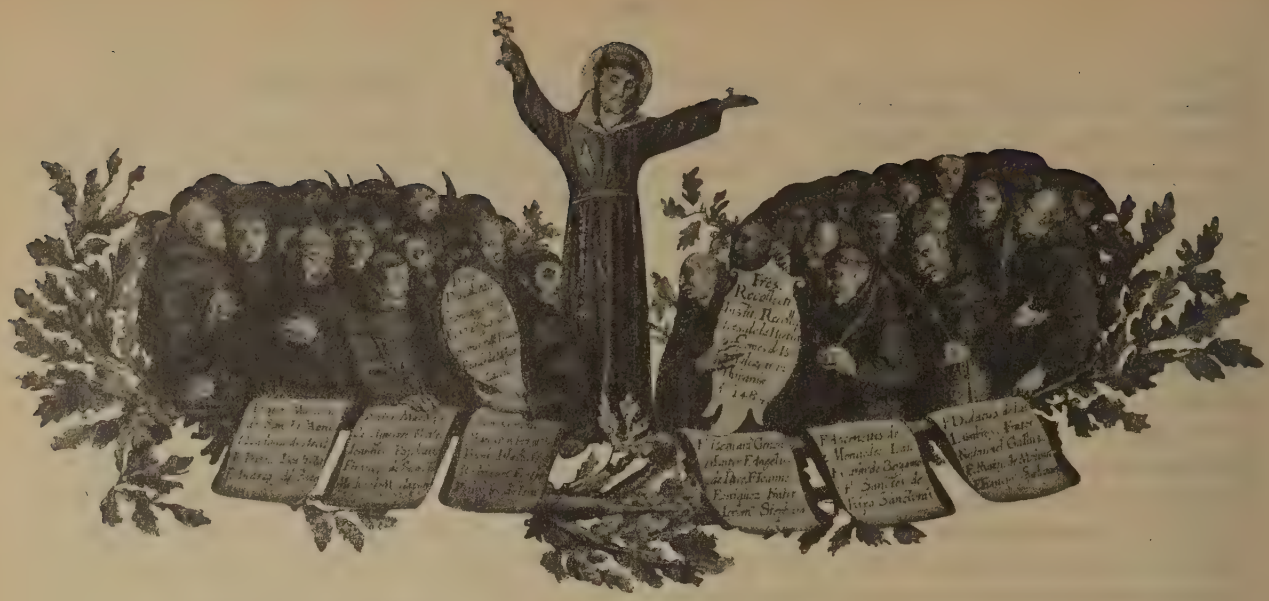

ROZDZIAŁ V.

Duch Seraficzny jest duchem szczerej wzgardy świata.

Nic nie sprzeciwia się bardziej duchowi chrześcijańskiemu, jak miłość tego świata, przeto i Franciszek, który głębiej od innych przejął się duchem Chrystusowym, musiał być znakomitym świata wzgardzicielem.

Duch pierwszych chrześcijan.

Pan Jezus uważał świat za największego i nieprzejednanego wroga swego, za którego nawet się nie modlił, bo duch jego jest najprzeciwniejszym Ewangelji Świętej. To też pierwsi chrześcijanie byli przejęci wzgardą świata, jego zasad i zwyczajów. Rozumieli oni to słowo Pańskie: „Gdybyście byli z tego świata, światby, co jego jest, miłował, ale że nie jesteście z tego świata, dlatego was świat nienawidzi, lecz pamiętajcie, że mnie jeszcze pierwej nienawidził“.[1]) I to drugie słowo Ś. Jana: „Nie miłujcie świata... Albowiem wszystko, co jest na świecie, jest pożądliwość ciała i pożądliwość oczu i pycha żywota“.[2]) Swój tytuł chrześcijan uważali nasi ojcowie w wierze jako pierwszą pobudkę do wzgardy świata i unikania jego niebezpieczeństw. „Jesteśmy chrześcijanie, mówi Tertuljan, i dlatego nie chodzimy do teatru“.

Jak Franciszek światem pogardzał.

Zrozumiał Franciszek, że Bóg go wybrał na apostoła wzgardy rzeczy ziemskich, a zamiłowania niebieskich, i że ma obowiązek przywiedzenia do tego innych ludzi. Oświecony przez Ducha Świętego, pojmował także, iż, chcąc być mistrzem innych, musi wprzód na sobie samym obraz wzgardziciela świata przedstawić. To też nie wiemy, czy się znajdzie w życiu którego ze sług Pańskich tyle objawów tej cnoty, ile się jej widzi w życiu Franciszka. Tym się duchem kierując, zaraz od pierwszej chwili nawrócenia, zrzuciwszy z siebie wykwintne ubranie, przyodział się prostym worem, przepasał powrozem i, boso chodząc po mieście, wzywał do pokuty. W kościołach padał niekiedy krzyżem, ściągając na siebie naśmiewiska pospólstwa, które dla niego były rozkoszą. Nic dlań nie było boleśniejszego nad pochwały świata, nic milszego nad jego wzgardę. Ileż razy, gdy lud wychodził w procesji na jego spotkanie, chcąc go uczcić

[1]) Matth. 10, 34, 35. [2]) I. Joan 2, 15–16.

przy wejściu do miasta, wystawiał się umyślnie na śmieszność, aby zamiast czci ludzkiej, którą pogardzał, ściągnął na siebie upragnione szyderstwa. Zwykle stawał pod kościołem z ubogimi i obcował z nimi na ulicy i w przytułkach, aby módz zakosztować obejścia, będącego udziałem żebraków. Miał upodobanie w żebraniu, bo to ściągało na niego wiele upokorzeń.

Słowa Ojca Świętego Leona XIII.

Wielki Papież tak się wyraził o tym wzgardzicielu próżności światowych: „Wśród upadku obyczajów i wytwornego rozdelikacenia onych czasów, występuje Franciszek w zaniedbanym ubiorze i we wzgardzonej postaci, żebrząc od drzwi do drzwi chleba, i co ważniejsza, nietylko znosząc szyderstwa tłumu, ale ich chciwie poszukując. Gdy głupstwo krzyża Chrystusowego stało się dlań najwyższą mądrością i gdy zrozumiał głęboką i wspaniałą jego tajemnicę, wówczas pojął i przekonał się, że nie może na niczem innem zasadzać swojej chwały".

Przywdziewa na siebie wzgardzoną odzież.

Chcąc należycie przedstawić w Świętym naszym tę jego wybitną cnotę, musimy powołać się na niektóre szczegóły jego życia, o których już wzmianka była wyżej. Franciszek jeszcze przed nawróceniem postanowił nie ominąć bez wsparcia żadnego ubogiego, a wierny danemu sobie słowu, do tego stopnia posuwał swoją szczodrobliwość, że rozdawszy, co tylko miał przy sobie, zdejmował nieraz w tym celu i własny ubiór, nie zważając na upokorzenia, jakie go spotykały, gdy tak na pół ubrany wracał do domu.

O ile tym sposobem umartwiał własną próżność co do stroju, o ile na samym sobie doświadczył, jak wielkiego upokorzenia było to dlań powodem, o tyle większą ożywiał w sobie litość na widok zubożałych osób wyższego stanu, które obok zwykłych przykrości, nieodłącznych od ubóstwa, doznają jeszcze i pewnego rodzaju wstydu, nie mogąc się nawet w zwierzchniej sukni do położenia swego zastosować. Razu pewnego spotkał właśnie człowieka szlachetnego rodu, który dla swego ubogiego ubrania nie śmiał się pokazać między ludźmi. Poruszony litością, zamienia z nim swój ubiór i w jego łachmanach powraca do miasta, ciesząc się ze wzgardy, jakiej się stąd spodziewał.[1])

Naraża się na szyderstwa uliczne.

Po pierwszym napadzie ojca w kościele Ś. Damjana, Ś. Franciszek skrył się na jakiś czas za miastem i dopiero wzmocniwszy się na duchu i przygotowawszy się na wszelkie zniewagi, wrócił do domu rodzicielskiego. Wycieńczony postami i pobytem na górze, na której się ukrywał, przedstawił się mieszkańcom Assyża w ubiorze zaniedbanym, robiąc wrażenie obłąkanego. Naraziło go to na zniewagi pospólstwa i na swawolne żarty ulicz ników, w który to sposób odbywał nową szkołę umorzenia miłości własnej i względów świata.[1])

Wzgarda ze strony ojca.

Ojciec Franciszka, zawstydzony tym jego postępkiem, przybiega do syna, rzuca się nań i okłada go publicznie ciężkiemi razami, poczem ciągnie za sobą, jakby złoczyńcę i zamyka na klucz w podziemnych izbach domu. Ale chociaż z tego więzienia wkrótce został wybawionym, jednak takie publiczne sceny z ojcem często się i później ponawiały. Nie mógł on zgodzić się z myślą, żeby potomek najzamożniejszego kupca z Assyża, oddawał się życiu żebraczemu. Zaślepiony świeckiem pojmowaniem rzeczy i zatarłszy w sobie wszelkie wyobrażenie o doskonałości ewangelicznej, do której w sposób tak uderzający zdążał syn jego, ile razy wypadkiem spotykał go na ulicy, nietylko łżył go ostatniemi słowy, co byłoby jeszcze łatwem do zniesienia, ale nawet przeklinał go, dopuszczając się bluźnierskich wyrażeń. Stąd sługa Boży bywał często nasycany zniewagami i zaprawiał się w znoszeniu wzgardy dla Chrystusa.[2])

Brat naśmiewa się z niego.

I od brata swego, Anioła, który nie bacząc na swoje imię, pełen był mimo to próżności i ducha światowego, musiał Franciszek cierpieć różne szyderstwa i żarty, ile razy spotkali się niespodzianie na mieście. Wraz z towarzyszami swych biesiad, Anioł złośliwiej od innych wyśmiewał postępowanie brata. Pewnego razu, gdy ujrzał go w kościele drżącego od zimna w ubraniu pustelniczem, wysłał doń jednego ze swoich przyjaciół, aby go prosił o odprzedanie mu trochę potu na relikwje dla rodziny i znajomych. Na to szyderstwo Franciszek odpowiedział jak najspokojniej, że potu swojego ludziom za nic nie sprzeda, bo mu za niego Pan Bóg nierównie drożej zapłaci. W taki sposób Święci zwykli odpowiadać na obelgi i najdotkliwsze szyderstwa.[3])

Przykrości przy proszeniu jałmużny.

W początkach swego nawrócenia wielce się musiał przezwyciężać, prosząc jałmużny u osób

[1]) Żyw Ś. Fr. O. Pr. T. I. str. 26.

[1]) Tamże s. 54. [2]) Tamże s. 64. [3]) Tamże.

bliżej mu niegdyś znajomych, od których również ponosić musiał wiele obelg i szyderstw. Nigdy jednak nie pozwolił sobie unikać spotkania z owemi osobami, dla uwolnienia się od tego rodzaju upokorzeń. Razu pewnego chodził po mieście, żebrząc oliwy do lampy, palącej się ciągle w kościołku Ś. Damjana przed onym krzyżem, z którego Pan Jezus cudownie do niego przemówił. Zdarzyło się, iż wszedł do mieszkania, gdzie zastał kilku bogatych młodzieńców, dawnych towarzyszów swoich zabaw, zajętych obecnie grą w kości. Na ich widok zmieszał się nieco, przewidując, że go niemałe spotkają szyderstwa, w obawie których czemprędzej dom ten opuścił. Wnet jednak zrozumiał, iż małodusznie uległ pokusie, wrócił więc, a stanąwszy wśród grona młodzieńców, już z szyderskim uśmiechem na niego patrzących, wyznał najprzód, że się wstydzi wahania, któremu uległ na chwilę, a potem prosił ich o jałmużnę na światło przed wizerunek Pana Jezusa. Żeby zaś jeszcze bardziej pobudzić ich do żartów, przemówił do nich nie w swoim rodzinnym języku, lecz po francusku, co nie było tam wcale we zwyczaju. Wywołał też w istocie śmiechy tych światowców i najdotkliwsze z siebie szyderstwa. Czy zaś pomimo to otrzymał jakie wsparcie, współcześni życiopisarze o tem nie wspominają; pewnem jest tylko, że i w tem zdarzeniu, tak jak i w wielu innych, niemałe odniósł zwycięstwo nad względami ludzkiemi, tyle zwykle szkody przynoszącemi duszom.[1])

Przedstawia się, jako bezrozumny.

Gdy Ś. Franciszek szedł raz do Rzymu, Biskup pewnej dyecezji, przez którą musiał przechodzić, przygotował się na jego przyjęcie i wyszedł z miasta z licznym orszakiem, aby go przywitać i oddać mu cześć należną. Święty, domyślając się celu tego wystąpienia, a nie mając już czasu na cofnięcie się, rzekł do socjusza: „Widzisz tych ludzi, którzy idą naprzeciw, aby nam cześć okazać? Nie możemy już uciec przed nimi, musimy więc zrobić coś takiego, coby na nas ściągnęło ich wzgardę i szyderstwa. Pójdź za mną i rób to, co ja będę czynił“. Sam zaś wszedł na kupę gliny, która leżała nad drogą, przygotowana przez garncarza, i począł ją deptać. Gdy nadchodzący zbliżyli się, tak Biskup, jak i jego towarzysze wzięli Franciszka za głupca i wrócili do domów, nie okazawszy im żadnego uczczenia. W ten sposób uniknął Święty znienawidzonych przez siebie zaszczytów, a potem wszedł potajemnie do miasta i zbudował wszystkich więcej przykładem, niż nauką.[2])

[1]) Tamże s. 65. [2]) Kron. s. 329.

Oburza się na wspaniałość mieszkań.

Wracając roku 1220 z misji na Wschodzie, Franciszek skierował się na Bolonję, aby wstąpić do klasztoru swoich synów, którego jeszcze nigdy nie zwiedzał. Lecz skoro się do niego zbliżył i poznał, że jest bardzo wspaniały i z samej już powierzchowności przeciwny ubóstwu, odwrócił się z wielkiem oburzeniem i rzekł do towarzyszących mu zakonników: „Czyż to jest mieszkanie ubogich ewangelicznych? Czyż takie przepyszne pałace mają być przeznaczone dla naszych braci? Klasztoru tego nie uważam za nasz, ani tych, którzy w nim mieszkają, za moich synów; rozkazuję więc wszystkim, którzy chcą się nazywać Braćmi Mniejszymi, aby natychmiast opuścili to mieszkanie i pozostawili bogaczom tego świata gmachy im tylko właściwe“. To rzekłszy, zawrócił się do miasta. Zakonnicy, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, tak pokornie i wiernie spełnili rozkaz Patryarchy, że co do jednego wyszli z budynku, wynosząc nawet na barkach chorych. Z liczby tych ostatnich był brat Leon, jeden z pierwszych towarzyszów Franciszka, który o tym postępku błogosławionego Ojca obszerną czyni wzmiankę w jego żywocie. Przez pewien czas siedzieli wszyscy pod gołem niebem, wraz z chorymi, aż doszło to do wiadomości Kardynała. Hugolin przybył zaraz osobiście i począł tłumaczyć Franciszkowi, że bracia potrzebują koniecznie obszerniejszego klasztoru, aby chorzy mogli znaleźć lepsze wygody, a zdrowi — właściwy wypoczynek po trudach apostolskich. „Co zaś do własności tego domu, dodał, zapewniam cię, że synowie twoi wcale jej nie mają; pozostaje ona zawsze przy tych, którzy go zbudowali. A jeżeli pomimo to masz pod tym względem jakie skrupuły, oświadczam ci, że w imieniu Stolicy Apostolskiej obejmuję na własność ten budynek“. Mąż Boży nie mógł się oprzeć Protektorowi Zakonu, pozwolił więc, aby bracia pozostali w klasztorze, sam jednak nie poszedł z nimi, lecz udał się do klasztoru Dominikanów, gdzie zastał ich świętego założyciela, z którym wtedy kilka dni przepędził. Ale braciom było nadzwyczaj przykro, że błogosławiony ojciec nie chce ani wejść do ich mieszkania; udali się więc do jednego z księży Dominikanów, prosząc o wstawienie się za nimi. Czcigodny kapłan zaczął błagać Franciszka, aby przebaczył winnym i tak surowo ich nie karał, lecz na to odrzekł mu Ś. Ojciec: „Niewłaściwem byłoby pobłażanie w tej rzeczy; dawałoby to innym pochop do podobnych przekroczeń. Nie chcę obecnością swoją w tym klasztorze upoważniać tego, co w nim uczyniono przeciwko świętemu ubóstwu“. Jednak poczciwy

Dominikanin ani myślał ustąpić i dalej nakłaniał Serafickiego Patryarchę, aby poszedł do braci, choćby dla przedstawienia im, jak dalece zbłądzili i przywiedzenia ich do poprawy. „Jeśli ci się nie spodoba zostać w tamtym klasztorze, powiedział mu nakoniec, to wrócisz razem ze mną, a w każdym razie spełnisz obowiązek dobrego przełożonego“. Franciszek, którego nietrudno było przywieść do łaskawości, posłuchał tej rady. Poszedł do braci, a znalazłszy ich bardzo skruszonych i gotowych na wszelką pokutę, zakończył na kilku słowach ojcowskiego upomnienia, darował im i razem z nimi pozostał.[1])

Karci oddawanie się naukom światowym.

Lecz dla prowincjała miejscowego, Jana ze Strachji, który mieszkał w tym klasztorze, zmuszony był okazać się surowszym, tem bardziej, że miał do tego jeszcze i drugi powód. Franciszek starał się, aby bracia, którzy byli kapłanami i oddawali się pracom apostolskim, kształceni byli we właściwych naukach, a szczególniej w teologji. Lecz tak pourządzał ich szkoły, czyli, jak w zakonach mówią, studja, aby oddający się naukom nie przygaszali w sobie ducha pobożności i modlitwy, bez czego w najzdolniejszych i najuczeńszych nawet kaznodziejach wszelkie prace apostolskie stają się jałowemi. Otóż prowincjał ten zmienił samowolnie ustanowiony przez Franciszka porządek, a zaprowadził inny, sprzyjający więcej próżnym naukom, aniżeli życiu wewnętrznemu. Święty Patryarcha upomniał go za to bardzo surowo, zniósł wszystko, co uznał niewłaściwem i nakazał wrócić do dawnego systemu nauk. Jan ze Strachji był to zakonnik, należący do liczby tych niewielu, z którymi brat Eljasz targnął się był na różne przepisy Reguły, nadanej Braciom Mniejszym przez Franciszka. Na razie zastosował się on do woli świętego Ojca; lecz po jego odejściu przywrócił znowu swój system. Franciszek ciężko zabolał, dowiedziawszy się o tak wielkiem nieposłuszeństwie zuchwałego brata, a gdy się gorąco za niego modlił, otrzymał objawienie, że będzie on potępionym. Zaraz więc, dla przykładu innych, złożył go z prowincjalstwa, a co straszniejsza, przeklął go wobec zgromadzonych braci. Przerażeni zakonnicy prosili go, aby swoje słowa odwołał i pobłogosławił brata Jana, jako człowieka wielkiej nauki i szlachetnego rodu, lecz Franciszek ze łzami w oczach i z nadzwyczajnem wzruszeniem tak się do nich odezwał: „Bracia moi, jeżeli dusza tego nieszczęśliwego brata jest wam drogą, to mnie jest ona jeszcze droższą, lecz jakże mogę błogosławić tego, którego Pan przeklął na wieki!“ Wkrótce potem straszliwa przepowiednia się sprawdziła, odebrano bowiem wiadomość, że nieszczęsny zakonnik umarł w największej rozpaczy, wołając: „Jestem przeklęty i potępiony!“, a po śmierci zaszły przy jego ciele różne nadzwyczajne zjawiska, dowodzące prawdy słów, które wyrzekł przed skonaniem.[1])

Jakiej wzgardy świata wymagał Franciszek od swoich uczniów.

Chciał on, aby byli umarłymi dla świata, żeby ich nie obchodziły ani pochwały, ani naśmiewiska ludzkie, owszem, aby się radowali, gdy będą od wszystkich wzgardzeni. Te wymagania Ś. Franciszka poznamy bliżej na przykładzie. Pewnego razu Święty przywołał do siebie Rufina, brata wielce bogomyślnego, i kazał mu bez przygotowania nauczać lud z ambony. Błogosławiony braciszek, który miał trudność w wymowie, ociągał się i wypraszał od tego polecenia. „Ponieważ nie usłuchałeś odrazu, rzekł ojciec, więc pójdziesz teraz nauczać w katedrze Assyskiej bez habitu, w samem tylko spodniem ubraniu. Rufin skruszony wcale się już tym razem nie wymawiał. Gdy wszedł na kazalnicę, ludzie wzięli go za warjata; ale śmiech jednych i litość drugich doszły do najwyższego stopnia, gdy biedak odwrotnie wypowiedział tekst obrany. Mianowicie, zamiast: „Odwróć się od złego, a czyń dobrze“, zmieszany i przerażony braciszek zawołał: „Odwróć się od dobrego, a czyń źle, albowiem blisko jest Królestwo Niebieskie“. Franciszek widział i słyszał wszystko, i gorzko wyrzucał sobie zbytnią surowość. Dla ukarania przeto samego siebie i uwolnienia Rufina od strachu, zdjął również habit i, wszedłszy w spodniem ubraniu na ambonę, objął i ucałował wobec wszystkich posłusznego brata, mówiąc do ludzi. „Jakto, bracia, wyśmiewacie się ze słów Rufina, tego zacnego człowieka, a przecież on wam prawdę powiedział: „Porzućcie dobre, a czyńcie złe“; czyli że to, co za dobre uważacie, np. pociechy ludzkie, rozkosze zmysłowe, powinniście porzucić, przeciwnie zaś, złe, które jest najlepszem z pomiędzy dóbr tego świata, jak: umartwienie ciała, walka z namiętnościami, pokuta za grzechy — to złe powinniście czynić. Rufin, wasz współobywatel, chciał was oderwać od zamiłowania uciech światowych i zachęcić do czynienia pokuty, albowiem Królestwo Niebieskie blisko jest“. Potem mówił Franciszek o umartwieniu i o pokucie z takim zapałem, że wszystek lud płakał, podziwiając tych ubogich zakonników.

[1]) Żyw. Ś. Fr. O. Pr. T II. s. 78.

[1]) Tamże s. 79.

Jak skutecznie pobudzał do wzgardy świata.

Franciszek, będąc sam przejęty onym duchem, nic dziwnego, że i innych do pogardy rzeczy ziemskich przywodził: ludzie szlachetni, zamożni i uczeni, nie oglądając się na opinję, przywdziewali na siebie ubogą siermięgę zakonną. Wspomnimy tu o słynnym ówczesnym poecie, Wilhelmie Divoni, który, słuchając raz kazania Świętego, zrozumiał wreszcie próżność dotychczasowego życia i poszedł do Franciszka, prosząc o przyjęcie w liczbę uczniów. Święty zadowolnił jego pragnienie, ciesząc się niewymownie, że wyrwał tego światowca z odmętu i niebezpieczeństwa, w jakiem się przy dworze znajdował. Dumny Wilhelm Divoni, który uchodził za pierwszego trubadura swoich czasów i otrzymał od Fryderyka II-go wieniec laurowy, opuścił bez żalu tryumfy ziemskie i pieśni, aby się zapisać pod sztandar krzyża. Widząc ten nagły zwrot od zabiegów doczesnych do pokoju w Jezusie Chrystusie, Ś. Franciszek dał nowemu uczniowi imię Pacyfika. W szkole Serafickiego Ojca nowicjusz zaprawiał się gorliwie do życia ewangelicznego: przyjmował uwagi i napomnienia z najgłębszą pokorą i uważał je za prawidło swego postępowania. Towarzysząc potem Świętemu w ciągłych jego podróżach, czuł się szczęśliwym, że może z nim dzielić trudy i niewygody, oraz przykładać się do naśladowania jego cnót bohaterskich.

Brat Pacyfik otrzymał od Boga dwa objawienia, z których powziął jeszcze większy szacunek dla swego Mistrza i Ojca. W pierwszem z nich ujrzał na jego czole błyszczący znak thau T, symbol biblijny krzyża świętego; w drugiem zaś ukazał mu Pan Bóg w niebie tron ozdobiony złotem i drogiemi kamieniami i objaśnił, że jest to miejsce, zajmowane ongi przez pierwszego z upadłych aniołów, a obecnie przeznaczone dla pokornego Franciszka. Pacyfik udał się później do Francji w charakterze prowincjała i na tem stanowisku oddał wielkie usługi zakonowi przez rozszerzenie go w północnej części tego państwa, aż do granic Niderlandów. Piszą, że królowa Blanka powierzyła mu wychowanie swego syna, Ludwika Świętego. Przed śmiercią Franciszka, Pacyfik przybył do Włoch, poczem znowu posłany został do Francji i tam umarł w klasztorze miasta Lens, w prowincji Artois, około r. 1230. Za życia i po śmierci zasłynął cudami.[1])

Wzgarda świata w naśladowcach Franciszka. Ś. Elżbieta Węgierska. 3 Z. (1231 r.).

Ś. Elżbieta jeszcze przed przyjęciem habitu Trzeciego Zakonu, gorąco prosiła Boga, żeby jej wlał do serca wzgardę wszystkich rzeczy doczesnych i dodał mocy do znoszenia wszelkich krzywd i upokorzeń. Nie potrzebowała długo czekać na sposobność do tego. Surowy sposób jej życia, wręcz przeciwny wysokiemu stanowi i zwyczajom ówczesnym, ściągnął na nią niezadowolenie i szemranie całego dworu. Księciu nawet poczęto zarzucać pobłażliwość, jaką okazywał na niezwykłe i, jak mówiono, przesadne postępowanie małżonki. Oboje, tak Ludwik, jak i Elżbieta, poddali się cierpliwie tym sądom ludzkim, nic nie zmieniając w swem postępowaniu, woleli bowiem podobać się Bogu, niż ludziom. Wkrótce młoda księżna nowe znalazła pole do swej gorliwości. Razu jednego w uroczyste święto udała się według zwyczaju do kościoła w Eisenach, we wspaniałem ubraniu książęcem, ustrojona w klejnoty, w złotej koronie na głowie, w towarzystwie matki mężowskiej i bardzo licznego orszaku. Miała zwyczaj, wchodząc do kościoła, podnosić oczy na krzyż. Spojrzawszy przeto na wizerunek Zbawiciela obnażonego, ukoronowanego cierniem, z przebitemi rękami i nogami, uczuła się tak wzruszoną, jak niegdyś w latach dziecięcych, i skupiając się w duchu, tak do siebie mówiła: „Patrz! oto Bóg twój zawieszony na krzyżu! a ty, stworzenie nikczemne, tak drogiemi okrywasz się szatami. Głowa Jego cierniem ukoronowana, a ty masz koronę ze złota!“ I w tej chwili, zwyciężona silnem wrażeniem, padła bez czucia na ziemię. Obecni, przerażeni, wynieśli ją z kościoła, aby odetchnęła świeżem powietrzem i poczęli ją cucić wodą święconą. Przyszła do siebie niebawem, lecz od tej chwili postanowiła wyrzec się wszelkiego stroju, z wyjątkiem dworskich uroczystości, lub wyraźnej woli małżonka.

Jakim był jej ubiór.

W zeznaniach jej towarzyszek, panien honorowych, wymienione są pewne szczegóły stroju książęcego, których Elżbieta nigdy nosić nie chciała. Tak naprzykład: nie używała materji kolorowych, jasnych zasłon na głowę, wąskich fałdowanych rękawów, które należały wówczas do wymagań mody, przepasek jedwabnych do włosów, sukien powłóczystych. Będąc niekiedy zmuszoną występować urzędownie w stroju książęcym, zawsze pod złotem i purpurą miała zwykłe wełniane szaty i ostrą włosiennicę, z którą się nigdy nie rozstawała. Na wszystkich publicznych zebraniach, których z obowiązku nie mogła opuścić, jaśniała skromnością, a zarazem wspaniałą powagą księżnej chrześcijańskiej. Zalecała też często skromność w ubiorze paniom wyższego towarzystwa, z któremi miała stosunki, zachęcając je gorliwie, aby przynajmniej

[1]) L' aur. séraph. T. II p. 420.

pod tym względem wyrzekały się próżności świata; posyłała im nawet wzory przyzwoitych i stosownych dla nich sukien. Usiłowania jej nie były bezowocne. Wiele z tych pań, zachęconych przykładem młodej i pięknej księżnej, wyrzekły się na zawsze zbytku i próżności; niektóre nawet ślubem się zobowiązały do umiarkowania w tym względzie.[1])

Ś. Róża Witerbska, 3 Z. (1252 r.)

Ś. Róża, będąc jeszcze dzieckiem, płonęła nienasyconą żądzą upokorzeń i wzgardy, które z nieopisanem weselem przyjmowała. Kto ją znieważył, upokorzył, oczernił, stawał się przedmiotem szczególnych jej względów, życzliwości i wdzięczności. Za dowód tego niech posłuży cud następujący: Róża, zaledwie sześć lat licząca, poszła pewnego razu czerpać wodę ze studni w towarzystwie swych rówieśniczek. Jedna z nich, bawiąc się i skacząc, stłukła gliniany dzbanuszek, z którym przyszła po wodę, a obawiając się słusznej kary, oskarżyła Różę, jakoby ona przez złość, tę szkodę jej wyrządziła. Matka winowajczyni, kobieta gwałtowna i kłótliwa, wypadła z domu w wielkim gniewie, głośno krzycząc i przeklinając, a spostrzegłszy Różę, obrzuciła ją publicznie łajaniem i groźbami. Święta, uszczęśliwiona z tych zniewag i upokorzeń, wysłuchała ich spokojnie, nawet się nie tłumacząc, owszem, przez wdzięczność za to dobrodziejstwo duchowne, pozbierała rozbite szczątki, pomodliła się nad niemi i oddała rozgniewanej kobiecie cały dzbanek, na którym ani ślad stłuczenia nie pozostał. Ze wszystkich cudów Róży, ten cud wiary dziecięcej najsilniej utkwił w pamięci mieszkańców Witerbu i stał się powodem narodowego święta. Co rok w dzień Ś. Róży przy jej kościele odbywa się sprzedaż malowanych figurek prostej roboty, przedstawiający służebnicę Bożą z dzbankiem w ręku; sprzedają się też piękne dzbanki polewane i malowane. Kobiety i dziewczęta, niosąc je na ramieniu, idą zaczerpnąć wody z tego samego źródła i opowiadają sobie wesoło różne zdarzenia z życia Świętej, której pamięć tkwi zawsze żywo w rodzinnem mieście.

W aktach procesu kanonizacyjnego znajdziemy inne jeszcze dziwniejsze zdarzenie. Matka Róży miała kurę niezwykłego gatunku, którą przywłaszczyła sobie pewna kobieta. Dowiedziawszy się o tem, posłała do niej świętą dzieweczkę, i ta bardzo pokornie zaczęła prosić o zwrot kradzieży. Ale złodziejka zapierała się uporczywie, odpowiadając zniewagami i przekleństwami na prośby dziecka. Święta odeszła z niczem, lecz Bóg nie przepuścił winy i zmusił kłamliwą złodziejkę do wyznania swego przestępstwa. Twarz jej pokryła się piórami, podobnemi do pierzy skradzionej kury i w żaden sposób nie można ich było wyrwać. Przestrach i zawstydzenie kobiety nie miało granic. Pospieszyła do Róży, oddała przywłaszczoną kurę, a upadłszy do nóg dzieciny, błagała ją z płaczem, aby jej uprosiła u Boga oswobodzenie od tej haniebnej kary, co też Święta modlitwą swoją natychmiast wyjednała.[1])

Brat Juniper, towarzysz Ś. Franciszka (1258 r.)

Jednym z pierwszych i najdoskonalszych uczniów Ś. O. Franciszka, był brat Juniper. Miał tak wiele pokory, cierpliwości, wzgardy świata i siebie samego, że wszelkie krzywdy tak w słowach, jak i w uczynkach mężnie znosił, a żadne utrapienia, pokusy, prześladowania nie mogły go wyprowadzić z równowagi. Nim doszedł do takiej wzgardy samego siebie, wiele od ludzi wycierpiał i często poczytywany był za błazna, zwłaszcza, że wyszukiwał coraz to nowych okazji do ściągnięcia na siebie zniewag i upokorzeń. Razu pewnego przyczepił sobie do habitu długi ogon, założył powróz na szyję i tak poszedł na rynek. Dzieci, zobaczywszy go, zaczęły biedz za nim, obrzucając go błotem i kamieniami. Po powrocie do klasztoru, bracia zgromili go bardzo surowo, mówiąc, że za zgorszenie, jakie daje ludziom, wart jest obicia kijem, on zaś jak najchętniej wszystko przyjmował, zbierając upokorzenia z taką skwapliwością, jak kupiec zbiera perły lub drogie kamienie. Innym razem usłyszał o jakiejś zabawie publicznej, na którą zgromadziły się tłumy ludu; ubrawszy się więc, jak poprzednio, poszedł i on na ową uroczystość, chcąc umyślnie, aby się z niego wyśmiewano. Gdy powrócił do klasztoru, bracia nazwali go głupim i godnym uwiązania na łańcuchu, ponieważ zniesławiał klasztor i zakon. Przełożony zaś wobec wszystkich groźnie go zapytał: „Nędzniku, jaką pokutę mam ci wyznaczyć za takie postępowanie?“ A na to brat Juniper: „Ojcze, każ mi raz jeszcze pójść tak na miasto i wrócić do klasztoru“. Odpowiedź ta wyjaśniła przełożonemu pobudki owego dziwactwa; zrozumiał, że brat Juniper z miłości Bożej wystawiał się na zniewagi.

---

[1]) Żywot Ś. Elżb. Węgiersk. Hr. Montalamberta s. 48.

[1]) Żyw. Ś. Róży p. Kerval.

Jak unikał czci ludzkiej.

Gdy go posłano do Rzymu, miejscowi zakonnicy, wiedząc już o jego wielkich cnotach, wyszli zawczasu za miasto, aby go ze czcią powitać. Zobaczywszy ich zdaleka i domyślając się, o co chodzi, Juniper zapragnął w jakibądź sposób uniknąć niepożądanych oznak szacunku, a w tym celu przyłączył się do gromadki rozbawionych chłopców i zaczął się hustać z jednym z nich na desce. Przyjaciele, którzy wyszli na jego powitanie, pozdrowili go z uprzejmością, lecz on im nic nie odpowiedział i huśtał się dalej, dopóki nie odeszli. Powróciwszy zaś do klasztoru, cieszył się bardzo, że zwyciężył pokusę próżnej chwały.

Innego znów razu, gdy bracia rozmawiali o śmierci, a jeden z nich powiedział, że pragnąłby umrzeć w klasztorze, brat Juniper wyraził życzenie, iż chciałby wtedy śmierdzieć, tak, aby każdy brzydził się przystąpić do jego trupa, i aby go wrzucono do dołu pełnego nieczystości. Tak dziwna była w tym Świętym wzgarda samego siebie i taka chęć być wzgardzonym z umarłym Chrystusem, którego po śmierci wszyscy odstąpili i naigrawali się z Niego. Nie mogąc się nasycić wzgardą za życia, pragnął jej nawet i po zgonie.[1])

Bł. Idzi, Brat Mniejszy (1262 r.)

Brat ten był często wyszydzany i wyśmiewany przez ludzi światowych, bawiących się kosztem jego prostoty. Razu jednego jakiś młodzieniec zawołał go do siebie, chcąc niby to wesprzeć go jałmużną, kiedy zaś braciszek pospieszył na wezwanie, wesoły młodzian, zamiast wsparcia, zaprosił go na partję warcabów. Idzi nie obraził się bynajmniej, nie okazał nawet zniecierpliwienia i ani słowa nie powiedziawszy, poszedł pokornie dalej.

Wracając raz z długiej pielgrzymki do swego klasztoru, brat Idzi rozważał z wielką boleścią grzechy swoje i takim się przejął żalem i skruchą serca, że czuł się niegodnym nazwy Brata Mniejszego. Przyszedłszy na miejsce, postanowił na wzór Ś. Franciszka publicznie się upokorzyć. Uprosił więc jednego z braci, aby go zaprowadził z powrozem na szyi bez habitu do izby, gdzie zebrali się wszyscy zakonnicy, a tam, padłszy przed nimi na kolana, zaczął najpokorniej błagać, aby go z litości do siebie przyjęli. Bracia, widząc jego poniżenie, wzruszyli się aż do łez i nakłaniali go, żeby włożył swój habit. Idzi długo się wzbraniał, a w końcu, kładąc odzież, oświadczył, iż bierze ją tylko jako jałmużnę, nie czując się godnym nosić ją jako zakonnik. Zgodzili się na to bracia, Idzi pozostał więc u nich, robiąc koszyki i oplatając butelki, a potem roznosił swoją pracę po wsiach, otrzymując za nią żywność i odzienie.[1])

[1]) Kron. 3 Zak. Ś. Fr. Cz. I, ks. 6. r. 24. s. 372.

Bł. Agnieszka Czeska, Klaryska. (1280 r.)

W trzecim roku życia Agnieszka została zaręczoną z Bolesławem, synem Ś. Jadwigi i Henryka Brodatego i posłana na wychowanie do klasztoru Cystersek w Trzebnicy. Ś. Jadwiga, owdowiawszy, zamieszkała wkrótce w tym klasztorze i ćwiczyła w cnotach małą Agnieszkę, lecz, gdy w trzy lata potem Bolesław umarł, maleńką narzeczoną przewieziono do Norbertanek w Czechach, gdzie kształciły się zwykle młode osoby najpierwszych w kraju rodzin. W tym świętym przybytku Agnieszka zajaśniała tak wyjątkowemi cnotami, że sława jej, rozchodząc się po świecie, doszła do wiadomości samego cesarza Fryderyka II-go i ten wysłał poselstwo do Przemysława, prosząc o rękę Agnieszki dla swego syna, Henryka. Zaręczyny odbyły się z najwspanialszą uroczystością i młoda, dziewięcioletnia dopiero, księżniczka oddaną została na dwór księcia austrjackiego, aby się tam obznajmiła z językiem i zwyczajami miejscowemi. Ale inne widać były zamiary Boże. Agnieszka, wyuczona w szkole Ducha Świętego, więcej się starała o miłość Pana Jezusa, niżeli o wszelką ludzką umiejętność. Gardząc rozkoszami ziemskiemi, cały Adwent i Post posilała się tylko chlebem i wodą, do której zaledwie trochę wina przylewała. W Wigilję Zwiastowania Najświętszej Marji Panny ogarnęło ją gorące pragnienie zachowania dziewictwa. Pragnienie to zmieniło się wkrótce w silne postanowienie. Bez względu na jawne przeszkody, ufna w szczególną opiekę Królowej dziewic, poczęła modlić się więcej, dawać hojne jałmużny, a to wszystko w intencji uproszenia sobie od Boga tej łaski, wobec której zaszczyty światowe wydawały się jej tylko próżnością. Bóg też wysłuchał jej próśb: najniespodziewaniej zaczęto odkładać zaślubiny z Henrykiem, a w końcu zmieniono zamiary i uszczęśliwiona Agnieszka wróciła do Czech. Tu jednak czekało ją nowe doświadczenie. Fryderyk II, cesarz, owdowiawszy, prosił o jej rękę i jednocześnie Anglja żądała jej w zamęście dla swego młodego króla, Henryka III-go. A kiedy król czeski przyjął propozycję cesarza, młoda księżniczka, wbrew swojej woli, została znów zaręczoną. Wśród tych przeciwności nie traciła jednak na-

[1]) Tamże.

dziei; podwoiła modlitwy i umartwienia, rozdawała jeszcze większe jałmużny, pod suknią książęcą, zdobną jedwabiem i złotem, nosiła włosienicę, nabitą kolcami, do łóżka wkładała ostre kamyki i pościła prawie ustawicznie. Na wzór Ś. Wacława, króla czeskiego, wstawała nieraz przedednem i, przybrana w grubą siermięgę, szła boso z kilkoma swemi towarzyszkami, nawiedzać potajemnie kościoły. Gdy zaś wróciła do pałacu, otarłszy nogi, nieraz skutkiem zimna krwią zbroczone, nakładała książęce stroje i szła już jawnie do kościoła, lub do ubogich. Lecz oto w roku 1233 cesarz Fryderyk przysłał do Pragi posłów, dla przywiezienia narzeczonej do Niemiec i odbycia zaślubin, a król Wacław, który objął tron po zmarłym już ojcu, Przemysławie, przyjął ich z wielką radością. Agnieszka miała wtenczas lat 18. Udręczona w najwyższym stopniu, znalazła wreszcie jakiś powód do zwłoki, a tymczasem napisała spiesznie do Grzegorza IX-go, Papieża, błagając, aby przeszkodził małżeństwu, na które ona sama nie zezwoliła, bo obrała sobie Chrystusa za jedynego Oblubieńca. Papież wyprawił natychmiast legata swojego do Czech w obronie księżniczki; Agnieszka zaś przedstawiła Wacławowi papiery Stolicy Świętej i błagała, aby jej nie zmuszał do małżeństwa, niezgodnego z uczynionym przez nią ślubem. Zasmucony bardzo tą wiadomością, Wacław nie wiedział, jak postąpić, bał się urazić cesarza, a nie chciał sprzeciwiać się żądaniu siostry, wreszcie postanowił oznajmić jej wolę cesarzowi. Ten uczuł się w pierwszej chwili bardzo obrażonym, ale, mając zapewnienie, że brat jej, król czeski, żadnego w tem nie miał udziału, zwolnił Agnieszkę z obowiązku przez zaręczyny zaciągnionego. Pochwalił nawet jej stateczność i okazaną przez nią wzgardę dostojeństw światowych, jakie ją w tem zamęściu czekały, a w końcu dodał te pamiętne słowa: „Gdyby mnie była odrzuciła dla innego śmiertelnika, byłbym się zemścił zbrojnie, ale nie mogę mieć jej za złe, że przekłada nademnie Króla Niebios". Szlachetne to wyrażenie człowieka, który wtedy nie był jeszcze całkowicie przewrotnym, jak stał się nim później przez tyrańską pychę. Tak to cnota działa nawet na ludzi nie odznaczających się prawością i zmusza ich do należnego sobie uszanowania.[1])

Ś. Małgorzata z Kortony, 3 Zak. (1297).

Trudno wyrazić, ile Małgorzata znosiła upokorzeń, tutaj jednak ograniczymy się na przytoczeniu pewnej ciężkiej próby, którą Bóg dopuścił na tę wierną służebnicę swoją. Pewne złośliwe osoby, zazdroszcząc Świętej widocznych łask Bożych i sławy u ludzi, rzuciły na nią potwarz i niecnie z ust do ust ją przenosząc, sprawiły, że cześć publiczna, jaką jej oddawano, zamieniła się w publiczną pogardę. Nazywano ją hipokrytką, obłudnicą, warjatką, unikano jej, jak opętanej; gorszono się tem, że Bracia Mniejsi nie odmówili jej kierunku duchownego, wyśmiewano łatwowierność osób, przybywających zdaleka, aby rad jej zasięgnąć, albo ją prosić o modlitwę. Zakładano nawet granice miłosierdziu Bożemu, utrzymując, że niepodobna, aby Bóg tej niedawnej gorszycielce tak nadzwyczajnych łask udzielał. Sam Boski Zbawiciel zdawał się to potwierdzać, usuwając podczas tej burzy wszelkie zewnętrzne oznaki łask swoich, jako to: słodkie uczucie pobożności, zachwyty, widzenia, które jej przedtem cześć ludzką zjednywały. Całą zemstą Małgorzaty była gorąca modlitwa za prześladowców, aby im Bóg najhojniejszemi łaskami zapłacił. „Każda zniewaga, mówiła Święta, zniesiona dla miłości Jezusowej, umacnia mnie, pokrzepia i dziwną słodyczą napełnia". Niekorzystne zdania o Małgorzacie, głoszone przez najczcigodniejsze osoby, bardzo smuciły Braci Mniejszych. Roztropni i pobożni nawet wątpili o jej świętości i przypuszczali, że biedna pokutnica jest może ofiarą złudzeń. Sam jej spowiednik był zaniepokojony, obchodził się z nią surowo i okazywał brak zaufania. Zmartwiona tym rodzajem niełaski, w jaką popadła u Braci Mniejszych, Małgorzata znosiła wszystko w cichości, składając swe żale u stóp Zbawiciela, Który zachęcał ją do cierpienia, dopóki sam nie uzna za stosowne uwolnić jej od niego.

Nie poprzestając na wzgardzie, jaką jej okazywano, Święta ściągała ją sama na siebie. Razu pewnego modlitwami swemi uzdrowiła jakiegoś młodzieńca, opętanego od złego ducha. Człowiek ten, przejęty wdzięcznością, zaczął jej dziękować. Małgorzata słuchała go bardzo niechętnie, a w końcu przerwała mu mowę następującemi słowami: „Wiedz o tem, że masz przed sobą naczynie nieczystości i obrzydliwości, kałużę wszelkich występków, a więc ani się waż przypuszczać, żeby Pan Bóg na moje prośby miał cię uwolnić z tego nieszczęścia. Jego nieprzebranej dobroci zawdzięczasz jedynie tę wielką łaskę".[1])

Bł. Joanna Marja de Maillé, wdowa 3 Z. (1414.)

Wybrana ta dusza przyszła na świat w zamku de la Roche (Rosz) w dyecezji Turoneńskiej. Żywot jej

[1]) L' aur. séraph. T. I p. 509.

[1]) S. Marguerite de Cortone par M. Berguin.

może służyć za wzór dla wszystkich stanów, była bowiem z kolei dziewicą, małżonką i wdową. Nadto urodzona w dostatkach, obrała sobie ciernistą drogę dobrowolnego ubóstwa; unikając zaszczytów, przyjmowała z radością wzgardę, będąc przejęta jedną tylko myślą podobania się Bogu. W tym rozdziale przytoczymy szczegóły, świadczące o zamiłowaniu przez nią wzgardy świata, na której brak bynajmniej nie mogła się uskarżać. Początek prześladowania wyszedł z rodziny jej małżonka; gdy bowiem w r. 1362 świątobliwy Robert zakończył życie, jego krewni poczęli się mścić na osieroconej wdowie za obfite jałmużny, jakie dotychczas razem z mężem czyniła, a w których oni widzieli uszczerbek majątku rodzinnego. Skończyło się na tem, że wydarłszy jej bezprawnie pozostałe mienie, wypędzono ją z zamku bez żadnych środków. Dotychczasowa dziedziczka olbrzymich włości skazaną została w ten sposób na tułaczkę i na żebranie jałmużny, o którą prosić musiała dawnych swoich poddanych.

Upokorzenia Bł. Joanny.

Doszedłszy o żebranym chlebie do miasta (Tur) Tours, Joanna nie znalazła miejsca, gdzieby mogła była skłonić swoją głowę. Najbliżsi krewni, żyjący w zbytku i dostatkach, nie chcieli się przyznać do jej znajomości, twierdząc, że wstyd przynosi rodzinie, ale miłośnica upokorzeń znosiła wszystko z weselem, ciesząc się, że może naśladować w tem Chrystusa Pana. Odepchnięta przez ludzi, z tem większą ufnością staranie o swoich potrzebach Panu Bogu zleciła. Troszcząc się jedynie o chwałę Bożą, dnie całe spędzała na modlitwie w kościele, nad wieczorem dopiero posilała się użebranym od przechodniów kawałkiem chleba, a na noc znajdowała sobie schronienie w opuszczonych zwaliskach jakiego budynku. Nie straciła przytem swobody ducha, kosztując obficie wesela wewnętrznego, którem Chrystus, wierny obietnicom swoim, napełnia serca sług wybranych. Po dłuższym czasie tej tułaczki zapukała Joanna do szpitala Ś. Marcina, prosząc o jakie zajęcie. Zakonnice, dozorujące chorych, przyjęły ją do zakładu i przeznaczyły do najniższych posług, w pełnieniu których pokora i inne cnoty Świętej jawnie się okazały. Nie mając już w ciągu dnia czasu na modlitwę, zwykle noce całe na niej trawiła. Raz, powracając z targu, obarczona ciężarami, spotkała brata swego, barona de Maillé, lecz ten odwrócił się z gniewem, nie chcąc patrzeć na mniemane poniżenie swego rodu. Ucieszona tem obejściem Święta serdecznie podziękowała Panu Bogu za nową okazję do zasługi. Zdawałoby się, że tyle cnót i tak wyjątkowa pokora winny były zjednać dla niej cześć i miłość otoczenia; tymczasem stało się wprost przeciwnie: służba szpitalna obrzucała ją na każdym kroku zniewagami i pogardą, wskutek czego siostry, dla utrzymania spokoju, zmuszone były ją wydalić.

Jej tułactwo.

Nie dosyć na tem. Prześladowanie, rozpoczęte w szpitalu, szatan rozciągnął na całe miasto, a oznaki nienawiści względem Świętej, przybrały tak groźne rozmiary, że zniewolona była gdzieindziej szukać przytułku. Schroniła się tym razem do opactwa w Baumont (Bomą), gdzie zakonnice szczerze ofiarowały jej gościnność, ale i tu dosięgła ją złość ludzka, musiała więc mury klasztoru opuścić. W rodzinnym jej majątku było ciche ustronie przy kapliczce Ś. Walerjana; Święta osiedliła się tam chwilowo, a dawni słudzy, przejęci litością, dostarczali jej w jałmużnie pożywienia; usłyszawszy jednak, że krewni niechętnem okiem patrzą na jej życie żebracze, poszła dalej, czując zresztą pragnienie większej samotności. Znalazła ją nakoniec w pobliżu walącej się kaplicy Najśw. Panny, gdzie kilka lat przeżyła w spokoju, a suchy chleb jęczmienny i woda ze stawu stanowiły cały jej posiłek. Kapliczka ta, odnowiona za staraniem Świętej i wzbogacona przez nią figurą Bogarodzicy, stoi w miejscu dzikiem, zwanem Planche de Nance (Plansz de Nans) i później stała się celem pobożnych pielprzymek. Dotąd pokazują statuę Matki Bożej, ogród założony przez Świętą i studzienkę, którą własnemi wykopała rękami.

Umartwienia i życie tułacze tak zrujnowały zdrowie Bł. Joanny Marji, że musiała rzucić ukochane zacisze i wrócić do Tours. Tutaj, nie znalazłszy nikogo, coby ją przyjął, przebywała dzień i noc w kościele, dopiero zakonnicy Ś. Franciszka, ulitowawszy się nad jej nędzą, wynaleźli w pobliżu ubogie schronienie, gdzie Święta spędziła ostatnie 27 lat życia.[1])

Ś. Franciszka Rzymianka, 3 Zak. (1440 r.)

Wawrzyniec Poncjani, mąż Świętej, świadek jej cnót i cudów, taką powziął cześć dla swojej małżonki, że nie śmiał korzystać ze swych praw i oświadczył, iż odtąd będzie widział w niej tylko siostrę, nie żonę. Wzamian jednak prosił ją, jak o łaskę, aby mieszkała w jego domu i nadal prowa-

[1]) L'aur. séraph. T II.

dziła cały zarząd. Uszczęśliwiona Franciszka natychmiast wyrzekła się świata, sprzedała wszystkie kosztowności, a pieniądze rozdała między ubogich; potem zrobiła sobie suknię z grubej tkaniny ciemnego koloru i prostej formy, tak, że nawet dla jej służącej była za lichą. Gdy ukazała się w tej szacie, wzbudziła ogólny podziw, ale widząc, że mąż jej to pochwalał, cieszyła się z upokorzeń, które na nią spadały. Nie dosyć na tem. Aby jeszcze więcej być wyśmianą, każdego dnia z rana szła do swoich winnic za miasto i, nazbierawszy suchych gałęzi, przynosiła je na głowie dla którego z biedaków. Raz nawet przyszła tak obciążona do swego domu. Mąż widział to i nie zganił jej, bo wiedział, że Święci czynią nieraz z natchnienia Bożego rzeczy bardzo niezwykłe. Później, chcąc większą ilość biednych opatrzyć, Franciszka kładła gałęzie na oślicę.

Pragnąc wzgardy, wychodziła w czasie głodu i drożyzny za miasto z bratową swoją, tam, gdzie ich nikt nie znał i żebrała jałmużny po domach. Ludność, poznawszy, że to niezwyczajne jakieś żebraczki, lżyła je, a nawet częstowała szturchańcami. Innym razem, idąc za procesją do bazyliki Ś. Pawła dla odprawienia przypadających tam Stacji, pomodliwszy się, zostawiła swoje towarzyszki w kościele, a sama, ulegając wewnętrznemu głosowi, wcisnęła się w szereg ubogich, którzy siedzieli na długiej belce i prosili przechodniów o wsparcie. Czyn ten sprawił jej wiele pociechy, gdyż myślała, że z pewnością zobaczy między tym tłumem znajomych swoich i będzie miała sposobność wzgardzenia względami ludzkiemi. Otrzymany chleb w jałmużnie sama jadła, a ubogim dawała swoją własną porcję, resztki bowiem, dane jej dla miłości Bożej zdawały się mieć dla niej jakiś smak nadprzyrodzony.[1])

Bł. Gabryel Ferretti, Obserwant. (1456).

Zostawszy członkiem Rodziny Serafickiej, Błogosławiony ten starał się być zapomnianym nietylko od świata, ale i od braci zakonnych. Całem jego dążeniem było wieść życie ukryte i wzgardzone. Główną też cechę tego sługi Bożego stanowiła wzgarda samego siebie, a stałe ćwiczenie się w tej cnocie wyrobiło zeń posłuszne narzędzie w rękach Boga do nawracania i uświątobliwiania dusz. Mianowany Prowincjałem, Bł. Gabryel odbył pielgrzymkę do Assyża dla dostąpienia odpustu Porcjunkuli. Udał się w drogę pieszo, bez towarzysza, odziany w ubogi habit, ażeby nie dać poznać wysokiej swej godności i uniknąć oznak uszanowania, którychby mu w przeciwnym razie nie szczędzono. Przechodząc przez miasto Fulgin, wstąpił do kościoła Braci Mniejszych pod wezwaniem Ś. Bartłomieja, by się pomodlić. Właśnie za chwilę jeden z ojców miał wyjść z Najświętszą Ofiarą i zakrystjan, biorąc Gabryela za braciszka, kiwnął na niego, aby poszedł służyć do Mszy Świętej. Błogosławiony spełnił to z wielkim pośpiechem, a kiedy później gwardjan klasztoru, dowiedziawszy się, że owym ministrantem był nie kto inny, tylko prowincjał Marchjański, zrobił zakrystjanowi wymówkę, Gabryel nietylko stanął w jego obronie, ale serdecznie mu podziękował, mówiąc, że z jego łaski dostąpił wielkiego zaszczytu, gdyż służenie do Mszy Św. jest czynnością Boską, którą chlubiliby się Aniołowie.

W ostatnich latach swego życia, będąc po raz drugi gwardjanem w Ankonie, sługa Boży został oskarżony przed ówczesnym prowincjałem, Ś. Jakóbem z Marchji, o jakąś drobną winę w spełnianiu obowiązku. Ś. Jakób, jako surowy przestrzegacz reguły, kazał mu wyznać to przed wszystkimi braćmi i odprawić publiczną dyscyplinę. Sługa Boży dopełnił pokuty z radością, aby zaś okazać swoją wdzięczność prowincjałowi za zbawienne upomnienie, posłał mu w podarunku dywan do kościoła i głowę cukru wraz z listem najserdeczniejszej treści. Ś. Jakób wzruszony tym dowodem miłości upokorzeń, wyrzucał sobie później, że zbyt surowo ukarał Błogosławionego.[1])

S. Katarzyna Bolońska, Klaryska. (1463).

Święta dziewica miała szczególne upodobanie w prostych i uciążliwych zajęciach. Jedna z sióstr, nie mogąc znieść, że opatka wybiera sobie najniższe posługi, rzekła do niej z miłością i współczuciem, iż nie powinna pracować, jak prosta konwerska, na co otrzymała odpowiedź następującą: „Wyście panie moje, oblubienice Jezusa Chrystusa, ja zaś jestem waszą sługą, powinnam przeto spełniać wiernie mój urząd i dobrze wam służyć“. Chcąc się wystawić na wzgardę, udawała brak rozumu i nieumiejętność. Gdy np. spełniała obowiązek lektorki, myliła się niekiedy umyślnie, aby ją poprawiano. Osobliwie starała się o najuboższe ubranie, używając zawsze rzeczy starych i zniszczonych. „Córki moje, mówiła do swoich zakonnic, jeśli was napadnie pokusa próżności, jeżeli obudzi się w was pragnienie nowego habitu, gładkiego i świeżego welonu,

[1]) Ste Françoise Romaine.

[1]) L'aur. seraph. T. IV

radzę wam, pogniećcie go raczej, bo tym sposobem lepiej spodobacie się Oblubieńcowi Niebieskiemu i ściągnięcie na siebie Jego łaski.[1])

Ś. Jakób z Marchji, Obserwant (1476 r.).

Ten znakomity Obserwant otrzymał na chrzcie świętym imię Dominika. Rodzice jego nie posiadali majątku, a całem ich bogactwem była żywa wiara i gorąca pobożność. Dziecię swoje wychowywali w bojaźni i miłości Bożej i pomimo swego ubóstwa, starannie je kształcili. Dominik ukończył ze świetnym postępem kurs nauk w Ascoli i uniwersytet w Perudżji, czyniąc jednocześnie wielkie postępy w pobożności i cnotach. Pewien bogaty obywatel peruski, zachwycony pięknemi przymiotami młodzieńca, powierzył mu kształcenie swoich synów, a potem zabrał go do Florencji i wyrobił mu zaszczytny urząd w magistraturze tego miasta. Świetna więc przyszłość otwierała się przed Dominikiem, biorąc zwłaszcza pod uwagę jego niskie pochodzenie. Lecz Bóg wcześnie odsłonił jego duszy niebezpieczeństwa i ułudę świata, a natchnął pogardą rzeczy przemijających. Idąc za tym wewnętrznym głosem, Dominik opuścił wszystko, aby tylko Boga miłować i Jemu całem sercem służyć w zakonie.[2])

Klemens Kapponi, Obserwant (1478 r.)

Brat Klemens, pochodzący ze znakomitego rodu Kapponich we Florencji, pomimo wysokiej nauki i wielkiego majątku, wzgardził światem i jego ponętami, przywdziewając habit Braci Mniejszych w stopniu prostego braciszka. Nie chciał bowiem święceń kapłańskich dla wielkiej pokory i wzgardy samego siebie. Samo wspomnienie świata już było mu przykrem, to też unikał stosunków nawet z najbliższą rodziną, a gdy zmuszony był zobaczyć się z krewnymi, kończył rozmowę jak najprędzej, bojąc się, aby mu nie udzielono jakich nowin, lub światowych wiadomości, któreby mu niepotrzebnie tylko mąciły pokój duszy.[2])

Bł. Anioł z Klawazio (Chivasso), Obserwant (1495 r.).

Anioł Karletti przyszedł na świat w Klawazio, małej mieścinie piemonckiej, leżącej nad brzegiem rzeki Po. Pobożni jego rodzice, którzy łączyli wielkie cnoty ze szlachetnością rodu, wychowali go w bojaźni Bożej. Matka szczególniej starała się rozwinąć w nim serdeczne nabożeństwo do Męki Pana Jezusa. Pod tak zbawiennym wpływem dziecię zapałało od młodych już lat miłością ku Ukrzyżowanemu Zbawcy; często wśród nocy klęczało w swym pokoiku, przyciskając miłośnie krzyżyk do ust swoich, za co Bóg udzielił mu łaski do zwyciężenia pokus wieku młodzieńczego. Po świetnem ukończeniu akademji bolońskiej powrócił z tytułem doktora teologji i obojga praw do rodzinnego miasteczka, gdzie zaraz książę Montferratu, zachwycony jego wiedzą i cnotami, wyniósł go na urząd senatora. Wszystko uśmiechało się do naszego młodzieńca: szlachetne pochodzenie, wielki majątek, względy książęce i uznanie powszechne, mógł więc spodziewać się wkrótce najwyższych zaszczytów. Lecz serce Anioła oddawna rwało się do życia zakonnego. Kiedy matka marzyła o stosownem dla niego małżeństwie, on, nie chcąc jej zasmucać swoim uporem, odpowiedział, że starszy brat jego, Krzysztof, ma tak liczną rodzinę, iż byłoby wielką nieroztropnością przyczyniać się ze swej strony do podziału dóbr ojczystych. Tymczasem młody senator dzielił swe wolne chwile między modlitwę a służenie chorym, coraz jaśniej pojmując znikomość tego świata i wewnętrzną piękność cnót ewangelicznych. Po kilku latach takiego życia, gdy matka umarła, oznajmił wprost Krzysztofowi, że nie może dłużej opierać się głosowi Bożemu i, zostawiwszy mu połowę dziedzictwa w dowód wdzięczności za opiekę w dzieciństwie, drugą połowę rozdał ubogim. Załatwił potem wszystkie sprawy swego urzędu i udał się do Genui, do klasztoru Obserwantów, gdzie przyjął habit Ś. Franciszka, licząc już 33 lata życia.[1])

Bł. Paula Gambara, 3 Z. (1505 r.).

Ta Błogosławiona, którą niewiasty i wdowy chrześcijańskie słusznie za wzór swój uważać mogą, urodziła się w Brescji, we Włoszech, ze szlachetnej rodziny Gambara. Od lat dziecięcych unikała starannie świata, odznaczając się zamiłowaniem samotności, modlitwy i czytań pobożnych. Gdy doszła do lat 16-tu, rodzice wydali ją za mąż za hrabiego Ludwika Kosta, pomimo wyraźnych oznak powołania do zakonu. W stanie małżeńskim przeprowadził ją Pan Bóg przez najcięższe, jakie być mogą próby i upokorzenia. Zapomniawszy o obowiązkach względem żony, hrabia oddał się publicznej rozpuście, z Paulą zaś obchodził się w sposób niegodziwy. Słudzy, idąc za przykładem pana, nie szczędzili jej również zniewag. Na wszystkie te prześladowania godna córka Ś. Franciszka odpo-

[1]) Ibidem T. I. [2]) S. Jacques de la Marche par M. Berguin. [3]) Kronika 3 Zak. Cz. III.

[1]) L' aur. séraph. T. II p 65.

wiadała z anielską słodyczą i cierpliwością, dochodzącą do heroizmu. Ukryta w swem oratorjum, wylewała boleść swą u stóp Zbawiciela, ofiarując wszystko za nawrócenie małżonka, gotowa przenieść tysiąc razy więcej, gdyby Bóg tego od niej zażądał. Niesprawiedliwość ludzką wynagradzał jej Pan Jezus nadzwyczajnemi łaskami i słodkiem uczuciem swej obecności. Wysłuchał też wreszcie jej gorących modłów, gdyż na krótko przed śmiercią hrabia wszedł w siebie i szczerze się nawrócił. Zostawił wówczas Pauli zupełną wolność w modlitwie i uczynkach miłosierdzia, pozwalając jej nawet nosić na zewnątrz habit 3-go zakonu. Po śmierci męża pobożna hrabina żyła już tylko dla Boga, rozmyślała ustawicznie Mękę Pańską, ćwiczyła się pilnie w cnotach, a ciało swe, jako hostję żywą, ofiarowała Bogu przez wielkie ostrości. Wszystkie swoje dochody obracała na wsparcie ubogich, którym najpokorniej służyła.

Pogarda od najbliższych jest bez porównania trudniejszą do zniesienia, niż wszelkie przykrości, doznane od obcych. Słusznie więc modlitwa kościelna, ułożona na święto tej służebnicy Bożej, zaleca nam głównie naśladowanie jej cierpliwości w znoszeniu prób codziennego żywota.[1])

Bł. Ludwika Albertoni, 3 Z. (1533 r.)

Błogosławiona ta, pochodząc z arystokracji rzymskiej, od dzieciństwa już gardziła światem, unikała jego rozrywek i brzydziła się próżnościami. Wydana za mąż, nie zmieniła w niczem swego postępowania, nie stosowała się ani do próżnych zwyczajów światowych, ani nawet do wymagań towarzyskich, jeżeli te przeszkadzały jej praktykom pobożności i miłosierdzia. Z chwilą zaś przyjęcia reguły Trzeciego Zakonu, postąpiła wyżej jeszcze w tej cnocie, przyczem Duch Święty prowadził ją inną drogą, niżeli świętą królowę Elżbietę. Odtąd ubraniem jej był stary, połatany habit, bynajmniej nie odpowiadający położeniu, jakie w świecie zajmowała, a który ściągał na nią szyderstwa krewnych i znajomych. Pogarda i urągowiska napełniały świętą matronę niewypowiedzianą radością; pragnęła całem sercem, aby wszyscy uważali ją za największą grzesznicę, a smuciła się, gdy ją chwalono, lub czcią otaczano. Naśladując Ś. Elżbietę, spełniała chętnie najniższe posługi względem ubogich i chorych, a prócz habitu, nawet w najostrzejszej porze roku, nic więcej na sobie nie nosiła. Nadto Błogosławiona unikała starannie każdego próżnego słowa, myśli, spojrzenia, a także wszelkich niepotrzebnych wiadomości, zabraniając nawet służbie swojej znoszenia plotek i nowinek.[1])

[1]) Ibidem T. I p. 121.

Franciszek z Villar, Obserwant. (1545 r.)

Na początku wieku XVI w dzisiejszej Andaluzji, w klasztorze Ś. Zoila, słynął ze świątobliwości życia brat Franciszek z Villar, były książę Segowji. Wychowany na dworze madryckim razem z królewiczem hiszpańskim, późniejszym Filipem II, pod wpływem łaski Boskiej wzgardził wszystkiemi zaszczytami, porzucił świat i, nikomu się nie zwierzywszy, wstąpił do Obserwantów. W zakonie przez lat 17 prowadził żywot prawie anielski i umarł w opinji świętości. Miasto Madryt czci, jako drogie relikwje, nietylko ciało, ale i szaty sługi Bożego.[2])

Bł. Andrzej Hibernon, Obserwant bosy. (1602 r.)

Bł. Andrzej Hibernon urodził się w Murcji (Hiszpanja) roku 1534 ze szlacheckiej i zamożnej niegdyś rodziny, która skutkiem zmiennych kolei losu doszła do ubóstwa. Wiek dziecięcy spędził w Alkantarilla, a młodzieńczy — przy stryju kapłanie w Walencji. Od najmłodszych lat odznaczał się pobożnością, wyssaną niejako z mlekiem matki, która, będąc sama pełna żywej wiary, umiała wpoić ją w syna. Młody Andrzej z pobożnością łączył zamiłowanie pracy, gorąco bowiem pragnął uzbierać dla małoletniej siostry posag, któryby jej dopomógł do wyboru stanu; w pocie czoła więc składał grosz do grosza, ciesząc się, że tą oszczędnością da ojcu dowód przywiązania. W dwudziestym roku pożegnał stryja i puścił się w drogę do rodziców, myśląc o radości, jaką im sprawi zarówno powrotem swoim, jak i uzbieraną sumką, ale w drodze został napadnięty i zrabowany przez zbójców, tak, iż zaledwie uszedł z życiem. Zdarzenie to wywarło stanowczy wpływ na młodym umyśle. Poznał, że pracować warto tylko dla pozyskania takich skarbów, których złodzieje nie złupią, a pełen sił i zdrowia opuścił świat i poświęcił się zupełnie Bogu. W roku 1556 wstąpił Andrzej do zakonu Obserwantów w Kartaginie, a w 1563 przeszedł do ostrzejszej reguły Obserwantów bosych w prowincji Ś. Józefa.[3])

Cz. Franciszek Gonzaga, Obserwant. (1620 r.)

Pod dniem 30 kwietnia Menolog zakonu wspomina o czcigodnym Franciszku Gonzadze, ze

[1]) Ibidem p. 262. [2]) Kron. 3 Zak. Cz IV, ks. 3. r. 3 s. 196. [3]) L'aur. séraph. T. II.

zgromadzenia Obserwantów regularnych. Był on kolejno prowincjałem weneckim i Ministrem generalnym całego zakonu, a umarł, pełen cnót i zasług, na stolicy biskupiej w Mantui. Urodził się ten wielki sługa Boży w Gazzolo pod Mantuą r. 1546, jako syn Karola i Emilji, książąt Gonzagów; na Chrzcie świętym dano mu imię Annibala. Od najmłodszych latek zauważono w nim niezwykłą miłość dla ubogich i szczególny pociąg do modlitwy. Kiedy Pyrrus, starszy brat jego, i Scypio, młodszy, który później został Kardynałem, bawili się w różne gry, Annibal wybiegał do kościołów, albo, zamknięty u siebie w pokoju, oddawał się rozmowie z Bogiem.

W 9 roku życia, straciwszy ojca, przeszedł pod opiekę Kardynała Herkulesa Gonzagi, brata księcia mantuańskiego, jednej z największych ozdób Świętego Kolegjum w wieku XVI. Kardynał kazał go uczyć łaciny, muzyki, konnej jazdy i władania bronią, a wtenczas już zobaczył w Annibalu nadzwyczajne zdolności umysłowe. Paula Gonzaga, siostra Kardynała, Klarýska w Mantui, której Pan użyczał daru widzeń, przepowiedziała, że Annibal odda kiedyś wielkie usługi Kościołowi.

Wysłany w 11 roku na dwór królewski do Niderlandów, a potem do Hiszpanji, dla towarzystwa młodego królewicza, don Karlosa, nie zepsuł się pod zgubnym wpływem dworu i owszem wszyscy musieli go podziwiać za jego pilność w naukach, skromność i inne cnoty: młodzieniaszek szukał samotności, poświęcał długie godziny na modlitwę i ćwiczył się w umartwieniach. Dworzanie tak go szanowali, że sama jego obecność wstrzymywała ich od zbyt wolnych żartów i dowcipów. Mając lat 15, skończył z odznaczeniem słynny uniwersytet w Alkala. W czasie nauk chodził on często do klasztoru Obserwantów i modlił się przy grobie Ś. Dydaka, którego sobie obrał za patrona; czytał przytem kroniki Braci Mniejszych, co utwierdziło go w rodzącem się powołaniu; poznał, że Pan Bóg chce go mieć w zakonie serafickim. Gdy to jego postanowienie stało się jawnem, wszyscy oburzyli się nań, chcąc go od tego odwieść. Książę Parmy i infant don Karlos, miłujący serdecznie Annibala, używali wszystkich środków, ale napróżno. Król zabronił nawet Obserwantom przyjąć go do zakonu bez wyraźnego jego zezwolenia. O. Bernard Fresneda, Obserwant, spowiednik Filipa II i Biskup w (Kuenssa) Cuença, otrzymali polecenie widzenia się z młodzieńcem i wybicia mu z głowy jego zamiaru. Prałat, choć z żalem, podjął się tego, ale przekonawszy się, że powołanie to jest prawdziwem, stanął po jego stronie. I rzeczywiście Filip II pozwolił mu w końcu napisać do opiekuna, znajdującego się wówczas na Soborze Trydenckim, a gdy ten odpowiedział twierdząco, dano mu swobodę wstąpienia do zakonu. Znalazłszy się u szczytu swych pragnień, młody książę wstąpił do Obserwantów w Alkala i otrzymał habit z rąk O. Fresneda, nie mając jeszcze lat 16-u. Imię Annibal zmieniono mu na Franciszek. Rzadko który nowicjusz wziął się z takim zapałem do doskonałości. Zapominając o świetnem swojem urodzeniu, był najpokorniejszy, najposłuszniejszy i najwięcej umartwiony, a nadewszystko najuboższy między braćmi, jednem słowem wzór zgromadzenia. W czasie nowicjatu musiał przejść nowe próby ze strony matki i starszego brata, którzy go chcieli stamtąd wyciągnąć, lecz stałość Franciszka była niewzruszona. Gdy don Karlos i inni dworzanie nawiedzali go, skracał, o ile było można, te wizyty, aby się domyślili, że pragnie żyć w skupieniu. Pewnego dnia Wespazjan Gonzaga, wicekról Walencji, przysłał doń swego posła przy dworze madryckim, z oświadczeniem, że dostarczy mu wszystkiego, czegoby potrzebował. Franciszek dał mu następującą piękną odpowiedź: „Brat Mniejszy, mający igłę, nici i kawałek sukna do zreperowania starego habitu, nie ma żadnych więcej potrzeb".

Franciszek Gonzaga miał wielki udział w powołaniu zakonnem swego krewnego Ś. Alojzego Gonzagi. Bollandyści mówią, że po Bogu, on był głównym sprawcą jego wstąpienia do Jezuitów. Podczas kiedy sługa Boży wizytował klasztory swoje w Hiszpanji, Ferdynand Gonzaga, markiz Szatiljonu, prosił go o zbadanie i wypróbowanie jego syna Alojzego, który był na dworze madryckim. Pobożny Generał widział się z Alojzym, poznał głos Boży w świętych jego pragnieniach i utwierdził go w chęci zostania członkiem Towarzystwa Jezusowego; następnie pojechał z nim do Włoch i starał się usunąć wszystkie stawiane mu przez rodzinę trudności. Dodajmy, że Ś. Alojzy jak na świecie, tak i w życiu zakonnem był wiernym naśladowcą czcigodnego Franciszka Gonzagi, którego przykład miał przed oczyma. Po śmierci młodego Świętego, Franciszek Gonzaga, ówczesny Biskup Mantui, zajął się bardzo gorliwie jego kanonizacją, a gdy go beatyfikowano, kazał obchodzić uroczyście święto jego w swej katedrze i w r. 1619 ogłosił dekret, uznający Bł. Alojzego patronem miasta Mantui.

Jako Biskup, Cz. Franciszek był dla Mantui tem, czem Ś. Karol Boromeusz dla Medjolanu. Zakończył swój żywot 11 marca r. 1620. Ostatnie Sakramenta przyjął z uczuciami niezwykłej pokory i pobożności, poczem ucałował miłośnie krucyfiks i zasnął słodko w Panu, mając lat 74, z któ-

BRAT SZYDZI ZE S. FRANCISZKA.

rych 25 spędził w klasztorze, a 33 na stolicy biskupiej. Po śmierci ubrano go, wedle życzenia, w pierwszy habit, jaki dostał przy obłóczynach, na który dopiero włożono szaty biskupie. Twarz jego była jakby przemieniona i nacechowana niebiańską radością; jego ciało, wystawione przez kilka dni ku uczczeniu wiernych, zachowało ciepło naturalne i giętkość członków i wydawało woń przyjemną. Złożono je w katedralnym kościele w grobowcu pod wielkim ołtarzem.

Liczne cuda okazały chwałę, jakiej zażywał w niebie ten sługa Boży i pozwoliły rozpocząć sprawę jego beatyfikacji, która, przerwana na chwilę, teraz wznowioną została[1]).

Ś. Franciszek Salezy, Biskup Genewski—3. Z. (1622 r.)

Rodzina hrabiów Salezych, będąc jedną z najznakomitszych rodzin w Sabaudji, dała bardzo świetne wychowanie swemu najstarszemu synowi. Młody hrabia był początkowo w paryskiem kolegjum Jezuitów, następnie uczęszczał na wykłady w Sorbonie, a wreszcie wysłany został do słynnego uniwersytetu padewskiego, gdzie przez sześć lat słuchał najpierwszych mistrzów wymowy i prawa. Oprócz tego studjował teologję i języki grecki i hebrajski, aby módz czytywać Pismo Święte w oryginale. Poważny umysł młodzieńca już w czasie nauk zaczął się skłaniać do obrania sobie zawodu duchownego. Lecz jakaż spotkała go niespodzianka, gdy powróciwszy do domu, usłyszał od ojca, że ten pragnie go ożenić i że na drugi dzień pojedzie z nim oświadczyć się o rękę baronówny de Vegy. Wiadomość ta była dla Franciszka uderzeniem piorunu; nie odważył się jednak zaprzeczyć, ani też przedstawić swego postanowienia, zachowaniem tylko swojem dał poznać, że nie podziela wcale zamiarów ojca, czem ściągnął na siebie gorzkie i przykre wymówki. Hrabina, przyjaciele i krewni używali całego wpływu, aby przekonać młodzieńca, wszystkie jednak zabiegi okazały się bezskutecznemi. Gorzej było jeszcze, gdy książę sabaudzki, dowiedziawszy się o zdolnościach i wykształceniu hrabiego, przysłał mu nominację na senatora w Szamberi (Chambery). Franciszek stanowczo odmówił jej przyjęcia, czem doprowadził ojca do takiego gniewu, że wyjawienie rzeczywistych zamiarów stało się już dla niego rzeczą nieodzowną. W tym celu zwrócił się do brata stryjecznego, Ludwika Salezjusza, kanonika katedry genewskiej, który miał wielkie względy u jego rodziców. Pobożny Ludwik przyrzekł mu swą pomoc, żądając tylko chwilowej zwłoki, a przez ten czas wystarał się dla Franciszka o nominację na wakujący urząd proboszcza katedralnego w Genewie, sądząc, że ta wysoka godność, pierwsza po Biskupie, ułagodzi nieco gniew rodziców. Nominacja wkrótce nadeszła, ale Franciszek, który o niczem nie wiedział, nie chciał ani słyszeć o przyjęciu tego urzędu. Utrzymywał, że czuje się go niegodnym; że byłoby niesprawiedliwością, nie przechodząc niższych stopni, zająć odrazu miejsce pierwsze po Biskupie; że nie miał do tego ani doświadczenia, ani wystarczających zdolności i że w obiorze stanu duchownego nie szuka żadnych dostojeństw, mając na względzie jedynie tylko chwałę Bożą. Prosił, żeby to miejsce zatrzymał dla siebie, gdyż on pragnie być ostatnim pracownikiem w winnicy Pańskiej. Ale tu wola Ludwika okazała się niezłomną i Franciszek, potrzebujący jego poparcia u rodziców, musiał ustąpić.

Przybywszy do zamku de Sal (Sales), Ludwik pokazał stryjostwu bullę papieską, przysłaną dla ich syna; oznajmił im, że Franciszek oddawna już postanowił obrać sobie stan duchowny; że miał prawdziwe powołanie, od którego żadna siła nie zdoła go odwieść, że, znając obowiązki swoje względem rodziców, uprasza ich o zezwolenie, spodziewa się jednak, że nie zechcą stawić oporu woli Boga, który od najwcześniejszej młodości do siebie go pociągał. Po długim i wytrwałym oporze rodzice dali mu nareszcie swe błogosławieństwo na nową drogę życia. „Proszę Boga, mój synu, rzekł hrabia głosem drżącym od łkań tłumionych, aby był twoją nagrodą w niebie, jak będzie jedynem szczęściem na ziemi". Wkrótce potem Franciszek uszczęśliwiony wyjechał do Genewy; przedtem jednak wstąpił do Annecy, aby się przedstawić Biskupowi. Pragnął on gorąco przejść wszystkie stopnie kapłańskie, poczynając od najniższego, ale Biskup, znając jego głęboką naukę i pobożność, stanowczo się na to nie zgodził; objął więc niezwłocznie obowiązki proboszcza.

Wzgarda ziemskich zaszczytów.

Pomimo, że Franciszek starannie unikał wszelkiego rozgłosu, sława jego świątobliwości odrazu się rozszerzyła. Książę Sabaudzki, w dowód wyjątkowego uznania, ofiarował mu ponownie godność senatora, zajmowaną przez poprzedniego proboszcza genewskiego. Przedstawiał mu, że obowiązek ten w niczem nie będzie się sprzeciwiał jego ćwiczeniom pobożnym, że da mu sposobność wyświadczenia wiele dobrego ubogim i uciśnionym, pracowania nad wytępieniem występków, uchodzą-

[1]) Ibidem.

cych często bezkarnie. Rodzice też gorąco pragnęli tego zaszczytu dla swego syna, aby choć w części wynagrodzić sobie zawiedzione nadzieje. Ale głęboka pokora Franciszka była niewzruszoną; podziękował swemu władcy, starając się przekonać go, że służba Boża, jeśli ma być spełnianą sumiennie i prawdziwie, powinna zająć wszystkie chwile duchownego; że ksiądz powinien starać się o powiększenie chwały Boskiej i zbawienie dusz oddanych jego pieczy, a więc nie może się troszczyć o sprawy doczesne i świeckie. Zapewniał, że życie spokojne, zdala od gwaru i zgiełku światowego, jest najodpowiedniejsze jego usposobieniu, i że we wszystkiem pragnie naśladować Chrystusa, który pokorę i ubóstwo tak bardzo umiłował. Widocznie Bóg różnemi drogami prowadzi wybranych swoich: jednych powołuje na urzędy zaszczytne, dając im ku temu energję i moc ducha, innym wlewa do duszy nieprzezwyciężony wstręt do tych zajęć, które nie licują ze spokojem i słodyczą, mających tak wielką cenę dla dusz wybranych.

Usuwa się od godności biskupiej.

Kilkoletnia działalność Franciszka w walce z herezją w Szablę (Chablais), zwróciła nań od początku uwagę Biskupa, który w myślach swoich już go przeznaczył na swego koadjutora i następcę. Gdy więc pewnego razu Franciszek przybył do Annecy, aby zdać Biskupowi sprawę ze swoich czynności, ten ostatni oznajmił mu o swoim zamiarze, przedstawiając, że sędziwy wiek jego i połączone z nim choroby, wymagają koniecznie pomocy w zarządzie dyecezją.

Franciszek na razie tak się zmieszał, że nie znalazł odpowiedzi; w końcu, uspokoiwszy się nieco, podziękował Biskupowi za zaszczyt, jaki mu chciał wyświadczyć, ale błagał go szczerze, aby zrobił inny wybór. Przedstawił mu, że to ciężar nad jego siły i że czuje się zupełnie nieodpowiednim do zajęcia tak ważnego stanowiska, a co ważniejsza, że wstępując w stan duchowny, oprócz pracy dla dobra bliźnich, miał też na celu własne zbawienie, temu zaś piastowanie tak wysokiej godności, jak biskupstwo, było w jego przekonaniu wielką przeszkodą. Dowodził, że przecie widziano nieraz kapłanów, którzy mogli służyć za wzór wszelkich cnót, dopóki żyli w ciszy i w odosobnieniu, a wyniesieni na wysokie urzędy, zmieniali się odrazu w ludzi światowych, próżnych, żądnych zaszczytów i bogactw, dbałych tylko o dobra doczesne. Takie przykłady przerażały go. Lękał się, że pokusy, przywiązane niejako do tych wielkich godności, straszne być muszą, skoro są w stanie skruszyć moc najsilniejszego ducha. Błagał więc Biskupa, w imię przyjaźni, jaką go dotąd zaszczycał, aby nie myślał o nim i spuścił się na Opatrzność w wyborze swego następcy.

Biskup nawzajem przekonywał Franciszka, że chyba niebezpieczeństwo nie może być tak wielkie, skoro Kościół liczy najwięcej świętych Biskupów. Widząc jednak, że go nie przekona, nie nalegał dłużej; prosił tylko, żeby Franciszek polecił tę sprawę Panu Bogu, który oświeci jego umysł i skruszy zbyt wielką pokorę. Sam zaś wystarał się u księcia sabaudzkiego o nominację na koadjutora, a otrzymawszy takową, posłał ją Franciszkowi z zaleceniem, żeby przyjął ofiarowany urząd pod karą nieposłuszeństwa władzy wyższej. Franciszek aż nadto był przekonany o ważności tej władzy, aby się dłużej opierać. Przystał więc na żądanie Biskupa, lecz troska moralna i niepokój, czy będzie mógł podołać tak ważnym obowiązkom, przyprawiły go o ciężką i niebezpieczną chorobę. Ale Bóg, który go przeznaczył do wielkich celów, zachował życie jego dla pożytku i sławy Kościoła. Wkrótce potem Biskup wysłał go do Rzymu, dla dopełnienia formalności koadjutorji, a, obawiając się, żeby Franciszek nie zechciał użyć wpływu Papieża dla uwolnienia się od nowych obowiązków, dał mu za towarzysza własnego swego synowca, kanonika i wikarjusza generalnego katedry genewskiej. Przybywszy do Rzymu i uzyskawszy posłuchanie u Ojca Świętego, Franciszek wyjaśnił, że staje przed Jego Świątobliwością z tą tylko prośbą, aby go uwolnił od obowiązku ponad siły, na który był niejako przymuszony dać swe zezwolenie, ale Papież, uprzedzony z góry o wszystkiem, odpowiedział, że sprawy tej nie należy już poruszać, gdyż w zupełności pochwala i potwierdza wybór Biskupa. Otrzymawszy przeto potrzebne dokumenty i brewe papieskie, nowy koadjutor powrócił do Chablais.

Wzgarda dostatków i honorów.

Było to w r. 1600, w czasie wojny księcia sabaudzkiego z królem francuskim, Henrykiem IV, zakończonej w styczniu, r. 1601 pokojem w Ljonie. Na mocy tego pokoju część dyecezji genewskiej dostała się Francji i zaczęła podlegać uciskowi religijnemu ze strony kalwinistów. Natchnęło to Franciszka myślą udania się na dwór francuski, aby otrzymać od króla pozwolenie założenia tam misji katolickiej. Biskup genewski pochwalił ten zamiar, więc koadjutor zaraz wyruszył w drogę; napotkawszy jednak w Paryżu wielkie trudności, zmuszony był zatrzymać się tam

dłużej, niż zamierzał. Ponieważ właśnie w chwili jego przybycia kaznodzieja nadworny musiał nieprzewidzianie przerwać kazania, zaproponowano Franciszkowi, aby go zastąpił, co też gorliwy Biskup najchętniej uczynił, korzystając z okazji, aby szerzyć chwałę Bożą. Nie przypuszczał jednak bynajmniej, ile niepożądanych wyróżnień i zaszczytów ściągnie to na niego samego. Po skończonym szeregu kazań wielkopostnych dwie księżne, najbardziej wpływowe, przypuszczając, że młody koadjutor nie ma wielkich dochodów, a wiedząc, że rozdaje hojne jałmużny, przysłały mu znaczną sumę pieniężną. Franciszek jednak odesłał ją napowrót z podziękowaniem, prosząc, żeby księżne zrobiły mu daleko większą przyjemność i rozdały tę sumę biednym, którzy bardziej niż on potrzebują pomocy. Było to jedyne z jego strony pragnienie, gdyż dawał darmo to, co z łaski Bożej sam darmo otrzymał. Tenże los spotkał inne znaczne ofiary, które mu z różnych stron nadsyłano. Król sam miał dla Franciszka najwyższy szacunek i radził się go często w kwestjach osobistych, tyczących sumienia, a nieraz bardzo drażliwych, wreszcie prosił go, żeby został na zawsze we Francji, przyrzekając mu pierwsze wakujące biskupstwo, tymczasem zaś ofiarował mu znaczną pensję. Ale, ku wielkiemu zmartwieniu swoich przyjaciół, Franciszek odmówił propozycji co do biskupstwa, dowodząc, że Opatrzność już mu przeznaczyła pole działania, na którem chce pozostać aż do śmierci, nie pragnąc innych korzyści ani dostojeństw. Co zaś do przyjęcia daru królewskiego, sądził, że byłoby to obrazą odmawiać dobremu władcy, który mu okazywał tyle życzliwości; zgodził się więc na przyjęcie ofiarowanej mu sumy, ale pod warunkiem, że zostanie złożoną na ręce jałmużnika królewskiego, u którego znajdzie ją zawsze, gdy będzie w potrzebie. Król aż nadto zrozumiał, że była to szlachetna odmowa, ale zamiast gniewać się, podziwiał tylko i uwielbiał tę pogardę rzeczy doczesnych. Załatwiwszy dość pomyślnie sprawę, za którą przybył, koadjutor opuścił Paryż z wielkim żalem króla i przyjaciół. W kilka dni potem w drodze otrzymał wiadomość o śmierci Biskupa genewskiego, pośpieszył więc do czekających go obowiązków, które spełniał z wielką pokorą w ciągu lat 20-u, unikając zaszczytów przywiązanych do tej godności.

Ta wzgarda próżności światowych objawiła się w nim nawet na łożu śmiertelnem, gdy go bowiem pocieszano, że jeszcze wyzdrowieje i doczeka powrotu na stolicę genewską, Święty pokornie odpowiedział: „Biskupstwa genewskiego nie pożądałem nigdy, ale o nawrócenie Genewy i o jej zbawienie zawsze prosiłem Boga i w tej chwili również serdecznie Go o to proszę“.[1])

Jak Bóg popierał prace braci, odwodzących od próżności świata.

Pewnego razu w Paryżu jakaś dama światowa, przybrana w drogie szaty i inne kosztowności, spowiadała się przed Bratem Mniejszym, który ją namawiał, aby coprędzej to wszystko porzuciła, gdyż niepodobna jest służyć razem światu i Bogu. Pani ta nie mogła się zdobyć na takie zaparcie, lecz gdy spowiednik przytaczał jej coraz to nowe pobudki, a nawet groził niepewnością zbawienia, wzruszyła się i obiecała poprawę. Nie rozumiejąc jednak do jakiego stopnia wyrzeczenia Pan Bóg ją wzywa, modliła się, aby wszystko, cokolwiek miała na sobie przeciwnego woli Bożej, samo z niej opadło. Zaledwie skończyła tę modlitwę, otoczył ją gęsty, ciemny obłok i spadły z niej wszystkie kosztowne ubiory. Tak jawny cud ostatecznie nawrócił światową damę: porzuciwszy stroje, żyła odtąd w pokorze i wzgardzie świata, pokutując za przeszłe swe próżności.

Kapucyni.

Mateusz z Umbrji. (1531 r.)

Wstąpiwszy do Obserwantów, Mateusz trapił się bardzo wielkiem rozprzężeniem, jakie zastał w tym zakonie, a dowiedziawszy się o reformie Mateusza z Bascji, założyciela Kapucynów, za pozwoleniem Stolicy Apostolskiej zaraz do nowego zakonu się przyłączył. Reforma ta w całej Serafickiej Rodzinie bardzo niechętnie była widziana, a nawet poczytywano ją za rodzaj odstępstwa, wszyscy więc, którzy dla swojej gorliwości przechodzili do Kapucynów, lub nawet ze świata do nich wstępowali, narażeni byli na ciężkie prześladowania. Na żadnem prawie miejscu nie mogli mieszkać spokojnie, zmuszeni więc byli pojedyńczo lub co najwyżej po kilku kryć się w odludnych okolicach, aby nie wpaść w ręce nieprzyjaciół. Ten sam los spotkał Mateusza z Umbrji. Unikając miast większych, przebywał w okolicach Fabriano i Kamerynu. Żywił się korzonkami i wyżebranym chlebem, nic innego w jałmużnie nie przyjmując. Gdy go zmorzyła potrzeba snu, szukał schronienia na polach pod drzewem, po miasteczkach zaś w stajniach na barłogu. We wszystkich tych prześladowaniach dawał mu Pan Bóg taką łaskę, że im

[1]) Żywot Ś. Franciszka Salezego przez H. Marsollier.

liczniejszych doznawał przykrości, tem goręcej modlił się za swych ciemiężycieli, tak, że nieomal wpadał w zachwycenie. Była to cnota nader stosowna dla członka zakonu, opierającego się na doskonałem naśladowaniu wzgardzonego Chrystusa. Trzy lata prowadził sługa Boży taki ciężki żywot, zajmując się apostolstwem po wsiach i miasteczkach, o ile mógł w nich bezpiecznie się ukazywać. W końcu, zachorowawszy śmiertelnie, znalazł przytułek w chatce jakiegoś pobożnego wieśniaka. Lecz gdy choroba dłużej się przeciągała, Mateusz, nie chcąc nikomu być ciężarem, ani też zwalniać się z ubóstwa zakonnego, prosił, aby go przeniesiono do pustej na pół rozwalonej chatki, stojącej na przedmieściu Kamerynu. Tam, na garstce słomy, podłożywszy płaszcz pod głowę, oczekiwał śmierci, nie przyjmując żadnych innych wygód, prócz koniecznego pożywienia, jakiem go obdarzali pobożni mieszkańcy. Za to zgon świętego męża, który za życia był przedmiotem wzgardy i prześladowań, dowiódł, jak odmienne były o nim sądy Boże. W chwili jego śmierci dzwony w kościele Ś. Franciszka w Kamerynie same zadzwoniły. Zdziwieni mieszkańcy nie wiedzieli, coby to miało znaczyć, aż niektórzy usługujący czasem Mateuszowi, wpadli na myśl, że to jest może oznajmienie jego zgonu. Rzeczywiście, przyszedłszy do owej nędznej chatki, znaleźli Mateusza, leżącego bez życia, z oczami i rękami wzniesionemi ku niebu. Biskup, dowiedziawszy się o tem, przybył do zwłok zmarłego w otoczeniu duchowieństwa i sam dopilnował uroczystego przeniesienia ciała do Braci Konwentualnych. Świątobliwa śmierć Mateusza podniosła bardzo w opinji ludzkiej zakon Kapucynów, cierpiący wówczas tak ciężkie prześladowania.[1])

Franciszek Tytelman (1537 r.)

Brat ten, rodem Niderlandczyk, człowiek wielkiej nauki, wstąpił pierwotnie do zakonu Obserwantów, kiedy jednak usłyszał o założeniu ściślejszej reformy, udał się wraz z kilku towarzyszami do Włoch, a przyjęty przez Wikarego generalnego Bernardyna z Asti, wkrótce wyniesiony został na urząd teologa. Tytelman wszakże, który po to zmienił habit zakonny, aby bardziej w pokorze i w innych cnotach postąpić, nie rad był wcale odznaczeniu, jakie go spotkało; zwrócił się więc znowu do Wikarego generalnego i choć z trudnością, otrzymał zwolnienie, a raczej zamianę zaszczytnego stanowiska na urząd dozorcy w szpitalu dla nieuleczalnych. W celu przytłumienia w sobie pychy umysłu, pokorny Franciszek, choć nie znał dobrze języka włoskiego, umyślnie się nim posługiwał, aby przez to uchodzić za prostaka. Dziwili się też wszyscy, znający go bliżej, że ten mąż Boży, biegły w naukach nietylko duchownych, ale i świeckich, podejmował wzgardzone zajęcia, usługiwał chorym, zamiatał sale, spełniał najniższe posługi z taką dokładnością, jakby to były dzieła najważniejsze. Pewnego razu dawni uczniowie zwrócili jego uwagę, że się oddaje niestosownym zajęciom i że z większym pożytkiem mógłby służyć Bogu, układając mądre księgi. Wówczas Franciszek, pokazując na chorych, odpowiedział: „To są moje księgi, które codziennie układam: moi Augustynowie, Chryzostomowie i Ambrożowie, którzy wciąż mnie kształcą i przypominają mi, że mało warta jest nauka, niepołączona z pobożnością".[1])

Jan z Fano (1539 r.)

Jan z Fano, pierwotnie prześladowca Kapucynów, a później najgorliwszy swego czasu członek ich zgromadzenia, mianowany Komisarzem tej reformy, w ciągu niespełna roku cztery nowe klasztory założył. W tym samym celu udał się z jednym towarzyszem do Werony, lecz tu napotkał wielkie przeciwności, które tylko za szczególną łaską Boską udało mu się ostatecznie zwyciężyć. Skoro bowiem ukazali się obaj w grubym i krótkim habicie, zaledwie do połowy goleni sięgającym, z nieznanym dotąd kapturem i bosemi nogami, wszyscy prawie wzięli ich za warjatów i jako takim, nie szczędzili urągań i wzgardy. Rozpustne dzieci obrzucały ich błotem i kamieniami, urządzając tem sobie niecną rozrywkę. Jan znosił to wszystko z najwyższą cierpliwością, bez żadnej oznaki oburzenia lub bólu, ale przeciwnie, ciesząc się wraz z Apostołem, że stał się godnym dla Imienia Chrystusowego zelżywość cierpieć. Gdy szatan, sprawca tego prześladowania, ujrzał się zwyciężonym, obmyślił inny środek walki. Podsunął mieszkańcom podejrzenie, że Jan i jego towarzysz byli obłudnikami i zbrodniarzami, udającymi pokornych zakonników. Wskutek tego zabroniono im nawet odprawiać Mszę Świętą i odmówiono przytułku w całem mieście. Słudzy Boży, poczytując sobie niedostatek i obelgi za zysk, płacili błogosławieństwem za złorzeczenia i modlili się za prześladowców, oczekując jednak z ufnością pomocy od Boga. Biskupem Werońskim był naówczas Mateusz Gilbert, z którym Jan po wiele razy próbował się widzieć, lecz zawsze napróżno. Uprzedzony do przybyszów,

[1]) Kron. kap. Bowerjusza r. 1531, n. 18.

[1]) Tamże r. 1537, n. 76.

nie chciał ich dopuścić przed swoje oblicze, wierząc rozsiewanym o nich plotkom. Pomimo to Jan często ponawiał swoje usiłowania i chodził na dziedziniec biskupi, oczekując stosownej pory do przedstawienia się księciu Kościoła. Pewnego razu Biskup wyjrzał przez okno i zobaczył pokornego zakonnika, stojącego na dworze. Jego świątobliwa postać i głowa pokryta siwizną wywarła na nim najkorzystniejsze wrażenie, nie bacząc więc na dawną niechęć, kazał staruszka przywołać, wypytał go o początki reformy kapucyńskiej, a powziąwszy jak o nim samym, tak i o całym zakonie jak najlepszą opinję, zaprosił go na następną niedzielę z kazaniem. Odtąd stan rzeczy zmienił się zupełnie. Nietylko, że tłumy ludu uczęszczały na jego przemówienia, odnosząc z nich niepospolite korzyści dla duszy, ale wszyscy, którzy dawniej wysilali się na okazanie mu pogardy, szczęśliwymi się teraz czuli, gdy go mogli w rękę lub w habit pocałować. Biskup zaś, naradziwszy się z obywatelami miasta, z własnej ochoty ustąpił Kapucynom kościół Krzyża Świętego, przy którym w krótkim czasie zbudowano klasztor większy, a nadto wzniesiono drugi, mniejszy w sąsiedniem miasteczku, przy kościele Ś. Jana. Obfitą tedy była nagroda, jaką Pan Bóg odpłacił Janowi za dawne szyderstwa i urągania, których mu w początkach nie szczędzono. Wierny bowiem jest Pan, Który nie zsyła na ludzi więcej przeciwności, niżeli znieść mogą i nie opuszcza nikogo, kto w nim wytrwale ufność swą pokłada.[1])

Franciszek z Funiano (1579 r.)

Franciszek z Funiano, każąc pewnego dnia w miasteczku Mutilo, został publicznie spoliczkowany przez jakiegoś niegodziwego człowieka, lecz w pokorze i cierpliwości swojej zniósł to jak najspokojniej, a nawet, wedle rady Chrystusa, nadstawił mu drugi policzek.[2])

Aleksander z Butrji. (1580 r.)

Brat ten używał tak wielkiej sławy Świętego, że, gdy przyszedł do jakiego klasztoru, bracia mieli sobie za szczęście, jeżeli któremu udało się ucałować mu nogi. Ale Pan Bóg, doświadczający wierności sług swoich, dopuścił na Aleksandra ciężką potwarz, i to jeszcze ze strony przełożonych. Pokorny zakonnik przyjął to nietylko cierpliwie, lecz z najwyższą uciechą, nie usprawiedliwiając się ani słowem, dopóki sam Bóg prawdy nie wyjawił. Zapadłszy w ostatnią chorobę, kazał się położyć na ziemi, chcąc w ten sposób zadowolnić uczucie wzgardy, jaką był przejęty względem samego siebie.

Ś. Feliks z Kantaliczo (1587 r.)

Ś. Feliks był prawdziwie umarły i ukrzyżowany dla świata, bo, mając przez lat 40 codzienne z nim stosunki, tak doskonale nim gardził, tak był wśród niego obcym i dalekim w duchu, jak pustelnik, mieszkający na bezludnej wyspie. Stać wśród płomieni, a nie zgorzeć, iść przez kałużę, a żadnej nie odnieść plamki, na to raczej aniołem niż człowiekiem być potrzeba, co właśnie spełniło się na Ś. Feliksie. Łącząc się ciągle ze światem, był on od zasad jego tak daleki, jak świat dalekim jest od Chrystusa, jakby na zawstydzenie dla tych, którzy suknią od świata się różniąc, duchem bardzo jeszcze do niego są zbliżeni.

Ten święty prostaczek, kwestując cały dzień po Rzymie, szczególnie cenił sobie każde spotkanie ze Ś. Filipem Nereuszem, założycielem zgromadzenia Oratorjanów. Wszczynał z nim zwykle rozmowę o Bogu i o rzeczach Boskich, poważał go, jak Świętego, więc przedewszystkiem, gdy go tylko zobaczył, padał zaraz na kolana, prosząc z pokorą o błogosławieństwo. Ale i Ś. Filip, niemniej pokorny od Feliksa, również na ziemię klękał, prosząc o to samo. I tak obydwaj długo się umawiali, kto komu ma pobłogosławić, aż nareszcie wszystko kończyło się na braterskim uścisku. Razu pewnego brat Feliks niósł ukwestowane wino w butelkach, kiedy niespodziewanie spotkał się ze Ś. Filipem. Było to około południa, słońce mocno paliło. Feliks, po przywitaniu, uważając, że Święty jest bardzo strudzony, rzekł: „Teraz mam dobrą sposobność przekonać się, czy rzeczywiście umarłeś już światu; jeżeli bowiem masz sobie za nic względy ludzkie, to orzeźwisz się winem". Poczem podał mu butelkę, a Ś. Filip, nie wymawiając się, zaczął pić. Na ten widok, jakby na cud jaki, zbiegło się mnóstwo widzów, którzy, spoglądając ze zdziwieniem, i zgorszeniem, szeptali między sobą: „Patrzcie, jak Święci zapijają". Filip, nie dbając o to, pił, dopóki nie ugasił pragnienia. Potem, oddawszy butelkę, odezwał się do Feliksa: „Uczyniłem, co chciałeś; teraz na mnie kolej dowiedzieć się, czy i ty, bracie, umarłeś już światu i, zdjąwszy kapelusz, włożył go na głowę Ś. Feliksowi. Kwestarz kapucyński tak przybrany, zaczął biedz przez ulicę, a Filip udawał, że go goni, czem ściągnęli na siebie nowe pośmiewiska tłumu. Tak zakończyła się ta scena, dziwna dla ludzi, lecz miła Bogu i Aniołom. Obaj

[1]) Tamże r. 1539, n. 20-24. [2]) Tamże r. 1570, n. 11.

powierzono mu ważne urzędy zakonne. Reguła Kapucynów przepisuje, aby urzędy takie były rozdawane na termin trzechletni, poczem sprawujący je przechodzi znów na trzy lata w stan prostego zakonnika, zarówno dla odpoczynku, jak i dla odnowienia się na duchu. Ze względu jednak na wielkie korzyści, jakie Honorat oddawał zakonowi, wyjednano dlań u Papieża wyjątkowy przywilej, aby bez przerwy urzędy swoje sprawował. Pełnił więc z kolei i po wiele razy obowiązki Mistrza nowicjuszów, gwardjana, kustosza, definitora, prowincjała, generalnego komisarza, okazując się na każdym z takowych wzorem doskonałego sługi Bożego. Zarówno przełożeni jak i podwładni nie mieli słów pochwały dla tak godnego i pożytecznego członka zakonu. Jeden tylko Honorat czuł się zmartwiony takiem wyróżnieniem. On, który wyrzekł się obiecującej przyszłości, czując wstręt do wszelkich zaszczytów światowych, nie pragnął w zakonie nic innego, prócz samotności i wzgardy. Życzeniem jego było pozostawać przez całe życie na ostatniem miejscu, pełnić najpokorniejsze obowiązki, zamiatać korytarze, słać łóżka dla chorych, opatrywać ich rany, zmywać statki kuchenne; tego tylko pragnął i takich rozkoszy się spodziewał. Bynajmniej nie chciwy władzy, gotów był raczej słuchać najniższych swoich podwładnych, niżeli im rozkazywać, i będąc nawet na wysokich urzędach, nic nie czynił bez poradzenia się braci, których uważał w danej rzeczy za bardziej roztropnych lub doświadczonych. Kiedy ofiarowano mu po raz pierwszy tytuł prowincjała, przejęty uczuciem głębokiego wstydu i nieudolności, błagał przełożonych, aby go od tego zwolnili. „Jeżeli,—odpowiedziano mu na to,—wykonywanie władzy jest ci przyjemne, możesz się od niej uchylić, jeżeli zaś odwrotnie, jest ci ono przykrem, przyjmij je jako ofiarę". Ta jedna uwaga zdolna była skłonić go do posłuszeństwa. Jak wtedy, tak i za każdym innym urzędem prosił gorąco Boga o pomoc i siły duchowne, aby go mógł dobrze sprawować. A im go więcej wynoszono, tem on też głębiej się upokarzał i pomimo ciężkich obowiązków, w najmniejszym nawet punkcie nie uchylał się od rodzaju życia, przepisanego przez regułę.[1])

Sebastjan z Maurienne. (1634 r.)

Świątobliwy ten zakonnik był pełen zachwycającej prostoty, a natomiast wolny od wszelkiej próżności i oglądania się na względy ludzkie. Ciężka i niebezpieczna choroba zostawiła mu wielką ranę na głowie, którą musiał całą obwijać bandażami. Właśnie nadchodził Post Wielki, a z nim okres kazań pasyjnych, do wypowiedzenia których Sebastjan przeznaczony był jeszcze przed chorobą. Bracia spodziewali się, iż zakonnik poprosi pewno o zwolnienie z tego obowiązku, aby nie pokazywać się publicznie w tak krępującej postaci, lecz on odezwał się: „Nie myślę, aby słuchacze mieli się zgorszyć moim bólem głowy, ani też nie spodziewam się, aby to miało zmniejszyć pożytek, jaki przy łasce Bożej z kazań moich wypłynie. Przemawiał więc przez cały Post z wielkiem zbudowaniem i korzyścią parafjan. Zakonnik ten kochał wszelkie wzgardzone zajęcia, i skoro tylko czas mu pozwolił, szedł wyręczać brata ogrodnika w najprzykrzejszej czynności noszenia i rozrzucania nawozu po zagonach. Z wielką też ochotą znosił upokorzenia i wzgardę, kiedy więc widziano go weselszym niż zwykle, bracia mówili: „Sebastjan napewno został zwymyślany, a może i pobity". I rzadko się mylono, bo brat Sebastjan wszystkim mówił prawdę, która, choć w najdelikatniejszej formie, zawsze jednak kole w oczy i wywołuje wiele przykrości i zniewag; to też Sebastjan ciągle prawie miał sposobność do weselenia się.[1])

Leonard z Paryża. (1641 r.)

Kiedy Anioł de Żuajez i Honorat de Szampinji wstępowali do pokutników Szarych, jednocześnie z nimi zapisał się w ich szeregi Jakób de Kerkifino (Querquifino), potomek starożytnego rodu, późniejszy Leonard z Paryża. Tego dnia, gdy Anioł przywdziewał habit zakonny, Honorat, a wówczas jeszcze Karol Boszar, przeznaczony był do wypowiedzenia konferencji uczestnikom Bractwa i już zabierał się do spełnienia tego obowiązku, gdy wtem dano mu znać, że hrabia de Żuajez wstąpił do zakonu Kapucynów. Natchniony tym wypadkiem, młodzieniec przemówił z wielką gorącością ducha, oddając tak wymowne pochwały życiu seraficznemu i, naodwrót, przedstawiając tak obrazowo znikomość i próżność zaszczytów i rozkoszy ziemskich, że Jakób w sercu swojem postanowił natychmiast iść za przykładem hrabiego. Dotychczas myśl o powołaniu zakonnem nie przeszła mu nigdy przez głowę, lecz słowa Karola wywarły nań takie wrażenie, iż bez wahania zerwał ze światem i nic już nie zdołało go odwieść od powziętego zamiaru. Będąc 54 lat w zakonie, oddał mu nieocenione usługi, pełnił bowiem kilkakrotnie urząd prowincjała i komisarza generalnego, był kierownikiem sumie-

[1]) Ibidem

[1]) Le R. P. Chérubin de Maurienne par l'abbé Truchet.

nia Henryki Marji de Bourbon, żony nieszczęśliwego Karola I, króla Anglji, pracował nad odnowieniem katolicyzmu w tym kraju, zarażonym herezją, stworzył misje w Grecji, w Kanadzie i Francji, wreszcie obrany Definitorem Generalnym, załatwiał najważniejsze sprawy zakonu. Życie jego, pełne zasług, uwieńczone było świątobliwą śmiercią, a pamięć jego dotychczas otaczana jest szczególnem poszanowaniem.

Jan Chrzciciel z Valperga. (1644 r.)

Był to jedyny syn Arduina, hrabiego na Valpergu, dziedzic wielkiej fortuny. Mając szczególne nabożeństwo do Matki Bożej, pragnął poświęcić się na Jej służbę w zakonie Kapucynów, których bardzo czcił i poważał. Gdy hrabia Arduin dowiedział się o zamiarze syna, nie zwlekając, wysłał go do oddalonego swego zamku, aby nie miał swobody widywania się z zakonnikami. Niewola jednak wcale nie wpłynęła na postanowienie młodzieńca, który chciał wszystko opuścić, aby iść za Chrystusem; przeto kiedy ojciec kazał go przywieźć do Turynu, mając zamiar wyprawić go stamtąd na dwór króla francuskiego, gdzieby łatwiej zapomniał o swoich marzeniach — młodzieniec skorzystał z dobrej sposobności i pobiegł do klasztoru, prosząc o przyjęcie. Prowincjał nie odmówił gorliwemu aspirantowi i posłał go do nowicjatu w Kieri (Chieri). Dowiedziawszy się o tem, hrabia wpadł w gniew i zwrócił się o pomoc do księcia Sabaudji, który zabronił Kapucynom oblec młodego Valperga... Ten jednak tak umiał ułagodzić posłańców, przybyłych z listem do gwardjana i przekonać ich o swojem powołaniu, że wzruszeni jego stałością, przyrzekli za nim się wstawić. I oto sam Wiktor Amadeusz wraz z księciem Maurycym stali się jego pośrednikami do ojca, aby zgodził się z wolą Bożą i oddał ochotnie Panu syna swego. Nie posiadając się z radości, mężny młodzieniaszek zdjął nareszcie bogaty ubiór, a przywdział ostrą siermięgę kapucyńską. Czuł on się stokroć szczęśliwszym z tytułu sługi Bożego, niżeli z czekających go zaszczytów świeckich i bogactw. Przez całe też życie zakonne ukrywał się ze swojem pochodzeniem i braci prosił, aby o tem nikomu nie wspominali.[1])

Elzear z Wir. (1650 r.)

Jan Albu (Halbout) de la Beketier (Becquetière), bogaty pan normandzki, założył klasztor w mieście Wir (Vire). Niezaspokojony jednak ofiarą z całego mienia, zapragnął poświęcić Kościołowi własną swoją osobę. Stan małżeński, w którym się znajdował, nie stanowił przeszkody, gdyż małżonka jego również zgadzała się przyjąć suknię zakonną. I szwagier Jana, Mikołaj de la Boderie, zdecydował się iść za przykładem obojga i wkrótce dwaj możni panowie, wyrzekając się rozkoszy światowych i pociech życia rodzinnego, zapukali do furty klasztoru Kapucynów. Ówczesny prowincjał, Honorat z Paryża, przyjął ich z wielką miłością i szacunkiem, a wnioskując z ich obejścia i rysów, że ma przed sobą panów szlachetnego rodu, których przykład zazwyczaj wiele dobrego czyni, uczuł stąd w głębi duszy wielką radość. Nie okazał wszakże swych uczuć nazewnątrz, i zadał kandydatom zwykłe w takich razach pytania, na które szczerze i poprostu odpowiedzieli, poczem Jan upadł na kolana przed prowincjałem, błagając ze łzami w oczach, aby ich prośby nie odrzucał. Wzruszony tą pokorą, zakonnik podniósł go i przycisnął do serca. „Chętniebym was przyjął, moi panowie, rzekł do nich, lecz wstrzymuje mnie obawa, że siły wasze są zbyt delikatne do zniesienia surowej naszej reguły i do spełniania wszystkich jej obowiązków. Być może, iż nie znacie dokładnie tych ostatnich, i że przewyższają one wasze wyobrażenia. Oto, prócz zupełnego ubóstwa i postu prawie tak długiego, jak rok okrągły, trzeba powściągać swoją mowę, chodzić boso, nie nosić bielizny, często się biczować, czuwać po nocach, odprawiać liczne ćwiczenia w chórze, pracować ręcznie i nigdy się nie opuszczać w nauce i w modlitwie. Jeżeli najsilniejsi, dodał, upadają nieraz pod ciężarem tych obowiązków, cóż będzie z wami, panowie, mającymi wygląd tak delikatny i słaby? Możeście o tem dotychczas nie myśleli, więc proszę was, zastanówcie się zawczasu". Mówiąc to, prowincjał wpatrywał się uważnie przybyłym, by uchwycić na ich obliczach oznaki uczuć i wrażeń, następnie zaś, chcąc im zostawić czas do namysłu, przeprowadził ich do małej celki, a sam poszedł naradzić się co do nich z ojcami kapituły. Po niejakim czasie Honorat powrócił, a przepraszając za dłuższą nieobecność, oznajmił, że im bardziej zastanawia się nad obowiązkami małżeńskiemi pana de la Beketier, tem więcej widzi trudności w przyjęciu go do zakonu. W ten sposób chciał przezorny ojciec ułatwić kandydatom zręczne wycofanie się, gdyby przedstawione im trudności miały ich zachwiać. Niczem jednak nie zrażeni, szwagrowie ponowili swoje prośby, dowodząc, że powołanie ich było oczywistem dziełem Ducha Świętego, otrzymali więc upragnioną obietnicę. Termin ich przyjęcia Honorat wyznaczył na uroczystość Wielkiejnocy, aby im dać czas

[1]) Annali Cappuccini.... T. I.

do załatwienia wszystkich interesów doczesnych, oni jednak, nie mogąc się doczekać tak oddalonego terminu, przyszli wkrótce powtórnie z błaganiem, aby dobry ojciec wcześniej otworzył im furtę klasztorną. Ponieważ tym razem nic już nie stawało na przeszkodzie, zaraz więc przyjęci zostali do nowicjatu. Mikołaj de la Boderie żył krótko w zakonie: w kilka lat po złożeniu ślubów zmarł w czasie zarazy. Pan de la Beketier, przyjąwszy imię brata Elzeara z Wir, odznaczył się nauką i cnotami, i był prawdziwą ozdobą swego zakonu.[1])

Jan Marja de Trelon (Trelą.) (1647 r.)

Niezwykłe są drogi, jakiemi Bóg powołał tego zakonnika do zgromadzenia Kapucynów. W młodym wieku wstąpił on do Kawalerów Maltańskich, za pozwoleniem ojca, który pocieszał się nadzieją, że starszy syn, pozostając na świecie, przechowa nazwisko i sławę rodu. Tymczasem pierworodny zawiódł oczekiwania, gdyż uczęszczając na lekcje tańców, pokochał córkę nauczyciela tej sztuki i ożenił się z nią potajemnie, bez względu na jej podrzędne stanowisko. Wiadomość ta jak grom uderzyła w ojca. Nie mogąc znieść takiego ciosu, który w owych czasach uchodził za wielkie poniżenie, odwołał z Malty drugiego syna, wystarał się w Rzymie o zwolnienie go ze wszystkich ślubów, nie wyłączając czystości i uczynił go jedynym swoim spadkobiercą, pod warunkiem, że wybierze sobie odpowiednią małżonkę. Młodzieniec podziękował ojcu za tę szczodrobliwość i prosił o czas do namysłu, ale zamiast się zachęcić do próżności światowych, które mu same w rękę wchodziły, nabrał do nich ostatecznej odrazy i opuściwszy wszystko, przyjął habit Kapucynów. W zakonie odznaczał się życiem bardzo świątobliwem i po profesji, złożonej 23 marca r. 1620, był kilkakrotnie obierany na gwardjana, a później na magistra w klasztorze paryskim. Przebywał też lat 12 w Anglji, jako przełożony misji, po usunięciu się stamtąd Leonarda z Paryża. Umarł w Paryżu 16 lutego w r. 1647.[2])

Paweł z Colindres (Kolędr) (1766 r.)

W r. 1761 Ministrem Generalnym Kapucynów obrany został brat Paweł z Colindres, wzorowy zakonnik, słynący z cnót rozmaitych i ze zdolnego pełnienia obowiązków. Sława jego rozniosła się szeroko po świecie, a król hiszpański, Ferdynand VI, taki dla niego powziął szacunek, że nietylko udzielił mu tytułu granda pierwszej klasy, lecz, kiedy wyszedł czas jego urzędowania, mianował go Biskupem Barcelony. Daleki jednak od marzeń ambitnych, a przywiązany do habitu Ś. Franciszka, pokorny Kapucyn odmówił przyjęcia ofiarowanej mu godności i w odmowie tej wytrwał, pomimo próśb Kardynałów i samego nawet Papieża Benedykta XIV-go.[1])

Mikołaj z Molinari. (1792 r.)

Ten mąż Boży oddawał się z zapałem apostolstwu, a wszelkie powierzone mu urzędy tylko z posłuszeństwa wypełniał, starając się jak najprędzej od nich uwolnić. Jednakże głos jego cnót i zasług doszedł aż do wiadomości Piusa VI-go, który, rozumiejąc, że takim właśnie ludziom powierzać należy sprawowanie wysokich urzędów, mianował go Biskupem w Skala (Scala) i Ravello. Otrzymawszy tę wieść, Mikołaj, jak piorunem rażony, upadł do nóg Papieża i błagał, aby kogo godniejszego na to miejsce przeznaczył, on bowiem czuje się zupełnie nieudolnym do wypełniania tak ważnych obowiązków. Lecz Ojciec Święty, pełen szacunku dla jego cnót nadzwyczajnych, nie odstąpił od swego zamiaru, i rozkazał mu pod posłuszeństwem przyjąć ów bolesny ciężar. Nie mogąc się sprzeciwiać, Molinari poddał się woli Bożej i w r. 1773 konsekrowany został na Biskupa.[2])

Polacy.

Hieronim Wojakowski, Reformat. (1644 r.)

Ten sługa Boży, urodzony w domu senatorskim, a przez matkę Zamojską spokrewniony z Michałem Korybutem, w kwiecie młodości porzucił świat i wstąpił do zakonu Ś. O. Franciszka. Wielkie w tem zwyciężyć musiał przeszkody, ojciec bowiem groźbą i innemi surowemi sposobami chciał go odwieść od tego stanu, matka zaś z drugiej strony łagodnością, płaczem i prośbami wpływała na syna, aby pozostał na świecie. On jednak, bardziej ceniąc sobie głos Boży i własne zbawienie, wzgardził wszystkiemi rozkoszami i, pożegnawszy rodziców, zapukał do klasztoru. Od chwili obłóczyn wziął się do wszelkich ostrości zakonnych, szczerze się rozmiłował w seraficznem ubóstwie i regułę jaknajwierniej we wszystkich jej punktach wypełniał. Z gruntowną świątobliwością łączył pracowitość w naukach. Żaden też urząd, a spełniał ich niemało, żadna godność, nie naruszyła w nim głębokiej pokory. Nie chciał się niczem różnić od braci: ani lepszego habitu, ani lepszych pokarmów nigdy nie przyjmował. Od krewnych i obcych znosił bardzo

[1]) Mémoires des missions en Angleterre par le R. P. Cyprien de Gamaches, Cap. [2]) Ibidem.

[1]) Cenni biographici. [2]) Ibidem.

wiele żartów, naśmiewań, przymówek i wzgardy, że kiedy tak niski stan sobie obrał, to widać na nic lepszego zdobyć się nie mógł na świecie. Odpowiadał im na to żartami, a swoją drogą dawał zbawienne rady i do pobożnego życia ich zachęcał. Natomiast ludzie zacni i znający się na cnocie bardzo go poważali. Wyczerpany pracami i długą gorączką, pilnie się przygotował do śmierci, kiedy zaś przyszła ostatnia godzina, z miłości ubóstwa świętego jedyne rzeczy, jakie posiadał, mianowicie pisma i nędzną czapkę, którą nosił dla bólu głowy, za pozwoleniem starszych, oddał przełożonemu, obawiając się, żeby mu szatan nie zarzucił winy przeciwko ubóstwu. Zasnął r. 1644 w Kazimierzu, w opinji wielkiej świątobliwości, przepędziwszy w zakonie lat 23.[1])

Felicjan Bielski. Reformat.

Jako dowód szczególniejszego miłosierdzia Bożego, a pogardy względów ludzkich ze strony marnotrawnego syna, może nam służyć Felicjan Bielski. Wstąpił on bardzo młodo do Reformatów, ale sprzykrzywszy sobie ostrości zakonne, powrócił na świat i zaciągnął się do huzarów królewskich, a jednocześnie uczył się prawa. Będąc później komisarzem w Moskwie, a następnie pisarzem grodzkim Łukowskim, przez cały ten czas coraz mniej myślał o obowiązkach dobrego chrześcijanina, a za to więcej o powiększeniu majątku, chociaż nigdy z krzywdą bliźniego. Wreszcie, ulegając namowom krewnych i przyjaciół, postanowił się ożenić. Przyjęty chętnie w rodzinie Pisarskich, zwrócił się do rodziców o błogosławieństwo, ale ojciec zbył go krótko, aby robił, co mu się podoba, i to go napełniło niepokojem. Nadeszła wigilja ślubu. Nocy tej, nie mogąc zasnąć, przypomniał sobie pierwsze swoje powołanie, które tak płocho opuścił i zrozumiał, że widocznie z rozporządzenia Boskiego ojciec nie chciał mu pobłogosławić na związek małżeński. Głos sumienia odezwał się w nim, łaska Boża go wzruszyła, nie mógł i nie chciał dłużej jej się opierać. Wzgardziwszy przeto wszelkiemi względami ludzkiemi, postanowił wrócić do zakonu, prosił tylko Pana Boga o pomoc w wykonaniu swych zamiarów. Nazajutrz, gdy panna młoda miała już wyjeżdżać do kościoła, dał znać, aby się zatrzymano, bo raz jeszcze chce pojechać do rodziców po błogosławieństwo, a tymczasem, z jednym tylko służącym udał się do Sandomierza, do klasztoru Reformatów, z pokorną prośbą o przyjęcie. A chociaż mu droga wypadała koło wrót ojcowskich, nie wstąpił, obawiając się jakiej przeszkody, oddał tylko spotkanemu słudze zegarek i pierścienie, by je następnego dnia wręczył ojcu. Zawiedzeni krewni przybyli do niego z żalami i wszelkich używali sposobów, by go odwieść od obranego stanu, lecz wszystko napróżno: stały w swem przedsięwzięciu, niczem nie dał się zachwiać. Odtąd też wziął się szczerze do pracy nad sobą. Jeszcze w nowicjacie będąc, napisał piękny wiersz: „Proces kryminalny o duszne zbawienie“, w którym dowcipnie i mądrze wyprowadza na jaw podejścia szatańskie i przywiedzenie do grzechu, a potem na sądzie ostatecznym złość niepomiarkowaną wroga rodzaju ludzkiego. Wykazuje też szczególną przychylność Ś. Anioła Stróża, sprawiedliwość Bożą surową, ale zawsze pełną miłosierdzia i pośrednictwo przemożne Matki Najświętszej. Po ukończeniu nauk duchownych, mianowany kaznodzieją, z wielką żarliwością spełniał ten urząd. Na przełożeństwie żadnej pracy zakonnej nie unikał i sam zachowując jak najdokładniej regułę i przepisy, starał się, aby ich inni nie przekraczali. W podeszłym już wieku podjął się urzędu spowiadania zakonnic i gorliwie przez lat 10 go sprawował. W mowie bardzo był roztropny i umartwiony, mówiąc to tylko, co koniecznie było potrzeba. Dlatego i osób świeckich unikał, krótko ich zbywając, albo nawet wcale nie odpowiadając, a co trudniejsza, tak samo postępował z krewnymi i, żegnając ich, szedł czemprędzej do chóru na modlitwę. Przykrości wszelkie znosił z taką cichością, jakby ich wcale nie odczuwał; nie użalał się też nikomu i nigdy się nie sprzeczał, milcząc na wszystko. O jego spokoju wewnętrznym i zjednoczeniu z Bogiem można się było domyśleć z aktów, które ciągle powtarzał: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament“. Cierpliwy aż do końca, ostatnią swoją chorobę znosił ze słodyczą i spokojem. Zasnął na wieki w klasztorze lwowskim.[1])

Apolinary Wieczorowicz.

Apolinary Wieczorowicz, będąc synem doktora i znając się trochę na medycynie, skorzystał z tej okoliczności dla własnego upokorzenia i usilnie prosił przełożonych, aby mu pozwolili zostać laikiem, by tem swobodniej mógł się oddawać wzgardzonemu zajęciu służenia chorym. Dla swej świątobliwości i nauki od wszystkich jednak w wielkiem był poważaniu, chociaż to znosił niechętnie i z uprzykrzeniem. Gdy nadto wbrew jego woli

[1]) Matka ŚŚ. Polska T. III s. 14.

[1]) Kalendarz seraficki, 19 czerwca.

kazano wydrukować książki przez niego napisane, sprzykrzył sobie do reszty ten szacunek ludzki i uzyskał od przełożonych przeniesienie do cichego konwentu Ś. Anny, gdzie w gorącej czci Najśw. Eucharystji wytrwał aż do końca. [1])

Franciszek Malczewski, Ref.

Franciszek Malczewski, wzgardziwszy dziedzictwem i zacnością rodu, obrał sobie pokorny stan życia zakonnego. Pobożny i umartwiony, odznaczał się jednak skromną wesołością, która go czyniła nadzwyczaj miłym w pożyciu. Unikając wszelkich godności, za największe szczęście uważał sobie to, że był Reformatem, synem duchownym Ś. O. Franciszka. Jako doskonały kaznodzieja, zostawił po sobie kilka książek z kazaniami. Cierpliwie znosząc długą i przykrą chorobę, oddał Bogu ducha w klasztorze poznańskim. [2])

Duch wzgardy świata jest duchem Ewangelji.

Pan Jezus mówi, że kto chce miłować Boga, ten musi światem pogardzać, a jak tłumaczy Ś. Grzegorz, tak sprzeczne są zasady świata od zasad Ewangelji, że nie można żyć według ostatnich, nie pogardzając pierwszemi. „Świat, mówi on, wymaga od tych, którzy go słuchają, aby się ubiegali o najwyższe zaszczyty, aby się weselili z próżnej chwały ludzkiej, aby wyrządzone sobie przykrości w kilkakroć oddawali, aby nikomu nie ustępowali, póki mają dość siły, a gdy im siły zabraknie, to, czego nie mogą złością, niech przez udaną dobroć pozyskują. Przeciwnie Ewangelja święta zaleca: dobrze świadczyć bez nadziei zapłaty, złe raczej znosić, niż innym czynić, żadnej pomsty za krzywdy nie szukać, zniewagę, otrzymaną w obronie prawdy, za zysk sobie poczytywać. Lecz to wszystko u świata za głupstwo się uważa. Bo i cóż może być głupszego, według jego przewrotnych poglądów, jak żyć zawsze prawdą, nigdy nie zmyślać, za złorzeczących modlić się, szukać ubóstwa, rzeczy posiadane opuszczać, szkody darowywać, nie sprzeciwiać się złemu, a bijącemu w twarz nadstawiać drugi policzek.

Otóż zebraliśmy w krótkości, w czem i jak należy nam zasadami świata pogardzać. Jak nie powinniśmy ubiegać się za dobrobytem i próżną chwałą. Jak nie oglądać się na opinję, ani się obawiać pogardy ludzkiej, gdy nam trzeba spełnić jakikolwiek obowiązek chrześcijański, choćbyśmy przez to mieli ściągnąć na siebie pośmiewisko. Jak przykładnie modlić się w kościele, jak zachowywać przykazania Boskie i Kościelne, choćbyśmy w tem odróżniali się od innych, jak np. przestrzegać post wobec wszystkich nieposzczących. Jak wreszcie iść za natchnieniem Bożem, gdy ono nas wzywa do zupełnej pogardy świata, poczytując sobie za pociechę, gdyby świat najzawzięciej nas za to prześladował i wyśmiewał, bo mówi Apostoł: „Gdybym się podobał światu, nie byłbym sługą Chrystusowym“,

Duch wzgardy świata potrzebny jest szczególniej naśladowcom Franciszka Świętego.

Ten duch powinien ożywiać szczególniej tych, którzy chcą iść śladami Serafickiego Patryarchy, bo naśladowanie Świętego Ojca nie da się pogodzić z miłością świata i chwały jego. Streszcza się on w przepisach, dotyczących prostoty i ubóstwa w ubraniu, sprzętach, jedzeniu, unikaniu hucznych zabaw, widowisk, czytania pism lekkich i przewrotnych. Wszystkie te rzeczy nie obciążają wprawdzie pod grzechem, chyba o tyle, o ile byłoby w nich przestępstwo prawa Bożego; habit jednak lub szkaplerz zakonny, który noszą naśladowcy Franciszka, przypomina im ciągle te zobowiązania. Kapłan, przyjmujący ich do zakonu w imieniu Ś. Ojca, mówi im przy obłóczynach: „Niech Pan zwlecze z ciebie starego człowieka, niech wyrwie z serca twego pychę świata, której się wyrzekłeś przez Chrzest święty, a niech cię oblecze w nowego człowieka, stworzonego w świątobliwości i prawdzie“. Ta suknia zakonna, lub w miejsce niej szkaplerz, jest jakby nieustannem kazaniem o wzgardzie świata. Obok nieumiejętnych i prostaczków, nosili ją królowie, i królowe, książęta, uczeni, poeci, artyści, genjusze, mając sobie za zaszczyt stać pod sztandarem ubogiego Franciszka z Assyża, lecz wszyscy pamiętali, że godność pociąga za sobą obowiązki, że habit nakazuje im wzgardę świata.

Każdy chrześcijanin powinien posiadać ducha wzgardy.

Do tego obowiązuje się każdy przy Chrzcie Świętym, duch bowiem świata jest najprzeciwniejszy duchowi Ewangelji. Ta wzgarda świata potrzebna jest nam dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek i niepodobna za dni naszych stać wiernie pod chorągwią chrześcijańską bez wyrzeczenia się wielu rozrywek, zabaw, przyjemności, bez zerwania wielu szkodliwych dla duszy stosunków i związków. A nie tak to łatwo ujść zręcznych sideł świata i utrzymać się na wysokości zasad chrześcijańskich; trzeba to bowiem nieraz przypłacić ofiarą sławy

[1]) Tame, 30 stycznia. [2]) Tamże, 19 kwietnia.

i powodzenia w sprawach doczesnych, można ściągnąć na siebie szyderstwo, niechęć i prześladowanie.

Chrześcijanin nie może wtórować światu w obojętności religijnej lub w niedowiarstwie; on musi narazić się odważnie i wspaniale na zdeptanie względów ludzkich. Musi odmówić sobie czytania pism i książek gorszących, skandalicznych romansów, gazet bezwyznaniowych i niemoralnych, filozofji przewrotnych, które świat zalewają zgnilizną zepsucia, siejąc nienawiść względem Boga, Kościoła, duchowieństwa. Musi unikać czytania tych piśmideł lekkich, tem niebezpieczniejszych, że są często mieszaniną najsprzeczniejszych zasad. Chrześcijanka naszych czasów, kobieta w świecie żyjąca, musi odmówić sobie i swoim córkom zbytku, przesadnego stosowania się do mody, której zadaniem jest, zdawałoby się, szpecenie dzieła Bożego. Musi wyrzec się publicznych balów i wielu lekkich zabaw, na których często, pod pozorem dobroczynności, kryje się próżność i wyuzdana swawola.

Bł. Jakopon z Todi, jeden z synów Ś. Franciszka, wszedłszy pewnego razu do wspaniałego salonu i patrząc na zbytkowne stroje zgromadzonych tam osób, na bezmierną ich wesołość, z podziwieniem rozejrzał się wokoło, wreszcie, jakby odszedłszy od przytomności, począł wołać: „Pan Jezus jest szalony! Matka Boża jest szalona! Apostołowie i Święci, którzy zaludniają niebo, są to wszystko szaleńcy". Na te słowa zdumieli się obecni, a otaczając sługę Bożego, pytali, dlaczego tak mówi? „Pan Jezus, odrzecze Błogosławiony, Najświętsza Marja Panna i wszyscy Święci, dostali się do nieba drogą krzyża i cierpień, wy zaś myślicie tam dojść drogą przyjemności, zabaw, zbytków, używania. Albo więc oni byli szaleni, albo wy nimi jesteście". Czyby nie można tych słów błogosławionego męża zastosować do wielu nierozważnych katolików, których życie tak bardzo się różni od zasad i przekonań religijnych?

Wyznają się katolikami, a nie mają odwagi wyrzec się balu, zabawy, teatru, nawet w czasie Wielkiego Postu, przeznaczonego przez Kościół na czas pokuty. Nie pytaj ich, dlaczego dopuszczają do domu swego te lekkie piśmidła, tem niebezpieczniejsze, że, obok pożytecznego przedmiotu, na jednej linji stoi tam bluźnierstwo, obok opisu nabożeństwa, opis skandalicznego wypadku. W ich przekonaniu jedno drugiemu bynajmniej nie przeszkadza, a surowość zasad chrześcijańskich poczytują za przesadę. Postępowanie ich nie zgadza się z zasadami katolickiemi, które niby pozornie wyznają, lecz w jednem tylko nie przeczą sobie: w ubieganiu się za dobrobytem i wygodami życia. To też nie należą oni do rzędu tych ludzi, przez których zbawienie stanie się w Izraelu [1]), bo najwięcej cenią szkatuły swoje.

Trzeba więc koniecznie powrócić do ducha wzgardy świata, który ożywiał pierwszych chrześcijan i był jakby fundamentem świętości i duchowego odrodzenia wśród zepsutych obyczajów cesarstwa Rzymskiego.

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej. Jakiemi drogami prowadzi Bóg dusze, dążące do wzgardy świata.

Póki człowiek jest otoczony czcią ludzką i pochwałami świata, póty nie łatwo wznieść się może do tego, aby z czystą intencją podobania się samemu Bogu spełniał swoje czynności i pracował nad zbawieniem bliźnich, i prawie zawsze znajdzie się tam wiele pomieszanych intencji. Dlatego Bóg, chcąc oczyścić serce człowieka i doprowadzić go do daru bogomyślności, dopuszcza zwykle na sługi swoje różne prześladowania, jak np. na Joba zniewagi od żony i przyjaciół. Prześladowania te pochodzą od heretyków i pogan, albo od złych katolików, albo wreszcie nawet od osób dobrych i pobożnych.

Prześladowania od heretyków i pogan.

Prześladowania od pogan i heretyków doznają zazwyczaj ci, którzy prowadzą życie mieszane, t. j. bogomyślne i czynne, jak mężowie apostolscy, pracujący nad rozszerzaniem wiary. Przez szyderstwa, zniewagi, fałszywe świadectwa, przeciwności, Bóg usposabia te dusze do zjednoczenia ich ze sobą, jak czytamy o Ś. Pawle, Ś. Atanazym, Ś. Augustynie, tudzież o wielu naśladowcach Ś. Franciszka, np. o Jakóbie z Marchji w walce z Manichejczykami, o Józefie z Leonissy, dręczonym przez muzułmanów, lub o Ś. Dydaku, prześladowanym przez mieszkańców wysp Kanaryjskich.

Nie wszyscy mężowie apostolscy prowadzą życie tak ostre, jak święci pokutnicy, nie wszyscy przybierają się w tak wzgardzone i połatane siermięgi, jak niektórzy mnisi, bo to byłoby niezgodne z ich zadaniem; nie wszyscy też mają tyle i takich postów, czuwań i pokut, jak pustelnicy, bo dla spełniania należycie swych zajęć potrzebują sił odpowiednich. I zawsze jakiś proch ziemski do nich przylega, wskutek musowego przestawania z ludźmi, i namiętności zwykle mniej umartwione mają, niż ci, którzy prowadzą życie odosobnione. Jednakże, gdy tylu i tak wielkiemi krzyżami są obarczani,

[1]) Mach. 5, 62.

gdy tyle prac i trudów, obmów i zniewag, oraz innych utrapień duszy i ciała ponoszą, Pan Bóg udziela im tych samych łask, co i duszom oderwanym od świata, zamkniętym w klasztorach, już to w nagrodę za ich poświęcenie, już dla pocieszenia ich w prześladowaniach, jakich dla Boga doznają, i ta właśnie droga prowadzi ich do doskonałości.

Prześladowania od złych katolików.

Czytamy w kronikach i żywotach, że na dusze dążące do doskonałości dopuszcza Pan Bóg często prześladowania od złych katolików, a nawet od osób Bogu poświęconych. Tak Ś. Benedyktowi dwa razy podają truciznę, raz kapłan Florenty, drugi raz — jakiś zakonnik. Tak Eljasz występuje przeciw Ś. Franciszkowi, wyrzucając mu, jakoby gubił zakon i przeciwko Ś. Antoniemu, którego uwięził. Można tu również wspomnieć prześladowania, jakie znosiła Ś. Teresa przy fundacji pierwszego klasztoru, kiedy nietylko od obcych, ale i od własnych spowiedników, posądzana była o złe zamiary, a potwarze, jakie na nią rozgłaszano, wywołały nawet publiczne ostrzeżenia przeciw niej z ambony. Wreszcie i przełożeni, dając wiarę oszczerstwom, wezwali ją przed sąd, aby się wytłumaczyła z zarzutów, a wiele pism obelżywych rozniosło te plotki po całym świecie. Takie rzeczy spotykają dusze, zostające w życiu połączonem. Jeżeli to są kaznodzieje, lub spowiednicy, ściągną na siebie szyderstwa lub posądzania od wiernych, gdy przez brak roztropności lub zbytnią gorliwość wymknie się im słówko jakie, mogące być źle wytłumaczone, albo dające się zastosować do jakiejś pojedyńczej osoby. Przytrafi im się czasem powiedzieć coś takiego, co się wydaje jakby wątpliwem w rzeczach wiary lub obyczajów, a złośliwi słuchacze nie omieszkają nigdy zrobić z tego użytku. Innym razem jakiś zazdrośnik rozgłasza o nich coś fałszywego. Wszystko to bywa bardzo ciężkim krzyżem, szczególniej, jeżeli dotyczy czystości lub obyczajów. Krzyż ten powiększa się jeszcze, jeżeli plotki takie słusznie czy niesłusznie ściągną na obmówionych karę kościelną. Zdarza się również, że słudzy Pańscy od swoich współtowarzyszów lub przełożonych bywają fałszywie sądzeni, oskarżani, strofowani, karani i w goryczy wiodą swoje życie, jeżeli nie mają doskonałej pogardy świata i zupełnego poddania się woli Bożej. Wszystko to są środki, przez które Bóg wyrabia w nich tę wzgardę i doprowadza do wielkiej czystości serca, iżby Jemu samemu tylko podobać się pragnęli.

Prześladowania od ludzi dobrych.

Dopuszcza Bóg czasem, że nawet od dobrych ludzi słudzy Pańscy bywają niesprawiedliwie prześladowani. Liczne przykłady tego znajdują się w żywotach Świętych i aktach kanonizacyjnych. Tak np. w sprawie kanonizacji Ś. Filipa Nerjusza czytamy, jak wiele cierpiał od znakomitych Rzymian za czasów Pawła IV i Ś. Piusa V. Jedni oskarżali go o szukanie próżnej chwały, bo w czasie zapust siedem Bazylik rzymskich z wielką rzeszą ludu nawiedzał, a inni znów zarzucali mu, że niedorzecznie odzywał się na ambonie. Czytamy o Świętych, którzy byli oskarżani i więzieni przez władze kościelne, jako podejrzani w wierze. Ś. Teresa ze swojemi towarzyszkami do Ś. Inkwizycji została podaną. Ś. Bernardyn Seneński wezwany był do Rzymu przez Papieża Marcina V, jako heretyk, z powodu szerzenia nabożeństwa do Imienia Jezus. Ś. Ignacego osadzono w więzieniu Ś. Inkwizycji. Niektórzy nawet byli niesłusznie potępieni przez Papieży. Opowiada Baronjusz, że Ś. Leon IX zagniewany był bardzo za pewną sprawę na Ś. Piotra Damjana, a Ś. Grzegorz pisze o Ś. Ekwicjuszu, że był fałszywie oskarżony przed Stolicą Świętą, jako bez dostatecznej wiedzy i upoważnienia wygłaszał nauki i że Papież temu uwierzył. A gdy piszący te słowa, dyktowane przez Ś. Grzegorza, okazał zdziwienie, Papież tak na to odpowiedział: „Dziwisz się, Piotrze, że błądzimy? Przecież i my ludźmi jesteśmy. Czy nie pamiętasz, że Dawid, który proroczym duchem się rządził, wydał wyrok na niewinnego syna Jonaty, gdy go przed nim fałszywie oskarżono?“

I Ś. Paweł sam opowiada, że sprzeciwiał się Ś. Piotrowi, uważając, iż ten niesłusznie zachowywał przepisy starego przymierza, z obawy niektórych neofitów. Teologowie zaś tłumaczą, że Ś. Piotr był wtedy wolny od wszelkiej winy, bo wówczas godziło się to Apostołom, ale że i Ś. Paweł słusznie go strofował, gdyż mu się zdawało, że inaczej błędnie sądzących nie mógł powstrzymać. Tego rodzaju prześladowania, które od dobrych i świętych pochodzą, są zwykle największym krzyżem i najlepszym probierzem wzgardy świata, bo, gdy świętość prześladującego dodaje powagi jego słowom — niewinność prześladowanego zostaje bez obrony. Lecz dusza zato we wzgardzie świata się utwierdza, a im więcej od niego się odrywa, tem bardziej przylega do Boga.[1])

[1]) Schram.

ROZDZIAŁ VI.

Duch seraficzny jest duchem całkowitego zaparcia i wyrzeczenia siebie.

Cnotę zaparcia położył Zbawiciel jako główny warunek do naśladowania Go, powiedział bowiem: „Kto się nie zaprze samego siebie, nie może być uczniem moim“ [1]). Cecha ta musiała być przeto bardzo wyraźna w życiu doskonałego ucznia Chrystusowego — Ś. Franciszka.

Jakie było jego zaparcie.

Wyrzeczenie się siebie i zaparcie Franciszka było całkowite. Zapierał się chętnie swego zdania, ustępując każdemu, nawet ubogim, prostakom i dzieciom. Zapierał się swej woli, poddając się wesoło i ochoczo pod posłuszeństwo towarzyszowi podróży lub innym najniższym nawet osobom. Przezwyciężał się we wszystkiem i gwałt sobie zadawał i do takiego przyszedł wyniszczenia, że zdawało się, iż zupełnie się wyzuł ze swojej natury, a przyoblókł w Jezusa Chrystusa. Chciał w nim Pan Bóg przedstawić wzór człowieka odrodzonego w Chrystusie i od samego początku sposobił go do tego celu, tak że wszystko, co go spotykało, zdawało się być po to tylko zesłane, aby go w tem zaparciu wydoskonalić i oderwać od ziemskich uciech i upodobań.

[1]) Luc. 14, 26.

Pierwsza próba.

Przypomnimy tu sobie niektóre szczegóły z życia Franciszka dla przekonania się, jak go sam Pan Bóg ćwiczył w cnocie zaparcia. W tym celu, pisze Ś. Bonawentura, zsyła na niego naprzód chorobę, aby, poznawszy znikomość rzeczy ludzkich, począł uganiać się za tem, co wieczne i Boskie.

Powstawszy z tej ciężkiej choroby, zaczął istotnie inaczej zapatrywać się na wszystko. Płochość i próżność owego rodzaju życia, jakie wiódł dotąd, niebezpieczeństwo, jakie w nim duszy zagraża, marnowanie najpiękniejszych lat wieku, poniewieranie darów Bożych, wszystko to uderzało myśl jego i nakłaniało do przedsięwzięcia jakiejś gruntownej odmiany, której czuł, że Bóg po nim wymaga, tylko nie wiedział wyraźnie, jakąby ona być miała. Nieraz przejęty temi myślami, udręczony walką starego człowieka z nowym, oddalał się od wrzawy na samotność, gdzie łatwiej mógł wchodzić w siebie i do Boga się zbliżać.

Czyny miłosnego wyrzeczenia się siebie.

Drugą sposobność do postąpienia w zaparciu nastręczyło Franciszkowi jego miłosierdzie. Spotykając bowiem ubogich, dzielił się z nimi chętnie

wszystkiem, co miał, pozbawiając się nawet rzeczy najpotrzebniejszych, a taki rodzaj zaparcia jest najmilszy Bogu.

Cudowna próba.

Chociaż Franciszek nie mógł jeszcze dokładnie rozpoznać, jaki w szczególności sposób życia Pan Bóg mu przeznaczył, jednakże w sercu jego Duch Święty coraz jaśniej wyrażał tę prawdę, że podstawą doskonałości jest przezwyciężanie samego siebie. Wkrótce też spodobało się Bogu w cudownem zdarzeniu wypróbować z tej strony świętego nowicjusza, który, wsparty łaską Pańską, zwycięsko wyszedł z zesłanej na niego próby.

Zdarzyło się, że przejeżdżając konno, spotkał trędowatego, w szczególny sposób oszpeconego. Na widok ten cała natura jego się wstrząsła, ale wspomniawszy na Boga, zsiadł z konia, wspomógł go i objął w serdecznym uścisku. A gdy, jadąc dalej, obejrzał się poza siebie, chcąc raz jeszcze spojrzeć na biedaka, nie ujrzał już nikogo, z czego się domyślił, że sam Zbawiciel w ten sposób doświadczyć go raczył.

Nowa pobudka do zaparcia.

Gdy Franciszek raz przebywał w swojem ulubionem ustroniu, pokazał mu się ukrzyżowany Zbawiciel. Na ten widok zapałał serdecznem współczuciem i usłyszał w głębi duszy bardzo wyraźnie te słowa: „Kto chce za mną iść, niech się sam siebie zaprze, a weźmie krzyż swój na każdy dzień.“ Słowa Boskiego Zbawcy, które tak wiele serc obojętnie przyjmuje, jakże głośno ozwały się w sercu Franciszka, jak żywe obudziły w nim pragnienie naśladowania Pana Jezusa i najdoskonalszego zaparcia, przez zwyciężanie siebie we wszystkiem, coby tylko w sobie znalazł opornego. I nie dość na tem. Franciszek nie ograniczył się na tak świętem postanowieniu, lecz, jak to było jego zwyczajem, natychmiast w czyn je zamienił, a tym sposobem, odpowiadając otrzymanej łasce, nowe i coraz obfitsze sobie zapewniał. Rozumiejąc, że nie mógł lepiej spełnić tego zalecenia, jak ofiarując się na posługę trędowatych, przez długi czas temu rodzajowi miłosierdzia z całem poświęceniem się oddawał, a z taką skutecznością, iż, jak sam wyznaje w Testamencie, posługa ta przemienioną mu była w słodycz dla duszy i ciała.

Nowe wezwanie do wyrzeczenia się siebie.

Pewnego razu usłyszał Franciszek na modlitwie, że wszystko, co dotąd cieleśnie miłował, powinien znienawidzieć i tem wzgardzić, jeżeli chce poznać wolę Bożą. Poznał stąd, że zaparcie jest głównym warunkiem zrozumienia woli Najwyższego i jakby przygotowaniem do służby Pańskiej i dlatego całem sercem temu ćwiczeniu oddawać się postanowił. Odnosząc zaś to zawsze do wstrętu, jaki w nim obudzał widok trędowatych, przezwyciężał się w tem jak najmężniej, żadnych w służeniu im granic nie zakładając. Nietylko hojnie rozdawał im jałmużny, zaspakajał wszystkie ich potrzeby, zadośćczynił wszelkim z ich strony żądaniom, ale i osobiście im usługując, już to w szpitalach, już w domkach, w których mieszkali, prześcielał ich łóżka, opatrywał rany, oczyszczał własnemi rękami sączącą się z nich ropę i całe ciało omywał. Przy tego rodzaju miłosiernych posługach zwykł był z największą miłością przyciskać chorych do serca, całować ich rany i twarze, jadowitemi wrzodami pokryte, przez co przynosił tym nieszczęśliwym nietylko ulgę co do ciała, lecz i wielce pożądaną pociechę dla serca, której nadewszystko byli spragnieni.

Inny czyn zaparcia się siebie.

Będąc w Rzymie u grobu Ś. Piotra, wyszedł raz Franciszek z kościoła po długiej modlitwie, a, ujrzawszy tłum żebraków, stojących przed bazyliką, poczuł natchnienie, aby zamienić z jednym z nich odzież. Uczyniwszy to, zajął miejsce pomiędzy nimi, chcąc zakosztować upokorzenia przywiązanego do tego stanu. Wtedy to już przygotował się do życia żebraczego, które miał obrać sobie na zawsze.

Zwalcza pociąg do świata.

Po powrocie z Rzymu do Assyża, gdzie spędził całą młodość swoją, zaledwie ujrzał się między dawnymi przyjaciółmi, niebawem stanęło mu w uroczem świetle wszystko, co go przedtem zaprzątało: wesołe życie światowe, młodzi towarzysze, wspaniałe uczty, które zwykł był im wyprawiać, bogate stroje, któremi się odznaczał, pełna chwały przyszłość w rycerskim zawodzie, o której przez chwilę marzył, słowem wszystkie ziemskie uciechy. Lecz, wierny swojemu postanowieniu, podwoił ćwiczenia pobożne, przydał sobie wiele różnych umartwień i w końcu, wspierany łaską Pańską, odniósł świetne zwycięstwo.

Jak znosił wewnętrzne opuszczenia i pokusy.

Są dusze, które się uważają za opuszczone, gdy je Bóg doświadcza. Franciszek nie szemrał

nigdy przeciw Opatrzności. Wolał cnoty trwałe i upokorzenia, niż łaski niebieskie, których uważał się niegodnym. Działo się z nim, co się dzieje z innymi Świętymi: jego dusza wzrastała w męstwo, gdy, będąc pozbawiony pociech i doświadczany oschłościami, nie ustawał w służbie Bożej, spełniając wiernie wszystkie swoje ćwiczenia. Z drugiej strony pokusy, któremi dręczył go duch nieczysty, chroniły go od pychy, gdyż, jak zauważyli jego bijografowie, im dalej postępował na drodze cnoty, tem więcej szatan używał podstępu, złości i zapalczywości, by mu w tem przeszkodzić, a w końcu, gdyby się udało, i zniechęcić. Pan Bóg pozwalał na to dla doświadczenia jego wierności, powiększenia jego zasługi, oraz dla utrzymania go w pokorze, by nie ufał własnym swoim siłom. Napady szatańskie dokonywane były rozmaicie, stosownie do okoliczności. Czasami były to tylko podszepty, innym znowu razem złe duchy wstrząsały jego celą, wyjąc przeraźliwie, przejmowały go strachem i przerażeniem, i walczyły z nim, pokazując mu się w kształtach widzialnych. W Sartiano szeptały mu do ucha, że Bóg, choć przebacza żałującym grzesznikom, nie ma litości dla tych, którzy umartwieniem skracają sobie życie; w Carceri niepokoiły ustawicznie jego wyobraźnię, przez przypominanie mu śpiewów i zabaw z czasów młodości; w Rzymie, u Kardynała od Ś. Krzyża, zbiły go; w Porcjunkuli poddały mu myśl, kilka lat go dręczącą: iż on, co tak umiał pocieszać swych braci, sam bez pociechy zostawał; na górze Alwernji chciały go strącić w głąb przepaści.

Jakże piękny jest widok duszy, walczącej nietylko ze ślepemi siłami natury, ale i z duchami rozumnemi, których całem życiem jest złość... Nic bardziej nie zasługuje na uwagę nieba i ziemi nad tę walkę, w której się wydaje moralna wielkość człowieka. Nigdy zmęczenie w walce, ani gwałtowność usiłowań szatana nie przyprowadziły Franciszka do zachwiania się lub rozpaczy. Przeciwnie, ufność w Boga wzrastała w nim w miarę utarczek, a cnota jego potężniała jak dąb, rozciągający swe korzenie i wzmacniający się wśród burzy.

Jak się łączył z żebrakami.

W Rzymie Franciszek zapoznał się z jednym z pierwszych magnatów wiecznego miasta, Mateuszem Rubei ze znakomitej rodziny Orsinich. Był to pan wielkiej zacności, wzorowy katolik i bardzo litościwy dla biednych. Usłyszawszy kazanie Franciszka, przejął się dla niego wielką czcią i zapragnął poradzić się go w rzeczach sumienia, a w tym celu zaprosił go do siebie na obiad. Święty przybył na oznaczoną godzinę, lecz gdy gospodarza jeszcze w domu nie było, widząc przed pałacem wielu żebraków, którym również obiad dawano, wsunął się nieznacznie pomiędzy nich i razem otrzymał jałmużnę.

Tymczasem nadszedł Rubei, a nie znalazłszy Franciszka, chociaż mu powiedziano, że przyszedł, kazał go wszędzie szukać, zapowiadając, że bez niego nie zasiądzie do stołu. Lecz próżne były poszukiwania: rozesłani słudzy wrócili z niczem, aż on sam, wyjrzawszy przez okno, spostrzegł, że Święty, siedząc między żebrakami, posilał się otrzymaną strawą. Wybiegł więc natychmiast i, siadając przy nogach jego, rzekł: „Ojcze Franciszku, kiedy ty nie chcesz siąść przy moim stole, pozwól, że ja będę tu z tobą obiadował". Jak powiedział, tak i uczynił, a Pan Bóg wzamian za takie upokorzenie napełnił go wielką pociechą wewnętrzną, powodem zaś jej było to, że się ujrzał w gronie ubogich, z których każdy przedstawiał mu samego Chrystusa.

Dowiedziawszy się wówczas od męża Bożego o świeżo założonym przezeń Trzecim Zakonie dla osób w stanie małżeńskim i w świecie żyjących, prosił go zaraz o przyjęcie do niego i obznajmienie z regułą, którą postanowił jak najwierniej zachować. Tak więc Rubei został tercjarzem, a przykład człowieka tego znaczenia i szczególniej poważanego, wielu innych do tego zachęcił. Mnóstwo Rzymian płci obojej wstąpiło wtedy do Trzeciego Zakonu.[1])

W jakim duchu przyjmował uczczenie.

Zdarzyło się raz, że jeden z towarzyszów Świętego, patrząc na nadzwyczajne uczczenie, jakie go ciągle i wszędzie spotykało, rzekł doń w prostocie: „Ojcze, czy nie widzisz, co się wokoło ciebie dzieje? jaką ludzie cześć ci oddają? Co to znaczy, że się od niej wcale nie wzbraniasz, tak, iż możnaby sądzić, że powodując się ludzkiem uczuciem, podobasz w tem sobie? Czyż to przystoi słudze Bożemu?" Na to odpowiedział mu Franciszek: „Mój bracie, chociaż zdaje ci się, że mi wielką cześć oddają, wiedz jednak, że ja poczytuję to sobie za nic, albo raczej za bardzo mało, w porównaniu z tem, co czynić powinni". A gdy brat osłupiał na taką odpowiedź i ledwie że się nie zgorszył, Święty, przewidując to, przydał zaraz: „Bo uważaj dobrze, co ci powiem: oto ja całą tę

[1]) Ś. Franc. za życia i po śmierci C. 1 R. 15.

[1]) Żyw. Ś. Fr.. O. Pr, T. II.

cześć, jaką odbieram, odnoszę do Boga, nic sobie z tego nie przypisując i nie przywłaszczając. Owszem, utwierdzam się tem bardziej w mojej własnej nędzy i niegodziwości, i tem głębiej w niej się zanurzam, tak jak posągi z kamienia lub drzewa, którym cześć się oddaje, a które jej wcale nie czują, ani się z niej nie chełpią. I w istocie, nie posągi cześć odbierają, ale osoby przez nie wyobrażane, one zaś same są zawsze tylko martwą bryłą. Otóż, gdy ludzie uznają Boga i cześć Mu oddają, chociażby w najnędzniejszych Jego stworzeniach, nie mały stąd odnoszą dla dusz swoich pożytek. I pocóż miałbym ich tego pozbawiać? A rozważ i to także, że gdyby Pan Bóg przez jakiego Świętego takich im łask użyczał, już należałoby Mu się za to wielkie uczczenie; lecz skoro tych samych łask nawet przez takiego grzesznika im udziela, czyż nie powinni Mu za to stokroć większą chwałę i dzięki składać?"

Słowa te uspokoiły brata, a zastanowiwszy się nieco, podziwiał pokorę błogosławionego Ojca, który na jego niewłaściwe zarzuty tak łagodnie mu odpowiedział, nie dając mu nawet przygany, że go właśnie posądził o brak tej cnoty. [1])

Z jakiem zaparciem znosił cierpienia.

Wiele chorób trapiło Franciszka w ostatnich jego latach. Można śmiało powiedzieć, że nie miał w całem swojem ciele ani jednego członka zdrowego. Cierpienia tak go wycieńczyły, że ciało jego prawie zupełnie wyschło, pozostawiając na nim samą skórę i kości. Bracia martwili się tem bardzo, obawiając się utracić przedwcześnie swego dobrego Ojca i radzili mu, aby się oszczędzał, i używał środków lekarskich. Ale napróżno: Franciszek nie chciał się pozbyć swoich sióstr cierpień. Szczególnie nalegał na niego brat Eljasz, przekładał mu, prosił i zaklinał, umiał bowiem najlepiej ocenić niepowetowaną stratę, jaka czekała zakon przez zgon Świętego. Troszczył się więc gorliwie o Serafickiego Patryarchę. Kazał mu nawet mocą posłuszeństwa przyjąć pomoc lekarską. To wreszcie poskutkowało: Franciszek poddał się prośbom i woli braci. Zapewne miał nadzieję i ta go nie zawiodła, że poddając się kuracji, znajdzie nowe i większe cierpienia. [2])

Był umarły sobie.

Z tych uwag jawnie się pokazuje, że Seraficki Patryarcha doszedł do takiego stopnia zaparcia, jak mało który ze Świętych i o jakiem zaledwie można pomyśleć. Był zupełnie umarły sobie i światu, nie żył już życiem naturalnem, ale nadprzyrodzonem i mógł daleko słuszniej, niż wielu Świętych, powtarzać z Apostołem narodów: „Żyję ja, ale już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus", bo rzeczywiście był on żywym obrazem Chrystusa na ziemi.

O zaparciu swej woli.

Święty Franciszek, jako powołany do kierowania synami duchownymi i rozkazywania podwładnym, miał z tego powodu mniej sposobności zapierać się własnej woli. Tem bardziej więc zasługuje na uznanie jego zaparcie wewnętrzne, a głównie to, że chciał i umiał w tak trudnych warunkach znajdować częstą sposobność do pełnienia tej cnoty. Pomiędzy bowiem niezliczonemi łaskami, obdarzył go Pan Bóg i cnotą najchętniejszego posłuszeństwa. To też sprawdzały się na nim w sposób uderzający słowa Mędrca Pańskiego: „Mąż posłuszny głosić będzie zwycięstwo". [1]) Znaczy to, że człowiek pokorny, a więc łatwo ulegający drugim, łamiąc z posłuszeństwa trudności, jakie napotykają wszelkie dobre czyny, dokona spraw wielkich i okryje się chwałą przed Bogiem, tak jak zwycięstwa, odnoszone nad nieprzyjaciółmi, okrywają chwałą ziemską bohaterów tego świata [2]).

Jak daleko je posuwał.

Mawiał on też niekiedy synom swoim dla ich zbudowania i zachęcenia do posłuszeństwa: „Dobroć Boża obsypała mnie wielu darami, z których niepośledni jest i ten, że również chętnie byłbym posłuszny nowicjuszowi, który przed godziną wstąpił do zakonu, gdyby mi go prawnie gwardjanem wyznaczono, jak najstarszemu i najczcigodniejszemu z braci. Podwładny bowiem w przełożonym widzieć powinien nie człowieka, lecz Boga, z miłości którego poddał się posłuszeństwu. Stąd im mniej godny rozkazuje, tem milsza Bogu pokora w tym, który mu jest posłuszny".

Jaki wzór posłuszeństwa wystawiał.

Pewnego razu, gdy błogosławiony Ojciec rozwodził się nad zaletami i zasługami posłuszeństwa, bracia spytali go, jak można poznać po zakonniku, że posiada tę cnotę. Święty odpowiedział im, że za wzór doskonałego posłuszeństwa może służyć umarły. „Weź bowiem trupa, mówił, i połóż go, gdzie

[1]) Tamże T. I [2]) Leben d. h. Franc. von Bern. von Andermatt.

[1]) Prov. 21, 28. [2]) Żyw. Ś. Fr... T. II s. 123.

chcesz, a obaczysz, że ci się w niczem nie sprzeciwi, ani się poruszy, ani się poskarży na miejsce, na którem go umieściłeś, ani szemrać będzie, żeś go porzucił samego. Posadź go nawet na tronie, a nie będzie z góry patrzał, lecz spuści głowę na dół; jeżeli go zaś przyodziejesz w purpurę, wyda ci się jeszcze bledszym. Otóż prawdziwie posłuszny jest ten zakonnik, który, tam lub owdzie posłany, nie rozbiera w myśli, dlaczego tak starszy rozporządził; który nie dba, jakie mu dostanie się miejsce, nie upomina się o inne zajęcie, a powołany na przełożeństwo, nie przestaje być pokornym; owszem, im więcej go poważają, tem bardziej czuje swoją niegodność". [1])

Innym razem, rozmawiając o tejże cnocie, nazwał rozluźnieniem udzielanie pozwoleń na prośby i powiedział, że przedmiotem świętego posłuszeństwa są rozkazy otrzymane, a nie wyproszone.

Prosi o przełożonego.

Nie zapominał też sługa Boży, iż niedość nauczać braci słowami, ale przedewszystkiem trzeba im dawać przykład na sobie i w duchu powołania ich utrwalać. A ponieważ za podstawę wszystkich cnót chrześcijańskich, a najbardziej zakonnych, słusznie poczytywał pokorę, zaparcie i wyzucie się z własnej woli, czyli doskonałe posłuszeństwo, więc, aby przedstawić na sobie wizerunek tych cnót, po jakimś czasie zrzekł się swej władzy nad całym zakonem. Lecz i to go nie zadawalniało. Wprawdzie przez akt ten zniżył się dobrowolnie do rzędu prostych braci, ale nie przestał pomimo to być założycielem swojego zakonu, co pozostawiało mu pewne wyjątkowe prawa, dające mu więcej swobody, niż innym. Zdawało mu się, że, będąc sam jakby niezależnym od przełożonych, nie może śmiało wymagać od braci bezwarunkowego poddania się woli starszych, a jednak pragnął, aby w tem właśnie szczególniej się ćwiczyli. By więc dać innym wyraźny przykład posłuszeństwa, a siebie samego nie pozbawiać jego zasługi, wtedy nawet, gdy dla prac apostolskich wydalał się z klasztoru, uprosił brata Eljasza, aby mu wyznaczył jednego z braci na osobnego gwardjana, któremu byłby posłusznym nawet w podróżach, biorąc go zawsze ze sobą jako socjusza. Spełniając tę prośbę Franciszka, Eljasz zamianował dlań gwardjanem brata Anioła z Rieti, z tym więc odtąd mąż Boży wszelkie swoje wycieczki apostolskie odbywał i był posłuszny na każde jego skinienie. [2])

[1]) Tamże [2]) Tamże s. 122.

Jakiego posłuszeństwa wymagał od braci.

Od naśladowców swoich wymagał Seraficki Patryarcha, aby byli posłuszni nietylko w rzeczach, które reguła przepisuje, ale we wszystkiem, co tylko nie jest grzechem. Żądał nadto, aby byli posłuszni przełożonym, choćby ci ich prześladowali, i żeby nie oglądali się na osobę rozkazującego, ale na Tego, w którego imieniu on rozkazuje. Nauczał także, że im niższą jest osoba, której się posłuszeństwo oddaje ze względu na Boga, tem większej jest ono zasługi, bo jest trudniejsze. I dodawał, że choćby przełożeni rozkazywali rzeczy mniej doskonałe od tych, które pragnęlibyśmy czynić, należy wyrzec się tego pragnienia, pamiętając, że posłuszeństwo jest pełnieniem woli Boskiej, nad którą nic doskonalszego nigdy być nie może. „A przeto, mawiał, skoro tylko usłyszycie jakie polecenie, zaraz je wypełniajcie, nie czekając nigdy nowego rozkazu, ani się nie wymawiając, choćby się to wam zdawało rzeczą niepodobną, albo nieroztropną; bo, chociażby polecenie było rzeczywiście nad wasze siły, to posłuszeństwo zawiera w sobie moc cudowną, która wam wszystko ułatwi".

Jak karcił nieposłusznych.

Święty Franciszek wzdrygał się na najmniejsze przestępstwo tej cnoty, miał w obrzydzeniu szemranie i surowo karał wyłamywanie się z pod prawa.

Pewnego razu doniesiono mu o nieposłuszeństwie któregoś brata, a chociaż wiedział, że winny odpokutował już za ten grzech prywatnie, mimo to, dla przykładu innych, rozkazał odjąć mu kaptur i wrzucić w ogień. A gdy znów po niejakim czasie polecił wydobyć go z ognia i oddać onemu bratu, kaptur okazał się zupełnie nienaruszonym, z czego bracia mieli zbudowanie, uznając w tem moc świętej pokuty.

Drugim razem kazał Franciszek jednemu bratu iść pielęgnować trędowatego. Ten ociągał się z pójściem, co widząc, święty Ojciec zawołał: „Myślałem, że mam pod sobą umarłych, a tymczasem brat ten jeszcze żyje; weźcie go przeto i żywcem zakopcie". Bracia zabrali się do dzieła; zaledwie jednak zasypano go do połowy, winny uznał błąd swój i począł rzewnie płakać. Doniesiono o tem Świętemu, który kazał go zapytać, czyby już umarł, a kiedy winny to potwierdził, Franciszek przywołał go do siebie i polecił mu wybrać sobie inny jaki klasztor na mieszkanie według własnej woli. Ale brat z płaczem począł się wymawiać, prosząc, jak o łaskę, aby mógł surowszą czynić pokutę za swój

grzech. Święty Ojciec, rozrzewniony temi słowy, pobłogosławił go i rzekł: „Ponieważ widzę teraz, iż w rzeczywistości umarłeś, jako dobry zakonnik, zatem wstań i chodź! Ale bądź nadal posłusznym na najmniejsze skinienie i nie opieraj się, jak trup woli swoich przełożonych, gdyż ja chcę mieć za uczniów nie żyjących, ale umarłych". I zawsze wymagał tego zaparcia, całkowitego poświęcenia swej woli i wyniszczenia starego człowieka, uważając to usposobienie za konieczny fundament gmachu duchownego.[1])

Jakiego zaparcia rozumu wymagał.

Franciszek mawiał często do swoich synów: „Naśladujcie ślepego, który pozwala się prowadzić po drogach złych i dobrych przez wierne zwierzę, służące mu za przewodnika. Bądźcie ślepo posłuszni, bez szemrania, bez badania, czy rzecz zalecona jest trudną lub nie, mając na myśli tylko Boga, który rozkazuje, władzę przełożonego, który Jego miejsce zastępuje i zasługę posłuszeństwa. Bo kto rozsądza otrzymane rozkazy, ten pożywa owoc z drzewa wiadomości złego i dobrego, i przez to samo skazuje się na wyrzucenie z zakonu, który jest rajem ziemskim". Stosował również do tego owe słowa Pańskie: „Kto chce zachować duszę swoją, straci ją", a ten chce zachować swą duszę, narażając się przez to na wieczną jej utratę, kto chce według swego rozumu sądzić rozkazy przełożonego; kto zaś traci ją tutaj przez zaparcie swego rozumu i woli, ten jej na żywot wieczny strzeże".[2])

Jak doświadczał zaparcia rozumu swych braci.

Franciszek doświadczał swoich synów, zlecając im raz to, drugi raz co innego, aby powolni byli w jego ręku. Brata Masseusza np., który posiadał wielką roztropność, a przytem z łatwością i wdziękiem głosił słowo Boże, przeznaczał to na furtjana, to na kwestarza, to na kucharza i dopiero po dłuższym czasie zwolnił go z tych posług. Pewnego razu Święty Ojciec podróżował z tymże bratem Masseuszem. Przyszedłszy na rozstaje dróg, prowadzących w trzy różne strony: do Florencji, do Sjenny i do Arezzo, Seraficki Patryarcha kazał swojemu socjuszowi obracać się na miejscu tak długo, aż mu powie, że dosyć. Zaczął się tedy Masseusz obracać, jak to czasem dzieci robią. Głowa mu się już zawracała: kilka razy upadł. Lecz powstawszy, jeszcze mocniej się kręcił. W końcu kazał mu Franciszek stanąć i zapytał: „Dokąd jesteś zwrócony?" — „Do Sjenny", odpowiedział Masseusz. Udali się więc do tego miasta.

Jakiego wyniszczenia natury wymagał od braci.

W mroźny dzień zimowy szedł Franciszek z bratem Leonem z Perudżji do Najświętszej Panny Anielskiej. Brat Leon wyprzedzał go, cały pogrążony w rozmyślaniu. Wtem Święty Ojciec odezwał się: „Bracie Leonie, dałby Bóg, żeby Bracia Mniejsi dali całej ziemi wielki przykład świątobliwości. Jednakże, owieczko Boża, wiedz, że nie w tem zawiera się doskonała radość". Trochę dalej zaczął znowu: „O, bracie Leonie, gdyby Bracia Mniejsi przywracali wzrok ślepym, władzę w członkach sparaliżowanym, słuch głuchym i mowę niemym, gdyby nawet wypędzali szatanów i wskrzeszali umarłych po czterech dniach od śmierci, wiedz, że i wtedy radość nie byłaby doskonałą". A uszedłszy znów kilka kroków, zawołał: „O, bracie Leonie! gdyby Bracia Mniejsi znali wszystkie języki i posiadali wszystkie nauki i pisma, gdyby mieli dar proroctwa i rozpoznawania serc, wiedz, że nie w tem również zawiera się doskonała radość". A dalej: „Ukochana owieczko dobrego Boga, gdyby Bracia Mniejsi mówili językiem anielskim, gdyby znali bieg planet, własności roślin, tajemnice ziemi, naturę ptaków, ryb, ludzi, zwierząt, drzew, kamieni i wody, wiedz, że nie byłoby to jeszcze radością doskonałą". Po kilku chwilach znowu dodał: „O, bracie Leonie! gdyby nawet Bracia Mniejsi zdołali swojemi kazaniami nawrócić do wiary chrześcijańskiej wszystkie narody niewierne, wiedz, że i wtedy jeszcze radość ich nie byłaby doskonałą". I taką rozmowę prowadził w ciągu dwóch mil. Nakoniec zdziwiony towarzysz zapytał: „Proszę cię, Ojcze, w Imię Boga, powiedz mi, w czemże się zawiera owa doskonała radość?" Święty odpowiedział: „Kiedy przybędziemy do Najśw. Panny Anielskiej zmoknięci, zziębli, umierający z głodu, i kiedy zapukamy do drzwi, a furtjan, widząc nas, zawoła: „Jesteście próżniacy, włóczący się po świecie, kradniecie jałmużnę ubogim, pójdźcie precz!" i jeżeli nas zostawi za drzwiami na śniegu i zimnie, a my to zniesiemy cierpliwie bez szemrania i skargi, myśląc, że ten furtjan obchodzi się z nami według naszych zasług i że to wszystko odbieramy z woli

[1]) Ś. Fr. za życia. s. 154. [2]) Tamże.

[1]) Ś. Fr... T. I, s. 132

Bożej; wierz mi, bracie Leonie, że wtedy dopiero będzie doskonała radość. A gdy my jeszcze pukać będziemy i furtjan rozgniewany wypędzi nas, lżąc i okrywając policzkami, i powie: „Idźcie precz, nędznicy, tu niema dla was ani dachu, ani chleba“, jeżeli to zniesiemy z cierpliwością, wesoło i ochotnie, o, bracie Leonie, to będzie prawdziwa radość. I jeżeli w końcu, przygnębieni ciemnością, zimnem i głodem, dalej będziemy błagać brata, aby dla miłości Boga wpuścił nas do klasztoru, a on, wyszedłszy z kijem sękatym w ręku, powali nas na śnieg i zbije nielitościwie, gdy zniesiemy w pokoju to złe obejście, myśląc, że powinniśmy mieć udział w cierpieniach naszego Zbawcy Jezusa Chrystusa; wierz mi, bracie Leonie, to będzie dopiero doskonała radość! Ze wszystkich bowiem darów, jakie Duch Święty zlewa na dusze, najdoskonalszym jest dar zwyciężania samego siebie i chętnego znoszenia cierpień dla miłości Boga. Z żadnych też darów nie możemy się wynosić, gdyż one nie do nas należą, ale do Stwórcy, jak powiada Apostoł: „Co masz, czegobyś nie wziął, a jeśliś wziął, czemu się chlubisz, jakbyś nie wziął?“ Ale z krzyża smutków i utrapień możemy śmiało się chlubić, bo ten jest naszą własnością i w tem znaczeniu Ś. Paweł mówi: „A ja, nie daj Boże, abym się miał chlubić, jeno w krzyżu Pana naszego Jezusa Chrystusa [1]).

Zaparcie naśladowców Franciszka. Na kapitule Rogozianej.

Gdy bracia w liczbie pięciu tysięcy zebrali się na kapitułę Rogozianą, obóz ich pod Assyżem, składający się z lichych chatek i namiotów, przy braku najpotrzebniejszych rzeczy, dziwne przedstawiał zjawisko, to też ze wszystkich stron przychodziły tłumy ludzi, żeby się przypatrzeć nowym żołnierzom Chrystusowym. Sam Kardynał Hugolin przyprowadził wielu prałatów i świeckich dygnitarzy, a wszyscy oni podziwiali ubóstwo, spokój, jedność, miłość, zaparcie i ofiarność braci i byli tem głęboko wzruszeni: „Ach, wołali, zobaczyliśmy to wyraźnie, że droga do nieba jest wązka i że ciężko bogatym wnijść do królestwa niebieskiego. My łudzimy się, że dostąpimy zbawienia, używając przyjemności i wygód wtedy, gdy ci, opuściwszy wszystko i katując ciało swoje, z wielką bojaźnią, myślą o wieczności. Pragniemy umrzeć, jak oni, ale nie chcemy żyć, jak oni, a wiemy przecież, że każdy umiera tak, jak żył poprzednio“. Dzięki podobnym uwagom, przeszło pięciuset aspirantów zapragnęło przyjąć habit Ś. Franciszka. [1])

Bracia wysłani do Anglji.

Kronika Bartłomieja z Pizy podaje przykład, dowodzący, jaką cierpliwość mieli pierwsi synowie Franciszka Świętego. W pobliżu Oksfordu mieszkał pewien rycerz, który nie znosił braci, ani ich sposobu życia i nieludzko obchodził się z nimi, czerniąc ich na wszystkie strony. Trafiło się raz w sam dzień Bożego Narodzenia, że dwaj bracia szli do kościoła, żeby tam słowo Boże głosić. Droga wiodła przez las. Szli boso po ostrej grudzie, znacząc ślady skrwawionych stóp na zamarzłym śniegu, lecz nie zwracali na to uwagi. Rzekł tedy młodszy do starszego: „Pozwól mi, ojcze, zaśpiewać dla rozweselenia ducha“. I otrzymawszy na to zezwolenie, zagrzmiał całym głosem: „Witaj Królowo!“ Ani się domyślał, że ów rycerz, tak im niechętny, jechał za nimi, przyglądając się krwawym śladom ich stóp na śniegu. Skończywszy śpiew, młodszy brat zapytał towarzysza: „Wszak ładnie odśpiewana antyfona?“ A rycerz na to: „O tak, bardzo ładnie. Niech was Bóg błogosławi, że na wzór Apostołów znosicie cierpliwie niedostatek, a w utrapieniu umiecie się weselić“. Rzekłszy to, zeskoczył z konia i na klęczkach przepraszał ich za dawne niesprawiedliwe sądy. [2])

S. Elżbieta Węgierska, 3 Zak. (1231 r.)

Święta Elżbieta Węgierska daje nam przykład wyrzeczenia się, posuniętego do heroizmu. Owdowiawszy bardzo młodo, bo licząc zaledwie 20 lat, została wypędzoną wraz z czworgiem dzieci i to wśród zimy z zamku książęcego. Przysłani do niej słudzy nowego pana, a brata jej męża, wyrzucali Świętej, że zrujnowała kraj swojem miłosierdziem, zmarnowała i wyczerpała skarb państwa, za karę więc pozbawioną zostaje wszystkich swych posiadłości, a książę Henryk, który jest odtąd panującym w Turyngji, rozkazuje jej natychmiast wynosić się z zamku. Te rozkazy, już same przez się niesprawiedliwe i okrutne, były jej oznajmione w sposób tak barbarzyński, że księżna Zofja, teściowa Elżbiety, pochwyciła ją w swoje objęcia, wołając: „Ona przy mnie zostanie, nikt mi jej nie zabierze! Gdzie są moi synowie, chcę się z nimi widzieć!“ Nic to jednak nie pomogło. Elżbieta mu-

[1]) Kwiateczki, C. VIII.

[1]) Żyw. S. Fr. O. Prok. T. I. [2]) Przybycie Braci Mniejszych do Anglji, kronika Tomasza Ecclestown.

siała wyjść z pustemi rękoma z tego pałacu, który był świadkiem jej chwały i świętych uczynków. Na podwórzu zamkowem czekały na nią dzieci i dwie z panien honorowych, Guta i Izentruda, tak samo wypędzone i ograbione ze wszystkiego. Widok wnucząt, skazanych wraz ze świętą i niewinną swoją matką na los żebraczy, wielką boleścią i oburzeniem przepełnił serce księżnej Zofji, prosiła więc powtórnie, aby mogła pomówić z synami. Lecz odpowiedziano jej, że niemasz ich w domu, skryli się bowiem podczas spełniania tego strasznego wyroku, nie śmiejąc stawić czoła łzom i błaganiom niewiast. Elżbieta i jej dzieci miały przeto ginąć w nędzy. Zeszła, z góry, na której stał zamek wartburski, niosąc na ręku najmłodszą swą dziecinę; troje starszych prowadziły dwie wierne jej w nieszczęściu panny honorowe. Było to wśród zimy, mróz był bardzo wielki. Miasto Eisenach, udobrodziejstwowane tylu łaskami przez Elżbietę, powinno było przyjść jej z pomocą; lecz ogłoszono rozkaz księcia Henryka, że, ktokolwiek chce wpaść w jego niełaskę, niech się odważy przyjąć pod swój dach wygnańców. I oto, jakby na świadectwo ludzkiej niewdzięczności, wszyscy posłuchali nowego landgrafa. Zapomniano o dobrem i litościwem sercu księżnej, o jej poświęceniu i jałmużnach; ani jedne drzwi nie roztwarły się przed biedną matką i sierotami, które drżały od zimna: bojaźń zmroziła serca wszystkich. Elżbieta przekonała się zaraz, że nie ma na kogo liczyć w tem miejscu, gdzie pierwej imię jej było błogosławione. Weszła wreszcie do nędznej gospody, skąd właściciel nie mógł, czy nie chciał jej wypędzić, gdyż to było miejsce przeznaczone dla podróżnych. Ofiarował jej mieszkanie w chlewie, gdzie trzymał prosięta, te zaś wyprowadził do innej komórki. Lecz tutaj, znalazłszy się na ostatnim szczeblu upokorzeń, Elżbieta odzyskała nagle spokój i swobodę; święta radość napełniła jej serce, uczuła się szczęśliwą. Czyż nie była to stajenka betleemska, jaką sobie przedstawiała w długich rozmyślaniach, jaką jej przypominały ubogie chałupki, w których nawiedzała biednych chorych? Ułożywszy dziatki swoje do snu, Elżbieta zaczęła się rozglądać w nowem swojem położeniu bez goryczy i szemrania, a gdy usłyszała głos dzwonów, wzywający na Jutrznię w kościele Braci Mniejszych, pospieszyła tam z dwiema towarzyszkami i po odmówionej Jutrzni błagała zakonników, aby odśpiewali Te Deum na podziękowanie Panu Bogu za skarb ubóstwa, jaki znalazła. Od tej chwili gorąca jej pobożność, całkowite poddanie się woli Bożej, święta radość wśród prób najcięższych rozjaśniły mężną duszę Elżbiety. Schylona u stóp ołtarza, podczas, gdy hymn radosny, tak niepojęty dla świata, wznosił się do niebios, Elżbieta dziękowała głośno Bogu, że jest teraz ze wszystkiego ogołoconą, tak jak nią była Święta Rodzina w stajni betleemskiej: „Panie, mówiła, niech się dzieje wola Twoja. Wczoraj byłam księżną, panią licznych i bogatych zamków, dziś jestem żebraczką i nikt nie chce mi dać schronienia“.[1])

Bł. Benwenuty z Gubbio Brat Mniejszy (1232 r.)

Benwenuty z Gubbio, wstąpiwszy do zakonu, przeznaczony został do służenia i opatrywania chorych. Przezwyciężywszy wstręt wrodzony, z wielką pilnością spełniał przez kilka lat ów przykry obowiązek, mając w pamięci słowa Pańskie, iż kto czyni przysługę bliźniemu, ten samemu Jezusowi ją oddaje. Gdy już umiłował to zajęcie, za nowym rozkazem przełożonych powrócił do klasztoru, uważając sobie zawsze za jedyną rozkosz służyć wszystkim i słuchać każdego. Ćwicząc się ustawicznie w tej cnocie, doszedł do tak wysokiego stopnia zaparcia, iż nie wymawiał się nigdy od żadnego polecenia, choćby mu się zdawało najwstrętniejszem lub najtrudniejszem.[2])

Bł. Humiljanna Cerki (Cerchi), 3 Zak. (1236 r.)

Całe życie tej cichej świętej służebnicy Bożej było obrazem wszechstronnego zaparcia. Wstawała zwykle bardzo rano, szła na Mszę św., poczem do południa spędzała czas na ćwiczeniach pobożnych, a resztę dnia zajmowała się pracą ręczną, rozporządzeniami i innemi interesami swego domu. Roztropne rządy Błogosławionej dawały jej możność udzielania hojnej jałmużny ubogim i nędzarzom, w których widziała i czciła Najświętszą Osobę ubogiego Pana Jezusa. Pracowała dla nich własnemi rękami, a nawet, pomimo wysokiego stanowiska, wstrzymywała się w tym celu od wszelkiej wystawności w ubraniu. Miłosierdzie to, chociaż utrzymywane we właściwych granicach, sprowadzało na nią najgorsze obejście ze strony męża, którego serce pozbawione było litości dla ubogich. Nic jednak nie zdołało zachwiać gruntownej cnoty Humiljanny: nie tylko nie powiedziała mu nigdy przykrego słowa, ale nie okazywała nawet zachmurzonej twarzy, będąc dlań zawsze serdeczną i pełną szacunku, jakby dla najczulszego małżonka.

---

[1]) Żywot Ś. Elżbiety Węg. hr. Montalemberta.
[2]) L'aur. séraph T. II.

Ś. FRANCISZEK NA OBIEDZIE U MAGNATA RUBEI.

Święci słudzy Pańscy umieli korzystać z każdej okazji do ćwiczenia się w cnocie zaparcia, wtedy nawet, gdy byli sami u władzy. Chętnie np. znosili niedołęstwo i złośliwość sług swoich, ceniąc to sobie jako środek do większego postępu w doskonałości. Bł. Humiljanna miała często pokusy niecierpliwienia się na jedną ze służących bardzo leniwą i zuchwałą. Wszakże nie odprawiała jej z domu, starając się odnieść korzyść z jej niegodnego postępowania. Pewnego razu Święta prosiła owej służącej o kubek wody. Ta spełniła polecenie z wielką niecierpliwością, a w końcu rzuciła kubkiem w twarz swojej pani, tak że się rozbił i boleśnie ją skaleczył. Błogosławiona zniosła to w milczeniu, nikomu się nie uskarżając, pomimo, iż od uderzenia powstał na twarzy guz, nabrzmiały materją. W parę godzin później, wybierając się do kościoła, Humiljanna uczyniła nad raną znak krzyża św. i zaraz niewidzialna jakaś ręka namazała ranę olejkiem, poczem bezzwłocznie wypłynęła z niej materja, nie zostawiając na twarzy najmniejszego śladu.

Przez cały czas swego zamęścia Święta była ofiarą prześladowania, obelg i krzywd wszelkiego rodzaju, tak ze strony męża, jak i domowników. Gdy ten główny prześladowca jej zapadł śmiertelnie, Humiljanna, płacąc dobrem za złe, niespokojna o zbawienie jego duszy, użyła wszystkich środków, aby go pojednać z Panem Bogiem i przywieść do serdecznego żalu za grzechy. I otrzymała wreszcie tę łaskę, że umarł po chrześcijańsku, w usposobieniu szczerej skruchy i miłości Boga. Na pokrycie długów przez niego zaciągnionych, Humiljanna ofiarowała wspaniałomyślnie cały swój majątek. [1])

Bł. Andrzej ze Spello, Brat Mniejszy (1254 r.)

Pod koniec życia Andrzej otrzymał pozwolenie udania się na bogomyślność do samotnego klasztoru Karceri pod Assyżem, gdzie bardzo wiele razy objawiał mu się Pan Jezus i obsypywał nadzwyczajnemi łaskami. Razu pewnego, gdy Błogosławiony trwał na modlitwie w swojej celce, stanął przed nim Zbawiciel w postaci przecudnego Dziecięcia; już kawał czasu upłynęło mu na słodkiej rozmowie i niebiańskich pieszczotach z Boskim Gościem, gdy wtem odezwał się dzwon, zwołujący zakonników do chóru na Nieszpory. Andrzej przypomniał sobie obowiązek posłuszeństwa i bez najmniejszego wahania opuścił Zbawcę, by wspólnie z braćmi odmówić obowiązkowe pacierze. Lecz jakaż radość napełniła jego serce, gdy po powrocie do celi, znalazł czekające na niego Boskie Dziecię, które rzekło: „Dobrześ zrobił, Andrzeju, żeś pobiegł na pierwszy głos posłuszeństwa, wkrótce odbierzesz za to nagrodę". [1])

Bł. Juniper z Assyża, Brat Mniejszy (1258 r.)

Kroniki zakonne opowiadają dziwne rzeczy o zaparciu brata Junipera. Tak mało dbał o siebie, że pozwalał każdemu robić z sobą, co mu się tylko podobało, choćby się miał narazić na utratę życia. Pewnego razu wysłany był po kweście do zamku, którego właścicielem był srogi tyran, znienawidzony przez okolicznych mieszkańców. Skorzystał z tego szatan, aby zaszkodzić słudze Bożemu, przyjąwszy więc na siebie postać ludzką, zjawił się przed tyranem i rzekł do niego: „Przestrzegam cię, panie, jako życzliwy, że nieprzyjaciele czyhają na życie twoje i postanowili podpalić twój zamek. Namówili już nawet złoczyńcę, który ma dokonać tej zbrodni. Przyjdzie on tu wkrótce w postaci żebraka, proszącego o jałmużnę, a poznać go będzie można po tem, że nosi przy sobie długie szydło, którem ma cię zabić, a także krzesiwo dla podłożenia ognia". Opowiedziawszy to, zły duch oddalił się, a tyran, przestraszony tem ostrzeżeniem, postawił straż przy wejściu do zamku, aby spodziewanego złoczyńcę pojmała i wtrąciła do więzienia. Gdy więc wkrótce zjawił się brat Juniper, którego powierzchowność zgodna była zupełnie z opisem uczynionym przez szatana i gdy na domiar złego znaleziono przy nim szydło i krzesiwo, wszyscy wzięli go za owego zdrajcę i zaprowadzili przed właściciela zamku, który wydał rozkaz umęczenia go. Okrutni służalcy natychmiast włożyli głowę Junipera pomiędzy dwie laski, które po obu stronach głowy tak mocno ściskali powrozami, że wpiły się w ciało aż do kości. Potem spuszczali go na powrozie z góry na dół i napowrót ciągnęli do góry, przywiązawszy do nóg kamienie. Gdy pytali go, kim jest, odpowiadał, że jest największym grzesznikiem na świecie. Zaś na pytanie, czy przyszedł jako zdrajca, odrzekł, że pomiędzy wszystkimi zdrajcami on jest najniegodziwszym. Wreszcie, badany, czy miał zamiar podpalić ten zamek i zamordować jego właściciela, przyznał, że uczyniłby jeszcze większą zbrodnię, gdyby go Pan Bóg na chwilę opuścił i

[1]) Ibidem.

[1]) Ibidem.

odebrał mu łaskę swoją. Usłyszawszy to, tyran kazał go uwiązać u ogona końskiego i tak wlec do wskazanego miejsca, a następnie powiesić. Cierpliwy brat Juniper wcale się od tego nie wymawiał, ani nie bronił; przeciwnie, znosił to wszystko z wielką radością, wiedząc, że bez woli Boskiej nic się stać nie może. Przywleczono go wreszcie na miejsce kaźni i posłano do poblizkiego klasztoru Braci Mniejszych, prosząc, aby który zakonnik przyszedł wyspowiadać zbrodniarza skazanego na stracenie. Przybyły brat poznał w skazańcu Junipera, udał się więc natychmiast do pana zamku i oznajmił mu o tem, dodając, że Juniper jest jednym z najdoskonalszych braci w całem zgromadzeniu. Wówczas rzecz się wyjaśniła, zwłaszcza, że sława świątobliwości brata Junipera doszła była już dawniej do owego tyrana, rzucił się więc do nóg zakonnikowi, błagając publicznie o przebaczenie, ten zaś nietylko z całego serca przebaczył, ale podziękował mu jeszcze za okazję do cierpienia na chwałę Bożą. [1])

Bł. Idzi z Assyża, (1262 r.)

Brat Idzi, bawiąc raz w pewnym oddalonym klasztorze, otrzymał polecenie od Wikarego generalnego, aby natychmiast do niego przybył. Nie zwlekając ani chwili, wstał od czynności, którą był właśnie zajęty i bez żadnych przygotowań puścił się w drogę. Towarzysz jego począł mu wymawiać, że należałoby przed odejściem pożegnać się z braćmi, na co Idzi odpowiedział, że w otrzymanem poleceniu Wikary generalny nic mu o tem nie nadmienił, kazał tylko bezzwłocznie wyruszyć w podróż, nie ma więc prawa zatrzymywać się dobrowolnie z jakiegobądź powodu.

Słodka, prosta i współczująca dusza tego brata była jednocześnie pełną zapału do dobrego, oraz chciwą cierpień i upokorzeń. Nic mu nie było zbyt przykrem: ani niedostatek każdodzienny, ani ciągłe podróże, podejmowane dla chwały Bożej, ani zniewagi, jakie go często spotykały; wszystko to brat Idzi znosił z zdumiewającą radością i wdzięcznością. Ś. Franciszek, podziwiając ducha zaparcia w tym ukochanym swoim uczniu, mawiał doń, czyniąc zwrot do romansów rycerskich: „To jeden z moich rycerzy okrągłego stołu“.

Pewnego dnia jeden z braci zakonnych przyszedł do Idziego z następującą skargą: „Mój ojcze, modliłem się przed chwilą, gdy gwardjan, nie zwracając na to uwagi, kazał mi iść zaraz na miasto po kweście. Czy nie byłoby lepiej, gdybym go nie usłuchał i nie przerwał rozmowy z Bogiem?“ — Synu mój, odpowiedział brat Idzi, jeszcześ widać nie zrozumiał, co to znaczy modlić się. Prawdziwa modlitwa, to zaparcie swej woli, lecz kto pragnie pełnić wolę własną i szuka środków uniknięcia jarzma św. posłuszeństwa, ten zawsze jest w błędzie, choćby powody, na których się opiera, były w jego mniemaniu jak najsłuszniejsze. Zakonnik doskonale posłuszny, to rycerz dosiadający dzielnego rumaka, który jedzie pewny siebie i nic nie jest w stanie go zatrzymać. Przeciwnie, zakonnik nieposłuszny, rozumujący, albo przymuszający się do posłuszeństwa, to jeździec na chudej nędznej szkapie, która przy najmniejszem znużeniu pada, lub daje się zwyciężyć nieprzyjacielowi. Powiadam ci, że gdybyś nawet dostąpił takiej doskonałości, iż wolnoby ci było rozmawiać z aniołami, obowiązany byłbyś natychmiast ich opuścić na pierwszy rozkaz gwardjana. [1])

Bł. Piotr ze Sjenny, 3 Zak. (1289 r.)

Piotr Seneński, jak wszyscy Święci, pragnął umartwiać się i czynić pokutę, lecz ciągła i ciężka praca nie dozwalała mu na surowsze posty. Aby więc dopełnić umartwień, których potrzebę odczuwała jego dusza, umyślił obrócić na ten cel wszystkie swe trudy, przykrości, przeciwności i zmartwienia każdodzienne, przyjmując je z weselem przez miłość ku Bogu i ofiarując je za swoje grzechy. Postanowienie, zdaje się, bardzo proste, lecz ono wzbogaca codzień i w każdej godzinie zasługi duszy, która mu jest wierną i może ją doprowadzić do najwyższej świętości. Te poświęcenia codzienne, to nieustanne akty wyrzeczenia się wszystkiego, może taką samą otrzymają nagrodę, jak razy krwawe od dyscypliny lub znaki od włosiennicy.

Zaparcie prowadzi także do chętnego darowania uraz. Gdy kto Piotrowi Pettignano wyrządził jaką krzywdę, nietylko mu ją chętnie odpuszczał, ale jeszcze modlił się za niego. Również przez zaparcie doszedł do panowania nad językiem, iż nigdy nic nie mówił na swoją obronę, a tak się obawiał powiedzieć cokolwiek niewłaściwego, że tylko z wielkiej potrzeby, albo z miłości bliźniego usta otwierał. Blizko 14 lat pracować musiał nad tym rodzajem zaparcia, zanim doszedł do tego, że umiał milczeć lub mówić, stosownie do potrzeby. Sprzedając swój towar, ograniczał się do oznaczenia ceny, a potem nic już nie mówił, choćby go chwalono lub ganiono. W obecności starców, kapłanów

[1]) Kron. 3 Zak. Ś. Fr. wydanie amerykańskie, Cz I. ks. 6, r. 27.

[1]) L'aur. séraph. T. II p. 100.

i zakonników, uważał się za niegodnego, by zabierać głos; i czynił to tylko na skutek ich wezwania.[1])

O nowicjuszu w Hiszpanji (1289 r.)

Znajdujemy w kronikach wiele przykładów, świadczących, jak potrzebne jest zakonnikom zaparcie swej woli i jak niebacznie jest iść za własnem zdaniem lub kryć się z czemkolwiek przed starszymi. Szatan bowiem często pobudza zakonników do zadawania sobie pokryjomu umartwień, które się obracają duszom na zgubę.

W Hiszpanji w jednym klasztorze był nowicjusz, który uchodził za bardzo pobożnego, gdyż nieustannie się modlił i umartwiał, ale jednocześnie unikał obcowania z braćmi, choć go za to często upominano. Razu pewnego, gdy modlił się sam jeden w kościele, stanął przed nim szatan w postaci Matki Boskiej i kazał mu nadal trwać w postach i modlitwie, nic nie mówiąc, przełożonemu, i nie słuchając go, gdyby mu ten owych praktyk zakazywał lub odradzał. Od czasu owego widzenia nowicjusz jeszcze więcej modlił się i pościł, lekceważąc wszelkie napomnienia przełożonego, na które odpowiadał sobie w duchu: „Mam ja daleko lepszego mistrza, który mną kieruje“. Wkrótce ukazał mu się znowu szatan w tej samej postaci i rzekł: „Dobrze czynisz, trwaj nadal we wszystkiem“. Nareszcie, po niejakim czasie trzeci raz nawiedził go zły duch, otoczony wielką jasnością, i rzekł: „Czas już, bracie, abyś poszedł za mną do chwały syna mego. Chcę, abyś sam zadał sobie śmierć tej nocy. Gdy bracia zasną, weź krzyż, zamknij się w kuchni, wbij w niego ostre gwoździe, tak, żeby poprzechodziły na drugą stronę, oprzyj go o ławkę i połóż się na nim rozkrzyżowany, żebyś do niego został przybitym, gdy upadnie na ziemię.“ Nieszczęśliwy zakonnik uczynił to wszystko; lecz Pan Bóg w miłosierdziu swojem chciał go jeszcze ratować. Brat kucharz, usłyszawszy niezwykły łoskot, przybiegł do kuchni, a widząc, co się dzieje, sprowadził przełożonego i przy pomocy innych braci, którzy zaraz nadeszli, zdjęto biedaka z krzyża. Dowiedziawszy się, co było powodem tego samobójstwa, przełożony zrozumiał podstęp szatański, i gorąco nakłaniał nowicjusza, aby się wyspowiadał i szczerym żalem grzech swój zgładził. Niestety, biedak tak był zaślepiony, że trwał dalej w swoim uporze, poczem w obecności wszystkich braci szatan porwał go do piekła sposobem widomym.[2])

[1]) Ibidem T. I [2]) Kron. 3 Zak. Ś. F.. C. II, ks. 3, r 22.

Cz. Jan Duns-Skot, Brat Mniejszy (1308 r.)

Wierny naśladowca Tego, który za nas stał się posłusznym do śmierci krzyżowej, Jan Duns—Skot wyrzekł się zupełnie swej woli i stał się martwem narzędziem w ręku przełożonych. Nic mu do tego nie przeszkadzało: ani głęboka wiedza, ani sława, którą się cieszył w całej niemal Europie. Gdy w Kolonji poczęła się szerzyć fałszywa nauka Begarda i Begwina, Arcybiskup tamtejszy umyślił sprowadzić do miasta uczonych i gorliwych kaznodziejów, aby ostrzegali lud przed błędami herezji. Przedewszystkiem jednak pragnął w tym celu przybycia Jana Skota, by założył w Kolonji akademję na wzór paryskiej. Napisał więc do Generała Braci Mniejszych, z prośbą o przysłanie mu tego zakonnika. Generał zgodził się na to i posłał swój rozkaz Janowi, będącemu wówczas profesorem w Sorbonie. W chwili otrzymania listu Jan znajdował się wraz z kilku studentami na przechadzce w okolicach Paryża, a przeczytawszy polecenie, skierował się natychmiast do odejścia. Zasmuceni uczniowie namawiali go, aby się wymówił od rozkazu, lub też odłożył swą podróż na później, a przynajmniej, aby wrócił do klasztoru pożegnać się z braćmi i zabrać drogocenne swoje dzieła. Na to wszystko jednak posłuszny Skot odpowiedział: „Nie kazano mi w liście, abym się wrócił do Paryża, lecz abym poszedł do Kolonji, więc dokąd kazano, tam iść muszę“. I puścił się z radością w tak daleką drogę boso i pieszo, bez żadnego zaopatrzenia, o chlebie żebranym. Gdy w Kolonji rozeszła się wieść, że sławny doktor już się zbliża, wyszło przeciwko niemu całe duchowieństwo, aby uczcić tego, który, według ówczesnych autorów, papiestwa był godzien. Ciesząc się, że go już mają między sobą, niemniej jednak dziwili się, że mąż uczony przybył do nich tak ubogo i pieszo, w grubym połatanym habicie.[1])

S. Elżbieta Portugalska, 3 Zak. (1336 r.)

Wzniosły przykład chrześcijańskiego zaparcia przedstawia ta święta królowa w pożyciu małżeńskiem. Mąż jej, który z początku prowadził się względem niej bez zarzutu, uległ wkrótce złym doradcom i począł zdradzać Elżbietę z wielką jej boleścią i ze zgorszeniem całego narodu. To męczeństwo moralne trwało długie lata i Bóg jeden tylko mógł zmierzyć jego doniosłość, zwłaszcza, że Święta więcej cierpiała nad obrazą Bożą, niżeli nad własnem poniżeniem. Daleką jednak będąc od zniechęcenia lub rozpaczy, wciąż gorąco modliła się za

[1]) Tamże C. IV, ks. I, r. 9.

małżonka; nie okazywała też nigdy gniewu lub oburzenia ani mężowi, ani swoim krzywdzicielkom, przeciwnie, czuwała troskliwie nad wychowaniem ich dzieci, zaopatrując wszystkie ich potrzeby. Wreszcie król, zbudowany tak wzniosłemi cnotami, uznał swój błąd i nieprawe związki pozrywał.[1])

Ś. Franciszka Rzymianka, 3 Zak. (1440 r.)

Wierny jest Bóg, powiada Apostoł i nie dopuszcza, abyśmy byli kuszeni nad to, co znieść możemy. Stąd wnosić należy, że siły Świętej Franciszki były bardzo wielkie. Jeszcze jako dziecko, zaprowadzoną została mimo swej woli do obcej rodziny, gdzie musiała ulegać wszelkim rozkazom nowych swych opiekunów, naginać się do ich upodobań i stosować do przyjętych tam zwyczajów. Jarzmo to, które dobrze ciężyło na jej młodych barkach, znosiła ze słodkim uśmiechem. Później widziała pomyślność swego domu zburzoną prawie w mgnieniu oka, wskutek najścia króla Neapolu. Mąż Świętej, jeden z najgłówniejszych dowódców miejskiej armji, został raniony w boju, a tak ciężko, iż myślano, że umarł. Franciszka swemi staraniami, a więcej jeszcze swoją modlitwą uleczyła tę ranę, ale skoro tylko zaczął przychodzić do zdrowia, żołnierze królewscy przyszli po niego i uprowadzili go na wygnanie wraz z jego bratem Paulucjuszem. Takie nieszczęścia mogły były złamać najsilniejsze męstwo, a jednak nie zamieszały wcale pokoju Franciszki, która wiedziała, że doświadczenia te są to łaski dla niej samej i dla blizkich jej sercu.

To samo poddanie się okazała w stratach majątkowych, któremi ją Bóg doświadczał. Kiedy rodzinne jej dobra spustoszono, zabrano trzodę i zwierzęta domowe, wysłuchała tej wiadomości z niewzruszoną słodyczą i mówiła sobie w duszy za przykładem Hjoba: „Pan dał nam te rzeczy, Pan je wziął, stało się to tylko, co Jego najświętsza wola postanowiła. Niech Imię Pańskie będzie błogosławione". Chowała jednak głęboko to szlachetne uczucie w duszy, aby przez to nie zaostrzać smutku innych, i aby tem skuteczniej cieszyć ich w utrapieniach powierzchownem ich podzielaniem. Na tem wszakże nie zakończyły się jej nieszczęścia. Pan Bóg, chcąc wypróbować cierpliwość swej służebnicy, nawiedzał ją częstemi i ciężkiemi chorobami, ale jej cnota nigdy się nie zachwiała. Nie męczyła ona nikogo opowiadaniem swoich cierpień i zawsze uważała, że ma wszystko, więcej nawet, niż potrzebuje. Przedwczesna śmierć zabiera jej dzieci, a Święta wylewa się tylko w uwielbianiu woli Bożej. Rzucają na nią potwarz, ganią każdy jej krok, każde słowo, szydzą z najlepszych uczynków, Franciszka, wie, kto są jej prześladowcy, a jednak, zamiast czuć do nich żal lub niechęć, służy im w każdej okoliczności i nie przestaje się za nich modlić. Wreszcie w walkach i pokusach szatańskich, które zdolne były zachwiać najwspanialsze serce, jest mężną, znosi je cierpliwie i gardzi niemi.

Jej posłuszeństwo względem małżonka.

Ta Święta odznaczała się zawsze wiernem wypełnianiem obowiązków z zaparciem własnych upodobań. Pewnego dnia, gdy odmawiała Officium, małżonek dla błahych powodów cztery razy odrywał ją od tego, a Franciszka za każdym razem natychmiast przerywała modlitwę. Piękny ten przykład zaparcia nie został bez nagrody, gdyż, powracając po raz czwarty do modlitwy, znalazła wypisany złotemi literami wiersz, na którym dla obowiązku przerwała czytanie, poczem objawił się jej Ś. Paweł Apostoł i oznajmił, że litery te wypisane zostały przez jej Anioła Stróża, dla przedstawienia wartości posłuszeństwa.

Ś. Franciszka miała zwyczaj mówić: „Kobieta chrześcijanka powinna być gotową opuścić pobożne ćwiczenia, jeżeliby sprawy domowe wymagały jej obecności". I rzeczywiście, najpierwszą powinnością naszą jest wypełnianie obowiązków stanu, w jakim nas Opatrzność umieściła. Taką była reguła wszystkich Świętych.

Jej posłuszeństwo względem spowiedników.

W czasie, gdy król neapolitański był panem Rzymu, a namiestnikiem jego hrabia Piotr de Troja, ten ostatni, zmuszony opuścić na pewien czas stolicę chrześcijaństwa, obawiał się, żeby mieszkańcy nie skorzystali z tego i nie podnieśli rokoszu. By więc temu zapobiedz, umyślił wziąć ze sobą zakładników z najpierwszych domów, a między nimi i jedynego syna Świętej. Franciszka, która lękała się i słusznie bardzo, powierzyć swoje dziecię nieprzyjaciołom, postanowiła ukryć je tak, aby go nikt nie znalazł. Lecz naprzód poszła do spowiednika i zapytała o radę. Ten, oświecony przez Ducha Świętego, kazał jej samej oddać syna hrabiemu, co też ona natychmiast wykonała. Takie postępowanie wzbudziło nietylko podziw, ale oburzenie wszystkich obecnych, którzy przekonani byli, że chłopiec przypłaci to więzieniem, a może i śmiercią. Święta wiedziała dobrze, co grozi jej synowi,

[1]) Tamże, s. 850.

ale więcej od niego kochała Wolę Bożą, której z prawdziwem szczęściem ofiarowywała swe serce matki. Oficerowie, którzy przyjęli syna, radzili jej, aby się starała pozyskać ich przywódcę. „Będę błagała o łaskę tam, gdzie mi jej nie odmówią," rzekła Franciszka i natychmiast padła do stóp Najświętszej Panny. Gorąca modlitwa jej została wysłuchaną. Gdy hrabia, chcąc jechać, wyszedł z kościoła z synem Franciszki i kazał mu siąść na konia w tyle za jednym z oficerów, rumak ani drgnął, chociaż inne konie ruszyły naprzód. Napróżno oficer spinał go ostrogami, koń cofał się tylko. Wsadzano więc chłopca po kolei na inne konie, ale powtarzała się ta sama historja. Jak tylko zwierzę poczuło na sobie dziecię, stawało się nieposłusznem. Wówczas przestraszony hrabia oddał chłopca matce, szczęśliwej, że jej posłuszeństwo tak cudownie nagrodzonem zostało.

Lecz nadewszystko cnota owa jaśniała w niej podczas zachwytów. Chociaż nieprzytomna, robiła wszystko, czego przewodnik duszy od niej wymagał, zmieniała miejsce i położenie, gdy taka była jego wola. Odpowiadała na wszystkie zadane sobie przez niego pytania, a głuchą była na wszelki inny głos i nieczułą na wszelki rozkaz od kogo innego pochodzący. [1])

Bł. Tomasz z Florencji, Obserwant (1447 r.)

Błogosławiony Tomasz z Florencji przy wielu innych cnotach szczególniej zamiłowany był w posłuszeństwie. Żaden rozkaz nie był dla niego za trudny do wykonania, wszystko, co mu polecano, robił z ochotą i jak najspieszniej. Oto przykład, który da nam niejakie wyobrażenie o tym świątobliwym braciszku. Ś. Jan Kapistran, płynąc z kilku towarzyszami do Jerozolimy, zabrał ze sobą i brata Tomasza. W drodze zatrzymali się na wyspie Cyprze u prokuratora Ziemi Świętej, Jana Martini, bogatego kupca weneckiego, który ich przyjął bardzo gościnnie i zaprosił na obiad. Ś. Jan Kapistran, chcąc mu to ułatwić, posłał brata Tomasza do kuchni, aby się zajął przygotowaniem posiłku. Biedny braciszek, niemający najmniejszego doświadczenia w sztuce kucharskiej, a nie rozumiejący, że w takich razach wolno i trzeba przedstawić swoją nieudolność, wziął się do rzeczy tak niezręcznie, że mięso wraz z jarzynami ugotował w jednym wielkim kotle, bez soli i wszelkiej przyprawy, na wzór naiwnego brata Junipera. Gdy licznie zebrani goście zasiedli do stołu, brat kucharz zastawił swoją potrawę, ale sam jej widok sprawiał obrzydzenie w obecnych. Ś. Jan, zmartwiony tym wypadkiem ze względu na swego gospodarza, przywołał braciszka i uczynił mu surowe wymówki, że podjął się rzeczy, nie mając o niej pojęcia i naraził wszystkich na nieprzyjemny zawód. W końcu zaś dodał: „Aby ręce, które zawiniły, nie uszły kary, nakazuję ci w imię świętego posłuszeństwa przynieść w nich natychmiast kilka żarzących węgli". Tomasz posłuchał bez wahania, a za chwilę wrócił z węglami i ukląkł pokornie przed swoim przełożonym, który go po raz wtóry upomniał za przewinienie. Obecni ze łzami współczucia zaklinali braciszka, żeby rzucił węgle na ziemię, lecz ten nie poruszył się nawet, aż przełożony kazał mu odnieść węgle do kuchni, umyć ręce i przyjść napowrót do stołu. Tomasz uczynił, co mu było polecone, a gdy powrócił i znów ukląkł przed Janem, wszyscy zapragnęli obejrzeć jego ręce, na których nie dostrzeżono ani śladu poparzenia. Co zaś do obiadu, przyniesiona potrawa okazała się tak smaczną, iż goście zdziwieni, przypisywali to słusznie szczególnej dobroci Bożej, nagradzającej w ten sposób posłuszeństwo braciszka [1])

Bł. Franciszek z Pawji, Obserwant (1454 r.)

Posiadając w wysokim stopniu cnotę zaparcia, braciszek ten doznawał niewymownych pociech i spokoju w życiu zakonnem. Stąd często w uniesieniu radości powtarzał: „O święte posłuszeństwo, jakżeś miłe Bogu. Zaprawdę, błogosławiona dusza, która cię posiada, albowiem zbawienie jej jest pewne!" A kiedy go zapytał jeden z braci, czemby się mógł najwięcej przypodobać Panu Bogu, Franciszek to mu tylko odpowiedział: „Upokórz się, bracie, upokórz się, na tem zależy cała nasza doskonałość. Więcej cenię brata, który jest szczerze posłuszny, aniżeli tego, któryby wskrzeszał umarłych. A nawet wyznaję, iż gdybym spotkał dwóch zakonników, z których jeden już za życia cudaby czynił, drugi zaś przez święte posłuszeństwo sobie samemuby obumarł, wówczas, dla okazania czci ostatniemu, zapaliłbym wielką świecę, dla pierwszego zaś tylko małą świeczkę". Święty ten, spotykając nowicjuszów, zwykł był zawsze mawiać: „Schylajcie głowy wasze, drodzy bracia, i bądźcie posłuszni starszym". [2])

Ś. Jan Kapistran, Obserwant (1456 r.)

Wielki misjonarz XV-go wieku przyjął habit zakonny, mając już prawie lat 30 i oddany został pod kierunek Bł. Onufrego z Seggiano, który, choć

[1]) S. Françoise Romaine. T I.

[1]) L'aur. séraph. T. IV, p. 228. [2]) Kron. 3 Zak... Cz. III, ks. 3, r. 4.

laik, był zakonnikiem nadzwyczaj roztropnym i świątobliwym. Od pierwszego dnia nowicjatu Jan walczył mężnie ze swoim starym człowiekiem, a z dopuszczenia Bożego spadały nań liczne i ciężkie próby, które znosił z zadziwiającem zaparciem i pokorą. Mistrz duchowny nie szczędził trudów nad wychowańcem, a widząc w nim szczególne dary Boże, wszelkiemi sposobami zaprawiał go do praktykowania cnót zakonnych w stopniu heroicznym. Codzień ostro go upominał i nowe naznaczał mu pokuty, już to dyscyplinę, już post o chlebie i wodzie, już wreszcie jedzenie na ziemi, klęczący.

Razu pewnego, gdy Święty leżał w silnej gorączce, magister przyniósł mu wrzące ziółka i rozkazał wypić; pokorny nowicjusz, ufny w święte posłuszeństwo, wypił je duszkiem, bez najmniejszego ociągania się. I o dziwo, napój kipiący nietylko, że mu nie zaszkodził, ale, owszem, powstrzymał chorobę.

Innym razem nowicjusze stali przy balji, mając prać swoje tuniki, lecz żaden nie odważał się rozpocząć, ponieważ woda była nadzwyczaj gorąca. Na to wszedł mistrz Onufry, i nie mówiąc ani słowa do innych, począł strofować Kapistrana, nazwał go leniuchem, ospalcem, i niedbałym, nakoniec wydostał z wrzątku tunikę i rzucił ją w twarz Świętemu. Jan uczuł mocny ból z poparzenia, lecz upadł z pokorą na kolana przed mistrzem, a Bóg w nagrodę jego zaparcia i cichości, sprawił to, że na twarzy jego nie zostało stąd ani śladu. Wszystkie te, jako i inne upokorzenia, które się gradem sypały na sługę Bożego, zapowiadały, iż stanie się on kiedyś wzorem świętości. Sam on zresztą, mówiąc później o bracie Onufrym, swoim dawnym mistrzu, powiedział: „Dziękuję Bogu Wszechmocnemu, że mi raczył dać takiego przewodnika na drodze duchownej, gdyż jeśliby nie postępował ze mną tak surowo, nigdybym nie mógł nabyć cnoty pokory i zaparcia.“ Pewnego znów dnia mistrz kazał Świętemu wyciągnąć sztukę bielizny z kotła stojącego na ogniu. Nowicjusz w tej chwili zawinął rękaw, zanurzył ramię w gotującej się wodzie i wydostał żądaną bieliznę, nie sparzywszy się wcale.[1])

Ś. Katarzyna Bolońska, Klaryska (1463 r.)

Święta Klaryska uważała posłuszeństwo za najważniejszą cnotę zakonną i główny dowód pokory, nigdy też nie przestała go praktykować, ani zalecać duszom przez siebie prowadzonym. Zakonnica prawdziwie posłuszna jest zawsze szczęśliwa, mawiała Święta, gdyż idąc śladami inych, nie czuje własnego ciężaru, choćby nawet był znaczny, a wreszcie dlatego, że posłuszeństwo świadczy nieomylnie o dobrem sumieniu, które jest skarbem duszy. Zakonnica, która zawsze słucha starszych, będzie zawsze wesoła i spokojna. Na skinienie przełożonej, Katarzyna gotowa była skoczyć w ogień, jak się z tem nieraz oświadczała. Opatka, chcąc ją wypróbować, pewnego dnia kazała jej to uczynić. Święta pobiegła spiesznie do palącego się pieca, ale, gdy już się miała rzucić w płomienie, została odwołaną. Z powodu ciężkiej choroby, opatka uwolniła ją na kilka dni od chóru, lecz, gdy określony czas przeminął, chorą ogarnęła silna gorączka, wskutek której znów chór opuściła, nie czując żadnego skrupułu. Gdy zaś poczuła się cokolwiek zdrowszą i usłyszała dzwonek na kapitułę, poszła na swoje miejsce jedna z pierwszych. Wówczas opatka dała jej publiczne upomnienie, iż bez pozwolenia uwalnia się z ćwiczeń, nawet nie zawiadamiając o tem przełożonych. Katarzyna odpowiedziała pokornie: „Wyznaję, Wielebna Matko, że zawiniłam i na przyszłość postaram się być bardziej posłuszną, proszę o naznaczenie mi pokuty“. Po wyjściu z kapitularza siostry zarzucały jej zbytnią prostotę, mogła bowiem śmiało usprawiedliwić się swemi cierpieniami, które były wszystkim wiadome. „Siostry moje, odpowiedziała im Święta dziewica, martwicie się mojem dobrem. To Duch Święty przemawia przez usta naszej Matki, a ponieważ ona chce, żebym pomimo cierpienia uczęszczała na Officjum, więc ufam, że posłuszeństwo i słodycz tej modlitwy dodadzą mi siły. Zresztą, gdybym miała umrzeć w chórze, spełniając posłuszeństwo, czułabym się nader szczęśliwą. Zakonnica pilna w ćwiczeniach wspólnych, w pracy, wierna w uczęszczaniu do chóru, do refektarza, do spoczynku nocnego o właściwej godzinie i akuratna we wszystkiem, otrzyma szczególną nagrodę i policzona będzie do rzędu wyznawczyń i męczenniczek. Skargi i szemrania na przełożonych głęboko ją martwiły. Mówiła też swoim siostrom: „Nieszczęśliwa ta dusza, która nie szanuje przełożonych. Niech się nie spodziewa żadnej pociechy duchownej. Co do mnie, nigdy nie ganiłam ani przełożonych, ani spowiedników, a gdy mi się zdawało, że zaniedbują się w obowiązkach, zostawiałam sąd o tem samemu Bogu“.[1])

Ś. Jakób z Marchji, Obserwant (1476 r.)

Zaparcie Ś. Jakóba było zupełne, na wzór dawnych pustelników: na pierwszy znak rzucał

[1]) L'aur. séraph. T. IV,

[1]) Ibidem, T. I.

wszystko, idąc tam, dokąd go posłuszeństwo wzywało. Jego prace apostolskie również wymagały wielkiego zaparcia, przechodził bowiem bardzo ciężkie próby. Oprócz wielu innych prześladowań, o których już była wzmianka, przeciwnicy, którzy znieść nie mogli, że tłumy biegną za Świętym i chciwie słuchają jego nauk, nietylko go znieslawili, lecz nadto jeszcze oskarżyli przed Inkwizytorem, że głosi jakieś herezje. Oskarżenie to dało powód do ścisłego badania, po którem sam Papież ogłosił niewinność i czystość nauki Świętego kaznodziei.

Gdy Ś. Jakób był na Węgrzech w urzędzie inkwizytora, znaczna część duchowieństwa powstała przeciwko niemu, ponieważ usiłował przywrócić wśród niego moralne obyczaje i karność kościelną. A nawet ks. Bathruster, archidjakon dyecezji Pięciu Kościołów, rzucił nań klątwę.[1])

Klemens Kapponi, Obserwant (1478 r.)

Jak wielkiej cnoty przed Bogiem jest zaparcie się własnej woli, możemy się przekonać z następującego zdarzenia. Pewnego razu brat Klemens Kapponi cały ranek zajęty był z posłuszeństwa posługą klasztorną, kiedy zaś wydał obiad i zaprosił wszystkich braci, zamiast siąść razem z nimi przy stole, udał się do kościoła przed ołtarz Zwiastowania Najświętszej Marji Panny, aby odmówić zaległe pacierze. Lecz skoro ukląkł i rozpoczął modlitwę, Najświętsza Panna odezwała się do niego wyraźnie w te słowa: „Synu mój, idź ze wszystkimi do stołu, po obiedzie odprawisz swoje nabożeństwo. Trzymaj się zawsze życia wspólnego i strzeż się wszelkiego wyróżniania, nawet w dobrem, jeżeli ci to nie będzie z posłuszeństwa zalecone.“ Bogobojny brat usłuchał rady Matki Bożej i zapierał się odtąd zawsze swej woli, za co często doznawał pociech na modlitwie, podczas której sam Zbawiciel nieraz do niego zstępował.[2])

Cz. Joanna od Krzyża, 3 Zak. (1534 r.)

Ta wielka służebnica Boża pełniła urząd siostry kołowej w klasztorze Kuba, gdy pewnego dnia nawiedziła ją Matka Najświętsza ze swą Boską Dzieciną. W tem zadzwoniono trzy razy do furty, czego Joanna zalana niewymownemi pociechami, nie zauważyła. „Czy nie słyszałaś, córko moja, rzekła wtedy do niej Najświętsza Panienka, że już trzy razy cię wołano? Śpiesz się z wypełnieniem obowiązku, który na ciebie włożyło święte posłuszeństwo“. Joanna natychmiast pobiegła do furty, skoro zaś wróciła do celki swojej, zastała jeszcze Bogarodzicę i zawołała z uczuciem serdecznej miłości: „Królowo nieba i Pani Aniołów, jakże jesteś dobrą i łaskawą, żeś raczyła na mnie zaczekać“. „Córko moja, odrzekła Matka Boża, znalazłaś tutaj mnie i mego Syna, ponieważ opuściłaś nas, aby spełnić posłuszeństwo. Tak bowiem miłą nam jest ta cnota, że Syn mój z miłości dla niej zstąpił z nieba i przyjął śmierć krzyżową“.[1])

S. Piotr z Alkantary, Obserwant bosy (1562 r.)

Zaparcie wielkiego reformatora tak było wielkie, że możnaby całe księgi o niem napisać, a przy procesie kanonizacji jego zeznawano pod przysięgą takie rzeczy, którym prawie niepodobna dać wiary. Całe życie tego sługi Bożego było nieprzerwanym łańcuchem trosk i utrapień. Jednakże pomimo oszczerstw, prześladowań i złego obejścia, którego doznawał, zwłaszcza podczas reformowania zakonu, żadna skarga nigdy z ust jego nie dała się słyszeć, — gdyż zawsze dowodził, że mu się to słusznie należy. Cnoty jego weszły w Hiszpanji w przysłowie: „Żeby znieść tę zniewagę, mówili Hiszpanie, trzeba mieć cierpliwość Ś. Piotra z Alkantary“. Raz w podróży zmęczony wstąpił do jednego domu, prosząc o chleb i wodę. Lecz na nieszczęście, trafił na przeciwników, którzy, nasyciwszy go różnemi zelżywościami, kazali mu zdjąć habit, mówiąc, że nie był godzien sukni zakonnej. Posłuszny Piotr ukląkł i spełnił ich rozkaz. Wówczas przeciwnicy spostrzegli na nim pasy pokutne głęboko wrosłe w ciało, sińce i rany krwią zawrzałe od ustawicznych dyscyplin. Zrobiło to na nich takie wrażenie, iż ze strachu pouciekali, a Piotr Święty, ubrawszy się napowrót, poszedł w dalszą drogę.

W ostatniej podróży swojej do Avila, Święty zatrzymał się w pewnej gospodzie wraz z mułem, na którym jechał z powodu słabego zdrowia. Chcąc wypocząć, położył się na płaszczu, wziąwszy kamień pod głowę, o mule zaś nie pomyślał i głodne zwierzę, zostawione samo sobie, narobiło dużo szkody. Wtem wyszła z domu gospodyni, a, widząc, co się dzieje, nietylko muła zamknęła, lecz z gniewem przybiegła do Piotra i gwałtownie wyciągnęła z pod niego płaszcz, przyczem Święty uderzył głową o kamień i ciężko się zranił. Ale i w tym wypadku nie zniecierpliwił się, lecz wstawszy coprędzej, upadł na kolana i prosił, aby mu przebaczyła. Kobieta nie przestała jednak wylewać potoku swojej złości, dopiero, gdy do gospody nadszedł przy-

[1]) S. Jacques de la Marche par M. Berguin.
[2]) L'aur. séraph. T. II.

[1]) Ibidem, T. I. p. 409.

padkiem penitent Ś. Piotra i groźnie na nią powstał, skłoniła się do milczenia. Lecz Święty wytłumaczył ją, a nawet prosił, żeby miała szkodę nagrodzoną.

Liczne choroby, jakiemi go Bóg nawiedzał, znosił z niewypowiedzianą słodyczą. Mając słaby wzrok, często uderzał się to w głowę, to w nogę, a wtedy zawsze chwalił Boga i mawiał, że te sińce i stłuczenia są dla niego wonnemi różami. [1])

Bł. Salwator z Orty, Obserwant (1567 r.)

Ten Błogosławiony słusznie nazwany jest wielkim cudotwórcą XVI wieku. Kronikarze przypisują mu przeszło miljon cudów. Przyszedł on na świat w prowincji hiszpańskiej Katalonji. Wcześnie straciwszy rodziców, najął się najpierw do paszenia trzody, a później wyuczył się szewctwa. W 20 roku życia przyjęty został do Obserwantów, jako braciszek, i wyznaczony do pomocy kucharzowi, potem pełnił obowiązki furtjana i kwestarza, okazując wszędzie i zawsze najwyższe posłuszeństwo i pokorę. Razu pewnego Salwator znajdował się w kuchni około komina, gdy wypadkiem kucharz wylał mu na nogi kocioł pełen wrzącej wody. „Widzisz, bracie, rzekł mu Święty, teraz będziesz miał kłopot o wodę gorącą, może ci jej zabraknąć". Tymczasem nadbiegło kilku zakonników, aby przekonać się, czy Salwator nie poniósł wielkiej krzywdy, i czy nie potrzebuje opatrunku. „Nic mi się nie stało, rzekł do nich z uśmiechem, właśnie miałem myć nogi, a przez ten wypadek same się wymyły, mówię wam, że to rzecz bardzo wygodna".

Zaparcie w prześladowaniu.

Liczne cuda przez niego czynione i cześć, jaką go otaczano, skłoniła przełożonych do wypróbowania jego cnoty. W klasztorze, w którym przebywał, zbierały się przy furcie tłumy ludzi, nieraz do dwóch, a nawet do sześciu tysięcy dochodzące. Byli tam chorzy, kaleki, ociemniali, których pokorny braciszek uzdrawiał. Sprawiało to roztargnienie braciom, przedstawili więc prowincjałowi, że te codzienne zbiegowiska naruszają ciszę klasztorną, przeszkadzając im w modlitwie. Prowincjał podczas wizyty sam miał sposobność o tem się przekonać; przywołał więc Salwatora i ostro go skarcił, nazywając próżniakiem, tracącym czas na rozmowach z ludźmi świeckimi i gorszącym całe zgromadzenie. Aby nadto zatrzeć pamięć tych mniemanych występków, kazał mu odtąd nazywać się Alfonsem z Katalonji i tejże nocy opuścić klasztor, a udać się do innego. Braciszek wysłuchał pokornie wyroku, poczem poszedł do kościoła przed ołtarz cudownej Matki Bożej i modlił się, aż dotąd, póki go socjusz nie wezwał do drogi. Powstał więc od modlitwy i wesoło bez żadnego narzekania klasztor opuścił. Zdziwiony socjusz odezwał się do niego: „Bracie Alfonsie, ty chyba nie zrozumiałeś słów O. Prowincjała, bo niepodobną, abyś mógł być tak wesołym i spokojnym". „Owszem, braciszku, zrozumiałem, ale wiem, że na większą karę zasługuję. Wierzę ja mocno, że wszelka zwierzchność jest w rękach Boskich, i że listek żaden z drzewa bez woli Pańskiej poruszyć się nie może, a zatem i to, co mię spotkało, z woli Bożej pochodzi". Oto, jakie było źródło tego heroicznego zaparcia.

Następnego dnia wieczorem brat Salwator przybył do przeznaczonego mu klasztoru w mieście Reus i oddał miejscowemu gwardjanowi list od Prowincjała. Gwardjan zebrał natychmiast całe zgromadzenie i przeczytał głośno całe pismo, w końcu zaś dodał, wskazując na przybyłego: „Drodzy bracia, zakonnik, który tu klęczy przed wami, jest przesadzony, nienaturalny, przypisuje sobie dar czynienia cudów, i w klasztorze, w którym poprzednio mieszkał, sprowadzał ciągły niepokój i zamieszanie. Prowincjał oznajmił mi, że zmienił imię tego brata, aby ukryć przed wszystkimi jego naganne postępki i każe mi czuwać troskliwie, aby nie miał żadnych stosunków z ludźmi świeckimi". Następnie, zwracając się do Salwatora, przestrzegł go groźnie: „Potrafię, jeżeli się okaże potrzeba, zamknąć cię w takiem miejscu, gdzie nie będziesz mógł już nikomu zawadzać, a tymczasem zakazuję ci w imię świętego posłuszeństwa wszelkich znajomości nazewnątrz i przeznaczam cię do obowiązków kucharza". Pan Bóg natchnął obu tych przełożonych, którzy jak gdyby zawarli zmowę ze sobą, aby powiększyć zasługi i lepiej wykazać cnotę wybranego przez Boga braciszka. Nazajutrz przed wschodem słońca przełożony poszedł szukać nowego kucharza i zastał go w kościele, gdzie spędził noc całą na modlitwie. Zaprowadził go więc do kuchni i powiedział: „Pamiętaj dobrze, żeś przyszedł do zakonu po to, abyś służył braciom na pokornym urzędzie kucharza, a nie po to, aby się wdawać z osobami świeckiemi. Teraz możesz robić tyle cudów, ile ci się podoba na twoich garnkach, rondlach i półmiskach". To powiedziawszy, zamknął kuchnię na klucz, a Salwator zabrał się do pracy, przepełniony radością, że uzyskał to, czego oddawna pożądał, mianowicie ukochaną przez siebie samotność i ciszę. [1])

[1]) Kron... Cz. IV, ks. 3, r. 23.

[1]) L'aur. séraph. T. I.

Siostra Berengarja, Klaryska (1575 r).

W klasztorze portugalskim Ś. Klary, zwanym Villa Cont, słynęła ze świątobliwości siostra Berengarja, konwerska. Była ona początkowo kucharką i odznaczała się na tym obowiązku wielką pokorą i posłuszeństwem. Tymczasem umarła opatka klasztoru. Siostry chórowe, od których zależał wybór nowej przełożonej, nie mogły przyjść do zgody, gdyż każda miała pretensję do tej godności. Wreszcie, aby nie przeszkadzać sobie do wyboru, wszystkie siostry z osobna dały głos na Berengarję, żadna z nich bowiem nie przypuszczała, aby która inna mogła to samo zrobić. Jakież je ogarnęło zdumienie, gdy się okazało, że Berengarja miała wszystkie głosy! Ale pomimo to, nie chciały jej oddać posłuszeństwa, jako konwersce. Wtedy ona, wprowadziwszy siostry do grobów, rzekła do nich: „Siostry najmilsze, nie chcecie mnie przyjąć na przełożoną, pomimo kanonicznego wyboru, niech więc przynajmniej siostry zmarłe na wasze zawstydzenie to uczynią". Zaledwie mówić skończyła, otworzyły się groby i siedem sióstr nieznanych stanęło przed Berengarją, poczem upadły na kolana i nie podniosły się, aż im kazała powrócić do swoich grobów. Przerażone tym cudem, siostry natychmiast się poddały i odtąd były bardzo posłuszne. Berengarja zaś rządziła klasztorem mądrze i przykładnie.[1])

Ś Paschalis Baylon, Obserwant bosy (1592 r.)

Wybitną cechą Ś. Paschalisa była cnota posłuszeństwa, której przestrzegał pilnie aż do śmierci. Zawsze uważny na najmniejszy rozkaz przełożonych, nawet proste ich skinienie ochoczo przyjmował, a gdy czasami zostawał w zachwyceniu, skoro tylko usłyszał głos gwardjana, zaraz powracał do zmysłów i zachodził mu drogę. Nigdy też o nic nie prosił Starszych, ani od niczego się nie uchylał. Zostając w drodze choć dalekiej, nie opuszczał nigdy zwyczajnych w zakonie modlitw, a nawet i czasu im nie odmieniał; głód i pragnienie cierpliwie znosił i jakkolwiek był zmęczony i osłabiony, nie dał się skłonić, aby wsiąść na wóz, ale całą drogę szedł pieszo. Gdy w klasztorze Ribera obarczano go ciężką pracą, przechodzącą prawie siły człowieka, Prowincjał, chcąc mu ulżyć, zapytał, czy nie wolałby być przeniesionym w inne miejsce, do mniej licznego i spokojniejszego zgromadzenia. „Ojcze, odpowiedział Święty, jestem w twojem ręku, rób ze mną, co ci się lepszem wydaje; czy tu, czy tam, jeżeli z posłuszeństwa pracuję, Pan Bóg przyjdzie mi z pomocą". Innym razem Prowincjał, dowiedziawszy się, że gwardjan miejscowy jest niesprawiedliwy dla Paschalisa, odezwał się do niego: „Proś mnie o przeniesienie, a chętnie zrobię to dla ciebie". — „Nie sądziłem, odrzekł Święty, żeby wolno było prosić o takie rzeczy". Domyślając się zaś, że tu chodzi o Gwardjana, dodał: „po przełożonym, trudnym w pożyciu, przychodzi łagodny i łatwy, lepiej zaczekać na to cierpliwie, bo samowolna zmiana mogłaby wyjść na gorsze".

Posłuszeństwo po śmierci.

Po śmierci Świętego, stwierdził Bóg cudownie, jak miłem Mu było jego zaparcie. W trumnie Paschalisa, złożonej w katedrze Walenckiej, rozlegały się od czasu do czasu głośne uderzenia. Pewnego razu kanonik tej katedry, głosząc słowo Boże w dzień jego święta, wyznał słuchaczom, że wątpi o możliwości tego cudu, choć o nim powszechnie mówiono. Przykrem było to powątpiewanie gwardjanowi klasztoru, O. Michałowi Villarasa, rzekł więc w duchu: „Święty Paschalisie, nie mam prawa dawania ci rozkazów, jednakże, jako przełożony, ośmielam się prosić, abyś przekonał kaznodzieję, że jest w błędzie". Posłuszny za życia, Święty okazał się nim i po śmierci, bo w tejże chwili z grobu taki huk się rozległ, że zdumieni i przerażeni słuchacze wraz z niewiernym mówcą nie mogli już wątpić o prawdziwości cudu. Drugim razem tenże sam gwardjan, odprawiając Mszę św. przy ołtarzu Ś. Paschalisa, nie mógł jej dokończyć, z powodu zamieszania, jakie sprawiał w kościele liczny poczet dworzan. Przełożony westchnął do Świętego, prosząc go, żeby raczył ten zgiełk uspokoić i wnet dało się słyszeć znane uderzenie w podziemiach; przerażeni dworzanie umilkli, a sprawujący Świętą Ofiarę, spokojnie jej dokończył.[1])

Bł. Juljan z San-Agostino, Obserwant (1606 r.)

Juljan był synem szlachcica francuskiego, który opuściwszy majątek i kraj rodzinny, spustoszony przez kalwinistów, udał się do katolickiej Hiszpanji dla zachowania prawdziwej wiary. Tam, jako prosty rzemieślnik, przyjęty został przez powroźnika; ożenił się z ubogą i cnotliwą osobą, a pierworodnemu synowi swemu, którym był Juljan, dał bardzo staranne wychowanie. Chłopiec w dzieciństwie już wyróżniał się od towarzyszów: pobożny był, skromny, posłuszny, unikał zabaw, a za to uczęszczał do kościoła. Komunja Ś., pobożne ćwi-

[1]) Kron. Cz. IV, ks. 3, r. 28.

[1]) L'aur. séraph. T. II.

czenia, milsze mu były nad wszelkie zebrania światowe. Prześladowany i wyszydzany przez rówieników, nie zmienił postępowania i stał się godnym wielkich rzeczy, do których go Bóg przeznaczał. Doszedłszy do wieku, w którym każdy myślący człowiek zastanawia się nad wyborem stanu, Juljan zrozumiał, że życie zakonne najlepiej chroni duszę od niebezpieczeństw świata i wstąpił do Obserwantów bosych. W czasie nowicjatu gorliwość pobudzała go do wyjątkowych umartwień, tak, że przełożeni, posądzając go o chorobliwą przesadę, wydalili go z klasztoru. Ciężka to była próba, lecz pokorny młodzian nie szemrał na nią, a czując się niegodnym życia klasztornego, osiadł w Santorcaz, w okolicy Toledo i zajął się rzemiosłem krawieckiem, nie przestając jednak wzdychać do ściślejszej służby Bożej. Nadarzyła się potemu sposobność, gdy do Santorcaz przybył sławny misjonarz, O. Torrez, Franciszkanin. Ten, uderzony pobożnem zachowaniem się Juljana, wziął go do towarzystwa w swoich wędrówkach apostolskich. Natychmiast święty młodzieniec przywdział suknię pielgrzymią i stał się nieodstępnym sługą misjonarza: z dzwonkiem w ręku przebiegał ulice miasta, zwołując lud na nauki. W rodzinnej wiosce, Medina Coeli, znajomi, widząc Juljana w tej ubogiej odzieży, szydzili z niego, jak z warjata: „Tak, odpowiadał im, jestem szaleńcem, ale z miłości Bożej".

O. Torrez, oceniając wyjątkową gorliwość i prostotę Juljana, przypuścił go do nowicjatu Braci Mniejszych w prowincji Kastylskiej w Salcedo. Uradowany młodzieniec oddał się znów z takim zapałem ćwiczeniom pobożnym, że posądzony powtórnie o przesadę, został i tym razem z murów klasztornych wydalony. Udał się teraz Juljan do pustelni w górach i tam trwał na modlitwie. Codzień tylko schodził do furty klasztornej i uczył katechizmu zebranych przed nią ubogich, a otrzymawszy trochę pożywienia, wracał do ukochanej samotności. Spotkawszy raz obdartego żebraka, okrył go swoją suknią, na zrobioną mu zaś uwagę przez furtjana, odpowiedział, że ten człowiek biedniejszy był od niego. Zakonnicy podarowali mu z litości stary habit, który przywdział z wielkiem zadowoleniem, by jednak wywdzięczyć się braciom, chodził pośród wieśniaków, którzy go czcili jak Świętego i zbierał hojne jałmużny dla klasztoru, żywiąc się sam pozostałemi resztkami. Heroiczne te cnoty przekonały nareszcie zakonników o rzeczywistem powołaniu Juljana, przyjęli go więc po raz trzeci do nowicjatu, a po rocznej próbie dopuścili do profesji. Rozpoczął teraz na nowo umartwienia i akty cnót doskonałych, zwłaszcza pokory i zaparcia. Posłuszny zaś był nietylko przełożonym, ale równym i niższym, na uleganiu wszystkim pewność zbawienia opierając. Starał się nie opóźniać nigdy powrotu do klasztoru i stawiał się zawsze na oznaczoną przez starszych godzinę. Ani deszcz, ani skwar hiszpańskiego słońca nie mogły go z tej drogi sprowadzić. Razu jednego spowiednik zdziwił się, widząc go w kościele o niezwykłej porze; zapytany Święty odpowiedział, że, ułatwiwszy się wcześniej na mieście, czekał w kościele godziny wyznaczonej na powrót, a to dla ścisłego wypełnienia rozkazu. [1])

Ś. Franciszek Solano, Obserwant (1610 r.)

Święty Franciszek Solano, będąc infirmarzem w szpitalu, obchodził się z chorymi z jak największą miłością, znosząc pobłażliwie wszystkie ich wymagania. Raz pielęgnował chorego, który nie mógł zrozumieć jego niewyczerpanej słodyczy i przypisywał ją obłudnej chęci pozowania na świętość. Gdy więc pewnego dnia Franciszek ze zwykłą miłością zbliżył się do niego, został przywitany całym potokiem zniewag i obelg: „Po co ty do mnie przychodzisz, obłudniku, może mnie chcesz oszukać, jak oszukujesz tylu innych. Idź precz i nie pokazuj mi się więcej!" Takie niespodziewane przywitanie nietylko nie zmieszało Świętego, ale napełniło go wielką radością. Odpowiedział więc wesoło i spokojnie: „Masz rację, bracie, dobrze powiedziałeś". W starszym wieku Franciszek sam został złożony ciężką chorobą, połączoną z bolesnemi cierpieniami. Znosił to jednak z najwyższą cierpliwością, a nawet dziękował Panu Bogu, że, kiedy sam nie ma już siły do umartwiania swojego ciała dyscypliną i włosienicą, ręka Boża w tem mu dopomaga, zsyłając nań cierpienia. [2])

S. Hijacynta Mariskotti, 3 Zak. (1640 r.)

Głęboka pokora Hijacynty i płynące stąd przekonanie, że godną jest wszelkich kar Bożych, sprawiały, że ze spokojem przyjmowała wszystkie dolegliwości fizyczne i krzyże moralne, które coraz to ściślej łączyły ją z Chrystusem. Przez lat 17-e z anielską cierpliwością znosiła chorobę wewnętrzną, której się przez umartwienie nabawiła; nieraz boleści odbierały jej przytomność, ale nie zdołały ani na chwilę pozbawić jej swobody. Towarzyszki, nie rozumiejąc tych cnót wyjątkowych, nazywały ją dziwną, szaloną, głupią. Hijacynta słuchała wyrzutów z radością i szczęśliwa była, że cierpi prześladowanie dla Chrystusa. [3])

[1]) Ibidem. [2]) Żywoty ŚŚ. i B[l]. trzech zakonów Ś. Franciszka T. II. [3]) Vie de S. Hyacinthe Mariscotti par M. Berguin, et le R. P. Euthyme de Chapuis.

Ś. Józef z Kopertynu, Konwentualny (1663 r.)

Ten niezrównany Święty w całem swem życiu był wzorem doskonałego zaparcia. Utrzymywał on, że posłuszeństwo lepiej odpędza szatana, niż wszelkie egzorcyzmy. Prowincjał, widząc w nim doskonały wzór zakonnika, rozkazał mu obejść jeden po drugim wszystkie klasztory w prowincji i zatrzymać się w każdym trzy lub cztery dni dla zbudowania braci. Józef odebrał to polecenie, nie wiedząc, ani pytając o przyczynę, dość mu bowiem było na spełnieniu posłuszeństwa, w którem, jak mówił, karetą jechał do raju. Trudy tej uciążliwej podróży, odbywanej nieraz pod palącemi promieniami słońca, innym znów razem o chłodzie nocnym, a często bez kawałka chleba i dachu do wypoczynku, tak wyczerpały siły Świętego, że zdawał się być raczej podobniejszym do trupa, niż do człowieka. Na domiar nieszczęścia, towarzyszący mu w tej drodze brat Ludwik wpadł w silną gorączkę i nie mógł kroku dalej postąpić. Józef łagodnie zachęcał go do wytrwania w imię posłuszeństwa, dowlókł go do poblizkiego obrazu Matki Bożej i oliwą z lampki przed nim płonącej namaścił mu czoło, co braciszkowi cudownie przywróciło zdrowie.

Przybywszy do klasztoru w Assyżu, dokąd został później wysłany na stałe mieszkanie, sługa Boży był tam bardzo dobrze przyjęty. Starano się otoczyć go serdecznością i zaspokajać wszystkie jego potrzeby duchowne i doczesne. Lecz Pan Bóg, który go prowadził drogą zaparcia, nie pozostawił go i tutaj bez okazji do zasługi. W klasztorze nastąpił nowy gwardjan, który bardzo niechętnem okiem patrzał na Józefa i z dopuszczenia Bożego począł się z nim obchodzić w sposób pogardliwy i wyniosły, strasząc go często pogróżkami, jak najmłodszego nowicjusza. Sługa Boży zachowywał się wówczas według reguły Świętych: im bardziej bywał upokarzany, tem więcej starał się okazywać dobrych chęci. Surowość przełożonych przypisywał tylko własnym wadom, a wszystkie przykrości obracał sobie na pożytek duchowny. Jednocześnie pozbawił go Pan Bóg wszelkich pociech wewnętrznych: nietylko zachwytów, lecz najmniejszego uczucia pobożności; nawet Msza św. straciła dla niego swój urok niebiański, a czytanie nie zajmowało wcale jego umysłu; duchy piekielne poczęły go dręczyć w widomej postaci, co wszystko znosił w przeciągu lat dwóch, wciąż tylko wzywając Pana, który zdawał się być głuchym na jego wołanie. Obojętność tego sługi Bożego na wszystko, co go spotykało, dochodziła do najwyższego stopnia. Wskutek niezwykłych cudów, jakiemi najwięksi nawet Święci rzadko się odznaczali, oskarżano go przed trybunałem Św. Officium w Rzymie o czarnoksięstwo. Zarzut ten nader przykry i bolesny dla całego zgromadzenia, nie poruszył bynajmniej Świętego. Owszem, zawezwany do Rzymu dla wytłumaczenia się, udał się tam jak najspieszniej i z największą gotowością. Po niejakim czasie oskarżenie znów się powtórzyło, a Święty trybunał polecił przenieść podsądnego na trzy lata z zakonu Konwentualnych do Kapucynów, aby zatrzeć po nim wszelkie ślady pomiędzy ludźmi. Przełożonemu bardzo było przykro oznajmić mu to polecenie, lecz Józef zapytał tylko: „Czy tam, dokąd mnie wysyłają, znajdę też Pana Jezusa?“ „Zapewne“, odrzekł gwardjan. „A więc, jeżeli tak, to wyjeżdżam z radością, zawołał Józef, Ukrzyżowany mi dopomoże“.

Jeśli w tak ważnych rzeczach posłuszeństwo tego Świętego było najdoskonalsze, łatwo zrozumieć, że w drobiazgach był on literalnie umarłym dla swej woli. Chociaż mięso zawsze szkodziło jego zdrowiu, jednakże skoro w święta Wielkiej Nocy podano je do stołu, jadł je z posłuszeństwa wraz z innymi. Kiedyś znowu, gdy gwardjan, widząc, że w chorobie sypia z głową o mur tylko opartą, kazał mu używać poduszki, usłuchał go również bez najmniejszego oporu, choć dotąd zawsze praktykował to umartwienie. Nie otwierał nigdy okna bez pozwolenia towarzysza, chcąc mieć we wszystkiem zasługę posłuszeństwa. Wiele go kosztowało wychodzenie na spacer do ogrodu lub widywanie się z ludźmi świeckimi, zwłaszcza, gdy, okazując mu cześć i uwielbienie, pragnęli ucałować mu nogi. Lecz i to wszystko znosił z zaparciem na głos przełożonych. Przerzucany w ciągu całego życia z jednego klasztoru do drugiego, każdemu nowemu przełożonemu przedstawiał najdokładniej stan swojej duszy, zdawał mu sprawę ze swego postępowania, ze sposobu modlitwy, z zajęć codziennych, dodając ciągle, że gotów od wszystkiego odstąpić, jeżeliby przełożony uznał to za potrzebne. Poszcząc bardzo często o chlebie i wodzie, gotów był nawet jeść słodycze i czynił to, gdy mu przełożeni je dawali. Jeden z zakonników, widząc go raz z kawałkiem cukru w ręku, zwrócił na to uwagę ze zdziwieniem, „Posłuszeństwo, bracie, posłuszeństwo“, odpowiedział mu Józef. Zato, gdy pewnego razu brat kucharz zapomniał mu przysłać obiadu do celi, Józef, położył się spać o głodzie, z czego się później tak tłumaczył: „Uważałem, że Pan Bóg chciał ode mnie, abym ten dzień przepościł, dla wynagrodzenia za wszystkie posty, których z rozkazu przełożonych zaniechać musiałem“. W najgłębszych zachwyceniach, na głos przełożonego zaraz powracał do zmysłów, gdy się go zaś pytano, czy w takich razach słyszy wydawane mu rozkazy, objaśnił, że nie wie, co się wokoło niego dzieje, lecz Bóg tak kocha posłuszeństwo, że

sam spuszcza wtedy jakby zasłonę na zjawiska, a dusza, straciwszy przedmiot, który ją dotychczas zajmował, powraca rychło do zmysłów. Posłuszeństwo, mawiał Święty, jest nożem, który zabija wolę ludzką, składając ją na ofiarę Bogu. Jest to nóż, który zadał śmierć Zbawicielowi, posłusznemu aż do śmierci krzyżowej", jest to najskuteczniejszy z egzorcyzmów. Dostatecznie bowiem powiedzieć szatanowi: „Przyszedłem tutaj z posłuszeństwa", aby go zmusić do ustąpienia. Kiedy więc z polecenia przełożonych miał egzorcyzmować opętanych, najczęściej zwracał się do szatana w tych słowach: „Nie przyszedłem tu, aby ciebie wypędzić z tego człowieka, lecz aby spełnić rozkaz moich starszych; wychodź, jeżeli chcesz, zostań, jeżeli ci się podoba, jest mi to wszystko jedno. Wystarcza mi przekonanie, że spełniłem akt posłuszeństwa". Tą formułką uwolnił bardzo wielką liczbę opętanych. Nieraz też powtarzał, że gotów z posłuszeństwa wskoczyć do gorącego pieca, ufając, że przez moc tej cnoty wyszedłby z ognia zdrów i cały. Nie będziemy przytaczać więcej dowodów zaparcia tego Świętego, gdyż musielibyśmy chyba wypisać całą historję jego życia. [1])

Bł. Bonawentura z Potencji, Konwentualny (1711 r.)

Wybitną cnotą Bł. Bonawentury było posłuszeństwo. Uważał on wolę swych przełożonych za wolę samego Boga, spełniał ją przeto z całkowitem poddaniem serca i rozumu, a tę uległość jego potwierdzał i nagradzał Bóg cudami. Pewnego razu, gdy pilnie szukał zagubionego klucza od zakrystji, gwardjan rzekł doń z uśmiechem: „Weź wędkę i wyciągnij klucz ze studni". Zakonnik posłuszny w tej chwili spełnił dany rozkaz: przyczepił do wędki haczyk i wpuścił ją do wody. Wtem coś ciężkiego zawisło na wędce, był to właśnie ów klucz, który Bonawentura z radością odniósł gwardjanowi.

Podczas silnego upału Błogosławiony przyniósł pewnego poranku do refektarza bryłę lodu do użytku zgromadzenia. Spotkał go gwardjan i, chcąc wypróbować jego posłuszeństwo, rzekł: „Schowaj ten lód do szafy w zakrystji!" Święty spełnił to bez najmniejszego wahania. Około południa, brat kucharz, potrzebując lodu, spytał Bł. Bonawentury, gdzie go położył: „W szafie, w zakrystji", odpowiedział Święty. Bracia, przestraszeni, pobiegli do zakrystji, otworzyli szafę, lecz znaleźli lód nieroztopiony i ubiory kościelne zupełnie suche. Posłuszeństwo okazało się silniejszem od słonecznego żaru.

[1]) Vie de S. Joseph de Cupertin par Dominique Bernino.

Inny objaw posłuszeństwa.

Gdy sługa Boży mieszkał w klasztorze na Capri, małej wysepce w zatoce Neapolitańskiej, gwardjan, rozmawiając z nim w oratorjum klasztornem, rzekł do niego: „Mój bracie, mam jechać do Neapolu, pójdę więc teraz dowiedzieć się o której godzinie okręt odpływa. Zostań tu i poczekaj, aż wrócę". Skoro gwardjan przybył na brzeg zatoki, statek był już spuszczony z kotwicy i miał za chwilę odpłynąć do Neapolu. Wsiadł przeto i odbył zamierzoną podróż, z której dopiero po trzech dniach powrócił. Po przybyciu do klasztoru, zauważył nieobecność Bonawentury i okazał zdziwienie, że nie wyszedł go przywitać. „Byliśmy pewni, odrzekli bracia, że go ojciec gwardjan wziął ze sobą, nie widzimy go bowiem od chwili wyjazdu ojca". Gwardjan rozpoczął poszukiwania i znalazł brata na tem miejscu, gdzie go zostawił, odchodząc. Błogosławiony bowiem usłuchał polecenia z całą dziecięcą prostotą. „Dla posłuszeństwa, mawiał nieraz, poszedłbym na samo dno piekła".

Drugi podobny wypadek.

Innego razu zakonnik ten pracował w ogrodzie z bratem Ignacym, którego wywołano dla pogodzenia dwóch zwaśnionych mieszkańców wyspy. Myśląc, że mu ta sprawa zajmie niewiele czasu, rzekł do Bonawentury: „Poczekaj tu na mnie, ja wkrótce przyjdę". Musiał jednak Ignacy dłużej pozostać i dopiero na wieczór wrócił do klasztoru. Przy kolacji zapytują go bracia, gdzie jest O. Bonawentura? Nie widzieliśmy go przez cały dzień, nie był nawet na obiedzie. „Czy on przypadkiem nie czeka na mnie dotąd w ogrodzie", zawołał Ignacy. I w samej rzeczy zastali Świętego na tem samem miejscu, gdzie z nim rozmawiał.

Jego zaparcie.

Brat Bonawentura był charakteru żywego i gwałtownego, lecz przez umartwienie i zaparcie wyrobił w sobie przy łasce Bożej cierpliwość niezwyciężoną i anielską słodycz. Mógł powiedzieć z Psalmistą: „Trzymam w rękach serce moje". Wyznawał przed spowiednikiem, że niezasłużone zarzuty, zniewagi i niesprawiedliwe nagany oburzały go tak silnie, iż krew wrzała mu w żyłach. „Skonaj raczej, mówił wtedy sam do siebie, ale nie waż się odpowiadać". Ta dobroć anielska objawiła się w wielu okolicznościach, gdzie wobec zniewag, obelg i potwarzy zachował zupełny spokój, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

Po śmierci.

Pan Bóg chciał, aby ten wierny sługa Jego był wzorem posłuszeństwa nawet i po śmierci. Już wiele godzin upłynęło od jego zgonu, a jeszcze krew w nim krążyła. Przeto Wikarjusz generalny Biskupa kazał chirurgowi, żeby otworzył mu żyłę na ramieniu. „O. Bonawenturo, odezwał się do nieboszczyka, daj nam swoją rękę". Ale zmarły ani się ruszył. Wtedy, zwracając się do gwardjana, rzekł: „Ojcze gwardjanie, każ mu w imię św. posłuszeństwa wyciągnąć do nas rękę". I oto zaledwie gwardjan oznajmił swój rozkaz, Błogosławiony podał rękę chirurgowi. Można sobie wyobrazić, jakie to wrażenie sprawiło na obecnych. Trzydzieści lat po śmierci Świętego w r. 1740 komisja apostolska, składająca się z trzech Biskupów, przystąpiła do rozpoznania jego ciała; otworzono trumnę, w której leżał nieboszczyk doskonale zachowany, ciało było giętkie, jędrne i wydawało woń przecudną. Gdy miano go włożyć do innej cenniejszej trumny, zauważono, że była zbyt szczupła; na rozkaz wszakże jednego z Biskupów, czcigodne szczątki ścisnęły się w ramionach tak, że bardzo łatwo weszły do nowej paki w przytomności zachwyconych tem widzów. [1])

S. Pacyfik z San-Severino, Reformat (1721 r.)

Posłuszeństwo było rozkoszą tego zakonnika i zdawało się, że mu sił dodaje. Pewnego razu przełożony polecił mu odprawić Mszę św. w kościele blizko milę odległym od klasztoru. Było to w styczniu w porze zimnej, dżdżystej, a droga do kościoła zła i poprzerzynana strumykami. Nie zważając na swoje rany i osłabienie, sługa Boży natychmiast wychodzi z klasztoru i idzie tak szybko, że socjusz jego, choć młody i silny, nie może mu nadążyć. Przełożonemu przykro było, gdy się zastanowił, że chorego brata posłał tak daleko i w taką niepogodę, zrobił mu więc wymówkę za powrotem, że mu sam tego nie przedstawił. „Ależ, Ojcze", odpowiedział Święty ze słodkim uśmiechem; „to nie Ojciec, to sam Bóg mnie posłał". Nagrodził Pan posłuszeństwo wiernego sługi, zauważono bowiem, że ubranie jego było zupełnie suche, chociaż socjusz jego był bardzo zmoczony i zabłocony. [2])

S. Jan Józef od Krzyża, Obserwant bosy (1734 r.)

Jan Józef od Krzyża posiadał w wysokim stopniu cnotę posłuszeństwa. Nic go nie mogło powstrzymać, gdy szło o spełnienie rozkazu przełożonych, choćby w rzeczy najtrudniejszej. Raz wysłano go w daleką podróż, w którą puścił się z radością, chociaż nogi miał okryte ranami, tak, że sam ich widok był przerażający. Gdy po drodze przechodził przez jakieś miasto, spotkany lekarz zalecał mu, aby nie szedł dalej, ponieważ pora była bardzo zimna, a rany zaognione. Święty wymówił się lekarzowi posłuszeństwem, ten więc chciał napisać do prowincjała z prośbą o zmianę polecenia, lecz sługa Boży, wyrażając lekarzowi swą wdzięczność, błagał go zarazem, aby zaniechał swego zamiaru. Poszedł więc w dalszą drogę, a choć za chwilę, poślizgnąwszy się na lodzie, upadł na ziemię i tak się potłukł, że zaledwie mógł się na nogach utrzymać, szedł pomimo to dalej aż do wyznaczonego miejsca. [1])

Bł. Marja Krescencja, 3 Zak. (1744 r.)

Życie Błogosławionej było jednem pasmem cierpień. Z dopuszczenia Bożego znęcał się nad nią szatan, prześladowała pierwsza przełożona i dokuczały towarzyszki. Matka Teresa Schmid nie mogła darować Krescencji, że musiała ją przyjąć bez posagu. Z rzadką niedelikatnością przypominała jej ustawicznie, że przez nią wszyscy znoszą niedostatek, ponieważ nic nie wniosła. Zabroniła jej całkiem przychodzić do stołu z Siostrami, tak że Krescencja, jedząc tylko, co zostało, cierpiała głód, tem większy, że pracowała nad siły. Nikt jednak nie usłyszał od niej skargi lub szemrania. Jeżeli wobec niej ganiono zbytnią surowość przełożonej, Święta tłumaczyła ją, dowodząc, że Matka postępuje sprawiedliwie i jest dla niej jeszcze za dobrą. Wkrótce i cały klasztor poszedł za przykładem Matki Teresy. Kilka tylko sióstr więcej wyrobionych odgadły w młodej nowicjuszce duszę wybraną od Boga. Należała do nich Joanna Altweger, późniejsza po Matce Teresie przełożona klasztoru i Mistrzyni nowicjuszek, która płakała nieraz nad okrucieństwem, jakiego dopuszczano się względem jej córki i o ile mogła, potrzeby jej zaopatrywała. Marja Krescencja za złe obejście płaciła jeszcze większą słodyczą i gorliwością w spełnianiu swoich obowiązków, lecz to, zamiast rozbroić jej nieprzyjaciół, owszem, powiększało ich nienawiść. Jej zapał według nich był obłudą, pokora — uporem, obserwancja najdrobniejszych przepisów — maską, którą pokrywała swoje błędy. Nawet spowiednicy sióstr uprzedzali się do niej, obchodzili się z nią surowo i obsypywali

[1]) Vie du S. Bonaventure de Potenza par M. Berguin. [2]) L'aur. séraph. T. III p. 463.

[1]) Ibid. T. I.

wymówkami. Nie dziwmy się temu. Anioł ciemności jest tak przebiegły, że bardzo łatwo przyjmuje na siebie pozór dobra i często trzeba posiadać wielką roztropność i wielki dar rozeznania duchów, aby wiedzieć, jaki działa w niektórych duszach. Błogosławiona miewała wówczas widzenia i inne nadzwyczajne łaski, co zmuszało władzę zakonną do ostrożności.

Po profesji prześladowanie jeszcze się spotęgowało. Dość powiedzieć, że Marja Krescencja trzy lata nie miała swojej celi. Proboszcz w Kaufbeuren, a zarazem spowiednik Sióstr, wyprosił u przełożonej, aby przyjęła jego krewną. A że klasztor był niewielki, dla dwudziestu tylko zakonnic i liczba była już pełna, musiano jedną celę opróżnić. Matka Teresa uznała, że jest to zupełnie słuszne, aby pozbawić celi Krescencję, wszak ona nie zbogaciła klasztoru swoim majątkiem, a wstępująca miała bogate wiano. Powiedziała jej to nawet w oczy, dodając: „Szukaj więc sobie jakiego kącika na spanie". Od tej chwili Błogosławiona, jak Boski jej Mistrz, nie miała gdzie głowy skłonić, dopiero, gdy mistrzyni nowicjatu zachorowała i poszła do infirmarji, zajęła jej celę. Przez trzy lata co wieczór chodziła ona z twarzą spokojną od drzwi do drzwi, prosząc sióstr o gościnność, aby jej pozwoliły gdzie w kącie przenocować — i nigdy nie szemrała, nie narzekała.

Jej posłuszeństwo.

Ta wielka służebnica Boża, będąc jeszcze w domu rodzicielskim, od najmłodszych lat okazywała doskonałe posłuszeństwo. Gdy rodzice czego od niej żądali, dzieweczka porzucała natychmiast zabawę lub robotę, aby spełnić ich wolę lub oddać im przysługę; tak samo postępowała względem rodzeństwa, a czyniła to wszystko z obliczem wesołem, nie okazując żadnego uprzykrzenia. Cóż mówić dopiero o jej posłuszeństwie zakonnem! Matka Joanna mówiła nieraz zakonnicom: „Strzeżmy się wypowiadać swe życzenia wobec siostry Krescencji, bo gotowa jest spełnić nawet rzecz niemożliwą. Oświecona wszakże od Boga o nadzwyczajnej świętości tej siostry, pozwalała sobie nieraz polecać jej rzeczy przeciwne rozumowi, np. robienie kulek śnieżnych w zimie i suszenie ich na gorącej blasze. Naturalnie, śnieg topił się i zalewał kuchnię, co wywoływało szemranie ze strony siostry kucharki. Posądzając Krescencję o brak rozumu, wyznaczała jej za to surowe pokuty, które ta bardzo chętnie pełniła bez najmniejszego śladu niezadowolenia. Innym razem kazano jej zamiatać rączką od szczotki, sadzić rośliny korzonkami do góry, co wszystko wykonywała z nadzwyczajną dokładnością, jak gdyby chodziło o rzeczy wielkiej wagi. Światło Boże, którem była napełniona, dawało jej jasne pojęcie, że całą zasługę naszych czynów stanowi ich intencja, dlatego też mówiła nieraz, że woli podnieść słomkę z posłuszeństwa, niż wskrzeszać umarłych, idąc za własną wolą. Pan Bóg, który nie daje się nigdy prześcignąć we wspaniałomyślności, nieraz nagradzał jej zaparcie cudami. Pewnego dnia przełożona poleciła Krescencji przynieść sobie wody w dziurawem sicie. Posłuszna zakonnica poszła natychmiast do studni i powróciła do refektarza z sitem pełnem wody. Matka Joanna, podziwiając wszechmoc Bożą, kazała jej napełnić w taki sam sposób wielką beczkę, a następnie wypróżnić, również tem sitem. Krescencja uczyniła to, jak najchętniej, a wiele osób, obecnych temu zdarzeniu, świadczyło potem o zaszłym cudzie. Sito do dziś dnia przechowuje się w Kaufbeuren i jest przedmiotem czci dla wiernych.

Jej cierpliwość.

Oprócz cierpień od ludzi, Marja Krescencja przechodziła wiele i najrozmaitszych chorób, które ofiarowywała po większej części za dusze czyśćowe i znosiła wspólnie z Panem Jezusem, rozważając Jego Mękę. W roku jednak 1744 choroba, którą ją Pan Bóg dotknął, była niezwykła. Jakiś ogień wewnętrzny palił jej szpik i kości, a jednocześnie dokuczało jej wielkie pragnienie, język spiekły i suchy rozpadał się jak kora drzewna; lewy policzek i lewa łopatka nabrzmiały, na krzyżu zrobiła się jedna rana. Za pierwszem pojawieniem się bólu, Święta uprzedziła spowiednika i infirmarki, że zbliża się jej koniec, ale będzie powolny, gdyż Pan Jezus chce jej nowe zesłać cierpienia. Możemy sobie wyobrazić boleść sióstr, które nauczyły się już ją cenić. Sama tylko chora nie straciła nigdy tej wesołości i tego pokoju, który jest udziałem dusz, poddanych woli Bożej. Jej męstwo i odwaga przewyższały siły natury: chciano ulżyć temu ciału, dręczonemu chorobą, ale wszyscy czuli, że Marja Krescencja działa pod natchnieniem Bożem i dlatego nikt nie zmuszał jej do przyjmowania posiłku i innych koniecznych skądinąd starań. Trochę wody letniej, był to cały jej pokarm, a gdy próbowano ją skłonić do pewnych ustępstw na korzyść ciała, mówiła: „Pokarmem moim jest czynić wolę Ojca Niebieskiego; ta wola Boża jest moją siłą, moim chlebem". I z ust Błogosławionej wyrywały się akty gorące, jak np.: „Kości moje i członki moje, chwalcie Boga, który dał wam zdolność cierpienia... Nie, nie umrzeć, o Panie mój, ale dla Ciebie i przez mi-

łość ku Tobie jeszcze więcej znosić. Oby radość moja wzrastała w miarę powiększania się boleści! Przymnażaj mi, Boże mój, cierpień, ale pomnażaj też i cierpliwość. Umrzeć bez bólów, byłaby to słaba pociecha dla mnie". A potem, przejęta żądzą posiadania swego Umiłowanego, wołała: „Dusza moja tęskni i pragnie do źródeł wody żywej. Ach, kiedyż tam stanę, kiedyż ukażę się przed Bogiem! Jak Bóg chce i wtedy kiedy chce; nie pragnę innej pociechy nad pełnienie woli Bożej!"

Święta dziewica od dawien dawna już dopuszczona była do współcierpienia z Panem Jezusem. W czwartki, piątki i soboty całego roku przechodziła w swojem ciele Mękę Pańską. Teraz więc Zbawiciel chciał jakby nagrodzić wierność służebnicy swojej i dać jej nowy dowód łaskawości. W wielki poniedziałek trawiąca ją choroba pogorszyła się: ostry ból dręczył jej głowę, ręce i nogi. Błogosławiona do ostatniej chwili pocieszała córki swoje. „Drogie siostry, mówiła do nich, dziękujcie Bogu za wszystkie moje choroby. Moja radość, moje życie, moja siła znajduje się w smutku i w miłości. Gdybym mogła widzieć się przybitą do krzyża z Panem Jezusem, spełniłyby się wszystkie moje życzenia; byłby to przedsmak szczęśliwości wiecznej, raj na ziemi..." W Wielki Czwartek po Komunji Ś. Marja Krescencja wpadła w długie zachwycenie, z którego wyprowadził ją dopiero wieczorem Prowincjał OO. Franciszkanów, wołając na nią po imieniu. „Gdzie byłaś i coś widziała?" zapytał. „Mój Anioł Stróż, odrzekła, zaprowadził mnie na górę Oliwną. Widziałam Chrystusa modlącego się i oblanego krwawym potem. Zbliżyłam się, aby Mu oddać cześć i ofiarować się na wszystko dla Jego miłości. Zbawiciel powiedział mi: Dziecię moje, będziesz cierpieć ze mną i ze mną zmartwychwstaniesz". W Wielki Piątek tak samo była obecna w duchu różnym tajemnicom Męki Pańskiej, a w Wielką Sobotę Jego pogrzebowi. Wreszcie nadeszła Wielkanoc, 5-go kwietnia, Błogosławiona kazała się zebrać siostrom, a udzieliwszy im ostatnich rad, zatopiła się w Bogu. O 7-ej wieczór powiedziała głośno, tak, że wszyscy słyszeli, iż umrze o północy. Raz jeszcze przebaczyła swoim nieprzyjaciołom i tym, co po jej śmierci mieli ją szkalować, odstąpiła na korzyść dusz w czyścu cierpiących wszystkie Msze św., modlitwy i dobre uczynki, jakie za nią zgromadzenie ofiaruje. O 9-ej rozpoczęło się konanie. Prowincjał, jego sekretarz i spowiednik modlili się obok Sióstr przy łóżku Krescencji, która, wpatrzona to w krzyż, to w niebo, łączyła się z modlitwami otaczających, aż o samej 12-ej otworzyła oczy i wydała ostatnie tchnienie. Dusza jej, na skrzydłach Rafała Archanioła, który stał przy niej w chwili zgonu, uniosła się do przybytków wiekuistych. [1])

Ś. Marja Franciszka od pięciu Ran, 3 Z. (1791 r.)

Marja Franciszka od pierwszych lat wyrzekła się własnej woli, a ćwicząc się ciągle w zaparciu, doszła do tego, że stało się ono jej naturą. Zapytana, która z cnót najwięcej się jej podoba, odpowiedziała: „Wszystkie mi się podobają, ale pierwszeństwo muszę oddać cnocie zaparcia, tej śmierci duchownej, która czyni, że słuchamy każdego, kto ma prawo nam rozkazywać". Święta do tych słów jak najwierniej się stosowała. Kiedy ojciec żądał od niej pracy nad możność, tak że zaczęła pluć krwią i wpadła w suchoty, a obecni ubolewali nad jej stanem, ona milczała, znajdując jedyną pociechę w spełnianiu rozkazów ojcowskich. Lecz nietylko względem ojca była posłuszną, bo i siostrom swoim, dopóki z niemi żyła, we wszystkiem ulegała, nie stawiając nigdy oporu. Spowiednicy, dyrektorowie jej sumienia, lekarze, przyznali, że posłuszniejszej istoty trudno już sobie wyobrazić. Uczyniwszy trzy śluby w Trzecim Zakonie, kierowanym przez Obserwantów Bosych, spełniała wszystkie przepisy, jak: wstawanie nocne na Officium i długą modlitwę, biczowanie się trzy razy w tygodniu, poszczenie trzech kwadragen. Wola dyrektora była dla Świętej prawem nieodwołalnem. Gdy razu pewnego O. Feliks kazał jej stanąć z żebrakami przy jednej z bram miasta i prosić jałmużny, uczyniła to, a kiedy z jegoż rozporządzenia stróże odpędzili ją stamtąd, zniosła w cichości tę zniewagę. Ten sam przewodnik Franciszki, nie zważając na jej choroby i oschłości wewnętrzne, jakby dla wypróbowania jej posłuszeństwa, zażądał, by cztery razy na dzień odprawiała dyscyplinę i Święta bez słowa skargi była mu powolną. Dopiero Zbawiciel dał poznać dyrektorowi, że, kiedy On sam próbuje swoją służebnicę, nie należy tego jarzma bardziej obciążać.

Panu Bogu tak miłą była uległość Świętej, że, aby dać poznać, iż ona żyje tylko posłuszeństwem, uzdrowił ją kilka razy cudownie bez żadnego lekarstwa, jedynie słowami rozkazującemi dyrektora. Nieraz już ciało Marji Franciszki było zimne, trupioblade i ludzie opłakiwali jej śmierć, a gdy nadszedł uwiadomiony o tem O. Feliks i kazał, aby wróciła do życia, albo też, nie mogąc sam przyjść, innym zlecił powtórzenie swego rozkazu, zmarła natychmiast otwierała powieki. Wszelkie sole szkodziły jej zdrowiu, wiedziała o tem z doświadczenia, mimo to, gdy lekarze nie chcieli temu

[1]) La B. Marie- Crescence Höss par le R. P. Jeiler.

wierzyć i prosili ją, w imię posłuszeństwa świętego, aby wypiła popiół ze spalonej pokrzywy, który, zmieszany z wodą, miał uleczyć jej cierpienie, wzniosła oczy na obraz Matki Dobrego Pasterza i połknęła lekarstwo. Lecz w tejże chwili opanowały ją straszne boleści i konwulsje, tak, że wiła się na łóżku, a paznogcie z jej rąk i nóg same poodpadały. Wśród śmiertelnych bólów przy współcierpieniu Męki Pańskiej, tylko głos przewodnika przyprowadzał ją do zmysłów, podobnież i członki jej, wyrwane w czasie tego rozważania, wracały na swoje miejsce, gdy im spowiednik to kazał.

Co do posłuszeństwa przykazaniom Boskim i kościelnym, zachowując je sama jak najwierniej, wpajała ich obserwancję każdemu, kto miał z nią jakie stosunki. „Chrześcijanin, mówiła, powinien wierzyć i być ślepo posłusznym nauce Kościoła, okazując uległość widomej jego Głowie.“ Aby zaś słowa jej były skuteczniejsze, wspominała o męstwie pierwszych wyznawców i w świętem uniesieniu wołała: „O gdyby nam to szczęście było dane, żeby umrzeć śmiercią męczeńską za wiarę, z posłuszeństwa Bogu i Kościołowi!“ Jak wierną była w zachowaniu przykazań Boskich, najlepszem świadectwem są zeznania w procesie beatyfikacji różnych osób, a szczególniej spowiedników, z których jeden, O. Cervellini, ostatnie 30 lat ją prowadził, iż żyła i umarła w stanie niewinności, otrzymanej na Chrzcie świętym. [1])

Bł. Idzi od Św. Józefa, Obserwant bosy (1812 r.)

Święty ten prostaczek uważał cnotę posłuszeństwa za rzecz zupełnie naturalną. Przełożeni mogli śmiało używać go do wszystkiego, widząc że nie spotkają nigdy oporu. Będąc przekonanym, że ta właśnie cnota czyni człowieka zakonnikiem, Idzi nie miał innego pragnienia, jedno spełniać wolę wszystkich i to dążenie tak głęboko przeniknęło do jego duszy, że nie mógł nawet zrozumieć innego sposobu postępowania. Zdawałoby się, że Stwórca obdarzył go posłuszeństwem jeszcze w łonie matki, albowiem posiadał tę cnotę od najwcześniejszego dzieciństwa i nawet starając się o to, nie potrafiłby być nieposłusznym. Wstąpiwszy do zakonu, przykładał się z największą starannością do gruntownego poznania reguły i ustaw, aby je mógł jak najściślej zachowywać. Nazywano go też słusznie chodzącą regułą. Tę wierność w najdrobniejszych rzeczach zachował aż do śmierci, a był to widok prawdziwie wzruszający patrzeć na tego zgarbionego starca, który przy pomocy kija wlókł się wszędzie, dokąd go posłuszeństwo wzywało. Cnota zaparcia oswobodziła tego brata od największego wroga, którym jest człowiek sam dla siebie i ułatwiła mu najtrudniejsze zwycięstwo nad własnemi namiętnościami. Serce miał wolne od wszelkich uczuć ziemskich, gotowe w każdej chwili wzlecieć swobodnie do Stwórcy. Wszelkie jego czynności pochodziły albo z rozkazu przełożonych, albo z natchnienia łaski, nie stawiał bowiem nigdy przeszkody działaniu Ducha Świętego w duszy swojej.

Jego cierpliwość.

W ostatnim roku życia Pan Bóg dopuścił na niego ciężkie cierpienia, które potrafił ukrywać, tak, że trzeba było znać go dobrze, aby się ich domyśleć. Głównie zaś taił się przed przełożonymi z obawy, aby go nie zwolnili z jakiegobądź przepisu zakonnego, lub też z obowiązków infirmarza, który w końcu pełnił. Załatwiał więc wszystkie czynności z energją człowieka zdrowego, o każdej porze dnia i nocy biegł do chorych, przewidywał nawet, gdzie i komu mógłby być użytecznym i, nie czekając wyraźnego rozkazu, spieszył tam z wielką ochotą. Przez to czynne usposobienie bracia nieomal zapomnieli o wieku Idziego, który dźwigał już na swych barkach dziewiąty krzyżyk. Wreszcie do zwykłych bólów przyłączyło się zapalenie płuc, zmuszając Świętego do położenia się w infirmarji. Cierpienia jego były nieznośne, lecz bracia wiedzieli o tem jedynie ze słów doktora, Idzi zaś okazywał zawsze twarz spokojną i pogodną, owszem, każde zwiększenie cierpień objawiało się na jego obliczu wyrazem większego wesela. Twarz jego zdawała się rzucać dokoła blask nadziemski, a uśmiech nasuwał myśli o niebie. Wreszcie w słodkiem westchnieniu dusza ta połączyła się z wiekuistym Oblubieńcem. [1])

Cz. Wincenty Pallotti, 3 Z. (1850 r.)

Czcigodny Pallotti słuchał doskonale tak rodziców swoich, jak przewodników sumienia i władz kościelnych. Aby mieć większą zasługę, uczynił ślub posłuszeństwa spowiednikowi i ulegał mu w każdej rzeczy. Pewnego razu z upoważnienia Kardynała Wikarego przyszedł do kościoła egzorcyzmować opętaną. Już godzina się zbliżała, tłum ludzi napełniał kościół, oczekiwano tylko, rychło rozpocznie się ceremonja, gdy wtem spowiednik kazał mu odłożyć egzorcyzmy na inny dzień. Sługa Boży spuścił głowę pokornie i usłuchał, nie rzekłszy ani słówka, pomimo, że wszyscy byli niezadowoleni.

[1]) Vita di. S. Maria Francesca dal Padre Bernardo Laviosa.

[1]) Le V. Egide de St. Joseph. par Olivier.

Jak w tym wypadku, tak zawsze nie zważał na trudności i niewygody, jakie często dlań wynikały z rozkazów. W procesie beatyfikacyjnym znajduje się następujące świadectwo. Pewnego dnia Wincenty przyszedł do klasztoru OO. Kapucynów, do swego spowiednika, O. Serafina z Monti. Już późno było, około 10-ej zrana. O. Serafin zapytał go, czy jest po śniadaniu, a, usłyszawszy, że jeszcze nic nie miał w ustach, zganił mu to i kazał iść na obiad i dopiero wrócić. Sługa Boży bez żadnego wahania usłuchał, poszedł na obiad, chociaż miał milę włoską do domu i wrócił, jak mu rozkazano. Mógł się wytłumaczyć zmęczeniem, obowiązkami, odległością, ale tego nie zrobił. Duszom niespokojnym, zamieszanym, radził zawsze, by słuchały swoich przełożonych, tęż samą radę dawał skrupulatom i skrupulatkom. [1])

Cz. Ludwik z Casoria, Obserwant bosy (1885 r.)

Ten sługa Boży, przechodząc raz ulicą Uniwersytecką w Neapolu, w sprawach swego urzędu, spotkał gromadę studentów. Wolnomyślna młodzież skorzystała z dobrej okazji, by znieważyć obelżywemi słowy, a nawet pogróżkami człowieka, którego jedyną winą było to, że chodził w sukni zakonnej. O. Ludwik przybrał jak najpokorniejszą postawę: z oczyma spuszczonemi i złożonemi rękoma czekał, milcząc, cierpliwie końca tej napaści. W rzeczy samej tyle spokoju i powagi zmieszało młodzież; ucichła ona wkrótce, przestając niewczesnych żartów. Chłopcy mieli się już rozejść, niektórzy z nich może z żalem w sercu i wstydem, gdy naraz O. Ludwik spojrzał na nich serdecznie, zdjął piuskę z głowy i poprosił śmiało o jałmużnę. „Młodzi panowie, rzekł, mieliście przyjemność, drwiąc, ile się wam chciało z ubogiego zakonnika i cieszycie się ze swojego żartu, lecz teraz trzeba zapłacić. Potrzebuję jałmużny dla braci moich biednych i dla małych sierot, które głód cierpią, dajcie mi przeto cośkolwiek". Słodycz kapłana przyniosła swoje owoce. Studenci, zjednani tą miłością, jeden przez drugiego wyciągali z kieszeni, co kto miał i oddawali O. Ludwikowi, który uczuł w swem sercu taką radość, jakiej doznaje ten, co umie wiele kochać, być panem siebie i cierpieć dla dobra innych.

Oto drugi przykład cichości sługi Bożego. Pewnego dnia wsiadł on z jednym z Braci Szarych w Caserta do wagonu drugiej klasy, gdzie już było kilku podróżnych, a między nimi jakiś arystokrata w wykwintnem ubraniu. Ten ostatni, niezadowolony widać z przybycia zakonników, spojrzał na nich surowo i rzekł do sąsiadów: „Co za nieszczęście dostać się tak między dwie poczwary, między dwie dzikie bestje! Przypatrzcie się, panowie, tym mnichom, chodzą oni po świecie w tem wstrętnem ubraniu, chwytają w swoje szpony najlepszych obywateli i uczą głupców różnych niedorzeczności, opóźniając przez to postęp cywilizacji. W zjednoczeniu z kapłanami, Biskupami, Kardynałami i z samym Papieżem nawet gubią biednych ludzi i śmieją się z nich potem, robiąc minę umartwioną i pokutną". O. Ludwik milczał, jakby nie o nim była mowa, a nieznajomy, którego to niespodziewane milczenie gniewało, zaczął posuwać pakunkami, rzucać je w tę i w ową stronę, by doprowadzić zakonników do niecierpliwości. Wtem sługa Boży, zmieniając nagle swoje zachowanie, wstał i przemówił: „Dobrze wychowanemu człowiekowi, jakim pan jesteś, nie przystoi z obcymi, którzy nic nie zawinili, obchodzić się gorzej, niżeli ze zwierzętami". Więc ksiądz mnie zna? zapytał znieważyciel głosem łaskawszym". — „Tak, znam, pan jesteś N., a ja Ludwik z Casoria". Na te słowa podróżny, zawstydzony po uszy, skłonił się głęboko i rzekł: „Jakto, to Ludwik z Kasorja, przyjaciel ubogich, kryje się pod tą suknią!" W tejże chwili pociąg stanął, z czego korzystając, nieznajomy wybiegł czemprędzej z wagonu i znikł w tłumie. [1])

Marja od Jezusa, 3 Zak. reg. (1899 r.)

Świątobliwa ta zakonnica o ile drżała na samą myśl rozkazywania komukolwiek, o tyle czuła się szczęśliwą, mogąc słuchać i wypełniać wolę przełożonych, zwłaszcza, gdy ci polecali jej coś trudnego lub przykrego. Wypełniać posłuszeństwo, była to radość dla niej, odpoczynek duszy, rozkosz życia. Jako mała dziewczynka i później, jako dorosła, słuchała zawsze swojej matki, a, będąc w zgromadzeniu, nie zdarzyło się jej nigdy być nieposłuszną względem przełożonych. Pewnego razu powiedziano jej, żeby wzięła Tabernakulum z kaplicy klasztornej i obniosła je po ulicach. Nie namyślając się, Marja od Jezusa weszła na ołtarz i objęła oburącz Tabernakulum, chcąc je unieść; na szczęście, było ono tak mocno osadzone, że, pomimo całych wysiłków, nie zdołała go ruszyć z miejsca. Niemasz wątpliwości, że wskoczyłaby była w ogień, lub w wodę, gdyby przełożeni kazali jej to zrobić. Należała ona do tego rodzaju posłusznych, którzy w godzinę śmierci nie doświadczają żadnego niepokoju, ponieważ wola Boża kierowała wszystkiemi ich czynami i którzy na dniu sądu ostatecznego

[1]) Les Saints de Rome au XIX siècle par J. de Belloc.

[1]) Ludovic da Casoria par l'abbé Le Monnier.

wyśpiewywać będą zwycięstwo, zwycięstwo łaski nad mądrością tego świata i nad szatanem.[1])

Kapucyni.
Piotr z Apony (1534 r.)

W początkach zakonu Kapucynów Bracia cierpieli swoje prześladowania, znosząc je z największem zaparciem. Pewnego razu brat Piotr Apueński, idąc z Marchji do Rzymu z trzema towarzyszami, napadnięty został w drodze przez jakiegoś zuchwałego człowieka, który począł ich lżyć i przeklinać, a następnie porwał się nawet do bicia pałaszem. Pokora i cierpliwość, z jaką zakonnicy znosili to obejście, nietylko nie uspokoiły zuchwalca, ale pobudziły go do większej złości. Wreszcie, zmęczony, odrzucił pałasz, a wówczas bracia, poklęknąwszy, poczęli się za niego modlić, wołając głośno: „Racz, Panie, zapłacić wszystkim źle nam czyniącym dla Imienia Twego żywotem wiecznym. Amen".

Gracjan z Norcia i Benedykt z Bergamo.

W czasie wojny domowej pomiędzy dwoma miastami włoskiemi, bracia Gracjan i Benedykt schwytani zostali w drodze i uznani za szpiegów nieprzyjacielskich. Zajadłe pospólstwo, nie znając ich sukni zakonnej, pociągnęło ich bez żadnego sądu na szubienicę. Bracia nie opierali się temu, pragnąc jak najchętniej cierpieć dla naśladowania Chrystusa Pana; owszem, gdy ich pytano, czy są szpiegami, odpowiedzieli, że są gorsi od szpiegów. Tymczasem nadeszli starsi miasta, a chcąc przed wymierzeniem kary wybadać pierwej skazańców, polecili wtrącić ich do więzienia i wziąć na tortury. W tym celu zdjęto z nich habity, lecz ze zdziwieniem ujrzano, że obaj okryci byli ostrą włosienicą, w habitach zaś nic nie mieli, prócz drucianej dyscypliny i książeczki z regułą. Przekonawszy się stąd, że to byli prawdziwi synowie Ś. Franciszka, z największą czcią wypuszczono ich na wolność, oni zaś cieszyli się niezmiernie, iż stali się godnymi dla Imienia Jezusowego zelżywość cierpieć.[2])

Bernard z Assyża (1547 r.)

Jak ścisłego żąda Pan Bóg rachunku nawet z wykonywanych umartwień, a szczególniej z zaparcia swego zdania, oznajmił to brat Bernard Assyski, ukazawszy się po śmierci swemu gwardjanowi. Dziękując mu naprzód za troskliwą opiekę w chorobie, opowiedział, iż przez parę dni po zgonie nie był przypuszczony do widzenia Pana Boga, dlatego że w umartwieniach swoich, choć się najściślej stosował do woli przełożonych, jednakże w sercu niechętnie się jej poddawał, mając przywiązanie do własnego zdania.[1])

Kara za brak poddania woli.

Im hojniej Bóg nagradza tych, którzy zupełnie ufają Jego Opatrzności, tem surowiej karze nieposłusznych. W prowincji Otranckiej jeden z braci tak był przywiązany do własnej woli, że się zawsze opierał przełożonym, jak tylko ich rozkaz nie zgadzał się z jego upodobaniem. Polecono mu raz, aby się udał do innego klasztoru, którego nie lubił; natychmiast więc rozpoczął żale i skargi na przełożonych i wymawiał się, że tego spełnić nie może. Nareszcie bracia skłonili go do posłuszeństwa, ale on puścił się w drogę z przymusem i szemraniem. Bóg, który żąda, aby zakonnicy z zaparciem i istotnie wolę Jego w posłuszeństwie objawioną spełniali, dopuścił na niego ciężką chorobę, lecz zatwardziały grzesznik umarł bez żadnych oznak pokuty i poprawy. Po śmierci jego pewien świątobliwy kleryk widział jego duszę w płomieniach piekielnych.[2])

Mateusz z Basci (1552 r.)

Mateusz z Basci przez całe życie dawał dowody najwyższego zaparcia. Śmiało strofując wszędzie grzeszników, narażał się z tego powodu na różne przykrości; pominąwszy zniewagi i obelgi, bywał często bity, wrzucany do rzeki, wypędzany z miast: wszystko to jednak znosił z cierpliwością, bez najmniejszej skargi lub pomyślenia o zemście, składając dzięki Bogu i błogosławiąc swych prześladowców. Pewnego razu, gdy szedł przez miasteczko i, jak zwykle, groził grzesznikom piekłem, oficer jakiś polecił swoim żołnierzom obić go i wyrzucić za miasto. W Luce natrafił na stojących pijaków, a kiedy, zbliżywszy się, zaczął ich upominać, jeden z nich wyciął mu silny policzek. Władza miejska chciała ukarać zuchwalca, lecz Mateusz udał się do sądu i tak potrafił uniewinnić swego nieprzyjaciela, że wypuszczono go bez żadnej kary. Cierpiąc przez długi czas ciężką i przykrą chorobę, odpowiedział pewnemu lekarzowi, który chciał go z niej wyleczyć, że ją uważa, jako skarb drogi i dlatego nie chce być jej pozbawiony.[3])

[1]) Vie de La R. M. Marie de Jésus, apôtre du Scapulaire de St. Joseph, par Damase de Loisey, O. M. C. [2]) Kroniki Kap... r. 1534.

[1]) Tamże r. 1547. [2]) Tamże. [3]) Tamże r. 1552.

Bernardyn z Monteulmu (1655 r.)

Sprawując urząd Wikarego generalnego, często zachęcał braci, aby się wyrzekali wszystkich żądz swoich, które są przeszkodą do czystej miłości Bożej. „Nie dość jest, mawiał, karcić ciało surową pokutą, jeżeli dusza nie obumarła sobie, a samemu Bogu służyć nie zaczęła. Dlatego też niewielu dochodzi do tej doskonałości, aby mogli powiedzieć z Apostołem: Żyję już nie ja, lecz żyje we mnie Chrystus. To zaparcie trudne jest do zdobycia, gdyż wymaga długiej a ustawicznej walki ze sobą". Czterech, mówił, z początku miałem nieprzyjaciół: lenistwo, pożądliwość ciała, obżarstwo, i miłość własną. Od samego początku życia zakonnego rozpocząłem z niemi zapasy, lecz do dziś za łaską Bożą trzech dopiero pokonałem, a przynajmniej zmusiłem do milczenia. Czwarty zaś jeszcze podnosi czasem głowę, nie mogę bowiem twierdzić, czybym też w każdej chwili gotów był znosić z radością obelgi i zniewagi, gdyby te niespodzianie na mnie spadły".

Nagroda za zaparcie rozumu.

W klasztorze miasta Alento pewnemu bratu laikowi, gotującemu groch w kuchni, rozpadł się garnek. Nie wiedząc, co robić, pobiegł do swego mistrza z zapytaniem, a ten, chcąc doświadczyć jego zaparcia rozumu, rozkazał mu złączyć ze sobą części garnka i, nalawszy w nie wody, groch ugotować. Nowicjusz z zaparciem rozumu spełnił to polecenie, a zaledwie zbliżył do siebie rozbite kawałki, te natychmiast cudownie się zlepiły, tak, że nawet śladu stłuczenia nie pozostało. Tak chciał Bóg wynagrodzić zaparcie rozumu i ślepe posłuszeństwo braciszka. [1])

Pandolf z San-Cirillo (1568 r)

Brat Pandolf, przyjęty do zakonu Kapucynów w prowincji Toskańskiej, jeszcze przed obłóczynami zapadł w ciężką chorobę. Pewnego dnia po przyjęciu ŚŚ. Sakramentów, przetrwał długi czas w zachwyceniu, a przyszedłszy do siebie, opowiedział zgromadzonym braciom, że był przez Anioła zaprowadzony do czyśca i do piekła, gdzie widział straszne męki potępionych, szczególniej za nieposłuszeństwo i rządzenie się własną wolą. Nakoniec zaniósł go Anioł do nieba i tam radośnie powitany przez wszystkich, oglądał Zbawiciela, Najświętszą Jego Matkę i chóry niebieskie. A gdy się użalał, że musi powrócić na ziemię, powiedział mu Anioł Stróż, że tegoż dnia jeszcze o godzinie 7-ej życie zakończy, lecz przedtem ma uprzedzić braci swoich o nagrodach, jakie ich czekają, w miarę tego, jak się będą ćwiczyli w cnocie zaparcia. Za uderzeniem wskazanej godziny, rzeczywiście oddał ducha Bogu wśród najgorętszych aktów miłości. [1])

Skutki rządzenia się własną wolą.

Roku 1569 pewien kapłan zakonu Ś. Franciszka, w prowincji Korsykańskiej, uważany przez wszystkich za bardzo świątobliwego, nie chciał się przed śmiercią spowiadać, a na zapytanie przełożonego, odpowiedział, iż na nic mu się spowiedź nie przyda, ponieważ ma być potępiony. Gwardjan starał się pobudzić go do ufności w miłosierdzie Boże, lecz widząc, że to nic nie pomaga, zapytał o przyczynę takiej rozpaczy. Wtedy brat wyznał, iż spodziewa się potępienia za przywiązanie do woli własnej. Chociaż bowiem otwarcie nie sprzeciwiał się przełożonym, wewnętrznie jednak zawsze szemrał, jeżeli tylko rozkaz nie był zgodny z jego upodobaniem; również samowolnie, bez wiedzy przełożonych, brał i rozdawał rozmaite drobne rzeczy, kiedy nie spodziewał się otrzymać na to pozwolenia. A że nie miał zamiaru się poprawić, więc ani się spowiadał, ani za to żałował. Na dowód zaś tego, wyjął z pod poduszki pęczek przędziwa na nici, któremi miał zamiar przyszyć sobie do habitu kawałek sukna, czego mu przełożony zabronił, uważając to za zbyteczne. Usłyszawszy to, gwardjan, wszelkiemi sposobami starał się go nakłonić do żalu i do spowiedzi, ten jednakże, nieupamiętany w rozpaczy, bez Sakramentów ŚŚ. nędznie zakończył swe życie. [2])

Straszny to przykład dla sług Bożych, bo chociaż te przestępstwa same z siebie nie zasługiwały jeszcze na potępienie, ale to złe usposobienie, z jakiem je popełniał, doprowadziło go do rozpaczy i zatwardziałości, które go zgubiły.

Gerwazy z Termini (1574 r.)

Gerwazy z Termini, wstąpiwszy do zakonu, od pierwszej chwili wypowiedział sobie nieubłaganą walkę, poznał bowiem, oświecony łaską Bożą, że człowiek, ulegający wrodzonym namiętnościom jest najniebezpieczniejszym swoim nieprzyjacielem. Karcił więc swe ciało ostrą włosienicą, postami o chlebie i wodzie, czuwaniem, pracą i różnemi umartwieniami i to do najpóźniejszej starości. Szczególniej zaś pracował nad zaparciem swojej woli,

[1]) Tamże r. 1565.

[1]) Tamże r. 1568. [2]) Tamże r. 1569.

za co go Bóg cudami nagradzał. Pewnego razu, słysząc wezwanie gwardjana, nie dokończył litery, a powróciwszy, znalazł ją dopisaną złotem; drugi raz, gdy kopał w ogrodzie rowki dla przeprowadzenia wody, wezwany nagle rozkazem przełożonego, pobiegł w tej chwili, bez względu, że woda pędem płynąca byłaby cały ogród zalała. Bóg w nagrodę jego zaparcia rozumu i ślepego posłuszeństwa, skutki tej nieroztropności cudownie powstrzymał. Umysł jego, oderwany od wszystkiego, co ziemskie, na każdem miejscu zajęty był Bogiem; miarkował też wszystkie swe myśli, słowa i sprawy według Jego upodobania i poddawał się ochotnie woli Bożej, tak w smutku, jak w radości, w niczem siebie nie szukając.[1])

Tomasz z Citta di Castello (1576 r.)

Wizytując klasztory jako Wikary generalny, brat Tomasz zalecał braciom szczególniej zupełne zaparcie swojej woli nawet w umartwieniach i postach, gdyż szatan nieraz pobudza zakonników do samowolnych ostrości, mających pozór cnoty, aby ich odwieść od zasługi posłuszeństwa. By zaś słowa jego sprawiły głębsze wrażenie, opowiadał często braciom, co mu się raz zdarzyło. W pewnym klasztorze był braciszek, który ustawicznie pościł o chlebie i wodzie i spełniał nietylko roboty nakazane, ale i dobrowolne, pracując za wszystkich bez wytchnienia. Gwardjan upominał go, aby oszczędzał swe siły, ale ten odpowiadał, iż mu to bynajmniej nie szkodzi i rzeczywiście doskonale wyglądał. Przybył tam pewnego razu brat Tomasz, a słysząc o nadzwyczajnym zakonniku, skorzystał z ceremonji wyznawania win w refektarzu i tak doń powiedział: „Dotychczas trudziłeś się i umartwiałeś z własnej woli, lecz teraz czyń to z zasługą posłuszeństwa, abyś był milszym Bogu". Dziwna rzecz, ledwie tych słów dokończył, brat ów wychudł nagle jak szkielet, zczerniał i padł na ziemię. Zły duch bowiem, który go w postach i pracach umacniał, pobity mocą posłuszeństwa, zostawił go tak wycieńczonym, że potrzeba było wielkich starań, aby mu przywrócić jakie takie siły.[2])

Feliks z Cantalicio (1587 r.)

Święte posłuszeństwo, któremu od pierwszej chwili swego wstąpienia do zakonu, Feliks całkowicie się oddał, zdobiło wszystkie jego uczynki i sprawy. Można powiedzieć, że każdy jego krok, każda myśl niemal była uświęcona posłuszeństwem, nigdy bowiem w życiu nie odważył się na najmniejszą rzecz, o której mógłby powątpiewać, że nie jest zgodna z wolą przełożonych. Ta cnota tem bardziej w nim jaśniała, że sam rodzaj jego obowiązku narażał go na pewną samodzielność, bo jako kwestarz, spędzający dnie całe na ulicach miasta, nie mógł być żadną miarą pod nieustannym dozorem przełożonych. Niejednego zakonnika mniej doskonałego naraziłoby to na tysiączne winy lub choćby tylko rozmijania się z posłuszeństwem, brat Feliks jednak przez cały długi okres zakonnego życia swego nie zdradził nigdy najmniejszych oznak samowoli. Gotowość jego do wykonywania wszelkich rozkazów swojej władzy, czasem nawet niemożliwych i na samo tylko doświadczenie jego posłuszeństwa wydanych, była w jego duszy nieustanna. Co więcej, zawsze był gotów spełniać wolę i życzenia wszystkich; ktokolwiekbądź go zawołał, spieszył natychmiast, ubiegając się o to, aby wszystkich pragnieniom zadośćuczynić, i nigdy nie zdradził najmniejszej niechęci lub niezadowolenia, bez względu na to, czy mu co łatwiej lub trudniej przychodziło. Przełożeni Feliksa musieli się bardzo mieć na baczności co do dawanych mu poleceń, Święty bowiem, posiadając w tak wysokim stopniu cnotę posłuszeństwa i zaparcia, nie zważał wcale na zamiar mówiącego, ani też na jego sposób wyrażania się, lecz brał z prostotą każdy rozkaz, mając jedynie tę myśl i staranie, aby był bez zwłoki wykonany. Wszystkie swoje dzieła miłosierdzia, wszystkie ćwiczenia, modlitwy i uczynki pokutne spełniał jedynie na podstawie szczegółowego pozwolenia tak przełożonych, jak spowiedników. Bez tego pozwolenia nie byłby się nigdy odważył dodać sobie choćby raz tylko samowolnie jaki post lub umartwienie nienakazane przez regułę. Gdy po wielu latach próby przekonano się, że już jest dostatecznie utwierdzony w cnocie i, że nim rządzi prawdziwie Duch Boży, przełożeni dali mu ogólną wolność co do wszelkiego rodzaju umartwień, stosownie do natchnienia Ducha Świętego, z warunkiem, jednak zaprzestania tychże na pierwsze skinienie swej władzy duchownej, aby tym sposobem nigdy nie stracił zależności. I tak np., będąc od wielu lat przyzwyczajonym do postu trzy razy w tygodniu o chlebie i wodzie, zasiadł wesoło do wspólnego stołu, aby jeść to samo, co i wszyscy, gdy raz O. gwardjan, chcąc go wypróbować, przez trzy dni tego postu mu zabronił. Po tej próbie jednak już mu się więcej w tem umartwieniu nie sprzeciwiał i zwrócił mu dawniejsze pozwolenie.

[1]) Tamże r. 1574. [2]) Tamże r. 1576.

MATKA BOSKA OSŁANIA PŁASZCZEM SWOIM RODZINĘ FRANCISZKAŃSKĄ, KTÓRĄ DZIECIĘ JEZUS BŁOGOSŁAWI.

LONDYN—MUZEUM SOUTH—KENSINGTON. OZDOBA DRZWI ZAKŁADU DOBROCZYNNEGO W WENECJI, PRZYPISYWANA BARTŁOMIEJOWI BONO (1450).

Różne objawy zaparcia.

Nietylko w posłuszeństwie objawiało się zaparcie Ś. Feliksa, ale i w innych rzeczach. Raz, gdy szedł przez ciasną uliczkę miasta, jeździec jakiś przez nieostrożność przewrócił go i potratował. Świadkowie tego zajścia ujęli się za pokrzywdzonym, gdy on tymczasem, przybliżywszy się do rycerza, przepraszał go za to, że przez swoją nieuwagę stał się przyczyną wypadku. Zdziwiony jeździec wzruszył z politowaniem ramionami i pojechał dalej. Nazajutrz jednak zapukał do furty klasztornej i, wyznając, jak wielkie wrażenie wywarło na nim zaparcie Świętego, obiecał Bogu i Feliksowi, że wróci do pobożności z lat dziecinnych i odmieni życie. Takie to były skutki cnoty, którą Pan Bóg już w tem życiu nagradzał wielkiemi łaskami.

Następujące zdarzenie doskonale maluje wysokie zaparcie tego Świętego. Będąc długie lata kwestarzem w Rzymie, wyrobił sobie pozwolenie chodzenia boso. Pewnego razu posłany był z interesem do Kardynała Protektora. Socjusz jego, litując się nad bratem Feliksem, że już był w wieku i cierpiał na nogi, skorzystał z dobrej sposobności i prosił Kardynała, by mu zabronił chodzić bez sandałów. Po powrocie do klasztoru, Feliks, choć bardzo kochał umartwienie, zaraz jednak przedstawił tę rzecz gwardjanowi, ale, że nie było żadnych wolnych sandałów, musiał czekać do następnego dnia, aż mu zrobią. Biedny braciszek zasmucił się bardzo, iż nie może natychmiast spełnić rozkazu Kardynała, lecz uspokoił go przełożony, mówiąc, że wobec niemożności chęć stanie za uczynek. Święty poprzestał na tem i z radością czekał jutra, dając tem jasne świadectwo doskonałego zaparcia woli własnej.

Ten sam Kardynał, widząc go zmęczonym i upadającym pod ciężarem codziennej kwesty, zapytał, czy pozwoli wstawić się za nim do przełożonych, aby go zwolnili z tak ciężkiego obowiązku. „Mógłbyś, dodał książę Kościoła, ostatnie lata życia poświęcić modlitwie, bez zbytniego umęczenia". „Miłościwy Panie, odpowiedział Święty z głęboką pokorą: Jak dla żołnierza chlubą jest, kiedy umiera na polu bitwy, tak i osłowi pod ciężarem umierać przystoi. Tu mnie moi starsi naznaczyli, do tego Bóg i posłuszeństwo mię powołało. Proszę cię więc, nie pozbawiaj mnie tego słodkiego ciężaru, który mi krzyż Chrystusa przypomina i pod którym pragnę skonać; wierzaj mi, sakwy te milsze mi są, niż przepychy bogatych pałaców". Kardynał wysłuchał tych słów z uwielbieniem i uszanował wolę Świętego. [1])

[1]) Żywot Ś. Feliksa.

Cz. Jan z Maurienne (1614 r).

Czcigodny Jan z Morien, którego proces beatyfikacyjny obecnie jest w toku, odznaczał się cnotą najwyższego zaparcia. Wola przełożonych była dla niego wyrazem woli Bożej; w cnocie posłuszeństwa nie zakładał żadnych granic, nie dopuszczał żadnej krytyki lub wymówki i chwytał z radością najprzykrzejsze okazje do zaprzania siebie. Umiał on nietylko unicestwić swoją wolę, ale, co rzadsze i trudniejsze, swój sąd o rzeczy. Bardzo było trudno zmusić go do wypowiedzenia swoich własnych przekonań, a że niejednokrotnie doświadczenie potwierdzało mądrość jego poglądów, często więc wypadało żałować, że zbytnia nieufność względem samego siebie przeszkodziła Janowi do ich wypowiedzenia. Następujący przykład okazuje, jak uważał się niegodnym urzędów, które mu powierzano i jak chętnie i pospiesznie składał je z siebie, gdy mógł to uczynić bez obrażenia cnoty posłuszeństwa. Będąc gwardjanem, Jan miał się raz udać na kapitułę do Ljonu, a tymczasem na jego zastępstwo przysłano brata Sylwana w charakterze Wikarego. Niespodziana choroba nie pozwoliła mu jednak puścić się w podróż, pozostał więc w domu, sprawując w dalszym ciągu swoje obowiązki. Tymczasem dowiedział się, że brat Sylwan rości sobie prawo do zarządu domem. W tejże więc chwili biegnie do niego, i, rzucając mu się do nóg wobec całego zgromadzenia, przeprasza go najpokorniej, że dotychczas spełniał ten urząd. Zapewnia przytem, że byłby go złożył daleko wcześniej, gdyby nie brak zastanowienia, przez który nie domyślił się wcale, że to było jego obowiązkiem. Taki dowód zaparcia wywołał podziwienie we wszystkich zakonnikach i okazał z jednej strony cnotę Jana, a z drugiej pyszne dążności Wikarego. Głęboka pogarda, jaką czuł dla samego siebie, nietylko ułatwiała mu znoszenie wszelkich krzyżów, ale nawet napełniała go wobec nich żywą radością. Dziękował za nie Bogu, jako za wielką łaskę i skarżył się, że Pan Bóg zanadto go oszczędzał, widocznie ze względu na jego słabość. Zdarzały się czasem okazje, w których zaparcie Jana wykazywało się w całym blasku. Został on raz oskarżony przed kapitułą o występek bardzo upokarzający, tak że przełożeni zebrali się nawet na naradę i wezwali go przed siebie, aby się mógł wytłumaczyć. Korzystając skwapliwie z tej okazji, Jan odmówił wszelkich wyjaśnień. Pomimo to, wkrótce niewinność jego wyszła na jaw, a nawet przełożeni chcieli surowo ukarać zakonnika, który się dopuścił tej potwarzy. Lecz Jan ani słyszeć o tem nie chciał i, upadłszy na kolana przed starszymi, błagał ich o przebaczenie dla swego

krzywdziciela. Nie należy jednak sądzić, aby ta cierpliwość była wrodzoną cechą jego charakteru. Owszem, był on z natury żywy i porywczy; ale długoletnia walka tak go zmieniła, że nie można było w nim zauważyć najmniejszej oznaki zniecierpliwienia. Zawsze był jednostajnie usposobiony i największa radość, zarówno jak i boleść najwyższa, nie zmieniały wcale słodkiego wyrazu jego twarzy. We wszystkiem widział wolę Bożą, pragnącą zawsze naszego dobra, rozumiał bowiem słowa Chrystusowe: „Kto chce iść za mną, niech zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój na każdy dzień; taki tylko może być uczniem moim". Mawiał też często, że można iść do nieba, nie posiadając doskonałej czystości, do której nie wszystkie dusze są powołane, lecz niepodobna się tam dostać bez pokory i zaparcia.[1])

Cz. Honorat z Paryża (1624 r.)

Pomimo najwyższych urzędów, jakie spełniał ciągle ten czcigodny sługa Boży, cnota zaparcia i posłuszeństwa była mu bardzo drogą. Praktykował ją doskonale jeszcze w domu rodzicielskim, co okazało się na samym wstępie do życia zakonnego w sposób prawdziwie rzewny i wzruszający. Gdy Honorat, nie spodziewając się pozwolenia rodziców, opuścił ich pokryjomu dla służby Bożej, rozgniewany ojciec przybiegł wkrótce za nim do klasztoru, z mocnem postanowieniem odebrania go stamtąd w jakikolwiek sposób. W końcu jednak, zwyciężony stałością syna, udzielił mu swego błogosławieństwa, mówiąc do przełożonych: „Syn mój aż dotąd nigdy mi się w niczem nie sprzeciwił, jeżeli więc dziś nie chce uledz mojej woli, znak to wyraźny, że upór jego pochodzi od Boga, przeto zmuszony jestem mu się poddać". Piękne to i chwalebne zaświadczenie, które potwierdzają jasne słowa Pisma Świętego: „Mąż posłuszny odniesie zwycięstwo".

Będąc w nowicjacie, Honorat naginał swoją wolę do najdrobniejszych życzeń swoich przełożonych, nie unikał żadnej ofiary, choćby najprzykrzejszej i nic nie czynił bez pozwolenia mistrza. W małych rzeczach, jak i w wielkich stosował się pokornie do jego poglądów i poddawał się im z dziecięcą prostotą.

Wewnętrzne walki.

Pomimo tej łatwości w posłuszeństwie, zdobycie cnoty zaparcia kosztowało go wiele pracy. Praktyki pokutne, nakazane przez regułę, do których zdaleka rwał się w pobożnym zapale, wydały mu się teraz bardzo wstrętnemi. Kiedy więc przychodziło mu na myśl, że aż do śmierci dzień w dzień będzie musiał nosić habit podobny do grubego wora, zawsze jeść chleb wyżebrany w jałmużnie, zawsze umartwiać swe ciało i swą wolę, dreszcz mimowolny go przenikał. Lecz za chwilę, wezwawszy pomocy Boskiej, otrząsał się z tego przykrego wrażenia, zwyciężał pokusę i z nowym zapałem rozpoczynał walkę ze sobą. Nie prędko jednakże szatan zaprzestał niepokoić go w tak przykry sposób. Nieraz jeszcze, przebiegając myślą liczne, a uciążliwe obowiązki życia zakonnego i porównywając z niemi swoje słabe siły, poczynał wątpić o swojem powołaniu do zakonu Ś. Franciszka. Wówczas biegł coprędzej do swego mistrza i zwierzał mu się z obawy, a dobry Ojciec Juljan przyjmował go zawsze z serdecznem współczuciem i umacniał w powziętych postanowieniach. Próby te, trwające przez cały czas nowicjatu, choć ciężkie i bolesne, były jednak doskonałym środkiem, zesłanym przez Boga dla utwierdzenia go w cnocie. Zwycięstwo zostawało zawsze po stronie Honorata; odwaga jego rosła w miarę niebezpieczeństwa, wreszcie po czasie walki nastąpił słodki okres upragnionego spokoju. Zamiast wstrętu do wszystkich ostrości zakonnych, nowicjusz począł kosztować niewypowiedzianej rozkoszy w spełnianiu najdrobniejszych przepisów reguły. Jarzmo Pańskie stało mu się rzeczywiście słodkiem, a brzemię lekkiem, bo Pan, nagradzając długą walkę, namaszczał je oliwą swojej łaski.

Inny rodzaj zaparcia.

W rok po rozpoczęciu nowicjatu, Honorat złożył profesję. Z sercem przepełnionem radością ofiarował Bogu wolę własną i swobodę wewnętrzną, aby wzamian otrzymać prawdziwą wolność dzieci Bożych, która polega na zupełnem oswobodzeniu się z niewoli zmysłów, namiętności i próżnych wymagań światowych. Nowy profes z nieopisanym zapałem opuszczał wszystko dla Boga. Reguła seraficzna, którą ślubował, wydawała mu się odtąd przedsmakiem nieba, często też potem powtarzał duchownym synom swoim: „Gdyby potrzeba było dziesięciu lat nowicjatu, aby zostać Kapucynem, zgodziłbym się na nie chętnie, uważając to wszystko za nic wobec szczęścia, jakiego człowiek kosztuje, oddając się całkowicie Bogu. W dalszem życiu jego tak obfitem w zasługi względem całego zakonu, a zarazem pełnem cnót osobistych, zaparcie nie przestało być najulubieńszą jego cnotą. Ono zwyciężało w nim wszystkie wstręty i wątpliwości i samo jedno mogło go skłonić do przyjmowania

[1]) Vie du V. Jean de Maurienne par l'abbé Truchet.

zaszczytnych urzędów. Pełen szacunku dla swoich przełożonych, ulegał w najdrobniejszych szczegółach ich zdaniu i woli, powtarzając często, że aż do śmierci należy być posłusznym. Wspomnienie Syna Bożego, umierającego na krzyżu dla spełnienia woli Ojca Niebieskiego, było zawsze przytomne w jego umyśle. W niem czerpał siłę i moc do zwalczania oporu natury i do znoszenia najcięższych obowiązków. Niepodobna opisać korzyści, jakie odnosił cały klasztor z podobnego przykładu. Zjednoczenie i karność wzmacniały się między braćmi. Szemranie ustało zupełnie. Zgromadzenie już i tak kwitnące, ożywiło się pod wpływem tego świątobliwego męża duchem prawdziwego zaparcia, roztaczającym blask swój na cały niemal zakon.[1])

Hilary z Fryburga (1716 r.)

O. Hilary wstąpił do klasztoru Kapucynów jako mąż dojrzały, bo liczył już lat 39 i to życia wzorowo chrześcijańskiego. Odbywszy próbę pod świątobliwym mistrzem, zasłynął cnotami serafickiemi i dał dowód nadzwyczajnej cichości. Nie brakowało mu bowiem krzyżów różnego rodzaju; fałszywe oskarżenia, potwarze, obmowy, wszystko to znosił on spokojnie i z obliczem wypogodzonem, aż do ostatniej chwili życia. Zacny Kapucyn zwalczał błędy protestantów, szerzące się we Fryburgu i sąsiednich miasteczkach, na co niechętnem okiem patrzyli heretycy i odszczepieńcy. Tymczasem do miasta weszły wojska szwedzkie. Nieprzyjaciel, jako zwycięzca, dopuszczał się strasznych nadużyć. Ktokolwiek był podejrzany, karano go bez sądu i bez litości. Otóż jeden z odstępców Kościoła katolickiego, imieniem Adolf, protestant, chcąc się zemścić na O. Hilarym, że go nieraz upominał i przekonywał o błędach luterskich, oskarżył go przed dowódcą Szwedów, że namawiał lud do powstania. Słowom tym uwierzono i niewinny zakonnik został wrzucony do okropnego lochu, gdzie niezadługo w strasznych męczarniach skonał. Przed śmiercią prosił, żeby mógł się wyspowiadać przed katolickim kapłanem i otrzymał tę łaskę. Straż więzienna świadczyła, że nigdy nie wyszła z jego ust żadna skarga, był on zawsze jednakowo cichy i wesoły, tak, jakby nic nie cierpiał. Ciało jego pogrzebali Szwedzi w swojej fortecy. Opowiadano potem, że nad grobem często unosiła się jasność wielka, że słychać było śpiewy anielskie, tak, że ci sami, co go zamęczyli, odzywali się ze skruchą: „To prawdziwie był święty Kapucyn“.[2])

[1]) Vie du S. de Dieu ut supra. [2]) Annali Cappuccini V. I.

Hieronim z Korleonu (1717 r.)

Jako nowicjusz, Hieronim słyszał często pochwały dla cnoty posłuszeństwa. O. magister mówił mu, że jest to jedyny sposób oddania się Bogu na całopalną ofiarę, na czem polega profesja zakonna i najlepszy środek naśladowania Pana Jezusa, oraz dojścia do doskonałości. Postanowił więc gorliwie ćwiczyć się w zaparciu swojej woli, aby się stać prawdziwem dzieckiem posłuszeństwa. Nieinaczej, tylko z rozkazu gwardjana, wybrał sobie dar cudów, który mu ofiarowywała Matka Boża, a później znowu zaprzestał ich czynić, a przynajmniej niektórych, kiedy mu ich wzbroniono. Poddawał się nietylko regule serafickiej i konstytucjom, ale i najdrobniejszym zwyczajom i praktykom mniej ważnym na pozór, wiedząc, że głos przełożonych, przepisy reguły i zwyczaje zakonne, to tyleż sposobów poznania woli Bożej. Dlatego też spełniał bez namysłu i bez żadnej zwłoki zarówno wyraźne rozkazy przełożonych, jak i najmniejsze ich polecenia. Co więcej, słuchał ostatniego z braciszków, jeśli ten mówił doń z pewną władzą.

Lecz najbardziej uwydatniła się w nim cnota posłuszeństwa w czasie długoletniej kwesty. Czterdzieści pięć lat świątobliwy zakonnik był kwestarzem, nie przykrząc sobie w tym obowiązku i nie prosząc o żadną zmianę, a jednak cierpiał na podagrę i kamień, osłabiony był ustawicznym upływem krwi i nie mógł nic trawić. Pomimo tylu chorób, jak tylko czuł się zdrowszym, wstawał, brał na siebie sakwy, kij w rękę i obchodził ulice miasta Palermo, a nawet wsie okoliczne. Nie skarżył się, kiedy ramiona jego uginały się pod ciężarem otrzymanych jałmużn; nie szemrał, kiedy przełożeni nakazywali mu kwestować rzeczy niezwyczajne i trudne do znalezienia, wystawiając go przez to na obmowy, zniewagi, a co najmniej na długie poszukiwania; owszem, czuł się szczęśliwym, że mógł opatrzyć braci i zadowolnić przełożonych. Sobie tylko przypisywał winę, ilekroć przywlókłszy się wieczorem do klasztoru, zamiast pochwały ze wszech miar zasłużonej, otrzymywał naganę. Prostota jego kazała mu wierzyć, że zawinił w tem, o co go upominano, przeto odpowiadał z pokorą: „Wybacz mi, Ojcze, dla miłości Bożej, na drugi raz poprawię się“.

Gdy wracał zmęczony, czekała go nowa praca. Palermitanie znali brata Hieronima i wiedzieli o jego cudach, pragnęli zatem, żeby uzdrawiał ich chorych, albo chociaż wypraszał im ulgę w cierpieniu. Kiedy więc, powróciwszy, przedstawiał się gwardjanowi, ten rozkazywał mu iść znowu do miasta, albo i na wieś, leczyć chorych. Hieronim, nie odpocząwszy nawet chwili, udawał się w drogę.

Nie potrzebował rozkazu przełożonego, jedno jego spojrzenie starczyło za słowa: I to nietylko w pierwszych latach zakonnych, ale zawsze, aż do śmierci.[1])

Bł. Marja Magdalena Martinengo (1737 r.)

Będąc młodą, Błogosławiona była charakteru bardzo żywego i gorącego, ale zawsze zwracała na siebie uwagę, starając się hamować. Kierowała sama sobą tak, jak się kieruje młodemi końmi, aby je ułożyć do równego chodu. Nieraz była już obawa, że nie potrafi się powstrzymać; już otwierała usta, aby wybuchnąć, lecz w końcu zawsze odnosiła zwycięstwo, zadając sobie wielki gwałt wewnętrzny, a wtedy wyraz jej twarzy zmieniał się raptownie, ustępując miejsca cichej łagodności. Mówiła ona nieraz swoim córkom duchownym: „Gdyby pełnienie woli własnej miało nas doprowadzić do najwyższej świętości, nie należałoby nam wszakże iść za nią, lecz owszem złożyć z niej ofiarę i dać się, jak dziecko, kierować woli Bożej". Myśl tą towarzyszyła jej stale w ciągu całego życia zakonnego, a głównie od chwili złożenia profesji. Wyrzec się swojej woli, to znaczy, uczynić Bogu dar z jedynego naszego dobra, jakiem jest wolność. Marja Magdalena była niezrównaną w składaniu tej ofiary. „Czyniąc ją, mówiła, doznałam uczucia, że odcinam sobie głowę i biorę ją w rękę, jak to piszą o Ś. Dyonizym, który niósł własną głowę w rękach swoich w ciągu dwóch mil drogi. Weszłam więc do klasztoru z wolą w rękach, złożyłam ją u stóp ołtarza przed krucyfiksem i przybiłam mocno z silnem postanowieniem nigdy jej napowrót nie odbierać. Takie było moje wstąpienie do zakonu, czyli inaczej mówiąc, pogrzeb mojej własnej woli". I dotrzymała przyrzeczenia. Przez cały bowiem ciąg życia zakonnego tak w rzeczach najdrobniejszych, jak i w sprawach wielkiej wagi, nie odebrała Panu Bogu nigdy złożonego daru. Wola jej była zawsze pogrzebana.

Jej posłuszeństwo.

Po ślubach Marja Magdalena oddaną została na trzy lata pod zarząd mistrzyni profesek, surowej Marji Klary. Matka ta, nieubłagana względem samej siebie, nie umiała też trzymać się miary w stosunku do sióstr sobie powierzonych i była prawdziwym postrachem dla profesek. Marja Magdalena przeszła od niej ciężkie próby. Naprzód dano ją do pomocy wszystkim siostrom, będącym przy jakiemkolwiek zajęciu, a mistrzyni wysilała się, aby ten przykry obowiązek uczynić jej jak najprzykrzejszym. Jeżeli więc siostra zamiotła izbę, Matka Marja Klara upuszczała gdzieś nieznacznie trochę śmieci lub okruszyn, a potem czyniła swojej podwładnej głośne i surowe wyrzuty za niedbałą robotę. Jeżeli siostra włożyła drzewo do pieca, Matka korzystając z jej nieobecności, przewracała drzewo, a po przyjściu profeski znów następowały upomnienia i to w formie niezbyt delikatnej. Razu pewnego Marję Magdalenę posłano do ogrodu do sadzenia kapusty. Naturalnie mistrzyni nie opuściła tej okazji, powyrywała w wielu miejscach zasadzoną roślinę, a później przez długi czas obchodziła się z siostrą bez litości, niby karząc ją za niestaranną pracę w ogrodzie. Młoda zakonnica nie traciła nigdy pokoju, powracała z uśmiechem do zamiatania, palenia w piecu i sadzenia kapusty, jakby to wszystko stanowiło dla niej konieczny warunek szczęścia. Doszło raz do tego, że chorej na gorączkę Matka Klara kazała przez kilka godzin trzymać twarz zwróconą do słońca i to bez najmniejszego poruszenia, co Błogosławiona najdokładniej spełniła. Nietylko mistrzyni, ale i towarzyszki często doświadczały cnoty Marji Magdaleny, bynajmniej nie oszczędzając jej cierpliwości, nigdy jednak nie zdołały wyprowadzić jej ze spokoju, ani spłoszyć uśmiechu, który zawsze opromieniał jej oblicze.

Następnie Marja Magdalena została przeznaczoną do pomocy kilku z kolei obedjentkom i słuchała ich wszystkich z taką samą pilnością, jak dawniej Matki mistrzyni, nie pytając wcale, czy były od niej starsze, czy młodsze powołaniem. Posłuszeństwo to zadziwiało towarzyszki, które jednogłośnie wychwalały ją pomiędzy sobą. Zdarzył się wszakże jeden wyjątek. Pewna siostra poczęła się uskarżać, że Marja Magdalena ile razy daną jej zostanie do pomocy w kuchni, zawsze trzyma ją pod swemi rozkazami, odmawia posłuszeństwa i czyni, co jej się podoba. Ta wiadomość wzbudziła ogólne zaciekawienie. Wyjaśniło się też wkrótce, że Marja Magdalena otrzymała rozkaz od przełożonych, aby nie była posłuszną swej zwierzchniczce w celu poprawienia jej z niedbalstwa i nieporządku, nie chcąc zaś tracić okazji do zasługi, nie zdradziła się z otrzymanym rozkazem, tak, iż rozgniewana siostra zaniosła na nią skargę do spowiednika.

Pewnego razu w wyjątkową jakąś uroczystość Opatka zwolniła siostry z postu zakonnego i poleciła przygotować im poczęstunek wieczorem o niezwykłej porze. Błogosławiona przedstawiła Matce, że jej słaby żołądek nie znosi posiłku tak późno, lecz otrzymawszy powtórny rozkaz, natychmiast go spełniła, co później przypłacić musiała zdrowiem.

[1]) Vie du Frére Jerôme de Corleone...

Innym razem przełożona położyła przed nią w refektarzu duży kawał chleba, z poleceniem, aby zjadła cały. Siostra wzięła się natychmiast do jedzenia pomimo zwykłej choroby żołądka, aż nowy rozkaz powstrzymał ją w tej czynności.

Na urzędzie mistrzyni.

Marja Magdalena, będąc mistrzynią, objawiła raz chęć przeczytania żywotu Bł. Marji od Aniołów. Przełożona postarała się o tę książkę u swoich rodziców, ci zaś wręczyli ją spowiednikowi, myśląc, że w ten sposób najprędzej do jej rąk się dostanie. Tymczasem spowiednik z niewiadomej przyczyny zatrzymał książkę dla siebie, a przełożonej wręczył żywot innej Świętej. Wtedy Matka wystarała się o drugi egzemplarz przez swego wuja, lecz mistrzyni, dowiedziawszy się o zamianie uczynionej przez spowiednika, nie chciała nigdy czytać tej książki, nawet gdy już była pod kierunkiem innego kapłana. Następujący szczegół z życia tej Świętej świadczy zarazem o jej wielkiem umartwieniu. Pewnego dnia piekła chleb wraz z nowicjuszkami, biorąc na siebie, jak zwykle, najcięższe zajęcie. Gdy wyczerpane tą pracą już zabierały się do odpoczynku, przyszedł rozkaz od Opatki, aby upiec tegoż dnia drugą jeszcze takąż ilość chleba. Nowicjuszki poczęły szemrać, lecz mistrzyni z radością wzięła się do pracy, jak gdyby nic dotąd nie robiła. Na drugi dzień wypadła spowiedź. Siostra, która opisała ten wypadek, przystąpiła do konfesjonału, lecz pierwszem słowem spowiednika było zapytanie, jak się ma Matka mistrzyni? „Wczoraj cały dzień piekła z nami chleb", odrzekła zapytana. „Czyż być może,—zawołał zdziwiony spowiednik,—a ja zostałem w mieście w tej myśli, że będę pewno na jej pogrzebie". Okazało się, że w wilję tej ciężkiej pracy Marja Magdalena wypadkiem wylała na siebie butelkę kwasu siarczanego, którym się od stóp do głowy poparzyła. Jakież było zdziwienie nowicjuszek, gdy się dowiedziały o bohaterskiem zaparciu swej Matki.

Zatrzymana przez sprawy należące do jej urzędu, Błogosławiona spóźniła się raz do spowiedzi, a oskarżywszy się z tego, jako z winy przed kapłanem, prosiła o naznaczenie pokuty. Spowiednik kazał jej położyć sobie na nodze rozpalone węgle, co też bezzwłocznie uczyniła, nie skarżąc się bynajmniej na tę surowość. Inny spowiednik kazał jej powrócić do pokut nadobowiązkowych, które wykonywała dawniej stale, lecz z powodu słabego zdrowia zmuszoną była ich zaniechać. Święta natychmiast spełniła polecenie, co ją znów naraziło na ciężką chorobę.

W chorobach.

Jej posłuszeństwo w cierpieniach było wprost bezprzykładne. Nowicjuszki odwiedzały ją często i, idąc za popędem serca, dawały jej rady nie oświecone roztropnością. Jedne np. litowały się nad nią, że siedzi w dusznym pokoju i radziły przejść na powietrze. Chora natychmiast dźwigała się na nogi, które ledwo mogły jej służyć i, opierając się o ścianę, szła z największym wysiłkiem na wskazane miejsce. Wkrótce potem drugie, widząc ją w ogrodzie, radziły jej wrócić do domu, aby wiatr lub chłód nie sprowadził pogorszenia w chorobie. Dziękując im serdecznie za rady, Święta znów podnosiła się z miejsca, na które tylko co z wysiłkiem się zawlokła i z uśmiechem na ustach wracała do celi, ponosząc przytem niewypowiedziane cierpienia. Gdy jej radziły brać lekarstwo — brała, gdy inne odradzały — przestawała bez słowa zaprzeczenia. Takie zaparcie wydawało się wprost niezrozumiałem siostrze infirmarce, a chcąc zbadać, czy to było skutkiem cnoty, czy może objawem zaćmienia umysłowego, zapytała raz Matki, dlaczego tak słucha każdego, kto jej cokolwiekbądź zaleci. „Czy nie wiesz, siostro najdroższa, odpowiedziała Święta, co powiedział Pan Jezus: Jeżeli się nie staniecie jako te małe dziatki, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego. Trzeba robić co można, aby się stać im podobną i pocieszam się nadzieją, że mi Pan Bóg udzieli tej łaski". [1])

Bł. Anioł z Akry (1739 r.)

Błogosławiony Anioł w wysokim stopniu posiadał cnotę posłuszeństwa. Nietylko był powolny na skinienie przełożonych, lecz nawet stosował swoje postępki do ich najskrytszych myśli, które cudownie zgadywał. Będąc prowincjałem, poddawał się we wszystkich osobistych okolicznościach rządom gwardjana swego klasztoru, a na misjach chciał we wszystkiem zależeć od towarzyszów lub miejscowych prałatów. Na prywatne nabożeństwa, umartwienia, prace około zbawienia dusz od każdego nowoobranego prowincjała wyraźną brał benedykcję. Pewnego razu, w czasie kapituły prowincjalnej, gdy Anioł już był stary i zasłużony w zgromadzeniu jako dawny prowincjał i wizytator, miejscowy przełożony, powodowany dziwactwem, kazał mu pójść do kuchni zmywać porcyjki. Staruszek pobiegł z najwyższą radością i rozkaz przełożonego najwierniej wypełnił. [1])

[1]) La B. Marie Magdelaine Martinengo, [2]) Żywot Bł. Anioła z Akry przez O. Prokopa, Kap.

Bł. Kryspin z Witerbu (1750 r.)

Święty ten braciszek, widząc, jaką czcią wszyscy otaczają go w Rzymie, prosił przełożonych o zmianę klasztoru. Przeniesiono go do Monte-Rotundo, gdzie potrzebny był ogrodnik, ale gdy wkrótce wybuchła dżuma w Bracciano, Kryspin ofiarował się iść tam, jako infirmarz, ponieważ nie było komu obsługiwać braci chorych. Przełożony nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za życie Kryspina, zostawił to więc do jego woli, nie obowiązując go do tego rozkazem. „Ja nie mam swojej woli, odrzekł Kryspin; wstępując do zakonu, zostawiłem ją w Witerbie, a tu ślubowałem posłuszeństwo, nie robiąc wyjątku ani na czas choroby, ani na chwilę śmierci; proszę cię więc, Ojcze, w imię posłuszeństwa, zrób ze mną, co chcesz, a będę szczęśliwy". Przełożony, zbudowany takiem zaparciem, wysłał go do Bracciano, co bardzo zatrwożyło przyjaciół Świętego. „Nie bójcie się, odpowiedział z uśmiechem, biorę z sobą bardzo bezpieczne lekarstwo, które się zowie posłuszeństwem, ono mnie od wszelkiego złego obroni". Rzeczywiście, doskonały ten zakonnik, przywróciwszy do zdrowia wszystkich chorych w klasztorze, sam wyszedł bez najmniejszej szkody. [1])

Bernard Bokini (Bocchini) (1785 r.)

Ludzie, zajmujący wysokie stanowiska, potrzebują większego jeszcze zaparcia, niż inni, gdyż są zazwyczaj wystawieni na krytykę ludzi pospolitych, którzy nie mogą nawet pojąć ich zamiarów. Biskup Bokini, obdarzony tą cnotą, znajdował się często w takiem położeniu, lecz wszystkie przykrości składał u nóg Chrystusa, a za potwarcę swego zaraz kilka Pozdrowień Anielskich odmawiał, wspominając na obietnicę Pańską: „Odpuść, a będzie ci odpuszczone". Obawiając się skutków porywczości, nie napominał nikogo, choćby najwinniejszego, dopóki zupełnie nie ochłonął z pierwszego wrażenia i nie uspokoił wzburzonego umysłu. [2])

Bł. Feliks z Nikozji (1787 r.)

We wszystkiem, co Pan Bóg z nami czyni lub dozwala, żeby inni z nami czynili, ma na widoku tylko nasze zbawienie. Święci nigdy nie wypuszczają tej prawdy z uwagi i dlatego, znajdując się w najprzykrzejszych nawet warunkach, nietylko wszystko chętnie znoszą, zapierając się swego sądu i woli, ale nawet nie pragną zmiany. Bł. Feliks w ciągu 40-u lat życia zakonnego znajdował się pod rozkazami gwardjana, który obchodził się z nim bez miłosierdzia. Niektórzy więc zakonnicy, chcąc dogodzić ukochanemu bratu, prosili prowincjała, aby gdzieindziej go przeniósł. Nieraz nawet przełożeni zapytywali go, czyby nie życzył sobie zmienić miejsca pobytu, lecz Feliks odpowiadał, że jak we wszystkiem, tak i w tej rzeczy gotów jest spełnić posłuszeństwo, jednakże co do niego samego, wolałby nie rozstawać się z gwardjanem, gdyż zdaje mu się, że pod żadnym innym nie znalazłby tyle korzyści dla duszy. Przyczyny, dla których O. Makary tak postępował z Feliksem są niewiadome, albowiem względem innych braci był łagodny i wyrozumiały, oraz powszechnie uważany za świątobliwego i biegłego kierownika dusz; przypuszczać więc należy, że czynił to z natchnienia Bożego. Prawie zawsze nazywał go świętoszkiem, obłudnikiem, próżniakiem, lub zakałą klasztoru. Przeciążał go najrozmaitszemi zleceniami, często najsprzeczniejszemi między sobą, i prawie niemożebnemi do wykonania, a potem surowo wobec wszystkich go strofował, gdy pomimo najlepszych chęci nie mógł się z nich dokładnie wywiązać. Przy takich nieustannych próbach cnota posłuszeństwa wzrosła w tym bracie do najwyższego stopnia, nic więc dziwnego, że ją Pan Bóg wielkiemi nagradzał cudami.

Przykłady.

Dnia pewnego sługa Boży miał sobie zlecone podlewanie kwiatów w ogrodzie. Przyciągnąwszy beczkę pełną wody, podstawiał pod nią naczynie i zraszał grzędy jedna po drugiej. Lecz gdy, podstawiwszy raz konewkę, usłyszał wołania przełożonego, pobiegł prędko, zapominając zatkać beczki. Gdy załatwił, co mu kazano, wraca do ogrodu i w drodze dopiero przypomina sobie tę nieuwagę. Biegnie więc co tchu, lecz widzi, że smuga wody między beczką a konewką stężała jak kryształ i dopiero za dotknięciem przez Feliksa nanowo płynąć zaczęła.

Innym razem wicekról neapolitański, przejeżdżając przez Nikozję, wstąpił do klasztoru, gdyż chciał poznać brata Feliksa. Braciszek miał mu usługiwać przy stole. Przy końcu obiadu książę zażądał wody do picia, ale prosił, żeby była zimna i świeża; kazano więc Feliksowi iść po nią coprędzej do studni. Błogosławiony począł zaraz szukać odpowiedniego naczynia. Gwardjan, myśląc, że to chodzi o tackę, podał mu koszyk od owoców, który mógł ją zastąpić. Feliks wziął to za rozkaz przełożonego, aby wodę ze studni przyniósł w koszyku. Ani chwili nie wahając się, pobiegł na dziedziniec i,

[1]) L'aur séraph T. II. [2]) Cenni biogr.

ku wielkiemu zdziwieniu obecnych, przyniósł w nim wody, tak, jakby był wyłożony szkłem albo blachą. [1])

Cz. Innocenty z Berzo (1890 r.)

Ten sługa Boży, którego proces beatyfikacyjny już się rozpoczął, przyszedł na świat w małej mieścinie Niardo w Alpach lombardzkich 22 marca 1844 r. Rodzice jego Piotr i Franciszka Skalvinoni, nie mieli wielkiego majątku, ale za to wiele cnót chrześcijańskich. Wkrótce Piotr Skalvinoni umarł, zostawiając ukochanego swego syna pod opieką matki, której polecił, aby go dobrze i religijnie wychowała. Nie trudne to było dla Franciszki, bo chłopczyk od dzieciństwa okazywał naturę łatwą i słodką. Jeszcze noszony na rękach, zatapiał się w niemym zachwycie, a przed wizerunkami Najświętszej Marji Panny i Świętych składał rączęta i zasyłał do nich serdeczne pocałunki. Wobec Najświętszego Sakramentu był również milczący, tylko od czasu do czasu z małych jego piersi wydobywały się długie i gorące westchnienia. Towarzyszów swoich zachęcał, aby się modlili i dzielili z ubogimi. Burmistrz miasteczka Niardo, Poli Kristoforo, oświadczył wyraźnie, gdy go pytano o dziecięce lata tego sługi Bożego, że jeszcze przed dojściem do rozumu pobudzał go do modlitwy i czynienia jałmużny. Inna zaś osoba, godna wiary, oznajmiła, że Jan Skalvinoni nigdy nie był dzieckiem. Łaska uprzedzająca, która jedynie usposabia wolę do czynów z zasługą, przygotowywała go w ten sposób do życia heroicznego. Wpływ łaski stał się jeszcze widoczniejszym z latami. Według świadectw proboszcza, burmistrza i wybitniejszych osobistości w Niardo, którzy widzieli Jana w czasie wakacji szkolnych, był on wzorem chrześcijanina. Rodzice pokazywali go dzieciom, jako przykład chłopca posłusznego i uległego przełożonym, a wzór skromności i skupienia w kościele. Jego charakter otwarty, szczery, zjednywał mu serca towarzyszów, z czego korzystając, prowadził ich przed Najśw. Sakrament i uczył, jak wielbić Boga aktami miłości. Dla chorych i ubogich miał zawsze uśmiech i uprzejmość, dzielił się z nimi swoim posiłkiem. Jednem słowem Jana Skalvinoni uważano jako drugiego Alojzego Gonzagę. Trzeba wszakże przyznać, że nie był on też wolnym od małych namiętności swego wieku. Żywość jego, wybuchająca niekiedy, objawiała gorący charakter; innym razem ulegał pragnieniu otrzymania bądźcobądź zwycięstwa w jakiej sprawie dziecięcej; pokazując przez to energję i siłę woli, umiał jednakże nad sobą panować, a upomniany, przyjmował naganę z z szacunkiem i wdzięcznością.

Jego młodość.

Po kilku latach spędzonych w Niardo, Franciszka Skalvinoni przeniosła się do Berzo, ojczyzny swego męża, gdzie ten miał trochę majątku. Tutaj Janek czas jakiś chodził do szkoły, a później pracował w polu, aczkolwiek niedługo, bo matka, widząc jego zdolności, posłała go do kolegjum. Wkrótce zajął on pierwsze miejsce między uczniami, lecz to wyróżnienie nie osłabiło w nim ducha, owszem, było bodźcem dla doskonalenia się w cnotach. Każdą wolną chwilę obracał on na adorację Najświętszego Sakramentu, tak że, z obawy o zdrowie, musiano go sprowadzać do domu. Zresztą, posłuszny był wszelkim przepisom szkolnym, słodki w obejściu ze starszymi i rówieśnikami, skromny, tak że najmniejsze słowo, niezgadzające się z tą cnotą, sprawiało mu przykrość, i poważny, gdy należało powstrzymać jaką zniewagę względem Pana Boga. Te jednak zalety młodzieńca ściągnęły nań niechęć złych kolegów, którzy odczuwali jego wyższość moralną i duchową. Nie mogąc mu sprostać, upatrywali w jego postępowaniu fałsz i obłudę, a w następstwie nie szczędzili słów obelżywych i przykrości. Zachowało się wspomnienie o dwóch wypadkach. Łóżko Jana Skalvinoni stało w sypialni naprzeciw łóżka jednego z jego prześladowców. Otóż pewnego wieczora uczeń ten, wyczerpawszy już wszystkie przezwiska, jakiemi go częstował, zaczął nań rzucać bucikami, które sobie poprzednio w tym celu nagromadził. Skalvinoni wytrzymał cierpliwie ten grad niespodziewany, a kiedy napastnikowi zabrakło pocisków, podniósł się, pozbierał buciki i postawił przy jego łóżku, żeby nazajutrz oszczędzić mu ich szukania.

Innym razem jeden z kolegów, zaślepiony złością, schwycił Janka i rozciągnąwszy na podłodze między dwoma łóżkami, począł go bić z całych sił. Jest to już we zwyczaju, że uczniowie korzystają z ciemności panujących w sypialniach, aby płatać figle zdala od oczu przełożonych. Lecz tym razem dyrektor dowiedział się o wszystkiem i, wezwawszy Janka, zażądał wyjaśnień, aby ukarać winowajcę. Skalvinoni jednak postąpił sobie, jak Święty: zniewagi sprawiały mu radość. Nietylko więc nie obwinił swego towarzysza, ale, przeciwnie, całkiem go wytłumaczył, biorąc winę na siebie, że to on sam był nieroztropny.

[1]) Żywot Bł. Feliksa z Nikozji przez O. Prok.

W seminarjum.

Ukończywszy kolegjum z odznaczeniem, Jan miał przed sobą otwartą drogę do wszelkich zawodów, nie sięgnął jednak po nic ziemskiego, gdyż pragnął tylko miłości Bożej i aby ją posiąść, wstąpił do seminarjum. Napróżno profesorowie odmawiali go od tego kroku, prosząc, aby został u nich i poświęcił się pracy nauczycielskiej, a obiecując, że mu pomogą w dalszych studjach,—nie dał się do tego nakłonić. Nowi jego przełożeni nie chcieli go bardzo krępować stosowaniem się do życia wspólnego, a to przez wzgląd na jego słabe zdrowie, on jednak czuł się niezadowolonym wobec takich wyjątków i obawiał się zgorszenia dla innych. Przez cały czas jego pobytu w seminarjum zarzucano mu tylko dwie rzeczy, przemawiające raczej na jego korzyść: zanadto wiele pracował i nie korzystał z rozrywek dozwolonych. Wogóle widziano w Janie Skalvinoni materjał na uczonego i świętego, i nie mylono się bynajmniej, gdyż zapał jego, pod tchnieniem łaski, jeszcze się powiększył. Cnoty jego kolegów były dlań bodźcem do dalszego postępu. Czuł się niegodnym żyć w takiem towarzystwie; a lubo miał rywali w naukach, w teologji zajmował pierwsze miejsce, w modlitwie zaś, skupieniu i pobożności wszystkich bez wyjątku wyprzedzał.

Gdy młodzież duchowna urządzała rozprawy polemiczne, z których zazwyczaj niewielka bywa korzyść, ale często niepokój i osłabienie miłości, Skalvinoni, pełen ducha pokoju, unikał tych sprzeczek. Jeżeli zaś który kleryk chciał wiedzieć, co on o danym przedmiocie myśli, odpowiadał krótko: „Nauczyciel tak nam mówił". A kiedy jeszcze dalej nalegano, powtarzał z uśmiechem słowa Pana Jezusa do Marty: „Jedno jest tylko potrzebne" i to jedno w rzeczy samej go obchodziło. Jak para zwycięża bezwładność ciężkich wagonów i unosi je z szybkością, tak myśl o jednej rzeczy koniecznej dawała świątobliwemu klerykowi zwycięstwo nad niższemi żądzami i pomagała krokami olbrzyma biedz ku szczytom doskonałości. Seminarzyści uważali Jana za wzór, według którego powinni się sami urabiać, podziwiali w nim doskonałe zachowanie przepisów i posłuszeństwo każdemu słowu i każdemu życzeniu przełożonych. Temu to zawdzięczyć należy, że został kapłanem, gdy bowiem nadeszła chwila święceń, wymawiał się od nich swoją niegodnością, ale przewodnik jego duszy wpłynął nań, przedstawiając, że taka jest względem niego wola Boża i Skalvinoni poddał się jego orzeczeniu, dnia 2 czerwca 1867 r. w wigilję Zielonych Świątek.[1])

[1]) Annales franciscaines, Mars et Avril 1905.

Zaparcie polskich Braci Mniejszych. Bł. Jan z Dukli, Bernardyn (1484 r.)

Ten Patron ojczyzny naszej musiał się odznaczać bezwarunkowem posłuszeństwem względem swych przełożonych, skoro ono przeszło aż w legendę. Oto co opowiadają do dziś dnia w Galicji i na Rusi Czerwonej. Był on wtedy jeszcze u Franciszkanów (Konwentualnych) w klasztorze krośnieńskim. Przed niewielu dniami wyprosił był sobie, że go zwolniono z gwardjaństwa. Uszczęśliwiony z tego, postanowił nie mieć swej woli, ale w każdej rzeczy pytać o wolę i rozkaz starszych. Dnia pewnego, mając wyjść z Najświętszą Ofiarą, spostrzegł, że gwardjan jest w zakrystji, zwrócił się doń przeto z pokornem pytaniem: „Dokąd, Ojcze, każesz mi iść ze Mszą świętą?" Przełożony, bardzo zajęty czemś, zbył go niecierpliwie: „Do Lwowa"... Jan, jakby w tem słowie nie uważał nic niezwykłego, skłonił się głęboko i z kielichem w ręku przeszedł kościół, wyszedł na ulice miasta, skierował się potem na drogę wiodącą w stronę Lwowa i szybko dążył coraz dalej. Po dobrej godzinie był już w Kombornie, ale mocno znużony. Promienie słońca dogrzewały, uczuł gwałtowne pragnienie, siadł przeto na chwilę opodal gościńca przy źródełku, aby w jego chłodzie orzeźwić się nieco. Wody pić nie śmiał, bo szedł ze Mszą św., wprawdzie daleko... do Lwowa, lecz tam mu iść kazano. Więc tylko przeżegnał źródełko, obmył wodą zeznojone lica i w tej chwili, sam nie wiedząc, we śnie li, czy na jawie, jakiemś potężnem dźwigniony ramieniem, wznosi się w jasne błękity. Cudnej piękności młodzieńcy niosą go w powietrzu;—jakby na skrzydłach wiatru pomyka z nieopisaną szybkością. Tam daleko... u dołu... mija wioski i miasta, płynie ponad góry i rzeki. Czasem i trudno mu dojrzeć, co tam jest w dole, tak szybko go niosą. Raz tylko rozeznał miejscowość, znaną sobie z poprzednich swych podróży. To skromna wioska ruska: Pralkowce pod Przemyślem. Na jej polach ludzie pracowali. Zdumieni jakimś szumem nadpowietrznym, spojrzą w górę, a tam Aniołowie niosą zakonnika we franciszkańskim habicie. Rzucili się na kolana — a Jan z Dukli pobłogosławił im z wysocza. I znowu leci... na skrzydłach anielskich... niestrudzonych a chyżych... mija łany bogate, lasy obfite, pagórki zielone, rzeki wartkie. Już widzi... tam przed sobą jakieś miasto warowne z zamkiem na wyniosłej górze... patrzy bliżej... to dobrze znany mu Lwów. I w tej chwili ręce anielskie stawiają go bezpiecznie na progu kościoła franciszkańskiego we Lwowie. Podróż z Komborni trwała chwilkę tylko. A po tej chwilce Jan z Dukli, posłuszny rozkazowi, otrzymanemu w Krośnie, wyszedł tegoż dnia, tylko

w godzinę później ze Mszą św. we Lwowie. Tak opowiada legenda, lecz może nie wszystko jest tu legendą. Wszak po dziś dzień istnieje źródełko przy drodze krajowej w Komborni, przy którem miał Duklan spoczywać — i wodzie tego źródełka lud okoliczny przypisuje własności lecznicze. Toż samo w Prałkowcach żywą jest wśród ludu tradycja o tem, jak Jana z Dukli ponad tą wioską nieśli Aniołowie, a on błogosławił lud na roli pracujący. I jest w tych Prałkowcach cerkiew ruska z ołtarzem Bł. Jana, który lud ruski ku czci tego Świętego wystawił. Na tę pamiątkę do tej cerkwi wychodziła rok rocznie uroczysta procesja z Przemyśla, pod wodzą jednego z księży wikarjuszów katedry łacińskiej. Dopiero w ostatnich czasach przed paru laty zaprzestano, niewiadomo czemu, tych pielgrzymek. A szkoda, że tej prawiekowej tradycji zerwał się wątek. [1])

Chrystyn Chojecki, Reformat (1678 r.)

Wzgardziwszy światem i sobą samym, Chrystyn zamknął się w ubogim klasztorze Bernardynów, a następnie przeniósł się do Reformy, w r. 1640, aby ściślej jeszcze zachowywać regułę seraficzną. Ćwiczył się głównie w zaparciu swej woli i upodobań, wkrótce więc stał się wzorem doskonałego zakonnika. Miłując posłuszeństwo, nigdy o nic nie prosił, ani też żadnego miejsca lub urzędu sobie nie wybierał, a każde rozporządzenie starszych spełniał z wielką radością. [2])

Augustyn Ostrowski, Ref.

Augustyn Ostrowski, pobożny Reformat, takiem odznaczał się zaparciem, że wśród największych przykrości nikt go nigdy nie widział rozgniewanego; był to dowód, jak umiał panować nad swojem sercem, kiedy żadne zajście go nie wzruszyło. W posłuszeństwie skory i wesoły, nigdy się od niczego nie wymawiał, a chociaż przez dwa lata ciężko chorował na suchoty, nie opuścił ani razu wspólnych modlitw. [3])

Sebastjan Wolicki, Ref. (1730 r.)

Zakonnik ten do żadnej rzeczy doczesnej nie miał przywiązania i nigdy prawie nie wychodził z klasztoru, chyba na rozkaz przełożonych. Gdy był gwardjanem w Zamościu, bracia dali mu znać, że przybył cesarz rosyjski Piotr Wielki i przechadza się po wałach z królem Augustem II w bliskości klasztoru. Lecz gwardjan, nie zaciekawiony wcale widokiem monarchów, zamknął okno w celi, mówiąc: „Dość mi na tem, że Boga mego oglądam".

W starości wypalano mu ciało, wyrywano zęby, przyczem nigdy nie okazał najmniejszego zniecierpliwienia. Raz robiono mu w nodze bolesną operację, podczas której siedział nieporuszony, a widząc, że się nie udała, i że lekarz bardzo był tem zmieszany, rzekł do niego z uśmiechem: „Panie, jeśli trzeba poprawić, to bardzo proszę, róbcie na nowo". Na te słowa zdumiałemu lekarzowi instrumenta z rąk wypadły: „Nie z ciała, rzekł, ale z żelaza musi być złożony ten zakonnik".

W r. 1727, mając obchodzić drugie prymicje kapłańskie, usilnie prosił prowincjała, aby je mógł odprawić nie w kościele, tylko w kaplicy klasztornej: „Na co, ojcze, takiego trupa ludziom pokazywać", rzekł do przełożonego. Jednakże w końcu, zapierając się woli własnej, przystał na życzenie starszych i w dzień S. Jana Ewangelisty, wobec wielkiego napływu wiernych, złotą Mszę odprawił. [1])

Walerjan Kalawski, Ref.

W młodym wieku oddawszy się Panu Bogu, regułę seraficką pilnie i ściśle zachowywał, odznaczając się przytem wielkiem zaparciem, skromnością obyczajów i roztropnością w mowie. Posiadając wysoką naukę, był lektorem filozofji i teologji, oraz gorliwym kaznodzieją. Na urzędzie przełożeńskim słowem i przykładem utrzymywał zakonną obserwancję, łącząc stanowczość z łagodnością. Gdy był przełożonym kustodji i z urzędu musiał iść na kapitułę generalną do Medjolanu, całą tę drogę tam i napowrót odbył pieszo o żebranym chlebie. Dopuszczał Pan Bóg na swego sługę wielkie prześladowania od ludzi, które znosił z nadzwyczajną cierpliwością, a co najważniejsza, nigdy o nich nawet przed starszymi nie wspominał. Komisarz generalny, dowiedziawszy się ubocznie, ile ma przejść bolesnych, o których wcale mu nie mówił, rzekł: „Ten ojciec chyba nie ma serca ludzkiego, ale kamienne i nieczułe".

Dla każdego z braci przystępny, do karania nieskory, w napominaniu łagodny, w ubóstwie wszystkim równy, tym, którzy mu zniewagi wyrządzali, szczególniejszą okazywał miłość. Zaraz po pierwszej kongregacji zachorował na lekką gorączkę, która go powoli niszczyła, wreszcie pożegnał braci po ojcowsku, zostawiając im przykład doskonałego zaparcia siebie. [2])

---

[1]) Bł. Jan z Dukli O. Czesława Bogdalskiego. [2]) Matka ŚŚ. Polska T. IV. [3]) Kal. seraf. 25 marca.

[1]) Matka ŚŚ. Polska. T. III.

Juljan Stroponski, Ref. (1742 r.)

Będąc z natury skłonnym do gniewu, Juljan wyznawał to pokornie i wielki gwałt sobie w tem czynił, aż wreszcie doszedł do wysokiego stopnia zaparcia. Jako mistrz nowicjuszów i gwardjan, wszystkim okazywał miłość, serdeczność i uczynność. Na prośby jego i dla większej zasługi, przypuścił nań Pan Bóg różne krzyże, a mianowicie: bolesne operacje w nodze i w kolanie wzdętem od klęczenia, jak bułka chleba. A choć przytem otworzyły mu się wielkie rany, które zasypywano gryzącemi proszkami, on, wziąwszy w ręce krucyfiks i oczy w niego mając utkwione, znosił wszystko z niezwyciężoną cierpliwością. W ostatnim zaś roku przed śmiercią cierpiał mężnie z weselem ciężki ból w piersiach, przykry kaszel i różne inne choroby. [1])

Walerjan Rzeszowski, Ref.

Walerjan Rzeszowski jaśniał w zakonie wielu cnotami, ale szczególniej pokorą i posłuszeństwem, dla których i najtrudniejsze rozkazy przełożonych z zaparciem swego zdania pilnie wypełniał. Z powodu swej niezwykłej cichości o dwie rzeczy prosił Pana Boga: pierwsza, aby śmierć zastała go przy pracy, a druga, żeby przedłużoną chorobą nie naprzykrzał się braciom. Otrzymał też, o co prosił, gdyż pewnego razu po kazaniu ciężko zachorował i trzeciego już dnia życie zakończył w Zamościu, po czterdziestu latach gorliwej służby Bożej. [2])

Franciszek Grabiński, Ref.

Ten syn Serafickiego Patryarchy przedstawiał na sobie wzór doskonałego zaparcia. Mówił, iż trudniej byłoby mu wykonać jakąś rzecz małą z własnej woli, niż wielką z rozkazu przełożonych. Na modlitwie gorący, w posłuszeństwie pilny, w umartwieniach ciała surowy, unikał wszelkich niekoniecznych stosunków ze światem, obawiając się najlżejszego nawet upadku. Na kilka lat przed śmiercią nie używał nic, tylko trochę ciepłego wina, nieustannie przytem pracując. Pełen cnót i zasług, zmarł w Woźnikach. [3])

Benedykt Chłopicki, Ref.

Benedykt Chłopicki, pochodzenia szlacheckiego, w młodym dość wieku zaczął służbę Bożą w zakonie Ś. Franciszka. Wstąpiwszy do Bernardynów, prowincji Ruskiej, przebył tam czas dłuższy i dla wysokiej nauki i cnót zakonnych wyniesiony był na godność lektora św. teologji. Pragnąc jednak ściślejszych ustaw i większego udoskonalenia, przeniósł się do Reformy. Cnotę pokory i posłuszeństwa wyrobił w sobie w najwyższym stopniu, jaki można na ziemi osiągnąć, zawsze bowiem, pomimo głębokiej wiedzy, zdanie swoje starszym poddawał, ich też rozkazom wszędzie ulegał, nie opierając się na swojej roztropności. Z braćmi unikał wszelkiej sprzeczki, aby miłości nie zadrasnąć, zwłaszcza, kiedy szło o rzeczy wątpliwe i obojętne. Mowa jego była pokorna, szczera i rzetelna. Z klasztoru niechętnie wychodził, bo już nie mógł utrzymać porządku w odprawianiu ćwiczeń. Pokoju wewnętrznego pilnie przestrzegał, dlaczego unikał rozmów ze świeckiemi osobami, a nawet z braćmi zakonnymi i gorąco błagał Pana Boga o łaskę zachowania ścisłego milczenia.

Posłuszeństwem zniewolony, musiał pełnić niektóre urzędy. A że dla anielskiej skromności, umartwienia zmysłów i rozlicznych cnót był ideałem prawdziwego zakonnika, stąd też ciągle prawie mieszkał przy nowicjacie. Pod koniec życia, chociaż bardzo osłabł, nie zwalniał się jednak w pracy, czuwaniu i postach aż do ostatniej chwili, która go zastała w krakowskim klasztorze Ś. Kazimierza. [1])

Jak naśladować Ś. Franciszka w zaparciu.

Człowiek pełen miłości własnej we wszystkiem szuka siebie i swojej wygody i usiłuje na każdym kroku dogodzić swoim skłonnościom; ten zaś, kto dla Boga wyrzekł się miłości własnej przez świętą cnotę zaparcia, na każdym kroku stara się sobie sprzeciwiać. Zapiera się swego zdania, gdy uszanowanie, posłuszeństwo lub miłość tego wymaga i odstępuje od niego, choćby mu się ono słuszniejszem wydawało. Zapiera się swojej woli, gdy wypadnie mu uledz woli starszych, a nawet młodszych od siebie. Zapiera się swoich skłonności, ile razy rzeczy przeciwne go spotykają, albo gdy go pobudzi do tego natchnienie wewnętrzne. Zapiera się swojej wygody, ile razy zostaje wystawionym na jakieś trudności. Zapiera się swoich pragnień, gdy sam Bóg albo ludzie stają mu na przeszkodzie do ich spełnienia. Zapiera się wszystkich uczuć swoich, ile razy miłość Boga lub bliźnich tego wymaga. Z płaczącymi płacze, choć czuje się usposobionym do wesołości, a z weselącymi się weseli,

[1]) Tamże. [2]) Kalendarz Serafický, 13 kwietnia. [3]) Tamże, 18 sierpnia.

[1]) Tamże, 30 września.

chociaż serce jego płacze. Współczuje z cierpiącymi; załatwia chętnie interesa, przyjmuje uprzejmie odwiedziny, jak gdyby czekał na nie, choć spieszno mu do innego zajęcia. Zachowuje się skromnie wtedy nawet, gdy natura skłania się do jakiegoś wolniejszego ułożenia; idzie do stołu nie dlatego, aby głód zaspokoił, albo smakowi dogodził, lecz aby spełnił w tem wolę Bożą i t. p. Słowem, człowiek, pragnący umrzeć sobie, aby żył w Chrystusie, na każdym kroku znajduje sposobność do zwyciężania siebie i postępuje w tem na coraz wyższe stopnie. Na pierwszym stara się znosić wszystkie przeciwności cierpliwie, na drugim z ochotą, a na trzecim szczerze się z nich raduje, jak to Ś. Franciszek czynił i nauczał w rozmowie o prawdziwem weselu.

Jakie pole do tego ćwiczenia otwiera się w życiu wspólnem.

Naśladowca Franciszka, żyjący wspólnie, ma, oprócz reguły pisanej, regułę żywą, której podlega w osobie rządzących nim przełożonych. Tutaj spotykać się on musi z całą nędzą ludzką, z całym nieuniknionym orszakiem wad, niedoskonałości, uprzedzeń, niezrozumienia, niedelikatności i t. p. Ileż okazji do zasług dla tych, którzy, depcząc wszelki wzgląd ludzki i miłość własną, uzbrojeni świętem szaleństwem krzyża, przyjmują w duchu wiary wszystkie trudności i próby, na jakie ich naraża stosunek z przełożonymi. Jeżeli przez cnotę ubóstwa zakonnik wszelką własność swoją poświęca i ofiaruje Bogu, jeżeli przez czystość czyni ofiarę ze swego ciała, to przez posłuszeństwo czyni ofiarę najdoskonalszą ze swojej woli i jej upodobań. Ta ofiara największą przynosi chwałę Bogu, a dla człowieka największą jest zasługą. Posłuszeństwo wyzuwa nas z woli własnej, jak czystość w pewien sposób wyzuwa nas z żądz i chuci cielesnych, jak ubóstwo odrywa nas od posiadania, a przynajmniej od pragnienia dóbr ziemskich. Nie jest-że to wszystko prawdziwem obdarciem duszy, wprowadzeniem serca na pustynię, którą zaludni miłość samego Boga.

Wielką sposobność do ćwiczenia się w zaparciu, a razem do prawdziwego uświątobliwienia, nastręcza zbliżenie się z osobami służącemi Bogu pod tym samym sztandarem Ś. Franciszka. Wiadomo bowiem, że głównym środkiem uświątobliwienia się w zakonach jest życie wspólne. Przyczynia się ono przez współzawodnictwo do rozwoju cnót, i przymnaża zasług przez starcie się różnych usposobień; wyrabia stałe charaktery i formuje mężne zastępy dusz, poświęcających się dla ogólnego dobra. Prawda, że w tem zjednoczeniu się z osobami różnego charakteru, wychowania i t. d. zachodzą pewne trudności i że nieraz trzeba pokonać wstręt naturalny, ale trzeba tu zastosować przysłowie: Co ma prawdziwą wartość, to kosztuje drogo.

Zaparcie siebie jest wszystkim potrzebne.

To zaparcie, które Zbawiciel i Jego naśladowca Franciszek położył za główny warunek każdemu, kto tylko chce być uczniem Jego, jest tak niezbędne dla wszystkich ludzi, iż bez niego życie byłoby niemożliwem. Często bowiem, czy słusznie czy niesłusznie, stajemy w sprzeczności z otaczającemi nas osobami i okolicznościami; jeślibyśmy więc nie potrafili zaprzeć się swego zdania i woli, nie utrzymalibyśmy się nigdy w pokoju. Bez zaprzania siebie nie można być ani dobrym kapłanem, ani dobrym lekarzem, ani dobrą żoną, ani dobrą matką, a tem bardziej dobrym sługą i podwładnym. Dlatego przykład i przepisy Ś. Franciszka są bardzo zbawienne dla wszystkich. Reguła jego ogranicza wolę, trzyma w karbach wybryki natury, kieruje niestałym umysłem ludzkim, wyciąga kroplę po kropli ofiarę całego życia i tym sposobem nastręcza nam sposobność do zwyciężania siebie na każdym kroku. Wymaga ona przedewszystkiem niezłomnego przywiązania do Stolicy Piotrowej, które właśnie jest źródłem chrześcijańskiego zaparcia. Ci, którzy religję powierzchownie tylko biorą, słabo i leniwie do jej praw się stosują. Nie rozwódźmy skarg i żalów nad osłabieniem charakterów, przyznajmy raczej, że brak nam chrześcijańskiego zaparcia i ślepego poddania się pod przepisy Ewangelji i Kościoła.

Szczególniej zaparcie to spełnia się przez posłuszeństwo zakonne. Naśladowcy swojemu, oprócz uległości przykazaniom Bożym i Kościelnym, Ś. Franciszek nakazuje jeszcze posłuszeństwo świętej regule, która bliżej określa względem niego wolę Bożą. Zjednoczony umysłem, sercem i naśladowaniem z Panem Jezusem, Wzorem i Sprawcą wszelkiej świętości, powinien on przyswoić sobie to wołanie Boskiego Serca: „Pokarmem moim jest czynić wolę Ojca mojego. Ja, co Mu się podoba, zawżdy czynię“.

Jak to spełniać mają naśladowcy Franciszka wśród świata.

1. Przedewszystkiem dziecko Ś. Franciszka odznaczać się powinno posłuszeństwem względem rodziców, nauczycieli, małżonka, słowem wszelkiej zwierzchności, w której widzieć ma i szano-

wać władzę Bożą. Jakiż bowiem byłby przewrót, gdyby kto myślał, że, nie będąc zapartym, może zostać świętym! Jakież miałby pojęcie o doskonałości, gdyby, z powodu większego zbliżenia do Boga, przywłaszczał sobie prawo wszystko krytykować, wszystko brać pod swój sąd; gdyby, pomnażając praktyki pobożności, mniej szanował i cenił tych, których sam słuchać ma obowiązek!

2. Powinien wiernie spełniać wszystkie przepisy reguły.

3. Przyjmować z pokorą i uznaniem upomnienia od przełożonych swoich.

4. Zdawać im sprawę, jak zachowuje regułę. Święty Ojciec Franciszek tak wielką do tego przywiązywał wagę, że cały rozdział w regule swojej temu poświęcił. Leon XIII w swej Konstytucji również położył nacisk na konieczność i ważność tych sprawozdań.

5. Wreszcie każda czynność dla prawdziwego naśladowcy Franciszka Ś. jest nową sposobnością do ćwiczenia się w zaparciu. Zawsze bowiem pamiętać powinien, że w każdej sprawie ma postępować jak syn Serafickiego Ojca, a więc: w kupnie, w ubraniu, w jedzeniu, w towarzystwie, w zabawach i rozrywkach, przy pracy, w cierpieniu, w pociechach, w zdrowiu, w chorobie, w pomyślności, w przeciwnościach. Jeżeli w każdem położeniu wierny jest przepisom reguły świętej, przez to ciągłe praktykowanie zaparcia stanie się doskonałym chrześcijaninem, bez przygany w oczach Boga i ludzi. Zaiste, zakon Ś. Franciszka jest najskuteczniejszym, a zarazem najłatwiejszym środkiem uświęcenia! Oby ci ostrożni katolicy, lękający się 3-go zakonu, który chce ich tylko udoskonalić i uświęcić, nie gardzili tak skutecznym i łatwym środkiem!

Niech się nikt nie zraża wadami niektórych jego członków; niech nie posądza całej instytucji wskutek nieroztropnej pobożności pojedyńczych osób, lecz niech takim widzi ten zakon, jakim on wyszedł z myśli i z serca Ś. Franciszka, jako pełność i doskonałość ducha chrześcijańskiego, czyli ducha miłości, ducha ewangelicznego we właściwej mu pokorze, prostocie i pokucie, ducha katolickiego, ogarniającego świat cały w jedności z Najwyższym Pasterzem, a wreszcie ducha parafjalnego w uległości i przywiązaniu względem miejscowych proboszczów, którzy węzłem prawowitej władzy łączą dusze z Kościołem.

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej. O potrzebie umartwienia wewnętrznego.

Zaprzanie siebie jest to samo co umartwienie, a mianowicie umartwienie wewnętrzne. Zależy ono na powściąganiu złych nałogów, skłonności i uczuć serca, tudzież władz duszy. Co do pierwszego, ponieważ złe nałogi zakorzeniły się w sercu przez powtarzanie upadków, należy więc przedewszystkiem wziąć się do pracy nad ich wyniszczeniem. A że siedem grzechów głównych są jakby korzeniami wszystkich innych wad naszych, więc przeciw nim zaraz od początku nawrócenia walkę rozpocząć mamy, bo, wykorzeniwszy je, wytępimy przez to samo nasiona innych złych skłonności, które są w nich zawarte.

Co do żądz i uczuć serca, wiedzieć należy, że one nie są złe same w sobie, bo wszystkie dane są człowiekowi, aby ułatwiały obowiązek służby Bożej, o ile będą obracane do właściwego celu. Póki człowiek trwał w pierwotnej sprawiedliwości, póki jego rozum i wola były posłuszne Bogu, wtedy nietylko uczucia serca, ale i żądze zmysłowe poddane były rozumowi i woli. Lecz za karę grzechu pierworodnego powstała w człowieku walka ciała przeciw duchowi i żądzy zmysłowej przeciwko żądzy rozumnej. Żądza zmysłowa pragnie tylko rzeczy przyjemnych ciału, jakiemi np. są rozkosze cielesne, obżarstwo i nieczystość, bogactwa, zaszczyty, wygody, interes własny; nie chce ona iść, jedno za swojem zdaniem, za swoją wolą, aby tylko ciału dobrze było.

Żądza zaś rozumna pragnie dobra prawdziwego, spełniania rozkazów Boga i przełożonych, wyrzeczenia się rozkoszy, bogactw i zaszczytów, chce kochać Boga, nienawidzieć siebie, iść za cudzem zdaniem i wolą. Otóż między temi dwiema żądzami toczy się ustawiczna walka aż do śmierci i zawsze jedna lub druga zwycięża.

Namiętności nieporządne umartwiać należy.

Stąd wynika obowiązek zwalczania przez całe życie żądz cielesnych, jak mówi Pismo Święte: Nie chodź za pożądliwościami twemi [1]). Pożądliwości ciała nie wypełniajcie [2]). Albowiem jeśli podług ciała żyć będziecie, pomrzecie: ale jeśli duchem sprawy ciała umartwicie, żyć będziecie [3]). „Wypada przeto, mówi Święty Bernard, powściągać żądze, których ugasić zupełnie nie możemy“ [4]). A przyczynę tego podaje Gerson: „Z namiętności rodzą się złe nałogi i grzechy, są to bowiem jakby powrozy, które pociągają człowieka związanego w jedną lub w drugą stronę; jakby iskry, któremi się rozgrzewamy i zapalamy; jak ostrogi, które nas bodą i uciskają; jakby nerwy, które czasem powściągamy, czasem rozszerzamy; — jak wiatry, przez

[1]) Eccli. 18, 30. [2]) Gal. 5, 16. [3]) Rom. 8, 13. [4]) Serm. de trip gen. cogit.

które umysł nasz, gdyby morze wzburzone, ustawicznie jest miotany; jak gwoździe, któremi nędzny człowiek bywa przebodzony; wreszcie, jakby chmury, któremi umysł i rozum bywa zaćmiony“ [1]).

Sposób umartwiania namiętności.

Najroztropniejszy sposób umartwiania namiętności, według Jana od Jezusa i Marji [2]), jest ten, gdy je odwracamy od rzeczy doczesnych, ziemskich i niebezpiecznych, a obracamy do rzeczy niebieskich, wiecznych i pożytecznych, to jest, gdy je kierujemy do tych rzeczy, do jakich Bóg nam ich udzielił. I tak: miłość należy miarkować, aby nas pociągała nie do osób światowych i rzeczy próżnych, ale do Boga, do kochania bliźniego dla Boga i do miłowania cnoty. Pożądanie czyli pragnienie kierować należy nie do ziemskich dostatków, wygód, chwały i przyjemności, ale do rzeczy potrzebnych duszy albo użytecznych ciału ze względu na wieczne zbawienie, a więc pragnąć mamy łaski Bożej, postępu duchownego, cnót chrześcijańskich i oglądania Boga w niebie. Radość należy tak miarkować, abyśmy się weselili z Boga i Jego doskonałości, z Jego chwały i z dobra bliźnich naszych, nie zaś z powodzenia na ziemi, z pochwał ludzkich lub z przyjemności cielesnych. Nienawiść nie do nieprzyjaciół naszych i przeciwności ziemskich, ale do grzechu jedynie obracajmy. Wstręt nie do krzyżów, prześladowań i cierpień ciała, ale do okazji grzesznych, do złych towarzystw lub rozmów niech zmierza. Smucić się mamy ze swoich i cudzych grzechów, jako z obrazy dobrego Boga, nie zaś z niepowodzeń doczesnych, cierpień lub śmierci drogich nam osób. Nadzieja niech nie będzie zwracana do rzeczy przemijających i do szczęścia ziemskiego, ale do łask i pomocy duchownych, oraz do nagród wiekuistych. Odwaga nie powinna się porywać na zajęcia niebezpieczne i przechodzące siły, albo też ściągające próżną chwałę świata, ale na rzeczy trudne według woli Bożej i dla Jego chwały podejmowane, na stawianie mężnego oporu pokusom, na śmiałą obronę wiary, zapobieganie grzechom, strofowanie i karanie przestępców. Rozpaczać nie należy o łasce Bożej, o zbawieniu wiecznem, o zdobyciu środków, które do niego prowadzą, ale nie ufać swoim zdolnościom i sile, i nigdy się na sobie nie opierać. Bać się należy Boga, który może dusze i ciało wtrącić do piekła, jak również grzechu i wszelkiej obrazy Bożej, lecz nie potrzeba obawiać się przeciwności tego świata, albo niesławy, choroby lub śmierci. Gniew tak miarkować wypada, aby się nie oburzać o własną krzywdę, ale o obrazę Boską i strzedz się przesady w gniewaniu się o rzeczy małe, oraz w sposobie okazywania gniewu, nie używając nigdy słów obelżywych, nie dopuszczając do serca uczuć nienawiści lub zemsty.

Umartwianie władz duszy: pamięci.

I w wyższej części duszy, to jest w pamięci, rozumie i woli również pewne nieporządki się zdarzają; np. w pamięci próżne i nieużyteczne myśli, w rozumie zdania błędne, w woli zachcenia zmysłowe, a więc i te wszystkie władze umartwiać potrzeba.

Pamięć jest to władza duszy, przez którą możemy przywodzić do umysłu wyobrażenia rzeczy minionych. Pamięć wspomagana bywa przez wyobraźnię, która nam przedstawia nanowo widoki rzeczy poznanych dawniej za pomocą zmysłów. Otóż te władze należy umartwiać, strzegąc się myśli złych, próżnych, i nieużytecznych według słów Pisma Świętego: Wszelaką strażą strzeż serca twego, bo z niego żywot przychodzi [1]). Tłumacząc te słowa, Ś. Bernard mówi, że trojakiego rodzaju są myśli, których pilnie trzeba się chronić, jeśli kto chce w duszy swojej godny przybytek Bogu zgotować. Pierwsze, to myśli próżne, które jako zwyczajne błoto otrząsnąć się dają. Inne są gwałtowne, silniej przylegające, które dotyczą potrzeb ciała, np. jedzenia, picia, i t. d. Te, jak smołę, odrywać należy, choć całkowicie oderwać się nie dadzą. Ostatnie wreszcie są nieczyste i przebrzydłe, np. lubieżne, zazdrosne, pyszne, które jak cuchnący gnój, skoro woń ich zaleci, jak najprędzej i najusilniej z pomocą Boską trzeba odrzucać. [2])

Nietylko jednak przez myśli grzeszne, lecz i przez niepożyteczne, a nieusuwane z pamięci, czas próżno tracimy, marnujemy wiele łask, dobrych uczynków i zasług, i wiele grzechów popełniamy. Zawsze przeto o czemś pożytecznem myśleć należy; czy to przebiegać przedmiot rozmyślania, czy to zasyłać do Boga modlitwy strzeliste, albo westchnienia za ojczyzną niebieską, czy też rozważać inne rzeczy Boskie i pomocne do zbawienia. Zawsze więc pamięć naszą sam Bóg niech zajmuje, zawsze Go tam obecnego winniśmy znajdować, albowiem nic nad to godniejszego, doskonalszego, piękniejszego, i miłośniejszego myśleć nie możemy.

---

[1]) Tract. de Pas., cons. 8. [2]) Instr. nov., c. 3.

[1]) Prov. 4, 32. [2]) Serm. 31 de trip. gen. cog.

Umartwianie rozumu.

Rozum, choć obdarzony od Boga wielu darami, jakiemi są: uwaga, pojmowanie, rozważanie, obmyślanie, rozumowanie, sądzenie, dowcip, bystrość, głębokość i t. p. również jednak przez grzech pierworodny odniósł właściwą sobie ranę, która się objawia w niewiadomości i ciekawości. Wynika stąd wiele wad i upadków, które się głównie w przywiązaniu do własnego sądu streszczają. A własne zdanie zależy na tem, że ktoś polega na własnym rozumie, bez względu na pierwszą zasadę moralności, jaką jest w każdej rzeczy sąd Boga i Kościoła, tudzież orzeczenie starszych lub uczonych.

Należy więc umartwiać rozum przez zaparcie własnego zdania. Tak bowiem rozkazuje Pismo Święte: Nie polegaj na roztropności swojej [1]). W niewolę podbijając wszelki rozum pod posłuszeństwo Chrystusowe [2]). Tych, którzy idą za swojem zdaniem, Ś. Bernard porównywa do zarażonych trądem nieuleczalnym, gdyż tak są zatwardziali w swoich błędach, że żadnych rad od nikogo nie przyjmują.

Potrzeba tego umartwienia okazuje się doskonale w skutkach. Upór przy własnem zdaniu wywołał w Kościele wszystkie herezje, w życiu pojedyńczych osób rozmaite złudzenia, a w społeczeństwach zepsucie obyczajów, będące zawsze skutkiem pychy i zarozumiałości; wszystkie więc błędy, wynikające z tego uporu, choćby się wydawały dowiedzionemi prawdami, poczytują się za winę, z której nie można być wymówionym.

Jak umartwiać rozum.

1. Modląc się, aby go Pan Bóg nadprzyrodzonem światłem wiary, umiejętności, roztropności, rady i mądrości oświecać, kierować i rządzić raczył.

2. Strzedz go od niewiadomości prawd koniecznych i pożytecznych, ucząc się rzeczy niezbędnych do zbawienia, trzymając się zasad wiary, t. j. tego, co nam Bóg objawił i przez Kościół do wierzenia podał, tudzież prawideł roztropności i zdania ludzi pobożnych i doświadczonych

3. Strzedz go należy od ciekawości, aby nie chcieć więcej wiedzieć nad to, co jest konieczne do zbawienia, do nabycia cnót i do doskonałego spełniania naszych obowiązków.

4. Chcąc, aby rozum nasz sprawiedliwie sądził o dobroci lub niegodziwości jakiego czynu, potrzeba usunąć na bok wszelkie uprzednie skłonności własnej woli i rozważyć tę sprawę według woli Bożej i według prawideł wiary i obyczajów, aby przez wpływ żądzy zmysłowej sąd nasz nie został zaćmionym i zaślepionym i bezzasadnie na jaką stronę się nie nakłaniał.

Kiedy zdania uczonych, przeciwne sobie, posiadają jednakową powagę, Alwarez de Paz pisze, że nie jest wtedy winą skłaniać się więcej do jednego niż do drugiego, gdyż oba jednakowo zbliżone są do prawdy [1]).

Rany woli.

Teologowie mistyczni dzielą władze woli na trzy części: Pierwsza, zwana najwyższą, idzie za wskazówką umysłu objaśnionego od Boga: ta wola nie ulega nigdy skażeniu. Pośrednia część woli jest żądzą rozumną. Wreszcie najniższa jest żądzą zmysłową i do niej odnoszą się wszystkie popędy zwierzęce, pożądliwości, uczucia i namiętności. O umartwieniu tej części najniższej już mówiliśmy, pozostaje więc tylko powiedzieć o umartwieniu żądzy rozumnej, czyli woli pośredniej, która głównie przez nieumiarkowaną miłość własną błądzić może. Ta nieporządna skłonność duszy, przez którą dąży ona do swego uczczenia, o ile jest w woli naszej, zowie się wolą własną, o ile zaś w uczuciu — miłością własną. Ten posiada miłość własną, mówi Ś. Bazyli, kto kocha siebie miłością osobistą, nieumiarkowaną [2]). A Ś. Bernard tak się wyraża: „Wolą własną nazywam tę, która nie ma nic wspólnego z Bogiem i ludźmi, ale siebie tylko ma na celu; gdy to, co chcemy, nie odnosi się ani do czci Bożej, ani do pożytku braci, ale do nas samych; gdy nie myślimy o tem, aby podobać się Bogu, lub być pożytecznymi ludziom, ale by zadośćuczynić popędom własnej duszy. [3]).

Potrzeba umartwienia woli.

Wolę naszą należy umartwiać przez zaparcie własnej miłości i własnej woli. Pismo Święte bardzo ciężkie następstwa tej woli przypisuje: Oto w dzień postu waszego znajduje się wola wasza [4]). Stąd mówi Ś. Bernard: „Wielkiem złem jest wola własna, gdy przez nią nawet dobra twoje przestają być dobrami, bo i post niepożytecznym ci się staje“ [5]). I Ś. Tomasz uważa ją za źródło wszystkiego złego: „Korzeniem zaś wszelkiej nieprawości jest miłość własna“ [6]). Przeciwnie, Pan Bóg obiecuje wielkie dobra tym, którzy się woli swej za-

[1]) Prov. 3, 5. [2]) 2, Cor. 10, 5.

[1]) De Vit. spir., l. 2, p. 3, c. 10. [2]) Reg. cres. inter 54. [3]) Serm. 3. de Resur. [4]) Is. 58, 3. [5]) Serm. 71 in Cant. [6]) Lect. 1.

pierają: „Gdy uczcisz mnie, nie czyniąc dróg swoich, ani się najdzie wola twoja, żebyś miał mówić wolę, tedy się będziesz rozkoszował w Panu i wyniosę cię na wysokości ziemi“ [1]).

Ś. Augustyn mówi: „Dwie miłości uczyniły dwa miasta: miasto ziemskie wzniosła miłość własna, posunięta aż do zaparcia się miłości Bożej, a niebieskie — zbudowała miłość Boża, wzniesiona aż do zaparcia samej siebie“ [2]). Istotnie te tylko dwa miasta czyli obozy, znajdują się na świecie. Należący do pierwszego czynią wszystko z miłości własnej, a więc rzeczy marne, niskie, a często i grzeszne. Drugich zaś czyny pochodzą z zaparcia i z miłości Bożej, są więc święte i zasługujące na wieczną zapłatę. Na innem miejscu mówi tenże Doktor: „Jeżeli miłość własna człowieka gubi, to zaparcie go odnajduje, albowiem kochać siebie, jest to chcieć pełnić wolę swoją, a przekładać nad nią wolę Bożą, to znaczy nienawidzieć siebie, a raczej prawdziwie się miłować“ [3]). Ś. Bernard podobnie się odzywa: „Czegoż Bóg nienawidzi, lub za co karze? Tylko za wolę naszą. Niech zginie wola nasza, a piekło przestanie istnieć. Nad czem bowiem ogień się pastwi, jeżeli nie nad własną wolą?“ [4]). Wreszcie Efrem Ś. powiada: „O tyle postąpisz w cnotach, o ile poskromisz wolę własną“ [5]). Przyczynę tego objaśnia Ś. Anzelm, mówiąc, że Boska tylko wola jest regułą wszelkiego dobra, gdy przeto stworzenie uważa wolę swoją za regułę postępowania, wtedy zdziera jakoby koronę z głowy Najwyższego. Nie jesteśmy stworzeni dla siebie, ani dla własnej wygody, ani dla robienia, co nam się podoba, ale dla Boga, jako początku i końca naszego, do Jego więc upodobania wszystko odnosić i do Jego woli we wszystkiem stosować się powinniśmy. Tak postępując, nietylko Boga, ale i siebie samych prawdziwie kochamy, bo zbieramy sobie przez to zasługi na życie wieczne.

[1]) Serm 58, 23. [2]) L. 15 de Civ. Dei. c. 28. [3]) Serm. 47 de Diver. [4]) Serm. 3, de Resur, [5]) Opusc de Vit spir, c. 12.

Stopnie zaparcia woli własnej.

Wiele więc zależy na tem, abyśmy własne zdanie i własną wolę przez zaparcie Bogu na ofiarę składali. Mistycy oznaczają trzy stopnie tego zaparcia. Pierwszy streszcza się w tem, abyśmy zdanie nasze poddali rozporządzeniu Bożemu, objawionemu przez pośrednictwo przełożonych, tak w intencji, jako i w wiernem wykonaniu, uważając za dobre dla duszy naszej wszystko, co nam zostanie polecone, byle nie było jawnym grzechem.

Drugi stopień stanowi to, gdy zapieramy się naszej woli w dobrych nawet uczynkach nadobowiązkowych, jak np. w modlitwach i postach, nie chcąc ich czynić bez uznania tego, kto miejsce Boga nam zastępuje i w Jego Imieniu duszą naszą rządzi.

Trzeci stopień zaparcia okazuje się w wielkiej, a świętej obojętności czyli gotowości woli, nie chcącej i nie pragnącej nic zgoła, oprócz woli Bożej we wszystkiem. Taka bowiem obojętność okazuje najczystszą intencję, nieszukającą własnego interesu ani duchownego, ani doczesnego, ale tylko jednej chwały Bożej. Kto do tego stopnia zaparcia się wznosi, ten oddaje Bogu nietylko owoce dobrych uczynków, ale nadto całe drzewo z korzeniem (którym jest rozum) i z pniem (którym jest wola). W tem jest źródło wewnętrznego pokoju, to cel pokut zewnętrznych, to objaw najlepszy umartwienia namiętności, to streszczona droga do doskonałości, na której dusza przez jeden rok dalej postąpi, niż przez dziesięć lat pokut cielesnych, jeżeli je według własnej woli obiera. [5])

[1]) Godinez. Proc. Theol. myst. l. 1, c. 114.

Popiersie Ś. Franciszka przez G. Dupré, Wiek XVII.

ROZDZIAŁ VII.

Duch seraficzny jest duchem najwyższego ubóstwa.

Największą ozdobą serafickiego ducha jest ubóstwo ewangeliczne, bo jakkolwiek inne jego cechy mogą się znaleźć w Świętych Pańskich, pod tym wszakże względem żaden Franciszkowi nie dorównał.

Jakie było ubóstwo Franciszka Świętego.

Ten mąż seraficki uczył się wszystkich cnót od samego Zbawiciela, a więc i cnoty ubóstwa. W życiu Pana Jezusa ubóstwo uderzyło go najbardziej. Przykład Boga, Króla Aniołów i świata całego, leżącego na słomie w żłobku betleemskim, drżącego od zimna — Boga, zlanego potem w warsztacie nazaretańskim, Boga, niemającego kędy głowy skłonić, Boga, odartego z ostatniej sukni i wiszącego na krzyżu, Boga, w cudzym złożonego grobie, porywał go, zachwycał, pociągał jakąś siłą niezwyciężoną. Ubóstwo, ta nieodstępna towarzyszka Jezusa, stała się przedmiotem niezwyciężonej, namiętnej, szalonej niejako miłości jego. O ubóstwie najchętniej rozmawiał, o niem marzył, śnił o niem, z niem się pieścił, do niego wzdychał, pragnął go bardziej, niż skąpiec złota, niż ludzie szczęścia i dostatków. Z ubóstwem uroczyście się zaślubił, ubóstwo, Oblubienicą swoją, ukochaną swoją, najpiękniejszą swoją, Panią serca swego nazywał, ubóstwa nigdy mu nie było dosyć i jeśli czego komu zazdrościł, to tylko ubóstwa. Znany jest przykład z jego życia, jak się zalał łzami na widok żebraka, którego uznał za uboższego od siebie. Aby naśladować Bóskiego Mistrza swego, on, syn bogatego kupca, staje się żebrakiem, grubą siermięgą odziany, idzie w świat, nie chce mieć dachu nad głową, ani kąta własnego, gdzieby mógł głowę skłonić. Wyżebrane resztki jadła, to dla niego cząstka królewska, to stół anielski, to uczta niebiańska. Chłód, zimno, niedostatek, brak rzeczy koniecznych, to jego rozkosze, pociechy; czuje się wtedy bliższym Boskiego Oblubieńca swego, z większą jeszcze radością, miłością, ufnością powtarza ulubiony swój akt strzelisty: „Bóg mój i wszystko! Bóg moja cząstka jedyna!“ Na ubóstwie ostatecznem i bezwzględnem opiera swój zakon, ubóstwo za fundament jego uważa, ubóstwo w serca braci swoich chce wrazić, ubóstwem pragnie, by się najbardziej odznaczali, ubóstwo przykładem i słowem wszędzie głosi, staje się apostołem ubóstwa i Patryarchą ubogich.

Dwojakie zadanie z tego względu Franciszka S.

Przewodnią myślą Franciszka było utworzyć zgromadzenie, któreby, wskrzeszając pierwotne obyczaje Kościoła, zachowywało zupełne i bezwa-

runkowe ubóstwo. Stąd dwojaki cel i dwojaka działalność. Różnorodne a nieustanne potrzeby życia zrodziły w ludziach wzrastającą skłonność do używania i nadużywania dóbr doczesnych, do nadmiernego troszczenia się, do obmyślania i zbierania na przyszłość środków i sposobów, miarę potrzeby przewyższających. Z jednej strony więc nasamprzód należało stanowczo odrzucić te zbytki, te troski, słowem wszystko, cokolwiek zowie się majętnością i bogactwem. Lecz z drugiej strony, żądając od ludzi tych ofiar zewnętrznych i to ofiar dla natury tak ciężkich, potrzeba było ich podnieść wewnętrznie; bo żaden człowiek, a tem bardziej żadne zgromadzenie ludzi nie może żyć samem tylko ubóstwem i głodem. Wzamian za dostatek ziemski potrzeba mu, aby żyć mogło, pokarmu duchownego, ideału wewnętrznego, któryby mu był podporą, umocnieniem i pociechą. Drugą tedy powinnością założyciela było wlewać w swoich uczniów miłość stanu i powołania swego, by ubóstwo samo przez się i dlatego samego, że jest ubóstwem, było im czcigodnem, pożądanem i drogiem. Obaczmy, w jaki sposób osiągnął Franciszek ten dwojaki cel tak wysoki, takiej niezachwianej siły woli, tak mężnej wytrwałości wymagający.[1])

Jak zalecał ubóstwo w regule.

Zachęcając synow swoich, by się do żadnej rzeczy nie przywiązywali, mówi: „Tać to jest ona szczytność najwyższego ubóstwa, które was, najmilsi bracia moi, dziedzicami i królami królestwa niebieskiego postanowiło, ubogimi w rzeczach uczyniło, a natomiast cnotami wywyższyło. To niech będzie cząstką waszą jedyną, która przywodzi do ziemi żyjących, do której, najukochańsi bracia, sercem całem przylegając, nic innego dla Imienia Pana naszego Jezusa Chrystusa na wieki pod niebem mieć nie chciejcie!“

Dlaczego nazywa je ubóstwem największem.

Dla zrozumienia tego trzeba wiedzieć, że cnota ubóstwa może być w różny sposób praktykowaną i że w różnym stopniu zobowiązywać się do niej można. Świeccy ludzie mogą ją praktykować: 1) przez oderwanie serca od tego, co posiadają i czego używają, choćby to było przy wielkiej obfitości; 2) przez ograniczenie się pewne w używaniu; 3) przez cierpliwe znoszenie niedostatku; 4) przez pochotne znoszenie swego ubóstwa; 5) przez pozbycie się w części lub w całości mienia swego na korzyść ubogich.

[1]) Młodość Ś. Franciszka. s. 206.

Dusze zakonne mogą również w różnym stopniu ślubować ubóstwo: 1) przez ograniczenie się umiarkowane lub ścisłe w używaniu rzeczy doczesnych, wyrzekając się pewnych wygód, jakie miały na świecie; 2) przez zależność w użyciu rzeczy posiadanych bez wyrzekania się ich własności, to jest używając i szafując swojem mieniem tylko za wiedzą przełożonych; 3) przez wyrzeczenie się własności osobistej każdego zakonnika, zachowując jednak wspólną własność zgromadzenia; 4) przez wyrzeczenie się własności ogólnej tak, żeby i zgromadzeniu nie wolno było nic posiadać, tylko żeby mieć dozwolony użytek z rzeczy mu ofiarowanych; 5) przez zobowiązanie się przy takiem ubóstwie do żebraniny, jeżeli z pracy rąk utrzymania dostatecznegoby nie było; 6) wreszcie przez zabronienie sobie używania pieniędzy, same tylko rzeczy w naturze ofiarowane przyjmując.

Różne zgromadzenia zakonne w różny sposób to ubóstwo zachowują. Ubóstwo w zakonie Braci Mniejszych może się zwać najwyższem, bo zawiera w sobie to wszystko, co widzimy w innych, a nadto wszystkie inne przechodzi, sięgając do najwyższego stopnia. Wymaga ono nietylko doskonałego oderwania serca od wszystkich rzeczy stworzonych, ale i rozdania wszystkiego ubogim,—nietylko zależności w użyciu każdej rzeczy, choćby najmniejszej, ale wyzbycia się wszelkiej własności, zarówno osobistej, jak i ogólnej, a prócz tego obowiązuje do żebraniny i nie pozwala na przyjmowanie pieniędzy.

Jaki sposób utrzymania przepisuje.

Obwarowawszy zaś w ten sposób najwyższe jakie być może ubóstwo, Franciszek wymaga, aby jego synowie nic innego nie mogli otrzymywać, ani wyżebrywać, tylko rzeczy w naturze potrzebne do życia. „Ci bracia, mówi rozdział piąty, którym Pan dał łaskę, iż mogą pracować, (to jest, którzy posiadają jakie rzemiosło lub do innej jakiej roboty są uzdolnieni) niech pracują wiernie i nabożnie tak, aby oddaliwszy nieprzyjaciela duszy, t. j. próżnowanie, nie gasili w sobie ducha świętej modlitwy i pobożności, której wszystkie inne rzeczy doczesne służyć powinny. Jako zaś wynagrodzenie za pracę dla siebie i braci swoich, niech przyjmują co należy do zaspokojenia potrzeb ciała, oprócz monety albo pieniędzy i to pokornie (to jest, nie spierając się o cenę nagrody), jak przystoi sługom Bożym i wyznawcom najwyższego ubóstwa“.

To się tyczy pracy, która służyć ma za jeden ze środków utrzymania. A co do drugiego, to jest do proszenia jałmużny, czytamy w rozdziale szó-

stym: „Bracia, jako przechodnie i pielgrzymi na tym świecie, w ubóstwie i pokorze Panu służąc, niech idą po jałmużnę z ufnością. A niech się tego nie wstydzą, boć i Pan dla nas stał się ubogim na tym świecie i żył z ofiar wiernych".

Inne przepisy reguły, tyczące się ubóstwa.

„Zapewniwszy w ten sposób raz na zawsze skarb najwyższego ubóstwa całemu swemu zakonowi, Święty Patryarcha zstępuje w innych rozdziałach do szczegółów, obwarowujących takowe w pojedyńczych zakonnikach i tu właśnie wymaga takiego ubóstwa, jakie tylko natura ludzka znieść może. I tak: odzienie Brata Mniejszego zarówno zimą jak latem stanowi habit z sukna najprostszego, grubego, jakiem się przyodziewają najbiedniejsi ludzie, przepasany prostym konopnym powrozem. Słabym, a szczególniej w zimie, dozwolona jest i druga suknia, także gruba wełniana, noszona pod habitem, peleryna krótka, zastępująca płaszcz i zgoła nic więcej, a przeto żadnej bielizny. Chorym tylko braciom, albo w razie innej jakiej potrzeby, np. wielkiego zimna i śniegu, wolno używać obuwia, zresztą zawsze boso chodzić powinni. Podróżować mogą pieszo, wyjąwszy także chorych, lub jakiej nagłej, a ważnej i koniecznej potrzeby. Słowem reguła chce nietylko, aby Brat Mniejszy był ubogi duchem przez wyrzeczenie się wszelkiej własności i nieużywanie niczego bez woli przełożonych, lecz nawet, aby i przełożony nie mógł go upoważnić do przestania być rzeczywiście ubogim, ze wszelkiemi przywiązanemi do ubóstwa przykrościami i umartwieniami, tak w odzieniu i obuwiu, jak i w sposobie podróżowania.

Mieszkanie braci, wymaga Święty, aby również było najuboższe i nie dozwala przyjmować klasztorów, któreby w czemkolwiek najwyższemu ubóstwu się sprzeciwiały. Nakazuje nawet, aby kościoły braci, w których przebywa Bóg żywy w Najświętszym Sakramencie Ołtarza, będąc utrzymane w największem ochędóstwie, jaśniały obok tego i ubóstwem właściwem zakonowi.

Co do wyżywienia, które jest pierwszem wśród potrzeb doczesnych człowieka i dlatego najwięcej wyróżnia sposób życia możniejszych od ubogich, Święty Prawodawca i w tem, jak we wszystkiem do przepisów Ewangelji wiernie i co do słowa się zastosował. Stanowiąc braciom za jedyny sposób utrzymania nagrodę, odbieraną za pracę w przedmiotach i wypraszanie takowych w jałmużnie, nie mógł im określić rodzaju pokarmów, jakich mają używać, jak żaden ubogi żebrak lub wyrobnik określać go sobie nie może. Przepisawszy tedy różne prócz kościelnych, posty, reguła w rozdziale trzecim powołuje się na słowa Pana Jezusa i powiada przy końcu: „Co się tyczy rodzaju pokarmów, według słów Ś. Ewangelji, braciom wolno jest pożywać, cokolwiek przed nimi położą". [1])

Ubóstwo w budowie.

Najpierwsze zasady ubóstwa przystosował Franciszek do budynków klasztornych. W gruncie serca byłby wolał żadnych nie mieć. Liszki mają jamy i ptacy niebiescy gniazda: a Syn człowieczy nie ma, gdzieby głowę skłonił [2]), te były ulubione słowa jego i rad je za Zbawicielem powtarzał. Sam jednak uznając, że tak daleko posuwać ubóstwa niepodobna, o to przynajmniej się starał, by to, co z konieczności trzeba było budować, jak najmniej kosztowało. Kilka tarcic byle jak spojonych, przedziały między niemi zapełnione ziemią, albo piaskiem, trochę chróstu, lub desek na zatkanie otworów; taki był w jego oczach ideał domu zakonnego. A jeszcze żądał, by i te kupy bezładne, budowane zamiast domów, nie poczytywały się za własność zgromadzenia, ale do innego właściciela należały. „Tak dopiero, mówił, ludzie będą nas mogli poczytywać za gości i przechodniów na tej ziemi, jak żąda Apostoł".

Jakie mieszkanie mieli bracia w Rivo-Torto.

Była to strzecha rozwalona, zdolna zaspokoić w zupełności wszelkie wymagania najwybredniejszego nawet miłośnika ubóstwa. Tak w niej było ciasno, że bracia literalnie nie mieli gdzie się położyć, choć Franciszek, zapobiegając zupełnemu zatamowaniu swobody ruchów, każdemu własne miejsce wyznaczył, wypisując kredą nazwisko jego na belce czy na desce, na jego użytek przeznaczonej. Przytem nie było tam żadnych dokoła mieszkań ludzkich; nikt więc nie pomyślał, nikt nawet pomyśleć nie mógł o niesieniu pomocy ubogiemu zgromadzeniu; nieraz bracia nie mieli ani kawałka chleba na zaspokojenie głodu swego. Wtedy szli i zbierali korzenie i zioła tu i owdzie rosnące, i spożywali je ze smakiem, jakby najwykwintniejsze potrawy. Nakoniec, i ten był niedostatek najdotkliwszy, nie było tam ani kościoła, ani żadnego miejsca, któreby choć zdaleka przypominało kaplicę albo dom modlitwy. Wadding zapewnia i rzecz to zupełnie prawdopodobna, że jeden tylko krzyż drewniany, który sobie przed chatą swoją postawili, służył im za księgę, za chór i za ołtarz. Klękali

[1]) Żyw. Ś. Fr. O. Pr. II s. 162. [2]) Matth. 8, 20.

u stóp jego, bądź osobno, bądź wszyscy razem i tak rozmyślali o Męce Zbawiciela, a od serdecznego wzruszenia jęki dobywały się z ich piersi i oczy ich zalewały się łzami.

Ale choć dom był ciasny, Franciszek żądał jednak od braci, aby i w tej ciasnocie okazywali serce szerokie [1])

Chce obalić dom w Porcjunkuli.

Wróciwszy na początku 1215 r. do Porcjunkuli, spostrzegł Franciszek ze zdziwieniem okazały dom, wzniesiony w jego nieobecności przez Wikarego generalnego, Piotra z Katany. Na nic tłumaczenie tegoż, że dom był potrzebny dla odmawiania godzin kanonicznych i dla nowych uczniów, zgłaszających się w coraz większej liczbie. Franciszek, ale z jakimże bólem serca! Nie obeszło się ciw ubóstwu. Pełen więc świętego oburzenia, wstąpił sam na dach i zaczął rozrywać wiązania, a reszcie braci kazał sobie pomagać. I byłby niechybnie zburzył domostwo, gdyby się zarząd gminy assyskiej nie był wmieszał w tę sprawę i nie oświadczył, że dom jest własnością gminy. Ustąpił Franciszek, ale z jakimże bólem serca! Nie obeszło się jednak bez surowych upomnień, gdyż kazawszy, przywołać brata Piotra, rzekł doń: „Bracie, to miejsce ma być wzorem i przykładem dla całego zakonu. Dlatego chcę, aby bracia tutejsi znosili niewywczasy i ciasnotę dla miłości Bożej, aby przybywający wynosili stąd dobry przykład ubóstwa, inaczej wezmą zachętę do budowania w ten sam sposób, mówiąc: „W miejscu Najśw. Panny Porcjunkuli, w tem pierwszem gnieździe całego zakonu, budują takie i tyle budynków, przeto i my możemy budować podobnież".

Ale i to upomnienie wydawało się Franciszkowi jeszcze niewystarczającem. Więc po skończonej kapitule wydał wszystkim braciom, których w rozmaite strony wysyłał, rozporządzenie, jak mają bracia postępować przy wznoszeniu nowych klasztorów. Najpierw zbadają grunt i ocenią jak długo potrwa robota. Przytem z oka nie spuszczą świętego ubóstwa dobrowolnie przyjętego, ani dobrego przykładu, który obowiązani są dawać. Później zwrócą się do Biskupa miejscowego i powiedzą mu: „Pewna osoba, powodowana miłością Bożą i gorliwością o zbawienie dusz, odstąpiła nam plac na budowę klasztoru. A ponieważ ty jesteś pasterzem tej powierzonej trzody i ojcem, oraz obrońcą wszystkich Braci Mniejszych, którzy się w twojej dyecezji znajdują i znajdować będą, przeto cię prosimy o pozwolenie, abyśmy z Boskiem i twojem błogosławieństwem mogli wybudować w tem miejscu ubogi i skromny klasztorek". Otrzymawszy pozwolenie, wykopią bracia głęboki rów i otoczą go, miasto muru, żywym płotem w dowód ubóstwa i pokory. Mieszkanie może być jedynie z gliny i z drzewa, podzielone na małe celki, w których się bracia będą modlić i pracować, aby odegnać lenistwo, jakoteż zachować to, co odpowiada ich ślubom. I kościół niech będzie mały; nie wolno im bowiem pod pozorem głoszenia słowa Bożego lub z innego powodu budować wspaniałych kościołów. Bracia dadzą ludowi lepszy przykład i dosadniej mu dowiodą, że są naprawdę pokornymi, jeżeli w obcych kościołach kazać będą. A jeżeli ich prałaci, kapłani, zakonnicy lub ludzie świeccy odwiedzą, znajdą w ich ubogim klasztorku i w ciasnych celkach więcej zbudowania, aniżeli w kazaniach troskliwie wypracowanych.

Ubogie domy, ubogie kościoły, ubodzy bracia, to był ideał Franciszka. Kto wstępował do jego zakonu, musiał opuścić wszystko, co posiadał i z zapałem miłości objąć swoją panią i oblubienicę — ubóstwo. Franciszek wolał raczej wcale nie mieć braci i domów, aniżeli mieć domy i braci, obrażających tę cnotę.

Ubóstwo w sprzętach.

Jeszcze biedniejsze od domów samych były sprzęty domowe. Były tam najczęściej proste wiązki słomy, służące za posłanie, naczynia stołowe gliniane lub drewniane, parę stołów grubo ociosanych, kilka książek do wspólnego użytku braci i więcej nic. Franciszek niezmierną przywiązywał wagę do takiego urządzenia domu. Lękał się najmniejszej rzeczy, którąby choć zdaleka przypominała zbytkowną wykwintność mieszkań ludzi świeckich. Była to niezmienna wola jego, że użyjemy tu pięknego wyrażenia jednego z życiopisarzy, by wszystko życie i całe otoczenie braci było im ciągłem przypomnieniem, iż są w stanie pielgrzymstwa, i jakby opiewało wygnanie ich na tej ziemi. W prawdziwe też wpadał oburzenie, ile razy bogactwo z domu wypędzone, znów chyłkiem do niego się zakradało w postaci jakiejbądź rzeczy niekoniecznie potrzebnej lub jakiego sprzętu odstępującego od prostoty ubóstwa. [2])

Ubóstwo w odzieży

Co do odzienia, wiemy już, do jakiej prostoty je sprowadził. Lecz nie rozumiał, aby na tem, że

[1]) Młodość Ś. Fr. s. 160

[1]) Barthol. a Pisa, T. I, c. 12, s. 23. [2]) Młod. Ś. Fr.

oblókł braci w habit z wełny, kończyło się zadanie jego. I pod łachmanami, wiedział o tem dobrze, może się ukrywać próżność i wystawność. Pilnie więc nad tem czuwał i za najmniejszą oznakę przesady czy miękkości surowo gromił, albo dotkliwie wyśmiewał. „Jest to, mówił, niezawodny znak gasnącej gorliwości ducha. Ten tylko szuka rozkoszy ciała, kto stracił smak rozkoszy duchownych". Sam dla przykładu w każdej porze roku jedną tylko suknię nosił, a najczęściej łataną. Braciom pozwalał mieć dwie, ale nigdy więcej. Może stąd, przyznawał, wyniknąć jaka dolegliwość, ale czegóż warta cnota, która cierpieć nie umie? Kto za pierwszym pozorem potrzeby uchyla się od umartwienia, ten małodusznie traci sposobność do zjednania sobie zasługi. Tak czynili żydzi, gdy z pod władzy Boga i Mojżesza tęsknili napowrót do Egiptu". Chyba więc w razie potrzeby widocznej i niewątpliwej zgadzał się na jakie ustępstwo. Którzy mniej byli wytrzymali na zimno, tym pozwalał podszyć suknię jaką szmatą, aby była cieplejsza. Chorym dopuszczał nawet używać materjałów miękkich, ale tylko do odzienia spodniego. Habit wierzchni miał być dla wszystkich z grubej tkaniny. „Jeśli kiedy, mówił ze smutkiem, synowie moi, synowie ojca ubogiego, niepomni na pochodzenie i powołanie swoje, odważą się używać bogatych sukien, jakie noszą ludzie światowi, na samej tylko barwie zakonnej poprzestając, wtedy ujdzie z zakonu wszystka jego siła żywotna i zagnieździ się w nim powszechna oziębłość".[1])

Nieprzyjmowanie pieniędzy.

Większą jeszcze, niż do tych bogactw w naturze, miał nienawiść do tego sztucznego, jakby je nazwać, bogactwa, które się przedstawia w formie pieniędzy. Bogactwo pieniężne ma to do siebie, że naprzód powoli i nieznacznie się nagromadza, aż nagromadzone, nagle wychodzi na jaw i staje się środkiem ogólnym do wszelkiego dostatku i zbytku, a w końcu zamienia się w źródło miękkich i luźnych obyczajów. Dlatego Franciszek bał się pieniędzy jak szatana i prawie, zdawałoby się, miał przekonanie, że sam czart w nich siedzi. Pan Jezus powiedział Apostołom: „Nie miejcie ani złota, ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych"[2]), więc Franciszek w rozdziale szóstym reguły surowiej i bezwzględniej niż czegokolwiek, zabrania Braciom Mniejszym przyjmowania i używania pieniędzy i to bezwarunkowo, żadnego zgoła nie dopuszczając wyjątku. „Przykazuję mocno braciom, pisze Święty w wyżej wymienionym rozdziale, aby żadnym sposobem pieniędzy albo monety nie przyjmowali, ani sami przez się, ani przez żadną podstawioną osobę".

Ten punkt najwięcej zalecał w regule, gdzie w jednym rozdziale cztery razy go powtarza. I często przestrzegał braci, aby się mieli na baczności, żeby wszystkiego odstąpiwszy, nie postradali, broń Boże, królestwa niebieskiego, niegodziwie szukając marnego jakiego zysku. „Jeśli gdzie nadarzą się nam pieniądze, nie ceńmy ich wyżej nad proch, który depczemy. Ale starając się sami być ubogimi, nie przesądzajmy bogaczów, którzy miękko żyją i noszą na sobie szaty próżności dogadzające". Z tej strony wycierpieli bracia nie jedną pokusę, nieraz dosyć ponętną.

W późniejszym jednak czasie była chwila, kiedy Franciszek dopuścił wyjątek od tego bezwarunkowego zakazu. Nędza braci chorych raniła mu serce. Skutkiem tego w drugiej regule swojej dodał artykuł, dozwalający w razie potrzeby przyjęcie drobnej jałmużny pieniężnej na lekarstwo dla chorych. Niebawem jednak pożałował znowu tego ustępstwa, zaczem w trzeciej i ostatecznej redakcji reguły pierwotną bez wyjątku surowość przywrócił i aż do końca życia swego uważał sobie za pierwszy swój obowiązek zagrodzenie wszelkiego przystępu temu najgroźniejszemu dla zakonu nieprzyjacielowi, jakim w oczach jego było wszelkie pod jakimbądź pozorem posiadanie pieniędzy.[1])

Nie pozwala używać pieniędzy nowicjuszów.

Jak bardzo Święty Ojciec pragnął, aby dla lada trudności od tego przepisu nie odstępowano, dowodem jest między innemi i to, co z tych czasów opowiadają najdawniejsze kroniki.

Brat Piotr z Katany, przeznaczony przez Franciszka na Wikarego generalnego, przebywał zwykle w Porcjunkuli, jako w pierwszym klasztorze Braci Mniejszych, który sam S. Patryarcha chciał, aby poczytywano zawsze za kolebkę zakonu. Lecz z tego właśnie powodu oprócz braci, którzy w nim stale mieszkali, znajdowało się tam jeszcze wielu z najodleglejszych klasztorów. Przychodzili oni już to dla załatwienia różnych spraw, tyczących się ich prowincji, a potrzebujących potwierdzenia Wikarego generalnego, już dla odnowienia się na duchu obcowaniem z tamtejszymi zakonnikami, gdyż Seraficki Patryarcha umieszczał tam zawsze najprzykładniejszych, najświątobliwszych, słowem, najwierniej zachowujących regułę. Otóż, z powodu ciągłe-

[1]) Tamże s. 215.

[1]) Tamże.

Ś. FRANCISZEK ROZDAJE WYŻEBRANE KAWAŁKI CHLEBA U KARDYNAŁA.

go i licznego napływu braci do klasztoru Panny Marji Anielskiej, Wikary generalny powziął zamiar używania na potrzeby tych zakonników pieniędzy, jakie przynosili ze sobą nowicjusze, mając je rozdać na ubogich. Spytał więc o to błogosławionego Ojca, który mu tak odpowiedział: „Uchowaj nas Boże, mój najdroższy synu, abyśmy pod pozorem miłości braterskiej w czemkolwiek naruszali regułę. A gdy mu na to Piotr: „Cóż więc poczne?“ — „Ogołocisz ołtarz Najświętszej Panny, odrzekł Franciszek, i na ten cel obrócisz wszystkie jego ozdoby. Zaopatrzy Pan Jezus Matkę swoją w to, co my Jej zabierzemy na ratowanie ubóstwa naszego i bądź pewnym, że Najświętsza Panna woli, aby Jej ołtarz był ogołocony, niż żebyśmy postąpili wbrew przepisom Ewangelji Jej Syna“. I, korzystając ze sposobności, w długiej przemowie, mianej do wszystkich zakonników, polecał im święte ubóstwo i zalety jego wychwalał.

Ubóstwo seraficzne wyższe od żebraczego.

Rozważając rzecz w zasadzie, Brat Mniejszy, według swej reguły, jest uboższy od największego żebraka, bo ten ostatni, choćby był w większej nędzy, jednakże, gdy otrzyma jaką jałmużnę, posiada jej własność i wolno mu jej użyć, na co mu się spodoba, a syn Franciszka Świętego nie może nigdy najmniejszej rzeczy posiadać tak, żeby miał prawo rozporządzania nią według swej woli — w każdym bowiem czasie może być wyzutym ze wszystkiego, czy to na rozkaz przełożonych, czy na życzenie właściciela lub fundatorów.

Nie nadaje nawet prawa do używania rzeczy.

Ubóstwo seraficzne nietylko nie dopuszcza żadnej własności, ale nie nadaje nawet prawa do używania rzeczy najpotrzebniejszych i każdy syn Ś. Franciszka powinien być zawsze gotów odstąpić wszystkiego na skinienie swej władzy, mając tylko proste użycie. Czyniący profesję tej reguły, są jak goście zaproszeni na ucztę, którym dozwolone jest używać postawionych przed nimi potraw, ale nie mogą niemi rozporządzać, chyba za pozwoleniem gospodarza.

Jak ta ustawa podnosi Zakon Braci Mniejszych.

Gdyby zakonodawca Braci Mniejszych ograniczył się był na wzbronieniu posiadania wszelkiej, nawet wspólnej własności, byłby ich uczynił, jak to staraliśmy się wyjaśnić, bardziej i prawdziwiej ubogimi, niż są nimi zakonnicy wszystkich innych reguł. Lecz byłby ich przez to zrównał z prawdziwymi ubogimi, a jemu chodziło jeszcze o coś więcej w tej cnocie, którą nadewszystko umiłował.

Najuboższy nawet człowiek ma takie chwile, w których jednak posiada coś takiego, co wprost i samo przez się służy mu do zaspokajania niezbędnych potrzeb życia. A więc jest on wtedy panem czegoś, czem według woli swojej może rozporządzać. Tem zaś jest pieniądz, który czy to przez zarabianie na niego pracą, czy przez wyżebranie, zanim będzie użytym, staje się własnością tego, który go otrzymał. Otóż Ś. Patryarcha ani takiej chwilowej własności nie dopuszcza w Bracie Mniejszym.

A teraz, zapytajmy, czy kto kiedy cnotę ubóstwa dobrowolnego dalej posunął i czy ona w istocie już dalej iść może? Ubogim jest każdy, będący chociaż mimowoli w niedostatku i niemogący zarabiać na utrzymanie życia. Ubogim w duchu jest ten, kto, posiadając jakiś majątek, nie przywiązuje się do niego sercem i używa go z chrześcijańskiem umiarkowaniem. Ubogimi są zakonnicy wszelkich reguł, wyrzekający się dobrowolnie prawa do wszelkiej własności. Ubogimi byli Apostołowie wszystkiego odstępujący, aby pójść za Chrystusem. Wielkimi miłośnikami ubóstwa okazywali się pierwotni chrześcijanie, całe swe majątki składający u nóg Apostołów na wspólne użycie. W wielkim niedostatku żyli pustelnicy egipscy; w wielkiem ubóstwie zakładali swoje zgromadzenia fundatorowie wszystkich zakonów i przekazywali tę cnotę swoim najdalszym synom. Lecz ci wszyscy nie wyrzekali się używania pieniędzy, jako najłatwiejszego sposobu do dostarczenia sobie środków choćby najuboższego wyżycia. Franciszek dopiero pierwszy tak daleko pod tym względem się posunął, że, jako niezrównany miłośnik ubóstwa ewangelicznego, tego sobie odmawia i zabrania to synom swoim: „Przykazuję mocno braciom, aby w żaden sposób pieniędzy nie przyjmowali“ [1]).

Jak karał przestępstwo tego przepisu.

Franciszek sprzeciwiał się wszystkiemu, co nie okazywało ubóstwa, ale najbardziej brzydził się pieniędzmi i zawsze przypominał braciom słowem i przykładem, żeby się ich strzegli jak szatana. W pierwszych zaraz początkach zakonu pe-

[1]) Żyw. Ś. Fr. O. Pr. T. II s. 91.

[1]) Tamże, s. 161.

wien pan świecki, spędziwszy kilka dni w Porcjunkuli dla przygotowania się w samotności do spowiedzi, odchodząc, złożył u stóp krzyża dość znaczną sumę pieniędzy. Jeden z zakonników, nadszedłszy tam, wziął je i rzucił na okno. Czy był to z jego strony znak pogardy, czy może ślad pozostałego w nim szacunku dla rzeczy, której wartość rozumiał? Prawdopodobnie było w tem i jedno i drugie. Lecz że, wbrew zakazowi, dotknął się pieniędzy, Franciszek wziął rzecz bardzo surowo. Wezwał winowajcę i ostro go wobec zgromadzonych braci upomniał, potem za pokutę zadał mu, by wziął one pieniądze w zęby i w ten sposób wyniósł je i rzucił na pierwszą jaką napotka kupę gnoju oślego. Biedak miał posłużyć za przykład. Chciał Franciszek, jak to w ogóle czynili wszyscy założyciele zakonów, skorzystać z pierwszej okazji, dla uwydatnienia w sposób doraźny i wybitny przepisu, do którego wagę i znaczenie przywiązywał. Sam już dziwny pomysł pokuty, biednemu bratu zadanej, miał na celu głębsze w pamięci wszystkich wyrycie nauki, jaka się w niej zawierała, aby nadal pomnieli, że z pieniędzmi mają się obchodzić, jak z gnojem. [1])

Pieniądze są wężem.

Idąc w okolicy Bari w Apulji, Franciszek spostrzegł na drodze dużą sakwę, jak się zdawało, pełną pieniędzy. Brat Leon, jego towarzysz, kierując się miłością bliźniego, zaczął nalegać, aby mu pozwolił podnieść ową sakwę i rozdać pieniądze ubogim. Ale Święty zabronił mu tego, mówiąc, że to sztuka szatańska i że nie miałby stąd żadnej zasługi, owszem, popełniłby grzech, rozdając cudze dobro; to rzekłszy, poszedł dalej. Lecz brata Leona ciągle kusił szatan nierozsądnem miłosierdziem, gdy więc nie przestawał naprzykrzać się Świętemu Ojcu, ten pozwolił mu nakoniec podnieść ów worek. Wrócili się przeto napowrót z ubogim chłopcem, którego byli spotkali w drodze. Święty Franciszek odmówił modlitwę, a potem rzekł do towarzysza: „Bierz, coś chciał". Brat Leon, mając już teraz pozwolenie, począł się lękać, jakby przeczuwał oszukanie djabelskie. Skłonił się jednak ku sakwie, więcej z posłuszeństwa, niż z własnej woli, ale, gdy już wyciągnął rękę, by ją zabrać, wyszedł z niej wielki wąż i wszystko znikło, a tak pokazała się sztuka szatańska. „Widzisz więc, bracie miły, odezwał się Franciszek, że dla sług Bożych pieniądze są szataństwem i jadowitemi wężami" [2]).

[1]) Kron. s. 152. [2]) Tamże, s. 153.

Proszenie dla miłości Bożej skuteczniejsze niż pieniądze.

Seraficki Patryarcha we wszystkich podróżach swoich, jak i wszędzie, żył tylko z jałmużny. Tej jednak nie brał wcale w pieniądzach, tylko w przedmiotach do utrzymania życia niezbędnych, które mu Opatrzność przez litościwe dusze zsyłała. Raz jednak towarzyszący mu urzędnicy, wysłani po niego z Assyża, zaopatrywali w ciągu drogi jego potrzeby, kupując, co wypadło, tak, iż ani Franciszek, ani inni bracia nie potrzebowali żebrać. Wszakże okazało się, że niekiedy bogatszymi są ci, co z miłości ubogiego Jezusa, stawszy się ubogimi, spuszczają się na Opatrzność, aniżeli mający środki, jakich zamożność dostarcza. W jednej miejscowości bowiem, gdzie stanęli na odpoczynek i udali się do mieszkańców dla zakupienia żywności dla Ś. Franciszka i jego braci, choć obeszli wszystkie domostwa, nie mogli nic dostać. „O, ludzie małej wiary, odezwał się Seraficki Patryarcha, idźcie tylko do tych samych osób i proście dla miłości Bożej o jałmużnę, a wszystko otrzymacie". I tak się stało. Przynieśli taką obfitość pokarmów, że wystarczyły na posilenie wszystkich tam obecnych i jeszcze resztki zostały [1]).

Takim sposobem chciał Pan Bóg utwierdzić braci w tem świętem ubóstwie, aby więcej rachowali na Opatrzność Bożą, niżeli na pieniądze.

Życie z pracy rąk.

Z tem wszystkiem jednak z czegoś bracia musieli żyć. Skoro pieniądze skazane były na wieczne wygnanie, skoro i wszelkie posiadanie jakiejbądź majętności było zabronione, więc dwojaki tylko zostawał sposób zaspokojenia potrzeb życia: praca wynagradzana w naturze i jałmużna wypraszana u wiernych. Obydwa też te sposoby zalecał Franciszek, głównie jednak pierwszy. Zakon Ś. Franciszka zowie się żebrzącym: nazwa ta niejednego w błąd wprowadziła i w rzeczy samej łatwy z niej na pierwszy rzut oka wniosek, iż żebranie stanowi główny i zwyczajny sposób utrzymania zakonu. Ale reguła Ś. Franciszka mówi wręcz przeciwnie: „Który z braci umie jakie rzemiosło, ten będzie się niem trudnił. Którzy nie umieją żadnego, niech się go nauczą, a nauczywszy się, prowadzić je będą i już go nie zamienią na drugie. I ci i tamci, jako wynagrodzenie za pracę swoją otrzymają co im potrzeba do życia, z wyjątkiem wszakże pieniędzy". Była więc ciągła praca w Porcjunkuli. Próżniak

[1]) Żyw. Ś. Fr...

żaden długo się tam nie utrzymał. A, gdy zdarzył się taki brat, który jadł dużo, a nie chciał pracować, Seraficki Patryarcha wypędzał go ze wstydem: „Idź sobie, rzekł, dokąd ci się podoba, bracie mucho; trutniów nam nie potrzeba". I w tym punkcie założyciel święty przyświecał drugim przykładem. Choć kierunek całego zakonu i przepowiadanie prawie nieustannie nie zostawiały mu czasu do prowadzenia stałego rzemiosła, mówi jednak życiopisarz jego, że w chwilach wolnych, aby nie były stracone, rad przykładał rękę do jakiej roboty.[1])

Żebranie jałmużny.

„Gdy braciom zabraknie chleba, pójdą po jałmużnę, jako inni ubodzy". Tak stanowiła reguła. A w owym czasie, kiedy praca zbiorowa nie miała jeszcze ani organizacji, ani zbytu, dni bez chleba dla zgromadzenia tak licznego musiały nierzadko się zdarzać. Franciszek w gruncie serca wcale się tem nie martwił. Sam tyle razy żebrał w długim owym przeciągu miesięcy i lat, w których się powoli wyrabiało jego powołanie; więc też i bracia niezupełnymi byliby według jego myśli zakonnikami, gdyby sama tylko praca ręczna zapełniała im życie i starczyła na zaspokojenie ubogich ich potrzeb. Żebractwo przedstawiało mu się, jako nieodzowne dopełnienie prawdziwego ubóstwa. Braciom niezupełnie łatwo przyszło zrozumieć tę naukę. Po pierwszych dwunastu przybyło ich wielu, którzy bądź przez wzgląd na wyższe urodzenie, bądź przez brak potrzebnej do tego aktu pokory i zaparcia, dość długo wzdragali się od przyjęcia roli żebraków. Franciszek, choć w postanowieniach niezachwiany, ale w wykonaniu łagodny i cichy, nie chciał ich przymuszać. W początkach prawie sam jeden ponosił ten ciężar, jak im się zdawało, sromotny. Razem jednak słowem zachęty działał na serca. „Najmilsi bracia, mówił im, Syn Boży daleko szlachetniej był urodzony, niż najszlachetniejsi z nas, a przecież dobrowolnie był ubogi. I my też dla miłości Jego obraliśmy sobie ubóstwo. A więc, nie powinniśmy się wstydzić, że uciekamy się do stołu Pańskiego—tak rad nazywał jałmużnę—bo, przystępując do niego, bierzemy zadatek dziedzictwa, które nas czeka w przyszłości. Powiedziałem wam i powtarzam: wielu szlachetnych i uczonych przyłączy się do was i za chlubę sobie poczyta nasze miano żebraków. Cieszcie się więc, że możecie taki dać piękny przykład tym braciom, których wy jesteście pierwiastkami i poprzednikami, aby oni, gdy przyjdą, mogli wstępować w ślady wasze".[2])

[1]) Młodość Ś. Fr. s. 27. [2]) Tamże.

Jak zachęcał braci do tego.

W innych znowu zdarzeniach przyznawał, że trudno jest żebrać bez zarumienienia się; „ale", dodawał, „nie jest to grzech, mieć czoło miękkie; jest to raczej sposobność do zasługi, gdy zwycięstwo odniesiesz nad taką zbytnią drażliwością i nie cofniesz się dla niej przed zawstydzeniem, ale mężnie pójdziesz naprzód". „Na to, upewniał jeszcze, Bracia Mniejsi dani są światu, aby dusze wybrane miały z nich sposobność do zapewnienia sobie wyroku łaskawego na sądzie Boskim: Wszystko, cokolwiek uczynicie jednemu z tych braci moich najmniejszych, mówi Pan, mnieście to uczynili. Słyszeliście: najmniejszych — minoribus. O nas to przepowiadał Zbawiciel. Nam dane jest to posłannictwo, by przez nas miłosierdzia dostąpili ci, którzy nam uczynią miłosierdzie". Podobne nauki, przy każdej sposobności powtarzane, osiągnęły swój skutek; zrozumieli bracia, iż nie godzi się im dłużej sprzeciwiać prawdzie, w tak wyraźny sposób do serc przemawiającej.[1])

Jak bolał nad tymi, którzy sprzeciwiali się ubóstwu.

Gdy niektórzy przełożeni zakonu, uczeni i mądrzy wedle fałszywej mądrości światowej, sprzeciwiali się ścisłemu zachowaniu ubóstwa, mawiał: „Biada tym braciom, iż mi są przeciwni w tych rzeczach, o których ja napewno wiem, że idą z woli Bożej i są potrzebne dla zachowania zakonu. Tem postępowaniem przyczyniają mi chorób,—dodawał jeszcze,—albowiem w rzeczach, które mi Pan objawił ku dobru tak teraźniejszemu, jak i przyszłemu zakonu, niektórzy bracia, zasadzając się na swej fałszywej nauce i rozumie, sprzeciwiają mi się i pogardzają niemi, chcąc raczej iść za swem zdaniem, aniżeli za wolą Pańską".

Jak Święty Ojciec sądził przestąpienie ubóstwa.

W prowincji Toskańskiej pewien brat bardzo surowego żywota, gdy go wybrano na przełożonego, umyślił wystawić okazały klasztor, aby bracia szlachetniejszego urodzenia, których sporo wstępowało do zakonu, mieli wygodne pomieszczenie. Sądził, że tym sposobem więcej ich jeszcze przybędzie. Doprowadziwszy więc swój zamiar do skutku, opuścił ubogi domek, w którym on i bracia jego mieszkali, a przeniósł się do wspaniałego klasztoru. Pewnej nocy ukazał mu się we śnie Franciszek,

[1]) Tamże.

mówiąc: „Chodź za mną!“ — A dokąd? zapytał gwardjan. — „Do naszego klasztoru“, była odpowiedź Świętego. „Kiedy ten już jest rozwalony.— „Pójdź jednak za mną,“ odpowiedział Seraficki Patryarcha. I, tak idąc, przyszli do pierwszego klasztoru na kapitułę, na którą Święty zwołał wszystkich braci tamtejszych. Jeden po drugim wyznawali przed nim winy swoje. Niektórzy oskarżali się z grzechów cielesnych, inni z nieposłuszeństwa, a inni z przestąpienia ubóstwa. Pierwszym i drugim bardzo łatwo Franciszek odpuścił, upominając ich tylko, żeby się wystrzegali upadku na potem, lecz tych, co przestąpili ślub ubóstwa, surowo ukarał. Dziwiąc się temu, gwardjan prosił Świętego Ojca o wytłumaczenie, dlaczegoby tak czynił. „Bo zmysłowych“, odrzekł Franciszek, „reguła sama dostatecznie karze, a nieposłusznych przełożeni, którzy ich siłą do posłuszeństwa nakłaniają, więc takich należało mi łaskawie upominać, ale drogi kamień mego świętego ubóstwa już dzisiaj wszyscy depczą nogami i tak wielcy, jako i mali lekko go sobie ważą, zaczem potrzeba jest, abym się ja o niego starał. A, obróciwszy się doń: „I ty, rzekł, ponieważ śmiałeś tak upornie budować wielki klasztor, a mnie miły i ubożuchny rozwalić, nie ujdziesz gniewu Bożego“. Gwardjan wymawiał się, dowodząc, że tego dla siebie nie zrobił, tylko dla braci, bo sam nie pragnął żadnych okazałości, tylko łaski Bożej. „Na tem większą przeto zasłużyłeś karę, odpowiedział Franciszek, że, będąc względem samego siebie surowym, tylko dla dogodzenia innym wydałeś duszę swą na potępienie wieczne“. I to rzekłszy, znikł [1]).

Ubóstwo wiernie zachowane broni od czyśca.

Kronikarz zakonu Braci Mniejszych z XIII stulecia, opisał zdarzenie, które może radością napełnić ubogich synów Franciszka Świętego.

„Jeden z naszych braci z prowincji Saskiej, mówi on, wróciwszy do klasztoru, gdyż był na misjach, dowiedział się że w czasie jego nieobecności umarło dwóch zakonników: gwardjan i wikary. W pierwszą zaraz noc po swojem przybyciu, brat ten modlił się w swojej celi, kiedy nagle ujrzał wchodzących do niego owych dwóch zmarłych, przyodzianych w piękne i niezrównanej białości kapy. Twarze ich, ręce i nogi były już uwielbione. „Co się z wami dzieje“? zapytał misjonarz. „Z miłosierdzia Bożego jesteśmy zbawieni, odpowiedzieli, teraz cieszymy się oglądaniem Bóstwa.“—A czyście nie przeszli przez czyściec? pytał dalej tamten. —„Przeszliśmy go tutaj na ziemi w ogniu ubóstwa, ubóstwo bowiem święte Pan Bóg uważa jako czyściec gładzący grzechy. Wiedz, bracie, że żaden z naszych towarzyszów nie dozna ognia czyścowego, jeśli wiernie zachowa regułę Świętego Franciszka i święte ubóstwo, które za wszystko zadośćczyni“ [1]).

Kara za przekroczenie ubóstwa.

W roku 1859 w klasztorze tercjarek regularnych Ś. Anny w Fulginie zdarzył się odmienny wypadek, rzucający wielkie światło na tę cnotę. Prawdziwość jego stwierdziła władza biskupia.

Teresa Małgorzata Gesta, urodzona w Bastji na wyspie Korsyce r. 1799, spędziła dzieciństwo swoje pod okiem pobożnych i bogatych rodziców. Zawdzięczając uzdrowienie z ciężkiej i niebezpiecznej choroby wstawiennictwu Najświętszej Marji Panny, przyrzekła wstąpić do klasztoru i spełniła swoją obietnicę 22 lutego 1826 r. Od pierwszego dnia była ona wzorem gorliwości i posłuszeństwa dla starszych i równych sobie, głównie jednak umiłowała ubóstwo. Ta cnota jaśniała w jej celi, w rzeczach przeznaczonych do jej użytku, co zaś do odzienia, było ono całe połatane, gdyż prosiła zawsze o habit i welon zużyty przez inne siostry. Obranej opatką, prowincjał Braci Mniejszych Obserwantów, pod którego zarządem zostawał ten klasztor, musiał nakazać w imię posłuszeństwa św., żeby się nie tak ubogo ubierała.

Przez 33 lata, jakie spędziła u Ś. Anny w Fulginie, gorliwa Franciszkanka miała sposobność być na wszystkich urzędach, począwszy od najniższego, a skończywszy na najwyższym. Kiedy minęły trzy lata jej przełożeństwa, Minister prowincji Serafickiej, O. Andrzej, ceniąc jej cnoty i rzadką zdolność rządzenia, chciał, aby ją powtórnie wybrano, zakonnice jednak nie zgodziły się na to, uważając, że jest za surową. Nagły atak apoplektyczny zabrał tę świątobliwą duszę z tego świata w dniu 4 listopada 1859 r. i O. Wawrzyniec z Solero, spowiednik Sióstr, odezwał się do nich o zmarłej: „Nie chcę nic mówić o wielkich darach, jakiemi Matka Teresa była obdarzona; jeśli Bóg zechce, potrafi je objawić“.

W trzy dni po jej śmierci, w celce, w której zmarła, zaczęły się rozlegać żałosne jęki i skargi. Z początku nie zważano na to, sądząc, że Siostrom tylko się przysłyszało. Ale 16 listopada,

[1]) Kroniki zakonne S. Fran., s. 553.

[1]) Rękopis biblioteki watykańskiej (oddział Ottobonian N. 522.) s. 224.

gdy jedna z zakonnic chórowych, siostra Anna Felicja Menghini z Montefalco, szła do izby z bielizną, nad którą miała dozór, wyraźnie usłyszała głos bolesny i jęczący Matki Teresy, długoletniej towarzyszki swojej przy tym obowiązku. Chcąc się przekonać, co to jest, otworzyła pustą celę, ale i tu rozległo się jęczenie, osoby wszakże samej nie widziała. Przeszła później do drugiej i trzeciej celki, a jęk tak samo za nią postępował. Wówczas, zmieszana trochę, krzyknęła: „Jezus, Marja, cóż to znaczy?“ A na to głos bolesny, głęboko wzdychając, odpowiedział: „O, Boże, jak ja cierpię!“ Siostra Anna Felicja zadrżała i zbladła, gdyż był to głos zmarłej Matki Teresy. Dodając jednak sobie odwagi, rzekła: „Dlaczego tak cierpisz? — „Za łamanie ubóstwa“, odpowiedziała dusza. — Jakto, mówiła Anna Felicja, tyś była tak ubogą! — „Ja go też nie przestępowałam, ale pozwalałam przestępować, będąc zanadto pobłażliwą dla niektórych zakonnic. Gdy jedna rzecz wystarcza, poco mieć dwie? po co trzy? i ty, Siostrzyczko, czuwaj nad ubóstwem!“ W tejże chwili Anna Felicja zobaczyła wśród gęstego rozwiewającego się dymu, jak cień zmarłej skierował się ku schodom i szeptał cicho jakieś wyrazy. Przy drzwiach od schodów dusza rzekła głośno: „Jest to miłosierna przestroga, ja nie przyjdę tu już więcej, na znak zaś tego, co mówię...“ I jednocześnie przyłożyła rękę swoją do drzwi, zostawiając na nich głębokie odciśnięcie, jakby od żelaza rozpalonego w ogniu. Kiedy dym się rozszedł, Siostra Anna Felicja pobiegła do opatki klasztoru i wobec niej i sióstr zgromadzonych opowiedziała całe zdarzenie. Wszystkie obejrzały odcisk ręki Matki Teresy, poczem rozpoczęto modlitwy na jej intencję.

Anna Felicja jednak, widząc, jak cały klasztor się przeląkł, zaczęła żałować swojej gadatliwości i próbowała nawet zatrzeć i zniszczyć odciśnienie na drzwiach, ale to się jej nie udało. Za nadejściem nocy udała się na spoczynek, przedtem jednak odmówiła siedem psalmów pokutnych za zmarłą. We śnie ukazała się jej Matka Teresa wesoła bardzo. „Cóż się to stało z tobą, Matko, żeś taka rozradowana, rzekła Anna-Felicja“. — „Twoje psalmy pokutne sprawiły mi wielką ulgę, wołają one o miłosierdzie i litość do Boga i otrzymują Jego łaskę i przebaczenie. Dziękuję tobie i wszystkim zakonnicom za modlitwy jakieście za mnie odprawiły. Pan Bóg w dobroci swojej przyjął je i skrócił moją mękę. Miałam przez 40 lat znosić najstraszniejsze kary w czyścu z stosowanie się do życzeń niektórych sióstr; ale, dzięki waszym modłom, czas ten został skrócony. A później wesoło i słodko dodała: „O, szczęśliwe łachmany ubóstwa, które kiedyś zamienicie się w wspaniałą szatę chwały! Szczęśliwe ubóstwo, które przynosisz zachowującemu cię wielkie godności! Lecz iluż, niestety, za brak takowego ginie na wieki, albo cierpi w czyścu! Aby być prawdziwie ubogim, mówiła dusza, trzeba doznawać w jakiejś rzeczy skutków ubóstwa, nie mieć czegoś najkonieczniejszego. Ustępować zachciankom siostry z obawy, aby jej nie dać okazji do skarg i szemrania, jest złem niepodobającem się Bogu, gdyż to naraża innych na lekceważenie ubóstwa. W ten sposób pomału niszczeje obserwancja w klasztorze“. Poczem dodała: „Myślisz, że ci się uda zatrzeć ślad mojej ręki? O, nie, tego nie dokażesz nawet z pomocą Sióstr. Jest to miłosierna przestroga, bez tego znaku nie uwierzonoby ci wcale“. W końcu zaś rzekła: „Pan Bóg jest bardzo zagniewany na ludzi z powodu grzechów, które popełniają. Nadszedł czas, że ześle On na świat wielkie i liczne kary. I wy, zakonnice klauzurowe, doznacie cierpień, goryczy, niepokojów, ale ja modlić się będę za was, a Pan zlituje się nad wami, jeśli tylko będziecie wierne swoim ślubom“.

19-go listopada 1859 r. zmarła ukazała się znowu Annie-Felicji, lecz jaśniejąca już, a to by jej opowiedzieć, że idzie do nieba. „Bądź mężną na krzyżu“, rzekła do niej, „i odważną w cierpieniach“ i znikła. 23 listopada Biskup tamtejszy, ksiądz Mikołaj Belletti, kazał spisać protokół z tego wypadku i otworzyć grób Matki Teresy, poczem zbliżył jej rękę do wypalonego znaku na drzwiach, a obecni temu świadkowie stwierdzili, że był on zupełnie taki sam, jak ręka. Drzwi te zostały oprawione w ramę oszkloną i pokazują je zwiedzającym. [1])

Ubóstwo naśladowców S. Franciszka. Ś. Ludwik Andegaweński, Brat Mniejszy (1297 r.)

Przyjąwszy święcenia biskupie z rąk Papieża Bonifacego VIII, Ludwik udał się z Rzymu do swojej stolicy, miasta Tuluzy we Francji, pieszo z kilkoma zakonnikami. Mieli oni zamieszkać przy nim w tym celu, aby mógł prowadzić życie klasztorne i spełniać regułę. Przechodząc przez Toskanję, Biskup Tuluzy zatrzymał się na noc we Florencji, gdzie powitano go z wielką czcią i radością i proszono, aby stanął w najbogatszym pałacu miasta. Ludwik odmówił ich prośbie, zwykle bowiem mieszkał u swoich braci zakonnych i tym więc razem podszedł do klasztoru Świętego Krzyża. Zakonnicy jednak urządzili dlań pięknie przy-

[1]) L' aur. séraph. T. IV.

brany pokój, w którym, przez wzgląd na królewską dostojność gościa, stało złociste łoże, a kotara je osłaniająca miała herby Sycylji i Francji. Lecz Świętemu wcale się to nie spodobało, nie chciał tam wejść nawet. „Nie jest to, rzekł, cela Brata Mniejszego, ale raczej mieszkanie książęce“ i dodał, że jeśli nie dadzą mu celki zgodnej ze ślubowanem ubóstwem, poszuka sobie dachu gdzieindziej. Bracia, posłuszni woli Biskupa, wynieśli z mieszkania wszystkie zbyteczne sprzęty, postawili tylko zwyczajne i proste łóżko, lecz i to wydało się Ludwikowi za bogatem, wskutek czego przespał noc całą na ziemi.

Jego ubóstwo w odzieniu i sprzętach.

Co do ubrania, Święty Biskup nosił zawsze gruby habit franciszkański, a na nogach sandały, często nawet chodził boso. Jego łóżko, krzesła i wogóle całe urządzenie domu było jak najskromniejsze, jaśniejące ubóstwem ewangelicznem. Wstępując do zakonu, oddał on swemu ojcu, Karolowi II, wszystkie kosztowności, puhary i talerze złote, aby odtąd używać naczyń z drzewa lub gliny. Gdy raz cyrulik jego przyniósł ze sobą do golenia srebrną miednicę, Święty, niezadowolony ze zbytku, kazał użyć drewnianego naczynia, którem odmierzano owies dla koni [1]).

Ś. Koleta z Korbei, 2 Zak. (1447 r.).

Patrząc na Świętą Reformatorkę, widziało się, że prawdziwie spoczął na niej duch Ś. Franciszka i Ś. Klary. Chodziła bowiem do końca życia w tunice, którą otrzymała w dzień swoich obłóczyn, a była ona tak połatana, że już trudno było znaleźć na niej choćby kawałek pierwotnego materjału; nie używała też nigdy sandałów czy to w drodze, czy w podróżach, czy w klasztorze, chodząc zawsze boso. Najgoręcej pragnęła, aby ubóstwo jaśniało we wszystkich domach jej zgromadzenia i rządziło w nich wszechwładnie. Pewnego dnia, kiedy Koleta zachęcała siostry, aby szły śladami Apostołów, drogą ewangelicznego ubóstwa, w izbie ukazali się ci Święci mężowie w liczbie dwunastu w białych szatach, jakby chcieli obecnością swoją zatwierdzić naukę Ś. Reformatorki: skoro zaś nauka się skończyła, Apostołowie wzbili się do góry w powietrze, pociągając za sobą wierną naśladowniczkę ich przykładu. Wzniosła się ona tak wysoko, że siostry straciły ją z uczu, a powróciła do córek swoich po oglądaniu rajskich wspaniałości, zgotowanych dobrowolnym ubogim. [1])

Bł. Tomasz z Florencji, Obserwant (1447 r.)

Błogosławiony Tomasz wielce przestrzegał świętego ubóstwa i to nietylko w klasztorze, jako gwardjan, ale i będąc w podróżach lub nawiedzając dobrodziejów. Unikał wykwintnych stołów i jeśli tylko zauważył, że chcą go po pańsku przyjąć, wychodził cichutko z domu. Pan Bóg wzamian za to jego ubóstwo w pokarmach, opatrywał go zawsze jałmużną tak, że Błogosławiony, bądź w klasztorze, bądź w drodze, nigdy nie doznawał braku rzeczy potrzebnych. [2])

Bł. Mikołaj Faktor, Obserwant (1583 r.)

Jako prawdziwy syn Ś. Franciszka, Mikołaj kochał w wyjątkowy sposób ubóstwo; habit nosił połatany, a do użytku miał tylko brewjarz i biblję; do pisania kazań używał jedynie najpotrzebniejszych książek i te trzymał u siebie jak najkrócej. Jeśli mu kto ze świeckich przysłał jaką rzecz lub żywność, oddawał ją natychmiast gwardjanowi, stosownie do przepisu. [3])

Ś. Benedykt murzyn, Reformat (1589 r.)

Benedykt odziedziczył ducha ubóstwa po swoim Serafickim Patryarsze i umiał go zachować w najwyższym stopniu. Mówiąc o przedmiotach danych mu do użytku, nigdy nie wyraził się m o j e, ale n a s z e, jakby chciał przez to oznajmić, że rzecz ta nie należy do niego, lecz do wszystkich. Ten sposób wyrażania się, przyjęty zresztą w zgromadzeniach, odznaczających się gorliwością, nie pochodzi bynajmniej, jakby się zdawało, z jakiej przesady, ale jest on dowodem wielkiej delikatności sumienia i doskonałego wyzucia się ze wszystkiego, pomimo, że roztropność nakazuje go czasami unikać.

Pan Bóg raczył zatwierdzić cudem, jak miłem było Mu ubóstwo Ś. Benedykta w najdrobniejszych rzeczach. Sprawując obowiązek kucharza, widział, że młodzi klerycy, gdy według zwyczaju zakonnego zmywali naczynia stołowe, nie zbierali z nich resztek pokarmów, lecz odrazu kładli je do wody, przez co marnowało się to, co mogło jeszcze służyć dla ubogich, a przynajmniej dla zwierząt. Uniesiony gorliwością, sługa Boży pewnego dnia tak się

[1]) Ibidem. T. III, p. 245.

[1]) S. Iidem, T. I p. 561. [2]) Kron. 3 Zak. Ś. Fr. Cz. III, s. 110.) L'aur. séraph. T. IV. p. 418.

do nich odezwał: „Proszę was, moi bracia, nie marnujcie tych resztek, które za nic uważacie, ubodzy będą z nich bardzo szczęśliwi; jest to bowiem krew dobrodziejów, którzy nam dali tę jałmużnę dla miłości Bożej". Młodzież jednak, uważając, że to przesada, nie posłuchała Świętego. Wówczas ten wziął w rękę małą miotełkę, służącą do zmiatania z misek, a do której przylgnęły były resztki jedzenia, i, zwracając się do młodych, powiedział: „Patrzcie, dzieci moje, czy nie powiedziałem wam prawdy", a jednocześnie, gdy mówił, z miotły naciśniętej w jego rękach wypłynęła obficie krew. Cudowny ten wypadek sprawił wielkie wrażenie na klerykach, prawdziwość zaś takowego stwierdził proces kanonizacyjny, odbyty w Rzymie w r 1715.[1])

Ś. Paschalis Baylon, Obserwant bosy (1592 r.)

Święty ten, jeszcze będąc w domu rodziców, poznał, że Pan Bóg wzywa go do ubóstwa i zupełnego wyrzeczenia się wszystkiego. Razu pewnego rozprawiano w rodzinie, co każde z dzieci otrzyma z ojcowskiego dobytku. Na to Święty odezwał się z całą szczerością: „Co do mnie, ja stanowczo nic nie chcę, ponieważ będę zakonnikiem". I w rzeczy samej ustąpił przypadającą nań część ojcowizny braciom swoim. Miłość świętego ubóstwa już wtenczas opanowała jego serce. Gdy bracia jego byli dostatnio ubrani, on zadawalniał się odzieniem znoszonem i połatanem, którego już nikt nie chciał nosić. Chodził zawsze boso, w najcięższe nawet zimna, po kolcach i cierniach, a kiedy widząc, że nogi ma pokrwawione, pytano, dlaczego się nie obuje, odpowiadał: „Czyż nie powinniśmy starać się czynić coś, aby otrzymać odpuszczenie grzechów i, jeśli można, pozyskać niebo?" Takie zaparcie i taka pogarda rzeczy światowych wzbudzały podziw i uwielbienie w tych, co go znali.

I później w życiu klasztornem ubóstwo było równie drogie Paschalisowi; kochał je dla miłości Ś. O. Franciszka. Spostrzegłszy jakie wykroczenie przeciw tej cnocie, ganił to bracion i upominał ich, używając słów zarazem łagodnych i dosadnych, tak że trafiały do serca i były jak najlepiej przyjęte. Ubóstwo seraficzne jaśniało w jego odzieniu grubem i upstrzonem łatami, w jego celi, w której całą ruchomość stanowiła deska do spania na niej licha kołdra i kawałek drzewa, służący jednocześnie za poduszkę i za krzesło. Jedyną zaś ozdobą był krzyż i obraz Matki Najświętszej. Zbierał starannie w klasztorze i na ulicy strzępki sukna, kawałki nici, igły złamane, a wyostrzywszy te ostatnie, szył niemi i naprawiał stare sandały dla własnego i biednych użytku. Jako kucharz albo kanaparz, nic nie marnował, zabiegając gorąco, aby wszystkie naczynia, czy kuchenne, czy refektarskie, służyły jak najdłużej; w tym celu koszyki np. do zbierania ułamków chleba ze stołu zeszywał i naprawiał. Nieodrodny uczeń Ś. Franciszka chciał, żeby bracia, używając rzeczy dawanych im przez dobrodziejów, nie czynili się ich posiadaczami, gdyż za tych ostatnich uważał tylko ubogich i rozpamiętywał często, jak mówi jego życiopisarz, o odpowiedzialności tych, co nie poprzestają na rzeczach zgodnych z ubóstwem, albo dary Boże przez złe ich używanie marnują. Ubóstwo łączył z umartwieniem: resztki chleba, owoce zepsute, opadłe jagody winogron stanowiły jego pożywienie[1]).

Bł. Andrzej Hibernon, Obserwant bosy (1602 r.).

Wielka miłość ubóstwa Bł. Andrzeja sprawiała, że wyszukiwał, co było najgorszego i najbardziej zniszczonego w całym domu klasztornym i prosił, aby mu to dawano na jego użytek. Habit znoszony, wyłatany i wytarty, ledwie że trzymał się na nim. W duchu też ubóstwa zobowiązał się przyrzeczeniem do oszczędzania wszystkiego, tak, żeby nic nie popsuć i nie zmarnować. Kiedy więc usługiwał w refektarzu, zbierał jak najstaranniej wszystkie okruszyny, potem moczył je w wodzie, a wysusywszy na słońcu, lub w kominie, przeznaczał je na swój własny użytek, zamiast chleba[2]).

Ś. Franciszek Solano, Obserwant (1610 r.).

Wierny naśladowca Serafickiego Patryarchy, Ś. Franciszek Solano, był też wiernym miłośnikiem ubóstwa. Jako gwardjan klasztoru w Lima (Peru) nie chciał przyjąć dwóch kosztownych obrazów, wartość ich bowiem przewyższała ubóstwo franciszkańskie. Budując zaś klasztor rekolekcyjny, zabronił heblować deski, które miały służyć na drzwi i okna. „Takie upiększenia, odezwał się, przyćmiewają blask świętego ubóstwa"[3]).

S. Franciszek Salezy, 3 Zak. (1622 r.).

Ten Święty w dniu przyjęcia sakry biskupiej postanowił sobie nigdy nie nosić jedwabnych ani świecących materji, lecz ubierać się na wzór zwy-

[1]) Vita di San Benedetto da Fra Giovani da Capistrano.

[1]) L'aur. séraph. T. II p. 189 et 200. [2]) Ibidem, p. 77. [3]) Ibidem, T. III.

czajnego księdza. Mieszkanie jego miało być czyste ale skromne, bez żadnych malowideł światowych i mebli zbytkownych: dwa tylko pokoje dla gości ozdobniej urządzone. Umyślił nie mieć ani karety, ani żadnego powozu; miał chodzić zawsze piechotą, nawet zwiedzając dyecezję swoją po najgorszych drogach, chyba, że niepogoda zmusiłaby go do konnej jazdy. Otoczenie swoje ograniczył do dwóch tylko kapłanów. Jeden miał być jałmużnikiem i sekretarzem, oraz towarzyszem w podróżach; drugi miał się zajmować sprawami domowemi, mieć dozór nad służbą, składającą się z dwóch lokai i dwóch służących w kuchni. Wszyscy służący mieli być skromni, pobożni, nieposzlakowanych obyczajów. Franciszek wybrał ich sam z wielką skrupulatnością, i, mimo że oddał ich pod opiekę swego przybocznego prałata, pracował sam nad ich udoskonaleniem. Co do stołu swego, Święty trzymał się w tem ściśle postanowień Soborów, tyczących się umiarkowania i wstrzemięźliwości osób duchownych. Potrawy miały być jak najskromniejsze i najprostsze. Zresztą, dom jego miał być otwarty dla wszystkich przejezdnych księży, którzy obowiązani byli zajmować mieszkanie w domu biskupim przez cały czas pobytu w mieście [1]).

Bł. Bonawentura z Potencji, Konwentualny (1711 r.).

Błogosławiony Bonawentura z gorliwym zapałem strzegł drogiego skarbu ubóstwa; jaśniało ono w jego habicie pełnym łat, w jego celi i we wszystkich rzeczach danych mu do użytk. Konwentualni, jak nam wiadomo, otrzymali od Kościoła zwolnienie z niektórych przepisów reguły tyczących ubóstwa: Stolica Święta pozwoliła im używać pieniędzy, tak że mogą je zupełnie prawnie posiadać, Błogosławiony jednak starał się nigdy nie korzystać z tego zwolnienia. Otrzymując pieniądze na drogę, jak tylko wracał z misji, oddawał, co mu zostało, gwardjanowi, gdyż bał się trzymać je u siebie. Pewnego dnia gwardjan powierzył mu jakąś sumę do oddania ekonomowi klasztoru, lecz że go długo nie było widać, Bonawentura usiadł przy jego drzwiach i czekał nań, a skoro go ujrzał wracającego, już zdaleka zawołał: „Dla miłości Bożej, proszę cię, Ojcze, pospiesz się!“ Zakonnik przybiegł, bojąc się, czy się co złego nie stało, a Błogosławiony wręczył mu natychmiast pieniądze i wtedy dopiero odzyskał spokój [2]).

[1]) Ś. Franciszek Salezy przez p. Marguiller. [2]) L'aur. séraph. T. IV p. 199.

S. Józef z Kopertynu, Konwentualny (1663 r.)

Ubóstwo, które pragnie coś posiadać, nie jest ubóstwem. Prawdziwe ubóstwo, ubóstwo ewangeliczne nic nie ma, a jeżeli co ma, to przynajmniej jest wolne od chęci i żądzy posiadania czegokolwiek. Takie właśnie wzniosłe ubóstwo praktykował Ś. Józef z Kopertynu, a praktykował je w stopniu tak heroicznym, że łatwiej byłoby powiedzieć, czego nie miał, aniżeli co miał. Wyzuł się on i ogołocił się ze wszystkiego tak, że pozostały mu jedynie przedmioty konieczne do życia. Jego ubiór stosował się tylko do przepisów skromności, nic więcej. Stary habit zazwyczaj połatany, pod nim tunika, podobna do włosiennicy, sandały, które kładł tylko wychodząc z domu. Chustkę do nosa miał grubą wełnianą. Pewna pobożna osoba, pilnująca go w ostatniej chorobie, zabrała mu ją, mówiąc: „Zabieram tę grubą i brzydką chustkę dla siebie, a przyniosę inną“. Święty odrzekł słodko: „O miłości, święta miłości!“ Ale, jak tylko zobaczył dwie chusteczki płócienne, „Za cienkie, za cienkie“, powiedział. I musiano zamienić je na inne z płótna grubszego. Gdy przybył z rozkazu Ś. Inkwizycji do Osimo, gwardjan pytał go, czy przywiózł ze sobą jakie rzeczy? „Przywiozłem“, odpowiedział, a były to: łyżka drewniana i mały nożyk do krajania chleba. Na nogach miał wtenczas grube pończochy, które, zsiadłszy z konia, zdjął natychmiast i oddał. Jedna z osób pobożnych poprosiła go o sznur, którym się przepasywał, odmówił jej, tłumacząc się, że nie jest on jego własnością, więc nie może nim rozporządzać.

Posiłek tego sługi Bożego składał się z korzonków i jarzyn gotowanych, oraz z chleba, niekiedy tylko i to bardzo rzadko jadał małe rybki, mięso zaś jedynie z posłuszeństwa, lecz wtedy żołądek jego, nie mogąc go strawić, wyrzucał je natychmiast. Pokarmy te przyjmował raz na dzień w swojej celi, dla częstych bowiem zachwyceń, nie mógł bywać w refektarzu. Po obiedzie musiano chować wszystkie resztki, żeby ani odrobina nie została: „Zabierzcie to do szafy“, mówił i pilnował, żeby to uczyniono.

Tapczan Józefa, składający się z trzech desek pokrytym skórą i z wałka słomianego, raczej oddalał sen, niż doń pobudzał. W ostatniej chorobie przełożni, litując się nad nim, kazali mu w imię świętego posłuszeństwa przyjąć materac i dwa prześcieradła płócienne. Kilka godzin tylko poleżał na nich: nie mógł znieść tej niezwykłej miękkości. Materac według niego urażał go, a prześcieradła były mu wstrętne. Zabrano mu więc i jedno i drugie, i płożono go na deskach, na których czuł się

lepiej na duchu i na ciele. To też umierając, Święty mógł się odezwać do gwardjana: „Ojcze mój, chciałbym uczynić akt zrzeczenia się, ale nic nie posiadam“. Przez całe życie, mówią akta procesu kanonizacyjnego, brat Józef nie miał nic, oprócz koniecznej odzieży, którą choć otrzymywał z rąk przełożonych, ale dawały ją niektóre osoby litościwe dla miłości Bożej. Ostatni habit był darem Kardynała Bichi, Biskupa z Osimo. Zresztą, Święty praktykował jak najściślejsze ubóstwo i nie uważał się za właściciela czegokolwiek. W celce jego stały tylko, stołek, dwa krzesła słomiane, mały stolik, przy którym się posilał, tapczan i na ścianie wisiało kilka obrazków papierowych, które mu pożyczono. Nigdy nie przyjął żadnego prezentu, jedynie kwiaty do ubrania ołtarza w oratorjum. Ludzie miłosierni, podziwiając ubóstwo Józefa, prosili go raz, aby przyszedł do nich, chcieli mu bowiem dać trochę pieniędzy. A gdy nie chciał ich wziąć, wrzucili mu pokryjomu do kaptura małą drobną monetę. Lecz on natychmiast cały okrył się potem, jakby go obciążono wielkim ładunkiem i zawołał: „Już nie mogę dłużej wytrzymać, nie mogę“. Osoby te wydostały zaraz ów pieniążek, a Józef lżej odetchnął. W tem zupełnem ogołoceniu czuł się bogatym i mówił wesoło: „Nic nie posiadam, ale Pan Bóg we wszystko mnie opatruje!“ Często też miał zwyczaj powtarzać piękne hasło Serafickiego Ojca: „Bóg mój i wszystko!“ Sługa Boży doszedł do takiego stopnia ubóstwa, że wyzuł się nawet z własnej swej osoby. Należała ona całkowicie do innych, czy to przez miłość, czy przez posłuszeństwo, jak to już widzieliśmy w poprzednich lub zobaczymy w następnych rozdziałach. [1])

Bł. Tomasz z Kori, Obserwant (1729 r.).

Obserwant ten, namiętnie zakochany w świętem ubóstwie, za przykładem Ś. Franciszka wybierał dla siebie rzeczy zużyte już przez braci. Habit nosił zawsze połatany, stary, a do pisania notatek i kazań używał różnych odcinków. Są to szczegóły, które ludzi światowych mogą do śmiechu pobudzić, lecz kto zna naturę ludzką, rozumie, że ci miłośnicy Chrystusa ukrzyżowanego temi na pozór śmiesznemi czynami ujarzmiali wrodzoną ludziom chęć posiadania i miłość własną. Nawet będąc gwardjanem, chodził po kweście, a celkę jego zdobiły tylko: nędzny stolik, krzesło słomiane, deska do spania i obrazek Ecce Homo, oraz krucyfiks; brewjarz zaś stanowił całą jego bibljotekę. [2])

[1]) S. Joseph de Cupertino par Bernino. [2]) Żywot Bł. Tomasza z Cori.

Ś. Jan Józef od Krzyża, Obserwant bosy (1734 r.).

Ten sługa Boży, jeszcze w domu rodziców, nosił ubranie proste pod względem kroju i materjału, chociaż zamożna rodzina jego robiła mu o to wymówki. Łóżko z dwóch wązkich desek zbite, na nich, zamiast pościeli, dwie skórki baranie i lichy kocyk, krzyż, kilka obrazków, stolik i stołek, na którym opierał poranione nogi, oto wszystkie sprzęty jego celi. Od chwili ukończenia nauk, Jan Józef nie używał już żadnej innej książki, oprócz brewjarza. Był jednak bardzo mocny w teologji, gdyż osobliwszym przywilejem więcej się nauczył, rozmyślając u stóp Ukrzyżowanego, niżeli czytając księgi. Co do ubrania, dość powiedzieć, że nosił do śmierci habit, który dostał przy obłóczynach; z tego powodu mawiał, że to jest jego szata weselna. Używał jej przez przeciąg 64 lat, cała więc złożona była z kawałeczków i łatek, tak że nazywano go niekiedy „Ojcem o stu łatach“ [1]).

Bł. Marja Krescencja, 3 Zak. reg. (1744 r.).

Błogosławiona Franciszkanka, wiedząc, że ślub ubóstwa obowiązuje do wyrzeczenia się wszelkiej własności, starała się oddalić od siebie nietylko pozór posiadania, ale i prawo do używania jakiejkolwiek rzeczy doczesnej. Pragnąc, aby jedynem jej szczęściem był Jezus Najsłodszy, mówiła często: „Nie mam nic swojego, skarby Boże są mojemi, oto moja radość“. Unikała słów wskazujących na posiadanie osobiste i nie mogła znieść, jak siostry wyrażały się m o j a cela, m ó j różaniec. „Zimne wyrazy: mój, twój niechaj będą zdaleka od nas; jesteśmy ubogie w Jezusie Chrystusie i nic własnego nie mamy. W tem się zawiera moje szczęście, żeby nie posiadać nic, prócz Boga, który jest Dobrem niezmierzonem“. Jedna rzecz tylko wydawała się jej godną zazdrości — doskonałe podobieństwo z Jezusem Chrystusem, nabyte przez ćwiczenie się w ubóstwie całego życia i śmierć podobnaż, to jest nie mając gdzie głowy skłonić. Rzeczy dawanych jej do użytku starała się nie zniszczyć przed czasem.

Doskonałość ubóstwa zawiera inną jeszcze cnotę. Nie jest to chwalebne bynajmniej być ubogim, jeśli się nie kocha nieodłącznych towarzyszów ubóstwa i jeśli się ich nie znosi wesoło dla miłości Zbawiciela Pana. Wielu szczyci się ze swego tytułu ubogich, a nie chcą, aby im czego brakowało. Zowią się przyjaciółmi ubóstwa, a uciekają od jego następstw: głodu, niedostatku, pogardy. Błogosławiona Krescencja nie tak postępowała. Ograni-

[1]) L'aur. séraph. T. I, p. 526.

czając swoje potrzeby do największego stopnia, wybierała zawsze co najgorsze, najostrzejsze, najcięższe i z zadowoleniem znosiła wszelkie braki i skutki ubóstwa. Zamiłowanie tej cnoty sprawiało, że jadała najczęściej zupę ubogich lub to, co zostawiły inne siostry, tak samo i ubranie nosiła już odrzucone przez nie, a że je starannie naprawiała i czysto utrzymywała, więc służyło jej dłużej, niż innym nowe. Nowicjat jej pod tym względem był bardzo surowy. Teresa Schmidt, przełożona klasztoru, dawała jej same tylko strzępki.

Będąc chorą, nigdy nie prosiła o nic szczególnego: wszystko, choćby najgorsze, było dla niej zbyt dobre, „nie przyszłyśmy tu bowiem, mawiała, aby żyć według swoich upodobań, lecz by naśladować Jezusa Chrystusa we wzgardzie i ubóstwie".

Święta zazdrość rodziła się w jej duszy na widok uboższych od siebie. Pewnego dnia, podczas gdy się modliła w chórze, Prowincjał kazał wynieść z jej celi wszystko, co tam było, oprócz krzyża. Za powrotem swoim Błogosławiona wydała okrzyk radości: „Dzięki Ci, Boże, tego właśnie oddawna już pragnęłam. Teraz jestem rzeczywiście bogata. Nigdy w całem mojem życiu nie czułam się tak szczęśliwą i wreszcie mogę powiedzieć z moim Serafickim Ojcem: „Bóg mój i wszystko moje!" Oprócz Niego nie chcę nic na niebie, ani na ziemi".

Śmierć Krescencji.

Miłośnica ubóstwa, jak i jej Seraficki Ojciec, Marja Krescencja, umierając, dziękowała Bogu, że dał jej urodzić się i żyć w ubóstwie. „Uważam to za szczególną łaskę, rzekła do obecnych, że ubóstwo było cząstką moją od dzieciństwa". A wynurzywszy swoją wdzięczność za starania, jakiemi ją otoczono, prosiła Sióstr, żeby dla miłości Bożej przyjęły po jej śmierci jedną kandydatkę bez posagu i dodała, że będzie to bardzo miłem Panu Jezusowi, i że wzamian udzieli On zgromadzeniu wielkich łask. Gdy Błogosławiona umarła, zakonnice znalazły w jej papierach opowiadanie tego objawienia, jedyne, jakie skreśliła: „Na większą chwałę Boga. Pewnego dnia modliłam się, aby Niebieski Oblubieniec nagrodził wielką miłość ukochanych mi Sióstr, że mnie przyjęły ubogą i niegodną do zakonu Ś. Franciszka i pozwoliły mi złożyć w nim śluby. Błagałam Pana, by błogosławił nasz klasztor, oddalał od niego nędzę i wszelkie nieszczęścia duszy i ciała, przedewszystkiem jednak, by pełniła się w nim Jego wola najświętsza. Umiłowany mój odpowiedział mnie niegodnej: „Dziecię moje, wysłucham cię w następujący sposób. Po twojej śmierci odejmę im na czas pewien moją łaskę i dobrodziejstwa, aby zgromadzenie poznało moje upodobania i aby oczy wszystkich się otworzyły". A gdy błagałam, żeby nie zwlekał długo i wkrótce przyszedł wam z pomocą: „Dziecko drogie, rzekł, jeżeli, skoro umrzesz, wezmą dla miłości mojej ubogą dziewczynkę bez posagu, wrócę im łaskę swoją i błogosławieństwo, ale niech aspirantka będzie cnotliwą i pełną dobrej woli. Po jej śmierci niech wybiorą drugą i tak niech zawsze robią. Pod tym warunkiem chcę spełnić twoje życzenie. To zaś, co mówię, zapisz, aby moje słowa znaleziono i zastosowano się do nich". Uczyniłam więc według rozkazu Pana naszego". Franciszkanki z Mayerhoff pozostały zawsze wierne temu pobożnemu zwyczajowi. [1])

Bł. Idzi od Ś. Józefa, Obserwant bosy (1812 r.).

Ubóstwo błogosławionego braciszka nosiło na sobie wyjątkową cechę. Nazywał on je swoją siostrą, matką, oblubienicą i nietylko nigdy nie naruszył tej cnoty, ale, wiedząc, że ona stanowi jakoby treść zakonu serafickiego, nie popełnił przeciw niej żadnej dobrowolnej niedoskonałości. Otrzymując znaczne sumy, już to na wydatki przy ozdabianiu kościoła, już na wsparcie ubogich, zwłaszcza wstydzących się żebrać, rozporządzał niemi według intencji ofiarodawców i za wiedzą swojej władzy, która wiedziała o każdym groszu. Jałmużna dla biednych przechodziła tylko przez jego ręce. Miał on zawsze tyle potrzeb do zaspokojenia, że natychmiast wszystko znikało. Jedynie to, co ukwestował w ciągu całego roku na podniesienie czci Boskiej, leżało spokojnie do czasu, aż trzeba je było użyć. Przełożeni byliby mu chętnie pozwolili, aby miał przy sobie małą sumkę pieniędzy, boć wydawał je według ich rozkazów, lecz brat Idzi ani marzył nawet o tem. Nie zasnąłby spokojnie przy pieniądzach i co wieczór, powróciwszy z kwesty, oddawał wszystko ojcu prokuratorowi. Ponieważ duch doskonałego ubóstwa wymaga zupełnego oderwania się od wszystkich rzeczy, a zarazem wielkiej oszczędności, takiej, jaką muszą praktykować istotnie ubodzy, brat Idzi pogardzał w sercu dobrami tego świata, ale uważał, żeby nic z powierzonych sobie sum nie utracić. Dzięki zaufaniu, jakiem darzyli go Neapolitańczycy, sługa Boży miał jałmużny poddostatkiem, nic jednak nie brał na swój własny użytek, nawet za wiedzą gwardjana. Braciom zakonnym dostarczał wszystkiego, co było zgodne z regułą, poprzestając sam na porcji

[1]) La V. Marie-Crescence Höss....

klasztornej, że zaś i ta była mu za obfitą, więc dzielił się nią z ubogimi.

Celę miał Idzi najuboższą, a gdyby była w klasztorze jeszcze nędzniejsza, z pewnością byłby uprosił ją sobie na mieszkanie. Jego zdaniem, sprawiedliwość wymagała, żeby mu dawano co tylko było najgorszego tak z mieszkania i ubrania, jak z jedzenia, inni zaś bracia, jako cnotliwsi od niego, musieli mieć pewne względy. Tak samo habit świątobliwego zakonnika był stary, znoszony i pełen łat rozmaitego koloru. W nowym nie wyszedłby był nigdy na ulicę. Do takiego nędznego wyglądu przyczyniała się i niedelikatna cześć pobożnych, którzy z takim zapałem ucinali na relikwje kawałki jego sukni i płaszcza, że trzebaby było codzień dawać mu inne, a klasztor nie mógł się na to zdobyć. Zresztą i sługa Boży wcale tego nie pragnął, to też śmiało można powiedzieć, że ubrany był prawie w same kawałki i rzadko który z nich pochodził z danego mu habitu. Zamiłowanie cnoty ubóstwa miał on wrodzone już z młodych lat. Dobra ziemskie już wtenczas nie miały dlań żadnego uroku. Owoc swojej pracy natychmiast oddawał matce, a później, kiedy ojczym pozwolił mu rozporządzać swoim zarobkiem, zanosił go wujowi, aby tylko nie trzymać go u siebie. Nic więc dziwnego, że, wstąpiwszy do zakonu, którego wybitną cechą jest ubóstwo, Bł. Idzi odrazu uczynił w nim wielki postęp.[1])

Cz. Wincenty Pallotti, Tercjarz (1850 r.).

Ten sługa Boży rozmyślał często o ubóstwie Zbawiciela, leżącego w żłobku betleemskim i na tych rozmyślaniach taką zapalił się miłością tej cnoty, że, jak pisał w swoim dzienniku, pragnąłby był posiadać wielkie bogactwa, aby je wszystkie złożyć u stóp Jezusa ubogiego. Wychowany w dostatkach, wzgardził niemi i ubierał się bardzo ubogo, jakkolwiek czysto i porządnie. Rzeczy nowych prawie że nie używał. Kiedy raz ojciec sprawił mu płaszcz z dobrego sukna, Pallotti oddał go pewnemu biednemu kapłanowi, a wziął jego zniszczony, który zaraz trzeba było naprawiać. Również i kapelusze nosił zużyte, stare, najczęściej po jakim ze swoich towarzyszów, gdy ten bowiem rzucił kapelusz, jako już niezdatny, Pallotti podnosił go i chodził w nim jeszcze bardzo długo. Jedną sutannę miał całe 18 lat.[2])

Bł. Jan Marja Vianney, 3 Zak. (1856 r.).

Błogosławiony Vianney był prawdziwym ubogim ewangelicznym. Pokój, który zajmował przez 40 lat z górą był więcej ogołocony i zakopcony, aniżeli schronienie jakiego biedaka. Nie można dzisiaj bez litości patrzeć na nędzne łóżko, starą szafę, mały stolik i gliniane naczynia, cały majątek sługi Bożego. Kiedy chciano tam co zmienić, zastąpić nowem, wołał: „Czyż mi nie wolno zachować ubóstwa nawet w swoim pokoju?“

Ubogi był i w odzieży. Jego sutanna, a miał ją tylko jedną i gęsto połataną, stary kapelusz i buty, prawie czerwone od długiego użycia, wywoływały uśmiech i szyderstwa kapłanów. „To jeszcze dosyć dobre, mawiał, dosyć dobre dla proboszcza w Ars!“ Na pierwsze wejrzenie wygląd Vianney'a raził nieznajomego. Patrząc nań, nie chciało się wierzyć, aby to był ów słynny kierownik dusz i cudotwórca, do którego przybywano z dalekich stron po światło i radę. Ksiądz Vianney był ubogi i w pragnieniach swoich. Jego skromna ojcowizna rozeszła się na budowę domu sierot, wskutek czego musiał się wyrzec rzeczy najpotrzebniejszych. Nie mając nic, tak niewiele troszczył się o jutro, że osoby pobożne, które żartobliwie swemi karmicielkami nazywał, były zmuszone pamiętać o jego potrzebach. Z radością brał w jałmużnie coś do ubrania, byle to było proste i grube[1]).

Cz. Ludwik z Kazorja, Obserwant bosy (1885 r.).

Czcigodny Ludwik był odbiciem cnót Franciszka Serafickiego. Jego cela w zakładzie „Palma“ wykazywała najwyższe ubóstwo; dwie niewielkie deski, przymocowane do muru, stanowiły tapczan, w głowach jego krzyż prosty, pozatem książka, zapałki i zresztą nic więcej; czasami wisiało tylko ubranie zakonne czyste ale stare, jeżeli go nie dał któremu z braciszków. Podobnyż kącik miał jeszcze sługa Boży w domu barona Kamila Pellegrini, w samym środku miasta Neapolu. Zajęty dziełami miłosierdzia, chciał nieraz skupić się i zdala od ludzi porozmawiać z Panem Bogiem, a że rodzina ta była mu bardzo przychylną i należała do Trzeciego Zakonu, O. Ludwik urządził u nich swoją aptekę dla ubogich chorych i w końcu znalazł tu sobie izdebkę ciasną, bo tylko długości łóżka, a szerokości krzesełka, lecz właśnie odpowiadającą jego potrzebom. Nad drzwiami jej, z pozwolenia barona, wyryto słowa, które do dziś dnia można tam czytać: „Znalazłem celę ubóstwa“. Przez kilka lat spędzał on w niej długie godziny, mając za posłanie prostą deskę, a za poduszkę kamień. Taż sama deska służyła mu za stół do pisania i do czytania. Ale za to jakie akty miłości płynęły tam

[1]) Le V. Egide de St. Joseph par l'abbé Olivier. [2]) Les Saints de Rome au XIX siècle.

[1]) Le B. Jean-Marie Vianney.

z jego duszy, ile dzieł miłosiernych wzięło tam swój początek! Jakże ubóstwo tej celki przemawiało do jego serca i ile w niem wielkich i świętych myśli zrodziło! Głęboka to tajemnica serca ludzkiego! Pałac lub dom bogaty z marmurami nigdy nie natchnie tyle cnót i uczuć szlachetnych, co nędzna chałupka lub izdebka, do której ledwie że dochodzi blady promień słońca.

Swój słynny później zakład „Palma“ sługa Boży zaczął również w najwyższem ubóstwie. Kupiwszy posiadłość za pieniądze Opatrzności, w pierwszych dniach nie miał tam ani stołu, ani stołka do siedzenia, ani tapczanu, zgoła nic. I kiedy poprosił Generała Braci Mniejszych, aby przyszedł pobłogosławić nową infirmarję, ten musiał przenocować na ziemi, na płaszczu Ludwika. Takie były początki wielkiego dzieła serafickiego dla chorych kapłanów.

Ubóstwo też jako skarb najwyższy zalecił fundowanym przez siebie Braciom Szarym. Prześliczny jest jego list do tychże braci, napisany na okręcie podczas strasznej burzy, kiedy kapitan oznajmił, że mogą wszyscy zatonąć: „Pan wezwał was ze świata i wprowadził do Trzeciego Zakonu, jak mnie do Pierwszego. Biada nam, jeśli nie skorzystamy z tej nieskończonej miłości Bożej! Mamy tedy, oprócz przykazań Boskich i Kościelnych, nowe obowiązki, ja, wskutek ślubu uroczystego, a wy, na mocy prostych ślubów; ja, przez posługę kapłańską, wy zaś przez ćwiczenie się w miłości; ja, żeby zbawiać, wy, żeby uczyć dusze: dwa stany zarówno boskie i dopełniające się nawzajem, pierwszy bowiem nie może dusz zbawić, jeśli drugi nie przygotuje ich do tego... Ś. Franciszek będzie Patryarchą zgromadzenia, dopóki ono rządzi się nietylko ubóstwem ducha, ale jeszcze i ubóstwem zewnętrznem i rzeczywistem. Ubóstwo nakładam na wszystkich Braci Szarych w imię świętego posłuszeństwa, a tym, którzyby uważali je za zbyt uciążliwe do zachowania, rozkazuję za pośrednictwem przełożonych wrócić na świat i żyć w nim jako dobrzy chrześcijanie, lub jako tercjarze świeccy. Dzieło to rozwinie się szeroko, jeżeli ci, co niem kierować będą, nie rozstaną się nigdy z tym skarbem niebieskim, umiłowanym przez Jezusa Chrystusa, który chciał się narodzić w ubóstwie. Kto rządzi z ubóstwem, rządzi z pokorą i z miłością chrześcijańską. Życie wspólne ze wszystkimi, we wszystkiem i dla wszystkich bez żadnego względu, ani na tytuły, ani na godności, wyjąwszy chorych, którzy jako żywy obraz Jezusa Chrystusa mają prawo do wszystkich ulg i zwolnień; niech więc będą oddzielnie od zgromadzenia i razem zebrani w infirmarji: polecam ich gorąco waszemu sercu... Gdyby który z Braci Szarych odłączał się od życia wspólnego, trzymając przy sobie pieniądze, niech będzie natychmiast usunięty z zakonu, jako posiadający własność. Ci, co nie mają obowiązku dotykania pieniędzy, niech się ich nie dotykają; ci zaś, co muszą je brać w ręce, niech je zaraz potem oddają prokuratorowi domu. Proszę braci, aby nie ważyli się spać ani spędzać nocy tam, gdzie leżą pieniądze, żeby w razie, gdyby siostra nasza, śmierć, przyszła niespodzianie, nie znalazła w ich celi szatana... Niech bracia idą żebrać od drzwi do drzwi dla miłości Bożej, biorąc wszystko, co im Opatrzność ześle dla sierot, chorych, ociemniałych, głuchoniemych i starców“. Tyle co do ubóstwa. Dalszy ciąg tego przecudnego listu mówi o innych cnotach. [1])

Marja od Jezusa, Franciszkanka od Niepokalanego Poczęcia (1889 r.).

Świętobliwa ta Franciszkanka, będąc wychowaną w dostatku, gardziła pieniędzmi i uważała, że one raczej szkodzą, aniżeli pomagają wielkiej sprawie zbawienia, to też największą było dla niej radością, gdy mogła woreczek swój wypróżnić między ubogich. Pozbyła się wszystkich pamiątek od swojej matki i od stryjów na zakłady dobroczynne w Clairfontaine[2]) i Mirecourt[3]), doszło wreszcie do tego, że musiała zarabiać na chleb, a potem i żebrać, ażeby ubodzy, którzy byli pod jej opieką, mieli co jeść i w czem chodzić. Pensję, którą jej matka co rok dawała, obróciła na otworzenie przytułku dla dziewcząt upadłych w Mirecourt. Fundując zaś klasztor w Troyes (Trua), sprzedała ostatni kawałek ziemi z majątku na nią przypadającego. Mogła go zatrzymać, nie mając zapewnionej przyszłości, nawet jako Franciszkanka, ale to nie zgadzałoby się z jej pragnieniem życia ubogiego. Z ust jej często wychodziły takie akty: „Teraz mogę już prawdziwie zawołać do Boga: Jesteś Ojcem moim! Od Ciebie oczekuję wszystkich rzeczy mi potrzebnych!“

Ubóstwo jej posunięte było do najwyższych granic. Naprzykład, będąc w drodze, zawsze żebrała posiłku od domu do domu; pierwszy habit miała z jałmużny, co jej sprawiło niezmierną pociechę. W następstwie czasów był on tak połatany, że pierwotnych kawałków już wcale nie można było w nim dopatrzeć. Nowe rzeczy, czy to z ubrania, czy z obuwia, czy z naczyń kuchennych brała tylko w ostateczności. Umiała oszczędzać wszędzie, listy swoje pisała na kawałkach papieru, odciętych z ogłoszeń i z kopert. Zbierała resztki czy to ma-

[1]) Ludovic de Casoria... [2]) Klerfąten. [3]) Mirkur.

terji, czy sznurka, czy szpagatu. Na chwałę Bożą, podniesienie uroczystości kościelnej, a przedewszystkiem czci Najświętszego Sakramentu oddawała, co tylko miała i nie miała, wszystkiego było jej za mało; dla samej siebie tylko oszczędzała, obywając się byle czem i w zgromadzeniu strzegła zbytków. Zbawiciel sam ją nauczył i dał poznać wartość ubóstwa ewangelicznego. To ubóstwo pociągnęło ją do rodziny franciszkańskiej, chociaż wszędzie chciano ją przyjąć; a to zamiłowanie tej cnoty i ustawiczna jej wierność sprawiła, że z nią razem przyszły jej wszystkie inne, jak cnota oderwania się od stworzeń, zadziwiająca czystość duszy, pokora, posłuszeństwo, miłość siostrzańska, dar wysokiej modlitwy i heroicznego umartwiania się aż do śmierci. Marja od Jezusa ogołociła się ze wszystkiego w duchu i w sercu i dlatego jest ona wzorem dla członków zakonu franciszkańskiego. Kto złoży ślub ubóstwa, niechaj strzeże się przywiązywać do dóbr ziemskich, gdyż szykuje sobie w ten sposób najstraszniejszą karę w piekle, według objawienia Bł. Angeli z Folinjo (Foligno)[1]).

Kapucyni.

Reforma Kapucynów najlepiej odtworzyła ubóstwo Serafickiego Patryarchy tak w odzieniu, jak w mieszkaniu i posiłku. Konstytucje ich nietylko bezwzględnie zakazują posiadania jakiejkolwiek własności, ale wzbraniają robienia większych zapasów — przypominając, że Ojciec Niebieski zna potrzeby swoich dzieci, że chce i może je opatrzyć. „Niech więc nie będą, jako poganie, którzy w Boską Opatrzność nie wierzą, ale się troszczą i zabiegają o rzeczy doczesne, niepomni, że je Bóg tak szczodrą ręką rozlewa nawet na bezrozumne stworzenia. — Niechże, złożywszy wszelką troskę, jako prawdziwe dzieci Boże, zaufają Ojcu Niebieskiemu. Niech się we wszystkiem zdadzą na Jego szczodrobliwość i niech się całem sercem rzucą w objęcia Jego nieskończonej Dobroci". Na tej zasadzie nie wolno Kapucynom robić żadnych zapasów tych rzeczy, które codziennie dostać można, chyba w wyjątkowych razach, a ponieważ ubóstwo franciszkańskie w wielkich konwentach trudne jest do zachowania, dlatego Kapucyni mają budować małe klasztorki. Kościoły mają być również małe, bo, jak mówi Ś. Franciszek, lepszy dadzą bracia przykład, każąc w obcych kościołach, niżeli w obszernych własnych. Wszystko w kościołach ma być ubogie, proste, ale czyste, ponieważ Bóg większe ma upodobanie w czystem sercu i w dobrych uczynkach, niż w kosztownych i ozdobnych rzeczach". Domy mają przypominać „chaty biednych ludzi, a nie pałace możnych". Przy budowie domów niech bracia pomagają własnemi rękami, o ile to im będzie dozwolone".

Wybitnie odpowiada pierwotnemu duchowi zakonu konstytucja, wzbraniająca grzebania zwłok ludzi świeckich w kościołach braci, bo takie pogrzeby są zwykle pokusą, przynoszącą klasztorowi legaty lub bogate donacje: wolno tylko grzebać w kościołkach kapucyńskich takich ubogich, których nikt nie chce pochować". Ustawy kapucyńskie przepisują życie wspólne, zabraniając wszelkich starań osobistych, na czem głównie ubóstwo zakonne polega.[1])

Ludwik z Urbinu (1560 r.).

Gorliwy ten kaznodzieja, miłośnik pokory i ubóstwa, przez 25 lat swego życia zakonnego nosił jeden wytarty habit. Żywił się tylko chlebem i wodą, i to w bardzo małej ilości. Najniższe usługi klasztorne uważał dla siebie za najodpowiedniejsze. Tak przestrzegał zachowania przepisów reguły, że gdziekolwiek widział je naruszone, upominał, strofował, groził. Czart, zły na sługę Bożego, usiłował, czyby nie mógł go skusić. Pewnego razu, gdy Ludwik pracował w ogrodzie, wykopał motyką garść pieniędzy. Przerażony, zasypał je coprędzej ziemią. Że zaś była to rzeczywiście sztuczka djabelska, okazało się z tego, że bracia, szukając ich potem z rozkazu gwardjana, nic zupełnie znaleźć nie mogli.[2])

Antoni z Montesikardo (1580 r.).

Antoni z Montesikardo nie posiadał nic, prócz brewjarza i habitu. Zachęcając innych do tej cnoty słowem i przykładem, miał zwyczaj opowiadać o pewnym bracie z zakonu Obserwantów, który, ukazawszy się po śmierci swemu gwardjanowi, oznajmił, że jest potępiony, bo bez jego pozwolenia nabył i rozdał swoim przyjaciołom pięć różańców. Mówił również, że brat przestępujący ubóstwo, uważa się za rozumniejszego od Ś. Franciszka, Święty Ojciec bowiem wszystko, co nie służyło do zaspokojenia niezbędnych potrzeb, uważał za zbyteczne. Gdy więc ani reguła, ani Ś. Franciszek, ani sam Chrystus Pan, będący pierwszym Dawcą tej rady, na to nie pozwala, jakiem prawem Brat Mniejszy ośmiela się tego używać. Nie są wolni od występku nawet i ci, co korzystają

[1]) Vie de Marie de Jésus par le R. P. Damase de Loisey, Cap.

[1]) Bracia Mniejsi i przybycie ich do Anglji. Wstęp. O. Cuthberota. [2]) Kroniki Kapucynów Bowerjusza. T. I. 1560 r.

z tych rzeczy za wiedzą przełożonych, gdyż wszystko, co zbyteczne, nie podpada pod władzę starszych i oni do tego upoważniać nie mogą. Dalej, jeżeli Kościół jest właścicielem rzeczy potrzebnych braciom, to któż jest nim co do rzeczy zbytecznych? Chyba szatan. Nietylko więc Brat Mniejszy nie powinien bez wiedzy przełożonego nic posiadać, ale ma odrzucać to wszystko, co chociaż mu przełożeni zezwolili, sam jednak uzna za mniej potrzebne.[1])

Ś. Serafin z Montegranaro (1604 r.).

Na wzór Serafickiego Ojca Franciszka, brat Serafin rozkoszował się ubóstwem. Celka jego była ciemna, mała i niewygodna; habit nosił stary i połatany, pożywieniem jego był najczęściej chleb i woda, lub pozostałe resztki, do których dosypywał popiołu dla odebrania im smaku; zresztą jadał w ogóle tak mało, że wszyscy nie mogli się wydziwić, skąd bierze siły do podejmowania prac i umartwień życia zakonnego.[2])

Cz. Honorat z Paryża (1624 r.).

Miłość Czcigodnego Honorata ku ubóstwu była jak tylko być może najwyższa. Czuł on głęboką odrazę do dóbr ziemskich, zwłaszcza zaś do pieniędzy. Z jaką chciwością skąpiec ubiega się za groszem, z taką on go unikał i odwracał oczy i ręce, aby się do niego nie zbliżyć i nie dotknąć. Pewnego dnia wrzucono mu jako jałmużnę w kaptur jego habitu mały pieniążek. Sługa Boży, który to dopiero później zauważył, sądząc, że to sidła na jego ubóstwo, wziął dwa kawałki drzewa i z ich pomocą wydostał ów pieniążek, aby się go gołą ręką nie dotknąć. Ten sam duch ubóstwa widoczny był w jego grubem ubraniu, które zmieniał w ostateczności tylko i kiedy trzeba było je oczyścić. Im więcej łat było w habicie, tem on więcej się cieszył. Podobnież ubogie było i mieszkanie Honorata: cela ciasna, słabo oświetlona, tapczan lichy z siennikiem i grubą wełnianą kołdrą, mały stoliczek i nic więcej. Uważał on za wielką łaskę dla siebie i dla drugich, gdy Pan Bóg dopuścił na klasztor jaki brak w żywności lub w ubraniu. Wesołe znoszenie braku, mówił braciom, buduje bliźnich, a jego zasługa czyni słodki przymus Opatrzności Boskiej i zniewala Ją do wspomagania.

Pewnego razu przyszedł doń przełożony innego zakonu, prosząc o radę, jak trzeba zaopatrywać klasztor materjalnie: „Kłopoty tego rodzaju, mówił on, przypisuję niedbalstwu zakonników, którzy ani się nie skarżą przed świeckimi, ani nie powiadamiają ich o swojem ubóstwie". Ja zaś, odparł Honorat, całkiem inaczej czynię. Skoro się dowiem, że który z braci powiedział cośkolwiek w tej materji, bardzo mu to ganię i jedną z moich trosk największych jest, aby zachować w prowincji tego ducha zadowolenia w niedostatku, bez którego traci się zasługę ubóstwa. Święty nasz Ojciec Franciszek tak to cenił, iż wolał brak czegoś, aniżeli obfitość, tem więcej, że ubóstwo, zniesione dla miłości Bożej jest zawsze zasługujące, gdy przeciwnie, obfite używanie nigdy nie bywa bez grzechu. Lepiej też utrzyma się je w odważnem znoszeniu niedostatku, aniżeli przez skargi i delikatne przymawianie się o jałmużnę".[1])

Krzysztof z Modeny (1642 r.).

Dnia 20 grudnia 1612 r. w klasztorze bolońskim OO. Kapucynów umarł wzorowy zakonnik, którego wybitną cnotą było ubóstwo serafickie. Objawiał on je w sposób niezwykły, mianowicie zbierał wszystko co znalazł wyrzucone lub walające się na korytarzach klasztoru czy w ogrodzie, i znosił do celki, którą mu gwardjan na to przeznaczył, aby potem obrócić to na pożytek rodziny zakonnej. Rzeczywiście, ilekroć braciom czego było potrzeba, zawsze Krzysztof ich tem obdarzył, tak, że nie byli zmuszeni ani kupować tego, ani prosić o przyniesienie braci kwestujących. Nad drzwiami owej celki widniał napis: „Tutaj mieszka pani ubóstwo". O. Krzysztof ćwiczył się w tym miłosiernym obowiązku przez lat 40. A jak żył przykładnie, taką też piękną miał śmierć. Gdy zasłabł w Bolonji pod koniec października i choroba coraz postępowała, gwardjan umyślił opatrzyć go Ostatniemi Sakramentami w uroczystość Wszystkich Świętych. Lecz pobożny zakonnik, dziękując mu za miłość i opiekę, oświadczył, iż umrze dopiero 20 grudnia. Na zapytanie, dlaczego w tym dniu, odrzekł z pogodą i spokojem: „Mam nadzieję opuścić ten świat w przeddzień uroczystości Ś. Tomasza, gdyż urodziłem się w sobotę tego dnia; w tym dniu otrzymałem habit, w tenże dzień przyjąłem święcenia kapłańskie, a że w tym roku wigilja przypada w sobotę, więc wnoszę, że to będzie ostatni dzień mego pobytu na ziemi". I stało się, jak sobie wyprorokował.[2])

Hieronim z Korleonu (1717 r.).

Braciszek ten zatopiony w Jezusie Chrystusie za nic miał wszystko, co ziemskie i doczesne. Co

[1]) Tamże r. 1580. [2]) L'aur. séraph. T IV. p. 38.

[1]) Histoire du V. Honoré de Paris par l'abbé Mazelin.
[2]) Annali Cappuccini dal Pelegrino da Forli. V. I.

do ubóstwa habitu nikt go nie przewyższał, peleryna zaś, której używał, była z najgrubszego i lichego materjału, a przytem wązka i niedostatecznie go okrywająca. Tapczan jego składał się z dwóch desek nakrytych matą i kocem zrobionym z różnych kawałków sukna; za poduszkę służył mu pieniek; na takiem więc posłaniu raczej musiał się umęczyć, niżeli odpocząć. W podróżach, podejmowanych z rozkazu przełożonych, chodził zawsze pieszo i bez żadnych zapasów, ufał bowiem mocno Opatrzności Boskiej. I ta w rzeczy samej nigdy go nie zawodziła. Pewnego dnia, wyszedłszy na kwestę z socjuszem do Terra delle Grotte, o 12 mil od Girgenti, znalazł się pod wieczór bez dachu. Pora była zimowa, deszcz padał, a braciszek, nie chcąc się naprzykrzać żadnemu dobrodziejowi, postanowił nocować na dworze. Lecz Pan Bóg nie przyjął tej ofiary: jakiś wieśniak zaprowadził braci do małego kościołka, żeby mieli chociaż dach nad głową, i przeprosiwszy, że nie ma im co dać zjeść, bo sam jest bardzo biedny, wyszedł. Zakonnicy zaczęli odmawiać różaniec i litanję loretańską, a po chwili ukazał się tam żebrak drżący od zimna w swoich łachmanach. Przyniósł on braciom piękny biały chleb, krajankę sera, wiązkę rzodkiewki i wino w buteleczce. Hieronim i jego socjusz prosili go, żeby im powiedział, od kogo ta jałmużna, ale żebrak nie chciał zdradzić sekretu, mówiąc, że to niepotrzebne, niech tylko modlą się za swego dobrodzieja i podziękują Panu Bogu. Nazajutrz bracia myśleli, że ubogi przyjdzie po butelkę i dlatego długo nie wychodzili z kościołka, lecz napróżno, ubogi nie zjawił się. Przez trzy dni, jakie spędzili w okolicy kwestując, nie zdarzyło im się ani razu spotkać z tym, którego Opatrzność użyła do wsparcia ich ubóstwa.

Drugi podobny wypadek.

Innym razem obaj ci bracia szli do Kastrofilippo. W drodze zaskoczyła ich burza. Przemokli, oślepieni błyskawicami, ogłuszeni grzmotami, postępowali naprzód, nie wiedząc, gdzie się znajdują. Wreszcie ukazały się pierwsze domy miasteczka. Zobaczywszy ich, jakaś zacna, ale uboga kobieta zaprosiła ich do siebie, umyła im nogi, a rozpaliwszy duży ogień, aby mogli wysuszyć habity, udała się na noc do swojej krewnej. Miała ona małą monetę, ale z obawy przed mężem, nie chciała jej wydać na kolację dla zakonników. Gdy jednak zabierała się do spoczynku, coś ją nagliło, żeby koniecznie wrócić do domu i dać jeść braciom. Jak niegdyś wdowa ewangeliczna, tak teraz owa niewiasta dała wszystko co miała, a Bóg jej to hojnie wynagrodził. Nietylko mąż nie pogniewał się za jej szczodrobliwość, lecz z biednych robotników, jakimi byli, stali się bogatymi dzierżawcami, a potem i właścicielami.

Przestrzega skarbu ubóstwa.

Przybywając do domu bogaczów, brat Hieronim jadł tylko potrawy proste, najzwyczajniejsze i w niewielkiej ilości. O ile mógł, zatrzymywał się zawsze u ubogich, którzy przyjmowali go serdecznie i dzielili się z nim swoim czarnym kawałkiem chleba. Czuł się tam swobodniejszy, niż w pałacach wielkich panów. Nigdy nie brał jałmużn obfitych i zbytecznych. Z tego powodu mawiał nieraz, że kwestarz powinien nosić w sakwie dwie cnoty: miłość, aby dostarczyć braciom wszystkiego, czego potrzebują i ubóstwo, aby uchronić się od nadużycia i nie pozbawić jałmużny innych ubogich.

Brat Hieronim musiał się często bronić od wspaniałomyślności kilku znakomitych dobrodziejów. Na mocy traktatu Utrechckiego (r. 1713), który zakończył wojnę o następstwo tronu w Hiszpanji, Sycylja dostała się księciu Sabaudji, Wiktorowi Amadeuszowi. Książę ten przed kilku laty na modlitwę braciszka uzyskał zdrowie dla swojej małżonki, kiedy więc stał się panem Sycylji, polecił listownie hrabiemu Maffei, rządzącemu w jego imieniu, aby kasa królewska była zawsze otwarta dla brata Hieronima. Wicekról, wezwawszy go do siebie, włożył mu w rękę list królewski, ale braciszek nie chciał go nawet czytać. „Dziękuję Waszej Wysokości, zawołał, ale cóżby robił z temi pieniędzmi ubogi kwestarz kapucyński, któremu reguła każe codzień żebrać od drzwi do drzwi; cóżby się stało z ubóstwem serafickiem, które ślubował Bogu do końca życia?“ [1])

Ś. Weronika Dżuljani (Giuliani) (1727 r.).

Można powiedzieć, że Weronika miała do ubóstwa ewangelicznego naturalną skłonność, gdyż od dzieciństwa okazywała wstręt do wszelkiej wystawy i próżnego stroju, tak mocno nęcącego płeć niewieścią. Z miłości ubóstwa wybrała sobie najsurowszy pod tym względem zakon Kapucynek, a jeszcze i tam odznaczyła się wyjątkowem zamiłowaniem tej cnoty. Suknia jej była najbardziej wyszarzana i pełna łat. Co zaś do sprzętów jej celi, oprócz tapczanu z dwóch desek, a na niej poduszki napchanej słomą i wytartej kołdry wełnianej była

[1]) Vie du Fr. Jerôme de Corléone par le R. P. Arsène de Chatel.

tylko ławeczka z prostego drzewa i mały stolik, na którym stał obrazek papierowy i kropielniczka gliniana do wody święconej.

Od pierwszej zaraz chwili wstąpienia do klasztoru, Święta przykładem swoim, a później i roztropnemi uwagami skłoniła siostry do pozbycia się mnóstwa rzeczy zbytecznych lub niezgodnych z ubóstwem. Wybrana na mistrzynię nowicjuszek, nie przestawała zachęcać swoje córki, aby ukochały tę cnotę nad wszystkie inne; chciała, żeby zbierały najmniejszą niteczkę upadłą na ziemię, żeby przeglądały śmieci i szpary w izbach, czy w nich niema jakiego zarzuconego drobiazgu, któryby się mógł jeszcze przydać. Nie przyjęła nigdy żadnej rzeczy drogiej lub zbytkownej. Ciotka Klemensa XI Papieża, ofiarowała jej raz szpilkę srebrną, w której była oprawiona relikwja Krzyża św. Weronika zaraz oddała ją do rąk Biskupa. To samo uczyniła, gdy pewien prałat rzymski przysłał jej medalik z dwunastu srebrnemi krzyżykami.

Na urzędzie opatki.

Będąc opatką, chociaż ją do tego upoważniał zwyczaj, nie chciała jednak zatrzymywać u siebie jałmużn, czynionych klasztorowi w pieniądzach, lecz je natychmiast odsyłała Biskupowi, aby je miał u siebie na wypadek potrzeby, a skoro takowa nadeszła, prosiła, żeby jej z pieniędzy złożonych udzielał, i mawiała, iż takim sposobem zdaje się jej, jakoby jałmużna była podwójną, bo raz otrzymywała ją od dobrodziejów, a drugi raz od Biskupa. Zwyczaj też trwający w zgromadzeniu rozdawania podarunków, jako niezgodny z ubóstwem, tak ograniczyła, aby dawać rzeczy tylko małej wartości. Jakkolwiek była gorliwa w przestrzeganiu cnoty ubóstwa, jednak Pan Bóg, chcąc ją coraz więcej do tego skłonić, zachęcał ją rozmaitemi widzeniami. Razu pewnego zobaczyła Pana Jezusa wskazującego palcem w jedną stronę, a gdy tam spojrzała, przedstawili jej się szatani w wielkiej liczbie, rzucający śmiecie w jakieś jaskinie, mające postać świątyń, przyczem powiedział jej Zbawiciel, że to są cele pewnych Kapucynek, do których z poduszczenia złego ducha wnoszą rozmaite zbytkowne przedmioty. W innem zaś widzeniu objawił jej się znowu Pan Jezus z chorągwią w ręku, mówiąc: „Zwycięstwem twojem ja jestem“ i w ten sposób nakłaniając ją, aby się starała o zaprowadzenie w swoim klasztorze jak najściślejszego ubóstwa. Wszystkiem tem zachęcona, Weronika przywiodła całe swoje zgromadzenie do zupełnego wyrzeczenia się wszelkiej własności, tak, iż żadna z sióstr nie miała u siebie nic takiego, czemby mogła według swej woli rozporządzać. Miała w tem wiele do zwalczenia, ale okazała się nieugiętą i radośnie znosiła wypływające stąd przykrości.

Przestrzega ubóstwa.

Zwiedzając zabudowania klasztorne, kazała wynosić z nich wszystko, co tylko było nieodpowiedniego. Raz np., znalazłszy w infirmarji większą ilość drzewa nad tę, która była potrzebna na krótki czas, a sądząc, że to jest zbytek niewłaściwy dla ślubujących ścisłe ubóstwo, poleciła je odnieść na swoje miejsce. Innym razem dostrzegła, że niektóre urzędniczki przy składaniu swego obowiązku zakupiły zbytnią ilość mioteł dla klasztoru i oddawały je tym, co na ich miejsce następowały. Złajała je za to bardzo surowo i za pokutę kazała im na plecach wnieść owe miotły do refektarza i oskarżyć się z tej winy przed zgromadzonemi tam siostrami; mioteł zaś zostawiła tyle tylko, ile uważała, że zgadzało się ze świętem ubóstwem. Zgromiła również dwie konwerski, że pomalowały skórką od granatów ławeczkę w kaplicy ogrodowej Ś. O. Franciszka i kazała ją przywrócić do dawnego stanu. Z jej rozkazu wszystkie podarunki, jakie rodzice lub znajomi dawali zakonnicom, przechodziły zawsze przez ręce przełożonej, a ta wszystko obracała na wspólny użytek. Na tak zwanej rocznej kapitule wywłaszczenia siostry musiały jej zdawać sprawę z tego, co która posiadała, choćby to były rzeczy najmniejszej wagi, jak różaniec, obrazek. Wszelkie zatajenie było surowo karane. Przez takie święte zabiegi, Weronika zaprowadziła w zgromadzeniu swojem życie doskonale wspólne i ową ścisłość ubóstwa, którą Ś. O. Franciszek chciał widzieć we wszystkich klasztorach.[1])

Bł. Marja Magdalena Martinengo (1737 r.).

Błogosławiona ta, jako Mistrzyni nowicjatu, uczyła siostry ubóstwa własnym przykładem. Pewnego dnia nowicjuszki, niezadowolone z chleba klasztornego, schowały kilka kromek, aby go nie jeść. Mistrzyni, odnalazłszy je, przyniosła do refektarza i sama jadła ów chleb, pokazując przez to jak należy korzystać z ubóstwa. Innym razem kupiono w klasztorze sztukę sukna grubego i ordynarnego; zakonnice okazały, że im się ono nie podoba, natomiast opatka Marja Magdalena wyraziła swą radość, mówiąc, że taki właśnie materjał według niej najzgodniejszy jest z ubóstwem serafickiego zakonu. Zaraz też poprosiła, aby uszyto dla niej taki habit, a była wtedy bardzo cierpiąca; swój zaś lżejszy oddała innej siostrze. Podobny przykład

[1]) Żywot Ś. Weroniki Kapucynki.

Ś. FRANCISZEK NA OSOBNOŚCI Z MELEDYNEM.

odejmował Kapucynkom samą myśl niechęci lub grymasów.

W kilku klasztorach kapucyńskich we Włoszech jeszcze dzisiaj nie używają szyb ze szkła, a światło przechodzi przez papier napuszczony olivą. Otóż Marja Magdalena, będąc jeszcze kierowniczką nowicjuszek, wysmarowała owe papierowe szyby, aby lepiej było widać w pracowni, ale za to, w duchu ubóstwa, przez parę dni jadła sałatę niczem nieprzyprawioną. Zostawszy potem główną przełożoną, czyli opatką klasztoru, użyła wszystkich sił, aby zaprowadzić doskonałe życie wspólne, będące istotą ubóstwa zakonnego. Trzy razy do roku, jak to jej urząd przepisuje, wizytowała cele sióstr i różne oficyny, by się przekonać, czy niema w nich czego zbytecznego i czy ubóstwo jest zachowane. Pewnego razu namawiano ją, aby kupiła do kościoła zakonnego sześć lichtarzy mosiężnych. Czy siostra nie jest córką Ś. Ojca Franciszka? spytała tej, co koniecznie chciała ją skłonić do ich kupienia. A kiedy raz zrobiono dwa nowe stoły do refektarza i kilka zakonnic przedstawiało, aby dla większej trwałości pozwoliła je pokostować, Święta oparła się temu przez wzgląd na ubóstwo. Przeciwnie, gdy w Zielone Świątki jednego roku Siostry odprawiały tradycjonalną procesję do małych kapliczek klasztornych, Marja Magdalena zauważyła, że figury Świętych Pańskich nie miały na sobie ozdób, jakiemi je zwykle na uroczystości przystrajano i upomniała zakrystjankę. „Zmieniając często ubiór na figurach, odpowiedziała ta, trzebaby ciągle nowy sprawiać, a to się sprzeciwia ubóstwu". Nie, siostro, rzekła opatka, ty spełniaj, co do ciebie należy, a jak się te rzeczy zniszczą, Matka Boża da nam inne; trzymanie pod kluczem więcej rani ubóstwo, niż używanie w swoim czasie". Często przychodziła do kuchni i do infirmarji, polecając siostrom gotującym, żeby dawały porcje równe i jak najlepiej przygotowywały jedzenie, infirmarkom zaś, aby nie męczyły wracających do zdrowia i nie odmawiały im żadnego posiłku.

Na urzędzie mistrzyni.

Nauczając nowicjuszki, mówiła im, że jakkolwiek utrzymanie ubóstwa w zgromadzeniu zależy szczególnie od przełożonej, każda z sióstr jednak, powinna się starać o ubóstwo osobiste, a więc mając jaki urząd gospodarski, nie może robić wielkich zapasów. „Niech Bóg was zachowa od tego, moje drogie Siostry, bo Święty nasz Patryarcha nie przyznałby się do was, jako do swoich córek. Nie ukrywajcie nic przed wzrokiem opatki, a będziecie zawsze czuły się szczęśliwemi. Mówię to wam z własnego doświadczenia. Będąc kucharką, schowałam trochę masła, żeby go nie zabrakło dla Matek w czasie karnawału (tak nazwała cztery miesiące w roku, kiedy Kapucynkom wolno jeść jajka i nabiał), a na potrzeby bieżące musiano mi dostarczyć nowy zapas. Wierzajcie mi, był to wielki grzech. Sporo lat już upłynęło od tego czasu, a sumienie ciągle mi to wyrzuca i nie wiem, jak stanę przed Świętym Franciszkiem... już teraz widzę go zagniewanego. Nie myślcie jednak, aby tego masła było dużo".

„Lecz najwięcej daje się we znaki ubóstwo w pożywieniu, kiedy potrawy są proste, licho okraszone i w niedostatecznej ilości, wówczas natura wzdryga się i przykrzy sobie, a żołądek cierpi. O, siostry drogie, odwagi i męstwa, znoście tę przykrość w milczeniu. Dusza uboga cieszy się więcej z prostej potrawy, niż z delikatniejszej; wybiera raczej chleb razowy i stary, niżeli biały i świeży". Te same nauki powtarzała, będąc przełożoną. „Nie skarżcie się nigdy, mówiła, na jedzenie, nie mówcie: to jest złe, a to jest dobre". Ileż to razy w domu rodziców swoich nie miałyście wszystkiego tak, jakby wam się chciało. I bogatych nawet życzenia nie mogą się spełnić. Czyż to nie dosyć, że Pan Bóg daje nam rzeczy konieczne?... Ileż to na świecie biednych, co nie mają kawałka chleba, wówczas, gdy my mamy go poddostatkiem".

Ubóstwo w przyjmowaniu ofiar.

Jeśli jałmużny obficie napływały, Marja Magdalena niepokoiła się tem bardzo, lękając się rozluźnienia i nieraz wołała w zapale: „Czyż nigdy nie nadejdzie ów dzień, abyśmy głodne poszły do chóru i błagały pomocy z nieba? Jestem pewna, że, gdyby to nastąpiło, Pan zesłałby Aniołów swoich, żeby nas opatrzyli; ale nie dla nas ta łaska, jesteśmy jej niegodne: cnota nasza bardzo słabiuchna". Przy tych poglądach, nic dziwnego, że raził ją każdy przedmiot kosztowny lub wyszukany. Zwiedzając pewnego dnia izbę z bielizną, Błogosławiona zauważyła sztukę płótna, które jej zdaniem było zbyt cienkie dla klasztoru, że zaś wszystkie potrzeby były opatrzone, posłała je Kapucynkom do Wenecji na bieliznę kościelną. Zniosła też wiele zwyczajów przeciwnych ubóstwu, np. podarunki osobiste od osób świeckich bądź w rzeczach koniecznych, bądź w owocach. Dawniejsze przełożone, nie mając tyle światła wewnętrznego, aby poznać błędy, czy też tyle roztropności, aby je usunąć, przyjmowały chętnie różne drobne przedmioty, jako dar dla sióstr i trzymały je u siebie, dopóki która nie zapotrzebowała. Rzeczy te, pochodząc od różnych osób, były też różnego gatunku i stąd na

każdej z nich przyklejano imię siostry, dla której ta rzecz była ofiarowana. Te właśnie kartki raziły Świętą opatkę, był to bowiem jakby dowód własności osobistej, a ona pragnęła, żeby wszystko było wspólne. Przedstawiła więc dyskretkom na radzie swoje życzenia i za ich zgodą kartki zostały zniesione. Przez to postanowienie siostry oderwały się sercem od niektórych przedmiotów. Marja Magdalena, wynagradzając im tę zmianę, oświadczyła, żeby po wszystko udawały się do właściwych urzędniczek, te zaś zadowolnią chętnie ich potrzeby. Odtąd drobnostki te rozdzielane były w równej liczbie i o ile tylko się dało w jednakowym gatunku.

Co do owoców zdarzało się, że jedna miała ich bardzo wiele na swój osobisty użytek, twierdząc, że ma na to pozwolenie przełożonej, a druga mało albo i nic. Aby przerwać te nadużycia, Święta kazała sobie przynosić jałmużnę tego rodzaju i sama dzieliła ją równo między wszystkie siostry. Krewni jej, hrabiowie Martinengo, pamiętali o niej, lecz Marja Magdalena oddawała wszystko opatce, gdy zaś sama nią została, nie zjadła ani jednego owocu, zbierając powoli, aż tyle ich było, że mogła niemi obdzielić swoje córki.

Ubóstwo w czynieniu prezentów.

Zakonnice mają zwyczaj dawać swoim dobrodziejom i znajomym obrazki, szkaplerze, różańce, agnuski i t. p., w ten bowiem sposób okazują im wdzięczność swoją. Niektóre z tych przedmiotów, zwłaszcza wykonane przez Klaryski, słynęły daleko i szeroko po całych Włoszech; poznawano je z prostego pokrycia. Kapucynki z klasztoru Najświętszej Panny Śnieżnej wybierały zawsze na ten cel materjał droższy i piękniejszy. Marja Magdalena zaś umiarkowaną była w szafowaniu tych rzeczy i jeśli je dawała, to najprostsze. Pewnego dnia przybył do Kapucynek z pierwszą Mszą św. jej kuzyn. Po odprawionych prymicjach opatka wyszła do rozmówniey, aby zamienić z nim parę słów przez kratę zasłonioną grubem suknem i na pożegnanie dała mu kilka agnusków, ale najmniejszych i w bardzo lichem zawinięciu. Towarzyszące jej siostry zdziwiły się, że tak znakomitemu kapłanowi ofiarowała coś tak pospolitego. „Reguła i konstytucje nasze zabraniają wszelkich rzeczy zbytkownych", odrzekła im na to. Jednak względem wybitnych dobrodziejów postępowała trochę inaczej, i kiedy jedna z sióstr miała doroczną wizytę rodziców i krewnych, między którymi znalazł się wielki dobrodziej klasztoru, Marja Magdalena sądząc, że należy tu zrobić ustępstwo, dała tej siostrze dwa agnuski z Marchji, w bogatej oprawie. Ów dostojnik przyjął tę pamiątkę z podziękowaniem, lecz dodał: „Niedawno otrzymałem także agnuski od pewnego O. Kapucyna, ale prawdziwe marchjańskie, bo oprawa na nich jest zwyczajna". Słysząc to, opatka uczuła się zmieszaną i nieraz później powtarzała to siostrom: „Patrzcie tylko, moje najmilsze, co my robimy: szukamy jak najpiękniejszych materjałów na agnuski, szkaplerze i t. p. nic nie zdaje nam się być za bogatem i rzeczywiście są one bardzo ładne, świeccy jednak wolą te, które mają skromniutkie pokrycie". [1])

Bł. Anioł z Akry (1739 r.).

Takie było ubóstwo tego męża, iż, gdy podczas ostatniej choroby jeden ze znajomych prosił go, aby mu dał jaką pamiątkę: „Moje dziecię, powiedział, nic nie mam zgoła, cobym ci mógł dać". Nigdy najmniejszego datku nie przyjął, a przysłany odsyłał; ofiar za misje lub za kazania pod pozorem jałmużny czynionych odmawiał. Będąc prowincjałem, surowo zabronił kaznodziejom przyjmować wynagrodzenia, a w czasie wizyt kanonicznych cele zakonników ogałacał ze wszystkiego, co nie było potrzebne—we własnej zaś, prócz Pisma Świętego, krucyfiksu, obrazu Matki Boskiej, nędznego posłania i narzędzi, któremi trapił swe ciało, nic więcej nie posiadał. [1])

Bł. Kryspin z Witerbu (1750 r.).

Błogosławiony Kryspin za przykładem Seraficzkiego Patryarchy czuwał bardzo gorliwie, aby nie naruszyć św. ubóstwa. Kwestując od domu do domu, radby był braciom przynieść nietylko wszystko, czego potrzebowali, ale i to, coby im przyjemność sprawić mogło i ludzie chętnie spieszyli doń z jałmużną, lecz pamięć na ubóstwo wstrzymywała go od tego: za nic w świecie nie chciałby go był przełamać. W uroczystości jednak Pana Jezusa i Matki Bożej, dzięki Błogosławionemu, klasztor miał lepsze pokarmy i lepsze wino. Czynił on to z serca, wiedząc, że postępuje w myśl i w duchu Patryarchy, który pragnął, aby w święta uroczyste wszystkie dzieci Boże, wszystkie stworzenia były szczęśliwe, wesołe i żądał od gubernatorów miast, aby kazali rozsypywać ziarno po ulicach i po wsiach, żeby i małe ptaszki radowały się wspólnie z ludźmi. Za to względem samego siebie Kryspin był bardzo wymagający. Jego habit jakkolwiek czyściusieńki, świecił się od starości i trudno było w nim rozpoznać pierwszą barwę,

[1]) Vie de la B. Marie Madelaine Martinengo par le R. P. Ladislas de Vannes. ch. 20. [2]) Żywot Bł. Anioła z Akry, przez O. Prokopa Kapucyna.

tyle miał najrozmaitszych kawałków pozszywanych i pocerowanych. Cela zawierała to tylko, co każdemu konwersowi było potrzebne. Przy spełnianiu wszelkich obowiązków, chociaż jego charakter i ciągłe zatapianie się w Bogu utrudniało mu takowe, był bardzo uważny co do ubóstwa. Gasił więc lampę, czy świecę, gdy jej nie potrzebował, w kuchni zalewał ogień wodą, skoro wszyscy już byli nakarmieni i t. d.[1])

Bł. Diego-Józef z Kadyksu (1801 r.).

Znakomity misjonarz hiszpański, Bł. Diego-Józef posiadał cnotę ubóstwa w najwyższym stopniu. Rodzina jego była jedną z najpierwszych w królestwie, ojciec mógł mu dać śliczny majątek, a on to wszystko Bogu ofiarował, ceniąc więcej ubóstwo. Jedynem jego pragnieniem w życiu zakonnem było żyć w ubóstwie i ponosić wszystkie jego skutki, jak niedostatek, cierpienia, choroby, pogardę od świata. Rozumiał doskonale, że ubóstwo, pragnące wygód i przyjemności, raczej obraża Pana Boga, niżeli przynosi Mu chwałę i jest nieznośną obłudą. Był więc ubogi, ale po bohatersku, jak Ś. Franciszek. Ubogi w odzieniu, ubogi w celi, ubogi w pokarmach, któremi posilał swoje ciało, ubogi w zgrozie, jaką napełniała go sama myśl posiadania czegokolwiek, dotknięcia się pieniędzy, oraz małych podarunków, jakie mu znoszono.

Ubóstwo w ubiorze.

Nosił on na sobie tylko habit, ale nigdy nowy: pasek i płaszcz jego były wytarte, posztukowane w wielu miejscach, a wszystko bardzo krótkie, bo wierząca ludność, cisnąc się do stóp Błogosławionego, ucinała sobie kawałeczki na relikwje. Diego płakał nieraz, widząc, że święte ubóstwo jest skrzywdzone, ale nie mógł nic poradzić. Kiedy musiał iść do westjarni po nowy habit, zawsze wrócił z niej w starym i to najgorszym po jakim bracie. A kiedy mówiono mu, że się omylił: „Nie, nie omyliłem się, ale jestem taki krwisty, że nie mogę znosić nowego habitu. Widzicie, jak mało mam umartwienia“. Tak samo wytłumaczył się księciu Medina-Coeli, który, widząc jego liche ubranie, uprosił gwardjana klasztoru, żeby mu kazał wziąć nowe i sam zapłacił wszystkie wydatki. Wielka była boleść tego miłośnika ubóstwa, kiedy mu zalecono pod posłuszeństwem zrzucić stary habit. Od święceń kapłańskich nie miał nowego na sobie, ale, jako syn posłuszeństwa, poddał się rozkazowi bez najmniejszego oporu, tylko na twarzy jego znać było smutek. Po 24-ch godzinach tej męki poszedł do księcia, najpierw, aby mu podziękować, a później, by uprosić sobie pozwolenie przywdziania dawnego habitu. „Odpowiada on doskonale mojej słabej i chorobliwej kompleksji“, dodał, „plecy moje nie mogą znosić ciężaru sukna nowego“. A w rzeczywistości, to jego miłość ubóstwa była zadraśnięta i domagała się zadośćuczynienia. I otrzymał tę łaskę.

Podobnaż historja stała się z jego kapeluszem. W krajach gorących Kapucyni muszą nosić kapelusze o szerokich skrzydłach, aby uniknąć porażenia słonecznego. Naturalnie, kapelusz O. Diego był mały i taki lichy, jak tylko sobie można wyobrazić. Lecz zdaniem przyjaciół Świętego, kaznodzieja takiej sławy, jak on, a w dodatku bywający na dworze królewskim, nie powinien był chodzić w wytartym i bez formy kapeluszu. Zabrali mu przeto stary, a na jego miejsce podłożyli nowy. Gdy jednak spoczęło na nich surowe i smutne spojrzenie misjonarza, zrozumieli swój błąd i wrócili mu stary kapelusz, a uszczęśliwiony zakonnik wyszedł z miasta Toledo tak ubogi, jak ubogim do niego wstąpił.

Jego sandały były zawsze w opłakanym stanie, połatane, ledwo że chroniły nogi od ostrych kamyków; wiązania obrywały się i gubiły w drodze. Wówczas Diego zawieszał je na plecach i szedł boso do następnego miasteczka, gdzie miejscowy szewc starał się jeszcze raz przyprowadzić je do porządku.

Chodząc ciągle po misjach, miał ze sobą parę chusteczek do nosa i prostą drewnianą tabakierkę, jakiej używają ubodzy. Z zalecenia bowiem doktorów zażywał tabakę jako środek przeciwkataralny, ale w takiej ilości, na jaką pozwalało najwyższe ubóstwo, miał jej więc troszkę na dnie pudełeczka. Jeżeli ludzie świeccy ofiarowywali mu mały zapasik, nie przyjmował go, a gdy przełożeni zapomnieli mu jej dać, obchodził się, nie mówiąc ani słówka.

Ubóstwo w celi.

Cela Błogosławionego była zwykle najciemniejsza i najniewygodniejsza ze wszystkich; stało w niej łóżko ale najprostsze, jakie być może: bo z dwóch desek opartych na kozłach; na niem dwie stare kołdry i poduszka ze słomy; następnie krzesło popsute, kilka obrazków bez ramek na ścianie. krzyż misjonarski, kij do podpierania się w drodze i parę książek na malusieńkim stoliczku, prócz tego ubogi kałamarz, z którego wyszło tyle przecudnych kazań i tyle dziełek budujących i wreszcie pióra, które inni bracia rzucili jako niezdatne.

[1]) Le Saint Joyeux par le R. P. Léopold de Chérancé, Cap.

Widok tej celi napełnił raz zdumieniem i czcią posła rosyjskiego do Hiszpanji, Stefana Zinowjewa. Słyszał on O. Diego każącego w Madrycie, chciał go więc odwiedzić, gdy przyjechał do Malagi, lecz Błogosławiony był gdzieś na misjach. Poprosił zatem gwardjana, aby mógł chociaż wejść do celi wielkiego apostoła. Wobec ogołocenia, jakie tam spotkał, łzy rzuciły mu się do oczu. „Pozwól, ojcze, rzekł poseł, abym mógł zabrać stąd jaką pamiątkę, przypominającą mi marność rzeczy doczesnych“, i to mówiąc, wziął małą książeczkę o Mszy świętej. Przed wyjściem napisał swoje imię na kawałku papieru i poprosił gwardjana, żeby go polecił modlitwom świętego zakonnika.

Słuchacze, których nauczał, rodziny których był przyjacielem, nieszczęśliwi, którym przywracał zdrowie duszy i ciała prosili go, żeby im pozwolił ofiarować sobie co z rzeczy mu koniecznych, ale napróżno. Diego posuwał do zbytku delikatność sumienia, a zakochany w ubóstwie Chrystusowem, drżał na samą myśl obrażenia tej swojej oblubienicy. Znając te jego poglądy, Biskupi i prałaci Hiszpanji kupili mu, w porozumieniu z przełożonymi zakonu, małą bibliotekę, złożoną z dzieł najwybitniejszych Ojców Kościoła. Błogosławiony przyjął ją serdecznie i korzystał z tych ksiąg, czytając je i studjując z religijnem namaszczeniem. Niestety, na okładkach wybito wyrazy: „Książki Ojca Diego“. Pewnego dnia właściciel ich, wszedłszy po Mszy św. do swojej celi, spostrzegł nieszczęsny napis i zatrząsł się ze strachu. „Książki O. Diego“, a więc on coś posiada! Istne bluźnierstwo! Nie, ani posiadać, ani uważać nic za własność! I natychmiast wyniósł owe księgi do ogólnego księgozbioru. Odtąd tam chodził radzić się ich i czytać, zachowując w celi oprócz brewjarza, jedną tylko biblję, swój puklerz w podróżach, jak ją nazywał, bo mu zawsze towarzyszyła. Nie było to zatem ubóstwo, ale wyzucie się, nędza prawdziwie kalwaryjska, ogołocenie ze wszystkiego.

Ubóstwo w pokarmach.

Nie mniejsze ubóstwo zachowywał Diego w pokarmach. Przez 30 lat swojej wędrówki apostolskiej ilekroć znalazł klasztor swego zakonu, przedstawiał się gwardjanowi, prosząc o celę i razem z braćmi brał posiłek. Ostatnie danie oddawał ubogim, nie dotknąwszy się go, a i z innej porcji potrafił zawsze coś ująć. Kiedy zmuszony był zasiąść do stołu bogaczów, nie mogąc uniknąć zbytkownej zastawy, przynajmniej tak się urządzał, że nic nie wziął do ust, prócz trochy chleba i wody, (wina nie pijał), oraz niektórych jarzyn lub owoców. Jeśli przychodził na noc do syndyka Kapucynów i zauważył jakieś niezwykłe przygotowania, nie mówił nic, ale, wstawszy bardzo rano, opuszczał dom, tak że gdy gospodarze wstali, on już był daleko i nadzieja przyjęcia go znikła.

Uczynił tak między innemi w Andaluzji pewnemu bogatemu właścicielowi, który go niezmiernie poważał. Przybywszy tam w porze rannej, spostrzegł, że czynią przygotowania do wspaniałego obiadu, na którym miała być cała arystokracja okoliczna. Wyszedł więc na chwilę i więcej nie wrócił, chociaż do wieczora nic nie miał w ustach. Skarżono się nieraz na to i wymawiano mu z goryczą. „Ja też cierpię, odpowiadał, ale wolę znieść wszystko, aby tylko ubóstwa nie naruszyć“.

Najmilej mu było u ubogich; chleb czarny, izba ciasna, brak sprzętów sprawiały mu przyjemność.

Ubóstwo w podarunkach.

Pieniędzy lękał się tak samo, jak niegdyś Seraficki Franciszek. Pewnego razu jeden z jego przyjaciół, proboszcz z Benovaez, dał mu kopertę zawiązaną sznurkiem, w której było wynagrodzenie za Msze św. dla jednego kapłana, prosząc, aby mu ją wręczył, ale nie mówiąc, coby w niej posyłał. W chwili odejścia Diego powiedział: „Włóż, księże, tę paczkę do mego kaptura“. Lecz zaledwie to wymówił, zmienił się na twarzy, z przerażeniem wielkiem pochylił się naprzód i, przewracając kaptur, rzekł: „Księże Bartłomieju, na miłość Bożą, weź to, zabierz, to są pieniądze. Włóż mi zamiast nich węża, a poniosę go z największą chęcią, ale pieniędzy nigdy“. Jak pieniążek wrzucony żartem do sakwy Ś. Feliksa z Kantaliczo przyprawił go o upadek, tak teraz pieniądze, wpuszczone do sakwy Bł. Diego paliły mu plecy i zmuszały do krzyku. Od swego wstąpienia do zakonu nigdy się ich nie dotknął.

Jeden tylko jedyny raz hrabia de Santjago, wielki jego przyjaciel, chcąc mu okazać swoją cześć, uprosił, że poświęci i rozda medaliki Ś. Jakóba. Urzędnicy miasta Kadyksu byli mniej szczęśliwi. Kazali oni wnieść do celki Błogosławionego kilka pak różańców i medalików, prosząc, żeby je poświęcił i rozdał wiernym, których tak owocnie nauczał, „O, nie mogę tego trzymać u siebie, rzekł Święty. Ci, co widzieli, jak te paki wnoszono, mogliby sądzić, że jest tam co innego, niż medaliki i bardzoby się tem gorszyli. Zabierzcie je więc natychmiast“. I musiano spełnić jego wolę. Innym razem jakaś osoba ofiarowała Bł. Diego bardzo piękne Oblicze Pana Jezusa. Przyjął je, ale sam obraz po wyjęciu ze złotych ram, w jakie był wpra-

wiony. Nie o wiele szczęśliwiej udało się Arcybiskupowi Toledo. Kiedy bowiem prosił słynnego Kapucyna, aby przyjął odeń cenne relikwje w srebrnym relikwjarzu, Diego jak najpokorniej podziękował, mówiąc, że owszem święte szczątki sług Bożych są dla niego wielkim skarbem, ale nie w srebrze. I, aby go zadowolnić, trzeba było relikwje wyjąć z oprawy.

Rodzinne jego miasto, Kadyks, w którem kilka razy odprawiał misje, wiedząc o jego miłości ku Ukrzyżowanemu, ofiarowało mu krucyfiks przecudnie rzeźbiony, jako dowód przywiązania współrodaków. „Krucyfiks ten, powiedział Święty, jest bardzo drogi, nie zgadza się więc z najwyższem ubóstwem, jakie ślubowałem“. Zrozumiano, że próżnoby nalegali. Gdy bracia zakonni chcieli, żeby nie tak ściśle przestrzegał ubóstwa, odpowiadał im: „Czyż dzisiaj nie jestem tak samo Kapucynem, jak w czasie nowicjatu? Powinienem nawet lepiej wszystko wypełniać, jako długoletni profes. Chcecież więc, żebym używał rzeczy, których mi wówczas zabraniano i żebym się stał bogatszym, niż byłem?“

Przy śmierci.

Lecz więcej jeszcze miłość ubóstwa zajaśniała w Błogosławionym w godzinę jego śmierci. Czując, że chwila zgonu się zbliża, Diego kazał napisać do Ministra Prowincjalnego, aby mu pozwolił dla miłości Bożej zatrzymać w grobie habit, którym był okryty. „Pobłogosław mnie, ojcze, dodał, gdyż jesteś moim przełożonym i zastępcą Boga. Pragnę umrzeć zupełnie wyzuty ze wszystkiego. Pozwól mi jedynie dać krzyż, którego używałem na misjach, na pamiątkę temu klasztorowi w Ronda, gdzie tyle się naprzykrzałem swoją osobą i tyle czasu pielęgnowano mnie w dolegliwościach“. Uczynił, według zwyczaju, zrzeczenie się rzeczy używanych w ręce socjusza, prosił tego ostatniego, aby go nie chowano w szatach kapłańskich, lecz w sukni zakonnej, ze świecą w ręku i głowę aby oparto na dwóch cegłach; wreszcie, żeby pogrzeb był ubogi, bez żadnych oznak szacunku, chce bowiem do końca być wiernym oblubienicy swojej— ubóstwu. [1])

Ludwik z Lawańja (Lavagna) (1858 r.).

Brat ten przybył z socjuszem swoim w r. 1850 do Londynu, aby odrodzić zakon Braci Mniejszych, wygnany z Anglji przez Henryka VIII w pierwszej połowie XVI stulecia. Osiadłszy w najuboższej dzielnicy, bez chleba i dachu, zdał się zupełnie na Opatrzność i zaczął od kwesty nie na klasztor, ale najpierw na kaplicę i szkołę. W tym celu kwestował aż w Belgji. Nie chcąc jednak wyżebranych pieniędzy wydawać na koszta podróży, przepływając kanał, prosił kapitana statku, aby go użył do roboty, jak zwykłego majtka. Kapitan wszakże nie zgodził się na to, mówiąc, że więcej mu dopomoże swemi modlitwami, niż rękami.

Ta fundacja londyńska, nacechowana prostotą franciszkańską, jest dzisiaj jedną z najpożyteczniejszych stacji misyjnych wśród ubogiej ludności stolicy.

W sześć lat później wysłano brata Ludwika do Kanady z tą samą misją. Żył tam jeszcze dziesięć miesięcy w takiem ubóstwie, jak pierwsi bracia w Porcjunkuli. Po całych dniach usługiwał ubogim, a noce spędzał na modlitwie. Pewnej nocy wezwano go do umierającego — było to w marcu, noc była zimna, śnieg padał. Ludwik pospieszył natychmiast na wezwanie, a w trzy dni potem umarł na zapalenie płuc. Wszyscy mieli go za Świętego, i cisnęli się do jego ciała, aby jeszcze raz ujrzeć ukochane rysy. Gdy w 30 lat po śmierci otworzono trumnę, ciało było jak żywe.

Brat Ludwik z Lavańja był synem kupca włoskiego i podobnie jak Ś. Franciszek, zrzekł się przypadającej nań części majątku i wstąpił do zakonu Kapucynów. [1])

Polscy Bracia Mniejsi. Reformaci.

Bonawentura z Przemyśla (1632 r.).

Świątobliwy Reformat kochał się bardzo w ubóstwie i dlatego budując czy to klasztor, czy kościół, uważał, aby obok zakonnej wygody i prostota franciszkańska była zachowaną. Gdzie zaś zobaczył duże gmachy, ganił to braciom, mówiąc, że synom Serafickiego Patryarchy nie przystoi mieszkać tak dwornie i tak bogato. Zabiegał, żeby ta cnota była przestrzeganą i z płaczem prosił nieraz starszych, żeby nie dozwalali obszernego i kosztownego budowania, oraz wytwornych potraw i trunków. [2])

Antoni Węgrzynowicz (1709 r.).

Ojciec Antoni Węgrzynowicz ćwiczył się w ubóstwie serafickiem z największą pilnością. Nie miał nic drogiego ani błyszczącego, ale wszystko proste i skromne, nawet relikwjarza z mosiądzu mieć nie chciał, lecz zrobił sobie drewniany i ta-

[1]) Le Bienheureux Diégo-Joseph de Cadix par le R. P. Damaze de Loisey, Cap. Ch. XV.

[1]) Rozprawa o duchu i początku zakonu franciszkańskiego przez O. Kutberta Kap. [2]) Matka ŚŚ. Polska. Tom III, s. 92.

kich tylko za swego prowincjalstwa używać pozwolił. Jednemu z braci, który miał bardzo misternie zrobiony relikwjarz, wyjął kości święte, a oprawę kazał stopić. Zresztą i we wszystkich innych rzeczach, jak w sobie, tak i w braciach najwyższego przestrzegał ubóstwa [1]).

Elzear Pilecki.

Ten sługa Boży z miłości zakonnego ubóstwa unikał wszelkich wygód, podobając sobie w niedostatku i w przykrościach, które zwykle bywają złączone z ubóstwem. W zakonie słynął cnotą i nauką tak, że powierzono mu wykłady teologji i urząd kaznodziejski. Wysłany na kapitułę generalną do Hiszpanji, odbył całą tę drogę pieszo. Wróciwszy do klasztoru zakliczyńskiego, czując się słabym, poprosił o zwolnienie z obowiązków, które tak przykładnie sprawował i odtąd już myślał tylko o śmierci, aby się do niej jak najlepiej usposobić. Wkrótce potem, wśród pobożnych aktów, oddał Bogu ducha [2]).

Chryzostom Klimecki.

O. Chryzostom na wszystkich urzędach w zakonie świecił cnotą i doskonałością, a szczególniej przestrzegał ubóstwa, usuwając wszystko, coby tę szacowną perłę Ś. Ewangelji mogło skazić. Same nawet kościoły wydawały mu się tem ozdobniejszemi, im były uboższe, gdyż się stosowały do upodobania Chrystusa Pana, który, mogąc obrać sobie najozdobniejsze pałace, wolał jednak ubogą stajenkę i skromny domek Nazaretański. Upominał także braci, aby ubóstwu ich towarzyszyło ochędóstwo, gdyż Ten, który kocha czystość serca, chce, aby ona i przez porządek zewnętrzny jaśniała. Przeznaczony na mieszkanie do Lublina, ciężką chorobę przez trzy lata cierpliwie znosząc, umarł i pochowany tamże [3]).

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej. Na czem zależy ubóstwo zakonne.

Ubóstwo zakonne wymaga naprzód nieposiadania własności osobistej. Nie może więc osoba zakonna bez upoważnienia przełożonych nic samowolnie dać, przyjąć, sprzedać, kupić, pożyczać lub zamienić, ani jakąkolwiek rzeczą rozporządzić. Nie może także nic używać bez pozwolenia szczegółowego i wyraźnego lub ogólnego i domyślnego, stosownie do ważności przedmiotu i innych okoliczności. Nadto osoby zakonne tych tylko rzeczy i wtenczas i w takiej mierze używać mogą, które, kiedy i o ile będą rzeczywiście potrzebne do utrzymania życia lub pełnienia obowiązków. Strzedz się przeto powinny wszelkiego zbytku, zapasów na długi czas wystarczających i używania tego wszystkiego, bez czego obejść się mogą. Powinny też oszczędzać wszystkie rzeczy powierzone sobie do użytku lub do rozdawania, pilnując, aby ich nie trwoniono i aby się nie poniewierały, psuły lub zbyt prędko zużywały. Nie wolno im nosić złota, srebra, drogich kamieni lub materji, nic także osobliwego i wytwornego, ale wszystko mają mieć prostotą i ubóstwem ozdobione. We wszystkich rzeczach, których używają, powinno jaśnieć ubóstwo w gatunku, cenie i kształcie.

Ubóstwo zakonne rozciąga się i do budowli i sprzętów.

W mieszkaniach zakonnych również ubóstwo zachowane być powinno, bo, jak mówi Ś. Bonawentura: „Między przyczynami rozwolnienia życia zakonnego jest wspaniałość i zbytni ogrom klasztorów, co powoduje zamieszanie tak dla przełożonych, jak i dla innych osób, przez staranie się o fundusze i przez krzątanie się świeckich po klasztorach, ze szkodą karności zakonnej; a przytem jest to również powód zgorszenia dla osób świeckich". Dlatego Ś. Jan Gwalbert, założyciel Walombrozjanów, kiedy przy wizytowaniu klasztoru moscetańskiego zobaczył, jakie tam były obszerne budynki, rzekł do opata Rudolfa: „Widzę, że na tem miejscu, na którem wielu ubogich mogłoby mieć wsparcie, zbudowałeś kosztowny pałac", a zwracając się do strumyka, opodal płynącego, dodał: „Wszechmogący Boże, który z małych rzeczy wielkie możesz czynić, daj, abym przez małość strumyka tego ujrzał karę tego ogromnego budynku". I w tej chwili strumyk napełnił się wodą, a porywając ze sobą skały i drzewa, domy te do szczętu zrujnował.

Brewjarz Benedyktynów upomina, że opat nie jest panem wszelkich dochodów klasztornych, ale szafarzem i że ma niemi szafować nie według swego upodobania, lecz według intencji dobrodziejów i o ile wymaga potrzeba i pożytek klasztoru. A Sobór Trydencki ustanowił, aby wszystkie sprzęty, naczynia i narzędzia, używane przez zakonników, odpowiadały ślubowanemu ubóstwu i żeby nic zbytecznego w nich nie było, ale też nic nie brakowało z tego, co konieczne.

Życie wspólne.

Do utrzymania ubóstwa zakonnego bardzo wiele przyczynia się życie wspólne, które zależy na tem, aby żaden członek zakonu nie czynił oso-

[1]) Tamże. [2]) Kalen. seraf. 27 kwiet. [3]) Tamże, 16 sierp.

bistych starań około żywności, okrycia, sprzętów, narzędzi i innych rzeczy potrzebnych; wszyscy bowiem i we wszystko zaopatrywani być powinni ze wspólnych funduszów przez wyznaczone do tego osoby i o ile można jednostajnie, to jest w tej samej mierze i z tego samego materjału. Dzieje Apostolskie świadczą, że już pierwsi chrześcijanie zachowywali taką wspólność: Żaden z nich tego, co miał, swojem nie nazywał: ale było im wszystko wspólne. I kładli przed nogi apostolskie, i rozdawano każdemu, ile komu było potrzeba. [1])

Święci: Hieronim, Cyprjan i Bazyli utrzymują, że już wtenczas czynili oni ślub ubóstwa. Dowodzą tego z kary, jaką Ś. Piotr nałożył na przestępnych: Ananjasza i Safirę za zatrzymanie pieniędzy ze sprzedanej ziemi i ze słów tegoż Apostoła: Nie skłamałeś ludziom ale Bogu. [2]) Stąd Sobór Trydencki postanowił, aby zakonnicy zachowywali przepisy co do wspólnego życia, pokarmu i odzienia, dodając: „Jeżeli bowiem to, co jest podstawą i fundamentem zakonnej karności nie będzie należycie zachowane, cała budowa jej runie“. [3]) Również i Klemens VIII zaleca, aby wspólny posiłek i ubiór wszystkim był udzielany. [4]) I Ś. Augustyn: „Wszystko ma być między wami wspólne i każdemu z was niech będzie dawany ubiór i posiłek od przełożonego“ [5]). Zakon bowiem jest to stały sposób życia wspólnego osób dążących do doskonałości. Więc, gdyby ustała wspólność życia, cała istota zakonu byłaby zrujnowaną, jak słusznie utrzymuje Thomassin (Tomasę) [6]).

Akty wewnętrzne ubóstwa.

Jest bardzo wiele sposobów czyli stopni mniej lub więcej obowiązujących, w jakich wierni Chrystusowi mogą wykonywać cnotę ubóstwa świętego, a które wszystkie powinni spełniać synowie, naśladowcy i czciciele Franciszka.

1. Pierwszy stopień, do którego wszyscy są obowiązani, zależy na tem, aby nie przywiązywać się do rzeczy posiadanych, czy one są wielkie, czy małe, czy chodzi o majątek, czy o narzędzia potrzebne do użytku, czy o obrazek święty, lecz aby serce od nich odrywać.

2. Drugi stopień jest, aby mieć świętą obojętność, czy Bóg daje dostatek lub zaspokojenie potrzeb zwyczajnych, czy też nawiedza nędzą i brakiem rzeczy najkonieczniejszych, trzeba więc być gotowym na przyjęcie wszelkiego niedostatku i braku, oraz na utratę wszystkiego, co się posiada.

3. Należy mieć takie usposobienie, że, gdyby Zbawiciel dał do wyboru używać dostatków lub żyć w ubóstwie, aby dla naśladowania Jego obrać sobie to, co On obrał z miłości ku nam, rachując na pomoc łaski Bożej, że pozwoli wytrwać w tem do końca.

4. Postępując dalej w tym duchu, trzeba się starać, aby się nam nic nie podobało, coby nie było ubóstwem ozdobione i żebyśmy przekładali rzeczy ubogie nad droższe, jeżeli już musimy ich używać.

Co do zewnętrznych rzeczy.

1. Co do zewnętrznego ubóstwa, najpierw trzeba się ograniczać w używaniu rzeczy potrzebnych tak, aby w tem nie było nigdy zbytku.

2. Stosować się w użyciu do osób miernego stanu i poprzestawać na tem, co rzeczywiście konieczne do utrzymania życia i do spełniania swych zajęć bez wielkich trudności.

3. Jeżeli reguła określa użycie jakich rzeczy, wtedy należy ściśle trzymać się tego, nie przestępując w niczem jej przepisów.

4. Uważać każdą rzecz jako nie swoją i tylko za wyraźnem lub za domyślnem pozwoleniem jej używać.

5. Oszczędzać każdą rzecz, daną do użytku, jako cudzą lub jako dar Boży, z którego użycia trzeba będzie zdać kiedyś rachunek.

6. Nie używać rzeczy wykwintnych, ozdobnych lub szczególnych, ale starać się, aby wszystko było nacechowane świętą prostotą.

7. W ubiorze unikać strojów i tego wszystkiego, co trąci próżnością.

8. A w użyciu ubiorów odpowiednich do stanu mieć zawsze intencję, nie aby się komu podobać, lecz aby Chrystus w nas się podobał, czyli żeby życie pobożne roztaczało swój urok na patrzących.

9. W jedzeniu, jeżeli to od nas zależy, nie szukać wykwintnych potraw, ale zwyczajnych lub właściwych ubogim.

10. Naśladować ubogich, jedząc, co przed nami położą, bez przebierania.

11. W używaniu sprzętów lub narzędzi kierować się względem na prawdziwą potrzebę.

12. Ubiegać się o to, aby się nam dostawały rzeczy ostatnie w pokarmach, ubiorze, mieszkaniu lub sprzętach.

13. Przeglądać od czasu do czasu rzeczy używane, czy niema w nich co przeciwnego ubóstwu i zaraz to usuwać, oddając ubogim.

---

[1]) Act. Ap. 4, 32 et 35. [2]) Ibidem 5,4. [3]) Sess. 25, c. de Reg. [4]) In Const. Nullus omnium, [5]) Reg. c. l. [6]) De discip. Eccl. p. 4, p. 2, c. 3.

ROZDZIAŁ VIII.

Duch seraficzny jest duchem opuszczenia wszystkiego

Nie określilibyśmy należycie ducha ubóstwa, gdybyśmy nie zwrócili szczególnej uwagi na ten najwyższy jego stopień, który zależy na opuszczeniu wszystkiego, a którem Seraficki Patryarcha tak żywo był przejęty, że to stanowi jakoby osobną cechę jego ducha.

Duch opuszczenia wszystkiego wzięty jest żywcem z Ewangelji.

Zbawiciel chciał, aby Jego uczniowie odrywali swe serce od wszystkich rzeczy ziemskich i opuszczali wszystko, coby im do służby Bożej przeszkadzać mogło. „Tak tedy każdy z was, który nie odstępuje wszystkiego, co ma, nie może być uczniem moim[1]). Jeźli chcesz być doskonałym, idź, przedaj, co masz i daj ubogim... a przyjdź i naśladuj mię". Temi słowy pobudzeni apostołowie, opuściwszy wszystko, poszli za Chrystusem; tym również duchem ożywiali się wszyscy pierwsi chrześcijanie, którzy radzi byli pozbyć się wszystkiego, sprzedać swoją majętność i przynieść pieniądze do nóg Apostołów, aby mogły być rozdane ubogim.

[1]) Luc. 14, 33.

Reguła Ś. Franciszka również przepisuje opuszczenie wszystkiego.

Święty Franciszek najbardziej wymagał od braci opuszczenia wszystkiego i ogołocenia się ze wszystkich rzeczy i to stawiał za pierwszy warunek przyjęcia do jego zakonu. Jakoż zaraz w pierwszym rozdziale pierwotnej reguły mówi, że bracia obowiązują się iść za nauką i w ślady Pana naszego Jezusa Chrystusa, który powiada: „Jeśli chcesz być doskonałym, pójdź, przedaj co masz i daj ubogim, abyś miał skarb w niebie: a wtedy przyjdź i pójdź za mną. I wszelki, któryby opuścił dom, albo bracią, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo syny, albo rolę dla Imienia mego: tyle stokroć weźmie i żywot wieczny odzierży"[2]).

W tych kilku słowach święty zakonodawca wypowiada, czem jest jego reguła, to jest, w czem zakon, który założył, był zakonem n o w y m, jako rdzennie różnym co do ubóstwa mającego w nim obowiązywać, od innych zakonów istniejących w Kościele.

[1]) Matth. 19, 21 et 29.

Wymaga rozdania majątku na ubogich.

Żadne inne zakony nie mają sobie wzbronione, żeby aspirant, to jest chcący wstąpić do klasztoru, jeśli go uznają sposobnym, wcielił swój majątek większy czy mniejszy do wspólnych posiadłości danego zgromadzenia. Franciszek zaraz w drugim rozdziale reguły, gdzie mówi o sposobie przyjęcia do zakonu, zabrania tego bezwzględnie. Chce, aby już w tym pierwszym swoim kroku za furtę klasztorną kandydat do Braci Mniejszych nauczył się od nich nietylko słowem, lecz i przykładem, że bracia powinni zachowywać jak najściślejsze ubóstwo i we wszystkiem jak najwierniej stosować się do przepisów Ewangelji. Powiada więc reguła: „Gdyby którzy chcieli przyjąć ten rodzaj życia i przyszli do braci naszych... niech im powiedzą słowo Św. Ewangelji, aby poszli i sprzedali wszystko swoje i starali się rozdać to ubogim“ [1]).

Idzie w tem za przykładem Zbawiciela.

To słowo Ewangelji, na które Franciszek się tu powołuje, jest odpowiedzią Zbawiciela, daną młodzieńcowi, który chciał zostać Jego uczniem. Przytaczamy tu całe zdarzenie, gdyż trzeba dobrze je znać, aby ocenić całą trafność, całą właściwość, albo raczej niezbędność tego przepisu.

Razu pewnego przystąpił do Pana Jezusa młodzieniec i, upadłszy Mu do nóg, zapytał: „Mistrzu, co dobrego mam czynić, abym otrzymał żywot wieczny?“—A na to Zbawiciel, wskazując mu ogólne obowiązki prawdziwych chrześcijan, rzekł, iż trzeba aby przykazania Boskie wiernie pełnił. Lecz młodzieniec ten był z liczby wybranych do wyższej doskonałości: pragnął iść za Chrystusem Panem, bliżej od pospolitych Jego wyznawców. Chciał należeć do tych Jego uczniów, którzy Go doskonalej od ludzi żyjących na świecie naśladują. Kiedy więc Pan Jezus powiedział mu, że, aby dostąpić zbawienia, trzeba zachować przykazania Boskie, odrzekł, iż mu na tem nie dosyć. „Wszystkiegom tego strzegł od młodości mojej: czegóż mi jeszcze nie dostawa?“ A Jezus, pisze dalej Ewangelista, wejrzawszy nań, umiłował go i rzekł: „Jednej rzeczy ci niedostaje; idź, cokolwiek masz, przedaj, a daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie: a przyjdź i naśladuj mię“. Do tego więc wypadku z Ewangelji Św., który jest najważniejszym dla zakonów, bo w nim upatrywać można jakby ustanowienie życia zakonnego przez Chrystusa, odnosi się Franciszek w przepisie o przyjmowaniu zgłaszających się do Braci Mniejszych. Jeżeli bowiem samo pragnienie wyższej doskonałości skłoniło serce Zbawiciela ku młodzieńcowi, daleko bardziej spełnienie tej rady Jego czyni dusze w szczególny sposób miłemi Bogu.

Franciszek pierwszy wyzuł się ze wszystkiego.

Gdy Bernardone przekonał się, że nie uda mu się odwieść Franciszka od służby Bożej, postanowił dać mu wszelką swobodę, byle się wyrzekł przypadającego nań majątku. Bogaty kupiec lękał się, żeby jego praca nie poszła na cele pobożne, albo nie dostała się ubogim, których tak syn jego umiłował. Naprzód więc, stanąwszy w kościołku Ś. Damjana, zapytał świętego młodzieńca, co zrobił z pieniędzmi za sprzedanego konia i sukno, i oświadczył, że je chce odebrać. Franciszek oddał mu takowe zaraz, gdyż leżały na oknie, gdzie był je porzucił, kiedy ksiądz obsługujący kościół Ś. Damjana nie chciał ich wziąć na naprawę tego domu Bożego. Ale, gdy ojciec zawezwał go do sądu, nie stawił się tam, mówiąc, że nie zalicza się już do ludzi świeckich, lecz do duchownych i że tylko Biskup może tę sprawę rozsądzić. „Do Biskupa pójdę, bo on jest ojcem i pasterzem dusz“. Sędzia świecki wiedział dobrze, iż Franciszek nie ma żadnego prawa do przywilejów duchownych, ale i on zauważył, iż lepiej będzie, jak Biskup wda się w tę sprawę, i tym sposobem Franciszek zjawił się u Biskupa Assyża, którym był Gwido Secondi. Biskup przyjął go łaskawie. „Synu mój, rzekł do niego, twój ojciec jest bardzo zagniewany na ciebie. Jeżeli chcesz służyć Panu Bogu, oddaj mu wszystkie pieniądze, jakie masz, gdyż widać, że Pan Bóg nie chce, abyś ich użył na odbudowywanie kościołów. Miej nadzieję w Bogu, bądź mężny i nie bój się. On będzie twoją pomocą i raczy sam zaopatrywać twoje potrzeby“. — „Panie, odpowiedział Franciszek, nietylko pieniądze, ale i odzież moją oddam ojcu“. I to rzekłszy, zdjął z siebie bogate szaty, mówiąc z radością: „Słuchajcie wszyscy! Do tego czasu nazywałem Piotra Bernardone moim ojcem; ale, że postanowiłem być sługą Bożym, oddaję mu pieniądze, o które się martwi i całe ubranie, które mi sprawił, abym odtąd jeszcze słuszniej mógł mówić: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech. W Bogu samym całe moje bogactwo, cała nadzieja i ufność cała“.

Reguła zabrania braciom nawet wdawania się w rozporządzanie majątkiem wstępujących.

Wezwany sam od Boga do takiego wyrzeczenia się dóbr ziemskich, Franciszek żądał tegoż i od

[1]) Reguła, rozdz. II.

swoich braci. A jednocześnie zabronił wszelkiego wdawania się, jak wstępujący do ich zakonu rozporządzą swoim majątkiem, by przez to nie byli panami ich mienia, gdyby takowe za ich namową tak lub inaczej użytem zostało. W tymże więc rozdziale (II) dodaje: „A niech się strzegą bracia i ministrowie, aby nie wtrącali się do ich spraw doczesnych, aby ze wszelką swobodą mogli uczynić z rzeczami swemi, co im natchnie Pan". A nawet, gdyby oni sami prosili braci o radę w takich razach, nie wolno im jej dawać, bo mówi reguła: „Jeśliby zaś (wstępujący) potrzebowali rady (co do rozporządzenia mieniem swojem), ministrowie mogą ich posłać do jakich ludzi bogobojnych, za którychby zdaniem majątek ich ubogim rozdany został". Usuwa tu więc Święty zakonodawca wszystko, cokolwiek mogłoby wpłynąć na stronny sąd co do powołania zgłaszających się do zakonu. Jeśliby który bowiem posiadał jaki majątek, nie dopuszcza, aby zakon z tego byle najmniej korzystał, chociażby tylko przez użycie posiadłości aspiranta na dobroczynne jakieś cele, wskazane przez braci. A jakże ten przepis reguły święcie usposabia wstępującego do dążenia do wyższej doskonałości, skłaniając go, aby rozdał wszystko, co posiada na biednych! Od tego też zwykle zaczynali wszyscy wielcy Święci Pańscy, ile razy byli w możności pójść wiernie za tem wezwaniem Chrystusa Pana: „Przedaj cokolwiek masz i daj ubogim, a przyjdź i naśladuj mię". [1])

Furta do zakonu Braci Mniejszych.

Mawiał też Święty Franciszek, że miał to jakoby za objawienie, iż powyższe słowa: „Jeśli chcesz być doskonałym, pójdź, przedaj, co masz i daj ubogim... a przyjdź naśladuj mię", są prawdziwą bramą do jego zakonu. Nie przyjmował więc nikogo, ktoby w przeciągu roku próby nie rozporządził swoją majętnością, a to czynił i dla słów Chrystusowych i dlatego, żeby żaden nie szukał potem niczego w izbie zakonnej, coby tam przedtem zachował. A jeśli kiedy zdarzyło się, że który z aspirantów mogąc, nie rozporządził mieniem swojem na ubogich, i prosił o habit, mawiał mu: „Idź od nas, ponieważeś jeszcze nie wyszedł z domu swego i trzymasz się słabego fundamentu, założonego na piasku przywiązania do dóbr doczesnych. Temi zaś pogardzając, mogłeś był znaleźć mocny i stateczny fundament życia duchownego, a dopiero prosić mię o habit: zachowaj coś powinien, a potem o niego proś". A rozumiał tu przez fundament święte ubóstwo [1]).

Wyrzeczenie się wszystkiego.

Tak więc nasamprzód od każdego aspiranta wymagał Franciszek aktu wyrzeczenia się wspaniałomyślnie wszystkiego. Każdy musiał sprzedać wszystką majętność swoją i wszystek dochód z tej sprzedaży rozdać co do grosza ubogim. Tak uczynił, jak widzieliśmy, pierworodny syn jego w zakonie, bogaty Bernard z Quintavalle; tak również musieli postąpić jego następcy, ilu ich z kolei ofiarowało się z gotowością całkowitego i bezwarunkowego pełnienia rad ewangelicznych. W tym punkcie reguły swojej Franciszek był surowy i nieubłagany. I żadne prośby nie zdołały go zachwiać w tem postanowieniu, bo takie było przekonanie jego, że kto w chwili całkowitej ofiary z samego siebie zdolny jest jeszcze zaprzątać się rachunkami ziemskiemi, ten przywiązany jest jeszcze do ciała i krwi, a zatem nie zdoła wytrwać na drodze doskonałości, ale rychło obróci się wstecz. Z ludźmi ubogiego stanu prędzej gotów był do niejakiegoś ustępstwa, bo we wszystkiem o ducha mu chodziło, nie zaś o literę.

O tym, który rozdał majątek krewnym.

W podróżach Świętego Ojca wielu zgłaszało się doń z prośbą, aby ich przyjął do swego zakonu. Zbadawszy ich powołanie, Franciszek żądał, aby zanim przyjdą, wszelkie posiadłości swoje rozdali naprzód ubogim. Między aspirantami trafił się pewien człowiek bardzo zamożny, któremu Seraficki Patryarcha ten sam warunek położył. Lecz on, pominąwszy ubogich, rozdzielił mienie swoje na rodzeństwo i bez tego już zamożne. A gdy przyszedł później do Świętego i uwiadomił go o swoim postępku, Franciszek upomniał go surowo i odprawił, mówiąc: „Ruszaj sobie w świat, bracie mucho [2]), dotąd bowiem nie wyszedłeś z domu swojego i rodziny swojej [3]). Rozdając majętność swoją krewnym, ukrzywdziłeś ubogich, nie jesteś przeto godzien należeć do grona ubogich Chrystusowych. Poszedłeś za krwią i ciałem, i nietrwałe podwaliny założyłeś pod budynek duchowny". Odszedł ów słabego ducha człowiek, odebrał majątek od krewnych i w istocie już więcej o zakonnem życiu nie pomyślał [4]).

Jak cenił oderwanie serca od rzeczy ziemskich.

Przebiegając z kazaniami Marchję Ankonitańską, sługa Boży zaszedł raz w gościnę do je-

[1]) Matth 10, 10. Żyw. Św. Fr. p. O. Pr. T. II, s. 158

[1]) Kroniki s. 150. [2]) Włoskie wyrażenie o osobach lekkomyślnych. [3]) Genes. 20, 21. [4]) Żyw. Św. Fr. Tom I.

dnego z możniejszych panów tej okolicy. Właściciel ów przyjął Franciszka z wielką czcią i miłością, a gdy się z nim rozstawał, rzekł: „Mężu święty, czynię cię właścicielem tak osoby mojej, jak i wszystkiego, co posiadam; rozporządzaj więc mną i mojemi dobrami według swego upodobania. Jeśli potrzebujesz sukna na habity lub płaszcze dla braci swoich, albo książek lub czegokolwiek innego, bierz to po sklepach, a ja zapłacę. Pamiętaj, że jestem zupełnie na twoje usługi, Pan Bóg obdarzył mnie majątkiem, mam z czego wspierać ubogich, więc powinienem to czynić". Franciszek podziękował mu w gorących wyrazach za taką łaskawość, a gdy już był w drodze, rzekł do swego socjusza: „Zaprawdę, mój bracie, ów pan, u którego śmy gościli, byłby bardzo dobrym zakonnikiem. Uznaje on z wdzięcznością dobrodziejstwa, które od Boga otrzymał, serce ma oderwane od tego, co posiada, szczerze miłuje bliźniego, wspiera ubogich, przyjmuje pielgrzymów. Uprzejmy jest bardzo dla wszystkich, a ta cnota miła jest Bogu, który czyni, że słońce Jego oświeca dobrych i złych. Uprzejmość jest siostrą miłości, strzeże od nienawiści i słodzi stosunki między ludźmi. Dla tych przeto i innych zalet, jakie w tym człowieku widzę, chętniebym go do naszego zgromadzenia przyjął. Trzeba więc nam wrócić do niego za kilka dni i nakłaniać, żeby w naszym zakonie służył Panu Bogu, a może i jemu samemu Duch Święty poda to do serca. Tymczasem prośmy Pana, aby to nasze pragnienie raczył spełnić, jeśli ono zgodne z wolą Jego". Wkrótce potem wrócił Franciszek do tego zacnego obywatela, i tam nocował. Gdy wszyscy udali się na spoczynek, gospodarz, wiedząc, że Święty trwa wtedy na modlitwie, zaczął go szukać i znalazł w ogrodzie modlącego się, a po chwili zobaczył wzniesionego ponad ziemią w niebieskiej jasności. Widok ten przejął go najwyższą miłością Boga, tak, iż postanowił wstąpić do zakonu Braci Mniejszych i zaraz rano oświadczył tę chęć swoją Franciszkowi. Seraficki Patryarcha wiedział już o tem przez objawienie, gdy więc ów możny pan rozdał swoje dobra ubogim, przyoblókł go w habit i posłał do klasztoru. [1])

Reguła Ś. Franciszka nie pozwala nic mieć własnego.

Niedość było Świętemu, żeby bracia rozdawali swoje mienie i tak dopiero wchodzili do jego zakonu, ale chciał, żeby w tem ogołoceniu na zawsze trwali, dlatego jednym z paragrafów reguły zakazuje, aby żadnej rzeczy bracia nie uważali za własność, ale, jako pielgrzymi i przechodnie na tym świecie, w ubóstwie i pokorze Panu służyli. Raz ogołoconemu z wszelkiej majętności, dość było bratu trwać w tem ogołoceniu, aby tem samem trwał w powołaniu swojem. Czuwał nad tem bardzo Franciszek. W oczach jego byłoby to wywróceniem porządku Bożego, gdyby bracia w ukryciu klasztoru mieli używać tego, czego wstępując do zakonu się wyrzekli.

Franciszek nie chciał nic nazywać swojem

Raz dał naukę braciom, jak dalekimi być powinni od przywłaszczenia sobie czegokolwiek. Zdarzyło się, że jeden z braci, nie zastawszy go w celi, wyszukał go gdzieindziej, a zapytany, skąd idzie, odpowiedział: „Z twojej celi, ojcze". A na to mu Święty: „Ponieważ moją nazwałeś tę celkę i mnie ją przywłaszczyłeś, już więcej do niej nie wrócę; niech ją zajmie kto inny, który nie ma do niej prawa". Opisując to, trzej jego towarzysze przydają: „Często też słyszeliśmy Ojca naszego, mówiącego: „Ani celi, ani żadnego miejsca nie chcę posiadać na własność. Boski nasz Mistrz bowiem powiedział: „Liszki mają jamy i ptacy niebiescy gniazda: a syn człowieczy nie ma, gdzieby głowę skłonił" [2]).

Jak uważał S. Franciszek rzeczy, których używał.

Wszystkie rzeczy, których używał Święty Ojciec, uważał nie za swoje, ani za własność zgromadzenia, ale za własność ubogich. I dlatego, gdy spotkał uboższych od siebie, mawiał do towarzysza: „Ten płaszcz dany mi był jako ubogiemu, abym go nosił, póki nie spotkam uboższego od siebie. Teraz więc musimy temu oto biednemu zwrócić jego własność". I tym sposobem ogałacał się ze wszystkiego, co tylko mógł zdjąć z siebie.

Jak dochował tego do końca.

Wspominaliśmy wyżej, jak w godzinę śmierci obnażył się ze wszystkiego, kładąc się na ziemi by przez to okazać, że używał sukni jako rzeczy pożyczonej i że chciał umierać w ogołoceniu, podobnie jak Zbawiciel. Wówczas gwardjan z natchnienia Ducha Świętego dał mu habit, jako ubogiemu, do okrycia nagości jego po śmierci, co bardzo uweseliło Franciszka, iż do końca dotrzymał

[1]) Tamże.

[2]) Matth. 8, 20.

wiary poślubionemu ubóstwu. Stąd upowszechnił się zwyczaj, że wszyscy Bracia Mniejsi, chcąc dochować wiary ubóstwu świętemu, gdy się zbliża ostatnia godzina, a gdy nie mogą poszczycić się tem, aby nic nie mieli, jak Święty Ojciec, zrzekają się wszystkich rzeczy używanych i oddają je w ręce przełożonego, aby umrzeć wyzuci ze wszystkiego, na wzór Zbawiciela i Ś. O. Franciszka.

Reguła nie pozwala nawet ogólnej własności.

Święty Ojciec zalecił w regule braciom, aby nie przywłaszczali sobie nietylko osobiście jakiej rzeczy, ale żeby nie uważali nawet domów, w których mieszkają za własność zgromadzenia, lecz żeby żyli jak pielgrzymi w cudzych domach tak, iżby prawdziwi właściciele tychże mieli prawo w każdym czasie ich wyrzucić. Dlatego to nie pozwalał, aby bracia zamieszkali gdziekolwiek, pókiby ich nie zapewniono, że własność tego miejsca do kogo innego należy.

Nawet Porcjunkulę nie uważał za własność.

Chciał on nawet, aby bracia i klasztor Najświętszej Panny Anielskiej uważali za cudzą własność, a nie za swoją. Otrzymawszy przeto kościołek ten od Benedyktynów, przypomniał im, na jak świętem miejscu osadza ich Opatrzność, jak cieszyć się powinni, że pierwszy ich klasztorek będzie przy kościołku ulubionym przez Matkę Bożą i upominał, aby, mieszkając przy nim, starali się żyć świątobliwie i nie ustawali w wychwalaniu w nim Boga. W końcu zaś przydał: „Wielką wdzięcznością przejęci bądźcie, moi bracia najmilsi, za dobrodziejstwo, wyświadczone nam przez OO. Benedyktynów. Uświęcili oni wszystkie klasztory, jakie mieć będziemy na przyszłość, odstąpieniem tego domu Bożego, który ma zarazem służyć za wzór ubóstwa dla wszystkich domów naszego zakonu, a także być zarodkiem świątobliwości. Lecz żebyście zawsze pamiętali, iż miejsce to nie jest waszą własnością, bo zakon nasz nic posiadać nie może, macie składać corocznie OO. Benedyktynom z góry Subasio koszyk rybek, ułowionych w rzeczce Chiasco (Kiasko), na tym gruncie płynącej. Będzie to wasza danina względem prawego właściciela — opata benedyktyńskiego". I przepisu tego, dopóki żył, jak najwierniej przestrzegał [1]).

Jak ta ustawa wznosi regułę Braci Mniejszych nad inne.

We wszystkich zakonach ślub ubóstwa zawisł na tem, że każdy wstępujący wyrzeka się prawa do wszelkiej własności i to stanowi istotę ubóstwa w zgromadzeniach zakonnych. Ale wszystkie inne zakony, prócz Braci Mniejszych, mogą posiadać własność wspólną, to jest, wszelkiego rodzaju majętności, które, według uznania przełożonych, powinny być użyte na potrzeby zakonników. Franciszek atoli tak daleko posuwa obowiązek ubóstwa, że i tej wspólnej własności najsurowiej i bezwzględnie zakazuje, nic zgoła od tego nie wyłączając: ani ziemi, ani domów, ani kapitałów, ani nawet jakichkolwiek stałych dochodów. Zastrzega to reguła w rozdziale szóstym, gdzie powiedziano: „Bracia niech żadnej nie mają własności: ani domu, ani miejsca, ani żadnej zgoła rzeczy, lecz, jako pielgrzymi i przechodnie na tym świecie, w ubóstwie i pokorze niech Panu służą". I to jest, co stanowi główną reguły Franciszka od innych reguł różnicę. To właśnie podnosi cnotę ubóstwa ewangelicznego do tak wysokiego stopnia, jak tylko ją człowiek w szczególności i całe zgromadzenie zakonne podnieść może. W każdym innym zakonie wolnym się jest od jednej z największych przykrości, przywiązanych do bezwzględnego rzeczywistego ubóstwa, a mianowicie od niepewności o jutro i o środki do utrzymania, mając je zapewnione we wspólnym majątku zgromadzenia; owszem, spokojniejszym się jest zwykle z tej strony od osób na świecie żyjących, które, choćby opływały w dostatek, mniej pod tym względem bezpieczne być mogą. Zaś Brat Mniejszy nietylko żyć musi ubożej od każdego innego zakonnika, lecz oraz nie wie, czy jutro będzie miał zaspokojone najpierwsze swoje potrzeby i w takiej niepewności zapatrywać się musi ciągle na swoją przyszłość. Słowem, Brat Mniejszy przez swój ślub ubóstwa staje się ubogim rzeczywistym, jakim jest każdy, kto nie posiada zgoła nic własnego na świecie. [1])

Wszelkie posiadanie rodzi większe kłopoty.

Niektórzy bracia, zwłaszcza z rodzin bogatszych, szemrali na taką ścisłość ubóstwa, chcieliby bowiem coś posiadać przynajmniej wspólnie. Uwiadomiony o tem Biskup przedstawił tę rzecz Świętemu, mówiąc, że takie bezwzględne ubóstwo zacięży jego towarzyszom, i że nie będą go mogli zachować. Lecz na to odrzekł pokornie Seraficki Patryarcha: „Ja zaś, dostojny Pasterzu, uważam jeszcze cięższem i kłopotliwszem posiadanie czegokolwiek. Nie sposób bowiem utrzymać się przy jakiejkolwiek własności bez wielu zachodów i frasunku. Zwykle zmusza to do procesów, które trze-

[1]) Żywot Ś. Fr... Tom I, s. 105.

[1]) Żyw. Ś. Fr.... Tom II.

ba popierać, a nawet i do zajść zbrojnych przy obronie swoich posiadłości (co się w owych wiekach często zdarzało pomiędzy prywatnymi właścicielami). Wszystko to zaś przytłumia i obraża miłość Boga i bliźniego". Trafiła do Biskupa ta prosta lecz mądra, bo z Ducha Świętego natchniona, odpowiedź Franciszka. Przyznał mu słuszność i odtąd jeszcze łaskawszym był dla Seraficiego Patryarchy i jego towarzyszów, a całą powagą swoją bronił ich przed innymi, gdy kto ich sposobowi życia śmiał co zarzucić [1]).

Bóg zapewnia opatrzenie braciom.

Później, gdy przerabiając pierwotną regułę, zasięgnął w tym względzie zdania braci, a ci radzili mu, że lepiej, aby jego zgromadzenie nie różniło się od wszystkich innych zakonów, bo niepodobna utrzymać się bez stałych dochodów i posiadłości, Święty Ojciec wrócił do jaskini i długo się modląc, prosił Pana Boga o światło, czy ma iść za zdaniem swoich towarzyszów, czy też zostawić ten przepis reguły, jak go napisał. I oto wśród gorących westchnień usłyszał Pana Jezusa mówiącego: „Ja będę ich cząstką i dziedzictwem [2]) i nie chcę, aby się zaprzątali sprawami ziemskiemi. Wszystkich, którzy ten rodzaj życia wieść będą, Ja stanowię się wyżywicielem i, byle oni starali się tę regułę zachować, nie dozwolę, aby im czegokolwiek z niezbędnych do życia potrzeb brakowało. Im większą będzie takich liczba, tem większą okaże się nad nimi moja Opatrzność [3]). Gdy zrzucą na mnie staranie swoje, wychowam ich i na wieki nie dopuszczę zachwiania sprawiedliwych" [4]). Wysłuchawszy tych słów, wrócił Franciszek do klasztoru, a gdy braciom zdał sprawę z tego, co zaszło, odstąpili wszyscy od swego zdania, widząc coraz wyraźniej, że wszystkie przepisy ich reguły nie ludzkiem, lecz Boskiem były dziełem [5]).

Sprawdzenie obietnicy.

Siedem wieków minęło, a Bóg ciągle spełnia, co był przyrzekł Franciszkowi. Zakon pozostaje bez własności, lecz potrzeby jego zawsze były opatrzone przez jałmużnę już to dowolnie ofiarowaną już ukwestowaną, gdy zarobek nie wystarczał na utrzymanie. Powstawały klasztory i prowincje, liczba braci wzrastała do tysiąców, a jednak o wszystkich Bóg pamiętał. Wychodząc, nie brali ze sobą ani mieszka, ani torby, ani obuwia, i pomimo to nie zbywało im na niczem. Codzień sprawdzają się na Braciach Mniejszych słowa Pisma Świętego: „Będą jedli ubodzy i najedzą się i będą chwalić Pana, którzy Go szukają: będą żyć serca ich na wieki wieków". To utrzymanie zakonu, nieposiadającego żadnej własności, jest bezustannym cudem wszechmocy i dobroci Bożej, cudowną nagrodą ufności Świętego i silnym dowodem, jak miłem Bogu było jego założenie [1]).

Słowa S. Bonawentury.

Święty Bonawentura, tłumacząc tę gorliwość, z jaką Święty Ojciec zachęcał braci do zamiłowania całem sercem ubóstwa, mówi: „Tę to bowiem cnotę ewangeliczną, a wtedy jakby z całego świata wygnaną, z taką miłością zaślubił Franciszek, że nietylko dla niej opuścił ojca i matkę, ale i wszystko, co tylko na świecie posiadał i co kiedykolwiek mógł posiadać. Nikt nie był tak chciwy złota i nikt tak pilnie najdroższego nie strzeże skarbu, jak on strzegł tej perły ewangelicznej. To też nic go bardziej nie raziło w braciach, jak kiedy dostrzegł w którymkolwiek coś niezgadzającego się z najściślejszem ubóstwem. Sam też od pierwszej chwili założenia swojego zakonu nic zgoła co do odzieży nie nosił, prócz habitu, powrozu, którym się przepasywał i z grubego płótna krótkich spodni.

Jak wzniośle pojmował ubóstwo S. Franciszek.

Ubóstwo Pana Jezusa i Najświętszej Jego Matki Franciszek często ze łzami rozpamiętywał i do braci pełne zapału miewał o niem nauki. Jedną z nich, wiernie streszczoną przez Tomasza z Celano, ucznia a później życiopisarza Świętego, tu podajemy:

„Wiedzcie o tem, bracia moi, że ubóstwo jest królewą wszystkich cnót, gdyż w Królu królów i w Królowej Matce Jego tak wzniośle zajaśniało. Pamiętajcie, najmilsi, że ubóstwo jest najpewniejszą drogą zbawienia, bo strażniczką pokory i korzeniem doskonałości; owoc jego bogaty, lecz utajony. Ono to jest ewangelicznego pola skarbem ukrytym [2]), dla nabycia którego trzeba wszystko sprzedać, a co sprzedać się nie daje, tem w duchu ubóstwa pogardzić. Do jego szczytu kto chce dosięgnąć, ten nietylko rozlropności światowej, lecz nawet i biegłości w naukach wyrzec się poniekąd winien, aby i z tego rodzaju dóbr ogołocony, wejść mógł w możności Pańskie [3]) i nagim rzucił się w objęcia Ukrzyżowanego. Nigdy bowiem nie wyrze-

[1]) Tamże. Tom I. [2]) Psalm 15, 5. [3]) Wadding. Annal. Minorum, ad an. 1223. [4]) Ps. 1, 4, et 23 [5]) Żyw. Ś. Fr. T. II, s. 155.

[1]) Leben des heil. Franziskus von Assisi von R. P. Bernhard von Andermatt. [2]) Matth. 13, 44. [3]) Ps. 70, 16.

cze się doskonale świata, kto pęta własnych przekonań w tajnikach serca przechowuje.[1])

Ubóstwo jest skarbem.

Innym razem mówił Święty Ojciec: „Ubóstwo jest dobrem nieoszacowanem, istnie Boskim darem, a my tak nędzni, że niegodni jesteśmy posiadania rzeczy tak szczytnej. Zaprawdę, jest to cnota z nieba na nas zlana, sprawująca w nas to, że gardzimy wszystkiem, co ziemskie, i usuwająca wszelkie przeszkody, jakie dusza ludzka napotkać może do łatwego i najprędszego połączenia się z Panem i Bogiem swoim. Ona to sprawia, że człowiek, choć jeszcze żyje na ziemi, w niebie z aniołami obcuje. Ona to towarzyszyła Chrystusowi na krzyżu, z Chrystusem do grobu zstąpiła, z Nim zmartwychwstała i z Nim poszła do nieba. Ona to uduchownia dusze ludzkie i sprawia, że przez jej zamiłowanie za życia jeszcze w niebo wzlatują na skrzydłach prawdziwej pokory i miłości, któremi obdarza swoich miłośników.[2])

Ubóstwo oblubienicą Chrystusa.

Zapał Serafickiego Patryarchy w zalecaniu i utrzymywaniu ubóstwa płynął z pojęcia, jakie był sobie o tej cnocie utworzył. Pojęcie to głęboki wpływ wywarło na cały kierunek życia jego, trzeba nam więc w końcu bliżej się nad niem zastanowić. Że ubóstwo odpowiadało potrzebom jego czasu, jako najskuteczniejsze na nie lekarstwo, to Franciszek, choć dobrze rozumiał, najmniej jednak miał na myśli. I to nawet nie było główną myślą jego, że ubóstwo jest jedną z owych cnót, którym Ewangelja dała początek. Myśl jego serdeczniejszem przenikniona była uczuciem. W pierwszej młodości swojej Święty marzył o zaszczycie stanu rycerskiego, jak o tem w swojem miejscu mówiliśmy. Jednem z najwybitniejszych znamion tej instytucji, czyli, ściślej mówiąc, tego zakonu — bo rycerstwo przedstawia się w owych czasach raczej jako zakon świecki, niż jako zwykła instytucja społeczna — była cześć jakby religijna dla niewiasty. Było to chlubą każdego prawdziwego rycerza wybrać sobie damę swojego serca, którą odtąd czcił jako panią swoją, i jawnie nosił jej barwę, i zawsze miał ją w myśli obecną, i w czasie boju ją wzywał o natchnienie, pomoc i zwycięstwo. Takie miejsce Franciszek zajął wobec ubóstwa. Według ducha onego czasu, kochającego się w poetycznych symbolach (znakach), przedstawiał sobie ubóstwo jakoby żyjącą osobę i z miłością przypisywał mu wszystką onę moc i władzę, którą trubadurowie sławili w szlachetnych paniach i bohaterkach swych pieśni. W jego oczach ubóstwo było królową. Duchowne z niem jakoby małżeństwo Zbawiciela i Najświętszej Jego Matki nadawało mu w myśli Franciszka tę godność królewską. Tem głębszą zaś cześć niósł tej królowej, że widział ją jakoby z tronu zrzuconą i wydaną na niezasłużoną pogardę.

Jak się obchodził z ubóstwem.

Franciszek rzeczywiście kochał tę damę swoją ze wszystkiego serca. Gdy zapatrywał się na nią, jako na małżonkę, albo na wdowę opuszczoną Jezusa Chrystusa, wtedy poszanowanie powściągało zapał jego i zwał ubóstwo matką albo panią. Lecz w innych chwilach, mówi Ś. Bonawentura, tkliwszem ku niemu uczuciem się unosił i śmiał mu dawać miano oblubienicy. Tak bowiem przedstawiało mu się ubóstwo w pierwszych jego marzeniach o przyszłości i od tego czasu coraz wyżej rosło w nim uczucie ślubnego swego z tą oblubienicą złączenia. Nie dziw więc, że w końcu tak się w niej rozmiłował, iż stał się jakoby jednym z nią duchem i nie było już w jego życiu ani jednej chwili, w którejby nie czuł siebie jej oblubieńcem“. Miał dla niej wszelką najtkliwszą czułość, jak wierny oblubieniec dla oblubienicy. Towarzystwo jej było dla niego rozkoszą. „Wspólna tych dwojga oblubieńców jedność i zgoda“, mówi Dante, „wesołe ich oblicza i wzajemna ich miłość, i podziwienie, i słodkie spojrzenia budziły myśli święte w tych, którzy na nich patrzyli“. Wystrzegał się pilnie wszystkiego, coby tę oblubienicę obrazić mogło i, zaproszony do stołu możnych, nigdy nie zapomniał przynieść z sobą owego chleba anielskiego, to jest chleba użebranego, by snać ani na chwilę jej się nie sprzeniewierzył. Sławił ją z rozkoszą na wszelki sposób. Wychwalał pomnik bogaty, zgotowany jej w przyszłości: „Nie jest to“, mówił językiem czasu swego, „lenno jakie zmienne i odwołalne, jest to dziedzictwo i królestwo wieczyste“. Układał wiersze na jej cześć, a przy odmawianiu brewjarza, gdy natrafiał w psalmach na miejsca, gdzie jest wspomniane ubóstwo, z większym niż inne zapałem i radością je śpiewał. Dwa szczególnie psalmy: 9-ty Będę wyznawał Panu i 68-y Wybaw mię Boże, z tego powodu kochał najwięcej, ...

Owoce ubóstwa Franciszka S.

Duch doskonałego ubóstwa, pierwszeństwo oddawane tej cnocie nad wszystkiemi innemi, oto jest

[1]) Żyw. Ś. Fr.... T. I, s. 110. [2]) Tamże. T. II, s. 8.

bezwątpienia rys najbardziej wydatny w postaci Świętego, dusza wszystkich jego przedsięwzięć, dowód boskiego jego posłannictwa i cnota, którą jego zakon zawsze jaśniał w Kościele. Seraficki Patryarcha ze swej strony starał się przejąć nią serca swych towarzyszów tak, że dziś jeszcze, po siedmiu wiekach, stanowi on wyróżniającą cechę Braci Mniejszych. Jednym z najbardziej podziwienia godnych owoców tego ducha ubóstwa jest ten błogi spokój, ta pogodna radość, promieniejąca na obliczu każdego prawdziwego syna Ś. Franciszka, a której źródło pojmuje chrześcijanin. Ci pokutnicy, ci gorliwi uczniowie Kalwarji, z weselem niosą krzyż posłuszeństwa, pracy, cierpień i upokorzenia, gdyż dla nich, jak i dla ich świętego Założyciela, znika wszelki ciężar pod uczuciem miłości.

Czem był dla swego wieku Ś. Franciszek.

Ta postać heroiczna wielkiego żebraka z Assyża wspaniale odbija na tle wieku XIII-go, kiedy żądza złota, uciech i zaszczytów opanowała wszystkie umysły i serca, kiedy zapomnienie lub niezrozumienie nawoływań do ubóstwa przez Boskiego Zbawiciela w Ewangelji Św. podanych, chciwość i gorączka bogactw do największych doszły rozmiarów. Ponad całą ówczesną ludzkość wznosi się postać wielkiego wzgardziciela świata, co Boskiej tylko pożądał miłości i nie pragnął innych skarbów, tylko niebieskich; tego Serafina ziemskiego, co stąpając po ziemi, sercem i duchem w niebieskich mieszkał przybytkach. To też nic dziwnego, że ten Żebrak ubogi pociągał za sobą serca szlachetne, zdolne odczuć prawdziwą wielkość i piękno. Niezliczone szeregi ludzi różnych stanów rzucają się za nim na drogę ewangelicznego ubóstwa, powstaje niezliczone mnóstwo klasztorów na jego ubóstwie opartych, gdzie, jak on, uczniowie jego ubóstwo za cząstkę sobie obrali i w Bogu tylko szukają wszystkiego.

Jak szatani nastawali na ubóstwo Braci Mniejszych.

Bardzo się nie podobało piekłu to nadzwyczajne oderwanie od dóbr doczesnych, którem odznaczali się bracia w początkowej gorliwości. Wysilał się więc szatan na obmyślenie sposobu, któryby tę surowość choć w części mógł przykrócić. Kroniki zakonne przytaczają w tej rzeczy następujące opowiadanie. W blizkości jednego z klasztorów, położonego na górze Alwernji, mieszkał szlachcic, który nigdy braci niczem nie wspomagał. Szatan, wziąwszy na siebie postać człowieka, zgodził się do niego na służbę. Gdy już pozyskał zaufanie swego pana i otrzymał od niego zarząd nad całym majątkiem, począł mu przekładać, jak wielce miłem jest Bogu dawanie jałmużny braciom, którzy dla swoich dobrodziejów wielkie łaski wypraszają. Szlachcic poszedł za radą szafarza, i odtąd codziennie prawie posyłał do klasztoru znaczną ilość zapasów, składających się z chleba, mięsa, ryb i owoców tak, że bracia, którzy przedtem byli bardzo ubodzy, zaczęli teraz żyć dostatnio. Starsi zakonnicy spostrzegli wkrótce, że ta obfitość nie jest korzystna dla duszy i modlili się szczerze, aby Pan Bóg nie dopuścił między nimi osłabienia ubóstwa. Jeden zaś, jak gdyby natchniony przez Ducha Świętego, udał się do owego szlachcica i spytał, co go skłoniło do takiej hojności względem braci. Dowiedziawszy się zaś, że to czyni za poradą służącego, prosił, aby mógł się z nim osobiście zobaczyć. Sługa z początku w żaden sposób nie chciał się bratu pokazać, przyszedł jednak nakoniec bardzo jakiś zmieszany, ale widząc, że zakonnik poczyna się domyślać jego pochodzenia, znikł bez śladu i nie pokazał się więcej. Wykrywszy zdradę szatańską, brat łatwo skłonił szlachcica, żeby zaniechał już opatrywania jałmużną klasztoru, w którym na nowo zakwitło ubóstwo.

Inny podobny wypadek.

W prowincji Portugalskiej, w klasztorze Alenkwer szatan użył innego podstępu, aby sprowadzić zakonników z drogi doskonałości. Przyszedł w postaci ludzkiej, prosząc o przyjęcie na służbę Bożą i przedstawiając się jako lekarz z zawodu. Gdy go przyjęto na próbę, począł leczyć braci z wielką miłością, wydawał się bardzo nabożnym i pokornym, i wszyscy byli z niego zadowoleni. To jedno tylko dziwnem się zdawało, że, gdy nadchodził czas przystępowania do Komunji Ś., on zawsze sobie znalazł jakąś wymówkę albo przeszkodę. Sława jego lekarska rozniosła się po okolicy i sprowadzała do klasztoru wielką liczbę chorych. Z jednej strony sprawiało to niepokój i przeszkodę w ćwiczeniach, z drugiej znów narażało święte ubóstwo dla wielkich jałmużn, które znoszono owemu doktorowi. Wreszcie gwardjan udał się na modlitwę, na której Bóg mu objawił, kim był mniemany lekarz, zdjęto mu tedy habit i wypędzono ze zgromadzenia.

Bracia Mniejsi byli zawsze wierni ubostwu.

Jakkolwiek w wielu miejscach bracia odstąpili przy budowie kościołów od pierwotnej prostoty i ubóstwa swego zakonu, jednak w ogóle pozo-

stali wiernymi duchowi zakonodawcy, jedni mniej, drudzy więcej. Zgodnie z regułą, budowali swoje konwenty wśród najuboższej ludności, trzymając się wielkiej prostoty pod względem architektury. W Londynie, Jorku (Yorku), Paryżu i w innych miastach konwenty Braci Mniejszych stawiano przyparte o mury miejskie na przedmieściach. Wybierano miejsca nizkie, błotniste, wilgotne w najbardziej opuszczonych dzielnicach. Całkiem niepodobne do tych dawnych klasztorów i opactw, wzbudzających i dziś jeszcze podziw świata, konwenty franciszkańskie zachowały tę samą cechę: są nizkie, szczupłe i ciasne. Ubóstwu mieszkań odpowiadało ubóstwo całego urządzenia. Tak żyli bracia, jak ludzie najubożsi w tej miejscowości, w której osiedli. W Kembridż (Cambridge) np. kaplicę dla nich zbudował jeden cieśla w jeden dzień. W Szriusbery (Schrewsbury) ściany wspólnej sypialni wzniesiono dzięki ofiarności mieszczan — z kamienia, lecz przy wizytowaniu domu Minister generalny kazał ten mur zwalić a postawić ścianę z gliny. Wszelka ozdobność stanowczo była wykluczoną. To też, gdy w Anglji za Henryka VIII przyszło do kasaty zakonów, skarb królewski nie bardzo się zasilił, znosząc klasztory franciszkańskie. Sprawozdania komisarzy rządowych, wysłanych do tej czynności, są wymownem świadectwem, jak wiernie zachowaną była reguła pod względem ubóstwa. Z klasztoru w Bridżuort (Bridgeworth) pisze komisarz rządowy: „Gwardjan i bracia zeznali, że nie mają z czego żyć. Ofiarność tak mała, że od trzech lat dostają z jałmużny dziesięć szylingów rocznie, a całe ich utrzymanie stanowi obsługa jednej kaplicy miejskiej". O konwencie w Szriusbery pisze takiż komisarz rządowy, że to najuboższy dom zakonny, który się utrzymuje z trzech morgów ornego pola, nie ma żadnych kosztowności, tylko platerowany krucyfiks i skromny kielich. Podobny raport nadesłany był z Ejlsberi (Aylesbury): „Bracia bardzo ubodzy, do tego zadłużeni; nie mają nic kosztownego, a sprzętów domowych bardzo mało". I w oksfordzkim klasztorze, głośnym na kilka lat przed kasatą z rozluźnienia reguły, takie było ubóstwo, że sprzedawano książki dla kupienia chleba. Wszystko to wymownie świadczy, że zakon franciszkański nigdy nie zatracił ubóstwa, nawet w takich czasach, kiedy wiele klasztorów odstąpiło od pierwotnej prostoty. Nawet w rozwolnionych klasztorach rdzenny duch franciszkański przeważał. Żaden bowiem z wyżej przytoczonych nie należał do Obserwantów, to jest do tych, którzy pod względem zachowania ubóstwa zbliżali się najwięcej do pierwszych synów Franciszka Świętego.

Naśladowcy Franciszka w opuszczeniu wszystkiego.

Ś. Elżbieta Węgierska, 3 Zak. (1231 r.).

Ta wielka Święta wyrzekła się wszystkich przyjemności i uciech, nawet właściwych jej położeniu. Nie chciała wyjść powtórnie za mąż, chociaż rodzony wuj jej, Biskup Bambergu, widząc ją tak młodą, bo 20 lat dopiero mającą i obarczoną czworgiem dzieci, bardzo tego pragnął. Otrzymawszy na własność tytułem posagu od księcia Henryka miasto Marburg z przyległościami, zamieszkała tam, lecz nie w zamku, jak przystało dziedzicznej pani, ale w wiosce Wehrda, o milę od miasta odległej. Tam obrała sobie ubożuchną, prawie walącą się chatkę, a w niej kącik pod schodami. To nędzne schronienie nie zasłaniało jej ani od zimna, ani od upałów; dym z małego kominka bardzo jej dokuczał i szkodził na oczy, ale wszystkie te umartwienia i niedogodności ochotnie i wesoło znosiła, rozkoszując się tą praktyką ubóstwa dla miłości Bożej. Skromny posiłek sama sobie gotowała. Po ostatecznem zerwaniu ze wszystkiem, co ziemskie i ludzkie, Święta nie miała już nic do opuszczenia, wszystko było już dla niej umarłe. Mogła więc z całą słusznością powtórzyć z Apostołem: „Żyję już nie ja, lecz żyje we mnie Chrystus". Świat, który nie mógł pojąć tak wielkiego heroizmu, jednogłośnie potępił oblubienicę Chrystusową, nazywając ją szaloną. I w rzeczy samej nie mylił się on wcale, gdyż Elżbieta zaczynała wtedy święte szaleństwo krzyża. [1])

Bł. Anioł z Pizy, Brat Mniejszy (1239 r.).

Nikt gorliwiej od Błogosławionego nie trzymał się reguły pod względem ubóstwa. Pilnie też innym tę cnotę zalecał. W budowanych przez siebie klasztorach kazał, żeby cele były bardzo szczupłe i nizkie, a w Oksfordzie rozmiary ich były tak ścieśnione, że zaledwie można się było w nich poruszać. Nieustannie miał na pamięci, że ludzie, będąc chwilowymi przechodniami na tej ziemi, nie powinni nic gromadzić, do niczego się przywiązywać, zadawalać się najmniejszem, a niestety, to wzniosłe ubóstwo trudne jest bardzo do zdobycia. W londyńskim klasztorze sypialnie były sklecone z gliny i ze słomy. Jako prowincjał angielski, nie dozwalał żadnych ozdób zbytkownych i karcił tych, którzy nie stosowali się do jego wskazówek. Pewnego razu zauważywszy w jednym kościołku, że ławki w chórze zostały przez braci pomalowane,

[1]) Żywot Ś. Elżbiety Węg. przez hr. Montalemberta.

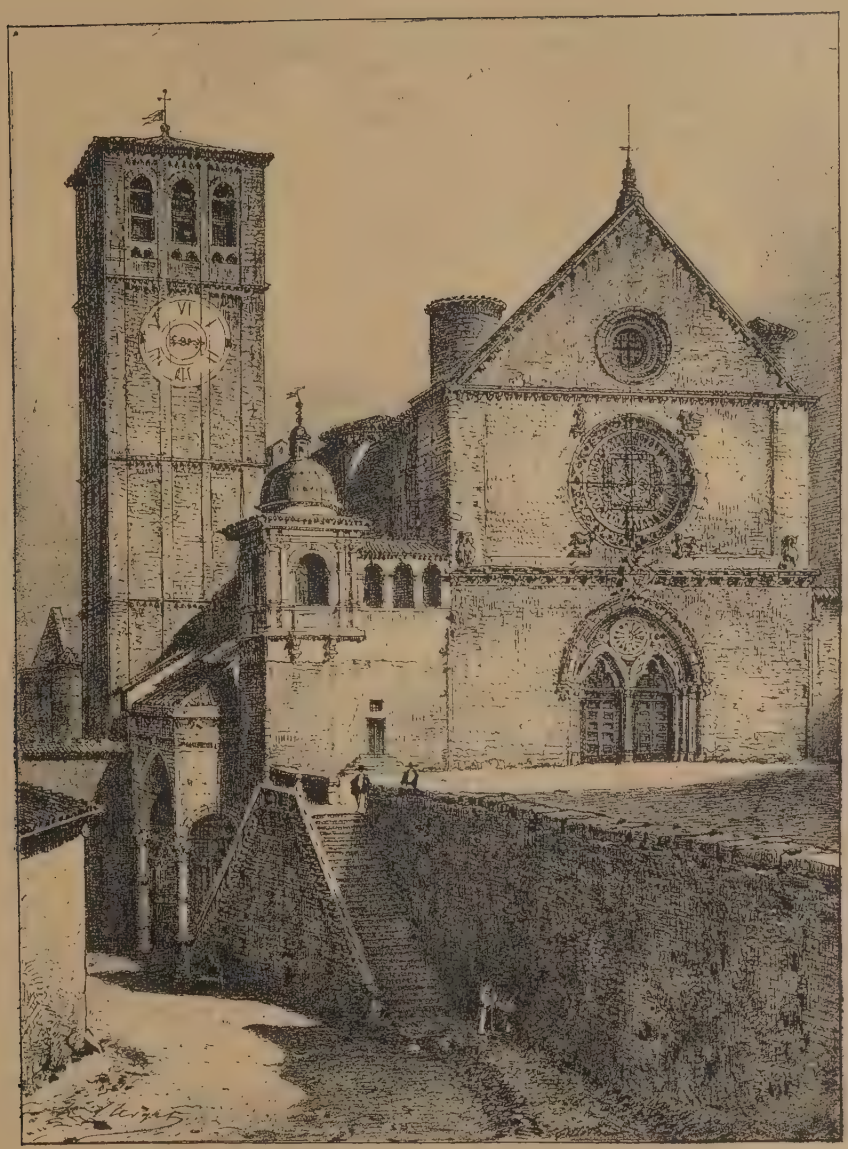

BAZYLIKA Ś. FRANCISZKA W. ASSYŻU

ZACZĘTA W R. 1228 ZA RZĄDÓW BRATA ELJASZA PRZEZ JAKÓBA NIEMCA, CHOCIAŻ CO DO TEGO NIEMA PEWNOŚCI.

Widok kościoła górnego i kruchty dolnego.

natychmiast zwrócił uwagę przełożonego, uważając to za niepotrzebny zbytek [1]).

S. Małgorzata z Kortony, 3 Zak. (1297 r.).

Za przykładem swego Serafickiego Ojca, Małgorzata stała się wielką miłośnicą ubóstwa świętego. Brak czegoś sprawiał jej nieopisaną radość, cieszyła się wówczas tak, jak my z dostatku, i powoli ogołociła się ze wszystkich rzeczy. Razu pewnego, osądziwszy, że pudełko drewniane, w którem trzymała chleb, jest zbyteczne, oddała je pierwszemu żebrakowi, jaki do niej przyszedł, poprzestając na starym wyszczerbionym półmisku. Lecz wkrótce i tę skorupę odrzuciła, jako zbyteczne bogactwo. W pierwszych czasach po swojem nawróceniu usługiwała chorym kobietom i w ten sposób zarabiała na swoje utrzymanie, ale to niedługo trwało. Nie mogąc przy tem zajęciu swobodnie myśleć o Panu Bogu, zaczęła żebrać od drzwi do drzwi o kawałek chleba. Gdy jej dawano cały bochenek, z początku odmawiała przyjęcia, sądząc, że to czynią przez wzgląd na dawny jej dobrobyt, później jednakże brała go dla swoich ubogich.

Za pieniądze otrzymane ze sprzedaży kosztowności, kazała wystawić dom dla biedaków i usługiwała im z takiem oddaniem, jak samemu Chrystusowi Panu. Potem, zbiedniawszy, rozdzieliła między nich naczynia kuchenne i sprzęty z ubogiego swego mieszkanka, a kiedy i tych już nie stało, oddała im pasek, rękawy od sukni i zasłonę pokrywającą jej głowę. W zimie zaś rozdała drzewo, którem ją ludzie miłosierni opatrzyli, podwójnie szczęśliwa, że mogła i chłód cierpieć i ubogim dopomódz. Pan Jezus z upodobaniem spoglądał na to wyzucie się ze wszystkiego. „Córko moja, rzekł do niej pewnego dnia, ogołociłaś się i wyzułaś dla mnie, dlatego też przyjmuję cię na łono mojej miłości“ [2]).

Bł. Michalina z Pesaro, 3 Zak. (1356 r.).

Błogosławiona Michalina przed wstąpieniem do Trzeciego zakonu rozdała swój majątek, pozostawiając sobie tylko pałac, w którym mieszkała, ale i ten niezadługo, idąc za pociągiem łaski, spieniężyła na korzyść ubogich. Wyzuwszy się ze wszystkiego, bo i z dachu nad głową, znalazła gościnne przyjęcie u pewnej ubogiej kobiety i odtąd żyła tylko z jałmużny. Widziano wtedy bogatą, piękną i młodą wdowę, chodzącą po ulicach Pesaro z sakwą na plecach, żebrzącą kawałka chleba i w milczeniu znoszącą najokrutniejsze zniewagi [1]).

Bł. Delfina de Glandew (Glandèves), 3 Zak. (1358 r.)

Straciwszy przez śmierć czystego swego małżonka, Delfina postanowiła wyzuć się z ziemskich dóbr swoich, aby jeszcze doskonalej służyć Bogu. Pragnęła ona iść ślad w ślad za Serafickim Patryarchą; nie mogąc wszakże sprzedać swoich posiadłości bez zezwolenia Roberta Andegaweńskiego, króla Neapolu i hrabiego Prowancji, który był jej panem udzielnym, udała się w tej sprawie do niego. Stawiła się przed nim w tak skromnem odzieniu, że król wzruszony był do łez, patrząc na bogatą a dobrowolnie ubogą wdowę, ale zdumienie jego nie miało granic, gdy mu powiedziano, że Delfina odmówiła mieszkania w pałacu, a najęła sobie ubogi domek na końcu miasta. Widok osoby, niegdyś zamożnej, należącej do najwyższych sfer społeczeństwa, a obecnie tak ogołoconej ze wszystkiego, zrobił głębokie wrażenie na dworze królewskim. Za jej przykładem panie z najpierwszej szlachty zaczęły chodzić do chatek ubogich, wspomagać i nawiedzać chorych po domach i szpitalach, opatrywać ich rany i najniższe oddawać im usługi. Panowie także, oddani dotąd zabawom i zbytkom, zawstydzili się zmysłowego życia i zmienili swe obyczaje; niektórzy nawet obrali sobie stan zakonny. Pobożna królowa Sancja odwiedzała często Błogosławioną w jej ubogim domku; obie te świątobliwe dusze rozumiały się, prowadząc budujące rozmowy o Bogu i o rzeczach duchownych. Często widziano je na ulicach miasta, jak piechotą nawiedzały świątynie, szpitale, ubogie domki chorych i strapionych. Za radą Delfiny, królowa założyła w Neapolu klasztor Klarysek, do którego po śmierci męża wstąpiła.

Chociaż z trudnością, Błogosławiona otrzymała nakoniec prawo rozporządzenia swojemi dobrami. Kazała więc sprzedać ruchomości, zamku Ariano i wszystko, co na nią podług testamentu przypadało, a wartość tego rozdała ubogim w Neapolu i w hrabstwie Ariano, wyjąwszy tysiąca dukatów, które przeznaczyła dla ubogich rodzin w dobrach swoich w Prowancji. Ogołociwszy się ze wszystkiego, co miała w królestwie Neapolitańskiem, Delfina napisała do krewnego swego, Biskupa w Digne, z upoważnieniem do sprzedania wszystkich jej dóbr w Prowancji, użycia ich na wsparcie ubogich i różne dobre uczynki. Żaden skąpiec nie stara się z taką usilnością o zebranie bogactw, jak Błogosławiona usiłowała się ich pozbyć. Skazując

[1]) Przybycie Braci Mniejszych do Anglji Tomasza Ecclestowna. [2]) S. Marguerite de Cortone par M. Berguin.

[1]) L'aur. séraph. T. II.

się tak na zupełne ubóstwo, dopełniła tym sposobem postanowienia, uczynionego oddawna wspólnie z Elzearem, śmierć bowiem tylko przeszkodziła świętemu jej małżonkowi w dodaniu do innych heroicznych czynów tego zupełnego wyrzeczenia się majątku i wszelkich ziemskich posiadłości.

Czyni ślub ubóstwa.

Delfina miała zamiar żyć cicho i samotnie, tymczasem musiała udać się do Palermo, dokąd wzywała ją księżniczka Eleonora, siostra króla Roberta i Ś. Ludwika Andegaweńskiego, aby skorzystać z jej rad przy fundacji kilku dobroczynnych zakładów. W drodze ciągle była przejęta myślą o ślubie najściślejszego ubóstwa i stanąwszy na noc w jakiejś wiosce kościelnej, podniosła się raniutko, odprawiła spowiedź, wysłuchała Najświętszej Ofiary i przed Komunją św. głośno uczyniła ślub ubóstwa na wieczne czasy, a w tak rzewnych słowach, że wszyscy obecni wybuchnęli płaczem. W Palermo zajęciem jej były modlitwa i dobre uczynki; jak przedtem w Neapolu, tak i tutaj upatrzyła sobie skromniutkie mieszkanko w najodleglejszej części miasta i w niem zamieszkała. Tu też dla bliższego naśladowania Ś. Franciszka zaczęła po raz pierwszy kwestować sobie pożywienie, i odtąd żyła już tylko z jałmużny, chodząc od domu do domu.

Rozdaje majątek swój na ubogich.

Śmierć Bł. Filipa z Aix, Brata Mniejszego, który był niegdyś spowiednikiem Błogosławionej, sprowadziła ją po raz drugi do Neapolu. Tam wszyscy dworzanie, a zwłaszcza król i królowa, nie mogli się wydziwić jej zupełnemu oderwaniu się od rzeczy ziemskich; ten nowy przykład heroicznej cnoty umocnił wpływ Delfiny na całą ludność miasta. Lecz wkrótce dowiedziała się ze smutkiem, że żaden z jej majątków w Prowancji nie został sprzedany. Biskup w Digne, obawiając się, aby rozporządzenie jego krewnej nie pochodziło z lekkomyślnej gorliwości, nie spieszył się ze sprzedażą tych dóbr, oczekując jej powrotu. Pożegnawszy monarchów neapolitańskich, Delfina udała się do Prowancji, kazała sprzedać wszystkie swoje dobra i cenę ich rozdać ubogim, kościołom, klasztorom i na różne dobre uczynki. Domownicy zwłaszcza zostali hojnie opatrzeni przez swoją panią. Delfina, wolna już od kłopotów i marności światowych, chciała zamieszkać sama, jak najuboższa żebraczka; lecz jedna z jej panien dworskich, Bartolomea, nie chciała jej odstąpić. Poświęciła się na wspólne z nią życie w ubóstwie i tak ją o to pokornie i usilnie błagała, iż Delfina pozwoliła jej towarzyszyć sobie w zbieraniu jałmużny. W towarzystwie Błogosławionej Bartolomea wzniosła się do wysokiej świątobliwości. Z początku mieszkały one w mieście Apt, lecz gdy tam przybywało mnóstwo osób w celu nawiedzenia hrabiny, usunęła się do wioski Cabrières, wybierając sobie na mieszkanie ubożuchny walący się domek. Wilhelm de Sabran, jej krewny, po długich a bezskutecznych namowach, uprosił ją wreszcie, że opuściła tę ubogą chałupkę, przenosząc się do starego zamku, przytykającego do kościoła tak, że przez otwór, wybity w ścianie, mogła, nie wychodząc, być na wszystkich nabożeństwach. Tutaj Delfina czuła się nad wyraz szczęśliwą: zdala od ludzi, pod okiem samego Boga, mogła przez długie godziny wylewać duszę swą przed Utajonym w Najświętszej Eucharystji. Ubranie jej składało się z prostej grubej tuniki popielatego koloru, przepasanej sznurkiem franciszkańskim, oraz długiego czarnego welonu, który ją całkiem osłaniał; opuszczała zaś swą celkę tylko dla kwesty.

Po kilkoletnim pobycie w Kabrjer (Cabrières) wróciła do Apt, gdzie spoczywało ciało jej małżonka i gdzie spędziła resztę swego życia, żebrząc, jak dawniej, od drzwi do drzwi. Osoby pobożne, zdolne ją zrozumieć, podziwiały jej zamiłowanie ubóstwa. Inne pogardzały nią i uważały za pozbawioną rozumu. Nawet między ubogimi byli tacy, co jej urągali: „Jak się nie wstydzisz, mówili, roztrwoniwszy swój własny majątek, pozbawiać nas teraz jałmużny! Zasłużyłaś sobie cierpieć niedostatek przez swoją nierozsądną rozrzutność, która cię do nędzy doprowadziła“. Błogosławiona radowała się w głębi duszy, że tym sposobem może mieć udział w upokorzeniach Boskiego Zbawiciela i z największym spokojem słuchała tych wymówek. Cóż ją bowiem obchodzić mogły próżne i mylne sądy ludzkie! Przyjmowała więc w dalszym ciągu datki, jakiemi miłosierne osoby ją obdarzały i nie wstydziła się posilać z żebrakami. Podczas nabożeństw w katedrze siadała zazwyczaj na kamiennej ławce, pośród ubogich niewiast z ludu[1]).

Bł. Joanna-Marja de Majje (Maillé), 3 Zak. (1414 r.).

Ta święta wdowa i dziewica, spędziwszy kilka lat na uczynkach miłosiernych i umartwieniach, zapragnęła jeszcze wyzuć się z dóbr swoich. Tymczasem Pan Bóg zesłał na nią ciężką chorobę tak, iż zdawało się, że musi umrzeć. Patrząc z radością

[1]) S. Delphine de Glandèves par M. Berguin.

na zbliżającą się godzinę śmierci, Joanna marzyła jednak o urzeczywistnieniu swego zamiaru. „Panie Jezu, rzekła, Oblubieńcze mej duszy, Ty, coś tak miłował ubóstwo, coś słowem i przykładem skutecznie nauczał, nie dopuść, błagam Cię, aby służebnica Twoja wyszła z tego świata obciążona dobrami ziemskiemi". Zaledwie te słowa przebrzmiały, podniosła się zupełnie zdrowa ku wielkiemu zdumieniu otaczających. Pierwszą jej czynnością po tem dobrodziejstwie było iść rzucić się do stóp Arcybiskupa Turoneńskiego, księdza Arnul (Arnoult) i w jego ręce złożyć ślub czystości dozgonnej. Potem udała się do krewnych i rozporządziła swemi dobrami w ten sposób, że oprócz majątku i zamku La Roche, który otrzymali od niej Kartuzi z opactwa Liget, wszystkie inne majątki zapisała rodzinie: wyrzekła się nawet prawa dziedziczenia czego kiedykolwiek. Prawdziwa córka Franciszka Ś. godną się stała w swem ubóstwie iść za Chrystusem nagim i nic niemającym. Błogosławiąc Pana za tę łaskę, Marja de Maillé wróciła do Tours z pociechą w sercu, że, jak Boski jej Mistrz, nie ma teraz gdzie głowy skłonić. W drodze żebrała sobie chleba i ciepłej strawy i wtedy zaczęła już doznawać upokorzeń przywiązanych do ubóstwa, które miało być odtąd nieodłączną jej towarzyszką aż do śmierci [1]).

Bł. Władysław z Węgier, Obserwant (1450 r.).

Brat Władysław z krwi królewskiej, wzgardziwszy światem, wstąpił do zakonu Braci Mniejszych. Po złożeniu ślubów tak dalece oderwał serce swoje od wszystkich marności, że chodził za pozwoleniem przełożonych z prowincji do prowincji, szukając, gdzieby znalazł większe ubóstwo. Nareszcie uczuł, że ma to, czego duch jego pragnie, gdy przyszedł do klasztoru Najśw. Panny Anielskiej we Włoszech i tu żył aż do zgonu. Umarł podczas morowego powietrza; duszę jego wstępującą do nieba w wielkiej jasności widział Bł. Franciszek z Pawji, ówczesny gwardjan tego klasztoru [2]).

S. Ignacy Lojola, 3 Zak. (1556 r.).

Ten wielki Święty przez dwa lata z rzędu po zakończeniu szkolnych wykładów w kolegjum paryskiem udawał się pieszo i o żebranym chlebie do Bruges [3]) i Antwerpji w Niderlandach, aby tam od bogatych kupców wyprosić sobie jałmużnę na dalsze nauki. Niektórzy z jego otoczenia brali mu to za złe, a zwłaszcza jeden Hiszpan, który, wiedząc, kim był Ignacy, z jakiego domu pochodził i jakie przedtem wiódł życie, wymawiał mu, że grzeszy, narażając na szwank dobre imię swych bliskich. Nie trudna była odpowiedź na ten zarzut, bo Ignacy nie wątpił, że dobrze czyni, wstępując jak najbliżej w ślady ubogiego i nagiego Chrystusa, wszakże dla przekonania przyjaciela i tych, co zbyt łatwo mu ufali, przedstawił kilku najuczeńszym teologom paryskiego uniwersytetu następujące pytanie: „Czy wolno szlachcicowi, który wyrzekł się świata dla miłości Chrystusa Pana, żebrać po rozmaitych krajach i czy przez to krzywdzi swych krewnych, lub przynosi uszczerbek własnemu sumieniu"? Jednomyślna odpowiedź wszystkich teologów brzmiała, że w tego rodzaju postępowaniu niema ani cienia grzechu. Zamknęło to usta nieroztropnym przyjaciołom, nieumiejącym zrozumieć korzyści i ocenić wzniosłości ewangelicznego ubóstwa. [1])

Bł. Bonawentura z Barcelony, Bonawenturzysta (1684 r.).

Ten założyciel reformy od jego imienia nazwanej, odznaczał się wielkiem oderwaniem od rzeczy ziemskich. Gdy budował klasztorek na górze Palatyńskiej w Rzymie, wpośród ruin, które od góry do dołu musiano przewracać, aby założyć fundamenta, znaleziono znaczne odłamy pięknego marmuru, oraz monety i mozajki z odległych czasów. Niektórzy bracia cieszyli się, widząc w tem Opatrzność Boską, która zachowała te rzeczy na pokrycie kosztów budowy i tak też radzili uczynić Błogosławionemu. On jednak odrzucił ich radę, mówiąc: „Jest to własność ubogich, a pieniędzy na budowę ukochanego naszego klasztorku sam Stwórca dostarczy". I rzeczywiście, zawołał ubogich, nędzarzy, wdowy, sieroty i wszystko pomiędzy nich rozdzielił, nic sobie z tego nie zatrzymując. A gdyby je był sprzedał do muzeów rzymskich, chętnie i sowicie byliby mu wynagrodzili. Nigdy nadzieja jego w Opatrzność Boską i miłość św. ubóstwa nie zajaśniała silniejszym blaskiem, jak w tym wypadku.

Ś. Marja-Franciszka od 5-u Ran, 3 Zak. (1791 r.).

Święta Marja Franciszka do najwyższego stopnia posunęła swoje ubóstwo. Dwie deski, powleczone skórkami owczemi, służyły jej za posłanie; mały kawałek chleba, zaprawionego piołunem, wystarczał za całodzienny posiłek; jedna gruba suknia tak w lecie jak w zimie okrywała jej ciało.

---

[1]) L'aur. Hagiograph. T. II. [2]) Ibidem. [3]) Briuż.

[1]) Żywot Ś. Ignacego Lojoli przez X. Badeni T. J.

Co zarobiła w dzień, oddawała ojcu, to zaś, co siedząc w nocy, zapracowała, należało do ubogich, szczególniej do dziewcząt, które tym sposobem broniła od grzechu. Po śmierci Galla, ojca swojego, za całe dziedzictwo zabiera sobie tylko obraz Zaślubin Najświętszej Marji Panny ze Ś. Józefem, do którego wielkie miała nabożeństwo, lecz i tego pozbawia ją siostra, zabierając nawet gwóźdź, na którym był zawieszony. Dalsze życie Świętej jest tułacze, pod swoim, to znów pod cudzym dachem, często zbywa jej na najkonieczniejszych potrzebach, w których ratuje się jałmużną. Zimą brakło jej nieraz oliwy do lampy, kawałka drzewa do ogrzania izdebki. Drżąca od zimna, zbierała wtedy szyszki po drodze, rozżarzała je w małym garnuszku i tak się grzała. Jeżeli zostało jej co z jałmużny, otrzymywanej od życzliwych osób, zaraz w świętej miłości ubogim to oddawała. Doznając szczególnej opieki Boskiej nad sobą, postanowiła naśladować Ś. Kajetana w całkowitem zdaniu się na Opatrzność i nie troszczyć się nadal o środki materjalne, lecz, pracując o ile jej słabe zdrowie pozwoli, głównie myśleć o Bogu, o duszy swej i o wieczności. To postanowienie Marji Franciszki tak się podobało Panu Bogu, iż natchnął kilku kapłanów znajomych, aby pamiętali o jej utrzymaniu; tym sposobem Święta mogła zachować najwyższe ubóstwo, żyjąc z jałmużny.

Po życiu spędzonem w tak doskonałem ubóstwie, Marja Franciszka pragnęła być mu wierną i po śmierci. Lękając się, by nie urządzono jej wspaniałego pogrzebu, prosiła, żeby nie zapominano, iż jest ubogą, aby przeto trumna była z prostych desek i żeby paliły się przy niej tylko cztery świece i żeby żadnej próżnej okazałości nie było [1]).

Kapucyni.

Wszystkie reformy w zakonach franciszkańskich polegały głównie na przywróceniu pierwotnej ścisłości serafickiego ubóstwa. Pokazało się to i przy reformie Kapucynów, która się odznaczyła najwyższym stopniem tej cnoty i żebraniną. Sam Pan Jezus objawił świątobliwemu Janowi z Metymny, Kapucynowi, że za najmilszych sobie poczytuje tych, którzy całą swoją ufność w Nim złożyli. Tych Bóg kocha, o tych ma staranie i tych za najdroższych synów swoich uważa, gdy przeciwnie wielką boleść sprawiają Jego Sercu bracia obowiązani do rad ewangelicznych, a nie zdający się na Niego we wszystkiem. Do tych należą i ci, którzy, niepamiętni przestróg Ś. O. Franciszka, czy to zaopatrują się w żywność na drogę, czy też robią zapasy w swoich klasztorach, zapominając, że kto Bogu zaufał, nigdy się nie zawiódł. Niech więc pamiętają, że Bóg w tym celu ogołocił ich ze wszystkiego i przywiódł do największego niedostatku, aby przez to okazał swoją szczodrobliwość i opatrzność. Zatem niech tylko starają się o wierne zachowanie reguły, a Ten, co odziewa lilje polne i żywi ptactwo powietrzne, nie opuści synów, całe o sobie staranie na Niego składających [1]).

Cudowne opatrzenie.

Kroniki zakonu Kapucynów bardzo liczne opisują wypadki, w których Bóg cudownie opatrywał braci, zachowujących ślubowane ubóstwo. Pewnego razu w prowincji Ś. Anioła śniegi tak zatamowały drogę, że nie można było wyjść z klasztoru. Braciom groziła już śmierć głodowa, tem bardziej, że do najbliższej osady było dwie mile. Lecz oto wieczorem dał się słyszeć dzwonek u furty i brat furtjan odebrał od przybyłych czterech mężczyzn chleb, wino i rozmaite inne zapasy. Na zapytanie, skąd są, ludzie ci nic nie odpowiedzieli, a tylko kazali braciom podziękować Panu Bogu. W parę dni potem ludność miasta przypomniała sobie o Kapucynach, pospieszono więc coprędzej z żywnością, ale tu dowiedziano się, że już ktoś gorliwszy pamiętał o zakonnikach. Wypytali się wszystkich w mieście i w okolicy, ktoby to był uczynił, lecz okazało się, że nikt nie posyłał do klasztoru zapasów, tak bracia więc, jak i świeckie osoby uznały w tem widoczny cud Opatrzności Boskiej [2]).

O ubóstwie ducha.

Jakie pierwsi Kapucyni mieli wyobrażenie o doskonałości ubóstwa, pokazuje się z nauki, którą im Wikary generalny, Franciszek z Esio często powtarzał: „Kto chce, mówił, być doskonale ubogim, powinien się starać o wewnętrzne ubóstwo, bez którego zewnętrzne nie ma żadnej wartości. Jeśli bowiem jakakolwiek miłość czy przywiązanie zajmuje serce człowieka, czy to do krewnych, czy do miejscowości, czy nawet do celi lub książki, tam już nie panuje czysta miłość Boża, która nigdy z żadnem innem przywiązaniem zgodzić się nie może. Kto więc chce osiągnąć sam szczyt ubóstwa, niech, oderwawszy myśl swą i serce od wszystkiego, całkowicie zatopi je w Bogu. I jeszcze wam wyższą drogę pokażę, mówił; do najwyższego ubóstwa potrzeba wyrzeczenia się miłości własnej, która, bę-

[1]) Vita di Santa Maria Francesca delle Cinque Piaghe delle di Gesu Cristo dal p. Bernardo Laviosa.

[1]) Kroniki Kap. Bowerjusza r. 15. [2]) Tamże.

dąc wrodzoną niejako naszej duszy, najtrudniej daje się wykorzenić, a najbardziej doskonałości się sprzeciwia. Dlatego Chrystus Pan wyłącza z liczby swych uczniów również i tych, co nie wypowiedzieli nienawiści sobie samym: Jeżeli kto idzie do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego, i matki, i żony, i dzieci, i braci, i sióstr, jeszcze też i duszy swojej, nie może być uczniem moim. Jeżeli więc kto pragnie postąpić w doskonałości i osiągnąć to, co Ś. Franciszek w swej regule tak bardzo zaleca, mówiąc: „Niech uważają bracia, że nadewszystko pragnąć powinni mieć ducha Pańskiego", potrzeba, aby całego siebie w moc Boską podał i nikomu prócz woli Bożej i upodobania Jego w duszy swojej władać nie dopuszczał, aby z Apostołem zawsze mógł mówić: „Panie, co chcesz, abym czynił?" Winien rozważać sługa Boży, że nie swoją, lecz Boską jest własnością, od Niego bowiem wziął duszę, ciało i życie i dlatego nie siebie, ale chwały Bożej ma szukać we wszystkiem, nawet w osiągnieniu wiecznej chwały. Gdyby więc chwała lub wola Boża wymagała wiecznego potępienia człowieka, co jednak jest rzeczą niepodobną, powinien raczej obierać to, co z wolą Bożą się zgadza, niż iść do nieba bez woli Bożej. I to jest najwyższe ubóstwo ducha, którego niewielu dostępuje, aby nic, prócz Jezusa Chrystusa i Jego chwały, nie pragnąć, nie szukać i nie kochać". [1])

Bernardyn z Monteulmu (1565 r.).

Bernardyn z Monteulmu szczególnie powstawał na brak ufności w Opatrzność Bożą i mawiał, że niczem Pana Boga uczcić tak nie możemy, jak spuszczając się na Niego we wszystkiem. Bo chociaż odbiera Pan Bóg chwałę z naszych postów, cnót i umartwień, jednakże nie oddajemy Mu przez to takiej chwały, jak przez zupełną i nieograniczoną ufność, gdyż w tem składamy Mu całopalną ofiarę z ciała i duszy naszej, i nic już więcej nie mamy, cobyśmy Mu złożyć mieli. Jeżeli zaś Pan Bóg od wszystkich tego wymaga, jakże tem więcej od zakonników, którym szczególniejszą przyrzeka opiekę, gdy mówi w Ewangelji Świętej: „Nie troszczcie się o dusze wasze, cobyście jedli, ani o ciało wasze, czembyście się odziewali". Ś. Franciszek często powtarzał swym uczniom słowa Proroka: „Zrzuć na Pana staranie swoje", wiedział bowiem, że zakon jego zbudowany jest cały na Opatrzności Boskiej, przeto żadnemu z braci nigdy na niczem zbywać nie będzie, jeżeli tylko całą troskę o siebie na dobroć Bożą złoży.

Opowiadał przytem nieraz Bernardyn, choć się nie przyznawał, że to o niego samego chodziło, jak pewien zakonnik, wysłany z Monteulmu do Tolentynu, został zaskoczony w drodze nagłym wylewem rzeki. Wracać się było zadaleko, gdyż dzień się już kończył, a przejść rzekę zdawało się niepodobieństwem. Gdy tak stoi i rozważa, polecając to Bogu, zjawia się przy nim jakiś nadzwyczajnej wielkości człowiek, który ofiaruje się przenieść go przez wodę. Zgodził się na to zakonnik i prawie w jednej chwili znalazł się na drugim brzegu, a gdy, chcąc podziękować, rozejrzał się na wszystkie strony, nigdzie przewodnika swego nie zobaczył. Była to więc anielska usługa, za którą złożył dzięki Bogu [1]).

S. Feliks z Kantaliczo, (1587 r.).

Jakkolwiek duch ubóstwa współczesnych mu Kapucynów posunięty był bardzo wysoko, Feliks i w tej cnocie przewyższał swych braci. Celka jego i ubranie były ze wszystkich najuboższe; habit, który nosił był krótki, wązki i składał się z samych prawie łat. Zbierał on najstarsze, najbardziej zużyte i już odrzucone habity, oczyszczał je, naprawiał i cieszył się, gdy mu pozwolono je nosić. Raz jeden z braci zwrócił jego uwagę, że właśnie w ten sposób wykracza przeciw ubóstwu, bo zniszczone sukno jest nietrwałe, musi więc często zmieniać ubranie. Święty zaś odrzekł: „Nasza reguła wymaga, abyśmy używali odzienia nędznego i ubogiego, mniejsza więc o to, czy ono trwa dłużej lub krócej". Tym zaś braciom, którzy się wstydzili wychodzić na ulicę w połatanym habicie, zwykł był mawiać, że nie są prawdziwymi synami Świętego Ojca Franciszka, ponieważ ten Seraficki Patryarcha miał zawsze jedną suknię, zewnątrz i wewnątrz połataną i pragnął, aby jedynem dziedzictwem i najwyższą ozdobą wszystkich jego dzieci była święta cnota ubóstwa.

Chodząc po kweście, zbierał tyle tylko, ile wymagała niezbędna konieczność, lękając się, jak ognia, wszelkiego nadużycia i zbytku. Pewnego razu przełożony domu, w obawie, że niektórych rzeczy może zabraknąć, polecił mu uzbierać ich więcej, tak, aby na czas jakiś wystarczyło. „Mój Ojcze, rzekł mu Feliks z pokorną prostotą, jestem na twoje rozkazy i gotów każdej chwili uledz twej woli, wierzaj mi jednak, że nasze ukochane ubóstwo zakrywa oblicze i odwraca się od nas, gdy żyjemy w obfitości i zbytku; natomiast cieszy się i promienieje, gdy nas widzi w niedostatku. Nie pragnie ono naszej śmierci głodowej, lecz miła mu jest gotowość, aby

[1]) Tamże.

[1]) Tamże r. 1565.

choć czasem z miłości ku niemu na jakiś brak lub niewygodę się narazić i obchodzić się tem tylko, co jest do życia niezbędne. Błagam cię więc, mój Ojcze, nie troszczmy się o jutro, które bezpiecznie w ręku Boga spoczywa; czyż nam to nie wystarcza, że mamy zawsze dostatecznie pożywienia na dzień dzisiejszy?" Tego rodzaju pokorne a rozumne uwagi odnosiły zawsze zwycięstwo nad wyrachowaniami przezorności ludzkiej, utwierdzając członków zakonu w zamiłowaniu najściślejszego ubóstwa.

Ś. Feliks stróżem ubóstwa w budynkach.

Ubóstwo ówczesnych Kapucynów było, jak już wspomnieliśmy, podziwienia godne; ich ubogie klasztory i kościoły są tego najlepszym dowodem. Niektóre budynki, jakie ząb czasu oszczędził i do dziś jeszcze zachował, wskazują nam jasno, jak mało byli wymagający ówcześni zakonnicy i jak umieli czembądź się zadowolnić. Za czasów Feliksa posuwali oni swe zamiłowanie ubóstwa do tak wysokiego stopnia, że żaden z gwardjanów nie byłby się odważył bez naglącej potrzeby przedsięwziąć jakąkolwiek naprawę w budynkach. Nazwanoby to nadużyciem świętego ubóstwa i taki gwardjan w krótkim czasie byłby ze swego urzędu złożony. A przecież czujne oko Feliksa w tych nawet warunkach umiało jeszcze wyśledzić jakieś drobne winy przeciwko ubóstwu, którego był wiernym stróżem i zaraz też występował w jego obronie wobec własnych przełożonych, przypominając im obowiązek, jaki odziedziczyli po Świętym Ojcu Franciszku. A ponieważ wiedziano, że sługa Boży mówi zawsze jedynie z natchnienia Bożego, przyjmowano jego uwagi chętnem sercem i przez cześć dla Ś. Patryarchy, jako też i dla niego samego przez długie lata nie śmiano rozpocząć naprawy pewnego bardzo już zniszczonego klasztoru, aż wszyscy mieszkający tam bracia na wspólnej naradzie uznali takową wskutek niebezpieczeństwa życia za konieczną. [1])

Bazyli z Zyrleon (1651 r.)

Bazyli z Zyrleon przyszedł na świat w domu rodziców zamożnych, którzy wysłali go potem zagranicę do uniwersytetu. Będąc zdaleka od swoich, został sierotą i, jako najstarszy syn, musiał wrócić co prędzej i zająć się sprawami familijnemi. Ale w sercu jego powstało gorące pragnienie wyrzeczenia się wszystkiego, a oddania pracy wewnętrznej nad własnem wyrobieniem. Nie wiedział tylko jeszcze wyraźnie, gdzieby się schronić i który zakon obrać. Tymczasem, pewnego dnia przyszedł do jego domu ubogi Kapucyn. Mikołaj, takie bowiem miał imię chrzestne, nie widział i nie znał tych zakonników, a sądząc, że to zwyczajny żebrak, podał mu hojną jałmużnę. Lecz nieznajomy odpowiedział, że pieniędzy nie weźmie, co go bardzo zdziwiło. Wtedy dopiero usłyszał o Kapucynach, a strój ich tak mu się spodobał, bo doskonale świadczył o ich oderwaniu od rzeczy ziemskich, iż postanowił, że tam tylko wstąpi. Aby dopiąć tego, oddał młodszemu bratu wszystkie interesa i prawa, i rozdzieliwszy między ubogich swój osobisty majątek, zapukał do furty klasztornej w Zalcburgu [1]). Tak dobrze pojmując, co to jest iść nagi za nagim Chrystusem, nic dziwnego, że szybko kroczył po szczeblach doskonałości i zasłynął z wielkich przymiotów. Bracia podziwiali jego wymowę i żarliwość w głoszeniu słowa Bożego, oraz wysoką obserwancję, nie było bowiem wypadku, aby się kiedy zwolnił ze wspólnych ćwiczeń, owszem, pierwszy na nie przybywał [2]).

Edward z Anglji (1666 r.).

Cnoty tego zakonnika a zwłaszcza ubóstwo, było podziwienia godne. Pan wielkich włości, szlachetnego rodu, wierny małżonek tak za życia, jak i po śmierci swej żony, obrał sobie za przystań ubogi klasztor Kapucynów. Gdy Anglja wypędziła księży katolickich i pozabierała majątki Kościoła, oraz wszystkich jego wyznawców, baron Kelstembasset schronił się do Francji, gdzie córki jego wstąpiły do Klarysek, dwóch synów zostało Rekolektami, a jeden Kapucynem. Za przykładem tego ostatniego poszedł 63-letni starzec, a jakkolwiek przyzwyczajony do wygód, nie żałował majątku, fortuny i wszystkiego, do czego przez całe życie był nawykł i wziął na siebie grubą siermięgę franciszkańską. Odtąd między synem a ojcem zaczęło się współzawodnictwo w cnotach ubóstwa, pokory i oderwania się od rzeczy ziemskich. Znakomity ten mąż spędził dziewięć lat na służbie Pańskiej [3]).

Bł. Anioł z Akry (1739 r.).

Błogosławiony misjonarz tak kochał ubóstwo i tak był zaufany w Opatrzności Boskiej, że ta go nigdy nie zawodziła. Pan Bóg widocznie i dotykalnie nagradzał te miłe Mu cnoty, a w potrzebie cuda czynił dla Świętego. Gdy np. Anioł był gwardjanem w Akra, małą ilością pokarmów cudem rozmnożoną całe zgromadzenie posilił. Innym razem,

[1]) Żywot Ś. Feliksa z Kantaliczo p. Ratte.

[1]) Salzburgu. [2]) Annali Capuc V. II. [3]) Ibid V. III.

gdy uskarżano się przed nim, że światła w zakrystji zabraknie: „Czy wątpicie o Boskiej Opatrzności, odpowiedział, miejcie ufność w Panu“ i w istocie nazajutrz niespodziewanie przyniesiono znaczną ilość wosku. Podczas wielkiego nieurodzaju w Kalabrji przykazał bratu kucharzowi, aby każdego rana dawał żywność wszystkim przychodzącym do furty ubogim. Przeszło sto osób codziennie żywiło się przez cały czas panującego głodu, gdy tymczasem familja zakonna, składająca się z 20-tu braci, wcale niedostatku nie doznała. W pielgrzymkach swoich w czasie misji żadnych zapasów za sobą nosić nie pozwalał, mówiąc: „Bóg nas opatrzy“. Pewnego dnia, gdy podróżował z towarzyszem, ten, głodem zmorzony, już dalej prawie iść nie mogąc, smucił się, że nie miał nadziei rychło zwątlonych sił swoich pokrzepić. „Bądź cierpliwy, bracie, rzekł Anioł, Bóg nas opatrzy“. I w tejże chwili zjawił się młodzieniec, który zawoławszy na Błogosławionego po imieniu, dał mu chleba, wina i sera i znikł im z oczu wśród odkrytej zewsząd płaszczyzny.[1])

Dzisiejsze ubóstwo klasztorów kapucyńskich.

Zamiłowanie świętego ubóstwa, wzgarda wszelkich wygód ciała i pewne upodobanie w zmniejszaniu potrzeb ziemskich do najwyższych granic towarzyszy i dziś jeszcze wielu kapucyńskim klasztorom. Żywym tego dowodem jest klasztor zakonników w Ehrenbreitstein pod Koblencją, gdzie od niedawnego czasu weszli w używanie swego dawnego kościoła, z zastrzeżeniem wszelkich praw co do klasztoru, który jeszcze jest w rękach rządu i służy za magazyn wojskowy. Bracia zatem mieszczą się jak mogą i prawdziwie podziw i uwielbienie budzi widok ich nędznych i szczupłych celek, które nakształt gniazdek jaskółczych przylgnęły wkoło chóru i kościoła. Wysokość i objętość tych celek jest tak ścieśniona, że, gdyby zwyczajny człowiek stanął w pośrodku jednej z nich, z łatwością mógłby dosięgnąć rękoma wszystkich czterech ścian, jakoteż i powały. Żyjący w nich zakonnicy są zawsze swobodni i weseli, jak na prawdziwe sługi Boże przystoi; modlą się w nich i pracują od rana do wieczora z wyjątkiem godzin, które spędzają w kościele i chórze, i ani im na myśl nie przychodzi, aby los ich miał się kiedykolwiek pod tym względem polepszyć. Czasem i wyjątkowych gości przyjmują w tych szczupłych gniazdkach; jeden z gwardjanów miał odwiedziny wielce szanowanego Biskupa okolic nadreńskich, który bardzo był zbudowany takiem nadzwyczajnem ubóstwem zakonników[1]).

[1]) Bł. Aniola z Akry O. przez Prokopa.

Duch opuszczenia jest bardzo potrzebny do postępu w doskonałości.

Na dowód tej prawdy dość przytoczyć to jedno zdanie Zbawiciela: „Każdy z was, który nie odstępuje wszystkiego, co ma, nie może być uczniem moim“[2]), a więc bez opuszczenia wszystkiego, nie można być ani uczniem Chrystusa, ani się w stanie zakonnym utrzymać. Bo chcąc dążyć do rzeczy niebieskich, trzeba koniecznie oderwać serce od rzeczy ziemskich, a im kto doskonalej się od nich oderwie, nietylko w duchu, ale i w rzeczy samej, tem sposobniejszym będzie do postępowania w doskonałości. To samo utrzymują Ojcowie Kościoła. „W towarzystwie braci, mówi Ś. Bazyli, nikt nie może mieć nic własnego, gdyż jeśli nazywa co swojem, przez to samo oddala się od Kościoła i od miłości Bożej[3]). Ś. Jan Chryzostom uważa te rzeczy z innej strony, mianowicie, jako środek utrzymania doskonałej miłości i zgody braterskiej, pisze bowiem: „W klasztorach niema moje i twoje“, a więc to wszystko co przewraca i zamieszanie robi, zupełnie jest usunięte[4]). Podobnież twierdzi i Ś. Grzegorz: „Jeżeliby kto między zakonnikami miał jaką własność, ani zgoda ani miłość utrzymaćby się nie mogła“[5]). Kasjan własnomiętność nazywa stekiem występków i niewywikłaną podnietą do grzechów. Wreszcie Ś. Bonawentura powiada: „Gdy dobrowolne a powszechne opuszczenie jest fundamentem całego budynku duchownego, we wszystkich więc rzeczach przemijających zachowaj ścisłe ubóstwo, abyś nic nie miał pod niebem, oprócz tego, co reguła dozwala. Uważaj zawsze, byś w celi swojej nie trzymał nic prócz rzeczy niezbędnych, a to rozumiem nawet o drobnostkach, abyś zaniedbując małe, w większe powoli nie upadł“[6]).

Wiele przyczyn tego można przytoczyć. Naprzód, że gdzie jest moje i twoje, tam koniecznie muszą być sprzeczki, niezgody, ciężkie naruszenia miłości braterskiej, co jest zazwyczaj początkiem upadku w zakonie. Potem, gdzie jest prywatna własność, tam jest ujma ogólnego dobra. Następnie, kto ma swoją rzecz, ten nie potrzebuje łaski przełożonego, a stąd rodzi się lekceważenie jego osoby i władzy. Wreszcie przez pożądanie własnych dochodów nabywa się możność wpadania w występki, którychby się inaczej unikało. Za ubó-

[1]) Żywot Ś. Feliksa z Cantalicio. [2]) Luc. 14, 13. [3]) In Reg. brev. [4]) l. 3. Conf. [5]) l. 10, Ep. 22. [6]) De inform. Novit. p. 2, c. 9. et 14.

stwem zaś ustępują również posłuszeństwo i czystość, i tak cały zakon upada. Dlatego reformatorowie zakonów opuszczenie wszystkiego z zaprowadzeniem życia wspólnego kładli zwykle za podstawę swej reguły.

Zamiłowanie ubóstwa jest cechą prawdziwych synów Franciszka.

Nie tyle więc śmiechu, jak raczej opłakania godni są ci, którzy, obrawszy sobie iść za Franciszkiem i opuściwszy wspaniałym umysłem i mężnem sercem wszystko, co mieli na świecie, zachowują przywiązanie do niektórych błahych próżności; albo, nie ufając Bogu, do starań ziemskich się zwracają. Nieszczęśni! w wielkich rzeczach świat zwyciężyli, a w małych od świata są zwyciężeni i wyratowani z burzliwego morza, w błotnistym stawie toną. Chcąc tego uniknąć, trzeba strzedz swoje serce od wszelkiego ziemskiego przywiązania, pogardzać radami tego świata, mężnie opuszczać wszystko, co ziemskie i zdać się całkowicie na Opatrzność. I nikt nie może się uważać za należącego do rodziny Ś. Franciszka, jeżeli nie posiada w tej rzeczy ducha jego, nie kocha się w ubóstwie i nie ufa Opatrzności Bożej, ale raczej na środki ludzkie rachuje.

Jak synowie Franciszka mają naśladować ubóstwo jego wśród świata.

Członek Trzeciego Zakonu nie potrzebuje, tak jak Brat Mniejszy, zupełnie wyzuć się z posiadania wszelkiej własności, powinien jednak tem bardziej ćwiczyć się w oderwaniu serca od dóbr ziemskich. Powinien używać rzeczy koniecznie potrzebnych, wystrzegając się wszelkiego zbytku w ubraniu, sprzętach, jedzeniu, żywić się potrawami prostemi, a z tego, co ujmie swoim zmysłom, udzielać ubogim. Powinien w czasie właściwym, w zdrowiu i sile wieku uczynić testament i uważać się za umarłego światu i zapobiedz niezgodom i kłótniom domowym, jakie zwykły się wszczynać po śmierci tych, którzy schodzą ze świata bez rozporządzenia majętnością. To mu niech przypomina, że jest przechodniem na ziemi, że nie ma trwałego tu mieszkania, że tak powinien używać dóbr swoich, żeby, stając przed sądem Boskim, nie miał się czego wstydzić. Powinien być ubogim w duchu i na zewnątrz, przez miłosne i ochotne przyjmowanie skutków ubóstwa. Gdy mu jakiej rzeczy zabraknie, Bóg mu ją zastąpić powinien, według zdania Doktora Serafickiego: „Bóg Sam sobie wystarcza, czemużby nam nie miał wystarczyć?“

Duch opuszczenia potrzebny jest wszystkim wiernym.

Duch opuszczenia szczególniej w dzisiejszych czasach konieczny jest nietylko dla synów Ś. Franciszka, ale w ogóle dla tych wszystkich, którzy chcą być dobrymi chrześcijanami, a ożywiać ich powinien w tym stopniu przynajmniej, aby mieli serce oderwane od wszystkiego. Ś. Bernardyn Seneński pisze, że trzy walki od początku świata odbyły się w stworzeniu. Pierwszą była walka pychy, uosobiona w zbuntowanych aniołach; drugą—walka ciała przeciw duchowi, której rozwiązaniem był potop; trzecią — ciągle dotąd trwająca walka pożądliwości oczu czyli łakomstwa, i dla jej to zwyciężenia Syn Boży zaślubił ubóstwo, z całym szeregiem nędz i umartwień, od żłobka aż do krzyża. Dla prowadzenia tej walki wzbudza w Świętych swoich natchnienia i zapał do heroicznego zaparcia się siebie — dlatego też wzbudził w Kościele Świętym zakony żebrzące, aby niejako uwiecznić praktykę pokory i ubóstwa ewangelicznego. Wprawdzie nieczystość i pycha rozpanoszyły się na świecie, lecz głównym bożkiem dzisiejszego świata jest złoty cielec. Pieniądz i zamiłowanie mamony iluż tworzą Judaszów nawet w sługach świątyń Pańskich! To zamiłowanie pieniędzy tłumaczy nam tę gorączkę materjalnego postępu, oddalającego ludzkość od Boga, od prawdziwego rozwoju moralnego. W niem szukajmy przyczyn tych buntów i rewolucji, tych niezliczonych krzywd i nadużyć, które grożą przyszłości obaleniem podstaw społecznego pokoju i ładu. Chciwość jest korzeniem tych wszystkich nieporządków. Tu ludzie zamożni ściskają worki swoje, a robotnik i lud jest dla nich maszyną do wyrabiania złota. Tam lud roboczy powstaje i burzy się przeciwko możnym, dopominając się praw swoich. Dzieci Ś. Franciszka powinny uspokoić te wzburzone fale — słowem, a bardziej jeszcze przykładem zwalczyć tę nieumiarkowaną miłość złota, jak w swoim czasie przez zaślubienie ubóstwa Ś. Franciszek stał się dobroczyńcą rzemieślników i ubogich.

Czem może być dla nas dzisiaj przykład Franciszka Ś.

Nic ważniejszego dziś być nie może, jak stawianie Franciszka przed oczy wszystkim. Chciwość opanowała wszystkie warstwy i społeczność na dwa wrogie rozdzieliła obozy. Bogaci coraz to większych pragną bogactw i nad biedniejszym litować się nie umieją; ubodzy znowu całe szczęście swoje położyli w dostatkach, zazdroszczą ich bo-

gatym i pałają żądzą bogactw i użycia. Opuszczona jak za dni Franciszka Świętego i wzgardzona nasza pani ubóstwo. Szerzyć przeto znajomość życia Franciszka jest pracować nad uspokojeniem społecznych namiętności; jest to podnosić serca ludzkie ponad te nędze ziemskie i zapalać w nich szlachetniejsze porywy i piękniejsze pragnienia; jest to rozbudzać w bogatych litość dla ubogich, w nędzarzach znoszenie cierpliwie losu swego. Oto dlaczego Ojciec Święty Leon XIII wyraził nadzieję, że Trzeci Zakon Ś. Franciszka zbawi świat i że przyprowadzi do skutku naprawę społeczną.

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej.

Do takiego opuszczenia wszystkiego potrzebne nam jest męstwo, dlatego niektóre uwagi o niem przytaczamy.

Męstwo jest cnotą kardynalną, przez którą człowiek zachowuje się właściwie względem rzeczy trudnych i strasznych, ani bojąc się zbytecznie, ani odważając się lekkomyślnie, ani też nie porzucając swego obowiązku.

Wyjaśnienie.

Męstwo chrześcijańskie w dwojakiem znaczeniu bywa brane: obszernie i ściśle. Obszernie wzięte wszystkie cnoty w sobie zawiera, dlatego Ś. Prosper mówi:[1]) Męstwo umysłu tak się rozumieć powinno, że nietylko jest stałem wśród utrapień, ale też żadnemi ponętami rozkoszy nie daje się zwyciężyć. Ściśle zaś wzięte stanowi cnotę kardynalną wyżej określoną.

Cnoty z niem się łączące.

Według nauki Ś. Tomasza[2]), męstwo nie ma żadnych części składowych, ale ma dopełniające. Temi są: ufność, która oznacza umysł skory do podjęcia się rzeczy ciężkich, gdy przełożeni każą, albo zdrowy rozum wskazuje potrzebę; wielkoduszność, towarzysząca wykonaniu dzieł, aby nie ustawać w tem, co się z ufnością rozpoczęło; cierpliwość, przez którą prace, trudności i zło skądkolwiek przychodzące znosi się spokojnie i ochotnie; wytrwałość, która pobudza do prowadzenia dobrych uczynków aż do końca.

Męstwo potrzebne jest do postępu.

Mówi Pismo Święte: Bądź mężnego serca[3]). A Ś. Grzegorz dowodzi, że inne jest męstwo sprawiedliwych, a inne bezbożnych. Sprawiedliwych jest: ciało umartwiać, iść przeciw własnym zachceniom, a bezbożnych — bez ustanku kochać rzeczy przemijające, nie zważając na kary Boże. Rossinjoljusz powiada, że męstwo chrześcijańskie wzmacnia duszę przeciwko wszelkim przeciwnościom. To samo i rozum wskazuje, bo na drodze życia spotyka się mnóstwo rzeczy ciężkich i trudnych, a ci którzy chcą żyć pobożnie, z Chrystusem prześladowanie cierpieć muszą, zatem potrzebne jest męstwo postępującym, aby je mogli przezwyciężyć.

Akty męstwa.

Działaniem męstwa jest brać się do rzeczy trudnych według zdrowego rozumu w celu nadprzyrodzonym, w jakiejkolwiek materji, czy to przykazania, czy rady, co jeśli czyni się prędko, łatwo, z upodobaniem, z niebezpieczeństwem utraty wszystkich dóbr, wówczas życie staje się usłane aktami heroicznego męstwa.

Zwyczajne akty męstwa chrześcijańskiego są: znosić cierpliwie utrapienia i boleści dla Boga. Heroiczne zaś są te same lub podobne, ale sroższe, bo i męczeństwo i śmierć samą, jeżeli potrzeba, dla Boga, wiary albo cnoty ponieść, o czem obszernie pisze Papież Benedykt XIV-ty[1]).

Lecz oprócz męstwa, które jest cnotą, jest jeszcze męstwo, będące darem Ducha Świętego, a które wzmacnia słabość i usuwa trwożliwość natury. Kto bez żadnej bojaźni, owszem, z radością śmierć podejmuje, ten ma dar męstwa, czego sama cnota męstwa nie może sprawić, bo chociaż nakłania do trudnych czynów, ale łatwości i wesela przydać nie jest w stanie. Dlatego męstwo heroiczne ma dodany sobie dar męstwa.

Zachęta do tej cnoty.

Bądźmy przeto mężni w walce ze starym wężem, abyśmy królestwo wieczne otrzymali. Bierzmy się do rzeczy trudnych, gdy Bóg, posłuszeństwo, potrzeba lub miłość bliźniego, chwała Boska lub obrona wiary, albo wreszcie własne zbawienie wzywa nas do tego, i wierzmy, że wszystko możemy w Tym, który nas umacnia[2]).

Gdzie są Nerony, Domicjany, Maksymjany, Dyoklecjany i inni tyrani, którzy tak dręczyli męczenników? Zeszli do piekła, gdy tymczasem Święci Męczennicy tryumfują w królestwie niebieskiem. Bądźmy wierni w walce, bo kto wytrwa do końca, ten zbawion będzie[3]).

---

[1]) L. 3. c. 20. [2]) 2, 2, q. 128. [3]) Tob. 5, 13.

[1]) De serv. Dei beatif. l. 3. [2]) Philip. 4, 13. [3]) Matth. 10, 22.

ROZDZIAŁ IX.

Duch seraficzny jest duchem najgłębszej pokory.

Nic dziwnego, że w takim doskonałym Świętym jak Franciszek, trudno określić, która cnota przeważa i jaka cecha jego ducha jest wybitniejszą od innych. Chociaż tak bardzo kochał on ubóstwo, jednakże zyskał sobie w Kościele powszechne miano pokornego Franciszka, bo i w tej rzeczy był wyjątkowym naśladowcą Zbawiciela.

Jaka była pokora Franciszka świętego.

Chrystus wyniszczył siebie, przyjmując postać sługi, upokorzył się, stając się posłusznym aż do śmierci[1]) i uczniom swoim pokorę przedewszystkiem zalecił. Bo wszelki, co się wynosi, mówił im, zniżon będzie: a kto się uniża, wywyższon będzie[2]). Za przykładem i nauką Zbawiciela Święty Ojciec wznosił się do najwyższych stopni pokory. Trudno wypowiedzieć i trudno uwierzyć, jak zdumiewająca, jak głęboka, jak szczera była jego pokora. Przechodząc innych Świętych w doskonałości życia, przechodził ich zarazem w nizkiem cenieniu siebie. Zatopiony w rozważaniu Boskich przymiotów, widział w nich przepaść nicości swojej, a stąd im lepiej Boga poznawał, tem więcej gardził sobą i nienawidził siebie. I, jak Matka Zbawiciela, uznając wielkie rzeczy, jakie Bóg w Niej sprawił, nic sobie z tego nie przypisywała, ale wielbiła Boga, iż raczył wejrzeć na Jej nizkość: tak i ten doskonały miłośnik Pański wszystką chwałę ze wszystkiego, co Bóg przezeń czynił, Jemu samemu oddawał, a sam pogrążał się w swojem nicestwie. Przypatrując się też upokorzeniu Chrystusa, którego sobie za wzór i jedynego wodza obrał, brzydził się jakąkolwiek pochwałą, gdyż Mistrz jego od świata był wzgardzony. Największymi jego dobroczyńcami byli ci, co go lekceważyli i okazywali mu pogardę. Głosił po ulicach swoje słabostki, aby go nie miano za Świętego. Słusznie też Kościół Ś. wysławia go z tej pokory, stosując doń słowa Joba:[1]) „Podniósł Bóg pokornego na najwyższy szczebel i podwyższył potomstwo jego“. Oto, co życiopisarze Franciszka piszą w tym przedmiocie.

Jak cenił pokorę.

Seraficki Ojciec nad wszystkie pokuty, których sobie nie szczędził i które braciom w odpowiedniej dla każdego mierze zalecał, cenił świętą pokorę, jako podstawę wszelkiego umartwienia wewnętrznego i niezbędny warunek, aby przy najostrzejszym sposobie życia, dusza nie uległa za-

[1]) Philip. 2, 7 et. 8. [2]) Luc. 14, 11.

[1]) 5, 11.

sadzkom djabelskim. Tej cnoty domagał się po uczniach swoich, jej najbardziej w nich przestrzegał, mówiąc, iż dlatego Syn Boży z łona Ojca Przedwiecznego raczył zstąpić na ziemię i przyoblec nędzę ludzką, aby nas i słowem i przykładem uczyć pokory, którą przed wszystkiemi innemi cnotami sam zalecił, gdy powiedział: Uczcie się odemnie, żem jest cichy i pokornego serca.

Co rozumiał o sobie.

Brat Pacyfik ujrzał raz w zachwyceniu niebo, a w niem chór Serafinów, stojących najbliżej Pana Boga. Jednocześnie zauważył, że jedna ze stolic, którą ci Aniołowie zajmowali i to najświetniejsza, bo wysadzana drogiemi kamieniami, była opróżnioną. Zdumiony tem, zapytał: „Dla kogo jest to miejsce?“ I odebrał odpowiedź, że należało ono niegdyś do najpiękniejszego z duchów niebieskich, Lucyfera, który za swoją pychę wpadł do piekła, a teraz zachowane jest dla pokornego Franciszka; bo kto się bardziej uniża na ziemi, tego Bóg bardziej wywyższa w niebie. Po tem widzeniu zapragnął Pacyfik doświadczyć pokory Franciszkowej, na czemby ona polegała, i rozmawiając z nim, rzekł: „Ojcze najmilszy! radbym, żebyś mi powiedział, jak sam siebie uważasz i co rozumiesz o sobie?“ — „Uważam, była odpowiedź Franciszka, że jestem największym grzesznikiem i że najgorzej służę Panu Bogu“. Na to brat Pacyfik zwrócił jego uwagę, że nie może tego mówić sumiennie, gdyż rzecz widoczna, że inni ludzie popełniają mnóstwo ciężkich grzechów, od których on jest daleki. „A jednak, odpowiedział Święty, jestem najmocniej przekonany, że gdybym był w takich okazjach do złego, jak ci ludzie i miał takie skłonności, bez tych łask od Boga, jakie mam: z pewnością popełniałbym daleko większe występki, bo jeżeli przy łaskach, których mi Bóg użycza, tak często Mu się przeniewierzam, jakże nierównie byłbym gorszym, gdybym był na ich miejscu“. — „Ale chyba nie zaprzeczysz, Ojcze, że robisz daleko więcej dobrego, niż tylu innych, więc jakże możesz za gorszego od nich się uważać?“ — Na co znów odrzekł mu Ś. Patryarcha: „Wierzaj mi, że gdyby Pan Bóg komukolwiek udzielił tych łask, jakich mnie udziela, czyniłby daleko więcej ode mnie i służyłby Mu gorliwiej“. Usłyszawszy te słowa, brat Pacyfik utwierdził się w tem, co poznał z objawienia o chwale przygotowanej dla Franciszka, jako dla najpokorniejszego z żyjących.

Czemu przypisywał łaski odbierane od Boga.

Brat Masseusz z Marignano miał również sposobność przekonania się, jak nadzwyczajną była pokora Świętego. W chwili, kiedy Franciszek powracał z lasu, przytykającego do Porcjunkuli, gdzie zwykle się modlił, Masseusz, spostrzegłszy go zdaleka, wybiegł naprzeciw niemu i, złączywszy się z nim, zapytał: „Ojcze, skąd ci to wszystko?“ Święty Zakonodawca, kochając go, jako jednego ze swych najgorliwszych uczniów i filarów zakonu, nie rozgniewał się za tę poufałość; przeciwnie, odpowiedział ze słodyczą, idąc wolnym krokiem: „Co chcesz przez to powiedzieć, mój synu?“ — „Pytam się, odrzekł brat, dlaczego wszyscy biegną za tobą, dlaczego pragną cię widzieć, słyszeć i oddać się pod twój kierunek? Nie jesteś ani piękny, ani uczony, ani wysokiego rodu. Skądże więc, powtarzam, wszyscy biegną za tobą?“ Święci mają swój sposób mówienia prawdy i nie gniewają się za nią, jak ludzie światowi, owszem przyjmują uwagi innych z radością, której nie mogą ukryć. To też oblicze Seraficzkiego Ojca rozpogodziło się i stało się promieniejącem. Zatrzymał się nagle i, wznosząc oczy ku niebu, długo miał je tam utkwione, nie mogąc ich oderwać, jak gdyby ujrzał Tego, którego chwalił w swem sercu, jako jedyny przedmiot swej miłości. Co zaszło w czasie tego zachwycenia? Jaka była rozmowa pomiędzy sługą a Najwyższym Panem? Jest to tajemnica Boża. Masseusz zauważył tylko, że na twarzy Świętego malowało się nadzwyczajne wzruszenie, a w oczach jego jaśniało Boskie światło. Nie przelękł się i nie uciekał, gdyż wiedział, że Święty Ojciec podlegał często takim zachwyceniom.

Po wyjściu z tego stanu, sługa Boży upadł twarzą na ziemię, zalał się łzami i złożył dzięki Najwyższemu. Potem, wstawszy, zwrócił się do swego towarzysza: „Chcesz wiedzieć, bracie, dlaczego wszyscy biegną za mną? Oto Pan, którego oko zawsze jest otwarte na dobrych i złych, nie zauważył pomiędzy tyloma miljonami ludzi nędzniejszego nademnie grzesznika i bardziej niezdolnego do przeprowadzenia ogólnej poprawy obyczajów, jaką miał na myśli: i oto dlaczego wzrok Jego zatrzymał się na mnie. Wybrał to, co jest bezrozumne, aby zawstydzić mądre tego świata, wybrał słabe i znikome, aby wzgardzić silne i wielkie. Chciał przez to dać poznać, że wszelkie dobro i cnota od Niego tylko pochodzą, że nikt nie może szukać chwały poza Nim, i jeżeli ktokolwiek się chwali, chwalić się powinien w Panu, któremu należy się chwała po wszystkie wieki“. Cudnie piękna odpowiedź, oświecona światłem Ewangelji, godna tak wielkiego Świętego! Brat Masseusz, jak pierwej brat Pacyfik, odszedł zadowolony; przekonał się teraz, że jego Święty Ojciec zbudował gmach

swego uświątobliwienia na niewzruszonej skale chrześcijańskiej pokory.[1])

Jak przyjmował pochwały.

Franciszek nie doznawał nigdy ani cienia gniewu, gdy go kto ganił, chociażby w sposób najniewłaściwszy, a przeciwnie, z niejaką żywością odpierał dawane mu pochwały. Pisze Ś. Bonawentura, że w takich razach zwykł był odpowiadać: „Nie godzien jest pochwały ten, o którym nie wiadomo jak skończy; mogę i ja odstąpić mego powołania i, ze zgorszeniem wielu, mieć żonę i dzieci. I największy grzesznik może się zdobyć na posty, modlitwy, płacze i trapienie ciała, jednego tylko nie umie — być wiernym Panu Bogu. Na tem tedy całą chwałę zakładajmy, abyśmy Panu wiernie służyli, a co dobrego od Niego odbieramy, Jemu to przyznawajmy“.[2])

Pokora jego wielce na tem cierpiała, gdy odbierał cześć od ludzi. Lecz, ugruntowany w tej cnocie, której szczególnym był wielbicielem, wszelką cześć, jaką odbierał, odnosił do Boga, któremu pragnął jak najdoskonalej służyć i inne dusze dla Niego pozyskiwać. Z hołdów doznawanych pobudzał się do tem gorliwszej pracy na polu apostolstwa, na którem mu się za błogosławieństwem Bożem tak świetnie powodziło. Jeżeli go kto nazwał świętym, odpowiadał: „Gdyby mi Pan Bóg odjął skarb łaski swojej, który mi do strzeżenia powierzył, toby nic więcej nie zostało, oprócz ciała i duszy i to obciążonej grzechami i ślepotą, jak u wszystkich niewiernych“.

Jak się poniżał we własnych oczach.

W oczach swoich Seraficki Patryarcha był jedno nic: ziemią, odrobiną pyłu, pastwą robaków, niewdzięcznikiem, zuchwalcem względem Boga, godnym wszelkiej kary. Ulubioną jego maksymą były słowa: „Jesteśmy rzeczywiście tem, czem jesteśmy w oczach Bożych“, a w oczach Boskich uważał się za proch. Że zaś wszystko co czynił, nie sobie, lecz działaniu łaski Bożej przypisywał, im więcej przeto widział się wywyższanym przez ludzi, tem bardziej się poniżał w oczach własnych. I przekonany był, jak to nieraz braciom powtarzał, że, gdyby największy na świecie grzesznik otrzymał od Boga takie jak on łaski, stałby się o wiele doskonalszym od niego. Było to skutkiem wewnętrznego światła, jakiem go Bóg obdarzał, a przez które coraz więcej gruntował się w pokorze. Doszedł wreszcie do tego, że, jak powiada Ś. Bonawentura, będąc prawdziwym wizerunkiem i wzorem najwyższej świętości, sam miał się za grzesznika i gorzko nad tem ubolewał. Im wyższy bowiem miał być szczyt doskonałości, do której go Bóg podnosił, tem głębszy zakładał w sobie fundament przez cnotę pokory.

[1]) Fioretti. c. X. [2]) S Bonav. c. 6, n. 75.

W oczach innych.

Na początku 1213 roku Franciszek zachorował na złośliwą febrę, powracającą co czwarty dzień i z tego powodu zwaną czwartaczką. Leżąc na żądanie Biskupa Assyskiego w jego pałacu, miał tam pewne wygody, lecz, jak tylko trochę wyzdrowiał, sumienie zaczęło mu to wyrzucać, postanowił więc wrócić do swoich umartwień i upokorzyć się przed wszystkimi. „Nie przystoi, mówił Święty Ojciec, żeby lud miał mnie za umartwionego, kiedy ja w skrytości dogadzam sobie“. Miłość pokory natchnęła mu czyn godny podziwu, ale trudny do zalecania innym. Udał się on w towarzystwie mnóstwa braci na rynek miasta, zwołał lud i zaprowadził go do katedry. Tam, rozebrawszy się z habitu i zostając w jednej włosienicy, kazał bratu Piotrowi z Katany, swemu Wikaremu, zarzucić sobie na szyję powróz i tak skrępowanego prowadzić na miejsce, gdzie tracono zbrodniarzy, jak to niegdyś uczynił był Izajasz prorok. Obecni, widząc to, nie mogli się od łez powstrzymać, choć zrazu nie rozumieli, dlaczego Święty to czyni. Aż oto Franciszek, zatrzymawszy się na owem miejscu, wychudzony, jak szkielet, drżący od zimna i bezsilny jeszcze wskutek ciężkiej choroby, którą tylko co przebył, w te słowa donośnym odezwał się głosem: „Zaprawdę, mówię wam, że nie powinniście mnie uważać za człowieka duchownego i pokutnika, i jako takiemu cześć oddawać. Jestem bowiem człowiekiem zmysłowym i obżartym, któremu pogarda się należy“. Ale wszyscy znali go już dobrze, podziwiali oddawna jego nadzwyczajne umartwienia, wiedzieli nawet, że tylko co przebył ciężką chorobę, więc domyślili się zaraz, że pobyt swój w pałacu biskupim, dokąd go miłosierny prałat siłą niemal zabrał i swoją opieką otoczył, był właśnie tą zbrodnią zmysłowości, którą sobie wyrzucał Franciszek. Zrozumieli tedy wszyscy wielką naukę pokory, że prawdziwy sługa Chrystusów unika starannie tego wszystkiego, co mogłoby mieć pozór udawania albo ściągnięcia na siebie uwagi, i że przeciwnie, każde najmniejsze poruszenie próżności należy tłumić, a pochwałami ludzkiemi gardzić.

Jak przyjmował przestrogi.

Gdy Święty Ojciec udawał się z hrabią Orlando na górę Alwernję, jechał, jako słaby, na

osiołku, prowadzonym przez jednego ze sług zamkowych. Człowiek ten, poczciwy sobie prostaczek, w ciągu drogi rzekł do Franciszka: „Mój Ojcze, słyszę, jak ludzie dużo dobrego mówią o tobie, przypuszczam więc, że Pan Bóg udzielił ci łask nadzwyczajnych, za które powinieneś Mu być bardzo wdzięczny". — „W istocie, mój przyjacielu, odpowiedział Franciszek, wielkie jest miłosierdzie Boga, iż raczył wejrzeć na nędzę i podłość sługi swojego". — „Staraj się przeto, powiada znów przewodnik, być takim, za jakiego cię ludzie mają i wytrwać na tej drodze, abyś nie zawiódł tych, którzy ci zaufali". Hrabiego i braci niezmiernie ubodło to odezwanie się prostego człowieka, chcieli więc go upomnieć, ale Święty, zsiadłszy co prędzej z osiołka, rzucił mu się do nóg i w serdecznych wyrazach zaczął dziękować za daną sobie naukę; hrabiemu zaś i braciom rzekł: „Sam Pan Bóg przemówił do mnie przez usta tego prostaczka".

Jak się cieszył, gdy uznawano jego nędzę.

Niedość jest być pokornym w czynie i słowie, ale trzeba mieć pokorę w umyśle i sercu, to jest, być przekonanym o swojej nędzy i z ochotą przyjmować upokorzenia. Iluż jest, co się zdobywają na słowa pokorne i zowią się grzesznikami, a gdy drudzy tak o nich mówią, to się oburzają. Nie tak było ze Świętym Ojcem.

Pewnego razu przyszedł on do miasta Terni i zaraz udał się do Biskupa. Ten, wiedząc już, co to za mąż Boży go nawiedza, kazał mu urządzić wzniesienie przed katedrą, aby go więcej ludzi słuchać mogło, a nazajutrz i sam stanął w liczbie słuchaczów. Nauka Franciszka przeszła wszelkie jego oczekiwania. Kiedy więc zszedł z kazalnicy, wstąpił na nią Biskup i w te słowa przemówił: „Bracia najmilsi, wielka jest Boga Wszechmogącego piecza i troskliwość względem świętego Kościoła. Od samego założenia jego nigdy nie przestawał zsyłać mu mężów sławnych zasługami i nauką. Teraz zaś w tych ostatnich czasach wysłał ubożuchnego i niewykształconego człowieka, tego oto Franciszka, aby uprawiał Kościół Boży słowem i przykładem, a im mniejsze jest jego wykształcenie naukowe, tem widoczniejsza w nim moc Boża, która wybiera głupstwa świata, aby zawstydzić mądre, a mdłe świata, aby zawstydzić mocne[1]). Za taką więc miłość Jego ku nam winniśmy Mu cześć i uwielbienie, gdyż nie uczynił tak żadnemu narodowi"[2]). Powiedziawszy to, Biskup zszedł z ambony, a Franciszek, po ucałowaniu mu ręki, tak do niego przemówił: „Zaprawdę, Najprzewielebniejszy Panie, nikt nie wyrządził mi jeszcze podobnego zaszczytu, jak ten, który dziś od Ciebie odbieram. Inni bowiem przypisywali mi niesłusznie jakieś zalety, uwłaczając Stwórcy, który jest źródłem wszelkiego dobra. Lecz ty, Pasterzu dostojny, właściwie oddzieliłeś to, co drogie jest, od tego, co podłe,—co godne, od tego, co niegodne,—co święte od grzesznika. Panu wieków nieśmiertelnemu i niewidzialnemu, samemu Bogu niech będzie od ludzi cześć i chwała na wieki wieków". Na te słowa Franciszka, dowodzące w nim głębokiej pokory, Biskup utwierdził się jeszcze bardziej w przekonaniu o świętości sługi Bożego. Wobec też wszystkich zgromadzonych uściskał go serdecznie i pobłogosławił, polecając siebie i swoją owczarnię jego modlitwom i apostolskiej gorliwości[1]).

[1]) Cor. 1, 27. [2]) Ps. 167, 20

Jak przyjmował cześć i upokorzenia.

Ile razy spotykały Franciszka oznaki czci ludzkiej, widać było na jego twarzy wielką przykrość, a przeciwnie, wszelkie upokorzenia przyjmował z radością, malującą się w całem jego obliczu. Zdarzało się, że po jakiemś bardziej uderzającem uczczeniu, a nawet, kiedy już od całego świata odbierał hołdy, nakazywał jednemu z towarzyszów, aby mówił mu rzeczy najbardziej upokarzające. A gdy posłuszny zakonnik to uczynił, wówczas dziękował mu mąż Boży: „Niech ci Bóg błogosławi, bracie najmilszy, że mi prawdę mówisz, bo nie sława u ludzi, ale takie właśnie obejście przystoi synowi Bernardoniego". Wyrażał się zaś w ten sposób, gdyż osoby nieprzychylne, widząc, jak go powszechnie uwielbiano, nazywały go szydersko synem Bernardoniego. Właściwie ojciec Franciszka nazywał się Moriconi, ale że dziadek, który przybył do Assyża i tu osiadł, miał imię Bernarda, mieszkańcy przezwali go Bernardone i tem samem imieniem darzyli syna jego Piotra, a ojca Świętego, przez pogardę dla jego chciwości[2]).

Z pokory nie przyjmuje święceń kapłańskich.

Przez pokorę, oraz na skutek widzenia, jakie miał Franciszek, nie chciał on przyjąć święceń kapłańskich. Wykonywać władzę wyższą, niż mają Serafini, kierować duszami, być narzędziem zmiłowania Boskiego, wszystko to wymaga stanu świętości, który go przerażał. To uczucie przestrachu widać z listu jego do braci kapłanów: „Słuchajcie mnie, bracia, pisał do nich. Jeżeli Najświętsza Dziewica zasługuje na szczególną cześć, że w swych przeczystych wnętrznościach nosiła Odkupiciela

[1]) Żyw. Ś. Fr. przez O. Pr. T. I, s. 168. [2]) Tamże s. 117.

świata; jeżeli Ś. Jan Chrzciciel zadrżał za zbliżeniem się Słowa Wcielonego w łonie Marji; jeżeli cześć oddajemy Świętemu Grobowi, że przez trzy dni zawierał w sobie ciało Zbawiciela: to powiedzcie mi, jak czyste powinny być te ręce, w których wciela się Bóg w Eucharystji, Bóg, zwycięzca śmierci, Bóg majestatu, przed którym Aniołowie zakrywają swe twarze. Rozważajcie więc, bracia moi, wzniosłość waszego powołania i bądźcie świętymi, gdyż ofiara, którą poświęcacie, święta jest. Co do mnie,gdybym spotkał Anioła i kapłana, pierwej pokłoniłbym się kapłanowi, gdyż Bóg powierzył mu władzę, której niedał duchom niebieskim“ [1]). Łatwo zrozumieć, że przy tak wysokiem wyobrażeniu o kapłaństwie i tak głębokiem uczuciu własnej niegodności, pokutnik z Assyża nie śmiał zostać kapłanem i pozostał na stopniu djakona.

Jakiej pokory wymagał od swoich naśladowców.

Pewnego razu Seraficki Patryarcha rzekł do synów swoich: „Nie byłbym Bratem Mniejszym, gdybym się nie zachował tak, jak to wam przedstawię. Oto zasiadam na pierwszem miejscu na kapitule i przemawiam do braci z powagą. Aż tu oni powstawszy, mówią mi: „Nie chcemy cię już; jesteś prostak niemający ani nauki, ani wymowy, wstyd tylko nam robisz, nie chcemy takiego przełożonego“ i okrywszy mnie wzgardą, wyrzucają mnie z pośród siebie. Otóż mówię wam, jeślibym nie przyjął tych słów i takiego obejścia ze zwykłą miną, ze spokojnym wyrazem twarzy, tak jak przyjmowałem uczczenie, nie uważałbym się za Brata Mniejszego. Na wysokich urzędach grozi niebezpieczeństwo; pochwały są przepaścią, dusza zyskuje tylko w upokorzeniach. Dlaczego jednak wolimy niebezpieczeństwo, aniżeli zysk, kiedy mamy tyle okazji do zasługi?“ [2]) Takiej to świętej obojętności wymagał od swoich naśladowców, chociaż sam jeszcze wyżej wstępował. Wolał bowiem być wzgardzonym i wyśmianym, niżeli odbierać hołdy i poważanie. Żarty i drwiny sprawiały mu radość, a przeciwnie, smucił się i trapił, gdy go chwalono i wyróżniano. „Pochwała, zwykł był mawiać, prowadzi do upadku, a upokorzenia i obelgi — do poznania i poprawy tego, co złe“.

Jak z pokory złożył urząd przełożeński.

Święty Franciszek w poczuciu swej nicości nie chciał rządzić braćmi, wybrał więc na swoje miejsce brata Piotra z Katany i uczynił go swoim następcą, to jest przełożonym generalnym. Złożywszy w ręce jego swój urząd, rzekł do obecnych. „Odtąd umarłym jestem dla was, moi bracia. Oto wasz przełożony, któremu od tej chwili i wy i ja posłuszni będziemy“. I to mówiąc, upadł mu do nóg i ślubował posłuszeństwo, jako generalnemu przełożonemu. Uczynił to, by dać przykład wszystkim braciom w ogólności, ale szczególnie tym, w których z bólem serca widział jakby ubieganie się o urzędy przełożonych czy to klasztorów, czy prowincji. Od tego czasu aż do śmierci Seraficki Patryarcha poczytywał się za prostego zakonnika, jaśniejąc przez to w oczach braci i świeckich uderzającym a ciągłym wzorem pokory.

Dlaczego nazwał swój Zakon Braćmi Mniejszymi.

Chcąc tego samego ducha wrazić w swoich uczniów, zakony swoje, jak mówi Papież Mikołaj III, ufundował przedewszystkiem na pokorze i nazwał swych synów Braćmi Mniejszymi, aby zawsze odznaczali się pokorą i ostatnie sobie miejsce w Kościele wybierali. Bo tak sam mówił: „Dlatego nazywają się Mniejszymi, że, jak z imienia, tak i w czynie nad wszystkich ludzi tego świata pokorniejszymi być winni“. Upominał też braci w regule, aby strzegli się z wielką pilnością pychy i próżnej chwały. Z miłości więc pokory i aby jej cechę na zawsze w sposób szczególny przekazać założonemu przez siebie zgromadzeniu, chciał Ś. Patryarcha, żeby zakon jego nazywał się zakonem Braci Mniejszych; taką zaś nazwę wywodził od tych słów Chrystusa Pana: „Pókiście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili“ [1]). Przełożonym nadał tytuł sług (minister), według tego znowu, co powiedział Pan Jezus: „A ktoby między wami chciał być pierwszym, niech będzie sługą waszym“. [2])

O tytule mistrza.

Nie dopuszczał Franciszek, aby kto z braci jego nazywał się mistrzem, choćby też nim był na świecie, to też powtarzał każdemu słowo Pańskie: „Ani się zówcie nauczycielami: gdyż jeden nauczyciel wasz Chrystus“ [3]). I sam o sobie mawiał: „Choćbym też był uczonym, nigdybym się nie pozwolił zwać doktorem, ani mistrzem, bo to jest przeciw Chrystusowi“. Zazwyczaj na tem koń-

[1]) Thomas de Celano. Vita secunda p. III, c. 129.
[2]) Marek z Lizbony.

[1]) Matth. 25, 40. [2]) Ib. 20, 27. [3]) Ibid. 23, 10.
[4]) Kroniki s. 567.

czył, że daleko pożyteczniej jest człowiekowi mało umieć, a być pokornym, niż posiadać wielką naukę, a o sobie wiele tuszyć [1]).

Chce, aby bracia nie przyjmowali godności kościelnych.

Pewnego dnia Ś. Franciszek i Ś. Dominik zeszli się u Kardynała Hugolina, który korzystając z tego, zapytał, jak mniemają, czy nie byłoby z pożytkiem Kościoła, gdyby ich synów brano na wyższe godności duchowne? Wszak wystawieni na świeczniku, cnotami swemi dawaliby dobry przykład. Najpierw przemówił Patryarcha zakonu kaznodziejskiego, po nim zaś Święty Ojciec rzekł te słowa: „Dlatego moi bracia nazywają się Mniejszymi, żeby nigdy nie śmieli zostawać wielkimi, a tem bardziej większymi; ale, żeby imię ich przypominało im ciągle ich powołanie, które na tem polega, aby zawsze trwali w poniżeniu i szli ścieżkami Chrystusowej pokory, a przez to na tamtym świecie stali się godni podwyższenia do rzędu Świętych. Jeżeli więc Wasza Dostojność chce, aby pożytek przynosili Kościołowi, niech ich nizko trzyma, bo i są nizkimi; owszem, choćby i sami kiedy starali się o to, niech im to zawsze będzie wzbronione“ [2]).

Jaka była pokora naśladowców Franciszka? Ś. Elżbieta Węgierska, 3 Zak. (1231 r.).

Patronka Trzeciego Zakonu, Ś. Elżbieta z Węgier, od dzieciństwa już jaśniała cnotą pokory, czego dowodzi następujące zdarzenie. Była to uroczystość Wniebowzięcia Matki Bożej. Księżna Zofja kazała jej ubrać się jak najpiękniej, gdyż pojadą do Eisenach, na uroczystą Mszę rycerzy teutońskich. Wszedłszy tam, uklękły przed wielkim krucyfiksem. Na widok wizerunku umierającego na krzyżu Zbawiciela, Elżbieta prawie bezwiednie zdjęła z głowy złotą koronę, położyła ją na ławie, sama zaś padła na twarz bez żadnej na głowie ozdoby. „Panienki powinny się trzymać prosto, rzekła z gniewem księżna, nie rzucać się na ziemię jak warjatki, albo jak stare zakonnice. Czy ci korona zanadto cięży? do czego to podobne siedzieć jak chłop, skurczoną we dwoje?“ — „Kochana pani i matko moja, przebacz mi, odpowiedziała Elżbieta z pokorą. Mam przed sobą Boga, Króla, Zbawiciela mojego, Jezusa ukoronowanego cierniem, jakżebym więc śmiała, ja, liche i nędzne stworzenie, w Jego obecności stanąć w złotej koronie, wysadzanej perłami i klejnotami“. I to rzekłszy, rozpłakała się z żalu. Miłość bowiem Chrystusowa zraniła ją. I nie zważając na przymówki księżnej, w kornej jak przedtem postawie rozważała Mękę i dobroć Pana Jezusa. Zostawszy małżonką księcia Turyngji, Elżbieta przed każdą Mszą św. zdejmowała wszystkie klejnoty i ozdoby to jest: koronę, naszyjnik, pierścienie i rękawiczki. W Wielki Czwartek umywała nogi dwunastu biedakom, najczęściej trędowatym. W Wielki Piątek prosiła swoich panien honorowych, aby jej nie oddawały żadnych oznak szacunku. „Dzisiaj bowiem, mówiła, Pan Jezus upokorzył się aż do śmierci, a śmierci krzyżowej“. Zaś w oba te dni obchodziła świątynie Pańskie boso w sandałach, ubrana, jak najuboższa niewiasta, a padając na kolana przed każdym ołtarzem, zostawiała u stóp jego ubożuchną ofiarę, składającą się z płóciennych obrusów, świec i kadzidła. Dworzanie wymawiali jej, że w dniach tak uroczystych maleńkie w kościołach składa ofiary, dowodząc, że, jako księżna panująca, winna była dać przykład wspaniałości. Lecz mimo to nie zmieniała swego postępowania i natchnienie wewnętrzne mówiło jej, że taki dzień lepiej jest uczcić pokorą, niż innemi cnotami. Powstrzymywała tedy wrodzoną hojność, aby się doskonalej zrównać z małymi i pokornymi i złożyć Bogu ofiarę serca upokorzonego, którą On zawsze mile przyjmuje i którą nigdy nie gardzi. W dnie krzyżowe młoda księżna występowała na procesji w szarem pokutnem odzieniu i boso, a podczas kazania stała wśród żebraczek. [1])

Bł. Peregryn, Brat Mniejszy (1232 r.).

Syn szlachetnej i pobożnej rodziny Faleroni, właśnie studjował filozofję i prawo w sławnym naówczas uniwersytecie bolońskim, gdy Ś. Franciszek, wracając ze Wschodu, przybył do tego miasta w r. 1220. Tutaj miał kazanie na placu publicznym do zgromadzonego ludu. Mowa jego, jak zwykle, obfitowała w owoce zbawienia. Mnóstwo grzeszników rzuciło drogę nieprawości, wiele dusz obrało sobie ewangeliczną doskonałość. Do tych ostatnich należeli dwaj znakomici studenci uniwersytetu: Ryzerjusz i Peregryn. Przyszli oni do Świętego Patryarchy, by ich przyjął między ubogich Chrystusowych. Oświecony niebiańskiem natchnieniem, Święty Franciszek jakby przenikając dusze dwóch aspirantów, zrozumiał dokładnie ich powołanie, zdolności i usposobienia. Zwracając się do

---

[1]) Żyw. Ś. Franc. przez O. Prok

[1]) Żywot Ś. Elżbiety Węg., przez hr. Montalemberta. R. IX

Ryzerjusza, powiedział mu, iż będzie służył Bogu i zakonowi w życiu czynnem, apostolskiem, do Peregryna zaś rzekł: „Co zaś do ciebie, mój synu, służyć będziesz Panu jako braciszek klasztorny i ćwiczyć się masz szczególniej w pokorze".

Peregryn bardzo już był wówczas posunięty w naukach świeckich i duchownych, które mogły być przygotowaniem do kapłaństwa, lub do wyższych urzędów. Na słowa jednak Świętego, bez najmniejszego oporu i wahania poświęcił się na braciszka, z silną wiarą, iż w tem znajdzie najpewniejszy środek uświęcenia swojej duszy, naśladowania Pana Jezusa i spełnienia Jego woli. W nagrodę za to otrzymał nadzwyczajne łaski: miłość Boża rozpaliła jego serce. Zamieszkując w klasztorkach najuboższych, i najsamotniejszych, unikał wszelkich stosunków ze światem. Rodzinę swoją, mogąc dość często widywać, bardzo rzadko nawiedzał i w tym jedynie celu, aby ich dusze pozyskać Bogu i pobożną swą rozmową zwrócić ich od ziemskich zabiegów do zajmowania się sprawą zbawienia. Gdy mu wymawiano zbyteczną surowość w unikaniu krewnych, odpowiadał na to łagodnie, iż ci, którzy szukali Pana Jezusa, Mistrza i wzoru swojego, nie znaleźli Go między krewnymi i przyjaciółmi. Przez swoje życie pokorne i ukryte Peregryn doszedł do wysokiej doskonałości. Błogosławiony Bernard z Quintavalle, pierwszy towarzysz i brat duchowny Ś. Ojca Franciszka i jeden z najświątobliwszych jego uczniów, mówił o Bł. Peregrynie: „Nie waham się zaświadczyć, iż jest on jednym z najdoskonalszych zakonników współczesnych. Sprawdzając znaczenie pięknego imienia swego, jest on prawdziwym gościem i podróżnym na ziemi, myśli jego i całe obcowanie jest w niebie, wszystko doczesne poczytuje bowiem za błoto, byle Chrystusa pozyskał". [1])

S. Bonawentura, Doktor Kościoła (1274 r.)

W roku 1272 rozeszła się pogłoska, że Papież chce obdarzyć kapeluszem kardynalskim Generała Braci Mniejszych, Bonawenturę. Usłyszawszy to, pokorny sługa Boży opuścił cichutko Włochy i udał się do Paryża, mając nadzieję, że tutaj o nim zapomną. Zajął się więc gorliwie obowiązkami swego urzędu, miewając nadto jeszcze wykłady w akademji paryskiej i kazania tak do osób świeckich, jak do duchownych i zakonników. Współczesny mu kronikarz franciszkański, brat Salimbene, opisuje przedziwną słodycz i pokorę Świętego w następujących słowach: „Kiedy brat Bonawentura, Minister generalny, miał mówić do kapłanów, brat Marek z Monte-Feltro [1]), jego sekretarz, wychodził naprzeciw niemu, wołając: „Pamiętaj, że jesteś tylko najemnikiem!" Albo też znowu odzywał się: „Dotychczas, ile razy cię słyszałem, mogłem się przekonać, że sam nie wiesz co mówisz, więc i dzisiaj wątpię, żeby było inaczej". Brat Marek powtarzał to, aby go upokorzyć i skłonić do jeszcze lepszego kazania, a jednak tenże brat zbierał wszystkie przemowy Bonawentury i starannie je zachowywał. Bonawentura słuchał jak najchętniej upokarzających słów brata Marka, a to dla pięciu przyczyn: 1) gdyż pełen był łagodności i cierpliwości; 2) nadarzała mu się sposobność naśladowania Świętego Ojca w doskonałem przyjmowaniu zniewag; 3) gdyż widział w tem dowód, że brat Marek prawdziwie go kocha; 4) bo przez to unikał próżnej chwały i 5) że stąd czerpał pobudkę, aby jeszcze lepiej mówić".

Bł. Agnieszka Czeska, Klaryska (1280 r.).

Błogosławiona Agnieszka była dla córek swoich jaśniejącym wzorem pokory, którą one tem bardziej podziwiały, że Święta pochodziła z domu królewskiego. Przez długi czas nie chciała przyjąć godności opatki, aż ją skłoniono do tego posłuszeństwem. Z upodobaniem zamiatała i szorowała cele, przyrządzała potrawy, a, nie mogąc, jak dawniej, gdy była u rodziców, nawiedzać ubogich i chorych, posyłała im jałmużnę, oraz prała i cerowała odzież trędowatych.

Bł. Piotr ze Sienny, 3 Zak. (1289 r.)

Piotr Seneńczyk uważał się za ostatniego z ludzi, największego grzesznika, najnędzniejszego ze wszystkich mieszkańców. Zapytany raz, jaką drogę należy wybrać, żeby jak najpewniej dojść do pokory, odpowiedział: „Trzeba nienawidzieć siebie samego i gardzić światem, trzeba innych uważać za lepszych od siebie, każdy swój błąd uznawać za wielki, a dobry uczynek za bardzo umiarkowany, odczuwać mocno najmniejszą obrazę uczynioną bliźniemu i za nic mieć usługę, jaką możemy mu oddać". Temi zasadami rządził się w całem życiu. Gdy ktoś razu pewnego chwalił jego pobożność, „Mój panie, rzekł Święty, narażasz słaby proszek

[1]) L'aur. séraph. T. I.

[1]) Brat Marek z Monte-Feltro, po złożeniu urzędu prowincjała Marchji, był sekretarzem przy trzech Ministrach generalnych: Krescencjuszu z Jesi, Bł. Janie z Parmy i Ś. Bonawenturze, którego przeżył. Według kroniki Salimbene, był to mąż prawdziwie święty i cieszył się długiem i czerstwem zdrowiem. Przy grobie jego w Urbino dzieją się cuda. Kochał zaś brata Bonawenturę tak serdecznie, że po jego śmierci bez łez obfitych nie mógł myśleć o nauce i łaskach, jakiemi dusza Świętego była uradowaną.

na powiew wiatru; niemasz człowieka stałego, jeśli go Bóg nie podtrzyma: próżna chwała wstrząsa nim tak samo, jak burza trzciną". Błogosławiony spowiadał się codziennie, wylewając tyle łez, że możnaby przypuścić, iż był największym grzesznikiem. Aby się więcej jeszcze zawstydzić, napisał raz na papierze wszystkie swoje grzechy i z tą kartą poszedł do klasztoru Braci Mniejszych, zwanego Alberino, za murami miasta. Tam przeczytał ów papier z takiem uczuciem żalu, że Pan Bóg wysłał doń jednego z duchów niebieskich, by go uspokoił w Jego Imieniu, iż błędy te są już odpuszczone. Pod tchnieniem wysłańca niebios wyrazy cudownie znikły i papier stał się białym jak śnieg.

Widząc kogo idącego w towarzystwie starszych miasta, albo wchodzącego do pałacu, klękał i mówił: „Panie, bądź błogosławiony, żeś mnie zachował od tego niebezpieczeństwa". Dla tej pokory, która była główną cnotą Świętego, Pan Bóg wyniósł go na ołtarze, a Kościół Ś. w modlitwie na jego uroczystość błaga o łaskę pokory: „Pychę umysłu naszego racz poskromić, Panie, duchem świętej pokory, który przez niebieskie oświecenia pokorę Błogosławionego Piotra wywyższyłeś". [1])

S. Małgorzata z Kortony, 3 Zak. (1297 r.).

Ta Magdalena Seraficiego Zakonu znajdowała wielkie upodobanie w pogardzie i obelgach. Pod tym względem nic jej nie zadawalniało. Chciała, żeby ją nazywali biedną grzesznicą lub wielką grzesznicą. Ale zdawało jej się, że to wszystko jest niczem, dopóki nie naprawi jawnego zgorszenia przez również jawną pokutę. Umyśliła tedy pójść do Montepulciano (gdzie przedtem żyła w grzechu), w nędznem odzieniu, z ogoloną głową, ze sznurem na szyi, prowadzona przez kobietę, któraby na cały głos wywoływała jej upadki: „Oto ta bezwstydna grzesznica, co przez swoją próżność i pychę tyle dusz tu zgubiła!" Wówczas dopiero, myślała, uchodzić będę za bezrozumną w oczach tych, którzy niegdyś dawali mi oklaski, i będę sprawiedliwie nasycona urąganiem dla miłości Chrystusa, ja, najnędzniejsze z Jego stworzeń. Lecz Ojciec Junkta, spowiednik Świętej, wiedząc, że gorliwość początkujących należy roztropnie miarkować, stanowczo jej tego zabronił. „Pan Bóg przyjmie twoją dobrą wolę, rzekł, i będziesz miała nadto zasługę posłuszeństwa". Małgorzata usłuchała, ale wyprosiła sobie przynajmniej pozwolenie, aby mogła się oskarżyć wobec swoich współrodaków. Następnej więc nocy puściła się w drogę do Laviano. W niedzielę po Mszy św., kiedy tłum wiernych wysypał się z kościoła, Małgorzata boso, klęcząc z powrozem na szyi, przeprosiła szlachetną niewiastę nazwiskiem Manantessę, która ją niegdyś upominała, prosząc publicznie o darowanie zgorszenia, a z taką skruchą, że obecnym łzy puściły się z oczu. Wielu się nawróciło, a niektórzy jak Manantessa zostali tercjarzami.

Pomimo takiej pokory święta pokutnica drżała na myśl swoich grzechów. „Czy myślicie, mówiła nieraz do odwiedzających ją osób, że Pan Bóg zechce takiej nędznicy jak ja przebaczyć?" I czekała na odpowiedź z głową spuszczoną, jak przestępca, który czeka z trwogą wyroku śmierci.

Zwycięża pokusy próżnej chwały.

Przypatrując się błędom i upadkom swoim w świetle łaski Bożej, Małgorzata doszła do głębokiej pokory i zupełnego zaparcia siebie. Nie mogąc jej skusić do rozpaczy, szatan próbował przywieść ją do zarozumiałości i próżnej chwały. Przedstawiał jej w żywych barwach zwycięstwa nad sobą, cnoty, które zdobyła i cześć, jaką ją otaczano. W odpowiedzi na tę pokusę, Małgorzata przywodziła sobie na pamięć grzechy i upadki dawnego życia. W świętem oburzeniu na samą siebie, stanęła raz na dachu wśród nocy i zawołała z całych sił: „Wstawajcie! mieszkańcy Kortony, uzbrójcie się w kamienie i wypędźcie z miasta swojego tę zbrodniarkę najniegodniejszą, która świat cały zgorszeniem napełniła". Potem wyznawała głośno błędy i upadki swoje, wylewając potoki łez. Ci, którzy to słyszeli, przejęci skruchą bili się w piersi, mówiąc: „To biedna pokutnica, oby Bóg raczył jej odpuścić grzechy i nasze dla jej zasług!" Jakaś matka, mająca chore dziecię, chciała dotknąć niem szaty Świętej. „O, matko", rzekła, odsuwając się, Małgorzata, „jeżeli kochasz syna swojego, nie przysuwaj go do istoty tak jak ja zmazanej". Przejęta wielką pogardą dla siebie, nie rozumiała, skąd takiemu przewrotnemu i nieczystemu stworzeniu Pan Bóg tylu darów udzielał. Pewnego tedy dnia odezwała się do Chrystusa: „Począwszy od Adama do dzisiaj, nie widzę nikogo niegodniejszego nademnie tej łaski". Na co Zbawiciel odpowiedział: „Pamiętaj, że dary moje mogę rozdawać, jak mi się podoba. Czy zapomniałaś o Magdalenie jawnogrzesznicy, o Samarytance, o niewieście chananejskiej, o Mateuszu celniku, którego uczyniłem moim apostołem i o łotrze, któremu raj przyrzekł". — „Znam, odpowiedziała Małgorzata, wszystkie te przykłady i wiele innych, ale uznaję i jestem pewną, że oni byli godniejsi Twojej łaski, niżeli ja, pełna występków i ogołocona z wszelkich cnót".

[1]) L'aur. séraph. T. II.

Błagała też usilnie Pana Boga, by od niej usunął wszystkie dary zewnętrzne, które na nią ściągały szacunek i cześć u ludzi. „Córko moja, rzekł jej Pan Jezus, twoja pokora pociąga mnie do ciebie i zatrzymuje w twem sercu. Łzy, które nad grzechami swemi wylewasz, złączone ze Krwią moją, na krzyżu wylaną, czynią cię różą białą przez niewinność, a purpurową przez miłość. Chcę tego uwidocznienia darów moich w tobie, dla chwały mojej i dla nawrócenia grzeszników". Nadzwyczajne łaski, któremi ją Bóg obdarzał, wyjawiała przewodnikowi swojemu wtenczas tylko, gdy wyraźnym rozkazem Boskim była do tego zmuszoną, lub gdy się lękała być igraszką złudzeń [1]).

Ś. Ludwik Andegaweński, Brat Mniejszy (1297)

Święty Biskup służył codziennie do Mszy swemu socjuszowi i spełniał to z wielką pobożnością. A wiedząc, jak bardzo nagana bywa skuteczną dla duszy, polecił jednemu z zakonników, mieszkających w jego pałacu, by czuwał nad całem jego postępowaniem i ostrzegał go o najlżejszej niedoskonałości. Zdarzyło się, że zakonnik ten napomniał raz publicznie Biskupa, a gdy obecni gorszyli się tą śmiałością, on rzekł: „Dzieje się to dla dobra mojego i ja sam mu to rozkazałem".

Podczas, gdy mieszkańcy Tuluzy dziękowali Bogu za tak mądrego i świętego duszpasterza, Ludwik podawał się do Stolicy Apostolskiej, prosząc o zwolnienie z biskupstwa, którym to zaszczytem jego pokora się przerażała. Największem jego pragnieniem było zamknąć się w samotności klasztornej. Gdy raz wizytował klasztor franciszkański w Tuluzie, wyrwały mu się słowa: „O, kiedyż będę zwolnionym od zarządu dyecezją, kiedyż będę mógł zamieszkać tę celę, jako zwykły zakonnik?" Jeden z braci odezwał się doń pewnego razu: „Panie, zaszczyciłeś nasz zakon, wstępując do niego". — „Nie odzywaj się w ten sposób, mój ojcze, odparł Święty, ale powiedz raczej, że zakon mnie zaszczycił, pozwalając mi nosić swój habit". W czasie pobytu swego w klasztorze franciszkańskim w Paryżu, Biskup Tuluzy chciał, aby mu naznaczono zajęcie, jak wszystkim braciom, połączył się tedy z innymi zakonnikami i po obiedzie mył wspólnie z nimi naczynia. [1])

Bł. Andrzej Segni, Brat Mniejszy (1302 r.).

Charakterystyczną cnotą Bł. Andrzeja była głęboka pokora i życie ukryte z Chrystusem w Bogu. Pochodził on ze szlachetnej rodziny hrabiów de Segni, jednej z najsławniejszych i najstarożytniejszych we Włoszech. Ród ten dał Kościołowi wielu Biskupów, Kardynałów i kilku Papieży, z których dwaj: Innocenty III i Grzegorz IX, otaczali najwyższą i najczulszą opieką kolebkę zakonu serafickiego. Nadto Błogosławiony był siostrzeńcem Aleksandra IV, a wujem Bonifacego VIII. Z tegoż rodu pochodził także Papież Innocenty XIII, który dopełnił beatyfikacji świętego zakonnika.

Andrzej od lat najmłodszych nie pragnął bogactw ani urzędów. Zdawałoby się, iż na to tylko dotknął się świata, aby mógł lepiej poznać jego nicość i próżność; to też stanął u szczytu swych pragnień, gdy mu pozwolono zaciągnąć się pod chorągiew Serafickiego Patryarchy. Przyjąwszy habit w klasztorze Ś. Wawrzyńca, założonym przez samego Fundatora zakonu, odznaczył się wśród wszystkich duchem głębokiej pokory. Z pragnienia samotności udał się później na pustynię. Lecz i tu goniły za nim wysokie dostojeństwa. W r. 1295 odwiedził go Papież Aleksander IV i włożył mu na głowę kardynalski kapelusz. Błogosławiony zdjął go natychmiast, oświadczając, iż nie przyjmuje tej godności. Taka sama odmowa spotkała następnego Papieża, Bonifacego VIII, który, oceniając rzadkie zasługi i cnoty Andrzeja, posłał mu również oznaki kardynalskie. Bonifacy tak podziwiał to postępowanie, iż mówił, że pragnąłby przeżyć swojego wuja, aby go mógł wpisać do katalogu Świętych [1]).

Ś. Bernardyn Seneński, Obserwant (1444 r.).

Pokora tego wielkiego apostoła Włoch była zadziwiająca. Mając nizkie rozumienie o sobie, odmawiał zawsze przyjęcia godności i zaszczytów; nie dla czego innego bowiem, ale dla żądzy upokorzeń w zjednoczeniu z Tym, który się sprawiedliwie porównywał do robaka, wstąpił do ubogiego i wzgardzonego zakonu Braci Mniejszych. Przy końcu roku 1428, gdy stolica biskupia w Sjennie zawakowała, duchowieństwo i urzędnicy miasta zapragnęli mieć Świętego swoim pasterzem i posłali deputację do Rzymu, aby Papież raczył zatwierdzić ten wybór. Marcin V zgodził się na to jak najchętniej i i wezwawszy słynnego Obserwanta, który podówczas przebywał w wiecznem mieście, sam oznajmił mu jego nową godność. Pokorny zakonnik, dziękując za uznanie, błagał Ojca Świętego, by nie obarczał go tym ciężarem. „Każdy człowiek, mówił, ma na tym świecie misję swoją; moją misją jest głoszenie słowa Bożego, nie sprawowanie urzędów. Bóg mnie posłał kazywać, nie chrzcić. Z natchnienia nieba wybrałem sobie życie pokorne i ubogie Ś. Franciszka, ciężko więc i trudnoby mi było zmieniać je na inne; zresztą ono jedno daje mi

[1]) Ste Marguérite de Cortone par le. R. P. Léopold de Chérancé, Cap. [2]) L'aur. séraph. T. III.

[1]) Ibid. T. I.

pewny sposób dochowania Bogu moich zobowiązań". Wzruszony tą pokorą, Ojciec Święty nie nalegał już na misjonarza, przedstawił mu tylko, że jest to gorącem życzeniem jego współrodaków; Kardynałowie przyłączyli też swoje prośby, deputacja miasta błagała go ze łzami, lecz nic nie zdołało zachwiać pokory Bernardyna.

W trzy lata później uchylił się on tak samo od przyjęcia biskupstwa w Ferrarze, mówiąc, że dla niego bezpieczniej jest szanować tę wysoką godność, niżeli ją posiadać. Nakoniec Eugenjusz IV, który bardzo kochał Świętego, chciał go w r. 1435 wynieść na biskupstwo w Urbino. Wezwał go tedy do siebie, mówią nawet, że włożył mu własnoręcznie mitrę na głowę, ale Bernardyn zdjął ją coprędzej ze słowami: „Wasza Świątobliwość wie, że dlatego odmawiam przyjęcia tak wielkiej godności, abym mógł swobodniej pracować dla zbawienia dusz".

Jego nauki.

Jego poufne rozmowy z braćmi doskonale świadczyły, jak serce jego było zupełnie oderwane od ziemskich zaszczytów. „Im te ostatnie są wyższe, mówił on, tem są niebezpieczniejsze, dlatego powinniśmy nietylko nie ubiegać się o nie, ale ich starannie unikać, owszem, nawet nie godzi się nam ich przyjmować, chyba na wyraźny rozkaz Namiestnika Chrystusowego. Mam cześć głęboką dla tych wysokich godności i dla tych, co je godnie sprawują, gdyż ustanowione zostały przez wzgląd na dobro Kościoła; pomimo to nie chciałem być Biskupem i odmówiłbym wyższych jeszcze stopni, bo większe widzę bezpieczeństwo i szczęście w pokornem i ubogiem życiu Ś. Franciszka, niżeli w piastowaniu najwyższych urzędów".

Niektórzy sądzą, iż Bracia Mniejsi powinni przyjmować ofiarowane sobie dostojeństwa dla chwały zakonu. Ś. Bernardyn Seneński i wielu innych, których Kościół postawił na ołtarzach, inaczej myśleli. Zapewne, iż wielką jest chwałą dla zakonu Serafickiego, że dostarczył Kościołowi wielu Biskupów, Arcybiskupów, Kardynałów i Papieży, lecz błogosławieństwo Boże, jakie ściągnęła na zakon pokora tylu Świętych, trzymających się w ukryciu, niemniejszym jest jego skarbem. Kto wie wreszcie, czy ci Święci dziś kanonizowani, będąc na czele dyecezji lub w kardynalskiej purpurze, byliby się tak wysoko uświęcili. Jest to zadanie trudne do rozwiązania. W każdym razie, jeżeli dobrze czynią ci, co przyjmują wysokie godności dla chwały zakonu, niemniej godnymi uznania są ci, którzy ich przez pokorę unikają.

Upomina brata Alberta.

W roku 1441 Błogosławiony Albert z Sartiano wylądował w Ankonie wraz z poselstwem króla Etjopji i patryarchy Jakobitów, którzy przybywali oddać hołd następcy Ś. Piotra. Pod miastem Kortoną duchowieństwo, zarząd miejski i tłumy ludu wyszły na ich spotkanie. Między nimi znajdował się także Ś. Bernardyn; siedział na osiołku z powodu swych chorób. Błogosławiony Albert jako nuncjusz apostolski, głowa poselstwa Jakobitów, jechał na koniu bogato ustrojonym z licznym i świetnym orszakiem. On też szczególniej zwracał uwagę wszystkich: ludność cisnęła się doń i całowała ze czcią kraj jego szaty. Wszystko to napełniało radością Ś. Bernardyna, cieszył się z tryumfu religji Chrystusowej, ale bał się o pokorę ukochanego ucznia swojego. Podjechał więc ku niemu i rzekł: „Bracie Albercie, spojrzyj na swoje nogi, pamiętaj na śmierć i strzeż się, aby te honory nie wbiły cię w pychę". Na tę serdeczną przestrogę Świętego Ojca, Albert zsiadł z konia i, upadłszy mu do nóg wobec rozrzewnionych tym widokiem tłumów, prosił go, aby raczył zamienić się z nim i siąść na jego konia, a jemu dać osiołka. „Nie, rzekł Bernardyn, ściskając z miłością Alberta, to niewłaściwe ani dla mnie, ani dla ciebie; lecz czuwaj, aby próżna chwała nie wkradła się do twojej duszy i nie pozbawiła cię zasługi z tak pięknego dzieła, któreś spełnił". Jakże radość jego musiała być wielką, gdy Bł. uczeń zapewnił go, że wśród zaszczytów i hołdów on ciągle upokarza się w sercu swojem i nic sobie nie przypisuje, całą chwałę odnosząc do Boga.[1])

S. Koleta, Klaryska (1447 r.).

Święta Reformatorka w dziecięcym jeszcze wieku obdarzona przedziwnem poznaniem wielkości Bożej, jasno widziała nicość swoją, wobec Najwyższego i świętem zatrwożeniem przenikniona, mówiła z Dawidem: „Bytność moja jako nic przed Tobą!" Liczy dobrodziejstwa, jakiemi obdarzyć ją raczył ten Bóg miłości; z rozrzewnieniem zgłębia ich wielkość, a im więcej otrzymała od Jego Majestatu, tem bardziej uniża się wobec Niego. Widzi, że w tym nieprzerwanym złotym łańcuchu szczodrobliwości Bożych z jej strony snuje się tylko pasmo niewdzięczności i codziennych przewinień. To rzuca ją w święte zawstydzenie, z którego nigdy już nie wyjdzie. I nie jest to żadną przesadą, lecz jasnem, prostem światłem czystej pokory, czyli

[1]) L'aur. séraph. T. III.

prawdy przed Bogiem i sobą. Wielkość przewinień mierzy się według wielkości łask otrzymanych. W tym blasku niebieskiej światłości, otaczającym Koletę, w tej jaśniejącej czystości, jaka wskroś przenika jej duszę, cień najlżejszy, najmniejsza skaza wydaje się jej potworną. W jej oczach rzecz każda przybiera takie rozmiary, o jakich ludzie zwykli wyobrażenia nie mają. Ona się zapatruje na wszystko pod promieniem tego światła, w jakiem zamieszkała jej dusza i wszystko bierze na wagę tej świętości, wobec której Aniołowie nawet nie są czystymi. Stąd pochodzą owe zadziwiające, a dla wielu niepojęte wyrazy, jakiemi Koleta samą siebie mianuje, nazywając się: podłą, niegodziwą, godną kar największych i taką, że piekło samo nie wystarczy, aby ją sprawiedliwie ukarać. Jeżeli słyszy o zbrodniach, popełnianych w świecie, poczytuje się więcej wzgardy godną, niż wszyscy najwięksi grzesznicy. Nigdy nawet nie śmie porównywać się z drugimi. Na swoje własne sumienie oko zwracając, tak się czuje przenikniona pogardą siebie, że cokolwiekby widziała występnego w drugich, nie zmienia to wcale w jej duszy poczucia własnej niegodności. Zresztą sąd jej o sobie pochodzi z wielu łask, jakie otrzymuje i z uwagi na nadużycia, jakie pod tym względem z jej strony być mogą. W tem ona zawsze ma słuszny powód stawiania siebie na ostatniem miejscu. Stąd też, gdy Pan Bóg nowe jej ofiarowywał dary, szczególniej takie, które pewien blask mają w oczach świata, ona tem więcej się upokarzała, wołając: „Panie, chcę znać tylko Ciebie i grzechy moje, a jeśli Ci się podoba wyświadczyć mi jaką łaskę, błagam cię o przebaczenie tych grzechów“ [1]).

Z pokory także Święta uważała się za ostatnią w zgromadzeniu i w domu zakonnym, i dlatego rwała się do najniższych obowiązków. Wzgarda i zniewagi były to jej rozkosze, a klękając na modlitwę, najpierw błagała Boga za swoich nieprzyjaciół. Henryk de la Balme, jej spowiednik, spisał wszystkie dary nadzwyczajne, jakie zauważył w duszy Świętej, o czem dowiedziawszy się, wyprosiła od niego tę księgę i natychmiast bez żadnego namysłu i ciekawości, wrzuciła ją do pieca. Tak samo odczuła to wielce, gdy jej powiedziano, że Wilhelm z Casale, Generał zakonu, w konstytucjach Koletanek nazwał ją opatką. Pokora, można powiedzieć, jaśniała w niej największym blaskiem [2]).

Braciszek Polidor, Obserwant (1450 r.)

Ten świątobliwy braciszek wstąpił do zgromadzenia Obserwantów regularnych już jako mąż wielkiej pobożności, a przytem senator rzymski i doktor prawa. Będąc w Sjennie gubernatorem, miał sposobność słyszeć o Tomaszu z Florencji, o jego misjach i naukach, gdy więc Błogosławiony przybył do tego miasta, zaprosił go do domu swego i objawił życzenie należenia do liczby jego uczniów, ale nie inaczej, tylko jako prosty braciszek. Bł. Tomasz poznał z objawienia Bożego, że taka jest Jego wola i bardzo chętnie oblókł aspiranta w habit i posłał go do kuchni. Nieprzyzwyczajony do tej pracy, Polidor nie wiedział jak się do niej wziąć, miał przeto wiele upokorzeń, ale znosił je wesoło i cierpliwie. Dano mu także osła klasztornego do pilnowania i ogród. Dawni jego znajomi, przyszedłszy do klasztoru, nie mogli się wydziwić, że człowiek takiego stanowiska i nauki czuł się szczęśliwym w podobnem wyniszczeniu. Za tę pokorę odbierał od Pana niezmierne pociechy niebieskie: w celce jego ogrodowej nawiedzali go często Ś. Franciszek i Ś. Marja Magdalena, do których miał szczególne nabożeństwo, a w ostatniej chwili życia, jak to sam oznajmił, byli przy nim Święty Ojciec Franciszek, Ś. Antoni i Bł. Tomasz, jego mistrz duchowny [1]).

Bł. Franciszek z Pawji, Obserwant (1456 r.).

Błogosławiony Franciszek z Pawji posiadał rzadki dar pokory. Rozmawiając z braćmi albo ze świeckiemi osobami, nie dał nikomu odczuć wyższości umysłowej i nigdy bez istotnej potrzeby wiedzy swej nie wyjawiał. Dla kapłanów był z wielkiem uniżeniem i z tej czci dla piastunów Boga żywego, chociaż nawet był gwardjanem, nie odważał się siąść w ich obecności. Najchętniej brał się do niskich posług: zamiatał korytarze, pomywał naczynia kuchenne, prał brudne habity i t. p. Surowy bardzo i wymagający od siebie, co do innych pełen był ojcowskiej troskliwości i pobłażania; pilnował, aby się zbytnio nie umartwiali i dlatego często mówił: „Królestwo niebieskie nie zawisło na samych tylko postach, lecz i na dobrych uczynkach: jak na zaparciu się własnej woli, strzeżeniu się niepotrzebnego obcowania z ludźmi, lekkomyślnych sądów i szemrania, na czuwaniu nad sobą i uważaniu się za najgorszego ze wszystkich“. Te i tym podobne nauki z wielką gorliwością i pokorą przypominał swoim przełożonym [2]).

Ś. Jan Kapistran, Obserwant (1456 r.).

Znakomity Obserwant XV-go wieku i zwycięzca Turków pod Białogrodem, Ś. Jan z Cape-

[1]) Żywot Ś. Kolety przez X. Douillet, s. 43. [2]) Kron. 3 ch Zak. Ś. Fr. Cz. III

[1]) Tamże str. 157. [2]) Tamże ks. 3, r. 5.

Ś. FRANCISZEK DZIĘKUJE ZA PRZESTROGĘ WYROBNIKOWI W DRODZE NA ALWERNJĘ.

strano, na samym wstępie życia zakonnego dał przykład heroicznej pokory. Gdy bowiem przyszedł do klasztoru Ś. Franciszka del Monte pod Perudżją, aby prosić o habit, Bł. Marek z Bergamo, ówczesny gwardjan zgromadzenia, zamierzył wypróbować powołanie nowego kandydata, „Nie mam zwyczaju, rzekł do niego, tak łatwo ufać wszystkim, co się zgłaszają. Wiedz pan, że klasztory nie są wcale schronieniem dla włóczęgów i ludzi znudzonych życiem światowem; aby być przyjętym do zakonu, trzeba całkiem innych dowodów powołania; dlatego też oznajmiam panu, że nie prędzej go przyjmę, aż się uroczyście wyrzekniesz świata i jego próżności". Jan wysłuchał tych słów z pokorą i okazał gotowość opuszczenia wszystkiego, pogardzenia względami ludzkiemi i poddania się wszelkim zniewagom i obelgom w tem samem nawet mieście, w którem tak niedawno jeszcze najwyższą czcią był otoczony.

Na rozkaz tedy Bł. Marka dawny namiestnik Perudżji przejechał ulice tego miasta, siedząc tyłem na osiołku, w łachmanach i w koronie papierowej, na której wielkiemi literami wypisane były jego światowe występki. Tak więc człowiek ten, posiadający wysoką wiedzę, rozum i znaczenie, wystawił się mężnie na pośmiewisko, stał się przedmiotem żartów i języków ludzkich, oraz igraszką pospólstwa; dzieci biegły za nim i rzucały kamieniami, jak na warjata; tłum ulicznikow natrząsał się z niego, miotając nań obelgi i wrzaskiem napełniając powietrze.

Przez takie bezprzykładne upokorzenie się, Jan Kapistran odniósł nad samym sobą i nad światem stanowczy tryumf. Nie dziw też, że wkrótce doszedł on do najwyższego stopnia doskonałości. Jeszcze lat kilka, a ten sam mąż pokorny i gardzący sobą przebiegać będzie nietylko miasta, lecz prowincje i kraje całe, znacząc swoje kroki niezliczonemi cudami. Pan Bóg raczy go wsławić, a tłumy ludu wychodzić będą naprzeciw niemu, śpiewając hymny i pieśni, jak to i u nas w Krakowie się zdarzyło, a pokorny syn Ś. Franciszka zawoła: „Tobie, Panie, Tobie tylko samemu cześć i chwała!" [1])

S. Katarzyna Bolońska, Klaryska (1463 r.).

Służebnica Boża często rozmyślała o strasznym dniu sądu ostatecznego, w którym tajemnice sumień ludzkich objawione będą całemu światu. Te uwagi pobudzały ją do głębokiej nienawiści siebie. Była przekonana, że w tym dniu czeka ją przed Bogiem i przed ludźmi straszne zawstydzenie. Takie uczucia pokornego o sobie mniemania znajdujemy w żywotach wszystkich niemal Świętych. W istocie są oni pełni zasług przed Bogiem, a mają się za największych przestępców. Pan Bóg, chcąc ich utrzymać w tej najmilszej sobie pokorze, ukrywa przed nimi własne ich cnoty i ukazuje im, jak w zwierciadle, ich niedoskonałości. Te drobne winy, które my sobie lekceważymy i uważamy za rzecz nic nieznaczącą, wydają się Świętym Pańskim tak szpetnemi, tak godnemi obrzydzenia, że się ich wstydzą i pojąć nie mogą, iż nimi cały świat nie gardzi, tem bardziej więc dziwią się, gdy ich kto wychwala. Mają to głębokie przekonanie, iż, gdyby wiedziano jakimi są, gdyby ich dobrze znano, odwracanoby się od nich ze wstrętem. Na takiej pokorze ugruntowała Katarzyna z Bolonji całą swoją świątobliwość. Aby wyniszczyć w sobie całkiem ducha świata i na większe swoje poniżenie, święta dziewica ubiegała się o najniższe posługi w infirmarji, w kuchni, służąc wszystkim z siostrzańską miłością, a szczególniej chorym [1]).

Jan z Luki, Konwentualny (1472 r.).

Brat ten gardził wszelkiemi oznakami czci ludzkiej i odczuwał smutek, gdy mu, jako zakonnikowi, okazywano względy i poważanie w jego pielgrzymkach po cudownych miejscach w Hiszpanji. Po trzech latach pobytu w tym kraju, uciekając przed próżną chwałą, za pozwoleniem swojej władzy wrócił do Włoch. Stanąwszy zaś na ziemi ojczystej, minął rodzinne miasto Lukę i nie nawiedził nikogo z krewnych, nawet brata. Różne wynajdywał sposoby, aby ściągnąć na siebie pogardę; czasami tak nawet postępował, jakby nie miał rozumu, unikał jednak wszystkiego, coby naruszało godność zakonnika. Gdy pewien znakomity pan polecał się przez brata jego modlitwom, Jan zaczął płakać, mówiąc: „Biada mi, oj wielka biada, ludzie mnie mają za coś, lecz mylą się, bo jestem niczem".

Jako wielki miłośnik pokory, zostawił o tej cnocie sporo nauk, mogących się równać ze zdaniami Ojców Świętych albo filozofów. Naprzykład: Prawdziwa pokora jest to śliczne zwierciadło, w którem poznajemy samych siebie i niedoskonałości nasze, które pycha zwykła starannie taić. Pewnego razu, zobaczywszy jednego z braci, bardzo zmieszanego upomnieniem, tak go uspokoił: „Błogosławiony, którym pogardzają i który pragnie wzgardy. Jeżeli cierpliwie znosić będzie upokorzenia,

[1]) L'aur. séraph. T. IV.

[1]) Ibid. T. I.

wielką w tem znajdzie pociechę i znakomite odniesie zwycięstwo nad miłością własną. Kto bowiem bez tego fundamentu wstępuje na drogę Bożą, ten pychą trąci. Pan Bóg chce, abyśmy na tej ziemi zostawali w utrapieniach, dla większej zasługi naszej. Umysł skruszony i upokorzony łatwo przejednywa miłosierdzie Pańskie i żadne, choćby najdłuższe i najliczniejsze modlitwy nie mogą nam uprosić tyle łask duchownych, ile ich zjednywają cierpienia". Przed śmiercią, gdy go towarzysz jego, brat Serafin, prosił, aby mu na pożegnanie ostatnią powiedział naukę, umierający rzekł: „Upokarzaj się, bracie, upokarzaj, jak tylko możesz, abyś całkiem sobie umarł". [1])

Bł. Marek z Bolonji, Obserwant (1479 r.)

Błogosławiony Marek z Bolonji wszystek czas zbywający od zajęć poświęcał na prace apostolskie. To też Papieże: Mikołaj V, Kalikst III, Pius II i Paweł II, znając jego gorliwość dla spraw Kościoła, jego roztropne zachowanie się w trudnych sprawach, niejednokrotnie takowe mu powierzali. Około r. 1471 Paweł I ze względu na wielkie usługi, jakie świątobliwy Obserwant mógł oddać Kościołowi, postanowił uczynić go Kardynałem. Skoro się Marek o tem dowiedział, umknął sekretnie do Sycylji, jedynem bowiem jego pragnieniem było żyć i umrzeć w cieniu klasztoru. Wkrótce potem Papież umarł i tym sposobem Bł. Marek uszedł zaszczytu, którego się obawiał, jakby największego nieszczęścia. [2])

Bł. Amadeusz de Sylva, Założyciel reformy Amadeistów (1482 r.)

Ten sługa Boży bardzo długo starał się o przyjęcie do zakonu Braci Mniejszych; był i w Perudżji, gdzie natenczas mieszkał Generał, i w Assyżu, ale wszędzie mu odmawiano. Nie dał się jednak zachwiać w postanowieniu, lecz, owszem, nocując w ubogiej gospodzie niedaleko klasztoru, cały prawie dzień spędzał w kościołku, częścią na gorącej modlitwie, polecając Bogu, Najświętszej Marji i Ś. O. Franciszkowi swoją sprawę, częścią na usługach zakrystjanowi. U furty zaś wraz z innymi otrzymywał skromny posiłek. Szatan nie mógł znieść tak głębokiej pokory księcia z królewskiego rodu i raz podczas modlitwy ukazał mu się w postaci olbrzyma, grożąc, że go pozbawi życia, jeżeli się nie wyniesie z tej okolicy i nie zaprzestanie tych upokorzeń. Amadeusz za całą odpowiedź uchwycił się rogu ołtarza i ani dbał na tę groźbę. Nareszcie zakonnicy wzięli go za pomocnika zakrystjana, ten zaś, gdy ciężko zachorował i na modlitwy Błogosławionego odzyskał zdrowie, z wdzięczności uprosił O. Prowincjała, że go oblókł w habit seraficki [1]).

[1]) Kron. 3 Zak.... Cz. III, s. 241. [2]) Vie du B. Marc de Bologne par M. Berguin.

Bł. Bernardyn z Monte-Feltro, Obserwant (1494).

Nikt bardziej od Bernardyna z Feltry nie unikał wszelkiego wywyższenia i zaszczytów. Gdy go wybierano na wyższe urzędy klasztorne, jako gwardjana, prowincjała, musieli przełożeni używać mocy świętego posłuszeństwa, a i wtedy jeszcze radby był jak najprędzej złożyć swój obowiązek. Tak np. wezwany będąc w r. 1484 na kapitułę generalną Obserwantów włoskich, zebraną na górze Alwernji, błagał Anioła z Chivasso, który już po raz trzeci był Wikarym generalnym, aby go zwolnił z zarządu prowincją, lecz ten, nie chcąc pozbawiać swoich braci tak zdolnego, a zarazem cnotliwego prowincjała, kazał mu wracać do Lombardji.

Papież Sykstus IV i Innocenty VIII, w nagrodę usług oddanych Kościołowi, chcieli mu nadać wielkie przywileje, lecz Bernardyn oświadczył, iż jednej tylko łaski żąda, t. j. odpuszczenia swoich grzechów. Innocenty VIII chciał mu raz udzielić bardzo rozległej władzy co do spowiedzi, aby ci, co się u niego spowiadają, mogli ze wszystkich win swoich otrzymywać rozgrzeszenie, bez udawania się do Biskupów. Ale pokorny zakonnik odmówił przyjęcia i tego zaszczytu, pragnąc, jak powiadał, być zależnym od Biskupów we wszystkiem, co do nich według praw Kościoła należy, oni bowiem są pasterzami ludu chrześcijańskiego. Papież, zbudowany tą głęboką pokorą, zawołał: „Oto prawdziwy i godny syn Ś. Franciszka!"

Będąc gwardjanem, uważał się zawsze za sługę podwładnych swoich i dlatego wraz z nimi spełniał najniższe obowiązki; nie wstydził się np. z sakwą na plecach żebrać jałmużny dla klasztoru. Tym zaś, którzy go chcieli odwieść od kwestowania, odpowiadał: „Czynię to, czego mię nauczyli doskonali mistrze, wielebni Ojcowie Sykstus z Medjolanu i Ludwik Gonzaga; pierwszy z nich był przełożonym klasztoru naszego w Mantui i spowiednikiem księcia tego miasta; drugi, pochodząc z książęcej rodziny Gonzagów, pełnił przez długi czas obowiązek Prowincjała. A widzieliśmy przecież tych wielkich sług Bożych, kwestujących z sakwą od domu do domu". W r. 1472, gdy Bernardyn płynął z Akwili do Lombardji, morze tak było wzburzone,

[1]) Kron.... Cz. IV.

iż przez cały czas tej podróży obawiano się rozbicia okrętu. Błogosławiony, patrząc na rozszalałe żywioły, mówił z uczuciem najgłębszego przekonania, że grzechy jego są przyczyną huraganu, że trzeba jak Jonasza rzucić go w morze; i pewno dla tej pokory Świętego Bóg ocalił podróżnych. [1])

Bł. Anioł z Klawazio (Chivasso), Obserwant (1495 r.).

Błogosławiony Anioł, Wikary generalny Obserwantów Przedalpejskich, czyli Włoskich, tak dzielnie się sprawował, że go cztery razy wybierano na ten urząd, z wymaganą przerwą trzech lat przed każdym nowym obiorem. On jeden tylko nie wiedział o swoich zasługach i wszelkich dokładał starań, aby się usunąć od godności zakonnych. W tym celu wyrobił sobie nawet od Sykstusa IV brewe, dozwalające mu odmówić ofiarowanego sobie przełożeństwa i, kiedy bracia obrali go po raz trzeci w r. 1484, zastawiał się rozporządzeniem papieskiem. Napróżno ojcowie kapitularni usiłowali go skłonić do przyjęcia tego zaszczytu, odpowiadał im, że, aby rozkazywać, trzeba się najpierw nauczyć słuchać. Już zwątpiono, o zwyciężeniu jego pokory, kiedy Bł. Cherubin ze Spoleto, serdeczny jego przyjaciel, przedstawił mu, że, odmawiając życzeniom braci, powinien się lękać, czy przez to nie opiera się natchnieniom samego Ducha Świętego; tylko więc obawa niepodobania się Bogu i sprzeciwienia się Jego świętej woli skłoniła Anioła do przyjęcia godności, do której nie uważał się wcale sposobnym. Błogosławiony raz jeszcze musiał sprawować władzę przełożeńską nad Obserwantami włoskimi, a gdy schodził z tego urzędu w r. 1493, liczył już 82 lata. [2])

Bł. Jan z Puebla, Obserwant bosy (1497 r.).

Pierwszy założyciel reformy Obserwantów bosych, Jan z Puebla, był mężem niezwykłej pokory i cierpliwości, co pokazuje choćby następujący wypadek. Idąc raz w skwarny dzień pod palącemi promieniami słońca, i czując wielkie zmęczenie, urwał w winnicy, koło której przechodził, parę jagód winnych, aby się orzeźwić. Na nieszczęście, spostrzegł to stróż i zaczął go niemiłosiernie chłostać. A gdy socjusz upominał złego człowieka, Bł. Jan, uklęknąwszy z oczyma podniesionemi ku niebu, rzekł: „Daj mu pokój bracie, niech nademną wykonywa wolę Bożą". [3])

[1]) S. Bernardin de Monte Feltro par M Berguin. [2]) L'aur. séraph. T. I. [3]) Kron.... Cz. IV, s. 70.

Bł. Gabryel Marja, Obserwant (1532 r.).

Skromność Błogosławionego była tak wielka, że kilka razy odmawiał zarządu dyecezją i nie przyjął nigdy tytułu doktora, choć należał do najuczeńszych ludzi swego czasu. Co więcej, pokorny Obserwant nikomu tego nie powiedział, że Papież Leon X, chciał go obdarzyć tym zaszczytem, tak, że dopiero po jego śmierci cała prawda się wyjawiła. Twardy i wymagający od siebie, widział tylko dobrą stronę w bliźnich. „Pokora ma dwoje oczu, mawiał często: jedno, aby widzieć swe wady, a drugie — aby oceniać zalety bliźnich" [1]).

Cz. Joanna od Krzyża, 3 Zak. (1534 r.).

Pamiętając na pokorne uczynki Pana Jezusa i Matki Najświętszej, Joanna każdą chwilę poza ćwiczeniami duchownemi, spędzała albo na usługach w kuchni, albo w infirmarji przy chorych, którym troskliwie dogadzała. Idąc razu pewnego po wodę dla tych swoich ukochanych, rozbiła dzbanek. Zmartwiona tem, uklękła i zaczęła się modlić, a w tejże chwili skorupy zrosły się mocno ze sobą, tak, że jeszcze trzy lata służył do wody. Jedna z sióstr, obecna temu zdarzeniu, zapytała jej: „Czy to nie ten sam dzbanek, który widziałam jak upuściłaś i rozleciał się na kawałki?" — „Ten sam, odrzekła z prostotą Joanna, ale co się zepsuło dla grzechów moich, to Pan Bóg z dobroci swojej naprawić raczył" [2]).

S. Ignacy Lojola, 3 Zak. (1556 r.).

Jasne poznanie własnej nicości i ciągłe a dobrowolne przyjmowanie upokorzeń wyjednały temu Świętemu dar głębokiej pokory, w takim stopniu, w jakim Bóg obdarzył bardzo tylko niewiele dusz szczególnie wybranych. Wiele lat przed śmiercią nie doświadczał nigdy choćby najmniejszej pokusy próżnej chwały i sam zwierzył się zaufanemu przyjacielowi, że jest to grzech, którego z łaski Bożej najmniej się lęka. Pewnego dnia, rozmawiając z Ribadeneirą, wyrzekł następujące słowa: „Prosić będę Pana Naszego, aby ciało moje po śmierci rzucono na stos gnoju i aby tam zostało pożartem przez psy i ptaki; sam jestem gnojem, jakoż więc słuszniejsza kara spotkaćby mię mogła za tyle mych grzechów?" „Uważałem też częstokroć, mówi tenże zakonnik, że, gdy trafiło się w rozmowie wspomnieć o pomnożeniu zakonu albo pożytkach przezeń przynoszących, albo o czemś podobnem, tyczącem

[1]) L'aur. séraph. T. III. [2]) Kroniki.. Cz. IV, s. 178.

się jego chwały, on łzami się zalewał i jakby się wstydził". O. Laynez, słysząc raz od jednego z naszych, jakoby Ignacy miał danego sobie od Boga stróża Archanioła [1]), zapytał go po przyjacielsku, czy to prawda, lecz żadnej na to nie otrzymał odpowiedzi; natomiast ujrzał na twarzy Ignacego rumieniec i przelęknienie. Często się też zdarzało, iż pytany o rzeczy, które z chwałą jego były złączone, nie inaczej, jedno zarumienieniem się a milczeniem odpowiadał.

Gdzie nie było rzeczy jawnej i oczywistej, tam łatwo na zdaniu drugich przestawał. Ze wszystkich domowników brał przykład i pobudkę do cnoty, a tylko nie podobał się samemu sobie. „Nic nie zbudujecie trwałego i dobrego", zwykł był napominać towarzyszów, wysyłając ich na pracę w winnicy Pańskiej, „jeśli budować nie będziecie na fundamencie pokory". Jako ogólną, długiem doświadczeniem stwierdzoną, zasadę stawiał: „Taka się praca najlepiej powodzi, którą rozpoczynamy w pokorze bez wielkiego hałasu i stopniowo ją rozwijamy". Stosując praktycznie tę zasadę, polecał z naciskiem Ś. Franciszkowi Ksaweremu i Rodriguezowi, gdy wysyłał ich do Indji i do Portugalji, także Salmeronowi i Broetowi przed wyprawą sabaudzką, jak w ogóle wszystkim towarzyszom w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanji, aby rozpoczynali swe prace od uczenia dzieci katechizmu i obsługiwania chorych po szpitalach, aby nie wstydzili się chodzić od domu do domu i prosić o kawałek chleba dla siebie i dla biednych, którzy sami żebrać nie mogą lub się wstydzą. Polecał upokarzające te zajęcia słowem i pismem, a bardziej własnym przykładem, nie usuwając się mimo tak licznych i ważnych spraw od najniższych usług w kuchni i po szpitalach, i od wykładania dzieciom katechizmu [2]).

S. Piotr z Alkantary, Obserwant bosy (1562 r.).

Świętość tego sługi Bożego była ugruntowaną na pokorze serca i na poczuciu własnej nędzy. „Sługa niepożyteczny jestem, mówił często sam do siebie i żadnej niema ze mnie korzyści w domu Bożym. Co masz, duszo moja, czegoś nie wzięła i co oddasz Panu za wszystko, co ci uczynił? Oddaję Ci, Panie, tę odrobinę, którą posiadam i którą mogę Ci dać". Będąc prowincjałem, a później Komisarzem generalnym, na równi ze wszystkimi braćmi wyznawał winy w refektarzu, całował nogi zakonników, zamiatał klasztor, mył naczynia, kopał w ogrodzie i ścinał drzewa w lesie, przynosząc je na plecach do klasztoru; jednem słowem uważał się za sługę swoich braci. Witany przez Biskupów, wielkich panów i samych królów nawet z oznakami najwyższego szacunku, mówił w duszy: „Czyż jeszcze nie umarłeś dla świata? Bądź więc jak nieboszczyk obojętny na zaszczyty i pochwały". Księżniczka Joanna Austrjacka, córka Karola V, prosiła go o przewodnictwo duchowne, ale Święty wymówił się, pragnął bowiem żyć zdala od dworu. Podobnąż odpowiedź otrzymał cesarz Karol V, gdy chciał go mieć swoim spowiednikiem. „Wasza Cesarska Mość, odrzekł świątobliwy reformator, ma o wiele zdolniejszych kapłanów w swojem państwie". A kiedy cesarz nastawał, sługa Boży prosił monarchy o danie mu trochę czasu, aby mógł tę rzecz rozważyć przed Bogiem. „Panie, sądzę, że chcesz tylko spełnienia woli Najwyższego. Jeśli zatem nie wrócę, będzie to znaczyło, że inne są zamiary Boga". I udawszy się do swego klasztoru w Pedroso, zrozumiał, modląc się w tej sprawie, że Stwóra wezwał go do zakonu, nie żeby gonił za zaszczytami ale by ich unikał i żył w samotności i pokucie. Monarcha, nie widząc go wracającego, nie obraził się tem, przeciwnie, powziął dla Piotra Ś. jeszcze większy szacunek [1]).

Eleonora od S Antoniego, Klaryska (1570 r.)

Zmarła w Villafranca, pod Lizboną, siostra Eleonora od Ś. Antoniego była wzorem pokory chrześcijańskiej. Córka królewskich rodziców, wychowana w zbytkach i pieszczotach, przyszedłszy do klasztoru, stała się sługą wszystkich: pracowała serdecznie i ochoczo w kuchni, usługiwała chorym z wielką miłością i nic dla tej wybranej oblubienicy Pana Jezusa nie było przykrego albo trudnego. Bóg nagradzał te jej upokorzenia cudownemi łaskami. Pewnego razu jednej z chorych zachciało się wisien. Było to jeszcze zawcześnie na owoce; siostra Eleonora jednak, by dogodzić proszącej, poszła do ogrodu i stanąwszy przed drzewem wiśniowem, przeżegnała zielone jeszcze jagody, które w tej chwili zaczerwieniły się i dojrzały, a co więcej, chora po ich spożyciu wróciła do zdrowia. Gdy w kilka lat po zgonie siostry Eleonory, przenoszono ciało jej przez infirmarję, wszystkie chore wówczas tam będące cudownie wyzdrowiały [2]).

---

[1]) W Żywotach Świętych czytamy niejednokrotnie, że gdy doszli do pewnego stopnia doskonałości, Bóg dawał im stróża i opiekuna z wyższej hierarchii duchów niebieskich. [2]) Św. Ignacy Lojola przez ks. Badeni T. J.

[1]) L'aur. séraph. T. IV. [2]) Kron.... C. IV, s. 277.

Bł. Benedykt z San-Fradello, Reformat (1589 r.)

Błogosławiony Benedykt był tylko laikiem, a jednak przełożeni, przez wzgląd na jego wielką świątobliwość, obrali go na gwardjana licznego bardzo konwentu Najświętszej Marji od Jezusa. Lecz o ile ten wybór ucieszył zakonników, o tyle dla Benedykta był powodem ciężkiej przykrości; błagał, zaklinał, przedstawiał swoją nieudolność i nieumiejętność w wielu rzeczach, niewłaściwość, aby stawiać prostego braciszka na czele kapłanów. Święte tylko posłuszeństwo zdolne było zwyciężyć opór Błogosławionego. Pamiętał on na tę naukę Ś. Bernarda: „Choćby kto bez żadnego swego udziału wyniesiony był na wysoki urząd i najczystsze miał pobudki, niech jednak nie będzie bez bojaźni, ale owszem, niech się bardzo lęka; bo nie wszyscy, co zaczęli w dobrym duchu, w nim wytrwali i wielu w końcu rządziło się ciałem". [1])

Postępowanie Benedykta na tym odpowiedzialnym urzędzie aż nadto usprawiedliwiło wybór przełożonych. Jego rządy pełne były miłości jako też i zaparcia samego siebie, nie znał co to jest gorzka gorliwość duszy mniej doskonałej. Upominał z pokorą i dobrocią, stosownie do życzenia Świętego Ojca; słodycz miarkowała w nim stałość, jaką musiał nieraz okazać; to też niepodobna było oprzeć się jego słowom, tak wielkie w duszach sprawiały pożytki. Zresztą przy upominaniu zważał na charakter, usposobienie i stanowisko każdego. Jeśli chodziło o zakonników posiadających godność kapłańską, przypominał im pokornie i poważnie ich naukę, przymioty i charakter duchowny, którym byli ozdobieni, a potem zwracał ich uwagę na to, co powie młódź zakonna, patrząc, jak ciągle łamią obserwancję. I słowa te bynajmniej nie zrażały kapłanów, owszem, byli mu wdzięczni za nie.

Błogosławiony braciszek był zawsze pełen szacunku dla kapłanów, miłości dla laików, pobłażania dla nowicjuszów, a uprzejmości dla wszystkich, to też ogólnie szanowano go, kochano i słuchano, i nikt nie nadużywał jego pokory, dla której w każdym bracie widział swego przełożonego. Pewnego razu zdarzyło mu się ukarać nowicjusza za jakąś ciężką winę, później jednak okazało się, że ukarany wcale jej nie popełnił. Dowiedziawszy się o tem, Benedykt na klęczkach prosił go o przebaczenie, a ten akt pokory nietylko że nie poniżył go w oczach zakonników, ale jeszcze okrył go wielką sławą. [2])

[1]) De vita et moribus cleric. C. V. n. 16. [2]) L'aur. séraph. T. II.

S. Paschalis Baylon, Obserwant bosy (1592 r.)

Charakterystyczną cnotą Ś. Paschalisa, cnotą, która stała na straży wszystkich innych i ubogaciła jego duszę najcenniejszemi łaskami, była pokora. Między pokornymi Paschalis usiłował być najpokorniejszym. Uważał się i wyznawał otwarcie za ostatniego z ludzi, za wyrzutka społeczeństwa. Zniewagi, upokorzenia były dlań ucztą prawdziwą. „Wszystkie choćby najcięższe i najdotkliwsze oszczerstwa, obelgi i szkalowania, mówi on w swoich przepisach, będziesz pił jak likier wonny i przyjmował je ze szczególną radością". Miał on mnóstwo okazji do ćwiczenia się w tem postanowieniu przez kilka lat, kiedy gwardjanem klasztoru był człowiek ponury i hipokondryk, który czuł prawdziwą antypatję do świętego furtjana. Upomnienia spadały nań jak deszcz, najmniejsze uchybienie wystarczało do gorzkich wymówek i to publicznych wobec innych zakonników. Niekiedy ci ostatni smucili się, lecz Paschalis słuchał tych słów przykrych daleko chciwiej, niżeli człowiek światowy ody pochwalnej, na jego cześć ułożonej. Gdy zaś czasami niektórzy bracia, litując się nad jego losem, starali się go pocieszyć lub podnieść na duchu, odpowiadał im: „Nie litujcie się nademną. Uspokójcie się i wiedzcie, że słowa te przyjąłem jakby z usta samego Ducha Przenajświętszego".

Przez tę miłość pokory starał się ukrywać wszystko, coby go dobrze przedstawiało. Zakonnicy prowincji, nie zważając na jego rozpacz, obrali go, chociaż laika, na gwardjana klasztoru. Inny klasztor nowicjacki uprosił go sobie na mistrza i Paschalis z posłuszeństwa musiał podjąć się tego urzędu. Jakaż to była męka dla jego pokory rozkazywać innym! Wymyślał różne sposoby, aby nie znać było, że to on rządzi. Wpośród duchownych swoich dziatek zdawał się być jednem z nich. Z niemi pracował, z niemi się modlił. [1])

Bł. Juljan z San Agostino, Obserwant (1606 r.).

Również braciszek, ale zakonu Obserwantów, tak szczerze gardził sobą, że miał się za podłego nędznika, który zasłużył na wszelkie męki, a nawet na samo piekło. Szyderstwa i zniewagi sprawiały mu radość, narażał się więc na nie, udając prostactwo i brak wszelkiego oświecenia. Kwesta była dlań rozkoszą, bo wystawiała go na obelgi, przykrości i złe słowa. Gdy go upominano, często bez powodu, bo gwardjan chciał go wypróbować, słuchał pokornie, nigdy się nie usprawiedliwiając

[1]) S. Pascal Baylon.... ut supra.

i przyjmował nałożoną pokutę, szczęśliwy, że może cierpieć dla Pana Jezusa. Z tego już możemy wnosić, jak unikał szacunku ludzkiego, a gdy Bóg świętość jego wsławiał cudami, przypisywał je Najświętszej Marji Pannie, lub któremu ze Świętych, albo też działaniu koronki, będącej według niego relikwją, zrobił ją bowiem z gwoździ od trumny, w której jakiś czas spoczywało ciało Ś. Dydaka.

Nawiedzenie dobrodziejów zakonu było dla sługi Bożego wielkiem umęczeniem, udawał się do nich wprawdzie, aby spełnić posłuszeństwo, ale cierpiał bardzo nad czcią, jaką mu okazywano. Między innymi zapragnęła go widzieć królowa Małgorzata, żona Filipa III, a matka Filipa IV i napisała do gwardjana klasztoru w Alcala, aby przysłał Błogosławionego na dwór królewski w Madrycie. Poszedł tam Święty, ale czy z nieśmiałości, czy z pokory, zupełnie zaniemówił; ledwie, że słowo zeń wydobyto i to wypowiedziane w sposób prostaczy. Nie zraziło to jednak pobożnej królowej, która pewną będąc wysokiej świętości braciszka, zapisała fundusz na jego kanonizację [1]).

Cz. Franciszek Gonzaga, Obserwant (1620 r.)

Wielki ten sługa Boży, wstąpiwszy do Obserwantów w Hiszpanji, przechodził nauki pod uczonym O. Diego Zuniga, poczem już jako kapłan został przeniesiony do włoskiej prowincji, w obrębie której leżała Mantua i inne majętności domu Gonzagów. Tutaj pełnił najpierw urząd lektora teologji, następnie obrano go definitorem prowincjalnym, a w końcu i prowincjałem. Franciszek na tych wszystkich obowiązkach wzbudzał podziw doskonałemi swojemi cnotami. Gdy Pyrrus Gonzaga, starszy jego brat, ofiarował mu w San Martino ziemię na klasztor i kosztów budowy jego się podjął, udał się tam niezwłocznie Franciszek, aby nową fundację zastosować do wymagań serafickiego ubóstwa. Widziano go, jak sam pracował, lub też, wziąwszy sakwy, chodził od drzwi do drzwi, żebrząc chleba dla zakonników. Rozgniewało to bardzo Pyrrusa, że rodzony brat nie szczędzi mu takiego upokorzenia w jego własnem państwie, ale Franciszek rozbroił go, mówiąc: „Wszak i ty jesteś żołnierzem cesarskim, a czy udałbyś się gdziekolwiek bez broni? tak i ja przełożonym będąc, czyż nie powinienem stosować się do przepisów, nakazujących mi być sługą braci moich. Trzeba mi naśladować Ś. Franciszka i nie wstydzić się, gdy mam za przykładem wodza tej samej co on broni używać?“ Wzruszony temi uwagami, Pyrrus nietylko nie przeszkadzał bratu, ale jeszcze chętnie podczas kwesty mu towarzyszył i słuchał uduchownionych jego rozmów.

[1]) L'aur séraph T. II.

Odmawia przyjęcia kościelnych godności.

Będąc już Ministrem generalnym całego zakonu i idąc do Francji na wizytowanie klasztorów, Franciszek odwiedził krewnego swego, Ś. Karola Boromeusza w Medjolanie. Papież Grzegorz XIII chciał go mieć za następcę tego Świętego na stolicy arcybiskupiej, ale próżno prosili go o to w imieniu króla Hiszpanji: brat, Scypjon Gonzaga, patryarcha Jerozolimski, kuzyn, Kardynał Wincenty Gonzaga i hrabia Olivarez. Sługa Boży tak stanowczo się wymawiał, że Papież dał mu pokój. Lecz nie w tej jednej tylko okoliczności zajaśniała jego pokora: odrzucił on jeszcze godność kardynalską, arcybiskupstwo palermitańskie i kilka innych biskupstw, a gdy w r. 1587 skończył się czas jego rządów nad zakonem i wybrano innego generała, nie pozwolił się nazywać najprzewielebniejszym, ani, będąc Biskupem, tytułować się margrabią i księciem, do czego z urodzenia miał prawo.

Po złożeniu urzędu generała, Franciszek wrócił do swojej prowincji, do klasztoru w San-Martino, gdzie najprostsze zajęcia ochotnie spełniał, nie wyróżniając się w niczem od innych braci. Nie dał mu jednak Sykstus V zostawać w ukryciu i powołał go na biskupstwo w Cefalu w Sycylji, a wkrótce potem oddał mu stolicę biskupią w Mantui, na której już do śmierci pozostał, zawsze tak pokorny i ubogi, jak od początku [1]).

[1]) Ibidem.

S. Hjacynta Mariskotti, 3 Zak (1640 r.).

Ci, co wiodą żywot pełen zasługi, pełen pracy około chwały Bożej, mówią: „Słudzy nieużyteczni jesteśmy“. Tak i Hjacynta tylko dawne błędy miała na myśli, one były źródłem ciągłego jej upokarzania się i żalu, miała się za ostatnią z sióstr zakonnych, i za największą grzesznicę, niegodną imienia oblubienicy Chrystusa i towarzyszki dusz, będących na służbie Jego. Prosiła nieraz na klęczkach, aby ją siostry konwerskie przyłączały do prac swoich, a wtedy zmywała naczynia, zamiatała korytarze i najniższe spełniała usługi. Kiedy ją pytano, czego się lęka i dlaczego chodzi zwykle z oczyma na dół spuszczonemi, odpowiadała: „Boję się i drżę przed piekłem, na które grzechy moje aż nadto zasłużyły“. Posłyszawszy o jakiejś dokonanej zbrodni, wołała: „Nic to w porównaniu do

moich nieprawości. Jestem o wiele winniejsza w oczach Boga od tych wszystkich grzeszników". Razu pewnego usłyszała, przechodząc przez refektarz, jak pewna młoda osoba z miasta wynosiła jej wyjątkowe cnoty. „Nie wierz temu, to kłamstwo, rzekła z uniesieniem, to siostra najgorszego życia". Podziw panienki zamienił się w cześć, gdy się dowiedziała, kto tak Hjacyntę sądzi. Mając nizkie wyobrażenie o sobie, Hjacynta znosiła z przedziwną cierpliwością pogardę, zniewagi, niesprawiedliwości od stworzeń i wszelkiego rodzaju doświadczenia, które Bóg na nią zsyłał. Pokorą też nadewszystko i gorącą modlitwą zwyciężała najstraszniejsze pokusy szatańskie, Często, zarzuciwszy powróz na szyję, jak zbrodniarka szła do refektarza i, całując nogi sióstr zakonnych, przepraszała je za zgorszenia, których była powodem. Wobec takich skutków nawrócenia, dobrze się rozumie, dlaczego Pan Jezus powiedział, że milsza mu jest pokuta grzesznika, niżeli niewinność sprawiedliwego.[3])

S. Józef z Kopertynu, Konwentualny (1663 r.)

Ten mąż Boży, tak wysoko wznoszący się przez zachwycenia i kontemplację, tak potężny przez swoją modlitwę, tak bohaterski przez swoje cnoty, utrzymywał się w najgłębszej pokorze wobec Boga, wobec świata i wobec siebie samego. Zaczynając od jego pokory przed Bogiem, powiedzmy, że przed każdą ważniejszą sprawą klękał i, całując ziemię, mówił: „Nie nam Panie, nie nam, ale Imieniu Twemu, daj chwałę", przez to dawał poznać, że powodzenie zależy tylko od Boga, źródła wszelkiego dobra. Bogu też, jako jedynemu Twórcy przypisywał swoje najlepsze myśli, pragnienia i mawiał często, że jeśli jest w nim co dobrego, winien to Bogu, który największe cuda swoje czyni zazwyczaj przez wielkich grzeszników. Przekonany, że świętość polega nie na czynieniu rzeczy doskonałych, ale na czynieniu wszystkiego doskonale, do Boga wszystkie pochwały odsyłał i Jemu poświęcał każdą swoją pracę. W uznaniu swojej nicości był tak, jakby w fortecy niezdobytej, Bogu zostawiając nieograniczone pole myślenia za siebie i działania. Jego celem było coraz bardziej wykazywać ludziom wielkość i wszechmoc Boga. Te zaś piękne uczucia pokory i uniżenia się przed Stwórcą wszechświata nietylko sam praktykował, ale starał się i innych niemi przejąć, a szczególniej nowicjuszów. „Wielu z was, mówił do nich, zostanie kiedyś kaznodziejami; nie bądźcie dumni z tego. Kaznodzieja jest trąbą, która nie wyda głosu, jeśli Bóg jej nie natchnie i nie ożywi. Mając wejść na kazalnicę, mówcie do Pana: „Boże mój, Ty jesteś tchnieniem, a ja piszczałką: bez ducha Twego nic nie mogę". Wśród najwznioślejszych zachwytów, porywów, zatapiania się w Istocie Bożej, słyszano go wołającego: „Ziemia Adama może wydawać tylko głogi i ciernie". Jeden ze spowiedników Ś. Józefa opowiadał, że w czasie rozgrzeszenia sługa Boży okazywał taką pokorę, iż zdawał się być na proch startym.

Jego pokora względem bliźnich.

Względem bliźnich i zakonników był nie jako przyjaciel, ani brat, ale jako sługa. Nigdy z jego ust nie wyszło żadne słowo raniące, przykre, albo na czyją niekorzyść. Jego uczynki świadczyły o czystości źródła, z którego ta pokora wypływała. Jeżeli gwardjan klasztoru wchodził czasami do celi Józefa, ten klękał natychmiast, jakby przed Jezusem Chrystusem i mówił, że nie godzien jest tego zaszczytu. Nigdy nie chciał żadnej godności i pragnął tylko, aby przełożeni zostawili go w czterech ścianach, gdzieby nikogo nie widział i od nikogo nie był widzianym. Jeśli, jak się to często zdarzało, gwardjan kazał mu przyjąć jaką znakomitą osobę, króla czy księcia, sługa Boży bił się w piersi, a czasami nawet płakał, taką mu to przykrość sprawiało. O. Bernabei zaświadcza o pokorze Józefa w następujących słowach: „Józef upokarzał się przed Bogiem i przed ludźmi. Miał się za nędznika godnego pogardy, wyznawał swoją nieświadomość i w rozmowie był zawsze ostatni. Kiedyśmy go żegnali, padał na kolana i prosił mnie lub innych bez względu na to, czy to byli kapłani, czy laicy, o błogosławieństwo i dopiero otrzymawszy takowe, sam nas błogosławił, czyniąc wielkim palcem trzy krzyżyki i wymawiając słowa: „Niech wszechmoc Ojca, mądrość Syna i miłość Ducha Świętego uwolni cię od wszelkiego nieszczęścia". Podczas swego pobytu w Osimo, Józef chciał pogodzić pewnego zakonnika z przełożonym. W tym celu kazał pierwszemu iść za sobą, a przywiódłszy go do celi gwardjana, założył sobie pas na szyję i upadł do stóp przełożonego, prosząc z pokorą o przebaczenie. Gwardjan, wielce zdziwiony, tłumaczył mu, że przecież go niczem nie obraził, ale gdy Józef mimo to powtarzał swoją prośbę, odpowiedział: „Więc daruję ci". — „I temu także?" zawołał Święty, wskazując na swego towarzysza. „I jemu przebaczam", rzekł ze wzruszeniem gwardjan i uścisnął serdecznie sługę Bożego.

Z powodu świątobliwości Józefa wielu kapłanów świeckich i zakonnych pragnęło otrzymy-

[1]) S-te Hyacinthe de Mariscotti.

wać od niego błogosławieństwo. Niekiedy ustępował on ich prośbom, ale sam też natychmiast prosił ich, żeby go błogosławili. I w ostatniej jego chorobie przed śmiercią musieli go bracia wpierw pobłogosławić, a dopiero potem sam ich przeżegnał, przyczem dwaj zakonnicy podtrzymywali rękę umierającego.

Względem siebie.

Mówiąc o sobie, przyrównywał się do najpodlejszych bydląt, nazywając się bratem osłem. Stąd to, złożony śmiertelną chorobą, odzywał się: „Brat osioł zaczyna wstępować na górę; brat osioł dostał się na wierzchołek góry i zostawi tam skórę swoją“. Ale ponieważ grzesznik gorszy jest od bydlęcia, więc częściej jeszcze powtarzał, że jest wielkim grzesznikiem, a na listach podpisywał się: „Największy grzesznik na całym świecie, biedny brat Józef z Kopertynu“. Pokora Józefa według Kardynała de Lauria, miała w sobie coś cudownego. Mówić mu o jego zachwyceniach, chwalić go, było to samo, co brać go na tortury. Jeden z naocznych świadków opowiadał przed komisją, że brat Józef tak się lękał pochwał i uznania, jak morowego powietrza. Sama myśl, że go uważano za dobrego, sprawiała mu przykrość, przeciwnie zaś, cieszył się w najwyższym stopniu, gdy go spotykały obelgi i zniewagi. Czuł on dobrze, że ustawiczne i cudowne zachwycenia, w które go Bóg wprowadzał, jednały mu szacunek i uwielbienie, to też prosił Pana Jezusa, aby mu odebrał te nadzwyczajne dary. Wolał bowiem być pozbawionym zmysłowej obecności Bożej, aniżeli wystawiać się na cześć, którąby się nie odnosiła całkowicie do Majestatu Najwyższego. A kiedy Pan pociągnął go ku sobie wobec mnóstwa patrzących i Józef, chcąc nie chcąc, wpadał w zachwyt, to po odzyskaniu zmysłów rumienił się od wstydu, spuszczał kaptur mocno na czoło i zmieszany biegł do swojej celi, albo prosił obecnych, żeby mieli litość nad jego osłabieniem, gdyż czuje się niedobrze. Była to, dodawał, ociężałość głowy, jakieś zdrętwienie wskutek naturalnej słabości ciała“. W ten sposób z anielską prostotą starał się dziwne łaski Boże przedstawiać, jako przyrodzone wady. Gdy mu powiedziano, że w Polsce jeden niewidomy odzyskał wzrok, położywszy na oczach błogosławieństwo Ś. O. Franciszka, jego ręką napisane, ukląkł natychmiast i dziękował Bogu za łaskę, jakiej mu udzielił i za to, że, dając ją tak daleko, zabezpieczył go od próżnej chwały.

Chociaż Józef bardzo pilnie ukrywał przed oczyma ludzkiemi dary nieba, było to najczęściej napróżno. Między innemi, spostrzegłszy, że jego osoba, ubranie i cela wydają miły jakiś zapach, który ludzie uważają za nadnaturalny i cudowny, starał się unikać spadających nań z tego powodu uwielbień i przedstawić to jako rzecz zwyczajną. Mówił więc, że to tabaka tak pachnie, i, aby nie kłamać, zaczął naprawdę używać wonnej tabaki. Ale, jak świadczą akta procesu kanonizacyjnego, zapach rozchodzący się od osoby Józefa całkiem inne miał źródło. Zabierano mu bowiem nieraz tabakierkę z pachnącym proszkiem i nasypywano zamiast niego zwykłej albo i cuchnącej tabaki, a i brat Józef, i jego habit, oraz wszystko, czego się dotknął, tak samo przyjemnie pachniało.

Źródła pokory Ś. Józefa.

Ustawiczne wysiłki sługi Bożego, aby odwrócić od swojej osoby chwałę ludzką, wynikały z tej prawdziwej pokory wewnętrznej, która się gruntuje na uczuciu, że człowiek sam z siebie jest niczem. Każda dusza posiadająca prawdziwie tę cnotę, unika honorów, albo raczej pragnie i tęskni za wzgardą. Wzgarda, podług niej, należy jej się za grzechy, nie widzi ona w sobie nic godnego pochwały, a przeciwnie czuje się godną karania. Takim też był i Józef z Kopertynu. Łaski, któremi go Bóg napełniał, chciał ukryć nawet od oczu swoich przełożonych i spowiedników i objawiał je tylko z posłuszeństwa, jak to stwierdza proces kanonizacji i następujący wypadek. Pewnego dnia kazał się zaprowadzić do Józefa ociemniały rycerz, Galieno Vigilante, a przyszedłszy do drzwi celi, zapukał. „Kto tam?“ rzekł sługa Boży. „Biedny niewidomy“, była odpowiedź. „Proszę iść do furtjana, odparł Józef, gdyż on to rozdaje jałmużnę“. — „Ale ja pragnę miłosierdzia innego rodzaju, zawołał niewidomy, wchodząc do celi; dobry Ojcze Józefie, ty sam zlituj się nademną“. — „Jakiej łaski chcesz?“ — „Chcę widzieć“, odrzekł Vigilante. Lecz tutaj Pan Bóg od świętego męża zamiast cudu potęgi, zażądał cudu pokory. „Idź stąd, powiedział Józef z dobrocią i skromnością, a idź prędko, gdyż ja z grzechami mojemi nietylko że cię nie uleczę, ale uczynię cię jeszcze więcej ślepym“. I zamknął za nim drzwi, a wszedłszy do oratorjum, zawołał do znajdującego się tam kapłana, Jana Martelli, który słyszał całą tę rozmowę: „Cuda! ja czynię cuda! taki grzesznik jak ja! taki wielki grzesznik!“

Innym razem do celi Świętego wszedł niespodzianie jego spowiednik, a, widząc, że sługa Boży opowiada coś kilku zakonnikom z nadzwyczajną żarliwością, tak jak gdyby był w zachwycie, chciał go wypróbować i rzekł doń z najwyższem

oburzeniem: „Co tu wygadujesz, złośliwy obłudniku?“ — „Tak, odrzekł Józef, zwracając się do swego ojca duchownego, głosem pełnym bólu i pokory, tak, mój ojcze, prawdę powiadasz, wielką prawdę“. Poczem zakrył oblicze swoje rękami i ucichł, a to milczenie jego było jeszcze wymowniejsze i więcej wzruszające, niż same słowa.

Kiedy wyżsi dostojnicy kościelni, książęta, monarchowie przybywali doń, by go nawiedzić, co bardzo często się zdarzało, dziwił się temu, mówiąc: „Doprawdy, nie wiem, czego odemnie chcą te znakomite osoby, jestem bowiem prostakiem i biednym grzesznikiem“. Tak to Józef z Kopertynu pogrążał się w swojej nicości.[1])

Bł. Bonawentura z Potencji, Konwentualny (1711 r.).

Pokora była nieodłączną towarzyszką tego Błogosławionego. Przełożeni chcieli mu zlecić zarząd klasztoru w Capri, a później drugiego w Ravello, ale mąż Boży tak serdecznie i tak przekonywająco błagał, żeby go nie wynosili na tę godność, że w końcu otrzymał zapewnienie, iż nietylko teraz, ale do końca życia na żaden urząd nie będzie naznaczony. Przez jakiś czas tylko musiał być mistrzem nowicjuszów w Nocera. Pokorę też i posłuszeństwo najbardziej zachwalał i wdrażał w serca uczniów swoich; zresztą nie nakazywał im żadnej posługi, żadnego aktu cnoty, któregoby wpierw sam nie uczynił, kształcąc ich więcej jeszcze przykładem, niżeli słowem. Przed śmiercią wyznał grzechy swoje publicznie wobec zgromadzonych braci, którzy płakali ze wzruszenia na widok skarbów pokory, zamkniętych w duszy umierającego. „Byłem“, mówił on z głębokim żalem, najnędzniejszą istotą, najobrzydliwszym grzesznikiem, jaki tylko być może na świecie. Upadkami swemi dawałem zgorszenie braciom i osobom świeckim, dlatego proszę Pana Boga i was wszystkich, abyście mi przebaczyli“. A, zwracając się do przełożonego, dodał: „Wyznaję, mój Ojcze, że byłem niegodzien nosić habit i imię zakonnika; ale, nim umrę, daruj mi moje grzechy i przekroczenia reguły, oraz pozwól mi na znak żalu ucałować nogi twoje“. I to rzekłszy, chciał się podnieść, ale gwardjan zmusił go do leżenia, a natomiast podał mu krucyfiks, który Bonawentura przycisnął do ust rozpalonych i oblał gorącemi łzami.[2])

S. Jan Józef od Krzyża, Obserwant bosy (1734 r.)

Przedziwne cnoty Jana Józefa od Krzyża opierały się na mocnym fundamencie szczerej i głębokiej pokory. Dla niej to ukrywał on swoje umartwienia, tak np. żyjąc bardzo długo samym chlebem i owocami, mówił, że jest nadzwyczaj łakomy i zmysłowy, i że lubi sobie dogadzać. Gdy na jego modlitwę działy się cuda, nigdy nie zaniedbał przypisać ich wstawiennictwu Świętych Pańskich, albo wierze tych, którzy ich doznali; często nawet zalecał pewne lekarstwa chorym, aby ich uzdrowienie można było uważać jako rzecz całkiem naturalną. Obchodząc Włochy jako prowincjał, gdy trzeba było gdzie prosić o gościnność, o nocleg, nie zdradzał się ze swym urzędem, aby uniknąć honorów i czci ludzkiej. Z głębokiego też uczucia pokory, nigdy nie mówił ani o sobie, ani o swojem pochodzeniu, ani o rodzinie; trzymał się zdaleka od ludzi możnych i wpływowych, chyba z czystą intencją ich dobra duchownego; czuł wstręt do wyjawiania swojego sądu o czemkolwiek, zwłaszcza, gdy ani obowiązek, ani posłuszeństwo tego nie wymagały; wreszcie gorącem sercem dziękował Bogu za światło, udzielane tym, którzy nim pogardzali. Ale napisano jest, że Pan wywyższa pokornych; o ile więc bardziej Święty upokarzał się i uniżał w swojem własnem mniemaniu, o tyle więcej Bóg wsławiał go niezwykłemi i niezliczonemi cudami.

Aby się zastrzedz od wyższych urzędów, Jan Józef wyrobił sobie u Papieża breve, które go od nich uwalniało, pozbawiając głosu czynnego i biernego, tudzież wszelkiego udziału w sprawach dotyczących zarządu zgromadzeniem.[1])

Bł. Marja Krescencja, 3 Zak. reg. (1744 r.).

Krescencja była zanadto obeznana z drogami duchownemi, aby nie wiedzieć, że byłoby to szaleństwem opierać budynek ku wieczności na innym fundamencie, niżeli na pokorze. Słowa Mistrza Boskiego: Uczcie się odemnie, żem jest cichy i kornego serca, były ciągle na jej ustach. „Pokora, mówiła, nie zasadza się na spuszczaniu głowy, na obfitości pokornych wyrażeń, ale na poznaniu samego siebie, swojej nicości i swoich grzechów, jakoteż wielkości Boga“. Nie szukała w niczem siebie, ani pochwał ludzkich; przeciwnie, im Bóg był dla niej szczodrobliwszy, tem więcej dusza jej przejmowała się swoją niegodnością. Wprawdzie wielkość i piękno darów niebieskich nie uchodziło jej uwagi, ale nie umiała ich podziwiać inaczej, jeno z pamięcią na swoją nędzę i odpowiedzialność. Każda nowa łaska powiększała w niej poczucie wdzięczności i obowiązków, a ze wszyst-

[1]) Vie de S. Joseph de Cupertin par Dominique Bernino. ch. XXVIII. [2]) L'aur. séraph. T. IV.

[1]) Vie de St. Jean Joseph de la Croix par M. Berguin.

kich darów Boga pozostawało tylko przekonanie, że jest niegodną Jego służebnicą. Potoki łask odpływały do swego Dawcy, Krescencja zaś uniżała się coraz więcej i więcej w przepaści grzechu, uważając się za najgorszą ze stworzeń. Gdy ją proszono o radę, odpowiadała; „Kto ja jestem? za kogo mnie macie? Jestem ciemną i grzeszną kobiecina, jednem nic, słomką, robakiem. Jakiejże pomocy można oczekiwać od robaka? Cała moja umiejętność, to grzeszenie". Słomka, to był jej ulubiony tytuł. Cud to był miłosierdzia, że Wszechmocny cierpiał najobrzydliwsze ze stworzeń. Wobec szatana pokora Krescencji była naiwna; zapytywała go, jak duch, o naturze tak doskonałej, nie wstydził się prześladować biednej nieuczonej kobiety. Taż sama pokora natchnęła jej przed śmiercią prośbę, aby nie ozdabiano jej ciała wieńcem z kwiatów, ale ze słomy.

Służebnica Boża uważała się za najgorszą i najlichszą z zakonnic. Według niej na obliczu innych Sióstr malowały się cnoty, gdy zaś kto na nią patrzał, musiał widzieć tylko piętno grzechu. „Nie mogę wyjść z podziwu, mówiła, że ludzie i wszystkie inne stworzenia znoszą taką brzydką, jak ja, istotę". Gdy która z sióstr popełniła jaką winę zewnętrzną, Krescencja zaraz się o nią oskarżała, jej to bowiem zły przykład był tego powodem. Tak samo rozumowała w czasie klęsk i nieszczęść publicznych; jej to grzechy były ich przyczyną, więc modliła się bezustanku o powstrzymanie sprawiedliwości Bożej.

Względem bliźnich swoich była uprzedzająco uległą, zostawiając każdemu pierwszeństwo, jeśli porządek tego nie wymagał. W stosunkach ze świeckiemi małe rozumienie o sobie czyniło ją pełną prostoty i naturalności; wogóle nie wiedziało się, co bardziej w niej podziwiać, czy jej mądrość, czy pokorę. Przywykła ukrywać dary nadprzyrodzone, któremi ją Bóg obsypywał, gdy ją chwalono, rumieniła się jak dziecię, schwytane na gorącym uczynku. W chórze, w refektarzu, w sali rekreacyjnej obojętne oko niby w niej szczególnego nie zauważyło. Skarby jej duszy wychodziły na zewnątrz, gdy ją pociągała moc Boża.

Jadu pochwał, tak słodkiego, niestety, dla upadłej natury ludzkiej, Błogosławiona nienawidziła od dzieciństwa. Grube łzy płynęły wtedy z jej oczu, a, będąc zakonnicą, mówiła: „Bóg to uczynił. Jemu tylko należy się cześć i chwała, mnie zaś, nędznej i niegodnej, wstyd i pohańbienie. Doprawdy, ci dobrzy ludzie nie wiedzą, jaką jestem, gdyż wkrótce zmieniliby swoje zdanie". A gdy ją ganiono, cieszyła się, mówiąc: „Oto pochwała, jaka mi się należy". Honory, oddawane jej przez możnych tego świata, nie wzbudzały nawet cienia próżności w tej duszy prawdziwie pokornej, która zdumioną była, że uczeni i szlachetni panowie poniżają się aż do rozmowy z prostą córką tkacza. Powtarzała im z upodobaniem, że zakonnice przyjęły ją z litości, bez grosza posagu.

Trudno to unikać czci ludzkiej, ale trudniej jeszcze przyjmować i szukać zniewag, a jednak żadna osoba światowa nie była tak chciwą oklasków, jak Krescencja pogardy. Pokora wydawała jej się kosztownym kamieniem, zadatkiem miłości Oblubieńca Niebieskiego, to też nigdy nie schodziła ona z drogi, na której ten skarb można znaleźć, nigdy się nie tłumaczyła. Jezus milczał, więc i Jego oblubienica chciała milczeć, albo raczej dziękowała znieważycielom za ich usługę i przyrzekała się poprawić. Ktoś, nieznający Błogosławionej, powiedział do niej i do kilku jej towarzyszek, że mu mówiono, iż Krescencja jest czarownicą, i że w tej chwili smaży się w kotle. „Dzięki Bogu, nic o tem nie wiem, odrzekła wesoło oskarżona, ale na tę karę i wiele innych zasłużyłam grzechami swojemi". Nie były to puste słowa, ale głębokie jej przekonanie, jak tego dowiodła wielka niesprawiedliwość, której się względem niej dopuszczono, zamykając ją w ciemnym pokoju, niby w więzieniu. „Doprawdy, rzekła wówczas, zbyt mnie oszczędzają. Zasługuję bowiem na więzienie stokroć gorsze od tego, ten loch jest zbyt wygodny dla takiej grzesznicy". Uniżać się i jeszcze uniżać, i zawsze uniżać, było to, można rzec, szczytem szczęścia tej heroicznej niewiasty, której wybitnemi cechami była pokora i miłość, i której wszelka myśl pyszna była zupełnie obcą.[1])

Ś. Marja Franciszka od 5-u Ran, 3 Zak. (1791 r.)

Święta w całej szczerości i prawdzie wobec Bóstwa, w które się czystem okiem wpatrywała, widziała w sobie mnóstwo niezliczone wad i błędów. To też często mówiła: „Jak Bóg jest dobry, iż mnie osłania i trzyma w miłosierdziu swojem, że mię nie karze za tyle niewierności i niewdzięczności!" Z pokory Marja Franciszka wiodła życie pokutne, aby zmyć grzechy, któremi czuła się obciążoną. Z pokory pragnęła życia ukrytego, aby łaski, któremi ją Bóg nawiedzał, były nieznane światu. Martwiło ją bardzo, gdy lud widział ją w kościele Ś. Łucji w zachwyceniu i ogłaszać począł za świętą. W uczuciu pokory, gdy ją Zbawiciel czynił uczestniczką swojej Męki, oprócz siostry Ma-

[1]) Vie de la B. Marie-Crescence Höss de Kaufbeuren par Jeiler. O. S. F.

rji Feliksy, która z nią mieszkała i kilku dobrze znanych sobie kapłanów, nikogo nie pozwalała do siebie dopuścić. Z pokory również uprosiła sobie tę łaskę, że blizny, któremi była naznaczona, ukryte zostały dla oczu ludzkich. Z pokory wybrała sobie pokutny zakon Ś. Franciszka z Assyża, z pokory wolała znosić prześladowanie od własnego ojca, niż wydać na jaw dar proroctwa i czynienia cudów. Z pokory spaliła pamiętniki swoje i całe życie modliła się gorąco, aby łaski, których jej Bóg udzielał, jej tylko były wiadome. Taż pokora natchnęła ją myślą proszenia Pana Boga, aby i po śmierci ominęła ją wszelaka chwała i aby ciało jej, jak ciała wszystkich grzeszników, uległo zepsuciu i zgniliźnie [1]).

Bł. Idzi od S. Józefa, Obserwant bosy (1812 r.)

Brat Idzi z rozporządzenia Bożego miał doznawać największej chwały, jaką tylko człowiek może mieć na tym świecie; miał władać naturą, rozkazywać żywiołom, życiu, śmierci. Aby zaś spełnić tę niezwykłą misję bez żadnej szkody dla swojej duszy, musiał też posiadać odpowiednią pokorę. Czyniąc zdumiewające cuda, poruszając niejako według swego zachcenia niebo i ziemię, Święty braciszek nie przypuszczał bynajmniej, aby on sam miał w tem jakikolwiek udział; według niego okazywała się tu potęga Boża, dla której wielkie rzeczy zarówno łatwe są, jak i małe i nie mógł pojąć, aby ludzie byli do tego stopnia zaślepieni, żeby oddawali cześć narzędziu, którem się Pan posługuje. Z wielkim przeto smutkiem i z wielką boleścią spoglądał na tłumy cisnące się do niego, aby dotknąć jego habitu, paciorków i w takich wypadkach okazywał tylko znudzenie. Największy ścisk tłoczących się, najrozmaitsze żądania i prośby nie mogły go wyprowadzić z równowagi, odpowiadał zawsze z jednakową słodyczą i spokojem, ale, gdy spostrzegł najdrobniejszą oznakę szacunku dla siebie, twarz jego przybierała wyraz bolesny. Prawdziwa pokora polega na tem, aby uważać się za nieużyteczne stworzenie lub za grzesznika, wtedy nawet, gdy dobrze czynimy i posiadamy cnotę. Prosty rozum wskazuje nam wprawdzie, że sami z siebie jesteśmy przepaścią nędzy, a jednak sam rozum nie uczynił jeszcze nikogo istotnie pokornym. Znajomość naturalna swojej nicości prowadzi człowieka do przygnębienia i do rozpaczy, poniża go, zamiast go uszlachetnić. Pokora zaś chrześcijańska daje dwojakie przekonanie: pierwsze, że nic nie możemy sami z siebie, a drugie, że wszystko możemy w Bogu; to też człowiek pokorny wzrasta w ufności Bożej w miarę, jak traci zaufanie do siebie. Ktoby nie chciał wziąć się do wielkich czynów, do których go Bóg wzywa, pod pozorem swojej nędzy i słabości, ten, zamiast przynieść chwałę Panu, wyrządziłby Mu zniewagę i mógłby nawet, przez źle zrozumiany upór, stać się winnym ciężkiego grzechu. Brat Idzi posiadał cnotę pokory w całej prawdzie i jest najdoskonalszym jej wzorem. Jeśli widział, że mają zaufanie do jego cnoty i liczą na jego zasługę przed Stwórcą, smucił się i mieszał. Ale, gdy go proszono, aby szedł uzdrowić chorego, albo wrócić życie nieboszczykowi, czynił to bez żadnego wahania się. Był pierwszy do tego, by ufność rozbudzić, a, jeśli przewidywał szczęśliwy skutek, oznajmiał go z najwyższą radością.

Jego obejście z mieszkańcami.

Mieszkańcy Neapolu nie poprzestawali na rozmowie z Bł. Idzim na ulicach miasta, lub w domach chorych; przychodzili nadto całemi gromadami przed klasztor w godzinach, kiedy mogli się spodziewać, że go tam znajdą. Sługa Boży słuchał ich z gotowością uczynienia wszystkiego, co było w jego mocy, ale, gdy zauważył, że przyszli tylko prosić go o modlitwę, zmieszany tem wielce, mówił: „Czego to ode mnie żądacie? Idźcie raczej do kościoła, polećcie swoje sprawy Panu Jezusowi i Jego Najświętszej Matce, ja bowiem, jako nędzny grzesznik, nie mogę wam w niczem dopomódz". Albo też, zwróciwszy się do którego z braci, odzywał się głosem zdradzającym znudzenie: „Ależ, doprawdy, czego chcą ode mnie ci wszyscy ludzie? Niech sobie idą do brata Franciszka; ten to posiada wielkie cnoty, ale nie ja. Poślijcie ich do brata Franciszka". Brat Franciszek był także laikiem, ale w drugim klasztorze, Ś. Paschalisa i słynął ze świątobliwości. Otóż Idzi uważał, że mylą się bardzo ci, co zamiast się udać do brata Franciszka, do niego się zwracają w sprawie modlitwy.

Lecz najcięższym krzyżem dla Bł. Idziego było widzieć ten szczególny zapał Neapolitańczyków, aby mieć jakąś cząstkę z jego habitu. Gdy wychodził na miasto, obcinano mu zarówno habit, jak i płaszcz na relikwje tak, że braciszkowie krawcy musieli mu je codzień nadstawiać, nie mógł bowiem wyjść w tak kusem odzieniu. Z tego powodu spotykały go przykre nieraz wymówki i posądzania, i to nietylko od szyjących zakonników, którym się naprzykrzał, ale i od przełożonych. „Mój bracie, mówili pierwsi, ty chyba naumyślnie pozwalasz się tak okrawać; z pewnością, gdybyś szedł

[1]) Żwot Ś. Marji Franciszki od 5-u Ran.

uważniej, widziałbyś, kto się do ciebie zbliża i już zdaleka omijałbyś sfanatyzowanych swoich czcicieli, a tak rujnujesz klasztor i wykraczasz przeciw ubóstwu". Biedny Idzi nie wiedział, co odpowiadać. Tłumaczył się tylko, że nie winien temu i że to go bardzo zasmuca, a w końcu dodawał: „Cóż chcecie, to wszystko gawiedź nieokrzesana. Doprawdy, nie wiem, czego oni chcą od tego starego?" Bywało, że i płakał nawet, jak małe dziecko.

Przełożeni, nie mogąc tego zrozumieć, odbierali mu za karę obowiązek kwestarza i nie pozwolili wychodzić za furtę klasztorną. Idzi przyjmował to bardzo pokornie i zabierał się do swoich nowych czynności, ale niebawem trzeba go było na nowo upoważniać do zbierania jałmużny. Skoro bowiem ludność Neapolu nie widziała go przez kilka dni i handlujący nie mogli go poprosić o błogosławieństwo, przychodzili do gwardjana, błagając, aby im oddał Idziego. Przełożony zgadzał się na to dla dobra mieszkańców, ale braciszkowi polecał być uważniejszym. Idzi obiecywał uroczyście poprawę, niestety jednak, gdy wracał do klasztoru, odzież jego była w takim samym stanie, jak dawniej. Bronił się on, co prawda, lecz to niewiele pomogło. Jeśli przyłapał kogo skradającego się z nożyczkami, próbował się gniewać, podnosił nawet kij z miną surową, udając, że uderzy, ale z wiekiem zmysł jego słuchu tępiał, więc nie dosłyszał często, jak się do niego zbliżano. Zresztą był tak skupiony, że nie wiedział, co się wkoło niego działo, i spostrzegał kradzież, jak już była nie do naprawienia. Wówczas, ścigając wzrokiem uchodzącego, wołał za nim: „Do czego ci posłuży ten kawałek, któryś uciął? Z pewnością wytrzesz nim błoto ze swoich butów".

Nie pragnął on żadnych oznak czci i szacunku, a, mając się za ostatniego z ludzi, za wielkiego grzesznika, jak to sam często powtarzał, wszelką taką oznakę przyjmował za gorzkie szyderstwo. Jego zdaniem, lud był w błędzie co do jego osoby i chciałby go był rozczarować, lecz że wszystko, co czynił w tym celu, sprawiało wręcz przeciwny skutek, milczał i uzbrajał się w cierpliwość do dźwigania tego ciężkiego krzyża.[1])

Bł. Leopold z Gaike, Obserwant (1815 r.)

Im więcej czci okazywano temu słudze Bożemu, tem on bardziej lękał się siebie. Postępując z każdym dniem w doskonałości i w tym samym stosunku w poznaniu swojej nędzy, uwierzył, iż jest najgorszym z ludzi, niegodnym oglądania światła dziennego, a to, że ziemia go nosiła, przypisywał cudownej cierpliwości Boga. Najniższe prace w klasztorze, jak zamiatanie sypialni i mycie naczyń, były to ulubione jego zajęcia. Często nawet, wziąwszy sakwy, chodził żebrać i to będąc przełożonym; podobnież trzy razy w tygodniu oskarżał się z win zakonnych wobec całego zgromadzenia, a pokutę i naganę przyjmował z wielką pokorą. Wracając z misji, klękał przy furcie klasztoru i prosił towarzyszących mu zakonników, aby mu darowali wszystko, co względem nich zawinił, oraz złe przykłady, jakie im dawał, żądając za to jakiej wielkiej pokuty. Jeśli na misjach zdarzyło mu się spotkać zatwardziałego grzesznika, który uparcie trwał przy swojem, Leopold ten upór jego przypisywał własnym błędom, gdy przeciwnie, wszystką chwałę z nawróceń odnosił do Pana Boga. Mówił wtedy, że Bóg dlatego posługuje się takiem nędznem jak on narzędziem, aby nam dać jeszcze więcej dowodów swej nieskończonej dobroci. Dla tej samej racji nie chciał słuchać, gdy mu dziękowano za trudy poniesione na misjach, ale upominał wszystkich, aby dzięki złożyli Bogu, Dawcy wszelkich łask, on bowiem jest tylko wielkim grzesznikiem, niegodnym nosić na sobie habit Patryarchy Assyskiego[1]).

Cz. Franciszek Ghisone, Obserwant (1832 r.).

Ojczyzną tego sługi Bożego była wyspa Korsyka, obfitująca w Świętych. Urodzony w r. 1777 w Ghisone, nauki otrzymał u Braci Mniejszych Obserwantów, ale długo nie mógł, choć tego pragnął, wstąpić do ich klasztoru, dopiero po rewolucji francuskiej zapukał do braci w Civitella. Przełożeni chcieli, by został kapłanem, on wszakże przez pokorę uprosił sobie u Pana Boga nieuleczalną chorobę, która na zawsze zamknęła mu dostęp do wyższych święceń. Odtąd przez 22 lata swego życia zakonnego, Franciszek ćwiczył się w głębokiem zaparciu i w najsurowszych umartwieniach, aż wreszcie, syt prac i zasług, oddał ducha swego Bogu dnia 25 stycznia 1832 r., mając lat 54. Chorobę, z której umarł, nazywał swoją umiłowaną. S. Kongregacja Obrzędów zajmuje się beatyfikacją czcigodnego Obserwanta[2]).

Cz. Wincenty Pallotti, 3 Zak. (1850 r.).

Dusza Wincentego była jakby przybytkiem najgłębszej pokory. Ćwiczył się on w niej przez

[1]) Vie du V. Frère Egidio de S. Joseph par l'abbé Olivier, ch. VIII.

[1]) Vie du B. Léopold de Gaiche par le R. P. Marie-Antoine de Vicence. [2]) Almanach séraphique le 25 janvier.

całe swoje życie, począwszy od dzieciństwa. Piotr Paweł Pallotti, jego ojciec, opowiadał, że Wincenty nigdy się nie pochwalił, nigdy nie powiedział, jak go profesorowie wyróżniali za pilność w naukach, o czem on sam dowiadywał się dopiero od jego kolegów. W dzienniku swojem sługa Boży nakreślił te słowa: „Powinienem się rumienić i wstydzić wobec wszystkich Aniołów i wobec świata całego, że za tyle niezliczonych dobrodziejstw Bożych odpłaciłem Mu się złością“. Uważał się za ostatniego członka Kongregacji Misji, którą sam założył i własnoręcznym listem błagał towarzyszów, aby po śmierci, chowając go według przepisów istniejących dla kapłana, raczyli jednak pogrzebać go na cmentarzu przeznaczonym dla złoczyńców. Pewnego dnia, gdy ksiądz Misier przestrzegł sługę Bożego, że robi małą pomyłkę w czasie Mszy św., Wincenty natychmiast rzucił mu się do nóg, prosząc o przebaczenie, że go zgorszył swoją nieuwagą. Jako fundator i przełożony generalny Kongregacji, wychodząc z domu, klękał i prosił o błogosławieństwo rektora, tudzież wyznawał razem z innymi swoje winy i odprawiał naznaczoną za nie pokutę [1]).

Bł. Jan Marja Vianney, 3 Zak. (1856 r.).

Błogosławiony Vianney umiał z anielską pogodą stawić czoło wszystkim przeciwnościom; nawet moralne przykrości nie mogły nigdy zakłócić jego spokoju, choć nieraz boleśnie raniono jego serce. Główną przyczyną utrapień Błogosławionego była zawiść innych kapłanów, którzy nie dorównywali mu w cnotach, a gniewali się, że ten skromny wiejski pleban cieszy się tak wielkiem uznaniem, iż ludzie przybywają do Ars zdaleka, aby zasięgnąć jego rady lub otrzymać rozgrzeszenie. Z początku starano się dokuczać mu przy każdej sposobności złośliwemi docinkami, potem znaleźli się tak zuchwali nieprzyjaciele, że odważyli się doradzać Świętemu, aby dobrowolnie usunął się z zajmowanego stanowiska, którego nie jest godzien. Razu pewnego przysłano mu list następującej treści: „Kto tak mało, jak ty, posiada wiadomości teologicznych, nie powinien nigdy zasiadać w konfesjonale“. Złośliwe te słowa były napisane albo w chęci dokuczenia Błogosławionemu, albo dla wypróbowania jego pokory, o której bardzo szeroko mówiono i uwielbiano ją dokoła. Otrzymawszy taki list, ksiądz Vianney nie uniósł się wcale gniewem. Przeciwnie, najszczersza radość zabłysła na jego twarzy i natychmiast zasiadł do napisania odpowiedzi, która brzmiała: „Drogi i Czcigodny bracie! Jakże cię miłuję nieskończenie i jak bardzo obowiązany ci jestem za taki trafny sąd o mnie! Widzę, że jesteś miłosierny, ponieważ cię moja dusza obchodzi; proszę cię więc, wyjednaj mi łaskę, o którą błagam oddawna, bym mógł opuścić stanowisko, tak nieodpowiednie mojemu uzdolnieniu, by gdzieś w dalekim zakątku ziemi, pokutą i łzami zmyć grzechy mego żywota“. W tym czynie prawdziwej pokory, pochodzącej z poczucia nędzy swojej, maluje się anielska słodycz błogosławionego kapłana, tak dalekiego od wszelkiej zarozumiałości i pychy. To też list ów na nieprzyjaznym i zawistnym koledze uczynił piorunujące wrażenie. Wkrótce potem błagał proboszcza z Ars na klęczkach o darowanie winy, bo zrozumiał całą jego wyższość i doskonałość. [1])

Marja od Jezusa, 3 Zak. reg. (1899 r.). Franciszkanka od Niepokalanego Pocz. N. M. P

Ta świątobliwa dziewica od najmłodszych lat pogrążała się w pokorze. Łaska Pańska i chrześcijańskie wychowanie wtajemniczały ją w początki tej cnoty, a dobrowolne upokorzenia i wewnętrzne wskazówki, pozwoliły jej osiągnąć najwyższe jej stopnie. Nicestwo swoje, jakie z łaski Bożej mocno odczuwała, było dla niej pewną obroną przeciw pokusom. Zagłębiała się w niem, kiedy szatan pociągał ją na drogę wątpliwości i chwiejności w rzeczach wiary, a zwłaszcza kiedy obraz występku ze swemi brudnemi nagabaniami stawał przed jej przerażonym wzrokiem. Pokorna w mowie, bardzo rzadko o sobie samej opowiadała, chyba tylko tak, jak to czynią Święci, — ogólnikowo, że jest grzesznicą. Na rekreacjach zaś z nowicjuszkami mówiła im o szczególniejszych dobrodziejstwach, jakich jej Bóg udzielił, ale w taki sposób, iż najroztropniejsze i najmądrzejsze nie mogły się domyśleć, że to chodziło o nią samą. Pozatem nigdy i nikt nie słyszał od świątobliwej Franciszkanki, jakie odbierała światło na rozmyślaniu, na dziękczynieniu, dopiero na kilka lat przed jej śmiercią Biskup Marpot nakazał jej spisać te wszystkie łaski. Marja od Jezusa spełniła rozkaz władzy kościelnej, ale z jaką prostotą, z jaką zwięzłością! Niema tam ani jednego słowa, któreby było próżne, wyszukane, żadnego zdania obrachowanego na efekt. Jedne i te same słowa powtarzają się po trzy lub cztery razy na kilku wierszach; a styl i dźwięczność nic ją nie obchodzi. I owszem, rada z tego bardzo, że pomyślą, iż

[1]) Les Saints de Rome du XIX siècle par J. Belloc.

[1]) Vie du B. Jean-Marie Vianney, curé d'Ars.

nie ma żadnego wykształcenia, pokora jej może na tem tylko skorzystać.

Przeciwnie zaś, szeroko rozpisuje się o swoich wadach, pokusach, opieraniu się łasce Bożej, braku ufności w nieskończoną dobroć Boga, tchórzostwie w poświęceniu się, słowem o wszystkiem, co mogło ją poniżyć, wystawić na wzgardę i okazać taką, jaką, według swego przekonania, była w rzeczywistości.

Jej zamiłowanie uległości.

Przejęta głęboką pokorą, Marja od Jezusa, o ile to było możebne, unikała urzędów i zaszczytów. Ileż razy wszystko się tak składało, że mogła była zająć pierwsze miejsce i stać się przełożoną klasztoru, a nawet fundatorką nowej kongregacji; mogła była nadać szczęśliwy i zbawienny w skutkach kierunek zgromadzeniu! O wzięcie się do tego prosiły ją zarówno siostry, jak i władza duchowna, lecz Marja od Jezusa miała tyle hartu woli, tak pragnęła być zawsze zależną, że cofnęła się, zostawiając miejsce dla innych, według niej godniejszych do sprawowania przełożeństwa. Gdy zaś została zmuszoną do rządzenia klasztorem w Troyes, zaledwie po trzech tygodniach, i to na rozkaz O. Dyrektora wzięła się do obowiązku, od którego chciała się koniecznie uwolnić. W Macornay użyła środków, że o trzy lata opóźniono jej wybór na przełożoną generalną. A zostawszy nią po upływie tego czasu i sprawując ten urząd przez dziewięć lat, bo dwa razy była na nim potwierdzaną, pełniła go z posłuszeństwa tylko dlatego, że Pan Jezus wyraźnie jej to objawił, iż taka jest Jego wola, i jednocześnie pocieszył, iż nie ona, ale On sam będzie rządcą zgromadzenia. Natomiast nieopisana radość napełniła jej serce, gdy otrzymała objawienie, że wkrótce przestanie rządzić i zejdzie do rzędu sióstr podwładnych, zostając tak aż do śmierci.

Oczerniana, spotwarzana przez wyższą władzę zakonną, nigdy ani jednem słówkiem się nie tłumaczyła i to nawet wtedy, kiedy za karę odwoływano ją z miejsca, gdzie czyniła wiele dobrego. A gdy później prawda wyszła na jaw, i O. Dyrektor pytał się, dlaczego nie rzekła nic na swoją obronę, „Bo wtedy, odpowiedziała z pokorą, Wielebny Ojciec nie byłby mi uwierzył, więc czekałam sądu Bożego". Czyli innemi słowy: „Czułam się szczęśliwą, że mogę przez cały rok znosić posądzania krzywdzące od tych osób, które uważałam za swoje przyjaciółki". Hasłem jej życia było: być nieznaną i za nic miana.[1])

[1]) Mére Marie de Jésus Franciscaine de l'Immaculée Conception par le R. P. Damase de Loisey.

Kapucyni.

Hieronim z Montepulciano (1546 r.).

Jeden z pierwszych braci zakonu Kapucynów, Hieronim z Montepulciano, lękał się wszelkiego wywyższenia, jak powietrza. Kiedy przełożeni chcieli mu zlecić obowiązek kaznodziejstwa, gdyż gruntownie znał Pismo Święte, wyprosił się od tego, mówiąc, że czas na to jeszcze nie nadszedł, bo gdy dotąd sobie samemu nie nauczył się rozkazywać, jakżeby śmiał przewodzić innym. Dodawał, że w takim razie możnaby do niego zastosować słowa Chrystusa Pana: „Obłudniku, wyrzuć pierwej tram z oka twego, a tedy przejrzysz, abyś wyrzucił źdźbło z oka brata twego"[1]).

Piotr z Mazzara (1550 r.).

Wezwany na wikarego prowincji, zostawił po sobie wzór nadzwyczajnej pokory. Gdy bowiem, jako starszy, zajmował pierwsze miejsce w refektarzu i przyszła mu raz z tego powodu próżna myśl do głowy, zerwał się natychmiast z siedzenia i, rzuciwszy się wobec wszystkich na ziemię, za przykładem Serafickiego Patryarchy głośno myśl swoją wypowiedział i posłuszeństwem zmusił podwładnych, że mu zdeptali usta[2]).

Jan Chrzciciel z Fawencji (1562 r.)

Na świecie Gallo Castello pochodził ze szlachetnego rodu, ale od wczesnej młodości objawiał charakter nieujarzmiony. Chociaż nauki przychodziły mu bardzo łatwo i nie potrzebował nad niemi ślęczyć, rzucił książki i wstąpił do wojska, w którem, odznaczywszy się niezwykłą odwagą, otrzymał stopień generała. Wszakże okrutne jego postępowanie tak oburzyło żołnierzy, że postanowili go uśmiercić. Wtedy Gallo, ratując się, zebrał szajkę łotrów i na ich czele palił, grabił okoliczne wsie i miasta i mordował ludzi. Pewnego roku przybył on do Florencji, gdzie w tym czasie miał wielkopostne kazania słynny mówca kapucyński, O. Bernardyn ze Sjenny. Snać zbrodnie nie zagłuszyły jeszcze w jego sercu wyrzutów sumienia, i coś się w niem dobrego odzywało, bo poszedł usłyszeć kaznodzieję. Tutaj czekała nań łaska Pańska. Słowa wypowiedziane na ambonie wzruszyły nieszczęśliwego; przejęty niemi, odprawił spowiedź generalną przed O. Bernardynem, lecz na tem nie poprzestał. Aby się zabezpieczyć od powrotu do da-

[1]) Kroniki Kapucyńskie Bowerjusza. T. I. r. 1546.
[2]) Tamże, r. 1550.

wnych występków, poprosił misjonarza, który był prowincjałem bolońskim, o przyjęcie go do klasztoru. Zakonnik, nie chcąc zrazić Galla, wystawił na próbę jego powołanie. Kazał mu nieść za sobą worek z książkami aż do Fawencji, tam bowiem był jego klasztor. Gallo poddał się temu z pokorą i oto były generał wojsk, a później dowódca bandytów szedł za Bernardynem, niosąc na plecach worek z jego księgami. Było to nielada poniżenie, tem bardziej gdy rozważymy, że Fawencja była rodzinnem miastem zbójcy, a miał się w niem pokazać jako tragarz. Ale i tego jeszcze było nie dosyć dla uspokojenia mieszkańców i zakonników. Czyż bowiem nieujarzmiona ta natura nie mogła się znów zerwać i wrócić do dawnego sposobu życia? O. Bernardyn przeto nałożył mu drugą cięższą pokutę, a mianowicie kazał iść przez ulice miasta i głośno prosić o przebaczenie tych wszystkich, których obraził lub skrzywdził. Gallo puścił się natychmiast w drogę, a przechodząc place i ulice z grubym sznurem na szyi, wołał ze skruchą serdeczną, aby mu darowano jego występki. Kilka dni po tej upokarzającej przechadzce został przyjęty do zakonu i otrzymał imię Jana Chrzciciela. Odtąd pędził on życie w postach, bezsennościach, umartwieniu, zwalczając ciało i pokutując za dawne grzechy.

Już zdawało się biednemu zakonnikowi, że opanował miłość własną, gdy następujące wydarzenie wykazało mu, jak ona jeszcze jest silna. Pewnego dnia gwardjan wobec wszystkich braci upomniał go za jakieś małe przestępstwo i ciężką mu zadał pokutę. W biednym winowajcy obudziła się dawna namiętność, krew zawrzała w jego żyłach i cały spłonął od gniewu. Już, już zdawało się, że wybuchnie, gdy naraz żelazną swoją wolą powstrzymał burzę i stłumił wybuch pychy, spełniając nałożone przez gwardjana umartwienie. Lecz z gwałtu, jaki sobie zadał, pękła mu żyła w piersiach. Wtenczas spokojniejszy już poszedł do kościoła i, upadłszy przed krzyżem, wziął w garść strugę krwi z ust jego płynącej i podnosząc ją w górę ku Chrystusowi, wiszącemu na krzyżu, zawołał: „Patrz, o Jezu mój, jaką przykrość znoszę dla miłości Twojej!“ Ale o cudo! krucyfiks się ożywia, odejmuje prawą rękę i dotykając nią boku swego, mówi: „Spojrzyj tylko, bracie Janie, na boleści, które zniosłem na krzyżu dla ciebie“. Po tych słowach ręka wróciła na dawne miejsce. Była to nagroda za odniesiony tryumf nad sobą samym. Jan Chrzciciel własnoręcznie opisał ten szczęśliwy wypadek. „Na dźwięk tych słów dusza moja rozpaliła się żądzą cierpienia dla miłości Bożej; zdawało mi się, że jestem zanurzony w niebieskich rozkoszach; krew uchodzącą ustami uważałem za drobnostkę, chciałbym był wytoczyć ją do ostatka z żył swoich i oddać krew za krew, miłość za miłość Miłości Ukrzyżowanej“. Wskutek tego cudu Jan Chrzciciel podwoił jeszcze swoje posty, umartwienia i modlitwy, gonił za upokorzeniami i szukał ich z chciwością i to aż do ostatniej chwili życia. Umarł ten pokutnik 9 marca 1562 r. z krzyżem w ręku, całując go i oblewając łzami. [1])

Bernard z Medjolanu (1565 r.).

Ten sługa Boży, otrzymawszy wysokie wykształcenie w naukach świeckich i duchownych, w krótkim czasie, za staraniem swego ojca dostał biskupstwo w Brescji. Lecz godność ta przeraziła go; lękając się pychy, by go nie sprowadziła na manowce, prosił Pana Jezusa o światło, co ma uczynić, a natchniony przezeń, wstąpił do Kapucynów na prostego laika; w ten sposób chciał pokonać samego siebie i swoją wyniosłość. W klasztorze uważał się niegodnym towarzystwa braci, słał się im pod nogi, służąc i ustępując pierwszeństwa każdemu, nazywał siebie żarłokiem i marnotrawcą łask Bożych, złoczyńcą i zakałą domu. Jednem słowem nic nigdy nie opuścił, czy to w mowie, czy w postępowaniu, coby go w oczach innych poniżyć mogło [2]).

Hieronim z Forli (1566 r.).

Brat Hieronim dał dowód heroicznej pokory już na samym początku swego powołania. Kiedy bowiem ojciec jego, rozgniewany, że syn wstąpił do Kapucynów, zaczął się mścić na zakonnikach, szkodząc im, gdzie tylko się dało, on, uzyskawszy pozwolenie od Wikarego prowincji i z jego błogosławieństwem, poszedł do ojca i upadł mu do nóg, aby go przejednać i przeprosić. Ojciec za całe powitanie uderzył go w twarz. Nie zmieszało to wszakże Hieronima; klęczał w dalszym ciągu u nóg rodzicielskich, milczącą a uniżoną postawą błagając o miłosierdzie, aż w końcu pokora jego odniosła tryumf. Zmiękczyło się serce ojcowskie, przeprosił go za swoje przyjęcie, ugościł z radością i odtąd stał się najwierniejszym przyjacielem nowego zgromadzenia [3]).

Honorat z Montegranaro, (1569 r.).

Opowiadając pewnego razu słowo Boże w rodzinnej wiosce Montegranaro, Honorat publicznie z ambony prosił wszystkich, aby mu darowali, co dawniej zbłądził, czem ich zgorszył, a zwłaszcza

[1]) Tamże r. 1562. [2]) Tamże r. 1565. [3]) Tamże r. 1567.

niesnaski i niezgodę, którą pomiędzy nimi podtrzymywał. Lecz nie dosyć na tem, bo jeszcze chodził od domu do domu i każdego z osobna przepraszał i błagał o przebaczenie [1]).

S. Feliks z Kantaliczo, (1587 r.).

Wpływ wewnętrznego światła Bożego, rozjaśniający serca ludzkie w stopniu nader nierównym, tak wielkim blaskiem opromienił duszę tego braciszka, że widział jasno całą przepaść własnej swej nędzy i nicości, uważał się za największego pod słońcem grzesznika i pragnął z całego serca, aby wszyscy podzielali to jego zdanie. Nie śmiał on nawet przyznawać sobie tytułu Kapucyna i mianował się zazwyczaj albo sługą z klasztoru Kapucynów, albo też osłem do znoszenia wiktuałów spożywczych, które Opatrzność zsyłała przez niego dla braci. Żadne pochwały, żadne wyrazy uznania nie były w stanie z równowagi go wyprowadzić, zbyt silnie był przekonany o swojej nędzy, aby mu takowe jakąkolwiek przynieść mogły szkodę. Gdy jeden z braci pytał go raz, czy go czasami nie napastuje duch ciemności, odrzekł z prostotą: „Mój braciszku, szatani dręczą i kuszą zazwyczaj ludzi świętych, a nie takich nędznych i oziębłych, jakim ja jestem". Innym znów razem, gdy szedł obarczony naładowanemi torbami, potknął się i upadł na drodze, a nie mogąc się podnieść o własnych siłach, rzekł do swego towarzysza: „Mój poczciwy bracie, gdybyś tak porządnie zaciął biczem tego starego osła, wyleczyłbyś go z lenistwa i niezawodnie wstałby prędzej z upadku". A nie mówił tego w żartach, lecz pod wpływem najgłębszej pokory i z najszczerszem przekonaniem. Wszelkie upomnienia, pokuty i zawstydzenia były mu prawdziwą rozkoszą i bolał tylko nad tem, że były one zbyt łagodne i małe w stosunku do jego urojonych przewinień.

Jak był pokorny w odpowiedziach.

Pewnego razu jeden z prałatów, chcąc doświadczyć pokory Świętego, zatrzymał go na ulicy i rzekł głośno do jego towarzysza: „Ten wasz kwestarz to skończony hipokryta, który wśród ludzi w tym celu tylko pokorną przybiera postawę, aby mógł większą jałmużnę wyłudzić. Dobrze się na tem znamy!" Feliks bez najmniejszego zdziwienia i z najgłębszą pokorą przyjął to, jakby zupełnie należną mu naganę, którą oddawna spodziewał się usłyszeć.

[1]) Tamże r. 1569.

Zdarzyło mu się znowu, iż dwaj rzymscy obywatele, przechodząc raz obok niego na ulicy, tak odezwali się do niego: „Bracie Feliksie, wielka nowina!... słyszeliśmy, że Papież ma cię mianować Kardynałem!"... „Moi zacni panowie, odrzekł Feliks z zupełnym spokojem i prostotą, jakież to niewysłowione szczęście, że podobny wypadek nigdy zdarzyć się nie może! Stokroć wolałbym, aby Papież kazał mnie siec rózgami na rynku rzymskim, niż gdyby tak wielki ciężar włożył na moje barki". Odpowiedź to zaiste godna Świętego i żartownisie mogli z niej wyciągnąć wielką dla siebie naukę, jeżeli kiedykolwiek pokusa próżnej chwały i godności ziemskiej w ich sercach się odezwała.

Jak się usuwał od oznak szacunku.

Towarzysząc nieraz ojcom, gdy ci wychodzili z klasztoru na miasto, usuwał się zawsze, skoro chciano go przywitać, dając tem do poznania, że wobec sług ołtarza wszelkie oznaki czci im tylko oddawać się powinno, a nie zwyczajnemu bratu laikowi. Nigdy też nie pozwolił pocałować się w rękę, mówiąc, że ten zaszczyt należy się tylko kapłanom, piastującym w swem ręku Zbawiciela. Jeśli mu dziękowano za modlitwy, za odzyskane zdrowie lub otrzymanie jakiej łaski, starał się w tej chwili zmienić przedmiot rozmowy, albo przekonać mówiących, że są w błędzie, bo prośba tak nędznego jak on grzesznika nie ma żadnego znaczenia przed Bogiem. Kiedy zaś ludzie przejęci wdzięcznością podnosili z zapałem jego zasługi i cnoty, widać było po wyrazie jego twarzy, że się czuł stokroć więcej upokorzonym, niż gdyby go najcięższa spotkała obelga; spuszczał oczy, i cichym głosem powtarzał tylko te słowa: „Garstka pyłu, moi bracia, garstka pyłu i nic więcej". Natomiast wzgardy i obelgi przyjmował z rozpromienioną twarzą, i jakby nie mógł się niemi nasycić. [1])

S. Serafin z Montegranaro (1604 r.).

Brat Serafin uważał się za ostatniego wśród braci i często powtarzał, że ma to przekonanie, iż oddawna spotkałby go smutny los drzewa niepłodnego, gdyby nie szczególniejsze nad nim miłosierdzie Boskie. „Gdyby, zwykł był mawiać, największy zbrodniarz tyle łask otrzymał od Boga, ile ja ich nieustannie odbieram, byłby już dawno wielkim świętym, ja zaś jestem wielkim grzeszni-

[1]) Żywot Ś. Feliksa przez Rathe.

kiem". Czując doskonale swoją nędzę, radował się z upokorzeń i wesoło przyjmował wszelką naganę. Raz, gdy go przełożony surowo karcił za małe przewinienie, rzekł: „Dziękuję ci, Ojcze, jesteś największym moim przyjacielem, ponieważ chcesz mnie poprawić z wad moich. Jestem prostak i głupiec, zdolny jedynie do jedzenia i spania. Ta odrobina dobrego, które pozornie robię, pomieszana jest z mnóstwem niedoskonałości. Nie oszczędzaj mię przeto, mój Ojcze; lepiej, żebym za moje grzechy na tym, niż na tamtym świecie odpokutował. Karcisz mnie, aby mię uczynić dobrym zakonnikiem, pragnę więc i starać się będę przy pomocy łaski Bożej korzystać z twoich upomnień". [1])

Cz. Jan z Morjenn (1614 r.).

Czcigodny ten Kapucyn miał bardzo nizkie wyobrażenie o sobie samym, uważał się za sługę niepożytecznego i największego grzesznika. „Muszę być, mówił niekiedy, bardzo nędznym, jeśli po tylu latach spędzonych w zakonie i przy tylu środkach do uświęcenia, nic nie postąpiłem w cnocie i zawsze mam te same niedoskonałości i te same grzechy". Nie mógł się też wydziwić, że go przyjęto do klasztoru i codziennie dziękował za to Bogu, jako za największą łaskę. Pokora nie przeszkadzała mu widzieć szczególnych darów, któremi go Bóg obsypywał, lecz te nie wbijały go bynajmniej w pychę. Słysząc, jak bracia mówili między sobą o szacunku, jakim go otaczają zakonnicy i osoby świeckie, odzywał się, że widzi doskonale, jak się ludzie w swoich sądach mylą, skoro okazują cześć temu, który zupełnie na nią nie zasługuje. Według Jana z Maurienne, wszyscy inni profesi, a nawet nowicjusze daleko lepsi byli od niego i wielka była dobroć z ich strony, że chcieli go znosić. Często, położywszy się na podłodze, prosił ich, aby mu deptali usta lub stawiali nogi na nim, to bowiem tylko mu się należy. Uważając się za ostatniego w zgromadzeniu, szczęśliwym się czuł, gdy mógł spełniać najniższe obowiązki, więc chociaż, jako gwardjan, lub definitor, wolny był od nich, biegł pomimo to ciągnąć wodę ze studni, nosić drwa, pomywać naczynia i wdzięczny był braciom konwersom, że chcieli przyjąć jego usługi. [2])

S. Fidelis z Sigmaringen (1622 r.).

Święty Fidelis doszedł do szczytu pokory. Słynny niegdyś adwokat obojga praw i filozofji, doradca książąt, o sobie samym niewiele rozumiał i uważał się za najniesposobniejszego do rządzenia klasztorem. Codzień przy Mszy św. prosił Boga o tę cnotę, mówiąc: „Błagam Cię, Boże mój, abyś mi udzielił łaskawie najdoskonalszej z cnót, t. j. pokory, bym przez nią mógł się stać prawdziwym uczniem Jezusa Chrystusa, najmilszego Syna Twego i abym się uznawał (jak jestem rzeczywiście) za najgorszego ze wszystkich ludzi i abym gardził wszystkiemi zaszczytami świata". Pewnego razu w poufnej rozmowie wyraził się w następujący sposób: „Gdyby mi mój przełożony kazał robić to, co robi najmłodszy i najprostszy nowicjusz, usłuchałbym go z wielką pilnością i byłbym o tyle więcej zadowolony, że zebrałbym wtenczas wielką ilość zasług". Nie wzdragał się nigdy zniżyć do najpodlejszych robót, jak uprawa ogrodu, lub zamiatanie korytarzy. [1])

Augustyn z Antequera (1633 r.).

Potomek starożytnego rodu, Augustyn, ożenił się był bardzo wcześnie z osobą równego mu stanowiska i miał dwóch synów. W owym czasie Kapucyni osiedlali się w Andaluzji, a przybywszy do Antequera, prosili znakomitego Hiszpana, by raczył wybudować im kościół i klasztor. Ale bogacz zawsze się wymawiał. Raz wszakże jeden z braci, spotkawszy się z nim, powiedział doń z serdeczną prostotą: „Proszę cię, panie, wystaw nam dla miłości Bożej kościół i klasztorek, a wiedz, że kiedyś ty i synowie twoi znajdą w nim gościnę i schronienie". Dumnego Hiszpana dotknęły te słowa i bądź że ucierpiała na tem jego miłość własna, bądź że łaska Boża go oświeciła, ale natychmiast wyznaczył miejsce pod budowę i kazał wydać potrzebną sumę pieniędzy. I oto po ukończeniu robót dwaj jego synowie, idąc za głosem powołania, najpierwsi w tem mieście wstąpili do nowego klasztoru. Kroniki mówią, że obaj bracia odznaczyli się gorliwością, cnotami i wysoką nauką. Tymczasem ojciec, który się przekonał o prawdzie słów Kapucyna i wkrótce owdowiał, postanowił naśladować synów i zamknąć się w klasztorze, nie jako dobrodziej zakonu, ale jako prawdziwy jego członek. Przełożeni przyjęli go ze względu na zbudowanie, jakie stąd odniosą wierni, gdy zobaczą byłego pana w ubogich i wytartych szatach serafickich. Otrzymał on imię Augustyna z Antequera, a przeszedłszy wzorowo nowicjat, złożył śluby zakonne, poczem na rozkaz przełożonych wziął się do nauki, teologji, by przyjąć święcenia kapłań-

[1]) S. Seraphin de Montegranaro par M. Berguin.
[2]) Vie du V. Jean de Maurienne par l'abbé Truchet

[1]) Saint Fidèle de Sigmaringen par le R. P. Fidèle.

skie, lecz gdy doszedł do djakonatu, uprosił sobie, by na wzór Seraficiego Ojca, nie iść dalej i poprzestać na tym stopniu, czuł się bowiem niegodnym tej łaski. Jako djakon pomagał więc tylko kapłanom w ich czynnościach, o ile mu jego urząd na to pozwalał, zresztą wiódł życie pracowite, zajęty w ogrodzie, w kuchni, w infirmarji. Umarł śmiercią sprawiedliwych w Xeres r. 1633 [1]).

Diego z Alkala (1633 r.).

Rzadki przykład pokory zostawił po sobie brat Diego, laik. Będąc synem bogatej rodziny hiszpańskiej, znanej nietylko w Alkala, ale na całym półwyspie, otrzymał świetne wychowanie. Skończywszy uniwersytet ze stopniem akademickim, zamiast sięgnąć po należne sobie honory i zaszczyty, popłynął cichaczem do Sycylji, gdzie w ubogiem odzieniu przedstawił się prowincjałowi Kapucynów w Palermo, prosząc o przyjęcie na laika. Roztropny młodzieniec ukrył swoje zdolności i wysoką wiedzę, to też prowincjał ani się domyślił kogo przyjmuje. Otrzymawszy habit, oddał się nizkim posługom, właściwym temu stanowi, a spełniał je tak ochoczo i radośnie, tak starał się wszystkim usłużyć, że ojcowie podziwiali jego cnoty. Pokorny braciszek z rzadką umiejętnością i roztropnością nie zdradził się nigdy ani w obejściu, ani w rozmowie ze swojem wychowaniem i rodziną. Nie było nadeń brata posłuszniejszego i chętniejszego do ciężkiej pracy. I byłby tak umarł, gdyby nie to, że przejezdni Hiszpanie poznali ze zdziwieniem w ubogim kwestarzu swego rodaka i opowiedzieli Ojcom, z jakiej rodziny pochodzi i jak jest uzdolniony. Wiadomość ta wzbudziła w zakonnikach jeszcze większą cześć dla tej niezwykłej pokory, a można śmiało powiedzieć, wyjątkowej w swoim rodzaju. Wkrótce potem brat Diego poszedł po wiekuistą nagrodę [2]).

Antoni z Barcelony (1635 r.).

Na świecie hrabia Bernard di Savallo i di Valmoll, również Hiszpan znakomitego rodu, odebrawszy nauki odpowiednie do swego stanowiska, zwiedził różne kraje, zwłaszcza Włochy, pełne pamiątek religijnych i wspaniałych kościołów. Już wtenczas był tak poważny i umartwiony, że zatrzymując się na noc, ustępował własnego łóżka służącemu, a sam spał na podłodze. Po śmierci ojca zrzekł się wszelkich a obszernych praw, które mu przysługiwały, jako pierworodnemu i został Kapucynem. Krok ten nie przyszedł mu łatwo: musiał zwalczyć opór najbliższych krewnych, a szczególniej matki. Hrabina zapłakiwała się, że syn jej, pan bogatych zamków, będzie cierpiał nędzę i ubóstwo. Aby znajdować się bliżej niego i częściej się z nim widywać, kupiła dom w pobliżu klasztoru, ale nowicjusz przedstawił swojej władzy, jak go rozmowa z matką rozprasza i poprosił, żeby go wysłano gdzieś dalej. Spełniono prośbę zacnego młodzieńca; tam wszakże czekała go inna trudność. Arcybiskup miasta Tarragony, uwielbiając cnoty Antoniego, radził mu, aby poświęcił się Bogu w innym zakonie, zgodniejszym z jego urodzeniem. Na co ten z całą czcią odpowiedział: „Ekscelencjo, szlachectwo krwi wzrasta przez ćwiczenie się w cnotach, a te u Kapucynów napewno jasnym blaskiem promienieją".

Główną jego cnotą była pokora, w niej zakładał on fundament swojej doskonałości. Kiedy więc odzywano się do niego, że zaszczyt zrobił Kapucynom, wstępując do ich zakonu, mówił: „Przeciwnie, zakon ugruntowany na cnotach ewangelicznych nie może nic zyskać od przepychu światowego, a kto zostaje jego członkiem, dostępuje wielkiego zaszczytu. Więc i ja, skorom bez żadnej mojej zasługi został przyjęty do liczby zakonników, chlubić się tylko mogę, że należę do instytucji, która odznacza się taką gorliwością o chwałę Bożą".

Pewnego dnia przyszedł odwiedzić młodego zakonnika szlachcic hiszpański, Franciszek de Villalba, a przejęty dlań głęboką czcią, chciał mu ucałować ręce. Lecz Antoni schylił się natychmiast pokornie do jego stóp, udaremniając tem jego usiłowania. Innym razem brat Antoni, znajdując się w hrabstwie Valmoll, wstąpił do ubogiego wieśniaka, aby spocząć nieco i posilić się. Gdy dowiedziała się o tem hrabina, przybiegła natychmiast z wymówkami, dlaczego nie zaszedł do pałacu. „Nie jestem już bogatym hrabią, ale ubogim Kapucynem, odpowiedział matce, jako więc dla syna Franciszka Świętego odpowiednie są tylko wiejskie chaty biedaków".

Nadewszystko zaś dowiódł on pokory po otrzymaniu kapłaństwa. Kiedy bowiem miał mieć pierwszą Mszę św., zjechało się mnóstwo krewnych, i przyjaciół, pragnących uczcić tę chwilę i złożyć mu życzenia, a matka postanowiła wydać wspaniały obiad. Tymczasem Antoni, aby uniknąć wszelkich hołdów i nie być główną osobą całej uroczystości, odprawił Najświętszą Ofiarę w prywatnej kaplicy klasztornej. Całe jego życie było ustawicznem ćwiczeniem się w pokonywaniu miłości wła-

[1]) Annali dell'Ordine dei Frati Minori Capuccini dal Pelegrino da Forli V. I. [2]) Ibidem.

snej i podmuchów pychy rodowej. A że wiernie o to zabiegał, za krótki czas stał się doskonałym i Pan dał mu rychło wieniec nieśmiertelny. Umarł w Walencji, mając lat 31, a 8 zakonnych.[1])

Ludwik z Altkirch (1644 r.).

Teobald urodził się z zacnych rodziców w r. 1582 i w kwiecie wieku, bo, mając lat 16, czysty i cnotliwy wstąpił do Kapucynów prowincji Szwajcarskiej pod imieniem brata Ludwika z Altkirch. Podczas studjów zadziwiał swojemi zdolnościami i pracowitością, lecz gdy nadszedł czas święceń kapłańskich, wyprosił się od nich, jako niegodny tego zaszczytu. Odtąd życie jego było ciągłą praktyką najgłębszego uniżenia: służył i pomagał braciom laikom przy każdej pracy, nie przebierając, czy była mu miłą, czy wstrętną; owszem, gdy chodziło o coś przykrego, najpierwszy był do niej. Aby wynagrodzić sobie codzienną Najświętszą Ofiarę, której się pozbawił przez usunięcie się od kapłaństwa, pokorny kleryk słuchał i służył do tylu Mszy św., do ilu mu posłuszeństwo pozwalało, bardzo często komunikował, każdego zaś wieczora po wszystkich ćwiczeniach wspólnych odprawiał godzinę adoracji przed Najświętszym Sakramentem. W takiej pokorze i zaparciu samego siebie upłynęło mu lat 40. Zasnął w Panu 11 marca r. 1644. Rzadki ten przykład pokory uczynił brata Ludwika jeszcze podobniejszym do Serafickiego Patryarchy.[2])

Jan Chrzciciel z Este (1644 r.) były książę Modeny.

Alfons III, syn księcia Cezara d'Este i księżnej Wirginji Medicis, rozpoczął swoje życie pod szczęśliwą wróżbą, słabowity bowiem i delikatny, gdy go rodzice ofiarowali Ś. Franciszkowi Serafickiemu, zaraz nabrał sił i zdrowia. I drugi raz jeszcze uprosił mu tenże Święty ocalenie od śmierci. Wychowanie jego oparte było na zasadach Ś. Ewangelji, jak przystało dziecku rodziców chrześcijańskich, to też mały książę od dzieciństwa kochał św. wiarę, z rzadkim umysłem pojmował jej prawdy i w praktyce je stosował. Największą dlań przyjemnością było rozmawiać z kapłanami i zakonnikami, zwłaszcza ze zgromadzenia Kapucynów, do których wyjątkowy czuł pociąg, tak że po kilka dni nawet spędzał w ich klasztorze, śpiewając z nimi Boski Obrządek, modląc się wspólnie i wspólnie jedząc w refektarzu. Wielkie przymioty duszy i ciała Alfonsa czyniły go bardzo miłym dla wszystkich i lud cieszył się, że kiedyś będzie miał tak dobrego monarchę, książęta zaś i Papież Klemens VIII winszowali jego ojcu takiego syna. W 18 roku życia książę ożenił się z Izabelą, córką księcia Sabaudji, osobą niezwykłej urody i cnót, i odtąd oboje razem dążyli do doskonałości. Z wielkiego nabożeństwa ku Serafickiemu Patryarsze dali sobie słowo, że pierwszy ich syn będzie Franciszek, a następni będą mieli to imię jako drugie. Młody małżonek jaśniał wspaniałomyślnością swego charakteru, sprzyjał zakonom, otwierał zakłady dobroczynne i naukowe, jak np. akademję w Reddżo (Reggio), surowo obchodził się z gorszycielami i dawał ze siebie wzór wiernego spełniania przykazań Bożych. Lecz na nieszczęście w trzy lata od ślubu usidlili Alfonsa dworzanie źli i przewrotni, i odtąd zaczął się on opuszczać we wszystkiem, stał się gniewliwym, pysznym i pragnącym zemsty, jednego tylko nie naruszył: wiary małżeńskiej. Księżna Izabela bolała bardzo, patrząc co się dzieje, i gorąco błagała Boga o zlitowanie się nad duszą Alfonsa. Wysłuchał Pan Bóg jej modłów, ale przypłaciła to życiem swoim. Zmartwienie sprawiło, że po urodzeniu dziecięcia ciężko zasłabła i żadne środki lekarskie nie mogły jej uratować. Wtenczas strapiony małżonek zastanowił się nad sobą, a chcąc osłodzić ostatnie chwile ukochanej Izabeli, posłał po kapłana z klasztoru Kapucynów i odprawił szczerą spowiedź. Umierająca, szczęśliwa już i spokojna, pobłogosławiwszy męża i dzieci, przeszła do lepszego życia. Przez miłość ku Ś. Franciszkowi Alfons kazał ją ubrać w habit tercjarski. Po pogrzebie wrócił do dawnych zwyczajów pobożnych, do dzieł miłosiernych i postanowił wyrzec się świata i naśladować w pokorze Króla chwały — Jezusa Chrystusa. Nie mógł jednak na razie wstąpić do Kapucynów, gdyż żył jego ojciec, książę panujący Modeny, a pierworodny syn nie był jeszcze w tym wieku, aby mógł rządzić państwem, gdyby dziadek umarł. Czekał więc na pełnoletność syna, a tymczasem ćwiczył się w cnotach, w modlitwie myślnej, roztoczył opiekę nad biedakami, opuszczonymi, był duszą wszystkiego, co dobre i szlachetne. Nakoniec wybrał się z dworzanami na pielgrzymkę do Assyża, Loretto i na górę Alwernję. Wszyscy szli w szatach piegrzymich. Uszedłszy 30 mil, książę Alfons dostał gwałtownej febry, co zmusiło go zatrzymać się w Rocca di Sestola, skąd, ponieważ choroba nie ustępowała, przeniesiono go do zamku książęcego w Sassuolo. Tu przeleżał trzy miesiące i gdy już czuł się lepiej, nadeszła smutna wiadomość, że książę, jego ojciec, umarł, i że go wzywają, aby objął ster rządów. Było to 7 grudnia

[1]) Ibidem. [2]) Ibidem.

1628 r. Alfons III, aczkolwiek słaby, pojechał do swojej stolicy, ale z mocnem postanowieniem zrzeczenia się tronu na korzyść syna Franciszka, który wkrótce miał być pełnoletnim. Po półrocznych mądrych rządach, w czerwcu 1629 r. wyjawił ten zamiar synowi, a później poprosił prowincjała bolońskiego o przyjęcie do zakonu na laika. Prowincjał, któremu wiadome było powołanie Alfonsa, zgodził się go przyjąć, lecz do liczby kleryków; aby zaś ułatwić mu ten krok i całe dalsze życie, oświadczył, iż wyśle go do prowincji Tyrolskiej. Tak upewniony, książę udał się do Sassuolo, gdzie napisał testament, akt zrzeczenia się i odezwę do poddanych z oznajmieniem, iż będą mieli swego władcę, poczem, udzieliwszy mądrych i zbawiennych rad synowi, odprowadził go kawał drogi ku Modenie. Sam zaś 31 lipca z błogosławieństwem Urbana VIII wyruszył z Sassuolo niby na polowanie z licznym pocztem dworzan. Ujechawszy dwie mile, kazał im wracać do domu, zostawił sobie tylko dwóch i z tymi udał się do Skandjano do klasztoru Kapucynów. Od tego miejsca jechał już w karecie zamkniętej z dwoma zakonnikami, Janem z Sestola i Piotrem z Modeny, zmieniając tylko pojazdy i konie aż do samego Meranu. Tu był nowicjat prowincji Tyrolskiej — tu więc 8-go września w uroczystość Matki Najświętszej po 16-o dniowem przygotowaniu się i próbie były książę otrzymał z rąk prowincjała, O. Sylwestra z Bamberga, habit i pasek franciszkański, wraz z imieniem Jana Chrzciciela z Este. Po tej ceremonji odbyła się zaraz druga. Na mocy breve apostolskiego nowicjusz złożył profesję prostą, ale uprosił sobie łaskę, żeby pomimo to razem z nowicjuszami uczył się praktyk zakonnych i posługiwał w klasztorze. Było wtedy na co patrzeć i co podziwiać. Książę, który liczył już lat 38, stał się małem dziecięciem względem swego mistrza: wyznawał winy, odprawiał pokuty, jadł na podłodze, zamiatał cele, umywał nogi podróżnym, prał swój ubogi habit i spełniał wszelkie pokorne zajęcia.

Pokorę ujawniał on i w dalszem swem życiu, chodząc zawsze pieszo, nocując w klasztorach swego zakonu i nie pozwalając sobie żadnych wygód. Cesarz Ferdynand II, który bardzo poważał O. Jana, często z nim rozmawiał i chodził do jego celi, chciał mu raz dać pieniądze i żywność na drogę z Wiednia do Włoch, lecz ten odmówił przyjęcia i z czterema towarzyszami wędrował pieszo, choć nogi miał poranione od ostrych kamieni. Do stolicy niegdyś swojej wszedł w nocy, aby go nie poznano i nie składano mu hołdów [1]).

[1]) Ibidem.

Hieronim z Medjolanu (1645 r.).

Hieronim z Medjolanu, słynny z pochodzenia, ale jeszcze słynniejszy z cnót, budował współtowarzyszów swoją niezrównaną pokorą, która mu jednała wszystkie serca. Zarząd miasta Medjolanu, widząc jego roztropność i znakomite zdolności w rozwiązywaniu i łagodzeniu trudnych spraw i nieporozumień, jednozgodnie 66-ma głosami obrał go na kaznodzieję przy dworze Filipa IV, króla Hiszpanji. Jednak Hieronim potrafił przedstawić takie powody, że nietylko cofnięto swój obiór, ale jeszcze większym otoczono go szacunkiem. I później, gdy przełożeni chcieli go wynieść na urzędy, tak samo wyprosił się od nich, pragnąc żyć w ukryciu i oddać się jedynie pracy apostolskiej. Wreszcie usunął się od definitorstwa generalnego, ofiarowanego mu przez O. Generała, tłumacząc, że się nie czuje na siłach. Nie uczynił zaś tego dla braku talentów, bo te posiadał, lecz dla ćwiczenia się w cnocie pokory, którą bardzo pragnął posiąść i pielęgnować. Wolny od wszelkich urzędów, przebiegał szczególniej wioski i małe miasteczka, gdzie praca cięższa, ale i owoc obfitszy, i głosił słowo Boże maluczkim i prostaczkom [1]).

Franciszek z Pampeluny (1650 r.).

Kapucyn ten, jakkolwiek braciszek, był chlubą i ozdobą nietylko prowincji Hiszpańskiej, ale całego zakonu. Imię jego ze świata było Tyburcy Redin, baron de Viguezal. Przez ojca i matkę należał do starożytnej familji Crusat, spowinowaconej z najznakomitszemi domami w królestwie Nawarskiem. Mając lat 15, opuścił Hiszpanję i udał się do Medjolanu do wojska, gdzie wkrótce wsławił się przy zdobywaniu Vercelli: on pierwszy bowiem wdrapał się na mur i zajął miasto. Po tem zwycięstwie, uwielbiany przez przyjaciół, otrzymał dowództwo nad kilku szwadronami. Następnie, wróciwszy do ojczyzny, ofiarował swój miecz Filipowi IV, który, podziwiając zapał młodzieńca, udarował go wyższym stopniem i wysłał w ważnej sprawie do Indji Zachodnich, a gdy tę dobrze załatwił, uczynił go rządcą Katalonji i admirałem floty. Na tem stanowisku, pilnując porządku publicznego, broniąc niewinnych i karząc złoczyńców, Tyburcy zyskał sobie ogólny szacunek i miłość ludu. Lecz Pan Bóg chciał go mieć w liczbie swoich. Pewnego razu, gdy gubernator kataloński przybył w interesach swego urzędowania do stolicy Hiszpanji, rozeszła się wieść, iż za miastem biją się mieszczanie

[1]) Ibidem.

Ś. FRANCISZEK KAŻE SIĘ PROWADZIĆ NA POWROZIE.

z rycerstwem. Tyburcy wyruszył natychmiast konno z kilkoma ze swoich dworzan, aby rozpędzić walczących, ale, zaledwie tam stanął, wymierzono mu cios śmiertelny. Przyszedłszy do siebie i dowiedziawszy się, że sztuka lekarska nie może w żaden sposób zatrzymać uchodzącego życia, ślubował Bogu, że jeśli go uratuje, on wzamian za to wstąpi na laika do Kapucynów. I tak się stało. Gdy bowiem nadspodziewanie rana się zabliźniła, nie zdradzając się przed nikim, poszedł do klasztoru w Pampelunie i oświadczył gwardjanowi swój zamiar i ślub jaki był uczynił. Gwardjan próbował odwieść gubernatora od tego kroku, przedstawiając i jego wiek późny, bo liczył już lat 40, i stanowisko, które tak pożytecznie zajmował, i trudności życia klasztornego. „To już rzecz postanowiona i nieodwołalna, odpowiedział Tyburcy, przyrzekłem Panu Bogu, że resztę życia chcę spędzić na Jego służbie, w posłuszeństwie i uniżaniu się dla Jego miłości. Jeśli umiałem rozkazywać, to i słuchać potrafię, a czuję w sobie siłę woli do znoszenia upokorzeń". Wobec tego gwardjan odniósł się do prowincjała z zapytaniem, co ma robić, a gdy nadeszło pozwolenie, wyprawił aspiranta do Tarazony, do konwentu nowicjackiego. Tyburcy udał się tam z jednym tylko zaufanym służącym i stamtąd dopiero uwiadomił swoją matkę i wicekróla Nawarry, któremu oddał swój zarząd, błagając, aby doniósł o wszystkiem królowi i podziękował mu w jego imieniu za łaski i życzliwość. Skoro dowiedziano się w Tarazonie, kto przybył do nowicjatu Kapucynów, sam Biskup zapragnął się o tem przekonać i namawiał byłego gubernatora, żeby chociaż ze względu na rodzinę i na swój dawny urząd został klerykiem, ale bezskutecznie. Tyburcy otrzymał suknię zakonną jako laik i gorliwie pracował nad nabyciem pokory. Matka chciała jeszcze swemi prośbami skłonić wicekróla, aby zabronił synowi jej zamykać się w klasztorze, skoro przynosi pożytek ziemi ojczystej, lecz wicekról znał stały charakter Tyburcego i nie wspomniał mu o tem. Z Madrytu wysłano kurjera do Tarazony, aby sprawdził, czy rzeczywiście gubernator katałoński jest zakonnikiem, poczem król odezwał się: „Uwielbiajmy wolę Bożą; być może, że najwierniejszy mój sługa będzie mi teraz lepiej służył swoim różańcem, aniżeli dawniej mieczem". Przykład jego pociągnął ze sobą kilku znajomych mu młodzieńców.

Brat Franciszek z Pampeluny wiernie ćwiczył się we wszystkich cnotach zakonnych, ale szczególniej w pokorze, do czego pomagał mu bardzo i jego stan laika. Lecz niemało miał w tem przeszkód. Cała Hiszpanja mówiła o słynnym Tyburcym Redin, rządcy Katalonji, a później braciszku zgromadzenia Kapucynów. Gdzie tylko przebywał, tam zaraz wielcy panowie przychodzili go odwiedzić, a gdy szedł z sakwami lub z procesją, ludzie palcem go sobie pokazywali. Innocenty X, dowiedziawszy się co za osobistość wstąpiła do Kapucynów, oświadczył chęć, żeby brat Franciszek przechodził studja duchowne i został kapłanem, obiecując, że w nagrodę jego usług oddanych Kościołowi przyśle mu kardynalski kapelusz: pokorny braciszek uprosił jednak Papieża, aby mu dozwolił żyć w stanie obranym, już miał bowiem czas nasycić się wielkościami światowemi, teraz więc pragnie tylko upokorzeń. Ojciec Święty, szanując to postanowienie zakonnika, nie nastawał dłużej, ale kazał mu zaproponować, czyby nie objął dowództwa nad okrętami papieskiemi, broniącemi od napadu korsarzy tureckich. I od tego wymówił się Franciszek, jako od zajęcia, któreby go narażało na ustawiczne rozproszenie, nie licujące z powołaniem zakonnika surowej reguły, ale oświadczył, iż pragnie bardzo towarzyszyć braciom misjonarzom i służyć im swoją znajomością tamtejszych dróg i obyczajów. Przełożeni chętnie mu na to zezwolili, wyprawiając go z garstką kapłanów do Afryki. W drodze tylko zręczność i odwaga Franciszka ocaliły okręt hiszpański od bitwy ze statkiem holenderskim i od niewoli grożącej im od protestantów. Pokorny naśladowca Ś. Franciszka zasłynął głównie na misjach [1]).

Antoni z Pawji (1690 r.).

Antoni Fornari, pałając miłością ku wierze świętej i Zastępcy Chrystusa, wstąpił do Kawalerów Maltańskich, ale rychło zrozumiał, że wewnątrz siebie ma daleko gorszego nieprzyjaciela, niż Turek. By go zatem pokonać, mężny rycerz złożył miecz i kirys, a przyodział się grubą siermięgą i przepasał ostrym powrozem. W zakonie nie było nadeń gorliwszego pod względem zaparcia się i ochotnego spełniania nizkich posług. Przejęty swoją nędzą, uprosił sobie u władzy zakonnej, aby mógł kwestować; obowiązek ten bowiem dawał mu sposobność do ciągłych upokorzeń. Zmówiwszy więc z braćmi pacierze, po odprawieniu Najświętszej Ofiary, wychodził z sakwami na plecach do wsi okolicznych i żebrał dla zgromadzenia. Ileż trudów przytem musiał ponosić, ile niewygód, ile przykrości, jeżeli zważymy, że do śmierci zostawał na tym urzędzie, a umarł, mając lat 80! Jeśli go noc gdzie zaskoczyła, nie wstąpił nigdy do domu za-

[1]) Ibid. V. II.

możnego, gdzieby miał większe uznanie i lepszy posiłek, ale do najuboższej chaty. Wróciwszy zaś do klasztoru, biegł odprawić swoje modlitwy, a potem nie siadał z założonemi rękoma, lecz pomagał laikom. [1])

Hilary z Palermo (1701 r.).

Braciszek ten był wzorem rzadkiej pokory. Czując w sobie wielkie pragnienie do zatapiania się w rzeczach Bożych, nie chciał jednak, aby w klasztorze wiedziano o tem jego upodobaniu, żeby przez to nie uchodził za doskonałego i nie słyszał pochwał. Modlitwa bowiem tak go zapalała, że zapominał o świecie, o ludziach, wpadał w zachwyt. Aby więc nie zwracać niczyjej uwagi, po Jutrzni szedł razem z innymi do swojej celi, a kiedy już wszystko ucichło, wracał pocichutku do kościoła i klękał przed Najświętszym Sakramentem, a później przed wizerunkiem Matki Bożej i spokojny, że nikt go nie podpatruje, oddawał się uczuciom swego serca. Ile westchnień, ile słodkich wyrazów i nazw najtkliwszych wyrywało mu się z duszy do ukochanego Jezusa, do Marji, któż to może zliczyć! Serce mu się rozszerzało, płonęło ogniem tak, że nieraz odchodził od zmysłów. I niktby tego nawet nie przypuścił, nie wiedział, gdyby spowiednik braciszka nie wyjaśnił tej tajemnicy po jego śmierci. Kiedy zaś miano dać znak na wstanie, Hilary skradał się do celi i tak samo ze wszystkimi biegł do chóru. Tym sposobem prowadził życie niczem się nazewnątrz nie wyróżniające. Jedno tylko zakonników w nim dziwiło. Na kilka lat przed śmiercią wskutek nieszczęśliwego upadku złamał sobie kość w biodrze i odtąd nie mógł inaczej chodzić, tylko o kiju. Ale kiedy należało pójść do kościoła, szedł tak lekko i swobodnie, prawie nie używając swej podpory, że zdawało się, iż go aniołowie niosą. Tak samo lekko klękał u stóp Najświętszego Sakramentu. Pomimo wszakże ukrywania się z miłością ku Jezusowi-Hostji, wydawała się ona w całej jego postawie. [2])

Hieronim z Korleonu (1717 r.)

Czcigodny braciszek od nowicjatu przyzwyczaił się mało cenić samego siebie. Uważał się za nicość, za pozbawionego wszelkiego dobra, wszelkiej zalety i za największego grzesznika, godnego, aby nim wszyscy pogardzali. Z pokory niewiele mówił o sobie, wolał milczeć i nie zwracać niczyjej uwagi. Jeśli unoszono się nad jego cudami, odpowiadał: „To nie ja, to Pan Bóg sprawia te rzeczy; oddajcież przeto całą chwałę Bogu, który to czyni dla naszego dobra". Nigdy nie słyszano, aby się kiedy chwalił. „Z czegoby taki niegodziwiec, jak ja, mógł się pysznić?" powiedział razu pewnego. „Pokusy tego rodzaju możliwe są u tych, co, mając pewien stopień cnoty, mogą się na czemś rzeczywistem opierać, aby powziąć o sobie dobre wyobrażenie, ale ja, co tylko błędy i występki posiadam, na jakież wywyższenie mógłbym liczyć!"

A nie poprzestając na tem obronnem stanowisku, szedł jeszcze naprzeciw upokorzeniom i wywoływał takowe. Im więcej ludzie go czcili, tem on też więcej starał się ściągnąć na siebie zniewag, czynił zaś to z gorliwością, którą niejeden nazwałby szaleństwem, tak mu chodziło, aby miano o nim wręcz przeciwne wyobrażenie. Wielcy tego świata ubiegali się jak o największą łaskę, żeby brat Hieronim raczył zasiąść do ich stołu, a wtedy zakonnik, bardzo zwykle umartwiony i wstrzemięźliwy, udawał chciwość i żarłoczność, nielicującą z jego stanem. Socjusze nieraz mu wyrzucali, że wybiera najsmaczniejsze kawałki, że jest zmysłowym. Tego samego zdania było kilka osób świeckich, patrzących na jego zachowanie się. Pokorny kwestarz nie zbijał ich, pozwalał myśleć i mówić o sobie, co im się podobało; w tym jednak czasie, gdy go podejrzewano o niewstrzemięźliwość, on, nie zwracając niczyjej uwagi, potrafił się umartwiać przy najwykwintniejszych stołach i wyjść z domu zupełnie głodnym.

Cieszył się, ilekroć się z niego naśmiewano, szydzono jak z warjata. Przez długi czas sami zakonnicy mieli o nim dwojakie zdanie: jedni, bliżej go znający, czuli dlań szacunek, drudzy obwiniali go o obłudę. Hieronim rzadko kiedy się bronił, odpowiadając tylko przełożonym, gdy ci go pytali. Najczęściej jednak milczeniem zbywał te napaści zazdrosnych, kontent, że czynił wolę Bożą i pracował na Jego chwałę.

Jak praktykował cnotę pokory.

Następujący przykład doskonale wykazuje, jak Hieronim pojmował cnotę pokory i jak ją w czyn wprowadzał. Książę Osseda, wicekról Sycylji, uwielbiając świętość braciszka, chciał go często mieć w swoim pałacu, kiedy więc wyjeżdżał do Messyny, za pozwoleniem gwardjana zabierał go ze sobą. Braciszek mieszkał tam w klasztorze, a tylko trzy razy na tydzień przychodził do księcia na obiad. Ludność mesyńska patrzyła nań, jak na Świętego i cisnęła się doń gwałtem, żądając cudów. Nieraz zdarzało się, że pobożny tłum o mało

[1]) Ibidem, V. III. [2]) Ibidem V. IV.

nie zadusił brata Hieronima. Książę więc, by go uchronić od ludzkiej ciekawości, posyłał po niego mały oddział Szwajcarów, którzy towarzyszyli mu z halebardą w ręku. W takich razach braciszek uważał się za więźnia i szedł bardzo upokorzony. Pewnego dnia jednak chciał ściągnąć na siebie pogardę, gdy więc stanęli u wrót pałacu, uciekł prowadzącym go żołnierzom prosto do kuchni. „Czy dobrze mnie dzisiaj przyjmiecie?“ zawołał, wchodząc, i, to rzekłszy, zaczął odkrywać rondle, napawać się wonią potraw i smakować, jakby to wszystko miał już w ustach. Następnie poprosił o zupę z wina, nie może bowiem dłużej czekać, tak mu się chce jeść“.

W tym dniu, oprócz zwykłych ochmistrzów kuchni królewskiej, znajdowało się tam kilku paziów bardzo zbytnych. Na widok brata Hieronima tak nieumartwionego, wybuchnęli śmiechem. A jeden z nich, chcąc z niego zadrwić, wziął kosztowny puchar kryształowy, z którego zwykle pił książę i, napełniwszy go po brzegi, trącił się z Hieronimem, mówiąc: „Za zdrowie gościa naszego!“ Ale dowcipniś źle wymiarkował swój ruch, szklanica wypadła mu na posadzkę i rozprysnęła się na drobne kawałki. Paź w jednej chwili posmutniał, obecni zmieszali się, a wielki ochmistrz myślał, jak się wytłumaczy księciu. Wówczas Hieronim, litując się nad tym, co chciał z niego zażartować, rozkazał, aby zebrano najmniejsze nawet okruszyny kubka i położono je na stole. Gdy wszystko to uczynili, ukląkł, wyciągnął ręce nad kawałeczkami i odmówił z wielką pobożnością Zdrowaś Marja. I oto przed oczyma obecnych stanął puhar cały, nietknięty. „Cud, cud!“ zawołali wszyscy i puścili się za paziem winowajcą, który niósł w tryumfie naprawiony kubek do wicekróla, aby mu opowiedzieć o tem zdarzeniu. Książę wysłuchał ich opowiadania, a wziąwszy do rąk swoich cudowny puchar, ze czcią go ucałował. Potem kazał go oprawić w złoto i drogie kamienie i posłał królowi katolickiemu, Karolowi IV, swemu panu. Monarcha zaś hiszpański przez cześć dla brata Hieronima, ozdobił nim swój skarbiec.

Jak znosił upokorzenie od towarzyszów.

Brat Hieronim celował w przyjmowaniu upokorzeń nietylko od starszych, ale od równych sobie lub niższych, od osób świeckich, a nadewszystko od tych, którym dobrze czynił. Pewnego dnia spotkał go jeden dobrodziej klasztoru i poprosił o trochę kwiatów z ogrodu. „Zaraz panu dobrodziejowi naszemu przyniosę“, odrzekł kwestarz i to mówiąc, wrócił się i wziął pozwolenie od gwardjana, aby mógł dać trochę kwiatów. Brata ogrodnika nie było, sam więc zaczął zrywać, ale jeszcze nie skończył swej roboty, a tu zjawia się skądś brat ogrodnik i obsypuje go obelżywemi słowami. „A ty obłudniku, woła z gniewem, znam ja cię doskonale, udajesz pobożność i czynisz mniemane cuda, aby ludzie biegli za tobą i wysławiali jak Świętego. Zamiast żyć, jak prawdziwy Kapucyn, chodzisz do bogaczów, do książąt, jadasz smakołyki i nie stosujesz się do niczego z wielkiem zgorszeniem dobrych braci, a nawet osób świeckich“. Podczas gdy wymysły te sypały się na Hieronima, on ukląkł i z żalem i skruchą przyjął je, jako całkiem słuszne, następnie podziękował bratu za jego miłość i rzekł: „A teraz, kochany bracie, pozwól mi zanieść te kwiaty dobrodziejowi, który o nie prosił“. — „Nie, nie pozwolę, odparł z większą jeszcze złością brat ogrodnik; chce ci się świadczyć miłość bliźniego cudzym kosztem, bo sam nie robisz nic w ogrodzie i nie wiesz, co to za mozolna praca. Nie jesteś godzien nosić na sobie świętego habitu“. I to mówiąc, wyrwał mu kwiaty z rąk. Na hałas ten zbiegli się bracia i zobaczyli kwestarza klęczącego przed ogrodnikiem z rękami wyciągnionemi do pocałunku pokoju i zgody. Wreszcie ogrodnik opamiętał się, ochłonął i darował Hieronimowi jego winę, a uściskawszy go, dał mu tyle kwiatów, ile tylko chciał dla owego dobrodzieja. W taki sposób świątobliwy braciszek zwyciężył swoją pokorą i wszystkim dał zbudowanie.

Inny wypadek.

Hieronim z Korleonu przez całe swoje życie zakonne kwestował; pomimo późnego wieku szedł codzień z sakwami i prosił o jałmużnę, lecz chociaż gorliwość jego była zawsze ta sama, siły jednak często mu nie dopisywały. Pewnego skwarnego dnia zszedł on w dół miasta Palermo i zapóźnił się tak, że, zmęczony chodzeniem po nierównej górzystej drodze, nie mógłby był wrócić na czas do swego klasztoru. Szczęściem, że Kapucyni mieli tam drugi dom — infirmarję — wyłącznie dla chorych braci z całej prowincji Sycylijskiej. Hieronima znano tam doskonale, więc go też przyjęto. Zaraz po swojem przyjściu oznajmił on bratu kucharzowi, że będzie tu do jutra i że pragnąłby dostać kolację, jaką mają chorzy, to jest trochę mięsa i zupę. Lecz brat kucharz, czy to był źle usposobiony, czy też nie miał z czego szafować, dość że odmówił mu lepszego posiłku. Gdy zadzwoniono na kolację, Hieronim poszedł ze wszystkimi zdrowymi, gdzie jedli chleb tylko i sałatę z solą. Wtem do kuchni infirmarskiej wpadł kot

i wziąwszy w zęby kawałek mięsa pieczonego, które kucharz zostawił dla jednego z chorych, przyniósł go do refektarza i, wskoczywszy na stół, położył na serwetkę dobrego braciszka, a pogłaskawszy go łapką i ogonem, wybiegł prędko, lękając się kary. Wszyscy bracia i gwardjan wybuchnęli w śmiech, Hieronim zaś podziękował Bogu i zjadł porcję, którą mu Opatrzność Boska zesłała, na zawstydzenie ostrego brata.

Pokora w znoszeniu groźnych posądzań.

Ludność miasta Palermo, zawsze łatwa do rozruchów, zaczęła się raz burzyć przeciw Hiszpanom, ówczesnym władcom Sycylji. Tymczasem braciszek kapucyński, jak zwykle, wychodził na miasto, rozmawiał ze wszystkimi, a słuchając skarg i pogróżek uciśnionego ludu, uspokajał go słodkiemi słowy. Skorzystali z tego źli ludzie, obmawiając świątobliwego brata przed namiestnikiem, że to on pobudza mieszkańców do jawnego buntu, a nawet że ułożył spisek na jego osobę. Wicekról był niedawno w Sycylji i nie znał Hieronima, zmieszany zaś wielce tą wiadomością, uwierzył wszystkiemu. Posłał więc natychmiast rozporządzenie do władzy, aby Hieronima zaaresztowała i torturami wymogła nań, by się przyznał do zbrodni, a potem skazała na powieszenie. Wszystko to miało być jak najprędzej dokonane.

Sędzia, znający dobrze Hieronima, wiedział, że nie był on zdolny do takiego czynu, a nie chcąc brać na swoją odpowiedzialność tej sprawy, udał się sam do namiestnika, oświadczył mu, co o tem myśli i wyprosił kilka dni zwłoki na przeprowadzenie ścisłego śledztwa. Pomimo jednak, że całą tę sprawę trzymano w wielkiej tajemnicy, przyjaciele Kapucynów dowiedzieli się o grożącem braciszkowi niebezpieczeństwie i ostrzegli go. Każdy dawał mu jakieś rady, litował się nad jego losem, a on, jakby to nie o niego chodziło, robił swoje, cichy zawsze i spokojny. „Jestem w ręku Boga“, odpowiadał niektórym, „i nic złego bez Jego woli nie może mnie spotkać, więc się nie trapię. Zresztą, jako wielki nędznik, sto razy zasłużyłem na szubienicę, cokolwiek przeto mnie dotknie, będzie to zawsze zbyt łagodna sprawiedliwość.“ Nie opuścił Pan Bóg swego sługi. Sędziowie odkryli fałszywe świadectwo i Hieronim uwolnił się się od posądzenia. Odtąd wicekról, przekonany o jego świętości, żywił dlań jak największy szacunek, z czego braciszek nie omieszkał zaraz skorzystać, prosząc o darowanie kary swemu oskarżycielowi. [1])

[1]) Frère Jerôme de Corléone. . ut supra.

Ś. Weronika Dżuljani (1727 r.).

Pokora była to jedna z dwóch cnót (drugą posłuszeństwo), na których, jak na podstawie, błogosławiona Kapucynka oparła świętość swoją. „Kto jej nie znał (powiada O. Tessinari, jej wieloletni spowiednik), słuchając jej zwierzeń, byłby ją wziął za wielką grzesznicę“. Taką się też wyznawała przed swemi towarzyszkami i przed nowicjuszkami, kiedy była ich mistrzynią. Opowiadała im swoje małe błędy w dzieciństwie popełnione, przedstawiając je jako występki, a z taką siłą i żalem, że poruszała do płaczu te, co ją słuchały; powtarzała też często: „W piekle jest miejsce dla wszystkich, jest i dla mnie, jeżeli się nie poprawię“. Obdarzona jasnem poznaniem swej niewdzięczności i grzechów, byłaby się chętnie zakopała w sam środek ziemi, aby już więcej nie patrzeć na stworzenia, ani też nie być przez nie widzianą, by ich nie zarażać i nie zatruwać swoją obecnością. Pragnęła, aby ją wszyscy odpędzali od siebie i pogardzali nią tak, jak na to zasługuje. Z tego wyobrażenia o sobie wynikło, że niewzruszała się na żadną pogardę, jaką jej niejeden z różnych przyczyn okazywał. Owszem, tem większą ku takiemu czuła miłość i wdzięczność. Nowicjuszki często zmuszone były na jej rozkaz kopać ją nogami i deptać po ustach. Gdy O. Crivelli, spowiednik, wyrobił pozwolenie u Papieża, aby Weronikę obrano opatką, uważał bowiem, że to będzie z wielkim pożytkiem klasztoru, Święta upadła na kolana i zaczęła błagać Biskupa i całą kapitułę, aby nie stali się przyczyną zagłady całego zgromadzenia, wybierając osobę tak niegodziwą i do niczego niezdatną, zarówno w rzeczach duchownych, jak doczesnych. Ale właśnie ta pokora Weroniki zdecydowała ostatecznie jej wybór, wskazując, że będzie najodpowiedniejszą do tego urzędu, bo nie ufającą sobie, co się też później sprawdziło. Jej to był winien klasztor i wygodniejsze rozszerzenie zabudowań i opatrzenie wodą i wielką świetność obserwancji zakonnej, którą się do dziś dnia odznacza. Ale chociaż była tak sposobną do rządzenia (i to więcej przez światło wyższe, niż przez naturalny rozum), że Biskup Eustachy mówił, iż byłaby w stanie rządzić całym światem i chociaż wszyscy udawali się do niej po radę w rzeczach najtrudniejszych, ona sama jednak nic nie przedsiębrała bez poradzenia się innych. Z głębokiej pokory nigdy nie rozkazywała nawet konwerskom, rzemieślnikom, którzy pracowali w klasztorze, lecz o wszystko prosiła z miłym uśmiechem, wyjąwszy przypadków, kiedy jako przełożona musiała upomnieć jaką uporną siostrę.

Pokora w ukrywaniu cnót i darów.

Daleka od szukania zaszczytnych urzędów, równie daleką była od pragnienia pochwał. Aby doskonalej ukryć swoje nadzwyczajne pokuty i modlitwy, spełniała je w nocy, gdy wszyscy spali, zaś w umartwieniach, które wymagały pomocy drugich osób, wybrała sobie dwie konwerski najprostsze, po których mogła się spodziewać, że jej nie zdradzą. Aby nie poznano, że chodzi bosemi nogami, kładła sandały bez podeszew. Umartwiając się w ciągu nowenny do Bożego Narodzenia przez nieogrzewanie celi, nosiła zawsze garnuszek z popiołem, w którym jednak ognia nie było. Jeszcze skrzętniej umiała taić hojne dary i łaski Boże. Jedno posłuszeństwo mogło ją skłonić do mówienia o nich spowiednikom, a i wtedy czyniła to zawsze w sposób najpokorniejszy, jakby wątpiąc, czy to prawda. „Zdaje mi się, żem widziała, żem zrozumiała“, było to jej wyrażenie. Przepełniona myślą o swojej niegodziwości, brała wszystkie widzenia swoje za sny, za marę. W r. 1703 np. pisała: „Nigdy sobie niedowierzam; zawsze drżę z obawy, czy to czasem nie są sprawki djabelskie; ilekroć przytrafi mi się coś podobnego, pogardzam tem stale, a szczególniej też wszystkiemi widzeniami mojemi. Opowiadam i opisuję to nie dlatego, abym temu wierzyła, lecz aby odkryć, czy w tem niema co szatańskiego, aby ten, co mi miejsce Boga zastępuje, mógł wszystko widzieć“. Te tylko widzenia z chęcią powtarzała, w których ją Pan Bóg napominał za jakie wady i niedoskonałości.

Mając święte blizny na rękach i nogach, a nie mogąc ich zataić przed wzrokiem ludzkim, bo często zmuszona była je pokazywać, wmawiała w siebie, że Pan Bóg niektórych darów swoich udziela nawet i grzesznikom, aby się nawrócili, ale, że, niestety, w niej nie wydają one żadnego owocu. Modliła się ustawicznie do Boga, aby jej odebrał te znaki chwalebne, a przynajmniej owe narośle, które więcej w oczy uderzały i po trzech latach próśb otrzymała tę łaskę, lecz było to już przed samą śmiercią. [1])

Bł. Marja Magdalena (1737 r.).

Błogosławiona Kapucynka czuła się najnędzniejszem stworzeniem na całym świecie i dlatego mawiała nieraz, że te, co ją przyjęły do klasztoru, okazały prawdziwie heroiczną miłość. Każdego więc roku w dzień swoich ślubów, na kolanach z pasem na szyi i w kornej postawie dziękowała matkom w refektarzu za przyjęcie i znoszenie jej towarzystwa. Głos jej wtedy był tak przekonywający, a serdeczny, że niepodobna go było bez łez słuchać. Lecz nie na tem koniec. Marja Magdalena uważała się nietylko za istotę niegodną żyć między oblubienicami Pańskiemi, zasiadać do stołu Króla królów, ale za cuchnącą padlinę; dla jej grzechów wszystkie nieszczęścia na ten świat spadały, ona była ich powodem. W tem przekonaniu modliła się do Boga o smutki, cierpienia, boleści, opuszczenie od wszystkich, żeby nikt nad nią się nie użalił, nie pomógł, nie zlitował; co więcej, aby ją jeszcze za życia wrzucono do grobu, gdzieby żyła z robakami, dopókiby jej nie zjadły. O tę ostatnią łaskę ustawicznie się naprzykrzała Panu Jezusowi, lękając się zmazać swojem ciałem wspólny grób, w którym spoczywały święte i czyste szczątki Jego oblubienic.

Szlachetna córa hrabiów Martinengo, w domu Pańskim zapomniała o świetności swego imienia. Nigdy nikt nie słyszał od niej, aby mówiła o swoich przodkach, znaczeniu, urodzeniu; tytuł Kapucynki był dla niej droższy nad wszystkie świeckie godności. Przełożeni mogli śmiało na nią liczyć, jako na najpokorniejszą z sióstr zakonnych. Kiedy więc mieli której dać upomnienie, a obawiali się, by jej nie obrazić, zwracali się publicznie do Błogosławionej, a ta przyjmowała naganę, jakby na nią rzeczywiście zasłużyła. Szukając wszędzie ostatniego miejsca, znosząc trudy fizyczne i przykrości bez słóweczka skargi, tego tylko jednego żałowała, że nie była wyższego wzrostu, aby się módz więcej nachylać, gdy chodziło o ukłony oddawane przełożonym i siostrom. Całe jej życie klasztorne było nieprzerwanym ciągiem aktów pokory. Wszystkie nauki, miewane do nowicjuszek, miały na celu wyrycie głęboko tej cnoty w ich sercach. Napisała nawet małe dziełko o pokorze, ale co się z niem stało, niewiadomo.

Pokora w posługach domowych.

Klaryski Kapucynki nie mają sióstr konwersek, same więc wszystko robią, pracują w ogrodzie i w kuchni, jedna tylko tercjarka, mieszkająca zewnątrz klasztoru, załatwia ich interesa z osobami świeckiemi. Marja Magdalena, pomimo wysokiego rodu, musiała pomagać kucharce, uczyć się od niej sztuki gotowania, pieczenia chleba, a potem kolejno i sama była kucharką, praczką, ogrodniczką. Kiedy po raz pierwszy przyszła do kuchni jako młoda profeska, klęczący poprosiła obecnych tam sióstr, aby raczyły nie wzgardzić jej pomocą i aby

[1]) Żywot Ś. Weroniki Giuljani.

w niczem jej nie oszczędzały. „Jestem silna, rzekła, i mocno zbudowana, jak tragarz, ciężka praca łatwiej mi idzie, niż delikatna i lekka“. Zakonnice przyjęły to oświadczenie z uśmiechem, ale niedowierzająco, bo i skądże hrabianka wychowana w zbytkach, mająca wiele służby, gotowej na jej skinienie, mogłaby być tak silną. A jednak Marja Magdalena wszystkie najcięższe roboty w klasztorze spełniała jak najlepiej. Chcąc, aby nikt nie wiedział o jej umartwieniach, przez pokorę wyprosiła sobie u Boga, iż ani twarz, ani ręce, ani nogi jej nigdy nie chudły. Nie było to wcale zmniejszenie cierpień, lecz tylko zasłona, ukrywająca przed wzrokiem towarzyszek straszne boleści, jakie sobie zadawała. Lekarze nawet mylili się co do jej zdrowia, tak świeżą miała cerę, a większa część zakonnic miała ją za najsilniejszą i najzdrowszą z całego klasztoru i nie domyślała się nadzwyczajnych umartwień Błogosławionej.[1])

Bł. Kryspin z Witerbu (1750 r.).

Ten sługa Boży od początku życia zakonnego wziął sobie za wzór do naśladowania Ś. Feliksa z Kantaliczo. Podobnie więc jak tamten, gdy nie mógł przejść dla ścisku osób, wołał: „Dajcie miejsce biednemu osłowi, żeby zaniósł swój ciężar braciom“. Mając od wielkiego zimna głębokie bruzdy na piętach, prosił socjusza swego, aby mu zeszył oba brzegi popękanej skóry szydłem i dratwą. Takiego również środka używał Feliks Święty w tych samych okolicznościach. Ponieważ operacja była bolesna, socjusz Błogosławionego spełniał ją bardzo ostrożnie, co widząc braciszek, mówił: „Kochany przyjacielu, nie lękaj się i szyj, jakbyś podkuwał konia“. Nigdy, choćby wśród najgorszej niepogody, Kryspin nie brał nic na głowę, a jeśli go pytano, dlaczego tak chodzi, odpowiadał: „Czyście widzieli kiedy, żeby osioł miał kapelusz?“

Pokora w unikaniu czci ludzkiej.

Sługa Boży nie poprzestawał na uniżaniu się w oczach własnych, lecz pragnął jeszcze, aby nim wszyscy gardzili, jako człowiekiem nędznym i obrzydłym. Nie mógł znieść szacunku, jaki mu okazywano, całując ze czcią jego habit, ucinając potajemnie kawałki z płaszcza na relikwje. Pewnego razu, gdy szedł przez Montefiascone, otoczył go wielki tłum ludzi tak, że nie mógł się wydostać. „Brat Kryspin idzie, brat Kryspin idzie, wołali oni, to wielki sługa Boży i Święty!“ Biedny kwestarz próbował wymknąć się z tłumu i krzyczał na całe gardło: „Ależ, moi drodzy, co za mucha dziś was ugryzła? Idźcie do kościoła, idźcie oddać cześć Bogu, Najświętszej Marji i Świętym, a nie mnie, nędznemu grzesznikowi“. Lecz im on głośniej wołał, tem bardziej tłoczono się dokoła niego, aż w końcu dwóch kapłanów musiało wziąć Kryspina pomiędzy siebie i w ten sposób uprowadzili go do poblizkiego domu. Pyszny mniej wstydziłby się największego upokorzenia, jak on tych nieproszonych hołdów. Chcąc się zabezpieczyć od próżnej chwały, natychmiast odprawił długą dyscyplinę i kilka dni następnych spędził w najsurowszych umartwieniach, wreszcie, opuszczając miasto, wyszedł w nocy, żeby go znów nie spotkało uwielbienie od tłumów. Tym, co polecali się jego modlitwom, zwykł był odpowiadać: „Mylicie się, drodzy moi; jestem grzesznik, wielce niewdzięczny względem dobroci Boskiej“. Ktoś z obecnych zdumiał się na te słowa. „Tak, tak, odrzekł Kryspin z żywością, jestem ostatni niewdzięcznik. Gdyby poganin albo heretyk otrzymał to światło, które mnie zostało udzielone, byłby już wielkim świętym, a ja nie zrobiłem ani kroku na drodze doskonałości“.

Czasami przełożeni radzili się świętego braciszka w różnych doniosłych sprawach. „Cóż ja mogę odpowiedzieć? O. Gwardjan wie, że mam rozum, jak mój brat osioł, a mówię tak mądrze, jak papuga. Niech Ojciec raczej zapyta rady innych zakonników, a nie takiej prostej, jak moja głowy“. W innej znów okoliczności, rzekł: „Ojcze Gwardjanie, brat Kryspin jest osłem, lecz lejce, które go prowadzą, są w twoich rękach, stosownie więc do tego, co sam chcesz: czy żeby szedł, czy żeby stanął, puszczaj je, lub zatrzymuj“. — „Uważaj na mnie, O. Gwardjanie, mówił nieraz, abym nie zrobił jakiego głupstwa, bo mam gęsią głowę“.

Pielęgnując przez długi czas ciężko chorego Gwardjana z prawdziwem poświęceniem i godną podziwu delikatnością, gdy ten wyzdrowiał, przyszedł doń pewnego dnia prosić o przebaczenie, że mu tak źle służył i że chciał jak najlepiej spełniać swój obowiązek, ale taki biedny osioł może tylko dopuszczać się niezręczności i niezdarstwa.

Innym razem, gdy wybierał się iść do Bagnorea, zbiegli się z różnych stron starcy, chorzy, kulawi i stanęli na drodze, którą miał przechodzić. „O! zawołał Błogosławiony, wzdychając, jakże ci dobrzy ludzie są naiwni, skoro mniemają, że mogę im wyjednać u Boga zdrowie! Ach, gdyby wiedzieli, jak wielkim jestem grzesznikiem, zamiast ufać mi, litowaliby się nad moją duszą“.

[1]) La Bienheureuse Marie Madelaine Martinengo par A. R. P. Ladislas de Vannes.

Pokora w znoszeniu zniewag.

Opatrzność dozwalała, że w różny sposób próbowano pokorę Świętego. Jakaś nierozumna i prosta zakonnica wzięła sobie za cel ćwiczyć kapucyńskiego kwestarza w pokorze i cierpliwości. Ile razy więc ten przychodził do furty po jałmużnę, schodziła na dół i rzucała mu w twarz tysiące obelg, zowiąc go obłudnikiem, świętoszkiem, oszustem, wyrzutkiem społeczeństwa. Powtarzało się to w pewnych odstępach czasu przez całe lat 20, a świadkowie tego patrzyli z uwielbieniem, że sługa Boży nigdy ani się nie zmieszał, ani zniecierpliwił, owszem, wesołość i szczęście malowały się na jego twarzy. „O! zaprawdę, mówił czasami, ty jedna znasz mnie, kim jestem. Dobrze, że jest w Orvieto ktoś, co wie, jak się ze mną obchodzić.“ Radość Świętego, jak spostrzegła taż sama zakonnica, zwiększała się w miarę otrzymywanych zniewag, a odpowiadał na nie tysiącem błogosławieństw.

Kryspin zachodził niekiedy po jałmużnę do pewnej szlachetnej rodziny. Najstarszy syn domu przyjmował go zawsze uprzejmie i grzecznie, młodszy zaś za każdym razem obrzucał obelgami. Nienawiść jego doszła do tego stopnia, że rzucił nań brzydką potwarz przed Generałem zakonu. Bonawentura Barberini, ówczesny Minister, przekonawszy się o złośliwości oskarżenia, zawstydził oszczercę. Co zaś do Błogosławionego, pomimo wszystko, chodził on w dalszym ciągu do tego domu. A gdy jeden z braci chciał go od tego odwieść, Kryspin, cały promieniejący wewnętrzną radością, rzekł: „Co też mówisz, ojcze, ależ ten człowiek jest najlepszym moim przyjacielem!“ I to powiedziawszy, wszedł tam wesoło po jałmużnę.

Bardzo często bywało, że, wróciwszy po całodziennej pracy do klasztoru, zmęczony, przemokły i drżący od zimna lub spalony na słońcu, udawał się do swojej celki, gdzie, jak sądził, nikt go nie mógł widzieć ani słyszeć i wylewał swoje serce przed Bogiem. „O, Boże mój, mówił wtedy, Ty wiesz, czego ja pragnę — wiele pogardy i wiele umęczenia“. [1])

Ambroży z Lombez (1778 r.).

Pokora cechowała każde słowo i każdą czynność tego znakomitego Kapucyna. Brat Filip z Madiranu, długoletni jego towarzysz, a więc znający bliżej całe wewnętrzne jego usposobienie, nie wahał się utrzymywać, że była to ulubiona cnota Ambrożego z Lombez. Miłując ją nadewszystko, wśród najświetniejszych oklasków i tryumfów tęsknił ciągle do odosobnienia i ciszy, i z tego też powodu nigdy nie był na wysokich urzędach, do których rozum i wysokie cnoty dawały mu prawo.

Przytoczymy tu jeden tylko przykład pokory tego zakonnika. Pewnego razu wracał on sam z cudownego miejsca Matki Boskiej w Garezą (Garaison) i przed południem wstąpił na odpoczynek do Seszan (Seichan), do księdza proboszcza. Przyjęto go bardzo zimno. Ksiądz, który życzliwy był dla zakonu i miał w nim rodzonego brata, chciał spędzić ten dzień z krewnemi, Ambrożego zaś nie znał osobiście, sądził więc, że przyszedł jakiś braciszek klasztorny. „Ej, bracie, zawołał, nie spodziewałem się bynajmniej twoich nawiedzin i mógłbym się bardzo dobrze bez nich obejść. Idź sobie spocząć do kuchni“. Takie były jego słowa do przybyłego. Wszedłszy zaś do pokoju, żalił się swym siostrzenicom, że przeszkodził mu Kapucyn, ale, że to laik, więc kazał mu siedzieć w kuchni. Jedna z siostrzenic była za mężem w Osz (Auch), pobiegła przeto zaraz do zakonnika, aby się dowiedzieć co o O. Ambrożym. Lecz jakież było jej zdumienie, gdy zobaczyła jego samego! Rozradowana poszła po wuja, aby go przyprowadzić. Proboszcz również ucieszył się bardzo, ale i zmieszał swojem niegrzecznem przyjęciem, upadł więc do nóg Ambrożego i prosił o przebaczenie. Świątobliwy Kapucyn nie dał się prześcignąć w pokorze i tak obydwaj, gospodarz i gość, całowali sobie nawzajem nogi. [1])

Bł. Diego-Józef z Kadyksu. (1801 r.).

Pokora, ta cnota Świętych, świeciła jasnym blaskiem w Bł. Diego z Kadyksu. Bez niej nie byłby on Świętym i Hiszpanja nie zaliczałaby go dzisiaj do najznakomitszych swoich synów. Jeśli początki jego życia trudne i wzgardzone sprzyjały rozwinięciu się w nim tej cnoty, to przeciwnie, od złożenia ślubów zakonnych, wszystko powinno ją było zniszczyć od góry do dołu. Rzeczywiście, bardzo mało Świętych było za życia swego przedmiotem takiego podziwu i zachwytu; bardzo mało posiadało takie wybitne zdolności umysłowe; a żaden, zdaje się, nie otrzymał od swoich rodaków takich dowodów czci i tylu odznaczeń, jakiemi literalnie obsypywano Błogosławionego. W kilka lat po wstąpieniu na ambonę, był on już kanonikiem honorowym wszystkich kościołów katedralnych w Hiszpanji z prawem zasiadania zaraz po dziekanie

[1]) Le Saint Jogeux par Pie de Langogne.

[1]) Ambroise de Lombez par l'abbé de Bénac.

kapituły; wielu Biskupów, Arcybiskupów i Kardynałów powierzyło mu godność najwyższego teologa, sędziego oficjała, egzaminatora synodalnego, członka Świętego Oficjum. Biskupi, kapłani, zakonnicy wszystkich reguł mieli dla niego taką cześć i szacunek, że słuchali jego nauk na klęczkach, jakby samego Chrystusa. Wszystkie niemal uniwersytety królestwa, tak zazdrosne o swoje przywileje i tak trudne w przyjmowaniu członków, uznały go za jednego z mistrzów swoich. Na rozkaz przełożonych, Diego-Józef musiał przyjąć wszystkie oznaki i tytuły doktora każdej umiejętności. Musiał przywdziewać na ubogą suknię kapucyńską bogate stroje akademickie i w takiem przybraniu wysłuchiwać długich i gorących pochwał, na które odpowiadał pięknemi mowami, do dzisiaj przechowanemi. Gdyby wziął na siebie wszystkie ordery i oznaki przysłane mu od króla i książąt krwi, od wszelkiego rodzaju towarzystw i urzędów, zakryłyby one go zupełnie albo raczej zadusiły. Dodajmy do tego wszystkiego godności otrzymane od zakonu, jak tytuł eksprowincjała z najszerszemi prawami, oraz od Papieży — własnoręczne pozwolenie udzielania odpustu zupełnego tym, którzy słuchali jego kazań, wreszcie zapał tłumów dążących z całej Hiszpanji, aby usłyszeć jego słowa, prosić o radę, pociechę, o cud; — szczęśliwych, gdy mogli ucałować jego ręce lub kraj habitu, uciąć kawałek takowego na relikwję i wołających w zachwyceniu, że to nowy Paweł, nowy Wincenty Ferrerjusz, nowy Apostoł hiszpański!

Mała cząstka tych hołdów wystarczyłaby do zawrócenia w głowie nawet najcnotliwszemu. Ustrzedz się wszelkiego zadowolenia miłości własnej wśród tego potoku uwielbień, przyjąć obojętnie owe zaszczyty i tryumfy, byłoby to już ponad zwykłą doskonałość; ale okazywać litość nad samym sobą wówczas, kiedy pochwały zewsząd rozbrzmiewają, zatapiać się w swojej nicości i nędzy w miarę odbieranych honorów, kłaść się pod stopy całego świata, uważać się za złoczyńcę i chcieć, by wszyscy go za takiego mieli, podczas, gdy tron jemu wznoszony jak najwyżej sięga, jest to bezwątpienia heroizm Świętych i taki też był heroizm Bł. Diego z Kadyksu.

Pokorne rozumienie o sobie.

Nazywał on siebie osłem zakapturzonym, osłem galicyjskim, bratem nędzą, a już najczęściej mułem, zapewne dlatego, że to zwierzę jucznе, według słów Ś. Franciszka Salezego, jest bardzo brzydkie i cuchnące. Widział niezwykłe i niezliczone dary w swej duszy, łaski szczególne, które jak deszcz błogosławieństwa na nią spadały. Ale jakże przytem czuł się ubogim, złym i niewdzięcznym za wszystko. Trzebaby czytać listy, pisane przezeń do jego ojca duchownego, żeby mieć wyobrażenie o zgrozie i niesmaku, jakiemi go napełniał widok własnej nędzy i nicości. Był on ostatnim ze wszystkich ludzi na świecie; zasługiwał na wszelkie kary nieba; piekło nie posiadało dość mąk, aby ukarać odpowiednio wszystkie jego występki. Uczucie to było niekiedy tak silne, że błagał przewodnika sumienia, by mu pozwolił złożyć urząd kaznodziejski i schronić się do klasztoru, gdzieby mógł surowo pokutować.

Trzebaby przejrzeć modlitwy, jakie zanosił do Boga w Trójcy jedynego lub do Jezusa Chrystusa w czasie kazań: „Jak możesz mnie znosić, o, mój Jezu! Wszak Ty, któremu wszystko wiadomo, wiesz dobrze, że jestem dzikiem zwierzęciem, które chciałoby pożreć Józefa, Twego umiłowanego syna! Jak możesz zstępować na moje ręce i w nich spoczywać? Czyż one nie wołają, że jestem potworem nieprawości?“ A zwracając się do słuchaczy, mówił czasami z twarzą pomieszaną i oczami łez pełnemi: „Wiedzcie, moi bracia, że przed wami stoi największy grzesznik, godny tysiąca piekieł. Piekło bowiem szatanów za słabe jest na ukaranie występków moich. Uczyniły mnie one wstrętniejszym w oczach Bożych, aniżeli najgorsi potępieńcy. Proście Pana, by was nie karał dla moich błędów“. Do swoich współobywateli z Kadyksu powiedział razu pewnego: „I nie zrozumiecież w końcu, że jestem największym grzesznikiem? Czyż tego nie spostrzegacie? Grzechy moje tak mi zaciemniły rozum, że do mnie to w całej ścisłości odnoszą się słowa proroka: „Przyrównan jest bydlętom nierozumnym i stał się im podobny“. Nie wiem, jak Bóg znosić mnie chce na ziemi! Wierzcie mi, moje dzieci, że jestem wielkim grzesznikiem!“

Do Biskupa Kadyksu, który go poważał jak Świętego i zapraszał do swego stołu, Błogosławiony zakonnik odezwał się: „Wielki ciężar moich grzechów jest powodem małego skutku z kazań moich. Gdybym był całkiem inny, ci dobrzy ludzie, przychodzący usłyszeć słowo Boże o cztery, sześć, ośm mil, wracaliby do siebie zupełnie uleczeni ze wszystkich chorób duszy i ciała. Ach, jakże się boję, żeby w dzień sądu nie powstali przeciwko mnie z wyrzutem!“

W czasie licznych swoich podróży po królestwie hiszpańskiem, często, przerwawszy skupienie, zwracał się do towarzyszącego mu kapłana: „Jestem człowiekiem zmysłowym... nie, raczej jucznem bydlęciem; nie wiem jak Pan Bóg mnie

znosi. Mój ojcze, dowiesz się w końcu, kim jest twój brat zakonny; zobaczysz jaki to zbrodniarz".

Przypatrując się zblizka O. Diego, trudno było nie zauważyć, jak szczerze i gorąco pracował on nad nabyciem i udoskonaleniem cnoty pokory. Ćwicząc się w niej ustawicznie, nie opuścił nigdy sposobności poniżenia samego siebie. Pewnego dnia szedł on z Kseres do Ubryki. Gorąco było wielkie i socjusz, nie mogąc za nim nadążyć, zapytał Błogosławionego, dlaczego tak prędko idzie? — „Muły Galicji są silnie zbudowane i to jest zwykły ich chód", odpowiedział Kapucyn. Innym razem, mając misję w Saragossie, po jej ukończeniu żegnał się z prezesem izby królewskiej, wzorowym katolikiem, który rzekł doń: „Ojcze Diego, ufam bardzo twoim modlitwom, że doprowadzą mnie do nieba. Obciążonemu, jak ja, chorobami, trudno iść naprzód; ty więc zawieziesz mnie tam w karecie". — „O, tego to nie mogę przyrzec panu prezesowi, rzekł wesoło misjonarz kapucyński, ale jeśli pan zechce dosiąść muła, mogę mu się wystarać o to bydlę". Mułem tym był nie kto inny, tylko on sam.

Przełożeni, wysyłając go na misje, dawali mu zawsze dwóch socjuszów - pomocników w pracy apostolskiej, i osła, a Błogosławiony tak urządzał tę małą gromadkę: „Brat N. będzie naszym gwardjanem, brat N. wikarym, a ja i osioł będziemy podwładnymi".

Pokora w oburzeniu na oznaki czci ludzkiej.

Z przytoczonych tu szczegółów możemy zrozumieć, jak uciążliwe były dlań wszelkie oznaki czci i uwielbienia ludu i książąt. W owych czasach nie znano jeszcze fotografji, ale umiano malować i rytować, takie też portrety Świętego Kapucyna rozchodziły się w wielkiej liczbie. Sprzedawano je na ulicach. Błogosławiony, widząc to, wołał ze zgrozą: „Co czynisz, nieszczęsny? Jak urzędnicy miasta mogli zezwolić na odtwarzanie rysów podobnego potworu złości? Jak upoważniać do ich sprzedawania? Ach, gdyby Pan Bóg nie dawał mi łaski widzenia nędzy mojej taką, jaką jest, byłoby po mnie. Dlaczego wystawiać mię na grzech?"

W r. 1795, przechodząc ulicami Sewilli, usłyszał ociemniałych wołających: „Portret brata Diego-Józefa z Kadyksu!" Zarabiali oni w ten sposób na swoje utrzymanie. Zbliżył się więc do nich i pełen świętego gniewu, rzekł: „Rzućcie te malowidła, te bazgroty w ogień! Jest to coś obrzydliwego".

Raz w podróżach swoich apostolskich wszedł do domu pewnej pobożnej bardzo pani, a swojej penitentki, która, jak mu powiedziano, modliła się co wieczór z dziećmi i służbą swoją przed jego portretem i paliła przed nim światło. Dowiedziawszy się o godzinie tego dziwnego nabożeństwa, zastał rzeczywiście wszystkich na kolanach, surowo więc zgromił ową szlachetną panią, zerwał ze ściany portret i skopawszy go nogami, porwał na kilka kawałków. „Tak, rzekł on, powinniście się obchodzić z obrazem i oryginałem nędznego grzesznika, który dla nieprawości swoich zasługuje na to, aby szatani po nim deptali". Nazajutrz miał naukę o czci należnej Bogu i o wzgardzie, jaka przystoi bratu Diego. Prosił w niej swoich słuchaczów, żeby ci z nich, co przez pomyłkę kupili jego portret, zniszczyli takowy, a natomiast w domach swoich mieli wyobrażenie Trójcy Świętej. W Ecija uprosił jednego ze swych przyjaciół, że wykupił od sprzedających ociemniałych wszystkie jego portrety, a gdy mu je zniesiono, rzucił je w ogień ze słowami: „Niech się spalą, a płonąc, niech w ich oryginale rozniecą miłość Boga i gorliwość o Jego cześć i chwałę!"

Wśród takich dowodów powszechnego uwielbienia, pokora Świętego musiałaby nieraz się zachwiać i rozprysnąć, gdyby nie to, że zapuściła swoje korzenie aż do wnętrza jego wielkiej duszy. Pewnego dnia Diego-Józef powiedział do otaczających: „Chcecie wiedzieć, kto jestem? Jestem osłem, któremu Stwórca pozwolił chodzić na dwóch nogach". Innym razem szukał on w dziełach jednego Świętego słów, które sam przytoczył w swojem kazaniu, a nie znalazłszy ich tam, zamyślił się, poczem upadł na kolana przed Ukrzyżowanym, wołając: „Biada mi, będą teraz sądzili, że jestem uczonym krasomówcą! Słowa te są widać moje, a nie żadnego ze Świętych".

Pokorny myślą, pokorny sercem, pokorny pragnieniami, pokorę też objawiał we wszystkiem. Jako członek uniwersytetów hiszpańskich, musiał on od czasu do czasu brać udział w wielkich ceremonjach i przyjęciach, urządzanych przez te ciała uczone i wszechpotężne w Hiszpanji, — a więc przywdziewać na wierzch wyłatanego habitu bogate oznaki swoich godności, aksamity, gronostajowe płaszcze i złote łańcuchy. Pod temi wspaniałemi ozdobami, mówią współcześni, wyglądał jak skazaniec, taka boleść i taki wstyd malowały się na jego obliczu. „Ja i oznaki wiedzy, co za nierozum! Nie wstydzę się wcale tych zaszczytnych ubiorów, sprawiają mi one tylko takie wrażenie, jakie sprawia kropielnica ze święconą wodą na głowie zbrodniarza na śmierć idącego".

Pokora w głoszeniu swego nieuctwa.

Być może, pokora tego słynnego Kapucyna wydaje się nam co najmniej dziwną, gdyż jak wiemy z poprzednich rozdziałów, był on cudem swego wieku, posiadał wszechstronne zdolności, a zwłaszcza odznaczał się niezrównaną wymową. Jakże więc mógł bez udawania przedstawiać się za nieuka, najciemniejszego z ludzi? Przytoczymy tu własne jego słowa. Razu pewnego, rozmawiając z członkiem swego zakonu, Błogosławiony rzekł: „Wmówiono w moich słuchaczów, którzy teraz powtarzają to, jako fakt niezbity, żem człowiek wielkiego znaczenia! Nie znają mnie i w tem całe nieszczęście! Ale mogę ich łatwo z błędu wyprowadzić. Jako dziecko, miałem tępy umysł, do tego stopnia, że nic mi nie wchodziło do głowy, ale to nic absolutnie. Rówieśnicy moi z pewnością to pamiętają; nazywali mnie oni poprostu osłem. Tak samo i nauczyciel wołał: Caamano, osioł; Caamano, nieuk! A kiedy, wstąpiwszy do zakonu, musiałem się uczyć filozofji, zawsze przez głupotę i nieudolność trawiłem czas na pustych marzeniach. Wreszcie spodobało się Bogu zlitować się nademną, dać mi zrozumieć, jak bardzo błądzę swojem niedbalstwem i brakiem pilności. Otworzył mi rozum i pozwolił oddać się nauce — i dopełnić czego mi niedostawało. Ale lata już upłynęły. Nie miałem dosyć czasu. To trochę, czegom się nauczył w klasztorze na studjach, nie wystarcza, by naprawić dawne zaniedbanie. Potem rozpoczęła się praca apostolska, a z nią podróże po całej Hiszpanji; i jakże tu przy tylu zajęciach znaleźć czas na czytanie dobrych autorów, jak myśleć poważnie! I jakąż naukę chcecie, abym posiadał? Wierz mi, drogi bracie, że jestem prostak, w całem tego słowa znaczeniu. To też, kiedy mam wstąpić na ambonę, którą otaczają ludzie mądrzy, słynni z umiejętności, drżę i wstydzę się samego siebie. Czyż bowiem nie mogą mi oni dać dawnego przezwiska i zawiesić mi go na piersiach i na plecach?“

Nie była to bynajmniej obłuda, ani puste słowa ze strony Błogosławionego. Miał on owszem wysokie pojęcie o swojej nieudolności i wrodzonej głupocie. Pewnego dnia, wchodząc na katedrę wobec całego grona profesorów uniwersytetu w Walencji, zwrócił się do socjusza, który za nim postępował i rzekł półgłosem: „Dzisiaj Pan Bóg zawstydzi moją pychę. Niech się dzieje wola Jego!“ Rzeczywiście, pomimo wszystkich usiłowań misjonarza, pomimo długich modłów przed kazaniem, nic a nic nie przychodziło mu do głowy. Miał mówić, a nie wiedział od czego zacząć. Przekonany o swojej niemożności, przyjął chętnie wstyd, jaki go czekał, gdy wejdzie i zejdzie z kazalnicy, nie rzekłszy ani jednego słowa. Lecz wówczas, jak to mu się już często zdarzyło, oświecił Pan Bóg nagle jego umysł, przypomniał mu zdanie z Pisma Świętego, natchnął najpiękniejsze jego rozwinięcie, i pozwolił wypowiedzieć naukę, o której pamięć do dziś tam się przechowuje. „To wszystko sprawa Boża, powiedział on później Ojcu Guerrero, Dominikanowi, dawnemu nauczycielowi swojemu, który mu niegdyś w dzieciństwie przypinał długie ośle uszy; ja zaś zostałem tem, czem, jak Ojcu wiadomo, zawsze byłem i jestem: nieukiem tępego umysłu, osłem“.

Nazwa „osioł“, była mu bardzo miła. Idąc raz na misje, upadał ze zmęczenia, co spostrzegłszy towarzysz jego, prosił, żeby wsiadł na osła, którego zawsze mieli ze sobą. Błogosławiony odrzekł z uśmiechem, że dotychczas chodził pieszo, więc nie chciałby się przyzwyczajać. Lecz towarzysz kazał mu wsiąść w imię posłuszeństwa. „Dobrze, bracie, odparł Diego-Józef z głęboką pokorą, wsiądę na osła, jak zły prorok Balaam na oślicę, wyrzucającą mu okrucieństwo, ale ja nie idę do mojego ludu, aby go przeklinać, tylko aby mu oświadczyć miłość i zbawienie“.

Pokora w przyjmowaniu uczczenia.

Zaszczyty, skądkolwiekby pochodziły, sprawiały mu smutek. Zabraniał słuchaczom bicia oklasków, a Hiszpanie są bardzo głośni w okazywaniu swoich uczuć, zwłaszcza uwielbień. Odgadywał cudownie zamiary księży, pragnących go uczcić, uprzedzał ich i, padając na kolana, całował im ręce, zanim mogli wyjść ze zdumienia. Gdy go pytano o uczucia, jakich doznaje, idąc przez miasto, wśród uzbrojonych żołnierzy, strzegących go od oznak miłości ludu, i przypuszczano, że taki zaszczyt, służący tylko królom, zapewne napełnia jego duszę chociażby odrobiną próżnej chwały, odpowiedział: „Idę i powtarzam w sercu te słowa: Panie, Boże mój, poco tyle wiatru, aby podnieść tak maleńki pyłek?“

Podczas misji w Alkala Błogosławiony codziennie miał Mszę św. u Kapucynów, do której, jak to zauważył, służył mu kapłan. Pierwszego dnia zdawało mu się, że to pewno dlatego, że niema w tym klasztorze braci, ani służących. Ale, gdy później zrozumiał, że chciano mu w ten sposób okazać cześć, która w zakonie kapucyńskim należy się jednemu tylko Generałowi, pokora jego bardzo na tem cierpiała. Udał się więc do gwardjana, prosząc, aby mu tej krzywdy nie wyrządzał i nie na-

rażał na pychę, gdyż na to ucieka do klasztoru, żeby się schronić przed nierozumnemi hołdami wiernych, a tymczasem znajduje w nim gorsze jeszcze niebezpieczeństwo. Czyż wobec tego potrzeba dodawać, że na myśl o przyjęciu godności kościelnych, Błogosławiony drżał i mienił się. Pewnego dnia O. Joachim, spowiednik króla Karola III, przyszedł prosić go w imieniu tegoż, aby raczył przyjąć biskupstwo. Sługa Boży, trzęsąc się z przerażenia, błagał Ojca Joachima ze łzami i ze wzruszającą pokorą, aby zdjął z niego ten ciężar i wyjednał u monarchy, aby o nim wcale nie myślano, gdyż i tak upada on pod swojem brzemieniem na drodze wiodącej do nieba. Wzruszyło to bardzo serce królewskie i kiedy później Biskup z Jaen prosił monarchy o O. Diego na sufragana, odpowiedział mu: „Nie, nie róbmy tego świętego zakonnika Biskupem jednej dyecezji, niech sobie będzie, jak dotąd, Biskupem całego naszego państwa".

Błogosławiony często powtarzał słowa Apostoła narodów: „Czyż podobna mi myśleć o godności kanonickiej, o biskupstwie!... Ależ jam jest najmniejszy między kapłanami, którym nie jest godzien, aby mię zwano sługą Ś. Ewangelji, iżem prześladował Kościół Jezusa Chrystusa". Oto co myślał o samym sobie ten, którego Kościół uznał za godnego czci publicznej na ołtarzach naszych.[1])

Cz. Innocenty z Berzo (1890 r.).

Czcigodny Kapucyn, (beatyfikacja jego już się prowadzi w Rzymie), rozważał ciągle swoje własne niedoskonałości oraz nędzę fizyczną i moralną natury ludzkiej, a z drugiej strony nieskończone przymioty Boże i niedościgłe przykłady Odkupiciela. Z tych przeciwieństw, zawsze strasznych dla każdego, kto się nad niemi gruntownie zastanawia, Innocenty umiał wyciągnąć tak nizkie pojęcie o sobie, że cieszył się, gdy go upokarzano, gardzono nim i znieważano. Według niego, to tylko mu się należało. Pewnego razu ktoś mu powiedział: „Twój nieprzyjaciel, towarzysz szkolny, który cię tak prześladował w kolegjum, umarł nędznie". Na co on w tej chwili: „O, nie, ja nigdy nie miałem nieprzyjaciół, wszyscy obchodzili się zawsze ze mną lepiej, niż na to zasługiwałem".

We Włoszech ludność ma zwyczaj prosić kapłanów o błogosławieństwo. Wielu więc przychodziło w tym celu do klasztoru Zwiastowania, w którym mieszkał Innocenty, błagając o pociechę lub radę i o włożenie rąk na nich. Sługa Boży, pomny że w Kościele zwykle wyższy błogosławi niższego", przez pokorę unikał o ile mógł tej ceremonji, kiedy zaś który z kapłanów dopraszał się o tę łaskę, trzeba było wyraźnego rozkazu gwardjana, by go do tego zmusić.

Cnota pokory jaśniała w czcigodnym zakonniku już w nowicjacie. Co rano nowicjusze, klęcząc na ziemi, wskazują sobie nawzajem z miłością, co który zawinił. Innocenty z Berzo nagany te przyjmował z najwdzięczniejszym uśmiechem, dziękując z całego serca swemu towarzyszowi. To też w razach, gdy roztropność nakazywała oszczędzić jakiego nowoprzybyłego, upomnienie za jego winę dawano Innocentemu, a ten nigdy się nie dziwił i nie tłumaczył. Kiedy zaś na niego przyszła kolej upominania innych, nie znajdował ani słóweczka zarzutu, prosił tylko, aby mu darowano wszystko czem ich gorszy i aby więcej błędów mu wytykano. W kolegjum, w seminarjum, przewyższał on wszystkich swemi zdolnościami umysłowemi, a jednak starał się ukryć swoją wiedzę i uchodzić za nieuka bez żadnej inteligencji. I rzeczywiście, patrząc nań, stroniącego od rozmowy i milczącego, aby więcej być zjednoczonym z Bogiem, można go było wziąć za męża świętego, ale mającego umysł niewykształcony, a charakter niedostępny i obojętny. Tymczasem Pan Bóg obdarzył go szczególnemi swemi darami, dał mu rozum otwarty, jasny, wyobraźnię żywą, serce wrażliwe i czułe, i pozwolił mu nabyć głęboką umiejętność. Czcigodny zakonnik tak był przemyślny, tak stały w ukrywaniu się, że dopiął po części swego celu, mniej bowiem znający się na podstępach Świętych dawali się oszukać. Nieraz, gdy kazano Innocentemu wejść na ambonę, nie dając mu ani chwili do namysłu, przedstawiał on wtedy swoją nieudolność, gdyż unikał wszelkiej okazji, któraby go podniosła w oczach innych osób; ale gdy przełożony na te wymówki nie zważał, Innocenty bez słóweczka szemrania rozpoczynał naukę i mówił tak, jak tylko uczeni potrafią mówić. Jednak i w kazaniach starał się on o ukrycie swoich talentów, używając stylu prostego, wyrażeń pospolitych, jakich nie słyszano u głośnych kaznodziei. A pomimo to najzatwardzialsi grzesznicy nie mogli się oprzeć jego słowom, popartym świętością życia: wszyscy się nawracali, następowała wielka odmiana w duszach.

Pewnego dnia jeden z braci winszował słudze Bożemu znakomitych owoców z misji, co ten słysząc, rzekł: „Mój drogi bracie, mówmy o czem innem, gdyż jestem bardzo skłonny do pychy i najmniejsza pochwała sprawia mi wiele złego". Drugi raz ten sam zakonnik surowo go zganił. Był to sposób wejścia w łaski Innocentego, który

[1]) B. Diego-Joseph de Cadix par le R.P. Damase de Loisey.

też podziękował mu serdecznie, prosząc, aby jak najczęściej wyświadczał mu tę usługę. Nie zadawalniając się tem, żądał on od wszystkich tego aktu miłości, a jednemu uczniowi przyrzekł nawet odmawiać zań siedem „Witaj Królowo“, ile razy go w czem ostrzeże.[1])

Polscy Bracia Mniejsi Reformaci
Adam Miecznikowski (1650 r.).

Ten słynny w swoim czasie mówca i zakonnik był bardzo pokorny, i chociaż zakon, oceniając jego naukę, roztropność i biegłość w rzeczach duchownych, chciał go obdarzać urzędami, wypraszał się od nich, uważając się niesposobnym do ich pełnienia. A gdy go raz w jego nieobecności obrano kustoszem klasztoru stradomskiego w Krakowie, uczynił wprawdzie zadość posłuszeństwu, ale za pierwszem widzeniem się z O. Prowincjałem, urząd ten pokornie w jego ręce złożył i, porzuciwszy sprawy doczesne, oddał się uczynkom pokutnym, pożytecznemu pisaniu i bogomyślności[2]).

Józef Zginicz, laik.

Pokora Józefa Zginicza objawiała się najbardziej w tem, że na wzór Ś Franciszka szczególniejsze miał poważanie dla kapłanów, jako prawdziwych szafarzów łask Bożych, przez których ręce odbierał największe skarby duchowne i pomoce do zbawienia. Godność kapłańską przekładał nad wszystkie inne i uważał sobie za wielkie szczęście, gdy mógł się kapłanowi czem przysłużyć. Nie rozmawiał z nimi nigdy poufale, ale zawsze pokornie i skromnie, jak ze swoimi panami; nietylko rozkazy, lecz i rady ich wiernie wykonywał, uważając, że nigdy nie zbłądzi, jeśli pójdzie za zdaniem tych, których mu Bóg na nauczycieli i mistrzów zostawił.[3])

Aleksander Niniński.

Aleksander Niniński, złożywszy profesję w klasztorze OO. Bernardynów i widząc, że przełożeni mają zamiar wynieść go na różne urzędy, przeszedł do nowopowstałej Reformy, gdzie kwitła obserwancja. Pokorne o sobie rozumienie, unikanie wszelkich godności przyczyniały się niemało do wewnętrznego spokoju, jakim się cieszył i jaki bardzo sobie cenił. Chcieli wprawdzie przełożeni i tutaj postawić go wyżej dla pożytku braci, on jednak żadnym sposobem do tego skłonić się nie dał i ledwie raz przyjął obowiązek definitora[1]).

Wenanty Skomorowski.

Ten sługa Boży, sławny na świecie urodzeniem, a w zakonie doskonałością życia, dla swej głębokiej pokory sądził, że nie było nikogo, ktoby mu dorównał, a tembardziej przewyższył w nikczemności. Dlatego też najniższe usługi klasztorne, jako sobie tylko właściwe, najchętniej spełniał, służąc braciom, jak swoim panom. Ta jedna cnota wsławiła go więcej, aniżeli przyrodzone a liczne talenta, gdyż Pan Bóg, który najwięcej łask swych udziela pokornym, szczodrze je na niego wylewał[2]).

Atanazy Krotosza.

Mąż ten odznaczał się wielką nauką, a obok tego głęboką pokorą. Nikt tak nie pragnął godności, jak on upokorzeń. Najmilej mu było, gdy kto zganił jego postępowanie, albo przynajmniej nie zważał na niego. Zawsze spokojny, niedbający o ludzkie względy, unikał o ile mógł wszelkiego stosunku ze światem, jednak dla swej niepospolitej nauki często musiał udzielać rad królowi, książętom i panom w najtrudniejszych sprawach kraju[3]).

Tobjasz Sarnowski.

Świątobliwy Reformat początkowo wstąpił był do Franciszkanów i odznaczał się bardzo ścisłem zachowaniem reguły. Miał od Boga łaskę opowiadania słowa Bożego z ognistym duchem tak, że słuchacze uważali go za nowego Pawła Apostoła, i wielki pożytek z jego kazań odnosili. Nie mógł patrzeć na to spokojnie szatan, że tak wiele dusz nawracało się i, zazdroszcząc mu sławy, sprawił, iż rzucono na niego straszną potwarz. Gdy przełożony pytał go, czy to prawda, co o nim mówią, on, nie chcąc się tłumaczyć, upadł na kolana i, bijąc się w piersi, powiedział: „Grzesznikiem jestem, moja wina“. A chociaż to były słowa ogólnikowe, przełożony na próbę i dla uspokojenia oskarżycieli, kazał go trzymać w zamknięciu, ażby się prawda wyjaśniła. Wkrótce sprawczyni tej hańbiącej potwarzy, zapadłszy ciężko, a nie mogąc porodzić, z namowy pobożnych osób wyznała najpierw przed spowiednikiem, a później za jego radą publicznie, wobec wielu obywateli, że popełniła kłamstwo, oczerniając gorliwego kapłana, poczem zaraz nastąpiło rozwiązanie. Sługa Boży, uwolniony od

---

[1]) Annales franciscaines 1905 r. [2]) Matka ŚŚ. Polska T. IV. [3]) Kalendarz seraficzny 19 sierpnia.

[1]) Tamże 31 lipca. [2]) Tamże 21 września. [3]) Tamże 12 stycznia.

niesławy, złożył dzięki Bogu za cudowną obronę i tem żarliwiej opowiadał Ewangelję i nawracał grzeszników. Wreszcie, wyczerpany pracą apostolską i surowością życia, zapadł w ostatnią chorobę, a przyjąwszy Sakramenta ŚŚ., poprosił, aby mu czytano opis Męki Pańskiej według Ś. Jana. Przy słowach: „Consummatum est, spełniło się“ i też dopełnił pracowitego życia swego. Na pogrzeb jego wyruszyło prawie całe miasto Kraków [1]).

Kacper Luboński.

Kacper, lękając się szacunku ludzkiego, jakiby mu okazywano, gdyby przyjął święcenia kapłańskie, uprosił sobie, żeby mógł zostać na zawsze subdjakonem. Otrzymawszy na to pozwolenie, przez lat 30 spełniał z radością nizkie posługi, dając wszystkim wzór doskonałego zakonnika. Chciał nareszcie Pan Bóg doświadczyć wierności jego długą i ciężką chorobą, którą on cierpliwie znosił i tak oczyszczony zakończył życie w Zamościu [2]).

Antoni Sienniński.

Antoni Sienniński w młodym wieku poświęcił się zawodowi wojskowemu. Uważając jednak, jak marnem jest wszystko, czem go świat może obdarzyć, zapragnął starać się wyłącznie o swoje zbawienie. Wstąpił przeto do Bernardynów, a stamtąd, dla większej surowości życia, przeszedł do Reformatów. Za najpierwszą cnotę życia zakonnego obrał sobie pokorę: unikał pilnie wszelkich godności, pamiętając, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażeni są przełożeni, gdyż nietylko za siebie, ale i za podwładnych zdawać będą rachunek przed Bogiem [3]).

Duch pokory niezbędny jest dla naśladowców Franciszka.

Z powyższych przykładów wnieść należy, iż pokora tak jest przywiązaną do synów i córek Ś. Franciszka, że ktoby z nich dalekim był od tej cnoty, nie byłby prawdziwym jego naśladowcą. To powinno być jakoby ich cechą, ich przywilejem, aby jak najpilniej strzegli się wszelkiej wyniosłości w słowach, w ruchach, ubiorze i w całem zachowaniu; i żeby nigdy nie wdzierali się do pierwszych miejsc lub do jakowej władzy, czy to duchownej czy świeckiej, i wszelkiego rodzaju czci unikali, a nawet szczerze pragnęli być nieznanymi i wzgardzonymi od wszystkich, i weselili się, gdy ich jakiekolwiek upokorzenia, zniewagi, prześladowania i fałszywe sądy lub oszczerstwa spotkają.

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej. Co to jest pokora, iloraka jest, jak bardzo duch pokory potrzebny jest do postępu w doskonałości?

Pokora, według Ś. Tomasza z Akwinu, jest cnotą powściągającą umysł, aby się nie wynosił nieumiarkowanie, lecz aby trzymał się nizko, tak jak przystoi stworzeniu, zależnemu od Boga. Różni się więc od powściągliwości i skromności, te bowiem powściągają tylko żądzę wywyższania się według wskazówek zdrowego rozumu, gdy pokora powściąga sam rozum w wyższym stopniu, aby nic więcej sobie nie przyznawał, jedno nicość i nędzę, wszelkie dary do Boga odnosząc i z nich się upokarzając [1]). Święci rozmaicie dzielą tę cnotę, lecz najsłynniejszy i najbardziej znany jest podział Ś. Bernarda: na pokorę umysłu i woli, czyli na pokorę poznania i uczucia [2]). Jest pokora, mówi on, którą prawda rodzi, lecz ta nie ma jeszcze w sobie ciepła — i jest pokora, którą miłość kształci a razem zapala. Pierwsza opiera się na poznaniu siebie, druga na poznaniu Boga.

O potrzebie tej cnoty dla dusz wybranych mówi Pismo Święte: Imeś jest większy, we wszystkiem się upokarzaj, a najdziesz łaskę przed Bogiem [3]). A. Ś. Doroteusz: „Dusza nasza tem bardziej się upokarza, im więcej owocu przynosi, albowiem mężowie Pańscy o ile więcej zbliżają się do Boga, o tyle jaśniej nieprawości swoje poznają [4]). Ś. Teresa powiada o sobie: „Jest to rzeczą zwyczajną, że gdy Pan Bóg chce mi okazać jaką łaskę, naprzód zanurza mnie w sobie samej, a myślę, że czyni to dlatego, abym lepiej poznała, jak niewarta jestem tego dobra [5]). Zaś Grzegorz Ś. mówi, że o tyle każdy winien być pokorniejszym z darów Bożych, o ile głębiej rozumie, że ma święty obowiązek zdania z nich rachunku [6]).

Pierwszy środek do nabycia pokory: poznanie siebie.

Poznać siebie, jest to zrozumieć, czem jest człowiek wobec Boga. Pismo Święte zaleca pokorę w następujących słowach: Jeżeli kto mniema, żeby czem był, gdyż niczem nie jest, sam siebie oszukiwa [7]). Poznajmy to dobrze, że nic z siebie samych nie mamy, bo, jak mówi Apostoł narodów:

---

[1]) Matka ŚŚ. Polska. T. I., 20 lutego. [2]) Kalend. seraf. 4 października. [3]) Tamże 8 paźdz.

[1]) q. 161, cum q. 141 et 160. [2]) Serm. 42 in Cant. [3]) Eccl. 3, 20. [4]) Serm. 2. [5]) C. 38, Vit. post med. [6]) Hom. 9 in Evang. [7]) Gal. 6,3.

Co masz, czegobyś nie wziął?[1]) Ś. Bonawentura tak tego dowodzi: „Dwie są rzeczy, które nas skłaniają, żebyśmy byli pokornymi: naprzód to, czem jesteśmy, nic bowiem nie mamy sami z siebie, ani z naszych zasług; a później to, czem nie jesteśmy, próżna jest bowiem chwała wynosić się z tego, czego nie mamy[2])." Z poznania siebie wynikał ów zwyczaj Świętych, że się uważali i głosili, jako niemający w sobie nic dobrego, nazywając się grzesznikami i to największymi, jak Ś. Paweł mawiał: z których jam jest pierwszy[3]).

Jak Święci mogli nazywać się największymi grzesznikami?

Nieraz poruszano tę sprawę, jakim sposobem doskonali słudzy Boży mogą uważać się za największych grzeszników. Opat Józef (u Kasjana), dowodzi, że z pokory wolno używać kłamstwa np. dla ukrycia wstrzemięźliwości w jedzeniu[4]). Podobnież sądzili inni pustelnicy syryjscy, ale Tomassin[5]), razem z Gazeuszem i innymi zbija to zdanie, gdyż kłamstwo jako w istocie swojej złe, dla żadnego powodu popełnianem być nie powinno. Mistycy[6]) zaś inaczej to objaśniają. Według nich takie wyrażenia są prawdziwemi w znaczeniu moralnem, choć nie dosłownem, gdyż dusza świątobliwa, ze względu na swoje czyny i na obowiązek podobania się Bogu, tak się widzi obciążoną z jednej strony Boskiemi dobrodziejstwami, a z drugiej swoją niewdzięcznością, że zwraca uwagę tylko na to, co ją uniża w oczach Bożych. Nie patrzy też ona bynajmniej na złe postępowanie innych osób, owszem, łatwo je tłumaczy, gdy uważa na swoją niewierność względem Boga, i jest przekonaną, że, gdyby one miały podobne łaski, byłyby od niej wierniejszemi, ona zaś przeciwnie, będąc tak niewierną przy tylu dobrodziejstwach, na ich miejscu byłaby od nich gorszą. Widząc wreszcie, że wszystko dobre Bóg sam w niej działa, szczerze mówi, że nic dobrego nie robi, a to ze względu na małe i prawie żadne swoje współdziałanie. Mogą więc mówić Święci, że są grzesznikami, lekkie bowiem swoje przewinienia, w jakie codzień wpadają, uważają za bardzo szpetne i nikczemne, w porównaniu do obowiązków, zaciągniętych względem Boga. Mogą nawet uważać, że są największymi grzesznikami na świecie, przez wzgląd na to, coby czynić powinni i coby najgorsi ludzie przy tylu łaskach czynić mogli; dlatego te upadki, które innym przedstawiają się, jako ze słabości ludzkiej i z braku światła popełniane, w ich oczach są stosunkowo gorsze od najcięższych występków[1]).

[1]) 1 Cor. 4, 7. [2]) Proc. 6, Relig. c. 18. [3]) 1 Tim. 1, 15. [4]) Collat. 17, c. 23. [5]) Tract. de vanit. et mond. h. 1, c. 10. [6]) Reguera. Theol. Myst. t. 1, p. 895 n. 651.

Pokora w uczuciu czyli pokora serca.

Drugim stopniem na tej drodze jest pokora w woli czyli w uczuciu, przez którą ktoś z wewnętrznego poznania Majestatu Boga i uszanowania względem Niego i z prawdziwej znajomości swojej nędzy, lekceważy siebie i chce być wzgardzonym i na ostatniem miejscu pod nogami wszystkich położonym. Ta więc pokora rodzi się z pokory umysłu czyli z poznania siebie[2]). Do takiej pokory zachęca Zbawiciel, mówiąc: Uczcie się odemnie, żem jest cichy i pokornego serca[3]). Usiądź na poślednem miejscu[4]). I Książę Apostołów ostrzega: Uniżajcież się tedy pod mocną ręką Bożą[5]). O takiej pokorze mówi Ś. Bonawentura: „Napominam cię, sługo Chrystusowy, abyś, poznawszy swoje wady, uniżał się w duchu i sam sobą wzgardził[6]), a zawsze i wewnątrz siebie i nazewnątrz przed ludźmi we wszystkiem się upokarzał i poniżał w mniemaniu o sobie wewnętrznem, i w słowach, i we wszystkich czynach ostatnie obierał miejsce[7])."

Wszelkie dobra bez pokory nie pomagają, ale szkodzą.

Trzeba głęboko wpoić sobie to przekonanie, że bez pokory umysłu i serca wszystkie inne dary, czy to w początkujących, czy w postępujących, czy w doskonałych nie pomagają, ale raczej do upadku wiodą. Mówi bowiem Zbawiciel: Wszelki, co się wynosi, zniżon będzie: a kto się uniża, wywyższon będzie[8]). I Ś. Piotr: Bóg pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaskę dawa[9]). jak się to okazało na faryzeuszu i publikaninie[10]). Ś. Izydor potwierdza to, mówiąc: „Z wysoka cięższy jest upadek. Pokora zaś nie zna upadku, pokora nigdy nie upada. Nigdy nie doznała spadnięcia pokora" [11]). A Ś. Tomasz z Villanowy: „Usuń tylko fundament pokory, a cała budowa cnót runie" [12]). Przyczynę tego daje ten ostatni: „Jako wiara jest pierwszą cnotą w rzeczy samej, tak pokora jest pierwszą ubocznie, to jest w sposób zapobiegający, ona bowiem usuwa pychę, której Bóg się sprze-

[1]) Lud. a Pont. Tr. 4, Duc. spir. c. 3, § 3, Rodr. Exer. perf. n. 2, T. 3, c. 3, 4. [2]) Alvarez de Paz. T. 2, c. 4, p. 1, c. 1. [3]) Matth. 11, 29. [4]) Luc. 14, 10. [5]) I, Petr. 5, 6. [6]) Libr. De perf. vitae c. 2. [7]) Proc. 5, Relig. c. 8. [8]) Luc. 14, 11. [9]) I. Petr. 5, 5. [10]) Luc. 18. [11]) Lib. 2, Synom. c. 5. [12]) Conc. de S. Mart. post. med.

ciwia, i czyni człowieka poddanym i uległym, a więc sposobnym do przyjęcia łaski [1]).

Pokora wewnętrzna i zewnętrzna.

Pokora zewnętrzna powinna się łączyć z wewnętrzną, bo ani zewnętrzna bez wewnętrznej, ani wewnętrzna bez zewnętrznej nie wystarcza. Co do pierwszej mówi Pismo Święte: Jest który się złośliwie korzy, a wnętrzności jego są pełne zdrady [2]). I Ś. Ambroży utrzymuje, że wielu ma pozór pokory, lecz nie ma cnoty pokory, bo choć nazewnątrz ją okazuje, ale nie posiada jej wewnątrz [3]). Ś. Augustyn objaśnia to w słowach: Nie należy udawać pokory, ale ją praktykować, albowiem udawanie jest większą tylko pychą [4]). Co do drugiej — mamy słowa Zbawiciela, gdy umywając nogi, uczył nas upokorzenia zewnętrznego i powiedział: „Dałem wam przykład, abyście, jakom ja wam uczynił, tak i wy czynili“ [5]). Na które to słowa pisze Ś. Augustyn: Nauczyliśmy się upokorzeń z nieba, czyńmyż sobie wzajemnie to, co uczynił z pokorą Najwyższy [6]). A Ś. Bernard: „Upokorzenia są drogą do pokory, tak jak cierpliwość do pokoju, albo czytanie do umiejętności. Jeżeli pragniesz mieć pokorę, nie unikaj drogi upokorzeń, albowiem jeżeli nie umiesz się upokarzać, nie będziesz mógł być pokornym“ [7]).

W zewnętrznych upokorzeniach należy rządzić się roztropnością.

W upokorzeniach zewnętrznych trzeba łączyć gołębią prostotę z roztropnością wężową, Zbawiciel bowiem z jednej strony ostrzega: Strzeżcie się, abyście sprawiedliwości waszej nie czynili przed ludźmi, abyście byli widziani od nich [8]), a z drugiej strony mówi: Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli uczynki wasze dobre i chwalili Ojca waszego, który jest w niebiesiech [9]). Ś. Grzegorz uczy nas, jak pogodzić te dwa zalecenia. Niech będą jawne czyny wasze przed ludźmi, ale intencja ich niech będzie skrytą, abyśmy dając przez nie dobry przykład bliźnim, przez intencję podobania się samemu Bogu niejako je ukrywali [10]). Szczególniej ta roztropność potrzebna jest, gdy chodzi o upokorzenia wyjątkowe, jakie tylko ze szczególnego natchnienia Ducha Świętego czynić wypada, jak np. gdyby ktoś z pokory chciał się przedstawić bezrozumnym i ściągnąć na siebie wzgardę ludzką. Również tylko z nadmiaru pokory wewnętrznej godziłoby się mienić największym grzesznikiem lub jakiemiś wzgardliwemi słowami się nazywać.

Tak samo roztropnie trzeba postępować w odsuwaniu zaszczytnych urzędów. Wprawdzie należy stronić od przełożeństwa, od ludzkich pochwał, od wyższego miejsca, ale bez uporu; owszem, należy z upokorzonym umysłem ustąpić, jeśli posłuszeństwo, zbudowanie bliźnich albo pożytek dusz tego wymaga, co właśnie radzi Ś. Augustyn, mówiąc: „Ani z chęci wyniosłości nie powinno się ich przyjmować, ani dla dogodzenia gnuśności— odrzucać“ [1]). I Ś. Bernard nie pochwalił Ogerjuszowi, że się uchylił od przełożeństwa, nietyle otrzymawszy, ile raczej wymógłszy na to zezwolenie, przekładając własny spokój nad pożytek drugich. Z tejże zasady roztropności wychodząc, najlepsza rzecz jest nic nie mówić ani na swoją pochwałę, ani na naganę, aby płaszczykiem pokory nie okrywać próżnej chwały. Za to spokojnym umysłem znosić trzeba upokorzenia bądź słowne, bądź czynne, od Boga czy od ludzi, gdyż, jak naucza Ś. Franciszek Salezy, prawdziwa pokora nie wyjawia się i unika słów pokornych, bo nietylko chce inne cnoty ukryć, ale także i to najbardziej, samą siebie zataić pragnie [2]).

Pokorę stopniowo nabywać trzeba.

Chociaż do nabycia coraz doskonalszej pokory wewnętrznej i zewnętrznej z wielką usilnością w sercu dążyć należy, ale w jej wykonywaniu trzeba iść stopniowo i nie od jednego jakoby zapędu przeskakiwać. Takie stopniowe wstępowanie oznaczała ona drabina Jakóbowa, mówi Ś. Benedykt, który też w regule swojej dwanaście stopni pokory naznaczył [3]). Ś. Tomasz również tyle ich przyjmuje [4]), Ś. Anzelm nieco odmienniej wyznacza ich siedem [5]). Ś. Bernard przeciw tym dwunastu stopniom pokory dwanaście stopni pychy wystawia [6]). Rodrygez na ośm części tę cnotę dzieli, aby do rachunku szczegółowego mogła być zastosowaną [7]). Nakoniec Ś. Bonawentura ściąga wszystko do trzech stopni. Pierwszy stopień według niego jest, gdy człowiek, stosownie do poznania swojej nędzy, gardzi sobą; drugi — kiedy cierpliwie znosi wzgardę, owszem pragnie być wzgardzonym od drugich i unika zaszczytów; trzeci, gdy nawet przy wielkiem uczczeniu, przy wielu cnotach i darach z niczego się nie

[1]) 2. 2, q. 181, a. 5, ad 1. [2]) Eccli 19, 23. [3]) Ep. 2 ad Constant. [4]) Lib. de S. Virg. c. 42. [5]) Joan. 13, 15, [6]) Tr. 58 in Joan. [7]) Ep. 87 vers. fin. [8]) Matth. 6, 1. [9]) Ibid. 5, 16. [10]) Homil. 10 in Evang.

[1]) Ad Eudoxiam Ep. 81. [2]) 3 p. Introd. c. 2. [3]) Reg. 7. [4]) 2. 2, q. 151. [5]) Lib. de Similit. c. 109. [6]) Tr. de grad. humil. [7]) In Exer. perf. tr. 3, c. 28.

chlubi, ale Bogu za wszystko cześć oddaje. Pierwszy stopień pochodzi stąd, że dusza nie chce kłamać przed sobą i nie wynosi się nad siebie. Drugi, że miłuje prawdę, więc i od innych chce być uważana za taką, jaką jest. Trzeci wreszcie stopień ujawnia pokorę doskonałych, którzy o ile są wyższymi, o tyle więcej uniżają się we wszystkiem: w rozumieniu o sobie, w pragnieniu upokorzeń, w mowie, w czynach i w ubraniu. [1])

Znajomość własnych wad i darów Bożych.

Prawdziwa pokora ma zawsze oczy otwarte na poznanie najmniejszych swoich błędów i strzeże się upodobania w darach od Boga odebranych, jednakże darów tych w sobie nie zapiera, owszem, zna je i widzi. Za przykład może tu służyć Ś. Paweł, który powiada, że równo z innymi apostołami otrzymał ducha Bożego [2]). I, nie mógłby, naglony miłością, tak wielkich łask wyliczać, jak to uczynił w liście do Koryntjan [3]), gdyby ich w sobie nie uznawał. To samo widzimy w Ś. Teresie [4]) i Ś. Franciszku Salezym [5]). A Ś. Tomasz mówi: Ci, co uposażeni są darami Boskiemi, wiedzą, że je mają [6]). Bez tego bowiem poznania nie mogliby dziękować Bogu, a gdyby nie poznawali, że o ile mniej ufają sobie, o tyle z dobroci Boskiej stają się mężniejszymi, pokora ich byłaby raczej małodusznością. Nakoniec bez tej znajomości nie mogliby lękać się pokornie zdania rachunku z otrzymanych darów. Lecz należy tu ostrożnie postępować, aby ktoś pod pozorem dziękczynienia nie podobał się więcej sobie, niżeli Bogu i nie miał stąd okazji do próżnej chwały, jak nauczają Kasjan [7]) i Klimak [8]). Dlatego rzadko i oględnie, jakby tylko dla rozbudzenia miłości i zagrzania nadziei trzeba zwracać uwagę na dary Boże, a częściej i chętniej patrzeć na własne błędy. W tym duchu Apostoł powiada: „Choćbym się chciał przechwalać, nie będę głupim; bo prawdę powiem, lecz pofolguję“ [9]). Z których to słów Ś. Grzegorz wnosi, że widać miał o sobie coś więcej do powiedzenia, kiedy się powściągnął. [10])

Należy gardzić sobą i podobać sobie w zniewagach.

Najwyższa wreszcie pokora, do której trzeba dążyć, wtedy jest, gdy kto szczerze sobą pogardza i zniewagi od innych nietylko przyjmuje, ale ich pragnie i z nich się weseli; z rozważania zaś darów Bożych nie wynosi się wcale, owszem, w różnych doświadczeniach okazuje, że i sam się ma za nic i chce za nic być mianym. To jest ta radość, o której mówi Zbawiciel: „Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą... Radujcie się i weselcie się [11]).“ Doznali tego rzeczą samą Apostołowie, gdy szli od oblicznosci rady, weseląc się, iż się stali godnymi dla Imienia Jezusowego zelżywość cierpieć [12]). O niej też pisze mistrz Avila: „Nie jest to tylko poznanie, że sam Bóg jest wszelkiem dobrem, a my samą złością, lecz nadto jakieś inne jeszcze uczucie, którego ja mało umiem doznawać, a jeszcze mniej mówić o tem, co czuję“.

Zachęta do pokory.

Kto przeto serdecznie chce dążyć do doskonałości, niech przedewszystkiem ćwiczy się w pokorze i niech się jej uczy od Pana Jezusa, który wyniszczył sam siebie, przyjmując postać sługi [13]) i sam się poniżył, stawszy się posłusznym aż do śmierci, a śmierci krzyżowej [1]). Stąd wnosi Doktor Seraficki, skoro Pan i Mistrz nasz za tak lichego i wzgardzonego był uznany, a nie jest sługa nad pana, ani uczeń nad mistrza, — jeżeliś przeto sługą Chrystusowym, jeżeliś uczniem, musisz podobnież być lichym, i pokornym, i wzgardzonym. Musisz pamiętać, że Chrystus uniżył się, aż do najwzgardzeńszego rodzaju śmierci i tak dalece stał się pokornym, iż był uważany za trędowatego, a tak upokorzony, że podówczas nic wzgardzeńszego, ani lichszego na świecie nie było [2]).

Po Chrystusie uczyć się mamy pokory od Bogarodzicielki Marji i od Świętych zakonu, o których Ś. Bonawentura mówi do Sióstr Ubogich: „Bądźcie pokornemi, bo macie Matkę pokorną, to jest Błogosławioną Klarę—istny wzór pokory“ [3]). O Najświętszej Marji Pannie Tomasz z Villanowy tak się wyraża: „Naśladujcie pokorę Matki Bożej, która, będąc wielką przed Bogiem, im bardziej przez anielskie poselstwo została wywyższoną, o tyle w swojem przekonaniu głębiej się uniżała. O szczęśliwa Służebnico, której wszystko służy! Tę Służebnicę naśladujcie, o słudzy i służebnice Chrystusa, Ta niech będzie dla was codziennego życia przykładem, — Ta niech będzie zawsze i wszędzie na oczach waszych, Tę czcijcie, Tę miłujcie, Tę błagajcie, Tę naśladujcie [4]), a tak przez stopnie pokory wejdziecie na wyższe stopnie doskonałości“.

---

[1]) Prod. 6, c. 22. [2]) I. Cor. 2, 12. [3]) II. Cor 11, 12. [4]) Vita c. 10. [5]) 3. p. Introd. c. 5. [6]) 2, 2. q. 161. a. 3, ad I. [7]) Lib. 11 Imit. [8]) Tr. 21. [9]) 2. Cor. 12, 6 [10]) Lib. 18, Mor. c. 17.

[1]) Matth 5, 11. [2]) Act. ap. 5, 41. [3]) Ad Philip. 2, 7. [4]) Ibid. 8. [5]) C. 2. De perf. vit. [6]) l. [7]) Conc. de Annunt.

Na czem zależy duch pokory.

Inna rzecz jest spełniać jakieś akty pokory wewnętrzne lub zewnętrzne, a inna rządzić się duchem pokory, który wymaga jakby nałogu tej cnoty i ma się we wszystkiem objawiać. Przypatrzmy się osobom światowym: rządzą się one duchem próżności i pychy, wszystko też w nich jest tą próżnością i pychą nacechowane. Ich myśli, ich słowa, ich czyny, ich obejście i ruch każdy, i sama postawa, i ich ubiór, i ich sposób przestawania z drugiemi tchną zawsze próżnością, zarozumiałością i wyniosłością. Tak też samo, a raczej przeciwnie winna postępować osoba, któraby się chciała rządzić duchem pokory. Najpierw pokornie myśleć o sobie, uważając się jako sama z siebie do niczego niezdolną, a z tych darów natury i łaski, jakie w sobie dopatrzy, nic sobie nie przypisywać, ale całą chwałę za to Bogu oddawać, na czem głównie prawdziwa pokora się zasadza. Nie należy też nic mówić na swoją chwałę; co zaś do pokornego mówienia o sobie, to trzeba być bardzo ostrożnym, żeby się to nie obracało w samochwalstwo. Należy być pokornym w całem przestawaniu z ludźmi, z nikim się nie sprzeczać, każdemu ustępować, nikogo nie lekceważyć, mowy drugim nie przerywać, wszystkie upokorzenia skądkolwiek bądźby spadły, spokojnie a nawet wesoło znosić. Wreszcie i w uczynkach trzeba być cichym, niewyniosłym, nie ubiegać się za zaszczytnemi zajęciami i nie unikać nizkich, wzgardzonych. Kto tak postępuje, ten rządzi się duchem pokory i dobrze naśladuje pokornego Franciszka.

Bł. Bernardyn z Feltry
pokazujący godło Gór pobożności, założonych i popieranych we Włoszech przez niego i innych Braci Mniejszych.
Część utworu przypisywanego Rafaelowi. Ze zbioru hrabiego Gwidona Bisenza.

ROZDZIAŁ X.

Duch seraficzny jest duchem surowej pokuty.

Duch pierwszych chrześcijan był duchem pokuty. Czuwanie nocne na modlitwie, wstrzemięźliwość, posty, to żywioł wiernych pierwiastkowego Kościoła. Patrząc na Kalwarję i niezaschłą tam jeszcze Krew Zbawicielową, wyznawcy Jego trwali w ciągłem podniesieniu ducha ku niebu. Dogadzanie potrzebom zmysłów było dla nich istotnym ciężarem. Lecz w miarę rozszerzania się Kościoła i coraz większej swobody, duch ten coraz bardziej słabnął, aż w końcu pogańskim skłonnościom natury całkowicie ustąpił.

Wezwanie Ś. Franciszka.

Wezwany przez Stwórcę do walczenia z trzema głównemi namiętnościami, które ówczesny świat do pogaństwa przywiodły, to jest z żądzą bogactwa, sławy i rozkoszy, musiał Franciszek odbić na sobie w sposób niezwykły trzy cnoty im przeciwne, a więc ubóstwo, pokorę i pokutę. Od tych cnót nazwał nawet trzy swoje zakony, bo pierwszy Braćmi Mniejszymi, (pokornymi), drugi Siostrami Ubogiemi, a trzeci zakonem Pokutujących. Umartwienie zmysłów dopełniało więc we Franciszku dzieła rozpoczętego przez ubóstwo i pokorę. Nie napróżno chciał w zasadzie, aby jego uczniowie nazywali się „pokutnikami assyzkimi“. Czyż bowiem nie był on sam wielkim pokutnikiem umbryjskim i czy nie słusznie uważany jest za największego ascetę wieków średnich, pierwej jeszcze nim został jednym z najsłynniejszych apostołów swego czasu?

Jak wielkim pokutnikiem był Ś. Franciszek.

Jego pierwsze kroki na przykrych ścieżkach pokuty prawie nas przerażają; jego post na wyspie Peruzkiego jeziora przypomina surowość umartwień pustelników Tebaidy. U Matki Boskiej Anielskiej dorównywa Benedyktowi Ś., gdy się tarza w krzaku ciernistym, i Ś. Bernardowi, gdy się rzuca do zamarzłego stawu. I wtedy nawet, kiedy biczowaniem swego ciała wyrzucił z siebie buntownicze pozostałości, nie pozbywa się tego ducha pokuty, który ożywiał go tchnieniem swojem, zawsze nowem, silnem, nieprzezwyciężonem od pierwszej chwili nawrócenia. Jak świadczy Ś. Bonawentura, Seraficki Ojciec obchodził się ze swem ciałem, jak z nieprzyjacielem, dając mu to tylko, czego już niepodobna było odmówić [1]).

Był w tem naśladowcą Chrystusa.

W pokucie mąż Boży był również naśladowcą i uczniem Jezusowym. Pierwsze kazanie Zbawiciela brzmiało: „Czyńcie pokutę“ [2]) i potem nieraz do słuchaczów swoich mawiał: „Jeśli kto chce za mną iść, niech weźmie krzyż swój, a naśladuje mię [3]). Pobudzony tem, Franciszek wzgardził nietylko wszelkiemi uciechami ciała, ale i zwy-

[1]) Ś. Fr. za życia i po śmierci. C. I. s. 187. [2]) Matth. 4, 11. [3]) Ibid. 16, 24.

czajnemi wygodami; nadto, trapiąc ciało swoje postem, czuwaniem, dyscypliną, włosienicą i innemi pokutnemi narzędziami, umartwienie Jezusowe zawsze nosił w ciele swojem [1]). Obchodził się z niem nader surowo i sam wyznał przy końcu życia, iż czynił to przez pamięć na swoje posłannictwo i obowiązek zostawienia przykładu swoim naśladowcom.

Ostry jego żywot.

Rozważając słowa Apostoła: którzy są Chrystusowi, krzyżują ciało swoje z jego pożądliwościami, jadł tyle tylko, aby nie umrzeć z głodu. I mówił często, że bardzo trudno zaspokoić prawdziwe potrzeby ciała, żeby razem i skłonności zmysłowej nie dogodzić. W początkach zakonu swego, aczkolwiek jałmużny nie było poddostatkiem, jednakże często nie żebrał wcale, bo i on sam i bracia tak się oddawali modlitwie i tak pilnowali rzeczy duchownych, że zapominali o żebraniu chleba, poprzestając z wielką uciechą na korzonkach i ziołach. W zdrowiu rzadko kiedy, owszem, nigdy prawie nie jadał potraw gotowanych, zwykłym jego posiłkiem był chleb i woda; jeśli zaś czasami jadł ugotowaną jarzynę, to domięszywał do niej albo popiołu, albo zimnej wody tak, że traciła smak i gorszą była niż surowa. Pijąc wodę, nigdy tyle jej nie pił, aby miał całkiem ugasić pragnienie, lecz by zaspokoił konieczną potrzebę. Stołem jego była ziemia, na której też i bracia za jego życia jadali. I na każdy dzień starał się obmyśleć jaki nowy rodzaj umartwienia, aby tak ujarzmić swe ciało, iżby posłuszne było rozumowi i nie przeszkadzało mu do duchownego postępu [2]).

Czterdziestodniowe posty Świętego Ojca.

Franciszek zwykle odbywał dziewięć postów, z których ośm 40-dniowych o chlebie i wodzie, tak że prawie cały rok, jak to u nas mówią, suszył. Spędziwszy w ten sposób Wielki Post, do którego wszyscy wierni są obowiązani, zaczynał go znowu od środy po Wielkanocy i przeciągał do Zesłania Ducha Świętego. Trzeci post do ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła trwał od oktawy Zielonych Świątek do ich uroczystości. Czwarty do Wniebowzięcia Matki Bożej od dnia następującego po święcie błogosławionych Apostołów do pierwszych nieszpór powyższego święta. Piąty do Ś. Michała Archanioła rozpoczynał w cztery dni po Wniebowzięciu Marji Panny. Szósty, na cześć Wszystkich Świętych, od Ś. Michała do tej uroczystości. Siódmy do Narodzenia Pańskiego, który i braciom kazał zachowywać, rozpoczynał w dzień Zaduszny, a kończył 24 grudnia. Ósmy na cześć Trzech Króli od dnia Ś. Szczepana do tego święta. Dziewiąty na pamiątkę postu Pana Jezusa na puszczy, zaczynał nazajutrz po Trzech Królach i przeciągał przez dni czterdzieści, uświęconych postem Zbawiciela. Do tego ostatniego nie zmusza ściśle swoich uczniów, ale go doradza i przywiązuje doń szczególne swoje błogosławieństwo [1]).

Sposób ich odbywania.

Jak zaś te posty odbywał Święty Ojciec, widzieliśmy już z postu, który odprawił około Kortony, a gdzie z dwóch bochenków chleba, wziętych przezeń na cały Wielki Post, półtora zostało [2]).

Gdyby skały Perudżji, Karceri i Alwernji mogły mówić, o iluż opowiedziałyby nam postach i umartwieniach Franciszka! Jakież skarby pokuty przedstawiłyby naszym oczom — skarby, które aniołowie unieśli, aby je położyć na szalę miłosierdzia Bożego i uczynić zadosyć za zbrodnie XIII wieku! Ale nie. Owe tajemnice zostaną nieznanemi aż do wielkiego dnia objawienia, chociaż jedno słówko Świętego, podobne do błyskawicy, która przerzyna niebo, zdarło zasłonę, ukrywającą je przed naszemi oczyma. W chwili zgonu Seraficki Patryarcha zrozumiał, podobnie jak Ś. Bernard, że winien przeprosić brata osła, to jest swoje biedne ciało, iż się z niem tak surowo obchodził [3]).

Jak resztę życia spędzał.

Jak spędził resztę życia, można wywnioskować z jego własnych słów: „Nie byłem nigdy, mówił sam o sobie, wydziercą jałmużn, szukając ofiary zbyt obfitej. Zawsze brałem mniej nad to, czegom rzeczywiście potrzebował, aby nie skrzywdzić innych ubogich, bo, gdybym inaczej czynił, zdawałoby mi się, jakobym jawnej grabieży się dopuszczał". Chodząc po świecie, przestawał na tem, co mu dawano do pożywienia, według Ewangelji Świętej; tak więc, czy to pościł, czy jadł, zawsze budował bliźniego. Jeśli kiedy w chorobie zmuszonym był posilać się mięsnemi potrawami, zaledwie przyszedł do zdrowia, wynagradzał tę folgę, w dwójnasób przydając sobie pokut. Dlatego mawiał brat Idzi, że gdyby Święty Franciszek był zdrowszym na ciele i tak silnym jak on, to cały świat nie dorównałby mu w umartwieniu [4]).

---

[1]) 2. Cor 4, 10. [2]) Kron. str. 103.

[1]) Żyw. Ś. Fr. O. Prok. T. II s. 181. [2]) Tamże s. 123. [3]) Ś. Fr. za życia i po śm. [4]) Kron. s. 106.

Jaki był jego spoczynek.

Mając ciało bardzo delikatne i osłabione, a przytem wyniszczone pracą i podróżami, sypiał zwykle na gołej i twardej ziemi albo na prostym tapczanie, zamiast poduszki kamień lub jaki pniak pod głowę kładąc, a często nawet siedzący. Lecz sen niewiele go posilał, bo większą część nocy modlił się, wstając na tę rozmowę z Bogiem, gdy bracia już zasnęli. Nie mógł też nieraz zmrużyć oka z powodu różnych boleści, które zawsze prawie w większym lub mniejszym stopniu go trapiły. Bywało i tak, że walka z pokusami przyprawiała go o bezsenność [1]).

Jaka odzież.

Odzieniem jego była jedna suknia bardzo ostra z kapturem, okrycie wewnętrzne i zwyczajny gruby powróz. Franciszek brzydził się ubiorem miękkim, a podobał sobie w pospolitym i często powtarzał słowa, które wyrzekł Zbawiciel, wychwalając odzież Ś. Jana Chrzciciela „którzy się w miękkie szaty odziewają, na dworach królewskich są". Stąd, jeśli dopatrzył w sukni swojej coś takiego, coby trąciło miękkością, zaraz ją czem szorstkiem podszywał i mówił wtedy: „Wiem, że sami szatani podziwiają mocno tych, którzy ostry żywot prowadzą, a bardzo natarczywie kuszą innych, którzy ubierają się miękko i wykwintnie. Gdy go raz pytano, jak mógł przetrwać zimę w tak nędznem ubraniu, odpowiedział: „Gdybyśmy wewnątrz byli zagrzani ogniem miłości Bożej, łatwobyśmy takie i większe jeszcze zimno znosili" [2]).

Jak umartwiał wzrok.

Ten sługa Boży tak bardzo ujarzmiał swe zmysły, a osobliwie oczy, odwracając je, aby nie patrzyły na marności światowe, iż, jak to sam opowiedział, żadnej prawie białogłowy nie znał z widzenia; uważał sobie bowiem za wielkie niebezpieczeństwo mieć w pamięci obraz, któryby choć najmniej mógł pobudzić jego cielesność umartwioną i stłumioną popiołem pokuty, albo też przypuścić tam co takiego, coby miało zmazać niewinność i jasność duszy czystej. Walcząc usilnie przeciw zmysłom, dostąpił był tak wielkiej skromności, iż zdawało się, że miał zupełną i doskonałą władzę nad ciałem. Uczynił bowiem przymierze z oczyma swemi, jak niegdyś Job Święty, gdyż wystrzegał się patrzeć nietylko na rzeczy niebezpieczne, ale i na próżne lub ciekawe [3]).

[1]) Tamże s. 107. [2]) Tamże 108. [3]) Tamże s. 114.

Jak senność przezwyciężał.

Gdy raz modlił się w nocy, stanął przed nim szatan i pod pozorem przyjacielskiej rady rzekł do Świętego: „Franciszku, dlaczego śmierć sobie dobrowolnie przyspieszasz? Poco tak czuwasz? Czy nie wiesz, że sen jest głównem pokrzepieniem sił żywotnych i że szczególniej dla młodego jest on niezbędny? Wszak są inne umartwienia, które mógłbyś zadawać sobie za karę swoich grzechów; pocóż zabijasz się długą bezsennością i zbytniemi modlitwami?" Święty poznał w tem natychmiast zasadzkę złego ducha. Ale w tej chwili sen bardzo go morzył, aby więc nie uledz zwodniczej radzie, wybiegł do ogrodu i zdjąwszy habit, rzucił się w krzak ciernisty i w nim się tarzał, mówiąc sam do siebie: „Lepiej mi pocierpieć to dla Chrystusa, niż usłuchać wroga mojej duszy". Na te słowa kusiciel odstąpił, a Serafickiego Patryarchę otoczyła wielka jasność [1]).

Jak karcił słuszne nawet pragnienie ciała.

Pewnego razu Święty Ojciec jechał na Alwernję. Zatopionemu w rozważaniu tajemnic Boskich przyszła myśl, że, chcąc prędzej wrócić do zdrowia, powinien przez czas jakiś jadać potrawy mięsne. W tejże chwili uczuł pociąg do smacznie przyrządzonego drobiu, ale, spostrzegłszy to, zaczął się karcić za tę mniemaną pieszczotliwość. Tymczasem wieśniak, prowadzący osła Franciszka, zatrzymał się na odpoczynek przy swojej chatce, gdzie mąż Boży ujrzał na śmietnisku nieżywą cuchnącą kurę. Podniósł ją więc coprędzej i przykładając do nosa i ust, mówił do siebie: „Oto, żarłoku, masz mięso, którego ci się zachciało, nasyć się niem, jeśli możesz i jedz ile chcesz". Zwyciężywszy tak apetyt, wszedł do chatki, napił się trochę wody, posilił kawałkiem chleba, a i ten posypał jeszcze popiołem, gdyż bardzo mu smakował. Odjeżdżając, pobłogosławił zacnego gospodarza, i przepowiedział mu, że doczeka kilku licznych pokoleń i że potomkom jego nigdy na dostatniem utrzymaniu życia zbywać nie będzie, co się sprawdziło i sprawdza aż do dzisiejszych czasów. Rodzina tego wieśniaka okazywała się zawsze najprzychylniejszą dla Braci Mniejszych, skąd dom jej nazywano „Gospodą Ś. Franciszka" [2]).

Jak karcił w sobie lekkie posądzenia.

Dnia jednego Święty zapragnął duchownej rozmowy z Bernardem z Quintavalle, najpierwszym

[1]) Żyw. Ś. Fr. O. Pr. T. I. s. 128. [2]) Tamże s. 188.

ze swoich uczniów i kazał go do siebie przywołać. Lecz powiedziano mu, że brat ten, według swego zwyczaju, modli się o tej porze w sąsiednim lasku. Wówczas Franciszek poprosił towarzysza, by go tam zaprowadził, a przybywszy na miejsce, zaczął głośno wołać: „Bracie Bernardzie, przyjdź pomówić trochę z twoim biednym ślepym". Ten, będąc w zachwyceniu, wcale go nie słyszał, a Franciszek zdziwiony, że mu nie odpowiada, poddał się myślom posądzającym Bernarda o lekceważenie jego osoby. Kazał więc socjuszowi, który go przyprowadził, odejść nieco dalej, a sam zaczął prosić Pana Boga o wytłumaczenie mu, coby znaczyło owo nieposłuszeństwo brata, dotąd najuleglejszego wszelkim jego rozporządzeniom. Po chwili usłyszał głos z nieba: „Człowieku, dlaczego się wzruszasz? Czyż wypada dla stworzenia opuszczać Stwórcę? Brat Bernard ze mną rozmawiał, gdyś na niego zawołał i Ja to go zatrzymałem przy sobie, tak dla jego pociechy, jak żeby i ciebie nauczyć, że niekiedy ludziom duchownym nie dozwalam rozporządzać sobą według ich woli; że wówczas nie mogą oni być posłusznymi drugim, i nakoniec, że wiele jest w nich rzeczy na pozór tylko nagannych, gdyż czynów ich nie można oceniać według zwykłych prawideł".

Usłyszawszy takie upomnienie, mąż Boży, cały drżący ze strachu, zawołał swego przewodnika i poszedł z nim szukać brata Bernarda. A gdy go odnalazł, upadł mu do nóg, oskarżył się, jak go niesłusznie posądził i, położywszy się plecami na ziemię, rzekł: „Rozkazuję ci, abyś mi trzy razy zdeptał usta, mówiąc: Leżże tak na ziemi, chłopie, synu Bernardona, który wzbiłeś się w taką pychę, chociaż tak nikczemnym jesteś". Bernard ze łzami błagał Serafickiego Ojca, by go uwolnił od tego. Lecz Święty nalegał i brat musiał mu zadać ową pokutę, przez którą mąż Boży dowiódł, jak Święci Pańscy mają delikatne sumienie i jak cień nawet obrazy miłości bliźniego ciężko sobie wyrzucają i surowo karzą[1]).

Jak walczył z pokusą cielesną.

Innym razem Święty, modląc się w ogrodzie klasztornym, doznał pokus zmysłowych. Przypomniawszy sobie, jak w takim samym wypadku uczynił S. Benedykt, Patryarcha zakonów na Zachodzie, wskoczył i on w krzak ciernisty, tuż obok rosnący. Pokusa natychmiast odstąpiła, chociaż ciało żadnego bólu nie doznało, w chwili bowiem, kiedy Seraficki Ojciec rzucił się w krzak bez habitu, wszystkie kolce z tegoż opadły. Ale co jeszcze szczególniejsza: gdy odrosły, były miękkie jak włókno. Gałązki tego krzaku, w różne miejsca Włoch poprzesadzane, z wielkim podziwem botaników, wszędzie wydawały tenże rodzaj krzewu z miękkiemi cierniami. Wadding, historyk franciszkański, żyjący w XVII stuleciu, sam w różnych miejscowościach podziwiał taki rodzaj ciernia, przesadzonego z lasku, gdzie cud ten się wydarzył[1]).

[1]) Tamże s. 204.

Jak odpierał napaści, pobudzające do grzechu.

Z podobnym heroizmem Święty zakonodawca zwalczał napaści nieczyste, jak to wykazuje następujący wypadek. Gdy apostołował w krajach wschodnich, pewna poganka, znana z życia lekkiego, widząc jak wielu jej współwyznawców uwielbia we Franciszku umartwienie oraz wzgardę bogactw i przyjemności, postanowiła przekonać się, czy rzeczywiście jest on takim, za jakiego ludzie go mają. W tym celu zaprosiła misjonarzy na noc do swego domku, niby to dla wsparcia ich jałmużną, i gdy wszyscy usnęli, przekradła się do Świętego, który swoim zwyczajem trwał na modlitwie, i zaczęła go kusić. Franciszek szepnął jej, że sam wybierze właściwe na to miejsce i poprowadził ją do drugiego pokoju, gdzie był wielki komin. Wszedłszy tam, wygarnął z komina na marmurową posadzkę węgle, i, zrzuciwszy habit, położył się na nich, mówiąc do wszetecznicy: „Oto łoże godne czynu, jaki zamierzasz. Obieram je, by ugasić ogień, który ty chcesz we mnie rozniecić; jeśli cię on pali, zrób toż samo; skuteczniejsze to jest przeciw tego rodzaju płomieniom od najzimniejszej wody". Tymczasem tarzał się po węglach żarzących, a one mu żadnej szkody nie zadawały. Uderzona tak wielkim cudem, niecna kobieta nawróciła się i nietylko została chrześcijanką, ale i apostołką. Odtąd wiodła bardzo świątobliwe, nadzwyczaj ostre i pokutne życie, i wielu Saracenów, a zwłaszcza Saracenek pozyskała Panu Jezusowi[1]).

Pokuta Franciszka odbija się na jego twarzy.

Umartwienia i posty, jakie czynił Franciszek, oraz walki, jakie przechodził ze sobą, odbiły się na jego obliczu i inaczej być nie mogło. Te rysy, zmienione przez wiek, surowe obejście i tajemniczy wpływ świętości, uwiecznili dwaj malarze: Junkta z Pizy i Giotto w dwóch obrazach,

[1]) Tamże T. II s. 138. [1]) Tamże s. 68.

które przedstawiają nam twarz bladą, zapadłą od postów i nadzwyczaj chudą, oczy prawie wygasłe wskutek ciągłych łez, usta nie mające już tego miłego uśmiechu, jak dawniej. Cała twarz Franciszka nosi ślady walki i cierpienia, ale natomiast jest jakby przemieniona od działania łaski i żywo odbija nazewnątrz piękność jego duszy anielskiej [1]).

Co mu było pobudką do tak ostrego życia.

Pobudką do tego była, jak mawiał nieraz Święty ojciec, żarliwość o zbawienie dusz i chęć przyczynienia się do ich szczęśliwej wieczności. Są to te same powody, które i Chrystusa Pana do tylu cierpień i śmierci haniebnej przywiodły. W jego życiu umartwionem i wylanem dla drugich zachodził, według zdania Ś. Bonawentury, jakby zbytek, jakby pozorna przesada. Stąd, gdy mu ganiono, jako brak roztropnego umiarkowania, niezwykłe pokuty, zupełne zapomnienie o sobie i o swoich potrzebach, i bez żadnych granic poświęcanie się dla dobra wiernych, odpowiadał, iż czyni to i dlatego, że dany jest za przykład innym. Chociaż więc niewinne ciało jego, już całkowicie ujarzmione, nie wymagało żadnych nadzwyczajnych ostrości, jednak dla przykładu drugich ciągle je trapił i nękał. Nietyle więc już z własnej potrzeby, ile raczej z miłości bliźniego przestrzegał dróg twardych i stosował do siebie te słowa Pisma: „Gdybym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłościbym nie miał [2]) i nie nauczał bliźniego więcej jeszcze przykładem niż słowy, małobym się przydał drugim, a sobie wcale na nic“. A gdy widział, że wielu, zapatrując się na niego, rozmiłowywało się w krzyżu Chrystusowym, sam pobudzał się tembardziej do jego dźwigania, jako przez Boga na wodza i mistrza dla takich powołany i mający dojść do szczytu ewangelicznej doskonałości [3]).

Co o tem współcześni mu piszą.

Trzej towarzysze Franciszka, którzy później z rozkazu Grzegorza IX napisali jego żywot, tak się o tem wyrażają: „My, którzy byliśmy z nim prawie ciągle, poświadczyć możemy, że, chociaż dla braci co do ich potrzeb zawsze był bardzo wyrozumiałym i w domaganiu się od nich umartwień nader umiarkowanym, o ile to być mogło bez naruszenia ubóstwa, sam jednak święty nasz Ojciec nadzwyczajne zadawał sobie umartwienia i srodze trapił ciało i tak już bardzo wątłe i słabe. Gdy zaś razu pewnego zarzucono mu, że pod tym względem nie przestrzega właściwej miary, odpowiedział: „Czyż sądzicie, że i ja sam nie wiem o tem, iż z powodu słabego zdrowia niezbędneby mi było lepsze wyżywienie? Lecz że trzeba, abym służył za wzór dla wszystkich moich naśladowców, muszę ograniczać się na jak najlichszej strawie i we wszystkiem zachowywać jak najściślejsze ubóstwo, w niczem zgoła nie pozwalając sobie użycia rzeczy wytwornych i dogadzających zmysłom“.

To też na kilka dni przed śmiercią prosił ciała swego, aby mu przebaczyło, iż tak surowo się z niem obchodził, ale że czynił to nie z nienawiści ku niemu, jedno dla większej chwały Pańskiej i dla zbawienia swej duszy [1]).

Jakiej pokuty od braci wymagał.

Do podobnej pokuty Franciszek zachęcał i swoich uczniów: dlatego naznaczył im częste posty, ograniczył posiłki, przepisał lichą odzież, chcąc aby znosili niewygody, gorąco i zimno, i odbywali piesze podróże. Pokutę uważał za tak właściwą swoim braciom, że całe ich życie nazwał pokutą, jak mówi w Testamencie: że gdyby ich gdzie nie przyjęto, niech uciekają do innej ziemi dla czynienia tam pokuty z błogosławieństwem Bożem.

Jaki stąd wniosek dla synów Franciszka.

Nie może więc nikt nazywać się synem Franciszka z Assyża, ani bratem lub siostrą pokutującą, jeśli nie czyni uczynków pokuty, a szczególniej, jeśli w sercu nie żywi skruchy i nie ma w sobie ani ducha, ani chęci umartwiania się, choćby dla braku zdrowia nie mógł sobie na to rzeczywiście pozwolić. Konieczny jest bowiem dla nich ten duch, aby, cierpiąc różne niewygody, nie zniechęcili się do swego stanu i od powołania swego nie odstąpili i nie wpadli w ciężkie przestępstwa. Tym bowiem, co do walki ze światem są wezwani, nie należy oglądać się na sądy jego, i pod pozorami utrzymania sił i zdrowia, czy też dla innych względów światowych, od umartwień i pokuty odstępować.

Czem właściwie był duch pokuty Ś. Franciszka.

Duch pokuty Świętego Ojca naszego był tylko zwrotem do tego ducha, który ożywiał pierwiastkowy Kościół. Franciszek zebrał w trzech regułach swoich zmniejszające się z biegiem wieków

---

[1]) Ś. Fr. za życia... s. 164. [2]) 1. Cor. 13, 1. [3]) Żyw. Ś. Fr. O. Prok. Tls. 115.

[1]) Tamże.

surowości pierwszego Kościoła, aby mu zachować dusze mocne i jedynie przez ducha pokuty zdolne do wielkich czynów. Chciał tym sposobem uwiecznić w swoich zakonach, rozrzuconych po całym świecie, ten nadnaturalny rozczyn zaparcia się siebie, któryby, wsiany w masy, zdołał uchronić ludzkość od występków i pobudzić do cnót heroicznych.

To też w XIII wieku reguły Ś. Franciszka były silną dźwignią do wskrzeszenia i podniesienia ducha chrześcijańskiego, którego główną treścią jest pokuta i zaparcie. Jakże pożądanem jest, aby i dzisiaj taki sam skutek sprawił w nas duch jego pokuty!

Jak się ten duch w naśladowcach Franciszka Ś. objawiał.

Bł. Lukezjusz, 3 Zak. (1241 r.).

Pierwszy ten członek 3-go Zakonu na wzór Świętego Ojca pościł o chlebie i wodzie poniedziałki, środy, piątki i soboty, krwawo się biczował, nosił włosiennicę i sypiał na gołej ziemi, pokazując, że nietylko z imienia, ale rzeczą samą pełnił pokutę [1]).

Ś. Klara, Fundatorka 2-go Zakonu (1253 r.).

Święta dziewica, podobnie jak wszystkie jej córki, nie miała na sobie nic, prócz grubego habitu, który będąc pełen łat, bardzo jej dolegał swoim ciężarem. Brat Bartłomiej z Pizy, kronikarz zakonu, mówi: „Miałem w ręku habit Ś. Ojca Franciszka i habit Ś. Klary. Porównywałem je między sobą i przekonałem się, że ten ostatni był jeszcze grubszy i cięższy od bardzo grubego i bardzo ciężkiego habitu naszego Świętego Ojca“. Zimą i latem chodziła bez obuwia, a nawet bez sandałów. Lecz było to niczem w porównaniu z włosienicą, którą prawie nieustannie pod habitem nosiła, a miała ich trzy, jedna ostrzejsza od drugiej. Splecione z różnego rodzaju sierści i twardej ostrej szczeciny, obróconej do wewnątrz, rozdzierały i kłuły ciało. Jedna z nich dotąd znajduje się u Klarysek francuskich w Marsylji. Wystawiona jest w kościele ku czci publicznej przez całą oktawę uroczystości Ś. Klary. Była to z trzech włosiennic najmniej ostra. Najcięższa zaś jest u Klarysek w Assyżu. Jest to ta sama, którą razu pewnego zapragnęła spróbować siostra Agnieszka ze Spello, odznaczająca się między siostrami nadzwyczajną surowością życia i silniejszem od innych zdrowiem i poprosiła o to Świętej. Lecz zaledwie ubrała się w nią, czując, że dotkliwy ból przechodzi jej siły, wnet ją Matce Klarze z pokorą oddała.

Pod względem snu Fundatorka Sióstr Ubogich była niezmiernie umartwiona. Szła na spoczynek dopiero po odśpiewanej wspólnie Jutrzni, to jest, o trzeciej godzinie nad ranem, a przed szóstą już była na nogach. Sypiała zazwyczaj na gołej ziemi, niekiedy ścieląc na niej trochę trzcin suchych i twardych, albo nawet kolących; pod głowę kładła mały pieniek drewniany. Później, w podeszłym już wieku będąc, i jedynie z rozkazu Biskupa, za posłanie używała trochę słomy, twardą skórą przykrytej. Wielka też była jej wstrzemięźliwość w jedzeniu. Przez cały ciąg swego życia zakonnego, a więc przez lat 40 z górą pościła, nie biorąc do ust ani jaj, ani mleka, ani mięsa. Raz tylko na dzień jadała i to w bardzo małej ilości proste jarzyny albo surową sałatę. W Wielki Post i Adwent, rozpoczynający się wówczas od 11 listopada, przydawała sobie umartwień, poprzestając na chlebie i wodzie, a trzy dni w tygodniu, t. j. w poniedziałki, środy i piątki nic zgoła nie jadła. Na krótko przed śmiercią Biskup i Ś. Franciszek z obawy o jej zdrowie, kazali jej chociaż czemkolwiek w te dni się posilić, co Klara wiernie wypełniła.

Pomimo tak surowego życia, Święta dla drugich miała wielką wyrozumiałość i w obcowaniu z niemi była słodka, łagodna i przyjemnie wesoła. Oblicze jej było zawsze rozjaśnione, na ustach igrał serdeczny uśmiech, znać było tę swobodę ducha, w którą ciągle opływała [1]).

Ś. Ludwik, król francuski, 3 Zak. (1270 r.).

Jako prawdziwy syn Zakonu pokutnego, Święty monarcha odmawiał zmysłom swoim wszelkiej przyjemności. „Dobry król, pisze spowiednik królowej Małgorzaty, lubił duże ryby, ale dla umartwienia się, gdy mu je podano, często odsuwał półmisek i kazał sobie przynosić maleńkie rybki. Nieraz znów wziął sobie na talerz kawał ryby, ale nie tknął jej, poprzestając na zupie, a rybę posłał ubogiemu. Wróciwszy z wyprawy krzyżowej, nie brał już więcej do ust szczupaków i innych ryb delikatniejszych, zostawiając je ubogim. Podobnież czynił z każdą jarzyną, lub potrawą, pierwszy raz ukazującą się na jego stole. Bardzo często zdarzało się, mówi ten sam życiopisarz, że do wyśmienitych pieczeni i innego mięsa z doskonałym sosem, dolewał wody, aby zatrzeć ich smak. Nikt, albo mało kto w owym czasie dolewał tyle wody do

[1]) L'aur. séraph. T. II.

[1]) Żywot Ś. Klary z Assyża przez O. Prokopa Kap.

swego wina, co dobry król Ludwik... O innych jego umartwieniach mówiliśmy wyżej [1]).

Bł. Torello z Poppi, 3 Zak. (1282 r.).

Błogosławiony Torello, spragniony cierpień, co noc biczował się do krwi i pod ubogą suknią nosił ostrą włosiennicę. Łożem jego była goła ziemia, poduszką kamień, a trochę wody i chleba jedynym posiłkiem. Sypiał niecałe trzy godziny, resztę czasu nocnego poświęcając modlitwie i rozważaniu Męki Zbawiciela. Spowiednik jego zrazu obawiał się, czy te pokuty go nie osłabią, ale gdy się przekonał, że pochodziły z natchnienia Ducha Świętego, dozwolił mu je zachowywać.

Szatan nie mógł spokojnie patrzeć na życie tak umartwione; przypuszczał więc na sługę Bożego ciężkie pokusy i często nawet ukazywał mu się w postaciach, najwięcej działających na zmysły. W owych krytycznych chwilach święty pustelnik karcił swoje ciało bez litości: bił je żelaznym łańcuchem, tarzał się w cierniach lub wskakiwał do zamarzłego stawu; czasami znowu przez dwa i trzy dni nie brał żadnego pożywienia i w ten sposób wychodził zwycięsko ze strasznych napaści piekielnych. To też pod koniec życia był on tak wyczerpany różnemi ostrościami i umartwieniami, że musiał sobie nieco sfolgować [2]).

Ś. Małgorzata z Kortony, 3 Zak. (1297 r.).

Święta Pokutnica miała ciągle na ustach ten okrzyk Ś. Augustyna: „O, piękności zawsze dawna i zawsze nowa, jakże Cię późno poznałam, jak późno ukochałam!“ Ale jeśli późno zaczęła kochać Boskiego Zbawcę, przynajmniej raz nawróciwszy się, ukochała Go na wieki i wsparta na dwóch skrzydłach: posłuszeństwa i umartwienia, szybko wznosiła się ku doskonałości ewangelicznej. Od chwili swego pobytu w Kortonie, zupełnie zerwała z przeszłością, którą rada byłaby zmazać ceną krwi własnej, i dlatego zabroniła synkowi swemu wspominać przy sobie o Montepulciano, o jego właścicielach i o kimkolwiek nawet prócz Pana Boga. Następnie przedsięwzięła wszelkie środki, aby zabezpieczyć się od upadku. Obcięła więc swoje piękne czarne jak heban włosy, z których niegdyś tak się pyszniła; pomalowała twarz sadzami, by przyćmić swą urodę; wyrzekła się delikatnych potraw i przysmaków, które w Montepulciano tak jej smakowały, a żyła tylko chlebem, wodą, jarzynami i owocami; ciało okrywała ostrą włosiennicą, na którą później kładła habit tercjarek; nadto odprawiała krwawe dyscypliny i wiele innych umartwień i surowości pełniła. Lecz jakkolwiek pokuty te następowały jedne po drugich, jeszcze jej tego nie było dosyć. Nikt w świecie nie pragnął tak korony królewskiej, jak Małgorzata korony cierniowej. Codzień przydawała sobie pokut. „Ojcze mój“, mówiła do swego spowiednika, gdy ten zażądał, aby w umartwieniach zachowała pewną miarę, „nie może być pokoju między moją duszą, a tem nędznem ciałem; pozwól mi obchodzić się z niem, jak z największym przeciwnikiem i nie zważać na jego opór. Nie skarżyło się ono, żyjąc w rozkoszach. O, moje ciało, dodawała ze łzami, nie odmawiaj mi pomocy w służeniu Bogu! Dlaczego nie jesteś takie skore w oddawaniu czci Najwyższemu, jak byłoś niem w gwałceniu Jego prawa? Żadnych szemrań, żadnych udawań; tyś mnie pokonało, teraz ja pokonam ciebie“. Pewnego razu chciała sobie twarz brzytwą pokrajać i tylko spowiednik od tego ją powstrzymał.

Do tych aktów przydawała jeszcze umartwienie pracy. Aby nie być ciężarem swoim dobrodziejkom, przędła len i wełnę, oraz czuwała przy łożu młodych matek. Niekiedy upadała od zmęczenia, ale serce jej było szczęśliwe, nierównie szczęśliwsze, aniżeli wśród dawnych rozkoszy; pod chropowatą bowiem korą krzyża ukrywały się niezrównane pociechy czystej miłości Bożej, której jedna kropla przewyższa wszelkie ziemskie radości.

Można powiedzieć, że wyróżniającą cnotą Świętej była pokuta. Odkąd zrozumiała swój grzech, pokuta stała się dla niej prawem, potrzebą. Karała nielitościwie swe zmysły, które ją tak niegodnie zdradziły. A nienawiść ta nie zmniejszyła się z biegiem czasu. Chodząc w szarym worku pokutnym, śpiąc mało co i to na samych liściach, lub na gołej ziemi, 23 lata, to jest prawie połowę życia swego spędziła w największej pokucie, nie dając się już nigdy oślepić niewdzięcznemu urokowi stworzeń. Za przykładem ewangelicznej grzesznicy, tyle wspaniałomyślności włożyła w swoje nawrócenie, że miłość pochłonęła jej grzechy, jak ogień pożera lasy, płonące od pioruna. I tak samo usłyszała wyrok Zbawicielowy: „Idź, odpuszczają ci się grzechy twoje“. Wszystkie jej winy zostały zmazane, ale ona sama nie mogła sobie przebaczyć, że obrażała tak dobrego Boga i wiodła ciągle żywot pokutny, czując się szczęśliwą, iż mogła poświęcić członki swoje na całopalną ofiarę postu, a swoje serce na wylanie miłości. Ostatnie dziewięć lat Małgorzata mieszkała jako pustelnica w ubogiej chatce na górze Ś. Idziego. Było to jakby wynagrodzenie za dziewięć lat jej przeżytych w grzechu. Tam

[1]) Tom I str. 225. [2]) L'aur séraph. T. I p. 651.

BICZOWANIE NA ŚNIEGU.

jedynem jej zajęciem była już tylko modlitwa, zatopienie się w Ukrzyżowanym Zbawcy i ostra pokuta za swoje i bliźnich winy.

Przez ten szczery żal, nagłe a cudowne nawrócenie i ostre umartwienia Małgorzata stała się seraficzną Magdaleną. Podobieństwo to między grzesznicą ewangeliczną a pokutnicą z Kortony nie uszło bacznego oka historyków tej ostatniej. Rzeczywiście, czy weźmiemy pokrewność ich charakterów, czy stronę cudowną ich nawrócenia, podobieństwo jest zadziwiające. Wyjąwszy różnicę typu narodowego, języka i czasów, możnaby rzec, że te dwie niewiasty, urodzone jedna wśród gór Palestyńskich, druga u stóp Apeninów, siostry z piękności, genjuszu i łez, wyszły z tego samego aktu twórczego. Pokutnica toskańska, również jak i pokutnica z Judei, ma wielkie serce, które zachwyciło się zrazu stworzeniem, ale które później zerwało nagle swoje łańcuchy i rzuciło się z potęgą płomienia ku Panu, będącemu źródłem miłości. W jednej i drugiej poprzez działanie Ducha Świętego widoczny jest cud. Objawienie, udzielone Pokutnicy Kortoneńskiej, wskazuje tę samą prawdę. Pewnego dnia, gdy dziwiła się w obecności Ukrzyżowanego temu nadmiarowi pobłażania dla najniewdzięczniejszego ze stworzeń: „Córko moja, odrzekł jej Zbawiciel, czy zapomniałaś o Magdalenie grzesznicy, o Mateuszu celniku, którego uczyniłem apostołem, o dobrym łotrze, któremu raj przyrzekłem? Zaprawdę, mówię ci, że od stóp do głowy okryłem cię królewskim płaszczem mej łaski“ [1]).

Bł. Andrzej Segni, Brat Mniejszy (1302 r.).

Pragnąc większej samotności dla ściślejszego zjednoczenia się z Bogiem, Andrzej uzyskał pozwolenie zamieszkania w grocie, u stoku gór Apenińskich. Otwór tej groty był tak nizki i ciasny, że Święty musiał w niej być schylony albo klęczeć. Tam przepędzał całe życie swoje, oddając się rozważaniu rzeczy niebieskich i praktyce najsroższych umartwień. Szatan trapił go strasznemi napaściami, lecz Święty w najsilniejszych pokusach zwracał oczy na krzyż, pomnażał modlitwy i pokutne ćwiczenia, i tym sposobem wychodził zwycięsko z walki. O ostrości jego pokuty z tego można wnosić, że kolce żelaznego pasa, którego z siebie nie zdejmował, tkwiły w jego kościach jeszcze 400 lat po śmierci, gdy ciało oglądano przy procesie kanonizacyjnym [2]).

[1]) Sainte Marguerite de Cortone par le R. P. Léopold de Chérancé. [2]) L'aur. séraph. T. I p. 268.

Bł. Żoli z Sellano, 3 Zak. (1315 r.)

Ojczyzną Bł. Żoli, pustelnika i tercjarza, była mała mieścina Sellano w dyecezyi Spoletańskiej. Urodził się tam z rodziców ubogich, ale zacnych, którzy wszczepili weń uczciwe zasady. Młodzieńcem będąc, unikał wszelkiej okazji do grzechu i starał się przez modlitwę i pokutę zjednoczyć z Bogiem. By zaś to lepiej uskutecznić, zamieszkał w jednej z grot górskich i oddał się umartwieniom. Gdy w pustelni zabrakło wody, Bóg na jego prośby wyprowadził ją cudownie ze źródła, które miało własności lecznicze. Po życiu świątobliwem Błogosławiony umarł 9 czerwca 1315 r. i w tym też dniu dyecezja Spoleto obchodzi jego pamiątkę. Ciało jego spoczywa pod wielkim ołtarzem w kościele, ku czci jego wzniesionym [1]).

Franciszek z Durazzo, Brat Mniejszy (1316 r.)

Rodzina tego brata liczyła się do znakomitszych obywateli Epiru. On jednak bardzo młodo wzgardził świetną przyszłością i został Bratem Mniejszym w rodzinnem mieście, z którego w kilka lat przeniósł się za wiedzą swoich przełożonych do klasztoru urytańskiego, gdzie reguła była pilnie przestrzeganą. Tutaj obok pracy oddał się bogomyślności i umartwieniom. Postami ciągłemi tak był wysuszył ciało, iż podziwiano, skąd się brała krew, którą się oblewał przy biczowaniu. Żył tylko chlebem i wodą, a potem i chleba na większe swoje udręczenie przez siedem lat nie brał do ust, przestając na samych jarzynach [2]).

Ś. Elżbieta Portugalska, 3 Zak. (1336 r.).

Oprócz postów przez Kościół nakazanych, Elżbieta pościła cały Adwent i trzy dni w tygodniu w ciągu całego roku; przygotowywała się też dłuższym postem do obchodu świąt Wniebowzięcia Matki Bożej i Ś. Michała. W piątki oraz w wigilje świąt Matki Boskiej i Apostołów za cały pokarm służył jej chleb i woda. Wreszcie przy każdym posiłku umartwiała się, i gdyby król nie był ograniczył tych ostrości, wyrównałyby one umartwieniom pustelników. „Pokuta jest niezbędną tam szczególniej, mawiała Święta, gdzie złe skłonności ciągle znajdują swój żywioł, gdzie przeto okazje do grzechu ciągle odrastają“.

Przez umartwienie nigdy nie używała innego napoju oprócz wody. Gdy doktór jej zalecił,

[1]) L'almanach franciscain le 9 Juin. [2]) Kron. Ś. Fran. przez Sanniga. Cz. III. ks. 6. r. 19.

aby z powodu wielkiego osłabienia na jakiś czas zaniechała tego zwyczaju i piła potrochu wino, Elżbieta zalecenia tego nie spełniała. Lecz pewnego razu Pan Jezus w miłosierdziu swojem wodę, którą do ust swych niosła, w najwyborniejsze wino zamienił [1]).

Bł. Klara z Rimini, Klaryska (1346 r.).

Owdowiawszy poraz wtóry i będąc z tego powodu panią swej woli, Klara oddała się całą duszą umartwieniom i modlitwie. Szydzono z niej, że stała się bigotką, a nawet wprost, że nie jest przy zdrowych zmysłach. Dawne jej przyjaciółki nie mogły wyjść z podziwienia, jak można, zamiast ozdób, podnoszących urodę kobiety, nosić ciężkie żelazne opaski na rękach i na nogach, twardy pancerz 30 funtowy na ciele, sypiać na gołych deskach i jadać chleb suchy, popijając go samą wodą. Tylko bowiem dusze wybrane znajdują rozkosz w umartwieniach i pokucie; to samo, co oddala je od świata, zbliża je coraz więcej do Boga.

Bywały chwile, że Błogosławiona pokutnica musiała walczyć ze wspomnieniami dawniejszego trybu życia, w zbytkach, zabawach, fałszywych i znikomych radościach; odpędzała jednak te pokusy od siebie, uważając je za szatańskie nagabywania. Owszem, podwoiła nawet zwykłą surowość i pościła już prawie bez przerwy rok cały. Karała siebie za każdą myśl płochą, a kiedy raz chciało się jej bardzo zjeść jakiś smaczny kąsek, zadała sobie wnet ostrą pokutę za łakomstwo. W ten sposób czuwała nieustannie nad sobą i dążyła do doskonałego opanowania zmysłów, składając wszystkie umartwienia w ofierze Bogu za dawniejszą swą lekkomyślność.

Nie dosyć na tem, opuściła pałac swój na zawsze i obrała sobie mieszkanie w małej wieżyczce, znajdującej się w murze, okalającym miasto. Był to rodzaj ciasnej celi bez dachu nad głową, i w tem pustelniczem schronieniu przebyła Bł. Klara lat 30.

W dzisiejszych czasach wydaje się nam to wprost nie do uwierzenia, a jednak mamy na to najwiarogodniejsze świadectwa. Sława świątobliwości Klary z Rimini przetrwała przez długie wieki i nadzwyczaj silne wywierała wrażenie na współczesnych, zachęcając najobojętniejszych do bogobojności i skruchy. Jedynie miłosierne uczynki skłaniały Klarę do opuszczania czasowo swej pustelni. Gdy brat jej z powodu wypadków politycznych zmuszony był wyjechać z Rimini i przenieść się do Urbino, i tutaj ciężko się rozchorował, Klara pospieszyła go pielęgnować i otaczała troskliwą opieką aż do chwili zupełnego wyzdrowienia. Lecz i wtedy nie przestawała wieść pokutniczego życia. Obok katedralnego kościoła znajdowała się opuszczona wieża; tam zamieszkała Klara i przez małe okienko w murze słuchała nabożeństwa odprawianego w kościele, okno bowiem przylegało do katedry. Nie widywała nikogo, prócz kilku pobożnych osób i świątobliwego kanonika, którego za spowiednika sobie obrała. Wychodziła jedynie do brata lub dla odwiedzenia więźniów i chorych. Żyła z jałmużny, poprzestając na kawałku suchego chleba, a pokrzepiając się przedewszystkiem modlitwą, z głębi przepełnionego miłością serca, zanoszoną do nieba.

Klara wzruszała wszystkich swemi praktykami pokutniczemi. Surowość, z jaką sądziła własne winy, była zadziwiająca. Pewnego razu, z powodu niewłaściwie wypowiedzianego słowa, którego mocno później żałowała, ukarała się w sposób okrutny, drutem przywiązując sobie język i tydzień pozostając w tej pokucie. Długi czas potem mówić nie mogła. Wynajdywała ona coraz nowe sposoby udręczania swego ciała, a więc na pamiątkę postu Zbawiciela umyśliła nigdy w życiu nie wypić ani kropli wody, nie mówiąc już o żadnym innym napoju. Zważywszy na gorący klimat południa, można sobie wyobrazić, jak straszne nieraz przechodziła męczarnie. Wytrwała jednak mężnie przez czas długi, ale ciało jej mniej od ducha okazało się wytrzymałem: była już tak wyczerpaną, że niemal blizką śmierci. Czując się bardzo źle, zawołała: „Dla Ciebie to cierpię, Panie, przyjdź mi na pomoc!“. Zaledwie wymówiła te słowa, otoczyły ją wnet jakieś postacie, podające jej puhary pełne wina i wody; jedna z nich kubek z wodą do ust jej zbliżyła i wnet pragnienie ustało. Nazajutrz znowu powtórzyło się widzenie, a tym razem sam Zbawiciel podał jej tak wyborny napój, że odtąd przez jedenaście ostatnich lat życia nie czuła już potrzeby orzeźwiać znużonego ciała [1]).

Bł. Franciszek z Pesaro, 3 Zak. (1350 r.).

Ten sługa Boży mężnie walczył ze swem ciałem. Idąc dnia pewnego po kweście, został zaproszony na obiad przez kilku swoich przyjaciół. Bardzo chętnie poszedł do nich i zasiadł do stołu, a skosztowawszy niektórych dań, wyznał wobec wszystkich, że doskonała pieczeń, której zapach

[1]) Żywot Ś. Elżbiety Port. p. Berguin.

[1]) Żywoty Świętych.

się rozchodzi, tak mu smakuje, iż prosi gospodarza domu, aby mógł wziąć ze sobą kawałek, by, jak się wyraził, później jeszcze się nią uraczyć. Gospodarz, naturalnie, dał mu takowy z wielką chęcią, a pustelnik zachował go, aż mięso się popsuło i pełne było robaków, wtedy wziął je w ręce i rzekł do siebie: „A więc, bracie Franciszku, ponieważ po tylu latach pokuty, jeszcześ taki łakomy, uracz się tym oto kawałkiem pieczeni. Pachniała ci ona bardzo i wzbudziła apetyt, zobaczymy teraz, czy będziesz miał odwagę ją spożyć". I to mówiąc, poniósł do ust cuchnące i odrażającej woni mięso. W ten sposób zwyciężył nazawsze pokusę obżarstwa [1]).

Bł. Sanktes z Urbino, Brat Mniejszy (1390 r.)

Pokora i pokuta były to dwie ulubione cnoty błogosławionego braciszka. Żywił on się tylko trochą jarzyn zebranych w ogrodzie klasztornym i owocami, które jadł bez chleba, nadto ciągle modlił się o łaskę, by mógł cierpieć na ciele w tem samem miejscu, gdzie uderzył i zabił swego przeciwnika, a jednocześnie krewnego. Prośba jego została wysłuchaną: zrobił mu się wrzód bolesny na biodrze i żadne lekarstwo nie mogło mu nic pomódz, ani ulżyć, ani zagoić; miał go do śmierci, a nawet ma go i po śmierci. Pięćset lat już minęło, a bliznę tej cudownej rany widać jeszcze dotychczas na zwłokach, bez zepsucia się przechowujących [2]).

Bł. Joanna Marja de Majje (Maillé), 3 Zak. (1414 r.).

Zajmując się uczynkami miłosiernemi, Błogosławiona nie traciła z oczu postępu wewnętrznego. Za przykładem Apostoła narodów, który nie biegł na niepewne, goniąc za duszami, karciła swoje ciało umartwieniem, odmawiając mu potrzeb koniecznych, w chorobie nawet żadnych ulg mu nie pozwalała. Wiadomo jej było z pewnością, że umartwienie wewnętrzne przewyższa umartwienie zewnętrzne, ale i nie tajne jej było i to, że nie można wyrobić sobie nałogu pierwszego bez ćwiczenia się w drugiem; to też umartwiała się w najwyższym stopniu. Nosiła zazwyczaj ostrą włosiennicę i pas kolczasty, który sprawiał jej niewypowiedziane boleści; sypiała na gołej ziemi i często się biczowała. Prócz postów, jakie przepisuje Kościół i reguła tercjarska, zachowywała jeszcze każdego roku cztery inne posty, i w każdy poniedziałek, środę, piątek, i sobotę jadła chleb tylko z wodą [1]).

Ś. Franciszka Rzymianka, 3. Zak. (1440 r.).

Z głębokiem upokorzeniem Ś. Franciszka łączyła różne ostrości. Naprzód czy zdrowa czy chora, nigdy w całem swojem życiu nie wzięła wina do ust. Jadła raz tylko dziennie, nie przyjmując nic wieczorem, chyba że osłabienie lub posłuszeństwo spowiednikowi zmusiło ją spożyć jabłko gotowane, co zresztą rzadko kiedy bywało. Nie jadła nigdy ani mięsa, ani jaj, ani nabiału, ani ryb, ani innych rzeczy smaczniejszych. Jej synowa, która 16 lat razem z nią zasiadała do stołu, zeznała, iż nigdy nie widziała Franciszki jedzącej słodkich potraw. Posiłek jej składał się z owoców, korzonków i jarzyn, przyprawionych jedynie solą. W chorobie nic sobie nie folgowała. Był to zwykły sposób jej życia i dlatego ciągle chorowała na żołądek. Trudno nawet myśleć, jak mogła utrzymywać się przy życiu bez cudownej pomocy, jedząc tak mało i tak licho.

Łóżko Franciszki Rzymianki było zawsze zakrótkie. Spała zaś tylko na pasach, dopiero później spowiednik kazał jej używać siennika, co też uczyniła. Spała w całkowitem ubraniu, które składało się z tuniki i sukni wełnianej. Według świadectwa synowej, kładła się w najniewygodniejszem położeniu, raczej siedząc niż leżąc. Zresztą sen jej trwał tylko dwie godziny, w dzień zaś nigdy nie spoczęła. Do końca życia nosiła podwójną włosiennicę na gołem ciele. Żelazna obręcz ściskała jej biodra, raniąc ją nielitościwie. Dyscypliny używała z ostremi kolcami i również bez miłosierdzia. Gdy zaś ciało było całe w ranach, nalewała na nie wosk roztopiony, aby ją więcej bolało, tak że pod koniec życia pokryte było głębokiemi bliznami a w niektórych miejscach kości przeglądały. Sto razy na dzień biła się mocno w piersi, gdy zaś zdarzyło się jej popełnić jaką niedoskonałość, podwajała razy, a po wymówieniu próżnego słowa, aż do krwi biła swe usta. Tak surową była dla siebie, podczas gdy względem innych okazywała ujmującą słodycz i dobroć. Wszystkie te umartwienia nie przeszkadzały jej w pracach około gospodarstwa domowego, w posługiwaniu i nawiedzaniu cierpiących i ubogich. Pan Bóg widocznie wspierał ją swoją łaską. Gdy wszakże zachorowała, posłuszeństwo zmusiło ją ograniczyć te pokuty: zdję-

[1]) L'aur. séraph. T. III p. 142. [2]) Ibidem T. III p. 200.

[1]) Ibidem T. II.

ła więc ze łzami obręcz i zaprzestała krwawych dyscyplin, bo taka była wola spowiednika [1]).

Jan z Luki, Obserwant (1472 r.).

Braciszek klasztorny, Jan z Luki, tak był umartwiony, że nigdy przez cały czas swego życia zakonnego ani mięsa ani ryby nie skosztował, zaś posty wszelkie odprawiał o chlebie i wodzie. Przyznał to sam, że za łaską Pańską nie uległ nigdy obżarstwu, tak gorąco prosił Boga, aby raczył w nim umorzyć apetyt, a natomiast dał mu zakosztować siebie samego. Kiedy, jako staremu i choremu, bracia infirmarze przyrządzali coś posilniejszego, jadł, ale nie dla smaku, lecz z posłuszeństwa, zbierając stąd nowe zasługi. I braci również zachęcał do wstrzemięźliwości, która według niego najlepszem jest lekarstwem na wiele chorób; zbytniego wszakże czuwania w nocy i niezwykłych postów, szczególniej jeżeli z własnej woli pochodzą, nie chwalił [2]).

Ś. Jakób z Marchji, Obserwant (1476 r.).

Znakomity ten zakonnik przez pięćdziesiąt lat swego apostolstwa nie miał ani chwili spoczynku. Głosił słowo Boże, słuchał spowiedzi, odbywał podróże, godził zwaśnionych, zakładał bractwa, instytucje dobroczynne, szpitale, pobożne banki, słowem, przykładał rękę do wszystkich dzieł chrześcijańskiego miłosierdzia. Przy tem wszystkiem prowadził życie nadzwyczaj surowe i umartwione wobec słabej budowy ciała i wielu chorób. Przez całe życie, pisze Ribadeneira, Bł. Jakób cierpiał na podagrę, miał kamienie wewnętrzne i 40 różnych chorób, które ćwiczyły go w cierpliwości. Jest to jeszcze jeden dowód, że przez krzyż Pan Bóg wyrabia i kształci swych Świętych. Pomimo tylu cierpień, sługa Boży praktykował straszne umartwienia. Ciało jego pokryte było ostrą włosiennicą, przez ośmnaście lat nosił koszulkę żelazną. Pościł siedem postów Ś. O. Franciszka, to jest prawie cały rok. Zawsze wstrzymywał się od mięsa i tak mało jadał, że gdy wstawał od stołu, zdawało się, że zaledwie czego dotknął z podawanych mu potraw. Przez 40 lat codzień ostrą dyscypliną karcił swoje ciało, jednego dnia nie opuszczając. Te umartwienia tak go osłabiły, że miał przez dziewięć lat płynienie krwi. Cudem tylko przy tylu chorobach i umartwieniach mógł żyć tak długo i do końca życia pracować. Niekiedy upadał ze zmęczenia [3]).

[1]) Françoise Romaine. [2]) Kron. 3. Zak. Sanniga Cz. III. ks. 4 r. 10. [3]) La vie de Saint Jacques de la Marche par M. Berguin.

O kucharzu nieumartwionym.

Jak Pan Bóg karze w sługach swoich brak umartwienia i ducha pokuty, pokazuje się z następującego wypadku, opisanego w kronikach.

W rzymskim klasztorze Braci Mniejszych znajdował się pobożny zakonnik kucharz, który, umierając, oświadczył, że już jest potępionym. Bracia starali się go przekonać, że tak nie będzie, gdyż żył wzorowo, on jednak ciągle swoje powtarzał: „jestem potępiony, jestem potępiony". Przyszedł więc spowiednik, aby przyjąć odeń wyznanie grzechów, i tak samo uspokajał go, mówiąc, że nie widzi, za coby miał go Pan Bóg tak ciężko karać. Wówczas umierający rzekł: „Sumienie wyrzuca mi dwie rzeczy; pierwsza, że gotując jeść braciom, zostawiałem sobie lepsze kąski, a druga, że szemrałem na starszych. Dotąd było przy mnie pełno szatanów, którzy mi to przypominali, sądziłem więc, że czekają mnie wieczne męki w piekle". Po drugiej spowiedzi zaczął mieć ufność w Panu Bogu, lecz do ostatniej chwili wywieszał język i chował go, jak ten, który coś smacznego pije [1]).

O upartych.

Jeszcze ciężej karał Bóg takich sług swoich, którzy zuchwale wzbraniali się pokutować. Pewien brat uparty i nieposłuszny, nie chcąc wypełnić zadanego mu umartwienia, zdjął z siebie habit i rzucił go z gniewem na ziemię. Natychmiast jednak opętał go szatan i zaczął okrutnie trapić. Widząc to, wikary generalny rozgrzeszył nieszczęśliwego i podał mu suknię, którą był rzucił, i zaraz zły duch odstąpił od niego, a brat, upokorzony, odmienił życie [2]).

Piotr z Travanda, Obserwant (1492 r.).

Świątobliwy Piotr, rodem z Travanda, od dziecka już sposobił się do służby Pańskiej. W ósmym roku życia, pałając miłością Bożą, uszedł potajemnie z domu rodziców do klasztoru Konwentuałów, a gdy go ojciec stamtąd odebrał, chłopaczek zaniewidział i nie przejrzał, aż rodzice ślubowali oddać go w swoim czasie do zakonu. Młodo przyjąwszy na się jarzmo Chrystusowe, posłuszny, gorliwy w nabywaniu doskonałości zakonnej, jakoteż i nauk teologicznych, dla wszystkich uprzejmy, uniżony, wkrótce stał się ozdobą zgromadzenia i zasłużył sobie na powszechny szacunek. Lecz Bóg gdzieindziej go powoływał. W duszy jego coraz

[1]) Kron. 3 ch Zak., wydanie amerykańskie. [2]) Tamże.

częściej budziło się pragnienie większego ubóstwa i umartwień, które mógł znaleźć w rozpoczynającej się Obserwancji. Sposobność do tego zdarzyła się niezadługo. Będąc gwardjanem w Astano, przyjmował w klasztorze Ś. Bernardyna Seneńskiego, a Święty, któremu się zwierzył, utwierdził go w tem postanowieniu i w jakiś czas potem oblókł w habit Obserwantów. Jako kaznodzieja, Piotr bardzo żarliwie pracował w winnicy Pańskiej i Bóg też licznemi cudami jego naukę popierał. Praktykował on dziwne umartwienie i jedyne w swoim rodzaju, a mianowicie, nigdy, jak był Obserwantem, to jest przez całe 47 lat nie sypiał na tapczanie, ale stojąc, i to tylko dwie godziny; również stojący modlił się. Gdy go już jako wiekowego starca jeden z towarzyszów prosił, aby spoczywał jak wszyscy ludzie, odpowiedział mu: „Wiedz, miły bracie, że gdy mnie zobaczysz na łożu, możesz grób szykować". Urzędy nań włożone spełniał sumiennie, a nienasycony cierpień, żebrał o nie u Pana Boga, aby cierpliwem ich znoszeniem dowieść Mu swojej miłości[1]).

Dominik z Leonissy, Obserwant (1497 r.).

Ten sługa Boży przyszedł na świat w miasteczku San-Severino, ale że wychował się w Leonissa, dokąd przeprowadzili się jego rodzice, więc tak się zawsze nazywał. Był on z młodych lat pobożny, dopiero jednak kazanie brata Mikołaja z Osimo wywarło nań silniejsze wrażenie i zaprowadziło go do zakonu. Przyjąwszy habit Ś. Franciszka, przedsięwziął pilnie ćwiczyć się w trzech rzeczach: w naukach duchownych, w gorącej modlitwie i umartwieniach ciała. Co się tyczy tego ostatniego, co noc biczował się do krwi, w piątki całego roku posilał się tylko chlebem i wodą w bardzo małej ilości, sypiał na gołej ziemi, a najczęściej w klęczącej postawie[2]).

Jan z Volterre, Obserwant.

Bogobojny braciszek ze zgromadzenia Obserwantów w szczególniejszy sposób dręczył ciało swoje, odmawiając mu wszelkiej wygody, jak snu i ciepła. W najcięższe zimna, choć już był w latach, chodził w jednym habicie, połatanym i wytartym, a co większa, nie grzał się nigdy przy ogniu. Gdy go zaś ta pokusa opanowywała, zamknąwszy się w celi, zdejmował habit i klęcząc, powtarzał: „Ty bracie ciało, pragniesz się ogrzać i cieplej przyodziać, ale ja na to nie zezwolę; musisz cierpieć to zimno, a habitu ci nie dam, dopóki cię ta chętka nie opuści". Poczem zmarzły, zsiniały, drżący od zimna, ubierał się napowrót[1]).

Bł. Gabryel Marja, Obserwant (1532 r.).

Pomimo słabego zdrowia pokuty znakomitego zakonnika były wielkie: dwa razy na dzień zadawał sobie krwawą dyscyplinę, pierwszą za grzeszników, drugą za dusze w czyścu cierpiące, chodził w włosienicy i pościł oprócz dni nakazanych we wszystkie soboty, oraz w wigilje uroczystości Pana Jezusa i Matki Bożej. Jego miłość cierpień była tak wielka, że za stracony uważał dzień, w którym nie zniósł, czy to na duszy, czy na ciele żadnego umartwienia, żadnej przykrości. Wdzięczny też był bardzo tym, co mu się sprzeciwiali i dawali okazję do cierpień; modlił się za nich gorąco i oddawał im wszelkie usługi, jakie tylko były w jego mocy[2]).

Bł. Ludwika Albertoni, 3 Zak. (1533 r.).

Błogosławiona Ludwika starała się naśladować swego Serafickiego Ojca i Patryarchę: umartwiała ciało swoje, żeby je poddać duchowi przez najściślejsze posty, sypianie na twardej podłodze i krwawe biczowanie, a także przez lekką odzież nawet wśród zimy. Kiedy zwracano jej uwagę, żeby się tak nie dręczyła, odpowiadała: „Jak można żyć nie cierpiąc, gdy się patrzy na naszego Najdroższego Pana zawieszonego na krzyżu?"

Tajemnice Kalwarji miały dla jej serca nieprzezwyciężony pociąg i długie godziny spędzała na rozważaniu męki Najsłodszego Syna Bożego, a zawsze z taką obfitością łez, że omało co nie utraciła wzroku. Część nocy poświęcała modlitwie, z rana słuchała Mszy Św., i posiliwszy się Chlebem Anielskim, wracała do domu do swoich obowiązków.

Cz. Joanna od Krzyża, 3 Zak. reg. (1534 r.)

Pokutę czcigodnej Joanny od Krzyża raczej podziwiać nam trzeba, niż naśladować. Zapalona przez rozmyślanie Męki Pańskiej miłością Bożą i pragnieniem, aby cośkolwiek na sobie samej wycierpieć, udawała się do odosobnionej celi, gdzie, po zdjęciu habitu, przywiązywała się do drzewa niby do słupa, poczem rozpoczynała biczować się do krwi żelaznym łańcuchem. Często Anioł Stróż albo jej wprost zakazywał dalszej katuszy, albo, by

[1]) Tamże. Kron. 3 Zak. Sanniga Cz. III ks. 6, r. 7.
[2]) Tamże.

[1]) Tamże. [2]) L'aur. séraph. T. III p. 290.

ją do tego skłonić, odwiązywał od słupa. Często też uderzała się w piersi siedmiofuntowym kamieniem, dopóki na gołych kolanach nie obeszła 15 razy dokoła swojej celki. Na pamiątkę, że Zbawiciel był srodze wiązany powrozami, Joanna również krępowała się, używając ku temu gałązek cedrowych albo cierniowych. Pewnej nocy, gdy ją szatan ciężką nagabywał pokusą, poszła zaraz do ogrodu i nazrywawszy ile mogła gałązek róży, położyła się bez ubrania na tem kolącem posłaniu, jak niegdyś Święty Ojciec Franciszek, poczem, zbroczona krwią, zanurzyła się w nawozie, w którym długo przebywszy, odprawiła dyscyplinę i dopiero włożyła na siebie habit.

Przez cały ciąg swego życia zakonnego świątobliwa dziewica nosiła żelazny pancerz, a nadto drugi z blachy, ze znakami Męki Pana Jezusa. Tego drugiego używała nie tak często, bo nie mogła się w nim schylić; częstokroć chodziła z długim powrozem na szyi. W celce swojej umyślnie rozsypywała drobne kamyczki i kawałki żelaza, aby, czy to chodząc, czy klęcząc, ani chwili nie być bez umartwienia; to znów wspierała się rękami w postawie rozkrzyżowanej na dwóch gwoździach w murze będących, zaś po nocnem biczowaniu niekiedy zaraz wkładała na poranione ciało ową wyżej wspomnianą żelazną koszulkę [1]).

Ludwik z Kaltagironu, Reformat (1579 r.).

Brat Ludwik spędził młodość burzliwie: żył bowiem dosyć długo w nieprawym związku i kto wie, jaki byłby jego koniec, gdyby miłosierdzie Boże nie zbliżyło go do świątobliwego kapłana Obserwanta, jego ziomka, Antoniego z Kaltagironu. Pod wpływem nauk jego, młody rozpustnik umyślił wziąć się do pokuty, wreszcie poprosił o habit i otrzymał go jako zakonny braciszek. Dając przez cały czas nowicjatu dowody wielkiej gorliwości i posłuszeństwa, gdy przyszło do profesji, uległ pokusie i za namową tejże nieszczęśliwej niewiasty, opuścił potajemnie klasztor i przebrał się w odzież niedawno powieszonego złodzieja. Z sukniami temi zły duch większą jeszcze nad nim moc pozyskał. Szarpany rozpaczą, nie widząc już nadziei przebaczenia, odstępca powiesił się w ogrodzie rodzicielskiego domu. Na szczęście zobaczyli go słudzy, a poznawszy w wiszącym pańskiego syna, odcięli sznurek, ratując tem i duszę i ciało nieszczęśliwego. Od tego wypadku przez sześć miesięcy Ludwik oddawał się ostrej pokucie, poczem na wstawienie się tegoż Antoniego z Kaltagironu, który duchem Bożym odgadł, że tym razem wytrwa w swojem powołaniu, został znowu przyjęty do Braci Mniejszych Obserwantów. Rzeczywiście od tej chwili surowe posty, codzienna dyscyplina, obfite łzy, czuwanie w nocy na modlitwie przed Najśw. Sakramentem, sen krótki i to stojąc, klęcząc, albo leżąc na wiórach i suchych gałęziach, wypełniały jego życie poza obowiązkami zakonnemi. Nigdy też nie grzał się przy ogniu, chociaż kurczył się od zimna w czasie zimowym, odpowiadając braciom, że, jako wielki grzesznik, powinien to znosić dla zgładzenia swoich nieprawości. Jego stateczna pokuta i modlitwy wyjednały nawrócenie owej nieszczęsnej kobiecie; do śmierci opłakiwała ona grzechy swoje. Brat Ludwik zaś, gdy Reforma Stefana Molino została wprowadzoną do Sycylji, przeniósł się do niej i zasłynął tam doskonałemi cnotami [1]).

Bł. Mikołaj Faktor, Obserwant (1583 r.).

Słynny ten kaznodzieja tak się mocno i długo biczował, że ciało odpadało z niego kawałkami, a krew płynęła strumieniem. Gdy jako gwardjan odprawiał dyscyplinę, zakonnicy, słysząc owe razy, przejęci litością, pukali do niego, niby potrzebując z nim się rozmówić i w ten sposób skłaniali go do zaprzestania swego męczeństwa. Nie było pokuty, którejby Mikołaj Faktor na sobie nie spraktykował i dziwić się należy, jak to ciało jego niewinne i delikatne mogło tyle wytrzymać i nie upadło pod tym ciężarem [2]).

S. Benedykt murzyn z San-Fradello, Reformat (1589 r.).

Święty Benedykt murzyn odznaczał się nadzwyczajnym duchem umartwienia zewnętrznego i wewnętrznego. Za przykładem Serafickiego Ojca w ciągu roku odbywał siedem postów czterdziestodniowych, tak że prawie bez przerwy pościł. Siedząc w refektarzu z braćmi, próbował tylko każdego dania, ale go nie jadł rzeczywiście i utrzymywał, że prawdziwe umartwienie nie zależy na tem, żeby się zupełnie powstrzymać, lecz właśnie, żeby, cokolwiek spróbowawszy, zostawić. Mówił również, że wypada i trzeba skosztować jałmużny przez wdzięczność dla dobrodziejów i dla zrobienia im przyjemności. Ciało swoje umartwiał włosienicą i ostrą dyscypliną do tego stopnia, że krew zabryzgiwała ściany [3]).

---

[1]) Kron. 3. Zak. Ś. Fr., Cz. IV, ks. 2, r. 20.

[1]) Tamże ks. 4, r. 15. [2]) L'aur. séraph. T. IV. [3]) Ibi: Jem. T. II.

Ś. Paschalis Baylon, Obserwant bosy (1592 r.).

Jak nieubłaganym względem samego siebie był Ś. Paschalis, dowodem służyć mogą jego własne notatki i nakreślone prawidła, któremi się rządził.

Bracie Paschalisie, pisze on, staraj się dobrze w umyśle swym ustalić następujące zasady:

1. Będziesz tyle cenił siebie, co rozkładającego się trupa. Aby go nie oglądać, odwracamy zwykle oczy, zatykając nozdrza, by wstrętny zapach nas nie drażnił. Wszyscy oddalają się co prędzej od niego z obrzydzeniem. Oto pojęcie, jakie masz mieć o sobie.

2. Ten, ktoby cię chciał sądzić według twej prawdziwej wartości, powinienby ci wyłupić oczy, poobrywać uszy i język, gdyż wszystkiemi zmysłami przyczyniałeś się do przewinień, zasługujących na wieczną karę.

3. Nie powinieneś mieć za złe, jeśli inni są tegoż zdania o tobie; będziesz sobie przytem uważał za łaskę największą, możność udręczania swego ciała, aż do ostatniej chwili życia, gdyż przez te czasowe dolegliwości unikasz męki wiecznej.

4. Gdyby w tych dotkliwych praktykach zbrakło ci odwagi i wytrwałości, gdyby kiedykolwiek godziny pokuty wydały ci się zbyt długie i trudne do zniesienia, przypomnij wnet sobie Jezusa, Mistrza naszego i Pana, i ku Niemu oczy swoje skieruj. Był On przecie samą niewinnością i świętością, a jednak ze względu na ciebie, pozwolił, aby Go traktowano jak zbrodniarza i przyjął śmierć krzyżową.

Nakreśliwszy ów program zupełnego zaparcia się i prawie okrucieństwa względem samego siebie, Ś. Paschalis nosił go przy sobie nieodłącznie i odczytywał w ciągu dnia kilka razy, a co przyrzekł, to wiernie w czyn wprowadził.

Cela jego w Villareal nie zasługiwała nawet na to miano; był to kącik niewielki pod dzwonnicą, nie posiadający drzwi, ani okien. Napróżno szukaćby tam łóżka, w kąciku oparty głową o mur, okryty nędzną kołderką, sypiał braciszek Paschalis. — „Jak możesz wytrzymać w tak niewygodnem położeniu, a w dodatku przy tak dotkliwem zimnie?“ zapytał razu pewnego któryś z zakonników, zastawszy Paschalisa drżącego od chłodu.— „Czyż nie wiesz, bracie, odrzekł Święty ze swym miłym dobrotliwym uśmiechem, że byłem dawniej pasterzem? Od dzieciństwa nawykłem do niewygód i dziś nie potrafiłbym nawet spać w inny sposób“ — dodał wesoło.

Pod względem ubrania był on niemniej zaparty. Habit, który przywdział w dzień obłóczyn, miał mu służyć już na całe życie. Z czasem więc były tam same łaty, troskliwie własnoręcznie przyszywane, zdwajając w końcu ciężar i tak już grubego i sztywnego habitu. Pod nim zaś znajdowały się istne narzędzia męki, stale przez Paschalisa noszone. Jeden z pierwszych biografów Świętego tak się o tem wyraża:

„Jak ludzie światowi, stosując się do mody, lubią zmieniać strój, zależnie od okoliczności, tak ów wybrany sługa Boży miał swe pomysły i odmiany stroju pokutnego. Czasem wkładał na ciało drucianą koszulkę, niekiedy w dnie uroczyste przybywały jeszcze ostrzejsze narzędzia tortur w formie kolczastych naszyjników, bransolet i łańcuchów. Wszystko, na co tylko genjalna pomysłowość pokutnika mogła się zdobyć, zastosowane było z jakąś nienasyconą zawziętością ku poskramianiu i udręczaniu własnego ciała. Im więcej było tych umartwień, tem promienniejszą wydawała się twarz Paschalisa. Mówił wówczas do spotkanych osób: „Cieszcie się! wszystko, co pochodzi od Boga, jest dobre“, albo też: „Amor meus crucifixus est: Miłość moja jest ukrzyżowaną“. W słowach tych tkwiła ostatnia przyczyna owych zadawanych sobie męczarni Świętego. Pragnienie naśladowania Boskiego Mistrza i okazanie Mu swej miłości przepełniało mu duszę [1]).

Bł. Juljan z San Agostino, Obserwant (1606 r.).

Ten sługa Chrystusowy dla swych nadzwyczajnych pokut dwa razy był wydalany z zakonu Obserwantów bosych i Obserwantów regularnych, wszakże, gdy trzeci raz go przyjęto, widząc prawdziwą z ducha Bożego jego pobożność, nie zabraniano mu już takiego życia. Pomijając posty czterdziestodniowe, które na wzór Franciszka Ś. zachowywał, żył tylko chlebem i trochą jarzyn, za kolację zaś starczyło mu pięć orzechów. Noce spędzał w kościele, zatopiony w rozmyślaniu, a gdy sen go morzył, opierał się o ścianę lub konfesjonał. W czasie kwesty w dalszych miejscowościach nie szedł na noc do domów świeckich, ale spał i modlił się pod gołem niebem na otwartem polu, chociażby w najgorszą niepogodę. Dyscyplina jego składała się z łańcuszków z ostremi kolcami, a przez 24 lata raz tylko w czasie choroby zdjął ośmnastofuntowy łańcuch, którym się opasywał; zrobił zaś to jedynie dla dochowania sekretu co do umartwień, znanych samemu tylko spowiednikowi [2]).

[1]) Żywot Ś. Paschalisa Baylona. [2]) L'aur. séraph. T. II.

Ś. Hijacynta Mariscotti, 3 Zak. reg. (1640 r.).

Reformę swego życia Hjacynta rozpoczęła od zrzeczenia się rocznej pensji, jaką jej wypłacano z domu, poczem oddawszy przełożonej wszystkie przedmioty zbytkowne i regule przeciwne, chciała umartwieniem zwalczyć naturę. Spała na pęku suchych gałęzi, kamień służył jej za poduszkę, stara tunika za suknię, chodziła boso i w włosienicy, dyscypliną rozdzierała ciało, żywiła się gorzkiemi ziołami, nigdy nie przełamywała ścisłego postu, a przez pamięć na rany Zbawiciela, kaleczyła bok, ręce i nogi, czego jej z czasem przełożeni zabronili. Lecz nie tylko na zewnętrznej pokucie zakładała swe nawrócenie, o czem sama tak pisze: „Umartwienia nie wystarczają do świętości, dojść do niej można tylko przez wewnętrzną pracę nad sobą. Mnie naprzykład, na co się przydały lata postu o chlebie i wodzie, gdzież są owoce krwawych biczowań? Niema ich wcale, bo nie umiałam umorzyć starego człowieka i nie nabyłam cnót wewnętrznych". Tak to sądziła siebie Siostra Hijacynta, bo cechą świętości jest przekonanie, że się jest od niej daleko [1]).

Bł. Bonawentura z Barcelony, Obserwant (1684 r.).

Błogosławiony Reformator ciągle prowadził walkę ze swojem ciałem, w ostatnich jednak latach, można rzec, że podwoił jeszcze siły w trapieniu swego nieprzyjaciela. Co noc grad razów spadał na niezagojone jeszcze rany i strugi krwi zalewały izdebkę — jedynego świadka jego znęcania się nad sobą. Straszna koszulka żelazna, przylegająca mu do boków, nigdy go nie opuszczała. Pościł bez przerwy i zaledwie jadł tyle, aby nie umrzeć z głodu. Trzy dni jeden po drugim każdego tygodnia żył tylko chlebem i wodą, a często i bez tego się obywał, tak go nasycał Najświętszy Sakrament. Nawet w chorobie zachowywał ścisłą wstrzemięźliwość i dopiero przełożeni musieli mu zalecać przyjmowanie posiłku. Zwykłe jego zdanie było: „Niedobrze jest zanadto się troszczyć o swego wroga, jakim jest ciało nasze, aby nie wierzgało". Stosownie do tych słów dręczył je różnemi pokutami i spać pozwalał tylko trzy godziny na gołych deskach, albo wprost na podłodze [2]).

[1]) S. Hyacinthe de Mariscotti par M. Berguin et le R. P. Euthyme Chapuis. [2]) Le B. Bonaventure de Barcelone par Fr. François Xavier.

Bł. Bonawentura z Potencji, Konwentualny (1711 r.).

Ojciec Bonawentura zadawał sobie różne umartwienia. W piątki szczególniej tak mocno się biczował, iż znajdowano krwią obryzgane ściany. Krótkiego spoczynku używał na gołej ziemi. Gwardjan, chcąc się raz przekonać, czy O. Bonawentura śpi na sienniku, dotknął się jego posłania, z którego wybiegło mnóstwo myszy.

W duchu pokuty ten sługa Boży znosił wszystkie boleści i choroby. Zrobił mu się razu pewnego wrzód na kolanie i trzeba było go operować. Gdy chirurg wypalał i wycinał bolesną ranę, a obecni drżeli z przestrachu, Błogosławiony nie wyrzekł nawet skargi, ani żadnego nie wydał jęku. Z ust jego wychodziły tylko słodkie Imiona: Jezus, Marja [1]).

Ś. Pacyfik z San-Severino, Reformat (1721 r.).

Życie tego męża wielkiego przed Bogiem było nieustanną pokutą. Oprócz postów obowiązujących tak z prawa kościelnego jak z reguły, zachowywał jeszcze siedem postów Ś. Franciszka, a w piątki, soboty i wigilje uroczystości Matki Bożej suszył. W inne zaś dni roku cały jego posiłek składał się z zupy, zaprawionej wodą lub popiołem i z kawałka chleba, umoczonego w wodzie z kilkoma kroplami wina. Zazwyczaj chodził w pancerzu żelaznym, codzień trzy albo i cztery razy się biczował, w dzień i w nocy długo się modlił, ofiarując swoje pokuty i błagania za Kościół Ś., za nawrócenie grzeszników i za dusze w czyścu cierpiące. Tem podwójnem apostolstwem, śmiało rzec można, że zaludnił niebo swemi zdobyczami.

Nowy rodzaj umartwień dla Pacyfika stanowiły jego choroby, a jakkolwiek nogi ciągle miał poranione, nikt nigdy nie słyszał go uskarżającego się. Owszem, jeśli nad nim ubolewano, odpowiadał wesoło i radośnie: „Bóg tak chce, niech się dzieje Wola Jego". Tym zaś, co go zapytywali o stan zdrowia, mówił, że się czuje daleko lepiej, niżby na to zasługiwał [2]).

Bł. Tomasz z Kori, Obserwant (1729 r.).

Błogosławiony Obserwant większą część swego życia zakonnego spędził w ustronnym klasztorze Civitella, gdzie wywierał wielki wpływ na otoczenie. Zostawszy gwardjanem, obostrzył ustawy

[1]) B-eux Bonaventure de Potence. par M. Berguin. [2]) L'aur. séraph. T. III p. 465.

i po wielu trudnościach otrzymał prawo zaprowadzenia takowych. Codzień naprzykład, nie wyłączając ostrych mrozów, wszyscy zakonnicy musieli o północy zbierać się na Jutrznię. W dnie postów nakazanych, oraz we wszystkie wigilje świąt Matki Boskiej jadano na klęczkach trochę chleba i owoców, nie przyjmując żadnych ciepłych pokarmów, mięsa nie jadano nigdy, trzy razy w tygodniu srogo się biczowano. Nikomu z braci nie wolno było wyjść z konfesjonału, dopóki chociaż jeden jeszcze pozostał z oczekujących na spowiedź. Pacierze odmawiano wolno, Święty bowiem mawiał: „Napróżno pracuje język, jeśli serce się nie modli". Sam zaś ciało swoje okrywał włosienicą, ściskał żelaznym łańcuchem, trapił dyscypliną, postami. Bywały chwile, że z wycieńczenia zaledwie z trudem mógł się na nogach utrzymać; ale im więcej gnębił swoją doczesną powłokę, tem wyżej wzbijał się duchem, tem silniejszą podnietą do poświęcenia był przykład jego dla innych. Czas wolny od ćwiczeń i pracy apostolskiej obracał na najcięższe i najprostsze posługi, nigdy nie szukając wypoczynku [1]).

Ś. Jan Józef od Krzyża, Obserwant bosy (1734 r.).

Od najmłodszych lat ten Święty ćwiczył się w pokucie: spał na gołej ziemi, pościł kilka dni w tygodniu, nosił włosienicę. Później już, jako zakonnik, miał jeszcze na sobie łańcuszki żelazne, które często zmieniał, aby raz po raz odnawiać uczucie bólu i cierpienia. Codziennie ostrą dyscypliną do krwi się biczował. Chodził zawsze boso, a gdy potem przełożeni przez wzgląd na zdrowie, kazali mu nosić sandały, powbijał w nie gwoździki tak, że nieustanną sprawiały mu mękę. Dla umartwienia ciała swojego zrobił sobie krzyż pół łokcia długi, ostremi kolcami najeżony i przywiązał go sobie mocno na plecach. Zrobił on Świętemu ranę, która się nigdy nie goiła. Na piersiach miał drugi krzyż, trochę mniejszy, ale podobnie jak tamten, ostry i męczący. Tak to dusze powołane do wielkich ofiar, wypełniają w sobie samych to, czego, według słów Apostoła, brakuje Męce Chrystusowej. Przez trzydzieści ostatnich lat swego życia Jan Józef wstrzymywał się całkowicie nietylko od wina, ale i od wody i od wszelkiego napoju. Gdy spowiednik pytał go, jak może odmówić sobie tak koniecznej potrzeby, której sama natura się domaga, odpowiedział, że to umartwienie wiele go kosztowało, lecz widząc jakim cierpieniom poddają się ludzie dla marnego zysku, postanowił ją zwyciężyć. Pomimo wszystkich ostrości Jan Józef od Krzyża żył lat ośmdziesiąt.

Tak wielkie umartwienia przechodzą siły ludzkie, nie można ich przeto spełniać bez szczególnej łaski Bożej; chcieć je naśladować, byłoby kuszeniem Pana Boga i domaganiem się cudu. Bez pokuty nikt nie może być zbawionym, lecz pokuta miarkowaną być powinna zasadami roztropności i rozumnego przewodnictwa. Zdarza się bowiem, mówi Czcigodna Anna Marja Taigi, iż szatan popycha duszę do nadzwyczajnych umartwień, ażeby ją zmęczyć, zniechęcić i uczynić w krótkim czasie niezdolną do służby Bożej i do wiernego pełnienia swych obowiązków, ważniejszych nad wszelkie umartwienia dodatkowe [1]).

Bł. Marja Krescencja Höss, 3 Zak. reg. (1744 r.).

Wiedząc, że ze strony zmysłów pierwszym nieprzyjacielem jest obżarstwo, ten wróg domowy, jak je nazywała Błogosławiona dziewica, jadła ona tyle tylko, ile było konieczne, aby nie umrzeć. Zazwyczaj posilała się raz na dzień, a przez kilka lat miała pozwolenie całkiem nie przychodzić na kolację, lub też znajdując się w sali jadalnej, nic nie przyjmować. Często jednak zdarzało się, że po dwa i trzy dni z rzędu nic nie brała do ust. W dwóch ostatnich swoich chorobach całe sześć tygodni żyła jedynie Komunją Świętą. Obiad jej zazwyczaj składał się z krupniku jęczmiennego, oraz trochy jarzyn, a w lecie z sałaty przyprawionej letnią wodą. By ukryć to umartwienie, mówiła, że te potrawy są dla niej prawdziwym przysmakiem. Pracując w kuchni, jadła same resztki, a za napój, gdy nikogo tam nie było, piła pomyje. Nadto od lat niemal dziecięcych do posiłku swego dodawała bądź gorzkie zioła, bądź popiół, bądź żółć rybią, zaś w chorobie żuła powoli najwstrętniejsze lekarstwa lub piła takowe po kropelce. Nic też dziwnego, że dręcząc się w ten sposób, straciła zupełnie zmysł smaku, a z nim wszelkie upodobanie do jakiej potrawy; pomimo to jednak służebnica Boża gorzko wyrzucała sobie, że swego osiołka pasie takiemi dobremi rzeczami.

Oczy jej i uszy zamknięte były na wszelkie piękno i dźwięki obce duchowi, powonienie umartwiane zwłaszcza w infirmerji. Ciało swoje Krescencja trapiła w różny sposób. Sypiała np. bardzo krótko: jedną, dwie, a rzadko kiedy trzy godziny i to w położeniu najniewygodniejszem — rozcią-

[1]) Żywoty Świętych.

[1]) La vie de Saint Jean-Joseph de la Croix par M. Berguin.

gnięta na wielkim drewnianym krzyżu [1]). Później, gdy go jej jako starej i schorowanej odebrano, zaledwie się położyła, Pan Bóg zsyłał na nią różne cierpienia: albo żar niezmierny, albo przejmujące zimno tak, że czuła się już to rozpaloną, już skostniałą. Krescencja znosiła z poddaniem te męki, aż głos dzwonu klasztornego pozwalał jej podnieść się z łóżka. Na nogach i rękach miała obrączki żelazne, które razem z paskiem głęboko w ciało wchodziły; na piersiach krzyż pół łokcia długi najeżony gwoździami, a głowę jej opasywała obręcz żelazna, pełna kolców. Wszystko to sprawiało jej wielkie boleści. Trzy razy na dzień odprawiała krwawą dyscyplinę tak mocno, że ciało kawałkami odpadało i krew się lała, a później trzeba było odzież od ran odrywać. Te narzędzia pokutne Błogosławiona z wielką starannością ukrywała, a pomimo, że na krótko przed zgonem swoim zniszczyła najokrutniejsze z nich, kilka atoli zostało ze śladami krwi do tego czasu. Jeszcze 30 lat po jej śmierci wydawały one woń bardzo przyjemną, jak to potwierdza wielka liczba świadków. Pragnąc naśladować Boskiego Zbawcę, idącego po ostrych kamieniach, kładła w obuwie swoje drobne kamyki. Czyniła to szczególniej w czasie pielgrzymek, odbywanych z siostrami do cudownych miejsc, jak do Matki Boskiej Bolesnej, Ś. Michała, Ś. Antoniego i Ś. Wendelina [2]).

Ś. Marja Franciszka od 5-u Ran, 3 Zak. (1791 r.).

Święta Marja Franciszka postanowiła sobie nigdy nie zadowolnić swoich naturalnych skłonności, pociągów i pragnień, i tym sposobem ciągły zadawała gwałt naturze. Dosyć było, aby uczuła chęć na co, nawet na rzecz obojętną, albo dobrą, zaraz sobie tego odmawiała. Małą jeszcze będąc dzieciną, już w tem się ćwiczyła, oddając śniadanie siostrzyczkom za lekcje katechizmu; przy obiedzie najlepsze potrawy rozdawała, tłumacząc się, gdy ją pytano, że siostry jej mają lepszy apetyt... Nieprzyjaciółka zbytku, od lat najmłodszych nigdy nie pozwoliła sobie na nic takiego, coby tchnęło próżnością, chociaż przykład sióstr starszych i powszechnie przyjęty zwyczaj sztucznego podnoszenia wdzięków mógł być i dla niej pokusą. Piękne włosy swoje zawsze czesała gładko; po przyjęciu Trzeciej reguły chodziła w ciemnym habicie. Milczenia tak przestrzegała, że jak siostra jej świadczy, głosu jej nigdy w domu nie słyszano i odpowiadała tylko na zapytanie. O. Borelli mówił, że, gdyby to zależało od samej Marji Franciszki, byłaby przez całe życie nic nie mówiła.

Dla poskromienia w sobie lenistwa i miękkości, Święta spała na gołej ziemi lub na deskach, owczą skórką przykrytych i to nie dłużej nad dwie godziny. Według niej spać dłużej byłoby stratą czasu. W późniejszym dopiero wieku, dla licznych chorób posłuszeństwo zmusiło ją używać pościeli. Wstrzemięźliwość w jedzeniu taką wysoką zachowywała, że tylko wola kierujących jej duszą mogła ją skłonić do przyjęcia posiłku poza oznaczonemi godzinami lub przeciw przyjętym umartwieniom. Według świadectwa Biskupa Termoli i innych zacnych i wiarogodnych kapłanów, Marja Franciszka przez ustawiczne pokuty doszła do zupełnego znieczulenia na przyjemności ziemskie, uspokoiła w sobie wszelkie żądze zmysłowe i żyła na ziemi jak anioł.

Bł. Leopold z Gaike (Gaïqué), Bonawenturzysta (1815 r.).

Gorliwy ten misjonarz sypiał tylko cztery godziny, a najczęściej trzy; będąc poza murami klasztoru nie odważył się spać inaczej, tylko na gołej ziemi. Nigdy nie nosił spodniej tuniki, na którą reguła zezwala, dopiero w ostatnich latach musiał ją przywdziać z posłuszeństwa dla przełożonych. Ciało jego okrywała bardzo ostra włosienica. Nigdy też przez umartwienie nie zbliżał się do ognia, choćby było najzimniej. Prócz zwykłych ostrości, zachowywał post o chlebie i wodzie przed głównemi świętami Matki Bożej i Serafickiego Patryarchy, oraz kilku innych Błogosławionych, swoich przyczyńców przed Bogiem. Często pozbawiał się koniecznego posiłku, i wybierał najprostsze potrawy. Zmuszony pić wino, mieszał je z wielką ilością wody, a poza refektarzem, nawet w największe gorąca nigdy napojem się nie chłodził. W podróżach misyjnych nie spoglądał dokoła siebie na piękno natury, nie dozwolił oczom swoim żadnej, chociażby najniewinniejszej przyjemności: wzrok jego wpatrzony był ciągle wewnątrz [1]).

Bł. Marja Magdalena Postel, 3 Zak. (1846 r.).

Założycielka Szkoły chrześcijańskiej Sióstr Miłosierdzia nieustannie trapiła swoje ciało, a w chorobie nia chciała zasięgać porady. Nigdy też osobiście nie korzystała z ulg i przywilejów, jakie reguła Ś. Jana de la Salle wprowadziła do zgromadzenia. Większą część nocy spędzała w a-

[1]) Krzyż ten znajduje się w jej celi. [2]) Vie de la V. Marie-Crescence Höss, par le R. P. Jeiler.

[1]) Vie du B. Léopold de Gaiches par le T. R. P. Antoine de Vicence.

doracji przed Najświętszym Sakramentem. Nigdy nie rozstawała się z włosienicą, owszem, łaknąc coraz silniejszych udręczeń cielesnych, sporządziła sobie pancerz, który dopiero po śmierci jej znaleziono. Był on nabity 1164 gwoździami i nosił ślady zużycia przez ciągłe noszenie. Jednak ofiary takie czyniła w zupełnej skrytości, tak że siostry nie domyślały się nawet, jakie męki ta święta niewiasta dobrowolnie sobie zadawała.

Rozumiała jednak przytem, że pobudki do większych umartwień powinny być wewnętrzne i nieraz powtarzała córkom swym, gdy chodziło o posty: „Czyńcie to, co wam miłość Boża dyktuje. Można być wstrzemięźliwym, zajadając kuropatwy i grzeszyć obżarstwem, opychając się jadłem najpospolitszem. Jedzmy wszystko, co nam podają, a jeśli się zdarzy coś, czego nie znosimy, pomyślmy wówczas o żółci i occie, któremi Pana Jezusa pojono!“ [1]).

Cz. Wincenty Pallotti, 3 Zak. (1850 r.).

Ksiądz Pallotti w stopniu heroicznym praktykował cnotę umartwienia. Namiętności nigdy nie brały nad nim góry, w każdym bowiem wypadku potrafił je ujarzmić. Nigdy np. nie powąchał żadnego kwiatka. Potrawy jadał najprostsze i można rzec, że jakoby ciągle pościł. Po całodziennych trudach kapłańskich, które przeciągały się do późnego wieczora, odmawiał sobie koniecznego wypoczynku, a spał niewiele, większą część nocy klęcząc przed Najśw. Sakramentem. Jan Pallotti, brat sługi Bożego, zeznał w procesie beatyfikacyjnym, że przez 15 lat Wincenty sypiał na gołej ziemi, okryty peleryną kapucyńską, dopiero, gdy ciężko zachorował, zaczął z posłuszeństwa używać materaca. We wszystkie piątki i soboty suszył, a od 16-go roku życia odprawiał trzy posty Ś. Franciszka.

Ofiarowawszy ubogiemu swoje łóżko, spał na ziemi, biorąc kamień pod głowę. Później dano mu kanapkę wązką, twardą i krótką, na której położywszy się, nie mógł oczywiście wypocząć. Czasami, mówi naoczny świadek, kiedy natura gwałtem snu się domagała, on, aby nie zasnąć, modlił się w postawie stojącej z rozkrzyżowanemi rękoma, albo całował ziemię, wizerunki Pana Jezusa i Najśw. Panny. Do tych pokut, szczególniej podczas klęsk publicznych dodawał inne, jak: biczowanie dyscypliną ze skóry lub drutu żelaznego z kulkami i ostremi hakami na końcach, bicie rąk i nóg batem, włosienicę, kolczaste paski, któremi opasywał sobie nogi, biodra i ramiona. Jeden z penitentów Czcigodnego Wincentego opowiedział przed komisją duchowną, że spowiadając go, sługa Boży dotykał się boków swoich i wzdychał, prawdopodobnie wciskał on wtedy głębiej w ciało swoje szczecinę włosienicy lub kolce paska. Ruch ten i westchnienia wydobywały łzy z oczu obecnych.

Pokuty te, acz wielkie i niezwykłe, nie zadawalały jednak miłośnika umartwień. Prosił on nadto pewnego pobożnego człowieka, aby mu dopomagał katować się w dzień rekolekcji miesięcznych. Na pamiątkę schwytania Pana Jezusa chciał być krępowanym. Przez pamięć na to, co Jezus cierpiał w sądach, kazał sobie dawać policzki. Aby naśladować ukoronowanie Boskiego Mistrza, musiano mu wtłaczać na głowę przepaskę z włosia. Wreszcie, by mieć udział w niesieniu krzyża Zbawicielowego, kładł na swe ramiona krzyż ciężki i kazał się idącemu za nim bić i popychać; w końcu rozciągał się na krzyżu, aby go doń przywiązano, poczem bito go kijem od stóp do głowy. Akta beatyfikacji podają imię tego zacnego chrześcijanina, przyjaciela sługi Bożego, który oddawał mu tę przysługę.

Lecz co jest bardzo godne podziwu i zakrawa na cud, że mimo takiego umartwiania się, Wincenty mógł pracować bez odpoczynku i posiadał czerstwe siły fizyczne i umysłowe. Oprócz wspomnianych wyżej pokut, praktykował on jeszcze jedno umartwienie, jakiego nie znajdujemy w życiu żadnego Świętego. Nie obcinał wcale paznogci wielkiego palca u nogi, te zaś, wszedłszy w ciało, sprawiały mu straszne boleści, a Święty mimo to nie przestał według swego zwyczaju prędko chodzić. Gdy umarł, lekarze, obejrzawszy jego stopy, odkryli mękę, jaką sobie zadawał [1]).

Bł. Jan Marja Vianney, 3 Zak. (1856 r.).

Pokuty i umartwienia Bł. Vianney'a, zdaniem wszystkich, dorównały pokutom ojców pustyni. Życie jego, to nieprzerwany post do tego stopnia, że czasami trzy razy tylko w tygodniu przyjmuje posiłek. Ale co to za posiłek? Stanowią go surowe zioła, a najczęściej chleb razowy, kupiony od żebraków i służący raczej do wzbudzenia wstrętu, niż żeby miał głód zaspokoić. Do tego chleba, którego je tak mało, że dwa funty starczą mu na cały Wielki Post, dodaje kartofel jeden jedyny na dzień, bo gdyby ich zjadł dwa, pierwszy z pewnością byłby z potrzeby, drugi zaś, jak uważał, byłby dla

[1]) Życie Bł. Marji Magdaleny Postel.

[1]) Les Saints du XIX siècle à Rome par M. J. Belloc.

przyjemności. Czysta woda gasiła jego pragnienie. Łożem był tapczan i trochę słomy, a gdy chciał wyprosić u Boga duszę wielkiego grzesznika—podłoga lub goła ziemia. Sypiał dwie godziny tylko. Dzień sługi Bożego zaczynał się kilka minut po północy. Ale czy sen ów zasługiwał na nazwę odpoczynku, jeśli najmniej cztery razy przez godzinę przerywały mu go kaszel gwałtowny, gorączka i napaści szatańskie?

Błogosławiony Jan Marja uprawiał oprócz tego umartwienie wszystkich zmysłów. Postanowił nigdy nie uczynić zadość swoim żądaniom, nigdy nie powąchać kwiatka, nie spędzić muchy ze swojej twarzy, nie pić, kiedy się uczuje spragnionym, nie zauważyć złego odoru, nie siąść poza konfesjonałem, nie oprzeć się o stalle, gdy klęczał, być zawsze wesołym, i miłym, nigdy się na nic nie uskarżać: „Święci, mówił, nie skarżą się nigdy!“ Nigdy nie skarżyć się! Człowiek, który się do tego zobowiązał, był ciągle otoczony tłumem natrętnych, ciekawych, do 18 godzin dziennie siedział w konfesjonale, a opuszczał go z nogami jak lód zimnemi, z ciałem zmęczonem. „Wychodząc z konfesjonału, opowiadał raz, muszę szukać nóg swoich i dotknąć ich się, aby wiedzieć, że je mam. Nie mogę się utrzymać o własnej sile, idąc chwytam się ławek i krzeseł“. Ostrości te sprowadziły stan choroby i omdlenia. Cierpiał nieopisane bóle wnętrzności i głowy, i często osuwał się z nóg bądź na drodze, bądź w domu Bożym.

Gdy ciągła i usilna praca kapłańska jako też dolegliwości wieku całkiem go przywaliły, zgodził się lepiej posilać. Pił czekoladę z mlekiem, a nawet jadł trochę mięsa, ale wszystko to, jęcząc i oskarżając się o obżarstwo. Twierdził, że odkąd zmienił pierwotny rodzaj życia, nie doznawał już tylu łask niebieskich. Biskupi mogli mu byli zabronić tych pokut, ale wola Boża co do proboszcza z Ars była tak widoczna, że lękali się jej sprzeciwić. Dwadzieścia razy zapadał on w chorobę i dwadzieścia razy, ku wielkiemu zdziwieniu doktorów, nagle przychodził do zdrowia.

Na przedstawienia, że zanadto się umartwia, sługa Boży odpowiadał, iż go nie znają i że to jeszcze mało w stosunku do jego grzechów. Gdyby na tem poprzestał, jużby dosyć miał pokut. Ale on jeszcze ranił ciało swoje włosienicą, łańcuchami stalowemi, codziennem biczowaniem. Pewien świadek zeznał, że w jednej okoliczności Błogosławiony bił się przez czas dwóch godzin. Niech ten trup, stary Adam, jak mówił o swojem ciele, wzdycha, opiera się, nie zważa on na to, drwi sobie z niego i w dalszym ciągu krępuje go umartwieniem [1]).

Kapucyni.

Antoni z Cyrne (1548 r.).

Ten sługa Boży, przeszedłszy do zgromadzenia Kapucynów, straszną swemu ciału wypowiedział nienawiść. Bezprzestanku dniem i nocą nosił żelazny łańcuch i trzy włosienice: pierwszą, zrobioną z końskiego włosia, drugą z konopi, powiązanych w węzły i trzecią ze świńskiej skóry. Przez długi czas swego życia zakonnego żywił się tylko chlebem i wodą, który to posiłek, po przeczytaniu żywotów świętych pustelników, zamienił na kilka fig lub ziarn bobu, jedząc je już tylko trzy razy na tydzień do samej śmierci. W czasie zimy ubrany w najlichszy dziurawy habit wystawiał się na najcięższe mrozy. Sypiał tylko trzy godziny i to na samych deskach, resztę czasu trawiąc na modlitwie. Odprawiał w ciągu roku tak zwane biczowanie Pańskie, to jest, zadawał sobie tyle plag, ile ich Zbawiciel odebrał przy biczowaniu, liczba których wedle objawienia Świętych wynosiła 6666. Jak zaś ćwiczenie to miłem jest Bogu, okazało się z tego, że szatan w różny sposób starał się go od niego odwieść: to mu przeszkadzał, to go straszył, ukazując się w przerażającej postaci, co spotykało nietylko jego, ale i wszystkich, którzy chcieli go w tem naśladować [1]).

Franciszek z Esio (1549 r.).

Franciszek z Esio jaśniał szczególniej umartwieniem w pokarmach. Posiłek jego zaspokajał istotną potrzebę natury, ale nigdy smaku; trzymał się w tem zdania Ś. Grzegorza: iż próżną będzie walka z szatanem i światem, jeżeli pierwej nie zwyciężymy największego i najgroźniejszego, bo w nas ukrytego nieprzyjaciela, to jest łakomstwa w jedzeniu. Często również wspominał słowa pewnego pustelnika, który zapytany przez uczniów, czemu tak głodem wycieńcza swe ciało, odpowiedział: „Zabijam to, co mnie zabija“. Utrzymywał przytem, że nikt nie zdoła pokonać żadnego występku, dokąd w obżarstwie się nie zwycięży. Biorąc posiłek raz na dzień tylko, nauczał ze Ś. Hieronimem, iż na nic się nie przyda dwa lub trzy dni pościć, a potem do sytości się najeść, lub nie używając wcale mięsa, jarzynami się przesycić. Nie za mięso bowiem, lecz za soczewicę Ezaw sprze-

[1]) Vie illustrée du V. Jean Baptiste Marie Vianney par l'abbé Irenée Sévin. [2]) Kroniki Kapucynów O. Bowerjusza r. 1548.

dał pierworodztwo, a Adam nie dla mięsa, ale dla owocu ściągnął na cały ród ludzki wieczne nieszczęście. Abraham zaś mięsem przyjmował Aniołów i ofiary z mięsa składane były Bogu. Ogólnie powściągliwość na tem zasadzał, aby skromnie używać zwyczajnych pokarmów i nigdy od stołu nie odchodzić nasyconym [1]).

Piotr z Mazara (1550 r.).

Mąż ten po wielu latach występnego życia pewnego razu polował w lesie. Zmęczony, zdjął z siebie zbroję, a ta wnet dziwnym i niewytłumaczonym sposobem znikła, w czem grzesznik uznał objawienie woli Bożej, nakłaniającej go do pokuty. Korzystając ze światła Ducha Przenajświętszego, poznał liczne swe występki i z największym żalem zaczął je opłakiwać. Nie dość tego, wstąpił do Kapucynów, gdzie, przejęty pamięcią cierpień i zniewag Zbawiciela, co piątek na ich uczczenie, zawiązawszy sobie powróz u szyi, kazał się włóczyć nowicjuszom po kaplicy i refektarzu, a wydając głośne jęki, innych aż do płaczu poruszał. „Włóczcie, mówił, człowieka złośliwego, niegodziwego, gorszego od zwierząt, w którym zaledwie postać ludzka została, a który tyle ran i obelg zadał Synowi Bożemu". Nowicjusze płakali nad swoim ojcem, lecz zmuszeni rozkazem, jeszcze go nadto dyscypliną biczowali [2]).

Mateusz z Leonissy (1551 r.).

Surowy dla siebie w nowicjacie, Mateusz po profesji pomnożył jeszcze umartwienia: posty o chlebie i wodzie, ostra włosienica sięgająca kolan, żelazny łańcuch wycieńczały jego organizm. Nigdy nie używał sandałów, ale boso chodził po śniegu; trzy razy tylko na tydzień przyjmował posiłek, a raz całe 17 dni żył samą Komunją Świętą. Krótko spocząwszy na gołej ziemi, większą część nocy trwał na rozmowie z Bogiem. Z tych ostrości nigdy się nie zwalniał, a jeśli kiedykolwiek zmuszony był przyjąć jaką smaczniejszą potrawę, to wnet mieszał do niej skrycie popiół albo piołun. Mając szczególniejsze upodobanie w modlitwie, a zwłaszcza w rozważaniu Męki Pańskiej, praktykował nieraz to, co niegdyś czynił, będąc świeckim, to jest brał kawał drzewa na swe ramiona i nocą obchodził kościoły. Widywano go wtenczas otoczonego światłością [3]).

[1]) Tamże r. 1549. [2]) Tamże r. 1550. [3]) Tamże r. 1551.

Ludwik z Fulginu (1557 r.).

Świątobliwy brat Ludwik, pragnąc uniknąć zasadzek i niebezpieczeństw świata, w osiemnastym roku zapukał do klasztoru Obserwantów, od których w kilka lat później przeszedł do nowej reformy Kapucynów. Cenił on bardzo łaskę umartwienia. Zdarzało się nieraz, że, strudzony pracą misyjną, nie chciał przyjąć podawanego mu posiłku, ale prosił tylko o chleb i wodę. Pod ostrym habitem nosił ciągle włosienicę; chodził boso, nawet bez sandałów, codziennie pościł, mięsa i innych potraw nie jadał; strawą jego były tylko zioła, a czasem jarzyny. Pragnąc naśladować surowe i samotne życie pustelników, udawał się na jakiś czas do odludnych jaskiń, gdzie przestawał na chlebie, dwa lub trzy razy w tygodniu spożywanym. Często pięć godzin zrzędu się biczował przy rozpamiętywaniu gorzkiej Męki Pana Jezusa [1]).

Honorat z Montegranaro (1569 r.).

Wstąpiwszy do zakonu, Honorat opłakiwał swe lata młodzieńcze, spędzone na światowych próżnościach, wśród których dusza jego tak daleką była od Boga. Aby Mu wynagrodzić te zniewagi, postanowił nie kłaść granic w karceniu ciała i zmysłów: w najzimniejsze dni nosił stary wytarty habit, pod nim zaś krył włosienicę i pas żelazny nabity ostremi gwoździami, a po wierzchu dla niespostrzeżenia pokryty suknem. Chodził boso, bez sandałów; sypiał tylko cztery godziny na gołych deskach. W młodym wieku raz na dzień przyjmował jedzenie; w późniejszym wierny był w zachowywaniu 40 dniowych postów Ś. Franciszka. Wszystkie soboty i wigilje świąt Niepokalanej Dziewicy Marji w ścisłym poście spędzał. Tego tak umartwionego i pokutnego sposobu życia nic nie zdołało przerwać: ani uciążliwe podróże, ani prace naukowe, ani kaznodziejstwo, ani wiek spóźniony; trwał on w nich mężnie do końca [2]).

Iwon z Moliano (1572 r.).

Odmawiając ciału wszelkich wygód zmysłowych, Iwon z Moliano wśród największego mrozu okrywał się starym habitem, który bynajmniej od zimna nie zabezpieczał. Dla umartwienia nosił obręcz żelazną, podziurawioną, w rodzaju tarki, kolcami obróconą do ciała, na to zaś kładł jeszcze włosienicę z sierści świńskiej, do połowy przyciętej. No-

[1]) Tamże r. 1557. [2]) Tamże r. 1569

cnego wypoczynku zażywał najwyżej do trzech lub czterech godzin, siedząc na tapczanie i wspierając głowę na kawałku drewna, który mu służył za poduszkę, resztę zaś nocy poświęcał modlitwie. Często nic prócz wody i trochy chleba do ust nie biorąc, trzy dni zwykle w każdym tygodniu zupełnie pokarmu nie przyjmował; szczególniej ściśle obchodził każdego roku post ku czci Ś. Michała Archanioła, do którego miał wielkie nabożeństwo [1]).

Sebastjan z Gratteru (1572 r.).

Sebastjan z Gratteru, początkowo Obserwant, później Kapucyn w prowincji Sycylijskiej, nadzwyczaj ostre wiódł życie. Nietylko dozwolonych wygód ciała, ale nawet rzeczy koniecznych się pozbawiając, codziennie ścisły post zachowywał, nadto trzy dni w tygodniu żadnego nie brał posiłku. Mięso jadał tylko na Wielkanoc, Zielone Świątki i Boże Narodzenie, jako w dni powszechnego tryumfu i radości Kościoła. Co noc biczując się, krew strumieniami z siebie wylewał; do tej zwyczajnej dyscypliny w dzień wielkopiątkowy, dodawał jeszcze drugą, zrobioną z kończystych różdżek granatu, którą przy rozpamiętywaniu Męki Pańskiej, tak się katował, że plecy i łopatki całe miał w ranach. Nie podobały się te srogości szatanowi, schwycił więc pewnego razu habit zakonnika i zarzucił go wysoko na gzyms kościelny, aby słudze Bożemu w tej pokucie przeszkodzić [2]).

Franciszek z Sakko (1575 r.).

Brat ten również przeszedł od Obserwantów do Kapucynów, w których zajaśniał szczególniejszą ostrością. Dwa dni tylko w tygodniu, mianowicie w niedzielę i w czwartek spożywał nieco chleba i wody, resztę dni nic zgoła nie jedząc i taki sposób życia zachował przez lat trzydzieści. W Wielkim tygodniu tylko w Wielki Czwartek trochę się posilał. Zatopiony w modlitwie, nieraz dziesięć dni całe zostawał bez pokarmu. Codzień biczował się siedem razy, przyczem w piątki na pamiątkę biczowania Pana Jezusa tak okropnie siekł się kolczastą dyscypliną, że musiano krew z posadzki kościelnej zmywać, aby nie przerażać ludzi. Na zapytanie towarzyszów, jak może znieść te razy, odpowiadał: że nietyle go bolało ciało, ile dusza przy rozpamiętywaniu Męki Chrystusowej. Pod krótkim, wązkim połatanym habitem nosił dzień i noc ostrą włosienicę [3]).

[1]) Tamże r. 1572. [2]) Tamże. [3]) Tamże r. 1575.

Rufin z San-Urso, (1575 r.).

Poddawszy się pod słodkie jarzmo reguły Ś. Franciszka, Rufin z całym zapałem chwycił się poskramiania złych skłonności, jako pierwszego szczebla życia duchownego; starał się przeto ukrzyżować niejako swoje ciało, odmawiając mu rzeczy nawet potrzebnych i dozwolonych; codziennie prawie zachowywał post o chlebie i wodzie, ale nawet i nie poszcząc, nigdy nie jadał do sytości. Uważając sen za pewną rozkosz zmysłową, całą noc prawie spędzał na modlitwie, w której czerpał siły, a tylko trzy godziny albo i mniej obracał na spoczynek. Surowa ta pokuta pomagała mu do wzrostu i w innych cnotach, które postawiły go na wysokim stopniu doskonałości, niezadługo też został mianowany mistrzem nowicjuszów w prowincji Weneckiej [1]).

Ś. Feliks z Kantaliczo (1587 r.).

Na wzór Patryarchy swego, Ś. Franciszka, Feliks nazywał ciało swoje „bratem osłem“, i stosownie do tego określenia z niem się obchodził; za liche i najczęściej niedostateczne pożywienie domagał się od niego wiele pracy, nie szczędząc mu przytem dotkliwych razów. Był to w istocie cud prawdziwy, że przy tak surowem a pracowitem życiu do późnej starości zachował siły i czerstwość zdrowia, niepodobna bowiem inaczej tłumaczyć sobie tej podziwienia godnej wytrwałości, z jaką codzień wieczorem po całodziennej bieganinie z ciężarami po ulicach udawał się natychmiast na kilkogodzinną modlitwę do kościoła. Mało w ogóle snu zażywając, codzień z rana, zawsze o jednej i tej samej godzinie, wyjąwszy niedziel i świąt uroczystych, zabierał swoje torby i dzbanki i puszczał się z niemi na zwykłą codzienną wędrówkę, jak ten, któryby całą noc najwygodniej przespał. Chodził latem i zimą zupełnie boso, bez sandałów. Dość było spojrzeć na jego popękane pięty i podeszwy, z których nieustannie krew się sączyła, aby się przekonać, jak był umartwiony. Gdy owe szczeliny się rozszerzały, Feliks zeszywał brzegi popękanej skóry, co mu sprawiało większe jeszcze i dotkliwsze cierpienia. Ból ten wzmagał się i wtedy, gdy stał godzinami całemi na kamiennej posadzce kościoła w czasie swych nocnych modlitw; i nawet tej ulgi sobie odmawiał, aby choć kiedykolwiek schorzałe nogi wymoczyć w wodzie.

Czterech braci kleryków, którym to umartwienie było znane, zmówiło się raz, aby mu prze-

[1]) Tamże.

mocą umyć i opatrzyć rozbolałe stopy, bez względu, czy się z tem zgodzi czy nie, co też przy najbliższej sposobności wykonano. Feliks jednak, chcąc raz na zawsze od podobnych usług się uwolnić, świeżo umyte nogi wobec owych usłużnych braci włożył w błotną kałużę, aby tym sposobem dwie naraz pozyskać korzyści: najpierw pozbawić się ulgi i przyjemności zmysłowej, a następnie zasłużyć na wzgardę tych braci, jako niemający zamiłowania porządku i nieumiejący ich uprzejmości ocenić.

Co do twardości posłania, sługa Boży przeszedł w tem nawet dawnych Ojców pustyni. Z początku spał zazwyczaj na gołej desce, a gdy się czuł kiedy bardziej znużonym, dodawał nieco miękkości swemu posłaniu, posypując ową deskę wiórami albo najwyżej wiązanką sitowia. Gałązki chrustu, czasem trochę siana lub słomy służyły mu za poduszkę. Później zaś nie kładł się już wcale, lecz bojąc się, aby nie zaspał godziny przeznaczonej na modlitwę nocną, spędzał czas spoczynku klęczący, podpierając rękami głowę, albo też inne jakie również niewygodne położenie przybierając. Tym sposobem bez przerwy krzyżował własne ciało, które następnie ostro chłostał dyscypliną, jako zadosyćuczynienie za ów tak nędzny wypoczynek. I tak bez żadnej odmiany całe swoje życie przepędził.

Oprócz dwóch surowych postów, obowiązujących wszystkich z reguły zakonników, to jest postu Wielkiego i Adwentu, a także Benedykty, brat Feliks zobowiązał się jeszcze do czterech innych przed uroczystościami świąt, do których miał szczególniejsze nabożeństwo: przed Zesłaniem Ducha Świętego, do ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła, do Wniebowzięcia Matki Boskiej i do Ś. Michała. Wszystkie te posty zachowywał jak najściślej przez trzydzieści kilka lat swego życia zakonnego; ośm dopiero lat przed śmiercią, zniewolony posłuszeństwem, odstąpić musiał od czterech dodatkowych, inne zaś, przypadające z reguły, do ostatniej chwili zachował; to też śmiało rzec można, że cały długi okres życia jego zakonnego był tylko jednym nieprzerwanym a surowym postem. Prócz tego miał zwyczaj, ku uczczeniu bolesnej Męki Chrystusa Pana, wstrzymywać się od wszelkiego pożywienia, począwszy od Wielkiego piątku rano aż do południa w Wielką niedzielę. W czasie tym używał najwyżej parę kropel wody lub innego napoju, jeśli go konieczność do tego zmusiła.

Feliks z powodu swego zajęcia nie mógł zasiadać przy wspólnym stole, rzadko kiedy więc jadał z braćmi, chyba z tymi, których obowiązki zatrzymywały poza obrębem refektarza. Otóż tę okoliczność umiał on tak dobrze wyzyskać, że starał się wejść niepostrzeżenie i nie zgłaszał się wcale do okienka kuchni z prośbą o obiad, ale wybierał zawsze kącik ukryty, w którym zjadał przygotowany do obiadu chleb, popijając go wodą, a gdy w bliskości znajdowała się tacka z resztkami chleba, to i z tego jeszcze korzystał, zamieniając swoją porcję chleba na resztki i okruszyny.

Rozmiłowany w ubóstwie i umartwieniu, często żalił się przed O. Gwardjanem, że kucharz zanadto smacznie przyprawia jego potrawy, a nie mogąc inaczej temu zapobiedz, dolewał do nich często zimnej wody, lub też połykał je tak gorące, że mu gardło parzyły. Do zwyczajnych jego umartwień należało i to, że mimo niezmiernie lichej odzieży, w jakiej całemi dniami biegał po mieście podczas jesiennej i zimowej pory, nigdy jednak nie zbliżał się do ognia, a gdy go do tego zmuszono, o ile mógł najprędzej znów się odsuwał. „Trzęsiesz się z zimna, bracie ośle, mówił do siebie, biegnąc do ogrodu, niech cię więc ruch rozgrzeje, ale do ognia nie pójdziesz... tym sposobem najlepiej rozgrzewają się bydlęta!... zresztą nic na tym świecie wiecznie trwać nie może, minie zima i znów będzie ciepło... cierpliwości zatem, cierpliwości!... Zdala jednak od ognia, bracie ośle... zdala od ognia!... Przy ogniu bowiem Ś. Piotr zaparł się Mistrza swojego“.

Dlaczego tak lękał się ognia.

Raz w poufnej rozmowie z jednym bratem Święty przyznał się, dlaczego tak ognia unikał. Mój drogi bracie, mówił mu z przejęciem—ogień jest bardzo dla nas niebezpieczny, ponieważ przy ogniu łatwo się gwarzy, a język, ten nasz prawdziwy nieprzyjaciel, często przekracza granice dozwolonych rozmów i naraża na wiele słów próżnych, a nieraz nawet przeciwnych miłości. Posłuchaj, drogi bracie, posłuchaj o zdarzeniu, jakie mnie spotkało. Pewnej nocy, mówił, będąc na modlitwie w kościele, spostrzegłem, że zagasła lampka przed Najświętszym Sakramentem, poszedłem więc do kuchni, aby tam światła poszukać. Ogień tlił się jeszcze na kominie, lecz wyobraź sobie moje zdumienie, gdy obok niego spotkałem siedzących pięciu Kapucynów, cichych, milczących, z kapturami na głowach, z rękami wsuniętemi w rękawy. Zbliżyłem się do nich i rozpoznałem w nich zakonników zmarłych przed wielu już laty. Zdziwienie moje spotęgowało się jeszcze; zdawało mi się, że jestem pod wpływem złudzenia; aby się więc upewnić, zapytałem ich, czy rzeczywiście są tymi, za których ich biorę. „Tak, odpowiedzieli mi dzi-

wnie smutno; nie mylisz się, bracie, my to w samej rzeczy jesteśmy". — „W takim razie, pytałem dalej, co tu robicie i po co przyszliście tutaj?" — „Sprawiedliwość Boska wyznaczyła nam to miejsce, w którem najwięcej grzeszyliśmy próżnowaniem, stratą czasu i marnowaniem słów niepotrzebnych, zabawiając się wesołą gawędką przy ognisku w czasie przeznaczonym na modlitwę i pracę!... Módl się za nami, bracie Feliksie!... och! módl się za nami, ponieważ niewysłowione znosimy męczarnie!... ty tego nie widzisz... ale straszny i dla ludzi żyjących niepojęty ogień nas pali!..." Po tych słowach widzenie znikło. Widzisz więc, bracie, dodał Święty, jak drogo płacić musi dusza za swoją zbytnią pobłażliwość ciału, niechaj więc ciało umiera z zimna, bylem tylko rozgorzał miłością Bożą i w niczem nie obraził czystości cnoty, na tem bowiem wszystko zależy dla prawdziwego sługi Bożego.

Jak przyjmował cierpienia.

Przez dwa ostatnie lata przed śmiercią przełożeni zabronili mu już tak ostrych umartwień, które jednak sam Bóg zastąpił innego rodzaju cierpieniami, zesłał mu bowiem tak straszne boleści wewnętrzne, że wcale nie mógł zmrużyć oka. Sługa Boży okazał się tu prawdziwie godnym podziwu, twarz jego promieniała szczęściem, zamiłowanie do cierpień wzrastało z dniem każdym, znosił je z anielską cierpliwością, nie skarżąc się przed nikim, nie szukając żadnej ulgi i żadnego współczucia u drugich. Tylko posłuszeństwo było w stanie zmusić go do przyjmowania lekarstw i do zasięgania rady doktora. Gdy pewnego dnia wił się z bólu w obecności zakonnego lekarza i gdy tenże zadawał mu pytania, odnoszące się do jego choroby: „Widzisz, doktorze, odpowiedział Feliks z uśmiechem — moje nędzne ciało radeby zrzucić z siebie ów krzyż, który sam Bóg na nie włożył i dlatego wije się i szarpie, aby się od cierpienia uwolnić; oto jak słabem i nędznem jestem stworzeniem!" Innym razem lekarz zachęcał Świętego, aby dla ulżenia sobie wezwał Imienia Jezus, na co on odrzekł, że choćby wiedział, że go to uzdrowi, nigdy nie użyłby tego środka; skoro Bóg mu zsyła tę chorobę, czyż byłoby to rzeczą godziwą, tego daru z ręki najlepszego Ojca nie przyjąć? Prosił więc tylko tak doktora jak i obecnych, aby wraz z nim powtórzyli „Deo gratias" na podziękowanie Panu Bogu za zesłaną mu łaskę i na uproszenie większej cierpliwości,, a mówił to z taką pokorą i z tak skruszonem sercem, że wszyscy do łez byli wzruszeni.

Za każdem nowem cierpieniem, jakiem go Bóg nawiedzał, za każdą dolegliwością miał zwyczaj powtarzać: „Witajcie kwiatki niebiańskie, witajcie rozkoszne róże".

Gdy konieczność i posłuszeństwo zmuszały go, aby w chorobie przynajmniej używał siennika, gorzko to sobie wyrzucał, że jest zniewolony tak bardzo dogadzać ciału; starał się aby tej słomy było jak najmniej i nigdy nie pozwolił dołożyć lub odmienić, tak, że w końcu na proch się starła. Największą dla niego boleścią i umartwieniem w chorobie była ta okoliczność, że nie był w stanie, jak dawniej, uczęszczać do kościoła na swoje nocne modlitwy; gdy czuł się trochę lepiej, natychmiast wracał do dawnego porządku, zwlekał się jak mógł z nędznego posłania, aby przed Najśw. Sakramentem rozpalać serce ogniem niebiańskiej miłości.

Cz. Jan z Morienn (Maurienne) (1614 r.).

Wojna, jaką Święci wydają swoim zmysłom i którą osoby światowe za szaleństwo uważają, jest tylko zastosowaniem tych słów Zbawiciela: „Jeśli pokutować nie będziecie, zginiecie". Czcigodny Jan z Morienn od wstąpienia swego do zakonu podwoił umartwień, które już dawniej praktykował. Łoże jego składało się z kilku desek, pokrytych wytartą i połataną derką, a spał tylko trzy, lub najwyżej cztery godziny, resztę czasu obracając na modlitwę. Zawsze brał na siebie obowiązek budzenia braci na jutrznię, która w zakonach odmawia się zwykle o północy; to też mówili oni, że z O. Janem nie potrzebują budnika. Nosił żelazny pancerz i codzień się biczował. Choćby najzimniej było, nie zbliżał się do pieca, by się ogrzać. Zawsze jednostajnie ubrany, nie chciał używać żadnych zwolnień i ulg, na jakie reguła chorym lub starym braciom pozwala. Pościł literalnie cały rok, wyjąwszy wielkich uroczystości, jak Boże Narodzenie, Trzy Króle, Wielkanoc, Zielone Świątki, ŚŚ. Piotra i Pawła, Wniebowzięcie, Ś. Michała Archanioła i Wszystkich Świętych. Zwyczajnym jego posiłkiem była zupa, którą raz tylko na dzień jadał, lecz często poprzestawał na kawałku chleba i wody. Przez pierwsze 24 lata życia zakonnego nigdy nie pił wina, a jeśli później zwolnił pod tym względem swoją wstrzemięźliwość, to tylko z wyraźnego posłuszeństwa dla przełożonych.

Gdy musiał iść w drogę, co często się zdarzało, a wiedział, że nigdzie nie będzie mógł prosić jałmużny, brał ze sobą kawałek chleba: ten chleb i woda ze źródła stanowiły wówczas jego posiłek. Wzgląd na towarzyszów podróży zmuszał go czasami do wstępowania do jakiego domu, ale

wtedy wybierał ubogą chatkę wieśniaczą i najchętniej nocował w stodole. A gdy go bracia za powrotem pytali, gdzie spał, mówił im żartując: „U pana źródła albo u pani stodoły". Jako mistrz nowicjuszów najczęściej rozmawiał z nimi o potrzebie umartwienia dla wszystkich, a szczególniej dla zakonników. Zresztą chciał, aby Bóg tylko był świadkiem osobistych jego umartwień; on sam ich nawet nie widział i wyrzucał sobie, że nie czyni pokuty, odpowiedniej do mnóstwa grzechów, jakiemi Boga obraził.

Pomimo starannego ukrywania się ze swemi pokutami, nie mógł jednak tego dopiąć: bracia widzieli jego życie i zdumiewali się, że taka nadzwyczajna surowość bynajmniej nie szkodziła jego zdrowiu, a nawet nie umniejszała tuszy.

Pan Bóg ma szczególną pieczę o Świętych swoich: ponieważ oni mają dla Niego miłość dziecka, przeto On troszczy się o nich jak Ojciec. Pewnego razu Jan z Morienn wracał z dwoma braćmi z Lugdunu. Przybywszy do podnóża góry, uczuł się tak zmęczonym drogą i postem (było to w czasie Benedykty i w ostatnich latach jego życia), że nie mógł iść dalej. Towarzysze poszli naprzód wyszukać dla niego konia. Sługa Boży próbował jeszcze uczynić parę kroków, ale wkrótce musiał się położyć pod krzakiem, gdzie niebawem zasnął. Gdy po półgodzinnym wypoczynku otworzył oczy, zobaczył przy sobie leżący mały bochenek chleba świeżego, niezwykłej białości. Miejscowość była pustą i nikt, zdawało się, nie przechodził. Zjadł więc dar Boży i ten tak go pokrzepił, że zupełnie odzyskał siły. Puścił się zatem w drogę, a spotkawszy dwóch ojców, wracających ze szczytu góry z koniem, nie chciał wsiąść na niego, lecz szedł trzy mile do klasztoru bez żadnego zmęczenia [1]).

Ś. Fidelis z Sigmaringen (1622 r.).

Święty Fidelis pracował bez ustanku nad zwalczeniem swego ciała. Za przykładem Serafickiego Patryarchy pościł siedem postów czterdziestodniowych i to bardzo surowo, tak że można rzec, iż cały rok przepędzał o poście. W piątki jadł jedną tylko potrawę. Od Wniebowzięcia Najśw. Panny aż do uroczystości Ś. Michała przestawał na jednym posiłku — południowym, a najczęściej i na jednem daniu. W czasie postu nie jadał nic na wieczór. W wigilje świąt Matki Bożej, Apostołów i Ś. Ojca Franciszka obywał się chlebem i wodą. Umartwienia te były tembardziej zasługujące, że w okolicach, w których mieszkał, to jest w Szwajcarji i Austrji, surowość temperatury wymaga obfitszej strawy, aniżeli w krajach cieplejszych.

Z tą wstrzemięźliwością Święty łączył wiele innych twardych pokut. Zauważono np., że w piątki, soboty, oraz w wigilje Najśw. Panny i Świętych Zakonu brał na siebie pas żelazny, najeżony kolcami. Co więcej, cierpiąc na rupturę, aby powstrzymać jej rozwój, przykładał na gołe ciało blachę żelazną. Ze wszystkich umartwień najdotkliwszem bez zaprzeczenia jest pozbawienie się snu. U Ś. Fidelisa była to rzecz zwyczajna. Gdy bracia zakonni spoczywali, on długie godziny wyklękiwał przed Najśw. Sakramentem. O północy pierwszy przychodził do chóru śpiewać Boski Obrządek, a później jeszcze albo pracował w celi, albo się modlił, niekiedy aż do samego rana [1]).

Cz. Honorat z Paryża (1624 r.).

Dobry i wyrozumiały dla innych, ten mąż Boży dla samego siebie miał tylko surowość. Ciało swoje siekł dyscypliną, rozdzierał ostremi kolcami włosienicy i paska, które ciągle nosił. Straszna podagra i gwałtowne bóle głowy, trapiące go przez lat 28, były dlań przedmiotem wesela: uważał je jako cząstkę cierpień Jezusowych. Jego zachowanie reguły wzbudzało podziw. Zawsze z Bogiem, zawsze przy obowiązku, nigdy nie zwalniał się z niczego. Odbywając długie podróże pieszo, jak to było zwyczajem Kapucynów, mógł był już nie wstać w nocy na Jutrznię, on jednak krzesał ogień i pomimo zmęczenia mówił Officium. Choroba zatrzymywała go czasem dłużej na łóżku, ale nie skróciła ani modlitwy nocnej, ani żadnych praktyk, jakie czynił będąc zdrowym. Jakże piękny widok przedstawiało to życie w oczach Boga, Aniołów i ludzi!

Sługa Boży z rozkoszą odbywał wszystkie posty reguły; owszem, w miarę lat zdwajał umartwienia, poprzestając w czasie postu na samej tylko zupie, chociażby nawet znajdował się poza klasztorem. Gdy zdarzyło mu się być wśród ubogich, a do takich zazwyczaj pukał, cieszył się z ich skromnego przyjęcia, mówiąc, że woli ich kawałek chleba, niż najlepsze kąski bogaczów [2]).

---

[1]) Vie du V. Jean de Maurienne Cap. par l'abbé Truchet.

[1]) Benedykt XIV. Bulla kanonizacji. S. Fidèle de Sigmaringen par le R. P. Fidèle de la Motte-Servolex. [2]) V. Honoré de Paris par l'abbé Mazelin.

Hieronim z Albi (1646 r.).

Ten braciszek kapucyński wcześnie przyjął na się jarzmo Chrystusowe i dźwigał je z prawdziwym heroizmem. Od wstąpienia do zakonu wziął się do pokuty i pod tym względem mógł współzawodniczyć z największymi pustelnikami Egiptu. Sypiał na gołych deskach, a kawałek drzewa służył mu za poduszkę. Wszystkie posty kościelne i z reguły, oraz posty Ś. Franciszka przepędzał o chlebie i wodzie. Jeden jedyny habit okrywał jego ciało, a był tak pocerowany i połatany, że trudno było dopatrzeć się w nim pierwotnego kształtu i koloru; chodził zawsze boso, dopiero w starości na rozkaz przełożonych włożył sandały. Ciało trapił włosienicą ze świńskiej szczeciny z ostremi żelaznemi kolcami. Zimą po każdej dyscyplinie wskakiwał do zamarzłej wody. Był to zwykły jego sposób obchodzenia się ze sobą. Gdyby nie szczególna łaska Boża, jakkolwiek silnie zbudowany, Hieronim nie mógłby przetrzymać takich umartwień, ale widocznie Pan Bóg mile je przyjmował, jako wynagrodzenie za nieprawości świata. Z drugiej strony przełożeni, nie chcąc aby sobie skracał życie, nakazywali mu od czasu do czasu w nich folgować, szczególniej gdy się postarzał [1]).

Dominik z Riez (1651 r.).

Dominik z Riez cudownie był wezwany do zakonu Ś. Franciszka. Pobierając nauki, często chodził do kościoła i do klasztoru Kapucynów. Nakoniec zaprzyjaźnił się z jednym młodziutkim kapłanem i zwierzył mu swoją chęć wstąpienia do nich. Lecz gdy jeszcze się namyślał, pewnej nocy ukazał mu się ów zakonnik w niebiańskiej jasności, mówiąc: „Ja idę już do Pana Jezusa, a ty zajmij prędko moje miejsce w naszem świętem zgromadzeniu“. Przebudziwszy się, młodzieniec pobiegł do klasztoru i oświadczył, że ma interes do młodego kapłana. Ale jakież zdumienie go ogarnęło, gdy mu powiedziano, że ów Kapucyn nie żyje, tej nocy właśnie umarł i już robią się przygotowania do pogrzebu. Było to więc aż nadto widoczne, że Pan Bóg tu go powołał. Wstąpił do klasztoru, a odbywszy nowicjat z gorącością ducha, stał się wzorowym zachowawcą reguły i przepisów. Lecz przedewszystkiem wyróżniał się cnotą seraficznej pokuty. Od początku posłaniem jego była deska niczem nie nakryta, a okryciem sam tylko habit, na nogach nic nie nosił i to nawet w mrozy i błota. A kiedy przełożeni, by nie szkodził zdrowiu swojemu, zabronili mu tych ostrości, wynalazł sobie natomiast inne. Od tego czasu pościł wszystkie kwadragezimy Świętego Ojca, a tak sumiennie, że rzadki dzień w roku jadł co gotowanego, poprzestając na samym chlebie, surowych ogrodowiznach i wodzie; w wigilje świąt Matki Bożej i Świętych Patronów jeszcze sobie przydawał pokut. Taki sposób życia zachował do śmierci, pomimo ustawicznych trudów apostolskich, bo nieraz biegł od wsi do wsi w śniegi i błota, aby jednego dnia wygłosić kilka nauk [1]).

Bazyli z Zyrleon (1651 r.).

Tyrolski Kapucyn, Bazyli z Zyrleon, słynął w swoim czasie z nadzwyczajnych pokut. Umartwiał się do tego stopnia, że był to raczej cień chodzący, niż człowiek. Można śmiało powiedzieć, że z wycieńczonego jego ciała pozostał tylko język ku głoszeniu chwały Bożej. Pomimo wszakże, iż ciągle był słabym i znędzniałym, żył długo, zawsze taki rodzaj życia prowadząc. Przed śmiercią długo i ciężko chorował: wszyscy bracia nad nim się litowali, on jeden cieszył się, że już idzie do swego Pana. Gdy umarł w Bolzano, lud cisnął się do zwłok, aby je ucałować, dotknąć się habitu i wziąć jaką cząsteczkę na relikwję [2]).

Bł. Bernard z Korleonu (1667 r.).

Bernard był synem ubogich ale zacnych rodziców w miasteczku sycylijskiem Korleone. Charakteru żywego i ognistego, a przytem lubiący oręż, zawsze pierwszy był do zaczepki i kłótni, tak że i najśmielszym nieraz się coś od niego dostało. Należy jednak przyznać, że miecza swojego często używał w obronie starców, dziatek i panien; i jeszcze jeden dobry czyn spełniał, mianowicie, co wieczór, wychodząc za miasto na przechadzkę, nawiedzał obraz Ukrzyżowanego, bardzo czczony w całej tej okolicy. Jego zuchwalstwa nie podobały się niektórym obywatelom i postanowili go upokorzyć, wyzywając na pojedynek. Filip, bo takie miał imię na świecie, przyjął wyzwanie, a natarłszy z wielką zręcznością na przeciwnika, zadał mu śmiertelną ranę. Na widok umierającego przycichła w nim namiętność, a serce wezbrało żalem. Wszedł w siebie i poznał rozmiary swojej zbrodni, aby więc za nią odpokutować, umyślił skryć się w klasztorze. Po odsiedzeniu kary, przedstawił się prowincjałowi Kapucynów w Palermo, prosząc o

[1]) Annali Cappuccini dal Pelegrino da Forli V. I.

[1]) Tamże [2]) Tamże V. II

przyjęcie. Przełożony, zdziwił się mocno i z niedowierzaniem słuchał jego wynurzeń, a w końcu poddał go długiej próbie. Lecz gdy Filip nie upadał na duchu i trwał przy swojem, dano mu habit w r. 1632, oraz nowe imię Bernarda. Nowicjusz wziął się z zapałem do pracy nad sobą, do umartwień ciała, do zwalczania swego ja, i swojej wojowniczej a pysznej natury, to też po roku, za zgodą wszystkich braci, złożył profesję. Odznaczył się wielu cnotami, ale szczególniej duchem pokuty. Codzień biczował swe ciało kolczastą dyscypliną, tak że było ciągle rozranione, bo gdy jeszcze w jednem miejscu rany się nie zabliźniły, już otwierały się nowe; przez całe życie w zakonie, t. j. lat 35 nie zdejmował z siebie włosienicy ze szczeciny i grubego żelaznego łańcucha, który nosił na biodrach. Piętnaście lat z rzędu jadł zawsze na klęczkach i samą tylko wodę i chleb, a jeśli w jaką uroczystość przełożony kazał mu wziąć trochę zupy, mieszał ją z piołunem, aby nie doznać zadowolenia smaku. Słyszano go jak nieraz powtarzał sam do siebie: „Moje ciało, nie możesz iść całe do grobu: grzeszyłoś, wierzgałoś przeciw przykazaniom Boskim, teraz więc trzeba ci za życia umierać". Pokuty Bernarda mogą się równać tylko z pokutami dawnych pustelników [1]).

Ireneusz z Medjolanu (1676 r.).

Ten miłośnik umartwienia sprawował różne obowiązki w zakonie, jako to: mistrza nowicjuszów, definitora, wikarego prowincjalnego. Ale najwięcej odznaczył się pokutą. Przez 24 lata, za pozwoleniem przełożonych, którzy dali mu na to swoje błogosławieństwo, nie brał nic więcej do ust, tylko chleb i wodę, nie zwalniając się z tego nawet w czasie trudów apostolskich. Jeżeli chciano go doświadczyć, rozkazując mu zjeść zupę lub jaja, zwykle odbijało się to na jego zdrowiu: dostawał boleści tak, że uznano, iż lepiej nie przeszkadzać mu w jego pokucie.

Piotr Marja z Bolonji (1680 r.).

Potomek znakomitego rodu bolońskiego Barzellini'ch, Piotr Marja, młodość swoją spędził na wojaczce z Turkami jako kawaler Maltański. Widocznie krzyż, który miał na piersiach, obudził w nim chęć wyrycia takowego w sercu, bo naraz złożył hełm i pancerz, a opasał się grubym powrozem w zgromadzeniu Kapucynów. Aby się oddalić od krewnych, po ślubach na prośby swoje został przeniesiony do prowincji Medjolańskiej, gdzie wytrwale dążył do doskonałości. Dla zwyciężenia siebie i swego ciała mało mu było zwykłych pokut zakonnych, a nawet postów Ś. Franciszka. Nie jadł więc nigdy mięsa, ale sam chleb, jarzyny i mączne potrawy; w największe zimna nie okrywał się płaszczem, habit połatany i zużyty służył mu zarówno w lecie, jak i w zimie, dopiero gdy starość nadeszła i przełożeni kazali mu lepiej się odziewać, wziął sobie płaszcz jaki mógł znaleźć najlichszy. Szczególnem było jego milczenie, którego bardzo przestrzegał, nie mówiąc nigdy z własnej woli, tylko odpowiadając starszym; to umartwienie zachował do końca, zresztą najwięcej czasu spędzał w swojej celce, prowadząc życie ukryte [1]).

Urban z Siviano (1697 r.).

Podobnąż cnotą jaśniał brat Urban z Siviano. Wstąpił on do klasztoru już jako kapłan wzorowy i ceniony bardzo przez swoją władzę duchowną, a związawszy się świętemi ślubami, szedł wiernie za głosem Bożym, starając się z całych sił o własne udoskonalenie. Pominiemy tu inne jego pokuty i ostrości, gdyż w tem naśladował swoich poprzedników, a zaznaczymy nadzwyczajną czujność, by nie wyrzec próżnego słowa. Milczał on całe życie w zakonie. Ileż to pracy i wysiłków musiała go kosztować ta rzadka między ludźmi cnota. A jednak postanowiwszy ją osiągnąć, tak się modlił, tak karał się za najmniejsze w tym względzie przestępstwo, tak powstrzymywał swój język, że stał się jego panem. Na pytania odpowiadał krótko, treściwie i w taki sposób, że nie można go było zatrzymać na dłuższą rozmowę. Gdy chodziło o odpowiedź: tak lub nie, dawał ją skromnym ruchem głowy, bez otwierania ust. Bracia poważali wielce wstrzemięźliwego w mowie towarzysza i dali mu nazwę pustelnika cenobity. Wysłany do klasztoru, gdzie był nowicjat, wzbudził podziw profesorów i nowicjuszów, gdyż jego milczenie było nader wymowne, a przykład zachęcał do ćwiczenia się w tej cnocie. Głos Urbana słyszano tylko w czasie Officium, oraz gdy mu się wyrywały z piersi akty strzeliste, co się zdarzało w lasku wewnątrz klauzury. Urban miał zwyczaj chodzić tam w wolnych chwilach i wtedy to wylewał duszę swą przed Panem. Był on tak przejęty tą cnotą, że pisał na karteczkach zdania Ś. Grzegorza, chwalące zakonnika milczącego i rozdawał je no

[1]) Annali Capuc. V. III 1667.

[1]) Ibid.

wicjuszom, aby je rozważali i ćwiczyli się w milczeniu. Wychodząc w podróż, brat Urban po odmówieniu przepisanej modlitwy zamykał usta i odmawiał sobie przyjemności rozmowy z socjuszem. Pomimo tej praktyki był on od wszystkich kochany, gdyż wszystkim starał się pomódz, usłużyć; chciano go nawet obrać na gwardjana, ale się wyprosił od tego urzędu [1]).

Elekt z Vinicky (1700 r.).

Ten sługa Boży budował swoją pokutą i umartwieniami prowincję Nadreńską, w której też uważano go za jednego z najcnotliwszych braci. Szlachetnego rodu i bogaty, a jeszcze bardziej pobożny, od dzieciństwa myślał już o rzeczach niebieskich. Ukończywszy nauki, długo zastanawiał się, czy wstąpić do Jezuitów, czy też do Kapucynów, aż wreszcie przeważyli ci ostatni, u których więcej mógł się umartwiać i rozmyślać. Prowadził on zaciętą wojnę ze swojem ciałem; nosił gruby łańcuch żelazny na biodrach, biczował się dyscypliną ze sznurków węzłowatych tak silnie, że podłoga i ściany ciasnej jego celki były krwią zbroczone. Nadto pościł surowo, jedząc same tylko resztki pozostałe w refektarzu, a często chleb i woda były jedynym jego posiłkiem, wieczorem nic nie brał do ust. Tak umartwiając się, brat Elekt doszedł do wysokiej bogomyślności i zjednoczenia z Bogiem, od którego nic go nie było w stanie oderwać. Zakonnicy, widząc w nim ten wielki dar, zwolnili go z obowiązków klasztornych, aby mógł swobodnie wznosić się duchem ku niebu. Ostrości i pokuty, oraz zatapianie się w Bogu w krótkim czasie go wyczerpały i w młodych latach zasłużył sobie na żywot wieczny. Śmierć zabrała go w Koblencji r. 1700 [2]).

Antoni z Medjolanu (1721 r.).

Zmarły w Kastello 6 grudnia 1721 r., Antoni z Medjolanu zostawił po sobie pamięć świątobliwego życia i wielkich umartwień. Sypiał, jak to zeznał jego spowiednik, tylko trzy godziny, resztę czasu nocnego obracając na rozmowę z Panem Bogiem. Z pozwolenia przełożonych przez 24 lata nosił na sobie dwa krzyże drewniane, całe nabite ostremi kościanemi zębami, jeden na piersiach, drugi na plecach; każdy z tych krzyżów miał wzdłuż dziewięć cali. Codziennie biczował się mocno przez cztery psalmy Miserere; pościł surowo i niemal bez ustanku, bo gdy jeden post ukończył, drugi zaczynał. Miłe musiało być Stwórcy życie umartwione Antoniego, kiedy mu objawił dzień jego śmierci. 21 listopada rozpoczął on 10-cio dniowe nadzwyczajne rekolekcje, mówiąc w zaufaniu do niektórych zakonników, że są to ostatnie jego ćwiczenia. I rzeczywiście były one ostatnie, bo po ich odprawieniu rozchorował się i piątego dnia umarł. Na wieść o tem zbiegły się tłumy wiernych, aby zobaczyć świętego Kapucyna i wziąć po nim relikwje. Obcinano mu włosy, paznokcie, a nawet kawałki ciała u rąk i nóg, nie mówiąc już o odzieniu. Rzecz zadziwiająca: Siedemdziesięcioletni przeszło starzec o twarzy wyschłej i pomarszczonej, w trumnie zmienił się do niepoznania: wyglądał pięknie, świeżo, zmarszczki gdzieś się podziały, ręce i nogi były giętkie, jak u śpiącego. Za pomocą tych relikwji działo się wiele cudów.

Ś. Weronika Dżuljani (Giuliani) (1727 r.).

Ta wielka miłośnica Ukrzyżowanego jadała tak mało, że sam doktór klasztorny osądził, iż żaden człowiek nie mógłby na tem poprzestać; nadto dla zwyciężenia swojej delikatności, zbierała często resztki pozostałej zupy po zakonnicach najstarszych i najbardziej odrażających. Sen jej nie dochodził godziny, tak był krótki i przerywany, budziła się bowiem co chwila, powtarzając gorące akty miłości. Wspominaliśmy już wyżej o jej poście przez 5 lat. Pokuty jej były tak liczne i tak straszne, iż prawdziwie nie pojmowano jak mogła przy nich żyć bez cudu: biczowała się okrutnie, ciało dręczyła w różny sposób; kłuła je, rozdrapywała żelaznym grzebieniem, wypalała Imię Jezus; chodziła w sukni od spodu przeplatanej cierniami i w niej kładła się do łóżka. Biczowała się całemi godzinami, aby naśladować i cierpieć biczowanie Chrystusa Pana. Spała często na gołej ziemi, a dla większej pokuty pod łóżkiem, które ponieważ było bardzo nizkie, tłoczyło ją tak, że się ruszyć nie mogła. Gdy zaś spała na łóżku, chociaż złożone tylko było z dwóch desek i pokryte kołdrą, nie przestawała na tem, ale posypywała je cierniami, kośćmi, skorupami potłuczonemi i nazywała to odpoczynkiem na cierniach. Nieraz prosiła jednej z konwersek, swojej powiernicy, aby ją przywaliła to stosem drzewa w drwalni, to innym ciężarem, aby mogła czuć wielkość swoich grzechów. Lecz wszelkie wymyślone przez nią umartwienia nie zadawalniały jej żądzy cier-

[1]) Ibid. [2]) Ibidem, V. VI.

[1]) Ibidem, an. 1721.

pień, dlatego błagała ciągle Pana Boga, aby jej zsyłał krzyże i choroby [1]).

Bł. Marja Magdalena Martinengo (1737 r.).

Błogosławiona Marja Magdaleńa odezwała się raz do swoich towarzyszek: „Czuję tak gorące pragnienie cierpień, że Sam Zbawiciel, zdaje mi się, nie ma go czem zadowolnić". Już same te słowa dają nam poznać, jak ta dusza była rozmiłowaną w pokucie. Opisując zaś swemu spowiednikowi z jego rozkazu pokuty przez siebie spełniane, zakończyła: Opowiedzieć wszystko, jak się umartwiam, jest dla mnie zupełnem niepodobieństwem; Bogu jednemu tylko to wiadomo, gdyż co do mnie, zaraz o tem zapominam".

Życie Klarysek-Kapucynek jest już samo z siebie życiem ofiary i aby w niem wytrwać, potrzeba silnego zdrowia. Wstawanie w nocy na Officium, powolny śpiew tegoż, grube, ostre odzienie, twarde spanie, ciężka praca (nie mają służebnych i wszystko same robią), czyni z tych oblubienic Bożych jeden z najsurowszych zakonów w Kościele. Marja Magdalena przez czas swego nowicjatu miała obfite pole do umartwiania się, a jednak przechodziła jeszcze wymagania reguły. Dodajmy do tego codzienne dolegliwości, które ciągnęły się przez całe jej życie, a które nazywała małemi, jak: bóle głowy, zębów, żołądka, kurcze muskułów, niekiedy tak silne i gwałtowne, że sądziła, iż za chwilę skona. Lecz tego nie dosyć jej było. Prosiła więc Boga, aby wszystkim siostrom udzielił łask, zatapiał je w rozkoszach rajskich, pieścił na łonie swojem, lecz by jej cząstką były tylko smutki, przeciwności, trudy i bóle, bo, jak się wyrażała: „nie tyle zazdrości szczęścia błogosławionym, ile cierpień męczennikom". Otrzymawszy pozwolenie umartwiania się według wewnętrznego pociągu od Kardynała Bodoaro, a po jego śmierci od Biskupa Martinengo, przełożonego nad wszystkiemi zgromadzeniami zakonnemi w Brescji, Błogosławiona dziewica oddała się z całym zapałem tej tak zapomnianej, a tak potrzebnej cnocie. A więc nigdy się nie usprawiedliwiała z czynionych jej zarzutów, a Bóg dawał, że te ciągle ją spotykały; owszem, brała na siebie winy innych, aby tylko cierpieć. Nigdy też nie widziano, aby kiedykolwiek spędzała z twarzy muchę, osę lub komara i to wtedy nawet, kiedy te owady są najdokuczliwsze; przeciwnie, aby je zwabić, smarowała sobie twarz miodem. Co noc godziny całe wyklękiwała z rozkrzyżowanemi rękoma, by zaś te ze zmęczenia nie upadały, kładła je w pętlice ze sznurka, umyślnie w tym celu przytwierdzonego do muru. Sen jej był raczej torturą, niż wypoczynkiem. Brała bowiem trzy lub cztery kawałki drzewa i rozkładała je w pewnej od siebie odległości na tapczanie, służącym jej za łóżko. Tak niewygodnie leżąc, budziła się często, a wtedy przeplatała sen krótszą lub dłuższą modlitwą. „Wstaję, pisała, nieraz więcej zmordowana, niż przed tym spoczynkiem".

Przez czas nowicjatu zniosła wiele z przyczyny prostych potraw Klarysek, do których jej żołądek nie mógł się przyzwyczaić, a szczególniej do spożywania w południe więcej pokarmów, co przy całorocznym poście i lekkiej kolacji jest nieodzowne. Bojąc się zadowolnić swój smak, mieszała do jedzenia liście piołunu, będąc zaś kucharką — rybią żółć, od której niema już nic gorszego. Jadła tyle tylko, aby módz żyć i pracować, jeszcze mniej piła. Ile wówczas ofiar odbierał Pan Jezus od swojej służebnicy! Zmęczona zajęciem w kuchni lub indziej, palona gorączką, chociaż miała w pobliżu stągwie wody, dla większego umartwienia podchodziła do nich i natychmiast się usuwała. Ulubionym jej pokarmem były owoce, lecz, aby i z tego złożyć Bogu ofiarę, wyprosiła sobie pozwolenie wstrzymywać się od takowych najpierw przez całe trzy lata, a później przez trzy dni w każdym tygodniu. Raz cały rok jadła tylko chleb rozgotowany w wodzie.

Heroiczna pokuta.

To, co teraz opiszemy, jest nie do naśladowania i sam Papież Leon XIII w dekrecie beatyfikacyjnym Marji Magdaleny wyrzekł: „Przykłady pokuty, jakie ta Błogosławiona zostawiła, należy raczej podziwiać, niż naśladować". Wybrani Pańscy są tacy, jakimi ich Bóg uczynił, my zaś możemy zawsze uwielbiać Opatrzność Boską, która przeciwstawia tych Świętych słabości i nędzy naszej.

Żałując za grzechy swoje po spowiedzi z całego życia, tak mocno biła się kamieniem w piersi, że aż jedno z żeber pękło, a że zachowała to w tajemnicy przez dwa tygodnie, t. j. dopóki ból był możliwy do zniesienia, doktór nic już nie mógł na to poradzić. Wiedząc, że miłość żyje cierpieniem, co chwila sięgała po kolczastą dyscyplinę, tak że siedem albo osiem razy na dzień biczowała się. Znalazłszy pewnego dnia wiązkę gałęzi ciernio-wych, podszyła niemi habit i chodziła tak kilka tygodni, nie zdejmując go nawet do spania, a kolce rozdrapywały i przenikały jej ciało. Przez kilka lat sypiała tylko dwie godziny. Ciało jej burzyło się przeciw duchowi, ale Święta mówiła mu, że

[1]) Żywot Ś. Weroniki Giuliani.

ponieważ ma zgnić po śmierci, niech więc gnije już za życia. Powiedzieliśmy wyżej, że spała na drewnach, lecz kiedy, wskutek przyzwyczajenia, nic ją to już nie kosztowało, kładła się, a raczej siadała skurczona na ziemi i to w największe zimna. W zimie okno jej celki było otwarte, a w lecie zamknięte. Pisząc o jej nabożeństwie do Męki Pańskiej, wspominaliśmy, że co noc po jutrzni chodziła do oddzielnego domku w ogrodzie, aby tam modlić się i odprawiać drogę krzyżową z ciężkim krzyżem drewnianym na plecach. Dopiero, gdy po kilku latach starsze siostry zaczęły ją śledzić, chcąc zabezpieczyć się, aby nie widziały jej umartwień, przestała chodzić do tak zwanej pustelni, ale nie cierpieć; odtąd mała jej celka była świadkiem wszystkiego.

Oprócz żelaznego paska z kolcami, Marja Magdalena nosiła ciągle włosienicę o 500 kolcach, które zadawały jej niewysłowione męki, a pamiętajmy, że ciężko pracowała; takież łańcuszki ściskały jej ręce i nogi. Aby dodać sobie bólu, pewnego dnia przyszyła je do ciała, które przy tej operacji jęczało i wiło się; po dziewięciu wszakże dniach, gdy część pokłuta igłą i rozraniona łańcuszkiem strasznie nabrzmiała, z obawy czego złego poprzecinała nici i odjęła łańcuszek. Przez cały ten czas dokuczał jej ostry i palący ból, który powiększał się przy noszeniu drzewa na górę, gdyż tem właśnie Błogosławiona była wówczas zajęta. Oprócz wspomnianej włosienicy miała jeszcze drugą niemniej bolesną — istne narzędzie tortury. Marja Magdalena chodziła dniem i nocą w obydwóch, tak że w końcu ta, która była bliższą ciała, po ośmiu latach noszenia wrosła w takowe i nie dała się oderwać. Lecz nie poprzestając na tem, robiła sobie jeszcze włosienice z blachy, o wiele przykrzejsze od pierwszych; gdy bowiem tamte ranią tylko kolcami, te w jeden dzień obdzierają ciało do żywego, to też Święta nie mogła ich nosić bezustanku. Czasami wciskała w biodra krzyżyk, mający 15 igieł albo szpilek.

Wszystkie te umartwienia pełniła z własnej woli, ale za pozwoleniem przełożonych, tak iż czując się osłabioną, mogła każdej chwili ich poprzestać. Aby więc zagrodzić sobie do tego drogę, pewnego dnia postanowiła uczynić sobie włosienicę, którejby nigdy nie mogła usunąć. Zaszedłszy do celki, w której było dużo igieł do szycia, powtykała je sobie w ramiona, w ręce, w boki i w nogi, razem 33 igły. Była to ukryta włosienica, której nikt i nigdy nie mógł się nawet domyśleć, co ją bardzo radowało. Innym razem, rozmyślając o ukoronowaniu cierniem Pana Jezusa, uczuła natchnienie, aby powkładać igły w głowę, lecz włożyła ich tylko trzy, na więcej silny ból już nie pozwolił; natomiast ozdobiła niemi jeszcze ramiona i plecy. Później więcej jeszcze igieł wetknęła w głowę.

Niewyczerpana w pomysłach tego rodzaju, wypalała sobie po całem ciele rany siarką, albo witryolejem. W ten sposób zrobiła sobie na ramieniu piękne Imię Jezus, nad niem krzyż, a w dole trzy gwoździe. Święta pisała w swym żywocie, że przy tej operacji o mało nie zemdlała, a rana trwała 10 dni. Jeszcze dwa razy robiła to Imię, nacinając ciało scyzorykiem, ale z tego ani ślad nie został. Pewnego dnia, chcąc wypalić Najświętsze Imię Jezus na drugiem ramieniu, przez nieostrożność wylała całą buteleczkę witryoleju, który spłynął po niej aż do stóp, trawiąc ciało i tak już poszarpane dyscypliną i włosienicami. Błogosławiona, umierając z boleści, padła na kolana, by złożyć się Bogu na całopalną ofiarę, aby zaś nie wydawać jęków, odmówiła z rozkrzyżowanemi rękoma siedem psalmów pokutnych za swoje grzechy i za dusze w czyścu cierpiące, których męki zdawała się wtedy odczuwać. Liczne rany, spowodowane tym wypadkiem, znosiła w milczeniu, bez słówka skargi, tylko jednej nie mogła ukryć, gdyż była wielką i ciągle szła z niej materja. Dwie więc Siostry opatrywały jej ową ranę na nodze i prały bandaże, ale nie wiedząc i nie pytając, skądby ją miała. Po sześciu tygodniach, gdy rany się zabliźniły, wróciła do swoich pokut.

Pragnąc być jedną raną od stóp do głowy na wzór Jezusa Chrystusa, Marja Magdalena robiła sobie niezliczone cięcia scyzorykiem w pasie i na rękach, pozwalając krwi płynąć wszystkiemi otworami. Nazywała to tajemną dyscypliną.

Wszystkie umartwienia, które tu wymieniliśmy, zdają się przechodzić nawet pokuty Ojców pustyni. Samo ich wspomnienie dreszczem przenika. Służebnica Boża była dobrowolnie żywą męczennicą, jak to lepiej jeszcze widać z własnych jej słów: „Opisałam tu niektóre moje drobne umartwienia, innych nie pamiętam, chyba to, że w każdem położeniu ciała szukałam niewygody: siedząc, miałam nogę podniesioną; chodząc, kładłam pod nogi łańcuszek najeżony kolcami; jeśli siadałam, włosienica rozdzierała mi ciało; przy opieraniu się bądź w chórze, bądź w refektarzu kolce włosienicy wciskały się w ramiona; ten sam ból dolegał, gdy się udawałam na spoczynek, a pomimo to kładłam się z koroną cierniową na głowie, co mi przeszkadzało zasnąć. Pewnej nocy nie wiem jak, ale kolec zranił mi oko, popłynęła krew, myślałam, że zaniewidzę i odtąd zaniechałam tego umartwienia“.

Aby uleczyć krwawiące się rany, Błogosławiona prosiła Siostry infirmerki o sól, wapno lub ocet, a te środki przeciwgnilne niekiedy pomagały, choć nie zawsze, bo trudno to było przy ciężkim, grubym i ostrym habicie, który za każdym ruchem ból odnawiał. Lecz więcej od włosienic, od bolów ranił delikatne powonienie Marji Magdaleny sam habit, przesiąkły materją, płynącą z ciała.

Jak Święta mogła znieść i zadawać sobie tyle umartwień? Mówiła ona swemu ciału to, co niegdyś powtarzał Ś. Franciszek: „Po śmierci będziesz leżało na łożu śmiertelnem, gdzie sobie odpoczniesz, potem włożą cię do grobu, w którym zostaniesz aż do dnia sądu ostatecznego, stamtąd będziesz przeniesione w towarzystwie duszy do szczęśliwej nieśmiertelności, której zażywać będziesz bez końca". Głównym powodem jej pokut była chęć zadośćuczynienia sprawiedliwości Boskiej za swoje grzechy, a później naśladowanie Jezusa Chrystusa i Świętych, oraz nawrócenie biednych grzeszników. „Los tych ostatnich, pisała w swoich zeznaniach, tak bardzo mię obchodził, że będąc małą trzyletnią dziewczynką, płakałam gorzkiemi łzami przed Najśw. Sakramentem i dałabym się była na kawałki posiekać, żeby im uprosić łaskę nawrócenia. Dusze czyścowe również wzbudzają moją litość. Jeżeli ja tak cierpię, nie widząc Boga, ja, co jestem jeszcze na ziemi, jakże więc one muszą boleć?" Miłość Jezusa była pierwszą pobudką umartwionego życia Marji Magdaleny, a doskonałe naśladownictwo Jezusa celem, jaki sobie założyła. Lubiła ona powtarzać ten wzniosły okrzyk dusz świętych: „Nie chcę żyć bez cierpienia, widząc Cię ukrzyżowanym!" Jedno wejrzenie na krzyż dawało tryumf łasce nad wszelkiemi buntami natury. XVIII wiek uznany był za zepsuty; może przeto Zbawiciel chciał przeciwstawić jego zepsuciu ten cud łaski swojej. A jeśli beatyfikacja Marji Magdaleny nastąpiła dopiero w końcu XIX stulecia, odznaczającego się wyrafinowaną miękkością, czy nie miał zamiaru okazać przykładu męstwa tem większego, że w kobiecie słabej i delikatnej? Jest to tajemnica Boża, ale co najmniej wyjaśniająca źródło chrześcijańskiego ascetyzmu, że natura, podtrzymywana przez łaskę, posiada siły i energję, które tylko wszechmoc Boża ogranicza.

Po śmierci.

Po śmierci dopiero Świętej Kapucynki dowiedziano się o jej nadzwyczajnych umartwieniach. Za życia jej niewiele kto mógł się tego domyślać, gdyż uprosiła sobie u Pana Boga łaskę, iż ani twarz jej, ani ręce nigdy nie szczuplały. Lekarze, będący przy niej w ostatniej chorobie, z jednego rzutu oka na jej ciało dziewicze, gdy zemdlała, zauważyli mnóstwo blizn i ran otwartych, a następnie jakieś linje sinawe, co wskazywało na obecność czegoś podobnego do igieł. Zaciekawieni tem, wyrobili sobie u władz wyższych prawo zbadania zwłok Marji Magdaleny po śmierci. Wówczas to przed ich oczyma odkryła się tajemna historja twardej pokuty, a zarazem fakt jedyny w rocznikach sztuki lekarskiej. Z religijną skromnością i czcią wzięli się oni do tego dzieła, asystowały zaś przy niem najstarsze matki w długich swoich welonach. Operacja rozpoczęła się od głowy. Tutaj widać było pełno punkcików sinawych, idących nakształt korony od tyłu czaszki do czoła. Pierwsze uderzenie noża wykryło końce igieł. Główny lekarz naliczył ich zardzewiałych, ale mocno przystających do błony czaszkowej przeszło 30, poprzeplatanych jedne z drugiemi, wyjął zaś tylko cztery. Jedną znalazł w korzeniach włosów pośród żył na czole i rzekł: „Ręka najzdolniejszego anatoma nie potrafiłaby włożyć jej w to miejsce bez naruszenia którego z licznych kanałów i wywołania wielkiego krwi upływu". Końce uszu Błogosławionej znikły zupełnie. Na nogach również spostrzeżono sinawe punkty, ale tu igły łatwiej dały się wyjąć. Oprócz tego skóra była pocięta, muskuły miejscami powyrywane, prawe biodro całe w bliznach różnej wielkości i kształtu, w dołach podłużnych, poprzecznych, wyschłych. Na lewym boku znowu punkty czarne, głęboko wrosłe w ciało, to samo pod obojczykiem. Tak zakonnice jak doktorzy poznali, że były to kolce od włosienicy, która zagłębiła się w ciało tak, że nie było jej widać, i że na tę Błogosławiona miała odwagę włożyć drugą. Gdyby nie spóźniona pora i lato, szukanoby dłużej śladów ukrytych cierpień służebnicy Pańskiej i napewno znalezionoby ich sporo jeszcze. Główny doktór postanowił odkrycie swoje podać do wiadomości innym lekarzom. W r. więc 1738 ogłosił uczoną rozprawę w języku łacińskim: „Choroba, śmierć i igły znalezione w ciele służebnicy Bożej". Opisuje on tam drobiazgowo wszystko, co własnemi oczyma oglądał i pyta jakim sposobem te igły nie wywołały zapalenia, wrzodów albo gangreny? Według niego jest to niewytłumaczone, szczególniej, gdy zważymy, że zmarła ciągle była w ruchu i ciężko pracowała. „Będzie to zawsze", mówi na końcu, „rzecz zdumiewająca dla każdego anatoma, któryby chciał to gruntownie wytłumaczyć". Bóg tylko mógł cudownie podtrzymywać życie swojej wiernej oblubienicy i użyczyć jej sił

do cierpienia, aż do chwili oznaczonej w wyrokach przedwiecznych [1]).

Bł. Anioł z Akry (1739 r.).

Błogosławiony ten zakonnik spełniał różnego rodzaju umartwienia. Trzy razy na tydzień biczował się do krwi, tarzał się często w pokrzywach albo w cierniach, w piątki zaś od rana brał w usta aloes albo żółć, by mu wszystko w tym dniu było gorzkie. Zwyczaj ów zachował do śmierci, a tak wiernie, że gdy pewnego piątku zapomniał o tem umartwieniu, a nie mógł iść do celi, gdyż słuchał spowiedzi, przywołał brata, z którym żył bliżej i poprosił go o przyniesienie mu z celi owej goryczy [2]).

Bł. Kryspin z Witerbu (1750 r.).

Umartwienia, którym oddawał się przez całe swoje życie brat Kryspin, były tak surowe, że nie mógłby ich z pewnością spełniać bez szczególnej pomocy niebios. Odkąd przywdział habit kapucyński, postanowił sobie naśladować Świętych zakonu w ich niezwykłych ostrościach i wytrwał w tem do końca. Zaraz po złożeniu ślubów prosił przełożonego, żeby mu wolno było chodzić boso bez sandałów, lecz gwardjan na to nie pozwolił. Nie mogąc tedy umartwiać nóg swoich, błagał przynajmniej o łaskę nienakrywania głowy kapturem w czasie upałów lub zimna, co też udzielone mu zostało. Od tej chwili widziano go bądź pracującego w ogrodzie, bądź kwestującego zawsze z odkrytą głową. Litującym się nad nim odpowiadał, że cała jego choroba jest w mózgu, tak że musi go wystawiać już to na zimno, już na upał, odpowiednio do okoliczności; a zresztą, kończył, Pan nasz Jezus Chrystus wisząc na krzyżu nie miał nic na głowie oprócz korony cierniowej. Miał on zwyczaj mówić do swego ciała: „Słuchaj dobrze, co ci powiem: pomiędzy mną a tobą nie będzie nigdy pokoju, gdyż jesteś zbyt niegodziwe, ale będę umiał cię opanować i ujeździć". Czasami sługa Boży odzywał się do towarzyszów z wielką gorącością ducha: „Bracia mili, na moje nieszczęście mam dwóch wrogów nieprzejednanych: szatana i moje ciało; trzeciego zaś wroga, świat, już opuściłem. Nad szatanem odnoszę zwycięstwo, polecając się Bogu i Najśw. Pannie, a ciało moje chcę zwyciężyć, bijąc je i źle się z niem obchodząc".

Większą część nocy spędzał na rozmyślaniu. Łóżko, na którem zażywał kilku chwil spoczynku, składało się z prostej deski, mającej 18 cali wszerz. „Moi drodzy, mówił do zakonników upominających go, aby miał litość nad swoją starością i chorobami i zwolnił nieco z umartwień, nie wiecie, jakiem zwierzęciem jest moje ciało. Z powodu jego zuchwalstwa nigdy jak żyję nie zaznałem pokoju. Długie doświadczenie nauczyło mnie, że nie mogę mu ani na chwilę zaufać; jest to wąż, któremu zimno nie szkodzi; niech tylko bowiem słoneczko się pokaże, natychmiast rozgrzewa się, wpada we wściekłość i mógłby mnie zabić swoim jadem. Dlatego do zgonu muszę się mieć na baczności i biczem je karać".

„Pewnego dnia, opowiada socjusz Bł. Kryspina, gdyśmy wrócili do klasztoru z całodziennej kwesty, przygotował on trochę rybek i owoców na stole i zaprosił mnie na obiad, sam pierwszy nawet wziął się do jedzenia, ale po chwili, trzymając w ręku kawałek chleba, wyszedł. Że zaś bardzo często zdarzało się to w czasie posiłku, udałem się za nim boso, aby się dowiedzieć, co robi. Otóż Święty wszedł na górę i zamknął się tam w małej izdebce, a w kilka minut usłyszałem płacz i mocne razy dyscypliny. Domyślając się, że będzie wracał, zbiegłem co prędzej na dół i zasiadłem do stołu; wkrótce potem dały się słyszeć kroki Kryspina, śpiewał jakąś pieśń, abym się niczego nie domyślił; zajął miejsce obok mnie, jakby dla dokończenia obiadu, ale w rzeczy samej nic już nie wziął do ust".

Jak przyjmował każde cierpienie.

Kryśpin każdy ból przyjmował w duchu pokuty, cieszył się z niego i nie starał się sobie ulżyć. Pewnego dnia, rąbiąc drzewo z kilkoma braćmi, uderzył siekierą w lewą rękę tak nieszczęśliwie, że wielki palec ledwie się trzymał. Krew trysnęła strumieniem, ale sługa Boży nie jęknął, nie westchnął i byłby nie zwrócił na to uwagi, gdyby nie pracujący obok zakonnik. Na wołanie tego ostatniego przybiegli wszyscy i zmusili Kryspina, że pozwolił obwinąć rękę i zaprzestał rąbania.

Innym razem, kwestując w górach, zmęczył się i dostał silnej gorączki. Pragnąc więcej cierpieć, poszedł na większą jeszcze wysokość, gdzie promienie słońca wprost na niego padały. Obecni przy tem wieśniacy, poznawszy Świętego, zbliżyli się doń; a widząc groźne jego położenie, chcieli go zabrać do swego domu, ale Kryspin według zwyczaju odpowiedział, że to nic, i nie przyjął ich

---

[1]) Vie de la B. Marie Magdelaine Martinengo par le R. P. Ladislas de Vannes. [2]) Żywot Bł. Anioła z Akry, O. Prok.

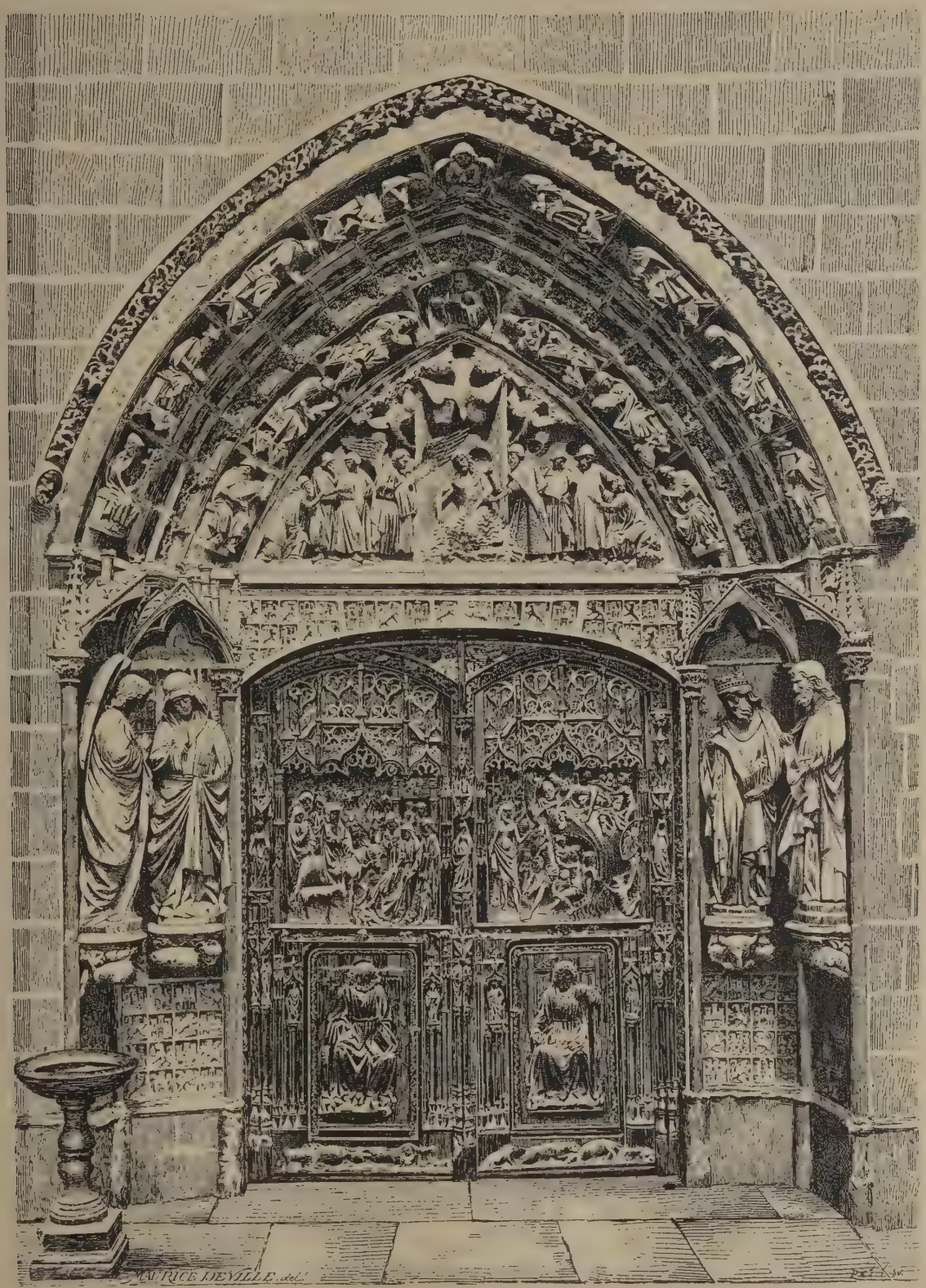

DRZWI KOŚCIOŁA KATEDRALNEGO W BURGOS.

WEDŁUG BARDZO DAWNEGO PODANIA GŁOWA Z KAMIENIA PO LEWEJ STRONIE PRZY KOŃCU ŁUKU GÓRNEGO MA BYĆ PORTRETEM Ś. FRANCISZKA.

usług. Gdy zaś ci prosili go coraz usilniej, nie będąc w stanie powstrzymać ognia miłości, ogarniającego jego duszę, oddał się uniesieniom i porywom radosnym: „Czy nie widzicie, drodzy moi, czy nie widzicie, jak świat jest piękny? Ile cudnych rzeczy Bóg stworzył dla człowieka! Ile rozkoszy dał nam smakować! Jakie radości niewypowiedziane nam przysposabia! Czyż to zatem wielka rzecz, jeśli człowiek wycierpi dla Niego cośkolwiek? Idźcie więc, moi drodzy, idźcie napowrót do swojej pracy; bardzo wam wdzięczny jestem za dobre chęci". I ludzie ci cofnęli się, mniej zdziwieni tem, co słyszeli, aniżeli tonem natchnionym brata Kryspina i płomieniami jego oczu.

Zdarzyło się raz, że gdy Błogosławiony szedł po kwieście, rzucił się na niego wielki pies podwórzowy, który dotychczas był spokojny, i przewróciwszy go na ziemię, zaczął gryźć po twarzy i szarpać. Gospodarze domu obronili sługę Bożego, ale patrząc na jego twarz i ciało oblane krwią, nie mogli się od łez utrzymać. Sam tylko Kryspin zachował swą zwykłą radość i uspokajał wszystkich, że nic złego mu się nie stało, poczem jak gdyby znalazł wielki skarb i szczęście, zabrał się wesoło do drogi. Chciano zabić natychmiast złe zwierzę, lecz sługa Boży przeczuwając, że ta wściekłość była dziełem szatańskiem, sprzeciwił się temu i podał psu kawałek chleba. Wszyscy obecni ofiarowywali się opatrzeć rany Błogosławionego, on jednak wymawiał się, że niema czem się kłopotać, w końcu dopiero po długich prośbach zezwolił na zwyczajne obwiązanie i, podziękowawszy, oddalił się. W tej chwili zaczął dąć silny wiatr północny, więc, aby doznać silniejszego bólu, zdjął w drodze chustę okrywającą największą z ran, a idąc, wyśpiewywał kościelne pieśni i hymny na podziękowanie Bogu, tak jak to czyni rolnik, kiedy po dobrych żniwach wraca szczęśliwy do domu ze snopem pięknych kłosów [1]).

Cz. Ambroży z Lombez (1778 r.).

Umartwienie zmysłów, zaparcie wewnętrzne, surowość życia, to były środki, jakich słynny kapucyn francuski użył, aby wznieść się ponad siebie i świat cały, a za to najściślej zjednoczyć się z Bogiem. Oprócz wiernego zachowania ustaw, które już same przez się są twardą pokutą, wytoczył on wojnę dwóm występkom: szukaniu smakowitych potraw i niewstrzemięźliwości w jedzeniu, te bowiem wady, jego zdaniem, były główną przeszkodą do nabycia cnoty. W tym celu nakreślił sobie plan z najdrobniejszemi szczegółami. Co rano i wieczór jadał tylko zupę i jedno danie, a gdy nie było zupy — inną jaką potrawę równoznaczną. Nie brał do ust żadnej zwierzyny, żadnej przystawki w dnie mięsne, a w post — ryby, owoców surowych lub gotowanych, sera, masła świeżego, wyjąwszy, gdy miał to jeść jako lekarstwo lub z posłuszeństwa. Cztery do pięciu uncji chleba starczyło mu na każdy posiłek, do tego dodawał trzy małe łyki wody, literalnie tylko zabarwionej winem. Jadł powoli i po kawałeczku. Odzwyczaił się nawet od tabaki i zażywał ją wtedy jedynie, kiedy zmusiła go konieczność albo rozkaz doktora. Zasmucony paru drobnemi niewiernościami przeciw ustawie, jaką sobie był przepisał, umyślił nadać siłę swoim postanowieniom za pomocą ślubu. „Niech ciało moje skarży się, mówił, niech wyobraźnia niepokoi mię złym stanem zdrowia, niechaj szepcze, że skracam sobie życie, mniejsza o to, dostanie ono to tylko, czego mu odmówić nie mogę. Wyrzekam się wszelkiego zadowolenia zmysłów. Zwykłe moje bóle żołądka, piersi i głowy zniosę z poddaniem się woli Bożej, a nawet, jeśli będę mógł, z radością; nie słuchając siebie, gardzić będę swojem ciałem, tak jak się gardzi leniwcem i próżniakiem, który, aby od pracy się wywinąć, pokazuje, że palec go boli. Wielki Boże, daj mi łaskę, abym jednego dnia nie przeżył bez cierpienia dla Twojej miłości"!

Ślub ten, pomagając mu w postępie wewnętrznym, był wszakże w niektórych okolicznościach przyczyną niemałego kłopotu. Jako więc człowiek praktyczny, zrobił w nim pewne zmiany, a mianowicie, że zachowa wszystko, będąc w klasztorze i między swoimi, ale gdy się znajdzie poza murami konwentu, albo gdy będą obcy na obiedzie, będzie się do nich stosował, aby nie zwracać uwagi. Życiopisarz i długoletni socjusz Ambrożego, brat Filip z Madiranu, dopełnia ten opis, mówiąc, że święty zakonnik używał rozmaitych podstępów, aby się umartwić tak, żeby obecni tego nie widzieli i że doszedł do tego, iż ciągle był głodnym, a tak pełnił ideał przedstawiony chrześciścijanom przez Ś. Pawła: „Zawsze umartwienie Jezusa z sobą nosząc w ciele naszem: aby i żywot Jezusów w naszych ciałach był okazany" [1]).

Bł. Diego-Józef z Kadyksu (1801 r.).

Błogosławiony Diego kierował się w całem swojem życiu duchownem tą zasadą: „Nie zezwolić na nic, coby się naturze podobało, nakazy-

[1]) Le Saint Joyeux par P. Pie de Langogne.

[1]) II Cor. 4. P. Ambroise de Lombez par l'abbé Bénac.

aby mógł zachować wstrzemięźliwość od niego co sobota, a później jeszcze i w piątek. Przemyślny był bardzo w ukrywaniu umartwień swoich, tak że żaden z towarzyszów niczego się nie domyślał. Własne zdrowie nic go nie obchodziło; nie zważał na ustawicznie trapiące go dolegliwości. Posłuszeństwo tylko i miłość mogła go skłonić do zbliżenia się do ognia, lecz i wtedy stał jak najdalej, chociażby w największe mrozy, i choćby wrócił z gór boso i z nogami pokaleczonemi od zimna. Innocenty odmawiał swemu ciału koniecznego wypoczynku, o każdej godzinie w nocy wstawał, tłumacząc się gwardjanowi, że nie może spać więcej nad pół godziny. Włosienica nigdy go nie opuszczała, a ściskał ją tak mocno, że ledwie mógł odetchnąć. Godzina drogi przez wijącą się w górach ścieżkę dostateczna była dla zdrowego człowieka, aby przejść z doliny do klasztoru Zwiastowania. Świętobliwy Kapucyn, zawsze wyczerpany, potrzebował o wiele więcej czasu, a jednak, gdy sam szedł, dla większego utrudzenia brał na plecy ciężki kamień. Odbywając prywatnie drogę krzyżową, dźwigał w rękach olbrzymie Officium z pulpitu kościelnego, albo ciężkie brewjarze. „To dlatego, aby lepiej wrazić sobie w pamięć wielki krzyż, który grzechy moje włożyły na ramiona Pana Jezusa“, odpowiedział bratu, który zastał go w takiej postawie. Latem nie spędzał z ciała komarów, much, bąków, pozwalając im spacerować po twarzy i rękach i ciesząc się z ich ukłucia. Twarz jego była nieraz tak strasznie zeszpecona i zapuchła, że nie było widać oczu. Współzakonnicy litowali się nad nim, na co on mówił z uśmiechem: „To nic, to nic, przejdzie“. Jeszcze jeden szczegół: Innocenty przez miłość cierpienia nosił sandały całe połatane, a uprosiwszy sobie pozwolenie łatania ich samemu, powbijał w nie gwoździe, tak, że chodząc, ranił sobie nogi do krwi. Jednem słowem sługa Boży miał szał do cierpień i uczynił sobie z nich prawo. W postanowieniach swoich napisał: „Grzechami mojemi ukrzyżowałem Jezusa Chrystusa... muszę Go więc teraz pocieszać. Jezus jest przez wszystkich obrażany, do mnie należy nie zostawiać go samego w bólu i dotrzymywać mu towarzystwa“. Surowości te miały taki skutek, że Innocenty w 40-ym roku życia wyglądał na ośmdziesiąt. Pochylony, słaby, chwiał się na nogach, jakby miał upaść. Kto go widział, czuł litość i szacunek dla tego wielkiego pokutnika, który nie tyle za siebie, bo był niewinny od dziecka, ale za grzechy wszystkich ludzi pokutował [1]).

[1]) Annales franciscaines. Juin 1905.

Duch pokuty w zakonie Kapucynów.

Konstytucje kapucyńskie są już same w sobie ciężką pokutą. Doświadczenie bowiem pokazuje, że nic nie jest uciążliwszego dla natury, jak wierność tym przepisom i zwyczajom. Cóż to jest, jeśli nie twarda pokuta, pościć siedem do ośmiu miesięcy w roku i jeść przez ten czas raz na dzień skromny odpowiedni do ubóstwa posiłek! Chodzić kilka razy we dnie i w nocy do chóru, by spędzić kilka godzin na wyśpiewywaniu chwały Boskiej i rozważaniu prawd wiecznych! Umartwiać swoje ciało długą i częstą dyscypliną; odzianym być zawsze suknem, którego grubość i kształt nie może ani od zimna obronić, ani też zachować od upałów. Wreszcie każdą chwilę wolnego czasu między Officjum, posiłkiem a krótkim spoczynkiem obracać na czytanie duchowne, kształcenie się w teologji, kierunek dusz i kaznodziejstwo. A jednak Kapucyni przy tych wszystkich umartwieniach cieszyli się i cieszą względnie dobrem zdrowiem i dochodzą do późnego wieku, jak: Ś. Feliks z Cantalicio, Cz. Ambroży z Lombez. Opowiadają, iż pewnego razu jeden z Papieży zawezwał Generała Kapucynów, aby mu przedstawić, że dla utrzymania zdrowia i życia braci konieczne jest złagodzenie surowości ich ustaw. Generał prosił pokornie Ojca Świętego o dwa tygodnie namysłu, po upływie których da odpowiedź. W przeciągu tego czasu zwołał generalną kapitułę, składającą się z najstarszych zakonników. Zjechało się dwunastu starych weteranów, posiwiałych w służbie Bożej; najmłodszy miał przeszło lat 70, a wielu z nich dziewiąty krzyżyk na sędziwych dźwigało barkach. W takiem otoczeniu udał się Generał w dniu oznaczonym do Watykanu i rzekł: „Ojcze Święty, przyprowadzam Ci braci naszego zakonu, którzy od wielu już lat jak najściślej wypełniają wszelkie przepisy ustaw naszych; racz ich sam zapytać, czy złagodzenie tychże jest rzeczywiście niezbędnem dla utrzymania zdrowia i życia ludzkiego?...“

Wtedy Papież nadzwyczaj uprzejmie i długo z nimi rozmawiał, wypytując każdego z osobna o jego stan zdrowia, wiek i rodzaj pracy. Okazało się, że byli to ludzie nadzwyczajnych zasług i cnót, podziwu godnych, że wiedli życie niezwykle surowe przez 40, 50, a niektórzy nawet przeszło 60 lat powołania zakonnego, pracując nieprzerwanie nad dusz zbawieniem jako kaznodzieje i spowiednicy. Wszyscy jednozgodnie oświadczyli się z młodzieńczym zapałem za zachowaniem w całości pierwotnych ustaw, stawiając siebie samych jako żywe świadectwo, że wcale one długiego życia nie skracają. Słowa te Ojciec Święty przy-

jął z serdeczną radością i udzieliwszy z głębi serca swego apostolskiego błogosławieństwa tym dzielnym synom Franciszka, nie sprzeciwiał się dłużej i przyznał, że i następcy ich dłuższego życia i lepszego zdrowia wcale pragnąć nie mogą.

W Polsce.

Ś. Kunegunda, Klaryska (1292 r.).

Święta królowa pościła nietylko w wigilje świąt Najśw. Marji Panny, ale także w wigilje dni ŚŚ. Jana Chrzciciela, Jana Ewangelisty, Marcina i Mikołaja Biskupów, oraz Katarzyny i Małgorzaty panien, które sobie za osobliwszych patronów obrała, a tak surowo, że przez cały dzień nie jedząc, dopiero w nocy brała skromny posiłek. Ustawicznie nosiła włosienicę, biczowała się jak najczęściej i przyjmowała chętnie wszelkie prześladowania.

Aleksy, Bernardyn (1463 r.).

Brat Aleksy, pociągniony żarliwemi kazaniami Ś. Jana Kapistrana, opuścił akademję Jagiellońską i wstąpił do zakonu Obserwantów w Krakowie, gdzie zasłynął jako wzór doskonałości zakonnej i umartwienia, raz bowiem tylko na cały tydzień się posilał. Spędziwszy życie w pracach i pokucie, zasnął w Panu r. 1463 [1]).

Mikołaj Gąsiorowski, Reformat.

Zakonnik ten od pierwszej chwili wstąpienia do klasztoru jak najdoskonalej pełnił regułę serafícką, unikając o ile mógł wszelkich stosunków ze światem. Ciało swoje umartwiał nietylko wstrzemięźliwością w jedzeniu, niedosypianiem, krwawemi dyscyplinami, ale jeszcze noszeniem pasa zszytego z grubych skór, mającego pół łokcia szerokości, który, że był mocno ściśnięty, tak mu się wbił głęboko i z czasem tak stwardniał, że zdawał się być z żelaza. Przed śmiercią prosił braci, aby mu pomogli wstać z łóżka, a klęknąwszy, wyznał swe winy, błagając o przebaczenie. Umarł w Zamościu [2]).

Feliks Bułat, Ref.

Na tym bracie tatarskiego rodu spełniły się słowa Ś. Pawła, że Pan Bóg nie robi różnicy między wiernym a poganinem, tak bowiem mocno był utwierdzony w wierze, iż pragnąc doskonalszego życia, wstąpił do Reformatów. Zrazu wprawdzie ojcowie czuli pewien wstręt do niego, jako urodzonego w pogaństwie, i na różny sposób próbowali jego cierpliwość, ale gdy to wszystko mężnie przeniósł, pokochali go i z chęcią przyjęli do zakonu. Feliks poza godzinami pracy cały czas spędzał na modlitwie i umartwieniach ciała. Mało co sypiał i to na deskach, jedną tylko rogóżką pokrytych. W najcięższe mrozy okna w celi swojej nie zamykał. Jedynym sprzętem jego był krzyż i trupia głowa, one pomagały mu rozważać Mękę Pańską i rzeczy ostateczne. Pełen zasług, oddał ducha swego Bogu w klasztorze Ś. Franciszka na puszczy [1]).

Józef Otwinowski, Ref. (1691 r.).

Na świecie dzielny rycerz, w zakonie stał się dzielniejszym jeszcze siebie samego zwycięzcą. Z pokory wyprosił się od kapłaństwa, majętność swoją przy ślubach rozdał ubogim, a w umartwieniach przewyższał wszystkich braci swego klasztoru. Między innemi nosił łańcuch żelazny na gołem ciele, wbijał sobie szpilki pomiędzy palce u rąk, chcąc zaś, żeby tego nikt nie zauważył, ręce zawsze trzymał w rękawach, oprócz gdy do pracy musiał je wyjąć. Po 17-u przeszło latach nader umartwionego życia, brat Józef opuścił tę ziemię w klasztorze lubelskim r. 1691 [2]).

Ludwik Pawiński, Ref. (1728 r.).

O. Ludwik Pawiński, postanowiwszy we wszystkiem naśladować Ś. Piotra z Alkantary, chciał mu też dorównać w umartwieniach. Umniejszając sobie powoli a stale posiłku, doszedł w końcu do tego, że tylko w niedzielę, we wtorki i we czwartki brał coś niecoś do ust i to raz na dzień w południe, poza tem nie używał ani pokarmu ani napoju. Ten sam rodzaj życia zachowywał, będąc w podróży. Roku 1717, idąc z socjuszem do Częstochowy na koronację cudownego obrazu Matki Boskiej, szedł po wielkich piaskach, mało co się posiliwszy. Jak bowiem we czwartek przed wyjściem zjadł skromny i postny obiad w klasztorze, tak dopiero w niedzielę, po przejściu tego dnia czterech mil, a wszystkiego piętnastu, mierny wziął posiłek. Towarzyszący mu brat, patrząc na to, nie mógł wyjść ze zdumienia, bo sam posilając się codzień z łaski dobrodziejów, czuł się nadzwyczaj utrudzonym. Trzeba dodać, że świątobliwy zakonnik nigdy nie jadł mięsa ani

[1]) Kron. 3. Zak. Ś. Fran. Sanniga. C. III. [2]) Kalendarz serafícki Kleczewskiego, 9 sierpnia.

[1]) Tamże, 6 marca [2]) Matka ŚŚ. Polska, T. I 16 marca.

ryb. Siedem postów 40-dniowych Ś. Franciszka ściśle pościł. Odzienie jego od wszystkich było uboższe i cieńsze, bo wewnętrznej tuniki i w zimie nie miał; chodził zawsze pieszo i boso, tak że od mrozów skóra poodpadała na nogach i krew się sączyła, a on nic ich nie leczył.

Spał bardzo krótko, tylko kilka godzin przed Jutrznią, na którą zawsze innych uprzedzał i nigdy jej w chórze nie opuścił, choćby z dalekiej drogi przyszedłszy. Po Jutrzni zaś aż do dnia trawił czas albo na czytaniu ksiąg duchownych, albo na rozmyślaniu, albo też na smaganiu się dyscypliną nieraz godzinę całą. Tę samą czujność do chwały Bożej zachował, będąc profesorem teologji mistycznej i retoryki. Mianowany gwardjanem, kazał sobie sporządzić w Krakowie pancerz cały kolczasty, jak są paski żelazne i już to zrobiono przy pomocy jednego zakonnika, z którym łączyła go wielka duchowna przyjaźń, lecz widać woli Bożej w tem nie było. Prowincjał bowiem, zobaczywszy ów pancerz, uznał, że takie umartwienie jest nad siły ludzkie i kazał go na zwyczajne dla innych paski przerobić. Jednak prosty pancerz żelazny Ludwik na gołem ciele aż do śmierci nosił, a spał na kracie drewnianej. Dziwna rzecz! Ostrości te nie przeszkadzały mu w słuchaniu spowiedzi, w kazaniach, w modlitwie, w dalekich nawet drogach, odbywanych pieszo i boso.

Nie zbywało mu wszakże na okazjach do wielkiego cierpienia, na przymówkach i drwinach z jego umartwień, ale je łagodnie znosił, a czasami odcinał się, mówiąc za Doktorem Serafickim, Ś. Bonawenturą: „Źli dla dobrych mów nie chcą przestać złego, więc dobrzy dla złych mów nie mogą odstępować od dobrego". Przetoż i on aż do zgonu nie ustawał w dobrem i w pełnieniu pokuty. Nakoniec dla większej jego korony w niebie, zesłał nań Pan Bóg szczególne bóle wewnętrzne, które znosząc cichutko, gotował się na śmierć. Umarł, przyjąwszy Sakramenta ŚŚ. w zakliczyńskim klasztorze r. 1728, mając wieku lat 43. Ciało jego w kilka lat później widziano całe nienaruszone [1]).

Karol Frezer, Ref. (1740 r.).

Karol Frezer, wstąpiwszy do Reformatów, po kilkunastu miesiącach wyszedł znowu na świat. Lecz niebawem taka zdjęła go skrucha, że wrócił, aby zaś nie uledz nowej pokusie, zabrał się z samym sobą do mężnej walki. Nigdy żadnych trunków prócz piwa nie pijał; na każde nabożeństwo w chórze we dnie czy w nocy pierwszy przychodził; milczenia ściśle przestrzegał, a będąc gwałtownego charakteru, wrodzoną sobie żywość hamował, wszelkie przykrości znosząc jak najłagodniej. Po złożeniu ślubów, oddał się z rozkazu przełożonych naukom, w których, przy nadzwyczajnej pamięci, wielkie czynił postępy, nie tracąc jednak ducha pobożności, ale owszem, ostrością życia pomnażając go w sobie. Wyświęcony na kapłana, otrzymał obowiązek kaznodziei i z wielką pilnością z niego się wywiązywał. Samotność była dla niego najmilszym wypoczynkiem, to też z celi wyprowadzało go tylko posłuszeństwo. Im dłużej służył Bogu, tem więcej przyczyniał sobie umartwień, a wzorem Serafickiego Patryarchy pościł w ciągu roku siedem kwadragen, tak się z tem ukrywając, że gdy inni bracia jedli mięso, on nie prosił dla siebie o nic innego, ale brał razem z nimi swoją porcję, stawiał przed sobą, a nalawszy przytem w próżną miseczkę piwa, zjadał je z chlebem, Mając chore nogi, wszystkie podróże mimo to odbywał pieszo o kawałku chleba [1]).

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej. O powściągliwości.

Powściągliwość jest to usposobienie duszy ogólne, fundamentalne, z którego rodzą się wszystkie umartwienia i pokuty, naprzód więc o niem według zasad mistycznej teologji mówić nam wypada. Powściągliwość jest cnotą kardynalną, powstrzymującą od nadmiaru w uciechach umysłu i ciała. Ś. Augustyn określa ją jako usposobienie duszy, powściągające żądzę tych rzeczy, które są niegodziwe; chociaż tutaj powściągliwość obszerniej się bierze, bo i wstrzymywanie się od rzeczy godziwych w sobie zawiera.

Objaśnienie.

Święty Tomasz [2]) uważa ją za cnotę, gdyż nakłania do tego, co rozum jako dobre wskazuje i to za cnotę oddzielną, osobną, bo ma przedmiot osobny: powściąganie człowieka od rzeczy, szczególniej go pociągających do szukania uciech, a więc od pokarmów, napojów, zmysłowości, których o tyle można używać, o ile potrzeba życia lub duchowego postępu wymaga.

Części składowe.

1. Uczciwość, czyli miłość tego, co jest cnotliwe, piękne, ozdobne i czyste.

[1]) Matka ŚŚ. Polska T. II str. 30 32.

[1]) Tamże, s. 434. [2]) 2. 2. q. 141. art. 1.

2. Wstydliwość, czyli obawa wzgardy i uczynków ściągających hańbę, co nie jest właściwie cnotą. Ale ponieważ wstydzenie się według zdrowego rozumu dobre jest i chwalebne, dlatego wstydliwość jest dodatnią skłonnością i w obszernem znaczeniu za cnotę uchodzi.

Gatunki powściągliwości.

1. Wstrzemięźliwość, czyli cnota miarkująca, według wskazówek rozumu, pożądanie i używanie pokarmów tak, żeby nie przeszkadzały dobru.

2. Trzeźwość, czyli cnota miarkująca upodobanie i użycie napojów.

3. Czystość, czyli cnota miarkująca używanie zmysłowości według rozumu, a która jest trojaka: małżeńska, wdowia i panieńska.

Cnoty z powściągliwością się wiążące.

1. Łagodność, czyli cnota miarkująca gniew. 2. Łaskawość, czyli cnota miarkująca kary według pobłażliwości umysłu, o ile to się da pogodzić ze sprawiedliwością. 3. Pokora, czyli cnota miarkująca żądzę wywyższania się. 4. Pilność, czyli cnota pobudzająca do poznania prawdy według wskazówek rozumu. 5. Skromność, czyli cnota, która ułożenie i ruchy ciała zewnętrzne stosuje do przepisów rozumu. 6. Przyzwoitość, która w zabawach dla orzeźwienia umysłu i ciała postanowionych, umiarkowanie nakazuje.

Postępujący powinien starać się o powściągliwość.

Każdy, który się potyka na placu, mówi Pismo Święte, od wszystkiego się powściąga. Onić, aby wzięli wieniec skazitelny, a my nieskazitelny[1]). I Ś. Prosper: Powściągliwość czyni człowieka wstrzemięźliwym, oszczędnym, trzeźwym, umiarkowanym, skromnym, milczącym i wstydliwym[2]). Ta cnota, gdy zamieszka w duszy, powściąga pożądliwość, uczucia miarkuje, pragnienia święte mnoży, zepsute oczyszcza, wszystko, co w nas nieporządne porządkuje, uporządkowane wzmacnia, złe myśli usuwa, zastępując je świętemi, gasi ogień uciech lubieżnych, lenistwo ducha przez nadzieję zapłaty rozpala, umysł w przyjemnem uspokojeniu układa i całego człowieka broni od wszelkich burz namiętności.

Akty powściągliwości.

1. Umiarkowanie w pokarmach i napojach w czasie postów. 2. Wstrzymywanie się od niegodziwych zmysłowości. 3. Poskramianie gniewu. 4. Upokarzanie się. 5. Skromny układ ciała i czynów zewnętrznych. 6. Umiarkowanie w grze i innych rozrywkach. Gdy to wszystko idzie nam prędko, dokładnie i z uciechą, a nawet z narażeniem zdrowia i życia w rzeczach ciężkich przez dar bojaźni Bożej, który, według Ś. Tomasza, odpowiada powściągliwości, wtedy posiadamy oną cnotę w stopniu heroicznym.

Zachęta do powściągliwości.

Słuchajmy rady Ekklezjastyka: „Nie bądź chciwy na każdych godziech, a nie wydawaj się na wszelką potrawę: bo z wiela pokarmów będzie choroba, a chciwość przybliży się aż do kolery. Dla obżarstwa wiele ich pomarło: a kto mierny jest, przyczyni żywota“[1]). Przez powściągliwość zabezpieczamy się, bo mówi Pismo Święte: „Nie upijajcie się winem, w którem jest nieczystota“[2]). „Skromność wasza niech będzie wiadoma wszystkim ludziom. Pan blizko jest“[3]). Niech będzie krok nasz nie nazbyt prędki, ani nazbyt powolny, ale umiarkowanie poważny. Oczy skromnie spuszczone, ruchy nie płoche ale uczciwe, śmiech niewybuchający, ręce i suknie przyzwoicie ułożone, twarz nie ponura, nie skrzywiona, głos zniżony, przestawanie nasze z drugimi ciche i łagodne, unikające obrazy innych. Okazujmy się dla wszystkich pełni miłości, jednak nie wszystkim wierzmy lekkomyślnie, ale co lepsze roztropnie wybierajmy. Bądźmy przyjaciółmi wszystkich, ale z nikim nie poufalmy się, bo poufałość wzgardę rodzi. Nie wyjawiajmy wszystkim sekretów, ani nie ufajmy bez różnicy każdemu, gdyż „jest przyjaciel, który nienawiść, i swar, i hańbę objawi“[4]).

O umartwieniu zewnętrznem.

Mówiliśmy już wyżej o umartwieniu wogóle[5]) i o umartwieniu wewnętrznem[6]), pozostaje nam powiedzieć jeszcze o umartwieniu zewnętrznem, odnoszącem się do pokuty. Przedmiotem tego umartwienia są zmysły nasze, których mamy pięć: zmysł widzenia, którego organem jest oko; zmysł słuchu, którego organem są uszy; zmysł powonienia, którego organem jest nos; zmysł smaku, a organem jego język, i zmysł czucia, którego organem jest skóra, a szczególniej ręce. Oprócz tych zmysłów są jeszcze w ciele władze: mówienia, ruszania się, posilania się, wzrastania i ro-

[1]) Cor. 9, 25. [2]) De vita contempl.

[1]) Eccli. 37—34, 32. [2]) Ephes. 5, 18. [3]) Philip. 4, 5. [4]) Eccli. 6, 9. [5]) W tomie pierwszym [6]) Wyżej r. 6.

dzenia, w tem wszystkiem powinna być zachowaną właściwa miara, aby nie było pobudki do grzechu, do czego umartwienie zewnętrzne pewne przepisy podaje.

Ciało należy umartwiać.

Należy więc umartwiać nasze ciało co do zmysłów i innych władz, bo mówi Pismo Święte: „Którzy są Chrystusowi, ciało swe ukrzyżowali z namiętnościami i z pożądliwościami“ [1]). „Zawsze umartwienie Jezusa z sobą nosząc w ciele naszem, aby i żywot Jezusów w naszych cielech był okazany“ [2]). „Umartwiajcie tedy członki wasze“ [3]). Co do zmysłów: „Uczyniłem przymierze z oczyma swemi, abym ani pomyślał o pannie“ [4]). „Ogródź cierniem uszy twoje, nie słuchaj języka złośliwego, a ustom twoim uczyń drzwi i zamki“ [5]). „Dobra jest modlitwa z postem“ [6]). „Obłóczyłem się w włosienicę“, pisze Dawid [7]). Św. Jakób Apostoł: „A jeśli kto mniema, że jest nabożnym, nie powściągając języka swego... tego nabożeństwo próżne jest“ [8]). I Ś. Augustyn: „Karć ciało swoje, a djabła zwyciężysz, w ten bowiem sposób nauczył nas walczyć przeciw niemu Ś. Paweł“ [9]). Dlatego wszyscy Święci bardzo oddawali się umartwieniom ciała i surowo z niem się obchodzili, jak to widać z ich żywotów. Rozumową przyczynę tego podaje Ś. Tomasz: „Ciało jest korzeniem występków. Jeżeli przeto chcemy uniknąć występków, należy umartwiać ciało“ [10]).

Herezja.

Pseudomistycy naszego czasu, nadużywając tych słów Pawła Świętego: „Cielesne ćwiczenie do mała jest pożyteczne“ [11]), zaprzeczają, aby umartwienie ciała miało przydatnem być dla ducha. Lecz słowa powyższe tłumaczą się albo, według Ś. Chryzostoma, o ćwiczeniach ciała na placu gonitw, albo, według Ś. Tomasza, o umartwieniu ciała bez pobożności i umartwienia wewnętrznego, które jest ważniejsze. Dokładnie bowiem odbywane, pomaga do powściągania złych żądz, jeżeli, jak mówi Doktor Seraficki [12]), nie dla siebie, ale z pobożności się je spełnia.

Czy biczowanie jest godziwe.

Umartwienie ciała dzieje się przez wstrzemięźliwość, posty, włosienice, czuwanie, sypianie na gołych deskach i dobrowolne bicie się czyli dyscyplinę. O biczowaniu niema żadnej wzmianki u dawnych Ojców ani w dawniejszych pamiętnikach Kościoła, skąd powstała wątpliwość, czy ma się ono zaliczać do umartwień przez Kościół potwierdzonych. Jakób Boyleau twierdzi, że autorami tego ćwiczenia byli Bł. Dominik Lorykat i Ś. Piotr Damjan i że dawniej obca tylko ręka zadawała razy, a oni wprowadzili osobiste, które uważa za niebezpieczne, już to że oczy razi, już że obudza złe uczucia. Zaś Kardynał Baronjusz [1]) mówi, że chociaż Ś. Piotr Damjan był rozszerzycielem, ale że ten sposób znany był i dawniej. W każdym razie w regułach dawniejszych były przepisy o uderzeniach na grzesznych zakonników i w kanonach pokutnych penitenci kładli się do nóg spowiedników, aby otrzymać rózgi. Podobne rzeczy czytamy w żywocie Ś. Ludwika króla [2]). Dlatego chwalebnym i dobrym musi być zwyczaj nawet osobistego biczowania się, jeśli używali go tacy Święci, jak Piotr Damjan, a potem Stolica Apostolska w konstytucjach wielu zakonów go potwierdziła.

Co do zarzutów, są one bezzasadne, gdyż to się czyni zawsze bez obrazy oczu, inne zaś złe skutki są prawie niebywałe, a zresztą osoby, któreby miały stąd jakieś trudności, mogą być zwolnione od tego ćwiczenia. Zakaz Klemensa VI nie odnosi się tutaj, bo wydany został przeciw heretykom, zowiącym się biczownikami, o których złych obyczajach i błędach w wierze opisuje Spondan i Binghem. Niesłusznie też zarzucają Gersonowi, że potępiał dyscyplinę, on bowiem lękał się tylko, aby pod pokrywką pokutników, którzy chodzili za Ś. Wincentym Ferrerjuszem, nie odnowiła się wspomniana herezja. Wreszcie Święci słudzy Pańscy w aktach kanonizacyjnych są często wysławiani z tego względu [3]).

Jak jest konieczne umartwianie ciała.

Umartwianie ciała, oprócz wstrzemięźliwości i postów nakazanych przez Kościół, według Belarmina [4]), nie jest konieczne do zbawienia, ale do osiągnięcia doskonałości chrześcijańskiej, jak tego dowodzi Estjusz z przykładu Apostoła. To też chrześcijanin może się nazywać powściągliwym, chociaż nie wstrzymuje się od wszelkich godziwych przyjemności. Jeśli zaś chce być doskonałym, musi umartwiać ciało, co przykłady Świętych stwierdzają [5]).

---

[1]) Gal. 5, 24. [2]) II. Cor. 4, 10. [3]) Colos. 3, 5. [4]) Job. 31. 1. [5]) Eccli. 28, 28. [6]) Tob. 12, 8. [7]) Ps. 34, 13. [8]) Jac. 1, 26. [9]) In. I Cor. 9. [10]) Lect. 7 in Ep. ad Gal. [11]) 1. Tim. 4, 8. [12]) L. 1. de prof. relig. c. 4.

[1]) Ad. an 1086. [2]) Bolland. 25 sierp. [3]) Bened. XIV de Canon., l. 3. [4]) De 7 verb. Dni l. 2, c. 10. [5]) Apud Bolland.

Jak należy ciało umartwiać.

1. Przez powściągliwość w pokarmach i napojach, aby nie więcej używać nad to, co potrzebne do utrzymania życia i pełnienia obowiązków. 2. Przez powściągliwość we śnie, nie odmawiając sobie odpoczynku koniecznego, ale unikając zbytniego, który pobudza do lenistwa, do nieczystości, do straty czasu. 3. Przez powściągliwość w ubiorze, pomijając to, co służy do próżności i miękkości, a stosując się do swojego stanu. 4. Przez umiarkowane posty, włosienice, dyscypliny, twarde sypianie dla umartwienia namiętności i zwyciężenia pokus i dla podobieństwa z umęczonym Chrystusem. Wzrok winno się umartwiać, aby nie widział rzeczy plugawych, nieczystych, ciekawych, niepotrzebnych, lecz te tylko, które do miłości i pobożności przywodzą. 6. Słuch powinien być umartwiany, aby nie słuchał rzeczy złych i gorszących, oraz próżnych i bezpożytecznych. 7. Smak, aby w pokarmie i napoju nie zbytkował, aby bardzo delikatnych i drogich rzeczy nie pragnął. 8. Powonienie, unikając kosztownych i wyszukanych wonności. 9. Czucie, aby swego lub cudzego ciała bez potrzeby i niewłaściwie nie dotykał. 10. Język ma być umartwiany od słów złych, nieuczciwych, gorszących. 11. Ruchliwość winna być umartwianą przez postępowanie skromne i poważne. Słowem, wszystkie zmysły i władze tylko do otrzymania zbawienia wiecznego używane być mają, a wszystkie ich czynności przez czystą intencję na większą chwałę Boga i własne i bliźnich zbawienie skierowane być powinny.

Reguły roztropnego umartwiania się.

1. Unikanie zbytku.

Aby umartwienie było skuteczne, trzeba najpierw unikać zbytniej przesady. Apostoł bowiem mówi: „Proszę was tedy bracia przez miłosierdzie Boże, abyście wydawali ciała wasze... rozumną służbą“ [1]), co znaczy, według Ś. Tomasza: „z roztropnością składajcie ciała wasze na ofiarę“, i daje tego taki powód: „Umartwienia wewnętrzne uważają się jako cel, a więc niema w nich żadnej miary; a zewnętrzne są jako środki i dlatego powinny się stosować do celu“. To samo twierdzą: Ś. Bazyli [2]), Ś. Grzegorz [3]), Ś. Bernard [4]), Ś. Piotr z Alkantary [5]). Gerson zaś powiada: „Więcej szkodzi, według Doktorów i teologów, nieroztropny post, niż niewstrzemięźliwe jedzenie, bo z tego można uzdrowić, a na tamto często niema ratunku“ [6]). Stąd zdarza się nieraz, że dla odzyskania zdrowia przez zbytnie pokuty utraconego, surowość przechodzi w życie miękkie. Wyjątek stanowi to, jeżeli duch nadzwyczajny, dobrze doświadczony, udziela sił ku temu, co przewodnik poznaje, gdy niezwykłe pokuty zdrowiu nie szkodzą.

2. Unikać tego, co przeszkadza do innego dobra.

Nie należy zezwalać na umartwienia, które są zawadą do obowiązku albo do cnót. Na to zgadzają się Święci: Hieronim [1]), Grzegorz [2]) i Tomasz [3]), mówiąc, że grzeszy ten, kto przez posty, czuwania i t. p. rzeczy czyni się niezdolnym do spełniania obowiązkowych czynności. Takie samo jest zdanie Ś. Franciszka Salezego.

3. Strzedz się wady wyszczególniania.

W umartwieniach zewnętrznych unikać należy wady wyszczególniania się, co przedewszystkiem tyczy się umartwień jawnych i w zakonach. „Strzeżcie się, mówi Ś. Bernard, zatwardziałości i nieznośnej wady wyróżniania się“ [4]). Podobnież Ś. Bazyli [5]) i Kasjan [6]). O Ś. Janie Klimaku pisze mnich Daniel: „W refektarzu nic nie odrzucał, co się nie sprzeciwiało ustawie życia zakonnego“. Z czego wnieść należy, że ten przepis tam tylko się stosuje, gdzie jest ścisłe życie zakonne; gdzie bowiem są zbytki i rozluźnienie, tam wyszczególnianie się godne jest pochwały.

4. Polegać na zdaniu przewodnika.

Roztropność ewangeliczna co do umartwiania się zależy na słuchaniu ewangelicznie roztropnego przewodnika. Z tego powodu Ś. Bazyli [7]) i Ś. Benedykt [8]) przepisują swoim synom, aby nie polegali na własnem zdaniu i bez porady ojca duchownego samowolnie żadnego umartwienia nie pełnili. Opat Platon [9]) mawiał: „Umartwienie ciała, spanie na ziemi, czuwanie i t. p. same przez się są to rzeczy chwalebne, ale nic z tego czynić nie trzeba; owszem za powód do upadku uważam, jeżeli kto własnem zdaniem w tem się rządzi, chyba że się kieruje radą swojego przewodnika“.

5. W umartwieniu wewnętrznem nie zakładać miary.

W wewnętrznem umartwieniu prawdziwą roztropnością jest: nie zakładać żadnej miary, nie

---

[1]) Rom. 12, 1. [2]) L. de Virg. [3]) L. 30. Mor., c. 14. [4]) Serm. 49, 1 in Cant. [5]) P. 2. de Orat. 7. [6]) Tr. de myst. Theol.

[1]) Ep. 125. ad Rustic. [2]) L. 30 Mor., c. 18, n. 63. [3]) Quodlib. 5, a. 18. [4]) Dom. 6, p. Pent. Serm. 1. [5]) Reg. brev. q. 138. [6]) L. 5. c. 23. [7]) Reg. brev. q. 138. [8]) Reg. cap. 49. [9]) Apud Pallad.

poprzestawać na małem, ale ciągle postępować; bo na zewnętrznych doskonałość tylko względnie zależy i od nich często uwalnia niemożność — wewnętrzne zaś, jako na zaparciu siebie polegające, są prawdziwą istotną doskonałością i są w mocy każdego.

Roztropność w sposobie.

Dla otrzymania większego umartwienia zewnętrznego przy łasce Bożej należy zachować roztropność w sposobie, to jest postępując powoli, zaczynając częściowo od namiętności panującej, nie obiecując sobie zaraz dojść do doskonałości, ani spodziewać się, że w tem życiu do jakiegoś nieczucia przyjść możemy.

Jaka ma być roztropność w umartwieniu?

Chociaż w umartwieniu zewnętrznem należy się rządzić roztropnością, ma ona jednak pochodzić nie z miłości własnego ciała, ale z ducha Ewangelji, bo „mądrość ciała jest śmierć: a mądrość ducha żywot i pokój“ [1]). I Ś. Augustyn mówi:[2]) „Tego mnie nauczyłeś, że pokarmów jak lekarstwa używać powinienem, co wykazuje, jak niepostrzeżenie zmyślona potrzeba skłania mię do uciechy“. Również Ś. Bernard: „Pamiętaj, że jesteś mnichem, a nie lekarzem, i nie o fizycznem usposobieniu masz rozsądzać, ale o profesji“ [3]).

Czy każde umartwienie stosowne jest dla wszystkich?

„Niema potrzeby ani do kanonizacji nawet, aby Święci Pańscy spełniali jedne i te same umartwienia. Któżby bowiem utrzymywał, że nie można kanonizować, ani uważać za świętego przed Bogiem, ktoby nie mógł, jak Mojżesz lub Eljasz, pościć bez pokarmu i napoju przez dni 40 lub inne podobne umartwienie wykonać, a które drudzy Święci ze szczególnego Boskiego natchnienia z łatwością czynili. Zapisano je nawet, lecz nie dla naśladowania, ale dla chwały nieskończonej Bożej potęgi i mądrości. Niektórzy Święci wstrzymywali się od wina, inni od mięsa, ale któż sługę Bożego naganiać będzie, gdy roztropnie i z umiarkowaniem wina lub mięsa używa? Wszak Apostoł trochę wina dla słabości pozwala świętemu uczniowi [4]); i Ś. Antoni z powodu słabego żołądka mięso jadał [5]). Kto będzie żądał dobrowolnych dyscyplin od sługi Bożego, który, jak Ś. Grzegorz o sobie pisał, z łóżka podnieść się nie może [1]). Albo kto ośmieli się wszystkich umartwień ciała wymagać od starych sług Bożych, w których, jak mówi Ś. Hieronim, „siły cielesne ustają i ze wzrostem mądrości zmniejszają się czuwania, dyscypliny i t. p.“ [2]). Jednak co do umartwień przepisanych przez regułę, zakonnicy, dopóki im siły służą, powinni je wszystkie zachowywać.

[1]) Rom. 8, 6. [2]) L. 10. Conf., c. 13. [3]) Serm. 30, in Cant. [4]) 1. Tim. 5, 23. [5]) Apud. Bolland. T. I ad 2. Maji.

Czy godzi się przyspieszać śmierć przez umartwienia?

Jakkolwiek czytamy o Ś. Bernardzie, że się z tego tłumaczył, trzeba wiedzieć najpierw, że są rozmaite kresy naszego życia. Jedne są nadprzyrodzone, które Boska Opatrzność postanowiła, i te przejść nie mogą [3]); drugie naturalne, według usposobienia ciała każdego, które Bóg do pewnego czasu może przedłużyć; inne wreszcie zależą od niespodzianych wypadków i tych również nie może nikt ominąć. Avicenna zowie je skróconemi. Nauczają więc teologowie:

1. Że podejmujący nieumiarkowane posty i inne umartwienia, aby umrzeć lub skrócić sobie naturalny termin życia, ciężko grzeszą;

2. Nie jest to wcale pewne, jak twierdzi Hipokrates, że wstrzemięźliwości tego rodzaju skracają życie, i owszem, Ś. Paweł pustelnik i inni surowi pokutnicy bardzo długo żyli.

3. Godzi się i bardzo zasługującą jest rzeczą przyjąć ostry rodzaj życia w celu nadprzyrodzonym, chociażby z tego powodu przewidywało się rychlejszą śmierć, byleby to nie było w zamiarze. Tak nauczają Azorjusz, de Lugo i inni, przytaczając Świętych i całe zgromadzenia zakonne przez Kościół potwierdzone. Dlatego nie należy łatwo sądzić o niezwykłem umartwieniu, albowiem, jak ostrzega Alvarez de Paz: „Niektórzy słudzy Boży do życia nadzwyczajnego i do wielkich pokut są wezwani. Tacy przez łaskę wiele nad naturę i nad zwykłych ludzi przenieść mogą, trzeba tedy zostawić ich w pokoju i pospolitemi regułami nie krępować [4]).

[1]) L. 10, ep. 35. [2]) Ep. 52, ad. Nepot. [3]) Job. 14, 5. [4]) T. 3, fol. 1247.

Środki do wykonywania umartwień:
1. Modlitwa.

Wypada, abyśmy wskazali środki ogólne, służące do umartwienia złych skłonności: pamięci,

rozumu, woli, ciała, zmysłów i t. d. Pierwszym jest modlitwa, czy to na sposób prośby, czy na sposób rozmyślania. Gdy bowiem umartwienie jest dziełem ciężkiem i niepodobnem dla upadłej natury, potrzeba więc siły i łaski, a te, według Soboru Trydenckiego, tylko proszącym są obiecane. „Proście o to, czego nie możecie“ [1]). Zazwyczaj prośba nie jest taką, jaką być powinna, ani też Bóg nie udziela takiej łaski, o jaką się prosi, chyba że nastąpi rozmyślanie.

2. Obecność Boska.

Ludwik a Ponte [2]) tak tłumaczy słowa Pisma Świętego: Oto on stoi za ścianą naszą, poglądając okny, patrząc przez kraty [3]). „Niech uważają oczy, na co patrzą, i uszy—co słyszą, i język—co mówi i umysł—o czem myśli, i żądza—czego pragnie, bo sam Oblubieniec stoi za ścianą naszą, przypatrując się uczynkom, aby w swoim czasie oddał każdemu według jego czynów. Gdybyś o tem w każdej czynności pamiętał, zaledwie kiedybyś zgrzeszył“ [4]).

3. Rachunek codzienny.

Rachunek tak ogólny jak szczegółowy, stosownie do tych słów psalmu: „Pracowałem w płaczu moim, będę omywał na każdą noc łóżko moje: łzami mojemi będę polewał pościel moją“ [5]), albowiem od początku dnia stanowiąc, a w pewnych terminach dnia bolejąc nad upadkami, odbywamy walkę przeciw złym żądzom i skłonnościom. Uważać jednak należy, o czem Kasjan z opatem Serapjonem ostrzegają, żeby pokonywać najpierw silniejsze wady, a później coraz słabsze, w takim bowiem tylko razie nie trzeba się obawiać, że gdy z jedną wadą walczymy, nieprzyjaciel może znienacka napaść nas z innej strony. Zresztą niepodobna, by ktoś gorliwie o postęp dbający, tak oddawał się walce z jedną wadą, żeby nie miał czujności ogólnej na wszystkie.

4. Niepomijanie rzeczy najmniejszych.

„Kto jest wierny w małem, i w większem wierny jest“ [6]). Blozjusz mówi: „Gdy ktoś dla Boga sprzeciwia się zmysłowości i woli własnej nawet w rzeczach najmniejszych, czyni rzecz milszą Bogu, niż gdyby wielu umarłych wskrzesił“ [7]).

[1]) Sess. 6, c. 11. [2]) L. 5. Exhort. 11, § 3. [3]) Cant. 2, 9. [4]) § 52. [5]) Ps. 6, 7. [6]) Luc. 16, 10. [7]) Instr. spir., c. 2. post. med.

5. Miłość Boga i rzeczy duchownych.

„Bierzcie na siebie jarzmo moje, mówił Zbawiciel, a znajdziecie odpoczynek duszom waszym, bo jarzmo moje jest słodkie, a brzemię lekkie“. I czegóż nie uczyni słodkiem i lekkiem miłość światowa w oblubieńcu, miłość dostatków w kupcu, miłość próżnej chwały w żołnierzu. „Gdy więc takimi są ludzie, jak ich miłość, mówi Ś. Augustyn, czemu się dziwisz, że ten, kto miłuje Chrystusa i chce Go naśladować, zapiera się samego siebie? [1]).

6. Rzeczywiste umartwianie się.

Nie tyle samem pragnieniem, ile rzeczą samą oddawać się trzeba umartwieniu. Ś. Bazyli powiada: „Jeżeliby kto mówił, że do urządzenia jego obyczajów wystarcza mu nauka Pisma Świętego, podobnie czyni, jak ten, coby się uczył budować, a nigdy nie budował“.

Wzbudzanie aktów.

Aby te środki skutecznemi się stały, należy unikać rozmyślnych aktów im przeciwnych, a często wzbudzać dobre, przez które małe grzechy się gładzą, skłonności i namiętności ujarzmiają, cnoty się szczepią, i prostuje się intencja do Boga. Tym sposobem wszystkie władze i zmysły utrzymują się w swoich granicach i, za zmniejszeniem namiętności, miłość Boża przeważa.

Zachęta do umartwienia.

Według Ś. Bernarda, uczczeniu Boga powinny zawsze towarzyszyć mirra i kadzidło, to jest umartwienie ciała i modlitwa serca: jedno bez drugiego mało albo nic nie stanowi. Bo jeśli kto ciało umartwia, a nie modli się — pyszny jest i usłyszy: „Izali będę jadł mięso wołowe? [2]). A jeśliby się modlił, a nie umartwiał, to znowu mówi mu Stwórca: „Przeczże mię zowiecie Panie, Panie: a nie czynicie co powiadam?“ [3]). I ponieważ nikogo niema, ktoby nie naśladował Adama grzeszącego, nikt też nie powinien usuwać się od naśladowania go pokutującego. I to bez żadnego wyjątku. Świeccy nie mogą się wymawiać od umartwień, bo gdy do obrażenia Boga umieli znaleźć siły i sposób, czemuż nie znajdują go do pokuty? Są wśród świata ludzie, którzy szukają miejsca, gdzieby mogli karcić ciało. I któż takim przeszkodzi powściągać zmysły od rzeczy próżnych, unikać rozkoszy w pokarmach,

[1]) Serm. 47 de Div. [2]) Psalm 49, 13. [3]) Luc. 6, 46.

napojach, posłaniu, śnie i ubraniu, a szczególniej w cierpliwem znoszeniu przeciwności? Takich włosienic i dyscyplin na świecie jest pełno. Ani ci nie mogą się wymawiać, którzy, czy to w klasztorach, czy poza niemi, pod pozorem zdrowia uważają się wolni od wszelkiego umartwienia, bo naprzód ścisła djeta więcej zdrowiu pomaga, niżeli życie rozkoszne, a przytem słusznie mówi Hugo od Ś. Wiktora, że to sam djabeł uczy takiej medycyny i lekarzem się robiąc, o usposobieniach rozprawia, przepowiada różne choroby, jeśliby się kto regularnego życia trzymał. A dlaczego? Nie dlatego, żeby chciał leczyć, ale żeby mógł zabić; nie aby chorobę usunął, ale żeby bezpieczniej mógł śmierć zadać [1]). Pokoju nie zdobywa się, dogadzając namiętnościom, ale je zwyciężając i temu tylko, kto się zapiera siebie, przyrzeka Chrystus stokrotną nagrodę i żywot wieczny [2]).

Duch pokuty potrzebny jest dla dzisiejszego świata.

Wstrzemięźliwość i post są, niestety, dla wielu chrześcijan za dni naszych martwą literą. Wiele osób, częściej nawet przystępujących do Sakramentów ŚŚ., nie mając żadnych słusznych przyczyn, łatwo wywija się i uwalnia od umartwień przez Kościół przepisanych pod błahym pozorem stosowania się do zwyczajów kółka w którem żyją, lub ogólnem w naszych czasach osłabieniem nerwów i t. p.

Prawda, że ogólny stan sił i zdrowia obecnie słabszy jest, niż dawniej, i dlatego Kościół umiarkował surowość postów. Lecz z drugiej strony powiedzmy szczerze, czy zdrowie nie niszczy się więcej przez dogadzanie zmysłowości, niż przez umartwienie? Podobno zawsze z całą prawdą powiedzieć można, że więcej ofiar ginie od niewstrzemięźliwości, niźli od miecza pokuty. „Plus occidit gula, quam gladius“. Wynaleziono też dziwne wymówki dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności za swą zmysłowość i nieumartwienie, jako to: rozdrażnienie nerwów i t. p. Wątpię, aby te wymówki mogły być usprawiedliwione przed Bogiem i wybawiły kogo od czyśca. Ileż to niebacznych matek nie zaprawia dzieci swych do wstrzemięźliwości, z obawy utrudnienia ich wzrostu, dla zastrzeżenia ich od chorób i t. p.

Nadużycie dyspens.

Kościół nie jest katem, jest owszem, Matką pełną miłości; chce jednak, by jego dzieci stosowały się do praw, Boską roztropnością podyktowanych, i wtedy tylko z nich się dyspensowały, gdy wymagana pokuta rzeczywiście ich siły przechodzi. Inaczej postępując, wszczepia się tylko zmysłowość w serca, które mocą i surowością wyrobione być powinny. Osoby tak zastrzeżone od młodu od wszelkiej ofiary, trudu, cierpienia, wykołysane w miękkości, nigdy chrześcijańskiego charakteru nie nabiorą, nigdy na heroiczne cnoty się nie zdobędą. Ojcowie nasi pościli, my nie pościmy, a czyż jesteśmy od nich silniejsi? czy przynajmniej równamy się z nimi fizyczną siłą? Niestety! miękkość, gnuśność, brak umartwienia i zaparcia zabija nas — a my się na tem nie spostrzegamy!

Drugiem nadużyciem karności jest to, że gdy powód do dyspensy ustaje, nie spieszymy się z powrotem do zachowania prawa. I nie są to pojedyńcze wykroczenia, lecz stało się to niemal powszechnym zwyczajem. Ma się dosyć siły, by tańczyć po całych nocach w ubiorach szkodliwych zdrowiu, aby gonić po wszystkich polowaniach w okolicy, brać udział we wszystkich zabawach, lecz brakuje siły, by parę dni w tygodniu pościć, i nieraz katolicy nawet praktykujący, zebrawszy się na wspólną ucztę, choćby w Wielkim Poście, z gorszącą jednomyślnością od postu się dyspensują. Zdawałoby się, że Ewangelja zmieniła się dla XX wieku, że prawo pokuty ustało dlatego, że go nikt nie zachowuje. Trzeba powrócić na drogę pokuty chrześcijańskiej. Jak sól zachowuje mięso od zepsucia, tak pokuta zachowuje w czystości i nieskazitelności ciało i duszę — według pięknego porównania brata Idziego.

Zakon pokutujących S. Franciszka przyczynia się do odnowienia ducha pokuty.

Trzeci Zakon Ś. Franciszka, zwany zakonem Pokutujących, najwięcej przyczynić się powinien do odnowienia w Kościele Bożym ducha pokuty i chrześcijańskiego umartwienia. Papież Leon XIII, kierowany duchem mądrości, odznaczającej zawsze dzieła Stolicy Piotrowej, dyspensował członków jego ze wszystkich szczególnych postów i wstrzemięźliwości, zatrzymując tylko ogólne, przez Kościół przepisane dla wszystkich chrześcijan, a to dlatego, ażeby na te przepisy pokuty chrześcijańskiej całą uwagę zwrócić i wywołać im wierność we wszystkich klasach społeczeństwa. Pochwalał jednak tych, którzy się stosują do karności pierwotnej.

W myśl przeto Leona XIII, Papieża, i my pragnęlibyśmy zachęcić wszystkich do trzymania się

[1]) L. 1 de Claus. Jan., c. 2. [2]) Matth. 19, 29.

jak najdzielniej na wyżynie zaparcia, umartwienia, pierwotnej ofiarności. Tym sposobem, naśladując w gorliwości i pokucie pierwszych chrześcijan, najbardziej dogodzą zamiarom Boskiego Zbawcy, szukającego wszędzie nowych ofiar do uśmierzenia gniewu Ojca Niebieskiego, nowego pola, wydającego owoce zbawienia. Tym sposobem i sami uczynią postępy na drodze duchownej, w miarę gwałtu zadawanego swej naturze.

Potrzeba umartwienia wewnętrznego.

Jakkolwiek jednak umartwialiby się zewnętrznie, niech mają żywo w pamięci, że o ile umartwienie wewnętrzne bez ostrości zewnętrznych możnaby nazwać duszą bez ciała, o tyle samo tylko zewnętrzne bez wewnętrznego jest ciałem bez duszy. Tyle sposobów, tyle okazji do umartwienia nastręcza się nam co chwila, a my na nie uwagi nie zwracamy! Codzienne zajęcia, zdarzenia, cierpienia, do tylu wzniosłych ofiar i zasług ścielą przed nami pole. Ta naprzykład choroba, nieodstępna od lat wielu towarzyszka nasza, ta ukryta dolegliwość, ten stan chorobliwy ileż nam daje okazji do cichego, nieosłodzonego ludzkiem współczuciem cierpienia! Ten trudny charakter, który w życiu wspólnem tyle starć znieść musi, te wyskoki zbyt żywej naturalnej działalności, ciekawości, złego humoru — to mnóstwo wad i niedoskonałości własnych i cudzych, są to jakby krzyżyki urobione ręką Ojca Niebieskiego, pod które podając ramiona swoje, stokrotnie mnożymy swe zasługi.

Wszyscy bez wyjątku nie mogą pościć surowo, ale ten post duchowny, określony przez jednego z Ojców Kościoła: „Jejunet pes, jejunet lingua, jejunet manus—niech pości noga, niech pości język, niech pości ręka“, ten każdy zachować może. Niech pości twój język spragniony próżnej rozmowy, skory do krytyk, do uwag, raniących świętą miłość wspólną. Niech poszczą ręce, przykładając się pilnie do obowiązkowej pracy, chociażby mozolnej i trudnej. Niech poszczą nogi przez unikanie bezpożytecznego biegania i przez czystość intencji, zwracającej wszystkie nasze kroki i zabiegi ku Bogu. Niech wszystkich twoich zamysłów, pragnień i czynów początkiem i końcem będzie sam Bóg. Tym sposobem zachowasz post duchowny i zasłużysz sobie na to, że Anioł Stróż i sam Pan Jezus służyć ci będzie, zalewając duszę twoją niebieskiemi pociechami, karmiąc tą cudowną manną, która jest pokarmem dusz hojnych dla Boga. Pamiętajmy te słowa Świętego Jana od Krzyża: „Człowiek zszedł z tronu niewinności po drabinie rozkoszy i uciech, ale dostać się napowrót do tego tronu może tylko po drabinie pokuty“.

Jak naśladować Franciszka S. w pokucie?

Mistrzowie życia duchownego naznaczają trzy stopnie umartwienia: pierwszy czyni nas podobnymi do pielgrzymów, drugi — do umarłych, a trzeci — do ukrzyżowanych. Kto chce wejść na ten pierwszy stopień, powinien na wzór pielgrzymujących nie przywiązywać się do niczego, nie szukać rozkoszy, ale poprzestawać na tem, co jest konieczne do utrzymania życia. Jeśliśmy umarli z Chrystusem, tośmy powinni być obojętni, czy mamy potrzeby zaspokojone lub nie, czy nam dolega choroba, czy ciśnie ubóstwo, czy okrywa wzgarda świata — wszystko zarówno przyjmować powinniśmy. Ale jeżeli zechcemy wejść na ten trzeci stopień ukrzyżowanych z Chrystusem, jak to widzieliśmy w Ś. Franciszku, to już nam wszystkie uciechy i wygody ciała krzyżem być powinny, wszystka chwała ziemska goryczą, a podobać sobie mamy, jako Ś. Paweł i ten Seraficki nasz Patryarcha, tylko w utrapieniach i zniewagach, ponoszonych dla Chrystusa. Jeżeli zaś chcemy wiedzieć, co to jest duch pokuty, przypatrzmy się tym ludziom, którzy żyją według ciała, jak oni wszędzie i zawsze starają się o to, coby im było wygodniejsze, coby było smaczniejsze, coby było przyjemniejsze; jak tego pragną, aby im się dostawały zawsze najlepsze i największe rzeczy, nigdy się w niczem nie umartwią, a umartwień mimowolnych nigdy spokojnie nie przyjmą. Ci więc, którzy się rządzą duchem pokuty, powinni na każdym kroku umartwiać swoje ciało i swoją duszę, powściągać oczy i uszy, i usta, i smak, i każdy zmysł, i wszystkie członki, utrzymując je zawsze w skromności; i swoją pamięć, i swoją wolę, przyjmując spokojnie wszystkie rzeczy przeciwne. Zanim przyjdziemy do takiego doskonałego umartwienia, poczynajmy od najmniejszych, chwytając każdą do nich okazję. Nie potrzebujemy ich wyszukiwać, bo one codzień się nam nastręczają, tylko trzeba zwracać na nie uwagę, to jest ćwiczyć się w umartwieniu biernem, przyjmując spokojnie, a nawet ochotnie wszystkie niedogodności w jedzeniu, w spaniu, w ubiorze, w pracy, przy zmianach pór roku, znosząc zimno, gorąco, zmęczenie, znudzenie, niesmak i nieusposobienie, złe humory, upokorzenia i cokolwiek Opatrzności Boskiej zesłać się na nas podoba. Tym sposobem jakoby nic nie czyniąc, ani nie zadając sobie niezwykłych umartwień, możemy nabyć wielkiego ducha pokuty.

ROZDZIAŁ XI.

Duch Seraficzny jest duchem gorącej miłości Boga.

Miłość seraficzna Franciszka.

Gdy Zbawiciel zapowiadał, że przyszedł ogień rzucić na ziemię, to nie o innym ogniu rozumiał, jak o ogniu Boskiej miłości, którym cały świat pragnął zapalić. Tym właśnie ogniem zapalone zostało i serce Franciszka. Bo i skądżeby ten dziwny zapał budził się w jego sercu, jeżeli nie z miłości Bożej? Bóg dawał mu coraz więcej poznawać niezgłębioną przepaść swojej dobroci i jego własnej nędzy, dlatego wołał często: „Kto Ty jesteś, o, mój Boże, a kto ja jestem?“ O ile więcej pogardzał sobą, o tyle więcej zatapiał się w Bogu, znajdując w Nim wszystko: i Ojca, i Mistrza, i Przyjaciela, i skarb swój, i całą mądrość, i siłę i jedyną pociechę. Dlatego mówił: „Bóg mój i wszystko!“ Miłość ta przeszła już granice ludzkiej miłości i stąd nazwany jest w brewjarzach, mszałach i papieskich dekretach Franciszkiem Seraficzkim, czyli ziemskim Serafinem.

Wspomnienie o Bogu i Jego miłości.

Pan Bóg od dzieciństwa sposobił tę duszę dla siebie i chciał ją mieć wyjątkową swoją miłośnicą. Dlatego, gdy Franciszek oddany był jeszcze życiu światowemu, doznawał dziwnego wrażenia na samo wspomnienie o Bogu, a szczególniej o Jego miłości. Na te słowa: „przez miłość Bożą“ dusza jego drżała, jak struna za pociągnięciem cudownego smyczka i czuł się zawsze głęboko wzruszonym, przejętym i zapalonym.

Jak był przejęty Jego miłością.

Miłość w duszy Świętego była tak gorąca i szczególna, że Kościół Ś. i ludy przezwały go Serafinem z Assyża. Cały był przenikniony Bogiem i, że tak powiemy, przemieniony w Boga, podobnie jak węgiel rzucony w ogień, przejęty jest jegoż blaskiem i gorącością. Ta gorąca miłość popychała go do szukania upokorzeń, do całkowitego wyniszczenia się, do pragnienia palmy męczeńskiej. Ona wprawiała go w długie zachwycenie i wyrywała z piersi jego akty pełne miłosnych uniesień, jak naprzykład następujące: „Niech oderwie, błagam Cię, Panie, umysł mój od wszystkiego, co jest pod niebem i niech go całkiem pochłonie ognista i słodka moc miłości Twojej, abym z miłości Twojej miłości umierał, który z miłości mojej miłości umrzeć raczyłeś! Przez Ciebie, Synu Boży, który z Ojcem i Duchem Świętym żyjesz i królujesz na wieki wieków, Amen“. Ona natchnęła mu tę modlitwę, którą odmawiał codziennie: „Boże

mój i wszystko! Kto Ty jesteś, Najsłodszy Panie, Boże mój, a kto jestem ja, sługa i robaczek Twój. Najświętszy Panie! pragnąłbym Cię miłować. Najsłodszy Panie! chciałbym Cię kochać. Panie Boże, ja Ci całe serce moje i ciało moje oddałem i najgoręcej pragnę, bylem tylko umiał, wiele dla miłości Twojej czynić“ [1]).

Jakie było jego życie

Wskutek tego seraficznego zapału, życie jego było już jakby wstępem do tego życia w niebie, gdzie jedynem wszystkich zajęciem jest miłość. Ciągle wznosił się do Boga, jako ofiara przyjemnej woni. Wyniszczał swe ciało ostrą pokutą, a duszę gorącą żądzą Boga. Do uczniów swoich mawiał: „Bądźcie miłością, czyńcie wszystko z miłości!“ Miłość Boga przepełniała jego serce i stąd to pochodzi tyle jego czynów bohaterskich, tyle słów wzniosłych, które zdobią każdą stronę jego żywota. W jednem ze swoich zachwyceń usłyszał głos Pański: „Franciszku, miłość twoja dochodzi do zbytku, do szaleństwa! Oczekujesz odemnie rzeczy niemożebnych i nigdy jeszcze nikt nie prosił mnie o takie łaski“. — „O Panie, moja słodka miłości, odrzekł Franciszek, czyż będziesz mi wymawiał ten zbytek, Ty, który z miłości dla nas uniżyłeś się, przyjąłeś ciało podobne do naszego i ukochałeś nas aż do szaleństwa krzyża!“ [2]).

Wszystko go pobudzało do miłości Bożej.

Któż opowiedzieć potrafi pałającą miłość, jaką gorzał przyjaciel Oblubieńca, Franciszek? Cały albowiem wydawał się jakoby węgiel, żarzący ogniem Boskiej miłości. Aby zaś coraz więcej do niej się zapalać, rozmyślał i weselił się ze wszystkich dzieł Pańskich. Dopatrywał w pięknych tworach najpiękniejszego ich Stworzyciela i przez wyrażone na nich ślady szukał wszędzie Ukochanego swego, czyniąc sobie ze wszystkiego szczeble i przez nie wznosząc się do posiadania Tego, który był dla niego najpożądańszym [3]).

Ofiara miłości.

Nie miał ten wielki ubogi nic więcej nad dwa pieniążki, to jest ciało i duszę, które mógł szczodrobliwej miłości Boga oddać. I te z miłości Chrystusowej tak ustawicznie ofiarowywał, iż w każdej chwili przez surowość postu ciało, a przez gorącość pragnień świętych duszę składał w ofierze. Gorącym tym żarem rozpalony, pragnął naśladować świętych męczenników, w których ani płomień miłości wygasnąć, ani męstwo osłabnąć nie mogło. Przejęty oną doskonałą miłością, która odgania precz bojaźń, pożądał przez męczeństwo złożyć z siebie ofiarę Bogu, aby się wywzajemnił Chrystusowi za nas umierającemu i aby innych do miłości Bożej pociągnął. I z miłościwej Opatrzności Boskiej tak się stało, że chociaż upragnionego męczeństwa nie dostąpił, jednakże nie był pozbawiony jego zasługi.

Szaleniec miłości.

Miłość, trawiąca Ś. Franciszka, nie dawała mu pokoju. Sądził, że nic nie czyni. „Miłość nie jest kochana, Miłość nie jest kochana!“ wołał bezustannie, a w rzeczy samej przeszedł granice roztropności, czując się szczęśliwym, że może kochać Boga do zbytku. Pewnego dnia Zbawiciel upomniał go ze słodyczą: „Bracie Franciszku, powstrzymuj trochę porywy twej miłości, nałóż pęta na swój zapał!“ A Franciszek na to ze śmiałością iście seraficzną: „O, Chryste, Tyś mi serce porwał, a teraz mówisz, aby dusza moja nieco się uspokoiła... Jeżeli tu jest jaka wina, to Twoja, Panie, nie moja; drogę, którą idę, Tyś sam wpierw odemnie przeszedł. Pokazałeś mi, że tak w życiu, jak w śmierci, miłość bez granic pożerała Twoje Serce... Często chodziłeś po ziemi; jak upojony; miłość prowadziła Cię jako niewolnika. Ona to zamknęła Ci usta, kiedy milczałeś, nie tłumacząc się przed Piłatem...“ W krzyżu czytał on wyrytą głoskami płomiennemi najwyższą, niezrównaną miłość Boskiej Ofiary. „O, mawiał, widzę, że wszechmoc ukrywa się w tej tajemnicy naszego zbawienia, a miłość tylko daje się widzieć. Ta to miłość porywała zawsze serca ludzkie do wzajemnej Jego miłości i krępowała je słodkiemi więzami do krzyża. Franciszek należał do tych szczęśliwców, do tych związanych, spętanych więźniów miłości; to też cały oddawał się na nią, poświęcając ciało i duszę Temu, który go pierwszy umiłował.

Miłość Franciszka do Dzieciątka Jezus.

Ta miłość tak doskonała, że we wszystkiem widziała Boga, a tak mocna i pewna, że wszystko kierowała do Niego, łączyła się w Franciszku z najtkliwszą i najprostszą pobożnością, naprzód do Dzieciątka Jezus. I nic dziwnego, że ten, który podobnie jak to Dzieciątko, w stajence się narodził, miał zawsze na pamięci i w sercu Narodzenie Pańskie. Ono było jego księgą, z której się uczył wszystkich

[1]) Ś. Franciszek za życia i po śmierci. Kap. fran. s. 165. [2]) Tamże. Ś. Bonaw.

cnót, a szczególniej ubóstwa; ono ogniskiem, przy którem rozpalał serce swoje do tej ewangelicznej perły i chciał, aby ta Tajemnica przez wszystkich była czczoną. Z jakąż gorącą pobożnością mówił o Wcieleniu i Narodzeniu Chrystusa Pana! Z jaką radością witał poświęcone Tym Tajemnicom uroczystości! Jak pragnął, aby wszystkie stworzenia w uczczeniu ich udział brały! Razu pewnego bracia zapytali go, czy można jeść mięso w Boże Narodzenie, jeśli takowe przypada w piątek? „Zapewne, odpowiedział Seraficki Patryarcha, pragnąłbym nawet, żeby książęta i wielcy tego świata kazali rzucać mięso i pszenicę po wsiach i drogach publicznych, aby i ptaki i zwierzęta dzieliły w tym dniu naszą radość“. Chcąc przedstawić wiernym żywy obraz tego ubożuchnego Narodzenia, urządził w lasku wioski Greccio stajenkę Betleemską, czyli, jak dziś zowiemy, Jasełka, które od niego rozpowszechniły się po całym świecie. Szczególniej pięknie urządzają je w kościołach swoich Bracia Mniejsi [1]).

Miłość Najświętszego Sakramentu.

Jeszcze bardziej objawiała się miłość Franciszka względem Jezusa — Hostji, ciągle żyjącego w Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza. Słuchał Mszy św. codzień i często komunikował i upominał wszystkich swoich synów duchownych, nawet z Trzeciego Zakonu, aby go w tem naśladowali. Jak miło było go widzieć zbliżającego się do Świętego Stołu, z oczyma spuszczonemi, ze złożonemi rękami i boso, dla czci względem tak wielkiej Tajemnicy! Był to dla obecnych wzruszający widok; każdy świadek jego uczuwał się pobożniejszym. Przyjąwszy Boga swego do serca, Franciszek odchodził na stronę, jak gdyby w upojeniu ducha i zachwyceniu. Kto zrozumiał, że Sakrament Ołtarza jest tu na ziemi ostatnim wyrazem miłości, kto choć raz zakosztował rozkoszy eucharystycznych, ten uczuje w swej duszy wieczne jego pragnienie. Święty przybytek będzie miał dla niego pociąg nieprzezwyciężony, tam będzie jego skarb, tam serce jego zwracać się będzie. Takiem też było pragnienie Seraficznego Patryarchy. Nie mógł się nasycić wpatrywaniem się w Gościa naszych przybytków. Klęcząc przed ołtarzem, przebijając wzrokiem zasłonę eucharystyczną i pogrążając się dowoli w tym oceanie światła, w tem ognisku miłości, które nam wiara wskazuje, przepędzał większą część dnia w serdecznej rozmowie ze swym Bogiem. Godziny upływały mu zanadto prędko i jutrzenka poranna zastawała go na tem słodkiem obcowaniu, które opuszczał z żalem. Nie mógł znieść tego, że kościoły, w których przechowuje się Najświętszy Sakrament, były źle utrzymane, w razie potrzeby sam je porządkował. Obawiając się, aby Chleba Ołtarza nie zabrakło, lub żeby nie był źle zrobiony, miał zwyczaj w czasie swoich misji zanosić do biednych kościołów żelazo do pieczenia opłatków artystycznie wyrobione. Ze względu na Eucharystję, miał szczególniejszy szacunek dla kapłanów, co przeszło w tradycyę jego zakonu [1]).

Miłość Chrystusa ukrzyżowanego.

Święty Ojciec starał się przejąć, o ile mógł, duchem tych tajemnic, które Kościół obchodzi w ciągu roku. W Wielkim Poście przenosił się razem z Kościołem na wzgórze Kalwarji i często powtarzał ten okrzyk Doktora narodów: „Umiłował mnie i wydał samego siebie za mnie“. To wzniosłe wyrażenie ksiąg świętych zachwycało go, napełniało jego duszę i, nie możemy wątpić, przyczyniło się do zrobienia go świętym, wielkim świętym. Żywy jest Bóg w każdem słowie, każde z Jego słów jest jasne, obfite i potężne; zdaje się, jak gdyby ono było poświęconą Hostją i zawierało Słowo Przedwieczne, aby Je dać tym, którzy o Niem będą rozmyślać. W ciągu Wielkiego Tygodnia Franciszek podwajał gorące modlitwy. Myślał tylko o Ukrzyżowanym, mówił tylko o ranach, upokorzeniach i śmierci Jezusa; dusza jego była tak przejęta pamięcią Męki, że wylewała się w skargach i głośnych żalach, których nie mógł powstrzymać. Gwałtowność jego boleści zmuszała go do unikania towarzystwa ludzkiego i szukania zupełnej samotności, gdzieby swobodniej mógł oddawać się swoim uczuciom. Tam to zdolen był wzruszyć tygrysy i zachwiać skały. Mówił do Jezusa Chrystusa, jak gdyby Go widział obecnego: „O, mój Panie, Ty jesteś na krzyżu, a ja na nim nie jestem! Ty jesteś samą niewinnością, a cierpisz za zbrodniarza. Czyż potrzeba było tego wszystkiego, aby odpokutować za wielkość moich zbrodni, aby dowieść, że mnie kochasz? O, mój Najsłodszy Jezu. To zawiele, zawiele, ja aż nadto dobrze wiem, że mnie kochasz. Ale czyż tego nie zawiele, o, mój Jezu, że mnie kochasz bardziej, niż Twoje własne życie? Serce moje, cóż powiesz na to? Gdzie znajdziesz miłość, aby odpłacić się za tak wielki zbytek miłości!“ [2]).

Wzywał wszystkie stworzenia do opłakiwania Męki Pańskiej.

Dziwił się nieraz, że inne stworzenia nie przejmowały się jego uczuciem, i że nie płakały

[1]) Ś. Fr. za życia i po śmierci s. 168.

[1]) Tamże s. 171. [2]) Tamże.

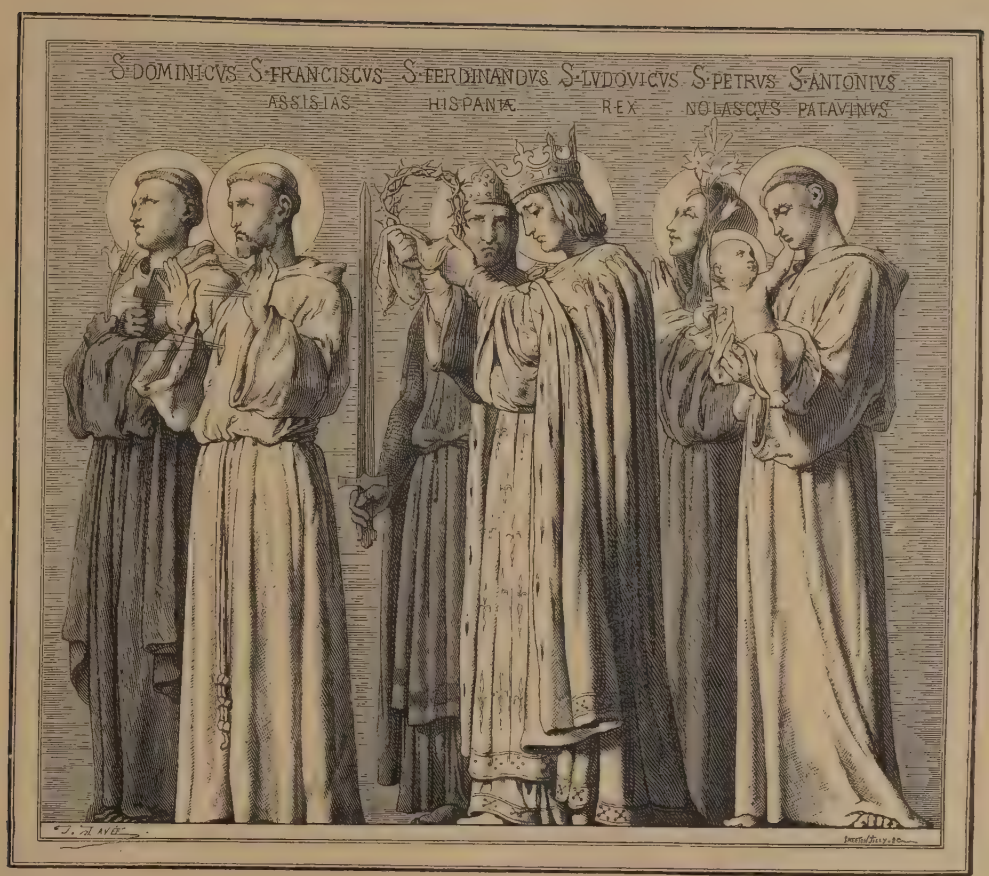

Ś. DOMINIK I Ś. FRANCISZEK, Ś. LUDWIK, KRÓL I Ś. FERDYNAND, Ś, PIOTR NOLASKO I Ś. ANTONI PADEWSKI

W CHÓRZE WYZNAWCÓW.

Fresk Hipolita Flandrin (1809—1864) w kościele Ś. Wincentego à Paulo w Paryżu.

nad śmiercią swojego Stwórcy. „Ptaki niebieskie, mówił, nie śpiewajcie, ale jęczcie; dźwięki głosów waszych niech żałobę i smutek głoszą! Wielkie drzewa, które w górę podnosicie swoje wierzchołki, pochylcie się, poobłamujcie gałęzie i zamieńcie się w krzyże, aby uczcić krzyż Jezusa Chrystusa. A wy, skały, kruszcie się i współczujcie"! Gdy mówił do nich i widział strugi wody, jak łagodnie szemrząc, płynęły pomiędzy temi skałami, przekonany był, że one jęczą i płaczą. „Ach, jak wy mi się podobacie, skały! Jesteście więc wzruszone do łez!" I wołał jeszcze głośniej: „Siostry moje, skały, płaczmy!" A echo rozlegało się: „płaczmy". Więc wołał jeszcze głośniej: „płaczmy, płaczmy!" A echo odpowiadało: „płaczmy, płaczmy!" [1]).

Jedyna księga Franciszka.

Innym znów razem, gdy wśród niewypowiedzianych cierpień dwóch lat ostatnich bracia prosili go, aby im wskazał książkę, której czytanie mogłoby złagodzić jego boleści, odpowiedział im: „Moi bracia, niema książki, którąby mnie mogła bardziej pocieszyć, jak Męka Jezusa Chrystusa: to jest przedmiot ciągłych moich rozmyślań i nie potrzebowałbym innej, gdybym żył nawet do skończenia wieków. Nie daj Boże, zawołał jeszcze, abym się chlubić miał, jeno w krzyżu Pana naszego Jezusa Chrystusa"! Ten głos Apostoła narodów powracał często na jego usta; dla tej przyczyny Bracia Mniejsi obrali go za godło swego herbu [2]).

Wyrażenie pięciu ran.

Lecz największym objawem miłości serafi cznej Franciszka było otrzymanie pięciu ran Chrystusowych. Będąc na Alwernji w r. 1224, przed uroczystością Ś. Michała Archanioła, modlił się o dwie rzeczy: aby mógł poznać, ile Zbawiciel nas umiłował i ile cierpiał dla naszej miłości, i aby mógł tyleż Go kochać i tyleż cierpieć dla Niego. I dostąpił wtedy tej niesłychanej łaski, której tak gorąco pragnął. Pewnego dnia, gdy wierny sługa Chrystusowy gorąco się modlił i w serdecznych uniesieniach wzbijał się ku Bogu, który z miłości ku ludziom chciał być ukrzyżowanym, zobaczył płynącą ku niemu z nieba postać o sześciu promiennych ognistych skrzydłach. Serafin szybko przeszył powietrze i zatrzymał się niedaleko sługi Bożego, który między jego skrzydłami ujrzał obraz Zbawiciela rozciągnionego na krzyżu. Dwa skrzydła wznosiły się ponad głową, dwa były złożone do lotu, a dwa okrywały ciało. Przyglądając się temu zjawisku, Franciszek przejęty był zdumieniem. Duszę jego napełniły dwa różne uczucia: radości i boleści. Widok Jezusa Chrystusa, który w postaci Serafina tak cudownie i serdecznie nań spoglądał, sprawiał mu wewnętrzną pociechę, a jednocześnie bolesny obraz ukrzyżowania przejmował go współczuciem i serce jego jakby mieczem przeszywał. Ale najwięcej dziwiło go ono przeciwieństwo między niecierpiętliwością seraficznego ducha, a bolesnym stanem, w jakim go widział i nie mógł zrozumieć, coby to znaczyło. Dopiero Pan objaśnił go wewnętrznie, że jest to obraz jego własnej osoby, gdyż nie przez męczeństwo ciała, ale przez wewnętrzne rozpalenie duszy ma się przemienić w najdoskonalszy portret Ukrzyżowanego. Po długiej i serdecznej rozmowie widzenie znikło, zostawiając w sercu Franciszka uczucie seraficznej miłości, a na ciele rany od ukrzyżowania, tak jakby je kto odbił na miękkim wosku. Natychmiast bowiem w rękach jego i nogach ukazały się gwoździe takie same, jak widział przed chwilą w postaci Zbawiciela. Główki tych gwoździ były okrągłe, czarne, i znajdowały się w samym środku dłoni i stóp, mając dokoła siebie dość wielką ranę. W dłoniach tkwiły one od strony wewnętrznej, zaś w nogach od zewnętrznej, a wydłużone ich końce przechodziły nawskroś i wystawały nad ciałem. Na prawym boku był czerwieniący się otwór, jak gdyby od przebicia włóczni, habit zaś około tego miejsca nosił często ślady krwi, a nieraz zupełnie przemakał [1]).

Co o tem mowi S. Franciszek Salezy.

Ten wielki sługa Boży, powiada Święty Biskup, ten Serafin ziemski, patrząc na żywy obraz Zbawcy swojego ukrzyżowanego, który mu się ukazał na Alwernji, przejęty został uczuciem litości, wszelkie wyobrażenie przechodzącej. Uczuł w duszy ten miecz bolesny, co przeszył najświętszą pierś Matki Bożej w dniu ukrzyżowania Jezusa, a uczuł go tak silnie, jak gdyby razem z najdroższym Zbawcą swoim zawisł na krzyżu. Dusza jego rozczulona, zmiękczona i prawie zupełnie roztopiona w tej miłosnej boleści, stała się przez to niezmiernie zdolną do przyjęcia wrażeń i znamion tego Niebieskiego Oblubieńca. Pamięć jego cała przesiąkła była wspomnieniem Boskiej miłości; wyobraźnia z największem wytężeniem starała się przedstawić sobie rany i blizny, na których doskonały obraz patrzały teraz oczy; umysł odbierał wrażenia niezmiernie silne; miłość wysilała całą potęgę woli, aby sobie

[1]) D'Argentan. Grandeur de Jésus Christ. T. II. h. 26, art. 11, p. 342. [2]) Ibidem.

[1]) Ś. Bonaw. c. 13, n. 191—194.

upodobać w Męce Oblubieńca i z nią się zjednoczyć; dusza nakoniec prawie przekształciła się wtedy w drugiego ukrzyżowanego. Otóż dusza jako modła i władczyni ciała, używając nad niem swojej władzy, wycisnęła boleść blizn, któremi była zraniona, w miejscach odpowiadających ranom na ciele Oblubieńca. Miłość bowiem ma przedziwne środki zaostrzenia wyobraźni, aby ona oddziałała nazewnątrz. Przeniosła więc aż na ciało męki wewnętrzne wielkiego miłośnika Boskiego i zraniła je tąż samą strzałą boleści, którą przeszyła serce. Lecz otworzyć rany w ciele nazewnątrz samej miłości nie było łatwo, dlatego światły Serafin, przybywając na pomoc, wypuścił promienie jasności tak przenikającej, że ona zadała mu zewnętrznie rany Ukrzyżowanego, które miłość wycisnęła wewnątrz na jego duszy“ [1]).

Było to męczeństwo miłości.

I ten to był rodzaj męczeństwa, które mu Pan Bóg przeznaczył w nagrodę za chęć poświęcenia życia za wiarę, a którego szczególnie się spodziewał, gdy badając wolę Bożą przez trzykrotne otwarcie Ewangelji, za każdym razem natrafiał na opis Męki Pańskiej. „O, mężu prawdziwie szczęśliwy, woła Ś. Bonawentura, bo chociaż ciało twoje nie było przeszyte żelazem tyrana, nosiło jednak na sobie najwierniejsze podobieństwo Baranka umęczonego! O, szczęśliwa duszo, któraś uzyskała palmę męczeńską, chociaż od ciała swego nie zostałaś mieczem prześladowcy oddzieloną [2])!“ Bo czyż nie trzeba przyznać, że wyrycie na ciele Franciszka pięciu ran Chrystusowych i znoszenie ich przez całe dwa lata ciągle otwartych i silnie dolegających, było prawdziwem męczeństwem, a tak długo trwającem? Męczeństwem z jednej strony dziwnie ciężkiem, bo nie pochodziło ono z ręki okrucieństwa ludzkiego, lecz od strzał miłości Bożej, a więc od samego Syna Bożego, którego działanie nieskończonej jest siły; z drugiej zaś dziwnie słodkiem i rozkosznem, gdyż pochodziło ze szczególnego zjednoczenia jego duszy z Chrystusem ukrzyżowanym. W ten bowiem sposób Pan Jezus przedstawiał cudownie w swojem stworzeniu stan, w jakim był na krzyżu, kiedy zażywając najwyższej uciechy dusz błogosławionych, ponosił współcześnie najcięższe cierpienia męki krzyżowej.

Było to dopełnienie wszystkich widzeń o krzyżu.

Doktor Seraficki tak jeszcze przemawia do Ś. Ojca z okazji jego ran: „Już, zaprawdę, spełniło się pierwsze widzenie, jakie miałeś, że będziesz przyobleczony niebiańską zbroją i znakiem krzyża. I łatwiej teraz zrozumieć one słowa Chrystusa ukrzyżowanego, któreś w początkach swego nawrócenia usłyszał, że wszystko, co ci jest wstrętne, masz dla Jego miłości pokochać. Już i to się tłumaczy, dlaczego brat Sylwester widział krzyż cudownie wychodzący z ust twoich, a Bł. Pacyfik miecz, przeszywający cię w formie krzyża; dlaczego wielu ojcom na kapitułę zebranym, w czasie kazania Ś. Antoniego ukazałeś się w powietrzu jakby ukrzyżowany: była to zapowiedź tego, co się teraz z tobą stało. I wreszcie to ostatnie objawienie Serafina o sześciu skrzydłach dowodzi, żeś ty jest drugim aniołem, powstającym od wschodu słońca ze znamieniem Boga żywego. Tak więc przez ten szereg widzeń krzyża, który w różnych czasach już tobie samemu, już na tobie innym był objawiony, okazałeś, że jakby przez sześć stopni idąc po drodze krzyżowej coraz wyżej, doszedłeś aż do tego siódmego, na którym ostatecznie spoczywasz. Krzyż Chrystusowy, któryś po nawróceniu swojem przyjął, a później stale przez całe życie dźwigał, teraz już w całej pełni w tobie jaśnieje, na dowód osiągnięcia przez ciebie doskonałości ewangelicznej. Tego bowiem objawu chrześcijańskiej mądrości, o której powiedział Ś. Paweł: „A ja nie rozumiałem, żebym miał co umieć między wami, jeno Jezusa Chrystusa i tego Ukrzyżowanego“, nikt z prawdziwie pobożnych nie odrzuci, nikt wierzący mu nie zaprzeczy, nikt pokorny nie będzie lekceważył, gdyż rzeczywiście Boską ręką jest wypisany, bosko wyrażony, a więc wszelkiego uznania godny [1]).

Jest to środek do rozpalenia oziębłego świata.

Widzimy, że ta miłość seraficzna Franciszka, która go do tak nadzwyczajnego zjednoczenia z Bogiem przywiodła, iż zdawał się być zupełnie w Niego przemienionym, uczyniła zeń jedną z największych dusz, jakie Bóg na ten świat zesłał i że słusznie mógł on mówić z Pawłem Ś.: „Żyję ja, ale już nie ja, lecz żyje we mnie Chrystus“. Bo też Pan Bóg, dla rozpalenia oziębłego świata ogniem miłości swojej, chciał w nim odnowić obraz Chrystusa ukrzyżowanego.

Ta cecha powinna być również jawną we wszystkich duszach, które na drogę przez Franciszka utorowaną wstępują. Nie może więc się nazwać jego synem ten, którego serce zimne jest dla Boga, choćby skądinąd wiernym był w służbie Boskiej

[1]) Traktat o miłości Bożej, ks. 6, r. 18. [2]) S. Bonav. Leg. maj. c. 13.

[1]) Tamże.

i który nie żywi w tem sercu gorącego pragnienia rozpalenia wszystkich serc miłością Bożą.

Jak synowie Franciszka w tem go naśladowali. Ś. Bonawentura (1274 r.).

Dusza Ś. Bonawentury była prawdziwie seraficka. Miłował on Boga, jak tylko Serafini w niebie Go miłują. Wiemy, że Serafini zajmują najwyższe miejsce w hierarchji anielskiej. „Serafin", według Ś. Tomasza, „jest to płomień żywy, ogień miłości". Cherubin — to światło, serafin — to miłość, a miłość właśnie najwięcej zbliża do Boga. Tam w niebie miłość posiada i uwielbia, tu miłość pragnie i poświęca się. Pod tą też powłoką ukazuje się nam pobożność Ś. Bonawentury. U niego wszystko wypływa z miłości i wszystko wraca do miłości. Miłość to Boża pociągnęła go do zakonu Ś. Franciszka i ona go w nim zatrzymała. Niema w nim ani wahania się, ani walk gwałtownych, ani upadków. Czy na świecie, czy w zakonie jest on zawsze jednym i tym samym: pokornym i czystym, wspaniałomyślnym i gorącym, a zapał ten z dnia na dzień jeszcze wzrasta. Zdawałoby się, że Święty przebywa ciągle u stóp tronu Przedwiecznego. Jego serce składa Mu w dzień i w nocy kadzidło swych uwielbień; jego życie śpiewa Mu hymn wiekuisty i możemy w całej prawdzie zastosować do niego słowa, które sam napisał o Ś. Franciszku: „Był on cały przejęty Bogiem i, jakby powiedzieć, przemieniony w Boga, jak węgiel, który, będąc wrzucony w ogień, nabiera blasku i gorąca ognia. Ofiarowywał Mu ciało swe przez surowość pokuty, a duszę swą przez gorącość swych pragnień" [1]).

Święty Generał nie przestawał przypominać braciom, że miłość Boża to szczyt doskonałości, to źródło nagrody i miara szczęścia przyszłego. Jakże wzniosłą pod tym względem i jak wdzięczną dał odpowiedź bratu Idziemu, który był trzecim towarzyszem Serafickiego Patryarchy i posiadał wielką łaskę zachwytów. „Mój ojcze", rzekł raz do Generała pokorny starzec: „Pan Bóg obsypał cię darami swej łaski, ale my, prostaczkowie i ciemni, którzy nic nie znaczymy, co mamy robić, aby zbawić dusze swoje?" — „Miły bracie, odparł Bonawentura, gdyby Pan Bóg nie dał ci nic więcej, tylko serce pełne miłości, już to samo wystarczyłoby do twego zbawienia". — „Ale, mój ojcze, pytał znów Idzi z zachwycającą prostotą, „czy prostaczek może tyle kochać Pana Boga, co uczony?" — „Bezwątpienia, odrzekł Święty Doktor, uboga stara babka może tyleż kochać Stwórcę swojego, co i doktor teologji". Brat Idzi, nie mogąc powstrzymać wybuchu radości, pobiegł do ogrodu i, zwróciwszy się w stronę miasta, zaczął wołać ze wszystkich sił: „Niewiasty ubogie, proste, ciemne, kochajcie Pana Boga waszego, a staniecie się większemi od brata Bonawentury!" [1]).

Tak więc miłość Boża, miłość skora do uczuć gorących jest charakterystyczną cechą tego Świętego i ona zapewnia mu miejsce wśród Serafinów. Ta miłość jaśnieje w jego oczach, tryska ze wszystkich jego pism i z całej osoby. Bez wytchnienia od początku aż do końca życia swojego dzielny uczeń Ś. Franciszka łączy swój głos z głosem braci swoich w niebie, i jak oni kocha, uwielbia i śpiewa. Jest to cecha jego świętości, a jednocześnie i dowód jego zasługi, gdyż niema zwycięstwa bez walki, ani świętości bez wysiłków i ofiar.

Lecz gdzież ten syn Franciszka czerpał pożerającą go miłość seraficzną? Odpowiemy na to jego własnemi słowy, które napisał w księgach przez siebie ułożonych. Jako filozof, zadawał on wszystkim istotom stworzonym pytanie: Kto jest Bóg? I nadstawiał ucha, a wszystkie głosy stworzenia: „i owad, który brzęczy, i ptak, który nuci piosnkę poranną, i wiatr, który szumi w lesie, i strumyk, który szemrze wśród kamieni, i ocean, który wre rozbijając swe fale o skaliste wybrzeża, wszystkie te melodje niebieskie i ziemskie mówiły mu jedno i to samo: „Bóg jest najwyższą Istotą, Bóg jest Pięknem" [2]). Jako chrześcijanin, kapłan, zakonnik pyta po kolei Kalwarji, krzyża, tabernakulum, a głosy łaski jeszcze silniej od głosów natury odpowiadają mu: „Bóg jest Dobrocią, Bóg jest Miłością" [3]). Bóg jest Miłością. Miłować Go stanowi szczęście Aniołów, radość i pociechę człowieka żyjącego na ziemi.

Bonawentura to zrozumiał. „Bóg jest najwyższem Dobrem, jedynem, które zadawalnia i którego nic nie zastąpi. Miłujmy Go, a będziemy dosyć bogaci" [4]). Zastanawianie się, modlitwa, nieustanne rozważanie tajemnic Ewangelji, wierne i ciągłe odpowiadanie pociągom i natchnieniom łaski uczyniły zeń Serafina. Wszedłszy raz na te wyżyny, Święty zaprasza nas do pójścia za nim i ukazuje drogę łatwiejszą i krótszą. „Wstępujcie, woła do nas, wstępujcie jeszcze wyżej, wchodźcie do Raju miłości, przeniknijcie w to Serce Najsłodsze, do którego wstęp otworzyła wam włócznia żołnierza! Tam znajduje się tajemnica świętości; tam to znajdziecie

[1]) S. Bonav. Leg. S. Franc. c. IX.

[1]) Kronika 24-ch Generałów. [2]) Itinerar. c. V. Ordo ducit ad Deum. [3]) Ibid c. VI. [4]) Ama unum bonum et sufficit. (De perfectione vitae c. VIII.)

Panu Jezusowi i Najświętszej Jego Matce Marji. „Najświętsza Panno, szeptała, jeśli chcesz, abym Twego błogosławionego Syna miała za Oblubieńca, pomóż mi w tej godzinie, w której brak mi wszelkiej ludzkiej pomocy". Po tej modlitwie uczuła wielką radość w sercu. Zdało jej się, że Niepokalana Panna ofiaruje jej kawałek swego płaszcza i mówi: „Chodź, córko moja; mój Syn i ja, którym chcesz służyć w dziewictwie, i których błagasz o ratunek, będziemy cię bronili". Umocniona temi słowami, Delfina, wychodząc ze swej kryjówki, gotowa była umrzeć i dać się na kawałki pokrajać dla miłości Jezusa Chrystusa i dziewictwa. A chociaż ostatecznie zmuszono ją do zawarcia związku małżeńskiego z Elzearem, zaraz po ślubie oznajmiła mu, że Oblubieńcem jej jest sam Zbawiciel, że przyrzekła Mu zachować czystość i do tego samego skłoniła małżonka. Odtąd były to dwie dusze rozmiłowane w Bogu i dla Boga żyjące.

Bł. Ludwika Albertoni, 3 Zak. (1533 r.).

Błogosławiona Ludwika wzbiła się na taki stopień doskonałości, że ani niedostatek, ani żadne nieszczęście nie mogło jej zasmucić, wszystko bowiem, co Bóg na nią dopuścił, z wielką ochotą przyjmowała. Często odzywała się z tem, że gdyby ją Bóg do samego piekła wtrącił, radaby tam cierpieć straszne męki, byle nie za swoje winy, ale dla spełnienia woli Bożej i pod warunkiem, żeby i tam mogła Go jak najdoskonalej miłować. Albo, jak to powiedziała swemu spowiednikowi, gdyby miała tysiąc serc i tyleż dusz, wszystkieby obróciła na to, aby Boga miłowały. Wtedy tylko ogarniał ją smutek, kiedy się czuła oziębłą w miłości Boskiej i dlatego błagała Aniołów i wybranych Pańskich, aby wyjednali jej zapał i gorącość uczuć [1]).

Cz. Joanna od Krzyża, 3. Zak. reg. (1534 r.).

Czcigodna Joanna od Krzyża nie posiadała się z radości, że Bóg raczył ją wezwać do służby swojej w zakonie. Upojona miłością Bożą, ofiarowywała się na tysiączne zniewagi, męki i udręczenia, a nawet na śmierć samą, aby Mu dowieść jak Go kocha. Każde rozważanie Męki Zbawiciela obudzało w niej nowy zapał. Z ust jej prawie nie schodziły heroiczne akty: „O, Panie, niech dla Ciebie wszystko przeniosę, przecierpię. Dozwól, aby wszystkie stworzenia, i sami nawet szatani przeciwko mnie powstali". Zazwyczaj noce całe trawiła w takiej modlitwie, przyczyniając sobie umartwień ciała [2]).

[1]) Kron. 3. Zak. Ś. Fran., Cz. IV, s. 127. [2]) Tamże, s. 142.

Ś. Piotr z Alkantary, Obserwant bosy (1562 r.).

Miłość Boża w tym znakomitym mężu takim gorzała płomieniem, że wszędzie, czy to w celi, czy w kościele było mu gorąco i ciasno: wychodził więc do ogrodu, a zimą zanurzał się w zamarzłych stawach dla uśmierzenia tego ognia wewnętrznego. Pewnego razu jednak i to nie pomogło. Święty nietylko się nie ochłodził, ale owszem, sam lód dokoła niego stopniał i woda wrzała jak w kotle. Jeżeli wypadło mu słuchać rozmowy o miłości Pana Boga, albo gdy sam ją rozpoczynał, głos jego stawał się łzawym, coraz częstsze westchnienia wyrywały mu się z piersi i wkrótce odchodził od zmysłów. Będąc w klasztorze, nie mógł oderwać się od swojej Miłości i godziny całe klęczał przed Tabernakulum. Modląc się przed wysokiemi krzyżami, unosił się aż do ich wierzchołka i tak wisiał, jakby do nich przybity. Kiedy go raz pytano, dlaczego nigdy nie podnosi oczu, odrzekł: „Kto Boga prawdziwie miłuje i ma Go w sercu swojem, ten nie dba wcale o rzeczy zewnętrzne" [1]).

Cz. Teresa Henriquez, Niepokalanka (wiek XVI).

Tę wielką miłośnicę Pana Jezusa w Hostji, Papież Juljusz II nazywał „Szaloną Najświętszego Sakramentu", ponieważ niezdolna była o niczem innem myśleć, jeno o Utajonym Jezusie. Rozdała ona cały swój majątek na szerzenie bractw eucharystycznych i na ubiory kapłańskie, oraz święte naczynia do ubogich kościołów. Umarła w opinji świątobliwości, jako zakonnica Niepokalanego Poczęcia w Torrijos [2]).

Anna od Krzyża, Klaryska.

Na świecie hrabina de Fedia, a w zakonie Siostra Anna od Krzyża była również czcicielką Najśw. Sakramentu. Miłość ku Jezusowi Utajonemu pochłaniała jej myśli i uczucia. Jak są kwiaty, które zwracają swój kielich w stronę słońca, tak serce i oczy tej służebnicy Pańskiej ciągle biegły za Jezusem. Wskutek tej niezwykłej miłości dano jej piękny tytuł „Oblubienicy Jezusa utajonego w Najświętszym Sakramencie". Ciało jej posiada klasztor Sióstr Ubogich w Montilla [3]).

Jan Kaprera, Obserwant bosy (1575 r.).

Bogobojny ten zakonnik często rozmyślał Mękę Pańską w chórze przed krzyżem i tak się rozpalał w duchu, że, aby się ochłodzić, wybiegał w

[1]) Tamże s. 254. [2]) Le Petit Messager de St. François Juin, 1911. [3]) Ibidem.

pole. Gdy zaś i tam było mu gorąco, rzucał się na ziemię i wołał: „Panie, odejdź ode mnie, Twój płomień pali i pożera moje wnętrzności“. Pewnego dnia byłby skonał na miejscu, gdyby Bóg nie umniejszył tych zapałów, zostało mu jednak osłabienie, jakby po długiej chorobie [1]).

Kacper od Ś. Józefa, Obserwant bosy (1576 r.).

Był to uczeń i naśladowca Ś. Piotra z Alkantary. Kiedy miał dopiero lat 11, święty Reformator, powracając raz z Andaluzji, zatrzymał się u jego rodziców, a przeczuwszy w nim przyszłego swego syna, prosił, aby go chowano w miłości i bojaźni Bożej, co też rodzice wiernie spełnili. Młodzieniaszek zadziwiał wszystkich swoją skromnością i pilnością w naukach, a gdy doszedł piętnastego roku życia, wstąpił do nowo założonej reformy Alkantarystów. Od tej chwili całą jego dążnością było naśladować świętego reformatora. Za jego przykładem trawił godziny całe na modlitwie i bogomyślności, ćwiczył się w zaparciu i pokorze, dla których Ś. Piotr nazywał go owieczką. Miłość Boża rozpalała go do tego stopnia, że ciągle był w gorączce, lekarze zaś, nie znając przyczyny, przypisywali ten stan malignie [2]).

Bł. Mikołaj Faktor, Obserwant (1583 r.).

Ten Święty również przypomina wielkiego pokutnika. Miłość Boża paliła go nieraz tak gwałtownie, że, nie mogąc wytrzymać tego żaru, zanurzał się w mrozy w zimnej wodzie. I o cudo! woda prawie zamarzła rozgrzewała się, a w końcu wrzała przez samo zanurzenie się w niej Błogosławionego, co naoczni świadkowie zeznali pod przysięgą w procesie beatyfikacyjnym. W uniesieniach miłości ku Bogu powtarzał, wzdychając i zalewając się łzami: „O, Jezu mój, Tyś jest życiem, chwałą i Oblubieńcem duszy mojej; gdy mam Ciebie, wszystko posiadam; Tyś szczególną moją miłością. W Ciebie samego pragnę się przemienić“. W główniejsze święta, odbierając szczególne dary i pociechy, czuł się jakoby już nie na ziemi, ale pośród duchów niebieskich. Ciało jego unosiło się wysoko w górę, a nieraz przebywało kilkanaście mil. Aby tego uniknąć, chwytał się za drzewa i trzymał się ich, aż go wzruszenie minęło [3]).

Bł. Andrzej Hibernon, Obserwant (1602 r.).

Miłość Boża w Andrzeju była tak gorąca i tak silnie jednoczyła go ze Stwórcą, że żadne zajęcie rozproszyć go nie mogło: pełniąc obowiązki furtjana, kwestarza i infirmarza, ciągle przejęty był obecnością Boską. Ukończywszy całodzienne zajęcia, udawał się na dłuższą modlitwę i wtedy, gdy był sam na sam z Bogiem, dusza jego w uniesieniu miłości topniała, jak wosk przy ogniu: wpadał w zachwycenie, unosił się w powietrze i na ziemi zażywał już rozkoszy niebiańskich. Myśl o Kalwarji wyciskała mu łzy z oczu, a samo wspomnienie o Męce Pana Jezusa tak go pochłaniało, że nie mógł słowa wydobyć [1]).

Ś. Józef z Kopertynu, Konwentualny (1663 r.).

Miłość jest wrodzona człowiekowi, a tak właściwa Panu Bogu, że Bóg nie byłby Bogiem, gdyby nie miłował. Bóg miłuje siebie i nas od wieków, i będzie nas i siebie miłował na wieki. Lecz między Jego a naszą miłością jest różnica: my kochamy Pana Boga, bo dobry jest; Pan Bóg nas kocha, chociażeśmy źli, aby nas uczynił dobrymi. Ś. Józef, którego Stwórca uczynił tak dobrym, musiał całą duszą kochać Boga, jako źródło wszelkiej dobroci. Jego zachwyty, tak te, o których już wspominaliśmy, jak i te, które później opiszemy, sprawiane były siłą miłości Bożej, a pochłaniały go w takim stopniu, że dusza jego więcej żyła tam, gdzie kochała, aniżeli gdzie oddychała. Umysł jego był ściślej zjednoczony z Bogiem, aniżeli dusza z ciałem. Jeżeli lekkie uniesienie jest już wskazówką wielkiej miłości Boga, jakąż musiała być miłość Świętego, który ciągle prawie bujał w powietrzu, wznosił się na gałęzie drzew lub na gzymsy kościołów? Sam dźwięk Imienia Jezus pozbawiał go zmysłów; jak szalony biegał wtedy po celi lub po klasztorze, a niekiedy i po ulicach, wołając: „O, miłości, o miłości!“ Często z ust jego wyrywały się słowa: „Kto ma miłość, jest bogaty, a nie wie o tem!“ Aby ulżyć swoim piersiom, które palił wewnętrzny ogień, święty zakonnik nucił pieśni pobożne, między innemi do Ś. Katarzyny Seneńskiej, szczególnej swojej Patronki, a kiedy doszedł do słów: „Miłość Boska zraniła jej nogi, jej ręce i jej serce,“ wydawał silny okrzyk i ręką dotykał się habitu, jakby chciał go rozerwać na piersiach. „Wyrwijcie mi to serce, wołał, wyrwijcie mi serce!“ Potem, zwracając się do krzyża, dodawał: „Pragnę być rozwiązanym i być zawsze z Chrystusem“. Ruchy jego w takich razach okazywały głębokie wzruszenie. Niekiedy, zalewając się łzami, śpiewał: „Jezu, Jezu, Jezu, pociągnij mnie ku sobie, umieram tu na ziemi, pociągnij mnie do siebie. Gdzie jesteś, Jezu, Jezu, Jezu?“ Zapytany raz, czegoby najbardziej

[1]) Kron. 3 Zak. Ś. Fr., Cz. IV. [2]) Tamże, ks. 4, r. 11. [3]) Tamże, r. 20.

[1]) L'aur. séraph. T. II.

pragnął, odpowiedział: „Aby Bóg zajął całe moje serce“. Nic też dziwnego, że pod wpływem płomieni miłosnych organ ten zupełnie wysechł,, jak to stwierdzono po śmierci Józefa. W ostatniej jego chorobie zakonnicy mówili mu o bliskiej szczęśliwości w raju. „Ja nie chcę iść do piekła, rzekł,, tam nie kochają Pana Boga, ani go nie chwalą“. A później znów: „Aż do piekieł samych chciałbym kochać mego Stwórcę i mam nadzieję w miłosierdziu Bożem“. Posyłany to tu, to tam, pytał pierwszego, na kogo natrafił: „Czy tam, dokąd idę, jest Pan Bóg?“ Usłyszawszy zaś odpowiedź twierdzącą, skakał z radości i mówił: „Ponieważ tam jest Bóg, idę jak najchętniej.“ Pewnego dnia inkwizytor z Perudżji, mając Józefa odprowadzić do Petra Rubea, zatrzymał się w gospodzie i wraz ze swoją świtą poszedł na piętro. Józef został sam i siedział zamyślony w dolnych pokojach. Gospodarz, znający go jako Świętego, odezwał się doń ze współczuciem: „Odwagi, bjcze Józefie, nie lękaj się“. — „Dlaczego, mój synu, miałbym się lękać? Pragnę tego, czego pragną przełożeni. Taka jest wola Boska, niech się więc dzieje. Równie dobrze mi mieszkać w Petra-Rubea, jak w Assyżu. Tu i tam znajdę mego Boga, a szukam jedno tylko Jezusa ukrzyżowanego!“ I jakżeż Świętemu byłoby źle gdziekolwiek, jeżeli wszędzie znajdował najwyższe Dobro swoje?

Innym razem O. Ambroży, słynny kaznodzieja, litował się nad sługą Bożym zamkniętym, jakby uwięzionym w Assyżu i zapytał o przyczynę. Święty odparł z prostotą, że odosobniono go na rozkaz przełożonych rzymskich, a szczególniej Ś. Officium. Zdziwił się kaznodzieja i zaczął krytykować niedbałość władzy, która, jego zdaniem, winna była czynić starania o uwolnienie brata. Józef nic nie powiedział na tę długą przemowę, ale widać było, że mu się nie podobała. Nazajutrz tenże zakonnik znowu rozpoczął swoje żale. „Mistrzu Ambroży, rzekł do niego Józef ze spokojem: wczoraj tyś kazał, dzisiaj ja powiem naukę. Jakto być może, aby taki uczony kaznodzieja doradzał mi niecierpliwość i opór woli Bożej. Czego Bóg chce, tego i ja pragnę; szukam jedynie Boga i wszędzie mi jest dobrze, gdyż wszędzie Boga widzę“.

„Kochaj Boga, a znajdziesz wszelkie dobro“, powtarzał on każdemu przy sposobności. Aby zaś lepiej wrazić w serca bliźnich uczucie, jakie go przy wymawianiu tych słów ogarniało, chwytał daną osobę za rękę, za ramię, a nawet za głowę i z naciskiem w głosie i właściwym mu ruchem mówił: „Kochaj Boga, kochaj Pana Boga, a będziesz miał wszystko; kto ma miłość, jest bogaty, a nie wie o tem“.

Te zewnętrzne objawy były jakby dymem ognia trawiącego jego życie. Józef chciałby był, aby cały wszechświat oddał się Bogu i wyniszczał się w uwielbianiu swego Stwórcy i aby każdy człowiek składał Mu się na ofiarę. Rozważając, jakie mnóstwo występków popełnia się na powierzchni ziemi, wybuchał płaczem i tak bolał, że niekiedy krew rzucała mu się ustami. Było to jego wynagrodzenie. Pewnego dnia poprosił swego spowiednika, żeby mu kazał odmówić za pokutę trzy razy: „Chrystus cierpiał za nas“. Pokuta zdawałoby się niewielka, długo się jednak ciągnęła, gdyż jak tylko zastanowił się nad cierpieniami Syna Bożego i nad niewdzięcznością, jaką ludzie za nie się odpłacają, padał na ziemię, i skarżył się, że musi żyć tutaj na tym świecie, gdzie Bóg jest obrażany. Szukał sposobu, żeby oddać tej Dobroci życie za życie, miłość za miłość. Męczeństwo wydawało mu się najlepszem i marzył już o misji w krajach pogańskich. „O, wołał często, jakże chętnie zostałbym misjonarzem!“ A wspomniawszy na swoje słabe siły, dodawał: „Musiałby mi towarzyszyć jaki brat mądry, zdolny do kazań i nauczania. Jabym mu pomagał, służył, modlił się ciągle, i żebrał o łaskę męczeństwa“. Na myśl, jak mało ma Pan Bóg wiernych czcicieli, rozpływał się we łzach, ale niebawem boleść jego zamieniała się w radość, bo przypominał sobie, że nawet pośród dzikich ludów Bóg jest chwalony: chwalą Go mianowicie ptaszki, ryby, rośliny i to mnóstwo istot nieżywotych, które, jakkolwiek nieme, tak wymownie głoszą wszechmoc, mądrość i dobroć Stwórcy. Często zapytywał nowicjuszów: „czy nie umarliby z chęcią dla Jezusa Chrystusa?“ i gdy odpowiedź była twierdząca, drżał z radości, ciesząc się z dobrego usposobienia bliźniego. Słyszano także, jak wołał: „Boże mój, kocham Cię tak mocno, że choćbyś mię przeznaczył do piekła, jeszcze pragnąłbym Ci oddać tyle hołdów, ile Ci jej oddali najwięksi Święci w niebie; a po tak dobrej służbie, gdziekolwiekbyś mię posłał, ze wszystkiego byłbym zadowolony“. Brakowało mu słów do wyrażenia tej niezmiernej miłości, jaka jego serce zapełniała. „Jeśli służę Bogu, mówił, to bynajmniej nie z obawy piekła. Nie, nie, służę Bogu dla Niego samego, Jego tylko szukam i Jego pragnę. Gdybym utracił Boga i gdyby grzechy moje wtrąciły mię w otchłań piekielną, chciałbym tam mieć osobne miejsce, aby nie słyszeć przekleństw i bluźnierstw, miotanych przeciw memu Zbawicielowi. Tak, w tem miejscu oddzielonem, tuż obok piekła, chciałbym jeszcze chwalić i błogosławić Pana mego“. Oto język najwyższej miłości! Pewnego razu Święty usłyszał bluźniącego woźnicę; zrobiło to na nim takie wrażenie, że w pierwszej chwili chciał

się nań rzucić i zatrzymać na jego ustach ów potok słów obelżywych, ale tylko zemdlał z boleści. W czasie karnawału, owych „dni złości“, jak je nazywa proroczo Ekklezjastyk, sługa Boży zdwojeniem pokut i ćwiczeń duchownych wynagradzał Panu liczniejsze grzechy świata, porwanego szałem; chodził wówczas od nowicjusza do nowicjusza i prosił ich, żeby przymnożyli sobie umartwień i aktów miłości. Józef z Kopertynu widział jedną tylko najwyższą władzę—Boską, jedną wielkość—wznoszenie się ku Bogu przez miłość. Kardynałom, książętom i każdej wogóle dostojnej osobie mówił z całą prostotą i swobodą: „Przyszedłeś na świat, aby kochać Boga i Jemu służyć, a nie ażeby być kardynałem lub księciem. Na tamtym świecie nie zapytają cię o godności, ale o to, czy kochałeś swego Stwórcę“. We wszystkiem szukał on Boga i tylko Boga. Żadnej rzeczy nie cenił dla niej samej, choćby to było nawrócenie dusz, tak miłe Majestatowi Boskiemu. Nawracając księcia brunszwickiego, protestanta, miał na celu jedynie chwałę i wolę Bożą. Kochać Boga, podobać się Jemu, pełnić Jego rozkazy, była to jedyna jego myśl. To też zazwyczaj powtarzał: „Kto zawsze czyni wolę Boga, ten zawsze się modli; nawet nad swojem zbawieniem dlatego mamy pracować, że taka jest wola Boża“. Słysząc o niezgodach i wojnach między książętami chrześcijańskimi, wzdychał głęboko i mówił: „Dla kawałka ziemi wyrzekają się Boga i zapominają o Nim!“ Gdy chodził po ogrodzie, nogi jego dotykały ziemi, ale duch przebywał w niebiosach. Najmniejsza roślina opowiadała mu o potędze Stwórcy swojego, jak to słabiuchna i blada wyszła na wierzch, jak potem okryła się liśćmi, kwiatami, z których utworzyły się owoce. Święty pochylał się nad każdą, badał jej budowę, jej kształty, liście tak podobne do siebie, a tak różne, ich niezliczone żyłki, tkankę, jej piękność i wdzięk, a widząc w tej przedziwnej całości niewidzialną rękę Bożą, unosił się ku niebu wraz z trawką podziwianą i wzdychał: „O, wszechmocy, o miłości, Bóg nieznany, a tak widoczny, Bóg znieważony, a tak godny miłości!“ Pewnego dnia jeden z zakonników oderwał gałązkę z drzewa wiśniowego i podając ją Świętemu, rzekł: „Patrz, Ojcze, jakie to piękne rzeczy Pan Bóg stworzył!“ Te słowa wystarczyły, żeby Józef uniósł się w górę i krzyknąwszy, wpadł w zachwyt. Wszędzie i zawsze był on pełen Boga. Zwyczajem jego było jednoczyć się z tajemnicami uroczystości kościelnych. Podczas Bożego Narodzenia wyśpiewywał z niewymowną radością piosenkę swojego układu: „Dziecię Jezus. Dziecię Jezus, daj mi trochę Twej świętej miłości. W Wielkim Poście przydawał sobie pokut, w ostatnim zaś tygodniu zalewał się łzami. „Czy wiesz, mój synu, mówił do spotykanych braci? Pana Jezusa ubiczowano, Jezusa ukrzyżowano, Jezus umarł!“ A jego czoło i jego wzrok wyrażały mękę biczowania, ukrzyżowania i śmierci. Nickiedy dodawał: „To z miłości Jezus Chrystus umarł; O, miłości, o, miłości!“ Zdawało się, że te wielkie tajemnice, spełniane niegdyś w Jerozolimie, przesuwały się w jego oczach, mawiał bowiem: „Oto nadchodzi Judasz, uciekaj, mój Jezu! Ach, wzięto Jezusa! Syn Boży badany przez ludzi! zuchwały Kaifaszu, nieszczęsny Piłacie!“ I tak towarzyszył Jezusowi aż na krzyż. W tych zachwytach miłości, wywołanych przez Mękę Jezusa, śpiewał znowu: „Jestem gorszy od żydów, gdyż Cię krzyżuję, wiedząc, kim jesteś“. Akta kanonizacji dodają, że Józef w niedzielę Męki Pańskiej bywał smutny, jakby przygnębiony wielką boleścią i smutek ten powiększał się aż do Wielkiego Czwartku. W tym dniu obnażał ołtarz w swej kaplicy i siedział w ciemnościach, nie ruszając się sześć do siedmiu godzin. A gdy nadeszła Wielka Sobota, żałość jego ustępowała miejsce radości: tańczył ze zbytku wesela i wyśpiewywał Alleluja! Te zachwyty ciągnęły się długo i ponawiały w uroczyste święta Zmartwychwstania, Zielonych Świątek i Bożego Narodzenia [1]).

Cz. Franciszka Tokkafondi, 3 Zak. (1685 r.).

Siostra Franciszka Tokkafondi pochodziła z miasta Sjenny, a należała do Tercjarek, zostających pod kierunkiem Konwentuałów. Przez długie lata była przełożoną Sióstr Trzeciego Zakonu, obsługujących wielki szpital Najświętszej Marji Panny de Skala. Ożywiona niezmierną miłością dla Jezusa Ukrzyżowanego, prowadziła już tutaj życie raczej anielskie, niż ludzkie. Spowiednik kazał jej spisać swój żywot i stan wewnętrzny duszy, nadto zebrała inne jeszcze pobożne swoje pisma, razem w trzech tomach. Przyczyniły się one niemało do rozpalenia w sercach wiernych miłości Bożej. Umarła w Sjennie, zostawiając po sobie pamięć wielkiej świątobliwości, 22 czerwca 1685 roku. Na sercu jej znaleziono wyryty monogram Chrystusa Pana i drugi Najświętszej Jego Matki. Dawne jej portrety mają u dołu napis, streszczający hasło całego jej życia: „Jezus Chrystus, Oblubieniec mój, zawisł na krzyżu“ [2]).

Bł. Tomasz z Kori, Obserwant (1729 r.).

Tak niezmiernie wielka była miłość tego sługi Bożego, że cała istota jego wyrywała się wprost

[1]) Vie de St. Joseph de Cupertin, ch. XIX. [2]) L'almanach séraphique.

ku niebu. Nietylko dusza, lecz ciało nawet nie było w stanie oprzeć się tym uczuciom i niejednokrotnie zauważono, jak w obecności tłumów postać Błogosławionego unosiła się całkowicie w górę, czy to w czasie Mszy św., czy podczas kazania. Pewnego dnia, w chwili, gdy rozdzielał Komunję Św. ludowi, nagle trzymając w ręku kielich, wzniósł się pod samo sklepienie kościoła, jakby go Boska moc ciągnęła w górę. Powoli znów spuścił się z tej wyżyny i dokończył rozdawania Chleba Bożego zdumionym tą cudowną łaską wiernym [3]).

Ś. Jan Józef od Krzyża, Obserwant bosy (1734 r.)

Święty ten pochodził z zacnej szlachetnej rodziny. Urodził się na wyspie Ischia, należącej do królestwa Neapolitańskiego, w dzień Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny 1654 r. Na Chrzcie Św. otrzymał imię Karol-Kajetan. Miał sześciu braci, z których pięciu poświęciło się służbie Pańskiej, ale wszystkich ich przewyższył świętością. Od lat dziecięcych był bardzo pobożny, umartwiony, unikał grzechu i kochał ubogich. Wybrawszy sobie najmniejszą w domu izdebkę, urządził w niej ołtarzyk na cześć Matki Boskiej, do której miał prawdziwie synowskie nabożeństwo. Unikał towarzystwa nawet własnych swych braci, aby wszystek czas poświęcać nauce i ćwiczeniom pobożnym. A nietylko, że sam starannie strzegł się wszelkiej okazji do grzechu, lecz, o ile mógł, usiłował odwracać innych od obrazy Bożej. Lenistwo, kłamstwo, choćby w rzeczach małej wagi, było w jego oczach przestępstwem, godnem surowego upomnienia. Jeżeli z powodu gorliwości o powstrzymanie grzechu spotkała go jaka przykrość, cieszył się z tego i umiał to obracać na chwałę Bożą i swoje uświątobliwienie. Pewnego razu chciał rozbroić i pogodzić kłócących się na ulicy, za co wobec wszystkich na miejscu publicznem dostał policzek, lecz nie upomniał się za sobą, tylko ukląkł i modlił się za tego, który go uderzył. W późniejszych latach miłość Boża, którą był przejęty, uwidoczniała się w jego obliczu i nadawała słowom jego to namaszczenie, tak przenikające słuchaczów. „Chociażby nie było ani nieba, ani piekła, mawiał nieraz, pragnąłbym jednak zawsze kochać Boga", albo: „Miłujmy Pana naszego, miłujmy Go w rzeczywistości i w prawdzie, gdyż miłość Boża jest wielkim skarbem. Szczęśliwy ten, kto Boga kocha!" [2]).

Bł. Marja Krescencja, 3 Zak. reg. (1744 r.).

Błogosławiona Marja Krescencja od wczesnych lat pałała miłością ku Bogu. Już trzyletniej dziecinie objawiło się Dzieciątko Jezus, rozmawiało z nią i jadło razem. Odtąd miłość ta zwiększała się, tak że jedynem jej pragnieniem było kochać Boga, poznawać Go i szerzyć Jego chwałę. Kto słyszał ją mówiącą o miłości Bożej, nie mógł się nie wzruszyć i nie zapłonąć temże uczuciem. W r. 1723 napisała ona w swojej księdze kilkanaście zdań, które doskonale malują tę seraficzną duszę: „Miłość udziela mi skrzydeł, by się wznieść do tronu Trójcy Świętej i tam błagać o tryumf Kościoła, o łaski dla chrześcijan, niewiernych, grzeszników, dusz czyścowych. Miłość udziela mi skrzydeł i jako mała gołąbka przelatuję bliższe i dalsze okolice, by mocą Bożą opowiadać Ewangelję niewiernym. Miłość daje mi skrzydła, bym jak pszczółka, wyciągała ze stworzeń miód miłości. Miłość jest najlepszą mistrzynią; uczy mię ona zwyciężać się, słuchać, cierpieć i milczeć. Pragnę zupełnie oddać się miłości. Kiedy Cię kocham, mój Boże, jestem mocna jak śmierć. Miłością, o, Nieogarniony, mogę Cię sprowadzić do mego serca. Z Tobą najgrubsze mury są mi niczem! Miłością mogę stopić najzatwardzialsze umysły; miłością skruszę więzy tych, których występki opanowały. Miłością uwolnię więźniów czyścowych. Miłość pomoże mi zwalczyć pokusy, moją złą naturę, miłość własną, odeprzeć napaści szatana. Przez miłość zniosę trudności i smutki życiowe; miłość pomoże mi kochać więcej. Chcę zacząć kochać Boga w sposób najdoskonalszy, aby dojść do swego celu ostatecznego, aby Bóg był chwalony, kochany i uwielbiany we mnie przez całe wieki. Nie mogłabym żyć, gdyby we mnie cośkolwiek nie dążyło do Boga i Jego miłości. Tak, tak, gdybym nawet tysiące serc miała, wszystkie służyłyby do kochania mego Stwórcy, który jeden godzien jest być kochanym. Moje życie jest miłością; moja miłość, to cierpienie; bo prawdziwa miłość jest na krzyżu. Prześladowana przez wszystkich ludzi i wszystkich szatanów, męki te uważałabym jako oliwę do podsycania ognia mej miłości. Gdybym wiedziała, że jest we mnie choć jedna kropelka krwi niekochająca Boga, wyrzuciłabym ją natychmiast; gdybym przez jedno słowo niepochodzące z miłości mogła się w Anioła przemienić, nie powiedziałabym go". Cechą jej było kochać Boga dla Jego przymiotów, piękności i doskonałości. Pragnęła wszystkiego dla Boga, nic dla siebie, a że nic sobie nie zostawiła, zrządził Bóg radość niewymowną jej sercu. „Cieszę się, Panie mój, Twojem bóstwem i Twojem szczęściem nieskończonem", mawiała święta dziewica. „O, gdybym mogła tak Ci służyć i tak mocno Cię kochać, jak to czynią wszystkie razem stworzenia na świecie i wszyscy Święci w niebie; chciałabym, żeby

[1]) Żywoty Swiętych. [2]) L'aur. séraph. T. I.

miljony były tych światów, aby Bóg od nich odbierał cześć i chwałę. Zrań, Panie, moje serce strzałą takiej miłości, abym Cię kochała więcej, niż siebie, niż wszystko; ale zrań również bólem, abym z miłości coraz więcej i więcej cierpiała. O, Panie, niech dla Ciebie cały świat mną gardzi i pomiata". Spowiednikowi pytającemu ją, co robi w dzień i w nocy, taką dała odpowiedź: „Myślę o Bogu i kocham Go". Toż samo powtarzała w zachwyceniu. Postanowienia zapisane z rekolekcji r. 1741 noszą tę samą cechę: „Wznosić będę duszę moją ku Tobie i w ciszy mego serca wpatrywać się w Twoje doskonałości".

Wszechświat dla Błogosławionej był zwierciadłem Stworzyciela, a wypadki i rzeczy— tyluż zachętami do kochania Go. W pięknie stworzonem widziała Piękno najwyższe; w dźwiękach słyszała harmonję wiekuistej miłości, wszędzie szła śladami swego Umiłowanego. Wszystkie stworzenia służyły jej za szczeble, po których wznosiła się do Prawdy wiecznej,—były dla niej magnesem, pociągającym ją do Dawcy wszelkiego dobra. Pragnęła uwolnić się od miłości stworzeń, aby ofiarować Bogu miłość niepodzielną, we wszystkich istotach kochać ich Stwórcę, gdyż we wszystkich Jego odbicie upatrywała. Z tej miłości wypływała anielska czystość sumienia i pragnienie coraz większej miłości i najstraszniejszych cierpień. Regułę Franciszkanek w Mayerhof pełniła z nienaruszoną wiernością i to od pierwszej chwili życia zakonnego, tak że siostry, które żyły z nią przez lat 40, nie mogły jej nic zarzucić. Dla Marji Krescencji nie było rzeczy wielkich i małych, ona wszystko czyniła dla Boga. W spowiedziach jej nie było śladu grzechu, a jak jeden ze spowiedników zeznał, gdyby anioł mógł się spowiadać, jego zeznania nie różniłyby się od zeznań Błogosławionej. Sam wyraz „grzech" sprawiał na niej wielkie wrażenie. „O, Boże mój, mówiła, ześlij mi chorobę, wzgardę, smutek, ale zachowaj mnie od grzechu! Raczej do ostatniego dnia cierpieć męki czyścowe, aniżeli popełnić jeden grzech powszedni". Jej wstręt do złego był tak silny, że prosiła Boga, aby ją raczej zabrał ze świata, niż żeby miała Go obrazić jaką niedoskonałością. Najmniejsze opuszczenie się duszy zakonnej więcej ją przerażało, aniżeli zbrodnia zwykłego chrześcijanina. Za przykładem Świętych czuła ona wielką boleść, gdy zrobiła coś, co było choćby cieniem grzechu. Spowiadała się dwa lub trzy razy na tydzień, a w ostatnich latach życia codziennie, przygotowując się z nadzwyczajną starannością. Niekiedy łkała z żalu, tak że siostry, wzruszone tem, doznawały wyrzutów sumienia. Po odejściu od kratki, Marja Krescencja zdawała się być inną całkiem osobą: radość i szczęście malowały się na jej twarzy; rozpływała się w aktach wdzięczności. Ta doskonała skrucha była przedmiotem jej próśb do Serca Jezusowego. Umysł jej, przez pokutę oderwany od rzeczy ziemskich, wznosił się na taką wysokość, że 20 lat przed śmiercią nie żyła ani dla świata, ani dla siebie i wszystkie siły obracała nie na walkę z miłością własną i jej podstępami, ale na akty miłości. Będąc mistrzynią i chcąc rozpalać swoje nowicjuszki, uczyła je, by codzień rano zawierały umowę miłosną z Bogiem, na mocy której każde ich odetchnienie, każdy ruch, każda praca we dnie i w nocy miała być skierowana ku otrzymaniu miłości Jezusa Chrystusa. Nie poprzestając na tem, zrobiła ślub czynienia zawsze co doskonalsze i unikania nawet niedoskonałości, co zachowała aż do śmierci, t. j. przez 19 lat. Żądza kochania Boga sprawiła, że stała się prawdziwą męczennicą miłości. „Kocham Cię, Panie, tak, że umieram z miłości, ktoby mi jednak zabrał tę miłość, zabrałby mi i życie, gdyż nie mogłabym żyć, nie kochając". Przypomina się tu mimowoli Ś. Teresa, która wołała: „Umieram, nie mogąc umrzeć". Niezrozumiałe to rzeczy dla tych, co nie kochają, ale bardzo jasne dla dusz takich, jak Ś. Franciszek i Ś. Teresa. Gorejąc ogniem seraficznym, ciało Krescencji, chociaż słabe i szczupłe, nietylko zachowywało wyjątkową ciepłotę, ale jeszcze udzielało jej innym wśród najtęższej zimy. Zauważono ten objaw zwłaszcza przy prowadzeniu Błogosławionej do chóru; ręce jej pałały, co dawało się odczuć przez bardzo gruby habit i tunikę. Czasami ogień, krążący w jej żyłach, stawał się niemożliwym do zniesienia i, aby go ugasić, musiano robić zimne okłady. Stąd też prawdopodobnie rzucała się jej często krew nosem, stąd i wszystkie inne choroby pochodziły; takie było zdanie doktorów. Jeden z nich, protestant, który leczył Świętą na dwa lata przed jej śmiercią, mówił do wszystkich, iż żadne lekarstwo nie jest w stanie ugasić trawiącej ją gorączki, bo ta prawdopodobnie pochodzi z niezwykłej miłości Boga. Dowodzą tego zresztą codzienne jej zachwycenia, będące objawem i wynikiem miłości zanadto mocnej, aby słaba natura ludzka mogła im się oprzeć [1]).

Ś. Leonard z Porto-Maurizio, Obserw. (1751 r.)

Pewnego dnia po kazaniu zapytał tego sługę Bożego Ś. Paweł od Krzyża, jakiemi zaletami powinien się odznaczać dobry misjonarz. „Mojem zdaniem, odpowiedział Święty, powinien być wewnętrznie urobionym". Nauka ta podobała się bardzo

[1]) La V. Marie Crescence, „

pytającemu i w rzeczy samej daje ona ścisłe i zupełne pojęcie o misjonarzu. Dusza urobiona jest to ta, w której wszystkie władze są uporządkowane, w której miłość Boża dzierży berło i kieruje wszystkiemi poruszeniami. To właśnie podziwiać trzeba w Ś. Leonardzie. „Kochać i cierpieć, było jego hasłem, to samo radził też innym. O jakże on miłował tego Boga, chyba jak Serafini w niebie, wyjąwszy pewności wytrwania w tych uczuciach. Ale niepewność tę wynagradzał Bogu na sposób Świętych, poświęcając się dla Niego. Dzięki listom, które pisał bądź do spowiedników, bądź do przyjaciół, możemy powziąć niejakie wyobrażenie, co to była za miłość, jak pełna heroizmu w sercu i w czynach. W jednym z nich, donosząc o rekolekcyjnych postanowieniach swoich, pisze Błogosławiony, że nie może sobie pochlebiać, aby już nigdy nie zbłądził, ale przynajmniej wobec całego Dworu niebieskiego oświadcza, że pragnie kochać swego Stwórcę jak najwięcej i najdoskonalej, a nawet żyć w ustawicznem ćwiczeniu się w Jego miłości. „Chcę Go kochać, mówi, dla Niego samego, dlatego, że jest Istotą najdoskonalszą i twierdzę (dodaje z prawdziwą śmiałością Świętych), że nikt nie przewyższa mnie w miłości ku Bogu".

Miłość Boża trawiła go niby ogień, którego płomieni nie mógł ugasić. Żałował, że wszystkie członki jego nie były tyluż językami, aby opiewać dobrodziejstwa Pańskie. Chciałby mieć głos tak potężny, aby był słyszany na obu półkulach świata i wstrząsał ludzkością całą. Każdego dnia mawiał towarzyszącym mu braciom: „Drodzy moi, kochajmy Boga i bądźmy Świętymi!" Kończąc zaś misje, zwykł był mówić do zebranych tłumów: „Wyryjcie sobie w pamięci te trzy zdania: „Nic przeciw Bogu! Nic bez Boga! Nic, coby nie było dla Boga! Gdy szedł przez pola, widok wspaniałości natury wprawiał go w słodki zachwyt, a wznosząc oczy swoje ku Stwórcy, wołał jak prawdziwy syn Ś. Franciszka: „Panie, pozwól mi chwalić Cię i błogosławić! Pozwól przynieść Ci tyle aktów miłości, ile jest listków w lesie, kwiecia na łąkach, gwiazd na firmamencie, kropli w rzekach, piasku na brzegu morskim"! Mówić do Boga, mówić o Bogu lub dla Jego sprawy, stanowiło jedyne zajęcie i rozkosz Ś. Leonarda. I ta pobożność, tak silna, a zarazem tak serdeczna, tłumaczy nam jego żywot. Ludzie przechodzą od jednej przyjemności do drugiej, zawsze chciwi i spragnieni uciech, a zawsze czujący niesmak i próżnię w sercu, bo gonią za dobrami złudnemi. Święty był szczęśliwy i wesół nawet wśród największych klęsk i niepokojów, gdyż przez głęboką wiarę posiadał Tego, który jest samem Dobrem i Pięknem. Pięknem zachwycającem wybranych i Dobrem przewyższającem wszelkie ich życzenia. Ta miłość tłumaczy jego wzniosłe porywy. Serce tego Miłośnika Bożego przepełnione było tkliwością dla wszystkich, kto się do niego zbliżył: dla członków zakonu, dla krewnych, przyjaciół i wielkich grzeszników; w rysach ich twarzy widział odnowiony lub zeszpecony obraz Boga Odkupiciela. Jeśli wiele wymagał od siebie i od podwładnych, jeśli surowym był, gdy chodziło o zachowanie reguły serafickiej i rad Świętej Ewangelji, to dlatego, że braci swoich i siebie uważał za urzędowych czcicieli Najwyższego, za ofiary, obowiązane odpokutować za winy współczesnych. Ale wszystkiemi jego czynnościami, czy to umartwieniem wewnątrz klasztoru, czy podróżą i pracą apostolską nazewnątrz, kierowała miłość Boża. Zaiste mógł on do samego siebie przystosować słowa Ś. Katarzyny Genueńskiej: „Oddałem klucze mego domu miłości i nie troszczę się o nic i o nikogo. Odkiedy miłość zupełnie mną zawładnęła, nie troszczę się już o żadną moją sprawę, tak, jak gdyby mię one już nic nie obchodziły, widząc całe szczęście w zadowoleniu Boga" [1]).

Ś. Marja Franciszka od 5-iu Ran, 3 Zak. (1791 r.)

Gorąca żądza cierpienia, pragnienie męczeństwa, liczne dobrowolne umartwienia, cierpliwość w przeciwnościach i chorobach, żywa wiara, niezachwiana nadzieja, serdeczne nabożeństwo do różnych tajemnic Boskich, osobliwa cześć Najśw. Sakramentu, szczególna miłość ku Najśw. Marji Pannie, Aniołom i Świętym, uszanowanie dla kapłanów i władzy kościelnej jawnym są dowodem, że miłość niezmierna, heroiczna przenikała duszę i serce Błogosławionej. Najznakomitsi dusz przewodnicy, uczeni teologowie, świątobliwi kapłani przyznawali jej wysoki stopień Boskiej miłości. O. Franciszek Piccini, zacny, pełen ducha Bożego kapłan, o którym prowincjał Kleryków regularnych pisze, iż tak był świątobliwy, że, mówiąc o rzeczach duchownych, wpadał w zachwycenie, ze świętą radością patrzył na młodą jeszcze wówczas, nieruchomie przed Najświętszym Sakramentem klęczącą Marję Franciszkę i mówił: „Jeżeli ta młoda dziewczeczka taką miłością pała dla utajonego Jezusa, cóż ja z miłości ku Niemu czynićbym powinien?" I chodził umyślnie do kościoła Ś. Łucji patrzeć na modlącą się, gdyż widok jej skupienia pobudzał go do gorętszej miłości Pana Boga. Z postępem lat Marja-Franciszka wzrastała w tej cnocie, a zachwycenia jej tak często się powtarzały, że dość było wspo-

[1]) S. Léonard de Port-Maurice par le R. P. Léopold de Chérancé Cap

mnieć o Bogu, aby ją do tego stanu doprowadzić. Życie jej było prawie ciągłym zachwytem. Miewała też często gwałtowne bicia serca, z gorącej miłości pochodzące. Raz, w widzeniu chwały niebieskiej, tak się jej serce rozszerzyło, iż dwa żebra złamały się i musiała potem nosić pas, złożony z dwóch kółek żelaznych. „O, jak Bóg jest dobry, jak miłosierny dla nas, wołała. Zaopatruje wszystkie nasze doczesne potrzeby i udziela nam łask do zasłużenia sobie na szczęśliwą wieczność. Ustawicznie czuwa nad nami i nigdy nas nie opuszcza. Jak dobrego mamy w Nim Ojca! Nic nie wymaga od nas i tylko myśli o naszem szczęściu! Szczęśliwy, kto służy takiemu Panu!“ Z miłości ku Bogu Marja-Franciszka wylewała niekiedy łzy obfite i odchodziła od zmysłów. Świadkiem tych zewnętrznych objawów jej gorącej miłości była Joanna Peccirillo, do której Święta przyjeżdżała czasami na wieś, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Klękała na łące, skąd widać było kościół Matki Boskiej Śnieżnej, a na myśl, że w tym przybytku mieszka Boski Jej Oblubieniec, serce jej rozpalało się gorącą miłością, twarz jej cudownie się rozjaśniała i sama, jak Serafin, unosiła się w powietrze. Widziano ją kilka razy w takiej postawie. Miłość przejmuje się zazwyczaj cierpieniem osoby ukochanej i żywo odczuwa każdą wyrządzoną jej zniewagę. To też Marja-Franciszka uspokoić się nie mogła, widząc, jak często Bóg jej i Zbawca obrażany jest przez niewdzięczników. Wtedy łzami zalana wołała: „Ach, czemuż znieważacie tak dobrego Boga, czyż nie znacie nieskończonej Jego miłości?“ Według świadectwa kapłanów, którzy ją spowiadali, Marja-Franciszka przez całe życie nie popełniła rozmyślnie żadnego grzechu powszedniego. Tak wielki miała wstręt do grzechu, że ostatnią krwi kropelkę byłaby chętnie oddała, gdyby mogła tym sposobem choć jednorazowej obrazie Pana Boga przeszkodzić. O ile zaś nienawidziła grzechu, o tyle pragnęła we wszystkich sercach zaszczepić miłość Bożą. Pewnego dnia, rozmawiając z bratem Michałem Alkantarystą, wpadła w taki zapał, iż rzekła doń: „Bracie Michale! kochaj Pana Boga! On jeden jest dobrem najwyższem, jedynie godnem kochania!“ — „A czemuż, Marjo-Franciszko, odpowie braciszek, całą miłość Bożą zatrzymujecie dla siebie? Udzielcież mi jej choć odrobinę“. — „Dobrze, odrzekła Święta, jeśli chcesz, poproszę Pana Jezusa, aby cię nią obdarzył“. Tej samej jeszcze nocy po owej rozmowie braciszek uczuł w sercu tak dziwny żar miłości Bożej, że naraz wszystko mu zobojętniało i nic go prócz Boga nie obchodziło. Nazajutrz przyszedł do Marji-Franciszki. „A cóż, braciszku, smakuje ci miłość Boża?“ spytała go z twarzą rozpromienioną. — „Czy mi smakuje? Ach! tak smakuje, że nad wszystko mi się podoba. Uproś mi jej jeszcze więcej“. Wiemy, że Święta była ubożuchną, a jednak zarobek swój oddawała biednym, moralnie zaniedbanym istotom, aby je uchronić od ciężkiej obrazy Boskiego Oblubieńca. Obok nienawiści grzechu, kochała grzeszników i ochotnie z nimi przestawała, aby ich Bogu pozyskać [1]).

Bł. Jan-Marja Vianney, 3 Zak (1856 r.).

„Życiem tego Błogosławionego kapłana była Najświętsza Eucharystja,“ powiedział ktoś znający go doskonale. Jeden zaś z pielgrzymów, opuszczając Ars, odezwał się: „Nie dziwiłbym się wcale, gdyby mi wkrótce oznajmiono, że ksiądz proboszcz żyje samą Komunją Ś.“. Dosyć było raz tylko widzieć Vianney'a przy ołtarzu, odprawiającego Mszę lub klęczącego na adoracji. Twarz jego była wtedy anielska, promienna, uśmiech zachwytu błądził na ustach, łzy płynęły mu z oczu, a z piersi wyrywały się westchnienia i jęki. Patrząc nań, niedowiarkowie byli zdumieni do najwyższego stopnia. Najwięcej wszakże pociągał jego wzrok, który utkwiony był w Hostji Najświętszej i to z taką jasnością, uwagą i z takiem głębokiem wzruszeniem, iż nie można było wątpić, że oglądał Boga ukrytego. Czy proboszcz z Ars widział człowieczeństwo Jezusa Chrystusa w Hostji? Napewno twierdzić nie możemy, ale nikt z otaczających go bynajmniej o tem nie wątpił. „Są kapłani, mawiał on często, którzy codziennie przy Mszy św. wpatrują się w Zbawiciela“. A zapytany raz dlaczego jest smutny, odpowiedział, zapominając się: „Ach, bo dzisiaj nie widziałem mego Boga“. — „Ksiądz proboszcz Go widuje?“ Spostrzegłszy się, Bł. Vianney zmienił coprędzej przedmiot rozmowy. Podczas katechizmu sam opowiadał następujące zdarzenie: „Przyszło raz do Ars dwóch pastorów protestanckich, niewierzących w rzeczywistą obecność Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie. Chcąc ich o tem przekonać, zadałem im pytanie, czy Hostja, jako kawałeczek chleba, może własną mocą oderwać się od moich palców i spocząć na języku człowieka, przystępującego do Komunji Ś.?“ — „Nie,“ odpowiedzieli mi. — „A więc nie jest to zwykły chleb, zawołałem, bo taki wypadek nie gdzieś daleko, ale tutaj mnie się przydarzył. Gdy bowiem schodziłem ze stopni ołtarza, aby podać Komunję Ś. jednemu z wiernych, który właśnie wyjawił mi z pokorą swoje wątpliwości co do znajdowania się Pana Jezusa w Sakramencie, Najświętsza Hostja wyrwała się z mych palców i sama spoczęła na jego języku“.

[1]) S. Maria Francesca...

Bł. Vianney miał serce przepełnione czcią i wdzięcznością, że Bóg raczy pozostawać wśród ludzi. Nic dlań nie zdawało się dość wspaniałem i pięknem, kiedy miał przybrać kościół w Ars, żadne kwiaty, żeby najrzadsze i najwonniejsze nie miały dosyć zapachu, żadna wystawa dosyć uroczystą. A jaka radość przepełniała jego serce, gdy z ofiar właściciela Ars i pobożnych mógł, według swego wyrażenia, powiększyć ruchomości Jezusa.

Zamiłowanie cierpień.

Żywa i skuteczna miłość Błogosławionego musiała w krótkim czasie objawić mu całą mądrość szaleństwa krzyża. Ani zmysły, ani rozum, ani nawet wiara zwyczajna nie objawiają nam tej najwyższej umiejętności; zmysły nasze buntują się przeciw cierpieniu, rozum odpycha samą myśl upokorzeń, na które tak chciwe powinny być dzieci Jezusa, a wiara zwykła często wmawia w nas, że dosyć czynimy dla Boga, mówiąc kazania, nauczając, dając jałmużnę, pielęgnując chorych i pełniąc inne uczynki miłości. Tylko wiara doskonała pokazuje, że chrześcijanin, który chce być doskonałym, musi się poświęcić, wyniszczyć; musi nienawidzieć tego wszystkiego, co świat kocha: bogactw, zaszczytów, rozkoszy; a przeciwnie, to wszystko umiłować, co świat nienawidzi: ubóstwo, wzgardę, cierpienia. Vianney zrozumiał od początku, to jest, jak tylko został wikarjuszem w Ecully, że wszyscy którzy należą do Jezusa Chrystusa, muszą być z Nim ukrzyżowani, i dlatego pragnął ogołocenia, zniewag i cierpień. W jego oczach niemasz chrystjanizmu bez ofiar. Oprócz krzyża, nic go nie pociągało. Tęsknił za nim, jak niegdyś Ś. Andrzej Apostoł i Seraficki Patryarcha; opłakiwał zaślepienie tych, którzy go od siebie usuwają, noszą z niechęcią i pragną jedynie zmysłowych przyjemności. „Łaska i krzyż“, był to ulubiony akt strzelisty Vianney'a. Jego zdaniem, kto tego nie pojmuje, nie kocha Pana Boga. „Nie kochamy Boga, mawiał, dopóki nie dojdziemy do tego stopnia wyrobienia, że każda przykrość będzie dla nas rozkoszą“. Krzyż upajał proboszcza z Ars. „Umartwienie, są to jego słowa, posiada w sobie balsam i słodycz, których raz zakosztowawszy, trudno się bez nich obejść. Włóżcie piękne winogrono pod prasę, a wypłynie z niego przewyborny sok. Kiedy nie mamy krzyża, jesteśmy jałowi; a jeśli nosimy go z poddaniem, czujemy słodycz, szczęście, rozkosz!... Jest to początek nieba“. W krzyżu widział on, i bardzo słusznie, błogosławieństwo tego życia, zadatek wiecznej szczęśliwości, znamię wybranych. „Chrześcijanin żyje pośród krzyżów, jak ryba w wodzie... Jak skąpiec na pieniądze, tak my powinniśmy być chciwi na krzyże. Gdybyśmy kochali Pana Boga, kochalibyśmy tem samem i cierpienia, pragnęlibyśmy ich i podobalibyśmy je sobie... Czulibyśmy radość, że możemy cierpieć dla miłości Tego, który chciał cierpieć dla nas i za nas. I po co się żalić? Krzyże w płomieniach miłości przemienione, są jako wiązka cierni, która, rzucona w ogień, staje się popiołem. Cierń jest twardy, popiół zaś miękki. Proście o miłość krzyżów, a wówczas one staną się słodkiemi. Wszystkie cierpienia są słodkie, gdy się je znosi wspólnie z Panem Jezusem. Gdyby was kto zapytał: co trzeba czynić, żeby się zbogacić? Odpowiedzielibyście: trzeba pracować. A więc, żeby iść do nieba, należy cierpieć. Gdybyśmy mogli chociaż tydzień przepędzić w niebie, zrozumielibyśmy wartość cierpień. Żaden krzyż nie byłby dla nas dosyć ciężkim, żadna próba dosyć gorzką. Krzyż jest darem Boga dla Jego przyjaciół. Jakże to piękna rzecz co rano złożyć się Panu Bogu na ofiarę! Kochać Boga w krzyżach, jest to kochać Go dla Niego samego; kochać Go w radościach, to kochać dla siebie. Jakiż to cudny będzie dzień Zmartwychwstania! Zobaczymy dusze wychodzące z nieba i łączące się z ciałami, które na ziemi ożywiały. Im więcej te ciała były umartwione, tem jaśniej błyszczeć będą!“

Te ogniste słowa dają nam poznać seraficzną świętość Bł. Vianney'a. Miłość mierzy się cierpieniem: im kto więcej kocha, tem więcej pragnie cierpieć. Tej zasady trzymał się Apostoł narodów i Ś. Franciszek Seraficki; tę też przyjął proboszcz z Ars. Nie miał on ciężkich win do odpokutowania, nie był więc zmuszonym w umartwieniu szukać puklerza przeciw sprawiedliwości Boskiej: stał się cudem w Kościele, nie będąc nigdy jego zgorszeniem, i do końca zachował niewinność, otrzymaną na Chrzcie św. A jeżeli na ciele swojem wypisał rysy Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego, jeżeli z życia swego uczynił męczeństwo, a z całej swojej istoty ofiarę, to tylko z miłości. Wielka jego miłość zrodziła jego wielką pokutę. Im więcej ta nas przeraża, zadziwia, tem więcej tamta powinna zachwycać i pobudzać nas do szacunku[1]).

Cz. Marja Agnieszka Steiner, Klaryska (1862 r.).

Czcigodna ta służebnica Boża ujrzała światło dzienne 29 sierpnia 1813 r. w tyrolskiem miasteczku Teisten. Już w dziecięcych latach widać było szczególnie w niej łaski Boże: w piątki nie chciała przyjmować pokarmu macierzyńskiego; później, chodząc do szkoły, jednała sobie serca wszyst-

[1]) Vie illustrée...

kich pobożnością, skromnością i posłuszeństwem. Rodzice patrzyli na nią, jako na skarb powierzony im z nieba. Przystępując w dziewiątym roku do pierwszej Komunji Św., dzieweczka z obfitości szczęścia zemdlała. Zaniesiono ją do domu, gdzie gdy otworzyła oczy, pierwsze jej słowa były prośbą, aby mogła wrócić do kościoła i podziękować Bogu za tę wielką łaskę, iż raczył zstąpić do jej duszy. Od tego dnia codzień przyjmowała ona Komunję Ś., przyczem często wpadała w zachwyt, widziany przez wszystkich obecnych. Aby módz wysłuchać Najśw. Ofiary i ugościć Boga w serduszku swojem, młode dziewczę biegło codziennie do kościoła, nie zważając na wielką przestrzeń, na deszcz, błoto lub ślizgawicę. Nadto zbierała swoje rówieśniczki w kościele lub w jakiem samotnem miejscu, mówiła im o miłości Bożej, uczyła tajemnic wiary, modlitewek i aktów strzelistych, zachęcała do wzgardy świata. Opowiadając Mękę Pana Jezusa, Marja-Agnieszka zdawała się gorzeć miłością, a płomienie te udzielały się jej słuchaczkom. Niedziwno przeto, że ta dusza wybrana wcześnie poznała wdzięk życia zakonnego. Ale, gdy odkryła swój zamiar najbliższym, rodzina stawiła jej opór. Pragnąc utwierdzić się w swojem powołaniu, świątobliwa dziewica udała się z pielgrzymką do Najśw. Panny w Abzam i spełniała wiele innych dzieł pobożnych i miłosiernych, aż wreszcie została wysłuchaną. Po śmierci ciotki, zacnej osoby, którą do końca pielęgnowała, matka pozwoliła jej wstąpić do Trzeciego Zakonu regularnego. Przyjęto ją w Breneck, ale nie na długo, gdyż była wątłego zdrowia. Dla tego powodu zmieniała klasztory jeden po drugim, w końcu znalazła się w Assyżu i tu złożyła profesję pod imieniem Marji-Agnieszki. Siostry, zachwycone jej wielką pobożnością i miłością Boga, obrały ją na mistrzynię nowicjuszek. Około r. 1844 Biskup Nucerji, ksiądz Mikołaj Pervisani, w porozumieniu ze Stolicą Świętą przedstawił służebnicy Bożej, czyby nie chciała opuścić swego zgromadzenia i w jego mieście założyć klasztor Klarysek reformowanych. Marja Agnieszka, widząc w tem wolę Bożą, jak najchętniej podjęła się tej misji, a było to zadanie ciężkie i trudne, wymagające wielkiej miłości Boga. Była tak dobra i roztropna, że wybierana co trzy lata na urząd opatki, do śmierci na nim została. Na dwa lata przed zgonem cierpienia jej zwiększyły się. Przez ten czas codzień się spowiadała i komunikowała. 24 sierpnia 1862 r. zgasło to piękne życie. Obecnie rozpoczęto sprawę jej beatyfikacji [1]).

[1]) L'union séraphique. Mai 1909.

Cz. Ludwik z Kasorja, Obserwant bosy (1885 r.).

„Miłość Boża—było to dla mnie ubóstwo, posłuszeństwo i czystość", pisał Ludwik z Casoria w swoim testamencie do Braci Szarych. „Nie śluby jednak uroczyste przejęły mnie miłością ku Bogu, ale miłość Jezusa Chrystusa, która przeszyła moje serce, mój bok, ręce moje, nogi moje, całe moje ciało. I nie prosiłem Boga, żeby ta miłość objawiała się w zachwytach, porwaniach lub widzeniach. Błagałem w modlitwie o gorliwość w działaniu, o miłość Bożą w walce duchownej, w pracach, w niepokojach, przeciwnościach i wołałem ustawicznie: O miłości, umrzeć z miłości!"

„Drodzy moi bracia, zalecam wam miłość Bożą wewnątrz i zewnątrz; ubóstwo ducha i rzeczywiste, pokój między sobą i ze sobą, modlitwę i pracę, dobro nieszczęśliwych; wspierajcie ciało, aby tem lepiej zbawić dusze. Ufajcie w Bogu i ufajcie w dobre uczynki. Polecam wam święty Kościół katolicki i Rzymski; podtrzymujcie go słowem, pismami, dziełami, nawet męczeństwem. On powinien być waszą światłością, waszym przewodnikiem i waszą mistrzynią w nauczaniu, w czynach, w przedsięwzięciach. Siedźcie cichutko a mocno u stóp Stolicy Piotrowej, słuchajcie jej, jakby sam Bóg do was mówił. Bądźcie posłuszni jej rozkazom i życzeniom. Kościół Jezusa Chrystusa jest to najwyższa władza ponad wszystkie władze ludzkie; on sam tylko jest pokojem i szczęściem powszechnem. Wszystkie inne władze są władzami śmierci, gdyż nie przyczyniają się do ostatecznego celu naszego stworzenia, czyli do zbawienia dusz, odkupionych przez Jezusa Chrystusa, Zbawcy naszego. Żyjcie w pokoju, módlcie się za mnie.

Wasz mały brat, Ludwik z Kazorja r. 1877" [2]).

Marja od Jezusa, 3 Zak. reg. 1899 r. (Franciszkanka od Niep. Poczęcia).

Nic bardziej wzruszającego, bardziej cudownego, jak miłość Marji od Jezusa dla Najświętszego Sakramentu. Miała ona śmiałość powiedzieć Panu Jezusowi, że niebo nawet bez Hostji poświęconej wydawałoby się jej niedoskonałem. To też Pan Jezus, aby poprawić jej wyobrażenia w tym względzie, objaśnił ją, że Eucharystja jest Nim Samym ukrytym, w niebie zaś jest On przyodziany światłością Ojca Niebieskiego. Przyjmowała ona codziennie Komunję Ś., chyba że z powodu choroby było to zupełnie niemożliwe, i z każdym dniem czuła coraz większy głód za tym Pokarmem. Do

[1]) Ludovic de Casoria.

tego aktu gotowała się z wielką starannością, aby żadna najmniejsza niedoskonałość, próżność lub uczucie zbyt naturalne nie raziło oczu Jej Umiłowanego; zresztą była pilną w zdobieniu swego serca wszystkiemi cnotami i wszystkiemi aktami pobożności. Dziękczynienie po Komunji Ś. nic ją nie kosztowało. Pan Jezus, który ją pieścił na swojem Sercu, sam mówił do niej i zalewał ją pociechą. Nikt nie słyszał nigdy, aby się oskarżała z oschłości lub roztargnień popełnionych w owych chwilach, kiedy Bóg nawiedził ją pod postaciami eucharystycznemi. Dziwna rzecz! dłuższe kilkodniowe pozbawienie Najśw. Sakramentu prowadziło ją do grobu, a przeciwnie, zdrowie wracało razem z przyjęciem Najświętszej Eucharystji. Podczas ostatniej i długiej choroby, Pan Jezus, którego codzień przyjmowała, napełniał ją taką radością, że przez kilka godzin zdawała się odzyskiwać siły. Sakrament Ciała i Krwi Jezusa Chrystusa nietylko leczył ją z chorób, ale jeszcze podtrzymywał we wszystkich walkach i trudnościach życia zakonnego. Godzina spędzona u stóp wystawionego Jezusa osładzała jej wszelkie próby. Jedynie obowiązek i przepisy reguły odrywały ją od Tabernakulum, gdzie byłaby rada spędzać noce całe. W Lons-le-Saulnier celka jej wychodziła na kaplicę, tak że, wyszedłszy, miała przed sobą Boskiego Więźnia, Tego, który porwał jej serce, umysł i życie. Z miłości ku Niebieskiemu Oblubieńcowi, Marja od Jezusa chciała, żeby kościół, ołtarz, na którym się ofiaruje, przybytek, w którym mieszka w kościołach naszych, ozdobione były wszelkiemi bogactwami. Ażeby upiększyć kaplicę zakonną, poświęcała talenta swoje: malarstwo, haft, kwiaciarstwo. Przeciwnie, kościoły puste, źle utrzymywane, opuszczone sprawiały jej wielką boleść, czuła bowiem, że dusze nie kochają tu Pana Jezusa w Jego Sakramencie. Dla niej Eucharystja była wszystkiem: treścią jej życia, celem miłości, siłą przyciągającą. Zdaje mi się, rzekła dnia jednego, że usta moje przylgnęły do cyborjum, a gdy prosiłam Pana, aby przyszedł do mego serca, usłyszałam głos: „To ja wlałem ci to pragnienie, które nasycę dopiero w raju, gdzie udzielę ci się tem więcej, im więcej będziesz mię miłowała na ziemi w Eucharystji, w tem największem ukryciu i wyniszczeniu mojem". Jej poufałość z Jezusem była niekiedy wprost trudna do uwierzenia. „Spowiednik, pisała w liście, radził mi po Komunji Ś. ofiarować mego Pana Matce Bożej, niby bukiet świąteczny. Uczyniłam tak, ale w tej chwili zażądałam Go napowrót, mówiąc, że to jest nad moje siły, że muszę Jezusa mieć dla siebie, i że nie oddam Go nawet Jemu samemu, bo gdy raz oddał mi się, jest moją własnością i chcę Go sobie zatrzymać. Byłam wtedy tak niespokojna, że myślałam, iż nawet w niebie bez Jezusa sakramentalnego trudno mi będzie być szczęśliwą". W jednej z takich rozmów świątobliwa Franciszkanka zasłużyła usłyszeć z ust Zbawiciela następujące słowa: „Więc ty mnie bardzo kochasz w mojej Eucharystji?" a innym razem: „Marjo, gdyby ci znane było twoje szczęście, umarłabyś. Opróżnij więc swoje serce, chcę być w niem, jak u siebie". I widziałam, dodaje służebnica Boża, jak Pan Jezus przechadzał się we mnie. Przypuśćmy nawet, że wszystkie te widzenia świata nadprzyrodzonego były tylko grą wyobraźni, stanowią one jednak niezbity dowód jej mocnej miłości do Najświętszego Sakramentu. Usta mówią z obfitości serca, a sen odtwarza myśli i zwykłe poruszenia duszy na jawie. Nuciła ona Panu ten hymn wspaniałomyślnego i całkowitego poświęcenia: „Chciałabym zamienić się w nicość, aby uczcić niepojęte wyniszczenie się Słowa Wcielonego w Eucharystji, wyniszczenie nieskończenie większe od wyniszczenia w żłobku, i boleję bardzo, nie mogąc stać się nicością, dla oddania czci cudownie uniżonemu Bogu Eucharystycznemu". Tak gorąca miłość pozwala zaliczyć Marję od Jezusa do świetnego orszaku zakonników i zakonnic franciszkańskich, którzy, ze Ś. Józefem z Kopertynu na czele, nie mogli spojrzeć na Tabernakulum, aby natychmiast nie pobiegnąć do niego. Takie było zresztą jej powołanie, jak to Pan Jezus sam jej oznajmił: „Każda dusza ma swój cel; twoim jest miłować mnie w Najświętszej Eucharystji i uczyć tego innych. Chcę w tobie żyć, jak żyję w Najśw. Sakramencie, w którym prócz postaci niema nic z chleba, tak samo musi być i z tobą, o ile stworzenie do tego jest zdolne". Albo jeszcze: „Pragnę, żebyś odrodziła w sobie moje życie eucharystyczne, będące wyniszczeniem i śmiercią, co jednak nie przeszkadza mi żyć w moim Ojcu i w Nim ustawicznie działać". Temu wzniosłemu powołaniu świątobliwa dziewica była wierną aż do śmierci i dlatego można mniemać, że posiadła zaraz Tego, którego tak umiłowała [1]).

Marja-Teresa-Agnieszka od Najśw. Serca Jezusowego, Klaryska (1908 r.).

„Mała uprzywilejowana Jezusa", jak nazywały siostry Klaryski w Lanuwel (Lanouvelle) swoją ówczesną uczennicę, a przyszłą Marję-Teresę-Agnieszkę, oddychała miłością Bożą. Pan Jezus wcześnie dał jej poznać drogę doskonałości, obdarzył ją hojnie łaskami i oderwał od świata, zabiera-

[1]) Vie de la R. M. Marie de Jésus par le R. P. Damase de Loisey, cap.

jąc jej dwie ukochane istoty: matkę i siostrę. Odtąd Gabryela Buassę (Boissin), takie bowiem było jej imię chrzestne i nazwisko, zaczęła wznosić duszę swoją ku Temu, który miał jeden królować w jej sercu. Co za szczęśliwy dzień był dla niej, gdy po raz pierwszy przyjęła Najśw. Sakrament! Z tą chwilą rozpoczęła nowy okres życia: Jezus w Eucharystji stał się przedmiotem jej miłości, celem istnienia, punktem środkowym myśli i uczuć. Oddana na wychowanie do klasztoru, wkrótce zasmakowała w jego ciszy i powadze zakonnej, które tak odpowiadały jej upodobaniom, a zwłaszcza w tkliwej opiece nowych swych matek. Pod ich okiem dusza Gabryeli nabierała codziennie nowego blasku, umysł jej coraz więcej się rozwijał, a miłość ku Jezusowi potężniała. Przy Tabernakulum dziecię to zapoznawało się z godnością i wielkością swej duszy, stworzonej do kochania samego tylko Boga. Tam też Pan Bóg objawił jej rozkosz pokuty i niewysłowioną chęć ciągłego z Nim przestawania. 21 kwietnia 1897 r. otrzymała wreszcie welon i habit, oraz imię Marji-Teresy-Agnieszki od Najśw. Serca Jezusowego, a cztery lata później złożyła śluby ubóstwa, czystości, i posłuszeństwa. Na tę całopalną ofiarę Zbawca odpowiedział potokiem łaski: formalnie ogień miłości palił jej serce i sama tylko Komunja Ś. miarkowała ten zapał. „Aniołowie, mówiła nieraz, bardzo kochają Pana Boga, lecz czyż mogą kochać Go tak, jak gdyby Najświętszy Sakrament dla nich był ustanowiony!"... Słodkie te słowa żywo malują nam tę duszę. Ale młoda profeska wiedziała, że zjednoczenie z Hostją Św. jest przedsmakiem stałego związku, który nastąpi dla każdego z brzaskiem wieczności. Przyzywała więc tę śmierć upragnioną, jak to widać z kartek pozostałych po niej, miała bowiem dar poetycki. „O, żniwiarko nieustraszona, która zbierasz lilje i róże, pączki wiośniane i kwiaty napół rozwinięte, kiedyż Pan każe ci przyjść do mnie? Chodź, jestem gotowa; tyś mi siostrą, przyjaciółką, wyswobodzicielką, ty złączysz mnie z Tym, którego miłośnie nazywam Oblubieńcem swoim" albo:

Jak wątły kwiat palącem ścięty wiatru tchnieniem
Więdnę w smutku, trawiona miłości pragnieniem.
Pragnę kochać do szału — każdy to wybaczy,
Kto choć trochę rozumie, co mój Jezus znaczy.
Ty zaś, mój Oblubieńcze, wspomóż, błagam Ciebie,
Moją żądzę kochania na wzór Świętych w niebie.
Z takiem pragnieniem w duszy nie mogę żyć dłużej,
Lodem wszystko mnie ziębi w tej ziemskiej podróży,
Lecz Twe serce, miłości żarem upojone,
Potrafi rozgrzać moje, za Tobą stęsknione!

Pisała ona codzień swoje uwagi i myśli. Oto kilka z nich o miłości Bożej: „W niebie dusza posiada taki stopień miłości, że już nic więcej nie może pragnąć. Wie ona, że miłuje swego Boga w całej rozciągłości pragnienia samegoż Boga. Na ziemi przeciwnie, dusza kochająca wie, że może ciągle pomnażać swoje uczucie ku Panu; czuje się powołaną do coraz większej i większej miłości i wie, że osiągnie jej szczyt dopiero w chwili swego przejścia do grona Błogosławionych. I dlatego tylko cierpi. Pragnienia pociągają ją w górę; serce jej, które do Boga tylko się wyrywa i dla Niego tylko zostało stworzone, każe jej ciągle iść naprzód, a tymczasem ciężar człowieczeństwa powstrzymuje to wstępowanie i opóźnia chwilę posiadania Dobra jedynego, za którem tęskni".

W roku 1899, to jest w dwa lata po obłóczynach, Agnieszka ofiarowała Bogu swoje życie, aby rząd masoński nie wypędził z Francji zakonów, ale w 1903 r. jej własne zgromadzenie musiało opuścić klasztor i ziemię ojczystą. Klaryski z Lanuwel znalazły dach w Diano-Kastello we Włoszech, nad morzem Śródziemnem. Tutaj przyjął Pan ofiarę Marji-Teresy-Agnieszki: gorące serce jej strawiło się w ogniu miłości: dostała suchot. Przełożeni, dla jej poratowania, wysłali ją z porady doktorów do Nim (Nîmes). Była to nowa ofiara dla umierającej, ale spełniła ją z posłuszeństwa. Umarła cichutko w r. 1908, przyjąwszy Sakramenta ŚŚ. z niewypowiedzianą gorącością ducha i zapałem [1]).

Kapucyni.

Franciszek Tytelman (1537 r.)

Rozpalony miłością Bożą, Franciszek Tytelman zapragnął złożyć Chrystusowi całopalną ofiarę z samego siebie i często rozmyślał nad tem, jakimby sposobem mógł dostać się do Indji i tam słowo Boże głosząc, wiele dusz niebu pozyskać, albo też życie swe za wiarę świętą położyć, ale śmierć przedwczesna nie dozwoliła mu zamienić w czyn tych najgorętszych jego pragnień [2]).

Jan Hiszpan (1546 r.).

Kapucyn ten pałał takim ogniem miłości ku Bogu, że często nie mogąc zapanować nad uczuciami serca, wznoszącego się ponad wszelką doczesność, wydawał głośne okrzyki. Nie chcąc przeszkadzać innym współbraciom, chodził na samotne miejsca klasztornego ogrodu i tam większą część dnia

[1]) L'Union séraphique. 1910. Juin. [2]) Kroniki Kapucynów Bowerjusza, Cz. I, r. 1537

i nocy na modlitwie spędzał. Zdarzyło się raz, że uniósł się wysoko w górę nakształt płonącej pochodni [1]).

Wincenty z Flawiano (1573 r.).

Wincenty z Flawiano w czternastym roku życia postanowił opuścić świat i zamknąć się w klasztorze Ś. Franciszka, gdy zaś odmówiono mu, tłumacząc, że jest za młody, nie zraził się, lecz ufny w pomoc Bożą, kilkakrotnie ponawiał swoje życzenie. Razu pewnego modlił się przed wizerunkiem Ukrzyżowanego w kościele braci, gdzie zawsze bywał, a pełen ognia zaczął głośno jęczeć. Zbiegli się zakonnicy, sądząc, że go jakieś nieszczęście spotkało, lecz oczom ich przedstawił się Pan Jezus, który, oderwawszy ręce swe od krzyża, skłonił je ku Wincentemu, jakby go chciał przytulić do siebie. Domyślili się przyczyny jęków młodzieniaszka i, uznając to za jawny znak powołania Bożego, dali mu habit. Od tego szczęśliwego momentu nowicjusz coraz większą rozpalał się miłością Bożą, która ciągle wzrastała w jego sercu. Zdarzało się, że gdy mówiono o Bogu, Wincenty, jakby odchodząc od zmysłów, czas jakiś zostawał nieporuszony, albo wyrażając głośno uczucia swej duszy, uciekał do celi i tam zatapiał się w żarliwej modlitwie. Z tej miłości starał się sprowadzać grzeszników do życia łaski, modlił się za nich i cierpiał, jako braciszek bowiem nie mógł kazywać i nauczać słowami [2]).

Gerwazy z Termini (1574 r.).

Powtarzając zawsze to zdanie: że miłość Boska jest zazdrosna i nie znosi współzawodnictwa, oraz że serce człowieka jest tak szczupłe, że Boga i stworzeń razem objąć nie może, unikał jak najstaranniej najmniejszych nawet niedoskonałości, twierdząc, że one to, nieprzytłumiane w samem zaraniu, przechodzą w występki, które kalają duszę i czynią ją niemiłą Panu Bogu. Szczególniej jednak strzegł się dobrowolnych by najmniejszych grzechów, które choć Boga z duszy nie wydalają, ale, zasmucając Ducha Świętego, wstrzymują postęp duchowny i gaszą miłość Bożą [3]).

Ś. Feliks z Cantalicio (1587 r.)

Święty Feliks odznaczał się nabożeństwem do Matki Bożej i do tajemnicy Najświętszego Sakramentu; były to obok Męki Pańskiej najmilsze jego przedmioty rozmyślania. Gdy go pytano, czy umie czytać, odpowiadał, że całą treścią jego nauki i wiedzy jest tylko sześć liter: pięć czerwonych i jedna biała, a temi są pięć Ran Chrystusowych i Najświętsza Panna. Już jako mały pastuszek wyrzynał na drzewach znak krzyża św. ku uczczeniu bolesnej Męki i śmierci Chrystusa Pana za rodzaj ludzki, a później nosił na gołej szyi kolczasty różaniec, przypominający mu koronę cierniową, którą za grzechy nasze Zbawiciel był uwieńczony. Widok Ukrzyżowanego wyciskał mu zawsze potok łez gorących. Miłość ta wzrastała w nim wraz z latami: na wszystkich czytaniach i kazaniach pasyjnych, szczególniej w Wielkim Tygodniu, rzewnie płakał, chcąc zaś uzmysłowić w sobie Mękę Pańską, modlił się prawie zawsze z rozkrzyżowanemi rękoma, na wzór Świętego Ojca Franciszka. Gdy służył do Mszy Św., takie go ogarniało wzruszenie, że często nie był w stanie księdzu odpowiadać; łzy tamowały mu mowę, a nieraz i zraszał niemi rękę kapłana, podającą mu Najświętszą Hostję w Komunji Św.

Na ustach Świętego były ciągle słowa: Jezus i Deo gratias. Promieniał radością i niewysłowionem szczęściem, gdy to Najświętsze Imię wymawiały usteczka niewinnych dziatek i zdawało się wtedy, że sam wraz z niemi staje się małem dziecięciem; zbierał razem dzieci bądź to gdzie w domu, bądź na ulicach miasta i z najwyższą pociechą, a serdecznem rozradowaniem wzywał je: „Drogie, kochane dzieteczki, mówmy razem Jezus... Jezus!“ I nie posiadał się z radości, gdy zebrało się wkoło niego liczne grono dziatek, szczebiocząc na wyścigi, jak małe ptaszki w gniazdku, słodkie Imię Zbawiciela. Kazał im także często powtarzać „Deo gratias“, jakby pragnął, aby te niewinne istoty pomagały mu do dziękowania Stwórcy za wszystkie niezliczone łaski i dary, któremi go Bóg tak hojnie obdarzył. Zdarzało się nieraz, szczególnie w ostatnich latach jego życia, że otoczony licznem gronem dzieci, oddawał się z radością tej świętej rozrywce, powtarzając z niemi ulubione swoje „Deo gratias“ i tak je przyzwyczaił do tego, że później ilekroć spostrzegły go na ulicy, biegły doń pędem, wołając już zdaleka na głos: „Deo gratias, bracie Feliksie, Deo gratias“. A Feliks z promiennem obliczem, z oczyma zroszonemi łzami, odpowiadał, zbliżając się ku nim: „Deo gratias, drogie dzieteczki, Deo gratias! Niech was Bóg błogosławi przez całe życie wasze i obfitością łask swych obdarza“. Tem samem powitaniem przyjmowali go także zazwyczaj uczniowie seminarjum rzymskiego, a on im także odpowiadał: Deo gratias. W końcu przyszło do

[1]) Tamże r. 1546. [2]) Tamże r. 1573. [3]) Tamże r. 1574.

tego, że go poprostu nazywano brat „Deo gratias“, jakby rzeczywiście innego imienia nie posiadał [1]).

Józef Marja z Rekanati (1633 r.).

Krótkie ale doskonałe było życie tego zakonnika. Od najmłodszych lat Anioł Lepretti, tak bowiem nazywał się ze świata, zachwycał wszystkich, którzy go znali, swoją pobożnością, anielską czystością i łagodnem obejściem. Obowiązki kościelne, posty i wstrzemięźliwości, acz młodzieniaszek, wiernie zachowywał, najmilszem też zajęciem jego poza nauką było służenie do Mszy św. i modlitwa. Miał on świątobliwego brata Bernardyna, który dopomagał mu w dążeniu do doskonałości. Mały Anioł postanowił, skoro dojdzie do lat, iść za jego przykładem, a tymczasem przywdział suknię duchowną i podwoił swój zapał w służbie Bożej. W kościele, w którym służył podczas nabożeństw uroczystych, wszyscy budowali się i podziwiali jego skromne ułożenie, sam Biskup nie mógł się nań napatrzeć i cieszył się, że kiedyś będzie miał bardzo gorliwego kapłana w swojej dyecezji. Kiedy więc zawakowało bogate beneficjum, przeznaczył je dla Anioła. Młodzieniec przyjął je, jako z woli Bożej, ale zrzekł się wszelkich jego dochodów na korzyść ubogich i wstydzących się żebrać, których odtąd sam nawiedzał i opatrywał. Lecz łaska powołania ciągnęła go do zakonu, w którym już brat jego zasłynął, jako znakomity kaznodzieja. Otrzymawszy habit, Józef Marja stał się uosobieniem obserwancji; patrzącym nań zdawało się, że jest w ciągłym zachwycie, tak płonął miłością ku Bogu. Po złożeniu ślubów, przełożeni wysłali go do klasztoru Monte-Santo, lecz tam niebawem zaczął słabnąć. Miłość strawiła go przedwcześnie. Przed śmiercią objawił życzenie, że chciałby zobaczyć swego brata, Franciszka-Marję. Było to niepodobieństwem, gdyż kapłan ten znajdował się naówczas w Fermo i wcale nie wiedział o chorobie kleryka, a nie było już czasu dać mu znać, bo chwile chorego były policzone. Mimo wszelką niemożność spełnienia swoich życzeń, Józef Marja odezwał się do obecnych przy nim ojców, że ufa, iż Bóg nie odmówi mu tej łaski. W tejże chwili zadzwonił ktoś do furty i wkrótce stanął w infirmarji brat Franciszek Marja. Już na pierwszy głos dzwonka chory zawołał: „Oto właśnie przybywa, idźcie go przyjąć“. Na zapytanie gwardjana, jak się tu znalazł, przybyły odrzekł: „Nie wiem nic, tylko gwardjan z Fermo dał mi obedjencję i błogosławieństwo na drogę do tutejszego klasztoru“. Dwa dni żył jeszcze Józef Marja, a umarł tak cicho i spokojnie, że nikt z obecnych tego nie zauważył. W chwili śmierci wszyscy uczuli w sercu dziwną jakąś błogość, nie wyłączając rodzonego brata. Był to znak, że dusza jego poszła prosto do przybytków niebieskich. Z tego powodu ciało złożono w oddzielnem miejscu. Ci zaś, którzy polecali się przyczynie Józefa Marji, wiele łask otrzymywali [1]).

[1]) Żywot Ś. Feliksa z Cantalicio.

Jan Chryzostom z Büren. (1634 r.).

Świątobliwy Jan Chryzostom był potomkiem starożytnego rodu szwajcarskiego Schenk de Castell. Pobożny, skromny i kochający modlitwę, radował rodziców swoich, dobrych katolików. Jedyną jego rozrywką było uczęszczanie do kościoła, do Sakramentów ŚŚ. i nabożeństwo do Najśw. Panny, którą codzień najserdeczniej pozdrawiał i czcił jako swoją Matkę. Lecz najbardziej serce jego rozmiłowało się w Dzieciątku Jezus. Obrazki Bożej Dzieciny wprost porywały go, nie mógł się na nie napatrzeć i nacieszyć, przed niemi wylewał swoje młodociane uczucia. Miłość ta coraz więcej w nim wzrastała. Wstąpiwszy do Kapucynów i będąc gwardjanem, oraz długoletnim mistrzem nowicjatu, zalecał wychowańcom swoim, aby wpatrywali się pobożnie w maleńkiego Jezusa i usiłowali naśladować Jego ubóstwo, zaparcie, poddanie się woli Bożej i gorliwość o chwałę Ojca Przedwiecznego. Nieraz, klęcząc przed wizerunkiem Boskiego Dzieciątka, wpadał w zachwyt i modlił się głośno aktami miłosnemi. Zwłaszcza już w Boże Narodzenie dusza jego rozpływała się w rozpamiętywaniu tej Tajemnicy, czoło promieniało niebiańskim blaskiem, a usta szeptały: „O, mój Jezu, Jezuniu maleńki, drogi skarbie mój“, albo nuciły jaki hymn uwielbienia. A gdy wszyscy w klasztorze spali, Chryzostom wybiegał boso do ogrodu, do znajdującej się tam groty z Dzieciątkiem Jezus, na słodką z Niem rozmowę. Wkrótce żar miłości tak go opanowywał, że nie mógł już dłużej klęczeć na jednem miejscu; wychodził więc stamtąd, nie zważając na zimno i skakał, biegał, jęcząc i nucąc najtkliwsze wyrazy. Wtedy to podpatrzyli go nowicjusze i od nich ta wiadomość rozeszła się między braćmi. Świątobliwy zakonnik miał wielki dar krasomówczy; zwłaszcza gdy mówił o przymiotach i dobroci Jezusa: wówczas zdawało się, że to nie człowiek, ale sam Serafin niebieski przemawia na ambonie.

W r. 1624 Jan Chryzostom zobaczył figurkę Dzieciątka Jezus ze słoniowej kości u przełożonej Franciszkanek w Entzisheim, która ceniła wielce ten dar, jako wyobrażenie Boskiej Dzieciny i jako

[1]) Annali Cappuccini dal Pelegrino da Forli. V. I.

pamiątkę od pewnej znakomitej pani. Gdy zacna matka pokazała takową O. Chryzostomowi, ten nie mógł już oczu od niej oderwać i póty błagał, póty prosił i żebrał, aż ją otrzymał. Od tego dnia nie rozstał się z nią ani na chwilę, całował, pieścił... Jak tylko dnieć zaczynało, zrywał się ze swego posłania i klękał przed figurką; nucił jej swe modlitwy, obnosił po celce, uśmiechał się do niej, przemawiał, tulił do serca, okrywał gorącemi pocałunkami i układał przecudne na jej cześć westchnienia: „Bądźcie pozdrowione małe jaśniejące gwiazdeczki, wdzięczne oczy nieba, wspaniałe pochodnie małego ale tak wielkiego Jezusa, Stwórcy mojego! Uwielbiam was po tysiąc i tysiąc razy. Od was to niebo i ziemia zapożycza światło swoje. Wy to rozpraszacie ciemności serc i oświecacie wszystkich ludzi na ten świat przychodzących. O, drogi mały Jezu! Spojrzyj na mnie, zlituj się nademną"... I dalej nucił hymn swego układu.

Piszą, że ta prostota i upodobanie Chryzostoma do figurki Dzieciątka Jezus dziwiła jego towarzyszów. Szemrali na to, a niektórzy gorszyli się takiem nabożeństwem; byli i tacy, co uważali go za niespełna rozumu i poskarżyli się nawet prowincjałowi podczas wizyty kanonicznej. Prowincjał również uznał to za dzieciństwo i przed samym odjazdem, kiedy wszyscy, żegnając go, byli przy furcie, poszedł do celki sługi Bożego i zabrał z niej Dzieciątko Jezus. Już umyślił sobie dać ją wielkiej dobrodziejce klasztoru we Fryburgu szwajcarskim. Tymczasem Chryzostom, nic nie przeczuwając, pożegnawszy prowincjała, wrócił do siebie... i natychmiast zauważył, czego mu brakło. Wielka była jego boleść... słyszano nawet, że płakał... ale jako święty zakonnik nie odważył się na szemranie... poddał się woli przełożonych i długo, długo modlił się... aż błysła w nim nadzieja, że maleńki Jezus wróci. „Ten, który jest miłością, mówił sam do siebie, nie dozwoli, abym był długo z Nim rozłączony. Wzięto mi Go siłą, a On sam dobrowolnie do mnie wróci i wielkiemi pociechami obdarzy za ten smutek". I tak się też stało. Przybywszy do Fryburga, Prowincjał umieścił figurkę w swojej celi, pomodlił się przed nią i poszedł spać, a następnego dnia miał ją zanieść szlachetnej Małgorzacie de Gottrau. Lecz nazajutrz figurki już nie było. O pierwszym brzasku dnia ujrzał ją natomiast na swojem zwykłem miejscu Chryzostom. Wypadek ten rozszedł się w mgnieniu oka po całym klasztorze i odtąd nikt go już nie niepokoił... mógł się modlić i śpiewać Jezusowi, ile chciał.

Ten miłośnik Boskiej Dzieciny przepowiedział, że umrze w czasie morowego powietrza, a z nim dwóch jeszcze braci. Kiedy więc zaraza wtargnęła do klasztoru, zwołał wszystkich (był gwardjanem) i zachęcał gorąco do obserwancji reguły, a szczególniej ubóstwa serafickiego. Potem złożył swój urząd w ręce wikarego i poprosił o modlitwę i Sakramenta Święte. Umarł z oczyma utkwionemi w figurkę Dziecięcia Jezus. Otrzymały ją później Kapucynki w Salzburgu, gdzie odbiera wielką cześć od zakonnic i od wiernych. Dzieją się przy niej nawet cuda na wstawienie się sługi Bożego [1]).

Sylwerjusz z Breghens. (1638 r.).

Członek prowincji Tyrolskiej Kapucynów, Sylwerjusz z Breghens odznaczał się wielką miłością ku Utajonemu Zbawicielowi. Jako gorliwy apostoł, przebiegając ze słowem Bożem różne kraje i miasta niemieckie, szerzył i ustanawiał wystawienie Najświętszego Sakramentu, tak że on pierwszy zaprowadził w Niemczech i dał poznać 40-godzinne nabożeństwo. Trzeba było widzieć wówczas O. Sylwerjusza, jak rozpłomieniony modlił się przed wspaniale urządzonym Tronem, na którym stał Zbawiciel, a później głosił kazanie, zagrzewając wiernych do miłości Utajonego, obiecywał im łaski w zamian za ten hołd oddany Bogu i udzielał odpustów. Serce jego rozpływało się także przy rozpamiętywaniu Męki Pańskiej i boleści Marji, a czując sam, jak to rozważanie zapala duszę, prowadzi do większego zjednoczenia z Bogiem i do unikania najmniejszych przewinień, zachęcał słuchaczów swoich, aby mu się pilnie oddawali. W Meranie zaprowadził bractwo ku czci Najśw. Panny Bolesnej, cierpiącej podczas ukrzyżowania Boskiego Jej Syna. Członkowie takowego obowiązani byli codziennie publicznie i prywatnie rozmyślać Mękę Pana Jezusa i boleści Marji, a tym sposobem umysł ich oddalał się od rzeczy znikomych, serce zaś przejmowało się miłością Bożą. Świątobliwy zakonnik tak był szanowany dla swoich cnót i daru kaznodziejskiego, a przedewszystkiem dla gorącej miłości Jezusa, że gdy kazał w Monachjum, arcyksiążę Maksymilian z całym swoim dworem przychodził do kościoła, by usłyszeć ogniste jego nauki, a tak go poważał, że na jego życzenie zrobiono mu portret Sylwerjusza, który pragnął mieć w swoim pokoju, aby patrząc nań, przypominać sobie jego słowa i rady [2]).

Hieronim z Albi (1646 r.).

Ten prosty braciszek tak był rozmiłowany w Jezusie Chrystusie, że na samą myśl, co Zbawiciel cierpiał w czasie swojej Męki, tonął we łzach

[1]) Ibidem. [2]) Ibidem.

i zdawał się goreć z miłości. Pan Jezus nagrodził to jego współczucie i pewnej nocy wezwał go przez posła niebieskiego do chóru, gdzie ukazał mu się konający na krzyżu i cały krwią zbroczony. Na ten widok Hieronim upadł do stóp Zbawicielowych, a całując krzyż i tuląc się do niego, wzdychał i jęczał, odchodząc prawie od siebie. Odtąd nie mógł wspomnieć na rany Pana Jezusa, ani mówić o nich, żeby się nie rozpłakał. Aby się więcej zjednoczyć z umęczonym Zbawcą, zrobił sam dla siebie krzyż bardzo ciężki i umieścił go w ogrodzie; gdy zaś wszyscy zasnęli, biegł pocichu i klękał pod tym swoim sztandarem, a po gorącej modlitwie brał go na ramiona i, wzdychając a jęcząc, obchodził wolniutko ścieżki, tak jak niegdyś Pan Jezus, idąc na Kalwarję. Duch jego ciągle przebywał wysoko, zapatrzony w niebieskie tajemnice, dlatego choć pracą ręczną był zajęty, nigdy nie tracił wewnętrznego skupienia. Stąd częste u niego zachwyty miłości, szczególniej w dnie Komunji Ś., wtedy bowiem tak pogrążał się w rozpamiętywaniu tego daru, że tracił przytomność i unosił się w górę. Zdarzyło się to między innemi w kościołku OO. Kapucynów, w obecności zakonników i licznie zebranych wiernych [1]).

Michał z Sesa (1647 r.).

Hiszpański kapucyn, Michał z Sesa, zostawił chlubną po sobie pamięć. Wstąpiwszy w szeregi żołnierzy Chrystusowych, przejął się głęboko swojemi obowiązkami i dążył do nieba, idąc jak najbliżej za Świętym Ojcem. Był to prawdziwy wzór syna Serafickiego Patryarchy. Ubogi, umartwiony, zawsze pierwszy był na swojem stanowisku, pilny w pracy, którą mu posłuszeństwo zlecało, a przytem gorejący miłością ku Boskiemu Zbawicielowi. Widząc skupienie, z jakiem odmawiał Officium, odprawiał medytację i inne ćwiczenia, czuło się, że zakonnik ten rozmawia z Panem Bogiem, że go teraz nic nie obchodzi, że wszystko ziemskie zostawił poza sobą. Jeszcze więcej serce Michała rozpalało się w czasie Mszy św.. Po poświęceniu chleba i wina stał nieruchomy i jakby bez czucia, zatopiony w rozważaniu tej wzniosłej Tajemnicy i nieraz musiano wstrząsnąć nim, aby dokończył Najświętszej Ofiary. Zachwyty te trwały dość długo ku wielkiej radości i zbudowaniu obecnych. Miłość Boża natchnęła mu pragnienie udania się na misję do Afryki, gdzie zaczął głosić wiarę świętą w królestwie Benin, ale mieszkańcy, oburzeni, że misjonarz ganił ich bożków i chciał je rozwalać, donieśli o tem królowi, żądając, by go wypędził z kraju. Musiał tedy dzielny zakonnik wrócić do swojej prowincji, a nie mogąc, jak tego pragnął, oddać Bogu życia swego, podwoił gorliwość w spełnianiu przepisów zakonnych i głoszeniu kazań. Jego ćwiczenia i praktyki klasztorne, jego odezwy do ludu były tak serdeczne i pełne głębokiej miłości Bożej, że bracia upominali go, aby miarkował swój zapał, inaczej ogień ten prędko go spali. I rzeczywiście Michał z Sesa nie dożył późnego wieku. Strawiony miłością, poszedł cieszyć się wiekuistem Dobrem, które tak mocno umiłował na ziemi i któremu tak wiernie służył [1]).

[1]) Ibidem V. II, an. 1646.

Bł. Bernard z Korleonu. (1667 r.).

Błogosławiony Bernard od wstąpienia swego do Kapucynów zerwał ze światem i wszystkie myśli swoje i uczucia skierował do Boga, pragnąc Jemu tylko jednemu się podobać. Chociaż ciągle zajęty przy obowiązkach, sercem przebywał w niebie i tam zasyłał westchnienia i akty strzeliste. Będąc przez 20 lat kucharzem, a później chodząc za kwestą, miał dużo okazji rozpraszających umysł, mimo to bracia podziwiali skupienie i skromność, malującą się na jego obliczu: nigdy nie patrzył na nikogo i nie mówił bez potrzeby. W każdą zaś wolną chwilę biegł do kościoła i tam wylewał swą duszę przed Panem, aż czasami odchodził od zmysłów i wznosił się do góry. Nieraz bracia byli świadkami tych zachwyceń. Sługa Boży rozpalał się szczególną miłością przy rozważaniu Męki Pana Jezusa; nie mógł poprostu bez łez o niej wspomnieć i ten tylko przedmiot ciągle stał mu na oczach. W kościele kapucyńskim w Palermo znajdował się duży krzyż. Błogosławiony każdego dnia modlił się przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, zatopiony w jego ranach; twarz mu płonęła, oczy gdzieś bujały wysoko i widać było, że nie jest na tej ziemi. Nosił też na szyi mały krzyżyk, który tak silnie przyciskał do piersi swoich, że wizerunek Pana Jezusa wpił mu się w ciało [2]).

[1]) Ibidem, an. 1647. [2]) Ibid. V. III, an. 1667.

Hieronim z Korleonu (1717 r).

Hieronim z Korleonu miał ciągle na ustach słowa: „Bóg, chwała Boża“, zdawało się, że nie może nic powiedzieć bez tego. Na zapytanie, czy zdrów, odpowiadał: „Na większą chwałę Bożą czuję się jak najzdrowszym“.—Skąd idzie?—„Na większą chwałę Bożą wracam stamtąd, a idę tam i tam“. Ile cudów tego dnia uczynił?—„Uczyniłem ich cztery

albo pięć na większą chwałę Boga". Ta większa chwała Boża była nieustannie w jego sercu i myślach, co daje nam zrozumieć stopień jego miłości. Miłość uczyniła go bardzo wrażliwym na grzechy, jakiemi ludzie obrażają Pana Boga. Przeszkadzał im o ile mógł słowami i modlitwą; kiedy zaś słyszał o nich, albo był ich świadkiem, łzy ze wzruszenia same mu płynęły, a serce ściskało się od bólu. W dzień swoich ślubów złożył się on Bogu na całopalną ofiarę, bez żadnego zastrzeżenia. Oddał wszystko i samego siebie i wytrwał w tem do końca: jednakowo był zawsze gorliwy, umartwiony, niemający nic, prócz Jezusa Ukrzyżowanego. Miłość Boża pobudzała go do nieustannej pracy na Jego chwałę i obronę Jego spraw, a nadewszystko nieżałowania trudów, by zapobiegać grzechowi. W takich razach nie wahał się nawet grozić karą Boską, jeżeli łagodne słowo nie skutkowało. Pewien młodzieniec gorszył całe miasto występnem życiem. Hieronim przyszedł do niego, upomniał i oświadczył, że jeżeli nie przestanie grzeszyć, on uprosi mu od Pana Boga dotkliwą chorobę, która uczyni go bezwładnym, tak iż będzie musiał leżeć. Rozśmiał się na to młody grzesznik, ale w kilka dni zaczęła go boleć prawa noga, jak gdyby mu w nią wbito gwoździe rozpalone. Ani w dzień ani w nocy nie miał chwili wolnej od cierpień. Dopiero, gdy przyrzekł pokutować i wyrzec się występków, sługa Boży przywrócił mu zdrowie swoją modlitwą. Podobne wypadki bardzo często zdarzały się w życiu Hieronima. Jako kwestarz, miał często sposobność widzenia i słyszenia o różnych winach ludzkich i w ten sposób im zapobiegał [1]).

Ś. Weronika Dżuljani (Giuliani) (1727 r.).

Święta Kapucynka była jakoby odurzona miłością Bożą. Nie mogąc wytrzymać żaru ją trawiącego, biegała po klasztorze, czy po ogrodzie, zapraszając wszystkie stworzenia rozumne i nierozumne, aby z nią razem kochały i błogosławiły Boga. Mówić o Oblubieńcu dusz było największem dla niej szczęściem, używała wtedy wyrazów jak najczulszych. Raz szczególniej, w wigilję Zesłania Ducha Świętego, z taką gorącością i siłą przemawiała o miłości Bożej do zakonnic, że te rozpłynęły się we łzy i mówiły później, iż zdawało się im jakoby w tym dniu powtórzone było przed niemi kazanie Księcia Apostołów. Siostra Floryda Cevoli zeznała, że raz w takiej samej okazji Święta opatka w jednej chwili przyodziała się jakby w piękność anielską i schwyciwszy ją za rękę, odeszła od zmysłów. W czasie tego zachwytu trwającego półtory godziny tak mocno trzymała jej dłoń, że pomimo wszelkich usiłowań nie mogła jej wydobyć. Taż sama zakonnica opowiada nadto rzecz jeszcze dziwniejszą. Spowiednik polecił dwom siostrom, iż skoroby ujrzały Weronikę w podobnym zapale miłosnym, mają włożyć jej ręce i nogi do zimnej wody; kiedy zaś to uczyniły, widziano, że woda wrzała, jakby ją kto postawił na wielkim ogniu. Wysoka miłość Świętej skłaniała ją do zwalczania w sobie wszystkiego, co choćby najmniej mogło się niepodobać Bogu. Z tego źródła przedewszystkiem wypływał w niej żal, z jakim oskarżała się ze swoich najlżejszych niedoskonałości; żal tak silny, iż według zeznania ostatniego jej spowiednika, O. Guelfi, kiedy przed rozpoczęciem szczegółowego oskarżenia się wymawiała te słowa: „Obraziłam Boga," widać było, że w tej chwili oddychać prawie nie mogła. Zazdrościła stworzeniom bezrozumnym, całowała często drzewa i kamienie i błogosławiła im, że nigdy nie przestąpiły praw, jakie im Bóg przepisał. Cierpieć i tylko cierpieć dla swego Oblubieńca, było to jedyną jej myślą, pragnieniem jej duszy. Wiadomo, że Pan Bóg udziela darów nadprzyrodzonych jedynie tym, którzy są w Nim rozmiłowani, a Święta odebrała ich bardzo wiele: serce jej zostało przeszyte włócznią żelazną, otrzymała blizny Zbawiciela, koronę cierniową, której kolce wbiły się tak głęboko, że ślad ich został, w sercu zaś znamiona Męki Pańskiej; wreszcie Pan Jezus raczył się z nią zaślubić pierścieniem. Była więc prawdziwem odbiciem Ukrzyżowanego, córką Krzyża, jak się sama podpisywała. Objawień, widzeń miała bez liku. Na Wielkanoc r. 1698 np. pokazał jej się Chrystus i, jakoby wyjąwszy jej serce z piersi i trzymając je w ręku, zapytał: „Powiedz mi, czyje to serce?" — „Twoje, Panie," odpowiedziała Weronika. Jeszcze raz powtórzył to samo Pan Jezus: „Powiedz mi, czyje jest to serce?" Święta znów dała tę samą odpowiedź. I po raz trzeci jeszcze, jak Piotrowi, zadał Pan Jezus to pytanie i po raz trzeci odpowiedziała Weronika, że to Jego. „A więc, jeśli jest moje, — rzekł Jezus, — włożę je tam, gdzie być powinno", i, otworzywszy bok swój i pokazawszy jej swoje Serce Boskie, położył na Niem serce Weroniki. Podobnych wynalazków miłosnych doświadczała często, szczególniej w chwili Komunji Św., która nieraz widzialnie podawaną jej była przez Aniołów, Matkę Bożą, a nawet przez samego Chrystusa Pana [1]).

[1]) Ibidem V. IV, an. 1717.

[1]) Żywot Ś. Weroniki Giuliani, Kapucynki.

Bł. Kryspin z Witerbu (1750 r.).

Błogosławiony ten sługa Boży zatapiał się w Męce Zbawiciela; krzyż był jego księgą, jego mistrzem i wszystkiem na ziemi. W ostatnie trzy dni Wielkiego tygodnia nie brał już żadnego posiłku, chodził smutny i milczący ze spuszczoną głową, a jeżeli musiał wyjść na kwestę, na nikogo nie patrzył, ani się nie witał. Nawiedzając po kościołach grób Pana Jezusa, rzewnemi zalewał się łzami i jęczał, aż serce się krajało. Pewnego zaś razu, nie mogąc powstrzymać się, krzyknął głośno: „O, mój Boże, mój Boże, ileż wycierpiałeś dla mnie nędznego! O, święta Miłości, ileż Ci jesteśmy winni! O, jakże pragnąłbym cierpieć dla Ciebie!“ Znajdujące się tam osoby przybiegły do Kryspina, aby się dowiedzieć, czy nie chory, ale on przyszedłszy do zmysłów i widząc, że go słyszano, wybiegł coprędzej na ulicę. Myśl o krzyżu czyniła mu lekkiemi wszystkie cierpienia. Kiedy zatem szedł na kwestę, a droga była uciążliwa, wyobrażał sobie ścieżki góry Kalwarji i szedł wesoło za Jezusem. Sakwy ciężyły mu tyle, co skrzydła ptakowi. Dźwigając je po drodze stromej, lub pełnej błota, myślał jak to Pan Jezus niósł krzyż na Kalwarję i upadał pod brzemieniem grzechów ludzkich, a zwłaszcza jego własnych. Wróciwszy do klasztoru, biegł do Ukrzyżowanego, aby u Jego stóp wzmocnić swe siły, wyczerpane całodzienną bieganiną i kwestą. Bracia często spostrzegali go, jak zatrzymywał się przed krzyżem, znajdującym się u szczytu głównych schodów. Wpatrywał się długo w wizerunek Jezusa i serdecznie całował jego stopy, a czasami jęczał i wzdychał, gdyż boleść rozsadzała mu serce. Pewnego dnia, mając wyjść z socjuszem na kwestę, stanął według swego zwyczaju przed krzyżem. Myśląc, że jest sam, schwycił za gwóźdź tkwiący w nogach Zbawiciela, jakby chciał go wyrwać i mówił z wyrazem najtkliwszej miłości: „Mój Jezu, te gwoździe powinny być w mojem sercu, a nie w Twoich stopach!“ Świadkiem tego był ów socjusz, który utaiwszy się w kąciku, spoglądał na to z ukrycia.

Towarzysze Świętego słyszeli nieraz jego płacz i łkanie, widzieli go rozciągającego ręce w kształcie krzyża, kłaniającego się Jezusowi ukrzyżowanemu lub klękającego przed Nim; to znów przyciskającego wargi do stóp Najświętszej Ofiary i pozostającego długo w tych uściskach. Był on również zazdrosny o noszenie krzyża podczas procesji zakonnej. Brał go z wielkiem skupieniem i z uczuciami serdecznego żalu; całował z miłością i tulił do swego serca, a usta jego szeptały akt: „O, najukochańszy mój Zbawco, jakżeś dla mnie cierpiał!“ I nanowo sypały się pocałunki boku Jezusa. W czasie procesji szedł z nadzwyczajną skromnością, na wszelkich zaś przystankach wznosił oczy ku Ukrzyżowanemu i słał gorące doń westchnienia. Nawet chorym będąc na podagrę, gdy zaledwie mógł stąpić nogą, prosił Gwardjana, żeby mu nie odbierał tego zaszczytu, bo Pan Bóg mu dopomoże. I rzeczywiście dopomógł: święty starzec ukazał się na czele braci, niosąc krzyż klasztorny ku wielkiej radości zgromadzonych wiernych. Kilka razy towarzysze Błogosławionego widzieli go w zachwyceniu przed krzyżem. Ojciec Jacek z Bellun (Bellune), opowiadał, że w r. 1745 pewnego ranka przygotowywał się w zakrystji do Mszy świętej. Wtem do uszu jego doleciał szelest kroków. Był to braciszek Kryspin, który, wchodząc, miał oczy wlepione w wizerunek Ukrzyżowanego, znajdujący się naprost drzwi, a tak był zatopiony w rozważaniu śmierci Boskiego Odkupiciela i oblicze ze współczucia miał tak blade, że sam zdawał się być drugim ukrzyżowanym. „Spostrzegłszy mnie jednak, uspokoił się; twarz przybrała zwykłą swą cerę: zbliżył się do mnie wesoło, oświadczając swoje usługi“. Inny zakonnik, brat Dominik z Campina, socjusz Błogosławionego podczas kwesty, widział go również w zachwyceniu przed tym samym krzyżem. Kryspin stał nieruchomo, z rękami rozciągniętemi i wzrokiem utkwionym w krucyfiks. Obecność Dominika nie zmieszała go, gdyż nie wiedział zupełnie, co się dokoła niego działo. A ta łaska tkliwego współczucia z cierpieniami Zbawcy wzrastała w nim z latami. W ostatnich czasach swego życia Błogosławiony nie mógł spojrzeć z uwagą na obraz Jezusa ukrzyżowanego, ani rozmyślać o Męce Pańskiej, aby nie uczuł w głębi duszy serdecznego bólu, który możnaby nazwać niewymowną słodyczą, pochodzącą z niewypowiedzianej boleści[1]).

Ambroży z Lombez (1778 r.).

Dusza tego znakomitego Kapucyna była ciągle zatopiona w Bogu. W tej, jak i we wszystkich rzeczach, kierując się praktycznością, podtrzymywał w sobie ten płomień miłości Bożej przez skrupulatną wierność co do ćwiczeń, jakie mu przepisywały konstytucje zakonne, lub jakie sobie sam naznaczył. I nic nie było w stanie odwieść go od uczestniczenia we wspólnych modlitwach braci: ani liczne porady, których od niego żądano, ani nawał listów, na które musiał odpisywać, ani częste podróże, ani obowiązki, któremi był obarczony; nawet wzgląd na coraz bardziej słabnące zdrowie nie służył mu do zwalniania się z przepisów dziennych

[1]) Le Saint Joyeux par le R. P. Pie de Langogne.

i nocnych. Wszystkie czynności O. Ambrożego były nacechowane największą miłością Bożą, ale już szczególniej jaśniała ona w nim podczas Mszy św.. Słuchający jej czuli się rozpalonymi. Pewna wiarogodna osoba mówiła, że nic w świecie nie pobudzało jej tak do miłości Boga, jak widok świątobliwego zakonnika słuchającego lub odprawiającego Najśw. Ofiarę albo dziękczynienie przed Tabernakulum. Poważniej niepodobna było już się modlić. Msza jego trwała pół godziny, tyleż czasu obracał na przygotowanie i drugie pół na dziękczynienie. Mając nabożeństwo do Najświętszego Sakramentu, rozbudzał Jego głód w swoich penitentach; starał się ich nakłaniać do codziennej Komunji. W ten sposób zwalczał zasady jansenistów, panujące w owym czasie i do niedawna odwodzące tyle dusz od uczęszczania do Stołu Pańskiego. Był również jednym z najgorętszych czcicieli Najświętszego Serca Jezusowego i natychmiast po założeniu bractwa pod tym tytułem, zapisał się na jego członka. Jak kochał to Serce Najsłodsze, dowodzi choćby ten fakt, że gdy chciano ułożyć i wydać książkę do nabożeństwa, któraby rozpalała miłość ku Sercu Jezusowemu, nie zwrócono się do nikogo w całej Francji, tylko do O. Ambrożego [1]).

Bł. Diego—Józef z Kadyksu (1801 r.).

Mówiliśmy już wyżej [2]) o miłości tego Błogosławionego do Najświętszego Sakramentu, do Trójcy Przenajświętszej, do Krzyża, a tutaj dodamy jeszcze kilka szczegółów. Gdy Apostoł Hiszpanji zapadł raz w ciężką chorobę i nie mógł mieć Mszy św., prosił gwardjana o codzienną Komunję. Codzień też przez szczerą spowiedź przysposabiał się do przyjęcia Tego, którego tak gorąco miłował. Wśród bezsennych nocy Imię Jezus nie schodziło z jego ust; tęsknił za swoim słodkim Zbawcą, a skoro Go przyjął, bracia jeden za drugim przychodzili budować się jego serafickiemi zachwytami. Na jego prośby ustawiono mu na małym stoliczku w nogach łóżka duży krucyfiks, aby mógł nań patrzeć, nie podnosząc zbolałej głowy. Była to jego księga, z której codzień rano i wieczór rozmyślał. Każdego dnia od 12-ej do 3-ej godziny popołudniu szedł myślą za Zbawicielem krzyż niosącym na Kalwarję i oczyma zalanemi łzami wpatrywał się w Umierającego. Trudno było wtedy długo przy nim usiedzieć, takie jęki, westchnienia i pełne bólu wyrazy wyrywały mu się z piersi — istny potok rwący modlitw i aktów strzelistych, zasyłanych do wielkiego Krzyża. Obecnym zdawało się wówczas, że znajdują się na Golgocie w chwili, kiedy Jezus wołał: „Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił!“

Znajdując się w klasztorze, gdy wracał z kazania późno nieraz, biegł do chóru i tam modlił się przed Utajonym aż zadzwoniono na Jutrznię. U stóp Tabernakulum był jego wypoczynek, jego miejsce ulubione, jego rozkosze. Przy Jezusie wzmacniał się do nowych prac na chwałę Bożą [1]).

Polscy Bracia Mniejsi.

Jan Dębiński, Kapucyn. (1632 r.).

Jan Chrzciciel Dębiński, Kapucyn polski, ale należący do prowincji Szwajcarskiej (wtedy Kapucynów jeszcze u nas nie było), gorzał taką miłością ku Stwórcy swojemu, że każdą wolną chwilę w dzień i całe niemal noce spędzał w kościołkach zakonnych, gdzie często widywano go nawet w zachwycie. Jakie tam były porywy i uniesienia, możemy sądzić po tem, co słyszała pewna osoba, ukrywszy się w kąciku w noc Narodzenia Pańskiego. Zakonnik, klęcząc u stóp Tabernakulum z wyciągniętemi przed siebie rękoma, wołał z płaczem: „O, Matko Najsłodsza, pierwszą tę łezkę, którą narodzony z Ciebie Syn Twój Jezus z oczu swoich wylał, spuść na występne serce moje, aby nią od wszelkiej zmazy było oczyszczone“, a gdy to wymówił, nadzwyczajna światłość ogarnęła cały kościołek i trwała bardzo długo [2]).

Jacek Bobrownicki, Reformat (1665 r.).

Ten zakonnik od pierwszej chwili służby Bożej rozpoczął gorliwą pracę nad swojem udoskonaleniem. Ćwicząc się w cnotach serafickich, szczególniejszą pałał miłością do Jezusa ukrzyżowanego, którego wizerunek nosił przy sobie, wpatrywał się w niego i oblewał łzami. Podczas Mszy św. zatopiony był myślą i sercem w Bogu, a często nawet zachwycony, tak więc ją przedłużał, że byłby i do południa nie skończył, gdyby mu przełożeni na to pozwolili. Stosunki jego, chociaż bardzo rzadkie, czy to ze świeckiemi, czy z braćmi, były budujące. To też znając jego świątobliwość, każdy pragnął z nim porozmawiać, zasięgnąć rady, albo odkryć mu swoje sumienie. Cokolwiek zaś radził ten mąż pełen ducha Bożego, było zbawienne i doskonałe [3]).

Jak naśladować Franciszka Ś. w miłości Bożej.

Trzeba, aby ta miłość przeniknęła do głębi nasz umysł, pamięć, serce; aby wszystkie nasze

[1]) P. Ambroise de Lombez par l'abbé J. Bénac. [2]) Tom III str. 347.

[1]) B. Diégo de Cadix par le R. P. Damase de Loisey. [2]) Matka ŚŚ. Polska. T. II, s. 369. [3]) Tamże T. IV, s. 166.

BRAMA BŁOGOSŁAWIEŃSTWA W ASSYŻU.

myśli, wspomnienia, pragnienia, uczucia, postanowienia i zewnętrzne nawet ruchy ją miały na celu. Ze wszystkich tych władz i części, wchodzących w skład istoty naszej, złóżmy harmonijny hymn chwały Panu i Bogu naszemu, w którym treścią wszystkich zwrotek ma być miłość. Kochajmy Boga wszędy i zawsze. Niech nam miłość Jego ciągle towarzyszy. Miłość w wiośnie życia i u jego kresu, miłość w radościach, pociechach i w krzyżu; miłość w oschłościach i w opuszczeniu, równie jak w swobodzie i rozradowaniu. Do takiego usposobienia prowadzą nauki i przepisy Ś. Franciszka, tak przez zaleconą w nich wzgardę świata, umartwienie ciała, zaparcie się siebie, jak przez praktykę modlitwy, częstej Komunji Ś. i pełnienie wszelkiej sprawiedliwości przed Bogiem i światem.

Wszystkich sił wreszcie powinniśmy używać ku okazaniu Bogu naszej miłości. Wszystkie sprawy nasze z miłości ku Niemu spełniać, wszystkie cierpienia z miłości ku Niemu znosić, tak że nic zgoła nie powinno w nas być, coby nie było złożone na ofiarę Jego miłości. Kto tak spełnia to główne przykazanie, ten rządzi się duchem seraficznej miłości, która mu wszystkie rzeczy trudne uczyni łatwemi, a wszystkie ciężkie — lekkiemi. Chcąc dojść do tego, zacząć trzeba od oderwania serca i myśli i czynów naszych od wszystkiego, co jest przeciwne Bożej miłości.

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej. O miłości Bożej.

Miłość Boża jest cnotą teologiczną, wlaną, przez którą miłujemy Boga nadewszystko, a bliźniego i inne rzeczy dla Boga. Miłość jest to skarb nieoceniony. Samo wymówienie tego słowa powinnoby nas porywać w zachwyt, jak porywało Ś. Franciszka, tego serafina ziemskiego. Miłość Boża jest celem i końcem wszystkich przykazań, korzeniem wszelkiej cnoty, źródłem zasługi; z nią i przez nią wszystko jest zyskiem dla nieba, bez niej wszystko jest niczem. Miłość Boża, czyli łaska uświęcająca, mówi Ś. Bonawentura, daje nam Boga i nas oddaje Bogu. Miłość dopiero jest życiem prawdziwem. Życie chrześcijańskie to wielka miłość Boga w Jezusie Chrystusie i przez Jezusa Chrystusa — Boga, który przyjął na siebie ciało, abyśmy Go mogli kochać i naśladować.

Iloraka jest miłość?

1. Inna jest miłość sprzyjania, gdy się komu dobrze życzy i czyni nie ze względu na siebie, ale na niego samego; inna — pożądania, gdy się dobrze życzy komu przez wzgląd na samego siebie.

2. Ze względu na przedmiot inna jest miłość Boska, przez którą samego Boga nad wszystko się miłuje — inna miłość bliźniego, przez którą kochamy ludzi ze względu na Boga.

3. Ze względu na sposób i doskonałość, możemy kochać jednych więcej od drugich zarówno co do przedmiotu, to jest gdy jednemu życzymy większego dobra niż drugiemu, gdy jedną osobę więcej cenimy od drugiej, jako też i co do natężenia, gdy jedną miłujemy gorętszem uczuciem niż drugą.

Jaka miłość jest doskonała.

Pierwszorzędnym przedmiotem miłości jest Bóg, drugorzędnym — my sami i bliźni nasi, a pobudką jest dobroć Boża, która sama w sobie i dla siebie samej godna jest miłowania. Miłość jest wyższa nad wszystkie cnoty i może się zawsze pomnażać, zaś akt miłości obowiązuje pod ciężkim grzechem. Ś. Tomasz naucza [1]), że miłość w tem życiu może się wznieść do dwojakiej doskonałości: albo gdy człowiek oddaje się cały Bogu i sprawom Bożym, z opuszczeniem wszystkiego, wyjąwszy koniecznych potrzeb, która to doskonałość nie jest wspólna wszystkim, żyjącym w miłości, albo gdy ktoś serce swoje raz na zawsze Bogu odda, a przy innych czynnościach nigdy nie myśli ani pragnie tego, coby się miłości Bożej sprzeciwiało. Ta ostatnia doskonałość przystępna jest wszystkim, którzy miłują swego Stwórcę.

Stopnie miłości Bożej.

Święci: Tomasz [2]), Bernard [3]) i Bonawentura [4]) wyliczają następujące stopnie miłości Boga. 1. Omdlewać z miłości: „Mdleję z miłości“[5]). 2. Boga ciągle szukać: „Szukajcie[6]) Pana i bądźcie umocnieni“. 3. Pracować bez ustanku: „Służył[7]) Jakób za Rachelę siedm lat, a zdały mu się kilka dni dla wielkiej miłości“. 4. Znosić mężnie: „Błogosławieni[8]), którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości“. 5. Niecierpliwie pożądać: „Żąda[9]) i ustaje dusza moja do pałaców Pańskich“. 6. Biedz pospiesznie: „Bieżałem[10]) drogą mandatów (przykazań) Twoich, gdyś rozszerzył serce moje“. 7. Odważać się śmiało: „Cóż ja[11]) mam w niebie, albo czegom chciał na ziemi oprócz Ciebie? Ustało ciało moje i serce moje, Boże, na wieki“. 8. Przylgnąć nierozłącznie: „Mnie[12]) żyć jest Chrystus“. 9. Słodko gorzeć: „Zagrzało[13])

[1]) 2, 2, q. 24, a. 8. [2]) Opusc. 61. [3]) Lib. de dil. Deum. [4]) Pharetra div. amor. [5]) Cant. 2, 5. [6]) Ps. 104, 4. [7]) Gen. 29, 20. [8]) Matth. 5, 10. [9]) Ps. 83, 4. [10]) Ps. 118 32. [11]) Ps. 72. 25. [12]) Philip. 1, 21. [13]) Ps. 38, 4.

się serce moje we mnie". 10. Całkowicie upodobnić się do Boga w stopniu, jakiego stworzenie tutaj może dostąpić: „Abyście [1]) przez nie stali się uczestnikami Boskiej natury".

Miłość Boża potrzebna jest do postępu.

„Nad wszystko miejcie miłość, która jest związką doskonałości" [2]). Pierwsze i największe przykazanie jest: „Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej [3]), bo przez miłość Bóg mieszka w nas [4]). I Ś. Augustyn mówi: „Jak korzeniem wszystkiego złego jest żądza, pożądliwość, tak korzeniem wszystkiego dobra — miłość" [5]). A Ś. Grzegorz: „Serce nasze jest ołtarzem Boskim, na którym ogień powinien się zawsze palić, bo trzeba, aby płomienie miłości bez ustanku wznosiły się do Boga". Miłość Boża potrzebna jest do postępu, gdyż na niej głównie zależy doskonałość i jest to największe przykazanie, któremu wszystkie cnoty podlegają. Bez miłości niema zasługi na żywot wieczny i wszystko inne nic nie znaczy, albowiem „choćbym językami anielskiemi mówił, a miłościbym nie miał, na nic mi się to nie przyda" [6]). Wreszcie i dlatego, że miłość bardziej niż inne cnoty dotyka Boga i w Nim znajduje spoczynek, choć nie kocha Go dlatego, żeby od Niego co otrzymywała.

Pobudki do miłości Bożej.

Ojcowie Kościoła i pisarze ascetyczni, jak Ś. Augustyn [7]), Ś. Tomasz [8]), Ś. Bonawentura [9]), Ś. Franciszek Salezy [10]) wskazują następujące pobudki do miłowania Boga: najwyższa dobroć Boska, miłość, jaką Bóg ma ku nam, dobrodziejstwa stworzenia, Wcielenia, Odkupienia, utrzymania i przyszłej chwały. A więc ktokolwiek jesteś, będziesz miłował Pana Boga twego. Będziesz Go miłował, ponieważ jesteś Jego własnością, bo wszakże od Niego masz istnienie. On cię utrzymuje w każdej chwili wszechmocną ręką swoją. On wlewa w ciebie życie po kropelce, nie dozwalając ci wpaść w nicość, z której cię wyrwał. Będziesz Go miłował jako Pana swego, lecz bardziej jeszcze masz Go miłować jako swego Boga dla Niego samego, ponieważ On żyje sam dla siebie i przez siebie. Jest On najwyższą doskonałością w jedności istoty swojej. Będziesz Go miłował, jako piękność niestworzoną, jako dobroć niepojętą, jako źródło wszelkiej pociechy i radości w niebie i na ziemi. Będziesz miłował Pana Boga twego, gdyż jest On twoim. Bóg sam tylko może się tak oddać cały wszystkim i każdemu z osobna, bez podziału, bez ujmy dla siebie i dla nikogo. Czyni On jak słońce, które w miarę swego wzniesienia się nad ziemię wszystkich i każdego oświeca i ogrzewa światłem i ciepłem swojem, zaglądając równie pod strzechę wieśniaczą, jak i do pałaców królewskich. Jest ono obrazem chociaż niedoskonałym działania Bożego w stosunku do całych społeczeństw i do każdej duszy z osobna. Lecz jeżeli Bóg jest twoim, dla tego że cię stworzył, czyli, jak mówi pewien święty Doktor dał cię tobie samemu; cóż powiedzieć o tajemnicy Wcielenia, w której ci siebie samego oddaje? Syn Boży stał się człowiekiem, aby ci się oddać w najdoskonalszy sposób, jako Bóg, i uczynić cię uczestnikiem Bóstwa i człowieczeństwa swego przez śmierć krzyżową, przez wylanie Krwi swojej do ostatniej kropelki, osobliwie przez ustanowienie Najświętszego Sakramentu, w którym codziennie, jako Hostja, cały ci się oddaje, przenika do głębi istoty twojej, aby się stać życiem życia twojego, miłością twoją ponad wszelką miłość. Ach i jakże nie kochać Pana i Boga swojego!

Jaką powinna być miłość?

Trzeba kochać Pana Boga nadewszystko, to jest przekładać Go nad wszystkie rzeczy. Gdy bowiem godzien jest być nad wszystko miłowanym, cóż słuszniejszego i rozsądniejszego, jak tak Go cenić, iżby nietylko umysłem, ale i sercem czyli w praktyce mocno przylgnąć do Niego i raczej wszystko stracić, niżeli Jego przyjaźni się pozbawić. Tego wymaga od nas miłowanie z całego serca, choćby się nie czuło większego natężenia w uczuciu. Tak utrzymują Ś. Tomasz [1]) i Ś. Bonawentura [2]), a katechizm rzymski mówi: „Nad wszystko przekładać trzeba miłość Bożą, tak że ani dla zachowania życia grzeszyć się nie godzi i to jest prawdziwa i skuteczna skrucha [3])." Nie należy więc iść za zdaniem tych teologów, którzy do doskonałego żalu wymagają pewnego natężenia miłości, wyższego nad tę rzeczową doskonałość w ocenianiu. Co najwięcej przypuścić można jakieś nieokreślone natężenie w bardzo małym stopniu, aby skrucha w ocenieniu tem była skuteczniejszą; chociaż natężenie miłości coraz bardziej potęgującej się z rady może przydać tej skrusze wiele doskonałości.

---

[1]) II Petr. 1, 4. [2]) Colos. 3, 14 [3]) Matth. 22, 37. [4]) I Joan. 4, 16. [5]) Serm. 39 de temp. [6]) I Cor. 13, 1. [7]) Solil. c. 18, de dilig. Deo c. 1; et 2, Manuali c. 18. [8]) Opusc. 61. [9]) Stim. amor., p. 2, c. 1. [10]) De amore Dei.

[1]) 3. p. in Suppl. q 5, a. 3. [2]) In 4, d. 16, p. 1, a 2. q. 1. [3]) De poenit., c. 5.

Żeby zaś miłość Boża w ocenieniu była doskonałą, powinna zawierać silną wolę zachowania wszystkich przykazań Boskich, bo „kto ma przykazania moje, mówi Zbawiciel i zachowywa je, ten jest, który mnie miłuje[1]). Nie wymaga się miłości prawdziwie skutecznej w wykonaniu czyli w uczynkach, to jest iżby wszystko rzeczą samą zawsze było zachowywane, lecz skutecznej w uczuciu i woli, czyli żeby w danym momencie tak być usposobionym, aby chcieć spełniać wszystkie przykazania i żeby ta wola nie mogła później dopuścić zezwolenia na grzech ciężki. Takie usposobienie powinno mieć za podstawę wielkość Boga, ufność w Nim położoną, pokorną modlitwę, umartwienie i zaparcie. Dlatego, choć chwalebną jest rzeczą, aby osoby doskonałe zstępowały do szczegółów, ofiarując się na różne przykrości i na męczeństwo raczej, aniżeli na grzech, w słabszych jednak duszach takie ciężkie próbowanie się ani jest potrzebne, ani właściwe, chyba, jak zauważa Ludwik a Ponte, w pokusach co do rzeczy często się zdarzających, a szczególniej w tych, które były przyczyną poprzednich upadków. Jeżeli zaś przychodzą na myśl próby niezwykłe i nader trudne — wówczas, aby się doświadczyć, czy się jest gotowym na nie, wystarcza wogóle sobie powiedzieć, że „w każdej okoliczności przy pomocy łaski Bożej starałbym się być wiernym Bogu“, bo choć obecnie, gdy Bóg tego nie wymaga, nie czujemy się gotowi, nie mając Jego łaski, możemy napewno ufać, że w potrzebie nie odmówiłby nam takowej i że z nią zdobylibyśmy się na to, czegoby miłość Boża po nas wymagała. Stąd wniosek, że miłość Boska może być skuteczną w uczuciu i woli, a nie być skuteczną w rzeczy; mając bowiem nawet miłość uczuciową, można ze słabości ludzkiej pobłądzić. Dlatego, oprócz łaski potrzebnej do wzbudzenia miłości Boga nadewszystko, potrzebna jeszcze inna łaska do trwania w tej miłości przez czas długi bez grzechu. Jednakże gdyby kto łatwo w ciężkie grzechy wpadał, albo często je popełniał, byłby to znak, że ani w uczuciu nie miał skutecznej miłości Boga nadewszystko, nie jest to bowiem rzecz naturalna tak łatwo przechodzić z jednej ostateczności w drugą: od Boga najwyżej cenionego do wzgardy Jego dla rzeczy najlichszej.

Akty miłości Bożej.

1. Szczerze i z serca radować się, że Bóg jest Bogiem i jedynem Dobrem, i pragnąć, aby Go wszystkie stworzenia znały, kochały, chwaliły i czciły, i żeby Jego wola pełniła się, ponieważ jest Panem wszystkiego i wszelkiej miłości jest godzien.

2. Jak najczęściej akty miłości wzbudzać.

3. Wszystkie poruszenia serca, odetchnienia, kroki, wszystkie myśli, słowa, uczynki i dzieła odbywać z miłości ku Bogu, tak żeby jedyną naszą intencją we wszystkich sprawach była chwała, wola i miłość Boga.

4. Starać się, aby Bóg od wszystkich był znany, kochany, chwalony, i żeby Jego wola we wszystkiem się spełniała.

5. Ofiarować siebie całego, owszem być gotowym i życie i krew swoją za Boga wylać.

6. Boga zawsze w pamięci mieć obecnego, z Nim przestawać, rozmawiać, z Nim się jednoczyć, Jego chwalić, przed Nim się upokarzać, Jemu dzięki czynić, Jego błogosławić, czcić, Jemu się całkowicie oddawać i codziennie wszystko z Jego ręki przyjmować.

7. Pragnąć często posiadać Boga w niebieskiej ojczyźnie.

Znaki heroicznej miłości.

Miłość heroiczna, według Benedykta XIV[1]), poznaje się z następujących aktów zewnętrznych: z gorliwości o cześć i chwałę Boską; z pragnienia śmierci, aby się z Bogiem doskonale zjednoczyć; z radości wewnętrznej, znakami zewnętrznemi okazywanej, gdy mowa jest o Panu Bogu; z pokoju w przeciwnościach; z radości, gdy się zdarzy coś dla Boga wycierpieć. Dlatego Ś. Maksym wychwala miłość Ś. Piotra, że, będąc w łodzi, zobaczył Jezusa i miłością ku Niemu wiedziony, rzucił się w morze[2]). Ś. Agnieszka zakochanemu w niej młodzieńcowi odpowiedziała: „Odejdź odemnie, nie mogę opuścić Tego, z którym jestem miłością związana“. A Ś. Wawrzyniec mówił do katów: „Wasze płomienie niezdolne są przytłumić płomienia miłości Chrystusowej“[3]).

Te wszystkie akty, jeżeli są spełniane często, prędko, ochotnie, z radością, w rzeczach trudnych, z narażeniem życia i dóbr, wykazują miłość heroiczną i wypływają z daru mądrości. Podobnież oznaką miłości i umysłu ciągle do Boga zwróconego są częste rozmowy o Bogu, ciągłe rozmyślania o dobroci Bożej i o tajemnicach naszej religji, szczególniej o Męce Pańskiej, wielki smutek z utraty obecności Chrystusa Pana, najściślejsze zachowanie przykazań, rad, zachwycenia, porwania

[1]) Joan. 14, 21.

[1]) De serv. Dei beat. l. 3, c. 23. [2]) Hom. 4. [3]) Apud S. Leonem, Serm de S. Laur.

i inne oznaki, przez które Pan Bóg miłość sług swoich często zewnętrznie raczy objawiać.

Zachęta do miłości Bożej.

„Chcecie wiedzieć, mówi Ś. Bernard, dlaczego i jak Bóg ma być kochany? Oto przyczyną kochania Boga jest Bóg — a sposób — kochać bez miary [1]). Cóż oddam Panu za wszystko, co mi uczynił? W pierwszem dziele (stworzeniu) dał mi mnie, w drugiem (odkupieniu) dał mi siebie, a dając siebie, mnie mi oddał, za co Mu jestem obowiązany i dwakroć obowiązany". Nakoniec, gdy miłość dąży do nieskończoności, jaki przeto ma być sposób kochania Boga? Odpowiemy na to słowami Ś. Tomasza z Villeneuve: „Panie, dałeś mi to, za co jestem Ci obowiązany, daj mi także to, skąd Ci mam oddać, bo chociaż jestem niegodzien kochać Ciebie, ale Ty jesteś najgodniejszy kochania. Niech Cię więc miłuję wszelkiemi sposobami, niema bowiem miary w tem, coś dla mnie uczynił". Nie wielka to miłość, która zachowuje miarę, albo która szuka miary miłości, albowiem miarą miłości jest kochać bez miary, a powód do tego — żadnego nie szukać powodu. Miłość duchowna nie ma żadnego prawa, żadnej miary, gdyż sama jest i prawem, i powodem, i sposobem najwyższym [2]).

Co znaczy kochać Boga z całej duszy i ze wszystkich sił?

To znaczy: kochać bez ujmy, bez podziału, tak abyśmy nic w całej istocie naszej nie zachowywali dla siebie, ani dla stworzeń; aby Ten, który się nam cały oddaje, miał też nawzajem nas całych sobie oddanych. Strzeżmy się przeto wszelkiego podziału, gdyż Bóg odrzuca i gardzi ofiarą niecałkowitą. Przez całą duszę i przez wszystkie jej siły rozumie się — aby wszystkie władze duszy: rozum, pamięć i wolę do Boga obracać. Miłość nasza dla Boga nie ma być chwiejną czułostkowością, jakiemś poetycznem marzeniem, lecz powinna się okazywać w czynach, do których łaska uprzedzająca nas wzywa, a wzmacniać się aktami wytrwania. „Powinniśmy miłować Boga w pocie czoła i w natężeniu pracy rąk", mówi pięknie Ś. Wincenty à Paulo [3]).

Co znaczy kochać Boga ze wszystkich myśli?

To znaczy najpierw, że powinniśmy rugować wszystkie myśli, które się nie zgadzają z miłością Bożą i nie odnoszą do chwały Bożej i wspominać na wszystkie dobrodziejstwa Boskie, które są podstawą naszego bytu, dobrodziejstwa tak ogólne jak szczegółowe, dary doczesne, łaski duchowne, zastosowane do naszych potrzeb i usposobień, do czasu, do położenia w różnych życia naszego kolejach.

Powinniśmy na wzór Ś. Franciszka z Assyża Boga widzieć we wszystkiem. Powinniśmy żyć w obecności Boga, czuć się w ręku Jego, w Jego sercu, tak aby On był nam bliższym, niżeli my sami sobie, i aby każde nasze poruszenie, uczucie, myśli, słowa i sprawy odnosiły się jedynie do Jego miłości [1]).

Co znaczy kochać Boga z całego serca?

Kochać Boga z całego serca jest to naprzód nie dopuszczać żadnego uczucia przeciwnego miłości Bożej, a potem wszystkie uczucia serca do Niego obracać, kochając Jego tylko i to co On chce, abyśmy kochali. Jego tylko pragnąć i tego co do Niego prowadzi; z Nim tylko się radować, to jest z tego wszystkiego, co chwały Jego dotyczy, z Nim się tylko smucić, to jest z tego, co ściąga obrazę Jego Majestatu, nad Nim tylko się unosić, za Nim tylko tęsknić, dla Niego całą wdzięczność naszą zachować [2]).

Trzeba postępować zawsze w miłości.

Święty Augustyn mówi, że na tym świecie jest ciągła walka dwóch miłości: miłości Boga i miłości własnej. Jak wielka miłość własna doprowadza do zaprzania Boga, tak przeciwnie, prawdziwa miłość Boża prowadzi do zaparcia siebie. Duch miłości własnej, który ogarnął świat dzisiejszy, przywiódł go do zapomnienia o Bogu Stworzycielu i odmówienia Mu najwyższego prawa do serc naszych. Duch zaś miłości Bożej powinien nas przywieść do zapomnienia o sobie. Miłość Boża jest tym ogniem nadnaturalnym, który pożera i niszczy wszystko, co cielesne, ludzkie, ziemskie, stawiając na gruzach tego zniszczenia wspaniały gmach, dzieło łaski uświęcającej, i całej naszej wierności zamiarom Bożym względem nas — gmach, którego budowa ukończona i ukoronowana będzie w niebie. Tam dopiero posiądziemy miłość doskonałą. Na ziemi mamy dążyć do niej, zbliżać się do doskonałości, o ile zdołamy i nigdy w tem dążeniu nie ustawać, nigdy nie mówić: dosyć, ponieważ kto nie postępuje, ten ustępuje. Nie opierajmy się przeto nigdy błogosławionemu działaniu tych świętych

[1]) Tract. de dilig. Deo, c. 1. [2]) Serm. de S. Magd. [3]) Ibid.

[1]) Ibid. [2]) Ibid.

niszczących płomieni. Nie myślmy o tem, cośmy dotąd uczynili, lecz pilnie obmyślajmy, co nam jeszcze do uczynienia pozostaje. Niech miłość Boża będzie jedyną treścią wszystkich naszych zamiarów, intencji, wszystkich spraw naszych, nawet najdrobniejszych, najpospolitszych, ukrytych i przed światem nic nie znaczących. Pamiętajmy, że najmniejsza odrobina miłości Bożej przeważa i wynagradza Bogu za ogromy grzechów i zbrodni; usiłujmy przeto przez akty miłości wynagradzać Sercu Pana Jezusa i pocieszać Je za to mnóstwo zniewag i goryczy, któremi jest przesycone [1]).

Reguły co do niezwykłych aktów heroicznych miłości Bożej, a mianowicie co do pragnienia pójścia do piekła.

1-a reguła. Czasem można to uczynić.

Pismo Święte daje tego przykłady: Mojżesz[2]), wstawiając się za lud, tak się odezwał do Pana Boga: „Albo odpuść im tę winę, albo, jeśli nie uczynisz tego, wymaż mię z ksiąg, któreś napisał". Podobnie Ś. Paweł:[3]) „Żądałem odrzuconym być od Chrystusa za bracią moją". Były to uczucia miłości heroicznej, przekładającej dobro bliźniego nad męki piekielne, z pewnem słusznem zastrzeżeniem uważane, jak to wykłada ze Ś. Chryzostomem i innymi Korneljusz a Lapide. To samo okazuje się z przykładu starca Eleazara[4]), że „wolał pierwej iść do piekła, niżeli udawać, że odstępuje od prawa". Istotnie jak mówi Ludwik de Ponte[5]). „Tysiące piekieł miłość gotowaby znosić, aby tylko Bogu nie była wyrządzona krzywda, albo żeby już wyrządzoną zniewagę naprawić". Wszyscy Święci Ojcowie przypisują to ekscesywnej czyli zbytkującej miłości. Tak np. Św. Augustyn[6]), Kasjan[7]), Ś. Bernard[8]), Ś. Tomasz[9]), Ś. Bonawentura[10]). A Ś. Anzelm[11]) w ten sposób wyraża to uczucie. Jeżelibym z jednej strony hańbę grzechu, a z drugiej przepaść piekielną miał otwartą i musiałbym koniecznie w jedną z nich się pogrążyć, obrałbym raczej tę ostatnią. Wolałbym bowiem, będąc niewinnym, wejść do piekła, aniżeli zmazany grzechem wejść do nieba, ponieważ tylko źli w piekle cierpią męki, a sami dobrzy jedynie cieszą się szczęśliwością niebieską.

Inne podobne afekty można spotkać w Żywotach Świętych, jak to potwierdzają Alvarez[12]) i Nieremberg[13]). Główną przyczyną tego jest, według Ś. Tomasza [1]), że zło kary można i należy przekładać nad zło winy i dla uniknięcia takowej je wybierać, bo zło winy czyli grzech jest złem samem w sobie, sprzeciwiającem się Bogu i zdrowemu rozumowi, a zło kary nie jest przeciwne zdrowemu rozumowi, a tylko niedogodne dla człowieka. Raczej więc męki piekła wybierać należy, niżeli popełnienie grzechu, gdyby wypadło na jedno z dwojga się decydować. A nawet z większą zasługą można to i w takim przypadku uczynić, gdyby ktoś nie był obowiązany z przykazania, ale uważałby w tem większe upodobanie Boskie.

Wreszcie każdy człowiek, jeżeli ma skruchę doskonałą, jest ściśle obowiązany tak unikać ciężkich grzechów, aby przynajmniej w zasadzie wolał znosić kary piekielne. A zatem dusza doskonała może tego pragnąć nietylko w zasadzie, ale wyraźnie już nie dla uniknienia grzechu, ale dla spełnienia większego upodobania Bożego, działając doskonalej, niżeli jest obowiązaną.

Zarzut.

Ponieważ fałszywem jest przypuszczenie, żeby Bóg miał przeznaczać duszę niewinną do piekła, bo to zdawałoby się okrucieństwem, niesprawiedliwością; przytem w piekle jest rozpacz, a więc grzech jest nieodłączny od piekła, więc takie uczucie nie może być od Boga natchnione.

Odpowiedź. Przypadek taki jest zupełnie niemożliwy, jeżeli uważa się piekło ze wszystkiemi istotnemi okolicznościami, dlatego mówiąc bezwzględnie, nie należy piekła obierać ani dla uniknienia grzechu, ani dla upodobania Boskiego. Ale mimo to można wyobrażać sobie piekło tylko jako cierpienie, zdala od wszelkiej winy, z możliwością podobania się Bogu i kochania Go, i w takich warunkach można je wybierać. Akt zaś taki nie byłby bezużytecznym, bo mógłby służyć do okazania ciężkości grzechu i nienawiści do niego, a zarazem do wyrażenia heroicznej miłości Boga.

Drugi zarzut.

Uczucie radości z mąk piekielnych nietylko krewnych, ale i grzeszników nie zgadza się z przykazaniem miłowania bliźniego jak siebie samego, więc i ze swojego potępienia nie godziłoby się radować.

Odpowiedź. Uczucie to odnosi się do woli Bożej, z którą zgadzać się powinniśmy i do skutków sprawiedliwości Bożej i chwały Bożej, jaka stąd dla Boga wypływa i z tego cieszyć się na-

---

[1]) Ibidem [2]) Exod. 32, 32. [3]) Rom. 9, 3. [4]) 2. Mach. 6, 23. [5]) Exh. 9. § 2. [6]) L. 2. q. 147. [7]) Col. 23, c. 6. [8]) Serm. 12 in Cant. [9]) In cap. 9. Rom. lect. 1. [10]) In 4 de 7 itin. l. 5. [11]) In Simil. c. 191. [12]) Tr. 3 de Vit; l. 4, p. 3, c. 12. [13]) In flam. div. am. § 3.

[1]) L. 6, q. 48, a. 6.

leży, tak jak Błogosławieni z kar potępionych nawet krewnych swoich się cieszą.

Trzeci zarzut.

Że ktoś dla zbawienia drugich chciałby iść do piekła i pozbawić się nagrody wiecznej, jest to przeciwne porządnej miłości, według której w rzeczach duchownych człowiek więcej powinien kochać samego siebie, niż bliźniego.

Odpowiedź. Uczucie to również bierze się warunkowo, samą tylko karę piekła uważając, więc gdy, jak się wyżej mówiło, można tego pragnąć z miłości duchownej upodobania Boskiego, to również i z miłości bliźniego dla Boga. A więc porządek miłości nie jest przez to narażony, ponieważ według Ś. Tomasza [1]), nie wolno samemu na grzech się narażać, aby bliźniego zwolnić od grzechu.

2-a reguła. Takie uczucia są niewłaściwe dla dusz niedoskonałych.

Widzimy z przytoczonych tekstów Pisma Św., że tylko trzej doskonali mężowie, jak Mojżesz, Paweł i Eleazar, mogli się na to zdobyć. Tak utrzymują Ojcowie Kościoła, np. Ś. Chryzostom: „Ponieważ dalecy jesteśmy od tej miłości Pawła, więc ani myślą tego objąć nie możemy.“ Podobnie i Ś. Bonawentura, Ś. Anzelm, Alvarez i Nieremberg. Przyczynę tego podaje Doktor Anielski [2]). Do tego, by akty miłości Bożej i nienawiści grzechu były dostatecznemi, wystarcza, że są w ocenieniu nadewszystko, to jest, że człowiek wogóle pojmuje to w umyśle i stanowi w sercu, aby Boga przekładać i kochać Go nad wszystkie dobra, a obrazy Jego strzedz się nad wszelkie złe rzeczy wogóle. Ale zstępowanie do szczegółów mogłoby być niebezpiecznem dla niedoskonałych i narobić im mnóstwo skrupułów, bo nie umieliby rozpoznać, czy ten opór natury do rzeczy trudniejszych pochodzi z wyższej części duszy czy z niższej i na wielkie pokusy narazićby się mogli, walcząc ze sobą, jakby o rzeczy naglące z niebezpieczeństwem upadku ducha. Bo, gdy Pan Bóg nie stawia człowieka w jakichś trudnościach, albo nie wymaga od niego jakiejś ofiary, nic dziwnego, że też nie daje mu łaski odpowiedniej do zniesienia tych trudności lub wykonania rzeczy heroicznych.

Zarzut 1-szy.

Każdy penitent przy Sakramencie Pokuty powinien, przynajmniej domyślnie, tak za grzechy swoje żałować, żeby wolał raczej wszelką karę ponieść, niżeli zgrzeszyć, a zatem, przechodząc szczegółowo kary najcięższe, wyraźnie je obierać, niżeli grzech. Takie usposobienie zdaje się być właściwem, bo przez to i on i spowiednik może się upewnić o jego prawdziwym żalu.

Odpowiedź. Wszystkie i każdą z osobna kary wyraźnie przebiegać jest moralnem niepodobieństwem i na wielkie niedogodności naraża, wystarcza więc zamknąć je w ogólnym akcie, który do moralnego przekonania o żalu jest dostateczny.

Zarzut 2-gi.

Bez tego aktu wyraźnego, postanowienie nie byłoby dość skuteczne.

Odpowiedź. Niekoniecznie jest tak dalece mocne postanowienie, aby żadnym wymarzonym pokusom, gdy nadejdą, nie uledz, bo taki żal i postanowienie zaledwie w tem życiu można byłoby znaleźć, lecz aby żal był doskonałym, wystarcza ogólne postanowienie szczere i skuteczne: przy pomocy Bożej w każdem zdarzeniu starać się być wiernym Bogu.

Zarzut 3-ci.

Czasem dusza niedoskonała może być kuszoną i nakłanianą do grzechu przez najsroższe męki, jak np. przez ogień, więc przynajmniej w takim razie ma obowiązek wyraźnie postanowić raczej to wszystko znieść, a nawet obrać piekło, niżeli zgrzeszyć.

Odpowiedź. W razach niezwykłych wypada tylko polecić się Boskiej Opatrzności, która albo takich pokus na słabość naszą nie zeszle, albo takiej nam wówczas udzieli łaski, że opór temu stanie się dla nas łatwym. Więc dość jest ogólne uczynić postanowienie, a rozstrzygnięcie szczególnych wypadków zostawić na tę chwilę, gdy przyjdą. Na wypadki zaś niepodobne do prawdy najlepszą odpowiedzią byłoby nie odpowiadać albo odpowiedzieć, że mam to mocne przekonanie, iż gorszą jest rzeczą zgrzeszyć, niżeli wieczne męki cierpieć.

3-cia reguła.

Jeżeli przeto dusza jest dobrze doświadczona, doskonała i odznaczająca się w zaparciu, w pragnieniu cierpień dla chwały Bożej i znoszeniu wszystkiego dla zbawienia bliźnich, to, gdyby do takich nadzwyczajnych aktów czuła się pobudzoną, można jej pozwolić oddawać się im, czy to w kontemplacji, czy w innych razach. W podobny sposób można pozwolić duszom, które do niezwykłych uczuć bojaźni synowskiej są pobudzane. Zdarza się bowiem, zwłaszcza w czasie doświadczenia, oschło-

[1]) 2, 2. q. 26, a. 4. [2]) Quodlib. 1, a. 9.

ści i czarnych chmur, okrywających wszystko wnętrze człowieka, że dusze doskonałe strasznym uczuciom bojaźni podlegają. Przykłady tego mamy w psalmach i u Joba: „Ktoby mi to dał, abyś mię zakrył w piekle i zataił mię, ażby przeminęła zapalczywość twoja“ [1]).

4-a reguła.

Natchnienie Boskie potrzebne jest do tych uczuć.

Skoro takie uczucia są nadzwyczajne, więc i pobudki nadzwyczajnej wymagają i dlatego nie należy pozwalać duszom, by je wzbudzały według swego upodobania, ale tylko pod wyjątkowem natchnieniem Ducha Świętego. Pokazuje się to z potępienia zdań Biskupa z Cambrai, Fenelona, które on sam odwołał. Dostojny prałat sądził, że można przyjść do takiego stanu, w którym nie przemijająco, ale ciągle dusza zdobywa się na tego rodzaju akty wyrzeczenia się wszelkich własnych widoków z czystej miłości Bożej, na co już nie wpływa ani bojaźń kary, ani pragnienie nagrody, zasługi lub postępu duchownego, ani nawet szczęśliwości, jaka się w Bogu znajduje [2]).

Powinny też być zgodne ze zdrową teologją.

Nawet dusze doskonałe dobrze uważać powinny, aby te ich niezwykłe uczucia były według zdrowej teologji, to jest, miały znaczenie właściwe, choćby w sposób hyperboliczny, czyli przesadny były wypowiedziane. Dlatego Reguera [3]) nie potwierdza okrzyku, który zazwyczaj, lecz bez podstawy, Ś. Augustynowi przypisują: „Jeśliby Augustyn był Bogiem, a Bóg Augustynem, wolałby Augustyn przestać być Bogiem, aby nim był Augustyn“, bo ta przesada robi zamieszanie i nic nie znaczy.

5-a reguła.

Niedoskonali nie powinni lekceważyć tych aktów, ani je łatwo naśladować.

Albowiem nie są dla nich odpowiednie, jak mówiliśmy wyżej. Mogą one jednak być im pobudką do większego postępu w cnocie, nie w ten sposób, żeby pragnęli utrapień, śmierci i kar piekielnych z miłości Boga i bliźniego, ale by się do tej miłości mniej lub więcej doskonałej przygotowywali, przez znoszenie przeciwności i krzywd ich spotykających, tudzież przez bojaźń kar i nadzieję nagrody, jak mówi Ś. Chryzostom [1]).

Ale ćwiczyć się mają w miłości Bożej nadewszystko.

Do miłowania Boga nadewszystko zawsze nakłaniać trzeba nawet bardzo niedoskonałych, a chociaż nie wymaga się, aby schodzili do szczegółów, i Boga dla Niego samego uczuciem ocenienia kochali, należy jednak, aby ten akt o tyle był skuteczny, by w obecnem ich usposobieniu wszelką inną miłość tej miłości przeciwną wyłączał. Na tem bowiem zależy wywyższenie miłości Bożej nad wszystko, wymaganej tak do doskonałej cnoty miłości, jak do żalu doskonałego, a nawet do niedoskonałego, aby mogło z niego przynajmniej wypływać mocne i skuteczne postanowienie, inaczej bowiem nie może być usprawiedliwienia w Sakramencie pokuty.

6-a reguła.

W niektórych wypadkach należy postępować do rzeczy trudniejszych.

Tak doskonali jak niedoskonali powinni w niektórych razach przechodzić do szczegółów, wybierając raczej rzecz trudną, niżeli grzech, np. w czasie prześladowania tyranów przeciw wierze, albo gdy kto jest ciężko zagrożony, jeżeli nie odstąpi od czystości, i wtedy także, gdy ktoś przez nieprzyjaciela, czy to w osobie swojej, czy w dobrach materjalnych lub moralnych jest dręczony. Bywa to niekiedy koniecznem ze względu na stan, i tak np. żołnierz lub inny człowiek honorowy, któremu grozi niesława, jeśli odmówi pojedynku albo kupiec, któremu nastręcza się wybór między nieprawym zyskiem a bankructwem, powinni swój umysł uprzedzić i być gotowymi na znoszenie tego dla miłości Bożej, inaczej słusznie obawiać się trzeba, że ogólne postanowienie, o którem wspominaliśmy, nie będzie dość skuteczne.

---

[1]) Job. 14, 13. [2]) Prop. 1, 12 [3]) Theol. myst. T. 2, p. 135, n. 226.

[1]) L. 1. de Compunct.

ROZDZIAŁ XII.

Duch seraficzny jest duchem miłości i poświęcenia dla wszystkich

Naśladowca miłości Chrystusowej.

Chrystus nic tak usilnie i tak często nie starał się wrazić w serca uczniów swoich, jak miłość braterską. Nazywał ją s w o j e m przykazaniem i za miarę tej miłości podawał własną swoją miłość ku nim, mówiąc: „To jest przykazanie moje, abyście się społecznie miłowali, jakom ja was umiłował“ [1]). I to wskazał jako cechę prawdziwych swych uczniów, gdy powiedział: „Po tem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeżeli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu“[2]). Jakaż musiała być miłość Franciszka, który ze żłobu i z krzyża uczył się cnót Chrystusowych!

Miłość tę również jak inne cnoty posuwał do heroicznych poświęceń. Od pierwszego aktu takiej miłości rozpoczęło się jego nawrócenie, o czem sam opowiada w swoim testamencie, iż, mając wielki wstręt do trędowatych, przezwyciężył się i jednego z nich uściskał i ucałował. Potem zaś stało się to zwyczajną jego praktyką, a nieraz nawet z jednej miski z nimi jadał i wszelkie przysługi z miłością im oddawał. W innych też uczynkach miłosierdzia był jakby ustawiczny, a jeszcze gorliwszy w miłości duchownej, nauczając maluczkich wtedy nawet, gdy już dla ran odebranych z niemałą mu to trudnością przychodziło.

Sercem swojem ogarniał wszystkie bez wyjątku stworzenia, jako wyszłe z rąk jednego Ojca Niebieskiego, którego tak gorąco miłował. Dlatego okazywał litość nad ptaszkami, zwierzętami, a ogień i inne żywioły braćmi swoimi nazywał. Można o nim powiedzieć, że był uosobieniem miłości.

Co o tem mówił Ojciec Święty Leon XIII?

„Z miłością krzyża, powiada ten Papież o Ś. Franciszku [3]), wstąpiła mu w serce najżywsza

[1]) Joan. 15, 12. [2]) Ibid. 13, 35.

[1]) Enc. Auspicato.

i najgorętsza miłość bliźniego, która go pobudziła do odważnego szerzenia po świecie królestwa Jezusa Chrystusa i wystawiania się z tego powodu nieraz na widoczne niebezpieczeństwo. Miłością tą wszystkich ludzi obejmował, ale najuboższych i najbardziej strapionych kochał najserdeczniej, tak iż zdawało się, że szczególniej upodobał sobie nędzarzy, którymi pyszny świat zwykł pogardzać. Tym sposobem wielce się zasłużył powszechnemu braterstwu ludzi". I na innem miejscu: „W czasach ucisku i panowania siły, Franciszek zawsze wyciągał rękę do słabego i uciśnionego i w niewyczerpanem bogactwie swego ubóstwa nigdy nie omieszkał wesprzeć cudzej nędzy, zapominając o swojej".

Z miłości Bożej wzrastała w nim miłość bliźniego.

Miłość ku bliźnim, litość nad wszelkiego rodzaju nędzą i niedostatkiem, wzmagały się ciągle w jego duszy. Im więcej na coraz dłuższych i gorętszych modlitwach rozpalało się serce jego miłością Boga, tem większą przejmowało się litością nad cierpiącymi, nad ubogimi. Mówi bowiem Pismo Boże: „Jeśliby kto rzekł, iż miłuje Boga, a brataby swego nienawidził, nie miłował, nie wspierał, ten kłamcą jest"[1]). A Ojcowie Święci nauczają, że oddawanie się długiej modlitwie i ćwiczeniom wyższej pobożności bez większej zarazem miłości bliźniego, czyli bez gorliwszego nad ogół chrześcijan oddawania się uczynkom miłosierdzia, złudzeniem bywa albo obłudą, niebezpieczną z rzeczy świętych igraszką i zgorszeniem dla drugich. Co Pan Bóg złączył, tego Franciszek nie rozłączał; miłość bliźniego czynna, w dziełach miłosierdzia się objawiająca, szła u niego w parze z pobożnością. Im więcej wzrastała ostatnia, tem uczynniejszą stawała się tamta, czyli im więcej się modlił, tem więcej dobrego czynił, bo taka jest prawdziwa pobożność[2]).

Jak opatrywał ubogich.

Raz w kaplicy kortoneńskiej spotkał ubogiego, który zanosił się od płaczu, mówiąc, że nie ma czem wyżywić rodziny. Święty pocieszył go i dał mu nowy płaszcz, który mu niedawno zrobili bracia. „Daję ci to dla miłości Bożej, rzekł, z tym warunkiem, iż gdyby kto chciał ci go odebrać, abyś mu nie oddawał, póki ci nie zapłaci". Bracia, którzy ten płaszcz dla Franciszka zrobili, chcieli zmusić owego człowieka, żeby go zwrócił, lecz ten, polegając na słowach Świętego, żadną miarą się nie zgadzał, aż musieli znaleźć kogo, co go wykupił.

Jak sobie uważał ten obowiązek.

Jadąc raz na osiołku przez ulicę, spotkał biedną kobietę, nawpół nagą, która, zbliżywszy się do niego, prosiła, by jej dał jakie okrycie. Oddał jej zaraz swoją pelerynę. A gdy kobieta powiedziała, że tego dla niej nie dosyć, zdjął płaszcz z ramion brata, który mu towarzyszył, mówiąc doń: „Bracie miły, przecierpmy trochę zimna, żeby poratować tę biedną kobietę, nie godzi się bowiem prawdziwym ubogim, jakimi jesteśmy, mieć podwójne okrycie, gdy widzimy kogo tak ubogiego, że ani jednej całej sukni nie ma na sobie"[1]).

Pod jakim warunkiem przyjmował ofiary.

Wychodząc z miasta Sjenny, spotkał za bramą ubogiego, proszącego o jałmużnę. „Trzeba mi, rzekł Franciszek, oddać temu biednemu pelerynę, jako do niego należącą, mnie bowiem była ona tylko pożyczoną, dopóki kogo biedniejszego nie spotkam". Towarzysz, wiedząc, że Franciszek, jeszcze wtedy chory, potrzebuje cieplejszego okrycia, sprzeciwiał się, by płaszcza nie oddawać. Lecz Święty odpowiedział mu na to: „Najwyższy Jałmużnik za kradzieżby mi poczytał, gdybym tego, co mam na sobie, nie oddał więcej potrzebującemu". Z tej przyczyny, ile razy zaopatrywano go w jakie przedmioty, przyjmował je z warunkiem, czyli pozwoleniem, wyproszonem u dającego, że będzie mu wolno uczynić z tego jałmużnę, jeśli biedniejszego od siebie spotka. I w takim razie w żadnych rzeczach nie robił różnicy: oddawał płaszcz, tunikę, książki, a nawet i sprzęty kościelne, gdy inaczej nie mógł wesprzeć ubogiego. Jeżeli zaś w drodze spotykał biedaka, dźwigającego jaki ciężar, wtedy bez względu, że sam był osłabionym, brał takowy na barki, aby i tym sposobem przyjść w pomoc bliźniemu[2]).

Inne podobne wypadki.

Gdy Franciszek opuszczał Kortonę, gdzie miał kazanie, spotkał ubogą kobietę z dwojgiem dzieci nędznie odzianych, a było to w porze zimowej. Sam trochę wtedy cierpiący, miał na sobie krótki zakonny płaszczyk, który mu dano z litości, wiedząc, że jest niezdrów i zziębły, oddał go jednak kobiecie proszącej o jałmużnę. Jego towarzysz, wi-

[1]) Joan. 4, 20. [2]) Żyw. Ś. Fr. O. Prokopa T. I.

[1]) Tamże T. II. [2]) Tamże.

dząc to, odebrał płaszcz napowrót, mówiąc żebraczce, że nie powinna go przyjmować, gdyż Ojciec jest chory i jeszcze biedniej od niej przyodziany. Lecz Franciszek kazał niewieście płaszcz zatrzymać, a brata surowo upomniał. „Uklęknij, mój bracie, rzekł, wyznaj winę i zaraz powróć tej biedaczce, coś jej odebrał, a co z miłosierdzia dostała. Odzienie to było mi tylko pożyczone, dopóki nie znajdzie się ktoś uboższy odemnie". Nadeszło kilka osób, które, widząc czynną miłość Franciszka, uczuły się tem jeszcze więcej pobudzone do miłosierdzia, niżeli jego poprzedniemi naukami, a wszystko to i wiele innych podobnych zdarzeń, rozbudzało w mieszkańcach coraz większą cześć ku niemu [1]).

Jak opatrzył matkę braci.

Podczas pobytu jego w klasztorze Panny Marji Anielskiej przyszła do furty z prośbą o wsparcie bardzo uboga wdowa, matka dwóch Braci Mniejszych. Święty chciał ją opatrzyć, lecz gwardjan powiedział mu, że nic zgoła nie ma, chyba, że odda jej jedyny egzemplarz Nowego Testamentu, z którego bracia czytali w chórze. Franciszek kazał mu to uczynić i rzekł: „Nie wątpię, że więcej przypodobamy się Bogu, wspierając tę ubogą kobietę, aniżeli czytając Pismo Święte. Ona dała zakonowi naszemu dwóch synów, do wszystkiego więc, co jest nasze, ma prawo" [2]).

Jak siebie obdzierał z miłości.

Raz także przyszedł do klasztoru nawpół nagi żebrak i prosił o kawałek sukna, albo starego odzienia. Franciszek polecił jednemu bratu wyszukać coś takiego, lecz nic się nie znalazło. Wtedy sam wziął się do odpruwania od habitu swego kawałków sukna, które były na nim naszyte i chciał je oddać biednemu, ale gwardjan, dowiedziawszy się o tem, czem innem biedaka opatrzył [3]).

Jak ratował chorych.

Ledwie Franciszek wszedł na ziemię hiszpańską, zaraz uczynkiem wielkiego miłosierdzia zjednał sobie szczególne błogosławieństwo Boże na prace apostolskie w tym kraju i ludowi wiernemu z wielkiem jego zbudowaniem okazał, jaką miłością bliźniego nacechowany był jego zakon. Spotkał przy drodze chorego biedaka, który nie mógł sam iść dalej, a tak opuszczony był od wszystkich, że już tam od dwóch dni bez żadnego ratunku i wsparcia pozostawał. Ulitował się nad nim serdecznie mąż Boży, widząc zaś, jak wielką biedak miał stąd pociechę, a zarazem, jak się kłopocze, co będzie, gdy bracia odejdą, nakazał jednemu ze swoich towarzyszów, Bernardowi z Kwintawalu, aby przy nim pozostał i starał się go gdzie umieścić, nie odstępując, aż się przekona, iż chory bez jego opieki obejść się może. Bernard z największą ochotą spełnił zlecenie Świętego Ojca, lecz długo musiał tu zostawać, gdyż dopiero powracający do Włoch Franciszek, zabrał go z sobą, zastawszy ubogiego zupełnie zdrowym [1]).

[1]) Tamże. [2]) Tamże. [3]) Tamże.

Poświęcenie się trędowatym.

Od pierwszej chwili swego nawrócenia Święty Patryarcha zrozumiał, że najlepiej zdoła naśladować Chrystusa, gdy na wzór Jego okaże się miłosiernym dla ludzi, i dlatego postanowił oddać się na usługę trędowatych. Nietylko jednak posługiwał im w chorobie, ale przynosił im pociechę dla serca, której wszelkiego rodzaju nieszczęśliwi, a szczególniej z jakiegokolwiek powodu oddaleni, odrzuceni, odepchnięci od drugich, więcej niż każdego innego wsparcia wyglądają. Tego zaś najbardziej pozbawieni byli trędowaci. Gdy więc raz, obawiając się zarażenia swoich synów, zgromił jednego z nich, że trędowatego sprowadził do klasztoru, ukarał się za ten brak miłości, jedząc z jednej misy z tym nieszczęśliwym. Bracia, patrząc na to, trzęśli się z obrzydzenia i zanosili od płaczu, a ile razy później to zdarzenie przyszło im na pamięć, tyle razy wszelkie, choćby najwstrętniejsze potrawy, wydawały im się bardzo smacznemi.

Nawraca trędowatego miłością.

Innym znów razem bracia Franciszka przyszli go zawiadomić, że jeden z trędowatych, których pielęgnowali w sąsiednim szpitalu, nietylko obsypywał ich obelgami i razami, ale bluźnił nawet przeciwko Jezusowi i Jego Najświętszej Matce. „Chętnie, mówili, znieślibyśmy razy i obelgi, ale nie mogliśmy słyszeć bluźnierstw, a zresztą obawialiśmy się, aby sama nasza obecność nie uczyniła nas wspólnikami zbrodni". Wysłuchawszy ich, Franciszek poszedł do trędowatego, przystąpił doń i kłaniając mu się, powiedział: „Niech cię Bóg obdarzy pokojem, mój synu!" — „Pokojem? — odrzekł chory, — a jakże ja mogę mieć pokój, od czasu jak Bóg mnie go pozbawił, zamieniając ciało moje w jedną cuchnącą ranę". — „Bądź cierpliwym, mój bracie, Święty mu na to; cierpienia ciała zsyłane są od Boga dla dobra naszej duszy i gdy je cierpliwie znosimy, zmieniają się na kosztowne brylanty, któ-

[1]) Tamże T. I s. 173.

re Bóg dodaje do naszej korony w niebie".—„A jakże ja mogę je znosić, odpowiedział grubjańsko trędowaty, kiedy mnie one ani na chwilę nie opuszczają, a bracia powiększają tylko moje utrapienia". Franciszek oddalił się na stronę, ukląkł i przez chwilę się modlił, a powróciwszy do chorego, rzekł: „Mój biedny bracie, ponieważ nie jesteś zadowolony z innych, więc ja sam będę ci usługiwał".—„Chętnie, odpowiada chory, ale co ty mi więcej zrobisz niż oni?" — „Wszystko, co zechcesz". — „A tak, to co innego! Chcę, żebyś mi obmył całe ciało, bo wydziela się z niego taki nieznośny smród, że już dłużej nie mogę wytrzymać". Święty kazał niezwłocznie zagrzać wody zmieszanej z pachnącemi ziołami, rozebrał trędowatego i obmył jego rany, a gdzie tylko przeszła jego błogosławiona ręka, krwawe łuski wrzodów natychmiast odpadały, pokazując świeżą różową skórę. Co zaś jest niezrównanie większym cudem,—trąd duszy leczył się razem z trądem ciała. Łzy płynęły obficie z oczu nowonawróconego, a słowa żalu z serca przeszły na usta. Z pokorą wyznał swą winę i, łkając, zawołał: „Biada mi, bo zasłużyłem na piekło za znieważanie braci i za bluźnierstwa przeciw Bogu!" Jego nawrócenie było zupełne; prosił, aby mu przyprowadzono kapłana i odtąd tak gorliwy był w naprawianiu swych występków, jak był dawniej prędki w ich popełnianiu. Franciszek, podziękowawszy Bogu, wyszedł ze szpitala, obawiając się chwały, jaką podobny cud mógł wywołać. Po upływie dwóch tygodni podobało się Najwyższemu wyzwolić trędowatego od nędz tego świata: zasnął spokojnie, opatrzony Świętemi Sakramentami. Jak tylko został pochowany, ukazał się naszemu Świętemu, trwającemu wtedy na modlitwie w lasku obok klasztoru. „Ojcze, powiedział, czy poznajesz mnie?" — „Któż ty jesteś?" spytał Franciszek. „Jestem ów trędowaty, którego Pan najmiłosierniejszy uleczył dla twych zasług. Dzisiaj odchodzę do wieczności i dziękuję za to Bogu i tobie. Bądź błogosławiony na duszy i na ciele, w słowach i uczynkach, bo mnóstwo dusz winno ci będzie zbawienie. Wiedz, iż niema dnia, żeby Aniołowie i Święci nie dziękowali Bogu za szczęśliwe owoce, które ty i twój zakon sprowadzacie na całą powierzchnię ziemi. Ciesz się więc, wychwalaj dobroć Boga i zostań z Jego błogosławieństwem". Po tych słowach wzniósł się w górę, zostawiając Franciszka z sercem przepełnionem radością. Oto, jakiemi czynami Święty zachęcał swych nowicjuszów do postępowania drogą poświęceń i jakiemi cudami podobało się Bogu wynagradzać gorliwość swego sługi [1]).

[1]) Ś. Fr. za życia i po śm. kap. franc.

Jak przykładem swoim zachęcał braci do miłosierdzia.

Braci niezdolnych do nauczania Święty Ojciec przeznaczał do posługi trędowatym po szpitalach, w których znajdowała się wielka liczba tych nieszczęśliwych podówczas ludzi. A jak w pracach apostolskich był dla swych synów najwyższym wzorem gorliwości, tak widzieliśmy, że i w poświęceniu się na najprzykrzejsze usługi około trędowatych był dla nich niezrównanym przykładem. Ile tylko mógł, poświęcał na to czasu, a niekiedy całe dni i noce przebywał z braćmi przy tych biedakach. Sam prześcielał ich łóżka, opatrywał ich rany, oczyszczając je ze smrodliwej ropy z przedziwną zręcznością i troskliwością, i bardzo często, aby oszczędzić im cierpienia, posługiwał się własnym językiem. Taką zaś wielką wagę do tych miłosiernych uczynków przywiązywał, że gotowość na służenie trędowatym kładł dla zgłaszających się do jego zakonu jakby za główny warunek. Jeśli więc którzy z nich obok wszelkich innych zalet i zdolności, okazywali wstręt do tej posługi miłosierdzia, wcale ich nie przyjmował, a mieliśmy już sposobność przekonać się, że i dla siebie samego, co do miłości należnej tym biednym chorym, był sędzią jak najsurowszym [1]).

Jak zalecał miłość bliźniego braciom.

Święty Franciszek, zalecając swym synom wszystkie cnoty i najskuteczniej ucząc tychże własnym przykładem, ciągle przedstawiał im na sobie najwyższy wzór tej królowej cnót wszystkich, to jest miłości bliźniego. Któż bowiem, powtarzając słowa sprawiedliwego Joba, mógł właściwiej powiedzieć o sobie: „Od dzieciństwa mego rosło ze mną użalenie i z żywota matki wyszło ze mną?"[2]). Wiadomo bowiem, że Seraficki Patryarcha narodził się w stajni, jakby dlatego, aby miał zawsze litość nad ubogimi i cierpiącymi.

Jak zabraniał posądzania.

Zalecał on braciom, aby nikogo z ludzi zuchwale nie przesądzali i nie pogardzali tymi, którzy rozkosznie żyją i miękkie szaty noszą, gdyż jak to często mawiał: „Pan Bóg jest Ojcem wszystkich i mocen powołać ich do siebie, a powołanych usprawiedliwić. I oni też są Jego sługami, więc nie godzi się nam ich przesądzać, albowiem Panu swojemu stają lub upadają. Owszem, powia-

[1]) Żyw. Ś. Fr. O. Pr. T. I s. 151. [2]) Job. 31, 18.

dam wam, kończył, że poczytywać ich powinniśmy za panów i braci: za panów, ponieważ z dóbr swoich udzielają na potrzeby sług Bożych, czyniących za nich pokutę; za braci, gdyż przez tego, co i my, Boga są stworzeni“ [1]).

Jak starał się o zgodę.

Uczył ich też Ś. Patryarcha, jak mają zapobiegać niesnaskom wśród bliźnich swoich. Gdy powstały wielkie niezgody między Biskupem Assyskim i gubernatorem, Święty posłał do nich dwóch braci, polecając, aby im zaśpiewali hymn o słońcu: „Idźcie zaraz do gubernatora, rzekł, i powiedzcie mu odemnie, żeby z najpierwszymi panami poszedł do pałacu Biskupa, a gdy tam przybędzie, zaśpiewajcie przed nimi pieśń o słońcu (z dodatkiem, który był umyślnie w tym celu ułożył). A mam nadzieję i owszem, pewien jestem, że ich zatwardziałe serca zmiękczą się i postanowią między sobą wieczny pokój“, co też się stało wedle przepowiedni Świętego.

O jedności i zgodzie z duchowieństwem.

Niemniej starał się Franciszek, aby bracia zachowywali miłość i zgodę z duchownymi, dlatego często mawiał do nich: „Wiedzcie o tem, bracia moi, że mamy być pomocnikami kapłanów i innych zakonników w pracy nad zbawieniem dusz, aby w ten sposób ratowany był Kościół i pomnażała się wiara święta. Myślę, że to właśnie chciał mi powiedzieć Biskup Assyski, gdy na początku mego nawrócenia przestrzegał mnie, zalecając ostrożność, aby w tych czasach tak burzliwych zakon mój nie podniósł rogów i od Kościoła nie odstąpił. Dlatego postanowiłem sobie zawsze sam czcić i chcę, aby bracia wszyscy z serca czcili prałatów i kapłanów i zakonników Świętego Kościoła. Wiecie, że niema rzeczy milszej Bogu nad dusz zbawienie, a sprawa ta zawsze pójdzie nam lepiej, gdy będziemy w pokoju i przyjaźni z innymi duchownymi. Przeto, gdyby niektórzy z nich chcieli wam przeszkadzać, pragnę, abyście nie spierali się z nimi, ale wszystko zostawili Bogu; wam zaś niech wystarczy cnota, pokój wewnętrzny i posłuszeństwo Kościołowi, żeby żadnego z was nie było zgorszenia. W ten sposób pozyszczecie razem Bogu lud i duchowieństwo i zakony, z czego będzie większa chwała Boża, niż gdybyście sam lud tylko mieli pozyskać. Uważajcie tedy, abyście nigdy nie psuli dobrej sławy duchownym, owszem, starajcie się zawsze pokrywać ich niedostatki i nagradzać tam, gdzieby oni co opuścili.

Jak okazywał miłość braciom.

Każdy stosunek Ś. Franciszka z braćmi był nacechowany tą miłością Boga i ludzi, która mu zjednała tytuł ziemskiego Serafina. Każdego, a szczególnie chorych, otaczał opieką najczulszej i najtroskliwszej matki. Młodszych utwierdzał na drogach Pańskich, dla starszych zaś był z wielkiem uszanowaniem. Gdy widział potrzebę upomnienia brata, który był kapłanem, czynił to sam na sam i zawsze z należnem uczczeniem jego godności.

Miłość względem braci chorych.

Były chwile, w których ojcowskie serce Franciszka objawiało się w sposób bardzo tkliwy, mianowicie kiedy którzy z uczniów jego, w zapale gorliwości, wziąwszy ciężaru nad siły, osłabł na służbie Bożej. Pewnej nocy jeden z braci, przebrawszy miarę w poście, zaczął jęczeć z wycieńczenia: „Umieram z głodu“, żalił się cichym głosem. Franciszek usłyszał ten jęk łaknącej owieczki i, jako dobry pasterz, wstał natychmiast, kazał podać, co tylko było najlepszego w refektarzu i, aby biedny brat, jedząc sam jeden, nie czuł się upokorzonym, usiadł z nim wraz z innymi braćmi do stołu. Gdy już było po jedzeniu, do pokarmu dla ciała dodając obrok dla duszy, powiedział krótką naukę o cnocie roztropności: „W Starym Zakonie kazał Bóg ofiary posypywać solą, co nie było bez symbolicznego znaczenia, bo przez to chciał nas nauczyć, że w dobrowolnych, jakie Mu zanosimy, pokutach, każdy winien ściśle liczyć się ze swojemi siłami. Kto odmawia ciału istotnej jego potrzeby, tak samo źle czyni, jak i ten, kto mu daje za dużo. Otośmy, dodał, użyli małej uczty z bratem naszym, w czem nie sądźmy, byśmy się rozminęli ze wstrzemięźliwością. Miłość buduje dusze, ale nigdy nie służy zmysłom“.

Jak pocieszał strapionych.

Przedewszystkiem okazywał się miłosiernym dla strapionych, a szczególniej, gdy kto doznawał wewnętrznych niepokojów, które w nim największą litość i współczucie obudzały. Razu pewnego jeden z najpierwszych braci przyszedł doń smutny, prosząc, aby się za niego pomodlił, bo jest napastowany przez szpetną i ciężką pokusę. Święty wiedział, że brat ten, bardzo pobożny zakonnik, bez żadnej swojej winy doznaje tych napaści zło-

[1]) Ś. Franc. O. Prok.

Ś. FRANCISZEK ZAMIENIA SUKNIE Z UBOGIM.

Fresk Giotta w kościele górnym Bazyliki Ś. Franciszka w Assyżu

go ducha. Uściskał go więc serdecznie i rzekł: „Niech to, synu mój, nie odbiera ci ufności i niech cię nie przywodzi do upadku na duchu. Nie myśl, że jesteś gorszym od innych, dlatego, że cię szatan kusi. Owszem, tembardziej poczytywać się winieneś za wiernego sługę Bożego. Nikt na drogach Bożych nie staje się doskonałym, kto nie przechodzi przez pokusy i utrapienia wewnętrzne. A jeśliby kto cieszył się z tego, że ich nie doznaje, niech wie, że nie zesłał mu Bóg takowych, gdyż znana mu jest wielka jego słabość i nędza. Wierny jest Bóg, który nie dopuszcza kusić was nad to, co wytrzymać możecie [1]) i dlatego na silną tylko duszę silne dopuszcza walki“ [2]).

Zapewnia brata o swojej miłości.

Jeszcze jeden rys, bardziej wzruszający niż poprzednie, wykaże nam tę ojcowską tkliwość Świętego dla swych synów. Brat Ryzerjusz z Muccia, który został później Błogosławionym, podlegał czas jakiś najstraszliwszej pokusie rozpaczy; zdawało mu się, że jest skazany na wieczne potępienie i że dlatego Święty go unika. Straciwszy już siły i odwagę, pomyślał: „Wstanę i pójdę do Ojca; jeżeli mnie przyjmie łaskawie, będę miał nadzieję, że Wszechmocny Sędzia zlituje się nademną; jeżeli postąpi inaczej, będzie to znakiem, że i Bóg odtrącił mnie od łona miłosierdzia swego. I poszedł natychmiast do pałacu Biskupa, gdzie Franciszek, blizki już zgonu, pielęgnowany był przez swego dostojnego protektora. Święty, wiedząc z objawienia o przyczynie tej podróży, wysłał na spotkanie przybywającego braci Leona i Masseusza. „Idźcie, powiedział do nich, idźcie naprzeciw tego brata, który przychodzi mnie odwiedzić; uściskajcie go odemnie i powiedzcie mu, że ze wszystkich moich braci jego najbardziej kocham“. Posłuszni synowie spełnili polecenie, a brat Ryzerjusz, wzmocniony w wierze, przejęty został niewypowiedzianą ufnością i radością. Jak tylko wszedł do pokoju Świętego Ojca, ten, pomimo wycieńczenia i osłabienia, wstał z łóżka, wybiegł na jego spotkanie i rzekł: „Mój drogi synu, kocham cię z całego serca, nad wszystkich moich braci na świecie“. Potem, robiąc znak krzyża świętego na czole swego ucznia i całując go, dodał: „Bóg dopuścił tę pokusę dla większego dobra twej duszy, ale ponieważ ona ci się wydaje zbyt przykrą, nie będziesz nadal doznawał ani pokus, ani doświadczeń“. W samej rzeczy od tego czasu Ryzerjusz odzyskał spokój i radość wewnętrzną, aby ich już nigdy więcej nie utracić [3]).

[1]) I Cor. 10, 13. [2]) Żyw. Ś. Fr. O. Prok., T. I, s. 147. [3]) Thomas de Celano. Vita prima c. XVIII.

Jak pocieszał brata, usługującego mu w chorobie.

Gdy Ś. Franciszek ciężko był chory i ciągłej potrzebował obsługi, żal mu było bardzo brata, który przy nim czuwał, iż ani w dzień ani w nocy nie mógł sobie odpocząć. „Bracie i synu mój najmilszy, rzekł do niego; proszę cię, niech ci nie będzie ciężko cierpieć dla mnie i trudzić się w tej mojej chorobie. Pan mój zapłaci tobie i na tym i na tamtym świecie za to utrudzenie, jakie dla mnie ponosisz, i wynagrodzi też one wszystkie dobre uczynki, które teraz, starając się o mnie, opuszczasz. Owszem, zapewniam cię, że gdy mi czynisz tę łaskę, więcej zyskujesz, niżeli gdybyś się modlił: bo ci, którzy mi w tak wielkiej potrzebie służą, oddają posługę wszystkiemu ciału naszego zakonu. Przeto i ty możesz bezpiecznie mówić do Boga, ofiarując Mu tę czynność swoją: Oto ja, Panie, obracam czas ku posłudze tego człowieka, za którego Ty mi zostajesz winnym, gdyż ja mu służę dla Twojej miłości“ [1]).

Nie zazdrościł nikomu.

Pomiędzy swymi uczniami Franciszek miał ludzi wyższych od siebie nauką i wymową, a mianowicie: brata Eljasza i Ś. Antoniego Padewskiego. Wiedział on o tem, ale daleki od zazdrości, jaka powstaje tylko w umysłach ciasnych i pysznych, winszował im tego i nie obawiał się mówić, ściskając ich z całem wylaniem serca: „Moi bracia, dobre nowiny, jakie mi zwiastujecie, obudzają we mnie radość, podobną do tej, jakiej się doznaje, oddychając powietrzem łąk i kwitnącej winnicy“ [2]).

Z jaką słodyczą przestrzegał.

Wszelkie przestrogi, jakie dawał braciom, czynił z największą łagodnością, bez jakiegokolwiek wzruszenia. Nigdy się nie zdarzyło, aby głos podniósł. Twarz jego, zawsze przyodziana słodyczą i jaśniejąca pokojem, najmniej się nie zmieniała. A tak trafiał do serca braci, że każdy z nich po upomnieniu nietylko wnet się poprawiał, lecz jakby nowego nabierał zapału do wiernej służby Bożej, a Świętego Ojca jeszcze więcej miłował i z tem większą poufałością do niego się garnął. Jak bowiem z jednej strony było w nim coś, co w najlekkomyślniejszych nawet obudzało głębokie dlań uszanowanie, tak znowu w każdym jego stosunku z braćmi jaśniała taka słodycz, łagodność, miłość

[1]) Kroniki Braci Mniejszych str. 641 [2]) Ś. Fr. za życia...

i pokora, że i najtrwożliwsi szli do niego śmiało, jak dziecko do matki, we wszelkich swoich potrzebach doczesnych i duchownych [1]).

Jak zalecał miłość wzajemną.

W stosunkach między sobą chciał widzieć w braciach swoich taką miłość, aby ludzie, patrząc na nich, z tego głównie uznawali ich wiernymi wykonawcami Ewangelji Ś., w której sam Pan Jezus powiedział: „Po tem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu“. W tym celu wymagał, aby bracia przy codziennem roztrząsaniu sumienia, szczególnie pod tym względem jak najściślej się rachowali. „Chcę, mówił do uczniów swoich, aby w każdym naszym klasztorze panowała najserdeczniejsza zgoda i miłość braterska ze wszystkiem, co w niej jest najdoskonalszego. Błogosławiony niech będzie zakonnik, który miłuje wszystkich swoich braci i nie ośmiela się pod ich nieobecność nic takiego mówić lub czynić, czegoby sobie nie pozwolił w ich przytomności. Jeżeli więc któremu z braci będzie dowiedzionem, że rozsiewał obmowę, niezgodę, niechęć, wymierzycie mu surową karę, na którą w zupełności zasłużył, gdyż używał języka, jako miecza do szarpania wnętrzności bliźniego. W krótkim czasie po tych groźbach przyprowadzono doń zakonnika, który zgrzeszył przeciwko miłości. Mąż Boży, wiedząc z doświadczenia, że najlżejsze błędy mogą mieć skutki bardzo opłakane, jeśli je puścimy bezkarnie, rozkazał winnemu zdjąć habit. Była to jedna z cięższych kar, a porównać ją można ze zdegradowaniem żołnierza [2]).

Jak zalecał zgodę i jedność braterską.

Pragnąc, aby wszyscy bracia zjednoczeni byli między sobą węzłem zobopólnej miłości, Święty Ojciec nauczał ich, aby, wedle słów Apostoła, weselili się z weselącymi, a smucili z płaczącymi, nie dając między sobą miejsca zarozumiałości albo niechęci, i żeby zarówno starsi jak młodzi, mądrzy jak prostacy mieli się za braci, i jak bracia prawdziwie się miłowali. „Zakon nasz, mawiał przytem, jest to wielkie i powszechne zgromadzenie, w którem zbiera się ze wszystkich stron świata bardzo wiele ludzi pod jedną ustawą. Mądrzy, jako prawdziwi uczniowie Chrystusa Pana, powinni w niem z ochotą spełniać najniższe posługi, wyznaczone dla prostych. Prości zaś będą mieli stąd wielkie zbudowanie, widząc jak tamci ćwiczą się w cnotach i jak chętnie uczą się mądrości Ducha Świętego, przygotowując swe umysły do nauki Boskiej teologji. Z drugiej zaś strony prości pilnie o to starać się mają, aby większy postęp czynili w cnotach, niż w naukach, i żeby naukę, którą widzą w uczonych, sobie na pożytek obracali, budując się z ich poszanowania Reguły i prostego sposobu życia. Chociaż bowiem uczeni z wysokiego są stanu i chociaż mogliby po pańsku żyć na świecie, a jednak tak bardzo się upokorzyli, by uczcić wielkość i godność Boga. „Na tej pięknej zgodzie, dodawał Święty, zawisł prawdziwy pokój, zawisła piękność i doskonałość całego Zgromadzenia. A gdy tak zjednoczeni będą bracia miłością, przyjemnymi się staną Ojcu Niebieskiemu, który, jak tu ich zrodził i chował ustawicznie w swej łasce, tak też potem złączy ich w chwale wiecznej“.

Co w Regule o miłości bliźniego przepisywał.

W Regule tak dla braci jak i dla sióstr, kilkakrotnie o miłości wspomina. Chciał, aby bracia lub siostry nigdy się ze sobą nie sprzeczali, a jeśliby który zawinił co przeciw miłości, wymagał, aby nie wszedł z drugimi na modlitwę, pókiby, upadłszy do nóg, nie przeprosił obrażonego. Nakazuje im, aby zawsze byli cisi, łagodni i współczujący, aby każdy swobodnie mógł potrzeby swoje drugim objawiać, aby o chorych szczególne mieli staranie, jak to pokazywał własnym swoim przykładem, wymagając, aby ta braterska ich miłość przewyższała miłość matki dla ukochanego dziecka. Podobnież zalecał swoim naśladowcom miłość względem obcych, aby żyjących inaczej niż oni nie sądzili i nie wyśmiewali; aby się strzegli względem nich zazdrości, obmowy, i szemrania, żeby dla cudzego grzechu nie gniewali się, aby błądzących przyjmowali z miłosierdziem, aby dla zbawienia drugich chętnie się na wszystkie niewygody i niebezpieczeństwa narażali i gotowi byli poświęcić się dla nich na wzór Chrystusa.

Jaka miłość panowała między braćmi.

I rzeczywiście jaśniała pomiędzy nimi jedność i miłość braterska: jedną ożywieni byli wiarą i, jakby jedną mieli wolę, obyczaje najświątobliwsze, wspólny sposób myślenia i w każdem obejściu wielką uprzejmość. Chodzili zawsze we dwóch, aby jeden o drugiego potrzebach pamiętał. Nieraz zdarzało się, że, aby brata zaopatrzyć w niezbędne środki do życia, towarzysz jego wystawiał się na wzgardę ludzką, albo też największemi nie zrażał się tru-

[1]) Żyw. Ś. Fr. O. Pr. [2]) Tamże.

dnościami. Gdy zaś który zapadł na zdrowiu, towarzyszący otaczali go taką opieką i troskliwością, na jaką zdobyć się może tylko przyjaźń prawdziwa, bo w Bogu zawiązana i dla Boga trwająca.

W pożyciu klasztornem najmniejsze wykroczenia przeciwko miłości, chociażby jakie słówko nierozważnie wyrzeczone, uważali sobie bracia za wielkie przewinienie. W przełożonych widzieli zastępców Chrystusa Pana, ci zaś, stosując się do słów Pańskich, byli pomiędzy nimi jako służący[1]).

Co piszą o tem towarzysze Świętego Ojca.

Trzej towarzysze Franciszka tak to opisują: Bracia miłowali się jak najczulej i wspierali się wzajemnie z taką bezinteresownością i z taką ochotną gorliwością, że rodzona matka nie zdołałaby troskliwiej służyć jedynemu i najmilszemu synowi. Zdawało im się rzeczą łatwą oddać życie swoje nietylko dla miłości Pana Jezusa, lecz i dla dobra wiecznego lub doczesnego braci. Pewnego razu dwaj z nich, idąc drogą, spotkali furjata, który począł ciskać w nich kamieniami. Natychmiast jeden wysunął się naprzód, chcąc raczej samemu przyjąć ten grad kamieni, niż dopuścić, by drugi był na nie wystawiony. Jeżeli któremu zdarzyło się wymówić niebacznie jakie przykre słowo, tak mocno tego żałował, że spokoju sobie znaleźć nie mógł, dopóki nie wyznał winy i nie uprosił brata obrażonego, by mu nogą na usta nastąpił. Prośba ta często bywała daremna, więc ten, który zawinił, jeśli miał zwierzchność nad obrażonym, nakazywał mu to w imię posłuszeństwa, a jeśli był prostym tylko bratem, to u przełożonego podobny rozkaz wypraszał. Tym sposobem trzymali zgromadzenie swoje zdala od wszelkiej niechęci i urazy, zachowywali między sobą miłość prawdziwą i stawali się mistrzami w pokonywaniu każdego grzechu, zwalczając go przeciwną mu cnotą i postępując w doskonałości przy pomocy i łasce Zbawiciela[1]).

Co mówi o tem Tomasz z Celano.

Drugi życiopisarz, Tomasz Celano, jeszcze piękniej opisuje serdeczną miłość, jaka w onych pierwszych czasach łączyła wszystkich braci w jedną rodzinę. „U nowych tych uczniów Chrystusowych, powiada on, było serce jedno i dusza jedna. Nie dostrzegłbyś między nimi żadnej zazdrości, ani przekory, ani posądzania, ani urazy. Nie usłyszałbyś z ust ich żadnego słowa złośliwego, ani mowy gorzkiej. Miłowali się zobopólnie, żyli w pokoju, chwalili Boga, dzięki czynili. Za największe szczęście uważali, gdy mogli być razem; a kiedy posłuszeństwo, rozsyłając ich w różne strony, sprawiało między nimi rozłączenie, wzdychali za dniem, kiedy się znowu spotkają. A gdy nadeszła ta chwila, kto wypowie ich radość! Jakie za każdem takiem spotkaniem rozpromienienie na twarzy, jakie święte uściski, jakie serdeczne rozmowy, jaka skwapliwość w oddawaniu posług jeden drugiemu! Prawdziwie, byli to bracia, uszczęśliwieni z tego, że znowu dano im było mieszkać społem“[1]).

Jak bracia naprawiali naruszenie miłości.

Im lepiej widzieli bracia, że Ojciec ich pragnął, aby się ćwiczyli w miłości i żarliwości o zbawienie dusz, tem pilniej się starali w tych cnotach postępować, a jeśli który z nich przypadkiem dał powód do jakiegoś najmniejszego zgorszenia, zaraz z wielką pokorą przepraszał, ofiarując się na każdą pokutę. Trafiło się, iż pewien brat, dawny w zakonie, w obecności jakiegoś mieszczanina rzekł drugiemu bratu ostre słowo. Spostrzegłszy się naraz, że jednemu bliźniemu dokuczył, a drugiego zgorszył, rozgniewał się sam na siebie; wziął w usta gnoju oślego, a gryząc go mocno, mówił: „Jedz, gębo, to plugastwo, gdyżeś ośmieliła się podnieść przeciw bratu i wyplunąć mu na twarz jad gniewu twego“. Mieszczanin, widząc to, bardzo się zbudował i z większą jeszcze życzliwością niż dawniej ofiarował się na posługi zakonu[2]).

Jakie stąd wnioski wychodzą.

Niema przeto wątpliwości, że miłość bliźnich, posunięta aż do poświęcenia, stanowi charakterystyczną cechę ducha serafickiego. A zatem ci z synów Ś. Patryarchy, którzy drugich lekkomyślnie sądzą lub nimi pogardzają, albo zazdroszczą innym i kalają swój język obmowami i szemraniem, lub też mało wogóle troszczą się o zbawienie bliźnich, chociażby długo dniem i nocą się modlili, chociażby ściśle pościli i karności zakonnej surowo przestrzegali, bynajmniej nie mogą się nazywać rodzonymi synami Ś. Franciszka i to za pewne o sobie trzymać powinni, co Apostoł stanowczo powiada: „Jeżelibym miłości nie miał, niczem jestem i nic mi to nie pomoże“[3]).

---

[1]) Żyw Ś. Fr. O. Prok., T. I str. 149. [2]) Tres Socii.

[1]) Młodość Ś. Franciszka s. 230. [2]) Kronika str. 569. [3]) I Cor. 13.

Miłość i poświęcenie naśladowców Franciszka Seraficiego.

Ś. Elżbieta Węgierska, 3 Zak. (1231 r.).

Elżbieta od kolebki nie mogła bez wzruszenia patrzeć na ubóstwo i nędzę, a po zamążpójściu, gdy małżonek zostawił jej zupełną wolność w tej rzeczy, oddała się bez granic swemu naturalnemu pociągowi niesienia pomocy ubogim i cierpiącym. Dochodami swojemi tak hojnie szafowała, że często, nic już nie mając, zdejmowała z siebie ubranie i klejnoty, i te rozdawała ubogim. Ale samo dawanie jałmużny nie zaspokajało jeszcze gorącego jej serca. Czuła ona potrzebę osobistego poświęcania się, spełniania posług najniższych, opatrywania najwstrętniejszych wrzodów, czując, że prawdziwe miłosierdzie polega na zbliżeniu się serdecznem do ludzkiej nędzy. Chodziła więc pieszo do najuboższych chatek, niosąc z sobą, co jej się zdawało potrzebnem, pocieszała biedaków więcej swoją słodyczą, niż hojnością. Nawiedzanie konających, czuwanie nad zwłokami i zajęcie się pogrzebem należało także do zwykłych jej posług.

Miłość jej dla trędowatych.

Pomiędzy nieszczęśliwymi, obudzającymi najżywsze współczucie Elżbiety, na pierwszem miejscu byli trędowaci. Święta bez względu na niebezpieczeństwo zarazy, nawiedzała ich, siadała na ich łóżkach i długie prowadziła z nimi rozmowy, zachęcając do cierpliwości, ufności i poddawania się woli Bożej. A przedewszystkiem własnoręcznie opatrywała ich rany. Raz, gdy landgraf wyjechał na kilka dni do innego zamku, Elżbieta, zostawszy sama, z podwójną gorliwością oddała się tej posłudze. Między jej protegowanymi był pewien biedak, imieniem Helias, w tak okropnym stanie, że go już wszyscy opuścili. Elżbieta wykąpała go sama, namaściła jego wrzody i położyła w łóżku swego męża. Niespodzianie książę nadjechał i, uprzedzony przez matkę o tem, co się stało, wszedł z pewną niecierpliwością do komnaty i odsłonił raptem firankę swego łóżka. Lecz Pan Bóg rozjaśnił wzrok jego duszy i zamiast trędowatego, ujrzał na pościeli ukrzyżowanego Chrystusa.

Jej zwycięstwo nad naturą.

Nie sądźmy, że Elżbieta w tych uczynkach miłości szła tylko instynktownie za popędem swego serca i że miała wszelką łatwość do poświęceń. Przeciwnie, w tych czynach heroicznych musiała nieraz walczyć ze wstrętem natury, a czyniła to z takiem męstwem, zapałem i stałością, że trudno nawet w żywotach Świętych znaleźć podobne przykłady.

Raz, wracając z kościoła, spotkała ubogiego żebraka, przyprowadziła go z sobą do domu i wzięła się zaraz do obmywania jego rąk i nóg. Lecz robiąc to, tak nadzwyczajnego doznawała wstrętu, że drżała na całem ciele z obrzydzenia. Chcąc to uczucie zwyciężyć, rzekła do siebie w duchu: „Ach, ty obrzydliwy worze zgnilizny, brzydzisz się tak bardzo, a nie wiesz, jakiego napoju dostaniesz“, i to mówiąc, wypiła wodę z obmytych ran żebraka. Potem, zwracając się do ukrzyżowanego Zbawiciela: „O, mój Panie, zawołała, przyjmij to na pamiątkę octu i żółci, któremi pojony byłeś na krzyżu. Spraw, aby ten napój zleczył nędzną duszę moją“.

Uczynki duchownej miłości.

Nietylko fizyczne cierpienia swych bliźnich ogarniała swem sercem ta gorąca uczennica Chrystusowa. Nie traciła ona z uwagi zdrowia duszy i nigdy nie zapominała o duchownem lekarstwie dla swych ubogich. Do hojnych jałmużn i tkliwych starań o potrzeby doczesne łączyła zawsze zbawienne rady i upomnienia. Ściśle i skrupulatnie czuwała nad tem, aby ubodzy podawali bezzwłocznie do Chrztu swoje dzieci i aby chorzy zawczasu byli opatrywani Świętemi Sakramentami.

Otaczanie się ubogimi w życiu domowem.

Mieszkając w Marburgu, nie zaprzestała bynajmniej swoich dobroczynnych wycieczek, a jeśli zdarzyło się jej spotkać ubogich, których cierpienia szczególnego wymagały współczucia, brała ich już nie do szpitala, lecz do swego domu, oddając się całkiem na ich usługi. Pomiędzy innymi wzięła do siebie chłopca sierotę, sparaliżowanego od urodzenia, idjotę i cierpiącego na ciągłe płynienie krwi. Dziecko to znalazło w niej więcej niż matkę: całe noce nieraz czuwała nad niem, pieściła, pocieszała. Gdy umarło, wzięła zaraz na jego miejsce dziewczynkę, tak strasznie zeszpeconą trądem, że nikt z obawy zarazy nie chciał się do niej przybliżyć. Elżbieta, przeciwnie, otoczyła ją czcią religijną, jakby pod tą zasłoną boleści ukazał się jej żywy Pan Jezus. Uklękła przy jej łóżku, obmyła i namaściła rany, obcięła u rąk i u nóg paznogcie i tak starannie ją pielęgnowała, że stan nieszczęśliwej wkrótce się polepszył. Spowiednik, dowiedziawszy się o tem i, bojąc się, aby się nie zaraziła, kazał natychmiast dziewczynkę oddalić, lecz, uczyniwszy

to z posłuszeństwa, Elżbieta znalazła wkrótce inne dziecko, niemniej obrzydliwą dotknięte chorobą, pielęgnowała je, leczyła i zatrzymała przy sobie aż do śmierci.

Miłość nieprzyjaciół.

Będąc już wdową i cierpiąc od poddanych swoich wielkie krzywdy, ta sługa Boża udała się na modlitwę i prosiła Pana Boga gorąco ze łzami w oczach, aby za każdą krzywdę, jaką jej wyrządzili, obdarzył jej prześladowców jakąś osobną łaską. Gdy tak się modliła, rozległ się głos: „Nie oddałaś mi nigdy wdzięczniejszej modlitwy jak teraz, za co ci też odpuszczam wszystkie twoje grzechy i daję ci łaskę moją“ [1]).

Bł. Lukezjusz, 3 Zak. (1242 r.).

Od czasu przyjęcia Trzeciej reguły Pokutujących, Lukezjusz z podwójnym zapałem dążył do doskonałości, a miłość jego dla bliźnich coraz jaśniejszym błyszczała płomieniem. Poświęcił się prawie wyłącznie uczynkom miłosiernym, a Pan Jezus, który za kubek wody, podany ubogiemu, hojnie nagradza, płacił mu za to obfitemi łaskami. Bonę Donnę bardzo to gniewało, że mąż jej wszystko z domu wynosi i robiła mu częste lecz bezskuteczne wymówki za rozrzutność. Dnia jednego, rozdawszy ubogim wszystek chleb, jaki był w domu, Lukezjusz prosił żony, żeby poszukała jeszcze w komorze, bo żebracy wciąż nowi napływają. „Widać, odrzekła niecierpliwie, że ci posty i dziwactwa rozum odjęły, skoro nie dbasz o siebie samego. Nie mamy nawet kawałka chleba na dzisiejszą wieczerzę, idź sam szukać, czy co znajdziesz dla twoich nienasyconych dziadów“. — „Miej ufność, powiedział Lukezjusz łagodnie, idź do śpiżarni, a pamiętaj o Tym, co pięciorgiem chleba nakarmił całą rzeszę“. Żona usłuchała, a zobaczywszy w śpiżarni cudownie pomnożone zapasy chleba, nawróciła się ostatecznie i została wierną towarzyszką cnót i zasług Lukezjusza.

Nie mając sam dosyć dla zaspokojenia potrzeb ubogich, Lukezjusz żebrał dla nich pomocy u bogaczów. Zbierał też ludzi bez dachu i umieszczał ich w przytułkach i szpitalach. Raz, dowiedziawszy się, że wielu takich tuła się nad brzegiem morza, naładował na osła wszystko, co jeszcze posiadał i poszedł im służyć. Nakarmiwszy ich, dotąd nie spoczął, póki nie znalazł dla nich schronienia; przyczem jednych przewoził na ośle, drugich trzymał pod rękę, a najsłabszych na plecach nosił. Dnia pewnego, idąc z takim ciężarem, spotkał rozpustnego młodzika, który, rozśmieszony jego widokiem, zapytał: „Jakiego to djabła niesiesz na plecach?“— „To nie djabeł, ale Chrystus, odpowiedział sługa Boży, bo Ewangelja mówi, że cokolwiek uczynicie tym najmniejszym, mnieście uczynili“. Pan Bóg, doraźnie karząc bluźnierstwo, odjął mowę zuchwalcowi, który wtedy dopiero uznał swój błąd, okazując znaki pokuty, i na modlitwę Świętego został uzdrowiony [1]).

Ś. Roża z Witerbu, 3 Zak. (1252 r.).

Róża, idąc za przykładem Braci Mniejszych, poświęciła się pod ich kierunkiem na usługę ubogim. W ich osobie widziała Zbawiciela, kochała ich więcej, niż siebie samą i pomimo swego ubóstwa zawsze potrafiła wspomagać ich jałmużną. Podczas wielkiego głodu, jaki panował w Witerbie, chodziła codzień odwiedzać chorych, pocieszać strapionych i często pozbawiała się swej porcji, aby ją zanieść pokryjomu ubogim Chrystusowym. Bóg niejednokrotnie cudem okazywał, jak Mu ta wspaniałomyślność była miłą. Pewnego dnia, wychodząc z domu, święta dziewica niosła pod fałdami sukni chleb dla ubogich. Ojciec, spotkawszy ją, zapytał, co niesie, a gdy Róża zmieszana odsłoniła suknię, pokazały się zamiast chleba śliczne świeżutkie róże, które zapachem swoim napełniły powietrze, chociaż to nie była pora ich kwitnienia [2]).

Brat Juniper z Assyża (1258 r.).

Święty ten brat odznaczał się wielkiem miłosierdziem względem ubogich. Gdy spotkał którego z nich zziębłego, odrzynał sobie kawał habitu i okrywał nim biedaka, tak że często wracał do domu nawpół nagi i gwardjan musiał mu zabronić przez posłuszeństwo, żeby tego więcej nie robił. Po tym zakazie Juniper spotkał raz żebraka, który go prosił o jałmużnę: „Braciszku, rzekł, nie mam ci co dać oprócz tego habitu, ale mi to zakazano przez posłuszeństwo; jeżeli jednak sam mi go zdejmiesz, nie będę ci go bronił. Żebrak zgodził się na to, a on, obnażony, wrócił do swoich, opowiadając, że jakiś ubogi zdjął z niego suknię zakonną. Lecz Juniper nietylko ubranie, ale i wszystko co mógł, rozdawał potrzebującym, jako to: księgi, ubiory z ołtarza, dzwoneczki, płaszcze innych zakonni-

[1]) Żyw. Ś. Elżbiety Węg. przez hr. Montalembert.

[1]) L'aur. séraph. T. II le 28 avril [2]) S. Rose de Viterbe par M. Léon de Kerwal.

ków; znali go też bracia pod tym względem i wszystko przed nim chowali.

Kronika „Fioretti - Kwiateczki Ś. Franciszka“ opisuje następujący wypadek. Było to Boże Narodzenie i Juniper znajdował się w Assyżu, gdzie modlił się przed ołtarzem, pięknie, jak tylko można było, przystrojonym. Korzystając z jego obecności, zakrystjan poprosił go, żeby nie odchodził, bo on tymczasem pójdzie się posilić, a tu ktoś musi pilnować, żeby nic nie zginęło. Juniper oświadczył się z gotowością pilnowania i zatopił się w modlitwie. Wkrótce do świątyni weszła uboga kobieta i poprosiła go o jałmużnę dla miłości Bożej. Na co brat Juniper: „Poczekaj, zobaczę czy nie będę mógł ci dać czego z ołtarza, a spostrzegłszy złotą ozdobę, bardzo cenną, z dzwonkami srebrnemi znacznej wartości, rzekł do siebie: „Te dzwonki są tu zbyteczne i to mówiąc, odciął je i dał proszącej. W tej chwili przyszedł do kościoła zakrystjan, przypomniał sobie bowiem miłosierdzie Junipera i lękał się, żeby mu jakiej szkody nie wyrządził. Ale już było zapóźno. Podniósłszy wzrok do góry, przekonał się, że dzwonki zostały oderwane. Oburzył się na to bardzo i łajał brata Junipera, który znów uspokajał go, że nic się takiego nie stało: dał je ubogiej kobiecie, a tu one do niczego nie służyły, bo tylko do ozdoby. Zakrystjan wybiegł czemprędziej szukać kobiety, ale nietylko nigdzie jej nie znalazł, lecz nikt nie umiał mu powiedzieć, czy tędy przechodziła. Wrócił się więc do klasztoru, zdjął ozdobę i zaniósł do Ministra generalnego, mówiąc: „Ojcze, proszę cię o sąd nad bratem Juniperem, który zepsuł mi tę ozdobę najpiękniejszą w całej zakrystji, oderwał wszystkie dzwonki ze srebra i dał je pewnej ubogiej“. Minister generalny zaś: „Nie zrobił tego Juniper, ale twoja głupota. Powinieneś znać jego sposoby. Dziwię się nawet, że i tej reszty nie podarował komu“ [1]).

Ś. Ludwik, król francuski, 3 Zak. (1270 r.).

Święty monarcha w całem życiu swojem i w każdej okoliczności był pocieszycielem chorych i smutnych, sługą nędzarzy i trędowatych. Codzień w pałacu królewskim otrzymywało żywność trzynastu ubogich, a trzech ich jadało zawsze przy małym stoliku obok króla, który często dawał im potrawy ze swego stołu. Pewnego dnia przyniesiono królowi porcję buljonu. Dobry monarcha nadrobił w nią chleba i kazał podać jednemu z ubogich. Ten, zapuściwszy swoje brudne wrzodowate palce w miskę, wyjął parę kawałków chleba i odsunął talerz, mówiąc, że więcej jeść nie będzie. Ludwik widział dobrze wszystko, ale mimo to poprosił, żeby mu zwrócono zupę i zjadł ją ze smakiem, ku zdumieniu wszystkich obecnych. W piątki i soboty każdego tygodnia sam obsługiwał trzynastu ubogich, którzy jedli wtedy w jego komnacie, i dawał im sutą jałmużnę. W sobotę wybierał z tej liczby trzech najbiedniejszych i na klęczkach umywał im nogi, obcierał i całował, poczem, ucałowawszy im ręce, wypuszczał hojnie obdarzonych jałmużną. Nieraz, gdy biedacy ci byli wstrętniejsi niż zwykle, dworzanie królewscy chcieli go wyręczyć, lecz król nie pozwalał na to, bo serce jego rwało się do wszelkich uczynków miłosierdzia. Pewnego dnia jeden z ubogich, nie przypuszczając, że ma z samym królem do czynienia, rzekł z prostotą: „Patrz, niedbale mnie umyłeś, nogi są jeszcze brudne“. Obecni zdumieni byli tem zuchwalstwem, lecz król, spełniając życzenie biedaka, umył mu znowu nogi i z pobożnością je ucałował. Spowiednik jego małżonki, Małgorzaty Prowanckiej, powiada, że król często nawiedzał szpitale w Paryżu, Compiègne, Pontoise, Wersalu, Orleanie i Reims, aby służyć chorym. Każdemu z nich zwykle dawał pewną ilość pieniędzy, chleba, mięsa, ryb, a to stosownie do stanu jego zdrowia. Sam krajał dla nich to jedzenie, a słabszym podawał nawet po Reims, aby służyć chorym. Każdemu z nich zwykle w objęciach. Niektórzy z chorych byli tyle wstrętni, że oficerowie królewscy, brzydząc się, stali na boku, a zdarzało się nieraz, że wychodzili z sali, nie mogąc znieść zepsutego powietrza. Lecz dobry król zdawał się nic nie odczuwać. Tak wzniosły przykład skłonił kilku rycerzy do naśladowania i oddali się tak samo na usługę bliźniego [1]).

Ś. Bonawentura (1274 r.)

Ten pracownik Pański, który tyle głębokich dzieł zostawił i bardzo gorliwie zarządzał całym zakonem, znajdował jeszcze czas na odwiedzanie chorych po domach i szpitalach. Widziano go często przy łożu konających, jak ich pocieszał i według możności ratował, oddając wszelkie pokorne posługi z największą uprzejmością i miłością. Nie oszczędzał swego zdrowia, narażał się chętnie na zaraźliwe choroby, a im które cierpienie było wstrętniejsze, z tem większym zapałem, przezwyciężając wstręt naturalny, rwał się do posług takim chorym [1]).

[1]) Kwiateczki Ś. Franciszka.

[1]) L'aur. séraph. T. III. [2]) Ibidem.

Co mówi kronika o przybyciu Braci do Anglji.

Autor angielskiej kroniki przytacza następujące zdarzenie. Wkrótce po osiedleniu się braci, znalazło się wielu takich, którzy, idąc za natchnieniem Bożem, prosili o przyjęcie do zakonu. Najpierwszy otrzymał tę łaskę brat Salomon, młodzieniec wysokiego rodu i ujmującej powierzchowności. Trafiło mu się, że chodząc po kweście, skostniał raz od zimna tak mocno, iż czuł się już bliskim śmierci. Bracia nie mieli go czem rozgrzać, miłość jednak podała im sposób. Wszyscy, ilu ich było, otoczyli go i póty nań chuchali, aż przyszedł do siebie.

Wspomina też i o drugim bardzo wzruszającym wypadku. Do jednego z pierwszych domków franciszkańskich przyszli pewnego wieczora dwaj bracia bardzo strudzeni i znękani pragnieniem. Ponieważ nie było ich czem ugościć, gwardjan za radą starszych ojców posłał na kredyt po miarkę piwa (był to zwykły napój w tym kraju). Ojcowie domowi, chcąc, aby było więcej dla przybyłych, sami nie pili, ale dla okazania miłości, postawili przed sobą kubki i udawali, że piją [1]).

Bł. Piotr ze Sjenny, 3 Zak. (1289 r.).

Piotr Pettignano, znany więcej pod nazwą Piotra ze Sjenny, pracując przez cały dzień na utrzymanie, znajdował jeszcze czas na uczynki miłosierdzia. Spełniał je naprzód ze swoją pobożną małżonką, a gdy ta wcześnie go odumarła, nie zostawiając dzieci, sprzedał wszystko, co miał, rozdał ubogim, i przyjął regułę Trzeciego Zakonu. Odtąd poświęcił się głównie dla nieszczęśliwych i potrzebujących. Dzielił z nimi dochody swego skromnego utrzymania, zostawiając sobie to tylko, co mu było niezbędne, aby nie umrzeć z głodu. Widziano go codzień w szpitalu Najśw. Panny la Scala, niosącego chorym ulgę wedle możności i spełniającego najniższe posługi. Wolał on znieść największą przykrość i odmówić sobie wszystkiego, byle tylko mógł przyjść z pomocą tym, którzy cierpieli jaki niedostatek [2]).

Bł. Dawanzat, kapłan 3 Zak. (1295 r.).

Święty tercjarz cały dochód ze swego probostwa rozdawał ubogim, których był prawdziwą Opatrznością; aby zaś módz większą ich liczbę opatrywać, przestawał najczęściej na posiłku z chleba i wody. Pielgrzymi znajdowali u niego zawsze serdeczną gościnność, nieraz ustępował im nawet swego łóżka, a sam kładł się na gołej podłodze. Wzamian za to miłosierdzie Pan Bóg nagradzał go darem czynienia cudów. Będąc już podeszłym w latach i głośnym w całej okolicy ze swej nauki i świętości, Błogosławiony wziął do siebie bardzo zacnego młodzieńca, aby go wykształcić na kapłana. Pan Bóg poszczęścił jego zamiarowi: uczeń tak dobrze korzystał z nauki i przykładu swego mistrza, że w krótkim czasie stał się wiernem jego odbiciem. Z polecenia proboszcza opatrywał on wszystkich ubogich, jacy się tylko zgłaszali, a jednakże, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, widział, że im więcej dawał, tem więcej mu przybywało. Powiedział to raz swemu ojcu duchownemu, na co ten odrzekł z uśmiechem: „Mój synu, niech cię to nie zadziwia, czyż nie wiesz co mówi Pismo Święte: „Dawajcie, a będzie wam dano“ [1]).

Ś. Ludwik Andegaweński, Brat Mniejszy (1297 r.).

Od najmłodszego wieku ten syn królewski miał niezmierną litość dla ubogich i nieszczęśliwych, w których widział swoich braci w Chrystusie, a nawet samego Chrystusa cierpiącego. Oddawał im też, o ile mógł, rozliczne usługi, które Bóg częstokroć cudami uświęcał. Jednego dnia wziął on ukradkiem ze stołu kawałek mięsa, aby go zanieść pewnemu biedakowi. Król, uwiadomiony o tem, zastąpił mu drogę i spytał co tak z pałacu wynosi, lecz gdy dziecko odkryło płaszcz, znalazł w zanadrzu tylko pęk świeżych kwiatów. Pora była zimowa i Karol II łatwo domyślił się cudu, pozwolił więc odtąd swemu synowi oddawać się wszelkim uczynkom miłosiernym. Po odejściu ojca, kwiaty wróciły do pierwotnej swej formy i świątobliwy młodzieniaszek mógł swego zamiaru dopełnić.

Wrodzone uczucie miłosierdzia wzrosło w nim jeszcze za czasów niewoli w Barcelonie. Oddawał się tam z największem poświęceniem usłudze chorych, opatrywał ich jałmużną, wzmacniał na duchu, a w święta zapraszał do siebie, ugaszczał i sam z radością im służył. Miał wtedy lat 18. Raz w Wielki Czwartek kazał sprosić do siebie wszystkich trędowatych z całego miasta, pamiętając, że Zbawiciel uczynił się dla nas, jako trędowaty, poraniony i zeszpecony. Pomiędzy przybyłymi znajdował się jeden tak wstrętnej powierzchowności, że nikt na niego nie mógł patrzeć. Bracia Ludwika bali się go, lecz Święty, zbliżywszy się doń, z większą

[1]) Przybycie Braci Mniejszych do Anglji przez Tomasza Ecclestown. [2]) L'aur. séraph. T. I.

[1]) Ibidem.

jeszcze pobożnością umył mu nogi i z wielkiem uszanowaniem mu służył. Nazajutrz, chcąc tę samą posługę względem niego spełnić, kazał go szukać po całem mieście, ale go nigdzie nie było, nawet inni trędowaci nigdy o nim nie słyszeli. Można więc przypuszczać, że sam Pan Jezus ukazał mu się w tak wstrętnej postaci, aby mu dać okazję do nowej zasługi miłosierdzia.

Na biskupstwie.

Wyniesiony na godność biskupią, Ludwik pokochał jeszcze goręcej swych biednych braci w Chrystusie, którzy byli zarazem jego owieczkami. Odwiedzał ich w szpitalach, przyjmował u siebie, ugaszczał, obmywał im nogi i pokornie im usługiwał. Dochody swoje z dyecezji podzielił na trzy części: jedną obracał na utrzymanie swego domu, drugą na kościoły, a resztę oddawał ubogim.

Jadąc raz do Paryża, spotkał żebraka, prawie zupełnie nagiego; zdjął przeto z siebie suknie, aby go przyodziać i dopiero na najbliższym przystanku dopełnił swego ubrania. Innym razem, gdy jechał przez rynek w Tuluzie, blizko jakiejś ubogiej chałupki, usłyszał stamtąd wołanie chorej kobiety, która prosiła o spowiedź. Ludwik zatrzymał się natychmiast, aby jej wyświadczyć tę przysługę, a gdy towarzyszący mu kapłan chciał go zastąpić, nie pozwolił na to, mówiąc, że to jest jego owieczka, więc do niego należy ten obowiązek. Wszedłszy do chaty, wyspowiadał chorą, pocieszył ją, nakarmił własnemi rękami, posławszy do swego domu po posiłek i zostawił jej nadto znaczną jałmużnę na lekarstwa i pożywienie. Gdy wyszedł stamtąd, słudzy spostrzegli na ubraniu jego mnóstwo robactwa i powiedzieli: „Ksiądz Biskup pięknie się ustroił, nawiedzając tę chorą“, lecz Święty, rozweselony tem, odpowiedział: „Dajcie pokój, to przecież są perły ubogich“ [1]).

Ś. Elzear de Sabran, 3 Zak. (1325 r.).

Elzear od lat dziecięcych okazywał wielkie miłosierdzie. Gdy ujrzał żebraka, nie mógł się uspokoić, dokąd w jego drobne rączyny nie włożono jałmużny dla ubogiego. W piątym roku życia wszystko, co dostał dla swojej przyjemności, dobrowolnie biednym oddawał. Więcej lubił bawić się z nimi, niż z dziećmi swojego stanu, szczególniej zaś przy obiedzie musiał mieć obok siebie kilkoro biednych dzieci. Takie upodobania świadczyły o charakterze łagodnym, dobroczynnym, pełnym współczucia dla wszelkiej nędzy. I później, gdy wyrósł, Elzear nigdy nie odprawiał ubogich bez jałmużny, a tych, którzy się wstydzili żebrać, sekretnie wspomagał, posyłając im pieniądze przez ludzi zaufanych. Codzień przyjmował u siebie dwunastu żebraków lub trędowatych, którym sam umywał twarz i nogi. Potem całował ich, służył im do stołu i opatrywał jałmużną. Zamek jego był miłą gospodą dla duchownych. Zakonników bardzo serdecznie przyjmował, szczególniej cieszył się, gdy dom jego nawiedzali kaznodzieje. Hojnie ich obdarzał, spodziewając się pozyskać przez to udział w ich zasłudze i nagrodzie prac apostolskich.

Pan Bóg nagradza go cudami.

Będąc raz w licznem towarzystwie na polowaniu, Święty usunął się cichaczem od orszaku i poszedł odwiedzić dom trędowatych, stojący w lesie. Zastał tam sześciu nieszczęśliwych, których widok był okropny. Niektórzy mieli usta jakby w strzępkach wiszące, a zęby obnażone, tak iż trudno było na nich patrzeć. Elzear powitał ich życzliwie, przemówił do nich, zachęcając do cierpliwego znoszenia tego krzyża, a wreszcie, przezwyciężając dreszcz obawy, który go na sam ich widok przejmował, czule każdego z nich uścisnął. W tejże chwili cały ten szpitalik napełnił się wonią niebiańską i wszyscy trędowaci nagle zostali uzdrowieni. Hrabia Ariano opatrzył każdego z nich hojnym datkiem i odjeżdżając zalecił, aby za życia jego nie ogłaszali doznanego cudu. Pan Bóg jednak, chcąc wsławić cnotę swego sługi, nowym ją cudem objawił. Gdy Elzear wychodził ze szpitalika, nad głową jego zajaśniała światłość, która domek cały oświeciła i wzrastała coraz bardziej, w miarę jak Święty zbliżał się do swego pałacu.

A oto nowy dowód łaski Boskiej. Podczas ciężkiego głodu, którym Bóg doświadczył okolicę, Elzear hojnie rozdawał zboże ubogim, nie licząc się nawet, czy mu zostanie na domowe potrzeby. Lecz Pan Bóg, nagradzając tę hojność sługi swego, sprawiał, że zboże i mąka w śpichlerzach jego cudownie się rozmnażały, tak że mógł zaspokajać wszystkich proszących [1]).

Ś. Roch z Mąpelje (Montpellier), 3 Zak. (1327 r.).

Słynnym ze swego miłosierdzia jest członek Trzeciego zakonu, Ś. Roch, do którego w kraju naszym istnieje wielkie nabożeństwo. Przyszedł on

[1]) Ibidem. T. III.

[1]) S. Elzear de Sabran par M. Berguin, tertiaire.

na świat w r. 1295 z rodziców możnych lecz wiekowych, a więc niespodziewających się potomstwa, i był przez nich wychowany w zasadach najwyższej pobożności. Przez ojca zostawał w pokrewieństwie ze Ś. Ludwikiem królem i Ś. Ludwikiem Andegaweńskim, przez matkę zaś ze Ś. Elżbietą Węgierską. Gdy doszedł do 20-go roku, ojciec jego, czując swój blizki koniec, zostawił synowi pobożne rady, dotyczące dalszego życia: „Oddaj się gorliwie służbie Bożej, mówił do niego; bądź wsparciem i pomocą wdowie, sierocie i wszelkiej ludzkiej niedoli. Strzeż się szczególniej skąpstwa, które jest źródłem wszelkich grzechów. Bądź okiem ślepego, nogą kulawego, ojcem ubogich i wiedz, że używając na dobre tego, co ci pozostawiam, otrzymasz błogosławieństwo Boga i ludzi". Pobożny młodzieniec przyrzekł spełnić wolę ojca, a gdy i matka wkrótce go odumarła, zapragnął całkowicie oddać się Bogu i bliźniemu. Odstąpił przeto swoją godność książęcą wujowi, sprzedał wszystko co miał, pieniądze rozdał ubogim, a sam w ubiorze pielgrzyma udał się do Rzymu nawiedzić groby Świętych Apostołów. Wtedy właśnie wstąpił do Trzeciego Zakonu Ś. O. Franciszka i poświęcił się usłudze chorych. Wspominaliśmy już na innem miejscu [1]), że raz jeszcze potem opuścił kraj, aby się oddać bliźnim cierpiącym we Włoszech, nawiedzonych podówczas straszną zarazą, i że na tej posłudze sam życie zakończył [2]).

Bł. Klara z Rimini, Klaryska (1346 r.).

Świątobliwa pustelnica, pełna poświęcenia, chodziła niekiedy zbierać jałmużnę dla ubogich i rozdawała ją własnoręcznie, pokrzepiając nietylko ciało, ale i ducha, i budząc w sercach miłość Bożą. W tym czasie zakonnice, wygnane z Reggio z powodu zamieszek politycznych, wstrząsających całym krajem, schroniły się do Rimini. Błogosławiona Klara stała się ich opatrznością, i gdyby nie ona, Siostry Ubogie znalazłyby się w ostatniej nędzy, wszyscy bowiem, zajęci własnem bezpieczeństwem i troską o byt, nie mieli żadnej ochoty do dzieł miłosierdzia. Trzeba było wiele męstwa i dobrej woli ze strony Bł. Opiekunki ubogich, aby znaleźć możność wyszukania środków do życia dla wygnanek. Zima tego roku była bardzo sroga i wielką trudność przedstawiała dostawa opału. Klara zauważyła pewnego razu nieopodal od miasta pień wywróconego drzewa i zaraz przyszło jej na myśl, że przydałby się on bardzo zakonnicom na opał; nie zważając, że ciężar przechodził jej siły, mężna niewiasta zawlokła go za sobą aż do mieszkania Klarysek. Innym razem, widząc jakiegoś biedaka w wielkiem strapieniu, ponieważ miał bardzo ważny interes do Urbino, a nie mógł znaleźć nikogo, ktoby się podjął go załatwić, ofiarowała się Klara pójść do odległego miasta i odbyła tę podróż pośród mroźnej zimy.

Dowiedziawszy się, że pewna kobieta w Rimini zbiera składkę na wykup swego męża, skazanego na ucięcie ręki za długi, Bł. Klara, zdjęta litością dla nieszczęśliwych, stanęła na placu, na którym sprzedawano niewolników i wołała na głos: „Kto chce kupić mnie, abym miała czem zapłacić rękę skazanego!" Tłum ciekawych otoczył Klarę, przyglądano się jej i czyniono złośliwe uwagi. Jedni drwili głośno z nowego, jak się wyrazili, szaleństwa tej niewiasty; inni, znając głębię jej czystej duszy, płakali ze wzruszenia. Wieść o miłosiernem poświęceniu Klary doszła natychmiast do władzy i wpłynęła na złagodzenie surowego wyroku [1]).

Bł. Joanna Marja de Majje (Maillé), 3 Zak. (1414 r.).

Joanna była zawsze pełna miłosierdzia, szczególniej jednak okazało się to w r. 1360, gdy, po nieszczęsnej wojnie z Anglją, cały kraj trapiony był głodem. Tłumy nędzarzy i kalek zalegały pałac pobożnych małżonków de Silly, Joanny i Roberta, którzy nietylko obdarzali biednych jałmużną, ale codzień, na uczczenie Pana Jezusa i dwunastu Apostołów, trzynastu biednych karmili, oddając im najlepsze swoje potrawy. Chleba tam nigdy nie brakło, bo gdy się wyczerpał, zostawał cudownie rozmnożony. Małżonkowie prześcigali się w poświęceniu względem chorych i trędowatych i przygarniali osierocone ich dzieci. Jednego dnia Robert przyprowadził ich troje do zamku, a święta pani przyjęła je serdecznie i otoczyła macierzyńską opieką.

Zostawszy wdową, Joanna wstąpiła do Trzeciego Zakonu i oddała się z większem jeszcze poświęceniem różnym uczynkom miłosierdzia. Nawiedzała chorych w szpitalach, wyszukiwała wszelkiego rodzaju nędzarzy: spotkawszy chorych na drodze, odprowadzała ich do domu, albo brała do siebie i opatrywała ich rany, a sama żywiła się resztkami z ich stołu. Idąc w ślad za Pokutnikiem z Assyża, szukała trędowatych, zwłaszcza najbardziej opuszczonych, aby im zanieść pociechę. Między nimi był jeden, którego widoku nikt nie mógł

[1]) Tom I s. 327. [2]) Saint Roch par M. Berguin.

[1]) Żyw. Bł. Klary z Rimini.

znosić i wyrzucono go daleko za miasto, żeby nie zarażał powietrza. Tego wybrała sobie Joanna i ukochała jak syna: przynosiła mu żywność, opatrywała, cieszyła, ale i ją Bóg pocieszył, gdyż ukochanemu trędowatemu cudownie wrócił zdrowie.

Miłość Świętej ogarniała i więźniów. Chodziła do nich, zaspakajała ich potrzeby i zachęcała do cierpliwości. Na jej prośby władze wypuszczały mniej winnych. W czasie pobytu Karola VI w Tur (Tours), wyjednała uwolnienie wszystkich więźniów, ale że urzędnicy nie wykonali tego dość pospiesznie, bramy więzienia same się otworzyły i łańcuchy opadły z rąk przestępców.

Bolała całem sercem nad skazanymi na śmierć. Raz w niedzielę Palmową spotkała człowieka, którego kat prowadził na rusztowanie. Biedak, spostrzegłszy ją, zaczął wołać: „Pani de Silly, módl się za mną!“ Rozrzewniona biegnie do kościoła i natarczywie błaga o miłosierdzie, jakoż pomimo usiłowań katów, egzekucja nie mogła się odbyć: to drabina była za krótka, to liny się rwały, musiano więc odłożyć spełnienie wyroku. Skorzystała z tego Święta, żeby mu wyprosić zupełne ułaskawienie.

Bł. Robert Malatesta, 3 Zak (1432 r.).

Ten błogosławiony książę szczególniej był rozmiłowany w usłudze chorym, a niektórych pielęgnował nawet we własnym pałacu. Chodził prócz tego do szpitala, umywał im nogi, karmił, jednem słowem spełniał wszystko, co trzeba było przy chorych, nie brzydząc się niczem i nie lękając się zarazy. Jeżeli znalazł się który chory cierpliwy i pobożny, książę nie posiadał się z radości, że może takiemu służyć i korzystać z jego przykładu [1]).

Ś. Franciszka Rzymianka, 3 Zak. (1440 r.).

Była to prawdziwa matka dla służących i domowników. Jeżeli który z nich zachorował, nietylko opatrywała z hojnością wszystkie jego potrzeby, ale sama służyła mu pokornie i gorliwie. Widząc obfitość w domu swojego męża, zaleciła służącym, żeby nie odprawiali bez wsparcia żadnego ubogiego. W czasie głodu, jaki nawiedził Rzym, podwoiła jeszcze swoje miłosierdzie, nietylko bowiem każdy nędzarz otrzymywał od niej jałmużnę, lecz posyłała żywność chorym i ubogim, którzy wstydzili się żebrać. Uczynki te spełniała wspólnie z Wenancją, swoją bratową. W miarę, jak drożyzna była coraz większa, Franciszka uważała sobie za obowiązek stawać się coraz hojniejszą, co nie podobało się jej mężowi i szwagrowi. Obawiając się, aby nie zbrakło dla domu, zabrali jej klucze od śpichrza, napełnionego zbożem, oddzielili co było potrzeba na cały rok do użytku domowego i kazali to starannie schować, resztę zaś sprzedali, a wtedy dopiero odnieśli klucze Franciszce, mówiąc, że teraz ma cały śpichlerz do rozporządzenia. Gdy obie kobiety poszły zobaczyć, co im zostawiono, nie znalazły już nic, tylko piasek i ziemię. Mimo to poczęły zamiatać i zebrały korzec pszenicy, który Franciszka schowała dla pierwszych ubogich, jacy przyjdą po jałmużnę. W kilka dni później, gdy mąż i szwagier weszli do śpichrza, znaleźli ze 40 korcy ziarna w najlepszym gatunku. Zdziwienie ich było wielkie. Pobiegli dać znać o tem ojcu, by na własne oczy zobaczył ten cud i wszyscy trzej zgodzili się, że to Pan Bóg nagradza miłosierdzie Franciszki.

Rozmnożenie wina.

Innego znów roku, kiedy wino było bardzo drogie i rzadkie, teść Franciszki, Andrzej Pontiani, zwiedzając wraz z synami swoją piwnicę, kazał odstawić na bok beczkę najlepszego wina, aby służyło w potrzebie do stołu. Nieszczęściem, nie powiedzieli nic Franciszce, która, przekonawszy się, że to wino jest najlepsze, rozszafowała je wkrótce dla biednych chorych. Po niejakim czasie ojciec i synowie dowiedzieli się o tem i wymawiali świętym niewiastom, że ich pozbawiły dobrego napoju: „Nie gniewajcie się, odpowiedziała Franciszka, my go wam przyniesiemy“. Rzeczywiście, gdy zeszły do piwnicy, przekonały się, że beczka była pełną, jakby jej nikt nie ruszył. Mężczyźni, nie dowierzając temu, poszli się nareszcie przekonać i od tego czasu nigdy już nie sprzeciwiali się swoim żonom, pozwalając im szafować wszystkiem według swego uznania. Cud ten rozniósł się po całem mieście; sama Franciszka powtarzała go swoim znajomym, aby ich skłonić do hojności dla ubogich.

Święta służy chorym i zapowietrzonym.

Podczas morowego powietrza w Rzymie, Franciszka, nie bacząc na grożące jej samej niebezpieczeństwo, poświęciła się na usługi chorych. Szukała więc najbardziej opuszczonych, a opatrzywszy ich, słodko zachęcała do zgadzania się z wolą Bożą i przyjęcia tych cierpień z miłości ku Panu Jezusowi. Nagradzając jej gorliwość, Bóg przywracał zdrowie tym, którymi się opiekowała. Gdy chorzy spostrzegli te cudowne skutki, zaczęli się tłu-

[1]) L'aur séraph. T. IV, p. 33.

mnie gromadzić przed drzwiami jej domu i około niej samej. Przyjmowała ich z miłością, dawała lekarstwa, a najnędzniejszych brała do siebie, gdzie tak prędko przychodzili do zdrowia, że było to prawie cudowne. Chcąc zatrzeć wrażenie tych cudów, o których już po całem mieście mówiono, Święta wymyśliła maść z soku pewnych roślin, z oliwy i topionego wosku i dawała ją, jako niezawodne lekarstwo na wszelkie choroby, by tym sposobem nie jej, ale maści przypisywano skuteczność leczenia. Nic to jednak nie pomogło, chyba naodwrót, gdyż spełniły się na niej słowa Ewangelji: „Ktokolwiek się poniża, wywyższon będzie". Kto bowiem nie mógł dostać się osobiście do Świętej, pragnął przynajmniej posiadać tę maść i w miarę jej używania odzyskiwał zdrowie. Cudowne te uleczenia trwają do dnia dzisiejszego. Chorzy, którzy z wiarą używają maści, przygotowanej przez Oblatów z Tour-des-Miroirs w tem samem naczyniu, w którem robiła ją niegdyś Ś. Franciszka Rzymianka, powracają do zdrowia.

Jej posługi w szpitalach.

Lecz i tego jeszcze nie było dla niej dosyć. Biegała więc od szpitala do szpitala i tam doglądała chorych, spełniając wszelkie posługi, nawet najniższe: jednym podawała napój, innym jedzenie, ścieliła łóżka, obmywała rany, a im te były wstrętniejsze, tem staranniej je opatrywała. Od czasu do czasu chodziła na Campo-Santo, gdzie było mnóstwo ubogich; zanosiła im pożywienie i czyste ubranie, a brała od nich łachmany pełne robactwa i brudu, które potem sama czyściła i naprawiała. Przyprowadziwszy je do porządku, składała starannie i nakrapiała pachnidłami, wreszcie odnosiła ubogim. Często natura Świętej wzdrygała się na ten obraz nędzy, delikatne jej zmysły nie mogły znieść brudnych i cuchnących gałganów. W takich razach, mszcząc się na sobie za swoją delikatność, obmywała twarz w wodzie, w której były prane, a nawet trochę jej połykała.

Trzydzieści lat swego życia spędziła na posługiwaniu chorym w szpitalach: Ś. Ducha, Najśw. Panny i Ś. Cecylji. Trzeba dodać, że były to czasy morowego powietrza, kiedy bardzo trudno było o księży i o doktorów. Brak tych ostatnich zastępowała cudami; ale kapłańskiej usługi spełniać nie mogła, musiała więc ciągle biegać po księdza i sprowadzać go do chorych, a nieraz napróżno, tak że wielu umierało bez spowiedzi. Aby temu zapobiedz, uprosiła jednego kapłana, że zamieszkał w jej domu; ona opatrywała jego potrzeby, on zaś służył chorym. W ten sposób wiele dusz uratowała od śmierci wiecznej. Oto przykład. W jednym szpitalu leżała chora kobieta, która zabiła swe dziecię i wspomnienie tej zbrodni do rozpaczy ją doprowadzało. Poznawszy z objawienia smutny stan jej duszy, Franciszka współczuciem swojem zyskała jej zaufanie, zmiękczyła serce i wywołała w niem skruchę. Powoli wytłumaczyła jej, że grzech ten, chociaż ciężki, może być jednak odpuszczonym, pod warunkiem szczerego żalu, bo miłosierdzie Boskie jest większe nad wszystkie nieprawości całego świata. Gdy zaś obudziła w jej sercu nadzieję przebaczenia, przyprowadziła spowiednika, który przed samą śmiercią pojednał ją z Bogiem [1]).

Ś. Katarzyna Bolońska, Klaryska (1463 r.)

Ś. Katarzyna, będąc opatką, okazywała chorym siostrom macierzyńską troskliwość; sama oddawała im najniższe posługi, zachęcając je przytem do uświęcenia swych chorób: „Córki moje, mówiła, teraz dopiero jesteście prawdziwie zjednoczone ze Świętymi, którzy tak wiele dla Boga cierpieli i tak kochali cierpienie. Teraz jesteście prawdziwemi oblubienicami ukrzyżowanego Jezusa, teraz zebrać możecie obfite żniwo zasług. O! jakimże przedmiotem upodobania Pańskiego jesteście teraz na łożu boleści! Żyć z Jezusem na krzyżu to szczęście największe!"

Bolała ona niezmiernie nad mnóstwem dusz, odkupionych Przenajdroższą Krwią Pana Jezusa, a które, żyjąc w grzechu śmiertelnym, narażają się na niebezpieczeństwo potępienia wiecznego. Ileż łez wylała nad ślepotą duchową grzeszników! Ile gorących modlitw i westchnień płomiennych posłała do nieba, błagając o ich nawrócenie! Słyszano ją niejednokrotnie wołającą do Pana Jezusa: „Otwórz, o Boże, wrota niebios tym nieszczęśliwym! Przyjmij ich do wesela królestwa swego! Oddaję się za nich, dla zadośćuczynienia Twej sprawiedliwości, zastrzegając sobie tylko łaskę i miłość Twoją! Gotowa jestem poddać się pod młot Twego gniewu, jak kowadło, w którebyś wiecznie uderzał, dla zadośćuczynienia za grzechy przeszłe, teraźniejsze i przyszłe, i dla zbawienia grzeszników". Chciała ona być zatyczką piekła, gotową będąc znosić wszystkie męki należne potępionym, aby tylko nikt się tam nie dostał [2]).

Ś. Dydak z Alkala, Obserwant (1463 r.).

Miłość Boża, którą przepełnione było serce tego Świętego, musiała wylać się na bliźnich, czy

[1]) Vie de Sainte Françoise Romaine, ouvrage traduit du latin, des Actes des Saints. [2]) L'aur. séraph. T. I.

to na braci w zakonie, czy też na inne osoby. Wszystkim starał się usłużyć, nietylko chorym, ale i zdrowym, głównie zaś wszelkiego rodzaju nieszczęśliwym. Raz wziął pod swoją opiekę dwóch ubogich uczniów i naprzód ich wyleczył, a potem wystarał się dla nich o ubranie i pieniądze, by mogli w dalszym ciągu do szkół uczęszczać. Pewnego młodzieńca trędowatego uzdrowił, całując jego twarz skancerowaną.

Przybywszy w r. 1450 na Jubileusz do Rzymu, Dydak i tam znalazł okazję do pełnienia uczynków miłości. Towarzysz jego pielgrzymki, O. Alfons Kastro, wyczerpany trudami podróży, uległ ciężkiej chorobie, w której Święty z całym zapałem i poświęceniem pocieszał go i pielęgnował. Gwardjan klasztoru, widząc w tym bracie takiego ducha miłości, zwierzył mu pieczę nad całą a liczną wówczas infirmerją, co on chętnie przyjął i z zapałem wypełniał. Troskliwość jego rozciągała się zarówno do wszystkich, bez względu na pochodzenie, bo z powodu Jubileuszu zeszli się bracia z różnych krajów. Dydak dnie i noce spędzał przy swoich chorych, czuwając nad ich potrzebami, a choć w klasztorze, wskutek natłoku, nie było dostatecznej jałmużny, on dla swoich chorych zawsze miał wszystkiego poddostatkiem [1]).

Bł. Antonina z Florencji, Klaryska (1472 r.).

Miłość życia ostrego i ubogiego nie pozbawiała tej świątobliwej opatki uprzejmości w obcowaniu z podwładnemi, owszem, była dla nich tak delikatna i ugrzeczniona, że mogła służyć za wzór tkliwości Bożej ku duszom. Strapienia jej córek obchodziły ją, jak gdyby jej własne; ich choroby i niedomagania znajdowały w Błogosławionej współczucie i gotowość usłużenia im, błędy ich nawet nie potrafiły umniejszyć w niczem jej nienaruszonej słodyczy. Przez siedm lat swych rządów, tyle bowiem czasu była opatką klasztoru Bożego Ciała w Akwili, nigdy nie widziano, aby się rozgniewała, lub obeszła z kim niedelikatnie, kiedy więc z pokory złożyła swój urząd, wszystkie zachowały o niej w sercu swojem pamięć cnót głębokich i wysokie poszanowanie [2]).

Teodoryk z Belgji, Obserwant (1516 r.).

Ojciec Teodoryk, zakonnik niderlandzki, który całą tę prowincję zreformował i żarliwemi kazaniami wielki sprawiał w duszach pożytek, wsławił się nadto heroicznem poświęceniem w czasie morowej zarazy. Polem tej pracy jego było miasto Bruksella. Plaga trwała całe dwa lata, a przez ten czas zacny kaznodzieja 32 tysiące chorych przygotował na śmierć, wyspowiadał i pochował, nie doznawszy sam żadnego uszczerbku na zdrowiu. Przez lato, by módz spieszyć z posługą na każde zawołanie, mieszkał na rynku pod namiotem, a na zimę sprowadzał się do pewnego pobożnego piwowara, którego mieszkanie za ten czyn zostało wolnem od zarazy, choć dokoła we wszystkich domach ludzie chorowali i umierali. A gdy Pan powściągnął nakoniec swoją karę, Teodoryk publicznie na kazaniu opowiedział, że wie, iż z owych 32-ch tysięcy wszyscy są na drodze zbawienia, oprócz dwóch, z których jeden umarł w rozpaczy, a drugi nie chciał przyjąć Świętych Sakramentów.

Za takie wielkie serce dla bliźnich Bóg wynagradzał tego ojca nadzwyczajnemi darami. Raz, będąc na obiedzie u jakiegoś znakomitego pana w Lowanjum, Teodoryk zamyślił się nagle, westchnął i zwrócił się do gospodarza, prosząc, aby mu wolno było cząstkę tych potraw udzielić ubogim. Pan domu chętnie się na to zgodził, a miłosierny zakonnik, ułożywszy potrawy na jednym półmisku, przykrył go serwetą i wręczył służącemu, mówiąc: „Proszę cię, idź z tą porcją do miasta i oddaj ją w tym domu, przed którym wiatr serwetę zrzuci". Że to się stało przed jakąś bogatą kamienicą, sługa wątpił, aby tam kto był głodny i powrócił do domu, lecz Teodoryk kazał mu odnieść napowrót jałmużnę i rzeczywiście okazało się, że w domu tym było dwoje dzieci, które z głodu jadły młóto dla wieprzów. Przepowiedziawszy swoją śmierć na kazaniu, Teodoryk oddał Bogu ducha w r. 1516 [1]).

Franciszek z Bresoji, Obserwant (1520 r.).

Gorliwy ten syn Ś. Franciszka znany był powszechnie ze swej litości. Kiedy był gwardjanem w małym klasztorku Cesano, i w okolicy panował nieurodzaj, wszyscy biegli do sługi Bożego po żywność, a on rozdawał co miał, tak iż nieraz i dla samych braci zabrakło. Pewnego razu zdarzyło się, że bardzo wielu ubogich przyszło po jałmużnę. Nie mając ich czem obdzielić, gwardjan pomodlił się z żywą wiarą i w rzeczy samej wyprosił takie rozmnożenie chleba, że i dla braci i dla zgłodniałej rzeszy starczyło. Umarł w konwencie Ś. Bartłomieja pod Fulginem [2]).

---

[1]) Kronika 3. Zak. Ś. Franc. Sanniga Cz. IV. [2]) L'aur. séraph. T. II.

[1]) Kron. trzech Zak. Ś. Franc., Cz. IV. [2]) Tamże

Bartłomiej Tolomei, Obserwant (1526 r.).

Wielką miłością i poświęceniem odznaczył się Bartłomiej Tolomei, który dwukrotnie zarządzał prowincją Toskańską Obserwantów. Przybrawszy sobie pięciu braci tegoż ducha, obiegał z nimi ulice i uliczki miasta Sjenny, szukając zapowietrzonych, dopóki sam nie padł ofiarą zarazy [1]).

Alfons Mansanele, Obserwant bosy (wiek XVI)

W Hiszpanji, w prowincji Ś. Gabryela słynął w XVI wieku ze swego współczucia dla bliźnich Obserwant bosy, Alfons Mansanele. Ofiarował się on za niewolnika na galerze włoskiej, w tym celu, aby wyjednać wolność przykutemu do wioseł flisakowi. Kapitan, zdumiony takiem poświęceniem dla zupełnie nieznajomego i ubogiego młodzieńca, puścił go wolno, a brata Alfonsa uprosił, by zechciał zostać na jego okręcie, jako kapelan załogi [2]).

Ś. Ignacy Lojola, 3 Zak. (1556 r.)

Dokładny wizerunek miłości bliźniego, ożywiającej serce Lojoli, musiałby obejmować całe jego życie, począwszy od nawrócenia. Kochał on bliźnich całem gorejącem sercem i niczego nie żałował, aby im otworzyć drogę do szczęścia wiecznego i dać im poznać skarby miłości Bożej, która jemu samemu już ziemię w niebo zamieniła. Szczególniejszą jednak miłość tak co do duszy, jak i co do ciała okazywał swoim braciom zakonnym. Dwa razy na dzień kazał sobie zdawać dokładną sprawę, czy kto w domu nie zachorował, jak mają się chorzy i przychodzący do zdrowia, czy im czego nie brakuje. „Dla chorych, zwykł był mówić, kiedy mu donoszono o braku środków do życia — wszystko być musi i pewny jestem, że za pomocą Bożą znajdzie się, co im potrzebne. My zdrowi łatwiej już sobie damy radę, choćby wypadło trochę głodu lub chłodu przecierpieć". Gdy jeden z zakonnych braciszków zachorował na gorączkę, a lekarz zalecił dać mu delikatniejsze pożywienie, Święty kazał obrócić na ten cel ostatnie trzy złote, które się w kasie domowej znajdowały. „A cóż jutro damy na obiad?" — zapytał szafarz. — „Dasz kawałek suchego chleba, odparł Ignacy, — zdrowemu i to wystarczy, a dla chorego żałować nie wolno". Innym razem kazał sprzedać talerze, półmiski cynowe, nawet kołdry z łóżek, byle kupić dla chorych lekarstwa przepisane przez doktora. Raz znowu, dość już późno w nocy, dowiedział się, że brat opiekujący się chorymi zapomniał kupić jakiegoś olejku; chwili nie tracąc, pomimo, że nie groziło żadne niebezpieczeństwo, wysłał go za tem kupnem z dwoma towarzyszami, niosącymi zapalone pochodnie.

Życiopisarze wyliczają długi bardzo szereg podobnych wypadków, rzucających piękne światło na ojcowskie serce Świętego. Dwóch nowicjuszów, jeden Włoch, drugi Hiszpan, zaledwie przestąpiwszy progi klasztoru zapadli w ciężką chorobę. W domu profesów znajdowało się wówczas około 70-iu osób, mieszkających w wielkiej ciasnocie i ubóstwie; to też niektórzy z ojców radzili, aby chorych, niezwiązanych jeszcze żadnemi węzłami z zakonem, odesłać do szpitala. Ignacy stanowczo temu się oparł, bo, jak się wyraził, byłoby rzeczą niegodną, abyśmy tych, którzy łączą się z nami z miłości Bożej, mieli w trudniejszych chwilach opuszczać". Przechodząc korytarzem, dostrzegł raz, że jeden z nowicjuszów gorzej wygląda, niż zazwyczaj; natychmiast przywołał go do siebie, wypytał po ojcowsku o stan zdrowia, nakazał dłużej spać, a bezpośrednim przełożonym zalecił szczególną opiekę nad osłabionym młodzieńcem. Przed Wielkim Postem zwykł był rok rocznie wołać wszystkich domowników i pytać ich w obecności lekarza, jak czują się na siłach, a jeśli tylko lekarz uznał, że któryś jest słabszym i post mógłby mu zaszkodzić, natychmiast go od niego zwalniał. Uwolniony w ten sposób, młodziutki naówczas Piotr Ribadeneira, próbował wymówić się od danego sobie polecenia obawą, czy nie zgorszy którego z towarzyszów. „A któż, odparł Ignacy, miałby się gorszyć z tego, że jesteś słabowitym? Każdy raczej podziękuje Bogu, że użycza mu sił potrzebnych do poszczenia, których nie dał tobie". W rok później doszło istotnie do uszu Świętego, że ktoś, stawiający widocznie dopiero pierwsze kroki na drodze doskonałości, wyrzucał jednemu z towarzyszów korzystanie z dyspensy. Wiadomość ta napełniła Ignacego oburzeniem, z którem bynajmniej się nie taił. „Jeżeli kto, rzekł surowo, jest do tego stopnia niewyrozumiałym i niemiłosiernym dla swych braci, ten nie wart być w naszym zakonie".

Szczególnie troszczył się Ignacy o zdrowie młodych kleryków, tracących zbyt rychło czerstwość i siły przy pracy naukowej. Aby zapewnić im konieczne a regularne wytchnienie, postanowił zbudować dla nich na ustronnem zdrowem miejscu osobny domek, w którymby jeden przynajmniej dzień w tygodniu mogli swobodnie przepędzić na świeżem powietrzu, zdala od miejskiego gwaru i codziennych trosk i zatrudnień. Kilku przyjaciół, zna-

[1]) Tamże. [2]) Tamże.

jących dobrze stan kasy Świętego, a raczej brak zupełny wszelkich funduszów, usiłowali mu wybić z głowy tę myśl, jako niemożliwą do spełnienia. „Nie masz nieraz co dać jeść swoim braciom, tłumaczyli, jakże i z czego chcesz dla nich budować letnisko? — „Nie bójcie się", odpowiadał Ignacy z uśmiechem, pieniądze z pewnością się znajdą. Bardziej zresztą cenię sobie zdrowie jednego z młodych braci, niż skarby całego świata. W chorobie nie można pracować dla bliźnich; kto chce się oddać na służbę Bożą i dużo zrobić dla chwały Boskiej, ten musi mieć dobre zdrowie". Skutek okazał najlepiej, jak podobała się Bogu ufność i rozumna miłość Świętego; jak błogosławił najtrudniejszym i, zdawałoby się, niepodobnym do wykonania sprawom, rozpoczętym w imię miłości [1]).

Bł. Mikołaj Faktor, Obserwant (1583 r.).

W sercu Bł. Mikołaja tkwiło od dzieciństwa głębokie uczucie miłosierdzia dla ubogich. Odmawiał sobie codzień części pożywienia, żeby im ulgę przynieść. Pewnego razu, gdy oddał swoje śniadanie ubogiej kobiecie, towarzysz litował się nad nim, że dla niego samego nic nie zostało. „Wierzaj mi, odpowiedział Mikołaj, że daleko większy pożytek odniosę na duszy, pozbywając się śniadania, niżbym odniósł na ciele, jedząc takowe". Często nawiedzał szpitale, pielęgnował chorych, opatrywał ich rany, pocieszał i dostarczał im wszelkiej pomocy, na jaką tylko mógł się zdobyć. Ale szczególną miłość miał zawsze dla trędowatych; całował im nogi, ręce i ubogie łachmany dla miłości Tego, który stał się ubogim i okrytym ranami za grzechy nasze. W ten sposób rozwijał on w sobie ową wielką miłość, którą odznaczał się aż do samej śmierci [2]).

Ludwik z Aruel, Obserwant bosy (1583 r.)

Brat Ludwik, rodem Hiszpan, wstąpił początkowo do zakonu Obserwantów w prowincji Walenckiej, a po złożeniu profesji, gdy zapadł w niebezpieczną chorobę i lekarze już o nim zwątpili, postanowił przenieść się do Braci bosych dla surowszego życia. Z chwilą, gdy został tam przyjęty, wyzdrowiał i mógł spełniać wszystkie przepisy zakonne. Kiedy w Brabancji wybuchła zaraza, Ludwik, mieszkający wówczas w klasztorku elchańskim, codzień wychodził na miasto służyć chorym, których opatrywał ŚŚ. Sakramentami i usposabiał do poddania się woli Bożej. Po wielu tygodniach takich wysiłków i sam wreszcie zaraził się chorobą, a znosząc cichutko straszne boleści, oddał Bogu ducha, przy odmawianiu psalmów pokutnych [1]).

Ś. Karol Boromeusz, Kardynał, 3 Zak. (1584 r.)

Ten wzór Biskupów, Patron duchownych i odnowiciel karności kościelnej był także gorliwym synem Ś. Franciszka w Trzecim Zakonie. Odznaczał się on szczególną miłością Boga i bliźniego. Cały swój majątek rodzinny oddał ubogim i dzielił między nich większą część swoich dochodów. Aby zadośćuczynić przyjętym dobrowolnie obowiązkom, kazał jednemu z kapłanów prowadzić spis imienny wszystkich ubogich w Medjolanie i zaopatrywać ich potrzeby. Hojność jego dla ubogich okazała się zwłaszcza, gdy, sprzedawszy Księstwo Urytańskie, 40,000 dukatów w jednym dniu na nich rozszafował. Z niemniejszą szczodrobliwością rozdał wkrótce zapisaną sobie sumę 20,000 dukatów. Lecz najbardziej zajaśniało jego miłosierdzie w czasie zarazy, pustoszącej to miasto. Niezrównany pasterz ani słyszeć nie chciał o wyjeździe, owszem, z narażeniem życia nawiedzał chorych, słuchał ich spowiedzi, zasilał Ciałem Pańskiem i przysposabiał na drogę wieczności. Nawet bielizny swojej, ubrania i łóżka pozbył się na korzyść chorych. Odprawiając procesje błagalne, które sam zarządził dla uproszenia miłosierdzia Bożego, szedł boso ze sznurem na szyi i krzyżem w ręku, a oczy pełne łez ciągle podnosił na krucyfiks, ofiarując się Bogu za grzechy swoich owieczek. Nie zapomniał on nigdy o węźle, łączącym go z zakonem Ś. Franciszka, i w wielu okazjach dawał jego ynom dowody uznania i życzliwości.

Święci Męczennicy Japońscy, Obserwanci bosi i regularni (1597 r.)

Gdy do Ś. Piotra Chrzciciela i jego towarzyszów, przyszłych męczenników japońskich, przybył wizytator. O. Jan Zamorra, dla sprawdzenia ich działalności, został zachwycony ich poświęceniem dla bliźnich, o czem tak pisze w liście do swego prowincjała: „Zaprawdę, mój Ojcze drogi, patrzę ja tu na rzeczy przecudne i zdolne poruszyć najtwardsze nawet serce. Widzę zakonników, mężów poważnych i wielkiej nauki, jak po ciężkiej pracy na ambonach i w konfesjonałach, klęczą przy trędowatych lub innemi wstrętnemi chorobami zarażo-

[1]) Żywot Św. Ignacego Lojoli przez X. Badeniego T. J. [2]) L'aur séraph. T. IV.

[1]) Kronika 3 Zak... Cz. IV.

nych, oczyszczają i opatrują ich rany, a potem je z największem uszanowaniem całują, widząc w nich jakby samego Ukrzyżowanego. W moich oczach dowodzi to ich świętości jeszcze bardziej, niż te cuda, o których zewsząd słyszę. Są to ludzie, którzy nietylko słowem, ale i poświęceniem się bez granic na usługi biednych i cierpiących, głoszą Pana Jezusa, czem wszystkich do Niego porywają i pociągają. Życie ich ubogie, zaparte, pokorne i pokutne, takie jak nam przekazał Święty Patryarcha, czyni ich zupełnie podobnymi do jego pierwszych towarzyszów“ [1]).

Bł. Juljan z San Agostino, Obserwant (1606 r.)

Miłość Boska, którą ten Błogosławiony cały był przejęty, natchnęła go bezgraniczną miłością bliźniego; miał tkliwe współczucie dla nędzy biedaków, odczuwał ich potrzeby, pocieszał ich, opowiadając o radościach, jakie ich czekają w niebie, ale jednocześnie pobudzał bogatszych do przychodzenia im z pomocą i w ten sposób zjednywał obfite jałmużny. Nie mogąc zaś nic im ofiarować od siebie, zostawiał dla nich część swego posiłku, a sam zadawalniał się tak małą ilością, że doktorzy dziwili się, jak może utrzymać w sobie życie. Litość jego tyczyła się głównie dobra duchowego bliźnich. Modlił się bezustanku za niewiernych, heretyków i grzeszników i zwracał się do nich z żywemi upomnieniami, pełnemi ducha wiary i miłości. To też, choć nie był kapłanem, tylko braciszkiem, zdołał nawrócić wielu maurów i skruszyć wiele serc zatwardziałych, zwłaszcza z pomiędzy kobiet złego życia.

Bł. Bonawentura z Barcelony, Bonawenturzysta (1684 r.)

Już w czasie nowicjatu zakonnik ten okazał szczególniejsze męstwo w obronie bliźniego. Wojska Ludwika XIV pod dowództwem marszałka Francji, Karola Schomberg, zajęły Katalonję. Gdy zbliżyły się do miasta Eskornalbu (Escornalbou), gdzie Święty przebywał w klasztorze, przerażona ludność, schwyciwszy swoje kosztowności, szukała schronienia u Braci Mniejszych, bo tam czuła się bezpieczniejszą wobec najścia wrogów. Ale na widok nadbiegających mieszkańców, sami zakonnicy stracili równowagę, a obawiając się zniewag i okrucieństw armji francuskiej, o której tyle im opowiadano, zaczęli ratować się ucieczką. Jeden tylko brat Bonawentura z Barcelony, czując wzrastające w sobie męstwo, postanowił bądź co bądź bronić klasztoru i tych co w nim szukali schronienia. Nie troszcząc się już o klauzurę, której niepodobna było zachować, wpuścił liczny tłum do kaplicy, do cel, do ogrodu i w ogóle do wszystkich, jakie były, izb klasztornych, oddzieliwszy tylko mężczyzn od kobiet. Potem uporządkował wszystkie rzeczy przyniesione przez zbiegów, a w końcu chodził od jednych do drugich, pocieszał, dodawał odwagi dzieciom, niewiastom, i starcom, zaś we wszystkich bez wyjątku starał się obudzić nadzieję w dobroć Bożą.

Tymczasem armja nieprzyjacielska wzięła bez wystrzału miasto. W klasztorze rozległy się jęki, narzekania, westchnienia; każdy sądził, że już po nim. Brat Bonawentura usiłował przywrócić pokój, wyrzucał im słabą wiarę, w końcu przyniósł z zakrystji wszystkie świece, poustawiał je pięknie na ołtarzu i urządził świetną iluminację na cześć Najświętszego Sakramentu. Uczyniwszy to, ukląkł na stopniach i począł modlić się głośno i śpiewać wraz z ludem, aby uprosić u Boga pomoc i opiekę. Francuzi, znalazłszy wszystkie domy puste, wyruszyli na klasztor, będący za murami miasta. Tam, według ich obliczeń musiały być zgromadzone skarby mieszkańców, chcieli więc klasztor cały zrujnować od góry do dołu. Lecz gdy się zbliżyli do miejsca świętego, ogarnęło ich zdumienie. Na widok wspaniałej iluminacji, zwartego tłumu modlących się i czczących Boga i tego pokornego mnicha, klęczącego w zachwycie na stopniach ołtarza, osłupieli i nie mieli odwagi zaczepić kogokolwiek; przeciwnie, padli na kolana i usta ich szeptały modlitwę; jeden szereg po drugim wychodził, robiąc miejsce następnemu, z którym to samo się działo; wszyscy doznali tegoż wrażenia i tej czci religijnej.

Wreszcie przyszła kolej na generała: przejęty błędami kalwinizmu, wkroczył śmiało do kościoła, minął klęczące szeregi wiernych i dotarł do Sanctissimum. Lecz żarliwa pobożność sługi Bożego i świętość malująca się na jego czole tak go uderzyły, że ukląkł przy nim, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Brat Bonawentura wyszedł ze swego zachwytu, a poznawszy dowódcę armji francuskiej, rzekł: „Generale, dla miłości Boskiego Mistrza, który ukrywa się tu pod zasłoną Najświętszego Sakramentu, proszę cię, abyś wydał rozkaz, żeby nie uczyniono żadnej szkody ani klasztorowi, ani miastu“. Te proste słowa tak podziałały na duszę oficera, że odpowiedział na nie z największą uprzejmością: „Dobrze, przyrzekam ci być posłusznym, ale proszę cię wzamian, nie zapominaj o mnie w modlitwach swoich“. I w rzeczy samej, zaraz wydał hasło do marszu i sam na czele żołnierzy

[1]) Żyw. Męczenników Japońskich przez O. Prok. Kap.

pogalopował, nie uczyniwszy nikomu najmniejszej krzywdy. Ludność, nie posiadając się z radości, wróciła do swoich domów, w których nic nie było tknięte ani ruszone [1]).

Ś. Bonawentura z Potencji, Konwentualny (1711 r.).

Miłość Błogosławionego okazała się szczególniej w r. 1707, gdy wioska Wamera, położona na górze blizko Neapolu dotknięta była morowem powietrzem. Obawa zarażenia się i trudność wchodzenia na śliski wzgórek, pozbawiała nieszczęśliwe ofiary koniecznej pomocy. Bonawentura oddał się im z nieustraszoną miłością i pomimo swych chorób, nabytych wielkiemi umartwieniami, codzień chodził na przykrą górę, dla odwiedzenia nieszczęśliwych. Znalazłszy się przy nich, zapominał o zmęczeniu, niosąc tym ukochanym pomoc, pociechę i zachętę. Wielu uleczył oliwą z lampy Ś. Antoniego, któremu przypisywał wszystkie swoje cuda. Łaski nadprzyrodzone zjednywały mu powszechną cześć i zaufanie, i nadawały skuteczność jego pracom. Konający zaraz się uspokajali, gdy im mówił o życiu wiecznem, wskazując na jutrzenkę tego dnia szczęśliwego, który wkrótce dla nich zajaśnieje. Przy nim cierpienie traciło swoją gorycz, boleść mniej była ciężka, sama śmierć mniej straszna. „Dzieci moje, mówił do tych, którym udzielał Ostatnich Sakramentów, czyż można śmiercią nazywać to szczęśliwe przejście od walk i cierpień tego żywota do stóp Najwyższego?“ Wycieńczony swojem poświęceniem, sam ciężko zapadł na zdrowiu i długi czas upłynął, zanim odzyskał dawne siły [2]).

Ś. Jan-Józef od Krzyża, Obserwant bosy (1734 r.).

Jan-Józef od Krzyża, będąc przełożonym, zakazał odprawiać ubogich bez jałmużny, a w czasach niedostatku, nie mając czem się z nimi podzielić, oddawał im swoją porcję, co i bracia tymże duchem ożywieni chętnie czynili. Zdarzało się, że ten Święty zakonnik wypraszał sobie u Pana Boga, aby mógł znosić cierpienia za innych. Jeden z braci klasztornych, O. Michał, który później był Arcybiskupem w Consenza, miał bardzo bolesne wrzody na nogach. Operacja była konieczna. Biedny chory, przerażony myślą o tak wielkiem cierpieniu, polecił się modłom Świętego. Ten ofiarował się zań Panu Bogu i zaraz porobiły mu się na nogach wrzody niezmiernie bolesne, a chory nagle wyzdrowiał [3]).

[1]) Le B. Bonaventure de Barcelone par Fr. Xavier de Bouilh. [2]) L'aur. séraph. T. IV.

Bł. Marja-Krescencja, 3 Zak. reg. (1744 r.).

Zdawało się, że ta święta dziewica po to tylko wstąpiła do klasztoru, aby być sługą swoich sióstr, o wszystko bowiem co było uciążliwe, przykre, wstrętne dla natury, gorliwie się ubiegała. Jeśli zdarzyła się jaka trudna robota, Marja-Krescencja natychmiast brała się do niej; gdy zachorowała która z zakonnic, prosiła, by jej pozwolono ją pielęgnować. Uczynność ta wykazała się szczególnie względem siostry Doroty, zakonnicy starej i schorowanej, którą cierpienia trzymały ciągle przykutą do łóżka. Kilka z kolei sióstr już ją pielęgnowało, ale żadna nie miała dosyć cierpliwości, by wytrwać przy tym obowiązku. Jedna tylko Marja-Krescencja przyjęła chętnie rozkaz służenia chorej i spełniła go tak jak święta. Raz wprawdzie zmysły jej wzburzyły się, natura podniosła bunt, ale zwyciężyła ją natychmiast, podnosząc do ust to właśnie, co w niej wstręt obudziło. Takiemi heroicznemi czynami starała się podbić swoje ciało duchowi.

Jej litość względem ubogich.

Obrana w r. 1709 na furtjankę, Marja-Krescencja pełniła ten urząd przez lat szesnaście i w ciągu tego czasu oddała się na usługi wszystkich, którzykolwiek się do niej zwracali. Wybrańcami jej wszakże byli ubodzy, dla których miała zawsze wielkie współczucie od najwcześniejszego dziecięctwa. Słuchała z przejęciem ich żalów i opowiadań o troskach i przykrościach, ocierała im łzy, cieszyła się ich nadziejami, a, mówiąc im o Jezusie, który chociaż bogaty, stał się dla nas ubogim, napełniała ich serca zbawienną pociechą. Ktokolwiek raz ją widział i doznał jej litości, ten sprowadzał do niej potem swoich przyjaciół i znajomych.

Błogosławiona Krescencja rozdawała w furcie zupę i nieraz posiłek ten mnożył się w jej rękach. Pozbawiała się też swojej własnej porcji, by ją oddać ubogim. W refektarzu, gdy rozmowa schodziła na tych wydziedziczonych, Krescencja przestawała jeść. Grube łzy płynęły po jej obliczu i prosiła przełożonej, by mogła zostawić część swojej potrawy dla biednego, który pierwszy zapuka po jałmużnę. „O, Boże mój, wołała nieraz na widok jakiego nędzarza, ten człowiek jest biedniejszy odemnie i cierpliwiej to znosi; nie jestem go-

[1]) Ibid. T. I.

Ś. FRANCISZEK UZDRAWIA POCAŁUNKIEM TRĘDOWATEGO.

dna leżeć pod stopami jego. Nie robiła różnicy między katolikami i luteranami. „Oni biedniejsi od nas, mówiła, bo są dalej od Boga!“ Za tę miłość ku biednym była też nawzajem gorąco od nich kochaną. Wszyscy oni nazywali ją swoją matką, a ten tytuł „matki ubogich“ przeszedł nawet do potomności.

Objawia się jej Pan Jezus w postaci żebraka.

Pan Jezus, który obiecał nie zostawić bez zapłaty nawet kubka wody, danego ubogiemu, przybierał nieraz wobec Krescencji postać żebraka. Z pomiędzy faktów zapisanych w kronikach, przytoczymy tu jeden. W śnieżny i mroźny dzień zimowy zadźwonił do klasztoru żebrak bosy i drżący z zimna. Wzruszona Krescencja poszła natychmiast szukać jakiego obuwia, a nie mogąc nic znaleźć, wyprosiła u przełożonej, żeby jej wolno było oddać mu swoje sandały. Wraca więc z radością do furty i wyciąga ręce z obuwiem do ubogiego, lecz ten nagle znika, zostawiając po sobie ślady krwi[1]).

Ś. Marja Franciszka od 5-ciu Ran, 3 Zak. (1791 r.).

Trudno wyrazić do jakiego stopnia serce Marji-Franciszki było przejęte miłością dla bliźnich, szczególniej dla tych, którzy ją prześladowali; dostatecznem było obrazić ją w jakikolwiek sposób, żeby pozyskać jakby prawo do jej dobrodziejstw. Pewien rybak bez żadnego powodu publicznie przy każdej sposobności ją znieważał, a gdy śmiertelnie zachorował, Marja Franciszka podwoiła modlitwy i pokuty, błagając Boga o jego nawrócenie. „Módlmy się gorąco i życzmy dobrze tym, którzy nam przykrość wyrządzają“, mawiała nieraz. W myśl tej zasady, przyjęła na siebie karę czyśćową za jednego ze swych prześladowców. Nie było cierpienia, z któremby nie współczuła. Nie mając pieniędzy, rozdawała bieliznę i wszystko, co miała pod ręką, jak własną odzież, a nawet materac. Przez długi czas utrzymywała pewną ubogą matkę z siedmiorgiem dzieci, od ust sobie odejmując i w najostateczniejszych rzeczach ograniczając swoje potrzeby. Sprzedała raz nowy swój habit dla wsparcia kilku dziewcząt i ustrzeżenia ich od grzechu. Gdy już wszystko się wyczerpało i nie było co dać ubogim, Święta rzucała się do stóp Ukrzyżowanego i odprawiała za nich krwawą dyscyplinę, a Bóg udzielał jej pomocy. W taki sposób wspomogła jednego młodzieńca, włożywszy mu do ręki 50 dukatów, z zastrzeżeniem, aby nikomu o tem nie mówił. Ubogiej znów rodzinie dała trzysta talarów, które Pan Jezus cudownie jej zesłał. Żebrzącej kobiecie u grobu Ś. Łucji pokazała na ziemi sztukę złota, mówiąc: „Weź to, bo ci to Matka Najświętsza przysyła“. Ten duch miłości tak ją czynił miłą Zbawicielowi, iż pewnego razu sam w postaci ubogiego pielgrzyma przyszedł ją prosić o jałmużnę. Zostawała podówczas w więzieniu, w którem trzymał ją ojciec za to, że nie chciała wyjść za mąż. Nie mając czem opatrzyć żebraka, stojącego pod jej oknem, rzuciła mu jedyną chustkę do nosa, jaką miała, a potem znalazła ich więcej, daleko cieńszych i wykwintniejszych. Tak Bóg wynagrodził miłosierdzie służebnicy swojej, chcąc ją w miłości ku bliźnim utwierdzić i zachęcić do hojności względem ubogich. Chorych źrenicami swych oczu nazywała. Ani odległość miejsca, ani niepogoda, ani własne cierpienia nie zdołały jej odwieść od nawiedzania szpitali; spędzała tam często długie godziny, służąc przeważnie chorym niewiastom i to nadewszystko takim, których choroby wstręt obudzały lub były zaraźliwe. Słała im łóżka, podnosiła je i najniższe oddawała usługi. Głównym jednak celem jej poświęcenia były dusze: odwodziła je od rozpaczy, modliła się za nie, przysposabiała do dobrej śmierci, do spowiedzi; nikt nie mógł oprzeć się jej słowom. To też ilekroć jaki grzesznik umierał, a nie chciał księdza, wzywano Marję-Franciszkę i ta robiła z nim wszystko co chciała[1]).

Cz. Teresa Gardi z Imola, 3 Zak. (1837 r.),

W roku 1910 rozpoczęto proces beatyfikacyjny sługi Bożej, Teresy Gardi, tercjarki Ś. Franciszka. Czcigodna Teresa urodziła się w Imola, w prowincji Bolońskiej (we Włoszech) 22 października 1769 r. z rodziców ubogich, ale bardzo religijnych. Straciwszy matkę w dwunastym roku życia, mała Terenia, chociaż najmłodsza z czworga dziatek, zajęła się gospodarstwem i całym domem, jak tego życzył sobie ojciec, który prawdopodobnie widział w niej wielką skromność, czystość i wzgardę przyjemności światowych.

Już w owym czasie Pan Jezus raczył nawiedzać swoją pokorną służebnicę, a zawsze przybity do krzyża. Objaśniła jej to później Matka Boska, którą Teresa wzywała szczególniej pod tytułem Najświętszej Panny Siedmiu Boleści. „Ponieważ chcesz służyć memu Synowi, rzekła Marja, wiedz, że będziesz musiała wieść życie podobne do Niego: w cierpieniu, w pogardzie, wśród ciągłych krzyżów i ciężkiej pracy“. Czcigodna odrzekła, że z mi

[1]) La B. Marje-Crescence Höse...

[1]) Żywot Ś. Marji Franciszki od 5-ciu Ran.

łości dla Jezusa wszystko przyjmie, byle Matka Boża otaczała ją swą ciągłą i skuteczną opieką, strzegąc ją od grzechu, co też zostało jej przyobiecane.

W r. 1798 stary jej ojciec, nauczyciel wiejski, dostał ataku apoplektycznego, który na resztę życia uczynił go niedołężnym. Teresie przybyło zajęcia. Oprócz zwykłych prac gospodarskich, trzeba było uczyć jeszcze drobne dzieci w szkole, a było ich od dwudziestu do czterdziestu. Wzamian za to poświęcenie, starzec płacił córce zrzędzeniem i przykrościami. W dodatku brat jej, człowiek żonaty, wpadłszy także w chorobę, sprowadził się do domu ojcowskiego z całą rodziną i żądał, aby Teresa ich żywiła. Służebnica Boża, posiadająca heroiczną miłość bliźniego, starała się zaradzić wszystkiemu i zwykle to jej się udawało, gdy zaś czasami nie mogła czemu podołać, chory obchodził się z nią w sposób niegodziwy. Trwało to aż dopóki nie odzyskał zdrowia, które mu siostra wymodliła, nie tracąc wśród swoich kłopotów zwykłej pogody ducha.

Mając lat 32, Teresa zapisała się w szeregi Trzeciego Zakonu Ś. Franciszka, który wraz z jej seraficzną Patronką, należał do umiłowanych jej Świętych. Chciała ona odtąd prowadzić życie więcej umartwione, choć od dzieciństwa przywykła już zadawalniać się przez cały dzień chlebem i wodą, i czasami tylko trochą owoców, lecz roztropny przewodnik, Franciszkanin, nie pozwolił jej na to. Poprzestała więc na ostrej włosiennicy, biczowaniu się trzy razy na tydzień i ściślejszym jeszcze poście w każdy piątek. Oto rozkład codzienny tej gorliwej Tercjarki: Wstanie bardzo wczesne; modlitwa myślna, Msza św., Komunja, do której, dla niezwrócenia na siebie uwagi, przystępowała raz w tym, drugi raz w innym kościele; po przyjściu do domu, gospodarstwo, robota na drutach i lekcje z dziećmi. Wieczorem każdego dnia nawiedzenie Najświętszego Sakramentu i droga krzyżowa. Tę ostatnią zwłaszcza obchodziła w czasie oschłości wewnętrznych i różnych przejść.

Chcąc wydoskonalić cnoty swej wiernej służebnicy, powiększyć jej chwałę, i utrzymać ją w najzupełniejszem zaparciu, Pan Bóg nie oszczędzał jej bynajmniej, owszem, dozwolił nawet szatanowi trapić ją zewnętrznie. Najprzykrzejszą męką były dla niej pokusy przeciw nadziei i czystości. Ale pokorna i trwożliwa gołąbka, wsparta pomocą Najwyższego, wychodziła zawsze zwycięsko z tej próby. Po owych szturmach zstępował do niej Pan Jezus, darząc ją najsłodszemi i najserdeczniejszemi imionami, a w styczniu 1817 r. zaślubił się z nią duchownie, jak niegdyś ze Ś. Katarzyną Seneńską. Włożył jej na palec pierścień niebieski i chciał, aby Go odtąd nie inaczej nazywała, tylko swoim Oblubieńcem. Siedm lat później Zbawiciel ponowił ten związek w obecności Najświętszej Marji Panny, jej Anioła Stróża i dwóch jej wielkich Przyczyńców: Ś. Franciszka Serafickiego i Ś. Teresy. Tym razem Pan Jezus dał jej gwóźdź, mówiąc: „Najdroższe moje oblubienice zwykłem obdarowywać smutkami, boleściami i utrapieniami“. Teresa wiedziała to doskonale z doświadczenia całego swego życia, a szczególniej z blizn, któremi została udarowaną w cztery lata po wstąpieniu do Zakonu Pokutujących, 25 lipca 1804 r. w czasie medytacji o Męce Pańskiej. Pokorna dziewica, zatrwożona tem, prosiła, by nie były widoczne i stało się temu w części zadość, chociaż rana boku ciągle była otwarta i wydawała bezustannie krew, najobficiej w każdy piątek.

Na przekór tak niezwykłym łaskom, a na wzór swego Serafickiego Ojca, Teresa gardziła sobą, jako najpodlejszem stworzeniem. Podziw ją ogarniał, że Pan Bóg chce ją znosić w swej obecności. A że zazwyczaj kosztowała tylko utrapień, bez czułej pociechy ze strony Pana Jezusa, przypisywała to opuszczenie grzechom swoim, które, według niej, czyniły ją godną piekła. Tymczasem, jak zeznali najuroczyściej jej przewodnicy duchowni, nietylko zachowała ona niewinność otrzymaną na Chrzcie św., ale nadto żaden grzech dobrowolny nie zmazał jej duszy przez całe a długie jej życie. Męczeństwo tej wzorowej Tercjarki, gdyż można się tak śmiało wyrazić, zakończyło się 1 stycznia 1837 r. Bezwątpienia Bóg wybrał ją sobie w czasach rewolucyjnych jako ofiarę przyjemną, aby, jeśli nie ułagodziła, to chociaż zmniejszyła surowość Jego sprawiedliwości. Współczesne jej społeczeństwo ani się tego domyślało, tak jak większa część współczesnych Ś. Franciszka nie wiedziała, jak wiele mu zawdzięcza przed Majestatem Bożym. Jedynie oczy Opatrzności zdolne są przeniknąć piękność i cenę ofiar, które garstka dusz heroicznych składa Panu bez przerwy i, wcale o tem nawet nie wiedząc, spłaca winy swoich poprzedników i okupuje grzechy, jakie się za ich czasów dzieją [1]).

Georgjana Fullerton, 3 Zak. (1885 r.).

Ta angielka, znakomita urodzeniem i talentem pisarskim, była z początku protestantką, a nawróciła się z czytania „Wstępu do życia pobożnego“ Ś. Franciszka Salezego. Zostawszy katoliczką, przyjęła habit i pasek 3 Zakonu. Spowiednikiem jej był O. Wilhelm Faber, Oratorjanin, niegdyś także

[1]) L'union séraphique, Novembre 1910.

protestant. Aby mieć pieniądze dla ubogich i nędzarzy, pani Fullerton uciekła się do swego talentu: tłumaczyła różne wiersze z francuskiego i posyłała je do najsłynniejszych wydawców londyńskich, którzy chętnie drukowali je w swoich czasopismach, bo imię córki angielskiego ambasadora w Paryżu obiecywało, że będą rozchwytane. Później w tymże celu napisała żywot Ś. Franciszki Rzymianki oraz Donny Ludwiki Karvajal, wielkiej pani hiszpańskiej z XVII wieku, która, podczas prześladowania za Jakóba I, poświęciła swój majątek i narażała się na śmierć dla obrony katolików londyńskich i dla pomocy ukrywających się tam Jezuitów. Wreszcie wydała żywot pani Falkland, żony wiernego stronnika Karola I, ofiarując zawsze honorarjum na cel wyżej wspomniany. Lecz lady Georgjanie nie wystarczało to bynajmniej: oprócz hojnych datków czuła ona potrzebę samej osobiście coś czynić. Wróciwszy do swej ojczyzny, prosiła księży proboszczów katolickich o spis ubogich tej parafji, w której mieszkała i, aby ich poznać, chodziła do nich regularnie, oddając im najniższe posługi. Pragnąc skuteczniej dopomódz ubogim, a zarazem dać możność wielu biednym dziewczętom angielskim wstąpienia do klasztoru, założyła zgromadzenie zakonne, tak zwanych „Ubogich sług Marji". Dzieło to do końca jej życia było przedmiotem jej największej troskliwości.

Do jakiego heroizmu lady Fullerton posuwała swoją miłość bliźniego, pokazuje nam choćby ten wypadek. Pewnej niedzieli, wracając z kościoła, gdzie była, według swego zwyczaju, na dwóch Mszach świętych, pani Fullerton dała jałmużnę ubogiej zamiataczce ulic, które w Anglji są przeważnie narodowości irlandzkiej, a więc gorliwe katoliczki. Ale, dając takową, spytała: „Sądzę, że byliście dziś na Mszy św.?" — „O, nie, pani, odpowiedziała kobieta, nie mogę odejść stąd przed południem, a do tej pory już wszystkie Msze św. wyjdą". Znakomita córka Ś. Franciszka Serafickiego, nie namyślając się, wzięła miotłę z rąk Irlandki i rzekła: „Idźcie prędko do kościoła, tylko co dzwoniono na Mszę św., wysłuchajcie jej, a ja tu tymczasem będę na waszem miejscu i oddam wam, co mi dadzą". Tym sposobem dzięki miłosierdziu Georgjany, biedna zamiataczka ulic w tę niedzielę wysłuchała Mszy św., a przechodnie rzucali jałmużnę swoją jednej z najsłynniejszych pań angielskich, której skromny ubiór nie bardzo przy tem zajęciu raził.

Lecz nietylko w kraju ojczystym pamiętała o ubogich. Będąc dla poratowania zdrowia w Buloń (Boulogne) we Francji, również służyła jak najgorliwiej biedakom i opiekowała się ich dziećmi. Aby wiedzieć, gdzie największa potrzeba jałmużny, zwróciła się do Sióstr Szarytek. Siostra, która ją przyjęła, sądząc ze skromnego ubrania, myślała, że to jakaś kobieta z ludu i na przedstawienie, aby urządzono prawdziwą ucztę dla dzieci z ochrony, odpowiedziała, nie kryjąc się ze swem zdumieniem: „I owszem, wypełnię jak najchętniej rozkaz szanownej dobrodziejki, ale muszę zwrócić jej uwagę, że taka wieczerza będzie pewno dla jej kieszeni za droga". Gość z uśmiechem pełnym dobroci wymówił swoje nazwisko. A siostra zawstydzona, zaczęła się tłumaczyć i zabrała się do spełnienia danego rozkazu. Lady Fullerton w miesiąc później urządziła dla tejże dziatwy piękną choinkę.

Jak zacna angielka pojmowała służenie ubogim chorym, wyszło to na jaw, bo nie mogąc czasem spełnić osobiście tego obowiązku, posyłała do nich z jałmużną albo swoją przyjaciółkę, albo inną jaką ubogą ale uczciwą osobę. Pewnego dnia taka zaufana pani przyszła w jej imieniu do biednej kobiety, od wielu lat złożonej chorobą, a położywszy na jej łóżku pieniądze i zapasy żywności, przemówiła kilka słów pociechy i chciała odejść. „Już pani odchodzi?" rzekła chora. „Albo co: czy to co dziwnego?" — „Nie, ale tamta pani tak prędko mnie nie zostawiała... napaliła w piecu".— „I ja to zrobię", i to mówiąc, wzięła się do roboty, a skończywszy ją, rzekła: „Teraz już dobrze, prawda?" — „O, tak, bardzo mi dobrze, ale to jeszcze nie wszystko". — „A więc, powiedzcie mi, czego jeszcze brak. Przyszłam zastąpić tę panią, gdyż nie mogła się dzisiaj wyrwać z domu; chcę przeto uczynić wszystko, co ona zwykle robi". I dowiedziała się, że lady Fullerton zamiata zawsze izdebkę, porządkuje ją, następnie czesze, umywa i ubiera chorą bez żadnego znudzenia i odrazy, a nie odejdzie, nie upewniwszy się, że do przyszłych jej nawiedzin niczego nie będzie potrzebowała; często nawet jeszcze poczyta jej coś z książki lub porozmawia z nią dosyć długo [1]).

Misjonarki Marji.

Franciszkańskie Misjonarki rozwijają swoją dobroczynną działalność we wszystkich częściach świata: można je spotkać w dżunglach indyjskich i na stepach mongolskich, w skwarnej Afryce i wśród czerwonoskórych Ameryki północnej. Nie odstrasza ich klimat, częstokroć dla nich zabójczy, nie przerażają trudy i niebezpieczeństwa; prawie każda marzy o męczeństwie i ochotnie sposobi się choćby do najdalszej podróży. Zaiste, trzeba być aniołem, żeby dokonywać takich cudów miłosier-

[1]) Le petit Messager de St. François. l'an. 1908 et 1909.

dzia, bo te dziewice, poświęcone Bogu, po większej części córki zamożnych rodzin, nieraz jaśniejące krasą młodości i urody, posuwają zaparcie się i miłość do tego stopnia, że jadą na drugą półkulę pielęgnować trędowatych. Ta straszna choroba szerzy się szczególnie w Birmanji, Japonji, i na Madagaskarze. Franciszkanki założyły w tych krajach swoje szpitale, w których liczba chorych dochodzi niekiedy do 700. Matka generalna nie wskazuje, które zakonnice mają się tam udać, oznajmia tylko że potrzebuje, przypuśćmy, sześć ochotniczek, a wtedy zgłasza się ich 600!

Trędowaty nie może spodziewać się od ziomków ani litości, ani pomocy; opuszczony przez wszystkich, zginąłby marnie w samotnym szałasie, gdyby nie anioły z za morza. One wyszukują ich i sprowadzają do szpitala, gdzie, nie poprzestając na pielęgnowaniu ciała, pracują gorliwie nad zbawieniem duszy tych nieszczęśliwych, uczą ich zasad prawdziwej wiary, ażeby śmierć zastała ich chrześcijanami.

Trąd — jest to choroba nieuleczalna; można tylko przynieść ulgę w cierpieniach, które bywają straszne. Z początku występują na skórze plamy brunatne, potem otwierają się krwawe rany, ciało psuje się, członki odpadają; zakonnica nieraz musi nożem odcinać zgniłą rękę lub nogę. Twarz częstokroć traci cechę ludzką i przeraża swoją potwornością. Śmierć staje się wyzwoleniem dla biednego skazańca. Pielęgniarki zachowują wszelkie środki ostrożności, odkażają się najstaranniej według wskazówek lekarzy, to też o wypadkach zarażenia nie słychać wcale.

Według sprawozdania jednej z matek, chorzy są bardzo cierpliwi i łagodni, znoszą swoje męczarnie ze wzruszającą rezygnacją. Chcąc ulżyć okropnej ich doli, Misjonarki wymyślają dla nich różne rozrywki, a nawet przedstawienia teatralne i tańce, którym ci oddają się z zapałem, bez względu na okaleczałe nieraz nogi. Najprzykrzejszą w szpitalu trędowatych jest odrażająca woń trupia, ciała ich bowiem za życia się psują. „Przez pierwsze trzy dni, spędzone na pielęgnowaniu chorych, mówi Matka, nic do ust wziąć nie mogłam, wszystkie moje suknie przesiąkły tym zaduchem".

Kapucyni.

Bracia Mniejsi wogóle, a szczególniej członkowie tego zakonu odznaczyli się wielkiem poświęceniem w klęskach tak prywatnych, jak i publicznych. Nie było nieszczęścia, któregoby ci synowie Franciszka Świętego nie odczuwali głęboko, wchodząc w cierpienia swoich bliźnich, i nie spieszyli im z pomocą, zapominając całkiem o sobie. Heretycy nawet, którzy zazwyczaj prześladowali zakonników, zmuszeni byli przyznać, że poświęcenie ich jest heroiczne i godne podziwu.

Mateusz z Basci.

W r. 1523 morowe powietrze, szerzące się po całych Włoszech, dotarło do Kamerynu. Mateusz z Basci, mieszkający niedaleko w klasztorze weneckim, zdjęty litością nad chorymi, którzy zostawali bez żadnej opieki i pomocy religijnej, udał się tam wraz z Ludwikiem z Fossombrone, za pozwoleniem gwardjana. Panujący w tem księstwie Jan Marja Varani z żoną Katarzyną Ciboa, wnuczką Papieża Klemensa VII-go, przyjął najgościnniej braci, którzy też zaraz udali się do chorych. Mateusz obiegał każdy dom, jednych zachęcając do cierpliwości, innych zaopatrując w rzeczy potrzebne, umierających zasilając ŚŚ. Sakramentami, umarłych grzebiąc, a wszystkich, tak zdrowych jak chorych, zachęcając do miłości Bożej. Bóg zaś, mający szczególniejsze staranie o tych, co służą Mu bez żadnej troski o siebie, strzegł ich od wszelkiego niebezpieczeństwa. Tak Mateusz, jak i Ludwik wrócili do klasztoru zupełnie zdrowi; księżna zaś, wielce odtąd poważając Mateusza, niemałą była mu pomocą w założeniu reformy Kapucynów.

Udaje się z towarzyszami służyć zarażonym

W pięć lat później znów powróciła zaraza, straszniejsza niż poprzednio. Wszędzie słyszano tylko płacz i jęki, bo nie było domu, gdzieby nie leżał umarły. Wszystkich ogarnął paniczny przestrach: małżonkowie, rodzeństwo, przyjaciele rozłączali się i uciekali od swoich chorych i umierających, zapominając o prawie Boskiem i ludzkiem. Mateusz, widząc tak straszną klęskę, zwrócił się, wraz z dwunastu innymi braćmi do Ludwika z Fossombrone, który był wtedy przełożonym, prosząc, by im pozwolił iść do zarażonej prowincji. Ludwik pochwalił tę ofiarność swoich towarzyszów i dał im niektóre przepisy, dotyczące zachowania się na tej usłudze, dodając, że i on sam przed kilku laty wiernie je spełniał: Przedewszystkiem, aby, złożywszy ufność swą w Bogu, Jemu staranie o sobie zostawili, a myśleli tylko o chorych. Po drugie, aby służąc bliźnim, nie zapominali o swoich własnych duszach, ale tem więcej jednoczyli się z Bogiem, który winien być jedynym celem ich prac, i aby w miłości Jego codziennie stawali się gorętszymi. Po trzecie, aby w dzień pracując, część nocy obracali na modlitwę, by zajęcia i sto-

sunki z ludźmi nie ostudziły ich ducha, lecz żeby, wzmocnieni rozmową z Bogiem, znowu z czystą miłością bliźnim się poświęcali. Przededniem zalecił im odmawiać pacierze, a o świcie odprawiać Mszę św., polecając w niej chorych miłosierdziu Bożemu. Po czwarte, aby każdy z nich miał towarzysza, czyli aby wszędzie chodzili we dwóch, dla zabezpieczenia się od pokus szatańskich, bo mówi Mędrzec: „Brat wspomożony od brata jest jak miasto obronne". Wreszcie, aby żaden z braci nic od chorych nie przyjmował, nawet na przechowanie, usuwając przez to zgorszenie i podejrzenie o chciwość, aby wszyscy widzieli, że nie majątku chorych, ale zbawienia dusz ich szukają: „Najmilsi, dodał nakoniec, co jest dobrego i świętego, to wam zalecam. Mężnie trwajcie i niech się umocni serce wasze. Na wszelkie niebezpieczeństwa bądźcie bez bojaźni, albowiem Bóg czuwać nad wami będzie, aby was w całości zachować, albo za pracę dać wam koronę". Wzruszeni do łez, ożywieni zapałem, nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, z radością ofiarowali się słudzy Boży na śmierć dla Chrystusa i rozbiegli się po dwóch po Kamerynie. Praca ich trwała cztery miesiące, i choć powietrze było tak zaraźliwe, że nietylko od dotknięcia się rzeczy, ale z oddechu samego się udzielało, a śmiertelność tak wielka, że ludzie nie mogli nadążyć z chowaniem ciał, bo nieraz grzebiący padał na umarłego, żaden jednak z braci nie zachorował, pomimo że nie mieli środków ochronnych, i dzień i noc byli na nogach [1]).

Bracia usługują w szpitalu nieuleczalnych w Rzymie.

Ludwik, zamieszkawszy ze swoimi braćmi w Rzymie, często rozważał życie i dzieła Świętego Patryarchy, chcąc by ta nowa gałąź najbardziej była zbliżoną do pierwotnego ducha. Zapragnął więc, aby bracia udali się do szpitala Ś. Jakóba służyć trędowatym, jak to czynił święty ich Ojciec Franciszek. Gdy opowiedział ten zamiar braciom, ci natychmiast okazali swoją gorliwość: jeden drugiego chciał wyprzedzić, uważając za rzecz Bogu najmilszą poświęcić się na podobne usługi. Sam Bóg widać dał Ludwikowi to natchnienie dla ulgi biednych chorych, szpital bowiem był w takiem zaniedbaniu, że nie było w nim nawet komu posługiwać. Dopiero bracia, przyszedłszy, zaczęli cały dom uprzątać, słać łóżka, zmieniać chorym bieliznę, oczyszczać wszelkie brudy, rozstawiać pachnące kwiaty i zioła tak dalece, że zakład ów, odrażający przedtem dla nieporządku, pociągał później swoją niezwykłą czystością. Bracia dniem i nocą czuwali nad chorymi, przygotowywali lekarstwa, opatrywali rany, podawali posiłek, spełniali najniższe usługi, słowem, nic dla nich nie było trudnego ani ciężkiego, lecz wszelkie prace i niewygody z największą radością znosili, obchodząc się z chorymi, jak z najdroższemi dziećmi swemi. A po zaspokojeniu potrzeb ciała, starali się ich oświecać, nauczać i zachęcać do cierpliwego znoszenia choroby. Wkrótce po mieście rozeszła się sława cnót zakonników i tak obfite ściągała jałmużny, że kiedy przedtem szpital kilku nawet chorych nie mógł opatrzyć, potem wielka ich liczba wszystkiego miała obficie. Dla wielkiego porządku, nawet bogatsi w czasie choroby tutaj się przenosili, powiększając przez to dochody, a tak dom ten już upadający, za przybyciem Kapucynów, nanowo się podźwignął. Pełniąc te pobożne uczynki miłości, bracia zjednali sobie życzliwość i uwielbienie wielu prałatów i Kardynałów, przedtem nieprzychylnych powstającemu ich zakonowi.

Piotr z Todi (1540 r.).

Piotr z Todi, surowy dla samego siebie, szczególniejsze okazywał politowanie nad wszelką nędzą ludzką, tak iż płakał nad każdym, kogo widział przyciśnionego pokusą, chorobą lub utrapieniem. Ta jego litość rozciągała się nietylko na żywych, lecz i na zmarłych, gdy bowiem pewnego razu ciała czternastu złoczyńców, skazanych na śmierć wyrokiem sądu, długo na szubienicy wisiały, Piotr nocną porą zdjął je za pozwoleniem gwardjana i skrycie pochował na cmentarzu. Mając od Pana Boga dar uspokajania kłótni i niezgód, rozbrajał każdego, choćby najdzikszego lub pozbawionego napozór wszelkich uczuć ludzkich i i doprowadzał go do zgody z nieprzyjacielem, a przez to wiele osób, rodzin i całych nawet okolic od wiecznej wyrwał zguby [1]).

Justyn z Panigale. (1547 r.).

Świątobliwy ten braciszek wielką czuł miłość ku wszystkim, a szczególniej ku chorym; że zaś posiadał trochę wiadomości felczerskich, najmilej mu było usługiwać w infirmerji, gdzie leczył nieraz najstraszliwsze wrzody, nietyle swoją umiejętnością, ile modlitwą. W klasztorze fulgińskim pewnemu bratu, imieniem Paweł, chorującemu na tak zwany piekielny ogień w nodze, z porady lekarzy wypadło odjąć nogę do kolana, aby gangrena dalej się nie szerzyła. Justyn, będący tam wów-

[1]) Kroniki Kapuc. Bowerjusza r. 1552.

[1]) Tamże r. 1540.

czas, zapragnął doglądać chorego i, otrzymawszy na to pozwolenie, częścią swemi lekarstwami, a najwięcej gorliwą modlitwą wkrótce doprowadził brata do zupełnego zdrowia. Tę samą miłość okazywał, gdy w niektórych miastach włoskich grasowało powietrze. Wziąwszy sobie kapłana za towarzysza, i odrzuciwszy wszelką bojaźń śmierci, własnemi rękami opatrywał wrzody i rany chorych, dniem i nocą nad nimi czuwał, cieszył ich i pilnował, a ciała umarłych grzebał [1]).

Jakiego miłosierdzia wymaga Bóg nad ubogimi.

Tenże brat Justyn litował się również nad ubogimi i na wszelki sposób starał się im dopomódz, szczególniej od następującego zdarzenia. Pewnego razu, gdy był gwardjanem, przyszedł do klasztoru ubogi o zachodzie słońca, prosząc o posiłek i nocleg. Brat Dominik z Boscheto, kapłan, który natenczas pilnował furty, z polecenia przełożonego opatrzył żebraka chlebem, ale odmówił mu przyjęcia na noc, z powodu braku miejsca w budującym się dopiero klasztorze. Ubogi, wziąwszy chleb, odpowiedział: „Wiem, żeście ubodzy, ale wiem także, cobyście zrobić mogli“, i, odwracając się, znikł. W tej chwili Zbawiciel, gdyż On to sam ukrył się w postaci żebraka, ukazał się klęczącemu w chórze Justynowi i, składając chleb na ołtarzu, rzekł do niego: „Ten chleb wziąłem od was, ale żeście mi odmówili przyjęcia, przeto, odrzucony, odchodzę“. Furtjan, widząc, że ubogi gdzieś się podział i nie rozumiejąc, coby to miało znaczyć, pobiegł do Justyna, by mu zdać z tego sprawę, ale zastał go już o wszystkiem uwiadomionego i zalanego łzami żalu, że Panu Jezusowi odmówił przyjęcia. Nie mógł się potem długi czas uspokoić, dzień i noc płakał, a w uszach jego brzmiały ciągle słowa: „Przeto, odrzucony, odchodzę“.

Jak więc surowy rachunek zdadzą ci, co nietylko schronienia, lecz i jałmużny biednym odmawiają, skoro Zbawiciel w osobie ubogiego, wsparty będąc chlebem, za wielką poczytał winę odmówienie noclegu. Może się kto zdziwi, dlaczego Pan Jezus tak ostro upomniał Justyna. Wszak bardzo prawdopodobne, że w niedokończonym klasztorze nie było miejsca dla pielgrzymów, ale ponieważ komu wiele dano, wiele od niego żądać będą, więc też i od sług swoich, nad którymi z Opatrzności swojej troskliwie czuwa i wszelkie potrzeby ich zaspokaja, żąda Zbawiciel większej nad ubogimi litości i miłości, to jest nadzwyczajnej, z ujmą własnych potrzeb i wygód [2]).

[1]) Tamże r. 1547. [2]) Tamże.

Cudowne zaopatrzenie klasztoru (1557 r.).

Cały zakon Kapucynów, zrodzony niejako i wypielęgnowany w ubóstwie Chrystusowem, naśladując jaknajwierniej swego Boskiego Mistrza, starał się do Jego woli zastosować przez opatrywanie ubogich, za co Pan Bóg wspomagał go nieraz dziwnemi cudami. W r. 1557 w całej prowincji Weneckiej panował straszny głód i braciom ledwie starczyło środków do zaspokojenia niezbędnych potrzeb życia. Otóż razu pewnego brat kwestarz, wracając do klasztoru z użebraną jałmużną, otoczony został przez rzeszę ubogich, proszących go o wsparcie, a przejęty litością, rozdał im wszystko, co miał. Za nadejściem godziny wieczerzy, na zapytanie gwardjana, czy ma jaki posiłek, opowiedział mu z całą prostotą swoje zdarzenie. Gwardjan, nie śmiejąc go skarcić za tę hojność, poszedł do śpiżarni, aby przekonać się, czy niema tam jakich resztek z dnia wczorajszego i oto ujrzał starą skrzynię napełnioną do wierzchu świeżym białym chlebem. Widać, że Pan Bóg chleb rozdany ubogim poczytał za użyczony sobie samemu, więc oddał takowy z nadmiarem, ucząc tem zakonników, że, jako ubodzy ewangeliczni, powinni iść raczej za głosem miłości, niżeli uważać na roztropność.

Kroniki kapucyńskie pełne są opisów podobnego miłosierdzia, jak również takich samych cudów [1]).

Antoni z Alento (1571 r.)

Cnota miłości w Antonim rozwinęła się jeszcze na świecie, co pokazuje następujący wypadek. Kiedy ukochany brat jego padł w kwiecie wieku pod nożem zabójcy, on nietylko nie pomyślał o zemście, ale widząc grzesznika żałującego i skruszonego uściskał go, ucałował i dał mu pieniędzy na drogę, by go nakłonić do ucieczki. Bóg wynagrodził Antoniemu ten heroizm powołaniem do Kapucynów. Tu całą miłość swoją zwrócił on ku ubogim, którym częstokroć oddawał prawie cały swój posiłek, poprzestając na suchym chlebie i odrobinie jarzyn [2]).

Hojność gwardjana w Metelice.

W czasie wielkiego głodu w Metelice i w sąsiednich okolicach, gwardjan tamtejszy, bardzo świątobliwy zakonnik, litując się nad biednymi, których wielu z głodu umierało, kazał nie wypuszczać żadnego bez opatrzenia. I dziwna rzecz! Obywatele Meteliki, chociaż uszczuplali swoje własne rozchody, Kapucynom jednak tak obficie wszyst-

[1]) Tamże r. 1557. [2]) Tamże r. 1571.

kiego dawali, że nietylko na potrzeby zgromadzenia, ale i dla ubogich zawsze starczyło. Lecz, gdy gwardjan ów poszedł na kapitułę, wikary, który go zastępował, powodując się jakąś ludzką roztropnością, zmniejszył jałmużny ubogim. I cóż się stało? Odtąd i bracia kwestujący po całem mieście bardzo mało otrzymywali, tak że klasztor zaledwie mógł się wyżywić. Przybył wkrótce nowy gwardjan, niemniejszą przejęty miłością od swego poprzednika, a dowiedziawszy się o takiej zmianie, kazał jałmużnę zwiększyć i raczej ująć braciom, byle tylko zaopatrywać wszystkich przychodzących. Tylko co rozkaz ten został wydany, aż po upływie trzech godzin jakiś nieznajomy człowiek przyniósł do furty kosz chleba i w żaden sposób nie chciał powiedzieć, kim jest i skąd przychodzi. A ledwo się ten oddalił, przyszedł drugi, niosąc 14 funtów mięsa i również nie chciał dać żadnych wyjaśnień; wreszcie trzeci tuż za nim ofiarował kosz sera. Uznali w tem bracia Opatrzność Boską, a w owych ludziach posłańców z nieba, tem bardziej że kwestarz, choć odtąd pół tylko miasta obchodził, zbierał zawsze dość jałmużny, tak dla klasztoru, jak dla biednych [1]).

Filip z Montevetero (1576 r.).

Był to zakonnik taką udarowany czystością i prostotą, że nigdy nic złego o nikim nie pomyślał. Jaśniało w nim posłuszeństwo, pokora, ubóstwo, lecz szczególniej odznaczał się miłością dla biedaków. Oddawał im wszystko, cokolwiek zeszło ze stołu, zbierał dla nich w ogrodzie owoce i jarzyny, byleby tylko z niczem od furty nie odeszli. Raz, otrzymawszy w jałmużnie chleb od pewnej kobiety, w jej przytomności oddał go ubogiemu, a gdy ta zauważyła, że nie dla biednych, ale dla braci go daje, Filip nigdy już do niej po jałmużnę nie chodził. Zdziwiona niewiasta zagadnęła go raz przy spotkaniu, dlaczego jej dom omija. „Jakże nie mam omijać, odpowiedział kwestarz kapucyński, kiedy mi pani zabrania wspomagać ubogich. A jeśli tej jałmużny nie wolno nam udzielać komu trzeba, to wolimy wcale jej nie przyjmować". Słowa te zrobiły na pytającej takie wrażenie, że prosiła braciszka, żeby znowu ją nawiedzał i ofiarami jej rozporządzał, jak uważa za potrzebne [2]).

Błażej z Hali. (1576 r.).

Ten sługa Pański, wyznaczony przez swoich starszych do usług zapowietrzonym, z całym zapałem, pilnością i poświęceniem niósł im wszelką pomoc tak dla ciała, jak i dla duszy. Za tę miłość Bóg przyjął w ofierze jego życie, gdyż, zaraziwszy się, po niedługich cierpieniach zakończył swoją pielgrzymkę doczesną. Przeczuwając ostatnią chwilę, zakonnik padł na kolana i w gorącej modlitwie duszę swą Bogu polecił i w tej postawie skonawszy, zostawał jeszcze przez osiem godzin. Świętość jego zaraz po śmierci wsławił Bóg cudami, które działy się za dotknięciem głowy zmarłego [1]).

Ś. Feliks z Kantaliczo. (1587 r.).

Pełen miłości, zarówno dla braci, jak i dla obcych, święty Feliks dokazywał prawie cudów, gdy chodziło o służenie chorym. Kiedy w Rzymie panowała śmiertelność, starsi kazali mu żebrać jałmużny na ubogich i chorych, a Święty, uradowany z tego obowiązku, zabrał się do niego z taką pilnością, z jaką tylko Święci zwykli coś czynić. W całem mieście nie było chorego biedaka, o którymby brat Feliks nie wiedział. Nigdy żaden chciwiec nie podjął tyle trudów dla pomnożenia swych bogactw, co on dla wyszukania chorych, których miał sobie za skarb największy. Mając zapisaną ich liczbę, trudno wypowiedzieć, jak niezmordowanie ich nawiedzał, jak cieszył łagodnemi słowy, jak zaopatrywał ich nędzę, jak pobudzał do hojności wszystkich mieszczan, panów i prałatów. A jeżeli kiedy uproszona jałmużna nie wystarczała, uciekał się do klasztornej, z której wolał nieco domowym ująć, aby tylko ubodzy wszystko mieli. Oprócz mieszkań biedaków, obchodził szpitale i przytułki szczególniej w dnie świąteczne, w które wolny był od kwestowania, i tam posługiwał chorym; był to jakby jego odpoczynek po tygodniowej pracy. Dla jednych mył naczynia, drugim łóżka prześcielał, innym wody podawał, tych wachlując, chłodził, tamtych karmił migdałami, albo innemi łakociami, które dla nich od panów wyżebrał; niektórych do cierpliwości pobudzał, a innych zachęcał do spowiedzi i żalu za grzechy. Ta miłość jego ku chorym tak była przyjemna w oczach Bożych, że raczył ją nagradzać cudami. Raz, nawiedzając szpital przy bazylice Lateraneńskiej, Ś. Feliks przyszedł z kolei do jednego bardzo źle się mającego i zapytał go, czy pija wino. „Nie, odpowiedzieli zań drudzy chorzy, gdyż doktór zakazał". Święty mimo to poprosił, aby mu przyniesiono trochę w kubeczek i napoił nim ciężko chorego, który od tego czasu zaraz począł się mieć lepiej i wkrótce całkiem wyzdrowiał.

Drugi raz, gdy według zwyczaju nawiedzał szpital Ś. Ducha, zastał tam konającego, o którym lekarze dawno zwątpili i czekali, rychło skończy.

[1]) Tamże. [2]) Tamże r. 1575.

[1]) Tamże r. 1576.

Braciszek, spojrzawszy nań, zawołał: „Nie umrze on jeszcze, ale wróci do zdrowia“, i wziąwszy z kaplicy ampułkę z winem, wlał mu go trochę w usta i wyszedł. Ledwo że Święty za próg nogę postawił, chory oprzytomniał i tak prędko odzyskał siły, że w trzy dni, jako zupełnie zdrowy, opuścił mury szpitala.

Innym razem Pan Bóg posłał Feliksowi pomoc przez Anioła, byle tylko mógł zadośćuczynić swemu sercu w świadczeniu posług miłości. Potrzebował on trochę wina czerwonego dla kogoś z horych na żołądek i upraszał o to pokornie winiarza, lecz ten odprawił go z niczem. Wtedy stanął przy świętym jakiś urodziwy młodzieniec, promieniejący jasnością i, dając dukata winiarzowi, powiedział: „Oto masz pieniądze za wino, sprzedaj je temu bratu“, poczem znikł natychmiast [1]).

Bł. Serafin z Montegranaro (1604 r.).

Gorąca miłość Boża, którą pałało serce Błogosławionego, objawiała się szczególnie w stosunkach z bliźnimi. Dla wszystkich był zawsze uprzejmy, słodki i nadzwyczaj usłużny, najbardziej jednak kochał ubogich i używał wszelkich sposobów dla przyniesienia im ulgi, odmawiając nieraz sobie samemu rzeczy niezbędnych. Jednego roku np. w czasie nieurodzaju, Święty jadał dziennie tylko cztery uncje chleba, a resztę oddawał głodnym. Ta hojność doszła do najwyższych granic, kiedy, spełniając obowiązki furtjana, Serafin miał sobie zleconą pieczę o ubogich, przychodzących po wsparcie do klasztoru. Często zdarzało się nawet, że wybrał wszystkie jarzyny z ogrodu, a gdy przełożony upominał go za tę pozorną nieroztropność, odpowiadał z prostotą: „Nie martw się, Ojcze, będziemy zawsze mieli wszystkiego pod dostatkiem, bo jałmużna krzywdy zgromadzeniu nie zrobi“. W rzeczy samej, to, co on zerwał z wieczora, odrastało przez noc i cząstka udzielona ubogim nie robiła nigdy uszczerbku; tak wynagradzał Pan Bóg wielką miłość swego sługi dla bliźnich. Ale i dobro dusz niemniej obchodziło bł. Braciszka. Kilku grzeszników, których nie były w stanie wzruszyć słowa najwymowniejszych kaznodziejów zakonu, nawróciło się skutkiem jego upomnień. Pragnął również iść do niewiernych, żeby im dać poznać Jezusa i życiem przypieczętować swoją miłość dla Niego, ale starsi odmówili mu pozwolenia. Pan Bóg nie wymagał od niego innych ofiar, oprócz tych, jakie Mu składał Serafin z samego siebie, każdego dnia i każdej godziny [2]).

[1]) Kron. 3 Zak. Ś. Fr. Cz. IV, Ks. 4, r. 29. [2]) L'aur. séraph. T. IV.

Poświęcenie Kapucynów francuskich w czasie pożarów.

Ludwik XV nazywał Kapucynów „pierwszymi strażakami Paryża“, chociaż bowiem wszystkie zakony żebrzące, sprowadzone do Francji już za Ludwika IX, brały zawsze czynny udział w gaszeniu pożarów, ale Kapucyni, ostatni co do czasu przybycia, zajęli niebawem pierwsze miejsce wśród tych zakonów „Salamandr“, a poświęcenie ich w tej rzeczy przeszło niejako w legendę. Na głos pożarnego dzwonu, czy w dzień czy w nocy, wychodzili z klasztorów i oddawali się pokornie pod rozkazy kapitana, lub innego dowodzącego ratunkiem, a ten wyznaczał im miejsca i to bynajmniej nie najbezpieczniejsze. Trudno byłoby opisać akty poświęcenia, męstwa, zręczności, jakiemi odznaczali się ci zakonnicy w pożarach, tak często nawiedzających Paryż; dość powiedzieć, że stolica Francji im zawdzięcza zachowanie najpiękniejszych swoich budynków, stanowiących dziś jeszcze jej chlubę. Godną podziwu była szybkość tych zakonników, pomimo ich długiej i grubej odzieży, zbyt ciężkiej w upały, a niedostatecznej w czasie mrozu. Każdy z nich, mając siekierę u pasa i dwa wiadra plecione, wyłożone skórą, a czasem jeszcze i drabinę, rzucał się w najbardziej zagrożone miejsca: jedni ratowali sprzęty lub papiery wartościowe, drudzy wynosili chorych lub zranionych, inni rozrywali dachy, dźwigali wiadra wody, a inni wreszcie byli przy sikawkach. A pomyślmy sobie, że ci bohaterowie nie byli wprawni w ćwiczenia gimnastyczne, ani we władanie siekierą lub innemi narzędziami; przytem ogolone ich głowy nie były okryte hełmem, jak u strażaków, długa suknia utrudniała ruchy, a lekkie sandały nie zabezpieczały wcale bosych nóg od płomieni. Wszystkie zaś te czyny poświęcenia wolne były zupełnie od ludzkich pobudek, np. od pragnienia próżnej chwały albo nadziei zyskania jakiej nagrody. Nikt zazwyczaj o nich nie wspominał, uważając to za rzecz zwyczajną, niemal codzienną, chyba tylko w kilka dni potem jaka gazeta w opisie wypadków podawała zwięzłą wiadomość, że w tem lub w owem miejscu wybuchł pożar, szkody były takie a takie, ofiar zginęło tyle a tyle, a między niemi taka a taka liczba ratujących zakonników. Z tych więc tylko krótkich notatek można sobie utworzyć pojęcie o roli, jaką Bracia Mniejsi grali w pożarach. Lecz więcej chyba jeszcze dowodzą tego nadawane im przydomki, wogóle bowiem w całym kraju nazwa Kapucynów znaczyła to samo, co „ludzi od moru i ognia“, jak ich przezwał niegdyś rejent Francji, książę Orleański. Nie w samym jednak Paryżu, ale i we wszystkich mia-

stach Francji spotykamy dowody, świadczące o udziale Kapucynów w gaszeniu ognia. Tak np. historyk miasta Nant (Nantes) pisze pod rokiem 1568, że „cała gmina z prefektem miasta na czele... pozwala Kapucynom osiedlić się w tem mieście, z warunkiem niesienia pomocy w razie pożaru".

Dwa pożary w Paryżu w r. 1618

W r. 1618 dnia 7 marca wszczął się pożar w Pałacu Sprawiedliwości. Zwróciło wtenczas powszechną uwagę męstwo pewnego Kapucyna, który dwa razy dostawał się na ołowiany dach Świętej kaplicy, aby ugasić palące się na niej głownie, od których cały budynek łatwo mógł był się zająć. Z Braci Mniejszych nikt wtedy nie zginął, ale pisze dziennikarz, że kilku Augustjanów i sześciu Karmelitów, nieroztropnie posunąwszy się aż pod sklepienie wielkiej sali, padli ofiarą swego poświęcenia.

Tegoż roku 27 czerwca Kapucyni z przedmieścia Ś. Jakóba, oraz inni zakonnicy żebrzący przybiegli nieść pomoc w gaszeniu pożaru, który groził zniszczeniem mostom na rzece Sekwanie, zabudowanym w owe czasy domami. Pożar wybuchł z powodu iskry, spadłej na statek pełen siana, od którego zapaliło się sześć innych statków. Płomienie i dym rozszerzyły się od Arsenału aż do ogrodu Tuileryjskiego, a trwoga mieszkańców na mostach i nad brzegami rzeki była okropna. Dzięki zakonnikom i przewoźnikom, ogień, jakkolwiek znaczne wyrządził szkody, został w końcu ugaszony.

Pożar mostu Kupieckiego (r. 1621.)

W nocy z 20 na 21 października r. 1621 most Kupiecki i poblizki temuż most Giełdy, oba zbudowane na łukach i pokryte domami, znalazły się nagle w płomieniach i mniej niż w trzy godziny zostały przez nie strawione. 1500 rodzin znalazło się bez dachu. Czternastu zakonników żebrzących zginęło w płomieniach i w wodzie, a 34 otrzymało rany, starając się ratować życie i mienie ubogich mieszkańców.

Pożar Świętej Kaplicy (r. 1630.)

Dwustu do trzystu zakonników dzielnie pomagało przy ratowaniu Świętej Kaplicy, tak że sama tylko dzwonnica uległa spaleniu. Utworzyli oni z siebie potrójny łańcuch od Sekwany do Luwru, czerpiąc wodę i wzajemnie ją sobie podając. Nie poprzestali wszakże na środkach roztropności ludzkiej, lecz uciekli się do nadprzyrodzonych, mianowicie przynieśli Najśw. Sakrament z parafjalnego kościoła i w tejże chwili pożar ustał. Wiele jednak arcydzieł w Luwrskiej galerji obrazów uległo zniszczeniu [1]).

Kapucyni aptekarzami.

Począwszy od w. XVII Kapucyni urządzali apteki ludowe i wydawali darmo lekarstwa chorym w swoich klasztorach. Słynną taką aptekę w klasztorze Ś. Jakóba założył brat Anioł z Paryża a talent jego uznawał nawet król Ludwik XIV. Na jego rozkaz miłosierny Kapucyn leczył żonę Delfina, Krystynę bawarską, następnie wysłany był do Jana Sobieskiego, do Polski, później do Bawarji, Kolonji i wreszcie do Holandji, gdzie kierował obsługą doktorską w wojsku marszałka luksemburskiego. Kapucyni wynaleźli wiele środków leczniczych, między innemi laudanum. Wymyślił je O. Russo (Rousseau) [2]).

Obsługiwanie zarażonych.

Gdy przeglądamy kroniki zakonu Kapucynów każdej prowincji, zwłaszcza z wieku XVII-go, aż serce się ściska z boleści, a jednocześnie napełnia się uwielbieniem, że tylu braci ginęło, służąc chorym podczas zarazy. W tysiącach miejsc, gdzie pojawiła się choroba, pielęgnowali chorych, zamykali się z nimi w szpitalach i domach, i nietylko udzielali Sakramentów ŚŚ. umierającym, ale jeszcze stawali się doktorami, rejentami, a w potrzebie i grabarzami. Wielu przypłaciło życiem tę miłość bliźniego. Ale gdy jedni umierali, przychodzili inni i szli za klęską z miasta do miasta, dopóki zaraza nie ustała. Kroniki Paryża, Ljonu, Wiednia i innych miast europejskich, pełne są opisów gorliwości, jaką Kapucyni rozwijali w tych strasznych a tak częstych dawniej epidemjach. Podajemy niżej przykłady najsłynniejszych braci, którzy się w tym kierunku odznaczyli [3]).

Zaraza w Toskanji (r. 1633.)

Gdy roku 1633-go wybuchła zaraza w Toskanji, wielki książę, litując się nad nieszczęśliwym ludem i pragnąc mu przyjść z pomocą, wezwał do jego obsługi Kapucynów. Rozkaz, a raczej prośba monarchy, powierzająca kierownictwu zakonników wszystkie szpitale pootwierane w państwie, przedstawioną została Ojcom, zgromadzonym na kapitułę. Prowincjał przyjął to wezwanie z radością, a wszyscy bracia z zapałem. Rozeszli się oni po różnych miastach. Między innemi przybyli do Flo-

[1]) Les premiers pompiers de Paris par le R. P. Edouard d'Alençon [2]) Annali Capuccini V. I. [3]) Tamże.

rencji, aby objąć ogromny szpital Najśw. Panny Nowej. Wielka była miłość tych zakonników, wielka czujność, by utrzymać ład we wszystkiem, wielkie męstwo w oddawaniu posług ciału i duszy zarażonych z niebezpieczeństwem własnego życia. Wielu Kapucynów padło wtedy ofiarą, ale gdy umierał jeden, miejsce jego zajmował natychmiast drugi. W szpitalu Matki Boskiej Nowej zmarli bracia: Jan Franciszek ze Sjenny, Illuminat z Bitontu, Franciszek Marja z Florencji i Humiljan z Serravezza, w innych zaś miastach toskańskich — 43-ch. Imiona ich zapisane są w księdze żywota [1]).

Alfons z Ruan (Rouen) (1634 r.).

Zakonnik ten wielkiej pobożności i umartwienia jaśniał też nadzwyczajną miłością ku bliźnim. Nic dlań nie było milszego, jak znajdować się między chorymi i konającymi. Czternaście lat swego życia spędził w szpitalach dla zapowietrzonych, gdyż w tym czasie to w jednej, to w drugiej okolicy Francji szerzyła się zaraza, a sługa Boży był dla wszystkich tych nieszczęśliwych pocieszycielem i ojcem miłosiernym. Odznaczył się on głównie pod koniec swego życia kierownictwem szpitala w Oranż. Gdy rozeszła się wieść, że miasto zostało nawiedzone powietrzem i wielu zarażonych umiera bez Sakramentów i bez żadnej opieki lekarskiej, Alfons, znajdujący się wtenczas w Ruan, natychmiast prosił przełożonych, aby go tam posłali, a otrzymawszy pozwolenie, puścił się pieszo w daleką drogę. W miejscowościach, przez które przechodził, dowiadywał się o chorych i zarażonych, spowiadał ich, osładzał cierpienia żywem współczuciem i szedł dalej, żebrząc jałmużny. Tak pielgrzymując po apostolsku, dotarł nareszcie do miasta Oranż (Orange) i do szpitala zapowietrzonych. Było ich aż 400-u, a on jeden tylko do ich usługi. Mniej ofiarny człowiek napewno byłby się cofnął, ale sługa Boży wziął się mężnie do dzieła, podzieliwszy sobie zajęcia w taki sposób. Rano najpierw obchodził wszystkie łóżka, spowiadał słabszych, potem udzielał im Komunji św., następnie szedł do umierających i przygotowywał ich do śmierci, wreszcie grzebał umarłych. Mieszkańcy, litując się nad jego umęczeniem, znosili mu wino i żywność; O. Alfons prawie tego nie próbował, oddając wszystko chorym, najbardziej osłabionym. Miłosierdzie jego rozciągało się i na tych, którzy wrócili do zdrowia. Starał się dla nich o ubranie i o wszystkie potrzeby, polecał sercu ludzi zamożniejszych, zwłaszcza kobiety, dzieci, starców i rzemieślników. Kiedy zaraza ucichła, a on myślał, że trochę odpocznie, przysłano mu rozkaz, by śpiesznie wracał do Rouen, bo tam zaczęli chorować. Wziął się więc znowu do dzieła i przez dwa miesiące pracował jak w Oranż, ale spodobało się Bogu wezwać go po nagrodę wiekuistą. Zaraziwszy się, umarł 7 grudnia 1634 r. Wkrótce po nim zeszli z tego świata w tym samym szpitalu bracia: Jan Chrzciciel z Hawru i Karol z Nąfleri (Nonfleury), obaj synowie prowincji Normandzkiej [1]).

[1]) Tamże.

Piotr Franciszek z Florencji (1634 r.).

Pyszny i swawolny na świecie, Majnard Attilio, Florentczyk, stał się, wstąpiwszy do Kapucynów, publicznym pokutnikiem, pod imieniem Piotra Franciszka. Jako doktor prawa cywilnego, posuwał się on był do gorszących występków: bronił zawsze spraw nieczystych, chciwców i drapieżców cudzej własności. Z kłamstwem na ustach, dumą i pogardą w spojrzeniu, krzycząc i odgrażając się zmuszał urzędników miasta do niesłusznego sądzenia spraw. Nakoniec, gdy mu umarła narzeczona, spuścił się z rozpaczy do grobów, szukając w ciemnościach ciał ludzkich, potrącał nogą kości i szkielety i ucinał im głowy. Przyjrzawszy się jednej czaszce, rzucił ją w kąt, ale wtedy zdjęło go przerażenie: zastanowił się nad sobą, uspokoił i poznał, że wszystko, co jest na świecie, to marność. Pod wpływem tego światła Bożego zerwał wszelkie więzy ze światem i, mając lat 36, wstąpił do Kapucynów w klasztorku kortoneńskim, najuboższym w całej prowincji, a zbudowanym jeszcze za czasów Ś. Franciszka. Od tej chwili były adwokat wypowiedział walkę swoim namiętnościom, aby zaś poskromić to ciało, które go wiodło do grzechów i aby nad niem zapanować, prowadził życie bardzo surowe: mało jadał, biczował się dzień w dzień, chodził we włosienicy, habit miał zawsze najlichszy ze wszystkich, na nogach nawet zimową porą nie nosił sandałów, a sypiał na gołych deskach. Tak żyjąc, zwyciężył wkrótce złe pociągi i stał się pełnym miłości dla Boga i bliźnich. Kiedy zaraza wybuchła w Toskanji i Prowincjał na prośby wielkiego księcia rozsyłał zakonników do różnych miast, aby służyli chorym, Majnard Attilio błagał ze łzami, aby go tam posłano, gdyż chce odpokutować za swoje grzechy i zgorszenia dane całemu miastu. Otrzymał tę łaskę i zostawszy generalnym rządcą wszystkich szpitali w stolicy, wziął się natychmiast do dzieła. Doktorzy i posługacze, wiedząc o jego niezwykłem nawróceniu i silnej woli, słuchali go z największą uległością. Piotr-Franciszek rozporządził, aby chorzy, których było kilku-

[1]) Tamże.

set, zostali wygodnie ułożeni, aby wszędzie był wzorowy porządek, aby regularnie dawano jedzenie i lekarstwa, jako też pomoc duchowną, co wszystko odbiło się zbawiennie na zdrowiu chorych. Chcąc zapobiedz rozwojowi zarazy, kazał chirurgom robić sekcje na nieboszczykach i doszedłszy powodu takowej, przedsięwziąć odpowiednie środki do jej powstrzymania. Dzięki tej roztropności wiele osób wróciło do zdrowia. Piotr sam nie szczędził trudów i codzień zwiedzał wszystkie szpitale i lazarety, pilnując spełniania jego zaleceń, a przytem budującem opowiadaniem i uprzejmą wesołością rozweselając chorych. Pragnął on gorąco oddać w ofierze swoje życie i ucieszył się, gdy poczuł w członkach swoich kurcze, zapowiadające nadejście zarazy. Jednakże Pan Bóg inaczej rozporządził. Pomimo, iż chory nie położył się do łóżka, cierpienia zmniejszyły się i znikły, powietrze też ustało i O. Franciszek, wraz z kapelanami, doktorami i służącymi, wyszedł z niego, chcąc nie chcąc, do fortecy San-Minjato, aby tam odbyć przepisaną kwarantannę[1]).

Franciszek Marja z Salo (1635 r.).

Franciszek Marja z rodu Bonfadich był gwardjanem w Tirano na granicy Valtellina, w czasach dosyć ciężkich i trudnych, Francja bowiem, panująca nad sąsiednią krainą Recji, wysłała tu część swoich wojsk, żeby starały się zająć okoliczne miejscowości. Gdy wielu żołnierzy, stojących obozem w Tirano, zapadło na śmiertelną gorączkę, a klasztor Kapucynów prawem zwycięzcy zabrano na szpital, Franciszek-Marja nietylko jak najchętniej ustąpił cel dla chorych, ale sam nad nimi czuwał, aby mieli wszystko, co potrzeba. Nadto wszystkim braciom kazał być infirmarzami, rozłożywszy godziny dzienne i nocne, aby chorzy zawsze mieli kogoś przy sobie dla posług ciała i duszy. Miłość jego zajaśniała wtedy w całym blasku: z zapałem spełniał najniższe i najpodlejsze prace przy chorych, nie odrywając się prawie od ich łoża, tak iż w końcu sam się zaraził. Bracia, chcąc go ocalić, przenieśli go na zdrowsze miejsce i otoczyli opieką, lecz zmiana powietrza nie sprawiła mu ulgi; czując więc, iż się zbliża ostatnia jego godzina, poprosił o Sakramenta ŚŚ. i oddał duszę swą Bogu w r. 1635[2]).

Inni Kapucyni polegli w tym czasie.

Armja francuska, zająwszy Recję, rozproszyła się w różne strony kraju, po górach i po dolinach Szwajcarji, a wszędzie uciskała mieszkańców, żądając podatków i nakładając kontrybucje na swoje utrzymanie. Biedny lud miejski i wiejski, przerażony tem najściem i bezprawiem, uciekał w góry, opuszczając domy swoje, stada i pola. Wskutek tego wywiązał się głód, a następnie zaraza, jednocześnie więc trzy najstraszniejsze klęski zawisły nad nieszczęśliwą Recją. Brat Ireneusz z Kasale, podówczas Prefekt apostolski w Recji, napisał gorącą odezwę do swoich współtowarzyszów, zapraszając, by przyszli ratować strapioną ludność. Na to wezwanie pospieszyli kapłani i bracia z Włoch i, niby aniołowie miłości, wzięli się do dzieła. Trudno opisać, ile znieśli niewygód i trudów, to wdrapując się na wysokie szczyty alpejskie, to spuszczając się w doliny, wyszukując chatek najbardziej oddalonych i samotnych, gdzie znajdowali zawsze kogoś ich pieczy potrzebującego. A gdy spełnili swą powinność i niejeden umarł w ich objęciach, brali jego ciało na plecy i zanosili na miejsce wiecznego spoczynku, grzebiąc go własnemi rękoma. Z pomiędzy tych bohaterów miłości bliźniego trzech zasłużyło na nagrodę wiekuistą: Chryzostom z Roveredo, alumn prowincji Medjolańskiej, wzór niewinności, kochany bardzo przez biedaków, którym służył. Hieronim z Imola, mistrz nowicjatu prowincji Bolońskiej, słynny kaznodzieja, który, mając pragnienie oddania życia swego za wiarę i za nawrócenie heretyków, został wysłany do Recji, jako misjonarz. Gromił tam błędy sekciarzy i prowadził z nimi przekonywające dysputy, kiedy zaś pojawiła się zaraza, poświęcił się chorym. Czując w sobie jad zabójczy, nie skarżył się na bóle, lecz powtarzał sobie to samo, co innym mówił i tak spokojnie zasnął w Panu. Przy śmierci nikogo przy nim nie było, bo towarzysze znajdowali się w innej miejscowości, lecz ciało jego znaleźli dwaj żołnierze i ze czcią je pochowali. W następną noc z chatki, w której zamieszkiwał, a która teraz stała osamotniona, rozległy się śpiewy harmonijne i uwielbienia Królowej Aniołów, — wśród tych głosów wyróżniał się głos umarłego. Był to cudowny znak, że zmarły cieszy się już radością wybranych Pańskich. Trzeci zakonnik poległy od zarazy nazywał się Polikarp z Kastelgoffredo[1]).

Antoni z Lerici (1635 r.).

W r. 1633 w dyecezji Sawońskiej, przez towary sprzedawane z miasta na wieś, rozniosła się zaraza. Jedną z pierwszych ofiar był pobożny kapłan, który słuchał spowiedzi chorych; gdy zaś inni bali się o swoje życie, Biskup miejscowy zwrócił się do Antoniego z Lerici, aby wraz z braćmi

[1]) Tamże. [2]) Tamże.

[1]) Tamże.

oddał się na tę posługę. Straszne to było zajęcie: kapłani i laicy musieli ciągle czuwać nad chorymi, bo zaraza była tego rodzaju, że padała na mózg i nieszczęśliwi dostawali szaleństwa, chcieli się rzucać do wody, albo wyskakiwać przez okno. Świątobliwy Kapucyn był wszystkiem dla wszystkich, nie dbał wcale o siebie, i sam się zaraził, ale Pan Bóg nie dopuścił na niego śmierci, zabierając natomiast innych jego towarzyszów. Gdy po czterech miesiącach klęska się zakończyła, pozostali mieszkańcy głośno wołali, że, jeżeli żyją i jeśli wielu odzyskało zdrowie, winni są to po Bogu niezmordowanej troskliwości O. Antoniego, i z wdzięczności tryumfalnie odprowadzili go do klasztoru w Quiliano, gdzie był gwardjanem. Zmarł w dwa lata później w klasztorze genueńskim [1]).

Roman z Bezansą (Besançon) (1635 r.).

Brat ten pielęgnował w zarazie księcia Arcybiskupa z Kuar (Coire), Józefa Mohor, wielkiego przyjaciela i dobrodzieja Kapucynów, i nie odstąpił go, aż ten zakończył swój świątobliwy żywot. Ponieważ służący przelęknieni nie mieli odwagi wejść do izby biskupiej, O. Roman sam obmył zwłoki pasterza i oblókł je w szaty kapłańskie. Ale ten czyn heroiczny przypłacił śmiercią. Zmarł 12 sierpnia 1635 r. Ciało jego spoczywa w przedsionku katedry w Kuar [2]).

Klet z Nowary (1636 r.).

Czując wielką chęć służenia chorym, zakonnik ten nieustannie modlił się o to do Matki Bożej, a jednocześnie prosił przełożonych, aby go użyli do tego obowiązku. Lecz prośby jego nie zostały na razie wysłuchane, bo gdy w r. 1629 morowe powietrze nawiedziło Medjolan i jego okolice, Kleta wtedy dopiero zapisano na listę dozorujących, kiedy słabnąca już śmiertelność poczęła znikać, i gorliwy kapłan musiał wrócić do klasztoru. Przyjął wszakże Pan Bóg jego chęci, tylko wyznaczył mu inną porę do działania. W Warez (Varèse), gdzie był mistrzem nowicjuszów, ludzie zaczęli padać jak muchy. Mieszczanie przerażeni i wylękli, zbudowali szpital z desek i przenieśli tam chorych, prosząc Kapucynów o pomoc. Tym razem między wyznaczonymi na tę pracę znajdował się Klet z Nowary. Stał on się opatrznością dla całego miasta. We dnie i w nocy na nogach, jednym udzielał Sakramentów ŚŚ. i pokrzepiał na duszy, drugich zasilał lekarstwami i pokarmem, a czynił to z twarzą spokojną i uśmiechniętą, tak iż sam widok jego wzmacniał chorych. Lecz pomimo że szpital był przepełniony, jeszcze to nie wystarczało gorliwości apostolskiej Kleta. W pewne więc godziny dnia, zleciwszy dozór swemu socjuszowi, biegł do poblizkich wiosek i ratował, cieszył, pokrzepiał biednych opuszczonych wieśniaków w ich lepiankach, oraz przynosił im różne napoje, wyżebrane po drodze u ludzi bogatych i dobroczynnych. Chociaż Klet był zdrowy i silnie zbudowany, taki rodzaj życia w końcu go podkopał. Najpierw okazało się osłabienie, potem siły zaczęły coraz szybciej upadać, aż wreszcie musiał się położyć: zaraza zrobiła swoje. Wtedy, pełen radości, że z rąk Matki Bożej otrzyma nagrodę swego męczeństwa, wyspowiadał się przed swoim towarzyszem, przyjął Komunję św. i zasnął świątobliwie we wrześniu r. 1636. Opowiadają, że gdy chciano go przenieść do grobów kapucyńskich i już w tym celu zeszły się tysiące ludzi, nagle powstała straszna ulewa, deszcz padał przez całe trzy dni, tak że musiano go pochować między zmarłymi na zarazę, tak właśnie, jak on sobie tego życzył. Modlitwa jego i rzeczy, których używał, czyniły cuda [1]).

Jeremjasz z Guliaqueto (1636 r.).

Brat Jeremjasz bardzo długo i niezmordowanie służył zapowietrzonym w dyecezji Lugduńskiej. Codziennie obchodził siedem parafji, a Biskup udzielił mu władzy czynienia wszystkiego, co tylko mogłoby ulżyć biednym jego owieczkom. W końcu sługa Boży sam się zaraził. Gdy poznał grożące mu niebezpieczeństwo, poprosił o Sakramenta ŚŚ., lecz by nie narażać kapłana, który mu przyniósł Wjatyk, wymógł na nim, aby wysłuchał go spowiedzi, stojąc zdaleka i aby położył Pana Jezusa na stole, sam zaś, zszedłszy z łóżka, przyjął potem Komunję świętą, własnemi rękami ją sobie podając [2]).

Zaraza we Frankonji.

W sierpniu r. 1636 wybuchła straszna śmiertelność we Frankonji burgundzkiej, a zwłaszcza w mieście Sętamur (Saint-Amour). Do służby publicznej stanęli naprzód dwaj bracia: Gerwazy z Wezul (Vesoul) i Wiktor, lecz niezadługo sami padli ofiarą. Miejsce ich zajął Grzegorz z Wellafri (Vellafrie), który, pomimo, że słabowity, służył w miarę sił swoich. Lecz niebawem zaraza dostała się i wewnątrz klasztoru kapucyńskiego, czyniąc w nim wielkie spustoszenie; przy życiu bowiem został jeden tylko zakonnik, i to braciszek, a były żołnierz. Zamknąwszy oczy wszystkim towarzyszom i pogrzebawszy ich zwłoki, wziął się do oczyszcza-

[1]) Tamże. [2]) Tamże.

[1]) Tamże. [2]) Tamże.

nia cel i okadzania takowych, aby mogły przyjąć nowych mieszkańców, których tu przeznaczono. Opisać heroizm Kapucynów w czasie tej klęski byłoby zatrudnem, gdyż wychodzili na śmierć i kładli się do grobu, jakby na wielką jaką uroczystość. W aktach miejskich znajdują się świadectwa najwyższej wdzięczności dla owych męczenników miłosierdzia chrześcijańskiego; głos publiczny wysławiał ich wspaniałomyślne ofiarowanie się na śmierć. Przeszło 30-u poległo ich wtenczas między zarażonymi, co potwierdza bulla, wydana w roku następnym 1637 przez Urbana VIII-go [1]).

W Normandji 1638 r.

W r. 1638 srożyło się morowe powietrze w Normandji, gdzie zajaśnieli swą ofiarnością w mieście Alansą (Alençon) trzej zakonnicy kapucyńscy.

Pierwszy Espri z Bajje (Esprit z Bayeux), kazał na środku obszernego placu zrobić budkę drewnianą i zamieszkał w niej, aby być na każde wezwanie chorych, w dzień i w nocy. Czynił on zaiste cuda miłosierdzia, nietylko bowiem słuchał spowiedzi, rozdawał Komunję św., ale nadto zbierał z ulic umarłych i po chrześcijańsku ich chował. Kiedy raz zdarzyło się, że pomagający mu ludzie zostawili dwa trupy i te leżały niepogrzebane i psuć się zaczęły, Espri sam jeden zaciągnął je za miasto, wykopał dół i własnemi rękoma zasypał je ziemią. Trudy te, przechodzące zwyczajne siły ludzkie, w końcu wyczerpały go, przyczepiła się zaraza i po trzech dniach cierpień, gorliwy sługa Boży oddał swą duszę Panu, z wielkim smutkiem obywateli miasta Alansą.

Drugi po nim padł na polu poświęcenia brat Izydor z Diep (Dieppe), młody kapłan, który na wieść o klęsce przerwał studja teologiczne, aby podążyć do chorych. Wchodził on jednakowo skwapliwie do domów katolików, jak i protestantów, pocieszał ich i służył im z taką samą miłością. To też wielu heretyków przechodziło na łono Kościoła, by w chwili śmierci korzystać z pomocy, jakie święta nasza wiara zapewnia umierającym. Izydor czuwał pilnie, żeby nikt nie umarł bez Sakramentów ŚŚ., i aby źli ludzie nie przywłaszczali sobie rzeczy, pozostałych po nieboszczykach, a kiedy śmierć zabrała grabarzy jednego po drugim, sam wziął się do kopania grobów, byle zmarli nie czekali na pochowanie. Uczuwszy jad w sobie, oznajmił bliską śmierć swoją w domach, do których wstępował i wyspowiadał się przed swoim towarzyszem, poczem przyjął Najśw. Eucharystję i położył się do łóżka, z którego w dniu 2 sierpnia dusza jego uleciała do rajskich przybytków.

Po bracie Izydorze nastąpił Michał Anioł z Ruan (Rouen), za którego działalności protestanci jeszcze tłumniej wracali na łono Kościoła, skąd nazwano go „Ojcem ojczyzny". Krótkie wszakże było jego apostolstwo, zaraziwszy się bowiem 29 tegoż miesiąca, połączył się z towarzyszami w niebieskiej krainie [1]).

Alfio z Putiliano (r. 1641.)

Brat ten, słynny kaznodzieja swego czasu, był wzorem doskonałej miłości bliźniego. Gdziekolwiek przybywał z kazaniami, lub na dłuższe mieszkanie, wszędzie wspomagał ubogich i chorych, nawiedzał szpitale, zamiatał je i czyścił, aby chorzy mieli zdrowsze powietrze, dowiadywał się o najuboższych i opuszczonych, o wdowach i sierotach, starając się o zaopatrzenie ich potrzeb. Wysłany przez Biskupa na misję do Forenza, przechodząc tę okolicę, zauważył wielkie ubóstwo w odzieży małych dzieci, prosił więc urzędników miejskich, żeby pomyśleli o zakupieniu sukna i płótna na ubranka dla biednej dziatwy, która niemal nago chodziła. Pełne miłości upomnienie jego zostało natychmiast wysłuchane, i sługa Boży sam chodził z urzędnikami, wyszukując nędzę i rozdając potrzebną odzież. W czasie misji brata Alfio skazany został na śmierć jakiś złoczyńca, który miał być powieszony na miejscu zbrodni, t. j. o trzy mile stamtąd. Misjonarz ofiarował się mu towarzyszyć, wysłuchał go spowiedzi, wzbudził w nim skruchę i usposobił do przyjęcia śmierci, jako kary za popełniony występek, potem zaś, przy pomocy swych towarzyszów zakonnych, zdjął ciało skazańca i pochował je na cmentarzu [2]).

Uczynki miłości względem niewolników.

W XVII wieku morze Śródziemne niepokojone było przez rozbójników morskich, czyli tak zwanych piratów, którzy, płynąc w lekkich i uzbrojonych łodziach, napadali znienacka spokojne okręty, grabili je, a ludzi okuwali w kajdany, i uprowadziwszy do swego kraju, którym był Algier w północnej Afryce, sprzedawali ich, jako niewolników. Nie dość na tem, rozbójnicy ci płynęli często wzdłuż brzegów europejskich i, wysiadłszy na ląd, wchodzili do wiosek, zabierając mężczyzn, kobiety i dzieci, a nieraz nawet zakonników i kapłanów. Przebranych po turecku zapędzali potem na pola, gdzie ci musieli sami ciągnąć pług i sami orać,

[1]) Tamże.

[1]) Tamże. [2]) Tamże.

rozbijać kamienie i nosić je do budowy domów; niektórzy zaś byli obracani do wiosłowania na tychże łódkach piratów i wystawiani na największe niebezpieczeństwo, kiedy się zaczęła strzelanina. Zakony tak rycerskie, jak regularne, biegły na pomoc nieszczęśliwym jeńcom, przynosząc za nich okup, ale często się zdarzało, że sami obrońcy stawali się łupem piratów i tylko za wielkie pieniądze udawało im się otrzymywać wolność. Zakon Kapucynów ma także swoich bohaterów, którzy z odwagą i męstwem szli albo wykupywać swych braci, albo oddać się dobrowolnie w niewolę, żeby im nieść pociechę duchowną. Jednym z nich był Anioł z Korleonu, znakomity kaznodzieja. Wyżebrawszy na ten cel znaczną sumę pieniędzy, puścił się z dwoma towarzyszami do Afryki i wielu więźniów wykupił, a kiedy zabrakło mu pieniędzy na jednego, sam został jeńcem i wziął na siebie jego okowy. Przykład miłosiernego zakonnika naśladowali inni jego towarzysze i, ożywieni tą samą miłością wypraszali sobie u przełożonych prawo udania się do Berberji i Tunisu dla ulgi uwięzionych braci. Niemal wszyscy ci ochotnicy oddawali się dobrowolnie pod jarzmo tureckie, byle tamtym dać możność wrócenia do swoich; rzadko który z nich zobaczył napowrót swoją ojczyznę, męczarnie łowiem, jakie przechodził każdy, skracały mu życie. Możnaby spisać długi szereg imion Kapucynów, zmarłych pod batem tureckim, albo pod gradem kamieni, spalonych, albo żywcem zagrzebanych [1]).

Michał z Solofra. 1643 r.).

Michał z Solofra, jadąc morzem Śródziemnem wraz z towarzyszem swoim, Sylwanem z Neapolu, został schwytany przez piratów. Brat Sylwan umarł w drodze z cierpień, Michała zaś sprzedano pewnemu bejowi, który kupił go na to tylko, by go wrzucić do lochu, gdzie znajdowało się już 1300 chrześcijan i 12 zakonników. Dla większej wzgardy, kapłanów umieszczono oddzielnie, w cuchnącem i obrzydliwem więzieniu, przeznaczonem dla skazanych na śmierć. Pokarmem ich była woda i chleb czarny w skąpej ilości, a odzieniem gruby worek. Po siedmiu miesiącach strasznych cierpień, na wstawienie się litościwszych rodzin tureckich, popędzono ich do robót publicznych, które, jakkolwiek ciężkie i w kamienistej miejscowości, stanowiły dla nich rozkosz w porównaniu z mękami w lochu. Powoli, chodząc swobodnie po miejscu pracy, udało im się wystawić ołtarz wśród skał, a nawet nieraz odprawić Najśw. Ofiarę i wezwać na nią innych jeńców chrześcijańskich. Michał miał sposobność otrzymania wykupu, ale mężnie odrzucił ją, by apostołować wśród nieszczęśliwych swych braci i pokrzepiać ich słowem Bożem oraz ŚŚ. Sakramentami. Gdy dano znać o tem do Rzymu, Ś. Kongregacja Rozszerzania wiary przysłała natychmiast bratu Michałowi wszelkie przywileje i władzę, z jakich korzystają misjonarze apostolscy, aby mógł osładzać los swojej duchownej owczarni. Apostoł w okowach, związany miłością Chrystusa, budował wszystkich przykładem zdumiewającej cierpliwości i uczył, jak mężnie znosić należy wszelkie obejście się z nami nieprzyjaciół. Nie opuszczał też nigdy okazji do nauczania katechizmu, zarówno swoich współwyznawców, jak i samych niewiernych. Skazany później na wiosłowanie, musiał być często na morzu z piratami, a wysiadłszy na ląd, pełnić najcięższe prace pod batem, w głodzie i nędzy. Bolesną jego niewolę, która z niezbadanych wyroków ciągnęła się bardzo długo, osładzały mu wewnętrzne pociechy z dobra, jakie czynił swoim współtowarzyszom. Wreszcie zestarzał się, ogłuchł i prawie zaniewidział, a dolegliwości wieku nie pozwalały mu pracować, jak dawniej. Razu pewnego, około wieczora, towarzysze, widząc go osłabionym, radzili mu, żeby sobie odpoczął. Posłuchał tej rady zakonnik, ale, niestety, spostrzegł to dozorca. Kazał go tedy rozebrać, rozciągnąć na ziemi i, przymusiwszy innych niewolników, aby go trzymali za ręce i nogi, bić wężowatemi sznurami, dopóki krew nie trysnęła, poczem rany obmyć octem ze solą. Lecz i to nie pozbawiło Kapucyna cierpliwości. Powstawszy z ziemi, wzniósł on ręce do góry i dziękował Bogu, że stał się godnym cierpieć dla Imienia Chrystusowego, czem rozgniewany dozorca wymierzył mu taki policzek, że męczennik przewrócił się na ziemię. Nazajutrz zbitego i słabego posłano znów do roboty. Wiadomość o tem doszła do uszu brata Ludwika z Licio, misjonarza berberyjskiego. Zacny kapłan postanowił oddać się dobrowolnie w niewolę, byle puszczono brata Michała. Mógł śmiało liczyć, że jako młodego silnego, łatwo go przyjmą, prosił więc o upoważnienie Kongregacji Rozszerzania wiary, od której zależał, lecz nie otrzymał takowego. Natomiast Kardynał Prefekt i Prokurator generalny Zakonu rozpoczęli zabiegi, aby brat Michał mógł wrócić do Włoch i wysłali bejowi Tunisu znaczną kwotę. Zanim jednak rzecz ta została załatwioną, Pan Bóg sam uwolnił sługę swego z kajdan i powołał do radości niebieskich. Święty starzec zmarł w r. 1643, mając lat 80. W tym samym roku wykupiono z niewoli tunetańskiej proboszcza i 36-ciu Neapolitańczyków. Pierwszy t. j. kapłan zaświadczył o powolnem męczeństwie brata Micha-

[1]) Tamże.

ła, i przyznał, że sam musiał należeć do liczby trzymających go podczas bolesnej operacji [1]).

Gabrjel z Voltri (1643 r.).

W tym samym roku zakon Kapucynów stracił dzielnego członka w bracie Gabrjelu z Voltri, liczącym zaledwie 38 lat życia. Padł on ofiarą poświęcenia się dla zarażonych żołnierzy francuskich. Dowiedziawszy się, że ci biedacy, wracając z pod Tortony, którą oblegali, musieli z powodu choroby zatrzymać się w Ovada, pobiegł tam natychmiast, by nieść im pomoc fizyczną i duchowną. Szpital ich był zupełnie zamknięty i odosobniony z obawy rozpowszechnienia zarazy. Służba przynosiła jedzenie i lekarstwa tylko na schody i oddalała się czemprędzej, a brat Gabrjel rozdzielał wszystko między chorych. Lecz pomimo takich ostrożności zaraza przeniknęła mury i rozeszła się po całej okolicy. Dzielny Kapucyn miał stąd sposobność rozszerzyć swoje miłosierdzie, ale wyczerpany z sił, zachorował i po 17-u dniach niewypowiedzianych męczarni oddał ducha Bogu. Ludność, przejęta dlań wdzięcznością, nie uważała już na żadne niebezpieczeństwo, i odprowadziła jego ciało na cmentarz. Trzy bractwa i całe duchowieństwo okoliczne stanęło u trumny; każdy chciał go pocałować, potrzeć o ciało koronki, medaliki, lub uciąć kawałeczek habitu na pamiątkę [2]).

Idzi z Brozzo (1643 r.).

Brat Idzi, zanim wstąpił do Kapucynów, słynął już, jako kapłan świecki, z miłosierdzia dla ubogich. Ta jego cnota wykazała się w całym blasku podczas zarazy w Turynie. Przerażeni mieszkańcy pouciekali z miasta, zostawiając w jego murach samych tylko chorych i konających. Wówczas gorliwy zakonnik stanął na czele kilku współbraci gorącego ducha i wraz z nimi przebiegał puste ulice i wchodził do domów, w których leżeli opuszczeni chorzy, a zarządziwszy przewiezienie ich do szpitala, służył im tam, dopóki klęska zupełnie nie przeszła. Dał on jeszcze przykład wspaniałomyślnej miłości mieszkańcom Biella, gdzie był gwardjanem, przyjmując do klasztoru żołnierzy, wracających z pod Turynu. Wyczerpane i obdarte wojsko w przejściu przez Biella nie miało gdzie odpocząć. O. Idzi zajął się tem serdecznie: ilu mógł tylu pomieścił u siebie, a dla reszty postarał się o dach u obywateli. Nie dosyć na tem, wyżebrał im sukna na mundury i płótna na bieliznę, obwiązał ich rany i dopiero tak opatrzonych puścił w dalszą drogę, polecając opiece Bożej [3]).

[1]) Tamże. [2]) Tamże. [3]) Tamże.

Zaraza w królestwie Walencji (r. 1647 i 48)

Kapucyni hiszpańscy okryli się nieśmiertelną sławą podczas grasującego tam morowego powietrza w Walencji i Murcji. Poświęcili się chorym do tego stopnia, że klasztory ich albo stały pustkami, albo zamieniono je na szpitale publiczne. Kapłani mieli zawieszone na szyjach swoich dwa święte naczynia, jedno z Komunją Ś. a drugie z Olejami do Ostatniego Namaszczenia i tak przechodzili z domu do domu. Braciszkowie spełniali posługi koło ciał zarażonych. W niektórych miastach Biskup powierzał Kapucynom zarząd parafji, należącej do katedry, w innych znów lekarze wszyscy powymierali i tylko Kapucyn, były doktór, musiał leczyć chorych. Epidemja zabrała wówczas 60,000 osób wszelkiego stanu i wieku, największe wszakże zniszczenie nawiedziło miasta Kartaginę i Murcję, które zostały prawie bez mieszkańców. W Murcji zmarli: Biskup, gubernator, cały senat i wszystko duchowieństwo, tak, że król musiał przysłać z Madrytu 20 kapłanów z różnych zgromadzeń zakonnych, a między nimi czterech Kapucynów. W Kartaginie Biskup przed śmiercią swoją polecił parafję katedralną Mateuszowi z Walencji i ten przeszło trzy miesiące nią zarządzał, ale sam poczuwszy jad śmiertelny w członkach, musiał się zrzec tego obowiązku. Lecz żaden z braci nie mógł go w tem zastąpić, bo z 30-tu zakonników w klasztorze jeden tylko kleryk był zdrów i służył chorym, a w końcu i sam się zaraził, i tak wszyscy wymarli. Imiona słynniejszych kapłanów, którzy złożyli wtedy swe życie w ofierze, są: Hermenegild z San Matteo, Jan Chrzciciel z Karkażan (Carcagent), Gabrjel z Kastellon (Castellon de la Plana), Antoni Refel i trzech braciszków: Bartłomiej z Walencji, Flawjan z Majorki i Aleksy z Burjana [1]).

Wynalazek O. Maurycego z Tulonu.

W lipcu r. 1649 zawinął do portu Marsylijskiego okręt ze Wschodu i na nieszczęście przywiózł ze sobą kilka pak towarów zarażonych. Gdy ludzie zaczęli umierać, Bracia pospieszyli natychmiast do swego obowiązku i to nietylko z Marsylji, ale i z innych miast, tak że było ich bardzo wielu. Śmiertelność szerzyła się z nieopisaną szybkością. Wielki szpital, liczący 3500 chorych był niekiedy przepełniony, a 80 do 90 osób umierało na dobę. Jednej tylko nocy np. 17 lekarzy padło ofiarą swego urzędu.

Już nieco przedtem O. Maurycy z Tulonu wynalazł środek oczyszczający powietrze i niszczący

[1]) Tamże T. II.

szkodliwe zarazki; zastosowano tu jego metodę, wzięto się do dezynfekcji miasta, okadzając rzeczy, odzież, sprzęty i izby całe. Było to wielkie dobrodziejstwo, gdyż biedne rodziny nic nie traciły, a dotąd wszystkie te rzeczy i naczynia musiały być tłuczone, rozbijane albo palone. Wskutek użytych środków, zaraza poczęła ustawać, a gdy minęła zupełnie, urzędnicy miejscy w odświętnych szatach, wraz z mnóstwem panów i ludu, przybyli podziękować Kapucynom, tak za oddane usługi przy chorych, jak za oczyszczenie powietrza w całej Marsylji. Dobrodziejstwo to zostało zapisane w archiwach miejskich, dla wiadomości przyszłych pokoleń. Również i Biskup Marsylijski, Stefan Püże (Puget) w wielu listach wyrażał się z uznaniem dla Kapucynów i własną ręką napisał świadectwo ich poświęcenia.

10 czerwca następnego roku znowu ukazała się zaraza w Marsylji. Mieszkańcy zwrócili się natychmiast do Kapucynów, jako doświadczonych swych dobrodziejów. Słynny Maurycy z Tulonu, gorliwy i niezmordowany apostoł w czasie zarazy w różnych stronach Francji, na wieść o klęsce w Marsylji, przybiegł tam zaraz z dwoma braciszkami, i zaczął obchodzić szpitale i domy zarażone, oczyszczając powietrze wynalezionym przez siebie sposobem. A gdy ta liczba braci nie wystarczyła, sprowadził jeszcze wielu innych do obsługiwania chorych i udzielania im Sakramentów ŚŚ. Wkrótce stan miasta zaczął się polepszać, a około września zaraza zupełnie znikła. I znowu na żądanie mieszkańców, magistrat złożył publiczne dzięki Kapucynom za ich trudy i miłosną ofiarność. Jeden tylko wówczas brat Angelik z Isola zdobył sobie palmę męczeńską, zaraziwszy się od chorych. Gdy w Ciotat, ludnem portowem mieście, ukazały się wypadki śmierci od epidemji, wezwano natychmiast O. Maurycego z Tulonu, aby wziął w swe ręce cały zarząd miasta. Skutek był taki, że w krótkim bardzo czasie powietrze się oczyściło i tylko 130 osób padło ofiarą. Za to Kapucyni miejscowi, ilu ich było na posługach, wszyscy legli od zarazy [1]).

Jan Chrzciciel z Riez (1650 r.).

Jan Chrzciciel z Riez, a niegdyś na świecie głośny z szaleństw i rycerskiej odwagi hrabia Armand, odznaczył się przy zdobywaniu Roszelli od strony lądu. Ale cóż, kiedy obok tego prowadził życie rozwiązłe, a za dane zgorszenie podczas karnawału król Ludwik XIII degradował go ze stopnia oficera. Przejście to, jak i inne wypadki, niemniej bolesne dla jego pychy, podziałały nań stanowczo. Zaczął się zastanawiać nad marnościami światowemi, zrozumiał ich nicość i gorycz, i zrzuciwszy z siebie wspaniałe szaty, przywdział gruby habit Kapucynów. Odtąd, o ile na świecie pozwalał zmysłom swoim na wszystko, o tyle zaciętszą wypowiedział im wojnę. Nie poprzestając na ubogiem życiu zakonnem i umartwieniach z reguły, przymnażał sobie postów 40-dniowych o chlebie i wodzie, i często się biczował. Aby zwalczyć swoją dawną delikatność i zbrzydliwość, oddawał najniższe posługi w infirmerji klasztornej, siedział przy chorych po całych nocach, śledząc najmniejsze ich życzenia, a gdy wybuchła zaraza, począł ich pielęgnować na mieście. Raniutko po Mszy św., wziąwszy błogosławieństwo od przełożonego, wychodził do dzielnicy najbardziej zapowietrzonej, cieszył ich, służył pomocą duchowną i fizyczną, i dopiero wieczorem wracał do swoich. Ale zamiast odpocząć po dniu tak pracowicie spędzonym, szedł do chóru odprawiać wspólne ćwiczenia, o północy zrywał się na Jutrznię i znowu rano biegł do chorych. Gdy w Ciotat wybuchła zaraza, Jan Chrzciciel, który był tam gwardjanem niewielkiego klasztorku, zabrał się żarliwie do pracy. Towarzysze i starsi miasta wstrzymywali go, aby się zbytnio nie wysilał, on jednak nie zważał na przestrogi; pragnąc zbawienia dusz, chodził od domu do domu, od chaty do chaty, by ulżyć cierpień zarażonym, rozgrzeszyć i polecić dusze zmarłych miłosierdziu Bożemu. Braci swoich, jednego za drugim wyprawił na tamten świat i pochował, w końcu zaś i sam okropnie się zaraził, bo całe ciało pokryło mu się wrzodami, nawet usta i język. Przyjąwszy Sakramenta ŚŚ. z rąk Maurycego z Tulonu, zmarł, ściskając w ręku krucyfiks i wymawiając Najsłodsze Imiona: Jezus, Marja, Józef, 25 sierpnia 1650 r.

Elzear z Samsej (Samsaye) (1650 r.).

W r. 1650 w Kairze pewien młody kupiec francuski wrzucony został do więzienia i okuty w kajdany za długi. O. Elzear z Samsaye (twórca słownika tureckiego), obawiając się, aby jeniec nie odstąpił od wiary, celem prędszego odzyskania swobody, poddał się dobrowolnie na zastępstwo, jako zakładnik. Turek, któremu należały się pieniądze, przystał na to i Ojca w kajdanach posadził na miejscu dłużnika, ale czyn ten wydał się tak niegodnym miejscowemu kadi'emu, że tegoż dnia kazał wypuścić na wolność Kapucyna, a Turkowi uczynił ostre wymówki. Polepszyło to jednak sprawę młodemu kupcowi, bo i on uwolniony został od odpowiedzialności, a zarazem i od niebezpieczeństwa du-

[1]) Tamże.

Ś. FRANCISZEK SPOTYKA TRĘDOWATEGO.

chownego, w jakiem się, według mniemania zakonnika, znajdował [1]).

Pożar w Paryżu (r. 1655.)

Pismo paryskie: „Muza historyczna“, w swojej kronice tygodniowej ze stycznia r. 1655 umieściło wierszem opis pożaru, który wybuchł w d. 16 tegoż miesiąca. Autor wiersza, Jan Loret, czyni chwalebną wzmiankę o kilku Kapucynach, okazujących cuda męstwa i zapału, tak iż budynek został uratowany [2]).

Zaraza w Neapolu (r. 1656.)

Pewnego dnia r. 1656 zawinął do portu Neapolitańskiego okręt wojenny, i żołnierze wyszli na miasto. Jeden z nich zachorował na ulicy, zaniesiono go więc do szpitala, gdzie lekarz oświadczył, że to choroba epidemiczna. Posłano sprawozdanie do władzy miejskiej, lecz ta, czy to nie ufając opinji doktora, czy też przez zapomnienie, nie zarządziła żadnych środków ostrożności. Dopiero kiedy ludzie tłumnie zaczęli padać, a zdrowi uciekać z miasta, roznosząc zarazki, trybunał sanitarny nakazał wznieść osobny szpital i poprosił Kapucynów o kierownictwo i usługę. Wyznaczeni zakonnicy, w liczbie dziesięciu, pięciu kapłanów i pięciu braciszków, udali się najpierw do Arcybiskupa i Kardynała Filomarino po błogosławieństwo na tę pracę i po władzę rozgrzeszania ze wszystkich grzechów. Potem odprawili trzydniowe rekolekcje, oczyścili swe sumienia w Sakramencie Pokuty i, gotowi na śmierć, wyszli procesjonalnie z klasztoru, naprzód ich prefekt Mateusz z krzyżem, a za nim parami bracia wybrani do tej posługi. Gdy stanęli u wrót szpitala, prowincjał Kapucynów miał do nich przemowę, poczem odbyło się przyjęcie Ojców. Pierwszem ich staraniem było oddzielenie chorych mężczyzn od kobiet, a tych od dzieci, wszyscy bowiem bez ładu byli razem pomieszczeni. Następnie podzielili się pracą. Jedni przyjmowali nowych chorych i kładli ich na właściwem miejscu, drudzy roznosili pożywienie i lekarstwa, a potem kapłani brali się do słuchania spowiedzi i udzielania Sakramentów ŚŚ. Prefekt zaś miał oko na wszystko, uprzedzając wszelkie zamieszanie, tak że pośród ogólnego nieszczęścia szpital był jakby oazą miłości i pokoju. Liczba chorych z każdym jednak dniem wzrastała, szpital nie mógł wszystkich pomieścić, trzeba więc było pielęgnować ich po domach. Wtenczas bracia wyszli tłumnie ze swoich murów i to nietylko z jednego konwentu, ale ze wszystkich, ogółem 63 braci: 31 kapłanów, 6-u kleryków i 26 braciszków. Podzielili między sobą ulice i obowiązki: jedni słuchali spowiedzi, drudzy dawali Wjatyk Św., inni Ostatnie Namaszczenie, ci lekarstwo, tamci odprowadzali na cmentarz nieboszczyków, a inni kopali doły i grzebali umarłych. Kilku miało opiekę nad zakonnicami, które umierały bez pomocy i pociechy religijnej. W jednym z klasztorów urządzono szpital dla zarażonych współtowarzyszów i zakonników innych reguł, a czterech najzdolniejszych braci lekarzy było na ich posłudze. Inni znów szli do koszar wojskowych i na okręty pielęgnować chorych. Cudownie Opatrzność Boska czuwała nad biedną ludnością, bo nigdy nie zabrakło pożywienia. Niestety jednak ofiar zarazy było bardzo wiele; większa część Neapolu zginęła, a z 63 Kapucynów zostało tylko dziesięciu. Ciała ich złożone zostały oddzielnie, a później wzniesiono tam kaplicę z ołtarzem do odprawiania Mszy św. i umieszczono kamień z napisem, przypominającym bohaterstwo i poświęcenie się tych zakonników. Magistrat Neapolu przesłał od całej ludności podziękowanie Generałowi Zgromadzenia [1]).

Feliks Casati z Medjolanu (1656 r.)

Dzielny ten Kapucyn był dyrektorem szpitala dla zapowietrzonych podczas jednej z najstraszniejszych epidemji, jaka kiedykolwiek zdarzyła się w Europie. Miał on pod opieką 16,000 chorych, a do pomocy 20 braci, w miarę zaś, jak który z nich słabnął i umierał, przysyłano na to miejsce innego, ażeby liczba była zawsze ta sama i aby żaden obowiązek nie był opuszczony. Kardynał Arcybiskup Medjolański, Fryderyk Boromeusz, udzielił Feliksowi pełnej władzy duchownej, a prezes senatu—prawa administracji i sprawiedliwości, oddał więc pod jego rozkazy urzędników, pilnujących porządku publicznego, aby mógł karać złodziei i rabusiów, którzy korzystali z nieszczęśliwego położenia mieszkańców. O. Feliks pełnił ten ciężki obowiązek od marca 1630 do pierwszych dni 1632 roku, tyle bowiem czasu trwała zaraza. Dowiedziawszy się, że grabarze zaledwie trochą ziemi zasypywali nieboszczyków, co sprzyjało szerzeniu się zarazy, poszedł na cmentarz, wskazał, jakiej głębokości mają być doły, wyrzucił sam ziemię w jednym i pod surowemi karami zabronił robić płytsze, tych zaś, których źle pochowano, kazał odkopać i na nowo zagrzebać. Przyjmował od umierających kosztowności, obligi, rewersy, pieniądze, zapisy, i potem jak najwierniej przesyłał je

[1]) Les Capucins français par le P. Hilaire de Barenton. [2]) Les premiers... ut supra.

[1]) Annali Cappucini V. II.

krewnym, a gdy tych nie znalazł, bo również powymierali, zachował starannie i po ustaniu zarazy złożył Magistratowi 50,000 skudów na dobroczynność. A nietylko rządził wszystkiem, lecz i przysposabiał do wieczności, tak że w przeciągu tego czasu 20 tysięcy z górą chorych wydało przy nim ostatnie tchnienie. Którzy zaś przychodzili do zdrowia, tych w procesji odprowadzał do innego szpitala z krzyżem w ręku, a pasem na szyi i śpiewając psalmy; tam odbywali kwarantannę. Przed wyjściem zachęcał ich do życia chrześcijańskiego i do wdzięczności ku Bogu za zdrowie. Przy tych wszystkich zajęciach zaraził się i już po strasznym ataku gotował się do śmierci, gdy nagle, przebudziwszy się, rzekł do będącego przy nim kapłana: „Pan Bóg mnie nie zabierze teraz. Codzień, odkąd jestem w szpitalu, ofiarowywałem Mszę św. za dusze tu zmarłych i oto teraz one odwdzięczają mi się, prosząc Go o moje zdrowie; za kilka dni wrócę do swoich obowiązków". I tak się stało. Był na stanowisku do końca, a kiedy opuszczał szpital i wracał do klasztoru, odprowadziły go tłumy z okrzykami: „Niech żyje nasz dobrodziej, nasz bohater!" Prezydent i komisja sanitarna przybyli oświadczyć mu podziękowanie i wdzięczność od wszystkich obywateli i złożyli w jego ręce dyplom, wyrażający dlań uczucia całego miasta. Ten znakomity mąż zmarł w Liworno, po drodze do Rzymu, dokąd szedł na kapitułę generalną, 5 maja 1656 r. Gdy wieść o tem doszła do Medjolanu, całe miasto odczuło boleśnie jego stratę, tem więcej, że nie mogło mieć pociechy z posiadania w swych murach śmiertelnych szczątków Feliksa Kasati [1]).

Opieka duchowna nad galernikami (1657 r.).

Najważniejszem dziełem poświęcenia dla Kapucynów, pracujących na Wschodzie, było oswobadzanie więźniów i niewolników chrześcijańskich. Liczba tych ostatnich była bardzo znaczna, bo Turcy wojowali nieustannie na granicach Austrji i Polski, a wszystkich jeńców, którzy nie chcieli przyjąć islamu, obracali na niewolników. Najnieszczęśliwsi z nich byli galernicy. Za pożywienie mieli tylko wodę i dwie małe bułki czarnego chleba, za łóżko — deskę, za mieszkanie — dwa ciasne więzienia, do których powietrze i światło dochodziło tylko przez wązkie drzwiczki. Nawpół nadzy i okuci w kajdany, z któremi nie rozstawali się aż do samej śmierci, idąc do pracy, skuwani byli jeszcze razem po dwóch, a jeżeli nadzorcy nie byli zadowoleni z ich usług, to zostawiali ich w takiem spojeniu na czas dłuższy. Galery w Konstantynopolu liczyły nieraz do 2000 chrześcijan, których boleść i rozpacz doprowadzały często do odstępstwa od wiary. Kapucyni, mając to na sercu, często nawiedzali ich ze słowami pociechy i utwierdzenia.

W r. 1657 ogłoszony był jubileusz z powodu wstąpienia na stolicę papieską Aleksandra VII-go. O. Urban z Paryża miał zlecone objaśnić go galernikom, których w żywych słowach zachęcił do dobrego usposobienia się, aby mogli korzystać z tej łaski, mówiąc im, że jeżeli dostąpią odpustu, to uwolnią się od niewoli szatańskiej, a Bóg, w nagrodę za to, mógłby ich w tymże samym roku uwolnić z niewoli tureckiej. Słowa te trafiły galernikom do serca i były później uważane jako proroctwo. Ojcowie, w liczbie trzech, odprawili z nimi misję w ciągu 15 nocy, w dzień bowiem biedacy zajęci byli pracą. Nocami więc przygotowywali się do spowiedzi jubileuszowej i takową odprawili przeważnie z lat kilku, kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu. W ten sposób uwolnili się z kajdan szatana, a trzy miesiące później Bóg dał im tę łaskę, że po zwycięstwie Wenecjan nad Turkami, 26 czerwca tegoż roku, prawie wszyscy oswobodzeni byli od jarzma, w którym jęczeli. W bitwie tej 93 okręty tureckie były zabrane lub zatopione i 8000 jeńców otrzymało wolność, którą to łaskę przypisywano dobrze odprawionemu jubileuszowi [1]).

Benignus z Potencji (1658 r.).

Benignus z Potencji, jakkolwiek prosty tylko braciszek zakonny, spełniał prawdziwie heroiczne czyny miłości bliźniego, która razem z miłością Boga była główną i fundamentalną jego cnotą. Będąc furtjanem, miał ciągle stosunki z ubogimi, których wspomagał w cudowny niemal sposób. W okolicy panował wtedy głód, biedni cierpieli bardzo, więc szli do miłosiernego braciszka jak do ojca, a on, za pozwoleniem swego przełożonego, nie szczędził trudów i zachodu, by ich wesprzeć i nakarmić. W tym celu zbierał starannie wszelkie resztki w refektarzu, jarzyny i trawy w ogrodzie klasztornym, a u dobrodziejów wypraszał mąkę i kaszę, i z tego przygotowywał codzień dla swoich głodnych smaczną zupę, lub inny jaki posiłek. Do pracy tej brał się z wewnętrzną uciechą i starannością, pragnąc, aby wszystkim smakowało. Lecz drożyzna była coraz większa, a zapasy w klasztorze nikły, gwardjan więc, bojąc się, żeby bracia nie cierpieli niedostatku, zabronił Benignusowi rozda-

[1]) Ibidem.

[1]) La France catholique en Orient par le R. P. Hilaire de Barenton Cap.

wać jałmużnę ubogim. Wielki to był cios dla litościwego furtjana; posmutniał wielce, ale skłonił głowę pod posłuszeństwo i kiedy ubodzy przybiegali do klasztoru, wychodził do nich i słodkiemi słowy zachęcał do cierpliwości, choć serce mu się krajało na widok ich twarzy pobladłych od głodu. Ale niebawem pokazało się, jak Bóg miłuje tych, co wspomagają ubogich. Wkrótce całe miasto wiedziało już, że Kapucyni przestali dawać jałmużnę, więc dobrodzieje klasztorni zmniejszyli znacznie swoją hojność i brat kwestarz wracał co wieczór do domu z sakwami prawie że pustemi. Zastanowiło to gwardjana i po namyśle wywnioskował, że jest to kara Boża za jego ludzką roztropność; zmienił tedy natychmiast swoje zapatrywania i ubożuchne zapasy klasztorne oddał do rozporządzenia bratu Benignusowi, polecając mu, żeby tak się starał o utrzymanie braci i ubogich, jak gdyby to była jedna rodzina. Benignus, uradowany swoją misją, zabiegał o jednych i o drugich, a mieszkańcy widząc tę zmianę, zaczęli znowu być hojnymi względem Kapucynów i ubiegali się, aby ich wspomagać w ogólnem nieszczęściu. Tym sposobem Benignus dopełnił rzeczy prawdziwie cudownej, bo wszystkim ubogim rozdawał chleb i napoje, dopóki nie spodobało się Bogu ukrócić klęski głodu.

Lecz poczciwy braciszek wsławił się jeszcze na innem polu miłosierdzia, mianowicie podczas zarazy, grasującej w Salerno 1656 r. Obok usługi przy chorych, gdy zabrakło ludzi do przenoszenia trupów i ich grzebania, Benignus ofiarował się na tę pracę: zaczął kopać groby i chować nieboszczyków, dzieląc sobie czas w taki sposób, że zrana kopał ziemię, a popołudniu wynosił na swoich plecach umarłych i grzebał codziennie do 120 trupów. Lekarze i współbracia zakonni, obsługujący chorych, nie mogli wyjść z podziwienia na widok takiego heroizmu. A co więcej, Benignus nie zaraził się i zdrów zupełnie, ze szczególnej łaski Bożej, do końca epidemji przetrwał na stanowisku grabarza [1]).

Pożar w mieście Man (Mans) (1659 r.).

Dnia 22-go września 1659-go roku, około godziny 9 wieczorem, w mieście Man wybuchł pożar, który spalił 30 domów. Wśród OO. Kapucynów, którzy brali dzielny udział w gaszeniu, odznaczyli się: O. Albert de Mąfor (Montfort), Wiktor z Rosz (Roche), Bernard, Doroteusz i Bernardyn z Kruazi (Croisie), Kandyd z Renn (Rennes) i bracia: Piotr z Nant (Nantes), i Michał z Renn (Rennes) [2]).

[1]) Annali Cappucini V. II. [2]) Les premiers pompiers...

Dwa pożary w Paryżu (1671 r.).

Autorka francuska, pani de Sewinje (Sévigné), pisze w liście swoim z d. 20 stycznia 1671 r. o pożarze w jednym z sąsiednich domów, malując doskonale, czem była ta klęska w XVII wieku i jaką rolę grali w niej Kapucyni. „O trzeciej po północy usłyszałam okrzyki: gore, gore! Rzeczywiście, wstawszy, zobaczyłam, że się pali dom niedaleko od naszego. Co za krzyk, hałas, co za jęki! Belki i krokwie padały, a ogień był taki, że nikt nie śmiał podejść, to też nie spodziewano się ugaszenia, aż po zupełnem zniszczeniu płonącego domu. Lecz oto przybyli Kapucyni, pełni miłości i zręczności, i tak dzielnie pracowali, że ogień umiejscowił się, a pozostałe zgliszcza zalano wodą".

Tegoż samego roku 2 marca, jak donosiła *Gazeta Francji*, wszczął się pożar w izbie pierwszego piętra w jednym z pawilonów Sorbony. Stało się to o trzeciej popołudniu, ale ogień wybuchł z taką siłą, że niepodobna go było powstrzymać. Szkody wyniosły więcej niż 200 tysięcy franków, a byłyby znacznie większe, gdyby nie pomoc w gaszeniu ognia. O tej zaś pomocy głosi wydana wierszem „Elegja o pożarze w Sorbonie", wymieniająca na pierwszem miejscu dzielność synów Ś. Franciszka [1]).

Ludwik z Säons. (r. 1672.)

Listę Kapucynów, służących zapowietrzonym, którą możnaby ciągnąć niemal bez końca, zamkniemy przykładem Ludwika z Säons. Ten apostoł miłosierdzia przez 35 lat życia zakonnego służył w szpitalach i przy chorych, najprzód jako zwykły opiekun w czasie zarazy, a później jako dyrektor szpitala. Po Rouen, Eu, Dunkierce, Soissons i Velay, gdzie w różnych czasach rozwinął swoją działalność, przyszła powtórnie kolej na Rouen, dokąd urzędnicy zaprosili go, aby ratował mieszkańców. Udał się tam brat Ludwik z niemniejszym zapałem, przepisał środki ochronne przeciw bakcylowi zarazy, ale też nie zapomniał i o nadprzyrodzonych. Pełen żywej wiary, zwrócił się do Matki Boskiej i w imieniu miasta uczynił ślub szerzenia nabożeństwa do Jej wizerunku, ofiarowanego miastu Rouen przez królowę Francji. I w rzeczy samej zaraza prędko się zmniejszyła, a wreszcie znikła zupełnie. Łaskę tę przypisano opiece Najśw. Marji Panny, wyproszonej przez zasługi i modlitwy O. Ludwika, którego nietylko panowie i lud ubogi w Rouen, ale i heretycy uważali za świętego. Zmarł on pełen zasług 2 lutego 1672 r.,

[1]) Ibidem.

opłakiwany, jako największy dobroczyńca i bohater miłości chrześcijańskiej [1]).

Urzędowe uznanie poświęcenia Kapucynów

Ludwik XIV. w swoim dyplomie królewskim, udzielonym zgromadzeniu Kapucynów w grudniu roku 1662, oddaje im należny hołd: „My, król Francji, powodowani tą samą gorliwością i życzliwością, jaką odznaczali się nasi przodkowie dla Braci Mniejszych Kapucynów, z powodu ich świątobliwego życia, nauki, dobrego przykładu i usług, które czynili i codzień czynią naszemu państwu swojemi kazaniami i misjami, udzielaniem Sakramentów ŚŚ. naszym poddanym, w wojsku i we wszystkich innych miejscach, pielęgnowaniem chorych, gdyż narażali się z godną podziwu odwagą we wszystkich prowincjach dotkniętych zarazą i wielu z nich, bo aż 278-iu przy tej posłudze umarło, życzymy sobie wymienionych zakonników uposażyć naszemi łaskami...“

W tych 278 męczennikach miłości bliźniego Ludwik XIV nie objął jeszcze 84-ch Kapucynów, zmarłych w tym samym czasie we Frankonji przy pielęgnowaniu zapowietrzonych, opuścił też niewiadomą, ale znaczną liczbę tych, którzy w ten sam sposób polegli w prowincjach jeszcze do Francji nieprzyłączonych. W r. 1720 w czasie morowej zarazy 43-ch braci zginęło w Marsylji, a 66-u w innych miejscowościach Francji południowej [1]).

Anzelm z Brescji (1681 r.).

Wybitną cnotą Anzelma była miłość bliźniego. Nawiedzał chorych po domach i szpitalach, rozdawał biednym jałmużnę, użebraną od bogaczów, chodził do więzień pocieszać zamkniętych i, dzięki szacunkowi, jakim był otaczany, niejednemu z nich prośbami swemi wyjednał uwolnienie. Dowiedziawszy się, że pewien obywatel Brescji, jadąc na okręcie, wpadł w ręce piratów i ci sprzedali go w niewolę do Algieru, zaczął za pozwoleniem przełożonego kwestować i zebraną sumę posłał na jego wykupienie. Będąc gwardjanem w Brescji, wydał rozkaz, aby żadnego ubogiego, jaki przyjdzie, nie wypuszczano bez jałmużny. Nauczał idjotów i dzieci wiary chrześcijańskiej, upominał występnych, aby porzucili złe nałogi, starał się o wsparcie dla upadłych dziewcząt, aby je uchronić od grzechu, godził powaśnione rodziny, usuwał zgorszenie i występne związki doprowadzał do małżeństwa kościelnego. Słowem był ojcem miłosiernym i apostołem Brescji i tak go też wszyscy nazywali. Śmierć jego była ciosem dla całego miasta, mianowicie zaś dla ubogich, a Kardynał Ottobuoni powiedział, że umarł jeden z największych filarów zakonu kapucyńskiego [1]).

Hieronim z Korleonu. (1717 r.).

Święty braciszek kapucyński tak miłował bliźniego, że często, aby kogo uwolnić od jakich cierpień, wypraszał je u Boga dla siebie. Pewnego dnia znakomity obywatel miasta Trapani, Sebastjan di Vicenzo, przybył w ważnych sprawach do Palermo i tu ciężko się rozchorował. Żal mu było opuszczać świat, zostawiając w smutku kochającą matkę i młodą narzeczoną, z którą tylko co się zaręczył, usłyszawszy więc o bracie Hieronimie, kazał go spytać, czyby nie zechciał nawiedzić go i uzdrowić. Hieronim udał się do niego i zastał przy umierającym dwóch Jezuitów, oraz kilka innych osób. Gdy obecni przyłączyli się do próśb Sebastjana, braciszek ukląkł i modlił się czas jakiś, szukając światła w górze, poczem rzekł: „Widzę nad tobą rękę Bożą; ta choroba jest z wyroków sprawiedliwości i nie powstaniesz z niej, aż się wypłacisz; ale Pan Bóg zgodził się na zamianę: ja wezmę twój ból, a ty wyzdrowiejesz, poczekaj tylko, póki nie zajdę do naszej infirmerji!“ Hieronim wyszedł, a chory i otaczające go osoby były zbudowane i uszczęśliwione temi słowami. I rzeczywiście, po kilku minutach umierający uczuł się zupełnie zdrowym, natomiast braciszek leżał w tych samych cierpieniach. Choroba jego trwała 3 tygodnie, przez które Sebastjan di Vicenzo odwiedzał swojego dobrodzieja i nie odjechał, aż go zobaczył na nogach. Wróciwszy do Trapani, oznajmił wszystko matce i narzeczonej, te zaś, chcąc się wywdzięczyć, posłały do klasztoru wspaniałą suknię ślubną, wartości 130 skudów, aby z niej zrobiono szaty kościelne. Hieronim jednak uważał, że to rzecz za kosztowna i odesłał ją narzeczonej, aby z błogosławieństwem Bożem ubrała się w nią w dzień ślubu. Wtedy młodzieniec dostarczył klasztorowi zapas oliwy i przez całe swe życie pamiętał o heroicznej miłości brata Hieronima.

Innym razem braciszek wezwany był do pałacu Arcybiskupa Monreale, Jana Roano, gdzie miał świadczyć o cudach swego ziomka, Bernarda z Korleonu, którego proces się prowadził. Dostojnik Kościoła, znając jego świętość, i chcąc się przekonać, jak dalece miłuje bliźnich, zapytał go, czy nie chciałby wziąć na siebie połowę mąk czyścowych, jakie go czekają, gdyż bardzo się ich boi. „Z całego serca, odpowiedział Hieronim, jeżeli to będzie zgodne z wolą Bożą“. A potem dodał: „Jak-

[1]) Annali Cappuccini V. III. [2]) Ibidem.

[1]) Ibidem.

że byłbym z tego szczęśliwy!“ Arcybiskup był tem zbudowany. Po złożeniu świadectwa, braciszek wrócił do Palermo, nie myśląc bynajmniej o tem, co przyrzekł, zaledwie jednak znalazł się wśród swoich, musiał się położyć. Kurcze nerwowe wstrząsały jego ciałem, nie było w nim ani jednej kosteczki, ani jednego muskułu, ani jednej żyły wewnątrz, któraby nie cierpiała. Cały rok spędził on w infirmerji w okrutnych mękach. Bracia litowali się nad smutną jego dolą, on zaś, zamiast się uskarżać, zwracał się ku krzyżowi i wołał: „O, mój najmilszy Jezu, wiem, jak te boleści moje są Ci miłe; dlatego nietylko nie proszę, abyś mi je odjął, lecz chciałbym, abyś mi ich jeszcze przydał, bo radbym Ci się wypłacić za wszystkie kary, na jakie biedni ludzie grzechami swojemi zasłużyli“. Gdy skończył tę modlitwę z zapałem, na jaki tylko mógł się zdobyć, usłyszał wyraźnie głos z krucyfiksu: „Chcesz wziąć na siebie kary grzeszników? Czy więc myślisz dorównać mi, albo nawet przejść mnie we wspaniałomyślności?“ Głos Zbawiciela był tak ujmujący, łagodny i pełen słodyczy, że słysząc go, Hieronim nie posiadał się od szczęścia, i z nadmiaru uczuć wyciągnął ręce ku swemu Panu. W tej samej chwili ramiona i dłonie jego wyprostowały się, ciało skurczone wróciło do dawnej miary, a bóle znikły: był już zupełnie zdrów. Poszedł więc natychmiast do kaplicy infirmerskiej, podziękować Bogu za zdrowie, a następnego dnia zabrał się do swego obowiązku kwestarza, lecz ciągle brzmiał mu w uszach głos Ukrzyżowanego, a serce było pełne niebiańskiej rozkoszy.

Ta miłość, skłaniająca Hieronima do brania na siebie chorób bliźnich, przechodziła nieraz granice roztropności. Pewnego dnia jakaś pani opętana przez złego ducha, której ciągle się zdawało, że wielki gwóźdź przebił jej czaszkę, prosiła czcigodnego braciszka, żeby zechciał uwolnić ją od tych cierpień, gdyż on lepiej potrafi je znieść i pokonać szatana. Hieronim zgodził się i pani ta została zdrową, ale jego samego nagle coś opętało. Biegał jak warjat po klasztorze, wydając przeraźliwe głosy, uderzał głową o mur, co wszystko smuciło bardzo towarzyszów. Szczęściem przyszedł Prowincjał na doroczną wizytę, a dowiedziawszy się o nieroztropnym postępku Hieronima, wypytał go, wyegzorcyzmował i zakazał szatanowi go dręczyć, a bratu zabronił, aby nigdy odtąd nie ważył się brać na siebie chorób tak niemiłych i przykrych dla zgromadzenia [1]).

[1]) La vie du Fr. Jerôme...

Pożar Małego mostu w Paryżu (1718 r.)

27 kwietnia 1718 r. wybuchł straszny pożar, który zniszczył wszystkie domy na moście, zwanym Małym, oraz inne sąsiednie zabudowania. Powodem był statek, na którym zapaliło się siano, a ogień, jaki stąd wynikł, był tak gwałtowny, że całe miasto przez całą noc było na nogach. Na pomoc przybiegło przeszło stu Kapucynów z dwóch klasztorów. Usługi przez nich oddane w gaszeniu ognia, w ratowaniu papierów i dobytku ubogich mieszkańców były nadzwyczajne, wprost cudowne. Wyróżnił się wtenczas pewien Kapucyn, który, widząc, że jakiś zrozpaczony kupiec nie może wyciągnąć komody z ważnemi papierami, wbiegł do palącej się izby, gdzie ten sprzęt się znajdował, i wyrwawszy go z ognia, oddał właścicielowi. Przekonano się później, że ledwie trzech najsilniejszych ludzi było w stanie ruszyć komodę z miejsca. Pomoc zakonników w ratowaniu była tem pożyteczniejsza, że kupcy z całem zaufaniem wskazywali im najcenniejsze swoje przedmioty i skarby. W ten sposób uratowano większą część ruchomości i umieszczono je w szpitalu, oraz w innych bezpiecznych miejscach. Kilka osób: żołnierzy i zakonników, zginęło przy ratowaniu, ale imiona ofiar nie zostały zapisane. Miasto, uznając zasługę OO. Kapucynów, oświadczyło im swoją wdzięczność i złożyło pewną jałmużnę [1]).

Kapucyni — poprzednikami straży ogniowej w Paryżu.

W początkach wieku XVIII w Paryżu rozpowszechniły się pompy do gaszenia ognia. 30 takich pomp umieszczono z polecenia króla w rozmaitych dzielnicach, z tych dwie w klasztorze Kapucynów, przy ulicy S. Honorata. Oprócz tego w każdem z tych miejsc złożono znaczną ilość nowych wiader i różnych narzędzi potrzebnych przy ratowaniu, jako to: siekiery, piły, drabiny ratunkowe, haki na długich obsadach do rozbierania palących się domów i t. p. Zakonnicy nie mieli obowiązku ich utrzymywać, ani też służyć przy pompach w razie pożaru, gdyż opłacano do tego wyłącznych ludzi; dopuszczana była jednak pomoc innych osób dobrej woli, między któremi pierwsze miejsce zajmowali zawsze Kapucyni. Niektórzy historycy twierdzili nawet, że konstytucje tych Ojców nakazują im jako obowiązek bronienie miast od ognia. Nie było to jednak prawdą; chociaż bowiem z poczucia miłości bliźniego, posuniętej do heroizmu, spieszyli

[1]) Les premiers pompiers...

oni zawsze z pomocą, a nawet dawali w swoich klasztorach przytułek ofiarom, pozbawionym dachu i mienia, ale czynili to zupełnie z dobrej woli, co stanowiło chyba jeszcze większą ich zasługę. Nigdy też zarząd Paryża nie wzywał ich formalnie do tego obowiązku, choć były przepisy takie względem murarzy, cieśli i dekarzy; jeżeli jednak nie tytułem prawa, to przynajmniej czynem, Kapucyni paryscy mogą być uważani za poprzedników straży ogniowej, której utworzenie ani nie umniejszyło ich bohaterstwa, ani też nie uczyniło bezpożyteczną ich pomocy [1]).

Na prowincjach.

To samo działo się na prowincjach. W inwentarzu klasztornym Kapucynów z Alansą (Alençon) w wieku XVIII znajdujemy zapisaną pompę ręczną do gaszenia pożarów. W Ruan (Rouen) przechowuje się jeszcze w szczególnem uczczeniu pompa, zwana do dziś dnia Kapucynką. Działalność Ojców tłumaczy nam nawet bardzo nieliczna straż ogniowa w tem mieście, oraz znaczenie przysłowia, dowodzącego ich szybkości w przybieganiu na pomoc. Gdy bowiem kto brał się do jakiej trudnej rzeczy, mówiono mu: „chcesz widać uprzedzić Kapucynów". Sekret owej szybkości i w tem się zawierał, że w ogrodzie kapucyńskim było wysokie wzgórze, z którego roztaczał się obszerny widok na całe miasto i na okolice. W potrzebie wzgórze to stanowiło bardzo pożyteczne obserwatorjum, to też Ojcowie Kapucyni mieli stamtąd baczenie na miasto, a spostrzegłszy pierwsze błyski pożaru, natychmiast biegli ratować.

W kronikach miasta Sę-Malo (Saint-Malo) czytamy: „Żyje jeszcze w murach naszych pamięć Generała Kapucynów, O. Michała-Anioła z Raguzy (w. XVIII) i pochwały, jaką mu oddał dawny syndyk, p. Goret de la Korbone (Corbonnaye). W przemowie łacińskiej starał się on najbardziej podnieść obserwancję Kapucynów i ich gorliwość w niesieniu ratunku przy pożarach, przy których zawsze byli pierwszymi.

Nigdzie jednak nie znajdujemy tak pięknego hołdu, oddanego czynnej i mężnej gorliwości naszych Ojców w chwili niebezpieczeństwa, jak w Awr de Gras (Havre de Grâce). Prefekt tego miasta, ogłaszając przepisy na wypadek oblężenia; tak się odzywa: „Artykuł 2. Sporządzić spisy wszystkich, jacy są w mieście: cieśli, kołodziejów, stolarzy, dekarzy, tokarzy, bednarzy, powroźników i w ogóle wszystkich rzemieślników zdolnych do gaszenia ognia; dodać do tego, w razie potrzeby, majtków okrętowych, tworząc z nich brygady, po 30—40 osób w każdej. Dowództwo każdej z tych brygad można powierzyć Kapucynom, bo ci dobrzy Ojcowie odznaczają się gorliwością w gaszeniu pożarów i doskonale się z tego wywiązują" [1]).

Ś. Weronika Giuliani (1727 r.).

Święta dziewica od dzieciństwa swego skora była do wspierania potrzebujących, a im bardziej rosła w lata, tem więcej wzmagało się w niej to uczucie. W klasztorze, gdy ją przeznaczono do koła, i później, gdy została opatką, starała się usilnie wspierać biednych, którzy przychodzili po jałmużnę, a ponieważ osobiście nie mogła nawiedzać więzień i szpitali, czyniła to myślą, pragnieniem i modlitwą. Niepodobna było prześcignąć Weroniki w miłości dla sióstr chorych, zwłaszcza gdy, jako przełożona, mogła swobodniej sobą rozporządzać. I w dzień i w nocy była przy ich łóżku, odwiedzając je wtedy, kiedy potrzebowały mieć kogoś przy sobie. Żeby zaś stare weteranki miały lepszą opiekę, dodała dwie siostry do pomocy zwykłym infirmarkom. Heroizmu dowiodła szczególniej, opatrując przez długi czas chorą siostrę konwerskę, która miała straszny wrzód w piersiach. Gdy zaś która była umierająca, nie odstępowała od jej tapczanu, służąc we wszystkich potrzebach tak ciała, jak duszy. Pielęgnowała też jedną suchotnicę, której ciało gniło powoli, a spełniając ten uczynek miłości, zapominała zupełnie o jedzeniu, tak że musiano jej przysyłać obiad i pilnować, aby jadła. Wszystkie siostry chciały przy niej kończyć życie, ale zdarzył się jeden wypadek opisany w procesie kanonizacyjnym. Była w klasztorze siostra, już z natury przykrego charakteru, wskutek zaś raka w piersiach, który ją zwolna toczył, nieznośna dla wszystkich usługujących. Święta, niczem niezrażona, co moment prawie zachodziła do jej celi dowiadywać się, czy jej czego nie potrzeba. Chora nieraz wypędzała opatkę i to w sposób bardzo niewłaściwy, a nadto zastrzegła sobie, aby nie ważyła się przychodzić do niej, kiedy będzie umierać. Uczuwszy się jednak blizką śmierci, weszła w siebie i, żałując swoich niecierpliwości, przeprosiła Weronikę i nikogo prócz niej nie chciała mieć przy swojem łóżku. Ciągle tedy Święta stała przy niej, jakby na straży, aby tak w dzień jak w nocy być na każde wezwanie. Po skonaniu każdej siostry brała ją na własne ręce, kładła do trumny, zanosiła do chóru, czuwała przy niej, dopóki zwłok nie wyniesiono, wreszcie sama je grzebała [2]).

[1]) Ibidem.

[1]) Ibidem. [2]) Żywot Ś. Weroniki Kapucynki.

Pożar szpitala w Paryżu (1737 r.).

Pod rokiem 1737 mamy do zaznaczenia wielki pożar szpitala. Ogień wybuchł o północy z d. 1 na 2 września i trwał siedm do ośmiu godzin; płomienie wybuchały ze straszną siłą. Potoki ognia, których sam widok przepełniał serca trwogą, groziły nietylko sąsiednim budynkom, ale i całej stolicy. Na ratunek przybiegli żołnierze i gwardja francuska, a około pierwszej po północy ujrzano nadchodzącą wielką liczbę zakonników, którzy jeden przez drugiego rzucali się w objęte płomieniem sale, aby wyratować chorych. Obarczeni tym drogocennym ciężarem, wychodzili sami prawie zaduszeni od dymu, mając habity opalone i zlane niekiedy własną krwią swoją. Wogóle zakonnicy dokazywali tutaj cudów. Dwaj z nich, Dominikanin i Kapucyn, obaj zdolni architekci, wydawali się niemal wszędzie obecnymi; widziano ich prawie jednocześnie na różnych miejscach. Zdaje się, że o tym samym Kapucynie wspomina inny kronikarz, chwaląc męstwo i zręczność brata Eustachego, który rzucił się przez płomienie, aby rąbać co było potrzeba dla prędszego ugaszenia ognia. Brat ten wyszedł jednak cało i bez szwanku, ale za to inni przypłacili życiem; zginęła mianowicie jedna siostra szpitalna i jeden Kapucyn, a drugi Kapucyn miał złamane biodro [1]).

Pożar izby obrachunkowej (1737 r.).

Szpital nie wyszedł jeszcze z ruin, kiedy nowy pożar rzucił popłoch na tęż samą dzielnicę Paryża. W dniu 26 października Izba obrachunkowa, położona wprost Świętej Kaplicy, o mało nie stała się pastwą płomieni. Skoro tylko spostrzeżono nieszczęście, wezwano natychmiast gwardję francuską i szwajcarską, oraz zakonników żebrzących. Chodziło o wyratowanie olbrzymiej masy papierów i dokumentów, złożonych w budynku i prawie wszystko zostało uratowane. Pożar ten przedstawiony jest na obrazie, znajdującym się w Muzeum miasta Paryża. Na szczycie palących się schodów dwaj Kapucyni i jeden strażak zwracają prąd wody z sikawki we właściwe miejsca, inni zaś, niżej stojący, unoszą na swoich barkach olbrzymie stosy papieru. Na pierwszym planie obrazu jedna z tych dobrowolnych ofiar poświęcenia leży bez czucia na ziemi [2]).

Bł. Marja Magdalena (1737 r.).

Błogosławiona Kapucynka, nie poprzestając na tem, że dbała o wszystkie potrzeby sióstr chorych, pragnęła jeszcze oszczędzić im cierpień i w tym celu błagała Boga, aby raczył je na nią przenieść. W ten sposób wyprosiła sobie straszny ból uszu od jednej, od drugiej — newralgję w szyi, od innej otrzymała ranę otwartą w kolanie, to znów gorączkę, ból zębów i t. d. Było to tak widoczne, że siostry lękały się poskarżyć przed nią na swoje cierpienia, wiedząc, że natychmiast je sobie uprosi. Pewnego dnia, usłyszawszy przy kole, że miasto Brescja obawia się zarazy, udała się na osobność i gorąco błagała Najśw. Pannę o oddalenie tej klęski od mieszkańców, (chociaż ci, według jej zdania, zasłużyli na nią wyziębieniem swych serc), a przeniesienie na nią tej kary, poczem dostała tak silnego bólu zębów, że nie wiedziała, co się z nią dzieje. Wszystkie te cierpienia nie pozbawiały jej nigdy pokoju, wesela i zwykłej swobody; zamiana ta czyniła ją tak szczęśliwą, że nie czuć było, iż cokolwiek cierpi.

Jeżeli która z sióstr była blizką śmierci, poświęcenie Błogosławionej przybierało inną cechę i charakter. Gdy dzwon oznajmił już chwilę konania, Marja Magdalena udawała się na miejsce samotne i tam krwawą dyscypliną spłacała już naprzód długi duszy, mającej stanąć przed Boskim trybunałem. Niekiedy cała podłoga była mokra od krwi przez nią wylanej. Razu jednego ukazała jej się konająca zakonnica, czy to prosząc, czy dziękując za tę pomoc duchowną. Po śmierci siostry litość jej szła za nią aż na miejsce pokuty. Miała ona dla zmarłych wielkie współczucie i nabożeństwo, które zawsze było skuteczne. Nieraz musiała wstawać po nocach, aby odmówić Officium za zmarłych, gdyż dusze jej towarzyszek przychodziły ją o to prosić. Aby skuteczniej dopomódz tym biedaczkom, ustąpiła im naprzód wszystkie swoje dobre uczynki do końca życia, następującym aktem heroicznym: „Oddaję na korzyść dusz w czyścu cierpiących wszystkie moje myśli i moje czynności, moje modlitwy wewnętrzne i ustne, odpusty, zasługi i zadośćuczynienia, Msze św., Komunje, dyscypliny, wszystko jednem słowem, co tylko im może sprawić ulgę — oddaję na ich rzecz z całego serca. Proszę Pana Jezusa przez zasługi Jego Najświętszej Męki, z któremi łączę tę trochę dobrego, jakie czynię, aby to przyniosło pomoc duszom w czyścu zatrzymanym. Ofiaruję to szczególniej za duszę najbardziej opuszczoną, za tę, która pierwsza ma wejść do nieba, za tę, która ostatnia wyjdzie z czyśca, za tę, która ma najwięcej zasług i najmilszą jest w oczach Bożych, za tę, która miała największe nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, do Męki Zbawiciela i do boleści Jego Matki, za duszę, która była najpokorniejszą na tym świecie, aby

[1]) Les premiers pompiers... [2]) Ibidem.

mi wyjednała cnotę pokory, wreszcie za duszę, która była najwierniejsza w spełnieniu obietnic Bogu uczynionych". Taki akt heroiczny uczyniła Bł. Magdalena, wyprzedzając te służebnice Pańskie, które go w XIX wieku rozszerzyły między wiernymi.

Dusze czyścowe wiedziały z pewnością o tej wspaniałomyślnej ofierze, bo przychodziły i w sposób dotykalny domagały się o tę jałmużnę duchowną. W czasie pierwszego roku jej przełożeństwa kilka zakonnic słyszało każdej nocy jakieś mocne i szybkie stukanie w sypialni klasztornej, a sądząc, że musi to być dusza pokutująca, zwierzyły się Błogosławionej ze swego strachu. „Bądźcie spokojne, i nie wychodźcie z celi, odrzekła im Magdalena, zaradzi się temu". Dziwny hałas raz jeszcze tylko się ponowił, poczem nic już nie budziło sióstr. Taż sama Kapucynka, która opowiedziała o tem Świętej, zwierzyła się też i spowiednikowi, mówiąc, że opatka musiała coś wielkiego uczynić dla uwolnienia owej duszy, ponieważ nic już nie słychać. „Tak, odrzekł kapłan, prosiła mnie o pozwolenie i nie mogłem jej zabronić tego aktu miłości". Rzeczywiście przez dwa dni widziano na twarzy Magdaleny trupią bladość, wyraźny znak cierpień. Takie było kadzidło miłości, palone przez Świętą na złotym ołtarzu jej dziewiczego serca. Dusza prawdziwie przejęta miłością na wzór swego Boskiego Oblubieńca szukała zawsze sposobności do poświęcenia się za zbawienie swoich towarzyszek i na chwałę Boga. W poczuciu swej nędzy często mawiała, że nic nie czyni, ale napełniona łaską Najwyższego, zasyłała bezustannie do nieba woń swej modlitwy oraz mirrę ofiar i umartwień [1]).

Obrona sławy Kapucynów. (1742 r.)

Kapucyni nigdy nie mieli na myśli wynosić się z usług, oddanych w klęskach publicznych, zaledwie właśni ich kronikarze czynią o tem zwięzłe wzmianki. Słusznie jednak nie dopuszczali, aby ich uważano za niepożytecznych członków społeczeństwa i stawali w obronie swojej sławy. Dowody tego znajdujemy w pamiętniku Kapucynów francuskich, napisanym w r. 1742. Czytamy tam, że od dwóch blisko wieków królowie uznali za słuszne użyczyć im przywileju, któryby ich zwalniał od wszelkich podatków, nałożonych na wino, groch, śledzie, ryby solone i inne konieczne artykuły spożywcze. Pomimo tych zwolnień, niektórzy urzędnicy zbyt gorliwi domagali się od Ojców zwykłej opłaty, dowodząc, że jako ludzie nieużyteczni dla społeczeństwa, nie mają prawa do żadnych przywilejów. Oto jaka była odpowiedź sług Bożych:

„Napróżno mówią, że Kapucyni są nieużyteczni dla państwa. Gorliwość i usługi tych zakonników we wszystkich misjach w krajach niewiernych i w państwach katolickich, celem podtrzymania i szerzenia wiary... są zbyt jasnemi dowodami opinji przeciwnej. Zresztą wystarczyłoby tym panom otworzyć tylko karty historji, a wyczytają w niej, że więcej, niż dwa tysiące tych zakonników oddało życie, czy to ratując zapowietrzonych, czy to obsługując żołnierzy w lazaretach, czy odznaczając się w pożarach publicznych. W ostatniem zaś trzydziestoleciu spotkają niezmierne pochwały z okazji pożaru Małego mostu, Szpitala, Izby obrachunkowej, nie mówiąc o wielu domach prywatnych, które od tego czasu z ognia wyratowali, nie będąc do tego pobudzonymi żadnym obowiązkiem, prócz miłości i wdzięczności.

Czyż na to, żeby przekonać tych panów, trzebaby zmusić zakonników aby pragnęli jakiej nowej zarazy, albo wielkiego pożaru, gdzieby znów mogli okazać swoją zwykłą gorliwość i poświęcenie swego życia?"

Słuszna ta obrona odniosła skutek i wyrokiem z d. 14 lutego 1743 r. nakazano urzędnikom królewskim odnosić się z większym szacunkiem względem przywilejów kapucyńskich [1]).

Wyswobadzanie jeńców tureckich (1745 r.).

Widzieliśmy już, że Kapucyni starali się, o ile tylko mogli, łagodzić los nieszczęśliwych jeńców tureckich i rozciągać nad nimi opiekę duchowną. Lecz niemniej byli troskliwi o przywracanie im swobody, co im się udawało lepiej, niż jakimkolwiek innym zakonom. Główną w tem pomocą była wielka popularność Kapucynów wśród ludu, oraz ich godność kapłanów ambasady francuskiej. Domy poselstw zagranicznych korzystały w Turcji z prawa nietykalności: niewolnik, któremu się udało tam schronić, nie mógł być prześladowany. Naturalnie łączyło się to z poważnem niebezpieczeństwem, zarówno dla zbiega, jak i dla tego, który mu dawał przytułek, bo poza murami owych domów Turcy odzyskiwali swoje prawa i mogli się mścić nietylko na zbiegłym niewolniku, ale i na jego dobrodziejach. Nadto utrzymywanie zbiegów pociągało za sobą znaczne wydatki, ale misjonarze nie dawali się odwieść temi trudnościami od swego dzieła.

Oto co piszą sami Kapucyni w sprawozdaniu do Ś. Kongregacji z r. 1745.

„W Konstantynopolu zajmujemy się także zbiegłymi jeńcami, którzy przychodzą się schro-

[1]) La B. Marie Madeleine Martinengo...

[1]) Les Capucins français...

nić w domu poselstwa francuskiego, aby zrzucić z siebie nieznośne jarzmo Turków. Musimy ich ubierać od stóp do głów, żywić i t. p. Jeden z Ojców misjonarzy zajmuje się codziennie ich nauczaniem, t. j. przywracaniem ich do stanu prawdziwych chrześcijan, bo przeważnie wszystko zapomnieli, a wielu nawet posunęło się do odstępstwa. Jest to wielka praca dla zakonników i nadzwyczajne skrępowanie dla zgromadzenia, ale chętnie to czynimy ze względu na widoczny pożytek. Co rok zdarza się najmniej 2000 nawróceń, czyli tyle dusz wraca do wiary chrześcijańskiej. Między tymi niewolnikami są Francuzi, Włosi, Maltańczycy, Hiszpanie i t. d. Dzieła tego nie moglibyśmy utrzymywać, gdyby nie jałmużny wiernych".

Zakonnicy innych reguł, nawet Obserwanci, musieli się wyrzec podobnej działalności i uwolnić się od zbiegłych jeńców, przekazując ich Kapucynom, ponieważ Turcy występowali z poważnemi groźbami [1]).

Pożar Bazaru S. Germana w Paryżu (1762 r.)

W początkach XVI w. zakonnicy z Sę Żermę (Saint-Germain) zbudowali na zajmowanym przez siebie ucząstku ziemi 340 lóż drewnianych, podzielonych siedmioma przykrytemi ulicami i tworzących razem jeden olbrzymi budynek. Loże te odnajmowali różni kupcy, i bazar S. Germana bardzo był uczęszczany. Otóż w nocy z 16 na 17 marca 1762 r. około 5-ej rano wszystko to stało się pastwą płomieni. Trudno sobie wyobrazić wielkość ognistej masy, w jaką zamieniły się te drewniane budynki! Prawie nic nie ocalono, z powodu szybkiego szerzenia się pożaru. Obawa była nawet o kościół S. Sulpicjusza, na szczęście tylko część ołowianego dachu została uszkodzoną. Żołnierze, zakonnicy, urzędnicy, wszystko znalazło się na miejscu klęski, pisze ówczesny kronikarz. Choć żadnych szczegółów co do ratunku nie mamy, ale pożar ten został uwieczniony przez sztukę malarską. Na pierwszym planie obrazu znajduje się Kapucyn z rękami złożonemi i wzniesionemi do nieba, lecz jego habit zakasany i podwiązany poniżej kolan, oraz wiadro stojące nad rowem pełnym wody, wskazują, że nie jest on tylko bezczynnym widzem, ale że za chwilę, skończywszy krótką modlitwę, rzuci się w płomienie [2]).

Pożar Opery paryskiej, (1763 i 1781 r.).

W roku następnym mamy do zapisania nowy pożar w innej dzielnicy Paryża. 6 kwietnia, z powodu niedbalstwa pracujących robotników, zajął się gmach Opery i w krótkim czasie został zamieniony w popiół, a pałac królewski, w skład którego wchodził teatr, poniósł znaczne uszkodzenia. Szczęściem, nikt nie zginął. Pomiędzy gaszącymi odznaczyli się, jak pisze gazeta, zakonnicy rozmaitych reguł, ale szczególniej OO. Kapucyni, którzy złożyli dowody najmężniejszej gorliwości i najusilniejszej pracy. Ogień wszczął się w godzinach rannych, a ponieważ gaszenie trwało długo, hrabia de Szartr (Chartres) z należną troskliwością zajął się, aby wszyscy pracujący: Kapucyni, żołnierze gwardji, a nawet kilku oficerów — zostali posileni. Operę odbudowano na tem samem miejscu, lecz w r. 1781, 23 czerwca o $8^1/_2$ wieczorem nastąpił drugi wypadek ognia. Strażacy i Kapucyni dali tu nowe dowody najwyższej gorliwości [1]).

Pożar szpitala w Paryżu (1772 r.).

Koniec roku 1772-go zaznaczył się okropną klęską ogniową. W nocy z d. 29 na 30 grudnia wybuchł znowu pożar w szpitalu paryskim, około $1^1/_2$ godziny na ranem. Widok był zarazem najwspanialszy i najbardziej przerażający. Wyobraźmy sobie mnóstwo budynków, zajmujących olbrzymią przestrzeń 943 sążni, potoki ognia, wylewające się wszystkiemi równoległemi oknami, dach spadający z łoskotem, masę płomieni, wzbijającą się w górę, unosząc za sobą kołdry, koce i inne zapalone przedmioty. Przez kilka godzin była taka łuna, że w całym Paryżu, do najodleglejszych zakątków było jasno. Nie wiedząc, w którem miejscu się pali, wołano: „gore" na wszystkich przedmieściach, choć ogień był w środku miasta. Kierując się blaskiem pożaru, razem ze strażakami i żołnierzami, przybiegli zaraz Kapucyni, Franciszkanie i Augustjanie. Wszyscy wzięli się do dzieła, a zakonnicy rzucili się w ogień, aby ratować chorych od strasznej śmierci. Widziano ich wracających ze swojemi ciężarami, okrytych błotem i pracujących jak najprostsi żołnierze. Dzięki tej wspaniałomyślnej pomocy, ofiary były niewielkie. Znaleziono między zgliszczami tylko 12 trupów. Jeden z Kapucynów był w liczbie ciężko rannych. Jeszcze w ciągu tygodnia zgliszcza się tliły, a do 8 stycznia strażacy zalewali je wodą [2]).

Pożar Pałacu Sprawiedliwości.

Cztery láta po spaleniu się szpitala, w tej samej dzielnicy wybuchł nowy pożar, niemniej straszny. W nocy z d. 10 na 11 stycznia 1776 r., stanął w ogniu Pałac Sprawiedliwości. Na pierw-

[1]) La France catholique en Orient... [2]) Les premiers pompiers...

[1]) Ibidem. [2]) Ibidem.

sze błyski ognia nadbiegli strażacy i żołnierze, a z nimi Kapucyni, oraz inni żebrzący. Znaczna część budynku ocalała. W bibljotece muzeum Karnawale „(Carnavalet)", znajduje się akwarella z tej epoki, przedstawiająca owo zdarzenie. W pośród żołnierzy przybywa gromada Kapucynów, w liczbie 40-u, idąca trzema rzędami. Ułożono też o tym pożarze poemat epiczny w trzech pieśniach, z których jedna prawie cała poświęcona jest Kapucynom. Inna pieśń o tym samym wypadku opisuje śmierć jednej z ofiar poświęcenia, choć niewiadomo, do którego zakonu należała ta ofiara [1]).

Drobniejsze pożary na prowincji w wieku XVIII.

W mieście Trua (Troyes) w Szampanji 8 października 1700 zapalił się od pioruna kościół katedralny. Przy gaszeniu ognia dwaj zakonnicy: Kapucyn i Franciszkanin odnieśli rany.

21 maja 1714 r. gwałtowny pożar wybuchł w mieście Mans i zniszczył wszystkie domy w rynku, między klasztorem Minimitów, a hotelem. Mieszkańcy dali w tej okoliczności wielkie dowody poświęcenia, najbardziej jednak odznaczyli się Kapucyni, którzy wszyscy wystawiali się mężnie na największe niebezpieczeństwo. Historycy zapewniają, że wielu z nich miało opalone brody.

8 kwietnia 1714 r. w niedzielę o 6-ej wieczorem stanął w ogniu zamek w mieście Alansą (Alençon), posiadający znaczną ilość ołowiu, z którego też była wielka latarnia w stylu gotyckim. Jeden z ratujących Kapucynów wdrapał się po niej do góry, aby rzucić w płomienie relikwje dla uśmierzenia ognia, tymczasem wierzch latarni oberwał się i ze strasznym łoskotem spadł na ziemię, pociągając za sobą zakonnika, który w tydzień później życie zakończył.

Szczęśliwszym był inny Kapucyn z Alansą, który, wszedłszy na dach palącego się kościoła Najśw. Panny (w nocy z d. 1 na 2 sierpnia 1744 roku), przy pomocy jakiejś mężnej niewiasty zdołał w nim zrobić toporem znaczny wyrąb, i w ten sposób ocalił nawę pięknego budynku.

W poniedziałek 21 maja r. 1762 w mieście Ewre (Evreux) wybuchł straszny pożar. Wszyscy rzucili się na ratunek pogorzelcom. OO. Kapucyni i Franciszkanie pracowali z największą gorliwością, jedni, wynosząc sprzęty, a drudzy, starając się gasić płomienie.

W temże mieście z 3 na 4 kwietnia 1787 r. około północy zapalił się szpital. Po ugaszeniu ognia zarządca szpitala kazał dać nagrodę strażakom i jałmużnę OO. Kapucynom i Franciszkanom za ich czynny udział w ratunku.

25 listopada 1765 w Orleanie wielki pożar wybuchł w domu pewnego stolarza. Wyróżnili się gorliwością i poświęceniem OO. Kapucyni, którzy ustawiali sikawki i przebiegali z wiadrami zapalone dachy i podłogi domu. Zakon ten, mówi w dalszym ciągu kronikarz, był wówczas szczególnie obowiązany do niesienia pomocy w tego rodzaju nieszczęściach. Mieli oni za to pozwolenie kwestować po całem mieście i zbierali hojne jałmużny.

Wreszcie w Dax 7 stycznia 1773 r. Kapucyni, razem z innymi zakonnikami tego miasta, usilnie pracowali nad gaszeniem wielkiego pożaru. Żeby nie ich gorliwość, większa część miasta byłaby zniszczoną [1]).

[1]) Ibidem.

Bł. Feliks z Nikozji (1787 r.).

Serce tego braciszka pałało wielką miłością bliźniego, a choć przez ślub ubóstwa zrzekł się rozporządzania jakąkolwiek rzeczą doczesną, umiał pomimo to spełniać wielkie uczynki miłosierdzia, w których Pan Bóg z widoczną pomocą mu przychodził. W Sycylji, zwłaszcza w owych czasach, mieszkańcy co lat kilka dotykani bywali głodem. Feliks zawsze miał zwyczaj ujmować sobie część posiłku dla rozdania ubogim, ale w czasie klęski ograniczał się już tylko na kawałku chleba i na wodzie, a wszelkie jedzenie i wino dla niego przeznaczone oddawał głodnym. Gdy zaś Gwardjan przeznaczył go wyłącznie do kwestowania dla nich jałmużny, święty braciszek nie kładł już żadnych granic tej posłudze. Po całych dniach przebiegał najuboższe ulice miasta i okoliczne góry, wyszukując i wspierając najbardziej potrzebujących. Dnia pewnego wsparł on w cudowny sposób kilku zgłodniałych chłopców. Nie mając bowiem co im dać, pomodlił się, uderzył laską ziemię, przeżegnał to miejsce kartką i natychmiast zabłysł tam pieniądz, który kazał wziąć jednemu z chłopaków. Potem dotknął ziemię po raz drugi i cud znowu się powtórzył i tak było razy kilka, aż każdego z nich obdarzył jałmużną. Pewnej znowu ostrej zimy Feliks wracał z kwesty z drugim braciszkiem. Blisko już klasztoru przystąpił do niego chłopiec bardzo mizernie wyglądający, zziębły, bo zaledwie miał na sobie obdartą koszulę, i ze łzami proszący o zaopatrzenie go w jaką odzież. Feliks nie zatrzymał się wcale, tylko wzruszony widokiem nędzy, wstrząsnął, jakby niechcący, ramionami, tak że płaszcz kapucyński, jaki miał na sobie, spadł z niego na

[1]) Ibidem.

ziemię. Chłopiec porwał go czemprędzej, odział się w niego i uciekł, a Feliks ani się nie obejrzał. Drugi braciszek był tem zgorszony, że święty rozporządza rzeczami bez pozwolenia i zaczął go upominać. Feliks nic nie odpowiedział, lecz gdy za chwilę przyklękli przed znajdującym się na rogu posągiem Matki Bożej, socjusz ujrzał na Świętym taki sam płaszcz jak poprzednio, tylko zupełnie nowy, bo tamten był już mocno podszarzały. Takiemi cudami nagradzał Bóg jego miłosierdzie i pomagał we wspieraniu ubogich [1]).

W roku 1777 straszna epidemja dotknęła miasteczko Cerami w pobliżu Nikozji leżące. Przerażeni mieszkańcy udali się do OO. Kapucynów z prośbą o rozciągnięcie opieki nad chorymi. Gwardjan przeznaczył ku temu brata Feliksa, mówiąc, aby szedł w Imię Boże do dotkniętych klęską i uczynił wszystko, co mu serce dyktuje. Wszyscy patrzyli na Świętego jakby na skazanego na śmierć niechybną, nikt bowiem do zarażonych zbliżyć się nie śmiał. Ponieważ wszelka pomoc lekarska okazała się bezsilną, trzeba było liczyć jedynie na opiekę Boską i podtrzymywać wiarę w nieszczęśliwych.

Cichy i spokojny braciszek dokonał istotnego cudu. Gdy przybył do Cerami, wnet otoczono go i poczęto się doń garnąć z zaufaniem. „Grzechy i nieprawości wasze są przyczyną tej klęski", mówił, płacząc wraz z płaczącymi, „żałujcie z całej duszy i przyrzeknijcie poprawę, oraz wierzcie w bezgraniczne miłosierdzie Boże. Módlcie się gorąco do Najśw. Marji Panny, aby wstawiła się za wami, a zobaczycie, że prośby wasze będą wysłuchane". Rozdał im także wielką ilość kartek z napisem: „Święta Marjo, Matko Boża, módl się za nami", aby je nosili ustawicznie przy sobie. Brat Feliks obchodził kolejno wszystkie domy, niosąc pociechę, wlewając do serc strapionych otuchę i nadzieję. Przygotowując ciężko chorych na śmierć, przemawiał w prostych a serdecznych słowach do zdrowych i tem działał na nich kojąco.

Siedem dni i siedem nocy, nie biorąc prawie posiłku, ani snu nie zażywszy, przebył w tym istnym szpitalu i cmentarzysku, wśród jęku i płaczu nieszczęśliwych, oddany zupełnie posługom przy chorych i grzebaniu zmarłych. Po upływie tygodnia zaraza ustała, a jednocześnie w cudowny sposób uleczone zostały dusze dotkniętych gorszą jeszcze zarazą niewiary; nie słychać już było wśród ludności ohydnych przekleństw i bluźnierstw: dobroczynny wpływ świątobliwego Kapucyna pozostawił niezatarty ślad we wszystkich chrześcijańskich rodzinach; jego poświęcenie i męstwo, żywy przykład cnót heroicznych obudziły nowe życie.

Wprost nie do pojęcia, ażeby jeden człowiek i w tak krótkim czasie mógł sprawić tyle dobrego, a jednak widoczne było, że działał on pod natchnieniem Ducha Świętego, że Opatrzność obrała go za narzędzie dla ocalenia wielu ludzi od zguby [1]).

Poświęcenie Kapucynów na polach bitwy w r. 1870 i 71.

Kapucyni w ciągu kilku wieków towarzyszyli wojskom na lądzie i na morzu w wojnach i dalekich wyprawach. Za przykładem świętego swego Patryarchy, który poszedł za krzyżowcami do Palestyny, Ś. Jana Kapistrana, Ś. Wawrzyńca z Brindisi i tylu innych, którzy prowadzili wojska katolickie Niemiec i Hiszpanji przeciw mahometanom, synowie Ś. Franciszka przez długi czas byli jedynymi kapelanami armji francuskiej.

Za naszych jeszcze czasów w tym strasznym pojedynku między Francją a Prusami w r. 1870 i 1871 wszyscy Kapucyni starali się o miejsca kapelanów wojskowych i przeszło połowę ich przyjęto. Kilku umarło od ospy, którą się zarazili, między innymi Ojcowie Szymon i Kalikst. Pewna liczba poszła aż do Niemiec, nieść pomoc i pociechę duchowną jeńcom. Jeden z nich, Alfons z Malbo, miał sam jeden w Koblencji do obsłużenia 14000 żołnierzy francuskich, a wśród nich 1200 chorych na ospę, tyfus i różne inne choroby. Pozostali w kraju służyli później w swoich klasztorach, zamienionych na ambulanse. W Paryżu jak i w Wersalu klasztory stały się szpitalami, utrzymywanemi kosztem i staraniem Kapucynów. W Sabaudji przez pół roku trzy szpitale wojenne istniały w domach kapucyńskich. W Thonon i Meylan powierzono zakonnikom 30-u chorych, w Chambery — 60-u, z których 50-u chorych na tyfus. Zarząd wojenny wyraził im swoją wdzięczność w listach pełnych uznania. W czasie rozejmu, kapelan z Mont-Valerien, Kapucyn, oddał się na usługi w Val-de-Grâce. Miał 500 żołnierzy do pielęgnowania, a z nich 80-u chorych na ospę. Po odejściu Prusaków z Paryża, wrócił na swoje stanowisko [2]).

Brat Andrzej (1871 r).

W piśmie francuskiem „Rewiu diu mąd katolik" („Revue du Monde Catholique") z miesiąca września 1891 r. było wzruszające wspomnienie o bracie Andrzeju, który w strasznych wypadkach r. 1870 zmuszony był opuścić klasztor i wstąpić w szeregi wojskowe. Było to w Tuluzie. Pewnego

[1]) Żywot Św. Feliksa.

[1]) Żywoty Świętych. [2]) Les Capucins français...

wieczora wybuchł pożar i ósmy bataljon strzelców posłany został dla stłumienia ognia. Kiedy go ugasili i wrócili do swojej kwatery, kapitan począł wywoływać wszystkich po nazwisku, chcąc się przekonać, czy kto nie zginął. Okazał się brak jednego towarzysza, a tym był właśnie Kapucyn Andrzej. Natychmiast dano rozkaz kapralowi i kilku żołnierzom, aby poszli go szukać i w kwadrans potem przynieśli go bez przytomności z opaloną twarzą, odzieżą, włosami, a nadto ciekącego wodą. Doktór pułkowy przyprowadził rannego do zmysłów, sprawdziwszy zarazem, że miał żebro złamane. Przeniesiono go do najbliższego ambulansu, obsługiwanego właśnie przez Kapucynów i tam 1 stycznia 1871 r. zmarła ta ofiara poświęcenia. W dwa dni później był pogrzeb. Ciało brata Andrzeja niosło dwóch strzelców i dwóch Kapucynów [1]).

Hołd Towarzystwa Ratunkowego w Tuluzie (1878 r.).

Dnia 28 czerwca 1878 r. prezes Towarzystwa ratunkowego w Tuluzie, Achiles Bret, przysłał na ręce gwardjana miejscowych Kapucynów akt, świadczący o dzielności jego podwładnych w gaszeniu ognia. Pisał on, że podczas pożaru nocy ubiegłej w składzie drzewa kupca Kantarejja (Cantareuil'a), OO. Kapucyni rozwinęli najczynniejszą działalność i największe poświęcenie. A że społeczeństwo mogłoby o tem nie wiedzieć, Towarzystwo ratunkowe, jako mające za jeden ze swoich celów uznawanie i podnoszenie czynów poświęcenia, niniejszym listem wyraża OO. Kapucynom uczucia wdzięczności za okazaną pomoc przy ratowaniu [2]).

Zupa ludowa w Nant (Nantes) (1880 r.).

Między dziełami miłosierdzia w wieku XIX, należy wspomnieć Zupę ludową w Nant (Nantes), założoną około roku 1880. Codzień przez całą zimę dwustu ubogich otrzymywało w furcie klasztornej porcję gorącego buljonu lub innej zupy wraz z chlebem, co dla niektórych było jedynym posiłkiem w tym ciężkim okresie czasu. To samo dzieło zaprowadzone było i we wszystkich innych klasztorach francuskich na większą lub mniejszą skalę [3]).

Kapucyni przy pożarze w Nantes (1880 r.).

19 listopada 1880 roku wybuchł straszny pożar na statkach znacznego przemysłowca p. Etienne. Przyczyną nieszczęścia było, jak się zdaje, podpalenie. Na pierwszy sygnał przybyli na miejsce uczniowie seminarjum, którzy utworzyli łańcuch i wzięli się do sikawek. Między nimi był Kapucyn, O. Norbert, który 3 listopada tegoż roku został wraz z braćmi swymi wypędzony z klasztoru przez zarząd miasta. Współtowarzysze jego, dzięki wspaniałomyślności p. Etienne, odpłynęli niedawno do Irlandji, szukać tam schronienia, jakiego odmówiła im ojczyzna; on jeden tylko został w seminarjum i razem z kolegami pracował długie godziny nad gaszeniem ognia, stojąc w wodzie i mokną na ulewnym deszczu. Burmistrz miasta, generał Benua (Benoit), który wraz z komisarzami przybył już po usunięciu niebezpieczeństwa, miał sposobność przekonać się, jak postępują zakonnicy, wyrzuceni przez niego, jako nieużyteczne członki kraju [1]).

Kapucyni kapelanami w Tunisie (1880 r.).

Nazajutrz po wypędzeniu zakonów z Francji, r. 1880, odwołano się do poświęcenia Kapucynów, aby wzięli na siebie pieczę o żołnierzach, którzy, dziesiątkowani przez tyfus w Tunisie, marli bez pomocy religijnej. Udało ich się tam bardzo wielu do szpitali wojskowych w Goulette i Manuba. Poszli również za żołnierzami do obozu w Ain-Drabam, Tabarka, Fernam-Beju, Gardimatu i Gales. Jeden z zakonników, O. Patryk, kapelan z Mont-Valerien, a później w Tunisie, otrzymał aż trzy medale za swoje usługi na polach bitwy [2]).

Pożar w Orihuela, w Hiszpanji (1887 r.).

W Orihuela, gdzie zakonnicy francuscy, wydaleni z kraju, znaleźli sobie przytułek, obudzili oni powszechne uwielbienie mieszkańców, gasząc pożar, który zagrażał całej dzielnicy miasta. Było to w nocy z 27 na 28 marca 1887 r. Już cały dom stał w ogniu i płomienie przechodziły na sąsiednie budynki, ledwie jednak zaczęto dzwonić na trwogę, przybiegła spiesznie większa część zgromadzenia. Jedni zajęli się sikawkami, inni, uzbrojeni w haki, wraz ze strażą ogniową, wdrapali się na dom, aby dach rozebrać. W ciągu dwugodzinnego trwania pożaru nie przestali ani na chwilę dzielnie pomagać w ratowaniu. „Szkoda, pisał dziennik miejscowy, że niewiadome nam imię młodego Kapucyna, który w oczach naszych spełnił prawdziwie bohaterski akt poświęcenia. Strażacy uznali za potrzebne wybić górne drzwi w śpichrzu, które wychodziły na dach płonącego domu, a to dlatego, by zostawić płomieniom przejście. Ale dach groził już zawaleniem i przez szczeliny dobywały się języki ognia. Wtem rzuca się młody zakonnik: już gotów jest wdrapywać się na ów dach zagrożony,

[1]) Les premiers pompiers... [2]) Ibidem. [3]) Les Capucins...

[1]) Les premiers pompiers... [2]) Les Capucins français...

OBIAD Z TRĘDOWATYM.

gdy strażacy, widząc niebezpieczeństwo, zdołali go powstrzymać. Ale ogień wzmaga się i sąsiedni dom zaczyna się palić. Wszyscy otaczający ubolewają nad tem, lecz nie widzą ratunku. I oto znienacka wysuwa się powtórnie tenże mężny zakonnik, uzbrojony lancą i już nie dając się nikomu powstrzymać, drapie się na górę. Uderza raz — drugi z całej siły, drzwi ustępują a przez otwór wybucha cały wulkan ognia. Zakonnik cofa się jak najspieszniej, lecz w chwili, gdy już się ma znaleźć na bezpiecznem miejscu, dach obrywa się. Byłby niechybnie zginął pod gorejącemi krokwiami, gdyby nie strażacy, którzy z cudowną prawie szybkością schwycili go i usunęli". Cześć młodemu i dzielnemu zakonnikowi, dodaje dziennik [1]).

Dzieło opieki nad włóczęgami. (1890 r.).

O. Amadeusz z klasztoru wersalskiego zajmuje się podniesieniem moralnem włóczących się lub opuszczonych robotników i wyszukiwaniem dla nich zajęcia. Przez niespełna 10 lat swojej pracy w tym kierunku, otoczył on opieką więcej niż 1500 młodzieńców, a około 400, powolnych jego radom i usiłowaniom, wykierował na uczciwych i pracowitych rzemieślników, godnych całego zaufania ze strony majstrów. Niektórzy z nich stali się szczęśliwymi ojcami rodzin [2]).

Cz. Innocenty z Berzo. (1890 r.).

Ten sługa Boży od dzieciństwa odznaczał się wielką miłością dla bliźnich. Będąc jeszcze świeckim kapłanem, wyzuwał się ze wszystkiego, aby ich przyodziać i nakarmić. Gdy matka, prowadząca mu gospodarstwo, zostawiła czasem klucz w szafie z jedzeniem lub z bielizną, powróciwszy do domu, znajdowała wszystko w mniejszej ilości. Jeśli przyszedł ubogi, a ci prędko poznali drogę do proboszcza, dawał co miał najlepszego, bez względu coby to było, dość że ubogi tego potrzebował. Pewnego dnia ksiądz Jan (takie miał imię na świecie), odwiedzając ubogiego chorego, starał się podnieść go na duchu, i zachęcał do poddania się woli Bożej, poczem wbiegł do swojego mieszkania, obszukał wszystkie pokoje, a nie znalazłszy matki swej, zatarł ręce z radości. Pewny już siebie, zmierzył prosto do kuchni, wyjął z garnka piekące się kurczę i wrócił do chorego. Matka nic nie wiedziała, że syn był w domu, przyszedłszy więc z miasta, dołożyła drzewa pod blachę, aby większy był ogień i aby kurczę gotowe było na swoją godzinę. Na kilka minut przed obiadem, chcąc się przekonać, czy już upieczone, podnosi pokrywkę, wkłada widelec, ale ku jej przerażeniu, kurczę gdzieś znikło. „Przyznaj się, księżę Janie, zawołała, tyś znowu dzisiaj figla mi spłatał! Jakże tak możemy wyżyć? Cóż teraz będzie na obiad? Widzę, że nie mogę ani na pół godziny ruszyć się z domu!" Syn przeczekał, aż pierwsze wzburzenie minęło, a potem rzekł: „Niech się mama uspokoi; gdyby mama widziała tego biedaka chorego, samaby go nakarmila. Jesteśmy zdrowi, więc możemy się obejść zupą i kaszą, chleba nam nie zabraknie. A zresztą ubodzy ściągają na nas błogosławieństwo Boskie" [1]).

Kapucyni przy pożarach w Tuluzie. (1891 r.)

Pewnej nocy zimowej generał de Fénélon, dowodzący akcją ratunkową przy gaszeniu pożaru, spostrzegł bosego Kapucyna, stojącego w zamarzłej wodzie i napełniającego nią wiadra, które potem kolejno przechodziły z rąk do rąk. Natychmiast rozporządził, aby miejsce zakonnika objął jaki artylerzysta w wysokich butach, któreby go broniły od zimna, a zacnego Ojca umieścił w dalszym szeregu.

W temże mieście w lipcu 1891 r. wybuchł nagle pożar po północy w fabryce gilz na brzegu kanału, niedaleko od klasztoru Kapucynów. Ci ostatni, wracając do swoich cel po zmówieniu Jutrzni, zobaczyli ogień i pierwsi udali się na miejsce klęski. Wśród ulewnego deszczu wzięli w swoje ręce cały ratunek i dzielnie pomagali przy sikawkach kilku zaledwie przybyłym strażakom. Miejscowy dziennik „Nowości" uczynił o tem chwalebną wzmiankę [2]).

Pożar w mieście Angers (Anże). (1891 r.).

Straszny pożar wybuchł w Angers 27 sierpnia 1891 r. Pierwsi przybyli do ratunku Kapucyni i dzielnie pracowali nad zorganizowaniem pomocy w klasztorze Sióstr Franciszkanek, wystawionym na największe niebezpieczeństwo [3]).

Kapucyni w czasie rzezi Armeńskiej. (1895 r.).

W r. 1895 wybuchła rzeź w Armenji. Rozkaz z Konstantynopola nakazywał zabić wszystkich mężczyzn, a kobiety i dzieci zmusić do przyjęcia islamu. Ojcowie Kapucyni znajdowali się w okolicy zaludnionej przez Ormian, z niebezpieczeństwem przeto życia i dzieł swoich wytężyli

[1]) Ibidem. [2]) Ibidem.

[1]) Les Annales franciscaines 1905. [2]) Les premiers pompiers... [3]) Ibidem.

wszystkie siły dla ratowania nieszczęśliwych. Nie mogli wszędzie zapobiedz rzeziom, ale kiedy w Konstantynopolu większość europejczyków nie śmiała ani pośredniczyć w tej rzeczy, ani nawet otworzyć domów swoich, dla przygarnięcia tych, których całemi tysiącami wyrzynano: Kapucyni, rozproszeni wśród Kurdów, brali w obronę nieszczęśliwe ofiary, skłaniali do pomocy bardziej ludzkich urzędników, a samych morderców albo zmiękczali prośbą o litość, albo powstrzymywali groźbami. Prócz tego na oścież otwierali drzwi dla ściganych, a kiedy im samym grożono śmiercią, żądając ich wydania, odpowiadali: „Możecie nas zabić, ale do nich nie dostaniecie się inaczej, jak po naszych trupach".

Męstwo takie nie zostało bezowocnem. W Djarbekirze Ojcowie ocalili u siebie 5000 ludzi, w Karpucie — 2000 i znaczną liczbę w Orfa. Razem we wszystkich swoich domach dali przytułek 10000 Ormjan. Co więcej, ocalili od rzezi całe miasto Mardin.

Właśnie w Karput Kapucyni dali napastnikom wyżej przytoczoną opowiedź. Dowódca ich, wstrzymany tem bohaterstwem, chciał namowami i innemi sposobami skłonić Ojców do ustąpienia. Uprzedzał nawet, że nie byłby w stanie powstrzymać swojej bandy, gotowej do napaści, ale nie mógł otrzymać od Ojców nic innego, nad ponowną odpowiedź: „Umrzemy pierwsi, ale nie ustąpimy ze stanowiska, jakie nam Bóg powierzył". Taka wspaniałomyślność zwyciężyła nawet samego Turka. „Ponieważ macie odwagę narazić własne życie dla ocalenia bliźniego, więc biorę na siebie zarówno wasze własne bezpieczeństwo, jak i zdrowie tych, którzy są pod waszym dachem". I dotrzymał słowa. Wysłał swoich żołnierzy dla odparcia Kurdów, którzy się szykowali do napadu. Ten dzielny Turek nazywał się Sciahad-bey. A Ojcowie, którzy tak mężnie wystąpili, noszą imiona: Adrjan z Ulpic i Ludwik z Evreux, Francuzi.

Mamuret-ul-Aziz ocalone zostało przez samego gubernatora, który był przyjacielem Ojców. Dopóki trwało niebezpieczeństwo, pięciuset chrześcijan znajdowało przytułek w klasztorze, a Mustafa dał swoich żołnierzy dla zapewnienia im obrony w razie napadu.

Na czele misji w Mardin znajdował się O. Daniel z Monopello, człowiek roztropny i używający wielkiego wpływu w kraju. Oddawna był on w stosunkach przyjaznych z pewnym bardzo niebezpiecznym dowódcą Kurdów. Kiedy dowiedział się o przygotowanej rzezi, poszedł do przyjaciela, odwołał się do prawości jego uczuć i zręcznie schlebiając jego próżności, obiecał mu nagrodę honorową, jeżeli wybawi Mardin od klęski. Tenże dał słowo, że nie pozwoli Kurdom przejść przez wzgórze otaczające miasto. I rzeczywiście, gdy bandy rabusiów zbliżyły się, wyszedł naprzeciwko nim z najwierniejszymi ze swoich stronników i kazał im się oddalić. Kurdowie przerażeni w inną stronę zwrócili swoje krwiożercze zamiary. Miasto zostało ocalone i służyło jako schronienie dla Ormjan z sąsiednich miejscowości. Zakonnik, wywiązując się z przyrzeczenia, wyjednał dla Kurda od rządu francuskiego złoty medal zasługi [1]).

Kapucyni w Indjach w czasie głodu. (1899 r.).

W Indjach angielskich od r. 1899 panował straszny głód, który zdziesiątkował połowę półwyspu. Misja Kapucynów położona jest w okręgu najbardziej doświadczonym od klęski. Cały rok panuje tam temperatura 30—50 stopni, a w ciągu dwóch lat 1899—1900 nie było wcale deszczów. Dla nieprzezornej ludności rok bez deszczu jest to zwiastun klęski głodowej ze wszystkiemi jej okropnościami, chorobami i straszną nędzą. Na 14 miljonów mieszkańców zginęły 4 miljony. W niektórych górzystych miejscowościach 40—60 procent ludu śmierć zabrała. Z dziesięciu miljonów pozostałych dwie trzecie były zupełnie na opiece rządu lub misjonarzy europejskich.

W czasie tych nieszczęść OO. Kapucyni nie oszczędzali ani swego poświęcenia, ani swoich osób. Wszystkie środki, jakie tylko byli w stanie zgromadzić, zostały obrócone na zakup ryżu dla zgłodniałych, na zakładanie ochron dla opuszczonych dzieci i na urządzenie wielkiego szpitala. Mieli oni tysiąc dzieci na swojem całkowitem utrzymaniu. Niestety, dwa nowe ciosy wymierzone z zewnątrz przerzedziły tę sporą garstkę, mianowicie ospa i cholera. Misjonarze podwoili starań i zdołali uratować większą część dzieci, ale nie obyło się bez ciężkich ofiar i bez narażenia własnego życia. Dwaj misjonarze i siedem sióstr padło ofiarą zarazy. Inni, choć uniknęli śmierci, przypłacili to ciężką chorobą, z której prawie cudownie powstali [2]).

Augustyn z Taddża (Taggia). (1908 r.).

Podczas cholery we Włoszech w r. 1854, Augustyn z Taggia był jednocześnie spowiednikiem, lekarzem i grabarzem. Nie szczędząc trudów i umęczenia, zajmował się nadto sierotami, a tych, co byli jeszcze zdrowi, starał się rozerwać, aby podnieść ich odwagę. W dowód uznania jego zasług ofiarowano mu medal pamiątkowy [3]).

[1]) Les Capucins français... [2]) Ibidem. [3]) Le Petit Messager de St. François 1909.

Jerzy z Genui. (1908 r.).

Taką samą nagrodę od władz miejskich Nowary i Genui otrzymał brat Jerzy. Kiedy w r. 1850 cholera grasowała w Nowarze, zamknął się on w szpitalu cholerycznym i nie wyszedł stamtąd, dopóki klęska nie przeszła. Podobnież uczynił w Spezia w r. 1884, a gdy nieszczęście zażegnano, udał się do szpitala S. Andrzeja w Genui. Obydwa te miasta przysłały mu pamiątkę: pierwsze—medal złoty, a drugie — bronzowy [1]).

Fryderyk z Lesmo. (1909 r.).

Zmarły niedawno w 80 roku życia świątobliwy Kapucyn, spędził 54 lata w szpitalach na posłudze miłości i poświęcenia się chorym. Szpitale główny i wojskowy w Medjolanie, szpital w Kremonie i Bergamo, gdzie spędził całe lat 35, cieszyły się jego pracą i obecnością, która zaprowadziła pokój i jedność w otoczeniu. Gdy ten bohater, sterany wiekiem, chciał się usunąć do klasztoru, zarząd szpitala uznał to za rzecz niepodobną, ze względu na dobro chorych. Zjednał on sobie tak bardzo serca wszystkich lekarzy, że gdy jeden z nich, mając ważną sprawę, wsiadał do wagonu, a powiedziano mu o chorobie słynnego Kapucyna, rzucił bilet na ziemię, mówiąc: „Niech się dzieje, co chce, rzucam wszystko, aby ratować O. Fryderyka!“ [2]).

Brat Salwator.

Brat Salwator z narażeniem własnego życia uratował nieszczęśliwą kobietę podczas ostatniego trzęsienia ziemi w Messynie. Wisiała ona głową na dół z trzeciego piętra, opierając się rękami na kawałku muru, który co chwila groził oberwaniem się, a nogi jej były ściśnięte ogromnemi kamieniami. W tak strasznej pozycji zostawała już pięć godzin, wydając rozpaczliwe krzyki. Przechodnie patrzyli na nią z politowaniem, ale nikt, nawet żaden z żołnierzy nie odważył się iść jej na pomoc, gdyż było to narażać się na śmierć. Wówczas brat Salwator przystawił drabinę i pomimo, że obecni chcieli go odwieść od tego, śmiało wszedł na nią i po półgodzinnej ciężkiej pracy spuścił się na dół razem z nieszczęśliwą kobietą. Powitano go okrzykami: „Niech żyje bohater!“ [3]).

Marja Bernard z Cahors (Kahor).

Jest to misjonarz z prowincji Tuluskiej Kapucynów, poseł Menelika, cesarza Abisynji i wielki dobroczyńca trędowatych tego kraju. Przybywszy tam na misję, założył dla nich dwie wioski, każda po 20 chatek, krytych słomą, prostych, ale czyściutkich. W każdej chacie mieszkają trzy osoby dotknięte trądem i same, o ile mogą, przyprawiają sobie posiłek, prowadząc swoje maleńkie gospodarstwo, zaś misjonarze dostarczają im żywności i wszelkiej, jakiej im trzeba pomocy. W środku pomiędzy dwiema wsiami stoi chata O. Marji Bernarda, składająca się z sali przyjęć i z wielkiej izby, służącej jednocześnie za aptekę i salę operacyjną. Codzień widzieć tam można zacnego Kapucyna, otoczonego tłumem tych nieszczęśliwych ofiar strasznej choroby: obwija on ich rany, przykłada maści, bandaże. Oprócz trędowatych z kolonji, więcej niż stu chorych otrzymuje od niego bezpłatną pomoc lekarską. O. Marja-Bernard poświęca się swojemu dziełu z zapałem i pragnie gorąco wynaleźć środek—roślinę, która ma leczyć trąd. W lecie 1909 r. przeszło 50-iu mahometan trędowatych, zbudowanych tym heroizmem, poprosiło o Chrzest św. i od tego czasu zachowują się jak prawdziwi chrześcijanie. Szpital rozwija się i chorzy się garną, bo mają troskliwą i rozumną opiekę. O. Bernardowi pomagają Franciszkanki z Calais (Kale) [1]).

Diego-Józef z Manrezy.

Kilka lat temu młody Kapucyn, Diego-Józef z Manrezy wsławił się niezwykłem poświęceniem. Mając jechać do Abissynji w charakterze misjonarza trędowatych, uczył się w szpitalu chirurgicznym w Burgos sztuki lekarskiej, jak obwijać rany, układać bandaże, jakich używać środków przeciw zakażeniu krwi i t. p. a z tego powodu często można go tam było zastać. Pewnego dnia udał się on do szpitala z jednym ze starszych Ojców, któremu trzeba było uciąć palec u nogi. Leżała tam od kilku dni mała dzieweczka, poparzona na całem ciele. Zakonnicy słyszeli o niej, że tak ciężkie ma rany, iż musi umrzeć, zapytali więc, jak się miewa, i dowiedzieli się, że według zdania doktora, jest bez nadziei, chyba, że ktoś zdrowy ofiaruje kawałki swego ciała i te jej poprzyszywają. Myślano, że na tę bolesną operację odda się ojciec biednego dziecka, ale był to człowiek prosty, pozbawiony szlachetniejszych uczuć, więc się wymówił. Matka dziewczątka chciała jak najgoręcej ponieść tę mękę, ale że karmiła dwoje mniejszych niemowląt, lekarze na to nie pozwolili. Dziecko więc było skazane na śmierć, bo ciało nie mogło szybko odrosnąć i gangrena była nieunikniona. Słysząc to, obaj zakonnicy: starszy

[1]) Ibidem, [2]) Ibidem. [3]) Ibidem.

[1]) Ibidem 1910,

i młodszy, oświadczyli się z chęcią poniesienia wszystkiego, by tylko uratować biedną dzieweczkę. Chirurg z początku przyjął to za żart, ale gdy dwaj kapłani prześcigali się wzajemnie, aby go przekonać, iż poważnie tę rzecz traktują, rzekł do starszego: „Ciało Wielebnego Ojca nie może oddać usługi, o jaką tu chodzi, bo jest za stare, więc niech O. Diego-Józef pozwoli sobie wyciąć 24 kawałki, t. j. tyle, ile mi właśnie potrzeba". — „„Dobrze, odpowiedział młodszy; wybieram się na misję do Gallasów, gdzie może czeka mnie męczeństwo, chętnie przeto skorzystam z dobrej okazji, aby wziąć pierwszą jego lekcję", a mówiąc to, zrzucił prędko habit i dodał: „kraj, panie doktorze!" i nie jęknąwszy nawet, patrzał, jak mu wycinano 24 kawałki ciała powyżej pasa. Każdy kawałek miał objętość prawie rubla srebrnego. Dwadzieścia cztery razy cieniutkie szczypce wyrywały mu skórę, którą natychmiast nożyczki odcinały; za ostatniem nacięciem Diego-Józef nie czuł już pulsu. Po skończeniu operacji obwiązano mu rany i bohater miłości bliźniego ubrał się, prosząc doktora o najgłębszy sekret. Skóra zakonnika przyjęła się doskonale: kawałki przyrosły i dziecko ocalało. Ale doktór sekretu nie dotrzymał i wkrótce całe miasto uwielbiało poświęcenie O. Diego-Józefa; nawet prasa hiszpańska, nie wyłączając dzienników wolnomyślnych, tak zwykle wrogich zakonom, opisywała i wynosiła ten wypadek, a jedno pismo bezwyznaniowe zażądało orderu dla Kapucyna. Po przeprowadzeniu sprawy przysłano rzeczywiście Ojcu Diego order Wielkiego Krzyża, tak zwany Dobroczynności, najzaszczytniejszy z krzyżów, jakie rząd rozdaje, ponieważ trzeba nań osobiście zasłużyć [1]).

Polscy Bracia Mniejsi Reformaci.

Bernard Górski. (1652 r.).

W czasie grasującego powietrza w Stopnicy, gdy i klasztor Reformatów pełen był chorych, O. Bernard, ówczesny jego gwardjan, litując się nad zleconą sobie trzódką, która z każdym niemal dniem malała, wołał do Boga z królem-prorokiem: „Panie, te owieczki, bracia moi, cóż zawinili? Jam zgrzeszył, jam nieprawość popełnił, zmiłuj się nademną". A to mówiąc, usługiwał im z wielką miłością, nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo, aż się zaraził. Uczuwszy jad w członkach, przyjął Sakramenta ŚŚ. i pobożnie gotował się na śmierć.

[1]) Ibidem. [2]) Matka ŚŚ. Polska. T. IV, 29 listop.

Marcelin Borek. (1652 r.).

Ten przykładny zakonnik marzył zawsze, aby coś wielkiego dla Boga i bliźnich uczynić. Kiedy więc pojawiła się zaraza w Kazimierzu i padło już kilku braci obsługujących, a między nimi O. Gabryel, 70-letni starzec, gwardjan poznański, Marcelin poszedł tam skwapliwie i przeszło siedem miesięcy sam jeden tylko służył zapowietrzonym, bo wszyscy księża wymarli: spowiadał, roznosił Komunję Św., pocieszał, karmił, przysposabiał do wieczności, grzebał nieboszczyków. Snać zarobił tem sobie na nagrodę niebieską, gdyż, rozchorowawszy się z zarazy, umarł opłakiwany przez miejscową ludność [1]).

Anioł ze Stopnicy. (1653 r.).

Braciszek klasztorny, Anioł ze Stopnicy, budował wszystkich swojemi cnotami. Jaśniała w nim szczególniej czystość, głęboka pokora, ubóstwo seraficke i wielka miłość bliźniego. Chorym braciom służył jak najchętniej i najuprzejmiej, zwłaszcza gdy plaga powietrzna zaczęła trapić miasto Kazimierz, a synowie Ś. Franciszka, poświęcający się dla zarażonych, sami się rozchorowali. W końcu przyszła kolej i na niego. Przeczuwając swój blizki zgon, przyjął Wjatyk Św., a potem prosił, aby go zaprowadzono do kościoła przed Najśw. Sakrament, gdzie, odmówiwszy sześć Ojcze nasz i sześć Zdrowaś Marja dla dostąpienia odpustu, wrócił na łóżko i oddał duszę swą Bogu r. 1653 [2]).

Franciszek i Felicjan Rościszewscy. (1657 r.).

Franciszek Rościszewski, będąc na świecie, zdobył sobie sławę mężnego rycerza tak w wojsku polskiem, jak i w szwedzkiem. Zważywszy jednak, że nie dla honorów, ale dla nieba został stworzony, zwolnił się ze służby wojskowej i wstąpił do zakonu Reformatów. Niezadługo bracia obrali go na gwardjana klasztoru pułtuskiego, gdzie też i życie położył w r. 1657. Gdy bowiem wybuchła zaraza, on, który przedtem dla próżnej sławy się narażał, teraz postanowił oddać się dla miłości dusz ludzkich. Obchodził tedy domy, opatrywał Sakramentami chorych, służył im, dopóki tylko mógł, to jest dopóki sam nie padł ofiarą swego poświęcenia.

W tej samej pracy odznaczył się brat jego ze krwi i ducha, Felicjan Rościszewski, który z trzema innymi zakonnikami obiegał w r. 1652 okolice Wieliczki, nawiedzone tąż klęską. Lecz

[1]) Tamże, 5 grudzień [2]) Tamże, 6 grudnia.

jakkolwiek nie oszczędzał się, podobało się Bogu zostawić go zdrowym [1]).

Cezary Pszonka. (1705 r.).

Cezary Pszonka, urodzony w województwie Lubelskiem, spokrewniony z domem Tarłów i Zamojskich, bogaty i zdolny, mając przed sobą utorowaną drogę do świeckich godności, wzgardził tem wszystkiem i zapukał do klasztoru Ś. Franciszka w prowincji Małopolskiej. Tam od pierwszej chwili swego powołania świecił przykładem cnót doskonałych. Cenili go też bracia, wkładając nań różne obowiązki, jak mistrza nowicjuszów, gwardjana, definitora. Tymczasem Polskę nawiedziła śmiertelność: niektóre wsie i miasta straciły już swoich kapłanów i nie było komu spowiadać i nosić Sakramenta ŚŚ. Cezary prosił Prowincjała o pozwolenie udania się do Staszowa w Sandomierskiem, gdzie już nie było ani jednego księdza do obsługi chorych. Opierał się temu Prowincjał, uważając, jak wielkiego członka straciłby zakon w Cezarym, lecz gdy on ciągle ponawiał swą prośbę, otrzymał wreszcie to, czego pragnął i przybrawszy sobie za socjusza brata Józefa Hotyńskiego, poszedł na tę placówkę niechybnej śmierci. Dniem i nocą służył zarażonym, już to słuchając spowiedzi, już opatrując ich ŚŚ. Sakramentami, już grzebiąc ich ciała własną ręką, już żebrząc dla nich w potrzebie. We wrześniu odumarł go nieodłączny towarzysz, Cezary więc sam już dalej pracował, aż wreszcie i on uczuł jad i musiał się położyć. Śmierć jego zaszła w 1705 r.; liczył on wówczas 44 lata, a zakonnych 26. Ciało spoczęło w grobowcu Opalińskich w kościele farnym w Staszowie, a w zakrystji z wielką czcią przechowuje się płaszcz Cezarego. O jego cnotach do dzisiaj wspominają tamtejsi mieszkańcy [2]).

Cyprjan Kierkorowicz i Atanazy Wsołkowski (1705 r.).

Zakonnicy ci złączeni byli ze sobą i miłością braterską i pracą, i poświęceniem, i śmiercią, więc też i tutaj ich nie rozdzielamy. Pierwszy, Ormjanin, Cyprjan Kierkorowicz, od dzieciństwa okazywał wielkie pragnienie doskonałości, a doszedłszy do lat, chciał wstąpić do Reformatów, ale odmówiono mu przyjęcia, bez wiedzy bowiem Stolicy Apostolskiej Ormjanie nie mieli wstępu do zakonów łacińskich. Udał się więc Cyprjan do Rzymu i wyrobił sobie potrzebne pozwolenie od Inocentego XI, a wróciwszy do ojczyzny, otrzymał habit Ś. Franciszka i rozpoczął nowe życie. Naprzód pracował wyłącznie nad udoskonaleniem samego siebie, później głosił z wielkim pożytkiem kazania. Ale to mu nie wystarczało: chciał czynić coś więcej jeszcze dla bliźnich, których serdecznie miłował. To też, gdy w 1705 r. wybuchła epidemja w Jarosławiu, razem z Atanazym Wsołkowskim poszedł opatrywać chorych i nieść im pomoc duchowną. Obydwaj pracowali niezmordowanie, zaopatrując, o ile tylko się dało, najdrobniejsze potrzeby biedaków, żebrząc dla nich u bogatszych i pobudzając tych ostatnich do litości nad umierającymi z głodu i z zarazy. Wynosili chorych na pola i tam sami stawiali im chatki z chrustu i słomy, myli ich, opatrywali wrzody, prześcielali łóżka, grzebali zmarłych, aż w końcu, zaraziwszy się, padli ofiarą swego poświęcenia, o cztery dni tylko jeden drugiego wyprzedzając. Gdy ciała tych męczenników miłości chrześcijańskiej, wyniszczone pracą, zimnem, głodem, niewywczasem, wieziono przez ulice miasta, wszędzie rozlegał się jęk żalu i prośba, aby wyjednali u Boga odwrócenie klęski. Jakoż nie próżne były nadzieje: zaraza wkrótce ustała. Zwłoki obu mężów, pochowane w ogrodzie niedaleko klasztoru, poszły z czasem w zapomnienie, aż gdy w r. 1734 rycerstwo polskie, zostające w Jarosławiu pod komendą Józefa Potockiego, wojewody Kijowskiego i regimentarza wojsk koronnych, kopało nową studnię, znaleźli ciało Cyprjana w habicie i pasku, nietknięte od zgnilizny, przeniesiono je więc do grobów kościelnych [1]).

Juljan Zgora. (1706 r.).

W roku 1706 takież bezkrwawe męczeństwo z miłości ku bliźnim poniósł świątobliwy Juljan Zgora, Reformat przemyski. Będąc kaznodzieją w tem mieście, skoro ludzie zaczęli słabnąć i padać, ofiarował się na ich usługi. Była to nielada praca, bo zarażonych wywożono za miasto, więc musiał znieść i niewygodę, i zimno, i głód i oprócz udzielania Sakramentów ŚŚ. pamiętać o żywności dla tych biedaków. Wreszcie, zaraziwszy się, przeszedł do lepszego żywota. Ponieważ pomagał duchowieństwu katedralnemu, zatem pochowano go w katedrze przemyskiej [2]).

Wenanty Skomorowski. (1711 r.).

Kiedy cały Lublin nawiedziła morowa zaraza, Reformat ten wraz z towarzyszem swoim, Jó-

[1]) Tamże, 2 listop. i 21 marca. [2]) Tamże, 3 paźdz.

[1]) Tamże, 20 listopada [2]) Tamże, 14 listop.

zefem Wierzbickim, oświadczyli, że jak najchętniej będą służyć swoją pomocą chorym. Przez trzy lata niezmordowanie pracując, O. Wenanty trzymał się takiego rozkładu dnia: po obiedzie spowiadał zapowietrzonych i przygotowywał do szczęśliwej śmierci, zrana zaś po Mszy św. chodził po domach, chatach, szałasach, budach, rozdając Najśw. Sakrament. Straciwszy towarzysza pracy i czując, że i jego ostatnia chwila się zbliża, przyszedł do wrót klasztoru, poprosił gwardjana i przez drzwi odprawił przed nim spowiedź generalną. Kiedy zaś, pożegnawszy go, wracał do mieszkania swego, ukląkł przy kościele Jezuitów i tu oddał swą duszę Bogu w r. 1711. Natychmiast rozległy się dzwony we wszystkich kościołach, co zdziwiło pewnego zacnego człowieka, gdyż wówczas głucho było w mieście. Że zaś najpierw zaczęto dzwonić u Jezuitów, pobiegł tam i znalazł na progu świątyni umarłego Reformata. Wezwał przeto kilku ludzi, którzy zanieśli go na cmentarz i płacząc pochowali. Modlitwy jego musiały być skuteczne, skoro po nim nikt więcej nie umarł z zarazy, gdy więc powietrze znikło, ludność Lublina jemu tę łaskę przypisała [1]).

Jaki jest obecny stan świata pod względem miłości?

Spełnia się dzisiaj na świecie, co przepowiedział Apostoł, że w tych czasach będą ludzie sami siebie miłujący, czyli że wygaśnie chrześcijańska miłość bliźniego i poświęcenie dla drugich. I nie mogło być inaczej, skoro wygasło jedyne źródło tego poświęcenia. Cóż bowiem może pobudzić do wszelkich ofiar, jeżeli nie miłość Boża? Ta myśl, że człowiek jest obrazem Boga, którego miłujemy i który dla nas poświęcił się na śmierć krzyżową, że jest przedmiotem miłości Bożej i że to, co się komukolwiek uczyni, Bóg przyjmie jakby Jemu Samemu było uczynione—jest to jedyna pobudka, zdolna skłonić do wielkich poświęceń. Ona prowadzi do łoża zapowietrzonego i do dzikich pogan z narażeniem się na męczeństwo, ona czyni wytrwałym w długich i ciężkich posługach, odpłacanych niewdzięcznością i złorzeczeniem. Jeżeli miłujemy Boga serdecznie, wnet się czujemy gotowi do poświęceń dla naszych bliźnich. Byłaby wielce podejrzaną taka miłość Boga, którąby się mogła pogodzić z obojętnością na cierpienia ludzi i nie pobudzała do poświęcenia się dla nich. Dlatego słusznie przestrzega Apostoł: że kto mówi, iż miłuje Boga, a nie miłuje bliźniego, kłamcą jest.

[1]) Tamże, T. III, 21 września.

Jakie jest dziś zadanie synów Franciszka wśród świata żyjących?

Jak Ś. Franciszek założył sobie powrót do miłości pierwszych chrześcijan, tak i jego naśladowcy winni sobie dzisiaj ten cel zakładać. Duch pierwszych chrześcijan był duchem miłości. „Bóg", rzekł Apostoł do Tymoteusza, „nie dał nam ducha bojaźni, lecz ducha mocy i miłości". Zanim jednak przyjdziemy do tej doskonałej miłości i zanim się nam nastręczy sposobność do spełnienia wielkich poświęceń, starajmy się naprzód ćwiczyć w tej miłości względem domowników naszych przez chętne usługiwanie im w chorobie i w innych potrzebach, przez ustępowanie swego zdania, i swego miejsca, i swoich rzeczy, przez znoszenie mężne cudzych wad, charakterów i chorobliwych drażliwości, przez podzielanie cudzych kłopotów i wyręczanie w zajęciach. A jeżeli nabędziemy w tem świętego nałogu, będziemy mogli przyznać sobie, że rządzimy się duchem miłości i poświęcenia, i że gdy przyjdzie okazja do większych ofiar, znajdzie nas gotowymi do takowych.

Zgromadzanie się według reguły.

Otwórzmy „Dzieje Apostolskie", patrzmy jak pierwsi chrześcijanie praktykują miłość, nieznaną poganom. Wszyscy wierzący zgromadzali się w pewnych umówionych godzinach na słuchanie słowa Bożego, na modlitwę i Komunję Św. Naśladowcy Franciszka i w tem powinni ich naśladować. Szczególniej wiernie przychodzić mają na zgromadzenia miesięczne, również jak na umówione nabożeństwa; Msze św., wspólne Komunje, rekolekcje i t. p. Niech też zbierają się na pogrzeby braci i sióstr, niech, o ile można, wszyscy ten przepis spełniają, bogaci i ubodzy. Wielką tem miłość okażą duszom czyścowym, będą zbudowaniem dla swych parafji, zacieśnią węzeł wspólnego braterskiego zjednoczenia, jak pierwsi chrześcijanie, o których miłości księgi święte mówią, iż mieli jedną duszę i jedno serce. Tym sposobem nietylko za życia, ale i po śmierci będą jakby żywą nauką i zbudowaniem. Przy umarłym dzień i noc niech czuwają bracia i siostry, niech wszyscy mu towarzyszą do grobu, czem wszystkich mieszkańców za sobą pociągną. Gdy trumnę spuszczają do dołu, a wszyscy modlą się klęcząc z podniesionemi rękami, publiczność odchodzi wzruszona i zbudowana temi oznakami wspólnej miłości. W pewnem miasteczku zgromadzenie złożyło się po większej części z zamożniejszych osób. Wkrótce umarła uboga tercjarka szwaczka. Nazajutrz ujrzano wokoło jej trumny wiele pań z najwyższego towarzystwa. Oto „prawdziwe braterstwo" powta-

rzano, patrząc na te oznaki prawdziwie chrześcijańskiej miłości.

Uczynki miłosierdzia.

Lecz idźmy krok w krok za świętym tekstem: „Sprzedawali posiadłości i dobra swoje, i rozdzielali wartość ich pomiędzy wszystkich, według potrzeby każdego". Naśladowca Franciszka w świecie żyjący nie jest obowiązany do tak wzniosłego wyzucia się ze wszelkiej własności, jak ścisły zakonnik. Lecz, o ile można, powinien być hojny na miłosierne uczynki. Co miesiąc podczas zebrania powinien składać ofiarę na wspólne potrzeby stowarzyszenia i dla ubogich. Niech pamięta na słowa Ś. Pawła: „Kto sieje skąpo, skąpo też żąć będzie; kto zaś sieje obficie, w błogosławieństwie zbierać będzie". Niech każdy daje, co postanowił w sercu swojem, nie z musu i ze smutkiem, gdyż ochotnego dawcę Bóg miłuje.

Rozbierzmy te słowa: „Według potrzeby każdego". Uporządkujmy nasze ofiary, czyńmy je rozumnie, wiedzmy, komu je dajemy, szczególniej, gdy czynimy jałmużnę obcym. Wiedzmy jednak, że co do dawania jałmużny, lepiej jest zbytkiem, niż skąpstwem grzeszyć. Pierwsi chrześcijanie rzucili w świat to ziarno miłosierdzia dla wszelkiej nędzy ludzkiej, dla wszelkiego nieszczęścia i niedostatku. I to ziarno, padając jak woda po kropli na twardy kamień, wykształciło obyczaje towarzyskie i zmieniło pojęcia społeczne.

O wspólnej miłości.

W pierwszej swej regule Seraficki Ojciec mówi do Braci Mniejszych: „Zalecam i nakazuję Braciom, aby nie pogardzali i nie przesądzali osób, ubierających się w zbytkowne szaty i barwne stroje, albo wymyślnych w jedzeniu i piciu, lecz niech każdy sam siebie sądzi i sobą gardzi". To też i Bracia pokutujący wystrzegać się mają lekceważenia i przesądzania innych osób i stowarzyszeń, istniejących poza obrębem swego zakonu, ich zwyczajów, praktyk, sposobów działania. Byłby to przewrót prawdziwy, gdyby bracia, obowiązani do pokory, prostoty, miłości, pierwsi byli przestępcami tych cnót, przywłaszczając sobie tytułem „pokutujących" prawo sądzenia innych i wynoszenia się ponad drugich. Byłoby to istne naśladowanie faryzeusza, który mówił, że on nie taki, jak inni ludzie i którego pychę Ewangelja Ś. tak żywo skreśliła na nieśmiertelnych swych kartach. Św. O. Franciszek w pierwszej regule tego zakonu najbardziej zaleca miłość wspólną. Z dwudziestu rozdziałów, które ją składają, siedm określa obowiązki tej cnoty, która jest związką nieodzowną wszystkich cnót życia chrześcijańskiego i zakonnego, a której brak tylu upadków i błędów jest przyczyną. Święty Ojciec wymaga, aby unikano procesów, kłótni, aby wszelkie nieporozumienia między braćmi przyjaźnie się załatwiały i dlatego głównie przepisuje wizytowanie zgromadzeń lub obecność od czasu do czasu na kongregacjach przełożonych franciszkańskich, którzyby o wszelkich niezgodach Wizytatora zawiadamiali, i takowe jego władzą i powagą załatwiali i rozstrzygali. Lecz ta miłość i zgoda nietylko między członkami tego zakonu zachowaną być powinna. Wszędzie gdzie zajdą waśnie, nienawiści, bracia pracować powinni nad zjednoczeniem serc. „Błogosławieni pokój czyniący, mówi Pismo Święte, albowiem synami Bożymi nazwani będą".

Duch miłości.

Święty Franciszek seraficzną miłością swoją zelektryzował, że się tak wyrazimy, wiek XIII, rozbudził w nim świętą gorliwość i zapał do chrześcijańskich poświęceń. Ta iskra świętego zapału, w świat rzucona, w różnych epokach większym wybuchała płomieniem. Samego zaś Świętego Ojca tak pożerała, iż potrzykroć pragnął, choć daremnie, śmierci męczeńskiej, marząc, aby to nasienie krwi jego wydało plon chwały dla Boga i Kościoła i przyczyniło się do zbawienia dusz.

O, Boże, wróć społeczeństwu naszemu przez Ś. Franciszka ducha miłości! ożyw nas duchem pierwotnego Kościoła, a odnowi się oblicze ziemi! Co zaś do każdego z nas — nie oddawajmy się czczym i bezpożytecznym narzekaniom na złe czasy, ani wytwarzaniem wzniosłych teorji, których nigdy sami nie wprowadzimy w życie.

Pewien rycerz hiszpański rozmawiał ze Ś. Piotrem z Alkantary, użalając się niezmiernie na złe czasy. „Mój przyjacielu, rzekł mu mąż Boży z roztropnością właściwą Świętym, jesteś ojcem rodziny, panem domu, pilnuj, aby u ciebie prawo miłości zachowane było doskonale, wpływaj na to podwójną siłą władzy i dobrego przykładu. A ponieważ z rodzin składa się społeczeństwo, niech przeto rodziny się uświęcają, a świat będzie zbawiony".

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej.

Poświęcenie dla bliźnich powinno z miłości Bożej pochodzić.

Jedna i ta sama miłość teologiczna, która wiedzie do kochania Boga, prowadzi i do kochania bliźnich, bo Pismo Święte mówi: „To rozkazanie

mamy od Boga: aby który miłuje Boga, miłował i brata swego“ [1]). Przyczynę zaś i sposób kochania bliźniego wskazuje Ś. Tomasz [2]). „Przyczyna, dla której powinniśmy kochać innych, jest ta, że są nam blizcy i według naturalnego obrazu Boga i według możności wiecznej chwały. Sposób zaś — że powinniśmy kochać bliźniego dla Boga, gdyż i siebie samych dla Boga miłować mamy“. To znaczy, że winniśmy z bliźnimi naszymi się zgadzać nie w złem, ale w dobrem, i nie dla naszego pożytku i pociechy, lecz dla wspólnego dobra wszystkich, która to miłość i na nieprzyjaciół rozciągać się powinna.

Znaczniejsze części miłości bliźniego.

Części tych jest trzy: życzliwość, dobroczynność i miłosierdzie. Życzliwość, o ile jest w porządku nadprzyrodzonym, nie odróżnia się od miłości; dobroczynność pochodzi z życzliwości, a zatem i z miłości; więc tylko miłosierdzie, nie o ile jest ubolewaniem nad cudzą nędzą, lecz o ile jest niezadowoleniem z niej i pobudką rozumu do jej wspomagania, stanowi szczególną cnotę. Aktem miłosierdzia jest jałmużna. Są zaś jałmużny duchowe lub materjalne. Duchowych jest siedm: 1. Nieumiejętnych nauczać. 2. Wątpiącym dobrze radzić. 3. Smutnych cieszyć. 4. Błądzących napominać. 5. Urazy chętnie darować. 6. Cudze wady cierpliwie znosić. 7. Modlić się za żywych i umarłych. Względem ciała również jest siedm: 1. Łaknącego napoić. 3. Nagiego przyodziać. 4. Podróżnego w dom przyjąć. 5. Chorego nawiedzać. 6. Więźniów wykupywać. 7. Umarłych grzebać.

Miłość bliźniego potrzebna jest do postępu.

Chcąc postępować w duchu miłości Bożej, ćwiczyć się trzeba w miłości bliźniego. Pismo Św. po przykazaniu miłości Boga mówi: „A które podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego jako samego siebie“ [3]). Owszem, często w Piśmie Świętem jak sama miłość Boża, tak też i miłość bliźniego przedstawianą jest jakby zbiór wszystkich przykazań. „To rozkazanie mamy od Boga: aby który miłuje Boga, miłował i brata swego“ [4]). „Kto miłuje bliźniego, zakon wypełnił“ [5]). I Ś. Hieronim przytacza tłumaczenie Ś. Jana, dlaczego ciągle do miłości wzajemnej uczniów nakłaniał: „Ponieważ Pańskie przykazanie jest i gdyby ono samo tylko było, wystarczyłoby — wszelkie bowiem prawo w tem jednem słowie się wypełnia: Kochaj bliźniego, jak siebie samego, i gdy to wypełnicie, całe prawo zachowacie“ [1]). Ś. Augustyn twierdzi, że jak miłość Boska potrzebna jest do postępu, tak i miłość bliźniego, bez której miłość Boża utrzymać się nie może. Mówi także Mistrz Awila, że Bóg nic nie daje, żeby nie żądał wzajemności; nie dla siebie, gdyż jest najbogatszy i co daje, darmo daje, ale domaga się wzajemności względem bliźnich, bo co się im czyni, Jemu się czyni [2]).

Akty heroiczne miłości bliźniego.

1. Cieszyć się z dóbr bliźnim przez Boga użyczonych i z ich dobrych uczynków.
2. Smucić się z nieszczęść bliźniego tak duchownych, jak doczesnych.
3. Modlić się za wszystkich, nawet za nieprzyjaciół.
4. Dla ich zbawienia ofiarować się na ciężkie rzeczy, nawet na śmierć.
5. Wykonywać uczynki miłosierne tak względem duszy, jak względem ciała. Te i inne tego rodzaju uczynki, jeżeli będą z zamiłowaniem, prędko, łatwo, ochoczo i często wykonywane, mogą być znakami heroicznej miłości, która przedewszystkiem polega na wielkiej gorliwości o dusze, na służeniu chorym, na obfitych jałmużnach, na zakładaniu szpitali, szkół dla dzieci i t. p. [3]).

Zachęta do porządnej miłości względem bliźnich.

Niechże miłość nasza ku Bogu będzie nietylko uczuciową, to jest mającą szczególniej Boga na względzie, ale i skuteczną, czyli dotyczącą więcej bliźnich i nas samych. Gorliwość bowiem o dusze tak o swoją, jak o innych jest najszczególniejszym skutkiem, znakiem i dowodem prawdziwej miłości Bożej. Ale gorliwość nie powinna być nieporządną, a byłaby taką, gdyby ktoś ze zbytniego pragnienia być użytecznym dla innych, w postępie swoim własnym miał ostygnąć. A więc i miłość winna być porządną, według tych słów Pieśni: „Rozrządził we mnie miłość“ [4]). Zdaniem Ś. Tomasza z Wilanowy, miłość, jeżeli nie jest porządną, przestaje być miłością. Porządek miłości ten jest, żebyśmy kochali Boga nadewszystko, siebie po Bogu, a następnie bliźniego. Bliźniego jak siebie samego, a nie więcej niż siebie [5]). Zakończmy ze Ś. Chryzostomem: „Mając Boga tak miłosiernego, tak łaskawego, tak cichego, zarówno o swoje, jak o braci naszych

[1]) I Joan. 4, 21. [2]) 2, 2. q. 44, a. 7. [3]) Matth. 22. 39. [4]) I Joan. 4. 21. [5]) Rom. 13. 8.

[1]) Comment. ad. Galat. [2]) In Audi, filia, c. 96. [3]) Vide Bened. XIV, de Serv. Dei beatif., c. 23. [4]) Cant. 2, 4. [5]) Expos. in Cant.

dbajmy zbawienie. Boć to będzie przyczyną naszego zbawienia, jeżeli nietylko o nas samych, ale i o bliźnich byliśmy troskliwymi [1]).

O przyjaźni.

Święty Franciszek, pałając duchem miłości i poświęcenia dla bliźnich, nie zaniedbywał tejże miłości między braćmi. Ogarniał wszystkich miłością serdeczną, gotową do wszystkich poświęceń, ale względem niektórych okazywał ją w sposób wyjątkowy. Ponieważ jest to jeden z ważniejszych przedmiotów, które zajmują teologów mistycznych, dlatego przytaczamy odpowiednie do tego uwagi.

Przyjaźń dobra godna jest szacunku.

Przyjaźń dobra, pobudzająca do postępu duchownego i chrześcijańskiej doskonałości, godna jest pochwały i nawet w zakonie może się praktykować.

1. Pismo Święte mówi: „Przyjaciel wierny jest mocną obroną, a kto go znalazł, skarb nalazł“ [2]) i „Przyjaciel wierny — lekarstwo żywota i nieśmiertelności: a którzy się boją Pana, najdą go [3]). Z mężem świętym bądź ustawicznym, któregokolwiek poznasz, iż zachowywa bojaźń Bożą“ [4]). I w psalmie: „Oto jako dobra, a jako wdzięczna rzecz mieszkać braci społem [5]). Lepiej tedy dwiema być społem niż jednemu: albowiem mają pożytek z swego towarzystwa“ [6]). Sam Chrystus w szczególny sposób umiłował Ś. Jana: „Był tedy jeden z uczniów jego siedzący na łonie Jezusowem, którego miłował Jezus“ [7]). „W pierwotnym Kościele mnóstwa wierzących było serce jedno i dusza jedna: ani żaden z nich to, co miał, swem nazywał, ale było im wszystko wspólne“ [8]). Do dwóch uczniów, idących do Emaus, przyłączył się sam Zbawiciel [9]). I posyłał po dwóch przed sobą [10]) i mówił: „Gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest w pośrodku ich“ [11]).

2. To samo i Ojcowie Kościoła, np. Ś. Bazyli: „W każdym klasztorze, pisze on, chociaż dla wszystkich należy mieć miłość, ale którzy są nam użyteczniejsi, tym większą cześć oddawać się winno“. Czego sam dowiódł przykładem swoim i szczególną przyjaźnią ze Ś. Grzegorzem Nazjanzeńskim, a o czem tenże Ś. Grzegorz świadczy, iż jedna w obydwóch dusza być się zdawała [12]). Ś. Bonawentura taką poufałą przyjaźń między niewielu przypuszcza [1]). Ś. Wawrzyniec Justiniani zaś ostrzega: „Umiarkowanie, skromnie i w swoim czasie z tymi, którzy cnotliwie żyją, przestawać należy, aby od nich sposobu życia się nauczyć, a przybrać obyczaje, obudzić ducha, zapalać miłość, zwyciężać gnuśność, usuwać smutek i aby ludzkie usposobienie ożywione być mogło. Gdy bowiem człowiek towarzyskiej jest natury i lubi żyć z innymi, tak więc roztropnie tego używać należy, aby natura miała stąd ożywienie i duch nie cierpiał upadku [2]). Ś. Teresa po odpowiedzi odebranej od Boga: „Chcę, abyś odtąd nie przestawała z ludem, tylko z Aniołami“, nie zaniechała wszelkiej przyjaźni, lecz ją oczyściła: „Nigdy od tego czasu nie mogłam zawiązać przyjaźni, ani doznać pociechy, ani szczególnej miłości, chyba z osobami, które widziałam pałające miłością Boga i starające się Mu służyć“. I tych przyjaźni świętych chciała, żeby było wiele, szczególniej gdzie są wielkie zgromadzenia [3]). Wreszcie Ś. Franciszek Salezy pisze: „O, Filoteo, wszystkich kochaj wielką miłością, ale przyjaźni nie zawieraj, chyba z tymi, którzy chcieliby znosić się z tobą o rzeczach do cnoty należących i o ile będą wznioślejsze rozmowy, o tyle będzie doskonalszą przyjaźń. Jeżeli twoje wzajemne znoszenie się będzie o miłości, pobożności i doskonałości, o, jakże drogą będzie twoja przyjaźń! Wzniosłą będzie, bo z Boga jest! Wzniosłą, bo Bóg jest jej związką! Wzniosłą, bo na wieki trwać ma z Bogiem. Mówię o przyjaźni duchowej, przez którą dwie lub trzy osoby nawzajem sobie zwierzają swoją pobożność, swoje uczucia duchowne i są jednym duchem między sobą“ [4]).

3. I rozum wskazuje, że przyjaźń prywatna w Panu pomaga do postępu duchownego, a szczególniej do zachowania dwóch przykazań: miłości Boga i bliźnich, jakoteż rady dążenia do doskonałości. Dlatego bowiem tacy przyjaciele się jednoczą, żeby, gdy się doskonale w Bogu miłują, w miłości Bożej przez święte rozmowy i wspólne modlitwy bardziej się zapalali, co jest najdoskonalszą miłością bliźniego, jak siebie samego.

Przyjaźń święta prywatna potrzebna jest dla osób świeckich.

Taka przyjaźń w Bogu między osobami świeckiemi jeszcze bardziej chwalebna jest i pożądana. 1-e. Albowiem oni, jako zewsząd otoczeni nieprzyjaciółmi, więcej potrzebują wiernego przyjaciela,

---

[1]) Hom. 3. in Gen. [2]) Eccli 6, 14. [3]) Ibid 6, 15. [4]) Ibid 37, 15. [5]) Ps. 132, 1. [6]) Eccl. 4, 9. [7]) Joan. 13, 23. [8]) Act. Ap. 4, 32. [9]) Luc. 24. [10]) Ibid. 10. 1. [11]) Matth. 18, 20. [12]) Serm. 20. in Alit. S. Basil n. 29.

[1]) Spec. disc. c. 6. [2]) De disc. claustr. c. 22. [3]) C. 24. Vit. [4]) In via perf. c. 4.

który jest silną obroną, lekarstwem życia i nieśmiertelności [1]). Do nich szczególniej stosuje się ta rada: Z mężem świętym bądź ustawiczny [2]). 2-e. Ś. Ambroży radzi taką przyjaźń: „Abyś miał komu serce swoje otworzyć, któryby ci w pomyślności winszował, w smutkach z tobą współcierpiał, w prześladowaniach zachęcał". I Ś. Franciszek Salezy mówi: „Jako ci, co prostą idą drogą, nie potrzebują za ręce się trzymać, a którzy przez ścieżki spadziste, trzymają się, aby bezpieczniej przeszli: tak ci, którzy wstępują do zakonu, nie potrzebują szczególnych przyjaźni, lecz ci, co są na świecie, potrzebują tej pomocy dla zabezpieczenia się i wsparcia w niebezpiecznych przejściach. Na świecie nie wszyscy dążą do jednego celu i jednym duchem żyją, jak w zakonie, dlatego trzeba im się odłączać. Sprawia to wprawdzie wyszczególnianie się, ale święte wyszczególnianie się dobrego od złego, owiec od kozłów, pszczół od trutniów, które odbywa się przez konieczne odłączenie. Potwierdza to Ś. Teresa [3]). 3-e. I rozum wskazuje, że im więcej uzbrojony jest świecki człowiek do zachowania obu przykazań miłości, o tyle więcej potrzeba mu modlitwy i obrony od drugiego człowieka, który nietylko swojego, ale i innych zbawienia pragnie, bo doskonałość chrześcijańska nie pozbawia uczuć przyjaźni, ale je uświęca.

Ostrożność co do dobrej przyjaźni prywatnej.

Wszelka przyjaźń, czy to obojętna, czy moralnie dobra, jaką jest np. naturalna między krewnymi lub społeczna między współmieszkańcami i kolegami, powinna wypływać z pobudki miłości i doskonałości chrześcijańskiej, aby nie była skażoną, lecz pomagała do postępu. Chociaż bowiem i naturalne przyjaźnie są chwalebne, jako zgodne ze zdrowym rozumem i ludzką naturą towarzyską, jednakże nie należy przestawać na naturalnej pobudce, gdyż w takim razie będą to przyjaźnie ludzkie, bez żadnej zasługi przed Bogiem; a potem, jeżeli nie będą przez miłość duchowną umiarkowane, mogą przez zbytek być skażone. Dlatego Chrystus Pan rzekł: „Jeśli miłujecie tych, co was miłują, cóż za zapłatę mieć będziecie? [4]) I chociaż miłość szczególna względem osób szczególnych często zalecana jest w Piśmie Świętem, jednak Pan Jezus powiedział: „Jeśli kto idzie do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki, i żony, i dzieci, i braci, i sióstr, nie może być uczniem moim" [5]). Na co Ś. Grzegorz mówi: „Taką powinniśmy mieć nienawiść dla bliźnich naszych, abyśmy kochali w nich to, czem są, i w nienawiści mieli to, w czem nam na drodze Bożej przeszkadzają" [1]).

W jaki sposób uświęcić przyjaźń?

Dobry sposób, w jaki te przyjaźnie mogą być przez miłość udoskonalone, podaje Ś. Tomasz, mówiąc: „Mogę z miłości pragnąć, aby mój przyjaciel był lepszy od innego, a tak mógł dojść do wyższego stopnia chwały" [2]). Duchowna zaś miłość względem krewnych na tem polega, żeby wszelką pobudkę do ich kochania odnosić do pragnienia dla nich dóbr duchownych, o czem bardzo dokładnie naucza zakonników Ś. Teresa [3]).

Inne przyjaźnie również należy uświęcać.

W przyjaźniach pochodzących z równości lub nierówności wieku, lub z innych przyczyn, należy pobudkę po chrześcijańsku podnosić, aby pomagała do postępu w doskonałości, a nigdy mu nie szkodziła. Tak napomina Psalmista: „Młodzieńcy i panienki, starcy i młodzi niech Imię Pańskie chwalą" [4]). Podobnież uczy Ś. Wawrzyniec Justynjan: „Kto prawdziwą miłością siebie kocha, ten pragnie duchowego dobra tak samo bliźniemu, jak sobie samemu, więc nie należy mu zabraniać przestawania z przyjaciółmi, ale raczej do tego zachęcać. Gdy bowiem takie jest obcowanie, staje się ono Bogu miłem, Aniołom przyjemnem, dla ludzi upodobanem i dla samych obcujących bardzo pożytecznem" [5]). I Ś. Teresa chciała, aby jej córki kochały się wzajemnie z tego nawet powodu, że w jednym domu mieszkają i w jednem są zgromadzeniu, lecz ostrzega tylko, aby miłość była duchowna, tak sióstr względem siebie, jak względem godnego spowiednika [6]). I naucza, jak ta miłość nie opiera się na przymiotach ciała, lecz przechodzi do duszy, ponieważ nic możliwego nie opuszcza, aby dla tej drugiej było pożytecznem i za jej choćby najmniejsze dobro duchowe gotowa życie swoje ofiarować. Przyczyną tego ostrzeżenia jest, że przyjaźń między starszymi a młodszymi ma za pobudkę użyteczność, bo starszy w wielu razach potrzebuje młodego, a młody starszego. A przyjaźń między równymi jest najczęściej dla samej przyjemności i takie przyjaźnie, jeżeli nie uświęca ich uczciwość nadprzyrodzona i chrześcijańska, do prawdziwego szczęścia nic nie pomogą i co najmniej są próżne, jeśli nie prowadzą do najbrzydszych występków.

---

[1]) Eccli. 6, 14. et 16. [2]) Ibid 37, 15. [3]) In vit c. 17. [4]) Matth. 5, 46. [5]) Luc. 14, 26.

[6]) Serm. 37. in Evang. [2]) 2, 2, q. 26 a. 7. [3]) In vit. perf. c. 9. [4]) Ps. 148, 12. [5]) De disc. claustr. c. 22. [6]) Via perf. c. 4.

Przyjaźń osobista nie powinna wyłączać ogólnej.

Przyjaźń osobista w Panu powinna się łączyć z przyjaźnią odpowiednią dla wszystkich, nawet dla grzeszników i nieprzyjaciół. 1-e. Bo bez wyjątku nakazane jest: [1]) „Będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego. A ja wam powiadam, miłujcie nieprzyjacioły wasze [2]). Albowiem jeśli miłujecie te, co was miłują, cóż za zapłatę mieć będziecie? Azaż i celnicy tego nie czynią?“ [3]) 2-e. Ś. Tomasz dodaje, że wszystkich należy miłować, i że pobudką do kochania bliźniego jest Bóg, to bowiem powinniśmy kochać w bliźnim, aby należał do Boga [4]). Co do grzeszników, mamy nienawidzieć ich, że są grzesznikami, a miłować, że są ludźmi, zdolnymi do zbawienia, i to jest prawdziwie kochać ich dla Boga [5]). Przyjaźń miłości rozciąga się na nieprzyjaciół, których kochamy ze względu na Boga, do Niego bowiem głównie odnosi się przyjaźń miłości [6]).

Przyjaźń względem grzeszników i nieprzyjaciół jest prawdziwa.

Miłość względem grzeszników i nieprzyjaciół może być słusznie nazwana przyjaźnią miłosną, bo nie jest to miłość pożądliwości, ale przyjaźń, chociaż ze strony odwzajemnienia się i obcowania coś jej brakuje. Jest także prawdziwą przyjaźnią uczciwości, bo choć nie opiera się na istotnej uczciwości w bliźnim, ale na takiej, jakiej się dla niego pragnie, ani też nie brak jej zupełnej wzajemności, bo tak kochający jest kochany od Boga, dla którego bliźnich swoich miłuje. Wreszcie ta ogólna przyjaźń dla wszystkich nie przeszkadza do doskonalszej miłości dla wielu, ani szczególnej dla jednego lub drugiego, jak się to zaraz pokaże.

Przyjaźń ogólna nie wyłącza szczegółowej.

Przyjaźń ogólna dla wszystkich nie powinna wyłączać ściślejszej dla wielu i jeszcze ściślejszej dla jednego lub drugiego.

1-e. Przykład tego mamy w pierwotnym Kościele, w którym mnóstwa wierzących było jedno serce i jedna dusza, a jednak szczególniej byli złączeni ze sobą Apostołowie i uczniowie, a między nimi niektórzy jeszcze ściślej. Widzimy to z przykładu samego Jezusa, wyłączającego Apostołów: „Nazwałem was przyjaciółmi, bo wszystko com słyszał od Ojca mego, opowiedziałem wam“ [7]).

2-ie. Św. Wawrzyniec Justiniani mówi: „Wszystkich dobrych należy kochać w Chrystusie, a złych dla Chrystusa; z wieloma przyjaźń można zawierać, przestawanie zaś należy mieć z samymi bojącymi się Boga i cnotliwymi“ [1]).

3-ie. W zgromadzeniach dobrze urządzonych utrzymuje się przyjaźń wspólna nietylko jak z przyjaciółmi, ale jakby z braćmi w Panu, a według woli Ś. Franciszka większa, niż względem rodzonej matki i ugruntowana we wzajemnem ćwiczeniu się w cnotach; a jednak bardziej ścisła znajduje się między jednym lub drugim, któremu, jako ojcu duchownemu, sekreta serca się powierzają.

Przyjaźń osobista nie powinna nikogo razić.

W przyjaźni osobistej jednego z drugim, szczególniej w temże zgromadzeniu, strzedz się należy wszelkiego przestawania zewnętrznego, któreby nie było czysto duchowne lub rodziłoby coś obrażliwego.

1-e. Ś. Paweł przestrzega: „Patrzcie, aby snać ta wolność wasza nie była ku zgorszeniu mdłym“ [2]).

2-ie. Tak samo napomina Ś. Hieronim: „Częstych podarków, chusteczek i zakładek, pochlebnych i słodkich liścików święta miłość nie zna. „Mój aniołku, moje serce, moje światło“, wszystkich takich pieszczot i wdzięczenia się, i śmiechu godnych grzeczności i innych niedorzecznych słów kochanków w komedjach wstydzimy się. Niesmaczne one w światowych ludziach, a daleko bardziej między zakonnikami i duchownymi“ [3]). Ś. Klimak pochwala dwóch młodzieńców miłujących się najczystszą miłością według Boga, którzy jednak, gdy się spostrzegli, że sumienie innych przez to narażali, postanowili, aby do czasu się rozłączyć [4]). Ś. Wawrzyniec Justiniani daje regułę na przyjaźń, aby przez nią duch był posilony, a nie osłabiony. A przestawać pozwala z tym warunkiem, aby to do zbudowania brata lub siebie zmierzało i w czasie stosownym i w sposób uczciwy było czynione [5]). Ś. Teresa chciała, aby w małych zgromadzeniach wszystkie żyły bez osobistych przyjaźni, ale nie w większych [6]). To, co Święci mówią przeciw osobistym przyjaźniom, Ś. Franciszek Salezy rozumie o zakonnikach wspólnie żyjących, aby szczególne przyjaźnie nie wyrodziły partji [7]).

3-ie. Przyczyną tego jest, że przyjaźń osobista powinna być duchowna i dążyć do postępu duchownego, czego właśnie być nie może, jeżeli obcowanie jest zmysłowe, albo drugim staje się okazją do obrazy.

---

[1]) Matth. 22, 39. [2]) Ibid. 5, 44. [3]) Ibid. 46 [4]) 2, 2, q. 25, a. 1. [5]) Art. 6. [6]) q. 23, a. 8. [7]) Joan. 15, 15.

[1]) De disc. claustr. c. 22. [2]) I Cor. 8, 9. [3]) Ep. 2. ad Nepot. [4]) gr. 26. [5]) De disc. claustr. c. 22. [6]) Vita perf. c. 4. [7]) Vita dev. c. 19.

Wnioski.

Z tego, cośmy mówili, wypada co następuje: 1-e. Przyjaźń osobista, prawdziwie duchowna i święta, nic nie przeszkadza miłości całego zgromadzenia, oraz miłości należnej każdemu bliźniemu. 2-e. Strzedz się trzeba, aby do tej przyjaźni nie przywiązała się miłość zmysłowa, co przez czyny dalekie od ducha łatwo można poznać. 3-e. Szczególniej między osobami płci obcej unikać tego należy. 4-e. Przyjaźń osobista dobra i duchowna swobodniej między świeckimi zawiązać się może, niż w zakonach. 5-e. A nawet między zakonnemi osobami, jeżeli zgromadzenie nie jest dobrze urządzone, wtedy święta rzecz będzie, gdy dla samego dobra duchownego niektórzy między sobą się złączą, byle zachować karność zakonną i wszelkim wyszczególnianiom i niezgodom pilnie zapobiegać. 6-e. Chociaż w zgromadzeniu dobrze urządzonem, gdzie zawsze są odpowiedni przełożeni i ojciec duchowny do kierunku wewnętrznego, taka przyjaźń nie jest rzeczą konieczną, jednakże czasem dla większej braterskiej miłości dopuścić to można, byle przestawanie zewnętrzne było umiarkowane, ani przeciwne karności zakonnej i nie obrażało nikogo, ale ugruntowane było szczególniej na uczuciach wewnętrznych w Chrystusie Jezusie, przez wzajemność modlitw i praktyk pobożności.

O złej przyjaźni.

Dotąd mówiliśmy o dobrej przyjaźni, jakiej nam dawał przykład Ś. Franciszek i sam Zbawiciel, teraz wypada nam wspomnieć i o złych przyjaźniach, od których Seraficki Patryarcha bardzo usilnie bronił i ostrzegał synów swoich.

Przyjaźni osobistej nie dość poważnej starców z młodymi unikać należy.

Unikać jej należy, jeżeli tylko z ludzkiej skłonności albo na pobudce płochej się opiera, jak na postawie, urodzie, zgrabności. 1-e. Tak Ś. Jan pisze:[1]) „Starszy wybranej pani i dziatkom jej, które ja miłuję wprawdzie“, okazując, że żadnej innej przyjaźni z nią nie ma, jak tylko w Panu. Przykłady starego Dawida i starców wobec Zuzanny, Sodomitów od dziecka aż do starca skalanych, powinny czynić starych ostrożnymi. Piękna twarz młodzieńca, choćby był aniołem, powinna starców powściągać od niedość ostrożnej i uczciwej przyjaźni. 2-e. Ś. Bazyli[2]) ostrzega, aby nie zważać w zakonniku na wiek podeszły, może się bowiem który znaleźć, co choć siwizną i marszczkami okryty, młodzieniaszków zwyczaje zachowuje. Ś. Bernard[1]) zaś radzi starym, aby towarzystwa młodzieńców, szczególniej niedojrzałych, unikali. Św. Pachomjusz[2]) w regule od Anioła otrzymanej przepisał, iż gdyby który z braci z chłopcami śmiał się i bawił, i miał z nimi przyjaźń, aby po trzeciem upomnieniu najsurowszej karze podlegał. 3-e. Przyczyną tego jest, że przyjaźń starych z młodymi nigdy nie powinna objawiać się w obcowaniu jakby sobie równych, ale w starcu zależy na nauce i dobrym przykładzie, a w młodym na szacunku i uległości. I jeżeli jest to przyjaźń chrześcijańska, nic w niej dziecinnego i płochego być nie powinno, ale ojcowska poważna miłość ma się wydawać. 4-e. Co zaś do obcej płci, Ś. Bonawentura ostrzega:[3]) „Jeżeli moją radą nie pogardzisz, chciałbym, abyś nigdy nie zawierał z żadną niewiastą poufałej przyjaźni, choćby była pobożną i świętą, bo oprócz niebezpieczeństwa cielesnych pokus, w które w takiej poufałości zawsze się wpada, oprócz niesławy i podejrzenia, w jakie nieraz inni przez to wpadają, wielki stąd rodzi się niepokój serca. 5-e. I starzec, jeżeli mniej ostrożnie z młodymi, czy to tejże płci, czy innej, obcować zechce, wszystkiego lękać się powinien, bo nie siwizna, ale duch Boży dobrze strzeżony, może bezpiecznym uczynić. I nieraz widziano starców ciężko upadających, że mieli zbytnie w sobie zaufanie, jakkolwiek w młodości strzegła ich święta bojaźń Boża[4]).

Młodzi powinni strzedz się przyjaźni poufałych między sobą.

Święty Bazyli ostrzega młodych, aby unikali przestawania poufałego ze sobą jak najgorętszego płomienia. Kasjan[5]) podaje, że u dawnych mistrzów egipskich najściślej pilnowano tego, aby żaden z drugim, szczególniej młodzi, choć na krótko sami nie zostawali, albo nie odchodzili gdziekolwiek, lub nie trzymali się za ręce. Przerażającą rzecz pisał o tem w swoim czasie Ś. Piotr Damjan, a Ś. Wawrzyniec Justiniani mówił: „O słowach, czynach i myślach nieczystych, jakie pod pozorem miłości z nieporządnego poufalenia się rodzą, trzeba raczej zamilczeć“. Przyczyną tego jest, że jeżeli zimna starość nie wystarcza do powściągnięcia ognia, kiedy się z młodzieżą poufale przestaje, daleko bardziej niebezpieczna jest młodość. Do zamarzłego węgla wystarcza zbliżyć zarzewie, aby się zapalił, cóż dopiero, gdyby on był czerwony. Przyjaźnie przeto między młodymi, jeżeli większy duch i po-

[1]) II Joan. 1, 1. [2]) Serm. 1. Ascet.

[1]) In formul. vit. n. 6. [2]) c. 90. [3]) Opusc. de inform. novit. c. 39. [4]) Vide Rodriguez. Exerc. perf. P. 1, tr. 4, c. 19. [5]) L. 2. Instr. c. 15.

stęp w cnotach nie będzie ich uświęcał, samą tylko płochość rodzić będą, a z dziecinnych rzeczy przyjdzie do ciężkich upadków, jak to wykazuje doświadczenie.

Przyjaźń ziomków miarkować należy.

Prywatna przyjaźń synów jednej ziemi, należycie według praw natury i łaski miarkowana, jest chwalebna, szczególniej w tych, którzy w jakikolwiek sposób poświęcają się na pracę dla dobra duchownego lub materjalnego swych ziomków; lecz gdy niema innej wyższej pobudki, często może być nieporządną i złe następstwa sprowadzać. Okazuje się to przedewszystkiem w zgromadzeniach zakonnych, gdzie są osoby różnych narodowości. Jeżeli np. wtedy, nie oglądając się na osobistą zasługę, popiera się kogoś dlatego tylko, że jest z tego kraju, prowincji, okolicy lub miasta, wzgardziwszy innymi, popełnia się niesprawiedliwość. Jeszcze większe złe następuje, gdy podczas wojny jedni za swoim, drudzy za swoim się oświadczają. W każdym razie przyjaźnie prywatne jednokrajowców rozdzierają miłość wspólną wszystkich i całe domy i familje zakonne kłótnią napełniają.

Trzeba wystrzegać się przyjaźni osobistej z oziębłymi.

Do takich słusznie zastosować można słowa przypowieści:[1]) „Co tu stoicie cały dzień próżnujący?“ Każdy bowiem chrześcijanin, a tem bardziej zakonnik, powinien cały dzień pracować na swoje i drugich zbawienie i cały czas na służbę Bożą obracać, a oni bezużytecznie przyjaźniom osobistym go oddają i zamiast postępować w duchu, stoją, próżnując, a zatem ustępują. Na takich powstaje Ś. Bernard:[2]) „Widzisz ich chodzących osobno, zbliżających się do siebie i jedzących, a zaraz języki swe rozpuszczają na przeklęte szemranie“. Najgłówniej na nich nastaje Ś. Wawrzyniec Justiniani:[3]) „Zawsze tego rodzaju mnisi włóczą się, zawsze szukają podobnych sobie na rogach i w zakątkach, w czasie milczenia gawędy prowadzą i żywot nieobecnych szarpią, a jakby im nie wystarczała własna ich zguba, sieją plotki, obmowy, błaznowania, głośne śmiechy, szyderstwa z samej obserwancji, przez co myśl się rozprasza, skrucha niknie, łaska się usuwa, bliźni się gorszą, modlitwa się miesza, sumienie zaciemnia i czas drogi bezużytecznie się traci, ustawy się lekceważą, w celi pokój się zaniedbuje i jakby w obłędzie idzie się za swemi namiętnościami. Przyjaźń więc z takimi oddala od ducha zakonnego przez ciągłe przestępstwa; zapomina się wtedy o swojem powołaniu, o postępie w doskonałości, o ćwiczeniu się w cnotach, co wszystko jest wielkiem złem.

[1]) Matth. 20, 6. [2]) Serm, 24. in Cant. [3]) De disc. mon. c. 22.

Przyjaźni osobistej złej więcej jeszcze świeccy unikać powinni.

Na świecie bowiem przyjaźnie w utrapieniu nie trwają, ale przechodzą w nienawiść i kłótnie. Przyjaciele świeccy są towarzyszami stołu[1]) uczy Eklezjastyk Pański. A Ś. Augustyn mówi:[2]) „Przyjaźń światowa opiera się na pożądliwości rzeczy świeckich, zawsze jest pełna zdrady i kłamstwa, i nic w niej pewnego, nic stałego, zawsze z dostatkiem się zmienia i idzie za sakiewką. Wreszcie wystarczy przestroga Ś. Jakóba:[3]) „Cudzołożnicy, nie wiecie, iż przyjaźń tego świata jest nieprzyjaciółką Bożą?“ I Ś. Jan:[4]) „Nie miłujcie świata, ani tego, co jest na świecie. Jeżeli kto miłuje świat, nie masz w nim ojcowskiej miłości. Albowiem wszystko, co jest na świecie, jest pożądliwość ciała i pożądliwość oczu, i pycha żywota, która nie z Ojca jest, ale jest ze świata“.

Przyjaźni osobistej z pożądliwości ciała unikać należy.

Jak najbardziej powinni unikać światowi przyjaźni opartej na pożądliwości ciała, to jest na obżarstwie, opilstwie i nieczystości. O niej to mówi Ś. Paweł:[5]) „Boć wiele ich chodzi, którem wam często opowiadał (a teraz i płacząc, powiadam), nieprzyjaciele krzyża Chrystusowego. Których koniec zatracenie: których Bóg jest brzuch: i chwała w sromocie ich, którzy ziemskie rzeczy miłują. Takowi Panu naszemu Chrystusowi nie służą, ale brzuchowi swemu“[6]). I nakazuje[7]), abyśmy nie chodzili w biesiadach i pijaństwach: nie w łożach i niewstydliwościach. Oczywista jest, że taka przyjaźń nie jest przyjaźnią uczciwą ani chrześcijańską, lecz występną, czyli przyjaźnią brzucha i nieczystości.

Przyjaźń z miłości zmysłowej jest niebezpieczna.

Z tego wynika, że i wszelkie przyjaźnie, na miłości zmysłowej oparte, pełne są niebezpieczeństw i upadków, i że nie należy słuchać tych, co utrzymują, że można w praktyce kochać kogo gwałtownie, szczególniej osobę innej płci, dla piękności

[1]) Eccl. 6, 7. [2]) L. de amicit. c. 3. [3]) C. 4, v. 4, [4]) I. 2, 15. [5]) Philip. 3, 18. [6]) Rom. 16, 18. [7]) Ibid, 13, 13.

ciała lub innych tego rodzaju przymiotów, poprzestając na miłości oderwanej, wolnej od wszelkiego niebezpieczeństwa. Takie niedorzeczne zdanie podobne jest do tego, gdyby kto utrzymywał, że można bezpiecznie dotykać węża dla przyjrzenia się jego piękności. Trafniej jeszcze utrzymuje magister z Avila [1]), który stwierdza zdanie Seneki: „Jeżeli kto takiej miłości chce kłaść granice, byłoby to, jakby chciał przypisywać rozum szalonemu". Ś. Bonawentura [2]), Ś. Wawrzyniec Justiniani [3]) i Ś. Salezy [4]) utrzymują, że nawet miłość duchowna przechodzi w szczególną i cielesną, jeżeli jeden szuka obecności drugiego, w nieobecności się smuci, albo też sam na sam lubi z nim przestawać. „Jako bowiem kocha w szczególny sposób, tak też i chce być kochanym, mówi Ś. Wawrzyniec, i ślepym oszukany błędem nie wie, że miłością nieczystą jest zraniony.

Przyjaźni z pychy trzeba unikać.

Przyjaźni, opartej na pysze i wyniesieniu siebie, ludzie świeccy szczególniej powinni unikać, albowiem Pismo Święte mówi: „Początkiem wszelkiego grzechu jest pycha. Co tak tłumaczy Ś. Tomasz: „Cel w nabywaniu wszelkich dóbr doczesnych jest ten, aby przez nie człowiek doszedł do jakiejś szczególnej wyższości. Jak pierwszy grzech Adama z pychy pochodził, tak i dzisiaj ciągle się to powtarza, bo z tej pychy i złej przyjaźni tacy niby to przyjaciele ciężko grzeszą. Ubogi chce być bogatym i szlachetnym, a szlachetny księciem i t. p. a przyjaciele, zaniechawszy Boskiego rozporządzenia, w godziwy lub niegodziwy sposób do tego mu pomagają: kupiec znajduje towarzyszów do niegodziwych kontraktów, pojedynkujący się —sekundantów. Jeżeli przyjaciel chce być gdzieś wybranym, daje się głos, bez względu na zdolność do tego urzędu, chociaż przez to inni ciężkie krzywdy cierpią. Gdy żonie lub dzieciom podobają się jakie zabawy, znajomości, przejażdżki, przyjaźń cielesna skłania do zgodzenia się, aby ich nie zasmucić. Aby przyjaciel nie spadł ze swego stanowiska, obłudni przyjaciele starają się o wielkie sumy, nie swoje naturalnie, ale obce, choć wiedzą, że te nigdy nie będą zwrócone wierzycielom. Wszystkie wreszcie usiłowania owych fałszywych przyjaciół zmierzają do punktu honoru, jakby do głównego celu, i gdy choć cień tylko na niego padnie, zaraz z djabelskiemi swemi radami, albo ze zbrojną ręką przybiegają. Co wszystko nie zgadza się z uczuciami prawdziwej chrześcijańskiej miłości.

Zachęta do dobrej przyjaźni.

Najprawdziwsza przeto przyjaźń jest ta, która się zasadza na miłości teologicznej. Kochaj bliźniego jakiegokolwiek dla Boga i tak jak Bóg chce, abyś go kochał, a cała twoja przyjaźń będzie prawdziwą i doskonałą, bo Bóg nie tego chce, abyś wcale przyjaźni względem ludzi nie znał, ale abyś ją doskonalił. Zakonnikowi, świeckiemu, pustelnikowi, żonatemu — każdemu przepisuje sposób przyjaźni doskonały. Cóż bardziej zdaje się być dalekiem od przyjaźni, jak życie pustelników, mieszkających na wierzchołkach gór, a jednak Ś. Chryzostom mówi: „Ani oni nie są bez przyjaciół, bo chociaż od ciżby wielu uciekają, mają przyjaciół miłością pałających, których pociągają własnym przykładem. I za cały świat się modlą, co jest najpiękniejszym objawem miłości. „Kochajcie, mówi Augustyn Ś., synów swoich, kochajcie swoich małżonków, choćby po świecku, ale gdybyście według Chrystusa ich miłowali i według Chrystusa im doradzali i gdybyście w nich Chrystusa widzieli, kochalibyście ich miłością taką, która i po śmierciby nie ustawała; bo co im pomoże przemijająca śmiertelna miłość wasza? Choć więc i po ludzku kochasz swą żonę, ale kochaj więcej Chrystusa. Nie mówię, abyś nie kochał ojca, nie mówię, abyś nie kochał swych dzieci, ale więcej kochaj Chrystusa. Jeżeli zaś i innych przyjaciół szukasz, Ś. Wawrzyniec Justiniani wskazuje ci lekarstwo: „jeżeli chcesz być kochanym, kochaj sam; abyś był kochanym, bądź sposobnym do kochania". Jeżeli chcesz, aby cię Pan Bóg, Aniołowie i ludzie kochali, kochaj bliźniego dla Boga, kochaj w Chrystusie Jezusie, kochaj tak jak ciebie i jego On kochał. Tak kochaj przyjaciół, aby oni tobie, a ty im do kochania Boga pomagali. Tak kochaj nieprzyjaciół, aby byli przyjaciółmi Boga, a tym sposobem staniesz się najmilszym Bogu.

---

[1]) T. 1. in Matth. c. 5, q. 168. [2]) In 6. proc. relig. c. 22. [3]) In disc. mon. c. 22. [4]) Vit. dev. c. 20.

ROZDZIAŁ XIII.

Duch seraficzny, jest duchem wzniosłej bogomyślności.

Jaka była bogomyślność Franciszka.

Dość było usłyszeć jakiekolwiek wyrażenie Ś. Franciszka, lub spojrzeć na jakikolwiek czyn jego, aby zaraz odgadnąć, że był on cały w Bogu zatopiony i posiadał wielki dar bogomyślności i że ta bogomyślność stanowi jedną z wybitnych cech jego ducha. Każda rzecz, na którą spojrzał, lub którą posłyszał, Boga mu przypominała i, albo w zachwyt wprawiała, albo do łez przywodziła. Rozmyślając Mękę Pańską, taką żywą przejmował się boleścią, że napełniał lasy żałosnemi jękami, aż zbiegali się ludzie, sądząc, że był napadnięty przez zbójców. Płakał nad tem, że ludzie tej miłości Bożej nie znają i wzywał skały, aby mu towarzyszyły w płaczu, co też Bóg cudownie na to wezwanie jego uczynił.

Obiera sobie najlepszą cząstkę.

Święty Franciszek rozumiał Zbawiciela, chwalącego Magdalenę, że najlepszą cząstkę obrała i obrał ją też dla siebie. Stąd ustawicznie zajęty był Bogiem, nietylko wtenczas, gdy kilka razy do roku usuwał się na puszczę na dni 40 i przy najściślejszym poście z Bogiem samym przestawał, ale i wtedy, gdy z braćmi obcował lub nauczał, i wówczas bowiem zdawał się więcej modlić niż uczyć; lub inną jaką czynność wypełniać.

Czem była modlitwa dla Franciszka.

Tomasz z Celano i Ś. Bonawentura powiadają nam, jak umiał on korzystać z tego niebieskiego daru. Modlitwa była fundamentem jego istnienia, oddechem jego duszy, duchowną drabiną, po której podnosił się od ludzi do Boga i od Boga do ludzi zstępował. Nic nie przedsięwziął, nie pomodliwszy się, i temu właśnie przypisywać należy skuteczność jego nauczania, jego zwycięstwa nad mocami piekielnemi i wszystkie postępy w cnocie.

Była jedyną dla niego pociechą.

Sługa Boży, przez miłość Chrystusa, stał się nieczułym na wszystkie rzeczy ziemskie, a modląc się bez ustanku, duszą swą usiłował ciągle się trzymać w obecności Boskiej. Modlitwa więc była jedyną pociechą świętego męża, tego towarzysza Aniołów, związką, jednoczącą go z Umiłowanym, od Którego tylko lepianka cielesna go oddzielała.

Jak był wytrwały w modlitwie.

Z wielką wytrwałością oddawał się modlitwie, pomny na one słowa Pańskie, iż się zawżdy modlić potrzeba [1]). Była mu ona wsparciem i ubezpieczeniem w życiu czynnem, gdyż w żadnej sprawie własnemu przemysłowi nie ufając, a opierając się jedynie na miłosierdziu Bożem, na nie we wszystkiem się spuszczał. Utrzymywał stanowczo, że zakonnik najwyżej cenić sobie powinien łaskę modlitwy i być przekonanym, że bez niej nikt w służbie Pańskiej nie uczyni postępu. Wszelkiemi więc sposobami pobudzał do niej braci i własnym przykładem zachęcał ich i uczył. Czy bowiem był w klasztorze, czy za furtą, czy w celi, czy w podróży, czy robotą jaką zajęty, czy swobodny, tak dalece zatapiał się w modlitwie, że można powiedzieć, iż ani na najkrótszą chwilę nie odrywał od niej serca [2]).

Z jaką uwagą się modlił.

Co do uwagi w odmawianiu pacierzy, tak był od siebie wymagający, że najmniejszego w nich roztargnienia, któremu zresztą bardzo rzadko podpadał, nie puszczał nigdy bezkarnie. Zdarzyło się razu pewnego, że zwyczajem swoim, aby nigdy nie próżnować, wyrzeźbił własnemi rękoma piękny wazonik drewniany, przeznaczony do kościoła. Otóż przy odmawianiu Tercji, czyli jednej z części pacierzy kościelnych, wazonik ten przyszedł mu przez chwilę na myśl. Aby się ukarać za to mimowolne roztargnienie i aby mu na przyszłość zapobiedz, po pacierzach wrzucił ów wazonik do ognia, mówiąc: „Spalmy go w ofierze Panu Bogu, bo on mojej ofierze modlitwy przeszkodził“ [3]).

Jak był wierny natchnieniom.

Każde nawiedzenie jego duszy przez Ducha Świętego coraz obfitsze i wyższe sprowadzało nań dary, ponieważ z każdą łaską wiernie współdziałając, żadnej nie marnował. Gdy poczuł w sercu jej działanie, zaraz się skupiał i trwał tak, jak tylko mógł najdłużej, wsłuchując się pilnie, co Pan do niego mówił. Jeśli chwile takie zdarzały mu się w drodze, puszczał towarzyszów naprzód, a sam zdaleka zostawał i, zatopiwszy się w Bogu, wpadał często w zachwycenie, nie wiedząc i nie słysząc przez pewien czas, co się wkoło niego działo. Gdy, po wyjściu z takiego stanu, rozmawiał z braćmi, było wtedy w każdem jego słowie tyle świętego namaszczenia i ognia miłości Bożej, a w całej piewierzchowności coś tak niezwykle miłego i uroczego, że braciom zdawało się niekiedy, iż nie człowieka, lecz jakąś nadziemską istotę słyszą i widzą przed sobą [1]).

Miłość Boga w stworzeniach.

Owocem wysokiej bogomyślności Franciszka było ono zbliżenie się jego z całą naturą i, jakby zakochanie się w niej, co stanowi charakterystyczną cechę tego Świętego. Przez wzgląd bowiem na pierwszy i powszechny początek, którym jest Bóg, wszystkie stworzenia nazywał braćmi albo siostrami, bo wiedział, że wszystkie one wspólne z nim mają w Stwórcy ojcostwo. Szczególniej zaś i najserdeczniej miłował te, które w naturalnych swoich własnościach Chrystusa łagodność i pokorę odbijały i w Piśmie Świętem Go obrazowały. Dlatego widok owieczki albo baranka, przypominający mu Baranka Bożego, za nas na krzyżu ofiarowanego, wprawiał go często w zachwycenie. Ile razy usłyszał jego głos żałosny, we łzy się rozpływał, gdyż mu to przywodziło na myśl Mękę Pańską. Często obok niego widzieć można było oswojonego baranka, który go nie odstępował. A ileż ich uratował od śmierci, wypraszając je od zabicia na pokarm! [2]).

Jak wszystkie stworzenia przypominały mu Boga.

Nie wypada pominąć szczegółów, które na pozór tylko wydają się nieznaczącemi, a w istocie są objawem ducha bogomyślnego. Ś. Franciszek delikatnie odsuwał robaczki, spotykane na drodze, aby ich nie zdeptały nogi przechodniów. Czyliż bowiem psalmista nie powiedział o Chrystusie: „Jestem robak, a nie człowiek?“ W oczach Świętego stworzenia nieżywotne miały swą mowę i swoje pojęcia. Lubił siostrę wodę, gdyż przy Chrzcie przez nią przelewa się Krew Jezusa Chrystusa, i myjąc się, uważał, aby nie padała na miejsce nieczyste. W kamieniach czcił postać Tego, który jest kamieniem węgielnym Ewangelji. Zalecał braciom swoim, aby, ścinając drzewa na wzgórzu, zostawiali odrośle na pamiątkę, że Słowo Wcielone cierpiało za nas na drzewie krzyża. Chciał, aby w każdej porze roku w ogrodzie klasztornym zasadzano kwatery pachnących kwiatów na pamiątkę owego kwiatu mistycznego, który wyszedł z gałązki Jessego i którego zapach rozradował świat cały [3]).

---

[1]) Luc. 18, 1. [2]) Żyw. Ś. Fr. O. Prok., T. I str. 112. [3]) Tamże, T. II.

[1]) Tamże. [2]) Tamże, s. 145. [3]) Ś. Franciszek za życia... s. 167.

Jak każde pismo uważał.

Oto jedno z tych udatnych wyrażeń, jakie mu się czasem z ust wyrywały, a które zdaje się wypowiadać jego myśl o tym przedmiocie. Wiadomo, z jakiem uszanowaniem podnosił każdy kawałek pisma, z obawy aby nie zdeptać jakiego zdania o Bogu i Jego doskonałościach. Kiedy jeden z uczniów zapytał go, dlaczego z taką ostrożnością podnosił pisma pogan: „Mój synu, odpowiedział Franciszek, dlatego że znajduję tam litery, z których się składa święte Imię Pańskie. Dobro, jakie zawierają te pisma, nie pochodzi ani od pogan, ani od ludzkości, ale od samego Boga, źródła wszelkiego dobra“ [1]). W rzeczy samej, wszystkie pisma duchowne i świeckie są to jakby litery, któremi Bóg pisze Imię swoje w umyśle ludzkim, jak pisze Je na niebie gwiazdami [2]). Tak więc Święty Ojciec, przysłuchując się tajemniczym dźwiękom ziemi, zwracał się do źródła wszelkiego piękna. Jest to jedna z najczulszych stron jego charakteru. Wszyscy historycy korzystają z niej, nazywając Franciszka wielkim miłośnikiem natury. I słusznie, ale nie zapominajmy, że dlatego miłuje on tak bardzo naturę, że jest jednym z najgorliwszych czcicieli Boga.

Pobudzał wszystkie twory do chwalenia Stwórcy.

Dla Serafickiego Patryarchy cała przyroda widzialna zastosowana była do pierwotnego planu Opatrzności, tak boleśnie przez grzech unicestwionego. Kwiaty były dlań jakby uśmiechem Boga, gwiazdy na firmamencie opowiadały mu Jego chwałę. „Zachęcał rzeki i morza, góry i doliny, łąki i pola, ptaki i zwierzęta, ludzi i Aniołów do uwielbiania Stwórcy, a sam pozostawał wśród nich, jakby natchniony muzyk, zbierając w swej duszy te wzniosłe melodję. Wszystkie stworzenia nietylko nie przeszkadzały mu, ale owszem, stawały się stopniami, po których wznosił się ciągle aż do tronu Najwyższego; i tam, gdzie inni spostrzegali tylko piękność znikomą, on wzrokiem duszy odkrywał wieczny związek między porządkiem fizycznym i moralnym, pomiędzy tajemnicami natury i wiary. „Całe godziny przepędzał nieraz na podziwianiu pracy pszczół i kazał im dawać w zimie miód i wino, aby nie poginęły od mrozu. Lubił stawiać za wzór swym uczniom przezorność skowronków. Widząc pewnego dnia, jak mnóstwo tych ptaszków w szarem, jak jego własne, odzieniu, spożywszy poprzednio kilka ziarnek, wznosiło się ze śpiewem w powietrze: „Patrzcie na te miłe stworzonka“, rzekł do swych braci, „one nas uczą, jak dziękować naszemu wspólnemu Ojcu, który nam daje codzień pożywienie, jak spożywać te dary tylko na Jego chwałę, jak gardzić ziemią i wznosić się do nieba, gdzie wiecznie z Bogiem zostawać mamy“ [1]).

Widzi w owcy obraz Zbawiciela.

Idąc z Ankony do Osimo z bratem Pawłem, którego naznaczył na ministra Marchji, Święty Ojciec spotkał w drodze pasterza, pasącego stado kóz i jedną owieczkę. Zabolał bardzo nad tem, że owieczka tak sama zostawała między złośliwemi kozami i rzekł do swego socjusza: „Patrz, bracie, jak cicho idzie ta owca pośród kóz i kozłów: tak samo szedł nasz słodki Zbawiciel cichy i pokorny między doktorami i faryzeuszami! Spróbójmy ją wyzwolić z rąk tego pastucha!“ Brat ów, nie wiedząc, jakby to zrobić, gdyż nie mieli pieniędzy, począł z nim razem płakać. Gdy tak biadali obydwaj, nadszedł pewien kupiec, a dowiedziawszy się o przyczynie ich żalu, zapłacił za owieczkę i dał ją Franciszkowi, który, ucieszony tem, zaprowadził ją z sobą do Osimo, aż przed Biskupa. Książę Kościoła zdumiewał się nad wielką dobrocią Franciszka i, słysząc jego opowiadanie, nie mógł powstrzymać się od płaczu. Następnego dnia, żeby owieczka nie wpadła w złe ręce, Święty Ojciec zostawił ją w klasztorze w San-Severino, ku niezmiernej radości zakonnic, bardzo bowiem poważały Serafickiego Patryarchę. Chowając ją, jako relikwję po Świętym, wkrótce zebrały z niej tyle wełny, ile potrzeba było na habit i posłały mu go na najbliższą kapitułę. Franciszek wielce się z niego ucieszył, a całując go i ściskając, uprzejmie wzywał wszystkich, którzy tam byli, do radowania się z nim, dla zysku, jaki otrzymał z onej owieczki [2]).

Jak przepędzał noce na modlitwie.

W żywocie Ś. Ojca czytamy o kilku wypadkach, w których okazał się w całej pełni wysoki dar jego bogomyślności, okrywany niemniejszą pokorą.

Błogosławiony Ojciec podróżował raz z kilku braćmi po Marchji Ankonitańskiej w celach apostolskich. Między towarzyszami jego był pewien brat, który nie podzielał uwielbienia, jakie Franciszek wzbudzał we wszystkich, a najbardziej

[1]) Thomas de Celano. Vita prima c. 29. [2]) Ozanam. Les poètes franciscains. p. 52.

[1]) Ibidem, p. 70. [2]) Kronika, s. 386.

w swoich zakonnikach, patrzących bliżej na jego życie. Zdarzyło się, że gdy przybyli do jednego ze swoich klasztorów, zastał tam i drugiego brata, podobnież usposobionego i z nim razem pozwalał sobie szemrać na Świętego Patryarchę. „Dlaczego, rzekł, ludzie w takiej czci mają Ojca Franciszka i poczytują go za jakąś świętość? Cóż on robi większego od innych braci? wszak wraz z innymi śpi, je i pije. Przecież wszyscy jednakowo w ubogich habitach chodzimy, temiż samemi żywimy się potrawami, wszyscy jeden i tenże sam rodzaj życia wiedziemy, do jednego i tego samego stanu należymy. Dlaczegóż on szczególnie za Świętego jest miany? Dlaczego lud taką czcią go otacza?“ Gdy w ten sposób obydwaj niesforni zakonnicy dość się już naszemrali, powzięli oni zamiar pilniejszego śledzenia każdego czynu, każdego kroku Świętego. Kiedy więc nadszedł wieczór, a Franciszek po wieczerzy i po krótkiej z braćmi rozmowie udał się do celi, aby według zwyczaju, przespawszy się chwilę, wstać na modlitwę i już potem całą noc na niej przebyć, jeden z owych szemraków, widząc, że Święty pierwej od innych braci poszedł na spoczynek, rzekł do drugiego: „Patrz-no, jak Ojciec Franszek wcześnie się kładzie: czyż zatem jest to człowiek, w którymby można podziwiać jakie wielkie umartwienia i nadzwyczajny sposób życia?“ Po pewnym czasie udał się tenże brat pod celę Świętego Patryarchy, a znalazłszy drzwi otwarte i widząc, że w celi niema Świętego Franciszka, zaczął zwiedzać cały klasztorek i kościół, chcąc go koniecznie znaleźć i przekonać się, co też on w tej porze robi. Obiegając napróżno wszystkie kąty, zobaczył furtkę ogrodową, prowadzącą do sąsiedniego lasku, a przypomniawszy sobie, co mu nieraz mówiono, że sługa Boży lubił w takich ustroniach się modlić, wyszedł nią, w nadziei znalezienia go w tem miejscu. W istocie usłyszał go, modlącego się głośno za grzeszników, wzywającego z płaczem i jękami miłosierdzia Bożego nad nimi, a w końcu w najczulszych wyrazach błagającego i proszącego Matki Najświętszej, aby raczyła okazać mu swego Jezusa. I oto ujrzał światłość, napełniającą miejsce, na którem klęczał Święty, z rękoma w górę wzniesionemi i Matkę Bożą w przecudnej postaci z Jezusem na ręku, zstępującą z nieba i podającą Franciszkowi Boską Dziecinę. On zaś, przyjąwszy Jezusa i trzymając Go na piersiach, łzami oblewał Jego stopy i prosił i zaklinał na Mękę i śmierć Jego o nawrócenie jak największej liczby grzeszników, o zbawienie całego świata, o pomyślność Kościoła i o rozszerzenie chwały Bożej na ziemi.

Przerażony brat szemrak upadł na twarz, jak nieżywy i leżał tak długo, aż zadzwoniono w klasztorze na Jutrznię, a Franciszek, oddawszy Marji Jezusa, podążając do chóru, ujrzał go leżącego. Podniósł go natychmiast i otrzeźwił, polecając, aby widzenia, jakiego był świadkiem, nikomu za życia jego nie opowiadał. Lecz brat ten sądził, że wolno mu w tym wypadku inaczej postąpić i wkrótce wszyscy już o tem wiedzieli. Na ukaranie zaś winy, jakiej się dopuścił, mówiąc bez uszanowania o Świętym Ojcu, przyznał się do niej pokornie i dziękował Bogu, że go w tak łaskawy sposób raczył nakłonić, aby miał należną cześć dla świętego zakonodawcy [1]).

Zachwycenie przy posiłku z Ś. Klarą.

Oto drugi wypadek, świadczący o bogomyślności Franciszka.

Święta Klara wielce pragnęła przyjąć kiedy posiłek razem ze Ś. Ojcem, w klasztorze Panny Marji Anielskiej, a jednocześnie pomodlić się u stóp tego ołtarza, gdzie poświęciła się Panu Jezusowi na służbę, lecz Święty Patryarcha zawsze jej tego odmawiał. Pewnego jednak razu bracia Franciszka, którzy bardzo poważali Świętą dziewicę, dowiedziawszy się o jej życzeniu, przyszli doń, mówiąc: „Ojcze, zdaje nam się, że surowość twoja względem siostry Klary nie zgadza się z tą miłością, którą Pan Bóg tak wyraźnie sługom swoim nakazał. Dziewica ta święta i umiłowana od Boga, pragnie odwiedzić swojego ojca duchownego, i wspólnie z nim wziąć ubogi posiłek, a ty odmawiasz jej rzeczy tak małej wagi. Zapominasz, że to na twój głos wyrzekła się ona wszystkich dostatków i wszelkich zaszczytów tego świata, gdyby więc nawet o jaką większą prosiła cię łaskę, nie godziłoby się jej odmawiać i zasmucać tę twoją córkę duchowną“. — „Sądzicie więc, zapytał Święty, że powinienem przechylić się do jej żądania?“ — „Tak jest, Ojcze, rzekli bracia, Siostra Klara zasługuje na to, abyś zrobił dla niej, o co cię prosi“. — „Więc i ja tak samo sądzę, odparł Franciszek, i zgadzam się, aby Siostra nasza miała tę pociechę. Niech przyjdzie na obiad do klasztorku Panny Marji Anielskiej. Będąc oddawna już zamkniętą u Ś. Damjana, ucieszy się, że odwiedzi miejsce, w którem, zrzuciwszy suknie świeckie, stała się Oblubienicą Chrystusową: tu więc w Imię Pańskie razem posiłek przyjmiemy“.

Uradowani bracia pobiegli zawiadomić Klarę o czekającem ją szczęściu i rozmówić się o dzień tych nawiedzin. Skoro zaś nadszedł oznaczony ter-

---

[1]) Tamże, T. I, s. 198.

min, Święta udała się do klasztorku Panny Marji Anielskiej, w towarzystwie jednej z Sióstr zakonnych i w otoczeniu uczniów Świętego Męża. Franciszek wyszedł na ich spotkanie i najpierw zaprowadził Klarę przed ołtarz, gdzie niegdyś ostrzygł jej włosy i włożył na nią habit. Tam dość długo modlił się ze swoją córką duchowną, dziękując Bogu za łaski tak obfite, jakiemi ją od owej chwili obdarzył, a prosząc Matki Boskiej, aby ją i nadal w swojej szczególnej opiece wraz z całem jej zgromadzeniem mieć raczyła. Potem kazał Ś. Klarę z jej towarzyszką oprowadzić po klasztorze, aby się przypatrzyły jego ubóstwu i przekonały, że klasztorek Panny Marji Anielskiej w niczem pod tym względem nie ustępował ubogiemu klasztorkowi Sióstr u Ś. Damjana. Tymczasem bracia przygotowali wszystko do obiadu, jak zwykle, na ziemi. Kiedy nadeszła godzina posiłku, Święty Ojciec usiadł z jednym ze swoich towarzyszów, a Klara ze swoją towarzyszką, reszta zaś braci umieściła się wokoło. Zaraz przy rozpoczęciu tej pokutnej biesiady, Ś. Patryarcha zaczął mówić o Bogu, tak słodko, tak wzniośle, tak cudnie, że na wszystkich spłynęła obfitość łaski Boskiej i porwani zostali w zachwycenie. Gdy tak trwali w tym zachwycie, z oczami i rękami wzniesionemi ku niebu, mieszkańcy Assyża, Betony i sąsiednich miasteczek zobaczyli, że kościół Panny Marji Anielskiej, klasztor i otaczający go lasek stoją w płomieniach. Rzucili się więc na ratunek, sądząc, że naprawdę wszczął się tam wielki pożar. Jedni wpadali przez furtę, drudzy, włażąc dla prędkości przez mur, dostali się do klasztoru i wreszcie do refektarza, gdzie ujrzeli Ś. Franciszka i Ś. Klarę wzniesionych w powietrze, a jej towarzyszkę i wszystkich braci w stanie zachwycenia, wcale nie widzących owego tłumu, ani słyszących czynionego przezeń hałasu. Wówczas poznali oni, że był to Boski, nie materjalny ogień, zesłany cudownie dla okazania i przedstawienia ognia miłości Bożej, którym płonęły dusze tych świętych zakonników i mniszek. Nie śmiejąc wymówić ani słowa, aby nie przerywać tego zachwytu, odeszli z wielką pociechą i zbudowaniem, i rozpowiedzieli innym owe cuda, na które patrzyli. Po długim czasie Franciszek Ś. i Klara, oraz inni współbiesiadnicy ocknęli się, lecz tak byli zasileni pokarmem duchownym, że nikt nie wspomniał, ani nie tknął przygotowanego posiłku. Rozeszli się przeto z błogosławionej i cudownej uczty i święta opatka wróciła z towarzyszką do swego klasztoru [1]).

[1]) Tamże, T. II, s. 130.

Jak naśladować Franciszka w bogomyślności.

Umysł człowieka idzie za jego sercem. Co kto kocha, o tem rad i myśli: Rolnik o swojem rolnictwie, kupiec o kupiectwie, i nie robi im to najmniejszej trudności; nie potrzebują się do tego przynaglać, bo kiedy jedzą nawet, to o tem myślą i o tem śnią, gdy spoczywają. Zakochany ciągle ma na myśli przedmiot swojej miłości; wszystko mu go przypomina, wszystko też sam odnosi do niego, wszędzie pisze imię ukochanej istoty. Tak, kto szczerze miłuje Boga, już przez to samo staje się bogomyślnym. Nic go innego nie zajmuje, każde stworzenie przypomina mu przymioty ukochanego Stworzyciela, w każdem widzi odbicie Jego obrazu, wszystko, co w życiu przeszedł, przypomina Jego dobrodziejstwa i pobudza go raz do uwielbień, drugi raz do wdzięczności, to znów do współczucia. We wszystkiem, co go spotyka, widzi tylko miłość Bożą i dobroć Jego i opiekę ojcowską, objawiającą się w przeróżny sposób. Uczmy się przeto poglądać okiem wiary na cały świat stworzony i na wszystko, co się z nami dzieje; uczmy się żyć w Bogu i wszystko do Niego odnosić, a wtedy wszędzie znajdziemy pole do podniesienia serca do Boga, wtedy wszystko, co ziemskie, zmaleje przed nami, i na skrzydłach tej bogomyślności wznosić się będziemy ciągle do Boga, do nieba, i tu już na ziemi rozpoczniemy żywot niebieski.

Jak go naśladowali jego synowie i córki duchowne.

Ś. Antoni Padewski. (1231 r.).

Jeszcze jako młodzieniaszek, święty Cudotwórca szukał Boga z całym zapałem miłości, a znalazłszy Go na wyżynach Kalwarji, przylgnął do Niego tak mocno, że w 25 roku życia zapragnął oddać dla Niego krew swoją, i w nadziei otrzymania korony męczeńskiej, udał się na misję. Gdy nie stało się według jego woli, uczuł potrzebę, wspólną wszystkim Świętym, usunięcia się od stworzeń i rozmawiania sam na sam z Niebieskim Miłośnikiem. Spragniony był milczenia i światła, gdyż czuł coraz większą żądzę miłości, miłości bez granic i poświęcenia bez zastrzeżeń. Bracia Mniejsi posiadali dwa rodzaje domów: wielkie klasztory, w pobliżu ludnych miast, i małe klasztorki, czyli pustelnie w samotniach leśnych. Jedna z takich pustelni, ceniona więcej niż inne, znajdowała się w Monte-Paolo, w pobliżu miasta Forli, na pochyłości Apeninów. O tę właśnie prosił Antoni i w tej otrzymał prawo zamieszkania. Tam, wśród

gęstwiny sosen odkrył on dziką jaskinię, zamkniętą na próżne wieści ze świata, wyżłobioną w skale, z otworem na horyzont, co tak wielce podoba się duszom bogomyślnym. Wspomnianą grotę zajmował inny brat zakonny, ale mu jej chętnie ustąpił. Święty spędzał w niej część dnia, od jutrzni aż do wieczornej konferencji. Kawałek chleba i kubek wody świeżej stanowiły całe jego pożywienie. Umartwiał ciało swoje, aby je poddać duchowi, obchodząc się z niem surowo, bez miłosierdzia. Jego blada cera i policzki zapadłe od postów, świadczyły o surowości walki. Kolana uginały się pod ciężarem ciała i nieraz potrzebował ręki braterskiej, aby nie upaść na drodze. Spędził on około roku w tej Tebaidzie wśród najostrzejszych umartwień, których świadkami byli tylko Aniołowie. Był to dla niego rok szczęścia! Z surowością bowiem pokuty łączyły się rozkosze kontemplacji. Jego ręka przepisywała psalmy Dawida, do których dodawał objaśnienia mistyczne, właściwe kaznodziejom. Umysł karmił się treścią ksiąg Bożych, dusza upajała się krwawem widzeniem Ukrzyżowanego, a serce zagrzewało się coraz więcej myślą o ofierze i poświęceniu. Na szczytach gór nieprzystępnych, wśród ciszy wiecznych śniegów, powstają i łączą się potoki, mające użyzniać doliny. Samotnie gór są również źródłem powołań opatrznościowych. Samotność daje im natchnienie, kształci charaktery i poprzedza działalność. Z jaskini wyszedł Ś. Franciszek Seraficki, odnowiciel świata w wieku XIII, a przed nim Ś. Bernard, Ś. Norbert, Ś. Benedykt. Z jaskini także wychodzi potężny Cudotwórca, który miał poruszać ludy zachodnie: bogomódlca z Monte Paolo już był dojrzał do swej misji i na znak woli Bożej opuścił swą kryjówkę, aby rozlewać dokoła siebie potoki światła i miłości [1]).

Bł. Lukezjusz, 3 Zak. (1241 r.).

Ten pierworodny syn Ś. Franciszka w Trzecim Zakonie, obok uczynków miłosiernych, poświęcał dużą część nocy na modlitwę, w dzień zaś, pełen troskliwości o swoich ubogich, pamiętał, że Bóg na niego patrzy i łączył się z Nim aktami strzelistemi. Tak więc życie jego było ustawicznem rozmyślaniem: siedząc, stojąc, w podróży, wśród prac pochłaniających nie przerywał bynajmniej modlitwy, nie tracił z oczu Jezusa Chrystusa, swojego Ojca i Pocieszyciela. Myśl o Nim i o Jego przykładach zapalała ciągle jego serce do miłości, a był nią tak przejęty, że ubodzy znikali przed nim, on widział tylko Jezusa, przedmiot najtkliwszych swoich starań i ciągle z Nim rozmawiał. Nic przeto dziwnego, że Bóg nagrodził go wielkiemi łaskami, jak zachwyty, uniesienia, porywy, jednem słowem dał mu przedsmak radości niebieskich, a wreszcie oznajmił mu chwilę zgonu. Uszczęśliwiony Lukezjusz wezwał do siebie swego spowiednika, O. Aldobrandini, Brata Mniejszego, a gdy ten kazał mu się przygotować do ostatniej podróży, jaka go niebawem czekała, rzekł: „Mój drogi Ojcze; gdybym aż do dzisiaj zwłóczył był z przygotowaniem, jeszczebym nie zwątpił, wiedząc, jak wielkie jest miłosierdzie Boskie; więc i teraz nie będę się bał w obliczu śmierci i Sędziego mego". Poczem, wznosząc wzrok ku niebu, dodał: „Składam dzięki Bogu Wszechmogącemu, Najśw. Marji Pannie, Błogosławionemu Ojcu mojemu, Franciszkowi i Wszystkim Świętym, za to, że nie przez swoje zasługi, ale mocą zasług Jezusa Chrystusa, jestem wolny od wszelkich przywiązań ziemskich i oderwany od wszystkich zasadzek piekła". A przyjąwszy Sakramenta ŚŚ., zasnął spokojnie, wśród modlitw zakonników, przybyłych na wieść o jego konaniu, 28 kwietnia r. 1241 [1]).

Bł. Humiljanna Czerki (Cerchi), 3 Zak. (1246 r.).

Zostawszy wdową, Humiljanna ukryła się w mieszkaniu swego ojca i rozpoczęła życie najsurowszych ćwiczeń klasztornych, ale że to ściągnęło na nią oburzenie rodziny, zamknęła się w wieży przy tymże domu ojcowskim, gdzie już mogła swobodnie oddawać się modlitwie i umartwieniom. Ojciec pozwolił jej mieć przy sobie służącą i wyznaczył stałą pensję na jej wydatki. Święta uczyniła sobie z tej wieży celkę i klasztor; opuszczała ją tylko, aby pójść na nabożeństwo kościelne i na kazanie, oraz by nawiedzić ubogich; a skoro się znalazła znowu w swej samotni, milcząca i cicha zatapiała się w bogomyślności, którą zaledwie krótkim snem przerywała. Głównym przedmiotem jej długich rozmyślań były tajemnice życia Pana Jezusa, a nadewszystko gorzka Jego Męka. Na wspomnienie Ukrzyżowanego zalewała się łzami, jak niegdyś Ś. Franciszek z Assyża, pragnęła gorąco przelać krew za Niego, ponosić największe cierpienia i nic pod tym względem nie zdołało jej zaspokoić. Oprócz kilku postów 40-dniowych, pościła jeszcze cztery, a nawet pięć dni w tygodniu, biczowała się i nosiła włosiennicę, dopóki spowiednik, ze względu na stan jej zdrowia, nie zakazał jej tego. Po przyjęciu Komunji Ś. Błogosławiona, pło-

[1]) Saint Antoine de Padoue par Léopold de Chérencé, Cap.

[1]) L'aur. séraph., T. II.

nąca miłością, tonęła we łzach, a rozkoszując się Boskim Gościem, który spoczywał w jej sercu, unikała najmniejszego roztargnienia i niepotrzebnej rozmowy. Wtedy nawet, gdy powracała już do wieży, pilnie czuwała nad zmysłami, by nie utracić zjednoczenia z Panem i Oblubieńcem swoim Niebieskim.

Razu pewnego zapytał ją spowiednik, O. Michał Alberti, jakie środki dopomogły jej najwięcej na drodze uświątobliwienia, na co odebrał odpowiedź, iż trzy rzeczy, według jej zdania, ściągały na nią błogosławieństwo Boże: miłosierdzie dla ubogich, wzgarda samej siebie i zupełne spuszczenie się na Boga.

Tak upłynęło lat sześć i Humiljanna, spędziwszy je w największych umartwieniach, które z bohaterską odwagą zadawała ciału i żądzom swoim, w 27 roku życia doszła do najwyższej bogomyślności i zjednoczenia z Bogiem; Bóg też gotował już dla niej wiekuistą nagrodę. Trudno opowiedzieć, ilu szczególniejszemi łaskami była obsypaną przez czas swej ostatniej trzymiesięcznej choroby. Aniołowie, Święci Pańscy, sam Zbawiciel nawet i Jego Najświętsza Matka przychodzili ją nawiedzać i osładzali jej długie cierpienia. Błagała zawsze Boskiego Oblubieńca o dwie rzeczy: aby mogła umrzeć samotna, w opuszczeniu od swoich i w dzień poświęcony Matce Bożej. Oba te życzenia zostały spełnione. W sobotę przyjęła ostatnie Sakramenta Święte z rąk kapłana z zakonu Braci Mniejszych i w tenże dzień, pełna radości i nadziei, poszła po nagrodę do Boskiego Oblubieńca, 19 maja 1246 r. [1]).

Ś. Róża z Witerbu, 3 Zak. (1252 r.).

Mając osiem lat, Róża z Witerbu wzniosła się już była do wysokiej bogomyślności. Idąc za natchnieniem Ducha Przenajświętszego, zamknęła się w celce w domu rodzicielskim, gdzie dnie całe i większą część nocy trwała na rozmyślaniu. Jej czysta duszyczka, zdala od gwaru świata tak się zatapiała w Bogu, że zdawała się o niczem nie wiedzieć i nie słyszeć. Rodzice lub obcy otwierali niekiedy ukradkiem drzwi do jej celi, aby się napatrzeć na jej anielską żarliwość, i najczęściej zastawali ją zupełnie nieruchomą, jakby bez życia. Ciało świętej dzieweczki było wówczas nieczułe i próżno usiłowano przyprowadzić ją do zmysłów. Czasami wiele godzin, a nawet i cały dzień upłynął, zanim wyszła z zachwycenia i odzyskała władzę i życie [2]).

[1]) Ibidem. [2]) Sainte Rose de Vitèrbe par Léon de Kerval.

Ś. Klara z Assyża, 2 Zak. (1253 r.).

Jak wszystkich Świętych, tak i Klarę modlitwa podtrzymywała w życiu, oświeżała i zasilała, nie dozwalając upaść pod ciężarem krzyżów i zalewając pociechami, których nie znają ludzie światowi. Święta dziewica lubiła się jej oddawać.

Ogień miłości, palący jej duszę, objawiał się w całej jej osobie. Gdy wychodziła z oratorjum, słowa jej, niby iskry miłości Bożej, rozpalały serca Sióstr i zamieniały im w słodycz wszystkie gorycze umartwienia. Błogosławiona Agnieszka, krewna Serafickiego Patryarchy, widziała razu pewnego kulę ognistą, której promienie oświecały twarz Świętej i nadawały jej wyraz prawdziwie seraficzny [1]).

Bł. Liberat z Lauro, Brat Mniejszy (1260 r.).

Błogosławiony Liberat prowadził życie kontemplacyjne: często całe dnie i noce przepędzał na bogomyślności, a milczenie, samotność i modlitwa były mu tak drogie, że rzadko nawet z braćmi rozmawiał. Zato, gdy musiał odpowiedzieć na czyje pytanie, słowa jego zdawały się być raczej słowami anioła, niż człowieka. Nic dziwnego, że dusza tak doskonała i pałająca miłością Bożą, udarowaną została niezwykłemi łaskami, jakiemi są zachwycenia i porywy miłosne. Umierając, mówił do braci o czekającej go chwale niebieskiej i, pełen świętego ognia, zasnął spokojnie w Panu, około r. 1260.

Ciało zostało przeniesione wraz z relikwjami Bł. Humilisa i Pacyfika, do sąsiedniej miejscowości, Camerino, która od tego czasu otrzymała nazwę San Liberato. Tam właśnie Błogosławiony zaczął odbierać cześć od wiernych, albowiem liczne cuda, otrzymane za jego przyczyną, wsławiły jego imię w tych prowincjach. Cześć jego publiczną zatwierdził Papież Pius IX w r. 1868 [2]).

Bł. Krzysztof z Romanji, Brat Mniejszy (1272 r.).

Ten sługa Boży, chociaż rodem z Włoch, z prowincji Romanji, ma przydomek Krzysztofa z Kaor (Cahors), długo bowiem żył w tem mieście, i tam życie swoje zakończył.

Gdy na początku XIII wieku Szymon de Montfort ze swoimi krzyżowcami pokonał Albigensów, Wilhelm de Kardajjak (Cardaillac), Biskup w Kaor (Cahors), jednej z najbogatszych i najrozleglejszych prowincji francuskich, chcąc zapobiedz dalszemu

[1]) L'aur. séraph., T. III. [2]) Ibidem, T. IV.

szerzeniu się herezji, wezwał na pomoc Ś. Franciszka z Assyża. Seraficki Patryarcha udał się coprędzej w daleką drogę, ale, zachorowawszy, kazał się zastąpić bratu Krzysztofowi z Romanji. Pierwsze jego kazania, jak to wskazują stare akta rządowe, odbyły się w r. 1216. Przez 50 lat z górą nie przestawał cnotami swemi budować tamecznej ludności, która pod wpływem heretyków wróciła do pogaństwa. Z Cahors działalność jego rozchodziła się na Akwitanję, którą zarządzał, jako pierwszy minister prowincjalny i gdzie założył mnóstwo klasztorów swego zgromadzenia. Domy te przez długie wieki były ogniskami świętości. Porywał on tłumy nie przez wymowne słowa, ale przez swoją niewyczerpaną dobroć, anielską słodycz, poświęcenie heroiczne, a także i przez świetne cuda. Pokojowy zdobywca serc umiał je wyrwać obrzydłemu komunizmowi i przywieść do zasmakowania w czystych zasadach chrystjanizmu.

Dar modlitwy, którym w wysokim stopniu był obdarzony, stawiał go w łatwych i ciągłych stosunkach z niebem. Kilka razy znaleziono go w celi, zatopionego w Bogu, z twarzą przemienioną, albo zalaną łzami. Wielki miłośnik samotności, na wzór Serafina z Assyża, swego wodza i mistrza, wystawił sobie w pobliżu rzeki Lot małą chatkę i w niej oddawał się kontemplacji rzeczy Boskich lub pracy ręcznej. Miał szczęście, że nawiedziła go tam sama Bogarodzica ze Ś. Anną, obydwie najmilsze jego patronki. Codziennie odprawiał Mszę św. z zapałem, przenikającym do głębi wszystkich obecnych. Pewnego razu, gdy sługa Boży przystąpił do ołtarza, zauważono, że natychmiast świece same zgasły, po chwili zaś cudowny jakiś ogień zstąpił z nieba i znowu je zapalił. Często także biały gołąbek spuszczał się na jego głowę i spoczywał na niej w czasie Ofiarowania i Podniesienia Hostji Najśw.. Umarł Krzysztof w Cahors, ostatniego października 1272 roku, a więc w wigilję Wszystkich Świętych, o pierwszej w nocy, mając lat 99, z których 55 zakonnych. W tę noc rozmawiał jeszcze z braćmi o Królestwie Bożem, nauczał ich i utwierdzał słodkiemi słowy, a udzieliwszy im błogosławieństwa, zamknął oczy na wieki.

Dowiedziawszy się o zgonie Świętego, lud tłoczył się do zwłok, aby je zobaczyć, dotknąć i zdobyć po nim jaką pamiątkę. Cały habit pocięli mu na kawałki, i ledwo że straż ustawiczna zdołała go obronić. Po trzech dniach, kiedy tłum trochę odpłynął, złożono go ze czcią w grobach kościelnych. Cuda, otrzymane za przyczyną Krzysztofa nietylko w mieście Cahors, ale i w najdalszych okolicach, są tak liczne i wielkie, że można stąd wnosić o jego chwale niebieskiej. Dnia 11 kwietnia 1905 r. Święta Kongregacja Obrzędów potwierdziła cześć, którą wierni od niepamiętnych czasów oddawali Błogosławionemu [1]).

Bł. Dawanzat, kapłan, 3 Zak. (1295 r.).

Bł. Dawanzat, wiedząc, że jako kapłan zda kiedyś surowy rachunek za dusze powierzone jego pieczy, postanowił wiele i gorąco się modlić, a jednocześnie pracować nad sobą. Tylko bowiem Święty może innych uświęcać. Szukał więc, o ile to było możebne, samotności, i oddawał się modlitwie, opuszczając ją tylko dla obowiązków swego stanu. Officium odmawiał zazwyczaj klęcząc u stóp ołtarza; podczas Najśw. Ofiary zalewał się łzami, co wszystko, zdradzając jego głęboką miłość, wpływało bardzo dodatnio na obecnych. Ciało trapił ustawicznie postami, czuwaniem, dyscypliną i innemi ćwiczeniami pokutnemi [2]).

Ś. Małgorzata z Kortony, 3 Zak. (1297 r.).

Ta święta pokutnica ostatnie dziewięć lat spędziła na bogomyślności, jakby wynagradzając Stwórcy za tyleż czasu przebytego w występkach. Jak ongi Marja Magdalena wśród skał prowanckich, tak w XIII wieku Małgorzata w pustelni na górze Ś. Idziego pod Kortoną, zasyłała swe modły do Pana i Boga swego, uwielbiała Go i oddawała Mu miłość za miłość. Była ona wtenczas pośredniczką między niebem a ziemią, głosem wołającym o miłosierdzie dla żywych i umarłych, dla Kościoła wojującego i cierpiącego. Przedewszystkiem polecała Bogu Jego Zastępcę, który kierował łodzią Piotrową, następnie Kortonę, przybraną swoją ojczyznę, swoich dobrodziejów i nieprzyjaciół, wreszcie wszystkich, nie wyłączając nikogo. Modliła się o nawrócenie heretyków i o rozwój Królestwa Chrystusowego, a modlitwa jej wznosiła się na dwóch skrzydłach: umartwienia i miłości. Gdyby skały Apeninów umiały mówić, ileżby opowiedziały umartwień i ofiar Świętej, ile odkryły łez wylanych za dusz zbawienie! Ale to wyjawi się dopiero w dzień sądu ostatecznego. My wiemy tylko, że samotność przerażała ją nieraz i że ciało wzdrygało się przed umartwieniem, ale duch, krzepiony myślą o Męce Chrystusowej i o przyszłem szczęściu — zwyciężał. Niekiedy sam Pan Jezus przybywał pocieszyć swoją sługę. I tak 21 lipca, w wigilję uroczystości Ś. Marji Magdaleny, ukazał się jej w towarzystwie tej Świętej i mnóstwa aniołów, mówiąc: „Czy widzisz tę, której przebaczyłem w domu faryzeusza? Ta szata

---

[1]) Annales franciscaines, 1905. [2]) Ibidem.

ze srebra na jej ramionach; te djamenty w jej koronie, ta chwała, co ją otacza, jest to cena jej pokut w Sainte-Baume". Wzmocniona tem widzeniem, pokutnica wzięła się z nową odwagą do ćwiczeń bogomyślnych, do ofiar, płacząc za ówczesne zbrodnie, i gotując sobie wieniec nieśmiertelny w wieczności. Dzień i noc modlitwy jej płynęły do tronu Najwyższego, łagodziły gniew Boży i sprowadzały potoki łask na ziemię. Już Ś. Jakób Apostoł powiedział, że wiele może ustawiczna prośba sprawiedliwego [1]). Sprawdziło się to na Małgorzacie. Historycy miejscowi zaznaczają, że dzięki modlitwom Świętej, Kortona uszła wielu klęsk i doznała wielu cudów. Zbawiciel zapewnił raz swoją sługę: „Wszystko, o co poprosisz Ojca mego w Imię moje — otrzymasz. Kortona zasłużyła na to, aby być ukaraną, lecz że ma cześć i miłość dla ciebie, oszczędzę ją i usunę klęski, które dla niej zgotowałem. A uczynię tak każdemu, kto będzie cię miłował i bronił. Błogosławić będę tym, którzy cię błogosławią, a przeklnę tych, którzy cię przeklinają". W jakiś czas potem odnowił tęż obietnicę bez żadnego zastrzeżenia. „Wysłucham i pobłogosławię każdego, kto wzywać cię będzie" [1]).

Ś. Elzear de Sabran, 3 Zak. (1327 r.).

Do wieku pełnoletności, Eleazar, jakkolwiek żonaty, zostawał pod opieką swego dziadka, tak, że młodzi małżonkowie nie mogli się sami rządzić. Radość więźnia wychodzącego z lochu niczem jest w porównaniu z ulgą, jakiej doznali Elzear i Delfina, widząc się wolnymi od pęt, które ich dotychczas krępowały. Stawszy się panami swej woli, chyżym krokiem biegli po drodze doskonałości. Tam, gdzie świat pragnął związku dwóch znakomitych rodzin, Pan Bóg zjednoczył ze sobą dwie dusze, wspomagające się nawzajem radą, światłem, modlitwą, aby dojść do Niego, a Duch Święty mieszkał z upodobaniem w tych wybranych przez się świątyniach. Pokuty, modlitwy, oraz inne uczynki miłosierne wypełniały cały dzień świętych małżonków; ich pokój był prawdziwą kaplicą. Pewnego dnia O. Jan Juljan z Riez, Brat Mniejszy, pytał Elzeara, jakiego sposobu używa w modlitwie i który Święty jest jego patronem. „Mój Ojcze, odpowiedział młodziutki hrabia, za Orędowniczkę wybrałem sobie Najśw. Marję Pannę, a zabierając się do modlitwy, rozważam swoją niegodność i nędzę, poczem zwracam się do tej Matki miłosierdzia i proszę Ją najpokorniej, aby raczyła w serce i w usta moje włożyć to wszystko, co się Jej samej i Boskiemu Jej Synowi podoba. W tej intencji odmawiam jedno Zdrowaś z możliwie największą żarliwością i zawsze znajduję nowe sposoby rozmawiania z Panem Bogiem". Piękny to przykład dla dusz, doznających trudności na modlitwie!

Elzear żył w tak ustawicznem zjednoczeniu ze Stwórcą, że nie przerywały go ani posiłek, ani rozmowa, ani nawet światowe rozrywki, w których zmuszony był uczestniczyć. Z jaką zaś pobożnością przyjmował Ciało Pańskie, możemy wnosić z tego, co piszą jego historycy, że Hostja konsekrowana miała dlań smak niezwykle słodki, co Elzear brał za wezwanie Boże do częstej Komunji Świętej [1])

Bł. Joanna Marja Maillé, 3 Zak. (1414 r).

Opuściwszy szpital w Tours na żądanie zakonnic, Joanna Maillé znalazła się bez dachu i bez opieki, ale nie złamało to jej ducha. Ufna w Opatrzność Boską, weszła do kościoła, by u stóp tabernaculum zaczerpnąć sił i odwagi do dalszych cierpień. Wzmocniwszy się długą modlitwą, chciała już odejść, gdy naraz dał się słyszeć głos, wołający za nią: „Czemu to, córko najmilsza, już mnie opuszczasz?" Odtąd przepędzała całe prawie noce w kościołach, dzieląc czas między modlitwę, medytację i czytanie pobożnych książek. Bóg zaś napełniał jej duszę weselem i nadziemskiemi pociechami, płacąc obficie za zniewagi, które przeszła: Widziano ją w zachwyceniu, unoszącą się w powietrze, na dwa łokcie od ziemi, często też miewała objawienia Matki Boskiej i Świętych. Ostatnie 27 lat życia swego Błogosławiona mieszkała w ubogiej izdebce, niedaleko kościoła Franciszkanów, którzy byli jej kierownikami duchownymi. Żyjąc, jak oni, z jałmużny, nie opuszczała ćwiczeń i nocnego czuwania. Każdą delikatniejszą potrawę oddawała starcom i chorym, sama na chlebie i na surowych jarzynach poprzestając. Ileż to razy w pustym już kościele zostawała sam na sam z Utajonym Panem i oderwać się od Niego nie mogła, a tym, co jej radzili nieco odpocząć, bo się zanadto osłabi, odpowiadała: „W pięciu ranach Zbawiciela jest moje wytchnienie". Jej cześć dla Najśw. Sakramentu była tak wielka, że drżała, zbliżając się do Komunji świętej, potem zaś palił ją ogień miłości, odbijający się żywo na jej obliczu [2]).

Bł. Robert Malatesta, 3 Zak. (1432 r.).

Ten sługa Boży od najmłodszych lat umiłował modlitwę i karcił swoje ciało postami, włosien-

[1]) Jac. 5, 16. [2]) S. Marguerite de Cortone par le R. P. Léopold de Chérencé, Cap.

[1]) S. Elzéar de Sabran et la B. Delphine par Pierre Girard, Tertiaire. [2]) L'aur. séraph., T. II.

nicą i biczowaniem. Serce jego coraz więcej rozpalało się miłością ku Bogu, tak że część nocy upływała mu na rozmowie i wpatrywaniu się w doskonałości Stwórcy. Pokój, który zamieszkiwał, jaśniał często nieziemskiem światłem: objawiał mu się wówczas Pan Jezus i Ś. O. Franciszek. Seraficki Patryarcha, którego Błogosławiony obrał sobie za Patrona, ukazawszy mu się dnia pewnego, pozwolił mu oglądać święte blizny [1]).

Ś. Franciszka Rzymianka, 3 Zak. (1440 r.).

Nawykła od dzieciństwa do ćwiczeń duchownych, Franciszka stała się wzorem świętości, zwierciadłem czystości i niewinności, ale tak mało o tem wiedziała, że wstydziła się samej siebie, sądząc, że jest najbezbożniejszą z niewiast. Gdy przy świetle Bożem rozważała nieskończone przymioty Stwórcy, najmniejsze uchybienia wydawały się jej ciężkiemi grzechami. Stąd ta święta surowość, z jaką obchodziła się ze sobą i stąd owo ustawiczne uniżanie się, ustawiczna modlitwa z rozkrzyżowanemi rękoma, owe potoki łez wylewanych w trybunale pokuty. Wreszcie spowiednik musiał jej zabronić ciągłego płaczu i powiedział, że sam bierze na siebie wszystkie jej winy, jakie popełniła i jakie w przyszłości mogłaby popełnić. Te słowa odniosły skutek. Święta uspokoiła się i żal jej był cichszy, ale tylko co się tyczyło własnych grzechów, bo płakała znowu nad zniewagami, które inni Majestatowi Bożemu wyrządzają. Męka Pana Jezusa była dla niej niewyczerpanem źródłem boleści.. Był to stały przedmiot jej rozmyślań, a współczuła z nią tak bardzo, iż otaczający ją domownicy myśleli nieraz, że skona od bólu. Zdaje się, że nie było to tylko cierpienie duchowe, ale że w członkach swoich doświadczała wszystkich tych mąk Zbawiciela, które w danej chwili miała na oczach. Gdy np. rozpamiętywała przebite ręce Jezusa, natychmiast jej własne ręce zaczynały ją boleć i stawały się bezwładnemi, tak, że nic nie mogły utrzymać; gdy przyglądała się najświętszym stopom, dotkliwy ból ranił jej nogi i nie mogła ani kroku postąpić; przy rozważaniu cierniem ukoronowania i biczowania, czuła kolce w swej głowie, lub zdawało się jej, że ciało odpada z niej kawałkami. Krew płynęła wtedy z nosa i ust, a twarz okrywała się trupią bladością; widziano także nieraz krew broczącą z jej nóg i rąk. Nakoniec zrobiła się jej w boku rana cudowna, a z tej rany wydobywała się woda w takiej obfitości, że trzeba było przykładać chusty i często je zmieniać.

Modliła się z wielkim zapałem, który snać miły był Bogu, kiedy okazywał go nazewnątrz. Pewnego dnia nad modlącą się w kościele Najśw. Panny za Tybrem, w kaplicy ŚŚ. Aniołów, ujrzano światło, rzucające promienie na wszystkie strony. Innym razem twarz jej jaśniała oślepiającym blaskiem, było to niezawodnie odbicie tej przepaści światła, jakie dusza znajduje w kontemplacji.

Tercjarka klasztorna, imieniem Aretina, odbywając każdego roku pielgrzymkę do grobu ŚŚ. Apostołów, zawsze nawiedzała Świętą, dla której miała cześć i szacunek. Przybywszy raz do jej klasztoru, rzuciła okiem na dach jej celki i rozpłakała się, mówiąc do zakonnic: „Czy nic nie widzicie, moje siostry?“ — „Nie, odrzekły tamte, a czy siostra co widzi?“ — „Widzę, odpowiedziała Aretina, zstępującą na tę celę różdżkę złotą, ozdobioną od góry do dołu kwiatami lilji, również ze złota. Ale kto mieszka w tej celi?“ Zakonnice oświadczyły, że jest to małe oratorjum, w którem Franciszka spędza czas na modlitwie. Właśnie oddawała się ona temu ćwiczeniu i Pan Bóg cudem dał poznać doskonałość jej nabożeństwa.

Zaś spowiednik Świętej pisał, że dusza jej była tak zjednoczona z Bogiem, tak pełna Jego obecności, że trudno jej było zająć się czemkolwiek innem. Stąd zdarzało się niejednokrotnie, że, idąc do ogrodu, lub do jakiej izby, zapominała, po co tam szła. Jej zachwyty były prawie ciągłe, co ją przyprawiało o głęboką pokorę, gdyż nic ją tak nie bolało, jak wyjawianie łask niebieskich. Gdy więc czuła się pociąganą do Boga wobec ludzi, czyniła wszystko, co mogła, by temu przeszkodzić, ale zazwyczaj napróżno. Potem znów, by nie okazać po sobie tego, co się z nią dzieje, taki gwałt sobie zadawała, że oczy jej wychodziły z orbit. A kiedy wszelkie usiłowania nie osiągnęły celu, była tak zmieszana, i tak się rumieniła, jakby ją złapano na jakiej zbrodni. Innego rodzaju cierpieniem było dla niej zdawanie sprawy przed spowiednikiem z nadzwyczajnych łask, jakiemi ją Bóg obdarzał. Czyniła to wszakże, nie kryjąc nic i nie tając, bo wiedziała, że Pan tego od niej wymaga [1]).

Ś. Koleta z Korbei, 2 Zak. (1446 r.).

Ś. Koleta ustawicznie modliła się, obracając długie godziny na słodką bogomyślność. Twarz jej promieniała wtedy nieziemskim blaskiem, w celi lub oratorjum robiło się jasno, a ogarniające ją zachwyty trwały nieraz po kilka dni z rzędu. Zazwyczaj rozważała ona wielkie tajemnice Męki

[1]) Ibidem.

[1]) S. Françoise Romaine.

Ś. FRANCISZEK NA MODLITWIE.

ODŁAMEK RZEŹBY ARCHITEKTONICZNEJ Z NAD OŁTARZA W KOŚCIELE Ś. DOMINIKA W ASCOLI, ZNAJDUJĄCY SIĘ DZIŚ W GALERJI NARODOWEJ W LONDYNIE.

Według Karola Crivelli (1430 — 1493 r.).

Pańskiej, poświęcając na to w każdy piątek osiem do 12 godzin. W tych szczęśliwych dla niej chwilach podzielała cierpienia Boskiego Zbawcy. W Wielkim Tygodniu zachwycenie trwało trzy dni i trzy noce, a Święta miała oczy i ręce wzniesione do nieba. W innej okoliczności, kiedy była w Besançon, wpadła w zachwyt, który ciągnął się całe dwa tygodnie; zdawało się, że już nie wróci do zmysłów, lecz odzyskała przytomność na rozkaz spowiednika.

Musimy tu dodać pewien uroczy szczegół. Koleta bardzo pragnęła mieć cząstkę Drzewa Krzyża Św.. I oto życzenie jej zostało spełnione. Ś. Jan Ewangelista wręczył jej złoty krzyżyk, z oświadczeniem, że Pan Jezus przysyła w nim żądaną relikwję.

Przedmiotem jej łez i westchnień było nawrócenie grzeszników i ustanie schizmy, trapiącej Kościół Święty. Pewnego dnia ukazała się ona Ś. Wincentemu Ferrerjuszowi, jak, klęcząc przed tronem Wszechmocnego, żebrała o miłosierdzie dla biednych grzeszników i nie ustawała w tej modlitwie, aż do skutku. Dusze czyścowe, które miały także udział w jej modłach, nieraz przychodziły prosić ją o wstawiennictwo, albo dziękować za otrzymaną pomoc [1]).

Bł. Tomasz z Florencji, Obserwant. (1447 r.).

Wszystkie cnoty zakonne jaśniały w tej duszy, w której miłość równała się pokucie. Bóg podniósł Tomasza do wysokiego stopnia bogomyślności. Wieczorem, zażywszy snu krótkiego, szedł do kościoła na kilka godzin przed Jutrznią i zostawał tam do rana. Szukał również ciszy i samotni leśnej, aby módz swobodnie wzdychać i jęczeć z miłości ku Zbawcy swemu. Bł. Jan ze Stronkonu, jego gwardjan i ojciec duchowny, sprzyjał temu zamiłowaniu skupienia i pozwalał mu chodzić do lasu, przyległego klasztorowi. Błogosławiony przepędzał w nim po trzy, cztery dni z rzędu i tam to dusza jego podnosiła się do najwznioślejszych wyżyn, porywając nieraz za sobą w zachwyceniu i ciało, złamane i wycieńczone pokutą. Niekiedy unosił się w powietrze, aż do wierzchołków najwyższych drzew. Widziano go również wiele razy wśród nocy, otoczonego światłem nadziemskiem. Bóg nie szczędził łask swoich temu sercu, żądnemu wynagrodzenia błędów burzliwej młodości. Syn marnotrawny znalazł na całą wieczność Ojca równie miłosiernego, jak w przypowieści ewangelicznej [2]).

[1]) Żywot Ś. Kolety... [2]) L'aur. séraph., T. IV.

Bł. Archanioł z Katalafimi, Obserwant (1460 r.).

Błogosławiony Archanioł urodził się w Katalafimi w Sycylji, ze szlachetnych rodziców, około r. 1390. Bojąc się od dzieciństwa zasadzek i ułud światowych, szukał samotności wśród skał, gdzie dnie i noce pędził na modlitwie i rozmyślaniu. Jego tkliwa pobożność do Najśw. Panny już wtedy nagrodzona była częstemi nawiedzinami Matki Bożej. Ale światło pod korcem długo ukryć się nie mogło: niebawem tłumy ludu zaczęły się zbiegać do pustelni, a liczne cuda rozgłosiły jego sławę. Święty z miłością patrzył na ten lud, którego potrzeby serdecznie go wzruszały, ale jednocześnie lękał się o siebie, żeby się nie dał uwieść pychą. Aby więc samemu nie zginąć, opuścił to miejsce i udał się do Alkamo, spodziewając się, że tam łatwiej uniknie czci ludzkiej. I tutaj jednak uprzedziła go sława świętości i miasto prosiło go, aby wziął opuszczony szpital pod zarząd.

Służył więc Archanioł biednym chorym, ale że tęsknił ciągle za samotnością, której dusza jego łaknęła, i pragnął jedynie towarzystwa z Bogiem, wynalazł sobie znowu jaskinię i w niej zamieszkał. Kosztował on tam słodkiego pokoju i ciszy niczem niezamąconej, gdy naraz dowiedział się o zniesieniu pustelników w Sycylji przez Papieża Marcina V. Opuścił więc swoją kryjówkę, aby udać się do Palermo, gdzie przyjął habit Obserwantów. Wysłany po profesji do Alkamo, otrzymał od miasta ten sam szpital, którym dawniej na prośby obywateli zarządzał, i przerobił go na klasztor swego zakonu, pod tytułem Najśw. Panny od Jezusa. Tu, podobnie jak w pustelni, jaśniał wysoką pobożnością, pokorą i umartwieniem. Jako prowincjał, przestrzegał ściśle zachowania pierwotnej reguły i bratniej miłości. Gorliwość o dusze wyprowadzała go często z murów klasztornych: obchodząc swoją prowincję, miewał kazania i nawracał wielu grzeszników, wreszcie po wielu latach, spędzonych na umartwieniach i modlitwie, oraz i w pracy apostolskiej, umarł śmiercią świętych w r. 1460. Ciało jego spoczywa w kościele Obserwantów w Alkamo, gdzie słynął tylu cnotami. Liczne cuda, jakie otrzymywali pobożni, udający się do niego z wiarą, sprawiły, że Grzegorz XVI, Papież, zatwierdził cześć, oddawaną mu od niepamiętnych czasów [1]).

Bł. Mikołaj von Flue, 3 Zak. (1487 r.).

Chluba Szwajcarji, Bł. Mikołaj von Flue, był synem pobożnych rodziców w kantonie Unterwal-

[1]) Ibidem.

den. Od lat najmłodszych, pałając miłością ku Bogu, pragnął ciszy i osamotnienia. Pewnego razu, idąc doliną Melchy, spostrzegł na wyniosłości wieżę opustoszałą i zaczął marzyć, jakby mu to było w niej dobrze. Odtąd szukał zawsze miejsc odległych, aby zdala od gwaru ludzkiego duszę swą łączyć z Bogiem w żarliwych modlitwach. Lecz rodzice inne mieli zamiary: pragnęli widzieć syna ożenionym. Z posłuszeństwa tedy poślubił bogobojną niewiastę, z której miał pięciu synów i pięć córek. Najstarszy syn jego został proboszczem w rodzinnem mieście Sachseln. Kilkakrotnie powoływany do broni, Mikołaj walczył ciężko z nieprzyjaciółmi; później zaś, pomimo oporu z jego strony, współziomkowie wybrali go na radcę i sędziego, które to urzędy spełniał wiernie i gorliwie przez lat 19. Praca nie przeszkadzała mu dbać o zbawienie duszy; wstawał wśród nocy i aż do samego rana trwał na modlitwie i w skupieniu. Codzienna modlitwa jego, która stała się popularną w Szwajcarji, zaczynała się od słów: „Boże mój i Panie! Odsuń odemnie to wszystko, co mnie oddala od Ciebie, a daj mi to wszystko, co mnie zbliża ku Tobie". W wieku lat 50-u, podczas gorącej modlitwy, w której zatonął duszą całą, posłyszał głos, mówiący doń te słowa: „Mikołaju, nie trwóż się, ufaj Bogu, nie polegaj na własnych siłach, gdyż mili są Wszechmocnemu ci, którzy Mu służą z zaparciem się i oddaniem!" Natchnienie zaś szepnęło: Opuść to wszystko, co kochasz, a Bóg swą pieczę nad tobą roztoczy. Zrozumiał wówczas, że Bóg żąda, aby opuścił dom własny i rodzinę i, jak niegdyś apostołowie, oddał się całkiem na służbę Jego. Długą i ciężką musiał stoczyć walkę wewnętrzną, zanim zdołał się wyzbyć wszelkich ziemskich przywiązań, lecz, ożywiony łaską, zwyciężył, i zdobył niezłomne postanowienie pójścia za głosem Bożym. Więc najpierw otrzymał pozwolenie żony, od której wziął obietnicę, że pozostałą gromadkę młodszych dzieci wychowa w wierze i bojaźni Bożej. Pożegnawszy rodzinę i miejsca, które ukochał, Święty wyruszył w drogę, boso, w szacie brunatnej, szorstkiej, z różańcem w ręku, bez pieniędzy i bez zapasów. Gdy noc nadeszła, zasnął pod gołem niebem. Podczas snu, zbudził się nagle i ujrzał się otoczonym jarzącem światłem, a uczucie dotkliwego bólu przeszyło nawskroś jego ciało. Od tej chwili nie doznał nigdy w życiu ani głodu, ani zimna. Ostrzeżony przez natchnienie, aby nie oddalał się od stron ojczystych, udał się do doliny Klüster, należącej do jego posiadłości i obrał sobie siedlisko pod dużym klonem; gdy jednak wkrótce zaczęto go odwiedzać, by zobaczyć, jak żyje, i prosić o modlitwę, bł. pustelnik przeniósł się w miejscowość więcej odległą, gdzie właśnie była owa wieża samotna, przedmiot jego młodocianych marzeń. Tam wystawił sobie lepiankę z kory i gałęzi, i spędzał w niej dnie i noce na modlitwie oraz rozważaniu świętych tajemnic, nie przyjmując żadnego posiłku [1]).

Bł. Bartłomiej z Anglare, Obserwant. (1510 r.).

Błogosławiony Bartłomiej urodził się w miasteczku Anglare, dyecezji Arezzo. Pałając miłością Bożą, zapukał do klasztoru na Alwernji i stał się niezadługo jakoby gwiazdą jaśniejącą między Świętymi, którzy zamieszkiwali podówczas ów klasztor. Głównemi jego cnotami były: obserwancja, gorliwość i duch umartwienia i modlitwy. Szczególniej miał wiele pociechy duchownej przy odmawianiu Boskiego Obrządku. Lubił też prowadzić rozmowy o rzeczach Bożych, twarz jego wtedy przemieniała się i godziny płynęły mu niepostrzeżenie. Widywano go nieraz, jak, podniesiony nad ziemię, wpatrywał się w wizerunek Ukrzyżowanego. Dusza tego zakonnika uleciała do raju w piątek 18 marca 1510 r. Ciało złożone zostało pod ołtarzem Najśw. Marji Panny. Kościół od niepamiętnych czasów zatwierdził cześć oddawaną temu słudze Bożemu, pozwolił bowiem, aby relikwje jego były uroczyście wystawione pod wielkim ołtarzem podczas procesji odbywanej wobec Wielkiego księcia Toskanji, Ferdynanda i całego jego dworu [2]).

Bł. Idzi z Lorenzana, Obserwant. (1518 r.).

Bł. Idzi przyszedł na świat w małem miasteczku prowincji Neapolitańskiej, Lorenzana, z rodziców prostych, ale gruntownych chrześcian, którzy go wychowali w bojaźni i miłości Bożej. Trudy ich sowicie się opłaciły: dziecko czyniło tak wielki postęp w cnotach, iż wkrótce wszyscy poczęli je uważać za święte.

W owym czasie Obserwanci założyli klasztor w Lorenzana, a młodzieniaszek wystawił w ich kościele ołtarz Ś. Antoniego, przed którym spędzał długie godziny na modlitwie, doznając pociech, jakich Bóg nie szczędzi duszom czystym i bogomyślnym. By uniknąć niebezpieczeństw świata, Idzi wybrał sobie życie samotne i zamieszkał w małej izdebce, obok kościoła Matki Boskiej. Czas podzielił sobie między modlitwę i pracę ręczną. Pan Bóg, nagradzając jego niewinność, podniósł go do wysokiej bogomyślności i dał mu władzę

[1]) Vie des Saints par Rohbacher. [2]) Wielcy Bollandyści.

nad stworzeniami: ptaszęta zlatywały się do niego i z rąk jego przyjmowały pożywienie. Takie życie, pełne cudów, niebawem ściągnęło tłumy do jego pustelni; wszyscy polecali się jego modlitwom i podziwiali łaski, któremi go Bóg obdarzał. Pokora Świętego wielce się tem zatrwożyła; opuszcza przeto ulubioną swoją pustynię, a chcąc pozorami życia pospolitego pokryć nadzwyczajne łaski Boże, idzie na służbę do pewnego rolnika, sąsiada klasztoru OO. Obserwantów w Lorenzana. Lecz i tu nadnaturalnych objawów Bożego działania ukryć nie zdołał. Wszyscy widzą, jak większą część dnia przepędza w kościołku klasztornym, a mimo to uprawa roli mu powierzonej tak się posuwa, jakby nad nią całe dnie najpilniej pracował.

Przekonawszy się o tym cudzie, chlebodawca uwalnia go od służbowych zobowiązań i zostawia mu zupełną swobodę całkowitego poświęcenia się Panu Bogu. Uradowany Idzi, młody jeszcze wiekiem, obleka się w ubogi habit S. Franciszka. W klasztorze, pełniąc urząd ogrodnika, zbudował sobie w ogrodzie ubogą chatkę, którą przełożeni pozwolili mu zamieszkać, aby mógł swobodnie oddawać się ćwiczeniom bogomyślności i pokuty. Tutaj Błogosławiony prowadził życie niebiańskie. Widziano go nieraz podniesionego nad ziemię, zatopionego w modlitwie. Ptaszki przylatywały do jego celki i pomagały mu śpiewać na cześć Stwórcy. Darem cudów i proroctw, skutecznością swych modlitw i gorliwością swych napomnień wiele dusz pozyskał i wprowadził na ścieżki zbawienia. Zasnął w Panu świątobliwie, w klasztorze Lorenzana, dnia 10 stycznia 1518 r. W sześć lat po śmierci znaleziono jego ciało giętkie, jak żywe i nie w postaci leżącej, jak był pochowany, lecz na kolanach, obrócone twarzą do Przenajświętszego Sakramentu i trzymające w ręku koronkę do Matki Boskiej. Odtąd liczne cuda działy się przy jego grobie; ludzie zaczęli mu oddawać cześć publiczną, a miasteczko rodzinne wybrało go sobie za patrona. Ojciec Święty Leon XIII tę cześć Bł. Idziego uroczyście potwierdził w r. 1880. Święto jego obchodzą tylko Obserwanci, czyli, jak dzisiaj, Bracia Mniejsi Zjednoczenia Leonowego [1]).

Bł. Gabryel Marja, Obserwant. (1532 r.).

Wstąpiwszy do zakonu, Gabryel lubił niezmiernie służyć do Mszy św. i używał nawet małych fortelów, aby zastępować w tem ćwiczeniu innych braci. Chował np. ich komże, książki, pierwszy przychodził zawsze do chóru, a ostatni wychodził, prosząc Boga, aby przez zasługi tylu świętych kapłanów, i jego modlitwy zostały łaskawie przyjęte. Mistrz nowicjatu musiał go raczej powstrzymywać, aniżeli zachęcać na drodze doskonałości. Po złożeniu profesji jeszcze szybsze czynił postępy w cnocie, długo się modlił, rozpamiętywając Mękę Pańską i Boleści Marji. Miał tak wielkie nabożeństwo do N. Sakramentu, że twarz jego zmieniała się w zachwycie podczas Mszy św., a obfite łzy wzruszały serca wiernych [1]).

Bł. Jan Chrzciciel z Fabriano, Obserwant. (1539 r.).

Jan Chrzciciel Righi, potomek znakomitej rodziny w Fabriano, przyszedł na świat w r. 1469. Spędziwszy dziecięce lata i młodość w pobożności, oraz na dobrych uczynkach, zapragnął wstąpić do Braci Mniejszych. Po złożeniu ślubów i przyjęciu kapłaństwa, spędził niemal całe swe życie w Massacio, dzisiaj zwanem Kupramento, w pustelni Romita, gdzie leśna jaskinia służyła mu za celkę. Oddawał się tam rozmyślaniu, czytywał dzieła Ojców Świętych i ćwiczył się w pokucie. Wyniszczony umartwieniami, więcej aniżeli wiekiem, zmarł 11 marca 1539 r. Dzwon kościelny sam uderzył, dając znać o jego zgonie. Przybiegli zakonnicy i znaleźli ciało Jana już bez życia, ale oślepiającej białości. Od tego dnia sława jego rozchodziła się i wzrastała coraz więcej, a cuda wszelkiego rodzaju, otrzymywane przy grobie, ściągały tłumy wiernych. To skłoniło Biskupów z Kamerino, Fabriano i Aesina, oraz władze cywilne z Kupramento, by wspólnie z Generałem zakonu i Postulatorem do spraw Świętych franciszkańskich, przedsięwzięli kroki do beatyfikacji Jana Chrzciciela. Usiłowania ich zostały uwieńczone skutkiem, mianowicie Pius X dekretem z dnia 7 września 1903 r. zatwierdził cześć, od dawien dawna mu oddawaną [2]).

Bernardyn z Arevalo. (1550 r.).

Przyjąwszy habit w rodzinnem swem mieście, po odbyciu tamże roku nowicjatu, przeniósł się za pozwoleniem przełożonych do domu rekolekcyjnego tej prowincji. Tam to oddał się bogomyślności i ostrej pokucie. Sypiał na słomie wprawdzie, ale tylko do Jutrzni, a potem już nie wychodził z kościoła, gotując się do Mszy św., którą równo z brzaskiem dnia z nadzwyczajną pobożnością odprawiał. Gdy był w drodze, prosił towarzyszów, aby go wyprzedzali, a to dlatego, żeby

[1]) L'aur. séraph., T. I.

[1]) Ibidem, T. III. [2]) Le Petit Messager de St. François, 1905.

mógł swobodniej rozmawiać z Panem Bogiem. Pokarm jego stanowił chleb suchy, zioła i woda, jednym też i to grubym i starym kontentował się habitem. Z miłości ku Bogu radby był życie ponieść w ofierze: dzień i noc spędzał u stóp Tabernakulum, pragnąc uwielbiać Go i kochać za wszystkich ludzi, którzy tego obowiązku nie spełniają [1]).

Ś. Piotr z Alkantary, Obserwant bosy. (1562 r.).

Modlitwa w życiu tego wielkiego Świętego zajmowała wydatne miejsce. Zawsze i wszędzie, w dzień i w nocy, w celi, w kościele i na drogach, Piotr z Alkantary modlił się i zjednoczony był z Bogiem. Szatan używał różnych środków, aby go odwieść od tego ćwiczenia: chcąc go przerazić, przybierał nawet postacie widzialne i ukazywał mu się w strasznych kształtach; czasami znowu rzucał nań kamienie tak wielkie i w takiej ilości, że pokrywały całą podłogę, a pochodzący stąd hałas budził zakonników. Święty jednak nie obawiał się tego wcale i dalej trwał na bogomyślności, tak że stał się jednym z największych mistrzów życia duchowego [2]).

Ś. Paschalis, Obserwant bosy. (1592 r.).

Ten święty braciszek od dzieciństwa miłował Pana Jezusa utajonego w Hostji, a Pan Jezus widocznie pociągał go ku sobie. Pewnej niedzieli pobożna matka Paschalisa wzięła kilkomiesięczną dziecinę do kościoła na sumę. Rozpoczęło się nabożeństwo i dziecię po raz pierwszy miało ujrzeć Hostję Świętą. Przez cały a długi czas trwania sumy, Paschalis przyglądał się z zajęciem i uwagą każdemu ruchowi kapłana. Oczęta jego nie odrywały się od ołtarza i kiedy celebrans podniósł Najśw. Hostję, a wierni padli na kolana, on cały zadrżał na rękach matki. Co się z nim stało w tej chwili błogosławionej — niewiadomo. Są to tajemnice nadprzyrodzone, które Bóg sprawia w najskrytszych zakątkach duszy, a których nikt nie może przeniknąć. Przypuszczać należy, iż moc tajemna wyszła z Hostji i wstąpiła w duszyczkę dziecięcia. Odtąd czuł on się dziwną mocą pociągany do kościołów i największa dlań była radość, gdy matka zabierała go ze sobą na Mszę świętą. A kiedy mógł już chodzić o własnych siłach, jak tylko zostawiono go w domu, szedł do przybytku Pańskiego i wczołgawszy się na stopnie wielkiego ołtarza, klękał lub przysiadał na nóżkach i wlepiał swoje oczęta nieruchomie w Tabernakulum. I czynił tak ciągle, pomimo napomnień i próśb rodziców, dopóki nie zrozumiał, że źle robi, nie słuchając ojca i matki. Gdy w czasie niedozoru znikał z mieszkania, wiedziano już, gdzie go szukać.

I później, jako pasterz i zakonnik, rozkoszował się modlitwą. Przy każdej robocie dusza jego biegła do utajonego Jezusa i rozpływała się przed Nim w miłości. W zachwyty wpadał ustawicznie. Dosyć było, aby ukląkł do modlitwy, a już go przytomność opuszczała; czasami zdarzało się to i przy zajęciu, gdy kopał ogród, lub w refektarzu, gdy obnosił kosz z chlebem. Mówił rzeczy wzniosłe o różnych stopniach modlitwy i nieustannie zachęcał do tego świętego ćwiczenia, wskazując milczenie jako najkonieczniejszy środek do postępu w tej rzeczy. Lektorom i kaznodziejom, pochłaniającym książki i różne dzieła krasomówcze, radził, aby więcej modlili się, niż uczyli, jeśli z nauki swojej chcą więcej skorzystać dla samych siebie i poruszyć serca słuchaczy. Ale najgorętszą miłość Paschalis czuł zawsze dla Najśw. Sakramentu. Modląc się przed Nim, odchodził od zmysłów i nieraz widywano go wtedy unoszącego się w powietrzu.

O każdej godzinie dnia i nocy można go było znaleźć w kościołku klasztornym, zatopionego w modlitwie. Jeśli tylko miał chwilę wolną od zwykłych obowiązków, mówią „Akta Świętych", czuł się wprost pchanym gwałtem do kościoła, szedł więc tam setki razy i setki razy powracał do furty, aby otworzyć dzwoniącym. Zawsze pierwszy na Jutrzni nocnej, ostatni wychodził z chóru i po kilku godzinach odpoczynku, już był na nogach i szedł do Umiłowanego. Kto mógłby opisać jego miłość, gdy klęczał przed ołtarzem! Zazwyczaj, przychodząc do kościoła, padał twarzą na ziemię, a potem, podniósłszy się, klęczał z rękami rozkrzyżowanemi i nieruchomo wpatrzony w Tabernakulum. Jednego roku w Wielki Czwartek widziano, jak w tej postawie wytrwał pięć godzin, ani się nie ruszywszy, niby kamień, albo posąg z marmuru. Niekiedy, będąc sam, bez świadków, rzucał się na ziemię i tak się modlił w uczuciu swojej nicości. Z serca jego wyrywały się zawsze gorące okrzyki do Boskiego Więźnia naszych świątyń, a zapał ich i słodycz były tak silne, że Paschalis unosił się w górę na kilka łokci i wisiał tak między niebem a ziemią, dopóki Zbawicielowi podobało się trzymać go pod swym urokiem. Nic przeto dziwnego, że się ubiegał o służenie do Najśw. Ofiary; było to jego najulubieńsze zajęcie i nigdy nie było mu go dosyć. Im częściej proszono go o tę usługę, tem on był szczęśliwszy. Radość promieniała na jego obliczu, jeżeli nie było nikogo w zakrystji i mógł

[1]) Kron. 3-ch Zak. Ś. F. Cz. IV. [2]) L'aur. séraph., T. IV.

znowu pójść do ołtarza. Tym sposobem służył nieraz do ośmiu lub dziesięciu Mszy św., zawsze z tym samym zapałem, z tą samą uwagą.

Do Komunji św. przystępował bardzo często; niektórzy piszą, że codzień. Zbliżał się do Stołu Pańskiego tak skromnie, że zwracał uwagę wszystkich. Odchodząc, promieniał radością wewnętrzną duszy, mającej w gościnie Boga. Przed każdą Komunją św. odprawiał spowiedź, aby oczyścić serce swoje z niedoskonałości, jakie mu się przydarzyły. Zresztą, aby się przygotować do Komunji, ułożył i używał modlitw, z których tryska najgłębsza pokora, miłość i najgorętsze pragnienie. Ten zapał wewnętrzny musiał przebijać nazewnątrz. Bywający w kościołku Alkantarystów niebawem spostrzegli anielską postać młodego braciszka, służącego do Mszy św., lub przystępującego do Komunji. Patrząc nań, niedowiarkowie musieli padać na kolana i oddawali cześć Utajonemu w Najśw. Sakramencie. Pomimo, że braciszek czynił wszystko, aby nie zwracać niczyjej uwagi, święty ogień wydobywał się nazewnątrz. Przenikał on ciało, rozjaśniał je i zabarwiał twarz sługi Bożego tajemniczym rumieńcem i odblaskiem, nadającym mu niebiańską piękność. Opowiadano sobie o tem powszechnie i wkrótce chciwi cudów biegli do kościoła, a biedny braciszek nie podejrzewał, że stał się widowiskiem światu, Bogu i aniołom.

To gorące nabożeństwo do Eucharystji Św. towarzyszyło mu na każdym kroku. Kiedy więc był w drodze, w polu, nucił hymny na cześć swego Oblubieńca, a to z taką słodyczą i namaszczeniem, że towarzysze nie mogli się go nasłuchać. Pierwsza wizyta jego po przybyciu gdziekolwiek, była zawsze do kościoła. Dopiero po długiej adoracji przed Tabernakulum udawał się do klasztoru, przeznaczonego dlań na mieszkanie. W kwestarskich wycieczkach swoich, kiedy wracał zmęczony, zamiast odpocząć, jak należało, całe noce przeklęczał, rozmyślając i wpatrując się w Jezusa. Tabernakulum było zaiste duszą jego życia, magnesem przyciągającym go wszędzie w sposób nieznający oporu [1]).

Aleksy z Messany, Konwentuał. (1650 r.).

Ten braciszek zakonny był socjuszem Ś. Józefa z Kopertynu w klasztorze assyskim. Święty cenił Go bardzo i szczególniejszą obdarzał miłością, a to z powodu czystości jego serca i innych cnót, które w nim jaśniały. I zaiste Aleksy wyróżniał się duchem ustawicznej modlitwy. Niemal całe noce przepędzał w kościele na gorących rozmyślaniach. Tam to, klęcząc u stóp Tabernakulum, wpadał w zachwycenia, a kilka razy widziano unoszącą się nad jego głową świetną koronę — zapowiedź owej korony w niebie go czekającej. Spędziwszy całe swe życie przy grobie Serafickiego Patryarchy, braciszek zasnął na wieki 1 czerwca 1650 r. [1]).

Ś. Józef z Kopertynu, Konwentualny. (1663 r.).

O tym słudze Bożym można śmiało powiedzieć, że od dzieciństwa do śmierci żył więcej z Panem Bogiem, niż z samym sobą, więcej w niebie, niż na ziemi, więcej jako serafin, niż jako człowiek. Trudno oznaczyć dokładnie ilość czasu, który obracał na modlitwę, ale wiadomo, że wyjąwszy trzech czy czterech godzin, obracanych na spoczynek, całe dnie i noce jego należały do Pana. Modlitwa ustna była dlań wypoczynkiem: jego duch i zmysły, strudzone zachwytami, porwaniami i zatapianiem się w Bogu, nabierały wtedy nowych sił. Wiarogodni świadkowie zeznali, że na stopniach ołtarza w kaplicy świętego widzieli po kilka razy ślady od kolan, wyżłobione długiem klęczeniem. W czasie tych kontemplacji nie wiedział zgoła o niczem, a oblicze jego zalewało się łzami. Zdarzało się, mówią akta procesu, że nawet nie będąc w zachwycie, nie rozumiał i nie słyszał, co doń mówiono. Akta dodają, że zamknięty w swej celce, ciągle się modlił i wznosił duszę swą do Boga. Rano, przed Mszą, chociaż był czas po temu, niepodobna było doń przystąpić, tak się go widziało zatopionego w Panu. Nieraz, powiada jego spowiednik, mając polecić pewne sprawy O. Józefowi, musiałem go dotknąć, aby przyszedł do siebie i powtórzyć rzecz kilka razy, aby ją zrozumiał. Codziennie, z wyjątkiem ważnej przeszkody, spowiadał się przed Mszą świętą. Najśw. Ofiarę odprawiał z nadzwyczajną gorliwością w małej kaplicy, poczem przychodził do celki na ćwiczenia duchowne. Oprócz Obrządku Boskiego, mówił jeszcze Officjum o Najświętszej Pannie, Officjum za zmarłych, różaniec i inne modlitwy, wskutek czego bardzo rzadko rozmawiał z kimkolwiek przed obiadem. Z celi wychodził tylko w koniecznej potrzebie lub na rozkaz przełożonego, tak że zawsze niemal używał samotności. Po posiłku znowu się modlił, aż do wieczora, a może nawet późno w noc, gdyż kilka razy zastawałem go o późnej porze zachwyconego. Dodać muszę, iż miał zwyczaj śpiewać z zakonnikami pieśni duchowne swego układu, a czynił to z zapałem i radością, i często wśród śpiewu wpadał w zachwyt.

---

[1]) S. Pascal Baylon...

[1]) L'almanach séraphique, le 1 Juin.

Pewnego dnia siadał do stołu, gdy nadszedł zakonnik przybyły zdaleka i rzekł doń: „Chwalmy Pana, bracie!“ — „O tak, tak, odparł wesoło Józef, chwalmy naszego Pana!“ I uprowadził przybyłego do oratorjum przed ołtarz, zapominając w zapale modlitwy, że obaj nie jedli obiadu. Przełożony prowincji Bari, Antoni z San Mauro, udając się na wizytowanie klasztorów, zabrał ze sobą brata Józefa, nie dla wygody osobistej, ale ku zbudowaniu wiernych. W drodze Święty szedł głęboko skupiony i w zachwycie. Gdy spotykali jaką kobietę, prowincjał, chcąc się przekonać, czy rozmyśla, mówił: „Bracie Józefie, co to za niewiasta?“ — „To Najśw. Panna“, albo: „to Katarzyna ze Sjenny, lub Ś. Klara“, odpowiadał Józef, stosownie do usposobienia wewnętrznego w danej chwili. Jeśli zaś widzieli młodzieńca lub starca i prowincjał znowu zadawał mu pytanie, co to za człowiek? Józef mówił: „To Ś. Piotr, to Ś. Jan“; gdy zaś chodziło o zakonnika: „To Ś. Antoni Padewski, to Ś. Diego“. Tym sposobem wszystko w naturze było mu drabiną do wznoszenia się ku rzeczom nadprzyrodzonym. I rzeczywiście, w podróży tej prowincjał głosił kazanie słowami, a Józef swoją powierzchownością; wielu też zakonników pod jego wpływem odmieniło życie.

Gorliwość i skuteczność jego modlitw.

Będąc w chórze na Officjum, łkał i ronił obfite łzy, tak że trzeba go było odsyłać do celi, aby się wypłakał. Wróciwszy, znowu zalewał się łzami i znowu musiał wychodzić. Bywało, że już nadszedł wieczór, a on jeszcze nie odmówił Officjum, chociaż cały dzień przewracał kartki brewjarza. Pan Bóg trzymał go przy sobie w przybytkach niebieskich. Jeśli rozważymy tę łatwość i szybkość Świętego do modlitwy, ukazuje się on, jakoby wyzwolony z ciała, które wiąże człowieka z nędzą światową.

„Módlcie się“, powtarzał sługa Boży braciom swoim; módlcie się; jeżeli oschłość duszy lub bujna wyobraźnia przeszkadza wam w tej sprawie, odmawiajcie wolno Ojcze nasz, a uczynicie wszystko: i modlitwę myślną i ustną“. Jeden z zakonników, którego upominał i zachęcał do modlenia się, mówił, że cała bieda w tem, że jest leniwym i nie może wcześnie wstawać. Józef na pół żartobliwie, na pół poważnie odrzekł: „A więc wyciągnę cię z łóżka przemocą i wstaniesz“. Zapowiedź ziściła się. Ospały zakonnik uczuł nazajutrz jakąś dziwną chęć wstania na modlitwę i odtąd to usposobienie jego było bardzo stałe. Wdzięczność wskazała mu, komu tę zmianę jest obowiązany, że był to skutek gorącej modlitwy Józefa. Inny zakonnik, bardzo leniwy w uczęszczaniu do chóru, usłyszał nie bez przerażenia w swej celi głos Świętego, znajdującego się podówczas w innym klasztorze: „Na Jutrznię, na Jutrznię!“ [1]).

Bł. Bonawentura z Barcelony, Obserwant. (1684 r.).

Złożywszy gwardjaństwo w roku 1662, wolny od kłopotów, jakie towarzyszą każdemu urzędowi, brat Bonawentura zaczął znowu gotować, bo to najwięcej podobało się jego pokorze. Rozmyślał nad tem, jak niewiele postąpił w doskonałości, i oddał się cały kontemplacji, modląc się i rozważając bezustanku. A tak był skupiony, że żadna rzecz zewnętrzna nie mogła go ani na chwilę pozbawić obecności Bożej. Kiedy wychodził z chóru, zdawało się, że to człowiek pijany, tak tonął w Bogu; i trzeba było nim silnie wstrząsnąć, aby odzyskał używanie zmysłów. Co wieczór po pacierzach i po spełnieniu obowiązków, szedł do ogrodu z bratem Antonim, a przechadzając się po ścieżkach, wołał w uniesieniu miłosnem: „Raj! Raj!“, poczem stawał osłupiały jak skała i nie ruszał się przez 3 do 4-ch godzin. Pobożny jego towarzysz musiał go brać za ramiona i, wstrząsnąwszy silnie, mówił: „Chodźmy, już, chodźmy, bracie Bonawenturo; już bardzo późno!“ Podobnież, gdy wychodził na ulice Rzymu, socjusz musiał go budzić z tego snu tajemniczego, w który wpadał, idąc nawet i w obecności wszystkich przechodniów, czczących go, jak Świętego [2]).

Ś. Pacyfik z San-Severino. Reformat. (1721 r.).

Przez 20 lat spędzonych w samotności, z powodu różnych chorób, Pacyfik mógł tylko modlić się i cierpieć. Lecz i wtenczas, chociaż na zewnątrz nic nie działał, niemniej przynosił pożytku Kościołowi i duszom, nieustannemi cierpieniami, pokutą, długiemi modlitwami, a wreszcie cnotami heroicznemi, w których aż do błogosławionego zgonu swego się ćwiczył. Łzy, wylewane na rozmowie z Bogiem, przyprawiły go o utratę wzroku. Pozbawiony szczęścia odprawiania Najśw. Ofiary, cały niemal czas spędzał u stóp Tabernakulum; kościół, było to miejsce, gdzie dusza jego rozkoszowała się, jak w niebie. Gdy zaś i ta pociecha została mu odjętą, bo nogi nie chciały go nosić i musiał siedzieć w celi, otwierał okno i łączył się z modłami towarzyszów. Często widziano ptaszki przylatujące

[1]) S. Joseph de Cupertin... [2]) Le B. Bonaventure.

doń gromadnie i igrające przy nim, jakby go chciały pocieszyć w opuszczeniu. Ś. Pacyfik umarł 24 września r. 1721, mając lat 68, z których przeszło 50 zakonnych. Liczne cuda ogłosiły potęgę jego w niebie: dwaj zmarli wrócili do życia, po dotknięciu do nich jego relikwji. Grzegorz XVI kanonizował Pacyfika uroczyście w r. 1839. Grób jego znajduje się w San-Severino, miejscu jego urodzenia, w kościele Reformatów [3]).

Bł. Marja Krescencja, 3 Zak. (1744 r.).

Niewielu chrześcijan spełniało z taką dokładnością i tak wiernie rozkaz Chrystusa Pana: „Zawsze modlić się trzeba, a nie ustawać. Krótki tylko sen przerywał modlitwę Krescencji, a rzadkie chwile, w których traciła rzeczywistą pamięć o Bogu, wydawały jej się szkodą nie do naprawienia. Pan udzielił jej od młodych lat daru bogomyślności; nie potrzebowała ona prawideł, jak należy rozmyślać: wewnętrzna siła pociągała władze jej duszy przed tron Najwyższego, umysł oświecony wiarą bez żadnego trudu przenikał prawdy Boże głębiej, aniżeli to mogły uczynić wszystkie ludzkie rozumy, a wola spoczywała cicho na łonie Boga.

Gdy pragnęła się skupić, odrazu zanurzała się w tajemnicy Trójcy Świętej, albo w zagłębieniach Ran Zbawicielowych, do tego stopnia, że zdawała się być przemienioną w inną osobę. Wszystko stworzone było dla niej czemś obcem. Zabierając się do modlitwy, nie potrzebowała ani przygotowania, ani zastanowienia się; brała odrazu jaką prawdę, która w jednej chwili okazywała jej przepaść nicości własnej i przepaść Bóstwa, skąd niskie jej mniemanie o sobie ciągle się potęgowało. Zazwyczaj modlitwa Krescencji nie była pracowitem rozmyślaniem, ale jasną kontemplacją, miłosną uwagą, wesołą ufnością, cieszeniem się z obecności Bożej, wymianą serc, wylewem całej jej istoty w nieskończoną dobroć Pana. Święta dziewica nie opowiadała nigdy o swoich rozmowach z Bogiem, posłuszeństwo jednak próbowało czasami wyrwać jej tajemnicę; wówczas mówiła ona ogólnikowo, że rozum i wola jej ulegały słodkiemu wpływowi i zatopione były w Bogu, który czynił wtedy wszystko, a ona nic. I każdy mógł to potwierdzić. Zaledwie bowiem uklękła, twarz jej wskazywała, że dusza, oderwana od świata widzialnego, żyje już tylko w Bogu, pozostawiając ciało nieruchomem. Żadna wtenczas rzecz zmysłowa nie miała na nią wpływu. Często skupienie przechodziło w zachwyt, z którego tylko głos przełożonych mógł ją wyprowadzić. Ona sama nie miała możności zapanować nad sobą. Porywał on ją zwykle po Komunji świętej, albo też i nazewnątrz kościoła, gdy doszedł ją np. śpiew pobożny, albo gdy myśl jej zatrzymała się na której z tajemnic Boskich. W klasztorze była to rzecz znana, tak że Siostry nie zwracały już na nią żadnej uwagi, obcy jednak przypatrywali się ze świętą trwogą. Pewna osoba tak opisuje Krescencję w tym stanie: „Układ jej był bardzo budujący; na obliczu malowało się coś niebiańskiego; klęczała z oczyma wpółotworzonemi, mając ręce pod szkaplerzem, a ciało nieruchome, wydawała woń jak najprzyjemniejszą". Akta procesu beatyfikacji zawierają tkliwy opis Siostry Marji Józefy, która, wstąpiwszy niedawno do tego Zgromadzenia, nie wiedziała nic o szczególnych darach Krescencji. strachem, wybiegłam na korytarz do Matki i oznaj- Joanna posłała mię do chóru po Krescencję, odprawiającą jeszcze dziękczynienie po Komunji Świętej. Zażądano ją w rozmównicy. Zbliżając się do stall, zobaczyłam, że klęczy sztywna i bez ruchu, co mnie stropiło. Ale, zebrawszy się na odwagę: „Siostro Krescencjo, rzekłam, chodź, pytają o ciebie". Żadnej odpowiedzi i żadnego znaku życia. Zdjęta strachem, wybiegłam na korytarz do Matki i oznajmiłam jej, że Krescencja umarła w stallach. Nie wzruszając się tem wcale, Matka Joanna kazała mi wrócić do chóru i powiedzieć Błogosławionej, że to ona jej woła. Uczyniłam tak, a zaledwie wyrzekłam te wyrazy, Krescencja przyszła do zmysłów, wstała i poszła do przełożonej. Przez cały czas, dopóki z nią żyłam, dodaje Marja Józefa, po Komunji Świętej dusza jej wzlatywała w niebo". Według innych zakonnic, trwanie zachwyceń było różne: ciągnęły się one od jednej do kilku godzin, aż posłuszeństwo położyło temu koniec.

Czasy opuszczenia.

Lecz ktokolwiek zna życie wewnętrzne, ten wie, że nie zawsze opływa się w pociechy i w światło. Pozwolić działać w nas Jezusowi Chrystusowi i przyjmować Jego działanie, oto wszystko, co z nas jest. Każdy wyższy stopień poznania i miłości przygotowany jest przez bolesne doświadczenie i oczyszczenie duszy. Tak samo i Krescencja miała chwile, godziny, dnie i lata ciężkich prób, w których jedna wiara tylko nią kierowała. Ale ona kochała i szukała Boga zarówno w świetle, jak w ciemnościach, w ubóstwie, jak w obfitości, na Kalwarji, jak na Taborze; jej wierność i gorliwość zdawały się podwajać w dnie doświadczenia. Taki stan trapił ją raz cztery lata bez przerwy. „O, mówi Krescencja w swojem sprawozdaniu, ileż razy ze smutkiem py-

[1]) L'aur. séraph., T. III.

tałam stworzeń, czy nie widziały Tego, Którego miłuje dusza moja! Ile razy przebiegałam z Magdaleną ulice i ogrody, wołając: „Powiedzcie mi, gdzieście Go położyli, a pójdę Go szukać, bo umrę z miłości". A im więcej Go szukałam, tem On bardziej się oddalał; sądziłam naprawdę, że jestem w głuchej pustyni. Nie; nikt nie może wiedzieć, co to jest opuszczenie wewnętrzne. Aby odnaleźć przedmiot swej miłości, szłoby się chętnie po ostrzach mieczów, ofiarowałoby się tysiąc razy swoje życie. A ja Go kocham i nie znajduję. Dusza moja tęskni do swego Boga, pragnie Go, wzdycha za Bogiem mocnym, Bogiem żywym. O, stworzenia, pomóżcie mi wszystkie opłakiwać nieobecność Umiłowanego, albo raczej płakać nad grzechami mojemi, jedyną tej nieobecności przyczyną!"

Umysł jej wszakże był tak doskonale wyzuty z własnej woli, że gdyby jej pozwolono wybierać między męczeństwem tego opuszczenia wewnętrznego a rozkoszą upajającą Taboru, wybrałaby stanowczo pierwsze. Stwierdzają to jej zapiski z r. 1725: „Najchwalebniejszy mój Panie, Ty jesteś Zmartwychwstaniem i Życiem; przez Twoje zmartwychwstanie dałeś mi nowy żywot. Dawniej serce moje podobne było do piekła suszy i utrapień. Ale nawiedziłeś mnie w Twoim Najświętszym Sakramencie: obecność Twoja rozwiała ciemności i dała mi odżyć w Tobie. To też mam teraz wesołą Wielkanoc; dusza moja wyśpiewuje Alleluja. Czy to jednak, mój Boże, prawdziwa jest miłość? Nie. Abym więc odtąd prawdziwie Cię kochała, udziel mi łaski przyjmowania z doskonałą obojętnością zarówno prób, jak pociechy; więcej jeszcze: radowania się tak samo z jednego, jak z drugiego".

I gdzież był ten Jezus umiłowany, kiedy Go wierna Oblubienica szukała? Niedaleko. Wzdychając tak do swej Miłości i zapytując stworzeń, czy Go nie widziały, Krescencja zobaczyła nagle przed sobą swego Anioła, który zapraszał ją, aby wyjrzała przez okno. Posłuszna, wychyliła się i spostrzegła na gałęziach gruszy Chrystusa Pana w postawie nieruchomej i spokojnej, chociaż gałęzie, na których zdawał się wspierać, były gwałtownie wiatrem miotane. Na ten widok opuściła ją trwoga i zawołała: „Co tu robisz, Panie mój? Chodź raczej do mego serca, aby w niem odpocząć". A Pan odpowiedział: „Córko moja, jak spokojnie siedzę na tem drzewie, którem wiatr miota na wszystkie strony, tak samo odpoczywam w twojem sercu. Ty myślisz, że w niem szaleje burza, a mimo to w pośrodku niego Ja jestem". Widzenie znikło, pozostawiając służebnicę Bożą zalaną pociechami, ale na krótki przeciąg czasu. Oblubieniec Niebieski chciał, aby żyła w ciemnościach. Podobne próby powtarzały się często, nawet jeszcze po owych czterech latach utrapień; poza tem Krescencja, jak świadczyli spowiednicy, odbierała z nieba słowa, objawienia, widzenia i różnego rodzaju sprawy poufne.

[1]) La B. Marie-Crescence Höss.

Bł. Jan Marja Vianney, 3 Zak. (1856 r.).

Świętość Bł. Vianney'a brała początek w jego życiu wewnętrznem, nadprzyrodzonem. Nie rozumiał on nawet, aby człowiek, mogąc postępować po Bożemu, działał po ludzku, to jest dla celów znikomych, naturalnych. „Sądzę, mówił ze smutkiem, że bardzo mała liczba dobrych uczynków zostanie nagrodzoną, bo zamiast spełniać je z miłości dla Boga, czynimy je z przyzwyczajenia, z nałogu, lub z miłości ku samym sobie. Jakaż to szkoda! Wszystko przed oczyma Boskiemi! wszystko z Bogiem! wszystko, aby się Bogu podobać! Ach, jak to pięknie! Ciesz się, duszo moja, będziesz z Bogiem rozmawiać, z Nim pracować, z Nim chodzić, z Nim walczyć, dla Niego cierpieć! Jakaż to radość i szczęście módz wszystko czynić w towarzystwie i na oczach Boskich, myśleć, że On wszystko widzi, wszystko rachuje. Mówmy więc rano każdego dnia: Wszystko dla podobania się Bogu, wszystkie czynności moje z Tobą, mój Boże!.. Jakże pocieszającą i słodką jest myśl o wszechobecności Boskiej! Godziny upływają, jak minuty; jest to już przedsmak nieba!" Od rana ofiarowywał Bogu swoje serce, swoje czynności, całą osobę swoją na Jego służbę, odnawiał obietnice uczynione na Chrzcie Świętym, prosił o opiekę swego Anioła Stróża, Najśw. Marji Panny, oraz ulubionych przez siebie patronów: Ś. Józefa, Ś. Jana Chrzciciela, Ś. Jana Ewangelisty, Ś. Franciszka Serafickiego, Ś. Kolety. W ciągu dnia często wzywał Ducha Przenajświętszego, lub wołał: „Boże mój, zmiłuj się nademną!" a słowa te tchnęły taką samą ufnością, jak dziecka, mówiącego do matki: Daj mi kawałek chleba, pocałuj mnie, podaj mi rękę. Najlichszy przedmiot, najdrobniejsza napozór okoliczność, kwiatek, dym unoszący się w powietrzu, uderzenie zegara, dzwonienie na Anioł Pański, śpiew ptaka— wznosił jego duszę ku Bogu. „Pewnego dnia, opowiadał ksiądz Vianney, szedłem do chorego. Ponieważ była to wiosna, w krzakach ptaszęta na wyścigi jeden przez drugiego nuciły swoje pieśni. Słuchałem ich z upodobaniem i mówiłem do nich: Biedne ptaszyny, nie wiecie nawet, co robicie: wyśpiewujecie chwałę Bogu. Zostałyście stworzone do śpiewania i śpiewacie. Człowiek jest stworzony do kochania Boga — a nie kocha Go!"

Między proboszczem z Ars a Stwórcą była ciągła wymiana uwielbień z jednej strony, a dobrodziejstw z drugiej. „Mieć miłość Bożą, wołał Vianney, być zjednoczonym z Bogiem, żyć w Jego obecności, żyć dla Niego, o jakże piękne to życie!“ I sam wyjawiał, jakich rozkoszy kosztował w tem świętem obcowaniu: „Życie wewnętrzne, mówił, zalewając się łzami, jest kąpielą miłości, w której dusza się zanurza, zatapia... Pan Bóg trzyma człowieka wewnętrznego, jak matka trzyma w swoich rękach głowę dziecięcia, aby ją obsypać pocałunkami i pieszczotami“. Nic więc dziwnego, że, upojony takiem szczęściem, tęsknił za modlitwą i dłużyło mu się zdala od Pana. Wiara, która wprowadzała Błogosławionego w poufały stosunek ze Stwórcą, która kazała mu chodzić i żyć w Jego obecności, budziła w Nim naturalną potrzebę rozmowy z Bogiem. Życie proboszcza z Ars nie było niczem innem, tylko ustawiczną modlitwą. Otrzymawszy święcenia kapłańskie, większą część dnia i nocy spędzał w kościele, a nawet, wychodząc z niego, nie przestawał się modlić. Ileż to razy parafjanie spotykali go na polu, jak, klęcząc u stóp drzewa, na którem umieszczona była figurka Najśw. Panny, modlił się, łkając, o nawrócenie wioski Ars. I w późniejszych czasach, chociaż był mocno zajęty, umysł jego nie odrywał się od Boga, owszem czuł się do Niego pomimo woli pociąganym. W oczach Vianney'a modlitwa była najszlachetniejszem i najkonieczniejszem zajęciem człowieka: „Dwa są głosy w człowieku, mawiał często: głos anioła i głos bydlęcia. Głos anioła— to modlitwa, głos bydlęcia — to grzech. Kto się nie modli, jest jak kura, lub indyczka, które nie mogą wznieść się w powietrze. Podlatują one wprawdzie trochę, ale natychmiast upadają, i grzebiąc w ziemi, zasypują obie nią głowy, w czem zdają się znajdować najwyższą przyjemność. Przeciwnie, kto się modli, jest jak ten orzeł, który szybuje w powietrzu coraz wyżej i wyżej, jakby chciał zbliżyć się do słońca. Takim jest dobry chrześcijanin, unoszący się na skrzydłach modlitwy. O, piękna to rzecz, modlitwa! Człowiek, będący w łasce Bożej, nie potrzebuje, aby go uczono, jak ma się modlić; zna modlitwę, bo zna potrzeby swoje“. Nie mogąc jednem słowem wyrazić powabu, jaki wywierała nań modlitwa, Błogosławiony używał do tego najrozmaitszych porównań. W tym względzie był on niewyczerpany i niestrudzenie powtarzał: „Modlitwa jest różą woniejącą; trzeba się modlić sercem czystem, ażeby uczuć tę woń. Z modlitwy płynie słodycz wyśmienita, jak sok z grona winnego. Modlitwa odciąga naszą duszę od materji i wznosi ją do góry, jak ciepło, napełniające balon. Im więcej się modlimy, tem więcej chcielibyśmy się modlić. Jak ryba płynie najpierw po powierzchni wody, potem zanurza się głębiej i ciągle idzie naprzód i naprzód: tak samo dusza zatapia się, pogrąża, gubi w słodkościach rozmowy z Bogiem“. Życie Błogosławionego aż nadto o tem przekonywało: pogrążał się, zatapiał, ginął w modlitwie. Czy to odmawiał brewjarz, klęcząc na stopniu ołtarza, czy to modlitwy publiczne na ambonie, głosem cichym ze zmęczenia, w całej jego postaci malowało się wyniszczenie i ukorzenie się przed Boskim Majestatem, a taka moc skupienia, że żadna niedogodność, żaden hałas nie był w stanie przerwać jego zapałów miłości. Zdawało się, że żył i przebywał w gronie Aniołów, a łzy towarzyszyły wszystkim jego modlitwom [1]).

Kapucyni.

Humilis z Offidy. (1541 r.).

Założywszy głęboki fundament wszystkich cnót, czyli pokorę, Humilis starał się zachować go nienaruszonym przez ciągłą modlitwę, której każdą chwilę wolną od zajęć poświęcał. Przedmiotem jego medytacji była Męka Pana Jezusa; ciągle miał ją na myśli, o niej rozpamiętywał, nad nią gorzkie łzy ronił, pragnąc, aby obraz Ukrzyżowanego, według słów S. Bernarda, służył mu za pokarm i za napój, za słodycz i za pociechę, za życie, za śmierć i zmartwychwstanie. Nikt Humilisa nie widział próżnującego, lub tracącego czas na pogawędkach. Często powtarzał: Kto ma wiele jeszcze do zrobienia, ten nie może się bawić, ale z całych sił powinien dążyć do doskonałości. Ponieważ zaś unikał próżnych rozmów z braćmi, nie brakło mu czasu na gorącą modlitwę [1]).

Bernard z Assyża. (1547 r.)

Z codziennem umartwieniem ciała swego łączył Bernard wysoką i prawie nieprzerwaną bogomyślność. Duch jego tak łatwo podnosił się do Boga, że zdawało się, iż zapominał zupełnie o ziemi. Wszędzie i zawsze modlił się, bo każde miejsce, każdy czas, były dla niego miejscem i czasem modlitwy. Z tak ciągłej kontemplacji wzrosła w nim pokora i poznanie siebie: czuł się zbrodniarzem w obliczu Boga, winnym wszystkich grzechów całego świata i godnym wszelkiej za nie chłosty, a tą pokorą więcej jeszcze łask i darów sobie przymnażał. Jako kapłan, bardzo pobożnie odprawiał

[1]) Vie illustrée du V. Jean-Marie Vianney... [2]) Kroniki Kap. Bowerjusza T. I r. 1541.

Mszę św., do której długą modlitwą się przysposabiał, a po jej skończeniu również długo się modlił [1]).

Jan Zuaze z Metymny. (1551 r.).

Ubogacony wielu cnotami w zakonie Obserwantów, brat Jan odznaczał się głównie szczególniejszą łatwością wznoszenia serca do Boga; wszystkie chwile wolne od ćwiczeń i obowiązków upływały mu na bogomyślności. Ale zapragnął on czegoś więcej, a mianowicie większego odosobnienia i zjednoczenia ze Zbawicielem. Aby zaś poznać, dokąd go Bóg wzywa, polecił jednej duszy zakonnej, a swojej penitentce gorącą modlitwę w tym celu. I oto po długich błaganiach otrzymała ona światło, że spowiednik jej ma się udać do Włoch i wstąpić do Kapucynów. Uczynił tak Jan i został przyjęty w Montepolitiano, gdzie prawdziwie anielskie życie prowadził. Dążąc do coraz wyższego stopnia modlitwy, starał się o wielką czystość serca, przez którą oczy duszy i umysłu najdoskonalej do poznawania Boga się otwierają. A że do tej czystości najlepiej dopomaga milczenie, nigdy żadnym próżnym rozmowom się nie oddawał, ale, zachowując jak największe skupienie ducha, mówił tylko to, czego wymagała konieczność, prawdziwa miłość braterska i posłuszeństwo. Ponieważ głównym nieprzyjacielem duszy w drodze do jej zjednoczenia z Bogiem jest własne ciało człowieka, Jan w nowem Zgromadzeniu dalszą toczył z niem walkę. Karcąc je ciągłemi pokutami, starał się je wyniszczyć i zgnębić. W największe mrozy chodził boso bez sandałów, w jednym tylko wytartym i połatanym habicie. Tym sposobem, zgnębiwszy głównego wroga swego, szybciej wznosił się do Pana Zastępów, łączył się z Nim w modlitwie, na którą obracał niemal noc całą, śpiąc tylko trzy godziny. Brewjarz mówił z takiem przejęciem, że od przytomności odchodził. Modlił się nieruchomie, z oczyma utkwionemi w niebo, do jedenastu godzin dziennie. Przełożeni uwolnili go z tego powodu od pacierzy chórowych, aby mógł oddawać się kontemplacji, skoro go Pan Bóg nią obdarzył [2]).

Bernardyn z Asti, (1554 r.).

Rządząc całym, choć drobnym jeszcze podówczas zakonem Kapucynów, jako Wikary Generalny, Bernardyn z Asti całą swoją nadzieję w Bogu położył i dlatego wszystek czas wolny poświęcał na modlitwę. Istotnie modlitwa częsta, a gorąca wszelkie łaski mu wyjednywała. Z wielkiem nabożeństwem odprawiał Mszę św., gotując się do niej przez godzinę, a nieraz i dłużej. Z twarzy jego tryskała wtedy jakaś niebiańska światłość; dziękczynienie również długo się przeciągało i sługa Boży bywał nieraz jakby w zachwyceniu [1]).

Wincenty z Flaviano. (1573 r.).

Ten miłośnik modlitwy szukał miejsc samotnych, unikał niepotrzebnych rozmów z braćmi, a jeszcze więcej z obcymi; trzy godziny przed Jutrznią i tyleż po odprawieniu Najśw. Ofiary poświęcał modlitwie. Pierwszy zawsze w chórze, świat cały uważał jako wielką księgę, opisującą ludziom Boga; we wszystkiem upatrywał dobrodziejstwa Jego, gorącą zapalając się miłością. Często wpadał w zachwyty i w takim stanie widywano go uniesionego na łokieć ponad ziemię. Dopóki tylko mógł, wszystkie pacierze odmawiał zawsze stojący, o nic nie wsparty, a gdy już przyciśniony wiekiem, osłabł, to klęczał. Mszę św. zwłaszcza o Męce Pańskiej lub o Narodzeniu Chrystusa Pana z takiem przejęciem i łzami sprawował, że przełożeni musieli go nieraz od niej wstrzymywać, zabraniając przystępowania do ołtarza [2]).

Ś. Feliks z Kantaliczo. (1585 r.).

Brat Feliks już od lat dziecinnych uposażony był wysokim darem modlitwy, od chwili zaś wstąpienia do zakonu widać było, że ciągle się modlił. Całodzienne zajęcia i ustawiczna styczność z ludźmi nie pozbawiały go wcale wewnętrznego skupienia i nieprzerwanej łączności z Bogiem, co właśnie jest prawdziwym duchem nabożeństwa. Na wzór zdolnego i zabiegliwego kupca, który stara się z każdego grosza odpowiednią korzyść wyciągnąć, Święty z podziwienia godną zręcznością wszelkie nędze, smutki, nieszczęścia, a nawet i upadki ludzkie, które mu się w ciągu dnia przesunęły, umiał obracać na korzyść własnej duszy, biorąc je później za przedmiot swoich rozmyślań przed Bogiem. Przejęty głębokiem współczuciem dla grzeszników, jak wogóle dla wszystkich smutnych, chorych i nieszczęśliwych, w gorącej modlitwie polecał ich opiece i miłosierdziu Bożemu. Dno jego duszy było jasne i czyste, stąd też wszystko odnosił do Boga, jako do źródła wszechistnienia. Wszelkie wypadki życia, które innym przyniosłyby niezawodnie szkodę, jemu, przeciwnie, dopomagały do tem gorętszej modlitwy. Modlił się zawsze, ale najchętniej oddawał się rozmyślaniu w ciszy nocnej, kiedy duch,

[1]) Tamże, r. 1547. [2]) Tamże, r. 1551.

[1]) Tamże, r. 1554. [2]) Tamże, r. 1573.

oderwany od wszelkich przeszkód, może z całą swobodą w Bogu zatonąć. Ponieważ ze szczególnego daru Bożego bardzo niewiele snu potrzebował, większą część nocy poświęcał na ćwiczenia duchowne. Zaraz z wieczora, po dzwonku na Anioł Pański, znużony całodzienną pracą, udawał się do swojej celi, tuż obok chóru, i podczas gdy bracia odmawiali zwyczajne modlitwy wieczorne, on na gołej desce lub na podłodze trochę snu zażywał; lecz już o 10-ej, gdy wszyscy udali się na spoczynek, Feliks spieszył do chóru. Rozpoczynał modlitwę swoją od biczowania się bądź w celi, bądź w kościele, bądź w podziemnej pod chórem kaplicy, gdzie składano ciała zmarłych. Chciał tym sposobem skłonić ku Bogu serce swe i umysł, i zasłużyć na tem obfitsze łaski Boże. Po odprawieniu dyscypliny, pogrążał się w modlitwie, z której czerpał całą świętość swoją, a kończył ją około północy, kiedy wyręczając brata zakrystjana, zwykł był dawać znak na Jutrznię. Po tym pierwszym dzwonku, wzywającym braci na modlitwę, wychodził z chóru i znowu chwilę spoczywał, z zamiarem powrócenia do kościoła, gdy bracia pójdą do swych cel; tak więc starał się, aby Bóg, ukryty w Najśw. Sakramencie ani jednej chwili nie był samotnym. I rzeczywiście, zaraz po skończonej Jutrzni szedł do chóru, aby zastąpić przed Bogiem tych, co przed chwilą odeszli i modlił się bez przerwy aż do samego dzwonka na Anioł Pański. Następnie służył do pierwszej Mszy świętej, przy której z wielkiem nabożeństwem komunikował, poczem zostawał na dziękczynieniu, aż do chwili, kiedy wychodził na kwestę. Z gorącym zapałem brał wówczas swoją torbę i dzbanki na wino, roznosząc z ulicy na ulicę i z domu do domu one iskry miłości Bożej, ów żar wewnętrznego ognia, którym gorzał podczas swoich pobożnych ćwiczeń nocnych.

Jego sposób modlenia się.

Nie ulega wątpliwości, że Feliks przekładał zawsze modlitwę myślną nad ustną. Przyznał się raz nawet jednemu z braci, że wielką zawsze miał trudność w odmawianiu różańca, bo gdy każde słowo porywało myśl jego i serce do Boga, ów różaniec bez końca się przeciągał i wiele zeszło czasu, nim zdołał choćby jedną tajemnicę odprawić. Co do obowiązkowych pacierzy, które miał z Reguły przepisane, nigdy ich nie opuszczał; widać jednak było, że je odmawiał bardziej sercem, niż usty. Miał on zupełnie odrębny od innych, a sobie tylko właściwy sposób modlenia się; czasem znowu modlitwę wewnętrzną objawiał bezwiednie nazewnątrz. Serce jego, zawsze rozgorzałe miłością Boga, przed Najśw. Sakramentem nie miało już granic zachwyceniom, w czasie których to wznosząc się w górę, to pędem biegnąc ku ołtarzowi, ściskając go i całując, albo też padając na ziemię, zdradzał przed patrzącymi, jak wielkich doświadczał rozkoszy. Śledzili go bracia, przypatrując się ze zbudowaniem tym jego dziwnym ruchom i ognistym zapałom na modlitwie, ale on ich wówczas nie widział; nie słyszał nawet tych, którzy głośno do niego mówili. Jeden tylko rozkaz przełożonego powracał go do stanu przytomności fizycznej.

Czasami znów utrzymywał się w najwyższym spokoju: przywodził sobie na pamięć jakiś ustęp z Antyfony lub Ewangelji na ten dzień przypadający i karmił się temi słowy wewnętrznie, rozważając je powoli, tak jak mu je Duch Święty do serca podawał. W tym celu wyuczył się na pamięć wielu miejsc z Pisma Świętego i Antyfon, co tem więcej podziwu było godne, że nie umiał wcale czytać, a urząd kwestarza nie dozwalał mu brać udziału w pacierzach zakonnych, gdzie byłby je mógł łatwiej sobie przyswoić. Jak pracowita pszczółka z każdego kwiatka polnego słodki miód zbiera, tak i brat Feliks zbierał z każdego słowa ziarna mądrości Boskiej, która mu potem na dłuższy czas jako pokarm duchowy służyła. Spędził on niejedną noc w towarzystwie Boga i Aniołów, dlatego zawsze starał się, aby w kościele nikogo wtedy nie było, żeby go nikt nie podpatrzył. W tym celu przed rozpoczęciem modlitwy najpierw objaśniał lampkę przed Tabernakulum, by rozproszyć cienie, zalegające tę część kościoła. Potem zapalał świecę, obchodząc z nią starannie wszystkie kąty, aby się upewnić, czy gdzie przypadkiem nie znajduje się którykolwiek z braci, a gdy się przekonał, że niema nikogo, stawał w środku kościoła lub przed ołtarzem i ze łzami polecał Bogu grzeszników, dobrodziejów zakonu, ich dzieci, ich kłopoty, oraz wszystkie nędze i cierpienia, których był naocznym świadkiem podczas swych codziennych kwestarskich wycieczek, a tak żałośnie jęczał, że pewien brat, któremu udało się go podpatrzeć, sam od łez powstrzymać się nie mógł. Wreszcie uspokoiwszy się, zostawał nieruchomy, jakby martwy, z rozciągniętemi rękoma dwie do trzech godzin. Czasami wznosił się w górę, jakby dusza jego, wstępując coraz wyżej, całe ciało za sobą pociągała. Podobne modlitwy i zachwycenia w późniejszym wieku były coraz to częstsze, tak iż mało który z współbraci nie widział tego własnemi oczyma, ile razy udało mu się zastać go na modlitwie [1]).

---

[1]) Żywot Ś. Feliksa.

Ś. Serafin z Montegranaro. (1604 r.).

Podczas swych długich rozmyślań, dusza Ś. Serafina tak się zatapiała w Bogu, że zdawała się zrzucać z siebie ziemską powłokę. Klęcząc na modlitwie, był nieruchomy, jak posąg; twarz jego przemieniała się i jaśniała. Pewien zakonnik wszedł raz do chóru przed zadzwonieniem na Jutrznię i zastał kościół oświecony, jakby na wielką uroczystość. Zdziwiony tym cudem, którego nie umiał sobie wytłumaczyć, zbliża się do miejsca, skąd wychodził ów blask i widzi Świętego, promieniejącego w zachwycie, otoczonego jasnością. Podczas Najśw. Ofiary, gdy przystępował do Komunji, podobny był do Anioła, postacią ludzką obleczonego. Całe jego ułożenie i anielski wyraz twarzy, wymownie świadczyły o nadziemskiem jego życiu [2]).

Cz. Jan z Morien (Maurienne). (1614 r.).

Otrzymawszy urząd mistrza nowicjuszów, Cz. Jan z większą jeszcze niż dawniej gorliwością począł oddawać się modlitwie i starać się o jak najściślejsze zjednoczenie z Bogiem. Żywot jego stał się jakby nieustanną kontemplacją, w którą wszystkie zajęcia jego się przemieniały. Nie poprzestając na obowiązkowych ćwiczeniach, modlił się jeszcze większą część nocy, jak również i w każdą wolną chwilę. Przedmiotem jego rozmyślań była głównie Męka Pana Jezusa; ją też zalecał gorąco do rozważania swoim nowicjuszom i zapewniał ich, że nie mogą nic milszego uczynić Panu Bogu, ani nic pożyteczniejszego dla siebie, jak rozpamiętywać to najwymowniejsze świadectwo miłości Boga ku rodzajowi ludzkiemu. Z chórowych pacierzy i z innych wspólnych ćwiczeń nigdy się nie zwalniał, chyba że go konieczność do tego zmusiła. Jeżeli w takim czasie ktokolwiek przyszedł go nawiedzić, kazał oznajmiać, że dostojniejsza osoba zatrzymuje go przy sobie. Nie widziano, aby kiedy oparł się przy officjum lub medytacji. Zawsze stojąc lub klęcząc podczas modlitwy, tak był skupiony, że tylko oddech jego słyszano. Nałożył on sobie wiele dodatkowych nabożeństw ustnych, jak odmawianie psalmów pokutnych, koronki, w niedziele zaś i święta, oprócz Officjum o Najśw. Pannie, dodawał jeszcze nokturn z Officjum za dusze zmarłych. Pracując w wolnych chwilach, nie tracił nigdy z myśli obecności Bożej. Jedyną prawie książką jego był krzyż: z niego czerpał całą wiedzę, znajomość życia wewnętrznego i mądrość, którą tak w nim podziwiano. Można powiedzieć, że nigdy nie rozstawał się z krzyżem. „Ach, mój ojcze, rzekł raz do jednego z zakonników, wskazując na wizerunek Ukrzyżowanego, co to za piękna księga i ilu wzniosłych rzeczy można się z niej nauczyć!“ Kiedy więc mówiono przy nim o uczonych, którzy wsławili się swemi kazaniami, lub dziełami, odpowiadał zazwyczaj: „Jeśli ci ludzie kochają Boga— mogą nawracać dusze, ale bez miłości, cała ich nauka nie przyniesie żadnego pożytku“. Tak jak świętemu Zakonodawcy, wszystkie istoty służyły Janowi do głębszego zjednoczenia się z Bogiem. Rośliny, kwiaty, owoce przejmowały go uwielbieniem dla majestatu i dobroci Bożej. O tem też najczęściej rozmawiał z wychowańcami swymi w czasie przechadzki; z serca jego wydobywały się takie płomienne słowa, że zapalały ogień święty w słuchających. Gdziekolwiek się znajdował, wszędzie przejęty był szacunkiem, należnym obecności Boga i Jego majestatowi [1]).

Cz. Honorat z Paryża. (1624 r.).

Słynny kapucyn francuski, Honorat z Paryża, posiadał tak głęboką pobożność, że ani słabości wieku, ani choroby nie zdołały jej umniejszyć. Owszem, w miarę wzrastania jego cierpień, potęgował się również i dar modlitwy: dusza coraz wyżej wzbijała się ku niebu i sił cielesnych mu przybywało. Sam zresztą Honorat przyznawał, że modlitwa jest dla niego lekarstwem na okropną migrenę, która go prawie nie opuszcza. Podczas wizytacji pewnego klasztoru żeńskiego w Montvilliers, gdy opatka miejscowa skarżyła mu się na trudności doznawane w rozmyślaniu, nauczył ją według własnego doświadczenia, w jaki sposób je usuwać i zapewnił, że jak 29 lat cierpi na ból głowy, tak nigdy się nie zwolnił z rozmyślania i zdaje mu się, że ten ból właśnie ułatwia mu modlitwę. To samo powtórzył jednemu z braci zakonnych, ubolewającemu, że nie może rozmyślać z powodu silnej newralgji; jest to dowód, że modlitwa dla sługi Bożego była spoczynkiem, lekarstwem i pociechą. „Na 20 razy, które wszedłem do celki Honorata, mówi jeden z jego towarzyszów, 19 razy zastawałem go modlącego się na klęczkach“. Nic bardziej nie wzruszało patrzących, jak pobożność, z jaką trwał na modlitwie; jeśli w podróży odmawiał brewjarz w swoim pokoju, to zawsze klęcząc i powoli, z uwagą połączoną z głębokim szacunkiem. Jego zachowanie się skromne i pokorne było wymownem kazaniem. Twarz miała wyraz świętości i zatopienia się w Bogu, jakaś woń niebieska otaczała go i udzielała się innym [2]).

---

[1]) L'aur. séraph. T. IV.

[1]) Vie du Jean de Maurienne. [2]) Vie du V. Honoré de Paris.

ZACHWYCENIE PRZY OBIEDZIE ZE Ś. KLARĄ.

Bonawentura z Pizzo. (1639 r.).

Mąż ten, poważany wielce na świecie dla swej nauki, zrozumiawszy nicość wszystkiego, wstąpił do Kapucynów. Odtąd z zapałem pracował nad swojem uświątobliwieniem i gorąco się modlił o łaski potrzebne. Znajdował on tyle szczęścia w rozważaniu tajemnic niebieskich, że nie zadawalając się przepisanemi ćwiczeniami, urządził sobie w ogrodzie na skale celkę, w której umieścił wizerunek Ukrzyżowanego i tam w godziny wolne od zajęć, a szczególniej po Nieszporach, spędzał czas na modlitwie. W tym cichym kąciku, u stóp Niebieskiej Mądrości, O. Bonawentura zatapiał się w kontemplacji rzeczy Bożych, rozważał dobroć niezmierną Odkupiciela świata, Jego słodycz, potęgę i miłość dla rodzaju ludzkiego, który niewdzięcznością Go za to poi. Gdy przystępował do sprawowania Najśw. Ofiary, widać było, że nic go, prócz Boga, nie zajmuje; czasami nawet w zachwyt się pogrążał [1]).

Bł. Bernard z Offidy. (1694 r.).

Bernard z Offidy od dzieciństwa lubił się modlić. Anielskie chłopię zaledwie mówić zaczęło, a już na ustach jego były tylko wyrazy: Jezus i Marja, przy których wymawianiu schylał główkę i składał ręce z zadziwiającą pobożnością. Jako syn ubogiego wieśniaka, nie mógł się oddać naukom, ale tylko pracy w polu, a przedewszystkiem pasieniu owiec, z czego doskonale się wywiązywał. Owieczki były mu posłuszne i nie odchodziły od niego daleko, on zaś modlił się i zatapiał w rozmyślaniu rzeczy Bożych. W okolicy tej znajdował się wizerunek N. Panny, wymalowany na murze. Mały pastuszek często podążał do stóp swojej Matki Niebieskiej i długie godziny tam spędzał, żebrząc dla siebie miłosierdzia. Za przyczyną Marji stał się też pociechą swoich rodziców i podziwem sąsiadów, którzy uwielbiali jego skromność, pokój rozlany na twarzy, cichość i słodycz charakteru, a szczególniej jego wysoką pobożność. Najwyższem szczęściem dlań było uczęszczać do kościoła Kapucynów i zasilać się Komunją świętą, oraz prowadzić rozmowy o Panu Bogu. Niezadługo obudziła się w nim chęć wstąpienia do zakonu Ś. Franciszka, a gdy ojciec dał mu swoje błogosławieństwo, z sercem przepełnionem wdzięcznością otrzymał habit kapucyński w r. 1626. Pobożny brat laik wziął sobie za wzór do naśladowania Ś. Feliksa z Cantalicio, w owym czasie wyniesionego na ołtarze. Jak tamten, ćwiczył się w cnotach i ciężko pracował, a kiedy głos posłuszeństwa wzywał go do chóru, błoga radość rozpromieniała jego oblicze. Kochał bardzo ćwiczenia, do których rwała się dusza jego, jakkolwiek wszystkie jego zajęcia bez wyjątku skierowane były ku czci i chwale Bożej. W kościele i podczas wspólnych pacierzy brat Bernard był zbudowaniem dla towarzyszów i patrząc nań, zdawało się widzieć nieziemską jakąś istotę, tak był skupiony i nieruchomy, od czasu do czasu tylko wyrywały mu się z serca głębokie westchnienia. Po Jezusie, Oblubieńcu swoim, czcił nadewszystko Najśw. Pannę, Ś. Ojca Franciszka i Ś. Feliksa. A z jakim zapałem przystępował do Stołu Pańskiego! Często widywano go w takich razach rozpłomienionego i wzniesionego w górę.

Nadzwyczajnemi umartwieniami tak zwyciężył w sobie złe pociągi i namiętności, że cały żył już tylko duchem Bożym. Skupienie wewnętrzne zachowywał nietylko w godzinach milczenia, nietylko w swojej celi i w kościołku, ale wszędzie i zawsze, gdzie się znalazł. Umysł jego wzniesiony był ku niebu przez czystość intencji. Zrazu powierzano mu obowiązki wewnątrz klasztoru, co mu dopomagało do zjednoczenia się z Bogiem, ale później musiał żebrać jałmużny, a więc chodzić cały dzień po wsiach okolicznych i po miasteczku, lecz i ten rodzaj pracy nie pozbawił go skupienia. Trudy swoje i pot znosił spokojnie i cieszył się z nich, jako ze sposobu nabycia zasług do wieczności. Ciągle przytem odmawiał modlitwy i akty strzeliste, budując niemi swojego socjusza, w domach zaś dobrodziejów zachęcał do bojaźni i miłości Bożej. Nawet, gdy mu dano urząd furtjana, obowiązek przykry i rozpraszający, trzeba bowiem rozmawiać z różnemi świeckiemi osobami, on i wtedy nie stracił skupienia i ciągle pogrążony był w Bogu. Świadczyła o tem zewnętrzna jego postać, nacechowana jakąś pogodą i spokojem, oraz zatopieniem się, a jeśli mówił, to tylko by pocieszyć smutnych, albo nakłonić do miłowania Boga. Dla tak wysokiej bogomyślności, nie nazywano go inaczej, tylko mężem świętym, co zresztą liczne jego cuda dobitnie potwierdzały [1]).

Hieronim z Korleonu. (1717 r.).

Świątobliwy ten kwestarz nie opuścił najmniejszej rzeczy z obowiązków swoich względem Pana Boga. Ćwiczenia pobożne były jego siłą i pociechą w utrapieniach wewnętrznych. Szczególniejszą miłość miał dla Najświętszego Sakramentu. Zaledwie wszedł do furty, przedstawiał się gwar-

[1]) Annali Cappuccini. V. I.

[1]) Ibidem: V. III.

djanowi, aby otrzymać jego błogosławieństwo, oddawał sakwy w ręce szafarza i biegł natychmiast do kościoła przed Tabernakulum, gdzie modlił się, dopóki obowiązek nie wezwał go gdzieindziej. Z twarzą pochyloną ku ziemi, albo z rozkrzyżowanemi rękoma godziny całe klęczał, zatopiony w bogomyślności. Cztery razy na tydzień albo i częściej, jeżeli mu pozwolono, przystępował do Komunji świętej. Wychodząc z klasztoru, zawsze szedł przez kościół, aby prosić Pana Jezusa o potwierdzenie błogosławieństwa gwardjana. Po Najśw. Sakramencie, krzyż był jego największem umiłowaniem. On dawał mu zachętę do znoszenia cierpień i niestrudzoną żarliwość w dążeniu ku najwyższej doskonałości [1]).

Ambroży z Lombez (1778 r.).

Jan de Lapeyrie, czyli późniejszy O. Ambroży z Lombez, wcześnie zajaśniał anielską pobożnością. Dusza jego i serce tak mocno rwały się do Boga, że już w dziecięcych latach objawiał powołanie do zakonu. Szlachetni państwo de Lapeyrie, pragnąc współdziałać z usposobieniem syna, oddali go do kolegjum zakonnego, a później na wyższe nauki. W 16 roku, gdy, ukończywszy studja, Jan był już klerykiem i rokował wielkie nadzieje, wstąpił do surowego zakonu Kapucynów. Przez całe życie swoje klasztorne odznaczał się darem modlitwy i skupienia, a że był wątły i słabowity, przełożeni najczęściej dawali mu na mieszkanie samotny klasztor w Medoux. Tam u stóp cudownego obrazu Marji, którego straż powierzana była Kapucynom, sługa Boży w długich rozmowach z Królową Niebieską wypraszał sobie coraz doskonalszą i wyższą świętość. Zatopiony w Bogu i w samotności, wyrobił się na najsłynniejszego w owym czasie przewodnika dusz wewnętrznych i pisarza dzieł, które mu zapewniły miejsce pomiędzy największymi mistykami w Kościele Świętym. Ambroży mocno się przejął słowami Chrystusa, że się zawżdy modlić potrzeba, a nie ustawać, to też całe życie jego było modlitwą. O ile mu zdrowie pozwalało, oprócz wspólnych ćwiczeń, cztery jeszcze godziny w różnych porach dnia na nią obracał. Nie trzymał się w tem stałego rozkładu, gdyż silne bóle głowy uniemożliwiały taki porządek, ale pomimo wszystko, zawsze zdołał odprawić swoje dodatkowe rozmyślania. Aby przeszkodzić błąkaniu się wyobraźni, ograniczał się w czasie modlitwy na świętych postanowieniach i aktach serdecznych, kiedy to działa już tylko uczucie, a dusza, wolna od rozumowania, poddaje się wpływowi Ducha Przenajświętszego. I zdawało się nieraz, że bogomyślny Kapucyn tak się rozmodlił, tak podniósł duchem w niebo, iż tracił zupełnie używalność zmysłów. Pewnego dnia zobaczył go w takim zachwycie jeden nowicjusz. Była godzina 9 rano. Brat Paschalis, mając interes do Mistrza, zapukał kilka razy do jego drzwi, lecz nie usłyszał odpowiedzi. Wszedł więc sam i ujrzał ze zdumieniem, że ten klęczy bez oparcia wprost krucyfiksu, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, oczyma utkwionemi w niebo i nic nie słyszy, co się dokoła dzieje. Nowicjusz, według zwyczaju, ukląkł przed mistrzem i przedstawił mu swoją prośbę raz, drugi i trzeci, ale bez żadnego skutku. Wtedy zrozumiał powód milczenia i przejęty szacunkiem, wyszedł z celi. A jednak pomimo tych łask Bożych, O. Ambroży musiał często walczyć z roztargnieniami. Przeciwko nim używał on jako środka ciągłego zajęcia się czemśkolwiek. Jeśli więc nie pracował umysłowo, nie spełniał swoich obowiązków lub jakiego dobrego uczynku, to rozmyślał który psalm pokutny, albo jedno z responsorjów żałobnego Officjum. Wybierał on te modlitwy kościelne nietylko że dają niewyczerpany zapas myśli świętych, ale i dlatego, że umiejąc je na pamięć, mógł się niemi karmić wszędzie i w każdej chwili. Tym sposobem zdołał zamknąć wstęp do umysłu swego wszelkim myślom niepotrzebnym i wprowadzić w czyn mądrą radę Ś. Hieronima: „Niech szatan znajduje cię zawsze zajętym“.

Do modlitwy myślnej sługa Boży dodawał jeszcze rachunek sumienia, na który poświęcał pół godziny codzień, t. j. dwa razy po kwadransie: w południe i przed udaniem się na spoczynek, do czego się ślubem zobowiązał. Czynił on go przez ostatnie 20 lat swego życia, a takie odnosił zeń korzyści, i tak go z tego powodu cenił, że zawsze sobie wyrzucał zbyt późne wzięcie się do tego ćwiczenia. Pod pewnemi względami Ambroży przekładał ten rachunek nad samą modlitwę, jak to widać ze słów jego dziennika: „W modlitwie nie staramy się zazwyczaj o pojedyńcze cnoty, a tem mniej jeszcze o ich poszczególne akty, skąd dzieje się, że zaniedbując rachunku sumienia, można mieć pobożność, skupienie, pewną skłonność do życia wewnętrznego, ale się niema cnót moralnych. By zaradzić temu nieszczęściu, postanawiam sobie, chociaż już późno, że nigdy nie opuszczę rachunku sumienia, choćby wypadło obrócić na niego czas, przeznaczony na medytację“. W r. 1754, t. j. na 24 lata przed śmiercią uczynił on ślub współdziałania zawsze z natchnieniami Ducha Świętego [1]).

[1]) Vie de Frére Jerôme...

[1]) P. Ambroise de Lombez.

Bł. Marja Magdalena Martinengo. (1737 r.).

Jedna z Kapucynek, świadcząc w procesie beatyfikacyjnym Marji Magdaleny, zeznała, że nie jest zdolną wypowiedzieć, do jakiego stopnia ta służebnica Boża przejęta była miłością ku swojemu Zbawcy i że robiła na niej wrażenie Serafina ziemskiego. Sama zaś Błogosławiona zdała sprawę swojemu spowiednikowi o sposobie odbywania ćwiczeń swoich w następujących słowach: „Żyję zawsze w Bogu, mówię i działam w Jego obecności. Pierwsze moje rozmyślanie skierowane jest do wyniszczenia w sobie wszelkiego przywiązania do świata zmysłowego, a ukochania jedynie Pana Jezusa. Zdaje się, że co do tego punktu mogę być spokojną. Jestem już oderwana od ziemi i jakby przeniesiona w Boga, w ogień wszystko pochłaniający. Ignis consumens est. Ten ogień pali mnie, trawi i wyniszcza we mnie wszelką niedoskonałość. Do tego przemienienia, do tego podobieństwa z duchami niebieskiemi, najbliższemi Bogu, przywiodły ją: pamięć na obecność Boską, akty strzeliste i nieprzerwana bogomyślność. Dzieckiem jeszcze będąc, Marja Magdalena nie śmiała liczyć uderzeń zegara, by przez to nie stracić ani na chwilę obecności Bożej. W tym samym celu chciałaby była ciągle wyśpiewywać pieśni i hymny ku czci Boga. Probując zaś pióro, pierwsze słowa, jakie niem pisała, były: „O, Boże, o Miłości moja!“ Od dzieciństwa nauczyła się powtarzać bez przerwy akty strzeliste, które dla duszy są tem, czem skrzydła dla ptaka, wznoszącego się do góry. Święta odmawiała ich tyle, jakby to było jedynem jej zajęciem. Niekiedy myśląc, że jest samą, folgowała swoim uczuciom i zakonnice słyszały, jak wołała: „O, Boże mój, nic nie mam, oprócz Ciebie; Ty jesteś mojem Wszystkiem!“ I smakowała czas jakiś w słodyczy tych wyrazów, poczem z oczyma utkwionemi w niebo, z twarzą rozpłomienioną, rzucała nowy okrzyk: „O miłości, o miłości; o mój Boże, nie dozwól, abym Cię choć na minutę zapomniała!“ Niekiedy znowu jedno słowo „Bóg“, wyszłe z ust Magdaleny, starczyło, by ją wprawić jakby w zachwyt. „Cóż jeszcze mogę wam dodać“; odpowiadała siostrom, proszącym ją o rozmowę duchowną, „Powiedziawszy: Bóg, wszystko już powiedziałam“. Nic jej nie mogło tak zasmucić, jak myśl utracenia przez chwilę pamięci na obecność Bożą. Miłość ku Stwórcy panowała nad całem jej życiem i kierowała wszystkiemi czynami: „Ach, siostro droga, rzekła raz do jednej z Kapucynek, szatan wie, że Pan Bóg jest wszędzie obecny, a mimo to nie uwielbia Go i nie kocha, nasza zaś wiara każe Go czcić i kochać zawsze i na każdem miejscu“. Ta ustawiczna uwaga duszy i serca, nabyta już w dziecięctwie, odbiła na jej twarzy, jak gdyby odblask Boskiej niezmienności: widziano ją ciągle skupioną, milczącą, poważną i jakby zatopioną w Niewidzialnym. Nawet rozmowy, lub też najbardziej rozpraszające obowiązki, nie były w stanie odwrócić jej myśli od Boga. „Gdybym stanęła na środku placu publicznego, mawiała, tam nawet znalazłabym mego Boga i bez trudności zachowałabym skupienie“. U Kapucynek jest zwyczaj, że raz do roku pozwala się im cały dzień spędzić z krewnymi, którzy przychodzą do rozmównicy. Jest to wielka pokusa i okazja do wielu roztargnień. Błogosławionej i to nie szkodziło. Zapytana potem o stan duszy, odpowiedziała: „Co do mnie, czuję się taką samą, jak przed dniem przyjęcia, gdyż z łaski Bożej dusza moja jest skupiona w sobie i nie traci obecności Najwyższego“. „Siostro droga, odrzekła innym znów razem pytającej, ja nie wiem nawet, czy co mówiłam“. Gdy dnia jednego do kuchni, gdzie Błogosławiona przyrządzała kolację, weszło kilka Matek i głośno się zachowywały, Marja Magdalena robiła swoje ze spokojem, a później na zapytanie pomocnic, czy jej to nie przeszkadzało, przyznała się, że nie wie, co było mówione.

W pracowni zakonnej trzymała się w kąciku, zawsze myśląc o Bogu, i chociaż podczas rekreacji siostry rozmawiały dosyć głośno, ona milczała. Według jej własnych słów, czuła się w takich razach, jak na pustyni, otoczoną wrzaskliwem ptactwem. Pracując w ogrodzie, nosząc drzewo, pomywając naczynia, piorąc bieliznę, zamiatając korytarze, zawsze była głęboko skupiona. Sama jej obecność wzbudzała w siostrach myśli pobożne; za jej zbliżaniem się poważniały lub cichły, pociągnięte siłą jej przykładu i zniewolone szacunkiem. I gdzież Święta czerpała tę tajemnicę, że dusza jej i ciało dążyły tak stale do Boga? Oto w modlitwie. Przed zajęciami rozpraszającemi umysł, uzbrajała się metodą Ś. Ignacego: „Czyniąc to, mam nadzieję nie utracić skupienia“. Co do sposobu modlitwy, jakiego używała, było to raczej dzieło Boże, niż jej samej. Pan działał w jej duszy. Sama przyznawała, iż żaden człowiek nie był jej przewodnikiem na drodze życia duchownego, gdyż albo mówiła do Pana Boga, albo słuchała Jego głosu. Zawsze znajdowała w sercu swojem Pana Jezusa i począwszy od 13-go roku życia, mogła już mówić: „Nalazłam tego, którego miłuje dusza moja; pojmałam Go i nie puszczę!“

---

[1]) La B. Marie-Magdelaine.

Polacy.

Ś. Kunegunda Klaryska. (1292 r.).

Święta królowa krótkiego używała spoczynku, oddając się przez większą część nocy modlitwie ustnej lub rozmyślaniu. Pod osłoną ciszy nocnej, wychodziła często z jedną lub dwiema zaufanemi służebnicami do kościołów, a gdy te były zamknięte, przed ich drzwiami oddawała cześć Panu Jezusowi, obecnemu w Najśw. Sakramencie. Ani największa niepogoda, ani deszcz ulewny, zawieja lub wielki mróz, nigdy jej od tych nabożnych wycieczek nie odwiodły. Zdarzało się, że za nadejściem pobożnej królowej drzwi kościelne same się przed nią otwierały, jakby dla okazania, jak te odwiedziny przyjemne były Bogu. Mieszkając w Korczynie, lubiła szczególniej chodzić do kościoła Ś. Mikołaja poza miastem, nad rzeką Nidą, gdyż miała nabożeństwo do tego patrona dziewic i mogła tam swobodniej się modlić. Gdy pewnej nocy w tej świątyni dłużej niż zwykle się zamodliła, zdarzyło się, że księżna Grzymisława, nie mogąc spać, poszła do jej izby, ażeby w rozmowie z nią znaleźć rozrywkę, a zdziwiona tem, że jej nie zastała, chciała się koniecznie dowiedzieć o przyczynie. Ochmistrz królowej, Mikołaj Mikul, mąż bardzo zacny, świadomy wszystkich jej kroków, pośpieszył do kościoła, w którym się znajdowała i począł robić jej ostre wymówki, że przez swe nieoględne nabożeństwo naraża jego życie i swoją sławę. „Oto, rzekł, księżna pani chce się koniecznie widzieć z Waszą Wysokością, a gdy się przekona, żeś wyszła z domu i doniesie o tem królowi, ten gotów mnie śmiercią ukarać, że pozwalam Waszej Wysokości wychodzić o tej porze“. Królowa powstała od modlitwy i śpiesznie podążyła do zamku, a Pan Jezus, czuwając nad tem, żeby gorliwa Jego służebnica dla swego ku Niemu nabożeństwa nie doznała jakiej przykrości, otoczył ją w drodze obłokiem, tak, iż od nikogo niepostrzeżona, wróciła do siebie i bez ściągnięcia jakichkolwiek podejrzeń, ukazała się Grzymisławie [1]).

Bł. Jolanta. Klaryska. (1298 r.).

Bł. Jolanta nocowała na modlitwie i rozważaniu Męki Pańskiej. Zresztą całe jej życie pełne umartwienia i cnót wszelakich, było nieprzerwaną modlitwą. Wśród pracy dziennej dusza jej ciągle wzniesioną była do Boga, a po ukończeniu trudów i obowiązków swoich, albo zamykała się na modlitwę w komorze, albo przed Najśw. Sakramentem w kaplicy w bogomyślności się zatapiała. Jak już nadmieniliśmy, najmilszym i prawie jedynym przedmiotem jej rozmyślań i modlitw była Męka Pańska, w której znajdowała nietylko moc i odwagę, ale stawała się uczestniczką niewymownych pociech Bożych, a nawet i objawień Zbawiciela. Lecz Jolanta w pokorze swojej kryła się z temi łaskami, a dzieje przechowały nam jeden tylko niezwykły dowód zmiłowania Pańskiego nad jej duszą. Było to krótko przed jej zgonem, kiedy rozpływającej się we łzy nad Męką Zbawiciela ukazał się Chrystus Pan, w postaci Ubiczowanego przy słupie, pocieszając i obiecując wkrótce za wierną służbę chwałę niebieską. Jednocześnie miała się jej objawić Matka Boża z Bł. Salomeą i za wzgardę świata przyrzekła wieczną nagrodę. Chwila ta niebawem nastąpiła [1]).

Bernard Golski. Reformat.

Bernard Golski, przy wielu innych cnotach, posiadał osobliwy dar bogomyślności, to też prawie ustawicznie zatopiony był w rozważaniu cierpień Chrystusa Pana. Szukał Boga nietylko we wszystkich stworzeniach, ale i w sobie samym, więc przy każdem zajęciu zwracał się do Niego i uważał, czy Mu takowe było miłem. Prosił Boga, by nieustannie mieszkał w jego sercu, i nawzajem sam w Jego Najsłodsze Serce się zagłębiał, a rozważając tę miłość, jaka skłoniła Zbawiciela do poniesienia za nas strasznej męki, na odwdzięczenie za nią ofiarowywał Bogu samego siebie, zdając się zupełnie na Przenajśw. Jego wolę. W nagrodę za taką miłość, Pan Jezus raczył go zrobić uczestnikiem swych cierpień; dopuścił nań przeto ciężką chorobę, tak iż ciało na nim gniło i od kości odpadało, a on to z weselem znosił, wołając z miłością: „Bóg mój i wszystko moje“. Owszem, im większe dokuczały mu bóle, z tem większym znosił je spokojem, wiedząc, że Bóg wierności sług swoich doświadcza w cierpieniach, a kogo wybiera do raju pociech duchownych, prowadzi go najpierw przez czyściec cierpliwości. Nakoniec, toczony przez robactwo, którego nie pozwolił oczyszczać, zszedł z tego świata w Poznaniu [2]).

Jędrzej Niedźwiedzki. Reformat.

Od wstąpienia do zakonu codziennie postępując w cnocie, Jędrzej Niedźwiedzki bywał obierany na różne urzędy klasztorne, które spełniał według zalecenia reguły, więcej ucząc przykładem, niż słowem. Sprawę swego zbawienia nieustannie Bogu polecając, ćwiczył się w Jego obecności, co mu naj-

[1]) Ś. Kunegunda i jej siostry...

[1]) Żywot Bł. Jolanty. [2]) Kalendarz seraficki, 13 lipca.

więcej do postępu duchownego pomagało. Porzuciwszy przy profesji wszystkie marności światowe, nigdy już do nich ani myślą, ani wolą nie wracał, to też modlitwa jego czysta i wolna od wszelkich uczuć ziemskich, połączona przytem z surową ostrością życia, unosiła go w niebo, jakby na skrzydłach, napełniając duszę jego pociechami wewnętrznemi. Cenił on ją sobie nadewszystko i za największą stratę uważał, kiedy dla słusznych powodów trzeba było ją skrócić. Pragnąc staranniej przygotować się do śmierci, za pozwoleniem przełożonych udał się do klasztoru w Solcu i tam resztę swego żywota już tylko na bogomyślności dokonał [1]).

Antoni z Chocza, Reformat.

Brat Antoni z Chocza odznaczał się w zakonie szczególniej pracowitością i bogomyślnością. Tę ostatnią w tak wysokim posiadał stopniu, iż był ustawicznie zatopiony w Bogu i często zdarzało mu się, że zapominał, co robi, lub co robić powinien, nie mogąc odwrócić swych myśli od rzeczy niebieskich.

Kiedy naprzykład był kucharzem w klasztorze, nieraz ani się spostrzegł, jak przyszła pora wydawania, a on nic jeszcze nie miał gotowego. Wówczas Bóg przysyłał mu do pomocy Aniołów, tak że wszystko w jednej chwili było zrobione. Każda rzecz, która go odrywała od modlitwy, była dlań wielkiem umartwieniem. Będąc czemkolwiek zajęty, ciągle wzdychał do chwili, w której będzie mógł znowu skryć się w swej celce lub w kącie kościoła, aby obcować z Panem Bogiem. Nie przeszkadzało mu to jednak przykładać się, jak mógł najlepiej, do swoich obowiązków, aż wyczerpawszy swe siły na ciągłej pracy, przeszedł wreszcie do żywota wiecznego. Pochowany na Podgórzu pod Toruniem [2]).

Bernardyn z Częstochowy, Reformat.

Świątobliwy Bernardyn, rodem z Częstochowy, całe swe życie strawił w pracy apostolskiej, modlitwie i umartwieniu. Często zatopiony w słodkich rozmyślaniach, przepędzał noce na kontemplacji. Z ustawicznego niemal klęczenia porobiły mu się ogromne guzy na kolanach, a gdy te, za radą doktorów i wolą przełożonych, poprzerzynano, w otwarte rany wdał się ogień piekielny. Znosił to cierpliwie święty starzec, pilnie się sposobiąc do ostatniej chwili i zasnął w Bogu, mając lat przeszło osiemdziesiąt. Ludność czciła go jak za życia, tak i po śmierci. Spoczywa w Bieczu [1]).

Antoni Szaniawski, Reformat.

Był to niegdyś waleczny pułkownik, a później gorliwy sługa Boży w zgromadzeniu Reformatów. Z powodu wielkiej świątobliwości i zasług, położonych dla kraju, powszechnie go szanowano, On jednak z przykrością to znosił, gdyż pragnieniem jego było żyć nieznanym i ukrytym, ażeby umysł wolny od rzeczy ziemskich mógł swobodnie zatapiać się w Bogu. Zajęty z posłuszeństwa jaką sprawą z ludźmi świeckimi, myśl swoją trzymał przy Bogu, od którego ani na chwilę nie dał się oderwać i z upragnieniem wyczekiwał powrotu do ciszy zakonnej. Przeżywszy w klasztorze 33 lata, opuścił ten ziemski padół [2]).

Uwagi z teologji mistycznej.

Teologja mistyczna zajmuje się głównie bogomyślnością, czyli wyższemi stanami modlitwy, ale wszystkie te rzeczy wypada nam odłożyć do następnego tomu tego dzieła, gdzie o podobnych stanach modlitwy Franciszka Ś. mówić będziemy. Tutaj więc ograniczymy się na uwagach, odnoszących się wogóle do modlitwy. Już w pierwszym tomie, wspominając o bogomyślności Ś. Ojca [3]), pisaliśmy o wielkiej potrzebie modlitwy, jak często i w jakich porach mamy obowiązek się modlić, jako też o przeszkodach do modlitwy i środkach przeciw nim używanych; teraz zaś, gdy znowu przyszła kolej mówienia o duchu bogomyślności Ś. Franciszka, umieszczamy w dalszym ciągu ogólne uwagi, dotyczące tego przedmiotu.

Do kogo modlić się mamy.

Jeżeli chodzi o modlitwę, jako o prośbę, mającą przez proszonego być spełnioną, jak mówi Ś. Tomasz, to zawsze do samego tylko Boga się modlimy, gdyż wszystkie modlitwy nasze powinny zmierzać do łaski i chwały, których sam Bóg tylko udzielić nam może. Wolno się modlić do Boga, jako jedynego w istocie swojej, lub jako troistego w Osobach. Możemy zasyłać modły do jednej Osoby lub do drugiej, bo chociaż w zewnętrznem swojem działaniu Bóg nic nie czyni przez jedną tylko Osobę, jednakże pewne własności, wspólne całej Trójcy Świętej, ze szczególnych względów przypisują się pojedyńczym Osobom, np. wszechmoc-

[1]) Tamże, 3 sierpnia. [2]) Tamże, 4 października.

[1]) Matka ŚŚ. Polska. T. III. [2]) Kalendarz seraficki, 11 maja. [3]) T. I. str. 339.

ność Ojcu, mądrość Synowi, a miłość Duchowi Świętemu.

W jaki sposób modlimy się do Świętych?

Dobrze jednak i pożytecznie modlić się do Świętych i wzywać ich pośrednictwa, nie żeby oni oznajmiali Bogu nasze prośby, ale żeby przez ich przyczynę i zasługi modlitwy nasze skutek otrzymywały. Wprawdzie Kościół, wyrokując, że pożyteczna rzecz jest wzywać Świętych, nie powiedział, że to jest konieczne dla zbawienia; mogą zajść jednak takie okoliczności, że albo przykazanie wzywania ich naglić będzie, albo też do wzywania Świętych, a szczególniej Matki Bożej niezależnie od tego obowiązani będziemy, gdyż Bóg według swojej Opatrzności niektórych rzeczy nieinaczej postanowił udzielić, jak tylko za przyczyną Świętych. I słuszną czyni uwagę Belarmin, że żadnego przykazania nie trzeba, gdy sama konieczność do czegoś nagli. To także pewna, wbrew twierdzeniu Illuminatów[1]), że od tego przykazania czy rady nikt pod pozorem wyższej doskonałości zwalniać się nie może, boć i Paweł Ś. prosił o modlitwę żyjących swoich synów duchownych.

Do jakich Świętych modlić się można?

Modlitwy publiczne w imieniu Kościoła można zanosić albo do Aniołów i Świętych w ogólności, jak to się czyni w Litanji do Wszystkich ŚŚ., albo w szczególe do tych, na których cześć publiczną przez kanonizację, albo beatyfikację Kościół pozwolił. Prywatnie jednak można się modlić do wszystkich dusz, które, jak nam się roztropnie zdaje, są w niebie. Ś. Franciszek Ksawery polecał się modlitwom dziatek przez siebie ochrzczonych i zaraz zmarłych, o których zbawieniu jest taka pewność, iż nie może być większej, prócz tych, których Kościół za Świętych uznał. Że wolno jest modlić się do Enocha i Eljasza, dowodzi pozwolenie Kościoła, udzielone Karmelitom na Mszę i Officjum o nich. Można prosić o modlitwy i wiernych, bo to wynika z artykułu o Świętych obcowaniu, bo tak czynił Paweł Ś., i sam Pan Bóg rzekł do przyjaciół Joba: „Idźcie do sługi mego, Joba, a on za was modlić się będzie".

Czy do dusz czyścowych można się modlić?

Można się modlić i do dusz w czyścu będących, wolno bowiem pobożnie wierzyć, że te dusze z obowiązku miłości wywzajemniają się tym, którzy za nie swe modły ofiarują. Według teologów, jeżeli się kto modli do dusz czyścowych, z tą wiarą, że go słyszą, nie grzeszy, i na żadne niebezpieczeństwo się nie naraża, bo choćby owe dusze tych modlitw nie słyszały, to później, po wejściu do nieba, je poznają i pobudzone tem będą do wstawiania się za swoich przyczyńców. Ktoby więc w tej modlitwie uczuwał nabożeństwo, niema potrzeby go powstrzymywać. Jednakowoż nabożeństwo do dusz zmarłych nietyle się okazuje, gdy się do nich modlimy, ale gdy w ich intencji ofiarujemy sprawy zadośćczynné, jako to: modlitwy, pokuty i jałmużny, a to już dostateczne jest, aby one obowiązane były modlić się za swoich wybawców wtedy, i w taki sposób, jak im Boskie rozporządzenie pozwoli.

O odmawianiu Boskiego Obrządku.

Z modlitw ustnych najpierwsze miejsce trzyma Officjum kanoniczne, czyli Obrządek Boski, przez prawo kościelne dla osób duchownych przepisany i ściśle ich obowiązujący; powinno się więc dobrze pamiętać, z jaką dokładnością i doskonałością należy odmawiać te godziny kanoniczne tak w chórze, jak poza chórem. Do tego głównie urzędu słudzy Boży są przeznaczeni, na ten cel przez Kościół wybrani i niemałym nakładem wiernych utrzymywani; co inni więc tak niedokładnie czynią, oni przynajmniej z obowiązku swego w imieniu wszystkich bez przerwy Majestatowi Bożemu mają oddawać. A gdy tak głosić będą chwałę Bożą, modlitwy ich, jakby ustami wszystkich zanoszone, będą zło grożące odwracały i dobro tak im samym, jak całemu ludowi wypraszały. Ś. Hieronim upomina, aby ten obowiązek wypełniany był gorliwie, aby słowa tak były wymawiane lub śpiewane, żeby drugich do pobożności skłaniały, i aby czas, miejsce i przepisany sposób ściśle były zachowywane. I mają nie ustawać w gorliwości, aby im się nie przydarzyło to, co Mojżeszowi że gdy ręce opuszczał, wtedy lud izraelski przegrywał. Tak i dziś lud wybrany często upada pod naciskiem pokus śmiertelnych, kiedy kapłani oziębli są w modlitwie.

Niech psalmy odmawiają mądrze, jak naucza Ś. Augustyn:[1]) Jeżeli prosi psalmista — niech proszą; jeżeli jęczy — niech jęczą; jeżeli się raduje — niech się radują; jeżeli ufa — niech ufają, jeśli się boi — niech się boją. Wszystko bowiem, co tam napisano, zwierciadłem jest dla nas.

O innych modlitwach ustnych.

Wszyscy wierni powinni się starać o modlitwę ustną doskonałą, szczególniej odmawiając mo-

[1]) Prop. 39 damnata ab Inquis. gen. Hisp.

[1]) In Ps. 30, conc. 3.

dlitwy potwierdzone przez Kościół, jakiemi są: 1) Modlitwa Pańska, która przewyższa wszystkie powagą, krótkością, obejmowaniem wszystkiego i skutecznością, bo nic Bogu milszego nad nią być nie może. 2) Skład Apostolski, czyli Wierzę w Boga, które choć nie jest prośbą, słusznie jednak między modlitwy jest policzone, bo każdy w niem wyraz pobudza do modlitwy. 3) Pozdrowienie Anielskie z uwielbień Marji przez Anioła, Ś. Elżbietę i Kościół Św. złożone. 4) Antyfona: Witaj Królowo, którą ułożył Bł. Herman, Benedyktyn, około r. 1050, a Bernard Ś. w 1147 r., gdy usłyszał śpiewaną przez Aniołów w katedrze Spirskiej, dodał do niej ostatnie słowa: „O, łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Marjo". 5) Litanja do Wszystkich Świętych, nietylko od Ś. Grzegorza Wielkiego, ale od niepamiętnych czasów w Kościele używana i różnemi późniejszemi dodatkami pomnożona. 6) Litanja do Matki Boskiej, śpiewana w Domku Loretańskim, a którą Klemens VIII na cały Kościół potwierdził. Także Litanja o Imieniu Jezus, zatwierdzona przez Ś. Kongregację, do Serca Jezusowego przez Leona XIII i do Ś. Józefa przez Piusa X pozwolona. 7) Officjum Parvum Najśw. Marji Panny, które już przed VIII wiekiem było w użyciu, a Papież Pius V je aprobował. 8) Psałterz Najśw. Marji Panny, czyli Różaniec, wprowadzony przez Ś. Dominika, w którego każdym dziesiątku rozpamiętują się tajemnice życia, męki i chwały Chrystusowej. 9) Koronka siedmiu Radości, która wzięła początek od Braci Mniejszych Ś. O. Franciszka, na pamiątkę lat życia ziemskiego Matki Bożej. 10) Jest wiele innych koronek i modlitw ustnych, zatwierdzonych przez Kościół i odpustami nadanych, których zbiór znajduje się w książce: „O odpustach", ułożonej przez Arndta. T. J. 11) Z niepotwierdzonych, ale niepotępionych te można wybierać, które, według zdrowego sądu, jako bezpieczne i pobożne są uznane, np. modlitwy ŚŚ. Anzelma, Bernarda, Tomasza, Bonawentury, znajdujące się w książkach do nabożeństwa. Dobrze jednak trzeba uważać, aby unikać modlitw zabobonnych, albo z wyrażeniami wątpliwemi co do wiary, bo i te czasem w książkach się przytrafiają. Wreszcie lepiej jest mało a pobożnie, niż wiele a niepobożnie modlitw odmawiać, bo według Ś. Hieronima[1]), lepiej jest zmówić pięć psalmów z sercem czystem i z weselem duchowem, niżeli cały psałterz z niepokojem i smutkiem.

O modlitwach strzelistych.

Wszyscy wierni powinni również jak najwięcej używać modlitw strzelistych, w ten bowiem sposób nawet i nieuczeni i niedoskonali mogą dostatecznie spełnić to przykazanie Chrystusa i Apostoła, żeby bez przestanku i zawsze się modlić, jako też i zalecenie Ojców Świętych: „Rano i wieczór, i przy każdem zajęciu, i na każdą godzinę się módlcie", a wreszcie tę przestrogę Pańską: „Czuwajcie i módlcie się, abyście nie weszli w pokusę, ponieważ nie wiecie, kiedy Syn Człowieczy przyjdzie".

Modlitwy te były w zwyczaju u mnichów egipskich, a oprócz Ś. Augustyna, Kasjana, i Ś. Chryzostoma, zaleca je bardzo Ś. Wawrzyniec Justiniani, mówiąc: „Strzałami miotanemi na przeciwników są one ogniste modlitwy, które żołnierze Chrystusowi do nieba w cichości serca zasyłają". Dosadniej jeszcze określa to Ś. Franciszek Salezy[1]): „W tem ćwiczeniu, mówi on, zawiera się wielka fabryka pobożności. Ono może dopełnić brak wszystkich innych modlitw, ich zaś brak niczem wynagrodzić się nie da". Dlatego zachęca swoją Filoteę, aby je całem sercem ogarnęła i nigdy w nich nie ustawała. Odpowiednie modlitwy strzeliste zebrali i zastosowali do różnych stanów: początkujących, postępujących i doskonałych, Alvarez Paz[2]) i Kardynał Bona[3]). Służą one jeśli nie do wyuczenia się ich na pamięć, to przynajmniej do tego, by przez czytanie ich można się było wprawić w układanie podobnych modlitw. Kasjan w samym wierszu: „Boże, ku wspomożeniu memu wejrzyj", uważa najprędszy ratunek na wszystkie potrzeby, jeżelibyśmy ciągle w sercu i w ustach go mieli. Ś. Chryzostom to samo upatrywał w wołaniu Chananejki: „Zmiłuj się nademną, Panie; córka moja (czyli dusza moja) od szatana jest dręczoną". Zaleca on razem ze Ś. Bonawenturą, by używać tego rodzaju aktów za uderzeniem każdej godziny, aby je mówić po Pozdrowieniu Anielskiem, a w tem ostatniem radzi wymawiać z naciskiem słowa: „teraz i w godzinę śmierci naszej".

Modlitwy ustne wystarczają czasem do życia doskonałego.

Reguera mówi[4]), że dobra modlitwa ustna, z należytemi odbyta warunkami, dla niektórych, nie wezwanych do wyższej modlitwy, może wystarczyć do życia chrześcijańskiego, a nawet doskonałego, szczególniej, gdy ktoś do tego wyjątkowe czuje natchnienie, co się może poznać ze skutków, jeżeli w niej więcej uczucie się rozbudza. Uczy

[1]) De Consecr. d. 5.

[1]) L. 2, p. Introd. c., 13. [2]) T. 3 de Vit. spir., l. 4,. p. 3; c. 10. [3]) In via comp. ad. Deum. [4]) Th. Myst. T. I p. 308.

bowiem Doktor Seraficki [1]), że porządek i sposób, jaki Duch Święty poddaje, należy zachować w modlitwie, która więcej przypada do serca. I na innem miejscu uważa [2]), że dla początkujących i prostych modlitwy ustne więcej są skuteczne od rozmyślania, gdyż chodzi o to, aby przynajmniej zwyczaj pobudzał ich do modlitwy, inaczej bowiem, będąc zawsze wylani na zewnątrz, zostawaliby dalecy od Boga, gnuśnieliby w oziębłości i nigdyby żadnego ciepła pobożności nie doznali. A nawet pobożniejszym zaleca modlitwy ustne, aby przez dobry zwyczaj rozbierali je sobie w myśli, kiedy większej pobożności nie czują. Skoro więc w ten sposób pobożność się rozbudza, każdy ze swoich modlitw ustnych zadowolony być powinien. Ś. Teresa, mówiąc o tych, którzy do modlitwy wewnętrznej i unikania roztargnień usposobić się nie mogą, przestrzega, aby zadawalniali się tem, by się Bogu cierpliwie przedstawiać, i powiada: „Nie myślcie, żebyście mało pożytku odnosili, modląc się ustnie doskonale, mówię wam bowiem, że jest rzeczą możliwą, iż przy odmawianiu Ojcze nasz, lub innej modlitwy ustnej, Bóg was podniesie do doskonałej kontemplacji".

Rozmyślanie pomaga do życia chrześcijańskiego.

Przytacza Pismo Święte, że Bóg, nadając Mojżeszowi dziesięć przykazań, a szczególniej przykazanie miłości, rzekł: „I będziesz w niej (księdze zakonu) rozmyślał, we dnie i w nocy" [3]). I o sprawiedliwym powiada, że prawo Boże rozmyślać będzie dniem i nocą [4]). „Zakon twój jest rozmyślaniem mojem" [5]). W Nowym Testamencie Najśw. Marja Panna zachowywała te słowa, stosując w sercu swojem [6]). Tak nauczają wszyscy Ojcowie Święci, a Ś. Teresa mówi: „Rozmyślanie jest początkiem nabycia wszelkiej cnoty i jest rzeczą, na której wiele zależy wszystkim chrześcijanom [7])". „Żaden, choćby najwięcej zajęty, powiada Ś. Antonin, nie powinien zaniedbywać niekiedy rozmyślania rzeczy Bożych" [8]). Przyczyną tego jest, że bez rozmyślania poprzedzającego albo towarzyszącego zaledwie może być dobra modlitwa ustna, jako też że bez medytacji ćwiczenie się w cnotach wiary, nadziei, miłości, lub unikanie występków prawie nie może być utrzymane. Pokazuje to również doświadczenie, bo choć wszyscy katolicy mają tę samą wiarę, dlaczego nie wszyscy tą wiarą żyją, ale tak wielu jest pogan co do obyczajów, tak mało kto wiarę swoją uczynkami objawia". Oczywiście dlatego, że prawd wiary nigdy z uwagą nie rozbierają. Dlaczego między tymi, co wiele się modlą, tak wielu ustaje w zachowaniu prawa i za nadejściem okazji ulega namiętności? Tylko dlatego, że rozmyślania pilnego zaniedbują. Z drugiej strony widzimy zastarzałych grzeszników, jak przez samo odprawienie ćwiczeń duchownych Ś. Ignacego w innych mężów się przemieniają i jeżeli trwają w codziennem rozmyślaniu, coraz bardziej umacniają się w dobrem.

[1]) In Spec. discipl. p. 1, c. 12. [2]) De Profect. rel. c. 72. [3]) Jos. 1, 8. [4]) Ps. 1, 2. [5]) Ps. 118, 92. [6]) Luc. 2, 19. [7]) Via perf., C. 16. [8]) P. 4 Summ., T. 10, c. 5.

Czy jest przykazanie myślnej modlitwy?

Jest rzeczą pewną, że medytacja do zbawienia wiecznego nie jest bezwzględnie konieczną, bo Chrystus, na zapytanie, czego potrzeba do osiągnięcia tego celu, odpowiedział: „Zachowaj przykazania". Tak utrzymują Suarez, Teofil Raynaud i Hurtado, który uważa za lekkomyślne zdanie, że nie można być zbawionym, jeżeli się codzień czas jakiś nie rozmyśla. Błądzą również Illuminaci, twierdząc, iż rozmyślanie z przykazań Bożych tak jest nakazane, że przez nie dopełnia się wszystkiego. Niema też nigdzie przykazania modlitwy myślnej, wyjąwszy dla tych osób, które należą do jakiego zakonu, gdzie to jest obowiązkiem. Ś. Tomasz mawiał, że niemożliwem jest, aby zakonnik żył, albo postępował w doskonałości, nie rozważając i że zakonnik bez modlitwy jest tem, czem żołnierz bez oręża na wojnie. I Ś. Bonawentura mówi, że zakonnik nieodbywający często rozmyślania, nietylko jest nieszczęśliwy i nieużyteczny, ale w żywem ciele nosi duszę umarłą przed Bogiem [1]). To samo utrzymywać należy o każdym słudze Bożym, bo jakże mógłby bez rozmyślania życie czyste i niebiańskie prowadzić, jak Officjum należycie odmawiać, jak Najśw. Ofiarę godnie sprawować, jak owce powierzone paść, jeżeli duchem Chrystusa nie będzie przejęty? Jakim sposobem przełożony odpowie stanowi swojemu, który wymaga doskonałości? Słusznie przeto Kościół wzmiankuje, że dwa są obowiązki Biskupa: aby od Boga się uczył, Pismo Święte czytając i pilnie je rozmyślając, i aby lud nauczał [2]). I słusznie twierdzi Gerson: „Biada nam, że tak mało jest rozważających, nawet wśród uczonych, duchownych i zakonników, bo żaden nie może znieść, aby sam z sobą pozostawał i sam z sobą rozmyślał [3]).

Czy ludzie świeccy mogą się wymawiać od rozmyślania.

Z tego, co się mówiło, pokazuje się: 1) że rozmyślanie jest pewną ogólną pomocą do życia

[1]) Opusc. de perf. vitae. c. 5. [2]) Si quis d. 37. [3]) Myst. Theol., cons. 11.

chrześcijańskiego, bez której rzadko kto może sobie obiecywać wytrwanie, a tego już dosyć, aby je uznać za moralnie konieczne. 2) Chociaż od tej konieczności wyjmują się niepowołani, t. j. ci, dla których ustna modlitwa wystarcza, ale nie można powiedzieć, żeby i oni byli zupełnie wyjęci, bo skutkiem dobrej modlitwy ustnej jest podniesienie myśli do Boga, a zatem jakieś rozmyślanie, a do spowiedzi i Komunji świętej wcale bez niego przygotować się nie mogą. 3) I w rzeczy samej bezzasadna to wymówka, że rozmyślanie należy tylko do zakonników i uczonych, a ludzie w pracy będący, kmiotkowie i niewiasty, nie są sposobni do tego, gdyż jeśli chrześcijanin chce żyć bogobojnie i stara się wszystkie przykazania zachować, i to sobie stanowi i prosi o łaskę Bożą, to już odbywa rozmyślanie. Przecież ci ludzie rozważają dobrze o swoich świeckich interesach i obmyślają różne środki dla pozyskania jakiego dochodu; dlaczegożby więc nie mogli o duszy tak samo pomyśleć i nad zbawieniem wiecznem się zastanowić. Niech będzie dusza prosta, byle więcej dbająca o rzeczy duchowne niż o doczesne, a prędko nauczy się rozmyślać. Boleć należy, że kaznodzieje, proboszczowie i spowiednicy nie nauczają ludu wiernego od dzieciństwa, jak to ćwiczenie odprawiać; przez to wprowadziliby wiele dusz na drogę doskonałości chrześcijańskiej.

Rozmyślanie pomaga do doskonałości.

Okazuje to Pismo Święte w następujących słowach: „Zagrzało się serce moje we mnie, a w rozmyślaniu mojem zapalił się ogień“ [1]), to jest ten ogień, o którym mówił Zbawiciel: „Ogień przyszedłem puścić na ziemię, a czegoż chcę, jedno, aby był zapalon“ [2]). Kto więc chce tym ogniem pałać, powinien pilnować rozmyślania. „Ty więc kapłanie Boży, mówi Ś. Bonawentura, gdy spostrzeżesz, że przez noc ogień pobożności w sercu twojem gaśnie, rano podrzuć drewek modlitwy z różnych okazji, jakby z pobliskich lasów zebranych“ [3]). Lasami temi nazywa Ś. Doktor grzechy nasze i niedbalstwa, a także cnoty i łaski, jakich potrzebujemy.

Rozmyślanie pomaga do doskonałości: 1) bo dusze nasze żyją z każdego słowa, które pochodzi z ust Bożych [4]), te zaś słowa duszy nie posilają, chyba że przez rozmyślanie są przetrawione. 2) Tajemnicom wiary należy wierzyć, abyśmy zaś więcej z nich korzystali, trzeba po kęsu je badać, jak mówi Zbawiciel: „Rozbierajcie pisma“ [5]). 3) Wreszcie przez częstą medytację usposabia się dusza do przyjęcia łask posiłkowych. Ś. Bernard utrzymuje, że przez rozmyślanie czyni się zadość wszystkim potrzebom duszy [1]); a zatem przez rozmyślanie dąży się do doskonałości.

[1]) Ps. 38, 4. [2]) Luc. 12, 49. [3]) De prof. rel., c. 69. [4]) Matth. 4, 4. [5]) Joan. 5, 39.

Herezja Molinosa co do rozmyślania.

Michał Molinos szerzył następujące błędy: „Kto w modlitwie używa wyobrażeń, postaci i własnych pomysłów, ten nie czci Boga w duchu i prawdzie. Kto kocha Boga, o ile mu Go rozum przez rozbieranie przedstawia, albo o ile umysł Go pojmuje, ten nie kocha Boga prawdziwego. Twierdzić, że w modlitwie należy używać rozbioru i myśli, wtedy gdy Bóg do duszy nie przemawia, jest niewiadomością. Bóg nigdy nie mówi. Jego mówienie jest działaniem i zawsze działa w duszy, gdy Mu ta nie przeszkadza rozumowaniem, myślami i czynnością własną“. Zdania te potępił Innocenty XI. Również i Inkwizycja hiszpańska w r. 1623 między innemi błędami potępiła następujący: Że każdy modlący się tak się powinien skupić w obecności Bożej, żeby nie rozumował, ani rozmyślał.

Zachęta do rozmyślania dla dusz dążących do doskonałości.

Wszyscy więc dążący do życia doskonalszego, powinni rozmyślać, a szczególniej osoby duchowne i zakonne, które do większej niż ludzie świeccy doskonałości są powołani. I niech się nie tłumaczą, że inne obowiązki nie pozwalają im na to: kto chce, zawsze czas znajdzie. Któż był więcej zajęty od Eugenjusza III, Papieża? a Ś. Bernard każe mu nigdy rozmyślania nie opuszczać. Kto większe miał sprawy do załatwienia od Karola V? a przecież codzień trzy kwadranse poświęcał na modlitwę [2]). Między uczonymi zaś Ś. Tomasz, Doktor Anielski i Ś. Bonawentura, Doktor Seraficki i tylu innych wiele czasu na medytacji spędzali. Ktokolwiek więc to czytasz, (tak kończy Korneljusz a Lapide) zaklinam cię, przez miłość twojego i innych zbawienia, postępuj tak samo, zwłaszcza jeżeli jesteś teologiem, albo duchownym. Staraj się codzień cokolwiek rozmyślać o krótkości życia, o swojej śmierci, sądzie, wieczności, o męce Chrystusa lub o Świętych, a stąd poweźmiesz skuteczne postanowienia, i tego dnia umartwisz pychę, gniew, obżarstwo i t. p., a w pokorze, miłości i cierpliwości postąpisz [3]).

Jakie jest w tej rzeczy zadanie naśladowców Franciszka wśród świata żyjących.

Święty Ojciec Franciszek chciał przyprowadzić świat cały nietylko do wiary i miłości pierw-

[1]) C. 7, Considerat. seu. Medit. [2]) Chron. ad an. 1558. [3]) In. c. 6. Deut. q. 4.

szych chrześcjan, ale i do ustawicznej modlitwy; takie też zadanie postawić sobie powinni spadkobiercy jego ducha. Duch wszystkich pierwszych chrześcjan był duchem modlitwy. Stosowali się oni do zalecenia Ś. Pawła Apostoła w liście do Efezów: „Bądźcie napełnieni Duchem Świętym, rozmawiając sobie w psalmach i w pieśniach, i w śpiewaniach duchownych, śpiewając i grając w sercach waszych Panu“ [1]). Tertuljan pisze, iż chrześcijanie pierwszych wieków modlili się klęcząc i że czynność tę świętą spełniali trzy razy dziennie: o godzinie trzeciej, szóstej i dziewiątej, że modlili się z rękoma na krzyż rozciągnionemi, kończąc modlitwę pocałunkiem pokoju i słowem: „Alleluja“. Niech więc naśladowcy Franciszka usiłują i sami przejąć się duchem modlitwy i tego ducha upowszechnić przez nabożeństwa publiczne i prywatne, przez modlitwy kościelne lub osobiste, przez pieśni pobożne, litanje i nowenny, czytania lub rozmyślania, albo ćwiczenia duchowne, biorąc w nich udział i zachęcając do tego innych.

O odmawianiu Boskiego Obrządku.

Wiemy, że w następnych wiekach wierni zgromadzali się do świątyń we dnie i w nocy, by towarzyszyć kapłanom w odmawianiu Officjum Pańskiego. Naśladując ten piękny zwyczaj, Ś. Franciszek pragnął go uwiecznić w swoich rodzinach duchownych i dlatego zobowiązał dzieci swoje do odmawiania Officjum. Nie chcąc jednak tym obowiązkiem nikogo obciążać, pozwala, aby ci, którym liczniejsze zajęcia są przeszkodą do mówienia całego brewjarza, jak go mówią kapłani i zakonnicy, poprzestawali na odmawianiu Officjum o Matce Boskiej, a nawet tylko 12-u Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu, któremi Papież w konstytucji „Misericors Dei Filius“ odmawianie Officjum zastąpić pozwolił. Rozdzielić przeto wypada to ćwiczenie na części i trzymać się godzin, przepisanych do odmawiania Obrządku Boskiego, skoro Kościół Święty i reguła podnosi te pacierze do godności modlitwy publicznej. W jakiejkolwiek zaś formie odmawia się Officjum, niech ono będzie tym złotym łańcuchem, spajającym wszystkie godziny i chwile dnia, wszystkie prace, zajęcia i trudy, wszystkie cierpienia, smutki i pociechy, aby to wszystko składało się na jeden hymn uwielbienia, brzmiący w uszach Bożych wtedy nawet, gdy usta nasze mówić już przestają. Niech obojętność i rutyna nigdy nie odejmują tej modlitwie świeżości. Niech pamięć na obecność Bożą chroni od pośpiechu i niedbalstwa; niech modlitwa ta, jak wonność kadzidła, wznosi się mile do tronu Bożego.

[1]) Ephes. 5, 19.

O modlitwach wspólnych.

Wiek XX wstydzi się modlić, dlatego unika wspólnej modlitwy. Reguła Ś. Franciszka powinna oddziaływać skutecznie przeciwko tym względom ludzkim, zaniedbanie bowiem modlitwy jest to wysuszanie samego źródła łaski. Reguła nakazuje modlitwę przed i po jedzeniu. Było to zawsze zwyczajem pierwotnego Kościoła; czytamy bowiem w listach Ś. Pawła, że chociaż dzieliły się zdania, które pokarmy były dozwolone, a które zakazane, lecz na modlitwę przed i po jedzeniu zgadzali się wszyscy, to też była ona powszechnym zwyczajem. Można powiedzieć o pierwszych chrześcijanach, że każdy dom rodzinny był tam kościołem, a głową, pasterzem jego — ojciec rodziny. Modlitwa wspólna miała taką samą tradycję, jak wspólny posiłek. Wspólność stołu uważali oni za główny środek zewnętrznego zjednoczenia członków ogniska domowego; wspólność zaś modlitwy za najdzielniejszy sposób zjednoczenia dusz, za strażniczkę jedności serc. Liberalizm owładnął wielu chrześcijan w naszych czasach. Chcąc niby modlić się osobno, stronią od wspólnej modlitwy, jak gdyby wstydem było dla chrześcijanina przyznawać się publicznie do swojej wiary i w jej uczuciach z bliźnimi się jednoczyć. Pamiętajmy, że jeżeli całe społeczeństwo, jako stowarzyszenie moralne, przez samego Boga stworzone, winno jest Bogu hołd wspólny i cześć publiczną, to tembardziej rodziny, z których się składa społeczeństwo, obowiązane są przez wspólną modlitwę utrzymywać najściślejszy związek swoich członków. Modlitwa bowiem jest węzłem, łączącym w jedno rodziców i dzieci pod okiem tego Ojca z nieba, od którego pochodzi wszelkie ojcowstwo. Oby synowie Franciszka wprowadzili i odnowili w rodzinach chrześcijańskich ten piękny zwyczaj wspólnej modlitwy! Niech go wprowadzają najpierw u siebie, przedstawiając łagodnie piękność i łatwość tej świętej praktyki. Niech wybierają właściwe do osiągnięcia tego celu środki i chwile. Spełnią w tem przepis swojej reguły i wielce się przyczynią do rozszerzenia Królestwa Bożego i odnowienia wśród chrześcjan ducha pobożności. Modlitwa wspólna tyle sprawia duszom serdecznej pociechy, że sama stanie się nagrodą tym, którzy ją zechcą praktykować. Przez nią dzieci i sługi nauczą się szacunku dla rodziców i panów, oraz uznawania w nich namiestników Bożych. Modlitwa wspólna uświęca władzę, uszlachetnia posłuszeństwo, staje się balsamem, leczącym rany spo-

leczne; jest ona wdziękiem i ozdobą życia codziennego i zadatkiem szczęśliwej przyszłości. Do serca młodziana lub dziewicy, którzy może przez słabość ludzką zapomnieli się i upadli, rzuca ona ziarno wyrzutów sumienia, które wzrasta w złote owoce skruchy i poprawy. Rozszerzając przeto ten zwyczaj wspólnej modlitwy, bracia i siostry spełniają zalecenie Leona XIII-go, aby w rodzinach świecili dobrym przykładem, poświęcając się ćwiczeniom pobożności i dobrym uczynkom.

O innych ćwiczeniach pobożności.

Najdoskonalszą praktyką pobożności, przemieniającą człowieka, zachowującą go od wszelkiego złego, utwierdzającą w dobrem, rzeczą, której samo wspomnienie lub nadzieja trzyma duszę pod słodkiem jarzmem cnoty, jest Komunja Święta. Pierwsi chrześcijanie przyjmowali ją, ile razy byli obecni przy sprawowaniu świętych tajemnic. Przewidując zaś, że nieprędko będą mogli zejść się do katakumb, zabierali z sobą konsekrowane Hostje do świątyni domowego ogniska. Był to przywilej, zasłużony wiarą i dzielnością tych pierwszych wyznawców Chrystusowych. Codzień Pan Jezus oddawał im się w upajającym darze Komunji Świętej — oni też nawzajem codzień gotowi byli oddać Mu życie swoje w najsroższem męczeństwie. Trzecia Reguła Ś. Franciszka na podstawie tych świętych tradycji i przykładów nakazuje dziś przyjmowanie Komunji świętej co miesiąc; lecz z poza litery łatwo odgadnąć ducha tego przepisu. Termin Komunji comiesięczny nie jest oznaczony dla powstrzymania i ograniczenia naszej gorliwości, ale raczej dla zastrzeżenia przed oziębłością. Dzisiaj więc, kiedy Ojciec Święty Pius X zachęca wszystkich wiernych do codziennej Komunji, dzieci Franciszka winny tembardziej przyjmować ją, o ile można, codziennie, a przytem starać się tak żyć, aby codzień byli godnymi tego Boskiego pocałunku, który Pan Jezus daje duszy wiernej. Syn Boży stał się naszym pokarmem, aby nas z sobą zjednoczyć; łączmy się przeto z Nim, pożywając Jego Ciało. To Ciało Boskie, eucharystyczne jest naszem dobrem, naszym skarbem, naszą własnością: Chrzest święty daje nam do niego prawo. Korzystajmy z tego prawa jak najobficiej, posilajmy się tym Chlebem dzieci Bożych; On do rąk naszych, stworzonych do walki, włoży miecz zwycięski na pokonanie wrogów zbawienia.

Pan Jezus oddaje się nam w Komunji, którą przynosi nam we Mszy świętej. Starajmy się codziennie słuchać Mszy świętej, choćby kto do Komunji nie mógł tak często przystępować. Trzecia Reguła i zalecenie Papieża Leona XIII do tego skłaniają i zachęcają. Ach, schodźcie wszyscy z chatek, z pałaców, z fabryk, pracowni, salonów do tych katakumb świętej rozwagi, skupienia, zatopienia się w Bogu; spieszcie na wezwanie Chrystusa Pana, by spojrzeć na odnawiającą się nieustannie ofiarę Kalwaryjską. Stąd wracajcie do swoich zajęć, wielkich czy małych, wzniosłych czy pospolitych, a znajdziecie w nich uświęcenie dla duszy. Wasze prace, walki, cierpienia będą ubóstwione; w tem wszystkiem bowiem nie będziecie sami, lecz Bóg będzie wam towarzyszył.

Apostolstwo modlitwy.

Modlitwa ma w sobie siłę apostolstwa. Nie wolno ci mówić kazań, ale możesz apostołować modlitwą. Modlitwa jest duszą świętej gorliwości. Zanim zaczniemy działać na dusze, aby je pozyskać Bogu, trzeba wprzód przez modlitwę uzyskać łaskę Bożą dla dusz. Zanim krople deszczu spadną na ziemię, musi wpierw para unieść się ku niebu. Wszystko otrzymać możemy przez modlitwę, tę moc ludzką nad Boską wszechmocnością. Ci, którzy się modlą, więcej czynią dla świata, niżeli ci, którzy walczą. Dlatego coraz gorzej dzieje się na świecie, że więcej jest bitew i wojen, niż modlitwy. Trzeba mieć czas przedewszystkiem na modlitwę. Zewsząd srożą się huragany, przeczuwamy zbliżające się wojny, ciągłe zatargi między narodami, a wśród tego tak mało jest ludzi modlących się; to też coraz bardziej zacierają się chrześcijańskie zasady, wzmacnia się masonerja, zdaje się, że jesteśmy w przededniu wielkiej katastrofy, która zburzy wszystko!

Dzieci Ś. Franciszka, módlmy się!

W sobie samych, jak mówi księga Paralipomenon, nie znajdujemy sił do odparcia zbliżającej się zawieruchy, a ponieważ nie mamy środka ocalenia, pozostaje nam tylko wznieść ku Tobie oczy, o Boże!

Módlmy się! Tyle mamy sposobów modlitwy: codzienna medytacja, Officjum podzielone na godziny, aby przez ponawiane modły większą nadać moc błaganiom, i inne środki wyżej wspomniane. O, nie brak nam sposobów do porywania dusz na ten złoty łańcuch modlitwy. Umiejmy tylko ich używać w tym duchu wiary i z tą ufnością ku Bogu, której nic zrazić i pokonać nie zdoła!

ROZDZIAŁ XIV

Duch seraficzny jest duchem gorliwości o dusze.

Jaka była gorliwość Franciszka?

Nie łatwo jest znaleźć w jednym i tym samym człowieku jednocześnie życie kontemplacyjne Marji i czynne Marty; prawie zawsze jedno przemaga nad drugiem. Jest to przywilej Ś. Franciszka, że umiał oba te rodzaje ze sobą połączyć.

Wiedział Franciszek o tem, co Zbawiciel rzekł o sobie, że przyszedł dać duszę swoją na okup wielu i jak był ściśniony, póki się za nich całkiem nie poświęcił; a im więcej miłował Jezusa, im więcej z Nim się jednoczył, tem więcej bolał nad zgubą tych, których On tak ukochał i za których przelał krew swoją. Było to więc jedynem jego pragnieniem, aby i on mógł przelać krew swoją za dusze, a prośba za niemi — głównym przedmiotem jego modlitw. To samo też było pobudką wszystkich jego prac, podróży, nauk i pokut, którym tak się oddawał, iż śmiało można powiedzieć, że w staraniu o dusze nie miał Franciszek sobie równego. Chociaż więcej znajdował smaku w świętych rozmyślaniach, uważając, że łatwiej w nich może ustrzedz czystości duszy, serca i ciała, jednak, dla naśladowania przykładu Zbawiciela, który był jedyną jego regułą, szedł pracować nad zbawieniem dusz. Niezmierną też ich liczbę swemi kazaniami Bogu pozyskał.

Co mówił o tem Ś. Patryarcha?

Nie poczytywałbym się miłośnikiem Chrystusowym, mawiał Święty Ojciec, ani śmiałbym rościć sobie jakie prawo do Jego łask i miłości, gdybym sam nie poświęcił się całkiem na pożytek i zbawienie bliźnich, których Pan nasz śmiercią swoją odkupił. Mawiał też, że nic wyższego, niż pożądańszego dla sługi Bożego być nie powinno, jak przyczynianie się do zbawienia drugich, a to potwierdzał śmiercią, na krzyżu przez Syna Bożego w tym celu poniesioną [1]).

W czem się objawiała gorliwość Ś. Franciszka?

W dwóch rzeczach szczególniej: Naprzód w nawracaniu grzeszników, t. j. pozyskiwaniu dusz Bogu i pobudzaniu wszystkich do miłości Bożej. Powtóre: w pociąganiu dusz do wyższej doskonałości, do naśladowania życia Chrystusa i Apostołów, i do ewangelicznego ubóstwa, oraz do utrzymania tego życia w sposób jaknajściślejszy. Te dwie rzeczy tak pochłaniały jego duszę, że trudno rozpoznać, do której z nich bardziej gorliwość jego zmierzała.

---

[1]) Żyw. Ś. Fr. O. Prok. T. I, s. 155.

Jak się wpraszał do nauczania.

Zdążając do Hiszpanji przez Bolonję, gdzie już był jego klasztor i zatrzymawszy się w nim na krótko, przyszedł do miasta Imola. Według swego zwyczaju, udał się najpierw do Biskupa, którego pokornie powitał i prosił o pozwolenie miewania kazań w jego dyecezji. „Ja sam mówię kazania, odpowiedział mu na to bardzo zimno Biskup, i to dla ludu mego wystarcza". Franciszek pokłonił się i, nic nie mówiąc, odszedł. Lecz w godzinę potem wrócił, wchodząc do mieszkania biskupiego innemi drzwiami, a prałat już trochę tem poruszony, zapytał ostro, czego chce jeszcze. „Najprzewielebniejszy Pasterzu, powiedział Franciszek nieśmiałym głosem i w jak najpokorniejszej postawie, wszak gdy ojciec wygania syna jednemi drzwiami, on powinien się starać wrócić do niego drugiemi". Na te słowa Biskup uściskał go najserdeczniej, mówiąc: „Odtąd ty i wszyscy bracia twoi macie pozwolenie na kazywanie w mojej dyecezji, bo na to święta pokora twoja zasłużyła" [1]).

W jaki sposób nauczał.

W aktach kościelnych bolońskich znajduje się ówczesne autentyczne pismo, które w następujących słowach zdaje sprawę z przybycia Franciszka do tego miasta. „Ja, niżej podpisany, Tomasz, obywatel miasta Spalatro, archidjakon kościoła katedralnego, student uniwersytetu w Bolonji, roku 1220 w dzień Wniebowzięcia Matki Bożej słyszałem Ś. Franciszka, każącego na głównym rynku przed tak zwanym Małym Pałacem, gdzie prawie całe miasto było zgromadzone. Zaczął kazanie w tych słowach: „Aniołowie, ludzie, szatani..." i mówił o tych istotach rozumnych z taką znajomością ich natury i głęboką nauką teologiczną, że mnóstwo najuczeńszych mężów, którzy go słuchali, podziwiało tak nadzwyczajną biegłość w człowieku napozór niewykształconym. Nie zapuszczał się w próżne i zbyteczne rozumowania o zasadach moralności, jak to zwykle robią teraźniejsi kaznodzieje, lecz trzymając się jednego przedmiotu, który miał głównie na celu, całą mowę zwrócił ku temu, aby między mieszkańcami naszego miasta przywrócić pokój i miłość chrześcijańską, zupełnie wyniszczone wskutek długich i zawziętych niesnasek domowych. Odziany był bardzo ubogo, wyglądał nadzwyczaj mizernie i nic uderzającego nie było w jego powierzchowności. Lecz Pan Bóg tak wielką moc przydawał jego słowom, że to jedno kazanie przywiodło do zgody bardzo wielu możniejszych obywateli, będących z sobą oddawna w zaciekłej wojnie, w której nie mało krwi ludzkiej przelano [1]).

Jak prace misyjne za powołanie braci uważał.

Gdy Kardynał Hugolin odradzał Świętemu iść na misję do Francji, ten nie chciał od niej odstąpić, a przedstawiając różne tego powody, między innemi rzekł: „Dostojny panie, nie wypada mi zaniechać tej misji. Wielu z braci moich wysłałem w obce i dalekie kraje; jeślibym więc pozostał, zażywając spokoju w klasztorze, dałbym tym biednym braciom, pielgrzymującym wśród obcych i nieraz na głód i wszelki niedostatek wystawionym, okazję do szemrania, i sambym się wobec nich okrył wstydem. Jeśli zaś i mnie ujrzą w podobny sposób pracującego, to i oni chętniej znosić będą swoje trudności, i ja śmielej do tejże pracy będę ich mógł pobudzać". — „Bo i pocóż, kochany Franciszku, odparł znów Kardynał, wystawiasz synów swoich na tyle przygód, jakie ich spotykają w obcych i dalekich krajach?" — A na to mu Święty Patryarcha: „Miłościwy Książę, czy sądzisz, że Pan Bóg dla naszej tylko ojczyzny wzbudził to Zgromadzenie? Zaprawdę, zaprawdę, przydał w duchu prorockim, powiadam Waszej Dostojności, że je Pan Bóg ustanowił dla dobra i zbawienia świata całego. I od dobrodziejstwa tego nie wyłączeni są nawet niewierni, do których krajów bracia moi też chodzić będą. Byle zaś w sposobie swojego życia zawsze trzymali się ducha Ewangelji i przepisów swojej reguły, Pan Bóg i wśród nieprzyjaciół Imienia swego obficie ich we wszystko zaopatrzy [2]).

W jaki sposób błądzących nawracał.

Całe życie Franciszka, jego podróże misyjne, wszystkie żarliwe nauki, one zbiegowiska ludzi na jego kazania, są objawem jego nieustannej i nigdy nienasyconej gorliwości o dusze. Niezliczone zaś nawrócenia pokazują, jak różnych sposobów do tego używał. Oto przykład jeden z tysiąca.

W mieście Spoleto znajdował się klasztor Braci Mniejszych, zamieszkały przez kilku zakonników, których lud chętnie słuchał i o potrzebach ich miłościwie pamiętał. Był tam jednak pewien zamożny mieszczanin, znany z wielkiego skąpstwa, a jako taki, nieprzystępny dla nich i zawsze odmawiający im wszystkiego. Owszem, nawet gdy bracia, żebrząc u innych, do niego zaszli, dotkliwemi

[1]) Żyw. Ś. Fr. O. Prokopa, T. I, s. 172.

[1]) Tamże, T. II, s. 76. [2]) Tamże, s. 17.

słowy ich znieważał. Braciszek-kwestarz opowiedział to Franciszkowi za jego bytności w Spoleto, mówiąc, że cieszy się, iż doznając w całem mieście wielkiego serca, tu przynajmniej spotyka się z upokorzeniem, które może Panu Jezusowi ofiarować. Cieszył się z tego również Franciszek, lecz zabolało go, że mąż ów pozbawia się zasługi, jakąby miał, wspierając ubogich Chrystusowych, a dla skąpstwa duszę swoją na zgubę wieczną wystawia. Kazał więc bratu kwestarzowi, aby postarał się koniecznie jakim pokornym a godziwym sposobem wyżebrać od tego mieszczanina chociażby bułeczkę chleba, co też braciszek nazajutrz uczynił. Chleb otrzymany od chciwca Święty Ojciec położył w refektarzu, a gdy bracia zasiedli do stołu, rozdzielił bułkę pomiędzy wszystkich i polecił, aby każdy przed zjedzeniem swego kawałka odmówił trzy Ojcze nasz i trzy Zdrowaś za ofiarodawcę. Uczynili to bracia, a Pan Bóg tak prędko wysłuchał ich modlitwę, że zanim wstali od stołu, mieszczanin już dzwonił do furty i, wszedłszy do refektarza, pokornie przepraszał braci, że dotąd okazywał się dla nich tak nieprzychylnym. Przyjęto go z największą miłością, a rozmowa ze Świętym Ojcem tak zbawiennie nań wpłynęła, że nietylko od tego czasu był wielkim dobrodziejem klasztoru, lecz jak dawniej słynął ze skąpstwa, tak teraz całe miasto podziwiało jego hojność dla ubogich i na różne uczynki miłosierne [1]).

Nawracanie w ostatnich latach.

Po otrzymaniu świętych blizn, Franciszek, chociaż mocno cierpiący, wsiadał jeszcze na osiołka i, przenosząc się z miejsca na miejsce, miewał kazania, w których już prawie o niczem innem nie mówił, tylko o miłości Syna Bożego ku ludziom. „Miłość moja ukrzyżowaną została“, wołał i zwykle te tylko słowa, w najżywszem uniesieniu ducha po kilka razy powtórzone, tłumy słuchaczów do skruchy przywodziły i największych nawracały grzeszników. Ale chociaż duch, według wyrażenia Pisma Bożego, odnawiał się w nim, jako młodość orłowa [2]), zewnętrzna jednak powłoka coraz więcej słabła, znękana pracami i ciągłemi umartwieniami. Coraz większy ból oczu, do którego przyczyniało się głównie bezustanne wylewanie łez na modlitwie, przyprawił go w końcu o zupełną ślepotę. A gdy obok tego i inne choroby się wzmogły, osłabł tak, że pomimo najżywszej chęci nieustawania w zawodzie apostolskim, nie był już w stanie miewać nauk.

[1]) Tamże, T. I, s. 163. [2]) Ps. 102, 5.

W czem najbardziej objawiała się gorliwość Franciszka o dusze?

Objawiała się ona w tem, że zawsze miał na myśli i sercu ratunek grzeszników, których Zbawiciel krwią swoją odkupił. Gdy mu przeto cudownie ukazał się Pan Jezus ze swoją Matką, w kościołku Najśw. Panny Anielskiej, wzywając go, aby prosił o co tylko zechce, nie pragnął wtedy nic ani dla siebie, ani dla rodziny swojej, ani dla swego zakonu, bo nie miał nic pilniejszego, jak błagać Go za grzesznikami. Prosił tedy Zbawiciela, iżby ktokolwiek wyspowiada się ze swoich win w tym kościołku, mógł dostąpić rozgrzeszenia bez ofiar i bez owych pokut kanonicznych, które nieraz na długie lata wstrzymywały odpuszczenie, przez co zaniedbywane były Sakramenta Św.. On więc był pobudką, że Kościół Ś. zmienił powoli system w sprawowaniu Sakramentu Spowiedzi. Temu zatem pokutnikowi Serafickiemu winni jesteśmy, że dziś bez długiej pokuty można jednać się z Bogiem i tak łatwo a często z Nim się łączyć. Bo i któż inny śmiałby o to błagać, jeżeli nie ten, który tak surowo pokutował za siebie i za bliźnich.

Jaką gorliwość miał względem swoich synów?

Ze szczególną troskliwością zajmował się Franciszek swoimi synami, przez których dokonać miał kiedyś wielkiego dzieła odrodzenia. Dlatego, osiadłszy z nimi przy kościołku Najświętszej Panny Anielskiej, ćwiczył ich i słowy i własnym przykładem na drogach świętych. Przewidując, że od zasad, jakiemi ci pierwsi jego synowie przejęci zostaną, i od cnót, w jakie za łaską Pańską ich wdroży, zależeć będzie przyszłość całego zakonu, nie szczędził trudów, aby ich do wielkiego tego posłannictwa uzdolnić. Pan Bóg zaś, który sam przez wybranego sługę swego wszystko to działał, godnych takiego ojca dał mu synów. A że pod jego wodzą przeznaczał ich na nowych apostołów, mających zmienić ówczesną postać zepsutego świata, rozżywić uśpione poczucie chrześcijańskie i odwrócić od ludzkości wielkie niebezpieczeństwa, grożące samej wierze nawet — szczególnemi też i cudownemi obdarzył ich do tego darami; bez poprzedniej bowiem nauki i wykładu biegłych mistrzów, czynił z nich znamienitych głosicieli słowa Bożego [1]).

Czego ich nauczał?

Serafícki Patryarcha ciągle przypominał braciom, aby świętą Ewangelję i ślubowaną regułę

[1]) Tamże, s. 117.

wiernie zachowali, wszystko zaś, co się tyczy pacierzy kanonicznych i świętych obrzędów, aby spełniali z pobożnością i uszanowaniem; aby Mszy św. słuchali z należytą uwagą i Przenajświętszemu Ciału Pańskiemu najgłębszą cześć oddawali; aby dla kapłanów, którzy ŚŚ. Sakramenta sprawują, mieli wielki szacunek i, spotykając się z nimi, pokornie się im kłaniali, całując ich ręce, a gdyby nawet można było, to i kopyta koni, na których jadą, w dowód uczczenia w nich godności kapłańskiej.

Tych, którzy wychodzili za klasztor, upominał, aby się zachowywali jak najskromniej, spokojnie i obyczajnie, iżby ktokolwiek słyszeć ich, lub tylko widzieć będzie, pobudzał się do chwalenia Ojca Niebieskiego. Zalecał także, aby wszystkim życzyli i ogłaszali pokój Pański, starając się zaprowadzić go w sercu każdego. „Na to bowiem, mówił, powołani jesteśmy, abyśmy zranionych na duszy leczyli, moralnie chorych uzdrawiali, a wszystkich błądzących sprowadzali na drogę zbawienia".

Świeckim i duchownym dostojnikom Franciszek kazał oddawać cześć należną, stosownie do przepisu, jaki dają księgi święte, w tych słowach: „Komu cześć, cześć" [1]). Najbardziej jednak zalecał braciom święte ubóstwo. Prosił ich też, aby jak najusilniej starali się o łaskę modlitwy, która, według niego, była źródłem wszystkich innych łask, a najwięcej nakłaniał, aby bezustannie rozmyślali Mękę Pańską. Chcąc zaś zapewnić pożądany owoc świętych upomnień, które im dawał, codziennie robił przegląd karności zakonnej, i skoro spostrzegł jakie przeciw niej przekroczenie, natychmiast je karcił [2]).

Jak ich uspakajał w skrupułach.

W jednym klasztorze Święty zastał brata bardzo przykładnego, który ciągłemi dręczony był skrupułami i wielkich doznawał utrapień. Wskutek tego bliski już był nawet upadku na duchu i odstąpienia od drogi wyższej pobożności, po której dotąd szedł wiernie. W sercu błogosławionego Ojca obudziło to wielką litość. Zawezwał go tedy i z serdeczną miłością upominał, aby mężnie walczył z tym rodzajem pokusy, w której zły duch przez ciągły niepokój, chce duszę jego odwieść od służenia Bogu. Kazał mu za nic poczytywać wszystkie złe myśli, które go mimowoli trapią i nie zadawać sobie próżnej pracy w zastanawianiu się nad niemi w czasie rachunku sumienia, gdyż są to tylko pokusy, a nie grzechy. W końcu dał mu prawidło, mało wówczas jeszcze znane, a później powszechnie do skrupulatów stosowane, mówiąc: „Skoro wątpisz, czy jakim złym myślom dałeś zupełne zezwolenie, polecam ci, abyś się z nich wcale na spowiedzi nie oskarżał". Posłuchał tego zakonnik, a odtąd, wolny od skrupułów, wielkie na drodze uświątobliwienia czynił postępy [1]).

Jak podnosił braci na duchu.

Wracając z misji do Assyża, Franciszek wszedł na dolinę Spoletańską, gdzie przyłączała się doń coraz większa liczba braci, wyszłych dla powitania go tak z klasztorów w tej okolicy będących, jak i z dalszych. Święty, otoczony gronem radujących się synów, i sam weselił się w Panu, widząc ich przy sobie, i dla wszystkich wszystkiem się stawał. Podnosił na duchu nieśmiałych, pocieszał tych, którzy byli czemkolwiek zafrasowani, słabszych w powołaniu umacniał, niektórych, uwiedzionych przez Eljasza, oświecał, tych zaś, o których przekroczeniach mu doniesiono, upominał. I tym sposobem w paru dniach drogi do Assyża odbył pomiędzy nimi jakby misję [2]).

Jak nie przestawał zawsze czuwać nad nimi.

Pomimo zrzeczenia się przez Franciszka tytułu przełożonego generalnego, bracia zawsze widzieli w nim swego najwyższego rządcę i w takim względem niego zostawali stosunku, nietylko czci i miłości, ale i posłuszeństwa, w jakiem naprzykład zostają dzieci względem rodziców, chociażby z biegiem czasu pod inne przeszły zwierzchnictwo. On też ojcowskiego oka z nich nie spuszczał i ciągle kierował łódką swego zakonu. A jako dobry pasterz, gotowy za trzódkę swoją sto razy życie oddać, czuwał nad nią pilnie, pasł ją słowem Bożem, i własnym przykładem po drodze doskonałości ewangelicznej prowadził [3]).

Jak sposobił do kaznodziejstwa.

Widząc już braci zdolnych do ogłaszania innym pokuty, Seraficki Patryarcha postanowił ich rozesłać w różne strony, aby opowiadali Ewangelję. Dnia więc pewnego, zasiadłszy w ich gronie, po przemowie o Opatrzności Boskiej, której już tyle odebrali nad sobą dowodów, odbył z nimi próbę kaznodziejstwa. Najpierw kazał przemówić Bernardowi, jako temu, który pierwszy do niego się przy-

[1]) Rom., 13, 7. [2]) Żyw. Ś. Fr. O. Pr. T. I, s. 146.

[1]) Tamże, T. II, s. 212. [2]) Tamże, s. 81. [3]) Tamże, s. 91.

łączył. Ten, spełniając natychmiast posłuszeństwo, powiedział kazanie, a tak poruszające, tak pełne namaszczenia i świętej gorliwości, że wyraźnem było, iż go Duch Święty oświecał. Po nim kazał to samo uczynić Piotrowi z Katany, którego nauka o Bogu i o Jego nieprzebranem miłosierdziu była tak piękna, jakby oddawna już w zawodzie apostolskim pracował. Następnie wszyscy po kolei odbywając próbę, przekonali świętego Ojca, że już są dojrzali do pracy apostolskiej i że Bóg ustami ich kieruje. Złożyli tedy wszyscy gorące dzięki Panu, a gdy to czynili, stanął w pośród nich sam Pan Jezus w postaci przecudnego młodzieńca i każdego w szczególności najłaskawiej pobłogosławić raczył. Rozradowani tem niebieskiem zjawiskiem, bracia wpadli w zachwycenie [1]).

Jak ich pobudzał do prac apostolskich.

Jako sam czynił, tak i naśladowcom swoim zalecał, przypominając im bardzo często, że Bóg czeka od nich nietylko ich własnego zbawienia i uświątobliwienia, ale żeby i innych na dobrą drogę nawracali i rozpalali w ich sercach miłość Bożą. I dodawał, że nad zbawienie dusz nie godzi się nic przekładać, bo jednorodzony Syn Boga raczył umrzeć za nich na krzyżu. Niezmierną też pociechę w duchu odnosił, słysząc, jak bracia słowem i pracą zniewalali grzeszników do umiłowania Chrystusa i takich wszelkiemi błogosławieństwy obdarzał.

Uczył braci kazywać postawą swoją.

Pewnego dnia Franciszek odezwał się do jednego z nowicjuszów: „Mój bracie, pójdźmy nauczać!“ I wraz ze swoim towarzyszem przebiegł ulice miasta, nie wymówiwszy ani słowa, poczem wrócił do klasztoru. „A nasze kazanie, mój Ojcze?“ zapytał nowicjusz. „Już jest powiedziane“, odrzekł Święty, chcąc mu przez to dać poznać, że postawa ciała skromna i skupiona ma nieraz większą wartość dla świata, niż najwymowniejsze kazanie.

Jak gorliwie zajmował się ułożeniem reguły.

Mając objawienie, aby skrócił ustawy swoje, Franciszek, wziąwszy z sobą dwóch braci, Leona i Bonifacego, usunął się wraz z nimi do jaskini obok Fonte Colombo, na dolinie Rieti, aby przez post i modlitwę lepiej przygotować się do nowego spisania reguły. Następnie podyktował ją jednemu ze swych towarzyszów i po 40-tu dniach, wróciwszy do Assyża, wręczył ją Eljaszowi, generalnemu swemu wikaremu, aby ją wszystkim braciom odczytał i zalecił. Eljasz osądził, że nowa reguła jest zbyt surową, powziął więc zamiar ją zniszczyć, a tymczasem udał, że mu gdzieś zaginęła. Nic nie mówiąc, pokorny Franciszek wrócił do jaskini, i podyktował ją poraz drugi. Jeszcze się tam znajdował, gdy Zbawiciel uwiadomił go, że generalny wikary, wraz z kilkoma prowincjałami tego samego ducha, idzie na górę, aby żądać złagodzenia reguły. Święty Patryarcha wyszedł naprzeciw nich i wzruszonym głosem zapytał: „Czego chcesz, mój synu i prowincjałowie, którzy ci towarzyszą?“ — „Dowiedzieli się oni, odpowiedział Eljasz, spuszczając oczy, że chciałeś im dać regułę, przechodzącą siły ludzkie i namówili mnie, aby cię prosić o złagodzenie jej, gdyż nie będą mogli jej przyjąć, jeżeli jest za ostra“. Franciszek, zamiast odpowiedzi, zwrócił wzrok swój ku niebu i zawołał: „Panie, czyliż nie mówiłem, że mi nie uwierzą! Co do mnie, zachowam tę regułę do samej śmierci, z tymi z pośród moich towarzyszów, którzy ukochali ubóstwo, lecz innych nie chcę zmuszać wbrew ich woli“. Wtedy rozległ się głos Chrystusa Pana, ukazującego się wśród jasnych obłoków: „Franciszku, dlaczego się niepokoisz, jak gdyby to było twoje dzieło? Ja jestem zakonodawcą tej reguły; twoje prawa i posłannictwo ograniczają się do przekazania jej twoim braciom. Ja wiem, co może spełnić słabość ludzka, i o ile ja ją wspierać będę. Chcę, aby ta reguła była zachowywana dokładnie, co do słowa, co do słowa, co do słowa; bez wykładu, bez wykładu, bez wykładu! Niech ci, którzy nie chcą jej zachowywać, opuszczą zakon. Ja wprowadzę innych na ich miejsce, a w razie potrzeby, wzbudzę ich nawet z tych kamieni“ [1]). Głos umilkł, a Franciszek zwrócił się do Eljasza i jego towarzyszów, leżących ze strachu na trawie: „Czy słyszeliście? Czy słyszeliście? Czy może chcecie, żebym wam słowa Pańskie powtórzył?“ Lecz oni, przerażeni, odeszli stamtąd czemprędzej.

Tę to regułę, otrzymaną z rąk Świętego, Papież Honorjusz III zatwierdził uroczyście bullą z dnia 29 listopada 1223 roku.

Jak dbały był o ścisłe jej zachowanie.

Święty Ojciec, gorliwy o zachowanie reguły, umieścił w niej uwagę, że, gdyby kto nie mógł jej dokładnie spełniać, ma się zwrócić do wyższych przełożonych. Co znaczyło, że gdyby w jakiem miejscu, dla jakichkolwiekbądź powodów, czy to dla wprowadzonych zwyczajów, czy z przyczyny

[1]) Tamże, T. I, s. 116.

[1]) S. Bonav. c. IV.

starszych, bracia ściśle reguły zachować nie mogli, mają prawo udać się do swojej władzy, która powinna ich wysłać w takie miejsce, gdzieby bez przeszkody, bez udręczeń i niepokojów, mogli obowiązki swoje wypełniać.

Jakim dodatkiem chciał zabezpieczyć jej obserwancję.

Opowiadają bracia Leon i Bonifacy, którzy towarzyszyli Franciszkowi do Papieża, iż Ojciec Święty, czytając regułę, szczególniejsze okazał zadowolenie ze wspomnianego wyżej punktu, przyczem Seraficki Patryarcha powiedział: „Chciałbym tu jeszcze, Ojcze Święty, dodać, że, gdyby ministrowie żądaniom braci odmawiali, tedy bracia sami będą mogli pójść w takie miejsce, gdzieby im łatwiej było zachować regułę". Ale Papież uznał, że tego nie potrzeba, gdyż przez upadek powagi przełożeńskiej mogłoby wejść zamieszanie do zakonu. „Jednakże, mówił znów Święty, jabym to bardzo chciał dodać, bo pewien jestem, że nastaną przełożeni, prześladujący tych wszystkich, którzy zupełnie i szczerze pragnęliby zachować regułę; a jeśli nie będą mieli pomienionego pozwolenia, zabraknie im siły, by oprzeć się prześladowaniu". Papież jednak żadną miarą na umieszczenie słów tych nie pozwolił, mówiąc, że wystarczy, gdy ministrowie i bracia będą wiedzieli o tej intencji Ojca swego, nie wnosząc tego do reguły, coby groziło obaleniem karności i posłuszeństwa.

Jak błogosławił tym, którzy chcieli ściśle zachowywać regułę.

Że taką rzeczywiście była intencja Świętego, pokazuje się z następującego przykładu. Pewien brat, niemiec, uczony teolog, chcąc nawiedzić Franciszka, przyszedł do Najświętszej Panny Anielskiej. Gdy rozmowa toczyła się o zachowaniu reguły, ów brat odezwał się: „Ojcze, pragnę całą duszą pełnić aż do śmierci poprostu Ś. Ewangelję i regułę, tak jak obiecałem Panu memu, według Jego woli i twojej, i mam nadzieję, że mnie Bóg w tem wspomoże. Przeto proszę cię, Ojcze najmilszy, jeżeliby kiedy, dopóki żyć będę, bracia odstąpili od należytego zachowywania reguły, (jak ci to Pan objawił, i jak mówiłeś sam, że prędko oziębną), żebym mógł wtedy, za pozwoleniem twojem, albo sam, albo z tymi, coby pragnęli iść drogą doskonałości ewangelicznej, odłączyć się od tych, którzyby jej nie chcieli zachowywać". Usłyszawszy to, Franciszek rozradował się i błogosławił owego brata z wielką miłością, mówiąc: „Wiedz, o mój bracie, że i ja, i sam Pan Jezus pozwalamy ci na to, czego żądasz", a, kładąc mu rękę prawą na głowie, dodał: „Tyś jest prawdziwy kapłan, według porządku Melchizedecha".

Jak się radował z pożytecznych prac apostolskich.

Święty Ojciec często wypytywał przychodzących doń braci o stan zakonu tam, skąd przybywają. Gdy zaś mówiono mu, że apostolskie ich prace, oraz życie świątobliwe wielki czynią przewrót w duszach, cieszył się z tego w Bogu i wszelkich błogosławieństw wzywał na braci, którzy słowem albo dobrym przykładem pozyskiwali Panu Jezusowi dusze grzeszników.

Jak się cieszył z dobrego ich przykładu.

Mawiał Seraficki Patryarcha, że Bracia Mniejsi posłani są od Boga, aby pokazali wzór światłości tym, co żyją uwikłani w ciemnościach grzechu; a zatem, gdy słyszał o budujących przykładach, jakie dawali z siebie jego synowie, z wielkim duchem wołał: „Dobrzy napełniają Kościół wdzięczną wonią, którą wydawać będą drogie olejki cnót świętych". I cieszył się bardzo z dobrej sławy swoich ukochanych synów i z przykładów świątobliwych, jakie dawali, wiedząc, że tym sposobem zwracali dusze zbłąkane do miłości i służby Chrystusa, czego nadewszystko pragnął [1]).

Jak był przeciwny przywilejom.

Pewnego razu niektórzy bracia, pragnący bardzo ratować dusze, rzekli Świętemu: „Ojcze, zali nie widzisz, że prałaci często zabraniają nam kazywania, przez co niemały czas w ciągu roku próżnujemy. Dlatego zdaje nam się, iżby stąd była wielka usługa Panu i poratowanie dusz, gdyby wyjednany był ogólny przywilej od Papieża, aby bracia mogli wszędzie kazywać". Franciszek zgromił surowo to pragnienie, przewidując niesnaski, jakieby mogły stąd urość między duchowieństwem a zakonem i rzekł im: „Wy, Bracia Mniejsi, nie chcecie znać woli Bożej i nie chcecie mi pozwolić nawracać świata tak, jako Bóg chce, abym go nawracał. Przetoż wam powiadam, iż wy sami macie uzyskiwać pozwolenie od tychże prałatów przez pokorę i dobry przykład życia waszego, który jeśli się w was okaże, samiż ci prałaci będą was wzywali, abyście szli z kazaniem po ich biskupstwach i kościołach. I przez takie postępowanie prędzej was przypuszczą

[1]) Kroniki, s. 568.

do kazań, aniżeli za przywilejami, które na nic innego wam się nie przydadzą, tylko do wbicia się w pychę. A jeśli wedle rady mojej postąpicie i będziecie się starali być wolnymi od łakomstwa, zazdrości i od innych żądz próżnych, a bardzo szkodliwych dla złego przykładu, jaki dają, i w kazaniach swoich upominać będziecie ludzi, aby płacili dziesięciny swoim kapłanom, wtedy oni sami będą was prosili, abyście kazywali i słuchali u nich spowiedzi (chociaż o to nie macie się tak bardzo starać, jedno, żeby się lud grzeszny nawracał, bo człowiek nawrócony sam poszuka sobie spowiednika). Ja zaś dla siebie nie pragnę innego przywileju, tylko, żebym miłował i czcił każdego i żebym nawracał grzeszników raczej pokorą i przykładem zachowania naszej Reguły, niżeli słowami[1]).

Jaką boleść uczuwał ze złych postępków.

Zastanawiając się nad szkodami, jakie odnoszą słabe dusze ze złego przykładu kapłanów, a zwłaszcza zakonnych, tak nad tem bolał, że, jak sam mówił, umarłby był od siły tego bolesnego uczucia, gdyby go Pan Bóg nie wspierał szczególną łaską swoją. Strofując raz pewnego brata, który dał zły przykład, tak zakończył swoją przestrogę: „Chcesz, bracie, abym ci powiedział, jaką boleść sprawiają mi synowie moi, którzy gorszą innych swem postępowaniem? Oto taką, jak gdyby mnie kto nawskroś przeszył mieczem, a gdybym jednak nie mógł z tego umrzeć. Tak też źli bracia przyczyniają mi boleść na boleść i szarpią wnętrzności moje, dając innym zły przykład". — „Ach, Boże, dodał w końcu, gdyby kiedy kogo zraniono, a mógłby uciec przed tym, który mu znowu śmiercią grozi, czyliżby z pośpiechem nie uciekał? Czemuż tedy ja nędznik nie uciekam w góry, na pustynię, abym nie słyszał tych i innych podobnych rzeczy o moich braciach?" [2]).

Jak ubolewał nad rozwolnieniem życia zakonnego.

Gdy razu pewnego Franciszek, przyciśniony chorobą, usłyszał, że niektórzy ministrowie swojem życiem wygodnem gorszą podwładnych i nie rządzą nimi w duchu reguły, podniósł głowę i rzekł: „O, biada mi! zakryjcie mnie! zakryjcie mnie! Którzyż to są, co sprowadzają braci moich z zakonu mego, z drogi mojej, z obyczajów moich? Jeżeli będą mogli przyjść kiedy na kapitułę, ogłoszę wam, jakie są moje pragnienia i zamiary, abyście się nie dali oszukiwać".

[1]) Tamże, s. 575. [2]) Tamże, s. 571.

Jak się oburzał na zgorszenia.

Święty Patryarcha bardzo się frasował, ilekroć doniesiono mu, że kto zgorszył bliźniego. Słysząc raz, że Biskup upomniał jednego z zakonników za postępowanie nieodpowiednie Bratu Mniejszemu, powstał i, złożywszy ręce, z płaczem zawołał: „Panie Jezu Chryste, który chociaż sam obrałeś dwunastu Apostołów, a jednak między nimi znalazł się jeden zdrajca, podczas, gdy drudzy opowiadali po wszystkim świecie wiarę Twoją świętą słowami dobremi a pobożnemi uczynkami; który teraz w tej ostatniej godzinie, wpomniawszy na miłosierdzie Twoje, raczyłeś zawiązać Zakon Braci Mniejszych ku pomocy Kościoła Twego i ku posłudze świętej wiary: obmyślajże o nim wedle Twego miłosierdzia, bo jeśli ten zakon, zamiast dobrego przykładu, dawać będzie zgorszenie, któż Ci za niego zadośćuczyni?" [1]).

Przekleństwo gwałcicieli reguły.

Seraficki Franciszek taką unosił się żarliwością, gdy szło o zachowanie reguły, że ci, którzy złem postępowaniem hańbę przynosili zakonowi i stawali się powodem zgorszenia dla wiernych, ściągali na siebie przekleństwo sługi Bożego. „Od Ciebie, Boże Najświętszy, mówił, i od całego pocztu Niebieskiego, i odemnie, nędznego sługi Twojego, niech będą przeklęci, którzy swemi postępkami psują i niweczą to, coś przez świątobliwych synów tego zakonu zbudował i budować nie przestajesz" [2]).

Jak zapobiegał rozwolnieniu.

Gdy mąż Boży na Wschodzie pozyskiwał dusze Panu Bogu i wielkie całemu chrześcijaństwu oddawał usługi, a jednocześnie zakon swój w tej części świata zakładał, zły duch pod tęż porę uderzył nań w samych Włoszech, gdzie była kolebka zakonu i gdzie takowy już się był ustalił. Brat Eljasz, którego Święty, udając się na misję do Saracenów, mianował Wikarym generalnym, okazał się znowu tym samym wyrodnym synem. Korzystając z nieobecności Franciszka i z przywileju swego urzędu, nadużył niecnie położonego w nim zaufania i zaczął podkopywać jego dzieło. W naukach, miewanych do braci, niby to chwaląc założyciela, utrzymywał, że nie każdy może naśladować jego życie; że reguła przezeń nadana zawiera wiele przepisów bardzo trudnych i że niektóre przechodzą możność ludzką. On tedy, zasięgnąwszy w tej

[1]) Kron. s. 570. [2]) Żyw. S. Fr. O. Prok. T. II, s. 121.

mierze rady najświetlejszych braci, widzi konieczną potrzebę zniesienia pewnych punktów ustawy i upoważnienia tych jej przestępstw, których dopuszcza się wielu zakonników, gdyż w istocie inaczej postępować nie mogą. A wszystko głównie ściągał do bezwzględnego ubóstwa, od którego chciał uwolnić członków zakonu przez upoważnienie ich do posiadania własności wspólnej i stale zapewnionych dochodów.

I rzecz dziwna: gdy tak zamierzał rozwolnić regułę w tem, co wprawdzie najsurowszą ją czyni, lecz co zapewnia ścisłość ewangelicznego ubóstwa — w innym szczególe przydawał jej ostrości. Święty Patryarcha, mając przed oczyma prawidło Zbawiciela, podane Apostołom, co do używania pokarmów: „Jedzcie, co przed wami położą“ [1]), zastosował je do swoich braci i dlatego prócz postów kościelnych i postu zwanego Ś. Marcina, który w pierwotnym Kościele powszechnie był obowiązujący, żadnych innych nie naznaczył. Eljasz zaś, chcąc jakby wynagrodzić zwolnienia co do innych przepisów reguły, przydał braciom nowy obowiązek wstrzymywania się od mięsnych potraw przez cały rok. Zręczny ten człowiek pociągnął za sobą wielu braci słabszego ducha, między nimi nawet kilku prowincjałów. Lecz zakonnicy wierni swojemu powołaniu, których nierównie większa była liczba, zasmucili się bardzo, widząc, że wróg zbawienia ludzkiego zaczynał psuć winnicę Pańską, zaszczepioną ręką świętego ich Patryarchy. Uciekli się więc do sposobu, jaki im błogosławiony Ojciec zwykle za najdzielniejszy przedstawiał: udali się na modlitwę i w gorących prośbach błagali Boga, aby im wrócił pasterza, którego obecność nieodzowną była dla zagrożonej trzody. Potem, odbywszy naradę, wysłali tajemnie brata Stefana do Syrji, dla zawiadomienia Świętego, co się z jego synami dzieje.

Wiadomość ta nie zmieszała wcale Franciszka. Wiedział on, że tego rodzaju dzieło musi być wystawione na różne i ciągłe napaści szatanów. Ale też wiedział, że na walczenie przeciw tym wysiłkom złego ducha trzeba mu szczególnej pomocy Bożej. Naprzód więc z wielką ufnością polecił tę sprawę Panu Jezusowi i Matce Najświętszej, a potem z towarzyszami swymi wsiadł na okręt, płynący do Włoch. Wszystkie zmiany, wprowadzone przez brata Eljasza, jako przeciwne duchowi ubóstwa, na którem głównie oparł swój zakon, postanowił Franciszek znieść natychmiast. Zawahał się tylko co do rozporządzenia, jakie wydał Wikary generalny, nakazując braciom wstrzemięźliwość całoroczną od mięsnych potraw. A że pokora skłaniała go, by w każdej wątpliwości zasięgał rady towarzyszów, mając więc przy sobie brata Piotra z Katany, zakonnika wielkiej świątobliwości, spytał go o zdanie co do tego całorocznego postu. „Trudno mi, ojcze, odrzekł Piotr, dać ci na to odpowiedź; nie wypada mi wydawać sądu co do przepisu tak ważnego. Do ciebie, jako fundatora, należy stanowić o rzeczach całego zakonu się tyczących“. Święty zatem odłożył tę sprawę do przyszłej kapituły generalnej, którą chciał zwołać po przybyciu do Assyża, aby wszyscy bracia wypowiedzieli się i aby ich podnieść duchowo i wrazić w ich serca, co mianowicie ma być cechą ich zakonu. Stanąwszy na ziemi włoskiej, natychmiast rozesłał do wszystkich klasztorów listy okólne, wzywające na kapitułę generalną do Porcjunkuli, na dzień Ś. Michała Archanioła. Lecz gdy bracia wychodzący naprzeciw niemu opowiedzieli, jaki wśród nich panuje upadek ubóstwa, z powodu zwolnień Wikarego i że ten ubrał się w suknię wykwintną, w niczem habit Braci nie przypominającą, zaraz, nie czekając kapituły, zniósł wszystkie postanowienia brata Eljasza, w czasie swojej nieobecności wprowadzone. Ogłosił, iż żadnego nie mają znaczenia i żadnej wagi, tylko jedną wstrzemięźliwość od mięsnych potraw zostawił do czasu, aż wykaże się wola Boża pod tym względem [1]).

Gorącość jego ducha w ostatnich latach.

Pod koniec swego życia, Franciszek, mający już blizny święte na rękach, nogach i boku, jak gdyby odżył nanowo. Odżycia tego nie można jednak równać do wybuchu płomienia przed zgaśnięciem. Nie. Franciszek nigdy tak nie pałał miłością, jak wtenczas. Miłość Boża tkwiła w sercu jego jak strzała ognista i nie dawała mu pokoju. Wszystko mu się wydawało małem i niczem, co dotąd zdziałał. Teraz chciał on zacząć kochać Boga, służyć Mu, pozyskiwać dla Niego dusze i oddawać Mu różne posługi w osobie ubogich, chorych, trędowatych. Posłuchajmy, co o tem pisze Ś. Bonawentura.

„Franciszek, ukrzyżowany duchem i ciałem z Chrystusem, nietylko gorzał seraficzną miłością dla Boga, ale brał udział w tem pragnieniu dusz, które odczuwał na krzyżu Syn Boży. Ponieważ nie mógł, jak dotąd, chodzić do miast i miasteczek, z powodu wielkich gwoździ w nogach, kazał się więc prowadzać i wszędzie zachęcał wiernych do noszenia krzyża Zbawiciela. Do braci swoich mawiał zwykle: „Zaczynajmy służyć Panu Bogu naszemu, bośmy mało naprzód postąpili“.

[1]) Luc. 10, 8.

[1]) Żyw. Ś. Fr. T. II, s. 72.

Gorąco pragnął, mówi Tomasz z Celano, wrócić do swoich dawnych ćwiczeń pokornych, służyć trędowatym i podbijać ciało swoje w niewolę, jak to czynił w początkach nawrócenia. I chociaż ciało to bardzo było osłabione wskutek pracy i cierpień, miał zawsze nadzieję zwalczyć je swoim silnym a czynnym duchem. Z łaski Jezusa Chrystusa postanowił czynić wielkie rzeczy, bo miłość nie dopuszcza gnuśnego wypoczynku, ale pobudza do coraz większych ofiar, czynów. Pomiędzy jego duszą a ciałem była taka harmonja, a ciało tak poddane duszy, że nietylko się jej nie sprzeciwiało, ale jakby ją uprzedzało i samo przez się dążyło do swego wielkiego celu. I to jest jedyna prawdziwa droga do doskonałości, tak dla gorliwie poczynających, jak i dla świętych pełnych męstwa i siły, którzy daleko już w cnocie postąpili. Tylko ten zdoła przejść drogę do nieba prowadzącą, kto codzień nanowo ją zaczyna [1]).

Jak go w tej gorliwości naśladowały jego dzieci duchowne?

Ś. Antoni Padewski. (1231 r.).

Święty Cudotwórca posiadał wszystkie cnoty i doskonałości, rozsiane w innych Świętych, lecz wybitną jego cechą była gorliwość. Gorliwość ta jaśnieje na wszystkich kartach jego życia. Mając tal 26, t. j. w wieku, kiedy inni przygotowują się do zapasów i walki, on już jest do nich gotów. Przez 10 lat kazuje bez odpoczynku, zarówno na słonecznych wybrzeżach Prowancji, jak na śnieżystych szczytach gór Owernji, lub na bezmiernych równinach Lombardji, tak wobec Ezelina i Katarów, jak przed licznemi tłumami chrześcjan. Zużywa swe nogi na drogach, najeżonych ostem i cierniem, i dąży niepowstrzymany tam, dokąd go posłuszeństwo posyła. Czoło jego żelazne dla niesprawiedliwości, a serce pełne miłosierdzia dla żałujących grzeszników. I cóż go tak dręczy? co niepokoi? Jaki ogień Boski go pożera? Ten ogień Boski to gorliwość o dusze. Słyszy ów głos, wychodzący z ran Odkupiciela, głos tajemniczy, który dzień i noc rozlega się w jego sercu: „Daj mi dusze! Dusz! Dusz pragnę!“ Święty wie, że one stanowią prawdziwe bogactwo ziemi, świetniejsze od gwiazd, kosztowniejsze od djamentów. Wie, że Syn Człowieczy wstąpił na Kalwarję, aby je odkupić, że jest o nie zazdrosny, i że są one jedynym pieniążkiem, jaki moglibyśmy rzucić w łono Boże. On łaknie i pragnie dusz! I stąd ta jego niewyczerpana żarliwość, którą Bóg wynagradza już to potokami szczęścia wewnętrznego, już to świetnemi nawróceniami [1]).

Bł. Bentywoljusz z San-Severino. (1232 r.).

Syn bogatych rodziców, Giralda de Bonis i Albazji, dzieciństwo miał anielskie, a w młodzieńczych latach pociągnęły go do zakonu kazania Pawła ze Spoleto, ucznia Ś. Franciszka. Pod wpływem łaski, rzucił Bentywoljusz swój kraj rodzinny, wyrzekł się stanowiska i pobiegł do Assyża, gdzie Święty Ojciec na rycerza ubóstwa go pasował. Pierwszym owocem jego gorliwości były dwie siostry i dwaj bracia, oraz czterej synowie trzeciego, żonatego brata, którzy, opuściwszy dostatki ziemskie, wstąpili do zakonów przez Ś. Patryarchę założonych. Siostry zostały córkami Ś. Klary, a bracia i bratankowie — słynnymi kaznodziejami. Bentywoljusz zajaśniał wkrótce jako wzór cnót heroicznych: nie miał równego sobie w pokorze, posłuszeństwie, umartwieniach i miłości bliźniego. Gorliwy o zbawienie dusz, apostołował, słuchał spowiedzi, nawracał grzeszników. Słowa jego, niby ogień, rozpalały serca słuchaczy. Raz, w czasie kazania świetna gwiazda zatrzymała się nad nim i oświeciła całą jego osobę. Chciał przez to Pan Bóg stwierdzić naukę sługi swojego. Po życiu świątobliwem mąż Boży przeszedł do przybytków niebieskich w San-Severino, w dzień Bożego Narodzenia 1232 r. Tłumy zbiegały się do jego grobu, który słynął cudami, ale po ostatniej kasacie zakonów we Włoszech, gdy kościół Konwentualnych został zamknięty, ciało Błogosławionego przeniesiono do kaplicy Najśw. Panny od Światła, obsługiwanego przez Reformatów. Pius IX potwierdził cześć, oddawaną od niepamiętnych czasów temu świętemu zakonnikowi [2]).

Bł. Andrzej ze Spello. (1254 r.).

Błogosławiony uczeń Świętego Ojca przez lat kilka oddawał się apostolstwu, przeszedł całą Lombardję, pociągając za sobą tłumy ludu, nawracając najzatwardzialszych grzeszników, uspokajając nienawiści i niezgody, które w owych czasach zamieszek tak często zalewały krwią miasta półwyspu Apenińskiego.

Później, gdy Eljasz kusił się, aby regułę Ś. Franciszka według upodobania swego przerobić, Andrzej przyłączył się do braci gorliwych o jej nienaruszoną czystość i razem z nimi stawił mu opór. Miał przytem do zniesienia wiele krzywd

---

[1]) Tamże, s. 129.

[1]) Saint Antoine de Padoue par P. Léopold de Chérancé. [2]) L'aur. séraph. T. II.

PIERWSZE KAZANIE Ś. FRANCISZKA.

i prześladowań, nic jednak nie zdołało go zachwiać; owszem, zawsze i wszędzie ćwiczył się wiernie w obserwancji.

Mając w r. 1248 powierzone sobie przewodnictwo duchowne nad Siostrami Ubogiemi w Spello, wyjednał u Błogosławionej fundatorki, Ś. Klary, że posłała tam na przełożoną swoją ciotkę, a zarazem jedną z pierwszych swoich uczennic, Bł. Pacyfikę Guelfuccio; za jego też wpływem zgromadzenie to przyjęło pierwotną regułę, napisaną dla Ś. Klary i jej córek przez samego Ś. Franciszka, zamiast późniejszej, którą im dał Kardynał Hugolin, i odtąd klasztor ten należał do najżarliwszych w całym zakonie[1]).

Ś. Bonawentura. (1274 r.).

Obrany na generała zakonu, Bonawentura był wówczas profesorem teologji w Sorbonie i liczył dopiero 36 lat wieku. Zaszczyt ten spotkał go wskutek starania Bł. Jana z Parmy, który, złożywszy urząd ministra generalnego i nie dając się uprosić, aby dalej rządził, wskazał braciom, jako najodpowiedniejszego swego następcę, brata Bonawenturę z Bagnorea. Zaraz też oddano wszystkie głosy Świętemu i Papież potwierdził jego wybór. Dowiedziawszy się o tem, Bonawentura padł z boleścią serca na ziemię, błagając pokornie o pomoc Bożą. Bezzwłocznie udał się do Rzymu, gdzie obecność jego była tem bardziej potrzebna, że zakon szarpany był wewnętrzną niezgodą. Jedni bracia obstawali usilnie przy ścisłej, pierwotnej obserwancji, inni żądali zwolnień. Nowy generał starał się uspokoić umysły przez nauki pełne mocy, słodyczy i miłości. Pracował z niezłomną odwagą nad zwalczeniem i wykorzenieniem zgubnych nowinek, wprowadzonych przez brata Eljasza, a których jego poprzednik nie zdołał całkowicie wykorzenić.

„Jakkolwiek znam słabość swoją, tak przemówił w pierwszej odezwie do braci, mimo niedoskonałości mego umysłu, mimo niedoświadczenia i wstrętu woli do rządzenia, mimo to, iż wiem, jak trudno jest przeciw ościeniowi walczyć, nie opieram się woli całej rodziny seraficznej i życzeniu Ojca Świętego, lękając się, abym uporem swoim nie sprzeciwił się woli Bożej. Składam słabe ramiona moje pod ciężkie jarzmo, które na mnie wkładacie. Ufam w pomoc z nieba i liczę na gorliwość waszą".

Od tej chwili Święty już nie należał do siebie, stał się prawdziwym sługą swoich braci, służył nietylko całemu zakonowi, ale każdemu z osobna z członków jego. Każdy miał w nim ojca, któremu bezpiecznie mógł powierzyć wszelkie duszy swojej potrzeby i troski,—przełożonego, którego mądrej rady mógł w każdej chwili zasięgnąć, — przewodnika pewnego na drodze do doskonałości. Pierwszem staraniem Ś. Bonawentury było znieść wprowadzone nadużycia i przestąpienia reguły, szczególniej co do świętego ubóstwa. Następnie usiłował, aby w zakonie zakwitły wszystkie cnoty, prowadząc sam dusze, przyświecając im przykładem i wznosząc je na te wyżyny, które swem życiem i regułą wskazał Seraficki Patryarcha.

Jego kapituły.

Przez czas swego generalstwa, które trwało lat siedemnaście, trzy miesiące i piętnaście dni, Ś. Bonawentura sześć razy zbierał kapitułę generalną: w Narbonie r. 1260, w Pizie 1263, w Paryżu 1266, w Assyżu 1269, w Pizie 1272 i w Ljonie 1274. Wiedział, że te święte zebrania, przepisane przez regułę, są najdzielniejszym środkiem utrzymania karności duchownej. Najważniejszą kapituła była w Narbonie. Przeglądano na niej konstytucje zakonu. Za pierwszych trzech generałów była tylko reguła i trzymano się zwyczajów, ustanowionych przez Ś. Franciszka, lecz odkąd liczba zakonników znacznie się powiększyła, uznano potrzebę zebrania i ułożenia tych zwyczajów, i utworzenia z nich obowiązujących konstytucji. Pierwsze konstytucje przedstawione były kapitule generalnej, (zebranej w Rzymie r. 1239), której przewodniczył Papież Grzegorz IX. Złożono wtedy z urzędu generała Eljasza, a wybrano Bł. Alberta z Pizy. Te właśnie konstytucje przejrzał teraz Ś. Bonawentura. Dodano do nich pewne przepisy, określające ściślej sposób zachowania ubóstwa. Zabroniono budować dzwonnice w kształcie wież, zdobić kościoły malowanemi oknami, wyjąwszy okna za wielkim ołtarzem. Nakazano w imię św. posłuszeństwa wycofać kadzielnice, krzyże, obrazy i inne rzeczy ze złota i srebra, oprócz naczyń świętych, które miały być proste i bez ozdób. Polecone było trzymać się w tem tłumaczenia reguły, wydanego przez Grzegorza IX w 1230 r. w breve „Quo elongati", nie zasłaniając się używaniem breve „Ordinem vestrum" Innocentego IV, które jest raczej dyspensą, niż tłumaczeniem reguły. Święty Ojciec Franciszek wymienił w regule, jakie ubranie nosić mają bracia, zalecając ubóstwo materjałów do tego używanych; nie oznaczył jednak wyraźnie koloru ani kształtu sukien. Stąd powstały różnice w ubraniu, które zreformował Ś. Bonawentura. Korzystając z obecności wszystkich prowincjałów na ka-

[1]) Ibidem.

pitule generalnej w Narbonie, postanowił jednostajny ubiór dla ogółu zakonników.

Jego wizyty.

Święty Bonawentura do najważniejszych swych obowiązków liczył zwiedzanie prowincji. Wiedział, że wizyty, równie, jak kapituły, najdzielniejszym są środkiem do utrzymania karności zakonnej. Kilka razy przez czas swego generalstwa wizytował prowincje we Francji i Włoszech, i ożywiał w nich ducha serafickiego, którego sam był żywym i wiernym obrazem. Podróże odbywał pieszo, zatopiony w modlitwie i kontemplacji, albo zajęty myślą o sprawach swej licznej rodziny duchownej. Podczas tych wizyt załatwiał z równą troskliwością sprawy ostatnich w zakonie braciszków, jak i najznaczniejszych.

Pewnego razu, gdy wizytował klasztor w Foligno, braciszek tego domu gorąco pragnął otworzyć mu swe serce, spodziewając się znaleźć w słowach tego Ojca ukochanego pomoc duchowną i ulgę w swoich wewnętrznych utrapieniach; lecz nie mógł zwyciężyć nieśmiałości, aby się doń zbliżyć. Święty, po skończonej wizycie, w towarzystwie dostojników zakonnych, zmierzał do Assyża na kapitułę generalną. Zbolały i zmartwiony braciszek wyrzuca sobie tę nieśmiałość, która go pozbawiła pociechy od tak dobrego i miłego Ojca, biegnie więc za nim, a dogoniwszy, przedstawia mu pokornie pragnienie swoje pomówienia z nim na osobności.

Święty oddala się od swego otoczenia, bierze z sobą braciszka i usiadłszy z nim przy drodze, zachęca, aby z całą ufnością opowiedział mu kłopoty swoje. Rozmowa trwała dość długo; braciszek odszedł pocieszony, wdzięczny, uszczęśliwiony. Gdy ojciec generał wrócił do swych towarzyszów, ci ganili zbytnią śmiałość braciszka i podziwiali niezmierną łaskawość Bonawentury. „Bracia moi, rzekł ze słodyczą ojciec generał, nie wolno mi było postąpić inaczej: jestem przecież zarazem przełożonym waszym i sługą; ten zaś braciszek jest, tak jak każdy z was, bratem moim i panem. Zawsze mam w pamięci słowa świętej naszej reguły: Ministrowie przyjmować będą braci z miłością i uprzejmością, i obchodzić się z nimi z taką dobrocią, aby ci mówić im mogli otwarcie wszystko, jak sługom swoim. Przełożeni bowiem są prawdziwie sługami wszystkich braci. Powinienem był przeto, jako przełożony i sługa, stanąć na zawołanie tego braciszka i służyć mu wedle sił moich, a jego potrzeb“ [1]). Ta wspaniała odpowiedź, cała nacechowana pokorą i miłością, wskazuje na dwie główne cnoty, niezbędne każdemu przełożonemu. Widzimy stąd, że niestrudzona gorliwość tego pasterza rozciągała się do wszystkich jego dzieci; temi zaś, do których głos jego nie dochodził, kierował na drodze doskonałości swemi pismami, wyszłemi ze skarbnicy jego serca.

[1]) Gesta e dottrina del Serafico dottore San Bonaventura del P. Gaspare da Monte-Santo p. 146.

Bł. Benwenuty z Osimo. Brat Mniejszy. (1282 r.).

Ten wybraniec Pański urodził się ze szlachetnej i sławnej rodziny Scotivoli. Rodzice, po wyjściu ze szkół, posłali go na naukę prawa do słynnego uniwersytetu Bolońskiego. Miał tam za współucznia Bł. Sylwestra Gozzolini, który później założył kongregację reguły Ś. Benedykta pod nazwą Sylwestrjanów. Obaj młodzieńcy, zjednoczeni związką ścisłej i świętej przyjaźni, pomagali sobie wzajemnie w pracach dla chwały Bożej pośród młodzieży, której życie nie zawsze było bez nagany. Po skończonych studjach obaj poświęcili się Bogu. Benwenuty został Bratem Mniejszym, a później Biskupem w Osimo. Na tem stanowisku dbał o wszystkie potrzeby swego ludu, zabiegał gorliwie o chwałę Bożą i mógł służyć za wzór wszystkim pasterzom dusz. Był stały i niezłomny w obronie praw Kościoła. Objeżdżając swą dyecezję, siał wszędzie ziarno ewangeliczne, zgromadzał synody, wydawał mądre rozporządzenia dla utrzymania karności duchownej; do święceń kapłańskich nie przyjmował innych kandydatów, tylko dobrze wypróbowanych i wyćwiczonych w nauce i cnocie. Bóg licznemi cudami potwierdzał zasługi i prace, dla chwały Jego podjęte.

Trzynaście lat rządził gorliwie dyecezją. Czując zbliżający się koniec życia swego, kazał się zanieść do katedry i tam, na wzór Ś. Franciszka, prosił, aby go położono na ziemi, pragnąc schodzić z tego świata w zupełnem ubóstwie. Gdy spełniono jego życzenie, zasnął w Panu w gorących i słodkich porywach miłości, spiesząc po wieczną niebieską nagrodę, zasłużoną życiem, całkowicie oddanem Bogu i Kościołowi. Umarł 22 marca 1282 roku. Ciało jego, złożone w kościele katedralnym w Osimo, dotąd odbiera cześć od wiernych. Liczne cuda działy się przy jego grobie. Papież Marcin IV ogłosił go Błogosławionym. Uroczystość jego obchodzi się w całym zakonie Świętego Ojca Franciszka [1]).

[1]) L'aur. séraph. T. I.

Ś. Ludwik Andegaweński. (1297 r.).

Święty ten Biskup i Brat Mniejszy rozwinął najczynniejszą gorliwość w sprawowaniu swego pasterstwa, rozumiał bowiem, jak ważny piastuje obowiązek. Pierwszem jego staraniem było zapewnić sobie godnych współpracowników w kapłanach dyecezji; przejęty więc nicością swoją i niedoświadczeniem, otoczył się uczonymi i roztropnymi zakonnikami, którzy służyli mu radą we wszystkich trudnościach. Zajął się też gorąco wychowaniem młodego pokolenia księży: sam osobiście, nie wyręczając się nikim, egzaminował kandydatów do święceń kapłańskich i nie włożył nigdy rąk na takiego, coby oprócz nauki nie był cnotliwym i pobożnym. Na trzy tygodnie przed śmiercią badał kleryka, któremu dano beneficjum w jego dyecezji, a jakkolwiek ten tłumaczył się, że już był egzaminowany w Rzymie, Święty odsunął go, uznawszy, że nie posiada dostatecznej wiedzy. Duchowieństwu swemu zabronił nosić kosztowne suknie i wogóle zakazał tego wszystkiego, co sprzeciwia się karności kościelnej. On sam zresztą w całem swojem postępowaniu był wzorem tak dla kapłanów, jak i dla zwykłych wiernych,

Za jeden z najważniejszych obowiązków pasterza uważał głoszenie słowa Bożego, stąd oddawał się z zapałem kazaniom i przemowom. Mówił je w swojej stolicy biskupiej, głosił i w innych kościołach podczas wizyt pasterskich. Zwłaszcza lubił dawać misje, na które schodziło się takie mnóstwo słuchaczów, że kilkakrotnie paru osobom groziło niebezpieczeństwo zaduszenia. Wpływ Świętego był ogromny: na głos jego heretycy otwierali oczy na prawdę, żydzi prosili o Chrzest, a grzesznicy wracali na drogę cnoty. Zbawiciel potwierdzał często prawdę słów Ludwika cudami. W swej żarliwości o dusze, Święty Biskup nie zadawalniał się kazywaniem w swojej dyecezji, ale wyjeżdżał na konferencje do Paryża, do Montpellier i kilku innych miast, gdzie przemawiał wobec doktorów i uczonych [1]).

Bł. Iwon z Bretanji. 3 Zak. (1303 r.).

Ten Święty obowiązki swoje kapłana i duszpasterza spełniał z wielkim zapałem i prawdziwie świętą starannością. O północy odmawiał Obrządek Boski w głębokiem skupieniu, które dawało mu wyrozumieć całą moc i uczucia, wyrażone w psalmach króla-proroka. Z zapałem głosił ludowi Ewangelję, rozumiejąc, jak ważny jest to obowiązek dla pasterza dusz, jak niezbędny w Kościele i jak zbawienne przynoszący owoce. Aby więc wszyscy mogli korzystać z jego nauk, mówił je bądź po bretońsku, bądź po francusku, stosownie do osób otaczających ambonę. Mówił z prostotą, językiem jasnym i pełnym namaszczenia, pragnąc jedynie dobra dusz, które chciał wyrwać z błota występków i skłonić do umiłowania cnoty. Nie dość mu było kazań we własnym kościele; szedł jeszcze do innych parafji, wzywany przez współtowarzyszów, tak że niekiedy słyszano go w różnych miejscach po cztery i pięć razy na dzień, a pewnego roku w Wielki Piątek powiedział siedem kazań pasyjnych w siedmiu różnych kościołach. Jego gorliwość w słuchaniu spowiedzi wzruszała do łez serca najzatwardzialsze, prowadząc je do pokuty i odmiany życia. Lecz nie na tem jeszcze kończyła się jego pasterska troskliwość; nawiedzał bowiem w stałych porach swoich parafjan, starając się umocnić ich w wierze, zachęcić do dobrych uczynków i utrzymać między nimi jedność i zgodę. Będąc na wsi, uczył wieśniaków katechizmu, objaśniał im tajemnice święte, nauczał odmawiania różańca i innych pobożnych praktyk, szedł nawet na pole, aby tłumaczyć robotnikom, jak mają prace swoje uświęcać cierpliwością i modlitwą. Po Mszy wyjaśniał zwykle Pismo Święte swoim wikarjuszom, wieczorem zaś nauczał ich i odmawiał z nimi Obrządek Boski [1]).

Bł. Piotr z Treja. (1304 r.).

Bł. Piotr przyszedł na świat w Montecchio de Treja, w Marchji Ankonitańskiej i wychowany był bardzo pobożnie. Przykład Ś. Franciszka tak nań wpłynął, że młody jeszcze poprosił o przyjęcie do Braci Mniejszych, a otrzymawszy suknię zakonną z rąk Świętego Ojca, stał się niezadługo wzorem świętości. Podziwiano jego umartwienia, skupienie, ducha modlitwy wewnętrznej. Po odbyciu studjów nad filozofją i teologją, gdy przełożeni zlecili mu kaznodziejstwo, zajął się niem bardzo gorliwie. Troszcząc się jedynie o sprawę Boga i utwierdzenie Królestwa Jego w duszach, ze świętem oburzeniem powstawał przeciw wszelkim nieporządkom, przypominał prawdy wieczne i w ten sposób obudzał bojaźń sądu Boskiego, wprowadzając na dobrą drogę wielu grzeszników. Przeżywszy długie lata w trudach apostolskich, obdarzony łaską czynienia cudów i prorokowania, Piotr umarł w klasztorze Sirolo w Marchji. Cześć, którą wierni od niepamiętnych czasów mu oddawali, została potwierdzona przez Piusa VI w r. 1973. Święto jego obchodzi się 14 marca [2]).

---

[1]) Ibidem, T. III.

[1]) Ibidem, T. IV. [2]) Ibidem, T. I.

Ś Jan Bosy. (1349 r.).

Gdzie się urodził ten Błogosławiony Brat Mniejszy, czy w dyecezji Quimper (Kęper), czy w Rennes (Renn), dobrze nie wiadomo, tylko, że w Bretanji, około roku 1280. Rodzice jego, biedni co do majątku i stanowiska, bogaci byli w cnoty chrześcijańskie. Młody Jan uczył się na kapłana i otrzymał święcenie w Rennes, a potem budował wszystkich swoją gorliwością, umartwieniami, świętością, oraz miłosierdziem dla bliźnich. Naznaczony w r. 1303 na proboszcza parafji podmiejskiej Ś. Grzegorza, rządził nią bardzo dobrze w ciągu lat trzynastu. Biskupi, ceniąc jego świątobliwość, zabierali go z sobą na wizyty pasterskie, a Jan wyprzedzał wówczas swego Pasterza w celu przygotowania ludu do Sakramentów ŚŚ.. Szedł zawsze pieszo i boso, nigdy bowiem nie chciał przyjąć karety ani konia. Uderzało to patrzących nań wieśniaków i dlatego dali mu nazwę: „Jan bosy". W roku 1316 gorliwy ten pracownik w winnicy Pańskiej złożył swój urząd i wstąpił do zakonu Braci Mniejszych w Quimper, a wraz z habitem otrzymał i ducha Ś. Franciszka. Odznaczył się wielką akuratnością w zachowaniu obserwancji, tak że nie było wypadku, aby którego przepisu zaniedbał. Wiemy zaś, że Grzegorz IX Papież wyrzekł: „Niech mi pokażą Brata Mniejszego, któryby zachował każdy punkt swojej reguły, a ukanonizuję go, to jedno bowiem wystarcza, by go wynieść na ołtarze". Z powodu swej świątobliwości, musiał staczać wiele walk z szatanami. Umarł w r. 1349, podczas zarazy, dziesiątkującej ludność miasta Quimper. W owych ciężkich chwilach poświęcał się chorym, słuchał spowiedzi, przynosił Wjatyk Ś., aż wreszcie padł ofiarą swego poświęcenia. Ciało jego, złożone w kaplicy klasztornej, ocalało w czasie rewolucji i odbiera cześć od wiernych. W katedrze miasta Quimper znajduje się jego figurka, czarno malowana, którą czczą pod tytułem „małego Świętego" [1]).

Bł. Tomasz z Fulginu 3 Zak. (1374 r.).

Błogosławiony Tomasz, albo Tomasucjusz, jak go przezwano, w żarliwości swej o chwałę Bożą i dusz zbawienie, chodził po miastach swej ojczyzny i nawoływał do pokuty, a gdy słowa mały sprawiały pożytek, uciekał się do cudów. W owym czasie Sjenna, miasto wielkie i ludne, przedstawiało straszny obraz upadku wiary i moralności. Tomasz, przybywszy tam, zapowiedział, że jeżeli nie będzie poprawy, mróz silny zwarzy wszystko na polach, w winnicach i ogrodach. Było to w połowie lata, został więc publicznie wyśmiany, nikt bowiem nie przypuszczał, aby to mogło nastąpić. Lecz jakiż strach ogarnął wszystkich, gdy rano zobaczyli pola białe: cała roślinność pomarzła. Jednakże i to nie wzruszyło zatwardziałych Seneńczyków. Zamiast ukorzyć się pod ręką Wszechmogącego Boga, oskarżyli Bł. Tomasza przed Inkwizycją o czary. Uwolniony z więzów i niesłusznych podejrzeń, nie porzucił mimo to apostolskiego urzędu, na którym tyle musiał cierpieć od prześladowców. Wówczas to uleczył trędowatego, kazawszy mu pierwej rozdać majątek na ubogich, a potem zrobił go swoim uczniem. Sześć lat uzdrowiony cudownie towarzyszył mu w podróżach i słuchał jego nauk, a gdy po upływie tego czasu opuścił swego mistrza, na ukaranie go, znów Pan Bóg dotknął go trądem. U zatwardziałego w grzechach piekarza wyprosił trochę węgli rozżarzonych i przyniósł je w płaszczu na rynek, nie spaliwszy odzienia, co widząc, piekarz poszedł do spowiedzi.

Pewien żołnierz nie zachowywał Wielkiego Postu. Bł. Tomasucjusz upominał go za to, ale napróżno: obrażony zuchwalec rzucił mu w twarz jajko, które odbiło się, jak kamień, a upadłszy na ziemię, rozleciało się w drobne skorupki. Sługa Boży zebrał je starannie i cudownie skleiwszy, oddał mu je całe, czem Panu Bogu go pozyskał. Inny oficer, który zamierzył wydać Sjennę księciu Medjolańskiemu, strofowany przez Bł. Tomasucjusza o zdradę, gdy przestrogę odrzucił, zginął z rąk pospólstwa. Jednego rozpustnika naprowadził na drogę zbawienia, powiedziawszy mu wszystkie jego tajemne sprawki. Zaproszony na obiad do jednego z panów seneńskich, którego sługa, mówiący siedmiu językami, chciał doświadczyć nauki Świętego, rozmawiał z tymże sługą w każdym z tych języków, jakby ojczystym. Niektóremu obywatelowi przepowiedział śmierć pewną, jeżeli nie ujdzie z miasta, co się też w kilka dni później spełniło. Lecz gdy te i tym podobne cuda niewiele wpływały na powszechną odmianę mieszkańców Sjenny, z rozkazu Bożego strząsnął Tomasucjusz pył z nóg swoich i poszedł dalej, szukać dusz, powolniejszych natchnieniom łaski [1]).

Bł. Joanna Marja Maillé, 3 Zak. (1414 r.).

Życie modlitwy nie przeszkadzało bynajmniej Joannie oddawać się uczynkom miłosiernym tak co do ciała, jak co do duszy. Owszem, starając się pozyskać Bogu grzeszników, modlitwą swoją i u-

[1]) Annales franciscaines, 1909.

[1]) Kron. 3 Zak. Ś. Fr... Cz. III.

martwieniami wyjednywała ich nawrócenia i usposabiała do Sakramentu Pokuty. Gorliwość jej dochodziła do tego stopnia, że prosiła w Rzymie o obszerniejszą władzę dla kapłanów, którzy spowiadali przywiedzione przez nią osoby. Znosić nie mogła bluźnierstw, upominała za nie i mało kto oparł się jej przemowom. Jednakże pewien młodzieniec, bluźniący na ulicy, tak się rozgniewał za zrobioną mu uwagę przez Świętą, że uderzył ją, skopał nogami i zostawił zemdloną. Szczęściem, że kilka osób litościwych podeszło do Joanny, a przeniósłszy ją do swego mieszkania, otoczyło wielkiem staraniem. Gdy przyszła do siebie i też osoby namawiały ją, aby wniosła skargę na zuchwalca, Błogosławiona odrzekła: „Nie; nie uczynię tego. Nieszczęśnik uważałby to za zemstę, a daleko skuteczniej służymy bliźniemu cierpliwością, aniżeli wszelkiem innem dobrem dziełem".

Niewinność małych dziatek, ich słodycz i prostota miały dla jej duszy powab i wdzięk niebiański; przebywała z niemi najchętniej, uczyła je kochać Boga i powtarzać przy spotkaniu się: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" Dzieci ze swej strony odpłacały się jej wzajemnością, klękały na jej widok, i, złożywszy ręce, wołały: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! A Święta, rozpromieniona z radości: „Tak, dziateczki moje, tak, odpowiadała, niech będzie pochwalony Pan nasz, Jezus Chrystus!" Pilnie starała się dla nich o Chrzest św., bolała nad temi, co bez Sakramentu odrodzenia umierały. Przysposabiała je do spowiedzi i do Komunji Świętej.

Na dworze królewskim.

W roku 1395 Joanna Marja udała się na dwór francuski, do Paryża. Rozmawiała kilka razy z Karolem VI, a dobroczynny skutek tych odwiedzin był taki, że niezadługo potem król wydał rozkaz, aby odtąd skazanym na śmierć dawano spowiedników, który to urząd przeznaczył Braciom Mniejszym. Pragnął on, aby świętą niewiastę-dziewicę poznała i małżonka jego, Izabella Bawarska. Lecz dworzanie, stojący na straży drzwi zamkowych, widząc ubogo ubraną kobietę, wahali się ją przepuścić, a jeden z nich nawet odepchnął ją i uderzył. Zniosła to Joanna Marja ze spokojem i wstawiła się za nim do monarchy, aby go nie karał. Królowa cały tydzień zatrzymała ją na dworze, budując się wielce jej pobożnością i radami. Przez cały ten czas Błogosławiona, którą trawił ogień gorliwości, z takiem namaszczeniem i z taką siłą powstawała na zbytki i niemoralność, panujące na zamku królewskim, że wiele osób zrzuciło z siebie modne ubiory, ubliżające swoim krojem czci niewieściej i oddało je Joannie, a ta uszyła z nich szaty dla ubogich kościołów. Kilka pań wstąpiło do klasztoru, a inne odmieniły życie. Sami dworzanie nawet, wzruszeni jej słowami i przykładem, nawrócili się szczerze do Boga, a wszyscy mieli dla niej najgłębszy szacunek. Opuszczającej dwór królestwo ofiarowali monstrancję bardzo cenną, tak pod względem wartości, jak i artystycznej roboty; Joanna dała ją do kościoła Braci Mniejszych w Tur.

Lecz nietylko widzimy ją w Paryżu; spieszy ona do Tur i do Anże (Angers), aby się widzieć z monarchami Neapolu: Ludwikiem Andegaweńskim i Marją z Bretanji, których syna do Chrztu podaje. Do tych wędrówek i do opuszczenia swej pustelni skłania ją dobro ojczyzny i Kościoła. W owe czasy bowiem trapi tę świętą Matkę naszą tak zwana Schizma Zachodnia: rządzi nią razem kilku Papieży, jeden w Rzymie, drugi w Awinjonie, a Francja za winy swoje dostaje się w znacznej części Anglikom. Święta więc cierpi mocno, a nie poprzestając na łzach, wylewanych na modlitwie dniem i nocą, zachęca do procesji publicznych i supplikacji, w celu uproszenia miłosierdzia Bożego. Nagradzając tę jej gorliwość, Pan objawił jej, że dopełniła się już miara pokuty i modlitwy, i że wkrótce nastąpi pokój, dzięki obiorowi nowego Papieża z zakonu Ś. Franciszka. I tak się stało. Aleksander V, nakazując zebranie Soboru powszechnego, przygotował ostateczny powrót do jedności [1]).

Ś. Bernardyn Seneński, Obserwant. (1444 r.).

Ten gorliwy kaznodzieja i apostoł Najsłodszego Imienia Jezus, taką pałał gorliwością o rozszerzenie Królestwa Bożego, że przez 40 lat niezmordowanie głosząc naukę Chrystusa Pana, nie spoczął aż do samej śmierci i, jak sam się odezwał do towarzyszów swej ostatniej podróży apostolskiej, choć sił żywotnych już niema, miłość Boska zagrzewa go do pracy, póki tylko mówić może. Będąc w Massa, w czasie Wielkiego Postu, pracował jak innych lat, a na ostatniem kazaniu pożegnał swoich słuchaczów, mówiąc, że już po raz ostatni widzą go na tej ambonie. Potem udał się jeszcze do królestwa Neapolitańskiego i tam, w Akwili, oddał świątobliwie ducha swego Panu [2]).

Bł. Herkulan z Piagale. Obserwant. (1451 r.).

Błogosławiony Herkulan, urodził się w Piagale, miasteczku leżącem na granicach Umbrji i

---

[1]) L'aur. séraph., T. II. [2]) Kron. 3 Zak. S. Fr. Cz. III.

Toskanji. Syn bogatych rodziców, wcześnie wyrzekł się świata i przywdział habit Franciszka Świętego w klasztorze Obserwantów w Sartiano. Młody zakonnik urzeczywistnił nadzieje przełożonych: stał się słynnym mówcą i apostołem. Męka Pana Jezusa wyciskała mu obfite łzy żalu i współczucia, o niej też ciągle myślał, o niej mówił na kazaniach, na nią naprowadzał zawsze rozmowę z braćmi i świeckimi, a słuchacze, porwani jego wymową i miłością ku Bogu, bili się w piersi z płaczem i tłumnie się nawracali. Pewnego roku w Wielki Piątek, głosząc naukę w Akwila, tak jasno uprzytomnił zebranym Mękę Boga-Człowieka, tak cudnie przedstawił tę miłość Bożą ku swoim stworzeniom, że wszyscy jęknęli z żalu. Wtem jedna z pań obecnych odezwała się do kaznodziei: „Już dosyć łez, Ojcze Herkulanie, nie wywołuj ich więcej!“ — „Nie, odpowiedział Błogosławiony, nigdy nie będzie ich dosyć nad Męką Pana Jezusa; ona to oczyszcza nasze dusze z upadków, a potem czyż Pan Jezus nie więcej wylał krwi swojej, aniżeli my możemy łez wytoczyć?“

Gdy w r. 1429 sługa Boży udał się na Wschód ze swoim dawnym mistrzem, Albertem z Sartiano, aby w imieniu Obserwantów regularnych objąć w posiadanie Miejsca Święte, wszędzie po drodze głosił Ewangelję, a z powrotem, również w celach misyjnych, wstąpił do Egiptu. Wróciwszy do Włoch, miał pociechę szerzenia coraz bardziej swojej rodziny zakonnej i dostarczania Kościołowi gorliwych misjonarzy, oraz dusz oddanych nieustannej modlitwie, założył bowiem kilka konwentów, jak w Luce, w Berga (pod wezwaniem Matki Boskiej Łaskawej), w Pieve Fosciana. Nieco później obywatele Luki, wdzięczni słudze Bożemu za pomoc i obsługę duchowną w czasie oblężenia przez Florentczyków, ofiarowali mu klasztor San-Cerbone. Jakiś czas Herkulan był komisarzem trzech klasztorów, założonych przez niego w tej części Toskanji, ostatnie zaś lata spędził w klasztorze Pieve pod Castelnuovo, pracując z wielką żarliwością nad grzesznikami i tam, 20 maja 1451 r., zakończył świątobliwy swój żywot. Za swego życia stwierdzał kazania cudami, któremi i po śmierci się wsławił. W kwietniu 1860 r. Papież Pius IX potwierdził cześć, którą mu od niepamiętnych już czasów oddawano i zaliczył go w poczet Błogosławionych [1]).

Ś. Jan Kapistran. Obserwant. (1456 r.).

Znakomity ten Brat Mniejszy okazał wielką gorliwość w staraniu się o kanonizację swego mistrza i Ojca duchownego, Bernardyna ze Sjenny. (O żarliwem jego nawracaniu dusz mówiliśmy już wyżej). Gdy, apostołując w Palermo, dowiedział się, że Bernardyn umarł w Akwili, zaraz tam poszedł, aby być świadkiem cudów na jego grobie, zebrać je, przedstawić Stolicy Apostolskiej i wystarać się o kanonizację zmarłego. Stanąwszy na miejscu, oblał łzami radości grobowiec, wołając: „Ojcze mój drogi, winszuję ci, żeś już osiągnął koronę niebieską!“ [1]) poczem zajął się cały uwielbieniem Bernardyna. Pan raczył cudem pokazać, jak Mu te starania były miłe. W czasie kazania, jakie miał Kapistran na placu publicznym o pochwałach Matki Najświętszej na tekst z Apokalipsy, nad głową jego, jak przed paru laty nad Ś. Bernardynem, tenże ustęp i na tem samem miejscu objaśniającym, ukazała się promienna gwiazda. Wszystkich spojrzenia skierowały się w górę, powstał jakiś szmer wśród tłumu i widać było, że nikt już nie słuchał kaznodziei. Zdziwiony tem Święty, zapytał, co się stało. „Patrz, Ojcze, odpowiedziano mu, to ta sama gwiazda, która przed paru laty zajaśniała przed Bernardynem“ [2]). Jan złożył dzięki Bogu za tę łaskę i pełen nadziei, że sprawa kanonizacji niezawodnie się powiedzie, następnego dnia poszedł z braćmi do Rzymu, a cudowna gwiazda towarzyszyła im w drodze, jak ongi królom do Betleemskiej stajenki. Papież Eugenjusz IV, przychylny całemu zakonowi Ś. Franciszka, wyznaczył komisję śledczą, lecz nie on miał dokończyć upragnionej kanonizacji, co zresztą Ś. Jan pewnego razu mu przepowiedział. Następca jego, Mikołaj V, serdecznie pragnął przyspieszyć tę sprawę, lecz coraz nowe piętrzyły się trudności. Nieprzyjaciele Bernardyna, których za jego życia kłuła w oczy jego apostolska gorliwość, nawet po śmierci nie dali mu pokoju. Zawiązali oni pomiędzy sobą spisek, aby wszelkiemi siłami stawiać opór jego wyniesieniu na ołtarze i póty nużyć zabiegających o to przyjaciół Świętego, ażby się wyrzekli swych nadziei.

Papież, widząc takie wzburzenie, zawahał się. Ś. Jan Kapistran stał się celem szyderstw i bolesnych przycinków, obwołano go, jako człowieka nieroztropnego, działającego bez zastanowienia pod wpływem wrażeń. Dzięki tylko silnej ufności w pomoc Bożą, mąż święty nie upadł na duchu. Wierny swej bohaterskiej przyjaźni dla zmarłego mistrza,

[1]) L'aur. séraph. T. II.

[1]) Vita di S. Giovanni da Capestrano per sacerdote Rottelli p. 99. Monza 1878. [2]) Żywot Ś. Bernardyna Seneńskiego przez O. Amadeusza z Wenecji t. II, s. 183. Rzeczywiście tę samą łaskę otrzymał Ś. Bernardyn dnia 8 września 1436 r., podczas kiedy głosił kazanie o chwale Marji.

odważył się na ostatni jeszcze krok i udawszy się do Namiestnika Chrystusowego, padł u stóp jego tronu i żebrał z pokorą, aby raczył nanowo dla chwały Boskiej podnieść sprawę kanonizacji: „Święty Ojcze, zawołał w uniesieniu, jeżeli się obawiasz, każ zapalić stos i rzucić weń ciało Bernardyna. I ja również tam wskoczę. Jeżeli ogień nas spali, przypisz to moim grzechom, a jeśli nam najmniejszej nie wyrządzi szkody, poznasz w tem wolę Boga, aby kanonizacja ta doszła jaknajprędzej do skutku". Na widok tak mężnej miłości, Mikołaj V nie mógł się od łez powstrzymać i od tego dnia postanowił gorąco popierać kanonizację apostoła Włoch.

Nowe trudności.

Gdy z jednej strony Jan już był pewnym pomocy, nowe i o wiele ważniejsze zjawiły się trudności: już kilka miesięcy mijało, jak na grobie Bernardyna przestały dziać się cuda. Kapistran wówczas znajdował się w Akwili, gdzie miewał kazania wielkopostne, i, nie tracąc nadziei w miłosierdziu Bożem, obiecywał wiernym, że niezadługo Święty znowu się odezwie. „Nie, wołał on, Stwórca nie omieszka nas pocieszyć w czasie świąt Wielkanocnych". Lecz i ta uroczystość cicho minęła. Zwątpienie wciskało się do serc wiernych i widocznem było, że jeśli nie nastąpią nowe cuda, kanonizacja Bernardyna upadnie. Wtedy Kapistran powziął szczególną myśl; wśród nocy poszedł na miejsce, gdzie spoczywały zwłoki słynnego mistrza i rzekł do niego: „Widzisz, drogi Ojcze, ile trudów i starań ponoszę dla ciebie. Jakiż mnie wstyd czeka, jeżeli nie będę mógł twej sprawy do końca doprowadzić! A jakże to zgubnie podziała na dusze! Za życia, gdy byłem twoim przełożonym, bardzo skwapliwie spełniałeś moją wolę, otóż dzisiaj żądam nowego dowodu twej uległości i rozkazuję ci w imię posłuszeństwa, mocą Ducha Świętego, byś wyprosił u Pana nowe cuda za swoją przyczyną". Święty mówił to z żywą wiarą, która przenosi góry. Nazajutrz chorzy i kalecy wrócili wszyscy od grobu Bernardyna uzdrowieni.

Wśród tych nieustannych zabiegów, otrzymał Ś. Jan słodką pociechę dla swego serca. Ukazał mu się Bernardyn i podziękował za wszystkie, a tak liczne trudy, jakie podjął, aby go widzieć na ołtarzu. Kapistran opowiedział o tem Papieżowi, a Mikołaj V, oceniając w słudze Bożym tyle gorliwości i zapału: „Bracie Janie, rzekł do niego, a któż to się zajmie twoją własną kanonizacją?" — „Najświętszy Ojcze, odpowiedział Kapistran, jam nędzny grzesznik, a taka cześć należy się jedynie Świętym".

Nareszcie Bernardyn doczekał się uwielbienia. Zbliżał się Jubileusz r. 1450 i Papież, korzystając z tego uroczystego obchodu, ogłosił wśród niezmiernych tłumów, przybyłych ze wszystkich krajów katolickich, kanonizację zmarłego przed sześciu laty i znanego powszechnie Obserwanta, Bernardyna ze Sjenny. Ś. Jan znajdował się na tym akcie z czterema tysiącami swoich braci, z pomiędzy których Jakób z Marchji, Dydak z Alkala oraz kilku jeszcze innych miało z czasem otrzymać tę samą chwałę. Uroczystość ta hojnie wynagrodziła Świętego za kilka lat usilnych starań i niepokojów; był to dlań rozkoszny wypoczynek na twardej drodze pokuty i prac apostolskich. Lecz inny jeszcze czekał go tutaj tryumf. Cały Rzym zabrzmiał uwielbieniem dla sługi Bożego, który na publicznej rozprawie pokonał wodza synagogi tamtejszej, Gamaljela i jasnością swoich dowodzeń, siłą rozumowania i nieprzepartym urokiem swej miłości przywiódł go do uznania prawdy. Za uczonym rabinem czterdziestu żydów, przekonanych, iż proroctwa o Mesjaszu już się wypełniły w osobie Zbawiciela, poddało się wezwaniu łaski i przyjęło Chrzest Święty [1]).

Ś. Katarzyna Bolońska. Klaryska. (1463 r.).

Trawiona miłością Bożą, Katarzyna pragnęła gorąco zbawienia dusz, które Pan Jezus odkupił za tak wielką cenę. Zatwardziali w występkach grzesznicy byli przedmiotej jej łez, modlitw i aktów strzelistych.

Pewien skazaniec nie chciał się wcale spowiadać przed śmiercią i ciągle wzywał szatana. Święta, dowiedziawszy się o tem, zabolała wielce nad jego duszą; przez całą noc modliła się u stóp Tabernakulum, wreszcie padła krzyżem na ziemię, wołając do swego Niebieskiego Oblubieńca: „Panie i Boże mój; nie wstanę z tego miejsca, dopókąd mi nie dasz tej duszy, odkupionej krwią Twoją przenajdroższą. Mistrzu dobry, racz wysłuchać tych niegodnych próśb moich! Wzrusz się wołaniem, które do Ciebie zanoszę!" I oto zaledwie skończyła tę modlitwę, odpowiedział jej głos z Tabernakulum: „Nie mogę ci odmówić tej łaski". Uszczęśliwiona Święta do rana jeszcze przedłużyła swą słodką rozmowę z Panem Jezusem. Gdy ranek zaświtał, wezwano spiesznie spowiednika klasztornego do skazańca, który się szczerze nawrócił i wyspowiadał.

Życiopisarze Katarzyny przytaczają wiele innych nawróceń, niemniej zadziwiających, które sprawiły tylko żarliwe modły pokornej służebnicy Chrystusowej. Między innemi, będąc Mistrzynią,

[1]) L'aur. séraph. T. IV.

miała pod swą opieką jedną nowicjuszkę bardzo zniechęconą i w pokusach wystąpienia z klasztoru. Wezwawszy ją do siebie, przemówiła do niej w te słowa: „Córko moja, pragnę gorąco, aby Bóg serce twoje napełnił radością, abyś wytrwała w powołaniu swojem, abyś zwyciężyła zamachy niewidzialnego wroga. Nie trać odwagi i nie zniechęcaj się. Ja się ofiaruję za ciebie na męki czyścowe do dnia sądu ostatecznego, dla spłacenia długów Boskiej sprawiedliwości". Nowicjuszka, wzruszona tak wielką dobrocią, zaniechała zamiaru wystąpienia, żyła przykładnie i świątobliwie i została potem wybrana na opatkę nowego klasztoru [1]).

Ś. Jakób z Marchji, Obserwant. (1476 r.).

Ś. Jakób początkowo myślał wstąpić do Kartuzów we Florencji. Przedstawił się już nawet opatowi, który radził mu odłożyć ten zamiar, aby to powołanie dojrzało. Lecz niezadługo potem Święty udał się do Bibienny, miasteczka, znajdującego się u stóp góry Alwernji, a przebywając tam jakiś czas, poznał się z Ojcami Obserwantami klasztoru Ś. Wawrzyńca. Zbudowany ich życiem, postanowił wstąpić do nich i dnia 25 lipca 1416 r., przyjął habit Brata Mniejszego wraz z imieniem Jakóba, w kościołku Najświętszej Panny Marji Anielskiej. Na odprawienie nowicjatu posłano go do samotnego klasztoru, zwanego Carceri, czyli więzienie Ś. Franciszka. Miał wtedy lat 25. Zaledwie przestąpił próg klasztorny, stał się przedmiotem podziwu dla zakonników. Mężnie walczył z szatanem, ciałem i światem, i założył głęboki fundament tej wielkiej świętości, która z czasem w nim zajaśniała. Już w nowicjacie oddawał się postom, czuwaniom, ustawicznej modlitwie i umartwieniom. Po przebytym roku nowicjatu przyjęty był do wieczystej profesji, którą uczynił w lipcu 1417 r. w klasztorze, gdzie był obleczony, poczem rozpoczął studja teologiczne. Towarzyszem jego był Ś. Jan Kapistran, który wstąpił do zakonu dwa miesiące po nim, a lektorem Ś. Bernardyn Seneński. Uczniowie godni byli takiego mistrza. Wtedy to zawiązała się między nimi ta ścisła przyjaźń, która przez całe życie łączyła tych trzech wielkich apostołów, te kamienie węgielne Regularnej Obserwancji. Pracowali oni ze wszystkich sił nad uświęceniem własnem i nad przysposobieniem się jak najgodniejszem do uświęcania drugich.

Święty Jakób miał tak wielkie zamiłowanie pracy, że starał się nie stracić dobrowolnie ani chwili, to też unikał, o ile mógł, rozmów, nietylko ze świeckimi, ale nawet z braćmi swego zakonu. Zazwyczaj trzy godziny tylko spoczywał, a resztę czasu nocnego spędzał częścią na rozmyślaniu, częścią na nauce. Ciało jego tak już było włożone do modlitwy i nauki, że męczyła go zmiana miejsca lub zwykłego rozkładu. W trzy lata po profesji, 13 czerwca 1420 r. otrzymał święcenia kapłańskie i wstąpił po raz pierwszy na stopnie ołtarza w klasztorze Zbawiciela pod Florencją; choć inni życiopisarze podają, że miał prymicje w Fiesole. Mianowany zaraz kaznodzieją przez Ś. Bernardyna Seneńskiego, rozpoczął swój żywot apostolski, tak płodny w nawrócenia. W r. 1427, gdy był w Niemczech, swemi słowami i przykładem pociągnął do zakonu przeszło dwustu młodzieńców i musiał tam dla nich zakładać klasztory. Po jego kazaniu znikał zbytek, wyuzdanie obyczajów, a wszędzie następowała ogólna odmiana i powrót do życia, zgodniejszego z chrześcijańską moralnością [1]).

Bł. Marek z Bolonji, Obserwant. (1479 r.).

Dla swej gorliwości o zachowanie reguły, ten sługa Boży dwa razy z rzędu pełnił urząd prowincjała, później obierany był po trzykroć na wikarego generalnego Obserwantów włoskich, i znowu poraz trzeci został prowincjałem bolońskim. Trudno wypowiedzieć, jak bardzo troszczył się, aby zakon nie ostygał w umiłowaniu ubóstwa, jak kierował pracą braci, jak ich zachęcał do szerzenia Królestwa Bożego we wszystkich krajach. Pierwszym zazwyczaj, po objęciu urzędu, obowiązkiem Marka, było zwiedzić osobiście wszystkie prowincje. Szedł boso i pieszo do Neapolu, nie zważając na upały, pod piekącemi promieniami słońca, przebiegał Apulję, a stamtąd na statku płynął do Dalmacji i Istrji, wszędzie wprowadzając mądre reformy i ożywiając ducha serafickiego. Powróciwszy z jednej takiej wizyty, dowiedział się, że król bośniacki, niedawno nawrócony z manicheizmu przez Braci Mniejszych, nałożył na swoich poddanych obowiązek, aby składali się na utrzymanie tychże zakonników. Natychmiast więc w gorliwości o serafickie ubóstwo, napisał do niego z prośbą, aby poddanym swoim zostawił pod tym względem zupełną swobodę. Ofiary wymuszone, tłumaczył mu, nigdy nie mogą być miłemi Bogu, jałmużna nakazana traci swoją zasługę, a zresztą ten sposób zaspakajania potrzeb braci wręcz sprzeciwia się ślubowanemu przez nich najwyższemu ubóstwu.

Gdy doniesiono Błogosławionemu, że po wzięciu Konstantynopola Turcy wyrznęli, albo uprowa-

[1]) Ibidem, T. I.

[1]) Vie du St. Jacques de la Marche.

dzili w niewolę znaczną liczbę synów Ś. Franciszka, głęboko tem przejęty, rozesłał do wszystkich prowincjałów wzruszający okólnik, w którym prosił ich o zbieranie jak największego wykupu. Zakonnikom jednak, pracującym na Węgrzech i w Rosji, którzy pytali go, co mają robić, czy uciekać, czy też nie zważać na niebezpieczeństwo od Turków, posuwających aż tam swoje zagony, odpisał serdeczny list, pełen miłości Chrystusowej, zachęcając ich do trwania na swoich stanowiskach. „Nieprzyjaciel, mówi on, może wam odebrać życie ciała, ale nie jest w stanie pozbawić was życia duszy, która jest nieśmiertelna". W taki to sposób Bł. Marek przedstawiał synom swoim blask korony męczeńskiej. Jednocześnie wysłał na Wschód dawnego swego mistrza, Bł. Jakóba Primadizzi, aby starał się wykupić braci więzionych w Konstantynopolu, a następnie żeby poszedł do Węgier i do Rosji, i pokrzepił misjonarzy, dodając im męstwa, aby wszystko przenieśli dla chwały Bożej.

Nic też dziwnego, że sam tak gorliwy umiał i podwładnych swoich zapalić gorliwością. Po pierwszem trzechleciu, gdy złożył urząd wikarego, nowoobrany jego następca, zaraz po kapitularnych posiedzeniach, zwrócił się do obecnych zakonników w liczbie tysiąca, przedstawiając im listy, w których Papież wzywał gorliwych misjonarzy do krajów pogańskich. Przemówiwszy do nich o wielkiej zasłudze, lecz zarazem i o wielkich trudnościach misyjnych, rzekł: „Niech ci bracia, którzy czują odwagę odpowiedzenia wezwaniu Ojca Świętego i pragną ofiarować się na męczeństwo, dla pozyskania Bogu dusz, podniosą do góry rękę!" Wszyscy, jak jeden człowiek, ręce podnieśli, oświadczając gotowość poniesienia wszelkich trudów, narażenia się na niebezpieczeństwa i na przelanie krwi dla chwały Bożej i dla Kościoła Świętego [1]).

Bł. Pacyfik z Cerano, Obserwant. (1482 r.).

Błogosławiony ten Obserwant zaraz po wyświęceniu swojem na kapłana zajął się nauczaniem. Chodził po miastach włoskich, walczył z błędami, uśmierzał waśnie i niesnaski, i prowadził grzeszników do Boga. Pierwszy ten okres jego życia apostolskiego trwał lat 19. Niestety, współcześni pisarze nie zostawili nam żadnych z tego czasu szczegółów. Po roku 1471 Sykstus IV, Papież, posłał go do Sardynji z misją zaradzenia niektórym biedom, trapiącym Kościół Święty na tej wyspie. Bóg pobłogosławił pracy gorliwego misjonarza: apostolstwo jego jak najpomyślniejsze odniosło skutki. Za powrotem do Włoch, kazywał dalej w północnej części półwyspu, mieszkając stale w klasztorze Nowary, albo w Vigerano, który sam założył. Odwiedzał też swoją rodzinną miejscowość, Cerano, nie z powodu krewnych i znajomych, ale jedynie dla pociągnięcia ku niebu drogich dla siebie współobywateli. Spowiadał, nauczał, pocieszał ubogich i smutnych, a wszyscy otaczali go czcią i szacunkiem [1]).

Bł. Bernardyn z Feltry, Obserwant. (1494 r.).

Błogosławiony Bernardyn od lat najmłodszych z wielkim zapałem przykładał się do nauk, tak iż matka, lękając się o jego zdrowie, odbierała mu nieraz książki, aby się pobawił i rozerwał z kolegami. Dziecię to ani chwilki nie traciło. Spostrzegłszy się, że utrzymanie kręconych loków, które nosił, zabiera mu codziennie kilka minut, obciął je, mówiąc, iż lepiej użyć tego czasu na naukę, niż na czesanie.

Później, gdy wstąpił do zakonu i został kaznodzieją, pomimo delikatnego zdrowia, nie więcej jak dwie, trzy do czterech godzin spoczywał, przepędzając resztę nocy na modlitwie lub nauce. Taki miał zapał i gorliwość do kazań, że przez wiele lat po 3 a nawet cztery godziny przemawiał, a gdy choroba stanęła mu w tem na przeszkodzie, byłby niepocieszony, gdyby nie wiedział, że zgodzenie się z wolą Bożą jest największą doskonałością i sprawą Bogu najmilszą.

Ta gorliwość w opowiadaniu Ewangelji nietylko z postępem czasu się nie zmniejszała, ale, przeciwnie, wzrastała z wiekiem. Przy końcu życia coraz dłużej zostawał na ambonie, tym zaś, którzy mu wymawiali, że za długie miewa kazania, odpowiadał: „Niedługo już żyć będę, staram się przeto korzystać z każdej chwili, by jak najwięcej zrobić dobrego" [2]).

Cz. Krzysztof Kolumb, 3 Zak. (1505 r.).

Towarzysząc Kolumbowi w jego podróżach i odkryciach, w przygodach i niebezpieczeństwach, wśród intryg zazdrości i nienawiści, widzimy wszędzie jeden rys charakteru: gorliwość. Pierwszą intencją jego we wszystkich tych sprawach jest zajmująca go wyłącznie myśl oswobodzenia Grobu Pańskiego. W podróżach swoich poznał bohaterskie poświęcenie synów Franciszka, strzegących Świętych miejsc wśród mahometan i wraz z nimi wzdy-

[1]) L'aur. séraph. T. I.

[1]) Ibidem, T. II. [2]) Ibidem, T. III.

chał za wyrwaniem ich z rąk niewiernych. Jeżeli kiedy pragnął odkrycia złota i bogactw, to nie dlatego, aby z nich korzystać, lecz aby wykupić od Turków Grób Chrystusa Pana, albo łożyć na koszta nowej wyprawy krzyżowej.

Gorliwość apostolska o dusze również pochłaniała Kolumba. Przebywając morza, w celu odkrycia nowych lądów, chciał rozpowszechnić panowanie Chrystusa na całej powierzchni ziemi. Dokładał wszelkich starań, aby zapewnić światło Ewangelji dzikim narodom, posyłając im misjonarzy, wybranych z pomiędzy swych przyjaciół: dzieci Ś. Franciszka i Ś. Dominika. Tak więc Kolumb był apostołem seraficznym. Synowie Franciszka podążyli na nowe pole, otwarte dla robotników apostolskich genjuszem śmiałego żeglarza. Podczas, gdy Bracia Mniejsi włoscy zwracali swe usiłowania ku Niemcom, ich bracia hiszpańscy starali się pozyskać dla Ewangelji narody pogańskie [1]).

Ś. Ignacy Lojola, 3 Zak. (1556 r.).

Zaledwie Ignacy opuścił ponurą grotę w Manrezie, w której postanowił oddać się wyłącznie na służbę Bożą, zaledwie zawiesił w Monserrato swój oręż u ołtarza Bogarodzicy, a już w umyśle zaczęło mu się roić od planów, jak świat dla Chrystusa zawojować; już gorące serce pokoju mu nie dało, zrywając się do czynów i walk o dusze. Pragnienie zdobywania dusz dla Boga paliło Ignacego w jerozolimskiej pielgrzymce, w barcelońskiej szkole, na uniwersytecie w Alkala, w Salamance, w Paryżu. Na razie powstrzymywać je należało, jak należy hamować zapał żołnierza niedość przygotowanego do walki, niedość wyćwiczonego w obrotach wojennych. Wreszcie wybiła upragniona godzina; dawne marzenia w czyn się zamieniły. Święty przyprowadził Namiestnikowi Chrystusa Pana nieliczną z początku, ale z samych bohaterów złożoną gromadkę, a otrzymawszy od niego potwierdzenie swych zamiarów, powtórzył hasło przez Najwyższego Wodza podane: „Przyjdź Królestwo Twoje!“ i poprowadził coraz zwiększający się hufiec przeciw wszystkim wrogom tego Królestwa.

Wspaniałe te zapasy miłe były oczom Bożym i ludzkim; godni podziwu mężni zapaśnicy; a największego podziwu godzien mądry ich wódz, który z Rzymu z dnia na dzień kierował na szerszem polu toczącą się walką, śledził uważnie wszystkie ruchy, na zagrożone punkta słał posiłki, przytomny wszędzie radą, rozkazem, i męstwo łącząc z roztropnością, odnosił cały szereg zwycięstw, najważniejszych w swych skutkach [1]).

[1]) Ś. Fr. za życia i po śm... Cz. II.

Ś. Paschalis Baylon, Obserwant bosy. (1592 r.).

Święty Paschalis, chociaż braciszek tylko, gorliwością swoją wielu grzeszników Bogu pozyskał. Używał do tego, jako najskuteczniejszego środka, modlitwy wytrwałej i natarczywej, oraz pośrednictwa Najśw. Marji; również w rozmowie z osobami świeckiemi rzucał gdzieniegdzie parę słów zachęty, aby według Ewangelji, odpuszczali z serca swoim winowajcom, modlili się za nich, jako za swoich dobrodziejów i kochali się wzajem w Bogu i dla Boga, jak przystało na dzieci jednego Ojca Niebieskiego. I głos jego przenikał do głębi serc, kruszył najzatwardzialsze sumienia i przyprowadzał do pokuty. To samo radził Paschalis i kaznodziejom, aby, nim wejdą na ambonę, pierwej w łzawej modlitwie przedstawiali Bogu serca swoich słuchaczy, błagając dla nich o skruchę i dar poznania nauki Boskiej. Niektórych nawet sam uczył kazywać w duchu Chrystusowym. Lecz szczególniej dbał on o czystość reguły franciszkańskiej: wszelki objaw ludzkiej roztropności, mającej na celu naruszenie jej w czemkolwiek, wydawał mu się świętokradztwem. Wobec najuczciwszych nawet mężów bronił zarówno jej ducha i znaczenia, jak wykładów, dokonanych przez Biskupów Rzymskich. Wszyscy to uznawali, że Paschalis otrzymał był, zwłaszcza co do reguły, światło nadprzyrodzone; sami przełożeni mieli zwyczaj radzić się go w trudnych wypadkach, zdolni doktorowie uciekali się do niego w kwestjach teologicznych i wszyscy byli zachwyceni jego wiedzą, oraz szybkością i energją w rozstrzyganiu rzeczy zawiłych. Pomimo tego daru, zawsze miał przy sobie regułę z objaśnieniami O. Fano; mówił też nieraz do towarzyszów, że powinni gruntownie badać regułę, jeżeli chcą bezpiecznie w swojem powołaniu postępować. W żarliwości o obserwancję prawa iście ewangelicznego, które Seraficki Ojciec dzieciom swoim zostawił, Święty poprosił jednego z najuczciwszych i najznakomitszych mężów prowincji, O. Jana Ximenesa, aby zechciał ułożyć krótkie objaśnienie reguły, zawierające najważniejsze punkta wykładaczy i objaśnień Mikołaja III i Klemensa V. Krzysztof z Arta, jego życiopisarz, mówi, że treść do tej bardzo cennej pracy przygotował i dostarczył sam Paschalis.

Sługa Boży cieszył się bardzo, gdy zakonnicy rozmawiali o jakimkolwiek paragrafie reguły; często nawet przedstawiał im różne okoliczności do

[1]) Żywot Ś. Ignacego Lojoli.

rozstrzygnięcia, aby dać sposobność nauczenia się. Mawiał też nieraz: „Bracia moi; jeśli chcecie być Świętymi, zachowujcie regułę!“ Jeden z zakonników miał zwyczaj polecać się modlitwom Paschalisa, na co ten odpowiadał, klękając: „Panie, racz udzielić bratu Piotrowi łaski zachowania reguły!“

Inne oznaki jego gorliwości.

Święty okazywał niemniejszą gorliwość o wszelkie przepisy życia zakonnego, które dla samejże reguły są wałem obronnym. Jakkolwiek małoznaczący byłby jaki przepis, w jego oczach miał on wagę równą innym, gdyż był wskazówką woli Bożej i sposobem okazania Panu swej wierności. Dokładny w tem wszystkiem, co się tyczyło życia wspólnego, Paschalis nie wychodził nigdy z klasztoru, chyba że wymagała tego choroba lub obowiązek. Gdy go wzywano do furty, a on trwał wówczas na modlitwie, przerywał takową, choćby do jej skończenia paru chwil tylko brakowało, spełniwszy zaś swój urząd, prędko wracał do chóru. Lękając się, żeby to nie przeszkadzało innym zakonnikom, gwardjan kazał mu się modlić w zewnętrznej części kościoła.

Sługa Boży zachowywał też skrupulatnie zwyczaje, których początek sięga pierwszych czasów zakonu. Razu pewnego np. stłukł przez nieostrożność miseczkę, a chociaż nie potrzebował się z tego oskarżać, bo stało się to tak, że go nikt nie widział, a więc wina nie była publiczna, on jednak, powiada jego życiopisarz, chciał przyjąć pokutę i przyszedł do refektarza ze sznurkiem skorup zawieszonych na szyi [1]).

Bł. Juljan z San-Agostino, Obserwant. (1606 r.).

Błogosławiony Juljan tak dalece wierny był swoim ślubom, że nigdy przez całe życie zakonne w niczem ich nie naruszył. Jego życiopisarze podają dwa zdarzenia, świadczące o wysokiej obserwancji Świętego. Pewnego razu, idąc po kweście w nocy wielkim gościńcem, ujrzał wóz, którego właściciel tylko co wyprzągł woły i poprowadził je na pastwisko. Korzystając z tej sposobności, brat Juljan, zmęczony całodzienną drogą, położył się na wozie i smacznie zasnął. Spał tak długo i twardo, że nie słyszał, jak woźnica, zaprzągłszy woły, pojechał dalej, a gdy się wreszcie obudził, okazało się, że już dwie mile ujechali od miejsca popasu. Wiadomość ta napełniła go wielkim żalem; pierwszy to bowiem raz naruszył on regułę, chociaż mimo swej woli i w rzeczy czysto materjalnej. Aby więc naprawić swój błąd, zsiadł z wozu, wrócił się tam, skąd go woźnica zabrał, i napowrót przeszedł tę samą drogę pieszo.

Przy końcu życia, kiedy już ostatni raz kwestował, opanowała go gwałtowna gorączka. Czując, że to choroba śmiertelna, zapragnął dostać się do swego klasztoru w Alkala. Otaczający chcieli go tam zanieść na swoich barkach, lecz gorliwy zakonnik podziękował im z serca za dobre chęci i oznajmił, że pójdzie pieszo, według swego zwyczaju. I z wielkim trudem, przy pomocy dwóch młodzieńców, doszedł do furty klasztornej [1]).

[1]) L'aur. séraph., T. II.

Ś. Franciszek Salezy, 3 Zak. (1622 r.).

Święty Franciszek Salezy, zostawszy kapłanem, po Mszy św., którą zazwyczaj bardzo wcześnie odprawiał, słuchał spowiedzi wszystkich, co w tym celu przybyli do kościoła. Chętnie przebiegał wsie i zagrody okoliczne, aby nauczać prostaczków, żyjących w wielkiej nieświadomości swoich obowiązków religijnych i najgłówniejszych zasad wiary świętej. Z latami nie ostygł w tej gorliwości, co widać z planu, jaki sobie zakreślił, przed przyjęciem sakry biskupiej. Zobowiązał się on wtedy we wszystkie święta uroczyste bywać na nabożeństwie w katedrze, czy to aby samemu je odprawić, czy też aby znajdować się na niem wespół z kapłanami i wiernymi. Widziano go więc w każde święto przy ołtarzu lub na ambonie. Była to jedna z jego zasad, że gdy chodzi o chwałę Bożą, Biskup powinien być na czele swego ludu. Wstawać miał o czwartej rano; godzinę całą przeznaczał na rozmyślanie, potem odmawiał Laudes i Prymę, wspólne modlitwy ze służbą i czytał Pismo Święte, lub inne jakie książki treści religijnej. O 9-ej wychodził ze Mszą św., następnie do obiadu zajmował się sprawami dyecezji. Po obiedzie przez godzinę rozmawiał, czy to ze swoimi księżmi, czy z gośćmi i znowu aż do wieczora załatwiał sprawy dyecezjalne i różne dobre uczynki. Po wieczerzy czytał przez godzinę jaką książkę swoim domownikom i kończył to czytanie pacierzami wieczornemi, poczem zabierał się do odmawiania Jutrzni.

Gorliwość jego o dobór kapłanów.

Święty Biskup z największą skrupulatnością egzaminował sam kandydatów do stanu duchownego. Żadne względy nie miały w jego oczach znaczenia: ani bogactwo, ani rekomendacje wysoko położonych osób, ani talenta nawet; wymagał tylko

[1]) L'aur. séraph., T. II.

zdolności, cnotliwego życia i prawdziwego powołania. Nie mógł znieść, żeby przyjmowano kapłaństwo z widokiem jakichś zysków osobistych; uważał to za świętokradztwo. Tym sposobem mało było wybranych. Ponieważ zaś w dyecezji genewskiej ogromny był brak księży, wskutek powiększenia jej przez dwa obwody: Chablais (Szable) i Baillages (Bajjaż), tem więcej podziwiano stałość Franciszka. Wiedział on o tej potrzebie lepiej niż inni, ale gdy mu to mówiono, odpowiadał: „Kościół potrzebuje tylko dobrych księży. Tę samą przezorność zachowywał w rozdawaniu urzędów kościelnych. Nie dozwalał, aby na to wpływały jakiekolwiek względy prywatne, lub zabiegi czysto świeckiej natury. Nazywał to podłym handlem, plugawieniem świętego przybytku. Aby raz na zawsze położyć koniec tego rodzaju nadużyciom, ustanowił rodzaj konkursu, to jest dysput religijnych, na których sam przewodniczył. Najzdolniejsi otrzymywali pierwszeństwo — rozstrzygała tylko prawdziwa zasługa. W tych dysputach Franciszek odkrywał nieraz wielkie zdolności w kapłanach.

Inne objawy gorliwości pasterskiej.

Aby zaprowadzić doskonałą zgodność w swojej dyecezji co do sposobu udzielania Sakramentów Świętych, ułożył sam rytuał, który pozostanie wiecznym pomnikiem jego rozumu i miłosiernych względów dla bliźniego. Gorliwość Franciszka nie ograniczała się jednak na tych wskazówkach piśmiennych: sądził, że powinien nauczać duchowieństwo swoje słowem. W tym celu ustanowił synody, które się odbywały raz na rok w dniach oznaczonych. Wtedy to z niepospolitą wymową przedstawiał zebranemu duchowieństwu obowiązki jego stanu, nauczał, jak ma je spełniać, aby godnie odpowiedzieć wzniosłemu powołaniu swemu. Na pierwszym synodzie dał przepisy życia dla księży, zastosowane mniej więcej do tych, które dla siebie napisał. Nie uważał sobie za ujmę zniżyć się do najpospolitszych szczegółów. Oprócz tego, stosując się do świętych kanonów, zabronił kapłanom uczęszczania w miejsca publiczne, wszelkich gier hazardownych, a nawet polowania, gdyż uważał to za stratę czasu, który ksiądz powinien spędzać pożyteczniej. Ustanowił też wizytatorów, mających kilka razy do roku robić przegląd parafji, wskazanych przez wyższą władzę duchowną. Franciszek zaprowadził jeszcze comiesięczne konferencje, a ponieważ w dyecezji genewskiej było wielu innowierców, za treść tych konferencji dawał kontrowersje Kardynała Belarmina. Święty Biskup często powtarzał, że pasterz, nieumiejący bronić swych owiec od napaści wilka, nie spełnia godnie swego obowiązku; że byłoby największą hańbą dla księdza, gdyby nie potrafił odpowiedzieć na zarzuty heretyków [1]).

Ś. Józef z Kopertynu, Konwentualny. (1663 r.).

Ten wielki Święty był gorliwym przestrzegaczem reguły zakonnej. W każdej miejscowości, gdzie się znajdował, żarliwie gromił przestępców i obudzał w tym kierunku czujność przełożonych. Mawiał, że Ś. O. Franciszek dał im płaszcz rozkazywania, a więc powinni zwrócić mu go takim, jakim go otrzymali, to jest całym, nietkniętym, nierozerwanym i niezbrudzonym. Pewnego razu, modląc się w swojej kaplicy, zobaczył mężczyznę i kobietę złego życia, rozmawiających w kościele. Widok ten tak go wzruszył, że porwał się natychmiast, schwycił pierwszą lepszą rzecz, jaka mu wpadła w rękę, a była nią trupia głowa, zbiegł szybko na dół i potrząsając czaszką, oraz grożąc palcem winnym, wlepił w nich surowe spojrzenie. Ci przerażeni uciekli. Złe duchy nawet lękały się męża Bożego; odpędzała ich jego żarliwość o chwałę Bożą. Jednym rzutem oka rozpoznawał on opętanych i kiedy do nich podchodził, szatani co sił uciekali. Słysząc o zniewagach, wyrządzanych Bogu choćby w najdalszych krajach, świętym gniewem się zapalał. I dziwna rzecz, której w żadnym Świętym nie spostrzeżono. Nienawidził nawet materjalne narzędzia grzechu. Pewnego razu prosił on w jałmużnie o trochę kwiatów do ubrania swojego ołtarzyka, ale żeby koniecznie były świeże, nierobione. Dlaczego? zapytano go z ciekawością. „Wolę naturalne, odpowiedział Józef, sztuczne bowiem mogłyby być wykonane przez grzeszników".

Pragnął on zbawienia wszystkich; modlił się za tych, co Boga ciężko obrażają, odprawiał krwawe dyscypliny, i serdecznie wynagradzał Panu za zniewagi. Aby wyrwać dusze z sideł szatańskich i oddać je Zbawicielowi, gotów był podjąć wszelkie trudy, nawet śmierć męczeńską [2]).

Bł. Bonawentura z Barcelony, Bonawenturzysta. (1684 r.).

Ten sługa Boży po złożeniu ślubów udał się wraz z kilkoma wzorowymi braćmi do Villa de Mora, gdzie wraz z nimi objął nowy klasztor. Obok wielu cnót, zajaśniał szczególniej gorliwością o Królestwo Chrystusowe i doskonałą obserwę reguły Świętego Franciszka. Chodząc po kwieście w Villa Mora, nieraz rozmawiał z Francuzami, którzy stali

[1]) Ś. Franc. Salezy. [2]) Vie de St. Joseph...

tam obozem, a że przeważnie byli to heretycy, używał wszelkich sposobów, aby pozyskać ich serca i oświecić umysł. Dowodom jego mało kto potrafił się oprzeć, tak były przekonywające i jasne. Między innymi gorliwość jego nawróciła generała wojsk francuskich, zatwardziałego hugonotę, z którym już najsłynniejsi teologowie bezskuteczne prowadzili rozprawy. Ufny w pomoc łaski Bożej, Bonawentura przyszedł raz do jego mieszkania, prosząc o jałmużnę, a gdy na rozkaz pański słudzy wynieśli mu takową: „Nie tego ja w tej chwili pragnę", rzekł śmiało do generała. „Czegóż więc?" zapytał tenże. „Żądam jałmużny z duszy twojej, panie". Kalwinista nie obraził się; owszem, po kilku serdecznych słowach przyrzekł odwiedzić zakonnika i rzeczywiście w tydzień później zadzwonił do furty. Błogosławiony miał z nim długą rozmowę, a heretyk tak w niej zasmakował, że zaczął przychodzić częściej, aż w końcu poznał prawdziwość wiary katolickiej i został jej wyznawcą.

Zamierza nową reformę Braci Mniejszych.

Pan Bóg wybrał Bonawenturę na założyciela nowej reformy Bonawenturzystów, zwanych tak od jego imienia. Sam Zbawiciel, Najświętsza Jego Matka i Ś. O. Franciszek polecili mu tę sprawę. Posłuszny ich woli, przed zabraniem się do tego dzieła dłużej jeszcze i serdeczniej się modlił, surowiej się umartwiał, a potem zwierzył się jednemu z najgorliwszych braci, którego chciał mieć za pomocnika. Lecz ten nietylko odmówił mu swej pomocy, ale doniósł o jego zamiarze przełożonym. Stało się to z dopuszczenia Bożego, żeby oczyścić cnotę Bonawentury i cudem okazać jego powołanie. Odtąd zaczęły się dla Świętego ciężkie chwile prześladowania od braci zakonnych i gwardjana, który go na każdym kroku upokarzał. Braciszek znosił to wszystko z heroiczną cierpliwością, nie odpowiadając ani słowa; raz tylko rzekł gwardjanowi: „Bóg żąda odemnie tej reformy i Jemu zlecam to dzieło". Gwardjan, uważając to za zuchwalstwo, zawiadomił o tem Ministra generalnego, a przedstawiwszy Bonawenturę, jako naruszyciela pokoju w zgromadzeniu i obłudnego pyszałka, otrzymał odeń rozkaz, aby sługa Boży nie ważył się ani krokiem stąpić za furtę klasztorną. Zdawałoby się, że już dosyć tej kary, ale nie — Bonawentura miał wypić kielich goryczy aż do dna samego; nie szczędzono mu więc przymówek, zniewag, docinków. Rozsądniejsi tylko bracia patrzyli na to z boleścią i współczuli z braciszkiem. On zaś czuł się bardzo szczęśliwym wśród tych przejść i, spokojny, promieniejący, budował ich swoją słodyczą. Od czasu do czasu tylko słyszano go wydającego na modlitwie westchnienia miłości i najwyższego zaufania w dobroć i wszechmoc Bożą, która go też nie zawiodła. Pewnego dnia uczuł on nieprzepartą żądzę napisania listu do kardynała Fakkinetti (Facchinetti), wielkiego dobrodzieja swego, z zawiadomieniem, że pomimo najszczerszej chęci nie może go odwiedzić w dniu imienin, bo wyżsi przełożeni zabronili mu wydalać się poza obręb murów klasztornych. Napisał ów list, ale nie wiedział, jak go pośle, wszelka bowiem korespondencja i widywanie się z obcymi były mu wzbronione. Obawiając się, że to może być pokusa, zszedł do kościoła, aby się pomodlić, i tam zobaczył jakiegoś młodzieńca o niezwykle szlachetnej postawie. Młodzieniec ten, a był to Anioł z nieba, podszedł ku niemu, i rzekł: „Najwyższy przysyła mnie po list, który masz przy sobie, abym go oddał temu, do kogo jest pisany". Z sercem przepełnionem radością spełnił braciszek polecenie, Anioł zaś znikł mu nagle z oczu i lotem błyskawicy znalazł się w pałacu Kardynała. Dostojny prałat przybył natychmiast do klasztoru i stanowczo żądał widzieć się ze sługą Bożym, a po rozmowie z nim udał się do ówczesnego protektora zakonu, Kardynała Barberini, który przyjechał osobiście zwolnić brata Bonawenturę z nałożonej nań kary, jak również z posłuszeństwa gwardjanowi. Przeciwnicy Błogosławionego zdumieli się i znowu zaczęli słać skargi do Ministra generalnego. Ten wezwał do siebie braciszka, i upomniawszy go surowo, że robi zamieszania, zagroził bardzo ciężką pokutą. Bonawentura przyjął te wymówki jak najłagodniej, mówiąc, że co się tyczy jego samego, jest on człowiekiem jak najgorszym, ale że myśl o klasztorach rekolekcyjnych nie od niego pochodzi: Sam Pan Jezus mu ją natchnął i kazał urzeczywistnić. Przekonało to generała, pobłogosławił go więc i przyrzekł swą opiekę.

Jego objawienie w tej rzeczy.

Pierwszą rzeczą Bonawentury po odzyskaniu wolności było pójść do Kardynała Barberini i opowiedzieć mu wszystkie swoje plany, oraz widzenia, jakie miał już w rodzinnym kraju i we Włoszech. Jeszcze w Katalonji, mówił on, w klasztorze Ś. Agnieszki, często zastanawiałem się nad tem, jakby urządzić dom z surowszą obserwą, a że myśli te ciągle mnie prześladowały, gorąco więc modliłem się o światło z nieba. Pewnego razu, gdy o to samo błagałem Stwórcę, nagle stanęła przedemną Najświętsza Dziewica i rzekła: „Proś o pozwolenie udania się do Rzymu, tam bowiem masz założyć do-

skonałą reformę. Abyś zaś o tem nie wątpił, mój Syn potwierdzi to zlecenie". Rzeczywiście w kilka godzin później, klęcząc u stóp Ukrzyżowanego, usłyszałem wyraźny głos Zbawiciela, aby iść do Rzymu, nawiedzić groby ŚŚ. Apostołów i dać początek nowej reformie, w której zakonnicy służyliby Bogu z większą żarliwością i oderwaniem od dóbr tego świata. Z wiedzą przełożonych popłynąłem do Włoch, gdzie w Domku Loretańskim znowu mi się Matka Najświętsza objawiła, dając to samo polecenie. Nakoniec, gdym stanął w Assyżu i prosił o wstawiennictwo Serafickiego naszego Patryarchy, ten również mi się ukazał i zachęcił do otwarcia nowych klasztorów Braci Mniejszych, w których reguła byłaby zachowywaną w całej ścisłości". Sługa Boży zamilczał tylko o pokusach, jakiemi dręczyli go szatani, chcąc przeszkodzić w tak pięknem dziele. Naprzykład u Ś. Damjana w Assyżu zły duch trapił Bonawenturę myślami, że wszystko co słyszał w swoich widzeniach, było tylko złudną marą. Lecz Błogosławiony nie zwątpił w słowa Boskiego Mistrza; wierzył mocno, że Ten go nie chce omylić, modlił się podawnemu i pokutował. I znowu z tabernakulum, przed którem zanosił błagania, doszedł go głos: „Idź, idź do Rzymu, aby mi nową radość sprawić". Innym razem po silniejszej jeszcze napaści szatańskiej w klasztorku Carceri, pocieszył go Pan Jezus szczególniejszą łaską. Rozsunął się dach celki braciszka i z niebios spadł cudowny deszcz ogisty, który oświecił i zapalił ziemię. Oznaczało to seraficzną gorliwość i wysoką doskonałość członków przyszłej reformy.

Ustanowienie Reformy.

W drodze do stolicy chrześcijaństwa Bonawentura zatrzymał się w Fonte Colombo, gdzie niegdyś Święty Ojciec ułożył regułę dla swych braci i napisał prośbę do Papieża o pozwolenie zgromadzenia się razem z tymi, którzyby chcieli surowsze przepisy zachowywać. W Rzymie dał ją Kardynałowi, aby ją raczył wręczyć Zastępcy Chrystusa, lecz Kardynał, zbudowany opowiadaniem i świętością Bonawentury, kazał mu pójść samemu do Aleksandra VII. Wysłuchawszy go, Papież naradził się jeszcze z Kardynałem Barberini i z posłem hiszpańskim, a gdy i ten ostatni dał wspaniałe świadectwo o cnotach braciszka, podpisał listy do protektora zakonu i do Ministra generalnego, zalecające im ułożyć, według życzenia Bonawentury, jak najsurowsze przepisy na regułę. Było to w marcu 1662 roku, a 30 sierpnia Ojciec Święty już takowe zatwierdził. Nowemu zgromadzeniu wyznaczono samotny klasztor Matki Boskiej Łaskawej, stojący w lesie między Ponticelli a Montorio, ten sam, w którym przed dwustu laty mieszkał Bł. Amadeusz de Sylva, spowiednik Sykstusa IV i założyciel Amadeistów. Bonawentura objął go w posiadanie wraz z 14-ma braćmi 25 listopada, w dzień Ś. Katarzyny Aleksandryjskiej i dzień ten obchodzono zawsze z wielką uroczystością. Odnowiły się wtedy najpiękniejsze czasy Ś. Franciszka. Bracia praktykowali ubóstwo, jakie im zalecił Seraficki Ojciec, podobnież i inne cnoty, a zwłaszcza bogomyślność i miłość bliźniego. Klasztor Matki Boskiej Łaskawej zyskał sobie tytuł domu świętości, ogrodu rozkoszy i szkoły cnót heroicznych, i ściągał do siebie wielką liczbę dusz, pragnących własnego udoskonalenia. Początkowo Bonawentura nie przyjął godności przełożonego, ale został sługą swych towarzyszów, gotując im jedzenie, 16-go jednak czerwca 1664 r. za dyspensą papieską musiał się poddać życzeniom braci, którzy go wybrali na gwardjana. Wybór ten powtórzył się jeszcze w r. 1665 i 66. Wtedy to z upoważnienia Ś. Kongregacji uzupełnił ustawy, które można streścić w czterech głównych punktach, cechujących doskonałych zachowawców reguły serafickiej: heroiczne zaparcie się siebie, zupełne ogołocenie z dóbr ziemskich, prawdziwy duch skupienia, bezustanne ćwiczenie się w umartwieniu. Przypominają one bardzo ustawy Kapucynów. Wkrótce sługa Boży założył drugi klasztor swej reformy w Montorio, pod wezwaniem Ś. Michała Archanioła. Oba te domy posiadały świętych mieszkańców, na skrzydłach kontemplacji wznoszących się z cnoty w cnotę, miłujących ciszę i spokój, a umiejących mówić tylko o Panu Bogu.

Dalsze losy Reformy.

Lecz szatan nie mógł patrzeć na taką gorliwość i wzbudził straszne prześladowanie na Bonawenturę i jego dzieło. Znaleźli się potwarcy, którzy oczerniali braciszka, że wskutek surowego sposobu życia, klasztory jego zamienią się niebawem w szpitale i groby zakonników, że taka reforma musi upaść, zwłaszcza, że założyciel jej potrafi tylko chodzić po kweście i gotować w kuchni. Na domiar złego niektórzy bracia uwierzyli tym baśniom i kilku zrzuciło habit. Bonawentura nie tracił jednak ducha, owszem z całym spokojem odpowiadał ubolewającym nad tem towarzyszom: „Niechaj idą; Pan nasz nikogo nie potrzebuje. Na ich miejsce wzbudzi innych, gorliwszych, bo to Jego własne dzieło". Wreszcie krew pokutna i łzy Świętego, jego modlitwa i westchnienia doszły do tronu Stwórcy. Szatan, zamiast zwyciężyć, sam został zwyciężony i pokonany na zawsze. Kilka znakomitych osób,

jak Kardynałowie Barberini i Facchinetti, wzięli nową reformę pod swoją opiekę i obronili ją. Przybyły nowe powołania i nowe domy: w San-Kosmato (Cosmato) i w Rzymie. W tym ostatnim Bonawentura dostał starożytny kościołek Ś. Sebastjana in Kampo (Campo), a później w samym środku wiecznego miasta wzniósł drugi ubożuchny klasztor na górze Palatyńskiej, na zwaliskach pałacu cezarów, w pobliżu Kolizeum. Ten to klasztorek, poświęcony Serafickiemu Doktorowi, Ś. Bonawenturze, stał się głową wszystkich innych tej reformy. Wyszło z niego wielu świątobliwych i świętych mężów, jak Czcigodny Jan Chrzciciel z Burgundji i Ś. Leonard z Porto-Maurizio.

Mając objawienie o bliskiej śmierci, sługa Boży, uniesiony gorliwością, obszedł wszystkie klasztorki: San Sebestiano za Rzymem, w Vicovaro, Montorio i Matki Boskiej Łaskawej. Pożegnał się serdecznie z braćmi i dobrodziejami, zapowiedział, że już go więcej nie zobaczą i prosił, aby nie zapominali o pięknem niebie, zgotowanem dla prawdziwych sług Chrystusowych. Wróciwszy do Rzymu 17 sierpnia r. 1684, Bonawentura dostał gorączki i, pomimo opieki najlepszych doktorów, nie podniósł się z łoża: umarł 11 września, w otoczeniu braci i wielu znakomitych prałatów, podczas odmawiania Litanji za konających, na którą przytomnie odpowiadał. Ostatnim aktem jego życia był pocałunek, złożony na boku Ukrzyżowanego. Liczył 64 lata wieku, a 44 zakonnych; od założenia reformy upłynęło już było lat 17 a dwa od potwierdzenia jej przez Innocentego XI. W jakiś czas, gdy mnóstwo cudów działo się u grobu zmarłego braciszka, rozpoczęto proces beatyfikacyjny, który jednak dla wielu trudności zakończył się dopiero w r. 1906. 10-go czerwca Pius X wpisał go do złotej księgi Błogosławionych. Obecnie prowadzą się starania o jego kanonizację.

Od czasu ogłoszenia bulli Felicitate, klasztorki Bonawenturzystów znikły, a bracia zachowują konstytucje, które nadał Leon XIII wszystkim Obserwantom, zwanym dzisiaj Braćmi Mniejszymi Zjednoczenia Leonowego. Ale pamięć o przedziwnym reformatorze żyć będzie na wieki w sercach prawdziwych miłośników reguły Serafickiej. Za jego przykładem powstaną inni bohaterowie, według obietnicy, danej Świętemu Patryarsze przez Chrystusa Pana, że do końca wieków synowie jego dążyć będą królewską drogą ubóstwa ewangelicznego, użyzniać pole Kościoła, budować dusze i zapełniać niebo wybranymi [1]).

[1]) S. Bonaventure... ut supra.

Klaudjusz Frassen, Obserwant. (1711 r.).

Ojciec Frassen słynął w XVII i XVIII wieku, jako jeden z najgorliwszych szerzycieli Tercjarstwa. Wiek XVI był czasem zamieszek wewnętrznych i wojen religijnych, Bracia Mniejsi musieli więc pracować nad podniesieniem ludności z upadku moralnego i materjalnego. Lecz w wieku XVII, z nastaniem spokoju, życie chrześcijańskie wzięło górę i Trzeci Zakon odzyskał powoli swój wpływ i żywotność. Klaudjusz przez długie lata był dyrektorem Braci i Sióstr Pokutujących, założył on Tercjarstwo na mocnych podstawach i, przy pomocy królowej Marji Teresy, wybudował dla nich tuż przy klasztorze Obserwantów obszerną i piękną kaplicę. Pierwsze braterstwo, pod nazwą kongregacji królewskiej, założone zostało 8 maja 1662 roku, i pod kierunkiem O. Frassena, przybrało charakter zakonny, pokutny i umartwiony, o jaki dzisiaj już trudno. Liczba członków coraz bardziej się wzmagała. Dotychczas przechowują się spisy obłóczyn i profesji, z których widać, jak dalece wsławił się Trzeci Zakon. Obok maluczkich tego świata, są tam i znakomite osoby; jak: Marja Teresa, nieszczęśliwa małżonka Ludwika XIV, która w pokutnych szatach szukała pociechy w opuszczeniu i dawała wszystkim wzór pokory i zaparcia; Magdalena, księżna Lotaryńska, księżna Marjanna Wirtemberska, księżniczka Izabela d'Arembergh, Karolina Lotaryńska, markiz de Rye, Franciszka de la Biussier (Bussierè), Aniela de Prujji (Prouilly), hrabia d'Alligre, Karol Szabo (Chabot), pan na Harnaku, Arnold de Wowerwil (Vaudverville), Jakób z Metz, Jan Dobiussą (d'Aubusson), czcigodny ksiądz Olier, Sanżar de Żiwri (Sanjard de Givry) i wielu innych [1]).

Bł. Tomasz z Kori, Obserwant. (1729 r.).

Brat ten, wielki miłośnik modlitwy, rozpalał się na niej żarliwością do pracy nad duszami, pozbawionemi światła Bożego. Prosił nawet o wysłanie go na misję chińską, lecz Pan Bóg, mając inne względem niego zamiary, dał mu za pośrednictwem przełożonych odmowną odpowiedź. Posłuszny zakonnik poddał się natychmiast swemu losowi i zadowolnił się pracą apostolską w pobliżu klasztoru w Civitella. Przeszło lat 20 opowiadał prawdy wieczne mieszkańcom gór Subjako, a z powodu niezliczonych nawróceń, jakich tam dokonał, otrzymał przydomek apostoła tej krainy. Gdy chodziło o pozyskanie duszy Bogu, nic go nie mogło

[1]) Annales franciscaines, 1907.

powstrzymać: ani ciężkie i dojmujące cierpienia, ani trudności drapania się po górach, ani deszcze, zimna lub śniegi. Mówił zawsze z prostotą, w sposób zrozumiały dla tych biedaków, ale zarazem tak rzewnie, iż wszystkich do głębi poruszał. Zbójcy nawet wychodzili ze swoich kryjówek, aby go posłuchać, i tłumnie się nawracali. Posiadając dar czytania w sercach ludzkich, przypominał grzesznikom występki, które im wyszły z pamięci, albo ostrzegał przed zasadzkami szatana. W ostatnich latach swego życia, gdy już nie mógł puszczać się na dalsze podróże, okoliczna ludność schodziła się doń, aby zasięgnąć jego rady, lub pojednać się z Bogiem. Święty, zawsze łaskawy i słodki, nikomu nie odmawiał, i nieraz dnie i noce przepędzał ze swoimi penitentami, zapominając o potrzebach ciała. Na schyłku żywota zrobił mu się wrzód na nodze i przybyło wiele innych dolegliwości; pomimo to wszystko, nie zwalniał się z żadnego przepisu, ani nie porzucał swoich prac apostolskich. Kiedy bracia czynili mu wymówki, że za mało dba o zdrowie, odpowiadał: „Najmilsi, już kres mój się zbliża, trzeba biedz do samej mety, aby otrzymać nagrodę". 4-go stycznia 1729 roku, po dniu spędzonym całkowicie między swoimi penitentami, dostał silnej gorączki i krwotoku, a jednak nazajutrz zszedł znowu do konfesjonału, wiedząc, że, jak zwykle, wiele dusz czeka tam na niego. Spowiadał znów do wieczora, ale już po raz ostatni. 11 stycznia w aktach miłosnych oddał ducha swego Bogu, przeżywszy lat 74 a 50 w zakonie. Grób jego, przy którym liczne działy się cuda, zawsze czczony, jest w Civitella. Beatyfikował sługę Bożego Papież Pius VII w r. 1786, obecnie zaś myślą o jego kanonizacji [1]).

Ś. Jan Józef od Krzyża, Obserwant bosy. (1734 r.).

Już wkrótce po wstąpieniu do Alkantarystów, Jan Józef przodował swemi cnotami nowicjuszom; najznakomitsze osobistości z Neapolu przybywały podziwiać jego skromność i uważały go powszechnie za ziemskiego anioła. Mając lat 22, na wyraźny rozkaz przełożonych przyjął święcenia kapłańskie, do czego przygotowywał się życiem odosobnionem na pustyni bliskiej klasztoru. Zostawszy kapłanem, przeznaczony był do słuchania spowiedzi, a na tym ważnym urzędzie okazał niepospolitą wiedzę teologiczną i umiejętność prowadzenia dusz. Później, na wzór Serafickiego Ojca, który nauczał, że praca apostolska jest najmilszą Bogu ofiarą, poświęcił się jej całkowicie, nie szczędząc trudów, sił i zdrowia. W starości, z powodu licznych chorób, radzono mu się oszczędzać, lecz on, niepowstrzymany w swym zapale, odpowiadał: „Ja nie mam żadnej choroby, któraby mi przeszkadzała pracować dla grzeszników; a gdyby i tak było, czyż nie powinienbym i wtedy nie ustawać, lecz oddać życie swoje dla dusz, w zjednoczeniu z Panem Jezusem Ukrzyżowanym!" Niezliczoną też ilość ofiar wyrwał szatanowi, a mnóstwo dusz po drodze doskonałości prowadził.

Miłość Boża, którą serce Jana Józefa było przepełnione, okazywała się w rysach jego twarzy i słowom jego dawała to namaszczenie, które przenika serce słuchających. „Gdyby nie było ani piekła ani nieba, mówił Święty, zawszebym jednakowo pragnął kochać Pana Boga. Kochajmy Boga, kochajmy Go prawdziwie i gorąco, gdyż miłość Boża jest największym skarbem. Szczęśliwy, kto kocha Pana Boga!" I na te słowa, tak proste, lecz usty Świętego wymówione, każdy czuł się wzruszonym i podniesionym [1]).

Ś. Leonard z Porto-Maurizio, Bonawenturzysta. (1751 r.).

Ś. Leonard przyszedł na świat w Porto-Maurizio, małej mieścinie rzeczypospolitej Genueńskiej, położonej nad brzegiem morza Śródziemnego. Ojciec jego, Dominik Kasanova, był dzielnym kapitanem okrętu. Marynarz ten surowych obyczajów uczynił był ślub, że nigdy żadna kobieta nie wstąpi na jego statek, a gdy pewnego razu nie mógł się jednej wymówić, wrócił sam pieszo z Genui do Porto-Maurizio, żeby nie złamać ślubu. Dzieci swoje wychował tak po chrześcijańsku, że z czworga, które miał, trzech synów wstąpiło do Braci Mniejszych, a córka została również zakonnicą. Święty dziękował Bogu całe życie za takiego ojca. Od czternastego roku Leonard mieszkał w Rzymie u stryja swego, Augustyna i stamtąd uczęszczał do kolegjum, gdzie odznaczył się wśród swoich towarzyszów nietylko bystrością umysłu i postępem w naukach, ale i niewinnemi a pobożnemi obyczajami. Zdawało się widzieć w nim drugiego Alojzego Gonzagę. Zostawszy w dwudziestym roku członkiem oratorjum O. Karavity, rozpoczął wraz z innymi swoje apostolstwo, nauczając katechizmu ubogich i zachęcając lud do słuchania Mszy świętej i kazań. Po ukończeniu nauk w kolegjum wstąpił Leonard na medycynę, ale serce jego pragnęło wznioślejszych rzeczy; życie zakonne, ten raj ziemski, zachwycało go; nie wiedział tylko, do jakiego

[1]) L'aur. séraph. T. I.

[1]) Ibidem.

AMBONA W KOŚCIELE Ś. KRZYŻA WE FLORENCJI.

RZEŹBA BENEDYKTA MAJANO.

zakonu ma wstąpić. Pewnego razu, gdy zapytywał o to sam siebie, przechodząc przez plac Jezusa, ujrzał dwóch zakonników, ubranych w nędzne habity i dziwnie skromnej postawy. Zdjęty świętą ciekawością, poszedł za nimi aż do klasztoru Ś. Bonawentury niedaleko Kolizeum. Wszedł następnie do kościoła w chwili, gdy zakonnicy zaczynali kompletę słowami: „Nawróć nas, Boże, Zbawicielu nasz". Te słowa zrobiły na nim głębokie wrażenie. Bóg oświecił go łaską swoją, tak że postanowił wstąpić do tej surowej Reformy. Uszczęśliwiony, pobiegł do swego przewodnika duchownego, który, zbadawszy go bardzo poważnie, oznajmił, że Bóg rzeczywiście powołuje go do zakonu Ś. Franciszka.

Stryj Leonarda, dowiedziawszy się o tem, wpadł w wielki gniew i wypędził go z domu, ale ojciec Świętego, pomimo smutku, jaki mu ta wiadomość sprawiła, zezwolił natychmiast na jego żądanie, i sam, trzymając jeszcze w ręku list, który zadał taki cios jego sercu, poszedł z nim do kościoła, gdzie, jak nowy Abraham, złożył Bogu wspaniałomyślnie swoją ofiarę. Sługa Boży przyjął habit w październiku r. 1697 i po odbyciu nowicjatu w Ponticelli wrócił do Rzymu, do klasztoru Ś. Bonawentury, na studja filozoficzne i teologiczne. Oddawał się z wielką gorącością ducha modlitwie i ćwiczeniom pokutnym, tak że wkrótce wszystkie cnoty, właściwe każdemu doskonałemu zakonnikowi, zajaśniały w nim cudnym blaskiem. Między swymi kolegami zaprowadził zwyczaj ćwiczenia się co tydzień w innej cnocie, wzajemnego upominania się i uświęcania rekreacji pobożną rozmową. Często wypowiadał pragnienie pójścia na misje do niewiernych i przelania krwi za wiarę. W tym samym czasie Biskup de Tournon zbierał robotników ewangelicznych do Chin. Leonard chętnie na to się ofiarował, mając nadzieję oddać życie za wiarę, ale różne okoliczności przeszkodziły mu wykonać ten zamiar. Często w ciągu długiego swego życia wspominał ze smutkiem o tem swojem marzeniu, mówiąc: „Nie byłem godzien przelać krew moją za Jezusa Chrystusa". Bóg wymagał od niego nie jednego krótkiego dnia męczeństwa, ale 50-u lat pracy, umartwień i ofiar, czyli męczeństwa niemniej bolesnego, chociaż napozór mniej świetnego.

Jego gorliwość na misjach.

Na misjach Leonard nigdy nic nie przyjmował; bracia jedli to, co kwestarz otrzymał w jałmużnie. Wielki książę toskański, Kozma III, zachwycony dobrym skutkiem kazań Leonarda, prosił go, aby odbył misje w całej Toskanji, ofiarując się sam dostarczyć utrzymania jemu i jego towarzyszom. Święty przyjął zaproszenie na misje, ale odrzucił pomoc księcia. „Mam ja Pana, dodał, bogatszego od Waszej Książęcej Mości; za Jego łaską niczego mi dotąd nie brakowało i pewny jestem, że i w przyszłości na niczem zbywać mi nie będzie". Na zapytanie zdziwionego księcia, coby to był za dobrodziej, Święty rzekł: „Tym dobrodziejem jest Bóg, dla którego pracuję. On mnie wyżywi".

Charakterystyczną cechą wielkiego misjonarza była gorliwość o dusze; gorliwość czysta, bezinteresowna, nieograniczona i pełna pomysłów. Snać iskra ognia Bożego wpadła mu w serce i zapaliła w niem pożar, który zagasł dopiero ze śmiercią. Kapłan, a nadto syn Ś. Franciszka, kocha on dusze i to wszystkie bez różnicy, wszystkie bowiem zaślubił w dniu uroczystym, kiedy usłyszał słowa, wyrzeczone doń przez Biskupa: „Jesteś kapłanem na wieki". Ciężka choroba w pierwszych kilku latach paraliżuje żarliwość jego pragnień; ale gdy cudowne uzdrowienie wraca go do zakonu i do życia, jeden ma już tylko cel: miłować Boga i ludzkość. Dla dusz on wszystko poświęcił: oddał im się cały w zupełności, dla nich stał się błędnym rycerzem apostolstwa. Przez 40 lat obchodził równiny Toskanji z gołą głową i boso, trzymając krzyż w ręku, i zarówno w mroźne dni zimowe, jak wśród upałów drapał się po szczytach Apenińskich lub stromych skałach Korsyki, bez odpoczynku, bez wytchnienia, goniąc za zgubionemi owieczkami. Nic nie było w stanie go zatrzymać: ani pogarda, jakiej doświadczał, ani cierpienia, nieodłączne od tego rodzaju życia. W wiosce Salci np. zastaje go noc, zanim doszedł do Witerbu; błąka się w lesie, wchodzi w bagna, zapala wielki ogień w krzakach, aby osuszyć habit i wkrótce zostaje otoczonym przez zbrojnych wieśniaków, którzy z początku biorą go za opryszka. Później znów, przebywając góry w okolicach Bolonji, tak jest wyczerpany, że towarzysze muszą go ciągnąć za sznur, jeden zaś idzie na przodzie, torując drogę, a drugi niesie latarnię w rękach. Gorliwość składa się z cierpliwości i poświęcenia, i dopiero w ostatnim dniu sądu Bożego dowiemy się, ile trudów kosztowało każdego misjonarza nawrócenie grzeszników, których pozyskali. Co do Leonarda, mówi jego socjusz, brat Diego, „aby zbawić jedną duszę, umarłby był tysiąc razy i poszedłby na koniec świata. Zresztą, dodaje, on sam oświadczał, że gotów jest stać bezustanku na progu piekła, gdyby to było możliwe, aby nie dozwolić duszom do niego wpadać". Nigdy żaden kupiec nie kopał gorliwiej we wnętrznościach ziemi, poszukując żył złota, aniżeli on gonił za swoimi zbłąkanymi braćmi, aby ich Bogu pozyskać. Gdy się dziwiono takiej żarli-

wości: „Nie wiecież, odpowiadał, wskazując na krzyż, nie wiecie, jak drogie są dusze? Jedna dusza warta jest tyle, co krew Chrystusa". Odpowiedź ta — to nadprzyrodzone światło, opromieniające całą istność Świętego; ono pozwala nam zrozumieć jego odwagę, wyższą nad wszelkie niebezpieczeństwa, i poświęcenie, posunięte do ostatnich granic. Znakomity kaznodzieja poprzez rany Boga-Człowieka, umierającego na krzyżu, widział piękność dusz, odkupionych za tak wysoką cenę.

Słowo Boże i modlitwa, są to dwie dźwignie, podnoszące świat moralny; dwie dźwignie, jeszcze potężniejsze na misjach. To też Leonard gorąco dziękował tym, którzy bądź pieniędzmi, bądź modlitwą swoją popierali dzieło apostolstwa ewangelicznego. „Uczyniliście rzecz doskonałą, wielką samą w sobie i korzystną dla was, mówił do nich, w ten bowiem sposób staliście się pomocnikami Chrystusa i znaczna liczba dusz wam będzie zawdzięczała zbawienie swoje" [1]).

Bł. Leopold z Gaike (Gaiqué), Bonawenturzysta (1815 r.)

Naśladowca Ś. Leonarda, Bł. Leopold z Gaiqué, przez 47 lat swojego życia misjonarskiego odprawił 230 właściwych misji, każda po dwa tygodnie, oprócz wielkopostnych i adwentowych, częstych rekolekcji z klerykami, zakonnikami i niezliczonej liczby kazań w różnych miastach i w różnych okolicznościach. Apostolstwo jego, jakkolwiek nie przechodzące granic prowincji Umbryjskiej i Romańskiej, było nadzwyczajne. W obu tych prowincjach nie było miasta, miasteczka, wioski, któreby nie słyszały gorliwego misjonarza i nie były zroszone jego potem. Pełen żarliwości o dusze, wynajdywał różne sposoby, aby je nawrócić i przywieść do pokuty. Między innemi urządzał tak nazwaną przez niego p o b u d k ę, która powtarzała się trzy razy w ciągu ćwiczeń, a miała na celu obudzenie z zatwardziałości grzeszników. Wieczorem, na głos dzwonu, wzywającego na Anioł Pański, misjonarze wychodzili z kościoła ze śpiewem pieśni pokutnej i przebiegali główne ulice miasta. Słysząc to, schodzili się mężczyźni i dzieci, kobietom nie wolno było znajdować się na tem ćwiczeniu. Procesja stawała na jednym z najludniejszych placów, gdzie misjonarz miał krótką ale pouczającą naukę. Niekiedy wracano jeszcze do kościoła i Bł. Leopold znowu przemawiał, w końcu zaś bił swoje plecy kolczastą dyscypliną, mówiąc na głos psalm: „Zmiłuj się nademną Boże" i pieśń „Teraz, Panie, puszczasz..." Trudno wypowiedzieć, jakie to sprawiało wrażenie na obecnych, którzy już trochę byli skruszeni słowami Świętego. Ciemności, milczeniu, przerywane tylko odgłosem uderzeń, rozlegających się pod sklepieniem kościoła, musiały ich poruszyć. Naśladując Leopolda, wszyscy prawie chwytali za jakieś narzędzie pokutne. Lecz on biczował się nietylko w czasie pobudki, ale i wśród kazania południowego, zwłaszcza kiedy chciał głębiej wrazić w dusze prawdy wiekuiste. Ręka jego niemiłosiernie obchodziła się z ciałem, krew tryskała obficie na słuchaczy. Wróciwszy do mieszkania, musiał opatrywać rany na ramionach, ale zato obecni licznie się nawracali. Jeszcze bardziej wzruszającą była procesja pokutna; nikt nie mógł się oprzeć jej błogosławionemu wpływowi. W obrany naprzód dzień ludność biegła z zamków, miast i miasteczek, nawet o kilka mil odległych, niosąc ze sobą dyscypliny. Niektórzy mieli na głowie korony cierniowe, a na ramionach wielkie krzyże. Wśród tego tłumu pokutników postępował Błogosławiony boso, z oczyma utkwionemi w ziemię i również z koroną cierniową i krzyżem. Śpiewał wraz z innymi pieśni pokutne. Na jego widok wszystko wybuchało płaczem, wołając o miłosierdzie. Wyznawano grzechy swoje i zmywano je łzami i skruchą.

Nie możemy pominąć innego jeszcze środka, mającego na celu pogodzenie zwaśnionych. W nocy po kazaniu o miłości nieprzyjaciół, uderzano w wielki dzwon kościelny i wszyscy padali na kolana, prosząc się wzajemnie o darowanie uraz i ściskając się na znak zgody i jedności braterskiej.

To samo następowało i w drugą noc. Tym razem chodziło o wstrząśnienie uparciuchów i obudzenie w sercu wiernych litości dla winowajców. Na dźwięk dzwonu cała rodzina zaczynała się modlić za grzeszników i wielu ich zwykle pozyskiwała. Wreszcie dla serc najzakamienialszych, które jeszcze się opierały, odbywał ceremonję oddania duszy swych słuchaczy Matce Bożej i ogłaszał Ją za potężną ich Pośredniczkę u Boga. Wówczas to zbierał obfite żniwo: kto się jeszcze nie wzruszył wobec prawd odwiecznych, teraz już napewno szlochał i jęczał. Misjonarz głosił naprzód, że to jest Matka świętej nadziei, Orędowniczka i Ucieczka grzeszników, poczem kazał podnosić wysoko Jej wizerunek, aby go wszyscy widzieli i na zakończenie obejść z nim w procesji główne punkta miasta, aby każdy z nich wzięła pod swoją macierzyńską opiekę i błogosławiła jego mieszkańcom.

Jego gorliwość o obserwancję zakonną.

W roku 1809 Napoleon zawładnął Rzymem, uprowadził do niewoli Ojca Świętego, Piusa VII

[1]) Saint Léonard de Port-Maurice...

i nakazał prześladowanie zakonów. Bł. Leopold, liczący podówczas 77 lat, został wygnany ze swego ulubionego klasztorku na górze Luko i schronił się w mieścinie Terraja, dyecezji Spoletańskiej. Kilka miesięcy potem powierzono mu sąsiednią parafję, której proboszcz nie chciał złożyć przysięgi, żądanej przez gnębicieli, i musiał opuścić stanowisko. Sługa Boży urządził się na swoim przymusowym obowiązku, o ile się to dało tak, jakby był w klasztorze. Kobietom zabronił wstępu na plebanję. Co noc wstawał z kilkoma towarzyszami swego zgromadzenia na Jutrznię i dyscyplinę. W dzień zachowywał ciągłe milczenie, jednem słowem żył, jak wpierw na górze Luko. Miłośnik serafickiego ubóstwa, nie przyjął nigdy ani grosza od parafjan za posługi duchowne i tego samego żądał od będących przy nim braci. Podobnież odmówił przyjęcia pensji, którą rząd, ograbiwszy zakonników, naznaczył im, by nie pomarli z głodu. Prawdziwy syn Ś. Franciszka, Leopold poprzestawał li tylko na jałmużnie, zbieranej codzień od wiernych, a Boska Opatrzność, której tak szczerze zaufał, nie opuściła go: miał wszystkiego poddostatkiem dla siebie i dla swojej małej rodziny serafickiej i jeszcze mógł się z innymi podzielić [1]).

Cz. Magino Katalan (Catalan), Obserwant (1830 r.).

Apostoł Kalifornji, Magino Katalan, urodził się 1761 roku w Mąblansz (Montblanch), dyecezji taragońskiej w Hiszpanji. Doszedłszy lat 16-u, wstąpił do zakonu Ś. Franciszka, gdzie w swoim czasie zasłynął z nawracania Indjan amerykańskich. Przez kilka lat pracował w Meksyku, ale niebawem puścił się aż do Kalifornji i tam 36 lat życia swego poświęcił misjom. Oddawał się temu dziełu z taką gorliwością, że zasłużył sobie na tytuł „Apostoła Indjan z miasta Ś. Klary". Niestrudzony pracownik na niwie Pańskiej posiadał dar zyskiwania dusz i umiejętnego prowadzenia ich drogą przykazań Bożych. Słowa jego były przekonywające, a Pan Bóg stwierdzał je licznemi cudami. Magino Katalan dożył późnego wieku i syt zasług umarł 22 listopada r. 1830. Indjanie bardzo opłakiwali jego stratę. W 55 lat, co do dnia, Biskup Józef Sadok Alemany z San-Francisko rozpoczął wstępne badania do procesu jego beatyfikacji [2]).

Henryk Thyssen, Obserwant. (1844 r.).

Ten sługa Boży, którego znała cała Antwerpja, był najstarszem z dzieci szczęśliwych małżonków Thyssen-Van Born. Rodzice ubóstwiali wesołego i otwartego chłopca, a dziatwa z sąsiednich domów uważała go za swego dowódcę. Posiadając bystre zdolności, jeszcze w domu uczył się łaciny, następnie uczęszczał do kolegjum OO. Dominikanów w Sittard. Przeszedłszy wzorowo tę szkołę, obiecujący młodzieniec przyjął habit Braci Mniejszych, życie bowiem apostolskie członków tego Zgromadzenia oddawna bardzo mu się podobało. Pełnił on długo urząd lektora teologji w klasztorze antwerpskim. Gdy zaś despotyczne rządy cesarza Józefa II wywołały powstanie Belgijczyków, musiał, jako mówiący po niemiecku, spowiadać austrjackich żołnierzy. Odtąd koszary, szpitale i więzienia patrzyły na jego kapłańską gorliwość. Lecz niebawem wybuchła rewolucja francuska, wypędzono zakonników z ich spokojnych siedzib i Henryk Thyssen, aby nie opuścić kraju, musiał się tułać w odzieży świeckiej. Jedna z zamożnych rodzin ofiarowała mu gościnę, z czego korzystając, odprawiał kapłańskie czynności i podtrzymywał gasnącego ducha w wiernych. Skoro zaś, po zawarciu ugody ze Stolicą Świętą, pootwierano kościoły, osiadł przy parafji Ś. Mikołaja, gdzie konfesjonał jego ciągle był w oblężeniu. Nadto podjął się kazań niedzielnych, które ściągały tłumy słuchaczów, i zaopiekował się dziećmi najuboższej i najludniejszej dzielnicy. Widząc, że tysiączna dziatwa żyje w zupełnej nieświadomości o Bogu i życiu przyszłem, bo niema komu ją oświecać, chodził codziennie do kaplicy Ś. Rozalji i godzinami wykładał katechizm. Bezgraniczne poświęcenie i wielka żarliwość sługi Bożego zjednała mu ogólną sympatję. Dzieci zwłaszcza tak go miłowały, że biegły na jego spotkanie i w ich orszaku przybywał do kościołka. Żegnając się z niemi, dobry Ojciec miał zwyczaj powtarzać z uśmiechem i dobrocią: „Obyście na zawsze pozostały tak niewinnemi, jak teraz!" Umarł ten żarliwy zakonnik 31 marca r. 1844 i zaczęto już sprawę jego beatyfikacji [1]).

Paulina Żariko (Jaricot), 3 Zak. (1862 r.).

Jego Eminencja Kardynał Kujje (Couillé), Arcybiskup ljoński, rozpoczął wstępne badania do procesu beatyfikacji Pauliny Żariko, fundatorki dzieła Rozszerzania Wiary.

Będąc jeszcze młodem dziewczęciem, mawiała ona: „Chciałabym posiadać całą studnię złota, aby módz obdzielić wszystkich biedaków, żeby już nikt nie płakał na swoje ubóstwo". Bł. proboszcz z Ars nazywał Paulinę swoją siostrą miłosierdzia,

[1]) B. Léopold de Gaiches... [2]) L'Union séraphique, 1909.

[1]) Ibidem.

Istotnie, była ona jego współzawodniczką w poświęcaniu się dla Pana Boga i nieszczęśliwych. Wątpliwem jest, czy która z dawnych djakonis zrobiła tyle, co ta młoda dziewica przez swoją wiarę i swoją miłość dla Kościoła. Młodość jej przypadła w czasie, kiedy wielkie dzieło wynagradzania katolickiego samo się narzucało pasterzom i wiernym po dziesięcioletnich zaburzeniach rewolucji. Raz, klęcząc przed Tabernakulum, Paulina tak się modliła: „Panie, Ty wiesz, że niema już na świecie Konstantyna i że niewielu jest wiernych, posiadających majątki i mogących użyć ich tak, jakby tego dobro wiary wymagało. Usłysz najsłabszą ze swoich stworzeń, która woła do Ciebie w bólu, jakiego doznaje na widok klęsk i bied społecznych i racz przybyć rychło z pomocą Twoim wiernym. Zdaje się, że nadchodzą czasy ostateczne. Ty jeden wiesz, jakie jeszcze próby zgotowane są Kościołowi Świętemu. Racz go przeto wspomódz, odpowiednio do jego utrapienia obecnego i do cierpień jego dziatek". Modlitwa ta wzniosła się aż do Serca Bożego i uczyniła świątobliwą dziewicę misjonarką nad misjonarzami.

Paulina wiedziała z Ewangelji Świętej, że obowiązkiem Apostołów było nauczać ludy, a w Dziejach Apostolskich wyczytała o chrześcijanach, którzy zaopatrywali potrzeby Apostołów, aby ci mieli możność pełnienia swojej misji. Stąd powstała w jej sercu myśl rozszerzania wiary za pośrednictwem wszechświatowego stowarzyszenia wiernych, którzyby z tygodniowych składek groszowych zbierali olbrzymie sumy na korzyść misji. Nie mogło chyba być nic zgodniejszego z myślą Ś. Franciszka z Assyża, gromadzącego w swoim Trzecim Zakonie wszystkie klasy społeczeństwa i ludy wszelkich klimatów po wszystkie czasy i wszystkie wieki. Nigdy z pewnością od Ś. Franciszka nie wymyślił nikt tak skutecznej pomocy dla podtrzymania Kościoła i rozszerzenia Królestwa Chrystusowego. Dzieło to ściągnęło wkrótce na siebie uwagę wszystkich; wzbudziło nawet wszystkie zazdrości obok wszystkich pochwał. Święty proboszcz bardzo się ucieszył. Zewsząd przychodziły oznaki życzliwości od duchowieństwa i wiernych. Papież nadesłał swoje błogosławieństwo ze słowami: „Niech wzrasta i rozmnaża się!" W rok potem dzieło Rozszerzania Wiary liczyło 1000 z górą członków, a Kościół ljoński posyłał znaczną pomoc misjom azjatyckim.

Paulina Żariko umarła 9 stycznia 1862 r., mając lat 62 [1]).

[1]) Les Voix franciscaines, Juin 1912.

Walenty Pake (Paquay), Obserwant (1905 r.).

Walenty Paquay odznaczał się nadzwyczajną gorliwością w słuchaniu spowiedzi i zachęcaniu do częstego, a nawet codziennego komunikowania. Apostolstwo swoje uprawiał on na ambonie i w konfesjonale. Pytającym go, ile razy mogą komunikować, odpowiadał bez zmiany: „Codzień". Często bardzo tłumaczono mu, że to zawiele. „Żałuję, mówił wtedy że nie możecie kilka razy na dzień przystępować do Stołu Pańskiego". A jakże był szczęśliwy, gdy widział wiernych, licznie zebranych na Świętą Ucztę! I znowu, z jakim smutkiem poglądał, gdy niektórzy dla błahych powodów od niej się oddalali! Jeśli kto tłumaczył się koniecznością wyruszenia raniutko w drogę: „„Przyjdź, mówił, przyjdź wcześnie do kościoła, ja będę na ciebie czekał i udzielę ci Komunji św.". Innemu, któremu zdawało się, że nawał obowiązków stoi mu w tem na przeszkodzie, odpowiadał: „Moje dziecko, przygotuj się w domu, a po Komunji zacznij dziękczynienie, które dokończysz drogą, wracając." Tych, co się wykręcali zmęczeniem, uspakajał: „Dziecko kochane, gdzież znajdziesz lepszy spoczynek, niż w Sercu Pana Jezusa". Idź do Komunji Św., a Jezus cię umocni."

W pewnym klasztorze, w którym Paquay był zwyczajnym spowiednikiem, opuszczano raz na tydzień Komunję Ś.. Mając nauki do zgromadzenia w czasie rekolekcji, kilkakrotnie prosił, aby ten zwyczaj zniesiono. „Co zawinił, pytam się was, ten dzień siódmy? Czyż to Pan Jezus nie przyszedłby do waszych serc z taką samą radością w tym dniu, jak i w inne? Czy może tego dnia nie macie pokus do zwyciężenia, obowiązków do wykonania? Albo może łaska Boska jest wam wtedy mniej potrzebna? Dlaczegoż więc zaniedbywać Komunję Ś.?" I musiał się bardzo ucieszyć, kiedy postanowiono, aby odtąd zakonnice codziennie komunikowały.

Jego przekonania co do częstej Komunji.

W sposób całkiem niezwykły potrafił przekonywać dusze bojaźliwe i skłaniać je do żywienia się codzień Chlebem Aniołów. Gdy mu jedna z penitentek powiedziała, że cztery razy w tygodniu komunikuje, rzekł jej: „Dobrze, moje dziecię, ale chciałbym, żebyś naśladowała ludzi starych, którzy nie mają pamięci. Przystępuj do Stołu Pańskiego w cztery pierwsze dni tygodnia; piątego zapomnij, żeś przystąpiła w niedzielę, szóstego, że w poniedziałek i tak dalej. Tym sposobem dojdziesz do tego, że będziesz codzień przyjmowała Pana Jezusa".

Jedna z penitentek oświadczyła mu, że nie

śmie codzień komunikować, bo nie czuje się godną takiej łaski. Odpowiedział jej święty zakonnik: „Gdybyś była godną, to nie potrzebowałabyś Komunji Ś., ani ja nie miałbym powodu do niej cię zachęcać". Odpowiedź pełna mądrości, nikt bowiem nie jest godnym przyjmować Boga. Jeśli kapłani lub współtowarzysze radzili się go, ile razy mogą pozwolić swoim penitentom przystępować do Komunji Św., odpowiadał zawsze jednakowo, bez zmiany: „Codziennie". Nieraz taka odpowiedź wywoływała z ich strony zarzuty, gdyż było to przed orzeczeniem Piusa X, i trzymano się jeszcze nauki wielkich teologów, jak Ś. Tomasz z Akwinu, Ś. Franciszek Salezy, Ś. Alfons Liguori. „Nie dlatego, mówił O. Paquay, powinno się często komunikować, że się jest godnym, ale żeby się stać mniej niegodnym. Komunja Ś. nie jest nagrodą, lecz środkiem udoskonalenia. Panu Jezusowi milej jest, gdy Go się przyjmuje często z miłości, niż kiedy się od Niego stroni przez pokorę".

Pewnego dnia jeden z jego braci zakonnych zadał mu pytanie: „Czy młode osoby, które chociaż ożywione są prawdziwą chęcią życia pobożnego, ale grzeszą czasami przez ułomność przeciw cnocie anielskiej, mogą komunikować trzy lub cztery razy na tydzień"? — „Nie trzy lub cztery razy, zawołał sługa Boży, ale trzy i cztery, czyli siedem". A gdy pytający zdziwił się taką odpowiedzią, która mu się wydała ryzykowną: „Mój synu, rzekł mu O. Walenty, któż bardziej potrzebuje Komunji od tych nieszczęśliwych! A jeżeli pomimo to nie zawsze zdołają się powściągnąć, coby się z niemi stało, gdyby się nie karmiły Chlebem Niebieskim?"

Przeciwnicy O. Walentego badali, czy osoby codzień komunikujące były całkiem wolne od grzechów powszednich, czy oddawały się modlitwie i t. p. Święty zakonnik, nie troszcząc się o to, dalej szerzył z zapałem praktykę codziennej Komunji Świętej. I oto w roku jego śmierci Papież Pius X ogłosił ważny dekret, w którym objaśnił, że do codziennego komunikowania niekonieczne jest jakieś nadzwyczajne usposobienie, i że można pozwolić na to wszystkim, którzy są w stanie łaski, i którzy zbliżają się do tego Sakramentu z pobożnością i z prawą intencją. Wielka to była radość dzieci duchownych O. Paquay'a.. „Teraz, mówili oni, mamy nowy dowód głębokiej nauki i szczególniejszego światła O. Walentego, wszystko bowiem, co Papież postanowił, najzupełniej zgadza się z tem, czego uczył nasz Ojciec".

Zachęcając penitentów do codziennej Komunji, pobudzał ich również do jak najstaranniejszego przygotowania, wszakże bez długich modlitw. Najlepszem przygotowaniem, według niego, było życie pobożne i cnotliwe, gorąca żądza Komunji Św., a także zwyczaj częstych aktów strzelistych. „Życie nasze, mawiał, powinno być takie, abyśmy mogli każdej chwili przystąpić do Stołu Pańskiego".

O. Walenty Paquay, belgijski Brat Mniejszy, apostoł spowiedzi i codziennej Komunji Świętej, jak go nazwał Biskup Rutten, oddał ducha swego Bogu w r. 1905, a obecnie już poruszono sprawę jego beatyfikacji i zbierają się jego pisma, oraz świadectwa o jego życiu i cnotach [1]).

Benignus Spinelli, Rekolekta. (1909 r.).

Ten cichy pracownik w winnicy Pańskiej ujrzał światło dzienne pod miastem Nizzą, w domu zamożnych i gorliwych wieśniaków, nazwiskiem Spinelli. Od dzieciństwa wdrożony w praktyki pobożności, rychło przekonał się, że droga do nieba jest wązka i ciasna, i począł sposobić się do życia zakonnego. W środowisku patryarchalnem i wieśniaczem, wraz z zamiłowaniem modlitwy, nabył upodobania do pracy regularnej i wytrwałej, oraz stanowczości i mocy charakteru. Mając lat 16, wstąpił do Rekolektów w Cimiez i pod kierunkiem świątobliwego mistrza nowicjuszów, O. Stefana, uczynił szybkie postępy w cnotach. Do śmierci też czuł Benignus głęboką wdzięczność dla tego wyjątkowego męża i zawsze wspominał o nim z uwielbieniem.

Gdy pod koniec wojny francusko-niemieckiej nastały niepokoje, Benignus, niedawno wyświęcony, udał się za wiedzą starszych na wieś, do rodziców, ale jak tylko otwarto szkołę seraficzną, wrócił do swoich i zajął się duchownem kształceniem dziatek. Spełniał to tak gorliwie, iż pomimo, że był silnej budowy, ciężko zasłabł i przyjął już ostatnie Sakramenta Święte. Lecz Pan Bóg nie chciał go jeszcze zabierać z tej ziemi, bo nie zaczął nawet swego posłannictwa. Po wyzdrowieniu był on kolejno w pięciu klasztorach, a wszędzie tak bracia, jak ludność otaczali go wielką czcią, na którą w zupełności zasłużył. Milczący, skupiony i akuratny w każdym obowiązku, był zbudowaniem dla wszystkich. Nie mając daru kaznodziejskiego, słuchał pilnie spowiedzi, uczestniczył w ceremonjach kościelnych, kierował duszami wewnątrz i poza klasztorem i zajmował się dziełami miłosierdzia.

W r. 1880 znowu powstała burza i zakonnicy musieli się wynieść ze swoich cichych ustroni. O. Benignus i kilku innych Rekolektów znalazło przytułek w Monako, gdzie Pan przeznaczał mu

[1]) Le Petit Messager de St. François, 1908.

pole do walki i zasług. Wkrótce po ich przybyciu, komisarz apostolski zażądał od Braci Mniejszych posługi duchownej w szpitalu miejskim. Prośbę przyjęto i z początku ojcowie po kolei miewali tam swój tydzień, ale później Prowincjał wyznaczył na to stanowisko Benigniego. Odtąd chorzy stali się przedmiotem jego troskliwości; co rano chodził do szpitala i nie wracał aż wieczorem. Ludność i władze księztwa Monako oceniły gorliwość zakonnika i okazywały mu cześć przy każdem spotkaniu. Gdy z powodu owych codziennych wycieczek, trwających najmniej pół godziny w jedną stronę, Benigni nabawił się bólów reumatycznych, zebrano składkę i sprawiono mu płaszcz nieprzemakalny; Biskup zaś Theuret wyprosił dlań mieszkanie w szpitalu, aby mógł i nocą służyć chorym. Lecz to bynajmniej nie przeszkadzało zacnemu mężowi codzień prawie odwiedzać braci zakonnych. Zanadto kochał on życie wspólne, żeby się go całkiem pozbawiać. Pan Bóg wzamian błogosławił jego poświęcenie się chorym: przez 20 lat jego kapłaństwa nie zdarzyło się, aby który z nich umarł bez Sakramentów ŚŚ., lub opuścił szpital, nie pojednany z Bogiem. O. Benignus korzystał z tego, że sale były stosunkowo niewielkie i przechodnie, i często miewał nauki, objaśniał katechizm. Chorzy bardzo kochali dobrego Ojca, a służba jeszcze więcej.

Inne objawy jego gorliwości.

Lecz sługa Boży czynił i poza tem dużo dobrego. Nawiedzał więźniów, głosił im kazania, był sekretarzem konferencji Ś. Wincentego a Paulo, brał żywy udział we wszystkich posiedzeniach i zajmował się rozdawaniem kartek ubogim. Najwięcej wszakże odznaczył się, jako dyrektor dzieła Ś. Franciszka Regis. Od r. 1889 do 1908 sam jeden uprawnił 662 związki małżeńskie, zapewniając przez to 598 dzieciom nazwisko ojca. Delikatność, cierpliwość i bezinteresowność Benigniego w tych sprawach godna była zaiste podziwu. Nie było dnia, żeby interesowane osoby po kilka razy go nie wzywały; często nawet obiadu nie mógł zjeść spokojnie, a chociaż zreumatyzowany, stojący słuchał zwierzeń, bacząc tylko, aby wtrącić kilka słów pożytecznych i rozplątać zawikłane nieraz położenie.

Dość mu było, gdy nie trafiał na złą wiarę i na wolę przewrotną. Przy załatwianiu tych czynności, uczył obie strony prawd katechizmowych i nie rozstał się z niemi, dopóki nie zaznajomili się dostatecznie z religją, ze swemi obowiązkami i nie wyuczyli się głównych modlitw. Powróciwszy do szpitala, rozmyślał nad tem, jakby usunąć trudności, pisał list za listem, i zabiegał o wszystko, co było potrzebne, nie biorąc na wydatki ani grosza.

18 czerwca 1904 r. przyjaciele Benigniego podali Ojcu Świętemu pięknie ozdobiony spis małżeństw, które sługa Boży doprowadził do ślubu; nie zapomniano też dodać jedenastu wyrzeczeń się herezji, przezeń przyjętych. Pius X odpowiedział własnoręcznem błogosławieństwem. To życie tak ciche, a tak żarliwe i owocne dla Kościoła, zakończyło się 5 kwietnia 1909 roku. O. Benignus dostał silnej gorączki, majaczył, ale i wtedy myśl jego krążyła około zwykłych obowiązków kapłańskich, zakonnych i społecznych. Rękę zbandażowaną podnosił do czoła, chcąc się przeżegnać, śpiewał Officjum, troszczył się o udzielenie Chrztu, o małżeństwo pewnych osób. Taki stan trwał trzy miesiące. Już zdawało się, że będzie lepiej, tymczasem 5 kwietnia po absolucji oddał duszę swą Bogu [1]).

Jan Chrzciciel Botassi, 3 Zak. (1910 r.).

Don Tita, jak go zdrobniale nazywali wierni katolicy w Peweranjo (Peveragno), był gorliwym apostołem Tercjarstwa. Urodzony z ubogich w majętność, ale bogatych w bojaźń Bożą rodziców, wcześnie okazał swoje cnoty. Kiedy bowiem owdowiała matka zaczęła się trapić, jak sama wychowa czworo drobnych dziatek, z których najstarszy, Tita, liczył 9 lat, chłopiec wziął ją za ręce i rzekł: „Niech mama się nie trwoży; Pan Bóg jest wielki i potężny, On czuwa nad ptaszkami i nad wszelkiem stworzeniem, więc nie zapomni i o nas". Te proste słowa, wyszłe z ustek dziecięcych, uspokoiły biedną kobietę, osuszyła łzy i zabrała się do pracy na chleb. I rzeczywiście, Pan Bóg jej nie opuścił: zamożniejsi dopomogli wychować drobiazg i ukończyć szkoły najstarszemu. Mając lat 18, Tita poznał Trzeci Zakon i wstąpił do niego, a choć reguła była wówczas o wiele surowsza od dzisiejszej, on jednak wiernie ją zachowywał. Z początku zdawało mu się, że Pan Bóg chce go mieć kapłanem, ale po długich modlitwach, w celu uproszenia sobie światła Bożego, otrzymał wewnętrzną odpowiedź, że ma zostać w świecie. Wybrał więc sobie zawód nauczycielski i odbył studja. W czasie nauk przyświecał towarzyszom czystemi obyczajami; nic nie było w stanie zachwiać jego zasad religijnych.

Pewnego dnia koledzy chcieli go wystawić na próbę. Było to w piątek wieczorem: jedli oni ryby, a powiedzieli Botassiemu, że to mięso i zapraszali, aby spróbował, jakie smaczne. Tita zarumienił się i natychmiast bez żadnych względów ludzkich zawołał: „Jak wam nie wstyd deptać przykazania Kościoła. Nie chcę tu być ani chwilki

[1]) L'Union séraphique, 1909.

między wami!“ i to rzekłszy, wybiegł na ulicę, uszczęśliwiony, że postąpił, jak prawy chrześcijanin.

Po zdaniu egzaminu był przez 5 lat nauczycielem w Benet (Beinettes), gdzie go ze czcią wspominają, poczem wystarał się o takież miejsce w rodzinnej osadzie Peveragno. Z trudnością mu to przyszło, gdyż posada zależała od burmistrza, a ten zostawał pod wpływem liberałów i masonów, nie chciał więc nauczyciela gorliwego katolika, przystępującego codziennie do Komunji Świętej. W końcu zaś, gdy ten już się zgodził, zmniejszył mu pensję do 40-tu franków rocznie. Było to prawie nic; śmieszne wynagrodzenie za cały rok trudów nad wiejską dziatwą; ale Botassi, chociaż zmartwiony, przyjął obowiązek, by dobrze czynić swoim współobywatelom. I pracował tu do końca życia. Zajęcie swoje spełniał z zamiłowaniem, uważając je jako apostolstwo, nietylko więc uczył dzieci, ale i wychowywał je na chrześcijan z wiary i z czynów, dając im na sobie dobry przykład; aby zaś więcej jeszcze poświęcić się dla ich dobra, wyrzekł się sam związków małżeńskich.

Początkowo, nie mogąc się utrzymać z 40 franków rocznej pensji, a miał matkę przy sobie, w wolnych chwilach pisał u rejenta, ale potem władza miasteczka przyznała mu całkowite wynagrodzenie, jakie pobierali jego poprzednicy.

Jego żarliwość na innem polu.

Syn Ś. Franciszka z przekonania, Botassi miłował gorąco Trzeci Zakon i szerzył go naprzód w swojej okolicy, używając różnych sposobów, jakie mu natchnęła żarliwość, a więc rady przyjacielskiej, prywatnych i publicznych przemówień, broszurek, książek, świstków, aż wreszcie założył w Peweranio (Peveragno) liczną kongregację mężczyzn i kobiet. Wytrwałością swoją zwyciężył niespodziewane przeszkody. W r. 1860, przy pomocy kilku osób zamożnych, kupił ołtarz w parafjalnym kościele, kazał go poświęcić Ś. Franciszkowi, odnowić i ozdobić kaplicę, wyjednał przywileje od Ojca Świętego i urządzał tam zebrania miesięczne, wyrobił nadto uroczysty obchód święta Serafickiego Patryarchy na czwartą niedzielę września. Zgromadzeniom mężczyzn sam przewodniczył, a zakończał je odmawianiem różańca lub drogi krzyżowej; zaprowadził też między Tercjarzami ćwiczenia pobożne, wszystko zaś tak mu się wiodło, że dosyć, aby słówko powiedział, a wszyscy go słuchali. Wzrastająca wiara w miasteczku, licznie zapełniony kościół na nabożeństwach, czystość obyczajów, przejmowały jego serce weselem. Dobroczynny wpływ Botassiego gniewał oziębłych, czyli chrześcijan z imienia, ale zyskiwał mu szacunek od zdrowszej duchowo i wierzącej części ludności, która też nazywała go, niby kapłana „Don Tita“.

Aby szerzyć swoją działalność i zjednywać członków Trzeciemu Zakonowi, wydawał od r. 1871, wspólnie z drugim Tercjarzem, pismo perjodyczne: „Czytania franciszkańskie“, które stało się organem Tercjarzy Piemontu i innych okolic. Wówczas bowiem jeden tylko miesięcznik wychodził w Medjolanie. Pius IX pobłogosławił nowe pismo własnoręcznym listem. „Czytania franciszkańskie“ przyjęte były z wielką radością; don Tita pomieszczał w nich artykuły jasne, ciepłe i wytworne. Gdy w r. 1894 masoni zamknęli to pismo, począł je wydawać pod innym tytułem: „Wiadomości 3-go Zakonu franciszkańskiego“ i sam był jego dyrektorem, poświęcając na nie cały swój fundusz, dopiero starość i cierpienie zmusiły go złożyć kierownictwo w inne ręce. „Wiadomości“ do dziś dnia są pismem braterstw Piemontu.

Jak dalece Botassi wpływał na swoje miasteczko, można sądzić z tego mnóstwa powołań do kapłaństwa i do zakonu, które się okazały wśród jego uczniów. 53-ch kapłanów świeckich i zakonnych stanowi jego koronę, nie biorąc pod uwagę wielkiej liczby sióstr i zakonnic. Byli tam i Kapucyni, i Bracia Mniejsi Zjednoczenia Leonowego i Trapista, zmarły niedawno w Rzymie, w opinji świątobliwości, były też i Kapucynki, a jedna z nich otrzymała palmę męczeńską 14 marca 1901 r. w Porto-Allegro, w Ameryce Południowej. Sprzyjał on tym wszystkim powołaniom i pielęgnował je, sam starał się, aby je poumieszczać, odbywał na własny koszt podróże, a dla biedniejszych kwestował, z myślą i wewnętrzną radością, że Peveragno było pierwszem miastem we Włoszech co do ilości wyszłych z niego zakonników, kapłanów i zakonnic. To też Biskup z Mondovi mawiał: „Gdyby wiara zaginęła w mojej dyecezji, odnalazłbym ją w Peveragno“.

Franciszkanin duchem, nie mógł nie nawiedzać Rzymu i Assyża. Podróż do wiecznego miasta i prywatne posłuchanie u Piusa IX było dlań wspomnieniem obfitych łask. W Ś. Franciszku widział on zawsze ubogiego, podtrzymującego barkami swemi bazylikę lateraneńską i cenił jego pobożność dla Stolicy Piotrowej. Cztery razy był w Assyżu, a owocem tych pielgrzymek była książka. „Historja Odpustu Porcjunkuli“.. Wydał nadto kilka innych dzieł i dziełek, a zawsze z celem rozbudzenia pobożności i nabożeństwa do Ś. Franciszka. oraz pociągnięcia dusz do 3-go Zakonu serafickiego.

Jakkolwiek Botassi dbał głównie o wieczne

dobro swoich współrodaków, to jednak myślał i o ich potrzebach doczesnych, służąc radą roztropną, szczególniej w rolnictwie, pragnąc, by uprawa ziemi była staranna i rozumna. Pewnego roku, gdy kartofle wskutek zarazy przepadły, don Tita, litując się nad biedakami, przedstawił ich niedolę senatorom i wspólnie z nimi sprowadził z Niemiec 10 centnarów kartofli do zasadzenia, za sumę dosyć wysoką. Swoją część Botassi oddał jednemu ze znajomych rolników, który zebrał potem 23 razy więcej. Odtąd każdy chciał mieć te kartofle, które tak obficie rodzą i wieśniacy nazwali je kartoflami don Tita.

W okolicach Peveragno masoni dosyć się rozgościli; aby więc obronić od nich dziatwę i mieszkańców, gorliwy Tercjarz począł odważnie występować. Każde miejsce było dla niego odpowiednie: i w sklepie golarza, i na ulicach publicznych i w domach. Ta gorliwość, wolna od względu ludzkiego, ściągnęła nań burzę od głównej władzy w kraju. Skazano go bez podstawy na miesiąc więzienia, jedynie dlatego, aby mu odebrać stanowisko nauczyciela i wtrącić w biedę. Botassi odwołał się do wyższego sądu i wygrał. Oskarżyciel zaś, niezadowolony ze swej porażki, przy pierwszem spotkaniu się ze zwycięzcą, obalił go na ziemię i kopnął nogą, niby robaka. Dzielny Tercjarz zadowolnił się przebaczeniem zniewagi.

Tak samo bronił swoje miasteczko od socjalistów z Cuneo, gdy ci postanowili mieć publiczną rozprawę na jednym z pięciu placów Peveragno. Don Tita, usłyszawszy o tem, pokiwał głową i rzekł: „Oj, nauczę ja tych nieszczęsnych socjalizmu!“ I dotrzymał słowa. W dzień naznaczony przybyli na plac uczniowie Botassiego z blaszankami od nafty, oraz innemi naczyniami z blachy, i jak tylko mówca chciał rozpoczynać, Botassi wołał: „Muzyka naprzód!“ Piekielna orkiestra zagłuszała mowę socjalisty, który, obszedłszy wszystkie place miejskie, musiał dać za wygraną i wynieść się z Peveragno. Botassi słusznie sądził, że błąd jest niebezpieczną trucizną, przed którą najusilniej trzeba strzedz swój kraj rodzinny. Innym razem jakiś wędrowny kupiec sprzedawał biblje protestanckie i pisma szkodliwe. Botassi zaraz się tam znalazł i ostrzegał przechodniów, aby się nie dali oszukać i nie kupowali heretyckich książek. I póty chodził za nim, gdzie ten się ruszył ze swoim towarem, aż zmusił go do ucieczki.

Doniesiono mu pewnego razu, że troje małych sierot z Peveragno po śmierci rodziców wysłano do Francji pod opiekę protestantów, ci zaś dwóch chłopców oddali do kolegjum ewangelickiego we Florencji, a dziewczynkę na pensję luterską w San-Remo. Don Tita nie mógł się na to zgodzić; serce katolika zapłakało nad losem nieszczęśliwych. „Oto trzy dusze, mówił, szatan oplątał swemi sidłami, ale będę się tak modlił i tak prosił Najśw. Panny i Ś. Franciszka, że dopomogą mi je stamtąd wydostać. I rozpoczął kroki w tym celu: sam osobiście pojechał do Francji, później do Florencji i do San-Remo, nie żałował sił i zdrowia, trudów i kłopotów, póki nie przywiózł trojga sierot w tryumfie do domu. Dwaj chłopcy poszli do Salezjanów, dziewczynka zaś, która została w Peveragno, umarła w 15 roku życia, a w dwa dni po śmierci swego wybawcy.

Botassi żył bardzo ubogo i sam sobie nawet gotował; oszczędności jego miały swoje przeznaczenie. Ale gdy kuchnia była skromna, dusza zato jaśniała pięknością nadziemską. Być jego przyjacielem, znaczyło to zawrzeć umowę, że się będzie starało żyć w zjednoczeniu z Bogiem i dla Boga, pracować na Jego chwałę i troszczyć się o dusze ludzkie. Każdy, kto się doń zbliżał, stawał się lepszym. Wreszcie upadł na siłach, zwyciężony pokutami i pracą. Do pokoiku chorego, niby na cudowne miejsce, dążyły osoby wszelkiego stanu i urodzenia, pragnąc chociaż raz jeszcze usłyszeć z jego ust jakie budujące słowo. Umarł Botassi na samym początku 1910 roku, mając lat 72 a z nich 54 profesji tercjarskiej i 40 nauczycielstwa. Pogrzeb jego był prawdziwym tryumfem; całe miasto się zgromadziło, a wielu z jego uczniów i zakonników miało przemowy [1]).

Kapucyni.

Cz. Marja Longa. (1542 r.).

Gorliwość założycielki Kapucynek o wszystkich, a osobliwie o chorych na duszy, pobudzała ją do czynienia wszelkich usiłowań, aby ich na drogę cnoty sprowadzić. Pewnego razu do szpitala przez nią obsługiwanego przyszła kobieta złego życia. Widok jej obudził głęboką boleść w sercu Marji. Nie mogła bez łez pomyśleć o stanie, w jakim ta biedna dusza zostawała, słowami więc pełnemi słodyczy i miłości prosiła ją, gdy wyzdrowieje, o porzucenie grzechu. Lecz nieszczęśliwa wzgardziła tem upomnieniem i dwa razy wracając do szpitala, nie chciała się poprawić, mimo usilnych próśb i nalegań. Przejęta smutną przyszłością nałogowej grzesznicy, Marja Longa zwróciła się do Ukrzyżowanego, aby, ratując biedaczkę od ponownych upadków, dopuścił na nią chorobę, z którejby już nie powstała. Pan Bóg prośby wysłuchał. Nieszczęsna kobieta zapadła w straszne

[1]) Annales franciscaines 1911.

boleści, a przywieziona po raz trzeci do szpitala, po długich cierpieniach zakończyła swój żywot, pojednawszy się z Bogiem.

Marja Longa często chodziła do nierządnych domów, usiłując pobożnemi rozmowami odwieść upadłe kobiety od sprosnego życia, co się jej nieraz udawało. Jedne bowiem z ocalonych wydawała za uczciwych mężów, drugie brała do siebie na usługi szpitalne, tych zaś, których nie mogła wcale nawrócić, prosiła, by przynajmniej w piątki, na uczczenie Męki Pańskiej wstrzymywały się od swoich grzechów, przyczem, zamiast niegodziwego zysku, dawała im pieniężną zapłatę [1]).

Hieronim z Forli. (1566 r.).

Hieronim z Forli, otrzymawszy objawienie o zbliżającej się śmierci i gorąco pragnąc zbawienia swego ojca, wezwał go do siebie, i, jak tylko umiał najuroczyściej, ogołocił się duchownie, przekazując mu wszystkie swoje zasługi całego życia z postów, z ubóstwa, czuwania, dyscyplin, podróży apostolskich, wszelkiego rodzaju umartwień, prac i posłuszeństwa, prosząc go przytem, aby jak najczęściej starał się przystępować do Sakramentów ŚŚ. i czcić w szczególny sposób Najświętszą Marję Pannę. Ojciec jego, Tomasz, wzruszony miłością syna, przyrzekł to wszystko wiernie wypełnić i dotrzymał. Hieronim zaś za ten heroiczny akt wyrzeczenia się zasług swoich osobną wziął nagrodę [2]).

Ś. Józef z Leonissy. (1612 r.)

Przejęty gorliwością, misjonarz kapucyński nalegał raz na niesprawiedliwego człowieka, aby pod karą potępienia wiecznego zwrócił przywłaszczone sobie dobro; lecz grzesznik w uniesieniu wymierzył mu silny policzek, który powalił go na ziemię. „To mała rzecz, policzek, odezwał się, sługa Boży, powstając; chętnie przyjmę i drugi, bylebyś naprawił swoją niesprawiedliwość i ustrzegł się przygotowanej za nią kary wiecznej". Nieporuszony tą dobrocią i pokorą Świętego, grzesznik odwrócił się i odszedł. W kilka dni potem znowu przychodzi doń O. Józef i zaklina i błaga, aby miał litość nad swoją duszą. Na to powtórne upomnienie wydzierca cudzej własności wpadł w taką wściekłość, że schwycił sługę Bożego za gardło i omało go nie udusił. O. Józef nie bronił się wcale, kiedy zaś nędznik uwolnił go ze swoich szponów, wyjął krzyż, który zawsze przy sobie nosił i, pokazując go winowajcy, rzekł: „Widzisz, mój przyjacielu, jak Zbawiciel dla ciebie dał się przybić do krzyża, dla ciebie do ostatniej kropelki wylał Krew swoją przenajświętszą. Dlaczegoż ty nie chcesz korzystać z tej męki i zamiast wiecznie szczęśliwego żywota, obierasz sobie dobrowolnie piekło?" Życiopisarze Świętego podają, że grzesznik ten nie dał się nawrócić i pozostał w swym uporze. Tak trudno jest zdobyć się na zwrócenie przywłaszczonego sobie cudzego dobra! [1]).

Wawrzyniec Aquaviva (1617 r.).

Kapucyn ten, jako Biskup, dokładał największych starań w celu podniesienia moralności pomiędzy duchowieństwem, które energicznie nakłaniał do życia przykładnego, grożąc w przeciwnym razie surowemi karami. Wynosił na kapłaństwo tych tylko kleryków, którzy okazywali dowody nieskazitelnej cnoty, a żadne względy nie zdołałyby go były skłonić do wyświęcenia niegodnych i niemających szczerego powołania. Trudny był również w naznaczaniu kapłanów na urzędy parafjalne, jako to: probostwa, beneficja, które, idąc za zdaniem ŚŚ. Ojców, uważał za dziedzictwo Chrystusa i własność ubogich. Nie zważając na liczne obowiązki, często żywił owce swoje zbawiennym pokarmem słowa Bożego, w przekonaniu, że pierwszem jego staraniem powinna być piecza o dobro dusz mu powierzonych [2]).

Ś. Fidelis z Sigmaringen. (1622 r.).

Fidelis zajmował się wszystkiemi stanami: powszechną troską jego była naprawa obyczajów. W Feldkirch i jego okolicy, jeśli wierzyć historykom, upadek ludności przeszedł już był w przysłowie. Święty przy każdej okazji powstawał na zbytek, niemoralność, niesprawiedliwość, nienawiści, nieposłuszeństwo prawom Kościoła. Więcej jeszcze bogaczom niż ubogim przypominał ich obowiązki, nie troszcząc się wcale o opinję. Pragnąc nadewszystko dobra dusz, nie poprzestawał na ogólnikach, ale wymieniał zło, groził tym, którzy je popełniali i żądał naprawy zgorszenia. Odsłaniał każdą ranę społeczną, a nawet osobistą, dotykał jej bez obawy zadraśnięcia, to też słowo jego nieraz było źle przyjęte. Szczególniej oburzały się na niego kobiety, gdyż gromił ich zbytki, będące powodem upadku i ruiny starożytnych rodzin. Zadanie jego było o tyle trudniejsze, że starsi miasta pobłażali zgoroszeniom, jednakże dzielny misjonarz odniósł całkowite zwycięstwo. Kobiety posuwały

[1]) Kroniki kap. Bowerjusza r. 1542. [2]) Tamże r. 1566.

[1]) S. Joseph de Leonisse par M. Berguin [2]) Cenni biograf...

się do czynów zaiste heroicznych. Jedna z nich, osoba pobożna i miłosierna, nosiła jakiś oryginalny strój na głowie. Spotkawszy ją pewnego razu, Fidelis rzekł surowo: „Zdejm, pani, to ubranie z głowy; siedzi w niem szatan próżności“. Niewiasta zrozumiała tę naukę i pozdejmowała z siebie wszystko, co tylko trąciło przesadą. Dzisiaj nie możnaby było tak się odezwać, ale w XVII wieku było to całkiem naturalne. Święty, znany z dobroci, żądał niewiele, nic raczej, oprócz życia chrześcijańskiego. Gdy zwracano jego uwagę, że przez to naraz się bogatym i wpływowym, odpowiadał, że bardzo chętnie oddałby życie swoje dla sprawy Jezusa i dusz zbawienia. Dusze te były dlań zanadto drogie, żeby je miał zostawić w grzechach, albo w niebezpiecznej oziębłości. Trzymał się on rady Ś. Pawła, udzielonej kaznodziejom: „Przepowiadaj słowo; nalegaj w czas, nie wczas; karz, proś, łaj...“

Po kilku miesiącach takiej pracy apostolskiej, miasto Feldkirch i sąsiednie miejscowości zmieniły się do niepoznania pod względem obyczajów. Złe książki powoli znikły, ubiór kobiet wyzwolił się z krępującej je mody i przesady, jaskinie, rozpusty i nieporządku zostały pozamykane, zabawy światowe urządzane były o wiele rzadziej, ucichły zastarzałe kłótnie i swary, a zgoda zawitała we wszystkich klasach społecznych. Przepełniona wdzięcznością dla dzielnego misjonarza, ludność, bez różnicy religji i majątku, jednozgodnie przyznała mu tytuł ojca ojczyzny. Tak szybka i tak głęboko sięgająca odmiana mogła się stać tylko dzięki szczególnemu wpływowi łaski Bożej; bo też Fidelis działał tylko dla Boga i żył zawsze w Jego obecności. W zimie, w gorącu, w głodzie, pragnieniu, w rozlicznych cierpieniach zawsze miał tylko przed oczyma chwałę Bożą, rozszerzenie wiary katolickiej, uwielbienie Świętych, oraz swoje i bliźnich zbawienie. Niestrudzony w swoim obowiązku, kazywał, upominał, dodawał odwagi, strofował, nawracał, nawiedzał chorych, nie troszcząc się o własne swoje życie [1]).

Cz. Honorat z Paryża. (1624 r.)

Czcigodny Kapucyn sprawował różne urzędy zakonne, jako to: gwardjana, mistrza nowicjuszów, komisarza i prowincjała, a wszystkie z nadzwyczajną gorliwością. Czuwał, aby każdy punkt konstytucji wiernie był zachowany, stąd w klasztorach pod jego rządem zostających, kwitła wzorowa obserwancja. Najmniejsze błędy, najdrobniejsze uchybienia nie uszły jego uwagi: karcił je w samym początku, a zawsze słodko i stanowczo. Pewnego razu dwaj zakonnicy, przybyli z drugiego klasztoru, zaczęli głośno rozmawiać w milczenie. Honorat zaraz ich upomniał, że przez cześć dla dnia piątkowego, w którym Pan Jezus umarł dla nas na Kalwarji, należałoby umartwić swój język, Obaj bracia byli głęboko zbudowani tą uwagą, a wróciwszy do swoich, jednogłośnie chwalili mądre rządy gwardjana z Nansi (Nancy).

Wizytując klasztory, jako prowincjał lub komisarz zachęcał do pokut, umartwień, oraz do gorliwego pełnienia przepisów reguły; podnosił w oczach Braci łaskę powołania do zakonu. Miewał częste nauki, za przedmiot których służyły mu listy lub Ewangelja na ten dzień przypadająca. Że zaś sam był ich przykładem i odbiciem, sprawiały wielkie skutki w duszach. Proste jego słowa: „Nie wiem, jakby się to dziać mogło, aby Brat Mniejszy, Kapucyn, syn Ś. Franciszka, do tego stopnia się zapominał“, były dostateczne, żeby wzbudzić wstręt i zgrozę przed upadkiem, o który mu chodziło. Raz, na wizycie, tłumaczył słowa Ś. Jana: „Synaczkowie moi, to wam piszę, abyście nie grzeszyli. Ale jeśliby kto i zgrzeszył, rzecznika mamy u Ojca, Jezusa Chrystusa sprawiedliwego“. I dodał: „A ja, czcigodni Ojcowie i najdroższe moje dzieci, mówię wam: Strzeżmy się obrażać Boga najmniejszą lekkomyślnością, gdyby zaś to nieszczęście nam się przytrafiło, wiedzmy, że mamy dobrego obrońcę przy Ojcu miłosiernym — Jego umiłowanego Syna, Jezusa, który, wstąpiwszy do niebios, pozostawił nam środki do wydostania się z ziemskich niepokojów“. Ta krótka uwaga takie wywarła wrażenie na obecnych, że jeden z braci, winny przestępstwa reguły, upadł Honoratowi do nóg, wyznał swą winę z wielką szczerością i błagał o pokutę. „Nie chcę już wiedzieć o tem, rzekł Święty Prowincjał, przebaczam ci i proszę Syna Bożego, aby stał się rzecznikiem twoim do swego Ojca, ja zaś wstawię się za tobą do braci, aby ci darowali i zadowolnili się twojem wyznaniem“.

Poza troską o nowicjuszów, nie zapominał i o sędziwych braciach, okazując im głębokie poważanie i oddając im różne usługi, o ile mu obowiązki na to pozwalały. Z jednakową gorliwością czuwał nad interesami duchownemi, jak i materjalnemi klasztoru. Nie czekał, aż podwładni przedstawią mu swoje potrzeby, ale uprzedzał ich, dowiadując się o ich zajęcia, pracę, stan zdrowia i pamiętając, aby mieli to, co konieczne.

Żaden z podwładnych nigdy się nań nie żalił. Wspólne ćwiczenia były tak dobrze rozłożone,

[1]) S. Fidèle de Sigmaringen....

że jedno po drugiem w doskonałym następowało porządku, a sługa Boży przybywał na nie najpunktualniej ze wszystkich. Klasztory jego były przedsionkami nieba. Czuła to ludność okoliczna i cisnęła się do nich, aby popatrzeć na Świętych i zbudować się ich przykładem. Żarliwość domu Pańskiego tak go trawiła, że zapominał zupełnie o sobie i nie liczył się ani z siłami swemi, ani ze zdrowiem. Wzruszać serca, przywodzić je do Boga, wracać światło i pokój tym, którzy je utracili, był to główny jego posiłek. Nietylko utrzymywał wzorową obserwancję w swoich domach, ale, na prośby przełożonych kilku klasztorów Benedyktynek, musiał i między niemi zaprowadzić reformę. Przepisy jego i rady przyjęto w Werną (Vernon) i Mąwilje (Montvilliers) w Normandji, tudzież w Val-de-Gras (Grâce) pod Paryżem, stamtąd zaś rozszerzyły się w innych opactwach żeńskich Ś. Benedykta.

Dla swego zakonu uczynił jeszcze ważną bardzo rzecz, a mianowicie wprowadził zwyczaj odprawiania dziesięciodniowych rekolekcji corocznych i ułożył sposób ich odbywania, potwierdzony później przez kapitułę prowincjalną, odbytą 14 września r. 1616, w mieście Medą (Meudon). Najwyżsi Pasterze wzbogacili tę praktykę licznemi odpustami i odtąd cały zakon zaczął jej przestrzegać, co przyczynia się wielce do postępu w doskonałości serafickiej. Sam Honorat po pracach swego urzędu i trudach apostolskich chronił się na osobność, aby przez rozmyślanie wynagrodzić sobie czas, użyty na posługę bliźnim[1]).

Andrzej z Surlago. (1633 r.).

Ojczyzną Andrzeja było miasteczko Surlago w okolicach Lucerny. Po ukończeniu nauk w rodzinnem miasteczku, Ulderyk Mayer, tak bowiem nazywał się na świecie, udał się na wyższe studja do kolegjum szwajcarskiego w Medjolanie, które niedawno otworzył Ś. Karol Boromeusz, i tam poraz pierwszy odebrał wskazówkę co do swojej przyszłości. Święty Arcybiskup nawiedzał często kolegjum i interesował się studentami. Pewnego razu Ulderyk poprosił go o błogosławieństwo, a prałat, kładąc ręce na jego głowie, wyrzekł następujące prorocze słowa: „Ucz się synu pilnie, abyś, wróciwszy do ojczyzny, mógł zwalczać heretyków i bronić Kościoła, po tobie bowiem spodziewam się wielkich rzeczy“. Od tego czasu Ulderyk zaczął myśleć poważnie, a chcąc spełnić życzenie Arcybiskupa, wstąpił do Kapucynów w Altorf, jako Brat Andrzej z Surlago. Zawsze gorliwy, i tutaj zwrócił na siebie uwagę starszych Ojców, którzy we właściwym czasie zawierzyli mu prowincję szwajcarską. Ucząc lud wierny katechizmu, budząc go z uśpienia i obojętności religijnej, pracował jednocześnie i nad heretykami, odpierając ich błędną naukę i oświecając ich w wierze katolickiej. Potem zabrał się do ministrów protestanckich. W Gauchlingen wszyscy obecni na jego naukach porzucili herezję. Między nawróconymi był Marek von Ulm, baron Griesemberg, który, wróciwszy do siebie, ogłosił, że chce, aby wszyscy w jego majątku wyznawali jedynie prawdziwą wiarę katolicką. Życzeniu temu nikt się nie oparł, oprócz jednego tylko pastora luterskiego, lecz i ten, będąc już na łożu śmiertelnem, okazał wielką skruchę i pragnienie powrotu do owczarni Chrystusa Pana. Otrzymawszy godność misjonarza apostolskiego, Andrzej wysłany został do kantonu Walle (Vallais), gdzie było obszerniejsze pole do pracy. Stanąwszy w Sjon, głównem mieście prowincji, rozpoczął zaraz wykładać naukę katolicką i prowadzić kontrowersje z predykantami. Skutek tej pracy był niezmierny: Biskup Sjonu na zjeździe swego duchowieństwa potwierdził i ogłosił akt wiary, ułożony przez O. Andrzeja. Widząc, jakiego mają przeciwnika, predykanci postanowili go się pozbyć. W tym celu najęto zbójcę. Lecz gdy ten ukrył się przy drodze, którą zazwyczaj misjonarz przechodził, i już miał swego zamiaru dokonać, Andrzej stanął przed nim, jakby mu nic nie groziło i przypatrywał mu się serdecznie z miłym uśmiechem, jak przyjacielowi. Ta ufność i ten spokój rozlany na twarzy kapłana obezwładniły zabójcę; ukrył czemprędzej sztylet i zbliżając się ku Andrzejowi, zapytał, kim jest: „Jestem Andrzej, Kapucyn, na którego życie czyhałeś“, odpowiedział zakonnik i korzystając z jego pomieszania, przedstawił mu, jak okropną zbrodnię chciał popełnić i że tylko Bóg, niechcący śmierci niewinnego, powstrzymał go od występku. Poczem nakłonił go do wyrzeczenia się herezji i przyjęcia religji katolickiej, oraz do odmiany obyczajów. Złoczyńca zmiękł i odtąd stał się cichym barankiem, a Kapucynom okazywał jak największą wdzięczność i uszanowanie.

Wówczas protestanci uciekli się do innego środka: nasłali do mieszkania misjonarza złą kobietę, aby go zniesławić i poniżyć w oczach katolików. Ale i to im się nie udało: owa kobieta wybiegła stamtąd nawrócona, płacząc i jęcząc nad swemi grzechami. Spełniwszy swoją misję, Andrzej wrócił do Lucerny i niezadługo potem schronił się w maleńkim klasztorku w Stanz. Tam przygotowywał się do śmierci, podwajając modlitwy

[1]) La vie du Serv. de Dieu....

i gorliwość w zachowaniu obserwancji zakonnej, aż wreszcie nadszedł dla niego ów dzień upragniony połączenia się z Niebieskim Oblubieńcem [1]).

Franciszek z Szamberi (Chambery) (1634 r.).

Gorliwość o religję, którą niegodnie zwalczali heretycy, nie dozwoliła Franciszkowi ograniczać swej działalności na samą tylko ojczystą prowincję: przebiegał zatem Francję i Włochy, był w Paryżu, w Rzymie, Turynie, pisał traktaty i obmyślał sposoby do pokonania błędów, oraz do utrzymania praw Kościoła Rzymskiego. Na tym obowiązku powodziło mu się doskonale ku wielkiej radości wiernych i całego zakonu, który po Kościele Bożym najtkliwiej kochał; zawsze też upominał braci, aby postępowaniem swojem okazywali w obliczu świata wzniosłość cnót zakonnych. Jego żarliwość o obserwancję zyskała mu urząd komisarza generalnego prowincji Sabaudzkiej. Piastował go lat pięć, przyczyniając się nauką, własnym przykładem i różnemi rozporządzeniami do jej rozkwitu i podniesienia szacunku dla reguły. Wydaniem dziełek uczonych i pobożnych wpłynął na rozżywienie ducha modlitwy, nietylko w klasztorach, lecz i wśród osób świeckich, tak, że imię jego i zasługi wielkie zyskały uznanie. Nadto był on nierozłącznym towarzyszem Biskupa Genewy, Ś. Franciszka Salezego, który cieszył się wielce z jego pomocy w odpieraniu błędów kalwińskich. Doszedłszy późnego wieku, zamieszkał w klasztorze w Bellay i tam też oddał swą duszę Bogu w r. 1634 [2]).

Szymon z Orsara. (1637 r.).

Gdzie tylko pokazał się ten znakomity kaznodzieja, zaraz zbiegali się dokoła niego wierni, prosząc, aby im głosił słowo Boże. On zaś, pałając miłością ku Bogu, nie dał się prosić, i swoim dźwięcznym a silnym głosem opowiadał o prawdach przedwiecznych. A gdy się już wiele osób zebrało, zatrzymywał się na którym z wielkich placów, wchodził na ławkę lub na kamień i dawał folgę swej żarliwości. Mowa jego, niby strzały ogniste, przenikała serca słuchających, choćby najdalej od niego stali. Zapanowawszy nad duszami tego tłumu, zatrzymanego wśród drogi na ulicy, prowadził go do kościoła i tam dopiero głośno się z nim modlił. Taka popularność i wielkie pożytki z jego kazań wysłużyły mu nazwę Apostoła Włoch. Chodził nawet do domów prywatnych, aby zaprowadzić w nich pokój i zgodę,—do szpitali, aby pocieszyć chorych,—do więzień, żeby osłodzić niedolę zamkniętych,—do sklepów sukna i artykułów spożywczych, żeby zalecić sprawiedliwość, a zganić oszustwo; na drogi odległe, aby zamknąć dostęp do rozluźnienia obyczajów. Jego misje były tak głośne, że wszędzie o nim tylko mówiono, jako o mężu, którego Pan Bóg zesłał dla uleczenia społeczeństwa.

Wkrótce miasto Neapol zapragnęło znowu posiadać w swoich murach znakomitego Kapucyna i rozpoczęło starania u przełożonych. Musiał tedy wrócić do Neapolitańczyków, którzy słuchali go we dnie i w nocy, wpatrzeni weń, jak w tęczę, a potem, składając u stóp jego brzemię swoich nieprawości, jednali się z Bogiem. Szymon nawracał grzeszników nietylko potęgą swego słowa, ale także i mocą cudów, które Pan czynił dla wywyższenia sługi swego. Za dotknięciem jego ręki chorzy przychodzili do zdrowia; na jego rozkaz, szatani, wrzeszcząc przeraźliwie, porzucali opętanych.

Duszę swoją oddał Bogu w Neapolu r. 1637, licząc lat 55, a 36 zakonnych. Musiano kilka razy ubierać go w trumnie, gdyż ludność, która czciła O. Szymona, jak Świętego, na drobniutkie strzępki pocięła jego habit [1]).

Aleksy z Burgundji. (1641 r.).

Kapucyn ten, urodzony we Francji, wstąpił do zakonu w Czechach i całe niemal życie swoje tam spędził, broniąc czystości wiary katolickiej. Przeszedłszy dzielnie studja, i ćwicząc się w cnotach zakonnych, pozyskał niebawem sławę uczonego teologa i zdolnego kontrowersisty. Wezwany do Brunn, głównego miasta Morawji, po wypędzeniu stamtąd predykantów, przemawiał w kościele Ś. Jakóba z takim zapałem i mądrością, że Kardynał Dietrichstein, pomimo nawału zajęć, pilnie bywał na jego kazaniach, zaś hrabia von Launitz, jeden z najznakomitszych obywateli tego kraju, twierdził, że woli się wyrzec pokarmu cielesnego, aniżeli opuścić jaką naukę słynnego apostoła. W mieście Steyer misjonarz położył fundamenty wiary katolickiej, a przez prywatne i publiczne rozmowy, tudzież uczone i jasne wykłady katechizmu, oczyścił zupełnie od herezji miasto, które publicznie o tem zaświadczyło. Później polem jego prac była stolica czeska, Praga. Gdy bowiem Sasi zajęli to miasto i, jako protestanci, wypędzili gorliwych kapłanów, albo też zabronili im głosić słowo Boże, jeden tylko brat Aleksy trwał odważnie na swojem stanowisku, i wstępując już to na ambonę w różnych kościołach, już na katedry szkolne i uni-

[1]) Annali cappuccini V. I. [2]) Ibidem.

[1]) Ibidem.

PORCJUNKULA.

Według obrazu Michała Corneille (1642—1704), znajdującego się dawniej w kaplicy Kapucynów nad Bagnem w Paryżu.

wersyteckie, powstrzymywał knowania heretyków, aby lud od katolicyzmu oderwać. A chociaż sekciarze probowali zastraszyć go biciem i groźbami, nic sobie z tego nie robił i wracał do pracy misyjnej. Widząc, jak bardzo narażona jest młodzież uniwersytecka, której odjęto nauczycieli w osobie wypędzonych Jezuitów, sam podjął się tego trudu i dwa razy na dzień wykładał im dogmatykę i teologję, ocalając tym sposobem te młode roślinki od jadu heretyckiego. Wszelkie rozprawy publiczne z sekciarzami prowadził tak zręcznie i z taką głęboką znajomością, że odchodzili zawstydzeni z wykrycia swych błędów. Posiadając języki, mówił, stosownie do miejsca, po łacinie, po włosku, po francusku lub po niemiecku [1]).

Bartłomiej z Trenjano (Tregnano) (1650 r.).

Słynny ten Kapucyn z prowincji Werońskiej otrzymał wykształcenie, odpowiednie do swego stanu, gdyż rodzina jego była zamożna i znakomita. Pragnąc jedynie chwały Bożej i zbawienia dusz, przywdział habit franciszkański, i w swoim czasie stał się ozdobą Braci Mniejszych. W r. 1645 Rzeczpospolita Wenecka prosiła o niego dla swoich pułków, idących uspokoić zamieszki wewnętrzne. Generał, w porozumieniu z kongregacją Rozszerzania wiary, kazał Bartłomiejowi podjąć się tego obowiązku i sługa Boży, opatrzony szczególnemi przywilejami, wyruszył z wojskiem w drogę. Czujną troskliwością swoją o walczących rannych i zdrowych, wysłużył on sobie tytuł apostoła miłości. Po pięciu miesiącach gorliwej pracy wśród kul nieprzyjacielskich, gdy Wenecjanie zwyciężyli, wrócił do klasztoru. Doża wenecki podziękował Bartłomiejowi za oddane usługi, a wysyłając żołnierzy na morze Jońskie, przeciw Turkom, znowu się o niego postarał. Bartłomiej zawsze był w pierwszych szeregach, dodawał męstwa walczącym, podnosił rannych i zabitych, opatrywał Sakramentami ŚŚ., biegł wszędzie, gdzie obecność jego była najpotrzebniejsza, nie zważając na niebezpieczeństwo. Podczas zawieszenia broni chodził od namiotu do namiotu, do fortec i obozów, i dniem i nocą spełniał swój urząd kapłański. Ogniste jego słowa i ascetyczna postać zapalały żołnierzy do walki z hordami niewiernych. Wśród swego owocnego apostolstwa doznał cudownej pomocy. Jadąc z Korfu na Archipelag, został zaskoczony przez burzę tak wielką, że okręt rozbił się o skałę i poszedł na dno. W owej strasznej chwili Bartłomiej wezwał tonących, aby żałowali za grzechy swoje i udzielił im ostatniego rozgrzeszenia, aż w końcu i on ze swoim socjuszem zanurzył się w wodę. Cudownym jednak sposobem nawinęła mu się pod rękę deska z okrętu, której chwyciwszy się, został uratowany: woda wyrzuciła go na brzeg. W r. 1650 dzielny żołnierz Chrystusowy padł na posterunku w mieście Tren. Okazało się, że gorliwość jego sięgała nietylko chrześcijan weneckich, ale że nawracał heretyków, turków i żydów. Po śmierci jego znaleziono cały a bardzo długi spis osób, które z nieprzyjaciół krzyża Chrystusowego, stały się jego czcicielami [1]).

Jan z Monkalieri (Moncalieri) (1651 r.).

Był to mąż wielkiej nauki i cnoty, o czem choćby stąd można wnosić, że żyjąc w czasach, kiedy zakon Kapucynów kwitł i obfitował w ludzi świętych, cnotliwych i uczonych, został obrany na Ministra Generalnego. Musiał więc posiadać przymioty, właściwe tak wybitnemu urzędowi, aby godnie przedstawiać kwitnące zgromadzenie wobec Kościoła i całego chrześcijaństwa. Pochodził z bogatej rodziny Moriondo i był już adwokatem w Turynie, gdy naraz, znudzony zabiegami i niebezpieczeństwy świata, rzucił wszystko i przyjął habit z rąk prowincjała genueńskiego, O. Pawła z Asti. Posłany do nowicjatu w Aleksandrji, zostawał tam pod kierunkiem znakomitego mistrza, Jana z Fossombrone, który przez długi czas był wychowawcą młodzieży kapucyńskiej, gdyż umiał zapalać i utrzymywać w niej właściwego ducha. Skończywszy studja teologiczne, młody kapłan został mianowany magistrem filozofji i teologji, następnie zaś, z powodu swej roztropnej gorliwości, pełnił stopniowo wszystkie obowiązki w prowincji, ku ogólnemu zadowoleniu podwładnych.

Rozwinął on szczególną troskliwość o misje podalpejskie, do których zawsze wysyłani byli najlepsi bracia z prowincji Piemonckiej. Udawszy się, jako prowincjał, na kapitułę generalną do Rzymu w r. 1625, zdał sprawę ze stanu owych misji i wskazał zarazem środki, które należałoby przedsięwziąć, aby owoce ich były coraz pomyślniejsze. Wykazał przytem taki światły rozum i taką żarliwość, iż kongregacja Rozszerzania Wiary powzięła o nim jak najlepsze wyobrażenie, a Urban VIII, Papież, ciesząc się z pożytku, jaki tam przynosili Kapucyni, osobnem breve mianował Jana z Monkalieri prefektem apostolskim misji podalpejskich i postanowił, że urząd ten będzie na przyszłość przywiązany do godności prowincjała piemonckiego. Wreszcie słowy i nauką O. Jan oświe-

[1]) Ibidem.

[1]) Ibidem. V. II.

cał swoich zakonników, aby umieli prowadzić dysputy teologiczne z ministrami kalwińskimi i pokonywać ich błędy. Dzięki tym mądrym postanowieniom, misja podalpejska rozwijała się z wieku na wiek i trwa jeszcze dzisiaj, chociaż członkowie jej są rozproszeni i uciskani przez rewolucję. Spełniając urzędy konsultora, Ministra prowincjalnego Piemontu po raz drugi, i Definitora Generalnego, zyskał powszechną cześć i zaufanie braci, którzy w r. 1637 obrali go na Generała. Okazał on wtedy serce prawdziwie ojcowskie dla podwładnych, postanowił bowiem za zgodą swego Definitorjum, a z radością wszystkich zakonników, aby w każdym klasztorze, nazajutrz po uroczystości Serafickiego Patryarchy, odprawiane było nabożeństwo za zmarłych braci zakonnych, z takiemi samemi obrzędami i śpiewem, jakie Kościół przepisał po dniu Wszystkich Świętych, aby tym sposobem dusze ich otrzymały spokój wieczny przez zasługi Świętego Ojca. Ten przepis zbawienny został później umieszczony w Konstytucjach Zakonu i ostatecznie potwierdzony przez Stolicę Apostolską w r. 1643 [1]).

Wawrzyniec z Alikante (Alicante) (1659 r.).

Syn rodziny kupieckiej w hiszpańskiem mieście Alikante, O. Wawrzyniec miał trzech starszych braci kapłanami: dwóch w zakonie Dominikanów, a jednego prałata przy katedrze w Walencji. Mając takiego samego ducha, jak i bracia, w 15-ym roku przystał do żołnierzy armji morskiej, wysłanej przez króla Filipa IV, by ukarać Maurów, którzy naigrawali się z wizerunku krzyża świętego, znajdującego się w ich posiadaniu. Młodzieniaszek marzył tylko o tem, jakby wynagrodzić Chrystusowi tę zniewagę, że zaś lękał się, iż ojciec nie pozwoli mu wsiąść na okręt, uczynił to bez jego wiedzy. Dogoniono go jednak i zmuszono do powrotu. Aby go rozerwać, ojciec wysłał go na naukę kupiectwa do Walencji, ale Wawrzyniec, chociaż sprytny do handlu, każdą wolną chwilę przepędzał w kościołach, albo w chórze zakonnym i uczył się potajemnie łaciny. Tak samo robił i w domu rodziców, gdy ojciec umieścił go w swoim sklepie. Wpisał się do nowozałożonej sodalicji młodzieży i był najgorliwszym jej członkiem: chodził nawiedzać chorych, przynosił im uzbieraną jałmużnę, umartwiał swe ciało, przystępował do Sakramentów ŚŚ., zachęcając i innych do pobożności. Widząc to ojciec, dał mu swobodę wyboru stanu i nie sprzeciwiał się dłużej jego upodobaniom. Tego też pragnął Wawrzyniec i zaraz wstąpił do Kapucynów. W nowicjacie żarliwość jego jeszcze bardziej wzrosła. Magister musiał go ciągle powstrzymywać, tak rwał się do różnych pokut, do modlitwy i czuwania w nocy. Takim też był później i przełożonym, a wybierano go szczególniej do budowy nowych klasztorów w innych prowincjach, można bowiem było mu zaufać, że, kochając obserwancję, nie zawini przeciw ubóstwu serafickiemu i zaprowadzi tam chwalebne zwyczaje pierwszych Ojców Kapucynów.

Sława nauki i gorliwości Wawrzyńca ogarnęła nietylko Hiszpanję, ale i cesarstwo niemieckie. O. Diego z Kwiroga, poseł katolickiego króla, Filipa IV, jadąc w poselstwie do Wiednia, zabrał ze sobą czcigodnego męża, który swojem tam apostolstwem przyczynił się do wzrostu wiary i obyczajów chrześcijańskich. Cesarzowa i jej damy honorowe prosiły go o przewodnictwo duchowne, co z wielką chęcią spełniał. Miewając kazania w kaplicy cesarskiej, upominał dostojnych słuchaczy, aby kochali jedynie Boga, wszystkie bowiem rzeczy ziemskie są przemijające. Przedmiotem ulubionym jego nauk był Ś. Józef, Oblubieniec Najśw. Marji Panny; malował jego życie, jego cnoty i stawiał Go wszystkim za wzór do naśladowania. Ułożył nawet książkę o Ś. Patryarsze, w której mówi o godności przybranego Ojca Jezusa, doskonałości jego cnót, jego potężnem wstawiennictwie, a kończy zdaniami Świętych Ojców, oraz zbiorem aktów strzelistych i modlitw do Ś. Józefa. Dziełko to ofiarował zakonnicy klasztoru madryckiego, córce cesarza Rudolfa, która ceniła je, jako najdroższy klejnot i dar niebieski, tudzież pomoc na drodze doskonałości.

Gdy z takiem powodzeniem pracował nad duszami, Ś. Kongregacja Rozszerzania Wiary zbierała właśnie gromadkę Kapucynów hiszpańskich na misje do Ameryki. Opowiadać słowo Boże dzikim indjanom, było to życzenie oddawna pielęgnowane w sercu Wawrzyńca. Na wieść o tem, czemprędzej opuścił on Wiedeń, gdzie wszyscy boleśnie ten odjazd odczuli, i, uprosiwszy sobie pozwolenie, przyłączył się do misjonarzy. Działalność swoją prowadził w Darien, prowincji Ameryki południowej, jak zwykle, pod opieką Ś. Józefa, któremu chciał kościół wystawić. Cztery lata trudów misjonarskich wyczerpały jego siły; musiał wrócić do kraju, ale chociaż znękany podróżą i pracą, wziął się gorliwie do obserwancji i do słuchania spowiedzi. W 70-ym roku życia dotknął go Bóg paraliżem, który trzymał go na łożu przez całe dwa lata. W wigilję Wniebowzięcia Matki Boskiej oświadczył, że jutro będzie już razem z Marją i Aniołami. I rzeczywiście, umarł po pierwszych nieszporach świątecznych [1]).

[1]) Ibidem

[1]) Ibidem.

Bonawentura z Aojz (Aoyz) (1657 r.).

Był to pierwszy komisarz hiszpańskiej kustodji Kapucynów—Pampeluny. Mianowano go na ten urząd, spodziewając się, że swoją iście seraficzną gorliwością, której dał już niemałe dowody, utrzyma obserwancję w podwładnych sobie klasztorach i urządzi wszystko, jak nakazuje reguła. Bracia uważali go za najzdolniejszego do przeprowadzenia tak ważnej sprawy. I nie zawiedli się bynajmniej, ale na nieszczęście krótko bardzo korzystali z jego dzielności: po kilku miesiącach nagła choroba zabrała go z tego świata, ku wielkiemu smutkowi wyższych przełożonych.

Poza obowiązkami zakonnemi sługa Boży głosił jeszcze żarliwe kazania, ściągające licznych słuchaczów. Jego potężna wymowa, ożywiona duchem apostolskim, sprawiała cudowną odmianę. Grzesznicy, przejęci prawdami wiecznemi, wyrzekali się swoich zbrodni, skąpcy i lichwiarze porzucali hańbiące rzemiosło i hojną ręką opatrywali ubogich; kobiety złego życia przywdziewały szaty pokutne, mściwi zaprzestawali niezgód i jednali się z wrogami; jednem słowem, po kazaniu O. Bonawentury następowała zupełna reforma obyczajów. Słowa jego i postać wywierały silny wpływ na ludzi. Podczas gwardjaństwa sługi Bożego w Tudela, uboga ludność zbuntowała się przeciw uciskającej ją szlachcie. Na tę straszną chwilę przybiegł Kapucyn i, trzymając krzyż w ręku, nawoływał rozszalałych do pokoju i zgody. I oto wściekły tłum zaczął się uspokajać, i w milczeniu rozszedł się po domach. Dzięki tej nieustraszonej gorliwości męża Bożego, krew ludzka nie została przelaną [2]).

Antoni z Gaety (1662 r.).

Apostoł dzikich, Antoni z Gaety, urodził się w r. 1615, jako syn księcia Mazzano. Mając lat 15, zapisał się do Kawalerów Maltańskich, ale że serce jego pragnęło bliżej naśladować Chrystusa, opuścił świat i wstąpił do Kapucynów. Nowy żołnierz Chrystusowy płonął żądzą zaniesienia Ewangelji ludom pogańskim, żyjącym w ciemnościach, i dlatego uczył się gorliwie wszelkich nauk, pracował nad językami hiszpańskim i portugalskim, aby się przygotować do apostolstwa, bądź w Afryce, bądź w Ameryce lub Azji. Błagał też Pana Boga, aby mu pozwolono wsiąść na okręt wraz z misjonarzami; władza jednak zakonna wciąż używała go do czego innego i dopiero po 20-u latach wytrwałej a gorliwej służby Bożej przedstawiła Antoniego Ś. Kongregacji Rozszerzania Wiary na prefekta gromadki zakonników, udających się do krainy afrykańskiej, Matamba.

Wojska portugalskie zawładnęły podówczas prowincją Angola i ciągle musiały stać pod bronią, gdyż królowa Singa, władczyni zabranego kraju, cofnęła się do ziemi Matamba, i stamtąd czyniła częste napady na europejczyków. Wojna, można rzec, nie ustawała, co bardzo przykrzyło się zdobywcom, kiedy więc dzielny misjonarz oświadczył, że sam pójdzie wgłąb krainy Matamba i będzie probował nawrócić mściwą pogankę, gubernator portugalski przyklasnął jego zamiarowi, a następnie prosił go, aby zechciał być posłem od jego króla do Singi i utorował im drogę do przymierza. Singa miała siostrę rodzoną, którą Portugalczycy trzymali w niewoli. Miała ona jechać do granicy z misjonarzem, a w razie pomyślnego skutku rokowań wrócić do swoich. Obie księżniczki jeszcze w dziecięctwie zostały ochrzczone, ale Singa wróciła do pogaństwa. Przybliżywszy się do Matamba, Antoni posłał list do królowej, z prośbą, aby mógł opowiadać Ewangelję w jej państwie i wznieść kościół ku czci prawdziwego Boga. Gdy to się działo, żołnierze Singi napadli z jej rozkazu na karawanę, wiozącą towary europejskie i, ograbiwszy ją, uciekli. W jednej ze skrzyń z łupami znajdował się krucyfiks prześlicznej roboty, który Singa sobie zabrała, wszystko inne oddając żołnierzom. Od tej chwili zaczęły ją trapić różne niepokoje; sumienie uśpione obudziło się, i wyrzucało jej postępki, niegodne osoby, która przyjęła chrześcijaństwo. List więc misjonarza znalazł ją lepiej usposobioną. Zastanowiwszy się nad sobą, co ma czynić, czy przyjąć wysłańca Bożego, czy go odepchnąć — wybrała pierwsze. Gorliwy apostoł wkroczył w posiadłości królowej, a przyjęty przez nią uroczyście, w otoczeniu całego dworu, oświadczył, że przynosi ze sobą zbawienie wieczne dla Singi i jej narodu, że przeto łaski tej nie powinni odtrącać, ale ją skwapliwie przyjąć, oddając cześć jedynemu Bogu i Zbawcy świata. Następnie w prywatnej z Singą rozmowie powiedział jej o zamiarach Portugalczyków, co do zawarcia pokoju. Królowa zgodziła się na wszystko, już bowiem i jej sprzykrzyły się ciągłe walki. Wtedy przybył cywilny pełnomocnik portugalski i wspólnie z O. Antonim ułożyli warunki przymierza. Na mocy takowego królowa zobowiązała się nie wojować z Portugalją, szerzyć chrystjanizm w swojej monarchji i pozwolić na przywóz towarów europejskich, Portugalczycy zaś mieli u-

[1]) Ibidem

wolnić księżniczkę Barbarę. Umowę tę odczytano ludowi Matamba. Uradowany misjonarz wziął się natychmiast do pracy apostolskiej: nauczał wiary, chrzcił, obalał fałszywych bożków, zaprowadzał obyczaje chrześcijańskie, jak skromność, jednożeństwo, ceremonje kościelne, i wystawił kościół Zbawiciela, w którym umieszczono krucyfiks Singi. A gdy tak pozyskał Bogu nową owczarnię, zalecił królowej napisać list wiernopoddańczy do Papieża, z prośbą o błogosławieństwo, co też Singa spełniła. Ojciec Święty odpisał, że raduje się z powrotu królowej do praktyk katolickich i z gorliwości misjonarza, który był narzędziem w pozyskaniu jej Bogu, lecz skoro ten ostatni spełnił już swoje dzieło, teraz przyjdą tam inni bracia, on zaś pożegna swoje owieczki i pójdzie znowu torować gdzieindziej drogę. Radość z listu papieskiego została zamroczona tą wieścią. O. Antoni opuścił krainę Matamba i jako żarliwy apostoł otrzymał drugą prefekturę misyjną, lecz nie było mu dano rozpocząć nowej pracy. Przybywszy do portu Loanda, czy to z wyczerpania, czy z długiej podróży ciężko zachorował i pomimo wszelkich starań lekarskich, by utrzymać tak cenne dla Kościoła życie, zasnął na wieki, 9 lipca r. 1662[1]).

Sylwester z Sęt-Enjan (Saint-Aignan) (1670 r.).

O. Sylwester z Sęt-Enjan zasłużył sobie na wiekopomną wdzięczność u Maronitów i Syryjczyków.

Opuściwszy światowe uciechy i bogactwa, znalazł szczęście w oderwaniu od wszystkiego i w sukni zakonnej. Marzeniem jego było uświęcić się przez modlitwę, pokutę i najwierniejsze spełnianie przepisów, a potem nawracać niewiernych; i wszystko to rzeczywiście się spełniło. Ś. Kongregacja Rozszerzania Wiary przysłała mu patent misjonarza do obcych krajów, z którym popłynął na Wschód w r. 1628, licząc zaledwie lat 30. Polem jego działalności były krainy: Syrja, Egipt i Liban. Obszerne te prowincje przebiegł kilkakrotnie, obdarzając niewiernych światłem nauki ewangelicznej, a chrześcijan utwierdzając w wierze i posłuszeństwie Stolicy Świętej. Był wielkim apostołem Chrystusowym i ukochanym ojcem biednych i nieszczęśliwych, którym w każdej potrzebie śpieszył z pomocą, czy to materjalną, czy duchowną. Prześladowania i przykrości znosił mężnie, gdyż miłość Boża pchała go do czynów na chwałę Zbawiciela. Z 42-ch lat spędzonych na Wschodzie, najdłużej mieszkał w Aleppo, gdzie tak katolicy, jak innowiercy i mahometanie bardzo go poważali. Umarł w r. 1670. Ponieważ choroba Sylwestra dość długo się ciągnęła i wiedziano naprzód o smutnym jej wyniku, na pogrzeb jego przybyło wiele duchowieństwa, a mianowicie: trzech Patryarchów, sześciu Biskupów, czternastu misjonarzy kapucyńskich, 80 kapłanów świeckich i zakonnych, oraz konsul i inni przedstawiciele Francji, nie licząc wiernych. Turcy, protestanci i odszczepieńcy głośno przyznawali, że O. Sylwester wzbudził powszechne uwielbienie swą gorliwością i innemi cnotami[1]).

[1]) Ibidem V. III.

Dominik z Aczireale (Acireale) (1700 r.).

Kapucyn ten od wstąpienia do zakonu objawiał gorącą chęć opowiadania słowa Bożego bałwochwalcom; otrzymawszy więc kapłaństwo, zaczął starać się u przełożonych, aby mu pozwolili jechać na misje. Wysyłano podówczas braci do Afryki i do Ameryki południowej i Dominika zaliczono do misjonarzy, udających się do Kongo w Afryce. Pracował tam z wielkim pożytkiem lat siedem i ochrzcił mnóstwo murzynów, a między nimi wielu naczelników pokoleń z ich rodzinami. Z pracy tej zupełnie podupadł na siłach, musiał więc wrócić do ojczystego kraju i odpocząć, ale jak tylko trochę się wzmocnił, przedstawił pragnienie swoje władzy zakonnej, aby mógł poraz drugi jechać na misje. Przełożeni i Ś. Kongregacja nie omieszkali uczynić zadość jego prośbie, owszem, otrzymał nawet tytuł prefekta apostolskiego i z tą godnością wyruszył w daleką drogę. Stanąwszy na ziemi afrykańskiej w Kongo, zabrał się do zwykłych obowiązków, następnie głosił artykuły wiary w Matamba i Loanda, a gdy widział, że już podwaliny chrześcijaństwa są położone i misjonarze mogą dalej spokojnie nawracać, popłynął do Ameryki Południowej. Po 14-u latach trudów, raczył Pan Bóg nagrodzić swego sługę koroną męczeńską. Dzicy jednego plemienia, rozgniewani, że Dominik obala ich ołtarze, napadli nań w nocy, gdy spał i, wyniósłszy go z domu, wrzucili w jezioro. Dwadzieścia cztery godziny Kapucyn walczył z falami, aby się uratować, aż wreszcie ktoś z przechodzących usłyszał jego wołanie. Wyciągnięto go z wody, lecz na to tylko, aby po kilku dniach oddał ducha swego Bogu. Ciało Apostoła spoczywa w mieście Wszystkich Świętych w Brazylji[2]).

[1]) Ibidem. [2]) Ibidem.

Juniper z Barga (1709 r.).

Wychowany starannie, w ósmym roku życia przywdział suknię kapłańską, aby się oddać służbie Bożej, w szesnastym zaś poznał, że go Bóg woła do Kapucynów. Lecz napotkał trudności w swoich zamiarach. Minister prowincji Toskańskiej, do którego się zwrócił, nie chciał go przyjąć dla zbyt małego wzrostu i delikatnej budowy ciała, dopiero prowincjał boloński zlitował się nad młodzieniaszkiem, który w nowicjacie podrósł i zmężniał. Otrzymawszy święcenia, Juniper czynił wiele dobrego w duszach swojemi kazaniami, jak również zakładaniem bractw pobożnych, których członkowie mieli odmawiać pewne modlitwy i uczęszczać do Sakramentów ŚŚ. Po jego misjach miasteczka, wsie i osady zmieniały się do niepoznania. Aby spożytkować gorliwość Junipera wewnątrz Zakonu, przełożeni obrali go na gwardjana i mistrza nowicjuszów w Montepulciano. Jakkolwiek żal mu było opuścić misje, sługa Boży poddał się woli starszych i trwał na tem stanowisku całe 8 lat, gdy wszakże w r. 1675 ogłoszony był powszechny jubileusz, wyprosił sobie prawo pójścia do Rzymu, a tam przez Generała postarał się o zwolnienie z obowiązków i oddanie się pracy apostolskiej.

Około tego czasu Kozma III, wielki książę toskański, poprosił starszych Zakonu, aby wzięli na siebie duchowną opiekę nad więźniami i galernikami w olbrzymiem więzieniu w Livorno. Chcąc zadowolnić Junipera, Minister prowincji wyznaczył go na ten urząd, dając mu jednocześnie kilku braci do pomocy. Sługa Boży wszedł tam uroczyście, boso, z koroną cierniową na głowie, z pasem na szyi i krzyżem na piersiach, śpiewając głośno psalm 50: „Zmiłuj się nademną, Boże“, a okrążywszy dziedziniec więzienia, zebrał będących tam skazańców i zaprowadził wszystkich do kościoła. Z sercem płonącem gorliwością miał do nich naukę i błagał, by dźwigali swoje kajdany, jako pokutę. Następnie zwiedził wszystkie izby więzienne i miejsca ich pracy, aby, poznawszy twardą ich dolę, okazje do złego, do kłótni, do niemoralności, mógł wszystkiemu zapobiedz i uczynić znośniejszem ich życie. Książę popierał pragnienia Junipera i pozwalał na wszelkie zmiany. Dzięki tedy gorliwości sługi Bożego, w więzieniu zakwitło nowe życie chrześcijańskie. Ojciec Dyrektor szerzył wśród swoich owieczek miłość i ufność do Matki Boskiej Bolesnej, założył dla nich pod tąż nazwą bractwo, wszczepiał cześć dla Jezusa Ukrzyżowanego i kazał zrobić Jego figurę, aby im przypominała ich zbrodnie i niewdzięczności. Nadto zachęcał do nabożeństwa ku Ś. Józefowi i Ś. Patryarsze Franciszkowi. Na jego prośby urządzone zostały kaplice i kapliczki pod wezwaniem tych Świętych, a przechodzący więźniowie mieli zanosić do nich swoje prośby i polecać się ich opiece. Powoli wyrobił im lepsze mieszkanie, że nie byli już stłoczeni w nocy, a tym sposobem nie kłócili się i nie pomstowali. W większe święta Juniper szedł do wielkiego księcia i wyjednywał od niego ulgi, a przedewszystkiem skrócenie kary; to też więźniowie kochali swego kapelana, mówiąc, że to ich ojciec i dobrodziej. Zasnął Juniper z Barga, opłakiwany przez wszystkich więźniów, po 30 latach gorliwej pracy. Duch jeszcze był silny i ochoczy, ale ciało nie dotrzymywało. Liczył podówczas lat 79 [1]).

Marcin z Kochem (1712 r.)

Ten dzielny pisarz nie poprzestawał na pracy piórem. Załatwiał ją w nocy, nigdy jednak nie opuszczając Jutrzni w chórze, ani żadnego wspólnego ćwiczenia, w dzień zaś spowiadał, mówił kazania, odprawiał misje i chodził do chorych z Panem Bogiem. Pisząc i drukując książki, jednocześnie uczył lud z ambony. Elektor Anzelm Franciszek, Arcybiskup Moguncki, posłał go z misjami w górną część swojej obszernej dyecezji i zarazem jako wizytatora wszystkich parafji. Podobnież Jan Hugo, Arcybiskup Trewiru, prosił go, aby opowiadał słowo Boże we wszystkich miejscach jego pieczy powierzonych, a O. Marcin wywiązał się z tego polecenia tak dzielnie, że wszyscy jego słuchacze błogosławili go i dziękowali Bogu. Jak tylko gdzie rozeszła się pogłoska, że O. Marcin z Kochem przychodzi na misje, tłum ludzi wychodził na jego spotkanie; każdy chciał widzieć i słyszeć tego zakonnika, którego książki z taką pociechą czytał i podziwiał. Nikt, słuchając go, nie spuścił zeń oka, ani nie chrząknął; cisza panowała zupełna, tak lękano się stracić słówko z jego kazań. Najzatwardzialsi grzesznicy padali na ziemię i, bijąc się w piersi, płakali, do głębi przejęci żalem i skruchą.

Ten wielki mówca i apostoł zbierał także dokoła siebie dziatki i prostaczków, aby ich uczyć głównych prawd wiary. Objaśniał im, jak mają się zachowywać i modlić na Mszy św., żeby odnieść jak największy pożytek, jak odprawiać spowiedź, jak przystępować do innych Sakramentów Świętych. Wprawiał ich w śpiewanie psalmów czy to w kościele, czy w szkole, czy w domu przy robocie. Odnawiał kościoły, zniszczone w czasie wojny 30-letniej, szerzył cześć Przenajświętszego Sakramentu i Matki Bożej, a wszędzie zakładał bra-

[1]) Ibidem.

ctwa i sodalicje wspólnej modlitwy, aby utrzymać żywą wiarę i praktyki religijne. To wszystko czynił, nie szczędząc własnej osoby, sił i zdrowia. Chodził po górach i dolinach boso, z odkrytą głową, niosąc na ramionach kij z węzełkiem i sandałami. Jego apostolskiej żarliwości nie powstrzymywało ani słońce palące, ani deszcz, ani głód, ani pragnienie, ani wiatr mroźny, zimowy, a gdy zaszedł po drodze do jakich dobrodziejów, jeszcze nie pozwalał ciału swemu na zbytki, posilając się tylko trawami, jarzynami gotowanemi i chlebem, mięsa bowiem wcale nie jadał. Apostołował po całych Niemczech, a sam już widok jego był wymownem kazaniem dla wszystkich, którzy nań patrzyli, lub go spotykali. W takiej pracy doszedł do lat 82-ch i był najstarszym zakonnikiem swojej prowincji [1]).

Prośba opatki Kapucynek z Lima i jej sióstr do Papieża Klemensa XI.

Dokument ten przypomina prośbę Ś. Klary Scifi, błagającej Ojca Świętego, który chciał złagodzić jej regułę, o przywilej ubóstwa.

Jezus, Marja, Józef.

Najświętszy Ojcze i Pasterzu powszechny Kościoła katolickiego.

Najmniejsza z owieczek w świętem stadzie Twojem upada do stóp Waszej Świątobliwości, uznając się niegodną tego szczęścia. Ale jeżeli Pan nasz, Jezus Chrystus nie gardzi najsłabszymi, to i Wasza Świątobliwość, jako jego Zastępca, tem bardziej, mam nadzieję, ich nie odrzuci... Dwadzieścia lat temu do Lima, stolicy Peru, wezwano kilka zakonnic z Madrytu na fundację Kapucynek w zakładzie pod tytułem Najświętszych Imion Jezusa, Marji i Józefa. Otrzymawszy z wielkim trudem pozwolenie, klasztor madrycki wysłał na ten cel swoje siostry. Pięć więc nas opuściło klauzurę z gorącem pragnieniem cierpienia dla chwały Bożej wszelkich, jakie się Bogu spodoba zesłać na nas, doświadczeń...

W Lima przyjęto nas z oznakami nadzwyczajnej czci i religijnego szacunku. Lecz do tych uczuć przyłączyło się zdumienie, wywołane ostrością naszej reguły, która podobnie jak i Kapucynek od Ś. Krzyża w Rzymie, jest pierwotną regułą Ś. Klary z konstytucjami Ś. Kolety.

Wszyscy jednozgodnie uznali, że w kraju tak gorącym, gdzie istoty słabe z natury są zazwyczaj oszczędzane, a wszelkie trudy spadają na niewolników, których jest bardzo wielu, reguła ta jest niemożliwą do zachowania. Uprzedzali nas nawet, że nie znajdziemy w Lima nikogo, ktoby chciał przywdziać nasz habit; ale że niema nic trudnego dla wszechmocnego Stwórcy, podobało mu się Opatrznością swoją ułatwić nam dalsze prowadzenie naszego rodzaju życia. Pierwsze z tej łaski skorzystały osoby należące od wielu lat do instytucji Jezusa, Marji, Józefa, a znajdowały się wśród nich dotknięte różnemi cierpieniami. Zapał powołania kazał im gardzić wszelką obawą, wzięły ochoczo krzyż na siebie, a pomoc Boża sprawiła, że wydał on im się tak lekkim, iż nietylko zdrowie ich nic nie ucierpiało, ale nawet stało się lepszem, jak to z zadowoleniem często oświadczają i jak to zresztą jest dla wszystkich widoczne.

Podobnież doznały tego i inne osoby, które wstąpiły do nas, stąd liczba kandydatek do tego stopnia wzrosła, że, gdyby nie reguła, która pozwala tylko na 33 siostry w każdym klasztorze, nie byłoby tu ludniejszego zgromadzenia nad nasze. Nie przekraczamy zaś nigdy tej liczby, bo wielość osób w jednym domu przyczynia się do rozluźnienia obserwancji. Taki jest stan tej ubogiej i nowej fundacji, żyjącej w pokoju i zdala od świata.

Lecz to, jak wszystko, co dobre, nie podoba się nieprzyjacielowi rodu ludzkiego: wzbudził zatem przeciwko nam pewien opór, z którego dotychczas nie wyciągnął żadnej korzyści, i nie otrzyma jej, mam nadzieję, i później. Opór ten powstał pod płaszczykiem miłości, bo szatan, by ukryć swoją złośliwość, zwykle tak postępuje. Niby to ze współczucia niektóre osoby zapragnęły umniejszyć naszą męczarnię, którą, jak sobie wyobrażają, musimy ponosić w klasztorze, a która tym, co nie wiedzą z doświadczenia, jak lekkie i słodkie jest jarzmo Pańskie, wydaje się nieznośną.

Pierwszem umartwieniem według nich jest nie mieć służących; chciano tedy nakłonić nas do ich przyjęcia. Ale nie czujemy żadnej tego potrzeby; służymy wzajemnie jedna drugiej w pokoju i miłości, i szczęśliwe jesteśmy tem więcej, że jest to punkt naszej reguły, która mówi: „Nie przyjmiecie wśród was żadnych innych osób, oprócz tych, które zupełnie zachowują wasz rodzaj życia". Paragraf ten jasno wyłącza służące świeckie, których obecność nie może przynieść zakonnicom żadnego pożytku, a jest dla nich, przeciwnie, źródłem wielkich przykrości.

Drugą rzeczą, którą ciż doradcy uważają za bardzo trudną, jest nieużywanie bielizny na ciele i na pościeli, nawet podczas choroby. Dla nas jednak, co już przyzwyczaiłyśmy się, jest to tak łatwe, że trudniejby nam było raz jej używać, to znów nie. Natura, umocniona łaską, nachyla się do wszystkiego, co chcemy; zresztą, chodzi tu o zwyczaj, który był wiernie zachowywany i dziś

[1]) Ibidem.

jeszcze zachowuje się w zakonach. Trzeci punkt, o który nas niepokoją, odnosi się do spowiednika. Sądzą rzeczywiście, że klasztor, liczący 33 siostry, nie może poprzestać na jednym spowiedniku. A jest to najważniejszy paragraf naszych konstytucji, na który położony jest nacisk, aby go wiernie przestrzegać. Zachowanie go przyniosło wszystkim zgromadzeniom wielkie pożytki i było powodem do większej doskonałości.

Tam, gdzie jest kilka zdań i sposobów widzenia, bardzo łatwo można przekroczyć słuszną miarę. Idziemy więc spokojnie naprzód z pomocą jednego zwyczajnego spowiednika i drugiego nadzwyczajnego, który przychodzi nas spowiadać trzy razy w roku, według przepisów Ś. Soboru Trydenckiego; jeśli zaś pozatem która siostra ma jaki niepokój, wymagający przybycia innego spowiednika, zawiadamiamy o tem księdza Arcybiskupa, i Jego Ekscelencja naznacza kapłana, który mu się wydaje być odpowiednim, i tak żyjemy sobie z pociechą, nic nadto nie żądając.

Czwarta rzecz, od którejby chciano nas odwieść, a na którą my się nie zgadzamy, jest to post ustawiczny. Przecież Święci nie robili sobie nic z wygód, za któremi ubiega się natura ludzka. Przeciwnie, życie ich jest ciągłem wyrzekaniem się wszelkich upodobań i przyjemności. Wszystkie reguły natchnione od Ducha Świętego oparte są na tem wyrzeczeniu się, a chociaż to rzecz wiadoma, jakże mało dusz idzie tą drogą! Niech więc nikt nie stara się powstrzymać tych, które, wspierane łaską Bożą, usiłują mężnie po niej wstępować.

Dla tych wszystkich przyczyn, Najświętszy Ojcze, błagam z najgłębszą pokorą Waszą Świątobliwość, abyś, jako czujny i dobry Pasterz, raczył wziąć pod swoją opiekę nasz ubogi klasztorek i pomógł mu trwać nadal w ścisłej obserwancji i zachowaniu tego wszystkiego, cośmy przyrzekły Panu w swojej profesji, gdyż dobrotliwy Bóg daje nam potrzebne ku temu siły.

Jeżeli kto z pobudek ludzkiej roztropności lub z poduszczenia szatana dał Ci, Najświętszy Ojcze, informacje niezgadzające się z temi, jakie tu wypisałam, niech Wasza Świątobliwość uważa je za mylne i fałszywe, gdyż nietylko nie prosimy o zwolnienie z naszej reguły i naszych konstytucji, ale, owszem, błagamy o przebaczenie i rozgrzeszenie Pana Jezusa i Waszej Świątobliwości z błędów, które przez ułomność mogłyśmy popełnić w wykonywaniu obowiązków, jakie one na nas wkładają. Prosimy, aby Wasza Świątobliwość raczyła umocnić nas w tej wierności swojem błogosławieństwem apostolskiem i, gdyby to było potrzebne, zatwierdzić na nowo naszą świętą regułę i nasze konstytucje, aby nikt więcej nie odważył się ich naruszać. W ten sposób będziemy żyły w spokoju i bezpieczeństwie. Fundacja ta, nowo zaszczepiona w tych królestwach, wymaga, by się utrzymać, łaski Waszej Świątobliwości, i mamy nadzieję, że ją otrzymamy od jego tak ojcowskiego serca, za co będziemy błagały Stwórcę o zachowanie go przy życiu tak długo, jak tego Kościół Ś. potrzebuje.

Z klasztoru Jezusa, Marji i Józefa, Lima, 30 stycznia 1717 r.

Siostra Marja Gertruda, opatka.
Siostra Marja Bernarda, zastępczyni.

Potem następują podpisy 28 zakonnic i trzech nowicjuszek, co razem stanowi liczbę 33 [1]).

Stefan z Logrono (1719 r.).

Członek prowincji Nawarskiej (w Hiszpanji), Stefan z Logrono, nie posiadał się z radości, gdy władza zakonna, której wiele razy przedstawiał pragnienie nawracania dzikich, przysłała mu swoje błogosławieństwo. Popłynął tedy z braćmi na Antylle w r. 1711. Wylądowawszy w Porto-Rico, rozpoczął misje wśród tubylców, którym przypominał zasady wiary, gdyż byli ochrzczeni, wyświetlał ich złe uczynki, niemoralność, a ukazywał piękno duchowe życia chrześcijańskiego, zgodnego z nauką Boską i kościelną. Słodkie jego słowa, napomnienia apostolskie i niestrudzona gorliwość wzruszały serce ludu; korzył się on u stóp sługi Bożego i wracał do prawdziwej religji. W miarę odnoszonych zwycięstw nad szatanem, wzrastał i zapał misjonarza. Nic nie było w stanie powstrzymać go w pracy. Chodził z jednego miejsca na drugie pod palącemi promieniami zwrotnikowego słońca, lub w czasie ulewnych deszczów, gdy te nastały, i od rana do wieczora nauczał; gdy zaś wrócił do domu, to jeszcze ujmował sobie snu, aby się umartwiać i pokutować. W oczach gorliwego kapłana trudy ponoszone dla szerzenia chwały Bożej były niczem, dodawał więc modlitw nocnych, biczowania się i postów. Aż w końcu gorliwość apostolska i zakonna wyczerpała jego siły i spracowany robotnik Chrystusów legł na łożu śmiertelnem. Nie pomogły żadne lekarstwa, ani pieczołowitość towarzyszów. Pożegnał on ich na obczyźnie w r. 1719, pozostawiając po sobie jak najchlubniejsze wspomnienie [2]).

Bł. Marja Magdalena Martinengo (1737 r.).

Błogosławiona posiadała tę pierwszą cnotę, nieodzowną dla przełożonej: miłość sprawiedliwo-

[1]) Archiv. Vat., Principi, V. 218. [2]) Annali Cap...

ści, to znaczy zamiłowanie dobra a nienawiść zła pod każdą jego postacią. Człowiek o tyle powinien być uważany za lepszego od innych, mówi Ś. Bonawentura, o ile ma żywszy i skuteczniejszy wstręt do złego. W zgromadzeniach żeńskich polem dla gorliwości jest reguła, ustawy i życie wspólne. Żadne przestępstwo w tej materji nie powinno być bez kary. Pokorna opatka często mawiała do swoich Sióstr: „Jeżeli my, Kapucynki, nie będziemy bardzo gorliwe, czeka nas wielki czyściec". To też w czasie swojego urzędowania starała się o doskonałą obserwancję, o powściągnięcie wszelkich naruszeń przepisów i o rozbudzenie dusz, które utraciły pierwotny zapał.

Klasztor Kapucynek w Brescji używał w mieście wielkiej sławy. Na czele jego przed Marją Magdaleną były zakonnice bardzo świątobliwe, umiejące utrzymać tradycje zgromadzenia; pomimo to w zeznaniach świadków czytamy, że Błogosławiona udoskonaliła jeszcze życie klasztoru w rzeczach, które uszły czujnego oka jej poprzedniczek. Naprzykład siostry chore, lub przychodzące do zdrowia, miały pozwolenie, które już weszło w zwyczaj, jeść o pół godziny wcześniej od zgromadzenia, co było uciążliwe dla gotujących. Błogosławiona, zasięgnąwszy rady właściwych osób, potrafiła pogodzić miłość karności z miłosierdziem, przedstawiając siostrom, że to przyspieszenie posiłku naraża je na różne uchybienia przeciw ustawom, na co ona nie może zezwolić. I odtąd tylko istotnie potrzebujące jadły wcześniej. Gdy, przeciwnie, infirmarki chciały z gorliwości uczestniczyć we wszystkich pacierzach, świątobliwa opatka słodko ale stanowczo kazała im nie opuszczać chorych, mówiąc, że to jest ich obowiązek, tutaj więc muszą się modlić.

Jeżeli szło o błędy osobiste niektórych zakonnic, opatka poprawiała je ze słodyczą i stanowczością, kierując się w tem uczuciem dobrze zrozumianej miłości duchownej. Przestrzegała zwłaszcza milczenia i za najmniejsze gadulstwo, lub słowo zbyteczne upominała, żądając, aby ten ważny przepis był zachowywany. Zresztą sama własnym przykładem uczyła, jak trzeba być ostrożną i skąpą w mowie, a za nią i siostry wprawiały się do czuwania nad językiem. Przykład przełożonych jest to zawsze najlepszy sposób rządzenia. Wogóle tak liczyła się ze słowami, że w końcu trudno jej było mówić; upominała w krótkich słowach, często samą postawą, wyrazem twarzy, a to było jeszcze skuteczniejsze. Nieraz szatan używał różnych sposobów, aby ją skusić do mówienia w nocy: to chodził koło klasztoru, naśladując kroki męzkie, to przybierał różne postacie zwierząt i straszył, ale Błogosławiona o nic nie pytała, nie odzywała się, aby nie naruszyć ciszy nocnej. Często w konferencjach swoich powtarzała: „Siostra małomówiąca zaledwie ma się z czego rachować. Jeżeli chcecie być świętemi, miłujcie milczenie. Niech wasze milczenie będzie uprzejme, wesołe, pełne dobroci, a wasze słowo pokorne, słodkie i święte. Mając usta otworzyć, zapytajcie samych siebie, czy tego istotnie potrzeba".

Jeśli która z Kapucynek zawiniła w większej rzeczy, Opatka nietylko upominała ją, ale zadawała pokutę, odpowiednią do winy; a tak Siostry wiedziały, że to jest źle i zadośćczyniły za przestępstwo, wskutek czego obserwancja nie upadała, ale kwitła[1]).

Bł. Kryspin z Witerbu (1750 r.)

Zadaniem kwestarza, jakim był Kryspin, jest nietylko zbierać jałmużnę dla klasztoru; ma on inny jeszcze cel, szlachetniejszy i piękniejszy, a mianowicie: milczące kaznodziejstwo, o którem mówił Ś. Ojciec Franciszek, budowanie ludu przez swoją skromność, swoją pokorę, swoją miłość i dobrą woń wszystkich cnót serafickich. Brat Kryspin był bardzo wymowny w tym rodzaju kaznodziejstwa. Lud rozumiał jego nauki i pokładał w nim nieograniczoną ufność. Kiedy przeto Błogosławiony wychodził z klasztoru na kwestę, mnóstwo osób cisnęło się do niego ze wszystkich stron: strapieni, smutni prosili go o pociechę, zostający w niepewności o radę, grzesznicy polecali się jego modlitwom, a on dla każdego znalazł słowo otuchy i pokrzepienia. Lecz niedość mu było przyjmować dobrotliwie tych, którzy się doń garnęli; zaczął sam szukać grzeszników i nieszczęśliwych, i odtąd kwesta Błogosławionego była nietyle kwestą, ile raczej misją. To też kiedy Kryspin przychodził na wieś po jałmużnę, poczciwi wieśniacy, oczekujący go zawsze niecierpliwie, mieli zwyczaj mawiać: „Misjonarz naszych gór przybył". Wszedłszy do jakiego domku, z przyjemnością rozmawiał z prostaczkami, opowiadał im o Bogu, o głównych tajemnicach wiary świętej, o niebie, o piekle, zachęcał do wielkiej ufności w przyczynę Marji, a mówił z taką mocą i namaszczeniem, że trudno uwierzyć, ile dobrego sprawiały te pobożne jego słowa.

W Orvieto pewna liczba młodych panien zbierała się w jednym domu dla nauki szycia, lecz wkrótce, za pozwoleniem gospodyni, zaczęło tam przychodzić kilku światowych młodzieńców, co naturalnie wywołało gorszące plotki w mieście. Usły-

[1]) La B. Marie Madelaine,.

szawszy o tem, Błogosławiony bardzo się zasmucił i czekał tylko chwili sposobnej, aby to przerwać. Pewnego dnia mieszkańcy uczuli trzęsienie ziemi. Kryspin skorzystał z tego, aby przypomnieć owej młodzieży, na jakie wystawia się niebezpieczeństwo i jaką karę zgotował jej Pan Bóg za podobną lekkomyślność. Słowa jego, pełne energji, przejęły wszystkich zbawienną bojaźnią i położyły kres zgorszeniu: dziewczęta opuściły to niebezpieczne miejsce, stanowiąc odtąd pracować we własnych mieszkaniach, pod okiem swoich matek.

Pewna zakonnica czuła śmiertelną nienawiść do jednej z towarzyszek i, nie zdradzając się z tem przed nikim, szukała sposobności, aby wywrzeć na niej swą zemstę. Do klasztoru tego zaszedł raz Kryspin i zastał w rozmównicy ową siostrę z kilkoma innemi, które chciały pomówić z nim o rzeczach Bożych. Powoli skierował on rozmowę na straszny grzech nienawiści i opowiedział o karach, jakiemi Bóg dotykał nieraz ten występek. Odchodząc, zawołał winowajczynię i rzekł do niej: „Czy słyszałaś? Wiedz, że to wszystko mówiłem dla ciebie; zastanów się nad tem i skorzystaj!“ Krótkie te słowa odniosły swój skutek. Zakonnica nawróciła się i pojednała serdecznie z ową siostrą. Więcej jeszcze rozgłosu i zbudowania miało pogodzenie się dwóch braci, którzy dla nędznych spraw pieniężnych nienawidzili się wzajemnie. Doszło już do tego, że chcieli się pojedynkować i już był dzień na to wybrany. Prośby i błagania krewnych i przyjaciół nie odniosły żadnego skutku. Sługa Boży, uwiadomiony o ich zamiarze, pobiegł do nich natychmiast i tyle pracował nad jednym i drugim, że w dniu, w którym mieli dopuścić się zbrodni, zakończyli swą sprzeczkę i uściskali się po bratersku.

Jego walki z bluźnierstwem.

Dwóch ludzi kłóciło się na ulicy. W zapalczywości swojej miotali przeciw Bogu i Najśw. Marji Pannie okropne bluźnierstwa, będące smutnym nałogiem prostego ludu włoskiego. Błogosławiony podszedł do nich, wołając: „Ależ, nieszczęśni. I cóż wam dobry Stwórca uczynił? Cóż zawiniła Jego Najświętsza Matka?“ A widząc, że napad gniewu pozbawia ich rozwagi, rzucił się im do nóg wobec wszystkich przechodniów i tak boleśnie błagał, żeby przestali bluźnić, że zmieszani i wzruszeni, rzucili się do ucieczki, a brat Kryspin, chwytając za rękę jednego i drugiego, przyciągnął ich do siebie i zawołał: „W Imię naszej Matki Niebieskiej, którą znieważyliście, macie się natychmiast pogodzić i przeprosić obecnych za to zgorszenie“. Łzy winowajców były odpowiedzią na słowa Błogosławionego, on zaś udał się prosto stamtąd do kościoła Ś. Andrzeja, gdzie prawdopodobnie swoją żarliwością wynagradzał uczynioną Bogu i Marji obrazę.

W innej znów okoliczności, oburzając się na bluźnierstwo, zapowiedział winnemu karę, która go nie minęła. Przyszedł on do właściciela pewnego hotelu i prosił o wino do Mszy świętej. Właściciel odmówił, a Kryspin odszedł z pokorą, gdy w tem do uszu jego doleciały słowa bluźniercze przeciw Najświętszemu Sakramentowi Ołtarza. Odwrócił się więc i rzekł: „Ostrzegam, że będziesz pan tego żałował“. Na te słowa właściciel jeszcze bardziej się rozzłościł i wyrzucił potok zjadliwych bluźnierstw. Błogosławiony stanął, jak w ziemię wryty. Oczy jego błyszczące i wpatrzone w nieszczęśliwego człowieka, zdawały się badać w głębi tej duszy, jak ciężka czeka ją odpowiedzialność. Potem ruchem mimowolnym podniósł rękę i wskazał na kościół Ś. Juwenalisa. „Czy widzisz, nędzniku, tę świątynię?“ — „A cóż mnie obchodzi twój kościół i twój Juwenalis?“ odparł bluźnierca. — „Co cię obchodzi? Oto umrzesz i jutro ciało twoje będzie w nim wystawione. Niech Bóg zlituje się nad tobą!“ Właściciel, nie zważając na proroctwo Świętego, wszedł spokojnie do domu. Kilka minut potem umarł nagle i trup jego nazajutrz stał w kościele Ś. Juwenalisa.

W temże Orvieto pewien człowiek miał nałóg bluźnienia Imienia Bożego. Błogosławiony kilka razy próbował go od tego oduczyć, ale zawsze napróżno; w końcu silniej na niego wpływał, grożąc mu, że kara Boska go nie minie. Nieszczęśliwy grzesznik, zatwardziały w złem, nic sobie nie robił z tej uwagi, owszem, kiedy raz Kryspin strofował go za bezbożność, rzucił się nań i zbił okrutnie. Jeden ze świadków, krewny owego łotra, tak był tem uniesiony, że mając rusznicę w ręku, wycelował do niego i wystrzelił. Nędznik miał jeszcze dosyć czasu, by się ukryć za mur, ale gdy stamtąd w dalszym ciągu wykrzykiwał coraz straszniejsze bluźnierstwa, kula, odbiwszy się o ścianę, kierowana siłą niewidzialną, zwróciła się nagle w bok, dosięgła bluźniercę w same usta i rozdarła mu język, zostawiając martwego pod ciosami sprawiedliwości Bożej. Wypadek ów, ponieważ stał się w oczach ludzkich, był odtąd potężną bronią Kryspina; opowiadał o nim wielu grzesznikom, aby mogli dobrze zrozumieć, jak surowe kary zsyła Pan Bóg na tych, którzy nie chcą nawrócić się do Niego.

Inne dowody gorliwości.

Pewna pani z wyższego świata prowadziła życie występne i utrzymywała grzeszne stosunki z kilku panami. Brat Kryspin zalecił jej raz, aby często rozmyślała o śmierci, aby chodziła do kościoła na nabożeństwa żałobne i tam przy trumnie rozważała przez parę minut o znikomości rzeczy ziemskich. Chcąc zaś podtrzymać w niej to pierwsze uczucie bojaźni i skłonić do nawrócenia, kazał w sercu obudzać pragnienie nieba, i w tym celu przypatrywać się wieczorami gwiazdom na firmamencie niebieskim, mówiąc do siebie: „Czy pomiędzy wspólnikami mego nierządu jest aby jeden, coby potrafił uczynić najmniejszą z tych gwiazd? Jakże więc nierozumną jestem, gdy opuszczam Boga tak potężnego, Boga, który zgotował mi chwałę wiekuistą, a przywiązuję się do nędznych robaków ziemskich, do ludzi, ciągnących mnie za sobą na męki piekielne?“ I sługa Boży mówił o niebie tak pięknie i cudnie, że owa pani, wzruszona do głębi duszy, zaczęła opłakiwać swoje błędy i niezadługo, dzięki miłosierdziu Boga, rzuciła wszystko, a poszła ukryć się w klasztorze, gdzie też umarła śmiercią świątobliwą.

Ileż to takich nawróceń, jak powyższe, sprawił Błogosławiony! Jeżeli słowa jego były bezskuteczne, wtedy modlił się za grzeszników, biczował, słowem czynił wszystko, co tylko było w jego mocy, aby zadośćuczynić sprawiedliwości Bożej i wyjednać dla tych nieszczęśliwych łaskę prawdziwego i szczerego nawrócenia. Ta gorąca miłość rozbudziła w jego duszy pragnienie pójścia z misjonarzami swego zakonu do krajów niewiernych. Rozumiał on dobrze, co to jest dar wiary i często słyszano go wołającego: „O, jakąż wdzięczność winni jesteśmy Bogu, że nam pozwolił urodzić się na łonie prawdziwego Kościoła!“ To też chciał, aby w tym darze mieli udział wszyscy ludzie, bo wszystkich, jak braci swoich, miłował. Kilka razy prosił o pozwolenie na misje, ale zawsze mu odmawiano; starał się więc przynajmniej słyszeć opowiadania misjonarzy o ich pracach. Pewnego dnia, brat Bonawentura, Kapucyn, który przez 14 lat głosił Ewangelję w krainie afrykańskiej, Kongo, mówił braciom o cierpieniach, jakie misjonarze przenieśli wśród tych dzikich ludów i w tym gorącym klimacie. Kryspin, słuchając uważnie, wzdychał i powtarzał po cichu: „O, jakim ja nieszczęśliwy! Siedzę tutaj, jak tchórz i nędznik, a ty, Ojcze Bonawenturo, tyleś już mógł wycierpieć dla Pana Jezusa!“ Tak nisko rozumiał o sobie, porównywając się z innymi. Jeśli zatem, pełniąc na każdy dzień tyle dobrego, sługa Boży uważał się za nędznika, możemy stąd łatwo zrozumieć, że tak gorąco pragnął cierpieć dla Chrystusa Pana i coraz więcej dobrego czynić swoim braciom[1]).

Ambroży z Lombez (1778 r.).

Ten słynny pisarz ascetyczny wsławił się także wielką gorliwością o zachowanie konstytucji kapucyńskich. Już w połowie XVIII wieku nieprzyjaciele Kościoła chcieli odchrześcijanić Francję. Plan szatański ułożony został przez markiza d'Argenson. Zaczęto go od zniszczenia zakonów religijnych. 23 i 24 maja 1766 r. wydano dwie deklaracje, w których Ludwik XV, przypisując sobie bezwstydnie prawo reformowania zakonów na ziemi francuskiej i nie pytając Papieża, oświadczył, że sprawa ta należy do niego samego; że odtąd on tylko ma prawo przyjmować śluby, odraczać je, lub od nich zwalniać. Utworzono dwie komisje: jedna, tak zwana Komisja zakonników, otrzymała jak najrozleglejszą władzę do przeprowadzenia reformy, druga zaś miała zbadać i określić granice dwóch władz: kościelnej i monarszej. Tak to król arcychrześcijański umiał się opiekować Kościołem!

Pełna przewrotnych intencji Komisja zakonników, do której żaden zakonnik nie należał, wydała rozkaz, aby każdy zakon zwołał kapitułę narodową, t. j. złożoną z samych tylko Francuzów. Kapucyni zgromadzili się w Paryżu 7 maja 1771 roku w wielkim klasztorze przy ulicy Ś. Honorata. O. Generał, mający wyjątkowo jeden ze wszystkich generałów pozwolenie przewodniczenia braciom, nie stawił się. Pomimo to smutnej pamięci Kardynał Lomenie de Brienne kazał mu wręczyć wskazówki Ludwika XV dotyczące ustaw, a dążące do zburzenia wiekowych prawideł Kapucynów i do zniesienia kilku ich klasztorów. Zebrani zdumieli się, słysząc, co zawierają nowe ustawy, i że mają je przyjąć, jako wolę króla i potwierdzić. Utworzyły się dwa obozy: jeden pragnął zachować dawne tradycje, drugi lękał się obrazić władzę. Wówczas to podniósł się głos spokojny, ale stanowczy: „Nie chcemy nowości; pilnujmy tego, co nam przekazano. Nie jesteśmy mądrzejsi od dawnych Ojców; dałby Bóg, abyśmy im dorównali w cnotach! Trzymajmy się tego, co oni ułożyli i nie poprawiajmy ich dzieła. Reguła nasza jest jedną z najbardziej godnych szacunku, a konstytucje pełne są mądrości. Pocóż nam szukać nowych. Choćby one nawet przyniosły coś dobrego, ta korzyść nie wynagrodziłaby zamieszania, jakieby stąd wynikło“. Słowa te mówił z ogniem i siłą O. Ambroży z Lombez, delegat prowincji Bordeaux.

[1]) Le Saint Joyeux par P. Pie de Langogne, Cap.

Dowiedziawszy się o niespodziewanym oporze Kapucynów, Lomenie de Brienne przyszedł sam na kapitułę, spodziewał się bowiem, że jego obecność powstrzyma niechętnych. Ale rzeczywistość dowiodła mu, że się grubo pomylił; stronnictwo przeciwne wytrwale broniło swego. Musiał więc odstąpić od swoich żądań i przyobiecać, że ustawy zakonne nie będą zmienione. Po tem ustępstwie jednak zwrócił się do Ojców kapitularnych, aby przynajmniej zechcieli posłuchać odczytania nowych konstytucji, licząc, że może w ten sposób zdoła zwyciężyć opór, jaki mu dotychczas stawiano. Niełatwa była jednak sprawa z Ambrożym. Znakomity Kapucyn wstał, i odkładając na bok wszelki wzgląd ludzki, sam jeden głośno wystąpił przeciw nowym ustawom. Mimo to odczytano je. Ale gdy sługa Boży usłyszał nową formułę ślubów: „Ja N. ślubuję i obiecuję zachowywać regułę Braci Mniejszych, według brzmienia Konstytucji", podniósł się znów, tym razem z kilku jeszcze innymi i tak gorąco a żarliwie bronił dawnej formy i dawnych ustaw, że większa część braci przeszła na jego stronę, a drudzy, krępowani szacunkiem dla władzy monarszej, zachwiali się, i na ostatniem posiedzeniu nowe ustawy jednomyślnie odrzucono.

Ważne to zwycięstwo wiadome było Ambrożemu na kilka dni przedtem. Pewnego wieczora, mówi jego życiopisarz, O. Leonard, sługa Boży, który ciągle myślał o tej sprawie i lękał się, aby z dopuszczenia Bożego przewrotność nie zwyciężyła, modlił się u stóp Najświętszej Panny, błagając Ją ze łzami, i z tą wiarą, którą Święci tylko posiadają, aby raczyła wstawić się do swego Syna o zachowanie czystej i całkowitej obserwancji reguły. I oto naraz ujrzał Matkę Bożą przy sobie po jednej stronie, a po drugiej Serafickiego Ojca Franciszka. Co się działo podczas tego niebiańskiego widzenia, Święty nikomu się z tem nie zwierzył, ale wiadomo, że usłyszał słowa, które uspokoiły go, napełniając zarazem cudowną pociechą.

Brat zaś Filip z Madiranu, mówiąc o tym samym przedmiocie, taki dodaje szczegół: „O. Ambroży opowiadał mi dużo o owym zamachu na nasz zakon. Nadto oznajmił pewnej zaufanej osobie (prawdopodobnie temuż bratu Filipowi), która, póki żył, wiernie zachowała to w tajemnicy, że w chwili najkrytyczniejszej, kiedy się podniósł wobec całego zgromadzenia, aby bronić reguły i ustaw, zobaczył przy sobie z jednej strony Ś. Franciszka, a z drugiej Ś. Klarę, którzy go jakby podtrzymywali [1]).

[1]) P. Ambroise de Lombez...

Jan Chryzostom z Barżak (Barjac) (1819 r.).

Jan Chryzostom, ze świata Antoni Pellier, urodził się w Barjac 1755 roku, z ubogich wieśniaczych rodziców. Zmuszony wcześnie pasać bydełko i pracować w polu, nie mógł chodzić do szkoły, sam jednak nauczył się czytać i pisać. Zbierał kawałki gazet i prosił dzieci, żeby mu wskazywały, jak się wymawia każda litera, pisał zaś nożem na młodej korze drzew, albo na twardej powierzchni kamyków górskich. Pobożny i niewinny, jak anioł, Antoni przemawiał do swoich owieczek o miłości Bożej, lub o grzesznikach, którzy obrażają Boga, a których on pragnąłby nawrócić. Były to pierwsze jego porywy kaznodziejskie. Dopiero mając lat 14, zaczął pobierać systematyczną naukę w klasztorze Kapucynów, do których w sześć lat potem wstąpił. Zostawszy kapłanem, prowadził życie apostolskie i miewał misje, ale w r. 1793 rewolucja rozpędziła klasztory i odtąd O. Chryzostom wędrował z miejsca na miejsce, ścigany przez rewolucjonistów, którym się cudownie wymykał. Pewnego dnia był we wsi Barjac, gdzie miał Mszę św. Wtem dają znać, że żołnierze są tuż o kilka kroków. Kapucyn przebiera się za pasterza, bierze worek i laskę i wychodzi z owcami. Widząc go, idącego za stadem i śpiewającego jakąś piosenkę rewolucyjną, żołnierze odezwali się do właściciela osady: „Wasz pasterz, zdaje się, nie mieć dobrze w głowie, ale to nic nie szkodzi, stado go słucha". Podobne wypadki ciągle się powtarzały; Chryzostom jednak nie ustawał w żarliwości. Raz był wieśniakiem, to znów stolarzem i niósł narzędzia swego fachu, to grajkiem, i tak ciągle, aby tylko służyć bliźniemu i dusze ratować. W końcu osiadł w Sę Marsel de Karrere (Saint-Marcel de Carreiret), ale i stamtąd robił dalekie wycieczki naokoło. Zaczął nawet odprawiać nabożeństwa, gdy w noc z 5 na 6 stycznia 1799 r. aresztowano go w chwili, kiedy miał wyjść ze Mszą św. Uprowadzony z powrozem na szyi do Nîmes, otrzymał wyrok wygnania na wyspę Oleron. Tutaj zaczęła się dla heroicznego kapłana wędrówka po więzieniach. Wygnanie jego trwało rok i kwartał, ale chociaż więziony, potrafił z oddalenia kierować swojemi owieczkami, aż, omyliwszy czujność pilnujących go strażników, wrócił na ląd 24 lipca r. 1800, i znowu znajdujemy go w Sę-Marsel (Saint-Marcel). Później, jako wikarjusz w Eg-Mort (Aigues-Mortes), zajął się wychowaniem chłopców i przygotowywaniem ich do kapłaństwa, a od r. 1805 było to już jego głównem zajęciem. Bez funduszów założył prawdziwe seminarjum, w którem miał w najlepszych czasach 40-tu kapłanów. Jednocześnie proboszcz, przełożony i profesor w swojem seminar-

jum, rozwijał przez 14 lat zadziwiającą działalność. Do śmierci chodził w habicie i jedno tylko było dlań bolesne, że nie doczekał się odrodzenia zakonu swego we Francji. Umarł pełen zasług, 12 grudnia r. 1819. Na grobie jego położono tablicę marmurową z napisem: „Tu spoczywa O. Chryzostom, zakonnik Kapucyn, wyznawca wiary w r. 1792, proboszcz w Szambą (Chambon), gdzie umarł w opinji świątobliwości, 12 grudnia r. 1819. Kochał dzieci i zachęcał je do cnót i do stanu kapłańskiego. Opiekuje się niemi z nieba“ [1]).

Marja-Antoni z Lawor (Lavaur) (1907 r.).

Święty z Tuluzy, jak go powszechnie w całym kraju nazywano, spędził swój żywot zakonny na misjach, głosząc kazania i słuchając spowiedzi. Co trzy tygodnie lub co miesiąc zmieniał miejsce pobytu, udając się to na północ Francji, to na południe, to do miast portowych, to w góry, to do wiosek, to znów do miejscowości roboczych i i fabrycznych. Nie zrażał się niczem: ani obojętnością mieszkańców, ani ich niewiarą, ani uporem i niechęcią. Owszem, troska o dusz zbawienie podawała mu genjalne sposoby ściągnięcia ich do kościoła. Zawsze, na wzór Pana Jezusa, starał się uwiadomić ludność o swojem przybyciu. Zbawiciel posyłał zwykle przed sobą dwóch uczniów, aby przysposabiali lud na Jego przyjście. O. Marja-Antoni nie mógł wysyłać swoich braci zakonnych, używał przeto dzwonów, każąc w nie bić mocno i długo, świstków drukowanych, dzieci szkolnych, które chodziły do każdej rodziny i zapraszały ją na misję w imieniu kapłana, sam odwiedzał mieszkańców, przedstawiając cel swojej wizyty, w ostatecznym zaś razie, w dzień niedzielny wychodził z kazaniem po każdej Mszy świętej i po nieszporach, aby się ludzie zwiedzieli i przyszli słuchać dziwnego misjonarza, który sam ich szukał i prosił. I misje udawały się wspaniale. Prawda, trzeba dodać, że czcigodny kapłan posiadał znakomitą wymowę. Język jego był prosty, malowniczy i wzruszający, przechodził niespodzianie od śmiechu do łez, tak że niepodobna było nie uledz jego wpływowi. Szczególniej mężczyźni odczuwali tę potęgę ducha. Gdy na początku misji bywało ich zwykle po kilku, pod koniec setki i tysiące przystępowały do Sakramentów Świętych. W kościołach brakowało miejsc. Ubiegano się o zaszczyt niesienia krzyża misyjnego, tak iż sługa Boży musiał wybierać kilkanaście gromadek, które się kolejno zmieniały, a w skład ich wchodziła szlachta, urzędnicy, wojskowi, lud fabryczny i roboczy, słowem, wszystkie stany bez wyjątku.

[1]) L'Union séraphique, Décembre, 1909.

Gdy odchodził lub odjeżdżał, nowonawróceni nie chcieli go puścić, wyprzęgali konie od powozu i otoczywszy Kapucyna, okrywali pocałunkami jego habit, ręce i nogi. Niekiedy, aby ich zadowolnić, szedł z nimi pewien czas pieszo, wśród śpiewów i tryumfalnych okrzyków. Siostra O. Marji Antoniego, będąca raz świadkiem takiej misji, pisała w kilka lat później: „Co widziałam w Graulhet, tego do śmierci nie zapomnę“.

Już o 4-ej, a najpóźniej o 5-ej rano świątobliwy misjonarz rozpoczynał swoją pracę, a kończył ją późno w noc. Trzeba było wzywać innych kapłanów do spowiadania, mnóstwo bowiem osób, zwłaszcza mężczyzn, którzy od lat kilku, a nawet kilkunastu i kilkudziesięciu nie uczęszczali do spowiedzi, cisnęło się do konfesjonałów. Na ceremonję postawienia krzyża, ulice, przez które miała przechodzić procesja, przybierano w zieleń, światło i kwiaty, jak na Boże Ciało. Wieczorem miasta były iluminowane.

Lecz nie wszędzie tak się udawało. W miejscowościach, zamieszkałych przez potomków albigensów, było trudniej i O. Marja Antoni musiał się dobrze napracować, aby ich ściągnąć do kościoła. Byli tam starcy 80-letni, żyjący bez myśli o zbawieniu, którzy raz tylko w swojem życiu przyjęli Komunję świętą. Misjonarz każdą duszę musiał zdobywać, jak twierdzę, lecz w końcu łaska Boża odnosiła zwycięstwo. Jak Zbawiciel, chodził on nawet za jedną zgubioną owieczką, jak to było naprzykład z Piotrem w l'Isle-en-Jourdain. Ten ciekawy i wzruszający wypadek opowiadano sobie i wierszem opiewano, ale nikt go tak dobrze nie opisał, jak sam O. Marja Antoni. „Dowiedziałem się, mówi on, że młynarz Piotr nie był u pierwszej Komunji świętej, a miał już lat przeszło 60. Trzeba więc było przeprowadzić prawidłowe oblężenie. Wziąłem tedy dwóch wikarych, niby dwa skrzydła kolumny, której środek zajmowała moja osoba. Zbliżaliśmy się każdy oddzielnie z oczyma utkwionemi w młyn, lecz gdy byliśmy o 50 kroków, nagle wybiegł z niego jakiś człowiek i popędził przez pole. Biegliśmy za nim, ale napróżno; przepadł bez śladu. Wikarjusze zniechęceni, wrócili się, pozostałem ja tylko, sam jeden, na drodze z Gimont do l'Isle i szepcząc modlitwę, szukałem go oczami na wszystkie strony. Idąc dalej, zauważyłem, że stoję przy mostku, przez który szła droga i przyszło mi na myśl zajrzeć pod niego. Schodzę tedy i patrzę. A tu mój Piotr siedzi, trzymając widły w ręku i ogląda się, gdzieby uciec. Podszedłem doń z nieustraszoną odwagą, on zaś, chociaż podniósł widły, drżał ze strachu. „Nie bój się, kochany Piotrze, rzekłem. Ale co ty tu

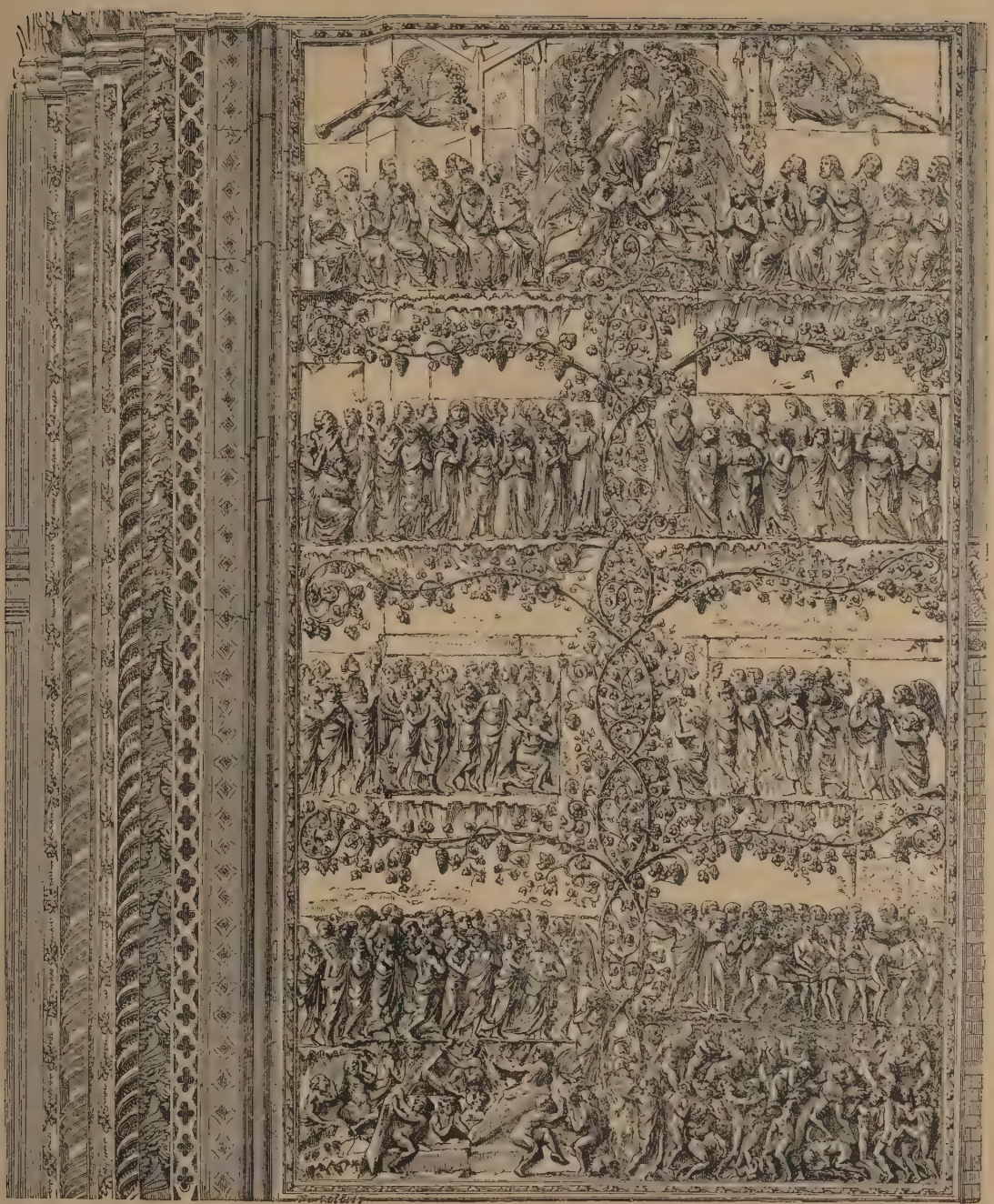

SĄD OSTATECZNY.

Z LEWEJ STRONY W DRUGIM RZĘDZIE ZNAJDUJĄ SIĘ Ś. FRANCISZEK I Ś. DOMINIK.

Płaskorzeźba z XIII wieku na drzwiach wchodowych katedry w Orvieto, przypisywana Janowi z Pizy.

robisz pod mostem?“ — „Szukam zająca“, odpowiedział. „A ja go już mam“, zawołałem, całując go; „już go mam i nie ucieknie mi. Czy zechciałbyś mi pokazać swój młyn?“ — „Bardzo chętnie, odparł, bardzo chętnie“. I zaprowadził mnie z widoczną radością. Wszedłszy, usiadłem na worku mąki, a Piotr ukląkł i wyspowiadał się, jak baranek. Po spowiedzi zwołał wszystkich swoich sąsiadów i sąsiadki, mówiąc: „Nie oddałbym za sto tysięcy franków mojej spowiedzi przed tym dzielnym kapłanem!“ a rzucając mi się w objęcia. „Mój Ojcze, dodał, będę się codzień spowiadał, codzień!“ I w rzeczy samej przychodził każdego dnia rano i wieczór, w następną niedzielę pierwszy przystąpił do Stołu Pańskiego, zaś na procesji wieczornej niósł chorągiew na czele mężczyzn, z piersią ozdobioną krzyżykiem misyjnym. Co niedziela brał na siebie ten krzyżyk, a co miesiąc, aż do śmierci, nigdy nie opuścił Komunji świętej.

Na co się narażał przez swą gorliwość

Nie wszystkie jednak wizyty czcigodnego zakonnika były tak szczęśliwe. Czasami grożono mu, że go zabiją, strzelą doń z rewolweru, ale i to go nie przerażało, byle grzesznika doprowadził do spowiedzi. Pewnego dnia w Montauban jakiś poczciwy góral uwiadomił O. Marję Antoniego, że niedaleko umiera starzec, polujący na niedźwiedzie, nieprzyjaciel kapłanów, więc trzeba się mieć na baczności, bo może strzelać“. Ostatnia uwaga dodała skrzydeł słudze Bożemu. Pobiegł do niego natychmiast. Ujrzawszy zakonnika, stary zaczął poprostu wyć, jak dzikie zwierzę; leżąc na łóżku, wstrząsał swemi żylastemi rękoma, pokazywał pięści, a z oczu jego skry się sypały. O. Marja Antoni zbliżył się i wyciągnął dłoń na powitanie, ale myśliwy począł wyć jeszcze głośniej; mówił mu o Panu Bogu, lecz ten nie przestawał wyć. Wreszcie, zmęczony, zawołał: „Ach, żebym miał fuzję, już sprawa byłaby skończona!“ — „Przyniosę ci ją, rzekł misjonarz, powiedz tylko, gdzie jest. Nie widzę jej coprawda, w izbie, ale oto gruby drąg żelazny, doskonale zastąpi broń“. I podał mu go ze słowami: „Uderzaj; masz moją głowę, ale przyrzeknij mi przedtem, że wezwiesz księdza proboszcza i wyspowiadasz się“. Taka żarliwość wzruszyła serce umierającego; uspokoił się, żelazo wypadło mu z ręki. W kilka miesięcy potem zakonnik dowiedział się, że przed śmiercią pojednał się on z Panem Bogiem.

Coś podobnego stało się w Tuluzie. Dano znać O. Antoniemu, że ciężko chora kobieta pragnie spowiedzi, ale mąż jej grozi zabiciem kapłana, któryby się odważył przestąpić próg jego domu. Gorliwy misjonarz westchnął do Najśw. Panny i poszedł ratować duszę. Gdy zapukał do drzwi, mąż, który go widział przez okno idącego, zawołał: „Tu się nie wchodzi!“ — „Uspokój się pan, odpowiedział Marja-Antoni ze słodyczą, bądźmy przyjaciółmi!“ — „Aha, przyjaciółmi! ja ci zaraz pokażę, jak cię kocham!“ To mówiąc, chwycił za strzelbę, stojącą w kącie pokoju. Chora zaczęła krzyczeć i płakać. „Nie płacz, biedaczko, rzekł jej Kapucyn, dla chwały Bożej powinien każdy z nas oddać życie“. Tymczasem okrutnik, pieniąc się ze złości, wycelował w pierś misjonarza; lecz sługa Boży wziął krzyż w rękę i tuląc go do serca: „Uderz, powiedział, jestem gotowy!“ Widok krzyża rozbroił nieszczęśliwego, upuścił fuzję i wyszeptał: „Jeszcze tu jesteś? Zaskarżę cię o najście mego domu; pójdę zaraz po strażnika, po komisarza policji“. — „Idź, idź, odrzekł Marja-Antoni, zaczekam na niego, aby spisał protokół“. I kiedy ten wybiegł, korzystając z chwili, zaczął spowiadać chorą. Ledwie zdążył to zrobić, gdy nadszedł komisarz, który nietylko że nie zganił kapłana, lecz zwrócił się z ostrem upomnieniem do nieszczęśliwego: „Nie Ojciec jest winowajcą, ale ty nim jesteś. On spełnił swój obowiązek, wtedy gdy ty o swoim zapominasz. Korzystaj więc z tego przykładu“. I w rzeczy samej skorzystał: dzięki modlitwom swej pobożnej małżonki, nawrócił się i został dobrym chrześcijaninem.

Nieraz w podobnych wypadkach, gdzie gorliwy syn Ś. Franciszka narażał swoją głowę, policja przychodziła mu z pomocą.

O. Marja Antoni ze swoim wysokim wzrostem, długą brodą, okiem pełnem życia, słodkim uśmiechem, w wytartej i połatanej sukni, przedstawiał wzór poświęcenia i gorliwości ewangelicznej, mającej jedną tylko namiętność: Boga i dusze. Jego sposób kazywania oryginalny, nie troszczący się o wykwintność, idący za natchnieniem, a więc nieprzewidziany, różnił się bardzo od zwykłych kazań. Można było żyć 60 lat i nigdy nie słyszeć nauk o Matce Najświętszej, mówionych z takiem namaszczeniem, z taką czcią głęboką i miłością, udzielającą się otoczeniu. W kazaniach jego była dziwna wymowa, prostota i poezja. Zdarzało się, że obecni śmiali się, słuchając go, a potem płakali u jego kolan. Jest to tryumf wymowy Świętych. Przenikają oni węzły, łączące porządek moralny z porządkiem fizycznym, posługują się wszelkiemi właściwościami natury, aby kochać Boga i sprawić, aby Go kochano. Lecz cokolwiekbyśmy powiedzieli na pochwałę jego daru kaznodziejskiego, niczem to będzie, wobec słów pełnych prostoty,

które wyrzekł raz o nim wieśniak z Wiwje-le-Mątań (Viviers-les-Montagnes): „Gdyby Pan Jezus przyszedł poraz drugi na ziemię, mówiłby jak O. Marja Antoni".

Żarliwość w spowiadaniu.

Słynny Kapucyn, mówca i spowiednik pisze sam o sobie z Lourdes w r. 1883, że jest on tutaj tragarzem dusz i że to jest główna jego rola od pierwszej pielgrzymki narodowej. Inni znoszą do sadzawki schorzałe ciała, on prowadzi do konfesjonału dusze, nietylko zbolałe, ale już umarłe i oddawna pogrzebione, a zmartwychwstania tak cudownie się mnożą, iż kolce tej twardej pracy zmieniają mu się w róże. Temu uciążliwemu obowiązkowi poświęcał chętnie najsłodsze swoje radości. Będąc np. na koronacji figury Matki Bożej, nie uczestniczył w ceremonjach, ale słuchał wyznania grzechów. Konfesjonały nie były dlań potrzebne; gdzie był grzesznik, tam odbywała się spowiedź: we wszystkich kątach bazyliki lub groty, u stóp drzewa, na ławce w alei. Pewnego dnia widziano, jak usadowił się na stacji kolejowej w biurze urzędnika; innym razem, kiedy pociągi pełne mężczyzn szły prawie co godzina jedne za drugiemi, spowiadał pielgrzymów, siedząc wśród bagaży, w przerwach między jednym a drugim pociągiem.

Miał wszakże w Lurd (Lourdes) swój mały kącik, a raczej kąt i pod ręką kratkę ruchomą, którą stawiał lub odstawiał, odpowiednio do płci penitenta. Schowanko to znajduje się po prawej stronie od drzwi wchodowych w kościele Różańca Św., niedaleko zakrystji, pod oknem. Tam czcigodny Ojciec spędzał całe dnie i trzy czwarte nocy. Zaledwie wyszedł z wagonu, mówi naoczny świadek, po krótkiem nawiedzeniu groty udawał się do swego kąta. A tymczasem grzesznicy już cisnęli się, tłoczyli, następowali na siebie, tak że O. Marja Antoni musiał ich uciszać i zachęcać do cierpliwości. Aby nie dać im długo czekać, odprawiał Najświętszą Ofiarę, jak się zdarzyło: około północy lub około południa, w zakrystji mówił brewjarz i jadł śniadanie; w zakrystji również jadł obiad i kolację. Potrawy jego były to chleb i woda, trochę owoców, przywiezionych z Tuluzy, jajecznica z grzankami, którą zaczął jeść w Nansi (Nancy) (historyczne), lub indziej, a resztę zawinął w połę płaszcza. To była jego śpiżarnia, często bowiem musiał, jedząc, spowiadać. Niekiedy zmęczony, prosił o kwadrans czasu, aby mógł się zdrzemnąć w konfesjonale, czy na stołku, oparty o ścianę. Mając zaś chwilkę swobodną, wyciągał się na podłodze kazalnicy, lub na stopniu ołtarza, gdy zaś sen bardzo go zmorzył, wychodził z kościoła pod klatkę schodową i tam zasypiał.

Ile nawróceń, ile cudów stało się w tym kącie bazyliki Różańcowej! Sam misjonarz był niemi zachwycony. „Te cuda niewidzialne, mówił, są tysiąc razy godniejsze podziwu, aniżeli uzdrowienia ciała. Zbawienie dusz, ich nawrócenie, uświęcenie to jest wielkie dzieło Marji Niepokalanej w Jej ulubionej świątyni: uzdrowienia ciała dzieją się tylko dla uleczenia duszy". Z Lourdes sława czcigodnego Ojca rozeszła się na świat cały; tu nawiązywał niezliczone znajomości, tu miał swoje posiedzenia, swoje wielkie dni, kiedy dawał posłuchanie pielgrzymom, przybyłym z całej kuli ziemskiej, a szczególniej Tercjarzom. Gdy go zobaczono w Lourdes, nie mógł kroku naprzód postąpić: każdy chciał go przywitać, poznać, jeśli nie znał, pragnął otrzymać jego uśmiech, wejrzenie, błogosławieństwo: wszelkie znakomitości nikły wobec O. Marji Antoniego; był to Święty Lourdes, jak był Świętym Tuluzy.

Lecz nie należy mniemać, aby w tem cudownem miejscu nie mówił kazań. Przeciwnie, przedewszystkiem głosił nauki i przy wjeździe i przy odjeździe, w kaplicy, w grocie, przy sadzawkach. Podczas pierwszych pielgrzymek wchodził na ławkę lub na odłam skały, raz nawet wdrapał się na dach mieszkania stróża. Miewał różne przemówienia: uroczyste, okolicznościowe. Ze swoją niewyczerpaną wyobraźnią i gorącą pobożnością znajdował zawsze obfity przedmiot, tak że nigdy się nie powtórzył, wiedząc, co komu potrzebne i co go wzruszy, co skłoni do dążenia do doskonałości, co będzie miłe Francuzom, a co Hiszpanom i t. d.[1]).

Polscy Bracia Mniejsi, Reformaci: Bonawentura z Przemyśla (1632 r.).

Ojciec Bonawentura wstąpił początkowo do Bernardynów, gdzie długi czas był gorliwym kaznodzieją i wielu heretyków nawracał, z narażeniem nawet swego zdrowia i życia. Również gorliwie zastawiał się o cześć Boga i o uszanowanie Jemu należne. Podczas jego gwardjaństwa w Przemyślu zdarzyło się, że żydzi zamordowali tam chrześcijańskie dziecko, a nie nasyciwszy tem jeszcze swej nienawiści do wiary świętej, wykradli z kościoła Przenajświętszy Sakrament i w najrozmaitszy sposób Go znieważali. Oburzyło to ka-

[1]) Le Saint de Toulouse par l'abbé J. Périlié.

tolików, zanieśli więc skargę do sądu, domagając się ukarania winnych. Rząd miejski kazał schwytać zbrodniarzy i osadzić w więzieniu, ale żydzi przekupili sędziów, którzy, przyjąwszy pieniądze, uniewinnili ich, skazując natomiast katolików na ciężką karę. Nie wiedzieli biedni mieszczanie dokąd się udać o Boską i swoją krzywdę. Przyszli więc do O. Bonawentury, prosząc o ratunek. Ale przewąchali to żydzi i także przybiegli do sługi Bożego, obiecując, że mu wystawią klasztor, jeśli przynajmniej nie będzie się w to mieszał. Zakonnik nie chciał nawet ich słuchać, lecz coprędzej udał się do Warszawy, gdzie odbywał się sejm pod wodzą Zygmunta III-go. Jako słynny kaznodzieja, który przytem osobiście znany był królowi, zaproszony został z kazaniem do kościoła Ś. Jana. Mówił pięknie i długo o chwalebnem staraniu się o dobro pospolite ojczyzny, przy końcu przeczytał Ewangelję o sprzedaniu Chrystusa, a potem silnym głosem w uniesieniu zawołał: „Wiem, a wiem napewno, że drożej teraz przedany jest Chrystus w Najświętszym Sakramencie, bo za 50000 złotych przez swoich ministrów, miłościwy królu! Przekupiona sprawiedliwość, zbrodniarze uniewinnieni, potępieni ubodzy. Wejrzyj w tę sprawę, Najjaśniejszy Panie, a ukarz winnych". Przejęły wskroś przytomnych żarliwe słowa kaznodziei, szczególniej zaś króla, który, porozumiawszy się jeszcze z O. Bonawenturą, wysłał natychmiast komisję do Przemyśla, a ta, po zbadaniu rzeczy, uniewinniła katolików. Żydzi skazani zostali na śmierć, zaś niesprawiedliwi sędziowie, na wieczną hańbę ich imienia, złożeni z urzędów [1]).

Barnaba Barański (1715 r.).

Zacny ten Reformat, chociaż w zwyczajnej mowie jąkał się, to jednak, uniesiony żarliwością o zbawienie dusz, z zapałem głosił słowo Boże i, rzecz dziwna, że wówczas tracił tę wadę, a proste jego nauki trafiały do serca słuchaczy. W opowiadaniu był niezmordowany i wielkie zbierał owoce swych trudów apostolskich [2]).

Juljan Stroponski (1742 r.).

Ten sługa Boży, pałając nadzwyczajną żarliwością o zbawienie dusz, w kazaniach swoich nietylko słowy, ale i łzami obudzał w słuchaczach wstręt do grzechu, szczególniej zaś gdy mówił o Męce Pańskiej. W r. 1715 Sasi, niepokojący wówczas Polskę, najechali w Przemykowie pana Turskiego, regimentarza wojsk polskich i bezbronnego okrutnie zamordowali, a pokłuwszy też będącego tam p. Bełchackiego, kasztelana z Biecza, wsadzili go w karetę. O. Juljan, obecny temu zdarzeniu, widząc, że przy kasztelanie na pół żywym niema nikogo, wskoczył za nim do karety i przez drogę przygotowywał go na śmierć. Skoro stanęli na pierwszy popas, kasztelan już oddał Bogu ducha. Sasi, zobaczywszy kapłana, obskoczyli karetę z bagnetami, lecz ten nie uląkł się bynajmniej, prosił tylko o krótką chwilę do polecenia się Bogu. Tymczasem komendant ich rozmyślił się, że taka zbrodnia może mieć złe skutki i kazał O. Juljana wolno puścić. Z tego wypadku powstała później konfederacja Tarnogrodzka, w czasie której wiele krwi saskiej popłynęło [1]).

Franciszek Trepka.

Wstąpiwszy do Reformatów, Franciszek w początkach zaraz dał dowody przyszłej swej świątobliwości. Prosty i szczery, umartwiony w zmysłach, nigdy, czy to na świecie będąc, czy w klasztorze, nie dawał folgi ani oczom, ani uszom. Pragnąc gorąco zbawienia dusz bliźnich, niezmordowanie oddawał się słuchaniu spowiedzi i głoszeniu słowa Bożego. Nawet przyciśniony już wiekiem i różnemi cierpieniami, nigdy się z tego nie zwalniał, za najmilszy dla siebie spoczynek uważając ratowanie grzeszników. Dożywszy późnych lat, zasnął w konwencie pułtuskim [2]).

Felicjan Szadkowski.

Ten syn Serafickiego Patryarchy przez długi czas był mistrzem nowicjatu, następnie gwardjanem i kustoszem, a wszystkie te urzędy sprawował z wielką doskonałością. Gdy nowopowstające zgromadzenie Marjanów potrzebowało mistrza nowicjuszów, udało się z prośbą do przełożonego Wielkopolskiej prowincji Reformatów, aby im pożyczył na tę godność Felicjana. Przełożony przychylił się do tej prośby i wysłał sługę Bożego, który, pełniąc ten obowiązek, wykładał nadto braciom teologję moralną. Wyrobiwszy doskonałych uczniów, powrócił do swojej prowincji, lecz i tutaj nie spoczął, ale starał się o swój własny postęp w doskonałości i o zbawienie bliźnich. Gdy pewnego razu miał kazanie we wsi Dahowisko, paraliżem tknięty, dokonał swego pracowitego żywota. Spoczywa w Woźnikach [3]).

---

[1]) Matka ŚŚ. Polska T. III. [2]) Tamże T. II.

[1]) Tamże. [2]) Kalendarz seraf... 7 lutego. [3]) Tamże 7 września.

Franciszek Kwintowicz.

Był to zakonnik niepospolitej nauki i świątobliwości. Wiedząc, że nic nie może być milszego Bogu nad pomaganie ludziom do zbawienia, pragnął poświęcić na to nietylko swe siły, ale i życie. Gdy więc wybuchła zaraza w Bieczu, wspólnie z bratem Witalisem Żalskim poszedł obsługiwać chorych. Spowiadał ich, opatrywał Sakramentami ŚŚ., grzebał umarłych, dopóki sam nie poległ. W kilka dni po śmierci ukazał się tamtejszemu gwardjanowi w ubiorze biskupim. Zapytany przez niego, co to ma znaczyć, bo przecież Biskupem nie był, odpowiedział, że to za jego prace apostolskie dana mu jest w niebie chwała Biskupów. Ciała obydwóch leżą w Bieczu u fary na cmentarzu pod krzyżem [1]).

Benjamin z Warszawy, Kapucyn (1865 r.).

Ze Chrztu Piotr Paweł Szymański, a w zakonie O. Benjamin, był trzecim z rzędu Biskupem podlaskim. Odebrawszy nauki u księży Pijarów, w 17-m roku życia przyjął habit Ś. Franciszka w Warszawie. Zdolny i pobożny młodzieniec budował braci swemi cnotami i pracowitością, to też po przyjęciu święceń musiał zaraz sprawować różne urzędy, jak: kaznodziei, misjonarza, penitencjarza, lektora, definitora prowincji i gwardjana klasztoru warszawskiego; był też drugim kustoszem na kapitułę generalną. Gorąca pobożność i gorliwość o zbawienie dusz, nadto talent kaznodziejski czyniły O. Benjamina bardzo pożądanym w stolicy, gdzie od wyświęcenia na kapłana prawie ciągle przebywał. W r. 1830 został wiceprefektem misji, które OO. Kapucyni corocznie odprawiali, a już w pięć lat potem dano mu urząd prefekta misji, pierwszego definitora prowincjalnego i pierwszego kustosza rzymskiego. Byłby już wtedy prowincjałem, ale zrzekł się tej godności. Po śmierci jednak prowincjała, O. Jerzego z Duchny, rządził w jego zastępstwie prowincją, jako wikary, poczem obrano go na ministra. Na tym urzędzie zostawał lat 13, t. j. do r. 1849, za dyspensą papieską, bo reguła wymaga co 3 lata zmiany. W r. 1852 znowu został prowincjałem, który to wybór potwierdzono w swoim czasie na drugie trzy lata, zaś po upływie takowych otrzymał biskupstwo podlaskie.

Jako prowincjał, O. Benjamin wiele się przyczynił do podźwignięcia zakonu i zachowania reguły. Corocznie wizytował klasztory, zaprowadził karność, pisywał listy pełne ducha Bożego ku obudzeniu wierności w powołaniu. Stosując się do woli Piusa IX, zaprowadził reformę w klasztorach w Lędzie i w Lubartowie, gdzie były nowicjaty, oraz w Warszawie i w Lublinie, gdzie były studja naukowe. Podług reformy, obowiązkiem było każdego zakonnika zrzec się wszelkich szczególnych przywilejów, wszystko mieć wspólne, żyć jedynie z jałmużny, codzień o północy wstawać na Jutrznię, rozmyślania odbywać conajmniej trzy kwadranse, przestrzegać ścisłego milczenia. Zaprowadził klauzurę kanoniczną, furtę kazał zawsze zamykać, za klasztor tylko w potrzebie i to we dwóch wychodzić, pieniędzy u siebie dłużej nad 24 godziny nie trzymać pod karą interdyktu; nawet zakrystjanom wzbronił dotykać się pieniędzy, danych na Msze św., lub na ofiarę; mogli tylko je zliczyć, do książki zapisać i wpuścić do skrzynki. Słusznie też O. Benjamina uważać można za odnowiciela zakonu Kapucynów w Polsce. Gorliwy o chwałę Bożą, wyrabiał odpusty dla klasztorów i zaprowadzał 40 godzinne nabożeństwa. Pilnował ściśle, aby kapłani od rana siedzieli w konfesjonałach, gotowi zawsze na posługę wiernych. Wielkie owoce przyniósł dla Kościoła, jako prefekt misji apostolskich, które odprawiał z upoważnienia Stolicy Świętej, a na żądanie władz dyecezjalnych. Zazwyczaj trwały one po 2 tygodnie w każdej parafji [1]).

Uwagi z teologji mistycznej
O ważności sprawy zbawienia dusz.

Jakże często spełnia się dziś przymówka Zbawiciela, uczyniona Faryzeuszom, że wpadnie wół do dołu i biegną mu zaraz wszyscy na ratunek, a o upadek duszy nikt się nie troska. Zginie coś, czy zabłąka się komuś z trzody, a wnet wychodzą na rozstajne drogi i szukają po manowcach i wołają na wszystkie tony, wzywając do powrotu. Tymczasem zbłąka się brat lub siostra, a nikomu do głowy nie przyjdzie, żeby ich ostrzedz; wpadnie w grzech śmiertelny, w nałóg ciężki najbliższy przyjaciel, a każdy ociąga się z napominaniem, uważając to za brak miłości. Mąż żony, żona męża nie ostrzega, że leci do piekła. Tymczasem, według Ś. Jana Złotoustego, ze wszystkich rzeczy, które się dla Boga czynią, żadna Mu tak nie smakuje i o żadną tyle nie stoi, jak o zbawienie duszy. Żadna, a więc ani modlitwy, ani umartwienia, ani znoszenie cierpień, ani uczęszczanie do Sakramentów ŚŚ., bo nad to wszystko bardziej Mu do Serca przypada ratowanie dusz.

Mówi jeszcze tenże Doktor Kościoła: „Choćbyś niezliczone skarby rozdał na ubogich, więcej

[1]) Matka ŚŚ. P., T. III.

[1]) Encyklopedja kościelna, T. III.

jednak uczynisz, gdy zbawisz jedną duszę. A Dyonizy Kartuz dodaje, że ze wszystkich rzeczy Boskich, najbardziej Boską jest nawracanie i zbawienie grzeszników". Ze wszystkich rzeczy Boskich, a zatem nad stworzenie, nad utrzymanie świata, nad czynienie cudów! Jakaż to pociecha dla nas, że możemy pomagać Bogu w tej sprawie najbardziej Boskiej i że On bez naszej pomocy nie może nieraz nawrócić grzesznika, który ucieka od Niego, a do którego serca my przystęp mamy!

Komu najbardziej przystoi gorliwość o dusze?

Gorliwość o dusze, chociaż przystoi każdemu stanowi, szczególnie właściwa jest osobom bogomyślnym; do nich też uwagi nasze głównie zwracamy. Pismo Boże wskazuje, że im który Święty był bardziej zjednoczony z Bogiem, tem więcej dla dobra bliźnich był wylany, jak to widać w Mojżeszu, Eljaszu, Dawidzie, Ś. Janie Chrzcicielu i w samym Panu naszym, Jezusie Chrystusie, w Najśw. Marji Pannie i Apostołach. To samo utrzymują ŚŚ. Dyonizy [1]), Bazyli i Chryzostom. Ten ostatni stawia za wzór Ś. Pawła, mówiąc, że wszelkie umartwienia tylko samemu czyniącemu je są pomocne, a uczynki miłości pożyteczne są zarazem i nam i bliźnim. Kasjan wychwala mnichów egipskich, że nietylko dla siebie, ale i dla innych pracowali, co potwierdza Opat Jan i Ś. Augustyn, a Ś. Izydor dodaje: „Jako przez bogomyślność miłujemy Boga, tak przez życie czynne mamy miłować bliźniego" [2]). To samo utrzymuje Ś. Teresa [3]): „Chociaż należy się starać o trwanie w bogomyślności, gdy posłuszeństwo lub miłość nie wzywa do innych zajęć, lecz wyłączne oddawanie się takowej byłoby miłością własną. Sama miłość Boża wymaga nieraz, aby posługę miłości przełożyć nad bogomyślność, gdyż doskonałość chrześcijańska zawiera się w dwóch rzeczach: w miłowaniu i Boga i bliźniego [4]). Miłość Boża i bogomyślność pobudzać owszem powinna do miłowania bliźnich i to skutecznie; czyli przez uczynki miłości. Że zaś bogomyślność w tem życiu ciągłą być nie może, więc te uczynki pożytecznie ją nawet przerywają, bo jeśli są spełniane dla Boga, to stają się niejako przedłużeniem bogomyślności. Czyniąc je, dusza opuszcza Boga dla Boga, przez co następuje ściślejsze jeszcze zjednoczenie.

Od gorliwości o dusze żadna bogomyślność nie jest wolna.

1. Chociażby pustelnik jak najbardziej był odosobniony, jeszcze gorącemi modłami i przykładem cnót swoich może wspierać duchownie bliźniego. I chociaż kto daleki jest od świata, naprz. zakonnik ścisłej klauzury, i on też słowami i uczynkami miłości względem przełożonych, podwładnych i domowników, względem zdrowych i chorych, może zbawiennie wpływać na ich dusze. A stosuje się to i do osób świeckich, względem znajomych i otoczenia, odpowiednio do stanu każdego, bo jak wszelka bogomyślność powinna zapalać do miłości, tak też rozbudzać winna gorliwość o dusze, aby je na wszelki sposób ratować i wspierać.

2. Oprócz wyżej wymienionych uczynków miłości, wprost wypływających z życia bogomyślnego, samo powołanie skłania często osoby bogomyślne do zewnętrznych uczynków miłosierdzia względem ciała lub duszy bliźnich. A nawet, żeby te uczynki były doskonałemi, muszą być ożywione bogomyślnością. Dawanie np. jałmużny, wykupywanie więźniów, służenie chorym, i tym podobne uczynki co do ciała, wymagają bogomyślności przynajmniej początkującej, przez skierowanie intencji do Boga. Są one właściwe życiu czysto czynnemu. Co do duszy zaś, jak: nauczać, mówić kazania, udzielać Sakramentów ŚŚ., kierować duszami — takie uczynki wymagają już wyższej, jeżeli nie zupełnie doskonałej bogomyślności, która przynajmniej przez rozmyślanie podtrzymywaną być winna, dlatego też takie życie nie nazywa się czysto czynnem, ale mieszanem.

Słusznie więc uważa Rossignoli [1]): „że kto bez umartwienia i wyższej modlitwy oddaje się nauczaniu dla zbawienia dusz, ten nie zostaje na odpowiednim stopniu doskonałości.

3. Strzedz się atoli trzeba przesady w obu kierunkach, t. j. albo zaniedbywania dla modlitwy posług miłosiernych względem duszy i ciała, wtedy nawet gdy posłuszeństwo, miłość, powołanie i zdolności tego wymagają; albo tak całkowitego oddawania się duszom, że nic prawie się nie robi dla nabycia i utrzymania ducha modlitwy i umartwienia w sobie samym.

Gorliwość o dusze powinna rozciągać się do nieprzyjaciół.

Tak przykłady, jak zdania Pisma Świętego nauczają, że ludzie bogomyślni i doskonali bardzo ciężkie nieraz od nieprzyjaciół swoich krzywdy ponosząc, odpłacali im wielkodusznie dobrem za zło. Tak czynił Patryarcha Jakób, syn jego Józef, mąż święty Job, Mojżesz, Dawid, a szczególniej Pan nasz Jezus Chrystus i Apostołowie.

---

[1]) C. 3. de cod. Hier. [2]) L. 2. de Diur. c. 29. [3]) In fund. C. 5. [4]) Matth. 22, 38.

[1]) L. 5. De disc. Christi. c. 14 et 15.

Ze zdań Pisma Bożego przytoczymy: „Jeśli łaknie nieprzyjaciel twój, nakarm go: jeśli pragnie, daj mu się wody napić“ [1]). „Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści: a módlcie się za prześladujące i potwarzające was“ [2]). „Błogosławcie prześladującym was: błogosławcie, a nie przeklinajcie“ [3]).

Ś. Hieronim zachęca do tej cnoty wszystkich dążących do doskonałości. „Bóg, mówi on, nie nakazuje rzeczy niepodobnych, ale doskonałe, jakie czynił Dawid, Szczepan, Paweł, a przedewszystkiem sam Zbawiciel“. To samo twierdzą ŚŚ.: Chryzostom, Augustyn, Grzegorz, Kasjan, Wawrzyniec Justiniani i Blozjusz. Przyczyną tego jest, że bogomyślność powinna dążyć do doskonałości i wszystko doskonale czynić, a że doskonałość nigdzie tak nie jaśnieje, jak w miłości nieprzyjaciół i przeciwników dla Boga, zatem bogomyślni nadewszystko do tej miłości są obowiązani.

Znaki prawdziwej miłości nieprzyjaciół.

1. Modlić się za nich: „Módlcie się za prześladujące i potwarzające was“ [4]). To jest najpierwszy obowiązek miłości duchownej.

2. Dobrze o nieprzyjaciołach mówić: „Błogosławcie tym, co was przeklinają“ [5]).

3. Nieprzyjaciół pozdrawiać. „A jeślibyście pozdrawiali tylko braci swoich, cóż więcej czynicie? Azaż i poganie tego nie czynią?“ [6]).

4. Nieprzyjaciołom dobrze czynić: „Dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści [7]). A jeśli dobrze czynicie tym, którzy wam dobrze czynią, co za dziękę macie? albowiem i grzesznicy to czynią“ [8]).

5. Pożyczać nawet nieprzyjaciołom: „A który cię prosi, daj mu; a od tego, który chce od ciebie pożyczyć, nie odwracaj się [9]). A tak miłujcie nieprzyjacioły wasze: czyńcie dobrze i pożyczajcie, niczego się stąd nie spodziewając: a będzie wielka zapłata wasza i będziecie synami Najwyższego: albowiem On dobrotliwy jest przeciw niewdzięcznym i złym“ [10]).

6. Darmo dawać nawet nieprzyjaciołom: „I każdemu, któryby cię prosił — daj; a kto bierze, co twojego jest, nie upominaj się [11]). A temu, który się chce z tobą prawem rozpierać, i suknię twoją wziąć: puść mu i płaszcz [12]). Bądźcie miłosierni, jako i Ojciec wasz miłosierny jest“ [13]).

[1]) Prov. 25, 21. [2]) Matth. 5, 44. Luc. 6, 27. [3]) Rom 12, 14. [4]) Matth. 5, 44. [5]) Luc. 6, 28. [6]) Matth. 5, 47. [7]) Ibid. 44. [8]) Luc. 6, 34. [9]) Matth. 5, 42. [10]) Luc. 6, 35. [11]) Ibid. 30. [12]) Matth. 5, 40. [13]) Luc. 6, 36.

Wszystkie te oznaki miłości względem nieprzyjaciół powinny być czynione w intencji pozyskania ich dusz Bogu lub pobudzenia do gorętszej Jego miłości.

Gorliwość rozciągać się powinna na dusze czyścowe.

1. „Wdzięczność datku przed oczyma u każdego żywiącego; a umarłemu nie zabraniaj łaski“ [1]), mówi Ekklezjastyk. „Święta i zbawienna jest myśl modlić się za umarłe, aby byli od grzechu rozwiązani“ [2]) a to przystoi szczególniej bogomyślnym.

2. Zachęcają do tego Święci Ojcowie. Ś. Chryzostom powiada: „Nie napróżno czynią się ofiary za zmarłych, nie napróżno modlitwy, nie napróżno jałmużny“. A Blozjusz naucza, że wszystko, co robimy dla dusz czyścowych, Zbawiciel tak przyjmuje, jakgdyby było uczynione dla Niego samego, zatrzymanego w więzieniu. Sam bowiem powiedział: „Pókiście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili“ [3]).

3. Do tego dodać należy różne widzenia i objawienia, jak ŚŚ. Krystyny, Lidwiny, Lutgardy, Gertrudy [4]), przez które owe dziewice bogomyślne pobudzone były do ratowania dusz czyścowych modlitwą i ofiarą zadośćczynną.

4. Rozum także wskazuje, iż na zasadzie Świętych obcowania, dusze te, jako święte, mają uczestnictwo ze sprawiedliwymi żywymi. Gdy zaś są one w największej potrzebie, nic słuszniejszego, jak żeby były od żyjących ratowane. Szczególniej zaś tyczy się to osób bogomyślnych, których cała intencja zmierzać powinna do doskonałości przez miłość Boga i bliźniego, a zwłaszcza takich bliźnich, którzy, jak dusze czyścowe, najwięcej ratunku potrzebują [5]).

Jak mogą być ratowane.

1. Dusze czyścowe dostępują pomocy ze wszystkich naszych dobrych uczynków, wykonanych na ich intencję w stanie łaski Bożej [6]). Wszystkie bowiem dobre uczynki, ponieważ zadają pewną przykrość, mogą więc zadośćuczynić za dług kary, a przez jedność w miłości mogą być za zmarłych ofiarowane. To jednak nie rozumie się o zaofiarowaniu uczynków przyszłych, ale uczynków już w samej rzeczy spełnionych, bo tylko takie zmarłym są pomocne [7]).

[1]) Eccl. 7, 57. [2]) 2. Mach. 12, 46. [3]) Matth. 25, 40 [4]) Raynold; In Heterod. spir., sect. 1, p. 6. [5]) Vide Mansi Tr 86. Bibl.—Bona (in div. Psalmod. c. 13) Benedictus Pap. XIII (l. 3. Oper. scone 19) [6]) S. Thom. In 4 et. 45, q. 2, a. 3, quaest. 1. [7]) Reguera.

2. Najważniejszem wsparciem dusz zmarłych jest Ofiara Mszy Św.

3. Można je wspierać przez odpusty i przez jałmużnę.

4. Przez posty i wszelkie umartwienia.

5. Przez modlitwę, tak publiczną, jak prywatną, czy to zadośćczynną, czy też wypraszającą.

6. Wogóle lepiej jest wspomagać zmarłych z tytułu miłości, aniżeli z gorliwości o sprawiedliwość, bo miłość Bogu karzącemu po ojcowsku więcej się podoba. Może być jednak przypadek z rzadko zdarzającego się natchnienia, że Bogu więcej się podoba pragnienie całkowitej, ścisłej sprawiedliwości, lecz nie względem dusz innych, ale względem siebie, jak to np. uczyniła Ś. Katarzyna Genueńska. Przez ten akt heroiczny, nie wszystkim zalecany, zasłużyła ona na uwolnienie od kar czyścowych, gdyż miała na względzie tylko kary życia doczesnego.

Akt heroiczny za dusze zmarłych.

Uważając rzecz samą w sobie, lepiej jest z gorliwej miłości odstąpić duszom czyścowym wszystkie swoje zadośćczynienia, jakie tylko mogą im być przekazane, aniżeli je sobie zachować, bo wtedy zgadzamy się opóźnić swoje własne szczęście, aby te dusze czyścowe jak najprędzej go dostąpiły. Jest to ofiara heroiczna, ale bez szkody dla dóbr duchownych, bo te zazwyczaj powiększają się, i osoba która ten akt uczyniła, może się spodziewać obfitszego wyjęcia od kar czyścowych, jak to się stało ze Ś. Gertrudą[1]).

Takie zrzeczenia się całkowite nie wszystkim jednak bez wyjątku radzić należy, tylko doskonałym, którzy mają natchnienie do tego, gdyż niestosownem się wydaje okazywać hojność za zmarłych, jeśli ktoś zaniedbuje wiele czynić dla wypłacenia się za swoje własne winy. Dlatego też i Kościół nie wszystkie odpusty pozwala odstępować zmarłym.

Tem bardziej niestosownem jest czynienie ślubu, przez który ofiaruje się za dusze zmarłych pomoce, jakie nam po śmierci będą udzielone, bo to nie zawsze jest z większem dobrem, a następnie pomoce te nie podlegają rozporządzeniu ślubującego, chyba że są mu obiecane jeszcze za życia. Również niepodoba się Bogu jakieś drobiazgowe rozdzielanie zadośćczynień, jakby drobnej monety, i robienie z Bogiem układów dania i odebrania, roztropność bowiem wskazuje, żeby swoje małe uczynki zadośćczynne łączyć z zasługami Chrystusa Pana, i ofiarowywać je pokornie, czy to wszystkie, czy ich połowę według rady przewodnika i nabożeństwa osobistego, a także według porządku miłości. A więc naprzód za dusze, za które mamy obowiązek się modlić, to jest za bliźnich krewnych, za przyjaciół duchownych, albo za dusze bardziej potrzebujące, a dla uniknienia wątpliwości, najlepiej ofiarować, na co sam Bóg z Najśw. Panną dla większej chwały Bożej chce, aby to było ofiarowane, czy to na nasz własny pożytek, czy też za dusze zmarłych.

[1]) L. 5, c. 11.

O prawdziwej gorliwości.

Gorliwość jest stałem usposobieniem Świętych na ziemi, a nawet, można powiedzieć, stanem Świętych w niebie, powinna przeto do pewnego stopnia być zwykłym stanem dusz dążących do doskonałości; a jakże mało osób rozumie prawdziwe jej znaczenie w życiu duchownem! Aby więc wartość i skuteczność gorliwości dobrze pojąć, zastanowimy się po szczególe nad jej cechami.

Samo wyliczenie przymiotów gorliwości wyświeca, jak ważną jest ona w życiu duchownem. Gorliwość, uważana jako stan duszy, jest to, rzec można, najbliższe podobieństwo jej z Bogiem. Jest ona jednostajna, jak Bóg, umiarkowana, jak Bóg, ukryta, jak Bóg i zdradza się tylko swoją doskonałością. Jest milcząca, jak Bóg. Nie karmi się pochwałami, owszem, one ją smucą. Zanim co wykona, zdaje się, tak jak Bóg, jakby rozważać przed działaniem. Nie troszczy się o skutki, co jest jednym z cudów Bożych. Wreszcie, jak Bóg, pełna jest ognia, trawiącego wszelkie przeszkody, ale trawiącego je spokojnie, siłą swojego żaru. Nie jest ona kapryśna. Nie chwyta się nowości. Nie jest, jak wrząca woda, która, występując z naczynia, gasi ogień dokoła siebie. Gorliwość święta nie powstrzymuje nigdy działania Ducha Św. swoją nieroztropnością. Gorliwość święta nie szuka chciwie okazji do heroicznych czynów, chociaż przedziwnie umie z nich korzystać. Jest ona siłą żywotną, nieustannie działającą, wywierającą na duszę wpływ spokojny i jednostajny. Najmilszem jej zadaniem jest wytrwałe spełnianie zwykłych i pospolitych zajęć, które ożywia ciągłą starannością. Takie są cechy nieomylne, po których można odkryć tę potęgę w duszy. Jak osoba miła w każdym ruchu i na każdym kroku wdzięk ten wokoło roztacza, tak gorliwość święta tchnie wszędzie powabem i wdziękiem czystej i pięknej miłości. Akuratność w spełnianiu obowiązków jest jej jakby wrodzona. Gorliwość nic nie opuszcza, nic nie uprzedza, z niczem się nie spóźnia. Umie nagrodzić czas stracony bez ujmy zwykłym, codziennym obowiązkom i bez gwałtownego pośpiechu. Dusza

gorliwa, to zwierciadło, na którego czystym krysztale Bóg, wieczność, niebo, są jakby odbite. Wrażenie jej cudowne i chociaż oswajamy się z jej widokiem, jak z najpowszedniejszym, jednostajnym dniem naszego życia, zawsze się jednak okazuje, jak czarodziejka z baśni i przywodzi na pamięć bohaterstwa z czasów apostolskich. Gorliwość święta ma uśmiech słodki, anielski. Gniewa się niekiedy, lecz gniew jej piękny, boski i pełen uroku. W sercu żadnej nigdy nie chowa urazy, opływa bowiem w wielką obfitość wewnętrznego pokoju. Daleki od niej ponury smutek, bo jej usposobienie podobne jest do blasku różnorodnego światła. Jest ona lśniąca i miła oku, jak brylant; brzmi uszom wdzięczną harmonją, roztacza wokoło woń kwiatów. Zdaje się, że nie skalało jej tchnienie pożądliwości, jak ogień nie spalił trzech młodzieńców w piecu babilońskim. Jest to jedyna rzecz na świecie, w której przedstawia się właściwy stosunek między postępowaniem człowieka, a temi prawami, jakie ma Bóg do dusz naszych. I w tem to zawiera się surowa piękność gorliwości. Gorliwość — jest to coś starożytnego, jest to pamiątka pustyń chrześcijańskich, starożytnych klasztorów i tych pałaców, gdzie pod gronostajowemi płaszczami wielcy mocarze nosili ostre włosiennice. Tak piękna jest ta święta gorliwość i tak boskim czarująca wdziękiem, że chciałoby się na klęczkach cześć boską jej oddać, gdyby nie przemawiała do nas z Aniołem Apokalipsy: „Patrz, żebyś tego nie czynił; spółsługa twój jestem i braci twoich, mających świadectwo Jezusowe".

Gorliwość pierwotna.

Gorliwość jest owocem wyrobienia duchowego, nie trzeba jej przeto brać za jedno z pierwotnym zapałem nowonawróconej duszy, ten ostatni bowiem zawsze przemija po spełnieniu swego zadania. Nie należy jednak sobie lekceważyć tego pierwotnego zapału, tej, jak ją pisarze duchowni nazywają, pierwszej gorliwości. Pochodzi ona bowiem od Boga i jest dla duszy źródłem wielu łask. Może znać w niej było wady młodości, może nieroztropną grzeszyła żarliwością, może w niewłaściwym objawiała się kierunku, może utrzymywała zbyt wiele wiary w siebie. Lecz wpośród tych wszystkich niedoskonałości czuć w niej było wpływ łaski Bożej, dlatego z wdzięcznością i pewnym szacunkiem ją wspominamy. Czego Bóg dotknie, to jest uświęcone. W najsmutniejszych nawet chwilach życia nie pozwalajmy sobie lekko cenić tego, co było jakby kanałem, przez który łaska Boża spływała nam do duszy. O! ileż to osób z żalem spogląda w przeszłość, sięgając pamięcią w te pierwsze chwile nawrócenia swego, wspomina czystość intencji, tę dziecięcą prostotę, tę dobrą wolę, którą już dzisiaj poszczycić się nie może i której gruntowniejsze nie zastąpiły cnoty! Ta pierwsza gorliwość nigdy powtórnie nie wraca. Jeżeli opuści duszę przedwcześnie, nie spełniwszy swego w niej zadania, nic jej nie zdoła zastąpić. Braku tego doświadczać będzie dusza do końca swego ziemskiego zawodu. Jest to, jak gdyby Anioł zstąpił do nas z nieba i odszedł, nie zostawiwszy nam błogosławieństwa swego, bośmy się nie zdobyli na pokorę poproszenia o nie. Można jednak dojść do prawdziwej gorliwości, chociażby się nie doznało tych chwil pierwszego zapału. Pierwsza gorliwość jest szczęściem pięknej, wspaniałej, poświęconej Bogu młodości; druga, t. j. stała, prawdziwa gorliwość, jest szczęściem duszy chrześcijańskiej, dojrzałej przez cierpienie. Jest ona owocem ciężkich nieraz prób życia.

Gorliwość fałszywa.

Lecz jest i gorliwość fałszywa, która ciągle o skały się rozbija i po tem właśnie poznać się daje. Jest ona piękna napozór, wspaniale płynie, gdy jej wiatr przychylny sprzyja; lecz skoro tylko żagle swe rozwinie i na pełne puści się morze, zaraz zaczyna myślą i słowy przesądzać i przyganiać żeglowaniu swych współtowarzyszy. Wtem huk złowrogi na niewinnem i spokojnem morzu zwiastuje rozbicie się o twardą skałę tej biednej łodzi, której szczątki zaświadczą wkrótce o smutnem jej zniszczeniu. Jest jeszcze inny rodzaj gorliwości fałszywej, podobnej do modlitwy faryzeusza, opisanej w Ewangelji. Zależy ona raczej na pogardzaniu drugimi, niż na nienawiści samego siebie i miłowaniu Boga. Ten rodzaj gorliwości bardzo często pojawia się za dni naszych, a jest on usposobieniem najprzeciwniejszem życiu duchownemu. Trzecim rodzajem fałszywej gorliwości jest upojenie słabego umysłu i próżnego serca pod wpływem jakiejś jednej lub kilku myśli, zasad, czy zdań duchownych. Owocem tego rodzaju upojenia bywa nierozważne pomnożenie umartwień i mnóstwo odmian przekształcania i urządzania, odnoszących się do innych osób, rzeczy, miejsc, kółek towarzyskich, życia rodzinnego. Czwarty rodzaj gorliwości fałszywej zależy na wyróżnianiu się umysłu nadzwyczaj czynnego, ale płytkiego i pełnego ufności w sobie samym. Ostatnim wreszcie rodzajem fałszywej gorliwości jest ciągła, jakby chorobliwa zmienność, szybkie tworzenie coraz to nowych planów, które w lot się niszczą, czynienie mnóstwa postanowień chwilowych, które, na podobieństwo oczyszczania broni pełnej z nabojów, z wielkim

hukiem i dymem znikają w powietrzu. Te różne niepowodzenia fałszywej gorliwości pisarze duchowni zwykli nazywać skałami, o które rozbija się gorliwość. Właściwie zaś te nieudolne naśladownictwa nic wspólnego nie mają z poważną a piękną cnotą prawdziwej gorliwości. Niesłusznie przeto pomawiana ona bywa o wyżej wskazane błędy. Stąd idą zgorszenia, których powodem owe fałszywe gorliwości, a któreby ustały, gdyby gorliwość z właściwego punktu oceniano. Podszywają się fałszywe gorliwości pod zasady, które nie są ich zasadami, przybierają odzież pożyczaną, każą się nazywać cudzemi imionami i umęczają swojemi dziwactwami wszystkich poczciwych ludzi, bliskie z niemi stosunki mających. Te to fałszywe gorliwości podają pobożność w pogardę, tak przez swoje natręctwo, jak przez nieroztropność i śmieszność; w zasadach i ćwiczeniach, w ceremonjach i umartwieniach we wszystkiem jest w nich przesada. Rządzą się duchem rozgłosu. Ciągle mają w ustach głębokie nauki i wzniosłe zasady. Lubią odróżniać się w zdaniach od wszystkiego, co je otacza, a samo zgadzanie się z drugimi w zapatrywaniu zdaje się im rzeczą zanadto tchórzliwą i pospolitą [1]).

Jaka ma być gorliwość synów Franciszka wśród świata żyjących.

Dalekiemi od ducha seraficznego byłyby te dusze, które, oddając się wyłącznie modlitwie, zostawałyby obojętnemi na sprawę zbawienia swych bliźnich. Nie kocha bowiem prawdziwie Chrystusa, kto, mając sposobność ratowania dusz, zostawia je na pastwę wilka piekielnego i jak najemnik od nich ucieka, szukając tylko spoczynku dla swej duszy, choćby u nóg Jezusa.

Nie wszystkim dano jest być kaznodziejami, lecz nad dusz zbawieniem pracować mogą wszyscy. Zazdrościsz może tym, którzy głoszą słowo Boże, ty je wprowadź w praktykę, a staniesz się żywem kazaniem i będzie świeciła światłość twoja przed ludźmi, aby widzieli uczynki twoje dobre i wielbili Ojca twojego, który jest w niebiesiech. Nie chodzi o to, abyśmy prawili kazania, albo natrętnie kogoś do Boga ciągnęli, ale abyśmy korzystali z każdej okoliczności i w sposób, jaki nam roztropność i miłość poradzi, pociągali do nawrócenia. Oprócz apostolstwa żywego słowa, jest bardzo skuteczne apostolstwo modlitwy, które się spełnia przez polecanie Bogu i Najśw. Pannie drogich nam osób. Jest wreszcie apostolstwo ofiary, gdy na ten cel ofiarujemy Bogu różne umartwienia lub inne dobre uczynki, które mogą skutecznie wpływać na otrzymanie od Boga łask, potrzebnych do nawrócenia grzeszników. Byleśmy mieli serce przejęte duchem gorliwości, to ono już samo obmyśli przeróżne środki zbawiennego wpływu na drogie nam dusze, czem przyczynimy się niemało do chwały Bożej i ich zbawienia.

Wpływ Tercjarzy w rodzinie i w społeczeństwie.

Gorliwość święta w różnych przedstawia się postaciach u synów i córek Ś. Franciszka. Weźmy np. ojca rodziny, robotnika chrześcijanina, który u stóp krzyża, we wspomnieniu Nazaretańskiego warsztatu, znalazł rozwiązanie kwestji społecznej. Wszędzie ten skromny chrześcijanin szerzy chwałę Pańską. Naprzód u siebie, przez prostą dziecięcą wiarę, przez rycerskie męstwo w przeciwnościach, przez życie skromne, pobożne, cnotliwe, pełne szlachetności i świętej prostoty, prawi ustawiczne kazania żonie swojej, dzieciom, współpracownikom i czeladzi, którzy ze zbudowaniem patrzą i szczerym szacunkiem otaczają to piękne, na chrześcijańskich zasadach osnute życie.

Inny znów robotnik, jako apostoł pracy, strzeże się mówienia bez potrzeby. Milczenie jego jest wymowne, nosi bowiem na sobie cechę świętej wesołości, tchnie wonnością, rozpraszającą wyziewy złych zasad. Jest on apostołem w kółku katolickiem, gdzie potrafi być wszystkiem dla wszystkich, gdzie starannie unika wszelkiego starcia, gdzie umie dobrem słowem zachęty, jak rosą po kropelce, orzeźwiać więdnące roślinki i użyzniać tę twardą ziemię, otoczoną ciężką atmosferą samolubstwa i zgorszenia. Ten prosty człowiek, co tak wiele robi dobrego bez rozgłosu, nawet sam nie wie o tajemniczej swej mocy, którą odpiera wszelkie pokusy, zwycięża różne nędze, przechodzi bezpiecznie przez liczne na jego cnotę zastawione sidła, zbrojny świętą swą gorliwością, jak żelazną tarczą i bronią. Ze zdziwieniem widzimy na ustach jego uśmiech dziecięcy wśród grozy pokus, zdolnych wielką zachwiać odwagę.

Wpływ stowarzyszeń Trzeciego Zakonu.

A jeżeli już jeden Tercjarz pojedyńczo żyjący może dokoła siebie święty wpływ wywierać, o ileż więcej zdziałać może przykładem życia swego całe stowarzyszenie, prawdziwym duchem Ś. Franciszka ożywione. To też stowarzyszenia te, dobrze pokierowane, wielkie usługi oddają parafjom. To zachęcają ludzi przykładem pobożności do uczęszczania na nabożeństwa kościelne, do gorliwości w dobrych uczynkach; to dostarczają adorato-

[1]) Postęp duszy. O. Fabera, Oratorjanina. Tom III. str. 460—463.

rów, przepędzających dnie i noce przed Najśw. Sakramentem; to zaprowadzają Komunje wynagradzające, żywe różańce, wspólne odprawianie Drogi Krzyżowej; to zbierają grosze na propagandę wiary, na dzieło Świętego Dziecięctwa, Świętopietrze i t. p.. Inni szerzą wonność cnót świętych przez życie pełne pobożności i miłości. Inni poświęcają mienie i usługi swoje na poratowanie cierpiących i ubogich.

Rozumiemy teraz, dlaczego Ozanam, pragnąc pociągnąć młodzież do życia chrześcijańskiego, usiłował natchnąć młodzieńców duchem apostolskim. I my też szczerze, gorąco, praktycznie, czynnie pracujmy nad zbawieniem dusz, a tym sposobem i własne dusze zbawimy.

Nie zniechęcać się niepowodzeniami.

A niech nas żadne ludzkie niepowodzenia i przeszkody nie odwodzą od sprawy Bożej. Biedni my ludzie! do dzieł Bożych stosujemy ciasne nasze poglądy, wchodzimy w nędzny targ z Bogiem. Chcielibyśmy widzieć tryumf Kościoła i zdaje nam się, żeśmy na niego dostatecznie zasłużyli. Cierpliwości! Wspaniała budowa rąk Bożych, pomimo wszelkich przeszkód, dokonaną zostanie. Każde pokolenie dobudowuje jakby nowe piętro do tego gmachu. Mybyśmy chcieli być koroną dzieła Bożego, nie zastanawiamy się jednak, że spełnienie tych pragnień byłoby może umniejszeniem i zeszpeceniem tej Boskiej budowy. Zaufajmy całkiem Architektowi Niebieskiemu, bądźmy tylko kamieniami dobrze ociosanemi i obrobionemi dłutem prób, na których nam nie zbywa, a za to kiedyś, z głębi szczęśliwej wieczności podziwiać będziemy przecudną całość spełnionego planu Bożego i ten widok będzie niemałem pomnożeniem wiekuistych naszych rozkoszy. Lecz powiesz może: „Nas taka mała garstka, zło zaś takie wielkie zalewa całą ziemię!“ Niech nam to nie odbiera odwagi! Gdyby nas było tylko dwoje po stronie sprawy Bożej, będziemy bronić zasady przeciw jej pogwałceniu.

Pewnego razu senat rzymski winszował generałowi zwyciężonemu, że, będąc pokonanym, nie zwątpił o odzyskaniu Rzeczypospolitej. Niech też i naszej odwagi nie gaszą ludzkie niepowodzenia. Nie poddawajmy się nigdy zwątpieniu, a gdy zniknie postać tego świata, Bóg odezwie się do nas, jak niegdyś do Abrahama, ufającego przeciw nadziei: „Ja sam będę nagrodą twoją zbytnie wielką!“

Męczeństwo Ś Fidelisa z Sigmaringen.
Według rysunku I. Langlois w kaplicy Braci Mniejszych Kapucynów w Paryżu (wiek XIX).

ROZDZIAŁ XV.

Duch seraficzny obejmuje wszystkie chrześcijańskie cnoty.

Jakie dotąd poznaliśmy cnoty w Franciszku.

Powiedzieliśmy wyżej, że duch seraficzny jest żywcem wzięty z Ewangelji i że jest jej kwiatem, wszystkie przeto cnoty ewangeliczne w sobie zawiera, a wszystkie w stopniu niezwykłym i na żadnej zbywać mu nie może. Przypatrując się dotąd cechom ducha serafickiego, oglądaliśmy prawie wszystkie najprzedniejsze cnoty, właściwe świętym wyznawcom Chrystusa. Widzieliśmy wszystkie cnoty teologiczne: żywą wiarę, zdumiewającą nadzieję i gorącą miłość Boga i bliźniego, posuniętą do ostatecznych granic. Widzieliśmy wszelkie zakonne cnoty: najgłębszą pokorę, gołębią prostotę, ślepe posłuszeństwo i bohaterskie zaparcie siebie. Podziwialiśmy ewangeliczne ubóstwo, surowe i ostre umartwienie, przerażającą pokutę, obok wzniosłej bogomyślności. A wszystko to, dopełnione z dziwnym zapałem, podnoszącym te cnoty do heroizmu, przedstawia wzniosły obraz doskonałości ewangelicznej. Żeby jednak nic do tego obrazu nie brakowało, wspomnimy nieco i o cnotach kardynalnych, choć to będzie opis niedokładny. Bo z tą postacią seraficzną rzecz się ma tak, jak z wyobrażeniem krucyfiksu: nie odda go godnie ani pióro, ani pędzel, ani dłuto, co artystę przyprowadza do rozpaczy.

Cnoty kardynalne: wstrzemięźliwość, roztropność, sprawiedliwość i męstwo, zawierają w sobie wszystkie cnoty moralne, z których każda jest tylko odcieniem jednej z tamtych.

Wstrzemięźliwość.

Wstrzemięźliwości Serafickiego Ojca przyglądaliśmy się, mówiąc o duchu pokuty. Podziwialiśmy ją wtenczas w użyciu pokarmów i napoju, jak nieraz całe 40-to dniowe posty o pół bułce chleba przepędzał, jak nawet wody nie pił do zupełnego nasycenia, jak był powściągliwy w zmysłach, jak poskramiał swoje pragnienia i inne skłonności, nigdy sobie w niczem nie dogadzając. Pozostaje nam przeto wspomnieć o najpiękniejszym objawie wstrzemięźliwości, t. j. o anielskiej czystości naszego Świętego.

Jaką jaśniał czystością.

Franciszek od młodych lat odznaczał się przedziwną cnotą nieposzlakowanej czystości i dochował jej w warunkach życia, w których ona szczególnie bywa narażoną, mianowicie w towarzystwie wesołych i swobodnych kolegów. Gdy czasem pozwalali sobie na jakie niewłaściwe żarty, Franciszek nie czuł się w prawie nakazać im milczenia, ale uczynił z sobą umowę nigdy nie mieć w tem najmniejszego udziału [1]). Bóg czuwał nad nim w spo-

[1]) Tres. soc. pag. 19.

sób szczególniejszy, mówi Ś. Bonawentura, i nie dopuścił, aby to ciało, które miało kiedyś nosić znamiona Męki Pańskiej, uległo chociażby najmniejszemu skażeniu.

Zachowanie tej cnoty w tak niepospolity sposób żywo uderzało współczesnych, którzy nie mogli się wydziwić panowaniu nad sobą w tak trudnych okolicznościach. Wszystkie oczy zwracały się ku niemu. Nazywano go kwiatem młodzieży asyskiej i nie było prawie nikogo, ktoby go nie kochał. Ta jedna cnota wystarcza do przekonania, że Franciszek nie zachwiał się nigdy w żywej wierze, wszczepionej w serce jego przez świątobliwą matkę i że bez wątpienia nie opuszczał nigdy ćwiczeń pobożności i Sakramentów ŚŚ.. Bez tego aniby można przypuścić, żeby otoczony wszystkiem, co tę najszacowniejszą cnotę najłatwiej na szwank naraża, ustrzegł ją tak szczęśliwie od wszelkiej skazy.

Niechętny był przestawaniu z płcią obcą.

Później, mając uczniów duchownych, upominał ich, aby w przestawaniu z niewiastami byli bardzo ostrożni. Oto jedna z nauk, jakie im w tym względzie dawał: „Stosunków z niewiastami, rozmowy z niemi i patrzenia na nie tem pilniej wystrzegać się powinniśmy, bracia najmilsi, im częściej widzimy, że niedość ostrożni, gdy słabsi są na duchu, upadają, a i najsilniejsi nie bez szkody wychodzą. Aby ten, kto przestaje z niewiastami, od przykrych myśli był wolnym, wyjąwszy męża wypróbowanej cnoty, sądzę, że jest tak trudno, jak, według słów Pisma Świętego, chodzić po rozpalonych węglach i nie oparzyć się. Zawsze bowiem za rzecz niebezpieczną poczytuję wystawiać się na rozniecenie w umyśle swoim wyobrażeń, które mogą albo rozbudzić podniety niedość ujarzmionego ciała, albo przyćmić połysk czystości wewnętrznej“[1]).

Zabraniał rozmów z niewiastami.

„Zresztą, próżna jest, mówił dalej, wszelka rozmowa z kobietą, wyjąwszy samej spowiedzi, albo jak najkrótszej nauki, według tego, czego wymaga potrzeba duchowna, albo przyzwoitość. Jaką, pytam, może mieć korzyść zakonnik z rozmawiania z niewiastą, chyba tylko gdy coś ma związek z jej postępem duchownym i kiedy prosi w tej materji o radę. Ale i wtenczas, gdyby nie był dość ostrożnym, szatan byle włosek nań zarzucił, rychło tenże zamieni na belkę. Nie wtedy bowiem dopiero trzeba umartwiać skłonności cielesne i ujarzmiać ich podniety, gdy już czuć się dają, lecz i wpierw jeszcze należy z największą pilnością trzymać na wodzy zmysły zewnętrzne, przez które, jak mówi Pismo Boże, włazi śmierć do duszy“[1]).

Był przeciwny zajmowaniu się klasztorami żeńskiemi.

Dla tej obawy o naruszenie niepokalanej czystości myśli, Franciszek nie dozwalał, aby bracia zajmowali się duchowną posługą u jakichkolwiek zakonnic. A nawet co do Sióstr Ubogich chciał, aby takową ograniczyli na jeden tylko klasztor Ś. Damjana, w którym umieścił Ś. Klarę z jej córkami. Kiedy więc Hugolin domagał się, aby pozwolił swoim braciom pamiętać przynajmniej o tych klasztorach, które prowadziły tenże sposób życia, co i Siostry Ubogie, Franciszek oparł się temu stanowczo i oświadczył, że, prócz klasztoru Ś. Damjana, żadnego innego dla niewiast nie zakładał, ani na jego założenie nie wpływał, a więc ten jeden tylko ma obowiązek obsługiwać duchownie i bądź sam, bądź przez braci, starać się o potrzebną dla niego jałmużnę. I przydał w końcu, że nie życzy sobie, aby bracia w innych miejscach klasztory żeńskie wystawiali i podejmowali się ich obsługi, i że to go najbardziej boli, iż w niektórych okolicach zakonnice nazwały się Siostrami Mniejszemi od nazwy jego zakonu Braci Mniejszych. Z tych więc przyczyn domagał się mocno u Kardynała, aby pilnował, żeby bracia żadnych stosunków z zakonnicami nie mieli, jeśli chce ich ustrzedz od narażenia dobrej sławy i od szkód grożących ich duszom. Co zaś do nazwy zakonnic tak klasztoru Ś. Damjana, jak i innych na ten wzór powstałych, był zdania, żeby im albo zostawiono nazwę Sióstr Ubogich, która, według niego, była najstosowniejsza, albo żeby poczekano, aż z biegiem czasu właściwszą wypadnie im nadać. I napróżno Hugolin usiłował zmienić to postanowienie Ś. Patryarchy. Był on pod tym względem niewzruszony i stanowczo przeciwny wszelkim stosunkom braci z zakonnicami, a szczególnie z żyjącemi według reguły, którą dał Klarze, i między innemi tak się wyraził: „Obawiam się mocno, aby,

[1]) Żyw. Ś. Fr. O. Pr., T. I str. 112.

[1]) Jerem. 9, 21.

gdy Pan Bóg odjął nam żony, szatan nie obdarzył nas siostrami“ [1]).

Stał się sposobnym do otrzymania wyjątkowej łaski.

Postępując w ten sposób, Święty Ojciec życiem i nauką swoją okazywał jawnie czystość panieńską, w której go Pan Bóg utrzymał wśród marności światowych, a której też sam tak dobrze pilnował, iż zasłużył sobie, by na onem czystem dziewiczem ciele wyrażone zostały święte blizny Pańskie. Czyniły go one obrazem Ukrzyżowanego, nie z drzewa lub marmuru ręką artysty wyrzeźbionym, ale na jego własnem ciele przez samego Boga wyrażonym. Franciszek, podobny duszą i ciałem do Ukrzyżowanego, mógł zawołać z Apostołem: „Żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus“. „Nie przystoi mi, abym się chlubić miał, jedno w Krzyżu Pana naszego Jezusa Chrystusa“ [2]).

Roztropność Ś. Franciszka.

Wielkim jest darem roztropność, bez której żadna cnota nie jest doskonałą, a że bardzo rzadko łączy się z gorącością ducha i żarliwością, tem też wdzięczniejsza jest w świętym naszym Ojcu.

Pomimo, że Seraficki Patryarcha był tak żarliwy o obserwancję, rządząc się jednak roztropnością, wymagał od przełożonych, aby byli bardzo wyrozumiałymi na przestępstwa braci i aby żaden nie odchodził od nich bez otrzymania miłosierdzia, choćby tysiąc razy zbłądził i choćby nawet sam go nie pragnął.

Starsi, stosując się do tego, prędko się przekonali, że wielka miłość jest głównym warunkiem do piastowania wszelkiej władzy, a najbardziej zakonnej, nadającej zwierzchnictwo nad duszami, dobrowolnie i z miłości dla Jezusa jarzmo posłuszeństwa przyjmującemi. Wskutek krewkości natury ludzkiej, muszą i wśród takich pojawiać się umysły mniej uległe, które, choć z najczystszych pobudek wstępujące, słabną w duchu swego powołania, gdy środków przepisanych, by w łasce wytrwać, zaniedbują. Lecz bądź co bądź są to dusze wybrane, sumienia delikatniejsze, natury szlachetniejsze, z takiemi przeto, chociażby bardzo upadły, miłością wszystko zrobić można, a surowością popchnęłoby się je do zguby. W zakonach tylko zupełnie rozwolnionych, w których nagromadziła się pewna liczba członków bez powołania, owszem, jakby ze słabą wiarą, bo takimi przeważnie są ci, co dla widoków ludzkich życie zakonne ślubują, powyższe zalecenie Ś. Patryarchy mogłoby się wydać zbytnią pobłażliwością. Lecz zakon jego, pomimo iż w tak wielkiej liczbie braci mogli się byli znajdować niektórzy słabego ducha, albo mniej miłujący karność, takim zakonem rozwolnionym wcale nie był“ [1]).

Jak zalecał umiarkowanie w pokutach.

Braciom Franciszka chyba tylko pewien zbytek w umartwieniach zewnętrznych można było zarzucić, albo raczej miarkować należało święty zapał do najostrzejszej pokuty, którym każdy z nich gorzał, patrząc na to, co czynił ich błogosławiony Ojciec. Nie omieszkał też tego Ś. Patryarcha i raz miał do nich taką naukę: „Bratu ciału trzeba, najmilsi moi, według roztropnego umiarkowania dać, co mu się należy, żeby stąd nie powstała gnuśna oziębłość. W jedzeniu, napoju, spoczynku i innych potrzebach ciała, zakonnik winien mu z roztropnem umiarkowaniem dogodzić, aby nie trudno mu było czuwać i trwać pobożnie na modlitwie. Tak ma się zachować pod tym względem, aby brat ciało nie mógł szemrać, mówiąc: „Upadam od głodu, ciężaru twoich ćwiczeń znieść nie mogę, ani ustać na nogach. Niepodobna mi weselić się z trudów moich, ani zdobyć się na inne jakie dobre czyny, gdyż potrzeb moich nie zaspokajasz“. Lecz jeśli sługa Boży z roztropnem umiarkowaniem i w sposób właściwy ciału swemu dogodzi, a brat ciało, otrzymawszy dostateczny posiłek, pomimo to krnąbrnemby się okazywało i leniwem albo sennem w czasie modlitwy i czuwania, jest to znakiem, że leniwiec bicia potrzebuje, i że osła, który z miejsca ruszyć nie chce, trzeba kijem popędzić. W takim też razie należy ciało ukarać, jako niepoczciwe i leniwe zwierzę, kiedy chce jeść, ale ani na jadło zarabiać, ani ciężaru dźwigać nie myśli“ [2]).

Nakazuje roztropny wzgląd na usposobienie każdego.

Innym razem taką dał braciom w tym przedmiocie naukę: „Bracia moi, niech każdy z was ma wzgląd na swoje własne usposobienie; chociaż bowiem niektórzy mogą się obejść mniejszą ilością posiłku, nie chcę jednak, aby ci, co potrzebują więcej, w tem ich naśladowali; owszem, pragnę, aby, uwzględniając swoje usposobienie, zadośćczynili potrzebom ciała. Jak bowiem winniśmy się wystrzegać zbytniej miary pokarmów i ciału i duszy szkodzącej, tak również unikać mamy zbytecznej wstrzemięźliwości, a nawet więcej jeszcze,

[1]) Żyw. Ś. Fr., T. II, s. 57. [2]) Kron., s. 117.

[1]) Tamże, s. 107. [2]) Tamże, T. I, s. 109.

gdyż Pan Bóg miłosierdzia żąda, nie ofiary".

Tę naukę potwierdzał czynami, bo chociaż sam nietylko nie pił wina, ale i wody nigdy sobie dosyć nie pozwalał, radził jednak i położył to nawet w regule swojej, żeby synowie jego jadali ze wszystkich potraw, które przed nimi będą zastawione. Sam sypiał krótko, na gołej ziemi i to siedzący, z głową opartą na kamieniu lub na kawałku drzewa, ale uczniom nigdyby na to nie pozwolił. Mawiał zazwyczaj, że roztropne umiarkowanie powinno być cnót przewodnikiem [1]).

Roztropność cielesna w Eljaszu i Boża w Franciszku.

Gdy Eljasz kierował zakonem, wielu braci z różnych stron przybywało do Porcjunkuli do Ś. Franciszka. Jedni, by uczcić w jego osobie swojego Patryarchę, drudzy, by zasięgnąć rady w rzeczach dotyczących sumienia, a inni, by zdać sprawę ze stanu zakonu w miejscach, w których się znajdowali. W ich liczbie byli mężowie, znani już w świecie z nauki i kaznodziejstwa, ale było także i wielu prostaczków. Święty wszystkich jednakowo przyjmował, każdego z miłością tulił do ojcowskiego serca, i w każdym starał się rozżywić zamiłowanie ubóstwa i pokory, chciał bowiem, aby temi cnotami najbardziej jaśnieli jego synowie. Zaś brat Eljasz, wikary generalny, do którego należało starać się, aby przybywający bracia znaleźli gościnność, czynił pomiędzy nimi różnicę. Znakomitymi nauką, urodzeniem i wyższemi urzędami w zakonie szczególnie się zajmował, a innych braci z lekceważeniem zaniedbywał, jako nagania Apostoł, mówiąc: „I patrzycie na tego, co się odział w świetną szatę i mówicie do niego; ty siedź tu... a ubogiemu powiadacie: ty stój tam, albo siedź pod podnóżkiem nóg moich" [2]). Ściągnęło to wielkie niezadowolenie Franciszka; dnia więc pewnego, kiedy znów przyszło kilku braci, a brat Eljasz, po odmówieniu błogosławieństwa przed posiłkiem, chciał przy świętym Ojcu posadzić uczonych, on umieścił przy sobie dwóch prostaczków, jednego po jednej, drugiego po drugiej stronie. Eljasza bardzo to oburzyło i, szemrząc w duchu, pomyślał: „Biada nam z tym bratem Franciszkiem. Ta jego zbytnia prostota zgubi nasz zakon. Sadza oto przy sobie dwóch prostaków, a mężów, którzy biegłością swoją w naukach uświetniają zakon, lekceważy". Lecz Święty, któremu Pan Bóg odkrył myśli Eljasza, odpowiadając na nie, rzekł: „Ty, bracie Eljaszu, więcej szkodzisz zakonowi naszemu swoją pychą, wystawnością i zbytnią roztropnością cielesną. Z niezgłębionego to wyroku Boga pochodzi, że znając cię, jakim jesteś, chciał jednak mieć cię przełożonym i kazał mi, abym cały zakon w twoje oddał ręce. Ale niestety, obawiam się, żeby, wzorując się na dowódcy, takim i cały lud się nie stał, i myślę, czy nie dlatego wskazał nam Pan Bóg takiego pasterza, że przewiduje, iż podobnemi do niego będą przyszłe owce. Nieszczęsny! już wyżej postanowione jest, że w zakonie nie umrzesz. Zważonyś na wadze i znalezionyś mniej mającym [1]), bo cię nadęła próżna nauka tego świata" [2]).

Sprawiedliwość.

Cnota sprawiedliwości polega na tem, aby każdemu oddać, co mu się należy. Jakże wzniośle i niedościgle spełniał tę cnotę Franciszek, który całego siebie z takim gorącym zapałem oddawał Bogu, i całego siebie z takim wysiłkiem poświęcał dla bliźnich, i który z taką gorliwością dbał o własną duszę i o jej postęp w cnotach, a jednocześnie potrafił być wszystkiem dla wszystkich, okazując się każdemu takim, jak tego zachodziła potrzeba. Komu surowość — surowość; komu łagodność — łagodność; komu serdeczność — serdeczność; komu posługa i poświęcenie, temu posługę i poświęcenie świadczył, według tych słów Pisma Świętego: „Komu cześć — cześć". A nawet i suknię swoją oddał ojcu, od którego ją miał, i wszystko swoje rozdawał uboższym i, jak już wspominaliśmy, nieraz ściągał z siebie płaszcz, lub odrywał kawały sukna z ubrania, aby ich okryć.

Męstwo.

Widzieliśmy już nieraz nieustraszone męstwo Franciszka, czy to w walce z rodziną i ze światem, czy to w owej bohaterskiej misji do muzułmanów, czy w wyjściu przeciw wilkowi, czy w karceniu własnego ciała, czy w mężnem opieraniu się wszelkim zwolnieniom w tym rodzaju życia, jaki miał sobie od Boga objawiony. A męstwo to jest tem bardziej zdumiewające, że obok niego tak często jaśniała jego łaskawość, uprzejmość, słodycz w obejściu, zarówno z braćmi, jak i z innemi osobami, i ta tkliwość serca nawet względem robaczków po ziemi pełzających. Właściwe to jest bowiem Świętym, że umieją w sobie jednoczyć cnoty z pozoru najsprzeczniejsze.

Cierpliwość.

Najpospolitszym objawem męstwa jest cierpliwość, czyli panowanie nad sobą i znoszenie krzyżów Pańskich.

---

[1]) Tamże, s. 110. [2]) Jac. 2, 3.

[1]) Dan. 5, 27. [2]) Żyw. Ś. Fr., T. II, s. 130.

Cierpliwość tego męża Bożego trudna jest do opisania i niepodobna do pojęcia. Trudna do opisania, bo przeszła zwykłą miarę, do jakiej wznoszą się dusze dążące do doskonałości. Niedosyć bowiem, że znosił cierpliwie błądzących i przyjmował miłośnie wzgardę, urągowiska i liczne choroby, ale radował się ze wszelkich cierpień; owszem, tarzał się często po ziemi, aby je powiększyć, dziękując Bogu za nie i za jedyne szczęście sobie uważając, aby się wola Jego nad nim pełniła. A nazwałem ją niepodobną do pojęcia, bo z wielkiej żądzy cierpień pragnął znosić tę mękę, jaką Pan Jego poniósł na krzyżu, i wiemy, że tę łaskę otrzymał. Trzebaby więc zanurzyć się w oceanie boleści Jezusowej, żeby mieć pojęcie o stopniu tych cierpień, których Święty miłośnik krzyża stał się uczestnikiem. A w większem jeszcze świetle przedstawi się nam to męstwo, jeżeli wspomnimy sobie, że i wtedy nie zaprzestał ani podróży apostolskich, ani nauczania, chociaż każdy krok sprawiał mu niewysłowioną boleść.

Jak zalecał cierpliwość w znoszeniu braków.

Nauczał też synów swoich, jak mają znosić cierpliwie wszystkie trudności życia w ubóstwie: „Gdy z powodu niedostatku brat ciało potrzeb swoich, czy to w zdrowiu, czy w chorobie, nie ma zaspokojonych, chociaż z pokorą i dla miłości Boga prosił o to przełożonego, niech to znosi cierpliwie, przez wzgląd na Pana, który czekał, ktoby się z Nim społem smucił, a nie było, i ktoby Go pocieszył, a nie znalazł. Niedostatek zaś, jakiego brat wówczas dozna, policzy mu Pan Bóg za męczeństwo. A że ze swej strony uczynił wszystko, co był powinien, to jest przedstawił kornie swoją potrzebę przełożonemu, więc wolny jest od grzechu, choćby z tego powodu ciało jego coraz więcej cierpiało“ [1]).

Inne cnoty Franciszka.

Z doskonałego połączenia wszystkich cnót powyższych wypływały inne zalety Seraficznego Ojca, w których każda z cnót kardynalnych udział swój miała. Na pierwszy rzut oka widać w nim było tak zachwaloną przez Zbawiciela prawie dziecięcą niewinność, szczerość w mowie i w całem zachowaniu się, co było objawem wielkiej czystości serca. Uderzała też wszystkich jego skromność w całem ułożeniu i skupienie nigdy nieustające, także chętna uległość każdemu. W obejściu pełen był uprzejmości, z natury łagodny, łaskawy w mowie, umiarkowany w upominaniu, dyskretny w zachowaniu powierzonych mu tajemnic, ostrożny w radach, praktyczny w interesach. Miły był we wszystkiem: usposobienie miał wesołe, charakter słodki lecz stały. Zawsze okazywał po sobie jednostajność umysłu i pokój. Przebaczał chętnie; do gniewu był nieskory. Zręcznie umiał użyć swoich sił duchownych. Miał pamięć na wszystko, bystrość w sądzeniu, a przenikliwość w wyborze. Względem siebie surowy, dla innych wyrozumiały, czuwający nad sobą we wszystkiem. Wymowę miał przyjemną i porywającą, twarz wypogodzoną, wyraz jej łagodny, w którym nie było ani nieśmiałości, ani, tem bardziej, zbytniej pewności siebie.

Harmonja cnót Ś. Franciszka.

Im więcej rozważamy życie i czyny Świętego Ojca, tem lepiej widzimy, jak się w nim zgadzają wszystkie cnoty moralne: wielkość charakteru i skromność, bohaterstwo i prostota, żarliwość i roztropność, siła i łagodność. I nie dziwimy się już, że Stwórca, znalazłszy duszę tak powolną swoim natchnieniom, wzbogacił ją najkosztowniejszemi darami. Całość przymiotów i cnót Ś. Patryarchy jest tak harmonijna, tak porywająca, tak wyższa ponad wszelką ziemską piękność, że ta postać seraficzna nie ma sobie równej w historji, i że wielcy artyści malarze uważali ją, jako typ człowieka odrodzonego. Po upływie siedmiu wieków, jeszcze nas ona wzrusza, zachwyca, porywa i, gdy chcemy wypowiedzieć swój podziw, zmuszeni jesteśmy użyć wyrażenia z psalmu Dawida: „Mirabilis Deus in Sanctis suis“. Dziwny Bóg w Świętych swoich, w arcydziele łaski swojej, w ideale rodzaju ludzkiego, uleczonego Krwią Boga-Człowieka [1]).

Wystawiony na wzór dla naszych czasów.

Tu się stosują słowa Leona XIII w konstytucji: „Misericors Dei Filius“. Głównem źródłem nieszczęść, które nas trapią, i klęsk rozlicznych, które nam grożą, jest zaniedbanie ćwiczenia się w cnotach chrześcijańskich. Jedynym przeto środkiem powstrzymania i oddalenia owych klęsk jest zwrócić ludzkość na drogi Chrystusa Pana, który zawsze ma moc zbawić tych, co przez Niego do Boga się nawracają. Wszystkie reguły franciszkańskie za główny cel mają doskonałe zachowanie przykazań Boskich i zasad Ś. Ewangelji, Seraficki bowiem Zakonodawca w trzech rodzajach życia, jakie ustanowił, chciał założyć szkołę powszechną ćwiczenia się w cnotach. Pierwsze

[1]) Tamże, T. I, s. 110.

[1]) Ś. Fr. za życia i po śm., C. I, s. 182 i 187.

dwie reguły wyższy rodzaj życia określają, i wymagają cnót heroicznych, i potrzebują serc pałających, dlatego małej tylko liczbie dusz są dostępne. Zakon zaś Pokutujących, ustanowiony umyślnie dla wielu, ma w sobie moc utrzymania czystości obyczajów i praktyk życia ewangelicznego wśród prac i pospolitych obowiązków, czego liczne dowody jak w dawnych, tak i w teraźniejszych czasach posiadamy [1]).

Jak naśladować Franciszka w staraniu się o wszystkie cnoty.

Pragnijmy mieć wszystkie cnoty, ale zacznijmy staranie o ich nabycie od tej, której nam najbardziej potrzeba. Każdego dnia przy rannych modlitwach czyńmy postanowienie ćwiczenia się w tej cnocie, przez spełnianie jej aktów zewnętrznych i wewnętrznych; w południe rachujmy się przez jaką chwilkę, czyśmy to spełnili, odnawiając nanowo postanowienie, a wieczorem znowu rachunek powtarzajmy, a tym sposobem zrobimy codzień chociaż nieznaczny postęp na tej drodze. Zresztą łączmy się często z Panem Jezusem w Komunji świętej, a On w miłosnych tych nawiedzinach wyrażać będzie za każdym razem coraz to doskonalszy obraz wszystkich cnót swoich, a tak prawie bezwiednie przyjdziemy do tej pełności cnót, do której dawni pustelnicy przez długie lata walk i pracy duchowej dążyli, a którą my tak małym kosztem z miłosierdzia Bożego nabyć możemy [2]).

W czem najbardziej naśladować go potrzeba.

Synowie Franciszka, tak w odosobnieniu, jak i wśród świata żyjący, na wzór jego powinni przestrzegać wszechstronnej wstrzemięźliwości, to jest unikać tego wszystkiego, w czem świat dopuszcza się nadużyć; w ten bowiem tylko sposób będą mogli zachować się we wszelakiej czystości, tak zewnętrznej, jak i wewnętrznej.

Trzecia reguła Ś. Franciszka zaleca tę właśnie wszechstronną wstrzemięźliwość. Każe unikać teatrów i hucznych zabaw, tych głównych źródeł nieczystości. Nakazuje unikać świata, o ile obowiązki stanu pozwolą, świat bowiem, jego rozmowy, przykłady, zabawy przesiąkłe są nieczystością. Zakazuje czytania pism lekkich, z których czerpie się po kropli truciznę zepsucia. Zakazuje zbytków, tej istnej pastwy nieczystości. Trzecia reguła jest regułą pokutną, tym sposobem otacza ona czystość swoich członków ciernistym płotem wstrzemięźliwości chrześcijańskiej, która praktykuje się rozsądnie wśród tylu przeszkód, jakby naprzekór zasadom używania naszego wieku [1]).

To się odnosi i do członków w stanie małżeńskim zostających.

Trzeci zakon Ś. Franciszka, to jakby widzenie niebiańskie, przewodnictwo Boże, które strzeże wierności małżeńskiej, zachowuje Kościołowi chrześcijan, dziś coraz rzadszych, niestety, do których można zastosować słowa Ksiąg Świętych: „Szczęśliwi, których niewierność małżeńska nie zmazała; otrzymają w dzień sprawiedliwości nagrodę Świętym należną“. Członkowie jego, żyjący w świętym stanie małżeńskim, powinni głównie pracować nad uleczeniem tej rany, tej choroby społecznej, która się do osamotnienia gniazda rodzinnego przyczynia, a mianowicie psucia dzieci, gdyż zamiast je uważać za skarby, które trzeba cenić i mnożyć, mają je za bożyszcza, które należy zdobić i okadzać. Jedną z przyczyn tego występku jest nieporządne przywiązanie do bogactw. Wiele jest za dni naszych rodziców, nieufających Opatrzności Boskiej, lękających się, aby im ziemi pod nogami nie zabrakło, stosujących liczbę dzieci do kapitału, jaki posiadają. Bogaci grzeszą tem najwięcej. Przez oderwanie się od rzeczy ziemskich, którego skutkiem jest ufność nieograniczona w Bogu i poddanie się Opatrzności, synowie Franciszka praktykują w małżeństwie tę czystość płodną, która z ust Mędrca wywołuje słowa podziwu: „O, jakże piękny jest rodzaj czysty z jasnością; nieśmiertelna jest pamięć jego u Boga i u ludzi“.

Oprócz czystości małżeńskiej, jest też czystość osobista. Jak jedna, tak i druga wynika z doskonałego zachowania prawa Bożego. Naśladowca Franciszka, wierny swojemu powołaniu, podwójnie jest do niej obowiązany [2]).

Środki do zachowania tego.

Ale nie wystarcza tu sama wstrzemięźliwość. Do zachowania bowiem wszechstronnej czystości potrzebna jest łaska i pomoc Boża, którą otrzymać można tylko przez częstą modlitwę. Ostatnie zalecenie Zbawiciela, uczynione przed męką, było: „Czuwajcie i módlcie się, abyście nie weszli w pokusę“. Reguła Ś. Franciszka, przez nakazanie różnych rodzajów wstrzemięźliwości i chronienia się od okazji, jest dla nas z jednej strony praktyką zaleconego przez Pana Jezusa czuwania, z drugiej zaś — jest ćwiczeniem się nieustannem w modlitwie: Tą bronią podwójną Tercjarz walczy przeciw szatanowi, ciału i światu, i wywalcza cnotę

[1]) L'Esprit du Tiers-Ordre franciscain par le R. P. Pierre Baptiste Gimet. [2]) Ibidem.

[1]) Ibidem. [2]) Ibidem.

czystości. Czemże jest bowiem codzienne słuchanie Mszy świętej, Komunja św., rachunek sumienia, modlitwa przed użyciem pokarmu, jakby zastrzegająca od zmysłowej w niem przyjemności, jeśli nie wprowadzeniem w życie tych słów Zbawiciela: „Módlcie się, abyście nie weszli w pokusę". Osobliwie zaś częsta Komunja święta pozwala duszom odezwać się słowy Ś. Agnieszki: „Kochając Pana Jezusa, jestem czysty, dotykając się Go, staję się niepokalanym, jednocząc się z Nim — zostaję dziewicą" [1]).

Jak to spełniali naśladowcy Ś. Franciszka.

Bł. Roger z Todi, Brat Mniejszy (1237 r.).

Był to jeden z 72-ch uczniów Ś. Franciszka, a słynął z wielu cnót, jak: z oderwania się zupełnego od rzeczy ziemskich, z wyrzeczenia się samego siebie i z niezwykłej czystości. Urodził się w Todi, biskupiej stolicy Umbrji, i otrzymał habit seraficki z rąk Ś. Patryarchy. Przy takim mistrzu brat Roger czynił znakomite postępy w doskonałości. Gdy Bł. Filipa Mareri wyrzekła się świata, aby pełnić regułę Sióstr Ubogich, Ś. Franciszek dał tym Siostrom Rogera, ukochanego swego ucznia, za spowiednika. Miłując dziewiczą czystość, sługa Boży tak strzegł swoich oczu, że nigdy nie patrzył na żadną kobietę, choćby najstarszą, a nawet na własną matkę, jakkolwiek była ona bardzo świątobliwa. Życie jego upłynęło na pełnieniu obowiązków chrześcijańskich i praktyce cnót wszelkiego rodzaju, zresztą było ukryte w Bogu, tak iż kronikarze mało o nim piszą. Był on obecny przy ostatnich chwilach swojej córki duchownej, Bł. Filipy, miał mowę pogrzebową na jej grobie, poczem wrócił do ojczystego miasta. Kilka miesięcy później, 5 stycznia 1237 r. rozstał się z tym światem i poszedł po wiekuistą nagrodę do nieba. Przy zwłokach jego otrzymywano wielkie łaski, skąd Grzegorz IX, który znał osobiście sługę Bożego, nie wahał się ogłosić go błogosławionym i pozwolił, aby miasto Todi, posiadające ciało Rogera, obchodziło jego uroczystość. Zaś Benedykt XIV rozszerzył tę cześć na cały zakon franciszkański [2]).

Bł. Leonard z Fulginu, Brat Mniejszy (1241 r.).

Leonard wstąpił do zakonu, jako 20-o letni młodzian, na dwa lata przed śmiercią Seraficiego Ojca, który przebywał właśnie w mieście Fulginie, dokąd go dla polepszenia zdrowia przywiózł brat Eljasz. Gdy się wieść o tem rozniosła, mnóstwo osób wszelkiego stanu przybywało odwiedzić go i poznać, a między niemi i Leonard, syn jednej z najszlachetniejszych i najbogatszych rodzin. Stanąwszy przed Franciszkiem, uczuł w sobie powołanie zakonne i, nie odkładając na później, prosił o habit. Święty Ojciec wziął go na kilkodniową próbę, a gdy ta pomyślnie wypadła i młodzieniec twardo stał przy swojem, własną ręką włożył nań ubogie szaty Brata Mniejszego. Od tej chwili Leonard coraz bardziej posuwał się w doskonałości, praktykując pokorę, wzgardę samego siebie i miłość ku bliźnim, ale najgłówniejsze cnoty, które go czyniły miłym Bogu, były to: wysokie posłuszeństwo i ubóstwo; budował niemi zarówno braci zakonnych, jak i osoby świeckie.

Kilka lat po wstąpieniu, przełożeni wysłali go do Piperno, słynnego i starożytnego miasta w prowincji Rzymskiej, gdzie niedawno zbudowano braciom klasztor Ś. Wawrzyńca. Tutaj, zdala od ojczyzny, Leonard świątobliwością życia zyskał sobie powszechny szacunek mieszkańców, tem większy jeszcze, gdy zaczął czynić liczne a niezwykłe cuda. Ale miasto Piperno niedługo cieszyło się Leonardem. Przeżywszy za krótki czas wiele, umarł na początku lutego 1241 r. Ciało jego spoczęło pod wielkim ołtarzem kościoła Braci, a na płycie kamiennej widnieje napis: „Pod tym ołtarzem spoczywa ciało Bł. Leonarda z Fulginu, towarzysza Ś. Franciszka" [1]).

Bł. Marcin z Fulginu, Brat Mniejszy (1241 r.).

W tym samym fulgińskim klasztorze przywdział suknię zakonną Bł. Marcin, rodem z tegoż miasta, ale pokornego stanu. Jaśniał on najpiękniejszemi cnotami. Jego pokuta i pilność w modlitwie były zadziwiające. Za przykładem Świętego, którego imię nosił, nigdy nie używał wina, a tak poważał ubóstwo ewangeliczne i tak był ścisły w zachowaniu reguły, że bracia wielce się zeń budowali. Będąc krawcem klasztornym, spełniał ten urząd gorliwie. Pewnego razu jeden z zakonników chciał go wypróbować i rzekł: „Czyż nie byłoby lepiej, braciszku, abyś dłużej trwał na rozmyślaniu, a ty ciągle szyjesz i naprawiasz habity". Na to usłyszał on następującą piękną odpowiedź: „Nie wiem, bracie, czy moje modlitwy będą przyjęte u tronu Bożego; ale jestem pewien, że akty miłości i zaparcia są Bogu bardzo miłe". W tych też cnotach celował on do końca swego życia. Liczne przymioty jego duszy skłoniły przełożonych do wysłania Marcina do Marchji, gdzie zamieszkał w klasztorze w Moliano. Tutaj pędził życie wzorowego Brata Mniejszego i zyskał sobie sławę świętości.

[1]) Ibidem. [2]) L'aur séraph., T. I.

[1]) L'Oriente serafico.

Zewsząd przybywano doń po światło w trudnościach, a nawet po pociechę i cuda. Braciszek atoli uważał się za najnędzniejszego ze wszystkich i pragnął jedynie, aby go używano do najniższych obowiązków. Wezwany pod koniec życia do Fulginu, oddał tam ducha swego 5 marca 1241 r. Gdzieby spoczywał — niewiadomo, tylko że w kościele zakonnym. Pan Bóg wsławił pamięć swego sługi: udający się do jego przyczyny doznawali cudów [1]).

Podanie przechowywane w zakonach Braci Mniejszych.

Kroniki portugalskiego klasztoru Braci Mniejszych w Alenkwer (Alenquer) opisują następujące zdarzenie. Pewna dama honorowa księżnej Marji Garcji przychodziła często do tego klasztoru na rozmowy duchowne z jednym bratem. Zakonnik niechętnie jej się udzielał, bo się bał kobiet, których towarzystwo o tyle jest niebezpieczniejsze dla kapłanów i zakonników, o ile one są pobożniejszemi. Dnia jednego, gdy brat był na modlitwie, kazała go owa pani zawołać do kościoła, czemu się on tym razem sprzeciwił. Ale pani, jak wszystkie uparte niewiasty, posyła po niego drugi i trzeci raz, mówiąc, że czułaby się bardzo zmartwioną, gdyby jej życzenia nie spełnił. Żeby się jej pozbyć, poszedł do niej wreszcie ów brat, trzymając w jednem ręku ogień, a w drugiem słomę, zapalił tę ostatnią w jej oczach i rzekł: „Pani, chociaż nasze rozmowy są uczciwe, jednak niechętnie z wami rozmawiam, ponieważ tego, coście widzieli na ogniu i słomie, powinni lękać się zakonnicy, gdy zawiązują szczególne przyjaźnie z niewiastami. Co najmniej bowiem tracą owoc ze świętych swoich rozmów z Bogiem". Pani zrozumiała, co brat chciał powiedzieć i więcej mu się nie naprzykrzała [2]).

Ś. Klara z Assyża (1253 r.).

Ś. Klara odznaczała się wielką cierpliwością, gdyż chorując ustawicznie przez 28 lat, nigdy nie dopuściła się żadnego szemrania lub skargi; owszem, z ust jej wychodziły tylko słowa święte i budujące, oraz uwielbienia woli Bożej [3]).

Bł. Gandolf z Benasko, Brat Mniejszy (1260 r.)

Był to jeden z najwymowniejszych braci swego czasu i wielki miał wpływ na słuchających. Rudolf z Tossinjano (Tossignano), kronikarz franciszkański, nazywa go mężem wysoce umartwionym, gdyż cały jego posiłek zasadzał się na chlebie i wodzie. Unikał przytem próżnowania i wszelkich stosunków z osobami światowemi, co uczyniło zeń wzór niewinności i czystości. Posiadając z łaski Bożej dar poruszania serc ludzkich, choćby najbardziej zakamieniałych, korzystał z tego, by obudzić w nich miłość ku Ukrzyżowanemu. Umarł w Wielką Sobotę r. 1260 w mieście Polizzi, gdzie przybył z kazaniami. Ciało jego, złożone w kościele katedralnym, odbiera cześć od wiernych. „Będąc w Polizzi r. 1584, pisze tenże kronikarz, oglądałem święte szczątki Gandolfa, zamknięte trzema różnemi kluczami i widziałem ufność ludu do relikwji i cudowne owoce tego nabożeństwa" [1]).

Bł. Masseusz z Marinjano (Marignano) (1271 r.).

Pierwsi uczniowie Ś. Franciszka o to się tylko starali, aby dostąpić doskonałości w cnotach. Otrzymawszy je zaś od Boga przez modlitwę, posty i umartwienia, strzegli ich pilnie, jak największych skarbów. Piszą np. o Bł. Masseuszu, że przez jakiś czas chodził smutny i skłopotany, co widząc, bracia pytali go o powód. „Smucę się, odpowiedział im, że nie mam jeszcze doskonałej miłości bliźniego, bo czuję, że gdyby mi kto obciął ręce i nogi, albo wyłupił oczy, jakkolwiekbym mu to przebaczył, jednakże nie mógłbym go tak kochać, jak poprzednio i życzyć mu również dobrze. Proszę więc Pana Boga, aby mi udzielił doskonałej miłości bliźniego, a wówczas dusza moja będzie wesoła i spokojna". Tak samo długo prosił i modlił się o pokorę, o skruchę i o inne cnoty. „Panie mój, Jezu Chryste, wołał, daj mi prawdziwy żal za moje grzechy, udziel mi łaski poprawy życia i czynienia Twej woli w każdym wypadku".

Błogosławiony ten sługa Boży pochodził z małego miasteczka Marinjano, w okolicach Assyża. Przystawszy do Franciszka, rozmiłował się w ubóstwie i pokucie, tak że wszyscy mogli nań patrzeć, jako na wzór cnót wszelakich. Posiadał też piękną wymowę i namaszczenie w głoszeniu słowa Bożego. Seraficki Patryarcha brał go ze sobą na misje, wziął go też, udając się po raz ostatni na Alwernję, a tak wysoko go cenił, że powierzył mu gwardjaństwo nad tamtejszymi braćmi. Masseusz w zupełności zasługiwał na to zaufanie, był bowiem doskonałym zakonnikiem i mężem modlitwy. Modląc się, nie mógł powstrzymać miłosnych uniesień i wydawał jęki nakształt gołębicy [2]).

---

[1]) Ibidem. [2]) Kron. 3 Zak. Ś. Fr., Cz. II. [3]) Tamże.

[1]) L'aur. séraph., T. III. [2]) L'Oriente serafico.

Bł. Izabella francuska, Klaryska-Urbanistka (1270 r.).

Ta błogosławiona dziewica jeszcze przed wstąpieniem do zakonu posiadała w wysokim stopniu ducha pokuty. Pościła trzy razy na tydzień, a jedzenie jej tak było liche, że bez cudu nie utrzymałoby jej przy życiu. Zato większa część potraw szła na ubogich i chorych lub do przytułków. Świat nigdy jej nie rozpraszał; zawsze była poważna, skupiona, unikająca ludzi i zabaw, aby nie utracić Najwyższego Dobra, które królowało w jej sercu. Wolne chwile spędzała na pobożnych i budujących rozmowach, bądź z bratem swoim, królem Ludwikiem, bądź z pannami dworskiemi.

Nietylko, że posyłała ubogim wsparcie w żywności i ubraniu, ale jeszcze sama ich nawiedzała, służąc w chorobach, zaspakajając potrzeby i osładzając ze współczuciem ich cierpienia. Modlitwa była dla Błogosławionej rozkoszą; znajdowała w niej to szczęście i ukojenie, którego świat dać nie może; nieraz całe noce trwała na bogomyślności. Agnieszka d'Harcourt, dawna jej panna honorowa, a później siostra zakonna, która napisała jej żywot, nazywa Izabellę zwierciadłem czystości, wzorem życia pokutnego, lilją niewinności, źródłem miłosierdzia, doskonałością samą. Spowiednikowi swemu tak była podległą, że w świecie żyjąc, posłuszeństwo prawie zakonne pełniła. Pod wpływem łaski Bożej, obawiała się najmniejszej winy. Badała pilnie sumienie swoje, karciła się surowo za najmniejsze niedbalstwo i z serdecznemi łzami wyznawała swoje drobne upadki [1]).

Ś. Ludwik Andegaweński, Brat Mniejszy (1297 r.).

Zbawiciel obdarzył tego Świętego szczególniejszem zamiłowaniem cnoty anielskiej, którą przez całe życie swoje z wielką starannością pielęgnował. Z modlitwą gorącą i pilną łączył praktykę umartwień, postów, dyscyplin krwawych, a zwłaszcza ustawiczną czujność nad zmysłami, którą tak zalecał Pan Jezus. Nadzwyczaj skromny w słowach i wzroku, ostrożny w stosunkach z kobietami, rozmawiał z niemi tylko wobec świadków i w ostatecznej potrzebie. Jego sposób obejścia i rozmowy napiętnowany był cechą anielską: nie znosił, aby w jego obecności choć jedno nieprzyzwoite padło słowo. Gdy w czasie niewoli jeden z dworzan odważył się namawiać go do złego czynu, młody książę zawołał z oburzeniem: „Czyż ci nie dosyć, że moje ciało jest w kajdanach, chciałbyś jeszcze i duszę w nie uwięzić? Kiedy członki moje są skrępowane, niechże przynajmniej dusza będzie wolna! Uchroń mnie, Boże, od zatraty duszy i ciała w piekle!“

Życiopisarze Świętego podają kilka innych wypadków, w których pięknym blaskiem jaśnieje anielska jego skromność i wysoka delikatność uczuć. Niewola, w której zostawał z braćmi, już miała się ku końcowi, gdy przyjechała do Barcelony ich siostra, Blanka, będąca po zaręczynach z królem aragońskim. Ludwik tak skromnie zachowywał się podczas jej pobytu, że mimo jej próśb, ani razu na nią nie spojrzał. Wracając zaś do ojczyzny, trzej książęta spotkali we Florencji pobożną swoją matkę, wraz ze starszym jej synem, Karolem Martelem, i liczną świtą. Królowa, po długich latach rozłąki, rzuca się w objęcia swych dzieci i chce je przytulić do łona, ale Ludwik odwraca twarz swoją od twarzy matki, a na jej przedstawienie, że przecież jest jego matką, więc to nie może obrazić Pana Boga, odpowiada: „Wiem, żeś moją matką, ale też wiem, żeś jest kobietą, z którą niewolno słudze Bożemu tak się poufalić“.

Święty młodzieniec nigdy nie odstąpił od tej nadzwyczajnej ostrożności. Będąc później Biskupem Tuluzy, otrzymał list od królowej francuskiej, swojej krewnej, która prosiła, aby wyjechał na jej spotkanie. Ludwik nie uwzględnił tego życzenia, jakkolwiek Joanna Nawarska mogła mieć dla niego tylko czysto rodzinną przyjaźń.

Nie dziwujmy się tak przesadnemu napozór postępowaniu. Ludwik dany był światu, jako zwierciadło czystości i dziewictwa, zresztą Pan Bóg cudami okazał, jak Mu to było miłem. Zaledwie bowiem święty pasterz skonał, z ust jego wyrosła cudownie piękna róża, jeden zaś z braci zakonnych zobaczył jego duszę, unoszącą się do nieba w towarzystwie aniołów, którzy śpiewali: „Oto, jak uczczeni są ci, co służyli Bogu w czystości i niewinności“. Bóg dozwolił też na świadectwo anielskich obyczajów Ludwika, że jego relikwje wskrzesiły bardzo wiele niewinnych dziatek.

Wadding opisuje nadzwyczajny cud, przez który Chrystus Pan w szczególniejszy sposób uczcił dziewiczą czystość młodzieńca. Cud ten powtarza się corocznie w kaplicy, wzniesionej pod jego wezwaniem w dyecezji Oviedo w Hiszpanji. 19-go sierpnia, w dzień Ś. Ludwika, tłum pobożnych zbiera się w kościele i tam, podczas sprawowania Najświętszej Ofiary, rozkwitają koło ołtarza błękitne lilje; również ściany kaplicy pokrywają się temi cudownemi kwiatami, które wierni zbierają na lekarstwo przeciw różnym chorobom. Gdy tylko Ofiara niekrwawa się skończy, lilje więdną.

[1]) L'aur. séraph., T. III.

Owe zadziwiające cuda tłumaczą nam, dlaczego Kościół daje Ludwikowi we Mszy Św. takie słodkie tytuły, jak: Róża wiosenna miłości, Lilja dziewictwa, Gwiazda jaśniejąca, Naczynie świętości.

S. Bartold, 3 Zak. (1300 r.).

Ten święty kapłan, nawiedzony trądem, cierpiał niewypowiedziane męczarnie: całe ciało jego przedstawiało jedną ranę i odpadało kawałkami; nie przestawał jednak błogosławić i chwalić Boga, i znosił swoją chorobę z największem poddaniem aż do śmierci, t. j. przez lat 20. Mnóstwo osób przybywało do niego, żeby się budować widokiem jego nadzwyczajnej cierpliwości i zasięgać rady w różnych sprawach. Pan Bóg wsławił sługę swego cudami, a rany jego nietylko że nie wydawały żadnej odrażającej woni, ale przeciwnie, roztaczały miły niebiański zapach [1]).

S. Elzear de Sabran, 3 Zak. (1325 r.).

Hrabia Arianu od dzieciństwa był małomówny. Skromność jego, szlachetne ułożenie i rozwinięcie nad wiek, czyniły to miłe dziecię jakby dojrzałym już człowiekiem. Wdzięczna wesołość malowała się na jego twarzyczce i porywała serca wszystkich. Już w piętnastym roku życia ożeniony został z młodziutką Delfiną de Glandèves, odznaczającą się czystością i licznemi przymiotami. Wieczorem, po ślubie, gdy małżonkowie sami zostali, Delfina zwierzyła się Elzearowi, że została przymuszoną do małżeństwa przez swoich wujów. „Pragnęłam zamknąć się w klasztorze, powiedziała mu, ale wujowie nic na to życzenie nie zważali. Błagałam tedy Najśw. Marję Pannę, aby się zlitowała i pospieszyła mi z pomocą. Zanim bowiem poznałam ciebie, Elzearze, wybrałam sobie innego Oblubieńca i zaprzysięgłam Mu wierność aż do śmierci. Gdyby mnie nie zapewniła Najśw. Panna, że będzie tarczą mego dziewictwa w małżeństwie, nie byłabym nigdy przystała na połączenie się z tobą. Liczę na ciebie, że zgodzisz się na to, abyś miał we mnie siostrę kochającą i najoddańszą".

To zwierzenie było dla Elzeara całkiem niespodziewane. Pogrążony w zadumie, skupił się wewnętrznie i wzniósł duszę swą do nieba w żarliwej modlitwie, jakby radząc się Pana Zastępów co do tej tak ważnej sprawy. Za chwilę, snać oświecony z wysoka, zgodził się na życzenie Delfiny i obiecał żyć z tą wybraną towarzyszką swoją, jak z siostrą ukochaną. Aniołowie Pańscy podsłuchali tę rozmowę i zanieśli za nią Panu hymn dziękczynienia. Przed świtem pierwszej jutrzenki po zawarciu tego czystego związku, rodzina jego była już dopełniona: dziećmi ich stali się ubodzy. Delfina i Elzear mieli odtąd jedno serce i jedną duszę, i wielkim krokiem postępowali drogą doskonałości. Razem się modlili, czuwali, pościli, umartwiali się i zabawiali kontemplacją rzeczy niebieskich. Ich wspólne rozmowy o Bogu i rzeczach świętych dopełniały codziennie miary chrześcijańskiego ich wykształcenia i udzielały im mądrości Bożej, która oświecała ich dusze i rozpalała serca. Dla uzbrojenia się przeciw wpływom świata i zastrzeżenia przed słabością własną, wstąpili oboje do 3-go zakonu Ś. O. Franciszka, którego regułę z coraz wzrastającą gorliwością zachowywali. Elzear prawie codzień się spowiadał. Pilne ćwiczenie się w obecności Boskiej czyniło go tak skupionym, że życie jego było ciągłą modlitwą. Zaraz po jego wejściu w związki małżeńskie, Bóg, wynagradzając jego ducha ofiary, nawiedzał go świętemi widzeniami i innemi nadprzyrodzonemi łaskami. Pobożność młodego hrabiego była bardzo gruntowna, to też nie miała w sobie nic ponurego. Był dla wszystkich przystępny, słodki, uprzejmy; piękność duszy odbijała się w rysach twarzy.

Naprzód mieszkał z Delfiną w rodzinnym swym zamku Ansonis, lecz po pięciu latach zapragnął większej samotności. Aby się usunąć od wpływu i towarzystwa swoich krewnych, usiłujących pociągnąć go do życia światowego, postanowił zgodnie z Delfiną znaleźć sobie miejsce cichsze i spokojniejsze. Opuścili przeto zamek Ansonis i zamieszkali w zamku Puymichel, należącym do posiadłości Delfiny.

Jego regulamin życia.

Pracując z gorliwością około uświęcenia domowników i podwładnych, Elzear obawiał się, aby troska o zbawienie drugich nie naraziła go na zaniedbanie własnego postępu. W tym celu ułożył sobie stały regulamin życia.

Codzień odmawiał Officjum z taką pobożnością, iż do gorliwości zapalał tych, którzy go widzieli modlącego się. Oprócz przepisanych postów, które bardzo ściśle zachowywał, pościł w wigilje wszystkich świąt i przez cały Adwent. Nosił pod suknią ostrą włosienicę, często nawet do snu jej nie zdejmując. Spoczywał w ubraniu, które sobie w tym celu umyślnie kazał sporządzić. Miał dyscyplinę z łańcuszków żelaznych i uderzał się nią trzy razy przy każdym wierszu psalmu Miserere, odprawiając ją w ten sposób codziennie, a niekiedy kilka razy na dzień. Do Stołu Pań-

[1]) Ibidem, T. IV.

Ś. FRANCISZEK NAŚLADOWCA CHRYSTUSA.

OKNA W GÓRNYM KOŚCIELE ASSYZKIM Z XIV WIEKU.

Marja przedstawia światu Pana Jezusa jako wzór—Pan Jezus przedstawia światu Ś. Franciszka jako swego naśladowcę. Według akwarelli P. Fritla.

skiego przystępował we wszystkie niedziele Wielkiego Postu i Adwentu, i w wiele świąt uroczystych i tych, do których miał szczególne nabożeństwo, a mianowicie w dni poświęcone pamiątce świętych dziewic. Przy Komunji doznawał często nadzwyczajnych pociech i mówił nieraz do ukochanej swej małżonki, że w chwili, gdy w ustach swoich trzyma Hostję Przenajświętszą, czuje w Niej niebiańską słodycz i że niema dla jego duszy nic słodszego, nic milszego, jak częste przystępowanie do Komunji świętej.

Nigdy nie tracił z oczu, myśli i pamięci rzeczy niebieskich. Czy był przy stole, czy brał udział w ogólnej rozmowie, czy z konieczności obecny był hucznym zabawom, zawsze zatapiał się duchem w Bogu i rozkoszował pamięcią na Jego obecność. Wśród zgiełku muzyki i wrzawy, umysł jego zajmował się rozważaniem prawd wiecznych, tak iż zdawał się być w zachwycie.

Unikał, o ile mógł, świeckich zabaw; rozrywką dla niego najmilszą i najzwyklejszą była, jak widzieliśmy, rozmowa ze świątobliwą małżonką o rzeczach duchownych, o nieporównanej doskonałości i wdzięku cnoty dziewictwa, o rozkoszach raju i wiecznej szczęśliwości. Pokój ich był jakby oratorjum, w którem odprawiali wspólne ćwiczenia. Święty osobliwie miał na sercu wierne ćwiczenie się w trzech rzeczach: Strzedz się pilnie wszystkiego, co się nie podoba Bogu, składać Mu w każdej chwili całkowitą z siebie ofiarę, ukrywać w sercu łaski szczególne, otrzymane z nieba.

Męstwo Elzeara i delikatność jego sumienia.

Sługa Boży odznaczał się i męstwem na wojnie. Gdy Henryk VII, cesarz niemiecki, targnął się na posiadłości Papieża i już nawet zamieszkał w jego stolicy, przerażeni Rzymianie wysłali poselstwo do młodego króla Neapolitańskiego, prosząc go o pomoc. Robert natychmiast wyprawił brata swego, Jana, z dostateczną siłą zbrojną, a dowództwo zlecił Elzearowi. Nieprzyjaciele dobrze już obsiedli byli stolicę chrześcijaństwa, lecz młody hrabia dzielnie natarł na ich wojsko, tak iż odrazu je pokonał. Cesarz stracił najdzielniejszych swych żołnierzy i musiał ze wstydem wycofać swoją armję z Rzymu. Wszyscy przypisywali ten znakomity tryumf zręczności i męstwu Elzeara; ze wszystkich stron dochodziły go pochwały i powinszowania. Król wyraził mu swą wdzięczność hojnemi darami, które litościwy hrabia rozdał między ubogich. Zwycięzca jednak, powróciwszy do domu i rozważywszy zaszłe wypadki, miał dwa skrupuły, bardzo bolesne dla jego delikatnego sumienia. Naprzód obawiał się, że uległ chwilowo uczuciu próżności i nie odwrócił zaraz serca swojego od pochwał, któremi go obsypano. Powtóre, że ze zbyt wielką zaciętością mordował nieprzyjaciół. Ten ostatni skrupuł nie był bez podstawy, gdy bowiem, ubolewając nad tem zapomnieniem się, przepraszał Pana Boga, usłyszał głos z nieba: „Wiedz, Elzearze, iż o mało nie utraciłeś łaski mojej w zaciętości tej walki; lecz uspokój się; gdyż grzechy twoje są ci odpuszczone".

Sama myśl, że się naraził na utratę łaski Bożej, przejęła duszę jego do głębi, dostał tak silnej gorączki, iż zdawało mu się, że leży na łożu ognistem. Zaczął odmawiać psalm Miserere, a w ciągu tej modlitwy niewidzialna ręka mocno go uderzała tak, że całe ciało pokryło się ranami. Wreszcie usłyszał znowu pocieszające słowa: „Odwagi, Elzearze, nie trap się, grzechy twoje są ci darowane". Zasnął, a przebudziwszy się, uczuł się zdrowym i niebiańską napełnionym pociechą.

Jego śmierć w Paryżu.

Wysłany przez swego monarchę w poselstwie do Paryża, ciężko się tam rozchorował. Pan objawił mu zbliżający się koniec. Odtąd Elzear myślał już tylko o tem, aby się dobrze przygotować do śmierci. Oddawna miał już zrobiony testament. Wszystkie dobra swoje ruchome zapisał Delfinie, wszystkie ziemskie posiadłości Wilhelmowi de Sabran, swemu bratu. Znaczne też porobił zapisy dla swych domowników, dla klasztorów i szpitali. Niejednokrotnie w życiu odprawiał spowiedź generalną, nie zaniedbał jej też odprawić z najserdeczniejszą skruchą przed śmiercią. Jakkolwiek ciężkie przechodził cierpienia, nigdy nie okazał najmniejszej niecierpliwości. Słodycz słów jego i pogoda oblicza wymownie świadczyły o spokoju sumienia i rozradowaniu duszy jego w Bogu. Codziennie prosił o ponowienie rozgrzeszenia, codzień słuchał Mszy św., odprawianej w przyległem oratorjum. O ile mógł, przez cały czas Mszy św. klęczał obok łóżka lub na niem. Kazał sobie czytać ustępy z Męki Pańskiej dla pobudzenia się do większej skruchy i pragnął umierać na podobieństwo Boskiego Zbawcy swego. Ukrywał zawsze starannie to, że z małżonką swoją żyje w dziewictwie; przed śmiercią dopiero wyjawił to w tych słowach: „Zły człowiek zbawiony jest przez dobrą niewiastę; którą przyjąłem dziewicą, zostawiam dziewicą". Ujrzawszy wchodzącego kapłana ze świętym Wjatykiem, zdobył się na siłę przyjęcia Boskiego Gościa na klęczkach. Przyjął Go ze czcią najgłębszą i uczuciami najżywszej miłości i uwielbienia. Przy udzielaniu Olejów ŚŚ. sam odpowiadał na wszystkie modlitwy kościelne. A gdy w litanji za kona-

jących przyszło do tych słów: „Przez krzyż i mękę Twoją, wybaw, Panie, tego konającego od nieprzyjaciół duszy“. Elzear z wysileniem cichym głosem wymówił: „Ta jest nadzieja moja, w której chcę umierać“. Podczas konania twarz jego zachmurzyła się przez chwilę, jakby pod wrażeniem przestrachu. Zdawało się, iż walczy z silnym wrogiem. Nakoniec zawołał: „Boże mój, jak wielka jest moc szatańska!“ Po chwili coraz słabnącym głosem rzekł: „O, dobry Jezu! dzięki Ci, żeś przez Mękę Twoją zwyciężył moce piekielne!“ Łatwo z tych słów było poznać, że go szatan kusi do rozpaczy. Lecz co większem jeszcze zdziwieniem przejęło obecnych, to wyszłe z ust jego słowa: „Niestety, oddaje się całkowicie na sąd Boga“. Zdawało się, iż się lęka o swoją duszę, pomimo świątobliwego i niewinnego życia swego. Wreszcie uspokoił obecnych, gdy po chwili wyrzekł radośnie: „Zwyciężyłem za łaską Bożą“, i oblicze jego zwykłym zajaśniało pokojem.

Wśród tych prób Pańskich i pociech wślad za niemi idących, Elzear oddał czystą swoją duszę Bogu, 27 września r. 1325, a w 38-ym swego życia. Jeden z panów obecnych przy jego śmierci, wielki rozpustnik, uczuł się tak przygnieciony ciężarem swoich grzechów, że nie mógł go dłużej znosić. Poszedł do sąsiedniego pokoju i wyspowiadał się pokornie przed jednym z ojców zakonu Ś. Franciszka, asystujących Świętemu przy konaniu.

Elzear pochowany był w habicie tercjarskim w kościele Franciszkanów w Paryżu. W kilka miesięcy zwłoki jego przewieziono do Apt w Prowancji i umieszczono w kościele tychże Braci Mniejszych, gdzie sam Święty wybrał sobie miejsce spoczynku. Gdy ciało przewożono koło Awinjonu, dzwony w tem mieście same zadzwoniły. Przy jego grobie działy się liczne cuda. Kilku umarłych zmartwychwstało, niewidomych odzyskało wzrok, sparaliżowanych — władzę w członkach, a mnóstwo chorych zdrowie.

W 20 lat po śmierci Elzeara wszystkie te cuda z rozkazu Klemensa VI były urzędownie sprawdzone. Kanonizował go Urban V dnia 16 kwietnia 1369 r.. Bulla kanonizacyjna wydana była dopiero 1 stycznia 1371 r. za Papieża Grzegorza XI w Awińjonie, w kościele Ś. Didie (Didier). Rohrbacher mylnie pisze, iż Delfina żyła jeszcze, gdy mąż jej stanął na ołtarzach. Było to w 11 lat po jej błogosławionej śmierci. Święto Elzeara de Sabran obchodzi się u wszystkich Braci Mniejszych [1]).

[1]) S. Elzear de Sabran par M. Berguin.

Ś. Ludwina, 3 Zak. (1433 r.).

Ta wielka sługa Boża przyszła na świat w niedzielę Palmową r. 1380. Już dzień jéj urodzin był wskazówką, że ma cierpieć i w boleściach naśladować Boskiego Mistrza. Jak bowiem po Hosanna, śpiewanem w niedzielę na powitanie Jezusa, wjeżdżającego do Jerozolimy, w piątek ciż sami żydzi krzyczeli: Ukrzyżuj, ukrzyżuj! tak i po dziecięctwie, które Ludwina spędziła zdrowo i wesoło w domu kochających ją rodziców, nastąpiły dla niej ciężkie dni cierpień, trwających aż do śmierci. Małą dziewczynką będąc, chociaż żywego usposobienia, była jednak pobożna i skromna tak dalece, że matki dawały ją za wzór do naśladowania swoim córkom. W 11-m roku życia uczyniła ślub czystości na cześć Najśw. Marji Panny, nic też dziwnego, że pielęgnując tak gorliwie tę cnotę, spodobała się Oblubieńcowi dusz czystych.

Naraz objawiły się w niej jakieś nieznane bóle, na które lekarze nic poradzić nie mogli. Złożona cierpieniami, pędziła dni całe bez chwili wypoczynku i możności posilania się czemśkolwiek. W ten sposób upłynęło jej 30 lat życia, z których siedem ostatnich poruszała tylko głową i lewem ramieniem. Ileż męczarni musiała przenieść, ile bólu! W pierwszych latach choroby zgodzenie się z wolą Bożą dużo ją kosztowało: narzekała i przykrzyła sobie. Ale Pan Bóg zesłał jej świętego spowiednika, O. Jana Po (Pot), który zachęcił ją do rozważania codziennie Męki Pańskiej. Posłuszna Ludwina tak się w tem świętem ćwiczeniu rozmiłowała, że, aby je ciągle praktykować, podzieliła sobie cierpienia Pana Jezusa na siedem części, według godzin kanonicznych, a tak dzień i noc była przytomna boleściom Zbawiciela i znalazła w nich słodycz i ukojenie. Poddana woli Bożej, szybkim krokiem dążyła do nieba. Piękny był zaiste widok tej Świętej, zapominającej o własnych cierpieniach, by pocieszyć innych, i jeszcze z łoża boleści znajdującej sposób wspomagania nędzarzy. Piękna niebiańską pięknością była jej miłość heroiczna, gdy po śmierci rodziców swoich kazała wszystko sprzedać, a pieniądze rozdzielić między ubogich, zatrzymując sobie tylko co najkonieczniejsze. Odznaczała się też niemniejszą pokorą, pragnąc tylko wzgardy od wszystkich. Tyle cnót zostało nagrodzonych jeszcze na tej ziemi, gdyż Pan Bóg wzbogacił ją darem proroctwa, widzeń niebieskich i czynienia cudów. Cudowny był też sposób jej przyjęcia do 3-go zakonu.

Była to uroczystość Zwiastowania Najśw. Marji Panny. O. Verembolde, Minister Generalny Trzeciego Zakonu Regularnego, modlił się, gdy

naraz wpadł w zachwycenie. Zobaczył on wtedy dziewicę, również w zachwyceniu będącą, w którym Pan Bóg udzielał jej wszystkiego, czego tylko pragnęła. Zapytał, ktoby była ta szczęśliwa i otrzymał odpowiedź: „Jest to Ludwina, którą masz przyjąć do Trzeciego Zakonu". Czcigodny Ojciec, przyszedłszy do zmysłów, udał się do Ludwiny i oznajmił jej wolę Bożą, aby się wpisała do Pokutnego Zakonu franciszkańskiego. Ludwina jak najchętniej została córką Ś. O. Franciszka. Jeżeli zaś pierwej kochała Jezusa Ukrzyżowanego i z Nim współcierpiała, teraz prosiła Go o więcej jeszcze cierpień, aby stać się godną oblubienicą Jezusa Chrystusa. Krzyż stał się jej ideałem upragnionym. Uważała, że w porównaniu z Jezusem nic nie cierpi i ciągle powtarzała: „Jezu, cierpieć, cierpieć, cierpieć dla Ciebie!" Nareszcie po 30-u latach mąk oddała duszę swą Stwórcy (14 kwietnia 1433 roku) i poszła po wiekuistą nagrodę, obiecaną tym, którzy wiernie będą dźwigali swoje krzyże [1]).

Ś. Koleta z Korbei, 2 Zak (1447 r.).

Święta reformatorka posiadała w wysokim stopniu cnotę czystości i dlatego stała się godnym przybytkiem Ducha Przenajświętszego. Pełna dziecięcej prostoty, miłowała małe dzieciny. Rozmowa jej, zawsze przyjemna i budująca, odbijała czystość jej anielskiej duszy i porywała serca ku Bogu. Patronem jej dziewictwa był Ś. Jan Ewangelista; obrała go sobie od lat młodzieńczych. Z miłości też dla tej cnoty początkowo przyjmowała do swojej reformy same tylko dziewice i nawet wyjednała sobie na to przywilej od Stolicy Świętej, ale w niezadługim czasie, poznawszy z Objawienia Boskiego, że i wdowy miłe są Bogu i mogą godnie służyć w zakonach, odmieniła pierwotne zastrzeżenie, otwierając tem przystęp dla większej liczby dusz do życia doskonalszego. Miała też rzadki dar rady, jednak w rzeczach trudniejszych nigdy nie polegała na swojem zdaniu, ale radziła się innych Sióstr, choćby młodszych wiekiem, byle dojrzałego umysłu [2]).

Cz. Bona Darmanjak (d'Armagnac), Klaryska (1462 r.).

Sprawa beatyfikacji tej służebnicy Bożej będzie wkrótce rozpoczętą. Bona urodziła się 23 lutego 1439 r. w zamku Karlat, na skutek wstawiennictwa żyjącej wówczas Ś. Kolety, której modlitwom polecili się rodzice. Ś. Koleta kazała im jednak powiedzieć, że wybłaganą córkę muszą oddać Panu Bogu, jeżeli chcą zasłużyć na Jego błogosławieństwo. Miluchna dziecina była bardzo pobożna: mając lat siedem, zalewała się łzami przy opowiadaniu Męki Pańskiej. Ale pomimo to nie czuła w sobie powołania do życia zakonnego i nie chciała wypełnić obietnicy rodziców, którzy, stosownie do uczynionego ślubu, pragnęli ją widzieć Klaryską w Liuzińjan (Lusignan). Gdy więc królewicz francuski oświadczył się o jej rękę, gotowa była wyjść za niego, i rodzice, nie chcąc jej się sprzeciwiać, przyjęli już prośbę księcia. Wszelako Bona odmieniła swoje zdanie. Stało się bowiem, że podczas Mszy świętej ukazał się jej Pan Jezus i zażądał, aby mu była wierną, gdyż stworzył ją do wyłącznej służby swojej. Spełniając tedy śluby rodzicielskie, poszła do klasztoru Sióstr Ubogich w Lusignan, gdzie w krótkim czasie zasłynęła ze świątobliwości i umartwień. Całe zgromadzenie budowało się jej cnotami. I niezadługo doszła do celu. Nawiedzona ciężką chorobą, znosiła długie cierpienia pobożnie i z poddaniem. W dzień Bożego Narodzenia objawiła się jej Matka Boża, trzymająca w objęciach Dzieciątko Jezus. Po 12-u miesiącach choroby oddała swą piękną duszę Bogu, 4 stycznia r. 1462, zostawiając pamięć cnót heroicznych, którą potwierdziły i pomnożyły jeszcze niezliczone łaski i cuda, za jej pośrednictwem otrzymane [1]).

Bł. Sykstus z Medjolanu, Obserwant (1486 r.).

30 października r. 1909, Papież Pius X własnoręcznym listem pozwolił na przeniesienie ciała Bł. Sykstusa z Mantui do Medjolanu, aby w miejscu, gdzie przyszedł na świat, odbierał w dalszym ciągu cześć od wiernych. Nowy nasz przyczyńca urodził się w r. 1410 i prowadził od dziecięctwa życie anielskie, mając zaś lat 16, zachwycony kazaniami Ś. Bernardyna Seneńskiego, wstąpił do klasztoru Braci Mniejszych Obserwantów, wraz z kilku innymi młodzieńcami z najznakomitszych rodzin medjolańskich. Ś. Bernardyn dla wychowania tych delikatnych roślinek, które mu Bóg dozwolił przesadzić do ogrodu franciszkańskiego, sprowadził najświątobliwszych braci z Umbrji i Toskanji, a praca ich przyniosła dobre owoce. Bł. Sykstus zajaśniał wśród tego zastępu młodych życiem ascetycznem, niewinnością obyczajów, niezwykłym darem modlitwy, najgorętszą miłością ku Bogu, gołębią prostotą, ubóstwem i umartwieniem. Był to prawdziwy naśladowca Ś. Franciszka Assyskiego. Stąd przełożeni posłali go na gwardjaństwo do słynnego klasztoru w Mantui, aby cnotą swoją przyświecał i zapalał innych. Do liczby jego uczniów

[1]) Annales franciscaines, 1911. [2]) Żywot Ś. Kolety...

[1]) Annales franciscaines, 1911.

należą między innymi Bł. Bernardyn z Feltry i Bł. Ludwik Gonzaga. Pierwszy publicznie przyznawał, że cokolwiek było w nim dobrego, zawdzięczał to staraniom swego mistrza. To samo twierdzą kronikarze zakonu Braci Mniejszych. Świętość Bernardyna z Feltry jest to, według nich, odbicie wzniosłych cnót Sykstusa z Medjolanu, a jego działalność na polu społecznem, to skutek nauk i modlitw, towarzyszących wszędzie Bernardynowi. Sykstus cenił i miłował swego syna duchownego, a ćwicząc go w krasomówstwie, wlewał weń swój zapał seraficzny. Gdy zaś Bernardyn począł apostołować w całych Włoszech i wydał wojnę zaciętą żydom-lichwiarzom, oraz wszelkim występkom wśród możnych i ubogich, Bł. Sykstus, jak drugi Mojżesz, wznosił do Boga ręce, błagając o błogosławieństwo dla pracy drogiego ucznia. On też, jak twierdzi Bł. Bernardyn de Busti w swojem „Mariale", tchnął w niego miłość dla Marji Niepokalanej, dzięki czemu Bernardyn Feltreński zalicza się do chwalebnych obrońców Niepokalanego Poczęcia. Będąc w Mantui wikarym klasztoru, Bł. Bernardyn nie chciał raz głosić z ambony, że Marja jest wolną od zmazy grzechu pierworodnego, obawiał się bowiem mocnej opozycji. Lecz Sykstus, który był wtedy gwardjanem, stanowczo pragnął, aby wystąpił w tym przedmiocie, jako prawdziwy Brat Mniejszy. Uczynił więc według jego życzenia i pokonał przeciwników: wszyscy, jak jeden, zniewoleni jego wymową i dowodzeniami, uznali się zwyciężonymi.

Bernardyn chował w sercu dozgonną wdzięczność dla mistrza swego, i marzył tylko, jakby go uczcić publicznie. W roku tedy 1469, zdążając na kapitułę prowincjalną do Feltry, zabrał ze sobą Sykstusa, a że ten był już w latach, posadził go na koniu, którym sam, idąc tuż przy nim, kierował, i tak przeprowadził go przez całe miasto, aby je mógł pobłogosławić. Po jego zgonie, gdy mu oznajmiono tę smutną wiadomość, zawołał, gorzko płacząc: „Biada nam, biada; gdy czyste ptaszki (rozumiał to o życiu nieskalanem swego ojca duchownego) ulatują do swego kraju; znak to, że będzie wielka burza". A później dodał: „Rozmawiał on często ze Ś. Andrzejem Apostołem, mogę to zaświadczyć".

Bł. Sykstus był doradcą książąt Gonzagów, a mimo to nie wstydził się kwestować na ich dworze i wchodzić do komnat z sakwami. Ubodzy i strapieni mieli w nim dobrotliwego ojca i pocieszyciela; kościoły i wierni gorliwego sługę Bożego. Wreszcie przyszła dlań chwila nagrody, 22 listopada 1486 r. oddał on swą piękną duszę Bogu, mając lat 76, z których 60 zakonnych. Zaraz po śmierci czczono go jak Świętego i uciekano się doń o różne łaski. Marjan z Florencji pisze, że wskrzesił on trzech nieboszczyków, wielu chorym wyjednał zdrowie, a innym pomoc w potrzebach, o czem świadczą wota, umieszczone na grobowcu. Ciało Błogosławionego spoczęło w ścianie kaplicy Gonzagów kościoła Ś. Franciszka. Zrobiono na niej fresk, wyobrażający Sykstusa z jasnością dokoła głowy, z lilją w lewej ręce, a z krzyżem w prawej. Odtąd odbierał on zawsze cześć publiczną bez żadnej przerwy, aż do naszych czasów, czego dowodzą i trzykrotne przenoszenia jego szczątków śmiertelnych. W r. 1798 dnia 2 kwietnia przeniesiono je do kościoła Najśw. Panny Łaskawej, za murami Mantui, gdzie zostawały do r. 1909. Ostatecznie Pius X kazał Biskupowi Origo umieścić je w kościele Ś. Antoniego Medjolanie [1]).

Filip z Karpineto (Carpineto), Obserwant (1490 r).

Młodziutki braciszek klasztorny, Filip z Karpineto, w niedługim czasie stał się doskonałym. Sama jego skupiona postawa, uprzejme ułożenie, pobudzało patrzących do dobrego. Pracowity i posłuszny, nigdy chwilki nie próżnował: zawsze albo się modlił, albo zajęty był jakąś robotą. W mowie był wstrzemięźliwy i bardzo oględny, ale zawsze swobodny, pełen wesela wewnętrznego, jak to przystoi sługom Bożym. Po śmierci, jakkolwiek umarł z zarazy, ciało jego nabrało dziwnej piękności [2]).

Bł. Bernardyn z Feltry, Obserwant (1494 r.).

Ten Błogosławiony jak najstaranniej unikał rozmowy z niewiastami. Pewnego razu odmówił jakiejś znakomitej pani, która prosiła, że koniecznie musi się go poradzić. A gdy mu to za złe poczytano, bo przecież Pan Jezus i Święci z każdym rozmawiali, rzekł: „Jam ani Chrystus, ani żaden Święty, ale nędzny grzesznik, więc nie mogę sobie na to pozwalać" [3]).

Bł. Wincenty z Akwili, Obserwant (1504 r.).

Braciszek zakonu Obserwantów, Wincenty z Akwili, otrzymał wychowanie chrześcijańskie i od dziecięctwa zapowiadał przyszłą swoją doskonałość. Pragnąc bliżej naśladować Jezusa Chrystusa, poprosił o suknię seraficką w klasztorze Braci Mniejszych, znajdującym się niedaleko rodzinnego miasta, i stał się tam wkrótce dobrą wonią Chrystusową. Widziano go, jak szukał samotności,

[1]) ...ancesco, an 1910. [2]) Kron. 3 Zak., Cz. III. [3]) L'aur. séraph., T. III.

noce całe spędzając na rozważaniu rzeczy Bożych, co mu Pan Bóg nagradzał częstemi zachwytami. Umartwienia czynił najsurowsze, gdyż zadawalniał się na każdy dzień małym kawałkiem chleba i trochą jarzyn surowych, przysypanych piołunem. Cechowały go wszystkie prawie cnoty: głęboka pokora, anielska czystość, zachwycająca prostota, cierpliwość niewyczerpana wśród trudów, prac i upokorzeń, wreszcie ubóstwo ewangeliczne. Nic przeto dziwnego, że każde jego słowo było ze czcią przyjmowane i że miał wielki wpływ, zarówno na swoich towarzyszów, jak i na ludzi świeckich. Nadto czynił cuda i przepowiadał przyszłość. Między innemi przepowiedział królowi Sycylji, że Karol VIII, król francuski, zawładnie jego posiadłościami; różnym książętom oznajmiał, co ich miało spotkać, a wszystkie te przepowiednie sprawdziły się.

Po życiu raczej anielskiem niż ludzkiem, Bł. Wincenty zasnął w Panu 7 sierpnia roku 1504. Liczne cuda przy grobie tego wyznawcy i cześć, jaką od początku odbierał, skłoniły Piusa VI do wpisania go w liczbę Błogosławionych. Święto jego obchodzą Bracia Mniejsi Leonowego Zjednoczenia [1]).

Gerard z Florencji, Obserwant (1506 r.).

Niemniej doskonałym był braciszek Gerard z Florencji, przyjęty do zakonu przez Ś. Bernardyna Seneńskiego, któremu aż do śmierci usługiwał. Odznaczał się on szczególniej cnotą pokory i milczenia; po spełnieniu obowiązków swoich udawał się na modlitwę, ale na każde wezwanie starszych zawsze był gotów.

Będąc przez 22 lata furtjanem w Murino, stał się dla wszystkich zbudowaniem, cechowała go bowiem niezmierna uprzejmość, zwłaszcza dla ubogich, i takie umartwienie zmysłów, że na żadną niewiastę nigdy nie spojrzał i nie wiedział nawet nazwiska świeckich osób, które się do niego udawały. Pomimo to uważał się jakby wcale nie żył po zakonnemu. Zapytany pewnego dnia, jak dawno jest w zakonie, odrzekł, iż ani na jedną chwilę nie był Bratem Mniejszym. „Chociaż bowiem, dodawał, 70 lat już minęło od przywdziania przezemnie habitu, ale nie wiem, czy przez ten czas byłem kiedy prawdziwym zakonnikiem".

Innym razem na podobneż zapytanie prowincjała: „Jedną noc, odrzekł, tylko nim byłem", co tak tłumaczył: „Początki Obserwancji regularnej były bardzo ciężkie i z nieba samego tylko oczekiwać można było ratunku. Zeszli się wtedy na naradę i wspólną modlitwę Ojcowie: Bernardyn Seneński, Jan Kapistran i Jakób z Marchji, i mnie nędznego przywołali do swego grona. A że naówczas bardzo dużo słyszałem o doskonałości zakonnej, stąd wnoszę, że przez tę jedną noc byłem prawdziwym Bratem Mniejszym".

Przed śmiercią ten świątobliwy sługa Boży na klęczkach przepraszał zgromadzonych w jego celi ojców i braci za dane im zgorszenia i przyjąwszy ostatnie Sakramenta Święte, cichutko zasnął snem wiecznym, mając lat 105 wieku, a zakonnych 76 [1]).

Cz. Krzysztof Kolumb, 3 Zak. (1506 r.).

Kolumb jest wzorem wszystkich cnót seraficznych. Jakaż cnota jest najmilsza Ś. Franciszkowi? Bezwątpienia święte ubóstwo. Widzimy je jaśniejące w całym blasku w Krzysztofie Kolumbie. W rzeczy samej pozostał on ubogim wśród wysokiego stanowiska, jakie zajmował. Wypełniał z całą doskonałością ubóstwo ewangeliczne. Był to prawdziwy ubogi duchem, jakiemu, według słów Chrystusa, należy się królestwo niebieskie. A królewskiemu ubóstwu towarzyszła nierozłączna jego siostra, święta pokora.

Powróciwszy do zwykłego trybu życia, zachowywał prostotę franciszkańską. Zamiłowanie upokorzeń przeważało w nim obowiązki stanowiska. Po powrocie z drugiej wyprawy nie wstydził się nosić publicznie habitu w Sewilli, mieście stołecznem spraw morskich. Widząc go na ulicy, można go było wziąć za prostego zakonnika serafickiego. Pragnął wtedy bardzo zakończyć swe życie w klasztorze Rabida i tam służyć Bogu w ukryciu i zapomnieniu, przy swoim wspaniałomyślnym przyjacielu, Ojcu Janie Perez. Nawet, gdy jako wicekról Indji znajdował się w swojem państwie, nosił ubranie, którego krój i kolor przypominały mu habit Braci Mniejszych. Ubogi i pokorny, jak Ś. Franciszek, Krzysztof Kolumb wypełniał umartwienia przepisane przez Trzecią Regułę, a poznawszy zwyczaje zakonu żebrzącego, zachowywał je i poza murami klasztoru. Nie ograniczając się na postach, oznaczonych przez Kościół, pościł prawie cały rok. Zapasy żywności, jakie mu umyślnie przysyłała królowa Izabella, dostatecznie wskazują jego rodzaj życia: jarzyny, figi, rodzynki, miód, jaja, daktyle, stanowiły jego zwykłe pożywienie.

Nie zamieszkuje w pałacach, ale pomiędzy zakonnikami w klasztorach. Wicekról Indji przebywa tam najchętniej i zadawalnia się łóżkiem

[1]) Ibidem T. III.

[1]) Kron. 3 Zak... Cz. IV., s. 179.

z prostych desek, zwykłą celą i porcją w refektarzu. Uszczęśliwiony z braterskiej gościnności tych, którzy żyją odłączeni od świata, modli się z nimi wspólnie, rozmyśla, pokutuje i pragnie pracować nad rozszerzeniem Kościoła Świętego. W swoich dalekich morskich podróżach miał zawsze Braci Mniejszych za kapelanów okrętowych, a powróciwszy do Hiszpanji, u nich spoczywał po tych dalekich wycieczkach, tam szukał zachęty i odnowienia na duchu. W przerwach pomiędzy podróżami, mówi jego historyk, wiernie odmawiał Officjum zakonników franciszkańskich. W Walladolidzie, w Grenadzie, słowem, gdzie tylko przebywał, mieszkał w ich klasztorach. Poza Seraficznym zakonem utrzymywał ściślejsze stosunki z Dominikanami, Kartuzami, Hieronimitami, z duchownymi życia budującego, z prostaczkami służącymi Bogu. Nie widziano go wcale wśród ulubieńców dworu, żył więc, jak prawdziwy zakonnik, wypełniający wiernie wszystkie cnoty franciszkańskie [1]).

Donat z Urbino, Obserwant (1507 r.).

Donat z Urbino, zakonnik wielkiej świątobliwości, był nadzwyczaj pokorny, a tak umartwiony we wzroku, że przez 30 lat żadnej kobiety nie widział. O doskonałych jego cnotach świadczy i to, że pięć razy był wybierany na Prowincjała Marchjańskiego i z zadowoleniem wszystkich urząd ten spełniał. W stosunkach codziennych był łatwy i uprzejmy; każdy odchodził od niego pokrzepionym na duchu i pocieszonym [2]).

Bł. Gabryel Marja, Obserwant (1532 r.).

Wstąpiwszy do zakonu, ten sługa Boży ćwiczył się w jednej cnocie za drugą, aż niebawem stał się wzorem posłuszeństwa, obserwancji i gorliwości. „Nadzwyczajne było, pisze dawny jego historyk, jak Gabryel usiłował wniknąć w doskonałość reguły, jak nigdy jej nie naruszył dobrowolnie, jak często modlił się z rozkrzyżowanemi rękoma. Uważając się za niegodnego żyć w gronie tylu świątobliwych mężów, służył im z największą pokorą, uprzedzał wszystkie ich życzenia i byłby chciał sam za wszystkich pracować, a przynajmniej każdemu dopomódz. Bardzo często więc zdarzało się, że chował miotły, aby zniewolić braci do odpoczynku, a samemu cały klasztor zamieść. Szczególny szacunek i miłość okazywał najstarszym zakonnikom, pomnąc na długie lata ich służby Bożej i wycieńczenie sił twardem życiem.

Dla wszystkich pełen był słodyczy, a zwłaszcza dla podwładnych. „Nie można, mówi kronikarz, znaleźć człowieka pobłażliwszego i bardziej litościwego nad Gabryela-Marję“. A pomimo to umiał być surowym, gdy chwała Boska, dobro dusz, albo czystość konstytucji tego wymagały. Jego miłość dla bliźnich nie miała granic: całe życie poświęcił ich zbawianiu i uświęcaniu. Zalecał częste modlitwy za zmarłych i za grzeszników, które i sam odmawiał, będąc przekonanym, że ta święta praktyka jest wielce miłą Bogu, i jeszcze skuteczniejszą dla samej duszy, niżeli jałmużny i umartwienia. Jednem słowem posiadał on w najwyższym stopniu wszystkie cnoty, cechujące Świętych. Leon X tak go poważał, że gdy pokorny zakonnik schylał się, by mu ucałować nogi, wielki Papież składał pocałunek na jego głowie [1]).

Ś. Ignacy Lojola, 3 Zak. (1556 r.).

Pierwsi życiopisarze Świętego, obcując z nim codziennie, zajrzeć mogli do tajemnic jego serca, odczytać w niem niejako wszelkie pragnienia i myśli. Idąc przeto ich śladem, możemy odtworzyć sobie choć w paru najgłówniejszych rysach obraz wewnętrzny fundatora Jezuitów.

Poczucie sprawiedliwości względem Boga.

Źródłem cnót i czynów Świętego, myślą przewodnią jego życia, onym słupem ognistym, za którym szedł na puszczy tej ziemi, było owo, z należytego zrozumienia czem Bóg, a czem człowiek, zaczerpnięte hasło, które, jak zwrotka w pieśni, powtarza się we wszystkich jego pismach, powtarzało się we wszystkich rozmowach: „Wszystko na większą służbę i chwałę Bożą!“ — „Nietylko ludzie, ale i Aniołowie, pisał Święty, nic większego uczynić nie mogą, jak chwałę nieść Stwórcy swemu i prowadzić doń stworzenia Jego... Bo ileż to mamy powodów, obowiązujących nas do szukania Bożej chwały i służby! Czyż to nie zły żołnierz, który nie gotów podjąć się ochotnie wszystkiego, co przynieść może chwałę jego królowi?“ — „Szczerze mówię, o tyle mogę kogo kochać, o ile mi to pomaga do służby i chwały Boga“. I znowu innym razem napomina: „O tyle może być dla nas coś dobrego w tem życiu, o ile dopomaga nam do osiągnienia życia przyszłego; o tyle złego, o ile od niego nas odprowadza. Dusza oświecona wysoko buduje swe gniazdo, nic innego nie pragnąc, prócz Chrystusa i to Ukrzyżowanego“.

Wstrzemięźliwość i roztropność.

Stosownie do swego hasła, nakreślił sobie Święty plan postępowania ze sobą samym, tudzież stosun-

[1]) Ś. Fr. za życia i po śm., C. II. [2]) Kr. 3 Zak., C. IV.

[1]) L'aur. séraph., T. III.

ków z bliźnimi i z Bogiem. Budując wspaniały gmach doskonałości, założył przedewszystkiem głęboki fundament dwóch cnót: umartwienia i pokory, których zadaniem grunt pod inne cnoty gotować, utrzymując ciało i duszę w należytych karbach. W pierwszych latach po swem nawróceniu kładł wielką wagę na umartwienie ciała, dręczył je postami, biczowaniem, włosiennicami. Później, wśród rosnących prac i utrudniających je chorób, zrozumiał, że musi mieć nieco większe względy dla swego „niewolnika“, jak zwykł był nazywać swoje ciało, aby mogło ciężar pracy wytrzymać. Zawsze jednak postępował z niem w ścisłem słowa znaczeniu jak z niewolnikiem; nigdy nie zaprzestał licznych dobrowolnych pokut; do końca życia dozwalał ciału tego tylko i w takiej mierze, jakiej większa cześć i chwała Boża wymagała.

Jeżeli roztropność hamowała i ograniczała nakładane na siebie cierpienia, tem bardziej cieszył się Ignacy, gdy sam Bóg go niemi nawiedzał, gdy nie mając już wątpliwości, czy nie idzie raczej za własną niż za Bożą wolą, mógł wiernie i jak najbliżej wstępować w ślady Wodza cierpiącego i upokorzonego.

Cierpliwość.

W liście do jednej z dobrodziejek zakonu tak sam tłumaczy wagę, korzyści, myśl Bożą w zsyłanych na nas cierpieniach: „Dowiedziałem się, że Pan nasz nawiedził cię chorobami ciała i cierpieniami duszy, dlatego, nie mogąc inaczej, choć listem chcę cię odwiedzić i przypomnieć, że Opatrzność zwykła tak sobie postępować z tymi, których bardzo miłuje; i że im prędzej po tem doczesnem życiu pragnie ich dopuścić do szczęścia wiecznego, tem bardziej przez cierpienia oczyszcza ich na tym świecie. Nie chce Bóg, abyśmy tu już znaleźć mogli zupełne zadowolenie, bobyśmy się do świata przywiązali, i dlatego zwykł dodawać bodźca swym wybranym, nietylko wzbudzając w nich pragnienie nieba, ale i zsyłając cierpienia. Wielce one zwiększają przyszłą naszą chwałę, jeśli je przyjmujemy z cierpliwością i dziękczynieniem, jak przyjmować należy dary ojcowskiej miłości, i jeżeli jest na tym świecie jaka droga, którą idąc, uniknąćby można cierpień i utrapień, to ta jedna tylko: zupełne pogodzenie swej woli z wolą Bożą“.

Idąc za tą zasadą, przyjmował Święty każde cierpienie jako dar Boży, każde prześladowanie swego zakonu, jako szczególną, wyświadczoną mu przez Boga łaskę. „W czasie tej wiosny, donosił przyjacielowi, raczył mnie Bóg nawiedzić różnemi chorobami. Niechaj Bóg posługuje się i chorobą i zdrowiem, życiem i śmiercią nas wszystkich, bo jak jedno, tak drugie z równą miłością na nas zsyła, a od nas tylko zależy, abyśmy darów tych dobrze użyć chcieli“. Po otrzymaniu smutnych wieści o groźnem prześladowaniu, wybuchłem przeciw zakonowi w Saragossie, znowu słowa podzięki cisną mu się pod pióro: „Wszystko razem wziąwszy, mieliśmy tu niemałą sposobność oddania chwały Panu Bogu naszemu i podziękowania Mu, że nas nawiedzić raczył“. — „Listy wasze nastręczyły nam okazję do wychwalania Boga, iż uznał nas za godnych, by zakosztować słodyczy krzyża Jego, a zarazem dał odwagę i cierpliwość do niesienia go“. — „Wtedy dopiero, mawiał czasami z uśmiechem do towarzyszów, zacząłbym się bać o nasz zakon, gdyby prześladowań i cierpień mu zabrakło; byłby to znak, żeśmy zleniwieli w służbie Pańskiej, i że jak szatan, tak świat nawet uwagi na nas nie zwracają“. Stała też jest tradycja między synami Ignacego, że wyprosił im od Boga, aby nigdy nie zgnuśnieli zbyt długo trwającem powodzeniem i aby zawsze, jeśli nie w tym, to w innym kraju lub mieście, wystawieni byli na prześladowanie. Historja półczwarta wieku potwierdza w całej pełni pobożną tę tradycję.

Męstwo nad sobą.

Umartwienie, sięgające do najskrytszych zakątków serca i duszy, brało pod swą władzę wszystkie czyny, uczucia, pragnienia, myśli Ignacego. Był on z przyrodzonego usposobienia nadzwyczaj żywy; umysł jego za dawnych żołnierskich czasów łatwo zapalał się i unosił. Później cnota tak wszechwładnie zapanowała nad tym naturalnym temperamentem, że przyjaciele, a nawet lekarze uważali go raczej za flegmatyka i temu się tylko dziwili, jak złączyć umie spokój, rozlany w postaci i ruchach, z energją, objawiającą się w czynach.

Najświętsza, najsłuszniejsza, zdawałoby się, boleść, ale przeszkadzająca do pracy na większą chwałę Bożą, ustępować musiała, gdy rozum powiedział: „Bóg tak chce!“ Razu pewnego Ignacy zastanawiał się, czy i jakie nieszczęście mogłoby mu odebrać spokój, np. „gdyby zakon, założony z tylu trudami i tyle już na chwałę Bożą działający, nagle rozwiązany został, czy potrafiłbym wtedy zachować pokój serca?“ I po chwili namysłu tak sam sobie odpowiedział: „Jeśliby rozwiązanie to nastąpiło nie z mojej winy, zdaje mi się, że skierowawszy myśl do Boga, wróciłbym po kwadransie szczerej modlitwy do zupełnego spokoju. Bóg dał, Bóg wziął, niech zawsze i wszędzie Imię Jego będzie błogosławione!“

Jak się przejął duchem Ś. Franciszka.

Jaki był duch zakonu Ignacego, jaki jego cel? Płynie on z gorącego pragnienia, by wiernie i jak najwierniej naśladować Jezusa. Jak Jezus był doskonałością samą, a na świat przyszedł, aby szukać, co było zginęło: tak każdy towarzysz Jezusowy, tak całe Towarzystwo ma nietylko doskonałości własnej się oddawać, lecz także do zbawienia i udoskonalenia bliźnich usilnie się przykładać. W ten sposób zakon łączy w sobie życie kontemplacyjne i czynne, łączy modlitwę z pracą dla Boga, podobnie jak Ś. Franciszek w zakonie swoim je łączył.

Złączenie z Bogiem, głęboka a gruntowna cnota, musi być tłem i podstawą całego życia. Powtarza to Ignacy niejednokrotnie. „Wszyscy, którzy do Towarzystwa należą, winni być przekonani, że więcej zależy na cnotach gruntownych i doskonałych i na rzeczach duchownych, niż na nauce lub innych darach naturalnych i ludzkich; z owych wewnętrznych bowiem spływać ma skuteczność na zewnętrzne, ku celowi, który nam jest wytknięty". Szczytny i wzniosły, choć przykry dla zepsutej natury i do osiągnięcia niełatwy jest ideał owej cnoty gruntownej i doskonałej. Należy obrzydzić sobie zupełnie, a nie połowicznie, wszystko, co świat miłuje i obiera, a przyjmować i pożądać całem sercem, cokolwiek Chrystus Pan umiłował i sobie obrał. Ażeby zaś tem skuteczniej dojść do takiego stopnia doskonałości, każdy starać się ma o zaparcie samego siebie i ciągłe, wedle możności, we wszystkiem umartwienie.

Drogą do osiągnięcia tego ideału są trzy śluby zakonne, owe trzy mury, chroniące od złego, trzy potężne oręże w walce ze złem. Ubóstwo miłować należy, jako mocny mur zakonu, jako matkę; żadnej rzeczy, jako swej własności nie używać, gotowymi być do żebrania od drzwi do drzwi, kiedy tego posłuszeństwo albo potrzeba wymagać będzie. Co się tyczy ślubu czystości, to umiłować trzeba czystość anielską i naśladować ją czystością ciała i duszy. Posłuszeństwo ma być zupełne, uznając przełożonego, ktokolwiek nim będzie, za zastępcę Chrystusa Pana i w duszy go czcząc i miłując. Ma się objawiać nietylko w zewnętrznem wykonaniu, lecz sięgać do woli i rozumu, godząc zupełnie swą wolę i rozum z tem, co przełożony chce i sądzi, we wszystkiem, gdzie grzechu nie widać; ma być nietylko w rzeczach obowiązkowych, lecz i w innych, gdzie tylko znak woli przełożonego spostrzegą, choć i bez wyraźnego rozkazu.

Z takich żołnierzy, w najdoskonalszym stopniu z Bogiem złączonych, wiernie pragnących naśladować Chrystusa w upokorzeniach i cierpieniach, ubogich, czystych, posłusznych — składać się ma, wedle ideału fundatora, Towarzystwo Jezusowe [1]).

Franciszka z Benewentu (1570 r.).

Świątobliwa ta dziewica przechodziła dziwne koleje dla umiłowanej cnoty czystości. Była panną zamożną i nader pięknej urody, ale pomimo tych dwóch przymiotów, tak popłatnych na świecie, uczyniła ślub, że Bogu tylko służyć będzie. Kiedy więc ojciec, który był krawcem z profesji, zmuszał ją koniecznie do zamążpójścia, nie mając innego sposobu ratowania się, wzięła na siebie męskie ubranie i wyszła w nocy z domu. Uciekła do Galicji hiszpańskiej, gdzie ją przyjęto w klasztorze Braci Mniejszych pod imieniem Franciszka. Młody nowicjusz zachwycał wszystkich swoją skromnością i posłuszeństwem. Nareszcie w pięć lat po złożeniu profesji przyszło nań ciężkie doświadczenie. Antoni Guzman, prowincjał ówczesny, podziwiając cnoty mniemanego brata, kazał mu się szykować na przyjęcie święceń. Franciszek wymawiał się ze łzami od tego zaszczytu, mówiąc, że nie czuje się godnym, ale prowincjał nie chciał ustąpić. Nie było rady. Franciszek przyznał się, że jest kobietą i opowiedział, co go zmusiło do takiego kroku, a zarazem prosił o przeniesienie do żeńskiego klasztoru. O. Antoni, upewniony o tem przez wiarogodne osoby, wyjednał jej wstęp do klasztoru w Benewento i sam ją oblókł, pozostawiając jej dawne imię Franciszki. Tutaj jeszcze drugie pięć lat przeżyła, tak samo doskonale i budująco, jak u braci, poczem oddała ducha Bogu [2]).

Bł. Mikołaj Faktor, Obserwant (1583 r.).

Błogosławiony Mikołaj Faktor ubogacony był wielu cnotami, a szczególniej anielską czystością sumienia. Pomimo że prawie nie miał grzechu dobrowolnego, niekiedy i trzy razy na dzień się spowiadał. W mowie był bardzo ostrożny i przykładny; nigdy nikogo nie sądził, mając każdego za świętego i doskonałego. Ludzi czystych obyczajów poznawał po zapachu. Będąc spowiednikiem Klarysek w Walencji, gdy raz wszedł do ich klasztoru, uderzyła go miła woń w nim panująca i zawołał: „O dziewictwo, dziewictwo! W górę serca ku Oblubieńcowi, ku Marji Pannie, Królowej i Matce Świętego Oblubieńca!" [3]).

Ś. Paschalis, Obserwant bosy (1592 r.).

Między cnotami Paschalisa, praktykowanemi jeszcze na świecie, zasługuje na uwagę jego sprawiedliwość i sumienność.

[1]) Ś. Ignacy Lojola... [2]) Kron. 3 Zak., Cz. IV. [3]) L'aur, séraph., T. IV.

Będąc pastuszkiem, Święty nie oszczędzał się w pilnowaniu swoich owieczek i pełnił ten obowiązek z taką dokładnością, że patrzące nań osoby pragnęły koniecznie, aby u nich służył i prosiły o to jego rodziców. Zdobył go wreszcie pewien bogaty i zacny właściciel, u którego Paschalis, strzegąc stada, wiódł życie skupione i bogomyślne; jeżeli zaś czasem musiał się znaleźć w towarzystwie innych pasterzy, mówił im o Bogu, o sposobach służenia Mu i miłowania Go, czyniąc to z takim wdziękiem i słodyczą, że wszyscy chciwie go słuchali, a kilku nawet odniosło stąd wielki pożytek dla duszy. Zresztą Paschalis okazywał się pełnym dobroci, uprzejmości i zawsze gotowym do oddania usług w swoim zakresie. Dobroć jego objawiała się w stosunku do wszystkich stworzeń. Na wzór Boskiego Pasterza, obchodził się ze stadem łagodnie i miłośnie, nigdy nie bił tych niewinnych istot, które mu żywo przypominały Baranka Bożego, zabitego za nasze zbawienie.

Tak był przejęty bojaźnią Bożą i poszanowaniem praw, że wolałby był tysiąc razy umrzeć, niż dobrowolnie zgrzeszyć. Ilekroć zdarzyło się, że owce jego zrobiły choćby najmniejszą szkodę w polu albo na łące sąsiada, zwracał za tę mimowolną kradzież właścicielowi, nagradzając go ze swego zarobku. I nigdy nie można mu było wytłumaczyć, że niepotrzebnie to robi, że szkoda była zbyt małą i że zanadto posuwa delikatność sumienia. Według niego — sąsiadowi stała się krzywda, więc, jako winny, musiał ją wynagrodzić.

Prosiła go raz matka, aby do swojej trzody przyłączył kilka kóz, należących do jej siostry, i razem na pastwisko je prowadził. „Proszę was, matko droga, odrzekł bogobojny pasterz, nie żądajcie tego odemnie; kozy robią zwykle wiele szkody, a chociażbym bardzo czuwał, może byłby kto pokrzywdzony, a ja nie chciałbym tego za nic".

Bywało, że inni pasterze zmuszali Paschalisa, aby wespół z nimi kradł owoce w ogrodach i winnicach, lecz próżne były ich zabiegi: mały pastuszek był niewzruszony. Pewnego razu, podczas winobrania, starszy pasterz kazał Świętemu narwać winogron w cudzej winnicy. Był to człowiek okrutny: młodzi pasterze drżeli przed nim, jak liście listopadowe, bił ich bowiem i znęcał się, gdy nie chcieli go słuchać. Paschalis jednak, pomimo młodocianego wieku, oparł się tym grzesznym rozkazom i, wobec uniesień pasterza, obstawał za sprawiedliwością: „Nie pójdę kraść, bo to grzech, mówił chłopiec, „nie chcę obrażać Pana Boga". — „Pójdziesz, krzyczał gbur gniewnie, albo cię zabiję!" — „Możesz mnie zabić, ale nigdy nie dokażesz tego, abym wziął, co do mnie nie należy". I nie poszedł.

Z biednymi Paschalis nie dzielił się nigdy chlebem przeznaczonym na jego pożywienie, uważając go za własność swego pana i nie chcąc jego kosztem czynić miłosierdzia drugim, ale miał zawsze z sobą parę groszy swoich zasług i te dawał potrzebującym. Nie pochodziło to bynajmniej ze skrupułów, albo z ciasnego pojmowania rzeczy, lecz było dowodem delikatności sumienia i poszanowania cudzej własności.

Wstąpiwszy do Obserwantów bosych, czyli Alkantarystów, Paschalis od pierwszych dni nowicjatu zdumiewał ich swemi cnotami. Żaden nowicjusz, pisze biograf Świętego, nie był odeń pokorniejszy, żarliwszy i więcej zaparty. „Wielka łaska i błogosławieństwo niebios spłynęły na naszą rodzinę zakonną", powtarzali starzy zakonnicy, zachwyceni młodzieńcem i jego pobożnością. Brat ten będzie kiedyś chlubą naszego zgromadzenia". I nie mylili się bynajmniej. Pierwsze kroki Paschalisa w nowem jego życiu zapowiadały wielkie rzeczy. Bystry i pojętny umysł pozwalał mu myśleć o kapłaństwie, otaczający bracia zachęcali go do studjów, lecz wierny naśladowca Ś. Franciszka czuł się niegodnym tego zaszczytu i przez pokorę wolał zostać w niskim stanie laika. Wszędzie, gdzie przybył, we wszystkich klasztorach, do których go posyłano, słynął z pobożności, posłuszeństwa, pokory i miłości bliźniego [1]).

Bł. Andrzej Hibernon, Obserwant (1602 r.).

Po wstąpieniu do klasztoru Obserwantów, sługa Boży ćwiczył się usilnie w oderwaniu od wszystkiego, a szczególniej od swego „ja". Przypominał sobie, że jest niczem w oczach Boskich, że niemasz lichszej nadeń istoty i w końcu doszedł do przekonania, że gdyby nie łaska Zbawiciela, mógłby największe grzechy popełniać. Ze skwapliwością ubiegał się o niskie posługi, starając się uprzedzić w tem innych braci. Podobnież cieszył się wielce, gdy mu kazano iść na kwestę, i dźwigał ciężkie sakwy, którymby tylko osioł mógł poradzić. Każda pochwała bolała go i mówił w duszy ze smutkiem: „Boże, daj mi być naprawdę tem, za co mnie mają", a gdy, przez uszanowanie dla jego cnót i wieku, nazywano go świętym starcem, natychmiast odpowiadał: „Nie mówcie święty, ale głupi". Za upomnienia przełożonych, choć zbyt surowe czasem, serdecznie dziękował, przyjmując je zawsze w pokornej postawie i bez tłumaczenia. Z pogardy samego siebie urobiła się w nim nie-

[1]) S. Pascal Baylon...

nasycona żądza pokut: suszył więc o chlebie i wodzie, trapił ciało krwawą dyscypliną, niedosypiał, a do samej śmierci pod habitem nosił rodzaj włosiennicy z żelaznych blach, grubo spojonych [1]).

Ś. Franciszek Salezy, 3 Zak. (1622 r.).

Biskup Genewy odznaczał się niezmienną słodyczą wśród różnorodnych przeciwności. Nie była to cnota wrodzona, ale nabyta kosztem wielu walk i trudów. Z natury był on żywy i skłonny do gniewu, jak o tem sam zapewnia w swoich pismach, ale od lat młodocianych usilnie pracował, aby przesadną żywość swoją i popędliwość ukrócić i przy pomocy Bożej stać się cichym i pokornego serca. I z czasem przez pilne czuwanie doszedł do tego, że zamiast opryskliwości i cierpkości, zapanowała w jego sercu cichość i słodycz. Ta słodycz właśnie otwierała oczy najzawziętszym kalwinistom i szesnaście tysięcy dusz wyrwała z łona herezji.

„Nic tak nie może zniechęcić zwierzchników, pisze on, jak wielość spraw, nie dających im ani chwili odpoczynku. Bóg w ten sposób próbuje nasze serca, aby się przekonać, czy są gotowe i uzbrojone na wszystkie zasadzki. Kilka razy znajdowałem się w tym wypadku, ale zawarłem przymierze z mojem sercem i językiem, aby je utrzymać w karbach właściwych. Wszystkie to osoby, przybywające jedna po drugiej, są dziećmi, biegnącemi do swego ojca. Kokosz się nie gniewa, kiedy pisklęta gromadzą się pod jej skrzydła, owszem, rozciąga je, jak może najszerzej, aby okryć wszystkie. Zdaje mi się, że i moje serce rozszerza się w miarę, jak sprawy i ludzie napływają.

Najlepszym ze znanych mi środków zaradczych na niecierpliwość i opryskliwość, jest milczenie chętne, słodkie, bez domieszki żółci. Za wypowiedzeniem kilku słów miłość własna pobudza do dalszej mowy i tak nieznacznie wymykają się nam z ust wyrazy, zatruwające serca goryczą na całą dobę, jeśli nie na dłużej. Kiedy się nie mówi i zachowuje milczenie, burza przechodzi, gniew i nierozwaga przemija, a czysta i trwała miłość serce ogarnia“ [2]).

Ś. Józef z Kopertynu, Konwentualny (1663 r.).

Wielki ten Święty posiadał cnotę czystości w tak wysokim stopniu, że kapłani, którzy go spowiadali w różnych czasach, nie mieli go z czego rozgrzeszać, ani cienia bowiem występku w nim nie było. Widzieli go tak czystym na duszy i na ciele, że zdawał się więcej istotą anielską, niż ludzką. Tę niepokalaną czystość Świętego stwierdzają jednogłośnie wszystkie świadectwa, które zadługo byłoby tu przytaczać. Zachwycony tą piękną cnotą, która umieszcza człowieka wśród Aniołów, Józef zalecał i wysławiał dziewictwo, starając się natchnąć miłością ku niemu innych. „Dusza czysta, mawiał on, podobna jest do kubka kryształowego, pełnego świeżej i przezroczej wody. Nic milszego nad tę wodę, ale niech-no się do niej dostanie kropelka oliwy — woda traci przejrzystość i przestaje się podobać“.

„Niebezpieczna to rzecz, dodawał, rozmawiać z kobietami. Ich stosunek zawsze szkodzi temu, kto pragnie żyć dla Boga. Unikajmy ich przeto, unikajmy, i nie prowadźmy rozmów, chyba z obowiązku“. W tym celu przypominał słowa Doktora Anielskiego: „Dusza niewinna, pragnąca zachować czystość, musi unikać okazji do grzechu. Zbyt wielka poufałość jest jakby bodźcem podżegającym. Dziewicy przystoi być nieco nieśmiałą i lękliwą“.

Z zamiłowaniem czystości Józef łączył wstręt do występku przeciwnego tej cnocie. Wstręt ten przeszedł z jego rozumu do zmysłów. Po woni rozpoznawał osoby oddające się życiu rozpustnemu. Wyziewy sumień chorych raziły jego powonienie. Pewnego dnia widziano go niespokojnym, wzburzonym, a zapytany o przyczynę takiego stanu duszy, odpowiedział: „Tylko co była u mnie osoba dotknięta zmysłowością i nieznośny fetor, idący od niej, tak mnie owionął, że nawet tabaka nie może go przytłumić“. Powtarzał nieraz, że bezwstydni śmierdzą przed Bogiem, Aniołami i ludźmi; przeciwnie zaś, dusze czyste są dobrą wonią Chrystusową, po której można je wszędzie rozróżnić. On sam był dla wszystkich zwierciadłem dziewictwa i dobrą wonią w życiu [1]).

Bł. Karol z Sezze, Reformat (1670 r.).

Błogosławiony Karol, którego raczej należałoby nazywać bratem Kozmą, bo takie imię nosił w zakonie, od siedemnastego roku począł głębiej zastanawiać się nad sobą. Uczynił nawet ślub dziewictwa i zapałał wielką miłością ku Jezusowi i Marji. Odtąd Komunja św. była dla niego upragnionym pokarmem, a Męka Zbawiciela księgą, w której się przeglądał. Ciało swoje trapił postami i dyscypliną; dla ubogich był hojny i pomimo, że miał niewiele, nigdy żadnego żebraka nie puścił bez opatrzenia, a nawet sam wyszukiwał nędzarzy i ubogich. W 21-m roku życia, kochany i czczony przez wszystkich, co go znali, ciężko zaniemógł. Lekarze nie potrafili zażegnać niebezpieczeństwa, on

[1]) L'aur. seraph., T. II. [2]) Ś. Franc. Salezy...

[1]) S. Joseph de Cupertin...

jednak, pełen nadziei, uczynił ślub, że jeśli Najśw. Panna wróci mu zdrowie, wstąpi do zakonu. Pan Bóg przyjął jego ofiarę, a Karol natychmiast zgłosił się do Braci Mniejszych Reformatów, dla których szczególniejszy czuł szacunek. Nowicjat odbywał jako laik, wśród ciężkich prac i doświadczeń. Przełożeni probowali go na różne sposoby, ale wszystko było mu słodkie dla Jezusa, który obdarzał go tylu łaskami, że wzbudzał podziw najstarszych ojców. Owszem, same te łaski zachwiały jego powołanie, bo nieraz tak zatapiał się w Bogu, że nie mógł spełniać ręcznych robót, skąd posądzano go o nieudolność. Złożył jednak profesję z niewymowną radością, a potem jeszcze gorliwiej spełniał swoje obowiązki i ćwiczył się w cnotach. Żaden z braci nie był odeń posłuszniejszy, żaden troskliwszy o święte ubóstwo i czystość, żaden bardziej umartwiony co do snu i pożywienia, żaden pilniejszy w spełnianiu rozkazów przełożonych. Na wzór Ś. Ojca Franciszka, brat Kozma trawił się z miłości Bożej, a Pan przemieniał go w serafina ziemskiego. Kwestując pewnego dnia w Rzymie, wszedł on do kościoła Karmelitów, aby tam wysłuchać Mszy świętej. I oto podczas Podniesienia wynikł nagle promień ognisty z Hostji i przeszył serce Karola. Rzeczywiście, po jego śmierci znaleziono w sercu szeroką bliznę, a wyżej nad nią jakieś twarde i wydłużone ciało w kształcie gwoździa.

Heroiczne cnoty i cuda Błogosławionego zjednały mu powszechny szacunek. Jednak to ciche życie nie wystarczało Karolowi; marzeniem jego było udać się do dzikich krajów i przelać krew za Chrystusa; kiedy więc kilku braci wyjeżdżało do Indji, prosił starszych, żeby mu pozwolili im towarzyszyć. Bóg jednak czego innego od niego żądał: wśród przygotowań do odjazdu rozwinęła się silna gorączka, która zmieniła wszystkie plany. Z choroby tej wyszedł szczęśliwie i żył jeszcze długo, aż wreszcie sam oznajmił bliski swój koniec. W r. 1670, nazajutrz po Bożem Narodzeniu, dostał zapalenia błony płucnej. Kiedy gwardjan przyniósł mu Wjatyk święty, Karol wstał z łóżka i ukląkł na gołej ziemi, aby tak przyjąć swojego Pana, poczem wpadł w zachwycenie, które trwało dopóki nie zamknął oczu na wieki. Umarł 6 stycznia 1670 r., Papież Leon XIII wpisał go w poczet Błogosławionych 1 października r. 1881. Serce sługi Bożego z blizną i cudownym gwoździem znajduje się w klasztorze Braci Mniejszych [1]).

[1]) L'aur. séraph., T. II et Le Rosier de St. François, 1910.

Cz. Jan Chrzciciel z Burgundji, Bonawenturzysta (1726 r.).

Na świecie Klaudjusz Franciszek du Trąsze (Tronchet), urodził się w r. 1700 w Bijjekiu (Billecut), kantonie Nozerua (Nozeroy). Osierocony w drugim roku życia, dostał się pod opiekę swego dziadka, Klaudjusza Alipy, który niebawem zauważył w chłopcu szczególną pobożność. Mając lat siedem, zaczął się uczyć łaciny, a po pięcioletniej pracy udał się na wyższe studja do kolegjum rzymskiego. Kierownikiem jego i mistrzem był O. Franciszek Maria Galuzzi, mąż prawdziwie apostolski, pod kierunkiem którego uczynił znaczne postępy w nauce i pobożności. Aby zachować nienaruszenie czystość duszy i ciała, młodzieniec postanowił opuścić świat i za radą O. Galuzzi wstąpić do Bonawenturzystów. Przyjęto go tam w r. 1718 i wysłano na odbycie nowicjatu do klasztoru M. B. Łaskawej, gdzie zasłynął, jako wzór skupienia, pokuty i posłuszeństwa. Jego imię zakonne było Jan Chrzciciel z Burgundji. Obyczaje miał anielskie i wielkiego ducha modlitwy. Sam Papież Benedykt XIII udzielił mu święceń kapłańskich. Podczas tej ceremonji, Papież, widząc malującą się na twarzy zakonnika pobożność, rzekł, błogosławiąc go: „Zostań prędko świętym". I oto młody profes zachorował ciężko na serce. Sądząc, że klimat Neapolu będzie dlań zdrowszy, wysłano go do infirmarji w Krocze di Palazzo. Tam to sługa Boży przez osiem miesięcy znosił dla miłości Jezusa Ukrzyżowanego, najstraszniejsze cierpienia i wreszcie zakończył żywot, bogaty w cnoty, za krótki czas zebrane, liczył bowiem dopiero lat 26. W tej chwili na grobie jego rozpoczęły się cuda, wielu chorych wyzdrowiało za jego wstawiennictwem lub przyłożeniem relikwji, a zwłaszcza bielizny napojonej krwią zmarłego; rozpoczęto więc proces beatyfikacyjny [1]).

Bł. Marja Krescencja, 3 Zak. reg. (1744 r.).

Błogosławiona Krescencja mawiała: „Czystość jest źrenicą oka dla sługi Bożej, trzeba ją strzedz od najmniejszego pyłku". Nietylko jednak słowami wpływała pod tym względem na siostry duchowne, ale całą osobą, która była tak promieniejącym wzorem anielskiej cnoty i świętej skromności, że jedno na nią spojrzenie zapalało dusze miłością dziewictwa. Ci, co znali Krescencję, mówili, że względem niej spełnia się już tu na ziemi obietnica Pana Jezusa: „Będą podobni Aniołom". O. Bartłomiej Binner, T. J. nazywał ją często aniołem wcielonym, a O. Pamer zapewnia, że co

[1]) Les Voix franciscaines, 1907.

do czystości, zdawało się, że to nie istota ziemska, ale święta z nieba, lub też anioł bez ciała".

W szóstym roku życia uczyniła była ślub czystości i wzięła sobie Ś. Alojzego Gonzagę za Patrona, wzór i obronę, a chociaż miłość tylko, nie zaś bodziec ciała, był jej pobudką do ostrożności, bardziej czuwała nad tą cnotą, aniżeli wiele dusz kuszonych i znajdujących się w prawdziwem niebezpieczeństwie. Zmysły, uczucia serca, wszystko to było pod czujną strażą. Żadnej ciekawości, żadnej wygody sobie nie pozwalała. Przymierze zawarte z oczami, aby nie patrzeć na próżność, sprawiało, że nie podnosiła wzroku, to też nic dziwnego, że siostry, będące z nią w klasztorze, nie wiedziały, jakiego koloru są jej oczy; ona zaś z twarzy znała bardzo niewiele towarzyszek.

Życzeniem jej było, aby Święci na wizerunkach mieli przyzwoite okrycie. Kiedy więc malarz, pracujący w ich zakonnym kościołku, pozwolił sobie przedstawić Świętych na pół ubranych, upomniała go surowo i musiał swoje obrazy przemalować. Lekkie wiadomości, co gdzie się stało, raziły jej ucho; tem bardziej nie mogła słuchać bez drżenia jakichś niestosownych wyrazów. Rozmowy o piękności ludzkiej, o modach, o łakomstwie, o jedzeniu uważała za niegodne oblubienicy Chrystusowej: „Bóg jeden tylko jest piękny. On jest źródłem wszelkiej piękności; Jezus Chrystus jest najpotężniejszy z synów ludzkich. Oblubienica Pańska nie powinna szukać innych wdzięków, ani też myśleć, czy mówić o nich. Serce jej należy do jedynego Oblubieńca, zatem i usta niech wymawiają tylko rzeczy święte, aby rozbudzać dokoła dobre myśli".

Pomimo zamiłowania muzyki, Krescencja nie chciała słuchać innych śpiewów, jeno pobożne, które unoszą duszę ku niebu. Taż sama ostrożność towarzyszyła jej w ruchach, w chodzie. Czy to przy obcych, czy przy siostrach, ręce jej były zawsze pod szkaplerzem. Nie pozwoliła nigdy, aby ich dotykano lub całowano. Gdy raz jakaś kobieta pocałowała ją w rękę, Krescencja natychmiast ją obmyła. Zaiste, ktokolwiek zbliżył się do tej anielskiej istoty, uczuwał miłą woń dziewictwa i doznawał pragnienia, aby być jej podobnym. Bieluchna lilja wydawała naokół dobrą woń Chrystusową, nietylko przez blask cnót swoich, lecz i przez rozkoszny zapach idący z jej ciała, często nawet za życia, ale nadewszystko po śmierci.

Przywileje Krescencji.

W nagrodę Pan Jezus udzielił jej trzech przywilejów:

1. Nigdy żadnem podejrzeniem nie przyćmiono jej sławy. Jakkolwiek miała dużo nieprzyjaciół, żaden nie ośmielił się bluzgnąć na jej czystość. Była tak skromna, że nawet zazdrosne oko nie potrafiło wyśledzić w niej nic podejrzanego.

2. O ile można wnosić, błogosławiona dziewica była wolną od najmniejszej skazy przeciw tej cnocie. Mawiała bowiem, że wolałaby tysiąc razy umrzeć, niżeli splamić się dobrowolnie taką winą.

3. Należy ona do tych dusz wyjątkowych, które nawet pokusa nieczystości szanowała. Jak dziecię niewinne, nie znała, co jest występek i nie pragnęła się w tem uświadomić; zeznali to jej spowiednicy i towarzyszki.

Djabeł próbował korzystać z tego stanu i kiedy Krescencja znajdowała się w opuszczeniu wewnętrznem, trapił ją i męczył obawą, że zasłużyła na tę karę upadkami przeciw czystości. Jej zupełna nieświadomość złego i głęboka pokora czyniły łatwy dostęp obawom.

Bóg dał jej moc potężną przeciw temu występkowi. Wiele osób, dręczonych przez straszne pokusy, twierdziło, że widok lub pamięć na Krescencję uwalniał je od nich i nanowo budził miłość dziewictwa. Skuteczność jej pomocy stała się jeszcze widoczniejszą po śmierci. Ojcowie Pamer i Ott oświadczyli, że spowiadając młodzieńców, uwikłanych w występki tego rodzaju, radzili im wzywać Błogosławionej, a ta zazwyczaj wypraszała im uwolnienie i broniła od upadków.

Gorzkiemi łzami oblewała ślepotę tylu chrześcijan, szukających przyjemności ciała i tym sposobem gotujących sobie męki wieczne. Rada byłaby oddać krew swoją, aby biedni zaślepieńcy poznali swoje nieszczęście i umiłowali czystość, stosowną do ich stanu. Prosiła często sióstr o modlitwę i pokutę za tych niewolników swoich namiętności [1]).

Ś. Marja Franciszka od 5-u Ran, 3 Zak. (1791 r.).

Święta dziewica, oprócz wymienionych już wyżej cnót, odznaczała się jeszcze wielką wdzięcznością względem dobrodziejów, zamiłowaniem sprawiedliwości, męstwem w znoszeniu wszelkiego rodzaju utrapień, roztropnością, wstrzemięźliwością i anielską czystością. Rozbierzemy pokrótce te jej przymioty.

Szczęśliwi byli ci, którzy z Marją Franciszką bliższe mieli stosunki i potrafili najmniejszą chociażby przysługą zarobić sobie na jej wdzięczność. Za dobrodziejstwa doczesne płaciła ona darami nad-

[1]) La V. Marie Crescence Höss...

przyrodzonemi. Wszystkich dobrodziejów swoich darzyła to radą, to modlitwą, której moc cudowna zjednywała im wielkie łaski w życiu, w chorobie, przy śmierci i po śmierci. Nieraz wypraszała sobie u Boga długotrwałe cierpienia, aby im lekki i spokojny zgon wyjednać. To znów, chociaż sama słaba, dzień i noc przy nich czuwała, nie dając się zastąpić nikomu.

O. Kajetan Laviosa wyjednał Marji Franciszce u Generała list afiljacyjny, który ją czynił uczestniczką zasług zgromadzenia Kleryków regularnych w Somask. Wdzięczna za tę łaskę duchowną, Święta modliła się gorąco nietylko za samego O. Kajetana, ale za wszystkich uczniów kolegjum Mansi, którego on był rektorem. I w rzeczy samej, przez długie lata, dokąd ten urząd piastował, nikt nie umarł w kolegjum, pomimo zaraźliwych chorób: ospy i tyfusu, które w domach prywatnych wiele ofiar zabrały. Przez wdzięczność modliła się za dusze kapłanów w mękach czyścowych będące i przyjmowała niekiedy na siebie całkowite spłacenie ich długów. Wreszcie przed samym zgonem obiecała wszystkim, którzy kiedykolwiek co dobrego dla niej uczynili, że im to Bóg hojnie nagrodzi, a ona, jeżeli z miłosierdzia Bożego dostanie się do chwały niebieskiej, nigdy o nich nie zapomni i zawsze łasce Bożej polecać ich będzie.

Jej roztropność.

Pragnąc według zasad świętej roztropności urządzić czyny, słowa, myśli, pragnienia swoje, od lat najmłodszych starała się dokładnie poznać naukę Chrystusową. Wiedząc zaś, że wszystko pochodzi od Boga, i że bez łaski i pomocy Jego nic mieć, ani uczynić nie możemy, z zapałem błagała o ducha modlitwy, dnie i noce jej poświęcała, wypraszając sobie światło do poznania woli Bożej i siłę do jej spełnienia. Od lat dziecięcych życie jej było życiem modlitwy, skupienia, pokuty. Pobudzana przez roztropność, wprawiała się zamłodu do czuwania, postów i wszelkiego rodzaju umartwień, pomnąc, że się sposobi do pokutnego zakonu. Święta roztropność urządzała trudne jej stosunki z surowym i wymagającym ojcem, tak że ani ćwiczenia duchowne, ani obowiązki nic na tem nie cierpiały. Roztropność kierowała nią w wyborze spowiedników i czyniła ją ślepo i bezwzględnie im posłuszną. Roztropność nakazywała jej ukrywać dary i łaski Boże, skąd Biskup Toppi mawiał, iż serce Marji Franciszki jest studnią głęboką, z której trudno jest co wydobyć.

Jej sprawiedliwość.

Marja Franciszka wcześnie zrozumiała swoje obowiązki względem Boga i ochoczo skłoniła się pod jarzmo Chrystusowe. Dzieckiem jeszcze będąc, uczyła niewinne ciało swoje podlegać duchowi. Miłością świętą i sprawiedliwą kochała rodziców, siostry, braci, przyjaciół, nieprzyjaciół nawet i prześladowców swoich. Miłość jej, będąca jakby szczytem sprawiedliwości, ogarniała dalej świat cały, niosąc ulgę smutnym, cierpiącym, chorym, grzesznikom, konającym i duszom czyścowym. Uważała za rzecz sprawiedliwą, abyśmy byli świętymi, jako Ojciec nasz w niebiesiech Święty jest, i z serafickim zapałem całe życie swoje do tej sprawiedliwości dążyła. Wiara, nadzieja i miłość wzbudzała w niej świętą żądzę męczeństwa. Sprawiedliwość czyniła ją najgorętszą czcicielką Jezusa, utajonego w N. Sakramencie, miłośnicą Marji, jako Matki Boga, Aniołów i Świętych, jako Jego dworzan, posłuszną córką Kościoła Świętego i gorliwą apostołką dusz ludzkich. Dla nich to, z miłości Boga i Kościoła, gotowa była opóźnić wejście swoje do chwały wiecznej i pozostać wygnanką na ziemi, lecz gdy w objawieniu ujrzała ciężkie prześladowania, grożące Kościołowi, wtedy życie stało się dla niej ciężarem i pragnęła, jak Apostoł, być rozwiązaną z więzów ciała.

Męstwo Marji Franciszki.

Święta dziewica, doświadczana przez całe życie ustawicznemi chorobami i mnóstwem przeciwności, objawiała zawsze jedno pragnienie: „Boże, niech się dzieje wola Twoja!“ Nigdy z jej ust nie wyszło słowo szemrania lub skargi. Prześladowana przez lat kilkanaście, znieważana i spotwarzana w rozmaity sposób, zdaje się na wszystko być nieczułą, tylko na zniewagi wyrządzane Bogu; modli się ciągle za swych nieprzyjaciół, błagając Boga o ich nawrócenie. Bóg jest dla niej wszystkiem; nie lęka się miecza, ani prześladowania, pragnęłaby krwią i śmiercią swoją dowieść prawd wiary świętej. Lecz nie tu jeszcze szczyt męstwa Marji Franciszki. Najwyższy stopień tej trudnej cnoty okazał się wówczas, gdy ją Boski Oblubieniec zatrzymywał w ciężkiej próbie opuszczenia wewnętrznego. Wszystkie te burze znosiła z nadludzką stałością, modląc się tylko goręcej i ćwicząc się w cichości, oraz w pokornem znoszeniu prześladowań.

Jej wstrzemięźliwość.

Gdy pewnego razu O. Bianchi kazał Marji Franciszce, aby mu zdała sprawę, jak się zachowuje pod względem tej cnoty, odpowiedziała: „Postanowiłam sobie nigdy nie zadawalniać w niczem swoich naturalnych pociągów i tym sposobem nieustanny gwałt zadawać naturze“. I w rzeczy samej

tak czyniła. Skoro tylko uczuła naturalny ku czemu pociąg, choćby do rzeczy obojętnej, a nawet dobrej, zaraz sobie tego odmawiała. Małą jeszcze będąc dzieciną, poskramiała w sobie łakomstwo, oddając śniadanie siostrzyczkom za lekcje katechizmu; przy obiedzie najlepsze potrawy rozdawała, tłumacząc się, gdy ją pytano, że siostry lepszy od niej mają apetyt.

Nieprzyjaciółka zbytku, od lat najmłodszych niczego sobie nigdy nie pozwoliła, coby tchnęło próżnością, choć przykład sióstr starszych mógł być i dla niej pokusą. Piękne włosy gładko zawsze czesała, suknię po wstąpieniu do Trzeciego Zakonu nosiła ciemne i proste. Od dziecięctwa miała wielkie zamiłowanie milczenia, tak że głosu jej nigdy nie było słychać i odpowiadała tylko będąc pytaną. Jeden z jej spowiedników zeznał, że gdyby to zależało od Marji Franciszki, byłaby przez całe życie nic nie mówiła. Dla poskromienia skłonności do lenistwa i dogadzania sobie, Święta spała na gołej ziemi, lub na deskach, owczą skórą przykrytych. We śnie tak się zwyciężała, że dwie godziny tylko na dobę używała spoczynku, poczytując za stratę czasu chwile obrócone na spanie. Bolała nad tem, gdy dla licznych chorób w późniejszym wieku doktorzy kazali jej używać pościeli. Wstrzemięźliwość w jedzeniu posunęła do tego stopnia, że trzeba było głosu posłuszeństwa lub cudu, aby ją skłonić do jedzenia poza oznaczonemi godzinami, lub przeciw przyjętym zwyczajom umartwienia. Marja Franciszka, według świadectwa Biskupa Termoli i innych zacnych i wiarogodnych kapłanów, przez ćwiczenie się ustawiczne we wstrzemięźliwości doszła do zupełnego znieczulenia na wszelkie rozkosze ziemskie, uspokoiła w sobie wszelkie żądze zmysłowe i żyła na tej ziemi, jak anioł.

Jej czystość.

Marja Franciszka ślubem dziewictwa w ręce spowiednika złożonym połączyła się jakoby węzłem małżeńskim z Boskim duszy swej Oblubieńcem. Cała jej postawa zewnętrzna nacechowana była tą anielską cnotą. Ubranie skromne, oczy zwykle spuszczone, swoboda i powaga w ułożeniu, prostota w słowach i unikanie przesady świadczyły o czystości jej serca. Nigdy od lat najmłodszych osoby najbliższe, jak matka i siostry, nie widziały w jej postawie nic nieskromnego. Rumieniła się na każde słowo dwuznaczne. Przez całe życie czuła pociąg do samotności, a gdy zmuszona była obcować i rozmawiać z ludźmi, zawsze, tak w domu, jak w kościele lub na ulicy, miała oczy umiarkowanie spuszczone. W samym kwiecie wieku pojęła, że umartwienie zmysłów, a szczególniej oczu jest najpewniejszym środkiem zachowania czystości. Anielski jej widok wiele dusz skalanych nawrócił do pokuty, inne znów uwalniał od pokus tego rodzaju. Czystość jej była tak miłą Bogu, że czynił cuda, by ją obronić od napastników, a wreszcie otoczył ją dziwną strażą. Ilekroć Oblubienica Pańska wychodziła z domu, zjawiał się przy niej wielki pies, niemający właściciela, odprowadzał ją do drzwi kościoła i napowrót, i nikomu nie dawał się do niej zbliżyć [1]).

Bł Idzi od S. Józefa, Obserwant bosy (1812 r.).

Wszyscy świadkowie, zeznający podczas procesu beatyfikacyjnego, jednogłośnie orzekli, że sługa Boży wydawał im się raczej aniołem z nieba, niż istotą zrodzoną w grzechu pierworodnym. Nigdy z ust jego nie wyszło słowo niedelikatne, nigdy nie uczynił nic obrażającego cnotę niewinności. Dość było nań spojrzeć, aby się przejąć świętemi myślami: oblicze jego jaśniało nadziemskim blaskiem, a w oczach przebijała piękność duszy. Jak tylko pokazywał się na placach lub na ulicach, milkły nieskromne rozmowy i śmiechy, i zaprzestawano zabaw nieuczciwych. Ta cnota przybrała w nim charakter zachwycający. Nie znając złego, praktykował niewinność z prostotą. Wzywany jako cudotwórca do różnego stanu osób, cierpiących na różnorodne choroby, nigdy nie czuł się zakłopotanym, ani nie zdradzał żadnych obaw. Mówił ze wszystkimi poprostu i najsmutniejszych umiał skromnie rozweselić. Anielski braciszek nie miał nic wspólnego z tą bojaźnią, która pochodzi z rozbudzonych namiętności [2]).

Cz. Wincenty Palloti, 3 Zak. (1850 r.).

Wincenty posiadał w stopniu heroicznym wszystkie cnoty, a mianowicie rzadką roztropność. Osoby najwyżej postawione zwracały się doń, aby im rozstrzygał wątpliwości. Pragnąc zbawienia dla wszystkich, prosił Boga, by mógł cierpieć za wszystkich. Modlił się o wyniszczenie w nim własnej woli, by ukochać wolę Bożą. Ciało nienawidził, jako narzędzie grzechu, umartwiał zmysły pokutą i postem. Jakkolwiek żywego charakteru, doszedł do takiego panowania nad sobą, że, według zeznań świadków, ani w latach dziecięcych, ani w młodości, ani w wieku dojrzałym nie widziano, żeby się kiedy zniecierpliwił, lub okazał bliźniemu pogardę. Nigdy niższa część duszy nie przemogła w nim wyższej. Wśród obelg i zniewag, często niespodziewanych, nie tracił równowagi: tak samo

[1]) Żywot Ś. Marji Franc... [2]) Le V. Frère Egide...

był ujmujący dla przyjaciół, jak i dla prześladowców. W postanowieniach swoich zapisał taki punkt: „Wycierpiałbym wszystkie męczarnie, aby dla miłości Bożej oddać najmniejszą przysługę bliźniemu“. Był bardzo przezorny i nie dawał się uwieść oszustom, dlatego ubogich nie obdarzał nigdy pieniędzmi, lecz kartkami na chleb, mięso, odzież, albo na jakąś część posłania. Z tego też powodu, gdy go proszono o listy polecające do osób zamożnych, lub wpływowych, stanowczo odmawiał tej przysługi, jeżeli widział, że mu sumienie na to nie pozwala. Jeśli chodziło o rzecz dobrą, gotów był ją zawsze poprzeć, ale nawet uczucie litości nie mogło go pobudzić do czegoś wątpliwego.

Jego sprawiedliwość.

Sługa Boży rządził swojem zgromadzeniem z najwyższą sprawiedliwością i żaden z jego podwładnych nie skarżył się na krzywdy. Sprawiedliwy był też względem samego siebie, poddając swoje czynności rozkazom przewodników duchownych. Prokurator kongregacji, płacąc rachunki rzemieślnikom, nieraz uważał, że te różniły się od cen umówionych w kontrakcie. Gdy jednak sprawa oparła się o Wincentego, czcigodny kapłan po rozważeniu rzeczy uznawał, że trzeba im trochę dodać, bo mają rodzinę. Pewien bogaty kupiec przed śmiercią swoją zapisał cały majątek Wincentemu na Stowarzyszenie Misji. On wszakże nie tknął tych pieniędzy, dopóki nie przeprowadził śledztwa, czy nieboszczyk nie ma krewnych. A gdy się okazało, że jest ich kilku i to w trudnem położeniu, wyrobił sobie u Ojca Świętego, aby mógł między nich podzielić majątek, zostawiając im swobodę dania lub nie jałmużny na kongregację. Zebrawszy ich u siebie, dał każdemu taką część, jakaby mu się dostała, gdyby zmarły nie był zrobił zapisu, a sam poprzestał na skromnej jałmużnie, którą mu z serca udzielili.

Jego męstwo.

Męstwo Pallottiego zajaśniało w całym blasku podczas anarchji w stolicy chrześcijaństwa, kiedy starano się go zabić. W tych smutnych dniach nie zaniedbywał on dzieł i zakładów dobroczynnych, ani się nie ratował ucieczką, jak mu to doradzano. Dopiero wyraźny rozkaz wyższej władzy zmusił go schronić się do kolegjum Irlandczyków. On pierwszy założył dzieło Rozszerzenia wiary w Rzymie i wspólnie z kilku członkami swojej kongregacji, którzy należeli do Rady Centralnej, pracował bezustanku nad jego utwierdzeniem. Pewnego dnia jednak, znajdując się z radnymi wobec Kardynała Prezydenta, odebrał dekret papieski, znoszący jego pobożne Stowarzyszenie Misji, a wywołany przez intrygi kilku członków Rozszerzania Wiary w Ljonie. Musiało go to bardzo zaboleć, bo serce miał czułe i kochał swoją kongregację; pomimo to w czasie czytania dekretu sługa Boży nie zbladł, ani się zmienił, ani głos mu nie zadrżał, ani nie westchnął, jednem słowem niczem nie dał poznać, że go to zabolało. Wzniósł tylko oczy ku niebu, aby podziękować Stwórcy, a później spuścił je na ziemię, na znak poddania się woli Bożej. Nie zmieniając przedmiotu, o którym mówiono, dalej z zapałem i tąż samą gorliwością chwalił i zachęcał do dzieła Rozszerzania Wiary, które wymagało obalenia jego ukochanej kongregacji. Obecny przytem O. Tagni, siedząc tuż przy Pallotim, przyglądał mu się uważnie i opowiedział Kardynałowi: „Dotychczas przypuszczałem, że Wincenty jest świętym, ale teraz przekonałem się, że się wcale nie mylę.

Innym razem, gdy zastano go modlącego się w zakrystji kościoła Najśw. Marji Panny od Płaczu, na zapytanie, co tu robi, odpowiedział: „Dziękuję Panu Bogu za odebraną dziś łaskę“. Łaską tą była publiczna obelga.

Raz na posłuchaniu u Ojca Świętego Grzegorza XVI, który był przeciwko niemu uprzedzony od nieprzyjaciół, przyjął napomnienie bez słówka odpowiedzi, a opuściwszy Watykan, zanucił hymn „Te Deum“ i śpiewał go ciągle aż do miejsca, na które się udawał. Te akty heroiczne znajdują się w procesie beatyfikacyjnym; podała je osoba, towarzysząca słudze Bożemu [1]).

Cz. Ludwik z Casoria, Obserwant bosy (1885 r.)

List Ludwika z Casoria do swoich duchownych córek, Elżbietanek.

Siostry moje! Bóg natchnął mnie, ubogiemu bratu, myśl założenia Sióstr Elżbietanek, inaczej Sióstr Szarych Trzeciego Zakonu Serafickiego, do którego wybrał was ze złości świata, albowiem chce was zbawić. Nie oglądajcie się wstecz, siostry moje; idźcie prosto i odpowiadajcie swojemu wzniosłemu powołaniu. Ojcem tego Zgromadzenia jest Ś. Franciszek z Assyża, a Matką Ś. Elżbieta Węgierska. Szczególne ubóstwo Ś. O. Franciszka i najwyższa miłość tej iście serafickiej Matki stanowią ustawy i ogólne prawidła Elżbietanek. Zamiłowanie pracy i miłość dla sióstr są dowodem prawdziwego powołania od Boga do tej instytucji. Jakże chciałybyście dobrze czynić innym, jeślibyście nie czyniły go jedna drugiej? Jak mogłybyście ćwiczyć

[1]) Les Saints de Rome...

się w miłości bliźniego, jeślibyście nie mogły znosić samych siebie i nie umiały litować się nad swojemi słabościami? Tę oto ranę należy przedewszystkiem leczyć, ranę, którą każda z was w mniejszym lub większym stopniu posiada. Jeśli nie obchodzicie się miłośnie jedna z drugą, jeśli nie wchodzicie w położenie chorej siostry, zaprawdę, mówię wam, nie jesteście córkami tego zgromadzenia, które całe oparte jest na miłości wzajemnej. Ubogie sieroty i chorzy winni być przedmiotem szczególnej waszej troskliwości. Wasze osoby i dzieła wasze winny żywić ubóstwo, to jest praca rąk waszych i dobrowolne jałmużny dobrodziejów; gdy zaś tych zabraknie, idźcie od drzwi do drzwi żebrać dla miłości Bożej.

Ubóstwo Jezusa Chrystusa, siostry moje, znaczy to nie mieć własnej woli. Tak lub nie waszej przełożonej powinno być waszą wolą, wolą drogą i bardzo umiłowaną. Szczęśliwa ta siostra, która cierpi i która miłuje!

Kochajcie Jezusa na krzyżu, moje siostry, jeżeli chcecie poznać i zakosztować, jak słodko jest cierpieć, jak życie jest miłe, a krzyż cenny. Jakim sposobem siostra, niemająca tyle hartu, by znieść wady jednej z towarzyszek swoich, ośmiela się prosić spowiednika o umartwienia? Miłujcie jedna drugą, siostry moje, a jeśli chcecie pokutować, znoście się nawzajem. Zalecam wam porządek, czystość i prostotę w ubóstwie. Okazujcie się osobami dobrze wychowanemi, giętkiemi, cnotliwemi“ [1]).

Siostra Marja Celina, Klaryska (1897 r.).

Ta dusza wybrana, w rodzaju Alojzych, Berchmansów i Stanisławów Kostka, żyła tylko zaranek życia swego. Był to kwiat o różnorodnych zapachach, z których wyróżniała się woń lilji, fjołka i róży. W postanowieniach swoich pisała: „Chciałabym być fjołkiem przez pokorę, lilją przez czystość, różą przez zapał miłości“. I została tem wszystkiem, a tajemnicza woń, napełniająca jej celę w chwili zgonu, dowiodła, że Boski Oblubieniec sam przyszedł zerwać swój kwiateczek.

Joanna Germana Kastan (Castang), była piątem z dwanaściorga rodzeństwa. Przyszła na świat w Nojals, kantonie Bomon (Beaumont) 24 maja 1878 r., w uroczystość Matki Boskiej Wspomożenia wiernych. Rodzice jej, bogaci przedewszystkiem w cierpienie i cnoty, godni byli skarbu, jaki im Bóg zesłał. Ojciec, chrześcijanin z przekonania, codzień odmawiał różaniec, a przy zdarzonej sposobności odpierał zarzuty miotane na religję. Matka od kołyski wpajała w dzieci zasady pobożności. Mała Joasia wcześnie poznała, co to jest ból. Mając 4 lata, pewnego dnia na wiosnę weszła z innemi dziećmi do strumyka; chłód wody ją przejął i sparaliżował jej nóżkę. Rozchorowała się ciężko, paraliż doszedł aż do kolan i, pomimo wszelkich środków lekarskich, została kaleką na całe życie. Lecz nie na tem koniec utrapień Castangów. Ojciec stracił zajęcie, nadeszła bieda, kiedy więc wuj zajął się wychowaniem starszej córki, Joanna musiała pomagać matce. Zawsze słodka, pełna poświęcenia pielęgnowała swoich małych braciszków, nosiła ich na rękach i często przyprowadzała do kościoła, gdzie lubiła długo rozmawiać z Panem Bogiem. Ale interesa rodziców szły coraz gorzej; musiano opuścić Nojals i zamieszkać w Bordo (Bordeaux), myśląc, że tam trafi się zyskowniejszy zarobek. Joannie pogorszyło się i musiano ją zawieźć do szpitala; przebyła ciężką i bolesną operację, po której mogła lepiej chodzić. Czterech małych chłopców zachorowało na odrę i w przeciągu 10-u dni dwóch umarło, a ledwie rodzice ochłonęli po tej boleści, najstarszy syn Ludwik, 22 letni młodzieniec, dostał suchot. Na szczęście Joanna swoją słodyczą zwróciła na siebie uwagę pewnej miłosiernej pani i ta oddała ją na pensję do Nazaretanek. Tu niebawem wszyscy odczuli dobry wpływ Joanny. Nazywano ją „Aniołem słodyczy“. Chociażby była zajęta najmilszą dla siebie robotą lub nauką, na jedno skinienie biegła z uśmiechem tam, gdzie miłość lub obowiązek ją wzywał. Często zdarzało się jej bronić swoje towarzyszki przed nauczycielkami, a nawet ofiarowywała się przyjąć za nie pokutę. Jeszcze gorliwszą była w podobaniu się Bogu. Ulubionem jej zajęciem było zdobić kwiatami małą figurę Ś. Józefa lub wizerunek Najśw. Marji Panny.

12 czerwca 1892 r. Joanna przystąpiła po raz pierwszy do Stołu Pańskiego. Miała wówczas lat 13. Wkrótce potem rodzice jej przeprowadzili się niedaleko miasta La Réole, tam bowiem ojciec dostał zyskowne zajęcie. Ale już w kilka miesięcy spotkał ich nowy cios. Prawie nagle umarła pani Castang, a w tydzień po niej najstarszy syn Ludwik, któremu ten wypadek śmierć przyspieszył. Pozostała rodzina przyjęła tę boleść z ucałowaniem ręki Bożej, Joanna zaś ponowiła Bogu całopalną ofiarę, którą już przed kilku laty była uczyniła i zapukała do klasztoru Ave Maria. Życie Klarysek uśmiechało się jej, ale dla młodego wieku i kalectwa została odsuniętą. Prosiła wtedy o przyjęcie Józefitek, gdzie była jej starsza siostra Łucja; znowu jej odmówiono. To samo spotkało ją u Nazaretanek. Ceniono ją, poważano, ale jej zdrowie

[1]) Ludovic de Casoria..

rodziło obawę. Joanna nie upadła jednak na duchu, ufając Jezusowi, którego co tydzień przyjmowała, i Jezus całkiem niespodziewanie wysłuchał jej pragnień. Podczas świąt Wielkanocnych, 12 kwietnia 1896 r. poszła przejść się z jedną z nauczycielek, a po drodze wstąpiły do Sióstr Ś. Klary odwiedzić znajomą kołową. Wszedłszy do sieni, Joanna nie mogła się powstrzymać i zawołała: „O, jakże szczęśliwe są te siostry! A ja już nigdy tego szczęścia nie doznam!“ Klaryska, z którą rozmawiały, zachęciła ją do powtórnego przedstawienia się Matce Opatce. Niebawem podniosła się zasłona u kraty i Joanna ujrzała się w obecności czterech Matek. Rozpytywano ją o rodzinę, o zdrowie, wreszcie kazano modlić się i czekać. Było to w poniedziałek, a w środę otrzymała wiadomość, że może przyjść w niedzielę. I znowu podniosła się zasłona, i tym razem Joanna znalazła się wobec całego zgromadzenia. Postanowiono, że jeśli ojciec nadeśle pozwolenie, przyjmą ją w dzień Matki Boskiej Dobrej Rady. Nadto zwolnioną będzie z posagu, chociaż siostry słabe lub ułomne wnoszą podwójny. Była to widoczna łaska Boża. Joanna zawsze marzyła o życiu bogomyślnem. Nazaretanki i sam spowiednik nawet podziwiał niezwykłe drogi Opatrzności nad biedną dzieweczką.

W zakonie.

W czerwcu, w uroczystość Serca Jezusowego, Joanna wstąpiła do klasztoru Sióstr Ubogich, gdzie miała stać się przedmiotem ich podziwu. Życie jej nie różniło się od życia innych nowicjuszek, ale w postępowaniu jej była jakaś cichość i prostota, chwytająca za serce. Czuło się, że Joanna oddała się zupełnie Panu Bogu, bez zastrzeżeń i trzeba było pomimo woli ją uwielbiać. Podobna do fijołka, szukała samotności i zapomnienia. Cnotę pokory obrała sobie nad wszystkie inne, a że wierną była swoim postanowieniom, szybki czyniła postęp w zaparciu, nie dostrzegając, jak towarzyszki się nią budowały. Niczem nie można było zrobić jej tyle przyjemności, jak nie zwracając na nią uwagi. Wszelki wzgląd zasmucał ją. Pewnego dnia Joanna wyszła zmartwiona z szafarni, w której codzień po południu razem z towarzyszkami obierała jarzyny, i przybiegłszy do Mistrzyni, rzekła ze łzami w oczach: „Kochana Matko, ulituj się nademną! Siostry od jakiegoś czasu zmuszają mnie siadać na małym stołeczku i otaczają staraniem. Doprawdy, tak dłużej być nie może! Cóż to ja jestem, aby się mną tak zajmowano?“ — „Gdybyś miała więcej miłości, odrzekła Mistrzyni, cieszyłabyś się z tych zasług, jakie one zbiorą, litując się nad twojem zdrowiem. Z powodu twojej nogi sparaliżowanej, chcą, abyś siedziała wygodnie i mają słuszność. Ofiaruj Panu Bogu przykrość, jakiej stąd doznajesz i przekonaj się z własnego doświadczenia, że nieraz więcej trzeba pokory, by przyjąć usługę, aniżeli by jej uniknąć“. — „Matko droga, uczynię wszystko co chcesz“, odpowiedziała Joanna. Kilka tygodni później do nowicjatu wstąpiła dawna koleżanka Joanny u Nazaretanek i widać było, że chciała jej coś powiedzieć o domu, w którym obie się uczyły. Celina zauważyła to i zawsze zręcznie odwracała przedmiot rozmowy na rekreacjach, po tygodniu zaś, znalazłszy się razem z Mistrzynią i nową postulantką, powiedziała: „Kochana Matko, pozwól, aby nowa towarzyszka nie wspomniała mi nigdy o Nazarecie. Dziś po Komunji Ś. Zbawiciel zażądał odemnie tej ofiary, a nie chciałabym Mu jej odmówić“. — „Jakto! zawołała panna N., ja mam bardzo wiele zleceń dla siostry od naszych wspólnych znajomych“. — „Nie, rzekła Joanna, nie mówmy nigdy o tem. Ja i tak modlę się za moje nauczycielki i koleżanki, a modlitwa moja będzie tem skuteczniejsza, im bardziej będę umartwiona i zaparta. To, coby mi ta siostra powiedziała, mogłoby mnie rozproszyć, a gdy mi Pan Bóg dał tę łaskę, że się tu dostałam, chcę się wywiązać, jak umiem, z wielkich obowiązków mego powołania“. Poczem, zwracając się do Mistrzyni: „A więc, moja Matko, panna N. nie powie mi ani słówka o Nazarecie?“ — „Dobrze, odrzekła Matka, słuchaj zawsze natchnień Bożych, a Stwórca nie da się przewyższyć we wspaniałomyślności“. Panna N., którą ten przykład bardzo poruszył, uszanowała pragnienie anielskiej swej przyjaciółki. Wszystko to dowodzi, jak serdecznie Joanna odrywała się od siebie. To też Pan Bóg w cudowny sposób okazywał jej swoją miłość.

19 października Joanna zajęta była szyciem bielizny, którą trzeba było na czas wykończyć, gdy naraz o 5-ej wieczór wezwano ją na lekcję duchowną do Mistrzyni. Naukę przerwał głos dzwonu kapitularnego na kolację, po której wszyscy poszli do kaplicy na dziękczynienie. Po drodze Joanna przypomniała sobie, że ma jakąś rzecz odnieść do celi. Pobiegła tedy, a widząc, że wszystko jest porozrzucane, zawahała się, czy uprzątnąć, czy iść zaraz do kaplicy. Pomimo głębokiego zamiłowania porządku, wybrała punktualność i natychmiast poszła przed Tabernakulum. Po odśpiewaniu Kompletu wróciła do siebie, myśląc o nieładzie, jaki tam panował, ale jakże się zdumiała: w celi wszystko było poukładane, tak że nawet koszul, które kroiła i zszywała, nie było na wierzchu; leżały porządnie ułożone w kuferku. „To z pewnością nauka starszych“, pomyślała zawstydzona Joanna i do pół-

nocy niepokoiła się, że dała przełożonym powód niezadowolenia. „Nazajutrz rano, mówi Mistrzyni, autorka jej życiorysu, Joanna padła przedemną na kolana i oskarżając się, prosiła o przebaczenie, że musiałam sprzątnąć jej celę. Nie wiedząc, o co jej chodzi, zapewniłam, że już od dwóch dni u niej nie byłam, a po szczegółowszem zbadaniu przekonałam się, że tego wieczora, kiedy się to stało, nikt nie był w celi Joanny. Nie jest to wcale rzecz nadzwyczajna, rzekłam, chcąc pokryć wzruszenie. Czy wierzysz Pismu Świętemu?“ — „Wierzę, Matko“. — „Otóż tam napisane jest, że mąż posłuszny będzie mówił zwycięstwo. A poleciwszy jej opowiedzieć ten wypadek Matce Opatce, wyszłam prędko, aby ta pierwej odemnie wszystkiego się dowiedziała. Obiedwie stwierdziłyśmy doskonale, że pomiędzy godziną 6 a 8-ą tego dnia nikt nie mógł wejść do Joanny, nadto dawny zwyczaj klasztorny, którego nie zdarzało się nam nigdy przestąpić, stanowczo zabrania zakonnicom wchodzić do cudzych cel. Tylko Opatce i Mistrzyni przysługuje to prawo, my zaś obie byłyśmy przez ten czas w rozmównicy. Widocznem więc było, że porządek u Joanny „sam“ się zrobił i od tego dnia nowicjuszki nazywały jej celę — celą sprzątniętą przez Aniołów“.

Obłóczyny i śmierć.

Ta nagroda za cnotę, nie wiedzącą o sobie i pragnącą tylko ukrycia, podniosła szacunek wszystkich dla młodej dzieweczki; z radością dano jej głosy i 21 listopada odbyła się ceremonja obłóczyn. Szczęście Joanny, czyli odtąd już siostry Marji Celiny, było nieopisane. W notatkach swoich mówi sama, że nie mogła wyrazić swych uczuć radości. Milczała więc nawet wobec Tabernakulum, i powiedziała Panu Jezusowi tylko te słowa: „O, Boski mój Zbawicielu! oto stoję przed Tobą bez wyrazów; czuję wielką radość, a nie mogę jej wypowiedzieć. Niech moje milczenie mówi za mnie“.

Ale godzina ofiary całopalnej już się zbliżała. Zaczął się suchy, męczący kaszel, jak myślano, wskutek kataru, po kilku jednak dniach widać już było, że to suchoty. Ciężki krzyż spadł na młodą nowicjuszkę. Tak się czuła szczęśliwą, a teraz pewno każą jej klasztor opuścić! Lecz cnota jej przemogła. Zgromadzenie chciało mieć ten skarb do końca wśród swoich murów, za co Marja Celina na każdym kroku okazywała Matkom i siostrom swoją wdzięczność. W chorobie jaśniała cierpliwością i wspaniałomyślnością. Szatan zrazu dręczył ją różnemi widziadłami, aby zaniepokoić i wstrzymać polot duszy, ale, zwyciężony, po kilku utarczkach ustąpił. Tymczasem choroba się wzmagała. 21 marca Marja Celina złożyła śluby i przyjęła ostatnie Sakramenta ŚŚ. Promieniała w ten dzień radością i wyglądała śmierci, ale, jak to bywa u suchotników, przed samym końcem zrobiło się trochę lepiej. 30 maja, rano przed trzecią, nadszedł ów koniec. Marja Celina zwróciła oczy w prawą stronę łóżka i uśmiechając się rozkosznie, rzekła do otaczających: „Czy widzicie tę Panią, która tam stoi? O, jakaż ona piękna!“ Ostatnie te słowa powtórzyła trzy razy, jakby w zachwycie, mając wzrok utkwiony w niebiańskie zjawisko. Nagle zawołała: „Słyszę głos dzwonów, a wpatrzywszy się wgłąb pokoju, dodała: O, jakie mnóstwo małych dziewczątek biało ubranych!“ I wzniósłszy się nieco na posłaniu, westchnęła kilka razy głęboko i opadła martwa na poduszki.

W tej chwili stało się kilka cudownych zdarzeń. Wiele osób utrzymuje, że za przyczyną siostry Marji Celiny odebrało różne dobrodziejstwa. Łaski te wydane zostały w małej książeczce za staraniem Klarysek z Ave Maria[1]).

Marja od Męki Pańskiej, 3 Zak. reg. (1904 r.)

Założycielka zgromadzenia Misjonarek Marji była głową, która powzięła myśl tego dzieła,—sercem, które niem kierowało i ręką, która nadawała mu ruch, życie i rozwój. Zbawiciel powiedział: „Z owoców ich poznacie je“. Owocem pracy Matki Marji od Męki Pańskiej, jest stokilkanaście domów w Europie, Azji, Afryce i Ameryce, a w nich przeszło 3,000 sióstr, osiem nowicjatów i kilka domów próbanckich. Są między niemi osoby wszelkich stanów i narodowości. Matka Marja obdarzona była żywym umysłem, zdrowem, szerokiem i jasnem rozumieniem rzeczy, niezwykłą pomysłowością i wytrwałem męstwem. Natura wyjątkowo czuła na nędzę bliźnich, miała złote serce, ożywione wielką miłością i nie mogła patrzeć, gdy kto cierpiał. Zawsze z uśmiechem na ustach, wesoła, pełna uprzejmości, przyjmowała z serdecznem współczuciem każdego cierpiącego i starała się go pocieszyć. Jej rozmowa dowcipna, pełna życia, oczarowywała wszystkich. Była prawdziwą matką dla swoich córek duchownych, które nawzajem okazywały jej cześć i głębokie przywiązanie. Kochając ją najbardziej po Bogu i po Świętych Pańskich, nie mogły jej nic odmówić i żadna nie chciałaby stać się powodem jej smutku.

Czcigodna fundatorka kierowała się zawsze pobudkami nadprzyrodzonemi wiary i posłuszeństwa; była wielce pobożna do Najśw. Sakramentu i Niepokalanej Dziewicy, a ceniła nadewszystko ofia-

[1]) Les Voix Franciscaines, 1912.

rę życia za dusze i Kościół, którą każda Misjonarka Marji składa przy ślubach wieczystych.

Od przyjęcia 3-ej reguły Ś. Franciszka w r. 1882 ukochała z całym zapałem jego rodzinę. Rozkoszą dla niej były nabożeństwa i tradycje franciszkańskie, i w tem właśnie zawiera się główny powód pomyślności jej dzieła. Soki franciszkańskie płynęły w zgromadzeniu z całą siłą i obfitością. Ministrowie Generalni Braci Mniejszych wspierali Matkę Marję swemi radami i ona nawzajem była mocno przywiązana do ich zakonu.

W r. 1897 na pamiątkę Ś. O. Franciszka, który tak miłował trędowatych, Matka Marja od Męki Pańskiej podjęła się opiekować czterema takiemi szpitalami: w Birmanie, Japonji, i na Madagaskarze. Rozpisała listy do swoich córek, aby te, które z własnej woli chcą usługiwać trędowatym, przysłały jej swoje imiona. Tysiąc Misjonarek odpowiedziało na to wezwanie, a Matka Marja wpisała je sobie do „złotej księgi", jak nazwała ten dzienniczek, aby w miarę potrzeby je sprowadzać Kongregacja na mocnych podstawach założona w r. 1890 otrzymała potwierdzenie Stolicy Świętej, odznacza się zaś duchem wielkiej jedności i zapału. Fundatorka wyrobiła doskonale starsze przełożone i miała szczęście widzieć, że siedem z jej córek dostąpiło korony męczeńskiej w Chinach, tam, gdzie noga żadnej niewiasty europejskiej przedtem nie postała. Zadanie jej zostało spełnione, a Boski Oblubieniec mógł wezwać do siebie swoją heroiczną służebnicę. Zmarła 15 listopada r. 1904 w San Remo, gdzie była w przejeździe u swoich córek duchownych [1]).

Ludwika Darra (d'Arras), 3 Zak. (1906 r.).

Ludwika Lechmère, nawrócona angielka, o której młodości wspominaliśmy wyżej, wyszła za mąż za Lamberta d'Arras, francuza, człowieka gruntownej wiary, wielkiego przyjaciela ubogich i bardzo przywiązanego do Stolicy Świętej. Kardynał Wiseman pobłogosławił ich związek, poczem młoda para zamieszkała we Francji.

Jako pani domu i matka rodziny, pani d'Arras zachowała wszystkie swoje dawne przymioty. Prawa i szczera z innymi, ta dusza wspaniałomyślna chciała, żeby i względem niej wszyscy takimi się okazywali, zwłaszcza w trudnych okolicznościach. „Wolę, mówiła ona, znać całą prawdę, bo wtedy mogę śmiało patrzeć w oczy nieszczęściu, mogę zapytać Pana Boga, co należy czynić, mogę poddać się Jego woli i zabrać się do dzieła". Z tych pięknych jej przymiotów, a szczególniej z miłości Bożej, która uszlachetniała wszystkie czyny pani d'Arras, skorzystały najpierw jej dzieci, dwóch synów i dwie córki. Wychowanie ich było tak doskonale chrześcijańskie, że w przeciągu dwóch lat troje starszych, jedno po drugiem, wstąpiło do klasztoru. „Nie należą one do mnie, mówiła ta szczęśliwa matka, i nigdy nie sprzeciwię się woli Bożej, choćbym to miała życiem przypłacić". Przez wiele lat czuła ona tę ofiarę i nieraz wracając z rozmównicy Karmelitanek lub Siostrzyczek Ubogich, gdzie były jej córki, doznawała świętego bólu, który błogosławiła. Po tych ofiarach nastąpiły inne, całkowitsze: straciła w niedługim czasie męża, siostrę i brata, tak że została prawie samą, lecz krzyże te posłużyły tylko do ściślejszego zjednoczenia jej z Bogiem. Odtąd życie jej staje się coraz surowszem i dochodzi do niezwykłego stopnia pokut. W poniedziałki, środy i piątki odprawia dyscypliny, w środy, piątki i soboty chodzi w pasku kolczastym; w koronie o cierniach żelaznych — w piątki. Noce z czwartku na piątek spędza na klęczkach, rozważając konanie Pana Jezusa w Ogrójcu; krwawą dyscyplinę bierze w pierwsze piątki każdego miesiąca i we wszystkich ważnych okolicznościach. Krew zsiadła na łańcuszkach dyscypliny, którą znaleziono po śmierci pani d'Arras, świadczy o wiernem jej używaniu. Ci, co znali miłą wesołość sześćdziesięcioletniej staruszki, jej żartobliwe odpowiedzi, jej szczery i serdeczny uśmiech, jej delikatność w sprawianiu przyjemności, jej upodobanie do ludzi, do muzyki, do sztuk pięknych, nie domyślali się bynajmniej, że tajemnicą tej pogody i wesołości ducha było właśnie umartwienie i poddanie się woli Bożej.

Z latami podwajała jałmużny: klejnoty, naszyjniki, bransolety, pierścienie — wszystko poszło na ubogich W tym też czasie pobożność jej stała się bardzo tkliwą, jest to bowiem prawdą, jak mówi Seraficki Franciszek, że człowiek tem bardziej oddaje się Bogu, im więcej odrywa się od tego świata, im szczerzej może powiedzieć: „Bóg mój i wszystko moje".

Jak niegdyś Bł. Kryspin z Witerbu, Kapucyn, tak i pani d'Arras nazywała Najśw. Pannę z włoska swoją Mamusią. Dla Jezusa Ukrzyżowanego miała szczególniejsze uczucie miłości. Przenajdroższą Krew Zbawiciela nad wszystko miłowała i przez nią błagała Stwórcę o łaski potrzebne. „W czasie Mszy św. mówiła, biorę tę Krew Boską i zalewam nią wszystkie rany mojej duszy, która wtenczas staje się białą jak śnieg".

W wrześniu r. 1906 pani d'Arras zasłabła ciężko na serce. O. Henryk, Jezuita, syn chorej,

[1]) Annales franciscaines, 1905.

udzielił jej Ostatnich Sakramentów ŚŚ., poczem, by umrzeć jako prawdziwa córka Serafickiego Patryarchy w Trzecim Zakonie, zdjęła bransoletkę srebrną, pamiątkę po swojej córce Małgorzacie, i kolczyki z uszu. 31 października w jej pokoju odprawiona była Msza św.; chora słuchała jej z przejęciem, na kilka więc godzin przed śmiercią miała szczęście po raz ostatni uczcić umiłowaną przez siebie Krew Boga-Człowieka. Pochowano ją w habicie tercjarskim i bardzo skromnie, jak sobie tego życzyła. W testamencie swoim napisała: „Pragnę, by mój pogrzeb odbył się jak tylko być może najskromniej, gdyż niegodna jestem lepszego; pieniądze zaś, któreby wydano na wszelkie wystawności, niech idą na ubogich, w których zawsze kochałam Pana Jezusa; będę miała sobie za zaszczyt, jeśli pójdą za mojem ciałem na cmentarz“ [1]).

Marja Augustyna, 3 Zak. regul. (1907 r.).

Była to dusza kontemplacyjna, rozmiłowana w modlitwie, prosta i oddana Bogu. A że to jest jedyny sposób zapewnienia sobie błogosławieństw nieba i owoców z pracy, Marja Augustyna została świętą i apostołką. Zawsze była pokorna, ukryta, nieznana, wzgardzona niemal, jak się to zwykle dzieje z takiemi duszami, ale wielkość jej dawała się odgadnąć z tej prostoty i doskonałej cichości, z jaką przyjmowała swoje zapomnienie. Owszem, patrząc na nią, czuło się, że nie ma żadnych pragnień; wszystko dla niej było tak naturalne, nawet być ostatnią, ustępującą miejsca wszystkim.

Marja Augustyna, a ze Chrztu Marja Teresa, przyszła na świat w Klermą Ferran (Clermont-Ferrand) w r. 1858. Straciwszy młodo matkę, poświęciła się wychowaniu brata, który, odkąd została Franciszkanką, nie dawał znać o sobie. Do klasztoru wstąpiła, mając lat 40, już jako świecka tercjarka. Świat nigdy się jej nie uśmiechał; czuła się w nim obcą, niepotrzebną; a wykształciło ją cierpienie. W klasztorze zastosowała się do wszystkich przepisów, jednego tylko pragnąc: rozmowy z Bogiem; na modlitwę czasu zawsze było jej mało. Po ślubach wysłana do Saint-Etienne, gdzie jedynem zajęciem sióstr była nieustająca adoracja, znalazła się w swoim żywiole. Lecz w r. 1901 zamknięto klasztor. Wówczas udała się do Ljonu i prosiła przełożonych, aby posłali ją na misje. Spotkała ją odmowa; była za starą, przytem nie znając języków, zawadzałaby tylko. W rok potem jednak spełniły się jej życzenia. Popłynęła do Indji, do Mahu, gdzie przez trzy pierwsze lata zajmowała się bielizną pensjonarek. Mogła się poświęcać trochę i dużo cierpieć. Dziewczynki lgnęły do niej, odczuwając serce macierzyńskie. W r. 1905 zaczęła się jej choroba. Przypuszczano, że ma napady febry, a rzeczywiście był to pierwszy okres raka w żołądku. Powoli przyszła do siebie, lecz nigdy zupełnie. Bladła, nikła w oczach, ale zachowywała życie wspólne, nigdy jej nie widziano próżnującej. W listopadzie r. 1906 oznajmiła z uśmiechem na ustach jednej z sióstr, że się przygotowuje do odejścia i że nie zobaczy przyszłej uroczystości Serca Jezusowego. W cztery miesiące potem siostry były na rekreacji i rozmawiały o jej smutnych przeczuciach, śmiejąc się, że nic z tego nie będzie. Wówczas wyjaśniła to lepiej. „Było to, rzekła do nich, 14 czerwca 1901 r. w Sętetienn (Saint-Etienne). Wróciwszy z adoracji nocnej przed Tabernakulum, modliłam się jeszcze. Błagałam Pana Jezusa, by mi pozwolił kochać się coraz więcej i nigdy Go nie obrazić. I oto do uszu mych doszedł głos: „Dlaczego się niepokoisz? Nie będziesz żyła nawet 7-iu lat!“ Czy to było działanie wyobraźni — nie wiem, ale nie mogłam zasnąć tej nocy. Siódmy rok rozpocznie się wkrótce. Zobaczymy!“

Jej cierpliwość.

Kilka tygodni po tej rozmowie choroba Marji Augustyny uczyniła nagły postęp. Od r. 1905 doktór jej nie widział. Nie korzystała z żadnej dyspensy, była nawet lektorką w refektarzu i czytała, stojąc przez pół godziny, chociaż jak później mówiła doktorowi, zdawało jej się co chwila, że padnie. Doktór nie chciał temu wierzyć i zaopinjował, że nic już nie poradzi; za trzy miesiące będzie koniec. Cały żołądek zniszczony przez raka. Jak mogła przy takich boleściach stać, ruszać się, chodzić! Zadziwiająca kobieta! — Cierpienia swoje znosiła w milczeniu, bez słówka skargi, ubolewania nad sobą. Nie chciała pozwolić na wstrzykiwanie morfiny, by więcej cierpieć dla Jezusa i ufała, że On da jej siły potrzebne. Codzień przynoszono jej Komunję świętą, lekarz bowiem oświadczył, że lada chwila może skończyć. W Wielki Czwartek przyjęła Ostatnie Namaszczenie ze spokojem i weselem, promieniejącem na jej obliczu. O śmierci mówiła tak, jakby o jakiejś oczekiwanej uroczystości. Siostry czuły się szczęśliwemi, gdy mogły pójść ją odwiedzić; budowała je nadzwyczajna cierpliwość chorej i jej niezamącona pogoda wśród bólów; patrząc na nią, zachęcały się do naśladowania i prosiły jej o modlitwę za sobą. Od 25 kwietnia nie mogła już przyjmować Komuji św.. Było to dla niej ciężkie doświadczenie. Wzdychała do śmierci. „Ponieważ nie mogę mieć Pana Jezusa, więc niech mnie już zabierze“. Osta-

[1]) Le Petit Messager de St. François, Décembre, 1909

MATKA BOŻA Z DZIECIĄTKIEM JEZUS NA TRYBUNIE

W OTOCZENIU Ś. JANA EWANGELISTY I Ś. FRANCISZKA.

Rzeźba Andrzeja del Sarto (1487—1531)—w Muzeum religijnem we Florencyi.

tnie dwa tygodnie były męką. Nie mogła się poruszyć; cierpiała strasznie; zdawało się, że już nie żyje, tylko, gdy mówiono jej o niebie, w oczach palił się ogień, a usta szeptały: „Tak, tak, niezadługo“. Nazajutrz po Wniebowstąpieniu 10 maja, około pół do pierwszej w południe, oddała ducha swego słodko, bez konania, bez silnego wzruszenia, tak jak łódź, kiedy przybija do brzegu. Marja Augustyna przypłynęła, mając lat 49. Jej dziewięcioletni pobyt w zakonie przeszedł w cieniu, tak jak i młodość. Przyszła niepostrzeżona, małomówna, zawsze skupiona i z sercem wzniesionem w górę. Wiodąc życie proste i pospolite nazewnątrz, duchem żyła w świecie nadprzyrodzonym. Patronami jej umiłowanymi byli: Ś. O. Franciszek i Ś. Teresa. Do Matki Bożej miała nabożeństwo i ufność dziecięcą, według wskazówek Bł. Ludwika de Montfort. W uroczystości zapał jej podwajał się. Już w wigilję mawiała do sióstr: „Jutro, siostry najmilsze, wznoszę się do nieba i cały dzień tam przebywam“. Modlitwa jej była bardzo wzniosła; otrzymywała na niej łaski wyjątkowe [1]).

Kapucyni.

Ludwik z Reggio (1537 r.).

Jeden z najpierwszych Kapucynów, Ludwik z Reggio, prowadził ustawiczną walkę ze swojem ciałem: codzienne posty, krwawe dyscypliny, ostra ze szczeciny zrobiona włosienica, żelazny pancerz, liche zimą i latem odzienie, zawsze bose nogi, a przedewszystkiem zbiór wielu cnót, jakiemi jaśniał, czyniły go wzorem prawdziwego zakonnika. A chociaż tak surowy dla samego siebie, nader był pobłażliwy i wyrozumiały dla podwładnych. Przed zaczęciem każdego postu pozwalał na niewinne rozrywki, tylko sam od nich się usuwał, czas ten spędzając na modlitwie, na której często widziano go w zachwyceniu i uniesionego ponad ziemią. Szczególniejszą miłość świadczył chorym, a tak go wzruszała nędza ludzka, że, według rady Apostoła, z płaczącymi płakał, z weselącymi się weselił, słowem, obok ostrych umartwień, potrafił być wszystkiem dla wszystkich [2]).

Antoni Portugalczyk (1545 r.).

Syn szlachetnych i zamożnych rodziców, Antoni, mając zaledwie 15 lat, przyszedł do Ludwika z Fossombrone, prosząc, aby go przyjął do zgromadzenia Kapucynów. Ten z początku odmówił mu, że jest zbyt jeszcze młody i niesposobny do ostrości zakonnych, ale widząc jego wielką chęć służenia Bogu, dał mu habit. Młodzieniaszek był tak czystych i pięknych obyczajów, że go innym stawiano za wzór doskonałej skromności, jaśniał też duchem pokuty, ubóstwem i posłuszeństwem, a najwięcej bogomyślnością i milczeniem. Najświętsza Panna nieraz go nawiedzała na modlitwie, oświecając jego umysł do zrozumienia tajemnic Bożych. Ona mu objawiła ostatnią jego godzinę. Po trzech latach życia klasztornego Antoni dostał krwotoków i leczącym go braciom oznajmił, że próżne będą ich starania, gdyż Pan Bóg przeznaczył mu bliski koniec. I rzeczywiście, ofiarując swoje życie za Kościół i za pogan, których radby był nawrócić, posilony Sakramentami ŚŚ., czysty i miły Bogu, przeszedł do przybytków niebieskich [1]).

Hieronim z Montepulciano (1546 r.).

Nosząc w sercu głęboką pokorę, Hieronim w zakonie bardzo postąpił w cnotach. Z miłości dla Ukrzyżowanego wybłagał sobie pozwolenie udania się do Jerozolimy i zwiedził tam wszystkie miejsca święte, uczczone Męką Pańską, lub pobytem na nich Zbawiciela. Wróciwszy do Włoch, pragnąc ściślej zachować regułę Braci Mniejszych, przeszedł do nowego zgromadzenia Kapucynów. Odtąd jeszcze większą zasłynął pokorą i wzgardą samego siebie, a tak był rozpalony pragnieniem coraz wyższej doskonałości, że gdy go raz pytano, dlaczego opuścił Obserwantów, odpowiedział: „Gdybym i teraz usłyszał o jakim klasztorze, w którymby obserwancja jeszcze gorliwiej była pełnioną i surowsze były pokuty, bezzwłocznie tambym się udał“. Im zaś on niżej o sobie sądził, im więcej starał się ukrywać, tem większy wzbudzał szacunek, i bracia zakonni, oceniając tę jego pokorę, roztropność i inne cnoty, wybierali go nieraz na Wikarego Prowincjalnego. Skromność i wstydliwość malowała się na jego twarzy i w całej postawie. Milczenia przestrzegał surowo, unikając próżnych rozmów nawet z braćmi i pilnując czystości serca i umysłu. Przytem tak się umartwiał, że ciało jego wyschło jak skwarek, że zaś był wysoki, przypominał pustelnika. Chodził zwykle boso, bez sandałów, w samym tylko habicie, a do tego starym i połatanym. I tak dożywszy lat 80-u, syt zasług i cnoty, poszedł po nagrodę wiekuistą [1]).

Justyn z Panigale (1541 r.).

Brat Justyn, urodzony w Umbrji, wstąpił początkowo do Obserwantów, gdzie do późnej starości spełniał jako laik różne obowiązki, gdy zaś Bernardyn Asteński, Jan z Fano i inni przechodzili do Kapucynów, przyłączył się do nich i w no-

[1]) Annales francis. 1907. [2]) Kron. kap... r. 1557.

[1]) Tamże, r. 1545. [2]) Tamże, r. 1546.

wem zgromadzeniu rozpoczął życie prawie anielskie. Pokorny, skromny, cichy, pełen miłości dla każdego, sam też przez wszystkich był kochany. Pomnąc, że stan laika obowiązuje go szczególniej do pracy, chociaż w latach, spełniał niezmordowanie najcięższe posługi domowe. W czasie tęgich mrozów nosił tylko habit, karcił swe ciało częstemi postami o chlebie i wodzie, czuwaniem, dyscyplinami i innemi umartwieniami, tego tylko nie mogąc sobie darować, że tak późno wziął się do pokuty [1]).

Antoni z Montesikardo (1550 r.).

Umysł tego zakonnika ciągle był zajęty rzeczami niebieskiemi, a serce ustawicznie wzniesione do Boga. Stąd często wpadał w zachwyty i unosił się nawet w górę. Dnia jednego, słuchając czytania w refektarzu, odszedł od zmysłów, uniósł się wysoko w oczach wszystkich i pozostał tak aż do końca obiadu. Gdy odzyskał przytomność, gwardjan, chcąc wypróbować jego ducha, kazał mu pójść z motyką do ogrodu i kopać. Posłuszny starzec, gdyż był już w podeszłych latach, w tej chwili wziął się do dzieła. Nie zadawalniając się tą próbą, Ojciec pragnął doświadczyć jego miłości braterskiej, wziąwszy go więc na stronę, rzekł: „Bracie Antoni, mam w klasztorze jednego zakonnika bardzo złych obyczajów". W tejże chwili sługa Boży, lękając się obmowy więcej niż węża, ukląkł pokornie i prosił, aby mu pozwolono iść dopatrzeć osła, którego dozór był mu zlecony; tym bowiem sposobem chciał przerwać rozmowę i uniknąć choćby najmniejszego cienia grzechu przeciw miłości. A gdy gwardjan puścił go, pobiegł do stajni, gdzie znów go znaleziono wzniesionego w powietrze. Odtąd wszyscy bracia mieli dlań wielki szacunek. Godziny kapłańskie w chórze tak uważnie i w tak skromnej postawie odmawiał, że chociaż osłabiony latami, nigdy się bądź o ławkę, bądź o ścianę nie opierał, ale zawsze stał prosto i o własnych siłach. Pochodziło to z głębokiego przejęcia się obecnością Bożą i z pragnienia, by nietylko duchem, ale i ciałem cześć oddawać Przedwiecznemu Majestatowi [2]).

Hieronim z Pedony (1576 r.).

Brat Hieronim z Pedony, którego Bóg cudami wsławił, odznaczał się wysoką doskonałością. Z początku Obserwant regularny, później Kapucyn, oddawał się niezwykłym umartwieniom, modlitwie i uczynkom miłości bliźniego. Czystość była w nim tak wielka, że przez 14 lat nie podniósł oczu na żadną kobietę, a i na mężczyzn również nie patrzał. Długie godziny dnia i nocy upływały mu na łzawych rozmyślaniach. Sypiał mało i siedząc, z głową opartą na ręku lub o ścianę, aby nie zaspać godziny, przeznaczonej na Officium. Posiadając wykształcenie i roztropność, zajmował się nowicjatem i z wielką miłością spełniał ten ważny obowiązek [1]).

Ś. Feliks z Kantaliczo (1587 r.).

Święty Kapucyn, oprócz cnót dawniej wymienionych, jaśniał jeszcze nadzwyczajną szlachetnością serca i delikatnem obejściem, co winien był nie domowemu wychowaniu, ale jedynie działaniu łaski Bożej. Najwykwintniejsi ludzie nie mogli w nim zauważyć nic rażącego. Zawsze dla wszystkich jednakowo serdeczny, uprzejmy, pokorny, starał się przez całe życie zachować ów charakter włoskiego wieśniaka, który mu pomagał do utrwalenia się w nicestwie i pokorze. Stanu swego przed nikim się nie wstydził, owszem, często o nim wspominał. Książęta, panie wysokiego rodu, Kardynałowie i prałaci lubili słuchać jego prostej a gorącą miłością Bożą ożywionej mowy. Przedziwną była jego wytrwałość w rozpoczynaniu każdego dnia z nowym zapałem i gorliwością, tak jakby to był pierwszy dzień jego życia zakonnego, co tem bardziej zadziwia, że zawsze przebywał w jednem i tem samem miejscu, i zawsze jedne i te same obowiązki kwestarskie załatwiał. Kogo innego mogłoby to zniechęcić, a przynajmniej pierwotny zapał w nim osłabić, brata Feliksa pobudzało to do większego ćwiczenia się w doskonałości. Rozumiał, że ten obowiązek, stawiający go na widowni wszystkich mieszkańców Rzymu, zmuszał go moralnie do przyświecania dobrym i świętym przykładem; wiedział, że, patrząc na żywe obrazy moralnej i materjalnej nędzy ludzkiej, powinien współczuć z bliźnim i polecać go Boskiemu miłosierdziu. Święty braciszek przez całe życie swoje szedł naprzód, starając się wypełnić jak najdoskonalej wszystkie swoje ćwiczenia i obowiązki, zwalczał mężnie wszelkie przeszkody, a im one były trudniejsze, tem większy budził się w nim zapał do ich pokonania [1]).

Ś. Fidelis z Sigmaringen (1622 r.).

Ten wielki święty i pierwszy męczennik z zakonu Kapucynów obdarzony był wieloma cnotami. Wszyscy współcześni kronikarze chwalą jego zdolności do rządzenia, a dowiódł takowych, będąc gwardjanem w Rheinfeld, we Fryburgu szwajcarskim i w Feldkirch. Dodać należy, że konstytucje kapucyńskie zabraniają wynosić na ten ważny

[1]) Tamże, r. 1547. [2]) Tamże, r. 1550.

[1]) Tamże, r. 1576. [2]) Żywot Ś. Feliksa...

urząd zakonnika, który nie był przez określoną liczbę lat w zakonie; co zaś do Świętego, uczyniono wyjątek ze względu na jego cnoty. Posiadał on słodycz niebiańską i dla wszystkich, a szczególniej dla chorych, pełen był uprzejmości i dobroci. Lecz ta słodycz, chociaż wielka, nie przechodziła w słabość charakteru: był pobłażliwy, ale nie tchórzliwy: dokąd roztropność i miłość pozwalała, nic nie mówił, ale umiał zapobiedz rozluźnieniu karności zakonnej. Dbając serdecznie o utrzymanie dawnych zwyczajów, zawsze w porę, a z mocą powstrzymywał nadużycia i w takich razach potrafił być surowszym. Codzień dziękował Bogu za łaskę powołania do zakonu, obawiając się niewdzięczności. Kiedy wspominał o stanie sług Bożych, to z takiem namaszczeniem, że obecni czuli się pociągnięci do tego życia. „Jednej tylko rzeczy żałuję, mawiał często, to jest, że zbyt późno wstąpiłem do zakonu". Pewnego dnia, rozmawiając ze swoim przyjacielem o różnych powołaniach, rzekł: „Gdybym był znalazł zakon jeszcze ostrzejszy, w którym mógłbym doskonalej służyć Panu Jezusowi i więcej pracować nad duszami, z pewnością byłbym go wybrał".

Kochając tak bardzo życie zakonne i znając jego wartość, musiał też pełnić i jego cnoty. Podczas przełożeństwa swego zakazał naprzykład brać więcej jałmużny, niż było potrzeba, i sam sobie odmawiał nawet rzeczy niezbędnych. Jeden z zakonników świadczył, że, prosząc raz Fidelisa o pióro, musiał mu przynieść stare, które Święty nanowo zaostrzył i sam niem pisał. Nad braćmi jednak, zwłaszcza chorymi, czuwał troskliwie, aby im nic nie brakowało. Drugi zeznawał, że był już w kilku klasztorach i kilku miał gwardjanów, ale żaden z nich nie był tak doskonale ubogi, jak Fidelis. Ze świętego ubóstwa, jak z korzenia, wyrosła prawdziwa pokora. Mąż Boży doszedł w niej do szczytu. On, słynny niegdyś adwokat, doktor filozofji i obojga praw, doradca książąt, żył jak ostatni z pomiędzy braci. O sobie miał bardzo niskie wyobrażenie, uważając się za zupełnie niezdolnego do prowadzenia trzódki jemu powierzonej. Codzień na Mszy św. żebrał o tę łaskę. „Błagam Cię, o Boże mój, abyś mi raczył udzielić najdoskonalszej cnoty, t. j. pokory, abym przez nią stał się prawdziwym uczniem Syna Twojego, Jezusa Chrystusa, i abym się uznał, jak nim jestem w istocie, za najgorszego z ludzi, i pogardzał wszystkiemi zaszczytami tego świata".

Raz w poufnej rozmowie Święty rzekł: „Gdyby mi przełożony rozkazał to, co się rozkazuje najmłodszemu z nowicjuszów laików, byłbym z tego bardzo szczęśliwym, rozumiejąc, że większe zbiorę zasługi". Nie gardził też niską pracą: kopał w ogrodzie, pomywał naczynia kuchenne.

Jego czystość.

Co do cnoty dziewictwa, posiadał ją nienaruszoną; takie było zdanie wszystkich, którzy go znali. Jego prowincjał pisał, że nie zauważył w nim najmniejszej winy przeciw czystości serca. A jeden z przyjaciół Świętego zeznawał w procesie kanonizacyjnym, że nawet nie podejrzewa, aby O. Fidelis popełnił jaki błąd, obrażający cnotę anielską. Owszem, był on tak wstydliwy, że się oblewał rumieńcem, gdy konieczność wymagała przejść obok kobiety, a szczególniej z nią rozmawiać.

Czystość, powiada Duch Święty, jest lilją, która do wzrostu swego i rozwoju wymaga obrony cierni. Temi cierniami opiekuńczemi były u Fidelisa: post, umartwienie, głód, zimno, gorąco, gruba odzież, czuwanie nocne, trudy apostolstwa, niewygody i wszelkie przeciwności. Modlił się gorąco o ducha pokuty i otrzymał go w obfitej mierze. Złamać swą miłość własną przez upokorzenia, zgiąć wolę przez zupełne posłuszeństwo, było to dla niego niczem, karcił więc swego osła i ujarzmiał postami.

Surowy dla samego siebie, miał, jak już mówiliśmy, niewyczerpaną dobroć dla innych, zwłaszcza dla chorych, pomimo więc, że wyznaczony był infirmarz, sam jeszcze chodził oddawać im usługi. Często zrana uprzedzał tego brata i pocieszał słabych, litując się nad ich cierpieniami, owijał rany, a zawsze starał się zrobić to, co najwstrętniejsze dla zmysłów.

Cnoty tak heroiczne musiały wynikać z serca czystego i pałającego miłością Bożą. Aby posiąść tę czystość nieskalaną, Święty spowiadał się codziennie, chociaż na sumieniu miał lekkie tylko przewinienia. W ostatnich latach nawet dwa razy na dzień spowiedź odbywał. Zwykły śmiertelnik niby sobie nie robił z tak drobnych uchybień, a Fidelis, powiada jeden z jego towarzyszów, bolał nad niemi, i upokarzał się do tego stopnia, że trudno opisać [1]).

Szymon z Orsara (1637 r.).

Jak heroiczną miłością ku bliźnim odznaczał się Szymon z Orsara, dowodzi choćby następujący wypadek. Gdy miał kazanie w rodzinnych swoich stronach, nagle między tłumem rozległ się szept, że tylko co zabito w okrutny sposób jedynego jego brata. Smutna wiadomość, przechodząc z ust do ust, doszła do Szymona, który właśnie objaśniał przykazania Boskie. Lecz gdy obecni bardzo byli

[1]) S. Fidèle de Sigmaringen...

wzruszeni, sługa Boży zachował pokój niezamącony, jawnie pokazując, że związki krwi nie miały nań żadnego wpływu. Stanąwszy w połowie kazania, opowiedział słuchaczom, że ukochany brat jego został zabity i polecił modlitwom wiernych duszę jego, jako też i biednego złoczyńcę, aby mu uprosić szczery żal i miłosierdzie u Boga. Po zejściu zaś z ambony, udał się natychmiast do magistratu, i tak samo wyjednał u władz świeckich łaskawość i darowanie winy zbrodniarzowi. Przykład tak heroicznej cnoty nie mógł pozostać bez skutku: najzatwardzialsi grzesznicy czuli, że im serce mięknie i że nie mogą dłużej opierać się łasce Bożej. Widzieli oni, co może prawdziwa miłość i do czego jest zdolna [1]).

Hipolit z Busseto (1647 r.).

Doktor obojga praw, Hipolit Bordoni, w 25 roku życia przywdział suknię zakonną. Wspaniałomyślność, z jaką bogaty i wykształcony młodzieniec opuścił rodzinne miasto i czekające nań godności, zjednała mu szacunek współobywateli. Lecz było to niczem w porównaniu do późniejszych jego cnót, a zwłaszcza do oderwania się od rodziny i kraju. Ile razy w podróżach apostolskich przechodził przez te strony, nie zatrzymywał się na ulicach, ale szedł prosto do klasztoru i nigdy nie nawiedził chociażby najbliższych krewnych. Ojcem jego był teraz Pan Bóg, a Matką — Marja Niepokalana. Gdy pewnego dnia dwaj siostrzeńcy, spotkawszy go, serdecznie ucałowali mu ręce, zakonnik pobłogosławił ich, mówiąc krótko, iż zawsze modli się za rodzinę i ufa, że Pan Bóg udzieli jej swych łask i pomyślności. Taka była cała jego rozmowa, ale odtąd do końca życia nie przechodził już przez Busseto, wolał sobie drogi nadłożyć, widok bowiem ojczystych murów mieszał mu pokój wewnętrzny. Z heroicznym i ciągłym tryumfem, jaki odnosił nad przywiązaniem do swoich, świątobliwy Kapucyn łączył jeszcze surowe umartwienie zmysłów, tak że musiano go powstrzymywać, aby sobie nie niszczył zdrowia. Spał na gołych deskach, żywił się chlebem i jarzynami, chodził we włosiennicy, nie podnosił oczu na piękno, roztaczające się w naturze. Zachowywał cichość i cierpliwość w przeciwnościach, a słodycz w obcowaniu tak pociągającą, że nikt nie potrafił mu się oprzeć. Z każdego jego kazania słuchacze odnosili wielki pożytek, niewierzący zaś i heretycy zaczynali wątpić o swoim rozumie. Lud widział go tylko przy ołtarzu, na modlitwie, na kazalnicy lub w konfesjonale, słuchającego spowiedzi grzeszników, którzy odchodzili zapłakani, ale szczęśliwi. Umarł sługa Boży w Borgo San Domnino, licząc lat 60, zakonnych 36. Za życia oderwany i jakby nie myślący o krewnych, przed śmiercią prosił O. Gwardjana, żeby posłał jego siostrzeńcowi obrazek Imienia Jezus, który miał w regułę wklejony, na pamiątkę węzłów duchowych, łączących go z całą rodziną [1]).

[1]) Annali Cappuccini... V. I.

Józef z Medjolanu. (1673 r.).

Józef z Medjolanu urodził się ze starożytnego domu Lampugnani, który posiadał znaczne dobra i wydał wielu zasłużonych mężów. Jeden z członków jego zawsze należał do zakonu rycerzy Jerozolimskich, otaczających opieką swoją chrześcijan pod panowaniem tureckiem. Kiedy więc brat Józefa, zapisawszy się do tej milicji, przywdział bogaty płaszcz, przypasał szablę do boku i włożył złote ostrogi, on sam, obierając sobie służbę Bożą, zrzucił świeckie odzienie i wziął krzyż Chrystusowy. Jego walka miała być cięższa, bo z samym sobą, i dłuższa, bo do końca życia. Przyniósłszy do klasztoru nieskalaną czystość, chciał ją bez plamki zachować, a do tego potrzebne były umartwienia, włosienice, niskie posługi, gorąca modlitwa. Aby ukryć wysokie swoje pochodzenie, rozmiłował się w najniższych pracach: był ogrodnikiem, praczem, infirmarzem, i prosił Pana Boga o siły do takich fizycznych zajęć, z obawy, żeby mu ich nie odebrano. Nic przeto dziwnego, że tak postępując, za krótki czas stał się doskonałym. Przełożeni też pozwolili mu dążyć do coraz wyższej świętości, i kiedy skończył swoje gwardjaństwo, już więcej nie naznaczali go na żaden urząd. Korzystał cnotliwy brat Józef z tej łaski i ciągle szedł naprzód w enotach. Pałając sam gorliwością o zachowanie ślubów i reguły, troszczył się, by i jego bracia duchowni byli coraz gorliwsi. Nie wstydził się żebrać dla klasztoru i zbierać z miłości ubóstwa najdrobniejsze rzeczy porzucone, a potem łatać niemi habity i sandały towarzyszów, okazując im przez tę usługę miłość braterską. Smutki i cierpienia, któremi go Pan Bóg dotykał, znosił zawsze spokojnie i z radością, że może coś uczynić dla swego Oblubieńca. A jakkolwiek nie opuszczał klasztoru i nie głosił kazań, nieraz nawiedzali go szlachetni panowie medjolańscy, których serdecznie przyjmował, dawał rady, zachęcał do życia chrześcijańskiego i w ten sposób wielu pojednał z Panem Bogiem. Zresztą sama jego postać już pobudzała do cnót i cierpliwości. Pewnego dnia, idąc, upadł nieszczęśliwie i złamał sobie nogę. Złożono ją, ale w późniejszym wieku ból się odezwał i nie pozwolił biednemu starcowi pracować, jak dotąd. Od tej chwili

[1]) Ibidem, V. II.

musiał on jeszcze długie lata siedzieć na swoim tapczanie, lecz zawsze coś robił drobnego dla pożytku zgromadzenia. Później wywiązała się puchlina i stał się całkiem niezdolnym do pracy, mógł bowiem tylko się modlić i czytać książki duchowne. Przygotowany cierpieniami i modlitwą, oddał Bogu ducha w r. 1673 [1]).

Barnaba z Lucerny.

Syn szlachetnej i dawnej rodziny Feer'ów, Barnaba nie dał się olśnić zbytkom światowym i od młodzieństwa zaprzągł się do jarzma Pańskiego u Kapucynów. Zajęty wiernem spełnianiem ustaw, był jakby żywą ich księgą. Obejście słodkie i miłe tak w słowach, jak i w uczynkach zjednało mu szacunek braci, którzy pragnęli widzieć go na stanowisku swojego ojca i przełożonego. W rzeczy samej sprawował on przez długi czas urząd Mistrza nowicjatu i gwardjana w kilku klasztorach, rządząc wszędzie z ojcowską wyrozumiałością i bacząc, aby reguła i karność zakonna w niczem nie były naruszone. Miał też obowiązek sekretarza prowincji, a jako taki nawiedzał klasztory i zbierał w archiwach wspomnienia o zmarłych braciach; stąd powstała kronika Szwajcarskiej prowincji Kapucynów, za co należy mu się cześć i wdzięczność. Barnaba był skupiony i miłujący modlitwę wewnętrzną, podczas której Bóg napełniał go pociechami. Nieraz znajdowano go w nocy przed ołtarzem w kościołku, niewidzącego i niesłyszącego, co się dokoła dzieje; wtedy bracia zachowywali się jak najciszej, by go nie wyrwać z zachwycenia, a popatrzywszy nieco, odchodzili. Ten wzór cnót serafickich zasnął świątobliwie w r. 1683 [1]).

Kasjodor z Grenobli (1687 r.).

Braciszek zakonny, Kasjodor, obrał sobie najprzód żołnierkę i dosłużył się za swoją waleczność stopnia kapitana, ale po wielu latach znudziły mu się wyprawy wojenne i postanowił żyć dla Boga i bliźnich. Zapukał tedy do klasztoru Kapucynów, prosząc, aby go przyjęli na laika, gdyż chciałby pokorą swoją i zaparciem ściągnąć łaski Boże dla swojej duszy. Życzenie Kasjodora zostało spełnione. Otrzymał habit i wziął się do przełamywania pychy i do wyrzekania się siebie na każdym kroku, stając się cichym, pokornym, i uległym, jak glina w ręku garncarza. Przez cały bieg życia klasztornego, brat Kasjodor praktykował surowe umartwienie: pościł dziewięć postów Ś. Franciszka, okrywał się tylko starą, znoszoną przez innych i połataną suknią; dla chorych braci i dla ubogich był pełen miłości, a przytem gorliwy w modlitwie wspólnej, której nie zdarzyło się, żeby opuścił. Stosunków ze światem skrupulatnie unikał, więc chociaż pod koniec życia był furtjanem w mieście rodzinnem i z obowiązku musiał mówić z osobami świeckiemi, czynił to w taki sposób, że wszyscy się budowali. Żonę gubernatora Grenobli, który był jego siostrzeńcem, i jego córki, oraz wszystkich innych krewnych prosił stanowczo, żeby nie przychodzili do furty, chyba mając rzeczywisty interes; upewniał, że poleca ich Bogu w modlitwach, ale wyrzekł się związków rodzinnych i chce, według reguły serafickiej, do Boga jedynie należeć i z Nim obcować. A tak, pragnąc przedewszystkiem własnego uświątobliwienia i używając odpowiednich ku temu środków, dokończył biegu żywota swego w r. 1687 [1]).

Sylwester z Arzeno (1692 r.).

Zmarły w opinji świątobliwości O. Sylwester z Arzeno, był z początku kapłanem świeckim i proboszczem ojczystej wioski. Parafjanie kochali go i szanowali, gdyż miał dla nich serce dobrego pasterza, czuwał nad ich potrzebami, a w nieszczęściach był wszystkiem dla wszystkich. Ale zacny kapłan począł myśleć o większej doskonałości, złożył więc obowiązki pasterskie w ręce Biskupa, prosząc go o pozwolenie wstąpienia do Kapucynów. Żałość parafjan była wielka, lecz nie pomogły im ich łzy, ani błagania. Ksiądz Sylwester rozstał się z nimi, błogosławiąc im i życząc jak najlepiej. Wstąpiwszy do klasztoru, pasterz stał się pokorną owieczką, ćwiczył się w zachowaniu reguły, a szczególniej w cnocie ubóstwa serafickiego; to był jego skarb, jego perła, o którą się ubiegał. Otrzymane w dzień obłóczyn peleryna i habit służyły mu aż do śmierci; innych nie nosił nigdy, ale te same ciągle naprawiał, łatał, zszywał, aby jaśniało w nich ubóstwo. Podobnież surowy był dla siebie w odmawianiu zmysłom wszystkiego. Że zaś oprócz postów z reguły zachowywał i posty Świętego Ojca, można powiedzieć, iż cały rok nie jadał mięsa, ani się nie żywił do sytości. U przełożonych wyrobił sobie łaskę, że go uwolnili od wszelkich urzędów, aby tem skuteczniej mógł pracować nad nabyciem pokory i skupienia. Doszedł też za łaską Bożą do takiej doskonałości, że nazywano go świętym. Kiedy umarł w Voyhera, ludność, pragnąc mieć pamiątkę po świętym zakonniku, chciała krajać jego habit, na co bracia nie zezwolili, habit ten bowiem, na dowód ubóstwa i cierpliwości zmarłego, postanowiono chować, jako relikwję [2]).

[1]) Ibidem, V. III. [2]) Ibidem.

[1]) Ibidem. [2]) Ibidem.

Leonard z Almenno (1700 r.).

Leonard z Almenno był synem uczciwych i pobożnych rodziców, którzy wpoili weń żywą wiarę i dali mu dobre wychowanie. Od dziecka chodził do kościoła i przystępował do Sakramentów ŚŚ., a gdy dorósł, zapukał do klasztoru Kapucynów. Mistrz jego, mąż wielkiej nauki i serafickiego ducha, prędko go ocenił i nie doznał zawodu. Leonard stał się jakby martwą rzeczą w rękach przełożonych, a na tej podwalinie wzniósł gmach wysokiej doskonałości. Przedziwna była jego miłość ku Bogu, którego czcił szczególniej w Najśw. Sakramencie. Za pozwoleniem swego ojca duchownego, po krótkim spoczynku nocnym biegł do kościoła na adorację, a klękając po niezliczone razy i obfite łzy lejąc (miał bowiem ten dar od Boga), zanosił serdeczne modły do Jezusa utajonego. Praca i różne obowiązki nie przeszkadzały mu w skupieniu: zawsze był zjednoczony ze swoim Oblubieńcem i myślą znajdował się przy Jego stopach. Na starość, nie mogąc dla chorób ciężko pracować, zajmował się posługą kościelną, służył do Mszy św., ozdabiał ołtarze i t. d. [1]).

Jan Piotr z Wenecji (1711 r.).

Potomek patrycjuszowskiej i senatorskiej rodziny Longa, która zajmowała najwyższe urzędy w Wenecji, Jan Piotr odebrał staranne wykształcenie. Nie przygasiło ono jednak w jego sercu chęci służenia Bogu i dlatego, mając lat 17, z bohaterską odwagą pożegnał przepych domu rodzicielskiego, aby zamknąć się w ubogim klasztorku Ś. Franciszka. Tutaj stał się posłusznym i żarliwym zachowawcą wszystkich przepisów, a w co się wdrożył w nowicjacie, to wiernie i później spełniał, z niczego się nie zwalniając. Była to żywa reguła, wizerunek obserwancji. Przedtem bogaty i znakomity, ćwiczył się teraz i umiłował pokorę i ubóstwo; uczony i roztropny, mógł był sprawować wysokie godności w zakonie, a on tymczasem zupełnie się od nich uchylał, pragnąc być poddanym i żyć w ukryciu, aby o nim nie mówiono, ani wiedziano nawet o jego istnieniu. Dziwiło to bardzo braci, ale musieli przyznać, że jest w tem chyba wyraźna wola Boża i że Boski Oblubieniec chce mieć dla siebie swojego sługę, aby mógł dążyć do coraz wyższej doskonałości. Całe tedy życie Jan Piotr przebył nieznany, zaparty i gorliwy, uświetniając ród swój w inny sposób, bo swoją świętością i anielskiemi obyczajami. Ciężka choroba zabrała tego wzorowego zakonnika w r. 1711; liczył on wtedy lat 61, a zakonnych 44 [2]).

[1]) Ibidem, V. IV. [2]) Ibidem.

Ludwik z Marsala (1713 r.).

Braciszek ten wzbudził w sobie heroiczne cnoty Ś. Feliksa z Kantaliczo. Jaśniała w nim aż do zgonu dziecięca niewinność tudzież duch pokuty i umartwienia, który kazał mu obchodzić się z ciałem, jak z wrogiem. Odmawiał mu przeto dostatecznego posiłku, pijąc tylko wodę i jedząc chleb w małej ilości, a w wigilje i w czasie postów Ś. O. Franciszka jeszcze i w tem się ograniczał. Większą część nocy spędzał na rozmyślaniu i na modlitwie, tak że godziny, służące do naprawy sił, były dla niego nową okazją do umartwień. A jakby i tego nie było dosyć, codzienne dyscypliny, włosienica noszona bez ustanku, zamieniły ciało Ludwika w jedną ranę. Surowość jego dla samego siebie przemieniała się w dobroć i miłość, gdy chodziło o innych; kochał on wszystkich, jak rodzonych braci. Wchodził między ubogich, wspomagał ich i pocieszał; chorym zakonnikom oddawał wszelkie usługi, ścieląc im łoża, naprawiając odzież. Opowiadają o nim kroniki następujący wypadek. Pewnego dnia do furty klasztornej zapukał jakiś ubogi, cały w ranach. Ludwik, zobaczywszę go, zdjęty ewangeliczną miłością, zaczął obmywać jego cuchnące i pokrwawione nogi. Lecz oto, gdy okładał je maścią, nagle wytrysnął z nich strumień krwi i jedna jej kropla dostała się do oka furtjana, sięgnął więc ręką, by je sobie obetrzeć, ale tymczasem biedak ów znikł. Bracia domyślili się, że w osobie tego żebraka był sam Pan Jezus, który pragnął wynagrodzić Ludwika za wszelkie usługi, czynione Mu w osobie nędzarzy i ubogich [1]).

Antoni z Olivadi (1720 r.).

Ten znakomity misjonarz kapucyński, już jako dziecko zwrócił na siebie uwagę, widziano bowiem nad jego kołyską jasność niebieską, zapowiedź przyszłych wielkich czynów. Proroctwo to jeszcze bardziej się ugruntowało, gdy jednoroczny chłopczyna odezwał się jak rozumny człowiek, poprawiając matkę swoją, mówiącą z innemi kobietami różaniec. Nieświadome kobiety powtarzały: „Święta Marjo, Matko bogów“, na co mały rzekł głośno: „Nie mówcie Matko bogów, ale Matko Boża, gdyż Bóg jest jeden“. Poczem przez cały rok nie wymówił ani słóweczka. Okazał on i w tem jeszcze zmysł religijny, że ile razy dano mu książkę pobożną z obrazkami, przypatrywał się im z uwagą i miłością, szczególniej tajemnicom Męki Pana Jezusa. Pierwszem jego czytaniem była reguła Braci Mniejszych i żywot Ś. Antoniego Padewskiego; one to zapaliły w nim chęć przywdziania habitu Kapu-

[1]) Ibidem.

cynów i pójścia na misje. A że mając dopiero lat 5 nie mógł tego uczynić, więc w domu rodzinnym prowadzić zaczął życie pokutne: bił piersi swoje kamieniem, ramiona sznurem, aż krew płynęła. Posłany w jedenastym roku do wielkiego miasta na naukę, powoli pod wpływem kolegów zepsuł się: gry hazardowne, brzydkie, nieskromne słowa przyćmiły jego czystość dziewiczą. Ale miłościwy Stwórca wyrwał go z tego brudu. Ojciec, którego zawiadomiono o niebezpieczeństwie, grożącem synowi, kazał mu wracać do domu. Tutaj Antoni po pewnym czasie odzyskał dawną pobożność, a poznawszy się z braciszkiem od Kapucynów, wstąpił do tego zgromadzenia, gdzie niezadługo, dzięki mądremu kierunkowi mistrza nowicjuszów, doszedł do wysokiej doskonałości. Nie obeszło się wszakże bez walk wewnętrznych: szatan koniecznie chciał go sprowadzić z tej drogi, ale łaska Boża odniosła tryumf i Antoni złożył uroczystą profesję.

Obiecawszy Bogu posłuszeństwo, młody zakonik praktykował je w stopniu heroicznym. Gdy odbywał studja w klasztorze Monteleone, zdawało mu się, że wszystkie nadzwyczajne łaski, jakich doznaje na modlitwie, są złudzeniem. Była to pokusa, mająca na celu dręczyć go i przeszkadzać mu w naukach, aby się zniechęcił do służby Bożej. Antoni opowiedział swoją wątpliwość lektorowi, a ten, chcąc go wypróbować, zapytał: „Czy jesteś gotów zrobić, co ci każę?“ — „Natychmiast“, odparł Antoni. „Skacz więc z tego okna“, rzekł ojciec lektor. Kleryk, nie wahając się, poprosił o błogosławieństwo, stanął na oknie i byłby się z niego rzucił, gdyby go ojciec nie zatrzymał. Poznał stąd lektor, że wszystko, co się z Antonim dzieje na rozmyślaniu, pochodzi od Boga i uspokoił go w wątpliwościach. Cnoty heroicznego posłuszeństwa dowiódł Antoni i wtedy jeszcze, gdy z rozkazu O. Generała napisał cały swój żywot z łaskami, jakich mu Bóg udzielił, chociaż pokora jego wiele nad tem cierpiała. Następny wypadek ukazuje nam również tę wielką cnotę Antoniego. Po wyświęceniu na kapłana zasłabł on na febrę, która przez cztery miesiące tak go trapiła, że do niczego nie był zdolny. Tymczasem gwardjan zapytał go pewnego razu, czy mógłby mieć kazanie. „Chyba ufając tylko świętemu posłuszeństwu“, odparł Antoni i począł się wybierać na ambonę. Odtąd febra znikła.

Inne cnoty zakonne.

Jako prawdziwy naśladowca Ś. Franciszka, Antoni ukochał nadewszystko ubóstwo. Habit jego był wytarty i połatany, celka opatrzona w konieczne tylko sprzęty, łoże z samych desek, a pożywienie — chleb i jarzyny. Idąc z misji na misje, nie brał żadnych zapasów, ani braciom nie pozwolił się zaopatrywać. Taka ufność i wierność ślubowanemu ubóstwu podobała się Zbawicielowi, gdyż kilka razy wspomagał go przez Aniołów w postaci ludzkiej. Nie chciał też przyjmować choćby najmniejszą rzecz od kogokolwiek, jako wynagrodzenie lub pamiątkę za kazania misyjne i pod tym względem był nieugięty.

Czystość Antoniego była nieziemska. Postanowiwszy mścić się na sobie za grzechy, popełnione w dziecięctwie przeciwko tej cnocie, kiedy jeszcze nie znał jej wartości, trudno opisać, ile sobie umartwień zadawał, ile podejmował starań, aby ją zachować. Nie patrzał np. nigdy na żadną kobietę, nie rozmawiał z nią, chyba w konieczności i o ile można, unikał ich spowiadania. Sen jego trwał najczęściej godzinę, a reszta nocy obrócona była na modlitwę. Nic przeto dziwnego, że, tak żyjąc, zawsze pokonywał złego ducha. Jak zaś mocna była jego wola jeszcze przed wstąpieniem do zakonu, pokazuje się z tego, że gdy raz w oddalonem i zamkniętem miejscu towarzysz namawiał go do jakiejś grzesznej czynności, on, nie mogąc uciec, wyjął z kieszeni mały nóż i zarznął się nim w palec u lewej ręki tak głęboko, że został mu później znak do końca życia. Na widok krwi kusiciel zbladł i nie ośmielił się go więcej namawiać. Antoni miał wtedy lat 20.

Celował podobnież i w innych cnotach. Czytając jego życie, widzi się obraz duszy wspaniałomyślnej, zdolnej do aktów heroicznych. Od pierwszego dnia nowicjatu posiadał dar kontemplacji i całem sercem rozważał mękę Pana Jezusa. Ale ta pobożność nie ograniczała się na niemem i bezowocnem podziwianiu miłości Bożej, ani też na próżnych westchnieniach, lecz objawiała się w silnej woli jak najbliższego naśladowania przykładów Zbawiciela. Stąd pochodziło, że unikał czci ludzkiej; stąd ta pogarda siebie, że publicznie uznawał się za największego z grzeszników, stąd wstręt do wyjawiania łask, z nieba otrzymywanych, stąd owe tkliwe, serdeczne współczucie ku bliźnim, stąd gotowość do miłowania nieprzyjaciół, obmówców, i dawanie im pierwszeństwa, gdy chodziło o jakąś posługę; stąd niczem nienaruszona cierpliwość; stąd jednem słowem to życie świątobliwe, splecione z cnót i zasług, wzbudzających cześć powszechną. Dlatego też imię O. Antoniego z Olivadi było na ustach wszystkich; każdy chciał go widzieć, zbliżyć się doń, mieć od niego pamiątkę, relikwję, jakąkolwiek rzecz, której używał, albo choćby tylko się dotknął [1]).

[1]) Ibidem.

Bł. Kryspin z Witerbu (1750 r.).

Błogosławiony bardzo ostrożny był około zachowania czystości dziewiczej. Znajdował się on w wielkich okazjach, gdyż jako kwestarz ciągłą miał styczność z różnemi osobami i odbierał od nich różne dowody życzliwości. Ale przed wyjściem na kwestę przypominał sobie, według zalecenia konstytucji, słowa jednego brata, który paląc słomę, powiedział: „Co zyskuje słoma na zbliżeniu się z ogniem, to samo zyskują słudzy Boży, prowadząc bezużyteczną rozmowę z kobietami". Unikał też z niemi wszelkich rozmów, a jeśli zachodziła konieczność, mówił to tylko, co było nieodzowne. Jeżeli kiedy spojrzał znienacka na obraz lub figurę niebardzo skromną, natychmiast odwracał od niej oczy i usiłował, jeśli można było, usunąć daną rzecz z okien wystawowych w sklepach. Jego obejście skromne i proste zdradzało czystość serca i jednało mu ogólny szacunek. Kobiety przedewszystkiem, mając wyjść do Błogosławionego z jałmużną, zakrywały się skromnie, pewnemi będąc, że gdyby mu się pokazały z odkrytą głową i szyją, byłby zaraz opuścił ich mieszkanie. Zostawiał on w domach świeckich dobrą woń Chrystusową, o której wspomina Apostoł. Nie mogąc tego cierpieć, szatan próbował kilka razy przywieść Kryspina do upadku. Podajemy tu dwa takie zdarzenia.

Był on podówczas jeszcze młody i mało znał miasto Orvieto, gdyż zaczynał dopiero chodzić po kweście, gdy kilku rozpustników, nie wierząc w jego cnotę, postanowiło go wypróbować. Do spisku należała kobieta złego życia, która za obiecane pieniądze miała skusić Błogosławionego. Pewnego tedy dnia, kiedy kwestarz chodził po mieście, kobieta owa zaprosiła go do domu, że da mu w jałmużnie wina. Poszedł więc za nią do piwnicy, ale tu, napełniwszy butelkę, kobieta odezwała się inaczej, skłaniając go do grzechu. Na te słowa kwestarz wzdrygnął się, jakby przed gadem jadowitym i padł na kolana w pośrodku piwnicy, a rozkrzyżowawszy ręce, zaczął śpiewać z całych sił litanję do Matki Bożej, na nutę używaną w kościołku Ojców. Nieszczęsna kobieta, nie wiedząc co robić, a bojąc się, żeby to nie zwróciło uwagi przechodniów, błagała sługę Bożego, aby ucichł i poszedł sobie. Lecz Błogosławiony kończył dalej litanję, a prześpiewawszy całą, wyszedł w milczeniu. Na twarzy jego nie było śladu zamieszania; przeciwnie, malował się na niej spokój, aby nikt nie poznał, na co był wystawiony.

Kilka lat potem szatan znów zrobił zasadzkę na sługę Bożego. Dwaj młodzieńcy, znani z rozwiązłości, wspólnie z wdową, z którą mieli tajemne stosunki, ułożyli plan, mający na celu skuszenie Kryspina. Postanowili, że owa wdowa uda się w oznaczonej godzinie do klasztorku Kapucynów i zażąda widzenia się z kwestarzem. Miała niby prosić o polecenie jej do przełożonej zakonnic, a rzeczywiście nastawać na jego cnotę. Wszystko udało się, jak zamierzyli. Wdowa przybyła do hospicjum, gdzie, jak jej było wiadomo, znajdował się sam tylko braciszek, i po kilku słowach zaczęła go namawiać do występku. Przerażony Kryspin uciekł się do tego samego środka, co i pierwej. Ukląkł przed obrazem Najśw. Marji Panny, wiszącym na ścianie i z rękoma rozciągnionemi na krzyż, zaczął śpiewać Ave maris stella — Witaj Gwiazdo morza, głosem bardzo mocnym. Wdowa, nie czekając ani chwili, wybiegła na ulicę, a tak Święty znów zwyciężył przy pomocy ukochanej swej Matki Marji. Z pewnością Kryspin prześpiewał do końca ów hymn w intencji tej biednej duszy, która chciała go zgubić, nazajutrz bowiem wdowa zmieszana przyszła go prosić o przebaczenie i przyrzekła, że się nawróci.

Co do cnoty posłuszeństwa braciszek chciał mieć na wszystko, na najdrobniejsze nawet zajęcia, błogosławieństwo przełożonych. Tak samo czynił i względem spraw sumienia swojego, nie chcąc nic przedsięwziąć bez zgody i wiedzy spowiednika lub starszych [1]).

Ambroży z Lombez (1778 r.).

Słynny ten Kapucyn wywierał wielki wpływ na dusze, dzięki właśnie swoim cnotom, w których wytrwale się ćwiczył. Była to praca ciągła, wierna raz powziętemu postanowieniu, to też doprowadziła go do świętości. Z poufnego dziennika O. Ambrożego okazuje się, że pierwsze lata życia w zakonie upłynęły mu w sposób wzorowy i sumienny, ale nie zapowiadający jeszcze tych wzniosłych cnót, do których z czasem doszedł. Był zakonnikiem przykładnym, wszelako nie świętym. Około 30-go roku życia w duszy jego zaszła wielka zmiana. Niezwykłe światło przeniknęło aż do najtajniejszych głębin jego serca, skłaniając go, by staranniej niż dotąd zbadał wewnętrzne swoje usposobienie. Z tego rachunku wyniknął jak najlepszy skutek: Ambroży poznał, że w cnotach uczynił bardzo małe postępy względnie do świętości swego powołania i że przeszkodą do tego są jego wady wrodzone, mianowicie: przywiązywanie się do rzeczy nawet najniewinniejszych samych w sobie, wielka skłonność do rozmów z zadowoleniem miłości własnej, a krzywdą bliźnich; dogadzanie sobie w refektarzu i zbytnie upodobanie w przechadzce; a

[1]) Le Saint Joyeux.

jako następstwa tych błędów: nałogowe roztargnienie umysłu i zupełny brak życia wewnętrznego. Aby uleczyć swą biedną duszę, sługa Boży zastosował tu dwa środki: milczenie i samotność. Odtąd zauważono, że wychodził z klasztoru jedynie z obowiązku, lub dla bardzo ważnej przyczyny. Przed wyjściem szedł zawsze do kościoła i, klęcząc przed Tabernakulum, polecał się opiece Bożej. Modlitwa jego ciągnęła się zazwyczaj tak długo, że można było dwa razy odmówić psalm Miserere. Czynił on wtedy postanowienie, że, idąc, będzie patrzył w dół, głowę okryje kapturem, ręce schowa w rękawy; będzie mówił niewiele, cicho i skromnie, nigdy o naukach, ani duchownych, ani świeckich, unikając słów żywych, dowcipnych i żartobliwych. Tylko potrzeba zmuszała go do zabierania głosu, wiedział zresztą, że najświetniejsze mowy suchego mędrka i filozofa nigdy nie zdziałały tyle dobrego, ani nie wywarły takiego wrażenia, jakie wywiera słowo duszy pokornej i skupionej.

Wnętrze O. Ambrożego było niezwykle spokojne, a zewnętrzna postać urobiona. Jego skromność uderzała każdego. Gdy szedł ulicą, stawano w oknach, by go widzieć. Pomimo nadzwyczajnych darów na modlitwie, O. Ambroży doświadczał częstych roztargnień, aby zaś temu zaradzić, starał się mieć umysł ciągle zajęty. Jeżeli więc nie zajmował się jakim obowiązkiem, to rozważał jeden z psalmów pokutnych, albo responsorja z Officium za zmarłych, dlatego że, umiejąc je na pamięć, mógł się niemi w każdej chwili posługiwać. To samo czynił przy pracy ręcznej, w czasie przechadzki lub podróży, i w ten sposób zdołał po niejakimś czasie zamknąć swój umysł dla wszystkich rzeczy niepotrzebnych.

Uważając się za nader winnego wobec sprawiedliwości Boga, liczył tylko na Jego miłosierdzie, ściągając je na siebie następującemi trzema środkami: 1) zupełnem oderwaniem się od stworzeń, 2) wzgardą samego siebie i 3) zamiłowaniem krzyżów. Bóg więc był jedynym celem jego pragnień, jego poszukiwań, tak że we wszystkich swoich uczynkach, choćby najświetniejszych, nie widział nic innego, prócz spełnienia woli Bożej, za nic mając wszelką wypływającą z nich chwałę. Dawne swoje przewinienia miał zawsze na pamięci, i nie poprzestając na tem, że się z nich wyspowiadał, ciągle je opłakiwał i surowo się za nie karcił. Ciału dozwalał tylko rzeczy najkonieczniejszych, nie zważał wcale na drobne jego niedomagania; cierpienie kochał jako środek zadośćuczynienia za grzechy, podobał sobie w upokorzeniach, zawsze uważając, że jest za dobrze traktowany. Co do pragnienia krzyżów, wypisał sobie pięć następujących postanowień: 1. Chcieć zawsze mniej, niżeli będę posiadał i usuwać wszystko, co nie jest niezbędne. 2. Coraz to mniej zadawalniać potrzeby zmysłów, zwłaszcza w pożywieniu, jedząc mniej, niżby nawet wymagała potrzeba. 3. Chętniej spełniać wolę innych, niż własną. 4. Pragnąć coraz więcej krzyżów. 5. Pożądać zwłaszcza coraz mniejszego szacunku u ludzi.

Tak czuwając nad sobą, doszedł do zupełnego zjednoczenia z Panem Jezusem, zwracając doń wszystkie swoje myśli, uczucia i czyny. Starał się zamykać z Bogiem wewnątrz siebie i nie wychodzić z tego wnętrza inaczej, jak za wyraźnem Jego natchnieniem, a wracać tam jak najprędzej. Lecz nawet wśród czynności z rozkazu Bożego rozpoczętych, zwracał się często do Pana, przebywającego w jego sercu, aby to zjednoczenie z Nim odnowić.

W rozmowach z ludźmi żadnej nie znajdował przyjemności, owszem, czuł ulgę, gdy się mógł od nich odsunąć. Ostatecznym ideałem jego, w zupełności osiągniętym, było umrzeć samemu sobie, a żyć tylko w Bogu i dla Boga [1]).

Angelik Beninca sa (1815 r.).

Mianowany Arcybiskupem w Kamerynie, kiedy całe Włochy zajęte były przez wojska Napoleona, a Państwo Kościelne zupełnie istnieć przestało, O. Angelik był w bardzo trudnem położeniu, lecz dzięki niezrównanej roztropności wszystko zwyciężył. Rządząc dyecezją słowem ewangelicznem, które jest najlepszą bronią Biskupów, musiał się bardzo strzedz, aby mniej rozważnym wyrazem nie ściągnąć na siebie niełaski namiestników cesarskich. W częstych stycznościach z rządem, którego wymagania sprzeciwiały się niejednokrotnie prawu Bożemu i kościelnemu, nie doprowadził nigdy ani do ustępstw, narażających sumienie, ani do przykrego starcia. Co więcej, w wydanej przez siebie homilji zdołał tak mądrze przedstawić, jak można, a nawet trzeba oddać co jest cesarskiego cesarzowi, a co Boskiego — Bogu, że zjednał sobie przyjaźń rządzących wówczas prefektów i uzyskał dla dyecezji bardzo znaczne zwolnienia i ulgi. Pod pieczą roztropnego pasterza, oddane mu owieczki mogły się paść spokojnie. Nie było nadto nikogo w dyecezji, ktoby w potrzebie nie doznał pomocy lub rady od tego troskliwego Ojca. Aby zaoszczędzić wydatków i z większym spokojem obowiązki swe wypełniać, opuścił on pałac Biskupi i nabył mały domek pod miastem, dochody zaś swoje obracał na jałmużny i potrzeby ubogich kościołów [1]).

[1]) P. Ambroise de Lombez... [2]) Cenni biogr...

Cz. Franciszek z Kamporosso. (1866 r.).

9 sierpnia 1896 r. został rozpoczęty proces beatyfikacji brata laika z zakonu Kapucynów, Cz. Franciszka z Kamporosso. Urodzony w osadzie tego imienia, w archidyecezji genueńskiej, 27 grudnia 1804 r. z pobożnych rolników, od dziecięctwa prawie był apostołem, nawracał bowiem wszystkich swoją pobożnością i dobremi przykładami. W 22 roku życia złożył śluby zakonne, jako Kapucyn. Odtąd cały jego żywot upłynął w klasztorze Niepokalanego Poczęcia w Genui. Będąc ciągle kwestarzem, przyjmował z radością zmęczenie, upokorzenia i największe zniewagi.. Miłośnik ubóstwa, nie chciał dotknąć się pieniędzy, które mu ofiarowywano. Miał wielką cześć dla N. Eucharystji, Matki Bożej i Świętych. Na początku r. 1866 podczas strasznej zarazy, srożącej się w mieście, Franciszek ofiarował się Bogu na przebłagalną ofiarę za mieszkańców i zaraz oznajmił, że umrze w uroczystość Blizn Serafickiego Ojca. Śmierć jego opłakiwało całe miasto, a szczątki śmiertelne zamknięto w marmurowym grobie [1]).

Klara od Najśw. Marji Panny (1892 r.).

„Perła Wiganu“, jak ją nazwał jej spowiednik i kierownik duchowny, uświęciła się u Klarysek-Kapucynek francuskich pod imieniem Siostry Klary od N. Marji Panny. Światowe jej nazwisko było Amelja Vivan (Vivens). Urodziła się w r. 1843 w domu na pół katolickim, gdyż ojciec był protestant, ale o duszy prawej i szczerej, i żonie swojej, gorliwej katoliczce, zostawiał zupełną swobodę w rzeczach religji. Zacna ta matka postarała się, by jej dziecię jak najprędzej zostało ochrzczone i wszczepiła w nie miłość do Najśw. Panny. Dziewczynka rosła w lata i w mądrość, a lekcje matki tak głęboko wryły się w jej serce, że najmilszą dla niej zabawą było zbierać swoje rówieniczki w którym z odległych pokojów i mówić z niemi klęczący różaniec. Po modlitwie prowadziła je w milczeniu do śpiżarni i rozdawała, co było pod ręką. Rozumie się, że wobec takich podwieczorków wszystka dziatwa sąsiadów biegła do małej czcicielki Najśw. Panny i wkrótce śpiżarnia zostawała pustą. Pytającej ją raz matce, ktoby taką szkodę wyrządził, Amelja z dumą odrzekła: „To ja, odmówiłam z dziećmi Różaniec“.

W 12-m roku dopiero przystąpiła do pierwszej Komunji. Nie widać w niej było naówczas żadnych nadzwyczajności, o jakich się czyta w żywotach przyszłych Świętych. Niezadługo potem straciła ukochaną matkę i znalazła się sama jedna w środowisku heretyckiem. „Ameljo, rzekła do niej umierająca, bądź zawsze gorliwą katoliczką, kochaj Najśw. Pannę i nie zapominaj, com przeniosła dla wiary“. Sierota nigdy o tem nie zapomniała. Od śmierci matki stała się poważniejszą i umyśliła służyć Panu Bogu. Naprożno ojciec i krewni chcieli ją kilka razy wydać zamąż; odpowiedziała im z godnością, że już innego wybrała sobie Oblubieńca. Jakiś czas marzyła o Szarytkach, ale to życie nie zadawalało wszystkich jej pragnień... serce jej rwało się do kontemplacji. Wtedy ksiądz proboszcz z Vigan przedstawił jej regułę Kapucynek, która ją zachwyciła. Sposobiąc się do czekających ją trudów i pokut, zaczęła sypiać na suchych gałęziach i wiórach, czuwać długo w nocy, pościć surowo, aż wreszcie zwierzyła się ze wszystkiem ojcu. Straszna to była dla niej chwila. Ojciec rozpłakał się, tulił ją do serca i szeptał z boleścią: „I zostawisz mnie tak samego? a matki twojej już niema!“ W myśli jej powstała wątpliwość, czy nie lepiej będzie zostać w domu; może ojciec się nawróci, a tak umrze heretykiem... Ale głos Boży był silniejszy ponad wszystko. Udała się do Kapucynek w E (Aix) w r. 1865, gdzie uprzedził ją list spowiednika. „Ta dusza, to perła Viganu“, pisał ksiądz proboszcz; „mam nadzieję, że kiedyś stanie na ołtarzach“. Początkowo nie chciano jej wpuścić wgłąb klasztoru, dopóki nie dostanie pozwolenia od ojca, ale ten zacny człowiek odpowiedział jak najgorliwszy katolik, że oddaje Bogu jedyną pociechę swojej starości. Wskutek tego Amelja przywdziała zaraz habit, a w rok później złożyła śluby zakonne pod imieniem siostry Klary od N. Marji Panny.

Jej cnoty w zakonie.

Nie poprzestając na uległości przełożonym, Amelja słuchała wszystkich sióstr w sposób prawdziwie heroiczny. W domu nauczyła się rysować i malować, do czego miała wielki talent, ale się z tem nie zdradziła w klasztorze. Opatka tymczasem kazała jej uczyć się rysunków od jednej siostry. Owa mistrzyni, myśląc, że ma do czynienia z osobą nie mającą pojęcia o tej sztuce, zajmowała ją drobiazgami, jak: rysowaniem linji, trójkątów, gwiazd, za wszystko ganiła i ciągle stała na miejscu, zaczynając od początku to samo. Klara słuchała, jakby pierwszy raz dopiero, nie okazując żadnego znudzenia. To trwało dwa lata. Pewnego razu opatka zapragnęła widzieć robotę młodej uczennicy, a że zobaczyła same tylko linje i kreski, zganiła ją, że taka niepojętna i dotąd jeszcze nie nauczyła się rysować. Klara przyjęła wymówkę z pokorą, bez tłumaczenia się. Szczęściem jedna

[1]) L'Almanach Séraphique le 17 Septembre.

z obecnych przy tem zakonnic, wziąwszy opatkę na stronę, opowiedziała jej, że była nieraz świadkiem, jak siostra N. uczyła Klarę i że ta dowiodła wielkiej pokory, pracując w takich warunkach. „Widziałam często, mówiła, łzy płynące z jej oczu, ale twarz miała zawsze jasną, pogodną i jeszcze więcej szacunku dla swojej mistrzyni. Doprawdy, to heroizm znosić tyle i nigdy się nie pożalić!“ Opatka podziękowała za objaśnienie, dodając: „„Nie pozbawiajmy tego kwiatka wdzięcznej jego woni. Jeśli ta dusza sama się upokarza, nie możemy jej w tem przeszkadzać“, a przywoławszy Klarę, rzekła: „Siostrzyczko, po namyśle widzę, że siostra, która ci daje lekcje rysunków, traci tylko czas napróżno, bo ty nic nie korzystasz. Odtąd probuj sama robić każdą robotę, jaką ci dadzą. Rozkazuję ci to w imię świętego posłuszeństwa“. Naturalnie, wielkie było zdziwienie sióstr i matek, gdy im później pokazała swoje malowidła. A gdy dowiedziano się, że ojciec kazał ją uczyć rysunków, zapytały, dlaczego im o tem nie mówiła. „Miałam, rzekła, wielką chęć pochwalić się swojemi talentami, ale widok Stwórcy wszechświata, heblującego dla mnie drzewo, jak prosty rzemieślnik, pod kierunkiem Ś. Józefa, nasuwał mi inne myśli. Zbawiciel nigdy nie dał poznać swemu przybranemu ojcu, że to On nakreślił linje firmamentu. Pragnęłam Go w tem uwielbić i wysławić“. Ten prosty wypadek mówi dużo o zaparciu Klary od N. Marji Panny. Była to jej główna cnota. Kiedyś znów przełożona kazała jej zrobić coś, do czego czuła taki wstręt, że dreszcz przerażenia ją ogarnął, mimo to, wobec obowiązku posłuszeństwa, przemogła się i wykonała rozkaz, nie zdradziwszy nazewnątrz śladu walki wewnętrznej. Na zapytanie, co wtedy czuła: „Wzięłam, rzekła, mój święty ślub posłuszeństwa, i zamknęłam się w nim, jak Jezus w łonie Marji, rozważając, że Boski Mistrz biegł olbrzymiemi krokami, gdy spełniał surową wolę Ojca Niebieskiego. W tem rozważaniu czerpałam siłę i męstwo do wykonania wstrętnego mi rozkazu“.

Jako prawdziwe dziecię Ś. Franciszka, Klara ceniła również i ubóstwo. W dzień swego przyjazdu do klasztoru, zanim weszła za klauzurę, oddała wszystko, co miała przy sobie. Ta miłość ogołocenia się z latami wzrastała. Zniszczyć cokolwiek było dla niej prawdziwą męką: zebrane skrzętnie kawałki nici, papieru, służyły jej przy pierwszej okazji. „Wolę trochę pocierpieć sama przy pracy, aniżeli kazać kupić coś nowego“, mówiła. Jej piórem była stalka, przywiązana do kawałka ostruganego drzewa, gdyż, według jej słów, chciała, żeby Ś. O. Franciszek nią się cieszył. Przeczytawszy, że pierwsi Bracia Mniejsi habity swoje naprawiali worami, postanowiła ich naśladować i przyszyła sobie jedną taką łatę, a potem i więcej, gdyż habit jej był już stary, po jakiejś siostrze. Pewnego dnia odwiedził ją ojciec, a widząc jej ubogą, wytartą i różnobarwną odzież, zarumienił się i rzekł: „I ty w takiem pocerowanem ubraniu!“ — „W nowem byłoby mi za gorąco“, odpowiedziała Klara.

Tak ogołocona ze wszystkiego, czuła się jakby w wielkiej pustyni. Myśl jej unosiła się sama ku Bogu, a serce wylewało się w Jego Serce, jak wody strumyka do rzeki; znajdowała wówczas samotność wewnętrzną i milczenie, które w rzeczy samej jest naturalnym skutkiem ogołocenia.

Klara umartwiała się nieznacznie. Prawdziwa zakonnica według niej powinna starać się w każdej chwili czuć ostrze umartwienia, aby dążyć ku uduchownieniu zmysłów. Drobna rzecz wystarczy: przyjęcie lub wybranie sobie niewygodnego stołka, miejsca nieprzyjemnego, zachowanie postawy krępującej, oto ciągła ofiara, prawdziwe umartwienie, usposabiające do cierpliwości, umacniające dusze do straszniejszych walk i osłabiające w nas tę zmysłowość, którą należy koniecznie zabić, mniejsza o to, czem, bądź siekierą, bądź szpilką. I tak też zabijała ją w sobie. Łóżko jej było twarde, niewygodne, dyscyplina ostra i częsta, lichy habit niedostatecznie bronił ją od chłodów, do których tak już przywykła, że choć zgubiła czasem sandały, nie czuła tego, i gdy jej takowe oddawano, wołała: „Śniegi i lody, błogosławcie Panu!“ A przy tem wszystkiem zawsze uprzejma, z uśmiechem dziękująca za najmniejszą usługę.

Zostaje mistrzynią.

W trzy lata po profesji obraną została jednozgodnie na Mistrzynię nowicjatu. Przelękła się tego wielce i chciała odpowiedzieć, że nie przyjmuje takiej odpowiedzialności, ale Pan Bóg oświecił ją, że taka jest Jego wola i że On będzie ją wspierał.

Urząd wspomniany pełniła całe 12 lat z największą pilnością i staraniem; umiała rozróżnić ducha nowicjuszek i była względem nich więcej lub mniej wymagającą, stosownie do stopnia łaski w każdej; wszystkie jednak musiały się zaprzeć swojej woli. Razu pewnego wręczono jednej nowicjuszce list od jej przyjaciółki, Karmelitanki. Wtem odezwał się dzwonek wzywający do chóru. Nowicjuszka, zamiast iść do kaplicy, pobiegła do siebie, a Matka Klara za nią. „Nie rozumiem, rzekła do winnej, jak siostrzyczka mogłaby rozmawiać ze swoją przyjaciółką, kiedy Pan Jezus czeka na nią w chórze“. I, wziąwszy list, rozerwała go na 4 części, ale w taki sposób, żeby dać nowicjuszce możność przeczytać go później.

Służebnica Boża pragnęła być zwolnioną z urzędu, tymczasem spotkał ją ponowny wybór, musiała więc wziąć ów kielich i koronę cierniową. I oto kielich się napełnił, a korona w męczeńską się zamieniła. Spotwarzono Klarę, a co więcej i co boleśniej, uwierzono potwarzom, musiała więc złożyć swój obowiązek, jako nieumiejąca go spełniać. Potrzebne to było do jej świętości. Czująca bez wątpienia, ale wesoła i życzliwa dla wszystkich, nie skarżyła się. Odtąd był to z każdym dniem coraz większy wzór miłości i pobożności serafickiej. W jakiś czas potem Pan Jezus upewnił ją o zbawieniu duszy ojca, którego niegdyś opuściła z taką trwogą i walką wewnętrzną. Mogła więc była umrzeć, a umrzeć według pragnień swoich, w pogardzie, w opuszczeniu, w upokorzeniu. Prosiła Boga o tę łaskę i została wysłuchaną. Umarła po nocy spędzonej na rozmowie z Jezusem. Rano 14 lutego 1892 r. siostra zakonna weszła do jej celi i przyjęła ostatnie jej westchnienie. Spowiednik zmarłej, przybywszy odwiedzić ciało, zawołał: „To była Święta, większa Święta, niżeliby kto myślał“ [1]).

Marja od Ś. Franciszka (1910 r.).

Zmarła w r. 1910 w Latte we Włoszech, Matka Marja od Ś. Franciszka, otrzymała w domu rodziców, zaliczającego się do najpierwszych w Marsylji, arcykatolickie wychowanie. Mając lat 21, wstąpiła do klasztoru Kapucynek w ojczystem mieście, gdzie niezadługo oceniono jej przymioty. Zjednała sobie taki szacunek u wszystkich sióstr, że przed ukończeniem pięcioletniego nowicjatu, obrały ją na dyskretkę. Istotnie posiadała dary umysłu i serca, a zarazem zdolności, nieodzowne do sprawowania wysokich urzędów, była bowiem dzielna, czynna i pilna. Nadto po kolei zlecano jej obowiązki praczki, refektarki, infirmarki i t. p., a nikt nie mógł jej nic zarzucić. W 10 lat po wstąpieniu została mistrzynią nowicjuszek, później zaś i opatką. Na tym urzędzie zostawała 24 lata z przerwami, wymaganemi przez regułę, ale wtedy zlecano jej kierunek nowicjatu.

Reskrypt z r. 1880, rozpędzający zakonników, wstrząsnął nią do głębi: zaczęła tracić wzrok; prawe oko zaniemogło i w końcu nic już niem nie widziała. Ów bolesny wypadek wykazał tylko heroiczne poddanie się służebnicy Bożej. Nie pozwoliła sobie ani na słowo skargi. Ale jeszcze większy cios spadł na nią w r. 1905, kiedy im samym kazano się rozejść. Straciwszy wszelką nadzieję zostania w klasztorze, wolała przenieść się z siostrami do innego kraju, aniżeli dopuścić, aby się rozeszły do swoich rodzin. Wysyłała je małemi gromadkami po kilka, a w końcu sama pojechała. Równie wspaniałomyślna wśród obcych, jak przedtem w klasztorze, znosiła wesoło i słodko różne niewygody nowego położenia, i chociaż nie miały cel swoich, tylko sypialnię dużą, przedzieloną firankami, zaraz jednak wprowadziła życie zakonne i dawne zwyczaje. Wszystko to oddziałało na zdrowie Marji od Ś. Franciszka. Nieraz myślano, że kończy swój żywot i udzielano jej Ostatnich Sakramentów. W takich chwilach siostry podziwiały w niej zarówno zakonnicę, jak przełożoną. I jedna i druga gotowa była do odejścia. Jako przełożona, nic nie opuściła, nie zaniedbała, co się odnosiło do jej urzędu: w całym zarządzie panował doskonały porządek. Wszystko było ułożone, wszystko przewidziane, żadnego zamieszania. Co zaś do zakonnicy: Bóg ją wołał, szła więc ochoczo, mówiąc niejednokrotnie do swoich córek duchownych: „Jestem bardzo spokojna, moje drogie siostry, nic mnie nie trwoży“. Choroba sercowa postępowała; dusiło ją. 1-go lutego popołudniu przyjęła Wjatyk Ś., a o 8-ej wieczorem oddała duszę swą Bogu, wołając: „Jezus, Jezus, Jezus!“ [1]).

Polscy Bracia Mniejsi.

Dydak Miczkiewicz, Reformat.

Reformat ten od wstąpienia do zakonu jaśniał jako wzór wszelkiej doskonałości. Wszystek czas wolny obracał na modlitwę tak ustną, jak myślną, więcej jednak cenił rozmyślanie, utrzymując, że ono głębiej odkrywa nam tajemnice Boże i silniej skłania wolę do dobrego. Z czytanych lub słyszanych żywotów Świętych Pańskich wielki odnosił pożytek, stawiając sobie przed oczy ich heroiczne cnoty: zwyciężanie pokus, niezmożoną cierpliwość i t. d., jako pobudkę i wzór do postępu w doskonałości. Pokorny i posłuszny, najtrudniejsze rozkazy przełożonych najchętniej spełniał. Wyniszczony pracą, wpadł w suchoty, znosząc je jednak cierpliwie aż do śmierci, z niczego, ani z postów, ani z modlitw i umartwień się nie zwalniał, aż wreszcie poszedł do Pana po nagrodę, obiecaną pracowitym. Zwłoki jego spoczywają w Bieczu [1]).

Adam Miecznikowski, Reformat (1680 r.).

Ten gorliwy zakonnik bardzo się kochał w czystości, więc choć już był podeszły w leciech, strzegł się rozmów z niewiastami i patrzenia na nie; gdy zaś która potrzebowała jego zbawiennej rady, krótko to załatwiał i zaraz odchodził. Pewnego razu

[1]) Les Voix franciscaines, 1911.

[1]) Le Petit Messager de St. François... 1910. [2]) Kalendarz seraficki, 12 września.

Krystyna Tarłowa, pani na Melsztynie, mając go za świętego, prosiła przełożonych, aby ją O. Adam w domu nawiedził. Poszedł tam sługa Boży z posłuszeństwa, a rozmawiając o rzeczach, należących do jej zbawienia, miał oczy spuszczone, tak że ani razu na nią nie spojrzał. Zdziwiona tem i pragnąc, żeby ją widział, zapytała, czemu tylko w ziemię patrzy? O. Adam odpowiedział jej skromnie to samo, co niegdyś dowcipna niewiasta pustelnikowi: „Kobieta może patrzeć na mężczyznę, bo z niego jest wzięta, mężczyźnie zaś przystoi mieć oczy w ziemię spuszczone, bo z ziemi jest stworzony“ [1]).

Benjamin Pankiewicz, Reformat (1719 r.).

Benjamin Pankiewicz, rodem z Przemyśla, młodość swoją spędził w bojaźni Bożej, a skończywszy szkoły, wstąpił z natchnienia Ducha Świętego do Reformatów, gdzie dla małego wzrostu dano mu imię Benjamin. Od samego początku jaśniała w nim szczególniejsza niewinność umysłu, prostota serca i skromność dziewicza, szczerość i pokora w mowie. Ubóstwa tak pilnował, że nietylko w rzeczach większych, ale i w najmniejszych nigdy go nie przestąpił. Jedynemi sprzętami jego celi były: krzyż, brewjarz, dyscyplina i pasek żelazny. Anielska jego czystość nie samym tylko spowiednikom była znana: przeczuwali ją wszyscy z jego uczynków, mowy i spojrzeń. Ciało umartwiał niespaniem, wstrzymywaniem się od napojów i różnemi robotami. Przez lat 45 w zakonie nigdy nie opuścił Jutrzni, ani żadnej godziny w chórze, wyjąwszy jeżeli pod tę porę miał sobie zlecony jaki obowiązek, lub gdy chorował. W słuchaniu spowiedzi był niezmordowany, a garnęli się do niego tak bracia zakonni, jak ludzie świeccy. Z pokory obawiał się urzędu przełożeńskiego, a gdy go mianowano gwardjanem w Przemyślu, tak się tem zmartwił, że w śmiertelną prawie zapadł chorobę, bo w niej już Oleje ŚŚ. przyjął, i dopiero, gdy przyszło dlań zwolnienie, wrócił do zdrowia. Podczas morowego powietrza we Lwowie nie chciał z innymi uchodzić, ale został na straży klasztoru i szczęśliwie ocalał, chociaż dziewięciu zakonników umarło. Najdłużej był Wikarym i mistrzem nowicjuszów, w których wielkie sprawiał owoce. Był także ojcem duchownym Benedyktynek. Do kaznodziejstwa nie miał głosu, ale nagradzał to nauką i zbawiennemi radami. Mieszkając kilka lat przed śmiercią w klasztorze zamojskim, był wzorem pracowitości, słodyczy i nabożeństwa. Skoro zobaczył, że nogi zaczęły mu puchnąć, odprawił ośmiodniowe rekolekcje, potem spowiedź generalną i tegoż dnia wieczorem po odmówieniu Jutrzni na dzień następny, zasnął w Panu bez żadnych boleści.

[1]) Matka ŚŚ. P., T. IV.

Pan Bóg objawia jego chwałę.

Chwałę tego sługi swojego raczył sam Pan Bóg objawić niektórym osobom. W jedenastą noc po śmierci pokazał się on jednemu z braci zakonnych, jakby bez oczu. Brat ów, wnosząc z tego, że Benjamin jeszcze nie cieszy się widzeniem Boga, zapytał go, gdzie się znajduje. „O godzinie Jutrzni pójdę do nieba“, odrzekł. Była wówczas jedenasta, a kiedy ów Reformat udał się na Jutrznię, w czasie hymnu Te Deum, uczuł dziwną radość i pewien był, że ukochany jego ojciec już ogląda i wpatruje się w Oblicze Przenajświętszej Trójcy.

W Sokalu opodal kościoła Bernardynów umierał pobożny tercjarz franciszkański, pustelnik. Jeden z zakonników poszedł do niego z braciszkiem i zaniósł mu Najświętszy Sakrament. Umierający już zaczął konać. Wtem otworzył oczy i, spojrzawszy na obecnych ojców, rzekł: „Ach, nie wiecie, Ojcowie, jaki wielki święty Reformat umarł w Zamościu“, i to powiedziawszy, oddał duszę swą Bogu. Dwaj z tych zakonników, jadąc do Rodecznicy, umyślnie wstąpili do Zamościa, aby się dowiedzieć, ktoby tam umarł, a gdy im oznajmiono, że Benjamin Pankiewicz, nawzajem opowiedzieli, co im pobożny tercjarz mówił przed śmiercią. Zdarzenie to zapisanem zostało w aktach klasztoru zamojskiego [1]).

[1]) Tamże, T. II.

Rafał Zaleski, Reformat.

Rafał Zaleski, wstąpiwszy początkowo do zakonu OO. Bernardynów, przeszedł potem dla ściślejszej obserwancji do Reformatów, gdzie zajaśniał szczególniejszem zamiłowaniem ubóstwa i posłuszeństwa. Unikając wszelkich stosunków ze światem, w razie koniecznej potrzeby czynił to jak mógł najkrócej, aby napróżno nie tracić tak cennego dla siebie czasu. Jako przełożony, kierował się umiarkowaną roztropnością: ani błędom nie schlebiał, ani za nie surowo nie karał, lecz nadewszystko torował braciom drogę do postępu własnym przykładem. Paraliżem rażony, cierpienia swoje mężnie i długo znosząc, umarł wśród nieustannej prawie modlitwy. Pochowany w Krakowie [2]).

[2]) Kal. seraficki, 8 lipca.

Rufin Arazmin, Reformat.

Brat Rufin Arazmin, rodem ze Szwecji, był na świecie walecznym żołnierzem, a po nawróceniu do wiary św., stał się doskonałym naśladowcą S. Franciszka w zakonie Braci Mniejszych Reforma-

tów. Głęboka pokora, ochotne posłuszeństwo i najostrzejsza pokuta, dla której coraz to inne wymyślał sobie udręczenia ciała, zalecały go wszystkim. Tak 40 lat przeżywszy ze zbudowaniem całego zakonu, oddał Bogu ducha w Pińczowie, o godzinie zawczasu przez siebie przepowiedzianej [1]).

Kazimierz Jeżewski, Ref. (1681 r.).

Oddawszy się na służbę Pańską, Kazimierz Jeżewski został przyjęty do liczby konwersów czyli laików, w którym to stanie odznaczył się pracowitością, pokojem duszy, skromnością i anielską czystością, tak że ludzie nazywali go powszechnie barankiem. Z upoważnienia starszych trapił swoje ciało w rozmaity sposób. Między innemi np. nosił włosienicę z żelaznych łańcuszków, ostremi szpilkami nasadzoną. Unikał wszelkich wygód, jak największego nieprzyjaciela, i dlatego w ostatniej chorobie chodził do chóru na wszystkie pacierze i tegoż dnia, którego miał umrzeć, nie zważając na upadek sił, wstał na Jutrznię. Gdy bracia zaczęli Te Deum, on, czując zbliżającą się śmierć, prosił obecnego tam O. Prowincjała o rozgrzeszenie i błogosławieństwo, które otrzymawszy, skonał szczęśliwie na ręku braci przy drzwiach kościelnych w r. 1681 [2]).

Sebastjan Wolicki, Ref. (1730 r.).

Świątobliwy ten Reformat oprócz zwykłych w zakonie postów, zachowywał jeszcze siedem kwadragezym na wzór Świętego Ojca, mięsa i ryb nie jadał, mącznych tylko potraw używając. Napojów przyjmował bardzo mało. W celi jego nie było nic prócz brewjarza, dyscypliny i książki do czytania. Chodził tak w lecie, jak w zimie, w jednej sukni zakonnej, wytartej i połatanej, i podlejszej od innych, a w najcięższe mrozy tylko do chóru i do Mszy św. brał zimowe ubranie. Takim obdarzony był darem czystości, że nie znał wcale pokus cielesnych, co pewnemu spowiednikowi swemu oświadczył, mówiąc: „Nie znam tego djabła“ [1]).

Piotr Piasecki, Reformat (1743 r.).

Ze Chrztu Andrzej, był drugim synem Józefa Piaseckiego, dziedzica na Skotnikach i Bogorji i Marjanny z Duninów, a jako od lat dziecinnych odznaczał się prześliczną urodą, tak również jaśniał skromnością niemal anielską i powagą nad wiek młodzieńczy. Pan Jezus wcześnie zapukał do jego serca, bo zaledwo piętnastoletni, już prosił o habit S. Franciszka, lecz kazano mu czekać cały rok, aby się wzmocnił i zmężniał. Po długiej próbie przyjęty został w Sandomierzu w r. 1739. Przy obłóczynach otrzymał imię S. Piotra z Alkantary, na pamiątkę dziada swego, profesa tegoż zgromadzenia, doskonałego zakonnika. W nowicjacie żył jak anioł pokoju: skromny, cichy, posłuszny, uległy, nieumiejący się gniewać i umartwiony. Ochoczy do wszystkiego, nie skarżył się na zimno, chociaż habit miał wytarty, a zima wówczas była ostra i długa. Złożywszy profesję, udał się na wykłady teologji do klasztoru jarosławskiego, gdzie wielkie jego zdolności, wytrwałość w modlitwie i głos dźwięczny obiecywały, że zasłynie kiedyś, jako wymowny kaznodzieja. Lecz wszystko, co sobie zakon po nim obiecywał, spełzło na niczem. Młody profes dostał niespodzianie suchot. Na trzy dni przed śmiercią, opatrzony już Sakramentami ŚŚ., pokazał się we śnie księdzu Wyleżyńskiemu T. J. w kolegjum jarosławskiem, dawnemu swemu nauczycielowi, który nic o nim nie wiedział, i oznajmił mu, że jest Reformatem, dodając: „Jeżeli chcesz, Ojcze, mnie widzieć, to jestem w Jarosławiu, ale za trzy dni stąd odejdę“. Przytem opowiedział, że rodzony brat tegoż kapłana, Mateusz Wyleżyński, djakon u Reformatów w Lublinie, w tym właśnie dniu świat opuścił. Nazajutrz ksiądz Wyleżyński odwiedził chorego Piotra i dosyć długo rozmawiał z nim, nic nie wspominając o śmierci brata swojego.

Trzeciego dnia po tej wizycie, chory umarł z gromnicą w ręku. Ostatnie jego słowa były odpowiedzią na zapytanie spowiednika, czy kocha Pana Jezusa: „Kocham, rzekł, sercem całem“. I w tym akcie oddał niewinną swą duszę Bogu r. 1743, zacząwszy rok dziewiętnasty, a w zakonie czwarty. Przepowiednia Piotra co do śmierci Mateusza Wyleżyńskiego była prawdziwą, jak o tem się później dowiedziano.

Chciał Pan Bóg miłą sobie duszę młodzieniaszka i innemi wsławić znakami. Kilka dni po jego zejściu profesorowie, zasmuceni tą stratą, rozmawiali o nim wieczorem w celi. Wtem kredka jak groch maleńka spadła ze stołu, na którym ją położono i rozbiwszy się na cztery części, ułożyła się w kształcie krzyża. „Zapewne to brat Piotr potrzebuje od nas ratunku, zawołali bracia i poszli na chór odśpiewać wigilje za jego duszę. Następnej nocy pokazał się we śnie jednemu z nich, a biorąc go za rękę, rzekł: „Ojcze, dotychczas ty się za mnie modliłeś, a teraz ja będę się za ciebie modlił“.

W odległym klasztorze soleckim pokazał się także we śnie życzliwemu sobie zakonnikowi z wesołą i jasną twarzą, nie sprawiając mu żadnego strachu, chociaż brat ten wiedział, że ma przed

[1]) Tamże, 21 marca. [2]) Matka ŚŚ. P. T. IV. [2]) Tamże, Tom II.

sobą umarłego. Zapytał go nawet, w jakim stanie się znajduje i prosił, aby co zaśpiewał. Nieboszczyk odpowiedział, że w dobrym i zaczął bardzo mile nucić psalm 88: Misericordiam Domini in aeternum cantabo — Miłosierdzie Pańskie na wieki wyśpiewywać będę. Śpiew ten taką sprawił pociechę słuchającemu, że, zapomniawszy się, wypadł z celi za odchodzącym Piotrem, co spostrzegł dopiero nad samemi schodami, gdy zegar zaczął bić godzinę i przerwał mu ów śpiew i widzenie [1]).

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej.

O sprawiedliwości.

Sprawiedliwość w obszerniejszym zakresie oznacza każdy akt cnoty, spełniony według wszelkich zasad moralnych, albo też może być uważana jako zbiór wszystkich cnót, czyniących człowieka świętym przed Bogiem. I dlatego ludzie bogobojni, spełniający wszystkie przykazania Boskie i wszelkie ustawy, nazywają się w Piśmie Świętem sprawiedliwymi. W ścisłem zaś znaczeniu jest to cnotą kardynalna, moralna, przez którą ktoś stałą wolą oddaje każdemu, co mu się z prawa należy. Ś. Tomasz wykłada, że są dwa gatunki tej cnoty: sprawiedliwość zamienna, która zachowuje w zamianie równość między rzeczami, np. między ilością pieniędzy, a rzeczą za nie nabytą; i sprawiedliwość rozdzielająca, która utrzymuje równość proporcjonalną, aby każdy otrzymał według potrzeby lub zasługi.

Co należy do cnoty sprawiedliwości.

1. Religijność, czyli cnota, przez którą oddaje się cześć należną Bogu.

2. Przywiązanie, czyli cnota, przez którą krewnym i ojczyźnie świadczy się miłość i należyte posługi.

3. Uszanowanie, czyli cnota, przez którą wszelkim rządcom, przełożonym i starszym cześć oddajemy.

4. Posłuszeństwo, mocą którego spełniamy czyny przez starszych zalecone.

5. Wdzięczność, przez którą okazujemy należyte dziękczynienie dobrodziejom.

6. Karcenie, przez które grzeszącym lub gorszycielom należną karę się wymierza.

7. Szczerość, przez którą człowiek w życiu i w mowie takim się okazuje, jakim jest.

8. Przyzwoitość i przyjaźń, która właściwy stosunek względem drugich w towarzystwie utrzymuje.

9. Szczodrobliwość i ludzkość, miarkująca przywiązanie do bogactw.

[1]) Tamże, T. IV.

Akty sprawiedliwości.

1. Cnota religji polega na tem, aby Bogu, jako najwyższemu Panu, oddawać cześć Boską przez Ofiarę Mszy św., modlitwy, adoracje, śluby i przysięgi. Aby wierzyć w Niego, w Nim nadzieję pokładać, Jego kochać, bać się Go i czcić kościoły, oraz miejsca święte.

2. Aktem nadziei jest oddawanie należytej czci mieszkańcom nieba: Matce Bożej przez hyperdulję, innym zaś Świętym w sposób właściwy; np. przez uczczenie ich relikwji i obrazów.

3. Okazywanie rodzicom należytej miłości, czci i uległości.

4. Oddawanie czci i posłuszeństwa przełożonym, choćby przeciw własnemu zdaniu, nawet w rzeczach trudnych.

5. Aktem sprawiedliwości rodzicielskiej jest zastosowanie nagrody do zasług, kary do winy, a przy wydzielaniu — oddawanie każdemu co jego jest, w dobrach duszy i ciała, w nauce, wychowaniu, mieniu i utrzymaniu.

6. Względem dobrodziejów: żywienie w sercu i okazywanie należnej wdzięczności.

7. Wypowiadanie prawdy usty i sercem.

8. Względem bliźnich: szczodrobliwość i hojność według wskazówek zdrowego rozumu.

9. Okazywanie łaskawości względem wszystkich, stosownie do okoliczności i położenia każdego.

Gdy tego wszystkiego dopełnia się w rzeczach trudnych, prędko, z łatwością i z upodobaniem, wówczas są to akty heroicznej sprawiedliwości.

Sprawiedliwość do postępu jest konieczna.

1. Świadczy o tem Pismo Święte: „Oddawajcież tedy wszystkim, coście powinni: komu podatek — podatek, komu cło — cło; komu bojaźń — bojaźń; komu cześć — cześć“ [1]).

2. Tak nauczają Ojcowie Kościoła. Ś. Piotr Złotousty mówi: „Sprawiedliwość bez łaskawości jest okrucieństwem“ [2]). A Ś. Bernard: „Sprawiedliwość jest to oddawanie każdemu, co jego jest“ [3]).

3. Sam wreszcie rozum to wskazuje, bo sprawiedliwość oddaje każdemu, co mu się należy: Bogu pobożność, przełożonym posłuszeństwo, bliźnim cześć, sławę, dobra, majątki; bez dopełnienia tych warunków nikt do doskonałości nie dojdzie.

Zachęta do sprawiedliwości.

Oddawajmy więc każdemu, co mu się należy. Czcijmy, chwalmy, błogosławmy, i wysławiajmy Pana Boga naszego i składajmy Mu dzię-

[1]) Rom. 13, 7. [2]) Serm. 145. [3]) Serm. in oct. Epiph.

ki za wszystko, co dla nas uczynił, bo jest Królem naszym, Stworzycielem, Odkupicielem, Poświęcicielem i Dobrodziejem naszym. Nieskończony w swoich doskonałościach, w majestacie, mądrości, władzy, świętości, napełnia niebo i ziemię; wielkości Jego niema końca, wieczny w swej trwałości, niewymowny słowy, nieogarniony umysłem, nieskończenie dobry, jedyną jest nadzieją naszą, miłością naszą, słodkością naszą, pokojem i weselem naszem, Opiekunem, Obrońcą, Ojcem naszym. Po Bogu czcijmy Najświętszą Marję Pannę i innych nieba mieszkańców. Przełożonym naszym okazujmy posłuszeństwo, bo władza ich jest od Boga; kto więc sprzeciwia się władzy, Boskiemu rozporządzeniu się sprzeciwia. A którzy się tak sprzeciwiają, sami sobie potępienie gotują. Bądźcie zatem poddani nietylko z bojaźni, ale też dla sumienia [1]). Wreszcie oddawajmy bliźnim, co każdego jest, pamiętając na przykazanie naturalne: „Co chcesz, aby tobie czyniono, czyń to drugiemu, a czego nie chcesz, aby tobie kto czynił, i ty drugiemu nie rób".

O roztropności.

Bez roztropności cnota nie jest prawidłową. Jest to pierwsza z cnót kardynalnych, a określa ją Ś. Bazyli, jako gruntowne poznanie rzeczy, które mają być wykonane. Roztropność bowiem wskazuje, co w każdej szczegółowej czynności jest właściwe, i co należy przedsięwziąć, a co niewłaściwe i czego trzeba unikać. Podaje też środki odpowiednie do celu, zwłaszcza nadprzyrodzonego.

Iloraka jest roztropność?

Roztropność jedna jest cielesna, a druga duchowna, o czem mówi Ś. Paweł [2]): „Mądrość ciała jest śmierć, a mądrość ducha żywot i pokój". Est jusz zaś tak te słowa tłumaczy: „Pojmowanie, staranie się i obmyślanie tego, co miłe ciału, sprowadza śmierć wieczną; pojmowanie zaś i staranie się o to, co jest z Ducha Świętego, pożądającego przeciwko ciału, życie wieczne sprawuje". Ś. Augustyn uważa [3]), że i złych Pismo Święte nazywa czasem roztropnymi, ale nigdy niewinnymi. Ś. Tomasz [4]) rozróżnia trojaką roztropność: jedną nazywa fałszywą, gdy ktoś w złym celu odpowiednie środki przedsiębierze; drugą — niedoskonałą, gdy dobro, które zamierza, nie jest ogólnym celem życia ludzkiego, lecz dotyczy jakiejś sprawy szczególnej. Trzecią zowie dobrą i doskonałą, która do dobrego celu całego życia się stosuje. Pierwszą widzimy w samych grzesznikach, druga wspólna jest i dobrym i złym, a trzecia odnosi się tylko do sprawiedliwych.

[1]) Rom. 13, 5. [2]) Ibid. 8, 6. [3]) l. 1 contra Gaudentium c. 5. [4]) 2. t, q. 47, a 13.

Gatunki roztropności?

1. Roztropność osobista, która się tyczy dobra własnego. 2. Ekonomiczna — zmierza do dobra domu lub rodziny. 3. Polityczna — która dotyczy miasta lub kraju. 4. Wojenna — która polega na zebraniu na czas wojska, w celu obronienia ojczyzny od nieprzyjaciół [1]).

Co należy do roztropności.

1. Pamięć na rzeczy minione. 2. Poznanie obecnych. 3. Korzystanie z cudzych umiejętności. 4. Ocena z własnego badania. 5. Wnioskowanie z jednego o drugiem. 6. Zastosowanie odpowiednich środków do właściwego celu. 7. Rozważenie okoliczności danego interesu. 8. Ostrożność co do rzeczy, mogących mu przeszkodzić.

Akty roztropności.

1. Rozważenie rzeczy, którą się ma czynić, co do jej przedmiotu, celu i okoliczności; z pamięcią na rzeczy przeszłe, z rozpatrzeniem obecnych i przewidzeniem przyszłych; z obmyśleniem rzeczy przeciwnych, rozważaniem dobrych i złych skutków; z poradzeniem się starszych i czytaniem książek.

2. Zastanowienie się, aby nie być pospiesznym w sądzeniu, łatwym w wierzeniu, lekkomyślnym w rozporządzaniu, nierozważnym w odpowiadaniu, nieprzewidującym w szafowaniu, nieroztropnym w napominaniu, ślepym w badaniu, ani stronnym w miłowaniu.

3. Rozróżnienie grzechu od niedoskonałości, śmiertelnego od powszedniego, cnoty od skłonności, większego dobra od mniejszego, zmysłowego od duchownego, doczesnego od wiecznego, miłości cielesnej i zmysłowej, od pociech i pobożności duchownej.

4. W wyborze stanu lub zajęcia kierowanie się nie skłonnością zepsutej natury, lecz celem ostatnim, nadprzyrodzonym, względem na wolę Bożą, większą Jego chwałę, z gotowością na wszystko, do czego Bóg po modlitwie w celu poznania Jego woli nas zawezwie. Trzeba przytem rozważyć wygody i niewygody obieranego stanu, i na to się nakłonić, coby się komu innemu, pragnącemu postępu, radziło, albo coby się chciało mieć obranem, umierając. Nie należy też czynić wyboru samemu, ale o wszystkiem z Bogiem i z pobożnymi a uczonymi ludźmi się naradzać.

[1]) S. Thom. 2 t. q. 50, a. 1 seq.

5. Wykonanie, którego bez powodu odkładać nie należy, ani co raz postanowione, lekkomyślnie nie zmieniać.

Święty Tomasz naznacza tylko trzy akty roztropności: 1) Dobrze naradzać się i rozważać o celu i środkach bez gorączkowania się i pośpiechu. 2) Dobrze sądzić z uwzględnieniem okoliczności. 3) Dobrze rozporządzać wykonaniem, nie odstępując od postanowień, a skutek Bogu zostawiając.

Jeżeli to wszystko w rzeczach trudnych prędko, z łatwością i z pociechą się spełnia, co pochodzi od daru rady, wtedy roztropność okazuje się być heroiczną.

Roztropność jest nieodzowna do postępu.

„Umiejętność Świętych — roztropność“ [1]), mówi Pismo, a Zbawiciel powiedział: „Bądźcie tedy mądrymi, jako wężowie“ [1]). I Ś. Bazyli uważa, że „kto trzyma się roztropności, nigdy od obowiązku i cnoty nie odejdzie“ [2]). A Ś. Bernard: „Roztropność miarkuje cnoty, urządza uczucia i uczy obyczajów“ [3]). Rossignoli zaś utrzymuje, że roztropność chrześcijańska nie jest doskonałą, jeśli nie potrafi wszystkich cnót w sobie pogodzić. Jest to zresztą zgodne z rozumem, bo roztropność jest regułą, według której wszystkie myśli, słowa i uczynki mają się kierować, aby były pod każdym względem dobremi.

O Męstwie chrześcijańskiem mówiliśmy już w rozdziale o Opuszczeniu, a o Wstrzemięźliwości — w rozdziale o duchu pokuty.

[1]) Prov. 9, 10.

([1] Matth. 10, 16 [2]) Hom. 11, var. arg. [3]) Serm. 49 in Cant.

Wielebny Anioł de Joyeuse.
Rycina Picart'a z XVIII wieku.

ROZDZIAŁ XVI.

Duch seraficzny ogarnia wszystkie rodzaje życia i poświęcenia się Bogu.

Ś. Franciszek chciał naśladować Chrystusa we wszystkiem.

Już z tego samego, co się dotąd mówiło, wynika owa główna cecha ducha seraficznego, że on wszystko sobą ogarnia. Święty Franciszek bowiem zapalony miłością Boga, pragnął duchem objąć wszystko, co widział w Ukrzyżowanym. A jako w szczegółach życia do Chrystusa ukrzyżowanego był podobny, tak chciał i ducha Jego w całości posiąść, i wszystkie cnoty zdjąć z krzyża i na siebie, jakby na wierną płytę fotograficzną, je przenieść. Inni Święci poprzestawali na jakiejś cząstce doskonałości ewangelicznej, a Ś. Franciszek, jak przystało na doskonałego naśladowcę Chrystusa, porywał się na wszystko, co tylko widział w umiłowanym swym Panu. Chrystus ukrzyżowany był dla niego jakby pierwowzorem i owym szczytem doskonałości, na który ciągle się zapatrywał, do którego ciągle wszystkiemi siłami dążył, który był jedynem jego marzeniem. Być w duchu kopją Chrystusa i to ukrzyżowanego, odbić na sobie całe Jego życie i Mękę, naśladować Go we wszystkich kierunkach i wszystkie cnoty doprowadzić do tego stopnia, jak się wydają na krzyżu, to było jedyną żądzą jego żywota. Wszystkie przeto rodzaje świętości, które widzimy w innych założycielach po szczególe, w nim znajdujemy zebrane razem.

Inni Święci naśladowali Chrystusa w poje dyńczych cnotach i czynach.

Święci fundatorowie zakonów, odebrawszy szczególne wyrozumienie jednej jakiej nauki ewangelicznej, lub jednego jakiego szczegółu z życia Zbawiciela, i wziąwszy go głęboko do serca, obierali to zwykle za wzór całego życia swego i pociągali drugich za sobą, ukazując im ukryte tam piękności. Było to jakby odzywanie się do nich słowami Ś. Pawła: „Bądźcie naśladowcami moimi, (w taki spoosób) jakom i ja Chrystusów“ [1]). I tak jedni, którzy usłyszeli mowę Pańską: „Jeśli chcesz być doskonałym, idź, przedaj co masz, i daj ubogim... a potem przyjdź i pójdź za mną“ [2]), fundowali swą doskonałość na najwyższem ubóstwie i skarb ten przekazali w spuściźnie swoim synom duchownym. Drudzy starali się Go naśladować w pokorze, nazwawszy się najmniejszymi. Inni, patrząc na życie Chrystusa ukryte, w posłuszeństwie

[1]) I Cor. 4, 16. [2]) Matth. 19, 21.

spędzone [1]), uciekając od zgiełku świata, szukali ukrycia w klasztorach, gdzie Go naśladowali w zaparciu swej woli, poddając się pod jarzmo posłuszeństwa. Inni przyglądali się Zbawicielowi, modlącemu się na puszczy i obrali sobie życie pustelnicze, biorąc sobie za regułę te słowa: „Pójdźcie osobno na miejsce puste i odpocznijcie maluczko“ [2]), całe bowiem to życie zdawało im się tak króciutkie, jakby to było owo „maluczko“, i nie pojmując innej doskonałości, napisali sobie na swoich pustelniach: O beata solitudo, o sola beatitudo! — O szczęśliwa samotności, o jedyna szczęśliwości“. Drudzy, widząc Chrystusa chodzącego od miasta do miasta i nauczającego, obrali sobie życie misjonarskie i apostolskie, i wzięli do siebie te słowa: „Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody“ [3]), i zapełnili cały świat swemi pracami apostolskiemi, zakończonemi nieraz, na wzór Zbawiciela, przez święte męczeństwo. Inni widzieli Go błogosławiącego dziatki i, usłyszawszy Jego słowa: „Dopuśćcie dziatkom przyjść do mnie“ [4]), poświęcili się wychowaniu sierot, pamiętając na to zapewnienie Jego, że kto jedno dziecię w Imię Jego przyjmuje, Jego samego przyjmuje [5]). Inni, widząc Go, uzdrawiającego chorych i wziąwszy do siebie te słowa: „Curate infirmos“ [6]), oddali się na posługi szpitalne, służąc w chorych samemu Chrystusowi i spodziewając się usłyszeć kiedyś od Niego: „Byłem chory, a nawiedziliście mnie [7]), osiągnijcież za to nagrodę wieczną“. Inni poglądali na Chrystusa, karmiącego rzesze, lub nakazującego Apostołom dawać jałmużnę ubogim i poświęcili się uczynkom miłosierdzia, karmiąc głodnych, okrywając nagich, wspierając nędzarzy, i różne w tym celu zakłady i stowarzyszenia pootwierali, również z tą wiarą, że karmią, odziewają i wspierają samego Pana Jezusa i od Niego kiedyś podobnąż nagrodę odbiorą. Ci znów usłyszeli rozkaz Zbawiciela: „Szukajcie owiec, które zginęły z domu Izraelskiego“ [8]), a pozakładawszy katechumenaty, obsadzili je wiernymi sługami i służebnicami Jezusa. Tamci, zachęceni słowami Boskiego Więźnia: „Byłem w więzieniu, a przyszliście do mnie“ [9]), poświęcili się z uczniami swymi wykupywaniu niewolników. Inni poruszeni byli więcej przykładem Jezusa, przestającego z ludźmi, dla zbliżenia ich do Boga i wspierającego ich w każdej nędzy, dla pozyskania ich dusz niebu; tacy, nie opuszczając świata, łączyli się w różne korporacje, mające na celu zapobieżenie różnym potrzebom i nędzom ludzkim. Inni na wzór Chrystusa nauczającego wszędzie: po domach i na drodze, przy wieczerzy i przy studni, poświęcili się nauczaniu prawd wiary lub naprowadzaniu na dobrą drogę przy każdej sposobności tak domowników, jak obcych. Inni wreszcie, widząc Go przez 30 lat pracującego w pocie czoła, starali się Go w tem naśladować, uświęcając pracę czystą intencją podobania się Bogu i przeciwstawiając ją pracy pogańskiej, podejmowanej dla zbogacenia się, lub używania.

W podobny sposób moglibyśmy przedstawić wszystkich Świętych sług Bożych, oraz wszystkie zgromadzenia, stowarzyszenia i zakłady przez nich prowadzone i pokazałoby się, że Święci Fundatorowie zakonów rozebrali między siebie najświętszy żywot Zbawiciela, ukazując z niego swoim naśladowcom jeden jakiś szczegół, aby tym sposobem dla większej chwały Boskiej, żywot Jezusa objawiał się ciągle w Kościele Bożym.

Ś. Franciszek chciał całe życie Zbawiciela na sobie odbić.

Ale dla naszego Świętego nie dość było naśladować tylko niektóre szczegóły tego życia. Żarliwość jego nie mogła znieść, aby był jaki sposób służenia Bogu i podobania się Jemu, któregoby sam nie spróbował. Doskonały naśladowca Pański, pełen świętego zapału, wiedząc, że ma być na ziemi obrazem Chrystusa i chcąc Go jak najdoskonalej na sobie wyrazić, dopatrywał pilnie w Jego życiu wszystkiego, coby mogło było jeszcze być naśladowanem. Ożywiony podobną żarliwością, jak niegdyś ów doktor ewangeliczny, albo jak Książę Apostołów, mówił do Chrystusa: „Nauczycielu, pójdę za Tobą, dokąd jeno pójdziesz [1]). Z Tobą gotów jestem i do więzienia i na śmierć iść“ [2]). I szedł za Nim zarówno na puszczę, jak między rzesze; z taką samą gorliwością nauczał maluczkich, z jaką służył chorym; poświęcał się na prace apostolskie czy misyjne, a zarazem spełniał najpokorniejsze posługi domowe; karmił trędowatych i jadał z nimi, a jednocześnie unikał i uciekał od świata; oddawał się modlitwie, ale nie zaniedbywał i pracy ręcznej; szedł z Panem Jezusem na górę Tabor, używając pociech niebiańskich, ale zdążał też za Nim i na górę Oliwną, współcierpiąc razem w duchu, i na Kalwarję, znosząc dla Niego wzgardę, pośmiewiska i współukrzyżowanie. Zgoła nie było żadnego rodzaju poświęcenia, żeby w nim nie brał kiedykolwiek udziału i żeby w nim wielu nie prześcignął. Życie Serafickiego Patryarchy jest więc obrazem całego życia Chrystusa Pana, a nawet męki Jego. Łączy się w niem to wszystko,

[1]) Luc. 2, 51. [2]) Marc. 6, 31. [3]) Matth. 28, 19. [4]) Marc. 10, 4. [5]) Matth. 18, 5. [6]) Ib. 10, 8. [7]) Ib. 25, 36. [8]) Ib. 15, 24. [9]) Ib. 25, 36.

[1]) Ib. 8, 19. [2]) Luc. 22, 33.

co w innych widzimy jakby po części rozebrane, a tak dziwnie, że niewiadomo, co tam bardziej przeważa: bogomyślność, czy apostolstwo, pokuta, czy miłosierdzie, puszcza, czy życie wspólne — tak jak w Zbawicielu niewiadomo, którą cnotę mieć za główną, bo wszystkie były w stopniu najdoskonalszym. To też i duch seraficzny Ś. Franciszka obejmuje tak wiele rzeczy, iż nie można go nazwać wyłącznie ani bogomyślnym i pustelniczym, ani duchem miłosierdzia i poświęcenia, ani duchem ubóstwa lub pokory, chociaż wszystko to w nim się mieści. Chyba tylko ewangelicznym nazwać się może, bo całą treść doskonałości ewangelicznej w sobie zawiera.

Synowie i córki Ś. Franciszka różne rodzaje życia prowadzą.

Przez trzy swoje reguły Ś. Patryarcha otworzył też szerokie pole i dla swoich uczniów, aby na wzór jego mogli naśladować Zbawiciela we wszystkich powyższych kierunkach. Jako więc życie Pana Jezusa objawia się w najrozmaitszych rodzajach zakonów, które, choć w różny sposób Go naśladują, wszystkie duchem Jego są przejęte: tak i między zakonami Ś. Franciszka znajdują się różne zgromadzenia, bardzo odmienne od siebie co do rodzaju życia i co do sposobu naśladowania świętego Patryarchy, chociaż wszystkie jego jednego za wzór mają i wszystkie na tym samym duchu seraficznym są oparte. Są tam i takie, które pędzą życie zupełnie odosobnione w tak ścisłej klauzurze, że nigdy twarzy ludzkiej nie oglądają; są i takie, które żywot pustelniczy wiodą. Są misjonarze, prowadzący życie apostolskie; są zgromadzenia życia wspólnego, pracom albo ręcznym albo duchownym około dusz ludzkich oddane. Są poświęcone uczynkom miłosierdzia, tak względem ciała, jak względem duszy. Są zajmujące się wychowaniem, czy to w przytułkach dla sierot, czy w szkółkach dla dzieci ubogich, czy też w wyższych zakładach dla zamożniejszej młodzieży. Są posługujące chorym: czy to po domach, czy po szpitalach. Są przygarniające starców i kaleki. I śmiało można powiedzieć, że niema tego rodzaju poświęcenia, któregoby dzieci Franciszka nie ogarnęły. Są wreszcie świeccy tercjarze: czy to kongregacyjni, którzy zostają pod stałym zarządem swoich przełożonych, czy też pojedyńczy, a takich liczba jest niezliczona, którzy domy swoje rodzinne po Bożemu, jakby małe klasztorki urządzają.

Zakon pokutujących Ś. Franciszka właściwy jest dla wszystkich stanów.

Co czynił i czem był Zakon Pokutujących za czasów Ś. Franciszka, tem był i w późniejszej epoce, tem jest i dzisiaj. Czyni on życie zakonne przystępnem dla każdej duszy dobrej woli, szczerze pragnącej postępu w doskonałości. Wszystkie stany, wszystkie rodzaje życia znajdują w nim to uświęcenie, to wykończenie dzieła Bożego, które łaska rozpoczyna w człowieku.

Zakon Pokutujących bardzo jest właściwy dla kapłana, który z powołania swego jest w stanie ciągłego dążenia do świętości. Czując się zawsze na zbyt niskim poziomie wśród świata, z jakąż pociechą i pożytkiem zwiąże się tą regułą, która zapewni mu życie zakonne i jest stanem ciągłego doskonalenia się! Tu więc, obok celu, od którego słabość ludzka tak często, niestety, odwodzi, kapłan znajduje drogę nieomylną, która go do celu ciągle kieruje. Wzmocniony podwójną siłą i łaską: kapłańską i zakonną, o ileż łatwiej, jako duszpasterz podnosić może serca ludzkie w miarę ducha zaparcia i pokuty, które sam czerpać będzie z przykładu Ś. Franciszka i z łaski jego zakonu.

Zakon Pokutujących ochrania celibat od niebezpieczeństw, które czyhają na zbawienie osób samotnych, jeżeli ich nie strzeże gorąca i prawdziwa pobożność. Zakon ten rozwija w swoich członkach w celibacie żyjących skarby ofiarności i poświęcenia, z których korzysta i które błogosławi już nie małe kółko rodzinne, lecz cała wielka chrześcijańska rodzina ubogich i opuszczonych.

Zakon Pokutujących podtrzymuje i wykształca powołania zakonne. Jest on z jednej strony jakby wynagrodzeniem Bogu za wiele pragnień życia zakonnego, które nigdy nie będą spełnione, z drugiej zaś — jest dla wielu dusz jakby pierwszym stopniem doskonalszego poświęcenia się, przygotowaniem, nowicjatem do życia ściśle zakonnego, do którego powołanie, jak kwiatek, pod silniejszym promieniem słońca się rozwija.

Zakon Pokutujących jest miłosiernem zaspokojeniem dla chybionych powołań i dla dusz, które w chwili pokusy lub zniechęcenia zrzuciły z siebie przyjęte jarzmo życia zakonnego. Daremnie te dusze usiłują wcielić się w życie światowe, zawsze je dręczą tajemne wyrzuty sumienia, których najszczęśliwsze warunki uspokoić nie zdołają. Otóż zakon Pokutujących je uspokoi, zmieniając je w źródło upokorzenia, oraz ufności w nieskończoną miłość Bożą, i zatapiając w oceanie Jego miłosierdzia. Zakon ten, przenikniony duchem pokuty, dopomoże tym duszom do wynagrodzenia Panu Bogu podwójną gorliwością w Jego służbie za nieodpowiedzenie pierwszym Jego względem nich zamiarom.

Dla dziewicy w świecie żyjącej Zakon Pokutny jest tem, czem jest dąb dla bluszczu: pod-

porą, przewodnictwem, środkiem do stokrotnego pomnożenia działalności i zasług życia, nie ścieśnionego ziemskiem przywiązaniem, lecz szczerze oddanego i poświęconego Bogu.

Dla osób w małżeństwie żyjących Trzeci Zakon jest szkołą wzajemnego szacunku, szkołą wiary, która wszystkie rzeczy i zdarzenia widzi w Bogu,—szkołą władzy, roztropnie używanej, a miłośnie uznawanej.

Reguła Zakonu Pokutujących wypędza zbytek — tę przepaść, w której giną rodziny i narody; uczy prostoty, wstrzemięźliwości w jedzeniu i ubiorze, zaprowadza przeto oszczędność, przymnaża majętności i daje sposobność do hojniejszego dawania jałmużny ubogim. Ileż to dusz, od młodości obarczonych jarzmem, którego sobie nie życzyły, zwraca się do Ś. Franciszka, pragnąc pod suknią Pokutnego Zakonu znaleźć pokój i bezpieczeństwo, którego nie mogły mieć na świecie. Ta ufność ich nie zawodzi. Nie mogą wejść do zakonu, lecz zakon sam przychodzi do nich. Braterstwo to zaspakaja najidealniejsze ich pragnienia, uczy je z poddaniem znosić trudności życiowe, jest jakby ucieczką niebiańską wśród gniotącego je ucisku i szkołą niezłomnej wierności Bogu i ludziom, pomimo ich często, niestety, rzeczywistej niewierności.

Zakon Pokutujących zapełnia próżnię, w której zostaje małżonka po stracie swego towarzysza, lub mąż, któremu śmierć zabrała ukochaną żonę.

Zakon Pokutujących daje możność zaspokojenia tej potrzeby serca, która zmusza je do wylewania się na zewnątrz w dobrych uczynkach, tej tkliwości, która nie znajdując pociechy dla siebie na ziemi, tem silniej i łatwiej wznosi się ku niebu.

Wiemy, że przez to Braterstwo życie zakonne zasiadło na tronie. Ś. Ludwik, król francuski, Ferdynand Kastylski, Elżbieta Węgierska, jakież to wzniosłe postacie! A wślad za nimi poszło wielu innych z najwyższych warstw społeczeństwa. Zakon Pokutujących dostał się także do fabryk, kuźni, warsztatów; podniósł do godności cnót zakonnych prostotę, pracę, posłuszeństwo, a do heroizmu — tę wytrwałość, czasem bardzo trudną, w niewygodach, niedostatku i różnych umartwieniach, których nie doświadczają nigdy zakonnicy najściślejszych reguł. Można twierdzić nawet, że Zakon Pokutujących, jako życie ewangeliczne w praktyce, jak najstosowniejszy jest dla robotnika, lub dla ubogiej gospodyni: oni bowiem, bardziej niż inni, muszą czerpać swą wierność i odwagę w ufności w cudowną pomoc Bożą. Wiadomo, iż pierwsi tercjarze: Bł. Lukezjusz i świątobliwa jego małżonka, Bona Donna, byli rzemieślnikami. Nawet te dusze, jakby napiętnowane wobec świata, który je bardzo surowo sądzi, tem surowiej, im większego sam potrzebuje miłosierdzia, dusze, jednem słowem, zbłąkane, niekiedy bardziej nieszczęśliwe, niż winne, nowe Małgorzaty z Kortony, oczyszczone i upokorzone, przynoszą Zakonowi Pokutujących godne owoce heroicznej pokuty, czerpiąc z niego same tę żyzność i urodzajność, w której, jak w odnowionej wiośnie, zakwitają kwiaty cnót najwznioślejszych.

Oby więc to życie, tak stale zalecane przez ostatnich trzech Papieży, rozszerzyło się po całym świecie! Oby przykładem gruntownej pobożności i wonią cnót swoich pociągało jak najwięcej członków ze wszystkich szczebli społeczeństwa, od chaty, aż do bogatych pałaców, roznosząc wszędzie miłość Chrystusa Pana i zakładając Królestwo Jego na ziemi!

Wszystkim chrześcijanom w świecie żyjącym i na czele dzieł katolickich stojącym, podajemy do rozważenia słowa Leona XIII, skierowane do Biskupów całego świata: „Wzywamy wszystkich wiernych, aby się zapisali do tego świętego wojska Chrystusowego. Daj Boże, aby ludy chrześcijańskie zbiegły się tłumnie do reguły tego Zakonu z takim zapałem i w takiej liczbie, jak niegdyś biegły do Serafickiego Ojca Franciszka!“

Duch seraficzny jest najprzeciwniejszy duchowi światowemu.

Pokazaliśmy już wyżej sprzeczność ducha Bożego z duchem światowym, i zobaczyliśmy, że zarówno pojedyńczy człowiek, jak całe społeczeństwo o tyle jest dobre, o ile rządzi się tym pierwszym, unikając drugiego. I jeżeliby kto chciał pomyśleć o naprawie czy to pojedyńczych osób, czy społeczeństw, czy nawet całej ludzkości, musiałby na to głównie całą zwrócić uwagę, aby przytłumić i wyrugować z nich tego ducha świata, a rozbudzić w nich ducha Bożego. Jeżeliby zaś innym sposobem postępował, będzie podobny do lekarza, który goi wyrzuty zewnętrznemi plastrami, w miejsce tego, żeby zatamować ich źródło, przez zalecenie środków wewnętrznych. Święty Franciszek od pierwszej chwili swego powołania już był postawiony jakby w przeciwieństwie światu. Gdy bowiem prosił Boga o poznanie woli Jego, w jaki sposób miałby Mu służyć i jak spełnić zlecone sobie zadanie, odebrał taką odpowiedź: „Franciszku, jeżeli chcesz poznać w tem wolę moją, naucz się naprzód nienawidzieć to wszystko, co świat miłuje, a ukochać to, co świat nienawidzi“. Świat kocha się w bogactwach — ty masz je nienawi-

dzieć; świat kocha się w próżnej chwale ziemskiej — ty masz się nią brzydzić; świat miłuje rozkosze zmysłowe — ty masz niemi wzgardzić. Przeciwnie: świat nienawidzi ubóstwa — ty masz je nad wszystkie skarby umiłować; świat ma wstręt do upokorzeń — ty masz się w nich rozkoszować; świat brzydzi się umartwieniem — a ty masz wszelkie boleści za rozkosze sobie poczytać. Po takiej nauce niema nic dziwnego, że ten gorący sługa Pański stał się jakby przeciwieństwem tego świata, że duch jego jest najprzeciwniejszy światowemu, a wszyscy jego naśladowcy są w ustawicznej walce z światową przewrotnością. Dla tej to głównie przyczyny, więcej od innych prześladowani są od świata, który widzi w nich przeciwieństwo swoim zasadom; inne zaś stowarzyszenia o tyle więcej znosi, albo uznaje, o ile bardziej widzi je zbliżonemi do swoich zasad.

I na dzisiejsze czasy jest jedynem lekarstwem.

Duch seraficzny ogarnia nietylko wszystkie rodzaje życia, ale i wszystkie czasy, czyli, że zawsze jest sposobny do odrodzenia świata, w jakimkolwiek znajdowałby się on stanie. Zwróćmy nadto uwagę, że jak duch Boży, tak i duch świata ma swoje odmiany, to jest że może być w wyższym lub niższym stopniu tak w pojedyńczych osobach, jak w społeczeństwach. I jeden i drugi ma swoją najwyższą granicę i jakby kres, poza który zwykle się nie posuwa. Słusznie np. moglibyśmy uważać za najwyższe wysilenie ducha tego świata owe sekty nieprzyjazne, zawzięcie prześladujące wszystko co Boże, a więc ducha dzisiejszego zepsucia, ducha materjalizmu, ducha bezwyznaniowości, ducha wolnomyślności, ducha pogardy i nienawiści rzeczy Bożych. Przeciwnie zaś, duch Boży w najwyższym swoim rozwoju — to duch seraficzny, który jest, jak mówiliśmy, jakby kwiatem Ewangelji Świętej, bo mieści w sobie wszystko, co tam jest najszczytniejszego. Ktoby przeto chciał ów świat dzisiejszy, ożywiony, a raczej trawiony i niszczony duchem materjalizmu i bezreligijności, wyleczyć i wycofać ze zgubnej drogi, jaką leci na przepaść zguby wiecznej, ten nie powinienby przestawać na półśrodkach, ale musiałby robić wszelkie usiłowania, aby duch seraficzny ogarnął serca ludzkie. Tak właśnie było wówczas, gdy wśród powszechnej oziębłości świata, posłał Bóg męża o gorącem sercu, który go tym duchem ożywił i wyratował od zguby. To samo uczynił wielki Papież Leon XIII, widząc podobne, a nawet gorsze objawy choroby społecznej, gdy zalecał przywrócić instytucje tego Ś. Patryarchy, uważając je za jedyny środek ratunku, o ile będą ożywione prawdziwym duchem seraficznym, w jakim je zakładał Ś. Franciszek. Wzywał przeto Ojciec Święty wszystkich Biskupów i kapłanów, aby się pod sztandar tego serafickiego męża zaciągali i pod jego wodzą dzielnie walczyli z tym przewrotnym, a tak rozwielmożnionym duchem książęcia tego świata. Wzywał też wszystkich wiernych, aby w tej walce duchownej udział brali, wstępując do franciszkańskich zgromadzeń. Tego samego pragnie i Pius X; chcąc zaś, by mieli większą siłę i większe środki, każe pojedyńczym kongregacjom łączyć się w dyecezjalne, a dyecezjalne w narodowe, aby tym sposobem łatwiej mogły pokonać wroga i działać tam nawet, gdzie słabsze są siły.

Jak przyjęto wezwanie Ojca ludów.

Posłuszni temu wezwaniu Leona XIII, wierni Chrystusowi pospieszyli stanąć pod chorągiew Ś. Franciszka. We wszystkich krajach katolickich zakony tego Ś. Patryarchy odżyły. Szczególniej Trzeci Zakon, który Papież najbardziej zalecał, tak się rozszerzył, jak chyba jeszcze nigdy na świecie. Po kilkadziesiąt i po sto tysięcy członków jego liczą niektóre prowincje, a w pewnych parafjach włoskich i francuskich trzecia część wiernych jest tercjarzami. Całe duchowieństwo świeckie i zakonne w Rzymie, na wezwanie Kardynała Wikarego, przyjęło ten zakon; to samo uczynili po wszystkich krajach najznakomitsi prałaci kościelni i liczne zgromadzenia. Zapał ten przechodził nawet w entuzjazm, jaki był w pierwszych latach, gdy go sam Ś. Patryarcha rozpowszechniał. Dzisiaj liczba członków wszędzie w dalszym ciągu wzrasta i potężnieje. A jeżeli wtedy przerażało to nieprzyjaciół Kościoła, to i dzisiaj również obawę rodzi w bezbożnych. Według słów jednego z ministrów Fryderyka II-go, cesarz ten więcej się obawiał Tercjarstwa, niżeli wszystkich wojsk sprzymierzonych, bo w niem znajdował większą przeszkodę do spełnienia swych niecnych zamiarów, niż w tych którzy mu tylko siłą fizyczną grozili. Więc i dzisiaj może się on skuteczniej przyczynić do powstrzymania prądów niewiary, bezbożności i niemoralności, niż wszelkie inne środki przedsiębrane w tym celu. Oto więc stoją znowu gotowe zastępy Franciszka. Potrzeba im tylko wskazać, jakie mają do spełnienia zadanie i jakiemi środkami do niego dążyć, czyli jak walczyć powinny z tym światem.

O zadaniu zakonów serafickich.

Wiemy już, w jaki sposób Franciszek wezwany był do naprawy Domu Bożego, i że dokonał

jej przez założenie trzech zakonów, z których każdemu wskazał właściwy sposób współdziałania: Braciom Mniejszym przez prace apostolskie, Siostrom Ubogim, czyli Klaryskom, przez modlitwę, zakonowi zaś Pokutujących przez żywy przykład cnót chrześcijańskich wśród rodzin. Według świadectwa Ojca Świętego, Leona XIII, wezwanie to otrzymał nasz Święty Patryarcha nietylko na czas swego życia, ale po wszystkie czasy, zawsze więc ciąży ono na wszystkich jego zgromadzeniach. Ich pierwszy obowiązek dotyczy samych siebie, mają więc utrzymywać się w całej świeżości ducha seraficznego, jako też w obserwancji zakonnej, przez ścisłe zachowywanie swoich reguł, a potem wpływ swój na resztę społeczeństwa wywierać. Jakkolwiek zadanie to jest niezmienne, wtedy jednak daje się więcej odczuwać, gdy zachodzi większa potrzeba działania. W takich czasach często i sam Pan Bóg zdaje się przypominać Świętemu Ojcu ten obowiązek, a on wyprowadza nowe zastępy synów i córek swoich z tą samą regułą, nowym duchem ożywioną i wtedy dokonywa się naprawa Kościoła Bożego. To zdaje się spełniać w naszych czasach, kiedy z jednej strony zepsucie doszło do ostatecznych granic, a z drugiej — wskutek częstych wezwań Leona XIII-go, zakony te i dawniejsze same w sobie się reformują, a nadto bardzo wiele powstaje nowych.

W jaki sposób Ś. Franciszek spełniał to zadanie.

Pytamy więc teraz w imieniu dzieci Ś. Franciszka, w jaki sposób to swoje zadanie spełniać mają? Nie w inny zaiste, tylko w ten sam, jakiego użył ich Święty Ojciec, ten zaś nie inaczej to wykonywał, tylko jak widział u Jezusa, Boskiego Mistrza swego. O Panu Jezusie mówi Ewangelja, że począł czynić i nauczać. Naprzód długie lata czynił, a potem krótko nauczał. I nietyle słowy lub nauczaniem, jako raczej przykładem cnót ewangelicznych dokonał swego dzieła. Od pierwszej chwili narodzenia, aż do ostatniej — t. j. do śmierci krzyżowej, pokazywał na sobie wzór najwyższego ubóstwa, najgłębszej pokory, wzgardy świata, cierpliwości, poświęcenia, modlitwy i pokuty. Na takich to zasadach, zupełnie przeciwnych zasadom świata pogańskiego, który ubiega się za bogactwami, rozkoszami, próżną chwałą, który jest pełen chciwości, pychy, samolubstwa i zmysłowości — ufundował swój Kościół. To też i Św. Patryarcha, którego Pan Bóg od narodzenia w stajence, aż do ukrzyżowania na górze Alwernji, jako swojego naśladowcę przeznaczył, wezwany do naprawienia tej duchownej budowy, spustoszonej przez zepsucie obyczajów i widząc znowu wciskające się do serc chrześcijańskich, owszem, panujące już w nich zasady pogańskiego świata, nietyle słowy i nauczaniem, ile raczej życiem swojem i swoich towarzyszów objawił światu wzór najwyższego ubóstwa, pokory, pokuty, modlitwy i seraficznej miłości Boga i bliźniego, i tym sposobem to swoje posłannictwo wypełnił.

Jak duchowni synowie i córki w tem go naśladowali.

Dla przekonania o wyżej przytoczonych prawdach, należałoby powtórzyć to, cośmy pisali w drugim tomie o rozmaitych członkach Trzeciego Zakonu, z których każdy w innym rodzaju życia się uświęcił. Wypadałoby dodać do tego cały szereg zgromadzeń Trzeciego Zakonu, oddających się najrozmaitszym zadaniom miłosierdzia, i wyszczególnić różne odmiany obserwancji w różnych gałęziach i reformach pierwszych dwóch reguł. Odwołując się więc do powyższych przykładów, stwierdzających literalnie to, cośmy o giętkości tego ducha i jego zastosowaniu do różnych rodzajów życia powiedzieli, poprzestaniemy tu na przytoczeniu niektórych tylko naśladowców, dla zachowania przyjętego porządku.

Bł. Ryzerjusz z Muccia, Brat Mniejszy (1236 r.)

Przykład Bł. Ryzerjusza wskazuje nam, jak najwyższe nawet urzędy zakonne mogą się pogodzić z pracą wewnętrzną. Ryzerjusz, zostawszy Prowincjałem, pomimo zewnętrznych zajęć i kłopotów, nie ustawał w gorliwości o własny swój postęp. Pełen tkliwej, ojcowskiej miłości dla drugich, dla siebie był bardzo surowy, nie ufający własnej cnocie, tak iż po długoletnich ciężkich pokutach lękał się i unikał starannie każdej okazji do grzechu. Gdy go raz pytano, dlaczego tyle używa ostrożności przeciw najmniejszym niebezpiecznym pozorom, rzekł: „Gdybym nie postępował z wielką bojaźnią, narażałbym się samowolnie na utratę łaski, której mi Bóg udzielił. Bojaźń i czuwanie zawsze jest potrzebne, chociażby kto wysoko postąpił w cnocie, napisano bowiem, iż kto miłuje niebezpieczeństwo, w niem zginie“. Świątobliwy ten zakonnik zrozumiał i przejął się do głębi tą nauką Ducha Świętego: „Szczęśliwy człowiek, który zawsze żyje w bojaźni. Sprawiedliwy lęka się i tym sposobem unika złego. Łaska jest skarbem, który nosimy w naczyniach glinianych“.

W bibljotece Watykańskiej znajduje się rękopis, złożony z dwóch kartek, a zawierający jedno z kazań Błogosławionego. Czytamy tam piękne zdanie: „Kto chce drogą prostą i krótką dojść

do świętego pokoju i posiadać go stale w duszy, powinien przedewszystkiem wyzuć się z miłości stworzeń i z miłości własnej, oddać się całkowicie Bogu bez żadnych wyjątków i zastrzeżeń, nie rozporządzając niczem, nawet czasem, którego używać powinniśmy nie według osobistego pociągu, lecz według woli Bożej, wskazanej w obowiązkach świętego naszego powołania“ [1]).

Ś. Ludwik Andegaweński, Brat Mniejszy (1297 r.).

Ś. Ludwik Andegaweński, chwała Kościoła francuskiego i zakonu serafickiego, był wzorem młodzieńca, zakonnika i duszpasterza. Pochodząc z królewskiej rodziny, poznał wielkości światowe na to tylko, aby niemi pogardzić i choć zmarł w kwiecie wieku, udoskonalił się w wysokich cnotach.

Od lat najmłodszych Ludwik usposobienie miał poważne, a rozum oświecony światłością Bożą. Matka jego, Marja, godna siostrzenica wielkiej świętej Elżbiety Węgierskiej, dbała przedewszystkiem o bogobojne wychowanie swych dzieci; przyzwyczajała je do modlitwy, unikania najmniejszego złego i praktyki wszelkich cnót; prowadziła je codziennie sama do kościoła, zalecając gorącą miłość ku Bogu. Ludwik wdzięcznie przyjmował nauki swej matki i odznaczał się niezmierną słodyczą, skromnością i niezrównaną niewinnością. Widziano go, jak odwiedzał chorych i nieszczęśliwych, przebywał w kościołach i prowadził twarde życie wśród otaczających go rozkoszy dworskich. Miał zaledwie siedem lat, a już począł się oddawać praktykom pokutnym i często matka zastawała swego syna, śpiącego na twardej podłodze, zamiast na miękkiem łożu.

Przeciwności i smutki wcześnie dotknęły Ludwika: liczył lat 14, gdy wysłano go wraz z dwoma braćmi, jako zakładnika, do Barcelony, gdzie przebył lat siedem. Książę poddał się z całkowitem zaparciem siebie wyrokom Opatrzności i uczynił chętnie ofiarę ze swej swobody. Szczerze kochał Jezusa, więc kochał Go jeszcze bardziej w utrapieniu. Dusza jego nie straciła ani na chwilę równowagi, a twarz wyrażała niezmienny pokój i słodycz; był pocieszycielem swych braci i towarzyszów niedoli. Gdy go pytano ze zdziwieniem, jaki jest powód tego spokoju, odpowiadał, że dla przyjaciół Bożych strapienie jest rzeczą najkorzystniejszą, bo wystawia na próbę ich wierność. Raz tylko jeden prosił Boga o zerwanie kajdan, i to dodając: „Jeżeli się to przyczyni do mego zbawienia“.

[1]) L'aur.

Pan Jezus, który często wybranym swoim każe przechodzić przez różne próby, nawiedził Świętego ciężką i niebezpieczną chorobą płucną. W wigilję Oczyszczenia N. M. P., podczas silnego ataku duszności, Ludwik począł błagać Boga o przywrócenie mu zdrowia, obiecując wzamian wstąpić do Braci Mniejszych i zobowiązać się dozgonnym ślubem do zachowania czystości. W tej chwili zdrowie jego nagle się poprawiło, chciał przeto zaraz wypełnić obietnicę, ale że Bracia Mniejsi w Barcelonie obawiali się go przyjąć, powtórzył tylko publicznie swoje śluby w dzień Zesłania Ducha Świętego przed obrazem Królowej dziewic, Jej powierzając ich spełnienie i czekał, aż Opatrzność dozwoli mu je wykonać.

Nie mogąc podczas swej niewoli wstąpić do zakonu, Ludwik pragnął przynajmniej być w stanie duchownym i udał się z tą prośbą do Papieża Celestyna V, który wyjątkowym przywilejem pozwolił mu otrzymać tonsurę i mniejsze święcenia z rąk swojego spowiednika. Inną bullą z tegoż dnia Papież mianował go Arcybiskupem Lugduńskim, lecz gdy z powodu śmierci Ojca Świętego bulla powyższa nie weszła w wykonanie, Ludwik nie chciał się przypominać. Otrzymał więc tylko tonsurę, licząc lat 20.

Trudności w spełnieniu powołania.

Święty trwał dalej w zamiarze wstąpienia do Braci Mniejszych, lecz mając niektóre wątpliwości, przedstawił je spowiednikowi swemu, O. Franciszkowi Brun. „Uczyniłem, rzekł Ludwik, ślub czystości dozgonnej i drugi — zostania Bratem Mniejszym. Zobowiązania moje wobec Boga są nieodwołalne, jestem jednak trapiony boleśnie wątpliwościami, gdzie mam przywdziać habit, czy tutaj wśród swoich, czy też iść do obcego kraju. Jeśli zostanę blisko rodziny, nie będę mógł ćwiczyć się w aktach pokory tak, jakbym pragnął; albowiem bracia moi będą chcieli otaczać mnie nadmiernemi względami; dlatego myślę udać się do Niemiec, lub w inne dalekie strony, gdzie, nieznany nikomu, będę mógł swobodnie oddawać się niskim posługom, jak mycie naczyń, zamiatanie, gotowanie, pielenie, czego gorąco pragnę. Im kto bowiem bardziej dla Boga się poniża, tem większą ściąga na siebie miłość Jego“. Ojciec Brun pochwalił pokorę księcia, ale radził mu zostać w kraju, aby budować ziomków przykładem swojej cnoty, nadto tłumaczył mu, że król nie zezwoliłby nigdy na wyjazd syna do Niemiec.

Po traktacie w Olerą (Oleron), nastąpił pokój między królem neapolitańskim i aragońskim, książęta więc opuścili Barcelonę i udali się przez po-

Ś. LUDWIK ANDEGAWEŃSKI, BISKUP TULUZY,

ZRZEKA SIĘ KORONY KRÓLEWSKIEJ NA RZECZ SWEGO BRATA I OTRZYMUJE WZAMIAN KORONĘ NIEBIESKĄ, KTÓRĄ DWAJ ANIOŁOWIE UNOSZĄ NAD JEGO GŁOWĄ.

Według obrazu Szymona ze Sienny (1320) w kościele ś. Wawrzyńca w Neapolu.

łudniową Francję do Włoch. W Mąpellje (Montpellier) Ludwik znów probował wstąpić do Braci Mniejszych, ale prowincjał nie chciał go przyjąć bez pozwolenia ojca. We Florencji książęta zastali królowę matkę, która przybyła na ich spotkanie z najstarszym synem, Karolem Martelem, od niedawna koronowanym na króla węgierskiego. Przy tej okazji Ludwik raz jeszcze odnowił ślub dozgonnej czystości i przyrzeczenie wstąpienia do zakonu Ś. Franciszka.

Tymczasem Pan Bóg zesłał na niego bolesną próbę. Brat jego, Karol Martel, umarł w r. 1295, zostawiając jako spadkobiercę korony węgierskiej syna swego Karoberta. W myśli Karola II, króla Neapolu, jego drugi syn musiał teraz objąć rządy nad Neapolem, Andegawją i Prowancją, przeto postanowił ożenić go z siostrą młodego króla aragońskiego, który znów miał zaślubić księżniczkę Blankę, siostrę Ludwika. Te podwójne związki małżeńskie zapewniłyby długotrwały pokój między Neapolem a państwem Aragońskiem. Gdy rzeczy były w ten sposób ułożone według wymagań polityki ludzkiej, łatwo się domyśleć ile intryg, napaści i próśb natarczywych musiał znieść młody książę od ojca, który nie żałował niczego, aby go skłonić do swoich planów. Karol II gotów był nawet zrzec się tronu na rzecz syna, byle ten zawarł świetne małżeństwo. Ale młodzieniec był niewzruszony; wyszedł też zwycięsko ze wszystkich zasadzek i w końcu wymógł na ojcu, że prawo pierwszeństwa przelał na młodszego brata, Roberta. Tym sposobem uwolnił się raz na zawsze od wszelkich zabiegów światowych, i mógł z wdzięcznością oddać się cały służbie Bożej.

Zostaje kapłanem.

Wyjechawszy z Florencji, przed powrotem do Neapolu, Ludwik zatrzymał się w Rzymie. Miał on już, jak wiemy, mniejsze święcenia i uważał sobie za zaszczyt spełnianie przywiązanych do nich czynności. I tak w noc Bożego Narodzenia widziano go pośród młodych kleryków, spełniającego obowiązek akolity. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w Rzymie otrzymał subdjakonat i od tego dnia, jak pisze jego historyk, O. Piotr Kalo (Calo), nie używał już nigdy naczyń srebrnych ani złotych, ani kosztownych ubiorów, i przymnożył sobie umartwień i pokut.

Wkrótce po powrocie do Neapolu został wyświęcony na djakona, a potem na kapłana w kościele Braci Mniejszych. Kilka tygodni przed przyjęciem ostatnich święceń Ludwik spędził w skupieniu i modlitwie. Podczas ceremonji nie pozwolił sobie oddawać żadnych szczególnych oznak, należących się mu, jako synowi króla. Pokora, według niego, była najlepszem usposobieniem duszy, którą Bóg podnosił do wzniosłej godności kapłańskiej. Zadziwiał też wszystkich obecnych swoją zachwycającą pobożnością; zatopiony w rozważaniu cudów, jakie się z nim działy, modlił się i wylewał łzy dziękczynne. Aby podziękować Bogu za otrzymane łaski, młody kapłan udał się z kilkoma Braćmi do pobliskiego zamku, gdzie, żyjąc zdala od ludzi, dzielił swój czas między ćwiczenia pobożne i naukę Pisma Świętego. Ale jego serce apostolskie wyrywało się niekiedy z tej ciszy, aby nieść słowo Boże maluczkim, zapalać dusze miłością i pobudzać do dobrego.

Wstępuje do Braci Mniejszych.

Święty opuścił swoją samotnię pod koniec roku 1295, aby udać się z ojcem swoim po raz drugi do stolicy chrześcijaństwa. Widząc kapłana tak pokornego i oderwanego od świata, Papież Bonifacy VIII umyślił powierzyć mu wysoki urząd, pomimo jego młodego wieku. Najpierw tedy zamianował go swoim kapelanem, a nieco później, gdy zawakowała stolica biskupia w Tuluzie, pasterzem tej dyecezji, nakazując mu bezwarunkowo przyjąć tę godność. Ludwik nie śmiał opierać się tak wyraźnej woli Namiestnika Chrystusowego, prosił więc tylko, aby mu wolno było przedtem wstąpić do I-go zakonu Ś. Franciszka. Bonifacy VIII chętnie na to przystał i w wigilję Bożego Narodzenia, po nowem zrzeczeniu się wszelkich praw do korony Neapolitańskiej, Święty otrzymał habit Braci Mniejszych i zaraz złożył profesję na tę regułę w ręce Ministra Generalnego, O. Jana z Muro, obowiązując się zachowywać ją pośród prac pasterskich, jak to czynili inni dostojnicy kościelni tegoż zgromadzenia. Wzruszająca ta ceremonja odbyła się w kościele klasztoru Ara-coeli, przy którym mieszkał Generał wielkiej rodziny franciszkańskiej.

Najgorętsze życzenie Świętego było już ziszczone, jego ofiara spełniona: zamienił purpurę królewską na gruby habit Ś. Franciszka, królestwo znikome na królestwo wieczne i wstąpił do najuboższego ze wszystkich zgromadzeń. Teraz mógł sobie powiedzieć z całą prawdą: „Jezus Chrystus jest mojem bogactwem“. 30-go grudnia, t. j. w sześć dni po złożeniu profesji, Bonifacy VIII wyświęcił Ludwika na Biskupa. W bulli mianującej Świętego pasterzem dyecezji, Papież podnosi wysokie jego urodzenie i chwałę przodków, wychwala jego znajomość ksiąg Bożych, niewinność życia, powagę obyczajów, zadziwiającą dojrzałość umysłu i oświadcza, że te znakomite przymioty starczą za

młodość lat, i dla nich właśnie daje mu dyspensę, aby mógł objąć biskupstwo.

Po krótkim pobycie w Rzymie nowy dostojnik Kościoła zamierzył udać się do swoich owieczek, by coprędzej niemi się zająć. Poprosił więc o błogosławieństwo Ojca Świętego, wyrwał się z uścisnień króla i innych członków rodziny i podążył do Tuluzy. Towarzyszyło mu kilku Franciszkanów, którzy mieli zamieszkać w jego pałacu i tworzyć zgromadzenie zakonne, żeby miał korzyści życia klasztornego. W drodze Ludwik zatrzymywał się w klasztorach franciszkańskich, często nawet zbaczał w drogi, aby tam, a nie gdzieindziej odpocząć, i spełniał wtedy najpokorniejsze posługi, jakby ostatni z braciszków [1]).

Ś. Iwon z Bretanji, kapłan 3 Zak. (1303 r.).

Ś. Iwon Hélori od dzieciństwa postanowił ćwiczyć się we wszystkich cnotach chrześcijańskich. Wśród prac i zajęć w Orleanie i w Paryżu nie zapominał o radach kochającej go matki, jak ma się uświęcić. Już wtedy nosił włosienicę, nie pił wina, nie jadał mięsa, Adwent zaś, Wielki Post i wigilje niektórych uroczystości pościł o chlebie i wodzie. Czas wolny spędzał w szpitalach, usługując chorym, nawet najbardziej wstrętnym. Modlitwa była jego rozkoszą; ujmował sobie snu, aby jej się dłużej oddawać; łóżko jego stanowiła prosta mata, a poduszkę — księga lub kamień. Przykład tego bohatera czystości i pokuty nawrócił kilku towarzyszów złe życie wiodących.

Jako uczony i święty kapłan, stał się wkrótce chlubą Kościoła, pociechą i ucieczką uciśnionych, a pogromcą występnych. Miłość bliźniego podawała mu tysiączne sposoby łagodzenia sporów i jednania zaciętych przeciwników; gdy zaś usiłowania jego spełzały na niczem, uciekał się do modlitwy i nią zawziętość ludzką zwyciężał. Pewnego dnia przyszli doń matka i syn, taką przejęci nienawiścią, że święty officjał daremnie próbował ich pogodzić; odprawił więc Mszę świętą i przez nią uzyskał to, czego nie mogły otrzymać same jego upomnienia, jakkolwiek pełne miłości.

Trudno wypowiedzieć z jakim zapałem i męstwem pracował w tym kierunku. Będąc sędzią, bronił często ubogich i słabych, nie umiejących sobie radzić, i to nietylko w sprawach duchownych, ale i w czysto świeckich; ratował ich od zasadzek i podstępów nieprzyjaciół, biorąc niekiedy na siebie wszystkie koszta sądowe. To też słusznie dawano mu tytuł obrońcy ubogich.

[1]) Ibidem T. III.

Cnotę czystości kochał nadewszystko i uważał ją słusznie za główny obowiązek i ozdobę kapłaństwa. „Serce czyste stwórz we mnie, Panie", powtarzał często. A Pan Bóg nagrodził go za to łaską, która przystoi życiu niewinnemu: dał mu moc i panowanie nad zwierzętami. Słuchały go one, jak niegdyś Ś. Ojca Franciszka; ptaszki siadały mu na ramionach, fruwały dokoła niego i dopiero, gdy je pobłogosławił — odlatały.

Cuda te i rozgłos świętości Iwona przyciągały do Lohanek licznych pielgrzymów, nadając kazaniom jego przedziwną skuteczność. On zaś nietylko sobie nic nie przypisywał, lecz upokarzał się coraz bardziej w sercu, Boskiej tylko chwały szukając. Pokuty i umartwienia codzienne w połączeniu z pracą apostolską wyczerpały niebawem siły czcigodnego proboszcza. Czując zbliżającą się chwilę zgonu, chociaż trawiony gorączką, kazał się położyć na słomie i modlił się z oczyma zwróconemi na wizerunek Zbawiciela. Poczem, przyjąwszy Ostatnie Sakramenta ŚŚ., oddał duszę swą Chrystusowi Panu 19 maja r. 1303. Śmiertelne szczątki Ś. Iwona przeniesiono do katedry w Tréguier, gdzie po dziś dzień odbierają cześć od wiernych. Z powodu cudów, jakie się działy za jego przyczyną, Klemens VI-ty wpisał go w 44 lata później do złotej księgi wybrańców Bożych.

Ś. Iwon jest jedną z chwał katolickiej Bretanji, a zarazem patronem proboszczów, sędziów, adwokatów, jednem słowem — wszystkich ludzi prawa [1]).

Ś. Elzear de Sabran 3 Zak. (1325 r.).

Dom Elzeara i małżonki jego, Delfiny, był istną świątynią, niebo i ziemię zachwycającą. Nietylko oni sami ćwiczyli się i postępowali w cnotach, lecz nadto za ich przykładem i staraniem, na całej przestrzeni licznych ich posiadłości zakwitły dobre obyczaje. Do kościołów uczęszczano, święta były wiernie obchodzone, Najświętsze Imię Pańskie czczone i wielbione. Pokój zapanował wszędzie; próżniactwo i lenistwo, surowo karane, ustało, to też nie było tam prawie żebraków. Chorzy i starcy doznawali troskliwej opieki. Dzieci uczyły się szanować i słuchać swych rodziców. Pola żyzne i dobrze uprawione wydawały obfite plony, względna zamożność i dobrobyt zapewniły wszystkim spokojne jutro.

Znakomity hrabia de Sabran i heroiczna jego małżonka szukali przedewszystkiem Królestwa Bożego i dobra dusz. Błogosławieństwo zaś Bo-

[1]) Ibidem T. II p. 229.

skie towarzyszyło wiernym sługom Jego i odbijało się zarówno na podwładnych, jak i na wszystkiem, co do nich należało.

Oto treść budujących przepisów, które Elzear skreślił dla swych podwładnych, po naradzeniu się z godną swą małżonką.

1. Niech bluźnierstwo wygnane będzie z mojego domu.

2. Niech wszyscy moi domownicy słuchają codziennie Mszy świętej.

3. Niech się odznaczają skromnością i czystością według swego stanu.

4. Niech się spowiadają i komunikują w główne święta.

5. Chcę, aby unikali próżnowania. Kobiety, po dopełnieniu rano swych ćwiczeń pobożnych, niech wśród dnia domową zajmują się pracą.

6. Gry hazardowe niech będą zupełnie wykluczone.

7. Ponieważ Bóg jest Bogiem pokoju i tylko tam, gdzie jest pokój i zgoda, zakłada królestwo swoje, niech przeto zawiść, niezgody, zazdrości, plotki, posądzenia nie rozdzielają nigdy moich podwładnych.

8. Gdy powstanie jaka kłótnia, niech się pogodzą przed zachodem słońca.

9. Zakazuję moim oficjalistom krzywdzić kogokolwiek, uciskać słabych i ubogich pod pozorem utrzymania praw moich.

10. Zalecam co wieczór prowadzić rozmowy o Bogu i rzeczach pobożnych. Smutna to rzecz, iż będąc na ziemi jedynie po to, abyśmy sobie zasłużyli na niebo, prawie wcale o tem nie myślimy i nie mówimy.

Przepisy te były potwierdzone przez króla. Komu dowiedziono, że nie prowadzi życia obyczajnego, że nie przestrzega praw chrześcijańskiej skromności, ten po stosownem upomnieniu był wydalany. Kto zbluźnił, przysiągł fałszywie lub lekkomyślnie, kto wymówił słowo nieprzyzwoite, musiał przy obiedzie wobec wszystkich siedzieć na ziemi, poprzestając na chlebie i wodzie. Za winy znaczniejsze, przestępcy, zamknięci w osobnej izbie, dostawali pod względem pożywienia i napoju tylko rzeczy niezbędnie potrzebne do życia.

Elzear przewodniczył zazwyczaj wieczornym zgromadzeniom swoich domowników, przemawiał do nich lub czytał co pobożnego. Słowa jego, jak strzały ogniste, zapalały w sercach miłość Bożą i gorące pragnienie postępu. Wszyscy znający Elzeara, przyznawali, że przy każdem spotkaniu wychodzi z niego jakaś moc cudowna, od której gasną zepsute chuci cielesne i uspokaja się pożądliwość. Wielu z przyjaciół jego, nawet wojskowych, wzruszonych jego słowami i przykładami, uczyniło ślub wiecznej czystości.

Jego troskliwość o wasalów.

Hrabia Arianu najusilniejszych dokładał starań, aby w posiadłościach jego zakwitła religja i dobre obyczaje, aby lud był sprawiedliwie rządzony, aby ubodzy nie doznawali najmniejszego ucisku. Ułożył przeto drugi regulamin, mający na celu utrzymać w uczuciach religijnych i w czystych obyczajach swoich wasalów. Regulamin ten tak jest piękny, prawdziwie chrześcijańską podyktowany miłością, że trudno go pominąć. Dzieli się, równie jak poprzedni, na dziesięć artykułów i wiele ma z nim podobieństwa. Oto w skróceniu treść jego:

1. Niech na całym obszarze moich posiadłości nikt z podwładnych moich nie dopuszcza się bluźnierstwa; o ile bowiem cześć oddawana Bogu ściąga na nas łaski, o tyle bluźnierstwa, krzywoprzysięstwa, przeklinania, które są mową nie ludzką, ale szatańską, ściągają pioruny gniewu Bożego, gubiąc nasze ciała i dusze.

2. Pragnę zaprowadzić we wszystkich moich posiadłościach gorące nabożeństwo do Matki Boskiej; chcę, aby wszyscy moi podwładni obrali Ją sobie za Patronkę i oddali się pod najszczególniejszą Jej opiekę. Wszyscy potrzebujemy miłosierdzia Bożego, a czyż możemy znaleźć potężniejszą Pośredniczkę i Orędowniczkę nad tę przemożną niebios Królowę, która jest jedyną ucieczką grzeszników. Zakazuję osobliwie oddawania się pracom służebnym w Jej uroczystości; chcę, aby w dnie Jej czci poświęcone wszyscy moi podwładni obecni byli pod karą na Mszy św. i na innych kościelnych nabożeństwach.

3. Rozkazuję wszystkim moim oficjalistom, aby pilnie czuwali nad moralnością, wydalając ze służby rozpustników. Jak nic zmazanego nie może wejść do nieba, tak nie godzi się pozwalać na nieczystość i rozpustę między chrześcijanami, przeznaczonymi do chwały Bożej.

4. Chcę, aby znaczniejsze święta kościelne, jak: Wielkanoc, Zielone Świątki, Wszystkich ŚŚ., Boże Narodzenie uroczyście były obchodzone. Aby w te święta wszyscy moi podwładni przystępowali do Sakramentów ŚŚ., a przynajmniej, żeby dwóch ważniejszych świąt z rzędu nie opuścili. To samo polecenie stosuję do świąt Wniebowzięcia i Zwiastowania Najśw. Marji Panny. Trzeba Ją czcić, aby sobie Jej względy pozyskać w tem i przyszłem życiu, a osobliwie, aby w godzinę śmierci naszej wstawiała się za nami do swego Syna.

5. Zakazuję przystępu do mojego domu próżniakom, niechcącym pracować na życie. Chcę, aby

moi oficjaliści pomijali ich w rozdawaniu jałmużn ubogim, nie zważając na ich nędzę. Udzielając im bowiem pomocy materjalnej, mógłbym się przyczynić do zguby ich dusz.

6. Zakazuję w moich posiadłościach gier hazardownych i wszelkich zebrań, w których trafiają się okazje do niezgód i przekleństw.

7. Niech wszyscy moi podwładni żyją w świętem zjednoczeniu, zgodzie i pokoju, a dla utrzymania go, niech unikają sprzeczek, kłótni i słów obelżywych.

8. Gdy im się zdarzy posprzeczać, chcę, aby słońce nie zachodziło w ich gniewie, lecz aby się pojednali bezzwłocznie, według zalecenia Ewangelji.

9. Zalecam i wyraźnie rozkazuję, aby wszyscy moi podwładni chodzili na słuchanie kazań do parafjalnego kościoła. Jeżeli podczas kazania spotka się na placu przed kościołem lub na ulicach bawiących się i próżnujących, ci powinni być karani więzieniem, jako zaniedbujący najważniejszy swój obowiązek, to jest sprawę swojego zbawienia.

10. Żaden z podwładnych moich niech nie wyrządza szkody bliźniemu, ani na majątku, ani na sławie, lecz niech się miłują i szanują wzajemnie, jak bracia w Chrystusie, przez Chrzest święty na dzieci Boże narodzeni i wezwani do wspólnej wiecznej szczęśliwości.

Te ustawy również miały sankcję królewską, lecz najsilniejszym bodźcem do ich zachowania był przykład świętego ustawodawcy i błogosławionej jego małżonki, Delfiny [1]).

Bł. Małgorzata Lotaryńska, Klaryska (1521 r.).

Obecnie prowadzi się proces kanoniczny w celu zatwierdzenia czci, oddawanej Bł. Małgorzacie Lotaryńskiej. Ta służebnica Boża przyszła na świat w r. 1463 w zamku Vaudemont w Lotaryngji. Przez swoją matkę, Jolantę Andegaweńską, pochodziła z rodu Ś. Ludwika i była spokrewniona ze Ś. Elżbietą Węgierską. Przez swoje dzieci została babką Henryka IV-go. Pan Bóg wcześnie zabrał jej rodziców, tak że sierota wychowywała się u swego dziadka na dworze prowanckim w Aix. Duszyczka tej dzieciny rozwijała się jak kwiat pachnący o przecudnym zapachu wśród dobrych przykładów i ćwiczeń chrześcijańskich. Najlepiej lubiła czytać żywoty Świętych, a zwłaszcza takich, którzy się uświęcili na pustyni w Egipcie. Wzbudziło to w niej zapał do życia pustelniczego tak dalece, że pewnego dnia udała się ze swojemi rówieśniaczkami wgłąb lasu, gdzie dopiero nauczycielka znalazła ją zemdloną. Od dziadka przejęła gorące nabożeństwo do Męki Pańskiej. W r. 1480, gdy tenże umarł, Małgorzata wróciła do Lotaryngji, do brata swego, gdzie w 8 lat później wyszła zamąż za księcia Alençon.

Przybywszy do swojej nowej krainy, zobaczyła, że w posiadłościach męża panuje wielki nieład, tak jak w całem ówczesnem państwie francuskiem: finanse były obciążone, nie było sprawiedliwości, prawa poddanych zdeptane. Przejęta duchem wiary, zaradzała temu wszystkiemu, a w ten sposób pozyskała sobie serce małżonka, lud zaś nazywał ją nie inaczej, tylko świętą księżną. Przez cztery lata pożycia z mężem, Pan Bóg dał jej jednego syna i dwie córeczki. Boleść wczesnego wdowieństwa przywiodła ją do większej jeszcze pobożności, do wzgardy wszystkiego co światowe i do uczynków miłosiernych. Dzień i noc oddawała się z zapałem modlitwie. Wystawiła kilka klasztorów: w la Flèche dla Obserwantów, w Alençon — dla Klarysek, w Mortagne dla Tercjarek, które w r. 1521 przyjęły drugą regułę Sióstr Ubogich, także w Château-Gontier i ostatni w Argentan. Tam wreszcie sama wstąpiła pod koniec życia, jako Klaryska, będąc już dawniej tercjarką i tam umarła 2 listopada r. 1521, zostawiając po sobie sławę świętości. Prosiła, żeby ją pochowano, jak zwyczajną zakonnicę, bez żadnych oznak. Mimo to złożono ciało jej w grobie murowanym między kapitularzem sióstr a wielkim ołtarzem od strony epistoły, w dwóch trumnach: cynowej i drewnianej, bez napisu. Serce księżnej zamknięto w małej szkatułce cynowej i położono przy zwłokach w trumnie.

Miłość i wdzięczność, jaką zakonnice i mieszkańcy mieli dla Małgorzaty Lotaryńskiej, zamieniły się po śmierci na cześć i szacunek. Modlono się przy jej grobie, a gdy w r. 1562 po otworzeniu go okazało się, że ciało było nietknięte i giętkie, jeszcze więcej uciekano się do jej wstawiennictwa. Później kilku członków z jej rodziny, oraz przełożeni Obserwantów zstępowali do grobu, aby oglądać zwłoki. Wreszcie zawieszono nad grobem jej portret i umieszczono napis: „Tutaj leży znakomita pani Małgorzata Lotaryńska, wnuczka Renata Francuskiego, króla Sycylji i Aragonji, wdowa po Renacie, księciu d'Alençon, matka Karola Alençon i Franciszki Alençon, babka Henryka IV, fundatorka tego klasztoru, która przyjęła habit i złożyła profesję w r. 1520, a umarła 2 listopada r. 1521, mając lat 58, pełna zasług i udarowana kilkoma cudami. Ciało jej utrzymuje się w całości i wydaje miłą woń, dlatego jest uważana za Błogosławioną. Święta Pani, módl się za nami".

[1]) La vie d'Elzear de Sabran par M-me Berguin, tertiaire.

W r. 1792 podczas rewolucji, Klaryski z Argentan zostały rozpędzone, dobra ich zabrane, a kościół zbezczeszczony. Ale Biskup konstytucyjny, spełniając życzenie mieszkańców, przeniósł uroczyście szczątki Małgorzaty do kościoła Ś. Germana. Ciało rozpuściło się już wtedy w gęsty i wonny płyn. Otworzono też szkatułkę, a serce pokazano ludowi, który dotykał do niego koronki, różańce, poczem ustawiono je nad ołtarzem Ś. Mansweta.

Bł. Małgorzata stała ciągle na wysokości swego zadania i obowiązków, i dlatego uświęciła się. Jako dziecko, młoda dziewica, małżonka, matka rodziny, księżna panująca, zakonnica, miała jedno tylko pragnienie: spełnić wolę Bożą. Po drugie: dążyła ciągle do doskonałości; opuściła świat, aby zostać Klaryską, gdyż czuła, że to nie dosyć jest fundować i utrzymywać klasztory, ale że trzeba i siebie samą na ofiarę Bogu złożyć [1]).

Ś. Paschalis Baylon, Obserwant bosy (1592 r.).

Braciszek ten spełniał w zakonie bardzo rozpraszające obowiązki, jak pilnowanie furty i obsługę refektarza, a ze wszystkiego wywiązywał się jak najlepiej. Okazały się przytem rozmaite cnoty, któremi go Bóg udarował, mianowicie: stanowczość, moc duszy, sprawiedliwość w wydzielaniu co się komu należy i wysoka uprzejmość w obejściu. Goście i dobrodzieje mogli byli tysiąc razy dzwonić do drzwi klasztornych, a święty furtjan tysiąc razy biegł na głos dzwonka i zawsze z tą samą skwapliwością, jak gdyby sam Pan Jezus go wołał. Tylko w czasie zachwytów musiano trochę nań zaczekać, ale to zdarzało się rzadko. Zazwyczaj udawał się spiesznym krokiem na swoje stanowisko, otwierał furtę bardzo uprzejmie, cierpliwie i z uszanowaniem, jednającem mu umysły i serca wszystkich. Zawsze wesoły, uśmiechnięty, wiernie wywiązywał się z danych sobie poleceń i interesów do ojców.

Pomimo ciągłych roztargnień i ustawicznego biegania, którego przez miłość ku bliźnim jeszcze sobie przymnażał, Paschalis był ściśle zjednoczony z Panem Bogiem i sam odprawiał swoje obowiązkowe pacierze, jeżeli nie mógł ich odbyć ze wszystkimi. Często wśród dnia krył się w zaroślach ogrodu, aby tam swobodniej wzdychać do swego Oblubieńca. Takie życie z Bogiem, taka za Nim tęsknota każe się domyślać wielkiej pracy wewnętrznej i wielkiej wytrwałości w uczuciach sługi Bożego. Jakaż to zbawienna nauka dla osób, które żyjąc w świecie, lub nawet w klasztorach, skarżą się często na nawał zajęć materjalnych z uszczerbkiem pobożności. Paschalis, czy jako dziecko pasał bydełko rodzicielskie, czy spełniał w klasztorze rozliczne obowiązki: furtjana, kanaparza, wreszcie zbierającego jałmużnę, zawsze był zajęty Bogiem, serce jego biegło do Tabernakulum; tak to jest prawdą, że przy pomocy Bożej i dobrej woli, każdy w jakiembądź położeniu lub stanowisku może wznieść się na szczyty życia wewnętrznego [1]).

[1]) Annales franciscaines, Septembre 1909.

Innocenta Ricci, 3 Zak. (1624 r.).

Pierwszego grudnia 1624 r. w Trapani, na wyspie Sycylji, umierała młoda tercjarka. Szatan dręczył ją w konaniu: „Wymawia mi, mówiła umierająca, moje lenistwo w służbie Bożej. Pomóż mi, Ojcze“, dodała, zwracając się do swego spowiednika. „Ach, jakże straszne jest to przejście“. A później, łącząc się z modlitwami obecnych, którzy przy jej łożu odmawiali litanję do Wszystkich Świętych, zdawała się doznawać ulgi i szeptała: „Czyniłam, co mogłam, aby Bogu służyć. Żałuję, że się lepiej z tego nie wywiązałam. Pragnę umrzeć, jako dziecię Kościoła katolickiego, apostolskiego i rzymskiego“. A przeżegnawszy usta swoje, ucałowała krucyfiks, założyła ręce na piersiach i rzekła: „Mój słodki Jezu, dusza moja wraca do Ciebie. Przyjmij ją w pokoju. Idę złączyć się z Aniołami, aby Cię chwalić na wieki!“ I rzekłszy to, zgasła, mając lat 25. Była to Innocenta Ricci, Tercjarka od pięciu lat, gorliwa służebnica Boża, która wspaniałomyślnie dźwigała jarzmo Pańskie. Pochodziła ze szlachetnego rodu baronów Sainte-Anne. Uszczęśliwieni z jej narodzin, rodzice nazwali ją Benwenutą, które to imię zamieniła później na Innocentę.

Już od dzieciństwa nie miała żadnych upodobań, właściwych temu wiekowi. Bawiła się stawianiem małych ołtarzyków i zdobieniem figur Świętych. W piątym roku życia zaczęła pościć wszystkie soboty na cześć Marji Niepokalanej, a w siódmym zachowywała już wszystkie posty kościelne. Instynktownie czuła wstręt do wszystkiego, co trąci próżnością i wyszukaniem, nie mogła przeto wyjść ze zdumienia, kiedy matka godzinami czesała jej włosy i zdobiła głowę: „Wolałabym wcale nie mieć włosów, mawiała w takich razach, niżeli widzieć cię tak przy nich zajętą“. Lecz matka, chcąc podnieść wdzięki i piękność swego dziecięcia, nie zważała na to, i dalej stroiła ją w aksamit, perły i drogie kamienie. Innocenta jeszcze i pod innym względem była niepodobna do dzieci: nie dała się nikomu popieścić, tak unikała wszelkiej oznaki zmysłowego przywiązania. Nazywano

[1]) Saint Pascal Baylon, Franciscain, par P. M. Mansuy.

ją z tego powodu „małym dzikusem“. Pewnego dnia dała policzek krewnemu młodzieńcowi, który, zachęcony przez jej ojca, chciał ją pocałować.

Doszedłszy do lat 15, zapragnęła wstąpić do Karmelitanek, lecz ojciec sprzeciwił się temu, chciał ją bowiem wydać za mąż. Rzeczywiście, jakkolwiek Innocenta nigdzie nie bywała i za nic miała kaprysy mody, jej piękność i cnota zachwyciły jakiegoś młodego obywatela, który poprosił o jej rękę. Odmówiła mu zaraz i nic już nie pomogły przedstawienia rodziców. Wybranym jej, którego jedynie postanowiła miłować, był „najpiękniejszy i najdoskonalszy z synów ludzkich“.

Tymczasem do Trapani przybył sługa Boży, Innocenty z Kiuzi (Chiusi), Obserwant. Świętość jego życia i cuda zjednały mu wkrótce ogólny szacunek. Innocenta poznała się z nim, został jej kierownikiem duchownym i z jego porady przyjęła regułę Trzeciego Zakonu; aby zaś nie zasmucać rodziców, postanowiła ich nie opuszczać. Już jako Tercjarka uczyniła ślub dozgonnej czystości, a bojąc się o tę cnotę, prowadziła żywot zamknięty w małej celce, którą jej ojciec w swoim pałacu urządził. Otrzymawszy habit w święto Niepokalanego Poczęcia, chodziła w nim aż do śmierci, im więcej zaś był połatany, tem bardziej go ceniła, gdyż przypominał jej ubóstwo Syna Bożego i Serafickiego Patryarchy.

Jej życie w 3-m Zakonie.

Co do pokut, Innocenta zaczęła je wcześnie praktykować, a w miarę lat dodawała sobie umartwień. W dni postu żyła jedynie chlebem i wodą. mięso zaś, pomimo próśb rodziców, jadła tylko w niedzielę i czwartki, i to w małej ilości. Sypiała na słomie, często na gołej podłodze, a gdyby nie zakaz matki, chodziłaby zupełnie boso, bez sandałów. O północy, kiedy głos dzwonów w kościele Braci Mniejszych odzywał się na Jutrznię, Innocenta wstawała, aby się długo modlić. W poniedziałki, środy i soboty każdego tygodnia, jak również w wigilje świąt Pana Jezusa i Matki Najświętszej, oraz w wigilje wszystkich Komunji św. do krwi się biczowała, zamiast bielizny, nosiła tunikę z końskiego włosia i łańcuch z ostremi kolcami na cztery palce szeroki, aż w końcu spowiednik jej nakazał, by miała większy wzgląd na swoje zdrowie.

Pewnego dnia ktoś zapytał Innocentę, dlaczego się tak umartwia, skoro nigdy nie popełniła ciężkiego grzechu? „To prawda, odpowiedziała; Pan Bóg łaską swoją ustrzegł mnie od upadków śmiertelnych, ale czyż nie jestem winna opuszczenia wielu dobrych uczynków? Muszę więc pokutować za te niedbalstwa, czyniąc tyle dobrego, ile mogę“.

Była tak pokorna, że szczerze sądziła, iż nic nie robi dla Boga. Nie mogła słuchać, gdy mówiono o jej cnotach i bardzo boleśnie dotknął ją wybór na przełożoną kongregacji tercjarskiej. A chociaż było to ogólnem życzeniem zgromadzenia, świątobliwa dziewica wzdragała się przyjąć tę godność, mówiąc: „Jakżebym mogła rządzić innemi, ja co sama sobą rządzić nie potrafię?“ Musiała jednak poddać się żądaniu wszystkich. Urząd swój pełniła z całą gorliwością i zapałem, zresztą sam jej przykład był tak budujący, że niebawem kongregacja sióstr w Trapani stała się najsłynniejszą we Włoszech. Mnóstwo młodych panien i pań z wyższego świata przyjęło regułę tercjarską. Innocenta codziennie nawiedzała chore lub słabe siostry; najbiedniejszym usługiwała, udzielała pociechy, zachęcała do zgadzania się z wolą Bożą i wspomagała jałmużną. Nadto chodziła do szpitali i do więzień opatrywać rany chorych i cieszyć pozbawionych wolności. Wielka była jej boleść, że podczas morowego powietrza, które grasowało w Trapani, nie mogła pielęgnować zarażonych, gdyż matka stanowczo się temu oparła. Modliła się więc za nich i posyłała im konserwy, owoce, różne przysmaki i napoje. Resztę czasu wolnego od modlitwy i uczynków miłosiernych poświęcała haftowaniu i szyciu ornatów, i t. p. rzeczy, służących do ozdoby kościoła. W czasie tego zajęcia siostra jej czytała na głos książki pobożne, jak „Uwagi i rozmyślania“ Bł. Bartłomieja z Saluzzo; obie wówczas budowały się i rozpalały serca swoje miłością ku Niebieskiemu Oblubieńcowi.

Zbyt krótkie było to życie, tak dobrze wypełnione. Pan Bóg zerwał ten piękny kwiatek. Innocenta pragnęła śmierci. „Ach, jakbym ja chciała umrzeć“, mówiła nieraz. I została wysłuchaną. Nagle zapadła ciężko, a przepowiedziawszy swój zgon, prosiła o Sakramenta ŚŚ. i o ostatnie błogosławieństwo rodziców. Widząc swą ukochaną siostrę, także Tercjarkę, tonącą we łzach, rzekła: „Pan mnie woła; poddaj się najświętszej Jego woli. Nie zstępuj z drogi raz obranej, a On będzie twoim Mistrzem i pociechą. Zajmij się kongregacją Trzeciego Zakonu i módl się za mnie. Polecam cię Bogu, Matce Jezusowej i Świętemu naszemu Ojcu Franciszkowi“. Wyrzekłszy to, zaczęła szeptać różaniec. „Po co tyle Zdrowaś Marja?“ pytano ją. „Umieram, odpowiedziała, po Jezusie cała moja ufność w Marji“. Kilka chwil później dusza Innocenty uleciała do nieba, zwłoki zaś pochowano w kościele Braci Mniejszych w Trapani [1]).

[1]) Annales franciscaines 1911.

Antoni Le Kler (Clerc) de la Forest, 3 Zak. (1628 r.).

Rodzina Antoniego była jedną z najstarszych w Bretanji i sięgała Jana Le Kler, kanclerza francuskiego w r. 1320. Lecz największą jej sławą było to, że z niej pochodził słynny Kapucyn, Józef Le Kler (Le Clerc), zwany Szarą Eminencją. Antoni urodził się w r. 1573, a wyrósłszy na pobożnego i zdolnego młodziana, wstąpił do semirjum w Auxerre. Umiał doskonale po grecku i Biskup wiele sobie po nim obiecywał, tymczasem po trzech latach noszenia sukni duchownej, młody kleryk przyjął zasady kalwińskie i został żołnierzem w armji króla Navarry pod imieniem La Foresta. Niezadługo przekonał się, co warte były owe mniemane umartwienia hugonotów, ale po krótkiem wahaniu, on co był tak cichy i czysty w seminarjum, poszedł za przykładem towarzyszów, stając się złośnikiem, światowym i rozpustnym. Z kilku potyczek wyszedł cało, wreszcie otrzymał ciężką ranę. Była to dla niego łaska Boża. W Tur (Tours), dokąd się udał, aby się wyleczyć, znajdowała się znajoma jego, pani Brian (Briant), z córką, p. Prowansal (Provançal) i wnukami. U nich to znalazł serdeczną gościnność i macierzyńskie starania. Lecz zaledwie rana się zagoiła, znowu się rozchorował. Obie panie pielęgnowały go, ale najwięcej chodziło im, by nawrócić jego biedną duszę, mówiły więc często, choć bardzo ostrożnie, o życiu wiecznem. Za namową pani Prowansal, której cnoty trafiły do jego zatwardziałego serca, zaczął czytać Pismo Święte i powoli miękнąć. Gdy przyszedł do sił, wojna się skończyła. Obie panie wróciły do Paryża, Antoni zaś udał się jako kapitan do swojej armji, ale na krótko; zdrowie jego było tak nadwyrężone, że mając lat 29, musiał złożyć broń i wyjść z wojska. Oddał się wtedy nauce prawa i otrzymał doktorat, a wraz z nim katedrę prawa w Tur (Tours), później w Paryżu. Opuściwszy szeregi żołnierskie, nie opuścił mimo to swoich złych nałogów; ciągle jednak stały mu na oczach owe cnotliwe kobiety i zaczął doznawać wyrzutów sumienia. Zresztą, chociaż innowierca, modlił się o światło do Ducha Przenajświętszego. I Bóg wysłuchał jego prośby, oświecał jego rozum, więcej jeszcze — zapragnął jego duszy i gonił za nią miłośnie. Często w nocy biedny grzesznik rzucał się na ziemię i, wylewając potoki łez, przyrzekał Bogu wierność, ale nazajutrz, gdy się dzień zrobił, o wszystkiem zapominał. Walka ta trwała dwa lata. W końcu Antoni dał się zwyciężyć miłości Bożej: wyrzekł się protestantyzmu. Jego współwyznawcy zasmucili się, obiecywali mu najkorzystniejsze urzędy, lecz nic nie wskórali.

Po nawróceniu.

Odtąd życie Antoniego było jednym ciągiem postów, czuwania, dyscyplin i pokut wszelkiego rodzaju. Postanowił naprawić zgorszenia, jakie dał z siebie i nic go już nie mogło od Boga oderwać. Zaczęła się teraz walka duchowna; musiał na nowo zdobywać cnoty utracone, które niegdyś zdobiły go w seminarjum. Z początku myślał nie żenić się, ale gdy pani Prowansal w 30 roku życia owdowiała, zostając z siedmiorgiem dziatek, Antoni, który kochał bardzo zmarłego przyjaciela, a podziwiał cnoty młodej wdowy, zapragnął zaopiekować się tą rodziną i po długich prośbach dopiął swego. Miał on z czasem swoich własnych dzieci sześcioro, ale nie robił różnicy między niemi a pasierbami, owszem, więcej tkliwości okazywał tym ostatnim.

Pobożność jego była miła i przyjemna, pełna poświęcenia dla bliźnich. Zajmował się wychowaniem synów i córek, uczył ich rzeczy potrzebnych, a najwięcej religji. Aby wszystkim obowiązkom zadośćuczynić, ułożył sobie porządek dnia, wstawał bardzo rano, a dwa razy dziennie bywał w kościele. Życie wiódł umartwione i ciągle opłakiwał grzeszną swoją młodość. Długie godziny spędzał na modlitwie i dobrych uczynkach. Nawiedzał ubogich i chorych, darzył ich jałmużną, nie miał wstrętu do trędowatych, owszem, z miłością ich całował. Grzesznikom dawał dobre rady i modlił się na ich intencję. Wiele osób udawało się do niego w sprawie swego powołania, otwierało mu swoją duszę; Antoni zawsze im odpisywał i zalecał posłuszeństwo kierownikowi, pokorę, oraz ufność w Bogu.

Jaśniał w nim wielki szacunek dla kapłanów. Cieszył się, gdy przychodzili do jego domu, prosząc o nocleg w podróży, umywał im nogi i oblewał je łzami, czując się szczęśliwym, że może w nich uczcić Pana Jezusa. Przed ich odejściem przyprowadzał dzieci, aby klęcząc, otrzymały błogosławieństwo kapłańskie.

Drugą wybitną jego cnotą była pokora, w której ćwiczył się przy każdej sposobności. Uczony ten mąż nigdy nie mówił swego zdania, nie będąc o nie pytanym; w towarzystwie słuchał, co mówią inni, dopiero, gdy się do niego zwrócono — odpowiadał. Słodycz zajęła w nim miejsce uniesień gniewu i on, którego najmniejszy opór doprowadzał do złości, nauczył się doskonale panować nad sobą. Nadto posiadał rzadką bardzo cnotę zupełnego wyzucia się ze swojej woli. Można rzeczywiście powiedzieć, że Antoni Le Kler nie miał innej woli, tylko wolę Bożą, o nic się nie troszczył, ufając w Boską Opatrzność. Czyż Bóg, który nas wypro-

wadził z niczego, mógłby nas zgubić? Jeśli Go miłujemy i On będzie nam wierny. Wszystkie zdarzenia życiowe uważał, jako zesłane od Boga, a przynajmniej wynikłe z Jego dopuszczenia i dlatego przyjmował je z poddaniem. Gdy śmierć zabrała mu czworo ukochanych dzieci, skarga nie wyszła z ust jego, radził nawet ciężko choremu synowi, aby prosił Pana Boga o śmierć, gdyż wie, że taka jest Jego wola. Siłę do tej walki czerpał przed Tabernakulum i w Komunji świętej, którą pod koniec życia codziennie przyjmował. Komunja jednoczyła go z Bogiem, ożywiała w nim miłość, przygłuszała namiętności. Spełniał nadto wiernie swoje obowiązki, a zajmował odpowiedzialne stanowisko przy królowej Małgorzacie Valois i miał wpływ na nią. Znając Ś. Franciszka Salezego, Ś. Wincentego a Paulo, czcigodną Alicję le Kler, używał wszelkich sił, aby podtrzymać ich dzieła i brał udział we wszystkiem dobrem swoich czasów.

Z jego porady Małgorzata Valois wystawiła w Paryżu klasztor dla Sercanek i drugi dla OO. Augustjanów. Tejże królowej wyjednał śmierć chrześcijańską modlitwami i upomnieniem.

Próby Opatrzności.

Opatrzność Boska kieruje wypadkami naszego życia dla większego pożytku duchownego. Często zabiera nam to, co nam jest najdroższe i w ten sposób oczyszcza nas i uświęca. Antoni również przeszedł przez tygiel utrapień. Choroba go nie opuszczała, a znosił ją z poddaniem, bez słowa skargi. Między innemi cierpieniami, każdego roku miał wrzód bolesny w gardle i co rok groziło mu niebezpieczeństwo śmierci. Pewnego razu, gdy znów leżał ciężko chory, żona z dziećmi zbliżyła się, płacząc, do jego łoża. Widok ukochanych istot zasmucił go bardzo. Chcąc ich pocieszyć, zwrócił się do Pana Boga, prosząc, by usunął samą chorobę, lecz pozostawił mu cierpienie. Prośba jego została wysłuchaną. Wrzód natychmiast pękł i sługa Boży uleczony, rzekł do małżonki: „Nie płacz, najdroższa, prosiłem Pana Boga o zdrowie i oto jestem zdrów zupełnie".

Na pół roku przed śmiercią Antoni przyjął regułę Trzeciego Zakonu Ś. Franciszka i był bardzo gorliwy w jej zachowaniu. Zaraz zrobił testament i rozporządził, że pragnie leżeć w klasztorze Braci Pikpus. Od tej chwili był jeszcze więcej skupiony, rzadko rozmawiał z ludźmi, chyba o rzeczach Bożych i ciągle przygotowywał się do ostatniego przejścia. 10 stycznia r. 1628 zachorował po raz ostatni. Piekło wytężyło swoje siły, aby go pokonać, ale po przyjęciu Sakramentów ŚŚ., nawiedził go Pan Jezus, mówiąc: „Nie lękaj się, Antoni, jestem z tobą, chcę, abyś ofiarował duszę i ciało swoje Królowej Aniołów i abyś Ją uważał za swoją Matkę. Kochaj Ją całem sercem. Ona zawstydzi i zetrze twoich nieprzyjaciół". Na kilka minut przed zgonem wzniósł ręce do góry i wpatrzył się w coś z niewysłowioną radością. Na zapytanie spowiednika, coby to znaczyło, rzekł: „Widzę Pana Jezusa i Matkę Bożą, Aniołów i Świętych Pańskich, którzy zapraszają mnie do chwały wiekuistej". I zaczął nucić pierwszy wiersz psalmu 121: „Weseliłem się z tego, co mi powiedziano: pójdziemy do domu Pańskiego", a wymawiając te słowa, skonał. Po jego śmierci jeden z jego przyjaciół, ksiądz Bernard, zwany ubogim kapłanem, widział jego duszę unoszącą się do nieba w wielkiej światłości. Pochowano go, według życzenia, w kaplicy Matki Boskiej Łaskawej w kościele OO. Pikpus. Kardynał d'Estampes Valency tak dalece poważał Antoniego, że miał zamiar prosić Urbana VIII. o dekret beatyfikacyjny, ale śmierć mu w tem przeszkodziła [1]..

Ś. Józef Kalasanty, 3 Zak. (1648 r.).

Założyciel Pijarów, jak twierdzą niektórzy, przed założeniem swojej kongregacji, należał do 3-go zakonu franciszkańskiego. Urodził się on w zamku Kalasanz w Hiszpanji, z bogatych i znanych rodziców. Pobożna matka wpoiła weń wcześnie miłość ku Bogu i bliźnim, a chłopaczek przyjął te nauki i serce swoje ofiarował Panu Jezusowi i Matce Najświętszej. Modlił się codzień przed ołtarzykiem, który sobie urządził w pokoju i nieraz zdarzało się, że wypraszał tam nadzwyczajne łaski. Po świetnem ukończeniu szkół, ojciec chciał mu wyrobić odpowiedni urząd, ale Józef oświadczył, że pragnie wstąpić do stanu kapłańskiego. Ojciec zrazu pozwolił na to, ale gdy umarł mu starszy syn, zażądał od Józefa, aby został w świecie i ożenił się dla podtrzymania rodu. Zmartwiło to sługę Bożego, który uczynił był ślub czystości i dotąd nie zmazał się żadnym grzechem. W tej biedzie uciekł się do Matki Najświętszej, prosząc Ją o ratunek. Pół nocy przeklęczał na modlitwie, błagając o tę łaskę. I oto zachorował śmiertelnie. Ojciec stał przy łóżku syna i wytężonem okiem śledził, rychło skończy. Naraz Józef podniósł ku niemu wzrok, mówiąc: „Ojcze, jedna rzecz tylko może mnie przy życiu utrzymać, to jest dochowanie mej obietnicy dozgonnego dziewictwa i kapłaństwa". — „Jeżeli to cię uratuje, zawołał stroskany rodzic, nic nie mam przeciw temu". Zaledwie to wyrzekł, boleści ustąpiły i młodzieniec wkrótce wyzdrowiał, a nie zwlekając, wziął

[1]) Ibidem, 1908. Janvier—Mars.

się do nauki teologji. Wyświęcony na kapłana, przez 8 lat gorliwie apostołował w kilku prowincjach hiszpańskich, zwłaszcza w Pirenejach. Ile tu zrobił dobrego dla poprawy obyczajów, jak dzień i noc modlił się i pokutował, by ratować dusze, jak pomagał biednym, oddając im wszystko, co miał, trudno opisać. Następnie z natchnienia Bożego popłynął do Rzymu i mieszkał tam już do końca życia. Piętnaście lat upłynęło mu na modlitwie, dobrych uczynkach względem chorych i nędzarzy, głoszeniu słowa Bożego na ulicach, nauczaniu dzieci i prostaczków, odbywaniu stacji do siedmiu rzymskich bazylik, co czynił nawet nocą, jeżeli w dzień nie było na to czasu. Prócz tego przyłączył się do Ś. Kamila z Lellis i pomagał mu pielęgnować chorych i zarażonych. Po dłuższej próbie poznał, do czego go Bóg powołuje. Widok dzieci ubogich i opuszczonych wzbudzał w nim zawsze litość i chęć dopomożenia im wedle możności. Odprawił jeszcze pielgrzymkę do Loreto i, ufny w opiekę Marji, której tę sprawę polecił, powziął zamiar szerzenia szkół bezpłatnych dla ubogiej dziatwy. Pierwszą taką szkołę otworzył u proboszcza, ks. Antoniego Brendani, który ofiarował mu dwie izby w swoim domu. Papież Klemens VIII pobłogosławił te początki. Z czasem przyłączyły się doń inne osoby i wielu kapłanów, i tak zawiązało się stowarzyszenie szkół pobożnych — piae scholae. Gdy liczba uczniów wzrosła do 1200, Papież Pius V, widząc dobroczynną działalność Józefa, dał mu kościół Ś. Pantaleona i podniósł to stowarzyszenie do stopnia zgromadzenia zakonnego pod opieką Matki Bożej. Zadaniem członków było i jest uczyć dzieci czytania, pisania, rachunków, utrzymywania książek kupieckich i biurowych, języków, filozofji, matematyki, teologji, geografji, historji i tym podobnych nauk. Zgromadzenie rozszerzyło się wkrótce w Hiszpanji, Austrji i w Polsce. Święty założyciel poniósł przytem wiele trudów i prześladowań, które znosił z taką cierpliwością, że przezwano go drugim Jobem. Chociaż był przełożonym generalnym, nie przestawał sam nauczać małych chłopców, zwłaszcza ubogich, sam nawet zamiatał sale i odprowadzał dzieci. Pomimo słabego zdrowia, 50 lat przetrwał na tem stanowisku. Pan Bóg udarował go darem proroctwa i cudów. Lecz piekło nie mogło pozwolić na tyle dobrego, wzbudziło więc przeciw Świętemu nieprzyjaciół, którzy prześladowali całe czcigodne zgromadzenie, a najbardziej jego założyciela. Sami jego synowie powstali przeciw niemu. Zwłaszcza przy końcu życia miał wiele przykrości. Oskarżyli oni 80-letniego starca przed trybunałem rzymskim, wskutek czego został złożony z urzędu generała i musiał słuchać głównego swego prześladowcy. Gdy mu to oznajmiono, zawołał z poddaniem: „Bóg dał, Bóg wziął, niech Imię Jego będzie błogosławione“. Synom duchownym często mawiał: „Dla Jezusa ponieść wstyd i upokorzenie, to nasz obowiązek, więc musimy się tego uczyć“. Umarł 25 sierpnia 1648 roku w niełasce u Stolicy Świętej, mając lat 92, ale przed śmiercią przepowiedział odnowienie i wzrost swego zakonu, który w owym czasie już jakby nie istniał. Pamiątka jego obchodzi się 27 sierpnia. Papież Klemens XIII wpisał go do katalogu Świętych [1]).

Małgorzata von Lüschen, 3 Zak. (1651 r.).

Siostra Małgorzata przyszła na świat 24 grudnia r. 1592 w zamku Stockert w Wirtembergu. Ojcem jej był baron von Lüschen, matką — baronówna von Worms. Cała rodzina należała do protestantów, a służąc przy dworze, brała udział we wszystkich ówczesnych niemoralnościach. Jednej nocy, opowiada kronika, zebrana w sali młodzież, potańczywszy nieco z paniami i pannami, nagle zgasiła światło, aby pobawić się swobodniej. Małgorzata, mając serce czystsze od innych i nie chcąc brać w tem udziału, wybiegła zręcznie z sali, a zabrawszy klejnoty swoje, spuściła się po sznurze na dół. Korzystając z nocy, szła prędko, jak tylko mogła. Za miastem w jednym domku przebrała się w proste suknie i, niepoznana, przeszła cały Wirtemberg, nie zatrzymując się nigdzie, aż dopiero za granicami Niemiec w Antwerpji. Stąd udała się do klasztoru Benedyktynek w Einfeld, u których wyrzekła się protestantyzmu. Następnie, jako pątniczka żebrząca, przybyła do Luksemburga; tu przyjęła Trzecią Regułę Pokutujących, zaś w sześć lat później poprosiła Klarysek-Urbanistek z klasztoru Ducha Przenajświętszego w Luksemburgu, aby jej pozwoliły zamieszkać przy swojej kaplicy i prowadzić życie pustelnicze, jakie niegdyś wiodła w Korbei Ś. Koleta. Wzniesiono dla niej celkę, częścią w kościele, częścią przed nim i Małgorzata żyła tak 28 lat o chlebie i wodzie, które jej z miłosierdzia ofiarowywano. Szatan dręczył ją ciężkiemi pokusami, ale służebnica Boża mężnie pokonywała te napaści. Główną jej cnotą było szczególniejsze nabożeństwo do Najświętszej Marji Panny. Umarła 21 sierpnia 1651 roku i, jak świadczą kierownicy jej sumienia, czyniła cuda za życia i po śmierci. W sam dzień jej zgonu ciało przeniesione zostało do kościoła Rekolektów,

[1]) Le calendrier séraphique, et Vie des Saints par Rohrbacher.

gdzie leży pod płytą kamienną przed ołtarzem Marji Niepokalanej z napisem: „Tu spoczywają zwłoki bardzo cnotliwej panny, tak zwanej siostry Małgorzaty, która, pochodząc ze znakomitego, ale protestanckiego rodu, uciekła z domu rodziców do Luksemburga, aby tu wyznawać wiarę katolicką. Przyjąwszy habit Trzeciej Reguły Świętego naszego Ojca Franciszka, żyła w zamknięciu przez 28 lat w nadzwyczajnych pokutach i zgasła w opinji świątobliwości, 21 sierpnia 1651 r. R. I. P.". Celę rekluzki zamieniono na kaplicę, ale już w r. 1675 trzeba ją było zburzyć, gdyż po jej dachu złodzieje dostawali się do klasztoru [1]).

Marja od Ś. Karola, 3 Zak. reg. (1665 r.).

Ta służebnica Boża przechodziła różne koleje życia, ale w każdym stanie jaśniała w niej gorąca pobożność, która coraz to nowe przybierała kształty.

Urodziła się w Paryżu 1593 roku ze szlachetnych rodziców. Ojcem jej był Amos de Mezą (Maisons), rycerz na dworze króla Henryka IV, a matką — Franciszka de Veuilly, należąca do prastarej rodziny z czasów Filipa Pięknego. Wydana w szesnastej wiośnie życia zamąż za Karola de Veuilly, zamieszkała na wsi, gdzie, korzystając z ciszy wiejskiej i samotności, oddała się modlitwie i umartwieniom, tudzież uczynkom miłosiernym. W sześć lat dopiero po zamążpójściu, na skutek długich próśb i pielgrzymki do Matki Boskiej w Liesse, obdarzył ją Pan Bóg pierwszem dziecięciem. Lecz jednocześnie spotkała ją wielka boleść: zabito jej męża w sposób zdradziecki. Było to w czasie buntu Kondeusza. Karol de Wejji (Veuilly), jako wierny poddany Ludwika XIII, miał iść na wojnę, ale nim to uczynił, zginął z ręki zdrajcy we własnym jeszcze majątku. Niktby się nie dziwił, gdyby młoda, piękna i bogata wdowa wstąpiła była w powtórne związki małżeńskie, aby mieć pomoc w wychowywaniu syna. Pani de Veuilly zapragnęła jednak opuścić świat i wstąpić do Trzeciego Zakonu regularnego. Wybrała sobie na ten cel klasztor zakonnic Ś. Elżbiety w Paryżu, założony przez Małgorzatę Borrej (Borrey), a zostający pod juryzdykcją Ojców z Pikpus. Musiał to być niezwyczajny pociąg wewnętrzny, kiedy matka opuściła upragnione i wymodlone dziecię, uciekając prawie z domu swej siostry, pani de Beaufort, do której, owdowiawszy, przeniosła się z synkiem. Napisała tylko list błagalny do teściowej, polecając jej sercu swoją dziecinę: „Pani, są słowa takowego, ponieważ Pan Bóg natchnął mi gorące pragnienie oddania się Mu na wyłączną służbę w zgromadzeniu zakonnem, proszę cię, nie sprzeciwiaj się temu i nie troszcz się o mnie. Uwiadomię cię wkrótce o miejscu mego pobytu. Poślij tylko po mego synka. Znając twoje serce i tkliwość dla dziecięcia, nie potrzebuję cię prosić, abyś się niem zajęła".

[1]) Annales franciscaines, 1909.

Życie w klasztorze.

Życzeniem pani de Wejji (Veuilly) było znaleźć w klasztorze spokojną przystań dla pracy nad swoją duszą i znalazła ją, ale nie zaraz. Już pierwej jeden ze szlachty starał się o nią, a chociaż dostał odmowę, nie tracił nadziei. Kiedy mu powiedziano, że pani de Veuilly wstąpiła do klasztoru, pobiegł tam, błagał, żebrał, prosił, krzyczał, odgrażał się; przez trzy miesiące nie przestawał robić zabiegów, poruszał niebo i ziemię, zwracając się do osób najbardziej wpływowych, jak hrabina de Suassą (Soissons) i królowa matka, Marja Medicis, aż wreszcie dostał się do więzienia. Tymczasem pani de Wejji (Veuilly) w dziesięć dni po wejściu do klasztoru otrzymała suknię zakonną z rąk O. Wincentego Miussar (Mussard) i Matki Klary. Jakże wielkiej dowiodła ona miłości ku Bogu, trwając przy swojem! Myśl o dziecięciu ciągle ją trapiła. Czy dobrze robi, wyrzekając się najważniejszych obowiązków matki? Czy ma prawo powierzać wychowanie syna obcym? Czy nie będzie odpowiadała za jego wieczne zbawienie? Czy to nie fałszywa pobożność przekładać obowiązki drugorzędne nad te, które wypływają z natury? Takie myśli powstawały w sercu nowicjuszki i wstrząsały niem. Nadto od czasu do czasu narażano ją na cięższe jeszcze walki. Pani de Beaufort przyprowadzała swego siostrzeńca do kraty klasztornej. Dziecię szczypano, aby krzyk jego wzruszył serce macierzyńskie, przepychano tłuste jego rączki przez kratę, aby matka się rozrzewniła. W takich chwilach mężna nowicjuszka wspominała sobie przykład Najświętszej Panny, która, by podobać się Bogu, również musiała się rozstać z jedynym i ukochanym swoim Synem. Również i oschłości wewnętrzne niemało dręczyły tę duszę wybraną. Dopiero profesja położyła koniec jej utrapieniom. Jaki był jej stan w tej uroczystej chwili, doskonale maluje pierwszy bijograf Matki Marji od Ś. Karola. „Nic nie dorównywało radości i szczęściu nowej profeski. Czuła się stokroć szczęśliwszą, niż gdyby została królową świata całego. Jej czarny welon, szata śmierci, był dla niej symbolem życia. Nosiła go nie na znak żałoby, ale radości, że jest ukrzyżowaną i pogrzebioną ze swym Oblubieńcem. Każdy widział po przez gęstą

zasłonę radość anielską, jaka promieniała z jej twarzy. Śluby swoje uważała, jako chrzest, jako męczeństwo i ofiarę krzyżową. Jak pszczółka zbiera miód z kwiatów i robi z niego woskowe komórki, tak całem jej zajęciem odtąd było gromadzić wszelkiego rodzaju cnoty i pracować jedynie dla chwały Bożej. Jej cela była prawdziwym żłobkiem, albo raczej istną Kalwarją; habit najuboższy, najwięcej znoszony i połatany. Gdy przełożeni pozwolili jej nosić cały w łatach różnego koloru, bardzo się z tego cieszyła. Pragnęłaby żyć jedynie resztkami, jakie zostawały na miseczkach sióstr. Niekiedy żebrała od nich po łyżce potraw i zebraną tym sposobem jałmużnę jadła, klęcząc na ziemi. W dnie pokut oskarżała się z najdrobniejszych upadków z takim żalem i pokorą, że zakonnice nie mogły powstrzymać się od płaczu. Widząc się z posłuszeństwa z krewnymi w rozmównicy, przemawiała do nich budująco i energicznie, wskutek czego kilka osób powzięło zamiar poświęcenia się Bogu.

Na przełożeństwie.

Marja od Ś. Karola spełniała rozmaite obowiązki w klasztorze, jak: dyskretki, wikarji, a wreszcie przełożonej generalnej. Na ten ostatni urząd wybierana była trzy razy, rządząc 36 lat z ogólnem zadowoleniem podwładnych swoich. Mając wysokie zdolności do tego obowiązku, używała swego wpływu i dobroci serca do utrzymania w siostrach życia nadprzyrodzonego. Zaprowadziła święty zwyczaj odprawiania miesięcznych i rocznych rekolekcji, napisała nawet w tym celu medytacje bardzo dobre. Wśród córek swoich utrzymywała ducha świętego współzawodnictwa, tak że siostry prześcigały się w aktach ubóstwa, pokory, umartwienia i pokuty. Ubiegały się o urzędy najniższe i najuciążliwsze. Ich szybkość w spełnianiu danych poleceń zmuszała przełożoną do miarkowania się w słowach. Sława cnót Matki Marji od Ś. Karola ściągnęła do klasztoru Ś. Elżbiety kilka osób z arystokracji, jak pannę Beaufort-Ferrand, jej siostrzenicę, hrabinę de Beaumont, żonę posła francuskiego w Londynie, pannę Harley. Nawet osoby żyjące w świecie zasięgały jej rad duchownych.

Jakkolwiek oderwana od stworzeń, służebnica Boża myślała jednakowoż o swoim synu i kiedy, będąc już żonatym, ciężko zachorował, zaraz napisała do synowej, że w całem zgromadzeniu rozpoczęto nowennę ze Mszy świętych na cześć Najświętszej Panny, że wszystkie siostry przyjmą w tej intencji trzy razy Komunję Świętą na cześć trzech Osób Boskich, a w pozostałe dni codzień 12 sióstr, ku uczczeniu dwunastu przywilejów Matki Bożej, przystąpi do Stołu Pańskiego. Pan Bóg wysłuchał tak gorących modłów, a na dziękczynienie uszczęśliwiona matka zarządziła drugą nowennę ze Mszy św. w katedrze Najśw. Panny w Szartr (Chartres). Mając lat 60, tkliwość swoją dla wnucząt posunęła do tego stopnia, że uczyła je gry: „Pielgrzym w Jerozolimie niebieskiej“, zaprawiającej umysł do cnoty.

Pełna dobroci i uprzejmości dla swoich, taką też okazywała się dla sióstr zakonnych. Była dla nich prawdziwą matką, a co najważniejsza, posiadała zmysł rządzenia. Ten ostatni zawdzięczała uległości swojej względem przewodników duchownych. Jeden z nich, O. Orą (Orons) z Ąfler (Honfleur), którego pięć razy obierano na prowincjała, pierwszy prowadził ją po wejściu do klasztoru przez lat 30; drugim jej kierownikiem był O. Chryzostom z Sę-Lo (Saint-Lô), autor wielu dzieł ascetycznych, i w końcu O. Antonin. Wyjednała ona sobie u nich tę łaskę, że chociaż przełożona, mogła mieć siostrę, której słuchała we wszystkiem, co się tyczyło jej własnej osoby. Wreszcie, po wielu trudach i kłopotach, wybiła dla gorliwej oblubienicy Pańskiej godzina wyzwolenia. Jeszcze w r. 1658 dostała ataku paraliżu i musiała udać się do infirmarji, a gdy napady się powtarzały, napisała ostatnią swoją wolę, aby ją przeczytano po jej śmierci, oraz dwa długie listy do sióstr zakonnych i jeden do syna. W ostatnim prosiła barona de Veuilly, żeby, między innemi ofiarami, dał 200 franków na intencję, o której wie ekonomka. Był to dowód jej wdzięczności dla dwóch zakonnic, które ją wspomagały radą w trudnościach i opieką podczas choroby. Chciała, żeby za te pieniądze odprawione były za nie Msze święte. Umarła siostra Marja od Ś. Karola słodko, z Najświętszemi Imionami Jezusa i Marji na ustach, 26 kwietnia 1665 r.. Pochowano ją, jak tego pragnęła, w grobach zakonnych [1]).

Królowa Marja Teresa, 3 Zak. (1683 r.).

Cnoty tej królowej wzbudzały podziw w wieku XVII. Zachowywała ona wiernie Trzecią Regułę i pozostanie na zawsze jedną z gwiazd tego zakonu. Marja Teresa, infantka hiszpańska, urodziła się w Madrycie 20 września r. 1638, jako dziecię Filipa IV, króla Hiszpanji i Elżbiety francuskiej. Od najwcześniejszych lat, bo liczyła ich pięć zaledwie, powierzono ją kierunkowi O. Jana z Palma, komisarza generalnego Obserwantów, który rozwinął w niej ducha pokuty. Już wówczas widziano, jak chętnie oddawała się modlitwie i biegła na Obrządek Boski. Zostawszy w szóstym roku życia sie-

[1]) Ibidem, 1905.

rotą po matce, otrzymała wkrótce od Boga drugą, która z dobrocią i czujnością strzegła Marję Teresę od niebezpieczeństw. Późniejszy jej przewodnik, O. Andrzej z Gwadelupy, komisarz generalny Indji, nauczył księżniczkę, jak można, żyjąc w świecie, nie rządzić się jego duchem, a wśród przepychów królewskich zachować zjednoczenie z Bogiem i pokorę. Za jego radą zaczęła ujmować z przeznaczonej sobie pensji pewną kwotę i wspomagać nią biedaków, a czas tak sobie rozłożyła, że rano i wieczorem udawała się do swojej kaplicy na modlitwę i czytanie pobożnych książek, w ciągu zaś dnia uczyła się i brała udział w przyzwoitych rozrywkach. Mając lat 22, wydaną została za Ludwika XIV, króla Francji. Kochana przez Hiszpanów, zdobyła sobie niezadługo miłość Francuzów. Dobroć, stanowiąca podstawę jej charakteru, odbijała się na jej twarzy i nadawała jej nieprzeparty urok. Będąc pierwszą królową w świecie, Marja Teresa nie wynosiła się z tego, widziała w tem tylko powód dawania dobrego przykładu. Pod kierunkiem swego spowiednika, Brata Mniejszego, męża wielkiej zasługi, czyniła znaczne postępy w doskonałości. O. Alfons Vasquez zalecił jej przystępować do Sakramentów ŚŚ. w każdą niedzielę i w dnie świąteczne. On też w cztery miesiące po jej ślubie wpisał ją do 3-go Zakonu. Królowa przyjęła habit seraficki z najgłębszą pokorą i gorliwością. Później fundowała w kościele Braci Mniejszych w Paryżu kaplicę pod wezwaniem Ś. Ludwika i Ś. Elżbiety, aby służyła jako ognisko dla kongregacji tercjarskiej. Za przykładem królowej, mnóstwo osób wstępowało w szeregi Pokutujących, tak iż w r. 1683 liczono we Francji przeszło tysiąc braterstw.

Pobożna monarchini ćwiczyła się ciągle w pamięci na obecność Bożą; szukała tylko tego, co mogło się przyczynić do większej chwały Boga; gotowa była tysiąc razy oddać swoje życie, aby zapobiedz choćby jednemu grzechowi powszedniemu, zresztą nie rozróżniała bynajmniej winy lekkiej od ciężkiej, wszystkie one bowiem dla jej serca były śmiertelne. Jeżeli kiedykolwiek uległa jakiemu rozdrażnieniu lub innej jakiej niedoskonałości, czuła taki żal, że obfite łzy płynęły z jej oczu.

Pomimo licznych zajęć tak się umiała urządzać z czasem, że i dla dworu poświęcała niezbędne godziny i mogła jeszcze haftować dla kościołów, nawiedzać chorych w szpitalach, spełniać różne uczynki miłosierne, czytać budujące dzieła i długie chwile obracać na modlitwę.

Kiedy Marja Teresa była w kościele, nic dla niej nie istniało, prócz Boga. Nie zauważała żadnego hałasu lub szmeru i nic on jej nie przeszkadzał. Słuchającej raz Mszy świętej w kościele zakonnic, wylano wodę na ubranie, wskutek przewrócenia wazonu z kwiatami. Całe zgromadzenie było poruszone tym wypadkiem. Krzątano się, biegano dokoła Marji Teresy, aby zetrzeć wodę, a ona tymczasem modliła się najspokojniej, nie wiedząc wcale, co się działo. Często, gdy szła do kościoła, tłumy ciekawych biegły za nią, aby się przypatrzeć jej postawie i pobożności; straż, chcąca usunąć owych ludzi, sprawiała zamieszanie, królowa lowa jednak nie spostrzegała tego; jej duch cały zatopiony był w Bogu. On jeden pochłaniał jej umysł, odkrywał w świetle nadprzyrodzonem wielkość naszych tajemnic, oraz podniosłość cnót chrześcijańskich i objaśniał ją o wszystkich przedmiotach modlitwy.

Marja Teresa lubiła chronić się do swego oratorjum i sam na sam z Bogiem wylewać swą duszę. Kilka razy jej damy honorowe zastawały ją tam klęczącą, z rękoma wyciągnionemi i oczyma wlepionemi w krucyfiks; twarz miała zalaną łzami, słowa ogniste wyrywały się z jej ust, a serce nie mogło powstrzymać uniesień miłości. Z żalem zawsze opuszczała to swoje ustronie. W podróżach, gdziekolwiek się zatrzymywano, królowa niezmiennie udawała się do kościoła. Towarzysząc raz Ludwikowi XIV do Strasburga w r. 1683, w małej mieścinie, gdzie przystanęli, nie znalazła domu Bożego, ludność jej bowiem była protestancka. Zmartwiona królowa kazała urządzić ołtarz w jednym ze swoich pokojów i modliła się gorąco o nawrócenie heretyków i o wznowienie prawdziwej religji; jakaż więc radość była dla niej, gdy w kilka chwil potem król zawiadomił ją, że już rozkazał wystawić w miasteczku kościół i sprowadzić kapłanów do jego obsługi. Ileż to razy Marja Teresa wpływała tak dobroczynnie na swego małżonka! Zresztą, modliła się za niego ciągle, błagając o łaski i światło, niezbędne w zarządzie tak wielkiego państwa i składając się Bogu na całopalną ofiarę za swój naród. Jeżeli rządy Ludwika XIV były tak świetne dla Francji, jeżeli tyle wygrał bitew, należy to przypisać modłom cnotliwej królowej.

Modlitwa dla Marji Teresy była najmilszem zajęciem, w niej czerpała ona światło, moc i pociechę. Tak, pociechę, gdyż, jakkolwiek królowa, Marja Teresa nie była szczęśliwą. Po roku pożycia już musiała płakać na osamotnienie, w jakiem król, zajęty innemi damami, małżonkę swoją zostawiał. Straciła nadto dwóch synków i dwie córeczki, a potem ojca i ukochaną macochę. Pośród tylu krzyżów Marja Teresa nie wyrzekła najmniejszej skargi; schylała się przed wolą Bożą, wspaniałomyślnie ją przyjmując. Zazdrość nie miała wstępu do tej szla-

chetnej duszy; owszem, jej cnota była tak wyrobiona, że z ulubienicami króla obchodziła się z dobrocią i słodyczą, godną podziwu. Po Bogu starała się podobać królowi, i gdy ten dał jej dowód pamięci lub zadowolenia, cały ten dzień czuła się szczęśliwą.

Główne cnoty królowej.

Z cnót, zdobiących duszę Marji Teresy, wymienimy tylko najgłówniejsze. Była tak pokorna, tak nisko rozumiejąca o swej wartości osobistej, że nie pozwoliła sobie pochlebiać, jak się to zwykle dzieje na dworach królów i panów. Jeżeli ktoś przychodził prosić ją o jaką łaskę i zaczynał od uwielbień, wracał z niczem; dobrodziejstwa swoje zostawiała dla tych, którzy nie obrażali jej pokory. Jej żywa i czysta wiara nie mogła znosić najmniejszego słowa przeciw dogmatom. Starała się wszelkiemi sposobami pogłębić naukę Kościoła w duszach, dopomagała nowonawróconym, którzy mieli trudności ze strony rodziców, dawała hojne ofiary na misje w kraju i wśród pogan. Prosząc kiedy o cokolwiek prałatów lub przełożonych zakonnych, zastrzegała zawsze, z gorliwości o karność kościelną, by jej odmawiali lub nie pozwalali na rzeczy sprzeciwiające się przepisom i ustawom. Miłosierdzie jej było bezgraniczne. Często, gdy już rozdała swoją pensję, pożyczała znaczne sumy, by dopomódz zgromadzeniom i ubogim. Dzięki jej hojności, Rekolekci i Augustjanie bosi w Saint-Germain en Laye mogli odbudować swój kościół i powiększyć klasztor. W r. 1664 wspólnie z Anną Austryjacką, matką męża, fundowała klasztor Karmelitanek w Paryżu przy ulicy Bouloire; odtąd zakonnice te cieszyły się zawsze jej względami. Najwięcej jednak dobrodziejstw okazywała różnym gałęziom serafickim. Oprócz zwykłych ofiar, niektóre klasztory otrzymywały od niej roczną pensję, np. zakonnice z klasztoru Ave Maria i Rekolektki, którym dawała co rok na światło do wystawienia N. Sakramentu w każdą sobotę i podczas oktawy Niepokalanego Poczęcia. Obserwantom paryskim również dostarczała pieniędzy na świece do wszystkich nabożeństw. Wreszcie posyłała znaczną jałmużnę zakonnikom Ś. Franciszka, strzegącym Miejsc Świętych w Palestynie. Gdy Braciom Mniejszym odebrano Grób Święty i inne drogie pamiątki, Marja Teresa mocno nad tem bolała i wstawiła się do Ludwika XIV, by użył swojej władzy dla przywrócenia Braci w te miejsca. Niestety, życzenie królowej spełniło się już po jej śmierci.

Wszelka nędza znajdowała w niej ucieczkę i pomoc; uposażała młode panny, aby mogły wyjść zamąż odpowiednio do swego urodzenia, albo też wstąpić do klasztoru. Nie poprzestawała na wspieraniu ubogich jałmużnami, ale była jeszcze ich sługą. W Wielki Czwartek umywała nogi 12-u biednym kobietom, poczem całowała je, oblewając łzami, tak czuła się szczęśliwą, że może naśladować Boskiego Zbawcę. Założywszy szpitale, chodziła do chorych, pielęgnowała ich, karmiła, oddawała różne posługi. Często przedstawiano jej, że tym sposobem szkodzi swojemu zdrowiu, na co odpowiadała. „Nie mogę lepiej go użyć, jak na obsługę Jezusa Chrystusa, cierpiącego w swoich członkach“. A troszcząc się o ciało chorych, nierównie więcej dbała o ich dusze. Czuwała troskliwie, by kapelan szpitalny był przy każdym umierającym, choćby który nawet stracił przytomność, bo może ją odzyskać na chwilę przed zgonem, a wtedy należy mu poddawać akty strzeliste, albo pomagać do wzbudzenia żalu. Sama też zachęcała chorych, aby uświęcali swoje cierpienia doskonałem poddaniem się woli Bożej i ufnością w Jego miłosierdzie. Jakże musiało to wpływać nietylko na chorych, ale i na tych, którzy patrzyli na tak głęboką pokorę i miłość Marji Teresy!

Co do królowej, przechodziła ona w szpitalu jakby szkołę cnót. Słabość człowieka i jego nędza uczyły ją pogardy dla wielkości ziemskich, próżności bogactw i zmysłowych rozkoszy.

Jako prawdziwa córka Ś. Franciszka, miała wielkie nabożeństwo do Najśw. Eucharystji. Chodziła do kościołów, w których było wystawione, i nic jej od tego nie mogło odciągnąć; klęczała długie godziny, wpatrując się w Zbawiciela, wyniszczonego z miłości ku ludziom. Przystępowała często do Stołu Pańskiego, bo we wszystkie niedziele i czwartki, w święta uroczyste, oraz we wszystkie dni, kiedy Kościół pod jakimkolwiek tytułem czci Najświętszą Pannę, lub odmawia Officium o jakim Świętym Serafickim. A trzeba pamiętać, że częsta Komunja Św. nie była wtedy we zwyczaju. Po Komunji Świętej zalewała się łzami, które starała się ukryć, spuszczając na twarz zasłonę. Z nabożeństwa ku tej tajemnicy sprawiła do kilku kościołów mnóstwo naczyń i szat kapłańskich, a przedewszystkiem bogatych monstrancji. Podobnąż cześć miała dla Dzieciątka Jezus, i to od młodego bardzo wieku. Odbywała często pielgrzymki do miejsc wsławionych cudami Matki Zbawiciela; codzień odmawiała Małe Officium i spełniała jaki uczynek pobożny ku czci Marji. Od dobrowolnych wstrzemięźliwości nie zwalniało jej ani zmęczenie w podróżach, ani osłabienie ogólne, tylko sam spowiednik, który w potrzebie zamieniał jej pokutę na ofiarę. Miała też synowską miłość

dla Ś. O. Franciszka. Wspomagać Braci Mniejszych i używać dla nich swej władzy, było dla Marji Teresy największą radością. Nieraz słyszano, jak powtarzała, że nie mniej dumną jest z tytułu Tercjarki, jak z tytułu królowej Francji, kiedy przeto siostry braterstwa paryskiego wybrały ją na przełożoną, natychmiast jak najchętniej przyjęła to żądanie i sama podpisała akt swego obioru. Urząd ten pełniła gorliwie aż do śmierci. Otrzymała od Klemensa XI odpust zupełny na wieczne czasy dla tych wszystkich, którzy nawiedzą kaplicę Ś. Ludwika i Ś. Elżbiety, gdzie zgromadzali się Tercjarze. Przemawiając do Tercjarek, nazywała je zawsze siostrami. Na wszystkich papierach, odnoszących się do Trzeciego Zakonu, kładła swoje imię zakonne, bez żadnego dodatku. Umarła świątobliwa królowa 30 lipca 1683 r. po krótkich cierpieniach, mając lat 45. Śmierć jej okryła żałobą Kościół i Francję. Król, uznając zasługi swej małżonki, dawał ją za wzór paniom dworskim[1]).

Franciszek Filiber (Philibert), 3 Zak. (1704 r.).

Świątobliwy ten Tercjarz urodził się w mieście francuskiem Nevers z rodziców katolików, którzy nie dali mu żadnej nauki, oprócz rzemiosła. Był mianowicie szewcem, ale że ta praca nie zadawalniała go, rzucił ją i zapisał się do wojska, pod imieniem La Fejjad (Feuillade). Jego odwaga i zręczność zyskały mu wkrótce szacunek przełożonych, a wślad zatem i urząd grenadjera. W pierwszych latach życia wojskowego La Feuillade oddawał się wszelkim występkom, oprócz kradzieży, bezbożności i tchórzostwa, którem się brzydził; owszem, przykładem swoim i słowami zatrzymał nawet kilku żołnierzy, pragnących uciec z pułku. Brał właśnie udział w kampanji Hogue'a (1692), gdy pewnego dnia czytano głośno w jego obecności historję jakiegoś nawrócenia. Po tem czytaniu wybiegł z obozu i, wstrząśniony do głębi, długo się przechadzał, a wróciwszy, nie mógł zmrużyć oka. Nazajutrz jeszcze słońce nie weszło, a on już stanął przed dowódcą i prosił go o pozwolenie udania się do Valognes, aby zasięgnąć rady u lekarza na chorobę, która go od wczoraj trapiła. Dowódca, widząc go bladym i zmienionym, dał mu żądane pozwolenie, a La Feuillade pobiegł natychmiast do kościoła Kapucynów w Valognes, by złożyć tam brzemię grzechów swoich. Kilkakroć zatrzymywał się na drodze, trapiony wyrzutami sumienia i obawami, nakoniec stanął u celu, ale tutaj opanowały go straszne pokusy; sądził, że grzechy jego są zbyt wielkie, by mu je Pan Bóg przebaczył, życie zaś obozowe nie zgadza się z pobożnością. Łaska i szatan współubiegali się o tę duszę, nieugruntowaną ani w dobrem, ani w złem, już to zrozpaczoną i gotową odstąpić, już mężną i chętną do poprawy. Kilka godzin przeklęczał tak, walcząc z pokusami, wreszcie wyszedł z kościoła i wrócił do obozu. Trzy dni trwała owa walka ze sobą; trzy dni odbywał drogę z Hog (Hogue) do Waloń (Valognes) i trzy dni wracał, nic nie uczyniwszy, a tak strapiony, że nie mógł ani jeść, ani pić, ani spać. Czwartego dnia wybrał się znów w tęż samą drogę, z mocnem postanowieniem odprawienia spowiedzi, choćby miał to życiem przypłacić. Gdy wszedł do kościoła, w konfesjonale siedział właśnie jakiś zakonnik, jakby na niego czekał, a był to znakomity przewodnik dusz i wielki ich znawca. Franciszek opowiedział mu swoje walki i wahanie się, Kapucyn nawzajem pocieszył go i dodał odwagi. Nastąpiła spowiedź generalna, przerywana często łkaniem penitenta i łzami wzruszonego spowiednika.

Pogodziwszy się z Panem Bogiem, La Fejjad ukrył się w pustej kaplicy i modlił się długo i długo w skupieniu, rozkoszując się szczęściem, dotąd mu nieznanem. Zupełna cisza po gwałtownych burzach i radość czystego sumienia odbijały się na obliczu nowonawróconego. Towarzysze jego, zdumieni tak nagłą przemianą, pytali go, jakie szczęście go spotkało. „Największe, odpowiedział, jakie może się przytrafić chrześcijaninowi: odprawiłem spowiedź z całego życia przed świętym Kapucynem. Jeżeli chcecie mi zaufać, jutro to samo uczynicie. Ofiaruję się sam was zaprowadzić". Wojskowi w głos się roześmieli. „Ach, La Fejjad nawrócony!" Wiadomość ta, jak wystrzał, rozbiegła się po całem obozowisku. Odtąd stał on się przedmiotem najboleśniejszych żartów. Jego prowadzenie się bez przygany i jego pobożność gniewały żołnierzy; nie szczędzono mu przezwisk i przydomków, on jednak, zamiast się gniewać, radował się, że może cierpieć dla Imienia Chrystusowego. Pomimo wszystko, stał mocno przy swojem; modlił się, pościł, nie zaniedbał żadnej okazji do czynienia dobrze, a przymówki znosił z heroiczną cierpliwością. Takie postępowanie zamknęło niebawem usta zelżycielom; nie przeszło pół roku, a pogarda, z którą go traktowano, zamieniła się w cześć prawdziwą: każdy go uwielbiał i czcił, jak świętego.

Zostaje tercjarzem.

Po wyprawie wojennej pułk La Fejjad'a zimował w Valognes. Skorzystał on z tego, aby utwierdzić rozpoczęte dzieło i każdodziennie chodził do spowiednika po radę, której potrzebował. Pragnąc wieść życie doskonalsze, zapisał się do szeregów 3-go zakonu Ś. Franciszka i zachowywał tę regułę

[1]) Ibidem, Août et Septembre de l'an. 1908.

jak najściślej do śmierci. Pościł trzy dni w tygodniu, cały Adwent i Wielki Post, chodził przez kilka dni na tydzień we włosienicy i w pasku kolczastym, długo i ostro się biczował. Pyszny i dumny z natury, niskość swego urodzenia pokrywał dotąd szlachetnem obejściem; teraz zaś chciał się okazać tem, czem był, t. j. szewcem ubogim, szyjącym nowe obuwie i łatającym stare, a zarobek swój oddawał nędzarzom. Uznając korzyści dobrego czytania, zapragnął nauczyć się czytać. I oto mężny grenadjer zaczął się uczyć alfabetu z dziecięcą prostotą. W kilka miesięcy zwyciężył trudności nauki i mógł już zadowolnić swoje życzenia, czytał jednak tylko książki, wskazane mu przez spowiednika. Ulubionemi jego dziełami były: Ewangelja, Reguła 3-go Zakonu Ś. Franciszka, Naśladowanie Jezusa Chrystusa i dzieła Ś. Teresy.

La Fejjad otrzymał od Boga szczególny dar modlitwy; codzień poświęcał na nią godzinę rano i godzinę wieczorem bądź w kościele, jeżeli było można, bądź w drodze, a nawet wobec nieprzyjaciela. Przez godzinę przed i po każdem rozmyślaniu zachowywał milczenie; po pół godziny z rana i wieczór czytał pobożne książki, nadto był zawsze na Mszy świętej, odprawianej w obozie. Lecz chociaż tak lubił pobożność i ćwiczenia, na pierwszy głos wzywający go do obowiązku wszystko zostawiał, a biegł, gdzie go potrzebowano, dobrze wiedząc, że nie jest to służba Boża zaniedbywać swoją pracę, aby się oddawać praktykom źle zrozumianej pobożności. Co niedziela i święto La Fejjad przystępował do Komunji św., i czerpał w niej siłę do opierania się pokusom i do postępu w cnotach.

Gdy z Waloń (Valognes) pułk udał się do Dunkierki, grenadjer przeszedł ciężkie chwile. Zdawało mu się, że jest zgubiony i że musi wrócić do dawnego życia. Ale Bóg miłosierny zlitował się nad nim i natchnął jednego pobożnego oficera, z którym La Fejjad był w stosunkach, żeby go rozpytać o powody smutku. Usłyszawszy jego zeznanie, oficer zaprowadził go do swego ojca duchownego; ten zaś osądził, że Pan Bóg doświadcza go, aby go wznieść na wyższy stopień modlitwy. Słowa te rozżywiły gorliwość żołnierza, i chociaż pokusy się wzmogły i on też podwoił swoją odwagę. Pewnego dnia, dręczony złemi myślami, La Fejjad zobaczył kobietę, wchodzącą do jego pokoju w złym zamiarze. Nie patrząc wcale na nią, wyciągnął najlepszą swoją koszulę i podając jej, rzekł: „Weź to i kup sobie chleba“. Kobieta natychmiast znikła, a La Fejjad nie zaznał odtąd tego rodzaju pokusy.

W jakiś czas potem, będąc w Venloo w Holandji w r. 1702, modlił się w kościele Rekolektów i po Komunji Ś. cały zatonął w Bogu. Wracając z kościoła pełen najsłodszych myśli, spotkał ubogiego, któremu oddał wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie. Od tego dnia ziemia i jej rozkosze straciły dla niego urok; nic go już nie trzymało, prócz obowiązku. Taki stan zaczął go przerażać; myślał, że jest igraszką złego ducha, spowiednik jednak, po sumiennem zbadaniu, uspokoił go i pozwolił na codzienną Komunję Ś.. La Fejjad żył więc w coraz ściślejszym związku z Panem Jezusem; aby Mu się zaś całkowicie oddać, postanowił opuścić żołnierkę. Bolał nad błędami swojej młodości i chciał za nie lepiej odpokutować w ciszy jakiego klasztoru. Korzystając, że wojna się skończyła, poprosił o dymisję, ale z tem usposobieniem, że jeśli mu jej nie dadzą, będzie uważał, że taka jest wola Boża. Oficerowie oceniali bardzo La Fejjad'a i nie chcieli go puścić; był im potrzebny dla budowania żołnierzy, pozostał przeto w wojsku.

Dalsze życie jego.

Zrozumiawszy wolę Boską, wziął się z nowym zapałem do pracy, szukając tylko jednego: aby cały świat pokochał Pana Boga i zaczął Mu służyć. Używał wszelkich środków, by powstrzymać towarzyszów swoich od złego życia i udawało mu się to, gdyż żyjąc inaczej, miał nad nimi wielką przewagę. Robił wszystko, aby zapobiedz bluźnierstwom i pojedynkom. Opowiadał o strasznych karach za podobne występki; przysiadał się do graczów, wchodził nawet do karczem, by obecnością swoją i zachowaniem się powstrzymać tych, o których wiedział, że daliby się namówić do złego. Wszczynał rozmowy z oficerami, w celu przypomnienia im o obowiązkach religijnych, a w każdą rzecz wkładał tyle taktu, tyle delikatności, że zarówno przełożeni jak i podwładni słuchali jego rad z zaufaniem. Zresztą nie zalecał nic, czegoby sam nie pełnił.

Schylał się do wszelkiej nędzy, współczuł wszelkiej niedoli. Tłumaczył żołnierzom, że, przełożeni zastępują nam Boga, uczył ich powstrzymywać się od szemrań, uświęcać swoje cierpienia przez jednoczenie ich z cierpieniami Pana Jezusa, podnosił ich odwagę; lubił nawiedzać chorych, uczyć dziatki katechizmu, ogałacał się ze wszystkiego, żeby dopomódz ubogim, a gdy już nie miał nic do dania, żebrał dla nich. Wszędzie, gdzie się obrócił, spełniał prawdziwe apostolstwo. Jego gorliwość i skromność zjednały mu powszechny szacunek. Udawano się do kościoła, aby go widzieć modlącego się i komunikującego; zaczepiano go, aby

porozmawiać, gdyż rozmowa ta zapalała ich serca miłością Bożą, którą on sam był przepełniony.

Po życiu tak owocnem dla nieba, La Fejjad umarł w czasie bitwy r. 1704 we Włoszech. Żołnierze cierpieli bardzo od upałów. 15 sierpnia dzielny wojak, gotów zawsze dodawać odwagi i pocieszać towarzyszów, rzekł do nich: „Cierpliwości, kto dzisiaj dużo znosi, jutro nie będzie miał już nic do cierpienia“, i dodał: „to dla siebie mówię“. Wieczorem przywędrowali do Kassano. Następnego ranka La Fejjad poszedł do kościoła Kapucynów i przyjął Komunję Ś. z zdwojoną żarliwością. Zaledwie powrócił, rozpoczęto bitwę z nieprzyjacielem. Ponieważ było to jeszcze daleko od pułku Vexin, do którego jako kapral należał, sługa Boży modlił się za tych wszystkich, którzy polegną w tej walce. Niebawem ruszył na pomoc ściśniętym rodakom, a że był w pierwszym rzędzie, wkrótce otrzymał kulę. Jeden z przyjaciół chciał go ratować, ale on polecił mu stać przy swoim obowiązku, prosił tylko o modlitwę. Kilka godzin później umarł na rękach kapłana. Kapelan wojskowy, gwardjan Rekolektów, od pewnego czasu leżał sparaliżowany. Gdy mu doniesiono, że La Fejjad nie żyje, wezwał jego wstawiennictwa i wyzdrowiał. Nazajutrz odprawił Mszę świętą w namiocie wicegenerała. „Cóż to, mój Ojcze, rzekł zdumiony oficer, sądziłem, że leżysz w łóżku chory“. — „Tak, jeszcze wczoraj byłem bez władzy, odparł zakonnik, ale po wezwaniu przyczyny jednego świętego żołnierza, którego wczoraj zabito, wstałem natychmiast jak najzdrowszy“. — „To z pewnością La Fejjad, rzekł oficer. Znałem go, był to rzeczywiście Święty“. To samo utrzymywała cała armja. Narzędzia pokutne, znalezione na zmarłym Tercjarzu, rozebrane zostały, jako relikwje. W sto lat później jego pamięć i przykłady życia jeszcze krążyły w pułku Vexin.

Cz. Antoni-Alfons Bermejo, 3 Zak. (1738 r.).

Czcigodny Antoni Alfons Bermejo przyszedł na świat 29 stycznia 1678 r. w Nava del Rej (Rey) w Hiszpanji. Rodzice jego, zamożni wieśniacy, od dziecięctwa wdrożyli go do zajęć w polu, ale dawali mu czas i na ćwiczenia pobożne. Im też zawdzięczał on szczególną cześć dla Najśw. Sakramentu. W ósmym roku Antoni przyjął pierwszą Komunję i odtąd uwidoczniała się w nim coraz gorętsza miłość dla utajonego Jezusa i Jego Matki Najświętszej, a także wielka dobroć ku ubogim. Te są główne rysy jego życia. Gdzie tylko były jakie objawy czci eucharystycznej, Bermejo napewno brał w nich udział. Klęcząc na płytach kamiennych w kościele parafjalnym, z oczami utkwionemi w Tabernakulum, słuchał codzień Mszy św., a bardzo często przyjmował Komunję. Wieczorem znów szedł nawiedzić Boskiego Więźnia, bywał na wszystkich wystawieniach Najśw. Sakramentu, a kiedy kapłan niósł Wjatyk do chorego, Antoni szedł tuż przy swoim Królu. Nie piszą, aby rodzice dziwili się jego pobożności, albo jej przeszkadzali, a bez wątpienia młody rolnik nieraz zostawił na polu sierp lub motykę; ale to było dla Pana Boga, dla którego nigdy nic nie dosyć, tak widać sądzili poczciwi ci ludziska.

Ubodzy i chorzy leżeli Antoniemu na sercu. Gdy widział ich spieszących pod dach gościnny rodziców, biegł ku nim, zdejmował z nich sakwy i prowadził do domu, uśmiechając się i gwarząc z nimi wesoło. Jego ojciec Andrzej i matka Izabella byli bardzo hojni dla ubogich, ale chłopiec chciał również zbierać zasługi i oddawał biedakom swój własny obiad, a sam posilał się chlebem i wodą.

Pewnej nocy Wielkiego Czwartku siedemnastoletni Antoni odprawiał adorację przed Tabernakulum. Nagle duszę jego opromieniło światło Boże. Zrozumiał wyraźniej, co Zbawiciel ucierpiał dla naszego zbawienia i przez jaki zbytek miłości ustanowił Najświętszą Eucharystję. Pojął nadto, że Pan Jezus wzywa go, aby Mu się cały poświęcił, ale gdzie, ale jak? tego nie wiedział. Oczekując jaśniejszej wskazówki woli Bożej, pragnął chociaż współcierpieć z Jezusem, więc przy pomocy gwoździa wyrył sobie rany w nogach, w rękach i w sercu, rany otwarte, które kilka lat się jątrzyły, gdyż nie pozwalał im się zagoić, aż wreszcie wpłynął nań spowiednik, żeby je leczył. Od tego czasu, niz lekceważąc jednak swoich obowiązków, podwoił umartwienia, posty i czuwania, aby zaś dokładniej wszystko to spełniać, przyjął w 22 roku życia regułę Pokutujących i wziął się gorliwie do pracy nad wykształtowaniem w sobie Ś. Franciszka z Assyża. Później chciał zupełnie wyrzec się świata. Pierwszą jego myślą, zrodzoną z miłości ku ubogim i chorym, było wstąpić do zakonu Ś. Jana Bożego — Bonifratrów. Uczynił tak, ale zapadłszy na oczy, musiał po pół roku wrócić do matki, właśnie od niedawna owdowiałej. Było to w r. 1700. Pan Bóg widocznie inne miał względem niego zamiary. Ale jakie? W celu poznania woli Pańskiej, Antoni odprawił pielgrzymkę do grobu ŚŚ. Apostołów w Rzymie, stamtąd udał się do Loreto, a później jeszcze do Ś. Jakóba w Kompostelli. Wszędzie modlił się i radził ludzi świątobliwych.

[1]) Ibidem, Décembre.

Ś. FRANCISZEK POCIĄGA ZA SOBĄ MOŻNYCH TEGO ŚWIATA,

WYOBRAŻONYCH PRZEZ OZNAKI ICH GODNOŚCI.

Utwór I. Ligozzi'ego (1548—1631).

Poznaje swoje powołanie.

Nakoniec, oświecony łaską Bożą, zrozumiał, że ma służyć ubogim i chorym na świecie. Przywdział więc wielki habit Tercjarzy Ś. Franciszka i poszedł pielęgnować ubogich pielgrzymów w ich przytułku w Nava-del-Rey. Jego tam obecność była dziełem zmiłowania Bożego. Zastawszy wielki nieporządek i nieład, postanowił zamienić ów dom na szpital i ofiarował na to swoje fundusze. Matka go odumarła; jedyny brat, który zresztą podzielał jego ofiarność, również przeszedł do lepszego życia, Antoni tedy był panem majątku po rodzicach i cały przeznaczył na budowę obszernego szpitala według ówczesnych wymagań hygjeny. Dla chorych kobiet była oddzielna część domu. Szpital ten posiadał własną aptekę i wielki piękny kościół. W czasie budowy Antoni sam spełniał czynność robotnika mularskiego, nie wstydził się nosić kamieni, służyć mularzom, rozrabiać wapno. Niebawem szpital był przepełniony; często zaś, gdy zabrakło miejsca dla przybywających, odwoził ich do szpitala w Medinie. Czasami na drodze, która szła pod górę, koń jego narowisty zatrzymywał się i nie chciał iść dalej; wówczas Antoni sam się wprzęgał i ciągnął wózek z chorymi.

Czyż potrzeba mówić o jego cierpliwości, zapale, poświęceniu dla chorych? Matka nie byłaby troskliwsza od niego. Był ciągle przy nich, odgadywał życzenia, uprzedzał chęci, a dbając tak serdecznie o ciało, leczył dusze, co też przedewszystkiem miał na celu. Umiał w porę wtrącić dobre słówko i kruszył najzatwardzialsze serca. Zresztą była to jego zasada, żeby dla przyspieszenia zdrowia fizycznego chory najpierw odzyskał spokój duszy przez dobrą spowiedź.

Po oddaniu swym przybranym dzieciom całego spadku, sam się im oddał. Dla nich prosił jałmużny, dla nich raniutko w zimie szedł w góry narąbać drzewa i przynosił je na własnych ramionach. I tak zawsze do końca życia, t. j. do 80-go roku. Jakim cudem mógł wystarczyć na to i być infirmarzem oraz ekonomem zakładu — Bóg tylko jeden wie, bo niekiedy zdrowsi od niego leżeli. Niszczył go rak, dokuczała ruptura, a ciężki krzyż, dźwigany co noc przy odprawianiu Drogi Krzyżowej, wyżłobił mu głęboką ranę, która się wciąż odnawiała. Posiłek jego składał się z zupy chlebowej bez okrasy i żadnej przyprawy, albo z gotowanych jarzyn, również jałowych. Utrzymywała go tylko wiara i codzienna Komunja święta: pracował dla swego Stwórcy, a chorzy byli dlań świętym obrazem Boga.

Pan Bóg już w tem życiu nagrodził przedziwne cnoty Antoniego: wzbogacił go darem umiejętności. Uczeni i teologowie słuchali z zajęciem, gdy ten syn rolnika, umiejący zaledwie czytać i pisać, mówił o Bogu i Jego przymiotach. Dał mu także ducha proroctwa i dar bilokacji, to jest, że w tej samej porze bywał w dwóch miejscach, a nadewszystko dar godzenia zwaśnionych rodzin. Z powodu tylu łask, a głównie cnót wielkich, Bermejo zażywał powszechnej czci i szacunku. Opuścił tę ziemię 14 listopada r. 1758 w swoim ukochanym szpitalu w la Nava-del-Rey. Tłumy ludu przybiegły, aby się przyjrzeć śmiertelnym szczątkom. Musiano trzy dni wstrzymać się z ich pochowaniem i, dziwna rzecz, ciało zachowało swoją giętkość, kolor i ciepło naturalne. Dwa razy puszczano mu krew i dwa razy płynęła przejrzysta i w obfitości. Przy drugiem nacięciu, w 72 godziny po śmierci, krew była również czerwona i płynna. Zebrana starannie, czyniła cuda.

Między innymi doznała jej skutków Kapucynka klasztoru w Nava-del-Rey. Od dawnego już czasu pędziła ona nędzny żywot na posłaniu, nie mogąc się ruszyć. Opatka przyłożyła jej na ciało chusteczkę, umaczaną we krwi Cz. Antoniego, a chora w tejże chwili odzyskała władzę w członkach. Sława cnót i świątobliwości, której za życia używał, z każdym dniem wzrastała, aż rozeszła się po całej Hiszpanji. Z dalekich stron przybywano nawiedzić grób Antoniego i przez jego przyczynę wyjednywać różne dobrodziejstwa. W r. 1860 w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marji Panny, Papież Pius IX ogłosił dekret, uznający cnoty heroiczne czcigodnego sługi Bożego Antoniego Alfonsa Bermejo [1]).

Marja od Jezusa, 3 Zak. reg. (1839 r.).

Pani Żenje (Genyer), późniejsza siostra Marja od Jezusa była jedną z tych osób mężnych o sercu pełnem miłości dla Boga, zapału o dusz zbawienie i współczucia dla wszelkiej nędzy.

Urodzona w Muassak (Moissac) małej mieścinie, leżącej przy zbiegu dwóch rzek: Tarnu i Garonny, była jedynaczką pośród 13-u braci, a wskutek tego cieszyła się szczególniejszemi względami pobożnych swoich rodziców. Korzystała ona tak dobrze z ich przykładów i rad, iż niebawem jej cnoty, jak dobroć, prawość i poświęcenie, zapewniły jej wpływ moralny na rodzeństwo. Ona to zawsze rozstrzygała między braćmi sprzeczki, nieporozumienia i była najwyższą instancją, do której w trudnościach dziecięcych się uciekali. Nierozłączna towarzyszka matki, stała się jej pomocnicą w dobrych uczynkach i wierną naśladowczynią ćwiczeń pobożnych. W takiej szkole musiała się nauczyć

[1]) Ibidem, 1911.

przemyślnej miłości i sposobów zręcznego kierowania sprawami, co nadało jej wyższość nad osobami jej płci i położenia.

Natychmiast po skończeniu lat 16-u wydano ją zamąż, za bogatego kupca w temże mieście. W domu męża zastała jego siostrę, której obejście dziwaczne i gwałtowne stało się dla niej okazją wielu cierpień i zasług. Mąż także posiadał wady swojej siostry i to w stopniu jeszcze bardziej opłakanym. Młodziutka pani Genyer nie straciła odwagi, przeciwnie, zaczęła się ćwiczyć w cierpliwości, zapieraniu się swojego „ja“, okazując w każdej chwili dobroć, słodycz i niezamąconą pogodę ducha. Tyle cnoty w końcu sprawiło swój skutek. Zarówno mąż, jak i jego siostra nietylko zmiękli, ale oddali się praktykom chrześcijańskim, których przykład mieli przed oczyma. Ale przyszły cięższe czasy i to niezadługo. Rewolucja francuska już była w powietrzu, już rozlegały się jej okrzyki, w całym kraju szerzyła się śmierć i zniszczenie. Nie oszczędziła ona i małego miasteczka Moissac, w którem uczucia religijne rodziny Żenje (Genyer) były zanadto znane, by ją zostawiono w pokoju. Pani Żenje wiele wówczas przeniosła: aresztowano dwóch jej braci kapłanów, uwięziono męża, zabrano majątek, w końcu i ją osadzono w więzieniu, a na krótko przedtem umarła jej mała córeczka, jedyna, jaka jej została z dzieci.

Wobec tryumfującej bezbożności, dzielna niewiasta nie cofnęła się. Owszem, jeszcze pobożniejsza, więcej zjednoczona z Bogiem, nie przejmująca się nowemi obyczajami, w Trzecim Zakonie Ś. Franciszka szukała dla siebie wsparcia w tych smutnych czasach, przypływu łask, doskonalszej cnoty i odwagi. Przyjął ją do rodziny serafickiej O. Daniel z Moissac, Kapucyn, zmarły w tej mieścinie r. 1801.

Owdowiawszy w 10 lat po stracie córki, pani Genyer nie miała już nic, coby ją zatrzymywało wśród świata. Od jakiegoś czasu marzyła, aby majątek swój ofiarować na cele miłosierne. W 42-m roku życia Pan Bóg dał jej poznać, że w domu jej osiądą pobożne osoby. W 46-m odumarł ją małżonek, a że swoje dobra ziemskie uważała tylko jako depozyt, złożony przez Boga na to, by go użyła ku czci Jego, postanowiła iść za głosem wewnętrznym, który jej szeptał o zebraniu nowej kongregacji.

Zakłada Zgromadzenie Sióstr Miłości.

Oczekując wyraźniejszej wskazówki woli Bożej, przymnożyła sobie ćwiczeń i dobrych uczynków; wspierała ubogich, służyła chorym, nauczała dziatwę. Radziła się osób najświątobliwszych i najroztropniejszych, wreszcie w r. 1804 Pan Bóg objawił jej swoją wolę przez mądrego kierownika. Nie było się co już wahać. Na przedstawienie trudności, jakie ją czekają, odpowiedziała Biskupowi dyecezjalnemu, że jest bardzo nędzna, ale liczy przedewszystkiem na błogosławieństwo Boże. Ponieważ rewolucja tyle złego wyrządziła religji, czyż nie można i nie należy pracować nad naprawą tego? Z drugiej strony nikogo to nie zadziwi, bo jej działalność obejmie tylko ubogich, maluczkich i nieszczęśliwych. Wobec takiego heroizmu i tak wspaniałych zamiarów, Biskup z Cahors udzielił swojego błogosławieństwa, a pani Genyer wzięła się do pracy. Kilka młodych panien, ożywionych temiż pragnieniami, zebrało się pod jej przewodnictwem. Przerobiono piękne i duże sale w jej domu na celki, refektarz, sypialnie, i dom zamienił się na klasztor. Roboty nie brakło; wspólnie oddawały się jej wesoło z zapałem. Przyjmowały sieroty, uczyły córki biednych, opatrywały rany chorych, nie zaniedbując przytem ćwiczeń pobożności. Powoli p. Genyer, która w zakonie miała imię Matki Marji od Jezusa, przyzwyczaiła swoje towarzyszki do życia według reguły i przepisów, urabiała je w cnotach zakonnych: pobożności, zaparciu i poświęceniu. Na ich żądanie ułożyła konstytucje, którym z radością poddały się. Później otrzymały też i habit, oraz nazwę Sióstr Miłości, pod którą odtąd były znane.

Zakładając zgromadzenie, pani Genyer miała ten tylko cel: rozżywić ducha Chrystusowego względem ubogich. Zaczęła przeto od najwięcej godnych litości, t. j. od sierot, które otrzymywały od niej bezpłatne wychowanie. Potem zaopiekowała się młodemi dziewczętami, aby je uchronić od niebezpieczeństw światowych; później otworzyła bezpłatne szkoły dla małych dziewczynek, ucząc je religji, którą rodzice ich przeważnie bluźnili; dalej jeszcze ambulatorja, gdzie w określonych godzinach opatrywano z bezgranicznem poświęceniem rany chorych biedaków. Wreszcie jedno jeszcze dzieło zapoczątkowała: małe seminarjum, z którego przez długie lata wychodzili i dzisiaj wychodzą pobożni i gorliwi kapłani.

Z latami nowe zgromadzenie wzrosło w liczbę, i na życzenie Biskupów i wiernych, osiedlało się w różnych miastach, jak w Agen, Kahor (Cahors), Mątoban (Montauban), Marmand (Marmande). 17 września 1824 r. Ojciec Święty zatwierdził konstytucje, nie robiąc w nich żadnych zmian, tak jak je nakreśliła Matka Fundatorka. Była to dla niej nieopisana radość. W 15 lat później przyszła choroba, a z nią ciężkie wewnętrzne bóle, które oczyściły tę duszę wybraną. Pośród cierpień powtarza-

ła tylko: „Bądź wola Twoja, Panie, bądź wola Twoja. Jeszcze więcej, Panie, uderzaj, otom gotowa na wszystko“. 7 lipca 1839 r. zasnęła w pocałowaniu Pańskiem, mając lat 83, udzieliwszy po raz ostatni błogosławieństwa swoim córkom duchownym.

Przez całe swoje życie budowała cnotami chrześcijańskiemi. Ulubioną jej modlitwą był akt strzelisty S. Franciszka z Assyża: „Bóg mój i wszystko moje“. Jeszcze jedno podobieństwo zachodziło między Matką Marją od Jezusa, a jej Seraficim Ojcem, mianowicie: wyjątkowy pociąg do ubóstwa. „Wystarczy mi, mawiała do sióstr, zostawić wam tyle tylko zasobów, abyście mogły w dalszym ciągu dobrze czynić. Ale pamiętajcie, że tylko będąc same ubogiemi, zdołacie zachować się w gorliwości“. Tym, które ją błagały, żeby z powodu późnego wieku i trapiących ją chorób nie robiła żadnej roboty, odpowiadała: „Dzieci moje, ubodzy odpoczywają dopiero wówczas, gdy nie mogą już ręką ruszyć“. Stosując się do tego, odpoczęła dopiero po śmierci, kiedy Pan Bóg przyjął ją do chwały wiekuistej [1]).

Silvio Pelliko (Pellico), 3 Zak. (1854 r.).

Ten znakomity pisarz włoski należał do Zakonu Pokutujących, którego regułę przyjął na 23 lata przed śmiercią. Urodził się w r. 1789, w mieście piemonckiem, Saluzzo. Rodzice jego, głęboko religijni, dali mu wychowanie chrześcijańskie. Nauki pobierał we Francji i we Włoszech, a gdy zasłynął, jako pisarz, wszyscy uwielbiali jego poezje, dramaty i tragedje. Jeden z tych utworów: „Francesca de Rimini“, prawdziwe arcydzieło przedstawiany był na scenach; czytano go i odczytywano bezustanku. Jako profesor języka francuskiego w domu sierot po wojskowych, i nauczyciel dzieci hrabiego Porro, słynny poeta miał stosunki z umysłami wykształconemi całej Europy. Lecz na nieszczęście umysły te nie zawsze przeniknione były wiarą. Pod ich wpływem prosta i żywa wiara Pellico straciła na swojej świeżości; wierzył on jeszcze, ale już wiarą słabą i martwą. Aby się usprawiedliwić we własnych oczach, rozprawiał o nauce Kościoła, o niektórych jej punktach niedość zrozumiałych, gorszył się z nadużyć, podtrzymywał zdania mniemanych myślicieli i uspokajał wyrzuty sumienia wymówkami niegodnemi oświeconego rozumu. Pomimo to czuł się szczęśliwym i nie zamieniłby swego losu nawet na książęcy. Ale Bóg pragnął jego duszy i aby ją pozyskać, użył wypadków.

13 października r. 1820 poetę aresztowano w Medjolanie, a po 15-u miesiącach więzienia skazano na śmierć, który to wyrok zmieniono później na 15-o letnie zamknięcie w twierdzy Spielberg w Morawji. Skazańcy tego rodzaju musieli pracować w kajdanach, spać na gołych deskach i żywić się jedynie chlebem i wodą, a pracowali każdy w swej celce. Zamek Spielberg było to najsurowsze więzienie w monarchji austrjackiej. Silvio Pellico dostał się do niego na mocy tylko prostych podejrzeń, w których ówczesna ciemna polityka austrjacka upatrywała już występek. Oskarżono go o zbrodnię stanu i o karbonaryzm. Rzeczywiście zaś nie był winien ani jednego ani drugiego, tylko towarzystwa, z któremi utrzymywał stosunki, jako człowiek uczony, tudzież wyznawane głośno idee wolności i przeznaczenia swej ojczyzny, źle go postawiły w oczach rządu; resztę zrobili fałszywi przyjaciele. Te lata udręczeń moralnych i fizycznych, wycierpianych przez umysł wyższy, duszę bardzo wrażliwą i zupełnie niewinną tego, o co ją posądzano, dały nam piękną księgę pod tytułem: „Moje więzienie“. „Chciałem, mówi autor we wstępie, przyczynić się do podniesienia odwagi w nieszczęśliwych, ukazując im cierpienia, jakie przeszedłem i pociechy, jakich wśród nich doznałem. Chciałem dowieść, że cierpiąc tak strasznie i długo, nie czułem jednak, żeby ludzkość była tak niesprawiedliwą, tak mało godną pobłażania, tak pozbawioną dusz pięknych, jak to zazwyczaj przedstawiają; chciałem skłonić serca szlachetne do miłości ludzi, a nie do ich nienawiści; pokazać, że nienawiść i to nieprzejednaną należy mieć tylko dla kłamstwa, podłości, zdrady i dla wszelkiego upadku moralnego; wreszcie powtórzyć tę ważną prawdę, o której często się zapomina, a którą tak religja, jak filozofja wskazuje, że potrzebna jest zawsze mocna i stała wola i spokój w sądzeniu, bez tych bowiem dwóch warunków niemasz sprawiedliwości ani godności“. Jest to dzieło, zawierające raczej zdrową filozofję i głęboką pobożność, aniżeli traktat historyczny. Forma opowieściowa, w jakiej jest napisane, zachęca do czytania, a przeczytawszy raz, wraca się do niej znowu z nowem zaciekawieniem. Czytanie tej książki polecamy szczególniej tym, którzy cierpią, którzy wątpią i którym brak męstwa w walkach życiowych.

Przeciwność dla Silvio Pellico była zbawienna: uświęciła go. Już pierwsze jej ciosy przyjął po chrześcijańsku, z rzadkiem męstwem. Na straszny wyrok, odrywający go od wszystkiego, co kochał, od świetnego stanowiska, które sobie wyrobił i grzebiący go w 31-m roku życia w więzieniu, gorszem niż grób, miał to tylko słowo: „Niech się dzieje wola Boża!“

[1]) Les Voix franciscaines, 1911.

Jego własne zeznania.

W przeciągu 12-u lat twardej niewoli, okrutnej i niezasłużonej, zamiast szemrać na ludzi i na Boga, potrafił, jak niegdyś Hijob, uznać w tem i błogosławić rękę Pańską. Wiele razy rozpacz pukała do jego duszy, „ale, zeznaje sam, burze te przechodziły wkrótce; religja mnie podtrzymywała. Ona mówiła mi, że człowiek musi cierpieć, a cierpieć ochoczo, ona sprawiała, że w boleściach moich znajdowałem jakąś rozkosz, radość, męstwo, aby nie upaść i wszystko pokonać. Pytałem siebie samego, czyż cnotami swemi zasłużyłem na szczęście? Gdzież są te cnoty? Rachując się ze ścisłą surowością co do lat przeżytych, widzę bardzo mało czynów, któreby można pochwalić, a reszta są to same szaleństwa: bałwochwalstwo, pycha, fałszywe zasługi. A zatem wniosek taki: Cierp nędzniku! Choćby ludzie i owady uśmiercili cię jedynie przez złość, nie mając do tego żadnego prawa, uznaj w nich narzędzia sprawiedliwości Bożej i nieba.

Czy człowiek potrzebuje wysiłku, aby się szczerze upokorzyć i uznać, że jest grzesznikiem? Czyż nie prawda, że wogóle trwonimy swoją młodość na fraszkach, a zamiast wszystkie swoje siły kierować ku dobru, większą ich część obracamy na poniżenie swoje? Są bezwątpienia wyjątki, ale przyznaję, że moja osoba do nich nie należy. Nie mam żadnej zasługi z tego, że jestem niezadowolony z siebie. Kiedy widzimy, że lampa daje więcej dymu niż blasku, nie jest to wielka szczerość powiedzieć, że się nie pali, jak powinna. Tak; bez poniżania się, bez zbytniej przesady, badając się z całym spokojem ducha, czuję, że słusznie Pan Bóg mnie dotknął. Głos wewnętrzny mówi mi: „Te kary należą ci się za tamto, jeżeli nie za to. Gdybyż one przywiodły cię do Tego, który jest samą doskonałością, a którego wszyscy ludzie w miarę sił swoich obowiązani są naśladować. I na jakiej zasadzie ja, com zmuszony uznać się winnym mnóstwa niewierności względem Boga, będę się skarżył na ludzi, którzy mi się wydają złymi, a choćby i na rzeczywistych niegodziwców, że pozbawili mnie dóbr tego świata, że muszę żywot swój pędzić w więzieniu, albo ginąć śmiercią gwałtowną? Usiłowałem wyryć w mem sercu uwagi tak słuszne i tak dobrze rozważone, a kiedy mi się to udało, zobaczyłem, że trzeba postępować zgodnie z temi zasadami, a więc błogosławić sprawiedliwe wyroki Boże przez umiłowanie ich i wyniszczanie w sobie wszystkiego, coby się im sprzeciwiało".

Silvio Pellico czerpał pokój i poddanie się w tej myśli: „Jest Bóg; sprawiedliwość Jego nieomylna, dobroć nieograniczona; wszystko więc, co się dzieje, dzieje się dla doskonałego celu, a zatem i cierpienia człowieka na tej ziemi mają na celu największe jego szczęście".

Przejścia duchowne.

Mimo to słynny więzień przechodził ciężkie i straszne chwile zupełnego zwątpienia, nieopisanych pokus rozpaczy, samobójstwa... dusza jego staczała się w przepaść, piekło otwierało się tuż przy nim. Wołał on wówczas: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?" I zdawało mu się słyszeć głos wewnętrzny: „Zaufaj mojej dobroci", na co odpowiadał: „Tak, Panie, w Twojej dobroci pokładam nadzieję moją".

Zapadłszy 11 stycznia 1823 r. w śmiertelną chorobę, przyjął ostatnie Sakramenta ŚŚ.. Od tej chwili często się spowiadał, modlił, pracował, jak mógł, czytał uważnie Biblję i Dantego, którego wkrótce umiał na pamięć. Biblja, księga Boża, umiłowana przezeń, gdy jeszcze był niby niewierzącym, teraz była badaną, rozważaną z większym niż kiedykolwiek szacunkiem.

„Gdy przeczytałem dnia pewnego, pisze on, że trzeba się zawsze modlić, i że prawdziwa modlitwa zasadza się nie na szeptaniu wielu słów, jak to czynią poganie, ale na oddawaniu czci Panu Bogu z prostotą, tak żeby słowa i uczynki były wypełnieniem Jego świętej woli, postanowiłem zacząć tę ustawiczną modlitwę i nie pozwolić sobie na żadną myśl, którejby nie ożywiało pragnienie zgadzania się we wszystkiem z wyrokami Boskiemi. Praktyka trzymania się w ustawicznej obecności Boskiej zamiast być dla mnie wysiłkiem, umysł męczącym, lub przedmiotem obawy, była przeciwnie samą słodyczą. Z każdym dniem samotność traciła w moich oczach swoją grozę, gdyż myślałem, że Bóg jest zawsze przy nas, że jest w nas, a raczej my w Nim jesteśmy. „Czyż nie jestem w bardzo dobrem towarzystwie?" mówiłem sobie, i zaraz w duszy robiło się cicho, owszem, rozpływałem się nawet w uczuciach szczęścia i rozczulenia".

Odpowiadając wspaniałomyślnie łasce Bożej, Silvio doszedł do tego, że wyrobił w sobie rzeczywiste umiłowanie krzyża. „Ach, wyrzecze on później, za moje minione bóle i za obecną szczęśliwość, jak i za wszelkie dobro i wszelkie zło, jakie mnie ma jeszcze spotkać, niech Opatrzność Boża będzie uwielbioną. Ludzie i wypadki, chcąc czy nie chcąc, są w Jej ręku przedziwnemi narzędziami, któremi się posługuje dla wiadomych sobie a wzniosłych celów". Wypuszczony na wolność w sierpniu 1832 roku, Silvio Pellico udał się do Paryża, gdzie poznał się z Biskupem de Ségur, który przyjął go do Trzeciego Zakonu Świętego Franciszka. Po powrocie do Włoch o-

siedlił się w Turynie. Do śmierci, t. j. do r. 1854, nie przestawał świętością swoją wzbudzać podziwu w tych, którzy go znali. Na grobie jego wyryto te słowa: „Pod brzemieniem krzyża nauczył się drogi do nieba. Chrześcijaninie, módl się za niego i naśladuj go“. Aby znać Silvio Pelliko, trzeba czytać „Moje więzienie“, a przeczytawszy je, powiemy z przekonaniem: Błogosławieni, którzy płaczą [1]).

Leon Lefèvre, 3 Zak. (1900 r.).

W roku 1900 umarł we Francji nadzwyczaj bogobojny i świątobliwy Tercjarz, Leon Lefewr, profesor matematyki w dużem mieście Kluni (Cluny), wzorowy mąż, ojciec, wychowawca i gorliwy syn Ś. Franciszka.

Leon Lefewr w bardzo młodym wieku rozpoczął uciążliwą pracę pedagogiczną, jako profesor matematyki. Gdy miał lat 25, zaczęła mu ciężyć samotność. Pobożny wielce, niegdyś nawet zamyślał, żeby się poświęcić stanowi kapłańskiemu, ale przez pokorę zaniechał tego zamiaru. Postanowił przeto wejść w związki małżeńskie, uważając powołanie do stworzenia rodziny za jedną z najszlachetniejszych rzeczy na świecie.

„Widząc, tak pisał w liście do blizkich swoich, że nie mam dosyć cnoty, aby zostać kapłanem, pomyślałem sobie, że i apostolstwo świeckie nie jest bez zasługi, że dobrym własnym przykładem mógłbym wiele dobrego zrobić duszom dobrej woli; że wychowując po chrześcijańsku dzieci, któremi może spodoba się Bogu mnie obdarzyć, mógłbym z nich urobić ludzi obowiązku, jakich wielki brak odczuwa się w naszej ojczyźnie, a które ze swej strony przyczynią się do udoskonalenia nowych pokoleń“. Przy końcu roku szkolnego przedstawił rodzicom swój zamiar, i wkrótce zawiązał stosunki z tą, która miała się stać towarzyszką jego życia i w całem znaczeniu tego wyrazu — siostrą jego duszy. Po pierwszych widzeniach się zawiązała się korespondencja; przytaczamy z niej jeden tylko wyjątek, aby się zbytnio nie rozszerzać.

„Wiesz, pani, że jestem matematykiem, pisał do swojej narzeczonej, a ludzie, podobni mnie z zawodu, z codziennej praktyki dobrze wiedzą, że każda określona ilość jest zerem wobec nieskończoności... Zwyciężony tym pewnikiem matematycznym, myślę, że podobnież w porządku moralnym wszystko powinno ustąpić wobec zbawienia własnej duszy; że wobec prawd wiary wszystkie prawdy przyrodzone są małego znaczenia i że nakoniec życie, które nie będzie miało za swój wzór Jezusa Chrystusa, o ile to jest dostępne ludzkiej naturze, życie takie nie będzie dobrem.

Jeżeli Chrystus o sobie powiedział: „Jam jest Droga, Prawda i Żywot“, cóż Mu się więc od nas należy, jeżeli nie zupełne poświęcenie się Temu, kto je wyrzekł? Jestem sobie najzwyklejszym chrześcijaninem, ale podszytym matematyką, co daje mi możność wnioski z wyżej wspomnianej idei posunąć aż do krańców i tej idei wierzyć i wiernie jej służyć...

To, co pani o mnie powiedziano, jest prawdą. Tak; staram się każdej niedzieli przystępować do Stołu Pańskiego. Postanowienie to zrobiłem przed czterema laty, pod wpływem natchnienia. Wstydzę się jednak szczegółowo opowiadać o tem, co może zdawałoby się świadczyć na moją pochwałę, gdy tymczasem wiem dobrze, ile to podłości wkrada się do każdej rzeczy i jak mało wart jestem pomimo tych praktyk, które życzliwe osoby mogłyby uważać za dostateczne“.

A więc w epoce i przy okolicznościach, w których wszystko przeszkadza do spraw nadprzyrodzonych i zmusza do myślenia tylko o przyszłości ziemskiej, Lefewr nie tracił z oczu wieczności. I nietylko w chwilach narzeczeństwa tak czuł i myślał, ale w całym ciągu życia małżeńskiego.

Na łonie rodziny.

Duch wiary i to jasne wesele duszy nigdy go nie zawiodły. Własne dzieci jego wspominają, jak się z niemi ojciec bawił i jak umiał zapałem swoim je porywać. Nie przeszkadzała mu wcale ta powaga, jaką ku sobie zawsze wzbudzał i której z taką dobrocią, a zawsze tak niezachwianie używał. Wychowawca i ojciec-chrześcijanin nie psuł nigdy swych dzieci, chociaż z wielkiem sercem czuwał nad niemi; wstawał nieraz w nocy, ażeby chore pielęgnować, chodził z niemi na spacer, sam je uczył... To też, kiedy mała Dyzia umarła, ciężki smutek przytłoczył mu duszę i nieraz powtarzał swej żonie: „Wciąż z nią żyję i obcuję, i zdaje mi się, że niezadługo ją odnajdę“.

Zbytecznem wspominać, że religja zawsze przodowała w jego pracy wychowawczej. Kiedy każde z dzieci na świat przychodziło, pierwej błogosławił niemowlę, czynił mu znak krzyża na czole, a potem dopiero tulił do serca. Co wieczór, kiedy dzieci już miały udać się na spoczynek, wszystkie przychodziły do ojca i otrzymywały klęczący błogosławieństwo, wypowiadane zawsze głosem pełnym wzruszenia: „Niech Bóg was błogosławi i od złego chroni“. Praca i odpoczynek zawsze rozpoczynały się króciutką modlitwą i kiedy zasiadali do stołu, sam zwykł był głośno odmawiać „Błogosławieństwo darów“ nawet przy obcych, tłumacząc się, że taki zawsze u nich patryarchalny zwyczaj.

[1]) Le Petit Messager de St. François, 1910.

Cichy z natury i skromny, a jednak wzbudzał ku sobie cześć największą. W dniu pierwszej Komunji najstarszego syna, ucznia liceum w Lille, sam razem z dziećmi tego zakładu przystąpił do Stołu Pańskiego. Tak się złożyło, że musiał rozpocząć szereg komunikujących i przechodzić obok wszystkich powag uniwersyteckich: inspektora, rektora i t. p. i obok dorosłych uczniów, którzy z wysokości trybuny na niego spoglądali. Jeden z tych studentów odwiedził raz panią Lefewr, ale już po śmierci swego niezapomnianego profesora i przypomniał sobie ów pamiętny dzień Komunji: „Wie pani, że dopiero od tej chwili powziąłem takie prawdziwe, szczere i wielkie zaufanie do tego człowieka, i nic dziwnego, że teraz wszystko mu zawdzięczam“. A zaraz po ceremonji tenże student odezwał się do swego kapelana, że 14 lat jest w liceum, a dopiero pierwszy raz widzi, żeby profesor zbliżał się publicznie do Stołu Pańskiego i że to bardzo pięknię i wzniośle świadczy o panu Lefewr.

Sam sprawca tego przykładu musiał również odczuć, że dobrze postąpił, chociażby dla gorącości uścisków mnóstwa rąk, które do niego wyciągnęli koledzy i inni zacni ludzie, winszując mu męstwa i prawości charakteru.

Poważny i myślący ten człowiek nie przedsięwziął nigdy żadnego ważnego czynu, dopóki nie otrzymał błogosławieństwa od swego spowiednika i dopóki w długiej a gorącej modlitwie po Komunji świętej nie polecił zamiarów swoich Bogu. Im więcej lat życia mu przybywało, tem wyżej podnosił się na drodze doskonałości i miłości Boga.

Cnoty Lefewr'a.

Pobożność jego zasilała się w nabożeństwach kościelnych, gdyż nie należał do tych mędrkujących, którzy zadawalniali się czcią wewnętrzną, a w praktykach zewnętrznych ograniczali się tylko do niezbędnie potrzebnych. Lubił naprzykład słuchać Nieszporów i Komplety.

Nietylko raz w niedzielę, jak to było na początku małżeństwa, ale 3 razy tygodniowo Leon Lefewr przystępował do Komunji świętej. Chcąc zaś uczestniczyć w życiu i zasługach zakonnej rodziny, zapisał się do Tercjarstwa Ś. Franciszka i żywo przejmował się wzniosłą i szlachetną cnotą ubóstwa, która w codziennym biegu życia tak się nie cieszy powodzeniem.

Wszyscy, którzy znali Lefewra, zawsze podziwiali jego skromność i doskonałą pokorę. „Pokora — to prawda“, miewał często na ustach swoich. Szczery we wszystkiem, nienawidził fałszywej, udanej pokory. „Nie wierzyłbym w swoją pokorę, pisał do żony, gdybym mówił o sobie, że jestem głupkowatym. Wiem dobrze, że Bóg mnie obdarzył inteligencją, ale zachowuję ją, jako dar Jego dobroci i chcę z tego daru tak korzystać, jak tego Bóg odemnie się spodziewa“.

Koroną cnót Leona Lefewra było jego miłosierdzie względem ubogich i tych, którzy zwracali się do niego z jaką prośbą. Litościwy i życzliwy był dla wszystkich; obmowę, złośliwe żarty zawsze uważał za rzecz nieszlachetną i bardzo niską. Tylko dla siebie był surowy. Hojny, wyrozumiały ale stanowczy — zawsze u drugich przypuszczał dobrą wiarę i kiedy nawet rozmawiał z przeciwnikami swoich przekonań, zawsze starał się wybierać temat ogólny, żeby spokojnie i życzliwie mogli z sobą porozmawiać.

Żarliwy katolik, Tercjarz Ś. Franciszka, służył pięknem świadectwem doskonale spełnianych obowiązków i nic dziwnego, że zawsze gotów był stanąć przed Bogiem. Gdyby nie zostawiał po sobie żony i dzieci, śmierć byłaby dla niego wielką nagrodą, jakiej Bóg zwykle udziela sługom swoim, którzy się dosyć napracowali.

Choroba i śmierć Lefewra.

25 kwietnia 1900 r. Lefewr był jeszcze na Mszy św. z żoną i komunikował. Pomimo kaszlu, który mu już od kilku tygodni dokuczał i przejmującego chłodu, nie chciał opuszczać lekcji i poszedł do klasy. Uczuł zaraz dreszcze i silną gorączkę, ale jeszcze wytrwał do godziny 10-ej. Ponieważ niemoc coraz większa go ogarniała, wsiadł do powozu, ale przez delikatność, żeby nie przestraszyć żony, kazał zatrzymać się i wysiadł o parę domów przed swojem mieszkaniem. Położył się zaraz do łóżka i natychmiast posłał po swego spowiednika, powtarzając cicho: „Jezu, zlituj się nad nami!“ Czuł już nadchodzący koniec, i kiedy kapłan odszedł, zwrócił się do żony swojej: „Widzisz, jak to nie można na ostatnią chwilę odkładać przygotowania do śmierci. Teraz przy spowiedzi ledwie zdołałem myśli zebrać“. Tegoż samego dnia prosił o Ostatnie Namaszczenie, ale spowiednik odłożył to, nie myśląc, żeby naprawdę był tak chorym. Żonie swojej nie chciał o tem przypominać, gdyż była od siedmiu miesięcy brzemienną, a pamiętał, że przed czterema laty, będąc w takim stanie, ogromnie dużo wycierpiała, kiedy jej wspomniał o swojej śmierci. Dopiero więc po kilku dniach raz jeszcze powtórzył swoją prośbę spowiednikowi i w wigilję rozstania się z życiem, w otoczeniu 5-ga dzieci, z największą pobożnością przyjął ostatnie Sakramenta ŚŚ.. „Cóż, mój najdroższy, czyś zadowolony?“ zapytała go żona, kiedy ka-

płan odszedł. „O, tak, zadowolony jestem bardzo, Bóg oczyścił duszę moją“. Nie skarżył się na nic; patrząc tylko na przyjaciółkę swego życia i widząc niepokój w jej twarzy, powtarzał: „Jesteśmy w rękach dobrego Boga“. Wieczorem zapytywała go jeszcze, czy cierpi: „O tak, odpowiedział z prostotą, jestem mężem boleści“.

Nazajutrz rano, 3 maja, już nic nie cierpiał; obfity pot tylko z niego spływał. Dzieci przed pójściem do klas przyszły, aby go uściskać. Matka prosiła, żeby je pobłogosławił. Zrozumiał to życzenie i jak codziennie do swojej choroby to czynił wieczorem, przed udaniem się dzieci na spoczynek, tak teraz wyciągnął po raz ostatni rękę i rzekł: „Niech was Bóg błogosławi i strzeże od złego“. A potem jeszcze dodał: „Dzieciny moje, módlcie się gorąco do Boga. Jaś (najstarszy 13-to letni) będzie wam wskazywał drogę. Postępujcie tak, jak byłby wasz ojciec postąpił“. I na czole żony naznaczył krzyżyk dla maleństwa, którego się spodziewała.

Poranek cały spokojnie się zachował, ale około południa bardzo się zmienił. Odmówiono modlitwy przy konających, później niektóre wezwania, z któremi wyraźnie łączył się nawet słowami, szczególniej: „O, Jezu mój... żałuję serdecznie... kocham Cię...“ było to ostatnie jego słowo, a przedostatnie — to codzienne pozdrowienie Tercjarzy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, z którem zawsze zwracał się do żony zaraz po przebudzeniu i które lubił kłaść jako nagłówek w listach swoich. Jeszcze miał siłę uścisnąć żonę, upadł na poduszkę i w kilka chwil później już stanął przed Bogiem. Na twarzy jego malował się uśmiech i spokój.

„Byłem bardzo zawstydzony, przygotowując tę doskonałą duszę do śmierci, mówił kapłan do pani Lefewr. Nie potrzebował on mojej pomocy, ale co do mnie, to cieszę się, że widziałem, jak święci umierają“ [1]).

Ludwik Grivel, 3 Zak. (1903 r.).

Zmarły w r. 1903 we Fryburgu szwajcarskim Ludwik Grivel, dyrektor Banku państwowego, był gorliwym Tercjarzem. Wstąpił on do służby w charakterze dyrektora nowozałożonej kasy amortyzacyjnej kantonu Fryburg, a z czasem przeszedł na główne stanowisko w Banku Państwa.

Był to mąż wysoce pobożny, i pobożność swoją posuwał do tego aż stopnia, na który wznosili się Święci. W pośród ciągłych spraw pieniężnych zachowywał się tak, jakby pieniądze wcale dla niego nie istniały, był bowiem pełen prostoty w zaspokajaniu swych potrzeb, wstrzemięźliwy aż do umartwienia i skromny, jak gdyby nie zajmował jednej z najważniejszych posad w kraju. A spełniając sumiennie powierzone sobie obowiązki, nie dał się im jednak pochłonąć, lecz traktował je jako rzecz przemijającą i przypadkową. Życie jego było odzwierciadleniem tych słów Pana Jezusa: „Jedno jest tylko potrzebne“, gdyż cała jego dusza przejęta była myślą o Bogu i tęsknotą za niebem. Ludwik Grivel miał powołanie wybrańców Bożych i miłość modlitwy. Modlił się bezustanku. Kościoły i kaplice fryburskie nie miały regularniejszego i pilniejszego nadeń gościa. Jako pobożny syn Najśw. Marji Panny, lubił szczególnie miejsca wsławione objawieniami lub łaskami Matki Niebieskiej. Należał do wszystkich pielgrzymek i w głównej mierze przyczyniał się do odbywania ich z godnością i w skupieniu.

Ta gorąca pobożność, ten zapał do rzeczy Bożych, to doskonałe oderwanie się od świata uzupełniały się niewyczerpaną miłością ku bliźnim. Nikt nie jest w stanie obrachować jałmużn, które Grivel dał w ukryciu. Jego miłosierdzie dla ubogich uszlachetnione było wiarą: widział w nich członki cierpiące Jezusa Chrystusa. To też jałmużny jego były istotnie chrześcijańskie i jako takie zapewniły mu podwójną zasługę. Był również hojny dla Boga i Królowej Aniołów. Pomimo jego woli dowiedziano się, z jaką szczodrobliwością zaopatrzył kościół Najśw. Panny, by z niego uczynić miłą świątynię dla starców chorych i kalek. W tej sprawie uwydatniła się cała tkliwość jego serca.

Skłonności Ludwika Grivel do ascetyzmu nie przeszkadzały mu być człowiekiem towarzyskim. Owszem, posiadał on charakter wesoły i otwarty, a ci, co się do niego zbliżali, musieli oceniać serdeczną jego prostotę w rozmowie. Znakomity tercjarz przeszedł przez ziemię, mało sobie robiąc z tego, co inni bardzo cenią; myśl jego wytężona była ku jedynej rzeczy koniecznej, o którą każdy z nas powinien się ubiegać, t. j. o zasługi nadnaturalne, za cenę których nabywa się niebo.

Oprócz wspomnianych dobrych uczynków, połowę swego majątku zapisał na uniwersytet katolicki we Fryburgu, a drugą połowę oddał pod zarząd Biskupa na dobre cele przez siebie określone, jak na utrzymanie klasztorów, na misje krajowe, szkoły apostolskie i t. p. Bardzo przywiązany do Tercjarstwa, nie zadawalniał się małym szkaplerzem, ale pod zwierzchnią suknią nosił tunikę i wiernie odmawiał Małe Officium o Matce Boskiej. Jako członek Rady od samego zawiązania braterstwa, uważał za ścisły swój obowiązek by-

[1]) Ibidem, 1910.

wać na zebraniach miesięcznych, jednem słowem był on w kongregacji i w całem mieście wzorem prawdziwego Tercjarza i doskonałego chrześcijanina [1]).

Edgar de Liwua (Livois), 3 Zak. (1910 r.).

Przełożony paryskiej kongregacji Tercjarzy, baron Edgar de Livois był człowiekiem wewnętrznym i mężem czynu. Po świetnie odbytych naukach ogólno kształcących, przeszedł jeszcze szkołę wojskową w Saint-Cyr, a potem zaliczony został do armji marszałka de Castellane. W r. 1870 zaraz na samym początku wojny francusko-pruskiej, dowodził pułkiem 23-im, zaś w kilka lat po zawarciu związków małżeńskich wziął dymisję, aby się oddać wychowaniu synów. Jednocześnie zapisał się do miejscowej konferencji Ś. Wincentego a Paulo, a jak gorliwie zajmował się tem dziełem, widać choćby z tego, że później obrano go na generalnego prezesa wszystkich konferencji na całym świecie. Lecz cotygodniowe nawiedziny ubogich nie wystarczały sercu barona, zrzekł się przeto wszelkich rozkoszy życia i postawił sobie za jedyny cel większą chwałę Bożą i dusz zbawienie. Litował się zwłaszcza nad ubogimi, słabymi, ślepymi, kulawymi i nad wszystkimi nieszczęśliwymi, którzy nie mają dachu nad głową. Widział ich, jak nieraz szukali schronienia na ławce w ogrodach publicznych, lub pod mostem i to w ciemną noc zimową. Aby więc temu zaradzić, otworzył w Paryżu przytułek nocny, do którego przyjmowano każdego darmo, nie pytając o żadne świadectwo, ani poręczenie, o wiek i narodowość lub religję. Przyjęci otrzymywali kolację i dobre łóżko, aby mogli odpocząć i na kilka godzin zapomnieć o swoim losie. Początki zakładu, jak wszystkich dzieł Bożych, były trudne, ale to bynajmniej nie zrażało fundatora, który wziął sobie za hasło: Bez Boga niemasz powodzenia, z Bogiem — żadnych przeszkód.

Wkrótce liczba przytułków pomnożyła się, a gdy w r. 1882 rząd uznał ich użyteczność, dzieło przybrało jeszcze większe rozmiary. Baron de Liwua umiał otoczyć się doskonałymi pomocnikami, których zyskiwał swoją cnotą. Zaczęto dawać ofiary i zapisy.

W przytułkach owych cały dzień szorują i zamiatają po nocnych gościach, żarliwy bowiem dyrektor porządek uważał jako półcnotę, a chciał przyjmować biedaków, jak samego Pana Jezusa. W miarę tedy, jak przychodzili i przychodzą, (bo dzieje się to i teraz) prowadzą ich do osobnego pokoju, w którym czyszczą ich odzież, poczem dają im kolację. Przed położeniem się spać, naznaczony na ten dzień służący odmawia ze wszystkimi krótki pacierz, bo tylko Ojcze nasz i Zdrowaś Marja. Obecni mogą go nie mówić, ale muszą być bez czapki na głowie i zachować milczenie, co się wiernie praktykuje. Gdy przewodniczący zatrzyma się na słowach: „bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi“, prawie wszyscy odpowiadają chórem: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i t. d.“; podobnież przy Zdrowaś Marja. Nazajutrz po śniadaniu nocni goście idą do swoich zajęć; wychodzącym mówi się, że mogą jeszcze tylko trzy razy prosić o przyjęcie. Tego punktu jednak miłosierny baron nie bardzo przestrzegał i niektórzy częściej korzystali z jego serca, albo też szli do innego domu, wiedząc, że litość dyrektora umyślnie stawała się ślepą.

Baron de Liwua zajmował się przytułkami nocnemi, nie żałując ani swego czasu, ani trudów, ani pieniędzy. Co wieczór chodził od jednego przytułku do drugiego, bez względu na pogodę, wypytywał nieszczęśliwych biedaków o ich kłopoty, udzielał rad i troszczył się o ich duszę, gdyż tę przedewszystkiem pragnął ratować. Ileż nędzy moralnej i fizycznej spotkał między nimi, i to ze wszelkich położeń społecznych, ile strasznych wyznań wysłuchał, ilu grzeszników naprowadził na dobrą drogę, a ilu pomógł dobrze umrzeć!

Pewnego dnia wieczorem baron de Liwua ujrzał przed sobą jakiegoś biednie odzianego mężczyznę, który, przywitawszy się, tak doń przemówił: „Kilka lat temu, doprowadzony do ostatniej nędzy, nie wiedząc, gdzie głowę skłonić, przyszedłem prosić pana o dach. Później, dzięki różnym okolicznościom, znalazłem się w kolonjach i zebrałem tam znaczny majątek, a będąc teraz w Paryżu, chciałbym sobie owe smutne dni przypomnieć. Niech mnie pan baron przyjmie, jak najuboższego nędzarza i każe mi dać kolację“. Hojna jałmużna na zakład przytułkowy zakończyła to wspomnienie.

Pod koniec swego życia miłosierny syn Ś. Franciszka cierpiał strasznie z powodu ciężkiej choroby, a cierpiał z heroizmem chrześcijańskim. Najwięcej bolało go, że nie mógł udać się do Lourdes. Ostatnią pielgrzymkę odbył w r. 1908 na uproszenie sobie szczęśliwej śmierci i został wysłuchanym, Pomimo dolegliwości, codziennie chodził na Mszę św. i do Komunji św., ale siły go opuszczały. 1-go stycznia r. 1910 znajdował się po raz ostatni w kościele. Odtąd leżał na łóżku, złamany cierpieniami, lecz zawsze odważny i nie uskarżający się na nic. Zgodził się nawet na bardzo bolesną operację w szpitalu synów Ś. Jana Bożego, lecz ta nie mogła go już uratować. Umarł cicho i spokojnie 2 marca. Całe jego życie było zupełnem poddaniem się woli

[1]) Ibidem, 1903.

Bożej. Wśród największych cierpień mówił, że jeszcze za mało znosi za swoje grzechy i że szczęśliwym się czuje, mogąc okazać trochę miłości dla Ukrzyżowanego swego Oblubieńca. Ostatnie słowa, które wyrzekł, były: „Boże mój, pragnę Cię i tęsknię za Tobą. O, mój Jezu, miłosierdzia“ [1]).

Ferdynand Filip Orleański, książę Alençon, 3 Zak. (1910 r.)

29 czerwca 1910 r. w zamku Belmą (Belmont) w Wimbledon pod Londynem umarł brat Ferdynand (Jego Królewska Wysokość Ferdynand Filip-Marja Orleański, książę Alansą) po 30 latach profesji w Trzecim Zakonie. Był on bez zaprzeczenia jednym z najszlachetniejszych książąt, zacnym chrześcijaninem, Francuzem, wiernym wszystkim swoim przekonaniom, zawsze gotowym oddać życie swoje w obronie wiary i jej dogmatów, a nadto wzorowym małżonkiem, niezrównanym ojcem i przykładnym członkiem rodziny franciszkańskiej. Officium i umartwienia z reguły gorliwie spełniał, o ile mu zdrowie i jego położenie społeczne dozwalało; codzień odprawiał rozmyślanie i czytanie duchowne, a księżna Alansą mówiła, że dopiero od męża nauczyła się rozmyślać. Lecz i to mu nie wystarczało i usilnemi prośbami wymógł na spowiedniku, że pozwolił mu biczować się trzy razy na tydzień a w piątki nosić włosienicę. Niekiedy swoje twarde posłanie urządzał w jeszcze niewygodniejszy sposób, ale czynił to wszystko tak, że żaden ze służących ani się tego domyślał. Pewnego dnia, chcąc wybłagać sobie u Boga jakąś łaskę, cały dzień spędził o chlebie i wodzie, aby zaś nikt o tem nie wiedział, wyjechał z Paryża do Chartres i zaraz wrócił, a tym sposobem mógł zjeść sobie cichutko chleb i popić go wodą ze studni na dworcu kolejowym.

Zachowując wrodzoną sobie szlachetną godność, był on jednak pokorny i pełen dobroci, zyskującej mu serca wszystkich, którzy mieli szczęście doń się zbliżyć. Jego miłość była niewyczerpana: dawał ubogim o wiele więcej, niż dziesięcinę swoich dochodów. Jego wiara, pobożność, gorliwość nie szukająca rozgłosu, wzruszały i budowały. Bardzo często przystępował do Komunji Ś., i nieraz widziano łzy, płynące mu z oczu w czasie dziękczynienia. Sumienie miał nader delikatne. Z ojcowską troskliwością czuwał nad moralnem zachowaniem się swojej służby, wdrażając ją przy okazji do spełniania przykazań kościelnych. Względem swego kierownika duchownego, O. Stanisława, Kapucyna, był prosty jak dziecię, darzył go swojem zupełnem zaufaniem, wtajemniczając w swoje życie wewnętrzne. Co tydzień chodził do niego do spowiedzi, dopóki ten był w Paryżu, a gdy go przeniesiono do Tours, pokorny penitent udawał się tam od czasu do czasu i mieszkał po 3—4 dni w klasztorze. Były to dla niego dni wielkiej radości, mógł bowiem zajmować ubogą celę kapucyńską, chodzić na posiłek do refektarza, jeść na małym stole, na glinianych miseczkach łyżką drewnianą, słuchać czytania i spędzać z ojcami rekreację. Dziękował też serdecznie ojcom, że mu pozwalali brać udział w ich życiu i uważał to sobie za zaszczyt. Nakoniec, gdy po wygnaniu zakonników O. Stanisław udał się do Belgji, jako kapelan pewnego klasztoru żeńskiego, książę Alansą (Alençon) i tam do niego jeździł, aby mieć w dalszym ciągu jego kierownictwo duchowne.

Tak zakonnice, jak ich pensjonarki, zachowały głębokie wrażenie z tych nawiedzin, zbudowane były pobożnością księcia i jego miłością. Sami mieszkańcy małej mieściny, którzy go tylko przejazdem zauważyli, powzięli dlań wielki szacunek i sympatję. Jego poddanie się woli Bożej wśród rozlicznych doświadczeń życiowych było zawsze doskonałe. Kiedy księżna Alansą padła ofiarą pożaru w bazarze Dobroczynności, nieszczęśliwy książę, sam poparzony w głowę, twarz i szyję, rzucił się w objęcia spowiednikowi, który go przyszedł odwiedzić, i prosił o przebaczenie, że zanadto dał folgę swojej boleści. „Nie można, rzekł, pytać się Pana Boga, dlaczego tak się stało!“

A chociaż posiadał majątki ziemskie, które nań spadły po przodkach, nie miał do nich żadnego przywiązania, owszem, był oderwany od wszelkich dóbr doczesnych, co widać było z jego czynów. Każdego roku zabierał na kilka tygodni swego spowiednika do rezydencji. Mentelberg pod Insbrukiem w Tyrolu austrjackim i pytał go, czy nie mieszka zanadto wspaniale. Po śmierci żony zatrzymał tę posiadłość i ozdabiał ją tylko dla dzieci i wnuków, których lubił gościć tam podczas lata. Jego ubóstwo było tak doskonałe, iż, owdowiawszy, chciał się ze wszystkiego wyzuć i zostać Kapucynem. Trzeba było dopiero wyraźnego rozkazu Ojca Świętego, aby się wyrzekł tego pragnienia, na które obowiązki stanu i słabe zdrowie jego nie pozwalały. Na pociechę jego musiano pozwolić, że oprócz złożonego przezeń ślubu czystości, mógł się uważać za związanego ślubami ubóstwa i posłuszeństwa, co też bardzo dokładnie zachowywał, nie spełniając żadnego aktu własności poza rzeczami koniecznemi w zwykłem życiu i nigdzie nie wyjeżdżając bez zasięgnięcia rady i bez błogosławieństwa tego, którego uważał za swego przełożonego i do którego co tydzień, lub co dwa tygodnie, jeżeli był dalej, regularnie pisywał.

[1]) Les Voix franciscaines, 1911.

Książę Alansą umarł na silną żółtaczkę. Serce coraz bardziej ustawało, ale głowa była do końca przytomna. Modlił się ciągle, dawał ostatnie rady, polecenia, a błogosławiąc wnuka, którego musiano mu codziennie przynosić, rzekł do synowej: „Wychowaj go na dobrego chrześcijanina". Na kilka dni przed śmiercią ubrano go w habit tercjarski, w którym też został pochowany. W testamencie zastrzegł, żeby na trumnie jego nie było ani kwiatów, ani wieńców, i żeby mu nie oddawano żadnych oznak honorowych, przynależnych jego tytułom, a za trumną żeby szli tylko krewni, osobiści jego przyjaciele i służba.

Zmarły był drugim synem księcia Nemours, bratem hrabiego Eu, księżnej Władysławowej Czartoryskiej i księżnej Blanki, wnukiem króla Ludwika Filipa. Urodził się w zamku Neuilly 1844 r. Nie mając jeszcze lat czterech, wyjechał z rodzicami na wygnanie. W Hiszpanji uczył się wojennego rzemiosła w szkole artyleryjskiej w Segowji, którą ukończył z odznaczeniem. W 23 roku życia brał udział w wojnie na Filipinach, gdzie otrzymał urząd kapitana i krzyż zasługi wojskowej. Wziąwszy dymisję po powrocie do Europy, ożenił się w r. 1868 z księżniczką bawarską, Zofją Karoliną Augustą, siostrą cesarzowej austrjackiej i królowej neapolitańskiej.

Testament duchowny księcia Alençon.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — Amen

Umieram w świętym Kościele katolickim, apostolskim i rzymskim, wierząc w to wszystko, w co on wierzy, potępiając to wszystko, co on potępia, jako syn uległy, wdzięczny, kochający i szczerze przywiązany do tej świętej Matki i do jej widzialnego Kierownika, naszego Ojca Świętego.

Błogosławię Boga z głębi duszy mojej za nieoszacowaną łaskę, której mi udzielił, pozwalając urodzić się na łonie Kościoła świętego, jako też za niezliczone łaski, które mi w nim ofiarował. Moje złamane serce błogosławi Go za próby życiowe. Wiem, że one są dowodem Jego miłości, zadatkiem szczęścia wiecznego.

Proszę najpokorniej Boga, aby raczył przyjąć śmierć moją na odpokutowanie za grzechy mego życia; przyjmuję śmierć z Jego ręki, gdyż On jej chce, ze wszystkiemi cierpieniami i w okolicznościach, jakie podoba Mu się na mnie dopuścić.

Pragnę być pochowanym w habicie Trzeciego Zakonu Ś. Franciszka w naszej kaplicy w Dreux, obok mej ukochanej małżonki; nie życzę sobie ani kwiatów, ani wieńców i proszę o pogrzeb jak najskromniejszy. Błagam z całą pokorą i miłością chrześcijańską o przebaczenie tych wszystkich, których mogłem obrazić, dotknąć, zasmucić w jakikolwiek sposób i sam nawzajem z głębi serca przebaczam tym wszystkim, którzy mnie obrazili swemi pismami lub uczynkami. Bardzo często powtarzałem to przebaczenie w modlitwach swoich, prosząc Boga, aby ich uświęcił i uszczęśliwił.

Dziękuję także serdecznie tym wszystkim, którzy mi okazywali życzliwość i przyjaźń, którzy mnie wspomagali, służyli jakimbądź sposobem, i modlę się do Boga, aby im stokrotnie wynagrodził.

Daję tu ojcowskie błogosławieństwo moim dzieciom, zięciowi, synowej, wnukom, oświadczając im najżywszą tkliwość. Obyśmy tam wysoko mogli się kiedyś wszyscy zobaczyć! Dziękuję moim dobrym i wiernym służącym.

Moja żywa i głęboka wdzięczność należy się zwłaszcza tym, którzy czynili dobrze mojej duszy, bądź radami, bądź modlitwą, bądź uczynkiem. A więc najpierw memu czcigodnemu i kochanemu kierownikowi, O. Stanisławowi, który kieruje mojem życiem od lat 25-u, następnie Matce Marji od Jezusa, opatce Klarysek w Azille, dla której mam głęboką cześć i szacunek, oraz jej zgromadzeniu; całemu zakonowi Kapucynów, zwłaszcza prowincji Paryskiej, Sakramentkom z klasztoru Ś. Ludwika du Temple, wszystkim kapłanom, którzy udzielali mi Sakramentów ŚŚ., tym wszystkim, którzy modlili się za mnie. Wspominam również ze czcią należną o Karmelitankach z Tarb (Tarbes) i o młodym a pobożnym księdzu Ferdynandzie Koszę (Cochin) z Paryża, Bracie Mniejszym. Posyłam tkliwe wspomnienie mojej siostrze Blance, oraz dzieciom i wnukom ukochanej mojej siostry Małgorzaty. Niemniej serdeczne wspomnienia załączam dla mego brata i bratowej. Pragnąłem zawsze tylko zgody i porozumienia się; uważałem za ścisły obowiązek trzymać się woli ojca mego i tego, co jest w oczach moich prawem monarchicznem. Żałuję za wszystko, co w tej nieuniknionej walce mogło kogo zranić i proszę o przebaczenie; nie kierowała mną żadna namiętność, lecz silna wola spełnienia obowiązku, broniąc tego, co uważałem i jeszcze uważam za prawdę i słuszne prawo. (podpis) Ferdynand-Filip Orleański, książę Alençon. Belmont (Wimbledon) 13 grudnia 1905 roku[1]).

Don Izydor Ortiz de Urruela, 3 Zak. (1910 r.).

W tym samym roku 1910, dziesiątego października, zgasł śmiercią świątobliwą inny znakomity Tercjarz, Izydor Ortiz de Urruela, w zako-

[1]) Annales fraciscaines, 1912.

[illegible]

...gi i akty strzeliste, pełne dowcipu. „Pytasz mnie [illegible] Jezus. „Odpowiedziałem Ci już na to z tysiąc razy, że gdybym Cię nie kochał, byłaby to Twoja wina [illegible]"

[illegible] rok życia". Doszedł do lat 84. Mocna jego budowa długoby się jeszcze opierała, gdyby nie cierpienie, [illegible] które wywinęło, czyniąc nadzwyczajny postęp. [illegible] sakramenta św., a łącząc się ze wszystkiemi [illegible]

Nadszedł paździer[illegible] [illegible] W uroczystość św. Franciszka nie przestawał [illegible] ze sobą i w oczach zostać [illegible] go, tak jak tego chciał, w habit kapucyński, a [illegible] złożono w ubogie miejsce [illegible] W nie [illegible] tak można się spodziewać, obchodził już uroczystość październikową [illegible] Matki Boskiej na Filarze, [illegible] Teresy i wielkiego [illegible] swego patrona, św. Piotra z Alkantary[1].

Juljusz de Louverville, 3 Zak. (1902 r.)

[illegible] gorliwym Tercjarzem św. Franciszka [illegible] ła 25 lat przed śmiercią złożył on swą profesję w klasztorze Braci Mniejszych w Paryżu i przez [illegible] w wielkim zakonie tercjarskim.

Juljusz Marja-Armand [illegible] de Louverville urodził się w [illegible] 25 [illegible] roku. Wstąpiwszy do szkoły morskiej [illegible]

[illegible] a w roku następnym uczestnił [illegible] został [illegible] Legji honorowej za swoją bohaterską odwagę. W r. 18[illegible] jako kapitan fregaty był [illegible] admirała [illegible] dowodzącego [illegible] V [illegible] już piastował godność wice-admirała i sam dowodził pułkiem morskim [illegible] w tym samym charakterze kierował [illegible] pod [illegible] W r. 18[illegible] de Louverville doszedł do szczytu hierarchji morskiej, jako wice-admirał [illegible] morską w Cherbourgu [illegible] dowodził

[1] [illegible] de S. François 19[illegible].

eskadrą zapasową w Tulonie, potem eskadrą czynną na morzu Śródziemnem, a ostatecznie został głównodowodzącym i generalnym inspektorem marynarki.

Z powodu późnego wieku już w r. 1900 musiał opuścić swoje stanowisko, na którem niewiele było tak godnych i czystych postaci. Jeżeli państwo straciło w nim zdolnego technika, odważnego żołnierza i znakomitego admirała, to cała Francja katolicka nie przestała korzystać z prac i doświadczeń wielkiego chrześcijanina, który dawał przykłady gorącej i mężnej wiary, tak rzadkiej w dzisiejszych czasach. On to corocznie w dzienniku La Croix pisywał serdeczne wezwania do wiary i modlitwy na Wielki Piątek, Wniebowzięcie i Boże Narodzenie. Francuzi pamiętają jeszcze jego walki z senatem, by utrzymać w marynarce wielkopiątkową żałobę, t. j. by w dzień śmierci Zbawiciela, na okrętach porozwieszane były czarne flagi.

Zajmował się on wszystkiemi dziełami katolickiemi i bardzo chętnie używał swego wpływu dla ich rozwinięcia i utrzymania. Należał do Dzieła Ś. Michała, patrona Francji i dowódcy wojsk francuskich. Na kongresie narodowym katolików, odbytym w Paryżu r. 1898, miał na ten temat świetną przemowę. Był także członkiem głównej Rady Dzieła Rozszerzania wiary i właśnie udając się na zebranie tejże Rady, padł ofiarą wypadku, który przyczynił się do jego śmierci. Hasłem całego życia de Cuverville'a było: „dla Boga i dla ojczyzny"; istotnie dla tych dwóch spraw walczył bezustanku.

Wybrany na senatora w r. 1901 i po raz drugi w 1903 r., swoją punktualnością w przychodzeniu na sesje stał się przysłowiowym. Zawsze i w każdej okazji gotów był bronić swobód religijnych i oddać na usługi narodu rozległe swoje wiadomości, swoją naukę wojskową i wysokie stanowisko. A przytem szlachetnością swego charakteru, swoją stałością, nieugiętą prawością, darem zdumiewającej sprawiedliwości i zamiłowaniem obowiązków, zyskiwał sobie jednogłośnie cześć i życzliwość kolegów.

Na ostatnich wyborach wszyscy senatorowie, bez względu na stronnictwo, chcieli, aby admirał de Cuverville znowu otrzymał głosy dla większego dobra kraju, ale jego wierność Kościołowi nie podobała się pewnej części wyborców i dlatego usunięto go. Wymagania de Cuverville'a były dla nich zanadto groźne.

Jako bowiem katolik, żądał on:

I. Przywrócenia stosunków między Ojcem Ś. a Francją; inaczej, mówił, nie może być u nas ani spokoju religijnego, ani wewnętrznego uciszenia i moglibyśmy stracić ostatecznie wielki wpływ, jakim się cieszy nasz protektorat katolicki na Wschodzie i Dalekim Wschodzie.

II. Prawnej ustawy dla Kościoła francuskiego, zapewniającej mu całkowitą wolność, zachowanie jego budynków kościelnych i wieczystą trwałość jego zapisów dla zmarłych.

III. Zniesienia praw rozwiązujących kongregacje zakonne, które stanowią chlubę naszego kraju i najżywotniejszy czynnik jego wpływu na świat.

IV. Swobody dla ojców rodzin w wyborze szkół upoważnionych, którym pragną powierzyć wychowanie swoich dziatek i stosunkowego podziału zapomóg szkolnych między wszystkie szkoły bez różnicy.

Te zasady są najpiękniejszą pochwałą zmarłego.

Po kasacie zakonów, de Cuverville często zapraszał do swego zamku w okolicach Tregje (Tréguier) jednego z Braci Mniejszych, którego nazywał swoim jałmużnikiem i któremu zostawił ostatnie swoje zlecenia. W testamencie wyraził wolę, aby pogrzeb był jak tylko można najskromniejszy, bez honorów wojskowych, wieńców i kwiatów. „Chcę być pochowanym w habicie i pasku Ś. Franciszka z Assyża, z drewnianym krzyżem tercjarskim". I dał mu Pan Bóg tę łaskę, że umarł w obecności jednego z wypędzonych zakonników, który mu udzielił absolucji tercjarskiej, oraz odpustu na godzinę śmierci. Zaraz po zgonie dwaj ojcowie zakonu Ś. Franciszka przyodziali go w habit, który już zawczasu był przez nieboszczyka przygotowany. Ponieważ prawą rękę miał amputowaną, więc do lewej podano mu krucyfiks i koronkę Siedmiu Radości. Jednakże na przedstawienia rządu rodzina zgodziła się na oddanie zwłokom honorów wojskowych [1]).

Kapucyni.

Fulgencjusz z Gamallaro (1700 r.).

Ten sługa Boży z wyjątkową gorliwością starał się o nabycie cnót serafickich, a mając upodobanie w modlitwie, oddawał się jej z zapałem. Ale szczególną jego cnotą było zgadzanie się z wolą Pana Boga w chorobach i cierpieniach, któremi go Stwórca bez przerwy nawiedzał. O. Fulgencjusz bowiem spędził wiele lat na łóżku, służąc wszystkim za wzór heroicznej cierpliwości, a cela jego była jakoby szkołą tej cnoty. Oprócz przykładu, był on i w inny sposób pożyteczny: świeccy i zakonnicy często doń przychodzili, aby

[1]) Annales franciscaines, 1912.

POGRZEB Ś FRANCISZKA.
GIOTTO.

otrzymać światłą radę w potrzebach wewnętrznych i wszyscy bywali pocieszeni. Gdy przeto inni bracia nawracali grzeszników w konfesjonale i na ambonie, chory O. Fulgencjusz oddawał im niemniejsze usługi, chociaż w czterech ścianach klasztornych. Nie ciężył on bynajmniej zgromadzeniu, ale przeciwnie, sprawiał mu prawdziwą radość przez podniosłe rozmowy i miły charakter. Pod koniec życia choroba tak go wyczerpała, że tylko duch się w nim kołatał, duch tęskniący do przyszłej ojczyzny. Zakonnik gotów był pójść w drogę, ale Pan Jezus przedłużał jeszcze czas próby dla pomnożenia jego zasług. W ostatnich dniach życia wpadł w omdlenie, bracia nie wiedzieli, czy żyje, czy już skonał, ale modlili się przy nim i czuwali, wreszcie po kilku godzinach obudził się z tego snu tajemniczego, mówiąc: „Tak, już Pan Jezus, Matka Najświętsza i Ś. O. Franciszek wołają mnie z tego świata". Zażądał Sakramentów ŚŚ. i przyjąwszy je, z gromnicą w ręku, powtarzając modlitwy za kapłanem, przeszedł do wieczności [1]).

Bł. Feliks z Nikozji (1787 r.).

Bł. Feliks nie miał w zakonie wyłącznego zajęcia: robił raz to, drugi raz co innego, jak się okoliczności składały, albo według uznania gwardjana. Jeśli chorzy byli w domu — był infirmarzem; gdy ich nie było — po kolei był furtjanem, ogrodnikiem, kuchcikiem, kwestarzem. Ale rzecz całkiem pewna, że nigdy ani chwilki nie próżnował. „W dzieciństwie mojem, mówi jeden ze świadków, chodziłem do OO. Kapucynów do szkoły i miałem sposobność często widzieć brata Feliksa. Nie przypominam sobie, abym go spotkał kiedykolwiek z założonemi rękoma. Koledzy moi i ja pytaliśmy go nieraz: „Bracie Feliksie, czy ty ciągle tak jesteś zajęty?" — „Dzieci moje, odpowiadał nam, trzeba zawsze pracować, taka jest wola Boża. Praca jest skarbem dla duszy i dla ciała".

Brat Feliks miał wrodzony wstręt do próżniactwa, dlatego nawet w domach dobrodziejów, gdzie musiał czasami przebywać, skończywszy swoje modlitwy, brał się do czegoś pożytecznego, jak np. do naprawiania sprzętów lub naczyń, do zamiatania, ścierania kurzu, czyszczenia. W klasztorze, mając chwilę wolną, bądź łatał stare obuwie biedaków, bądź wyrzynał małe krzyżyki, które potem rozdawał. Niekiedy własną krwią je malował, lecz nie zwierzył się z tem nikomu i tylko wypadkiem to spostrzeżono.

Czynnym był do ostatka. Febra, z której umarł, zastała go przy pracy w ogrodzie. Prawie umierającego przenieśli bracia na tapczan, a w trzy dni już oddał ducha Bogu. Przed każdą robotą święty braciszek odmawiał pobożnie jedno Zdrowaś Marja i modlitewkę za dusze w czyścu cierpiące; gdy zaś robota miała być długa i ciężka, mówił za duszyczki psalm: „Zmiłuj się nademną, Boże". To samo zalecał swoim współtowarzyszom i w końcu weszło to w zwyczaj, tak iż odtąd w całej prowincji każdą pracę rozpoczynają od Pozdrowienia Anielskiego i od modlitwy za zmarłych.

Jakkolwiek Błogosławiony spełniał potrosze wszystkie obowiązki, szczególniej jednak był kwestarzem i infirmarzem. Idąc na ulicy, miał oczy spuszczone, worek na plecach i prawą rękę na piersi. Głowa była bez nakrycia, chociaż promienie słoneczne paliły, siekł deszcz, albo gęsty śnieg ją okrywał; dlatego nieraz w zimie widziano łysą głowę Feliksa otoczoną jakby mgłą pary. Stanąwszy u drzwi dobrodziejów, mówił głośno, tak żeby go wszyscy w domu słyszeli: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" Potem dodawał nieco ciszej słowa Ewangelji, które franciszkańska reguła przypomina: „Pokój temu domowi i jego mieszkańcom!" Później, jak żebrak, czekał, by do niego podeszli, a tymczasem modlił się, stojąc nieruchomo, ze spuszczonemi oczyma. Modlitwa jego była tak gorąca, że niekiedy wpadał w zachwycenie, stojąc tak u progu dobrodziejów. Dwaj jego kolejni socjusze byli tego naocznymi świadkami.

W wycieczkach kwestarskich po okolicy, gdy zła droga lub niepogoda zmusiły Błogosławionego prosić o gościnność wieśniaków, uczył katechizmu ich dzieci, im samym dawał dobre rady, a wszystkich cnotami swemi budował. I tam również nie siedział próżno, bo jeśli mu zostało trochę czasu, zaraz robił coś pożytecznego, a robiąc ręką, opowiadał rzeczy zajmujące z historji lub żywotów Świętych.

Brał zawsze na siebie to, co było najuciążliwszego. Trzeba było np. pójść jednocześnie w dwa miejsca, bliżej i dalej — braciszek wybierał drogę dłuższą i przykrzejszą. Nadzwyczaj surowy dla samego siebie, za nic uważał wszystkie swoje trudy i prace, byle braciom oszczędzić zmęczenia [1]).

Polscy Bracia Mniejsi.

Ś. Kunegunda, Klaryska (1292 r.).

Ś. Kunegunda przedstawia jakby uosobienie i wzór wszelkich stanów; była bowiem dziewicą i małżonką, królową i sługą, zakonnicą i osobą świecką, prowadziła życie zarazem bogomyślne i czynne.

[1]) Annali Cappuccini... V. IV.

[1]) Le Petit Messager de S. François, Mai, 1908.

Była mężatką, bo zmuszona przez rodziców, wyszła za króla polskiego, Bolesława Wstydliwego, ale i dziewicą, bo żyła z nim jak siostra z bratem, ofiarując swoje panieństwo Najsłodszemu Oblubieńcowi dusz czystych, który się pasie między liljami.

Z rodu królewskiego Arpadów, córka Beli Węgierskiego, i sama zasiadając na tronie jednego ze znakomitszych państw słowiańskich, jednocześnie jak sługa własnemi rękami opatrywała ubogich chorych, a wieczorami szyła dla nich bieliznę i skromną odzież. I potem, kiedy została Klaryską, usługiwała z wielką pokorą swoim siostrom zakonnym, pomywała naczynia w kuchni i ubiegała się o najcięższe prace w klasztorze.

Widzimy też w niej wzór życia bogomyślnego i czynnego. Jako królowa, rozdzieliła sobie czas tak roztropnie, że jedno drugiemu nie przeszkadzało. Zazwyczaj cały ranek spędzała w kościele, słuchając kilku Mszy świętych, nocami także się modliła, wiodła życie surowe i umartwione, a resztę czasu poświęcała pracy ręcznej, szyciu ornatów ze swojemi pannami, lub ubrań dla ubóstwa i, jak już powiedzieliśmy, obiegała chatki swoich poddanych, gdzie tylko było potrzeba jej pomocy materjalnej, a więcej jeszcze jej macierzyńskiej ręki i serca, oraz ciepłego słowa pociechy i zachęty.

Nakoniec była osobą świecką i zakonną. W świeckim stanie pozostawała do śmierci męża, choć już za jego zezwoleniem przyjęła Trzecią Regułę Ś. Franciszka i pod królewskiemi szaty nosiła strój zakonny, spełniając wszelkie przepisy tego stanu, a posłuszną będąc spowiednikowi. Zaledwie zaś umarł Bolesław, przywdziała jawnie habit Klarysek i wiernie w nim wytrwała, jako ksieni klasztoru w Starym Sączu [1]).

Fulgencjusz Ramułt, Reformat.

Zakonnik ten uczy nas przykładem swoim, jak trzeba służyć Bogu, czy to w zdrowiu, czy w chorobie. Przez długi czas spełniał on różne obowiązki klasztorne z wielką chwałą Bożą i pożytkiem braci, gdy zaś myślano obrać go na wyższe stanowisko — zachorował: paraliż odjął mu władzę w rękach. Przyjął to z wielkiem weselem, jako zwolnienie z ciężaru przełożeństwa i jako sposobność do ćwiczenia się w cierpliwości i zebrania zasług. Pomimo choroby nie chciał żadnych wygód, a choć Najśw. Ofiary nie mógł odprawiać, do Komunji św. codzień z braćmi przystępował.

Więcej pracą i umartwieniami, niż chorobą wycieńczony, zasnął snem sprawiedliwych w klasztorze Nowomiejskim [2]).

[1]) Żyw. Ś. Kuneg., Jolanty. [2]) Kalend. seraf., 3 lipca.

Leon Fruszkowski, Reformat.

Braciszek reformacki, wiernie odpowiadając swemu powołaniu, nigdy nie tracił czasu napróżno, ale zawsze pracą lub modlitwą był zajęty. W każdej sprawie upatrując większą chwałę Boga, tak przez to zatapiał się w Panu, że go nic od Niego oderwać nie mogło. W najcięższych trudach myśl o obecności Bożej była jego siłą i orzeźwieniem. Cały czas po Jutrzni aż do rana spędzał w kościele na modlitwie, karcąc się przytem krwawemi dyscyplinami. Na kilka lat przed śmiercią, dotknięty w jednej połowie ciała paraliżem, znosił cierpliwie to kalectwo, a chociaż jedną tylko ręką władał, jeszcze nie przestawał pracować. Pochowany w Kaliszu [1]).

Urjel Osiecki, Reformat.

Ten sługa Boży z powodu ciężkiej pracy i choroby, straciwszy wzrok, i nie będąc już do niczego zdolnym, resztę swego życia spędził na bogomyślności. Wyuczywszy się całego psałterza na pamięć, odmawiał go z braćmi w chórze. Mówił też, że woli być ślepym, niżeli głuchym, gdyż nie mógłby słyszeć żadnych kazań i rad zbawiennych. Znosząc cierpliwie swe kalectwo, zbogacony wielkiemi cnotami, umarł i pochowany w Wejerowie [2]).

Paweł Markiell, Reformat.

Paweł Markiell, rodem Niemiec, wstąpiwszy do Zakonu w prowincji węgierskiej, gdy się dowiedział o ścisłem zachowaniu reguły przez polskich Reformatów, za pozwoleniem starszych przeniósł się do Małopolski. Wyuczywszy się z posłuszeństwa języka łacińskiego, powierzoną miał sobie aptekę i doglądanie chorych. Obowiązek ten spełniał z wielką miłością i pilnością, a w krótkim czasie nabył takiej wprawy, że każdą chorobę trafnie leczył. Przez lat 34 w pracy niezmordowany, akuratny w zachowaniu reguły, ścisły przestrzegacz ubóstwa, choć mu z wdzięczności ludzie świeccy rozmaite dawali podarunki, nic zupełnie nie przyjmował, nietylko z rzeczy, któreby służyć mogły jemu samemu, ale i z tych, które miały iść na pożytek braci. Dotknięty ślepotą przez lat dziesięć, chociaż znał sposoby jej leczenia, nie chciał ich praktykować, utrzymując, że Pan Bóg lepiej wie, co do zbawienia jego duszy jest potrzebne, i dodawał, że teraz lepiej Pana Boga widzi. Choć niewidomy, często odprawiał Drogę Krzyżową, służył do Mszy św., i nigdy się w niczem nie pomylił, ani kapłanowi nie przeszkodził. Obowiązki infirmarza ciągle spełniał, zewsząd więc scho-

[1]) Tamże, 2 lipca. [2]) Tamże, 14 stycznia.

dzono się do niego z prośbą o radę w rozmaitych dolegliwościach, a on, bez niczyjej pomocy, wszystkim chętnie służył i różne przyrządzał lekarstwa, które zawsze pożądany przynosiły skutek. Chociaż wielu braci w tym klasztorze chorowało, on, prorockim duchem oświecony, przepowiedział, że żaden przed nim w grobach tamecznego kościoła pochowany nie będzie, co się w lat kilka sprawdziło. Zapadłszy na puchlinę, umarł w Chełmie [1]).

Fulgenty Zambiński, Reformat.

W młodym bardzo wieku wstąpiwszy do zakonu Braci Mniejszych, Fulgenty Zambiński dla swych niepospolitych zdolności wynoszony bywał na różne urzędy klasztorne, na których nie zaprzestawał bynajmniej pracy nad sobą. Jako prowincjał, więcej przykładem, aniżeli słowy nakłaniał swoich podwładnych do zachowania reguły i praw zakonnych. Dwa razy podróżując do Rzymu, odbywał pieszo całą tę drogę, tak bardzo uciążliwą w owych czasach. Niezwykłej mocy i dzielności ducha dał dowód w czasie długiej i ciężkiej choroby, gdyż w miarę, jak słabły w nim siły fizyczne, wzmacniał się umysł i pomnażała pobożność. Za największą miał sobie rozrywkę rozmyślanie, mówienie lub słuchanie o Męce Pańskiej, lub o innych tajemnicach naszej wiary. Przed śmiercią pragnął otrzymać rozgrzeszenie i błogosławieństwo od O. Prowincjała, który wówczas gdzieindziej przebywał; jakoż stało mu się według życzenia, bo przed samym już zgonem O. Prowincjał niespodzianie zawitał do klasztoru i wedle jego woli na drogę wieczności go wyprawił. Pochowany w Osiecznie [2]).

W jaki sposób dzisiaj naśladowcy Franciszka spełniać mają swoje zadanie.

Święty Franciszek żyje po dziś dzień w Kościele Bożym w swoich synach duchownych, bo jego zakon ma trwać aż do końca wieków i nigdy nie przestanie spełniać tego zlecenia, które od Chrystusa na zawsze odebrał — naprawiania Kościoła Bożego. I dzisiaj, wśród powszechnego zepsucia świata, gdy zasady pogańskie znów na nim górę wzięły, instytucje Trzeciego Zakonu, które słusznie mogą się uważać jako nowy zastęp dzieci Świętego Patryarchy, pamiętać powinny, że nie inne jest ich powołanie, jak pierwszych dzieci tego Ojca, t. j. naprawiać dom Boży, gdy się rujnuje, i że nie innych do tego używać mają środków, jedno tych, jakich on sam używał. Do nich odzywa się on dzisiaj słowy Apostoła: „Bądźcie naśladowcami moimi, tak jak ja Chrystusowym“.

A zatem nie powinny poprzestawać na samem nauczaniu lub przestrzeganiu, ale przedewszystkiem starać się mają przyświecać światu przykładami cnót ewangelicznych, jako to: ubóstwa, pokory, cichości, pokuty, modlitwy, miłości i poświęcenia, bo to tylko może otworzyć oczy przewrotnemu światu i wywieść go z zaślepienia i odwieść od dróg pogańskich, na które coraz bardziej wchodzi.

Do jakiego stopnia te cnoty posuwać powinni?

I nie należy im poprzestawać na pospolitych stopniach cnót zakonnych, ale do heroicznych sięgać powinni. Starać się mają o wzniosłą i heroiczną modlitwę i całem sercem pragnąć jak najściślejszego zjednoczenia z Bogiem. Utrzymywać zawsze swoje ciało w umartwieniu i pokucie, aby nie napróżno nosić nazwę „Pokutujących“ przez Papieży i świętego Ojca im nadaną. Niech zabiegają o najwyższe ubóstwo i najgłębszą pokorę, o doskonałe posłuszeństwo i zaparcie się siebie. Niech się ćwiczą w ewangelicznej prostocie, i w heroicznej cierpliwości, i w seraficznej miłości Boga i bliźniego, i w gotowości do wszelkich poświęceń, aby w ten sposób wyrażali na sobie żywy obraz ewangelicznej doskonałości, jak tego Święty Patryarcha gorąco zawsze pragnął.

Jak walczyć mają z zepsuciem świata?

Niech pamiętają, że jest to duchowna walka ze światem, a więc że w duchu odbywać się powinna. Niech przeciwstawią zepsuciu jego wprost przeciwne ewangeliczne cnoty.

Niech znoszą ochotnie wszelkie niewygody, żeby naprawić miękkość życia i zbytki dzisiejszych chrześcijan; niech starają się o ogołocenie ze wszystkiego, aby zawstydzić ich pragnienie bogactw; niechaj z weselem ponoszą wzgardę dla upokorzenia ich pychy. Niech się okazują wszędzie cichymi, uprzejmymi, gotowymi do wszelkich posług miłości i do poświęceń nawet dla osób nieprzyjaznych i swoich prześladowców, aby uleczyć ich egoizm, nienawiść i zawziętość: słowem, niech naprawiają duchownie moralny upadek świata przez odnowienie na nim cnót ewangelicznych, jego zasadom pogańskim wręcz przeciwnych.

Sposobność do wypełnienia tego zadania znajdą zawsze w wykonywaniu dobrych uczynków, korzystając z każdego zbliżenia się do bliźniego, aby w sercu jego jakąś naprawę choćby małej szczeliny wykonać.

Jak naprawiać szkody duchowne?

Upadłą pobożność niech reperują przez utrzymywanie w sobie jakby ogniska pobożności, odda-

[1]) Tamże, 9 marca. [2]) Tamże, 30 lipca.

jąc się ochotnie wszystkim ćwiczeniom i praktykom duchownym i upowszechniając je między ludźmi słowem i czynem. Ruinę, jaką w Kościele sprawia niedowiarstwo i bezbożność niech naprawiają przez reparację czci Boskiej, czyli wynagrodzenie za tyle bluźnierstw i zniewag Panu Bogu wyrządzanych, utrzymywaniem ustawicznej, o ile można, adoracji Przenajświętszego Sakramentu. Niedbalstwa i nieuszanowania, popełniane przez sługi Boże w odprawianiu Świętych Tajemnic, niech naprawiają przez odbywanie pilne swego Officium, przez gorącość ducha w czasie rozmyślań i przez świątobliwe zachowywanie się w Boskiej obecności. Do zadania ich także należy reperować upadłe życie zakonne, przywracając dawną ścisłość w zachowywaniu Reguły i pierwotną gorliwość w przestrzeganiu cnót zakonnych, utrzymując ducha zakonnego w całej jego świeżości.

Szczególniej niech wezmą do serca obowiązek odnowienia ducha Świętego Franciszka, starając się o to przykładem i modlitwą, aby we wszystkich jego zakonach odżył nanowo, wiedząc, iż ten streszcza w sobie ewangeliczną doskonałość.

Starać się o cześć domu Bożego.

Zajmując się zaś głównie reparacją duchownego Kościoła, niech nie zaniedbują także i kościołów zewnętrznych, w których Bóg ich raczy przemieszkiwać w opuszczeniu i pozbawieniu czci należnej. Niech przeto starają się ją reperować, przykładając się do utrzymania i podniesienia tej czci według swojej możności, przez uczestniczenie w obrzędach kościelnych, przez ubiory, kwiaty, śpiewy i t. p. rzeczy, czego znajdują przykład w swym Patryarsze, który od takiej naprawy kościołów rozpoczął tę swoją misję, nie przypuszczając w pokorze swojej, aby do innej reparacji Pan Bóg go wzywał.

Nie zrażać się słabością swoją.

Ten więc główny swój cel, wytknięty im przez Świętego Patryarchę, a raczej przez Chrystusa, wielce sobie cenić powinny zakony serafickie, mając się za nader szczęśliwe, że je Bóg wzywa do współdziałania ze sobą w naprawie swego Kościoła. I niech się nie dziwią, że tak słabe obrał sobie narzędzia, gdyż zawsze On wybiera głupie, mdłe i wzgardzone, aby zawstydził mądre, mocne i pyszne tego świata, aby Jemu wszystko było przyznane. I zawsze to na myśli niech mają, czy w czasie modlitwy lub adoracji, czy przy łożu chorego, czy znosząc niedostatek lub upokorzenia i wzgardę od ludzi, że powołane są do naprawy chwały Boskiej i wszystko w tym duchu czynić i w tym duchu ofiarować powinny.

Nie zniechęcać się trudnościami.

Z początku świat będzie się zapewne zżymał i wzbudzi przeciwko nim prześladowanie, podobnie jak przeciw Chrystusowi Panu i Świętym. I inaczej być nie może, bo te zakony są zaprzeczeniem zasad jego, bo one są streszczeniem rzeczy najprzeciwniejszych wszystkiemu, co on kocha i za czem się ugania. Ale potem łaska zwycięży i świat, znający już, co jest doskonałość, a zaślepiony tylko chwilowym obłędem, spostrzeże się i znowu na drogi chrześcijańskie się zwróci, a dzieci Franciszka mieć będą tę pociechę, że ich Bóg za narzędzie do tak wielkiego dzieła użył. Z ochotą więc mają się na to poświęcić i trwać w tem statecznie, niczem się nie zniechęcając, choćby im przyszło cierpieć prześladowanie przez całe swoje życie, albowiem błogosławieni, którzy znoszą prześladowanie dla sprawiedliwości, bo ich jest Królestwo Niebieskie. Niech się podtrzymują słowy Świętego Patryarchy, napisanemi krótko przed śmiercią do Ś. Matki Klary i do jej córek: „Ja, brat Franciszek, chcę naśladować życie, ubóstwo i Ewangelję Pana naszego Jezusa Chrystusa i wam daję tę radę, abyście od tego życia nigdy nie odstępowały i żadnemi pokusami ani perswazjami odwieść się od tej ewangelicznej doskonałości nie dały".

O podwójnym duchu Ś. Franciszka.

Chcemy raz jeszcze zwrócić uwagę, że duch Świętego Franciszka, który według słów Leona XIII, w istocie swojej jest duchem Chrystusowym, nietylko nadaje się, jak mówi tenże Papież, do potrzeb wszystkich miejsc i czasów, ale i do wszelkiego rodzaju życia, zarówno do czynnego, jak do bogomyślnego, chociaż głównem jego polem jest życie mieszane, t. j. czynne złączone z bogomyślnem. Pierwszy to Święty Franciszek wprowadził ten rodzaj życia do zakonów; dawniej bowiem po większej części zakonnicy oddawali się życiu bogomyślnemu, zdala od świata. On zaś, choć sam wysoce bogomyślny, czuł to, że nie należy odłączać tego życia od czynnego, gdyż sam Zbawiciel w sobie go nie odłączył. Długo się jednak zastanawiał i długo się modlił i jakby walczył ze sobą, będąc pociąganym do przestawania z Bogiem. Ale przekonawszy się, iż wolą Boską jest, aby i dla drugich zbawienia pracował — poszedł na misje i odtąd stale trzymał się tego rodzaju życia, że częścią modlitwie, a częścią pracy duchownej się oddawał. I ten podwójny rodzaj życia, a raczej jeden połączony, stał się ideałem i normą dla wszystkich jego naśladowców.

Jak jest zalecany jego naśladowcom.

Następcy Ś. Patryarchy, t. j. Ministrowie generalni jego zakonów, starając się o utrzymanie w tymże duchu powierzonych sobie zgromadzeń, w encyklikach swoich przypominają często swoim podwładnym, aby nigdy od tego podwójnego ducha (orationis et operis) modlitwy i czynu nie odstępowali, ani się nie przechylali na jedną lub drugą stronę, uważają sobie bowiem za obowiązek przechowywanie tej tradycji, jakby relikwji, pozostałej po Świętym Ojcu.

Pod wyrazami zaś: modlitwa i czyn rozumie się połączenie życia wewnętrznego z pracą zewnętrzną; ćwiczeń duchownych z posługami miłości; dążenia do doskonałości z pracą nad duszami, życia zakonnego z poświęceniem dla drugich, ścisłej obserwancji reguły z uczynkami miłosierdzia.

Jak stale tego połączonego życia trzymać się wypada.

Kwestja tego połączenia zajmuje wielu pisarzy duchownych, z których jedni przechylają się na jedną, drudzy na drugą stronę. Ale dla zakonów Ś. Franciszka jest ona rozstrzygnięta przez przykład samego świętego Fundatora, iż należy jedno z drugiem łączyć i jednemu i drugiemu zarówno się oddawać. Niechże więc dusze z zakonów serafickich, które w ten sposób są powołane, lub których rodzaj życia może się zastosować do tej zasady, nie odstępują łatwo od takowej i niech się nie dają zbałamucić żadnemi naukami i perswazjami, ani przekonać żadnemi dowodami, jakoby te dwie rzeczy pogodzić się z sobą nie dały. Przecież Pan Jezus i w sobie i w Świętym ich Patryarsze cudownie je połączył, raczej przeto niech wierzą, iż bez tego połączenia żadna z tych rzeczy osobno wzięta miłą Mu być nie może. Jak Mu się nie podoba krzątanie bez modlitwy, tak i modlitwa bez pracy. I jako napomniał Martę, gdy ta przyganiała Magdalenie, iż u nóg Pańskich siedziała, tak samo, twierdzi Ś. Franciszek Salezy, naganiłby Magdalenę, gdyby ta przyganiała pobożnemu krzątaniu się Marty. Wprawdzie Zbawiciel nazwał modlitwę lepszą c z ą s t k ą, ale nie nazwał jej c a ł o ś c i ą, bo ta dopiero z połączenia jej z pracą nastąpić może. I dlatego niech starają się wszelkiemi sposobami tę harmonję utrzymać, nie opuszczając nigdy pod żadnym pozorem ani jednego ani drugiego.

Jak złudne są pobudki, odwodzące od życia połączonego.

Niech się nie łudzą nadzieją większego pożytku i pozyskania więcej dusz przez większą działalność, ale niech pamiętają, że im więcej zużywać będą sił swoich na pracę zewnętrzną, nie podsycając ich nanowo ćwiczeniami duchownemi, tem praca ich będzie mniej skuteczna, a sami tem bardziej do upadku się zbliżą, i fizycznie i duchownie prędko w tej pracy ustaną. Dlatego niech ani na krótki czas nie zaniedbują się w ćwiczeniach, choćby im się zdawało, że żadnej szkody stąd nie odnoszą. Niech też nie wierzą, żeby ćwiczenia miały im przeszkadzać do gorliwszej pracy i większego z niej pożytku, ale niech je raczej uważają za główne źródło i podnietę i własnej prawdziwej gorliwości, i obfitszej korzyści dla drugich. Podobnym sposobem niech nie opuszczają się w obowiązkach i zajęciach pod pozorem, że mały przynoszą pożytek, lub że to im przeszkadza do modlitwy i do skupienia, albo jest okazją do grzechu. Niech je raczej w takim razie uważają za pobudkę do gorętszej modlitwy, i za okazję do cnoty umartwienia i zaparcia, i niech się spodziewają obfitszego błogosławieństwa Bożego w pracach, które bez naturalnego upodobania spełniają.

Ustępy z teologji mistycznej.

Środek do nabycia wszystkich cnót.

Na zakończenie tego rozdziału, w którym rozważaliśmy wszystkie cnoty ducha serafickiego, wybraliśmy przedmiot, stanowiący zarazem najskuteczniejszy środek nabycia tychże, a jest nim Eucharystja Święta. Niema lepszej drogi do nabycia miłości Bożej, wykorzenienia wad, wyćwiczenia się w cnotach, zwyciężenia pokus i postępu w doskonałości, jak pobożne używanie Najświętszej Eucharystji, do czego znów pomaga uczuciowe rozmyślanie tego Sakramentu. Chrystus dał się nam w Najśw. Sakramencie, aby nas do siebie pociągnął i coraz ściślej z sobą zjednoczył, jak się to pokazuje z tych słów: „Ciało moje prawdziwie jest pokarm, a krew moja prawdziwie jest napój, kto pożywa ciała mego, a pije krew moją we mnie mieszka, a ja w nim“ [1]). Słowa te wyrażają wewnętrzne a nieustające zjednoczenie Pana Jezusa z nami; dlatego Eucharystja nazwaną została przez Ojców Świętych Komunją, czyli jakoby wzajemnem zjednoczeniem tak komunikujących z Chrystusem, jak komunikujących między sobą. Ś. Cyryl Jerozolimski mówi: „Pod postacią chleba daje Ciało, a pod postacią wina Krew, abyś, gdy spożyjesz Ciało i Krew Chrystusa, stał się z Nim współcielesnym i współkrewnym“ [2]). A Ś. Cyryl Aleksandryjski: „Kto Ciało i Krew Pańską przyjmuje, tak się z Nim łączy, iż Chrystus w nim, a on w Chrystusie się znajduje“ [3]). — „Gdy Chrystus chciał okazać swoją miłość ku nam, pisze Ś.

[1]) Joan., 6, 56. [2]) Catech. 22. [3]) L. 4. in Joan., c. 17.

Chryzostom, przez ciało się z nami złączył i w jedno z nami zespolił, to bowiem miłującym najbardziej przystoi“ [1]). Przyczynę tego daje Ś. Tomasz. „Tak, mówi, przypadało miłości Chrystusowej, dlatego ten Sakrament jest znakiem największej miłości i podwyższeniem naszej nadziei z takiego poufałego złączenia się z nami Chrystusa“ [2]).

Uwaga.

Naukę o Najświętszym Sakramencie obszernie wywodzą teologowie i bronią jej przeciw heretykom. Tu zaś te tylko rzeczy wybieramy, które są zdolne wznieść uczucie nasze względem Ś. Eucharystji i do godnego a pożytecznego jej przyjmowania usposobić. O uczęszczaniu do Komunji Ś. i codziennem jej używaniu pisaliśmy w III tomie tego dzieła, tam gdzie o wpływie Ś. Franciszka na to uczęszczanie wspomnieć nam wypadło. Tu zaś, gdzie mówimy o jego duchu miłości, chcemy przytoczyć różne sposoby, przez które Chrystus łączy się z nami w Najśw. Sakramencie, a które bez wątpienia wszystkie Ś. Patryarcha przechodził, stając się przez nie takim Serafinem miłości. I my więc, gdy je poznamy i w praktyce przy pomocy Bożej zastosujemy, będziemy też mogli choć jaki stopień tejże miłości skutecznie tą drogą nabyć.

Pierwszy stopień zjednoczenia jest sakramentalny.

Ten sposób na tem zależy, że gdy jakikolwiek kapłan pokonsekruje z należytą intencją, i z użyciem właściwych słów materję chleba, od tej chwili, aż dotąd gdy postacie zaczną się psuć, istnieje tam Chrystus sakramentalnie i pod temi postaciami obecny jest w miejscu, gdzie znajduje się Hostja i w każdym komunikującym, która to obecność może być nazwana Sakramentem zjednoczenia. Pokazuje się to ze słów Chrystusa: „To jest Ciało moje, to jest Krew moja“, które to słowa nie zawierałyby pewnej i stałej prawdy, jeśliby w ten sposób nie były rozumiane.

Objaśnienie.

Cały więc Chrystus, po wymówieniu słów konsekracji, nieomylnie i bez żadnej zwłoki zjawia się pod postaciami eucharystycznemi i nie odstępuje, dopóki postacie, czyli przymioty chleba i wina trwają, choćby w błoto był wrzucony, lub przez jakie zwierzę pożarty, albo gdyby grzesznik świętokradzko komunikujący, żyd, heretyk czy zabobonnik bezbożnie Go nadużywał. I to się nie obraca na ujmę godności Ciała Zbawcy naszego, który chciał być przez grzeszników znieważanym i ukrzyżowanym, bez zmniejszenia swej godności, mówi Ś. Tomasz [1]). Pożywanie zaś Ciała Chrystusowego może być albo sakramentalne, albo przypadkowe. Gdyby np. mysz pożarła Ś. Eucharystję, wtedy nie sakramentalnie, ale przypadkowo Ciało Chrystusa pożywa; również gdyby kto spożył hostję konsekrowaną, myśląc, że nie jest konsekrowaną, pożywa bowiem to, co jest Sakramentem, ale nie w sposób sakramentalny, ze świadomością, że to jest Sakrament. Dlatego, właściwie mówiąc, Chrystus w Eucharystji nie łączy się z grzesznikami, ani ze zwierzęciem w taki sposób, jak się łączy ze sprawiedliwym, bo nie bierze postaci w tej intencji, aby się z nimi wewnętrznie i przyjacielsko łączył. W czem wielka miłość Boga względem nas jaśnieje [2]).

Drugi sposób zjednoczenia przez Komunję duchowną.

Gdy ktoś, wierząc w tę tajemnicę i ożywiony będąc miłością, zapala się pragnieniem przyjęcia Pana Jezusa sakramentalnie, chociaż w danej chwili jest to niemożliwem, to się nazywa Komunją duchowną. Sobór Trydencki bardzo zaleca tę praktykę dla tych, którzy pragnieniem pożywając Chleb Anielski, przez żywą wiarę uczuwają owoc jego i użyteczność [3]), co znaczy, że czują w sobie powiększenie miłości i łask i aktów gorących, odpowiednich do tego pragnienia, na czem właśnie polega duchowne złączenie z Chrystusem. Tę duchowną Komunję wraz z ascetami zaleca bardzo Blozjusz [4]), który chce, aby była codzień i częściej w ciągu dnia powtarzaną. I Ś. Teresa mówi: „Siostry moje, gdy do Komunji przystąpić nie możecie, na Mszy świętej, której słuchacie, powinnyście duchownie komunikować, przez co miłość Chrystusa głębiej w serca się wraża. Ile razy bowiem usposobimy się do jej przyjęcia, zawsze się nam coś dostaje, a to różnemi sposobami, jakich wcale nie pojmujemy“ [5]).

Uwagi co do Komunji duchownej.

1. Właściwie mówiąc, ani Aniołowie, ani Święci Starego Testamentu Komunji duchownej nie przyjmowali, bo nie dla nich był ten Sakrament postanowiony. Nie mogli przeto pragnąć sakramentalnie go pożywać, chyba tylko samego Chrystusa pożądając, albo, o ile jest w Eucharystji, nie dla siebie, ale dla drugich tego pragnąc.

2. Grzesznikowi również nie przystoi Komunja duchowna, gdyż nie godzi mu się, będąc w grzechu, pragnąć przyjęcia tego Sakramentu, a nawet nie jest zdolny do skorzystania z jego owoców, t. j. powiększenia łaski, chyba że zacznie od skruchy, przez którą mógłby się usprawiedliwić.

[1]) Hom. 61. ad pop. [2]) 3. p, q 75, a. 1.

[1]) 3 p, q. 89, a. 3. [2]) Schram § 148. [3]) Sess. 13, c. 8. [4]) Inst. spir. c. 8, n. 6. [5]) Via perf. c. 35.

3. Owoc, jaki sprawiedliwy może osiągnąć z Komunji duchownej, nie wypływa z mocy samego Sakramentu, non ex opera operato, bo obietnica skutku sakramentalnego jest uczyniona nie za chęci i pragnienia, ale za rzeczywiste przyjęcie. Owoc ten zależy więc od usposobienia przyjmującego.

4. Do właściwej Komunji duchownej nie wystarcza pragnienie ogólne otrzymania wszystkich łask możliwych, lecz ze względu na skutek, jakim jest powiększenie łaski przez nowe zjednoczenie, wyraźnego pragnienia potrzeba.

Trzeci sposób zjednoczenia przez rzeczywistą obecność.

Trzeci sposób, przez który Chrystus jednoczy się mniej lub więcej z godnie komunikującym, według jego usposobienia, jest sakramentalny i duchowny. W tym bowiem czasie, gdy komunikant jest pożywany i dopóki postacie w żołądku niezepsute jeszcze trwają, Pan Jezus jest obecny, co do Ciała, Krwi, Duszy i Bóstwa tak ciału, jak duszy przyjmującego, i otacza go wielką miłością, co właśnie jest zjednoczeniem. Okazuje się to z nauki katolickiej o tej tajemnicy, według której Ciało i Krew Chrystusa i cały Chrystus prawdziwie i rzeczywiście udziela się komunikującemu i w nim fizycznie pozostaje, jako pokarm, przez cały ten czas, przez który ten pokarm zostawałby, gdyby był zwykłym chlebem. Że zaś to się dzieje w celu zjednoczenia, a przypuszczamy, że przyjmujący nie sprzeciwia się, ale jest dobrze usposobiony, następuje więc wtedy większe zjednoczenie, niż gdyby było samo duchowne lub samo sakramentalne. „Gdy Chrystus godnie jest przyjęty, mówi Suarez, rzeczywiście łączy się z przyjmującym, ponieważ prawdziwie i właściwie w nim pozostaje i jakby cielesnem objęciem go otacza. I nawzajem, dopóki Chrystus tam jest, pobudza przyjmującego, aby kochał i uczuciem obejmował Tego, Który jest cieleśnie w nim obecny". Dowodzą tego również wyżej przytoczone słowa: „We mnie mieszka, a ja w nim", i te drugie: „współcielesnym i współkrewnym staje się Chrystusa". Sam rozum wskazuje, że jeżeli o pokarmie cielesnym w żołądek wpuszczonym, jeszcze przed jego przemianą mówi się, że się w nas wcielił, dlaczego podobnież nie moglibyśmy mówić o naszym pokarmie ożywiającym i nadprzyrodzonym? Jeżeli, jak Pan Jezus naucza, małżonkowie tworzą jedno ciało, i jeśli małżeństwo dlatego się nazywa wielkim Sakramentem w Chrystusie i w Kościele, że jest figurą zjednoczenia Chrystusa z duszą, to gdzież się owa jedność wyraźniej okazuje, jeżeli nie we wzajemnem ciała połączeniu w przyjęciu Świętej Eucharystji?

Wnioski.

Z tego, co się mówiło, wypada: 1. Że wiele zależy na tem, aby przyjęcie Sakramentu było razem duchowne i sakramentalne, bo dopiero z obydwóch powstaje zjednoczenie fizyczno-moralne, czyli eucharystyczne.

2. Od samego początku spożycia, przez cały czas, przez który postacie istnieją, zjednoczenie to trwa w sposób szczególny, gdyż w tym czasie Chrystus asystuje i jakby bierze na siebie i ciało i duszę przyjmującego.

3. Wystarczającem jest, że język, gardło i żołądek przyjmują bezpośrednio Najśw. Eucharystję, aby zjednoczenie rozciągało się względem całego ciała i duszy przyjmującego. Jest to więc ten najświętszy czas, w którym z całym Jezusem w nas obecnym jak najpobożniej przestawać i załatwiać swoje interesa powinniśmy. Dla tego Ś. Karol Boromeusz przestrzega: „Niechaj proboszcz naucza wiernych, aby za samą Komunję świętą całem sercem i ze wszelką wewnętrzną pobożnością dzięki Bogu czynili, gdyż to jest najwyższe dobrodziejstwo i nieskończona miłość, jaką względem ludu chrześcijańskiego okazał. Niech napomina, aby, gdy Komunję Ś. przyjmą, zaraz z kościoła nie wychodzili, ale trwali na modlitwie, o ile można, w spokojnem i odosobnionem miejscu; aby z uszanowaniem i całkowicie połykali, aby zaraz nie pluli, ale jeszcze kwadrans przynajmniej od plucia się wystrzegali"[1]). Według świadectwa bowiem lekarzy, nawet w osobach, mających zdrowy żołądek, po kwadransie przymioty już są zniszczone[2]). Wreszcie Ś. Teresa upomina: „To jest czas właściwy, aby Mistrz nauczał nas i oświecał. Słuchając Go, całujmy Jego nogi za to, że chce nas nauczać; módlmy się pokornie, aby nas nie opuszczał. Jeżeli tak modląc się, poglądacie na obraz Jezusa, niedorzecznością mi się wydaje w tym czasie opuszczać samą osobę, dla uważania pilnie jej obrazu"[3]).

Czwarty sposób zjednoczenia przez powiększenie łaski.

Skutek, jaki ten Sakrament w duszy godnie przyjmującego sprawuje, polega, jak uczy Sobór Trydencki, na zjednoczeniu człowieka z Chrystusem; gdy zaś wiemy, że przez łaskę człowiek w Chrystusa się wciela i z członkami Jego się jednoczy, stąd wypada, że przez ten Sakrament łaska w duszy godnie przyjmującego pomnaża się, sprawując wszelki skutek co do życia duchowne-

[1]) p. 4. Act. Mediol. [2]) Lugo. c. 10 de Euchar. [3]) Via perf. c. 34.

go, jaki materjalny pokarm i napój sprawują co do życia cielesnego, a więc: utrzymanie, powiększenie, naprawianie i uprzyjemnianie[1]). Sobór Trydencki określa, że pożywa się ten Sakrament, jako pokarm duchowny, przez który dusze posilają się i wzmacniają, żyjąc życiem Tego, Który powiedział: „Kto pożywa mnie, i on żyć będzie dla mnie", a życie to zasadza się na łasce poświęcającej"[2]).

Oprócz pomnożenia łaski poświęcającej, Ś. Eucharystja inne jeszcze łaski sprawuje; jest mianowicie lekarstwem, przez które uwalniamy się od win codziennych i zachowujemy się od śmiertelnych, jest zadatkiem przyszłej chwały i wiecznej szczęśliwości, daje łaskę karmiącą i duchowną słodycz, powściąga żądze, odpuszcza pewną karę doczesną i jest przyczyną zmartwychwstania ciała, czego wszystkiego obszernie dowodzą teologowie.

Wnioski.

1. Należy zauważyć, że Ś. Eucharystja powiększa w nas przez łaskę poświęcającą miłość, i inne cnoty, i dary nadprzyrodzone, jak to przy każdem usprawiedliwieniu albo powiększeniu łaski się zdarza.

2. Powiększają się także łaski posiłkowe: oświecenia, natchnienia pobożne, uczucia woli i cnoty z nich pochodzące, o ile ktoś do słuchania słów Bożych wewnątrz mówiących i do pójścia za niemi się usposobi.

3. Otrzymuje się mannę najlepszą, t. j. słodycz i pobożność przynajmniej istotną, która temu Sakramentowi jest właściwa.

4. Gdy Eucharystja gładzi grzechy powszednie, to i kary należne zmniejsza, jeżeli nie mocą własną, co mniej właściwe jest Eucharystji, jako Sakramentowi, to przynajmniej według zapału miłości.

5. Zapobiega grzechom śmiertelnym, pomnażając łaski i siły, niszcząc podstępy djabelskie, bo nie na sam czas Komunji Ś., lecz i na przyszłość otrzymuje się pomoc Bożą, szczególniej jeśli Komunja na sposób duchowny i sakramentalny przyjętą została.

6. Namiętności i żądze uśmierzają się najlepiej przez Komunję Św..

7. Wreszcie toruje ona drogę do wytrwania, a zatem daje szczególne prawo do zmartwychwstania ciała i duszy na żywot wieczny.

Piąty sposób zjednoczenia przez osobistą obecność po zniszczeniu postaci.

Piąty sposób zjednoczenia zależy na tem, że nawet po ustaniu postaci Chrystus pozostaje zjednoczony z duszą godnie komunikującego, i to nietylko przez łaskę i miłość, ale jeszcze osobiście, według swego jednoosobowego zjednoczenia i Bóstwa. Łatwo to zrozumieć, wspomniawszy, co się dzieje przy każdem usprawiedliwieniu. Wtedy bowiem Duch Święty staje się obecny w duszy sprawiedliwego nietylko przez łaskę i nietylko nawet przez istotę, bo już dla swojej niezmierzoności i wszędzieobecności na każdem miejscu tak jest obecny, lecz osobiście, t. j. w sposób szczególny, dotykając go, w nim mieszkając i czyniąc duszę jego świętą, sprawiedliwą, Bogu miłą, córką Bożą przybraną i dziedziczką życia wiecznego, który to sposób uczyniłby osobę Ducha Przenajświętszego istotowo obecną wtedy nawet, gdyby wbrew swojej wszędzieobecności nie miał się tam znajdować. Podobnież Chrystus przez Komunję świętą zjawia się w duszy osobiście, to jest według swojej hypostazji, z pomnożeniem łaski i zjednoczenia z Bogiem nawet po ustaniu postaci eucharystycznych. Tak naucza Reguera[1]) za Korneljuszem a Lapide[2]).

1. Wypływa to najprzód z Pisma Świętego: „Kto pożywa Ciało moje i pije Krew moją, we mnie mieszka, a ja w nim". W tych słowach nie wskazuje się zjednoczenia czysto sakramentalnego, bo to jest przechodnie i materjalne, przez nie więc ani stworzenie w Chrystusie, ani Chrystus w stworzeniu w przyjacielski sposób mieszkać nie może. Ani zjednoczenia czysto duchownego przez Komunję duchowną, bo ta nie jest przyjmowana sakramentalnie, o czem jednak powyższy tekst wspomina. Ani zjednoczenia sakramentalnego i duchownego, bo to tylko przez czas trwania postaci zostaje i prędko przechodzi. Ani zjednoczenia przez łaskę, bo to nie jest osobiste, tak żeby przez nie Chrystus mógł powiedzieć: „Ja w nim mieszkam". A więc te słowa wskazują na zjednoczenie szczególne, o którem mówimy i przez które Chrystus pozostaje w duszy co do swej osoby, mocą godnie przyjętej Komunji świętej. Jeszcze lepiej pokazuje się to ze słów: „Kto pożywa mnie, niech żyje dla mnie", bo nie mówi tu Pan Jezus: niech żyje dla mego ciała, ale dla mnie, to jest dla Syna Bożego, z którym przyjmujący jednoczy się przez ciało, aby Chrystus Pan stale w nim mieszkał[3]).

2. Sakrament ten zowie się Uczestnictwem, mówi Ś. Jan Damasceński, bo przezeń uczestnikami Bóstwa Jezusowego się stajemy. Skoro zaś jawnem jest, że po ustaniu postaci uczestnictwo to nie jest w ciele, musi być zatem w Bóstwie. Zresztą wszyscy teologowie utrzymują, że po ustaniu postaci trwa w dalszym ciągu szczególne pomnożenie łaski, do

[1]) Decret fid. [2]) Sess. 13, c. 2.

[1]) Prax. Th. Myst. [2]) In Joan. VI, 57, 58. [3]) Toletus in c. 6 Joan.

czego potrzebne jest wyżej wskazane zjednoczenie, czyli osobista obecność Chrystusa. Stąd słusznie wnosi Korneljusz a Lapide, że jak pokarm po strawieniu zostawia siłę swoją odżywczą w kiszkach, tak postacie, gdy zostaną zniszczone, zostawiają w pewien sposób swoją siłę posilania na żywot wieczny w Bóstwie Chrystusa, które wraz z łaską pozostaje [1]).

Odpowiedzi na zarzuty.

Zarzut I. Przeciwko temu możnaby powiedzieć, że Ojcowie Święci i teologowie innego skutku Ś. Eucharystji nie uznają, jak zjednoczenie mistyczne przez łaskę, nie zaś osobiste.

Odpowiedź. Jednakże tego osobistego nie wyłączają, owszem, przypuszczają je, gdy mówią o posłaniu Ducha Świętego. Badając zaś głęboko naturę tego zjednoczenia, widzimy, że więcej ono jest duchowne, niż cielesne i nie jest ściśle realne, ale takie, jak wszystkie zjednoczenia z Duchem Świętym.

Zarzut II. Jednoczyć się i pozostawać przez Bóstwo z łaską, wspólne jest całej Trójcy Świętej, a przynajmniej specjalnie samemu Duchowi Świętemu. A w tym razie przedstawia się jakby coś wyłącznie przysługującego samemu Chrystusowi Panu.

Odpowiedź. Pozostawanie Chrystusa mocą Najśw. Eucharystji przyznaje się tu Chrystusowi sposobem szczególnym, lecz nie tak, aby razem nie było przyznawane całej Trójcy Świętej. Wiadomo, że i Duchowi Świętemu przyznaje się w szczególny sposób zesłanie niewidzialne, chociaż jest ono dziełem wszystkich trzech Osób Boskich, a czyni się tak dlatego, że owemu zesłaniu towarzyszy szczególne pomnożenie miłości, która uważa się za właściwą Duchowi Świętemu. Podobnież najszczególniejszym sposobem przypisane być może Chrystusowi pozostawanie w duszy z pomnożeniem łaski i zjednoczeniem z Bogiem mocą Najśw. Sakramentu, tem bardziej że do tego celu Chrystus ukazuje się jawnie, pod znakiem widomym, i że On sam pobudza i usposabia komunikującego, aby mógł przyjąć pomnożenie łaski i zjednoczenie z Bogiem.

Zarzut III. Ten skutek wspólny jest wszystkim Sakramentom, bo przez wszystkie albo nabywa się albo pomnaża łaską, a zatem Bóstwo się udziela.

Odpowiedź. Różnica jest w tem, że w Najświętszej Eucharystji udziela się także specjalna łaska sakramentalna do odbywania ćwiczeń pobożnych dla większego zjednoczenia się z Bogiem, tudzież dla posilania miłości i życia duchownego.

[1]) In c. 6. Joan., c. 57.

Szósty sposób zjednoczenia przez duszę Chrystusa.

Dzieje się to wtedy, gdy po ustaniu postaci, a zatem po usunięciu Ciała i Krwi Pańskiej, Chrystus trwa w komunikującym nietylko przez Bóstwo i przez Osobę swoją, ale jeszcze przez odbicie w nim swojej duszy i przez nią, jako przez bezpośrednie narzędzie, złączone ze Słowem, jeszcze specjalniej, niż przez samo Bóstwo, pozostaje najszczególniej zjednoczony z niektóremi duszami bardzo doskonałemi, godnie się do tego przywileju usposabiającemi. Tak nauczają Kardynałowie Cienfuegos [1]) i Belluga.

1. Ten sposób nie zawiera w sobie żadnego przeciwieństwa, albowiem szczególne to zjednoczenie z wyjątkowemi duszami, które podniosły się do stopnia doskonałości, zwanego przekształceniem, nie sprzeciwia się zwykłemu zjednoczeniu, właściwemu dla innych sprawiedliwych; tak jak przystępujący z aktualną pobożnością odbiera szczególny skutek tego Sakramentu, czyli słodycz duchowną, chociaż pozbawiony jej bywa sprawiedliwy, który bez takiej pobożności przystępuje. Nadto w tym Sakramencie, który jest Sakramentem miłości, o ile jesteśmy więcej lub mniej zjednoczeni z Chrystusem przez miłość, o tyle i On więcej lub mniej z nami się jednoczy.

2. Najszczególniejsze to zjednoczenie przez duszę Chrystusa nie przechodzi granic onej szczodrobliwej obietnicy: „We mnie mieszka, a ja w nim“, która oznacza zjednoczenie trwające, osobiste i nieograniczone, z najwyższej miłości pochodzące, dlatego niema żadnej racji, aby powyższy sposób zjednoczenia miał być od tej obietnicy wyłączony. Wreszcie nie przechodzi to granic ustanowienia tego Sakramentu, w nim bowiem rzeczywiście znajduje się dusza Chrystusa, przyjęta przez Bóstwo i ogarniająca duszę komunikującego, dopóki w nim trwa Sakrament. A że obietnica zjednoczenia z Chrystusem nie była ograniczoną, więc może trwać i po ustaniu postaci.

3. Bez tego specjalnego zjednoczenia przez duszę Chrystusa, nie spełniałaby się dokładnie Pańska obietnica; również i ustanowienie Najśw. Sakramentu nie osiągnęłoby całej swojej rozciągłości. Bo chociaż to „ja w nim“ dostatecznie sprawdza się przez osobę Chrystusa, nie można jednak wątpić, że byłoby zupełniejszem, jeśliby dusza Chrystusa, zjednoczona ze Słowem, razem pozostawała. Także i te słowa: „In me manet — we mnie mieszka“, skoro w duszach doskonałych i z wielkim afektem pragnących zatrzymać Chrystusa w sposób jaki być może najściślejszy, sprawdzają się przez przyjęcie Bóstwa

[1]) In lib. Vita abscondita.

i Człowieczeństwa Chrystusowego w Eucharystji Ś., dlaczegożby i te drugie: „A ja w nim“, wielkiej miłości Chrystusa do nich dowodzące, nie mogłyby przez to być sprawdzone, iżby duszę swoją pozwolił im zatrzymać, tem więcej, że Chrystus niczego bardziej nie pragnie, jak znaleźć tego rodzaju dusze, którymby mógł na wszelki sposób się udzielać, byle je znalazł należycie usposobione.

O cudownem pozostawaniu Chrystusa według ciała.

Nastręcza się jeszcze pytanie, czy możliwą jest rzeczą, aby Chrystus w niektórych osobach utrzymując cudownie postacie, przez długi czas według ciała przebywał. I ten sposób zjednoczenia nie zawiera w sobie nic przeciwnego wierze, owszem, jest bardzo odpowiedni ustanowieniu Ś. Eucharystji i jej skutkom, o ile należyte jest usposobienie przyjmującego. Tem bardziej właściwy jest miłości Chrystusa, kochającego tych, którzy Go miłują. Dlatego uznaje Reguera, że nic bardziej ze zdrowym rozumem nie jest zgodne, jak żeby Chrystus w ten sposób choć z nielicznemi duszami mógł się jednoczyć.

Trudniej zdaje się uczonym przyznać to, co powiedziano w „Mieście Bożem“ Marji z Agreda, że Najśw. Panna nieustannie miała w Sercu swem postacie sakramentalne od Wielkiego Czwartku, aż do godziny swego Wniebowzięcia, przez cudowne zachowywanie ich od jednej Komunji do drugiej, i że coś podobnego było z innemi duszami, które przez pewien czas, a nawet przez całe lata Komunję w piersiach miały. I na to także niema dostatecznego dowodu, żeby i teraz i na wieki Najśw. Eucharystja w ten sposób w Sercu Marji zostawała. Chybaby należało przypuścić, że Bóg cudownie obmyślił ten szczególny sposób pojednoczenia, najprzód ze względu na najwyższą świętość Matki Bożej, a powtóre, żeby pamiątka tak wielkiego cudu miłości utrwalona była na wieki.

O usposobieniach potrzebnych do przyjęcia Najśw. Eucharystji.

Wszyscy teologowie mistyczni bardzo obszernie pisali o usposobieniach potrzebnych do osiągnięcia obfitych pożytków z tego Sakramentu. Gdy jednak wiele osób przez niezrozumienie uważało te rzeczy, jako warunki konieczne do przyjęcia Pana Jezusa i wstrzymywało się przez świętą bojaźń od częstej Komunji z wielką szkodą swoją duchowną, Jego Świątobliwość Ojciec Święty Pius X., na prośbę wielu najzacniejszych osób, raczył sam określić warunki codziennej Komunji i zakazał pisarzom kościelnym wszczynać rozprawy w tym przedmiocie. Wobec tego uważaliśmy za właściwe pominąć wszystko, co najsławniejsi teologowie o tem piszą, a przytoczyć natomiast ów pełen mądrości i gorliwości Dekret Ś. Kongregacji Soboru, którego błogosławione owoce w upowszechnieniu codziennej Komunji Świętej już oglądamy. I cieszymy się z tego widoku, uważając, że Pan Bóg chce dziś zaprowadzić u nas tę praktykę pierwotnego Kościoła, której świetne następstwa wiadome są wszystkim wiernym.

Wyjątki z dekretu Ś. Kongregacji.

...Jego Świątobliwość, mając i sam na sercu tę sprawę, ze zwykłą sobie troskliwością i staraniem powierzył rozpatrzenie i określenie tej kwestji Ś. Kongregacji Soboru, ażeby lud chrześcijański mógł jak można najczęściej, a nawet i codziennie być wzywanym do Świętej Uczty i z niej jak najobfitsze zbierać owoce.

Przeto Ś. Kongregacja Soboru na pełnem posiedzeniu d. 16 grudnia 1905 roku sprawę tę poddała ścisłemu badaniu i po najdojrzalszem rozważeniu zewsząd zebranych dowodów postanowiła i oświadczyła, co następuje:

1. Do częstej i codziennej Komunji św., jako bardzo przez Chrystusa i przez Kościół katolicki zalecanej, każdy chrześcijanin jakiegokolwiek stanu może przystępować; nikomu więc nie można zabronić przystępowania do Stołu Pańskiego, kto tylko czyni to w stanie łaski, z dobrem i pobożnem usposobieniem.

2. Dobre i pobożne usposobienie jest wtedy, jeżeli przystępujący do Stołu Pańskiego nie czyni tego z przyzwyczajenia tylko, albo z próżności, albo ze względów ludzkich, lecz chce spodobać się przez to Bogu, połączyć się z Nim tem ściślejszym węzłem miłości i tem Bożem lekarstwem zapobiedz swym chorobom i niedomaganiom.

5. Chociaż wypada, aby często lub codziennie komunikujący byli wolni od grzechów powszednich, przynajmniej całkiem dobrowolnych, i od przywiązania do nich, — to jednak do godnego przyjęcia Komunji Świętej wystarcza, aby nie mieć na sumieniu grzechu ciężkiego, z postanowieniem że nigdy takiego grzechu nie popełnią. Mając zaś takie szczere postanowienie, przez codzienną Komunję św. pozbędą się powoli i grzechów lekkich, jako też i przywiązania do nich.

4. Ponieważ Sakramenta Nowego Testamentu, choć skutek powodują same przez się (ex opera operato), większy jednak skutek sprawiają w tych, którzy przystępują do nich lepiej przysposobieni, dlatego trzeba się usilnie starać, aby Komunję św. poprzedziło sumienne przygotowanie, a po Komunji Św. nastąpiło dziękczynienie, odpowiednio do sił, stanu i zajęcia każdego.

5. Aby częstą i codzienną Komunję św. przyjmować z większą roztropnością i z większą zasługą, trzeba co do niej zasięgnąć rady spowiednika. Spowiednicy jednak niech się strzegą odmawiać częstej i codziennej Komunji św. temu, kto w łasce i z dobrem usposobieniem chce do niej przystąpić.

6. Ponieważ jasną jest rzeczą, że przez częstą i codzienną Komunję św. zwiększa się łączność z Chrystusem, życie duchowne nabiera nowej siły, dusza coraz więcej cnotami się ozdabia, przyjmujący Komunję św. dostaje zadatek wiecznej szczęśliwości: dlatego proboszczowie, spowiednicy i kaznodzieje, stosownie do zalecenia katechizmu rzymskiego (Pars. II. c. 63), będą częstemi napomnieniami usilnie wierny lud zachęcać do tej tak zbożnej i zbawiennej praktyki duchownej.

7. Częstą i codzienną Komunję św. trzeba zalecać zwłaszcza w zakonach wszelkiego rodzaju. Utrzymuje się jednak względem nich dekret Quemadmodum z 17-go grudnia 1890 r., wydany przez Ś. Kongregację Biskupów i Zakonników. Jak najusilniej też trzeba szerzyć tę pobożną praktykę w seminarjach kleryków, oraz we wszystkich chrześcijańskich zakładach wychowawczych.

8. Jeżeli się znajdą zakłady, czy to ze ślubami uroczystemi, czy prostemi, w których konstytucje i reguły nakazują Komunję św. w pewne dni, normy te mają być uważane tylko za wskazówki, a nie za nakazy. Przepisana ilość Komunji ma być uważana jako minimum, wymagane od zakonników. Dlatego częstsza, a nawet codzienna Komunja św. jest dozwolona zawsze, byle według norm w tym oto dekrecie wyłuszczonych. Aby zaś rozporządzenia tego dekretu wszyscy obojej płci członkowie zakonni znać mogli, kierownicy poszczególnych domów postarają się o to, aby ten dekret co roku w języku rodzinnym w oktawie Bożego Ciała wspólnie był odczytany.

9. W końcu Ś. Kongregacja postanawia, że po ogłoszeniu tego dekretu wszyscy pisarze kościelni zaniechają wszelkich kłótliwych dysput co do usposobienia potrzebnego do częstej i codziennej Komunji św.

Po przedstawieniu zaś tego wszystkiego przez sekretarza Ś. Kongregacji, na audjencji 17 grudnia 1905 r. Jego Świątobliwość Ojciec Ś. Pius X to postanowienie Ich Em. Najdostojniejszych Kardyanałów uznał za ważne, potwierdził i drukiem ogłosić zalecił, nie zważając na wszelkie inne temu przeciwne postanowienia. Nadto rozkazać raczył, by ten Dekret rozesłany był do wszystkich Biskupów i przełożonych zakonnych z tem, by go ogłosili w seminarjach i domach zakonnych, oraz przesłali proboszczom i wszystkim kapłanom, i o wykonaniu postanowień w nim zawartych przy zwykłem sprawozdaniu o stanie dyecezji lub zakonu Stolicę Świętą niech zawiadomią.

Dano w Rzymie, d. 20 grudnia 1905 r.

Wincenty, Kard. Bisk. Prenesty, Prefekt.

C. de Lai. Sekretarz.

Sykstus IV oddaje swój zarząd Kościoła pod opiekę Ś. Franciszka.

Antepedjum haftowane, (cenny klejnot Świętego Konwentu w Assyżu).

Dante Alighieri, tercjarz Ś. Franciszka.

Według obrazu Rafaela „Rozprawa o Najświętszym Sakramencie".

W sali watykańskiej Podpisów.

Rejestr przedmiotów zawartych w IV-ym tomie.

DUCH SERAFICZNY Ś. FRANCISZKA Z ASSYŻA.

Str.

Wstęp 7

ROZDZIAŁ I.

O mocy ducha seraficznego.

O duchu w ogóle. — Duch Boży i duch tego świata. — Duch właściwy bogobojnym osobom. — Duch zgromadzeń zakonnych. — O duchu właściwym społecznościom. — Duch pierwszych chrześcijan. — Czasy Franciszka Świętego. — Nasze czasy. — Zalecenie ducha Ś. Franciszka. — Odezwa Piusa X. — Na czem duch Ś. Franciszka głównie zależy 11

ROZDZIAŁ II.

Duch seraficzny jest duchem żywej wiary.

Jaką była wiara pierwszych chrześcijan? — Żywa wiara Ś. Franciszka. — Wyprawa do muzułmanów. — Wielka ufność w Opatrzność Boską. — Przyjęcie gościnne lekarza. — Opatrzenie pięciu tysięcy braci. — Władza nad ogniem. — Uśmierzenie wilka. — Żywa wiara Ś. Franciszka w życiu codziennem. — Mocna ufność Ś. Franciszka 16

Żywa wiara naśladowców Ś. Franciszka. — Ś. Ludwik, król francuski. — Inne oznaki żywej wiary świętego króla. — Ś. Iwon z Bretanji. — Ś. Elzear Sabran. — Jan z Aragonji. — Ś. Bernardyn Seneński. — Bł. Franciszek z Pawji. — Ś. Piotr Regalat. — Ś. Jan Kapistran. — Ś. Józef z Kopertynu. — Jak żywą była jego wiara. — Powołanie Ś. Józefa. — Bł. Bonawentura z Barcelony. — Bł. Marja Krescencja. — Bł. Benedykt Labre. — Ś. Marja Franciszka od 5-u Ran. — Bł. Idzi od Św. Józefa. — Bł. Magdalena Postel. — Cz. Wincenty Pallotti. — Żywa wiara w Opatrzność Boską. — Cz. Ludwik z Casoria. — Uważa wiarę za podstawę uczynków miłosiernych. — Testament Ludwika z Casoria. — Marja od Jezusa. — Wiara w zarządzie Zgromadzeniem. — Ludwika d'Arras. . . 21

Kapucyni: Mateusz z Leonissy. — Kapucyni turyńscy. — Braciszek z Kamerino. — Urban z Manfredony. — Antoni z Cinciano. — Cz. Jan z z Maurienne. — Antoni z Rossignano. — Bonawentura z Kilkenny. — Tiacrio Tobin z Kilkenny. — Hieronim z Korleonu. — Uzdrawia chorą. — Otrzymuje cudowny owoc. — Naprawia chwilową nieufność. — Ś. Weronika Giuliani. — Jej ufność. — Bł. Marja Magdalena Martinengo. — Pragnie męczeństwa. — Naśladuje świętych męczenników. — Wielka ufność Błogosławionej. — Pobudza innych do ufności. — Cz. Jezuald z Reggio. — Przeprawia się cudownie przez fale. — Izajasz Volpi. — Marja Antoni z Lavaur. 32

Str.

Polscy naśladowcy Ś. Franciszka. — Feliks Rydzyński. — Adjut Sobalkiewicz. — Sebastjan Wolicki. — Alojzy Wydżga. — Franciszek Kawer. — Benignus Perowicz 41

Co mówią do nas te przykłady? — Jak bardzo potrzebną jest żywa wiara dla dusz dążących do doskonałości. — Znaki wiary heroicznej. — Tylko miłujący ma żywą wiarę. — Jak człowiek żywej wiary patrzy na rzeczy stworzone. — Jak pojmuje tajemnice wiary. — Słaba wiara nie wystarcza do zbawienia. — Sposoby wkorzenienia żywej wiary. — Czytanie ksiąg duchownych ożywia wiarę. — Słuchanie słowa Bożego umacnia wiarę. — Uległość Kościołowi i Stolicy Apostolskiej jest najlepszym objawem żywej wiary. — Wiara jest sercem religji. — Zachęta do ćwiczenia się w żywej wierze. 42

ROZDZIAŁ III.

Duch seraficzny jest duchem świętego zapału.

Źródło świętego zapału. — Zapał pierwszych chrześcijan. — Odnowienie tego ducha. — Zapał w modlitwie. — Zapał w słuchaniu natchnień Ducha Świętego. — Zapał w opuszczeniu wszystkiego. — Zapał względem świętego ubóstwa. — Zapał w miłości bliźniego. — Zapał w nauczaniu. — Z jakim zapałem pisał regułę Braci Mniejszych. — Z jakim zapałem bronił drogi ewangelicznej doskonałości. — Zapał w cierpieniach. — Wytrwanie do końca w świętym zapale. — Jak zapał Ś. Franciszka udzielał się jego uczniom. 52

Naśladowcy Serafickiego Patryarchy w zapale. — Ś. Klara z Assyża. — Ś. Ludwik Andegaweński. — Bł. Jakopon z Todi. — Ś. Elzear de Sabran. — Bł. Tomasz z Florencji. — Jego pragnienie męczeństwa. — Jerzy Erbal. — Bł. Mikołaj Faktor. — Ś. Paschalis Baylon. — Bł. Hieronim od Jezusa. — Nowi męczennicy Japońscy. — Bł. Piotr od Wniebowzięcia. — Bł. Jan od Ś. Marty. — Koniec jego misji. — Bł. Ryszard od Ś. Anny. — Jego towarzysze. — Bł. Leon Satzuma. — Bł. Łucja de Flejtes. — Bł. Franciszek Galvez. — Bł. Ludwik Sotelo. — Towarzysze Bł. Ludwika. — Bł. Franciszek od Najśw. Marji Panny. — Bł. Antoni od Ś. Bonawentury. — Bł. Jan Tomaqui. — Bł. Ludwik Nifaci. — Inni błogosławieni Tercjarze. — Nowi męczennicy. — Bł. Hieronim Torres. — Bł. Gabryel od Ś. Magdaleny. — Męczennicy franciszkańscy w Japonji po r. 1632. — Nowa misja. — Bł. Marja Magdalena Postel. — Początki jej powołania. — Zapał wśród prześladowań. — Zawiązuje zgromadzenie. 57

Str.

Kapucyni: Cz. Honorat z Paryża. — Hieronim z Korleonu. — Bł. Marja Magdalena Martinengo. — Bł. Anioł z Akry. — Bł. Diego-Józef z Kadysku. — Jego zapał w obiorze stanu. . . . 74

Polacy: Bł. Jan z Dukli. — Sebastjan Wolicki. 77

Jaki wniosek wynika stąd dla naśladowców Serafickiego Patryarchy? Jak wszyscy możemy naśladować zapał Ś. Franciszka 77

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: Oziębłość sprzeciwia się duchowi zapału. Znaki oziębłości. — Oziębły znajduje się w niebezpieczeństwie grzechu śmiertelnego.—Oziębły nie spełnia najważniejszych przykazań Boskich. — Źródłem oziębłości jest pycha. — Duszom oziębłym grozi niepokuta. Zachęta do unikania oziębłości. — Środki przeciw oziębłości. — Stan dzisiejszego świata. — Jaki jest środek na rozgrzanie tego świata. — Czem są dla świata naśladowcy Ś. Franciszka? — Zachęta dla dusz gorliwych. 78

ROZDZIAŁ IV.

Duch seraficzny jest duchem świętej głębokiej prostoty.

Co to jest prostota? — Jaka była prostota Ś. Franciszka? — Prostota Ś. Franciszka w sposobie modlenia się. — Zalecenie trylogji: Chwała Ojcu. — Osobliwa Jutrznia Ś. Franciszka. — Zwykłe akty Ś. Franciszka. — Prostota Franciszka w nauczaniu. Pierwsze wystąpienie Ś. Franciszka wspólnie z braćmi. — Druga wyprawa apostolska. — Oskarża się publicznie z próżności. — Jak nie cierpiał obłudy.— Co myślał o mądrości światowej. — Jak bracia mają się oddawać nauce. — Jak się obawiał próżnych nauk.— O prawdziwym teologu zakonnym. — Śpiewa naprzemian ze słowikiem. — Makołągwa pobudza go do chwalenia Boga. — Prostota Franciszka czyni mu uległemi stworzenia. 82

Prostota naśladowców Ś. Franciszka. — Ś. Elżbieta Węgierska. — Bł. Leon z Witerbu. — Bł. Juniper z Assyża.—Bł. Idzi z Assyża.—Jak przemawiał do znakomitych osób. — Jak przestawał z braćmi. — Jan Hortulan. — . Benedykt z San Fradello. — Wiek jego młodzieńczy. — Wstępuje do zgromadzenia pustelników. — Zostaje przełożonym. — Przechodzi do Obserwantów. — Zostaje kucharzem. — Jego przyjęcie w Girgenti. — Powraca do zajęć kucharskich. — Ś. Paschalis Baylon. — Bł. Karol z Sezze. — Bł. Idzi od Ś. Józefa. — Jego szczerość względem panujących. — Cz. Ludwik z Casoria. 87

Kapucyni: Franciszek z Esio. — Nieroztropna prostota. — Franciszek z Macerata. — Anioł z Citta di Castellano. — Wincenty z Flaviano — Illuminat z Norcia. — Ś. Feliks z Cantalicio. — Z jaką prostotą upominał dostojników. — Hieronim z Korleonu. — Jego naiwna prostota. — Roztropność w prostocie. — Bł. Kryspin z Witerbu. . . . 93

Polscy Bracia Mniejsi: Feliks Szpak. — Jakiemi darami go Pan Bóg obdarował. — Wincenty Lenartowicz. — Pacyfik Kucharski. — Konstanty Przystałowski. — Franciszek Szulc. . . . 97

W jaki sposób synowie i córki Ś. Franciszka naśladować mają jego prostotę? — Do czego ma pobudzać wszystkich prostota Ś. Franciszka. — Prostota w czytaniu i nauczaniu katechizmu. — Prostota w słuchaniu słowa Bożego. — Prostaczkom wystarcza ich prosta wiara. — Zachęta do prostoty. 99

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: Prostota jest bardzo potrzebna do postępu w doskonałości. — Prostota jest prawdziwą mądrością Bożą. — Znaki prostoty. — Różne akty prostoty. — 101

Str.

ROZDZIAŁ V.

Duch seraficzny jest duchem szczerej wzgardy świata.

Duch pierwszych chrześcijan. — Jak Ś. Franciszek światem pogardzał. — Słowa Ojca Ś-go Leona XIII. — Przywdziewa na siebie wzgardzoną odzież. Naraża się na szyderstwa uliczne. — Wzgarda ze strony ojca. — Brat naśmiewa się z niego. — Przykrości przy proszeniu jałmużny. — Przedstawia się jako bezrozumny. — Oburza się na wspaniałość mieszkań. — Karci oddawanie się naukom światowym. — Jakiej wzgardy świata wymagał Franciszek od swoich uczniów.— Jak skutecznie pobudzał do wzgardy świata. 102

Wzgarda świata w naśladowcach Franciszka. — Ś. Elżbieta Węgierska. — Jakim był jej ubiór. — Ś. Róża Witerbska. — Brat Juniper. — Jak unikał czci ludzkiej. — Bł. Idzi z Assyża. — Bł. Agnieszka Czeska. — Bł. Małgorzata z Kortony. — Bł. Joanna Marja Maillé. — Upokorzenia Bł. Joanny. — Jej tułactwo. — Ś. Franciszka Rzymianka. Bł. Gabryel Ferretti. — Ś. Katarzyna Bolońska. — Ś. Jakób z Marchji. — Klemens Capponi. — Bł. Anioł z Klawazio. — Bł. Paula Gambara. — Bł. Ludwika Albertoni. — Franciszek z Villar. — Bł. Andrzej Hibernon. — Cz. Franciszek Gonzaga. — Ś. Franciszek Salezy. — Wzgarda ziemskich zaszczytów. — Usuwa się od godności biskupich. — Wzgarda dostatków i honorów. — Jak Bóg popierał prace Braci, odwodzących od próżności świata. 106

Kapucyni: Mateusz z Umbrji. — Franciszek Tytelman. — Jan z Fano. — Franciszek z Funiano. Aleksander z Butrji. — Ś. Feliks z Cantalicio. — Anioł de Joyeuse. — Po raz drugi gardzi światem.— Cz. Honorat z Paryża. — Wzgarda godności w ich sprawowaniu. — Sebastjan z Maurienne. — Leonard z Paryża. — Jan Chrzciciel z Valperga. — Eleazar z Vire. — Jan Marja de Trelon. — Paweł z Colindres. — Mikołaj z Molinari. 117

Polacy: Hieronim Wojakowski. — Felicjan Bielski. — Apolinary Wieczorowicz. — Franciszek Malczewski 124

Duch wzgardy świata jest duchem Ewangelji. — Duch wzgardy świata potrzebny jest szczególniej naśladowcom Ś. Franciszka. — Każdy chrześcijanin powinien posiadać ducha wzgardy. . . 126

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: Jakiemi drogami prowadzi Bóg dusze dążące do wzgardy świata. — Prześladowanie od pogan i heretyków. — Prześladowanie od złych katolików. — Prześladowanie od ludzi dobrych. 127

ROZDZIAŁ VI.

Duch seraficzny jest duchem całkowitego zaparcia i wyrzeczenia siebie.

Jakie było zaparcie Franciszka.— Pierwsza próba. — Czyny miłosnego wyrzeczenia się siebie. — Cudowna próba. — Nowa pobudka do zaparcia.— Nowe wezwanie do wyrzeczenie się siebie. — Inny czyn zaparcia się siebie. — Zwalcza pociąg do świata.—Jak znosił wewnętrzne opuszczenia i pokusy. — Jak się łączył z żebrakami. — W jakim duchu przyjmował uczczenie. — Z jakiem zaparciem znosił cierpienia. — Był umarły sobie. — O zaparciu swej woli. — Ja J daleko je posuwał. — Jaki wzór posłuszeństwa wystawiał. — Prosi o przełożonego. Jakiego posłuszeństwa wymagał od braci. — Jak karcił nieposłusznych. — Jakiego zaparcia rozumu wymagał. — Jak doświadczał zaparcia rozumu swych braci. — Jakiego wyniszczenia natury żądał od braci. 129

Zaparcie naśladowców Ś. Franciszka. — Na kapitule Rogozianej. — Bracia wysłani do Anglji. — Ś. Elżbieta Węgierska. — Bł. Benwenuty z Gubbio. — Bł. Humiljanna Cerchi. — Bł. Andrzej ze Spello. — Bł.k uniper z Assyża. — Bł. Idzi z Assyża. —

Str.

Bł. Piotr ze Sienny. — O nowicjuszu w Hiszpanji.— Cz. Jan Duns-Scot. — Ś. Elżbieta Portugalska. — Ś. Franciszka Rzymianka. — Jej posłuszeństwo względem małżonka. — Względem spowiedników.— Bł. Tomasz z Florencji. — Bł. Franciszek z Pawji.— Ś. Jan Kapistran. — Ś. Katarzyna Bolońska. — Ś. Jakób z Marchji. — Klemens Capponi. — Cz. Joanna od Krzyża. — Ś. Piotr z Alkantary. — Bł. Salwator z Orty. — Zaparcie w prześladowaniu. — Siostra Berengarja. — Ś. Paschalis Baylon. — Posłuszeństwo po śmierci. — Bł. Juljan z San-Agostino. — Ś. Franciszek Solano. — Ś. Hjacynta Mariscotti. — Ś. Józef z Kopertynu. — Bł. Bonawentura z Potencji. — Inny objaw posłuszeństwa. — Drugi podobny wypadek. — Jego zaparcie. — Po śmierci. — Ś. Pacyfik z San-Severino. — Ś. Jan Józef od Krzyża. — Bł. Marja Krescencja. — Jej posłuszeństwo. — Jej cierpliwość. — Ś. Marja Franciszka od pięciu Ran. — Bł. Idzi od Ś. Józefa. — Jego cierpliwość. — Cz. Wincenty Pallotti. — Cz. Ludwik z Casoria. — Marja od Jezusa 135

Kapucyni: Piotr z Apony. — Gracjan z Norcia i Benedykt z Bergamo. — Bernard z Assyża. — Kara za brak poddania woli. — Mateusz z Basci. — Bernardyn z Monteulmu. — Nagroda za zaparcie rozumu. — Pandolf z San-Cyrillo. — Skutki rządzenia się własną wolą. — Gerwazy z Termini. — Tomasz z Citti di Castello. — Ś. Feliks z Cantalicio. — Różne objawy jego zaparia. — Cz. Jan z Maurienne. — Cz. Honorat z Paryża. — Wewnętrzne walki.— Inny rodzaj zaparcia. — Hilary z Fryburga. — Hieronim z Korleonu. — Bł. Marja Magdalena Martinengo.— Jej posłuszeństwo.—Na urzędzie mistrzyni. W chorobach. — Bł. Anioł z Akry. — Bł. Kryspin z Witerbu. — Bernard Bocchini. — Bł. Feliks z Nikozji. — Przykłady. — Cz. Innocenty z Berzo. — Jego młodość. — W seminarjum. 154

Zaparcie polskich Braci Mniejszych. — Bł. Jan z Dukli. — Chrystyn Chojecki. — Augustyn Ostrowski. — Sebastjan Wolicki. — Walerjan Kalawski. — Juljan Stroponski. — Walerjan Rzeszowski. — Franciszek Grabiński. — Benedykt Chłopicki. 164

Jak naśladować Ś. Franciszka w zaparciu.— Jakie pole tego ćwiczenia otwiera się w życiu wspólnem. — Zaparcie siebie jest wszystkim potrzebne. Jak to spełniać mają naśladowcy Franciszka wśród świata? 166

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: O potrzebie umartwienia wewnętrznego. — Namiętności nieporządne umartwiać należy. — Sposób umartwiania namiętności. — Umartwianie władz duszy: pamięci. — Umartwienie rozumu. — Jak umartwiać rozum. — Rany woli. — Potrzeba umartwienia woli. — Stopnie zaparcia woli własnej. 168

ROZDZIAŁ VII.

Duch seraficzny jest duchem najwyższego ubóstwa.

Jakie było ubóstwo Ś. Franciszka? — Dwojakie zadanie z tego względu Ś. Franciszka. — Jak zalecał ubóstwo w regule. — Dlaczego nazywa je ubóstwem największem? — Jaki sposób utrzymania przepisuje. — Inne przepisy reguły, tyczące się ubóstwa. — Ubóstwo w budowie. — Jakie mieszkanie mieli bracia w Rivo-Torto? — Chce obalić dom w Porcjunkuli. — Ubóstwo w sprzętach. — Ubóstwo w odzieży. — Nieprzyjmowanie pieniędzy. — Nie pozwala używać pieniędzy nowicjuszów. — Ubóstwo seraficzne wyższe od żebraczego. — Nie nadaje nawet prawa do używania rzeczy. — Jak ta ustawa podnosi Zakon Braci Mniejszych. — Jak karał przestępstwo tego przepisu. — Pieniądze są wężem. — Proszenie dla miłości Bożej skuteczniejsze niż pieniądze. — Życie z pracy rąk. — Żebranie jałmużny.— Jak zachęcał braci do tego. — Jak bolał nad tymi, którzy sprzeciwiali się ubóstwu. — Jak Święty Ojciec sądził przestąpienie ubóstwa. — Ubóstwo wiernie zachowane broni od czyśca. — Kara za przekroczenie ubóstwa. 172

Str.

Ubóstwo naśladowców Ś. Franciszka. — Ś. Ludwik Andegaweński. — Jego ubóstwo w odzieniu i sprzętach. — Ś. Koleta z Korbei. — Bł. Tomasz z Florencji. — Bł. Mikołaj Faktor. — Ś. Benedykt murzyn. — Ś. Paschalis Baylon. — Bł. Andrzej Hibernon. — Ś. Franciszek Solano. — Ś. Franciszek Salezy. — Ś. Józef z Kopertynu. — Bł. Bonawentura z Potencji. — Bł. Tomasz z Cori. — Ś. Józef od Krzyża. — Bł. Marja Krescencja. — Śmierć Krescencji — Bł. Idzi od Ś. Józefa. — Cz. Wincenty Pallotti. — Bł. Jan Marja Vianney. — Cz. Ludwik z Casoria. — Marja od Jezusa. 181

Kapucyni: Ludwik z Urbinu. — Antoni z Montesicardo. — Ś. Serafin z Montegranaro. — Cz. Honorat z Paryża. — Krzysztof z Modeny. — Hieronim z Korleonu. — Drugi podobny wypadek. — Przestrzega skarbu ubóstwa. — Ś. Weronika Giuliani. — Na urzędzie opatki. — Przestrzega ubóstwa.— Bł. Marja Magdalena Martinengo. — Na urzędzie mistrzyni. — Ubóstwo w przyjmowaniu ofiar.— Ubóstwo w czynieniu prezentów. — Bł. Anioł z Akry. — Bł. Kryspin z Witerbu. — Przy śmierci. — Bł. Diego-Józef z Kadyksu. — Ubóstwo w ubiorze. — W celi. — W pokarmach —W podarunkach.— Ludwik z Lavagna. 189

Polscy Bracia Mniejsi: Bonawentura z Przemyśla. — Antoni Węgrzynowicz. — Eleazar Pilecki.— Chryzostom Klimecki. 197

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: Na czem zależy ubóstwo zakonne. — Ubóstwo zakonne rozciąga się i do budowli i sprzętów. — Życie wspólne. — Akty wewnętrzne ubóstwa. — Co do zewnętrznych rzeczy. 198

ROZDZIAŁ VIII.

Duch seraficzny jest duchem opuszczenia wszystkiego.

Duch opuszczenia wszystkiego wzięty jest żywcem z Ewangelji.—Reguła Ś. Franciszka również przepisuje opuszczenie wszystkiego. — Wymaga rozdania majątku na ubogich. — Idzie w tem za przykładem Zbawiciela. — Franciszek pierwszy wyzuł się ze wszystkiego. — Reguła zabrania braciom nawet wdawania się w rozporządzanie majątkiem wstępujących. — Furta do Zakonu Braci Mniejszych.— Wyrzeczenie się wszystkiego. — O tym, który rozdał majątek krewnym. — Jak cenił oderwanie serca od rzeczy ziemskich. — Reguła Ś. Franciszka nie pozwala nic mieć własnego — Ś. Franciszek nie chciał nic nazywać swojem. — Jak uważał Ś. Franciszek rzeczy, których używał. — Jak dochował tego do końca. — Reguła nie pozwala nawet ogólnej własności.—Nawet Porcjunkulę nie uważał za własność.— Jak ta ustawa wznosi regułę Braci Mniejszych nad inne. — Wszelkie posiadanie rodzi większe kłopoty.— Bóg zapewnia opatrzenie braciom. — Sprawdzenie obietnicy. — Słowa Ś. Bonawentury. — Jak wzniośle pojmował ubóstwo Ś. Franciszek. — Ubóstwo jest skarbem. — Ubóstwo Oblubienicą Chrystusa.— Jak się obchodził z ubóstwem. — Czem był dla swego wieku Ś. Franciszek. — Jak szatani nastawali na ubóstwo Braci Mniejszych. — Inny podobny wypadek. Bracia Mniejsi byli zawsze wierni ubóstwu. 200

Naśladowcy Ś. Franciszka w opuszczeniu wszystkiego: Ś. Elżbieta Węgierska. — Bł. Anioł z Pizy. — Ś. Małgorzata z Kortony. — Bł. Michalina z Pezaro. — Bł. Delfina de Glandèves. — Czyni ślub ubóstwa — Rozdaje majątek swój na ubogich.— Bł. Joanna-Marja de Maillé. — Bł. Władysław z Węgier. — Ś. Ignacy Lojola. — Bł. Bonawentura z Barcelony. — Ś. Marja Franciszka od Pięciu Ran. . 208

Kapucyni: Cudowne opatrzenie. — O duchu ubóstwa. — Bernardyn z Monteulmu. — Ś. Feliks z Cantalicio. — Ś. Feliks stróżem ubóstwa w budynkach. — Bazyli z Zyrleon. — Edward z Anglji. — Bł. Anioł z Akry. — Dzisiejsze ubóstwo klasztorów kapucyńskich. 212

Str.

Zamiłowanie ubóstwa jest cechą prawdziwych synów Ś. Franciszka. — Jak synowie Ś. Franciszka mają naśladować ubóstwo jego wśród świata.— Duch opuszczenia potrzebny jest wszystkim wiernym. — Czem może być dla nas dzisiaj przykład Franciszka Św? 216

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: Duch opuszczenia jest bardzo potrzebny do postępu w doskonałości. — Wyjaśnienie. — Cnoty z niem się łączące. — Męstwo potrzebne jest do postępu. — Akty męstwa. — Zachęta do tej cnoty. 217

ROZDZIAŁ IX.

Duch seraficzny jest duchem najgłębszej pokory.

Jaka była pokora Ś. Franciszka. — Jak cenił pokorę. — Co rozumiał o sobie. — Czemu przypisywał łaski odbierane od Boga. — Jak przyjmował pochwały. — Jak się poniżał we własnych oczach. — W oczach innych. — Jak przyjmował przestrogi. — Jak się cieszył, gdy uznawano jego nędzę. — Jak przyjmował cześć i upokorzenia. — Z pokory nie przyjmuje święceń kapłańskich. — Jakiej pokory wymagał od swoich naśladowców. — Jak z pokory złożył urząd przełożeński. — Dlaczego nazwał swój Zakon Braćmi Mniejszymi. — O tytule mistrza. — Chce, aby bracia nie przyjmowali godności kościelnych. 218

Jaka była pokora naśladowców Ś. Franciszka. — Ś. Elżbieta Węgierska. — Bł. Peregryn. — Ś. Bonawentura, Doktor Kościoła. — Bł. Agnieszka Czeska. — Bł. Piotr ze Sjenny. — Ś. Małgorzata z Kortony. — Zwycięża pokusy próżnej chwały. — Ś. Ludwik Andegaweński. — Bł. Andrzej Segni. — Ś. Bernardyn Seneński. — Jego nauki. — Upomina brata Alberta. — Ś. Koleta. — Braciszek Polidor. — Bł. Franciszek z Pawji. — Ś. Jan Kapistran. — Ś. Katarzyna Bolońska. — Jan z Luki. — Bł. Marek z Bolonji. — Bł. Amadeusz ze Sylva. — Bł. Bernardyn z Feltry. — Bł. Anioł z Klawazjo. — Bł. Jan z Puebla. — Bł. Gabryel-Marja. — Cz. Joanna od Krzyża. — Ś. Ignacy Lojola. — Ś. Piotr z Alkantary. — Eleonora od Ś. Antoniego. — Bł. Benedykt z San-Fradello. — Bł. Juljan z San-Agostino. — Cz. Franciszek Gonzaga. — Odmawia przyjęcia kościelnych godności. — Ś. Hjacynta Mariscotti. — Ś. Józef z Kopertynu. — Jego pokora względem bliźnich. — Względem siebie. — Źródła pokory Ś. Józefa. — Bł. Bonawentura z Potencji. — Ś. Jan Józef od Krzyża. — Bł. Marja Krescencja. — Ś. Marja Franciszka od 5-iu Ran. — Bł. Idzi od Ś. Józefa. — Jego obejście z mieszkańcami. Bł. Leopold z Gaiches. — Cz. Franciszek Ghisone. — Cz. Wincenty Pallotti. — Bł. Jan Marja Vianney. — Marja od Jezusa. — Jej zamiłowanie uległości. 223

Kapucyni: Hieronim z Montepulciano. — Piotr z Mazzara. — Jan Chrzciciel z Fawencji. — Bernard z Medjolanu. — Hieronim z Forli. — Honorat z Montegranaro. — Ś. Feliks z Cantalicio. — Jak był pokorny w odpowiedziach. — Jak się usuwał od oznak szacunku. — Ś. Serafin z Montegranaro. — Cz. Jan z Maurienne. — Ś. Fidelis z Sigmaringen. — Augustyn z Antequera. — Diego z Alcala. — Antoni z Barcelony. — Ludwik z Altkirch. — Jan Chrzciciel z Este. — Hieronim z Medjolanu. — Franciszek z Pampeluny. — Antoni z Pawji. — Hilary z Palermo. — Hieronim z Korleonu. — Jak praktykował cnotę pokory. — Jak znosił upokorzenia od towarzyszów. — Inny wypadek. — Pokora w znoszeniu groźnych posądzań. — Ś. Weronika Giuliani. — Pokora w ukrywaniu cnót i darów. — Bł. Marja-Magdalena Martinengo. — Jej pokora w posługach domowych. — Bł. Kryspin z Witerbu. — Jego pokora w unikaniu czci ludzkiej. — Pokora w znoszeniu zniewag. — Ambroży z Lombez. — Bł. Diego-Józef z Kadyksu. — Pokorne rozumienie o sobie. — Pokora

Str.

w oburzaniu się na oznaki czci ludzkiej. — Pokora w głoszeniu swego nieuctwa. — Pokora w przyjmowaniu uczczenia. — Cz. Innocenty z Berzo. 242

Polscy Bracia Mniejsi: Adam Miecznikowski. — Józef Zginicz. — Aleksander Niniński. — Walenty Skomorowski. — Atanazy Krotosza. — Tobjasz Sarnowski. — Kacper Luboński. — Antoni Sienniński. 260

Duch pokory niezbędny jest dla naśladowców Ś. Franciszka. — Zachęta do pokory. — Na czem zależy duch pokory? 261

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: Co to jest pokora, iloraka jest, jak bardzo duch pokory potrzebny jest do postępu w doskonałości? — Pierwszy środek do nabycia pokory: poznanie siebie. — Jak Święci mogli się nazywać największymi grzesznikami? — Pokora w uczuciu czyli pokora serca. — Wszelkie dobra bez pokory nie pomagają, ale szkodzą. — Pokora wewnętrzna i zewnętrzna. — W zewnętrznych upokorzeniach należy rządzić się roztropnością. — Pokorę stopniowo nabywać trzeba. — Znajomość własnych wad i darów Bożych. — Należy gardzić sobą i podobać sobie w zniewagach. 261

ROZDZIAŁ X.

Duch seraficzny jest duchem surowej pokuty.

Wezwanie Ś. Franciszka. — Jak wielkim pokutnikiem był Ś. Franciszek. — Był w tem naśladowcą Chrystusa. — Ostry jego żywot. — Czterdziestodniowe posty Świętego Ojca. — Sposób ich odbywania. — Jak resztę życia spędzał. — Jaki był jego spoczynek. — Jaka odzież. — Jak umartwiał wzrok. — Jak senność przezwyciężał. — Jak karał słuszne nawet pragnienia ciała. — Jak karcił w sobie lekkie nawet posądzenia. — Jak walczył z pokusą cielesną. — Jak odpierał napaści pobudzające do grzechu. — Pokuta Ś. Franciszka odbija się na jego twarzy. — Co mu było pobudką do tak ostrego życia. — Co o tem współcześni mu piszą. — Jakiej pokuty od braci wymagał. — Jaki stąd wniosek dla synów Ś. Franciszka? — Czem właściwie był duch pokuty Ś. Franciszka. 266

Jak się ten duch w naśladowcach Ś. Franciszka objawiał? — Bł. Luchezjusz. — Ś. Klara Scifi. — Ś. Ludwik, król francuski. — Bł. Torello z Poppi. — Ś. Małgorzata z Kortony. — Bł. Andrzej Segni. — Bł. Żoli z Sellano. — Franciszek z Durazzo. — Ś. Elżbieta Portugalska. — Bł. Klara z Rimini. — Bł. Franciszek z Pesaro. — Bł. Sanktes z Urbino. — Bł. Joanna-Marja de Maillé. — Ś. Franciszka Rzymianka. — Jan z Luki. — Ś. Jakób z Marchji. — O kucharzu nieumartwionym. — O upartych. — Piotr z Travanda. — Dominik z Leonissy. — Jan z Volterre. — Bł. Gabrjel-Marja. — Bł. Ludwika Albertoni. — Cz. Joanna od Krzyża. — Ludwik z Kaltagironu. — Bł. Mikołaj Faktor. — Ś. Benedykt murzyn. — Ś. Paschalis Baylon. — Bł. Juljan z San-Agostino. — Ś. Hjacynta Mariscotti. — Bł. Bonawentura z Barcelony. — Bł. Bonawentura z Potencji. — Ś. Pacyfik z z San-Severino. — Bł. Tomasz z Cori. — Ś. Jan-Józef od Krzyża. — Bł. Marja Krescencja. — Ś. Marja Franciszka od 5-iu Ran. — Bł. Leopold z Gaiches. — Bł. Marja Magdalena Postel. — Cz. Wincenty Pallotti. — Bł. Jan Marja Vianney. 271

Kapucyni: Antoni z Cyrne. — Franciszek z Esio. — Piotr z Mazara. — Mateusz z Leonissy. — Ludwik z Fulginu. — Honorat z Montegranaro. — Iwon z Molliano. — Sebastjan z Gratteru. — Franciszek z Sacco. — Rufin z San-Urso. — Ś. Feliks z Cantalicio. — Dlaczego tak się lękał ognia? — Jak przyjmował cierpienia — Cz. Jan z Maurienne. — S. Fidelis z Sigmaringen. — Cz. Honorat z Paryża. — Hieronim z Albi. — Dominik z Riez. — Bazyli z Zyrleon. — Bł. Bernard z Korleonu. — Ireneusz z Medjolanu. — Piotr Marja z Bolonji. — Urban z Siviano. — Elekt z Vinnicky. — Antoni

Str.

z Medjolanu. — Ś. Weronika Giuliani. — Bł. Marja Magdalena Martinengo. — Heroiczna pokuta. — Po śmierci. — Bł. Anioł z Akry. — Bł. Kryspin z Witerbu. — Jak przyjmował każde cierpienie? — Antoni z Lombez. — Bł. Diego-Józef z Kadyksu. — Cz. Innocenty z Berzo. — Duch pokuty w zakonie Kapucynów. 284

W Polsce: Ś. Kunegunda. — Aleksy, Bernardyn. — Mikołaj Gąsiorowski. — Feliks Bułat. — Józef Otwinowski. — Ludwik Pawiński. — Karol Fiszer. 301

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: O powściągliwości. — Objaśnienie. — Części składowe. — Gatunki powściągliwości. — Cnoty z powściągliwością się wiążące. — Postępujący powinien starać się o powściągliwość. — Akty powściągliwości. — Zachęta do powściągliwości. — O umartwieniu zewnętrznem. — Ciało należy umartwiać. — Herezja. — Czy biczowanie jest godziwe? — Jakie jest konieczne umartwienie ciała. — Jak należy ciało umartwiać. — Reguły roztropnego umartwiania się: 1. Unikanie zbytku. — 2. Unikać tego, co przeszkadza do innego dobra. — 3. Strzedz się wady wyszczególniania. — 4. Polegać na zdaniu przewodnika. — 5. W umartwieniu wewnętrznem nie zakładać miary. — Roztropność w sposobie. — Jaka ma być roztropność w umartwieniu? — Czy każde umartwienie stosowne jest dla wszystkich? — Czy godzi się przyspieszać śmierć przez umartwienia? — Środki do wykonywania umartwień: 1. Modlitwa. — Obecność Boska. 3. Rachunek codzienny. — 4. Niepomijanie rzeczy najmniejszych. — 3. Miłość Boga i rzeczy duchownych. — 6. Rzeczywiste umartwianie się. — 7. Wzbudzanie aktów. — Zachęta do umartwienia. 302

Duch pokuty potrzebny jest dla dzisiejszego świata. — Nadużycie dyspens. — Zakon pokutujących. Ś. Franciszka przyczynia się do odnowienia ducha pokuty. — Potrzeba umartwienia wewnętrznego. — Jak naśladować Franciszka Ś. w pokucie? 308

ROZDZIAŁ XI.

Duch seraficzny jest duchem gorącej miłości Boga.

Miłość seraficzna Ś. Franciszka. — Wspomnienie o Bogu i Jego miłości. — Jak był przejęty Jego miłością. — Jakie było jego życie. — Wszystko go pobudzało do Jego miłości. — Ofiara miłości. — Szaleniec miłości. — Miłość Franciszka do Dzieciątka Jezus. — Miłość Najświętszego Sakramentu. — Miłość Jezusa Ukrzyżowanego. — Wzywał wszystkie stworzenia do opłakiwania Męki Pańskiej. — Jedyna księga Franciszka. — Wyrażenie pięciu ran. — Co o tem mówi Ś. Franciszek Salezy. — Było to męczeństwo miłości. — Było to dopełnienie wszystkich widzeń o krzyżu. — Jest to środek do rozpalenia oziębłego świata. 310

Jak synowie Franciszka w tem go naśladowali? — Ś. Bonawentura. — Ś. Małgorzata. — z Kortony. — Bł. Delfina de Glandèves. — Bł. Ludwika Albertoni. — Cz. Joanna od Krzyża. — Ś. Piotr z Alkantary. — Cz. Teresa Henriquez. — Anna od Krzyża. — Jan Kaprera. — Kacper od Ś. Józefa. — Bł. Mikołaj Faktor. — Bł. Andrzej Hibernon. — Ś. Józef z Kopertynu. — Cz. Franciszka Toccafondi. — Bł. Tomasz z Cori. — Ś. Jan-Józef od Krzyża. — Bł. Marja Krescencja. — Ś. Leonard z Porto-Maurizio. — Ś. Marja Franciszka od 5-u Ran. — Bł. Jan-Marja Vianney. — Zamiłowanie cierpień. — Cz. Marja Agnieszka Steiner. — Cz. Ludwik z Casoria. — Marja od Jezusa. — Marja Teresa-Agnieszka od Najśw. Sakramentu. 315

Kapucyni: Franciszek Tytelman. — Jan Hiszpan. — Wincenty z Flawiano. — Gerwazy z Termini. — Ś. Feliks z Cantalicio. — Józef Marja z Recanati. — Jan Chryzostom z Büren. — Sylwester z Breghens. — Hieronim z Albi. — Michał z Sesa. — Bł. Bernard z Korleonu. — Hieronim z Korleonu. — Ś. Weronika Giuliani. — Bł. Kryspin z Witerbu. — Ambroży z Lombez. — Bł. Diego-Józef z Kadyksu. 329

Polscy Bracia Mniejsi: Jan Dębicki. — Jacek Bobrownicki. 336

Jak naśladować Franciszka Ś. w miłości Bożej? 336

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: O miłości Bożej. — Iloraka jest miłość? — Jaka miłość jest doskonała? — Stopnie miłości Bożej. — Miłość Boża potrzebna jest do postępu? — Pobudki do miłości Bożej. — Jaką powinna być miłość? — Akty miłości Bożej. — Znaki heroicznej miłości. — Zachęta do miłości Bożej. — Co znaczy kochać Boga z całej duszy i ze wszystkich sił. — Co znaczy kochać Boga ze wszystkich myśli? — Co znaczy kochać Boga z całego serca. — Trzeba postępować zawsze w miłości. — Reguły co do niezwykłych aktów heroicznych miłości Bożej, a mianowicie co do pragnienia pójścia do piekła. — I-a reguła: Czasem można to uczynić. — Zarzut. — Drugi zarzut. — Trzeci zarzut. — 2-a reguła: Takie uczucia są niewłaściwe dla dusz niedoskonałych. — Zarzut 1-y. — Zarzut 2-gi. — Zarzut 3-ci. — Trzecia reguła. — 4-ta reguła. — Natchnienie Boskie potrzebne jest do tych uczuć. — Powinny też być zgodne ze zdrową teologją. — 5-a reguła. Niedoskonali nie powinni lekceważyć tych aktów, ani je łatwo naśladować. — Ale ćwiczyć się mają w miłości Bożej nadewszystko. — 6-a reguła. W niektórych wypadkach należy postępować do rzeczy trudniejszych. 337

ROZDZIAŁ XII.

Duch seraficzny jest duchem miłości i poświęcenia dla wszystkich.

Naśladowca miłości Chrystusowej. — Co o tem mówił Ojciec święty Leon XIII. — Z miłości Bożej wzrastała w nim miłość bliźniego. — Jak opatrywał ubogich? — Jak sobie uważał ten obowiązek? — Pod jakim warunkiem przyjmował ofiary? — Inne podobne wypadki. — Jak opatrzył matkę braci? — Jak siebie obdzierał z miłości. — Jak ratował chorych? — Poświęcenie się trędowatym. — Nawraca trędowatego miłością. — Jak przykładem swoim zachęcał braci do miłosierdzia. — Jak zalecał miłość bliźniego braciom? — Jak zabraniał posądzania? — Jak starał się o zgodę? — Jak okazywał miłość braciom? — Miłość względem braci chorych. — Jak pocieszał strapionych? Zapewnia brata o swojej miłości. — Jak pocieszał brata usługującego mu w chorobach? — Nie zazdrościł nikomu. — Z jaką słodyczą przestrzegał? — Jak zalecał miłość wzajemną? — Jak zalecał zgodę i jedność braterską? — Co w regule o miłości bliźniego przepisywał? — Jaka miłość panowała między braćmi? — Co piszą o tym towarzyszu Świętego Ojca? — Co mówi o tem Tomasz z Celano? — Jak bracia naprawiali naruszenie miłości? — Jakie stąd wnioski wychodzą? 344

Miłość i poświęcenie naśladowców Franciszka Serafickiego. — Ś. Elżbieta Węgierska. — Miłość jej dla trędowatych. — Jej zwycięstwo nad naturą. — Uczynki duchownej miłości. — Otaczanie się ubogimi w życiu domowem. — Miłość nieprzyjaciół. — Bł. Lukezjusz. — Ś. Róża z Witerbu. — Bł. Juniper z Assyża. — Ś. Ludwik, król francuski. — Ś. Bonawentura. — Co mówi kronika o przybyciu braci do Anglji? — Bł. Piotr ze Sienny. — Bł. Dawanzat. — Ś. Ludwik Andagewański. — Na biskupstwie. — Ś. Eleazar de Sabran. — Pan Bóg nagradza go cudami. — Ś. Roch z Montpellier. — Bł. Klara z Rimini. — Bł. Joanna-Marja de Maillé. — Bł. Robert Malatesta. — Ś. Franciszka Rzymianka. — Rozmnożenie wina. — Święto służy chorym i zapowietrzonym. — Jej usługi w szpitalach. — Ś. Kata-

Str.

rzyna Bolońska. — Ś. Dydak z Alkala. — Bł. Antonina z Florencji. — Teodoryk z Belgji. — Franciszek z Brescji. — Bartłomiej Tolomei. — Alfons Mansanele. — Ś. Ignacy Lojola. — Bł. Mikołaj Faktor.— Ludwik z Aruel. — Ś. Karol Boromeusz. — Święci Męczennicy japońscy. — Bł. Juljan z San-Agostino.— Bł. Bonawentura z Barcelony.— Bł. Bonawentura z Potencji. — Ś. Jan Józef od Krzyża. — Bł. Marja-Krescencja. — Jej litość względem ubogich. — Objawia się jej Pan Jezus w postaci żebraka. — Ś. Marja Franciszka od 5-u Ran. — Cz. Teresa Gardi z Imola. — Georgjana Fullerton. — Misjonarki Marji. 352

Kapucyni: Mateusz z Basci. — Udaje się z towarzyszami służyć zarażonym. — Bracia obsługują w szpitalu nieuleczalnych w Rzymie. — Piotr z Todi. — Justyn z Panigale. — Jakiego miłosierdzia wymaga Bóg nad ubogimi. — Cudowne zaopatrzenie klasztoru. — Antoni z Alento. — Hojność gwardjan w Metelice. — Filip z Montevetero. — Błażej z Hali. — Ś. Feliks z Cantalicio. — Bł. Serafin z Montegranaro. — Poświęcenie Kapucynów francuskich w czasie pożarów. — Dwa pożary w Paryżu. — Pożar mostu kupieckiego. — Pożar Świętej Kaplicy. — Kapucyni aptekarzami. — Obsługiwanie zarażonych. — Zaraza w Toskanji. — Alfons z Rouen. — Piotr Franciszek z Florencji.— Franciszek Marja z Salo. — Inni Kapucyni polegli w tym czasie. — Antoni z Lerici. — Roman z Besançon. — Klet z Nowary. — Jeremjasz z Guliaqueto. — Zaraza we Frankonji. — W Normandji. — Alfio z Putiliano. — Uczynki miłości względem niewolników. — Michał z Solofra. — Gabryel z Voltri. — Idzi z Brozzo. — Zaraza w Walencji. — Wynalazek O. Maurycego z Tulonu. — Jan Chrzciciel z Riez. — Elzear z Samsaye. — Pożar w Paryżu. — Zaraza w Neapolu. — Feliks Casati z Medjolanu. — Opieka duchowna nad galernikami. — Benignus z Potencji. — Pożar w mieście Mans.— Dwa pożary w Paryżu. — Ludwik z Saons. — Urzędowe uznanie poświęcenia Kapucynów. — Anzelm z Brescji. — Hieronim z Korleonu. — Pożar Małego mostu w Paryżu. — Kapucyni poprzednikami straży ogniowej w Paryżu. — Na prowincjach.— Ś. Weronika Giuliani. — Pożar szpitala w Paryżu. — Pożar Izby Obrachunkowej. — Bł. Marja-Magdalena Martinengo. — Obrona sławy Kapucynów. — Wyswabadzanie jeńców tureckich. — Pożar Bazaru Ś. Germana w Paryżu. — Pożar szpitala w Paryżu. — Pożar Opery paryskiej. — Pożar pałacu Sprawiedliwości. — Drobniejsze pożary na prowincji w wieku XVIII. — Poświęcenie Kapucynów na polach bitwy w r. 1870 i 71. — Brat Andrzej. — Hołd Towarzystwa Ratunkowego w Tuluzie. — Zupa ludowa w Nantes. — Kapucyni przy pożarze w Nantes r. 1880. — Kapucyni kapelanami w Tunisie. — Pożar w Orihuela w Hiszpanji r. 1887. — Dzieło opieki nad włóczęgami. — Cz. Innocenty z Berzo. — Kapucyni przy pożarach w Tuluzie r. 1891. — Pożar w mieście Angers.— Kapucyni w czasie rzezi armeńskiej r. 1895.—Kapucyni w Indjach w czasie głodu. — Augustyn z Taggia. — Jerzy z Genui. — Fryderyk z Lesmo.— Brat Salwator — Marja Bernard z Cahors. — Diego-Józef z Manrezy. 368

Polscy Bracia Mniejsi. — Bernard Górski. — Marcelin Borek. — Anioł ze Stopnicy. — Franciszek i Felicjan Rościszewscy. — Cezary Pszonka. — Cyprjan Kierkorowicz i Atanazy Wesołkowski. —Juljan Zgora. — Wenanty Skomorowski. . 396

Jaki jest obecny stan świata pod względem miłości. — Jakie jest dziś zadanie synów Franciszka wśród świata żyjących. — Zgromadzanie się według reguły. — Uczynki miłosierdza. — O wspólnej miłości. — Duch miłości. 398

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: Poświęcenie dla bliźnich powinno z miłości Bożej pochodzić. — Znaczniejsze części miłości bliźniego.— Miłość bliźniego potrzebna jest do postępu. — Akty

Str.

heroiczne miłości bliźniego. — Zachęta do porządnej miłości względem bliźnich. — O przyjaźni. — Przyjaźń dobra godna jest szacunku. — Przyjaźń święta prywatna potrzebna jest dla osób świeckich. — Ostrożność co do dobrej przyjaźni. prywatnej. — W jaki sposób uświęcać przyjaźń.—Inne przyjaźnie również należy uświęcać. — Przyjaźń osobista nie powinna wyłączać ogólnej. — Przyjaźń względem grzeszników i nieprzyjaciół jest prawdziwa. — Przyjaźń ogólna nie wyłącza szczegółowej. — Przyjaźń osobista nie powinna nikogo razić. — Wnioski.— O złej przyjaźni. — Przyjaźni niedość poważnej starców z młodymi unikać należy. — Młodzi powinni strzedz się przyjaźni poufałych między sobą. — Przyjaźń ziomków miarkować należy. — Trzeba wystrzegać się przyjaźni osobistej z oziębłymi. — Przyjaźni osobistej złej więcej jeszcze świeccy unikać powinni. — Przyjaźni osobistej z pożądliwości ciała unikać należy. — Przyjaźń z miłości zmysłowej jest niebezpieczna. — Przyjaźni z pychy trzeba unikać. — Zachęta do dobrej przyjaźni. 399

ROZDZIAŁ XIII.

Duch seraficzny jest duchem wzniosłej bogomyślności.

Jaka była bogomyślność Franciszka. — Obiera sobie najlepszą cząstkę. — Czem była modlitwa dla Franciszka? — Była jedyną dla niego pociechą. — Jak był wytrwały w modlitwie. — Z jaką uwagą się modlił? — Jak był wierny natchnieniom. — Miłość Boga w stworzeniach. — Jak wszystkie stworzenia przypominały im Boga. — Jak każde pismo uważał. — Pobudzał wszystkie twory do chwalenia Stwórcy. — Widzi w owcy obraz Zbawiciela. — Jak przepędzał noce na modlitwie. — Zachwycenie przy posiłku ze Ś. Klarą. 407

Jak naśladować Franciszka w bogomyślności? 411

Jak go naśladowali jego synowie i córki duchowne? — Ś. Antoni Padewski. — Bł. Lukezjusz.— Bł. Humiljanna Cerchi. — Ś. Róża z Witerbu. — Ś. Klara. — Bł. Liberat z Lauro. — Bł Krzysztof z Romanji. — Bł. Dawanzat. — Bł. Małgorzata z Kortony. — Ś. Elzear de Sabran. — Bł. Joanna Marja de Maillé. — Bł. Robert Malatesta. — Ś. Franciszka Rzymianka. — Ś. Koleta z Korbei. — Bł. Tomasz z Florencji. — Bł. Archanioł z Calatafimi. — Bł. Mikołaj von Flue. — Bł. Bartłomiej z Anglare. — Bł. Idzi z Lorenzana. — Bł. Gabryel Marja. — Bł. Jan Chrzciciel z Fabriano. — Bernardyn z Arevalo. — Ś. Piotr z Alkantary. — Ś. Paschalis Baylon. Aleksy z Mesany. — Ś. Józef z Kopertynu. — Gorliwość i skuteczność jego modlitw. — Bł. Bonawentura z Barcelony. — Ś. Pacyfik z San-Severino. — Bł. Marja Krescencja. — Czasy opuszczenia. — Bł. Jan-Marja Vianney. 411

Kapucyni: Humilis z Offidy. — Bernard z Assyża. — Jan Zuaze z Metymny. — Bernardyn z Asti. — Wincenty z Flawiano. — Ś. Feliks z Cantalicio. — Jego sposób modlenia się. — Ś. Serafin z Montegranaro. — Cz. Jan z Maurienne. — Cz. Honorat z Paryża. — Bonawentura z Pizzo. — Bł. Bernardy z Offidy. — Hieronim z Korleonu. — Ambroży z Lombez. — Bł. Marja Magdalena Martinengo. ? 425

Polacy: Ś. Kunegunda. — Bł. Jolanta.— Bernard Golski. — Jędrzej Niedźwiedzki. — Antoni z Chocza. — Bernardyn z Częstochowy. — Antoni Szaniawski. 432

Uwagi z teologji mistycznej: Do kogo modlić się mamy. — W jaki sposób modlimy się do Świętych. — Do jakich Świętych modlić się można?— Czy do dusz czyścowych można się modlić. — O odmawianiu Boskiego Obrządku. — O innych modlitwach ustnych. — O modlitwach strzelistych. — Modlitwy ustne wystarczają czasem do życia doskonałego. — Rozmyślanie pomaga do życia chrze-

Str.

ścijańskiego. — Czy jest przykazanie ogólnej modlitwy. — Czy ludzie świeccy mogą się wymawiać od rozmyślania. — Rozmyślanie pomaga do doskonałości. — Herezja Molinosa co do rozmyślania. — Zachęta do rozmyślania dla dusz dążących do doskonałości 433

Jakie jest w tej rzeczy zadanie naśladowców Ś. Franciszka wśród świata żyjących? — O odmawianiu Boskiego Obrządku. — O modlitwach wspólnych. — O innych ćwiczeniach pobożności.—Apostolstwo modlitwy. 437

ROZDZIAŁ XIV.

Duch seraficzny jest duchem gorliwości o dusze.

Jaka była gorliwość Ś. Franciszka? — Co mówił o tem Ś. Patryarcha? — W czem się objawiała gorliwość Ś. Franciszka.? — Jak się wpraszał do nauczania? — W jaki sposób nauczał? Jak prace misyjne za powołanie braci uważał. — W jaki sposób błądzących nawracał? — Nawracanie w ostatnich latach. — W czem najbardziej objawiała się gorliwość Franciszka o dusze.— Jaką gorliwość miał względem swoich synów—? Czego ich nauczał? — Jak ich uspakajał w skrupułach? — Jak podnosił braci na duchu? —Jak nie przestawał zawsze czuwać nad nimi. — Jak sposobił do kaznodziejstwa? — Jak ich pobudzał do prac apostolskich? — Uczył braci kazywać postawą swoją. — Jak gorliwie zajmował się ułożeniem reguły? — Jak dbały był o ścisłe jej zachowanie? — Jakim dodatkiem chciał zabezpieczyć jej obserwancję? — Jak błogosławił tym, którzy chcieli ściśle zachowywać regułę. — Jak się radował z pożytecznych prac apostolskich? — Jak się ucieszył z dobrego ich przykładu? — Jak był przeciwny przywilejom. — Jaką boleść uczuwał ze złych postępków. — Jak ubolewał nad rozwolnieniem życia zakonnego. — Jak się oburzał na zgorszenia. — Przekleństwo gwałcicieli reguły. — Jak zapobiegał rozwolnieniu? — Gorącość jego ducha w ostatnich latach. 440

Jak go w tej gorliwości naśladowały jego dzieci duchowne? — Ś. Antoni Padewski. — Bł. Bentywoljusz z San-Severino. — Bł. Andrzej ze Spello. — Ś. Bonawentura. — Jego kapitały. — Jego wizyty. — Bł. Bonawentura z Osimo. — Ś. Ludwik Andegaweński. — Bł. Iwon z Bretanji. — Bł. Piotr z Treja. — Ś. Jan Bosy. — Bł. Tomasz z Fulginu. — Bł. Joanna Marja Maillé. — Ka dworze królewskim. — Ś. Bernardyn Seneński. — Bł. Herkulan z Piagale. — Ś. Jan Kapistran. — Nowe trudności. — Ś. Katarzyna Bolońska. — Ś. Jakób z Marchji. — Bł. Marek z Bolonji. — Bł. Pacyfik z Ceredano. — Bł. Bernardyn z Feltry. — Cz. Krzysztof Kolumb. — Ś. Ignacy Lojola. — Ś. Paschalis Baylon. — Inne oznaki jego gorliwości. — Bł. Julian z San-Agostino. — Ś. Franciszek Salezy. — Gorliwość jego o dobór kapłanów. — Inne objawy gorliwości pasterskiej. — Ś. Józef z Kopertynu.— Bł. Bonawentura z Barcelony. — Zamierza nową reformę Braci Mniejszych. — Jego objawienie w tej rzeczy. — Ustanowienie reformy. — Dalsze losy reformy. — Klaudjusz Frassen. — Bł. Tomasz z Cori. — Ś. Jan-Józef od Krzyża. — Ś. Leonard z Porto-Maurizio. — Jego gorliwość na misjach. — Bł. Leopold z Gaiches.—Jego gorliwość o obserwancję zakonną. — Cz. Magino Katalan. — Henryk Thyssen. — Paulina Jaricot. — Wincenty Paquay. — Jego przekonanie co do częstej Komunji. — Benignus Spinelli. — Inne objawy jego gorliwości. — Jan Chrzciciel Botassi. — Jego żarliwość na innem polu. 448

Kapucyni: Cz. Marja Longa. — Hieronim z Forli. — Ś. Józef z Leonissy. — Wawrzyniec Aquaviva. — Ś. Fidelis z Sigmaringen. — Cz. Honorat z Paryża. — Andrzej z Surlago. — Franciszek z Chambery. — Szymon z Orsara. — Aleksy z Burgundji. — Bartłomiej z Tregnano. — Jan z Moncalieri.— Wawrzyniec z Alicante. — Bonawentura z Aoyz.— Antoni z Gaety. — Sylwester z Saint-Aignan. — Dominik z Acireale. — Juniper z Barga. — Marcin z Kochem. — Prośba opatki Kapucynek z Limy i jej sióstr do Papieża Klemensa XI. — Stefan z Logrono. — Bł. Marja Magdalena Martinengo. — Bł. Kryspin z Witerbu. — Jego walki z bluźnierstwem.—Inne dowody gorliwości.—Ambroży z Lombez. — Jan Chryzostom z Barjac. — Marja-Antoni z Lavaur. — Na co się narażał przez swą gorliwość.— Żarliwość w spowiadaniu. 472

Polscy Bracia Mniejsi: Bonawentura z Przemyśla. — Barnaba Barański. — Juljan Stropoński. — Franciszek Trepka. — Felicjan Szadkowski.— Franciszek Kwintowicz. — Benjamin z Warszawy 490

Uwagi z teologji mistycznej: O ważności sprawy zbawienia dusz. — Znaki prawdziwej miłości nieprzyjaciół. — Gorliwość rozciągać się powinna na dusze czyśćowe. — Jak mogą być ratowane. — Komu najbardziej przystoi gorliwość o dusze. — Od gorliwości o dusze żadna bogomyślność nie jest wolna. — Gorliwość o dusze powinna rozciągać się do nieprzyjaciół. — Akt heroiczny za dusze zmarłych. — O prawdziwej gorliwości.— Gorliwość pierwotna. — Gorliwość fałszywa. . . 493

Jaka ma być gorliwość synów Franciszka wśród świata żyjących. — Wpływ tercjarzy w rodzinie i w społeczeństwie. — Wpływ stowarzyszeń Trzeciego Zakonu. — Nie zniechęcać się niepowodzeniami. — 497

ROZDZIAŁ XV.

Duch seraficzny obejmuje wszystkie chrześcijańskie cnoty.

Jakie dotąd poznaliśmy cnoty w Franciszku? — Wstrzemięźliwość. — Jaką jaśniał czystością.— Niechętny był przestawaniu z płcią obcą.— Jak zabraniał rozmów z niewiastami. — Był przeciwny zajmowaniu się klasztorami żeńskiemi.— Stał się sposobnym do otrzymania wyjątkowej łaski. — Roztropność Ś. Franciszka. — Jak zalecał umiarkowanie w pokutach. — Nakazuje roztropny wzgląd na usposobienie każdego. — Roztropność cielesna w Eljaszu i boża w Ś. Franciszku.— Sprawiedliwość. — Męstwo. — Cierpliwość. — Jak zalecał cierpliwość w znoszeniu braków. — Inne cnoty Ś. Franciszka. — Harmonja cnót Ś. Franciszka. — Wystawiony na wzór dla naszych czasów. 499

Jak naśladować Franciszka w staraniu się o wszystkie cnoty. — W czem najbardziej naśladować go potrzeba. — To się odnosi i do członków w stanie małżeńskim zostających. — Środki do zachowania tego. 504

Jak to spełniali naśladowcy Ś. Franciszka? Bł. Roger z Todi. — Bł. Leonard z Fulginu. — Bł. Marcin z Fulginu. — Podanie przechowywane w zakonach Braci Mniejszych. — Ś. Klara z Assyża. — Bł. Gandolf z Benasco. — Bł. Masseusz z Marignano. — Bł. Izabella Francuska. — Ś. Ludwik Andegaweński. — Ś. Bertold. — Ś. Elzear de Sabran. — Jego regulamin życia. — Męstwo Elzeara i delikatność jego sumienia. — Jego śmierć w Paryżu. — Ś. Ludwika. — Ś. Koleta z Korbei. — Cz. Bona d'Armagnac. — Bł. Sykstus z Medjolanu. — Filip z Carpineto. — Bł. Bernardyn z Feltry. — Bł. Wincenty z Akwili. — Gerard z Florencji. — Cz. Krzysztof Kolumb. — Donat z Urbino. — Bł. Gabrjel-Marja. — Ś. Ignacy Lojola. — Poczucie sprawiedliwości względem Boga. — Wstrzemięźliwość i roztropność. — Cierpliwość. — Męstwo nad sobą. — Jak się przejął duchem. Ś. Franciszka. — Franciszka z Benevento. — Bł. Mikołaj Faktor. — Ś. Paschalis Baylon.— Bł. Andrzej Hibernon.— Ś. Franciszek Salezy. — Ś. Józef z Kopertynu. — Bł. Karol z Sezze.

Str.

Cz. Jan Chrzciciel z Burgundji. — Bł. Marja-Krescencja. — Przywileje Krescencji. — Ś. Marja Franciszka od 5-u Ran. — Jej roztropność. — Jej sprawiedliwość. — Męstwo Marji Franciszki. — Jej wstrzemięźliwość. — Jej czystość. — Cz. Ludwik z Casoria. — Cz. Wincenty Pallotti. — Jego sprawiedliwość. — Jego męstwo. — Siostra Marja - Celina od Ofiarowania. — W Zakonie. — Obłóczyny i śmierć. — Marja od Męki Pańskiej. — Ludwika d'Aras. — Marja Augustyna.—Jej cierpliwość. 505

Kapucyni: Ludwik z Reggio. — Antoni Portugalczyk. — Hieronim z Montepulciano. — Justyn z Panigale. — Antoni z Montesicardo. — Hieronim z Pedony. — Ś. Feliks z Cantalicio. — Ś. Fidelis z Sigmaringen. — Jego czystość — Szymon z Orsara. — Hipolit z Busseto. — Józef z Medjolanu.— Barnaba z Lucerny. — Heljodor z Grenobli. — Sylwester z Arzeno.— Leonard z Almenno. — Jan Piotr z Wenecji. — Ludwik z Marsala. — Antoni z Olivadi. — Inne jego cnoty zakonne. — Kryspin z Witerbu. — Ambroży z Lombez. — Angelik Benincasa. — Cz. Franciszek z Camporosso. — Klara od Najśw. Marji Panny. — Jej cnoty w zakonie. — Zostaje mistrzynią.—Marja od Ś. Franciszka. . . . 529

Polscy Bracia, Mniejsi: Dydak Mickiewicz.— Adam Miecznikowski. — Benjamin Pankiewicz.— Pan Bóg objawia jego chwałę. — Rafał Zaleski. — Rufin Arazmin. — Kazimierz Jeżewski. — Sebastjan Wolicki.—Piotr Piasecki. 540

Odpowiednie uwagi z teologji mistycznej: O sprawiedliwości. — Co należy do cnoty sprawiedliwości? — Akty sprawiedliwości. — Sprawiedliwość. — do postępu jest konieczna. — Zachęta do sprawiedliwości. — O roztropności. — Iloraka jest roztropność. — Gatunki roztropności. — Co należy do roztropności. — Akty roztropności. — Roztropność jest nieodzowna do postępu. . . . 543

ROZDZIAŁ XVI.

Duch seraficzny ogarnia wszystkie rodzaje życia i poświęcenia się Bogu.

Ś. Franciszek chciał naśladować Chrystusa we wszystkiem. — Inni Święci naśladowali Chrystusa w pojedyńczych cnotach i czynach. — Ś. Franciszek chciał całe życie Zbawiciela na sobie odbić. — Synowie i córki Franciszka różne rodzaje życia prowadzą. — Duch seraficzny jest najprzeciwniejszy duchowi światowemu. — I na dzisiejsze czasy jest jedynem lekarstwem. — Jak przyjęto wezwanie Ojca ludów? — W jaki sposób Ś. Franciszek spełniał to zadanie? 548

Str.

Jak duchowni synowie i córki w tem go naśladowali? — Bł. Ryzerjusz z Muccia. — Ś. Ludwik Andegaweński. — Trudności w spełnieniu powołania. — Wstępuje do Braci Mniejszych.— Ś. Iwon z Bretanji. — Ś. Elzear de Sabran. — Jego troskliwość o wasalów. — Bł. Małgorzata Lotaryńska. — Ś. Paschalis Baylon. — Innocenta Ricci. — Jej życie w Trzecim Zakonie. —Antoni Le-Clerc de la Forest. — Po nawróceniu. — Próby Opatrzności. — Ś. Józef Kalasanty. — Małgorzata von Lüschen. — Marja od Ś. Karola. — Życie w klasztorze. — Na przełożeństwie. — Marja Teresa.— Główne cnoty królowej.—Franciszek Filibert. — Zostaje tercjarzem. — Dalsze życie jego. — Cz. Antoni Alfons Bermejo. — Poznaje swoje powołanie. — Marja od Jezusa. — Silwio Pellico. — Jego własne zeznania. — Przejścia duchowne. — Leon Lefèvre. — Na łonie rodziny. — Cnoty Lefevra. — Choroba i śmierć Lefevra. — Ludwik Grivel. — Edgar de Livois.— Ferdynand Filip Orleański, książę Alençon. — Testament duchowny księcia Alençon. — Don Izydor Ortiz de Urruela. — Juljusz de Cuverville. . 551

Kapucyni: Fulgencjusz z Gamallaro. — Bł. Feliks z Nikozji. 580

Polscy Bracia Mniejsi: Ś. Kunegunda.—Fulgencjusz Ramułt. — Leon Truszkowski. — Urjel Osiecki. — Paweł Markiell. — Fulgenty Zambiński. 581

W jaki sposób dzisiaj naśladowcy Ś. Franciszka spełniać mają swoje zadanie? — Do jakiego stopnia te cnoty posuwać powinni? — Jak walczyć mają z zepsuciem świata? — Jak naprawiać szkody duchowne? — Starać się o cześć domu Bożego.— Nie zrażać się słabością swoją. — Nie zniechęcać się trudnościami. — O podwójnym duchu Ś. Franciszka. — Jak jest zalecany jego naśladowcom?— Jak stale tego połączonego życia trzymać się wypada. — Jak złudne są pobudki, odwodzące od życia połączonego. 583

Ustępy z teologji mistycznej: Środek do nabycia wszystkich cnót. — Uwaga. — Pierwszy stopień zjednoczenia jest sakramentalny. — Objaśnienie. — Drugi stopień zjednoczenia przez Komunję duchowną.—Uwagi co do Komunji duchownej. Trzeci stopień zjednoczenia. — przez rzeczywistą obecność. — Wnioski. — Czwarty sposób zjednoczenia przez powiększenie łaski. — Wnioski. — Piąty sposób zjednoczenia przez osobistą obecność po zniszczeniu postaci. — Odpowiedzi na zarzuty. — Szósty sposób zjednoczenia przez duszę Chrystusa. — O cudownem pozostawaniu Chrystusa według ciała.— O usposobieniach potrzebnych do przyjęcia Najwiętszej Eucharystji. — Wyjątek z dekretu Ś. Kongregacji. 585

Porządek obrazów w IV-ym tomie.

1. Ś. Franciszek przed sułtanem Meledynem . . . . . do str. 20
2. Obraz z klasztornym doktorem . . . . . „ „ 30
3. Ś. Franciszek wprowadza wilka do miasta Gubbio . . . . . „ „ 40
4. Obłóczyny Ś. Klary . . . . . „ „ 57
5. Ś. Franciszek zrzeka się majątku . . . . . „ „ 75
6. Odmawianie pacierzy na dolinie Reatyńskiej . . . . . „ „ 90
7. Brat szydzi z Franciszka . . . . . „ „ 115
8. Ś. Franciszek na obiedzie u magnata Rubei . . . . . „ „ 136
9. Matka Boska osłania płaszczem swoim rodzinę franciszkańską . . . . . „ „ 158
10. Ś. Franciszek rozdaje chleb wyżebrany u Kardynała . . . . . „ „ 176
11. Ś. Franciszek na osobności z Meledynem . . . . . „ „ 190
12. Bazylika ś. Franciszka z Assyża . . . . . „ „ 208
13. Ś. Franciszek dziękuje za przestrogę . . . . . „ „ 230
14. Ś. Franciszek każe się prowadzić na powrozie . . . . . „ „ 250
15. Biczowanie na śniegu . . . . . „ „ 275
16. Drzwi katedralnego kościoła w Burgos . . . . . „ 295
17. Św. Franciszek i Ś. Antoni w rzędzie wyznawców . . . . . „ „ 315
18. Brama błogosławieństwa . . . . . „ „ 335
19. Ś. Franciszek zdejmuje z siebie odzież i daje ją ubogiemu . . . . . „ „ 350
20. Ś. Franciszek pocałunkiem uzdrawia trędowatego . . . . . „ „ 365
21. Ś. Franciszek spotyka trędowatego . . . . . „ „ 380
22. Obiad z trędowatym . . . . . „ „ 395
23. Ś. Franciszek na modlitwie . . . . . „ „ 415
24. Zachwycenie przy posiłku ze Ś. Klarą . . . . . „ „ 430
25. Pierwsze kazanie Franciszka . . . . . „ „ 450
26. Ambona w kościele Ś. Krzyża we Florencji . . . . . „ „ 466
27. Porcjunkula . . . . . „ „ 478
28. Sąd ostateczny . . . . . „ „ 490
29. Ś. Franciszek, naśladowca Chrystusa . . . . . „ „ 510
30. Matka Boża z Dzieciątkiem Jezus na trybunie . . . . . „ „ 530
31. Ś. Ludwik Andegaweński zrzeka się tronu . . . . . „ „ 555
32. Ś. Franciszek pociąga za sobą wielkości tego świata . . . . . „ „ 570
33. Śmierć Ś. Franciszka . . . . . „ „ 582

CATHOLIC THEOLOGICAL UNION
3 0311 00126 3867
WITHDRAWN
BX 3655 .H66 1901 v.4
Honorat,
Święty Franciszek
seraficki
DEMCO

3 0311 00126 3867